

Biblioteka
Warszawska

Mf 12442

Warszawa
1851 r.

t. 3-4

poz. Mf 12442

Biblioteka Warszawska

Warszawa 1851 t. 3-4, og. zb. 43-44 (m-cVII-XII),
sp. rzeczy

Opis.: ZNiO sygn. 117.152

neg. Mf 12442

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

Z R. 1851.

Materyały historyczne.

	Stron.
Wiadomość historyczna o księgarniach i drukarniach warszawskich od najdawniejszych czasów aż do roku 1793, czerpana z akt dawnych, przez <i>Stanisława Lisowskiego</i>	1
Rzut oka na dotychczasową polską historją przez <i>Augusta Bielowskiego</i> (dokończenie).....	30
O dawném województwie sieradzkiém, przez <i>Józefa Szaniawskiego</i>	170, 356
Zdobycie Warszawy przez Szwedów r. 1656, opisane w listach królowej polskiej Maryi Ludwiki, zachowanych w rękopismie własnoręcznym w bibliotece narodowej paryzkiej. Przepisał, wstępem i objaśnieniami opatrzył L. Grangier de la Marinière. Z francuzkiego na polski język przełożył i przypiski dodał <i>Alexander Przewdziecki</i>	189
Spominki historyczne i artystyczne, przez <i>Edwarda Rastawieckiego</i>	339
Baronowie, hrabiowie i margrabiowie mianowani przez królów polskich, przez <i>X. I.</i>	412
Zaporoże od czasów zniesienia siczki do r. 1840, przez <i>Michała Głiszczyńskiego</i>	425
Poszukiwania do historii rolnictwa krajowego. Część III.....	438
Dopełnienie wiadomości, zawartych w dziele wydaném w Krakowie, pod tyt.: Dawne zabytki miasta Krakowa i t. d. przez <i>Ambrożego Grabowskiego</i> ..	578

Archeologia.

	Stron.
O czytaniu runów słowiańskich. Napisał <i>Józef Łepkowski</i> . (Z ryciną)...	268
Słowo o czynnościach Wydziału archeologicznego w Krakowie.....	179

Prawo.

Zasady praw dawnych polskich o spadkach. Przez <i>A. Przeszkodzińskiego</i> .	211
---	-----

Nauki społeczne.

Wystawa powszechna w Londynie. (Artykuł dla Biblioteki Warszawskiej wyłącznie napisany). Część II, III, IV i ostatnia.....	111, 295, 503
Instytut kredytowy szlązki z roku 1835. Przez <i>Adama Bagniewskiego</i>	325

Opisy i podróże.

Maurowie niegdyś w Hiszpanii, a dziś w Afryce. Przez autora: O Danii i Norwegii, Baskach, Portugalii i t. d. (ciąg dalszy).....	53
Mormony, przez <i>ks. Józefa Szpaderskiego</i> (dokończenie).....	141

Literatura.

Próby przekładu Agamemnona z trylogii Eschylosa: Oresteja. Przez <i>Lucjana Siemieńskiego</i>	254
Literatura niemiecka i madziarska. Przegląd.....	282
Wojna chocimska. Poemat bohaterski w dziesięciu częściach, przez <i>Andrzeja Lipskiego</i> (rękopism 1673—1680). Przez <i>K. Wł. Wojcickiego</i> .	381

Bibliografia dawniejsza polska.

Łabędź żałobnie śpiewający nad grobem Mikołaja Dunina Modliszowskiego, których żałobnych trenów, pomógł mu na pogrzebnym kazaniu <i>ks. Jacynt Przetocki</i> . Przez <i>M. Morz</i>	162
---	-----

Poezye.

Legenda łużycko-serbska. Przez <i>R. Z</i>	97
Początek Wilhelma Tella.	280
Wędrownik. (Pieśń Szuberta).....	281
Książdz defnitor. Ustęp z nowój gawędy, przez <i>Władysława Syrokomłę</i> ...	476
Łobiasz, przez <i>Ludwika Niemojowskiego</i>	479

Rozbiory.

Życiorysy znakomitych ludzi wstawionych w różnych zawodach. Tom II. Warszawa. 1851. Przez <i>T</i>	136
Odpowiedź pana Szulca, przez <i>T</i>	138

	Stron.
Druskieniki. Szkic literacko-lekarski przez J. I. Kraszewskiego i Ksawerego Wolfganga. Wilno. 1848. Przez <i>Wł.</i>	348
Nauka chrześcijańska, obejmująca wykład prawd religijnych w dokładnym katechizmie, z załączeniem wypisów biblijnych w pytaniach i odpowiedziach. Gdańsk. 1851. Przez <i>K.</i>	352
Kilka słów z powodu recenzji IIgo tomiku Przekładów poetów polsko-łacińskich, przez p. Lisowskiego, umieszczonej w Bibliotece Warszawskiej na r. 1851. Przez <i>Władysława Syrokomlę</i>	353
Przekłady poetów polsko-łacińskich. Tomik czwarty i piąty. Poezycy ks. M. K. Sarbiewskiego. Przekład <i>Wł. Syrokomli</i> . Wilno. 1851. Przez <i>Stanisława Lisowskiego</i>	551
Przedślowie do tomu IIgo „Słownika malarzów polskich, służyć mające za odpowiedź na niektóre krytyki dzieła tego, przez <i>Edwarda Rastawieckiego</i>	570

Nauki przyrodzone.

Dowód obrotu wirowego ziemi, za pomocą doświadczenia. Przez <i>H. Skrzyńskiego</i>	99
Całkowite zaćmienie słońca dnia 28 lipca r. b., obserwowane z Wysokiego-Mazowieckiego, przez <i>St. Przyszyńskiego</i>	487
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych: Chemia, przez <i>J. B...</i>	373

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>Wł. Syrokomli</i>	181
<i>Kronika bibliograficzna</i>	182, 375, 586
Doniesienia literackie.....	184, 375, 586
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum warszawskiem: za miesiąc maj r. b.....	185
— — czerwiec r. b.....	377
— — lipiec r. b.	589

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z R. 1851.

Materyały historyczne.

	Stron.
Pamiętka przyjscia szwedzkiego do Warszawy roku 1655.	1
Opis historyczny zaślubin królewicza Jakóba Sobieskiego. Przez <i>Alexandra Wejnerta</i>	134
O dawném województwie sieradzkim, przez <i>Józefa Szaniawskiego</i> (ciąg dalszy i dokończenie).	177, 367, 564
F. Kallimacha Geminiańczyka o królu Władysławie czyli o klęsce warneńskiej. Księgi dwie. Augsburg, r. 1519 w drukarni Zygmunta Grimm doktora i Marka Fürsunga. Przetłumaczył i przypisami objaśnił <i>Michał Gliszczyński</i>	299, 480
Wiadomość o wynalezionych urnach popielnych, w okolicy Krakowa. Podał <i>Ambroży Grabowski</i>	372

Biografia.

Mahomet i jego alkoran. (Wyjątek z nowego przekładu alkoranu, wprost z oryginału, przez A. Kazimirskiego; podług wydania 1847 r. w Paryżu)	75
Józef Kurowski	374

	Stron.
Dodatek do życiorysu ks. Piotra Skargi, przez <i>Leonarda W.</i>	375
Anna Nakwaska. (Wspomnienie). Przez <i>A. T.....skiego</i>	569
Wspomnienie o K. N. Wysockim, przez <i>O. K.</i>	573

Nauki społeczne.

Znaczenie pieniędzy filozoficzne, moralne i ekonomiczne.	197
Wspomnienie o dawniej miejscowej opiece nad ubogimi. Przez <i>J. P.</i>	256
Przegląd prac uskuteczonych i nadal zamierzonych w celu połączenia morza Śródziemnego z Czerwoném przez międzymorze Suez w Afryce, tudzież oceanów Atlantyckiego i Wielkiego przez międzymorze Panama w Ameryce. Przez <i>Jana Mitkiewicza.</i>	460

Opisy i podróże.

Maurowie niegdyś w Hiszpanii a dziś w Afryce. Przez autora: O Danii i Norwegii, Baskach, Portugalii i t. d. (dokończenie).	18
Wycieczka archeologiczna w niektóre strony gubernii radomskiej, odbyta w miesiącu wrześniu r. b. przez <i>F. M. Sobieszczańskiego.</i> (Z ryciną).	389
Podhale i północna pochyłość Tatrów czyli Tatry polskie, przez <i>Ludwika Zejsznera</i> (ciąg dalszy).	523

Literatura.

Kobiety poetki w Ameryce północnej.	168
Nowa epoka literatury historycznej polskiej. Przegląd p. <i>Juliana Bartoszewicza</i> (ciąg drugi).	271

Powieści.

Ułamek z pamiętnika nieboszki	109, 225, 443
---	---------------

Poezya.

Zburzenie Jerozolimy, przez <i>Ludwika Niemojowskiego</i>	247
---	-----

Rozbiory.

Dwór i Dworki. Szkic do powieści przez <i>Leona Kunickiego.</i> Warszawa. 1851. Przez <i>K. W.</i>	165
O wsiach tak zwanych wołoskich, na północnym stoku Karpat. Przez <i>Alexandra hr. Stadnickiego.</i> We Lwowie. Przez <i>L.</i> . . .	166
Księga poselska litewskiej metryki, zawierająca w sobie dyplomatyczne stosunki Litwy za panowania króla <i>Stefana Batorego,</i>	

	Stron.
od r. 1576 do 1583, wydana z polecenia Cesarskiego moskiewskiego towarzystwa historii i starożytności rosyjskich, przez profesora Pogodina i magistra Dubińskiego; w Moskwie, 1843 r. Przez <i>Seweryna Gołębiowskiego</i>	334
Grammatyka języka polskiego zawierająca naukę rozbioru i składni, przez <i>J. A. Czajkowskiego</i> N. J. P. w S. P. i S. R. Warszawa. 1851. Przez <i>T. Sierocińskiego</i>	343
Piosenki gminne ludu pińskiego. Zebrał i przekładał <i>Romuald Zienkiewicz</i> . Kowno. 1851. Przez <i>K. Wł. Wojcickiego</i>	356
Athenaeum. Pismo zbiorowe poświęcone filozofii, literaturze i sztuce. Wydawca <i>J. I. Kraszewski</i> . Rok 1850. Wilno. Przez <i>Wł. Syrokomłę</i>	543
Gorale Bieskidowi zachodniego pasma Karpat. Rys etnograficzny zwyczajów i obyczajów włościan okolic Żywca. Skreślił <i>L. D.</i> Kraków. 1851. Przez <i>K. Wł. W.</i>	548
Odpowiedź p. <i>T. Sierocińskiemu</i> na jego krytykę mojej Grammatyki, przez <i>J. A. Czajkowskiego</i>	551

Nauki przyrodzone.

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:	
Fizyka, przez <i>S. P.</i>	377
Chemia, przez <i>J. B...ę</i>	575

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>Alexandra Przewdzickiego</i>	188
<i>Kronika bibliograficzna</i>	189, 381, 577
Doniesienia literackie.	190, 381, 578
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum warszawskim: za miesiąc sierpień r. b.	193
— — wrzesień r. b.	385
— — październik r. b.	581
Uwiadomienie od redakcyi	384
Uwiadomienie od redakcyi Biblioteki Warszawskiej (na okładce).	

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

WIADOMOŚĆ HISTORYCZNA
O KSIĘGARNIACH I DRUKARNIACH WARSZAWSKICH
OD NAJDAWNIEJSZYCH CZASÓW AŻ DO ROKU 1793,

CZERPANA Z AKT DAWNYCH

przez

Stanisława Lisowskiego.

Staryto wynalazek pismo, ten tłumacz myśli dla oddalonych czasem lub przestrzeni! Wielki, potężny, jakby czarodziejski środek, nie lęka się dziś czasu; niczém dlań przestrzeń ziemską, bo z jednego na drugi kraniec świata, na skrzydłach gieniuszu niesiony, wyjawia wszelkie tajemnice natury lub sztuki, i sławę rozumu ogłasza. Tysiące korzyści wypłynęło z tego wynalazku, co tworzony naprzód ręką, przeszedł następnie w postać druku lub litografii; a mechanizmem dziś już nie słaba ręka na tysiące exemplarzy przepisująca, lecz siła pary lub elektryczności: bo i szybciej działają, i przy raz gotowém urządzeniu, mniej zachu-
du potrzeba.

Cztery wieki już minęło, jak ludzie pierwsze ujrzeli druki. Wynalazek ten wpływając znakomicie na podniesienie oświaty, przez ułatwienie nabycia wszelkiego rodzaju książek, czyto do nauki, czy do rozrywki służących, pociągnął za sobą rozgałęzienie i powiększenie handlu i przemysłu, albowiem nastąpiła potrzeba papierni i księgarń.

Podniesienie i wzrost sztuki drukarskiej również nie było bez wpływu na rękopisy, ale w stosunku zupełnie odwrotnym. Pierwiastkowe rękopisy dokonywane z troskliwością i szczególném wykończeniem, zaczęły niknąć potrosze, i stały się dziś rzad-

kością. Uważane pod zewnętrznym względem, są one w swoim rodzaju arcydziełami, na widok których zdumiewać się potrzeba. Jakieżto ozdoby, jakie wykończenie pojedynczych głosek lub miniatur, jaka cierpliwość owego przepisywacza, u którego każdy zarys jakby cyrklem odmierzony, a wszystkie głoski tak jednakowe, tak do siebie podobne, jakby z druku wyszły. Dziwić się potrzeba téj żelaznej wytrwałości, z jaką pilny przepisywacz, wiele, wiele tracił czasu, zanim spod jego pióra wyszedł rękopism taki, jakim go dziś oglądamy; a co on kosztował? Wynagrodzenie, jakie niekiedy za wykonanie takiego rękopisu dawano, mogło stanowić majątek; a przecież książka taka była jedynym exemplarzem, który w wypadkach nieprzewidzianych klęsk, pożaru lub tym podobnych, ginął bezpowrotnie: tymczasem dziś drukowana pierwsza i ostatnia książka, niczém się od siebie nie różnią, chociaż je sta lub tysiące pośrednich exemplarzy rozdziela, kupno dla każdego dostępne, i niepodobna prawie przypuścić, aby dzisiejsze nakłady, jeżeli ich z umysłu kto nie zniszczy, mogły kiedy zniknąć bez śladu.

Kto? kiedy? i jakim sposobem przyszedł do wynalezienia druku—wszystkim jest wiadomo. Odkąd drukowanie ksiąg w Polsce istnieć poczęło, także okazano. Historją bibliotek, drukarń i księgarń w Polsce już znakomitsze obrabiały talenta; dla nas dostało się w udziale dopełnienie wiadomości o księgarniach i drukarniach w Warszawie, ile że do tego ustępu nowe znaleźliśmy szczegóły.

Kraków, stolica dawnéj Polski, siedziba starych królów, dygnitarzy i możnych panów, przodkując pod każdym względem całemu krajowi, naprzód téż zaprowadziła u siebie drukarnie, w których różne i liczne wychodziły księgi. Uczony Jerzy Samuel Bandtkie mając przed oczyma druki, na których wyraz *Cracis* (jako miejsce druku) położony znalazł, dowodzi bytności drukarń w Krakowie już w roku 1465, na co wszakże lepszych potrzebaby dowodów. W roku 1491 Świętopelk Fiol już odbijał w Krakowie księgi słowiańskie; a niespracowany w badaniach swoich Ambroży Grabowski dowodnie wyjaśnił właściwy rodzaj zatrudnienia tego pierwszego drukarza krakowskiego, z kąd okazało się, że to był poprostu *haftarz*, obdarzony wszakże od natury znakomitą zdolnością do wszelkich robót mechanicznych (1). Po nim Jan

(1) Starożytności historyczne. T. I, str. 449.

Haller dopiero zaczął drukować po łacinie, a otrzymawszy przywilej w r. 1505 na założenie i prowadzenie drukarni w Krakowie, przyczynił się wiele do podniesienia tego kunsztu w Polsce (1), bo drukował wiele i dobrych książek. Miał zapewne tę myśl podniesienia drukarstwa we własnym kraju Alexander Jagiellończyk, kiedy w przywileju tym wyraźnie zabronił kupcom cudzoziemcom i krajowcom, sprowadzania książek z zagranicy i wystawiania na sprzedaż takich, które Haller w Krakowie drukował; a polecając czuwanie nad tém starostom, naznaczył karę utraty wszelkich ksiąg, starostom zaś dziesięć kop zapłaty, gdyby się kto zakaz ten przestąpić odważył. Wznosiła się ta drukarnia niepospolicie, gdy zaraz w r. 1518 Ludwik Jodok Decyusz (Dycz), ze szczególnego polecenia Jana Łaskiego prymasa, otrzymał przywilej na lat cztery, na drukowanie brewiarza dla dyecezyi poznańskiej, i w przeciągu tego czasu nikomu powtarzać przedruku, ani téż brewiarzy z zagranicy sprowadzać niewolno było. W rok potém, tenże Decyusz otrzymał znowu przywilej na drukowanie kroniki z wielkim nakładem i przepychem, różnemi obrazami ozdobionęj, i ważność tego przywileju trwać miała przez lat sześć. Powtórzono zakaz przedruku, a przestępca takowego, pozbawieniem ksiąg i zapłatą sto marek, miał być karany (2). Do końca tego wieku mnożyły się i wzmagały drukarnie, a w roku 1566 już Jakób Szarsfenberg z żoną Barbarą i synem Krzysztofem, nabyli od Stanisława Minockiego burgrabi krakowskiego i matki jego Agnieszki, młyn papierowy we wsi Młodziejowice będący, do wyrabiania zaś papieru zdalnych majstrów z zagranicy sprowadzili. W roku 1577, Mikołaj Szarsfenberg obywatel i drukarz krakowski, otrzymał nominacyą na drukarza królewskiego, z dozwoleńniem wyłączném drukowania statutów, konstytucyj sejmowych, wszelkich praw publicznych, ziemskich, kronik, historyj i t. p.; oprócz tego zawsze powinien był trzymać przy kanclerzu Janie Zamojskim zdolnego drukarza, ze wszelkim przyrządem gotowego, aby wszystko co mu kanclerz poleci, drukować mógł, a za to osobne opatrzenie

(1) Przywilej ten wydany w Krakowie *feria tertia in crastino festi Sancti Michaelis Archangelii*, (30 września) 1505 roku, znajduje się w aktach Metryki koron. Księga 21, str. 293.

(2) Oba te przywileje, a mianowicie piérwszy w Krakowie *in vigilia sancti Bartholomaei* (23 sierpnia) 1518 roku; drugi tamże, *feria sexta proxima ante festum sancti Bartholomaei* (19 sierpnia), 1519 roku wydane, znajdują się w aktach Metr. kor. Ks. 31, str. 357. i 540.

od kanclerza otrzymywał (1). Inne dzieje późniejsze są już zkądną wiadome.

Warszawa dopiero w XVI wieku wzrastać i znaczenia nabyczą, a mianowicie po przeniesieniu tu stolicy z Krakowa. Zwolna bardzo przystępując do nabycia i przyswojenia sobie rzeczy już u innych znanych, prawie powszednich, późno zastępną w księgarńie, późnój jeszcze w drukarnie. W wieku XVII już nie każde dzieło mogło być drukowane, bo władza duchowna i Jezuici zapobiegali wielom przystępu do pras; nie każdemu pisać i drukować było wolno, bo dyssydenckie pisma przez druk nie miały się stawać publicznymi w Polsce (2). Ogólne upośledzenie w tym czasie drukarstwa w Europie, było główną zawadą, że po przeniesieniu stolicy z Krakowa nie podniosły się drukarnie warszawskie, a o księgarzach ledwie słychnać było. Długie tak przetrwały czasy, zanim, że tak powiemy wegetowanie bez żadnych oznak zewnętrznego życia, żywsze ruchy wywołało, lecz na krótko tylko. W ostatnich dopiero czasach, gdy Pijarzy i Załuski całą uwagę zwrócili na skarbnicę umysłowych śladów życia Polski, zaczęto skrzętniej pracować nad poznaniem samych siebie. Zdaje się, że Załuski zesłanym był z nieba, aby w Polsce uspięne muzy do nowego życia powołać. Od młodości w książkach zamilowany, bezustannie żywił myśl założenia publicznej biblioteki, i na to wszelkie swoje łożył starania. Wiele doświadczał przykrości, albowiem znaczna część współobywateli chętniej miłowała konie, psy, polowanie, biesiady, aniżeli księgi; ale téż nie był bez poparcia ze strony oględniejszych, którzy silnie i z zapalem wspierali jego zamiary (3). Nagromadzone przez Załuskiego skarby zaczęły otwierać wszystkim oczy, jak bogatą jest umysłowa niwa przodków naszych. Dziwili się Polacy zkądną się wziąć mógł taki ogrom zasobów ku nauce, kiedy im się zdawało, że to nie tak wiele potrzeba, aby być *alfą* i *omegą* w swojej ziemi, powiecie lub województwie. Cóż

(1) Więcej szczegółów znajdzie czytelnik w różnych w tej materii dziełach i rozprawach. Nie chcąc powtarzać, wprost zlamąd przepisując, przywiedliśmy tu te tylko wiadomości, które nie są znane, a przecież niemniej ważne, iżby opuszczone lub zlekka dotknięte być miały. Przywilej o którym mowa (a będziemy się do niego jeszcze odwoływać) wydany w Bydgoszczy, dnia 22 lutego 1577 roku. Zob. na końcu w dodatku nr. 1.

(2) Bibliograficznych ksiąg dwoje. T. I. str. 207.

(3) Janocki w życiu Załuskiego. Wydanie in folio po łacinnie, bez tytułu, roku i miejsca druku, str. 56. Znajduje się w bibliotece głównej O. N. W.

więc mogli wiedzieć wówczas o rzeczach polskich cudzoziemcy, których charakterystykę tak trafnie we wstępie do swego dzieła: *O rzadkich ksiązkach polskich* (1) skreślił Janocki? Oto jego słowa:

„Zarzucają zwykle cudzoziemcy, że Polacy żadnych ksiązek nie mają, a jeżeli przyznawają nam, że mamy jakiegokolwiek dzieła, to o nich lekkomyślnie sądzą, że nie niewarte! Sąd ich ugruntowany jest na grubój niewiomości. Z naszych dzieł nie oni nie czytali, ani ich nawet widzieli, ani o nich słyszeli. Pytają się wprawdzie o *Długosza*, dowiadują się o *Kromera*, poszukują *Orzechowskiego*, kupują nawet *Sarnickiego*, lecz z tych czterech pisarzy składa się ich cała polska biblioteka! Jeżeli ona większych jest rozmiarów, do jój składu wchodzi jeszcze *Piasecki*. Więcej o nas nie wiedzą i naszych dzieł nie mają”.

„Przyczyna téj niewiomości leży właściwie w nas samych. Cudzoziemcy istotnie nie są tyle winni. Starajmy się rozpatrzyć błędy stron obu:

„Naszą jest winą, że nie staramy się bynajmniej o powiększenie drukarni, ani téż o polepszenie stanu dziś istniejących, a sprzedaż publiczna ksiązek z uszczerbkiem dla nauk, zamknięta w bardzo ciasnych granicach.“

„Posiadacze ksiązek niedbale z niemi się obchodzą. Przeznaczają dla ksiązek najbrudniejsze w swych domach kąty, pełne pajaków, myszy i innego robactwa. W braku makulatury używają je na podkładki do placków, obwijają w nie pieczenie, ciasta, śledzie, szynki lub sér; a gdy wiatr zimowy przez stłuczone w czasie hucznej biesiady szyby, do komnat zawiewać pocznie, wybierają co lepsze karty na załatanie dziur, tych wrogów miłego ciepła pozbawiających.“

„Z drugiej strony, księgarnie cudzoziemskie zabardzo są uprzedzone, leniwe i bojaźliwe. Skarżą się one na niesłychaną cenę naszych ksiązek: nie wierzą, że je nawet z zyskiem sprzedać mogą. Zanedbują środków, jakimi do poznania i nabycia jeszcze dość tanio ksiązek polskich przyjsby mogli, i uniewinniają się zawsze tém bezzasadném a nieprzyzwoitém zapytaniem: — co z Polski może być dobrego? — Otóż przyczyna, dla której książki nasze w obcych krajach tak są kosztowne i rzadkie.“

Tak pisał przed stoma laty Janocki, bo téż taki wtedy był stan rzeczywisty wiadomości bibliograficznych w Polsce. Po-

(1) Nachricht von den raren polnischen Büchern. Tom I. Drezno 1747; drugi tom i następne do 5go, we Wrocławiu, 1749—1753.

wtarzamy dziś jego wyrazy bez zarumienienia, bo w przeciągu tego czasu znacznieśmy się poprawili: pracujemy i uczymy się ciągle. Dziś możemy już powiedzieć, że znamy siebie, a jeżeli jeszcze niezupełnie, to przynajmniej możemy sobie pochlebiać, że niewiele nam już brakuje.

Lecz wróćmy na właściwą drogę, od której może zadaleko zboczyliśmy. Mamy albowiem mówić o najdawniejszych księgarniach w Warszawie, wydobywając na jaw wiele zajmujących nieznanych szczegółów, które jako wypadek poszukiwania na tej drodze, nawinęły się oczom naszym. A naprzód: kto pierwsiśtkowo trudnił się sprzedażą książek?

Nie odrazu Kraków zbudowano! mówi dawne przysłowie, nie odrazu też u nas stanęły wyłączne księgarnie. Z początku, gdy jeszcze drukarni własnych w kraju nie było, sprowadzali książki z zagranicy kupcy, które wraz z innemi towarami na sprzedaż wystawiali. Po zaprowadzeniu drukarni, napotykamy nasamprzód *introligatorów*, i to jest naturalny skutek z biegu rzeczy wynikający, bo jakże było używać niezszytych lub nieoprawnych arkuszy? Introligatorowie zatem odbite w drukarni arkusze zszywali, oprawiali w księgi i tak gotowe zwracali drukarzom do dalszego obrotu. W początkach więc drukarz musiał być łącznie księgarzem; ale gdy liczba ksiąg wzrosła, gdy zajęcie się jednym i drugim przedmiotem zaczęło być uciążliwe, nastąpił rozdział zatrudnień, i wyrodziła się konieczna potrzeba osobnego handlu księgarskiego. Sprzedawano więc zrazu książki w drukarniach samych, albo w arkuszach, aby każdy kto i jak zechce, kazał introligatorowi oprawić, albo też już przez introligatorów oprawne; następnie dawano je w komis kupcom innych towarów, a nawet i samym introligatorom; naostatek, gdy się wydawnictwo dzieł rozszerzyło, nastąpiła wyłączna sprzedaż książek. Że do takiej sprzedaży używani byli introligatorowie, utwierdza nas w tém mniemaniu nazwisko, jakie im naprzemian ówczesznie nadawano: *introligatores, complanatores seu compactores librorum*, albo *bibliopolae*.

Takie jest nasze, na mocy przywiedzionych śladów, mniemanie o początku ogólnym księgarń. Jakie szczegółowo koleje dalej przechodził ten rodzaj handlu w Polsce, nie mogliśmy dotąd wysłędzić: bo w pomroce dziejów niedostatecznie objaśnionych, niejedna jeszcze wiadomość leży głęboko ukryta, a ztąd dla łamiącego pierwsze zapory wielka trudność, jeżeli mu, jak się to najczęściej zdarza, i na samych materyałach zbywa.

1500 — 1600.

Piérwszym z introligatorów na którego w dotychczasowych poszukiwaniach natrafiłiśmy, i o jakim w tym wieku podają wzmiankę akta miasta Starój Warszawy, jest niejaki *Leonard de Przasth*, który przyjął prawo miejskie w Warszawie *feria 4ta post festum Sti Andreae* (3 grudnia) 1528 r. Po nim z kolei idzie *Błazėj*, bez innego nazwiska. Występuje on na widownię już w r. 1544, zeznając dług dwóch kop groszy w półgroszkach, który na domu posiadany przez siebie na Dunaju zabezpiecza. W rok później sprzedał ten dom *Dorocie Figlowej* za dwadzieścia dwie kop groszy, podobnie w półgroszkach, i od tego czasu już go więcej w aktach nie napotkaliśmy, jak również nie ma śladów, żeby się trudnił sprzedażą ksiązek (1).

Po obu powyższych w roku 1548 znowu *Bartholomeus de Plonisko* syn *Wojciecha* introligatora i sam introligator przyjął prawo miejskie: *fer. 4ta post fes. Sti. Martini* (d. 15 listopada). Potém *Maciėj* syn *Andrzeja* z Poznania *fer 4ta post fes. Navitatis Mariae* (11 września) 1555 r. (2). Odtąd następuje przerwa aż do roku 1581 (3) w którym znajduje się w aktach wymieniony *bibliopola Jan Gieras*z (Ks. 9, str. 35.) Ze stosunków jego z *Pawłem Fabrycym*, także *bibliopola*z, dorozumiewać się należy, iż był właściwie introligatorem.

Około roku 1586 sprzedaż ksiązek widać że większe zaczęła przynosić i zapewniać korzyści, gdyż *Paweł Fabrycysz* o wyłączny na sprzedaż przez siebie ksiązek, starał się przywilėj. Nie uzyskawszy wtedy nic u tronu z powodu bezkrólewia, odesłany do magistratu warszawskiego, tam ponowił swoje starania; tém bardziej, że go znamienite dworskie polecały osoby. Czyniąc więc zadość pp. rajcy takim wstawianiom się, i zważając na dobre prowadzenie się *Fabrycego*, dozwolili mu wyłącznej sprzedaży ksiązek przez przeciąg lat dwunastu, w ten sposób: że nikomu innemu tak z obywateli warszawskich, jako téz i obcych kupców, ksiązek w Warszawie sprzedawać niewolno było, wyjąwszy kalendarzy, rycin, i kart do grania, których sprzedaż kupcom, aptekarzom, i innym obywatelom warszawskim służyła, jak również

(1) Akta miasta Star. Warsz. ks. 529 pod datą, oraz ks. 3, str. 37, 57.

(2) Też akta 526 pod datą (uiefoliowana).

(3) Przerwy te mamy nadzieję z czasem uzupełnić.

w czasie sejmu lub jarmarków, gdzie według dawnych przywilejów, wszyscy i wszelkiego rodzaju towary bez żadnej znikąd przeskody sprzedawać mogli. Zawdzięczając takie prerogatywy Fabrycyusz, dobrowolnie zobowiązał się dostarczać corocznie dla użytku magistratu ryzę papieru; wszelkie zaś akta tak czynności cywilnych jako i sądowych lub kryminalnych, oprować przyrzekł przez cały przeciąg lat dwunastu, ilekroć tego zajdzie potrzeba. (Ks. 9, str. 621). Trzeba przyznać, że Fabrycyusz sumiennie dopełnił włożonego na się warunku, i z tego czasu pozostałe akta miejskie, odznaczają się szczególną dobrocią papieru i porządną opravą.

W lat dwa potem *Jan Modzelowski, Szkatulnik* zwany, intro-ligator, wiedząc, że Fabrycyusz miał tylko pozwolenie czasowe magistratu, starał się u króla o przywiléj dla siebie, i ten dnia 17 lutego 1588 r. dla siebie na wyłączną sprzedaż książek otrzymał. Pokrzywdzony w ten sposób Fabrycyusz żalił się przed magistratem i żądał niedopuszczenia Modzelowskiego do sprzedaży ksiąg, twierdząc, że wpród już na to przyzwolenie miejskie otrzymał; że w przeciwnym razie, narazonyby został na znaczne straty; na-ostatek zaś przywiódł i to na poparcie swéj sprawy: że i on również miał przywiléj jeszcze Stefana króla w r. 1580 d. 21 maja w Grodnie sobie nadany, i także w 1588 roku d. 1 lutego w Krakowie potwierdzony. Magistrat widząc zawilość sprawy, a nie będąc w mocy wyrokować względem przywilejów królewskich, obu spierających się, ze skargami i żądaniemi do sądów króla odesłał. Długo trwały spory; wycieńczały się fundusze stron obu, i Fabrycy w roku 1589 w przykrém był położeniu, gdy aż w pożyczce dwóchset złotych ówczesnych szukał dla siebie ratunku, dając bezpieczeństwo téj summy na książkach i wszelkich towarach w księgarni znajdujących się, i obiecując ze sprzedaży książek dług ten zaspokoić. Z tego pokazuje się, że Fabrycyusz był intro-ligatorem, księgarzem i kupcem, bo prócz książek miał i inne towary w swym sklepie. Modzelowski jakkolwiek zastaniał się otrzymanym przywilejem, nie wyszedł zapewne korzystnie z téj sprawy, albo téż może pogodziwszy się z Fabrycyuszem, onéj zupełnie zaniechał, bo nie słychać o nim nie aż do roku 1598, to jest po upływie dwunastu lat, na wyłączną sprzedaż książek Fabrycyuszowi dozwolonych. W tym roku łącznie obadwa, to jest Paweł Fabrycyusz i Jan Modzelowski przedstawivszy królowi potrzebę księgarni w Warszawie, otrzymali przywiléj pod da-

tą w Malborgu 12 czerwca 1598 r. na założenie dwóch księgar-
ni, i nikomu więcej takowych zakładać, ani też książek sprzeda-
wać niewolno było, wyjąwszy, jakieśmy to już wyżej wspomnieli,
podczas sejmów lub jarmarków; gdyż wedle dawnych przywile-
jów, przez cały przeciąg trwania takowych, wolno było sprowa-
dzać i sprzedawać książki innym osobom. Przywilój ten służył
obudwom zarówno tylko za życia; zastrzegał przytém, aby w swych
księgarniach mieli dostateczną na użytek publiczny ilość książek
różnych autorów i przedmiotów. Byłto zatém pierwszy krok na
tój drodze, i od niego właściwie rozpoczyna się epoka stałych
księgarń warszawskich, które dotąd tylko jako przydatek do han-
dlu innych towarów przyczepiane były.

Czyli równocześnie istniały w Warszawie i jakie drukarnie?
wątpić należy. Twierdzą wprawdzie, że wtedy drukował w War-
szawie Mikołaj Szarfenberg, i przytaczają na to dowody wymie-
nione u Bandtkiego, Hoffmana i innych, którzy w tym przedmio-
cie pisali. (1). Lecz zastanowiwszy się dobrze i szukając wię-
cej innych dowodów na poparcie czynności tój drukarni, bardzo
małą pewność znajdujemy w owych dowodach; owszem, wcale
przeciwnie nasuwa się nam zdanie. Mikołaj Szarfenberg otrzy-
mawszy w roku 1577 wspomniony od nas wyżej przywilój na
drukarza królewskiego, miał sobie położony warunek, aby jedne-
go zdatnego towarzysza z wszelkim przyborem gotowego, zawsze

(1) Bandtkie: Historia drukarń krak. str. 320, przywodzi:

*Edictum Regium Suiense ad milites ex quo causae suscepti in
Magnum Moscoriae Ducem belli cognoscentur. Edictum regium de
supplicationibus ob captam Polociam. Rerum post captam Polociam
contra Moscum gestarum narratio. Varsaviae, Anno Domini 1579. 4to.
str. III. Na końcu: Varsaviae typis Nicolai Szarffenbergii Regii typo-
graphi, cum privilegio Anno Domini 1579.*

*Exemplar literarum a Ser. Stephano Poloniae Rege Civitati Ge-
danensi datarum Mariaeburgi 16 Dec. 1577, post receptionem in gra-
tiam, unacum jure jurando ejusdem. 4to, 1578. To dzieło przywodzi także
Hoffmann: de Typographiis, str. 53.*

*Pieśni trzy Jana Kochanowskiego. O wzięciu Połocka, O statecz-
nym słudze R. P., O uczciwej małżonce. W Warszawie, roku Bożego 1580,
4to, druk gocki, arkusz 1.*

*De expugnatione Polottei Ode Joan. Kochanovii. Varsaviae, anno
Domini 1580. Oba te druki wspomina także Niesiecki. Tom II, str. 549.*

Starożytna Polska Tom I, str. 428 przywodzi jeszcze w r. 1578, że
w Warszawie była także wydana: „*Odprawa postów*” Jana Kochanow-
skiego.

przy kanclerzu trzymał (1). Łatwo zatem stać się mogło, że kanclerz bawiąc pod owe czasy w Warszawie, tę właśnie a nie inną robotę drukarzowi swemu wykonać polecił, a ten położył miano Warszawy i Szarsfenberga, jako miejsce ówczesnego pobytu i właściciela, bynajmniej niedowodzące ustalenia pod owe czasy drukarni w Warszawie. Utwierdza nas w tém zdaniu istnienie drukarni tak zwanych *obozowych*, w których *Nowiny* drukowano, bo były wypadkiem téjże saméj okoliczności, to jest, że przy kanclerzu znajdował się obecny drukarz i wykonywał to, co mu polecane było. Rzeczywisty więc początek drukarni miejscowych w Warszawie, jest późniejszy.

Na początku tego wieku pojawiona reformacya religijna, spowodowała w r. 1520 pod datą: *in vigilia Sti Jacobi Apostoli*, (24 lipca) wydanie w *Toruniu* edyktu królewskiego, mocą którego surowo zabraniano sprowadzania do państwa, i używania ksiązek przez Marcina Lutra Augustyanina pisanych; albowiem w nich znajduje się wiele rzeczy ubliżających stolicy apostolskiej, religii, i mogących zakłócić spokojność publiczną. Podobny edykt wyłącznie dla Gdańszczan, wyszedł w Gdańsku, w oktawę Nawiedzenia Najświętszej Panny Maryi (9 lipca) 1526 r., i tu wymienione są nie tylko książki, lecz malowidła, pieśni i inne t. p. paszkwile (2). Z téjże saméj przyczyny synody prowincjonalne, mając na względzie uchronienie katolicyzmu od reformacyi, podobne wydały zakazy. Maciej Drzewicki arcybiskup gnieźnieński, na synodzie w Piotrkowie 1532 roku, i Piotr Gamrat tamże wyraźnie postanowili: ażeby żaden drukarz nie ważył się drukowania jakiegobądź książki, jeżeli na to od biskupa lub upoważnionych do tego osób pozwolenia nie otrzyma; dalej: aby wszystkie księgarnie corocznie przez biskupów lub upoważnionych do tego duchownych rewidowane były: aby znalezione tam książki zakazane, konfiskowane i palone były, a sami księgarze wedle prawa ukarani (3). Lecz pomimo podobnych zakazów, które nie zostały bez wpływu, drukarnie krajowe w przeciągu XVIgo wieku znakomicie wzrosły, i po różnych miejscach kraju zasłynęły.

(1) Zobacz sam przywilój, w dodatku nr. 1.

(2) Akta Metr. kor., ks. 35, str. 59; ks. 40, str. 73.

(3) *Constitutiones Synodorum Metrop. ecclesiae Gnesnensis provincialium etc. studio et opera R. D. Stanislai Karnkowski.* W Krakowie, 1759 r., 4to. Porównaj karty 25, 26 (karty po jednéj stronie liczbowane).

1600 — 1650.

W roku 1608, występuje po raz ostatni Paweł Fabrycyusz, gdy jadącemu do Lublina Stanisławowi Kędrowskiemu, dał 30 złp., dla doręczenia ich Sebastyanowi Szernickiemu, drukarzowi rakowskiemu (1). Wiadomość ta rzuca światło, że miał stosunki i z innymi miastami. W tym właśnie roku umarł Fabrycyusz, a przed tym jeszcze wcześniej Modzelowski. Ten ostatni pozostawił wdowę Elżbietę Jeleniównę, która prowadziła dalszą sprzedaż księzek na mocy przywileju niegdyś mężowi służącego, i było zawsze tylko dwie księgarnie w Warszawie, z których jedna do wdowy po Modzelowskim, druga do Fabrycyusza należała. Umierając Fabrycyusz pozostawił także wdowę, której również służyło prawo korzystania z przywileju mężowi nadanego. Byłyby więc dwie księgarnie przez kobiety utrzymywane. Zapobiegając temu król i mając sobie przedstawioną zdatność introligatora *Marcina Ryling*, temuż w miejsce zmarłego Fabrycyusza księgarzem być dozwala, zastrzegając wszakże znowu, aby nie więcej nad dwie księgarnie w Warszawie otwarte były (2). Odsuniętą więc została Jadwiga córka Szymona Zdunkowicza, wdowa po Fabrycyuszu od trzymania księgarni, i dopiero w roku 1621, na mocy przywileju w Warszawie, dnia 10 marca nadanego (3), dozwolone ję było trzymanie księgarni, gdyż wtedy wdowa po Modzelowskim, Elżbieta Jeleniówna, właśnie zmarła. Warunek przecież poprzedni na dwie tylko księgarnie, zachowany w swęj mocy pozostał.

W roku 1624 już inni introligatorowie sprzedają księzek trudnić się poczęli. W roku 1626 umarł Ryling; przywilęj służący dla niego, mógł znowu kto inny otrzymać, lecz *Grzegorz Filipowicz*, zięć jego, czynnie temu zapobiegł, i przywilęj dla siebie pozyskał. Żyła wtedy jeszcze wdowa po Fabrycyuszu, Jadwiga, z naturalnego więc biegu rzeczy wypadło, że powtórzone zostały warunki w poprzednich przywilejach wymienione, to jest: cenzura duchowna, i trzymanie tylko dwóch księgarń (4).

W roku 1640 napotykamy księgarza i obywatela warszawskiego *Jana Szerszeniewicza*. Zoznaje on przed urzędem miejskim, iż winien jest księdzu Jezuicie Grzegorzowi Cieślakowi złp. 200, potem znowu pożyczka złp. 300 na zakupienie ksiąg od pana Gor-

(1) Akta m. S. W., ks. 543, str. 233. (2) Akta m. S. W., ks. 16, str. 349. (3) Akta Metr. kor., ks. 165, str. 309. (4) Akta Metr. kor. ks. 174, str. 66.

skiego, a bezpieczeństwo piérwszej summy zapewnia na dwóch mszałach antwerpskich, jakie na sprzedanie posiada; z tych jeden był z miedziorytami, drugi z drzeworytami (1).

W tymże samym roku występuje w aktach *Melchior Wolski*, introligator i księgarz (librorum complanator et bibliopola), jako świadek w procesie osób trzecich powołany. Lecz w roku 1643 prowadzi proces na własną rękę, z przyczyny wzbronienia intromissyi, do majątku po rybaku Czajce pozostałego, który nań w spadku, jako spokrewnionego, przypadął (2). Był on dość zamożnym, jak to się okazuje z zapisów, testamentem w roku 1656 sporządzonym, poczynionych (3). Fundusz ze sprzedaży ksiązek, których wartość na 2,000 złp. szacował, wraz z dodatkiem innych 1600 złp. zapisał psalterzystom, aby przez lat siedm, po trzy msze za jego dusze odprawiali. Miał także stosunki z Jerzym Försterem księgarzem gdańskim, o czém z tegoż dowiadujemy się testamentu. Brał od niego książki, i pozostał mu za nie dłużny; oświadczył przeto, że słuszna, aby swą należytość książkami odebrał, i dał mu na to dzieła do wyboru. Umarł w tymże roku, dotknięty morową zarazą, w której testament swój dnia 9 maja potwierdził.

W r. 1644, dnia 30 czerwca, *Jerzy Förster* księgarz gdański, otrzymawszy od króla *serwitorat*, miał sobie dozwolone przedawanie ksiązek w Krakowie, Wilnie, Poznaniu, Lwowie, Lublinie i *Warszawie*, a to w każdym czasie i bez żadnej od kogobądź przeszkody (4). Księgarz ten, jak to z kądinąd wiadomo, odznaczył się nadzwyczaj ważnemi nakładami dzieł, do historyi polskiej służących, które w Holandyi lub w Gdańsku dawał drukować. On także wielełożył na ryciny Falka, lecz czyli miał osobną księgarnię w *Warszawie*, dotąd nie wysledziliśmy.

Piérwszym z drukarzy, jaki w téj epoce występuje, jest *Jan Rossowski*. Otrzymał on przywilej d. 12 lipca 1624 r. (5), w którym powiedziano, że ponieważ brak jest drukarni przy dworze królewskim, a przez opóźnienie ogłoszenia ustaw na sejmie zapadłych, obywatele królestwa na uszczerbek narażeni być mogą: przeto zapobiegając podobnej niedogodności, król w *Warszawie*, gdzie najczęściej sejmy się odbywają i sam z dworem najwięcej

(1) Unum (missale) cum figuris eneis, alterum cum ligneis. (Akta m. S. W., 25, str. 34). (2) Akta m. S. W., ks. 29, str. 667, 670. (3) Też akta, ks. 553, str. 59. (4) Akta Metr. kor., ks. 189, str. 84. (5) Tłumaczenie z oryginału, zobacz w dodatku nr. 2.

przebywa, drukarnią założyć postanowił. Mając zaś sobie polecenego Jana Rossowskiego z biegłości i znajomości w tej sztuce, naprzód go w liczbę sług swoich zaliczył, a następnie dozwolił mu drukowania: uchwał sejmowych; dzieła pod tytułem: *Speculum Saxonis*, z łacińskiego na polski język przełożonego; listów Cyncerona; urywków Korneliusza i t. d. słowem rozmaitych dzieł, byle tylko religii katolickiej i dobrym obyczajom nie były przeciwnie, i approbatę duchowną (biskupa) pozyskały. Tak wydrukowane książki, wolno mu było po sprawiedliwej cenie sprzedawać; co do konstytucyj zaś sejmowych zastrzeżono, aby dawny zwyczaj zachował i każdemu z urzędników i dworzan J. Królewskiej Mci darmo po exemplarzu dawał. Przymiennie uniwersały, mandaty królewskie, i inne reskrypta również darmo drukować był powinien, ile razy zajdzie tego potrzeba, i tylko papier z kancelaryi miał sobie do tego dostarczany. Aby zaś z tego powodu na straty narażonym nie był, więc tak uchwał sejmowych, jako i dzieł wyżej wyrażonych nikomu innemu bez wiedzy i zezwolenia Rossowskiego przedrukowywać niewolno było, a to pod karą pieniężną i utratą książek, gdyby się ktoś uczynić to ośmielił. Wszakże Andrzej Piotrkowczyk nie zważając na zakaz, albo też może o przywileju dla niego wydanym nie wiedząc, konstytucyje sejmowe przedrukował. Wytoczyła się sprawa przed króla; wypadek jednak był łagodny dla Piotrkowczyka, albowiem król upomniał go tylko, aby na przyszłość podobnie czynić nie ważył się, gdyż niezawodnie podpadnie winom w przywileju zastrzeżonym (1). Drukował Rossowski jeszcze wiele dzieł innych, oprócz w przywileju wyrażonych, a niektóre z nich do wielkich rzadkości się liczą.

Po śmierci Rossowskiego pozostała wdowa Katarzyna, prowadziła dalej drukarstwo. W r. 1635 sporządziła inwentarz pozostałości, które się składały: z domu na Dunaj upołożonego, gdzie się mieściła drukarnia, z samą drukarnią i naczyń starych introligatorskich, oraz książek, o których to tylko powiedziano: „w księgach oprawnych które były w bibliotece, także i te, które znajdowały się w domu w sexternach, porządnie spisane i taxowane, które uczynili in summa flp. 1327” (2). Wdowa nie mogąc wystarczyć i licznym kłopotom gospodarskim, i zatrudnieniem, jakich prowadzenie drukarni wymagało, poszła wkrótce za mąż za *Jana Trepińskiego*, którego jako drukarza już w r. 1636 napotykamy. W tym

(1) Akta Metr. kor., ks. 173, str. 303. (2) Akta m. S. W. ks. 31 str. 163.

albowiem czasie wydał własne pismo pod tytułem, przez Juszyńskiego przywiedzionym, jako z własnej drukarni w Warszawie (1). Rossowski pozostawił czworo dzieci, które w r. 1648 sporządziły z matką urzędowy dział majątku. Córka Regina, panna, miała podówczas lat 18; Katarzyna była już w małżeństwie za Szymonem Szczepankowiczem krawcem i mieszczaninem warszawskim; syn Sebastyan wyniósł się do Poznania; Jan zaś najstarszy, od wielu lat nieobecny, żadnej o sobie nie dawał wiadomości (2). Po tym dziale umarła wkrótce matka a teraz żona Trepińskiego, a ten narażony został na liczne z rodzeństwem Rossowskich procesa, które w imieniu wszystkich prowadził czynnie Sebastyan z Poznania, i te dopiero druga żona Trepińskiego, Elżbieta Tarchowska zgodnym zakończyła sposobem. W czasie morowego powietrza 1656 r. umarł Trepiński, sporządziwszy urzędowy testament przed urzędnikami do tego podczas moru wyznaczonemi, i pozostawił jedyną córkę, Teresę. (3). Wdowa już nie drukowała i wkrótce weszła w powtórne związki małżeńskie z Baltazarem Malinowskim. Trepiński objąwszy drukarnią po Rossowskim, wszedł w używanie przywilejów poprzednikowi służących, drukował przeto wiele rzeczy różnych. Od czasu przecież pozyskania wyłącznego przywileju przez Elerta na drukowanie uchwał sejmowych, zaczęła upadać jego drukarnia, nie odznaczająca się i tak starannością lub ozdobnością druków, aż nareszcie przeszła zupełnie na Elerta.

W roku 1643 *Piotr Elert* otrzymał przywilej na założenie nowój drukarni. Nabywszy czcionek i rozmaitych ozdób drukarskich od Andrzeja Piotrkowczyka rajcy krakowskiego, i ożeniwszy się z Elżbietą Piotrkowczykówną, wyrobił dla siebie pozwolenie drukowania konstytucyj, i zastrzeżenie, iż dzieł innych przez niego drukowanych, nikomu tak w królestwie, jako Wielkiem Księztwie Litewskiem przedrukowywać niewolno było, a to pod karą tysiąca dukatów i utratą książek. Elert był właściwie muzykiem nadwornym króla Władysława IV; łatwo mu więc było pozyskać dla siebie względy monarchy, zwłaszcza, gdy położył także zasługi w czasie więzienia Jana Kazimiérza we Francyi, gdzie temu ostatniemu towarzyszył. Przywilej, jaki pod datą 12

(1) Dykeyonarz poetów polskich. T. II, str. 258. Tytuł dzieła: *Repotia Joanni Dziboni et Annae Dzianot. 1636, 4to.*

(2) Akta m. S. W. 31, str. 315. (3) Akta m. S. W. 38, str. 18.

stycznia 1643 r. otrzymał, dozwala mu także mieć własną księgarnię, a w niej sprzedawać książki nietylko swego nakładu, ale i inne zkańkolwiek sprowadzane. W roku 1645 w poczet słuę królewskich policzony, otrzymał pozwolenie na oprawianie książek, trzymanie do tego czeladzi, uczniów, i t. d. (1). W roku 1647, d. 6 lipca otrzymał przywilej na przedrukowanie *Statutu Litewskiego* z zabronieniem komubądź innemu drukowania i sprzedawania tego statutu, dopóki Elert całego nakładu nie wyprzeda, a to pod karę 1000 dukatów i konfiskatę ksiąg (2). Umarł około r. 1650.

Epoka pięćdziesiątletnia, którą opisujemy, nie była korzystną dla drukarstwa i księgarń. Zygmunt III osidlony wpływem Jezuitów patrzył na wszystko ich oczyma, a ci prawie w ręku swoim trzymając rządy, kierowali wszystko tak, aby wyłączną sobie korzyść zapewnić. Wszystko więc cokolwiek religii dotyczyło, a z ich widokami sprzeczne było, starali się wszelkimi sposobami zniszczyć, i samą pamięć zagładzić. Tak naprzykład w r. 1623 uzyskali dekret króla na spalenie książki w odpowiedzi na wydane przez nich pismo o akademii krakowskiej, przez niewiadomego autora napisanej, przeprowadziwszy poprzednio proces w sądach marszałkowskich, który książkę tę potępienia godną uznał, i posiadania onęj komubądź surowo zabronił. Opierając się zatęm król na wyroku tego sądu, nie roztrząsając już rzeczy na nowo, tęm bardziej, gdy tam już dowiedzione zostały: świętość i niewinność obyczajów, pobożna nauka i skromność ojców Jezuitów, wyrok powyższy zatwierdził, aby spokojność i bezpieczeństwo publiczne poddanych naruszone przez to nie były. Zabronił więc w całym państwie przedrukowywania, czytania, lub jakimbądź sposobem upowszechniania rzeczonęj książki, a nakazał palenie nietylko samych exemplarzy, ale i ich kopij (3). Wyrok ten przy odgłosie trąb publicznie ogłoszony, wykonany został przez mistrza sprawiedliwości na rynku Starego Miasta w Warszawie, dnia 19 maja, czyli według dawnego daty oznaczenia, w piątek po niedzieli *Cantate* 1623 roku.

(1) Oba przywileje znane Bandtkiemu: *Hist. druk. w Kr. Pol. i W. Ks. Lit. T. II, str. 176.*

(2) *Akta m. S. W., ks. 31 str. 125.*

(3) Tłumaczenie tego wyroku z oryginału, zobacz na końcu w dodatku ur. 3.

We dwadzieścia trzy lat później znowu na podobny fakt natrafiamy; doznała albowiem tego samego losu książka Krzysztofa Neümana doktora medycyny, jaką w obronie na zarzuty sobie czynione, napisał, i samemu królowi dedykował (1). Spalił więc ją znowu kat publicznie na rynku warszawskim, ogłosiwszy pod pręgierzem wyrok królewski, na znak wiecznego potępienia i hańby dla autora.

Nie mamy więc pod ręką śladów na poparcie, że to nie były rzadkie u nas przykłady. Dość przecież i tych, aby na nich się oparłszy wypowiedzieć pewnik publicznego niszczenia ksiąg, sprawionego przez intrygi duchownych. Lecz wróćmy do księgarń i drukarni w następnej połowie XVII wieku.

1651—1700.

Gdy umarł *Jerzy Förster* (2), a przywilój jaki mu służył tém samém upadł, pochwyił okoliczność wakującego serwitoratu *Eliasz von Treuen Schröder*, i takowy w roku 1660 d. 16 października, jako przez śmierć Förstera opróżniony, otrzymał, z wolnością używania tych samych praw, jakie poprzednikowi jego służyły, to jest księgarza królewskiego; nadto założenia drukarni, i tam drukowania dzieł różnych autorów i w różnych językach. Nie znamy o nim więc szczegółów, ani téż wzmianki u piszących w tym przedmiocie nie napotykamy; fakt przecież jest oczywisty, jak się z samego dyplomu przekonać można. Wyłącznych księgarzy w téj epoce napotykamy bardzo mało. Szczupły odbył na książki, a może i chęć większego zysku spowodowały, że drukarze mieli zarazem i księgarnie. Jako bibliopolę, to jest księgarza, napotykamy w r. 1683 *Wojciecha Polatowicza*, działającego przed aktami z tytułu opieki nad nieletnim Stanisławem Hermanowiczem (3). Po nim w r. 1694 napotykamy *Jana Kiellera*, zapisującego złp. 500 na domu swoim własnym dla Anny Górskiej, córki

(1) Zobacz w dodatku nr. 4.

(2) Bandtkie w Hist. druk. w Pol. i W. Ks. Lit. czas jego śmierci naznacza po roku 1663; my obecnie znajdujemy inaczej. Umieściliśmy obu pod księgarzami warszawskimi, gdyż w przywileju dla Förstera, wyraźnie *Warszawa* jako miejsce na sprzedaż książek jest przeznaczona, a Schröder wstąpił w używanie tych samych praw, jakie poprzednikowi służyły. Metr. kor., ks. 201, str. 561.

(3) Akta m. S. W., ks. 44, str. 649.

niegdy Bartłomieja Kazimierza prawnika i Anny małżonków Górskich (1).

Inni téj epoki księgarze wymienieni u Bandtkiego są: *Michał Minich* (Muenich), który w roku 1672 d. 15 czerwca otrzymał serwitorat i przywiléj założenia księgarni na prawach, jakie niegdy Försterowi służyły. W aktach miejskich na ślady o nim dotąd nie natrafiliśmy.

Peycer Franciszek, skazany na karę za drukowanie dzieła Szelwiga: *Schriftmässige Prüfung des Pabsthums*, 1692 r. a sama książka w r. 1718 spalona. Wyrok, jaki w téj mierze obejmują akta b. trybunału piotrkowskiego (2) opisuje całą książkę, podając jéj tytuł przetłumaczony na język łaciński, oraz treść całego dzieła. Wyrok wydany przez sąd dotyczył nie tylko samego autora Samuela Szelwiga, lecz i Samuela Fryderyka Willenberga wydawcę znowu innego dzieła, jako téż Dawida Fryderyka Rehta drukarza (3). Sam księgarz wszakże prócz zabrania książki, wywinął się od kary zeznaniem pod przysięgą, że o niéj zamieszanej między inne bynajmniej nie wiedział. Peycer miał także księgarnią i w Piotrkowie.

Drukarz, który zarazem był i księgarzem jest *Karol Ferdynand Schreyber*. W roku 1682 już ożeniony z Anną wdową po dwóch mężach, a naprzód po Dawidzie Albrychcie złotniku, a następnie Bartłomieju Kazimierz Górskim, miał opiekę, wspólnie z przytoczonym wyżej *Kiellerem*, nad Anną małoletnią pasierbicą. W r. 1684 otrzymał przywiléj na założenie drukarni, którą częściowo już od r. 1677 nabywał, zaś dopiéro w r. 1685 otworzył księgarnię. Niedługo jednak, bo w pięć lat potém sprzedał drukarnię Pijarom. Byłto jedyny w tym czasie zakład w Warszawie, który pilném staraniem i dbałością, długo mógł kwitnąć i stanąć na wysokim szczeblu świetności.

Lecz całe te lat pięćdziesiąt, napiętnowane są jakimś ogólném uśpieniem i ociężałością, co z powodu różnych doznanych klęsk nastąpiło. Żadnego przeto szczególnie odznaczającego się wpływu, na pomyślność tak drukarni jako i księgarni nie widać. Burze polityczne widocznie się tu odbiły i nie podniosły stanu

(1) Akta m. S. W., ks. 50, str. 136.

(2) Wyroków ks. 324, str. 2117; ks. 325, str. 730.

(3) Bandtkie nazywa go *D. F. Rhete syn Jerzego*. Hist. druk. w Kr. Pol. i W. Ks. Lit. T. I, str. 86.

książkowej produkcji i handlu. Pod koniec dopiero tego, a właściwie w następnym stuleciu, jakkolwiek także niepokojem zakłóconym, więcej obudziło się życia, bo znalazła się zachęta i wsparcie od ludzi światłych i możnych.

1701 — 1794.

Pierwszym z księgarzy o którym w tej epoce podają wiadomość akta miejskie, jest *Antoni Paweł Repelewicz*, już od r. 1698 księgarz (bibliopola) warszawski. W tymto czasie z żoną Jadwigą kupił sobie budę obok fary na gruncie kapitulnym (1), i tam książki sprzedawał. W tymże roku po śmierci siostry swój Krystyny, żony Pawła Lorkiewicza cieśli, bezpotomnie zmarłej, otrzymał w spadku część nieruchomości przy ulicy Długiej. W roku 1716 ma już drugą żonę Reginę i z tą wprowadzony w posiadanie domu przy ulicy Piwniej, nabytego na własność od Tomasza Marcina Piwkiewicza. Właściwie był on introligatorem i starszym tego cechu.

Po nim idzie *Krzysztof Domański*, który dnia 14 lipca 1701 r. otrzymał przywilej królewski na drukowanie dzieł rozmaitych, jakoto: *Szafarni*, *Obrok duchowny*, *Róża biała*, *Korona niebieska*, *Palatium Reginae Coeli* i t. d. (zobacz niżej).

Jędrzej Hebanowski otrzymał serwitorat dnia 29 stycznia w Toruniu, 1703 r. W przywileju tym wyrażono, że już za Jana III-go w księgarstwie pewne położył zasługi. W roku 1707 już nie żył, albowiem wdowa po nim, Anna Gniewkowska, kwituje w tym roku Grzegorza Koziorowskiego z voluminu konstytucyj, który mu niegdyś przez męża do przechowania był dany (2).

Po tych równocześnie występują dwaj księgarze: *Krzysztof Rożycki* i *Jan Domański*, obadwa pozwani w r. 1721 do magistratu, iż dotąd prawa miejskiego nie przyjęli. Rożycki na mocy przywileju, jaki na serwitorat w r. 1717 dnia 30 stycznia w Warszawie otrzymał, miał sobie dozwoloną sprzedaż książek w Krakowie, Lwowie, Warszawie, Toruniu i Poznaniu, oraz w innych miastach tak Korony, jako i Litwy (3). Będąc księgarzem krakowskim i warszawskim (4) był zarazem i introligatorem; wolno mu było

(1) Akta m. S. W., ks. 56, str. 86, 744; ks. 58, str. 400.

(2) Akta m. S. W., ks. 54, str. 115, 517; ks. 56, str. 353.

(3) Akta Metr. kor., ks. 222 str. 166.

(4) Ten Rożycki pozostawił w rękopiśmie historią księgarń warszawskich społeczesnych. Wspomnia o nim Baudtkle w Hist. druk. krakowskich

przyjmować czeladź i wyzwalać uczniów. Na początku 1725 r. księgarze warszawscy zniewoleni do tego ponoszonymi ciągle szkodami, jakie z powodu przedrukowywania ich nakładów ponosić musieli, działając w osobie *Różyckiego*, *Domańskiego* i *Mikołaja Hebanowskiego*, imieniem wszystkich księgarzy warszawskich zapozwali *Jana Tłoczkiewicza* i *Baltazara Grabowskiego* introligatorów i starszych cechowych do sądów assessoryi o to, iż oni wraz z innymi współnikami nie zważając na przywilej niegdy Krzysztofowi Domańskiemu nadany (patrz wyżej), ośmielili się przedrukować i sprzedawać książki wyraźnie tam zastrzeżone, a oprócz tego i inne dzieła historyczne tak po łacinie, jako i po polsku w 4ce, przez różnych autorów drukowane. Przystęp skarzyli się, że wedle powziętych śladów, Tłoczkiewicz ze współnikami był w posiadaniu książek heretyckich, a sprzedaż takowych wyraźnie uchwałami sejmowymi i ustawami synodalnymi jest zabroniona. Żądali zatem rozciągnięcia na winnych kary w ilości 1500 dukatów, a oraz konfiskaty przedruków, jakieby się znalazły. Proces ten trwał dość długo, obie strony upierały się przy swoim, przyszło nawet do obelg i gwałtów czynnych (1); aż nareszcie obie strony wycieńczone, kroków prawnych dobrowolnie poprzestały. Różycki podpadł do tego stopnia, że do oprawy książek wziąć się musiał; a że mu szło nieźle, poprawił cokolwiek swoje położenie, tém bardziej (choć trzech pod owe czasy było tylko księgarzy, a introligatorów czternastu), że introligatorowie zajęci sprzedażą książek na kramach, nie przykładali starania, albo może i nie umieli tak dobrze oprawiać książek, mianowicie wielkiego formatu francuzkich, które Riaucourt bankier sprowadzał (2).

Żona Różyckiego była Barbara Tecnerówna. Ta umierając w roku 1737, uczyniła przez testament, męża dziedzicem po swojej śmierci całego pozostałego majątku, wyznaczając także i innym osobom zapisy, które Różycki dopiero we dwa lata później wypłacił. W roku 1739, już w wieku podeszłym będący, zaareztował za jakowąś należność wszystkie rzeczy do *Dominika Siarkowskiego* księgarza należące, który tém obrażony, przyszedł do sklepu Różyckiego i tam go czynnie zobelżył. W skutek wyto-

str. 484; był on własnością prezydenta Węgrzeckiego. W czyich dziś ręku, nie wiadomo.

(1) Akta m. S. W., ks. 66, str. 73; ks. 72, str. 513; ks. 77, str. 522.

(2) Bandtkie: Hist. druk. w Kr. Pol. i W. Ks. Lit. T. II, str. 226.

czonój sprawy, Siarkowski poniósł za napaść karę, a o należytość dalej się przed sądem rozprawiali (1).

Jan Domański, jakeśmy już wyżej wspomnieli, w wielu sprawach występował wspólnie z powyższym. Używał tytułu serwitora, typografa i bibliopoli królewskiego. Na swoje rękę prowadził w roku 1735 proces, przez plenipotentą księdza Franciszka Mikulskiego, z Walentym Gagatowiczem (2), upominając się zwrotu książek, osobnym inwentarzem w roku 1730 spisany, objętych, na 3877 tynfów, czyli 4910 złp. 26 gr. szacowanych. Gagatowicz należytości bynajmniej nie przeczył, lecz żądał zwrotu kosztów, jakie mu od Domańskiego należały; co po niejakiach z obu stron sporach załatwione zostało w ten sposób, że Gagatowicz książki wydać obiecał, a Domański roszczone pretensye na złp. 979 gr. 23 likwidowane, zapłacić przyrzekł (3).

Mikołaj Hebanowski występuje z poprzedniami dwoma, łącznie działając w interesie wszystkich księgarzy, począwszy od roku 1725. W roku 1726, dnia 28 marca w Warszawie otrzymał serwitorat i pozwolenie założenia drukarni, co August IIIci dnia 1 marca 1736 roku potwierdził, dodając pozwolenie drukowania wszelkich ksiąg, a zabraniając innym księgarzom prowadzenia drukowanych gdzieindziej rubrycelli, kalendarzy niemieckich, polskich i t. d. Umarł w roku 1743 pozostawiwszy dzieci: Eleonore, Kacpra i Franciszka nieletnich, oraz wdowę Maryannę Szafrąską (4).

Baltazar Grabowski od r. 1721 jako introligator, trudniący się także sprzedażą ksiąg. Posiadał dom na Dunaju zwany Lowicki albo Marcyanowiczowski (między kamienicami z jednej strony KK. Kamedułów, z drugiej Wysoczyńską), który kupił od wdowy i spadkobierców po Grzegorzcu Marcyanowiczu Lowickim, szewcu warszawskim, za sumę 6700 złp. (5). Umarł w roku 1732,

(1) Akta m. S. W., ks. 77, str. 1360.

(2) Bandtkie, Historia drukarni w kr. Pol. i W. K. Lit., podaje: że Walenty Gagatowicz był także księgarzem warszawskim. Akta miejskie nie objawiają tego faktu; owszem od roku 1713 aż do śmierci, która w roku 1756 nastąpiła, podają go jako starszego cechu cyrulików, z tą zmianą, że w roku 1735 obrany ławnikiem, ten miał sobie tytuł dodawany. Czy był on księgarzem, nie mamy dowodu.

(3) Akta m. S. W., ks. 74, str. 142, 194.

(4) Akta m. S. W., ks. 76, str. 345, ks. 79, str. 209.

(5) Też akta, ks. 61, str. 49 i uisp.

uczyniwszy testament dnia 29 kwietnia (1), w którym objawił życzenie, aby był pochowany w kościele Karmelitów bosych na Krakowskiem-Przedmieściu. Dalej opisując swe życie, powiada, iż się żenił trzykrotnie: pierwszą żoną była wdowa Suchocka, z nią nie miał dzieci, lecz za to wychował pasierba Wincentego, którego posłał do Grabowa na naukę, a gdy po skończonj nauce został księdzem, wyposażył go: dał mu czapkę, brewiarz i dwie księgi Ładowskiego. Po śmierci tój żony, pojął drugą, Maryannę, z którą miał córkę Rozalią, a ta wyszła za mąż za Wawrzyńca Czempińskiego kupca. Po niej ożenił się znów z trzecią, Anną, wdową po Rywałkowskim; była to kobieta bardzo obrotna, znała się na szynkowaniu i paleniu wódki, robieniu miodu i t. d. Z tą żoną dorobiwszy się, sklep do sprzedawania ksiąg przy kościele WW. OO. Jezuitów będący, wymurował (2).

Jan Tłoczkiewicz starszy cechu introligatorów, zajmował się także sprzedażą ksiąg, jak to z procesów powyżej przytoczonych wiadomo. Posiadał dom na Krzywém-Kole, miał stosunki z Gdańskiem i tam wiele książek zakupował; z tego tytułu prowadził nawet spór z Maciejem Honowiczem, któremu dał 146 tynfów na zakupienie książek w Gdańsku; ten przecież nietylko książek nie kupił, ale i pieniędzy zwrócić nie chciał (3).

Ludwik Lipiński bibliopola J. K. Mści, w roku 1730 miał spór z introligatorami, w imieniu których stawał Kazimierz Galecki starszy cechowy. Szło o szkody, jakie ze strony introligatorów doznał, lecz urząd miejski sprawę do assesoryi odesłał (4).

Stanisław Stawiński właściwie introligator, w roku 1739, d. 5 kwietnia otrzymał serwitrat jako księgarz (bibliopola) królewski; w skutek więc tego przywileju, stale opierał się przyjąć prawo miejskie i cechowe, chociaż jeszcze w r. 1751 o to był nagabany. Łącznie z Piotrem Tarskim introligatorem, był opiekunem dzieci po zmarłej Krokoszyńskiej, *Imo voto* Hebanowskiej, żonie księgarza wyżej wymienionego (5).

Piotr Alexy dwóch imion Tarski podobnie introligator, występuje współcześnie z poprzednim jako opiekun dzieci po Heba-

(1) Akta m. S. W. ks. 73, str. 111.

(2) Zdaje się, że to będzie ten sam domek, który przed niedawnym czasem przy odsłanianiu facyaty kościoła ś. Jana, po odnowieniu, rozebrano.

(3) Akta m. S. W., ks. 572, str. 350, 360, 374.

(4) Akta m. S. W., ks. 72, str. 760.

(5) Akta m. S. W., ks. 78, str. 98.

nowskiej. Napotykamy go ciągle aż do roku 1766, i w tym ostatnim razie jako opiekun Agnieszki Tłoczkiewiczówny, która wstąpiwszy do zakonu Dominikanek, przyjęła imię Stefanii. Tarski z żoną Joanną a siostrą Agnieszki Stefanii, zlp. 3000 jako posagu wypłacić obowiązuje się (1).

Dominik Siarkowski. Spisany po nim w roku 1750 inwentarz pozostałych ksiąg dowodzi, że w tym czasie już nie żył (2). Ciekawe wszakże są ceny, za jakie wtedy niektóre dzieła nabyć można było. Miał za żonę Rozalią, wdowę, naprzód po Sebastyanie Hebanowskim drukarzu krakowskim, następnie po Matyaszkiwiczu księgarzu tamecznym. Żona przeżyła trzeciego męża, który nie zostawił potomstwa, i na jęto żądanie spisany został inwentarz; tém bardziej, że okazały się długi, które spłacić potrzeba było. Książki taxował *Sławiński*; oto niektóre ceny:

	Tyrf.	gr.
Biblia polska Wujka	40	
Swada polska	28	
Kronika Kromera	14	
Geografia JMC. księdza Łubieńskiego	19	
Inwentarz Ładowskiego	35	
Volumina Legum, 6 tomów.	112	
Agenda	31	20
Wojna domowa	2	20
Knapiusz krakowski	4	
Roczne dzieje ks. Skargi.	18	
Geometrya Solkiego.	20	
Herbarz Potockiego.	8	
Listów ks. Załuskiego t. 1szy i 2gi	28	
Janina	4	i t. d.

Maciej Krokoszyński bibliopola warszawski, ożeniwszy się po śmierci piérwszej swęj żony z wdową po Hebanowskim (patrz wyżej), pozwany był o sporządzenie inwentarza, aby dzieci z piérwszego małżeństwa na tém nie cierpiały (3).

Maciej Lokajewski obywatel i księgarz warszawski, występował w roku 1777 w sprawie nieletnich Łukaszewskich, których był opiekunem (4).

(1) Akta m. S. W., ks. 92, str. 274.

(2) Akta m. S. W., ks. 83, str. 27 i nastp.

(3) Akta m. S. W., ks. 90, str. 53.

(4) Akta m. S. W., ks. 107, str. 221.

Jan August Pozer, bibliopola księgami zagranicznymi handlujący, a wraz z nim *Lex i Freitneur*, w roku 1785 dnia 18 listopada, na sesyi kupieckiej, z przyczyny świeżo wydanego dekretu radzieckiego, mocą którego sprzedaż ksiązek zagranicznych (na podstawie dawnych przywilejów) samym tylko kupcom warszawskim dozwoloną była, upraszali aby do kupiectwa warszawskiego przypuszczeni byli. Kazano im wstrzymać się do dalszej decyzji, i dopiero w r. 1786 do album kupieckiego wpisani zostali. Pozer umarł 1804 r. dnia 28 stycznia.

✧ *Ludwik Koch*, księgarz od roku 1784. Ożeniwszy się z córką Lokajewskiego, *Ludwiką*, otrzymał za nią w posagu księgarnię, lecz że się do zgromadzenia księgarzy nie wpisał, miał przeto w roku 1787 sprawę z księgarzami, w których imieniu wystąpił *Maciój Szczepański*. Skazany na karę pieniężną, warunków od siebie wymaganych dopełnił (1).

Do powyższych, po części już znanych, dodać należy jeszcze księgarnie: *Pijarów*, *Jezuistów* i *Missyonarzy*, powstałe równocześnie z drukarniami, pomnażane ciągle dziełami własnych nakładów; oraz te, które w dziele swoim *Bandtkie* przywodzi, jakoto:

Krzysztof Bogumił Nicolai nakładca dzieł *Wirgiliusza*, które wyszły w drukarni pijarskiej 1754 roku, tłumaczone przez *Jędrzeja Kochanowskiego*, *Otwinowskiego* i *Nagurczewskiego*.

Maciój Szczepański od r. 1793.

Gay 1790—1795.

Jerzy Dawid Wilke 1796 r. i późniejsi, którzy do obecnego zakresu nie wchodzą lub o których żadnej dotąd nowój wiadomości nie napotkaliśmy.

W tym wieku, daleko obfitszym od poprzedniego w księgarnie i handel książkowy, pomnażały się także i drukarnie; a naprzód wzrosła w siłę i zamożność po *Elertowskiej Pijarsku*; po niej zjawila się *Jezuicka* i *Missyonarzy*, dalej *Mitzlerowska*, *Groella*, *Kadetów*, *Dufoura*, *Zawadzkiego* i inne. O drukarniach nie umiemy nic nad to powiedzieć, co wszystkim z dzieł różnych wiadome być może. Jezuici tylko, zapewne w początkach zakładania swój drukarni, mieli proces z *Pawłem Golczewskim* drukarzem i księgarzem lwowskim o to, iż mu czeladź i uczniów odmawiali (2), obiecując im znakomite wynagrodzenia. Ztąd

(1) Akta m. S. W., ks. 175, str. 453.

(2) Akta m. S. W., ks. 78, str. 67.

narazali go na straty, o których zapłatę, jako zwrot, upominał się u Jezuitów, w myśl klauzuli w przywileju sobie nadanym, zawartej. Drukował on podówczas kalendarz Duńczewskiego, a tymczasem odmówiono mu czterech czeladzi: Wawrzyńca Nawiartkowskiego, Jana Teleckiego, Jana Korzeniowskiego i Michała Chmielowskiego; piąty zaś, uczeń, zwał się Kurczewski. Na tę tylko jedyną wiadomość natrafiliśmy w aktach miejskich z téj epoki.

* * *

Otóż plon cały, jaki dotychczas na tém polu zebrać zdołaliśmy. Pierwszą myśl wzięcia się do niniejszej pracy, winni jesteśmy p. Ambr. Grabowskiemu, temu ze wszech miar czcigodnemu i zasłużonemu w poszukiwaniach historycznych mężowi. Ogłosiwszy on (w Bibl. Warsz. z m. sierp. r. 1849, str. 389) nazwiska księgarzy krakowskich od początku XVIgo wieku z akt radzieckich krakow. czerpane, wskazał nam tym sposobem drogę do podobnego szukania w aktach warszawskich. Pomyślny skutek uwieńczył naszą pracę: a idąc tym torem dalej, powiększymy go z czasem i uzupełnimy wiadomościami bibliograficznymi, a wtedy praca nasza stanowić będzie obszerną monografią o księgarniach i drukarniach warszawskich. Dziś dalecy od zarozumienia, iżby nic więcej dodać nie można, chętnie przyjmujemy wszelkie sprostowania i objaśnienia, jakie nam w téj mierze udzielone zostaną.

D O D A T K I.

Nr. Iszy.

(tłumaczenie)

**Mikołaj Scharfenberger obywatel krakowski
mianowany drukarzem królewskim.**

Stefan z Bożej łaski Król Polski i. t. d. Oznajmujemy tym naszym przywilejem, wszystkim i każdemu, komu o tém wiedzieć należy, iż My za wstawieniem się JW Jana Zamojskiego Podkanclerza naszego Koronnego, Bełzkiego, Knyszyńskiego i t. d. Starosty, szczerze nam miłego, pragnąc oprócz tego zaradzić potrzebom Kancellaryi Naszej, która w ogłaszaniu listów Naszych w sprawach publicznych, po całym państwie zwykle rozsyłających się, za ledwie wystarczyć może: szlachetnego Mikołaja Scharfen-

bergera obywatela i drukarza Krakowskiego, którego wiara, nieskazitelność, a w téj sztuce szczególna biegłość Nam polecona została, na drukarza Naszego Królewskiego obrać i przybrać postanowiliśmy, jakoż rzeczywiście niniejszém obieramy i przybieramy. Aby wszystkie Statuta, Konstytucye, prawa jakiegokolwiek bądź królestwa Naszego, publiczne i każdego stanu, tak ziemskie jak cywilne, oraz dzieje wprzód od kogokolwiek za pozwoleniem i zezwoleniem poprzedników Naszych, spisane i wydane, na Sejmach walnych Koronnych i innych jakichbądź publicznych zjazdach i zgromadzeniach, za wspólném zezwoleniem stanów Królestwa Naszego potwierdzone i ogłoszone, lub na przyszłość mające być spisane, wydane, potwierdzone i ogłoszone, nikt z poddanych Naszych oprócz niego, przedrukowywać nie ważył się, lub téż po wydaniu obecnego przywileju wydrukowanych, na sprzedaż tak publicznie jak prywatnie nie wystawiał, pod karą konfiskaty nie tylko tego rodzaju konstytucyj, statutów, praw i ksiązek pomienionych, po dacie niniejszego przywileju wydrukowanych, lecz także i wszystkich dóbr swoich. Powinien zaś będzie wspomniony szlachetny Mikołaj Scharffenberger drukarz Nasz, jednego ze swoich czeladzi biegłego i obznajmionego w téj sztuce, mieć w gotowości zawsze na dworze Naszym, a tam jako obecny przy boku wspomnionego JW. Jana Zamojskiego na wszelką Naszę potrzebę, i Kancellaryi Naszej przebywać ma, razem z drukarnią i innymi wszelkimi przyrządami potrzebnymi do drukowania, i listy nasze wszystkie publiczne, ilekolwiek razy potrzeba i konieczność wymagałyby, na rozkaz i polecenie tegoż JW. Jana Zamojskiego drukować, któremu pewna nagroda i opatrzenie od tegoż JW. Jana Zamojskiego za szczególnym listem oznaczoną i zawarowaną będzie. Wolno także będzie temuż drukarza Naszego czeladnikowi, we wszystkich miejscach gdziekolwiek My z naszym dworem zostawać będziemy, książki wszelkiego rodzaju, papier, pargamin i inne tym podobne bez przeszkody od tychże miast i miejsc, w których przebywać będziemy, jako téż ustaw i prerogatyw gminnych, publicznie na sprzedaż wystawiać i bez opłaty jakiegokolwiekbądź podatku lub cła od tego rodzaju towarów Nam albo komu innemu, od których go jako sługę Naszego uprzywilejowanego wolnym czynimy; owszem zaś i mieszkanie wszędzie od marszałków dworu Naszego, jemu wskazane będzie, w którym wygodnie i bezpiecznie kiedy konieczność wymagałaby, listy nasze drukować, i towary swoje, jeżeli jakie mieć będzie, wystawiać na

sprzedaż może. Co do wiadomości wszystkich i każdego komu wiedzieć o tém wypada podajemy, i tymże wyraźnie rozkazujemy, ażeby tegoż samego Mikołaja Scharffenbergera za *slugę i Drukarza Naszego* uznawali, wolnością i prerogatywami jakie sługom Naszym właściwe są, i jakie jemu niniejszém udzielamy, używać i cieszyć się swobodnie dozwolili. Pod wielką niełaską Naszą.

Dat. w Bydgoszczy dnia XXII miesiąca Lutego roku Pańskiego 1577, panowania Naszego roku pierwszego. Stefan Król mp. (Oryginał po łacinie znajduje się w aktach Metr. Kor., ks. 115, str. 132).

Nr. 11gi.

(tłumaczenie)

Oblata przywileju dla sławetnego Jana Rossowskiego, Jego Królewskiej Mości drukarza.

Zygmunt i t. d. Oznajmujemy i t. d. Wniesiony został do akt Kancellaryi Naszój Większej List niżej spisany, ręką Naszą podpisany, i pieczęcią Królestwa opatrzony, cały i żadnemu podejrzeniu niepodpadający, z prośbą zanesioną przed Nas, ażebyśmy go do akt Kancellaryi Naszój wpisać rozkazali, którego treść jak następuje:

Zygmunt i t. d. Oznajmujemy i t. d. Gdy dla braku na dworze Naszym drukarza, wielkie widzimy niedogodności dla Rzeczypospolitej, a nawet i w ogłoszeniu samych konstytucyj; uważyliśmy za słuszne mieć drukarnią w mieście Naszém w Warszawie, gdzie głównie sejmy Królestwa odbywają się, i My sami z dworem naszym zwykle zamieszkujemy. Jakoż mając zaleconą nam od pewnych panów Rad naszych, biegłość w sztuce drukarskiej sławetnego Jana Rossowskiego gotowość do posług Naszych i zdarność do zatrudnień, postanowiliśmy go w liczbę sług Naszych zapisać i od jurisdikcyi cywilnej albo jakiegokolwiek innej uwolnić; jakoż rzeczywiście zapisujemy i uwalniamy niniejszym listem Naszym, dając mu tę władzę i prerogatywę ażeby mógł i był w stanie, konstytucye Sejmowe teraz a potem *Speculum Saxonis* z łacińskiego na język ojczysty przełożone, *Listy Cycerona poufate*, *Rudimenta Korneliusza* i inne jakiegokolwiek książki, byle tylko nie były przeciwne religii katolickiej, dobrym i uczciwym obyczajom, wszędzie drukować, według upodobania sprze-

dawać, skoroby były osądzone za godne; pod tym jednak warunkiem, ażeby co do drukujących się konstytucyj Królestwa zachować zwyczaj przodków, i całe tych exemplarze, dla urzędników i Dworzan darmo po jednemu wydawać, jako to dawniej zwykli, a nadto gdy konieczność wymagać będzie, listy, polecenia i inne podobne pisma dla kancelaryi Naszej darmo drukować, na co papier mu z kancelaryi wydanym będzie. Ażeby mu zaś wynagrodzić koszta i prace jego, przeto wszystkim i każdemu drukarzowi i księgarzowi i innym jakimkolwiek bądź handel księgarski prowadzącym wyraźnie zabraniamy i zakazujemy, aby nikt konstytucyj sejmowych koronnych, *Speculum Saxonis*, *Listów Cycerona poufiałych* i *Rudimentów Korneliusza* i innych jakichkolwiek książek i dzieł, nakładem sławetnego Jana Rossowskiego księgarza i sługi Naszego, potajemnie lub otwarcie w granicach Korony i całego Państwa Naszego, podobnym albo jakimkolwiek drukiem, albo formą, czylito w całości lub w części, albo innym sposobem wydrukowanych, lub gdzieindziej wydrukowane, przywozić, sprzedawać albo rozwozić, bez woli pomienionego Jana Rossowskiego nie ważył się, pod utratą książek, któreby sobie pomieniony Jan Rossowski mógł sprzedawać, i pod karą zapłaty czterechset złotych węgierskich skarbowi Naszemu i stronie obrażonej.

Co do wiadomości wszystkich komu o tém wiedzieć należy, zwłaszcza Jaśnie Wielmożnych Koronnych i Nadwornych Marszałków i Urzędników Królestwa Naszego jakichkolwiek bądź i innych jakiegokolwiek stanu i kondycyi będących podajemy, ażeby wzmiankowanego sławetnego Jana Rossowskiego drukarza i sługę Naszego, na mocy tego przywileju Naszego w zupełności zachowali i od innych bronili. Dla Naszej łaski. Na wiarę czego i t. d. Dan w Warszawie, dnia 12 miesiąca Lipca roku Pańskiego 1624, panowania Naszego Polskiego 37. Szwedzkiego 31. Zygmunt Król.—Jan Lipski.

(Akta Metr. Kor., ks. 177, str. 20 po łacinie).

Nr. IIIci.

(tłumaczenie).

Zygmunt III z Bożej łaski Król Polski, Wielki Książę Litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki, Żmudzki Inflantski, oraz Szwedów,

Gotów i Wandalów dziedziczny król. Wszystkim i każdemu komu o tém wiedzieć należy, zwłaszcza zaś Koronie Naszej oraz grodzkim jak cywilnym magistratom i innym wiernie Nam miłym łaskę Naszą królewską.

Gdy niedawno paszkwil pod tytułem: Odpowiedź na paszkwil od Ojców Jezuitów na Akademię krakowską pisany, nieskazoną sławę, cześć i powagę całą religijną Ojców Jezuitów obrażający, przez pewnego autora na widok wyszedł; Nasz Urząd Marszałkowski też książeczkę wyrokiem swoim w Piątek po niedzieli Przewodniój najbliższy (d. 28 kwietnia) roku bieżącego, po uroczystym sporze stron, jako bezecną i haniebną ogłosił, potępił, i skazał, i że od nikogo nie może być czytana i upowszechniona, zastrzegł i surowo zabronił. My więc na mocy tego wyroku, i znając jako nieulegających żadnym zarzutom pod względem sławy, szacunku i czci, Ojców Jezuitów, których życie i ustawy, świętobliwość i niewinność, pobożne, przykładne i świętobliwe czyny i znakomite zasługi w kościele Bożym, w Koronie Naszej i w całym świecie chrześcijańskim jaśnieją, a chcąc zaradzić, ażeby zgorszeniem i obrazą przez tak zgubny przykład, książeczka ta nie stała się przyczyną zamieszania publicznej spokojności Naszych poddanych; przeto takową za bezecną i niegodną ogłaszamy i z Korony i posiadłości Naszych usuwamy, surowo zalecając, ażeby żaden z drukarzy, ani ktokolwiek inny na przyszłość, nie ważył się nietylko drukować, na widok publiczny wydawać, rozkrzewiać, lecz ani czytać, ani przy sobie zatrzymać, pod karą ustanowioną prawem przeciwko oszczercom i innym dobrą sławę obrażającym, w czém każdy na czyjekolwiek doniesienie, przekonany skazany będzie. Co ażeby do wiadomości wszystkich doszło, rozkazujemy urzędom tak grodzkim jak miejskim, ażeby to Nasze postanowienie do akt wpisać i głosem woźnego podług zwyczaju obwołać kazali, a nadto, gdyby jakie exemplarze rzeczonój osławionój książeczki do rąk ich dostały się, albo jakim innym sposobem kopią tych mieć mogli, takowe niech każą spalić, dla łaski Naszej.

Dan w Warszawie, dnia 3 miesiąca Maja roku Pańskiego 1623. Panowania naszego Polskiego 36^{go}, Szwedzkiego 29^{go}. Zygmunt Król (miejsce pieczęci). Jan Lipski podpisał.

(Oryginał po łacinie w aktach miasta Starój Warsz., ks. 23, str. 48).

Nr. IVty.

W Imię Pańskie Amen.

Działo się we środę po uroczystości Obrzezania Pańskiego (po Nowym Roku) dnia 3 stycznia r. 1646.

Według polecenia Szanownego urzędu Radzieckiego miasta Stariej Warszawy, oraz Instygatora Jego Królewskiej Mości, wyrok między Instygatorem i Krzysztofem Nayman Doktorem Medycyny Rajcą Krakowskim, pod datą w Warszawie w sobotę nazajutrz po uroczystości Niepokalanego Poczęcia Najśw. P. Maryi (d. 9 grudnia) roku Pańskiego 1645, względem niżej zawartych w Sądach Relacyjnych Jego Królewskiej Mości właściwych zapadły, wykonać z takowém obwołaniem, niżej opisaném, na rynku publicznym Warszawskim u słupa czyli pod pręgierzem żądano, którego zaś ogłoszenia przez wykonawcę sprawiedliwości treść jest taka, jak następuje: Wszelkiego stanu ludziom niech będzie wiadomo, iż ta książka pod tytułem: *Powaga kościelna zniszczona, Naymanów sprawy usprawiedliwienie*, bez wyrażenia mieysca, imienia drukarzewego, y potwierdzenia albo approbacyi Censorów, przez Chrystopha Neymana Medycyny Doktora, Raycę Krakowskiego, upornie wydana, zelżywych, uszczypliwych y sromotnych słów, dobrej sławie y ucciwemu wielu godnych różnego stanu ludzi szkodząca, y siła zgorzenia mająca, za nieuwagą jego y nieostrożnym baczaniem Nayiaśnieyszemu Maiestatowi J. K. M. przypisana, za sprawiedliwym Dekretem y z rozkazania J. K. M. iest wszelkiemu człowiekowi y iakiegokolwiek stanu będącemu zakazana, aby się iey nikt drukować, czytać, y przy sobie chować pod winami w dekrecie J. K. M. wyrażonymi nie wazeł. I zachowuiąc wcale zwiierzchność y powagę Stolicy S. Apostolskiej w należytych sprawach, y wyjąwszy list przypisania tey Xiąższki albo dedicowania J. K. M. na przykład inszym cudzey sławie szkodzącym, aby była spalona, rozkazano mi iest, co do wiadomości wszystkim jako Executor przywodzę y podaię.—

(Akta miasta Star. Warsz., ks. 30, str. 452. Pisownia podług oryginału zachowana).

DO REDAKTORA.

OD

Augusta Bielowskiego.

(D o k o ń c z e n i e .)

Poświęciwszy całą pierwszą księgę pojedynczym biografom każdego ze źródłowych pisarzy, który bądź szczegółowo i dokładnie, bądź nawiasowo tylko najwcześniejsze dzieje Słowian opowiada, przystępuję w księdze drugiej do analizy całkowitej ich powieści, z najpierwszego kronikarza powziętej, a uzupełnionej przyświadczeniami jego następców; i staram się okazać naocznie, że tak zwane u nas dotąd dzieje bajeczne Polski, nie są żadnym zmyśleniem i igraszką fantazyi, nie są też żadną alegoryą z obcych jakichsiś zdarzeń do naszych dziejów zastosowaną, nie są nakoniec zdarzeniami nadwiślańskimi, ale odnoszą się do rzeczywistych dziejów przodków naszych, gdy takowi nad Dunajem jeszcze i Adryatykiem mieszkali, mianowicie starożytnych Ilirów i Daków, i są częścią, zmaconą tu owdzie, ale zawsze cenną, zaginionej historii tych ludów. Pomijam tu dowody z ułamków starożytnych pisarzy i z rozmaitych analogij obszernie wyłuszczone i porównane z tekstem naszych kronikarzy; zajmują one połowę niemal: „Wstępu krytycznego do dziejów”. Przytoczę tylko ostatni wynik tej analizy, a w przypiskach rozwiode się niekiedy dokładniej o jednym lub drugim szczególe, potrzebnym osobiwiej dla tych, którzy dzieła samego pod ręką nie mają.

Na kilka wieków przed Chrystusem znani byli Trakowie jako lud, który zajmował rozległą przestrzeń między morzem Czarnym a Adryatykiem. Mnogość jego była tak wielka, że

oprócz Indów, nie znano na ziemi narodu, któryby go pod tym względem przewyższał (1). Dzielił się na wiele części, które nosiły osobne imiona (2), i w różnych czasach stanowiły osobną społeczność, lub też zlewały się w jedną razem z innymi. Słynęli między nimi Getowie, jako najsprawiedliwsi i najwaleczniejsi ze wszystkich Traków (3). Wyszli oni pierwsiastkowo od gór Rodopy (4), a rozsiedlili się w dawnych już czasach przy ujściach Dunaju, w sąsiedztwie Kimerów (5). Rodopę wskazuje też Herodot, jako siedzibę trackiego plemienia Biesów (6), a Tukidid jako siedzibę takiegoż plemienia Diów (7). Jeśli rozważym, że dwaj główni sąsiedzi tego plemienia trackiego, co się od Rodopy rozchodziło, byli w dawnych czasach Kimerowie i Grecy: tedy nabiera wielkiego podobieństwa do prawdy mniemanie, iż troista jego nazwa: *Bessi*, *Dii*, *Getae*, jedną i tę samą myśl wyraża, i odnosi się do jednego i tegoż samego rodu. Jak bowiem nazwisko Biesów oznaczało bogów już w dawnym języku trackim (8), i takowe znaczenie swoje w języku Słowian aż do czasów chrześcijaństwa przechowało; tak też w języku greckim oznacza to samo nazwisko $\Delta\iota\omicron\iota$; a w języku Kimerów, którzy według świadectwa Posidoniosa do jednego rodu z Germanami należeli (9), wyraża to samo nazwisko Getów. Jakoż tak Getowie, jak Biesy odznaczeni się między wszystkimi Trakami głęboką religijnością: pierwsi jako ci, u których wzięła początek osobna o nieśmiertelności duszy nauka, z powodu której Grecy dawali im

(1) Gens Thracum secundum Indos omnium hominum maxima est. Herod. V, 182. wyd. Stef. z r. 1592 in fol. Sunt igitur imperiosissime gentes, maximeque praeditae potentia: Scythae, *Thracae* et Persae. Isokrat. Paneg. str. 78, wyd. Bazyl. z r. 1570.

(2) Habent autem multa nomina per singulas regiones singuli; moribus tamen ac opinionibus consimiliter imbuti sunt. Herod. V, 182.

(3) Getae fortissimi Thracum atque justissimi. Herod. IV, 159.

(4) Dio Cass. Hist. LI, 22.

(5) *Solitudo Getarum* między Dunajem a Dniestrem wymienia już Strabo, mówiąc o wyprawie Dariusza syna Histaspas. Geogr. VII, 305. U Apollana Antaryoci po wyjściu swoim z nadbrzeży adryackich osiadają na lewym brzegu Dunaju, także: *in deserta Getarum regione*. Illyr. 4.

(6) Herod. VII, 265.

(7) Thracum montanorum qui suis legibus vivunt et ensiferi sunt, qui $\Delta\iota\omicron\iota$ vocantur, quorum maxima pars Rhodopen incolit. Thuk. II, 96.

(8) Besae, dei localiter appellati. Amm. Marcell. XIX, 12.

(9) Posid. ap. Strab. VII, 293.

przydomek ἀθανάτιζονταί, jakoby unieśmiertelniających; drudzy w blizkich jakichś stosunkach z trackimi Satrami zostając, i podobno część ich stanowiąc, znani byli Herodotowi jako osobliwsi czciciele Dyonizosa. Diów także zwano Dawami lub Dakami.

W dzieciństwie jeszcze był Rzym, dający zaledwie znak życia w domowych swoich zajściach z Sabinami lub Etruskami; mało kto słyszał o państwie Macedonów, które dopiero pod Filipem i Alexandrem zasłynęło; ale na Wschodzie, gdzie szybko nowe państwa na gruzach dawnych wzrastały, rozpierała się szeroko potęga Persów, i garnąc pod siebie w jednej stronie część Indyi, sięgała drugą ręką w głąb Tracji. Daryusz, Histaspa syn, pokonał Getów, co sami jedni mieli śmiałość rzucić się na niezliczone jego zastępy; Xerxes sięgnął aż do siedliska Satrów, gdzie z wierzchołka niedostępnych gór wydawali Biesowie wyrocznie tyle sławne między trackimi ludami, ile między Grekami wyrocznie delfickie (1). Co tylko żyło, ukorzyć się musiało na czas jakiś przed Persami, lub usuwało się coraz dalej ku wybrzeżom Adryi i w głąb Iliryku.

Byłoto za czasów Artaxerxesa Memnona, a po biblijnemu mówiąc, za czasów Aswera, kiedy swobodnie po Iliryku gniezdzące się trackie plemiona, wstrząśnione zostały burzą od północnego zachodu. Galowie, którzy już od lat wielu północne Włochy i tak zwane później okolice Noryku zajmowali, rozwinęli na nowo ruch wielki, podobny wybuchowi wszystko niszczącego wulkanu. Jedna ich część uderzyła na Włochy i spaliła Rzym; druga zagroziła oba brzegi Dunaju; a jednocześnie nadbiegały wieści, że spółplemienni Galom Ligurowie szturmowali Marsylią.

Dzieli płaszczyny Iliryku z wschodu na zachód nieprzerwane pasmo gór, o których starożytni lubili powtarzać bajeczkę, że z jednego ich szczytu ujrzysz dorazu Euxyn i Adryą (2). Pojedyncze ich ramiona miały osobne nazwiska, ale cała ta wyżyna stanowiła jakby jedną ojczyznę, bywszy piastunką i chronicielką najdzielniejszych plemion szczepu trackiego. Od Rodopy, głównego siedliska Biesów, przez część Epiru zwaną Linkos i ponad jezioro Lichnit, gdzie znana jestkraina Linchitia, ku morzu zbaczając, a w drugiej stronie sięgając aż do wierzchowin góry dalmackiej Adryon,

(1) Herod. VII, 265.

(2) Theopomp. ap. Strab. VII, 317; Polyb. ibid. 313.

mieszkali Adryowie, Antarowie, Autaryoci (1). Czyto był jeden ród z zachwalonemi przez Herodota Satrami (2), co aż do jego czasów niezwyężeni byli przez żadną potęgę?—niewiadomo; upewniają tylko pisarze wiary godni, że to był lud bardzo dawny, a najliczniejszy i najlepszy z ludów Iliryi (3). Jakoweś bajeczne podanie naznaczało przodkiem jego Adryosa, Antariosa, Antara, który miał być synem Ilira (4); a przechowały się ważne napomnienia, że lud ten posuwał się ku Adryatykowi z okolic Tracyi (5). Zamieszkawszy wybrzeża do żeglugi nierównie sposobniejsze niż są wybrzeża Włoch i Afryki, znachodził pośród siebie dostateczną liczbę junaków, co w walnych wyprawach morskich chluby i zysków szukali. Byłto rodzaj rzemiosła, które przesąd owych wieków nietylko za godziwe, ale nawet za szlachetne uznawał (6). W wyprawach tych na czterysta lat z górą przed Chrystusem przedsiębranych, odznaczył się Bargil czyli Bardyl. W górzystych stronach Iliryi hutnictwo zatrudniało niemało rąk, a jeśli mamy dać wiarę temu, co mówi Helladios, Bardylis zajmował się pierwiastkowo paleniem węgla (7). Ubogi węglarz miał sen, że począwszy od granic Molosów zawładnie szerokiém króle-

(1) Mons est confinis Pannonibus Rhodope, post Aemum maxime altus; in altera parte versus septentrionem Illyricum est et *Autariate*. Strab. VII, 313 et 317. Vastus est lacus qui pertingit usque ad Autariatas. Skylax in Perip. ed Lug. Bat. 1700, str. 19.

(2) W imionach własnych zaczynających się na samogłoskę, znachodzimy często dorzucane *s* w greckich i rzymskich pisarzach. Tak, zamiast *Οὐβάρης* czytamy *Σοιβάρης*; zamiast *Androcottus*, *Sandrocottus*; zamiast *Indica*, *Sindica*; zamiast *Ωσαθησ*, *Σωδθανησ* u *Eschylosa*. To naprowadza na myśl, że tak samo z imienia Atrów lub Adryów uformowało się imię Satrów, jak je dziś u Herodota czytamy. Góra zwana u Strabona *Adryon*, jestto dzisiejsza Czarnogóra.

(3) *Antariatae* autem maxima fuit et optima Illyriorum gens. Strab. VII, 317; *Tariotarum* antiqua regio et castellum *Tariona*. Plin. III. 26.

(4) *Appian* Illyr. 2 cf. *Theopomp.* str. 41.

(5) *Charax* lib. VII *Chron.*; *Phavorinus* et *Eratost.* ap. *Steph. Byz.* p. 141, cf. *Appian.* Illyr. I.

(6) O Fokejach mówi *Trog* (ap. *Just.* XLIII 5): *Plerumque etiam latrocinio maris, quod illis temporibus gloriae habebatur, vitam tolerabant.* Cf. *Schol. Ambr. ad Hom. Odyss.* III, 73, XIV, 230. Za *Cycerona* czasów było jeszcze powszechne takte wyobrażenie u *Kretów* i u *Etolów*. *Cic. de Rep.* III, 6.

(7) *Hellad.* ap. *Phot. Myriob.* CCLXXIX col. 1579.

stwem (1); a co młode życzenia we snach roiły, to ziściły czyny w wieku późniejszym. Gdy go z powodu okazanego męstwa wodzem wypraw robiono, umiał nietylko zręcznie niemi kierować, ale w dzieleniu łupów zachował największą sprawiedliwość (2), czém sobie wszystkich serca zniewolił. Niebawem posiadał prawie królewskie dostatki, i zawierał imieniem narodu swego przymierze z Dyonizym starszym syrakuzzańskim, w którémto przymierzu pośredniczył król Molossów, Alketas, bawiący w Syrakuzach jako wygnaniec i starający się odzyskać tron za pomocą Ilirów (3). Jednym atoli z najświetniejszych czynów Bargila była wyprawa do Macedonii w roku 392 przed Chrystusem. Zniósł on ze szczętem wojska Aminty, ojca Filipowego, i samego z tronu strąciwszy, posadził na jego miejscu Argajosa: cała Macedonia została Ilrom danniczą, od którójto dani dopięro ją Filip uwolnił (4).

Przestrach jaki nawala Galów przed sobą rozszerzała, nie owładnął Antarów; zebrali oni znaczne wojsko i wystali przeciw niej, oddawszy dowództwo Bargilowi. Szedł ten nowy Grak czyli Herakles ilirski aż ku kończynom Panonii, gdzie cisnące się do Iliryku kolumny Galów nietylko wstrzymał, ale nadto wtargnął do Noryku, a dzisiejszój Karyntyi, gdzie mieszkali ligurscy Tauryskowie (5), sprzymierzeńcy Bojów, i zdobył część ich kraju: za co najpięrw księciem, a później królem był mianowany. Wieść o tój klęsce przeraziła Galów stojących pod zdobytém Rzymem i przyspieszyła ich odwrót (6). Bargil nie utrzymał się długo przy swój zdobyczy: załogi jego w Noryku były podstępnie wytrute (7); ale dawszy raz Galom poznać moc swoję, zawarł wnet z nimi korzystny sojusz (8), i założył państwo potężne pomiędzy Epirem, Dunajem i Alpami, które potrafiło się oprzec zdobywczym planom Filipa i Alexandra Wielkiego, i trwało przeszło sto lat. Panowali w niem po jego śmierci Grak II. czyli Klejtos, r. 340; siostra

(1) Callisth. ap. Tertull. de anim. c. 46.

(2) Theop. ap. Cic. de Off. II, 11.

(3) Diod. Sic. XV, 14.

(4) Rege quoque ipsorum Amynta in vincula coniecto. Trog. ap. Math. Chol. p. 226, cf. Diod. Sic. XIV, 92. XVI, 1.

(5) Tauriscis Liguriscarum et Tauriscarum nomen tribuunt. Strab. VII, 296. Juxta Carnos quondam Taurisei appellati; nunc Norici. Plin. III, 24.

(6) Polyb. II, 18, cf. cum Theopomp. ap. Athen. X. p. 443. A. B. C.

(7) Theop. ibid; Polyen: Strab. VII. 42, 1; Math. Chol. p. 239.

(8) Miorsz str. 239 Wstęp. kryt.; Mateusz tamże.

jego, Anda około tegoż czasu; nakoniec Lestko I. czyli Glaukias, który odznaczywszy się w wojnie z Alexandrem Wielkim r. 336, chwycił silniejszą ręką ster główny zachwianego podziałami królestwa i panował szczęśliwie do końca tegoż wieku, dając nietylko opór skuteczny przywłaszczeniom macedońskim w Iliryi, ale zasłaniając oraz Epir i młodego króla jego Pirusa, od zemsty Kassandra. Antarowie tedy czyli Autaryoci za pomocą bohatera swego Bargila, połączyli węzłem społecznym wielką część trackich i ilirskich ludów, mianowicie: Getów, Trybalów, Partynów, Taulantów, Ardeów, Liburnów, Panonów i Istrów (1). Byli ci Antarowie pierwój mieszkańcami Linkos, części Epiru, i krainy ilirskiej zwanój Linchityą. Bądź przez wzgląd na tę ich ojczyznę, bądź téż owemu ich nazwisku przedrzeźniając, i do drapieżnego sposobu życia stosując, zwali Grecy tak ich, jak i skojarzone z nimi liczne plemiona Biesów *Λησαί* zamiast *Λυγκησαί* (2). Lestą nazywan był nawet sam Bargil u Teopompa (3), państwo więc założone przez niego było właściwie państwem lęchickim. Obalone ono zostało w trzecim wieku przed Chrystusem, mianowicie około r. 279. przez Skordysków i Bojów (4), ludy keltyckie, które wcześniej usadowiły się w wyższej Panonii, zkąd coraz dalej posuwając się, i raz w przymierzu, raz w wojnie z Ilirami zostając, zmusili w końcu samychże Autaryotów do opuszczenia swych siedlisk.

Po upadku autaryockiego państwa, które rozmaite plemiona trackie w jedną całość łączyło, usuwały się te plemiona po większej części za Dunaj. Tu osiedli i sami Autaryoci w dawnój krainie Getów, a w sąsiedztwie Bastarnów, zrobiwszy 23 dni drogi z piérwszój swojój ojczyzny (5). Kiedy Cezar opisywał wojny swoje z Galami, znani jeszcze byli Autaryoci w Dacyi pod swoim własném imieniem, jako sąsiedzi ludów germańskich, i ten wielki wojownik, a za nim, jak się zdaje, Ptolomej zowie ich Anartami (6). W drobnych tedy i niekorzystnych walkach ple-

(1) Strab. VII, 317—318.

(2) Βεσσοί... ὑπο τῶν λησιῶν λησαί προδανογευονται. Strab. VII, 318. Podobnie zowie Tukidid część Peonów *λεαίοι*, jak się zdaje od greckiego wyrazu *λεία* łup. Thuk. II, 96.

(3) Cic. de off. II, 11.

(4) Strab. VII, 318.

(5) Appian. Illyr. 4.

(6) Caesar de bell. Gall. VI, 25; Ptol. II, 8.

mion trackich z keltyckimi upłynęła reszta lat wieku trzeciego i cały wiek następny, aż z początkiem pierwszego przed Chrystusem wieku wzniosło się do nadzwyczajnej potęgi państwo Birebisty, którego kroniki polskie Przemysławem lub Lestkiem IIgim nazywają. Składały je te same niemal ludy, które składały państwo autaryockie, i w rzeczy samej było ono tylko dalszym ciągiem tamtego. Mąż który je dźwignął był jednym z tych nadzwyczajnych ludzi, jakich niekiedy Opatrzność cudownym niemal sposobem do kierowania losami narodów powołuje. Jak Daryusz, Histaspas syn, co władzę swoją i na ludy trackie rozciągał, tak też i getycki Birebista, fortelem do tronu przyszedłszy, zasłynął wkrótce wielkimi dziełami. Zastał naród swój pogrążony w opilstwie i długimi wycieńczony wojnami, a w przeciągu niewiele lat przyprowadził go do zamięłowania trzeźwości, i rozbudził w nim szlachetną żądzę wyrównania sławie swych przodków i odzyskania ich dziedzin. Zaczął od wycięcia winogrodu w całym królestwie, do czego posłużyła mu wybornie skłonność narodu do zabobonów (1). Zaprowadziwszy potem ćwiczenia wojenne, i podniosłszy siłę wojskową do dwóchkroć stu tysięcy, zwrócił się ku ziemiom, które niegdyś posiadali Autaryoci. Przeszedłszy więc z główną siłą Dunaj, zagarnął znaczną część Tracyi, zachwiał panowanie Rzymian w Macedonii i Iliryi, a Skordysków, Bojów i Taurysków, co obaliwszy państwo autaryockie, na jego gruzach rozpostarli się, w pień wyciął (2). Nie samej atoli siły fizycznej używał do dopięcia swych celów, lecz jako przezorny władca, umiał ugodzić w słabą stronę swych przeciwników, i odnieść z niej pożytek. Rzym rozrywały stronnictwa, a możni nie zapominali częstokroć o własnych zyskach, skoro się sposobna ku temu okoliczność podała. Złotem kupował Birebista, Kalpurniego Pizona, i utwierdzał się w Tracyi za pośrednictwem syna swego Kotysa IIIgo; z Cezarem, gwoli posiadania krainy Bojów, w wyższej Panonii, zachodził w powinowactwo, żeniąc tegoż syna swego z siostrą jego Julią, wdową, jak się zdaje po Pinarym Skarposie (3). W innej znowu stronie, na

(1) Do jegoto, jak się zdaje, czasów ściągają się następujące słowa Kritona: „Reges vero Getarum, cum impostura et praestigiis magicis animis illorum religionem incussissent, et ad concordiam eos redegissent, magna jam animo agitabant.” *Suid* pod słowem: Δεσπαιμονια.

(2) Strab. VII 303—304.

(3) Na str. 366: „Wstępu krytycznego do dziejów Polski” nadmienilem obszernie o wątpliwościach, jakie co do zdarzenia tego zachodzić mo-

wybrzeżach Pontu, zdobył handlowe miasta począwszy od Olbii aż do Appolonii, i naprawiając klęski jakie przy zdobyciu poniosły, podpierał wszystkimi siłami ich ruch handlowy (1). Po opanowaniu tego wybrzeża, mógł się łatwo porozumieć z Partami, którzy wówczas, słowami Troga mówiąc, jakby w dziele z Rzymianami zrobionym, drugie pół świata dzierżyli. Patrzył niespokojnym okiem Juliusz Cezar na wzrastającą mu pod bokiem potęgę Getów i związane z nią krwią i interesem ludy ilirskie. Stosunki powinowactwa jego z Birebistą wkrótce rozchwiały się: Julia dostała od męża odprawę. Bodło Rzymianina zuchwałe urąganie jego rodowi i potędze; ale zamiary ukrócenia zuchwałości Getów nie wiodły się. Dwakroć zniesiono wojska jego w Dalmacyi, i gdy już po załatwieniu wojen domowych, od jakiegoś części Ilirów wezwany, szła tamże z wojskiem Watinius, który miał wyjednać zwierzchnictwo Rzymowi, poniósł klęskę po raz trzeci, i usiłowania jego speszły na niczém (2). Gotował więc krwawą zemstę na Getów i szedł w własnej osobie spotkać się z Birebistą głównym sprawcą tych ru-

gą z tej głównie przyczyny, iż pisarze rzymscy zgola nie o nióm nie podali. Z drugiej atoli strony, do wskazanych już tamże śladów o prawdziwości tego wypadku przybywa okoliczność następująca. Jedna z sióstr Juliusza Cezara, imieniem Julia, była za Pinarym, jak nas naucza Swetonius (in. Caes. c. 83). Starożytny ród Pinarów dzielił się na dwa domy: jedni z nich byli Nattowie, drudzy Skarposowie (Glandorp. Onom. str. 678; Eckhel Doctr. numm. vet. V, 272. VI, 48). Siostra Cezara była właśnie za Pinarym Skarposem, o którym kilkakrotnie wspomina Diokassios w rzymskiej historii: *Αντάνιος δε ἐπλεεθε μεν ἐς την λιβόηυ πριν τε Πινάριον Εκαρπου* Libr. LI. 5, toż samo LI, 9. Nasz kronikarz powiada, że z powodu tego związku założone były (w Bojaryi czyli w Pannonii wyższej) dwa grody: jeden ku czci Juliusza Cezara, drugi ku czci saméjże Julii, i oba nazwiskiem swoim przypominające ich imiona. Oczywiście, że pierwszym z tych grodów będzie nie inny jak tylko Wiedeń, zwany *Juliobona* jeszcze na mappach Ptolomeja. Drugim zaś z grodów tych jest sąsiednia Wiedniowi *Julia Skarbantia*, wymieniona u Plinius (Hist. nat. III, 27). Hormayr wspomina późniejsze nazwisko téj osady: *Skarpring* (Wien, seine Gesch. I, 85), a tak owe starożytne jako i nowsze nazwisko przypomina dokładnie Julią Skarponcyą siostrę Cezarową, która była najpierw za Pinarym Skarposem, a owdowiawszy zawczasie, zaślubiona została getyckiemu Kotysowi. Związek ten skojarzyła polityka, i tém prawdopodobniejsza jest, że Julia otrzymała później od męża, skoro się stosunki polityczne rozchwiały, jak o tém donosi dalej nasz kronikarz.

(1) Dio Pruss. Orat. ad Borysth. str. 437 wyd. Morell.

(2) Appian. Illyr. 12, 13. Cic. ep. fam. V. 10.

chów. Ztąd miał uderzyć na Partów i zemścić cienie Krasusa. Rzucił już przed sobą do Iliryku szesnaście legionów i dziesięć tysięcy konnicy, wraz z swoim wnuczkiem Oktawianem; sam atoli za koroną się oglądając, udawał się do matactw i rozpuszczał bajeczne z ksiąg sybilińskich proroctwa, jakoby tak wielkie podboje tylko koronowanej głowie udać się miały (1). Nakoniec i tém wzgardziwszy, miał już dnia czwartego wyruszyć, gdy tymczasem padł pod sztyletami spiskowych; a piérwój jeszcze spotkał taki sam los i Birebistę, jak się zdaje, od tego stronnictwa, które pojednania Dalmatów z Rzymem zażądawszy, lękało się teraz kary za swe tchórzostwo (2).

Państwo które dźwignął Birebista, utrzymywało się dwa wieki; ale zaraz po jego śmierci dał się uczuć brak człowieka, któryby z równą jak on zręcznością umiał jednoczyć różne części narodu ku spólnemu celowi. Przypatrywał się niegdyś młody Oktawian stosunkom swego dziada do Birebisty, i środkiem, jakie do złamania potęgi Getów obierał; gdy mu atoli samemu ku takiemuż celowi użyć ich przyszło, przeniósł powinowactwo nad wojnę: bądź że w początkach swój władzy nie mógł użyć tych legionów co Cezar, bądź, że zwątpił o skuteczności ich użycia. I trzeba przyznać, że polityka jego względem Getów była wyborna i zupełnie mu się powiodła. Bywał u tego narodu, jak w ogólności u Traków rząd podzielony: jeden tylko król miał zwykle władzę najwyższą; ale rozmaite prowincye sprawowane były przez zastępców, którzy niekiedy rządców (archontów), a niekiedy królów imiona nosili, ulegając swemu zwierzchnikowi. To podawało łatwą sposobność nieprzyjaciołom do rozrywania ich sił podniecaniem domowych niesnasków. Za czasów Birebisty, wazalem takim był, jak się zdaje, syn jego Kotys, który wtedy właśnie, gdy ojciec jego zdobywał Olbią i inne miasta nad Pontem, rządził częścią Tracyi, i przekupiwszy Lucyusza Karpurniego Pizona, jednych sąsiadów zagartywał pod swoje panowanie, innych łupił (3). Onto niszczył później trzykrotnie wojska Cezarowe w Dalmacyi i około Dirrachium. Po śmierci ojca, Kotys był jednym z najpotężniejszych książąt; ale częścią Getów rządził także arcykapłan Dikomos, sprzymierzeniec Antoniusa. August zaręczył córkę swo-

(1) Appian de bell. civ. II. 110. cf. Swet. in Caes. c. 44.

(2) Fr. X. Hene: Beitr. jur. Dağ. Gesch.... Hermanst. 1836.

(3) Cic. orat. in L. Pis. c. 34.

ję Julią z synem Kotysa IIIgo, Kotysem IVtym, zażądał téż podobno córki jego dla siebie (1), i nieukróconego siłą fizyczną Geta, na czas jakiś zupełnie sobie zniewolił. W stosunkach przyjaźni z Kotysem przeminęły czasy najkrytyczniejsze dla Rzymu (2); a kiedy później zaręczyny owe nie wzięły skutku i przyszło między nimi do kroków nieprzyjacielskich, już August był w posiadaniu niemal zupełném prawego brzegu Dunaju, i tylko zastaniając takowy od Kotysowych napadów, wznosił nad Dunajem twierdzę i stawiał gęste załogi: *Sic tunc Dacia non victa; sed submota atque dilata est* (3); zawiązuje rzymski historyk.

Po śmierci Kotysowej, około roku drugiego po narodzeniu Chrystusa, zostawał jeszcze jakiś cień władzy Getów na prawym brzegu Dunaju. Myzą i Tracyą rządził Remetalk, syn Kotysa, a prawdopodobnie Juliusza Cezara siostrzeniec, którego kroniki polskie zwą Pompiliusem, czyli Popielem Iym. Stosował on się we wszystkiém do woli Rzymian, a Ateńczycy dla przypodobania się Augustowi, mianowali tego krewnego i sprzymierzeńca jego, najwyższym swoim archontem (4). Po nim rządził młody syn jego Popiel Hgi, Kotysko, którego nieszczęśliwe zajścia ze stryjem Raskuporem, skończyły się śmiercią obydwóch i zupełném usunięciem ich rodu z Myzyi i Tracyi.

W lat kilkadziesiąt później, kiedy już i tradycje posiadania przez Getów głębszej Iliryi znikaly, a rodowici ich książęta z Myzyi i Tracyi zesłani byli do Pontu lub Alexandryi, przyszedł do władzy w Dacyi Decebal, syn ubogiego ziemianina. Legendy krajowe opiewaly, że w chłopięcym jeszcze wieku, udzielony mu został chrzest święty przez samego Pawła, kiedy ten od Jeruza-

(1) Marc. Ant. triumv. ap. Suet. in Aug. 63.

(2) Frontyn opowiada nam ciekawy szczegół, jakim sposobem wstrzymywał Kotys Getów swoich od napadu na Włochy. „Corilo (czytaj Cotiso) dux Dacorum quum sciret dissociatum armis civilibus populum Romanum, neque tamen tentandum arbitraretur, quia externo bello posset concordia in cives coalescere duos canes in conspectu popularium commisit, iisque acerrime inter ipsos pugnantibus, lupum ostendit: quem protinus canes, ommissa inter se ira, adgressi sunt. Quo exemplo prohibuit barbaros ab impetu Romanis profuturo.” Strab. I, 10 4. Gdy wiemy, że właśnie wtenczas Kotys wchodził w powinowactwo z Augustem, można więc słusznie mniemać, że to był tylko pozór dowcipnie wymyślony.

(3) Florus IV. 12.

(4) Napis starożytny przytoczony w dziele Jac. Spon.: Voyage d' Italie. Lyon. 1678. T. III, str. 196.

lem, wokół aż do Iliryku apostołując, u księżęcia niegościnnie przyjęty, zaszedł do chatki rolnika (1). Zwano go Piast, a było to imię rodu, nie zaś osoby (2). Jakąkolwiek zechcemy dać wiarę tym legendom, jest jednak rzeczą pewną, że sam apostoł Paweł nawracał już ludy getyckie w Iliryku, i że w pierwszych wiekach po Chrystusie, odprawiano w Myzyi mszą świętą w języku Biesów (3). Imię ojczyste Decebala miało być Ziemowit. Do lat dojrzałych przyszedłszy, okazał na polu bitwy wielkie zdolności, a panujący wówczas nad Dakami książę, imieniem Duras, wodził go swoim mianował (4). Przezorny w szykowaniu obozów, a sprężysty w działaniu, umiał Decebal wypatrzeć najlepiej porę, kiedy na nieprzyjaciela uderzyć, a jak uchylić się przed grożącym sobie niebezpieczeństwem. Mistrz niezrównany w stawianiu zasadzek, nie zaniedbał odnieść wszelkich możliwych korzyści, nieprzyjaciela pobiwszy; pobity w czas złemu zaradzając, klęski wetował. Te cnoty jego znajdując wielki odgłos w narodzie, sprawiły, że Duras widząc przykre stosunki w jakich ojczyzna jego wówczas do Rzymu zostawała, i nie czując się na siłach zaradzenia im, oddał dobrowolnie koronę Decebalowi.

Rozciągali zwierzchnictwo swoje Rzymianie nad narodami aż na lewy brzeg Dunaju. Niektóre z ludów germańskich, w sąsiedztwie Daków mieszkające, otrzymywały z ramienia Rzymian swoich królików; nie cierpiał ich naród jako wychowaućców i służalców Rzymu, i wyganiał przy lada sposobności. Za Domicjana doznał dwukrotnie takiego losu Chariomir królik Cherusków; zaszły też niesnaski między Swejami i Ligiami, z których pierwsi wezwali Rzymian o pomoc, a gdy ta nie była dostateczna, ni rychła, porozumiano się spólnie przeciw Rzymowi. Z takich okoliczności korzystając Decebal, którego ojczyzna również uciemienien ze strony Rzymian doznawała, wpadł na czele licznego wojska do Myzyi, którą wówczas po śmierci Agryppy zawiadował konsul Appius Sabinus; spotkawszy się z nim, zniósł ze szczętem legiony rzymskie, i samego konsula trupem położył. Zdobył potem wiele warowni, które Rzymianie dla ochrony tych okolic powznosili, i takowe zburzywszy, wrócił do dom z bogatemi łupami. Na

(1) Miosz rozdz. XXII; Nestor Połn. Sobr. I, 12; porów. Nennil Banch Hist. Britt. rozdz. 30—34.

(2) Steph. Byzant. pod słowem: Πιάσαι.

(3) Metaphrast. in vita s. Theodosi IX, 37; porów. Pagil II, 19.

(4) Dio Cass. LXVII 6. Prius magister militum creatur. Miosz rozdz. XXI.

odgłos klęski słał Domicyan ogromne wojska na Decebala, powierzywszy ich dowództwo Kornelemu Fuskowi. Sam nawet wyruszył do Iliryku, niby dla dodania wojsku otuchy; tymczasem zdala od pola bitwy, w jedném z miast Myzyi stanawszy, oddawał się rozpuście swoim zwyczajem. Kornelius nie był szczęśliwszym od swego poprzednika: ustawiwszy łodzie na Dunaju na sposób mostu, przepawił się wobec nieprzyjaciela na drugą stronę rzeki z głównemi siłami; lecz gdy przyszło do spotkania, wycięte zostały powtórnie legiony rzymskie, i sam dowódzca ubity (1).

W innéj atoli stronie odznaczył się wódz rzymski Julian, i niewiele już brakowało, iżby upadła w Dacyi sprawę rzymską podźwignął. Zapobiegając zniechęceniu, jakie z powodu ustawicznych niepomyślności w wojsku się objawiało, rozkazał on, aby każdy żołnierz miał na tarczy wypisane swoje imię i imię swego setnika: po czémby snadniej dojść można, jak się śród boju sprawował. Pod Tapami stoczył bój, i zadał Dakom klęskę nie-małą. Wezinas piérwszy po Decebalu dostojnik, ratował się tém tylko, iż udał zabitego i przeleżawszy w dzień między trupami, nocą uciekł. W skutek klęski, odsłoniąta została droga nieprzyjacielowi do opanowania stolicy Dacyi: Sarmisegetuzy, czyli Sargecyi. Decebal udał się do fortelu, jakiego niegdys użył był Lestko Iszy, przeciw Alexandrowi. Wiodła do stolicy droga górzysta, okryta wkoło lasami; kazał nocną porą ściąć lasy, a pniaki odziać w zbroje; co obaczywszy zdala Rzymianie, wzięli za świeże hufce, i spieszenie cofnęli się za Dunaj.

Mimo tak przeważnego szczęścia na stronie Decebala, myślał on o zgodzie i niejednokrotnie się z tém do Domicyana odzywał. Nie słuchano go jednak; z pozostałemi siłami rozkazał cesarz uderzyć na Kwadów i Markomanów, którzy w porozumieniu z Dakami bywszy, odmówili posiłków Rzymianom. Postów ich z przedłożeniami pokoju do Domicyana przysłanych, kazał tenże pozabijać. Przyszło więc do walnej bitwy, w której ostatki rzymskiego wojska na głowę porażone i rozproszone zostały. Po tychto, jak się zdaje, zwycięstwach strach padł na Rzymian tak wielki, że według świadectwa Appiana przez długi czas żaden konsul rzymski nie chciał się podjąć dowództwa przeciw tym ludom (2). Słał teraz Domicyan co prędzej posły do Daków, na-

(1) Jornandes Getic. c. 13; Dio Cassius LXVII 7. (2) Illyr. 14.

legając na zawarcie pokoju; nie odrzucił go Decebal, ale między warunkami jego był głównie ten, iż Rzymianie zobowiązali się płacić corocznie znaczną daninę królowi dackiemu, i dostarczać mu na zawołanie wszelkiego rodzaju rzemieślników, przydatnych tak w czasie wojny jak i pokoju. Wyprawę tę zakończył Domicyan w sposób charakteryzujący niedołęztwo i bezwstyd, jakich się despoci rzymscy dopuszczali. Przyjąwszy od Daków warunki najhaniańskie pokoju, udawał przed ludem, że był zwycięzcą. W komedyi jaka się z tego powodu odegrać miała, nie chciał brać udziału Decebal. Zaproszony na ustną rozmowę nie przybył; przyszedł tylko brat jego Diegis, przywiodłszy ze sobą kilku prawdziwych, czy też udanych jeńców (1). Tych oddając uroczyście, otrzymał wzajem od Domicyana koronę, jakby ta jeszcze od rozdawnictwa jego zależała. Rozdawał potem dostojęstwa i pieniądze między wojskowych, słał do senatu list, niby Decebala, o którym wszyscy wiedzieli, że był zmyślony; w końcu odbył wjazd tryumfalny do Rzymu (2).

Taki był skutek pierwszych Decebala wojen przeciw Rzymianom. Nastąpiły czasy pokoju, w ciągu którego Rzym uiszczal się ze swęj daniny, a Dakowie stawiali swojemu bohaterowi marmurowe posągi (3), i otaczali czięią jego osobę. Od czasu Juliusza Cezara zaprowadzono w Rzymie cześć półbożą dla panujących. Domicyan kazał się poprostu bogiem nazywać (4); nie było więc w tém bynajmniej przesady, gdy Dakowie po zdobiciu Rzymu, zwali Decebala półbogiem, a kronikarz polski, porównywając czyny jego, z czynami jego poprzedników, powie-

(1) O Domicyana tryumfach powiada Tacyt w żyw. Agrykoli, rozdz. 39. „Inerat conscientia derisui fuisse nuper falsum e Germania triumphum, emptis per commercia, quorum habitus et crines in captivorum speciem formarentur.”

(2) Dio Cass. LXVII 7.

(3) Fasching i Benkö mówią, że w gruzach Karlsburga, zwanego po łacinie *Alba Julia* w Siedmiogrodzie, znaleziono przed niewielą laty posąg marmurowy Decebala, który mu, jak się zdaje, za świetnych czasów jego postawili rodacy. Znalazł się jednak bez głowy. Domyślają się, iż ją Rzymianie rozłukli. Hene (Fr. Xavier) Beiträge zur dacischen Gesch. Hermanstadt, 1836, str. 62.

(4) Domitianus dominum se et Deum primus appellari, scribi colique jussit. Hist. Misc. in Murat. SS. I. 59. To samo Eutropius VII, 15 i Jordanes de regn. Succ. ap. Murat SS. I. 235.

dział o nim, że sławę swego narodu wznosił aż do znaków zodyaku (1).

Po zabiciu Domicjana i krótkim panowaniu Nerwy wstąpił na tron Trajan i zaraz począł przemyślać nad tém, jakby uwolnić Rzym od upadającej go daniny. Summy pieniężne oddawane corocznie Dakom wyczerpywały znacznie skarb publiczny, a nieprzyjaciel rósł w siły i stawał się coraz zuchwalszym. Rozpoczęła się wojna jedna z najokropniejszych jakie dzieje ludzkie zapamiętały: odnawiała się dwoma zawodami, a trwała z górą lat pięć. Na co tylko siła i przemysł ludzki zdobyć się może, wszystkiego próbował Decebal, i nie ustąpił wprzód, aż wszystkie środki zostały wyczerpnięte. Zbliżającemu się do Dunaju Trajanowi przyniesiono grzyb nadzwyczajnej wielkości, na którym głoski łacińskie, niby cudem natury wyrosłe, zwiastowały, że Burrowie sprzymierzeńcy Rzymu i inne ludy germańskie ostrzegają Trajana, iżby wojnę zaniechawszy wracał do domu. Nie zważając na to szedł pod Tapy, gdzie stały wojska dackie w szyku bojowym. Miał Decebal wyborną konnicę, uzbrojoną długimi obosiecznymi mieczami (2), o jakich powiada Nestor, że je Kozarowie z podziwem u Polanów kijowskich znachodzili (3). Używszy jój zręcznie na równinach pod Tapami sprawił taką rzeź w legionach rzymskich, że zabrakło obwiązek do obwijania ran, a Trajan darł własne suknie, radząc ile tyle niedostatkowi. Wraz krzepiąc upadającego ducha w wojsku, wznosił na polu bitwy ołtarze i rozkazał, aby za poległych wiecznemi czasy modły odprawiano. Ale przyszłość stawiała się groźnie przed oczyma zwycięzcy: stratom trzeba było wcześniej zaradzać. Trajan zmienia sposób wojowania: unika równin, na których straszna mu być mogła konnica dacka, i legiony swoje z góry na górę przerzucając, postępuje zwolna w głąb Dacyi (4). Natrafił jednak i tu na niemałe trudności: wierzchołki gór opatrzone były w zamki czyli grodziska, jakich ślady odwiecz-

(1) *Immortales titulos Poloniae (Lechiaae) zodyaceis pene siguis inse-ruiť.* Miorsz rozdz. XXI.

(2) *Daci equites gladiis in curvis plurimos vulnerarunt.* Parisius, rkp. z Bibl. Ossol. str. 42.

(3) *A sich oražije oboją łą ostro, reksze mecz.* Połn. Sobran. I, 7.

(4) *Equitatum Dacorum veritus imperator, vitabat cum suo exercitu plana, evasit in juga montium.*—Parisius tamże. Porów. *Diona Cass. LXVIII 8. Post contendit ad editiora loca montium (Trajanus) inde aliis aliisque colli-bus non sine periculo occupatis.*

ne wykazuje po dziś dzień ziemia zaludniona przez Słowian, a które do najdawniejszej ich strategii należą. Te powoli zdobywając narażał się Trajan na mnóstwo niebezpieczeństw, nim wreszcie stanął pod Sargecyą. Z drugiej strony zbliżał się do niej wódz jego Lusius Quietus, krok w krok z Dakami potykając się. Był to Maur rodem i przywiódł ze sobą na tę wojnę konnicę maurytańską, jaką dotąd jeszcze rozpoznać można w wizerunkach Trajanowej kolumny. Mieli już Rzymianie w ręku swoim niemało grodzisk, gdzie były zapasy broni i żywności; w jedném z nich dostała się w ich ręce siostra Decebala; ale stolica broniona była silnie, i zdobycie jęj było wątpliwe. To spowodowało Trajana, że nie odrzucił ofiarowanego sobie pokoju, który jakkolwiek był korzystny dla Rzymian, nie ubliżał jednak niepodległości Daków. W warunkach tego pokoju, jak je historyk rzymski podaje, nie znajdujemy nic takiego, czémby zwierzchnictwo Rzymu nad Dakami było zastrzeżone. Nie ma tam mowy ani o najmniejszej opłacie Rzymianom na znak uległości, ani nawet o zwróceniu kosztów wojennych, które jak wiemy, ze strony Rzymian były ogromne. Przyrzekał Decebal zostawać z Rzymianami w stosunkach przyjaznych, mieć razem z nimi jednych przyjaciół i jednych wrogów, i co naturalnym sposobem ztąd wynikało: nie przyjmować żadnych zbiegów z ich wojska; a tych, którzy się dotąd w jego, zupełnie na sposób rzymski urządzonych pułkach znajdowali, wydać niezwłocznie. Ostrożność téż doradzała zażądać od niego, iżby wojska swoje i zapasy wojenne zmniejszył, ile w czasie pokoju, do liczby takiej, jakaby nie mogła być straszna Rzymowi, i takie téż znaczenie zdaje się mieć owe składanie jakowejś części broni, o którym Dio wspomina (1). Na tych zasadach zawarty pokój słał Trajan do zatwierdzenia senatowi, gdzie istotne korzyści téj wojny starano się podnieść jeszcze w oczach gminu, okazyem próżnych form; sam zaś zostawiwszy wojsko pod Sargecyą i grodziska załogami obsadziwszy, odprawił wjazd tryumfalny do Rzymu i otrzymał przydomek dackiego.

Był to roku 103 po narodzeniu Chrystusa.

Wkrótce rozpoczęto wojnę na nowo. Na pozorach do nięj nie brakło. Doniesiono oto Rzymianom, że Decebal warunków pokoju nie dotrzymuje: broń przysposabia, twierdze naprawia, zbiegów przyjmuje, sąsiadów obsyła przyjaznemi poselstwami,

(1) *Histor. Rom.*, LXVIII, 9.

a mści się na tych, co w czasie wojny z Rzymianami nieprzyjaznemi się mu okazali; już nawet zagarnął powtórnie część jakąś krainy Jazygów. Te powody miałyby zapewne swoje ważność, gdyby nam mniej znana była zwykła polityka Rzymian i zamiłowanie Trajana w wojnach. Ogłoszony więc Decebal wrogiem Rzymu przez senat, a Trajan szedł z nowém wojskiem do Dacyi. Słał do niego posłów swoich król dacki oświadczając, że słusznym żądaniom Rzymian gotów jest w każdój chwili zadosyć uczynić, gdyż chce z nimi być istotnie w ciągłej przyjaźni; ale mu odpowiedziano, że wtedy tylko może mieć pokój, jeśli im wyda wszelką broń i sam się odda w ich ręce. To wziął on za rodzaj zdrady, i mniemał, że dla zapobieżenia jój skutkom wolno mu było użyć wszelkich środków, bez względu na ich stronę moralną. Znana była powszechnie przystępność Trajana; kilku mniemanych zbiegów pokazało się w rzymskim obozie, i o włos że cesarz popularność swoją życiem nie przypłacił; ale temu w czas jeszcze zabieżono. Decebal występując otwarcie do wojny odezwał się do wszystkich sąsiadów, że teraz jest czas ostatni bronić swój niepodległości przeciw drapieżtwnu Rzymian: wkrótce bowiem będzie zapóźno. I lżej i i pewniej pokonają tych wrogów, gdy z nim swe siły połączą; jeżeli zaś opuszczą go i dozwolą iżby Dacya upadła, natenczas taki sam los i ich nie minie. Nie mamy dokładnych wiadomości, jak dalece skutkowały jego odezwy. Z ludów co go silniej wspierały, zdają się być Sarmaci i Germanowie, którzyto ostatni przez cały czas naddunajskiego pobytu naszych przodków okazują się ich przyjaciółmi i sprzymierzeńcami wiernymi. Nakoniec o jakowymś przyjaznym stosunku Decebala z królem Partów, Pakorem, napomknął Plinius młodszy (1). Pewna atoli, że z temi siłami jakie na przestrzeni od Dunaju do Dniepru mógł wokoło siebie zgromadzić, bronił się Decebal do upadłego, i przeciągnął tę wojnę do trzech lat. Trajan przy całej sprężystości swego charakteru i środkach ogromnych, jakie na skinienie jego państwo rzymskie dostarczało, według wyznania samych Rzymian,

(1) Apulejus, Domine, miles qui est in statione Nicomedensi, scripsit mihi, quendam, nomine Calidromum, quum detineretur a Maximo et Dionysio pistoribus quibus operas suas locaverat, confugisse ad tuam statuam, perductumque ad magistratus indicasse: servisse aliquando Laberio Maximo, captumque a *Susago* in Moesia et a Decebalo muneri missum Pacoro, Parthlae regi, pluribusque annis in ministerio ejus fuisse. *Plin. jun. ep. X. 16.*

ledwie że go zwyciężyć potrafił (1). Gdy tedy i schwytnie wodza rzymskiego Longina, który mu najwięcej dokuczał, pożądanego skutku nie odniosło, a stolica i cały kraj niemal były już w ręku Rzymian, wtedy dopiero Decebal zabił się.

Stary był Trajan: czterdzieści i kilka lat liczył, gdy wstępował na tron; ale polityka jego względem Daków była polityką młodzika. Za Augusta północną granicę państw rzymskich stanowił Dunaj, największa z rzek europejskich, a przezorny ten władca wzmacniał tylko jej brzegi i gestami załogami podpierał to, co już poniekąd obwarowała sama natura. Trajan ukrócił hardość Daków, uwolnił Rzym od hańbiącej go daniny, i tém wyrządził prawdziwą swojej ojczyźnie usługę; ale zaprawiony do trudów wojownik, znalazłszy godnego siebie zapaśnika, uniósł się żądzą boju i zwycięstw, niezbyt ściśle ostateczne ich skutki obliczając. Słynęły niegdyś brzegi Iliryku z nieprzeliczonej swojej ludności (2). Już jej tam więcej nie było. Parta kolejno orężem Macedonów, później Skordysków i Rzymian, usuwała się ona coraz więcej ku Dunajowi, i już Strabo dziwił się pustkom i zaniedbaniu, w jakim za jego czasów znajdował się tak ludny niegdyś Epir i właściwa Ilirya (3). Przyliskiem teraz tych ludów były przestronne obszary Dacyi (4). Ztąd sięgały pojedyncze plemiona, jak Krowizowie, Trybale i inni, wcześniej już ku morzu Czarnemu (5); głębiej atoli na północ i w stronach północno-zachodnich, jeśli pewnych świadectw trzymać się chcemy, nie znano nic jeszcze z tych ludów, prócz jednych Osów, mówiących, jak powiada Tacyt, językiem Panonów (6), a którzy za jego czasów zaledwie źródła Odry i Wisły sięgali. Trajan rozpoczął wojnę exterminacyjną w Dacyi, nie oszczędzając ani ludzi, ani nakładów. Ogromnym kosztem wznosił na Dunaju most, który

(1) *Ac Dacos vix tandem subegit. Dio Cass. LXVIII. 14. Trajan wyznawał sam. że: Decebalus toties in discrimen me simul et imperium adduxit! Merulla de Caesarib. lib. V in Horol. princ. str. 437.*

(2) *Influitissimae numerositatis manum quondam in Illyrico viguisse. Trog. ap. Math. Chol.*

(3) *Priscis quidem temporibus hominum copia florebat et Epirus uniuersa et Illyricum; nunc pleraque cultoribus carent, et quae habitantur in vicis et ruderibus supersunt. Strab. VII, 327.*

(4) *Dacorum immensa telus. Dionys. Perieg. v. 305.*

(5) *Strab. VII, 318; Plinius Hist. nat. IV, 26; Steph. Byz. str. 387.*

(6) *Osos pannonica lingua coarguit, non esse Germanos, et quod tributa patiuntur. Tac. Germ. c. 43.*

ze względów politycznych wnet zburzyć musiał jego następcę. Z legionami tak licznymi na jakie tylko potęga Rzymu zdobyć się mogła, wkroczył za Dunaj, i pustosząc te ziemie przez lat kilka, przerzucił w końcu ogromną masę ludności za Dniestr i za Karpaty (1); słał potem kolonie z całego świata rzymskiego, aby te pustkowia rozległe jako tako zaludnić (2). Był to wypadek płodny w smutne następstwa dla Rzymu, a w przechodzie do nowszych dziejów stanowczy: w nim bowiem jest główny powód wielkiego pochodu narodów, który się jeszcze w tym wieku rozpoczął, a skończył zagładą zachodnio-rzymskiego państwa. Od czasu wojny którą za Nerona prowadził z Sarmatami Plautius Aelianus nie było tajno Rzymianom, że przestrzeń od Bałtyku aż do Euxynu, którą dawniejsi wystawiali sobie jakoby ogołoconą z mieszkańców, lub wcale niemieszkalną, mieściła liczne ludy i państwa (3). Nie miały one żadnego prawie stosunku z oświeconym Rzymem i znajdowały się z wielu względów w pierwotnej jeszcze prostocie. W innym stanie znajdowały się plemiona getyckie. Krzepkie z natury i za wzór dzikości przez poetów rzymskich wystawiane, przyswoiły sobie przez długoletni stosunek swój do Rzymu to, na co tylko ówczesna sztuka wojenna zdobyć się mogła. Z przetrąceniem tedy przez Trajana tych mass za Karpaty, znajdujące się tu ludy getyckie lub z nimi spowinowaczone otrzymują niemalą nad innymi przewagę: powstaje wrzawa i zgiełk między tutejszemi mieszkańcami, i aż do Rzymu zalatują pogłoski, że jacyś barbarzyńcy całą północ zakłócili (4). Prócz zwyczajnych w takim razie powodów do walk, sama ziemia nędznie i tylko miejscami uprawiana, nie wystarczała do wyżywienia tak ogromnej ludności. Rozpoczyna się bój: słabsi ulegają mocniejszym lub zostają wygnani. Nędza i rozpacz rzucała te

(1) Wołchom (Rimlanom) bo naszedzem na Słowieni, na Dunajskiję, siedszem w nich, i nasilęszczem im, Słowieniże owi przisedsze siedoszę na Wisle i prozwaszę sę Łęchowe i t. d. Nestor, Połn. Sobr. I, 3. Porów. ostatnie obrazy na kolumnie Trajana, przedstawiające wychodztwo.

(2) Trajanus, victa Dacla, ex toto orbe Romano *infnitas* eo copias transtulerat, ad agros et urbes colendas. Eutrop. VIII, 3; Hist. Miscella. X, p. 61.

(3) Inscript. ap. Grut. p. 453; Tacit. Germ. c. 1. Caetera oceanus ambit, latos sinus et immensa spatia complectens, *nuper cognitis* quibusdam gentibus ac regibus quos bellum aperuit.

(4) Victofalis et Marcomannis cuncta turbantibus, aliis etiam gentibus *quae pulsae a superioribus barbaris fugerant*, nisi reciperentur bellum inferentibus. Jul. Capitolin. in Marc. Anton. Phil. c. 14.

ludy o ściany państwa rzymskiego. W niewiele lat po zajęciu Dacyi przez Rzymian, za Antonina filozofa pokazują się nieznanne z imienia ludy na granicach północnych, żądając przytułku lub śmierci. Jednocześnie zachodzą wielkie zmiany wokoło. Plemiona germańskie, na ogromnej przestrzeni od Renu aż do Wisły rozrzucone, niezgodne między sobą i przedzielone gęstymi puszciami, a w części nawet wzajem sobie nieznanne, gdy im z jednej strony Rzym, z drugiej strony północy barbarzyńcy dokuczają, kupią się i jednoczą między sobą: powstaje związek markomański, wyteżający główne siły Niemców przeciw Rzymowi; a na opróżnionych po większej części żuławach i równinach rozległych między Wisłą, Odrą i Elbą odkrywa się z czasem Dacya mniejsza, zwana tak ze względu na wielką Dacyą, zostawioną przez wychodniów getyckich na brzegach Dunaju (1). I kiedy już światło dziejów rozjaśnia rodzinę Słowian nadbałtyckich i nad-dnieprzańskich w wieku dziewiątym, między znakomitszemi jej członkami znachodzimy Abodrytów (2), którzy są oraz Lęchitami, a obojem tém imieniem przypominają starych założycieli ilirskiego państwa: Autaryotów, Linchitów. Są dalej w téjże rodzinie i Biesy i Mazowianie i Krywicze, których imienników nad Dunajem i w Iliryku zna jeszcze Strabo i Plinius (3). Takim samym sposobem jak Markomanie, łączą się w innej stronie ludy, które dotąd najczęściej pojedynczo występowały przeciw Rzymowi, jakoto: Chaucy, Kattowie, Chamawi, Cheruscy, Attuary, Ampsary, Bruktery i inni, występują w trzecim wieku po Chrystusie, pod spólném imieniem Franków (4). Tymczasem rozsypani po całej północy wychodnie daccy roznieśli wieści o niesłychanych bogactwach i przepychu Rzymu, o łagodności strefy włoskiej

(1) Ad frontem ejusdem Albis *Dacia minor* dicitur, et dehinc super exaltata est; *magna et spaciosa Dacia* dicitur, quae modo Gepidia adscribuntur, in qua nunc Hunorum gens habitare dignoscitur. Post hunc Illyricum usquam ad provinciam Dalmaciae pertingit. Ravenatis anonymi (Guidonis) Geogr. libr. V, p. 747 ed. cum Pomp. Melae cur. Abr. Gronov.

(2) *Abodritae* lub *Obotriti* znani są u rocznikarzóv niemieckich. Ob. Pertz SS. V. Index. Geograf bawarski zowie ich *Abltrezi*. Trog u Just. XV, 2; u Winc. Kadł. str. 72, i u Orozyusa III, 23 zowie Autaryotów ilirskich *Abderitae*.

(3) *Mazaei* (Μαζαῖοι) gens Pannonum. Strab. VII, 314. *Bessi* (Βέσσοι) majorem Aemi partem tenent. Tenże VII, 318. *Crobyzi* (Κροβυζοί) supra Calatim, Tomaeum et Istrum accolunt. Tenże VII, 318.

(4) Oevres de Freret ed. de 1798 t. V, p. 164, 203 et suiv.

i cudnych płodach ich ziemi, co wszystko rozpala umysły dzikich nędzarzy północnych, i gotuje nowe ciosy Rzymowi. Po strasznej nawale Gotów, następuje nierównie straszniejsza jeszcze nawala Hunów, w której uczestniczą głównie, wyparte niegdyś znad Dunaju plemiona dackie, pod imieniem Antów, i świeżo uzyskaném na północy Salawów czyli Sławów imieniem, które to ostatnie ma wkrótce stać się powszechném. Słowem, od czasu chlubnych dla orężu rzymskiego wojen Trajana, obłoczyły się granice państwa rzymskiego coraz gęściejszemi chmurami, na które wszelkie usiłowania późniejszych cesarów nie miały dostatecznego zakłęcia. Czas jakiś wrzały i srożyły się te chmury pojedynczemi gromami, nareszcie pękły i załaly Rzym.

Takie pojaśnienie do dziejów piątego po Chrystusie wieku daje pierwotna historia Słowian, i jój główne, a dotąd całkiem zapoznane źródło: polskie kroniki.

* * *

W trzeciej księdze przystępuję do dziejów Słowian, zaczynając od piątego po Chrystusie wieku, jako od czasu w którym się pod tém swoim imieniem w Europie rozslawiać poczęli. Opowiadam więc najprzód powstanie i losy królestwa Samonowego, dalej pierwiastki i wzrost królestwa wielkiej Morawy, wyteżając szczególną bacność na wpływ, jaki tak jedna jak i druga z tych społeczności na kraje nadwiślańskie wywierały. Najważniejszym w téj mierze wypadkiem jest następujący:

Od wyjścia swego znad Dunaju, ponad Wisłą rozsiedleni Słowianie przybrali, jak mówi Nestor, imię Lęchów (1); Wiślanami zwano ich w wieku IX (2). Nader liczni i na wiele gałęzi dzielący się, zajmowali rozległą przestrzeń i aż do morza Bałtyckiego przypierali (3). W VI i na początku VII wieku, kiedy dzicz awarska rozciągnęła swe jarzmo nad innemi Słowianami od Wołgi aż do Du-

(1) Słowient że owi przedsze stedszę na Wislie i prozwaszę se Lęchowi, a ot tiech Lęchow prozwaszę se Polane i t. d. Połn. Sobr. I, 3.

(2) U geografa bawarskiego, *Vislane* wymienteni są za Węgrami, obok Szlązaków (ob. Boczek. Cod. dipl. I, 68), a więc tam gdzie Nestorowi Lęchowie. Nazwiska Lęchów zgoła nie zna ów geograf bawarski, ani téż żaden z rocznikarżów niemieckich. Alfred Wielki powiada takóž: „Oestlich vom Maerer-Lande ist das Weichselland (Visle-Land). Ob. Szafar. Star. str. 979.

(3) Lęchoweže i Prusi, Cziud' pristedeť' k' moriū waręžskomu. Połn. Sobrau. I, 2.

naju; oni pod swoimi *ocami* czyli naczelnikami ródów (*εθνάρχαι*) zostając, umieli ochronić swą niepodległość, a pisarze bizantyńscy podali dziwnie ujmujący obraz błędnego, niepodległego życia ich z owój epoki. Jak dawni Getowie (1), tak też i oni zawierali przymierza lub umowy przyjazne przy dźwiękach muzyki, a cały przybór podróżny ich posła stanowiła geśl w ręku. Takie poselstwo wyprawili właśnie w roku 590 do awarskiego Kagana, który starszyzną ich bogatemi upominkami obesławszy, prosił o posiłki przeciw cesarzowi bizantyńskiemu. Trzej ich postowie już ku domowi zdążając, schwytani byli od przybocznej straży cesarskiej i stawieni przed cesarza Maurycego. Podziwiano ich ogromny wzrost i zachwycano się wspaniałością ich melodyi. Zapytani coby zacz byli? i co robili na ziemi rzymskiej? odpowiadali: że są Słowianie, a mieszkają nad morzem Bałtyckim; ziemia ich żelaza nie rodzi: spokojny więc i swobodny żywot przenoszą nad zgiełki i znój wojenny; pokochali bardziej dźwięki geśli niż wrzawę surm, bo mniemają, że zatrudnienie to jest szlachetniejsze. Byłito więc, jak z tych słów widać, kapłani. Cesarz podobał sobie bardzo w ich rozmowie i hojnie ugoszczonych odesłał w dalszą ku domowi drogę (2). Czy długo oddawać się mogli ulubionym swym zatrudnieniom, i czy naród ich zmuszony do smutnej konieczności prowadzenia wojny, wyszedł z niej zwycięzko? o tém zgoła nie wiemy. Prócz bowiem tych kilku rysów, co jak meteor przemknęły się do nas z tamtych czasów, pokrywa dzieje nadbałtyckich Łęchitów, przez trzy niemal wieki następne, gruba noc. Zdaje się, że przynajmniej część ich jakaś należała w wieku VII do państwa Samonowego: liczne bowiem napomknienia Fredegara wskazują, że w tych stronach rozwijała się między Słowianami wielka czynność. Po dwiestu kilkadziesiąt latach milczenia zalał tuje nas znowu pewniejszy nieco odgłos życia łęchickich ludów od strony przeciwnój.

(1) *Getae citharas manibus tenentes pulsantesque legationes de pace obeunt.* Theopomp. XLVI fr. 244. Unde et sacerdotes Gotorum (właściwie *Getarum*) aliqui, illi qui pii vocabantur subito patefactis portis, cum citharis et vestibis candidis obviam sunt egressi, paternis diis, ut sibi propitii Macedones repellerent, voce supplicii modulantes.—Jornandes de reb. Getic. c. 10; powołuje się on z tą wiadomością na Diona z Prussel.

(2) Theophylakt. Hist. VI, 2. Toż samo powtarza w krótkości Theophanes i Anastazyus.

Niezdala lewego brzegu Wisły, nad rzeką Nidą, znane jest miasto Wiślica (1), jedna z najstarszych osad słowiańskich w tych stronach, i prawdopodobnie główna siedziba Wiślanów, zwanych u Nestora Lęchami. W drugiej połowie IX wieku mieszkał w niej książę potężny, imieniem Wyszewit (2). Był on mocno w obyczajach słowiańskich rozmiłowany i z chrześcijańskich obrządków natrząsał się. Stał do niego arcybiskup morawski, Metody, z upomnieniem, aby przyjął chrzest dobrowolnie, w przeciwnym bowiem razie zmuszon będzie do tego. Gdy to upomnienie nie skutkowało, wyprawił się na niego z pierwszą zaraz wiosną roku 884 sam, jak się zdaje, Świętopelk, a po uporczywój walce stracił go z tronu (3), i rozprzestrzenił granice dyccezyi biskupów morawskich w tych stronach aż po źródła Bugu i Styru (4). Wyszewit wraz z rodziną swoją szukał przytułku aż za Dunajem, dokąd Świętopelk w tymże jeszcze roku, oręż swój obrócił. Tam znalazł potomstwo jego, mianowicie syna Michała, cesarz bizantyński Konstantyn Porfirogenita, jeszcze około połowy wieku X. Zdaje się, że po strąceniu Wyszewita osadził Świętopelk na jego miejscu najstarszego syna swego Mojmira.

Okazawszy tym sposobem związek ścisły dziejów morawskich z polskimi, i rozjaśniwszy ten szczegół, iż dawni morawscy książęta, jakoto: Rastyc, Kotzel i Cendebold (tak bowiem Świętopelka zowią spółcześni), nosili imiona starożytnych królów dackich: Raska, Kotysa i Decebala, i ród swój od Piasta getyckiego wywodzi-

(1) Nazwisko Wiślicy znane już było, jak się zdaje, Porfirogenicie, u którego wspomniane u *pogan* nadwiślańskich Διττίζη powstało najpodobniej z pomylonego Βισλιζη De adm. imp. XXXII. 103. Bogufal powiada: Erat urbs famosissima in regno Lechitarum, nomine Wislicia, cujus olim princeps, *tempore paganismi, fuerat Wislaus* i t. d. Sommersb. II, 37.

(2) Βυσεβυτίζη wypisuje imię jego Porfirogenita. De adm. imp. XXXII. 103.

(3) Poganesk knęz silen welmi siedę w *Wislech*, ragaszę sę Christianom i pakosti diejaszę. Poslawże k' nemu (Metody) recze: Dobro ti sę by krestiti synu, woleją swojeją, na swojej zemli; da ne, plenen, nądmi kreszczen bądeszi na czużej zemli, i pomęneszi mę. Jeże i byst. Inogdaże paky Swętopolku wojujaszczu na poganyję i niezesoże uspiejaszczu, no medęszczu, swętago Petra mszi pribliżajaszczu sę, reksze słuźbie, Metody posła k' nemu glagolę: jako aszcze mi sę obieszczajeszci na swęć Petrow deń s woi swoimi stworiti u mene, wierują w Bog, jako predati imat' ję w skorie. Jeże i byst'. Żywot Metodego w Moskwit. z r. 1813. III, 430. Porów. Boczka Cod. dipl. I, 47, 49.

(4) Inde ad orientem hos fluvios habet terminos: Bug scilicet et Zttr cum Cracovia civitate. Cosm. prag.

li, wracam do analizy dalszej polskich kronik i staram się wykazać, że pod imieniem Ziemowita dziada Ziemisławowego ukrywa się w naszych kronikach Świętopełk; pod imieniem Leszka IV najstarszy Świętopełka syn, Mojmir, który nie umarł, jak mniemano, bezdzietnie, lecz zostawił syna Ziemisława, a którego znowu synem jest nasz Mieczysław I, a wnukiem Bolesław Chrobry. W ogólności zaś, że ród książąt morawskich utrzymał się na tronie polskim, a zaś niedoleżny miejscowych nadwiślańskich książąt ród, zwany Popielami, wykorzeniony był z Polski, chociaż się aż do czasów jeszcze Chrobrego o prawa swoje dobijał (1).

(1) Semper sibi (Semovito) et suis successoribus usque ad tempora illius magni Boleslavi pro posse resistebant. Sommersb. I, 23.



MAUROWIE

NIEGDYŚ W HISZPANII, A DZIŚ W AFRYCE.

PRZEZ AUTORA:

O Danii i Norwegii, Baskach, Portugalii i t. d.

(Ciąg dalszy).

XI.

Tetuan. Powrót do Tangieru.

Kaz wstąpiwszy do miasta, cała illuzya znikła. W niém tak smutno, tak brudno, jak w każdym maurytańskim mieście. Domy nie mają żadnych okien na zewnątrz wychodzących, i wyglądają jak więzienia. Wszystkie architektoniczne ozdoby, chowają tu na upiększenie wnętrza domów, które w Tetuan wznoszą się na dwa piętra. Tu i owdzie minarety wyzierają ponad dachy i przerywają smutną jednostajność.

Stanęliśmy w nędznej oberży, trzymanej przez żyda, tak brudnego, jak go znamy, niestety! w naszym kraju. Skromna łojówka przyświecała nam w atmosferze przesiąknięj zapachem cebuli, czosnku i ryb suszonych. Niewypowiedziany wstręt nie dał nam nic skosztować z zastawionych potraw.

Nazajutrz zwiedziliśmy wiele sklepów i warsztatów maurytańskich.

Nie braknie tu na przemyśle. Mianowicie wyroby skórzanec i jedwabne bardzo są piękne. Skóra bowiem nabiera wybornych własności w rękach Maurów: staje się mocną, elastyczną i bardzo

miękką. Trzewiki z niej wyrabiane są nader wygodne, nigdy się nie przyszcą, ani twardnieją. Skóra jest tutaj jeszcze tańszą jak w Hiszpanii. Jedwabne materye fabrykowane w Maroko są ciężkie i gęste, kolory ich żywe, gustownie uszykowane i nadzwyczajnie świecące. Broń tutaj wyrabiana jest przedziwnie piękna, damaszkowana, złocona, koralami i drogiemi kamieniami wykładana. I to wszystko wyrabia się narzędziami tak prostemi, że żaden z naszych pu-szkarzy nie wyrobiłby niemi nawet dobrego kurka od pistoletu.

Mieszkańcy Tetuanu rzadko widują cudzoziemców, dlatego też są fanatyczniejszemi jak Tangierczycy. Nieraz się zdarzało, że patrząc na nas pluli od wstrętu; a jeden z nich, o którym przewodnik nasz mówił że jest świętym, uderzył młodego sir Antony S..... prętem bardzo dotkliwie w plecy. I cóż było robić na ten dowód świętości? Rozszarpanoby nas na drobne kawałki, gdybyśmy na santona rękę podnieśli.

Maur jest gościnnym. Przyjmuje on cudzoziemca do swego domu, skoro z niego kobiety uprzątnie, ale nigdy nie ścierpi, żeby noga niewiernego skalala jego świątynię. Śmierć lub obrzezanie czeka niezawodnie chrześcianina, za przestąpienie progów meczetu.

Według prawa Mahometa, wolno wszystkim Maurom mieć po cztery żony, a nałożnic tyle, ile im się podoba; ubodzy muszą się kontentować jedną żoną, jeśli ich więcej wyżywić nie są w stanie. Kobiety otrzymują od swych mężów, czyli raczej właścicieli, codziennie potrzebną kwotę pieniędzy i żywności. Jeśli która z nich w stanie jest dowieść, że jej mąż nie daje wystarczającej płacy, natenczas wolno jej się rozwieść i pójść za innego. Maurowie tak są zazdrośni jak Turcy, i trzymają swe żony pod ścisłym zamknięciem. Kobięta, według nich, daleko niżej od mężczyzny postawiona; kobięta jest istotą dla przyjemności mężczyzny stworzoną. Kobięcie nie powierzają, jak u nas, starania o swój własny honor: zmuszają do wierności, stawiając ją w niemożności działania samowolnie. Kobiętom należącym do majątnych Maurów niewolno opuszczać haremu; dopiero kiedy się znajdują w stanie tak nazwanym błogosławionym, wolno im w towarzystwie niewolnic, i pod protekcyą grubych zasłon, wychodzić na miasto.

Leż i żony Maurów są córkami Ewy, i mając wiele czasu, całe życie przemyślują nad sposobami ujęcia bacznosci argusów i zakosztowania owego zakazanego owocu, któremuto podobno winniśmy nasz pobyt na tym świecie. Lubią tedy wchodzić w intrygi miłosne z chrześcianami, ale takie intrygi łatwo zakończyć się mogą bar-

dzo tragicznie. Maurytanki gdy sądzą że są niepostrzeżonemi od swych współwyznawców, odsłaniają chrześcianom swe piękne, cudowne li-ca, i cieszą się z sprawionego wrażenia. Ale niech Bóg broni, że-by to zazdrosny Maur zobaczył lub o tém się dowiedział: srogiéj kary nie uszlaby biédna istota.

Co do wychowania, bardzo są zaniedbane żony Maurów; żyją w największej niewiadomości: cała ich nauka zawarta w kilkunastu wierszach koranu. Modlą się w domu. Do meczetu wstępu nie mają nigdy. Maurowie mało dbają o wieczne zbawienie kobiet, które na tym świecie już missyą swoją spełniły.

Z tego wszystkiego com słyszał a nawet widział z życia haremo-wego w państwie marokańskim, a później w Algierji, nie wywio-złem wielkiego wyobrażenia o przyjemnościach serajskich Mahometanów. Czyż może kochać miłością estetyczną i godną człowieka Ma-hometanin? On swój ideał kupił za tyle i tyle, ideał ten trzyma w wię-zach, by się nie przeniewierzył, w ideale nie uważa równego sobie je-stestwa, lecz istotę od niego nieskończenie niższą, tylko w powabniejszą formę obleczoną. A niewolnica czyż może kochać swego pana, któ-ry ją za najmniejsze przewinienie na śmierć skazać może? którego zwierzęcą miłość dzielić musi z tyloma innymi kobietami?

Mahomet o naturze ludzkiej nizkie musiał mieć wyobrażenie, kiedy ją całkiem uważał być podległą wpływom klimatu. Sądził, że pod gorącym Arabii niebem, kobiéta musiałaby się stać rozpustną, gdyby ją mury więzienia nie otaczały; i dlatego téż wynalazł owę teorią niewolnictwa, tak uwłaczającą godności ludzkiej, pozbawił kobiet duszy, dla zrobienia z nich wiecznych niewolnic, zdolnych tylko do chwilowój zabawy swych panów, i to tylko na lat kilka, do-póki wążta barwa młodości na ich licach kwitnie.

Trudno uwierzyć, do jakiego stopnia Maurowie posuwają za-zdrość; my mieliśmy tego dowody w Tetuan. Basza, gubernator Tetuanu wezwał dra Hamilton i mnie do swego zamku w celu po-rady lekarskiej. Uszczęśliwieni tą sposobnością przyjrzenia się zbliz-ka gospodarstwu maurytańskiemu, biegniemy do zamku wraz z na-szym dragomanem żydem Mośkiem, najętym w Tangierze.

Dwóch żołnierzy, dość porządnie przybranych, stało na warcie przed zamkiem gubernatora, który w Tetuanie dzierży najwyższą władzę wojskową i cywilną. Jako basza ma do swojego rozporzą-dzenia dwa bataliony wojska, potrzebne mu do ogólnéj obrony, do utrzymania spokojności i porządku, nareszcie do ściągania podatków;

a jako kadi, to jest sędzia, trzyma w swych rękach szalę sprawiedliwości kryminalnej, i może nawet karę śmierci wymierzać.

Przyjął nas dostojny basza pod swą bramą zamkową, gdzie siedział zwyczajem Maurów, z założonemi na krzyż nogami, na ziemi pokrytej dywanem. Sekretarz jego stał obok, i miał przed sobą stolik bardzo mały i misternie zrobiony. Na tym stoliku rozłożona była korespondencya baszy, jego akta i księga praw.

Basza wstał. Był to sędziwy starzec z białą brodą, w białym turbanie, takimże haiku, w długim, karmazynowym, siwém futrem podbitym szlafroku i żółtych pantoflach.

Wstał tedy, przyłożył rękę swą prawą do serca, i zaprowadził nas przez wewnętrzny dziedziniec do sali, której ściany pokryte były arabeskami, podłoga wyłożona dość piękną marmurową mozaiką, a okna wysokie i wąskie, przepuszczały przez kolorowe szyby różnokolorowe światło. Na jednym końcu tej długiej sali, na wielkim kobiercu, niski dywan; na drugim stało coś naksztalt staroświeckiej kanapy i kilka krzesełek plecionych z trzciny. Na to ostatnie miejsce poprowadził nas sędziwy gospodarz, i kazał nam usiąść na kanapie; sam zaś usiadł, skurczywszy pod siebie nogi, na jednym z taburetów przykrytych małym kobiercem. Wcale dziwnie wyglądał dostojny basza w tej śmiesznej postawie.

Na znak dany przyniesiono nam fajki na długich cybuchach, i małe czarki kawy czarnej.

Teraz dopiero zapytał nas z jakiego jesteśmy narodu. Anglików znał doskonale, ale o moim narodzie nigdy w życiu nie słyszał, ani też o Roxolanii.—„Któż może znać wszystkie zony, wszystkich padiszachów? Wszystkie narody ubiegają się o zaszczyt dostarczania nam niewolnic. Szczęśliwy, kto choć jedną sprawi nam chwilę rozkoszy!”—odpowiedział basza i zaczął marzyć o przyjemnościach wiecznego raj, i wywracał oczyma i dumiał.

— Kapudi zaręczał mi, żeście wielkimi lekarzami— rzekł po długim marzeniu basza.—Choroba ócz często panuje w mym seraju, i już mi przeszło 40 niewolnic oślepiła; teraz, w tej chwili jedna z mych najulubieńszych żon choruje na oczy i wiele cierpi. Znacie lekarstwo na tę chorobę? Mój lekarz choć jest świętym i imanem, już rozpacza o jej uzdrowieniu, mówiąc, że Allah chce, żeby była ślepą.

Dr. H. odpowiedział, że zamknięte powietrze haremu bardzo usposabia do podobnych chorób, że to będzie zapewne owe zapalenie epidemiczne, zwane w egipskim języku *mundzis*, bardzo niebezpieczne i bolesne, a prawie zawsze kończące się zaciemnieniem przezroczyściej

części błony oka, że nie sposób je wyleczyć modłami ani gusłami, że przedewszystkiém należałoby widzieć pacyentkę.

Dragoman tłumaczył punkt po punkcie; basza zrozumiał, zaczerwienił się i rzekł: „O niewierne giaury! Allah wam odmówił łaski cudów, i wy nie wierzycie nawet, że inni szczęśliwsi doświadczają ich dobrodziejstwa. Żony mojej świętego oblicza żaden jeszcze mężczyzna nie oglądał, prócz jój ojca, który jest zięciem cesarskim, i mnie jój męża i pana. Niech raczój ginie w mękach, ale niech nie będzie skalaną wzrokiem niewiernych”—rzekł basza i wstał z postumentu.

— Chodźcie oglądać me ogrody i moje konie: nasycicie wasze oczy cudami—mówił dalej basza widząc nas gotujących się do odejścia, i hamując sam siebie w swym barbarzyńskim gniewie.

Cóż mieliśmy robić? pogniwać się na starego barbarzyńca i odepchnąć sposobność zwiedzenia ogrodów słynących w całym państwie marokańskiem za cudownie piękne?—Nie! barbarzyńca nie nawrócim tak prędko.

O tyle, o ile ogród prawie zupełnie ogołocony z drzew i ich cienia może być pięknym, o tyle był pięknym ogród baszy. Ścieszki powykładane kolorowemi, w arabeski uszykowanemi kamyczkami, partery w desenie wykrojone, błyszczące najpiękniejszymi kwiatami nizko rosnącemi, pagody naśladowujące kształt minaretów, tu owdzie wysoka palma zwieszająca swe długie liście melancholiczne ku ziemi; wszystko to oprawne w szerokie ramy zarosłe trawą, a poprzerzynane strumyczkami w kierunkach symetrycznych sztuką nadanych—oto ogród baszy! Byłto raczój kobierzec roślinny.

Stajnie baszy nie mają dachu; konie stoją całe życie pod gołym niebem. Koni było ze wszystkiém do 80; niektóre z nich rzadkie piękności, mianowicie jeden kary ogier arabski, na którym basza jeździ tylko w dniach uroczystych. Koń ten tak był rostry i regularnie zbudowany, jak najpiękniejszy koń angielski. Mało takich koni na świecie, a szczególnie w państwie marokańskiem. Cesarz jest właścicielem wszystkich koni całego kraju; najlepsze z nich wybierają dla niego i dla jego wojska, nie dając czasowemu właścicielowi prawie nigdy żadnej nagrody. Biada prywatnemu, piękne konie posiadającemu, jeśli je basza zoczy! Łatwo sobie wystawić, że w takim stanie rzeczy, do pewnego tylko stopnia mogą prosperować stadniny. Piękne i rosłe konie stają się coraz radsze w państwie marokańskiem. Francuzi graniczący Algierją z Morokiem, wyku-

pują najlepsze konie. Cesarz zakazał wprowadzić pod karą śmierci ten handel, lecz czyż może obsadzić swoim nielicznym wojskiem całą przestrzeń suchej granicy?

Kuce berberskie, które opisałem wprzód, bardzo tu są tanie; w Tetuan i w okolicy można ich zakupić do 500, nie płacąc jak 150 złp. za każdego w przecięciu. Ale zakaz cesarski przeszkadza ich wyprowadzeniu, a niełatwo przemycić konia okrętem. Konsul angielski uzyskał od baszy Tangieru pozwolenie wyprowadzenia czterech kuców z kraju, ale za to musiał mu zapłacić 450 złp. za każdego, tak, że po sprowadzeniu do Gibraltaru, każdy koń kosztował go 700 złp.

Z rozmowy z baszą Tetuanu dowiedzieliśmy się, że Maurowie mocno wierzą w świętych, że ich bardzo wiele mają już na tym świecie, a nawet w każdej klasie ludu. Jednych mianuje cesarz, jako głowa religii, drudzy sami się mianują, a lud ich za takowych uważa. Są to po największej części hypokryci, oszukańcy, nadużywający poszanowania, jakie sobie zjednali u ludu dla własnych widoków. Maraby udają, że są czarnoksiężnikami: żyją w próżniactwie i sprzedają amulety.

Najwięcej zastanawia sekta świętych, zwana *Sidi Nassir* czyli zjadacze węzów. Sam widziałem, jak jeden z nich na publicznym placu w Tetuan przy odgłosie dzikięj, uszy rozrywającej muzyki, przedstawiał ludowi swe figle i mamidla, utrzymując zuchwale, że sam Mahomet nadał mu przywilęj zniesienia wszelkiego jadu, i że żadne jadowite gadziny szkodzić mu nie mogą. Na dowód tego wydobyl dwa jadowite węże: jeden z nich wielki czarny, może na sześć stóp długi, a drugi mniejszy, długości półtrzęcięj stopy, siwo niebieskawy: wzdłuż całego ciała miał dwa rzędy linii, z punktów czarnych złożonych, ze znakiem podobnym do litery V, na głowie płaskięj i dość szerokięj, z zębami tak zwanymi ruchomemi na podniebieniu. Byłato pospolita żmija, w tych krajach strasznie jadowita.

Z temi przebrzydłemi gadami bawił się święty Sidi Nassir czas niejaki, przygrywał im na puszczalce, a gady słuchały i wiły się około rąk i nóg santona; nareszcie przestał grać, rozjątrzył węże aż do wściekłości i nadstawił ich ukąszeniu swe ręce; potem wyszał zadane rany żując coś w ustach, co mu zapewne za antydot służyło. Potem znów dobył puszczalkę i udobruchał, do posłuszeństwa przywiódł rozjuszone gadziny. Nareszcie, zgroza przejmując na samo wspomnienie! nareszcie wsadził sobie ogon żmii do ust i zaczął ją całą żuć i połykać

przy wykrzywieniach i grymasach tak okropnych, że nam się wszystkim źle zrobiło. Żmija wyrwała się z gardła, gryzła go po twarzy, ale to na próżno: połknął ją całkiem przebrzydły człowiek i jeszcze pokazywał, jak mu się w brzuchu wila.

Ktoby mi nie wierzył, niech przeczyta co księżna d'Abrantes pisze w swych pamiętnikach o generale Menou, *ci-devant* margrabi, który po śmierci generała Kleber, głównie dowodził wojskiem francuzkiem w Egipcie. Generał ten, czyto folgując dziwnej swój fantazyi, czy téż w chęci zjednania sobie umysłów Egipcyan, przeszedł na wiarę Mahometa, a nawet wpisał się do bractwa psyllów egipskich, i dowiedziawszy się ich tajemnicy, *połykał tak zrecznie węże*, jak niegdyś na salonach wersalskich zrecznie tańczył menueta z królową i księżniczkami. Abdallah Menou (gdyż przybrał imię Abdallah z wiarą Mahometa) wcale się nie wypierał tych gustów powróciwszy do Europy. *De gustibus non est disputandum!* mawiał naiwny generał. Co Francuz nie robi z patryotyzmu? węża zje, wstyd połknie, byleby pieniędzy nie wydał — zresztą na wszystko się zgodzi.

Inym rodzajem świętych jest bractwo fanatycznych derwiszów, z których każdy wystawia sobie że jest duszą jakiegoś zwierzęcia. Bractwo to występuje przy uroczystych okolicznościach, i rykiem swym i tańcami zabawia publiczność; na jego czele staje zawsze osoba wyobrażająca lwa, króla zwierząt. Każdy zachowuje się w charakterze zwierzęcia, którego przedstawia: ryczy, skacze, aż w szal wpadnie, żywe psy i koty zębami szarpie, i tysiączne dokazuje nedorzecznosci. Biada żydowi, lub nawet chrześcianinowi, gdyby się wtenczas pokazał. Władze wojskowe utrzymać nie mogą tych szaleńców w karbach sforności: szal religijny wszystkie przelamuje zapory.

W Tetuan wolno tym szaleńcom występować cztery razy do roku; w Tangierze tylko raz, w rocznicę narodzenia Mahometa. Pasza wtenczas uwiadamia konsulów zagranicznych, żeby swym krajowcom odradzali wychodzić z domu. Bey tunetański, bardzo światły, roztropny monarcha, by powściągnąć szaleństwo sekty, wpisał się sam do bractwa zwierząt, i został naturalnie obranym lwem bractwa. Postąpił sobie jak lew, to jest, wydusił całą menażeryą, i tém zasłużył sobie na wdzięczność ludzkości.

Idyoci i maniacy także są uważani u ludu za świętych, cieszących się szczególną protekeyą nieba. Zabobon ten podpira niejako filintropia; znajdujemy go nawet w cywilizowanych krajach, jak np. w Tyrolu, gdzie prawie czczą kretynów, i rodziny w których oni się znajdują, uważają jako błogosławione przez Boga. W państwie ma-

rokańskiém nie ma wcale praw dla idyoty lub maniaka. Wolno mu wszystko robić, co mu się podoba. Dla niego nie ma obrazy prawa ani moralności. Gdziekolwiek przyjdzie, wszędzie jest dobrze przyjętym, nakarmionym i pielęgowanym. Złośliwość swoje wszędzie bezkarnie wyrzucić może: wielu pomiędzy niemi jest oszukańców. Być poczytanym za waryata, jestto wygodny paszport dla próżniaka. Oh kraju obiecany!

O milę od Tetuanu znajduje się kopalnia złota, założona od od lat kilku dopięro, przez towarzystwo akcyonaryuszów francuzkich, które się utworzyło w Marsylii, pod małoważną protekcyą rządu francuzkiego. Towarzystwo to uzyskało firman sultana Muley-Abder-Hammana, pod warunkiem, że przez lat trzydzieści oddawać będzie czwartą część dochodów kopalni na rzecz skarbu marokańskiego, i że po tym czasie sultan stanie się właścicielem bezwarunkowym kopalni i zakładów na gruncie jego zbudowanych. Pomimo protekcyi rządu francuzkiego i marokańskiego, położenie górników bardzo było niebezpieczne. Fanatycy muzułmańscy, a szczególnie santony, fakirowie, dusiciele i inni udający obłąkanych, polowali sobie na chrześcian tak jak na lwy, dziki, hyeny i szakale. Już w pierwszym roku trzecią część górników wystrzelano. Żaden téż francuzki inżynier nie chciał być dyrektorem tego zakładu; udano się tedy po niego do tego narodu, który Francuzom zawsze musiał wyciągać kasztań z ognia. P. Rat..ski, uczeń szkoły minerów w St. Etienne, bardzo zdatny inżynier, dyrygował zakładem tetuańskim już od roku. Podczas mojego pobytu w Tetuan, znajdował się właśnie w Hiszpanii, podobno w Maladze.

W łaźni tetuańskiej bardzo okazałej i wygodnej, poznałem się z kilkoma Maurami wywodzącemi ród swój od Maurów granadeńskich. Niektórzy z nich mówili nawet niezłe po hiszpańsku. Maurowie ci starali się o utrzymanie krwi swój w czystości, i nie żeniąc się nigdy z kobietami arabskimi i z murzynkami z Sudan, nie stracili cery swój białej. Pięknyto, wysoki, dumny lud, pełen szlachetności w ruchach i obrazowości w mowie. Jeden z nich, sędziwy starzec z siwiuteńką głową, z powołania ulema przy kadim, to jest prawnik przy sędziu spraw cywilnych, podróżował niegdys, lat temu z dwadzieścia w Hiszpanii: był w Granadzie, Kordobie i Sewilli, i podziwiał pomniki stawiane ręką swych przodków. „Hiszpania wówczas chyliła się ku swemu upadkowi. Niezgoda taż sama, która nasze zniszczyła panowanie”, mówił stary ulema: „wkradła się w serca naszych nieprzyjaciół: brat brata zabijał!

Hiszpan sam nam torował drogę do swego kraju i byłby upadł i oddał nam nasze dawne posiadłości, gdyby nie szarańcza, co kraj nasz ze szczeniem zniszczyła, a potem głód i morowe powietrze, postępujące zawsze za szarańczą. Większa połowa ludności wymarła w państwie maugrebskiem (to jest marokańskim), statki nasze spróchniały w portach. Nakoniec przeklęty Frank opanował Algier i zniszczył filar Mahometa w Afryce, a wy *enzara* (chrześciance) angielscy, choć dziaurów nie cierpicie, nie chcecie dać upaść śmiertelnej naszej nieprzyjaciółce, Hiszpanii. Ale jesteście naszymi gośćmi i wyrzutów wam czynić nie będziemy. Owszem, proszę was z sobą do mego domu na wieczerzę. Spocznijcie pod strzechą potomka bohaterskiego wezyra Muzy, który nie chciał przeżyć upadku swojego kraju.”

Dom ulemy stał w południowej części miasta na szczycie małego pagórka, spadającego pochyłością południową wolno w dość głęboką dolinkę. Główny na ulicę wystawiony front nie odróżniał się niczem od innych domów. Na dwa był wzniesiony piętra, i ledwo kilka małych okien wyzierało na ulicę. Za głównym korpusem dopiero znajdował się wielki dziedziniec kwiatami obstawiony i pochyło schodzący od północy na południe. Tutaj stał drugi korpus domu przeznaczony dla kobiet. Frontem wyniesionym na dwa piętra obróconym był ku dziedzińcowi, ale w tym froncie mało było okien. Drogą podziemną, spadziłą ale czystą i lampami oświetloną, przeszliśmy pod drugim korpusem do ogrodu ulemy Ali-Sefer Efendego. Tu dopiero uszedłszy z 80 kroków zatrzymał się gospodarz, i zwrócił nas ku domowi. O dziwy! Ten dom, który ze strony dziedzińca tak był skromnym, niepozornym, przedstawił się teraz naszym zdumiałym oczom w postaci najpiękniejszego pałacu, na 4 piętra wyniesionego, z pysznymi oknami, ozdobionymi firankami, z gankami zastawionymi kwiatami. Na tych gankach siedziały na niższym piętrze jakieś podeszłe już matrony, na wyższych stały młodsze kobiety, a na najwyższych igrały młode dziewczyny.

Ali-Sefer Efendy sycił się widokiem naszego zdumienia, a potem nie mogąc już powściągnąć swego zadowolenia, chwycił się za swój dostojny brzuch, i zaczął się śmiać serdecznie: „Cha, cha, cha, cha! *Maszata, bismillah! oh engannio! oh sorpresa!* Ah widzicie Nazareńczycy, że istnieją jeszcze potomkowie Maurów granadeńskich! Cha! cha! cha! Nie spodziewaliście się tego? W tak skromnej skorupie tak piękny kwiat. Allah jest wielki; patrzcie jak spoglądają na was moje owieczki! jak ciekawe wiedzieć kogo im tu sprowadziłem. A teraz odwróćcie się jeszcze raz ku południowi i spojrzycie w górę na ten wał kamienny.

Istotnie ogród odgraniczony od przyległych wysokimi murami, oddzielonym był od południa niebotycznym wałem skalistym, stromą ścianą odnogi gór tetuańskich. Szumna kaskada spadała po spadzistości i żywiła wodami swemi cały ogród.

— Oh ulemo Ali-Sefer Efendy! piękność twego domu wyrównywa głębokości twego rozumu! Bóg jest wielkim, i dał swemu synowi wielkie szczęście. Niech będzie chwalonym przez dzieci Mahometa i dzieci Sidy-Aissy (Jezusa Chrystusa)! Niech będzie. — Tak odrzekł Al-Hamilt-Bey, i przyłożył rękę na serce i na czoło. I ja tak zrobiłem na znak, że dzieję uczucia mego towarzysza, a Maur przyjął to z rozczuleniem, i wzruszony uściskał nas obu.

— *Oh Allah! akbar! abu Emkadem!* Oh Boże wielki! ojciec naszych rodziców! czemuż już nie jesteś ojcem dzieci twoich dzieci? Kochać naszych bliźnich to nasza potrzeba, a my się wyrzekamy wspólnego pochodzenia. Lecz szlachetni Nazareńczycy! wielkie we mnie zaufanie wstąpiło dla was od czasu jak słyszałem, żeście życie wasze poświęcili dla cierpiących, że nie gardzicie żadnym bliźnim choćby w łachmanach chodził, i że kochając Boga jedynego, dla jego miłości puszczacie się w głąb tego kraju, gdzie niezawsze będziecie zrozumiani. Oh! Nazareńczycy! gdzieście czerpali wasze piękne uczucia, w jakiej księdze? w jakim przykładzie? Oh powiedzcie!

— Oh Ali-Sefer Efendy! sprawiedliwy sędzio! bracie nasz w duchu! w twojem sercu objawiają się wieczne prawdy, i w twym umyśle nie masz dla nich zapór! Oh wiedz, że w księdze pisanéj i w żyjących przykładach czerpiemy ludzkość, i pobłażanie, i pochop do czynów bezinteresownych! Oh wiedz o tém. Nauki Sidi Aissy żadna dotąd nauka zwalić nie mogła, bo jest wieczną i przetrwa istnienie naszej ziemi, i istnieje pomiędzy mieszkańcami wszystkich ciał niebieskich, tak jak wpośród serca wszystkich sumiennych ludzi! Oh Ali-Sefer! Bóg jest wszędzie, gdzie dobre jest serce i gdzie jest sumienie; bylebyś szczęścia twojego nie opierał na krzywdzie bliźniego, a już jesteś blizkim Boga i jego ukochaném dzieckiem. Niech będzie pochwaloną chwila naszej znajomości, i niech nigdy nie zatrze się w twojej pamięci, oh bracie Muzułmanie!

Tak wyrzekł z rozrzewnieniem doktor Hamilton, a nasz ulema zdjął swój haik, rozpostarł go na ziemi od wschodu ku zachodowi, usiadł na nim obmywszy się w fontannie i przez cały kwadrans odmawiał pacierze na różańcu, kiwając się i kładąc na ziemię.

Potém wstał, jeszcze raz się obmył, i rzekł do nas:— „A ile czasu potrzeba, oh! uczeni Nazareńczycy, żeby wszyscy mieszkańcy ziemi myśleli jak wy?”

—Tysiąc lat jest chwilą w porównaniu z wiecznością!

Jeszcze trwały z pół godziny podobne rozmowy; nareszcie zmierzchać się zaczęło.

— Niedługo muezzin zwoła ńa pacierze, a chciałbym was poznać z moją rodziną, to jest z memi starymi żonami i najmłodszymi dziećmi.

Na znak dany ruszył się ku nam wielkimi schodami ganek Igo i 3go piętra, podeszły matrony i młodziuchne dzieci. Wszystkie jedną miały wspólną własność: bystre, piękne i wielkie oczy. Oczy takie pozostają starym, i w młodych wczesnie władać zaczynają. Małe Maurytanki, a były podloty pomiędzy nimi, po pierwszy raz widziały chrześcian. Jedna złapała mię za rękę, i przeliczyła moje palce: raz, dwa, trzy, cztery, pięć; widzicie! pięć tylko palców! tak jak u nas, zupełnie tak. Inna chwyciła Hamiltona za poły od fraka i macała, czy tam nie ma ukrytego ogona. *Allah! maszala, bismillah!* tu nie masz ogona!—krzyknęła Maurytanka z zadziwieniem

Ulema śmiał się do rozpuku, i dzieci swe niewinne całował serdecznie, lzy wylewając rozkoszy. I my się od śmiechu wstrzymać nie mogli. Nareszcie odesłał całą swą rodzinę do seraju i kazał zastawić kolacją. Matrony pożegnały nas z godnością, dzieci podarowały nam kwiatki.

Baranina, kuskussu, napój sporządzony z wygotowanych winogron, kawa czarna i nargille, oto kolacja stereotypowa Maurów; nigdzie lepsza, nigdzie prawie gorsza.

Muezzin wezwał do pacierzy. Ulema pospieszył do meczetu, a my wróciliśmy do naszej brudnej żydowskiej gospody.

Ale Ali-Sefer Efendy znał się na rzeczy; wiedział, co nas najwięcej w tém okropnym miejscu trapić będzie, i przysłał nam arabskich kadzideł, dwie pyszne fajki z drogiemi bursztynami, wyborowego tytoniu i list zamknięty w jedwabnym woreczku, a adresowany do jego teścia, kasnadara cesarskiego w Maroko. Ulema Ali-Sefer Efendy był szwagrem dwóch młodych mirzów, których poznaliśmy w orszaku santona dworu JCMości marokańskiego.

* * *

Wracamy do Tangieru. Tą razą puszczaemy się w podróż w południe, by stanąć wieczorem w Fondaku i tam noc przepędzić. Mnóstwo pielgrzymów maurytańskich przyłącza się do naszej karawany: idą do Tangieru złożyć hołdy owemu santonowi, którego podziwialiśmy pięknym nagrobek.

Inny święty, ubrany od stóp do głów zielono jak czyżyk, z lancą zielono malowaną w rękę, prowadzi hufiec bogobojnych pielgrzymów. Należał on do sekty wesołych, krotochwilnych świętych: ci są najmniej szkodliwemi.

Raz biegł galopem, co tylko miał tchu i cały hufiec dalej za nim galopem; drugi raz padł na kolana i na nich czołgał się po skalistej ziemi, i cały hufiec dalej za nim na klęczkach. Potem znów na jednej skakał nodze, lub też biegł tyłem naprzód jak rak, i przytem najśmieszniejsze robił grymasy. Wszyscy pielgrzymi naśladowali go skrupulatnie. Santou nasz pochodził od Alego, tojest: był z rodziny do której należał Mahomet; dlatego też używał przywileju ubierania się w zielone kolory. Mahomet nigdy innego nie nosił.

Widok czterdziestu ludzi odbywających tak śmieszna, a razem niewygodną podróż, bynajmniej nie zadziwiał krajowców. Nasz kapudi odprowadzający nas do Tangieru, stosował krok swego konia do kroku pobożnych pielgrzymów, mówiąc: „Oni to czynią dla chwały Boga i jego proroka: strzeżmy ich od nieprzyjaciół.”

Przecież ku wieczorowi zmęczył się święty czyż, do tego stopnia, że z boleścią serca chodzić musiał jak każdy inny rozsądny człowiek.

Napotykalismy liczne karawany wielbłądów, idących z wnętrza kraju ze zbożem do Tetuanu, zkad je dalej wyprawiano morzem do Gibraltaru. Trzeba bowiem wiedzieć, że Anglicy ciągną całą żywność do Gibraltaru, tojest: pszenicę, ryż, bawoły, a nawet i inne surowe produkta, jakoto: skórę i jedwab surowy, kość słoniową, strusie pióra, gumę i koszenilę z państwa marokańskiego. Anglicy płacą Marokańczykom prochem, śrutem, towarami wełnianemi i bawełnianemi; ale towarami najgorszego gatunku, takimi, jakich nigdzie sprzedać nie mogą, jakich nawet Hiszpan nie kupi. Traktatem handlowym, zawartym między państwem marokańskiem a Anglią, Anglia zabezpieczyła Marokowi całość jego posiadłości, a sobie prawie wyłączny monopol handlowy. Mogliby wprowadzić Marokańczycy ująć tego niewygodnego dla nich traktatu i zawrzeć ściślejsze związki z Francuzami z którymi teraz graniczą, ale czuwa nad swemi przywilejami Anglia przez swego generalnego konsula i chmarę tajnych agentów, włóczących się z kąta w kąt po państwie marokańskiem. Anglia gdy pogrozi, całe morze truchleje: to ani słowa, a Francya nawet kiedy pobije, nie umie nic zyskać na morzu. Dowodem tego płonne owe zwycięstwa, otrzymane przez Francją na państwie marokańskiem w roku 1844. Francuzi upojeni sławą,

uszcęśliwieni z łatwych tryumfów otrzymanych na nieprzyjacielu prawie bezbronnym, działa bowiem jego pękały przy pierwszym lub drugim wystrzale; Francuzi, mówię, dla handlu swego nie korzystać nie umieli: zapomnieli na chwilę, że są kupcami. Potém dopiéro, gdy na rozstrzygacza sprawy powołana Anglia, skonfiskowała na swą korzyść zwycięztwo Francuzów, potém dopiéro ci ostatni przyszli do siebie, spostrzegli się, że już im nie przystoi grać roli bohaterów, kiedy od tylu lat przywykli iść za natchnieniem chwilowego interesu materyalnego.

Prócz Anglii, żadne téż mocarstwo europejskie nie jest godnie reprezentowane w państwie marokańskim. Konsul generalny francuzki obok angielskiego, nieodpowiednie swym zdolnościom i godności wielkiego narodu zajmuje stanowisko.

Związek celny niemiecki nie zabezpieczył sobie żadnego handlu z państwem marokańskim. Żadne mocarstwo niemieckie: ani Austria, ani Prusy nie utrzymują tu osobnego konsula. Szwedzki konsul ma się opiekować Prusakami, a angielski Hanowerczykami. Ale jak się uiszczają z tych obowiązków, to rzecz prawdziwie smutna. Niedawno okręt hanowerski przepadł tuż pod przystanią tangierską; nie mu nie pomogły: ani sygnały trwogi, ani téż flaga hanowerska dobrze tu rozpoznana. A parostatek angielski właśnie stał na kotwicy w przystani Tangieru, i przypatrywał się obojętnie trwodze, konaniu i śmierci swych dawnych niemieckich współbraci.

Stajemy nareszcie w Fondaku tuż przed zachodem słońca. Cała karawana mieści się w obszernym dworcu, otoczonym zewsząd portykami. Zawarto drzwi, rozkielznano konie, i zapalono kilka ogni. Cały tabor rozłożył się obozem. Byłto widok bardzo malowniczy, i byłby nas zajął jeszcze daleko więcéj, gdybyśmy rozumieli język tych Maurów i Arabów, podzielonych na grupy, siedzących z skrzyżowanymi nogami na piętach i rozmawiających z sobą tak żywo, a jednak z taką godnością i gracyą gestu, z wyrazem twarzy tak rozumnym i pojętnym. Zdawało się, że to posiedzenie towarzystwa uczonych, roztrząsających ważne jakie kwestye naukowe.

— Mosiek, powiedzno, o czém rozmawiają tak uczenie ci dobrzy ludzie?—zapytam dragomana narzeczem frankońskim, powszechnie tam używaném.

— Uczenie? o czém oni mogą uczenie mówić? o koniach i o mułach, o wielbłądach i osłach, o strzelbach i sztyletach, hurysskach i dżinach; o tém téż tylko rozmawiają, a o niczém inném—odpowiedział Mosiek.

— A nasz kapudi o czém opowiada tak długo, wzdychając i oczy przewracając?

— No, on opowiada historią jeszcze żyjącej babki swego nieboszczyka ogiera, który zginął w wyprawie przeciw Berberom; powiada, że ona miała 19 źrebiąt, że te znów miały 150 źrebiąt, i całą jego rodzinę żywiła źrebiętami, które potrafił utaić w górach przed okiem kapudan baszów, bimbaszów i baszów. On powiada, że ta babka posiadała łaskę proroka. No, on głupi, tak jak jego konie: *li estar stolto como si caballi!*—odpowiédź żyd, podnosząc ze wzgardą ramiona.

— Ale ten zielony święty, co tam prawi swym słuchaczom, którzy go tak nabożnie słuchają, i z zadziwieniem wołają: *Maszallah! Bis millah!* (o cuda! na Boga wielkiego)—powiédźno, co on prawi?

— Co on prawi? no! tamci głupi, a on oszust! Gdzie jeden, tam zaraz i drugi. Ten święty, ten bluźnierca mówi, jak raz przemienił się w ptaka, i poleciał do raju i widział jak wierni słudzy Mahometa używają rozkoszy. On dobrze wie że kłamie, ale wierzy w to, co mówi. Jak się jego oczy świecą! jak twarz jego rozpalona! *Guaj mi!* co on tam mówi o piękności niebieskich huryssek. No! on nawet już śpiewa o nich.

Istotnie święty, do żywego poruszony własną swą wymową, czy téż wspomnieniem doświadczonego widoku, wpadł w wyższy jeszcze zapał i zaczął śpiew jakiś do recytatywu podobny. Całe zgromadzenie odśpiewywało za nim ostatni wiersz każdej zwrotki, klaszcząc w ręce i wywracając oczyma.

— Mosiek! co oni śpiewają? Tłumacz, tylko dosłownie.

— On opisuje ze wszystkiemi szczegółami piękność widzianych w raju huryssek i tak mówi:

Cztery rzeczy były czarne:
 Włosy, brwi, rzęsy i źrenice,
 U niebieskich dziewic— oh!
 Cztery rzeczy były białe:
 Cera, biało oka, zęby i nogi,
 U prześlicznych huryssek— oh!
 Cztery rzeczy były czerwone:
 Język, usta, lica i dziąsła,
 U oblubienic raju Mahoma— oh!
 Cztery rzeczy były długie:
 Kibić, palce, ręce i nogi,
 U szczęśnych córek nieba— oh!
 Cztery rzeczy były okrągłe:
 Głowa, szyja, ramiona i kostka,
 U kwiatów wiecznego ogrodu— oh!

Cztery rzeczy były szerokie:
 Czoło, oczy, piersi i biodra,
 U aniołów przyszłego świata—oh!
 Cztery były wązkie i delikatne:
 Nos, brwi, wargi i palce,
 U najpiękniejszych utworów All—oh!
 Cztery rzeczy były drobne:
 Uszy, piersi, ręce i nogi,
 U naszych przyszłych żon—oh!

Na tém skończył śpiew swój czyżyk, i wpadł w zachwycenie. Słuchacze nakrzyczawszy się *oh!* nawywracawszy się oczu, poszli za jego przykładem.

Jaki szczegółowy program wdzięków! Trzeba przyznać, że święci mahometańscy znają się doskonale na powabach piękności.

Znów się zrywa rozmowa. Prawią o łowach i polowaniach, o rozmowach podsłyszanych dzika z lwem, i to z miną najpoważniejszą.

Istotne Maury i Arabowie, Turcy i Egipcyanie mają szczególny talent mówienia z ważną miną o drobnostkach, któreby w ucywilizowanych krajach zaledwie dzieci bawiły. Rozum ich jest prawdziwie jeszcze w dzieciństwie, a przesady religijne ścieśniają go i dziwiają w sposób trudny do uwierzenia.

Rozmowy rwały bezprzestannie do pierwszej godziny po północy. Nareszcie słuchacze zaczęli zasypiać jeden po drugim; mówcy widząc, że audytoryum śpi, zamilkli. Cały areopag zasnął na piętach, około tlejących się jeszcze ognisk.

Czyżyk zaś zawsze w pełnym ubraniu i z zieloną lancą od proroka mu daną w rękę, kucnął także na piętach, oparł się o mur portyku, zasnął i chrapał wcale nie jak dostojny święty, ale jak prosty mieszkaniec ziemi, który nigdy raję nie oglądał, chyba we śnie.

Wschodzące słońce wyrwało nas dość późno ze snu. Wiadomo, że im bliżej równika, tem mniejsza zachodzi różnica pomiędzy długością dnia i nocy. Dlatego też nocy pod gorącym niebem Afryki bywają dość chłodne, w bliskości gór nawet bardzo zimne: para bowiem wilgotna zawieszona w powietrzu krzepnie nocą, i nieraz zmarzły śron pokryje ziemię. Idziemy w pochód, ale z wielką ostrożnością przez bory i parowy, gdyż Berberzy zawsze do rozbojów gotowi, czyhają może na nas. Kapułan zatrzymywał całą kolumnę zdaleka od miejsc, gdzie się lękał zasadzki, i sam wyjeżdżał na bystrym koniu na zwiady, lub też wysyłał jednego lub dwóch żołnierzy. Wyznać potrzeba, że wszelkiego dokładał starania, aby nas

żywych i zdrowych do Tangieru przyprowadził. W miejscach niektórych obstawiał nas Maurami i radził nam zsiąść z koni i nie wystawiać się na strzały Kabyłów.

O małe ćwierć mili na prawo od drogi z Fondaku do Tangieru, leżą na wzgórzu ruiny murów starożytnego rzymskiego *oppidum* czyli warownej osady. Staraliśmy się uprosić kapudana, by nas do tych ruin zaprowadził; ale on żadnym sposobem zezwolić nie chciał, utrzymując, że te ruiny służą za kryjówkę Kabyłom i różnego rodzaju złoczyńcom, i że byłoby nieroztropnością wystawiać się na ich razy w sile tak małej, w jakiej się znajdujemy.

Pomimo wszystkich przedstawień nie zdołaliśmy się oprzeć chęci zwiedzenia tego starożytnego zabytku rzymskiej potęgi, i zobaczywszy go tak blisko drogi, daliśmy kucom naszym ostrogą i popędziliśmy ku ruinom.

Stary Maur widząc nas tak upartych, puścił się z dwoma żołnierzami za nami, prześcignął nas, zsiadł z konia tuż pod ruinami, przywiązał go do drzewa, i zwiedził z pistoletami w rękach, z jataganem w zębach wszystkie kryjówki, w których nieprzyjaciel mógł się ukryć; potem dopiero pozwolił nam się zbliżyć.

Byłto stos rozwalin ogromnych bloków sześciennych, kilkanaście kolumn rzymskich, częścią na ziemi leżących, częścią sterczących pomiędzy ruinami na wysokość kilku łokci. Wszystko prawie porośło grubym mchem i krzewami; tu i owdzie tylko stały jeszcze sklepienia trzymające się własnym ciężarem, bez żłaza i bez cementu. Ruiny te zaległy dość rozległą przestrzeń kwadratową, i w niektórych miejscach miały do 25 stóp wysokości. Żadnego nigdzie napisu odkryć nie byliśmy w stanie.

W całej téj okolicy pozostało wiele śladów rzymskiego panowania: monumentalne studnie, blokhauz, zwaliska wodociągów, które według zdania krajowców pochodzą od *Roumów*, tojest od Rzymian.

Blisko drogi prowadzącej ztąd do Tangieru znaleziono przed kilką laty konia ze spiżu, i kilku małych ludzi także ze spiżu (tak nasz kapudi nazywał owe statuetki), nawet kilka wielkich lamp z tegoż samego metalu. Wszystko to zostało na małe kawałki pocięte i potajemnie sprzedane żydom, landlującym starym metalem.

Cheliwości rządu marokańskiego trzeba przypisać, że tak rzadko wychodzą na jaw zabytki starożytności, świadczące o oświacie narodów zamieszkujących niegdyś Afrykę. Władze mające prawo przywłaszczania sobie każdej znalezionej rzeczy, nadużywają je nieraz

w jak najokropniejszy sposób dla wymożenia zeznań na nieszczęśliwych, posądzonych o odkrycie jakiego skarbu.

Bardzo niedawno zdarzyła się tutaj smutna historia. Lat temu kilka, gdy Alarby El Saïdy był baszą Tangieru i sprzedawał sprawiedliwość na wagę złota, zdarzyło się, że kawał gruntu dawno leżący ugorem, darowanym został w wieczną posiadłość podoficerowi dymisjonowanemu, który przez lat dwanaście służył walecznie pod sztandarami Jego Wysokości cesarza marokańskiego.

Dnia pewnego, gdy Mahomet grunt swój orał, i gdy jeden z jego przyjaciół zatrudnionym był w tenże sam sposób na swoim polu, lemiesz weterana trącił o naczynie jakieś kamienne bardzo dziwnego kształtu. Mahomet podniósł je z ziemi i widząc, że pozostało całém, schował je za siermięgę, myśląc, że mu się zda do czerpania wody w krynicy. Potém zaś wróciwszy z pługiem do miejsca na którym złożył swój haik, obtulił weń znalezione naczynie i wrócił do swojej pracy.

Ruchy rolnika nie uszły baczości jego sąsiada, i obudziły w nim podejrzenie, że tu nie idzie o próżny garnek, ale o naczynie napelnione pieniędzmi. Zazdrosny gaduła zaledwie wrócił wieczorem do domu, a już cała wieś wiedziała, że Mahomet znalazł skarb na swoim polu, i ukrywa go w swojej chacie.

Nazajutrz był właśnie targ w Tangierze. Mieszkańcy wioski Buamar znaleźli się tamże i rozpowszechnili wieść o odkrytym skarbie. Szpiegi donieśli ją zaraz upiększoną własnymi dodatkami do uszu chciwego Alarby el Saïdy, baszy Tangieru.

Nie spodziewając się żadnego nieszczęścia, Mahomet zatrudniał się na rynku sprzedażą przywiezionych na targ melonów, gdy dwóch na niego wpadło żołnierzy i zawlekło go przed baszę.

— Hultaju, myślałeś, że ujdiesz mego bystrego oka! Dalej, zaraz mi się przyznaj, ile było złota w tym garnku, który odkopałeś w polu—wrzaśnie na weterana gubernator.

Mahomet opowiedział rzecz całą, i zaręczał, że grosza nie było pieniędzy w kamienném naczyniu. Błagał baszę, aby się sam o prawdziwości jego słów przekonać raczył. „Poślej twe sługi do méj chatki: garnek wydanym ci zostanie, ale pieniędzy nie znajdziesz w moim domu.”

Basza wtrącił do więzienia biednego weterana i wysłał żołnierzy do jego domu. Ci wrócili z próżnym garnkiem i wymódz nie mogli na rodzinie Mahometa żadnego wyznania.

Basza Alarby srodze się rozgniewał.

— Słuchaj łotrzel — rzekł do weterana, — ja się nigdy nie mylę; wysledzę winowajcę chcącego okraść skarb cesarski, i dla odświeżenia ci pamięci, udam się do wszystkich środków. Dalej Szaszal — krzyknie do kata — syp temu zbrodniarzowi pięćset batów na podeszwy; batów tafiletowych rozumié się.

A trzeba wiedziéć, że w Tafilecie wyrabiają bizuny ostrokancianste, sławne w swym rodzaju.

Rozciągnięto biédnego Mahometa, zbito mu podeszwy na miązgę, ale nie wymożono żadnego zeznania. Odniesiono go napół umarłego do więzienia, i przytrzymano w niém miesiąc cały. Biédna żona żywiła go tymczasem tém, co pozostało w chacie; rząd bowiem nie utrzymuje więźniów swym kosztem. Rodzina doszła wkrótce do najwyższego szczebla nędzy. Nareszcie choroby wkradły się do rodziny Mahometa, nikt mu już nie przynosił strawy, i byłby umarł z głodu, gdyby nie stróż więzienia, który sam biedny, ulitował się przeciw nad losem więźnia, i żywił go własnym swym chlebem.

Mahomet stęskniony nie widząc ani przewidując kresu swych cierpień, rzekł do więziennego: „Słuchaj bracie, idź do baszy i oznajm mu, że będzie posiadał skarb. Dam mu wszystko co mam: niech mię tylko każe zaprowadzić do mego domu przez swych żołnierzy.”

Prowadzą Mahometa okutego w kajdany do Buamar. Tam dowiaduje się, że żona i dwoje dzieci umarło z głodu. Dwoje jeszcze pozostałych przyjął do siebie ów nieszczęsny człowiek, którego zadość i gadulstwo stały się przyczyną tak wielkich nieszczęść.

Gdy przybyli przed chatę, żołnierze chcieli wejść do niej wraz z Mahometem, ale ten oparł się temu, mówiąc: „dom każdego człowieka jest świętym. Czekaście tutaj, za chwilę będziecie mieli wszystko, co jeszcze posiadam”.

Wraca Mahomet na próg swego domu ze strzelbą w rękę. Żołnierze chcieli uciec. „Zostańcie!” zawoła Mahomet „daleka ode mnie myśl mszczenia się na was za doznane krzywdy.”

Potém przytwierdziwszy długi sznurek do cynгла od zamku, przeciągnął go poza kolbę i rzekł. „Powiedzcie baszy, że wszystko co jeszcze posiadam, jemu oddaję. Niech krew moja spadnie na jego głowę!”

I to powiedziawszy przytknął otwór od lufy do swojej głowy, i pociągnął za sznurek.

Strzelba wypaliła. Mahomet padł bez duszy na próg swego domu.

— Tak skołał Mahomet. Dobryto był żołnierz, służył podemną przeciw Berberom i zbuntowanym Udajom, i zawsze był walecznym i bogobojnym—dodał kapudi.—Teraz dusza jego błąkać się musi lat pięćset nim do rajy zajdzie Tak samobójców prorok karze.

— Kapudanie! a co mówił Alarby el Saïdy, basza Tangieru, gdy się dowiedział o śmierci Mahometa? spytał Al-Hamilt-Bey.

— Oh Sidi Tibib! o panie doktorze! gdy żołnierze oznajmili baszy co się stało, on odpowiedział: *awa?*

— Coto znaczy *awa?*—spytałem.

— To znaczy po arabsku: *czy to wszystko?* I na tém koniec. Nie! nie na tém był koniec—poprawił się kapudan—basza kazał przyjść Szaszy i wyliczyć żołnierzom każdemu po sto batogów prostych, a podoficerowi sto batogów Tafiletu. *Ibduah illah Allah!* Bóg tylko jest sprawiedliwym.

— *Ibduah illah Allah!*—odrzekł Hamilt-Bey—ale niech djabli biorą owe batogi Tafiletu. Dotychczas słyzałem tylko o daktylach i o jedwabiu z Tafiletu; widać, że wszystko w téj krainie jest wykwinne, nawet i baty.

— Oh Sidi Tibib! wszystko tam wykwinne to prawda. Sam doświadczyłem wykwinności batogów Tafiletu: mogę o nich mówić ze znajomością rzeczy—odpowiedział kapudan.

— Jakto? ty kapudanie, który jesteś *effendim* (szlachcicem) i *kapudim* (prawowiernym) i *serdenem* (oficerem), ty miałbyś być karanym batogami?

— A tak było w istocie. Będąc jeszcze młodym pragnałem odwiedzić grób proroka. By się godnie usposobić do tego zaszczytu, wstąpiłem na cztery tygodnie do klasztoru, i tam w skrusze, postach, modłach i obmywaniach czyściłem moję duszę. Ale czart zazdrościł mi świętości, i jednéj nocy, gdy się głodny spać położyłem, nasłał mi sen bardzo brzydki; ale wy nie pojmiacie straszności tego snu, o niewierne Nazareńczyki!

— Pojmiemy, kapudanie, tylko mów dalej—rzecze Hamilt-Bey.

— Otóż méj duszy głodem ciała trapiónéj śniło się, oh zgrozo! zem z okropnym apetytem jadł wieprzowinę. Zbudziłem się ze strachu, i nazajutrz zmartwiony plugawym snem, udałem się do naczelnego imana klasztoru, wypowiadałem się przed nim i prosiłem o rozgrzeszenie lub o wymierzenie kary.

— Oh dobry, wierny synu Mahometa!—rzekł do mnie sędziwy iman—sumienie tve jest drażliwe jak kwiat powoju i liść grochu

rajskiego! Dumny jestem z ciebie, niech się dzieje wola twoja, niech twa dusza znów stanie się białą jak haik proroka, i spokojną jak grób jego. Chodźcie tu o fakiry, muezzy, ulemy i imany! rozciągnijcie mi mego ulubionego syna, i wyliczcie mu na każdą podeszwę po pięćdziesiąt oblewanych batów! Ale niech to będą batogi Tafiletu, dla większej spokojności mego dobrego syna.

— I wzięli się do mnie z wielką gotowością—rzecze dalej kapudan—i wyliczyli mi sumiennie tak ucziwą chłostę, żem przez całe trzy tygodnie i kroku jednego na mych stopach ująć nie mógł. Do meczetu czołgałem się na kolanach i na rękach. Święte są batogi Tafiletu, gdy sprawiedliwie wymierzone, oh święte!

Kapudan skończywszy historią dobył różaniec z za pasa, dał ostrogę koniowi i oddalił się od nas ze sto kroków na przodek karawany, by się spokojnie wymodlić. Zbliżała się bowiem chwila *mogrebu*, to jest wieczornych pacierzy. Zielony święty znów zaczął skakać na jednej nodze, i cała falanga pielgrzymów za nim.

Takim jest człowiek! niejeden nie wie, że się znajduje w położeniu zazdrości godném, kiedy bierze batogi.

Już się zbliżamy ku bramom Tangieru, już minarety, reduty i armaty wyzierają na nas zponad wąwozu. Występujemy z wąwozu na piaszczystą płaszczyznę, i zaledwie tu stajemy, kiedy nas uderza widok bardzo osobliwy: karetą całą złożoną jak rydwan słońca i zaprzężoną ośmioma mułami przystrojonymi w jaskrawe pompony i kutasy, i ze dwunastu murzynów młodych i pięknych, ubranych w białe turbany i krótkie białe spodnie, z grzechotkami w rękę. U każdego tkwi przy pasie świecący kindżał, a u turbana puginał.

— Allah chu! up kaff! up kaff!—krzyknie kapudan i w największym pędzie powraca do nas.

— Up kaff! up kaff!—krzyczeli murzyni jak opętani, i cała karawana odwróciła się plecami ku karecie.

— Up kaff! up kaff! wrzeszczą wszyscy, i zwracają nasze konie tyłem do miasta.

Żyd i wielu innych padło nawet na kolana.

— To jakieś damy z seraju baszy jadą do kąpieli morskiej w karecie pewnego księcia niemieckiego. Na Boga! nie odwracajcie się, jeden z tych wściekłych czarnych rzezańców gotów przypaść, i przebić zuchwałego na miejscu—rzecze do nas Sir Antony S... , ten sam, którego w Tetuanie poczęstowano prętem.

— A cóż tu robi karetą księcia niemieckiego, sir Antony?—pyta Dr. Hamilton.

— Oto cała historia. Książę był w Tangierze w roku 1839, i przebywał tu nawet miesięcy kilka, nie wiem dla jakich powodów. Przywiózł tu z sobą dwie karety, wielkie, obszerne i ciężkie, i tak staroświeckie, że zdawały się należeć do wyprawy Noego. Władze Tangieru nie pozwoliły księciu przejeżdżać się w karecie, pod pozorem, że koła psują drogę. Istotnie nikt tu nie używa wozów, nawet do przewożenia amunicji do artylerji wałowej. Książę napisał do cesarza prośbę, aby mu wolno było jeździć w karecie, i przyrzekł w zamian za ten przywilej, wybrukować własnym kosztem główne ulice Tangieru.

Mulej Abder-Hamman raczył odpowiedzieć księciu niemieckiemu, że brukowanie ulic byłoby nowością, któraby mogła pociągnąć za sobą potrzebę mnóstwa innych reform; że zresztą może sobie jeździć ile tylko chce w karecie, byleby do niej nie używał kół: protektor bowiem wiernych powinien czuwać nad życiem swych poddanych, i nie dozwalać chrześcianom ani rozjeżdżać Muzułmanów, ani ich obryzgiwać błotem.

Osobliwa rzecz, że się Jego Książęca Mość niemiecka co do litery zastosować raczyła do polecenia cesarskiego. Zdjęto więc pudło z kół, zawieszono je sztucznie pomiędzy dwoma wielbłędami, i tak obwożono księcia i jego świtę.

Potém zaś książę opuszczając Tangier, darował jedną z karek piérwszemu baszy tojest gubernatorowi, podobno w zamian za pozwolenie wzięcia ze sobą kilku kuców berberyjskich. Basza kazał wyskrobać herby niemieckie, ozłocić całą karetę, zdjąć z niej koronę książęcą, zastąpić ją turbanem, i dziś używa karety i kół do przewożenia dam swoich do kąpieli morskich.

— A tak: *quod licet bovi, non licet Jovi* — dodał pan Weinstein, uczony Niemiec.

— Nadzwyczaj pan szczęśliwie zastosował przewrócone przysłowie, ale do jednéj osoby tylko: baszy bowiem dano tu przydomek *el buffari*, co znaczy to samo co *bos* po łacinie. Ale dalibóg nie widzę żadnego podobieństwa pomiędzy Jowiszem a drugą osobą—rzecze Sir Antony.

— I ja także nie—rzekł mister Whipright sekretarz generalnego konsulatu Anglii.

— Ah! wy Anglicy chcecie, żeby każdy dowcip miał matematyczną wartość—odpowié pan Weinstein z niecierpliwością—dlatego téż nazywacie każdy dobry dowcip *sztierlingowym dowcipem*. Nic dla was nie ma wartości, co na pieniądze zredukować nie można.

— Ale pański dowcip, to ani szylingowy, ani nawet groszowy, *upon my word*—rzecze ze zjadliwą spokojnością Sir Antony.

— Do takiego rozumu jak pański—krzyknie w największym gniewie obrażony Niemiec—to chyba można takim trafić sposobem, jakim ów święty tetuański trafił do pańskiego czucia.

— *Come! come! here Jam* (chodź! chodź! tutaj jestem) wrzasnie Sir Antony, i nie dbając o karawanę, skoczył z konia, zrzucił z siebie surdut, zawiązał rękawy od koszuli, i stanął w klasycznej postawie boxera:—chodź, odbiję się na tobie!

Niemiec nie stchórzył. Zsiadł z konia, i nie zrzucając fraka, bieży ku zapaśnikowi. Już się wszczyła bój, już nosy krwią się zalały. Ale wtém wrzeszczy kapudan z całej siły:—Allah hu! up kaff! hu! up kaff! (w imię Boga, odwracajcie się, odwracajcie się!)

Cała się karawana odwraca, i zapaśnicy się odwracają. Zape-
wne znów przechodzą jakie dostojne damy z rzezańcami, do podrzy-
niania gardła gotowemi.

Kapudan ciągle woła *up kaff!* i wytrzymuje nas z dobry kwadrans. Potém przybiega do sekretarza konsulatu i mówi: „Zaręczyłem baszy, że was wszystkich żywych i zdrowych nazad przyprowadzę. O życie wasze nie dbam, ale mi idzie o dotrzymanie słowa. Namów tych psów wściekłych, żeby się pohamowali w swym niegodnym człowieka gniewie. Gdy raz was przyprowadzę do konsulatu i uzyskam świadectwo żeście żywi i zdrowi, wtenczas Allah hu! rozbijajcie sobie głowy ku największej chwale Boga“.

Takiego Maur użył fortelu, by wstrzymać walkę zapaśników. Wsiedli przecież na koń z chustkami pod nosem.

Jesteśmy znów w konsulacie angielskim.

Maur czekał w dziedzińcu na swe świadectwo, odmawiał pacierze i obmywał się w fontannie.

Wręczono mu świadectwo. Maur nie przestając się modlić przeczytał „świadectwo, złożył je i wetknął za zawój. Potém nic nie mówiąc nikomu, tylko ciągle się modląc, wsiadł na konia, potrząsł pantoflami na znak że i pyłku ztąd zabrać z sobą nie chce, i wolno pojechał ku alcazarowi baszy.

To typ Maura purytana! fanatycznego, ale rzetelnego i honorowego, dla swoich zaś tylko ludzkiego. „Rozum mój dla całego świata, serce tylko dla moich współwyznawców”, oto dewiza tego rodzaju Muzułmanów. Niewiele znajdziemy podobnych jemu Maurów, mniej jeszcze podobnych pocziwemu ulemie tetuańskiemu; ale

za to wiele spotkamy w ciągu naszej podróży obłudnych, fałszywych, chytrych i okrutnych. Między Arabami więcćj znajdziemy ludzkich i gościnnych, a najpojętniejszych, najpracowitszych ludzi—po między Negrami Sudanu.

XII.

Podróż do Larasz. Wyjazd do Mogadoru.

Jakażto podróż zajmująca, pełna przygód różnego rodzaju! W kilka dni nagromadziłeś w twój pamięci zasoby myśli i uczuć, wystarczyc ci mogących na całe twe życie, gdyby nawet trwać miało jak najdłużej, żeby nawet kiedyś wlec się miało od dnia do dnia w towarzystwie istot niepojmujących ani twego zapału dla piękna, ani też wierzących w istność czystych, duchowych rozkoszy!

Tak patetycznie do siebie samego przemawiałem w pierwszej nocy po powrocie naszym do Tangieru, przechadzając się po belwederze konsulatu angielskiego. Noc była ciemna, księżyc nie był wszedł jeszcze, gwiazdy nie iskrzą się na niebie afrykańskiem tak jak czasem u nas w pogodną noc zimową, światła w mieście wszystkie pogaszone, tylko błyszczy w odległości światło Europy—latarnia morska Gibraltaru. Cicho wszędzie i głucho, tylko szumi uroczystym rytmem wielki ocean, i od czasu do czasu głos muezzina na minarecie śpiewa tęsknym tonem: *Hed Allah bismillah, uch liuli dagadir!* Co znaczy: Lepiej chwalić Boga, jak snu się oddawać.

Do mnie to przemawiasz dobry muezzinie?—Może i tu wyjątkiem jestem, może i tu sam jeden czuwać i tęsknić do tych lepszych czasów, kiedy wszyscy ludzie jednego chwalić będą Boga; i może wpośród was wszystkich Maurów i Arabów, renegatów i Europejczyków w tém mieście zamieszkałych, wierzę sam jeden w możliwość wyższego rozwoju ludzkości, opartego na miłości.

Ach! ten Maur, ten barbarzyniec, z jaką nas rzucał pogardą, z jaką dumą otrząsał swe pantofle i mówił: „ani pyłku unieść ztąd nie chcę, o dziaury!”

Zkąd twa duma o Maurze? Nie jesteś ani milionowym dobrokowiczem, ani też nawet baronem lub hrabią; jesteś tylko kapitanem spahów, a tyle masz dumy, o człowiecze!

Możesz dlatego dumnym, że twe sumienie spokojne, żeś ani razu nie uchybił prawom honoru, i prawdzie przez ciebie pojętej służył wiernie i statecznie?

Tak jest, zapewniłeś dlatego tak dumnym, że się czujesz lepszym od wielu innych bliźnich. Wynagradzasz sobie już na tym świecie twą wyższość. Ale duma zawsze jest rzeczą niezdolną, i nikt do niej nie ma prawa. Mądry dlatego nie, że w każdej chwili życia winien być przejętym uczuciem powinności, zaciągniętych swą wyższością względem bliźnich, głupi zaś...

Nie! zostawmy głupim dumę! Czémżeby pokrywali próżnią serca, płytkość rozumu? Zagadnięci o to i owo, czémżeby się bronili biedacy? W styczności z ludźmi serca, czémżeby pokrywali tępość czucia, niewiarę w szlachetne pobudki? Tak jest, zostawmy głupim dumę!

Marzenia moje znów przerywa donośny głos muezzina: „*Hed Allah bismillah, uch liuli dagadir!*”

Coto za piękny, zrozumiały język! *Liuli*, to znaczy *sen* i pochodzi zapewne od słowiańskiego *lulać*; a *dagadir* znaczy używać, *dogadzać* sobie. To prawie po polsku. Mieliliśmy kiedyś być spokrewnionymi z Arabami, kiedyś, kiedyś, bardzo dawno. Warto się nauczyć tak pięknego języka, i zrozumieć te długie rozmowy toczące się około ognisk. Ręczę, że więcej w nich myśli i rozumu, niż tam Mosiek upatruje. Żydzi maurytańscy nie umią bawić się czém inném, jak szacherką; co nie pachnie, nie trąci, nie zalatuje nadzieją zysku, to dla nich najmniejszego nie ma powabu. W wyższych sferach rozwija się u żyda szalona próżność: przepada żyd taki za ludźmi umięjącemi ją głąskać, choćby najniezgrabniej, choćby w sposób tego osła, co naśladował pieska. A gdy raz żyd maurytański stanie się w czémkolwiek znakomitym, och! wtenczas bądź zdrów: wtenczas nadmie się pychą jak gardłacz powietrzem, wtenczas upaja się swém znaczeniem, i staje się nieskończenie pocieszném stworzeniem. Chępliwość jego wszystkie granice przechodzi.

Takim jest żyd maurytański: zupełnie inny od naszego, który, jak to dobrze wiemy, brzydzi się szacherką, którego skromność w przysłowie weszła.

Allah bismillah! śpiewa znów muezzin na minarecie.

Bismillah, to znaczy chwalić: słowo pochodzące oczywiście z tego samego źródła, co słowiańskie *pomiłować*. Uczmy się tedy arabskiego języka; może w nim odkryjemy jakieś światu nieznanne źródła historyczne, może się z niego dowiemy, że nasz naród od bardzo dawna już istniał, i wiele złych czasów już przetrwał.

Trudno poznać zblizka interesujący naród arabski, bez znajomości jego mowy.

Żaden dragoman nie potrafi oddać znaczenia tych wszystkich tak subtelnych odcieni mowy, intonacyi i gestu, jakimi Arabowie ożywiają swe opowiadania, a które niewykonywane z południową żywością, lecz owszem z poważną jakąś gracyą, tém więcej mają powabu dla widza. Wszakżeż wiemy, że takt mazurka, jak ci go chłop polski zaśwista, lepiej ci odda ducha narodu, jak wszystkie dzieła uczone, pisane o jego charakterze, przyrodzie i posłannictwie. W przywyknieniach do pewnych zgięć intonacyi, i drobnych, mimowolnych poruszeń ciała, czujny etnograf znajduje nieraz z wielkiem zadziwieniem klucz ułatwiający mu odgadnięcie charakteru ludu. Z podobieństwa kwiatu, botanicy odgadują powinowactwo i przyrodę roślin; pień nagiąć potrafi ogrodnik i nieraz owocowi nadać kształt inny, ale kwiatu nie zmieni. Postępujemy jak botanicy: sądzmy o charakterze narodu z mowy ludu,—uczmy się po arabsku.

Postanowienia u niektórych ludzi, sęto nieubłagane wyroki, wyryte stalowym rylcem na sumieniu. Zaledwie téż kilka minęło godzin, a zaczęły w wykonanie wchodzić owe wyroki. *Ungue et rostro* wzięłem się do nauki arabskiego języka, czyli raczej jednocześnie do nauki dwóch arabskich narzeczy, któremi tutaj mówią. Maur bowiem tylko i Arab wyższego stanu, dalej lud w głębi kraju, mówi starym, czystym arabskim językiem; a lud na pograniczu morza, na 20 do 25 mil geogr. odległości od wybrzeża, mówi narzeczem tak nazwaném maugrebskiém, to jest zachodniém. Szkielet tylko téj mowy jest czysto-arabski, a jój reszta zanieczyszczoną mnóstwem słów beduińskich, ozdobioną kilkuset słowy hiszpańskimi w sposób tak niedogodny, że dobry Arab z wnętrza kraju nie jest w stanie zrozumieć mowy maugrebskiej. Nie wiem do jakiego języka mam porównać tę mieszaninę, tę zbieraninę narzeczy, niekiedy bardzo dziwno brzmiącą. Żaden z narzeczy słowiańskich nie przedstawia nic podobnego; dzisiejsza angielska mowa, córka nieprawna skandynawskich, teutońskich i frankońskich narzeczy, prędzej może służyć wyobraźni za punkt oparcia dla analogii. Największa część arabskich słów przeszła w narzecze maugrebskie i uległa zmianie w wymawianiu; imiona własne nawet. I tak: Maugreb nie powie *kandziar*, lecz *krandziach*; nie wymówi *Abdalah*, lecz *Abdelu*. — Pisowni język maugrebski właściwie nie ma; wszyscy *talibowie*, to jest uczeni (a takimi w tych krajach są ludzie umiejący czytać i pisać) umieją po arabsku i piszą czystym arabskim stylem; a jeśli wypadnie baszy, kademu lub ulemom ogłosić rozkaz jaki lub rozporządzenie ludowi, wówczas sekretarze tych dygnitarzy używają maugrebskiego narze-

cza, a liter arabskich i pewnych konwencyonalnych znaków pisarskich na wyrażenie owych świszczących i rżących tonów, które z beduińskiej mowy przeszły w maugrebską.

Łatwiej się nauczyć czytać, mówić i pisać nawet po angielsku, jak zrozumieć Anglika mówiącego po angielsku. Odwrotny zachodzi stosunek z arabskim językiem; dość łatwo jest zrozumieć Araba mówiącego czystą, wolną i pięknie brzmiącą mową, niebardzo trudno nią mówić jako tako, pisać nawet; ale czytać—oto rzecz najtrudniejsza: arabska bowiem pisownia, tak jak wszystkie wschodnie, nie posiada samogłosek; trzeba się zatem domyślać przy każdej spółgłosce, jaka samogłoska, lub nawet jaki dyftong, może poprzedzać lub następować po spółgłosce. Ludy wschodnie, najbliższe kolebki rodu ludzkiego, idąc za naturalnym rozwojem umysłu i rzeczy, nie pojmowały, żeby kto mógł mieć potrzebę pisania językiem, któregooby dokładnie nie znał; a będąc obdarzone wyższą wyobraźnią, uważały za rzecz łatwą domyślić się samogłosek z układu spółgłosek i z sensu. Im więcéj z postępem cywilizacji pamięć ludzi obciążać się musiała, im więcéj ludy oświecone szukać musiały w zmianie i różnorodności tonu żywiołów ułatwiających pojęcie rzeczy, tém więcéj odstępowano od pierwotnej wymowy i pisowni. Arab, którego język nie jest tak bogatym w słowa, jak bogatym w obrazowości, którego wyobraźnia jest w ciągłym stanie czujności, łatwo przeczyta, co inny w jego języku napisze bez samogłosek; lecz cudzoziemiec nieznający całego zasobu słów arabskiego języka, a chcący go się nauczyć, nie może się obejść bez grammatyki, chrestomaty i słownika, umyślnie dla Europejczyka pisanych, gdzie samogłoski przed i po spółgłoskach istniejące, zastąpione są kropkami i znaczkami przed i po spółgłoskach umieszczonemi. Inaczéj wpadałby w *qui pro quo* nieskończone. I tak naprzykład litery: *k*, *d*, dwie spółgłoski, mogą znaczyć *kadi* czyli sędzia, lub *ukda* czyli kupiec (co nie wszędzie jest jednoznaczném), lub téż *ikud* przepaska, lub *ukda* przedzój. Jak tu wybrnąć z trudności nie znając doskonale języka, nie będąc obdarzonym ciągle czujną wyobraźnią, lub słownikami umyślnie dla Europejczyków ułożonemi?

Szczęściem, że nie brakło w konsulacie angielskim wszelkiej literackiej pomocy: słowników, grammatyk, biblij tłumaczonych na arabski i maugrebski język, przytém dobrochętnych sekretarzy i dragomanów, którzy widząc mnie pracującego z usilnością, pomagali mi dopiąć zamierzonego celu. Anglik o ile brzydzi się gnusnością, o tyle szanuje pracującego. Tę sprawiedliwość chętnie mu oddaję,

i przytém pozwalam sobie odgadnąć, czemu naród niemiecki, pewno nie-bardzo szczytny w swych tendencyach politycznych, lepiej przypada do gustu Anglikom, jak inny naród dalej mierzący, a sięgać nieumiejący wcale.

W zadanėj sobie pracy, przerywanėj tylko wycieczkami na brzeg morza, wizytami coraz częstszemi do chorych Europejczyków, żydów i Maurów, ubiegło mi dni dziesięć. Al-Hamilt-Bey spędził je w tenże sam, co i ja sposób. Pomagał mi w uczeniu się arabskiego języka, który znał dość dobrze, maugrebskiego zaś uczył się razem ze mną. Rzecz zastanawiająca, że pomimo znajomości arabskiego, maugrebski język szedł mu daleko trudniej jak mnie, świeżemu zupełnie orientaliście. Ale w nauczeniu się języków trzeba mieć resztki owėj młodocianėj pamięci, na której gruncie wszystko się przyjmuje, wszystko chętnie wybuja.

Basza Tangieru radził nam czekać spokojnie odpowiedzi z Maroko, upewniał nas o dobrych chęciach syna cesarskiego, i zaręczał, że odpowiedź niebawem nadejdzie.

Nie mylił się basza. Spadła błoga rosa firmanów na niego, na nas i na konsulat angielski. „Wyglądamy was z wielką niecierpliwością, o wielcy życiodawcy *Tibiby* (to jest lekarze); spieszcie, bo wojska nasze ślepną, i zaraza ciągle się rozszerza po kraju, jak mgły wlejące się po stopach Atlasu. Nasz wierny sługa basza Tangieru ułatwi wam pochód do El-Arrasz, wam i waszym najemnikom, i waszym niewolnikom (których dajemy wam prawo zakupić dwie sfory na czas waszego pobytu w naszym państwie). W El-Arrasz czeka na was w przystani nasz bryg wojenny o 12 działach, zwany Jussuf Marabu, i na nim udacie się do Mogador, dokąd karawana i liczny poczet janczarów i spahisów wysłane zostały na wasze spotkanie. Władze nasze mają polecenie przyjmować was z czią przynależną temu firmanowi, który wam wręczony zostanie przez naszego dragomana i do waszych usług przeznaczonego przewodnika Soliman Simoni, człowieka naszych i waszych języków świadomego, i w sto worków szekieli na wydatki opatrzonego. Allah niech was wiedzie, i prorok niech wam sprzyja tak, jak my wam sprzyjamy, o angielskie *Tibiby*. Pozdrowienie wam! Bogu jedynemu chwała.” Te podpisał słowa szeryf Sidi-el-Mamuhn syn cesarski.

Pan Drummond-Hay konsul generalny angielski przytomny w chwili wręczenia nam firmanu, prosił, abyśmy obejrzawszy pieczęć, złożyli pismu królewicza, przed przeczytaniem go, należne *salemaleki*, to jest hołdy. Później zaś pomógł nam zrozumieć dokładnie sens

i duch pisma. „Wszystko dobrze—rzecz konsul do Solimana Simoni, renegata genueńskiego—ale czemuż karawana ma czekać na tych panów w Mogadorze, a nie w bliższym, o dziesięć mil od Maroko porcie Saffy, w porcie, który zarazem od El-Arrasz jest o 20 mil bliższym. Czemuż omijacie Saffy i nadkładacie sobie 25 mil drogi?

— To jest tajemnica, którą jednakże, znając dyskretność Anglików, nie waham się panom wyjawić—odpowiść Genueńczyk śmiało i czystą angielszczyzną. Cały prawie dystrykt pomiędzy Saffą i Marokiem został pochłonięty przez syna cesarskiego w ostatniej wyprawie przeciw zbuntowanym Mahasniom. Książę mój pan chciałby jak najlepsze dać wyobrażenie o kraju gościom tak dostojnym i użytecznym, i dlatego życzy sobie przeprowadzić panów przez najpiękniejsze okolice.

— Co to znaczy *a Swallowed district*—dystrykt pochłonięty?—zapytam pana Simoni. Ale pan Simoni milczał.

— To znaczy prowincya po ojcowsku ukarana: kraj, którego ludność męzka i palmy męzkie zostały wycięte, domy spalone, najlepsze grunta solą obsiane, trzody uprowadzone, a dziewczęta najokropniej pogwałcone—odpowiść za pana Simoni konsul angielski.

Przy tój sposobności dowiedzieliśmy się także, że ów santon który nas przywiózł do Tangieru, strachem ogarnięty po śmierci majtka angielskiego, umknął nie do Maroko do syna cesarskiego, lecz do Mequinezzy stolicy letniej samego cesarza, gdzie właśnie Abderhaman przebywał. „Pomimo całej świętości santona rzecz byłaby się nie skończyła bez dobrych bizunów tafiłetowych, gdyby wola syna cesarskiego mogła być wykonaną względem porwczego santona. Teraz zasłaniają go promienie tronu cesarskiego, a trzeba wiedzieć, że santon jako fanatyczny starowierca mahometański, w wielkich jest łaskach u Najwyższego Pana”—zareczał nam Soliman.

Za dwa dni postanowiliśmy puścić się do Laraszu (El-Arrasz). Korzystając z dobrodziejstw firmanu, kupiliśmy sobie po sforze niewolników. Sfora składa się ze czterech ludzi, *palankin* czyli lektykę dźwigających i z piątego przewódcy do wyższych usług zdatnego. Przytém każdy z nas miał służącego Europejczyka: ja Hiszpana, Al-Hamilt-Bey Anglika. Mosiek w najczystsze suknie przybrany służył mi za dragomana, towarzyszowi zaś konsul angielski pożyczył jednego ze swoich.

Na podróż tę i na cały pobyt w Maroko, przybraliśmy, idąc za radą i prośbą pana Simoni, strój nowożytny turecki, to jest fez opatrzoną brylantowym znakiem dygnitarskim i zawojem zasłaniającym nam

włosy, surdut mundurowy zielony dość jasnego koloru, na pierśiach spięty haftkami, z kołnierzem i mankietami bogato złotem haftowanemi; biały haik czyli ogromny szal, służący zamiast płaszcza, przybrać musieliśmy przy naszym europejskiem obuwiu, przyjetém już ogólnie w wojsku tureckiem, egipskiem i tunetańskim, jako téż przy europejskich szerokich białych lub karmazynowych szarawarach. Strój ten choć mało od europejskiego różny, sprawiał nieskończenie miłsze wrażenie na krajowców, niż owe kapelusze z szerokimi rondami, owe ciemne surduty i spodnie, noszone tutaj przez Europejczyków. Maur, Arab, Beduin i w ogólności Mahometanin nienawidzi ciemnych kolorów, i dlatego każe je nosić żydom, by na nich ściągnąć przekleństwa ludu. Anglik znów jest zadumny i nie ugnie się przed żadną modą kraju w którym żyje; reszta zaś narodów zwykła chronić się pod potężne skrzydła angielskie w krajach barbarzyńskich. My jednakże choć *angielskie tibiby*, puszczając się w głąb kraju, wiedzeni szczerą chęcią niesienia ulgi wszystkim bliźnim, niezasłепieni żadnym przesądem, poświęciliśmy nie z wielkim bólem serca owe nieocenioną korzyść wyglądaną jak kruk pomiędzy pawiami. Sam konsul angielski, zważywszy wszystkie niedogodności wyniknąć mogące z upierania się przy stroju europejskim, nakłaniał nas do poświęcenia naszych fraków i kapeluszy na ołtarzu ludzkości i nauki; ale konsul francuzki widząc nas przebranych za nowożytnych Turków zgorszył się do tego stopnia, że nas witać nie chciał. Komu téżto potępiac owe ugięcie się przed nieubłaganą koniecznością? Owemu narodowi, którego generałowie zjadali niegdyś węże i żmije, i wyrzekali się religii dla przypodobania się krajowcom!

Basza Tangieru pożegnał nas na uroczystej audyencji. Wyruszamy do Larasz.

Raz wyszedłszy z licznych ogrodzeń otaczających miasto, obszerny krajobraz rozwija się przed naszymi oczyma. Na wschód piętrzą się żyzne i dobrze uprawne pagórki, około stóp dość wysokiej góry Anzera. Od południa i zachodu odgranicza widokrąg świetny Gibil-Habib, łańcuchy zwane Beni-Husna i Beni-Hassen, któremi wstępuje dumny Atlas w Atlantyk. Szczyty jego świecą jak purpurowe dyamenty w wschodzącém słońcu.

Rozkosznym był ten poranek. Fawony morskie bujały w powietrzu i chłodziły nam skronia rozpalone widokiem tak rześkiego światła, spadającego ze słońca, z gór i z obłoków na ziemię.

Już i do piérwszój wsi, oddalonój o pół milki od Tangieru, wstępujemy. Nazywa się Suany, i składa się z siedmdziesięciu nędznych lepianek, trzciną i gniazdami bocianów pokrytych. Nagie dzieci igrały tu swobodnie z temi świętymi ptakami, na spiekłych łąkach pały się liczne ale chude stada, a pastuszek nucił sobie tęskną piosnkę na piszczałce, sporządzonój z trzciny cukrowej.

Szeikiem, to jest wójtem téj wsi był Abdallah. Nazywano go Hadzi Abdallah, pielgrzymem Abdalah, dlatego, że zwiedził Mekkę i Medynę. Zdaleka widział nas zbliżających się w licznej karawanie, widział i firman cesarski, niesiony wraz z zielonym buńczukiem na wysokości żerdzi przez janczara; przyszedł złożyć hołdy buńczukowi, ofiarować nam pomoc i błagać, byśmy choć chwilę spoczęli pod jego dachem, *i pamięcią wyswiadczonego mu zaszczytu, osłodzić zechcieli jego i jego rodziny przyszłość.* I to było powiedziane z ujmującą serdecznością, a bez wielkiej przesady, bez najmniejszej teatralności. Wy nie dacie wiary temu, o wy dzieci dzisiejszój cywilizacyi!

Wstąpiliśmy do szeika i powitali jego rodzinę, i mleka się napili, i fajkę przyjacielską wypalili.

Arabski wieśniak, zupełnie się różni od Maura mieszczanina w swojém pożyciu domowém. Przypuszcza do siebie gościa, i to nawet bardzo chętnie. Zazdrosnym nie jest. A to dlaczego? Rzadko kiedy więcéj ma jak jedną żonę, może sobie tedy zaufać. Wielożeństwo jest może w interesie naszych zmysłów, ale pewnie nie w interesie naszego szczęścia.

Droga nasza gliniasta, upałem rozgrzana, pęka się czasem pod stopami naszych koni, i tworzy nieraz bardzo głębokie i szerokie szczeliny, w którychby nietrudno było kark złamać. Później, gdy przyjdą ulewy, szczeliny te znów się napełniają splawionym piaskiem i gliną, droga staje się dobrą na czas niejaki, nim ją znowu upały nie wysuszą.

Tu i owdzie jednakże widzimy całe łany pięknej i urodzajnej ziemi, pokrytój kukurydzą lub téż prosem indyjskiém, tak podobnym do naszego prosa, jak pszenica turecka do naszój.

Jesteśmy na szczycie wysokiego pagórka, zwanego Baharem, czyli pagórka dwóch mórz. Istotnie ztąd odkrywasz i Atlantyk i morze Śródziemne. U stóp południowego pagórka, rozsiane liczne lepianki, otoczone ogródkami i żywym płotem, wybornie utrzymywanym. Ci dobrzy ludzie kochają się w wegetacyi, lubią co Bóg stworzył pięknego, choć nie są chrześcianinami. Cze-

muż nie wszystkie chrześcijańskie ludy lubią sadzić drzewa, pielęgnować je i szanować u sąsiada?

Ale już nas spostrzegł szeik *duaru*, już bieży ku nam z pełną misą mleka w rękach. Zgrzybiały to starzec, bieluteńką ma brodę, ale patrz jaki wyraz dziecinną radości na jego licach: on nas wita jak swoich synów, choć nas nigdy w swém życiu nie widział i widzieć już nie będzie. *Allah bismillah, Allah bismillah dżemmar tekeden!* Bóg niech będzie chwalonym, Bóg wszystkich dobrych ludzi niech będzie chwalonym! — wykrzyknąłem z rozczuleniem, przykładając rękę na bijące serce.

— *Dżemmar tekeden bismillah Allah idahn!* Dobrzy ludzie chwalą tego samego Boga! — rzecze starzec i klęka przed nami prosząc, byśmy mleka skosztowali. Oh Boże! w chwilach zmartwienia racz mię pocieszać wspomnieniem podobnych rozkoszy!

— Pokój niech będzie na twój drodze, Allah! — rzekł do mnie szeik Baharemu żegnając się z nami.

Starcze, czyś ty przewidział co mię na tym świecie czeka?

— *Salamu alikuhm!* Pokój z tobą! długo tętnić będzie w mojej duszy.

Znów inna wieś maurytańska. Tu już młóca zboże na wielkiem klepisku brukowanym marmurem i zupełnie podobnem do tego, któreśmy będąc w Ayamonte w Andaluzji po pierwszy raz widzieli i w drugim rozdziale tej pracy opisali. Tylko klacze i zrebięta użyte są na ten cel w Maurytanii. Wieśniacy sami, ubrani jedynie w małą krymkę czerwoną lub turbanik, i w koszulę, zdejmują zawsze religijnie swe obuwie wchodząc na bożowisko. To grunt dla nich święty. Nie lubią taksować naprzód możliwego przychodu ze żniwa, ani też na podobne zapytania nie odpowiadają inaczéj, jak słowami: „Co Bogu podobać się będzie.”

W ceremonie religijnej, nawet w takiej, które się duchowi islamizmu wprost sprzeciwiają, wierzy ten lud z nadzwyczajnem zamiłowaniem. I tak zażegnawanie ozimin, odbywające się tutaj w środku lutego, tchnie zupełnym poganizmem. Lalkę jakąś za kobietę przebraną oprowadzają z wielkim krzykiem i hałasem, z wyścigami i złorzeczeniami po polach, a to dla odstraszenia *dżinów* czyli złych duchów, spiskujących przeciw pracy rolniczej. Zdaje mi się, że ten obrządek religijny istniejący już w Grecyi za czasów Sokratesa (jak świadczą ekonomiki Xenofonta), wymyślonym

kiedyś został dla dobra rolników; doświadczenie bowiem przekonywa, że ozimina przydeptana, później piękniej wybuja i bogatsze daje plony. We Francyi i Anglii przygniatają oziminę niezmiernymi walcami z drzewa, do których częstokroć ośm koni przyprzęgają. Tutaj w Maurytanii przygniatają ją poprostu nogami, i służąc zabobonom nie wiedzą, że materyalną korzyść ztąd odnoszą.

Przebiegamy rozległe grunta zwane Ain-Dalla, krynicą wina. Dawniej tu istotnie pysznie i sławne uprawiano winogrona, ale sława przetrwała ich istność. Dziś prócz kilkuset dziko rosnących krzaków dzikiego, ale nadzwyczajnie smacznego wina, nie ma nic, coby przypomnieć zdołało dawną wziętość win okolicy Ain-Dalla. Duar arabski złożony z chat z palmowych lilij skleconych, zostawiliśmy na prawo; wstępujemy w urodzajną dolinę, przērznietą rzeką Mhana, dążącą szybkim pędem od stóp Atlasu do morza. Zdaleka wygląda ta rzeka jak srebrna wstęga obszyta purpurowemi ślakami; róże laurówce rosnące w nadzwyczajnej obfitości po jej brzegach, dają jej to podobieństwo.

Rzekę wpływ przebyliśmy, i z drugiej strony, poza pięknymi łąkami, wstąpiliśmy odrazu, bez najmniejszego przejścia w obszerną dolinę piaszczystą, zwaną Vaa-Ermel, to jest jeziorem piasków. Po tych piaskach bujało kilkanaście dzieci arabskich uczących się jeździć na tegich, jak błyskawice szybkich koniach. Rumaki te choć także bardzo młode, po największej części miały nogi przednie i tylne żelazem rozognioném wypalone. Nie ujmuje to koniom wartości w tych krajach, owszem, dla wzmocnienia nóg, już za młodu przepalają im w sposób nam znany skórę.

Jeziro piaszczyste zaczyna się nagle, lecz przejście kończy się powoli u stóp pasma gór Dar el Klan, i odgranicza widok od wschodu na zachód wcale stromo i spadzisto. Ścieżka nasza wila się pośród borku karłowatych dębów, złotojeści, laurów z białemi i czerwonymi kwiatami, żółtych jałowców, indyjskich mącznic i myrtów. Zdaleka doszedł nas nieznośny zapach gnijącego ściernia; wkrótce potem spostrzegliśmy trup wielbłąda, leżący napoprzek skalistej ścieżki.

— Sza! sza! — krzyknął na nas janczar przewodniczący karawanie — stójcie!

Zsiadł z konia, powierzył żerdź z firmanem innemu janczarowi, zdjął z siebie *gelab* to jest płaszcz żołnierski, i przybli-

zał się do ścierwa wielbłądzego wolnym, ostrożnym krokiem, zachodząc z tyłu. Naraz jeden rzuca się janczar na zdechłego wielbłąda, przykrywa brzuch jego płaszczem i woła: „teraz chodźcie, złapałem *tabiba* Jussufa i jego żonę.” Nadchodzim. Istotnie w brzuchu wielbłąda znajdował się czerwono+złocisty szakal ze swą samicą. Arab lubiący przedewszystkiem malowniczość, nazywa szakala z przyczyny jego mądrości *tabibem* to jest uczonym; nie wiem czemu mu daje imię Jussufa, Józefa.

Szakal (*canis aureus* L.) jest gatunkiem psa, choć się żywi nie tylko ścierwem, lecz także daktylami, winogronami i innymi jagodami. Szczególna rzecz, że Arabowie, którzy się brzydzą już samym widokiem wieprza, nie jedzący nawet nigdy mięsa z dzika, uważają mięso szakala za wielki przysmak. Biedne stadło złapane w brzuchu nieboszczyka wielbłąda było dla nich wielką zdobyczą. Wyciągnięto naprzód z brzydkiej kryjówki *tabiba* i uduszono go niemiłosiernie; trudniejsza była sprawa z *tabibową*: bronila się zacięcie i pokasała kilku Arabów, musiano ją tedy zastrzelić.

Widziałem nieraz w Afryce, mianowicie w Algieryi stada szakalów dochodzące do sześćdziesięciu sztuk, postępujące trop w trop za karawanami i za wojskiem, rzucające się z wielką wściekłością na bydło rogate, na wielbłądy i na konie. Szakal jest prawdziwym krukiem czworonożnym. Wszystko pożre co się nawinie, odkopuje nawet trupów jak hyena, a w razie głodu pożre siodła, uzdy i buty, i co nie zje, to z sobą uniesie.

Około godziny 10tej skwar słońca tak nam dokuczać zaczął, że musieliśmy zatrzymać się na spoczynek w części lasku, najwięcej dającej cienia. Rozpięto namioty, nadęto powietrzem naszą podróżną pościel, przekonawszy się wprzód, czy w bliskości nie ma węzów lub żmij. Arabowie, Berberzy i Murzyni wzięli się do rozniecenia ognia, wypaproszyli szakalów i uwinawszy w ich skórę *comber*, piekli go w gorącym popiele z wielką zręcznością. Prostato była polowa kuchnia, ale wcale praktyczna: ani jeden atom z aromatu szakalowego w niej nie zaginął. Sporządzono także kilka podplomyków z mąki *maissowej*, nareszcie i kawę czarną. Bal to był wielki dla naszych ludzi. Po uczcie nastąpiły pogadanki i trwały godzin kilka. Około czwartej po południu zrywamy się. W pięć minut konie nasze były osiodłane, namioty zwinięte i na wielbłądach przytroczone.

W tym czasie jeden z Arabów, który był przy nas, powiedział mi, że szakal

Wkrótce ukazały się znów brzegi oceanu, od groźnych mass bazaltowych przylądka Spartel aż do starodawnego miasta Arzilla. Za Kartagińczyków zwało się to miasto Zilia, za Rzymian zaś Julia Traducta. Później należało do Gotów, do Arabów, do Portugalczyków, a od końca XVIgo wieku odstąpione Mauróm, znikczemiało w ich niedbałych rękach i stało się stosem rozwalin.

Morze wyzierało poza piaszczystém wzgórzem śnieżnemi falami, ginącemi na szerokiem wybrzeżu. Scieszka nasza spadała stromo w rozległą płaską dolinę, pokrytą wysokim maissem i bujném prosem. Doliny téj grunt zaniesiony tu deszczem z okolicznych pagórków, stoi rok rocznie, podczas dni przeszło czterdziestu, pod wodą. *Liali* czyli dėszcz wiosenny, przez 40 dni prawie nieustający, żywi wówczas i użyznia grunt téj doliny. Wówczas także ujrzysz tu tysiące żorawi, czyli jak ich Arab nazywa, *panienek* Numidy, tysiące purpurowych flamingów, wyglądających zdaleka jak armia janczarów cesarskich.

Rzeka Kholi wiję się półkolistemi kręgami w dolinie; powiedzialbyś, że to ów wąż olbrzymi, którego legiony Regulusa za ledwie zwalczyć zdołały. Krajowcy utrzymują, że ta rzeka żywi w swych nurtach krokodyle. Nawet niedawno temu, kuryerowi baszy Laraszu, dążącemu do Tangieru, i przebywającemu wpław tę rzekę, urwał potwór taki całe ramię. Zapewne to będzie sprawka rekina, przybyłego z morza, gdyż w żadnej z rzek tego kraju nie znaleziono nigdy krokodyla.

Już wstępujemy w sławne wąwozy Garbea. Grunt ich czerwony jak cegła, zawiera mnóstwo prześlicznych muszli, które skamieniałe leżą tu od potopu.

Liczne plemię Arabów zwane Ulad-Sebaïta, koczuje w tym dystrykcie raz tu, drugi raz tam, ale zawsze w pewnych czasach na dolinie, a w innych na wierzchołkach gór. Tą razą wznosiły się ich namioty na wzgórzach, pomiędzy krzewami janowcu (*genista*) koleczastego, żółtego jałowcu i palmy latanowój, strojnój w piękne liście, kształtu wachlarza.

Tutaj pasły się liczne trzody dzielnych synów Sebaity, sławnych z męstwa i z cnót domowych. Doliny zasiane były pszenicą i jęczmieniem. Kłosa były ogromne, słoma tak prawie grubą i wyższą jeszcze jak trzcina. Słomy nawet nie zbierają nigdy po ścięciu kłosów za pomocą sierpa: słoma się pali na miejscu, a popiół jęj służy za jedyną zaprawę temu błogosławionemu gruntowi, na którym wszystko się udaje: owoce Europy i zwrotni-

kowe ziarno. Nic nie jest w stanie wyrównać sile wegetacyi tego kraju w miejscach, gdzie jest podostatkiem roślinnej ziemi; a najpiękniejszego ptastwa chmary wyrrywają się za każdym krokiem spod nóg naszych.

Kuropatwa berberyjska (*tetrao rubicollis. Gen.*), z dziobem, szyją i nogami purpurowemi, skrzydłami lazurowemi, mniejsza jak nasza, lecz tłściejsza jeszcze, znajduje się tutaj w trudnej do uwierzenia ilości. Rzadko się zrywają z ziemi, lecz biegną całemi stadami krzycząc i pomagając sobie skrzydłami. Arabowie szczują je konno i psami, i zmęczywszy je, zabierają żywcem całemi kopami. Tyle jest tych przeslicznych ptaków, i tak łatwo na nie polować, że prawdziwie nawet zadowolenia w takim polowaniu nie masz. Od jednego z mych wystrzałów, padło ich dziewięć, a pan Simoni zabił siedmnaście od jednego razu.

— Prawo Mahometa zakazuje wycępać więcej zwierzyny, niż użyć jęj możesz na zaspokojenie twego głodu!— rzecze do nas stary jakiś sędziwy pastérz, trzymający nowonarodzone jagnię w swych ramionach.

Pasterze Barbaryi i Wschodu większą mają odpowiedzialność jak nasi. Ciągłe powinni czuwać nad bezpieczeństwem swęj trzody, miesiącami całemi pozostają w miejscach odludnych i daleko od towarzystwa swych bliźnich. Pastérz swą trzodę kocha jak ojciec, i od nięj jest kochanym nawzajem. Tu łatwo pojmiemy słowa pisma świętego: „Jako pastérz paść będziesz swą trzodę, i nosić w twych ramionach nowonarodzone jagnię; do łona go swego przytulisz, i opiekować się będziesz temi, które karmią. Ja jestem dobrym pasterzem, ja znam mą trzodę, i owieczki me znają mnie także.”

Wymowneto słowa, choć tak proste!

Często także pastérz zrywa gałązkę i skinie nią na swą trzodę, by ją zachęcić do biegnięcia za nim. Z owieczkami swemi rozmawia i każdęj daje nazwisko. Jak pastérz Dawid procę nosi w swym ręku, i nią dzielnie godzi.

Znów inna rzeka dążąca do morza, zwie się rzeką *młynską*, choć żadnego już nie obraca młyna od bardzo dawnych czasów. Żadnych innych młynów nie masz tu prócz ręcznych, prócz żarn obracanych przez kobiety. Maurowie niegdyś tak biegli w mechanice, tak zręčni przedsiębiorcy, hydraulicy, zatracili od dawnego czasu wszelką wiedzę najprostszyc maszyn.

Na widnokręgu zachodnim ukazują się w zapadającym słońcu liczne bardzo namioty, napiętrzone około wzgórza na którym wznosi się jakaś obszerna murowana budowla.

To potężnych Sebitów stolica, to pałac ich szejka Hadzi-Cassema, gubernatora dystryktu dziesięcio-milowego.

Wysyłamy janczara dla powitania szejka i dla spytania go, czy nam pozwoli wzniesć nasz namiot obok swego. Szeik złożony chorobą wysłał na nasze spotkanie swego brata i swych synów z prośbą, abysmy przyszli rozkazywać jemu i całemu plemieniu Sebitów. Nie koniec na tych oznakach przyjaźni: szeik przysłał nam jeszcze barana, mendeł kur, kopę jaj i dobrą cwierc ryżu. Ten podarunek nazywa się *mona* czyli powitanie, i wypada przyjąć go koniecznie.

Po należytych ablucyach ubraliśmy się w najjaskrawsze suknie, i poprzedzeni janczarem firman niosącym, na czele hufcu spahisów, janczarów, dragomanów, sług i niewolników, do 30 ludzi dochodzącego, poszliśmy odwiedzić sędziwego szejka, mieszkającego dla reumatyzmu nie w swym pysznym namiocie podarowanym mu niegdyś przez cesarza, lecz w pałacu zimowym, wzniesionym z cegły na słońcu pieczonój. Wielki to budynek bez okien w ścianach, tylko w dachu płaskim. Największa część miejsca zawartego w środku, podzieloną jest niskimi, zaledwie do ramion dochodzącymi przegrodami na liczne oddzielne pokoiki, w sposób parku owczarskiego.

Tu mieszkał szeik, jego żony i córki, których było kilka nadzwyczajnie ładnych, wyczierających na nas zpoza przegród z wielką ciekawością.

Mnóstwo było pięknych namiotów około pałacu szejka. Żaden naród europejski nie zna się tak dobrze na budowie namiotów, jak arabski. Płótno ich jest mocniejsze jak nasze; jedna żerdź czworograniasta, a złożona z dwóch kawałów i postawiona w środku, wspiera cały namiot choćby był największym. Namiot jest ozdobiony z zewnątrz festonami wykrojonemi w arabeski z niebieskiego płótna, a na szczycie ma wielki glob dęty z blachy i strzałę połyskującą w promieniach słońca.

Namiot darowany szejkowi przez cesarza był z niebieskiego sukna, ozdobiony szkarłatnemi festonami z adamaszku.

Tylko pod swym namiotem Arab, otoczony w ciasnym miejscu swą rodziną, czuje się w domu. Prawda, że domy ich jeszcze

mniej są trwałe jak ich namioty, i dlatego też miasta znikają co raz to więcej z powierzchni Afryki, a duary koczujące mnożą się ciągle.

Pomiędzy kobietami, które nazajutrz rano przyszły zasięgnąć naszej rady lekarskiej, znajdowała się matrona jakaś bardzo wysokiego wzrostu i mająca naokoło szyi nacechowany wizerunek łańcuszka, a na nim zawieszono krzyżyka. „W moim duarze, tam, daleko na podnózu wielkiego Atlasu, gdzie wiele jest zwalisk Roumów, wszystkie kobiety idąc za męża każą sobie wyśpilkować to znamię” rzekła matrona, zapytana o znaczenie tego łańcuszka z krzyżykiem.—„A co przedstawia ten krzyżyk?” spytałem dalej.—„On nas broni od pokusy czarta” odrzekła matrona, i nie więcej dowiedzieć się nie byłem w stanie.

Niezawodnie, że pokolenie do którego należała urodzeniem swém matrona, kiedyś, w dawnych bardzo czasach, podległóm było owym kolonistom rzymskim, którzy pierwsi zaszczepili religią Zbawiciela w Afryce. Panowanie Rzymian przeszło, dawna religia została zapomnianą, ale znak zewnętrzny przeżył dogmat. Często bardzo ferma przeżyła ideę, ciało duszę, nietylko u Maurów, lecz i w innych narodach. Ta trwałość żywotności znaków zewnętrznych nasuwa dziwne domniemywania filozofowi. Symbole i formy na to może tylko są wymyślone, żeby więziły myśl, i ciągle ją sprowadzały do jój dawnego źródła.

Niejeden zwyczaj jeszcze tu istniejący przypomina obrządki katolicyzmu. Gdy kobiéta nękana jest bólami macierzyńskimi, baba jój pomagająca powiewa w powietrzu białą chustką i błaga matkę-dziewicę o pomoc: „Oh Mariah! Mariah! przybądź! przybądź w pomoc! oto kobiéta która cierpi i płacze! Oh przybądź Mariah!” A gdy połóg nastąpi, wówczas przyjaciółki położnicy odprowadzają dziewicę boską do nieba inną jeszcze ceremonią.

Wiemy, że historia Maryi i wcielenia słowa powtórzoną jest przez Mahometa w tych prawie słowach, w jakich ją opowiada św. Mateusz. Znał dobrze serce ludzkie Mahomet, i wiedział czém najłatwiej wpłynie na wyobraźnię kobiet.

Spoczynkiem wzmocniony, a rzewnością pamiętek tak drogich podniecony, puszcza się w dalszy pochód. Al-Hamilt-Bey nie pojmował mojego wzruszenia. Patrzył się na mnie okiem jasnym, otwartym a badawczym, śledził w każdym z mych ruchów, w każdym z mych poruszeń, ducha przyczyn władających w tój chwili memi uczuciami. Spostrzegłem to. „Ty mnie nie poj-

mujesz doktorze? nieprawdaż?" — „Prawda”. — „Widzisz, wzrosłem pomiędzy ludem który tak wierzy, jak niegdyś wierzyli poprzednicy tych dobrych ludzi...

Anglicy zawsze materyalni! — powiedziałem do siebie, i dawszy koniowi ostrogą, pobiegłem z mym psem za zajęcem wystraszonym zpośród krzewów; ale żyd (tak Arabcy nazywają zajęcia) zmiatał doskonale, i wziąć się nie dał. Półtoręj godziny podróżowaliśmy w tym lesie, a po wyjściu z niego wstąpiliśmy znów na nieurodzajne piaski Sahel. W oddaleniu najwięcej o milę zoczyliśmy cel naszej podróży, Larasz. Rzeka Lukkos toczy swe przezroczyste wody w szerokim a miłąkiem korycie i bieży ku zatoce, gdzie się na falach kołysze eskadra cesarska. Biednaćto eskadra! Jedna korweta, dwa brygi, skuner i kilka łodzi kanonierskich, a wszystko w oplakanym stanie. Kotwice, żagle, liny i inne przyrządy okrętowe porozrzucane po brzegach, gniją na nich i rdzewieją. Oto resztki owęj dumnej floty, która niegdyś korsarzom Barbaryi wystarczała na trwożenie całego handlu Europy!

A jednakże w owych czasach, lat temu ośm zaledwie, dwa mocarstwa Europy, Szwecya i Dania, płaciły jeszcze haracz roczny cesarzowi marokańskiemu.

I arsenał cesarski w nielepłym stanie: wszystko w okropnym zaniedbaniu; żelazne działa rdzą przezarte spadają z spróchniałych lawet.

Kilka kupieckich statków angielskich, francuzkich i hiszpańskich stało na kotwicy przy ujściu rzeki Lukkos i czekały na ładunek, złożony z wełny, skór, rogów, kory, korków, grochu i ziarna różnego rodzaju, z daktyłów, koszenilli, surowego jedwabiu i tym podobnych towarów, branych tu w zamian za żelaztvo, sukno, bawełniane wyroby, muśliny, cukier i herbatę.

Basza Larasz, ten sam Abdallah Al-Esłowy, który niedawno umarł, i którego majątek Muley-Abder-Hammann raczył najlaskawiej skonfiskować na rzecz skarbu własnego, basza mowię uwiadomiony o naszym przybyciu, wysłał swego *defterdara*, to jest pierwszego adjutanta, na powitanie *nie nas*, lecz firmanu cesarzowicz, wiszącego na wysokiej żerdzi. Defterdar po zwykłych *salemalekach* oddanych firmanowi, zbliżył się do nas, prosząc bez wielkiej ceremonii, abyśmy stanęli w domu żydowskim, dla nas przyrządzonym.

— Staniemy w pałacu angielskim, prowadź nas tam, dalej—
rzecze rozkazującym tonem Al-Hamilt-Bey do defterdara.

Zbladł Maur ze złości, oczy jego pałac zaczęły wściekłym
ogniem.

— Patrz, tam!—rzecze znów doktor angielski, i wskazał ręką na dalekie morze. Na wodnistym widnokregu kurzył się wysoki komin statku parowego, a na maszcie powiewała flaga królowej angielskiej.

Maur zgrzytnął zębami, przytłumionym głosem rzekł: *ensara kafir* (przeklęty chrześcianin), i zwrócił konia ku *palacio ingles*. Konsul miał na przyjęcie swych narodowców dwa pokoje. Naprzeciw tego domu wznosiły się konsulaty innych mocarstw europejskich, niegdyś wspaniałe domy, dziś opuszczone i walące się mury.

Soliman Simoni pojechał do baszy powitać go w naszym imieniu, i prosić o audyencyą na jutro. Tymczasem korzystając z reszty dnia, zwiedziliśmy miasto. Fortyfikacye, wzniesione z kolosalnych kamieni na końcu XVIgo wieku przez Portugalczyków, przedstawiają pyszny widok. Wysokie, ogromne, wkraczają ostremi kantami w morze, i po bokach opatrzone są basztami i wieżami. Ale samo miasto nędzne i niezdrowemi wyciekami zaległe; nic nie ma regularnie zbudowanego, prócz domów otaczających rynek, a przez chrześciańskich niewolników wybudowanych.

Ludność sama wynędzniała, schorzała i brzydka, różniła się bardzo wiele od ludności Tetuanu i Tangieru, w ogólności bardzo dobrze wyglądającej. Mnóstwo ślepych żebraków zalegało przed sionki domów otaczających rynek, i powietrze napełniało lamentami. Na tym samym rynku znajdują się jeszcze ruiny dawnego kościoła katolickiego, niegdyś bardzo świetnego. Główny meczet dość jest pięknym, ale minaret jego od podstawy szeroki, kończy się szczytem zanadto filigranowym. Miasto może liczyć do 3,000 mieszkańców; targi w niem bardzo mizerne, ale nigdy na nich nie braknie towarzystw fakirów zjadających węże, *Eisowami* zwanych. Kto raz widział te okropne przedstawienia, ten unikać ich będzie wiecznie. Wąż jadowity zwany *cobra capella*, wzdymający swą głowę gdy się rozgniewa, główną w tych igrzyskach gra rolę.

Dnia następującego o 9 godzinie rano, udaliśmy się w wielkiej processyi do baszy, mieszkającego w *kassaba* (w cytadeli), w domu zwanym wielkim (*dar al-kebir*).

Basza Cid Abdallah-Selam-Al-Esłowy przyjął nas serdecznie, uściskał nasze ręce i swoje przykładał na serce. Ubrany był w kaftan jasno-zielony, przykryty oponczą muślinową i haikiem z bielutkiego kaszemiru złotem haftowanym. Na nogach miał żółte atlasowe spodnie, na głowie fez turecki, otoczony zawojem, w ręku zaś różaniec. Ruchy jego były powabne i pełne godności, uśmiech prawdziwie czarujący. Wielkito dygnitarz koronny, a ojciec jego był baszą połowy cesarstwa i szwagrem panującego monarchy.

Zalił się biedny basza, że mu nudno w Laraszu, że mu kilkanaście żon umarło w tym roku na gorączkę tyfoidalną, a pomiędzy nimi najmłodsze, że zapewne i on niezadługo pociągnie za nimi, bo siły go odstępują przedwcześnie, a pewne namiętności nie odstępują wcale. Prosił, błagał jak dziecko, o jakie lekarstwo wzmacniające i rozweselające. Obiecaliśmy uroczyście przysłać baszy sławne pigułki, zwane odmładniającymi, któremi książę Wellington przedłużył sobie życie (*pills of juvence*), bardzo znane w Anglii. Basza ledwo nie wyskoczył ze skóry z radości, ale potem zreflektował się nagle, i spytał marszcząc czoło: — Słuchajcie! ale nie będzie wina, ani wieprzowiny w tych pigułkach; wolę umrzeć, jak skalać się temi paskustwami.

— *Allah bismillah, akbar ipuda!* — krzyknie Al-Hamilt-Bey — wolałbym twe żony bałamucić, jak obciążać się takim grzechem.

— *Dziali tanadir teres bakna!* — a niechże cię piorun trzaśnie, nie rób ani jednego ani drugiego! — krzyknie jeszcze głośniej basza, i śmiać się począł do rozpuku, trzymając się pod boki.

I znów się zatrzymał nagle w swym śmiechu, zasepił się i na różańcu odmawiać zaczął jakieś modlitwy. Potem zaś rzekł oglądając się wokoło:

— Coby na to powiedział mój santon przyboczny, widząc mnie śmiejącego się tak serdecznie z *Ensari*, z chrześcianinami?

— Niech sobie powie co chce, twój santon jest twoim podwładnym — odpowie Al-Hamilt-Bey.

— On jest moim podwładnym, to prawda; ale on należy do pewnego bractwa religijnego, którego sam Padiszah, mój pan jest głową; ten zaś lubo najsprawiedliwszy, najmędrszy, najlitościwszy, najcnotliwszy, chrześcian znieść nie może, i wie, że ja mam pieniądze, a on także lubi pieniądze i potrzebuje ich.

Tak trwoga i przesady trzymały w ciężkich więzach duszę dobrego baszy, i jednę chwilę pogodną nie dawały mu kosztować radości.

— Nie wiem kiedy będziecie mogli wyruszyć do Mogador, o mądre *Tibiby*; okręt wasz wprawdzie gotów do podróży, ale kapitan jego, jedyny znający dobrze drogę, mocno zachorował i leży bez przytomności—rzekł dalej basza.

Wtém działo zagrzmiało ze strony morza; baszy znać dano, że parostatek wojenny angielski zawinął do zatoki. Wkrótce działo zagrzmiało jeszcze dwadzieścia razy.

Basza nas pożegnał i kazał odpowiedzieć z twierdzy na salwy angielskie.

Istotnie, *the Trident capt. Bowlej* zawinął do zatoki, i ztąd za trzy dni miał wyruszyć do Mogador. Kapitan, znajomy dra Hamilton, przeczytawszy firman przyrzekł wziąć nas i naszych ludzi do Mogadoru. Ciężki kamień spadł z naszego serca, niebardzo bowiem miło puszczać się na statku maurytańskim w najmniejszą nawet podróż.

— Co będziemy robić podczas tych trzech dni spoczynku w tym nędznym Laraszu?—spytał mnie dr. H.

— Ty będziesz grać w wista z oficerami Trydenta, pić porter, sławić piękność królowej Wiktoryi, unosić się nad potęgą twego kraju i zbierać pieniądze u bogatych Maurów i żydów za wizyty lekarskie; a ja będę robić wycieczki w kraje okoliczne, zwiedzać ruiny i pomniki, leczyć za darmo biednych Arabów, i tęsknić—odpowiedziałem koledze.

— Kocham szczerłość nawet kiedy jest dotkliwą—rzecze dr. H.—Masz racją, każdy niech idzie za swym gustem.

Jedną tylko opiszę wycieczkę; lękam się znękać mych czytelników temi podróżami odbytemi w krajach, w których nie masz ani dobroczynnych źródeł, ani targających rulet, które nikt nie zwiedzi z ciekawości.

Jeden z adjutantów baszy, młody, piękny, w cudnie świetnym stroju, ale milczący, posepny, towarzyszył mi w téj wycieczce. Nazywał się Mustafa-el-Ardzi-Kaid. Ojciec jego, kapitan gwardyi przybocznej cesarskiej, umarł niedawno z rozkazu, i nie wiedzieć dla jakich przyczyn. Basza Laraszu dodał mi go dla mojej obrony. Mało mówiliśmy z sobą, ale porozumieliśmy się od piérwszój chwili.

Przebywamy rzekę Ayasza, płynącą z północy na południe. Kraj nas otaczający świetnieje najpyszniejszą wegetacją, choć krzemieniami zasłany.

Słońce już dopiekać zaczynało, gdyśmy dochodzili do wsi Ibdua. Szeik wyszedł na nasze spotkanie, widział bowiem zda-

leka powiewający purpurowy burnus młodego Kaida, i znał wagę człowieka taki kolor noszącego.

— Niech będzie pochwalonym Allah! Co nam przynosisz: złe nowiny, czy też pozdrowienie od ojca naszego baszy?—spyta szejik.

— Przynoszę ci rosę błogosławieństw Boga, kataraktę pozdrowień baszy; przyprowadzam wielkiego i uczonego *Tibiba*, który leczy darmo wszystkich ubogich. Nic od ciebie nie pragnę, prócz miejsca przy twym namiocie, abyśmy spocząć mogli i odechnąć godzin kilka—odpowiedział młody adjutant baszy.

Ta odpowiedź uspokoiła szejika. Wkrótce także przybiegli na pysznych koniach jego synowie: było ich z piętnastu, szejik bowiem Heduy miał żon kilka. Dwie godziny strawiłem na odwiedzaniu chorych i sporządzaniu im lekarstw. Wiele było tyfoidalnych w duarze, a ta choroba rzadko zwykła się kończyć inaczej jak śmiercią, jeśli sobie samą jest zostawioną. Zapalenie mózgu prawie zawsze towarzyszyło tym chorobom.

O trzeciej godzinie po południu wyruszamy w dalszy pochód przez łąny, których słoma została zapaloną i rozgrzewała powietrze w sposób nieznośny. Atmosfera tak była rozżarzoną, że ptastwo nawet spadało bezsilne i ginęło w spiekłym popiele. Całe tumany szarańczy poruszane wiatrem wzbijającym się w ognisko, rozrzedzone ciepłikiem, piekły się ze szmerem tak mocnym jak tysiąc patelni. Szarańcze te padały na nas i nasze konie nieraz z tak mocnym pędem, żeśmy się widzieli być zmuszonymi zsiąść z koni i kryć się za niemi.

Przecież wybrnęliśmy z tej okropnej atmosfery, przez którą całe półtoręj godziny podróżyć musieliśmy. Znękania naszego nikt opisać nie zdoła. Szczęściem dla nas, że w małej rzeczce Ain-Sanedi znaleźliśmy podostatkiem wody na ugaszenie trawiącego nas pragnienia. Biedne nasze konie jeszcze więcej ucierpiały, a eter zawarty w butelkach méj apteczki rozsadził je i dotkliwych dla mnie strat stał się powodem.

Jeszcze raz jesteśmy w dystrykcie mężnych Sebitów, w bliskości monumentalnej studni, o ćwierć milki w pysznej dolince od duaru położonej. Mustafa-el-Ardzi adjutant baszy zaczął fraternizować z szejikiem, ludzie moi wzięli się do rozpięcia namiotu, ja zaś sam z mym psem, ze strzelbą i żydem dragomanem zwróciłem kroki ku studni, którą zdaleka rozpoznać można było otoczoną pysznemi cyprysami i gestym krzewem. Spieszę ku celo-

wi, pies zaś mój bardzo niesforny ugania się opodal odemnie za licznymi stadami kuropatw. Droga prowadziła raz przez wąwozy, drugi raz przez pola.

Studnia zwana *Roumi* (tojest rzymską), zdawała mi się mieć toż samo pochodzenie, co wszystkie inne podobne przez Maurów w Hiszpanii stawiane; ale tutejsi Maurowie nie przypuszczają nawet, żeby ich przodkowie w czémkolwiekby mogli coś wielkiego dokonać, i nazywają *Roumi* wszelkie zabytki starożytności wszystkich wieków i pochodzeń.

Niebardzo dawno z innej studni, w bliskości Laraszu, wydobyto konia i jeźdźca z brązu. Zabytki te pochodziły najniezawodniej z czasów rzymskich. Ale któż z tego odkrycia odniósł pożytek? Posągi te porąbano potajemnie na kawały i sprzedano je żydom.

Powróciwszy do duaru przed namiot szeika, czekającego na mnie z baraniną, ryżem, mléką i kuskusem, spotkałem liczną processyą kobiet arabskich, przybranych w świetne stroje. Żyd mój tak się lękał sprofanować swemi oczyma oblicza tych kobiet, że się rzucił na ziemię i twarz schował w brudę. Ja zaś widząc, że te damy nie mają zasłon, zbliżyłem się tak blisko, jak tylko mogłem do nich, i grzecznie powitałem sposobem arabskim. Całe towarzystwo zatrzymało się i patrzyło na mnie z wielką ciekawością.

— Czy nie jesteś owym angielskim lekarzem, którego basza wysłał na objazd po duarach?—spytała jedna z matron.

— Jestem nim w istocie—odpowiedziałem.

Wszystkie wydały krzyk radości i obstały mię wokoło, szturmując niezliczonymi, nieraz bardzo naiwnymi, prawdziwie ambarasującymi pytaniami.

Kobiety arabskie wcale nie są nieśmiałe, a mniej jeszcze z Nazareńczykami, jak z własnymi rodakami. Widząc się wolnymi od swych argusów, chętnie rozmawiają, chętnie nawet w intrygi wchodzą z Europejczykami.

Było pomiędzy temi damami kilka ładnych i wysmukłych pannienek z bystremi czarnymi oczyma, z długimi rzęsami, małymi nóżkami wybornie i delikatnie osadzonemi.

Wszystkie były pięknie, nawet z przepychem ubrane. Niektóre miały kaczamajki kaszmirowe złotem haftowane, a na nich rodzaj szubki z przezroczystego muślinu. Na szyi nosiły perły, korale i małe świecące muszle. Ramiona ich także przeładowa-

ne były bransoletkami, ze srebra niezręcznie wyrabianemi. Chustki jedwabne jaskrawych kolorów wznosiły się na ich głowach w kształcie piramid, a bogate szale służyły im za przepaski, i młodym, wysokim dodawały cudnego uroku. Nawet najuboższe z nich przystojnie były ubrane w kaftany bieluteńkie z cienkiej flaneli, obszyte wstążkami i przepasane jedwabnym szalem. Włosy spadały na barki w wielkich kędziorach i zasiane były blaszkami złotymi i srebrnymi. Wszystkie mocno różowane, miały powieki *koholem* na czarno, palce zaś u rąk i nóg *henną* na pomarańczowy kolor ufarbowane.

Damy te udawały się w uroczystej processyi śpiewając i hałasując na chrzciny. W domu, czyli raczej w namiotach, płęć piękna okryta zasłoną z grubego muślinu nie dba o piękność toalety, i chodzi w dość brudnych wełnianych koszulach, w spodnicach *idem*, ozdób żadnych nie nosi, i niczem się nie farbuje.

W podobnych wycieczkach przeplatanych nauką i radami lekarskimi bardzo tu pożądanemi, przeszło mi dni kilka. W pięć dni po przyjeździe do Larasz, a w dwadzieścia trzy po wyjeździe z Gibraltaru, popłynęliśmy na statku wojennym angielskim *the Trident* do Mogadoru.

(Dokończenie nastąpi).



LEGENDA

ŁUŻYCKO - SERBSKA.

(Piesniczki hornych a delnych Łużiskich Serbow. Część 2, str. 175).

Kiedy Pan Jezus żył jeszcze na ziemi,
Chadzał po świecie z apostoły swemi:
Z miasta do miasta, i z wioski do wioski,
Szukając prostych serc a kochających,
W piersi zranione lejąc balsam boski,
Łzy ocierając z obliczy cierpiących.

Raz, z Piotrem wspoły, w Budyszyna strony]
Zboczy do serbskich tych Łużyców cudnych,
Poglądać, jadem szalbierzy obłudnych
Trwa-li poczeiwy lud ten nieskażony?

I zdarzyło się, jednego wieczora,
Zajdą do małej wiosczyny Zahora.
Cicho i pusto było na ulicy:
Do chat od pracy wrócili rolnicy,
I kołem ławy zasiadłszy przy stołach,
Wypoczywali po dziennych mazołach.

Przez jednéj chaty okno uchylone,
Migało światło kaganka czerwone,
I wniecezonym zborze brzmiały dźwięki,
Z pełném uczuciem nuconej piosenki.

Chrystus się wstrzymał, podehodzi, i ucha
K' oknu skłoniwszy, prostej pieśni słuca;
Piotr zasię, chatę pominawszy z wzgardą,
Pelen powagi, kroczył dalej hardo.

Aż kęs uszedłszy, gdy przy swoim boku
Nie baczy Mistrza, zatrzyma się w kroku,

I obglądnąwszy widzi ze zgorszeniem,
 Jako światowém Ten zajęty pieniem.
 Zaczeka chwilę, wreszcie rad nie rady,
 Do boku jego wraca temiż ślady.
 I długo obaj przy chacie tak stali
 Pieśni słuchając.... Wreszcie poszli dalej.

Idą i idą—a wtém ponad drogą
 Stoi gmach pyszny: okien szyby rznięte
 Jarzących światel jaśnieją pożoga,
 Dobrane głosy pieją psalmy święte.
 Na to przystanie Piotr, słuchając ochoczy;
 Lecz Chrystus dalej, nie zważając kroczy.
 Pełen zdziwienia, rady czy nie rady,
 Piotr zatém musiał dążyć w Mistrza ślady,

Idą—po drodze Piotr w głowę się skrobie.
 Myśląc jakoby rzecz wyłożyć sobie;
 Wreszcie niezdolen pojąc Zbawiciela
 Kroków, pokornie pytać się osmiela.

Chrystus, gdy mowę wysłucha Piotrową,
 Rzecz z uśmiechem: „O głowo ty głowo!
 Tam, w onej chacie, z szczerzego natchnienia
 Lud nucił swoje narodowe pienia;
 Tu, obłudnicy, psalmy pieją nsty,
 Lecz bez natchnienia brzmi głos z piersi pustej.”

R. Z.

DOWÓD OBROTU WIROWEGO ZIEMI, ZA POMOCĄ DOŚWIADCZENIA.

PRZEZ

H. Skrzyńskiego.

Od niejakiego czasu uwaga uczonych i w ogóle oświeconych ludzi szczególniej zwróconą została na doświadczenia, odbywające się w paryzkim Panteonie, za pomocą olbrzymiego wahadła, mające na celu sprawdzić teoryczne pomysły o wpływie obrotu ziemi na względne położenie płaszczyzny wahania, i zarazem przez zmianę tego położenia wykazać niemal naocznie ruch kuli ziemskiej. Wprawdzie ruch wirowy ziemi, tak jak postępujący nie potrzebuje żadnego nowego dowodu: jest on prawdą widoczną, znajdującą potwierdzenie swe w ogóle zjawisk wszechświata. Nawet postać naszego planety nosi na sobie niezatarte piętno ruchu wirowego wśród pierwotnych jego geologicznych stosunków, a ubywanie ciężkości, idąc od równika ku biegunom, z powodu siły odśrodkowej, którą rzeczony ruch rodzi, a ztąd zwiększanie się długości wahadła sekundowego, przedstawia dowód materialny rzeczonego obrotu; podobnie jak aberacyjna elipsa, którą gwiazdy na niebie w ciągu roku opisują, jest niejako odbitym na sklepieniu niebios obrazem drogi ziemskiej; i stanowi dowód materialny jój ruchu postępowego. Lecz przyznać należy, że dowody te dla wtajemniczonego w mechanizm świata widoczne, nie są dla ogółu ludzi oświeconych przystępne; doświadczenie przeto, któreby przy jasności zasady, przedstawiło nam zmysłowo i naocznie ruch, którego obrot ziemi jest koniecznym warunkiem, i to niezależnie od obserwacyi fenomenów niebieskich,

byłoby nadzwyczaj zajmującym i ważnym dla ogółu powszechności. Takiem jest doświadczenie p. Foucault, młodego a już zasłużonego akademika, które odbywa się obecnie w Panteonie, a licznie zbierająca się oświecona powszechność, oblegająca wewnętrzną galerią Panteonu, świadczy najdowodniej o ogólnem zajęciu i silnem wrażeniu, jakie doświadczenie to zdolne jest wyrzucić na umysł. I rzeczywiście musi być w tém szczególny urok, nawet dla astronoma najbardziej z pojęciem ruchu ziemi oswojonego, oglądać widome, prawie dotykalne skutki rzeczonego ruchu; niemal patrzeć na ten ruch własnymi oczyma, śledzić go, i wymierzać jego wielkość. Posłuchajmy sprawozdania samego p. Foucault, umieszczonego w *Journal des Débats* z d. 31 marca r. b., w którym wyłożył zasadę doświadczenia ze zwykłą sobie jasnością:

„Pojęcie ruchu wirowego ziemi upowszechniło się w naszych czasach tak bardzo, i tak zwycięzko przeszło z dziedziny umiejętności do koła wiadomości pospolitych i powszechnych, iż zdawać się może zbyteczną rzeczą szukać nowych dowodów na jego poparcie. Zastanowiwszy się jednakże, że główne dowody rzeczonego ruchu opierają się na astronomii, na obserwacji zjawisk niebieskich, łatwo pojmiemy, jak żywe zajęcie wiąże się z doświadczeniem pozwalającym wniesić o ruchu wirowym ziemi z uważania zjawiska wywołanego w domu, między czterema ścianami, bez potrzeby spojrzenia na niebo. Podobnie jak sternik, który na pełnem morzu stracił ląd z widoku, utkwivszy wzrok w busolę dostrzega przypadkowe zmiany zaszłe w kierunku okrętu: tak samo mieszkaniiec stałego lądu, może utworzyć sobie za pomocą wahadła rodzaj busoli, mającej w bezwzględnej przestrzeni kierunek orientacyjny dowolny, której pozorny ruch wykaże mu naocznie ruch prawdziwy ziemi. Ponieważ igła magnesowa niezmiennie skierowana ku północy, zdaje się odbywać ruch w jedną lub drugą stronę, wnosi się z tego, że okręt wykręca się w stronę przeciwną ruchowi igły. Tak samo widząc w wahadle wolnem zbaczającą i wykręcającą się w jakim kierunku płaszczyznę wahania, która powinna być koniecznie stałą i niezmienną, wniesiemy w obec takiego faktu, że my sami zmieniamy względem niej położenie i że wykręcamy się w kierunku przeciwnym. Tym razem także jesteśmy zmuszeni sprostować rozumowaniem świadectwo naszych zmysłów. Wprawivszy w ruch wahadło w jakimkolwiek kierunku na płaszczyźnie wierzchołkowej,

pewni jesteśmy opierając się na głównej własności przywiązanej do materji, t. j. *bezwładności*, że płaszczyzna wahania nie może obracać się około linii wierzchołkowej; jeżeli tedy wbrew najogólniejszym i najbezwzględniejszym prawom mechaniki ujrzymy, że wspomniona płaszczyzna porusza się i wykręca ruchem wirowym w kierunku obrotu kuli niebieskiej, zmuszeni będziemy walczyć przeciwko pozorowi, i przypisać sobie, ziemi i przedmiotom otaczającym ruch w kierunku przeciwnym."

„Wszakże przyznać należy, że jeżeli nowe doświadczenie jest dla nas dziś przekonywajacém i stanowczém, zawdzięczamy to postępowi nauk. Dla Kopernika, Galileusza byłoby ono jeszcze jednym kłopotem więcej z powodu trudności a nawet niepodobieństwa pochwycenia wówczas związku, który dla nas nieskończenie wyżej stojących w mechanice jest widocznym. Właściwie przeto mamy tu wykazać raczej następstwo ruchu wirowego ziemi, aniżeli dowód prawdy niepodpadającej żadnej wątpliwości; albowiem jeżeliby dziś jeszcze, co jest prawie niepodobną rzeczą, znaleźli się tacy, którzyby przyznawali słońcu ruch około ziemi, to bez wątpienia dla takich uprzedzonych i ciemnych umysłów, zбочenie płaszczyzny wahania pendułu nie miałoby żadnej siły przekonywającej. Lecz doświadczenie to uważane jako proste sprawdzenie, ma przynajmniej to za sobą, iż da się wykonać z łatwością i wszelką pewnością. Zjawisko rozwija się zwolna; jest nieprzepartém, niepowstrzymaném, jak wyższa przyczyna, która je rodzi. Widząc jak powstaje i wzrasta, czujemy, iż nie jest w mocy czyniącego doświadczenie przyspieszyć lub opóźnić jego objawu. Każdy w obec tego faktu zamyśla się mimowolnie i odchodzi unosząc z sobą żywsze uczucie i przeświadczenie o nieustannym ruchu, który nas unosi w przestrzeni."

„Jak to już wspomnieliśmy, doświadczenie polega na ruchu wahadła, jednego z najważniejszych narzędzi w fizyce, które zawdzięczamy przenikliwości Galileusza."

„Wahadło proste jest czystą abstrakcją, utworem umysłowym, niedającym się urzeczywistnić materialnie. Składa się z punktu materialnego ciężkiego, zawieszzonego na nici nieważkiej, doskonale giętkiej, nie rozciągliwej i bez grubości, przytwierdzonej u góry do punktu stałego, której przeznaczeniem jest utrzymywać stateczną odległość pomiędzy punktem zawieszenia, a punktem materialnym. Doskonała giętkość nici w punkcie przytwierdzenia, dozwala punktowi ciężkiemu poruszać się na powierzchni

kuli, której promieniem jest długość nici, a środkiem punkt stały. W praktyce zbliżamy się o ile można do warunków wahadła prostego, zastępując punkt ciężki kulą metalową wielkiej gęstości, a nitkę matematyczną, najcieńszą nicią jaka tylko znieść może ciężar zawieszonęj kuli. Opatrzony takiem wahadłem, sprawdza fizyk w przybliżeniu prawa wahadła prostego, które wskazuje mechanika. Takie wahadło fizyczne odsunięte od kierunku pionowego na dwa lub trzy stopnie i puszczone wolno, przechodzi tam i napowrót przez linię pionową, opisując z jednej i z drugiej strony długi szereg kołysań, których przestwór coraz zmniejsza się, lecz czas ich trwania pozostaje niezmienny, od kołysań największych do najmniejszych."

„Własność ta zasadnicza wahadła odkryta przez Galileusza, oznaczoną została nazwą izochronizmu, i była od dwóch wieków przeszło przedmiotem niezliczonych postrzeżeń, a Huyghens stosując wahadło do zegarów, zrobił je najdoskonalszém narzędziem do mierzenia czasu. Lecz zegarmistrzostwo pochwycawszy wahadło, zaprowadziło w niem zmianę, która utaiła inną jego ważną własność, z której teraz korzystamy:—własność wiernego zachowania płaszczyzny pierwotnego popchnięcia. W zastosowaniu do zegarów, uznano za dogodne, zawiesić je już nie na nici, ale na ostrzu, które sprawia, że wahadło odbywać musi swe kołysanie na pewnej przez konstrukcyą oznaczonęj płaszczyźnie, i mającej stałe położenie względem sztuk składających narząd; wynika ztąd, że wahadło zegarowe nie oscyluje już swobodnie około pewnego punktu na powierzchni kuli, lecz odbywa ruch po łuku koła, około osi stałej. Ażeby wykazać widocznie ruch ziemi, potrzeba było zerwać owę solidarność płaszczyzny wahania z punktem przytwierdzenia i wrócić do wahadła wolnego; potrzeba było cudowne narzędzie Galileusza uwolnić od więzów, zwykle przykuwających je do ziemi, i niejako zwrócić mu pierwotną niezależność i naturalny jego stosunek z bezwzględną przestrzenią. Kula doskonale okrągła, przytwierdzona do punktu stałego, za pomocą drutu metalowego jednorodnego, i kształtu walcowego, oto jest, że tak powiem w całej Galileuszowskięj prostocie, narzędzie dające człowiekowi zmysłowy ślad wirowania ziemi, którą zamieszkuje. Skoro rozpocznie ruch, wahadło takie należy już w pewnym względzie do bezwzględnej przestrzeni, do przestworów nieba, a jeżeli jeszcze pozostaje w jednym punkcie przyczepione do ziemi, to jedynie dlatego, by pozostało na widoku dostrzega-

jącego człowieka, i dało mu świadectwo ruchu, który go unosi. Niezależność i stateczność płaszczyzny wahania, jest bezwzględ-
dném i konieczném prawem mechaniki, łatwo jednakże jest prze-
konać się także doświadczeniem, ile na pomienione prawo ra-
chowac można.”

„Nim jednak przystąpimy do obrotu ziemi, który dla samej
powolności swój potrzebuje przyrządów większych wymiarów,
umieścimy na stole ruchomym dowolnie małe wahadło, to jest: kul-
kę ołowianą, zawieszoną na nici. Wystawmy sobie, że pokój jest
przestrzenią świata, a sprzęt ziemią. Wahadelko przytwierdzone
do podstawki, porusza się nad kołem podzieloném różnemi średni-
cami, mającemi wspólne przecięcie na linii wskazującej kierunek
wahadła w spoczynku. Wahadło, podstawka i koło, składają je-
dnę nierozdzielną całość, przyrząd zupełny, który umieszczamy na-
przód w samym środku stołu. Pochwyćmy teraz kulkę ołowianą,
oddalmy ją od położenia równowagi, w kierunku jednej ze średnic
koła spodniego i puśćmy ją wolno. Cóż wtedy nastąpi? Rzecz
najprostsza i najwidoczniejsza w świecie. Kulka zostawszy wol-
ną bieży natychmiast ku środkowi, przebywa go chyżością nabytą,
powraca doń znowu, i tym sposobem porusza się tam i napo-
wrot, aż do ustania ruchu, oscylując nad wspomnionym środkiem
na płaszczyźnie *niezmiennéj*, w kierunku średnicy pierwotnego
odchylenia. Uczyńmy sobie znaki zewnątrz stołu, na ścianach
pokoju, a przekonamy się zaraz o niezmienności płaszczyzny wa-
hania. Teraz wprawivszy poprzednio w ruch wahadło, obra-
cajmy stół zwolna i bez wstrząśnienia tak, iżby odbywał ruch
około swego środka: jakże zachowa się płaszczyzna wahania
względem przedmiotów zewnątrz stołu, i względem promieni koła
podzielonego? Wy, co jeszcze nie czyniliście doświadczenia, ja-
każ byłaby wasza odpowiedź na to pytanie? Czyli nie zdaje wam
się zrazu i na piérwsze wejrzenie, że płaszczyzna wahania, por-
wana ruchem stołu, zmieniać musi kierunek w pokoju, zachowu-
jąc toż samo względne położenie na swoim kole podzieloném?
Ale jestto gruby błąd, albowiem właśnie dzieje się przeciwnie.
Płaszczyzna wahania nie jest bynajmniej przedmiotem materyal-
nym, nie należy ona ani do podstawki, ani do stołu, tylko do prze-
strzeni, i to przestrzeni bezwzględnej. Ruch udzielony przed-
miotom materyalnym otaczającym wahadło, zmienia ich położenie
względem płaszczyzny wahania, z czego wynika, że obrot stołu ma
poprostu ten tylko skutek, iż różne średnice podzielonego koła

przechodzą kolejno przez płaszczyznę wahania, która pozostaje niezmienną.”

„Zrozumiawszy to dobrze, potrzeba nam teraz przystąpić do doświadczenia wśród trochę więcej zawikłanych okoliczności. Gdy aparat znajduje się na środku stołu, i gdy stół obraca się około swego środka, płaszczyzna wahania pozostaje też sama. Lecz jeśli umieścimy narząd na brzegu stołu, i stół obracać będziemy, jak pierwój, około środka jego figury: linia wierzchołkowa wahadła, która zawsze znajdować się musi na płaszczyźnie wahania, położona będzie zewnątrz środka ruchu, a zatem będzie materialnie zmuszoną odbywać ruch postępujący, którego nie było wcale w pierwszym przypadku. Ruch ten postępowy porywa z sobą płaszczyznę wahania, i już nie można liczyć na jej bezwzględną stateczność. Czyliż przez to utraciła także stateczność kierunku? Bynajmniej. Prawda, że odbywa ruch wraz z linią wierzchołkową, lecz kierunek jej pozostaje ten sam, czyli mówiąc innymi słowy, jest ona w każdym położeniu równoległą do pierwotnego kierunku. Jeżeli z początku była równoległą np. do jednej ze ścian pokoju, zachowa stale równoległość do tej ściany we wszystkich położeniach, jakie kolejno zajmować będzie. Tak samo dzieje się z igłą magnesową gdy ją przenosimy z miejsca na miejsce; czoppek na którym spoczywa, unosi ją, lecz kierunek jej samój pozostaje niezmienny. Kierunek płaszczyzny wahania, odpowiada kierunkowi igły, a punkt zawieszenia czopkowi; punkt ten unosi płaszczyznę wahania statecznie równoległe do pierwotnego położenia, i nie może żadnym sposobem wpływać na zmianę jej kierunku. Gdy tedy stół obraca się około osi, którą sobie wyobrazić możemy jako przechodzącą przez jego środek, unosząc przyrząd wahadłowy, udziela jednocześnie ruch postępowy wspólny płaszczyźnie wahania i podzielonemu kołu; oprócz tego, udziela ostatniemu jeszcze ruch kątowy, któremu nie ulega wcale płaszczyzna wahania. Można więc spuścić całkiem z uwagi ruch wspólny postępowy, przez co wpadamy na przypadek poprzedzający, w którym był tylko do uważania kontrast między niewzruszonością płaszczyzny wahania i obrotu wirowego koła, koło swego środka. Możliwy jeszcze pomnożyć zawikłanie w doświadczeniu, któreby miało niejaką analogią z zawikłaniem ruchów ciał niebieskich, to jest możnaby jednocześnie z ruchem obrotowym, nadać stołowi ruch krążący w pokoju. W tym przypadku, punkt zawieszenia opisałby w przestrzeni wijącą się linią krzywą, bez najmniejszego wpływu

na kierunek płaszczyzny wahania, która i w tym razie zachowałaby niezmiennie równoległe położenie.”

„Dotąd przypuszczaliśmy, że obserwator znajdował się zewnątrz małej widowni, na której objawiały się zmiany względnych położzeń płaszczyzny wahania i znaków umieszczonych pod spodem, i że dlatego mógł nabyć przez doświadczenie świadomość niezmienności téj płaszczyzny. W tym względzie świadectwo jego zmysłów, jest zupełnie w zgodzie z wypadkami, które dają się wyprowadzić *a priori*, z zasad racjonalnej mechaniki. Lecz jeśli widownia doświadczenia rozszerzy się tak dalece, że obejmie i samego postrzegacza; jeżeli zamiast odnosić się tylko do stołu, ruch obrotowy porywa cały dom: łatwo odgadnąć, że zjawisko wydaje się odwrotném, tak, jak gdyby płaszczyzna wahania była ruchomą względem otaczających przedmiotów, które rzeczywiście same są ruchome. Jeżeli rozumowanie to rozciągniemy do wirującej ziemi, pojmiemy, że złudzenie będzie zupełniejszém, i zrozumiemy dlaczego wahadło oscylujące w sali południkowej obserwatorium, lub pod piękną kopułą Panteonu, usiłując zatrzymać płaszczyznę pierwotnego impulsu, zakreśla w przytomności postrzegacza szereg trajektorij pozornie do siebie pochyłonych. Jeżeli tedy siłą rozumowania odniesiemy zwycięztwo nad złudzeniem, wniesiemy, że to my wraz z ziemią odbywamy ruch w kierunku przeciwnym.“

„Lecz mógłby kto zapytać: czyli ruch wirowy ziemi kształtu kulistego, może się porównać z ruchem płaskiego stołu w salonie? Przysnać trzeba, że porównanie może być uważane za dokładne tylko w przypadku, jeżeli przypuścimy, że wahadło znajduje się w biegunie ziemskim lub okolicy tak do bieguna zbliżonej, iż krzywosc kuli ziemskiej może być spuszczoną z uwagi. Skoro tylko oddalimy się znacznie od bieguna, powstaje nowe zakłócenie pochodzące ztąd, że linia wierzchołkowa pochyłona do osi świata zakreśla w dwudziestu czterech godzinach powierzchnią ostrokągu i zmienia ustawicznie położenie swoje w przestrzeni. Zmieniając tak kierunek, unosi płaszczyznę wahania na której zawsze się znajduje; z czego wynika, iż rzeczona płaszczyzna nie może już więcej tak jak w naszych poprzednich doświadczeniach pozostawać równoległą do pierwotnego położenia. Mamyż z powodu tego powikłania zaniechać zadania, i rzuciwszy się bezwarunkowo w objęcia analizy, rzec się nadziei uniknięcia za pomocą prostego poglądu w istotę zjawiska? — Nie sądzimy tak bynajmniej.“

„Weźmy kulę; naznaczymy na niej dwa przeciwległe bieguny i wykreślmy równoleżnik przechodzący np. przez Paryż. W jednym punkcie tego koła wystawmy sobie małe wahadło oscylujące na płaszczyźnie południka. W chwili gdy kula rozpocznie obrot około osi, linia wierzchołkowa nachyla się i wychodzi z płaszczyzny pierwotnego impulsu; płaszczyzna wahania przeto zmienia się. Lecz bezwładność materji odgrywa i tu swą rolę, sprowadzając do *minimum* kąt mierzący pochylenie płaszczyzny wahania, uważanej w dwóch położeniach następnych odpowiadających dwom nieskończeniu zbliżonym położeniom linii wierzchołkowej. Opierając się na téj zasadzie, i uważając na naszej kuli ślady po sobie następujących płaszczyzn, przechodzących przez kolejne położenia wierzchołkowej i czyniących z sobą kąt *najmniejszy*, doprowadzeni zostaniemy do wykreślenia na równoleżniku szeregu małych linii, z których dwie przyległe mają prawie równoległe położenie, przedstawiających ślady płaszczyzny wahania w jej różnych położeniach. Porównywając położenie ich względem różnych południków, które przecinają, znajdujemy:

1) Że dla obserwatora znajdującego się na ziemi, zboczenie płaszczyzny wahania odbywa się w kierunku przeciwnym ruchowi ziemi.

2) Że ruch płaszczyzny wahania, przy biegunie równy ruchowi ziemi, staje się powolniejszym w miarę jak się zbliżamy ku równikowi, na którym zupełnie ustaje; ruch ten odbywa się na obu półkulach w kierunku przeciwnym.

3) Że chyżość kątowa płaszczyzny wahania, równa się chyżości kątowej ziemi pomnożonej przez wstawę szerokości geograficznej miejsca na którym odbywa się doświadczenie: z czego wynika, że chyżość ta jest jednostajną i że płaszczyzna pierwotnego impulsu jest z natury rzeczy dowolną.“

„Podajemy tu z wszelką pewnością te wypadki teoryczne do których przychodzimy zawsze, udając się jakąkolwiek drogą: czyli idąc śladem p. Binet, puścimy się drogą analizy, którą niektórzy za najbezpieczniejszą uważają, czyli téż pójdziemy za przewodnictwem pp. Liouville i Poinsoł, opierając się na rozważaniach geometrycznych i mechanicznych zawsze przyjdziemy do jednych wypadków.“

„Wreszcie, wszystkie te następstwa i wnioski stosują się do wahadła pojedynczego, tylko w umyśle naszym istniejącego, a którego definicyą geometryczną wyżej podaliśmy; nadto, potrze-

ba jeszcze, aby wahania sprowadzone były do przestworów nieskończenie małych. Przechodząc z teorii do doświadczenia, fizyk lękać się musi zawodu, a w przypadku niniejszym zdaje się, iżby poczytywał się za szczęśliwego, gdyby mu się z wahadłem materialnym udało otrzymać z niejaką pewnością zboczenie w kierunku przewidzianym. Co do nas, przedsięwzięcie wydawało nam się tak dalece zuchwałém, iż osądziliśmy za potrzebne poprzednio przez przygotowawcze doświadczenie przekonać się o niezależności płaszczyzny wahania zarówno w czasie, jak przestrzeni.“

„Stalowy pręt kształtu okrągłego przytwierdzony do walca kołowrotu i w kierunku osi wprawiony został w drganie na płaszczyźnie dowolnej, której położenie wyraźnie oznaczone było w przestrzeni trwałością wrażenia na wzrok.“

„Podczas drgania obracano kołowrot i przekonano się, że lubo pręt kręcił się około siebie, płaszczyzna drgania jednak opierała się widocznie ruchowi i zachowywała stałe położenie. Pomimo krótkości pręta i niedługiej trwałości drgania, doświadczenie było decydującém, zważywszy, że liczba drgań w kilku sekundach była już znaczną i przedstawiała próbę z wahadłem daleko dłuższego trwania. Zważywszy to wszystko, nie pozostawało jeszcze jak tylko pomyśleć o sposobie konstrukcyi wahadła istotnie wolnego. Komu już o nic więcej nie chodzi jak o zwalczenie trudności w wykonaniu, chociażby domagał się cudu, niechaj zażąda pomocy p. Froment, którego doskonały talent nie cofnął się jeszcze nigdy przed zadaniem jasno położoném. Warunki mechaniczne które dopełnić należało, były określone jasno, a temi są: bezwzględna stałość punktu zawieszenia i doskonała symetria przyrzędu we wszystkich jego częściach. Pan Froment urzeczywistnił je najdoskonalej, i podał fizykowi, który mu się powierzył, możność stwierdzenia doświadczeniem powziętego pomysłu.“

„Aparat pierwszy, który był użytym do doświadczenia z korzyścią, miał tylko dwa metry wysokości; składał się z mosiężnej kuli ważącój 5 kilogramów, zawieszonój na drucie stalowym, przyczepionym do sztuki z lanego żelaza mocno osadzonój w sklepieniu piwnicy. Wprawiano w ruch wahadło chwytając kulę w petlicę z nitki zapalnej, i utrzymując ją oddaloną od położenia równowagi dopóty, dopóki cały system nie wrócił do spoczynku; poczem zapalano nitkę, która tym sposobem przzerwana bez wstrząśnienia, dozwoliła wahadłu oscylować na płaszczyźnie oznaczonój dokładnie. W pół godziny później płaszczyzna ta zmieni-

ła tak dalece swe położenie, iż zmianę tę dostrzedz można było na pierwszy rzut oka. Doświadczenie powtarzane wielką liczbę razy i w rozmaitych kierunkach, zawsze dało tenże sam wypadek. Płaszczyzna zbaczała stale, i zawsze wykręcała się około linii wierzchołkowej w ten sposób, iż za każdym kolejnym powrotem ku obserwatorowi, kula coraz więcej posuwała się ku lewej stronie. Jeżeli kiedy nieregularności mieszały wypadki, nieregularności te dotyczyły tylko wielkości zboczenia, ale nigdy jego kierunku, który zawsze zdawał się unosić płaszczyznę wahania w stronę obrotu kuli niebieskiej. Z doświadczeń tych pokazało się jednak, iż użyto zbyt krótkiego wahadła. I w rzeczy samej, tenże sam aparat, przeniesiony do obserwatorium i umieszczony za upoważnieniem p. Arago w sali południka, będąc zawieszony na drucie jedenaście metrów długim, pozyskał natychmiast bieg daleko regularniejszy i widoczniejszy. Wszędzie gdzie rozrządzić można swobodnie wysokością 10 do 12 metrów, aparat takiej długości postawi nas w możności oglądania i badania z gruntu wpływu obrotu ziemi na ruch wahadła. Lecz pod wyniosłym sklepieniem niektórych budowli, zjawisko powinno przybrać wspinałe rozmiary. W Panteonie znaleźliśmy miejsce szczególnie dogodne do umieszczenia olbrzymiego wahadła, a w administracyi najchętniejsze usposobienie ku urzeczywistnieniu projektu, który sam nastęczał się na widok olbrzymiej téj kopuły. Prezydent rzeczypospolitej mając sobie opisanym projekt doświadczenia i wymienione wypadki, jakich się umiejtność po niém spodziewać może, postanowił aby niezwłocznie odbyło się, a wysoko jego protekcyja oddziaływając z szybkością aż do ostatnich szczebli hierarchii administracyjnej sprawiła, iż w niespełna pięć dni wznósł się olbrzymi aparat, który nam pozostaje opisać."

„Na szczycie kopuły ozdobionej malowidłami *gros*, znajdował się czop, rodzaj pokrywy, który będąc usuniętym, pozostawił kołisty otwór półtora metra średnicy. Przez ten otwór zarzucono od jednego brzegu do drugiego silną belkę sosnową, grubą na 40 centymetrów w kwadrat, a przestrzeń próżną po obu stronach zabito deskami. W samym środku przebito otwór rozszerzony, u spodu którego oś schodzi się z osią budowli. Przez ten to otwór przechodzi drut, przytwierdzony do sztuk metalowych umieszczonych na wyższej ścianie belki. Gdy tak pracowano nad utrwaleniem punktu przytwierdzenia, zajęto jednocześnie przestrzeń kołistą mozaikową na posadzce, objętą mahoniową poręczą. By

się zabezpieczyć od przypadku jakiby mógł nastąpić przez możliwe zerwanie drutu i upadek masy na nim zawieszonj, pokryto mozajkę podłogą z tarcic, a na tój podłodze umieszczono warstwę ziemi grubą na dwadzieścia centymetrów. Jednocześnie w wysokości poręczy niemal, ustawiono koło drewniane 6 metrów średnicy, podzielone na stopnie i ćwierci stopni, tak, ażeby środek jego przypadał dokładnie na pionowj przechodzącj przez punkt zawieszenia. Z drugiej strony sporządzono dwie dęte półkule, z grubej blachy mosiężnej; połączone je spojeniem różnikowem i wylano środek ołowiem; otrzymano w ten sposób kulę znacznej gęstości, ważącą przy średnicy 18 centymetrów, 28 kilogramów. Kula ta opatrzona na przedłużeniu druta cienką skazówką, przytwierdzoną została drugim końcem drutu, który raz na zawsze przedłużył się na 5 do 6 centymetrów. Takie tedy wahadło wprawionem zostało w kołysanie z ostrożnościami wyżej wymienionemi, a po jednej podwójnej oscylacji 16 sekund trwającj, widziano jak kula w powrocie swoim już się oddaliła ku lewój stronie o dwa milimetry od punktu z którego wyszła. Ponieważ za każdą oscylacją następuje tenże sam skutek, zboczenie rośnie zawsze w stosunku do czasu i ocenia się dokładnie na kole podzielonem. Ruch płaszczyzny wahania może być uważanym przez pięć do sześciu godzin.”

„W pierwszym kwadransie po udzieleniu pierwszego impulsu, w zamiarze większego uzmysłowienia wypadków, uznaliśmy dogodnem, ułożyć naokoło obwodu koła małe kupki drobnego piasku, które kolejno wahadło rozburza, w miarę wykręcania się płaszczyzny wahania, i pozostawia tym sposobem podczas doświadczenia ślad materyalny obrotu ziemi, odniesionego równolegle do poziomu.“

„Dotąd aparat ten użyty był do wykazania obrotu płaszczyzny wahania, a tём samem do naocznego, że tak powiem przekonania się o ruchu ziemi. Naszém zdaniem, jestto już bardzo wiele. Lecz umiejętność zyska z tego doświadczenia więcej aniżeli zrazu można było się spodziewać. W tak wielkich rozmiarach, aparat przedstawia przymioty, których napróżno szukalibyśmy w innym mniejszych rozmiarów, chociażby najstaranniej wykonanym. Już zadziwiająca regularność jego ruchu obiecuje najgodniejsze wypadki; otrzymamy niezawodnie liczby, które porównane z pomysłami teoryi, dozwolą ocenić o ile wahadło prawdziwe zbliża się lub oddala od oderwanego systemu ozna-

czonego nazwą wahadła pojedynczego. Głęboka analityczna praca pana Binet, uwagi jasne i bystre pana Liouville, i genialne postrzeżenia pana Poinsot, wkładają na nas obowiązek prowadzenia dalej naszego dzieła z gorliwością. Zaiste nie uchybimy zadaniu.“

Z niecierpliwością oczekujemy na zapowiedziane dalsze doświadczenia i liczebne wypadki. Będzieto rzeczywistym tryumfem dla nauki, tryumfem jaki już niejednokrotnie obchodziła, gdy wyznaczony z dokładnością za pomocą obserwacji czas całkowitego obrotu płaszczyzny wahania, rozmnożony przez wstawę szerokości geograficznej, da nam na wypadek długość dnia gwiazdowego. Takto wahadło, ten tak prosty narząd, za pomocą którego zdołał człowiek zmierzyć siłę ciężkości, oznaczyć postać ziemi i zważyć, że tak powiem cały świat słoneczny, wykrywa mu jeszcze i uzmysłowia odwieczny ruch ziemi, odgadniony gieniuszem Kopernika.



WYSTAWA POWSZECHNA W LONDYNIE.

(ARTYKUŁ DLA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ WYŁĄCZNIE NAPISANY).

II.

Kiedym się zabierał do opisu wystawy i oprowadziwszy czytelnika z boku, miałem go obeznać z wnętrzem pałacu kryształowego, zapytałem siebie jaką przyjąć metodę, aby nie zginąć w tym oceanie arcydzieł rozumu ludzkiego, nie popaść w drobnostkowość opisów, a wykazując mniej więcej ostatni szczebel usiłowań ludzkich w każdej gałęzi, przedstawić zarazem, jak dalece do jój postępu przyczyniają się rozmaite narody, a przynajmniej jaki szczebel na téj ogromnej drabinie pracy i dowcipu zajęły. Gdyby kraj nasz był więcej przemysłowy, gdybym wiedział, że każdy z mych artykułów czytany będzie przez ludzi specjalnych, tobym mniej bacząc na narodowości poszedł torem angielskich sprawozdawców i oddział przemysłowy po oddziale przechodząc, rozbięrałbym wartość produktu i zasługi producenta. Lecz powtarzam, do takiego kosmopolityzmu usposabia jedynie specjalność, stająca się dla człowieka ojczyzną i domem rodzinnym; dla polskich czytelników systematyczny opis w którym giną różnice narodowości, byłby zanadto suchym i mało uczącym. Z drugiejj strony, opis według narodowości tę ma za sobą niedogodność, iż zmusza do opowiedzenia tego, co w obec innokrajowych produktów nie zasługuje na uwagę, i nakazuje z jednaką ścisłością rozbięrać drobne początki i ostatnie zastraszające rezultaty rozumu ludzkiego. Aby więc obu tych niedostatków uniknąć, postanowiłem w niniejszym artykule skreślić fizyonomią wszystkich krajów poszczególne, tych mianowicie obszerniej, o których w następnych artykułach

systematycznemu rozbirowi poświęconych, mniej z natury rzeczy mówić mi przyjdzie, i postarać się o wyjaśnienie stanowiska przemysłowego każdego narodu, tak jak później o oznaczenie każdego z więcej nas obchodzących rodzajów przemysłu. W tym celu kilka kart dzisiejszego listu poświęcę przeglądowi geograficznemu.

Na wstępie od bramy wschodniej spotyka się obszerne i po większej części słabo zapelnione oddziały Stanów Zjednoczonych. Śmiałość pomysłów, wytrwałość w przedsięwzięciu, oszczędność czasu i siły, praktyczność i użyteczność wyrobów przy których nie zwracano uwagi na artystyczne ozdoby: sąto cechy wystawy tego narodu, co wyszedł na świat z rąk i głowy Anglików bez dzieciństwa, urodził się olbrzymem, i choć żyje dotąd oddechem cywilizacji europejskiej, ale ją nagina do swoich potrzeb, do nowego położenia geograficznego, a w obec niestychanych trudności spotykanych co krok o tyle tylko wzajemnymi względami mieszkańców swych wiąże, o ile istnienie społeczeństwa koniecznie tego wymaga, zostawiając zarazem jak najszerszą sferę działalności, to jest jak najmniej krępując swobodę sił, które mają do walczenia z surową naturą i ogromnymi przeszkodami odległości. Przechodząc po wielkich oddziałach wystawy amerykańskiej, co chociaż od zupełności daleka, wymaga kilkunastu godzin szczegółowego przeglądu, czułem się przeniesiony poza Europę. Zdawało mi się, iż podróżuję po przestronnych państwach północnej Ameryki i widziałem śmiałych osadników puszczających się statkami parowymi w nieznane sawanny, rolników niemających rąk ludzkich podostatkiem i przymuszonych zastępować je machinami; przedsiębiorczych kupców, którzy nie posiadając zapasów odpowiednich wielkości pomysłów, jeden i ten sam kapitał kilka razy umieją stosować, pomnażając jego potęgę nieskończenie łatwym kredytem; rękodzielników wreszcie i fabrykantów, którzy z jednej strony zarzuceni obstalunkami, z drugiej kurczą się pod brakiem robotników, i w tę stronę myśl swą wytyczają, aby z jak największą oszczędnością czasu i z realnym użytkiem dopełnić żądania bez względu, czyli wyrób ich razić będzie lub nie, oko nawykłe do form eleganckich; jednem słowem widziałem myśl człowieka probującą się zwycięzko z niezliczonymi trudami, i trudy tak wielkie, że mu nie zostawiają czasu na wszystko, cokolwiek przechodzi dostatanie zaspokojenie potrzeb cywilizacji.

Powiedziałem, że wystawa amerykańska zdaje się być niezupełną; jest ona taką w porównaniu z tém, co Stany Zjednoczone mogły nadesłać. Wypytywałem się kilku Amerykanów; jednozgodnie odpowiedzieli to, co wreszcie jest widoczném: iż ona niedostatecznie wyraża stan ich przemysłu. I nic w tém dziwnego, bo fabrykanci amerykańscy nie mieli dość czasu na wykończenie i przeprowadzenie swych produktów, rachując ściśle według terminu oznaczonego przez Kommissyą Wykonawczą, a przedłużanego po wielekroć dla producentów europejskich. Wszystko cokolwiek na téj wystawie się znajduje, jest dziełem pracy sześciotygodniowej i świadczy o szybkości i skuteczności pracy wyrobników amerykańskich.

Jedną z najciekawszych okolic wystawy téj wielkiej Rplitej nowego świata są produkta surowe, a między niemi ogromne paki wybornej bawełny przysłanej z Tennessee, Missouri i innych południowych stanów; lecz znajdujące się obok próbki wełny dowodzą, że Amerykanie nie przestają na produkcyi bawełnianej, bo państwa północne potrzebują odzieży miększystej i cieplejszej jaką właśnie jest wełna. Najbardziej interesujące są próbki wełny merynosowej, nadesłane z New-Yorku.—Liczne są oleje amerykańskie i od naszych wcale odmienne; widzę tu olój z kleszczowiny, z wątroby dorsów (ryby morskiej), a mianowicie olój (tran) ze słoniny wieprzowej, wydobyty z pomocą pary. Nadesłali go pp. Holbrook i Stanley fabrykanci z Cincinnati, zaręczając, że jest tańszy o 50% od tranu wielorybiego, a tę ma nad nim korzyść, iż się świeci wybornie. Bez wątpienia we Francyi lub Anglii, gdzie słonina jest droższa niż w Ameryce, nie da się ten przemysł zastosować; ale być może, iżby on potrafił odkryć nowe źródło bogactwa dla Polski, Węgier i innych okolic wschodniej Europy, gdzie chów wieprzów jest bardzo rozpowszechniony.

Obfitą jest i charakterystyczną wystawa produktów żywności. Z Ohio przysłano szynki marynowane nie solą, ale cukrem; z Texas *biszkopty bulionowe* przyrządzane następnym sposobem: przez 16 godzin bez przerwy gotuje się wołowinę, wyjmuje się z kotła wszystko cokolwiek się w warze nie rozpuściło, poczem mocny ten rosół paruje, dopóki nie nabierze gęstości melassy. Następnie wysypuje się dostateczną ilość czystej mąki, a ciasto w ten sposób utworzone, piecze się jak zwykle biszkopty. Chociaż nie ma w niem soli, przez rok cały zachowuje się nawet pod gorącym

niebem Texas, ani się go nie chwyci robactwo. Funt takiego biskoptu wystarczy za pięć funtów najlepszej wołowiny; żołnierze broniący granic od indyjskich napaści, z żywności téj są bardzo zadowolnieni. Nadto, ponieważ cena jego jest niska, a ciężkość nader nieznaczna, przeto wszyscy podróżni puszczający się w bezludne okolice Missouri lub Kalifornii, zaopatrują się weń dostatecznie.—Jak wiadomo, Ameryka wysłała znaczną ilość mąki do Europy: są więc tutaj próbki najpiękniejszych produktów tego rodzaju. Pomijam zwykłe mąki, wspomnę tylko o kukurydzwój. Niezliczone próbki kukurydzy wszelkich rodzajów i wszelkiego koloru nadesłano z państwa Nowego-Yorku; krochmale z kukurydzy z fabryki Oswego wykazują dostatecznie, z jaką wytrwałością rozwijają tameczni mieszkańcy myśl tę prawdziwie amerykańską, zastąpienia zboża kukurydzą. Wszakże na szczęście krajów zbożowych powiedzieć można, że Europa niechętnie przystanie na chleb ów *formentone* zwyczajny we Włoszech, chociażby nawet nauka lekarska nie stwierdziła, że wyłączone pożywienie kukurydzą nabawia choroby; ani téż niepodobna przypuścić widząc tyle pięknych próbek ziarna nadesłanych z drugiego świata, aby Amerykanie uprawę zboża dla kukurydzy poświęcili.—Jednym z nieznanych w Europie produktów nadesłanych z Ameryki jest wino *Catawba*, atoli zamknięte w skrzynkach ulega przepisom prohibicyjnym, rozszerzonym na wystawie do wszystkich płynów spirytualnych.

Kopaliny amerykańskie aczkolwiek piękne, liczne i rozmaite, nie wykrywają nam nic, coby dotąd było nieznaném. PP. Ward i Boston przysłali próbki rodzimój miedzi, a dr. Feuchtwanger z Nowego-Yorku kompletny zbiór mineralogiczny, gdzie się znajdują stalaktyty, zęby kopalne mastodontów i mammutów, topazy z Connecticut, ołów ze srebrem z New-Hampshire (75⁰/₀ ołowiu, 100 uncyj srebra na 20 cetn. miesz.), chrom, baryt, siarkę z Connecticut. Oprócz tego znajduje się bryła rodzimój miedzi ważąca 2,544 ff., wydobyta z kopalni nad Górném jeziorem, piękne krystalizacye kwarcu, marmur czarny i starożytny zielony, żelazo, wyborne gatunki cynku i t. p.

Machiny rolnicze Stanów Zjednoczonych znajdują się opisane w osobnej części; jest ich bardzo wiele, chociaż z ważniejszych, mało widziałem praktycznych. Po machinach najliczniejsze są wyroby kauczukowe. Patrząc na tę ogromną ilość, łatwość i różnaitość zastosowania i korzyść z niego płynącą, trudno nie być uderzonym szybkością z jaką umiano produkt od niedawna po-

znany, zastosować tak rozmaicie. Sąto pontony kauczukowe, to jest walce wypchane powietrzem, łodzie do ratunku topiących się, rozmaite drobne sprzęty, przyrządy i misterne tkaniny, resory powozowe złożone z czterech płatów, zabierających bardzo mało miejsca, a zastępujących wygodnie zwykłe sprężynowe resory. Dwie ściany obszernego salonu zawieszono są obrazami daguero-typowemi; nie sąto same portrety, ale między nimi widzę widoki i krajobrazy, albo sceny z natury i życia zdjęte. Jeden artysta przedstawił kilka obrazów spadku Niagary, jak się zdaje pochwyconego zdaleka, bo szybki ruch wody nie przeszkodził bynajmniej wybornemu odbiciu. Inne obrazy, kopie obrazów olejnych lub wielkich sztychów, znacznej, bo kilkunastociałowej wielkości, świadczą, że duch praktyczny Amerykanów z pośpiechem rozkrzewił u siebie tę mechaniczną reprodukcją arcydzieł sztuki i natury, do której Europa zawiedziona poniekąd w swych nadziejach o daguero-typie, żał pewien mieć się zdaje.

Kolekcya broni jest dosyć znaczna, lecz i w niej poświęcono wszystko użytkowi. Spostrzegłem karabin, na którym cel wytknięty jest między dwoma kółkami; z tych jedno znajduje się w tyle, drugie przy końcu lufy, i jak się zdaje, powinno wpływać na celność strzału. P. Coll z Hartford umieścił niemało pistoletów i karabinów jednorurnych a wielostrzałowych, których nabijanie podobne jest jak przy pistoletach angielskich pięć lub sześćo-strzałowych. Jako ciekawość zasługuje na uwagę strzelba parowa, wynaleziona przez Perkinsa. Broń ta nie ma w sobie cechy nieprzyjazni dla rodu ludzkiego, jest bowiem ciężka, nie przenosi się z miejsca, chociaż nabijanie może być szybkie i strzał daleki.

Modele wielkich budowli są nieliczne, między temi znajdują się dwa mosty i kościół pływający w Filadelfii, dzieło godne Stanów Zjednoczonych. Widziałem kilka powozów, jeśli nie tak pięknych jak angielskie, to praktycznych i uderzających nowością pomysłu. Powóz tak zwany *amerykański* Riddlego z Bostonu, ma pułdło ruchome; wsunięte zostawia miejsce na dwie osoby, a w zupełnie wysuniętem czworo ludzi wygodnie się mieści; kilka faetonów odznaczają się nadzwyczajną lekkością, ale budowa ich kół wymaga drogi twardej. Meble amerykańskie są poniekąd praktyczniejsze od europejskich; zamiast sprężyn użyto w nich resory powozowe, i gdyby w nich było więcej gustu, mogłyby walczyć o pierwszeństwo z meblami Francyi i Anglii. —Instrumenta mu-

zyczne mieszczą w sobie narzędzie całkiem nowe, będące zapowiedzią znacznego wydoskonalenia w orkiestrze. Największy zarzut, jaki można było zrobić fortepianom jest owa ciągła przerwa w płynących po sobie tonach, której nie ma w instrumentach dętych lub smyczkowych. P. Wood fabrykant z Wirginii zapobiega temu niedostatkowi, dodając fortepianowi skrzypce, po których grają dwa smyczki przytwierdzone do deszczułki, poruszanej nogą artysty. Klawisze stosownie do woli grającego odpowiadają tonami skrzypców lub fortepianu, albo téż obojga razem; wszelako jeśli pomysł zasługuje na sprawiedliwe uznanie, to dodać muszę, że chrapliwe tony tego instrumentu czynią grę nieprzyjemną; ale wątpić nie można, że instrument wkrótce udoskonalony zostanie. Narzędzia fizyczne w większej części są wyrobu lub wynalazku kapitana Erricksona; z pomiędzy tych odznacza się *barometr alarmowy*, dający znak głośném uderzeniem kulki, ilekroć słup merkuryszu spada niżej 28°, a zatém zapowiada zbliżającą się nagłą zmianę atmosfery; ołowianka znacząca odrazu głębokość wody, i nowy przyrząd jeszcze niepatentowany, a zatém w szczegółach swych nieznanym, pod nazwiskiem *calorie engine*. Zegary, noże, przedzie bawelniane, mało w sobie zawierają przedmiotów godnych uwagi; jest znaczna liczba konduktorów, machina do otwierania rogatek i baryer, w Ameryce nieoszacowanego użytku, telegraf domowy, nieco szkła, lampy i żyrandole. Wyroby złotnicze są ubogie, jubilerskich właściwie nie ma. Na galeryi Stanów Zjednoczonych bardzo przestronnej, w obec braku przedmiotów, perukarz pewien z Filadelfii umieścił ogromną liczbę rozmaitych perfum i mydeł.

Porównywając między sobą państwa Stanów Zjednoczonych, najwięcej z nich wystawiły północne, a mianowicie Nowy-York. Ztamtąd bowiem nadesłano maszyny rolnicze i przemysłowe, ziarna, mąki, instrumenta fizyczne, noże, broń, karty i sukna. Drugie miejsce zajęła Pensylwania, a w niej narzędzia rolnicze, mydła, perfumy, instrumenta muzyczne, papiery kolorowe, minerały i węgle kamienne. Z Ohio nadesłano: konduktory, kukurydze, tytoń, wina, olój wieprzowy, mąki i marynaty. Z Massachusetts, New-Hampshire i Rode-Island: wyroby bawelniane i perkale drukowane; z Tennessee bawelna surowa; z Karoliny południowej bawelna, ryż i powozy; z New-Jersey cynk i niedokwasy cynkowe; z Indyany maszyny rolnicze; z Vermontu cukier klonowy, z Missouri i Wirginii minerały, tytoń i roboty rymarskie.

Taką jest wystawa Ameryki północnej. Zatrzymałem się nad nią dłużej, bo w systematycznym rozbiorze rzadko mi do niej zwrócić się wypadnie, chyba, że nowe nadsyłki, których się spodziewają, zmienią jej charakter; gdyż, jak czytelnik zapewne spostrzeżł, nie wszystkie państwa zebrały się na tym *jarmarku powszechnym* narodów, jak to zwykle mówią w Ameryce.—Obok Stanów Zjednoczonych znajduje się Rosya. Miejsce jej daleko szczuplejsze, a i to dotychczas niezapełnione. Południowe sale zakryte, w północnej wystawiono kilka artykułów, wprawdzie bardzo pięknych, ale niedających wyobrażenia o przemyśle cesarstwa i królestwa, ani niezgadających się z katalogiem, który wypisuje nazwiska 381 wystawiaczy. Najszlachetniejsza więc będzie, jeśli rzecz o wystawie rosyjskiej i polskiej odłożę do czasu, kiedy w zupełności będzie rozwinięta, gdyż, jak dzienniki angielskie podają, dopiero za kilka tygodni spodziewane jest przybycie okrętu, zatrzymanego w podróży lodami. Dodam tylko na dzisiaj, że wspaniałe wazy malakitowe, tulipanowe biurka z Petersburga i Hekiego z Warszawy waza warwicka, obok stołu z mozaiką florencką i kilku innych wazonów z obrazami olejnymi, obudzają w każdym nie-małe podziwienie.

Na zachód Rosyi, po stronie południowej, znajduje się Szwecya, Norwegia, a za nią Dania. Smutny jest widok téj wystawy; nie odpowiada ona ani rozległości, ani ludności tych krajów. Każde miasto angielskie, każdy kanton szwajcarski i każde państwo Stanów Zjednoczonych przysłały na wystawę powszechną nieskończenie więcej wyrobów. Słynne swemi bogactwy kopalnie Szwecyi i Norwegii, zaledwo kilka surowych materiałów żelaza, srebra i złota dorzuciły do wystawy innych narodów.—Wprawdzie z dawną świetnością nie może się porównać obecny stan marynarki duńskiej; ale zachowuje ona dotąd stanowisko zaledwo ważne, abym nie miał się dziwić, że jeden model bussoli i kilka chronometrów, składają całą wystawę narzędzi, używanych przez duńskich marynarzy. Od narodów tych rozsypanych po ogromnych obszarach nieurodzajnej ziemi, nie można się było spodziewać arcydzieł przemysłu paryzkiego, materyj lyońskich, tkanin Leedu lub Manchesteru, albo przepysznych szat i broni wschodnich; ale zawsze godzi się żałować, że skandynawskie ludy zdolniejsze, moralniejsze i oświecześniejsze od wielu narodów południowych, nie postarały się o lepszą reprezentacyą swego przemysłu dla Europy i całego świata. Ponieważ w sferach półno-

nych życie jest proste, a zbytek prawie nieznan, nie ma tam owej gorączkowej ruchliwości, cechującej fabryki krajów więczej na południe położonych; ale za to nieustanna walka człowieka z dziką przyrodą, z ciemnym i nieubłaganym niebem i z morzem, coraz w burzliwe wspina się bałwany, to w ogromną bryłę lodu ścięte, wzbrania wszelkiego do siebie przystępu: czyż te więc walki nie powinny natchnąć mieszkańca Północy do szukania w mechanice broni, zdolnej do zwalczenia potężnego wroga, który go co rok przez dziewięć miesięcy trzyma w niewoli?

Górale szwajcarscy, salcburscy, mieszkańcy Tyrolu i Czarnolesia, których zimno więzi w chatach prawie tak długo, jak skandynawskiego chłopca, stworzyli sobie osobną gałąź przemysłu, a wyroby dokonane w ciągu długich zimowych wieczorów, sprzedają letnią porą po wszystkich jarmarkach środkowej Europy. Czemu za ich przykładem nie idą Szwedzi, Duńczycy i Norwedzi? Trudno przypuścić, aby mieszkańcy dwóch wielkich półwyspów, jako sabaudzkie świszcze spali przez sześć miesięcy, ażeby się nie zatrudniali przez większą połowę swego życia pracą umysłową lub fizyczną; a przecież wnioskując z wystawy, sądzićby wypadało, że żadne wyłączne rzemiosło nie zajmuje Szwedów i Norwegów w długich zimowych wieczorach. Przyczyna téj nieczynności musi leżeć gdzieindziej. Żaden handel kwitnąć ani nawet istnieć nie może bez znacznego odbytu. Mieszkańcy półwyspu nie mogą korzystać tak, jako górale szwajcarscy z ciągłych wycieczek innokrajowców; nie mają wód mineralnych ani Wiednia w pobliżu, co jest znów źródłem bogactwa dla Salcburga i Tyrolu; z kąd wypływa, że przemysł skandynawski nie ocuci się, dopóki dróg morskich nie znajdzie dla siebie otwartych. Nie na wystawie więc, ale w taryfie celnéj duńskiej, szwedzkiej i norwęgskiej znajdę odpowiedź na pytanie: czy chłopci skandynawscy mają jaki przemysł krajowy, i czyli ten przemysł narodowy może się rozwinąć z czasem w stosunku do przemysłu innokrajowéj?

Dzięki porcelanowej fabryce z Kopenhagi i dłutom kilku znakomitych rzeźbiarzy, wystawa artystyczna duńska jest znakomita i dobrze dobrana. Mały ten kraik zatopiony w mgłach morza Północnego lepiej jest w tym względzie reprezentowany, jak wiele stron południowych, gdzie słońce wiecznie świeci i jedna chmurka nieba nie plami. Dania jest ojczyzną Thorwaldsena; sztuki piękne jakby zakłete gieniuszem tego męża, przybiegły tu i zamieszkały nad lodami Bałtyku: one, co przedtém nigdy błęki-

tnych fal Archipelagu i modrych głębi morza Śródziemnego nie opuszczały.—O duńskiej machinie do składania czcionek, wprowadzie jedynę na tej wystawie, ale godną uwagi, powiem w swoim miejscu.

Nierównie bogatszą, zupełniejszą i bardziej interesującą jest wystawa Związku Celnego. Przedstawia ona potężną organizacją przemysłową i odważne współzawodnictwo we wszystkich gałęziach przemysłu ludzkiego. Ten ogromny postęp w ciągu lat niewielu, muszą zawdzięczyć Niemcy utworzeniu związku celnego, a ztąd rozszerzonemu polu wolnej wymiany i potężniejszemu współzawodnictwu. Skutki jakie ztąd wypływają nie ograniczają się na przemysł; bo skoro raz myśl narodu powźmie ten zbawienny kierunek, pomysłowość jego materialna wzrasta z każdym dniem. Potrzeba zaś kupowania pod korzystnymi warunkami materij surowych od zagranicy i nadzieja oddania jej w zamian płodów swego przemysłu, wywiera na stosunki internacjonalne wpływ zbawienny: utrzymuje sąsiednie ludy w nierozzerwanej od siebie zawiłości, coraz mocniej zawiązuje nici, które rozerwać coraz trudniej, i co dzień, co godzina nową przyrzuca cegłę do wielkiego fundamentu przyszłego szczęścia rodu ludzkiego, to jest powszechnego pokoju. I w rzeczy samej, nigdzie bardziej jak w pałacu wystawy przychodzić nie czuje się przejęty tą myślą, że wieki, które się przed nami roztwierają, odmienną będą miały fizyonomią od wieków poprzednich; że owe, niegdyś przyjęte teorie zdobyczy, przewagi politycznej, wpływu materialnego—teorie będące podstawą polityki zgastych pokoleń, nowym wydadzą się jako przesady i ustąpią miejsca innym, mniej pogańskiej cechy, więcej chrystyanizmu w sobie mających. Ze zbrojowni średnio-wiecznych porobiono dzisiaj (o profanacyo!) kaloryfery, pospolite narzędzia wykuto z puklerzów, które wasze potężne piersi zasłaniały o wy Talboty, Bayardy, Duguescliny! Druga połowa w. XIX rozpoczęła się przy huku dział, które ogłosiły nie zapasy olbrzyma naszego stulecia, ale kongres mężów pokoju. Już myśl ludzka nie będzie odtąd potrzebowała dział i karabinów, aby się z nimi po całym świecie rozchodzić, zagięły w przeszłości wyprawy krzyżowe i kampanie Napoleońskie, i może wkrótce jaki cichy fabrykant znalazłszy porzuconą owę *ultima ratio* Napoleona, przekuje ją na walec maszyny parowej, a proch, który dotąd zmiażdżał szeregi stworzeń ludzkich, może będzie służył w miejsce pary przy wielkich maszynach: podobnie jak to doradzał pewien fizyk

niemiecki (jeżeli się nie mylę Weygand), chcąc nadać dowolny kierunek pływającym po powietrzu balonom. Takie myśli nasuwały mi się kiedyś wchodząc do oddziału Niemiec, z jednej strony spotkał działo Kruppa, a z drugiej kaloryfery Edwarda Bauma; takie przychodzą z każdym krokiem na widok krajów, których siła zbrojna i znaczenie polityczne w Europie dotąd prawie były nieznanne, a których przemysł wysoko rozwinięty dowodzi, że pierwszym warunkiem pomyślności powszechniej jest pokój.

Do wystawy niemieckiej w przeglądzie systematycznym już częściej zajrzeć mi przyjdzie. Obecnie ograniczam się na kilku spostrzeżeniach, wyjaśniających niejako geografią i statystykę tej części wystawy. Ze wszystkich państw do niej należących, Prusy dostawiły najliczniejszy kontyngens, bo 800 nrów, a w nich prowincye nadreńskie (nrów 317), miasto Berlin (175), Westfalia (80), Szlązk (60). Z Poznańskiego na ośmiu wystawiaczy jest dwóch Polaków: Lipskiego wełna podarowana królowej Wiktorji, i kiszewski jedwab surowy z woreczkami jedwabniczymi. Po Prusiech liczbową przewagą góruje: Saxonja (202) z księstwami saskimi (50), Wirtemberg (129), Bawaryja (103), W.Ks. Heskodarmsztadzkie (95). Wystawa badeńska liczy zaledwo jedenastu producentów, co niemało zadziwi każdego, co sobie przypomni, jak wielką w ciągu podróży po tym pięknym kraju widział ilość machin parowych i hydraulicznych, a mianowicie w Czarnolesiu i na obszerniej dolinie, którą Ren przerzyna. Wystawa bawarska nie odpowiada również znaczeniu przemysłowemu i politycznemu tego kraju. Norymberga, Furth, Bamberg, Wirzburg, Ratysbona, Monachium w bardzo małej liczbie przysłały wyroby różnostronnego swego przemysłu. Tak np. napróżno szukałem w Związku Celnym zabawek dziecinnych, których bajeczna taniość, podobnie jak zegarów drewnianych lub kieszonkowych genewskich, jest nierozwiązalną zagadką dla fabrykantów angielskich i francuzkich, a której przyczyna nie jest inna, jak tylko, że przemysł ten wkorzeniony w tych okolicach od czasów niepamiętnych zajmuje wsie i miasta całe, a przy rozpowszechnionym podziale pracy, gdy w jednej rodzinie znajduje się czworo lub więcej ludzi trudniących się przez całe życie wyrobem jednego sprzętu lub jednego kółeczka, doświadczenie więc i zręczność jednego pokolenia przechodzi spadkiem do drugiego, i fabrykantów stawia w możności produkcji coraz lepszej i coraz szybszej.

To co Bawarya przystała nie obejmuje ogółu tamecznych wyrobów wiejskich i miejskich, ale odznacza się taniością i wygodą. I tutaj piękność poświęcono użytkowi, i tutaj nie miano względu na elegancją formy i doskonałość pracy. Ma wprawdzie wystawa bawarska (że tak powiem) pretensye artystyczne, usprawiedliwione poniekąd kilkoma dziełami sztuki; ale choć w Monachium czczone są sztuki piękne, nie można zapatrywać się na wystawę bawarską z tego stanowiska, bo uczucie sztuki nie doszło jeszcze do tych rąk, które z Norymbergi i Furth produktami swemi cały świat zasypują. Artystyczność w Bawaryi jest *accessorium*; zostawiając dlań miejsce, nie należało zapominać o rzeczy głównej.

Wirtemberg i księstwo meiningskie rozweselają gości wystawy. Preparator królewskiego muzeum historii naturalnej w Sztutgardzie, Plonequet, dość szeroką ścianę zastawił wypchanemi zwierzętami, które ugrupował razem lub z osobna, nadając im prawdziwy albo téż komiczny charakter. Jest kilka scen nader pięknie i naturalnie odrobionych, np. dzik i jeleni opadnięte przez psów, lis przynoszący dzieciom swym kuropatkę, walka ptaków z kunami i tchórzami, a następnie wybornie oddane bajki Lafontaine według rysunku Grandvillla. Ta część wystawy od rana do zmroku obstępiona jest zwiedzającemi, którzy wśród głośnych śmiechów ukazują sobie dowcipne grupy: bo w istocie trudno wstrzymać się od śmiechu na widok nieporównanego odrobienia miniaturowych lisów i niedźwiedzi, które z całą namietnością myśliwców i z całą powagą niemiecką strzelają do zajęcy; na widok pojedynkujących się królików, modlących się kotów, wyźłów i mopsów zaczytanych w ogromnych foliałach. Z Meiningen, C. Sachsenväger nadesłał zwierciadło filarmoniczne, wyobrażające orkiestrę Juliena w dwudziestu karykaturach dowcipnie i pracowicie oddanych.

Aby w Prusiech nie utonąć, Saxonia i Wirtemberg usadowiły się nieco na uboczu. Sukna saskie słyną oddawna pięknoscią i dobrocią, lecz nie widziałem nic, coby mogło wyrównać francuzkim i angielskim, choć zresztą porozrzucane tu i owdzie próbki, nie pozwalają objąć ogółu téj fabrykacyi i porównać na pewno wszystkie produkta. Płótna saskie jednostajne i deseniowe (bielizna stołowa) są wyrobami piérwszego rzędu i stoją na równi ze wszystkiém, co Europa w tym względzie ma najdoskonalszego. Nie bez pewnego zdziwienia przekonałem się, iż na wystawie

nie ma nawet śladu księgarstwa lipskiego. Jaka tego jest przyczyna? Przemysł ten, któremu Anglicy i Francuzi niepomatu się dziwią, zarzuca, jak wiadomo, Niemcy całe, a w pewnej części i nas wszelkiego rodzaju produkcjami literackimi, filozoficznymi lub umiejętnymi, w miarę jak one się pojawiają w którymś kraju i języku. Lipsk ma zaledwo 40,000 mieszkańców, a wydaje cztery razy tyle książek co Wiedeń, siedm razy więcej od Monachium. Tak ogromne przedsiębiorstwa zasługiwały na odpowiednie miejsce w wystawie, gdyby z drugiej strony nie zachodziła ta przeszkoda, że niemająca część edycyj lipskich jest nieprawym przedmiotem. Zapewne więc z tego powodu księgarstwo lipskie nie zostało reprezentowane na wystawie, gdzie interesa wszystkich szanowane są sumiennie i gdzie chciwość księgarzy okradających swych sąsiadów niemogących się pomścić, budzi wstręt i oburzenie w obec prawego charakteru Anglika. W tym rodzaju rozbójniczego przemysłu celuje Belgia; lecz jak słyszę i nasi księgarze poczynają im zazdrościć smutnej ich sławy. Pierwsza podobno Warszawa tę drogę ukazała. Być może, że jej księgarzom uda się na nieprawej drodze wydrzeć kilka złotych, ale się ani spostrzegą, jak obrzuciwszy księgarstwo piętnem pogardy zabiją je, a z niem całą literaturę. Gdyby który księgarz w Anglii przedrukował dzieło zagraniczne, własnością obcego księgarza będące, zmarnowałby koszt wydany na edycję, bo Anglik wie o tém, że człowiek który kupuje u nieprawego posiadacza, dopuszcza się współkradzieży.

Rozdzielając wystawę niemiecką na wyroby nadesłane, pokazuje się, że najliczniejsze są przedce, jest ich bowiem 1081; następnie idą szeregiem produkta metaliczne, szkło i porcelana (469), meble i wyroby drewniane (387), produkta surowe (343), maszyny i narzędzia (313), dzieła sztuki (157 wyst.). W pierwszym oddziale najliczniejsze są przedce wełniane, szale, tkaniny mieszane, dywany, przedmioty toalety, wyroby płócienne, jedwabie, aksamity, skóry, przedce drukowane i perkale. Następną grupą pod względem liczebnym rozpoczyna się od żelaza, stali i metali w ogólności, dalej idą wyroby złotnicze i jubilerskie, nożownictwo, które poniżej porównam z angielskim, porcelana, szkła i kryształy. W dalszym oddziale idą perfumy, wyroby kauczukowe, artykuły roślinne, a dopiero czwarte miejsce pod względem bogactwa wystawy zabierają produkta surowe, mianowicie: produkta zwierzęce i roślinne używane w przemyśle, minerały, przedmioty

pożywienia, produkta chemiczne i farmaceutyczne. W oddziale machin przedewszystki^{em} uderzają narzędzia fizyczne, znaczna liczba przyrządów ręcznych zastąpionych w Anglii machinami przemysłowemi, broń, narzędzia rolnicze, maszyny użytku bezpośredniego, modele i próbki architektoniczne. Sekcja sztuk pięknych ma 157 nrów, idących po sobie pod względem ilości w następnym porządku: rzeźby marmurowe, brzozy, odlewy żelazne, mozaiki i żłobienia, medale, kamee, kamienie rżnięte, ozdoby i modele architektoniczne, a nakoniec emalie, których tylko cztery artykuły naliczyłem. Taka jest pod względem liczebnej wagi statystyka Związku Celnego, która wykazuje, że przedze stają na pierwszym rzędzie, a zatem że Niemcy środkowe są głównie krajem przemysłowym. Że zaś materye pierwotne zajmują dopiero czwarte miejsce, wypływa ztąd, iż grunt nie musi wydawać dostatecznej ilości dla ożywienia przemysłu, mała zaś liczba machin jest jedną więcj przyczyną niższości produkcyjnej.

Nierównie niższą jest wystawa Niemców północnych, pod którąto rubryką objęte są państwa nienależące do Związku Celnego, jakoż: Hanower, W. ks. oldenburskie, Hamburg, Holstyn, Lubeka, Bremen, Mekl. Szweryn, a z niemi złączone ks. Mekl. Streliekie. Gdyby nie Hamburg, którego wyroby godne są uwagi, sala wyznaczona temu oddziałowi byłaby zupełnie pusta. Z wystawy hamburskiej uderza bogata kolekcya lasek z fabryki p. Meyera, piękne meble Mehnego, Rampendaha i Plamberka, cukier rafinowany, nieco nożów, instrumentów muzycznych i dzieł sztuki.

Zato pod każdym względem bogatszą jest wystawa Austrii, która tworzy tutaj trzeci oddział Niemiec. Jeszcze przed otwarciem pałacu dzienniki zapełnione były szczegółami o meblach Leistlera ebenisty z Wiednia. Cztery jego salony wysadzone kunsztowną posadzką z mahoniu, palisandru i dębu, zastawiono wspaniałemi wyrobami stolarszczyzny. Najmajestatyczniejszym jest pokój sypialny, a w nim łożo. Ozdobione filarami rżniętymi w figury i bukiety i bogat^{em} aksamitn^{em} niebem, wykonane jest z nieporównaną zręcznością i pracowitością. Kilka grup na przedniej i tylnej ścianie uderza piękn^{ością} pomysłu, rysunku i mistern^{em} d^{łutem} snycerza. Wdałbym się z chęcią w szczegółowy opis tych mistrzowskich dzieł, opowiedziałbym szczegółowo wyszukane i hojnością swą ledwo że nie rażące ozdoby, gdyby mnie w tym jeszcze liście nie czekał przegląd tylu innych przedmio-

tów, a nawet nie wychodząc z salonów Austrii: gdyby do równie drobnostkowego opisu nie miały prawa inne wyroby Leislera, jakoto: biblioteka podarowana przez cesarza królowej Wiktoryi, etażerki do kwiatów i obrazów, klęcznik i kilka stołów przewybornie dokonanych. Lecz jeśli kunsztowi stolarza nie zarzucić nie można, to pomysł architekta od zarzutu wolnym być nie może. Meble te są ciężkie i wymuszone, jakoby domy mieszczkańskie. Biblioteka zdaje się być podobną do kościoła gotyckiego w miniaturze, łoże rozmiarem swym przechodzi wszelką proporcją, a olbrzymie jego filary w sobie samém nader ozdobne, mogłyby dźwigać dość znaczny budynek. Austriackie biurko Grögera z Wiednia może służyć za dowód wysokości i zręczności artysty, ale zdradza gust mieszczkański, a raczej brak gustu, który dozwolił w tak małym przedmiocie tyle nasadzić ozdób, iż w obec nich znika całość, a w umyśle patrzącego tworzy się nierozstrzygnięte pytanie: czy to jest biurko, czy też gablotka na której z niemiecką systematycznością poustawiano niezliczone rzędy historycznych i symbolicznych statuetek. Więcej mają gustu ozdoby medyolańskie, jakoto ramy i kominki. W tej także stronie austriackiej wystawy zaszczytne zajmują miejsce produkta drukarni cesarskiej z Wiednia, świadczące o niesłychanej zamożności zakładu, który w 400 językach potrafił wydrukować paciérz, który wydał olbrzymiej wielkości mapy i litografie kolorowane takiej doskonałości nadesłał, iż postawiwszy obok nich oryginał, niepodobna odróżnić od kopii. Od strony południowej rozstawiono niezmiernie bogatą kolekcją fajek i cygarniczek piankowych z Wiednia i Pragi, potwornego częstokroć rozmiaru; wielkie stosy produktów stearynowych, mnóstwo wyrobów z Tyrolu, przedze jedwabne i szale, które mogłyby się mierzyć z francuzkami, gdyby ostrość kolorów nie odejmowała im wdzięku; piękne strzyżone dywany, a nakoniec jedna z najpiękniejszych sal, mieszcząca rzeźby medyolańskie.

Jedną z najbardziej na uwagę zasługujących, jest wystawa belgijska. Stosownie do rozległości i ludności kraju, zajmuje ona największe i bez wątpienia nader zaszczytne w pałacu miejsce, mianowicie pod względem użyteczności i praktyczności i niskiej ceny swych wyrobów. Wystawa ta począwszy od węgla kamiennego i najprostszyc kopalni, od najmisterniejszych wyrobów złotniczych, aż do olbrzymich machin, obejmuje wszystko,

tak, iż niepodobna o żadnym oddziale z osobna traktować, nie zajrzawszy do sal belgijskich. Fabryka Seraing nadesłała dwie ogromne lokomotywy, które sławę jej godnie utrzymują, a oprócz tego maszynę do statku o sile 140 koni, inną o sile 16 koni, i prawdziwe cacko mechaniki, maszynę o sile czterech koni. Nie brakuje na maszynach rolniczych, siewkarniach, młockarniach, różnego rodzaju pługach, młynkach, siewnikach i innych narzędziach, z pomocą których Belgia stanęła w małej liczbie krajów, najwyżej pod względem rolnictwa posuniętych. Kilka przędzalni, postrzygalnia, warsztaty Jacquarta, i maszyna do czyszczenia i bielienia cukru Van Goethema, tego samego co angielskie systematu. Wszystkie ściany pokryte są olbrzymimi dywanami i ceratami. Na pierwszym piętrze ustawione w szeregu figury woskowe biskupów, służą jako środek wystawy pontyfikalnych, niezmiernie bogatych ubiorów; dalej idą wyroby pasamonicze, wspaniałe oprawy mszały i biblie, i koronki, a poza niemi szyby i okna kościelne malowane. Następnie grupa statuetek brązowych, wpośród których znajduje się miniatura lwa z Waterloo, owego pomnika olbrzymiego, z powodu którego powiedziano, że narody co należały do owej walki, reprezentowane są na placu boju w odwrotnym stosunku; jakoż Anglia wystawiła dwa czy trzy pomniki, Prusy kaplicę, a Belgia górę, kończącą się lwem potwornym. Na pograniczu Holandyi, mszały pana Hanieg z Malines tworzą piramidę dwanaście stóp wysoką, a na dwustronnym kontuarze rozłożone są papiéry, utensylia biurowe, książki, wyroby pasamoniczne i t. d. Cóż powiem o koronkach? Trzy miasta: Ypres, Grammont i Bruxella, spierają się o palmę pierwszeństwa, tak dobrze co do przędzy, jako też i rysunku. Rozmaitość ich nieskończona i cena niemniej rozmaita: od 1 fr., do 1,200 fr. za łokieć. Piękne są koronki czarne, ale najwięcej mi się podobały bruxelskie, z których najtańsze kosztują 1000 fr., a materiał do nich użyty 4,000 fr. kilogram. Na zachodniej stronie wystawy belgijskiej znajduje się jeden tylko stół wyrobów jubilerskich, ale zasługuje on na uwagę, mianowicie pod względem kamelij, łańcuchów i inkrustacyj na srebrze i złocie. O produktach surowych, przędzach wełnianych i bawełnianych, przedmiotach żywności i toalety, broni i rymarszczyźnie, nateraz zamilczam.

Z Belgii przechodzi się do Francyi. Dzień otwarcia pałacu, zastał wystawę francuzką całkiem nieprzygotowaną: po obszer-nych jej salach uwijali się robotnicy, odbijający paki i składający

machiny i modele. Długi rząd szaf, poświęconych wystawie wyrobów lyońskich, raził pustkami: zaledwo brzozy i złotnicze wyroby wydobyły się zpoza opon ukrywających resztę wystawy. Pierwsze więc dnie były fatalne dla Francji; mówiono, że po raz drugi przegrała batalię pod Waterloo. Ale ledwo kilka tygodni upłynęło, a zajaśniały sztandary Francji, zabłysły herby miast fabrycznych, usunięto paki i zasłony, i wystawa francuzka stanęła w całej swój świetności. Mówiąc o niej, trudno nie zacząć od najprzedniejszego Francji przemysłu, od królowej jedwabiu, Lyonu. Fabrykanci jęj wpadli na szczęśliwą myśl wystąpienia w Londynie zbiorowo, bo izba handlowa lyońska trudniła się sama expedycją, zakupując nawet przedniejsze wyroby od tych, którzy w wystawie udziału brać nie chcieli, i oddała dwom fabrykantom paryzkim do zręcznego rozwieszenia. To też jeżeli przepych materyj przechodzi wszystko, cokolwiek oko ludzkie w tym rodzaju widzieć mogło, niemało do otrzymania tak silnego efektu przyczynia się umiejętny rozkład wyrobów. Nie mam zamiaru porywać się na wystawienie świetności tych aksamitów, złotogłowiów, atlasów, jedwabnych tkanin, adamaszków zarzucanych kwiatami i świeżych jako barwy wiosenne. W tym ogrodzie jedwabniczym, w tych kwiatkach pracowicie utkanych, tyle jest prawdy i życia, że zdaje się, iż z nich musi wychodzić woń czarująca umysły. Poza jedwabiami, wyroby pasamonickie i wstęgi rozłożone nie ustępują bogactwem i różnaitością szwajcarskim, a koronki z Haute-Loire spierają się o palmę zwycięstwa z bruxelskimi. Dalej kwiaty batystowe Constantina, arcydzieła w swym rodzaju, które z niczém porównać się nie dadzą, chyba ze swemi pierwotworami, z wypieszczonemi oranżeryi kwiatami.

We wszystkiém co tylko się odnosi do gustu i elegancyi, Francuzi mają pierwszeństwo tém widoczniejsze, że na poparcie tęg opinii, przychodzą w pomoc wszystkie sale pałacu wystawy. Forma, wdzięk, elegancya i to *coś*, czego nie wiem jak nazwać, a co daje duszę materyi, połysk i barwę przedmiotom i woń kwiatom, stanowią niezaprzeczoną wyższość przemysłu francuzkiego. Porównajmy np. meble: w wystawie francuzkiej nie ma takiego biurka Grögera, nad którémby ebenista trzy lata pracował; nie ma przygniatających wielkością lub obfitością swych ozdób mebli, ale jest prześliczny bufet Fourdinois, jest wspaniała biblioteka Barbedienna, są biurka Krunera, Jolego i wielu innych, a szczególnież też meble Tahana. W tych rozkosznych sprzączkach wi-

duo nie o to chodziło artyście, aby w nie włożyć ozdoby bez miary i wyboru, trudności bez potrzeby, ale aby utworzyć dzieło, że tak powiem przystępne oczom ludzkim, które się rade na nich zatrzymują. A nietylko w meblach kosztownych panuje wykwinność formy i elegancya; w najtańszych, w dostępnych niemal dla każdego wyrobniku, spostrzeżesz gust i pewną szlachetność zewnętrzną; bo cała wystawa Francyi przesiąknięta jest artystycznością, napojona estetycznością formy i zewnętrzną ogładą.

Po przepysznej wystawie wyrobów jedwabnych, rzuciwszy okiem na wspaniałe szale paryzkie i lyońskie, prowadzę czytelnika do obszernej sali porcelany i gobelinów. Kto gobelinów nie widział, kto nie miał sposobności uwielbiania téj żywości kolorów i téj doskonałości rysunku, których tylko fabryki francuzkie posiadają tajemnicę, ten nie może mieć pojęcia o nadzwyczajnym wrażeniu, jakie sprawia widok tych ogromnych dywanów, zasypanych bukietami cudownych kwiatów, lub wiernie przedstawiających arcydzieła malarskie. W tym samym oddziale mieszczącym arcydzieła, na które ceny podobno nie ma, znajdują się wyroby fabryki z Sévres i innych zakładów fabrycznych porcelany. Oglądając prześliczne na tych wazonach, statuach i stolikach ozdoby, zachwycając się wybornymi malowidłami, które ręka artysty umiejętnie wykonała, a ogień na zawsze utrwalił; niełatwo przyjdzie na myśl, ileto niesłychanych trudności trzeba było zwalczyć, ile względów mieć na uwadze i ilu ostrożności użyć wypadało, aby mozolnie wypracowane obrazy, nabrały w ogniu pożądanego koloru i potrzebnym zajaśniały blaskiem. I w tym rodzaju Francya celuje, bo chociaż piękne są porcelany angielskie, wyborny jest gatunek saskich, doskonałe odciski duńskich, piękne malowania wiedeńskich, to świeżością kolorytu i gustem, nie wyrównywają Francyi. Jako arcydzieło malowania na porcelanie wystawione są we środku portrety naturalnej wielkości królowej Wiktoryi i ks. Alberta. Toż samo trzeba powiedzieć o bronzach i złotniczych wyrobach, chociaż między fabrykantami paryzkimi nie znalazłem kilku najcelniejszych. Bronzy Vittoza, Miroya, Barbedienna i tylu innych, o których wspomnę później, godnie reprezentują ten przemysł właściwy Francyi. Wszyscy cudzoziemcy zgadzają się, że bronzownicy francuzcy na całym świecie nie mają współzawodników; jest w ich produkcji tyle siły, gustu, ducha wynalazczego, i świętego ognia sztuki, że tak dobrze Anglicy, jak Niemcy i Belgowie, oddają im

zasłużone pochwały. A nie mniejsze należą się złotnikom. Wyroby Froment-Meurisa, w ciągu kilku tygodni od chwili otwarcia wystawy, zyskały sławę europejską; toaleta ks. Berry i grupa cyklopów dźwigających glob, przewyższają wszystko, czémkolwiek ten rodzaj przemysłu może się poszczycić zagranicą. Ozdoby jubilerskie Demonniera i kilku innych, którzy oxydując srebro, umieli mu nadać poważny historyczny koloryt, jedne zachwycają bogactwem, drugie misterném wykonaniem, charakterystycznością figur i wybornym rysunkiem, budzą w patrzących uwielbienie. Z produktów surowych najciekawszym jest jedwab i worki jedwabnicze, a między niemi celuje przedziwna rasa Brońskiego, o której bliższych szczegółów podać nie omieszkam. Fortepiana Erarda szacowne są tak pod względem ozdób, jako i doskonałości muzycznej; lecz obok nich znajduje się wiele fortepianów organowych i organów drobnego rozmiaru, jak niemniej fortepianów biurkowych, którym nie można się dość nadziwić, słysząc, iż z tak małych instrumentów wychodzi harmonia tak pełna i tak dźwięczna. Kilka machin rolniczych francuzkich zasługuje na bliższy rozbiór; godną jest uwagi machinka ślepego dla ślepych, a zbiór machin fabrycznych jeśli znika w obec ogromu i potęgi angielskich, to jeszcze względem zagranicy bardzo zaszczytne zajmuje stanowisko.

Lecz w żadnym stosunkowo kraju przemysł nie rozwinął się tak wysoko obok trudności, jakie ma do przelamania, jak w Szwajcaryi. Drobną ta Rplita kilka salonów zapełniła mistrzowskimi wyrobami, między któremi sukna, tkaniny jedwabne, wełniane i bawełniane zyskują pochwały znawców, a wstążki z Bazylei i Zurychu na całej wystawie górują. Skrzynki, tabakierki i zegarki grające, ten właściwy Szwajcaryi przemysł, w bardzo znacznej znajdują się ilości, lecz nadewszystko celuje Szwajcaryja zegarkami. Oglądając nie bez zdumienia tak wysoko rozwinięty przemysł Szwajcaryi, z tém większą postrzegłem uciechą, że najpiérwszym fabrykantem Genewy, owego najslawniejszego w zegarmistrzostwie miasta, jest rodak nasz Patek et Comp. Wprawdzie nie zamierzyłem na dzisiaj wdawać się w szczegółowy rozbiór, lecz tutaj, w pałacu powszechnéj wystawy, w obec cudów przemysłu całego świata i w obec bolesnéj nieobecności naszego przemysłu, widok górujących nad innemi wyrobów ziomka jest zjawiskiem tak radosném, że się od niego oderwać nie można. Pozwólcie więc czytelnicy, że was nieco zapoznam z wystawą Patka.

Jestto najkompletniejsza i najbogatsza wystawa zegarków kieszonkowych, jaką w pałacu tym znaleźć można. Wszystko w niej jest: od najprostszych zegarków, aż do najskomplikowańszych, najzdobniejszych i najlepszych; od zwykłych zegarków złotych za 200 fr., aż do miniaturowych zegareczków po 5,000 fr. sztuka, aż do najregularniejszych chronometrów, a wszystko wyrobione z pedantyczną ścisłością, i wszystko od najdrobniejszych ząbków i kółeczek aż do najkosztowniejszych emalii i najmisterniejszych kopert wykonane w zakładzie Patka. Ma on odrębne sposoby robienia; robi bowiem prędzej, doskonałej i na większą skalę. Mówiłem z nim po kilka razy i zachwycony byłem tym świętym ogniem, którym pała dla swój sztuki, zdumiony pracowitością i duchem przedsiębiorczym człowieka, który nie mając żadnej pomocy, żadnych zapasów, z niczego stał się najpierwszym zegarmistrzem w świecie. Kiedy burza r. 1848 rozpędziła wyrobników i wyludniła fabryki po całej Europie; kiedy robotnicy genewscy oddaleni z warsztatów, zmuszeni byli z łopatą w rękę iść na okopy i tam nieznanym sobie sposobem zarabiać na chleb: Patek sam jeden w Genewie nietylko czeladzi nie oddalił, nietylko zapłaty nie zmniejszył, ale owszem zpomiedzy oddalonych z innych fabryk wybrał co najlepszych i do swego przeniósł zakładu. Przed niedawnym czasem mieszkańcy Genewy *zmusili go* do zrobienia wystawy na miejscu, i rzecz dziwna, współzawodnicy jego, ludzie tym samym co on sposobem zarabiający na chleb, jednozgodnie przyznali mu pierwszeństwo.

Ale jakżeżbo nie przyznać, jak nie uwielbić tych chronometrów, które z słońcem spierają się o regularność, jak się nie dziwić zręczności robotników, którzy potrafili wykonać zegarek najmniejszy jaki jest na świecie, osadzony na 8 rubinach i mający $3\frac{3}{4}$ linii średnicy. Gablotka jego przez cały dzień otoczona jest tłumami przechodniów; są między nimi Anglicy, Francuzi i Niemcy, są zegarmistrze z profesyi, są znawcy zawołani, a w ustach wszystkich jedno jest tylko słowo: Patek pobił zegarmistrzów całego świata. Widziałem wielu fabrykantów, ale jeszcze żadnego nie zdarzyło mi się znaleźć, któryby dla produktów swoich był tak surowym, tak wymagającym, takim pedantem w każdym utworze jak Patek. Nie puści on z rąk żadnego zegarka z któregoby sam nie był zadowolniony, nie zraza się żadnymi trudnościami i żadnym nakładem. Jak wiadomo, jemu winne są zegarki ulepszenie, iż się bez kluczyka obejdą, guziki jego nakręcają

i regulują zarazem. Pomiędzy mnóstwem zegarków które tu widziałem, uderzyły mnie szczególniej chronometry, z których każdy odbył próbę w obserwatoryach szwajcarskich i ma dla siebie osobne urzędowe świadectwo. Chronometr bijący (nr. 2780) ma w guziku kompas merski mający 4 linie; ale co w nim najbardziej zadziwia, to połączenie dwóch werków, tak, że sekundy są niezależne od godzin i minut: osobno jedne i drugie iść mogą, a jednocześnie nakręcanie nie grozi bynajmniej sprężynie pęknięciem. W chronometrze tym wychwyt jest kotwiczny. Są inne chronometry i półchronometry, to jest takie, których kompensacya nie jest doprowadzona do ostatniego stopnia; jest zegarek z pomnikami Mieczysława i Bolesława, z portretem Washingtona, Kościuszki i Poniatowskiego, których rysunek zawstydzia staloryty i zyskuje oglądany przez szkło znacznie powiększające; są koperty wystawiające polowanie misternie dłutowane w złocie; jest portret Dudleya Stuarta, robiony metodą dotąd nieznaną przez napuszczanie kwasem w złocie; są pokrywy dyamentowe i obrazy Matki Boskiej Ostrobramskiej w nieporównanej emalii; są zegarki z ukrytymi portretami, których nikt nie znajdzie nie wiedząc sekretu otwierania; są zegarki dla ślepych systemu Bregeta, czy téż Leroya; jest mnóstwo innych piękności i zalet, których oko moje nie dojrzało albo myśl ocenić nie umiała. Lecz czego ja nie odgadł, przysięgli sędziowie poznają i nie omieszkają wykryć; tém bardziej, że wystawa zegarków kieszonkowych w innych oddziałach jest bardzo nieznaczną. Francuzi celują w zegarach stołowych, w których ważniejszą rzeczą bywa ozdoba niżli sam zegar; Anglicy w chronometrach morskich i regulatorach astronomicznych, co wreszcie jest bardzo naturalnem przy wielkim odbycie i wpływie rządu na wzrost przemysłu, gdy każdy chronometr który odbył całoroczną próbę na morzu i dopełnił przepisanych warunków, po nader wysokich cenach zakupuje admiralicya. Słyną więc w chronometrach Frodsham i Dent z Londynu, w regulatorach Parkinson i Frodsham; ale fabrykacya zegarków kieszonkowych albo żywi się kołami i sprężynami genewskimi, albo téż dostarcza niezmiernie kosztownych wyrobów.

Przeszedłszy od strony północnej Sardynią, Toskanią i Rzym, z których pierwsza aksamitami i drewnianymi mozaikami, druga snycerskimi ozdobami, nieporównaną rzeźbą i florencką mozaiką, trzeci zaś podobnie wspaniałymi statuami, mozaiką rzymską szklaną i marmurową bardzo wysoko się zaleca; minąwszy Portugalią, która oprócz produktów surowych mało co nadesłała, i Hiszpanią, w której

obok słabych próbek jedwabniczych wyrobów, uderza wspaniałą stół mozaikowany, składający się z trzech milionów cząsteczek, i piękna monstrancja z Madrytu: dostajemy się do Grecyi, która choć będąc krajem chrześcijańskim, już nosi na sobie cechę Wschodu i bardziej do Azji, niż do Europy zdaje się należeć. To, czém wystawa turecka, perska i tuniska głównie się odznacza—przepych i zbytek strojów, to jest właściwe w Grecyi, gdzie oprócz wspaniałego kostiumu narodowego mało co więcej da się znaleźć. Coś podobnego widzę w Persyi i Turcyi, z dodatkiem kosztownych broni, kilku ciemnych dywanów, nieco produktów chemicznych, liści tytoniowych i kollekcyi fajek, cybuchów i nargilów. Daleko wielostronniejszą jest wystawa tuniska granicząca z Szwajcaryą; są w niej niezmiernie bogate kostiumy, pracowicie i kosztownie złotem wyszywane, są téż same roboty rzędy końskie, ale znajdują się zwykłe ubiory, produkta surowe, wyroby fajansowe, nieco przedzy: zgoła mniej więcej wszystko, co przemysł tego kraju wydaje.

Z Tunisem i Szwajcaryą graniczą Chiny. Jako podróżny bląkający się po ulicach Pompei nie bez zdumienia przypatruje się samotnym domom i ukradkiem poziera na ostatnie ślady tego życia, które przed dwoma tysiącami lat zagasło schwycone niespodzianie wybuchem wulkanu, i stąpając powoli ogląda się za każdym krokiem dziwiąc się niejako, że mu wolno jest widzieć to, co przeszłość na zawsze w sobie zakopała; tak i ja dostawszy się do sal Niebieskiego państwa, które po raz pierwszy zdarło z siebie tajemnicze zasłony, przypatruję się z zajęciem wszystkiemu, wyjęzgam uwagę aby obaczyć jak najwięcej i jak najspieszniej, bo czuję się przeniesiony w inny świat, w inne wieki, w inną cywilizacyą. Nie bez zdumienia przechodzę obok dozorczy Chińczyka, który z niezwykłą sobie uprzejmością, złą angielszczyzną pospiesza udzielać żądanych objaśnień i zapuszczam wzrok mój w ogromne zbiory przedmiotów, z których każdy jest inny, każdy inaczej i w innym celu zrobiony, a każdy dowodzi nieskończonej wyższości i wprawy rąk wyrobników chińskich nad artystami europejskimi. Pierwsza rzecz, która najbardziej uderza przechodnia bogactwem swém i dziwactwem, jest kostium mandaryna; oprócz kapelusza ostrego, warkocza spadającego aż po pas i trzewików z podniesionemi do góry szpicami, ubiór ten składa się z długiej sukni z wiszącymi rękawami, na której wyhaftowano całą kosmogonią chińską, starożytną i nowożytną historyą, dzieje stworzenia i chaosu. Ile trzeba było pracy i cierpliwości do ukończenia tego dzieła, wyobrazić sobie trudno. Już o wspaniałych szalach, wa-

chlarzach i inkrustacyach misternych nie mówię; pomijam porcelanę, zabawki chińskie i szereg haftowanych obrazów; zamilczam nawet o rzeźbie z kości słoniowej, która jest arcydziełem pracowitości ludzkiej, bo cacek tych i arcytworów jest taka ilość, że trzeba by kilka miesięcy na szczegółowe obejrzenie, a kilka tomów na dokładne opisanie. Ale jak pominąć snycerskie pracowite rzeźby na węglu kamiennym, jak owe przesliczne wazony, które naśladują porfir starożytny i ciemny marmur; jak opuścić wyborne modele domów i willi chińskich z kości słoniowej lub perłowej macicy wydłubane. Wszystko to są owoce pracy, wytrwałości i mozołu; na pierwszy rzut oka odgadnąć można, iż kraj, który te wyroby nadesłał, zanadto wiele ma rąk, kiedy życie człowieka na wykonanie jednego cacka poświęcić może, że już się przeżył i w cywilizacyi zestarzał, gdy mu potrzeba tak wyszukanych form i téj w Europie nieznanéj drobiazgowości. A przecież mimo zdolności artystów chińskich i mimo ich pracowitości, nie potrafią oni tak szybko i tak dokładnie uprząć ogromnych sztuk płótna, perkalu i tyłu innych wyrobów, jak najbiedniejszy wyrobnik angielski dozorujący pracowitą maszynę.

Lecz czas już zbliżyć się do końca i przeszedłszy bez stracenia chwili jeden z najpiękniejszych widoków, jaki się oczom ludzkim rozwiera, to jest nawę środkową z jej wspaniałemi statuami, kryształowemi fontannami, promieniejącemi ogrodami i trzema majestatycznemi drzewami, które znikają w majestatyczności budynku, przejść do drugiej połowy pałacu przeznaczonéj wyłącznie na wystawę królewstwa W. Brytanii i jej osad. Szybko po niej oprowadzę czytelnika, bo w systematycznym rozbiórce tu mi się najdłużej za każdą razą zatrzymać przyjdzie; ale pierwéj obznajomić go muszę z przepychem, bogactwem i wspaniałością wystawy indyjskiéj. Jaki przepych, jaka delikatność roboty, jaki blask i harmonia kolorów! Jak te rubiny, topazy i szmaragdy połyskują wesoło nie drażniąc cię swoją świetnością; jak umiejętném jest to stopniowanie barwy i jak doskonale ułożone są wszystkie odcienia! Dzień cały stałbym w zadumieniu przed tém siodłem z karmazynowego aksamitu, na którém najwyższymi zbytek porozrzucił hafty ze złota i pereł, lub przed innym ze skóry różowéj, którego wcięcia tak misternie są wyrznięte. Teraz proszę sobie wyobrazić także siodło ze stosownym rzędem na koniu arabskim białym i lekkim jako piana morska, szerokimi nozdrzami chwytającym wiatr stepowy, którego szybkość zdaje się mierzyć, i długim ogonem zamiatającym piasek pustyni. A na tym koniu niechaj usiądzie jeden z tych rajahów, których zbrojownią ba-

jeźniejszej wspaniałości rozwieszono na ścianach, w małym kasku, na którym powiewa kilka piór czarnych i z tarczą okrągłą złotymi gwóźdźkami wybijaną; z lancą, łukiem i strzałami, a za pasem jeden z tych szerokich jataganów w złotój i aksamitnej pochwie, które klócą cię swym blaskiem, bogactwem rękojeści i oprawy. Czy może być widok wspanialszy, czy może być wierniejszy obraz niewyczerpanej natury, która wszystkie kolory swych tęczy, wszystkie blaski swych promieni, wszystkie wonie swych ogrodów, wszystko cokolwiek w świecie roślinnym i zwierzęcym jest najwspanialszego, po błogosławionej ziemi rozsiała.

W żadnym podobno europejskim języku nie znajdzie się dosyć słów, aby wyszukać nazwisk dla nieskończonej ilości i różnaitości broni palnej i siecznej, która się znajduje na wystawie indyjskiej. Rozuzdana imaginacya mieszkańców południowej strefy ustroiła w świetne ozdoby mordercze narzędzia, obrzuciła złotem długie flinty i pistolety, spiżowym armatom nadała kształt smoków zionących ogniem. Obok nich, pominąwszy ogromną i nader zupełną kolekcycą produktów surowych, zwierzęcych, roślinnych i kopalnych; pominąwszy znaczną liczbę sprzętów domowego użytku, którym przypatrując się, można się oswoić z gospodarstwem Indyanów; wyrobów prostych i pospolitych tkanin, znajdują się instrumenta muzyczne formy dziwacznej i niezgrabnej; skrzypce, gitary, tam-tamy, piszczałki z gutta-perki, kociołki obite skórą, których mechanizm tylko wirtuozi z Ceylonu lub Singapore mogliby nam wytłumaczyć i uszczęśliwić uszy nasze melodyjnemi tony. W pobliżu znajduje się kolekcya skrzyńeczek i puszek na perfumy w różnych modelach, według godności osoby: bo prawa hierarchiczne szanowane są tam aż do najdrobniejszych szkatulek; taka forma dozwolona jest tylko rajahowi, téj używać może hindahara t. j. skarbnik, a téj, sam tylko tamungung t. j. minister wojny. Wszakże trudno wypowiedzieć z jaką delikatnością drobiazgi te są wykonane; z jaką zręcznością pracują ci jubilerowie wędrujący, którzy chodząc od wsi do wsi i od miasta do miasta, zajmują się na czas pewien, a zawołani rozstawiają swój kociołek i w jedneć chwili złoty piasek przetapiają na gustowne kolczyki, bransolety, brosze i t. p. Lecz zapomniemy wnet o złotnictwie indyjskiem, jeśli się przyjrzymy szalom i dywanom. Wybrano najjaskrawsze jedwabie i aksamity, i zarzucono je łokciowemi pasami złota; złote bukiety rozsypano na muślinie idealnej delikatności; porozwieszano złotogłowie rażące oko swym blaskiem. A cóż mówić o dywanach z karmazynowego i szmaragdowego aksamitu, tak deli-

katnego jako puch brzoskwini i obciążonego nie deseniem, ale płatami złota. Na dywanach porozkładano meble, ale tak misternej roboty, stoły i stołki z taką delikatnością rzezane, krzesła z kości słoniowej *à jour* tak pracowicie wydłubane i łoża przygniatające swém bogactwem, zbytkiem i nieskończoną ilością najgustowniejszych ozdób, że każdy kto ocknąwszy się z pierwszego wrażenia może sobie zdać sprawę z tego co widział, zapyta siebie: gdzie są mieszkańcy tych namiotów, gdzie są stworzenia, któreby się poważyły zasnąć na tych łożach lub dywanach i zasiąść na tych nieocenionych meblach, kiedy się zdaje, żeby je zbrudziły nimfy powietrzne i zaproszyły sylfy swemi skrzydłami.

A przecież te arcydzieła, których widokiem oko i umysł czuje się znużone, pochodzą z kraju barbarzyńców, z rąk tych oto ludzi, których miniatury w osobnym rozstawione namiocie: opalonych, schudzonych i nagich. Ach! cóżto za kraj niewdzięczny, który ludziom przynoszącym przemysłowi jego zaszczyt, dozwala umierać w nędzy i zapomnieniu! I to jest właśnie najwidoczniejsza różnica przemysłu zachodniego, różnica cywilizacji i barbarzyństwa, różnica chrystyanizmu i pogaństwa, że jako druga strona tego medalu błyszczącego, jakim jest wystawa wschodnia, przedstawia się najstraszniejsza nędza robotników; że im jaskrawsze te kostiumy, im świetniejsze brylanty, im delikatniejsze roboty, im majestatyczniejszy zbytek wyrobów, tém gorętsze łzy biédnego paryasa, tém sroższa niedola nędzarza, który skazany jest na pracę. Oto, że narody wschodnie dźwigają jeszcze na sobie przekleństwo przedwieczne: „będziesz pracował w pocie czoła twego”, kiedy robotnicy zachodni wyręczają się po większej części machinami, a każdej zasłudze i każdemu wysileniu odpowiada nagroda. Pojrzyjcie na ten namiot Indyanów; co to za widok bolesny! Kobiety nagie, do pół ciała zanurzone w bagnie wyciągają płótno rękoma ciemnymi jako bronz florentyński; mężczyźni pochyleni w obdartém odzieniu, z nędzą i głodem wyciśniętym na twarzy, nawlekający złote nici i wyszywający z boleścią w sercu, z czczością w żołądku te oto arcydzieła, które nas rozweselają. A dalej, te warsztaty bez narzędzi, te fabryki bez machin, te pracownie brudne i ciemne, ileż tam smutku i nieszczęścia! I taki stan trwa od wieków i trwać będzie może jeszcze wieki, dopóki łagodny powiew Zachodu nie podniesie tych nieszczęśliwych pokoleń. Ach! ileżto trzeba cierpliwości i siły, aby znieść spokojnie wszystkie nieszczęścia dręczące ród ludzki!

Opuśćmy te złote salony, na które jużby teraz bez wstępu nie mógł patrzeć, i odetchnijmy powietrzem cywilizacji. Oto Anglia, potężna Anglia, ojczyzna przemysłu, pierwsza kolumna armii rodu ludzkiego, która dąży do wspólnego szczęścia. Cóżto za ogrom, co za potęga sił ludzkich, jakie bogactwa, jaka massa zdobyczy człowieczego rozumu nad surową naturą. Przemysł pozostawiony sobie samemu, nieprztegowany z góry, rozwija się o własnej mocy, szeroko, przestronnie; widno, że drzewa które te owoce wydały, przyjęły się i bujnie rozrosły na ziemi angielskiej; widno, że to są rodzime, nie trejbhauzowe rośliny. Gdziekolwiek rozum ludzki dotarł po innych krajach, jakiegokolwiek próbki swoich wysiłen nadesłał przemysł zagraniczny, wszystko tu się znajduje w dostatku i hojności niewidzianych dotąd. Są dzieła sztuki pięknej, są jedwabie, porcelany, złotnicze wyroby; a choć w niektórych punktach ustępują zagranicy, przewyższają wszędzie zamożnością i praktycznym użytkiem. Najzupełniejszy dobór produktów surowych, kopalin, przedmiotów pierwszej potrzeby i najwyszukańszego zbytku, narzędzia najprostsze, najsztuczniejsze modele i najwyszukańsze maszyny. A maszyny: ten zaszczyt rozumu ludzkiego, te niezmierne potęgi, jakby słowem czarodzieja wywołane z żelaza i pary, które z czoła ludzkiego otarły pot, i zastąpiły go w najcięższych pracach. Żaden naród europejski, wszystkie nawet razem wzięte, nie mogą wyrównać Anglikom pod względem machin. Tu oni są na właściwem sobie polu: ich prassy hydrauliczne, ich lokomotowy, ich maszyny okrętowe przechodzą wszelkie znane dotąd proporcye. Ich wagony, powozy, modele mostowe, narzędzia rolnicze uderzają swą śmiałością i użytecznością. Zaprawdę przechodząc się po tych ogromnych salach maszyneryi angielskiej, człowiek blizkim się czuje bałwochwalstwa ludzkiego i rad się korzy przed potęgą rozumu, który potrafił stworzyć istoty żyjące i działające według jego woli z taką akuratnością, z takim skutkiem i z tak zimną krwią, że jakich ręce ludzkie nigdy nie są zdolne. Po wielekroć w następnych artykułach będę miał sposobność uznania prawdziwej wyższości Anglików, i uderzyć czołem przed duchem przedsiębiorczym, pracą i wytrwałością tego narodu, który z tych samych początków co każdy inny wyszedłszy, tak się wzniósł wysoko, że patrząc się na jego przemysł, na jego bogactwo moralne i materialne, na jego instytucye i zwyczaje, na jego moralność i wysokie uszlachetnienie, niemal z rozpaczą nasuwa się myśl przypominająca, o ileto wieków oni nas wyprzedzili!...



KRONIKA LITERACKA.

Życiorysy znakomitych ludzi wsławionych w różnych zawodach.

Tom IIgi. Warszawa, 1851 r.

Doniesliśmy przed kilką miesiącami o wyjściu tomu Igo Życiorysów; obecnie mamy już przed sobą tom 2gi. Tom ten zakończył oddział Iszy obejmujący artystów i literatów. Mówiliśmy już o zasłudze i zaletach tego wydania i do tego odwołujemy się. Czynność autora Życiorysów winnaby nas zawstydząć, spółkrajowców. Możemy tylko wieszować oraz zazdrościć pisarzowi, który za każdym nowym krokiem w literaturze umie ukazać szereg wykonań, jakich dawniej jedyna oderwana próbka zaręczyłaby już była głośność i sławę.

Nie myślimy bynajmniej być stronni i zapewne mówilibyśmy nieprawdę twierdząc: iż wszystko co otrzymujemy w tej publikacji widzi się nam bez skaz. Moglibyśmy np. uczynić zarzut w obecnym oddziale co do wyboru osób. Autor zamierzył w tym oddziale przedstawić nam wsławionych artystów i literatów ze wszystkich krajów i wieków, i wykonał to w liczbie, jak na zakres niewielki, siedmdziesięciu kilku; wybór więc, zdaje się nam, stanowiłby był winien w tym razie stopień zasługi: prawidło to jednak oczywiście niezawsze miał na względzie wydawca. Jeżeli np. autor zamierzył był dać nam poznać z poetów niemieckich tylko dwóch, dlaczegoż nie byli niemi Szyller i Göthe, lecz tylko dwaj drugorzędni poeci; jeżeli ze społecznych Czechów mieliśmy poznać tylko jednego, dlaczegoż nie był to Szaffarzyk albo Palacki, zamiast autora grammatyki, który ma zapewne swoją zasługę, lecz większą zasługę mieli dla nas nasi grammatycey, a nie widzimy w zbiorze żadnego; jeżeli mogliśmy poznać ludzi naukowych ze wszystkich krajów, gałęzi, dlaczego mamy tylko dwóch podobnej sobie zalety i ostatecznie jeszcze nienukończonój

(Thiers i Guizot); a i pośród krajowców, jakkolwiek zbiór ich z każdego wieku jest obfitszy, dlaczego ludzie miernej lub prawie żadnej zasługi znaleźli tu miejsce, a potrącili rzetelnie wsławionych. Umieszczeni tu np. z wizerunkami Marcin Nikuta, Molski, Kruszyński, a nie znajdują się Naruszewicz, Czacki i t. p. Co do wykładu życiorysów moglibyśmy niekiedy wyrzucić redaktorowi niedopilnowanie jednności w charakterystykach, w uszykowaniu faktów i t. p. Życiorys Kornela objaśnia nam np. że autor ten dosięgnął szczytu sztuki, a wnet idący Osiński poławiany jest, iż był tłumaczem Kornela; część biografii J. D. Minasowicza może się raczej zdawać wypisem ze stanu służby przy przedstawieniu do nagrody, jak biografią poety; o Lakorderze czytamy, że zasiada *dziś* na ławkach parlamentu i t. p. Przewinienia te sam wydawca lepiej zapewne od nas dziś czuje.

Wszakże grzeszylibyśmy zbyt więcej twierdząc, że lekkie te skazy, te ułomności, nieodstępne od jakiegokolwiek bądź miary i gałęzi dzieła ludzkiego, zmniejszają albo nawet w czém zaciemniają miarę dokonanej zasługi.

My, którzy w naszym języku przed rokiem jeszcze nie mieliśmy żadnej prawie biografii ludzi zasłużonych własnych lub obcych, mamy teraz ich kilkadziesiąt, częścią przeniesionych, a po nader większej części w domu odgrzebanych lub utworzonych. Pomimo to co rzekliśmy o wyborze, nie możemy zaprzeczyć, iż zarzut ów do niektórych tylko stosować się może szczegółów; iż w ogóle za kryterjum w wyborze autor zdał się mieć popularność imienia (a ta nigdy istotnie nie jest bez przyczyn); iż prawie z każdego kraju znajdujemy i mamy przed sobą te większej głośności imiona; iż mamy je mianowicie starannie zebrane u nas, a wśród nich biografie osób, które zkaźdinańd możeby nie znalazły biografii, mają zasługę materiału do dziejów literatury.

W całości oddziału artystów i literatów polskich umieszczeni tu: Arciszewski Krzysz., Bandtkie J. S. Bandtkie J. W. Bielski Marcin, Birkowski, Bohomolec, Falkowski Jakób, Gawarecki, Gołębiowski, Lubomirski Edward, Jakubowski Józef, Łojko, Łubieński Władysł. Alexan. Maciejowski W. A., Nikuta, Siarczyński, Śliwicki, Skarga, Strykowski, Święcki, Brodziński, Bronikowski, Bogusławski Wojciech, Feliński, Kamiński J. N., Karpiński, Klonowicz, Książnin, Krasiński, Kraszewski, Korzeniowski, Kropiński, Kruszyński, Minasowicz, Molski, Orłowski Alex., Osiński, Rej, Szymanowski, Szymonowicz, Trembecki, Węgierski, Družbacka, Jaraczewska, Kra-

sińska Franciszka, Oleśnicka Zofia. Z francuzkich: Auber, Berenger, Kornel, George Sand, W. Hugo, Lacordaire, Thiers, Guizot; z włoskich: Dante, Tass, Aryost; z angielskich: Bajron, Milton, Moor, Szekspir, Walter-Skott; z niemieckich: Bürger, Körner; z hiszpańskich: Kalderon; z portugalskich: Kamoens; z rosyjskich: Karamzyn, Puszkina; z czeskich: Dobrowski, Hanka; z słowackich: Kollar.

O wykonaniu tych życiorysów możemy tylko powiedzieć zdanie krótkie, lecz wartość publikacji wiernie, sądzimy, określające: iż każdy życiorys *daje nam poznać dokładnie* osobę opisywaną; poznajemy tu ją z głównych rysów jej życia, zawodu, szczegółów zasług, wiernej charakterystyki, nieraz żywych prób jej talentu, z jej postaci fizycznej, nawet charakteru jej ręki i t. p. Autor zapowiedział nam zbiór życiorysów, nie zaś rozpraw naukowych lub estetycznych, i czytelnik nie ma prawa nic innego wymagać, jak życiorysów; nie może mieć jednak urazy, iż jakby dla właściwszego uczczenia opisywaną zasługi, w opisie ludzi naukowych napotyka tu życiorysy mające wartość naukową, ludzi fantazyi, życiorysy w których przemaga fantazyja i t. p.

O publikacji tej p. Wojcieckiego chlubne i wdzięczne czytaliśmy już wzmianki w pismach zagranicznych; lecz ze zdziwieniem widzieliśmy ponawiane napęci na redaktora w pismach miejscowych.

Najnieprzyjaźniejsze z tych zdań jednak przyznały: iż wydawca okazał „szczególne odczytanie i skrętność w zbieraniu szczegółów do życiorysów” a to jest wszystko, czego ściśle od publikacji Życiorysów ma prawo żądać czytelnik.

T.

Odpowiedź pana Szulca.

W kronice za miesiąc ubiegły, daliśmy treść i charakterystykę książki pana Dominika Szulca, *O źrudle wiedzy tegoczesnej*. P. Szulca w odpowiedzi umieszczonej w nr. 148 *Gazety Warszawskiej* oświadczył, iż nie mieliśmy prawa czynić uwag nad wysokością zasady tej książki, a to dlatego, iż w treści ich dostrzegł pięć zdań, które przeciwne są zdaniom innych pisarzy.

Wypisujemy tu dosłownie te przeciwności, jak je autor przytoczył, nie opuszczając nawet podkreśleń.

T. (to jest zdanie nasze w kronice zeszłomiesięcznej): Plato w całości nauki swojej *był głównie praktykiem*.

Apelt: Platona fantazyje, są poetyckimi *baśniami, niemającemi głębszego naukowego znaczenia.*

T. Nie prawie o stosunku gwiazd do ludzi *dotąd nie dowiedzieliśmy się nad to, co napisał jeszcze Mojżesz.*

Steffens. Autor systemu planetarnego, przyłożywszy siekiere do korzenia *wszelkiego poglądu ówczesnego, najgłębsze fundamenta owój wiedzy wyrócił.*

Whewell. W walce z *filozoficznemi zasadami, najpiérwój okazało się światło w szacie systemu planetarnego.*

T. Fakt największy w żeglarstwie, odkrycie Ameryki, był jeszcze na pół wieku przed wykładem systemu planetarnego.

A. Humboldt. Kolumb umarł w silném przekonaniu, że się dotknął *tylko wschodniej części Azji.*

T. Taki fenomen (napisanie Teoryi Jestestw organicznych), *przyjmąc raczej musimy jako skrzywienie prawa natury.*

I. Müller. Zasady życia Śniadeckiego, są *dziełem znamienitým, zaleconým dziwną konsekwencyą.*

T. Doświadczenie jest *najwyższym środkiem w badaniu prawdy, jestto kryterium najwyższe—tylko dla dzieci.*

A. Humboldt. Pewniki wieków minionych, stawszy się *błędem, utrzymują się tylko jako zabobon pomiędzy ludem i ludźmi, którzy dla braku oświaty, do ludu prostego należą; uwieczniają się one w pewnych naukach, co to rade udają się pod zastonę tajemniczości, aby pokryć swą niemoc. (Kosmos we wstępie).*

Czytelnicy Biblioteki wiedzą, żeśmy nie powiedzieli i słowa przeciw zasłudze systemu planetarnego, jako systemu; żeśmy Teoryi Jestestw nie nazwali skrzywieniem prawa natury, owszem wskazaliśmy, że ją za to podał sam autor; wiedzą także, nie wątpimy bynajmniej, że to co Kolumb odkrył, nie było Azya, ale Ameryka, i że odkrycie środka Ameryki było już faktem lądowym, a nie żeglarskim. Wnioski wszakże z przedstawionych porównań, nie do nas należą; mamy zaś tylko za obowiązek (z powodu zdań jakie słyszeliśmy), przemówić za oczernioným przez autora stanowiskiem Humboldta.

Ze sposobu w jaki p. Szule uczynił przytoczenie zdania tego pisarza, można by wniesć, iż ten istotnie empiryzm za szczyt naukowości, świat z doświadczeń i postrzeżeń wynikający za jedyny świat rzetelny uważa.

Tak jednak nie jest.

Czytelnicy znający dzieła Humboldta, a zwłaszcza *Kosmos* (z którego właśnie p. Szule uczynił wyjątek), wiedzą, iż autor ten ledwie nie na każdej stronicy tego pisma mówi o naturze wyższej i niższej, widomój i niowi-

doméj, *duchowej* i materyalnéj, (jak np. na str. 32: „Die Natur in beiden Sphären ihres Seins der materiellen, und der *geistigen*”).

Cytacya którą położył pan Szulc, stosowaną jest tylko przez autora do pewników w naukach *fizycznych* (eine solche rohe Anhäufung *physischer Dogmen*, welche ein Jahrhundert dem andern überliefert etc. str. Wstępu 17), i mówi o naukach, które w kraju autora, ubóstwo wyobrażeń usiłują zastąpić ciemnością wykładu (Dunkelheit).

Wprawdzie nikt może tyle, a przynajmniej tak różnostronnych przysług nie uczynił w najnowszych czasach dla empiryzmu, jak Humboldt; dzieła jego są prawie wyłącznie spisywaniem postrzeżeń, doświadczeń; i nikomu zapewne tyle nie mogłaby być wybaczoną stronnością dla tego pierwiastku, jak autorowi *Kosmos*; autor ten jednak jeżeli z jednej strony nie tał, że czuje mnogość tych zasług, jakie dla nauk uczynił, z drugiej strony sam szczerze wyznaje, iż pojmuje rzetelne znaczenie ich, takie nie inne.

„Jestto powszechnie wiadomem, mówi w przedmowie do *Kosmos*, iż to wszystko, co zdobywa empiryzm, prędko się zmienia, starzeje i w zapomnienie przechodzi”. (Man es oft eine nicht erfreuliche Betrachtung genannt, das alles, was mit der Empirie, mit Ergründung von Naturerscheinungen und physischer Gesetze zusammenhängt, in wenigen Jahrzehenden, eine andere Gestaltung annimmt; ja dass, wie man sich auszudrücken pflegt, veraltete naturwissenschaftliche Schriften, als unlesbar der Vergessenheit übergeben sind. I, XV).

We *wstępie* zaś określając naturę i zadanie swojego dzieła, tak mówi: „Zamiarem moim w tym mającym się przedstawić opisie świata nie jest bynajmniej podciągać ogół zjawisk pod ogół praw rozumowych. To co nazywam w mém piśmie opisem świata (tak okręgu ziemi, jak niebios), nie ma bynajmniej pretensyi do *stopnia racjonalnej umiejętności*; jestto tylko przedstawienie empirycznych spostrzeżeń z zakresu całości natury. Nie odważam się bynajmniej puszczać na pole, które mi jest obcém, i *żywotniejszą* tę jego uprawę innym zostawiam”. „In meinen Betrachtungen ueber die wissenschaftliche Behandlung einer allgemeinen Weltbeschreibung ist nicht die Rede von Einheit durch Ableitung aus wenigen, von der Vernunft gegebenen Grundprincipien. Was ich physische Weltbeschreibung neane (die vergleichende Erd und Himmelskunde), *macht daher keine Ansprüche auf den Rang einer rationalen Wissenschaft der Natur*, est ist der denkende Betrachtung der durch Empirie gegebenen Erscheinungen; als eines Naturganzen. *Ich wage mich nicht auf ein Feld das mir fremd ist und vielleicht von andern erfolgreicher behaut wird.*” I, 31.

Tak mówi Humboldt, a nie wątpimy, że i pan Szulc, jeżeli zechce myśleć raczej o zgłębieniu tych empirycznych nauk, które dziś tak wychwala, jak o pochwalę ich, podzieli punkt ten widzenia swego dziś tylko idealnego mistrza.

Pan Szulc zarzucił nam jeszcze w *Gazecie Warszawskiej*, żeśmy księgi Platona o prawach mieli za autentyczne; w nr. 150 téjże *Gazety Warsz.* wyjaśniliśmy, iż nie możemy je uważać za inne. T.

ROZMAITOŚCI.

Mormony.

(Dokończenie).

III.

Przymierze, które Mormoni podpisali, nie miało im wyjść na dobre. Zaraz 24 lipca wysłali najspieszniej Oliwera Cowdery w posłannictwie do proroka, który był naówczas w Kirtland. Za jego przybyciem postanowiono na uroczystém zebraniu, któremu Józef Smith osobiście przewodniczył, że *Morning and Evening Star* będzie teraz ogłaszany w Kirtland, i że nowy dziennik pod tytułem: *Latter Day Saints' Messenger and Advocate* natychmiast się ukaże. Postanowiono także, że zażądają opieki p. Dunklin, gubernatora prowincyi Missouri, a drogą prawną dōpominać się będą wynagrodzenia krzywd, wyrządzonych kościółowi. Józef Smith w tych trudnych okolicznościach nie chciał odwiedzić Syonu, ale w towarzystwie Sidneya Rigdon udał się do Kanady, gdzie kilka dokonał nawróceń. W tym samym czasie gubernator Dunklin w odpowiedzi na prośbę Mormonów przysłał im list mądry i pojednawczy, w którym przyznawał, że wymierzony przeciw nim gwałt, był nieprawny i godzien kary, i polecał im szukać sprawiedliwości u zwyczajnych sądów. List ten wszędzie rozrzucono, a Mormoni tém ośmieleni, postanowili nie opuszczać Independence, lecz nieco dalej budować nowy Syon. Uformowali proces głównym ze swoich nieprzyjaciół, a za 1000 dollarów (5,300 fran.) zapewnili sobie obronę najlepszego adwokata. Ale to wszystko bardziej jeszcze oburzyło przeciw nim opinią. D. 30 października społeczeństwo podniosło na nowo broń, żeby ich z kraju wypędzić. Dziesięć domów świętych było w części zburzonych, a dni następnych kilka ich

domów w samém Independence uległo zniszczeniu. Na różnych punktach Mormoni silnie bronili swojej własności, i zaczął się bój regularny między 30 uzbrojonymi w karabiny, a liczną kupą ich nieprzyjaciół, także uzbrojonych. W tém starciu dwóch anti-Mormonów było zabitych. Rzeczy tak daleko zaszły, że milicya była przywołaną pod wodzą p. Boggs: ta całkiem była anti-Mormońską, i nieszczęśliwi święci zmiarkowali, że tylko nagłą ucieczką uratować się mogli. Rozlew krwi tak dalece oburzył przeciwko nim ludność, że nieroztropnością było jednemu Mormonowi pokazać się. Kobiety pierwsze poczęły uciekać i chroniły się na drugi brzeg Missuri.

We czwartek, 7 listopada, brzegi rzeki zaczęły się zapelniać mężczyznami, kobietami, dziećmi, wózkami, skrzyniami, pakami, które przewoźnicy pospiesznie na drugi brzeg przewozili; a kiedy noc zapadła, we wszystkich kierunkach widzieć było można błakających się ludzi: jedni pod namiotami, drudzy pod gołym niebem, leżąc koło ognia, zmoczeni deszczem, który lał strumieniem. Mała liczba zaledwie zdołała schronić się z dziećmi, rzeczami i jakim zapasem. Wiele nie wiedziało o losie rodziców i stracili wszystko co mieli. Widoku tego nie można opisać: rozdzierałoby się serce każdego człowieka, gdyby zaślepienie, namiętności i przesady głupiego fanatyzmu, nie stłumiały wszelkiego uczucia. Następnych dni szukali schronienia w hrabstwach sąsiednich, największa liczba w Claj, które się okazało dla nich dosyć gościnnem. Ale ci, którzy chcieli osiedlić się w Van-Buren byli wypędzeni, jako też i w Lafayette: wszyscy musieli uciekać i gdzieindziej szukać opieki.

Władze jednak Missuri nie pochwalały tych gwałtów i zachęcały Mormonów do powetowania strat. Główny attorney napisał im, że jeżeli pragną odzyskać posiadanie ziemi, przyrzekał im opiekę siłą publiczną i radził im nawet zaprowadzić u siebie regularną milicyą, a nawet im broń rozdać obiecał. Prorok powrócił do Kirtland i napisał do świętych w ich niedoli, ale nie ośmielił się osobiście ich odwiedzić. Powtarzał, że Independence albo Syon było miejscem wybranem przez samego Boga na dziedzictwo świętych, i dlatego nie powinni sprzedawać ziemi, którą prawnie posiadają, a owszem strzedz swoich praw aż do dnia, „w którym Pan w swojej mądrości i otworzy drogę do ich powrotu”. Miał także objawienie, w którém oznajmiono mu od Pana, że wszystkie nieszczęścia, które uciskają świętych, są sprawiedliwą karą ich grzechów. Syon przecież nie przestało być miejscem wybrania, a święci w dniu naczynym wejdą tam z pieniemi wiecznej radości. Objawienie, które było nadzwyczaj długie nakazywało świętym „rzucić się do nóg sędzie-

go, a jeżeliby ich sędzia nie wysłuchał, rzucić się do nóg gubernatora, a jeżeliby ich gubernator nie wysłuchał, rzucić się do nóg prezydenta Stanów Zjednoczonych, a jeżeliby ich prezydent nie wysłuchał, natenczas sam Bóg powstanie, wyjdzie ze swojego przybytku i ukarze cały naród."

Mimo to jednak nie udało się świętym; nigdy nie powrócili do Syonu, i przez cztery lata zostawali w Claj, ziemi nieurodzajnej, dziewiczej jeszcze, którą trzeba było jeszcze karczować. Z tych samych jednak przyczyn i ztamtąd wypędzeni zostali.

W historyi ich wewnętrznej zaszły różne zmiany godne zajęcia.

D. 5 maja 1834 r. Józef Smith postanowił nareszcie odbyć podróż do hrabstwa Claj, żeby przywrócić porządek w swoim kościele rozproszonym i zdemoralizowanym. Urządziwszy karawanę ze 100 osób, składającą się z młodszych i starszych kapłanów, dyakonów, nauczających, udał się na jej czele do Missuri. Szli pieszo, a za nimi kilka wozów, w których były rzeczy, żywność i zapomoga dla świętych biedaków w Claj. Byli dobrze opatrzeni w broń palną, amunicją i wszelki oręż potrzebny do obrony. Po dwóch dniach przyłączyła się do nich banda złożona z 50 świętych również dobrze uzbrojonych. Józef podzielił swe wojsko na kompanie po 12 ludzi. Tak przebyli niezmierzone puszcze, przeszli rzeki i strumienie, „a chociaż, jak mówi sam Józef Smith, nieprzyjaciele nie przestali tehać dla nich nienawiścią, nie śmieli ich jednak napastować w podróży, bo Bóg był z nimi, bo anieli jego byli przed nimi, bo wiara małej trzódki była niewzruszoną. Wiemy, dodaje, że aniołowie byli naszymi towarzyszami podróży, bośmy ich widzieli."

Za ich przybyciem nad rzekę Illinu, zbiegła się ludność z ciekawości, coto za ludzie i gdzie szli. Robiono im pytania, a Mormony umieli na nie odpowiadać, i zataili swoje imiona, swoje wyznanie, rodzaj zatrudnienia, i miejsce przeznaczenia. Józef sam podróż incognito odbywał, a chociaż mieszkańcy dorozumiewali się czém byli rzeczywiście, nie śmieli jednak na nich uderzyć. Przeszedłszy rzekę szczęśliwie ze wszystkimi bagażami, po dwóch dniach obozowali wśród zgliszczów dawnych grobów Indian. Tu Józef Smith odgrywał rolę proroka, a uczniom swoim dał nowy dowód prawdziwości księgi Mormonu, i historyi Lamanitów, potomków żydów. Po mistrzowsku tego dokonał i z nadzwyczajną zręcznością. „Uroczystość miejsca, mówi Józef Smith, instynktem budziła w naszych duszach dziwne uczucia. Bracia wzięwszy motyki dla odkrycia jednego grobu, znaleźli na stopę głębokości w ziemi cały szkielet człowieka, którego bok przeszyty był strzałą Lamanitów. Widzenie przeszłości będąc otwarte mojemu umysłowi przez ducha Wszechmocnego, dowiedziałem się, że to szkielet Lamanity białego, wielkiego wzrostu i który żył

w Bogu. Byłto naczelnik i sławny wojownik pod wielkim prorokiem Amandajus, którego chwala rozciągała się od Cumorah albo morza Wschodniego, aż do gór Skalistych; w swoim czasie nazywał się Zelph, a był zabity w potyczce strzałą, którą przy nim znaleźliśmy, podczas wielkiej wojny Lamanitów z Nephitami." Nazajutrz cudownie utwierdzeni w wierze mądrością i wiadomościami proroka, postępowali dalej, a przeszedłszy Missisipi weszli w kraj Missuri. Józef znajdując się w kraju niebardzo bezpiecznym, wybrał 20 najodważniejszych z bandy, których na swoją gwardyą przeznaczył, a za kapitana dał im swojego brata Hyrama Smith: przybrał sobie jeszcze koniuszego, Jerzego Smith, nakoniec wybrał generała, któryby codzień przeglądał jego małą armię, pilnował broni i ćwiczył wojsko.

Józef uniknąwszy pogoni, która była wyszła przeciw niemu, postępował dalej i miał nowe objawienie od Pana dla zachęty i utwierdzenia swoich. Lecz nagle cholera zjawiała się w jego obozie d. 24 czerwca; próbował leczyć chorych kładąc na nich ręce, a gdy mu się to nie udało, chciał się wytłumaczyć, mówiąc, że: „smutnym doświadczeniem dowiedział się, że kiedy wielki Jehowa postanowi zniszczenie, napróżno człowiek usiłuje zakłąć Jego rękę wszechmocną". A jeżeli nie mógł leczyć cholery, przynajmniej dla utrzymania swojego wpływu na umysłach łatwowiernych uczniów, dla przekonania ich o cudownym swoim postanowieniu, utrzymywał, że nieprzyjaciele Mormonów nierównie więcej cierpieć i umierać będą. Narobił halasu pewną historyjką o kobiecie, która jednemu świętemu kubka wody dać nie chciała: „nie wyszło tygodnia, mówi prorok, cholera weszła do tego domu, a owa kobieta i trzy inne osoby z jej rodziny pomarły". Sam z swojej karawany stracił 13 ludzi zmarłych na epidemię.

Dnia 1 lipca wstąpił na ziemię hrabstwa Jackson, w towarzystwie kilku przyjaciół: „ażeby raz jeszcze stanąć na tej ziemi Bożej"; i przepędziłszy dzień jeden, złączył się ze swoją gromadą w hrabstwie Claj. Lecz niedługo tam ze świętymi zostawał, bo przyszedłszy dnia drugiego lipca, wrócił dziewiątego do Kirtland.

Mniemać można, że nie chciał się bardzo poufalić ze swemi wiernymi. Wielki człowiek nie pozwalał widzieć się zblizka, bo już wielu z jego towarzyszków oskarżało go; „o kłamliwe proroctwa w imię Pana, o przywłaszczenie sobie summ pieniężnych, do których nie miał żadnego prawa". Jednak nie opuścił kraju, zanim nie urządził zbiegłych z Jackson, a nowego towarzystwa nie postawił na lepszej stopie w hrabstwie Claj.

Historia sekty podczas następnych trzech lat, jest ciągiem rozpraw i kłótni z nieubłaganymi nieprzyjaciółmi Missuri. Liczba jednak Mor-

monów wzrastała w tym stosunku co i przeciwników, a spór rozszerzył się po całym Missuri. Jedni byli za, drudzy przeciw Mormonom. Z drugiej strony bank Józefa w Kirtland wstrzymał wypłaty w jesieni, 1837 roku. Kraj był zalany papierami jego, bez żadnego waloru; żeby się z tego kłopotu wymknąć, prorok miał objawienie, które mu stanowczo nakazywało udać się do Missuri, i tam żyć ze świętymi w ich dziedzictwie. Natychmiast usłuchał objawienia, i umknął potajemnie w nocy, zostawiając wierzących w kłopotcie urządzania się, jak będą mogli. Przybywszy znalazł sprawy swego kościoła w strasznym zamieszaniu. Święci składali ciało liczne i potężne, a nie mogli się z sobą porozumieć. Prócz tego odszczepieńcy, zbiegi, którzy się wstydzili własnych kłamstw, a inni z pobudek zemsty lub zawiedzionej dumy, rozszerzali pogłoski niebardzo dla sekty zaszczytne. Wielka schizma o której wspomnieliśmy, wybuchła w 1838 roku, kiedy Józef Smith musiał powrócić kościołowi najdawniejszych swoich towarzyszków: Olivera Cowdery, jednego z trzech świadków, którzy zapewnili autentyczność księgi Mormona i istnienie blach złotych; Marcina Harris, świadka w tych samych rzeczach; Sidneja Rigdon, równego mu w zarządzie kościoła i wielu innych. Sidnej Rigdon łatwo otrzymał przebaczenie: było to osoba bardzo znakomita, żeby się mógł odważyć robić z niej nieprzyjaciela. W czasie tych niezgód, mieszkańcy Jackson złączeni z mieszkańcami Claj, Kaldwell i innemi jeszcze, robili nieustanne zabiegi, żeby Mormonom wypędzić z Missuri; ale ci byli dobrze uzbrojeni i dla obrony zebrali ludzi odważnych, pod nazwą *bandy dan*, albo *aniotów niszczycieli*, jako się sami nazywali.

Z tego wszystkiego i z pogłosek prawdziwych lub podrobionych, które się coraz więcej rozchodziły po kraju, rozdrażnienie wzajemne coraz bardziej wzrastało. Mormony widząc, że ich przeciwnicy nie robili sobie skrupułu w pogwałceniu prawa, również sami nie chcieli mu ulegać: umacniali swoje folwarki i wioski, a lekceważyli procedurę przeciwko sobie wymierzoną. W końcu powołano milicją pod wodzą generała Doniphana. Środki przez niego przedsięwzięte były tak silne, a rozdrażnienie publiczne przeciwko Józefowi i jego uczniom tak wielkie, że Mormony obawiając się powszechnej rzezi, postanowili opuścić Missuri, a szukać schronienia w Illinois, które naówczas niewiele liczyło mieszkańców. Józef Smith co do siebie, bojąc się, żeby nie był zamordowany, a przypominając sobie obietnicę gubernatora Dunklicha i jego zdanie co do gwałtów nieprawnych przez mieszkańców hrabstwa Jackson przeciwko jego wyznawcom dokonanych, sam oddał się w ręce sprawiedliwości, by odpowiedzieć na trzy zarzuty: zdrady, mężobójstwa i niespokojności publicznej. Był oskar-

żony o zdradę za wojnę przeciw Missouri; o mężobójstwo, za zamordowanie dwóch ludzi zabitych w potyczce, stoczonej w hrabstwie Jackson; o publiczną niespokojność i gwałt za zniszczenie i kradzieże dokonane przez Danitów. Rachował on na uwolnienie, a tymczasem kilka miesięcy w więzieniu przepędził.

Mormony więc zostali wypędzeni z Missouri, a tą razą nie dano im czasu do sprzedania swoich folwarków albo rozrządzenia swoim majątkiem. Podczas najcięższej zimy w grudniu 1838, i styczniu 1839 r. mężczyźni, kobiety, dzieci, chorzy i starcy wyparci byli na łąki i w lasy, bez żywności i sposobów zabezpieczenia się od zimna. Tak w małych gromadkach przeszli do Illinois, gdzie bardzo gościnnie byli przyjęci przez kolonistów, a nawet Indyan. Zrobiono nawet składki, by im przyjść z pomocą, a wielu znalazło zajęcie po folwarkach, magazynach i sklepach. Wkrótce też podnieśli głowę, a nawet liczbą stali się groźnemi. Prześladowanie wydało zwykłe owoce, bo dopomagało im do robienia nawracań; stowarzyszenia też świętych z dniem każdym powiększały się nowonawróconemi z pomiędzy mieszkańców Illinois. Z drugiej strony, na wiosnę 1839 roku, prorok umknąwszy z więzienia, ukazał się pośród swoich, i naprzód osiadł w Quincy, mieście Illinu. Jego ostra wymowa, nieustanne odwoływania się do nieba, wspaniałe obietnice, które robił rodzajowi ludzkiemu; jego zręczność, zapal z jakim był przyjęty od swoich, wszystko to podniosło ducha Mormonów. Największa ich liczba osiadła w miejscu, nazwaném Commerce, nad Missisipi. Każdego dnia odbierali nowych przybyszów z innych prowincyj, którzy im często przynosili znaczne summy. Liczyli wkrótce 15,000 dusz. Zamysłali naówczas w Commerce oznaczyć plan miasta, które nazwali Nauvoo, od słowa, które się często daje spotykać w księdze Mormona. W niespełna półtora roku zbudowali około 2,000 domów, nie licząc szkół i gmachów publicznych. Józef Smith był obrany merem miasta świętego, i po krótkim peryodzie życia awanturniczego, posiadał władzę, która zdaje się była jedynym jego pragnieniem i pieczętowanym marzeniem jego ambicyi.

Słowa jego były prawem. Był naczelnikiem świeckim i duchownym swojego ludu: do tytułów proroka i prezydenta, dodał tytuły mera i generała, jako naczelnik korpusu milicyi, który uorganizował pod imieniem legii Nauvoo. Od wyjazdu z Kirtland, pokazał się bardzo skąpy co do objawień: ale nie mógł wytrzymać, żeby choć jednego nie wydać co do Nauvoo, miasta świętego. Ogłosił je w miesiącu styczniu 1841 r., i nakazał zbudowanie wspaniałej świątyni, do której wszyscy święci dawać mieli dziesięcinę z całych swoich majątności, a nawet z czasu i pracy swojej. „Niech wszyscy moi święci pospieszają przybyć” mówiło to

objawienie, które było ostatniem tego proroka: „niech wyślą do nich posłów, posłów szybkich, którzyby im powiedzieli: przybawajcie ze wszystkiem waszém złotem, srebrem, drogiemi kamieniami, wyrobami sztuki; przynóście sosnę i wszystkie drogie drzewa, które rosną na ziemi, i żelazo, i miedź, i cynę, i co tylko ziemia zawiera najpiękniejszego, ażeby zbudować w mojem imieniu dom Najwyższemu”. Kazał téż zbudować dom gościnny dla cudzoziemców: „niech będzie zbudowany w mojem imieniu, niech moje imię będzie tam wyryte, a niech mój sługa Józef Smith i jego potomki, zamieszkują tam od pokolenia do pokolenia”. Wyrzekł Pan Bóg: „niech dom nazywa się Nauvoo-Houte, niech będzie mieszkanie przyjemne dla człowieka, miejscem spoczynku dla strudzonego wędrowca, ażeby mógł rozważać chwałę Syonu”. To objawienie najlepiej jest opracowane ze wszystkich, które wydał prorok; jest podzielone na 46 paragrafów; wchodzi w najdrobniejsze szczegóły co do podniesienia potrzebnych do tego funduszków, co do zarządu kościoła we wszystkich gałęziach.

Zaczęto natychmiast budowę kościoła; wybór miejsca był bardzo szczęśliwy, na wzniosłości, z której najpiękniejszy przedstawiał się widok. Sam kościół zbudowany był z kamienia wapiennego ciosanego, prawie tak jak marmur twardego, i miał 138 stóp długości, a 88 szerokości. Wznosiła się nad nim wieża na 170 stóp. Wewnętrzne ozdoby, mówią, że były wspaniałe. Mormony wydali blisko milion dolarów (5 milionów franków) na wybudowanie tego gmachu, który później miał zająć Cabot i jego uczniowie.

Przed tą epoką zaczęto już mówić o Mormonach w Anglii. W krótkiej wiadomości umieszczonej w 5tym tomie: *Times and Seasons*: widzimy, że w 1837 roku była przedsięwziętą pierwsza missya do Anglii pod przewodnictwem starszych: O. Hyde i H. C. Kimball. Ochrzcili około 2,000 osób w Manchester, Birmingham, Leeds, Liverpool, Glasgow, i t. d. W roku 1843 liczba Mormonów w Anglii wynosiła do 10,000 osób. W r. 1844 starszy Lorenzo Snow, znajdując się w Londynie z rozkazu proroka, przedstawił exemplarz księgi Mormona królowej Wiktoryi, a drugi księciu Albertowi. Z tego powodu wykrzykuje jeden mormoński poeta:

„Oh! gdyby chciała udzielić swojego wpływu, wpływu królewskiego, by rozszerzyć królestwo Messyasza, a stać się matką Syonu!

„Naówczas do chwały swojego imienia wypisanego na szczycie wieży syońskiej, przydałaby koronę nieśmiertelną; koronę, która trwać będzie, kiedy wszystkie inne przepadną.”

W epoce, do której dochodzi to opowiadanie, Mormoni byli w stanie kwitnym pod wszelkim względem; ale to długo trwać nie mogło. Rozmnażając się, rosnąc w potęgę, ściągnęli na siebie nowe nieszczęścia, nierównie większe nad te, jakie dotąd przebyli.

Dziwny ten epizod tegoczesnej historii, oparty na źródłach wyżej wspomnianych, żadnej nie pozostawia wątpliwości. W tym nawet roku na kongresie amerykańskim, jak urzędownie czytamy w dziennikach Washingtonu, były rozprawy o organizacyi terytorium Utah, czyli jak mówią Mormony, o przypuszczeniu na łono konfederacyi prowincyi Deseret: trudno więc wątpić o rzeczywistości tego epizodu, jakkolwiek dziwnym i niepodobnym się wydaje.

Przez długi czas Mormony i ich prorok Józef Smith, który był już me-rem i generałem milicyi w Nauvoo, korzystali z smutnego, jakie przeszli, doświadczenia. Nie byli już tak wyniosli ani okrutni w stosunkach z poganami, jak nazywali wszystkich, którzy nie należeli do ich kościoła. Lecz powodzenie jakie ich spotkało w Illinois, nagłe postępy w Nauvoo wkrótce ich popchnęły w dawny grzech niezawisłości i dumi. Niezgody, które ucichły w przeciwnościach, pojawiły się znów w powodzeniu; władza i wpływ Józefa były zawiśkie, żeby nie wzbudzić zawiści, a Sidney Rigdon nieszczególną stowarzyszeniu wyświadczył posługę wprowadzając niebezpieczną nowość, która przyjęła nazwisko nauki „małżonki duchownej”. Nowość ta narobiła zgorszenia pomiędzy Mormonami, jako też i poganami. Sam nawet Józef, chociażby był niegodnie spotwarzonym i choćby dowody ogłoszone przez jego nieprzyjaciół były fałszywe, zdaje się, że miał tyle pociągu do wielożeństwa, co sam Mahomet. Sidney Rigdon, jeżeli na tej samej oprzemie się powadze, przeszedł go pod tym względem, i użył do tego szczególnych objawień, które mu posłużyły do zaspokojenia jego namiętności. Może jest trochę przesady w tych historyach, lecz zdaje się, że jest i wiele prawdy.

Pewien professor imieniem Newhall, ogłosił w *Salem advertiser* sprawozdanie z podróży do Nauvoo, którą odbył w r. 1843. Opisuje kościół jako gmach wspaniały, odrębny od wszystkich, jakie w dawnych i nowszych widziano czasach, a legią generała Smith jako bardzo piękną. Był obecnym na wielkim przeglądzie osobiście przez Józefa Smith odbytym, gdzie towarzyszyło mu sześć kobiet na koniach, które ubrane w czarne aksamitne suknie, z białymi piórami na głowach, w galopie pędziły przed frontem pułku. O Józefie samym mówi jako o człowieku towarzyskim, miłym, wesołym i bardzo gościnnym, słowem, wesołym towarzyszu i ostatnim z ludzi, którego Bóg, według niego, wybrał

na proroka lub kapłana. Predykator metodystów, imieniem Prior, co innego w tymże samym czasie ogłosił o Józefie Smith; mówi:

„Nie będę opisywał różnych uczuć mojej duszy, gdym usiadł na boku wpośród zebrania, które w głębokiem milczeniu oczekiwało ukazania się proroka. Podczas gdy doświadczał cierpliwości swoich słuchaczy, miałem czas przywieść sobie na pamięć wszystko, co wiedziałem i co słyszałem o dziwnym tym człowieku. Spodziewałem się ujrzyć twarz smutną i ponurą, noszącą ślady exaltacji i nienawiści: mniemałem, że łatwo tam dośledzę rysów zamyślenia, tego wejrzenia mistycznego i pełnego ironii, jakie przypisywano dawnym mędrcom. Rachowałem, że uchwycę na jego obliczu jakiś wyraz pomieszanego i rumieniącego się sumienia, z jakim koniecznie wydać się powinien po tém wszystkiem, com o nim słyszał. Ukazał się nareszcie, a Bóg świadkiem, jakem się omylił: w miejsce rogów bydłęcych i rozdartej racicy fałszywego proroka, ujrzałem człowieka zwyczajnej fizjonomii i więcej niż średniej postawy. Bardzom się omylił, jak rzekłem, ale mniemałem, że jeżeli jego powierzchowność nic przeciw niemu nie mówiła, przynajmniej usprawiedliwi to, co o nim mówiono, gdy kazać pocznie. Śledziłem go więc uważnie. Wziął text nie z księgi Mormona, ale z biblii. Rozpoczął kazanie spokojnie, i mówił bez żadnej passyi, kiedy ja spodziewałem się tych gwałtownych pocisków przeciwko innym sektom, tych ognistych do zemsty poruszeń, tych przekleństw ciskanych na wszystko, co nie było mormońskiem, o co go właśnie oskarżano, że ciągle wmawiał w swoich uczniów. Czekałem napróżno, słuchałem z zadziwieniem, źle mi było na mojem miejscu. Nie mogłem wmówić w siebie, żeby obecność moja była mu wiadomą, żeby mowę swoją do mnie wymierzył tak, żebym nie do przygany nie znalazł: bo zamiast niewytrawnych myśli, zamiast potoku złorzeczenia i namiętnych pogrózek na tych, którzy z nim nie trzymali, zamiast nakręcania pism i naciągania do swoich widoków, zamiast sieci ciemności i sofizmów dla obejścia prawd ewangelicznych, zamiast nakoniec tego wszystkiego, czegom się spodziewał: usłyszałem człowieka, który rzecz swoją rozwijał zajmująco i gładko, i z całą troskliwością i szczęśliwą łatwością osoby przejętej ważnością swojego położenia i swoich powinności ku Bogu i bliźnim.”

Ten sam autor tak opisuje Nauvoo:

„Nakoniec ukazało się miasto. Zamiast kilku baraków z drzewa i chat glinianych, które znaleźć się spodziewałem, zdumiałem się, widząc jedno z najbardziej malowniczych miast, jakie spotkałem na Zachodzie. Domy, chociaż wiele z nich było małych i z drzewa, nosiły ślady ochędóstwa, jakiego nigdzie znaleźć mi się nie przytrafiło. Niezmierna pła-

szczyzna, jaka rozpościerała się u stóp wzgórza, była ubrana domkami porozrzucanemi tak wspaniale, że na chwile nie mogłem się oprzeć złudzeniu, i sądziłem, że zamiast być w Nauvoo, w Illinois, pomiędzy Mormonami, znajduję się we Włoszech, w Liwurno, do którego Nauvoo bardzo jest podobnym. Długo patrzałem w zachwyceniu, ze wzruszeniem nawet, na płaszczyznę, która rozścielała się pod moimi nogami. Tu i owdzie wznosiły się wielkie i piękne budowle z cegły murowane, świadczące zaszczytnie o gieniuszu i wytrwałości mieszkańców, którzy z łona pustyni wydobyli to piękne miejsce, a w dwóch czy trzech latach zamienili je na najpiękniejsze miasto Zachodu. Wzgórze na którym się znajdowałem było całe okryte mieszkaniem ludzkimi, a w środku nich wznosił się kościół z ciosowego kamienia. Kilka drzew, które oszczędzono, były w pełnym rozwiciu i z cudowną nieregularnością czepiały się pagórka. Przebiegłem pilnie najczystsza część miasta, przeglądając każdą ulicę i uliczkę, żeby naocznie się przekonać, co się tam działo. Znalazłem wszystkich zajętych jaką pracą użyteczną i zdrową. Zajęcie wszędzie było widoczne, a nawet większe niż po innych, jakie widziałem miastach, odkąd przesilenie handlowe zaczęło oddziaływać. Napróżno szukałem jakiego śladu niemoralności, i zdziwiony byłem i szczęśliwy, nie znalazłszy nic podobnego. Nie widziałem ani próżniaków po ulicach, ani pijaków po karczmach. Nie spotkałem żadnej złowrogięj postaci, która zdradza albo złego lub źle wychowanego człowieka. W całym mieście nie usłyszałem przekleństwa, nie widziałem twarzy ponuręj: wszyscy byli weseli, grzeczni, przemysłowi.”

Od tego czasu aż do roku 1844 bogactwo i potęga sekty ciągle wzrastały: przybywały jej posiłki z Stanów Zjednoczonych, a nawet z Liverpool. *Times and Seasons* z 15 maja tego roku donosił świętym, że „Nauvoo stawało się wielkiem miastem, że wiele nowych wspaniałych budowało się domów. Trzy oddziały wiernych w czasie wiosny przybyło z Anglii, a prorok cieszył się dobrą zdrowiem jak i nadzieją. W roku 1844 Mormony tak się podnieśli w siłę i zaufanie w przyszłość, że Józefa Smith podali na kandydata do prezydentury Stanów Zjednoczonych, a Sidneja Rigdon na wiceprezydenta. Józef wiedział, że kandydatura ta była tylko demonstracją przyjemną dla jego uczniów, dlatego też pisał do p. Clay, który miał wielką nadzieję być wybranym, pytając go, jakieby było jego postępowanie co do Mormonów, jeżeliby był obrany prezydentem. Ponieważ Józef Smith mógł rozrządzać wielką liczbą głosów, odpowiedź p. Clay była grzeczną i wyrobioną: „śledziłem, mówił, z żywym zajęciem postępy świętych dnia ostatecznego, żywy też brałem udział w cierpieniach, jakie im niesprawiedliwość zadała, a mnie-

man, że jako wszystkie stowarzyszenia religijne, mają i oni prawo do bezpieczeństwa i opieki, jakie ustawa i prawa zaręczają wszystkim.” Józef naówczas wzbił się do szczytu potęgi, do jakiej mógł dobieć się na tym świecie; a byłby się bez wątpienia uważał za szczęśliwego, nawet wpośród prześladowań, jakimi go ścigali poganie, jego sąsiedzi, gdyby nie odszczepieństwa które rozrywały jego kościół, i smutne następstwa, jakie wydawać poczyniała nauka *małżonki duchownej*, objawiona przez nieroztropność przyjaciela Sidneja Rigdon. Ludność w Nauvoo była prawie wyłącznie mormońska; urząd municypalny, w którym prezydentem był prorok jako mer, zapragnął niezależnej władzy, a nawet dopuszczał się nieprzyjaznych postępów przeciw głównemu zarządowi Illinois, zaprzeczał ważności najwyższych rozporządzeń państwa, jeżeli nie były kontrasygnowane przez mera Nauvoo; nawet wydał postanowienie, żeby karać każdego przychodnia przekonanego że źle mówił o Smicie. Te rozszerezenia wzniciły znów nienawiść ku sekcje, i wkrótce była zagrożoną wojną z 9 hrabstwami graniczącymi z Handiosk, w którym leży Nauvoo. Prócz tego dawne zatargi z Missouri nie ustawały, a ciągle podsycane były sądowem śledztwem, jakie nieprzyjaciele Smitha z zażartą wytrwałością przeciwko niemu prowadzili.

Zastępca gubernatora Missouri, Boggs, jednego dnia mało nie był zabity od Mormona, który doń z karabina wypalił. Zaprzysiął on w sądzie, że w jego przekonaniu Józef Smith był w znowie o zamach morderstwa. Śledztwo sądowe, które wypadło z tego oskarżenia, utrzymywało największą nienawiść pomiędzy poganami i świętymi. Mimo to, nauka małżonki duchownej najwięcej narobiła zgorszenia i była głównie przyczyną morderstwa Józefa i jego brata Hirma Smith, którzy obadwa śmierć ponieśli od rozszoszczonego motłochu w więzieniu Kartagi.

Z różnych sprzecznych opowiadań, które były ogłoszone o tym wypadku, to zdaje się najpewniejsze, że niejaki doktor Foster, sam także Mormon i członek trupy Danitów albo aniołów zniszczenia, oddaliwszy się dnia jednego z domu, powrócił nagle nie uprzedziwszy żony o swoim powrocie. Znalazł powóz proroka przed swoim domem, a gdy i sam był naczelnikiem schizmy wpośród Mormonów, a miał już, jak mówią, podejrzenia mniej więcej pewne, co do niewierności swojej małżonki, natychmiast więc jak Smith odjechał, ściśle badać ją począł. Nieprzyjaciele proroka zapewniają, że wyznała, iż prorok ją usilnie namawiał, ażeby została jego „małżonką duchowną.”

Doktor Foster z początku na jakiś czas ukrył swoje nienawiść, ale widząc, że pomiędzy odszczepieńcami wiele jest takich, którzy byli gotowi wspierać napady wymierzone przeciw Józefowi Smith i Rigdonowi,

rozpoczął w samém mieście Nauvoo przy pomocy pewnego Law, wydawanie dziennika pod tytułem: *Expositor*. W pierwszym numerze ogłosili zeznania 16 kobiet, które utrzymywały pod przysięgą, że Smith, Rigdon i inni usiłowali wpoić w nich naukę „małżonki duchownej” i uwieść je, ogłaszając, że w tym przedmiocie mieli szczególne pozwolenie nieba. Drukować podobne rzeczy w Nauvoo, byłoby rzecz zaśmiała. Józef Smith, jako mer, zwołał natychmiast radę municypalną, żądając jej zdania, co wypadało robić w skutek takowego ogłoszenia. Rada wyrzekła jednoznacznie, że w zwłoce było niebezpieczeństwo dla moralności publicznej, i rozkazała marszałkowi miasta zabrać natychmiast wszystkie exemplarze tego dziennika. Mnóstwo wiernych, przeszło do 200 osób zebrało się, by wyrok wykonać, a w zapędzie gorliwości zburzyli dom, w którym było biuro i drukarnia *Expositora*: zniszczono także prasy, meble, papier, numera zabrano i spalono na stosie. Foster i Law musieli uciekać z życiem, i szukać schronienia w Kartadze. Mormoni z największym oburzeniem zaprzeczają oskarżeniu Józefa Smith, co do jego „małżonek duchownych”, i historią Fostera uważają za podłą i niekazaną potwarz. Co się tyczy Sidneja Rigdon nie tak się upierają, jakkolwiek skutki tego były niezmiernie dla Mormonów.

Foster i Law od urzędu hrabstwa zasiadającego w Kartadze otrzymali rozkaz dostawienia Józefa i Hiram Smith. Rozkaz ten oznajmiono merowi Nauvoo. Ten nie chciał uznać jego ważności, a woźny który go przyniósł, był wygnany z Nauvoo przez marszałka miasta. Władze hrabstwa nie mogły przenieść w milczeniu zniewagi wyrządzonej prawu, jako i im samym, i zwołały milicją, żeby siłą zbrojną pochwycić Smithów. Mormony ze swjej strony wzmocnili się w mieście, postanowiwszy bić się do ostateczności w obronie swojego proroka. Bracia zbiegali się zewsząd na pomoc kościołowi. Illinois i Missouri były podzielone na dwa wielkie obozy, za i przeciw Mormonom: i tak się stan rzeczy pogorszył, że sam gubernator musiał stanąć na czele milicji. W proklamacyi do mieszkańców Illinois, mówił, że był przekonany, że tylko zburzenie Nauvoo zaspokoi żołądactwo zostające pod jego rozkazami, i jeżeli wejdzie do miasta, mimo jego usilności, znajdą powód do powszechnj rzezi. Pragnąc uniknąć rozlewu krwi, prosił dwóch Smithów, żeby poddali się bez oporu, przyrzekając im wszelką opiekę swoim słowem i honorem państwa. Wezwał także Mormonów aby oddali broń, która im była wydana z arsenałów, a legia Nauvoo żeby na komendanta przyjęła oficera skarbowego. Poddali się Mormony, a Józef ze swoim bratem dali się uwięzić. Miał jednak prorok złowrogie przeczucia: idąc do więzienia powiedział: „idę jako baranek na zabicie, lecz mam czyste sumienie

i umrę niewinny." Kiedy był w więzieniu w Kartadze, wymierzono przeciw niemu i bratu zaskarżenie o najwyższą zdradę państwa Illinois. Gdy zaś motłoch samą nienawiścią pałał przeciw tym dwom więźniom, a milicya podzielała tę opinią, tak, że nie można było na nią rachować w razie jakiegoś zamachu ludu przeciw Smithom; Mormony prosili gubernatora, żeby straż w więzieniu postawił. Rano d. 26 czerwca 1844 r. gubernator sam odwiedził więźniów, i dał znowu słowo, że bronić ich będzie przeciw wszelkiemu gwałtowi. Te nawiedziny pomiędzy ludem rozszerzyły odgłos, że zaniechają podwójnej skargi przeciwko Smithom, i że sam gubernator czyni co może, by im ucieczkę ułatwić. Banda szaleńców rozjuszonych podobnemi pogłoskami ułożyła pomiędzy sobą, że ponieważ prawo nie miało dość siły do ukarania winnych, proch i ołów dosięgnie ich. D. 27 około 6tej wieczorem, niewielka straż która pilnowała więzienia została otoczona i rozbrojona od 200 przeszło ludzi, którzy sobie twarz poczernili, żeby nie byli poznani, i wpadli do więzienia. Dwaj bracia mieli wówczas naradę ze swoimi dwoma przyjaciółmi. Zapaleńcy wystrzelili do wszystkich czterech: Hiram ugodzony piérwszy upadł, wołając: jestem zabity. Józef chciał oknem wyskoczyć, i odebrał śmiertelny raz w chwili, kiedy miał wypaść. „Panie, mój Boże!” wymówił, ostatnie wydając tchnienie. Trupy po śmierci jeszcze odbierały strzały. John Tadjlor, jeden z Mormonów, którzy byli w izbie, odebrał ciężką ranę, ale wyzdrowiał.

Takim sposobem zakończył życie dziwny ten człowiek. „W krótkim przeciągu czasu, bo lat 20”, mówi historia jego męczeństwa, która dopełnia księgi nauk, „wydał książkę Mormona, której dobroć i potęga Pana pozwoliły mu wytłumaczyć i rozgłosić na obu półkolach. Rozesłał dopełnienie wiecznej tej ewangelii, którą owa książka zawierała, po czterech częściach świata. Wydał jeszcze objawienia i przykazania, które składają księgę nauk, jako téż i wiele innych dokumentów i nauk dla dobra ludzi. Zebrał wiele tysięcy świętych *dnia ostatecznego*, założył wielkie miasto, i zostawił chwałę i imię, które żadna ręka ludzka zabić nie potrafi. Żył i umarł wielkim przed obliczem Boga i swojego ludu, i jako wielu pomazańców Pańskich dawnych czasów, przypięczętował krwią własną postannictwo i dzieła swoje, jakto uczynił także brat jego Hiram. Nie byli rozdzieleni za życia, nie byli rozłączeni po śmierci.”

Chrystyan Reflector, krytyk nie tak życzliwy, w ten sposób mówi o jego życiu i śmierci:

„Donoszą o śmierci Józefa Smitha. Ciało jego spoczywa teraz w łonie ziemi, a dusza jego poszła odebrać nagrodę swoją. Różne są zdania

ludzi o tym dziwnym człowieku: lecz jakiegokolwiek są pojęcia o jego zasadach i moralności, wszyscy się na to zgadzają, że to był człowiek najznakomitszy naszej epoki. Piętnaście lat nie upłynęło jeszcze od dnia, w którym powstało w Palmyrze, w prowincyi New-York, stowarzyszenie złożone z 6 osób, a na ich czele Józef Smith. Byli to ludzie nie najlepszej sławy, znani z niedotrzymania słowa i nieplacenia długów, z występków słynni po całym kraju. Zarabiali na utrzymanie, nie pracą uczciwą, a oszukaństwem swoich sąsiadów, opowiadając im niestworzone baśnie o cudownych kopalniach, w których znajdowali złoto i srebro. Mimo nikczemnego pochodzenia, mimo ubóstwa i okropnej niemoralności swoich członków, którzy składali tę bandę kuglarzy, wzrosli dziś i rozmnożyli się, że ich jest przeszło sto tysięcy, a przy śmierci proroka rozwijali się czynniej niż dawniej. Urodzony na ostatnich szczeblach towarzyskiego porządku, karmiony w ubóstwie, wychowany w występku, obdarzony zdolnością zaledwie zwyczajną, prosty i nieokrzesany w swoim obejściu, prorok Józef Smith potrafił jednak założyć religią, której zasady były ogłoszone po całej Ameryce. Sława proroka doszła do Europy; ministrowie Nauwo zawsze byli dobrze przyjmowani w Azji; chorągiew świętych dnia ostatecznego powiewała nad brzegami Nilu, a nawet Ziemia święta była nawiedzona przez wysłańców oszusta”.

„Założył miasto w położeniu najwspanialszém, jakie być może na ziemi, nad czarującym zakrętem oja wód, a w tém mieście zebrał ludność więcej niż 25,000 dusz, przybyłych ze wszystkich stron świata. Zaczął budowę kościoła zachwycającej okazałości, podniósł mury do 50 stóp wysokości, i jeżeli zostanie ukończony, będzie to jedna z najpiękniejszych, najkosztowniejszych, najwspanialszych budowli Ameryki. Mury są z kamienia, szerokie na 4 stopy, a podparte 30ma marmurowemi kolumnami. Ta jedna budowla daje poznać odróznemu geniusz fundatora.”

„Akta życia proroka pokazują charakter jego dziwaczny i znakomity zarazem. Jeżeli uwierzymy własnym jego słowom i powieści świadków naocznych, był on razem przedstawicielem Boga na ziemi i karczmarzem; prorokiem Jehowy i libertynem zatopionym we wszystkich występkach; ministrem religii pokoju i generałem; najwyższym zarządcą tysiącami ludzi, i niewolnik swoich namiętności; kaznodzieja cnoty i złorzeczący; czciciel Bachusa i mer miasta; wzdarty skrzypek po szynkowniach, i sędzia wydający wyroki; burzyciel wszystkiego, co stanowi stosunki cywilne, socyalne i moralne pomiędzy ludźmi, a mimo tych wszystkich niewłaściwości charakteru, mimo sprzeczności wszelakich, tysiące ludzi zawierzyło mu w sprawie swojego zbawienia. A potem domyślać się możemy, że czas

i odległość przybiorą to życie w jakie rzadkie i niezwane cnoty, których w nim nie widzieli najpiérwsi jego przyjaciele, kiedy z nim żyli”.

„Ze skutku wnosząc o przyczynie, przyznać musimy, że prorok Mormonów był człowiekiem rzadkiego gieniuszu. W tém, że mu się tak widoczne oszustwo udało, mamy najjaśniejszy dowód łatwowierności znacznej części rodu ludzkiego. Czegoż w ludzi wmówić nie można, jakiej im wiary nie narzucić?”.

Nie można było odkryć sprawców morderstwa dwóch braci; kilka osób przytrzymanych, uwolniono dla braku dowodów. Był to smutny wypadek dla rozsądnej części ludności. Najzaciepsi nieprzyjaciele Mormonów najbardziej go żalowali. Józef Smith zamordowany ukazywał się większym prorokiem, niż Józef Smith żywy. Przyjaciele i nieprzyjaciele zarówno w tém się zgadzali, że jeżeli szybkie były dotychczas postępy sekty, daleko będą szybsze, kiedy fanatyzm uzna go za męczennika wiary, kiedy błędy Smitha będą zapomniane, a historią jego śmierci odżyje pamięć jego zasług. Przepowiedzenie ziściło się wkrótce, ale Mormoni musieli przeżyć téż nowy peryod prześladowań i cierpień.

Jak tylko Smithowie zeszli z drogi długiej a zacieklej ambicyi, natychmiast Sidney ogłosił się następcą proroka. Omylił się jednak co do swój władzy i wpływu. Józef nigdy mu nie ufał i trzymał go na uboczu. Niedowierzanie to proroka podzielali piérwsi z Mormonów, a nauka *duchownej małżonki* zniechęciła do niego wielką liczbę tych nawet, którzy go niedawno uważali za jednego z fundatorów wiary i za filar kościoła. Po śmierci Józefa Smith ogłosił, że miał objawienie, które nakazywało świętym wydalić się z pośrodku swoich nieprzyjaciół, opuścić Nauvoo, a osiedlić się w Pittsburgu. Objawienie to było przeciwne objawieniom Józefa, dlatego téż święci, idąc za radami Brigham-Young, który także miał swoje widoki ambicyi, uważali objawienie Sidneya jako „zmyślenia człowieka, który kłamał przed Panem, a knował zniszczenie świętych”. Był zapozwanym za swoje złe sprawy przed radę kapłanów i nie stawiał się. W nieobecności wytoczono mu proces, przyjęto zeznania świadków, wypędzono go z kościoła, a używając słów samego wyroku, „oddano go wykonawcom szatana.”

Po śmierci proroka nienawiść Missourów i anti-Mormonów zdawała się ucichnąć na chwilę, i przez rok jeden w Nauvoo wszystko szło spokojnie. Brigham-Young był powołany na przełożenie kościoła, a święci z zapałem dokonywali budowy kościoła i ratusza w Nauvoo, by spełnić objawienie i dowieść, jako mówili, poganom nietylko świętości ich postannictwa, ale także ich potęgę, bogactwo, wytrwałość. Przecież z czasem nadeszły niezgody i pomnożyły się. Nie można było wymagać

od Mormonów, żeby znosili zniewagę nie nie odpowiadając, a wpośród ludzi którzy prawie zawsze broń nosili, nie dziwnego, że niezawsze na samych słowach się kończyło. Były bójki, i trzeba było przyzwać milicyą dla utrzymania pokoju. Przyszło nawet do regularnej potyczki, krew płynęła, a rozjątrzenie dwóch stronnictw stało się żywsze, niż było dotąd. Rząd był wezwany do czynnego wystąpienia: *meeting* delegowanych z 9 hrabstw sąsiednich Nauvoo zebrał się i jednomyślnie przyjął postanowienie, w którym powiedziano, że dotąd nie będzie pokoju w Illinois, dokąd Mormoni tam zostawać będą. Delegowani zobopólnie zobowiązali się na honor, że siłą nawet pomagają sobie będą, jeżeliby nie było innego sposobu uwolnienia się od tych niespokojnych przychodniów. Po różnych potyczkach i układach, wytrzymawszy regularne oblężenie miasta Nauvoo, święci przyrzekli opuścić Illinois na wiosnę 1846 roku, „jak tylko wody zaczną płynąć, a trawa puszczać się po łąkach”; z warunkiem, że przez ten czas nie będą niepokojeni, i że im dadzą czas potrzebny do sprzedania swoich gruntów i własności. Pierwsze oddziały rzeczywiście przeszły Mississipi 3 lutego 1846 roku. w liczbie 1,600 osób, mężczyzn, kobiet, dzieci, którzy po łodzi przeszli rzekę. Równemi siłami podobne oddziały wychodziły aż do sierpnia, na wózkach zaprzężonych wołmi, i zmierzały ku Kalifornii, wtedy prawie nieznaną, i gdzie nie było podówczas stu mieszkańców pokolenia anglosaxońskiego. Anti-Mormony upewniali, że zamiarem świętych było podburzyć Indian przeciw rzeczypospolitej Stanów Zjednoczonych, i na czele armii wrócić i pomścić prześladowania, jakie wycierpieli. Nie wchodziło to jednak w prawdziwe ich zamiary. To istotnie mieli na celu, żeby urządzić swój kościół w jakimś miejscu żyznym i nieznanym, gdzie mogliby czcić Boga swoim sposobem, nie obawiając się niczego od innych sekt chrześcijańskich. Stany Zjednoczone podówczas prowadziły wojnę z Meksykiem; żeby doświadczyć wierności Mormonów, nieprzyjaciele ich kazali im dostawić 500 ludzi na usługi ojezyny. Mormony zezwolili na to, a 500 najsilniejszych młodzieńców, zaciągnęło się pod rozkazy generała Kearney i odbyli całą kampanią z wojskami Stanów Zjednoczonych. Przy końcu wojny, korpus ten był rozpuszczony w wyższej Kalifornii, a Mormony utrzymują, że jeden z tych ludzi pracując we młynie, odkrył miny złota w Kalifornii. Z drugiej strony zapewniają, że święci znaczną ilość drogiego metalu wybrali, zanim dowiedzieli się o nim poganie.

Płasczyzna wielkiego jeziora Słonego, położona pomiędzy górami Skalistemi i Sierra-Nevada, była obrana na przyszłe mieszkanie sekty, i ku temuto miejscu zmierzają corocznie liczne oddziały Mormonów. Od tego

czasu nadzieja odżywiła Mormonów, a w żadnej epoce swjej historyi nie mieli tyle ufności w przyszłość, co dzisiaj. Płaszczyna jeziora Słonego, w prowincyi Deseret, ma około 80 mil długości, a 20 do 30 szerokości. Skrapia ją ożywczy bieg wody, któremu Mormony dali nazwę zachodniego Jordanu. W roku 1847 nakreślili plan miasta, i rozpoczęli budowę nowego kościoła. Klimat, powiadają, jest prześliczny, a ziemia bardzo żyzna. 15,000 Mormonów, nie rachując Indyan, mieści się już na téj płaszczynie. Około 5,000 osób, rozdzielonych na oddziały po 4 do 500 ludzi, są w drodze z Nowego-Orleanu, przechodząc przez St. Louis i Council-Bluffs, żeby połączyć się ze swoimi braćmi. Powinni przyjść, lub przybędą na miejsce swego przeznaczenia w miesiącu sierpniu, wrześniu lub październiku tego roku. Na pół drogi, przy stacyi Council-Bluffs zamieszkała ludność około 20,000 Mormonów, którzy wykarczowali łąkę, rozległą na 100 mil długości, a do 50 lub 60 szerokości. Tamto podróżni zaopatrują się w żywność dla przebycia pustyni, kupują zwierzęta, naprawiają wozy, a niekiedy pracą zarabiają sobie małą sumkę, której potrzebują na osiedlenie się ostateczne w mieście wielkiego jeziora Słonego. Wielka nawet liczba zpośród nich przepędza rok lub dwa lata w Council-Bluffs, zanim nazawsze nie zapaści się na zachód. Główne miasto téj kolonii, nazywa się Kanessville, i ma ludności 1,000 do 1,200 dusz.

Zkąd pochodzi ta emigracya? jak się urządziła w Stanach Zjednoczonych, w Europie, a nadewszystko w Anglii, zkąd z samego Liverpoolu wyprowadziła 13 do 14000 ludzi? jak ci wychodźcy żyją w nowej ojczyźnie? jakich już prac dokonali? jaki sobie polityczny zarząd obrali? — są to ciekawe pytania, na które pokrótce odpowiedzieć zamierzamy.

Wielu emissaryuszów albo apostołów zostało wysłanych do Europy na początku tego roku, których zadaniem było zebrać świętych europejskich i poprowadzić ich do nowego Syonu. Jedni poszli do Niemiec, inni do Francyi, ci do Norwegii; jednak kraj, w którym sekta liczy najwięcej wiernych w dawnym świecie jest bez zaprzeczenia Anglia. Starsi utrzymują, że w Wielkiej Brytanii jest do 30,000 osób ich kościoła, i że nie masz większego miasta, w którémby nie mieli zgromadzenia. Liczba Mormonów w Londynie dochodzi do 1,200, w Liverpool 600, w Manchester 700, w Birmingham 1,100, w Glasgowie 500, w Edyburgu 300, w Sheffield 400, w Macelesfield 200, w Paisley 100, w Dundee 100, nie licząc tych, co są po mniejszych miastach. Liczba wychodźców wyprawionych z Liverpool przez agenturę założoną w tém mieście 1841 r. wynosi już, wedle podania głównego apostoła mormońskiego w Liverpool, 13,500 osób. Przez dwa lata, które poprzedziły śmierć Józefa Smith,

13 okrętów opłaconych zupełnie przez Mormonów, wypłynęło z Liverpool do Nowego Orleanu. W ostatnim roku liczba wychodźców mormońskich dochodziła do 2,500 osób. Największa liczba tych wychodźców składa się z rolników i rzemieślników; można tam jednak znaleźć wielu komisantów domów handlowych i lekarzy. Sąto powszechnie ludzie roztropni i dobrego prowadzenia: wielu z nich nawet bardzo poważnych. Pospolicie biorą z sobą narzędzia, które im są potrzebne do prowadzenia rzemiosła na płaszczynie jeziora Słonego. Po największej części wychodzą z okręgów rękodzielnych. Szkocya i kraj Gallów najwięcej im dostarczyły. Kiedy Szkoci albo Gallowie postanowią jechać, to pospolicie w bardzo licznych oddziałach. Czyn godny uwagi, że Irlandczycy ani jednego nie dali im rekruta. Mormony nie chcą jechać na okręcie na którym są inni podróżni, a jeżeli inaczej być nie może, dopominają się oddzielnego pomieszczenia.

Środki policyjne przedsięwzięte przez wychodźców mormońskich dla utrzymania porządku i czystości na okręcie, są wyborne. Pierwszém ich staraniem, kiedy tam przybędą jest złożenie *meetingu* powszechnego, na którym wybierają prezydenta i sześciu kommissarzy. Prezydent wykonywa władzę samowładną nad wszystkiemi podróżnemi na statku: onto wyznacza łóżka, rozsądza spory, opatruje wszystkie potrzeby, robi wszelkie zażalenia w imieniu podróżujących; onto naucza jak trzeba zakupywać i po jakiej cenie żywność i inne rzeczy potrzebne. Kommissarze czuwają nad ładunkiem. Jeden z nich dzień i noc jest na straży, dokąd statek jest na morzu, by obcych nie dopuszczać. Posłuszeństwo dla tych, których wybrali jest zupełne; każde słowo jest tu prawem, szanowane jest i wypełniane natychmiast. Pomiędzy sobą nazywają się bracia i siostry.

Mormony, jak powiadają, odłożyli 94,080 uncyj złota zebranego w Kalifornii, które mają być obracane na kosztą podróży dla biednych udających się do wielkiego jeziora Słonego. Rachując uncją po 4 funt. szter. czyli złp. 160, wypadnie summa 15,052,800 złp. Może być, że summa ta jest przesadzoną, ale sami Mormony tak opowiadają. Widziałem w Liverpool kilka sztuk złota wybitych w ich nowém państwie Deseret. Sztuka 5 dollarów (złp. 40) jest z czystego złota Kalifornii, beż żadnej mieszaniny, nieco mniejsza a cięższa od suwerena angielskiego. Na jednej stronie napis: *Holinees to the Lord* (poświęcone Panu) umieszczony niżej oka Jehowy i czapki w kształcie mitry; wszystko dosyć niezgrabnie wykonane. Na drugiej stronie są dwie ręce złożone i wyrazy: *Five dollars* (5 dollarów.)

Mormony zrobili fundusz nieustającego wychodźstwa, którego układ i cel są wyłożone w następującym liście, pisany przez teraźniejszego naczelnika ich kościoła, następcę Józefa Smith, do swojego agenta w Liverpool:

„Starszemu Orson Pratt.”

„Miasto wielkiego jeziora Słonego, d. 14 października 1849 r.

„Kochany bracie! Z naszego listu powszechnego dowiesz się o wypadkach jakie tu zaszły; szczególnie chciałem ci napisać o kilku sprawach dobra powszechnego, a głównie co się tyczy funduszu nieustającego wychodźstwa, przeznaczonego dla świętych ubogich. Fundusz ten, zwróć na to uwagę, ma być wieczny, to jest żeby nie ustał, potrzebuje ciągłych zasilków. By temu zaradzić, mniemamy, że ci wszyscy, którzy z niego będą pożytkować, nie omieszkają zwrócić tego, co pożyczili, jak tylko skutecznie to będą mogli, a ku temu znajdą tu przy robotach publicznych wszelką łatwość; trzeba téż, żeby ofiary dobrowolne przychodziły ze wszystkich stron świata dla wspierania połączenia się świętych. Nietyle chodzi o towarzystwo biorące w tém udział, ile o dzieło miłosierdzia. Twój dom w Liverpool jest upoważniony do przyjmowania wszystkich ofiar pieniężnych, czyto z tego pochodzących funduszu, czyli z dziesięciny po całej Europie: ale nie będziesz czynił wydatków tylko wedle naszego rozkazu i jedynie osobom, które my oznaczymy. Pałamy żądzą największą sprowadzenia w nasze strony machin i przemysłu wszelkiego rodzaju. Od dziś począwszy wspieraj nas w naszym przedsięwzięciu, a bądź pewien, że nim nam przyślesz robotników, bawełna, len i inne pierwsze materiały na nich czekać będą. Na przyszłą wiosnę nasze osady rozszerzą się aż na brzegi jeziora, gdzie będzie można uprawiać bawełnę, ryż, trzcinę cukrową i t. p. Jeżeli przeto znajdziesz ludzi, którzy tu przybyć zechcą dla robienia tkanin, urządź tak, ażeby mechanicy, rzemieślnicy i inni, przybyli ile można najprędzej, z narzędziami, jakich przemysł ich potrzebuje. Utworzyliśmy towarzystwo, które ma obowiązek przyprowadzania wychodźców z rzeczami ich od Missouri, tak, że dziś nie potrzebują zakupywać ani wołów, ani wozów, i natychmiast udać się mogą na miejsce przeznaczenia. Uznaliśmy potrzebę pobierania teraz dziesięciny w pieniądzech, a nie w pracy, jak dawniej; dlatego téż możemy używać nowych przybyszów do robót publicznych, i opłacać ich czyto gotówką, czyli w żywności potrzebnej dla nich i rodziny. Ruzumié się, że to wszystko nie narusza funduszu nieustannego wychodźstwa, który jest wyłącznie przeznaczony na cel święty, zgromadzenia świętych. Nasza prawdziwa polityka dzisiejsza jest, żebyśmy sobie sami wystarczali naszym przemysłem, wyrabiali sami, i to ile mo-

zna najprędzej wszystko, czego potrzebujemy. Rób więc wszystko co możesz dla poruszenia wychodźstwa rzemieślników ze wszystkich krajów; zbieraj też dziesięciny.”

„Nasz ukochany brat Franklin D. Richards wysłany w poselstwo do Anglii, wspólnie z tobą ma pracować i da ci obszerniejsze objaśnienia.”

„Zostajemy z uczuciem najwyższego szacunku, miłości i czułości, waszym bratem w nowém i wiecznym przymierzu.”

Brigham Young.

Szczegóły te dają poznać, że Mormony od śmierci Józefa Smith wielkie uczynili postępy. Kalifornia stała się źródłem ich pomysłowości obecnej, a nadziei na przyszłość.

Następne szczegóły o mieście wielkiego jeziora Słonego, zapewne z zajęciem czytane będą:

„Legia z Nauvoo, mówi list powszechny pisany do świętych pod d. 12 października 1849 r., była zreorganizowaną na płaszczyźnie. Byłoby to wielką radością dla wszystkich świętych rozrzuconych po całej kuli ziemskiej, gdyby mogli być obecni obrotom wielkiego przeglądu, gdyby widzieli prawdziwą armią ludzi silnych i marsowej postawy, jako ustawiali swoją broń w kozły, a potem biegli na miejsce oznaczone dla nowego kościoła, i tam z kielnią i motyką w rękę, kopiących fundamenta poświęconego Panu przybytku, wznoszących kolumny, mury, dach, tak, że dziś mamy wygodny gmach, długi 100 stóp a 60 szeroki, gdzie zbieramy się ze świętymi każdego dnia sabatu, a prawie każdego wieczora w tygodniu dla nauczania i obmyślenia sposobów rozszerzenia królestwa bożego.”

„Dzień 24 lipca jest dniem, który nie zaginie w pamięci tych, którzy byli obecni na płaszczyźnie; jest to dzień, w którym obchodziliśmy rocznicę przybycia pierwszych poszukiwaczy, jest temu lat dwa. Widząc ogromnej wielkości stoły, które otaczały kościół, a zastawione były wszystkimi płodami ziemi, i tych, którzy rozdawali biesiadującym wszystko, co tylko ziemia wydać może; widząc miejsca zajęte przez ludność, która przesładowaniem tylu lat pozbawiona podobnych uroczystości, dziś chętnie rozdawała miejsca przy stołach wszystkim obcym, obecnym na płaszczyźnie; widząc to w miejscach oddalonych więcej nad 1000 mil od wszelkiej cywilizacji, i gdzie przed dwoma laty rosła tylko trawa pustyni: byłoto dla wszystkich powodem dziękczynień dla Dawcy dóbr wszelakich, byłoto dla nas jutrzeńką dnia, w którym dzieci królestwa zasięda pod latoroślą winną i figą, i mieszkać będą w domach znikąd złego

się nie obawiając. Oby wkrótce nadszedł czas, w którymby rozproszone pokolenia Izraela zasiąść mogły na podobnych ueztach w ogrodach Józefal.

„Tysiące wychodźców z różnych krajów dla poszukiwania złota przeszli nasze miasto w tym roku, przynieśli nam wielką ilość wyrobów i przedmiotów wszelkiego rodzaju, które zamieniali na konie i muły, a zamiany te były korzystne dla stron obudwóch. Liczba świętych którzy w tym roku tu osiedli, wynosi do 500—600 wozów, oprócz tych, którzy idąc na wyszukanie złota, wysłuchali ewangelii i zostali wpośrodku nas nie chcąc iść dalej, uwierzywszy i będąc ochrzczeni.”

„Dnia 28 września, 14 czy 15 naszych braci przybyło z krainy złota; kilku z nich zebralo obficie drogiego kruszcu, a inni, którzy byli chorzy, wrócili tak ubodzy jak wyszli. Ze jest wiele złota w Kalifornii zachodniej, o tém wątpić nie można; ale płaszczyna Sacramento jest niezdrawą, a święci lepiej zrobią uprawiając ziemię, budując domy w tym kraju, aniżeli szukając złota w Sacramento. Prawdziwy użytek złota jest aby obracać go na brukowanie ulic, pokrycie domów; a kiedy święci ogłoszą ewangelią, wykarczują grunta, zbudują wiele miast, Pan otwoczy miny złota wystarczające na potrzeby swojego ludu. Do tego zaś czasu niech ich nie kuśi szatan chciwości, bo bogactwa ziemi do Pana należą, który je ukaże, kiedy i jak mu się podoba. Urodzaje zboża były dobre w tym roku w naszej dolinie. Jednak potrzebujemy wiele rąk nowych, któreby nam pomogły w budowaniu i karczunku. Ludzi na n brakuje. Bracia! pospieszajcie ze wszystkich krajów, przybywajcie ze wszystkich narodów; pomagajcie nam budować i uprawiać, aż dotąd, kiedy będziemy mogli zawołać: nie ma już miejsca na płaszczynach Efraim!”

Wieleby jeszcze dało się powiedzieć o dziwnej téj sekcie; ale to, co się rzekło dosyć wyświeca wielkość zadania przedsięwziętego przez jój naczelników, a odkrycie Kalifornii nadało mu daleko większe znaczenie. Kiedy urzędowe żądanie zanesione przez Mormonów do Zjednoczenia amerykańskiego będzie rozbierane na sejmie; można się spodziewać wielkich rozpraw; obudzą one zastarzały spór krajów wolnych i krajów niewolniczych. Wedle ustawy jaką sobie nadali i mieli prawo nadać, Deseret chce być krajem wolnym: to samo już będzie powodem do namiętych rozpraw, ale będą ożywione przez tych samych Mormonów, którzy niegdyś pogardzeni, prześladowani, wygnani, uważają się dziś za wolnych, potężnych, bogatych, i w położeniu, w którym mogą jako równy z równym stanąć z każdym krajów związkowych.

Dodamy to jeszcze, że Mormony wierzą w blizki upadek wszystkich królestw ziemi, w natychmiastowe utworzenie królestwa Chrystusowego, ogłoszonego naprzód przez Mormonów w kraju Deseret,

a rozciągającego się ztamtąd po całym lądzie Ameryki. Oczekują przyjścia Chrystusa, jako władcy ziemskiego, i założenia *millenium* (królestwa tysiącletniego), którego owoców sami Mormony używać będą wyłącznie.

Ostatnie wiadomości ze Stanów Zjednoczonych przyniosły nam nowe szczegóły o obecnym położeniu Mormonów. Potwierdzają wszystko, cośmy dotąd powiedzieli; mówią, że im się dobrze wiedzie, i że są gościnni dla niezliczonych karawan, które wyszedłszy z Stanów Zjednoczonych przebywać muszą całą Amerykę północną w największej swojej szerokości, by się dostać do Kalifornii. Jakikolwiek jest sąd o religii Mormonów, trudno im nie przyznać moralności, uważając, jak ich rząd stara się ją rozwijać, i jakie ku temu przedsięwzięje środki. Jedno tu tylko przywieziemy rozporządzenie pod d. 4 lipca tegoż roku, które się składa z trzech artykułów:

Art. 1. Zgromadzenie powszechnie rozkazuje, że wszystkie napoje upajające sprzedawane w kraju Deseret, płacić będą taxę 50 za 100 ich ceny sprzedaży.

Art. 2. Dlatego assesor i kolektorowie tax pobierać będą ten podatek wedle formy przepisanej prawem z d. 10 stycznia 1850 r.

Art. 3. Wszystkie żelaza, stal, odlewy, szkła, gwoździe, farby, oliwy, herbata, kawa, cukier, ryż, owoce suszone i inne korzenie, lekarstwa, obuwia, i wszystkie gatunki skór, są wolne od wszelkiej opłaty.

Oto główne szczegóły dziwacznej tej historii, którą angielskiej publiczności opowiedział dziennik *Morning Chronicle*, a dla francuzkiej w skróceniu podał *Journal des Débats*, z kąd czerpaliliśmy główne rysy.

Ks. Józef Szpaderski.

Łabędź żałośnie śpiewający nad grobem Wielmożnego Pana Mikołaja Dunina Modliszowskiego, z Modliszowic, hrabię Skrzyńskiego etc., których żałobnych trenów, pomógł mu na pogrzebnym kazaniu ks. Jacynt Przetocki, pleban wysocki, etc..... w Skrzywnie, roku 1642, d. 3 kwietnia.

Taki jest tytuł kazania drukowanego w Krakowie, w drukarni Franciszka Cezarego, roku 1643. Broszurka ta w 8ce wielkiej, zawiera wraz z tytułem stronic 28 nienumerowanych. Na drugiej stronicy jest drzeworyt wyobrażający herb nieboszczyka: „Łabędź”, a nad nim godło:

„Luboś nie mistrzem szlacheckiej kapele,
 Jednak łabędziu, rządysz chórem śmieie,
 Sławnym Duninom *requiem* zacznasz,
 Aleć to sobie nucisz i poczynasz.
 Oni żyć w sławie nieśmiertelną będą,
 Póki promieni, gwiazdy swych nie zbęda”.

Załączam niektóre ustępy z tego kazania, zapewne bardzo mało albo i wcale nieznanego u nas. Z kazania tego, malującego nieraz właściwą sobie epokę i charakter kościelno-oratorski, zamieściłem tylko najcharakterystyczniejsze miejsca, a opuściłem nieskończone cytaty łacińskie i powtarzania, zachowując dla ułatwienia czytającym pisownię dzisiejszą.

Szanowny pleban Przetocki tak swoją mowę zaczyna:

In imagine pertransit homo!

„W tej smutnej trumnie, patrząc na ten żalony depozyt y okrzepłe ciało ś. p. J. M. P. Mikołaja Dunina Modliszowskiego, hrabię Skrzyńskiego, wołałbym przeżacni słuchacze, nie ćwiczono w żalach oczy swe rozkwilić, i pomódz wam żalu, aniżeli przy tak wielkiej kupie ludzi was zacnych i mądrych, prawie nagle mieć dziś kazanie. Zwłaszcza, że w tym kościele, przy katafalku, już ojczysty klejnot nieboszczykowski, łabędź, żałobne treny nam wszystkim zaczął, gdy przy tym grobie rekwalny aparat założył. A do płaczu raczej niż do mówienia mam słuszną przyczynę.”

Po kilku cytatach z pisma świętego, tak dalej objaśnia nam kaznodzieja dewizę: *In imagine pertransit homo*.

„Człowiek stworzony będąc na obraz Boski, w tym obrazie i postaci jego, *pertransit*, przemija świata tego znikome włości, a idzie do kresu zamierzonego, przy którym nieprzeżyta wieczność różne korony wije, i różnie różnym one rozdawa: jednym z róży, drugim z pokrzyw; tym ze złota, owym z żelaza; inszym z chwały wiecznej, a inszym z wiecznego kontemptu. Bądź téż te słowa prorockie: *In imagine pertransit homo*, tak sobie rozumieć będziemy. Gdy sobie człowiek układa w głowie swój największe imaginacye i radości długich lat, zabaw, honorów, fortunnych pociech, *pertransit*, to jest: odbiega wszystkij obłudy świata tego. Bądź na ostatek ten obraz Boski, tak sobie w rozumie postawimy. Każdy człowiek urodziwszy się, wychodzi na świat, jako na jakie *theatrum*, aby życia ludzkiego odprawił komedią. Którego theatru będąc panem Bóg, twórca wszystkiego, tworzy sobie aktory, i onym wedle mądrości swój Boskiej, różne persony rozdawa: i tego czyni biskupem, owego królem; tego ksiąźciem, a tego senatorem, kanclerzem, hetmanem koronowym albo inszym dygnitarzem; znowu tego czyni mieszczanin-

nem, a owego chłopkiem, woźnicą, żebrakiem. Bo to wszystko od Boga. Nie wybieramy sobie person, stanów, urzędów i zabaw na tym świecie tego *theatrum*, ale ich od Boga czekamy, i mamy. W tém pochwała największa każdego człowieka, który dobrze i przystojnie personę swoją odprawi. J. M. P. Mikołajowi Modliszowskiemu każdy dobry i zły przyznać to musi, że na *theatrum* świata tego wyszedłszy, komedią życia swego przez lat kilkadziesiąt wyprawując, dobrze, sławnie, i z pochwałą wszystkich naokoło sąsiad, persony swoje odprawił. Co przy tym żalonym akcie pokazać będę chciał”.

Zanim jednak mówca rozbiera żywot nieboszczyka, prawi szeroko o tak nazwaną przez niego kondycyi ludzkiej, która jest: *Nasci i mori*, i tak między innemi mówi:

„Rozum to nie rozum, serce to nie serce, słysząc o cudzej śmierci, stać przy czarnym katafalku, trzymać się trumny, patrzeć na nieczulego trupa, a nie pomyśleć i tak żyć, jakoby drugi nigdy nie miał umrzeć. A owo nie wie żaden, co mu do pokoju *serus vesper vehet*. Naucza filozofia, że kolor biały z natury swój *disgregat visum*, zaś czarny kolor, z natury swój *congregat visum*, wzrok do kupy zbiera. Wlepiwszy oczy w Pański majestat, w hetmany, w przyjaciół, w promotory swoje, w pożądane honory, urzędy, dostatki, bogactwa i inne uciechy; nieba częstokroć, Boga i sumienia naszego nie widzimy, i podobno byśmy nigdy nie widzieli, gdyby oczu naszych katafalk, trumna i żałoba nie zbierały do kupy. Tencito czarny kolor nauczył patrzeć Karola Vgo cesarza. Miał ten cesarz w Madrycie w więzieniu Franciszka Igo króla francuzkiego, który w *melankoliej* przechadzając się raz po zamku, obaczy *symbolum* Karola Vgo: dwa słupy między morskimi nawałnościami, z tym napisem: *plus, ultra*. Przypatruje się król i myśląc, mówi sam w sobie: *plus, ultra?* czy nie o mojem to więzieniu dalszém prognostyk? I wzięwszy węgla, pod onemi słowy, Karolowi Vmu *ad intende* napisał: *Hodie mihi, cras tibi*. Dano znać o tém cesarzowi. A cesarz co?—przejrzał. Ten czarny węgiel, *congregavit visum*, wzrok mu do kupy zebrał, oczy otworzył. Przeto wzięwszy także cesarz węgla, pod onemi słowy króla francuzkiego, a natenczas więźnia swego, napisał pokorne słowa: *Homo sum, humani a me nihil alienum puto*. Kondycya tedy każdego człowieka, jako widzicie, jest urodzić się i tego zaraz momentu urodziwszy się, konać”.

„....Gdy się dziecię zawiązuje w żywocie matki, przychodzi natura ludzka z metryką, w którą pisze wszystkie ludzkie, na świat się rodzące, i dla znaku pisze nad nią jeszcze niekształtną materją *orior*; w tenże moment przychodzi śmierć, i do tego słówka *orior* przypisuje pierwszą

literę swego nazwiska, *M.*; alić natychmiast co było *orior*, wnetki jest *morior*, i równo to już z sobą rośnie i chodzi. Przeto nad kołobkami dzieciaków swoich, takowe już odtąd słowa każcie pisać: *Dum orior, morior*. Alić już co na świecie krok, to do grobu skok; a nie bez gwardyey, bo nędze i choroby wprzód wyżywszy, a nie bez muzyki, bo często bywa, że drugi zacząwszy tu w kolebce płakać, oczu swoich nie może osuszyć aż do śmierci."

„Nie inaczej więc tylko, jako roboczy kosiarz wszedłszy na łąkę, nie respektuje na śliczność i rozliczność kwiatków, ale zawadza kosą w trawę, i jako chłop ślepy, wraz z trawą i wonne kwiatki, i do aptek pożyteczne zioła, kładzie przyszyły półmisek bydłęcy na pokosie. *Omnēs morimur*, jeden w szańcu, drugi w tańcu; ten przy dworze, ten przy oborze: ten przy księgach, a ten przy kieliszkach. Już widzicie więc, że ta jest kondycya ludzka „*nasci et mori*”, albo raczej komedya, którą każdy człowiek odprawiać jest powinien, wyszedłszy z *prosceniam* żywota matki swój na *theatrum* świata tego. A na téj komedyi ś. p. J. M. P. Dunin Mikołaj Modliszowski, pamiętając na *Laudum* niebieskie i na powszechny obług ludzki, nietylko prolog życia swego pobożnego, ale i scenę pańskich i chrześcijańskich postępów, nakoniec i epilog lat swoich szczęśliwych, przezacnie odprawił. A nie dziw, bo miał do ćwiczenia wielce biegłych i wielce zacnych instruktorów, przodków swych Łabędziów, którzy nietylko na *theatrum* koronne polskie wyszedłszy, przez lat blisko 600 w oczach wszystkiój ojczyzny, z wielką pochwałą *Immortalitatis*, persony swoje odprawowali: ale téż i w inszych odległych królestwach i państwach w oczach świata wszystkiego, z podziwieniem różnych stanów, chwalebnie akt życia swego skończyli, zostawiwszy wszyscy przykład nieboszczykowi p. Mikołajowi Modliszowskiemu, aby tak dobrze i zacnie odprawił personę swoję w ojczyźnie, jako z nich jedni w Polsce, a drudzy w odległych krajach odprawili."

Tu następuje heraldyczny wywód familii Łabędziów, w którym szanowny autor dalekiój sięga starożytności, mówiąc:

„Wielki to był aktor we włoskiój ziemi *Dux Ligurum*, którego ojciec zwał się *Cygnus*, a na jawne pokazanie herbu ojczystego, zawsze chodził pod wachlarzem piór łabędzich. Wielki to był i sławny aktor *Annibal Paenorum Dux*, który przez niebotyczne *Alpes* uczynił sobie drogę do Rzymian, krusząc twardą skałę ogniem i octem, i był tak Hiszpanom, Francuzom i Rzymianom srogi, jako żaden na świecie. A i ten się, jako piszą, łabędziem pieczętował. Ba, sam nawet *Herkules monstrorum dominator* już nie jednego za herb łabędzia, ale kilku, a po powietrzu lecących nosił wyrytych na paiziu swoim."

Tu kaznodzieja wspomniawszy jeszcze kilka znaczniejszych domów cudzoziemskich tegoż klejnotu, mianowicie włoskich, przechodzi do łabędziów ojczystych:

„Wielki to był mistrz i zacny aktor na theatrum korony polskiej anno 1124 Piotr Dunin hrabia Skrzyński, kaliski, kruszwicki i wrocławski starosta, który wzięwszy w małżeństwo księżnę ruską, powinowatą Bolesława Krzywoustego, rozmnożył w Polsce przesławnych Duninów, zostawiwszy w sercach i animuszach coś książęcego, coś królewskiego; ponieważ *non imbelle feroces, progenerant aquilae columbam*. Po tym Piotrze było pięć Piotrów Duninów ludzi mądrych i zacnych i odważnych; *martē et arte*, senatorów i obozowi wielce wiadomych rycerzów. Ci wszyscy Duninowie przezaeni pisząc się na tym *theatrum* korony polskiej, przesławne dzieła i żywy konterfet cnót swoich zostawili na wszystką wieczność w kronikach polskich swoim sukcesorom....

.....Przystępuję bliżej do nieboszczyka. Dziad tego zacnego zmarłego Hieronim z Modliszowie nie wydał w niczem przodków swoich; bo i ten w senacie miał swój stołek, był podkomorzym plockim, potem kasztelanem, i małogoskim, łomżyńskim, zembrowskim etc. starostą. Ten dopiero *e propinquo* zostawił ćwiczenie, jako na *theatrum* korony polskiej w odprawowaniu sceny swojej miało się zachować *decorom*. Piękną tu jedną rzecz przypomnę; miał ten Hieronim syna, imieniem Jana, który pogardziwszy światem i wszystką pompą jego, został Kapucynem i rodzica swego godnością daleko przeszedł, bo ojciec jego miał stołek w senacie ziemskim, a ten ma i mieć będzie na wieki stołek w senacie niebieskim; a i wy ubodzy mnichy i wzgardzone u świata duchowieństwo, tylko życie wedle wokacyej i reguł swoich, a będziecie siedzieć między assessorami i trybunaliŝtami bozkimi. Ojciec tego zmarłego pana, Jędrzej Dunin Modliszowski dopiero był dziatkom swoim zwierciadłem cnót szlacheckich, wizerunkiem dobrych obyczajów i uczycielem wszelkiej przystojności. Długi czas pod bokiem i majestatem pańskim trawił, a zawsze przystojnie. Onto z górnego frauencymeru królowej polskiej wiedząc, że *pa-res cum paribus, veteri proverbio, facile congregantur*, wziął sobie w małżeństwo starościankę chęcińską, Dembińską herbu Rawicz, o której familiej, kto nie wie jest albo gościem, albo przychodniem do Polski”...

.....„O łabędziach piszą, że pracę mają między sobą przy wychowaniu dziatki podzieloną. Samice w dzień siedzą w gniaździe z dziećmi, a samcowie w nocy też dziatki swoje włożywszy na własne skrzydła, uczą pływać. Przezaeni Duninowie, których wspomniałem, własni łabędziowie. Ci na *theatrum* korony polskiej odprawując chwalebnie sceny i per-

sony swoje, uczyli sławnej pamięci J. M. P. Mikołaja Dunina Modliszowskiego, już nie pływać, ale godnie scenę i personę swoją odprawiać.'

Daléj pleban wysocki, prawie do samego końca kazania obznajmia słuchaczy z życiem nieboszczyka, mówiąc, czego zmarły nauczył się od przodków swoich łabędziów.

„Sławnej pamięci J. M. P. Mikołaj Dunin Modliszowski będąc od zacnych rodziców na toż *theatrum* korony polskiej wysadzony, nauczył się godnie swe persony piastować, które od Boga na się włożone miał. To jest nauczył się od Piotra Dunina hrabi Skrzyńskiego przodka familii swojej wielkiej pobożności i ku Bogu szczodrobliwości. Ten albowiem Piotr 77 kościołów na cześć Bogu i chwale Najświętszej Panny z ciosanego kamienia zmurował i nadał. Dwa klasztory fundował i w jednym panny zakonne na Kujawach osadził, które potem do Strzelna przeniósł, a w drugim kościele pod tytułem świętego Wincentego, na przedmieściu we Wrocławiu, zakonniki posadził i nadał. Ale ten kościół zlutrzawszy Wrocławianie już spustoszyli. Przeto rzadki dzień, któregoby nie miał u stołu swego kapłana świeckiego albo zakonnego. A gdy się takowy dzień trafił, że nie mógł mieć kapłana u siebie, srodze tęsknił, i on dzień, zażywając słów niegdyś cesarskich „*o amici diem perdidimus*” miał sobie za nieszczęsny z téj przyczyny. Ten sławny nieboszczyk w majątnościach swoich nie wziął żadnemu kościołowi z prowentów i gruntów jego *ne unum palmum terrae*, ani też *ne obulum*, z należytych od stworzenia świata kapłanom dziesięcin. Nauczył się tenże nieboszczyk od tegoż Piotra swego przodka, że nieszczęsna fortuna stoi na okrągłej gałce; nauczył się i tego, że ludzi niewinnych sam Bóg jest obrońcą i opiekunem, jak to widzimy, gdy łabędziowi Duninowi Piotrowi urznięty język i oczy wyklute cudownie przywrócił. Od arcybiskupów i biskupów łabędziów jako i on nauczył się JMP. Modliszowski Boga swego i bliźnich serdecznie miłować, ponieważ miłość boża i miłość bliźniego w jednéj sforze z sobą chodzą. Przeto on ludzi różnych ciężkie urazy pięknie i dowcipnie koił, i między sobą równał; on zastarzałe rankory w przyjaciółach umarzał, rozróżnione affekty, rozumy, animusze, wota i mowy miarkował i do zgody prowadził, chcąc koniecznie, aby było *cor unum et anima una*. Ale ta miłość jego ku bliźnim najbardziej się wydała ku ubogim tak świeckim jako i duchownym, którym co rok wielkie jałmużny tak z szkatuły jako i z gumna i spiżarni dawał. Bo téż, jeżeli jest na psy, na ptaki, na szkapy, na muzykę, na niepotrzebną gwardyę, na goście ustawiczne; czemu nie ma być na ubogich, którzy są drogą do nieba? Zgoła, my na-przód kapłani utraciliśmy gorącego miłośnika stanu i honoru duchownego i wielkiego w domu uczciela naszego; wy wierni i życzliwi słudzy

utraciliście pana wielce dobrego; ubodzy chłopkowie i poddani utraciliście ojca miłosiernego, nędzni żebrakowie jałmużnika, mizerni zakonnicy kwestarze folwark, wszyscy utraciliście dobrodzieja, a wy miłośnicy panowie, utraciliście kosztownego przyjaciela i nieoszacowanego sąsiada."

„Od kanoników i innych prałatów łabędziów, jako i sam, nauczył się nieboszyk nabożeństwa. Uchowaj Boże! mszy stój nie słuchać, uchowaj Boże, zwyczajne modlitwy swoje opuścić, choć też w największych publicznych trudnościach. Śgo Marcina dla wielkiego nabożeństwa zwano perłą, *Gemma sacerdotum*. Dla takiegoż pewnie nabożeństwa dam ja dziś tytuł wielce pobożnemu temu Duninowi *gemma nobilium*, perła stanu szlacheckiego, w którym wiele jest takich co mówią: „Dali-bóg, nie mam kiedy i pacierza zmówić.”

„Od Kapucyna stryja swego rodzonego łabędzia, jako i sam, nauczył się ten zmarły głębokiej pokory, gdy prosił z płaczem, aby go bez wszelkiej pogrzebnej pompy jak najubożej w habicie grubym bernardyńskim pochowano. O czém ja pewnej zasiągnąwszy wiadomości, pytam łask waszych wielmożni miłośnicy panowie, komu dziś w tym kościele tak gromadno posługę ostatnią oddawacie? Czy panu jakiemu? czy jakiemu ubogiemu? Słyszę, gdy ma umierać rozkazuje pokojowym wywlec zpod siebie miękką pościel, a włożyć sobie pod głowę wielką i twardą bryłę ziemi: to pewnie ubogi ktoś. Znowu słyszę, do różnych kościołów testamentem leguje blisko 30,000 złotych, na pogrzeb, na msze święte, na jałmużny naznacza niemałą sumę. To wierno pan! Patrząc w trumnę widzę ciało pokryte grubą i szarą sukmaną. To pewnie ubogi! Obróciwszy oczy na kościół, widzę butny katafalk, obok niego wiele świec i lamp, wiele aparatów pogrzebnych od srebra i różnych czarnych materyj, wiele herbów i klejnotów ojczystych na atlasach, adamaszkach i kitajkach. To zaiste pan! Chłopkowie i ubóstwo z płaczem ciało wprowadzili i prawie do kościoła wnieśli. Toć prawdziwie ubogi! Prałaci, senatorowie, urzędnicy koronni i piękne grono szlachty zjechawszy się na ten pogrzeb, temu zacnemu ciału jako widzę ostatnią posługę oddawają. To już szczerzy pan! pan i ubogi, ubogi i pan. A to nie jest *paradoxum*. Bo zóraw w studnię tém samym że go z wiadrem zniżasz, tém samym podnosisz.”

„Od wojewodów i kasztelanów łabędziów, jako i sam, nauczył się służyć Rzeczypospolitej, a służyć mądrze i roztropnie. Przetoż dla nabywania nauk i mądrości, której do usług swoich ojczyzna potrzebuje (bo cóż kiedy dobrego głupi nieuk sprawi): jechał do cudzych krajów, przejechał Hiszpanią, włoską ziemię, Francją, Belgium, Inderlandy (1) i sztukę In-

(1) Niderlandy.

dyi: gdzie nie przypatrywał się damom, skokom, pługom, baletom, ale mądrym różnych nauk professorom, dobrym obyczajom, sztukom *rycerskim* i wojskowym, rządowi miast cudzoziemskich, kosztownym pałacom, poważnym winnicom, misternym budynkom, potężnym fortecom i innym zacnym w architekturze sztukom. Zkąd za kilka lat powróciwszy, sejmiku żadnego nie omieszkał, na sejmy walne często posłan bywał, na trybunale prawie co trzeci rok deputatem, a w sprawach przyjacielskich co dzień i co godzina życzliwym i dobrą Minerwę mającym i szczęśliwym sędzią.”

„Od hetmanów koronnych łabędziów, jako i sam nauczył się, że *dulce est pro patria mori*. Przeto żadnej ekspedycyjnej nie opuścił na którąby kosztem wielkim, pod chorągwią dworską królewską nie miał stawić pocztu przystojnego i porządnego, pokazując na oko zgnitym domatorom, że ojczyzna taka jest, *pro qua mori et quasi nos consecrare debemus*. O którym jego dobrym i gorącym ku rzeczypospolitej affekcie, aby wiedziała *in perpetuum sera posteritas*; a torem przodków swoich idąc, umyślił żyć w stanie świętym małżeńskim. Do których zamysłów przybrał sobie przyjaciela i towarzysza w domu Jch. M. M. P. P. Grzymułtowskich, kasztelanek średzką. Rozstał się prędko z tym miłym przyjacielem nieboszczyk i ponowił sakrament małżeński wzięwszy sobie za małżonkę starościnkę tłumacką z domu Jch: M. M. P. P. Ostrorogów. W którym wielmożnym domu, co Ostrorog, to niemal albo górny wojewoda, albo wielki kasztelan, albo hetman, albo pieczętarsz, albo jaki znaczny dygnitarz koronny. W którym domu co kiedy mogła dokazywała uczona Pallas, albo straszny Mars, nie przestaną kroniki powiadać nie-skończonej wieczności.”

„Od kanclerzów łabędziów, jako i sam, nauczył się królom wiernie służyć. Bo na dworze s. p. Zygmunta III króla polskiego służył dworzańsko czas niemający, dostatkami i kosztem wielkim.”

„Od marszałków łabędziów, jako i sam, nauczył się nie przed królem z łaską chodzić, ale z cnotą przed Bogiem. Nakoniec od starostów przodków swych łabędziów, nauczył się być sprawiedliwym ku Bogu, ku duszy swój, ku bliźniemu, oddając każdemu z nich co jemu należało: Bogu serdeczną miłość, bliźniemu miłosierdzie, sobie płacz przy częstych spowiedziach, duszy modlitwę i wewnętrzne rozmyślenia, ciału umartwienie i twardą pokutę za grzechy.”

„To od rozumnych łabędziów, wielmożnych przodków swoich ten zacny i rozumny łabędź sławnej pamięci J. M. P. Mikołaj Modliszowski będąc na theatrum korony polskiej nauczył się tego, coście słyszeli. A od łabędzia nierozumnego swego herbownego czego się nauczył? Widzę, że

chcecie wiedzieć, więc jeszcze słuchajcie, bo tu skończę. Nauczył się wesoło z baczeniem i szczęśliwie umrzeć i personę swoją godnie odprawić, albo raczej wszystkiemu aktowi życia swego, szczęśliwy dać epilog.”

* * *

Tu szanowny kaznodzieja kończy swoją mowę, stosując ostatnio chwile nieboszczyka do śpiewu konającego łabędzia, mówiąc, że rozkoszny to sonet, wdzięczny kanzon, który z ust umierającego słyszał kapłan zakonny: „*Pater*, nie rozumiej, bym co żałował z tego świata; tak sobie ten świat waży, jako włos, który mi z głowy spada.

M. Morż.....

O dawném województwie sieradzkim (1).

Województwo sieradzkie pomiędzy stopniami 50 i 52 północnej szerokości geograficznej, a zaś 15 i 18 stopniem długości położone, graniczyło od wschodu przez część rzeki Pilicy z województwem sandomierskim, od południa z krakowskim, na zachód ze Szlązkiem przez część rzek Lizwarty i Proсны, od północy zaś z województwem kaliskim tudzież łęczyckim przez rzeki Ner i Wolborzę. Środkiem województwa tego płynęła od południa ku północy rzeka Warta, zpod miasta Kromolowa początek biorąca, a przepływając koło miast: Starój Częstochowy, Mstowa, Działoszyna, Oszykowa, Bużenina, Sieradza, Warty i Uniejowa, wpadała przy wsiach Osiny i Zawada do województwa kaliskiego, powiększając koryto swoje znakomitszemi rzeczkami i rzekami: Wiercicą, Liszwartą, Widawką i innymi.

Herb wzmiankowanego województwa stanowiły pół orła czarnego w polu czerwonym, i pół lwa czerwonego (2) w polu złotym,

(1) Antoni Pstrokoński, regent i archiwaryusz akt dawnych sieradzkich, w ciągu przeszło trzydziesto-letniego swego urzędowania, nagromadził mnóstwo materyałów do opisanja, w najdrobniejszych nawet szczegółach, całego województwa sieradzkiego posłużyć mających; lecz takowe, bez obrobienia po śmierci jego w r. 1843 nastąpionej, na własność familii jego przeszedłszy, po dziś dzień jeszcze na kupie z biblioteką pomieszane i zamknięte, jako należność małoletniego od lat kilkunastu pod strychem zbawienia swego oczekują. Częstkę z takowych, lecz już wypracowaną, wydał W. H. Gawarecki jeszcze za życia autora w Przeglądzie Warszawskim z r. 1840. T. I, str. 207 i 313.

(2) Lwa takowego czarnym być mieni ks. Wład. Lubieński w swój Geografii, str. 386.

grzbietami z sobą zrosnięte, wspólną złotą koronę na głowach mające, z wywieszonemi u obu językami. Niesiecki, idąc za Paprockim i Nakielskim przytacza, iż kiedy w walce z Krzyżakami szlachta województwa łęczyckiego otoczona, chorągiew swoją straciła, przybiegli jej Sieradzanie na pomoc, a nieprzyjaciela przemogłszy, braci i sąsiadów ocaliwszy, chorągiew tychże odbili. Czyn takowy wynagradzając panujący dozwolił rycerstwu województwa tego używać laku czerwonego do pieczętowania swych listów, co tylko książętom i tychże kancelaryom przedtém było wolno; a nadto pozwolił im utworzyć urząd drugiego chorążego, czém inne województwa poszczycić się nie mogły, i odtąd występuje chorąży większy i mniejszy sieradzki, co się stać mogło za rządów Łokietka, lubo w księgach sieradzkich dopiero pod r. 1398 o drugim chorążym wzmiankę znajdujemy.

Województwo sieradzkie dzieliło się na 4 powiaty, tojest: sieradzki, szadkowski, piotrkowski i Radomski, oraz ziemię wieluńską z przyłączonym do niej powiatem ostrzeszowskim. Odbywało swoje obrady czyli sejmiki (oprócz ziemi wieluńskiej) w Szadku, gdzie wybierało zarazem czterech posłów na sejm, tudzież w Sieradzu, jak miejscowe księgi świadczą, dla obierania podkomorzego, sędziów ziemskich i deputatów na trybunał koronny. Popisy rycerstwa i zebranie tego województwa i ziemi wieluńskiej miały miejsce pod Sieradzem na rozległych błoniach, pomiędzy wsiami Męką i Wośnikami. Liczyło ono dwóch większych senatorów, tojest wojewodę i kasztelana sieradzkich, mniejszych zaś czyli drażkowych trzech, tojest kasztelanów rozpirskiego, spicimirskiego i sieradzko-konarskiego, oprócz wieluńskiego, czyli rudzkiego. Starostwa grodowe były w Sieradzu i Piotrkowie, niegrodowe zaś, czyli tenuty: radomskie, szadkowskie, klonowskie, tuszyńskie, warskie i szczerczowskie; ziemstwa były w miastach powiatowych: Sieradzu, Szadku, Piotrkowie i Radomsku.

Przejdźmy do wojewodów. Wojewody (palatinus) kiedy nazwisko (1) u nas powstało, trudno z krytyką wysledzić; początek urzę-

(1) Palatinus zwał się jeden z siedmiu pagórków Rzymu, na których Romulus sławne miasto założył. W średnich wiekach *Palatini* nazywali się ci, którzy pałac cesarski zamieszkiwali; w Węgrzech zaś *Palatinus* był pierwszy magnat, który wybrany przez stany z czterech magnatów, przez króla przedstawionych, króla samego w potrzebach zastępował. Pierwszy historyk nasz Marcin Gall, Nestorowi współczesny, na początku XIIgo wieku zmarły, wyraz *Comes Palatinus* za jedno znaczący z *Militiae Princeps* przywodził (cf. Nies. edyc. lipsk. T. I, str. 393) jakby to był urząd pałacowy i nadworny.

dowi temu nadaje Naruszewicz (1) od czasów Bolesława Chrobrego, gdy podówczas dostojność hetmana czasowo sprawując, wojsko do boju wiódł, jako *princeps militiae* czyli *magister militiae*. Początkowo był zapewne jeden tylko na całe królestwo wojewoda, lecz gdy po śmierci Bolesława Krzywoustego w r. 1139 zaszłój, w skutek podziału kraju przez niego pomiędzy swoich synów uskutecznionego, mnóstwo księstw udzielnych powstało, z których każde dworem znakomitym, na wzór panującego otoczyć się pragnęło; urząd więc *principis militiae* przeszedł i do księstw szczególnych, zamienił się w takowych z czasem na urząd stały z możliwością zastępowania w czasie pokoju samego księcia lub króla, a w końcu z zaszczytem przewodniczenia sejmikom i sądom wiecowym swego województwa, stanowienia w takowóm ceny towarów, dostrzegania sprawiedliwości, i czuwania nad bezpieczeństwem publiczném.

Wojewoda sieradzki, wybierając z prawa podwojewódzzych powiatowych: sieradzkiego, szadkowskiego, piotrkowskiego, radomskiego, wieluńskiego i ostrzeszowskiego, miał przydane do urzędu swego wsie Szadkowice i Sobakow, a już w r. 1418 i Dębowiec (2).

Po dostojności wojewody, pierwsze miejsce jako senator zajmował w województwie kasztelan sieradzki, już za czasów Bolesława Śmiałego pod rokiem 1081, przez Paprockiego przytoczony. Szereg takowych aż do roku 1795 sięgający, dla uniknienia jednostajności, i nie nadwężenia cierpliwości, nie każdemu przystępny, pomijam, do historyi województwa sieradzkiego przechodząc.

Że prowincye, województwo sieradzkie składające, od przedchrześcijańskich nawet czasów licznie zamieszkane były, a nawet i handel z odległymi krajami prowadzić musiały, dowodzą tego gęsto w tych okolicach wykopywane urny, tudzież mnóstwo denarów srebrnych rzymskich z czasów cesarstwa, w ziemi odkrywanych; lecz jaką te prowincye nosiły nazwę, i przez jakie gminy pod naczelnikami familii zamieszkiwane były, tego dla braku piśmiennych dowodów zaledwie nam tylko domyślać się można. Że stolica sieradzkiego województwa już podówczas istniała, przypuścić się godzi, lecz że pomiędzy dwunastu wojewodami krajem rządzącemi i sieradzki zasiadał, to wszystko dostatecznie i krytycznie Naruszewicz, tudzież autor uwag nad Mateuszem herbu Cholewa unieważnili. Rządy Bolesława Chrobrego (od r. 992 do r. 1025), nie wskazują nam podziału

(1) Naruszewicz Histor. wydanie lipskie tom IV, str. 46, przyp. 3.

(2) Acta terrestria Sieradiensia Anni 1418. Liber 6, pag. 46, versa.

kraju na województwa, ale raczej na kasztelanie, a potem na ziemie, pomiędzy którymi i sieradzką czytamy. (1).

Bolesław III idąc za przykładem mocarstw ościennych, wielki błąd popełnił, królestwo całe pomiędzy swoje dzieci dzieląc, i władzę zwierzchnią przy najstarszym z nich Władysławie II zostawując, któremu w udział i ziemia sieradzka się dostała; od roku 1139 zaczęły się więc tworzyć księstwa z udzielnemi dworami. Władysław, namowami Agnieszki, z domu Rakuzkiego, małżonki swojej, niewiasty checiwój i łakomój podburzony, zabiera braciom dzielnice; lecz pod murami Poznania w r. 1148 pobity, zwierzchność i dzielnicę utracą. Ziemia sieradzka przeszła w r. 1149 na brata jego Bolesława IV, Kędzierzawym zwanego, i zarazem monarchę polski; a po jego śmierci r. 1173 nastąpionój, wraz z berłem na Mieczysława III Starego, tegoż brata. Mieczysław niesprawiedliwością, gwałtami i okrucieństwem naród zniechęciwszy, w roku 1177 wypędzony, władzy zwierzchniej i wielu ziem, a pomiędzy niemi i sieradzkiej, na osobę Kazimierza II Sprawiedliwego, najmłodszego z synów Bolesława III, zrzec się musiał. Kazimierz, ten sieradzkich książąt, protoplasta łagodnych rządów kraju w r. 1194 śmiercią zakończył.

Po nim tron z księstwem sieradzkim odziedziczył syn tegoż Leszek, od jasnych włosów Białym nazwany; lecz berłem się contentując ustąpił ziemię sieradzką i łączyczką Kazimierzowi, synowi po bracie swym młodszym Konradzie (2). Lubo po śmierci Leszka roku 1227 syn i następca jego Bolesław Vty Wstydlivy, jako monarcha tytułu księcia sieradzkiego mógł używać, rządy atoli księstwa tego, ojca wolę szanując, przy bracie swoim stryjecznym Kazimierzem pozostawił. W roku 1241 nieszczęście na Polskę zesłane, dotknęło i księstwo sieradzkie; Mogolowie bowiem, klęskę Polakom dnia 18 marca pod wsią Chmielnikiem zadawszy i Kraków spaliwszy, rozłali się pod wodzą barbarzyńskiego Kajdana po kraju i ziemię sieradzką i łączyczką z Kujawami mieczem i ogniem zniszczyli (3). Ze nie sam tylko Kazimierz wszystkiemi, ziemię sieradzką składającemi prowincjami zarządzał, znajdujemy dowód w księgach szadkowskich (4), w których za oblatowanym przywilejem z roku 1233, Bolesław książę sieradzki, (brat rodzony Kazimierza) nadaje w Piotr-

(1) Naruszewicz Histor. wyd. lipskie T. V, str. 121.

(2) Kadłubek. Edycyi dobromil. str. 573.

(3) Naruszewicz Histor. wyd. lipskie T. VII, str. 60.

(4) Ferra Szadcov. Lib. 10. Obl. roku 1225, str. 47.

kowie konwentowi Cystersów sulejowskich obydwą brzegi rzeki Ner, tudzież wolne łowienie bobrów w dobrach Beldrzychowię; dowodzą to kłótnie pomiędzy synami Konrada o części tego księstwa, które Naruszewicz przywodzi (1), iż powyższy Kazimierz zaraz po śmierci ojca swego Konrada w r. 1247 nastąpionój, chcąc sam panować w pozostałych po nim ziemiach, zabrał Łęczycę, Spicimierz i Rozprzę; a gdy po śmierci brata Bolesława w r. 1249 sieradzkie księstwo w spadku do Kazimierza i Ziemowita braci należać miało, opanował takowe sam Kazimierz, uwięziwszy Ziemowita z żoną jego Gertrudą. Kazimierz przyciśnięty latami, dręczony sumieniem dla krzywdy braciom wyrządzonej, z których już czterech życie zakończyło, a on sam tylko z Ziemowitem pozostał; skruczą, czy przykładem innych książąt powodowany, założył w roku 1260, w sieradzu z zamku swego klasztor dla księży Dominikanów, a we dwa lata później w Brześciu kujawskim; rządy zaś księstwa sieradzkiego, w roku 1261 w ręce syna swojego Leszka, od koloru włosów Czarnym zwanego, złożył.

Leszek zajął się szczerze pomyślnością podwładnych swoich, zakładał wsie i miasteczka, i takowe na prawie niemieckim lokował, by ludnością z zagranicy przynęcaną księstwo swoje, przez napady mogolskie i tatarskie zniszczone i wyludnione, do lepszego przyprowadzić bytu; jak to przywileje z czasów jego zarządu, w księgach sieradzkich przez oblaty dochowane, przekonywają. Nie wahał się naród, po śmierci Bolesława Wstydlwego w roku 1279 zaszłej, powierzyć mu berło krakowskie, które przyjąwszy, rządy nad księstwem sieradzkim bratu swemu z innój matki, Władysławowi, od nizkiego wzrostu Łokietkiem przezwanemu, oddał.

Jakie koleje Władysław przechodził, jak koronę polską po kilka razy zyskiwał i znowu ją tracił; dalej jak z niesprawiedliwego i okrutnego przekształcił się nieszczęściami, doświadczeniem nabytym i hartem duszy swojej, na sprawiedliwego króla, ojca dzieciom i walecznego rycerza; wreszcie jak nad tonią przepaści kraj postawiony dzielną prawicą uratował: tego wszystkiego uczą nas dzieje krajowe. To tylko nadmienić muszę, iż w czasie jego wygnania księstwo sieradzkie już to do Wacława króla czeskiego i polskiego, już to do Przemysława księcia kujawskiego na Bydgoszczy, syna Ziemomyśla, a bratanka Łokietkowego, przechodziło. Władysław jednocząc księstwa odrębne w jedną całość, wcielił i księstwo sieradzkie

(2) Naruszewicz Hist. wyd. lipskie T. VII, str. 159.

do Korony, a zarazem sprawdził nieomal przepowiednię autora Żywota Stanisława świętego (1).

. Odtąd sieradzkie księstwo zpod rządów monarchy się nie wychylając, przybrało nazwę województwa, i wszelkie koleje szczęśliwe i nieszczęsne wspólnie i zarówno z innemi w kraju przechodziło, licząc się trzeciém z porządku województw Wielkopolski, po poznańskim i kaliskim, aż w roku 1768 województwu gnieźnieńskiemu miejsca ustąpiwszy, zaraz po niem następowalo.

Przejdźmy do zwyczajów, przesądów, zabobonów i tym podobnych okoliczności, odwiecznie niemal w województwie dawném sieradzkim w używaniu będących, zachowując porządek miesięcy w roku po sobie idących. W uroczystość Trzech Króli święcą kredę, mirę i złoto, po babkach lub prababkach na ten cel gdzieniegdzie portugaly szwedzkie, hiszpańskie, a niekiedy i polskie pielęgnując. Kredą, do domu wróciwszy, piszą na wszelkich drzwiach zabudowań mieszkalnych i inwentarskich początkowe litery nazwy trzech królów z krzyżykami i rok nowy, jako środek przeciw wszelkim czarom i przystępowi złych duchów; kto na ból gardła cierpi, temu krzyże złótem święconém na nim kreślą i mirą okadzają. W wigilią dnia tego wszelkie ognie ze szczerem wieczorem wygaszają, a dopiéro po nabożeństwie w samo święto odbytém, zapalają przy ogniu poświęconym kawał powroza, z nim spieszą do domu, ogień rozniecają, i takowy przez rok cały utrzymać się starają. Przed wschodem lub po zachodzie słońca w żadnym prawie domu ognia nie użyczą. W dzień św. Fabiana i Sebastyana obserwują gospodarze powietrze; jeżeli dęszcz pada, wtedy cała zima będzie wilgotna; jeżeli zaś mróz, ciężkiej zimy oczekiwać należy. W wigilią Matki Boskiej Gromnicznej, jako téż wszelkich uroczystości Boga-Rodzicy, lud pości trzymając się przysłowia: „Kto kocha Maryą, nie pyta się o wilią.” W sam dzień

(1) Martini Galli Chronicon, przez Bandtkiego, p. 378. *Et sicut ipse Corpus Martyris in multas partes secuit (scilicet Boleslaus) et in omnem ventum bestiis terrae et volucris coeli dispersit, sic Regnum Deus ab eo, et a posteris ejus scidit et, ut in praesentiarum cernimus, propter peccata terrae, quia multi principes ejus, ideirco ipsum Regnum gentibus per circuitum in directionem et concalcationem dedit. Sed sicut Divina providentia idem Beatissimi Pontificis et Martyris corpus, sine Cicatrice notamine, reitrogravit, et ipsius Sanctitatem signis et prodigiis declaravit, sic futurum est, ut per ejus merita Regnum divisum, Deus in pristinum statum restauret, justitia et judicio roborat, gloria et honore coronet. Hoc autem probabile est et verissime, quod dicimus.*

Matki Boskiej Gromnicznej uważają gospodynie, czy wiszą sople lodu przy strzechach, rokując sobie znakomity lnu urodzaj; w czasie nabożeństwa dają do poświęcenia świece grube woskowe, gromnicami zwane, takowe wiankami ozdobione zawieszają nad łózkami, i oneż w czasie mocnej nawałnicy dla odwrócenia jęj zapalają. lub osobom konającym zapalone przy modlitwach w ręku przytrzymują. W dzień św. Błażeja święcą jabłka, które na ból gardła cierpiącym do spożycia dają, a ostrużynami gardło okadzają. Na św. Agatę święcą sól i chleb i takowe przy silnym pożarze w żywiól zażarty wrzucają, przypisując im własność usmierzenia ognia lub odwrócenia wiatru na pole, by nie szkodził budynkom w pobliżu stojącym; albo wynoszą obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, lub innego jakiego świętego, i tychże opieki doznają. W wigilią św. Apolonii poszczą niektóre osoby na intencyą, ażeby taż patronka od bólu zębów zachować je raczyła.

W czasie karnawału stan wyższy korzystając z sanny, dąży licznie zebrany przy dźwięku dzwonek, na pasach u rącznych czwórek pozawieszanych, przy huku z batów i odgłosie szumnej muzyki na kulig w dom ościenny obywatelski, a hoża poprzebierana młodzież, miłością i węgrzynem zagrzana, zapuszcza się w śmiałego Mazura lub krętego obertasa, dopóki rozjaśniony widnokrąg, światel licznych świec i kandelabrow nie przyćmi. Wieśniak zaś nucąc swe pienia przy lichym dźwięku strun skrzypiciela, kręci się w gęstych parach na ksobkę, lub przy często krążących półkwaterek za stołem gawędząc, trunkiem i snem zmorzony w kącie zasypia. Nadchodzi popielec: klocki, kości i nogi kurze pojawiają się u wyższej młodzieży na plecach, a gospodarze wiejscy z gospodyniami spieszą do karczmy, by z kmotrami uraczyć się przepalanką na intencyą, ażeby im konopie się porodziły. Nastaje post wielki; dwory zaopatrzone dyspensą od proboszcza, wstrzymują się od mięsa przez pierwszy tydzień oraz dwa ostatnie, niemniej przez wszystkie piątki i soboty; lud zaś wiejski tylko olejem strawy swoje krasie. W czasie postu nabożny posiadacz wsi zbiera co wieczór czeladkę na pacierze, i z nią kłęczący śpiewy o męce pańskiej nuci. Dziewki zbierając się na wsi w jednej chałupie, przędą wspólnie kądziel (ztaż kądzielnicami przezwane) i tamże czas przy pracy wymierzonej na opowiadaniu powieści różnych odwiecznych, o czarnoksiężnikach, upiorach, zbójcach, i t. p. gadkami zwanych, sobie skracają.

Za nadejściem marca, jeżeli w którykolwiek dzień tego miesiąca mgła się pokaże, zapisują go sobie starzy gospodarze, a w dniu se-

tnym po tymże, ulewy wielkiej oczekują; nadto obserwują dzień 40 męczenników, w którym jeżeli mróz przypada, mocno są przekonani, iż jeszcze 40 dni mrozów mieć będą, a gospodynie wstrzymują się za niemi z siewem wszelkich delikatniejszych nasion. Zwyczaj atoli powszechnie przyjęty mieć chce, ażeby w wigilią św. Grzegorza pierwszą siano rozsade, drugą w wigilią s. Józefa, trzecią w wigilią Zwiastowania N. P. Maryi, a ostatnią w Wielki Piątek. Obok tego, w wigilią św. Józefa na wyniosłych dębach, topolach albo lipach naprawiają gniazda dla bocianów, albo nowe brony dla tychże lub koła od wozów bez najmniejszego żelazka zaprowadzają, i w nich pieniążek jaki srebrny zamieszczają dla większej ptaków przynęty. Gospodynie, za nadejściem św. Benedykta cieszą się przysłowiem: „Na święty Benedykt, kaczka jaje myk,” że kaczki nieść poczną; a schwyćwszy ukradkiem mężczyźnie czapkę, wkładają w nią jaja kurze i niosą pod kurę w przekonaniu, iż jaja się nie zepsują, lecz kurczęta pewnie i razem się wylęgną. Na wiosnę zjawiają się skowronki, bociany i jaskółki; uszkodzenie gniazda którego z tych ptaków, a tém bardziej zabicie jego, lud za grzech wielki poczytuje. Na wschodzie, czyli w czasie ubywania księżyca, który tutaj *miesiącem* zowią, tynkują izby i pokoje, ażeby się od natręctwa różnego ściennego uchronić robactwa.

Dzień pierwszego kwietnia wysila młode umysły na różliczne środki do zwodzenia jedno drugiego, które się kończą wykrzyknikiem „prima aprilis!” W Wielki Czwartek zajmują się gospodynie przygotowaniem pieczywa chleba i ciast, a gospodarze napominani często, by się nie zbliżali, albo nawet burę otrzymawszy, wynoszą się z domu mrując przysłowiem: „Kiedy kobieta pierze, albo chleb piecze, to się ledwie nie wścicze”. Nazajutrz, jako w rocznicę umęczenia Pańskiego, wszelkie lustra czarną lub inną powłoką przykrywają, napominając dzieci, by się nie przeglądały, gdyż im się djabeł w całej swjej okazałości pokazać może. W polu groch sieją w tym dniu starzy gospodarze, ażeby takowego robaki nie toczyły, a wieczorem do kościoła na passyą dążą. W Wielką Sobotę, po ukończeniu przygotowań nakrywają stół, na którym całe święcone zastawiają; po południu zaś proboszcz miejscowy umyślnie przybyły, poświęca cały dobytek; następnie wychodzi na podwórze, gdzie kobiety ze wsi dwoma rzędanami ze swemi święconkami zasiadłszy, w milczeniu go oczekują; po poświęceniu, organista od każdej z nich po jajku wybiera. W uroczystość wielkanocną właściciel wsi czeladkę na rezurekcyę fornalkami dworskimi lub nakazanemi ze wsi furmankami naprzód wysławszy,

sam z familią pospiesza za niemi, prowadzi jako kollator w czasie processyi proboszcza pod rękę, a huk z mozdierzy daje znak okolicy, iż nabożeństwo już się rozpoczęło. Gdzieniegdzie włościanie przebrani w szaty żołnierskie pilnują z halabardami lub dobytymi szablami grobu Pańskiego, a w chwili podniesienia uderzają pałasz o pałasz, kołpaki zdejmują i na kolana padają, skruchę i zapal powszechny religijny wzbudzając. Nazajutrz po Wielkanocy nastaje *degus*, w wyższym a szczególnie w wiejskim stanie w całym swoim znaczeniu zachowywany; nie bowiem dziwnego, jeżeli dziewczka całą konew wody na parobka wyleje, albo jeżeli parobcy takową do sadzawki zaniosą i tamże w radosnym śmiechu zanurzą. W tym dniu parobcy chodzą po *degusie* z kogutkiem, tojest z wózcikiem o dwóch kółkach pomalowanym, na którym ustrojony kogut w pierze naturalne, i kilka osóbek najczęściej traczy, żołnierzy, za pociąganiem sznurkami, w tę lub owę stronę się ruszają, zaopatrzeni w sikawki, kije i kobiałki, i śpiewają całym chórem: „Chrystus zmartwychwstaje...” Na nich szczególnie, gdy pieśń ukończą i wódką, kołaczem lub pieniędzmi obdarowani zostaną, dybią dziewczki dworskie za węglami, lub na górze pod strychem z wodą ukryte. Kiedy się taka kompania z drugą spotka, przychodzi do bijatyk, rabowania kołaczy, i do psucia kogutka; dlatego też średnicy (chłopcy około 15letni) przybierają do grona swojego parobków. Dziewczęta małe wiejskie chodzą z gaikiem, tojest z wierzchołkiem choiny w rozmaite wstążki, pierza, świecidelka i papiery kolorowe przypstrzonym, śpiewając przed oknami dworskimi piosnkę: „Mój gaik zielony, pięknie ustrojony i t. d.”

Przed świętym Wojciechem obserwują grechotanie żab, utrzymując, iż na ile dni przed tymże świętym żaby się odezwą, tyle dni jeszcze po nim mrozów albo przymrozków będzie. W sam św. Wojciech zatykają łąki wiechami, na przestrożę, iż odtąd więcej na nich bydła pasać niewolno; w dniu tym zwykli się także odmieniać w obowiązkach karczmarze i owczarze. Jeżeli na św. Marek deszcz pada, całe lato będzie suche; gdy jest pogoda, lato ma być dżdżyste. Po wsiach parafialnych wychodzą dnia tego w solennych processjach na pole do krzyżów, figur lub kapliczek, błagając Stwórcy o urodzaje i hojne żniwa. Z processyj tych urosło przysłowie:

Święty Marek,

Wyszedł nn folwarek,

Zobaczyć żytko

Czyli weszło wszystko.

Po innych wsiach w dniu św. Marka, przynajmniej do południa, bydłem rogatém nie orzą, by takowemu, jak utrzymują, szyje na przyszłość od jarzma się nie psuły i nie ślimaczyły.

Początku maja młodzież szkolna niecierpliwie wyglądała, gdyż zapraszana zwykle od jakiego obywatela, wychodziła w towarzystwie nauczycieli przynajmniej o milę na mujówkę, gdzie uraczona piwem, chlebem, masłem i mléką, grywała w piłkę w różne gry, bądź w łapę, metę lub palanta. Dni świętych Pankracego, Serwacego i Bonifacego, z upragnieniem oczekują ogrodnicy i gospodynie, z niemi bowiem spodziewają się zakończenia wszelkich przymrozków, nasionkom wielce szkodzących, a po upływie tychże, swobodnie już resztę w ogrodach zasiewają.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Słowo o czynnościach Wydziału archeologicznego w Krakowie.

Przed rokiem Tow. Nauk z uniw. Jagiellońskim połączone, w myśl wniosku p. Karola Kremera dyrek. budow., zwracającego uwagę na pomniki przeszłości i na sposób zachowania ich, utworzyło z grona swego wydział archeologiczny, poruczając mu założenie przy bibl. Jagiel. *muzeum starożytności krajowych*. Wydział ten pierwotkowo złożony był z czterech tylko pracowników, to jest: pp. Józefa Muczковского, K. Kremera, W. Pola i Teofila Żebrowskiego. Później przybrano p. Ant. Helcla prof. prawa pol., a zaproszono pp. Józefa Łepkowskiego, J. Jerzmanowskiego i Erazma Niedzielskiego. Prace wydziału rozpoczęły się związaniem licznych korespondencyj z krajowemi i zagranicznymi zakładami naukowemi, z mężami na polu naukowym znanymi, z posiadaczami prywatnych zbiorów i miłośnikami lub znawcami zabytków przeszłości. Krok ten zjednał wydziałowi przychylną pomoc, pomnożył nowemi nabytkami dawniejsze zbiory uniwersyteckie: urny, znaczna liczba numizmatów, ważne dyplomata i dokumenta piśmienne, sprzęty starożytne, rzeźby i tym podobne kosztowne zabytki, wpłynęły z wielu stron; a co najważniejsza, wydział obudził uwagę powszechną na to, co nieraz okryte wiekowym pyłem, nawet spostrzeżonem nie było. Tak więc stara się ochronić zabytki od zepsucia, oświecając niewiadomość, i ostrzegając lekkomyślność i złą wolę, okazując, iż jest w kraju opieka, czuwająca nad spuścizną przeszłości. Ku osiągnięciu tych celów nie mało pomogła *Odezwa Wydziału*, obejmująca zarazem: *Wskazówkę do archeologicznych poszukiwań i badań*.

Wydział rozciągnął także swoją opiekę nad zrujnowaniu lub zniszczeniu ulegającymi pomnikami sztuki i przeszłości; a tym sposobem,

szeroko zakres swych czynności rozwijać począł. Pożar, owo główne przeszlenczone nieszczęście, nowe choć smutne otworzył przed wydziałem pole, zasiane gruzami; gdzie przyszło zbierać cegłę do cegły, gyzms do gyzmsu, by dawne odżywiać gmachy. Wielkie to zadanie prócz pracy, gorliwości i nauki, wymagało i wielkich nakładów. Tow. Nauk. wyznaczyło na pierwotny fundusz sumę, ale ta była zaszczupłą; bo Tow. posiada zbyt ograniczone dochody, i te obraca na druk naukowych i elementarnych książek. Wszakże przyszła rychło zkadınąd pomoc. Komitet pogorzeli ułatwiając Tow. Naukowemu dokonanie uczciwych jego celów, przekazał mu sumę 8,000 złp. na poratowanie pomników nadwerężonych pożarem, mianowicie w kościołach OO. Dominikanów i OO. Franciszkanów. Przy tym zasobie wydział archeologiczny zajął się około téj pracy, zabrał się do sporządzenia dokładnych rysunków pomników, które już przechować się nie dadzą, a restauracją tych, które jeszcze ocalić można. Mimo pory zimowój, odnowiono pomniki: Sebastjana Petrycego, Wybranowskiego, Johanny Borkowój, przecudny nagrobek Piotra Kochanowskiego i kilka pomniejszych, zdobiących pyszny niegdyś Franciszkański kościół. Zdolny rzeźbiarz i kamieniarz Edward Stehlik, zajęty jest ciągle restauracją, pod kierunkiem członków wydziału. Zalecone téż sztuką lub starożytnością obrazy biskupów: św. Stanisława Szczepanowskiego, Tomickiego, Gamrata, Maciejowskiego, św. Piotra męczennika, utwór Wacława z Oświęcimia (1559 r.), i inne religijnej treści malowidła, na nowo wskrzeszone zostały talentem pana Cholewicza. Wydział ma nadto zamiar, po skończeniu pewnej liczby tych restauracyj, wystawić je na widok publiczności. Wydział przygotował jeszcze i oddał już do druku i litografii pierwszy poszyt *Skarbca*, poświęcony wyłącznie archeologicznym badaniom kraju. Skarbiec wydany kosztem Tow. Nauk., będzie składał część *Zabytków historycznych*, ogłaszanych przez niego. (Czas).

O stanie kościoła rzymsko-katolickiego w Szlązku.

Wyszły z upłynionego roku *Szematyzm biskupstwa wrocławskiego*, zawiera następujące data o stanie kościoła rzym.-kat. na Szlązku. Biskupstwo dzieli się na dwie części: pruską, obejmującą Szlązk pruski, z wyjątkiem hrabstwa Klecka (Glatz), należącego do arcybiskupstwa pragskiego, i dystryktu *Kaczer*, liczącego się do Olomuńca, tudzież brandeburską Marchią i Pomorze; oraz na austryacką z Cieszynem.

Część pruska podzielona jest na 10 komisaryatów biskupich: Wrocław, Głogów, Hirschberg, Jawor, Münsterberg, Ziemlice, Nissa, Opole, Pszczyña, Raciborz i Wschowa. Do niej należą delegacye biskupie

dla Marchii i Pomorza. Komisaryaty te obejmują 72 archiprezbiteryj, z ludnością 1,206,870, i mają 1,044 księży różnego stopnia. Delegacya ma 8 probostw i 4 miejscowości (Lokalien) z 18 duchownymi i ludnością 37,181 osób. Licząc do Szlązka Klecko i Kaczer (Kietrz), pierwsze z 46 probostwami, 8 lokaliami, 142 kapłaństwami i ludnością 140,212, a drugi z 4 dekanatami, 39 probostwami, 9 lokaliami i 31 kapłaństwami na mieszkańców 96,357, okaże się, iż w pruskim Szlązku zamieszkuje 1,443,439 katolików.

Część pruskiej dyecezyi posiada 15 klasztorów; to jest 4 Braci miłosierdzia (Bonifratrów), 2 Urszuliniek, 1 Elżbietek, 1 centralny żeński klasztor, 1 Maryi Magdaleny, 6 Sióstr miłosierdzia, z których jeden w Berlinie. We wszystkich klasztorach znajduje się 44 mężczyzna, i 162 niewiast. Klasztory trudnią się prawie wszędzie pielegnowaniem chorych, a niektóre żeńskie wychowaniem dziewcząt.

Część austryacka dyecezyi wrocławskiej ma 12 archiprezbiteryj, 183 duchownych, 13 zakonników miłosierdzia i 11 zakonnice w 3ech klasztorach, t. j. kolegium Pijarów, Braci miłosierdzia i Elżbietek. Liczba katolików 209,977. Razem przeto dyecezya wrocławska liczy ludności katolickiej 1,454,028, a księży 1,255, licząc w to 10 kapelanów wojskowych.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Drogą niniejszej odezwy oświadczamy serdeczną wdzięczność p. Adamowi Słowikowskiemu, który od r. 1824 pracując na niwie naszego piśmiennictwa, raczył nam jako materyał do *Dziejów Literatury* nadesłać rys swojego pisarskiego zawodu. Znadto młodzi i nieśmiali, aby żądać dowodów podobnego współczucia od innych żyjących autorów, teraz mając uprzedzonóm nasze miłe tajemne życzenia, bierzemy pochop do proszenia innych współczesnych pisarzów, aby raczyli, czyja łaska i wola, nadsyłać nam podobne o sobie wiadomości. Któż nie wie, jak u nas są rzadkie materyały z pierwszej połowy bieżącego stulecia, owe Dzienniki, Tygodniki, Pamiętniki, Rozmaitości, Gazety i t. d., które przed dwoma dziesiątkami lat były organem i wyrazem owoczesnej literatury? któż może trafniej udzielić nam wiadomości nieznanych, uzupełnić niedokładne, sprostować mylnie podane, jeśli nie sami żyjący autorowie, do których naszą prośbę zanosimy. W tej chwili w naszych *Dziejach Literatury* kończymy epokę Wazów; mamy więc jeszcze kilka miesięcy czasu dla przygotowania się do kręślenia obrazu współczesnego piśmiennictwa. Z wdzięcznością przyjmiemy każdy podobny materyał do naszej pracy, nadesłany do jednej z wileńskich księgarni: Józefa Zawadzkiego, lub Teofila Glücksberga.

Szanowna redakcyja Biblioteki Warszawskiej raczy ogłosić w swoim piśmie niniejszą naszą odezwę, i przyjąć zapewnienie prawdziwej czci.

D. 1go czerwca, 1851.

Wł. Syrokomla.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1851.

WARSZAWA.

56. Anglia dziś i dziesięć lat temu. Wspomnienia z podróży po Anglii, przez autora Podróży po Danii, Szwecyi, Norwegii i t. d. 8ka. Warszawa, 1851. Nakład G. Glücksberga, druk Strąbskiego. Kart 2, str. XL, 252.

57. Gry i zabawki dla dzieci. Naśladowane z francuzkiego. Z dziesięcią rycinami kolorowanemi. Ska podłużna. Warszawa. 1851. Nakładem J. Bernsteina, druk J. Jaworskiego. Karta napisowa 1 i str. 55. Złp. 6 gr. 20.

58. Historia podróży i odkryć dokonanych na morzu i lądzie od początku XV wieku aż do dni naszych. Przekład z francuzkiego Wojciecha Szymanowskiego. Wydanie drugie. 12ka. Warszawa. 2 tomy. 1851. Nakładem Merzbacha. Druk Gazety Codziennój. Tom I str. 298; II, 331.

59. Krótki katechizm wytrwałości, czyli wykład historyczny, dogmatyczny, moralny i liturgiczny religii, od początków świata aż do dni naszych, przez księdza J. Gaume. Z francuzkiego. 2 tomy. Warszawa, 1851. Nakład Merzbacha, druk Ungra. Tom I, str. XVII i 264; II 214.

60. Mappa całkowitego zaćmienia słońca, przypadającego w dniu 10/28 lipca 1851 r., starannie i dokładnie ułożona i odrysowana, tycząca się Pruss, Polski i pogranicznych krajów, przez D. F. Schorr. Arkusz wielkiego formatu. W Litografii J. V. Flecka.

61. Nadyr czyli Thamas Kouli Kan. Tragedya w pięciu aktach oryginalnie przez Buissona napisana. Przekład Ignacego Badeniego radcy tajnego, członka towarzystwa naukowego krakowskiego. 12ka. Warszawa, 1851. Druk Gazety Codziennój. Str. 78.

62. Paweł z Przemankowa. Rys historyczny z drugiej połowy XIII wieku w Polsce, z nieznanych po większej części lub mało znanych źródeł skreślony. Przez Alexandra Przeddzieckiego.

Z godłem.

Scribitur ad narrandum et ad probandum.

8ka. Warszawa, 1851. Druk St. Strąbskiego, nakład Ig. Klukowskiego. Kart napisowych 2 i str. 58.

63. Piotr Wielki i wiek jego. Obraz historyczny przez Leona Rogalskiego. Z jedenastą rycinami na stali. 8ka. Warszawa, 1851. Nakład Gustawa L. Glücksberga, druk Ungra. Kart napisowych 2 i str. 336. Rejestru kart 2. Złp. 30.

64. Powszechnie ogrodnictwo obejmujące uwagi nad zakładaniem ogrodów, ogólne zasady uprawy roślin, tudzież praktyczną naukę urządzania inspektów, cieplarni i oranżeryj, rozmnażania i pielęgnowania wszelkich ogrodowych ziół, krzewów i drzew, tak użytkowych, jako i zdobnych czyli kwiatów. Na długiem doświadczeniu oparte, i do potrzeb kraju zastosowane. Przez Michała Czepińskiego, ogrodnika i właściciela ogrodu w Warszawie przy ulicach Marszałkowskiej, Hożej i Wielkiej nr. 1447. Z XIII tablicami rycin. Wydanie drugie poprawione i znacznie powiększone. 8ka. Warszawa. 1851. Nakład G. Sennewalda, druk Ungra: Str. XII i 671. Złp. 24.

65. Sztuka wyrabiania wszelkich przedmiotów z papieru dla nauki i zabawy młodzieży obojęd płci. Z francuzkiego P. Becourt. Z XXII tablicami rycin, przedstawiającemi wszelkie wzory i sposób ich składania. 16ka. Warszawa, 1851. Druk J. Tomaszewskiego. Str. 79. Złp. 4.

66. Zaćmienie słońca w dniu $16\frac{1}{28}$ lipca r. b., na miejsca, w których ma się okazać całkowitem lub bardzo wielkiem, ściśle obliczone i jasno wyłożone przez D. F. Schorr, byłego współpracownika przy królewsko-unwersyteckiem obserwatoryum w Wroclawiu. Z litografowanem wyobrażeniem zaćmienia dla 54 miejsc. (Po niemiecku i po polsku). 12ka. Warszawa. 1851. Druk J. Jaworskiego, skład główny u R. Friedleina. Str. 143.

67. Zasady położnictwa, czyli wykład nauki i sztuki położniczej, mianowicie dla niewiast temu zawodowi poświęcających się (,) ułożone przez Jakóba Michała Frey doktora medycyny, magistra chirurgii i akuszerza, dyrektora instytutu położniczego, członka rady lekarskiej Królestwa i Towarzystwa Lekarskiego warszawskiego. 12. Warszawa, 1851. Nakładem autora, druk S. Orgelbranda. Kart 4. i 398. Rejestru str. VI. (Z 4 tabl. rycin).

K R A K Ó W.

68. Gorale Bieskidowi zachodniego pasma Karpat. Rys etnograficzny zwyczajów i obyczajów włościan okolic Żywca. Skreślił L. D.(elawo). 12ka. Kraków, 1851. Nakładem i drukiem Józefa Czecha. Str. 151. Złp. 6.

W I L N O.

69. Komedye prozą i wierszem. Kazimierza Bujnickiego. 8ka. Wilno. 1851. Nakład i druk Józefa Zawadzkiego. Str. 164. Złp. 5.

70. Kollokacya. Powieść przez Józefa Korzentowskiego. (Wydanie drugie poprawne). 12ka. Wilno. 1851. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Str. 353. Złp. 10.

71. List Stefana Zienowicza profesora uniwersytetu kijowskiego do Henryka hrabiego Rzewuskiego obejmujący pomysły autora o całym obrębie nauk przyrodzonych, razem z odpowiedzią pp. J. I. Kraszewskiemu, Karolowi Kaczkowskiemu, Ludmiłowi Wołyńskiemu i t. d. 12ka. Wilno. 1851. Nakładem księgarni Rubina Rafałowicza, druk M. Zymelowicza. Napisów kart 2 i str. 88. Złp. 5.

72. Nowe Pamiętniki Lamartin'a. (Przekład J. I. Kraszewskiego). 8ka. Wilno, 1851. Drukiem J. Zawadzkiego. Napisów kart 2 i str. 163. Złp. 6 gr. 20.

P E T E R S B U R G.

73. Marja. Powieść ukraińska przez Antoniego Malczewskiego. 16ka. Petersburg, 1851. Nakładem B. M. Wolffa, druk K. Kraja. (Z 12 drzeworytami hr. Fredra). Złp. 8 gr. 10.

L E S Z N O.

74. Gnojownia a dla rolnika „źródło złota.” Życzliwa rada ku podźwignieniu wiejskiego dobrobytu przez Franciszka Nowaka, rozsądnego i zaradnego gospodarza. Z niemieckiego podług drugiego wydania przełożone. 16ka. Leszno. 1851. Nakładem i czcionkami Ernesta Günthera. Str. 48. Złp. 1.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

S. Orgelbrand wkrótce zacznie drukować: *Obrazki wiejskie* Jana K. Gregorowicza w 2 lub 3ch tomach.

— *S. Merzbach* wydał poszyt XII *Księgi Świata*, zamykający ogłoszoną prenumeratę w r. 1850 na dwie części. Nowa serya tegoż dzieła ma dalej wychodzić poszytami.—Tenże księgarz przygotował drugie wydanie powiększone: *Obrazu świata* w 2 tomach.

— *G. L. Glücksberg* drukuje: *Pisma Henryka Cieszkowskiego* (wierszem i prozą) w 2 tomach.

— *Dra Tripplin'a* zapowiedziany pierwszy oddział w 4ch tomach: *Podróży po Danii i Norwegii, Anglii i Szkocyi*, już opuścił prasę drukarską.

— *Julian Bartoszewicz* przygotowuje do druku: *Biografie* znakomitych w dziejach naszych osób (A. Naruszewicz, I. Krasicki, Łubiński, Orzelska, Moszyńscy, de Nassau, Kazimiérz kżę Poniatowski, Łojko, Bryl i t. d.), które w trzech sporych tomach mają być wydane.

— *Stanisław Lisowski* w obszernym zakresie przygotowuje do druku rozprawę: *O księgarniach i drukarniach warszawskich od najdawniejszych aż do naszych czasów, czyli po rok 1851.*

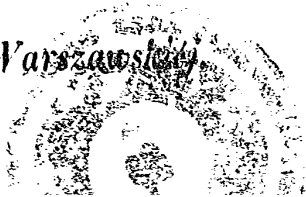
— Nakładem B. M. Wolffa w Petersburgu wyszły: *Polonezy Ogińskiego*, z kartą tytułową przedstawiającą na sali balowej tańczony polonez; piękna kompozycya p. Zaleskiego artysty, który tak rozgłośnił imię swoje zrobił obrazami do *Pamiętników Paska* w *Album Wilczyńskiego*. Tegoż także nakładem: *Komedyanci*, powieść J. I. Kraszewskiego, we 2 tomach.

— P. Stättler w Krakowie zajęty jest teraz obrazem z życia północnego. Płótno średniej wielkości, przedstawia jego pracownią, napełnioną obrazami artysty, jak: *Machabeusze*, *chrzest Chrystusa*, *Chrystus ukrzyżowany*. Wielkie te obrazy pokazują się nam w zmniejszonych miniaturowych rysach, lecz są wykonane z taką precyzją, żeby za najdoskonalsze kopie ująć mogły. Na środku sali widzimy rodzinę artysty: żona maluje, Henryk modeluje z gliny głowę, drobniejsze dzieci się bawią; sam zaś artysta przedstawił się na wschódkach z pędzlam i paletą, jakby zdaleka przypatrywał się i jednej i drugiej działwie, nasycając oko ojcowskie tym podwójnym widokiem.

— W drukarni J. Zawadzkiego drukują się następne dzieła, które wkrótce prasę opuszczają: *Historya rewolucyi francuzkiej Poujoulate*, przekład L. Kondratowicza, tom IIgi.—*Przekłady poetów polsko-lacińskich* L. Kondratowicza, tom 4ty i 5ty: *Poezye ks. Macieja Kazimierza Sarbiewskiego*.—*Kordecki*, powieść historyczna J. I. Kraszewskiego, 2 tomy.—*Nowe wędrowki oryginalne*, tom 2gi i ostatni.—*Dzieci królewskie*, powieść A. Kościńskiego, 3 tomy.—*Athenaeum* nowy oddział na r. 1851.

—••••••••••

Redakcja Biblioteki Warszawskiej



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Maj, 1851.

Maj 1851.

Dostrzeżenia w Obserwatoryi

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza
czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stusstopniowy				wilgotność na 100 cz. sredn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god. rano	god. rano	god. wiec.	god. wiec.	god. rano	god. rano	god. wiec.	god. wiec.	
1	☉	746.14	745.76	744.04	743.72	+ 5°.4	+11°.8	+14°.2	+ 7°.4	70.0
2		744.19	745.00	745.02	746.43	7.9	11.5	11.0	7.2	71.5
3		747.16	748.47	748.21	749.18	5.2	13.5	15.6	8.2	64.3
4		746.95	744.85	741.19	740.19	8.5	13.5	12.6	10.9	85.8
5		740.12	740.74	740.80	742.92	9.5	13.0	15.7	6.5	72.7
6		743.76	745.97	745.57	745.61	7.5	13.6	8.6	5.3	83.2
7		745.64	746.26	747.96	749.89	4.6	11.5	12.4	6.5	76.3
8	☾	752.81	753.53	752.10	750.41	6.9	11.6	17.1	11.7	65.5
9		746.45	744.46	742.61	744.78	11.4	17.2	17.9	13.4	71.7
10		745.99	748.16	749.49	750.12	9.1	8.8	10.4	6.2	81.2
11		750.73	750.65	749.92	750.48	7.3	12.9	14.4	8.2	71.7
12		749.76	749.11	746.65	745.69	7.9	11.0	16.3	11.4	85.8
13		745.19	746.06	746.16	745.07	9.8	12.0	10.0	9.9	87.1
14		747.14	749.45	752.71	754.65	4.6	5.8	6.5	3.9	84.5
15	☉	755.39	755.63	754.67	754.38	4.4	6.5	8.9	6.8	80.5
16		753.68	754.31	754.62	754.84	6.9	12.4	11.4	9.1	73.7
17		754.60	753.99	751.65	749.64	9.2	14.7	14.9	9.7	64.3
18		746.50	746.37	747.73	747.77	9.5	10.7	11.2	10.6	91.5
19		746.96	746.76	746.31	744.02	8.2	13.4	17.6	12.7	75.2
20		744.90	746.48	747.58	748.18	11.5	12.5	12.7	8.2	75.5
21		749.81	751.20	750.64	750.41	6.6	10.3	13.2	7.1	72.7
22		751.06	751.14	752.34	753.62	7.5	11.5	16.2	12.1	60.0
23	☾	754.43	754.86	753.02	752.12	10.3	14.7	17.2	13.1	65.5
24		749.40	748.32	746.95	747.86	10.5	13.9	13.1	9.4	64.0
25		748.52	749.16	749.48	749.80	6.7	11.5	11.8	8.3	61.5
26		747.65	746.72	743.76	742.22	8.9	12.8	11.6	11.4	81.2
27		745.43	748.65	750.09	751.16	6.8	11.6	15.0	10.2	74.5
28		752.09	752.66	751.92	751.29	10.4	15.2	17.9	13.5	65.5
29		752.07	752.61	752.79	753.63	10.4	13.2	14.7	10.8	71.2
30	☉	754.93	754.69	753.65	753.15	8.3	13.6	16.7	11.0	65.5
31		751.71	751.17	753.28	755.18	10.8	14.0	12.9	7.1	60.5
Śre.		748.747	749.136	748.803	748.981	+ 8°.15	+12°.26	+13°.52	+ 9°.28	73.5

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.917	27	7.993
Najwyżej dochodził — d. 15 o g. 10 r.	755.63	27	10.967
Najniżej — — d. 4 o g. 10 w.	740.19	27	4.123
Średnia zmiana dzienna barometru	3.15		1.397
Największa zmiana dzienna barometru d. 13—14 o g. 10 w.	9.58		4.24
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 25 lat poprzedzających	0.36		0.16
Średnia temperatura maja wynosi:	749.280	27	8.153
i ta jest niższa o	+ 10.9808 C.		+ 8 ^o .646 R.
od stanu normalnego z 25 lat po- przedzających	2.830 „		2.264 „
Największe ciepło dochodziło d. 9 o godz. 4 wiecz.	+ 13.638 „		+ 10.910 „
Najmniejsze dochodziło d. 14 o godz. 10 wiecz.	+ 17.9 „		+ 14.32 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	+ 3.9 „		+ 3.12 „
Największa zmiana dzienna d. 9—10 o godz. 10 rano	2.613 „		2.090 „
Termometrograf wskazał:	8.4 „		6.72 „

Maximum: + 15.5 R. d. 23 po połud.

Minimum: + 0.5 „ d. 15 z rana.

Wody z deszczu spadło wysoko na 76,1 milim., czyli 33,73 lin. par.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 73,4 na 100, albo co do wagi 7.50 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza. Wilgotność ta jest o 0.05, większa jak zwykle.

Dni pogodnych było 4, napół pogodnych 11, pochmurnych 16.

— deszczu 19 (d. 1, 4, 6, 7, 12, 13, 14, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 25, 26, 27, 28, 29, 31).

— gradu 1 (d. 21).

Wichrów 1 Zachodni.

Wiatr panujący: Zachodni i Północno-Zachodni.

Wiatrów mocnych 8: 3 Północnych, 4 Zachodnich i 1 Północno-Zachodni.

Maj r. b. był niepogodny, słotny, bardzo chłodny i przeszło o 2 stop. R zimniejszy jak zwykle, zbliżał się do stanu tegoż miesiąca w r. 1843, a zimniejszy był o 6 stop. R. od maja w r. 1841. Deszcze częste i obfite przy wiatrach Zachodnich i Północno-Zachodnich znacznie wpływały na oziębienie powietrza. Najcieplejsze dni były: 9, 17, 19, 28, 29; najchłodniejsze d. 6, 7, 10, 14, 15, 16, 21, 25. Grzmotów i błyskawic nie było, gdy przeciwnie w kwietniu r. b. były częste.

D. 3 widziano płamy na słońcu.

D. 9 o godz. 5 min. 54 wiecz. powstał wichur nader gwałtowny Zachodni.

D. 21 o godz. 5 min. 30 wiecz. była tęcza świetna.

ZDOBYCIE WARSZAWY PRZEZ SZWEDÓW R. 1656

OPISANE W LISTACH KRÓLOWÉJ POLSKIEJ

MARYI LUDWIKI,

ZACHOWANYCH W RĘKOPISMIE WŁASNORĘCZNYM W BIBLIOTECE
NARODOWÉJ PARYZKIEJ.

PRZEPISAŁ, WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI OPATRZYŁ

L. Grangier de la Marinière (1).

Z FRANCUSKIEGO NA POLSKI JĘZYK PRZEŁOŻYŁ, I PRZYPISKI DODAŁ

Alexander Przezdziecki.

Wiadomo z jednomyślnego świadectwa spółczesnych, że ze wszystkich królowych polskich, jedną z najznakomitszych z piękności i z cnoty była Marya Ludwika z Gonzagów, żona Władysława IV, a po jego śmierci, brata jego, Jana Kazimiérza. Ale co niedość znaném było, to odwaga bohaterska, którą ta królowa okazała wśród największych niedoli, i gorąca miłość, jaką ukochała przy-

(1) Pan *Grangier de la Marinière*, b. członek Zgromadzenia Konstytucyjnego we Francyi, zwiedził przed kilką miesiącami Warszawę, Kraków i Poznań, dla wyszukania miejscowych materyałów do życia *Maryi Ludwiki z Gonzagów*, i *Maryi Kazimiéry d'Arquien*, dwóch królowych polskich, rodaczek swoich. Za powrotem do Paryża zabrał się do pisania żywota piérwszej, pod tytułem: *Marie de Gonzague et la Princesse Palatine sa soeur*, i część ciekawszą swoich materyałów przysłał do Biblioteki Warszawskiej, jako dowód wdzięczności za doznaną tu pomoc naukową.

braną ojczyznę swoją, Polskę; a której poświęciła wspomnienia kraju rodzinnego, przyjaźń dla królowej Auny (wdowy po Ludwiku XIII), wdzięczność dla kardynała *Mazarin*é, pokój ostatka dni swoich, i majątek osobisty.

Niezbyt dawno, ważny zbiór dokumentów wydany przez hr. Edwarda Raczyńskiego, pod tytułem: *Portofolio królowej Maryi Ludwiki* (1) rzucił niespodziane światło na część najszczytniejszą jój życia, chcemy mówić—na jój wygnanie. Dotąd znaleźliśmy tylko przez jój wrogów jój wyobraźnię świetną i romansową, pobożność żarliwą, dziedziczną we krwi Gwizów, usilne staranie w odzyskaniu rozpadającej się na wszystkie strony władzy, i nieprzełamanej aż do ostatniego tchu życia wolą przysposobienia razem dziedzica dynastji Wazów, i króla Polsce. Teraz wiemy, że najzdrowszy rozsądek miarkował tak gorącą wyobraźnię; że pobożność jój oddychała niesłychaną słodyczą najtkliwszej duszy; że ta chęć niezmierna zapewnienia tronu po Janie Kazimierzu, bądź członkowi rodziny własnej, bądź któremu z Burbonów, nie pochodziła jedynie z dumy rodowej, ale raczej z przezorności proroczej, którą przyszłość aż nadto usprawiedliwiła, a więc i potomność rozgrzeszyć ją musi. Zostawiona saméj sobie w kraju, którego nie znała ani języka, ani obyczajów, ani ludzi; oszukana przez nieprzyjaciół, zdradzona przez własnych stronników, otoczona samolubstwem, zaślepieniem, pochlebstwem: nieraz zbłądziła wprawdzie, (któż bez grzechu?). Ale dość dla nas, że obca na téj ziemi, ukochała ją, a królowa polska, chciała kraj swój ocalić; aby nie wierzyć ślepo jój oskarżycielom, i pamięć jój niezważoną zemścić.

Tento obowiązek sprawiedliwości dziejowej, którego nikt się dotychczas nie podjął, w braku doskonalszego dziejopisa wzięliśmy na siebie. Zabraknie nam może talentu; ale nie zabraknie ani gorliwości, ani cierpliwości, ani dobrej woli. Zpomiedzy dokumentów dawnych, wyszukamy niektóre zanadto zaniebdane dotychczas. (2) Dla odróżnienia prawdy od fałszu, pój-

(1) *Poznań*, 1844 roku. 2 tomy w 12ce.

(2) Najdawniejsza apologia Maryi Ludwiki jest *Wydzgi* (późniejszego prymasa, a wówczas kanclerza królowej): *Historja albo opisanie wielu poważniejszych rzeczy, które się działy podczas wojny szwedzkiej w Królestwie Polskim od r. 1655 w miesiącu lipcu aż do r. 1660 w miesiącu maju trwającej*. Dziełka tego niesłychanej rzadkości, przygotowuje Pan K. Wl. Wojcicki drugie wydanie, z wielkim dla dziejów naszych pożytkiem.

dziemy do źródeł, z których powinnością było czerpać. Porównywać będziemy wszystkie świadectwa, aby z nich światło prawdy wytrysło. Słowem, wypełnimy obowiązek sędziego na śledztwie, dla okazania niewinności, w miejscu winy.

Krok za krokiem szliśmy za Maryą Ludwiką: od dworu francuzkiego, na którym młodą, dowcipną, czarującą, lubioną od królowej, od książąt krwi, pokazywano dumnie posłom zagranicznym, jako chlubę Francyi; dopóki ostatnie słowa nieszczęśliwego *Cinq-Mars*, i pamięć śmierci jego na rusztowaniu, nie zamieniły jęj życia dworskiego, na życie poświęcone boleści w Bogu. Chciała nawet całkiem opuścić dwór, i zamknąć się w klasztorze *Port-Royal*, który zaczynał wtedy być głośnym; ale przyjaźń i rady królowej rejentki Anny, ukoili pierwszą gwałtowną boleść. A wkrótce przyjmując we Francyi, z polecenia królowej, wygnaną córkę Henryka IV, królową angielską, żonę Karola I, gdy u stóp ołtarzy ły ich razem płynęły, zapomniała na chwilę własną boleść dla pocieszenia przyjaciółki, od której uczyć się mogła jak dźwigać świetną koronę królewską, która się tak często w koronę męczeństwa przemienia!

W trzy lata później jednak, długo wahała się, ażali przyjmie ofiarowaną sobie koronę polską. Opierała się prośbom rodziny, rozkazom królowej; rady dopiero sławnego opata *de Saint-Cyran* wskazały jęj tę drogę do poświęcenia wolności swojej Bogu:—poszła nią Marya Ludwika.

W Polsce oczekiwały ją trzy lata pożycia z niemiłym i nie-lubiącym ją małżonkiem Władysławem IV; a po jego śmierci, ledwie oddała rękę nowemu królowi, Janowi Kazimierzowi, zdolniejszemu ocenić taką małżonkę, i umięjącemu łącnie j uledz jęj wyższości: *rebellia kozacka* i wojna szwedzka wstrząsły ich królestwo do samej posady. „Królowa nie ma już przytułku (pisze *Bossuet*), opuściła Warszawę po mężnym, ale daremnym oporze; król musiał za nią pojechać. Schronieni do Szlązka, gdzie im na najpięrszych potrzebach zbywa, nie pozostaje im nic więcéj, jak spoglądać w którą stronę spadnie to wielkie drzewo, tylą ręk-

kiem. Pan *Grangier* miał je sobie komunikowaném, a zresztą korzystać będzie z tłumaczenia włoskiego przez niejakiego *Poliarco Micigno*, przypisanego królowej Maryi Ludwice, a którego autograf znajduje się w Paryżu, w bibliotece S. Genowefy. (Ob. *Alex. Przędzieckiego: Wiadomość bibliograficzna o rękopismach zawierających rzeczy polskie i t. d. Warszawa, 1850 r.*

koma wstrząśnione, tyłą ciosami uderzone w korzenie, i kto odłamane od niego konary oderwie!” (1).

Wtenczas Marya Ludwika całą moc ducha, całą przebiegłość rozumu poświęciła sprawie polskiej, sprawie męża, sprawie swojej nareszcie. Zniosła wszelkie niesnaski, walczyła z niebezpieczeństwem, pokonała wszystkie trudności. Z niesłychaną zręcznością odzyskała wielu stronników, których pierwsza chwila nieukontentowania oddała w ręce króla szwedzkiego, ale ich odstręczyły wkrótce ucisk i duma zwycięzcy. Zastawiła klejnoty swoje dla zaciągnięcia wojska. Otrzymała od siostry swojej, księżnej Anny falcgrabiny reńskiej w pożyczce znaczny zasilek pieniężny. Gdy Jan Kazimierz miał za oręż, posyłała do wszystkich miast polskich zaufanych ludzi, zawiązała sekretną korespondencją (której ślad do nas doszedł), z wodzami nieprzyjacielskimi. Umiała pozyskać dla siebie duchowieństwo; w imieniu Boga i kraju ludność wiejska przyłgnęła do konfederacji tyszowieckiej. Nakoniec dzięki jój niezmordowanej czynności, przy cudach waleczności Czarnieckiego, kraj pomimo gruzów tyłu miast spalonych, pomimo tak ogromnego wstrząśnienia, odzyskał królów swoich i sztandar, który dwadzieścia lat później pod murami Wiednia miał wypędzić Turka i zbawić Europę! „Bóg inaczéj rozrządził, (wykrzykuje *Bossuet*): Polska potrzebną była kościołowi, winną mu była mściciela!”

Taką była Marya Ludwika na tronie i na wygnaniu! Najlepiej maluje siebie samą w tych przeważnych chwilach, w listach własnoręcznych, pisanych z Głogowa na Szlązku w pierwszych miesiącach 1656 roku, do pani *de Choisy*, jednej z najpowabniejszych dam dworu królowej rejentki francuzkiej, Anny, a swojej przyjaciółki od lat młodocianych; godnej wyniosłością uczuć i umysłu pozostać jój przyjaciółką w nieszczęściu. Te listy zachowane w autografie w bibliotece Narodowej paryzkiej, wskazał mi hr. Alexander Przezdziecki, w swojej: *Wiadomości bibliograficznej o rękopismach zawierających rzeczy polskie* (2).

Aby ocenić cały ich wdzięk, trzeba przypomnieć sobie, że mowa francuzka ledwie się była wykształciła; a wychowanie dam, zwłaszcza księżniczek (oprócz księżnej *de Longueville*, i kilku innych wyjątków), nie było tak staranne, jak w lat kilkanaście pó-

(1) *Bossuet*: Oraison funèbre d'Anne de Gonzague, Princesse Palatine.

(2) Biblioteka Narodowa paryzka. *Mss. 9359. Français.* (Ob. *Wiadomość bibliograficzną* i t. d. str. 150).

źniej. W tych pobieżnych kartach, które zapełniły często niepokój i boleść, podziwiać należy przedewszystkiém naiwność wyrażenia, dokładność myśli, żywość a razem szlachetność uczuć. Marya Ludwika wylewa najtajemniejsze zmartwienia swoje na łono przyjaciółki, a mogłaby zawsze głośno myśleć. Nic poziomego, nic czegoby się wstydić miała, nie wysliznie się zpod jęj pióra; nawet tam, gdzie się namiętność przebija. Pokazuje się często kobięta, zawsze pozostaje królowa; znać wychowaną w szkole Kornela. Tęj mieszaniny godności i prostoty, dziś już nie można znaleźć.

A jakież życie, co za szczerokość w uczuciach! Zdaje się, że wszystkie koleje szczęścia i wojny wplatają się do stylu jęj listów, na tle odrazy i wzgardy dla Szwedów. Chciałaby widzięć ich zgnębionych; ale tyle razy omyliła ją nadzieja, że zaraz potęm wykrzykuje: „Poddaję się woli bożęj!” Odważną jest gdy potrzeba walczyć, i chociaźby z działa wystrzelić, jak księźna *de Montpensier*; ale gdy idzie o króla, o niebezpieczeństwa na jakie ma się naraźać, drży cała, boi się; już tu nie ma nic królewskiego—wszystko tu ludzkie; zapomina o stałości, o rezygnacyi: znać dawniejszą gwałtowność młodęj dziewicy. W chwili smutku takie wyznanie czyni: „Mówisz, że lepsze panowanie jak samotność; nie podzielam twojego zdania. Jakże stan spokojności umysłu i sumienia zbliża się do anielskiego! Proś Boga, aby mi pozwolił wrócić do samotności!”—A jednak w tymże samym liście pisała: „Przyznasz teraz, że gdym ci wyliczała siły tego królestwa, nie byłam zanadto chełpliwą! Powtarzam ci, że Polska jest nieporównanęm królestwem, na któręm sami krajowcy się nie znają, a które, jeśli kiedy do dobrego rządu przyjdzie, świat cały podbijel!”

Tak trzymała o Polsce, tak ją podziwiała! A jednak na dwudziestu latach które tam przeżyła, piętnaście przepędziła wśród wrzawy wojennęj, na tułactwie z miejsca na miejsce, na wygnaniu, prawie w nędzy i o głodzie! Jest za co przebaczyć winy, jakieby jęj słusznie zarzucić można: upor i zawziętość w raz powziętych zamiarach, i nieugiętość charakteru, na któręj zbywało jęj mężowi, i dlatego właśnie ulegać jęj musiał.

Listy Maryi Ludwiki usprawiedliwią ją nieraz; z nich najlepiej możemy ją poznać i ocenić (1). Pięrszwy datowany jest

(1) Ciekawe jest bardzo porównanie tych listów, z listami tęjże daty pisanymi przez sekretarza królowęj, Pana *Des Noyers*, a które hr. Raczyn-

22 marca 1656 roku. Król dopiero co wrócił do Polski; ją zostawił w Głogowie, pod opieką prymasa. Tak donosi królowa pani *de Choisy*, o pomyślnościach oręża Jana Kazimierza:

Głogów, 22 marca 1656 roku.

Bez wątpienia, wielce niespokojną czynią mię odebrane wiadomości o zamiarze króla szwedzkiego zbliżenia się do Lwowa. W listach króla J. M. i wszystkich otaczających go, maluje się wielka radość z tego powodu, i niecierpliwość z jaką go oczekują. Mnie się widzi, że nie będzie dość szalonym, aby tam iść, i że to przechwałki tylko. Jeżeli pójdzie, to go chyba szczęśliwa lub nieszczęsna dola poprowadzi; bo wbrew rozsądkowi ludzkiemu podróżby tę przedsięwziął. Wiész, że lubię domysły czynić, a także złemu wierzyć. Zaczynam bać się, aby ten Rakoczy nie porozumiał się ze Szwedami. Oba są nieprzyjaciołmi naszej wiary, i namiętnie pragną Polskę pomiędzy siebie podzielić. Boję się téż tego Chmielnickiego, który nie chce w układy żadne wchodzić, jeżeli król do Kamieńca nie zjedzie; nie ufa bowiem żadnemu z kommissarzy polskich, powiadając, że go oszukali. Król zaś nie chce się oddalać, z powodu zbliżania się Szweda. Słowem, tak mię dręczy to oczekiwanie i ubieganie się za wiadomościami, iż chciałabym już widzieć jakibądź koniec wszystkiego. Książę Zamojski utrzymał się w mieście swoim (1). Nie poruszyły go ofiary króla szwedzkiego. Widziałś go w Paryżu, tańcował w pałacu królewskim (2). Bardzo zacny człowiek z niego teraz. Wówczas był jeszcze bardzo młody. Ma siedmkroć sto tysięcy liwrow dochodu. Król szwedzki zemścił się nad nim, paląc mu wiele miast i znaczne ekonomie.

ski w *Portofolio królowej Maryi Ludwiki* przetłumaczyć i wydać kazał. Nie wątpimy, że pan *Grangier de la Marinière*, wedle obietnicy swojej, wszystkie listy własnoręczne *Maryi Ludwiki*, w dodatku do dzieła swego wydrukuje. Zbiór ten nada dziełu jego wielką wartość, a dla dziejów naszych będzie bogatym, oryginalnym źródłem.

(1) Jan Zamojski wnuk kanclerza, bronił się w Zamościu. Królowa zawsze go księciem, *Le Prince Zamoycki* nazywa.

(2) *Palais Royal* w Paryżu, mieszkanie królowej *Anny*, wdowy Ludwika XIII.

Donosisz mi, że kupcy piszą, jakoby Polacy mnie przypisują swoje klęski. Ty, co tak zręczną jesteś, staraj się odkryć zkąd to pochodzi, a poznasz złośliwość tój wieści. Na dowód, że nie jestem znenawidzona, powiem ci, że dopiero co dwa znaczniejsze województwa przysłały tu osobę znakomitą, z wiadomością, że chcą powstać, i że zostawują mi wybór wodza, który ich poprowadzi i którego słuchać mają. Ponieważ do króla daleko (jest we Lwowie), nie chcą na niego czekać; uderzą naprzód na załogi szwedzkie, które ich uciskają, a potem pójdą dokąd król rozkaże. Chyba królowi szwedzkiemu los szczęście przeznaczył; inaczej nie wysiedzi w Koronie ani w Litwie. Moskwa odebrała mu już kilka miast, które mu był książę Radziwiłł nieboszczyk poddał (1). Wieść chodzi, że drugi, który żyje, pobity został chcąc obronić miasto, gdzie złożone zostało ciało jego krewnego, a które wojsko litewskie oblęga. Prawdziwie, tak mi wojna dokuczyla, że już jój cierpieć nie mogę. Jakikolwiekby pokój wolała, byleby mi dał spokojność. Nie mając dzieci, co mi po tём wszystkim?

Głogów, 20 kwietnia 1656 r.

Gdybym miała konia *Pakoleta* (2), posłałabym ci go z doniesieniem, że król szwedzki co dzień gorzej stoi. Czy jest, czy go nie ma, zawsze pobity, jak się dowiesz z opowiadania, które ci *Des Noyers* posyła (3). Bardzo ciekawa jestem w jakich wyrazach p. *Silhon* (4) te wiadomości ogłasza. Szwedzi, którzy odgłosem dawniejszej sławy tylko żyli, długo pobici będą, nim się do tego przyznają. Piszą do mnie z Wiednia, że rezydent szwedzki pokazuje listy o bitwach z Polakami, wygranych przez swojego króla. Niesłychana to bezczelność; nie wstydzą się wygiwać

(1) Janusz Radziwiłł hetman w. litewski, niedawno zmarły w Tykocinie. Książę Bogusław Radziwiłł trzymający się także stronnictwa szwedzkiego, idąc na odsiecz zamkowi tykocińskiemu, zbity został przez szlachtę podlaską. Ob. *Portofolio królowej Maryi Ludwiki*. T. 1, str. 289.

(2) *Pacolet*. Czyto była jedna z osób jakiego romansu rycerskiego, czy podobno nazwa Apollina?—nie wiadomo.

(3) *Des Noyers* sekretarz Maryi Ludwiki, którego korespondencya stanowi znaczniejszą część dzieła, wydanego przez hr. Edwarda Raczyńskiego pod tytułem: *Portofolio królowej Maryi Ludwiki*.

(4) *Silhon* radca stanu, któremu Mazarini poruczył wszystkie interesy dotyczące się Polski i Szwecyi.

z czarnego na białe. Nie wiem także, jak tam p. *d'Avaugour* z Elbląga pisał. (1). On to tylko widzi i słyszy, co chce *Oxenstierna*, kanclerz szwedzki. Boję się, żeby nie zapóźno dopiero Francya poznała się na pomocy, której od Szwedów żąda. Z listów przejętych (które mi codzień przynoszą), widzieliśmy, że brakuje im ludzi i pieniędzy. Nie myśl, że tak wiele znaczą dla nich miasta pruskie, które trzymają. Więcej będą mieli kłopotu obronić się od mieszkańców, niż od postronnych; a władając krajem wcale im nieprzyjaznym, trudno aby się w nim długo utrzymać mogli. Ale w téj chwili właśnie donoszą mi o bezprzykładnej złości tych Szwedów; oto podkopują miny pod całym Krakowem, w zamku i w mieście, aby wszystko w powietrze wysadzić; a zapewniają mię, że i Warszawę chcą spalić. Przyznaję się, że jeśli tam kiedy powrócę, a dom własnymi rękami mojemi zbudowany w gruzach widzieć będę, to gorzko zapłaczę. Jeśli takie barbarzyństwo popełnią, przyznasz, że ten naród powinienby być wyłączony z towarzystwa ludzi. Kochaj mię zawsze. Poczta nie przyniosła mi listów z Francyi, co mnie mocno niepokoi.

Głogów, 26 kwietnia 1656 r.

Dochodzi mię twój list z ostatniego marca; z jakąż niecierpliwością go czytam! Widząc, że nic jeszcze o sprawach polskich nie wiesz, zdumiewam się, że się Francya tak łatwo oszukać dała; spodziewam się, że p. *d'Avaugour* dobrą burę odbierze za to, że tak źle donosił o wszystkiém królowi. Ja ci zawsze prawdę mówię bez ogródki. Otóż przyznaję, że wojewoda wileński (2), wypuścił króla szwedzkiego z półwyspu, gdzie już bardzo kuso koło niego było, dlatego, aby Lublin odebrać, gdzie Szwedzi złożyli byli wszystkie zagrabione pieniądze. Poczém znowu wojewoda za nimi się pogonił. Bądź pewna, że gdyby mnie był o radę zapytał, nie byłby takiego błędu popełnił. Po wzięciu króla szwedzkiego, Lublin, który nie jest bardziej obronny od naszego *Vaugirard* (3), niedługoby się opierał. Ale cóż robić? Trzeba cierpieć to, czemu zaradzić nie można.

(1) P. *d'Avaugour* był posłem francuzkim w Szwecyi.

(2) Paweł Sapieha.

(3) *Vaugirard*, wieś pod Paryżem.

Nasz Radziwiłł bawi się rozbojem na Podlasiu. Po jego porażce, gdy wojsko litewskie obległo Szwedów, dzielny ten książę zebrał tysiąc czy tysiąc dwieście złodziei, i z nimi obchodzi domy biednej szlachty, a mianowicie tych, którzy nie mogli czy nie chcieli iść na wojnę. Bierze ich w niewolę, rabuje i przymusza zaprzysiądz wierność królowi szwedzkiemu. Ma się rozumieć, że ich woda święcona rozgrzeszy. Aż do starego 80letniego wojewody, który z miejsca na miejsce przechodził, i tego w niewolę zabrał. Codzień zapewnia króla szwedzkiego o wielkich wygranych bitwach. Nie wątpię, że szkatułki pana *Silhon* zapelnione są jego pomysłonościami.

Dobry nasz brat han tatarski przysłał znowu murzę do króla J. M. z doniesieniami, iż prędko w pomoc przyjdzie. Tenże sam murza ma jechać do Prus, do kurfirsza. *Des Noyers* posyła do Paryża kopią listu hana. Nie powiedzą tym razem, że sama pisała.

Król kazał mi jechać do Polski, i pojechałabym za kilka dni, gdybym nie musiała czekać na wiele znakomitych osób obojczy płci, które mi towarzyszyć mają. Cesarz i cesarzowa oświadczają się z życzeniem widzenia się ze mną na pół drogi do Wiednia; ale wyjazd mój temu przeszkodzi. Francuzi, którzy w usługach moich zostają, nie posiadają się z radości, że wracać mają do Polski. Prawda, że to kraj żyzny i bogaty w porównaniu z tutejszym, a mieszkańcy bez porównania grzeczniejsi. Sądzę, że ty to nazwiesz marzeniem, ale to czysta prawda.

Mam nadzieję po drodze odzyskać Kraków (1). Król J. M. posłał więźnia szwedzkiego do komendanta powiedzieć mu, że gdyby zamek wysadził, to wszystkim więźniom, których jest najmniej dwa tysiące, głowy pościnać każe. Modlitwy nie były bezskuteczne: dobrze jest udawać się do Pana Boga. Pragnęłabym tylko dowiedzieć się, z jaką radością kardynał Mazarini odebrał dobre wiadomości o nas. Nie wątpię, że ze względu na religię tylko, bardzo rad z nich będzie. Zawsze pamiętam, żeś mi przepowiedała, że jeśli pobijemy Szwedów, będziemy mieli wielu przyjaciół. Cesarz, jak temu łatwo uwierzysz, bardzo kontent, i już wojska jego w Belgii naprzód idą; co do cesarstwa, zdaje mu się

(1) Królowa wysłała była do Krakowa Anglika szpiega, który podjął się był wyprowadzić w pole komendanta Wirca; ale mu się nie udało. *Temberskiego* Historia, w rękopiśmie, od r. 1647 do 1656.

obiór syna jego niewątpliwy, i mnie także. Żal mi bardzo tego kredensu i tych prezentów, które posyłają dla Szwedów (1). Wszystko to wkrótce sprzedaném zostanie, i robota stracona. Dowiedzieliśmy się z listów przejętych, że brak im pieniędzy, tak jak nam. Król JMé ze Lwowa wyruszył z nowemi zaciągami piechoty i z armatą.

Panna *Cornuti* prosiła mnie już od sześciu miesięcy (a jam zawsze zapominała), abym otrzymała od ciebie wstawienie się do pana de *Charost*, za niejakim *Fontesne*, który się ożenił z jej siostrą; nateraz jest porucznikiem w garnizonie w *Ca'ais*, i ma ochotę do kapitaństwa. Jeśli pan de *Charost* kocha mię jeszcze, to robi to dla miłości mojej. Ostatni list twój zaginął, z wielkim żalem moim. W moim ostatnim prosiłam podziękować tym wszystkim, którzy ci o mnie dobre słowo powiedzieli, osobliwie księciu de *Condé*, i pani de *Ventadour*. Nie wierz nigdy nowinom z Wrocławia. Ci heretycy oplakują teraz niedolę Szwedów i pisząc, zawsze mijają się z prawdą; ja ci ją zawsze powiem, czy dobrą czy złą.

* * *

P. S. Nie dziwuj się, jeśli *Levesque* nie otrzymuje wiadomości z Gdańska. Szwedzi są przedziwni szalbierze. Wszystkie listy w których opisane są ich klęski, chowają, tak, że Gdańsk to tylko wie, o czém sami wiedzieć dają. Ale teraz bardzo trudno im będzie prawdę ukrywać, gdyż Bogu dzięki, dość ją rozgłaszam. Gdy mnie tu nie będzie, może trudno będzie listy posyłać. Boję się, aby ich Szlązacy nie przejmowali. Donoś mi regularnie o odebraniu każdego. Wszyscy panujący włoscy łączą się z papieżem dla zachowania pokoju we Włoszech. Chociaż to sprzeciwia się widokom Francyi, taki mam wstręt do wojny, że się z tego cieszę.

Książę Zamojski, o którym mówiono, że wraz z synem układał się ze Szwedami, połączył się owszem z wojskiem litewskiém, w pogoni za niemi. Jestto młody człowiek, którego widziałas we Francyi, i który nie ma ani ojca, ani synów. Zdaje mi się być zakochanym w małej *d'Arquien* (2). Jeśli kiedy pokój będzie w Polsce, to będzie miał siedmkroć sto tysięcy liwrów intraty, i najpiękniejsze domy na świecie, ślicznie umeblowane.

(1) Byłyto podarki od Ludwika XIV dla króla szwedzkiego.

(2) Marya Kazimiéra de la Grange d'Arquien, młoda i piękna panna z francymeru królowej. Wyszła za mąż za tegoż Jana Zamojskiego; a po jego śmierci, powtórnym ślubem za Jana Sobieskiego marszałka w. k. a później króla polskiego.

Glogów, 18 maja.

Dziwna to rzecz oddalenie, i że wiadomości moje tak długo w drodze leżą! Pan *d'Avaugour* mało na szpiegów wydał, lub przyjaźń jego dla naszych nieprzyjaciół, przymuszała go prawdę tać. Proszę mi donieść, czy mu tego za złe nie mają?

Teraz przybywa szlachcie z wojska koronnego, pod dowództwem pana Czarnieckiego. Ten pisze do mnie, że pod Gnieznem miał spotkanie z nieprzyjacielem, który byłby ze szczętem znieśiony, gdyby nasi nie pospieszyli się uderzyć na Szwedów w miejscu dla nich nader dogodnym; gdyż z przodu tylko mogli na nich nasi nacierać. Ocalała ich piechota i armata. Stracili do tysiąca ludzi, a my 50 czy 60. Pan Czarniecki dodaje: „ta utarczka posłużyła tylko do przyzwyczajenia naszych, jak pogardzać armatą, a szablą drogę sobie otwierać“.

Donosiłam ci dawniej, że niektóre województwa prosiły o wodza. Dałam im wojewodę podlaskiego (1); posłużyło mu szczęście, odzyskał wiele zamków, obległ Kościanę, a gdy do 2,000 Szwedów poszło na niego, pobił ich, wodza ich dostał w niewolę, i wziął dziewięć sztandarów. Pan Czarniecki odebrawszy fałszywą wiadomość o częściowej porażce jego, rozkazał mu odstąpić od oblężenia i z nim się połączyć. Za każdym przybliżeniem się nieprzyjaciela, zaraz znajdują się uciekający, którzy krzyczą, że wszystko stracone.

Król szwedzki zgromadził do 10,000 ludzi ze wszystkich załóg i z Pomorza. Był w Prusiech w Toruniu, za posiłkami. Nasi starają się wszelkimi sposobami wyciągnąć go w pole; ale nie chce im w tém dogodzić. Wojsko nasze rozdziela się na dwoje. Pan Czarniecki pozostaje na straży króla szwedzkiego, i donosi mi, że ze szlachtą i nieco kwarcianych pójdzie na spotkanie króla, który połączy z nimi nowy zaciąg piechoty i armatę; a gdy wojsko litewskie się przyłączy, to będzie przeszło 50,000 ludzi, nie rachując Tatarów. Brat mój han, codzień przysyła wiadomość, że już przybywa, ale dotychczas się opóźnia.

Królowa szwedzka w okropnym strachu była, zbliżając się do Polski. Udała się tak spieszenie do Szczecina, że konie padały po drodze, a Polacy nie chcieli jęj ścigać. Król, mąż jęj w czasie ostatniej bytności swojej w Warszawie, dał rozkaz wziąć na

(1) Piotra Opalińskiego.

tortury starego słuę króla JMci, dla dowiedzenia się, czyli jakich sprzętów nie pochował (nie wiem czyli z tego nie umrze), oraz odźwiernego z domu ogrodowego (1). *Des Noyers* na tém straci cokolwiek, ja nic. Pan *de la Motte* prawdę mówi, gdy powiada, że będę jeszcze miała zmartwienia (2). Najpiérwsze już to, że są jeszcze Szwedzi w Polsce, a gdyby tylko chciano, król szwedzki byłby zamknięty; nic łatwiejszego nie było. Dowiemy się kiedyś, dlaczego Pan Bóg na to nie pozwolił. A potem nudzę się śmiertelnie. Gdy już miałam wyjechać, arcybiskup i wojewoda sandomierski, moi przewodnicy, sprzeciwili się podróży przez Węgry (3). Kości ich podagrą osłabione, obawiają się wstrząśnienia po górach. Dobra ich wszystkie po téj stronie Wisły, a Zamość, dokąd chciałam się udać, po tamtéj. Spodziewają się, że wkrótce kraj ten wolny będzie, i chcieliby abym kilka tygodni poczekała. Posłałam do króla po rozkazy stanowcze, a generał Hatzfeld wczoraj jeszcze był u mnie w imieniu cesarza, prosząc, abym poczekała, gdyż pośpiechem naraziłabym się na strach przynajmniej. Jużbyś mnie nie poznała; tak jestem mężna. Zdaje mi się, żebym się z ochotą udała do wojska. Kraków oblężony mojm staraniem, ale nadto się spóźniono; lękam się, żeby się nie udało. Czekaj z ogłoszeniem udziału, jaki w tém miałam, aż się dowiesz o skutku. Jeśli dobry, to mnie pochwalisz, jeśli zły, to milczć będziesz. Zda mi się, że jest do 100,000 ludzi pod bronią w Polsce; ale boję się zawsze: los oręza tak niestały! Wiele listów smutnych odbierałam od ciebie, gdy cieszyłam się sama; lękam się, aby kiedy ty się ucieszysz z naszej sprawy, nie nastąpił jaki powód do smutku w tutejszym kraju.

Głogów, 8 czerwca.

Twój list z 12 maja odbieram pełen radości z powodu dobrych wiadomości tutejszych. Przyznasz teraz, że gdym wyliczyła ci siły tego królestwa, nie byłam zanadto chełpliwą! Może prędzej uwierzysz mi teraz, gdy ci powtórzę, że Polska jest niezró-

(1) Byłto pałac późniój Kazimierzowski zwany, o którym królowa wyżej pisała, jako własnemi jój rękami zbudowanym.

(2) Byłto przyjaciel pani *de Choisy*, bawiący się astrologią; często wspominany bywa w tych listach.

(3) Arcybiskup gnieźnieński *Jędrzej Leszczyński*, i wojewoda sandomierski *Alexander Koniecpolski*, którym królowa powierzona była.

wnaném królestwem, na którém sami krajowcy się nie znają, a które niweczy wolność ich nieokiełznana porządkiem. Lecz jeśli kiedykolwiek do rządu samowładnego dojdzie, świat cały podbije; a jeśliby je król szwedzki posiadał, za dziesięć lat nie byłoby ani jednego katolika w Europie.

Teraz niepokoi mię tłum osób około króla JMci zebranych. Lękam się niezgody i zazdrości, które zazwyczaj wkradają się do wielkich zgromadzeń, i do tak wielkiej liczby osób znakomitych, ubiegających się prawie o jedno. Choroba ta jest dość pospolita po dworach, ale Polacy z wolnością swoją bardziej jój są podlegli i niebezpieczniejsi.

Trzy są wojska. Jedno Warszawę oblega, i to 20,000 liczy, oprócz szlachty i pospolitego ruszenia bez liczby. Marszałek wielki (1) ma drugie wojsko, które oblega Łowicz, i liczy 7—8,000, oprócz pospolitego ruszenia z Wielkiej polski, stanowiącego znakomity poczet. Nakoniec Czarniecki pod Toruniem ma 15,000, oprócz pospolitego ruszenia pruskiego. Oprócz tego szlachta po ziemiach odbiera wszystkie zamki przez Szwedów zabrane. Piotrków obleżony, a może już wzięty, jak Krzepice. Kraków prawie całkiem osaczony..... Ale Chmielnicki jeszcze odpowiedzi nie dał. Boję się go, a prawdę mówiąc wszystkiego lękać się będę, aż do zawarcia pokoju. Wiész, że z charakteru zawsze złemu przedź wierzę. Tak dziwaczne rzeczy widziałam w roku przeszłym (2), że niczego już nie jestem pewną.

Warszawa, jak powiadają, dobrze obwarowana. Jeżeli król szwedzki ma siłę, okaże ją w posiłkach, jakie pośle do Warszawy, gdzie jest Wittemberg i część ich łupów. O tém dowiesz się prawie w jednym czasie ze mną, przez Gdańsk. Król szwedzki cicho siedzi dotychczas wraz z żoną. Bałam się, żeby nie czekał na Kozaków. Tak umiem wynajdywać powody dręczenia siebie samój! Mówisz, że lepsze panowanie, jak samotność. Nie jestem twego zdania. Jakże stan spokojności umysłu i sumienia zbliża się do anielskiego! Wiele można zrobić w wielkim kraju, mając w nim władzę. Ale gdy się w nim nie jest, cięży tylko odpowiedzialność za opuszczenie, a grzechy którym przeszkodzić nie można, potępiają. Proś Boga, aby mi pozwolił wrócić do samotności.

(1) Jerzy Lubomirski.

(2) Podbicie całej Polski niemal przez Szwedów; ucieczka króla i królowej do Szlązka; obrona Częstochowy i zawiązanie się konfederacji tyszowieckiej, która Polskę ocaliła.

Jeżeli bitwa nastąpi, to w Warszawie. Lękam się jęj z przy-
czyzny prorocstwa pana *dę la Motte* (1).

Głogów, 27 czerwca.

Wczoraj do ciebie pisałam, ale wiadomość o wzięciu War-
szawy przez trzech kuryerów przyniesiona, przymusza mnie je-
szcze jedną kartę przyłożyć (2). Wittemberg trzymał się dopóki
mógł. Opowiadają o nim rzecz zabawną. Wyszedł był z miasta
dla bronienia domu na przedmieściu, mającego komunikacyą
z miastem. Dom ten zdobyto. Trzeba ci wiedzieć, że ten Wit-
temberg od bardzo dawna chory, i na kulach chodzi. Tak źle
było koło niego, że z przestachu rzucił podpory i zaczął biegać
jak gdyby zdrów i młody; od tego czasu już dobrze chodzi. Pełen
był odwagi, chociaż go strach napadł. Ale też była to straszna
rozprawa. To go najbardziej boli, że go ciury zwyciężyli. Albo-
wiem gdy się ta chałastra nastęczyła, król J. M. który miał nie-
wiele piechoty, i rad był ją oszczędzić, przyjął chętnie tych ochot-
ników. Ochotnicy z paniań nie narażają się tu tak jak we Francyi.
Nie wiem jeszcze szczegółów kapitulacyi, gdyż kuryer od króla
J. M. nie przybył dotąd; nadto był zajęty, aby zaraz napisać. Pry-
watni to potajemnie umyślnych przysłali.

Nie wiem gdzie podzieli się brat króla szwedzkiego z woj-
skiem, oraz Duglas i Wrangel, którzy mu towarzyszą w zamiarze
obronienia Warszawy. Musiało im być markotno, że w ich oczach
miasto wzięte. Teraz przychodzi wiadomość poddania się Piotr-
kowa; komendant i załoga wstąpili do służby królewskiej, ale pod
warunkiem, że nazywać się będą *moim pułkiem*. Już od pewnego
czasu z nim układy prowadzę; załoga ta składa się z Włochów, ale
oficerów ma Szwedów i Finlandczyków. Gdybym w tym kraju po-
została, spodziewam się, że Kraków niedługoby się opierał. Już

(1) P. de la *Motte* przepowiedział jakieś nieszczęście królowi pod-
czas bitwy.

(2) Warszawa wziętą została 1 lipca. Królowa wyjechała z Głogowa
28 czerwca. (Ob. *Portofolio Maryi Ludwiki*. T. II, p. 33). Wiadomość
o wzięciu Warszawy była zatem przedwczesną. Jakoż w liście datowanym
z drogi, z Częstochowy 3 lipca, pisze *Des Noyers*: „Za dwa lub trzy dni
wybieramy się do Warszawy; jest nadzieja, że ją wczoraj przemcącą zdobyto,
ale chociażby jeszcze nie była w naszym ręku, jednakowoż tam pojedziemy,
a królowa stanie w Ujazdowie” (*Portofolio*. T. II, p. 33).

obleżony; załoga bardzo mała, a żołnierze szwedzcy w takiej nędzy, że aż litość bierze...Ale muszę jechać.

* * *

Jakoż w kilka dni później królowa wyjechała do Warszawy, dokąd przybyła w połowie lipca. Ledwie miała czas wypocząć z drogi, gdy pewnego wieczora dano znać, że pokazuje się już wojsko szwedzkie, i odzywają się ich armaty. Szczegóły téj bitwy pod Warszawą, która trzy dni trwała (28, 29 i 30 lipca), z gazet ówczesnych tu podajemy, dla porównania później z opowiadaniem królowej (1).

W piątek 28 lipca pod wieczór kurfirszt brandeburski i król szwedzki przybliżyli się do Warszawy, i poza Wisłą, w 25,000 obóz rozłożyli. Prawém skrzydłem tego wojska dowodził król szwedzki osobiście, a pod sobą miał brata swego księcia Adolfa, młodego margrabiego badeńskiego, hrabiego *Horn*, i wielkiego mistrza artylerji generała *de Sparre*. Lewém skrzydłem dowodzili kurfirszt brandeburski i generał *Wrangel*.

Wojsko polskie około 60,000 liczące, a złożone z hajduków, lancknechtów, ułanów, Litwinów i Tatarów, od samego rana przebyło Wisłę, i obwarowało się pod Pragą, pod dowództwem króla, oraz Czarnieckiego, Zamojskiego, Sobieskiego, hetmana Potockiego i marszałka Lubomirskiego. Przez całą noc przygotowywano się do dnia jutrzejszego w uroczystém milczeniu, przerywaném tylko wystrzałami dział z szaniców.

Nazajutrz (29) już o trzeciej z rana, Tatarzy wedle zwyczaju krzyknęli przeraźliwie, i posunęły się oba wojska. Walka rozpoczęła się ze wszech stron zażarta. Polacy liczniejsi, z trzech pagórków na których rozstawiona była ich armata, strzelali na szwadrony szwedzkie, zagrzęzłe w bagnach zawiślańskich, sprawiając w nich straszny pogrom. Pole bitwy bronione piędź po piędzi, zarzucone było zabitemi, konającemi, końmi, strzelbą, kopiami, orężem, chorągwiami. Pułki całe ścierały się z sobą tak gwałtownie, że zdawały się w ziemię zapadać. W jednej takiej potyczce husarz wskoczył pomiędzy przyboczną straż Karola Gustawa, i kopią

(1) W niektórych autorach znajdujemy datę téj bitwy pod dniem 18 lipca, wedle starego kalendarza, co odpowiadało wówczas 28. Cały ten wyciąg z gazet społecznych francuzkich, zawierający szczegóły, których w Krajewskim, ani téż w źródłach jego, Kochowskim i Rudawskim nie znajdujemy, ułożył p. *Grangier de la Marinière*.

ledwie że do piersi królewskiej nie dotarł; ale ten szpadą odbił uderzenie, a drugą ręką z pistoletu zabił nieprzyjaciela (1). Po dwakroć Tatarzy wydali okrzyk zwycięzki, przebiwszy hufce szwedzkie, myśląc, że już zdobyte trzymają. Po dwakroć kurfirszt wśród gradu kul i strzał, nieporuszony z rzadkiem mężstwem nacierających odparł. Krew lała się potokiem, powietrze rozpalone było ogniem, nasiąkłe prochem; z obu stron ta sama zapalczywość, te same cuda odwagi!

Z tarasu pałacu swojego, królowa od samego rana przypatrywała się straszному widowisku. Ale gdy ze zbyt daleka nie mogła dobrze rozeznąć szczegółów walki, zeszła na wzgórek ponad samą Wisłą, oszańcowany dla obrony mostu. Tam spostrzegłszy, że bateria z której strzelano bezustannie na Szwedów do lasku po drugiej stronie rzeki, nie dosięgała ich dla zbytniego oddalenia, kazała odłożyć konia od karocy swojej, i zawieźć dwa największe działa niżej, na cypel wierzbina obrosły, który aż w wodę zachodził. Z tego cypla tak zaczęły dokuczać armaty Szwedom, że się cofać zaczęli; a król na przedniej straży widząc to cofanie się nieprzyjaciela, sądził, że już odniesiono zwycięstwo, i posłał uprzejmie do królowej z powinszowaniem. Królowa siedząc na bębnie, okryta oponczą tatarską przed skwarem słonecznym, obiad na kolanach jadła, i wpatrywała się w bitwę, jak gdyby na początek porażki. Ale o godzinie trzeciej, zatrzymali się Szwedzi. Naprózno raz po raz uderzali na nich hussarze. Królowi szwedzkiemu i kurfirsztowi udało się przywrócić porządek w szeregach wojska swojego, dzielnych niedobitków z 30letniej wojny, i do wieczora już nieporuszone stały, pomimo ręcznej walki na ostrze szabli, i na lufy pistoletów, pomimo ciągłego nacierania piechoty, konnicy, lancknechtów i artylerji. O godzinie jedenastej, po dwudziestogodzinnej walce, noc całkiem zaszła, nie widać było własnego wojska. Jedni drugich zabijać mogli: ledwie wówczas bić się przestano!

Trzeciego dnia, ledwie mgła się rozeszła, i jedni drugich poznać mogli, wszczęła się walka na nowo, z większą jeszcze niż przeszłego dnia zapalczywością; ale już Polacy stracili zaufanie w sobie. Podczas nocy Tatarzy umknęli, zdobywając swoją unosząc,

(1) Był to *Jakób Kowalski* żołnierz chorągwi królewskiej. Karol Gustaw kazał mu wspinały pogrzeb sprawić u Bernardynów na Pradze. (Ob. *Krajewskiego* Dzieje panowania Jana Kazimierza. T. I, p. 5).

a obóz zostawując w okropnym nieładzie. Król wściekły od gniewu, usiłował wojsko zagrzać, i sam był dziś kapralem i wachmi-
strzem, jak wczoraj prostym żołnierzem. Na nic nie przydały
się rozpacz jego ani przykład. Po pięcio godzinnéj walce, ujrzał
ustępujące hufce swoje, przełamane szyki wojska litewskiego,
Szwedów tratujących opierające się jeszcze niedobitki; i sam
z płaczem, ze szpadą w rękę, znękany, z głosem stłumionym, nie-
mal ostatni z pola bitwy dał się oderwać, dla połączenia się z kró-
lową, która z trudnością wymknęła się z Warszawy.

Po skończonej bitwie Jan Kazimiérz usiłował w Lublinie
zgrupować rozproszone wojsko, a królowa udała się do zamku
łancuckiego, z fraucymerem swoim, z dworem i nuncyuszem *Vido-*
ni. Ztamtąd napisała do pani *de Choisy* list następujący, w któ-
rym maluje się tak tkliwie gorzka boleść jéj duszy!

Łancut, 11 sierpnia.

Nie dziwniejszego nad to, co pod Warszawą zaszło, i nie
wierzyłabym temu, gdybym nie widziała sama. Szwedzi do roz-
paczy przywiedzeni z posiłków tatarskich, i z niemożności kurfir-
szta pozostania z nimi, gdyż mu zagrażała ruina Prus, przeprowili
się przez Bug, w nadziei zaskoczenia znienacka części wojska pol-
skiego, która Wisłę przebyła. W piątek (28 lipca) przystąpili
blisko Warszawy, ale poznali błąd swój, gdyż całe wojsko prze-
prawilo się przez Wisłę. Tego wieczora skończyło się na kilku
wystrzałach z armat z obu stron. Tatarzy byli o cztery mile
(*lieues*). W nocy przybyli, i stanęło na tém, że do bitwy nie
przyjdzie, a tylko Szwedów ogłodzą. W sobotę zaraz Tatarzy od-
bili Szwedom ze 200 wozów z żywnością, i dokuczali im bardzo.
Udałam się do szańca, z kąd patrzałam na oba wojska, jak gdyby
z *Chaillot* na równinę *Grenelle* (1). Polacy stali na miejscu, i były
tylko harce, w których armata nasza wielkie szkody Szwedom
zrządziła (2), tak, że często musieli z miejsca wyruszać. Pod
wieczór wreszcie na polu bitwy zostali Polacy, i wszyscy cieszyli

(1) *Chaillot* pod Paryżem, nad brzegiem Sekwany, ma wiele podobień-
stwa co do położenia z Warszawą.

(2) Królowa wspomina niżej o téj armacie, którą sama przewieźć
kazała.

się, że Szwedzi na swoje nieszczęście tu przybyli, nie wątpiąc, że tu zginą. O północy hetman wielki koronny (Potocki) kazał odsłać wozy swoje na drugą stronę Wisły; drudzy to samo zrobili. Na ten widok wojsko zaczęło się trwożyć, mniemając, że groziło jakieś niebezpieczeństwo, ponieważ hetman wozy swoje ratował. Król widząc taki nieład, i nie mogąc mu już wśród powszechnego popłochu zapobiedz, chciał piechotę i armatę do szaniców przedmostowych schronić; ale zapełniały je przekłete wozy! Nakoniec godziną całą przed nadejściem nieprzyjaciela, nie było już ani jednego Polaka. Z tarasu w ogrodzie patrzyłam na te pierzchania; możesz sobie wystawić z jakim sercem; ja com mniemała, że już koniec wojny przez zgubę nieprzyjaciela, a tu właśnie przeciwnie. Wyjechałam z Warszawy w takiej passyi, że i wyrazić nie potrafię. Nad wieczór opuszczono Warszawę, bez załogi żadnej, gdyż warownie niegdyś przez Szwedów zbudowane, nietyłe murami silne były jak 3,000 ludzi, które zajmowały je pod dowództwem Wittemberga. Szwedzi dość ludzi stracili; Polacy niewiele, ale 10 dział na przodzie: resztę wraz z piechotą wycofano. Tatarzy zniechęceni bardzo, podobno ku Prusom idą. Król szwedzki przysłał traktować o pokój. Odpowiedziano, że i owszem, ale na tych samych warunkach, co przed ostatnią bitwą, gdyż ta nie o wiele stan nasz pogorszyła.

Jestem teraz w Łancucie. Nie chciałam się w bliższym miejscu zatrzymać, a to dla zgryzoty, jakiej mię postępowanie Polaków nabawiło; życzę sobie oddalić się od ich obrad. Pisałam ci, że żyli w Warszawie jak w zabranym kraju. To rzecz okropna, że nie chcieli uderzyć na króla szwedzkiego, kiedy nie miał jeszcze posiłków od kurfirszta, i byłby niezawodnie tył poddał. Słowem, cztery razy król szwedzki był w ręku Polaków, a zamiast zniweczenia go, dali mu nowych sił nabrać. Nie wiem jakie są zamiary Pana Boga, ale to pewna, że zaślepią Polaków nad wszelkie wypowiedzenie.

Powód niezostawienia załogi w Warszawie jest ten, aby nie narazić na zniszczenie dwóch domów, które tam król posiada.

Lublin, 12 września.

Z wielkim żalem moim jeszcze z tego miejsca list datuję; przyczyną tego powolność, z jaką Polacy zamiary swoje wykonywają. Wyjedziemy przecież w przyszły czwartek. W piątek prze-

prawimy się przez Wisłę, a król z wojskiem pociągnie Wielkopolską ku Pomorzu i Gdańskowi. Nie wiem jeszcze, co się ze mną stanie; ale dam ci wiedzieć. Posłowie francuzcy *d'Avaugour* i *de Lombres* wyjechali wczoraj, nie wyjednawszy wymową swoją, przybycia pełnomocników szwedzkich do tutejszego miejsca. Chce się pokoju, ale nie można traktować o niego bez pośredników, dla złej wiary Szwedów.... Posłowie wasi chcieli we mnie wmówić, że mam wiele wpływu w tutejszym kraju. Nie wiem czy tak myślą, czy też mniemali, że mi się tém przysłużą. Ale dużo pracowałam nad tém, by ich wywieść z błędu, bądź co do rzeczy samej, bądź co do przyjemności, jaką mi to gadanie sprawić miało; gdyż doprawdy wszystko idzie tak dalece przeciw mojemu zdaniu i mojemu rozumowaniu, iż byłoby mi bardzo markotno, gdyby myślano, że w tém mam wielki udział....

Tatarzy bardzo surowo obchodzą się z więźniami szwedzkimi, których zabrali przed trzema tygodniami, poraziwszy 2,000 Szwedów na głowę. Jeżeli kiedykolwiek tych barbarzyńców potrzebować będziesz, to udaj się do mnie. *Szefer-Kazy-Aga* (1) jest wielkim przyjacielem moim. W Polsce oprócz króla i pana Czarnieckiego, tylko mnie szacuje. Gdybym w kilku słowach mogła ci jego rozmowę wyrazić, podobałaby ci się, bo zabawna i pełna dowcipu. Wyruszyli ku Prusom kurfirsztą, pod dowództwem hetmana litewskiego (2). Przez Gdańsk o nich usłyszysz. Moskwa ciągle zażartą wojnę ze Szwedami prowadzi.

Wrzesień, 1656 r.

Donosiłaś mi, że miałam chorować w sierpniu. Rzecz dziwna, że gdy mi polskie sprawy dokuczają, jestem zdrowa, jak nią byłam przez cały sierpień; a gdy te lepij idą, to mi niedobrze. *Des Noyers* powiada, że u mnie duch rozpędza humory. Donosisz mi, że pan *de la Motte* powiada, iż rok ten jeszcze nędzny będzie, a ja będę miała zgryzoty! Mój Boże, jakże mi to przykro! *Des Noyers* zapewnia, że moja *rewolucya* (3) bardzo niedobra. Wszystko to w mocy Pana Boga.

Książę Zamojski tak zakochany, że ofiaruje sto tysięcy talarów (*écus*) swojej kochance, dwanaście tysięcy liwrów dochodu

(1) Wódz posiłków tatarskich.

(2) *Wincentego Gąsiewskiego* hetmana połnego i podskarbiego litewskiego. (3) Astrologiczny peryod.

na śpilki, a czterdzieści tysięcy liwrów intraty dożywotnej na jakimś starostwie. A jeśli będzie się dobrze prowadzić gdy zostanie jego żoną, i miłość jego zwiększy, obiecuje jej wiele innych rzeczy. Po podpisaniu intercyzy pošle ją matce, i będzie pisał do ojca i do matki.

Rozchodzi się wieść o śmierci Chmielnickiego, ale nie ma w tém pewności żadnej (1).

Nareszcie mają Kraków oblegać, i marszałek wielki zbiera wojsko na to. Mimo całej usilności, nie potrafiłam wyrobić tego przed sześciu miesięcy; a podówczas daleko łatwiej było niż teraz, kiedy załoga mocniejsza. Nie będzie to oblężenie zupełne, ale tylko blokada, aby przeszkodzić wycieczkom załogi.

Donosisz mi, że pani *de Semuey* (2) dopytuje się o mnie. Przyznaj się jej przecież, żeś nigdy nie pisała mi o tém, że jej za to bardzo wdzięczna jestem, i że pierwszy raz dowiedziałam się, iż brała udział w moich zgrzyotach.

Wolborz, 27 października.

Miejsce z którego piszę do ciebie, jest o mil (*lieues*) dwie od Piotrkowa, a o czternaście od Warszawy. Dom biskupi dość wygodny. Zostaję tu, jako w środkowym punkcie wszystkich wiadomości. Nie pisałam do ciebie ostatniej poczty, bo chorowałam nieco. Ale kazałam panu *Des Noyers* donieść ci o szczęśliwych sprawach krajowych. Po smutku, jakiego doznałaś w skutek złych wiadomości odemnie, jak mi w listach swoich piszesz, terazniejsze wczas przyjdą.

Dziwić się trzeba zmianom wojennym, porównywając położenie króla szwedzkiego terazniejsze z przeszloroczném. Tyleż posłów, ile on miał przy sobie w Prusach, ma teraz król JMé w tém samym miejscu. A on, który nie chciał wówczas słyszeć o pokoju, prosi o niego usilnie, a kurfirszt jeszcze bardziej. Jednakże w ciągłej jestem obawie, i mimo wszystkiego nie mogę całkiem zaufać Polakom; zawsze mam przed oczyma ucieczkę ich pod Warszawą.

Pan *de Lombres* do dworu naszego dotąd nie przybył. Bardzo bym chciała wiedzieć, jakie uczucie obudziło w tobie wię-

(1) Jakoż umarł w roku następnym dopiero, 15 sierpnia 1657 roku.

(2) Dama dworu królowej rejentki francuzkiej, *Anny*.

cie w niewolę Radziwiłła (1). Lubo w gruncie serca jego poznałam złość i niewdzięczność, nie głosuję za śmiercią, ale za wieczną bannicyą. Nie wiem co z tego będzie. Wojna z czasem wszelkiej czułości pozbawia. Cieszyłam się w sobotę, 29 lipca w Warszawie, na widok działa, które na inne miejsce przeniosłam, jak rozrzadzało hufiec nieprzyjacielski. Podówczas pragnęłam mieć cię przy sobie; mówiłam to tym, co cię znali; wprawdzie sądziłam, że już bitwa wygrana i pokój bliski.

Kraków dość ściśle obleżony. *Wir*, który w nim siedzi, śmiały i dobry żołnierz. Nie ręczyłabym za skutek tego obleżenia, ani za cokolwiek innego; będę się cieszyć, jeśli na dobre wyjdzie, a w przeciwnym razie poddam się woli Boskiej.

Pisałam do króla JMci o tém, coś mi o nim doniosła. Mówiłam mu, żeś ogłosiła jego bohaterskie czyny w nieszczęśliwej bitwie warszawskiej. Prawda, że uczynił, co tylko mógł jako człowiek uczynić, i tak się uniósł gniewem, że nie można było przemówić do niego, ani sam nie mógł się odezwać: tak się był skrzyczał. Głos stracił całkiem, i w ośm dni później jeszcze ledwie gobyło słyhać. Kurzawa i skwar były niezmierne.

Bądź zdrowa i kochaj mię zawsze.

Wolborz, 2 listopada.

Odebrałam twój list i relacją o czynnościach królowej Krynstyny. Wydała mi się ona tak wyborną, że ułożyłam z niej list do cesarzowej, którą to bardzo ucieszy, i przyjemną rozrywką będzie dla jej męża. Dziwi mię, że nie następuje ci żadnej uwagi zmiana jej postanowienia, i tak spieszny powrót do Rzymu, w czasie powietrza. Co do mnie, sądzę, że kuzyn musiał jej dać do zrozumienia, iż nie chce jej mieć w swoim kraju. To pewna, że w teraźniejszym czasie, gdyby tylko chciała, z łatwościąby mogła na tron powrócić. Lud szwedzki rozjątrzony i bliski powstania. Ale należałoby się lękać, aby jej nie zamknięto w miejscu warowném, i to może przyczyna tego wielkiego smutku, który dawał się widzieć na jej obliczu.

Od tej znakomitej bitwy, którą hetman litewski wygrał, nie słyszałam więcej o tém wojsku. Nie wiem, gdzie się podziało.

(1) Książę Bogusław Radziwiłł wzięty był w niewolę 18 października, w bitwie z hetmanem Gąsiewskim.

Dlatego zrozpaczyłam o szczęściu Polaków, bo nie umieją do-
trzeć nieprzyjaciela. Ale nawracać ich, to, to samo, co mur głową
rozbijać.

List twój dałam do czytania kilku Polakom, chcąc ich
zawstydzić za czynność ich pod Warszawą. Oni utrzymują,
że nie można tego nazywać haniebną ucieczką; że to u nich
zwyczaj wojenny cofać się, jak widzą niebezpieczeństwo; że
każdy kraj ma swój obyczaj; że dla nich ostatnią bezecnością
jest oręż składać, i poddać się w niewolę i na wolę nieprzyjacie-
la, jak Francuzi i Niemcy; że u nich to jest ostatnią podłością;
że trzeba albo cofać się, kiedy nie można dać rady, albo umie-
rać. Ta ostatnia alternata jest zgubą stronnictwa; pierwsza opóźnia
tylko zwycięstwo. Że oni zwykle szykują się na nowo, i pobijają
wroga, który się z urojonego zwycięstwa cieszy; że zręczność z ja-
ką umieją konie swoje doskonale prowadzić, przyzwyczała ich
tak postępować; inne narody tracą odwagę, upadają na duchu na-
tychmiast, albo też mieszają się, i w połowie ucieczki zatrzy-
mani są ciężkością swoich koni. Prawda, że w tej ostatniej bi-
twie w Prusiech, Radziwiłła i kilku oficerów schwytano w uciecz-
ce po lasach. Trzy razy od porażki warszawskiej, Szwedzi pobici
zostali, a za każdą razą więcej stracili, niż wygrali podówczas.

Obiecałam napisać co oni mówili, i pokazać im twoją odpo-
wiedź. Zastanów się więc, jaką dla nich ułożysz. Nie zgodziłam
się na wszystko co oni mówili; jest coś dobrego, jest i złego
w ich zwyczaju.

Posyłając te listy dla czytelników Biblioteki Warszawskiej,
nie możemy nie zakończyć kilką słowami, które poczytujemy so-
bie za obowiązek wdzięczności. Doznaliśmy tak uprzejmego przy-
jęcia w podróży naszej do królestwa polskiego, iż czujemy po-
trzebę złożenia publicznego podziękowania zacnym i zasługi peł-
nym mężom, którzy nam pomocną rękę podali. Uprzejmość ich
sprawiła nam prawdziwą rozkosz rozkosz że tak powiemy *histo-
ryczną*; albowiem szczęśliwi byliśmy u synów znaleźć sławną go-
ścińność przodków.

Paryż, 15 maja, 1851 roku.

ZASADY PRAW DAWNYCH POLSKICH O SPADKACH.

PRZEZ

A. Przeszkodzińskiego.

CZĘŚĆ I sza.

Jeżeli prawo spadkowe, jak powiedział któryś ze sławnych prawników francuzkich, jest najwierniejszém odbiciem życia i ducha narodu, który je utworzył; to poznanie tego ducha regulującego i urządzającego społeczność, może doprowadzić jedynie do poznania ducha naszych praw spadkowych.

Czynność na polu poszukiwań źródeł historycznych, nagromadziła już mnóstwo materyałów, które i na jedno i na drugie wielkie rzuciły światło. Te materyały zużytkować, badania historyków pod względem życia wewnętrznego naszych przodków, do jednego z najżywoźniejszych stosunków prawnych, to jest spadków przymierzyć i tym sposobem je sprawdzić, a w skutek tego prace uczonych, ten sam przedmiot przed kilkunastu laty i więcej traktujących, rozwinąć lub uzupełnić: będzie pisemka tego zamiarem.

Podstawą urządzenia narodu słowiańsko-polskiego była wspólność, zaczawszy od rodziny ostatniego ogniwa, aż do najgłówniejszego narodu, ogół rodów w pewnej całości politycznej obejmującego.

Natura wspólności wymaga równości praw i obowiązków każdego z jój członków, bo bez nich nie byłaby już wspólką; wymaga pewnej swobody każdego.

Podstawą rodu jest małżeństwo, ojciec i matka. Jednostki dwie, oddzielnych dwóch rodów łączą się, aby nową jednostkę polityczną, to jest wspólkę utworzyć. Przybywają dzieci i stwarzają rodzinę. Dzieci dorastają i dzielą prace i zatrudnienia rodziców; praca więcej jak krew daje im tytuł do praw wspólności. Odtąd majątek rodziny jest wspólnym wszystkich, bo im wspólnie daje utrzymanie, bo na utrzymanie to wszyscy pracują. Rodzice i z wieku i z pierwszeństwa w objęciu wspólki, a raczej jój utworzeniu, są naczelnikami, są węzłem skupiającym rodzinę; dopóki więc żyją, wspólka jest nierozzerwaną całością. Jedno z nich umiera, wspólność się zrywa; dzieci, młodsza i z natury uległa część wspólki, wstępuje w prawa zmarłego, na równiej linii staje z pozostałym małżonkiem, ma prawo rozerwać jedność którą małżeństwo utworzyło. Więc to nie spadek, lecz podział wspólności. Ale im wolno żyć razem, i prowadzić wspólkę aż do drugiego pokolenia. W starszym stopniu, że tak powiedzieć można, będą bracia względem siebie, w drugim ich dzieci, a szczegółowo biorąc stryjowie i synowce. Wspólność staje się więcej skomplikowaną, bo do rodziny przybywają małżonki innego rodu, bo dwa, trzy małżeństw jakby oddzielnych współek składa tak powiększoną rodzinę. Jedność, dusza takiej wspólności trudniejsza do zachowania, węzeł krwi i przywiązania niezawsze dosyć silny, aby ją utrzymać. Taką wspólkę jedynie nacisk zewnętrznych okoliczności w całości utrzymać zdolny. Mogła więc być powszechną, dopóki obszerniejsze rody, gminy, opola, ziemie, nie doszły do takiej spojności i wyrobienia, aby bezpieczeństwo i prawa pojedynczych rodów zapewnić; dopóki potrzeba było, iżby pojedynczy ród sam o nich miał pieczę, bo wtenczas potrzebował większej siły fizycznej, większej że tak rzekę massy, aby tém łatwiej się z niej wydobyć. W miarę więc kształcenia się wielkiej wspólki, to jest społeczności, w miarę podrastania jój w siłę fizyczną i moralną, obręb pojedynczej rodziny ścieśnia się, i dlatego z historycznych naszych czasów widzimy już tylko rodziny z ojca i dzieci, jako najprostszych, najwięcej łączności naturalnej mających jednostek złożone.

Ale obok wzajemnego stosunku osób wspólkę rodzinną składających, przedmiot jój materyalny, to jest zatrudnienie i majątek wspólce uległy, ważny na jój skład, urządzenie i obrób działalności wpływ wywiera. Gdyby bowiem jeden z wspólności trudnił się rolnictwem, inny rzemiosłem, przy różnych celach, środkach

i zyskach, z szczegółowej działalności i pracy osiągniętych: zgoda, a za nią idąca najgłówniejsza podstawa wspólki—jedność, jest niepodobną. Lud nasz od najdawniejszych czasów z szczególnym zamiłowaniem oddawał się rolnictwu. Wspólka więc rolnicza była powszechną, rzemieślnicze wyjątkiem. Ponieważ na wzór pojedynczej rodziny utworzyły się obszerniejsze rody, to jest osady, opola, ziemie; też same zasady i warunki do ich istnienia były konieczne, z stosowną zmianą i modyfikacją względnie ich obszerności. Osada więc rolnicza, małym rozszerzeniem rodziny będąca, musiała być czysto rolniczą. Dlatego też im dawniejsze rozpatrujemy w tym względzie pomniki, widzimy częściej oddzielne osady rzemieślnicze: rybitwy, sokolniki, bednary, łuczniaki, korabniki i t. p., które dopiero w obszerniejszym zakresie wspólności, to jest opolu, łączność wspólną znaleźć mogły.

Im wyraźniej i silniej występowała na jaw jedność polityczna, idea narodu i państwa, do swego bytu siły materialnej ciągłej, to jest siły wojennej potrzebująca; tém bardziej mieszał się porządek, rozstrajała jedność spółek. Pierwiastkowo jak na obronę rodzinną strzechy, tak na obronę osady, opola, każdy kto miał siłę, gdy tego wypadła potrzeba, występował i występować musiał. Każdy rzucał chwilowo swoje zatrudnienie, aby chwilowe niebezpieczeństwo odeprzeć. Ale gdy wspólność rozciągnęła się do wielkiej jedności narodu, gdy niebezpieczeństwo zagrażające części o kilkadziesiąt mil odległej, było takim samym, a może większym, jak spadające na pojedynczą osadę, bo nie chwilowa zatarga lub nienawiść przemijająca je wiodła; gdy potrzeba się było ścierać z dobrze urządzonym i uzbrojonym nieprzyjacielem: dorywczo uzbrojone gromady nicby mu nie podobały, boby na czas w odległe miejsca nadbiedz nie mogły, bo potrzeba się było mierzyć nie tylko liczbą, ale i zręcznością w robieniu bronią. Niebezpieczeństwo to zresztą nie było chwilowe, lecz ciągle: to w jednym, to w drugim krańcu ziemi grożące; utworzyło się więc oddzielne zatrudnienie, wyłączone rzemiosło, niepodobne do pogodzenia się z czysto rolniczym. Woj rzucał na większą część roku, a często na dłuższą, rodzinną strzechę i rodzinę; *lachał* (1) od jednego końca do drugiego swęj ziemi, aby ją piersiami swemi od

(1) W okolicach nad Gopłem *lachać* znaczy włóczyć się, wałęsać. Nie dlatego jednak wyraz ten kładę, aby z niego koniecznie nazwę szlachty wprowadzać.

napadu ucywilizowanych niby sąsiadów, Niemców, zasłonić. Nie dzieląc zatrudnienia swój rodziny czysto rolniczego, wyosobniał ją niejako od wspólki miejscowej, robił ją jednostką rodzinną, *rzemiosłu wojennemu* oddaną, lachów. Lach nie pracował z rodziną nad uprawą roli, bo nie miał do tego czasu: zimeledwo miał wolną; ale ćwiczył w swém rzemiośle dzieci, by je brać na wyprawy, gdy w siły podrosną. Lach więc mógł nie mieć środków wyżywienia, rola jego leżałaby odłogiem, gdyby nie miał rodziny; ale on z powołania należał do obrony osady, opola: więc osada, opole o jego wyżywieniu z rodziną pamiętać musiały, przynosiły daininy, pomagały do obrobienia ziemi. W rodzinie, w osadzie, każdy był równym, każdy pracować musiał; lach brał wielki i trudny ciężar za osadę, a za to zyskiwał jakąś wyższość, przywilój, który nietylko go z równości wyłączał, ale dawał mu prawo żywienia się pracą rolniczą innych. U góry społeczeństwa tworzyła się jedność, państwo, silne i bezpieczne tylko przez lachów: ztąd polityczna ich wyższość, ztąd wyróżnienie się, które idąc za popędem ducha wspólkowej dążności narodu, w oddzielną wspólkę, a następnie stan szlachecki ich zlewa. Przy wyobrażeniu wspólki, odrębna, wyłączna własność jest niepodobną: ziemia należała do wielkiego ogółu, do ziemi. Każda rodzina, każda osada miała jój tyle, ile w niepamiętnych czasach losem jój przypadło. Każda rodzina siedząc na swym losie, źrebiu (*sorte*), miała prawo do tego tylko, co pracą swoją z niej wydobyć zdołała. Do czego ręki swój nie przyłożyła, należało do większej wspólki, osady, opola. Las, naturalne pastwisko, zwierzęta dzikie, choćby na jego źrebiu zrodzone i żywiące się, ryby w rzece przy jego gruntach płynącej, tak były jego, jak całej osady własnością. Osoba ginęła w rodzinie, nie miała indywidualnego znaczenia i prawa. Dopokąd trwała rodzina wspólną stanowiąca, posiadała swój udział, swój zreb; gdy wymarła, zreb pusty, puścizna, wpływał do najbliższej wspólki osady. A że ta na jednolitości polegała, obsiadał ją inny rolnik, jeżeli była rolniczą, rzemieślnik jeśli rzemieślniczą. Każda rodzina miała względem osady, względem opola pewne ciężary, pewne obowiązki; reprezentowana przez głowę swoją na wspólnych naradach, wiecach, przyjmowała je i uiszczała. Lach nietylko z natury swego rzemiosła od obowiązków tych wylamał się, bo nie siedział w domu, ale i z innymi lachami oddzielne wieca składać zaczął. Przedmiotem ich ogół, narada: jak i gdzie bronić kraju, jakie środki do tego potrzebne. Przewodniczył na nich

ksiądz, książę, najwyższy naczelnik narodu, najwyższy sędzia i prawodawca. Lach narodowy prawodawca, gardzi gminnymi drobnymi wiecami, albo jako doświadczeńszy na nich przewodniczy. Zreb jego wyłączony od ciężarów, uprzywilejowany pomocą osady, jest coś odrębnego od innych zrebów. Lacka rodzina gaśnie; nie osiadzie jego zrebu rolnik lub rzemieślnik, bo lachy są niezbędne, bo ich oddzielne jest rzemiosło: lach posiadać go tylko może. Ale lachy nie siedzą w jednym miejscu; wspólka ich bardzo obszerna, ale rozproszona; pustka więc nie idzie na wszystkich lachów, ale do najbliższego z jego rodu, najpóźniej oddzielną rodzinę składającego: to dopiero zaród spadku. Lach, jużto nie łagodny, spokojny, zgodny rolnik lub rzemieślnik: zahartował się trudem, zesrotał i prawie zdziczał w ciągłej wojnie. Niemiec łapie go w powrozy jako niewolnika, wlecze do swój ziemi i każe pracować, najniższe odbywać posługi. On nawzajem łapie naprzód Niemca, a potem każdego z kim wojuje, przyprowadza do swego zrebu, każe mu ziemię za swoje dzieci i rodzinę uprawiać. Obdziera, łupi w nieprzyjacielskiej ziemi, i łupy jako swoje wyłączną własność do domu znosi. Tworzy więc wyłączną rodzinną własność, staje się panem. Przywykły do posłuszeństwa, do władzy nad sobą, zaprowadza ją w rodzinie, miesza i psuje równość. Duch, zasada wspólki zostały, ale wstrząśnięte, podkopane obcym sobie żywiołem upaść muszą, a przynajmniej coś mieszanego wyrodzić. Od podziału wspólki doszliśmy do zarodu spadków. Przyjrzyjmy się bliżej, jaki skutek wyniknął z tych krzyżujących się pierwiastków, gdy się przez kilka wieków fermentacyi w jedną znów całość zlały.

Wspólność rodzinna jest zawsze zasadą, chociaż zwichniętą w podstawie, zmaconą w źródle. Kto wychodzi ze wspólności, odbiera swój udział w ruchomościach lub pieniądzech, przechodzi do obcej rodziny albo oddzielną rodzinę zakłada. Syn, który spłacony ze wspólki wyszedł, czy się ta wspólka śmiercią rodziców rozwiązała, czy za ich życia, nie miał już prawa żadnego do niej. Córka, jako kobieta, mniejszy miała udział w pracach i utrzymaniu wspólności, mniejszy też jój udział. Idąc za mąż, przechodziła do obcego rodu, wychodziła więc ze wspólności, ale jój nie rozrywała. Wspólka zostawała: ona tylko wynagrodzenie swego udziału w posagu odbierała. Odebrawszy go jednak, nie już nie miała do majątku wspólnego. Prawa jój z braćmi były równe, zmodyfikowane tylko udziałem, jaki pracą swą osobiście do wspólności przy-

niosła. Wyposażenie więc córek nie jest obcym pomysłem; nie służba wojskowa nawet, ale natura wspólki jest jego podstawą. Ojciec i matka, to główny, pierwszy stopień wspólki. Dzieci, mianowicie synowie, drugi. Jeżeli jeden z synów we wspólnie będących umarł, pozostawiwszy dzieci, one jego osobę zastępują, one stanowią jako szczerp, jako podrzędna rodzina, część ogółu rodziny. Gdy ojciec i matka umiera, wspólka cała przechodzi do drugiego stopnia, do drugiego pokolenia; gdy tego nie ma, wedle pierwotnych zasad byłaby pustka, puścizna, przechodząca już, a raczej wracająca się do wspólki ogólnej, do osady, do gminy; wedle takich wyobrażeń, przychodził do niej ród najbliższy i stopień najbliższy wedle zasad wspólkowych. Zasada to rodzima, tylko okoliczności dały jej pozór obcy. Wystawmy sobie obszerniejszą rodzinę, z dwóch braci i ich dzieci złożoną. Z pokolenia pierwszego prawa wspólki nie łączą się z prawami tegoż stopnia pokolenia, ale przechodzą na drugie; brat jeden i żona jego umiera, dzieci ich całą połowę wspólki wyobrażają: połowa wspólki przechodzi wprost na drugie pokolenie, bo ono wtenczas już połowę we wspólnie wyobraża. Gdyby jeden brat umarł bezdzietnie, część jego we wspólnie nierozwiązanej, przyrasta do reszty wspólki reprezentowanej przez pozostałego przy życiu brata. Jeżeli ten ma dzieci, a mianowicie synów, oni z praw wspólności równo z ojcem tę przybyłą część obejmują.

Że takie wyobrażenia po kilkuset latach fermentacyi dotrwały do XIVgo wieku, że nie są tylko rezultatem rozumowania, zobaczymy to w przepisach statutu wiślickiego:

Pierwszy stopień wspólki rodzinnej stanowią rodzice, to jest ojciec i matka. Matka jako kobieta obcego rodu przyniosła do wspólki posag tylko i wyprawę; zdawałoby się więc, że jej śmierć na stosunki wspólki nie powinna wywrzeć wielkiego wpływu; a przecież po jej śmierci następował już rozdział wspólki na dwie połowy: przy jednej zostawał ojciec, drugą brały i miały prawo wziąć zaraz dzieci. Zwyczaj ten odwieczny ogranicza prawodawca wiślicki. Oto jego przepis:

De filiis qui moriente matre, petunt a patre portionem matrem, antequam secundam uxorem ducat.

„Ex communi usu in regno nostro extitit observatum, quod moriente matre, pueri omnium bonorum a patre ipsorum tollunt medietatem pro portione et hæreditate materna, propter quod soepe contingit, filios in teneris annis existentes, rebusque suis

consulere non valentes, sic receptam haereditatem, inutiliter consumere, expendere et dissipare consuevisse, patri denique de pietate et beneficiis ingratitude exhibentes, impellunt etiam plerum que eundem vergere ad inopiam, sicque vicissim sentiunt incommoda et jacturas, quare æquum extitit nobis et nostrae militiae ut matre moriente, filii non petant bonorum et haereditatis maternae devolutae portionem et successionem a patre donec ad secundas nuptias convolabit, nisi tunc velut famæ suæ prodigus bona et haereditates illas communes indebite dissiparet." (Jus. Pol. Bandtkiego f. 81).

Tenże przepis w tłumaczeniu z r. 1449:

„Z obyczaju pospolitego w królestwie naszém trzymają, iż gdy umrze mać, wszego imienia dzieci ojca ich biorzą połowicę i t. d.

(więc nie macierzystego, ale wszego)

widziało się jest nam i naszój szlachcie, aby gdy macierz umrze, synowie nie prosili imienia przychodzącego z strony ojcowej, której części od ojca pierwój, niżli wtorą swadzbą ślubi, to jest żonę pojmie, niśliby tedy jako swój poczciwości rozproszca, imienie a dziedziny ony pospolite źle rozpraszał.“

Na przypadek gdy ojciec wprzód umarł, taki był przepis:

„Statuimus: quod marito mortuo uxor circa donationem et dotem et quaelibet paraphernalia in pecuniis, gemmis, lapidibus et vestibus superextantibus et remanentibus, debeat remanere ipsa autem mortua, ad liberos si ipsos habuerit, praedicta omnia bona devoluantur. Quae mulier habendo pueros, si alium virum receperit, vel recipere voluerit, decernimus quod tantum modo ad eosdem pueros omnia bona paternalia integraliter, cum alia parte ipsos in divisione concernente, quorumlibet bonorum maternalium, in quibuscunque rebus consistant, absque aliqua contradictione devolvantur et cum alia residua suorum bonorum parte maritum accipiat iuxta suam voluntatem.“ (J. P. B., f. 92).

W tłumaczeniu z r. 1449:

„Ustawiamy, aby gdy mąż umrze, żona przy dziedzynie i przy wienie i przy wszój wyprawie a przy prawie w pieniądzech, w perłach, w drogim kamieniu, i w odzieniu będącém miała ostać; a ona kiedy umrze, tedy na dzieci acz je będzie miała, przerzeczzone wszystko ma spaść. Taż niewiasta mając dzieci, acz innego męża weźmie albo wziąć będzie chciała, skazujemy, aby tylko na też dzieci wszystko imienie ojczyzne spełna z drugą czę-

ścią ich dotykającą którego krole dobra macierzystego, w których krole rzeczach będącego, przez wszego przeciwienia spadło, a ona z została drugą swego tego imienia częścią, męża sobie weźmie podług swój woli.“

Przepisy te z statutu małopolskiego za prawo ogólne przyjęte. W Wielkiej Polsce inny był zwyczaj: statut piotrkowski bowiem przepisuje:

De divisione bonorum post obitum matris.

„Statuimus: quod, ubi pater, post obitum suae conjugis, inter filios suos fecerit divisionem bonorum suorum, quam filii denegare non potest, quamvis per nos vel capitaneum nostrum, eadem divisio ratificata non fuerit sue confirmata, eodem patre mortuo, filii ipsam rescindere non valebunt, quocunque modo, sed paternam portionem inter se dividunt. Isto modo facta autem huius modi divisione bonorum, ut dictum est, si pater aliam uxorem duxerit, et filios susceperit ex eadem, filii prioris matrimonii, ad paternam partem nequeant conspirare, sed erit portio secundi matrimonii filiorum. De filiabus vero si quis habuerit vel eas reliquerit fiat ut prius est constitutum. Si duo vel tres fratres divisionem inter se fecerint, uno ex ipsis mortuo, nec fratres superstites nec filii fratris praesumant rescindere eandem divisionem, quamvis eorum divisio nec per nos nec per nostrum capitaneum fuerit confirmata.“ (J. P. B., f. 147—8).

Tłumaczenie z roku 1449:

„Ustawiamy: aby, kiedy ojciec po śmierci swój żony między synami uczyni rozdzielenie imienia, jegoż (którego) synom odmówić nie może, a przez nas alibo starostę naszego ten dział poczwierdzony będzie, wzdry po śmierci ojcowej, synowie nie mogą jego wzdruszyć, obyczajem którym krole, ale ojcową część między sobą rozdziela tym obyczajem słowie jako i macierzyną. Pa- knięli ojciec uczyniwszy taki dział jako już rzeczono jest, inszą żonę przyjmie, a syny z niej przyjmie, to jest mieć będzie, synowie pierwój macierzy alibo pierwszego oddania, ku części ojcowej nie będą móż przyjsć, ale będzie ta część synów wtórego oddania; ale o dziewczkach, kiedy je kto będzie miał, albo ich odumrze, stanie się jako i pierwój jest ustawiono, a gdy dwa alibo trzej bracia rozdział między sobą uczynią, acz jeden z nich umrze, ani bracia ostala w żywocie, ani synowie brata ich umarłego mają śmieć wzdruszyć, ani będą móż tento dział, acz kakole ich dzielenie ani przez nas, ani przez naszego starostę było poczwirdzono.“

Okazuje się ztąd, że zwyczaj czyli duch narodu przeciwnym już był wspólności, w Wielkiej Polsce mniej, w Małej więcej. Prawodawca poszedł za zwyczajem małopolskim. Wspólność więc przez zwyczaj odepchnięta, przez prawodawcę potępiona, przestała mieć w pierwotnej obszerności prawne znaczenie. Ale naród nie zmienia tak łatwo odwiecznego zwyczaju; czas go modyfikuje i przekształca stosownie do życia i ducha narodu, ale zasada odwieczna, rdzeń zostaje podstawą i dalszych stosunków. Dlatego też mimo potępienia wspólności, z przedstawionych przepisów widzimy, że jeszcze nie zajęła jej miejsca spadkowość, na bliskości krwi oparta; jestto zawsze wspólność tylko na sposób spadku zmieniona. Odwieczna zasada: że majątek rodziny jest wspólnym; że rodzice reprezentują węzeł tę wspólność łączący; że skoro jedno z nich umrze, węzeł ten rozrywa się, a więc się i wspólność zaraz rozpada na dwie połowy: jedną pierwszego, drugą drugiego pokolenia. Bo, że prawodawca odroczył ze względów bardzo mądrych podział wspólki, że zarząd jej pozostawił w ręku ojca lub matki pozostałej, dopóki w drugie małżeństwo nie weszli, lub majątku nie marnowali: to nie zmienia jeszcze natury rzeczy, nie stanowi sukcesyi, gdyż zawsze synowie za życia rodziców mieli już prawo do ich majątku, a to z najkardynalniejszą zasadą spadkowości pogodzić się nie może, ale owszem sam prawodawca pozostawiony majątek w czasowej administracyi ojca lub matki wspólką mianuje:

„nisi bona et haereditates illas communes indebite dissiparet”

„niśliby tedy imienie, a dziedziny ony pospolite źle rozpraszał.“

Prawodawca wiślicki kładąc za podstawę swego rozporządzenia bezwzględną równość praw i sprawiedliwość, dopuścił się pomyłki, która utrzymać się nie mogła. Bo, że ojciec który miał dotąd zarząd wspólki nadal ją zatrzymywał, to rzecz bardzo prosta, użyteczna i sprawiedliwa; ale, że matka jako kobieta do zarządu tego mniej zdolna, nigdy go sama nieprowadząca, zresztą z posagiem tylko do rodziny obcej przychodząca, a zatem małe bardzo prawo do tego mająca, miała pozostać głową i rządczynią wspólki, to było niesłuszne i dobrego skutku przynieść nie mogło. Zobaczymy też, że się niedługo to prawo utrzymać zdołało.

Co do samego podziału synów z ojcem i matką, prawo stanowi różnicę z natury wspólki pomiędzy rodzicami wpływającą. Mąż wnosił do wspólki majątek rodzinny nieruchomy; żona posag pierwiastkowo zapewne w ruchomościach i kosztownościach,

później w pieniądzech. Część jej we wspólnie łatwa do stracenia, mąż więc stosunkowo do wartości posagu, musiał wskazać równiej wartości nieruchomości, i tę na zabezpieczenie posagu przeznaczyć: to się nazywało wianem (dotalitium). Wolno mu było jednak oprócz wiana więcej jeszcze wnieść do wspólności małżeńskiej, jak wartość posagu wynosiła, i to nazywano przywiankiem. Do wspólki więc małżeńskiej należała nieruchomość lub nieruchomości, wyrównyujące posagowi, wianu i przywiankowi, i na zabezpieczenie ich wskazane; należały wszelkie ruchomości i kosztowności przez żonę w dom męża wniesione. Takiej wspólkowej, to jest obciążonej posagiem żony nieruchomości, mąż bez zezwolenia jej ani sprzedać, ani tytułem darmym na nikogo przelać nie mógł. Ztądto widzimy w najdawniejszych aktach wpływające do nich, i dające zezwolenia żony. Jeżeli mąż oprócz takiej nieruchomości miał jeszcze inną nieruchomość, do wspólki małżeńskiej nie-należącą, tą mógł już bez zezwolenia żony rozporządzać, ale nieruchomość ta jeśli była rodową, ulegała wpływowi familii, jak to niżej zobaczymy. W tak urządzonej wspólnie, przybywają dzieci, a mianowicie synowie, i stają się współnikami, tak majątku ojczy-stego, jak majątku wspólkę małżeńską składającego. Dlatego też, gdy umrze matka:

„pueri omnium bonorum a patre ipsorum tollunt medietatem.”

Gdy umrze ojciec, dzieci brały cały majątek ojczysty i połowę całego majątku do wspólki małżeńskiej należącego.

„wszystko imienie ojczyzne spełna, z drugą częścią ich dotykającą, któregokole dobra macierzystego, w którychkole rzeczach będącego.”

Prawodawca wiślicki zaś postanowił, że po śmierci ojca, matka ma pozostać

„circa donationem et dotem et quaelibet paraphernalia in pecuniis, gemmis lapidibus et vestibus superextantibus et remanentibus;

a zatem przy całym majątku do wspólki małżeńskiej należącym. Jeżeli więc pozostał jaki majątek ojczysty, w którym matka wspólki nie miała, a synowie byli doletni, zaraz go objąć mogli. Ojciec zaś cały majątek podług statutu wiślickiego zatrzymywał, dopóki w powtórne małżeństwo nie wchodził.

Pozostała też i druga zasada wspólkowości: iż członek wspólki, który raz z niej wyszedł, nie miał już żadnego do niej prawa.

Prawda, że wyraźnie obejmuje ją tylko przepis, przywiedziony wyżej ze statutu piotrkowskiego: iż ojciec po śmierci pierwszej żony połowę swego majątku oddać powinien, drugą zaś dla siebie zatrzymuje; a gdyby wszedł w powtórne małżeństwo, synowie z drugiey żony, mają wyłączne do téj połowy prawo.

Ależ i prawodawca wiślicki ten sam zwyczaj zachował, gdy w motywach swego postanowienia, właśnie o skutkach takiego podziału mówi; to jest, że synowie wziętą połowę w młodym wieku stracić mogą, i nie potem nie będą mieli, bo im ojciec nie da.

Zasada ta zaś nie pozwala nawet wyobrażenia spadku, na przywiązaniu rodzicielskiem, a więc równém, i na bliskości krwi opartego: bo tym sposobem, jeżeli z pierwszego małżeństwa było trzech lub więcej nawet synów, brali połowę majątku ojczyściego, a z drugiey żony jeden zabierał całą drugą połowę.

Zobaczmy teraz przepisy o udziałach siostr, to jest wyposażeniach, a przekonamy się, że ani śladu nawet spadkowości jeszcze nie było, że owszem zawsze była zasadą współka:

„De filia vivente patre dotata“.

„Statuimus etiam: quod postquam aliquis nostrorum nobilium, filiam suam vivens nuptui tradiderit, et dotem sibi assignaverit competentem, ipso tandem defuncto eadem plura a fratribus repetere non poterit. Si vero patre mortuo, filia vel filiae remanserint solutae neque per patrem dotatae, si filia fuerit palatini, et possessiones fuerint multae, eidem centum marcae pro dote per fratres assignantur, ubi vero possessiones paucae et filiae multae, vel una haereditas, fiat aestimatio in valore, et pars contingens cuilibet sorori per fratrem nomine dotis, pecunia persolvatur; et idem sentimus de filiabus inferiorum nobilium a palatino, quod cum eas tradiderit maritis, dote eisdem similiter assignata competenti, quibus de hac luce sublatis fratribus questionem pro majori haereditate movere non poterint, fratres vero uterini cuilibet sorori quadraginta marcas solvere teneantur si possessiones sunt multae ut praefertur, si vero paucae, fiat aestimatio ut supra, et pars contingens cuilibet sorori in pecunia per fratres exolvatur; fratribus vero uterinis non existentibus, idem volumus de patruelibus esse intelligendum; et patruelibus non existentibus, tunc quilibet de eisdem armis et signis, consanguinitate saltem proximior, in bonis haereditariis seu patrimonialibus succe-

dere poterit, sororibus dotatis ut superius est descriptum; et interim quosque sorores non fuerint matrimonialiter copulatae haereditates patrimoniales quocumque modo vocitentur praedicti fratres possidebunt, quosque eas nuptui tradant et dotent modo praemisso. Hoc specialiter declarando prout etiam superius praemissimus quod, cum pater in vita sua aliquam nuptui tradiderit, ex hoc debeat contentari, quod sibi pater assignaverat, dum ad huc viveret in humanis, nec fratribus pro dote aliquam poterit movere quaestionem, sed contentari debet de eo quod parentes ipsius viventes et sui compotes existentes, sunt largiti, adicientes: quod fratribus seu mortuis, seu (non) existentibus filiae haereditatibus non succedant sed contententur dote eis tradita, ut superius continetur“. (J. P. B., § 128, f. 105—106).

W tłumaczeniu z roku 1449 jest ten przepis cokolwiek odmienny, a mianowicie:

„Ustawiamy, iż gdy który naszych szlachciców dziewczkę swoją za mąż da, a posag podobny namieni (1), a w tém umrze, tedy brat rodzony albo brat stryjeczny nie będzieli rodzonego, byłaby dziewczka wojewodza, a imienie wielkie, sto grzywien dać ma po niej, ale gdzieby było małe imienie, a dziewczek wiele, alibo jedna dziedzina, tedy obszacowanie będzie zacz stoi, a część słuszająca, każdej siostrze, przez brata rodzonego, alibo stryjecznego, nie będzieli rodzonego, imieniem posagu pieniędzmi ma być zapłacona. A takżoż czujemy o dziewczkach szlachciców niższych wojewody, aby je za żywota dali mężom posag im podobny, takżoż naznamionowawszy: iż (którzy) gdyby z tego świata zesзли, tedy bracia rodzeni alibo stryjeczni każdej siostrze czterdzieści grzywien zapłacić mają i powinni mają być, acz wielkie będą imiona jako przerzeczono, ale będąli małe imiona, tedy będzie obszacowanie jako wyżej rzeczono, a część dostająca się każdej siostrze, pieniędzmi ma być namieniona. A bratów stryjecznych albo rodzonych nie będzieli, każdy jen z tego pokolenia bliższy będzie, póki siostry nie będą małżeństwem złączone, dziedziny te lubo bliskością, lubo którymkole innym obyczajem k'nim słuszające, mają mieć i też osiągnąć obyczajem przerzeczonym. Wykładamy téż, iż ojciec za żywota swego, dziewczkom swoim może imienie kupione, alibo téż z królewskiej dani odzierżone, jeżby po nim żywe

(1) Tu opuszczone: „tedy po śmierci ojca, ta dziewczka na bracięj więcej nie zyszcze. (Wydanie Wojcickiego, fol. 53). Jeżeli zaś posagu nie wyznaczy,”

ostały polecić, ale brat części pieniędzmi siostróm spłaci, a sam dziedzinę odzierzy. Dziewki téż za żywota porodzicielów swoich za mąż wydane, bratu stryjecznemu, alibo téż rodzonemu o swój posag ni jenéj skargi ruszyć nie mogą, bo dosyć mają mieć na tém, co im porodziciele ich żywi będąc za posag im podobny są udzielili. Przydawając téż, aby gdy bracia zemrą, alibo nie będą, dziewczki w dziedzinach nikako bliskości imić nie mogą, albo nie mają, ani ich być namiestniczkami, ale dosyć mają mieć na posagu im danym, jako wyżej się mieni, a bliższy ich nie dawszy téż im posagu w téj dziedzinie wstąpią, wyjąwszy to, co rzeczono jest wyżej o dziedzinach kupnych, albo téż wysłużonych, iż dziewczki w takie wstąpią, to jest prawo k' nim mieć mają, alie bliższa bracia im pieniądze za nie dadzą, a sami dziedziny takie odzierzą. Téż zapowiadamy owszejki, aby dziewczki w dziedzinach, co jest puszcina rzeczony nie wstępowały ani namiestniczkami były, a gdzieby niektórzy przez płodu zeszi, bliżsi ich odzierzą dziedziny, a im w nich będą namiestniki“.

Obok takiego przepisu w zwykłych wydaniach statutu wiślickiego, to jest w *Voluminach legum* i w zbiorze Bandtkiego znajduje się przepis, zasady odmienne przedstawiający: tyt. *de virginum desponsatione et earum dotatione*.

„Item statuimus: quod cum aliqua domicella maritatur, aut nuptui alieni traditur, dos seu dotatio in pecunia parata sufficiat quae in praesentia amicorum assignetur, bona vero haereditaria coram regia majestate debeant assignari. Etiam statuimus: quod si quis militum aut nobilium, de hoc saeculo migraverit, habens filios vel filias, tunc filiae per fratres maritis tradantur, dote tamen eis more consueto assignata; si autem filios non habuerit sed filias tum filiabus omnes possessiones cedant paternae. Et si fratres patruelles huius modi haereditates obtinere voluerint tunc milites secundum ipsorum conscientiam praedictas haereditates taxabunt et a die taxationis hujusmodi dicti fratres patruelles sororibus intra annum parata pecunia (secundum quod fuerint taxatae haereditates) persolvere tenebuntur, et si in tempore unius anni neglexerint solvere tum filiae haereditates perpetuo possidebunt“ (J. P. B., f. 93. Vol. leg. I f. 38).

Nim więc do rozbioru dalszego przystąpi się, wypadła przede wszystkim tę pozorną sprzeczność usunąć. Dowodnie to już wykazano, że przed zjazdem wiślickim, na którym ogólny zbiór praw dla całego wówczas królestwa ułożono, prowincya Wielko-

polska oddzielnie w Piotrkowie, a Małopolska w Wiślicy zebrały swoje zwyczajowe przepisy, i z niemi na ogólny zjazd udały się, aby je roztrzaskać, pogodzić i w jedną zlać całość. W jaki sposób to zlanie dwóch prowincjonalnych praw nastąpiło, jaki był ów statut wiślicki staraniem króla Kazimierza ułożony i na cały kraj obowiązywać mający, z pewnością nie wiemy. Krytyczna i mozolna w tym względzie Bandtkiego praca, nie usunęła licznych wątpliwości i usunąć ich nawet nie mogła. Autor początkowego prawodawstwa polskiego objaśniając los statutu wiślickiego po śmierci Kazimierza, dowodnie wykazał, że pierwotny text jego dla nas zginął już niepowrotnie, bo później został upstrzony we wszystkich nawet najdawniejszych rękopismach, to późniejszymi dodatkami, to przyczepieniem do niego tych przepisów, które prawodawcy wiślicy odrzucili, a które przecież prowincjonalne życie długo zachowały.

Zdaje się przeto, że artykuł dopiero powołany, obejmujący przepis dopuszczający do dziedziczenia córki jest z liczby tych dodatków, bo niepodobna przypuścić, aby prawodawcy wiślicy dwa tak niezgodne rozporządzenia w swém dziele zamieścili, a więc tak rażącej dopuścili się sprzeczności. Składa się on właściwie z dwóch artykułów: pierwszy od początku jest czysto proceduralny i zgodny jest z duchem powyżej przywiedzionych przepisów. Były przypadki, kiedy córka dobra posieść mogła, więc prawodawca przypomniał tylko, że naznaczenie w posagu dóbr przed królem czyli jego urzędem nastąpić powinno: taka bowiem była wówczas jeszcze forma co do wszelkich alienacyj nieruchomości. Artykuł téż ten mieści się jako wiślicki we wszystkich najdawniejszych rękopismach.

Drugi zaś artykuł zaczynający się od: *Etiam statuimus*, zjawia się dopiero jako wiślicki w edycjach drukowanych i Łaskim. W rękopismach zaś dwóch tylko i to z drugiej połowy XV wieku a nawet nieodznaczających się porządkiem i dokładnością, znalazł go Bandtkie pomiędzy ustawami wiślickimi; w innych albo do ustaw warteńskich Władysława Jagiełły dołączony, albo téż na samym końcu statutu piotrkowskiego mieści się. I treść więc i krytyka odpycha go od statutu wiślickiego. Łaski mógł go zamieścić, bo zasada w nim objawiona już zapewne w powszechném była użyciu. Obok więc przestarzałej i wyszłej z życia praktycznej formy wyposażenia siostr, nie uderzał przepis nową w tym względzie zasadę obejmujący. Zwłaszcza, iż przepis ten zdaje się

być nawet dawniejszym od warteńskiego prawodawstwa, że jest nawet przedwiślickim, chociaż do wiślickiego nie przyjętym i nie wcielonym. Nie jestto dopiéro utwór zjazdu warteńskiego, bo przepisy warteńskie *de filiabus carentibus fratribus germanis* i *de tutoribus virginum* już na zasadzie dziedziczenia córek w braku braci rodzonych są oparte. Nadto, w statutach warteńskich wszędzie gdzie ustawy wiślickie zmieniono lub zmodyfikowano, wyraźnie to prawodawca objawia, i na przepis wiślicki, który zmienia, powołuje się, jak: *de uxore in sede viduali constituta; in quibus vidua succedere possit; de pueris matre orbatis*; tu zaś prawodawca mówiąc o dziedziczeniu córek wyraża się jako o rzeczy pewnej i niewątpliwiej, jako o prawie moc mającém. Wtenczas więc już przepis ten jeżeli nie za wiślicki, to za obowiązujący jakby był wiślickim uważano.

Artykuł ten większa część rekopismów mieści pomiędzy statutami piotrkowskimi, a więc wielkopolskimi; a właśnie sąto rekopisma, które najporządniej prawodawstwo wiślickie od wielkopolskiego oddzielają, które ustawy piotrkowskie najkompletniej obejmują. Ależ i ustawa wiślicka niewątpliwa, najpiérw przez nas przywiedziona o posażeniu siostr, wzięta jest ze statutu piotrkowskiego. Nowa więc sprzeczność: bo gdyby to jeszcze albo jeden albo drugi przepis był małopolskim, nie byłoby tyle rażącém. Lecz to właśnie podaje nic do wyjścia z téj trudności, do objaśnienia i udowodnienia czasu powstania tego prawa. Obadwa przepisy są wielkopolskie; ale jeden więcéj do dawnego porządku rzeczy przystający, zgadzający się zapewne z powszechnym zwyczajem w Małopolsce, do statutu wiślickiego wcielono, to jest przepis: że córki nie biorą dóbr rodzinnych wychodząc ze wspólki, lecz posag, że mając nawet wyznaczone w posagu dobra przez najbliższych krewnych są na skupie. Zwróciłem już bowiem uwagę, że taki przepis nie przyszedł z zagranicy, nie był utworem przypisywanéj przez niektórych badaczy skłonności do arystokracji i naśladowania w tém Niemców przez szlachtę wielkopolską; ale owszem był czysto rodzimym, z natury wspólki rodzinnej wynikającym. I owszem, przypuszczenie kobiet do posiadania i dziedziczenia dóbr nieruchomych w Wielkójpolsce także powstało, i późniéj dopiéro w całym kraju w powszechny zwyczaj weszło. Wspomniałem już wyżej, że nie znamy i znać nie możemy czystego statutu wiślickiego, tém mniéj nie znamy dokładnie, jaki to był statut wielkopolski w Piotrkowie ułożony. Wielkopolska

stosunkowo rzeczywiście dwa razy obszerniejsza przeszło od Małéjpolki, składała się z kilku księstw, oddzielny byt polityczny długo mających, oddzielnie kształcących i przerabiających życie wewnętrzne, prawa i zwyczaje. Jak więc na sejmie wiślickim nie-jeden zwyczaj wielkopolski lub małopolski odrzucono, tak na zjeździe piotrkowskim nieraz zapewne ścierały się różnorodne z różnych okolic zwyczaje i przepisy, i te z nich tylko wybrano, które były powszechniejsze, które więcéj odpowiadały wyobrażeniom szanowanym przez ogół. Pomiędzy temi przepisami, mniejszość za sobą mającemi, był zapewne i ten, nad którym obecnie zatrzymujemy uwagę; utrzymał się dawniejsze wyobrażenia przedstawiający, i ten wszedł do statutu wiślickiego. Że to był przepis istotnie wielkopolski, a mianowicie sieradzki, naprowadza na domysł przywilej Kazimierza ks. łęczyckiego i kujawskiego dla miasta Warty r. 1250 (C. D. P. II, f. 53—55) wydany, w którym postanowiono.

„Statuimus etiam hoc concedentes quod parentibus non solum filii, verum etiam filiae succedant in omni utilitate et jure paternatus.”

Stwierdza zaś zamieszczenie go pomiędzy przepisami statutu piotrkowskiego w większej części i to porządniejszych rękopismów. Los statutu wiślickiego objaśnia, jakim sposobem różne prowincjonalne przepisy do niego wcisnęły się, a postęp wyobrażeń skutkował, że ustawa o dziedziczeniu siostr stała się powszechną.

Prawodawca wiślicki nadając moc obowiązującą swemu prawu na cały kraj, oparł się na ogólnej dążności do zjednoczenia i bliższego pobratania długo rozerwanych prowincyj, zapewniającéj chętne bardzo posłuszeństwo temu rozkazowi. Po śmierci jednakże Kazimierza, za panowania Ludwika, zamieszania wewnętrzne sprawiły, że świeżo przyjęty statut nietylko utwierdzić i rozwinąć się nie mógł, lecz prawie w zupełne poszedł zapomnienie. Odżyły wtenczas po różnych miejscach zwyczaje niezawsze zgodne z prawem powszechnem, lecz owszém często nawet wprost mu przeciwne; Wielkopolska szczególniej wróciła się do swoich zwyczajów i statutu piotrkowskiego. Nastąpiło znów odstrychnienie się Wielkiéjpolki od Małéjpolki, a rozdział ten poszedł aż do powiatów i ziem, które do swych miejscowych zwyczajów powróciły. Niemało się do tego przyczyniała trudność posiadania w większej liczbie odpisów statutu wiślickiego; mało komu był

on znany, a jeszcze w odpisach tych przepisywacze starali się dogodzić upodobaniu miejscowości, i wciskali do przepisywanego egzemplarza przepisy, obejmujące zwyczaje pewnego województwa lub może nawet powiatu. Ztądto owa pstrocizna widoczna na oko zaraz we wszystkich najdawniejszych rękopismach, która nigdy porządnie i krytycznie oczyścić się nie da. Ztąd też i przepis który nas zastanawia, dostał się do statutu piotrkowskiego a następnie wiślickiego.

Zbyt może obszernie zastanawiałem się nad tą drobną napozór okolicznością. Rzeczywiście jednak nie jest ona małoznaczącą; bo bez jej wyjaśnienia trudnoby było pojąć i konsekwentnie wystawić ducha prawa wiślickiego, bo przepis ten był skałą, o którą wszyscy traktujący rzecz o spadkowości, nie bez szwanku zahaczyć i uplątać się musieli. Skoro zaś przepis ten nie jest wiślickim, jednakże miejscowym i dawniejszym od wiślickiego statutu, choć może w niewielkiej tylko okolicy obowiązującym; skoro zwyczaj po śmierci Kazimierza Wielkiego uczynił go powszechnym, tak dalece, że już na zjeździe warteńskim, zasadę przez niego głoszoną za podstawę innych przepisów przyjęto: przeto pozostawiając to do pośredniej epoki między wiślickim a statutem w Warcie uchwalonym, teraz jedynie rozbiorem statutu wiślickiego się zajmę.

Z całego rozporządzenia o posagach okazuje się, że jakkolwiek kobiety nie miały prawa i nie mogły posiadać i obejmować w dzierżenie nieruchomości, jednakże wysokość posagu stosowną była do wartości części, jaka dla nich ze wspólki przypaść mogła. Zarządcami nieograniczonemi wspólki byli rodzice dopóki żyli. Oni więc, gdy dzieci dorosły, czynili dział, jeżeli to za życia swego za stosowne uważali, oni córkom naznaczali posag, to jest wynagrodzenie za udział we spółce. Dział taki czyto względem synów, czy względem córek wyższy był nad wszelki ezarzuty. Prawo do wzruszania go nie daje żadnej pomocy i środka; wydzielony ze wspólki, wychodził z niej na zawsze, pozostawiając resztę tym, którzy w niej pozostali. Córka więc wyposażona za życia przez rodziców, nie miała już żadnego prawa do majątku rodzinnego, po ich śmierci pozostałego. Majątek ten przechodził, jeżeli nie było braci rodzonych, na innych mężkich krewnych. Majątek taki pod żadnym tytułem nie mógł przejść w posiadanie linii żeńskiej; ojciec nawet nie miał prawa dać i przeznaczyć go w posagu.

Jeżeli rodzice umarli nie wyposażywszy córek, majątek rodziny obejmowali synowie, z obowiązkiem wyposażenia siostr. Prawo popierając zasadniczy zakaz, aby dobra rodzinne w ręce kobiet nie przechodziły, ścieśniło nawet pierwiastkowy zapewne zwyczaj, iż siostra niewyposażona przez rodziców, brała szacunek części we wspólnym majątku równo z braćmi na nią przypadającą; chciało ustanowić pewien jeszcze przywilej dla linii męskiej, brania stosunkowo więcej, nierozdrabniania majątków. Gdy bowiem umarł wysoki jaki urzędnik, np. wojewoda, pozostawił liczne imiona, a córkę tylko jedną, bracia obowiązani byli dać jej za posag sto grzywien; lecz jeżeli pozostało się kilka córek, albo gdy dziedzina była niewielka, wtenczas rodzeństwo szło do równego działu, a szacunek części na córki przypadających, bracia obowiązani im byli tytułem posagu zapłacić. Po śmierci zaś każdego szlachcica, bracia w przypadku gdy będą liczne lub obszerne dobra, każdej siostrze po czterdzieści grzywien mają dać posagu; jeżeli zaś niewielki majątek, następuje oszacowanie, i tylko siostry szacunek przypadającej na nie części na posag biorą.

Jeżeli po śmierci rodziców, nie zostało się synów tylko córki, lub jeżeli synowie obojga rodziców przed wyposażeniem siostr wymarli, najbliższymi byli do objęcia majątku współkowego rodzinnego bracia stryjeczni, a w braku stryjecznych najbliższy krwią z tegoż rodu z linii męskiej.

(*quilibet de eisdem armis et signis cousanguinitate saltem proximior.*)

z obowiązkiem wyposażenia córek podług zasad dla braci rodzonych wskazanych. W prawdzie dosłownie trzymając się textu łacińskiego, przed braćmi stryjecznymi miałoby pierwszeństwo bracia przyrodni z matki (*fratres uterini*). Ale takiego tłumaczenia natura wspólności rodzinnej nie dopuszcza, i wyraźnie wskazuje, że *fratres uterini* nie mają tu rzymskiego znaczenia, że w wiekach średnich co innego, nie braci przyrodnych oznaczali. Przywiedzione tłumaczenie z r. 1449, wykłada *fratres uterini* na braci rodzonych, i dopiero późniejsi, a mianowicie z wieku XVI tłumacze ściśle się znaczenia łacińskiego trzymali. Ducange pod wyrazem *uterini* objaśnia taki wykład: *Interdum uterini, etiam noncupantur ex altero matrimonio procreati, ad discernendum duntaxat eorum, qui eodem patre sed diversa matre ex prioribus nuptiis nati sunt.* W średniowiecznej przeto łacinie *fratres uterini* była nazwa, braci z jednego ojca i téjże matki zrodzonych, dla ściślejszego od-

różnienia ich od braci ogólnie rodzonymi zwanymi (germani), z jednego ojca choć różnych matek pochodzących. Takie też znaczenie ma *frater uterinus* w wyroku z r. 1254. (Codex. Dyp. Poloniae. Tom. II, k. 51 i 52).

Tak nazwana przeto bliskość, nie jest jeszcze spadkiem, lecz prawem do osierociałej wspólki. Mówię osierociałej, dla odróżnienia od opustoszałej, opuszczonej, puścizny, o której później będzie mowa. Osierocenie zaś nazywam wtenczas, gdy z wspólki została się tylko kobieta, która jej dzierżyć nie mogła. Zwracaliśmy już wyżej uwagę na tę zasadę współkowości, że gdy jedno z rodziców umiera, połowa wspólki przechodzi na dzieci, mianowicie też synów; gdy oboje umrą, cała wspólka przechodzi do następnego pokolenia, to jest na dzieci. Jeżeli jest tylko córka, bliskość do majątku stanowi położenie dalszych krewnych w obszerniejszej wspólnicy rodzinnej. Gdyby bracia rodzeni ojca nie byli się z nim rozdzielać, gdyby w dalszej wspólności pozostali: po śmierci jednego brata udział jego obejmowałyby jego dzieci, a mianowicie synowie; gdyby zaś ich nie miał tylko córki, zawsze ten udział przechodzi do drugiego pokolenia: dzieci więc drugiego brata są bliższe od swego ojca, bo są tegoż stopnia, to jest drugiego z stryjeczną siostrą. Ztąd też gdy nie było braci rodzonych, stryjeczni byli bliższymi.

Dopiero gdy tych nie było, bliskość polegała na bliskości w pokrewieństwie. Czy więc w takim razie synowie stryjecznego brata zmarłego ojca rodziny i naczelnika wspólki byli bliższymi jak stryj tegoż? Według mego zdania, nie. Obręb wspólki nie rozciągał się tak daleko, zasada jej stosowała się tylko do rodziny, jaka rzeczywiście istnieć mogła: ztądto w dawnym prawie *propinqui*, *proximiores* i *remotiores* bliżsi i dalsi. Bliżsi, było rodzeństwo stryjeczne, z którymi jeszcze wspólka była możebna; dalsi, wszyscy inni krewni, których stopień bliskości stanowiło pokrewieństwo. Prawo wyraźnie mówi:

„quilibet de eisdem armis et signis consanguinitate saltem proximior”

więc już co do dalszych krewnych, objawia się zasada spadkowości na stopniu pokrewieństwa oparta. Bliższy po krwi, po stopniu pokrewieństwa obejmuje dziedzinę.

Ścisłość zakazu nieposiadania dóbr przez kobiety, zdaje się że w czasie statutu wiślickiego nie była już powszechną: dopusz-

czała wyjątków. Przeszarzały to widać zwyczaj prawodawcy wiślicy, zwracając więcej uwagi na urządzenie i ujednostajnienie postępowania w sądach, tudzież na prawo karne, w swój statut włożyli, który już nie miał dosyć życia w praktyce, aby się długo mógł utrzymać. Przywiedziony przez nas text wprawdzie wyraźnie i szczegółowo ten zakaz objawia:

„et interim quousque sorores non fuerint matrimonialiter copulatae, haereditates patrimoniales, quocunque modo vocitentur praedicti fratres possidebunt;”

ale jeszcze w XIII wieku natrafiamy na dowody, że kobiety tytułem posagu dobra nieruchome posiadały. Że zaś to nie było wypadkiem odosobnionym, lecz na zwyczaju moc prawa mającym oparte, przekonywają texta najdawniejszych rękopismów łacińskich i przywiedzione przez nas równie dawne tłumaczenia polskie, które w tym względzie tak się wyrażają:

„et interim quousque sorores non fuerint matrimonialiter copulatae haereditates sive ex successione paterna sive quocunque alio modo debeantur eisdem, valeant possidere atque etiam vindicare, declarantes: quod pater in vita sua, filiabus suis, possit bona empta, seu etiam ex regia donatione obtenta assignare, quae autem superstites fuerint, portiones fratres sororibus in pecunia assignabunt et soli haereditatem obtinebunt.”

„Każdy więc z tego pokolenia bliższy będzie, póki siostry nie będą małżeństwem złączone, dziedziny te lubo bliskością, lubo którymkole innym obyczajem k'nim słuszające, mają mieć i też osiągnąć obyczajem przereczonym. Wykładamy téż, iż ojciec za żywota swego, dziewczkom swoim może imienie kupione, alibo téż z królewskiej dani odzierzzone, jeźby po nim żywe ostały polecić, ale brat części pieniędzmi spłaci siostróm, a sam dziedzinę odzierży“.

Dobra kupione, albo od króla nadane, wolno było córkom na posag przeznaczyć; wprawdzie i z takich dóbr bracia skupić je mogli, ale powinni byli cały szacunek za nie zapłacić, czyli je odkupić. Byłato więc trudność, która pomogła bardzo często do pozostania takich dóbr w ręku córek. Inaczéj było z dobrami rodzinnemi: bo skoro córki za życia rodziców wyposażenie pozyskały, choćby bracia rodzeni pomarli, lub ich nie było, stryjeczni a nawet dalsi krewni nie im nie dawszy, prawem bliskości objąć je mogli.

„Przydawając téż, aby gdy bracia zemrą alibo nie będą, dziewczki w dziedzinach nikako bliskości mieć nie mogą, alibo nie mają, ani ich być namiestniczkami, ale dosyć mają mieć na posagu im danym, jako wyżej się mieni, a bliższy ich nie dawszy téż im posagu w téj dziedzinie wstąpią, wyjąwszy to, co rzeczono jest wyżej o dziedzinach kupnych albo téż wysłużonych, iż dziewczki w takie wstąpią, to jest prawo k'niem mieć mają, alie bliższa bracia im pieniądze za nie dadzą, a sami dziedziny takie odzierzą“.

Przywiedzione ustępy nie znajdują się w texcie wydanym przez Łaskiego, a wyżej przytoczonym; zdaje się jednakże, że niewłaściwie z niego wypuszczone zostały, bo zwracając uwagę na inny przepis statutu wiślickiego, stanowiący:

„Item statuimus quod cum aliqua domicella maritatur aut nuptui alicui traditur, dos seu dotatio in pecunia parata, sufficiat quae in praesentia amicorum assignetur, bona vero haereditaria coram Regia Majestate debeant assignari;”

przypuściłoby wypadało, iż prawodawcy albo dopuścili się sprzeczności, albo ubocznie utwierdzali zwyczaj, który wprost odrzucili. Wyznaczając bowiem formę zapisania w posagu imienia nieruchomego, przyznawali tém samém możność dania go w posagu.

Ale ustępy dopięro przywiedzione objaśniają jeszcze, że siostry wyposażone czyto przez rodziców, czy przez braci, a zatém wyszłe ze wspólki, po śmierci braci rodzonych do puścizny po nich nie miały żadnego prawa; dostawała się ona innym mężkim krewnym. Owszem, wyraźniej i ogólniej jeszcze prawodawca wiślicki wyraził się, powtarzając zaraz:

„też zapowiadamy owszeyki, aby dziewczki w dziedzinach co jest puszcina rzeczony nie wstępowały, ani namiestniczkami były, a gdzieby niektórzy przez płodu zesli, bliżsi ich odzierzą dziedziny, a im w nich będą namiestniki”.

Kobięty więc do majątku rodzinnego, czy puścizna utworzyła się po braciach rodzonych, czy dalszych krewnych ojczystych, nie miały żadnej bliskości. Jeżeli jednak w puściznie po bracie pozostały dobra nabyte lub od króla nadane, siostra miała do nich prawo; była tylko na skupie, to jest, że krewni brata z linii męskiej mogli jój te dobra odebrać, szacunek ich zapłaciwszy.

Rozbieraliśmy dotychczas piérwszy stopień podziału wspólki, odpowiadający spadkowi zstępnym; widzieliśmy, że majątek po ro-

dzicach biorą tylko synowie, że córki do posiadania go nie przypuszczone. Jeżeli synów nie ma, a są córki, wspólka nie jest pusta, ale z zarządcy, namiestnika osieroconą. Wspólka już przeszła do niższego stopnia spadkowości, do drugiego pokolenia, które jest niezdolne reprezentować rodu, bo do obcej przeszło lub przejść może rodziny. A duch wspólki rodzinnej, to duch rodowości w najobszerniejszym znaczeniu. Członkowie się dzielą, rozrywają wspólkę: jeden bierze wynagrodzenie, drugi zatrzymuje nieruchomość wspólną, bo inaczej, nie chcąc żyć wspólnie, uczynić nie można. Ale skoro ta dziedzina, to imię rodzinne znajduje się w takim położeniu, że ma przejść w obce zupełnie ręce: bliższym jest do jego posiadania ten, który sam lub jego przodkowie byli współwłaścicielami od każdego obcego. Wziąwszy wynagrodzenie zrzekał się wspólności względem brata lub ojca, zrzekał się pracy i starań przez ojców jego w tę część ziemi włożonych, zrzekał się niestartego tytułu swój rodowości, bo od imienia majątku brano imię, na korzyść plemiennika; ale udział jego samego lub przodków we wspólnie, stanowił tytuł w odległym nawet pokoleniu do przyścia napowrót do rodzinnego imienia. Widzieliśmy też, że bliskości tej nie nadawał stopień pokrewieństwa, ale bliższy stopień we wspólnie. Córka w niej pozostała, jako niezdolna do posiadania, przenosiła ją przeciw do drugiego pokolenia; uważano więc, że tak jakby po niej opustoszała dziedzina; dlatego też najbliżsi bracia stryjeczni, dalej inni krewni. Ale jeżeli pozostał syn i córka, syn siostrę wyposażył i sam obejmuje dziedziczny majątek. Syn ten umiera bezdzietnie, bez płodu; siostra po nim nie ma prawa brać puścizny. Jeżeli siostra umiera bezdzietnie, brat lub dzieci jego biorą po niej to, co z rodzinnego majątku wyniosła. To już linia boczna, spadek kollateralny. Nie ma wprawdzie na to wyraźnego przepisu, ale zwyczaj który był także prawem, w innym przepisie tak widocznie przebija, że się zaprzeczyć nie da. Ustawa ta statutu wiślickiego jest taka:

De fratricidio, patricidio, sororicidio

„Et licet lex tam novi, quam veteris testamenti fratricidium et alia saeva crimina graviter puniat et damnet, tamen quidam velut hostes proprii sanguinis et honoris, legis poenam minus formidantes, fratricidium committunt, sorores etiam vel proximos occidunt, ut ex eorum morte bona haereditaria lucrentur; volumus itaque ut unde bona haereditaria et lucra habere cupiunt inde damnis afficiantur, aut puniantur

in quo peccaverint. Ideo omnes regnicolae et nobiles regni nostri fratres aut ipsos consanguineos interimentes in haereditaria succedere possessione non valebunt, nec ullum ad eam accessum obtinebunt, quinimo sententiamus ipsos et eorum filios et privamus omni legitima talium haereditatum portione, in quibus bonis seu haereditatibus, alii consanguinei licet remotiores in linea, obtinebunt successionem."

Po zmarłym przeto bezdzietnie bracie lub siostrze, brat lub jego dzieci brały dziedzictwo. Znanie więc było zastępstwo, reprezentacya, nie jako utworzonej z prawodawstwa rzymskiego przybyły, ale jako naturalna wynikłość stosunku osób we wspólnie rodzinnej. Dziecko od urodzenia było już współnikiem ojca; dojszcie do lat pewnych nie rodziło praw, ale zawieszona ich użytkowanie niedojrzałością zapewniało. Ojcu wolno było podług swęj woli majątkiem rodowym rozporządzać, ale przy każdej alienacyi widzimy zezwolenie synów dorosłych, a nawet dalszych krewnych. Bo syn, jako członek rodu, miał niezatarte niczém prawo rodzinne, dające mu pierwszeństwo nietylko przed obcym, ale nawet dalszym krewnym do posiadania majątku rodowego. Prawo to bliskości tém było silniejsze, gdy po śmierci ojca, prawa jego skupiły się w synu. Stawał on na równi z żyjącymi stryjami, gdy szło o bliskość; a były przypadki, gdy swoje osobiste prawa wykonywał i pierwszeństwo miał przed niemi: bo, jakśmy widzieli, gdyby w dziedzinie stryja pozostała córka, synowiec przed stryjami miał pierwszeństwo.

Jeżeli po zmarłym bezdzietnie nie pozostali się ani bracia rodzeni, ani ich synowie, przed siostrą mieli pierwszeństwo bracia stryjeczni lub ich synowie, a w braku tych ktokolwiek z krewnych męzkich, bliższy pokrewieństwem, *quamvis remotior in linea*;

„insi przyrodzeni alibo dalsi w rodzaju odzierzą namiastność”.

Tłumaczenie z r. 1449.

„w których dobrzech alibo dziedzinach inni krewni aczkolwiek dalsi w linii albo stopieniu odzierzą spadek”.

Tłumaczenie Łaskiego.

Tłumacz z roku 1449 najwybitniej oddaje i odróżnia wyobrażenia dziedziczenia na wspólności oparte. Przyrodzeni to *consanguinei propinqui*, bliżsi krewni; *remotiores in linea* dalsi w rodzaju. Jak daleko sięgali ci bliżsi, jużemy widzieli rozbierając przepis o wyposażeniach, że ostatni byli bracia stryjeczni, inni

krewni już dalsi. To nam podaje wątek do wyrozumienia całego wyobrażenia wspólki rodzinnej. Napomknęliśmy już w ogólności, że ściślejsza rodzina wyobrażała ojca rodziny z synami i wnukami. Teraz przyszedłszy do stwierdzenia tej zasady w samym prawie. Dziad był najdalszym przodkiem, pniem rodziny bliższej; nie bez powodu też majątek spadkowy nazwano dziadziną, dziedziną. Obszerniejsza bowiem wspólka w praktyce jest prawie niepodobną. Wszyscy więc od jednego dziada pochodzący, są owemi bliższymi krewnymi. Dawniej zapewne w braku takich krewnych już dziadziina była zupełnie pustą, już bliskość do niej krewnych ustawała. Poza obrębem takiej rodziny krewni, czyli z tegoż rodu pochodzący, dopiero po ustaleniu się zasad prawa kanonicznego o stopniach pokrewieństwa, pozyskali prawo bliskości, po dzisiejszemu spadkowości: dlatego też prawo takich krewnych nazywa *remotiores in linea*, dalsi w rodzaju, bo pochodzący od brata dziadowskiego z którym nie żył we wspólności, stanowią oddzielny już ród, jednoczący się tylko w rodzaju, we wspólnym szczepie. I rzeczywiście podług naszego nawet prawa, wnukowie takich dwóch braci są już względem siebie w szóstym stopniu. Pomędzy takimi już krewnymi bliskość pokrewieństwa stanowiła pierwszeństwo. A więc poza obrębem dopiero rodziny, rozwijało się wyobrażenie spadkowości na pokrewieństwie oparte. Ostatni to już ślad w statucie wiślickim widzimy tej jedności rodziny i na jej podstawie bliskości do namiestnictwa, to jest do zajęcia opróżnionego miejsca we wspólnocie. Zobaczymy niżej, że wyobrażenie ogółu skłaniało się już i wtenczas do spadkowości, że przepisy, któreśmy rozbierali, nie łączyły się z obyczajem, z życiem narodu, kiedy w kilkadziesiąt lat zupełnie prawie w zasadzie zmienione, upadły. Że te wyobrażenia o rodzinie są pośrednie, są już z czasów chrześcijaństwa i przybyłego z nim innego wyobrażenia o pokrewieństwie i rodzinie, nie podpada wątpliwości. W dawniejszych czasach obręb rodziny był jeszcze szczuplejszy, jeżeli rzeczywiście stosunki wspólki jej nie łączyły. Kto umierał bezdzietnie, bez płodu, jak się dawni pisarze wyrażają, zostawiał majątek pustym, puścizną. Samo więc nazwisko dostatecznie rzecz wyjaśnia. Statut wiślicki w dwóch tylko miejscach o puściznie wspomina. Raz, mówiąc o córkach i wyposażeniu ich, gdzie dokładnie objaśnia co rozumie przez puściznę:

„tóż zapowiadamy owszeyki, aby dziewczki w dziedzinach co jest puszcina rzeczony, nie wstępowały, ani namiestniczkami

były; a gdzieby niektórzy przez płodu zeszli, bliźsi ich odzierać dziedziny, a im w nich będą namiestniki.”

Drugi raz w art. pod tyt.: *de bonis derelictis villanorum vel civium absque prole decedentium*.

„Abusiva consuetudine noscitur esse observatum: quod cum aliqui *Kmethones* seu rustici vel alii civiles homines, absque prole de hac luce decedunt ipsorum omnia bona mobilia et immobilia nomine vulgariter *puścizna* domini eorundem consueverunt occupare, unde nos eandem consuetudinem uti juri contrariam et absurdam reputantes, statuimus; quod de bonis eorundem decedentium, si tantum reperiatur in eisdem calix pro marca cum media ecclesiae parochiali dandus comparetur, reliqua vero bona ad proximos consanguineos vel affines cessante quolibet impedimento devolvantur prout aequitas et justitia suadent.”

W tłumaczeniu z r. 1449 tyt. o puścinach:

„Przewrotnym obyczajem znać było chowano, iż kiedy który kmiecie z tego żywota przez płodu schodzą, ich wszystko imienie ruszające i nieruszające puścina rzeczona, obykli są obłapać sobie panowie; ztąd my tento przewrotny obyczaj ganiąc, ustawiamy: aby z imienia tychto umierających, acz tyle w nim będzie należono, kielich za półtoręj grzywny jenby dan cerkwi parochijnej, sprawion był, a ostatek imienia ku bliższym przyrodzonym alibo rodzicom przestany, wszego przekazu spaść ma.”

Przepis ten ostatni daje wyobrażenie o puściznie kmiecój, a zatem dawniejszój od wyobrażenia puścizny, jakie z powołanych wyżej przepisów statutu wiślickiego powzięliśmy. I bardzo naturalnie, że dawny obyczaj dłużej się zachował pomiędzy kmieciami trzymającymi się urzędzeń gminno-współkowych, jak pomiędzy szlachtą, która już w tym czasie nietylko zpod wspólności gminnej zupełnie wyswobodziła się, ale na zarządców, na panów gmin wyszła.

Puścizna więc jest majątek cały tak ruchomy, jak nieruchomy, pozostały po zeszłym z tego świata bezdzietnie, bez płodu. Nie jest to tytuł do pozyskania takiego mienia, lecz samo imię, sama dziedzina. Gdy córka się pozostaje, nie ma puścizny nawet w kmiecych majątkach. Moznaby ztąd wznosić, że w odległych czasach, kobiety mogły obejmować i dzierżyć majątki nieruchome, zwłaszcza wtenczas, gdy były zamężne, gdy z mężem już nową

rodzinę tworzyły. Bliziej się jednakże rozpatrując przekonamy się, że tak nie było i być nawet nie mogło. Jestto niewątpliwą rzeczą, że usunięcie kobiet od dzierżenia dóbr nieruchomości, jest pomysłem miejscowym, jest wypływem wspólności. Jeżeli ktoś miał córkę i wydał ją za mąż, córka ta wzięwszy posag, wyszła ze wspólki i do reszty majątku nie miała już prawa. Jeżeli jej nie wydał, nie była ona zdolną prowadzić dalej ani wspólki i zatrudnień do niej przywiązanych, ani ponosić ciężarów i obowiązków, to jest głównie służby wojskowej. W takim razie nie byłoby wprawdzie puścizna, ale wspólka z głowy osierocona, niezdolna do dalszego istnienia, i podobnemu jak puścizna ulegała losowi.

We wspólnie rodowo-gminnej, ród był ostatnią jednostką; indywidualność znika w rodzie, jak ród znika w gminie, a gmina w opolu i t. d. Od pojedynczego więc rodu aż do najobszerniejszego narodu, solidarność praw i obowiązków, węzeł prawny jest jedynym punktem zjednoczenia i bliskości. Kto wyszedł ze wspólki rodu, kto oddzielną jednostkę rodzinną tworzyć zaczął, wchodził w obszerny łańcuch wspólki i stawał się ogniwem, takie tylko prawa względem dawnego rodu mającym, jak każdy obcy. Dlatego też gdy takie urządzenie społeczne w całej mocy i czystości było w obyczaju, puścizna, to jest opuszczone przez ród mienie przyrastało do obszerniejszej rodziny wspólkowej, to jest gminy. Jak pierwotne zrebia losem zapewne na wiecach, z uroczystościami prawnymi i religijnymi rodom się dostawały; tak puścizną na wiecach pod przewodnictwem najwyższego sędziego, a może razem kapłana rozporządzano. Jaka była zasada do pozyskania takiej puścizny, co nadawało pierwszeństwo, niepodobna jeszcze odgadnąć; być może, że coraz skrzętniej i staranniej odszukiwane źródła i na to nam dostarczą wyjaśnień i dowodów: to tylko pewna, że pokrewieństwo żadnego nie miało znaczenia. Dowód na to stawia przywiedziony dopiero przepis wiślicki o puściznach kmiecych; rozpatrzmy go tylko starannie. Prawodawca potępia i przewrotnym nazywa obyczaj, iż puścizny kmiece panowie grabili i sobie przywłaszczali; jakież tedy był prawny obyczaj? Gdyby branie jej przez krewnych, byłoby niezawodnie prawodawca wprost to powiedział, i usunąwszy bezprawie, prawo do dawniej mocy przywrócił. Ale tak nie zrobił, lecz wyraźnie powiada, że nową ustawę stwarza, że to co nakazuje, sam postanowił. Nadto, gdyby krewni mieli prawo do puścizn, szczególną i uderzającą byłoby rzeczą, aby to prawo tak powszechnie zgnębione i stłumione

przewrotnym obyczajem brania ich przez panów zostało, że aż prawodawczego gromu na zwalenie tego nadużycia potrzeba było, kiedy aż do czasów statutu wiślickiego kmiecie mieli przystęp do sądów, kiedy jednym jeszcze ze szlachtą a więc panami ulegali prawom, i choć z trudnością może, ale zawsze sprawiedliwość znaleźć mogli. Wszakże rozpatrując te niezliczone przywileje i nadania, które wyzwoloną już ze wspólności szlachtę, podnosiły wyżej nad gminne urządzenia, które jej nadawały nawet nad gminami sądownictwo: rzadko kiedy widzimy, aby panujący całą i zupełną swoją władzę, aby wszystkie swoje prawa na uprzywilejowanego przelewał. Do najgłówniejszych wyjątków, które nadający szczególne sądownictwo sobie zastrzegali, były *quaestiones haereditariae*; tak dalece, że zaledwie kilka znalazło się przywilejów, w których panujący takich praw sobie nie wyexcypował. Gdy więc w skutek osłabienia, następnie zwichnięcia, nakoniec zmieszania i rozprzężenia się porządku gminowego, wieca dawne poszły w niepamięć, a wieca szlacheckie odepchnęły kmieci: sam książę został reprezentantem i wykonawcą gminnych praw wiecowych, on sam rozsądzał *quaestiones, causas haereditarias*, on sam stanowił co do puścizn i niemi rozporządzał. Jegoto więc prawa dotknęło nadużycie szlachty, i dlatego z taką na nie powstał surowością. Jednakże nie przywraca go do dawniej mocy, bo już czas nie był po temu, bo inny powstał porządek społeczny, ważniejsze panującym kierowały zamiary. Wspólka szlachecka wyłamała się prawie zpod puścizny, nazwę jej tylko zachowując. Krewni nawet dalecy mieli prawo zgłaszać się do niej i zajmować ją. Na zjeździe wiślickim jak był jeden panujący, świeżo zjednoczonego narodu, tak miało być prawo dla wszystkich równe ustanowione. Zniósł więc panujący nadużycie, że szlachta, że panowie przywłaszczając sobie jego prawa, grabili puścizny kmieci; ale też i zniósł dawne ich znaczenie niezgodne z nowym porządkiem rzeczy, porównał je z puściznami szlacheckimi, przeznaczając je krewnym: jednakże po raz ostatni wykonywając swoje prawo rozporządzania niemi, przeznaczył z nich pewną część, legitymę, dla miejscowego kościoła. Użył w tém król swojego dawnego prawa, bo czyżby nie zastępował nadużycia nadużyciem, gdyby własnością obcą tak dowolnie rozporządzał.

Pod tym więc przepisem kryje się szczątek najdawniejszej zasady prawnej, zasady, na której się spadkowość wykształciła.

Podług téj zasady, poza obrębem wspólki rodzinnej, nie było już rodziny, była tylko gmina większa lub mniejsza. Oprócz spadku w linii zstępnej prostéj i to męzkiej, nie było spadku. Puścizna wracała do źródła z którego wyszła, to jest ogółu, ztamtąd ją inna rodzina nowém zupełnie prawem obejmowała. Co do kmieci, obyczaj ten acz zwichnięty przetrwał do statutu wiślickiego; szlachta oddawna go zmieniła i zarzuciła.

Wojenne rzemiosło szlachty, idące za niém prawa i obowiązki, trudne do pogodzenia z życiem współkowo-gminném, jeszcze przed chrześcijaństwem wyłamały i wyosobniły z gminy jéj zreby. Szlachta żyła oddzielnymi rodami, niemającymi żadnej z sobą styczności, żadnego współkowego połączenia. Każda wspólka rodowa szlachecka tworzyła niejako oddzielną gminę. Rody szlacheckie łączyły się wszystkie w jedną całość, tworzyły oddzielny naród szlachecki, który po zniszczeniu instytucyj gminnych, przerobiwszy sam w sobie nowe wyobrażenia, pochłonał w sobie całe życie narodu, i sam został narodem.

Puścizna szlachecka takiemu zapewne w początkach ulegała prawu, jak kmieca. Ale po wyosobnieniu ze wspólki gminnej rodów i zrebów szlacheckich, musiała nastąpić zmiana. Ród wymarł, została pustka; nie należał on do gminy, nie łączył go z innymi rodami solidarny węzeł wspólności. Zreb opustoszały nie mógł przejść do żadnej gminy, nie mógł go osiąść kmieć rolnik, lecz przypaść musiał lachowi wojowi. Wracał on niejako do ogółu; mógł nim zapewne z początku jak puścizną kmiecią rozporządzać na wiecu książę, ale komuż go oddać? W gminie zapewne członek téjże gminy miał pierwszeństwo. Szlachta nie żyła gminami, lecz członkowie rodziny choć oddzielnie żyjący, choć składający oddzielne już rody, stanowili niejako jedną gminę. Majątek rodziny całej stanowił własność ogólną. Do takiego ogółu wracała puścizna; pierwszeństwo zatem do jéj objęcia stanowić zaczęło pojęcie ściślejsze pokrewieństwa przez prawo kanoniczne rozwinięte, a wciśnięte w formę miejscową, w wyobrażenie wspólki. Widzieliśmy to w wykonaniu, w zastosowaniu, w prawie. Ztąd prawo do wspólki opustoszałej nazwane bliskością. Kto był bliższy pastéj wspólki, ten ją obejmował. Najbliżsi byli bracia rodzeni, choć rozdzieleni, dalej bracia stryjeczni, poza temi już tylko stopień pokrewieństwa dawał pierwszeństwo, bez względu na zwyczaje i urzędnia współkowe. Obszernie już to rozbierane, nie potrzebuje powtarzania. Poza bliższymi zatem krewnymi, każdy krewny miał prawa równe, prawa osobiste bliskości. Nie było więc

i nie mogło być reprezentacyi, bo tym sposobem wszyscy członkowie żyjącej rodziny na końcu we wspólnym przodku wykazałiby równe prawo bliskości. Zasada tego prawa taka sama jak wtenczas, gdy jaka nieruchomość miała przejść z rąk członka rodziny do członka innej rodziny, do innej niejako gminy, że każdy z téjże rodziny bliższy był do jój kupienia od obcego.

Zasada ta nie na wyobrazeniach arystokratycznych, lecz na naturze spółkowego urządzenia całego społeczeństwa polega. Częstka ziemi wydzielona z ogółu była akcyą, nadającą jój posiadaczowi tytuł do wszystkich praw współnika—robiła go obywatelem. Kto jój nie miał, był niczém, był gołotą. Szczupłe środki zarobkowania nie łatwém czyniły nabycie nieruchomości, kto jój po przodkach nie miał. Ztąd ten przywilej bliskości dla najdalszych nawet członków rodziny, zatrzymania sprzedawanój nieruchomości, aby w obce ręce, do innego rodu nie przeszła.

Prawodawcy wiśliccy nie sprzyjali już tym wszystkim wyobrażeniom spółkowości, jako w zwyczaju z nowemi wyobrażeniami familii walczącym, albo z niemi pomieszany, a więc prawdziwego znaczenia pozbawionym w społeczeństwie, które już inną formę przybierało. Potępiając więc w ogólności spółkę *sicut matrem omnis dissensionis et discordiae* (Vol. L. I fol. 40 tyt.: de divisione facta coram amicis), ograniczyli przywilej bliskości do lat trzech (Vol. leg. I fol. 19 i 44 tyt.: de praescriptione) a skutkiem tego sprzyjając wszelkiemu podziałowi majątku, choćby nie w formie uroczystej, lecz prywatnej sporządzonemu, takimże przeciągiem trzechletnim czasu niewzruszoność mu nadawali. Ślady dawnego obyczaju, któryśmy z przepisów statutu wiślickiego uchwycili i rozbierali, były prawie anachronizmem, którego z prawa usunąć jeszcze nie można było, ale innemi przepisami obcięty, ograniczony i podkopany, uległ naciskowi nowych wyobrażeń.

Od roku 1347 do ustaw warteńskich z r. 1420 tylko lat 73 upłynęło, a w życiu politycznym narodu zaszły wielkie i stanowcze odmiany. W życiu wewnętrznym, w wyobrażeniach prawnych nie mniejsze się okazują. Był to czas ostatniego starcia się i stanowczego zamalgamowania nowych wyobrażeń z dawnymi. Ściśle to stosujemy głównie do przedmiotu przez nas rozbieranego. Taki czas fermentacyi nie jest porą do prawodawczych urządzeń, bo byłyby albo zawczesne, albo spóźnione. Nie mamy też z téj epoki żadnych u nas praw uchwalonych. Ustawy dopióro warteńskie świadczą, jaka zaszła w wyobrażeniach odmiana. Nim jednakże do ich rozbiuro

przystąpimy, pominąć nie możemy ustaw w ks. mazowieckim wydanych, bo te i do ustaw wiślickich za objaśnienie i utwierdzenie poprzedniego rozbioru posłużą, i będą śladem téj wewnętrznej pracy ducha narodu, jednocześnie we wszystkich, acz politycznie oddzielonych częściach odbywanój, która nowemi wyobrażeniami, nowemi formami objawiać się miała. Nie bierzemy do tego statutu mazowieckiego całego, ale tylko te ustawy, których data jest pewna i właśnie na czas od statutu wiślickiego do ustaw warteńskich przypada, aby tém widoczniej, tém dotykałniej to preradzanie się wyobrażeń pokazać. Na cały zaś statut mazowiecki w swoim miejscu i obszerniej zwróconą będzie uwaga.

Zbyt ważny wpływ prawodawstwo wiślickie wywarło na rozwinięcie się i ustalenie wyobrażeń prawnych w Polsce, aby nie oddziałał na bratnie, chociaż politycznie oddzielone Mazowsze; zwłaszcza, że jednoplemienność i blizkie stosunki na równym stopniu co do ukształcenia i wyobrażeń oba ludy stawiały. Widzieliśmy, że prawo wiślickie jeżeli nie zdołało jeszcze zakryć nową formą zasady wspólki rodzinnej, jeżeli ślad jój widoczny pozostawiło, to obok tego tak ją ścieśniło, skępowało, że dłużej żyć już nie mogła.

Główna podstawa wspólności rodzinnej, blizkość (*propinquitas*) do najdalszych stopni rozciągnięta, ograniczona w swém trwaniu do lat trzech. Tak samo Jan książę mazowiecki statutem w roku 1390 w Zakroczymiu uchwalonym, tyt.: *Acturus pro haereditate infra triennium agat* (*Jus Polonicum Bandtkiego*, f. 423) postanowił:

„quod quicumque habuerit intentionem agendi pro aliqua haereditate, ille inhoet causam suam infra triennium. Qui vero causam suam neglexerit inhoare infra triennium, ut praemititur, idem triennio revoluto cadet a suo jure, imo perpetuum silentium debet ei imponi.”

A więc położył główną podstawę do utrwalenia spokojnej wyłącznej własności. W następnym zaś artykule pod tyt.: *Venditio haereditatis redimatur per propinquos*:

„Item, si aliqui terrigenae pro suis bonis haereditariis forum perpetuum in presentia domini ducis, aut judicii terrestris, contraxerint, et munimenta super id habuerint, aut receperint, in testimonium suae emptionis, amici propinqui venditoris hujusmodi bona vendita revocare possunt ad triennium. Et si infra triennium a tempore venditionis propinquiores amici ejusdem vendentis hujusmodi emptionem seu alias bona vendita non revocaverint, et emptorem ad iudicium pro praedictis bonis

non attraxerint, extunc elapso praedicto triennio in perpetuum tacere debebunt."

Prawo bliskości, jeszcze wedle statutu wiślickiego: „ad quemcumque de eisdem armis et signis” rozciągające się, ograniczone do *amicos proximiores*, krewnych bliższych, których znaczenie już wyżej wyjaśniliśmy, skrępowane trzyletnim przeciągiem czasu; krok więc tylko mały potrzebny, aby zupełnie zniknęło. Statutem z roku 1410, w Warszawie uchwalonym, tyt.: *de commutatione perpetua bonorum immobilium* (J. P. B., f. 429), z pod prawa bliskości wyjęto dobra zamienione; przepisuje bowiem ten statut:

„Quod commutatio haereditatum seu bonorum immobilium inter nobiles, vel cujuscumque status et conditionis homines, de mutuo eorum consensu et voluntate facta, sive cum aliqua additione pecuniarum vel aliarum rerum, sive etiam absque additamento, si fuerit inscripta et ratificata eorum praesentia nostra aut officii nostri, talis commutatio ad utrasque partes commutantium in perpetuum debet et permanere et inviolabiliter observari, et nulla persona ex linea consanguinitatis ipsorum dictam commutationem revocare et impedire potest, quam pacifice et quiete possidebunt in perpetuum”

Ułatwienie i utwierdzenie działów, to główna broń na zniszczenie wspólki. Jak prawodawca wiślicki, tak statut mazowiecki z roku 1377, tyt.: *divisio perpetuatur triennio* (J. P. B., fol. 418) nadając ważność i trwałość działom nawet prywatnie zdziałanym, jeżeli w przeciągu trzech lat skarżonemi nie były, potępił współkę na zawsze, i na zagładę ją skazał.

Tak podkopana i zmieniona zasada na której familia i jej stosunki wzajemne polegały, wymagała ustaw, któreby nowy porządek zaprowadziły i opisały. W statucie wiślickim widzieliśmy, że stare zasady częściowej tylko uległy zmianie, a sam czas miał reszty dokonać. Tak samo było i w księstwie mazowieckim. Przy rozprężeniu wspólki rodzinnej, przy ścieśnieniu jej obrębu nie mógł się utrzymać odwieczny zwyczaj, że po śmierci jednego z rodziców rozwiązywała się wspólka i dzieci przychodziły do brania w nią udziału. Dłużej jednakże Mazowsze przy nim obstawało, bo dopiero na zjeździe w Warszawie roku 1421 zapadła ustawa, podobna do wiślickiej, tyt.: *Quando pueri apud patrem porcionem recipiunt* (Bandtkie, fol. 434).

„Item statuimus et praesentis statuti vigore ordinavimus: quod omnis terrigena, cujuscumque status fuerit, et uxorem legi-

timam habuerit, ex qua pueros sexus utriusque procreaverit, quamdiu Deo volente cum ipsa uxore in humanis perstiterit, pueri apud eum nullam portionem mobilium et immobilium bonorum praeter ipsius voluntatem habeant, vel aquirant, nisi tantum, quantum ex gratia speciali eis voluntarie dederit et assignaverit, si vero talis uxor de hac luce migraverit, etiam quamdiu pater ad secundas nuptias non convolaverit, similiter pueris nihil dabit, sed potius ipsa bona, de quibus mentio supra fuit facta, pacifice et quiete possidebit. Ipse vero ad secundas nuptias veniens, sive aliam uxorem ducens, praedicta bona cum pueris uxoris primae per medium dividat, sic, quod pater cum ipsa secunda uxore de medietate, et pueri de altera medietate vivant”.

Jednocześnie jednakże prawodawca mazowiecki dalej zaszedł od wiślickiego, bo w następnym zaraz artykule, tyt.: *Patre mortuo pueri de quacumque uxore dividantur per aequanimitatem*, postanowił:

„Nempe si tertiam uxorem duxerit, et prolem utriusque sexus ex ea habuerit, ipsi pueri, quamdiu mater in hac luce cum patre eorum manserit, apud ipsos nullam portionem petere poterint, nisi ea mortua, et patre, ut dicitur, quartam ducente, petere haec valebunt, et sic intelligitur de caeteris, tantum de uno, quantum de altero, ad consummationem vitae. Inter caetera vigore praesentis statuti ordinavimus et ordinamus: quod patre, de quacumque uxore pueris utriusque sexus procreatis, de hac luce decedente omnes et singuli pueri bona ipsorum mobilia et immobilia in aequales partes dividant, salvo jure consortis ultime defuncti, de quo facta fuit mentio in statuto jam descripto“.

A więc tak bracia jak siostry do równego podziału przypuszczeni, bez różnicy nawet, czy z jednéj czy z kilku matek pochodzą: to już zupełny spadek, a do niego nawet statut warteński nie doszedł.

Upadek, a przynajmniej osłabienie wspólkowe, wielki wpływ wywarło na stosunki kobiét. Dlategoż tak w statucie wiślickim jak w ustawach mazowieckich wiele znajdujemy przepisów, dowodzących, że wyobrażenia w tym względzie dopiéro się kształciły i ustalały. Jeszcze w statucie wiślickim widzieliśmy, że córka nie mogła na udział we wspólcie brać dóbr nieruchomych, a w rzadkich przypadkach, gdyby się jéj dostały, skupioną z nich być mogła. Tu w powołanym dopiéro statucie mazowieckim widzimy, że zdobyła już równe prawa z braćmi. Nie nowa to nawet była ustawa, bo już statutem warszawskim z roku 1414: tyt.: *Quomodo soror par-*

icipat in haereditate paterna cum fratribus, et quomodo non. (Bandtkie, f. 431), postanowiono:

„Statuimus: quod quodocunque aliquis nobilis noster terrigena natam vel filiam suam maritaverit, seu matrimonialiter viro legitimo conjunxerit, post cujus quidem matrimonii consummationem, si qua bona paterna remanserint et vacaverint, tunc hujusmodi bona post mortem patris, aut fratrum suorum, remanentia ad ipsam pertinebunt, eo excepto, si ipsa filia nullum fratrem germanum vivum haberet, ad quem hujusmodi bona jure haereditario spectare debebant, tunc dicta bona ad ipsam filiam pertinebunt per eam pacifice possidenda. Isto etiam adjecto: si ipsam filiam seu mulierem fratres sui maritaverint, et aliqua bona haereditaria eorundem remanserint, tunc eadem mulier una cum ipsius fratribus participabit de eisdem bonis, sic, quod ipsa bona remanentia ipsam concernant, ad eamque pertinebunt, sicut ad aliquem suum fratrem. Cum autem eadem mulier coram nobis, vel nostris successoribus pro tempore existentibus, hujusmodi bona haereditaria resignaverit, et juri suo, quod sibi ad ea competebat, renuntiaverit, suumque jus praedictum in fratres suos transtulerit, tunc a modo ad hujusmodi bona eadem mulier nullum jus obtinebit.“

Wprawdzie nie upadła bliskość do skupienia siostr z dóbr nieruchomości, ale ograniczoną została do samych braci rodzonych, i do spłacenia zaraz gotowemi pieniędzmi; ma się rozumieć w czasie trzyletnim. Tak stanowi statut z roku 1421, tyt.: *Exemptio bonorum haereditariorum a sororibus* (Bandtkie, fol. 432).

„Item, quotienscunque et quodocunque ex nunc aliqua bona haereditaria per quoscunque terrigenas a sororibus juxta consuetudinem terrae redemi debeant, tunc ipsa bona, cujuscunque valoris existant, per amicos utriusque partis componentur, et paratis pecuniis monetae communiter in terra nostra currentis redimantur et solvantur exnunc, cessante compositione equorum, equarum, pecorum et pecudum, et aliarum rerum“.

Ustawy mazowieckie objaśniają bliżej stosunek małżonków co do posagu i wiana, i za uzupełnienie tego, co się przy statucie wiślickim w tym względzie powiedziało, posłużyć mogą. Przywiedziemy je tu kolejno, jak zapadły, bo ich osnowa objaśnienia nie potrzebuje.

Statut z roku 1404, w Zakroczymiu (Bandtkie, f. 426):

„Si aliqua virgo, vel domina militalis, vel de nobili genere procreata, matrimonium contraxerit, et si suus maritus de hoc saeculo migraret, eidem consorti suae pecuniam in aliqua parte

sua partimonii ratione dotis non donans, aut non assignans, extunc ipsa domina post mortem sui viri quindecim sexagenas grossorum communiter in terra currentium tantummodo pro crinali levare et tollere debet”.

Statut z roku 1414, (Bandtkie, f. 430):

Domina sterilis, quam partem dotis alienare poterit.

„Quod quotienscunque et quandocunque aliqua nobilis mulier, cujuscunque status et eminentiae, dotem suam, alias *possak*, vel dotalitium, alias *wiano*, in villa, seu haereditate, vel portione sui mariti, sibi assignatam vel assignatum habuerit, et ipsa sit sterilis, prolemque de se ex marito suo legitimo non procreaverit, extunc, mortuo suo marito, licebit dictae viduae, ob remedium suae animae, aut suorum cognatorum, tertiam partem hujusmodi dotalitii seu dotis, quo vis impedimento cessante, impartiri, duabus portionibus hujusmodi dotalitii seu dotis pro illis, quorum interest, et quibus de jure spectant et pertinent, reservatis”.

Z tegoż roku: tyt. *Divisio mulieris cum amicis mariti defuncti.*

„Quod quandocunque et quotienscunque aliqua mulier relicta post mortem sui legitimi mariti in praesenti seculo viva remanserit, dotemque sibi deputatam per eundem maritum, dum viveret, assignatam et ascriptam in bonis haereditariis habuerit, nullam que prolem ex eodem marito genuerit, tunc dote sua, sic ut praedicitur per maritum suum sibi deputata stet contenta, residuis bonis haereditariis pro cognatis ejusdem mariti mortui, ad quos spectare de jure videbuntur, devolutis. Si autem eadem mulier vidua nullam dotem per maritum ipsius viventem in aliquibus bonis haereditariis sibi deputatam habuerit, ex tunc in domo, quam idem vir suus, dum vivebat, inhabitare consueverat, et in bonis domus ejusdem post mortem dicti mariti derelictis manebit, usque ad tempora vitae suae, reliquis bonis haereditariis, si insuper aliqua extiterint, ad cognatos ejusdem mariti mortui, quibus ad ea jus competere videbitur, vel illum, qui de jure sua interesse putaverit, devolutis. Si vero aliqua bona in pecuniis paratis, vel in auro, seu argento, aut gemmis, post mortem mariti sui remanserint, tunc omnia bona et singula praedicta in pecuniis, auro et argento, vel margaritis praedictis, eadem vidua cum cognatis ejusdem mariti sui legitimis, ad quos de jure noscuntur pertinere, per medium debet dividere, pecoribus aut pecudibus domus praedictae, cujuscunque ge-

neris extiterint, et bladis, et frumentis grani et generis quorumlibet, hyemalibus et aestivalibus ad eandem viduam devolutis omnino, de quibus dicti cognati non debent existere participes, nec ad eos pertinebunt“.

Statut z roku 1421, tyt.: *Articulus dotalitii*.

„Item, primo statuimus: quod quotienscumque et quandocunque aliqua domina nobilis dotalitium suum, alias *wyano*, in aliquibus bonis, villa, seu villis, portione, seu portionibus, habuerit per maritum suum assignatum, et nostris literis ratificatum, tunc post decessum ipsius mariti sui gaudere ipso dotalitio et eo contentari debet, si autem dotalitium non habuerit, et ejusdem maritus plures villas, seu haereditatum portiones habuerit, extunc post decessum mariti sui in villa et domo, in quibus suus vir de hac luce decessit, ad tempora vitae suae, vel quamdiu ad secundas nuptias non convolaverit, pacifice et quiete permanebit, aliae siquidem villae sive portiones haereditatum quarumcunque ad proximos mariti mortui prout de jure spectabunt et pertinebunt. Si autem una villa tantum fuerit sive portio qualiscumque, et pueros eadem mulier habuerit, tunc ipsa villa sive portio in aequales portiones inter matrem et pueros dividantur et nihilominus domus super matrem teneatur. Si vero pueros ex se non procreaverit, tunc totam villam, portionem, aut portiones, in quibus eam reliquit maritus, ipsa domina habeat. Verum etiam si ipsa pueros ex dicto marito procreatos habuit, et ipsi pueri nondum ad annos debitae discretionis pervenerint, per ipsam matrem usque ad annos discretionis teneantur et regnantur; dummodo ipsa mater eosdem pueros suos utiliter, et provide, debiteque regat. Si autem in ipso regimine puerorum per consanguineos seu amicos damnosa vel inutilis reperta fuerit, jure victa ipsum regimen tanquam ab inutili removeatur, ipsaque bona ad manus amicorum duntaxat illorum qui illis pueris melius fecerint, in regimine committantur.“

Przepisy te objaśniają owę tak nazwaną przez nas współkę małżeńską, to jest majątek w którym żona udział miała. W statucie wiślickim bowiem jest ustawa na przypadek tylko, gdy pozostała wdowa ma dzieci; tu jest mowa o bezdzietnej małżonce. Widzieliśmy, że cała współka małżeńska pozostawała się przy wdowie bezdzietnej na dożywocie, to jest dobra na których jęj posąg i wiano były za-

bezpieczone. Widzimy dalej, że pieniądze, złoto, srebro i kosztowności, jako także do wspólki małżeńskiej należne, w połowie dla wdowy przypadają. Było zaś, zboże i wszelkie inne ruchomości w majątku obciążonym jęj wianem, były jęj wyłączną własnością. Widać przeto wszelki majątek ruchomy w inny sposób ulegał podziałowi, jak nieruchomości; i zdaje się, że od najdawniejszych czasów, ruchomy majątek równo na synów i córki przypadał, kiedy przy skupie siostr z majątku nieruchomego, wolno im było zatrzymać stada koni i bydła, jako skupieniu nieulegające. A przynajmniej zasada równego podziału najpięrw do ruchomości i kosztowności, jako w dawnych czasach nielicznych i rzadkich; zastosowanie znalazła. Zobaczymy to jeszcze przy statucie warteńskim, do którego teraz przystępujemy.

Duch narodu nie próżnuje: postępuje naprzód. Wywiedziony z ubitego toru dawnego obyczaju: czy siłą okoliczności, czy wolą prawodawcy, chwyta nową ideę, nową formę, przerabia ją i kształtuje podług siebie, sam sobie w danym kierunku dalej drogę toruje. Następniemu prawodawcy pozostaje tylko zbadać tę pracę narodowego ducha, ująć ją w jednostajne karby i ustawą uwiecznić. W takim położeniu był prawodawca warteński, Władysław Jagiello, a raczej pod jego imieniem zjazd r. 1420 względem statutu wiślickiego. Tamten widział rozbitą, w ruinie stojącą budowę społeczną narodu i pod względem politycznym, i pod względem wewnętrznego urzędzenia. Zlepił ją politycznie Władysław Łokietek, o ile mu czas i okoliczności dozwalały. Następca jego, jak podnosił i budował nowe grody i zamki, tak od fundamentów chciał odnowić, wyrestaurować, a gdzie potrzeba odbudować i do czasu zastosować gmach społeczński. Ztąd myśl na powszechnym zjeździe wiślickim, zebrania, porównania i w porządną całość ułożenia najglówniejszej podstawy społeczńskiej, prawa. Myśl to wielka, nie bacząc nawet na wady, jeżeli je w wykonaniu znaleźć się zdarzy. Nielatwa téz to była, a zawsze wyższa nad wiek praca. Gmachu stojącego glównie na podstawie obszernej wspólki rodzinnej, nietylko ściany, ale i fundamenta poszły w rozsypkę. Prawodawca wiślicki nie miał czasu, a może i przekonania, że do takiej budowy trzeba naprzód plan wyrozumować i ułożyć, zastosować go do materyałów, jakie znajdzie w zapasie wyobrażeń narodowych, albo nadstawiając je nowemi, przewidzieć, że do całości nowój stosowne będą, że trwałością wyrównają tym odwiecznym szczątkom miejscowego obyczaju, który do odbudowy zgromadził. Nie zrobił wprawdzie tego, ale bacząc na wiek téj pracy nie zasłużył na zarzut,

bo i dziś byłobyto zadanie niełatwe, praca, w której trudno błędów uniknąć.

Rozsypała się pod naciskiem nowych wyobrażeń odwieczna wspólka rodzinna, ale myśl narodowa błąkała się ze smutkiem obok tej pięknej niegdyś budowy, nie mając ani nowego planu, ani dostatecznych materiałów do jej odbudowania. Prawodawca też wiślicki, jak widzieliśmy, brał z niej całe bryły, obcinał, gładził i jak mógł do całości stosował. Odbudował pospiesznie gmach, ale zaledwie skończył pracę, przetrawiony już materiał rozsypywał się i niszczał, budynek niby nowy wyszedł popękany i skrzywiony. Statut wiślicki, jak widzieliśmy, zatrzymał odwieczny zwyczaj współkowości co do usunięcia kobiet od posiadania majątków nieruchomości, co do ich wyposażenia, co do podziału wspólki; a z drugiej strony wspólkę tę potępił, obciął i rozbięciem zupełnym zagroził. Przepisy, które w tym względzie całość uzupełnił, jako zbyt daleko od pierwotnego zwyczaju odstępujące, jako zadaleko na wiek posunięte, zamiast pomódz, zaszkodziły tylko całości. Zwyczaj też narodu targnął się na jego pracę i po swojemu ją przerabiać zaczął. Rzucił w zapomnienie co było przestarzałe, podstawił w to miejsce zwyczaj w Wiślicy odrzucony. Takąto drogą wszedł do statutu wiślickiego ów wyżej przez nas powołany wielkopolski przepis, co do dziedziczenia córek, który w polskiem tłumaczeniu jest taki:

Tę ustanawiamy, kiedy który ze szlachciców z tego świata zejdzie mając syny i dziewczki, tedy bracia swe siostry mają dać mężom, posag im naznamionowawszy obyczajem popolitym. Pakniąliby synów nie miał, ale dziewczki, tedy dziewczkom wszystkie dziedziny i imienie spadnie ojczyme. A będąli chcieć bracia stryjeczni je odzierać, tedy szlachcice podług sumienia ich przerzeczzone dziedziny złożą alibo oszacują, a odednia oszacowania już rzeczona bracia stryjeczna siostram w rok gotowemi pieniędzmi zapłacić mają podług oszacowania, a zamieszkająli przez czas jeno roku zapłacić, tedy dziewczki dziedziny wiekuiście odzierzą.

Prawodawcy warteńscy znaleźli ten przepis już w tak powszechnym użyciu, że na jego zasadzie do dalszego uzupełnienia lub zmienienia ustaw statutu wiślickiego, dotyczących stosunków familijnych, przystąpili.

Statut wiślicki zniósł dawny zwyczaj, że po śmierci jednego z rodziców zaraz dzieci miały prawo obejmować połowę majątku współkowego, i postanowił, aby nadal cały majątek w ręku pozostałego

przy życiu współmałżonka, to jest ojca lub matki pozostawał, dopóki w powtórne związki małżeńskie nie wchodził, albo nie okazało się, że majątek ten niszczy i rozprasza. Nowy ten zwyczaj zadaleko, szczególnie względem kobiet i porównania ich w prawach z mężczyzną posunięty, wyrodził nadużycia; dlatego też statut warteński przepisuje, tyt.: *De uxore in sede viduali constituta* (J. P. B., f. 203):

„Ad abolendam damnosam consuetudinem, quae hactenus inter subditos nostros solum ex communi usu servabatur, quod uxor, marito mortuo, in sede viduali, contra quandam antecessoris nostri institutionem, quae incipit statuimus, etc remanens, omnia bona possidebat, propter quod nonnulla bona pueris vel proximioribus, per inadvertentiam, et malam ipsorum procuracionem annihilabantur et desolabantur, unde talibus obviare volentes, statuimus de caetero: quod uxor, marito mortuo, tantum dotem et dotalitium habeat alia vero bona, in quibus dotem et dotalitium non habuerit, pueris vel proximioribus tenebitur resignare.”

Tę część majątku w której żona udział miała, nazwaliśmy współką małżeńską, i przy rozbiorze statutu wiślickiego zwróciliśmy już uwagę, że wdowa tak jak prawodawca warteński objaśnia, tylko przy jej posiadaniu pozostać mogła. Następnie jednakże statut warteński zwraca uwagę na drugą jeszcze niedogodność ustawy wiślickiej, z powodu pozostawienia wdowy przy posiadaniu majątku ruchomego, i stanowi tyt.: *In quibus vidua succedere possit* (i. c.).

„Licet etiam antiquitus per antecessores in quodam capitulo statutum sit, quod, marito mortuo uxor donationem, et dotem, et quaelibet paraphernalia, videlicet in gemmis, argento, vestibus, et pecuniis habeat et teneat, tamen quia non modica damna per hoc pueris evenire solebant, quapropter, de consilio et consensu praelatorum et baronum nostrorum, omnimode statuimus: quod uxor marito mortuo, solum circa paraphernalia domestica remaneat, thesauro videlicet pecuniis et argento, equis magnis, cum omnibus armis, (equireis exceptis), quae omnia ad pueros devolvantur; declarantes insuper: quod talis mulier circa omnia pecora, et quaevis alia, quae in dote sua et dotalitio fuerint, una cum equis vectigalibus, quibus tempore mariti sui vehebatur, remaneat, demptis vestibus, et equis parvis, in valore trium marcarum mariti defuncti, quae in aequalem sortem seu portionem dominae cum pueris cedere debent, et dividi cum effectu.”

Jednocześnie przeto prawie i w Polsce i w Mazowszu wydano ustawy, bliżej określające prawa wdowy czyto bezdzietnej, czy mającej dzieci, do majątku ruchomego po mężu pozostałego. Ta okoliczność, że w tym przedmiocie uznano potrzebę wydawać przepisy, przekonywa już, że wyobrażenie tego stosunku prawnego nie było jeszcze dokładnie wyrobione, że było nowsze. Zwyczaj bowiem sankcją wieków za sobą mający, nie był nigdy przedmiotem odosobnionych ustaw, chyba wtenczas, gdy go puszczono w zapomnienie, zmieniono lub mylnie tłumaczono na skutek nowego wyobrażenia lub zmiany stosunku.

Dopóki wspólność familijna trwała w całej praktycznej mocy, gdy członkowie wspólki wychodzili nie rozrywając jej: bydło, trzody, zapasy zboża, sprzęty, broń, kosztowności, były przedmioty, które mi wychodzący współnik udział swój odbierał, a reszta, jak wprzód, do całej wspólki należała. Wtenczas gdy opustoszała wspólka, puścizna wracała do ogółu, i najbliższy wspólki brał ją, nie wprost swoim tytułem jako spadek, ale jako udział od ogółu mu nadany, do którego był bliższym tylko od każdego obcego. Wtenczas to zapewne powstał zwyczaj, że panujący, ogół reprezentujący, przywłaszczał sobie majątek ruchomy, nieruchomość tylko krewnym zwracając. Ślad tego widzieliśmy już na puściznach kmiecych. Inny dochował się nam nie w przepisach prawa, lecz w podaniu, a mianowicie o grabieniu majątku ruchomego po księżach. Jeżeli bowiem mieli dobra nieruchome, te ulegały ustalonemu i prawnemu porządkowi. Że jednakże księża z powołania swego w majątkach swych nie mieszkali, że majątek ich ruchomy pozostawał oddzielnie, dlatego więc, iż nie był pod żadną wspólką był grabiony jako *res nullius*, jako puścizna. Lecz kiedy upowszechniony podział wspóltek wyrabiać zaczął wyobrażenie spadkowości; do ruchomości zapewne, jako łatwo podzielnych, najpierw spadkowość zastosowano. W ogólności jednak brał je ten, komu nieruchomość w udziale dostawała się, czyli, że ruchomości były niejako przyrostem do majątku nieruchomego. Gdy jednakże kto umierał nie w swoim majątku, ruchomości po nim pozostałe dostawały się temu z dzieci lub krewnych, u którego życie zakończył. Zwyczaj to wysnuty z wyobrażeń wspólki, bo kto wchodził w dom czyj z ruchomościami, zawierał niejako z nim wspólkę, a będący we wspólnie wyłączał tych, którzy z niej wyszli. Statut wiślicki dla zniszczenia wspólności, którą za niedogodną i zgubną nawet dla gospodarstwa i porządku uważał, dając porękę i ułatwienie wszelkiego rodzaju podziałom, co do ruchomości nie odstąpił jeszcze

od dawniejszego zwyczaju, i cały majątek ruchomy przy wdowie pozostawił. Dopiero prawodawcy warteńscy do spadkowości zbliżyli się, dzieląc ruchomości te na przywiązane do gruntu, który matka zatrzymywała, i te jej w całości przeznaczając; inne zaś wszelkie ruchomości przez połowę z dziećmi dzielić nakazuje. Chwiejące się przede i niewyrobione jeszcze było wyobrażenie prawne w tym względzie: bo jak wiadomo, w tym właśnie czasie ustalil się zwyczaj, że majątek ruchomy po księżach, zwłaszcza wyższego stopnia, nie szedł na krewnych, lecz był pod rozporządzeniem papieża, a więc niejako na kościół przechodził.

Za to co do nieruchomości, ustawy warteńskie usuwając pozostawione w statucie wiślickim resztki wyobrażeń spółkowych, uświęciły i w prawo zamieniły czyste zasady spadkowości, jak o tém przekonają następujące przepisy, tyt.: *De pueris, matre orbatis, habentibus patrem, et bona maternalia*:

„In quadam constitutione nostri praedecessoris decretum extitit, videlicet in capitulo: ex communi usu, etc. quod moriente matre puerorum, patre cum alia contrahere volente, pueri a patre petere valeant portionem maternam, et ideo considerantes in eadem constitutione, quod propter ingratitude patri factam per filios, et depressionem status sui, quem a filiis nonnunquam in tantae partis bonorum receptione et privatione patiebatur, et quia multoties filii, ad inopiam vergentes, ad patrem convolabant et recurrabant, qui, superiora advertens, eisdem succurrere non curabat, nec volebat, unde inter utramque partem rancor et displicentia oriebatur, quibus incommodis obviare cupientes, exnunc statuimus: quod pater habens filios, dum post mortem genitricis eorum ad secundas nuptias convolaverit non tenebitur, nisi forte velit sponte, praedictis filiis suis portionem haereditariam assignare, dummodo dissipator bonorum non existat, sed usque ad mortem suam in bonis haereditariis quibuscunque dominari et manere valebit et poterit, assignata duntaxat praedictis filiis suis portione, quam post matrem ipsorum ratione dotis seu nuptiarum tulit et recepit.”

Tyt.: *De eo, qui filios habuerit, superduxeritque secundam uxorem, et filias propagaverit.*

„Declarantes statuimus: quod, si contigerit, patrem cum secunda uxore filios non habere, sed filias, et cum prima habuerit filios, extunc patre mortuo puerorum praedictorum pars aliqua secundae uxoris filias non continget, sed filii sive filius

primae uxoris superstites sorores suas juxta consuetudinem terrae maritabunt, assignata ipsis in pecuniis dote competenti, bonis maternis duntaxat exceptis, si ipsae praedictae sorores habuerint, quae pro ipsis debent remanere. Cum vero pueri primae uxoris portionem suam aequalem, a patre eis sponte ex divisione perpetua oblatam, obtinuerint, tunc portio secundae uxoris filiis aut filiabus ejusdem cedere debet integraliter."

Z tych więc przepisów widzimy: że majątek ojczysty oddzielony jest od macierzystego. Po śmierci matki prawodawca nie nazywa już macierzystą całej wspólki małżeńskiej, ale tylko posag, który w dom męża wniosła, i ten ojciec obowiązany jest zaraz wydać dzieciom, gdyby w powtórne związki małżeńskie wejść zamierzał; inaczey cały swój i żony majątek dożywotnie posiadać ma prawo. Złe tylko i rozrzutne zarządzanie tym majątkiem stawia go w konieczności wydzielenia podług dawnego zwyczaju połowy dla dzieci.

Jezeliby z tak niewydzielonym majątkiem powtórna żonę pojął, i z niej córki tylko spłodził, córki te nie mają prawa do majątku ojczystego, tylko w naturze spłacałne są przez braci przyrodnich z pierwszej żony posagiem, pieniędzmi, a więc nie wartością części na nie w dziale przypadających; ale za to majątek ich matki, czyto ruchomy, czy nieruchomy nie wpływa do wspólki i wyłącznie na nie przypada.

Nie mogli się jednakże jeszcze prawodawcy warteńscy otrząsnąć zupełnie z wyobrażeń wspólkowych, bo w końcu postanowili: że gdyby ojciec z dziećmi pierwszej żony, za życia dobrowolnie podział, ale wieczysty, to jest nie jako zaliczenie na schedy, lecz i w formie prawem przepisanej i przy pokwitowaniu go zupełnym, oraz rzeczeniu się reszty, uskutecznił; ta część majątku, która w skutek takiego podziału przy nim pozostała, choćby z drugiej żony miał tylko córki, do nich wyłącznie należeć będzie.

Że prawo odkupu majątku nieruchomego rodowego z rąk kobiet, dawniej wszystkim krewnym z linii ojczystej mężkiej służące, ograniczone tylko zostało do braci rodzonych, przekonywa przepis następujący:

Tyt.: *De filiabus, carentibus fratribus germanis.*

„Ut viam dubiis praecludamus, interdum contingit, filias post obitum patris, carentes fratribus germanis, in bonis haereditariis remanere, quas solent patruum, vel amici proximiores, nomine tutorio, observare in hunc finem, quod ipsas, quibuscunque conditionibus, sive pactis, de haereditatibus excludant, volentes ipsis pecuniam, cum maritantur, assignare, eisdem igi-

tur de nostra clementia providere cupientes, statuimus deinceps: quod si mariti earum, taliter pecuniis a patruis, vel amicis, aut tutoribus receptis, ex pacto de non receptione bonorum ipsas concernentium adstrinxerint, qualitercunque, sive per fidejussoriam cautionem, vel alio quocunque modo tale pactum intervenerit aut aliquis fuerit adstrictus, illud decernimus irritum fore et inane, utque praefatae filiae redeant ad earum haereditarias portiones non obstantibus pactis aut cautionibus quibuscunque, sed sponte praefatae filiae bona sua haereditaria, si ipsis placet, vendendi, ut antea habeant facultatem at omnimodam potestatem."

Doszliśmy więc do wyobrażeń spadkowości; zobaczymy w dalszej kolei, jak te wyobrażenia rozwijały się i kształciły, jak następnie zepchnięte z dobrej drogi, zbałamucione nauką, mianowicie zasadami prawa rzymskiego, gdy stracono podstawę miejscową, wpadły w zamieszanie, tak dalece, że na końcu nie rumieniono się utrzymywać, iż nie mamy w naszym prawie przepisów o spadkach, i brak ten użyciem obcych praw zastępowano.

Dla uzupełnienia tylko przepisów z téj epoki zwrócić jeszcze wypada uwagę na statut łączycki, bo to przyniesie przekonanie, że zasada wspólności za statutu wiślickiego tyle jeszcze mająca życia, około roku 1420 już w zupełności upadła.

Statut bowiem z roku 1418, obala w zupełności owę bliskość, jeden z głównych filarów podpierających wspólkę rodzinną, stanowiąc:

„Quando frater germanus sorori suae maritatae vendit haereditatem, postea alter frater elenodialis illam haereditatem vellet acquirere, dicendo: ego sum propinquior quam soror, habens maritum alterius clenodii; decretum extat: quod talis est propinquior quam frater clenodialis“.

Tam nawet, gdzie prawo bliskości miało zastosowanie, statut łączycki ogranicza trwanie jego do bardzo krótkiego przeciągu czasu, to jest sześciu tygodni: oto jego ustawa:

„Statuit dominus Joannes de Olesznyeza, quando aliquis alteri vendit haereditatem et resignat, talis literam non debet exigere usque expiratis sex septimanis, propter proximiores, et hoc tota terra consensit. Et si nullus citat pro eadem resignatione et non intercedit in sex septimanis, talem literam seu privilegium notarius dare debet super haereditatem, alioquin pro-

ximus potest redimere, solvens quidquid in litera seu privilegio continetur illi, qui emit, et hoc facere debet ad primum festum circumcisionis domini sine juramento. Quod si proximus debito tempore, ut dictum est resignationem intercedit, et citat infra sex septimanas, acquirit haereditatem, proximitate. Tunc ille, emens haereditatem, deponat juramento proprio: quod pro aequo emit, et proximus solvere debet ad proximum festum circumcisionis domini, alioquin ille emens perpetuo haereditatem obtinebit, et notarius sibi literam dare tenetur. (J. P. B. S., 197).



PRÓBY PRZEKŁADU AGAMEMNONA

Z TRYLOGII

ESCHYLOSA: ORESTEJA.

PRZEZ

Lucyana Siemińskiego.

Objaśnienie.

Eschylos stoi na czele traików greckich; słusznie mu téż nazwisko ojca tragedyi przyznają. Żył on w chwilach największego znaczenia Aten; a cały tchnąc duchem swojej ojczyzny, nietylko reprezentował ją w swoich utworach, ale obywatelskimi zasługi przyczyniał się do jój wielkości; pola Maratonu, Salamina i Platea widziały go walczącego przeciw perskiej nawale. Używając wielkiego znaczenia, usiłował podnosić ducha Ateńczyków utworami swemi, w których bohaterstwo maratońskich czasów umiał z olbrzymią prostotą malować. Jednakże wykwintna cywilizacya biorąca górę, nie mogła już smakować w jego starożytnój prostocie; gładszy i wykończeniwszy Sofokl wydarł mu palmę. Najważniejszym z jego utworów jest trylogia: *Oresteja*, składająca się z trzech dramatów: *Agamemnon*, ofiara grobowa (*Choeforoi*) i *Eumenidy*. Treścią trylogii jest zamordowanie Agamemnona przez własną jego żonę Klitemnestrę; Orestes, syn Agamemnona i Klitemnestry, przyszedłszy do lat, mści się śmierci ojca i zabija matkę; za ten czyn ścigają go Erynnie; lecz Athene uwalnia go od winy, a Erynniom zapewnia wieczną cześć w Attyce. Utwór ten osnuł Eschylos na mitycznym podaniu o Orestie, które się łączyło z historycznymi powieściami o Pelopidach; lubo z drugiej strony gotowy materiał do Orestei mógł znaleźć w Homerze (*Odyssea*), gdzie cały ten wypadek tak jest dobitnie skreślony, iż niektórzy

objaśniacze epicznego cyklu przypuszczają, że do epicznych płodów Homera, mogła i Oresteja należeć. Opuszczam cały mityczno-historeczny wywód nieszczęść domu Atrydów, jako pospolicięj znajomy; a głównie zwracam uwagę na niniejszy utwór Eschyła, w którym tenże traik olbrzymiemi rysami rzucił pomysły swoje o porządku niebieskim i o władzy jego nad światem. Uderzającym jest to, co powiada, iż łańcuch nieszczęścia ciągnie się z ręki do ręki i staje się prawie dziedzicznym, ponieważ ludzie, którzy powinni być narzędziem pomsty boskiej, w ślepym szale namiętności gwałcą świętą powinność, a tém samém nowe ściągają na siebie kary, dopóki nie stanie się zadość wszystkim wymaganiom sprawiedliwości; a z tego twierdzenia wychodząc, usiłuje szorstkie przeciwieństwa natury i moralności pojednać, pokazując zakończenie walki starych bogów z nowymi. Z tego pojmowania stosunków nadziemskich, widoczném jest, że Eschylos wyobrażał sobie fatum nie ogołocone z moralnej prawdy. Przeciwnie niepodległość woli i moralne działanie wyraźnie uznaje, kiedy twierdzi, iż człowiek ściąga na siebie nieszczęście, przekraczając granice przepisane sobie prawa. Te właśnie miejsca tak w objaśnieniu starożytności ważne, znajdują czytelnicy w ustępach przytoczonych poniżej. Ażeby zaś początek mego przekładu wydał się mniej oderwanym, daję tu treść Agamemnona. Zamordowanie tego króla przez małżonkę jego Klitemnestrę, stanowi ośnowę tragedyi. Osoba Agamemnona nakazuje poszanę; a jednak ściągnał on na dom swój cierpiący, na stare rany okropne przeznaczenie, przez to, iż dogadzając wojennej pysze, poświęcił w wyprawie na Ilion życie tylu ludzi, a nawet i życie własnej córki, Ifigenii. Klitemnestra występuje w charakterze dumnej niewiasty, mającej w sobie bardziej pierwiastek męzki niż kobiecy. Miłość dla dzieci i męża, zgwałciła w samym źródle, w niebytności małżonka płodząc bezwstydy z Egistem, który ze swój strony także knuł zemstę za morderstwo, jakie Atryd na jego ojcu Thyescie popełnił. Klitemnestra z najzimniejszą krwią i rozmysłem zabija wracającego zpod Troi małżonka wraz z branką Kassandra, i czyn swój ogłasza z całą bezczelnością zgromadzeniu starców, których chór przedstawia. Na usprawiedliwienie się, ma śmierć Ifigenii, miłostki Agamemnona pod Troją i ducha zemsty swego domu; uwaga ta łagodzi cokolwiek tę niepotrzebną zbrodnię, która w oczach widzów nie byłaby niczém usprawiedliwioną.

Co zaś do próby dołączonego tłumaczenia tyle mogę powiedzieć, że trudności samej treści, język zawilę, przytém konieczność zbliżenia się do pierwotworu spowodowały mię do przekładu prozą, tém bar-

dziój, gdy mi na myśl przyszła uwaga, tak głęboko rozsądna Göthego: „Jak rytm tak i rym poważam wielce, przez niego bowiem poezya staje się dopięro poezją; lecz właściwie głębokiem, mającém gruntowną wartość, oświecającém i kształcącém jest tylko to, co pozostanie z poety, jeżeli go przetłumaczym na prozę.” (Dichtung und Wahrheit. Część III, str. 73).



Agamemnon.

(Zamek królewski w Argos. Widok na morze, góry i miasto. Na płaskim dachu skrzydła pałacowego strażnik wstaje z posłania).

Strażnik.

Błagam was bogowie zwolnijcie mię z tój pracy, z tój długiej, wieloletniej straży, którą odprawiam, by czujny pies, na szczytach zamku Atrydów! Poznałem się już z całą czeredą gwiazd nocnych: wiem, które ludziom lato, które zimę przynoszą; widuję tych promienistych królów, jak na wyiskrzoném sklepieniu wschodzą i zachodzą co doba. A czyż i teraz nie wytężam ocz za onym znakiem płomienym, co ma zaświtać wieścią o zdobyciu Troi? Pani moja, z mężkiem i pełném nadziei sercem taki mi dała rozkaz. Znużon czuwaniem padnę niekiedy na garść słomy zwilżonej nocną rosą, sen niemniej odemnie ucieka; miasto niego obawa mię dręczy, abym nieszczęściem nie zmrużył powiek. Czasem chcę sobie co zaucić, lub zagwizdać dla ulgi w strażniczym czuwaniu; i wnet gorzko się rozplączę nad niedolą tego domu podupadłego w swój dawniej świetności. Niechże już raz koniec przyjdzie tym trudom! niechże już raz wystrzeli płomienny zwiastun! (*plomień wybucha*).

Witaj mi nocna luno! Zwiastujesz nam dzień jasny, i w całym Argos budzisz płasy dziękczynne za odniesione zwycięstwo! Hu! ha! (*zbiega na scenę*).

Polecę z krzykiem do małżonki Agamemnona; niech co tchu łoże porzuca; niechaj ściany zamkowe hymnem wesela pozdrowią tę lunę: Troja już wzięta, świadkiem stos gorejący! Oj na godowych płasach będęz rej wodził; przecież szczęścia moich panów jam sprawcą, jam dopatrzył tę potrójną szóstkę, która im padła w grze losu! Obym przynajmniej drogą prawicę wracającego nam gospodyna tą dłonią uściskał! Zresztą sza! złoty zamek usta mi zamyka; mury te, gdyby mówić umiały, wiele mogłyby mu powiedzieć. Kto świadom rzeczy, z tym człowiek rad gwarzy; kto nieświadom, dla tego i ja nie wiem (*odchodzi*).

(*Nadciąga chór argejskich starców*).

Chorowód.

Jużto dziesiątek lat, jak przeciwnik Priama, król Menelaos z Agamemnonem, oba niezłomni Atrydzi, których nieba pobłogosławiły podwójnie berłem i tronem, odpłynęli ztąd na wojnę pod tysiącem żagli argejskich.

Na bój! wołali piersią ziejącą mordem, by drapieżne sępy, którym z gniazda wydarto pisklęta, a one żałośnie jęcząc, niezmordowanym skrzydłem sieką powietrze i wieszają się nad pustym gniazdem, osieroconym teraz z ich trosk ojcowskich.

Lecz z wysokości bóg jakiś, Apollon, czy Pan, czy Zews usłyszał głos rozlegającego się jęku za wydartymi pisklętą i zesłał Erynią, mającą prędkiej lub później ukarać wydzierców.

Podobnie bóg szanujący gościnność, wypuścił przeciw Alexandrowi (1) Atrydów; i oto—o niewiastę, co rada zmieniała mężów, ciągną Danaje na Trojan w bój, taki nieubłagany, taki morderczy, że aż kolana zaryły się w ziemi, a kopie w drzazgi lecą walczącym na przodzie.

Niechże będzie jak jest. Ani całopalenia, ani libacye, ani łyzy, nie zagaszą gniewu bóstw obrażonych za niezapaloną obiatę.

Lecz my, których zgrzybiałe członki wykluczały od wojennej wyprawy, zostaliśmy doma, podpierając dziecienniałą starość koszturem. War krwi młodocianej co pędzi do czynów skrzepnął w nas; żądza bojów w stariej piersi nie mieszka. Kogo starość przygniecie, komu jesień zwarzy liście, musi pełzać o trójgu nóg, słaby, by naj-słabsze dziecko; istna mara ponocna na pełnym dniu.

(*Orszak dziewic służebnych wychodzi z zamkowych podwoi, niosąc czasze i dzbany i otacza dokoła ołtarze; królowa Klitemnestra występuje w swoim orszaku, i zabiera się do spełnienia ofiary. Chorowód mówi następne słowa*):

Ależ królowo, córo Tyndora, Klitemnestro, mów co się stało? jakie doszły cię wieści? na czyje doniesienie rozdzielasz dary obiatne, i wszystkim bogom, obrońcom miasta niebiańskim, piekielnym, ziemskim, na każdym ołtarzu dajesz zertwienny ogień zapalać?

I tam i sam płomień wystrzela wysoko ku niebu; z poświęconego dzbana nie moc zdraźnych czarów, lecz kosztowna i święta podnieca go oliwa. Mów mi tedy co możesz i chcesz powiedzieć;

(1) Parys.

stań się lekarką w moim kłopotcie i niepokoju: bo niepokój zdradliwie wciska się do duszy, kiedy ją widok tych ofiar rzeźwi i weseli, odstrasząc chmurną, płaczącą tęsknotę.

Chór.

Jakżeby rad wyśpiewać szczęśliwy odjazd naszych owróźbionych witeziów. Bogowie zsyłają natchnienie, mam ufność w pieśni, że zdołam wyśpiewać te czasy wojennych zapasów, jako niegdyś dwutronni Achiwi, z sobą zgodni hetmani, przewodniczący helleńskim mołojcom, ciągnęli z oszczepem w mściwej prawicy na Troję; wtenczas widziano, jak dwaj króle powietrzni, onym królom korabli, pojawili się w pobliżu tych zamków po stronie ręki, co dzierży kopię; byli to dwaj orłowie: jeden czarny, drugi biały. Upadłszy oba na szczyt zamkowy rozszarpywali między sobą jelita brzemienną zajęczycy, zmordowanej ucieczką przed skrzydlatą pogonią.

Biada, o biada! wołajcie, lecz niech zwycięży pomyślność!

Gdy wróżbit doświadczony zmierzył okiem obu Atrydów, odgadł wnet w drapieżnych ptakach dwóch hetmanów wyprawy; więc w taki sposób wróżbę wyklada: „po długich leciech gród Priama stanie się wojsk zdobyczą i wszystkie skarby, które król, które uzbierał lud, gwałtem kiedyś zagrabi Moira. Oby tylko zawisać między bogami nie zerwała bicza uplecionego na Troję. Artemis gdzieś zapewne złości się na te skrzydlate psy swojego ojca pana, za to, że biedną macierz rozdierają wraz z małemi w żywocie. Z obrzydzeniem pogląda na tę orlą biesiadę. Biada, o biada! wołajcie; lecz niech zwycięży pomyślność!”

„Piękna bogini równie troskliwą opieką czuwa nad pomiotem groźnego lwa, jak nad koziołkiem wiszącym u piersi łani. Te orły zwiastują już pomyślność, już klęskę. Taka jest wola bogini. Wezwę ja pomocnika, wezwę Peana, aby Artemis wiatrów przeciwnych nie zsyłała Danajom, i nie żądała ofiary przeciwniej słuszności i prawu, ofiary, z której się zrodzi waśń domowa, a przed którą on, mąż nie zdrzży. O, bo we własnem jego gnieździe, wylęże się skryta i chytra jedza, grzejąca zemstę za śmierć dziecięcia!”

Tak brzmiała przepowiednia Kalchasa w dniu wyprawy; królewski ród wielkiego szczęścia miał doznać, ale i wielkiej niedoli.

Odwórzcie wróżbie Kalchasa; biada o biada! wołajcie, lecz niech zwycięży pomyślność!

Zewsie! ktokolwiek Zewsem jesteś, jeśli ci miłe to miano, tedy cię wzywam niem. Przyrównać cię z niczém nie mogę, chociaż się

gubię w zaciekach: boś tylko ty jest tym bogiem, co może zdjąć ze mnie brzemie czczych domysłów i niepewności.

Ów, który pierwszy panował nad światem, ów bóg niegdyś potężny, dziś nie jest tém, czém był. Inny co po nim nastąpił, uległ również zwycięzcy; lecz kto Zewsowi zabrzmi hymn pochwalny, pokój dla duszy zdobędzie!

Onto prowadzi ród ludzki drogami mądrości, on przez cierpienia naucza. Wszakże i podczas snu, serce nieraz zapłacze zgryzotą, i mimo naszej woli pada nań ziarno mądrości. Dowód to łaski potężnych bogów, siedzących u steru świata.

Podobnie i ów starszy hetman greckiej wyprawy nie wybuchnął gniewem na wróżbita, ino w żalości poddał się grożącym losom, podczas gdy wojska greckie zatopione w beczynnym spoczynku, leżąc przed Chalkisem, z wybrzeżów Aulidy patrzyły na szalejące morze.

Złe wiatry dęły od Strymonu, wiatry niosące mozolną beczynność, bezcelną żeglugę, przewłokę, a korablom i żaglom szkodę; w dłuższej, nużącej zwłoce usychając młodź helleńska, marniała. Lecz wróżbit w imieniu Artemidy podał hetmanom sposób przebłagania jęj stokroć sroższy, niż najsroższa burza. Co usłyszawszy Atrydzi wbili głęboko w piasek swoje posochy i leż wstrzymać nie mogli.

Wtedy najstarszy hetman ozwał się w te słowa: biada mi jeśli nie usłucham, biada jeśli zabiję własne dziecko, klejnot domu, i na ołtarzu, w krwi córki zbrocę tę ojcowską rękę! I tak i siak równa niedola! Mamże pułków moich odbieżyć, święte zdradzić przymierze? Wszystko co żyje, woła o krew dziewiczą, mającą wiatry przebłagać. Niechże i tak będzie!

Agamemnon poddał się jarzmu konieczności; myśl zmienił, uknuł zamiar zbrodniczy, bezbożny i już się waży na wszystko. Pierwszy krok krzywy pozbawia rozumu i staje się źródłem goryczy. Na własne dziecko nie wzdryga się podnieść ręki i czemu? oto, by okupić drogą ofiarą powodzenie wyprawy mszczącój, porwanie jednéj niewiasty!

Ani próśby, ani zaklęcia na imię rodzica, ani panięskie piękne jęj latka, nie mogły rozbroić surowej cnoty hetmańskiej. Sam odprawił modlitwę, sam przyzwał sługi i kazał jak kozłátko jakie zawinioną w rańtuchy, z opadającą główką ciągnąć na ołtarz; i jakby mało, pięknych jęj ust pilnować, aby nie wyrzuciły ostatniego przekleństwa na ród Atrydów.

Już ją związali, już szafranowa sukienka spłynęła do ziemi, a ona wzrokiem modlącym o litość spogląda wokoło na swoje opraw-

wce. Ni to posąg jaki: piękna i niema; myślałbyś, że coś przemówi do nich, jak niegdyś w świetnych komnatach ojcowskiego zamku; ale nie, świętym jest dla niej wyrok ojcowski, więc mu się poddaje z miłością.

Co dalej zaszło nie widziałem, nie powiem, dość, że Kalchasowa wróżba nie minęła się z prawdą. Z doznanych ciosów możemy odgadnąć, jakie spadną w przyszłości. Lecz czemuż głowę łamać nad przyszłością, kiedy jej wybiegać się nie można? Czemu martwić się przed czasem, kiedy co ma przyjść przyjdzie, tak pewno, jak jutrzejszy poranek. Jakikółwiek los padnie, niechże zeń wykwitnie szczęście i zbawienie dla nas, gwoli życzeń téj mocy, która dziś w Apii sama jedna włada i gospodarzy.

Chorowód i Klitemnestra.

Chorowód.

Klitemnestro! przychodzę czołem uderzyć twój potędze; czcic małżonkę królewską, kiedy tron w owdowieniu, jest powinnością poddanych. Na jakąż wieść wiarogodną, gwoli jakiegoż wesela, każesz zapalać obiaty? Z duszy pragnąłbym wiedzieć, jednakże jeśli tak chcesz, uszanuję twoje milczenie.

Klitemnestra.

Stare mówi przysłowie: wysłanka matki nocy jutrzeńka, dobrą wróżbę zwiastuje. Nad podziw weselszą wieść ogłaszam ci: Achiwi zdobyli gród Priama!

Chorowód.

Co słyszę? słowu ulatującemu nie śmiem wierzyć.

Klitemnestra.

Grecy są panami Troi: czy jasno?

Chorowód.

Radość do głębi mnie przenika, łązy mi wyciska.

Klitemnestra.

Z ocz twoich widzę, że mówisz co czujesz.

Chorowód.

Jakto? więc masz dowody, masz pewność?

Klitemnestra.

Dowód? o bez wątpienia, chybaby ów bóg mię oszukał.

Chorowód.

Może dajesz się mamieć jakiem samem widziadłem?

Klitemnestra.

Nigdy nie wierzyłabym rozmarzonym zmysłom.

Chorowód.

Więc na płonnej pogłosce budujesz swą radość?

Klitemnestra.

Czymto ja łatwowierne dziecko?

Chorowód.

Od kiedyż miasto zdobyte?

Klitemnestra.

Téj saméj nocy, co zrodziła dzisiejszy dzień.

Chorowód.

Jakież goniec mógł się tak prędko uwinąć?

Klitemnestra.

Hefestos ze szczytu Idy przysłał mi jasny swój znak. Od stosu do stosu posłannik ognisty biegł z wieścią. Z Idy skoczył do przylądka Hermesa na Lemnie, z Lemnos w trzecim skoku dostał się na górę Zewsową, na Atos. A ztamtąd szeroko, daleko, rozlał się wędrowny blask, i ryby z głębin wywabił na grzbiety fal; gorejąca sosna podobna słońcu, podaje swoje światło strażnikowi na wzgórzach Makistu. Z wieży chwyta je czujne oko, i w mgnieniu wyprawia dalej, ostrzegając stróżów pilnujących na Messapie, kędy płynie Eurypos. Ci wnet odpowiadają, posyłając wieść pożarem, ze stosu traw wysuszonych. Jarki ogień wciąż podsypany rozlewa się po równinie Axopu, by jasne światło miesięczne, aż po szczyt skały Kiteronu, i następnym znowu przekazuje swoje poselstwo. Stróże dojrawszy to hasło, stos swój zażegli, który wystrzela jaśniej i wyżej niż na innych miejscach, rzucając odbłask za jezioro Gorgopis; a napotkawszy górę Egiplanktos, nie zatrzymuje się, ino dalej światłe pasmo roztacza; w okamgnieniu puszczają strażnicy kłęb płomieni, który niezmiernym ogonem sięga dalej niż wybrzeża zatoki Saronińskiej, i dostaje się na szczyt Arachnajonu, widny z naszego miasta. Ztamtąd już zamek Atrydów powitał to światło, którego dalekim pradziadem był stos zapalony na Idzie. Otóż w ten sposób urządziłam te ogniste posłańce; płomień szybko zapalał się po płomieniu; zwycięzcą więc w téj gonitwie jest pierwszy stos, co dał hasło, i ostatni, co je dopatrzył. Macie tedy wieść niemylną, którą mi z Troi małżonek przysłała.

Chorowód.

O królowo! natychmiast podziękujemy bogom, lecz gorąco pragnąłbym raz jeszcze słyszeć, podziwiać każde twoje słowo; chciiej więc powtórzyć.

Klitemnestra.

W tej chwili Grecy panami Ilionu! Zgiełkiem i wrzawą rozlega się gdzieś całe miasto. Bo kiedy nalejesz w to samo naczynie octu i oliwy, ujrzysz, jak się oddziela i nigdy nie miesza; podobnie inny tam krzyk zwycięzców, a inny zwyciężonych: wymowny świadek różnicy ich losu. Tutaj pochyleni nad ciałami zabitych mężów i braci, a nad siwymi ojcami dzieci, nigdy już wolną piersią doli swych powinnych oplakiwać nie będą. Owdzie po trudach naszej bitwy, żgani głodem, zwycięzcy włóczą się ulicami, chwytając gdzie co popadną. Wszędzie nieład, nikt nie pilnuje porządku szeregów, ani starszeństwa, tylko każdy jak chce rozkłada się po zdobytych teremach trojańskich, zamieniając polne obozowiska i zimne rosy na wygodną strzechę. Szczęśliwi! całą noc mogą przespać wygodnie, nie potrzebując strażników. Jeżeli szanują bogów zwyciężonego grodu, jeśli niezbeczesczą ołtarzy, wtedy zwycięzcy nie legną pod własnym zwycięstwem. Byle łakomstwo nie wzięło góry nad wojskiem, byle nad potrzebę nie biegło na grabież; bo przecież do szczęśliwego powrotu w domowe progi, taką samą przestrzeń mają do przebycia, jaką przebyli. Jeżeli zaś wrócą gniewem bóstw obciążeni, ocknie się natychmiast krew tylu pomordowanych i zemstę wywoła, chociażby nową zbrodnią nie dali do niej powodu. Słyszałeś czego pragnę, słyszałeś z ust moich, z ust kobiety! Oby łaskawe nieba obdarzyły ich szczęściem bez skazy; drogiemi ofiarami oplacam tę prośbę!

Chorowód.

O pani! mówisz jak mąż rozumny. Wiadomość jest pewną, wątpić o niej nie mogę; więc bogom zawiadę pieśń dziękczynną. Wysoka nagroda uwieńczyła tyle, a tyle trudów!

(Klitemnestra odchodzi).

Wszzechwładny Zewsie i ty przyjazna nocy, dawczyni świetnej sławy, coś gród Ilionu opasała wkoło łowczemi siećmi, że nikt nie uszedł czyto wielki, czy mały, sidłom niewoli; bo wszystkich w czambuł zagarnęło nieszczęście. Ciebie gościnnie Zewsie, ciebie ubóstwiał żęś ukarał Pryamowego syna. Długo trzymałeś napięty węń łuk zemsty nie chcąc ani zawczasie, ani w błękitne powietrze daremnój strzałę wypuścić!

Chór.

Poznali Trojanie jakto Zews strzela; poznali z doświadczenia, że jaka droga, taki i cel! Bogowie nie lubią trudnić się ludźmi, co najświętsze ustawy nogami deptą. Mówić o tém, bluźnierstwo: dowód na tych szaleńcach, co nabytą gwałtami i rozbojem bogatą puściznę przekazują wnukom, która ich upaja szalem zbrodni. Stan ubożuchny z czystém sumieniem, dość dla mnie! Bogactwo nie zdoła obrońić człowieka, co w przesycie szczęścia, zuchwałą nogą obala sprawiedliwości ołtarze.

Czarowny język zbrodni odurza dzieci występku, i muszą płacić za wykroczenia ojców. Nie ma ratunku. Jak nie gaśnie ogień ciągle niecony, tak przewinienie wciąż się żarzy. Jak miedź podłej wartości z rąk do rąk przechodząc traci swój połysk, tak i człowieka ocenia. Ptak ulatuje goniony przez chłopię, a zmaza na miasto pada. Żaden bóg odtąd nie słucha jego modłów, tylko przestępcę wyrzuca z liczby żyjących.

Podobnie Parys przyjęty w dom Atrydów zbezczeszczył gościnnie stół porywając cudzą małżonkę, która rodzinnym brzegom zostawia po sobie: szczęk oręży, puklerzy, zbrojenie korabli, a Ilionowi niesie w posagu—zagładę. Uciekła bramami Argos, wając się na wszystko, a za nią domowi wróżbici żalosne podnieśli jęki: biada temu domowi! biada ci rodzie królewski! biada ci małżeńska łóżnico, świadku bezwstydnój ucieczki! A on na to w milczącej zniewadze, bez gniewu, bez skargi, marzy o porwanój i w utęsknieniu zda mu się, że jój cień słania się po domu; cudnie rzezane posągi wstrętne jego oczom, bo z utratą jój spojrzeń od wszystkiego mu serce odpadło!

We śnie, żalem wywołane obsiadają go zwodnicze i uroczne widziadła; zwodnicze, bo w chwili kiedy je myśli schwycić, z rąk mu się wymykają rączemi skrzydły i giną w sennój otchłani. Takie to smutki ciążyły nad domem królewskim, ale i większe nań przysły. Ci bowiem, co z greckich ziem zaciągnęli się pod znaki, pozostawili w domu tęsknotę bezustanną i tyle serc zakrwawionych. Pamiętne nam imiona owych co tam poszli; za to z powrotem w domowe progi, miasto niejednego męża, ujrzym ryszstunek jego lub popioły.

Ares, który trupy mienia na złoto, który w bitwach krwawą trzyma wagę, odsyła z Troi wyglądającym krewnym nędzną puściznę po poległym, wzorzystą popielnicę z garścią pyłu. Gorzko za nim zawodzą, wychwalając już cnoty wojennego witezia, już, że ślicznie zginął, bijąc się za cudzą żonę! Tak ludzie przebakują w cichości, i głucha nienawiść owłada sercami ku Atrydom, sprawcom téj wojny.

Tymczasem kto głową nałożył spoczywa sobie pod murami, w trojańskiej mogile, przysypan ziemią nieprzyjazną.

Głos ludu wrzący niechęcią srogiem jest brzemieniem; przekleństwami płaci on haracz powinny. Tajemne przeczucie ostrzega mię, że się coś złego knuje w ciemnościach. Kto tylko w krwi broczył, nie ujdzie śledczego oka bogów, i czarne Erynnie przyjdą dręczyć człowieka szczęśliwego z krzywdą sprawiedliwości: siły jego nikną powoli i już go nie ma! Nawet i bogactwo sławy cięży na życiu, bo wtedy najczęściej uderza piorun zawistnym pociskiem! Wolę szczęśliwość nie wzbudzającą zazdrości; nie chcę grodów burzyć, ale też i w rękę wroga jeńcem być nie chcę!

Gończy ogień prędko rozniósł wiadomość po naszym mieście. Lecz czy to prawda, któż zgadnie? Tylko bogowie prawdy świadomi. Znajdą się łatwowierni i ślepi, których radością zapali ta wieść co gruchła, aby potem w rozpacz popadli, gdy się przeświadczą, że mylna? Niewieście tylko przystoi wprzód nim jest pewność, cieszyć się z odniesionego zwycięstwa! Lekko jak wiatr rozlecą się niewieście plotki; za to jak wiatr w nic się obróca.

Wnet okaże się, azali te gończe płomienie, te strażnicze pochodnie płonące jedne po drugich zwiastowały nam prawdę, lub czyli samemu widmu podobne, zwodniczym blaskiem omamiły mi zmysły? Widzę od brzegów morskich idącego ku nam woźnego z gałązką oliwną na skroni. Wzbijający się tuman pyłu, ten brat rodzony błota, zapowiada zdaleka, że to nie milczący posłaniec, nie płomień stosu zapalonego na górach, ani dym, jego towarzysz, ale ktoś co prostemi słowy, pomnoży nasze wesele, lub... Ale precz z złowrózłą obawą—aby rzeczywiste szczęście przeszło granicę oczekiwań. Ktoby co innego śmiał życzyć temu grodowi, niechże sam zbierze owoce niechętnych życzeń!

Woźny (xήρυξ).

O droga ziemiо rodzinna! o moje Argos! Otóż po latach dziesięciu wracam do ciebie, wprawdzie nie jedną nadzieją uboższy, lecz zato jedną bogaty! Czyż spodziewałem się kiedy, że w Argos, na tój ziemi kochanej, znajdę wieczny spoczynek mym kościom? Witajże kraju mój! witaj światło słoneczne! i ty strózu tój ziemi Zewsie, i ty władco pityjski, z nieprzyjaznego łuku już strzał ku nam nie miotasz.... Długoś też był przeciwny nad brzegiem Skamandru, bądźże nam znowu pomocą, i bitew towarzyszem! I was bóstwa, opiekuny bojów, was także przyzywam; i ciebie niemniej, obrońco mój, Hermesie, czoło heroldów! I was nakoniec heroje, przewodnicy w po-

dróży, przyjmijcie dobrotliwie wracającą garstkę, oszczędzoną żelazem wrogów!

Oh! to zamek panów moich, drogie guiazdo! Bogowie jaśniejący w promieniach słonecznych, jeżeli kiedykolwiek, to teraz pogodnym obliczem powitajcie króla mojego, po tak długim odjeździe. Agamemnon już wraca, wam i wszystkim światło niesie po długiej nocy. Przyjmijcie go uroczyście, jak zasługuje ten, co Zewsovą motyką Troję zburzył, poorawszy wszérz i wdłuż ziemię niewiernych. Znikły bogów świątynie i oltarze; zbożne łany zbite do szcztetu. Takieto jarzmo wbił na karki miastu Pryama wielki nasz Atryd, witez niezłomny, godzien najwyższej cześci od wszystkich co żyją. Zaiste Parys i współwinowajcze miasto nie pochełpią się, że ich zbrodnia większą była od kary; ów porywca i gwałciciel nie utrzymał swojej zdobyczy, a starożytny szcep królewski on sam pomógł wywrócić! Takto za grzech dwojaki odpokutowali Pryamidzi!

Chorowód.

Heroldzie Achiroów, cześć ci! witaj z powrotem.

Woźny.

Co mi cześć! umrzeć—więcej niczego nie pragnę.

Chorowód.

Więc dojmowała ci tęsknota za ojczyzną?

Woźny.

Czyż nie widzicie, że powrót łzy mi wyciska?

Chorowód.

Dzieliłeś zatem tę słodką boleść?

Woźny.

Jakto? mów jaśniej, a zrozumieć to słowo.

Chorowód.

Nieprawdaż? za temi, którzy was tu kochali paliła tęsknota.

Woźny.

Czyż kraj równie wyglądał nas, jak my wyglądaliśmy kraju?

Chorowód.

Ściśnione serce niedarmo wzdychało za wami.

Woźny.

Zkądżeż ponury ten smutek i w was i wojsku?

Chorowód.

Oddawna milczenie jest mi lekarstwem w niedoli.

Wozny.

Ztémwszystkiém skończyło się pięknie! Zapewne rzeczce kto, że w tak długim lat przeciągu, to i owo udało się, to i owo musiało chybić. Któż? jeżeli nie sami bogowie przez cały ciąg żywota wolni być mogą od zgryzot? Gdybym tylko chciał nasze trudy opowiedzieć: nużące czaty, chuda strawa, zła leża, a każdą dnia chwilę wydzieraj żywiołom i oplakuj. Złe było na morzu, na lądzie jeszcze gorzej: pod murami nieprzyjacielskiego grodu stanęliśmy taborem, z góry moczyły nas zimne deszcze, z dołu wilgoć dokuczała błotna, odzież gnęła, a włos splatał się w kołtuny. A któż policzy owe zimy, te nieprzyjaciołki ptastwa, srogie naspami śniegów na Idzie? owe upały, gdy o południu morze bezfalne układało się martwym snem?—puste skargi. Złe już minęło, minęło i dla tych nawet, co w boju legli, co pewnie nie pragną powstać z umarłych. Rozpowiadać zatém o nich mnie, żyjącemu, odnawiać rany przebolełego serca, nie przyda się na nic; odepchnę raczej gorycze wspomnień! Albowiem przy nas, przy tej resztkę ocalonego argiejskiego wojska wygrana została, przeważająca wszystkie cierpienia. Toż w obliczu dzisiejszego słońca słusznie pochelpi się każdy, kto skrzydłem sławy lądy i morze przeleciał: *Wojsko Danajów zdobyło gród Ilionu, a łupy, te świetne niegdyś godła zawiesiło w chramach Hellady, bogom na cześć!* Słyszając to każdy zmuszon jest wielbić i naród ten i jego hetmanów, a nade wszystko czołem bić Zewsowi, który sprawił te dziwy. Nie mam co więcej powiedzieć.

Chorowód.

Teraz nie waham się uwierzyć twojemu słowu; starość zawsze będzie młodą, kiedy się ma czego nauczyć. Tak dla domu jak i dla Klitemnestry nieocenione to wieści; we mnie samym budzą tyle otuchy.

Klitemnestra.

Nie posiadam się z radości odkąd nocny strażnik moich ognistych gońców przybył z najpiérwszą wieścią o wzięciu i upadku Troi; wprawdzie niejeden mówił szyderczo; ułasz płomiennym blaskom i wierzysz, że Ilion zburzony? Niewieścia to rzecz, serce czczą baśnią nadymać! W takim rozumieniu mogłam się wydać szaloną; a jednak rozkazałam czynić obiady. Posłuszne moim rozkazom niewieścim, tu i owdzie zabrzmiały święte pieśni, tu i owdzie obstępiono ołtarze zażegnione płomiennem z wonnych kadzideł. Czyż mi potrzeba większej pewności? Gospodyn mój niebawem przybędzie i sam mi wszystko opowie. Śpieszę więc godnie przyjąć dostojnego małżonka.

O! bo cóż pożądaniejszego dla żony jak dożyć tego dnia, w którymby mężowi swemu wracającemu szczęśliwie z wyprawy, wrota otworzyć mogła? Zanieś mu odemnie tylko to, niech spiesznie wraca do stęsknionego miasta, gdzie znajdzie wierną małżonkę, taką, jak ją odjechał, domu pilną strażniczkę, przywiązaną doń, jego wrogom nienawistną, zgoła we wszystkim jak dawniej była. Przez tyle a tyle lat nie naruszyła pieczęci obowiązku; a wszelka rozkosz, toż wszelka zmaza na mojem imieniu, tak mi jest obcą, jak sztuka barwienia miedzi.

Wózny.

Jeśli w tém samochwalstwie tkwi istotna prawda, tedy mowa taka przystoi szlachetnej matronie. (*Klitemnestra odchodzi*).



O CZYTANIU RUNÓW SŁOWIAŃSKICH.

NAPISAE

Józef Lepkowski.

(Z ryciną).

Runy mają zwykle za pismo używane w czasach przedchrześcijańskich przez ludy północne, Duńczyków i Szwedów, i że od tych przeszło do południowych. Są, którzy mniemają, że runy powstały z uproszczenia kształtu głosek łacińskich, i długo po Chrystusie w użyciu były, co ma dowodzić kamień runami opisany z datą 1409 (1). To pewna, że runy sięgają przed-Ulfilasowskich czasów, to jest istniały już przed wiekiem IVtym po Chr.; gdy Ulfilas biskup Gotów, przekształcił alfabet łaciński na gocki. Są runy: słowiańskie, germańskie czyli markomańskie, normandzkie, anglosaskie, helsyngskie; pruskich nie odczytano. Mniemają, iż nazwa runów pochodzi od staro-niemieckiego słowa *rauen*, *all-rauen*, co znaczy: mówić tajemnie. Nie zbywa nam na słowiańskich tego rodzaju pomnikach; mamy wiele, bardzo wiele odczytanych, lub nieodczytanych tajemniczych napisów. Kantaczye napis na złotój blasze, wykopanej w Wiedniu, czyta po słowiańsku. W ziemi siedmiogrodzkiej wykopano misy złote, napisami okryte. W Petau w Styryi południowej, znaleziono hełmy, znane pod nazwiskiem styryjskich. W Bambergu, Kollar znalazł

(1) *Carls von Linne: Reisen durch Oeland.* Halle, 1764, p. 244, tabl. 2, nr. 17. *Manductio ad runographiam scandi.* Upsal, 1675. *Heiden-Begräbnisse v. Arnkiel.* Hamburg 1702, 4 lb., pag. 314.

RUNY SŁAWIAŃSKIE

	Mascha, Lelemela, Potockiego	Kucharskiego z helmetów i Kollara	Lucharskiego z Toruński Chrześciąg	Tadewicza Wolanskiego	Germaniskie
a	λτ	AA R ^(ar)	AA ^a ĀŃ	⊖ → A ^(al) A ^(ia)	Æ A P
b	ƒ ƒ ƒ X	/// Γ III	66	⊔	B E
c	⊔ ^(k)	4 ^(cz)		⊔ ^(ch) ⊔ ^(cz)	ƒ h ^(z)
d	DPXD	Δ	DR	⊔ ^(d) ⊔ ^(z)	⊔ ⊔
e	ƒ ƒ ƒ ƒ ƒ	ƒ ƒ ƒ	⊔ ⊔	⊔ ⊔ ⊔	M
f	ƒ	4	ƒ ƒ		ƒ ƒ
g	ƒ ƒ		Γ Γ	⊔ ^(h)	ƒ X
h	X * ƒ				ƒ X
i	⊔		⊔ ⊔	V I I ^{3, 3}	
k	⊔ ^(k) ƒ ^(cz)	X		⊔	ƒ) (⊔
l	N V	M	⊔ T ⊔ T	⊔ V	X
m	ƒ ƒ ⊔ ^(x)	M	d d	W	⊔ ⊔
n	h	4	RR	W ƒ	ƒ X x
o	ƒ T ⊔	⊔ ^(og)	⊔ ⊔	⊔ ⊔ ⊔	ƒ V A
p	⊔ ⊔ ⊔ M	⊔	⊔ ⊔	⊔ ⊔ ⊔ ⊔ ^(m)	ƒ X A A
q					4 h
r	RR	⊔	PP	⊔ ^(rz)	R R
s	⊔ ⊔ ƒ	ƒ ƒ	⊔ ^(s) A	⊔ ⊔ ⊔ ^(sz)	ƒ ƒ I
t	⊔ ƒ ^(th)	⊔	⊔ ^(t) ⊔ ⊔ ⊔	⊔ ⊔ ⊔ ⊔	⊔ A
u	ƒ ƒ ƒ ƒ		V ƒ V ƒ	V ⊔ ^(u)	
w	⊔ ^(w)	V	B ^(w) V A B B	⊔ ^(w)	
x	⊔ ⊔ ^(m)				
y			X ⊔ X ⊔		ƒ M a
z	⊔ ^(z)	⊔	⊔ ⊔	⊔ ⊔ ⊔ ⊔ ^(z)	⊔ ^(z)

. Napis z kamienia wykopanego w Lublinie 1847r.

(Y K A F T , Δ Γ (O H E A , X N A) C Y T

. Napis na domu N°16 w Lublinie

4) ƒ ƒ ƒ ƒ ƒ ƒ ƒ * ⊔ M

Czarnoboga. W Toruniu chrzcielnicę i odrzwia kościelne, tajemnicze okrywają napisy. Wreszcie bożyszcza Obotrytów z re-trejskiej bożnicy, znalezione nad jeziorem Tolenca, mnóstwo mają napisów. Nakoniec Wolański Tadeusz w badaniach swoich odczytuje i przywłaszcza Słowianom kamienie i bożyszcze w Crecchio, Capui, Anzi, Lecce, Lizie, na ziemi włoskiej i w Sardynii odkryte.

Aby dać wyobrażenie jak część grafiki, o odczytach runów traktująca, mało jest obrobioną, i prawie wcale dotąd krytyce u nas nie uległa; podam tu wiadomości o odczytach wspomnianych zabytków.

Runy słowiańskie znane z powieści Dytmara o napisach na posągach, ile mi wiadomo, dopiero w roku 1771 jawnie się nam piérwszy raz ukazały. Tego bowiem roku, panom: Sempels i Sponholz dostały się tak zwane *obotryckie* starożytności, lub *prylwickie bałwanki* znalezione w Meklemburgu-Szwerynie, nad jeziorem Tolenca, we wsi Prilwitz, w miejscu, gdzie stała pogańska Retry świątynia. Andrzej Gotlib Masch, wspólnie z Danielem Wogen opisali i wydali w Berlinie, 1771 roku te 65 zabytków, pod tytułem: *Die gottesdienstliche Alterthümer der Obotriten aus dem Tempel zu Rhetra am Tollenzer See*, i w dopełnieniu powyższego dzieła, wydaném 1774 roku w Szwerynie: *Beyträge zur Erläuterung der Obotritischen Alterthümer, von A. G. Masch*. Odkrycie bożyszczy prylwickich wedle Mascha, nastąpiło między 1687 a 1697 rokiem; winniśmy je pastorowi Fryderykowi Sponholz, który posągi te szczelnie w skrzyniach zamknięte, znalazł zakopane w swoim ogrodzie. Po śmierci pastora, żona jego znaczną część zabytków tych pozbyła na materiał do dzwonu, który w Neubrandeburgu podówczas lano; reszta, jako własność familijna, w roku 1771 znajdowała się w rękach rodziny Sponholz w części, a w części sprzedaną została doktorowi Sempels i panu Masch. 65 bałwanków w rękach ostatniego będących, tenże, jakosmy widzieli, opisał i z rycinami wydał; pozostałe zaś 118, zostające w zbiorze pana Sponholz w Neubrandeburgu, w rycinach wystawił, opisał i odczytał nasz Jan hr. Potocki w swoim wielkiej dziś rzadkości i wartości dziele, wydaném w Hamburgu, 1795, pod tytułem: *Voyage dans quelques parties de la Basse Saxe fait en 1794. par Jean Comte Potocki*, w 4ce, z rycinami, na 31 tablicach.

Między badaniami nad zabytkami pogańskiej starożytności, prylwickie bałwanki najwięcej ze wszystkich krytycznym szczycą się opisem i odczytem; z powodu, iż przed Maschem i Potockim (1) i po nich, długo były przedmiotem pilnych badań i uczonęj polemiki. Byli nawet tacy, co usilnie przeczyli autentyczności tych zabytków (2). Dziś jednak już nikt nie wątpi, iż w sprawie tój nie ma fałszu; dość bowiem zważyć, iż bałwanki te odkryto w czasie, gdy jeszcze nie umiano dość cenić podobnych nabytków, albowiem stało się to przy końcu XVIIgo wieku; nadto odkryli je Niemcy, a wbrew swojemu zwyczajowi, za słowiańskie bożyszczka uznali: nie było więc najmniejszego powodu do fałszerstwa. Masch odczytywał napisy runiczne na bałwankach wedle alfabetów Clüvera i Westphala. Potocki w wspomnioném dziele swoim poszedł za odczytem Mascha, i przyjętym przez niego kluczem odczytuje pozostałe wyobrażone w jego dziele napisy, zostawiając niektóre z nich nieodczytane. Potocki nie odczytał tych napisów, gdzie głoski nie są umieszczone w szeregach, ale rozrzucone po całej postaci naczynia lub bałwanka; te napisy nazywa on charakterem magicznym, niby świętym, przez kapłanów używanym. Możeby się i zgodził z tём mniemaniem, bo widzimy u ludów starożytnych zawsze dwa pisma: jedno do rzeczy świętych, drugie do użytku zwykłego, jak to było w Egipcie, u Indyan i t. d.

W nowszych już czasach, bo długo po odkryciu i opisanu bałwanków prylwickich, L. wskrzesił na nowo badania o tym przedmiocie, i w roku 1822, w wydanej Wilnie broszurze: *Nauki dające poznać źródła historyczne*, podał w rysunku 20 ciekawszych bałwanków i naczyń. Później w Iszym tomie ważnego dzieła: *Polska wieków średnich*. Poznań, 1846 roku, podał znów L. rysunki niektórych bałwanków, i uczoną rozprawę o czci bałwochwalczej Słowian i Polski. W rozprawie tój, jak to widzē, wedle Potockiego i Mascha alfabetu czyta L. napisy, stwierdza ich autentyczność zapiskami kronikarzy, filologicznemi uwa-

(1) W ówczesnych pismach peryodycznych rozpoczęła się najplérw naukowa polemika, jako w *Attonischer Mercurius*, roku 1768, nr. 34, 44; *Rostocksche Wochenblatt Gemeinnützige Aufsätze*, 1769 roku, nr. 12, 16, 17, 21, 23, 42, 43; 1770 roku, nr. 18; w *Nützliche Beiträge zu den Intelligenzen*. Neustrelitz, 1768 roku, nr. 21, 23.

(2) Lewezów w piśmie: *Abhandlungen der Königlichen Akademie der Wissenschaften zu Berlin*, roku 1836. Nr. 146 do 386, arty. pod tytułem: *Über die Echtheit der obotritischen Runen-denkmäler zu Neustrelitz*.

gami i podaniami miejscowego ludu. Na dołączonej tu tabliczce załączam ułożony przezemnie runiczny alfabet, wedle powyższych trzech odczytywaczy prylwickich napisów.

Pokusił się też L. i o odczytanie owych napisów, których Potocki nie czyta, ale je magicznemi zwie; ta jednak praca niezadowolająco się udała. Cóż bowiem za korzyść z następnego np. odczytu napisu (na bożku rysowanym u Potockiego pod licz. 6, u L. licz. 22) *bim. ir. is. acz. iacz. balaine. racz. racz. gim. ia. racz. sitis?* w którémto przeczytaniu nawet sam uczoney odczytywacz sensu znaleźć nie może.

Podawszy króciuchną wiadomość o najważniejszym i autentycznym zabytku słowiańskiego runicznego pisma na bożkach prylwickich; powiemy teraz nieco o pracach poświęconego przez lat 30 temu zawodowi, p. Tadeusza z Wolan Wolańskiego, zamieszkałego w księstwie Poznańskim w Rybitwach pod Pakością. Nie można zaprzeczyć temu mężowi czci, jeżeli przypatrzywszy się dobrze ogromowi tyloletnich jego mozolnych badań, ocenimy jego pracowitość, naukę i wytrwałość; ale też, zdaniem mojem, nie należy zawierzać wszystkiemu co p. Wolański napisał, ani też uważać jego odczytów za dokonane. P. Wolański według mego widzenia rzeczy, należy do liczby tych szanownych ludzi, co usiłując dowieść jakiej nowój, noszonej w swój duszy myśli, długiem nad wyszukiwaniem dowodów ślęceniem, tak się sami zexaltują, iż w końcu uwierzą w to, co jest tylko utworzoną przez nich hipotezą; a wreszcie, nie kładąc dowodów, każą i drugim wierzyć. P. Wolański uwierzył, iż istnienie Słowian jako narodu zamieszkującego Europę, jest stare jak świat; a oparty na tój myśli, najdawniejsze europejskie pomniki Słowianom przyznaje. Można się o tём przekonać przejrzawszy jego prace (1), gdzie dowodzi: rzeczywistości istnienia Leszków i Popielów, których medale przytacza. Rozbiera rozprawy tyczące się czci Swiatowida, Nii, Dzielzili, Tura i wedle swych odczytów, amuletów duńskich nowe nam o nich prawi rzeczy. W ogłoszonym w jego pismach liście do Ces. Ros. Akad. Nauk, stara się dowieść, iż złote bra-

(1) *Tadeusza Wolańskiego odkrycie najdawniejszych pomników narodu polskiego*. W Pozuanu u Stefańskiego, 1843 r., 4ka, z tablicami. *Tadeusza Wolańskiego listy o starożytnościach słowiańskich*. Gniezno u E. Günthera, w 4ce, z 143 rycinami.

Schrift-denkmäle der Slaven vor Christi Geburt, von T. Wolański. Guesen. Verlag J. B. Lange, 1850 r. 4ka z 14 rycinami.

kteaty i numizmata przez Thomsona dyrek. król. duń. numizmatycznego gabinetu ogłoszone, są monetami z IX, X i XI wieku po Chr. bite, za panowania Ruryka, Igora, Swiatosława Igorowicza i Włodzimierza I. W listach do T. Narbutta dowodzi: że przytoczone w jego *Historji Litwy* pieniążki i pieczętki inaczéj determinować należy; obszernie rozbiera źródła zkąd można mieć prawdziwe wyobrażenie przedstawionéj u Narbutta (Tabl. VI) chorągwi Wejdeduwutowskéj; przekłada, iż brakteaty w dziełach Bircheroda, Arnkiela i Suhma opisane, a w skarbcu numizmatycznym duńskim zachowane, są medalami Mieczysława I, Bolesława Chrobrego i t. d; wreszcie okazuje monety litewskie na 50 lat przed Chry. bite. W liście do król. duńskiego towarzystwa archeologicznego w Kopenhadze, mniema, iż jasno okazał z przytoczonych przez niego rysowanych zabytków, iż w świątyni Retry była cześć Chrystusa. Wreszcie determinuje mnóstwo monet, amuletów i brakteatów, na których jak najpłynniéj odczytuje wszystko to, co mu do okazania przyjętéj myśli ogólnej, potrzebném się wydaje. Nakoniec w świeżo po niemiecku, w Gnieźnie wydanych badaniach, zaczynając od dewizy: „Fuimus Troes” nie dowodzi, ale twierdzi z pewnością, iż w odległych przed Chrystusem czasach ludy słowiańskie zamieszkiwały cały starożytny świat, i zostawiły po sobie pomniki. Na dołączonych tablicach przedstawia Wolański 13 różnego charakteru niby greckich i na zabytkach znajdujących we Włoszech runicznych napisów; takowe płynnie czyta; nie odwołując się na żadne dzieła i powagi, wcale innym jak dotąd sposobem fakta dziejów przedstawia; nie zniża się wcale do zbijania przez cały uczony świat uznanych twierdzeń, ale jakby z trójnoga wyrokuje. Weźmy np. przedstawiony na tabl. I napis na kamieniu, znaleziony r. 1846 w grobie w Crecchio, przez Teodora Mommsena w dziele: „*Die unteritalienischen Dialecte*” opisany. By dać wyobrażenie jakiego rodzaju są badania Wolańskiego, przytoczę jego odczyt napisu i tłumaczenie tegoż. Po gorzkich i dumnych przycinkach dla zagranicznych uczonych, czyta W.... jak następuje:

„Reski wes Bóg, wyż Wima i Dima, Ezmenju Rastej
 Imże o pece dom i deces lepein Ezmen
 Ekatezin daleczim, do doluziem pojeżeju
 To ei vero-vero es! kakoen Enej car-rode
 Sydez s Ladoim w Elizsom, Leity pojmaez zabywłajeż
 Oj drogi chorosziy.”

„Rajski wszech Boże, wyź Wima i Dima, Jezmiente Rossyjej,
 Między w opiece mój dom i dzieci, najlepszy Jezmiente!
 Hekateziu dalekim, do dołu ziemi wyjeżdżam,
 Toż zaprawdę tak jest! jakim Enej król z rodu
 Siedząc z Ładonem w Elizie, Lety czerpasz zabywasz
 O ty drogi, wyborny!”

Lepeiejn jestto polskie *lepiej*, *Rosiej* znaczy *rossyjski lud*, a napis cały jest pomnikiem Eneasza. Eneasza był Słowianin, Trojańczykowie są Słowianie, a nazwa Scytów pochodzi od *szczycić się*. Jako rzecz o Eneaszu Słowianinie, co już o Rossyi wiedział kiedy z Troi do Italii przybył, takim sposobem i wiele innych pomników czyta i tłumaczy p. Wolański. Załączam tu alfabet, którym te odczyty uskutecznią. Nie cenię lekce mozolnej i długiej pracy p. Wolańskiego, nie odsuwam z pogardą wszystkiego, co on napisał: sądzę, iż z badań jego wiele nauczyć się można; ale też myślę, iż wielu się znajdzie co mi przyznają, iż w odkryciach tego autora dojrzyć można manią tworzenia najstarszych na świecie Słowiańszczyzny pomników.

Przejdźmy teraz do odkryć na tém polu poczynionych przez zasłużonego w téj gałęzi umiejętności b. profesora uniw. warsz. p. Andrzeja Kucharskiego. Roku 1812 karczując las w Styryi, w powiecie negawskim, obwodzie margburskim, niedaleko Petau (Płuja) i Radkersburga (Radgonia), znaleziono dwanaście hełmów miedzianych, znanych w świecie naukowym pod nazwiskiem *hełmów styryjskich*. Kształtem hełmy te nie różnią się od greckich i rzymskich, a szkliwa zielona patyna, dowodzi, że już wieki pod ziemią przetrwały. Dopiero 1826 roku uczeni zwrócili uwagę na ten zabytek: odrysowano je i pilnie obejrzano, a na dwóch znaleziono napisy runiczne. Z początku miano je za grecko-lacińskie, i wedle znanych runicznych alfabetów tych narodów, odczytano na jednym z hełmów napis: *Siraku... Harispas Titi filius* (1). Odczytanie to zdawało się słuszném, bo było uskuteczniénem wedle powszechnie za autentyczne przyznanych alfabetów i usprawiedliwiało je zwykłe u Greków i Rzymian rycie nazwiska zmarłego na jego hełmie. Pan Kucharski uznał ten odczyt za niezadowolający, a nawet bezzasadny, i sam wziął się do odczytania. Za wskazówkę służyły mu początkowe litery abecadła, które r. 987 po Chr. jako

(2) *Stayermarkische Zeitschrift, redigirt von J. R. Kalchberg*. VII Heft. Gratz, 1826 str. 48—60, gdzie dołączono i ryciny hełmów.

próbę pisma Rusinów zapisał w swój encyklopedyi Arab Abul-Feradż (1). Na tój zasadzie począł nasz badacz czytać napisy, i w artykułach (2) o tём swoim odkryciu ogłosił temi słowy rezultat odczytu: „Wszelkie dotąd odkryte z owych czasów napisy słowiańskie podlegały wątpliwości. Te, które ja odkryłem, nie podlegają żadnej.... Starożytne runy, pismo słowiańskie, od prawej do lewej ręki, rzecz niesłychana! Nie jestto przecież mara: wszystko tu na jawie. Żaden podstęp, żadna wątpliwość nie mają tu miejsca. Słowa: „*Židaku tu dli Jarmysel župan u Api*“ „Mularzu! tu spoczywa Jaromysł żupanowy pan”, są hasłem powszechnego wzburzenia w świecie naukowym słowiańskim, hasłem nowego porządku rzeczy. Za nic obszerne rozprawy za i przeciw Słowianom, na samych domysłach opierane. Krzyczeli przeciwnicy: gdzie macie te pisma słowiańskie?... gdzie macie te starożytne litery?... Dość tego niedowiarkowie! przestańcie na chwilę! A czy napis na starożytnych hełmach wykopanych w Styrii potraficie inaczej czytać niż po słowiańsku i to od prawej ręki do lewej? Myśl słów zupełnie stosowna, a *Žydak* u wszystkich Słowian znaczy dotąd mularza. Nie mógł być położony napis *przechodniu!* bo hełm głęboko w ziemię zakopany. A któż głęboko w ziemi kopie, jeżeli nie mularz? i t. d.”

Odczytał więc p. Kucharski na jednym hełmie: *Židaku tu dli Jarmysel župan u Api*. Mularzu! tu leży Jarmysel żupanowy pan u Api; na drugim: *Ejarifas i eie abil*, Ejaryfas go zabił.

Mimo przytoczonych szumnych wykrzykników i przechwałek, na zimno biorąc rzeczy, jak to umiejętnym przystoi badaniom, niezupełnie autentyczną i jasną wydaje się myśl napisu. Nie mamy podobno drugiego na świecie przykładu prócz niniejszego odczytu, aby ktoś chowając do ziemi zmarłego ciało, był tak ostrożnym, by do mularzy zwracał swój głos; to zda mi się być właśnie nie-

(1) *Biblioteka dla czytania* z r. 1836, T. XV, i pismo „*Magazin für die Literatur des Ausland*. 1836 r. 10 tom, nr. 79; nadto: „*Pamiętnik nauk. krak.* zeszyt 9, 1838 r., str. 344 przytaczają ten ustęp z arabskiej encyklopedyi.

(2) W *Powszechnym Dzienniku Warsz.* r. 1829 nr. 38. Michał v. Kunitsch w *Allgemeine deutsche Garten-Zeitung*. Passau, 1830, 8 Jahrgang, 20 Julii nr. 28 str. 237—252 umieścił wiadomość o tych odkryciach pod tytułem: „*Notitzen über die Reise des H. A. Kucharski etc.*”; z tych pierwszych publikacyj, powtórzyły wiadomość o odczycie inne pisma czasowe i dzieła.

jasnym i wiele nakreconym. Imiona: Jarmeysel, Ejaryfas, Api, brzmią jakoś niezupełnie po słowiańsku. Zresztą kształt runów jest prawie ten sam, co na bałwankach pryłwickich, a p. Kucharski wcale inne w swoim odczycie nadaje im znaczenie. Podając tu te moje uwagi nie czynię tego w myśli antysłowiańskiej, ani w duchu rewolucyjnym burzenia tego, co nawet przy pomocy mularza zbudowano; ale niniejsze myśli rzucam bez namietności i wykrzykników, powodowany tylko miłością prawdy, choćby przyszło uznać napisy te za niemieckie, ruskie i tureckie nawet. Ośmielam się rzucić tu jeszcze ten domysł, iż napisy owe na hełmach zda mi się będą prędzej zdaniem moralnym, lub godłem w rodzaju napisów na kaskach rossyjskich lub starych szablach, aniżeli pomnikiem grobowym; zwłaszcza, że je w ziemię zakopano, a więc nie myślano o tém, aby wzbudzały wspomnienie lub się stać miały przedmiotem odczytów i uczonych badań, a tém mniej, aby miano w czasach przed-Chrystusowych już o tém marzyć, iż mularze choćby w XIX wieku będą umieli czytać.

Za najważniejsze z badań p. A. Kucharskiego uważam zdanie jego o nazwie runów. Z uwagi, iż znaleziono runy w Tartaryi, Rosyi i południowej Panonii, wnosi nasz badacz, iż pismo runiczne nie u północnych germańskich poczęło się pokoleń, ale runy z Azji przyszły do Europy, do Etrusków, Słowian pogańskich i obotryckich. Od Słowian nauczyli się pisać Duńczykowie, zostający z nimi w handlowych stosunkach. Nazwę *run* wywodzi p. Kucharski od wyrazu *groniś*, co znaczy u dolno-łużyckich Serbów: *nazywać się, mówić*. Jako więc od *głagol* słowo, pochodzi u Słowian wyraz *głagoliti* mówić i pismo *głagolicą* zwane, tak od *gronis* pochodzi pismo: *gronami, hronami, wreszcie runami* mianowane.

Roku 1835 przejeżdżał p. Jan Kollar przez miasto Bamberg w Prusach, i zwiedzając tameczną katedrę, przy progu po prawej i lewej stronie drzwi, ujrzał dwa lwy kamienne, z runicznymi jednakiemi na obu zapiskami. Napis ten odstępując od znanych kluczków runicznych, np. tych, wedle których czytali Masch, Potocki i L. mimo, że kształty głosek są też same; odczytał p. Kollar, jakoby było zapisane: *Czarnibóg*, przypuszczając nadto w tym krótkim wyrazie dwa monogrammata czyli skrócenia (1).

(1) Podobiznę napisu i rysunek lwów patrz w *Czasopiśmie czeskiego muzeum* z 1837 r. posz. I, str. 37—53.

Poganie wystawiając swoich bożków, używali symboliki na odróżnienie jednego boga od drugiego; a wreszcie sam kształt bóstwa: dwie, trzy lub cztery głowy, rogi lub kręgi, ruch i t. d., odróżniały jednego boga od drugiego, tak, iż trudno przypuścić aby ci, co ich czcili, mieli obawiać się że zapomną imię czczonego boga, i dopiero na czole, piersiach lub bokach zapisywali jego nazwisko. Zda mi się, iż prędzej człowiek zapomnieć może własne imię, aniżeli miano Boga, którego czci; dlatego nie widzę słuszności, aby wystawiając sobie w lwie złego ducha, mieli mu na boku napisywać jego nazwę: *Czarnibóg*. Ze Masch, Potocki i L. na czołach i piersiach bałwanków pryłwickich czytają nazwy bogów i ten ich odczyt za niewątpliwy poczytywać należy, to rzecz inna. Ci trzej przyjęli jeden Clüvera alfabet, i w odczytywaniu nim napisów zupełnie się zgodzili; a więc tą zgodą autentyczność odczytu stwierdzili. Zresztą nie jest podejrzanem ani dziwnem, dlaczego na bałwankach umieszczono ich nazwy. Bożków bowiem pryłwickich znaleziono pilnie w skrzyniach zachowanych i zakopanych, z jednego kruszcu, jedną ręką odlanych; co okazuje, iż przy schyłku zapewne pogaństwa, w myśli wrócenia kiedyś czci porzuconym bogom, lub zachowania ich pamiątki, zbiór ten odlano w modelach i zakopano (1). W takim więc razie prawdopodobnem się zdaje umieszczenie na postaciach bogów ich nazw, a dziś wyczytywanie takowych; tém więcéj, że dzieje potwierdzają wyczytane imiona.

Z odczytu hełmów styryjskich i Czarniboga zebrało się 17 liter, z których p. Michał Olszewski ułożył słowiański runiczny alfabet (2), który alfabetem Kucharskiego na tabliczce dołączonej nazwalismy. Zastanawiając się nad kształtem głosek powyższych runicznych alfabetów, przychodzi nam tu jeszcze jedną ogólną podać uwagę. Wziąwszy pod pilną rozwagę kształty głosek bożków

(1) *Die gottesdienstlichen Alterthümer der Obotriten v. Masch* § 44.

(2) Alfabet ten oraz rysunki hełmów i mniemanego Czarniboga, patrz w *Pamięć. Nau. krak.* z r. 1838. Zeszyt 9. Nie rozumiem, dlaczego w *Powszech. Dzienn. Warsz.* wyżej cytowanym, sam p. Kucharski czyta *Židadka*, a w rzeczonym krakowskim Pamiętniku i w L. (*Polska wieków śred.* T. I, stron. 408) podano, iż p. Kucharski przeczytał: *Si Daku*, patrz *Daku*. Nie wiem zkąd ta różnica w podaniu rezultatu odczytu? Zda mi się jednak, że i *Patrz Daku* równie jest niestosownem jak *Mularzu!* bo trudno przypuścić, aby grzebiący hełmy żądali, by Dak na nie patrzył, a kilka łokci głęboko w ziemię je zakopywali.

prylwických Mascha i Potockiego, hełmów styryjskich i Kollarowego Czarniboga; dostrzeżemy, iż kształty tych runów, a nawet postaci runów germańskich, mało się od siebie różnią; widać więc, iż głoski te mimo odmian jakie w nich wieki i kreślące je różnych ludzi ręce sprawiły, zdają się pochodzić z jednego wspólnego źródła, bo je cechuje jeden ogólny charakter. Co do mnie, ośmieliłbym się mniemać, iż źródło runów leży w greckim lub łacińskim, przez narody barbarzyńskie przekształconym alfabecie. Zkądże tedy pochodzi, że jedni téj lub owéj głosce to, inni głosce tegoż samego kształtu, inne nadają znaczenie? Czemużby alfabetami Kucharskiego, Kollara i Wolańskiego, gdyby były autentyczne, nie miały się z małemi odmiany dać czytać i inne słowiańskie runiczne napisy? Miałyżby te klucze służyć każdy do odczytania tylko tego napisu, który nim czytają? Jeśli kształty runów na bożkach prylwických i na hełmach są też same, dlaczegoż w jednych napisach co innego, a w drugich co innego znaczyć mają? Jeśli tedy runy na bałwankach prylwických tak pilnie przez Wogena, Mascha, Potockiego i L. odczytane, za autentyczny odczyt uznamy; to przez toż samo zaprzeczmy autentyczności odczytom Kucharskiego, Kollara i Wolańskiego, z których każdy ten sam kształt inaczej czyta; np. kształt podobny do rossyjskiego *И* u pierwszych i w runach germańskich czytają jako *s*, u Kollara zaś jako *n*, u Wolańskiego *z* i t. d.

Świeżym, bo dopiero zeszłego roku skutecznionym odczytem p. Kucharskiego, jest napis na chrzcielnicy w Toruniu w kościele św. Jana, który on za najdawniejszy zabytek polszczyzny ogłosił (1). Napis ten niedopiero był znanym, bo już 1844 r. szanowny uczony ś. p. dr. Ney ogłosił jego podobiznę w *Przyjacielu Ludu* (r. 10 nr. 44). Chrzcielnica ta (jak ją opisuje) ulaną jest z kruszcu białego, podobnego do cyny, kształtu zwykłego; napis wypukły czarno pomalowany idzie wokoło, pola górne w ozdobach poprzedzielane są łukami, a w każdym wymalowany jest kwiat. Podanie mówi, iż jakiś generał rossyjski tę chrzcielnicę darował. Kiedy?—nie ma śladu. Napis na owéj chrzcielnicy nie jest wcale runicznym, ale wnosząc z kształtu, głoski wyglądają jakoby kirylica z pismem łacińskim mieszana; napis poczyna i kończy się krzyżykiem. Gdybyśmy tylko to, co tu podałem, o téj

(1) Rzecz o tym zabytku i rycinę głosek podał p. Kucharski w 112 poszycie *Biblioteki Warszawskiej*, z r. 1850.

chrzcielnicy wiedzieli, a do tego pamiętali, że jest kształtu zwykłych chrzcielnic i na właściwe tego rodzaju kościoła naszego naczynie sporządzona; jużbyśmy jej za zabytek z czasów blizkich pogaństwu uważać nie mogli. P. Kucharski jednak czyta napis następnie: *Z dyaboly w lewo Jesus Gospod chce zlewać ciebie wodą tą i żywot woda ta zdrowy podaje ludowi*. Powtóre, nie zważając, że w napisie czyta imię Chrystusa, a naczynie jest chrzcielnicą, uważa, iż zabytek pisany jest runami mieszanymi z głagolicą i pismem greckim, pochodzącem z czasów pogańskich z wieku *niezawodnie XIgo*.

Mniemanie to, mimo że przez szanownego badacza za *niewątpliwe i niezawodne* zostało ogłoszonem, przecież nie zdaje mi się być nietylko autentycznym domysłem, ale nawet prawdopodobnym; a to wzięwszy na uwagę następane powody:

1. Kształt chrzcielnicy, wedle opisu dra Ney'a nie pozwala mniemać, aby ona tak starych sięgała czasów.

2. Uczenie opierając się na dowodach, okazał doktor Ney, iż istniał stary i nowy Toruń; a kościół, w którym jest chrzcielnica, zbudowanym został w pierwszej połowie XIIIgo wieku (1). To jednak rzecz mniejszej tu wagi. Na odrzwiach głównej bramy kościelnej, będącej w wieży kościoła św. Jakóba, także w Toruniu, są napisy temiż samemi głoskami i sposobem pisane, co napis na chrzcielnicy, a wieża ta, jak dr. Ney twierdzi (2), razem z kościołem wystawioną była dopiero w roku 1397. Ta więc okoliczność zdaje mi się, iż może unieważnić podanie o darowaniu chrzcielnicy przez oficera, a zarazem dowodzić, iż chrzcielnica jest zabytkiem z XIVgo, a nie z XIgo wieku. Bliższe na miejscu badania, możeby okazały przyczynę wspólności i związku napisu na odrzwiach kościoła św. Jakóba, z napisem na chrzcielnicy kościoła św. Jana.

3. Dr. Ney był bezsprzecznie jednym z najsumienniejszych badaczy i wiernym rysownikiem; nie ma tedy powodów wątplenia, aby rysowane przez niego napisy chrzcielnicy i odrzwi, umieszczone w *Przyjacielu Ludu*, nie miały być wiernymi. Porównując tedy przerys jego z rysunkiem, który miał pan Kucharski, okazuje się, iż ten ostatni, niewątpliwie (jak mówi) przeczytał z wątpliwój kopii.

(1) Patrz *Przyjaciel Ludu*, t. 10, nr. 12.

(2) Tamże, nr. 44.

Na załączonej tabliczce umieściłem głoski wedle rysunku, który miał pan Kucharski, pojedynczemi kreskami, a obok nich też same głoski wedle dra Neya podwójnym rysunkiem; to zestawienie okazuje dowodnie wielką w niektórych różnicę. Prócz tego, pan Kucharski w swoim rysunku (1), w wierszu drugim od strony lewej po D, ma głoskę V, której nie ma w rysunku dra Neya. Głoska ω jest u Neya wszędzie jednaka, a u pana Kucharskiego ma różne kształty, i czyta się jużto jako z, jużto jako i. Ten kształt ω nie uważałbym za głoskę, ale raczej za znak oddzielający wyrazy. W tym odczycie zabytku niby z XIgo wieku, podaje pan Kucharski głoskę q , której przed wiekiem XV z pewnością nigdzie nie widziano. Nakoniec w rysunku dra Neya poczyna i kończy się napis na krzyżyku; a więc należy zacząć i skończyć czytanie od znaku krzyżyka, który w pana Kucharskiego rycinie przypada w środku wyrazu *ciebie*, i stanowi głoskę.

Mojem więc zdaniem ostatni ten odczyt pana Kucharskiego jest wątpliwym, i bardzo wątpliwym. Proszę więc, iżby go dla miłości prawdy albo odwołać raczył, albo odczytanie poprawił, jeżeliby się przy jego autentyczności utrzymać zdołał.

Tak pokrótce podaliśmy wiadomość o odczytach naszych, lub za nasze mianych runicznych pomników. Widzieliśmy, że w tej gałęzi prac naukowych zbywa nam na krytyce, która tylko sama może usiłowania na tém polu korzystnymi dla nauk uczynić; nie dopuszczając, by zarozumiałość w tej sprawie miejsce mieć mogła. Wypada tu jeszcze nadmienić, iż napis na okrągłym kamieniu z rzeźbą pięciu popiersi na nim będących, w 1847 roku w Lublinie znaleziony, a przez szanownego pana *Kazimierza Stronczyńskiego* w przerysie ogłoszony, dotąd podobno czytany nie był; nie zwrócono też uwagi na kamień umieszczony na domu prywatnym w Lublinie (2), gdzie zda się runiczny lub ćwickowy znajduje się napis. Oba te napisy załączone na tabliczce.

Pisałem w Krakowie, d. 9 marca 1851 roku.

(1) Rysunek ten patrz w Bibl. Warsz., z roku 1850, poszyt 112.

(2) Kamień ten podany w przerysie, w *Sierpińskiego Obrazie miasta Lublina*, umieszczonym jest od strony ulicy Jezwickiej, na domu pod l. 16.

POCZĄTEK WILHELMMA TELLA.

(RZECZ W KANTONIE URI).

(MELODYA KOBZ GORALSKICH).

Chłopiec rybacki (w łodzi).

Śpiew.

Wzwierciadeł kaptela wabi uśmiech świeży,
Śpi chłopię na kraju kwiecistej wybrzeży;
Brzmia słodko wód szyby,
Niby fletu śpiew,
Głos aniołów niby
Zkądś od rajskich stref.

Wtém gdy jawa z powiek błogie widma strąca,
O senną pierś chłopca pryska fala drżąca,
Z głębi głos się szerzy:
„Tyś mój! lube chłopię!
Ja wabię pasterzy,
Wciągam ich i topię.”

Pastérz (na górze).

Błoń lśniąca bogato,
Łąki, żegnam was!
Z wiosny blizkie lato,
Daléj w świat! już czas
W góry! Z miejsca w miejsce błądzi lud skotarzy,
Gdy kukulka huknie, głos w pleśń się rozgwarzy,
Gdy ziemia skroń świeżą stroi w kwiecie nowe,
Rozszczerza się strumień przez smugi majowe.
Błoń lśniąca bogato,
Łąki, żegnam was!
Z wiosny blizkie lato,
Daléj w świat! już czas!

Mysłiwiec (z urwiska skały).

Grzmia wierzchy, wskrós zrębów drżą światła posady,
 Odważnego łowca nie wstrzyma strach blady.

Wśród lodów przestrzeni,

Pute się on zuchwale;

Tam błoń bez zieleni

Wiosny nie zna wcale.

Pod stopą mu mglista otchłań w mgły zasłonie

Widok ludzkich siedzib rozplywa i tonie.

Ledwie z chmur, przelotem,

Świat się boży zmaça,

Gdzieś pod wód namiotem,

Błoń zieleniejąca.

Warszawa, 1850 r.

WĘDROWNIK.

(PIEŚŃ SZUBERTA).

Wędrownik ja, zstępuję z gór,
 Tam ziemia sni w powiciu chmur;
 Tęsknota mną po świecie rwie,
 A serce wciąż pyta się: *gdzie?*

I słońce tu zda się tak mgłe,
 Zwiędły tu kwiat, powietrze złe,
 W dźwięku ich słów, próżnia i czczość,
 Bo wszędzie, ach! jam jako gość.
 Gdzieżeś ty, gdzie, kraju ma?
 Z dziecinnych snów, dusza cię zna.

Gdzież jest ten kraj zielony tak,
 Gdzie w wieńcu róż śpiewa mój ptak,
 Gdzie zmarłych rój, na wieczny mir,
 Wzlatuje w mgłach przy brzęku lir.

Z milczącą łzą, poglądam w krąg,
 A serce: *gdzież?* pyta się wciąż.
 Duchowym tehem głos obwiał mnie:
 Szczęście tam tylko, gdzie nie ma cię.

LITERATURA NIEMIECKA I MADZIARSKA.

PRZEGLĄD.

Literatura niemiecka traci coraz bardziej indywidualną postać, która ją dotąd cechowała: coraz to więcej zbliża się naśladownictwem do literatury francuskiej. Już po 1830 roku, gorączkowe natchnienie, które wydało tylu pisarzy nowej francuskiej szkoły, poruszyło zarówno umysły powieściopisarzy niemieckich; dziś *Gutzków* w obszernym romansie, pod tytułem: *Rycerze ducha*, naśladuje terazniejszych francuskich fejetonistów. Zdaje się, że autor sam wąpi o swoim powodzeniu, tak się bowiem w przedmowie odzywa do publiczności: „Długą i odległą podróż przedsiębiorę z tobą czytelniku. Uzbrój się w cierpliwość, a nade wszystko zahartuj pamięć, żebyś jutro nie zapomniał, co ci opowiem dzisiaj. Nie trać odwagi, gdy cię będę wodził po przestrzeniach bez końca, kiedy cię wprowadzę w ciemne wąwozy, lub też, gdy spostrzeżesz, że droga wytknięta, nagle niknie w obłokach“. Zdaje się, że *Gutzków* zupełną miał słuszność. Jakkolwiek romans jego dalekim jeszcze jest końca, przecież początek zapowiada wyraźnie, że ten rodzaj literatury nie zakwitnie w Niemczech.

Gdy jedne szkoły literackie zużyte, nikną, gdy opinia publiczna, kierowana wypadkami ostatnich lat, staje się coraz poważniejszą, i zrzeka się dawnych uprzedzeń: obszerne pole sztuki otwiera się dla nowych artystów. Chwila stanowcza nadeszła, burza uniosła odwieczne przesady, a publiczność smakować poczęła w tkliwych i prostych obrazkach, pełnych wdzięku i natchnienia. Już we Francyi kilka utworów tego rodzaju, powszechne otrzymało współczucie; w Niemczech zaś pani *Karolina Zoelher*, znana pod pseudonimem *Goehren*, pełna prawdziwie poety-

cznego ducha i rzeczywistych zalet pisarskich, świetnie rozpoczęła w tym rodzaju literacki swój zawód. Pani Zoelher wydała dotąd trzy powieści. Dwie z nich, *Córka przybrana* i *Robert*, pojawiły się w 1846 roku; ostatnia zaś, pod tytułem: *Ottomar*, wyszła kilka miesięcy temu. Autorka powstaje najmocniej na przewrotne zasady panujące w wielkim świecie, depce przesady, gromi szkodliwe nałogi wyższego społeczeństwa, oddanego po większej części próżnowaniu. Uczucie szczere, szlachetne i głęboko moralne, pióro jęj ożywia. W *Córce przybranej*, autorka wskazuje główne wady w zbyt powierzchowném wychowaniu kobiet, pod którego wpływem kobieta nie może nabrać samodzielności, upada w obec rzeczywistego nieszczęścia, a wiedziona próżnością, dąży do własnej zguby. W owej powieści jakkolwiek przebijają już znakomita zdolność, przecież strona artystyczna słabsza jest niżeli w dwóch następnych. Owe nieszczęścia ukryte, których źródłem lekkomyślność świata, owe walki staczane codziennie w milczeniu, owe straszne boleści, co wybrane dusze bezkarnie rozdierają, budzą głębokie współczucie pani Goehren. Autorka z upodobaniem staje się ich mścicielem. W powieści *Robert de Wallrode* hrabia nie jest w gruncie zepsutym człowiekiem; jest to raczej dusza lekkomyślna, bez żadnej stałej zasady; jestto jeden z owych ludzi niepojmujących obowiązków życia, a którzy bez złości, bez przewrotnych zamiarów, z wdziękiem i zaniedbaniem postępując drogą złego, krwią znaczą stóp swych ślady. Robert pojął w małżeństwo bliską krewną, hrabiankę *Adelę*, tklivą i pełną poświęcenia dziewicę. Ciche jęj wszakże zalety, nie zdołają ujarzmić lekkomyślnego Roberta. Młoda kobieta źle jest uzbrojoną do walki; przyroda albowiem zlewając na nią hojnie swe dary, odmówiła jęj pięknej powierzchowności. Miłość nawet nie zdoła rozjaśnić szpetnego jęj oblicza. Znając siebie dokładnie, Adela z szlachetną dumą odrzucała poprzednich zalotników, w przekonaniu, że ogromny majątek był jedynie celem ich zabiegów. Miłość dla Roberta zaślepiała ją, pod jęj wpływem pierzchła wszelka obawa; Adela uwierzyła w przyrzeczenia i przysięgi: to też śmiercią przyplaca biedna zbyt zaufanie. Obraz szalonych błędów hrabiego, obok poniżenia i powolnego skonu tklivęj małżonki, prawdziwie jest pięknym. Nieszczęśliwa ofiara spragniona spoczynku po tylu wewnętrznych walkach, w których wyczerpały się jęj siły, uśmiecha się do śmierci, i w chwili skonu odzywa się boleśnie. „Idę przecie w ten świat, gdzie ni-

czém są powierzchowne wady i zalety, gdzie dusza sama zostaje". Śmierć Adeli, do głębi wzruszyła serce Roberta, ale potrzeba mieć siłę, ażeby umieć korzystać z nieszczęścia. Wśród nowych rozrywek, Robert zapomina o wszystkiém. Opatrzność przecież straszną gotuje nań karę. Hrabia zwiedzając dobra swoje położone w głębi Szlązka, poznaje rodzinę zamieszkałą w sąsiedztwie: widzi tam młode dziewczę zachwycającej piękności. Dusza jego głębokiego doznaje wrażenia. Uczucie prawdziwe i tkliwe, zmienia całą jego istotę. Robert nigdy tak jeszcze nie kochał. Młoda dziewica jest sierotą; nie знаła nigdy rodziców, a wychowanie winna ubogiemu pastorowi: jest nauczycielką w owym domu. Robert bez trudu otrzymuje jęj rękę. Oczekują tylko na pozwolenie przybranego ojca. Serce Roberta otwiera się pod wiosnianém tchnieniem nowego życia, dziwne uczucie kołysze błogo jego duszę. Z jakąż rozkoszą oprowadza młodą narzeczoną po swym zamku i ogrodzie, i wskazuje jęj przyszłe dziedzictwo! Ale niebawem nadchodzi list pastora, zawierający straszną tajemnicę. Owe dziecię powierzone mu przez umierającą matkę, jest córką Roberta de Wallrode. Robert umiera w szaleństwie. Na chwilę jednak przed skonem, obłąkanie ustępuje. Pragnie być pochowanym obok Adeli, smutnej swojej ofiary. Owa zaś córka, niewinne narzędzie Bożęj kary, postanawia obmyć skazę urodzenia, i podnieść ducha swego w zupełném poświęceniu się dla bliźnich i ludzkości. Zostaje siostrą miłosierdzia, i życiem pełném zaparcia siebie i nadziemskiej cnoty, okupuje ojcowskie winy.

W *Ottomarze* zbyt wiele ustępów rozrywa uwagę czytelnika. Przecież i tu widać artystyczne natchnienie autorki; i tu przebija uczucie prawdziwęj godności, współczucie dla słabych, chęć pomszczenia zbrodni bezkarnych w obliczu prawa. Hrabia Adolf Wartenberg młody trzpiot z arystokracji wiedeńskiej, stosownie do ostatnięj woli stryja, zaślubił młodą hrabiankę Sinden, wychowaną zdala od świata w wiejskięj prostocie i niewinności. Ależ owa prostota jakkolwiek ponętna, mało ma powabu dla salonowego bohatera. Młoda hrabina Alma de Wartenberg nie umie się znaleźć właściwie w wielkim świecie: każdy jęj krok niepewny jest i chwiejący. Hrabia próżny i zepsuty nie umie ocenić niewinności małżonki, a chciwy powodzenia, pragnie nadewszystko zadowolnić szaloną miłość własną. Hrabina Aurelia sławna w świecie tak z nieporównanego wdzięku, jako tęż z umysłu dumnego i zuchwałego, zwraca na siebie uwagę hrabiego. Młoda Alma

cierpi widząc rozwiane swe złudzenia, a w ich miejscu smutną i złowieszczą prawdę. Z boleścią porównywa młode lata spędzone w błogiej zaciszy wiejskiej, z rozpaczliwém obecném położeniem, gdy samotna wśród obojętnego tłumu, nie ma chwili pokoju. Pani Goehren z prawdziwym artyzmem skreśla cierpienia młodej kobiety. Obok talentu przebija tu głębokie uczucie. Hrabia z małżonką i Aurelią odbywają letnią przejażdżkę do Węgier. Walka między dwiema kobietami jest nierówną. Aurelia pewna zwycięstwa, zaufana w swój wyższości jako kobieta światowa, nadto licząc na próżność Adolfa, okazuje niekiedy litość nad poniżoną Almą. Obraz dumnej przewagi, obok cichego poddania, skrślony jest z goryczą. Ale czas gotuje pomstę. Owa młoda kobieta, a raczej owo dziecię niewinne i bojaźliwe, tak nieprzygotowane do ciężkiej walki z życiem, zawiedziona i poniżona, przejęta wzdumą dla męża, ucieka na łono matki, do tej wsi, gdzie zbiegły jęj lata dziecinne. Kilka lat upływa. Z młodocianej dziewicy wyrosła na kobietę, a jęj niewinne wdzięki, zamieniły się w doskonałą piękność. Powraca więc w świat którym gardzi, pragnie albowiem wytrącić berło z rąk dumnej Aurelii. Nadchodzi chwila zemsty. Hrabia z rozpaczą ocenia skarb, który utracił. Ale Aurelia nietylko w miłości własnej odnosi zasłużoną karę: serce dumnej kobiety zranione jest dotkliwie, albowiem próżna Aurelia kocha namiętnie młodego malarza, Węgra Ottomara, a ten staje się narzędziem bożej sprawiedliwości. Ottomar po nikkzemnej śmierci Adolfa zaślubia młodą Almę.

Pani de Goehren piękną drogę obrała w swych powieściach. Umié ona podnieść godność kobiety i prawdziwym otoczyć ją urokiem. Będąc wiernym tłumaczem jęj boleści, nie przekracza nigdy obrębu prawdy. Pamięta zawsze o surowych przepisach obowiązku, uczy poddania i podnosi z upadku złamane cierpieniem dusze. U nięj nigdy smutna ofiara mścić się nie umié za wyrządzone sobie krzywdy. Zemsta jest zawsze dziełem wyższej woli. Ta jest właśnie piękna strona wszystkich jęj powieści. Zarzuciłby im tylko można rozwlekłość, oraz zbytek drobiazgowych szczegółów, odrywających od głównego przedmiotu uwagę czytelnika; wszelako spodziewać się należy, że ta słaba i ujemna strona zniknie w dalszych utworach przy rzeczywistym talencie autorki.

W obecnej literaturze niemieckiej uderza nas dążność usilna w odrodzeniu na nowo ducha poezji. Od lat dziesięciu walki

polityczne zajęły wyłącznie umysły. Umilkli wielcy poeci. Jedni z nich pomarli, inni zniedołężnieli i zgrzybiali, inni nakoniec w wirze nowych wyobrażeń są obcemi wpośród nowego pokolenia. *Uhland* zajął się wyłącznie badaniem średniowiekowych *Minenzingerów*. Niewyczerpany *Rückert* tłumaczeniem zastępuje oryginalne utwory. *Justinus Kerner*, który niegdyś tak ponętnie umiał stworzyć świat nowy, zdala od zgiełku i namiętności wicherzących wówczas Europę, dziś rozczarowany z poetycznych snów i marzeń, pisze pamiętniki i wspomnienia swojej młodości. Tylko *Grillparzer* i *Zedlitz* w wypadkach lat ostatnich umieli zaczerpnąć prawdziwie młodzieńcze natchnienie. Inni wyobraziciele poetycznej Germanii umilkli głęboko. *Mikołaj Lenau*, umarł kilka miesięcy temu. Skromny i natchniony *Gustaw Schwab*, poszedł za nim niebawem. Zdaje się, jakoby kir żałobny pokrył i zaćmił poetyczną wyobraźnię Niemców. W miarę jak materializm bierze górę, w miarę jak tchnienie grobowe osusza źródła, niegdyś tak świeże ducha i poezji niemieckiej, śmierć lub milczenie wielkich mistrzów tém dotkliwiej uczuwać się daje. Nowa szkoła głośna i wrzaskliwa, która usiłowała zatrzeć ich pamięć, rozpierzcha się obecnie. Owi krytycy i poeci zgromadzeni pod chorągwią *Arnolda Ruge*, którzy w imię romantyzmu poniewierali wszelką wiarą idealną tak niezbędną w poezji, dążą dziś wyraźnie do upadku. Daremnie usiłowali oni obalić godność sztuki i zniżyć wyobraźnię do służenia ich poziomym celom. Przyszła nakoniec chwila ocknienia, a pierwsze oznaki życia, szczęśliwie pojawiać się zaczynają. Pomijając owę zbląkaną szkołę, która chciała uspić wiek XIXty średniowiekowemi legendami, poezja niemiecka wraca na właściwe stanowisko; pragnie otworzyć znów wyobraźni źródła prawdziwego natchnienia, a sztuce przywrócić godność i swobodę. Czyli jęj się powiedzie? nie wiadomo. Arcydzieła nie częściej pojawiają się dziś, jak dawniej. Dążność przynajmniej jest dobra, a rozwaga, doświadczenie i upamiętanie, wróży o pomyślnym na przyszłość skutku. W ostatnich czasach zwróciły powszechną uwagę poezye *Ludwika Wihl*, zapowiadające w uczonej formie zwrot czysto religijny. Ludwik Wihl jest izraelitą: czerpie on pieśni swoje w biblii, z wdziękiem opowiada historiją *Ruthy*; czuje on szczytną piękność ksiąg świętych: to właśnie nadaje pieśniom jego zupełnie samodzielny charakter. Odtąd jak usiłowano zastąpić myśl i uczucie oryginalnością przedmiotu, wielu poetów szukało na Wschodzie jaskrawych

barw do swych utworów. Tym sposobem *Freiligrath* przepelnił swe obrazy obcemi postaciami lwów, szakalów, Murzynów, a ogniście jego szkice, olśniły wprawdzie chwilowo. Innym jest Wschód Ludwika *Wihl*; wieszcz izraelita nie wyszukuje samój powierzchownej barwy, ale z głębokim zapalem w duszy i myśli uwielbia wielkość pierwotnego świata, owój kolebki chrześcijaństwa. Inny znów poeta, śmiały, giętki, prawdziwie samoistny, o którym już krytyka wielostronnie wyrzekła, *Fryderyk Hebbel*, w utworach swoich objawia przedziwnie oryginalne pomysły i obfitą bujność fantazyi. *Hebbel* zasługuje na szczegółową uwagę. Dramata jego jako téż komedye i poemata, mają wyłączną barwę i cechę. Autor *Maryi Magdaleny*, *Judyty*, *Genowefy*, *Heroda* i *Maryanny*, nie jest bynajmniej zwolennikiem Hegloskiej szkoły. Szkoła ta nowe zaprzeczenie znalazła w świeżym poemacie *Maurycyego Hartmana*. Poeta jak widać przedsięwziął stanowczo dźwignąć sztukę z obecnego upośledzenia.

Poemat *Hartmana*, jestto sielanka w siedmiu pieśniach pod tytułem: *Adam i Ewa* (1). Autor przyozdobił swój utwór niesłychaném bogactwem uczucia i wyobraźni. *Hartman* czuje potrzebę opuszczenia bitéj drogi, a chcąc uchronić bohaterów swoich od zewnętrznych wpływów, mieści ich zdala od świata, wpośród samotnych lasów. Cóż powiedzą na to teoretycy, którzy pragnęli uczynić z poezyi podporę dziennikarstwa, organ wrzawy i namiętności, miotającej tłumami? *Hartman* odpowiada im słusznie, że można zamknąć się na ustroni z myślą swą i czynem, a nie zaniedbać przeto powinności człowieka. Kto wysnuje z duszy szlachetny wątek, kto w tych czasach nędzy i upadku, ocali jedno uczucie, jedno ciche natchnienie, kto je zechce ująć w stałą zasadę, czyliż ten nie służy ludzkości?

Dlaczego tytuł *Adam i Ewa*? Zdaje się zrazu, że autor zamysła utworzyć jakiś poemat symboliczny, zechce nagiąć do punktu widzenia obecnej filozofii, dawne legendy chrześcijańskiej wiary. Tego rodzaju pomysły aż nadto się często w obecnym czasie pojawiają w Niemczech. Młoda szkoła Hegloska posiada cały zastęp powieściarzy i poetów, którzy lekkomyślnie i nieprzystojnie, przekształcają księgi święte, a szczytne rozdziały *Genezys*, kalamują panteistycznemi wyobrażeniami. Ale *Hartman* nie należy do

(1) *Adam und Ewa, eine Idylle in sieben Gesaenge von Moritz Hartman, Lelpzig, 1851.*

tój szkoły. On raczej szuka poezji w własném sercu i otaczają-
 eej go przyrodzie, a nie w lubieżności i ateizmie niemieckim.
 Chciałoby więc poeta naśladować Milтона? ale porównanie by-
 by niebezpieczne, i Hartman nie myślał o nim zapewne. Trudno
 więc usprawiedliwić niewłaściwy tytuł sielanki. Nadpisy każdej
 pieśni tém bardziej jeszcze zdumiewają czytelnika; idą albowiem
 w następującym porządku: *stworzenie, raj, wąż, drzewo mądro-*
ści, drzewo życia, on będzie twoim panem, nakoniec wyjście
z raju.

Rzecz dzieje się w rodzinnym kraju poety, wpośród lasów
 Czechii, w roku 1813. Europa sprzymierzyła się już przeciw
 Napoleonowi, a zponad brzegów Donu i Dniepru, zbiegają się
 liczne zastępy na pogńębienie Francyi. Postrach panuje doko-
 ła, mąż drży o swą żonę, ojciec o córkę, rolnik o owoc krwawej
 swjej pracy. Małeńka wioska *Wiesenthal*, nadobna ustron w głę-
 bi Czech, oddalona dotąd od europejskiej wrzawy, jest w tój
 chwili pastwą srogiego niepokoju. Ruch panuje niesłychany,
 przestach znać na obliczach wszystkich. Wojsko zbliża się nako-
 niec. Stary Tomasz niemniej od innych przerażony, bo ma cór-
 kę, szesnastoletnie dziecko, piękną, czystą i niewinną, jak śnieg tyl-
 ko co spadły z nieba. Gdzież ukryje Ewę przed zuchwałém
 okiem żołnierza? Co czynić, jak ukryć ów skarb drogocenny?
 Nad tém przemyśla Tomasz i jego małżonka. Namysłają się
 wreszcie: Tomasz ma syna przybranego, młodego sierotę Adama,
 którego przyjął i wychował za własne dziecko. Adam ma lat
 20, jest najdzielniejszym strzelcem w okolicy, a serce jego prawe
 i szlachetne. Tomasz powierza mu Ewę. „Idź, mówi doń, upro-
 wadź twą siostrę w najciemniejszą gęstwinę lasu; znajdziesz tam
 będę starą i opuszczoną, będę, gdzie ojciec mój, drwał, spędził
 całe życie; a dopóki żołnierz nie wyjdzie z kraju, nie opuszczaj ci-
 chego ustronia.” Opis owego ustronia, wraz z obrazem pełnej
 wdzięku niewinności, stanowi treść sielanki. Hartman rozwinął
 w niej wszystkie zasoby czystej wyobraźni i zachwycającej poe-
 zji. Cała sielanka oddycha życiem; zdaje się, że w niej czuć
 świeżą woń leśną, że słyhać oddalony gwar na dolinie, że widać
 ustron prawdziwie sielskiej piękności. Walka Adama z wilkiem,
 rozmowy młodziana z Ewą, gdzie jój tłumaczy cuda przyrody, od-
 dane są z prawdą i rzeczywistém pojęciem sztuki. Razi tylko
 cokolwiek postać mnicha Kamillusa, niegdyś żołnierza francuzkie-
 go, który następnie znalazł schronienie w pobliskim klasztorze.

Przychodzi on codziennie, i długie rozmowy prowadzi z dziećmi. Postać ta psuje cokolwiek ogólną harmonią. Niebawem po niewinnych i tkliwych obrazkach, następują głębsze wrażenia. Dziwne uczucie budzi się w sercu Ewy. Niektóre ustępy przypominają Pawła i Wirginią, a jednak nie można autora obwiniać o naśladownictwo, albowiem wszędzie przebija właściwe mu natchnienie.

„Któż mam przywołać muzę (woła Hartman, wprowadzwszy w głąb lasu dwie główne osoby sielanki), ciebież skromna córko pastora, którą *Voss* natchnioném uczcił pieniem? Ciebież Doroto, której Goethe zbadał tajemnicze dzieje? Ale nie, córka pastora zbyt jest poważną, zbyt poważną zarówno, przyodziana w pyszne szaty poezyi, jest bohaterka Goethego”. Hartman więc przyzywa pamięć znanego niegdyś dziecięcia rodzinnej wioski, na ducha opiekuńczego swemu dziełu. Nie rad on naśladować ani zbyt sztywnego stylu *Vossa*, ani zbyt uczonego *Hermana* i *Doroty*. Więcej go ludzi łatwość i prostota *Auerbacha*, i autorki *Djablój kałuży* (Jerzego Sanda). Ów zwrot do prostoty, owe badanie poezyi i literatury ludu, zasługują na wyłączną uwagę. Już oddawna próby tego rodzaju pojawiać się zaczęły; pierwszy popęd nie wypłynął ani od *Auerbacha*, ani od Jerzego Sand: pierwszy bowiem wzór w tym względzie dali nam *Immermann* i *Pestalozzi*. Ale byłyto tylko wówczas pojedyncze pomysły; dzisiaj rodzaj ten zajął obszerną gałąź literatury, a powodzenie jakie otrzymuje niekiedy, współczucie czytelników, oraz liczba naśladowców, nadaje temu rodzajowi niesłychaną wagę. Co jest tego powodem? Byłaby to chęć odświeżenia wzruszeń poetycznych, ocknienia uwagi czytelnika nowemi obrazami, gdy dawna literatura zupełnie już została wyczerpaną? Czyli téż wyższego celu w tym zwrocie dopatrywać należy? Byłaby to objaw szczerego współczucia dla ludu, chęć podniesienia go na wyższe stanowisko, i ukazania mu własnej siły w chwili, gdy duch czasu wprowadza go do życia społecznego? Zdaje się, że obadwa powody wpływają na to niewątpliwie; pierwszy jednakże przemaga. Główną wadą obrazów tego rodzaju, nie wyłączając najlepszych, jest przesada. Znać tu zawsze usiłowanie poety, odgadnąć można tajemną jego dążność, widzieć sztukę, a ztąd niknie złudzenie. Nie od uczonych literatów oczekiwać należy utworów czysto ludowych: nie ma w nich prawdy. Należy raczej sięgnąć do samego źródła, ściagać myśl ludu w pierwiastkowym jej polocie.

Miejscowe piosnki niektórych okolic, poezye bretońskie z Morbihanu i kraju Gallów, legendy niemieckie i pieśni słowiańskie, więcj nam powiedzą o prawdziwem uczuciu ludu, anizeli uczone literatów utwory.

Ostatnie europejskie wypadki, zwróciły powszechną uwagę na poezyą ludową, mało znanego dotąd w literaturze narodu. Poezya Madziarów posiada nieprzeliczone skarby, i rozacza przed okiem naszym tajemniczy świat cudów. Węgry mają niezliczoną moc pieśni narodowych, a jak u wszystkich ludów, których główny charakter pozostał niezmienny, liczba owych pieśni zwiększa się corocznie. Główną ich cechę stanowi duch wojowniczy. Pojawił się obecnie w niemieckim tłumaczeniu najwięcej upowszechniony madziarski poemat, pod tytułem: *Janczi*. Schandar Petosi, autor poematu, człowiek jeszcze młody, przechodząc rozliczne koleje życia, przejął się snadno duchem rycerskiej poezyi swego narodu. Urodzony w wiejskim stanie, kształcił się w szkołach publicznych, a następnie służył w wojsku w czasie ostatniej wojny; obdarzony nadto poetycznym duchem, dostarczył narodowi swemu niesłychaną liczbę pieśni. Rolnicy orząc spokojnie skibę, oraz żołnierze węgierscy wśród wojennej wrzawy, powtarzają zarówno jego ballady i rycerskie pienia. Petosi ogłosiwszy już około dziesięciu tomów, dał dowód nadzwyczajnej łatwości w tworzeniu. Najznakomitsze z dzieł jego, są zbiory pieśni, oraz długie opowiadania i urywki epepei, gdzie z dziwnym urokiem przebija cudowność i duch prawdziwie rycerski. Do tych ostatnich utworów należy *bohater Janczi*, i według niezaprzeczonych świadectw, jestto poemat najwięcej ulubiony pomiędzy krajowcami.

Przypomnijmy sobie owe średniowieczne poemata, gdzie trubadur, pojmując ducha awanturniczego swego czasu, bawił wyobraźnią słuchaczów opisem nadzwyczajnych i odległych wypraw, przebiegał Europę z końca do końca, opowiadając cudowne walki i zwycięstwa. Dodajmy do tego szczerą i niewinną wesołość, a nadewszystko świeże barwy wiosennej pieśni, pieśni znad Cisy i Dunaju, a mieć będziemy cały poemat. Młody wieśniak prostomyślny i zakochany, Janczi, pasie trzodę gospodarza na poloninie; niedaleko ztamtąd jasnowłosa Iluska pochylona ponad strumieniem, pierze płótno w bieżącej wodzie. Nie po raz pierwszy Janczi spotyka tu piękną Iluskę. Młodzian rad pogląda na jasne włosy dziewczęcia, a dziewczę rade słucha głosu mło-

dziana. Praca leniwo postępuje przy rozmowach bez końca. Nie-
litościwa gospodyni nie daruje dziewczęciu straconego czasu.
Gorzéj jeszcze dzieje się z młodzianem. Wilk pozjadał mu owce,
a gospodarz wypędził go z domu. Gdy noc ciemna zapadła, mło-
dzieniec wraca do wsi i puka zwolna do okienka kochanki, bierze
fujarkę i gra na najsmutniejszą nutę: „Ilusko, muszę cię opuścić,
idę w świat szeroki. Czekaj na mnie dziewczę, pozostań mi
wierną, a niedługo z wielkimi powrócę bogactwy”. I odchodzi
ze łzą w oku i ścisniętém sercem. Idzie sam nie wie gdzie, idzie
noc całą, a wełniana odzież cięży mu na barkach. Cała ta część
poematu pełna jest niezrównanego wdzięku. Sprzeczne uczucia
oddane tu są z szczerą i niewinną prostotą. Przejście z jednego
w drugie łatwe i nienaciągnięte. Sąto naturalne wybuchy ser-
ca. Na tém kończy się wstęp poematu. Po sielance następuje
część bohatera, po tkliwych scenach z domowego życia, mamy
awanturnicze wyprawy madziarskiego rycerstwa. Janczi napoty-
ka żołnierzy, i przystaje bez namysłu do zastępów Macieja Kor-
wina. Młody Madziar zna się z koniem od dzieciństwa, pięknie
mu przypada kurtka huzarska, a pałasz jego cudnie błyszczy na
słońcu. Wojsko madziarskie postępuje spieszenie; pilno mu, al-
bowiem niesie pomoc królowi francuzkiemu, napadniętemu od
Turków. Ciężka to i daleka droga, trzeba albowiem przebyć
kraj tatarski, Włochy, Polskę i Indją. Dziwnato geografia; owo
wspomnienie Turków i Francuzów, owe nieskończone wyprawy,
nie są wymysłem autora. Znać tu wyraźny ślad wieków średnich,
tradycje i legendy dawno upłynionych czasów. Poeta zebrał je
z ust ludu, i wprowadza je dobrodusznie, z udaną wiarą, obok
lekkiej ironii: z kąd wypływa zachwycająca oryginalność utworu.
Madziary przybywszy do Francyi, hojnie są wynagrodzeni za swe
trudy. Cóżto za pyszna okolica? Doliny Chanaanu niczém są
w porównaniu z jój bogactwem. Raj ziemski nie jest piękniejszy!
Przybywają oni w porę, chciwy bowiem Turczyn plądruje do
woli, łupi kościoły, miasta obraca w gruzy, zboża tratuje końmi;
król wygnany z swego pałacu, tuła się pośród zwalisk, a barba-
rzyńcy porywają mu jedyną córkę. „Kto mi wybawi dziecię mo-
je, córkę ukochaną, woła król, widząc przybywających obrońców,
oddam mu ją za żonę“. Ja ją wybawię, pomyślał każdy z ryce-
rzy madziarskich; wynajdę ją lub zgine. Janczi sam obojętnym
jest na słowa królewskie; on w marzeniach swoich widzi jedynie
rodzinną wioskę i jasnowłosą Iluskę. A jednakże on zabija tu-

reckiego baszę, i uwalnia królewską dziewicę. Od niego zależy zasiąść na francuzkim tronie; ale Janczi nie waha się ani chwili: Iluska przyrzekła mu czekać; wraca więc do kraju, uwożąc niezliczone skarby. Wsiada na okręt. Ale nie na tém koniec ciężkich przygód. Straszliwa burza powstaje, okręt rozbija się, i skarby przepadają w otchłaniach morskich. Janczi o nie nie dba, byleby jak najprędzej ujrzał Iluskę. Ale niestety, niestety, za przybyciem do domu zastaje nieżywą kochankę. „O! czemuż, woła bohater ze łzami, czemuż nie zginąłem pod żelazem Turczyzna? Czemuż mię morskie nie pochłoneły wały?”. Tu nowe rozpoczynają się przygody. Już młody Madziar pragnie stać się godnym kochanki i zdobyć dla niej skarby; przebiegł świat z orężem w ręku: teraz zaś poeta otwiera mu świat inny, nadzmysłowy, pełen cudów i tajemnicy. Tu w miejscu Tatarów i Indyan, napotkamy olbrzymów, karłów, wróżki, słowem cały szereg fantastycznych bohaterów i krajów ludowej poezyi, kędy Janczi ma wynaléźć Iluskę.

Otóż i cały poemat. Obrazy pełne życia i ruchu, spokojne w uczuciach, cudowne opisy wypraw rycerskich, odsłaniają nam dziecinne oblicze ludu wojowniczego. Nic dziwnego, że taki utwór przyjęty został z zapalem, i powtarzany jest w niezliczonych rapsodach. Jestto bowiem narodowa epopeja, zawierająca w sobie wszelkie uczucia, marzenia i podania, właściwe ludowi madziarskiemu. Poetyczne jęj ustępy odbijają naprzemian szczerą prostotę, niewinną wesołość, zapal niezrównany, i dumę rodową, naiwnie wyrażoną. Według poety węgierskiego, plemię madziarskie najdzielniejsze jest na świecie. W sprawie zagrożonej Francyi, podnosi oręż przeciw Turkom. Piękneto zaiste wspomnienie XV wieku! Wojska Jana Huniada i Macieja Korwina zasłaniały Europę od napaści Ottomanów. Francya dla średnio-wiecznych Węgrów wyobrażała Europę: ztąd powstało podanie o oswobodzeniu Francyi od łupieztw tureckich, przez dzielnych Madziarów. Poeta zbierając wszystkie krążące legendy, jednocząc rozpiezchłe rysy historycznego życia Węgrów, stworzył epopeję w części rzeczywistą, w części urojoną, w której naród przejrzał się jakby w zwierciadle. Styl zastosowanym jest doskonale do przedmiotu: tkliwy, wesoły, łatwy, niekiedy lekko ironiczny, wiernie oddaje zmienne wrażenia opowiadacza. Największą jego ozdobą jest niewinna swoboda i pełne świeżości zwroty, dowodzące czerstwości i siłę wyobraźni. Nie ma tam śladu

owój myśli tęsknej i pochmurzonej, cechującej germańską poezją. W tkliwych ustępach z domowego życia, słowa wierném są odbiciem niewinnych i prostych uczuć. W obrazach wojennych opowiadanie jest silne, jakoby tętent końskich kopyt, szybkie jak błysk szabli.

Oprócz Petozi, kilku jest innych jeszcze samoistnych poetów węgierskich. Do znakomitszych należy *Kisfaludy*; siła niepospolita cechuje jego utwory. *Voeroesmarty* otrzymał powodzenie w dramatach przedstawionych na teatrze w Peszcie. *Császár* pełen świetnej wyobraźni, zadziwia niesłychaną łatwością pióra, Słowem, poezya madziarska ma w sobie silny zaród życia, a rozwijając się dalej na narodowych podaniach, może kiedyś zająć niepospolite w Europie stanowisko.

Pomiędzy powieściopisarzami madziarskiemi na czele stawić możemy *Józefa* barona *Eötvös*. Obecnie powieść jego p. n.: *Der Dorf-Notair*, 3 tomy, Ska, przełożona jest na kilka języków. Tłumacz angielski *Otto Wencktern* utwór ten obsypuje pochwałami, a krytycy angielscy literacką wartość tej powieści wynoszą nade wszystko, uważając szczególnież ze stanowiska, jako wierny obraz, szeroko i śmiało narysowany życia społeczności węgierskiej w ostatnich czasach. Obszerną jest treść tego *Notaryusza wiejskiego*: osoby wchodzące w ten wielki dramat wyszczególniają się i dobitnością postaci, i oddania mistrzowskiego zarysów ich charakterów. Poprzestaniemy tu na przywiedzeniu jednego ustępu, który zarazem jest początkiem powieści.

„Kto z was przebiegł okolice ponad niższą *Cissą*, choćby niewiele kraju przejechał, śmiało powiedzieć może, że poznał cały. Trafia się czasem między członkami niektórych rodzin tak dziwne podobieństwo, taka rzecz można jedność rysów, że aby jednych od drugich rozróżnić, trzeba ich długo i często widywać: tak to i w obwodach nad niższą *Cissą*. Niech cię tylko kołysanie powozu na godzin kilka uspi wśród dróg naszych pełnych piasku i pyłu, zbudzisz się, a po niczém inném, chyba po zachodzącém już słońcu i znużeniu koni poznać będziesz mógł, żeś się dalej posunął. W fizyonomii kraju ogólnej; w szczegółach nawet, nic nie oznajmi zmiany miejsca; jak majtek co drogi swój wśród fal Atlantyku dostrzedz nie może, i tybys próżno jój szukał. Przed tobą stepy niezmierzone, gdzieniegdzie studnia zarzucona prawie, rzadka przechadzające się poważne bociany, ponad wpół-wyschłemi moczarami, pola źle uprawne, których plony zboże i ku-

kurydza, leżą na łasce bożej, zostawione na pastwę włóczęgów, co się o nie pokusić mogą. Gdzieniedzie samotna chatka, przy niej stróżujące dwa brytany, z długim włosiem, pilnują świętego prawa własności. Sterty siana i słomy przeszlorocznej jeszcze, na które patrząc nie wiesz, czy ziemianin ma zanadto paszy, czy za mało bydła: oto panorama, na którym zamknęły się oczy twoje, i na które się otwarły. Nawet wieżyczki kościołów panujące nad doliną, którą widziałeś usypiając, zdają się gonić za tobą, i tak mało różnią się jedne od drugich, jak wieś którą przejeżdżałeś z rana, i wieś którą przebywasz wieczorem. Toż podobieństwo w niskich rzeki brzegach. Cissa, poczciwa sobie obywatelka, co ma, to w domu spożywa, a prócz tego najszcześliwsza z rzek w świecie, najłagodniejszego charakteru: nikt się w jej sprawie nie miesza; spokojna i jedyna może na całą Europę, o której powiedzieć można, że została tém, czém ją Pan Bóg stworzył."

„Nic uroczystsze, nic spokojniejszego, nic powolniej sobie idącego ze wszystkich rzeczy chodzących (wyjąwszy procesu w Węgrzech) nad Cissę, regularną i umiarkowaną; można z góry zapowiedzieć czas, w którym niechybnie wyleje, oznaczyć nawet ściśle na karcie granice wylewu, niewinnej rozpusty, szalu tak spokojnego, jak naszych (węgierskich) urzędników, wychodzących z weselnej uczty, z *instalacyi*, lub *restauracyi* (rodzaj wyborów), pomimo upojenia swojego, godnych i poważnych."

Eötwös zebrał w *Wiejskim* swym *Notaryuszu* rysy obyczajowe całego żywota Węgrów; celem było pokazać zepsucie, które się zakradło wszędzie, i groziło zniszczeniem najpiękniejszym przymiotom narodowym. Ale autor zbyt może ostro, zbyt surowo, z goryczą osądził swoich współczesnych. Obwinić go mogą o paszkwil i satyrę. I zaprawdę: w jego dziele sam cień bez światła przedstawiony za wierny obraz społeczności, uderza i razi, lubo pojedynczo wzięte wizerunki i zarysy, prawdą są nacechowane.

Baron Eötwös jest szlachcicem węgierskim: ojciec jego na zwodniczych spekulacyach stracił cały majątek w r. 1841. Syn skutkiem cisnących potrzeb, rzucił się do pióra. Eötwös w r. 1848 był pod Bathyanym ministrem stanu, później osiadł w Bawaryi.



WYSTAWA POWSZECHNA W LONDYNIE.

(ARTYKUL DLA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ WYŁĄCZNIE NAPISANY).

III.

Londyn, 10 lipca.

Od dziesięciu tygodni pałac wystawy jest otwarty. Zebrano ogromne miliony, dzięki którym i wszystkie koszta oddawna się wróciły, i dostateczny zebrał się fundusz na nagrody, i znaczny powstanie kapitał, bądźto na utrzymanie gmachu, bądź też na zapas do przyszłych tego rodzaju przedsięwzięć (1). Dzienniki wczesnie poruszają kwestyą, na co po ukończeniu wystawy poświęcić wspaniałe gmach; jedne chcą z niego utworzyć muzeum narodowe, drugie, jak *Times* radzi, obrócić na ogród zimowy, założony i utrzymywany kosztem dobrowolnych uczestników. Tak jedno wielkie przedsięwzięcie nowe wywołuje; i być może, że do tego samego budynku, gdzie ludzie nieśli plody swego przemysłu, zwiozą okręty plody żywotnej natury, i utworzą najpiękniejszą, bo z całego świata oranżeryą. Lecz w tém co mówię nie ma nic stanowczo zadecydowanego; właśnie w tych dniach zwołał *meeting* genialny Paxton architekt-ogrodnik, aby wywołać dyskusyą publiczną, a z niej myśl, któraby naród cały zadowolniła. Mówiono też o tém i w parlamencie.

Niezliczone krocie ludzi zwiedziły wystawę, a zapał do niej bynajmniej nie ustaje. Choć cudzoziemców mniej w ogóle zjechało się niż mniemano, i rzeczywiście dopiero od kilku tygodni większa się pokazuje ich ilość, braku gości nie znać bynajmniej:

(1) Szczegółowy wykaz dochodu, znajdzie czytelnik przy końcu niniejszego artykułu.

bo nie mówiąc już o przybywających z miasta, każdy pociąg kolei żelaznej przywozi tłumy ciekawych z prowincyi. Pięćdziesiąt do siedmdziesiąt tysięcy można każdego dnia naliczyć, a zjawisko jeszcze bardziej pocieszające przedstawia ruch, coraz to ogólniejszy, i porywający do wystawy coraz głębsze massy ludności. Bogatsi ułatwiają podróż i wnijsie uboższym, a nierzadko się zdarza, że właściciel lub fabrykant, za wszystkich wyrobników płaci bilet wejścia. Tak przed kilkoma dniami orszak 600 wieśniaków wszedł parami, w białych bluzach, do pałacu, i w nim z wszelkim pożytkiem dzień cały przepędził. Dowiedziałem się później, że za nich lord pewien, właściciel tamecznych dóbr, podróż i wnijsie opłacił. Podobnie jeden z bogatszych kupców węgla, dwustu swoim wyrobnikom podarował dzień cały, i dał każdemu w rękę po pięć szylingów na bilet i obiad po wystawie. Że po takich przykładach już wielu znalazło się i znajdzie naśladowników, mówić nie potrzebuje; ani też o tém, jak wielkie skutki na cywilizacyą, przemysł i moralne podniesienie narodu, wyrzucić musi ten ogólny interes do wystawy, i to przypuszczenie do niej klasy najuboższej.

Sposób, w jaki ta różnolita publiczność zwiedza wystawę, przedstawia nader ciekawe pole badania. Kiedy cena biletu jednorazowego wynosiła funt, lub pięć szylingów, publiczność widno przychodziła więcej dla zabawy, niż dla nauki. Wtedy grupy rzeźb, bogate meble Leistlera, Kohi-noor, dyamenty Lemonniera, Meurica arcydzieła jubilerskie, bogactwa jubilerów angielskich, maszyny w ruch puszczone, a bardziej nad to wszystko nieporównany ze środka nawy poprzecznej widok; igraszki fontanny Oslera, wspaniałe drzewa i wonne góry kwiatów, poza któremi odsłaniały się bufety z lodami i chłodnikami: — czarowały oczy i zwabiały do siebie tłumy wykwintnych widzów. Po niedbałości w zwiedzaniu, po tym braku planu i systematu, odgadnąć było łatwo, iż to są ludzie szukający jak przyjemnie czas przepędzić, goniący za wrażeniem, formę i artystyczność nad rzeczywisty pożytek przenoszący. Od chwili kiedy wpuszczono publiczność jedno-szylingową, zmieniła się fizjonomia wnętrza pałacu: zwiedzający przeszedłszy raz i drugi po obu nawach, rozpierchają się po bokach, dawniej zwyczajnie pustych, wybierają swój przedmiot, oglądają powoli, rozważnie, rozprawiają, pytają, uczą się. Zaniedbane pierwój maszyny rolnicze, kopalniane, pro-

dukta surowe, otoczone są teraz nieustannie gronem poważnych i myślących widzów.

Każdy oddział narodowy ma ich podostatkiem, lecz najwięcej angielski; choć zaprawdę musi mieć niemało odwagi ten, co się porwie na sumienny i szczegółowy jego przegląd. Anglia miała wszystkie ku temu środki, aby przed oczyma zdumionej Europy stanąć w pałacu kryształowym w całej pełni i rozwoju swego przemysłu. Ogrom bogactw nagromadzonych na skrzydle angielskiem we wszystkich gałęziach pracy, zdziwił nawet samych Anglików. Oni tak dumni, i tak pewni siebie; oni, których oko i umysł przyzwyczajone są do ogromnych rezultatów narodowej potęgi, na widok pałacu kryształowego, na widok tam zebranych cudów, nie mogli ukryć zdumienia nad własną wielkością! A cóż za wrażenie sprawiać muszą skarby te na cudzoziemcach, na mnie, któremu w myśli snują się ubogie rodzinne chaty wiejskie, przemysł chwiejący się i dopiero w pieluchach, handel kramarski w rękę żydów! Było zrazu w tym widoku coś ogłuszającego, a ile razy przechodziłem przez salę i zabierałem się do specjalnego rozbioru, nie bez trudu przemogłem na sobie pewien rodzaj uczucia przykrego, jakobym sam jeden wchodził do nieskończonych sal Watykanu, lub jakobym był owym młodzieńcem z arabskich powieści, który stojąc przed otwartymi bramami pałacu, widząc kalifa na złocistym tronie, nie śmiał przekroczyć stopni, i wyjść z podwórza, aby go nie oślepił blask budowli.

W poprzednich listach zdając sprawę to z ogólnego wrażenia, to z pobieżnej wędrowki po całym świecie, nie dotknąłem prawie Anglii: bo postanowiwszy przejść systematycznie celniejsze oddziały przemysłu, wiedziałem, że w każdym przyjdzie mi głównie mówić o angielskich produktach. Można uchwycić wystawę innych krajów w jednym lub kilku szkicach, nawet wystawę dwóch krajów najcelniejszych po Anglii w pałacu kryształowym, to jest Francji i Austrii można choć nie bez wysilenia określić za jednym zachodem; ale jak się znaleźć odrazu w nawie angielskiej, w tym niezmiernym, przepelnionym labiryncie, gdzie się znajduje wszystko, co tworzą milionowe warsztaty królestwa Wielkiej Brytanii, i wszystko z bajecznym zasobem, poczynawszy od olbrzymich lokomotyw, aż do najdrobniejszych igiełek. Tu już potrzeba systematu, klasyfikacyi, a nadewszystko wytrwałości i nieprędko męczącej się uwagi, aby siebie i czytelnika nie

zgubić. Przejdźmy zatem celniejsze klasy o ile publiczność polską mogą obchodzić, i o ile pióro moje coś o nich napisać potrafi.

Dziwném to się wydawać może, że Anglicy za jedną z najważniejszych poczytują wystawę surowych produktów, i o niej mówią zawsze najpierw, polecając ją pilnej uwadze tak widza, jak fabrykanta i sztukmistrza. Przyczyna leży w duchu praktycznym Anglików, który wszędzie szuka dla siebie nauki. Bo w rzeczy samej trudno byłoby fabrykantom większe oddać dobrodziejstwo, jak ustawiając przed ich oczyma zupełny szereg materiałów surowych, nie tych tylko co są dobrze znane, i znajdują się oddawna w handlu, ale i tych, co dotąd nie wyszły za kraj rodzinny. Mimo tylu środków pomocniczych, jakie dzisiaj łatwość transportów, wysokie stanowisko geografii i mnóstwo podróży podają: to, co w odleglejszych krajach się rodzi, mało jest znane tym, których to obchodzi najwięcej. Rzadko więc fabrykant, gdzieby można dostać produktów najtaniej i w najlepszym gatunku; rzadko więc producent, który i w jakim kraju fabrykant wyrobu jego potrzebuje. Dzieje się to skutkiem przesądów i wstrętu do nowości, skutkiem też nieznamomości zysków, jakieby spłynąć obustronnie mogły. Dokładna wystawa otwierając wzajemny stosunek, spełnia życzenia jednych i drugich, a nauka z niej wypływająca, przyczynia się często do podniesienia i ulepszenia produkcji. Fabrykant odkrywa na niej nowe źródło dobrze znanego produktu, dowiaduje o lepszym onegoż zastosowaniu, natrafia nawet na zupełnie nowy produkt. Zwiększa się żądanie produktu, producent musi użyć więcej sił i kapitału, więcej do uprawy i zbioru przykładają starania; jedném słowem, produkt ulepsza i pomnaża ilość produkcji, wyęzając siły własne. Z nowym napływem surowego materiału, czy taniego, czy też w lepszym gatunku, fabryka jakoby nową znajduje potęgę: pomnaża czynność, wydaje więcej i lepiej. Lecz przedewszystkiem potrzeba, aby fabrykant obznał się z produktem, a tego bez wystawy dopiąć nie można: bo jak w kraju własnym nikt nie jest prorokiem, tak też i materiał surowy znajdujący się w obfitości bywa zaniedbany, choćby go gdzieindziej szacowali wysoko i wyszukiwali starannie. Kiedy podróżny w odległym kraju spotyka taki przedmiot, i wypytuje się o niego krajowców, śmieją się z jego pytań o rzeczy tak powszednie, i nie dadzą się namówić do lepszej i staranniejszej produkcji, dopóki ich własny zysk nie skłoni; podobnie i fabrykant za-

wiązawszy raz z producentem stosunki, nie zrywa ich i nie zadaje sobie starań w dowiadywaniu się o dogodniejszy materiał. Obie więc strony w oddaleniu trzyma siła nawyknięcia.

W żadnym kraju wystawa produktów surowych nie jest tak zupełną, jak w Anglii; postarano się o nią tak dobrze z krajów europejskich, jak kolonij azyatyckich, afrykańskich, a szczególnie pamiętano o australskich. To też dwie osobne sale zastawione są surowemi materiałami z Zelandyi, Van Diemen, Bahamy, i t. d. Oprócz wszelkiego rodzaju produktów tamże dobywających się, przedstawiono narzędzia, któremi się tamtejsi krajowcy w ich obrobieniu posługują. Geograf znajdzie rysunki dokładne kraju i ważniejszych okolic lub budynków; albo jeśli chce poznać życie krajowca, może się przypatrzeć modelom chat jego, oplecionej komorze na przechówek cenniejszych szat, sprzętów, i żywności przeznaczonęj, wielkiej świetlicy na drągach opartęj, gdzie pozawieszane hamaki, łodzie z kory, rozłożone suknie, ustawione naczynia, czółgające się dzieci i psy, przedstawiają wierny obraz obyczajów i sposobu zatrudnienia.

Materiały surowe w katalogu i na wystawie tworzą pierwszą sekcją, podzieloną na cztery klasy: produkta kopalne, chemiczne i farmaceutyczne, produkta zwierzęce i roślinne. Klasa pierwsza przedstawia szereg bardzo interesujący próbek wszystkich ważniejszych mineralów, kamieni budowlanych, kamieni drogich, metalów rodzimych, a zarazem ich zastosowania i procesów, z pomocą których, materiały te przetwarzane są na zaspokojenie naszych potrzeb codziennych. Takie próbki, częstokroć bardzo piękne, znajdują się w każdym kraju; w oddziale rosyjskim, fabryki królestwa polskiego przedstawiły kompletny szereg ustawionych w porządku i opatrzonych polskimi napisami. Mówiłem już potrochu i wspomnę jeszcze o kopalniach zagranicznych; ale największa część pochodzi z kopalni angielskich, bo żaden kraj nie jest tak hojnie od natury uposażony w bogactwa mineralne, jak Anglia. Bryły większe, po kilkadziesiąt stóp wysokie, umieszczone są przed pałacem, jak np. kolumna dorycka z granitu, pochodząca z Cornouailles, z jednéj sztuki, 20 stóp wysoka; z Galii i Szkocyi ogromne masy węgla, marmuru czarnego irlandzkiego i t. p. Wszedłszy bramą zachodnią, i zwróciwszy się na prawo, znajdziemy zbiór metallurgiczny, ułożony wzdłuż ściany północnej. Obok kollekcyi téj bardzo uczącej, spostrzegamy zarazem przyrządy służące do rozpoznania chemicznego każdego ma-

teryalu. Dołączone modele wyjaśniają naukę krystalografii, przedstawiając stosunek między kryształami skomplikowanymi, znajdującymi się w naturze, a formami pierwotnymi najprostszymi, do jakich je można sprowadzić. Obok tej kolekcji, widzimy próbki masy ołówkowej z kopalni Borowdale (Cumberland) wydającej najlepszy ołów czarny do wyrobu ołówków. Widzimy ją w kształtach nieforemnych, jak się zachodzi zwyczajnie w granicie, a czasem, chociaż rzadziej, w pokładach węgla. Jestto materya kosztowna; w Borowdale, aby zapobiedz kradzieży, przed otworem do kopalni zbudowano gmach, gdzie górnicy zmieniają odzież i rewidowani są starannie. Co rok, tylko przez sześć tygodni wydobywają zwyczajnie tę masę w Borowdale, a produkt wydobyty w tak krótkim przeciągu czasu, wart jest milion i dwa miliony złp. Widzimy w pobliżu zbiór kamieni i gładzików z Cairngoram (Aberdeenshire), próbki granitów z Aberdeen i Peterhead; perły szkockie znajdujące w Don, Y-then, Ugie; alun w stanie pierwotnym i przechodowym, i liczne próbki glinki chińskiej czyli kaolinu z St. Stephen i St. Austel (Cornouailles), gdzie jej przygotowanie zatrudnia niemal całą ludność. Masa ta tworzy się z rozkładu feldspatu, znajdującego w skałach granitowych; tracąc pierwiastki alkaliczne, wydaje substancją bogatą w krzemionkę i glinę alunową, a zachowuje bardzo małą ilość potażu i sody. Oddziela się kaolin od piasku krzemienego, z którym jest stale złączony, przepuszczając przez niego prąd wody, który zostawia z niego piasek, a glinę z sobą unosi i osadza w głębokich dołach. Widziałem także tak zwany kamień chiński, który zdaje się być feldspatem w mniejszym stanie rozkładu niż kaolin. Kamień ten mając w sobie wielką ilość alkaliów, przechowanych pierwotnie w feldspacie, topi się przy wysokiej temperaturze, i służy na polewę przezroczystą, używaną zwyczajnie do naczyń glinianych. Do kaolinu dodano modele, bez których nie możnaby mieć wyobrażenia o metodzie używanej przy wypalaniu naczyń, robionych z kaolinu. Przedstawiono znaczną ilość próbek gliny do podlegszych wyrobów glinianych, jak niemniej fajansu, folardy, piasku krzemienistego, który jest tak ważnym artykułem w fabrykacji wszystkich gatunków szkła i kryształów. Tutaj są różnego rodzaju i koloru okry, które właściwie są tylko glinkami przesiąknionymi mniej więcej niedokwasem żelaza, a używają ich malarze i fabrykanci kolorowych papierów. Płyty porfiru czerwonego i zielonego,

i stół porfirowy centkowany, liczący w sobie przeszło pięćdziesiąt rozmaitych sztuk, pochodzą również z Cornouailles.

Pomijam kamienie, granity i inne materiały budowlane, bo zastanowię się nieco dłużej przy węglu kamiennym. Żaden z minerałów na wystawie angielskiej umieszczonych, nie daje tyle do myślenia nad potęgą i pomyślnością W. Brytanii, jak węgiel, ten dyament czarny, to niewyczerpane źródło jej przemysłu. W Szkocyi i Anglii dobywają go co rok z głębi ziemi 700 milionów centnarów. A przecież nie jestto przedmiot znany od zbyt dawna, bo przed XIIItym wiekiem nie słyszano o nim wcale i na prawdę konsumpcya jego i produkcya zarazem, rozwinęły się od wynalezienia machin parowych. Anglia i Belgia stosownie do swęj wielkości, mają najbogatsze zapasy węgla. Wielkość pokładu obliczają w Anglii na $\frac{1}{20}$ część jej powierzchni, w Belgii wynosi ona $\frac{1}{24}$ część. We Francyi znane dotąd pokłady nie przenoszą $\frac{1}{200}$, a inne państwa europejskie są pod tym względem jeszcze uboższe. Nie mają węgla prawie wcale: Rossya, Szwecya, Norwegia, Włochy i Grecya. Z państw do rzeszy niemieckiej przyłączonych, Czechy i Szląsk są najbogatsze, a w pierwszych kopalnie rakowickie i pilnickie. W roku 1837 wydobyto w czeskich $2\frac{1}{2}$ miliona centnara. Z właściwych Niemiec, tylko prowincya saska, nadreńska i Westfalia obfitują w węgle; te ostatnie wywożą go podostatkiem. Jest nieco węgla w Wirtembergu, Bawaryi i Hanowerze, nadto w niektórych austryackich prowincjach, lecz reszty państw niemieckich produkcya jest bardzo słabą. W prowincjach polskich najbogatsze są okolice Krakowa; w ogólności w Polsce wydobywają go mało, podobnie jak w Hiszpanii i Portugalii. Są znaczne pokłady na Węgrzech, ale niedosyć exploatowane, choć na kilkaset lat znajduje się zapasu. Większa jest produkcya w Morawii, a w ogólności wzrasta ona w Austrii z każdym rokiem. Zpoza europejskich, nad wszystkie najbogatsze są kopalnie w północnej Ameryce.

Czytelnicy znają zapewne olbrzymie kopalnie angielskie w New-Castle, Walii i t. p. Opisywało je wielu ludzi, wystawiając jako cuda potęgi człowieczej, i zaprawdę opisy nie były przesadzone; lecz zabłąkać się do nich w tej chwili nie mogę, chociaż mi stoją w myśli owe mosty straszliwe, maszyny parowe, ogromne szyby, i owe nadzwyczajne środki ostrożności, celem zapobieżenia eksplozyi gazu, który się wydobywa często z pokładów węgla.

Różnice węgla pochodzą ze starości pokładu, zewnętrznego połysku i wartości; nigdzie niema śladu budowy drzewa od którego mają pochodzić, chociaż nierzadko spotyka się odciski roślin. Węgłe tworzą masę zbitą, barwy mniej więcej brunatnej lub czarnej, zwykle połyskującej się, przyczem zachodzi nieraz gra kolorów tęczy. Ich ciężkość gatunkowa zmienia się od 1, 15 do 1, 50. Leżą ukośnie i odlupują się pod kątem prostym do poziomemu pokładowi. Z wystawionych w pałacu najpiękniejsze są z południowej Walii i Tipperary w Irlandyi. Budowa ich jednostajna, odłam muszelkowaty, połysk szklany, często różnobarwny. Do produkcji gazu nie dadzą się używać; natomiast najwięcej używany w tym celu jest węgiel z Lancashire, gdy 20 centnarów tego węgla umieszczonego należycie w zwykłych retortach, dostarcza 11,000 stóp sześć. gazu, ale za to do zwykłego paliwa mniej jest użyteczny. Szkocki zpod Edyburga mało ustępuje angielskim.

Znaczna ilość modeli prześlicznie wykonanych, wykazuje następnie sposób wydobywania węgla i wentylacji min. Między innymi uderzył mnie przyrząd bardzo prosty i dowcipny, za pomocą którego wagony przechodząc do galeryi, otwierają i zamykają przyrządy, umieszczone dla ułatwienia wolnego prądu powietrza. Oszczędza się w ten sposób pracy jednego człowieka, który dawniej musiał otwierać za zbliżaniem się wagonów z węglem; a że przyrząd daleko pewniej i lepiej niż człowiek tę przysługę oddaje, unika się zarazem wypadków, pierwój niezbyt rzadkich. Są także przyrządy zapobiegające spadnięciu kosztów na dół, w przypadku gdyby lina windująca je, przerwała się.

Przechodząc następnie od węgla do żelaza, widzimy próbki jego rozłożone w wielkiej obfitości. Model kopalni Ebbu-vale zbudowany na wielką skalę, wykazuje stopniowo różne kondygnacje kopalni, sposób eksploataowania i rząd w jakim po sobie następują pokłady węgla i rudy. Pomiedzy modelami machin do wentylacji kopalni znajduję tutaj jedną, zasługującą na szczególną uwagę, bo mojem zdaniem żaden inny przyrząd nie odpowiada równie swemu powołaniu. Szybki ruch koła tworzy prąd powietrzny; w tém bowiem kole są trąby rozchodzące się promienisto, a złączone na osi wydrążonej i tworzącej koniec rury, przez które powietrze zepsute ma być czerpane. Skoro para albo woda z wielką szybkością puści w ruch ten przyrząd, siła odśrodkowa tworzy jeden prąd od środka do okręgu, a drugi odpowie-

dni pompujący w kolumnie głównej. Są tu także modele wielkich pieców z tą różnicą, że gdy dawniej ciepło zbyt znaczne uchodziło kominem, teraz tworzy parę i ogrzewa ogromną kolumnę powietrza, puszczaną ciągle do tych niezmiernych kraterów kopalnianych.

Na sąsiednich stołach znajdują się liczne próbki w różnych stopniach przetopu, a kto bacznie się przygląda, może się nauczyć rozróżniać ich wartość, porównywając w przełomach budowę włoskowatą metalu.

Kopalnie miedzi są również zaszczytnie reprezentowane; z przysłanych na wystawę próbek, wspomnę o ogromnej bryle, dobytej z kopalni Par-Consols w Cornouailles. Próbka ta waży 1500 funtów; podobne choć nieco mniejsze bryły, pochodzą z kopalni irlandzkich. Znajduje się wiele modeli do wytapiania tego metalu. Pomędzy innymi próbkami, uderza potworny kryształ siarczanu baryty; jestto niezawodnie najpiękniejsza jaką widziałem próbka tego ciała w stanie krystalizacyi, z formami najwłaściwszemi temu minerałowi.

Oprócz miedzi, spotkałem w tym oddziale ołów i srebro zmieszane i oddzielnie, podobnie w rozmaitych stopniach przetopu, obok modeli fabrykacyi odpowiednich. Uderzyła mię blacha czystego srebra, ważąca 12,000 uncyj, i wartująca przeszło sto czterdzieści tysięcy złp.

Z wystawy kolonialnej i zagranicznej odznacza się kilka bardzo pięknych próbek. Z Kanady są próbki żelaza i miedzi, minerały mające $3 \frac{1}{2} \%$ srebra, złoto rodzime, węglan magnezyi, kamienie litograficzne i okry różnego koloru. Na wystawie Stanów Zjednoczonych znajduje się, jak wspominałem, miedź rodzima, węgiel, węglan żelaza. Z New-Jersey jest bryła cynku, ważąca 164,000 funtów. Na wystawie rosyjskiej jeśli pominiemy kamienie drogie i żelazo z fabryk królestwa polskiego, mało ujrzymy próbek, ale są piękne, mianowicie cynku i miedzi. Natomiast wystawa szwedzka i norwęgiska cechuje się głównie sławnym swém żelazem; ma także nieco niklu, kobaltu i t. d. Piękne są zbiory Sardynii i Związku Celnego; siarczany antymonium i ołów, najpiękniejsze z Hiszpanii i Portugalii. Wystawa francuzka pod tym względem jest bardzo słaba, ale belgijska odznacza się tak wielością, jako też układem próbek żelaza, cynku, kaolinu, węgla, ołowiu i t. d. Z Kalifornii widziałem tylko butelkę merkuryusza.

Kamienie drogie zajmują niepoślednie miejsce w pałacu. Dyament, ten czysty węgiel, służy nietylko do ozdoby, ale i w przemyśle jest nader użyteczny; używają go do osi zegarmistrzowskich, do krajania szkła, a pośledniejsze do szlifowania drogich kamieni. Zwykle nie ma on koloru, ale na wystawie znajduje się dosyć kolorowych. Żółte i zielone są mniej szacowne. Błękitne, aczkolwiek nie mają wielkiego połysku, w handlu bywają cenione wysoko; z kolorowych najkosztowniejsze są różowe.

Dyament przez szlifowanie utracą połowę swęj wagi: dlatego nieszlifowany jest o połowę mniej wart od szlifowanego równęj wielkości. Wartość zaś dyamentu idzie w stosunku kwadratowym do jego wagi; i tak, ponieważ karat dyamentu surowego wart jest 2 f. s., zatem dyament szlifowany wazący jeden karat będzie już wart 8 £., co znaczy wartość dwóch karatów dyamentu surowego. Umieszczam tablicę, której trzymają się tutejsi złotnicy w szacowaniu dyamentów:

Dyament szlifowany wazący	3 karaty, wart. jest	72 £.
„	4	126 „
„	5	200 „
„	10	800 „
„	30	7,200 „
„	40	12,800 „
„	50	20,000 „
„	60	28,000 „
„	100	80,000 „

Wyżej, a nawet w granicach tęj tabliczki nie ma już ceny handlowęj na dyamenty, bo nie ma na nich kupców.

Jeden z angielskich jubilerów przedstawił szereg wszystkich wielkich znanych dyamentów przewybornie naśladowany, począwszy od owego nieszlifowanego portugalskiego, który wazy 1680 karatów, a wart 5,644,800 £.; wielkość jego jest gęsiego jaja. Drugi po nim znajduje się w berle rossyjskiem, wazący 779 kar. a wart. 4,854,728 £. Pomniejszych prawdziwych dyamentów jest wielka ilość na wystawie; dyament błękitny p. Hope znajduje się obok sztaby złota z Kalifornii, wystawionęj przez bank angielski w galeryi głównej; wazy 177 karatów (1). Gablotka Lemonniera z Paryża jest wysokięj ceny; ale nie może wyrównać bogactwu wystawy londyńskich dwóch jubilerów, p. Hope i p. Hems Rosskell.

(1) Jest także dyament zupełnie czarny p. Hope, wazący 300 karatów; tak jest twardy, że dotąd nie znaleziono sposobu wyszlifowania go.

Są tam dyamenty różnokolorowe, cudowne opale, szmaragdy; są bukiety z dyamentów i ogromnych perel. Niedawno przysłał do pałacu p. Hope największą perłę na świecie $2\frac{1}{2}$ cala długości, a $1\frac{1}{2}$ cala szerokości. Pokazywano mi brylanty, jak mówiono Branickiego, przeszło milion fr. wartości. Atoli ze wszystkich dyamentów na wystawie, najpiękniejszy, najkosztowniejszy jest Koh-i-noor, należący dawniej do Runjeet-Singha. Kosztowny ten brylant jest jednym z większych, a szacowano go na 2 miliony *££*. Przez cały dzień, dopóki pałac jest otwarty, strzeże go dwóch konstablów, aczkolwiek jest umieszczony pod słojem szklanym i w klatce stalowej wyłącanej.

Nie brak także na innych kosztownych kamieniach, opalach, szmaragdach, ametystach, a od chwili odsłonięcia wystawy rosyjskiej, na malakitach wielkości u Anglików nieznanej. Nie wystawiano sobie, aby utwór stalaktytowy, mógł obok regularnej formacyi, przybrać tak olbrzymie wymiary; to co dotąd widziano z malakitów węgierskich, saskich, tyrolskich, nawet największa bryła jaką przysłali obecnie z Australii, z Burra-Burra, nie mogły dać wyobrażenia o malakitach rosyjskich. To téż gdy obaczono ogromne wazy, kominki, drzwi kilkanaście stóp wysokie i mnóstwo innych przedmiotów z tego pysznego minerału wykutych, powstał jeden krzyk uwielbienia, i publiczność tłumnie waliła się do sali rosyjskiej, aby ujrzyć w ogromnych bryłach ten kosztowny kamień, który dotąd po wysokich cenach na brosze i spinki sprzedawano. Niemniejsze zadziwienie budził widok wyrobów jubilerskich wielkiej wartości, bogate kamienie i wielkie masy drogiego metalu: z kąd urosło przekonanie, że wystawa rosyjska w bogactwie i elegancyi zachodnich wyrobów, spiéra się z zagranicznymi.

Drugie z kolei miejsce zajmują produkta chemiczne. Znajdują się one w każdej niemal wystawie, lecz na nieszczęście nie można nic o nich powiedzieć, dopóki sędziowie przysięgli, którzy jedni tylko mają prawo każdy produkt wypróbować, wyroku nie wydadzą. Z polskich widziałem tylko Hirschmanna i Kijewskiego z Warszawy. Wystawa niemiecka w tym względzie jest bardzo bogata. W austryackiej celuje sól, soda, minium, cynober i przeszło 180 rozmaitych delikatnych kolorów. Francya przysłała piękne próbki alunu, siarczanu miedzi, siarczanu potażu, jodynę, chloran potażu; z Portugalii i Madery kwas winny, lagier, siarczan sody, saletran baryty i ołowiu, niedokwas cynku, węglan potażu i t. d.

Z Toskanii szklane przyrządy chemiczne, kwas saletrowy i siarkowy i t. d. Między temi produktami znajdują się bez wątpienia bardzo piękne, lecz i pod tym względem wystawa zagraniczna nie może się porównać z angielską. W galeryi południowej, nieco na wschód od nawy głównej, znajduje się ogromny zbiór preparatów chemicznych i farmaceutycznych angielskich. Niepodobna mi wyliczać ani tych pięknych wyrobów, ani połyskujących kryształów, ani nawet modeli machin, i przyrządów do wytwarzania preparatów służących, które fabrykanci zarazem ustawili. Trzeba na to więcej specjalnych wiadomości, trzeba obszernego dzieła. Jestto ogromne pole nauki dla każdego chemika; ja wspomnę tylko o tém, co mnie w tym przeglądzie najwięcej uderzyło. Obok ściany południowej znajduje się mała szafa, zawierająca rozmaite akta, papiéry, książki, ryciny i mapy zniszczone czasem, dymem, parą albo ogniem, a z pomocą wynalazku pp. Jerzego Clifford i Jennera Temple, przywrócone do dawnego stanu. Między temi aktami, Anglicy z wielkiem zajęciem ukazywali papiéry wyrwane z pożaru Lincoln-Inn, które przeszedłszy proces chemiczny wynalazku, stały się zupełnie czytelnymi.

Tu miejsce wspomnieć o produkcie, którego niegdyś nasze portowe miasta wyłącznie dostarczały, a dzisiaj cechuje on wystawę jednego tylko kraju, to jest Prus: chcę mówić o bursztynie. Wilhelm Roy z Gdańska nadesłał cztery skrzynie surowego bursztynu, któreby mogły być ozdobą muzeum naturalnego. Między sztukami tamże złożonemi, najciekawsze są te, w których się znajdują zamknięte owady, co jest wyraźnym dowodem, że bursztyn niczém inném nie jest, jak tylko żywicą roślinną, do której w czasie jój tworzenia przyłgnione robaczki, pokryte zostały nową warstwą napływową żywicy. Takie sztuki są tutaj w wysokiéj cenie, a jeśli czyste, sprzedają się prawie na wagę złota. P. Roy nadesłał kilka brosz, bransolet, a nawet tacę bursztynową. Kupiec Wolff Manheimer z Królewca wystawił dwie piękne sztuki surowego bursztynu rzadkiéj wielkości, z których jedna waży 4 1/2, a druga 6 ff. Te ostatnie szacują na 9,000 złp. Z bursztynów nadesłanych przez Tesslera, funt większych sztuk kosztuje 100 talarów, mniejszych 50. Obaj Hoffmanowie z Gdańska wystawili naszyjniki bursztynowe, w których każda sztuka szeroka na cal lub dwa cale. Mogą one się wydawać mniej piękne, ale są ważnym przedmiotem handlu wywozowego za Europę, mianowicie

do Afryki, gdzie narody pogańskie z wielką uroczystością palą bursztyn na ołtarzach.

Wystawa Winterfelda z Wrocławia dowodzi, jak wysoko można posunąć sztukę w obrabianiu tak trudnego materiału. Zwraca powszechną uwagę jego waza bursztynowa (wartości 350 tal.), umbrelka płaska od świecy, na której wyrżnięte są herby i portrety królowej Wiktorji i ks. Alberta. Wszelako nad tym przedmiotem dłużej nie chcę się zatrzymywać; dodam tylko, że choć w innych krajach znajdowano bursztyn w małej ilości, dotąd prusy zachowały odziedziczony po Polsce monopol dostarczania tego produktu. Wprawdzie bursztyn nie posiada ani dosyć połysku, ani też twardości, aby go można umieścić w rzędzie kosztownych kamieni; ale szacowny dla swego użytku, może w ręku biegłych sztukmistrzów stać się przedmiotem wysoko cenionym. Najpiękniejszy dotąd znany kawał bursztynu znajduje się w gabinecie berlińskim, i szacowany jest na 16,000 talarów.

Z produktów surowych roślinnych i zwierzęcych, są przedmiotem najpilniejszego badania te, które służą jako materiał przedzalny. Najpowszechniejszym jest jedwab; widzę go wszędzie, tak dobrze w Rosyi jak Hiszpanii, południowych austriackich prowincjach, w Turcyi, we Włoszech, Francyi, a nawet w Anglii. Między jedwabiami indyjskiemi uderza wszystkich jedwab' szary, napozór gruby, a pod nazwiskiem Fussur-Eri i Mon-go używany do przędzy przez mieszkańców Assam. Widziałem tam jedwabnika jako poczwarkę, następnie worek w którym się zasnuwa, a dalej jako motyla, w którego się przemienia. Kolekya chińska odznacza się jedwabiem białym; jedwab' żółty prześlicznego blasku znajduje we włoskich prowincjach, lecz pod względem jedwabiu białego nic nie może się porównać z rasą *Brońskiego*. Zdaje mi się, że czytelnicy nie wezmą mi za złe, jeżeli o niej powiem słów kilka.

Major Broński rodem z Litwy, zamieszkawszy w dep. Bordeaux, znalazł we własności pana André-Jean, z którym razem wymyślił pług nowego rodzaju, drzewa morwowe, co go nakłoniło do zajęcia się chowem jedwabników. Pracował nieustannie od roku 1833, aby stworzyć nową rasę zastosowaną do klimatu, a zadowalniającą hodowników tak pod względem szybkości rozwoju, zdrowia robaczek, jak i jednostajności i siły produkcyi, i dobroci jedwabiu. Zajmował się najprzód rasą silniejszą, wydającą jedwab' żółty; lecz przekonał się, że bielenie jedwabiu przez parę

siarkową, odejmuje mu żywotność. Wtedy postanowił szukać nowej rasy przez krzyżowanie dawnych. W tym celu zebrał najlepsze rasy jedwabiu białego, brał worki rasy *Sina*, słynnej przez swą białosć, i zbadał, że ten jedwab' wprawdzie delikatny i niepośledniej białosć, nie miał połysku i był słaby. Wybrał dwie inne: 1 *Syrie*, bogatą w jedwab' choć niedosć delikatny i wpadający w kolor zielonkowaty; 2 *Novi*, rasę mniejszą, której woreczki są silne i dobrze usnute, ale jedwab' ma kolor nieco żółtawy. W roku 1837 odbył cztery chowy, odłożył woreczki *Syrie* i *Novi*, a za wykluciem się motyli połączył samców *Novi* z motylicami *Syrie*. W roku 1838 wykłuł się plód ztąd powstały, a w roku 1839 i 1840 powtórzył też same operacye. Co do rasy *Sina*: w roku 1837, kiedy się robaczki wydobyły, p. Broński oddzielił białe od czarnych, wybrał najlepsze woreczki, i nasienie zebrał osobno. Tę operacyą powtarzał w roku 1838 i 1839, lecz w roku 1840 połączył samce z woreczków robaków czarnych z motylicami robaków białych. Już zaś w roku 1841 zetknął samce rasy *Sina* z samcami utworzonymi przez wspomniane poprzednie skrzyżowanie ras *Novi* i *Syrie*. Krzyżowaniem tém stopniowem doszedł nareszcie pan Broński do rasy nowej, niepodpadającej chorobom, z woreczkami zapełnionymi jedwabiem równym, pełnym jedności i połysku, a którego chów wcale nie dostarczał odmiennych woreczków. 200—225 woreczków téj rasy waży 500 gramów; 4½—5 kilogramów daje 500 gramów jedwabiu, z 31 gramów nasienia otrzymuje 75 gramów woreczków.

Po kilku chowach regularnie odbytych pokazało się, że nowa rasa jest stałą, a korzyści jój stwierdzone świadectwami władz i stowarzyszeń kompetentnych są następujące: 1) Jednoczesne wykluwanie się; 2) chów odbywa się w ciągu 23 dni; 3) nie było ani jednego wypadku śmiertelności; 4) robaczki były ciągle zdrowe; 5) wszystkie woreczki błyszczały nieporównaną białosć; 6) długość nici w woreczkach wynosiła w średniém przecięciu 1057 metrów; 7) jedwab' tą metodą otrzymany jest delikatny, bardzo elastyczny, jedrny, i połysk ma dotąd nieznan; 8) jednostajność koloru i gatunku w całej rasie. W skutku tego w roku 1844 i 1849 nagrodzono pana Brońskiego medalem złotym. Minister handlu nalegał na niego usilnie, ażeby z wynalazkiem swoim przeniósł się w okolice Francyi, głównie jedwab' produkujące; lecz gdy do tego p. Broński nakłonic się nie dał, rząd postanowił kupić od niego ważny ten wynalazek, stanowiący epokę

w produkcji jedwabiu białego. Równie i na wystawie londyńskiej pierwszeństwo dla rasy Brońskiego przyznane zostało powszechnie, gdy z nią tak dobrze europejskie, jak i zaeuropejskie porównania wytrzymać nie mogą. Nietrzeba bowiem znawcy aby został uderzony różnicą białości, jaka odrazu uderza oczy między jedwabiami Brońskiego, a innemi dotąd jako pierwsze znanemi.

Czytelnicy zapewne przebaczą mi ten ustęp, nad którym nie bez przyjemności rozszerzyłem się, bo mi podał rzadką na wystawie sposobność oddania sprawiedliwości rodakowi. Wracam do produktów surowych.

Biorąc na uwagę rośliny włókienkowate, trudno nie zdumieć się nad obfitością, z jaką je Opatrzność rozsypała. Czemże się więc dzieje, że dotąd dwóch czy trzech materij zaledwo użyto? Sądzę, że nieco pracy i przemyślnego gospodarstwa, byłoby dostatecznym do zużytecznienia wielu innych. Jednym z najważniejszych produktów tego rodzaju jest len. Północ Europy jest jego ojczyzną, sam może on się rodzić bez uprawy, lecz dzisiaj stał się przedmiotem usilnego badania. Wspomnę o tém niżej. Przeciwnie, konopie pochodzą głównie z okolic cieplejszych, gdzie przy małej uprawie bujnie wyrastają. Portugalia dostarczyła na wystawę przelicznych próbek; podobnie Holandia i Włochy. Wiele innych materij włóknistych znajduje się w krajach międzyzwrotnikowych, jakoto: aloes, ananas, *Phormium tenax*, czyli len Nowej Zelandyi, roślina chińska i t. p., a ich włókno połyskuje się jak jedwab'. Lecz rośliny te są zaprawdę małoważnemi, skoro oko zatrzyma się na puchu, którym okryte są ziarna drzewa bawełnianego. Na wystawie amerykańskiej przypatrywałem się z zajęciem jednej gałęzi tego drzewa z Karoliny południowej, którego torebki otwierające się, pozwalają widzieć puch. Ogromna przestrzeń ziemi, pokryta jest już dzisiaj tém drzewem: Indyę, Egipt, Malta, a szczególnież téż Ameryka zasypuje produktem tym cały świat. Lecz ażeby z tego puchu utworzyć przędzę, z przędzy nici, a z nici odzież lekką i powabną; ileżto trzeba pracy, czasu, narzędzi, ile wreszcie poniesiono zachodów, aby przemysł ten stanął na stopniu, który dzisiaj potęgę Anglii utrzymuje. Dzisiaj zdaje się, że przemysł bawełniany doszedł do najwyższego szczytu: i bądźto niedostatek produkcji wobec wzmagającej się ciągle konsumcyi, bądź téż korzyści lnu, sprawiają, iż potrzeba tego ostatniego staje się coraz większa, i być może, że za lat niewiele zastąpi bawełnę, skoro tylko wyciskanie kolorowe na przędzach lnianych stanie się tak

łatwém i doskonałym, jak dotąd na materyach bawełnianych. Przemysł angielski w téj chwili z całą usilnością pracuje około tego zastąpienia bawełny przez len, chodzi mu bowiem o to, aby nie był podległy Ameryce, jak niemniej, aby surowego materiału rolnicy angielscy sami dostarczać mogli. Panowało dawniej mniemanie, że uprawa lnu wysila grunt; czyniło więc liczne doświadczenia tutejsze *Agricultural society*, a obok tego, zeznania praktycznych gospodarzy, dowiodły mylność téj opinii. Konsumcy lnu, tak w celu gospodarskim jako i przemysłowym, od lat 20stu wzrosła w Anglii niestęchanie, a w tym samym stosunku jak się podniósł duch przedsiębiorczy fabrykantów, wzmagał się przywóz produktu tego z zagranicy; i jakóż, gdy w roku 1831 sprowadzono go za jeden milion funtów szterlingów, w 18 lat później roczny przywóz wart był dwa miliony, a urzędowe wykazy stwierdziły, że za sam len i makuchy, zapłacili Anglicy 9 milionów f. s.

Lecz abym w dzisiejszym liście dokończył tego pobieżnego obrazu, który dla was skreśliłem, muszę choć z żalem porzucić tę jej część, gdzie nie tylko rolnik, fabrykant, sztukmistrz, czerpie naukę, ale gdzie każdy człowiek myślący przechodząc uważnie, widzi się być odrazu wtajemniczony we wszystkie potęgi natury, poznaje jej warunki, działania, bije czołem przed usilnością ludzką, która siły fizyczne do swoich potrzeb nagina i w płody natury ducha swego włożywszy, takowe uszlachetnia. Postępując w opisie porządkiem katalogu, który produkta surowe wyliczywszy, wyszczególnia przyrządy do ich przetwarzania służące, zanim przystąpię do tego rezultatu połączonych sił natury i człowieka, to jest fabrykatów, wypada mi się obecnie zastanowić nad machinami. Przedmiot to zastraszający wielkością: sala na 700 stóp długa, zastawiona gęsto samemi machinami angielskiemi, które z pomocą maszyny parowej o sile stu koni, wszystkie puszczone są w ruch. Kanały podziemne pobocznego budynku przeprowadzają do téj sali siłę poruszającą. Tu się odkrywa tajemnica potęgi Anglii, tu jej gieniusz jaśnieje blaskiem nieporównanym.

Wystawa machin angielskich podzielona jest na trzy części: w pierwszej są przyrządy użytku bezpośredniego, działacze pierwotne, służące do dźwigania, wazenia, liczenia; tu są windy, prasy, olbrzymie żorawie; tu narzędzia matematyczne i fizyczne, a wreszcie rolnicze. Druga największa zajmuje maszyny właściwe fabryczne; trzecia modele wszystkich budowli opartych na inżynierii i mechanice.

Najliczniej jest dotąd zwiedzany oddział machin fabrycznych. Tłumy widzów otaczają działające maszyny, z zadziwieniem patrzą na te stopy kółek, śrubek, drążków, które poruszają się z taką regularnością, zimną krwią, z taką pewnością samego siebie, jakoby w nich siedział duch genialnego mechanika, który je stworzył. Tu zbiegają się inżynierowie i mechanicy zagraniczni, przejęci zdumieniem na widok tak ogromnych postępów nauki, niejako zawstydzeni, ponizeni w sobie w obec tylu najtrudniejszych zagadnień, rozwiązanych z taką łatwością i prostotą; tu schodzą się fabrykanci lądowi, pytając siebie niemal ze strachem, jak wielki to musi być naród i jak ufny w samego siebie, kiedy nie waha się każdemu ofiarować za darmo owoc tyloletnich wysiłen i zachodów. Nie pamiętam, aby w mojem życiu cośkolwiek więcej mnie zajęło nad ten szereg machin rozklassyfikowanych wedle rodzaju produkcji, i odsłaniających stopniowo postęp każdego fabrykatu, a wlewających w duszę tę myśl pocieszającą, iż zaspokojenie moich potrzeb w dzisiejszej cywilizacji, nie wymaga już krwawego potu robotnika, że człowiek chrześcijański bliźniego swego od najcięższych robót uwalnia, i zdaje je na maszyny; że więc jeśli pracę moję wymieniam za rezultat rozmyślań mechanika, i niezbyt nużące zatrudnienie robotnika, wymiana jest sprawiedliwa, a każdy biorący w niej udział, stosownie do zasługi zyskuje nagrodę.

Cała fabrykacja od początku aż do końca stoi przed oczami widza. Z wielkich pak bawełny wydobyte arkusze wychodzą z maszyny oczyszczonymi pasami; te składane w rulonie metalowym, z następnej wychodzą już grubszymi lub cieńszymi niciami. Z nici dalsze maszyny tworzą tkanę, a wszystko się odbywa z taką szybkością, że w ciągu jednej minuty, można wyrobić 60 jardów. Jeżeli Szekspir w wyskoku swojej fantazyi, chciał raz ziemię całą w przeciągu 40tu minut jednym pasem otoczyć, to zaprawdę duchem wieszczym przewidywał maszyny, które tu dzisiaj Manchester wystawiło.

Skoro ogromne sztuki wyrobów bawełnianych wychodzą obiełone z maszyny, czeka je najważniejsza praca, to jest tak zwane farbowanie i drukowanie. Są tu maszyny, które farbują na raz z obu stron, które wyciskają ośm a nawet czternaście kolorów. Taką jest właśnie machina pp. Nelson, Knowless et Comp. Farbowanie wyrobu zajmowało długo teoretyków i praktyków; dotąd zaś farbują tylko trzy materje włókniste, to jest wełnę, jedwab i bawełnę. Wszystkie te trzy ciała obejrzane przez mikroskop, mają jeden charakter: są porowate, przepelnione komórkami. Skoro im się przyj-

rzy po ufarbowaniu, ujrzymy, że materya farbująca zapełniła te komórki, a farbowanie jest *złym* lub *dobrym* w miarę jak mimo działaczy rozpuszczających, jakimi są, mydło, woda i alkalia, farba nie wychodzi z komórek, do których je wciśnięto. Autorowie, którzy dotąd w tym przedmiocie pisali, nie zgadzają się co do przyczyn przylegania farby do komórek we włóknach. Jedni uważają ją jako prosty fakt mechaniczny, i komórkę ufarbowaną porównują do brylantu osadzonego w metalu; inni zaś przypuszczają, że zachodzi pewien proces chemiczny między ciałami. Wiadomo, że nie wszystkie ciała włókniste zatrzymują jednaką ilość barwy; różni się pod tym względem tak dobrze jedwab, jak wełna i bawełna. Są kolory przystające jedynie do materyj zwierzęcych, a inne do roślinnych, i na tém się opiera rozumowanie tych, co obstają za powinowactwem chemicznym. Przeciwnicy ich odpowiadają, że ta różnica tłumaczy się stosunkiem, jaki zachodzić powinien między wielkością atomu farbującego, a objętością komórki. Zresztą, jedna i druga teoria wyjaśnia sposób farbowania, a jakakolwiek jest przylegania tego przyczyna, rzecz pewna, że go zetknięcie samo nie sprawia. Trzeba, aby szczególne okoliczności przychodziły w pomoc. Tak np. niedokwas żelaza nadaje bawełnie kolor płowy, bardzo trwały, wytrzymujący zarówno powietrze, światło, mydło, alkalia, i najmocniejsze tarcie. Gdyby chciano ubarwić bawełnę przez samo tylko dotknięcie z niedokwasem, nie uda się próba; widocznie, że albo atomy niedokwasu są zawielkie i nie mogą się wcisnąć do komórek, albo też komórki zawielkie i atomy z nich łatwo wypadają. Należy wezwać w pomoc czynnika chemicznego, a rozpuściwszy w nim niedokwas, natychmiast atomy jego przylgną do komórek. Używa się w tym celu kwasu octowego: w nim zanurza się żelazo i otrzymuje się sól, zwaną octanem żelaza. Bawełna napuszczona taką cieczą, wystawia się na powietrze; wtedy kwas octowy ulatnia się, niedokwas żelaza pozostaje i materya otrzymuje silny kolor rdzawy. Zresztą nie masz podobno nikogo, coby tego doświadczenia nie robił: wszakże plamy atramentowe nie są czem innym, tylko ubarwieniem materyi za pomocą niedokwasu żelaza. Dość rozpuścić żelazo w occie, wymyć materyą, a plama zniknie. Przykład ten wyjaśnia dokładnie tajemnicę sztuki farbowania materyi, która tak wielką rolę odgrywa w tej części wystawy.

Podobnie jak maszyny do przedzenia bawełny, do których wszędzie zastosowano nieoceniony system Jacquarta, ustawione są w szeregu wedle postępu fabrykacyi maszyny do przedzenia lnu, jedwa-

biu, wełny, a obok rozwieszono po ścianach materye przez też same maszyny wyrobione. Ich przegląd jest sownicie nauczający, oswaja najniżej świadomego z tajemnicami przemysłu. Z machin do lnu najwięcej mnie uderzyła Roberta Plummera, patentowana zaprzeszlego roku.

Komu nie tajno jak wiele len przy ręcznej robocie wymaga czasu, zachodu, a nawet zdrowia obrobienie i wyczyszczenie lnu i konopi, jak dalece największą trudnością w postępie produkcji tego materyalu w naszym kraju jest mitrega, której dla wydobycia włókna unięknąć niepodobna; ten błogosławie będzie maszynę, która z pomocą kilkorga dzieci w ciągu jednego dnia wyrobi więcej, niż kilkadziesiąt kobiet u nas. A dodać jeszcze należy, że oczyszczenie jest nierównie doskonalsze, i że się materyalu zdolnego do użycia bynajmniej nie traci. Maszyna Plummera składa się z trzech przyrządów:

Pierwszy zwany *breaking-Machine* składa się z pięciu walców, ustawionych poziomo w dwóch szeregach. W przednim szeregu są dwa walce, w tylnym trzy. Wszystkie walce mają po sobie karby, które wzajemnie zachodzą, tak, że poruszenie jednego sprawia ruch wszystkich. Motek lnu wsuwa się w szereg tylny między walec górny i środkowy; gniecie go maszyna i przepuszcza raz drugi między walec środkowy i dolny, zkad się dostaje do przedniego szeregu, i tam po raz trzeci w żłobkach walców doskonale się kruszy. Jeśli tę samę operacyę powtórzymy drugi raz, skruszy się do reszty powłoka twarda na włóknie. Operacya jest tak szybka i tak mało kosztowna, że pokruszenie centnara lnu kosztuje jednego penny, to jest pięć polskich groszy. Motek w pierwszym przyrządzie połamany idzie do młynka zwanego *Seutehing Mill*, gdzie się natychmiast odzielają paździerze i wychodzi samo włókno. Młynek ten potrzebuje czterech rąk, a wyrabia pięć centnarów dziennie. Aby włókna do jednakowej długości przyprowadzić i nici dokładnie oczyścić, służy trzeci przyrząd szczotkowy *Heckling-Machine*, w którym szczotki metalowe w ruch oscylacyjny puszczone, czeszą włókna w ciągu kilku sekund tak, że przyrząd ten potrzebujący właściwie pięć rąk, to jest jednej do wsuwania motków, a cztery innych do odbierania i przekładania, gdy jeden człowiek nie nastarczyłby w odbiorze, oczyści trzysta centnarów w ciągu jednego dnia. Jedna maszyna parowa o małej ilości koni, do poruszania wszystkich trzech przyrządów jest dostateczna.

Jako maszyna pomocnicza, niezmiernie ważna a zadziwiająca doskonałością, jest maszyna Crabtsee (Tomasza) z Londynu do ro-

bienia grępli. Mała ta machinka ma w sobie trzy ruchy, które przy danym materiale bez pomocy człowieka dostarczają wyrobu. Z koła obwinionego taśmą bawełnianą spuszcza się ona na dół, drugie kółko boczne rozwija drut, a przyrząd środkowy porywa go, załamuje, ucina i jako podwójne igiełki wsuwa w taśmę; inny zaś przyrząd z drugiej strony wsunięte druciki przyciąga i umocowuje. Nie bez zadziwienia oglądałem gręple; pikowanie jest tak dokładne i regularne, że ręka ludzka nie podobnego zrobić nie może. Mniej praktyczne wydały mi się maszyny Appolda, tak zwane pompy odśrodkowe, które mają być używane do osuszania bagien. Za pomocą wirowego obrotu podnieść można wodę do żądanej wysokości, lecz że obrotów koła potrzeba przeszło 1,000 na minutę, zatem tak wielkiej siły bez maszyny parowej otrzymać nie można. Na zasadzie ruchu odśrodkowego utworzony jest młyn cukrowy Manlove Alliota. Panew wkleśta obraca się z nadzwyczajną szybkością, przez co tworzy się silny prąd powietrza, który osusza głowy cukru; lecz że głowa cukru jest w ruchu, odrywają się więc od niej cząstki nieczyste i osadzają na ścianach. Korzystny ten przyrząd zaprowadzony we wszystkich lepszych rafineryach w Europie, pracy kilkodniowej dokonywa w ciągu 8—10 minut, i oszczędza bardzo wiele miejsca, którego potrzebowano dawniej rozstawiając suszące się głowy.

Niepodobna pobyć chwili w sali maszyn, aby nie zostać uderzonym ogromną prasą drukową Middletona. Porusza ją siła pary, co wreszcie w Anglii jest już zwykłym, bo wprowadzono tę metodę po raz pierwszy w r. 1814. Machina ta odbijając cztery exemplarze na raz, stawia kolumnę arkuszową pionowo w walcu, a zatem układ kolumn pojedynczych jest łukowym. Walec obracając się ciągle, w czasie obrotu cztery razy sprowadza zetknięcie papieru z kolumną; wszakże w innych maszynach zetknięcie to dzieje się ośm razy, gdy ośm exemplarzy odbija na raz. Jeżeli zwrócimy uwagę, że za każdym odbiciem kolumna obciera się o czernidło, jeżeli zważymy, jak ogromną stawia trudność wielkość formatu, zawierającego z jednej strony 24 kolumn: to zaprawdę nie będziemy się mogli dość wydziwić szybkości i dokładności operacji połączonym razem, i przeszlicznemu mechanizmowi, który nie pozostawia nic więcej człowiekowi, jak tylko przysunąć pod zęby maszyny papier czysty i wyjąć zadrukowany. Ta jedna machina po maszynach przedzalnianych przedstawia mechanikowi pole, na którym się może wyuczyć mnóstwa ruchów, kombinacji i nieporównanej zgodności układu.

Jest jeszcze w tym oddziale mnóstwo machin zadziwiających dowcipem, nowością wynalazku, zręcznym zastosowaniem; są maszyny introligatorskie do składania papieru, są kuźnie mechaniczne, nadające sztabom i prętom żelaznym dowolną formę bez najmniejszego wysilenia człowieka; są maszyny okrętowe zastępujące wiosła lub koła parowe, są dźwignie i windy hydrauliczne, maszyny robiące same koperty, drukujące liczby z ciągłym postępem numerów; jest wiele innych przyrządów, których prosty spis zabiera w katalogu kilka arkuszy ścisłego druku; ale powtarzam, na zbadanie i opisanie tych przyrządów, trzebaby lat i tomów kilku. Uderzają wszystkie cudzoziemca i oswojonemu z Anglią przypominają tylko to, co oddawna widział; Anglicy bowiem jestto jedyny naród, których użytek praktyczny przekonywa odrazu; umieją oni ocenić nowe wynalazki, bez namysłu ich nie przyjmują, ale też nie odrzucają uparcie tylko dlatego, że są nowe. Dla uzupełnienia tego obrazu muszę wspomnieć, że w téj galerii są jeszcze zbiory modeli mostów, tam, portów, machin czerpiących, wiaduktów, tuneli, dachów, chodników, domów, okien, kominów, przyrządów nurkowych, baterij galwanicznych do wysadzania min, sygnałów okrętowych, pomp, łańcuchów, drzwiczek okrętowych, przyrządów gazowych i gazometrów, których wystawa jest bardzo ograniczona, gdy w pałacu zabroniony jest ogień i światło. Jest ogromna prasa hydrauliczna, której użyto przy budowie mostu Britannia-Bridge, jest model tego mostu, jak niemniej mostu na Dnieprze pod Kijowem, Renie pod Kolonią i t. d. Niemala ilość pomniejszych przyrządów, pomiędzy którymi uważałem przyrządy dwóch Polaków osiadłych w Anglii, to jest: Dunina maszyna złożona ze sprężyn stalowych, w postaci człowieka, a służąca do brania miary na męzkie suknie, i Renczyńskiego model mostu wiszącego drewnianego, obok wozu poruszanego przez kręcenie śruby bez końca i t. p.

W porównaniu z ogromnym zbiorem angielskim, mocno uderza niedostatek machin na wystawie zagranicznej, i to podobno tłumaczy różnicę między rozwojem przemysłu angielskiego i zagranicznego. Prawda, że niektóre narody w pewnych specjalnych oddziałach, a jak Francuzi we wszystkiem co się tyczy gustu, pobili Anglików; ale nie masz żadnego rodzaju przemysłu w Europie, któryby w skrzydle W. Brytanii nie był reprezentowany dostаточно z bogactwem niepojętym, z wykazem zasobów niewyczerpanych. Prawda, że w nawie angielskiej nie masz tak miniaturowych robót, jakie np. widziałem w chińskich; ale i to prawda, że, jak obrachowano, aby

Chińczycy mogli wyrobić to, czego same tylko maszyny przedalne angielskie dostarczają, potrzebowaliby całorocznej pracy 200 milionów ludzi. To też Anglia uzbrojona w maszyny, przemysł całej Europy może wyzwąć na rękę, i walkę zwycięzko odbędzie; tak dalece jest faktem, że przemysł w obecnym czasie nie jest już możliwy tam, gdzie jego podstawą nie są maszyny. Porównajmy wystawę maszyn zagraniczną; jedna Belgia stosunkowo do swego obszaru, zasługuje na uwagę po Anglii. Holenderskie maszyny są nieliczne i drobne; austriackich prawie wcale nie ma; w oddziale niemieckim widziałem tylko dwie maszyny, nad którymi zastanowić się warto: to jest maszynę menniczą, i przyrząd do odlewu czcionek, o których w przeszłym liście mówiłem. Wystawa Ameryki północnej pod tym względem jest bardzo uboga. Zajął mnie na niej maszyną cieplikową Erriksona. już jako dzieło wyrobione mistrzowsko, już też jako próba wydobywania z powietrza ogrzanego siły, którą się otrzymuje przez maszynę parową z daleko większą stratą paliwa. Aczkolwiek na wystawie nie może ona być puszczona w ruch, rad posłyszę o próbie, jaką z nią przysięgli odbędą, bo maszyną tą jest ulepszeniem innej, przed kilkoma laty wynalezioną w Anglii, i zdaje się mieć przed sobą przyszłość wielką. Perkins, ten sam, co wynalazł ową nieszczęsną fuzyję parową, ogrzewa piec wodą wrzącą. Z innych maszyn, zasługują na uwagę przyrządy rolnicze.

Na wystawie duńskiej znajduje się jedna tylko maszyną składania i rozkładania czcionek. Przekonawszy się, że dotychczasowe tego rodzaju wynalazki były złudzeniem, obejrzawszy dawniej maszyny kosztowne, jak np. w zakładzie Melina w Brukselli, wcale nieużyteczne, zbliżyłem się do wynalazku z mocnym niedowierzaniem; lecz maszyną której autorem jest Duńczyk Söreusen, odznacza się taką prostotą, kombinacją tak pewną i rozciąglą, że rozproszyła większą część mego uprzedzenia. Oto jest jej układ:

Jak wszystkie maszyny tego rodzaju próbowane dotąd, oznaczona jest klawiszami, mającymi na sobie znaczki alfabetyczne. W środku narządzą się dwa bębny albo raczej dwie kaszty położone nad sobą, którejś runda są z blachy miedzianej. Kaszta mniejsza służy do składu, wyższa do rozkładu czcionek. Pedaly puszczają maszynę w ruch; czcionki ułożone pionowo w króbkach kaszty, tak, że składają stopy tychże samych liter. Kiedy się uderza w klawisz w stronie odpowiedniej, mały sztyfcik mosiężny wyrzuca czcionkę w lejek wspólny wszystkim czcionkom, którego otwór rurki przypada na długi winkelak, umieszczony pod narzędziem. Każda więc wyrzu-

cona czcionka, stawia się kolejno w winkelaku; tworzy się w ten sposób wiersz długi, który się następnie przelamuje stosownie do szerokości kolumny. Tyle co do składania.

Rozkład jest jeszcze prostszy. Za pomocą dźwigni przechyla się obie kaszty, i położenie ich z pionowego staje się poziomem. Podnosi się kolumnę do rozkładu przeznaczoną, porówna z rowem wspólnym obu kasztom, i wsuwa się kolejno do tego rowka wiersze kolumny rozkładowej (formy) idące po sobie, aż do rowku kaszty wyższej. Skoro jeden rowek jest napelniony, nasuwa się drugi, a skoro cała kolumna przeszła w ten sposób do rowków kaszty wyższej, skręcają się obie kaszty, i przyjmują napowrót kierunek poziomy. Za pomocą pedałów, czcionki z rowków kaszty wyższej przechodzą do niższej w króbkę właściwą, to jest: *a* do stosu *a*, *b* do stosu *b*, tak, że żadna czcionka nie może zmylić miejsca. Jakże się to dzieje? sposobem bardzo prostym, bo każda czcionka ma na sobie karby odpowiednie otworowi króbek, i kiedy na nie nachodzi, własnym ciężarem wpada. W ten sposób można rozłożyć 10,000 czcionek na godzinę, kiedy najrzęczniejszy zecer, połowy w ciągu tego czasu nie rozłoży. Chodzi teraz o to, czyli tarcie, któremu te czcionki są podległe, nie zużywa zbyt prędko odlewu, i czyli nie ścierają się karbki na czcionkach, przez coby te wpadały do króbek sobie niewłaściwych? Na te pytania tylko praktyka może odpowiedzieć. Cóżkolwiekby, machina Sörensena zdaje mi się być ogromnym ulepszeniem w drukarstwie, i zbliża nas do epoki, kiedy zecer uwolniony będzie od mozolnej pracy, składu i rozkładu czcionek.

Największa po angielskiej jest wystawa machin francuzkich; lecz w ojczyźnie Jacquarta mało widzę machin przedziałnych, a te co są, zdają mi się być niższe od angielskich. Z pomniejszych uderzyła mnie Poiriera prasa litograficzna do kopiowania, mogąca dostarczać wielkiej ilości kopij; zolarnia przenośna (buanderie portative), działająca z pomocą pary i czyszcząca bieliznę bez mydła, wynalazku Charla et Com., któraby u nas, szczególnie na wsi, bardzo się przydała; pompa pozioma, machina do ważenia monet Seguiera, używana oddawna w większych bankach, oddzielająca monetę zbyt lekką, zbyt ciężką i odpowiednią; dowcipna machinka do pisania dla ślepych, wynaleziona przez ślepego; dalej kilka lokomotyw, dźwigni, pras, a w końcu przyrządy Polaka Baranowskiego, które chociaż małe u nas mogą mieć zastosowanie, zasługują jednakże choć na krótki opis w piśmie polskim.

Trzy są rodzaje przyrządów Baranowskiego: 1) Przyrządy rachunkowe, w których z pewnych danych za odślonieniem guzika, wypada natychmiast nieomylny rezultat. Takim jest przyrząd do obliczania należności za transport na kolei żelaznej, procentów od kapitałów, z uwzględnieniem najkrótszych terminów, wypłaty zarobku robotnikom z uwagą na dni, godziny i kwadransy pracy, wedle płacy dzienniej, zmiany wekslarskie i bankowe. 2) Machiny zasadzające się na wzajemnym *nieustającym* zaczepianiu się kółek (*engrenage continuel*), i wybijające postępowy numer na biletach kolei żelaznej, teatru, balów i t. p., z tém nad dotychczasowe angielskie ulepszeniem, że machina wykazuje ostatni numer odbity, którego zmienić niepodobna, co służy za kontrolę, i że dowcipny układ kół, dozwala wedle wielkości machiny posunąć ostatni numer do jakiegokolwiek bądź wysokości; a nakoniec 3) machiny do wotowania pojedynczego lub wielokrotnego, tajnego i t. p. Z tych ostatnich, widziałem tylko jedną machinę, zastosowaną do zwyczaju w izbach francuzkich panującego, to jest *scrutin de division*. Za pociągnięciem guzika w jedną lub drugą stronę, postępuje ilość wotów *za* lub *przeciw*, a zmieniający się z drugiej strony numer, ostrzega biuro, że reprezentant już wotował, chociaż mu nie oznajmia za czém wotował. Tak zaś jest przyrząd ułożony, że nikt dwa razy wotować nie może, bo po każdym przesunięciu guzika, prezes musi pociągnąć tylny guzik zatrzymujący postęp liczby. Wszystkie te machinki dowodzą wielkiej biegłości w rachunku, i niemałej znajomości mechaniki; dla nas byłyby przydatne tylko te, które odbijają bilety z numerem postępowym.

Przechodzę obecnie do machin rolniczych. Rozpatrując się w tej części wystawy nie można nie wpaść na myśl, że narzędzia rolnicze, które dotychczas dochowały nam się tak, jak je przekazali odlegli przodkowie, blizkiemi są ogólnego przeobrażenia. W całej niemal Europie zmieniły się stosunki włościańskie, a czém jest zniszczenie pańszczyzny na Wschodzie, tém zdaje się być i usunięcie praw zbożowych w Anglii. Wszędzie umysł rolnika zmuszony jest, czy to przez brak rąk, czy téż przez konieczność większego korzystania z gruntu, do szukania sposobów pomnożenia produkcji zbożowej. Tego dopiąć bez machin nie może, z kąd się wykrywa potrzeba udoskonalenia tych, których dotąd używano, a ta potrzeba odkrywając szerokie pole zysku mechanikom, zagnała ich aby umiejętności swój zasoby rolnictwu poświęcili, tak, jak dotąd obracali je prawie wyłącznie na korzyść przemysłu. Już dzisiaj maszyny rolnicze w wystawie każdego narodu zajmują miejsce dosyć poważne; a choć te, co są wy-

stawione nie zdają mi się być dosyć praktyczne, okazują jednakowoż symptom o którym mówię, to jest zwrotu działalności ludzkiej w tę stronę. I pod tym względem wystawa angielska góruje niezmiernie nad zagraniczną, co wreszcie odpowiednie jest różnicy gospodarstwa w Anglii i zagranicą, i co wreszcie jest skutkiem wpływu wielkich stowarzyszeń rolniczych. Sami Anglicy to przyznają, że przed dziesięcioma laty zupełnie inną byłaby wystawa angielska machin rolniczych. Dzisiaj liczy ona przeszło 300 wystawiających, a we wszystkich tych narzędziach widzę silną wolę człowieka, łamiącą się z trudnościami i starającą się, aby z pracy ludzkiej osiągnąć jak największe rezultaty, o ile jój zastąpić się nie da siłą koni lub pary.

Jako osobliwość uderzył mię nasamprzód pług parowy. Po wiem odrazu co o nim myślę. Choćby pod względem uprawy roli nie pozostawiał on nic do życzenia i wynalazcę zupełnie zadawalniał, to kwestya ceny przyrządu nasuwałaby wielką trudność. Jak dalece ona zachodzi powiedzieć nie umiem, ale myślę, że czytelnik nie bez przyjemności dowiędzie się kilku szczegółów o układzie tego narządu. Wyobraźmy sobie naprzód lokomotywę poruszającą się środkiem pola na drodze żelaznej przenośnej, złożonej z ruchomych szyn, stawiających się jedna za drugą kolejnie. Ta lokomotywa waży 70 centnarów i ma siły 36 koni, zowie się zaś Kalifornia. Imię to symboliczne jest i pięknej wróżby, bo jeżeli rozwiązaniem zostanie zagadnienie, będzie w tej lokomotywie tyle przynajmniej złota, ile w owój ziemi, w owym celu wędrowki połowy świata. Na prawo i na lewo maszyny parowej są dwa systemy pługów, mogących się odsuwać lub przysuwać do lokomotywy, a to z pomocą dosyć długiego *łańcucha bez końca*. Łańcuch ten obkręca się z jednej strony około walca obracanego przez maszynę parową, z drugiej około walca utwierdzonego stale w gruncie w odległości umiarkowanej łańcuchem bez końca. Jakżeż pługi postępują? Naprzód zbliżają się do lokomotywy orząc, poczem zmieniwszy przyczepienie łańcucha bez końca, oddalają się nie orząc, gdy prosty przyrząd dozwala im nie dotykać gruntu. Ruch pługów jest kolejny, tak, że jeden bez orki dochodzi aż do końca pola, drugi zaś orząc kieruje się do środka; każdy system ma cztery lemiesz, a na każdym systemie czyli wózku z pługami siedzi jeden człowiek kierujący. Zapewniano mnie, że pługi te orząc uchodzą pięć mil angielskich na godzinę, że zastępują szesnaście pługów dwukonnych i ośmiu ludzi: z kądby wypadła oszczędność ośmiu ludzi i trzydziestu dwu koni. Rachunek nie jest łatwy, bo z jednej strony trzeba odtrącić koszt paliwa, niszczenie maszyny i przypadki, które

mogą uszkodzić narzędzia; z drugiej kapitał na kupno koni, ich używanie się i śmiertelność. Samo tylko doświadczenie może powiedzieć co ten przyrząd jest wart; nie może zaś być używany jak tylko na płaszczynach, lecz i tych jest dosyć na świecie, a u nas podobno nie najmniej.

Ważniejsze przyrządy rolnicze na wystawie angielskiej są z maszynami parowymi stałymi lub ruchomymi. Niektóre z nich zalecają się budową i łatwem zastosowaniem. Takimi są np. młockarnie, siewkarnie, młyhy, maszyny do przebierania owsa, młecia siemienia lnianego i t. d. Pomiedzy narzędziami polnemi są pługi wszelkiego rodzaju, brony, maszyny do rozbijania bruzd, brony norweskic, siewniki, motyki, grabie, maszyny do rżnięcia siana, żniwiarki i t. p. Angielscy gospodarze wysławiają niezmiernie motyki i siewniki mechaniczne p. Garetta. Obie używane są zwykle razem, ponieważ jedna przygotowuje robotę drugiej. Używają ich do wszelkiego rodzaju ziarna. Motyka mechaniczna p. Garetta jest na kołach; ile ich jest przy jednem narzędziu, tyle dźwignia stopniowo podnosi i spuszcza tak głęboko, że z łatwością wyrywa dzikie zieliska i korzenie, choćby grunt oddawna i głęboko zanieczyściły. Oprócz oszczędności czasu i kosztów ma ona tę jeszcze wyższość nad motyką ręczną, że porusza znaczną warstwę ziemi i dodaje w ten sposób nowe soki roślinom, nigdy zaś ich nie narusza. W Anglii do takiej motyki przyprzegają jednego konia, a dwóch ludzi nią kierujących może oczyścić i przerobić dziesięć do piętnastu akrów dziennie. Przy innych maszynach Garetta nieodzowne są maszyny parowe, i to jest właściwą cechą tej części wystawy angielskiej. Tutejsi rolnicy nabierają tego mniemania, że rzadko kiedy para nie może zastąpić siły końskiej. Gdyby to praktyka stwierdziła, uważałbym nową metodę za wielką oszczędność, bo mniej więcej koń użyty do uprawy roli zjada piątą część tego co zarobi, kiedy tymczasem, zastosowane maszyny do siewkarni, młockarni i t. p. oszczędzają przynajmniej szóstą część wydatku na konie, którychby wypadło użyć do tej roboty. Lecz z drugiej strony i to trzeba mieć na względzie, że w Anglii w niektórych miejscach centnar węgla, mimo wysokiego zarobku górników, kosztuje cztery złote polskie, a jest nieporównanie lepszy od naszego! Dlatego wszystkie maszyny parowo-rolnicze pomijam, i nie będę o nich pisał, chyba kiedy przysięgli odbywszy próbę, wykażą niezaprzeczony a ważny korzyści. Nad żadnem narzędziem rolniczym nie pracowano tyle, co nad plugiem: dlatego też po doświadczeniach robionych z nim w ciągu lat trzydziestu, stanął on już w rzędzie maszyn

bliskich doskonałości. Z angielskich najwięcej zwracają uwagi pługi Howarda i Bedforda z żelaza kutego. Skład ich elegancki, proporcye kroju i lemiesza wymierzone są na zasadach geometrycznych, przez co zmniejsza się opór i skiby krają się równiej. Dom Ransoma et Comp. znany wszędzie (bo jego katalogi widziałem w Polsce, a narzędzia liczą się do najlepszych), przedstawił kilka wyrobów własnych, a mianowicie pług uwieńczony już nagrodą stowarzyszenia rolniczego, mogący orać (za pomocą drobnego przyrządu), tak dobrze w ciężkim jak i lżejszym gruncie.

W wystawie niemieckiej widziałem kilka modeli rolniczych Sprengla i Hartmana, między którymi kilka jest nowych. Tak np. jest pług z 16 lemieszami, inny zagłębiający się od 16—23 cali, pług pomorski, belgijski. Austria przysłała kilka pługów wynalazku Infelda rządcy dóbr ks. Lobkowicza; ale przeciw tym narzędziom byłoby wiele do powiedzenia. Pługi belgijskie są mocne, lecz zaciężkie i robota gruba. W wystawie francuzkiej najlepszy jest pług wynalazku pp. André-Jean i Brońskiego. Może on więcej lub mniej się zagłębiać i da się użyć do wszelkiego rodzaju ziemi; model wystawiony jest drewniany. Broński połączył go razem z siewnikiem i broną. Ze wszystkich narzędzi rolniczych, ten najsmieliej gospodarzom polskim mogę zalecić. Wszakże z wystawy zagranicznej najbogatszą w tym oddziale jest wystawa Ameryki północnej. Nie wchodząc w porównanie pługów starego i nowego świata, przestanę na opisie kilku nadesłanych z Nowego-Yorku i Bostonu. Większa część ma odrębną, właściwą sobie formę. Drzewo użyte do budowy może się zdjąć łatwo dla naprawy lub przesyłki w odległe strony; żelazo zaś jest mieszaniną metali, dzięki której staje się mocnym i trwalszym niż zwykłe, a pokryte polewą ma połysk błękitnej stali i nieprędko rdzewieje. Lecz co mnie w nich najwięcej uderzyło, to sposób zaprzęgu; uważam go za daleko doskonalszy od europejskiego, bo wreszcie próba jest łatwa do zrobienia za pomocą dynamometru. Jest on oparty na rachunku naukowym. Znajdują się także inne przyrządy, jakoto: brony, przewyborne grabie, motyki do kopania ziemniaków (urządzone tak doskonale, że nie dotykają i nie obrażają kartofli), kosy, siewniki i t. d. Żniwiarek widziałem dwie, obie są ciężkie, niezgrabne, zbyt wielkie, a choć jeden z tych fabrykantów przechwala się, że sprzedał kilka tysięcy naszych narzędzi, nie mogę przypuścić, aby one były praktyczne.

Następny oddział machin podzielony jest na cztery części: 1) Narzędzia miary, to jest do mierzenia czasu, miejsca, objętości, wagi i róż-

żnych zjawisk fizycznych; 2) narzędzia wykazujące zasady fizyki; 3) narzędzia muzyczne; 4) narzędzia chirurgiczne. W galerii południowo-zachodniej znajdują się zegary. W przechodzie uważałem zegar wieżowy Denta. Ma on to właściwego, że skazówka minut zamiast posuwać się zwolna, skacze co pół minuty, jak to jest zwyczajnym przy skazówkach sekundowych. Dzwony są z żelaza lanego. Postępując dalej spotykam tak wielką ilość zegarów doskonale wykonanych, że czuję się w kłopotcie, które wybrać, aby o nich coś powiedzieć. Wszelako zegary Roberts'a są od innych oryginalniejsze. Jest tutaj niemała liczba regulatorów, o których już pisałem. Zegary stołowe pod względem gustowności ozdób, ustępują zupełnie francuzkim. Interesujące są zegary wykazujące ruch gwiazd; najważniejszym z nich jest zegar Lovelaca, dokonany w zeszłym wieku; mówią, że nad nim pracował 34 lat. O zegarkach kieszonkowych angielskich niewarto mówić; są niezgrabne, ciężkie, a co najważniejsza, trzy razy droższe od genewskich.



Z codziennych wykazów w dziennikach ułożyłem następującą tablicę, która z wszelką dokładnością wylicza summę powziętą z codziennej sprzedaży biletów i liczbę osób.

Summy cząstkowe w tej tabliczce oznaczone są z tygodnia.

Miesiąc	Dzień	Liczba osób płacących przy bramie		Summa zebrana przy bramie		Liczba dorozumiana osób wchodzących za biletami ciągłym	Ogólna liczba osób wchodzących do budynku, wraz ze sztabem, expozytorami, służbą, podana przez policję
		Liczba	Cena wejścia	£.	sz.		
Maj . . .	1					19,000	25,000
	2	560	£. 1	560		15,000	15,560
	3	482	£. 1	482		15,000	15,482
	Summa	1,042		1,042		49,000	56,042
Maj . . .	5	5,452	5 sz.	1,362	19	12,304	17,756
	6	5,834	5 sz.	1,458	10	12,321	18,156
	7	7,163	5 sz.	1,790	15	12,314	19,479
	8	8,072	5 sz.	2,018		13,000	21,072
	9	7,298	5 sz.	1,824	10	12,316	19,614
	10	7,375	5 sz.	1,843	15	14,801	22,176
	Summa	41,194		10,298	9	77,056	118,253
Maj . . .	12	6,390	5 sz.	1,597	10	12,932	21,322
	13	8,918	5 sz.	2,229	10	13,027	23,945
	14	8,259	5 sz.	2,064	15	13,131	23,390
	15	9,704	5 sz.	2,426	0	13,527	25,231
	16	10,226	5 sz.	2,556	10	13,804	26,030
	17	9,889	5 sz.	2,472	5	13,700	25,589
	Summa	53,386		13,346	10	80,121	145,507
Maj . . .	19	9,380	5 sz.	2,345		13,740	25,120
	20	13,443	5 sz.	3,360	15	13,800	29,243
	21	14,049	5 sz.	3,512	5	14,200	30,249
	22	15,892	5 sz.	3,797	11	13,500	31,393
	23	16,382	5 sz.	4,095	10	14,000	32,352
	24	20,312	5 sz.	5,078		22,200	44,512
	Summa	89,458		22,189	1	91,400	192,869
Maj . . .	26	18,402	1 sz.	920	2	7,000	25,402
	27	27,957	1 sz.	1,347	17	2,043	30,000
	28	37,184	1 sz.	1,869	4	3,421	40,605
	29	47,518	1 sz.	2,375	18	4,370	51,888
	30	22,713	2½ sz.	2,839	9	22,956	45,669
	31	7,083	5 sz.	1,770	15	20,747	28,550
	Summa	160,857		11,123	5	60,537	222,114

INSTYTUT KREDYTOWY SZŁĄZKI Z ROKU 1835.

PRZEZ

Adama Bagniewskiego.

W chwili kiedy zaczyna się coraz więcej ustalać u nas przekonanie o potrzebie i użyteczności nadania kredytowi ziemskiemu ile można znacznej rozciągłości, właściwem znajduje bliższe zapoznanie się z instytucją w sąsiedniej prowincyi pruskiej, to jest w Szlązku, już od lat kilkunastu istniejącą, która pod tym względem przodkuje wszystkim innym gdziekolwiek znanym; i która przytém obejmując niektóre nowe zupełnie i godne wszechstronnej uwagi zasady, poda mi zrzeczność zapatrzenia się na ten przedmiot więcej jeszcze ze stanowiska praktycznego jak naukowego.

Dekretem króla pruskiego z dnia 8 czerwca 1835 r. zaprowadzony został dla prowincyi szlązkiej Instytut kredytowy, udzielający pożyczki w listach zastawnych, po pożyczkach landschaftowych, najwyżej do dwóch trzecich części wartości dóbr, a w gotowiznie i poniżej $\frac{2}{3}$ części téjże wartości (1).

(1) Jestto pomysł zgasłego dwa lata temu (dnia 7 listopada 1849 r.) ministra pruskiego i prezesa królewsko-pruskiej kompanii handlu morskiego p. Rother, rodem Szlązaka (patrz dodatek do Gazety Szlązkiej z r. 1849, nr. 265). Z pamięcią tego znakomitego męża stanu wiąże się kilka wielkich ekonomicznych i finansowych zagadnień, do których rozwiązania na drodze praktycznej, przyłożył on się dzielnie i skutecznie, niżby to na samej drodze naukowej dopełnić się dało.

W artykule „Krótki rys powstania i rozwijania się kompanii handlu morskiego w Berlinie”, głównie Rotherowi pomyślność swoją zawdzięczającą, (Biblioteka Warszaw. z r. 1845) miałem już sposobność napomknąć o niektórych z tych zagadnień; jakie zaś pod względem kredytu ziemskiego

Zarząd jój powierzony został władzy bezpośrednio królowi odpowiedzialnej, od innych władz niezależnej, w Berlinie urzędującej, a złożonej z członków przez króla mianowanych, z pomiędzy których wybierani są kommissarze w prowincyi szlązkiej urzędujący. Nadane jój zostały prawa korporacyom służące, a w szczególności prawo nabywania dóbr i kapitałów, i ich lokowania.

Prezydujący w Instytucie jest zarazem szczególnym kommissarzem królewskim. Ma on w zarządzie Instytutu (jak się wyraża de-

miął Rother zasady, świadczy o tém instytut kredytowy szlązki, będący jednym z praktycznych pomników jego sławy. Wspomniawszy o tym znamienitym i już dziś zgasłym mężu stanu, nie mogę przenieść na siebie, abym pamięci jego nie poświęcił w tém miejscu kilka słów uwielbienia. Był on niegdyś mieszkańcem Warszawy, i od roku 1797 do 1809 urzędował tu w kilku władzach: za czasów pruskich w magistracie i w kamerze dóbr, a po zawarciu pokoju tylżyckiego w ministeryum sprawiedliwości Księztwa Warszawskiego. W roku 1810 udał się do Królewca, i odtąd nieprzerwanie aż do roku 1848 w służbie pruskiej zostawał. Ja znałem go przed laty dwudziestu, kiedy był jeszcze w sile wieku i w samej pełni swojej działalności. Jeden z głównych twórców przemysłu pruskiego, przyklaskiwał on postępowi, jaki i w naszym kraju zaczął się właśnie podówczas wybitniej objawiać, a przyklaskiwał nie tylko przez miłą pamięć kraju niegdyś przez siebie zamieszkiwanego, ale może i w mniemaniu, że postęp ten był choć w części skutkiem zapatrywania się na własną jego działalność. Odnoszę to do budowy dróg bitych, jakiej w roku 1829 podjął się Bank Polski, tak samo, jak na pięć lat wprzód podjęła się jój w różnych prowincjach pruskich zarządzana przez Rothera kompania handlu morskiego.

Oprócz wspomnianej dopióro budowy dróg bitych, tudzież zaprowadzenia instytutu kredytowego szlązkiego, o którym tu w szczegółach pomówię, Prusy zawdzięczają Rotherowi wzniesienie wielu znakomitych zakładów fabrycznych, które niedość rozwiniętemu i lekliwie postępującemu przemysłowi krajowemu dzielny nadały popęd, i że tak powiem, dały mu wyrosć z młodzieńca kierunku potrzebującego, na męża o własnych już postępującego siłach (Biblioteka Warszawska z r. 1845). On wreszcie uporządkował finanse pruskie, i zaprowadził kasę umorzenia długu publicznego.

Do spełnienia tego wszystkiego Rother posiadał wysokie zdolności, które z rzadką pracowitością, wytrwałą wolą, wzorowym porządkiem, tudzież początkowaniem w pomysłach połączyć umiał, a nadewszystko umiał zasłużyć aż do końca swego publicznego zawodu na nieograniczone zaufanie swoich monarchów. Zarząd kompanii handlu morskiego poręczony mu został w roku 1820, a to (słowa reskryptu gabinetowego z dnia 17 stycznia 1820 r.) z władzą nieograniczoną i osobistą odpowiedzialnością; sprawował zaś go w takim zakresie i nieprzerwanie do roku 1848, miał więc i czas do przeprowadzenia swoich widoków.

kręt królewski), pełnomocnictwo nieograniczone, i specjalny nadzór nad jego czynnościami, a to pod osobistą odpowiedzialnością. Ilekroć zatem różni się w zdaniu z decyzją Instytutu, większością głosów zapadłą, mocnym jest zawiesić jej wykonanie, i żądać decyzji monarszej. Również do niego tylko zanoszone być mogą wszelkie przeciw Instytutowi zażalenia, które on sam rozpoznawać, i w razie potrzeby do decyzji monarszej przedstawiać może.

Przeznaczeniem Instytutu jest:

1) Tym właścicielom ziemskim, którzy już zaciągnęli pożyczki landschaftowe, lub w przyszłości zaciągną, udzielać bezpośrednio po nich pożyczki w listach zastawnych, na okaziciela wystawionych, a przez rząd zagwarantowanych, do $\frac{2}{3}$ części szacunku dóbr.

2) Tym właścicielom ziemskim, którym pomoc powyższa nie wystarcza, lub udzieloną być nie może, udzielać pożyczki w gotowiznie nawet po pożyczkach Landschafty i Instytutu, i niżej $\frac{2}{3}$ części szacunku; a gdzie i to nie pomoże, ułatwiać pośrednictwem swojem regulacją długów.

I. Pożyczki w listach zastawnych.

Listy zastawne o jakich mowa, z małemi tylko odmianami podobne są do listów landschaftowych szlązkich, a dla odróżnienia oznaczone są literą B. i tak je też w cennikach giełdowych mianują. Wystawiane są w wysokościach talarów 25, 30, 100, 200, 500, i 1,000, z numerami biegnącemi dla listów każdej wysokości, i tak, że połowa listów na każde poszczególnie dobra udzielonych jest na talarów 500 i 1,000, a druga połowa w wysokościach mniejszych i w równym pomiędzy sobą stosunku.

Wszystkie listy wydane na jedne i też same dobra mają między sobą równe prawo pierwszeństwa. Na procenta 4% dołączane są kupony półroczne na lat 5, płatne w styczniu i lipcu we Wrocławiu, a w lutym i sierpniu w Berlinie.

Gwarancya rządu rozciąga się tak za kapitał listów, jak i za przywiązane do nich procenta. Tym celem udzielony został Instytutowi, i do jego zarządu oddany, odpowiedni bezprocentowy, rozporządzalny, i od biegnących wydatków państwa niezawisły awans, a przytém Instytut ma fundusze z udzielanych mu pożyczek z depozytów sądowych i pupilanych.

Tak zagwarantowane listy lit. B uważane są przez władze za przedstawiające także samo bezpieczeństwo jak listy Landschafty,

a posiadaczom ich służy względem Instytutu prawo do regularnej opłaty procentu i kapitału w sposób ustawą oznaczony, bez względu na zaległości z dóbr odłużonych; a względem właściciela dłużnego prawo specjalnej hipoteki za kapitał, procenta i koszty, który znowu nie stoi w żadnym zobowiązaniu osobistym względem posiadaczy listów, mogących z poszukiwaniem iść tylko do *respective* dóbr, i to wtedy dopiero, kiedyby Instytut zobowiązaniom swoim w czasie właściwym zadość nie czynił.

Listy zastawne jako umarzalne nie mogą być przez posiadaczy wypowiedzane, i również prawo wypowiedzenia i żądanie spłaty w gotowiznie nie służy ani pojedynczym właścicielom dóbr, ani Instytutowi. Temu ostatniemu służą tylko dwa wyjątki do wypowiedzenia, to jest: jeżeli dłużny właściciel nie czyni zadość wezwaniom Instytutu o prowadzenie porządne rachunkowości i dobrego gospodarstwa, tudzież kiedy w miejsce pożyczki landschaftowej wprowadzi przez subrogację innego prywatnego wierzyciela.

Właściciele dóbr w prawie zaciągania długów nieograniczeni, przystępować mogą do Instytutu Kredytowego szląckiego z takimi tylko dobrami, na jakie pożyczka Landschafty jest już lub jednocześnie zostanie zaciągnięta, i jakie przytém posiadają prawem sukcesyji, lub przynajmniej od lat dziesięciu w razie nabycia, w czém jednak wolno jest Instytutowi w szczególnych wypadkach czynić wyjątki. W pierwszych pięciu latach od zawiązania Instytutu dosyć było udowodnić pięcioletnie posiadanie właścicielskie.

Rzeczą jest właściciela dóbr przedstawić sposób w jaki długi hipoteczne, zaciągnąć się mającą od Instytutu pożyczką, spłacone będą, tak, aby ta następowała zaraz po pożyczce Landschafty. Złożyć także winien dowody szacunkowe, jakoto: ostatnią taxę landschaftową, a gdzie téj nie było, poświadczenie o przyjętym przez Landschaftę szacunku dóbr, dokładny opis gospodarstwa, świadectwo z ubezpieczenia od ognia tak nieruchomości, jak i inwentarzy żywych i martwych, świadectwo z ubezpieczenia od gradobicia, a gdzie można i od zarazy na bydło.

Instytut stara się następnie zebrać jak można najdokładniejsze przekonanie o stanie zagospodarowania i wartości dóbr. Tym celem, za pośrednictwem szczególnych kommissarzy sprawdza stan dóbr i złożoną sobie taxę, a gdzieby jój nie było, może jój zażądać.

Instytut nie ma żadnego obowiązku przyznawać pożyczki do pewnej oznaczonej wysokości szacunku dóbr, i wysokość ta jest wyłącznie jego uznaniu pozostawiona; z tém tylko ograniczeniem, że wy-

sokość listów lit. B. łącznie z dwuletnim procentem od listów landschaftowych, który w szczególnych tylko wypadkach wolno jest wypuszczać z obrachowania, mieścić się powinna w $\frac{2}{3}$ częściach szacunku dóbr, przez Instytut przyjętego.

Zaciągający pożyczkę wystawia na rzecz Instytutu obligacją pięcioprocentową w stosownej osnowie, która wraz z wygotowaniami przez Instytut listami zastawnymi lit. B. objawioną zostaje w rubryce III-jej świadcstwa hipotecznego (odpowiada działowi IV wykazu nasz-jej hipoteki).

Przystępowanie do pożyczek Instytutowych nie ma oznaczonego terminu prekluzyjnego, jest zatem ciągle i w każdym razie za zgłoszeniem się nastąpić może.

Wypłata pożyczki ma tylko wtedy miejsce w listach zastawnych lit. B., kiedy jest jako nowy dług zaciągana; jeżeli zaś posługiwać ma na spłatę wierzytelności hipotecznej już istniejącej, listy zastawne pozostają własnością Instytutu, wypłata zaś sposobem obowiązkowym następuje w gotowiznie, chyba, że i dłużnik i wierzyciel żądają wypłaty w listach. Jeżeli i dłużnik i wierzyciel życzą sobie wypłaty w listach zastawnych lit. B., winni o tém Instytut na 4 tygodnie przed terminem wypłaty uwiadomić.

Wyjednywanie pierwszeństwa przed wierzytelnościami hipotecznymi, pożyczkami Instytutu niespłacanymi, potrzebne jest wtedy tylko, kiedy pożyczka przewyższa dług spłacany, w wysokości kapitałnej, lub w wysokości przywiązanej doń stopy procentowej. Wierzyciel zaś hipoteczny, którego kapitał w sposób przynależny wypowiedziany został, nie może wzbraniać się od przyjęcia zapłaty od Instytutu, a jeżeli wypłaty w terminie nie przyjmuje, Instytut składa na jego rachunek i ryzyko kapitał do depozytu właściwego sądu; poczem wierzytelność hipoteczna na imię Instytutu przepisana zostaje.

Właściciel dóbr obowiązany jest uiszczać opłatę 5% do kasy Instytutowej we Wrocławiu, w czterech ratach kwartalnych, a to aż do zupełnej amortyzacji długu, lub do jednorazowej jego spłaty.

Z opłaty 5cjo-procentowej liczy się na właściwy procent 4%, na umorzenie $\frac{3}{4}$ %, a na koszt administracyi $\frac{1}{4}$ %. Procent od zaległości wynosi 4%, na koszt wygotowania listów $\frac{1}{5}$ %. Ściąganie zaległości następuje albo przez właściwy sąd, który przystępuje do exekucyi bez poprzedniego zwykłego postępowania sądowego, albo w drodze sekwestracji, którą Instytut prowadzić może do wyboru, sam, lub poruczając ją władzom Landschafty. Pierwszeństwo do takiej sekwestracji służy zawsze Instytutowi, który w każdym ra-

nie może ją przejąć na siebie, za zwrotem Landschafcie zaległości i kosztów; a wolno mu także kontrolować ją przez szczególnych swoich kommissarzy.

Jeżeli po upływie roku gospodarskiego, sekwestracja nie pokryje zaległości i kosztów tak Landschafty jak i Instytutu, służy ostatniemu prawo zażądać subhastacyi przez właściwy sąd, a w tym razie taxę do subhastacyi potrzebną sporządza Landschafta, z przybraniem ze strony Instytutu jednego kommissarza. Instytutowi służy także prawo zastrzegania w warunkach licytacyjnych spłaty części swojej należności w listach zastawnych lit. B.; za część zaś téjże należności przy gruncie pozostającą, i w postąpionym szacunku przekazaną, odpowiada nabywca osobiście z całego swego majątku.

Za kapitał spadły na licytacyi, służy Instytutowi regres nie tylko do pierwiastkowo dług zaciągającego i jego sukcesorów, ale i do wszystkich następujących po nim do owéj chwili właścicieli dóbr, którzy listy zastawne na rachunek ceny szacunkowéj przyjęli.

Dłużnikowi z powodu doznanych klęsk niewypłacalnemu, może być dana folga od 6 do 12 miesięcy, ale tylko co do $\frac{4}{5}$ części; albowiem piąty procent przeznaczony na umorzenie i kosztu administracyi, musi być w każdym razie zapłacony.

Pożyczki Instytutu jako udzielane do wyższej skali szacunku od pożyczek Landschafty, narażają go na większe ryzyko, a przeto zastrzeżoną jest dlań nietylko kontrola przy sekwestracjach i taxach jak wyżej, ale nawet ma on prawo czuwać nad stanem zagospodarowania w dobrach odłużonych; wglądać czy przepisy w téj mierze Landschafty obowiązujące, są ściśle wypełniane; zarządzać od czasu do czasu rewizye przez swych delegowanych, a czynić się mogącym na téj drodze spostrzeżeniom, Landschafta zadość jest uczynić obowiązana. Wolno jest wreszcie Instytutowi włożyć na właściciela dóbr obowiązek prowadzenia ściśłej rachunkowości, która od czasu do czasu jest przez kommissarza spatrywaną i sprawdzaną; wolno mu odbierać od zarządców przysięgi; zgoła przedsiębrać może na drodze prawem dopuszczonej wszelkie możliwe środki do utrzymania inwentarzy i dóbr w stanie należytego zagospodarowania.

Fundusz amortyzacyjny $\frac{3}{4}$ ‰, obracany jest wyłącznie na kupno listów lit. B, a losowanie ich wtedy tylko, i o tyle ma miejsce, o ile kupno najwyżej po cenie imiennéj nastąpić nie może. Losowanie to odbywa się proporcjonalnie w listach rozmaitych wysokości; wypłata zaś wylosowanego listu, następuje w Berlinie lub we Wrocławiu, w sześć miesięcy po najbliższym terminie opłaty procentów.

Za użycie funduszu amortyzacyjnego na cel właściwy, członkowie Instytutu są osobiście odpowiedzialni.

Dozwoloną jest także jednorazowa spłata części lub całości zaciągniętego długu; wykreślenia jednak z hipoteki żądać można tylko w razie spłacenia tym sposobem przynajmniej $\frac{1}{5}$ części zaciągniętej pożyczki w kapitale.

Instytut zwolniony jest od wszelkich opłat stęplowych i portoryj: kontrola i rewizya landschaftowych tax i sekwestracji, rewizye inwentarzy, stanu zagospodarowania i inne czynności, nie pociągają żadnych dla dłużnika wydatków, które już wszystkie zaspokajane są z funduszu na koszt administracji obmyślonego. Z tego także funduszu Instytut pokrywa rzeczywiste niedobory w kapitale i procentach, a jeżeli fundusz ten łącznie z procentem od udzielonego Instytutowi przez rząd bezprocentowego awansu, nie wystarcza na pokrycie wszystkich wydatków, czerpie się z kapitału tegoż awansu. Nawzajem, jeżeli dochody przechodzą wydatki, zakupowane są za przewyżkę listy zastawne lit. B, któremi na wniosek Instytutu, później rozporządzone być ma.

2. Pożyczki w gotowiznie.

Aby podać Instytutowi możność przychodzenia z pomocą i tym właścicielom ziemskim, którym pomoc ad Imo nie wystarcza, lub udzieloną być nie może; a zarazem, aby depozyta sądowe i pupilarne prowincyi szlązkiej już istniejące, lub w przyszłości powstać mogące, upożytecznie w taki sposób, iżby obok bezpieczeństwa, przynosiły korzyści tak stronom interesowanym, jak i tej prowincyi do której się odnoszą, postanowioném jest: że wszystkie tego rodzaju depozyta do Instytutu na cel pożyczek w gotowiznie udzielanych przemiesione być mają. Wszakże wolno Instytutowi w miarę posiadania gotowych funduszy, odmówić przyjęcia depozytu, lub już przyjęty za czterotygodniowém wypowiedzeniem, zwrócić generalnemu depozytowi.

Od depozytów pupilarnych, Instytut płaci $3 \frac{1}{2}$ 0/0 procentu, od sądowych 3 0/0. Rząd zaś poręcza tak za wypłatę procentów jak kapitałów, a przytém zrzekł się prawa poprzedniego, odsyłania stron do funduszy Instytutu.

W związku z takim powiększeniem swojego obrotowego kapitału, Instytut kredytowy ma sobie wskazane za szczególny obowiązek przykładanie się wszelkimi środkami do przywrócenia kre-

dytu dla właścicieli ziemskich w Szlązku, i do utrzymania ich przy własności posiadanych dóbr. Tym celem jest on władny z obrotowego swojego kapitału udzielać pożyczki w gotowiznie, bądź na regulacją długów, bądź na polepszenie gospodarstwa, nawet tym właścicielem dóbr, którym pożyczki w listach zastawnych lit. B, do $\frac{2}{3}$ części szacunku udzielone, stanowczej pomocy przynieść nie mogły, a którzy przy dostatnich inwentarzach gruntowych, odznaczają się porządnym gospodarstwem, i którzy w braku prawnego na dobrach bezpieczeństwa, dozupełnić go mogą złożeniem rękojmi, lub zastawów (1).

Pożyczki te dawane są na 4 0/0, na spłatę zaś ich oznacza się najmniej 5 0/0 na rok, a przytém Instytut w takich razach ma już obowiązek czuwać, aby udzielony zasilek na cel właściwy obrócony został, i tym celem stypulować jest władny zastrzeżenia, mogące mu zapewnić wpływ do zarządu gospodarstwa i innych stosunków dłużnika.

Nawet w tych wypadkach, w których żadna już pożyczka nie może być właścicielowi dóbr z bezpieczeństwem udzieloną, Instytut na żądanie właściciela pośredniczyć może w regulacji jego majątku i długów, przejmując zarząd dóbr na siebie, traktując z wierzycielami, udzielając zaliczeń na zaspokojenie ich w drodze układu, i przedsiębiorąc wszelkie inne prawem dopuszczane środki, dążące do utrzymania dla dłużnika posiadania dóbr, a przynajmniej starając się o zapewnienie dla niego i dla jego rodziny przyzwoitej kompetencji.

Wreszcie dozwolone i zalecone jest Instytutowi, nawet na te dobra, na których nie ma pożyczki landschaftowej, lub które się do niej nie kwalifikują, udzielać pożyczki w gotowiznie, za stosownym według przepisów depozytalnego urzędu, hypotecznym ubezpie-

(1) Według powszechnego prawa pruskiego, mający prawo rękojmi obowiązany jest na niej poprzestać, gdy ta zapewniona być może na posiadłościach ziemskich w pierwszych $\frac{2}{3}$ częściach, a na gruntach miejskich w pierwszej połowie wartości, albo też na wierzytelnościach hypotecznych w szacunku jak wyżej umieszczonych.

Przy składaniu na rękojmią przedmiotów ruchomych w zastaw, miany jest wzgląd na $\frac{3}{4}$ oszacowanej ich wartości.

W miejsce rzeczowego bezpieczeństwa przyjętą być może i prosta przysięga poręczenia, wtedy, gdy bezpieczeństwo rzeczowe stawione być nie może, a dwóch obywateli dobrej sławy używających i stosunki ręcyciela dobrze znających, tegoż za dostatecznie pewnego uznają.

czeniu, a w razie potrzeby, za poprzedniem na koszt właściciela dóbr sporządzeniem taksy; tudzież z wyraźnem poddaniem się nadzorowi Instytutu pod względem utrzymania w dobrym stanie inwentarzy gruntowych i gospodarstwa.

Instytut kredytowy nie zdaje sprawy publicznie ze swoich czynności, ani też żadne w tej mierze raporta nie są drukiem ogłaszane.

Na drodze tylko prywatnej, której przecież zupełnie ufać można, powziąłem wiadomość, że wysokość pożyczek w listach zastawnych lit. B, udzielonych do $\frac{2}{3}$ szacunku dóbr, dochodzi 7 milionów talarów. Rozległość prowincyi szlązkiej wynosi 741 mil geograficznych, to jest około $\frac{1}{3}$ rozległości królestwa polskiego. Jestto więc summa znakomita, zwłaszcza jeśli weźmiemy na uwagę, że tylko na takie dobra udzielano pożyczki w listach zastawnych lit. B, które są obciążone pożyczkami Landschafty, zajmującemi jak wiadomo połowę szacunku dóbr, a udzielonemi tylko na dobra szlacheckie, z wyłączeniem dóbr rządowych. Znać z tego, że znaczna część dóbr prowincyi szlązkiej korzystała z dobrodziejstwa, pożyczkami Instytutu zapewnionego.

Pożyczki w gotowiznie poniżej $\frac{2}{3}$ części szacunku dóbr udzielane są z wielką ostrożnością; wynoszą też dlatego mało tylko znaczącą sumę, na której przecież żadnych strat nie poniesiono.

W roku 1843, to jest już po obniżeniu stopy procentowej od różnych listów zastawnych przez Landschafty pruskie wypuszczonych, obniżono także procent i od listów Instytutu szlązkiego, z 4 na $3\frac{1}{2}\%$ (dekret królewski z dnia 31 marca 1843 r.).

Nie znizono jednak dotychczasowej opłaty 5% przez dłużników uiszczanej, ale postanowiono, że w miejsce $\frac{3}{4}$ procentu, liczone być ma na amortyzacyą $1\frac{1}{4}\%$. Postąpiono w tej mierze na podobieństwo pożyczek Landschaftowych, które znizenie stopy procentu przeznaczyły na amortyzacyą listów zastawnych.

Różnica w tém tylko zachodzi: że gdy pożyczki Landschaftów pruskich, wyjąwszy poznańskiej, były nieamortyzacyjne, znizenie stopy procentu posłużyło na stworzenie funduszu umorzenia, bez podwyższenia opłat dla stowarzyszonych; w Instytucie zaś kredytowym szlązkim, znizenie procentu posłużyło tylko do powiększenia już istniejącego funduszu umorzenia, zawsze przecież bez podwyższenia opłaty od dłużników przypadającej. I w tém także zachodzi różnica: że Instytut kredytowy szlązki przyjąwszy szeroką zasadę niewypowiadalności listów, nie konwertował listów 4ro-procentowych na $3\frac{1}{2}$

procentowe, jak to w chwili znizenia stopy procentowej zrobily wszystkie Landschafty, lecz tylko przyjal zasadę, że dalsze od roku 1843 pożyczki w listach zastawnych B., udzielać będzie na stopę $3\frac{1}{2}\%$, 4% iż dziś w obiegu znajdują się dwojakie listy zastawne B, to jest tak, i $3\frac{1}{2}\%$.

Później nawet (dekret króla pruskiego z dnia 11 lipca, 1845 roku), postanowiono: że pożyczki Instytutu w listach zastawnych B, mają być udzielane stosownie do woli zapożyczającego, albo w listach 4ro-procentowych, według ustawy z roku 1835, albo $3\frac{1}{2}$ procentowych, według dekretu z roku 1843. Jakie mogło być motiwum takiego dekretu, domyśleć się trudno. Mielizby niektórzy z właścicieli dóbr pożyczki zaciągający przekładać, aby z ogólnej opłaty 5% , przez nich w obu razach uiszczanej, szło na amortyzacyą, raczej $\frac{3}{4}$, lecz z procentowaniem na skalę 4% , niż $1\frac{1}{4}$, a z procentowaniem tylko na skalę $3\frac{1}{2}\%$? Być może, że przy udzielaniu pożyczek w listach zastawnych $3\frac{1}{2}$ procentowych, które naturalnie niżej od listów 4ro-procentowych notowane być musiały, Instytut wzbraniał się zatrzymywać je na własność swoją, bez dopłaty różnicy kursu; co i ztąd wnioskować się daje, że dekret z roku 1845, waruje przytém, że przy spłacaniu gotowizną przez Instytut kredytowy wierzycieli hipotecznych, tylko listy zastawne 4ro-procentowe mają być na własność Instytutu przejmowane.

Wreszcie dekretem z dnia 17 maja 1847 roku, postanowiono: że dla nadania większej skuteczności Instytutowi kredytowemu, tenże upoważnionym zostaje udzielać sposobem wyjątkowym pożyczki w listach zastawnych lit. B, nawet po długach prywatnych hipotecznych, jeżeli te natychmiast umorzone być nie mogą.

Obligacye długu rządowego pruskiego (Staatschuldscheine), przynoszą $3\frac{1}{2}$ procentu. Takiz sam przynoszą procent i listy Landschaftowe szląskie po swém skonwertowaniu. Owoz notowania giełdy wrocławskiej z miesiąca lipca r. b. okazują, że kurs listów zastawnych lit. B, także $3\frac{1}{2}$ procentowych, wyższym jest od kursu obligacyi długu rządowego o mniej więcej 4 na sto, a prawie tyleż niższym od kursu listów Landschaftowych. Zaiste, ta ostatnia różnica niewielka, skoro się zważa, że listy Landschaftowe zawsze tylko pierwsze miejsce w hipotece, i nie wyżej jak do połowy szacunku zajmują; listy zaś Instytutu wypożyczane są na drugi numer hipoteki, do $\frac{2}{3}$ części tegoż samego szacunku, a od roku 1847, mogą być nawet poprzedzone wierzytelnościami prywatnemi.

Też same notowania okazują także, że pomiędzy listami Instytutu 4% i 3 1/2 procentowemi, różnica wynosi do 10%. Różnica ta jest na korzyść listów B, 3 1/2 procentowych; bo jeżeli listy 4-procentowe stoją pari, listy téj saméj zupełnie natury, i tylko niższą stopą procentu opatrzone, to jest 3 1/2 procentowe, staćby powinny niespełna 88 za sto, a zatem o 12% niżéj.

Obecnie taki jest ich kurs:

Listy zastawne B, 4%, 103 1/2%.

Listy zastawne B, 3 1/2%, 93%.

Listy landschaftowe szlązkie 3 1/2%, 96 1/2%.

Obligacye długu rządowego 3 1/2%, 89%.

Nadmienić jeszcze wypada: że jakkolwiek według zebranych przezemnie wiadomości pożyczki Instytutu kredytowego szlązkiego okazały się dla téj prowincyi bardzo użyteczne, i przyczyniły się rzeczywiście do utrzymania w wielu wypadkach własności dóbr w ręku dotychczasowych ich posiadaczy; ztémwszystkiém instytucya ta w żadnej innéj prowincyi monarchii pruskiej naśladowana dotąd nie została. Ale téż nie ulega wątpliwości, i wszyscy to w Prusach przyznają: że żadna tyle jéj nie potrzebowała, ile prowincya szlązka, będąca zdawna teatrem częstszyc, jak gdzieindziej spustoszeń wojennych.

Takie są zasady, i taka historia Instytutu Kredytowego Szlązkiego.

Dla czytelników naszych wyprowadzam ztąd następujące, z samego odczytania tego dekretu następujące się spostrzeżenia:

1) Zruchomienie części wartości ziemi za pośrednictwem wypuszczenia w obieg papierów procentowych na okaziciela, jakimi są listy zastawne, potrzebuje z natury rzeczy otoczenia wyłączości dłużników przepisami wyjątkowemi i ściślejszemi od tych, jakie służą wszelkim innym wierzytelnościom prywatnym, na dobrach hipotekowanym. Potrzeba ta jest tak powszechną, że wszystkie gdziekolwiek dotąd istniejące instytucye kredytowe tego rodzaju, musiały jéj uczynić zadość. I zaiste, nie ma środka, któryby działał skutecznie na regularność dłużników w uiszczaniu przypadających od nich należności, i któryby większą dawał rękojmię pomyślnemu kierunkowi tych instytucyj. Można nawet posunąć się do życzenia, aby środki wykonywane, raz dobrze obmyślane, to jest ograniczone na tych tylko, które rzeczywiście skutecznymi być mogą, były posunięte aż do bezwzględnej surowości. Ale któż nie dostrzeże: że właśnie ta tak potrzebna wyjątkowość i surowość kroków wykonywanych, ograniczać

musi kredyt na pozostającą część szacunku dóbr, pożyczkami kredytowymi niewyczerpaną. Do uznania téj prawdy dojśćby można na drodze saméj teoryi, a cóż dopiero gdy ją doświadczenie utwierdza. Doświadczenie to jest tak widoczne, że, jak uczą motywa dekretu o Instytucie kredytowym szlązkim, trudność uzyskania kredytu tak na spłatę hipotecznych długów po pożyczkach Landschafty umieszczonych, w razie ich wypowiedzenia, jak i na kapitał obrotowy na zastaw drugiey połowy szacunku dóbr, pożyczkami Landschafty niewyczerpanéj, stała się powodem zaprowadzenia tego Instytutu, dla czego téż położono tam za prawidło: że takie tylko dobra uzyskać mogą pożyczki w listach zastawnych B., na których jest już Landschafta, przez co chciano dać poznać, że dobra pożyczkami Landschafty nieobciążone, kredytu takiego jeszcze nie potrzebują.

Jestto więc w naturze rzeczy, że wszelka instytucya kredytowa udzielająca pożyczki niewypowiadalne, a z wyjątkową exekucją, dążyć musi do takiéj extensyi, aby udzielane przez nią pożyczki, wyczerpywały ile można największą część szacunku dóbr, to jest taką, jaka z ich bezpieczeństwem, będącém tu główną i fundamentalną podstawą pomysłności samych instytucyj kredytowych, pogodzić się daje; o ile bowiem właściciele na téj drodze uzyskają lub uzyskać w każdym razie mogą kredytu zbiorowego, o tyle inniéj potrzebować go mogą na drodze prywatnéj. Dążenie to do extensyi pożyczek kredytowych i w tém jeszcze znajduje żywiół a zarazem i rękojmią, że z postępem bogactw towarzyskich, wartość ziemi dąży do wzrostu, za czém idzie: że nawet pożyczki kredytowe udzielone na skalę dostatecznie obmyśloną, okazać się muszą z czasem niewystarczającemi.

Wynikłością téj prawdy stały się w Prusach rewizye tax, na zasadzie jakich udzielono pożyczki landschaftowe; a dążeniem ich było nietylko wywołane doświadczeniem udokładnienie samych zasad szacowania dóbr, ale zarazem i doprowadzenie pożyczek do wysokości odpowiadającéj szacunkowi dóbr, jaki także z postępem czasu nie mógł zostać jednym i tymże samym.

Taką naprzykład była zatwierdzona dekretem królewskim z d. 30 listopada 1840 r. rewizya zasad szacowania dóbr, należących do Landschafty w Wielkiém Księstwie Poznańskim.

Takież samo dążenie jak wykazano, objawił Instytut kredytowy szlącki, i takież samo dążenie i takież sama potrzeba objawia się wszędzie; wszędzie albowiem wyjątkowa exekucya jaka pożyczkom kredytowym towarzyszyć musi, utrudnia kredyt poza temi pożyczkami,

i wszędzie także, gdzie tylko przemysł i warunki dobrego bytu się ulepszają, szacunek ziemi dąży ku wzrostowi; wreszcie dążenie to objawiać się może i tam nawet, gdzie jest obfitość kapitałów przemysłowi rolniczemu poświęconych: bo i tam właściciel może używany kapitał obrócić na kupno listów zastawnych dla spłaty zaciągniętego w nich długu, co mu wszędzie wolno; albo też, co mu zwykle jest dogodniejszym, może nie wykreślając długu z hypoteki, listy nabyte zatrzymać przy sobie jako tytuł wierzytelności procentowej. Powiększanie więc pożyczek hipotecznych niewypowiadalnych, jakimi są pożyczki landschaftowe lub podobnych im instytucyj, czyli raczej zruchomienie wartości ziemi, jest nieprzepartą koniecznością, której prędzej czy później, w miarę towarzyszących temu okoliczności, stać się musi zadość.

2) Charakterystycznym w swoim rodzaju jest przepis Instytutu kredytowego szlązkiego, że tylko tacy właściciele dóbr mogą uzyskiwać pożyczki w listach zastawnych lit. B, których tytuł pochodzi z sukcesyi, lub z nabycia przynajmniej od lat dziesięciu; jak niemniej, że udzielanie pożyczek w gotowiznie niżej $\frac{2}{3}$ części szacunku dóbr, tudzież wszelkie inne na drodze prawnej dopuszczalne współdziałanie Instytutu w regulacji interesów pieniężnych odłużonych właścicieli, ma na celu (§ 87 i 89) utrzymanie ich przy własności.

Zapatrując się na przepisy te, choćby tylko z samego stanowiska ekonomicznego, uważać je jeszcze należy za trafne. Gospodarstwo wiejskie składa się z mnóstwa szczegółów, zastosowanych do położenia dóbr, natury gleby, i szczególnych własności każdej ich części. Powstaje ztąd wielka bardzo różnaitość w układzie gospodarstwa, i sposobie jego prowadzenia, a tém samém i potrzeba zaznajomienia się z wszystkimi jego szczegółami, tudzież przymiotami ziemi na której gospodarstwo to ma się wykonywać. Im dłużej takie zaznajomienie trwa, tém i gospodarstwo lepszym być może, a lepszym i dlatego także, że właściciel samym przeciągiem czasu przywiązuje się do posiadanego przez siebie kawałka ziemi, i nabiera zamiłowania, do jakiego nowy właściciel nie tak zaraz jest zdatnym. I nie należy lekceważyć takiego zamiłowania właścicielskiego; bo przywiązanie do kawałka ziemi na którym żyjemy, płynie ostatecznie z tegoż samego źródła miłości powszechniej, z jakiego płynie i przywiązanie do osób z którymi przestajemy, z którymi wzajemne stosunki tém są ściślejsze, im są dawniejsze; bo wreszcie przywiązanie do ziemi jest dla nas bodźcem w troskliwym chodzeniu około gospodarstwa, za czém idzie nietylko własne nasze dobro, ale i po-

myślność ogółu interesowanego do obfitości plonów rolniczego przemysłu. Daleko ztąd jeszcze do teoryi nieprzechodzenia ziemi z rąk do rąk, ale jest do życzenia, aby obok możliwości alienowania dóbr jaką się cieszymy, sprzedaże ich, nawet z wolnej ręki, a cóż dopiero wywłaszczenia, były tylko rzadkie. Nigdy zgodzić się nie mogą na to, aby tak bardzo wynoszona łatwość cyrkulacyi rozciągana być potrzebowała i do cyrkulacyi samychże dóbr, i nie przestań frymarkę niemi uważać za nader szkodliwą dla rolnictwa krajowego, a nawet dla obyczajów.

Nie przeczę, że zdarzają się wypadki, i nietylko rzadkie jakby tego życzyć sobie można, w których przejście własności z rąk podupadłego, w ręce zamożnego, pożądaném się staje; ale jestto już ostateczne lekarstwo prowadzące za sobą różne niedogodności, i niepowrotne straty mäteryalne; lepiej więc zawsze, jeśli temu złemu poratowaniem podupadłego właściciela zaradzić można. Dość, kiedy szacunek dóbr zostaje zruhomionym i cyrkuluje z łatwością pod formą papiéru na okaziciela procent przynoszącego; ale nie ma czego życzyć, aby i same nieruchomości cyrkulowały. Jest nawet do życzenia, aby się i dzierżawcy ile można nie zmieniali; a pomiędzy powodami długoletnich dzierżaw jest także i ten: że dzierżawca wieloletni więcej ma czasu i sposobności zapoznać się z gruntem i jego własnościami. Wszakżeż tak w zakładach fabrycznych, jak i w handlach, szanowane są dawne firmy; dlaczegóż więc i w rolnictwie nie pragnąć utrzymania przy własności dawnych posiadaczy, jak tego zgodnie ze zdrowemi pojęciami ekonomii politycznej, i zgodnie z potrzebami rolniczego przemysłu, pragnie Instytut kredytowy szlązki, który téż okazał na drodze praktycznej: że między utrzymaniem majątków ziemskich w ręku dotychczasowych posiadaczy, a możliwością zruhomienia za pośrednictwem pożyczek niewypowiadalnych, ile można znacznej części szacunku tychże majątków, ścisły zachodzi związek.



SPOMINKI HISTORYCZNE I ARTYSTYCZNE.

III.

W groby złotnicze za Zygmunta Igo. — Słynny z piękności wykonania i kosztowności ołtarz szczero-srebrny w kaplicy Zygmuntofskiej, katedry krakowskiej, przez króla Zygmunta Igo wystawiony, uchodzi dotąd za dzieło złotnika norymberskiego *Alberta Glim*. Zdanie to podzielają wszyscy uczeni archeolodowie nasi, o ołtarzu owym piszący. Takto powiedział pierwszy Ambroży Grabowski w wybornym opisie historycznym miasta Krakowa, wydanie 4te, str. 145, opierając się wszakże na słowach J. L. Deciusa, w opowiadaniu czasów Zygmuntofskich, przy kronice Miechowity wydrukowanym. Za Grabowskim powtarzają tę wiadomość J. Mączynski: *Pamiętka z Krakowa*, II, 53; niemniej F. M. Sobieszczański: *Wiadomości historyczne o sztukach w Polsce*, II, 305. Atoli twierdzenie powyższe jest błędne, z mylnego tłumaczenia słów Deciusa widocznie wynika. Zobaczmy, jak się wyraża Decius: „Sub eo anno (roku 1512), Sigismundus cepta aedificia arcis Cracco. singulari studio continuavit, in divi Stanislai sacello quod in rupella appellatur, monumenta posuit, Federico cardinali olim germano aereum fieri fecit tumulum, votumque deo ac divo Stanislao patrio sancto de faelicibus belli Valachici successibus factu. uti eo loco narratur, Imagines argenteas multis aureorum millibus comparatas ad divi Stanislai tumulum erectas explevit, quae hodie ab omnibus cernuntur in opere, industria ac artificio singulari, ab *Alberto Glim* Nurenbergae factu”. Jodoci Ludovici Decii *de Sigismundi regis temporibus*, przy kronice Miechowity, str. 84. Z słów tych okazuje się jasno, że Zygmunt Iszy roku 1512, wywiązując się z ślubu w czasie wojny włoskiej poczynionego, obrazy srebrne wielkim nakładem sprawione przy grobie św. Stanisława złożył, które osobliwszą sztuką wykonał w Nymberdze *Albert Glim*. Podanie to zgodne jest i z innymi o kaplicy św. Stanisława dochowanymi wiadomościami. Przewodnik kośc. krak., str. 17, przywiedziony przez A. Grabowskiego, str. 164, powiada: „Kaplica 23cia św. Stanisława, w pośrodku kościoła, od króla Zygmunta Igo zbudowana, w której jest ołtarz ozdobny marmurowy..... a w nim obraz srebrny

odlewany, od króla Zygmunta Igo także sprawiony". To samo i dokładniej mówi Stanisław Górski w rękopiśmie: *Epistolarum et Legat. Sigismundi*, I, tom IIgi: „Roku 1512, Zygmunt Iszy wypełniając ślub w czasie wojny wołoskiej uczyniony, obrazy srebrne w Norymberdze zrobione, w kościele katedr. krak., u grobu św. Stanisława zawiesił". Podobnie pisze Bielski w Kronice pod rokiem 1512: „Tymże czasem król najwięcej się budowaniem bawił około zamku krakowskiego i kościoła, do którego obraz srebrny z obietnice onęj piérwszój, na oltarzu św. Stanisława postawił, który robiono w Norymbergu". Wyd. warsz., 1830, XVI, 139. Nie ulega więc wątpliwości, że obraz srebrny, przez *Alberta Glim* w Norymberdze wykonany, a przez Zygmunta Igo wielkim nakładem sprawiony, zawieszony był przez niego roku 1512 w oltarzu kaplicy św. Stanisława. Zobaczmy teraz, kto był sam ten artysta złotnik. Doppelmayr nazwy téj wcale nie zna, atoli przywodzi bardzo zdolnego złotnika norymberskiego *Hanns Klimm*, zmarłego około roku 1550, który wyrabiając doskonale wielkie obrazy w srebrze, nabył sławy i był wielce ceniony, zwłaszcza od Alberta Durera: bo się téż odznaczał z biegłości w rysunku i sztycharstwie. Tak samo mówi o nim G. K. Nagler, VII, 63, nieznający także *Alberta Glimma*. Zdaje się więc, że ów *Albert Glim* nie kto inny jest, jak tenże *Hanns Klimm*, przez J. G. Doppelmayra (*Hist. Nachricht von den Nürnbergischen Mathematicis und Künstlern. Nürnberg, 1730, fol., str. 194*) przytoczony, u którego jako artysty zdolnego, obstalunek król Zygmunt Iszy uczynił. Wnosić można, że J. L. Decius mniej bacząc na dokładne oznaczenie artysty, przekreślił jego nazwę, i z *Hanns Klimma* zrobił *Alberta Glimma*.—Wróćmy się teraz do oltarza srebrnego obrazowego kaplicy Zygmuntofskiej. Oltarz ten szafasty, naprzód obozowy króla Zygmunta Igo, potem przez niego złożony w kaplicy Zygmuntofskiej, cały z czystego srebra ulany, a przyozdobiony wybornemi obrazami czyli wypukłorzeźbami, w srebrze wykonanemi, opisany jest dokładnie przez uczonych naszych archeologów powyżej przytoczonych. Na spodzie czyli postumencie także srebrnym oltarza, wryty jest napis, świadczący, że król Zygmunt oltarz ten wystawił roku 1538; jeżeli więc jestto data jego roboty, dowodzi, iż od obrazu kaplicy św. Stanisława znacznie jest późniejszy. Dla masy srebra, piękności roboty obrazów, kosztować on musiał sumę ogromną; jakoż roku 1680, oszacowany był przez złotników krakowskich na złp. 300,000. Kto zaś go wykonał, zostaje do dochodzenia. Przerzeczony Doppelmayr, a za nim Nagler, objaśniają to, zdaje się, dostatecznie: oba opowiadają o słynnym złotniku norymberskim *Melchiorze Bayr* (u Naglera *Bair* lub *Bayér*), zmarłym dnia 3 sierpnia, roku 1577, który będąc przytém doskonałym rysowni-

kiem, zjednał sobie wielką sławę z wyrobów srebrnych wielkiego rozmiaru. Między zaś innemi, wykonał dla króla Zygmunta srebrny ołtarz, który dla szczególnej wielkości, a sztuki w zdobiących go wypuktorzeźbach, jako nader znakomite dzieło przez znawców był podziwiany. (Doppelmayr, str. 204; Nagler I, 229). Że do dzieła tego przygotowane snycerskie roboty wykonywał mu Piotr Flötner, a tenże r. 1546 już umarł, przeto ołtarz *M. Bayra* znacznie przed tymże rokiem musiał być robiony, co z datą wyżej wymienioną, 1538 rokiem, dosyć się zbliżać daje. Wnoszę więc, że ołtarz srebrny kaplicy Zygmuntofskiej nie czyjś innej jest roboty, jak owego norymberskiego zawołanego złotnika *Melchiora Bayra*.—Jeżeli się tu cokolwiek przydlużę, a dla niejednego czytelnika znuźniej rozszerzyłem nad tym wywodem najznakomitszych dzieł sztuki złotniczej wieku XVIgo w kraju naszym; uczyniłem to ze względu, iż ściśle i dokładne wiadomości w tym względzie, nieodzowne są w ogólnych dziejach sztuki krajowej; powtóre, że chciałem zwrócić i tutaj uwagę badaczy na potrzebę wielkiej oględności w dochodzeniach i cytatach, ażeby zawsze i wszędzie istotna prawda była wiadoma.

Rzeźba na kamieniu twardym za Zygmunta Igo i Zygmunta Augusta.—Skreślając życiorys Jana Regulskiego rzeźbiarza na kamieniu twardym (Bibl. Warsz. z roku 1848, II, 262 do 272), powiedziałem cokolwiek o téj sztuce w kraju naszym. Wspomnę tu jeszcze o jednym artyście znamienitym, który w wieku XVIIym wyborne tego rodzaju prace podejmował niewątpliwie na dworze królów w Polsce. *Caraglio Jan Jakób*, a nie Joachim, jak go wymienia A. Grabowski, pisany także *Caraglio* i *Caralius*, urodzony w Parmie, czy może w Weronie roku 1500 oddawał się naprzód rytownictwu i wzniósł się w niem do pierwszego rzędu artystów włoskich. Po niejakiem czasie zwrócił się on wyłącznie do rycenia na kamieniu twardym i medalierstwa, a w sztuce téj znowu zjednał sobie wysoką sławę. Z tego powodu sprowadził go do Polski król Zygmunt Iszy r. 1539; tak zaś on, jak i jego następca Zygmunt August, poruczali mu rozmaite roboty, z których artysta wywiązywał się z największą dla siebie chwałą i niemałym téż pożytkiem, hojnie przez obu monarchów będąc wynagradzany. Roku 1568 był jeszcze w Polsce, lecz pod tę porę powrócił do Włoch i tamże w majątności swój ziemskiej w Parmeńskiém, roku 1570 umarł. Jakiebyto roboty wykonywał *Caraglio* dla obu Zygmuntofs, mało jest nateraz wiadomo; że dla nich pracował w Polsce niemało, dowodem tego jest i to, co o nim mówi Vasari, iż na schyłku życia roku 1568 zamysławiając o swym powrocie do swój ojczyzny, do Parmy, wysłał tamże znaczne summy pieniężne,

z szczodroblewości monarchów polskich uzbierane. Na medalach z panowania Zygmunta Igo, nie widzimy jego podpisu; jeden tylko artysta, także Włoch, objawia się na nich, a tym jest *Jan Marya Paduańczyk, Johannes Maria Patavinus*, którego trzy medale, wszystkie z roku 1532 znane są (u Raczyńskiego nr 7, 9 bis. i 11). W mniemaniu mojem *Caraglio* wykonywać musiał niektóre z pięknych medali panowania tego, na jakich się przecie nie podpisał. Ksiądz Sebastyan Ciampi, który o pobycie jego w Polsce ciekawe podaje wiadomości (Bibliogr. Critica, Firenze, 1839, II, 245 do 247), powiada, iż jego dziełem jest medal królowej Bony i iuny jój dworzanina Włocha Alexandra Pesenti. Obok tego domyślać się można, iż rzeźbił na kamieniach drogich wizerunki królewskie i tym podobne, jakie zwykle do sygnetów i do noszeń na łańcuchach podówczas używano, a które nazywano dawniej *gamaje, gamajniki*, widoczne nazwy *kamea* spolszczenie. Takoweto kosztowności, zarówno pod względem sztuki jak i starożytności cenne pamiątki, wielką stały się dziś rzadkością: czas i przygody krajowe wyniszczyły lub zatraciły je u nas. Być może, że przy obudzonej troskliwości uczonych i miłośników, zabytki jakowe tego rodzaju odszukanemi szczęśliwie będą. Wszakże natrafić je dziś prędjéj można za granicą, jako z Polski wywiezione, w chwilach krajowych niepowodzeń zabrane lub wykupione. Dowodem tego niepoślednim jest dochowujące się dziś jedyne dzieło gliptyczne *Jana Jakóba Caraglio*, w Polsce wykonane, a utwierdzające w mniemaniu, iż prac tego rodzaju znacznie więcéj tutaj wykonywać musiał. Tą nader szacowną pamiątką jest popiersie królowej Bony, na agacie wschodnim wyrzeźbione, kosztowny zbiór Debruge Duménil w Paryżu wzbogacające, z napisem okólnym: „Bona Sphor. Regina Poloniae. Jakobu. Veron.“ Że do robót tego rodzaju trzymał go również Zygmunt August, twierdzi to J. Albertrandi (Życie Zygmunta Augusta, w Dzienniku Wileń., z roku 1818, I, 544), w słowach następujących: „Miał (Zygmunt August) do klejnotów i rycin na kamieniach Jana Jakóba z Werony”. A że tak było istotnie, i że dla króla tego wiele z szczególną zaletą odrabiać musiał robót rzeźbiarskich na kamieniu drogim, niezaprzeczonem dowodem jest nadany artyście przez Zygmunta Augusta w nagrodę położonych zasług, przywiléj na szlachectwo polskie i *equitatus auratus*, z daty w Piotrkowie *feria sexta ante festum Sanctorum Philippi et Jacobi apostolorum proxima*, roku 1552, w którym pisze go: „*incisor gemmarum* z dawnych lat przez nas używany”. Dokument ten autentyczny, dochowany w aktach metryki koronnej, ks. 82, str. 222, jako dla dziejów sztuki krajowej wielce ciekawy, zamieszcza się tu w całości:

„*Nobilitatio Joannis Jacobi Veronensis. In Nomine Domini Amen.*
 Ut sempiterna sit ejus quod infrascriptum est memoria. Recte hoc in more institutisque maiorum fuisse positum accepimus, ut singulorum hominum proborum virtus, singularibus honoris praemiis remunerata ornaretur. Idque Nos Sigismundus Augustus Dei gratia Rex Poloniae, Magnus Dux Lithuaniae, nec non terrarum Cracoviae etc. ita imitamur, ut plebeiorum etiam et obscuro loconatorum hominum virtutem, ea honoris habendi mercede fraudandam non arbitremur, multosque quorum egregia virtus ignorari se ac negligi non patitur, nobilium Regni Nostri imaginibus ac libertate et praerogativis ornare et dotare solemus. Quoniam igitur *Joannes Jacobus Veronensis, quo Nos gemmarum incisore iam multos annos utimur*, suam Nobis fidem ac observantiam, suamque industriam et probitatem ita probavit, ut nulli non sit satis conspicua, tametsi natus sit *ex nobili ac honesta Caraliorum familia*, ideoque et ipse generis splendor satis eum nobilitet, et singulare virtutis colendae studium tamen gratum ac faventem in homines virtutis amantes animum, praecipue vero in hunc *Joannem Jacobum* volentes testari ac declarare statuimus *Nobilem eum Polonum* atque adeo *Equitem etiam Auratum* creare, creamusque literis hisce Nostris et esse volumus. Cuius autem Nobilitationis et Aurati Equitis insignia atque imagines damus ei Leonem colore aureo, corona aurea conspicuum in rubentis campi spatio posterioribus pedibus insistentem; veteres autem eius familiae a maioribus acceptae imagines sunt haec: Phoenix purpurea pennas auro leniter conspersa, in campo coelestino truncis lignorum ardentibus innitens, atque aureos solis radios intuens. Quibus quidem duplicibus imaginibus, hoc est veteribus et a nobis datis, clypeum coloris ferrei qui supraemum utriusque campi spatium medium amplectatur addidimus, ex quo deinde clypeo anterior aurali leonis pars corona aurea redimiti prominet. Ab utroque autem clypei latere, quaedam maiorum pennarum facies deorsum leviter vergentes luxurient, quemadmodum solers artificis manus hic singula apertius depinxit. Quibusquidem imaginibus ad obsignandas suas literas, ad aedificia ac monumenta vel ornanda vel tanquam indicanda ut reliqua Regni Nostri nobilitas plenam habeat utendi potestatem, neque in iis solum sed et in torneamentis, hastiludiis, aliisque omnibus armorum sive ludiorum sive seriis exercitiis nobili homine et Equite Aurato dignis. Damus illi praeterea omnem eam libertatem, immunitatem et praerogativas, quibus dotati et ornati sunt Nobiles Regni Nostri, atque eum ad omnes dignitates et honorum gradus ad quos solis alioqui in Regno Nostro Nobilibus aditus patet admittimus. Quapropter universis id ed singulis regni provinciarumque nostrarum hominibus, prae-

cipue vero nobili Sanguine natis publicoque administrationis seu praefecturae et dignitatis cuiuscunque munere fungentibus denuntiamus et notum ac testatum esse volumus atque mandamus pro autoritate nostra ut *Joanni Jacobo de Caraliis, Veronensi*, tam justa de causa honoris premiis decorato, non solum nemo sit qui hac in parte iniquum se et parum faventem prebeat. Sed etiam ut exemplo Nostro virtuti, et ei qui tam excellentis tamquam locupletis testimonii honore merito decoratur, plurimum se favere declaret. Id quod Nos optimum quemque pro officio suo et favoris ac clementiae Nostrae studio, secus nec facturum, nec fieri debere putaturum plane confidimus. Si quis vero obtrectare illi, et de fama, virtute nobilitate ejus Equitis Aurati titulo insignibus ne illis datis ausus fuerit, contra hoc aedictum et privilegium Nostrum clam vel palam detrahare, ei Nos centum marcarum auri mulctam irrogamus. Cuius mulctae medium fisco Nostro Regio, reliquum autem ei cui fuerit obtrectatum numerandum adiudicamus. Eorum omnium ut tanta sit quantam esse oportet autoritas, literas hasce Nostras ipsi subscripsimus et sigillo Nostro curavimus obsignari. Datum Piothreoviae feria sexta ante festum Sanctorum Philippi et Jacobi Apostolorum proxima Anno Domini Millesimo Quingentesimo Quinquagesimo Secundo Regni Nostri xxiiij^o.

Sigismundus Augustus Rex Subscripsit."

Zarzucono mi, iż artystę owego *Caraglio* nie zamieścić w Słowniku Malarzów polskich; zarzut ten atoli jest bezzasadny. *Caraglio* był bardzo biegłym sztycharzem, potem medalierem i rzeźbiarzem na kamieniu twardym, a obok tego i rysownikiem, co samo z siebie wypływa; atoli, jak to mylnie twierdzi p. Szczęsny Morawski we Lwowie, malarzem nigdy nie był, a do Polski sprowadzony jako medalier i rzeźbiarz na kamieniach drogich, w tych obu tylko sztukach mógł prace u nas podejmować. Ztąd też pomieszczenie go w Słowniku Malarzów nie byłoby wcale właściwém.

Przytoczony powyżej *Jan Marya Paduańczyk* medalier, zwał się *Mosca*, a był zarazem rzeźbiarzem, uczniem A. Zoppo, w sztuce swój wysoce uzdolniony. Sprowadzony do Polski około r. 1530, wykonywał tu zarówno medalierskie i rzeźbiarskie w marmurze roboty. Przydłuższy jego pobyt w kraju naszym udowadniają następujące o nim dochowane wiadomości. Pod r. 1541 wspominają go akta radzieckie krakowskie, jak to wyszedł uczoney A. Grabowski „*Joannes Maria Italus lapicida*” (Dawne zabytki miasta Krakowa, 1850 r. str. 165). R. 1553 wynajął w Krakowie od władzy uniwersyteckiej bursę niemiecką, gdzie trzymał swoją pracownię: Jan Marya Włoch z Padwy, kamieniarz królewski (J. Muczkowski, Mieszkania uczniów krak. 1842, str. 40). Za panowania

króla Zygmunta Augusta był on czynnym w Wilnie, jak to opowiada M. Baliński w *Historji m. Wilna*, 1837, II, 94: że w mieście tém Jan Marya oraz Jan de Senis (z Sienny), przez lat sześć ciągle pracując, wzniesli z kosztownych marmurów dwa wspaniałe grobowce w kościele św. Stanisława, dla żon Zygmunta Augusta, Elżbiety i Barbary. Jego takż dziełem ma być okazały grobowiec króla Władysława Jagielly w katedrze krakowskiej, staraniem króla Zygmunta Igo wystawiony. Wspomnę tu w końcu, że szanowny archeolog F. M. Sobieszczański, w t. II, dzieła: *Wiadomości histor. o sztukach pięknych, artystę tego Jana Maria Mosca* zdaje się rozdzielać na dwie oddzielne osoby: rzeźbiarza u króla Zygmunta Augusta, str. 242 i rzeźbiarza i medaliera u Zygmunta I, str. 355; co przecie tak nie jest, gdyż to jest niewątpliwie jeden i ten sam sztukmistrz.

Koilkowski Józef. Wspomnienie pozgonne.—Miesiący kilka upływa, jak w Warszawie zszedł z tego świata znamienity lubownik a znawca sztuki malarskiej. Umiejący w wyższém znaczeniu czuć i oceniać sztukę w powszechności, niósł on ku własnej krajowej szczególne zamiłowanie. Postępy w niej tegoczesne, czyto nowy jaki świetniejszy utwór, czy objawiająca się zdolność, cieszyły go nieskończenie; z równém téż zajęciem patrzył na prace, przeszłość sztuki rodzimój odsłonić, rzetelne i przynależne jej stanowisko z zapomnienia i niesłusznego zlekceważenia przywrócić usiłujące. Na polu tém każda nowa zdobycz, każde odkryte dzieło, czy nazwisko, każde rozobszernienie lub ustalenie wiedzy, przejmowało go istotną rozkoszą; śledził te badania, zachęcał do nich i sam dopomagał czynnie. Z tegoto powodu zawiązała się była długoletnia z nim mowa zażyła znajomość; a zawdzięczałem jej wiele szacownych materyałów, uwag trafnych, objaśnień i ubogaceń mnogich. Dziś, gdy u grobu szanownego męża złożyć tylko mogę ręką przyjazną cyprysową gałązkę żalu, pragnę treściwém o nim wspomnieniem, cześć należną pamięci i zasługom jego oddać.

Józef Koilkowski radca dworu, były oficer wojsk polskich i urzędnik emeryt, po kilkodniowej chorobie, rozstał się z życiem w Warszawie, dnia 11 stycznia r. 1851. W mieście tém takż przyszedł on był na świat dnia 19 listopada 1791 r., a pochodził z szlchetnego rodu herbu Postoja. Otrzymawszy pod troskliwém okiem rodziców starowne pierwiastkowe wychowanie, w młodzieńczych już latach poświęcił się stanowi wojskowemu, w roku 1810 wchodząc jako kanonier do pułku artylerji pieszej Księztwa Warszawskiego, i w tym jeszcze roku postąpił na porucznika z przeznaczeniem do sztabu głównego. W latach następnych odbył wyprawy wojenne z r. 1812 i 1813, a stan jego służby

objawia, iż znajdował się w bitwach pod Smoleńskiem, Mozajskiem, Czerkowie, Tarutyno, Wiazmą, Borysowem, Gabel, Loebau i Lipskiem. W téjto ostatniej bitwie mając pod sobą ubitego konia, wzięty był do niewoli, w której do r. 1814 pozostawał. R. 1815 z nową organizacją wojska królestwa polskiego, umieszczony jako porucznik-adjutant w sztabie głównym, z odkomenderowaniem do sekretaryatu generalnego naczelnego wodza Jego Cesarzewiczowskiej Mości Wielkiego Księcia Konstantego Cesarzewicza. R. 1816 przeznaczony do batalionu grenadyerów gwardyi, r. 1820 postąpił na kapitana w tymże pułku grenadyerów gwardyi, z pozostawieniem w sekretaryacie generalnym naczelnego wodza. Odznaczenie się wojenne zjednało mu już r. 1812 krzyż złoty orderu wojkowego polskiego; w następnej służbie nagrodzony w r. 1825 pierścieniem brylantowym przez cesarza i króla Alexandra I, w roku 1829 orderem św. Stanisława klasy 3, a w roku 1830 znakiem honorowym za lat 15 nieskazitelnej służby oficerskiej. W roku 1831 umieszczony w sztabie gubernatora m. Warszawy; w r. 1832 otrzymał przeznaczenie w wydziałach po byłej kommissyi wojny w obowiązku szefa biura. W służbie téj zaszczycony znówu r. 1840 orderem św. Włodzimierza klasy 4tej, pozostawał w niej do roku 1843, w którym otrzymał uwolnienie jako emeryt z pensją, tudzież stopień rady dworu. Tak po 32letniej ciągłej publicznej służbie, zwrócony do prywatnego życia a swobodnego spoczynku, oddał się teraz Koitkowski z podwójnym zapalem szlachetnemu zamiłowaniu sztuk, zwłaszcza malarstwa. Był on niemiem przejęty zawsze, a mając smak wrodzony zasilać pilną nauką, doszedł z czasem do wyższego znawstwa. Potrafił też długoletniemi staraniami ukształcić sobie wcale znamienity zbiór obrazów, który stał mu się umileniem życia, a w którego powolnem gromadzeniu dał piękny choć nie pierwszy przykład, iż wielka usilność i wytrwałość pokonać mogą nieraz nieprzełomne napozór trudności, zastąpić samą niedostatność materialnych środków. Z żalem przychodzi tu powiedzieć, że zbiór ten wkrótce po właściciela zgonie poszedł w drodze publicznej sprzedaży w rozsypkę. Takowe rozpraszenie w jedno nagromadzonych dzieł sztuki, niewypowiedzianą są w kraju dla sztuki samęj stratą. Warunkiem albowiem niezbędnym kwitnienia sztuk w każdym kraju, są właśnie zakłady i duch przechowawczy, zamożność i trwałość; bez tego najokazalsze sztuk dzieła tracą się, niszczeją, idą w rozsypkę, a z czasem pamięć nawet o nich niknie. Takiem niedotrwanie zbiorów sztuk było zdawna jakąś fatalnością kraju naszego; po wszystkie czasy znajdowali się światli miłośnicy, którzy one kształcić umieli, lecz wszystkie prawie rozproszyły się brakiem przechowawczego żywiołu. Ileżto galerij i szacownych zbiorów

w samój Warszawie los ten za mojej już pamięci spotkał? Poszły na licytacye galerye księcia J. Poniatowskiego, hr. Alexandra Chodkiewicza, hr. Józefa Ossolińskiego, zbiory malarza szambelana Wincentego Lesseura, pułkownika Michała barona Kosińskiego, hr. Józefa Sierakowskiego, Antoniego Czyżewskiego, malarza Kokulara, sędziego Hangla, hr. Jana Suchodolskiego, p. Szaefayera; że przemileżę inne; wieleż powiedziéby mogli o tém starsi, jakie straty i zagłady objawiają dzieje! Tu właśnie znajduje się główna przyczyna rozszerzonego, a przez niechętnych cudzoziemców powtarzanego skwapliwie mniemania owego, jakoby Polska nie była nigdy sztuki krainą; że mieszkaniec jój do pług i oręża tylko sposobny, nie umiał cenić i posiadać sztuki znamienitszych twórców. Twierdzenie to zupełnie jest błędne; a chociaż dziś, niestety! na drodze tylko historycznej zbijać i wyświecać je pozostaje, przesąd takowy przecie osłabiać się zaczyna; dalsze da Bóg gorliwe badania i wywody, obalą go do reszty niewątpliwie. Zbiór Koitkowskiego, który do tego małego zboczenia stał się powodem, prócz wielu pięknych dzieł w rozmaitych rodzajach, odznaczał się zwłaszcza w obrazach szkoły flamandzkiej, jako szczególnie posiadaczowi ulubionój; atoli przed wszystkiém zwracały tu uwagę krajowca mistrzowskie rzuty i niektóre wykończone prace Alexandra Orłowskiego.

Koitkowski zaszczytnie odznaczony w życiu publiczném, już jako żołniérz dzielny, już jako urzędnik zdolny, prawy i sumienny; w życiu prywatném ozdobiony był najpiękniejszymi przymiotami serca i duszy. Skromny, łagodny, stateczny, pełen dobroci i prawości; dla rodziny swój wyłany, w przyjaźni stały i do poświęceń gotowy; dla bliźniego uczynny a pobłażający, surowy sędzia sam tylko dla siebie; w umysłowych zajęciach umiał on szukać pociech i najmilszych rozrywek życia, którego osłoda było dla niego sztuk nadobnych zamiłowanie, wyższém ukształceniem obudzone, a ciągle nabywanemi wiadomościami zasilane. Przy skonie, lubo pozbawiony najdroższych pociech, jako w stanie beżżennym żyjący, doznał przecie w nagrodę prawego żywota niepoślednich łaskawości niebios: zgasł po niedługich cierpieniach, przyjął w chrześcijańskiej skrusze zasilek duchowny przebaczenia i otuchy, oddał ducha na rękach przyjaźni, pozostawił po sobie żal szczery, a pamięć poważaną powszechnie.

E. Rustawiecki.



KRONIKA LITERACKA.

Druskieniki. Szkic literacko-lekarski przez J. I. Kraszewskiego i Ksawerego Wolfganga. Z dwiema rycinami. Wilno, drukiem Józefa Zawadzkiego, 1848, 8ka, str. 186.

J. I. Kraszewski, autor większej połowy powyższego dziełka, szukając pomocy nadwątłonemu zdrowiu w Druskienikach, powziął myśl rzucenia w świat niewielką książeczkę, w celu przypomnienia współziomkom naszym, jak zbawienny środek uzdrawiający mamy u siebie, jak godne to miejsce, aby do niego udawali się cierpiący.

P. Kraszewski zaczyna opisem wyjazdu z domu. Przebywa Łuck, stary gród Witoldowy, Kowel nędzne miasteczko, za nim *Ratno*, a za tém czteromilową pustynią, gdzie tylko piaski żółte, poplamione sośninką ciemną, poprzecinane brodkami i błotkami, roztwarły ramiona na twe przyjęcie.

„Posepne oblicze téj krainy, (mówi autor) nabawia cię rozpaczą, strachem, nudą; nie myśl jednak pospieszać zamknawszy oczy, i nie naglij ani woźnicy, który ziewa jak ty, ani koni, którym ta droga srożej dopieka niż tobie. Piasek zatrzymuje cię za koła, dalej grzązkie kałuże, dalej jeszcze gorsze groble usłane dla wygody dylami, po których skacze i rzuca nieznośnie powóz; dalej piasek jeszcze, potem korzenie drzew, potem groble znowu, brody znowu. Te cztery mile staną i wydadzą się dzieńsięcią. Mamy czas przypatrzeć się pustyni, którą żadna wieś, żadna budowa, żadna żywa dusza, żadne nawet zwierzę nie urozmaica. Zdaje się, że wszystko wymarło: nawet ptastwo i drobne owady. Szorstkie tylko wiszary szeleszczą w niezmiernych błotach, woda leniwie sączy się po rowach, szumią sosny drżące, ziewają żółte piaski”.

„Ale te piaski, las, groble, błota nawet tutejsze, niepodobne są żadnym innym. Jestto dzikość bez wdzięku, bez powabu, bez charakteru,

podniesiona do najwyższego stopnia, do nieokreślonej potęgi. Wszystko się spika na wbicie ci téj myśli, że na wieki wieków jechać będziesz tą pustynią, aż do Józefatowej doliny. Płaski kraj nie dozwala ci okiem nawet wybiedz naprzód; wjedzieszli w wydmy żółte, wydadzą ci się nieskończone; w las, zda ci się nieprzebyły; na groble, myślisz, że nigdy nie dojrzysz ostatka. A niczém oka ubawić, myśli nigdzie zawiesić! Żebyż drzewo dorodne, żeby kamień choć na drodze kształtem lub wielkością zastanawiający, żeby woda rozległa; ale nie! drzewa rachityczne wszystkie, kamyki zmielone na otręby, woda czarna, kałużowata, i więcéj grzęzawisk niż strumieni."

Po takiéj drodze dobiera się nasz autor do *Dywina*, ztąd do *Kobrynia*, *Prużany* i wjeżdża w *Białowiezką puszcę*.

„Niepodobna i najobojętniejszemu człowiekowi przebyć tego lasu, pozostałości, resztki dawnych puszczy Litwy, nie doznawszy wrażenia. Jest w nim coś tak majestatycznego, tak wielkiego, tak dzikiego, co mimowolnie przemawia do duszy, i dumać zniewala. A w dumaniu wysnuwają się mary przeszłości: dawne łowy Jagiełłów, Zygmunatów, potem królewskie polowania Sasów, i żubry, których tu w Europie ostatnie schronienie. Drzewa Białowiezkiej puszczy zdają się wynioślejsze, wspanialsze od innych: bujniej zda się rosna, gęściej do siebie się tula, jakby człowieka do serca tego lasu ostatka dopuścić nie chciały. Las to, który jeden u nas dać może pojęcie pierwotnych Ameryki gąszczy, zwłaszcza w ostępach jak *Nieznanów*, ledwie ludzką stopą tkniętych, gdzie stopy trupa karmią nowe życie roślinne. Ileżto rzek z tego serca wypływa, i żyzne a piękne wody, na przeciwne kraju strony posyła! Przejazdźka Białowiezką puszcą jest miłą podróży chwilą, cóż, gdy do niej jeszcze przywiąże się wspomnienie jakie, co życiem darzy ją nowém. Takto spostrzegamy nad drogą *dom ubogi* Karpińskiego, który teraz pustką stoi: tę górę, na której się on modlił; pola, które z kmiotkami ręką własną trzebił, i cmentarz, nad którego bramką już nie ma dawnego napisu. Westchnąłem nad losem poety! umarł tęsknąc! tak, i biędny: bo nie umiał sobie zdać sprawy z tęsknoty swojej. Narzekał na świat, ludzi, ubóstwo, a nie czuł, że w nim nieśmiertelna dusza tą tęsknotą nienasyconą, nieogarnioną, wrywała się ku niebu. Teraz pustką domek biędny, puszcza od niego uciekła, rozstąpiły się drzewa, zarosły chwastem drożyny; nic nie pozostało, nic, a nowe pokolenie nasze nie poszanuje starca, i nie wznowi wspomnienia niczém. Gdyby choć prosty krzyż na tém wzgórzu, gdzie się modlić siadał!"

Kraszewski tak bolesném dotknięty wspomnieniem, opuszcza co prędzej to miejsce, i minawszy *Swiślocz* przybywa do starego *Grodna*,

poświęciwszy mu obszerniejsze wspomnienie; wita nareszcie cel swój podróży—Druskieniki.

Nazwa ich pochodzi od wyrazu *Druskas*, sól znaczącego po litewsku. Z właściwym talentem opisuje p. Kraszewski druskienickie kąpiele i miasteczko samo, a ten obraz urozmaica szkicowaniem postaci różnych, które mu pod oczy podpadają. Nie pomija i okolic, słynnego *Merecza*, gdzie Władysław IV dnia 20 maja w piękną wiosenną porę 1648 roku, zaziębiwszy się na łowach, umarł, pożegnawszy ostatniemi słowy: *dobranoc bracia!* i w rysunku dom ten nam przedstawia, jako historyczny pomnik po tym królu. Wraca do Druskienik, i uwagę i pióro zwracają nasz autor, to na piękny *piknik*, gdzie się wesoło i ohocho bawiono, to na chorobę *arystokracji* towarzystwa druskienickiego, to na zupełne otrętwienie umysłowego życia, to w ostatku na wydatniejsze typy, które dosadnie narysowuje: *karyerowiczów, wydrwigrosza, szulera*, przedziwny gatunek hrabiów druskienickich. Wreszcie taką wedle prowincyj układa charakterystykę:

„Litwin istotnie ma swoją odrębną fizygnomią: coś w nim jest serdecznie dobrodusznego, prostego, poczciwego; trochę niezgrabstwa przytém, trochę zadomowienia. Przy nim Wołyniak, ze swoją pretensją do państwa, francuzczyzną, krygami, ubiorem wielce modnym i miną arystokratyczną, widocznie bardzo odbija. Obywatel Królestwa równie wykwintnie ubrany, chętniej się godzi z Litwinem, skorszy do głośniejszej rozmowy, i rad się czasem tém i owém pochwalić, popisać: mówi wiele o fabrykach i gospodarstwie. Ukraińiec całą gębą pan, a popularny i grzeczny, głowę nosi wysoko; pieniądze, które czuje w kieszeni, znać jak mu odwagi dodają. Dobry przytém człowieczysko, a nawet oświecenijszy od wielu współziomków, tylko że ma trochę kozaczą minę; pewnie temu nie winien.”

W zarysach różnych typów i figur, czasem pan Kraszewski dobiega zbyt jaskrawych farb; ale wie dzie go za cny cel—prawda. Ożywia on niemi wielce swój opis Druskienik, lubo niekiedy przypomina czytelnikowi, że sam schorzał, przybywszy tu szukać zdrowia, z rozdrażnieniem chorobliwém kreśli niektóre ustępy.

Zakończymy nasze sprawozdanie przywiedzeniem opisu śmierci znanego i kochanego poety. Wspomniawszy o wesołym gwarze Druskienik, tak dalej mówi:

„Jedna śmierć tak cicho tędy przechodzi, tak nieznacznie się prze myka, że jój całkiem nie widać; nawet w rubrykach tutejszych doniesień lekarskich, na śmierć nie ma miejsca. Zadzwonią po umarłym w kościółku, ale któż wie na co dzwonią? i—po wszystkiém. W nocy cicho

wywożą trumnę do *Rotnicy*, bo tu nie ma ani cmentarza, ani pogrzebu, aby chorych nie przerażać. I słusznie: wody to mają do siebie, że w początkach człowiek rozdrażniony i tak aż nadto marzy czarno, na cóż mu dolewać chmurnych myśli do zbolałej głowy? W tym roku (1847), jedną tylko śmierć, śmierć Jana Czeczota, autora piosnek *znad Niemna i Dźwiny*, i *Pieśni ziemianina*, postrzegły całe Druskieniki; tój ukryć nie było można. Przybył tu ten pełen prostoty wiejski śpiewak, pełen cnót człowiek, po długich a długich cierpieniach zamknąć zgonem chrześcijańskim życie prawdziwie chrześcijańskie. Ubogi jak J. I. Rousseau, bo dumny ze swego ubóstwa jak on, Czeczot w małej chatce, w niedostatku, któremu musiano zapobiegać tak, że o tém nie wiedział prawie, skończył dni swoje. Jedna siostra płakała u osamotnionego łóżka, które odwiedzali nieustannie wszyscy; ale *odwiedzający* nie przerywają samotności. Umarł osamotniony, jakem powiedział, bo nie miał ani rodziny, prócz siostry, ani przyjaciół swych ze starych lat. Pięknielo dla Druskienik, że ostatnim godzinom i pogrzebowi, nie brakło ani funduszów, ani czynnej i troskliwej opieki”.

„Kto widział Czeczota na łożu śmiertelném, trudno, aby go mógł zapomnieć. Twarz to była uśmiechnięta w uśmiechu słodczy pełnym, anielskim. Okropne zniszczenie choroby nie zmasało z niej śladów, jakie dusza wryła na obliczu enotliwego. Usta sine po śmierci jeszcze do zawarcia trumny, zgięte były spokojnym, niewyrażonym uśmiechem szczęścia jakiegoś niezemskiego. Na prostym tapczanie spoczywał w granatowym surducie, w którym chodził zwykle; na ręku wychudłym leżał zużyty obrazek. U nóg we łżach kłęzała siostra, w głowach staruszka odmawiała spokojnie modlitwy, z boku dwóch starców spędzali zieloną gałęzią muchy z twarzy żółtj nieboszczyka, w którego głowach czarny krucyfix, i dwie świece żółte płonęły. Ten obrazek z ubogą chatą, o niskim suficie, z ciasną izdebką, która go obejmowała, każdemu co nań spojrział, wryć się musiał w pamięci.”

Opis Druskienik obrazowo-historyczno-obyczajowy, zajmuje stron 105: poczem Xawery Wolfgang, dawny wydawca *Ondyny druskienickich źródeł*, a doktor miejscowy, dołączył swój opis pod *względem lekarskim*. W rozprawie tój, podawszy naprzód wiadomości o pismach Druskienikom poświęconych, przechodzi dalej: o możności i potrzebie wprowadzenia w użycie kąpieli z wód mineralnych druskienickich w porze zimowj; wskazuje wynikające korzyści z leczenia się wodą druskienicką w porze zimowj, i zarazem choroby, w jakich taż woda używać się może w każdj porze roku; następnie podawszy postrzeżenia prakty-

czne ogólne, oraz o picciu téj wody na wiosnę i w zimie, kończy kilka uwagami o soli, z téj wody mineralnej wywarzanéj.

Dwie ryciny pana Kraszewskiego dołączone są do jegoż tekstu: pierwsza przedstawia trzy włościanki z okolic druskienickich, druga dom w ruinach w Mereczu, gdzie król Władysław IV umarł.

Wł.

Nauka Chrześcijańska, obejmująca wykład prawd religijnych w dokładnym katechizmie, z załączeniem wypisów biblijnych w pytaniach i odpowiedziach, z niemieckiego na język polski przełożona. Gdańsk, 1851. W drukarni Wedelskiej. W komisie księgarza B. Kabusa. Ska, str. 164.

Znany autor Słownika polsko-niemieckiego ks. Mrongowius kaznodzieja przy kościele świętej Anny w Gdańsku, pomimo późnego i sędziwego wieku, wierny swemu powołaniu, nietylko słowy, ale i piórem coraz nowe zasługi kładzie, w utrzymywaniu i rozszerzaniu języka polskiego. W Królewcu w drukarni *Hartunga*, wydał niedawno *Postyllę kościelną i domową*, to jest zbiór kazań podwójnych, gdzie indziej i potrójnych na niedziele i święta uroczyste całego roku, z najlepszych mowców niemieckich na język polski przełożoną; w roku zaś bieżącym dziełko do powszechnego użycia ludowego, z napisem, któryśmy na czele przywiedli. Druk całkowicie jest gocki, dla ułatwienia czytającym, nawykłym do tego kształtu liter.

P. Mrongowius w przedmowie mówi:

„Zdawna nauczyciele religii w różnych wyznaniach chodzili koło wykładu nauki chrześcijańskiej, a tak i nasz autor (pan Dreuttel) chciał się tém dziełkiem nam przysłużyć. Ponieważ jego wierna praca w Niemczech z pochwałą przyjęta była, więc to było powodem do przekładu polskiego, w zaufaniu, że się w téj mierze niejednemu dogodzi. W dodatku umieszczone dziesięcioro przykazań Bożych i kilka pieśni duchownych.”

Cały wykład ułożony w pytaniach i odpowiedziach, odznacza się jasnością, prostym a pięknym językiem, i pisownią bezbłędną.

Nowy przekład siedmiu pieśni duchownych (*na nowo*, jak wyraża p. Mrongowius *spolszczonych*), ma wszystkie zalety dobrego tłumaczenia, bo przy prostocie wyrażen, moc i jasność języka naszego.

K.

Kilka słów z powodu recenzji IIgo tomiku Przekładów poetów polsko-lacińskich, przez p. Lisowskiego, umieszczonej w Bibliotece Warszawskiej na r. 1851. (Miesiąc marzec, str. 576 i nast.).

Wołamy na potrzebę krytyki, oceniamy jej ważność i dla autora, i dla dzieła, i dla czytającej publiczności, a z kądże pochodzi, iż tak niewiele posiadamy sprawozdań literackich odpowiadających swojemu celowi? Oto, mówmy śmiało, nasze wyobrażenia o świętości krytyki niedosyć są wznioste: mało kto z godnością krytykuje, mało kto z godnością umie przyjąć krytykę. Recenzje u nas są najpospolicięj pedanckie, zimne, dowcipne kosztem dzieła lub autora, słowem — zaczepne; autorowie zaś, lud drażliwy z natury, rozjątrzony niewłaściwym tonem krytyki, urażają się, odstrzeliwają dowcipem za dowcip, dają osobistej niechęci przystęp do serca: i owo zamiast żywotnych korzyści, jakich sprawa literatury ma prawo oczekiwać od krytyki, ta ostatnia staje się rękawicą wyzwania. Na papierowej scenie pism peryodycznych występują dwaj szermierze uzbrojeni w ostre, żółcią napojone pióra, i rozpoczynają walkę; publiczność zaproszona na świadka, z uśmiechem, czasem ze zgorzaniem przygląda się bojom; zapaśnicy walczą aż nim wymaganiami honoru obojędz strony stanie się zadłosyć, a odchodząc z przechwałkami, obiecują sobie pozostać i nadal w swych *niepoprawionych grzechach*.

Podobne zapasy tak są pospolite, tak nienowe (1), tak mało budujące, że nie mamy wcale ochoty występować w szranki; owszem, pochlebiamy sobie, że spór nasz z szanownym recenzentem *Przekładów poetów polsko-lacińskich* zakończymy w sposób godniejszy, i stron obu, i publiczności, która jest naszym świadkiem. Szlachetnie wyznajmy co nas boli, niech szan. recenzent osądzi czy mamy słusność, potem zapomnimy co było, i z miłością prawdy, bez gniewu, pójdziemy dalej drogą prac naszych.

Oto naprzód, bolą nas rzeczy *nienależące do sprawy*, które p. Lisowskiemu podobało się zamieścić w swojej recenzji IIgo tomu. Kiedyśmy w Tygodniku, odpowiadając na jego pierwszą recenzją, zakończyli nasz artykuł prośbą, aby p. Lisowski jako znający rzecz i sumienny krytyk, zechciał i nadal być naszym sprawozdawcą: to nie zasłużyliśmy na tak dziwny docinek, jaki czytamy w drugiej recenzji: „Jeżeli wreszcie nasz rozbiór zawierał jakowe pochwały, to szan. tłumacz niesłusznie

(1) Redakcja Biblioteki wszakże nie zna i nie znała dotąd podobnych.
Przyp. Red.

przymawiał się o dalsze sprawozdanie z jego przekładów, bo to niby jakby żądał podobnych pochwał.” Najuroczyściej oświadczamy, że nie pragniemy *pochwał dla pochwał*, bo nie myślimy jeszcze spoczywać na naszych laurach, ale wciąż idąc drogą naszego zawodu, potrzebujemy oceny, porady, sądu od znawców, aby wiedzieć czy się trafnie idzie, czy, i gdzie się zboczyło. O to prosiliśmy u recenzenta, nie dla siebie, ale dla dobra naszego dzieła; w tém znaczeniu potrzebowaliśmy krytyki, to jest *pochwały i nagany*, bo te obie rzeczy są zarówno pożądane dla nas, bośmy nie doszli do téj zarozumiałości aby rzec: że nie dbamy o jedną i drugą, bośmy wierzyli w korzyści jakie autor z krytyki odnosi, i wierzyli w wyższy pogląd na rzeczy, w trafność sądu p. Lisowskiego. Za cóż szanowny recenzent pojął nas w sposób tak pospolity? Czyż prosić o krytykę znaczy dmuchać w trybularz wonnego kadzenia, aby nasze nerwy słodziej swym dymkiem polechtał? czy p. Lisowski nie wierzy, że można pożądać krytyki dla czegoś więcej, jak dla dziecinnéj pochwały? czy nie wierzy w wyższe względy pisarskiego zawodu, i w wyższe znaczenie swych własnych krytycznych rozpraw?

Drugie miejsce, które z przykrością odczytaliśmy w recenzji, jestto owo zapytanie na końcu artykułu (str. 588 i 589), „kto jest właściwie pan Syrokomla? czy rzeczywiście tak się nazywa, czy téż to tylko miano przybrane; i jeżeli tak jest, to w jakim celu?”—Jak gdyby nazwisko autora wpływało coś na wartość książki, albo na większą lub mniejszą dozę pochwał; jakich krytyka ma udzielić?

Rzecz tedy o pochwałach, o pseudonymach, o naszej herbownéj tarczy, i o tarczy Rawitów czy Rawiczów, uważamy za przedmiot wyzerpany; przystąpmy do istotnéj części recenzji p. Lisowskiego, t. j. do przeglądu II tomiku *Przekładów*. (Rymy łacińskie Jana Kochanowskiego). Tu się zgadzamy z recenzentem na wszystkie wytknięte nam błędy w tłumaczeniu; za pochwały dziękujemy grzecznie, ale ostrożnie, aby nas nie posądzono, że się o nowe nienasycenie dopraszamy. Przytoczmy tylko, co mamy powiedzieć gdzieniegdzie na nasze usprawiedliwienie; i tak:

1) Sam recenzent wyznaje, żeśmy nie dali powodu do obawy, iż użyjemy straszliwie przestarzałych archaizmów: *jątrew, jakmiarz, szybal* i t. d.; na cóż więc ten przypisek ostrzegający zawczasu (str. 577)?

2) Nie tłumaczyliśmy fraszki łacińskiej pod napisem *Votum*, bo ją sam Kochanowski pięknie i prawie dosłownie przełożył. Recenzentowi musi być znajomy ów polski wiersz Kochanowskiego:

„Jam nigdy nie dbał o złoto,
Alem zawsze prosił o to,

Aby kufel stał przedemną,
I przyjaciel pijał ze mną." i t. d.

3) W edycyi łacińskiej *Fraszek* (u Łazarza 1584.) z której dokonaliśmy nasz przekład, pod liczbą odpowiadającą naszej 44tej wyraźnie stoi *ad Candidulum*, nie zaś *ad Aurelium*. Recenzent musiał mieć pod ręką inne wydanie.

4) Wyrazów: *sumioty*, *nożny* (zamiast nożyce), *krasować*, nie uważaliśmy za niezrozumiałe prowincjonalizmy. Wyraz *nie jużto*, jako oddający zapytanie razem z powątpiewaniem, uważaliśmy za lepszy od książkowego *czyliż?*, bo w ogólności mamy wstręt do interrogacyj książkowych *czyli*, *ażali*, i t. p. i wtedy ich tylko zwykliśmy używać, kiedy nieudolność nie pozwalała nam znaleźć wyrazu naturalniejszego. Z tych wszelako grzechów obiecujemy poprawę.

Nakoniec aby uzupełnić recenzją przekładu Kochanowskiego dodajmy to, czego p. Lisowski nie mając pod ręką oryginału łacińskiego nie mógł uczynić, a mianowicie, że *Epinikion* tak jakśmy go przełożyli, nie zgadza się co do miary wiersza z pierwowotwem. U Kochanowskiego jest wiersz krótki, zastosowany do muzyki, i lekki; u nas długi i monotony tak dalece, że Stefan Batory po tylu wojennych znojach snadź twar-doby usnął, gdyby mu Klabonus wyśpiewał przy lutni choć połowę w naszym przekładzie *Epinikionu*, składającego się z 73 strof, a 876ciu dwunastozgłoskowych wierszy.

Kończymy naszą odpowiedź, tusząc, że szanowny recenzent za złe nam jój nie poczyta, a dalsze sprawozdania dopełni w tonie przyzwoitszym wysokiemu powołaniu krytyki.

D. 13 czerwca, 1851.

Wł. Syrokomla.



ROZMAITOŚCI.

O dawném województwie sieradzkim.

(Ciąg dalszy).

Okolo Zielonych Świątek, To najlepszy wziętek—

przywodzą gospodarze, gdyż kto ma jeszcze zapasy zboża, albo inwentarze zbywające od roli, takowe w czasie przednowku najkorzystniej spieniężyć może, albowiem teraz już żadnej o paszę nie masz trudności. Uroczystość Bożego Ciała wyprowadza liczną processyą z kościoła na wieś lub na dziedziniec dworski, gdzie zwykle przy czterech ołtarzach, na cztery strony świata świeżo wystawionych, miejscowy kapłan przez kollatora prowadzony, przy pomocy jakiego zakonnika z blizkiego klasztoru przybyłego, obrządku religijnego dopełnia; w czasie zaś oktawy, nabożni właściciele idąc za śladem swych przodków, sprowadzają do siebie proboszcza, uwite wianki rozwożą wraz z księdzem po wszystkich granic swoich narożnikach; a poświęcone wraz z czterema ewangeliami, na czterech odrębnych kartkach pisanemi, tamże zakopują, w przekonaniu religijném, iż przez ciąg roku bieżącego, wolni będą od gradobicia. W wigilią św. Jana Chrzciciela nie widać śladu dawnych sobótek, czyli skakania przez ogień z tańcami, lecz pozostał jeszcze u ludu ten zabobon tradycyjny, iż kto jest śmiały i życia nienaganego, niech się uda samotnie przed północą do lasu, rozpostrze klęcząc i modląc się chustkę pod paprocią, a o samój północy kwiat odpadnie na chustkę. Z nim niech spieszy do domu, nie zważając na wszelkie poza nim krzy-

ki, zjawiska biesów w różnych postaciach, i na loskot obalających się sosen; kto się odwróci, łeb będzie miał ukrecony, kto zaś wszystko w modlitwie przetrwa, odkryje za pomocą kwiatu opadłego skarby w ziemi ukryte, i we wszystko przy szczęściu obfitować będzie. Figury św. Jana Chrzciciela przystrajają wieczorem dnia tego w kwiaty i wieńce, nucąc przy tychże nabożne pienia. W sam dzień św. Jana, chodzą jeszcze przed wschodem słońca kąpać się, ażeby uchronić się nazawsze, lub przynajmniej na ten rok od wrzodów, i tym podobnych wyrzutów lub świerzbu. Jeżeli w tym dniu deszcz pada, przez 40 dni następnych padać musi, chociażby tylko jak rosa.

Święty Jan
Krećijan.

brzmi w ustach wielu, gdyż dzień ten bywa zwykle terminem ruchu powszechnego: jednych na transakcyje do miast grodowych, innych dla objęcia dóbr nowo zakupionych lub w dzierżawę wziętych, albo dla przeprowadzania się z miejsca na miejsce obywateli lub ekonomów; dlatego też w czasie takowym najwięcej fur sprzęty domowe przewożących na prowincyi spotykać można, aż do dwóch tygodni, jako czasu do tak zwanój rumacyi (przenoszenia się) używalnie dozwolonego. Osoby staroświeckie szukają bacznie w kalendarzu, czy świętego Marka nie przypada w dzień Wielkiénocy albo św. Antoniego w Zielone Świątki, lub św. Jana razem z Bożém Ciałem; a gdy to dostrzegą, żałośnie się odzywają:

Dum Marcus pascham dabit, Et Johannes in corpore stabit,
Antonius pentecostabit, Totus mundus veh! clamabit.

W wigilią św. Piotra i Pawła, sadzą skrzętne gospodynie brukiew, ażeby takowa słodką i miękką była.

Dzień Nawiedzenia Najświętszój Panny Maryi (2 lipca), nasi przodkowie co do pogody uważali: gdy deszcz w nim się pokazał, przez 40 dni takowego się spodziewali według przepowiedni:

Si pluit in Visita,
Pluet quadraginta.

Nadejście św. Jakóba radością młodzież napełniało, z których jedni powtarzali:

Na święty Jakób
Grochu naskub;

a drudzy po mozolnych naukach wzdychali:

Święty Jakób
Ze szkół wykup.

Na co ostatnim odpowiadano:

Hodie bisones,
Cras vacationes.

Jakoż na św. Jakób był początek wakacyj, trwających do św. Idziego; formalne zaś nauki rozpoczynano ze świętym Michałem, z kąd urosły przysłowia:

Święty Idzi
Do szkół pędzi.

Święty Michał
Do szkół wypychał.

W sierpniu, dzień Przemienienia Pańskiego w bardzo wielu miejscach święcą, wstrzymując się do południa przynajmniej od cięższych gospodarczych robót; w wigilią zaś św. Wawrzyńca otwierają ule, w których skoro pszczoły miodu podrobiły, wyrzynają im po kilka plastrów. Na Wniebowzięcie N. P. Maryi, czyli na Matkę Boską Zielną, kobiety ze wsi zbierają rozliczne zioła, część takowych do dworu przynosząc, resztę biorą z sobą do kościoła, a poświęcone, starannie zachowują do kąpieli, lub do nakadzania krów w czasie cielenia się, ażeby im dużo mléka dawały; z czego niekiedy wypadki pożarów bywały. Jeżeli w tym dniu deszcz pada, wtedy gospodarze ciągle sobie deszcze aż do Narodzenia Matki Boskiej wróżą.

Kiedy w polu resztę oziminy zerzną, natenczas przodownica, która w ciągu żniwa całego żniwiarzom w pracy przewodniczyła, przystrojona w wieniec z orzechów laskowych, żyta i pszenicy uwity, zbliża się na czele gromady do dworu, i doręcza tenże przy śpiewie chóralnym swemu panu. Ten czyniąc jój zaszczyt, wyprowadza ją w pierwszą parę do tańca, gospodyni domu tańczy z przodownikiem, panicze jeżeli są w domu idą w ślad za nią, a w końcu lud kręci się obertasa przy odgłosie muzyki, lichego skrzypka z sobą przywiedzionego. Włodarz lub karbowy częstuje gromadę piwem i wódką, przez dwór na wyrzynkę (okrężne) wystawionemi, a pozostałą resztę biorą z sobą do karczmy, i tam sami huicznie i ochoczko się bawią. W wigilią ścięcia św. Jana, starzy rolnicy muszą koniecznie, chociażby tylko parę wierteli zasiać żyta, ażeby całoroczne grady od pola swego odwrócić; zwolennicy zaś rybołówstwa, wyrzynają sierpami po stawach lub sadzawkach gęstą trzcinę pod wodą, tak, ażeby ponad wodą żadnego jój śladu nie zostało, w tém mocném przekonaniu, iż ona sama przez się wyginie i nie będzie im stała na zawadzie, gdy im ryby łowić wypadnie.

Na święty krzyż,
Owce strzyż,

odzywa się właściciel folwarku do owczarza, i wszelkie ku temu przygotowania czyni.—Osoby myśliwe nie czekając dnia św. Bartłomieja, śledzą

po owsach farbówek, lub po kartofflach marczaków, nie przepuszczając nawet wrześniakom (1). Odgłos trąbki pojednego rozlega się po lasach, ogary gnają za tropem kota, lisa lub sarny, gdy tymczasem gospodarze rolni zajęci są sprzętem reszty jarzyny, gospodyni zaś moczeniem lnu, jego suszeniem i łamaniem.—Za nadejściem św. Jadwigi, tylko kapusty, brukwie i rzepy na polu znajdować się powinny, co weszło w przysłowie:

Na święty Łukasz,
Czego po polu szukasz?

Na co św. Jadwiga odpowiada: rzepy. Lecz i z tych zbiorem pospieszają, w obawie śniegów lub mrozów, na świętych Szymona i Judy oczekiwanych.

W Dzień Zaduszny wszyscy dążą do kościoła, podają z imion i nazwisk zmarłych swoich krewnych, dobrodziejów, przyjaciół i znajomych organięcie, który od każdej zapisanej osoby po 3 grosze przyjąwszy, kartę proboszczowi doręcza, a ten wznosi za nimi wspólnie z korzącym się ludem modły do Stwórcy. Następnie lud wiejski i miejski nawet, tamten w karczmach, a ten po szynkach topi do późnej nocy, swe smutki w anyżówce tak, iż częstokroć z guzami, siniakami i oczami podbitymi do domu powraca. W nocy przed samemi Zaduszkami, utrzymują, iż dusze w czyściu gorejące, zbierają się po kościołach, nabożeństwa przykładowie słuchają, i processyje, nie każdemu widzialne, po ementarzu odbywają: dlatego więc niektóre osoby w jak najlepszej objawiają wierze, iż o północy słyszały odgłos dzwonów, a nawet kościół rześisto oświetlony widziały.

Św. Marcin na białym koniu przyjedzie,

mówią rolnicy, śniegu w tym czasie się spodziewając; a gęsi stadami w dniu owym śmierć ponoszą, z których kości piersiowych biegli prognostycy, powietrze zimy nadchodzącej przepowiadają.

Zbliża się adwent, przez ciąg którego, według religijnych przepisów, zaślubiać się nie jest dozwolone. Młodzież ciekawa przyszłości, pragnie dociec swoich przeznaczeń; i tak: młodzieńcy w wigilią św. Katarzyny, dziewczęta zaś w wigilią św. Andrzeja, bacznie na sny uważają, kładą kartki różnoimienne co do osób pod poduszki, albo otów roztopiony na zimną wodę wylewają; z wyciągniętego zaś losiem imienia lub kształtu utworu z ołowiu, wnioskują o swych narzeczonych. Obok tego, w wigilią św. Andrzeja dziewczęta chciwie wiadomości, która z nich najprzód się wyda, składają każda po jednym trzewiku; trzewiki te od

(1) Farbówki sąto kuropatwy młode, kolor ceglasty już przybierające; a zaś marczakami i wrześniakami nazywają myślwi zające, w miesiącach marcu lub wrzeźniu uplęzone.

ściany drzwiom do sieni przeciwległej, kładą na podszwie, czubkami do drzwi w linii prostej, jeden za drugim, a gdy ich braknie, ostatni z tyłu naprzód umieszczając; który z nich pierwszy za próg dosięgnie, właścicielka jego naprzód za mąż pójdzie, a następnie porządkiem wychodzących trzewików. Pod względem zakazania małżeństw, dochowały się nam przysłowia:

Święta Katarzyna śmiechem,
 Święty Andrzej grzechem.
 Albo: Święta Katarzyna zawiązuje,
 Święty Andrzej zakazuje,

gdyż św. Andrzej adwent rozpoczyna.

W adwenta
 Same posty i święta,

niesie przysłowie; w tym czasie bowiem, oprócz piątków i sobót, wstrzymują się od pokarmów mięsnych, a niekiedy i maślanych nie tylko we środy, lecz nawet i w wigilie do świąt Matki Boskiej, a nadewszystko w przypadające podczas adwentu suchedni. Po kościołach odprawiają przededniem nabożeństwa, roratami, od wyrazu łacińskiego, początkującego *rorate*, nazwane; a ile świec przed ołtarzem jest zaświeconych, tyle tygodni karnawału przyszłego lud przepowiada:

O dniu świętej Barbary, mówią:

Gdy na świętą Barbarę mróz,
 Sanie chłopie na górę włóż,
 A szukaj dobry wóz;

co znaczy, iż zima nadchodząca będzie mało śnieżną, lecz natomiast mroźną.

Na święty Toma
 Gody doma (w domu):

powtarza sobie lud wiejski, za kilka dni bowiem następuje Boże Narodzenie, w czasie którego gospodarze rolni czeladź odmieniają i rocznie się godzą pod względem przyodziewku, przysiewku i myta (zasług).

W wigilią Bożego Narodzenia, przed świtaniem, matki wiążą dzieciom w serwety strucleki, pierniki, jabłka, orzechy, elementarz, rozliczne zabawki i potężną różgę, które im śpiącym ostrożnie pod poduszki podkładają, a z rana się zapytują, co im dzieciątko Jezus przyniosło; zachęcając je do grzeczności z groźbą: „bo na wilią, dzieci biją.” Przez wigilią post ścisły zachowują: stan niższy na oleju, wyższy zaś na oliwie. W dniu tym według dawnego zwyczaju po wsiach, mierzwę od wszelkiego inwentarza, chociażby nawet w niewielkiej ilości koniecznie wyrzucać muszą. Gospodarz zwołuje czeladź, łamie się z takową po kolei opłatkami białymi, kolorowe na pieczętowanie listów zachowuje, a przyrządzone z rutą, bydlu spożywać daje; z rodziną zaś raczy się struclami z mio-

dem, z powidłami i śledziem. Dzień ten pod względem pomyślności lub przygód, jest przepowiednią na cały rok przyszły: dlatego myśliwi próbują w nim szczęścia, radośni, jeżeli im w nocy śnieg poproszył, że za ponową łatwo zwierzę poszlakować zdołają; złodzieje wszelkich używają forteli, by tajemnie i zręcznie cudzą sobie własność przyswoić; rybacy sieciami w tonię pod lód zapuszczonemi, *chochłują* (posuwają) widelkami tyki, z sznurami do nich przywiązanemi od przerebła do przerebła w półkole, a po wyciągnięciu sieci z drugiej toni, z komolcami do kupy zebranemi niecierpliwie skutku połowu w matni upatrują; szulery wietrzą fryców, by ich na dyskę, figurę lub dwójkę pociągnąć można. Wieczorem o gwiazdzie na niebie, a przy świecach na stole zastawiają potrawy, pod stołem zaś siano i słomę mieszczą, strzegąc pilnie, by 13 osób nie zasiadało razem, boby jedna z nich w ciągu roku umarła. Zwykłemi potrawami corocznie przynajmniej w liczbie 9, w stanie wyższym używanemi są: zupa migdałowa, kluseczki z sosem, karp' na szaro, szczupak z szafranem, andróty z makiem albo kluski z miodem i makiem, suszone gruszki i śliwki gotowane, grzybki suche na oleju smażone, groch biały i karaski w oleju tretowane (smażone) z kapustą. Lud wiejski kontentuje się siemieniuchą, tojest: zupą z siemienia konopnego, kaszą jaglaną, kapustą z grzybkami, kluskami z makiem, i grzybami w oleju smażonemi.

W sam dzień Bożego Narodzenia, przed świtaniem wybierają się do kościoła na pasterkę, gdzie organista nuci do organów pieśni kantyckowe o narodzeniu Pańskim, a chłopcy na chórze przywtarzają mu niekiedy naśladowaniem słowika lub kanarka, piszczałką glinianą w wodzie zanurzoną. Gospodarz po powrocie z nabożeństwa do domu, udawał się do pszczolnika (pasieki), a pukając do każdego ula, wymawiał słowa: Chrystus Pan się narodził; następnie po świętach, słomą zpod stołu od wigilii obwiązywał na pęk każde z drzewek rodzajnych w sadzie. Synowie ze szkół na święta przybyli, na środek wystąpiwszy, deklamowali rodzicom oracye, przez dyrektorów (*directores*) ich ułożone, z powinszowaniem świąt, i różnemi życzeniami.

W drugie święto, rolnicy zaopatrzeni owsem po kieszeniach, rzucali nim po dokonaniem nabożeństwa na kapłana, jako pamiątkę rzucania kamieniami na św. Szczepana, pierwszego męczennika za wiarę chrześcijańską. Czeladź wiejska w dniu tymże swobodna, powtarzała:

Na święty Szczepan,
Każdy sobie pan,

gdyż służbę dawną zakończywszy, na nową się wybierała, a gospodarze

przywodzili, iż w ten dzień czeladź drogą chodzi, oni zaś ścieszkami tylko, bo ich sobie upatrywać i przynęcać muszą.

Starzy rolnicy, lubiący prognostyki, zapisują od dnia 13 grudnia, czyli od świętej Łucyi począwszy włącznie, każdego dnia pogodę, i to wciąż przez dni 12, aż do Bożego Narodzenia czynią, naznaczając takiż sam stan każdemu z dwunastu miesięcy następnego roku; np. gdy przez cały 13 grudzień jest mróz, cały styczeń będzie mroźny, a gdy w wigilią (24 grudnia) śnieg pada, wtedy cały grudzień roku przyszłego śnieżny przepowiadają. Takież same obserwacje powtarzają od Bożego Narodzenia przez dni 12, aż do święta Trzech Króli, w przekonaniu, iż jaki stan powietrza jest w dniu 25 grudnia, taki sam będzie przez cały nadchodzący miesiąc styczeń, a jaki jest w dniu 5 stycznia, taki sam będzie w miesiącu grudniu.

Od Bożego Narodzenia aż do zapust, proboszcz w towarzystwie organisty objeżdżał wsie do parafii jego należące, po kołędzie. Przybywszy do dworu, zasiadał w komży na stołku, błogosławił lud zebrany, który na odgłos dzwonka na kolana padał; słuchał dzieci i czeladzi katechizmu, a umiejętnym rozdawał obrazki. Po wydaleniu się parocha ze dworu lub chaty wiejskiej, dziewczęta ubiegały się do stołka po kapłanie, a która z nich pierwsza na nim usiadła, okrzyczano ją, iż w ten rok jeszcze się wyda (za mąż pójdzie). W tymże samym czasie po miastach i miasteczkach chodzą chłopcy wieczorem, śpiewając pieśni kantyczkowe z szopkami, wewnątrz oświetlonemi w kształcie gwiazdy lub stajenki, z wyobrażeniem Dzieciątka w żłobie, z osłem i wołem, tudzież z ruchomemi maryonetkami, pomiędzy którymi zwykle król Herod, śmierć, żyd, djabeł, czarownica i huzar główne role grają. W sam zaś dzień Nowego Roku, chłopcy około dziesięcioletni (niegdyś pauprami zwani), zwiedzają domy z powinszowaniami i oracyami, z których tutaj jedną dosłownie przytaczam:

Winszuję państwu
 Doczekanego Nowego Roku,
 Zdrowia, szczęścia, fortuny
 I w niebie korony.
 Ja mały żaczek,
 Jako robaczek,
 Niewiele umiem,
 To państwu powiem;
 Powiedziałbym więcej,
 Lecz nie mam pamięci.
 W szkole nie bywałem,

Różgi nie widziałem,
 A różga zielona
 Z drzewa wylamana.
 Malutkie dziatki,
 Zbierają kwiatki,
 Po drodze rzucają,
 Jezusa witają.
 Ach mój Jezu drogi!
 Ja Tobie pod nogi,
 Rączkę podnoszę,
 O kołędę proszę.

Wykazawszy mniej więcej docieczone zwyczaje, przesady i zabobony w ciągu każdego roku peryodycznie w byłym województwie sieradzkim napotykanę, przejdźmy do innych, w rozmaitych okolicznościach i przy różnych zdarzeniach się pojawiających, a nasamprzód pomówmy o urodzinach, ślubach i pogrzebach. W domach staroświeckich, akuszerki doktorkami mianowane, dopełniają swoich obowiązków pilnując osoby choręj, przy oknach zasłoniętych; ilekroć zaś mężczyzna, familią lub przyjaźnią spowodowany, położnicę odwiedzi, a doktorki datkiem jakowym nie opatrzy, takowa stara się wszelkimi sposobami dostać jego czapki, i onęż mu przechowuje. Szukanie czapki przy pożegnaniu wywołuje żarty, rumieniec, i pożądany skutek sprawia. Kobiety wiejskie używają za doktorkę jedną z pomiędzy siebie praktycznie usposobionęj, na których w żadnej prawie wsi nie zbywa. Niemowlę bierze matka z sobą w pole, wkłada w płachtę, zawiesza u dwóch gałęzi gruszeki polnęj a sama mało o krzyk jego dbając, pracy się oddaje; w karczmie i dziecię gorzalki konieczne skosztować musi.

Kiedy zamęzcie w wyższym stanie jest udecydowane, i zaręczyny już nastąpiły, wtedy narzeczony składa podarunek swojej oblubienicy, a matka jego dziękuje rodzicom za przyrzeczenie. W dzień obrzędu zbiera się licznie familia, przyjaciele i zaproszeni sąsiedzi. Pan-młody wszystkie suknie musi mieć na sobie nowe, jak mówią z igły zdjęte; broń Boże, gdyby coś przy nim czarnego dostrzeżono koloru, boby to smutek oznaczało w pożyciu. Oblubienica w białej atlasowęj z powłoką (ogon) sukni, z wiankiem na głowie z mirtu i rozmarynu uwitym, i welonem czyli woalką białą długo spuszczoną, opatrywaną zwykle bywa przez matkę lub opiekunkę w monetę złotą i kawałek chleba, oraz cukru, by takowe jęj przez ciąg pożycia w małżeństwie nieodstępniemi były; podobnie i narzeczony. Druchny przypinają młodzieży po gałązce mirtu i rozmarynu, białemi wstążeczkami w kokardę związanych. Na kobiercu wpośrodku pokoju rozpostartym padają narzeczeni do nóg ojcom i matkom swoim, a błogosławieństwo tychże i łzy, czują ceremonią w domu zakończają. Panna-młoda w towarzystwie matki i z druchnami wyjeżdża piérwszym powozem do kościoła, za nimi pospiesza oblubieniec z swą matką własnym ekwipażem, a następnie łańcuch powozów, bryk brodzkich i bryczek pomniejszych. W kościele, po odbytej poprzednio spowiedzi, postępuje narzeczona wśród dwóch družbów, a oblubieniec pomiędzy druchnami na rozłożony przed wielkim oltarzem kobierzec; tu słuchają, klęcząc obok siebie, całego nabożeństwa, a matka narzeczonego składa na oltarzu dwie obrączki złote, przez niego dostarczone. Po nabożeństwie zbliżają się do stopni oltarza; oblubienica z matron na-

mowy, upuszcza rękawiczkę lub chustkę, do której podniesienia narzeczonego skłaniają w duchu, ażeby jój na przyszłość był uległym; nikomu zaś z obcych podnieść jój niewolno. Następuje przemowa kapłana, ślub, i huczny odgłos organów lub muzyki towarzyszy śpiewowi: *Veni Creator...* Oblubienica prowadzona pod rękę przez statecznych mężów, a narzeczoney, postępując wśród dwóch matron, wsiadają razem do powozu pana-młodego, i na czele pojazdów spieszą ku domowi. Wszelki wypadek w ciągu drogi, nawet co do drobnych szczegółów pilnie obserwowany bywa, i z niego zaraz o przyszłym wniosku pożytku; a kiedy dęszc się opuści, oplakane będzie ich życie. W domu następują powinszowania, obiad, usadowienia państwa-młodych na pierwszym miejscu obok siebie, i ścisłe matron dostrzeganie, ażeby pan-młody wina pod miarę używał. Po obiedzie, przy blasku sabatników i kandelabrow zwykle się kończącym, huczna muzyka i rzeźkie tańce przerywane zostają trzaskiem z biczów przed dworem zebranych stangretów, których ofiara pieniężna, ze strony pana-młodego udzielona, do karczmy przenosi. W pokoju sypialnym dla państwa młodych przeznaczonym, łóżnicą zwanym, młody małżonek w późną noc przyrządza kosztem swoim cukrową kolacją; torty w piramidy z cyframi nowożeńców poustawiane, rozliczne gatunki cukrów, bombenków (karmelków) i ciast rozkłada cukiernik symetrycznie po blatach i farfurkach (talerzach), a stary Węgrzyn w zgodzie z Malagami i Francuzami, w baterye na bocznych stołach ustawiony, oczekuje swego przeznaczenia. Wtém sędziwy obywatel wyprowadza młodą małżonkę do poloneza, w ślad za nim idzie towarzystwo całe, sala się wypróżnia, a w mgnieniu oka wszelkie siedzenia uboczne w sypialni płeć piękna zajmuje. Tutaj dopiero pan-młody i jego familia czynnemi się okazują: sypią się cukry paniom obficie na łona, tokaj z malagą się krzyżują, a zapleśniałe gąsiorki szybką kolejką za zdrowie i pomyślność państwa-młodych w kulawkę (puhar bez nogi) lub w bót z ostrogą (kształt puhara) przelewane, z oczu znikają. Po nastąpieniem oczepieniu goście wracają do sali, państwa zaś młodych samych dalszemu zostawiają przeznaczeniu. Nazajutrz zsiwiałe matrony i łysi żonkosie żarcikami młodożeńców do grona swego przyjmują, a przyjaciele i znajomi za pierwszym widzeniem się witają ich kosmato, przez połę od szaty.

W stanie wiejskim swat, przezwany družbą lub starostą, udaje się do rodziców panny-młodej z flachą wódki w kieszeni; córka za piec się chowa, a gdy przyjmie kieliszek wódką napełniony, interes za skończony się uważa, i to nazywają zmwiniem. W wigilię ślubu młodziany (po naszymu družby) w świąteczne szaty przyodziani, chustkami przez ramię przepasani, w towarzystwie družby, białym ręcznikiem, na wzór rańtucha

przepasanego, z kapłonem pod pachą na podarunek i pałkami w rękę, przybywają do dworu, prosząc pana miejscowego o zezwolenie na ślub tudzież o dziewczki dworskie na obchód weselny; zaprosiny zaś na sam obrządek tak brzmią:

Nawiedzają nasze nogi
Przed wasze progi.
Jesteśmy tu zesłani
Od Pana Boga,
Od pana ojca,
Od pani matki,
Od pana-młodego,
Od panny-młodej;
Prosimy na war piwa,
Na pieczywo chleba,
Co nam go potrzeba;
Na kieliszek wódki,
Bo mamy czas krótki;
Na wołu tucznego,

Na wieprza karmnego,
Miotłą porażonego;
Na parę kuropatw,
Żeby pan-młody panny-młodej dopadł;
Na parę łabędzi,
Nie te, co po polu latają,
Ale co pod dachem siadają;
Byście nami nie gardzili,
Do stołu małżeńskiego doprowadzili.
A wy druchunki
Spódniczki fałdujcie,
Pończoszki maglujcie,
Młodemu panu, młoděj pannie
Wstydu nie zadajcie.

W sam dzień ślubu z rana przybywa panna-młoda w towarzystwie szwachy i druchnów, młoduchami zwanych, do dworu. Pani miejscowa lub córki jój dorosłe stroją głowę narzeczoněj, przypinając jój mnóstwo wstążek różnokolorowych i świecidełek, a na sam wierzch koronę błyszczącą; młoduchom upinają na głowy staroświeckie czolénka czarne aksamitne, wstążkami jasnych kolorów ubarwione. Wkrótce nadchodzi po nie towarzystwo weselne z muzyką, z skrzypców i basetli złożoną, a uraczeni anyżówką, powracają wszyscy na wieś, by do kościoła wyruszyć. Na czele wesela jadą konno, batami opatrzeni, młodzianie, za nimi wóz czterokonny z panną-młodą, młoduchami i mnóstwem kobiet z muzyką; następują inne z kobietami i wieśniakami. Muzyce wtórują kobiety śpiewami i klaskaniem w ręce. Wszystko, powozu nie wyjąwszy z drogi ustępować im musi, chcąc zatargów uniknąć, bo inaczej małżeństwu na przyszłość niedobrzeby się wiodło. Po ślubie następuje uczta, kosztem rodziców panny-młodej wyprawiona, a po niej tańce w karczmie. Nazajutrz każdy z gości przynosi w podarunku gęś, prosię, kurę, kapłona, kaszy, mąki, słoniny, soli, wódki, co kto może; wznawia się uczta wspólna, w dniu trzecim dopiero zakończona. Jeżeli proboszcz, dla zaszłėj jakowej religijnėj przeszkody ślubu odmówi, odbywają mimo tego wesele, porządkiem powyższym oczepiny, łożnicę, i państwo młodzi bez żadnego skrupułu z sobą mieszkają; w czasie atoli oznaczonym do ślubu przybywają. Małżeństwa u włościan, pomimo częstych bijatyk pomiędzy sobą, żyją w zaprzysiężonėj wierności w społeczeństwie aż do śmierci.

Przejdźmy z kolei do obrzędów i zwyczajów pogrzebowych. W stanie wyższym osoba zmarła, obmyta, ubieraną bywa w szaty najwspanialsze, panny zaś w suknie jak do ślubu. W pokoju pierwszym na marach dywanami okrytych, w trumnie kosztownej leżą zwłoki, obstawione świecami jarzącymi i lampami, z rękoma złożonemi, w których obrazek jaki, lub ukrzyżowanego Chrystusa zamieszczają. Ubodzy licznie zebrani, dzień i noc ciała pilnują, każdą mirą lub bursztynem i pieśni nabożne śpiewają. Sąsiedztwo odwiedza zwłoki nieboszczyka, modląc się kłęczący przy trumnie za jego duszę. W dzień drugi lub trzeci po zaszłej śmierci zjeżdżają się przyjaciele, sąsiedzi i kapłani pod wieczór na exportacyą: zaprzężona czwórka z przyrządzoną na wzór karawanu pod kobiercami bryką zajeżdża, konia każdego trzyma przy wędzidłach włościanin, by dla blasku światła i odgłosu śpiewów i muzyki się nie rzuciły. Po wyniesieniu trumny i postawieniu jej na krzeselkach przed dworem, zamówiony kapłan żegna w przemowie, exortą zwaną, familią, przyjaciół, czeladź i włościan, a następnie cały kondukt przy świetle pochodni, świec woskowych, żółtych u bractwa, a jarzących w ręku familii i gości, wyrusza z miejsca ku kościołowi. Po drodze palą się w kilku miejscach porozstawiane beczki od smoły. Dawniej kapłan eksportujący, w kapę przybrany, siedział, jak niesie tradycya na trumnie, żalobnie nucąc pienia; teraz duchowni postępują przed trumną, za nią grono osób ostatnią posługę zmarłemu oddających, a w końcu szereg próżnych pojazdów. W kościele rzesisto świecami i lampami po ołtarzach, piramidach i świerkach na ten cel porozstawianych, oświetlonym, pomiędzy któremi u góry nad trumną portret zmarłego bywa zawieszany, proboszcz miejscowy przyjmuje stosowną mowę przybyłe zwłoki, a po odśpiewaniu *Requiescat in pace* i modlitwie, księża świeccy i zakonnicy udają się na plebanią, gdzie we wszelkie potrzeby co do pożywienia, nawet dla ich ludzi i koni przez dwór w smutku pogrążony zaopatrzeni, noc przepędzają. W sam dzień pogrzebu kapłani wychodzą z mszami żalobnemi, śpiewają wilije, a po zgromadzeniu się familii odprawiają nabożeństwo, w środku którego stosowna z ambony bywa przemowa. Za odśpiewaniem *Salve Regina...* przenoszą się zwłoki na barkach krewnych i przyjaciół w miejsce pochowania, gdzie ostatnią mową wynurza kapłan pożegnanie i podziękowanie imieniem zmarłego za ostateczną przysługę mu wyświadczoną, a na wpuszczoną już w grób trumnę, rzucają obecni po garści ziemi, mówiąc z westchnieniem: wieczny odpoczynek racz mu dać Panie... Smutkiem przejęta familia zaprasza gości przytomnych obchodowi, i wszystkich bez wyjątku księży, do siebie; ubodzy licznie z okolicy zebrani z torbami, zaopatrywani bywają porcyami słoniny, grochu, kaszy, soli, mąki, chle-

bem i datkiem pieniężnym. W czasie obiadu osoby z nieboszczykiem spokrewnione, częstują hojnie kapłanów, i według stanu paczką zawiniętą, każdego z nich szczegółowo wynagradzają i obok tego zakonom jałmużnę na klasztor zapewniają. *Miserere mei Domine...* chórem sług bożych zaintonowane oznacza koniec obiadu, po którym goście, długo nie bawiąc się, rozjeżdżają. Z upływem pewnego czasu wyprawiają krewni za nieboszczyka żałobne nabożeństwo w parafii, lub jakowym klasztorze, i dają na wypominki roczne z ambony za jego duszę ofiarę.

Biedny kmiotek, w długą koszulę, na wzór alby uszytą, *żgłem* nazwaną, po śmierci ubrany, kontentować się musi czterema deskami, do kupy zbitymi, i to jeszcze niekiedy ukwestowanemi. Cokolwiekbądź szyją dla umarłego, chronią się robić węzłów u nici, gdyż takim sposobem grzechy odpuszczoneby mu nie były. Na wierzchu trumny malują krzyż gruby czarną farbą, a w braku téjże węglem; trumnę kładą na wóz zaprzężony parą wołmi lub końmi, i przy śpiewach nabożnych, oraz dzwonka dworskiego odgłosie, wieś cała towarzyszy ciału ku parafii. Przy pierwszej figurze lub bożej męce zatrzymują się wszyscy, występuje jeden z włościan pod figurę i przemawia do obecnych w imieniu nieboszczyka, żegnając ich, dziękując za ostatnią posługę i prosząc o przebaczenie za wszelkie z jego strony za życia doznane urazy. Następują pod gołym niebem częstowania wódką, gromada do wsi powraca, a kilka osób śpiewając psalm: „Kto się w opiekę poda Panu swemu”.. towarzyszy zmarłemu przed kościół. Tutaj wychodzi proboszcz z organistą, a czasem i sam organista, śpiewa, modli się i wodą święconą ciało pokrapia; przyjaciele zaś grób kopią, do niego trumnę wpuszczają i ziemią zasypują.

Przystąpmy teraz do przesądów ludu dawnego województwa sieradzkiego pod względem zjawisk atmosfery, przepowiedni, leczenia różnych chorób, i jakie wyobrażenie mają o zmorach, czarownicach i diabłach?

Jeżeli się zorza północna w jakimbądź kształcie, lub kometa pokaze, wtedy powszechna wieść krąży, iż trzeba się obawiać nędzy i krwawych wojen, przez znaki niebieskie grzesznemu plemieniu ludzkiemu objawianych. Światła w powietrzu spadające, uważa lud za czyszczenie się gwiazd przez oderwanie się jednej z takowych, i święcie utrzymuje, iż ślady spadnięcia w massie flegmistej na ziemi pozostają. Zaćmienie słońca sprowadza, jak mówią, zarazę na wszelkie ziemne istoty: dlategogo zamykają lub zakrywają wszelkie studnie, by od niej wodę zabezpieczyć, a bydła w pole wcale nie wyganiają. Pojawiające się nocną porą świa-

ta po błotach zowią świeczkiem, którego wyobrażają sobie jako złego ducha niewidzialnego, z trzema świecami, ludzi uciekających goniącego, a śmiałków na topiele naprowadzającego. Gdy w czasie lata czarne chmury widnokrąg zaćmią, wtedy trwożliwe matrony zapalają gromnice, modlą się klęcząc przed obrazem Matki Bożkiej Częstochowskiej, albo stanąwszy na środku podwórza żegnają chmury na cztery części świata, i dzwonkiem loretańskim dzwonią, a za połyskiem błyskawicy chyląc się wymawiają pobożnie: „w Nazaret się począł, w Betleem się zrodził, w Jeruzalem umarł; a słowo stało się”.... Gospodarze zaś dla rozpędzenia chmur gradowych każą dzwonić w dzwonek na podwórzu zawieszony, a proboszcze uderzali w dzwony kościelne. W czasie grzmotu zamykają wszelkie drzwi i okna, wypędzają z pokoju psów i kotów, i opodal stoją od okien. Budynku od piorunu zapalonego wzbrania się lud gasić w przewidzeniu, iż go niczóm, jako na spalenie od Boga przeznaczonemu, ugasić nie można, lecz owszem przez bronienie jeszcze więcej zabudowań zapalić się może. Piorun takowy, jak lud utrzymuje, wpada głęboko w ziemię, i ślad po sobie w kamieniu żółtawym, kształtu cylindrowego pozostawia, który skrobany i z wódką pity, na różne choroby ma być lekarstwem. Nie zna się włościaniu na zegarze, i żadnego też nie ma u siebie, lecz podług wysokości słońca i chęci do jadła potrafi czas we dnie przy pracy oznaczyć, w nocy zaś według pierwszego, drugiego lub trzeciego piania kogutów, wysokości lub pochyłości gwiazd, jutrzeńki, bab i kosarzy, z którymi praktycznie jest obznajmiony, świtanie doskonale wyrachować zdoła. W gęstym lesie zabłądziwszy, pozna on bardzo łatwo stronę północną po mchu od tej strony na drzewach rosnącym, i według niego o położeniu wsi swojej wnioskuje. Promienie słońca jednocześnie z deszczem złowróźnie uważa, mówiąc:

Słońce świeci, a deszcz leci,
Czarownica masło kleci.

Chłopcy usłyszawszy pierwszy gzmot w lecie, przewracają koziołki po ziemi, ażeby ich krzyże nie bolały; a starzy gospodarze dzień ten sobie zapisują, i w tenże sam dzień w czasie właściwym groch sieją, ażeby go robaki nie toczyły. Gwałtowne wichry przypisują albo powieszeniu się kogoś, albo też wojnie w odleglejszych krajach.

Mieszkańcy wiosek mają rozliczne przepowiednie, po części na stałych zasadach, lecz najwięcej na tradycjach odwiecznych, w istocie samej wątych, oparte. I tak: jeżeli w lecie upał słońca dopieka, koguty we dnie pieją, gęsi lub kaczki po wodzie się trzepotają, jaskółki się tłuką i wody nad stawami dziobkami lub skrzydełkami dotykają, kania przelatująca się odzywa, żabki zielone na liściach skrzeczą, i piskorze na ten cel w butlach

utrzymywane są w ruchu: natenczas deszczu spodziewać się można. Spuszczanie się na kogo z góry po nitce pająka, spotkanie przy pierwszym wyjściu zrana żyda, kobiety z konewkami wodą napełnionemi, kichnięcie na czoło, pomyślność i szczęście sprowadza. Myśliwy szczególnie z żydem się zszedłszy, pełen radości spieszy do celu; lecz kobietę naprzeciw siebie dostrzegłszy, traci nadzieję ubicia zwierzyny. Gdy bociąu piskłę (młode) z gniazda wyrzuci, głodu obawiać się trzeba. Psów wycie żalosne, i odzywanie się puszczyka, *pućką* tutaj zwanego, śmiercią osobie jakowej w tym domu grożą; ztąd też włościanie utrzymują, iż puszczyk wywołuje:

Pójdź w dołek
Pod kościółek.

Od której strony kot się łapką myje, od tej strony goście przybędą, a jeżeli w dzień poniedziałkowy goście zawitają, codziennie przez cały tydzień kogoś spodziewać się należy. Podobnież ktoś obcy przybędzie, jeżeli drzewo na kominie się palące (świerkowe lub jodłowe), węgle żarzące na pokój wystrzela. Swędzenie prawej ręki oznacza wydawanie pieniędzy, lewej zaś, zgarnianie; dzwonienie w prawém uchu przyniesie pomyślną nowinę, w lewém zaś smutną. Gdy przy obiedzie wypadnie komu nóż z ręki; wtedy mówią (niby to do wiersza) że przybędzie w gościnę Francuz; jeżeli widelec, przybędzie Niemiec; a gdy łyżka, to spodziewana Polka. Poniedziałek i piątek poczytują za dni feralne tygodnia, i w nich wzdrygają się większej pracy rozpoczynać i kończyć. Komu zając przez drogę przebieży lub kobieta przejdzie, nieszczęście albo przypadek mu zagraża, dla odwrócenia którego znak krzyża świętego czyni. Dzieci nie można odsadzać od piersi w czasie, w którym ptaki od nas do cieplejszych odlatują krajów, boby one dorosłszy miejsca jednego nie zagrzały, tylko by po świecie biegały. Przestrzegają, ażeby kolebek próżnych nikt nie kolebał, gdyż przez to dziecię bólu głowy doznaje: w piątek ich nigdy nie kąpią, gdyżby przez to suchot dostać mogły. Z ogniem dzieciom igrać nie pozwalają, ażeby się w nocy nie podlewały.

Na rozmaite choroby i słabości wewnętrzne i zewnętrzne rozliczne posiadają włościanie lekarstwa, jawne i potajemne; i tak: na ból oczu smarują powieki olejkiem z wątróbki miętusowej na słońcu uzyskanym; kiedy proch jaki w oko wpadnie, ruszają trzęsąc powieką, i często spluwają, ażeby wypadł, albo wkładają pod powiekę tak zwane oko racze, które obiegłszy dokoła oko, samo wypada i proch z sobą wymiata. Na ból gardła kręślą na témże krzyże złotem w Trzy Króle święconém i mirą kadzą, albo świniogorz (gniazdo gąsienie w kształcie rurki na gałązkach drzew sliwkowych się znajdujące) na szyi zawieszają. Kiedy języczek spadnie, kładą pomiędzy zęby w usta szeroko otworzone, palec wielki

zgięty, ściskają po 3 kroć na krzyż głowę, i kosmyk włosów w samym ciemieniu trzy razy do góry mocno pociągają. Gdy się kto w czoło uderzy, przykładają natychmiast nóż, sierp, lub kosę, ażeby guz nie wyskoczył. Wściekliczną leczą eisowém drzewem skrobaném, w wodce zadawaném. Na mocną gorączkę przykładają do gołych stóp dwie połowy lina żywcem wzdłuż rozplatanego. Gdy ząb boli, nakadzają go pod nakryciem przy ustach otwartych szalejem, w mniemaniu, że robak ząb toczący zdechnie i z ślinami wypłynie, albo płuczą usta zielem kaczyniec zwaném, w wodzie wygotowaném. Sączącą się gwałtownie krew wstrzymują chlebem z pajęczyną. Ażeby zaś dzieciom zęby z łatwością wychodziły, dają im ząb wilczy w srebro oprawny do zabawy, lub zawieszają na szyi kilka-naście ocz raczych, w wstążeczkę na połowę wzdłuż złożoną powszywanych. Miejsce oparzone okładają gliną mokrą albo kartoflami świeżo skrobanemi; gliną także przykładaną zapobiegają puchnięciu ciała od pszczoły użądłonego. Osoby chore na reumatyzm trzymają w pokoju świnkę morską albo gila w klatce, którym przypisują własność przyciągania chorób. Na rozwolnienie dają pić kwiat z terek czyli z ciernia zebrany i w cieniu ususzony. Poty wzniecają kwiatem bżowym, miodem osłodzonym. Na kaszel rozbijają żółtko od jaja z cukrem i piją z odwarem kwiatu lipowego. Kto się oberwie, trą na donicy niepolewanéj kamień od oberwania (Lapis haematidis, Blutstein) z piwem lub z wódką, i takowe czerwono zafarbowane wypijają. Ażeby się kołtun wywinął, kropią włosy odwarem barwinku, a następnie takowy w dniu pogodnym pod pewnym znakiem niebieskim upalają, mruczając niezrozumiałe wyrazy, i tenże upalony zakopują albo pod strzechę chowają. Jeżeli kto uroku dostanie, to jest, gdy zniemacka zblednie, ból głowy, oraz nudności uczuje, odczyniają mu urok nalewając w szklankę zimnej wody i kładąc do niej trzy żarzące się węgle, tudzież trzy skórki spodnie od chleba; jeżeli chleb utonie, urok pochodzi od niewiasty; skoro zaś węgle na dół opadną, mężczyzna uroczył. Następnie dają słabemu po trzy kroć napić się téj wody, a resztę wylewają na zawiasy od trójga drzwi; albo téż mężczyźnie obcierają twarz koszulą niewiasty, a niewieście mężką. Na zanokcicę zanurzają po trzykroć palec cierpiący w wodzie wrzącej, w której się kartofle gotują. Postrzał, to jest chorobę w której kości z rany wychodzą, leczą oweczarze lub owczarki strzelając pod ciałem cierpiącym, modląc się, plując, wyrazy niezrozumiałe mruczając, zażegnując, i o dziwy! bardzo często w krótkim czasie do zdrowia przyprowadzają. Brodawki chcąc zgubić, rozrznają nawpół jabłko, pocierają tym sokiem brodawkę, składają następnie te połówki i zakopują w ziemię, tam, gdzie trzoda nie chodzi; gdy jabłko zguije, i brodawka zniknie. Skoro dziecko pierwszy raz kon-

wulsyj dostanie, zdejmują z niego koszulkę, rozdzierają przez pól i takową Bożą mękę obwiązują. Bardzo stosowne wiersze co do leków po wsiach przytacza książka lekarska pod tytułem: *Compendium Medicum*, w traktacie trzecim, w Częstochowie drukowana, w każdym niemal porządniejszym domu się znajdująca, takowej osnowy:

Mają i baby leki przedziwne,
 Różnym chorobom bardzo przeciwnie:
 Dziegiecie i smalce, woski topione,
 I różne chwasty z niemi smażone;
 Korzenie, zioła, kwiecica prażone,
 Kąpieli, plastry, trunki warzone,
 I konfekciki, soki smażone:
 Wódki, krystery im doświadczone,
 Któremi leczą, jak doskonałe
 Lekarki baby, bardzo zuchwałe.
 Gdzie się uczyły nauk lekarskich?
 Kto ich wyéwiczyl sztuk aptekarskich?
 Co baba, doktor: zkąd promocya?
 Czy od kądzieli, gdy przedzion zwija?
 Nie zna natury ani choroby,
 Daje na domysł, doznaje próby.
 Wszędy się wrazi, jakby co złęgo
 Uczyć medyka, choć i biegłego.
 Racya za nic medyka stoi,
 Baba uporna androny stroi.
 Gdy się przylepi szeptem do ucha,
 Zwiedziony radą, chory jęj słucha.
 Chociaż przemawia, kręśli i chucha,
 Mruczy i żęgna, nad głową dmucha,
 Nie dba na gusta człek omamiony,
 Że ciężko grzeszy, od bab zwiedziony.
 Wmawiają w chorych dziwne choroby,
 Suchoty, wraz wzdęcie wątroby,
 Czary, kołtuny i podwionienia,
 I inne różne do podziwienia.
 Kry jakieś w lokach, które smarują,
 Trą, rozcierają, one sznurują;
 I utrząśnienie zawsze wmawiają
 W białą płęć, czém ją oszukiwają.
 Na które patrzą, kurzą, smarują,
 I różne plastry jęj wynajdują,
 Ściągają boki i one prażą,
 Aż drugięj oczy na wiérzech wylażą.
 Uroki, glisty w dzieci wmawiają,
 Na nie przemierzte mikstury dają.
 Gdzie bies nie może, tam babę wrazi,
 Na każdą sprawę, onę narazi;

Jak starym wiechciem, dziury zatyka
 Babami, gdy ich w każdą rzecz wtyka.
 Więc się ich chronić jak czego złego,
 Jak bazyliuszka jadowitego,
 Abyś dostał zdrowia miłego,
 Zażyj medyka rady biegłego.
 Nie daj się zwodzić babskiej chytrności,
 Przez które szatan wypełnia złości;
 Oczyść twe serce grzechem zmazane,
 Miej ufność w Bogu, że pożądane
 Otrzymasz zdrowie w pomocy Jego,
 Gdy serce twoje skłonisz do niego.

Wyobrażenie o zmorach takie ma lud dawnego województwa sieradzkiego, iż one po nocach nie tylko ludzi, bydło, konie, lecz nawet wodę i ciernie duszą, dlatego chcą dostrzegać niektóre niewiasty z rana pomaczane i podrapane. Zmora może się przemienić w różne istoty: w kota, żabkę, powróż i t. p., a najczęściej dostaje się przy drzwiach zamkniętych do osoby, którą dusi, w kształcie słomki, przez otwór od klucza lub szparę w drzwiach. Chcąc się od niej uchronić, potrzeba dzień i noc nosić przy sobie igłę w koszulę wetkniętą, albo nóż w łóżko na noc włożyć; osoba przez zmorę dręczona, bywa zwykle bladą. Jeżeli przy chrzcie rodzice chrzestni idą za kapłanem, w pacierzu się zmylą, albo go niedobrze umieją, lub zamiast wiara, wyrzekną „mara”: wtedy niemożliwe to, skoro dorosnie, zmorą zostanie. Zmora tak jest ciężką, jak kamień młyński; trwożliwy obudziwszy się, przyrzeka jej chleba z masłem, a nazajutrz z rana, daje go pierwszej przybyłej niewieście, gdyż onato była ową zmorą, i wolnym już od cierpień pozostanie; śmielszy chwytą w nocy po sobie, a jeżeli złapie kota, żabkę lub słomkę, trzyma ją silnie aż do dnia. Wtedyto zmora prosi mu się, by ją puścił, przyrzekając, że go więcej dusić nie będzie; on żąda, ażeby mu wymieniła kto ona jest, grożąc, że jej łapy lub głowę utnie; ta wymienia swą nazwę, lecz puszczona, dusić go na przyszłość nie przestanie. Niektórzy schwyłaną zmorę nielitościwie wybiją i potłuką, a wtedy nazajutrz, kobieta w zmorę przemieniona, ciężko choruje, i znaki na niej pobicia dostrzegać się dają; gdyby zaś kto łeb zmorze uciął, kobieta takowa nazajutrz nieżywą znalezioną będzie.

(Dalszy ciąg nastąpi).



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

Pan Chevreul zawiadomił w imieniu pp. Gratiolet i Cloez Akademią umiejętności paryzką, o skutkach trujących, cieczy wychodzących z brodawek mlecznych salamandry i ropuchy.

Oddawna utrzymują, że salamandra ziemna (*Lacerta salamandra*), ma w sobie mocną truciznę. Jakkolwiek dzisiaj nie dają temu wiary, przypisują jednak wielką ostrość cieczy lepkiej mlecznej, którą wydają z brodawek skórnych rzeczono płazy. Oto są doświadczenia niniejszego przedmiotu dotyczące:

Ciecz wydawana przez brodawki skórne salamandry, jest biała, odurzającej woni; w początkach wychodzi ze zwierzęcia w postaci gęstego mléka, które wprędce krzepnie; posiada zaś mocne działanie kwaśne. Turkawka po napuszczeniu tą cieczą zadrażnionego jój skrzydła, żyć przestała w ciągu 20 minut, wpośród okropnych konwulsyj i sparaliżowania. Małe zwierzęta ssące np. świnki morskie, szczury, ulegały jedynie konwulsjom, które się śmiercią nie kończyły.

Podobnież doświadczenia wykonywano z cieczą mleczną zawartą w brodawkach grzbietowych ropuchy (*Rana bufo*). Ciecz rzeczona jest gęsta, lepka, żółtawa; zapach ma odurzający, a smak obrzydliwy gorzki. Jeden z czyniących doświadczenie, skosztował jój przypadkowo, ale w skutku tego nie doznał w ustach bólu. Ciecz tę zaszczerpiono pięciu ptaszkom, a te wszystkie utraciły życie w ciągu 5 do 6 minut, ale bez konwulsyj; otwierały tylko dzióbek, chwiałały się, zamykały potem oczy jakby do spania, i traciły życie. Przekonano się, że jad ten zabija ptaki nawet gdy będzie wysuszony, lub gdy kwas jego nasyci się potażem. (Treść z pisma *L'Institut* z 23 kwietnia 1851 r.).

* *Bytność jodu w powietrzu.* P. Chatin professor w szkole farmaceutycznej paryzkiej, doniósł Akademii umiejętności, o bytności jodu w powietrzu, i o pochłanianiu tego pierwiastku w czasie oddychania zwierzęcia.

Uważając na znikanie powolne jodu, znajdującego się w wielu wodach, za ich odparowaniem; ulatnianie się prędkie tego ciała za ogrzaniem wody, i okazywanie się jego w wypadkach otrzymanych z przepędzania; na wydzielanie się jodu z wód *twardych*, i to tak gwałtowne, że nie często można go tam wykryć, nawet wtedy, gdy wody te wypływają z pokładów zawierających w sobie znaczną ilość tego pierwiastku; oraz na wypadki jakkolwiek jeszcze niedokładne, otrzymane przy doświadczeniach z wodą deszczową; p. Ch. wpadł na myśl, że jod może znajdować się w powietrzkregu: co téż rzeczywiście się sprawdziło.

Z doświadczeń p. Ch. okazało się, że w 4,000 kwart powietrza paryzkiego, znajduje się jodu około $\frac{1}{500}$ milligrama; bo w pierwszych dniach lutego znalazł tę ilość, a w dniach dżdżystych marca tylko $\frac{1}{400}$. Przypuściwszy, że człowiek zużywa dziennie 8 metrów sześciennych czyli 8,000 kwart powietrza, okaże się, że wciąga wtedy $\frac{1}{250}$ milligrama w płuca jodu, czyli tyle, jak gdyby wypił dziennie 2 kwart wody.

Również p. Ch. przekonał się o bytności jodu w wodzie deszczowej. Ilość nawet tego ciała jest tam bardzo wielka, bo wynosi częstokroć w Paryżu $\frac{1}{50}$, do $\frac{1}{40}$, $\frac{1}{30}$, $\frac{1}{20}$, milligrama na kwartę, czyli na kilogram wody.

W śniegu (10 marca) znalazł także p. Ch. jod, ale w mniejszej ilości o jedną dziesiątą od wykrytej w deszczu wkrótce potem spadłym. Również wykrył to ciało i w rosie. (Treść z pisma *L'Institut* z d. 7 maja 1851).

J. B...a.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1851.

WARSZAWA.

75. Prawo prywatne polskie napisane i wykładane przed rokiem 1830 w b. Warszawskim Alexandryjskim uniwersytecie przez Jana Wincen-tego Bandtkie Stężyńskiego, radcę stanu.... Dzieło pogrobowe. Ska. War- szawa. 1851. Druk Banku Polskiego. Str. X i 480. Spisu rzeczy str. XIV. Złp. 13 gr. 10.

76. Wspomnienia z podróży po Danii, Norwegii, Anglii, Portugalii, Hiszpanii i państwie Marokańskiem. Przez Dra T. Tripplia. 12ka. 4 tomy. Warszawa. 1851. Druk Gazety Codziennój. Tom I, str. 204. II, 168. III, 341. IV, 304. Listy pren. str. liczb. 10. Złp. 33 gr. 10.

77. Złote nasionka czyli wiązarek dla dzieci, zawierające w sobie drobne utwory wierszem i prozą, oryginalne lub przełożone z obcych auto- rów, przez T. Nowosielskiego. 12ka. Warszawa. 1851. Druk Ad. Krethlow. Str. 137. Złp. 3 gr. 10.

W I L N O.

78. Złoty ołtarzyk czyli krótkie zebranie różnego nabożeństwa z przy- daniem niektórych modlitw i pieśni w kościele rzymsko-katolickim używa- nych. Wydanie nowe przez jednego gorliwego kapłana przejrzone, popra- wione i pomnożone. Z rycinami na stali. 16ka. Wilno. 1851. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Str. XXX i 657. Złp. 9.

W I E D E Ń.

79. Rozmowy łatwe zastosowane do życia towarzyskiego młodych panien. Dla użytku szkół pańskich przez M. J. Frings, nauczyciela języka francuzkiego w Berlinie. Przełożył na język polski J. Julian Szczepeński. Czwarte, poprawne wydanie. Ska. Lwów, Stanisławów i Tarnów, nakładem J. Milikowskiego, drukiem J. P. Sollingera w Wiedniu. Str. 167. Złp. 3 gr. 20.

W R O C Ł A W.

80. Marja. Powieść ukraińska przez Antoniego Malczewskiego. Ska. Wrocław. 1851. Nakładem Z. Schlettera, druk C. H. Storcha. Str. VI Wspo- mnienia o Malczewskim p. A. Mosbacha. i str. 68. (Z ryciną). Złp. 2 gr. 10.

—❁—

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Poszyt IV kończący tom pierwszy dzieła W. A. Maciejowskiego, p. u. *Pismienictwo polskie*, opuścił prasę drukarską.

— Nakładem S. Orgelbranda wyjdzie wkrótce *Biblioteka starożytna pisarzy polskich*, w 2gim wydaniu, w VI tomach, znacznie pomnożona tak przedrukami dzieł rzadkich, jako téż i rękopismami dotąd nieznanymi.

— Nakładem S. H. Merzbacha: *Historji Hiszpanii podług najlepszych źródeł ułożonej przez T. Dziekońskiego*, tomu Igo poszyt 5ty wydany został. Poszyt 6ty zamyka tom pierwszy.

— Jan Glücksberg ogłosił przedpłatę na nowe zeszytowe pismo: *Podróż wokół świata* zastosowana dla młodzieży.

— Tom VIII *Historji literatury polskiej* Michała Wiszniewskiego już znajduje się w księgarni Klukowskiego do nabycia. Tom IX ma być ostatnim, i ma zamknąć wielkie to dzieło.

— Stanisław Bogusławski ukończył komedią wierszem p. n. *Serdeczna przyjaciółka*, dla teatru warszawskiego.

— Obszerny dramat oryginalny *Kajetana Niepowie* (ś. p. Frankowskiego): *Upadek wielkiego domu*, w r. b. będzie przedstawionym na scenie warszawskiej.

— Powieść J. I. Kraszewskiego, p. n.: *Stary sługa*, ogłaszana częściowo w Gazecie Warszawskiej, wyjdzie (nakładem S. Orgelbranda) oddzielnie we IIch tomikach.

— Ewaryst Estkowski pracujący w zawodzie pedagogicznym wydał: „Książka do pierwszego czytania”. „Żywot człowieka poczciwego, na wzór zwłocziadła Mikołaja Reja”.

(*Wyjatek z listu Karola Szajnochy. 12 czerwca, 1851*).

„Pracuję od kilkunastu miesięcy nad nowym, obszerniejszym od dotychczasowych, obrazem historycznym, przedstawiającym dzieje Jadwigi i Jagiełły. Pojmuję te dzieje jako jedną z najpiękniejszych próbek powszechnego zbliżania się, łączenia, bratania wszystkich części ludzkości w jedną kiedyś rodzinę, mianowicie jako próbkę takiegoż przybliżonego złączenia z sobą oksydentu i oryentu: Europy i Azji. Stosownie do tego pojęcia dziełę cały obraz na trzy widoki, całe dzieło na trzy tomy, z których pierwszy zawierający wypadki od śmierci Ludwika 1382, do koronacji i ślubu Jagiełły w Krakowie, ma nam odmalować w kilkunastoletnich wypadkach polskich, tegoż przeciągu polską okecydentalną stronę całego obrazu. IIgi zawierający zdarzenia od 1386 do śmierci Jadwigi, 1399, w przeważających w tym przeciągu wypadkach litewskich, ruskich, tatarskich, litewsko-ruską orientálną stronę. Wreszcie IIIci, opisujący dalsze, do 1415, lata, widok dojrzewającój w istocie unii obudwóch stron, objawiający się w unii horodelskiej, w tryumfie *Grundwaldzkim*, we wzajemném rozświetleniu i spotężnieniu Polski przez Litwę i Litwy przez Polskę. Każdą z tych części mogę i muszę z osobna ogłaszać. T. Iszy w znacznej części już wykończony; potrzeba mu jeszcze tylko kilkunastomiesięcznej redakcyi. Chcąc bowiem pracę niniejszą, co do jój naukowej wartości i gruntowności wcale niepodobną do prac dawnych uczynić, zaopatrzyłem się w masę źródłowej, kronikarskiej, dokumentalnej, statutowej, drukowanėj i rękopismowej erudycyi, którą wielokrotnie oclosywać, wygładzać, i pokostować wypada, aby jój głównie na celu mianą formę nadobną, formę naukowo-artystycznego utworu nadać. A żarliwe studia wszelkich naszych i wielu obcych niemieckich, francuzkich, włoskich, kilku tysięcy dyplomatów owego czasu, nawet rysowniczych zabytków epoki, pozwalają mi tuszyć, że praca moja i w obec erudyków pobleżanie poniekąd znajdzie”.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Czerwiec, 1851.

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.644	27	8 756
Najwyżej dochodził — d. 12 o g. 10 w.	756.66	27	11.425
Najniżej — — d. 10 o g. 10 w.	738.76	27	3.489
Średnia zmiana dzienna barometru	2.614		1.159
Największa zmiana dzienna barometru d. 11—12 o g. 6 r.	13.57		6.015
Średnia wysokość barometru jest wyższą o od stanu normalnego z 25 lat	2.130		0.934
poprzedzających	748.5156	27	7.822
Średnia temperatura czerwca wynosi: +	16.0051 C.	+12°	8.41 R.
i ta jest niższa o	1.560 „		1.248 „
od stanu normalnego z 25 lat po- przedzających	+ 17.611 „		+14.089 „
Największe ciepło dochodziło d. 5 o godz. 4 wiecz.	+ 27.0 „		+21.60 „
Najmniejsze dochodziło d. 1 o godz. 6 rano.	+ 4.9 „		+ 3.92 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.66 „		2.13 „
Największa zmiana dzienna d. 8—9 o godz. 4 wiecz.	13.9 „		11.12 „

Termometrograf wskazał:

Maximum: + 23.8 R. d. 23 po połud.

Minimum: + 1.0 „ d. 1 rano.

Wody z deszczu spadło wysoko na 69,3 milim., czyli 30,72 lin. par. t. j. o 2,84 lin. par. więcej niż w stanie normalnym.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 69,1 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 9,46 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Wilgotność ta jest o 0,01, mniejsza jak w stanie normalnym.

Dni pogodnych było 10, napół pogodnych 8, pochmurnych 12.

— deszczu 20 (d. 1, 6, 8, 9, 10, 11, 12, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 23, 25, 26, 27, 28, 29, 30).

— gradu 1 (d. 29).

— grzmotu 1 (29).

— błyskawic bez grzmotu 2 (13, 28).

Wiatr panujący: Zachodni i Północno-Zachodni.

Wichrów 1 Zachodni.

Wiatrów mocnych 3: 2 Pn., 1 Zachodni.

Czerwiec r. b. był niepogodny, słotny, przeszło o 1 stop. R. zimniejszy jak zwykle. Wyjąwszy sześć dni od dnia 3 do 9, które były gorące, cały miesiąc był chłodny, osobliwie dni: 1, 2, 9, 10, 12, 18, 19, 21, 28, 29, 30; dzień 23 był nadzwyczaj parny. Zmiany temperatury były znaczne; i tak d. 8—9 o godzinie 4 wiecz. zmiana dochodziła do 11 stop. R.; zmiany barometru były także wielkie d. 11—12 o godz. 6 rano zmiana dochodziła 13,57 milim. czyli 6,02 lin. par.

D. 6, 7, 8 pokazywały się plamy na słońcu.

D. 12 o godz. 9 wiecz. koło białe otaczało kłębiąc.

D. 22 o godz. 8 rano koło świetne otaczało słońce.

D. 9 o godz. 2 45' wiecz. powstał wichur gwałtowny Zachodni.

D. 23 o godz. 5 40' powstał wiatr mocny Pn.

D. 28 o godz. 10 45' wiecz. pokazywały się błyskawice bez grzmotu w Pd. stronie.

WOJNA CHOCIMSKA.

POEMAT BOHATERSKI W DZIESIĘCIU CZĘŚCIACH

PRZEZ

Andrzeja Lipskiego

PODWOJEWODZEGO SANDECKIEGO, PODCZASZEGO CHEEMSKIEGO.

(Rękopism 1673 — 1680).

Byłoto dnia 17 czerwca 1843 r. wieczorem. Na łożu już śmierci spoczywał znany w literaturze naszej Józef Borkowski; osłabiony, drżącą ręką pokazał Stanisławowi Przyłęskiemu rękopism *Wojny Chocimskiej*, z zapytaniem, ażali mu był znany? Na przeczącą odpowiedź, wyrzekł:

„Przeczytałem go z wielką uwagą, i mogę cię zapewnić, że jestto utwór przynoszący zaszczyt naszemu piśmiennictwu, szczerze rodowy, pełen najpiękniejszych obrazów poetycznych, a przytém stanowiący całość zaokrągloną, po mistrzowsku wykonaną. Wojna Chocimska jest w całym znaczeniu tego wyrazu poematem bohaterskim, jakiego nam dotąd niestawało. Gdyby we Francyi lub Anglii wynaleziono podobny zabytek literatury, dawno już byłby on ogłoszony drukiem, w licznych a coraz ozdobniejszych wydaniach. Naszym ziomkom nie można przebaczyć tój dziwnój obojętności, z jaką spokojnie przypatrywać się zdając butwieniu starych ważnych rękopismów, temu codziennemu prawie znikaniu u nas zabytków dawnego piśmiennictwa.” Żywo poruszony silném uczuciem, przepowiedział na lat trzy smutne-

wypadki, i zobowiązał obecnego przyjaciela, że rękopism tego poematu ogłosi drukiem.

Nazajutrz z rana Józef Borkowski już nie żył, a p. Stanisław Przyłęcki dotrzymując zmarłemu przyrzeczenia, przygotował rękopis do wydania; dodał w końcu treściwy spis przedmiotów szczegółowo każdej pieśni, nakoniec słowniczek wyrazów mniej używanych, wszakże niezupełny.

Pomijamy szczegóły zebrane troskliwie do żywota naszego poety (bo te znajdzie czytelnik w samym dziele); dosyć nam wiedzieć, że poemat ten za Jana III zaczęty, po r. 1673 ukończony został, że autor sam nie był uczestnikiem téj sławnej wyprawy. Ale zaprotestować musimy przeciwko nieobaczniemu przekonaniu autora przedmowy, jakoby Andrzej Lipski: „za główne źródło do swéj kompozycyi wzięwszy dwa dzieła Jakóba Sobieskiego: *Historia wojny Chocimskiej* (*Commentatorium Chotinensis belli, libri tres. 1646 r. wydane*), oraz tegoż dyaryusz, reszty wątku prawdziwie olbrzymia jego wyobraźnia tak pięknie dosnuła.”

W tych słowach zaprawdę żadnej pochwały nie widzimy, a raczej ujęmę dla wartości poematu: najcudniejsze ustępy, nacechowane prawdą, na karb *olbrzymiej wyobraźni* wydawca policza. Że tak nie jest, zaraz okażemy.

Zaprzeczyć nie mogę, że korzystał poeta z prac Jakóba Sobieskiego; chociaż słowa jego:

Ale twemi stopami, o wielki Jakóbie
Sobieski postępując, dobrze wróżę sobie,

mogą także mieć na myśli, że ten sam przedmiot traktując co i Sobieski, gdzie tyle pamięć rodzica króla Jana III wysławia, dobrą wróżbę dla siebie rokuje. Ale mnóstwo szczegółów, które są prawdziwie najpiękniejszymi ustępami w tym poemacie, a tych nie znajdujemy ani w dziele Jakóba Sobieskiego, ani w poemacie S. Twardowskiego, i w innych pomniejszych utworach, na karb wyobraźni Lipskiego bynajmniej nie możemy policzać. Zapomniał autor przedmowy, jak nasi ojcowie żywe słowo tradycyi kochali, jak je wiernie przekazywali dziatwie swojej, jak rodami ta tradycya przechodziła nieskażenie: jakie wreszcie mieli zamiłowanie w pisaniu owych *dyaryuszów*, *Sylva rerum*, które każda rodzina szlachecka niemal posiadała, a w nich po trudach wojennych, osiwały pod hełmem wojownik, zapisywał przygody swego żywota i szczegóły takie, o których milczą poważniejsze dzieje. Tam szczerą prawdą, bez bojaźni obrażenia kogokolwiek, wycho-

dzi w dziewiczości swojej: bo te dyaryusze nie były przeznaczone do druku, ale ojciec synowi przekazywał, jako najdroższą pamiątkę po sobie.

Że nasz poeta korzystał z takich rękopiśmiennych pomników, mamy w przedmowie samej wyraźny dowód, gdy wspomina rękopis dziada swojego (str. 22) (1). Nie brakło mu i żywego słowa tradycyi, bo żyło wielu jeszcze z rycerstwa, co walczyli pod chorągwiami sędziwych hetmanów Żółkiewskiego i Chodkiewicza. Sam Lipski mówi: „Żyje jeszcze na poły między nami ludzi tych, którzy Władysława (na północy) pamiętają tryumfy.”

Odległość téż lat 50, jaka przedziela sam fakt od poematu, nie była tak wielką, nie była tak rychło zatartą w pamięci, gdy zważymy, że wówczas zwyczajny wiek ojców naszych do lat 80 i 90 w czerstwości dochodził.

Liczne ustępy większe i małe o wojownikach polskich, zawarte w nich szczegóły, same mówią najwyraźniej, że je brał z tradycyi, a nie z wyobraźni. Ktokolwiek rzucił głębszy pogląd na dawniejsze pomniki literatury naszej, gdzie tak potężnie rozwiniętą mamy poezją historyczną, dojrzał, że naszym pisarzom zawsze więcej chodziło o prawdę dziejową, niż o przystrój fantazyjny; i jeżeli go gdzie spotykamy, to ogranicza się prawie zawsze na porównaniu najczęściej z mitologią, to znowu z dziejów greckich lub rzymskich wziętém. A ten przystrój nie pochodził z zamiłowania, nie pochodził z przekonania, ale z hołdu mody literackiej. Przejrzyjmy tego rodzaju pomniki, a zobaczymy widocznie, jak byli dbali o prawdę historyczną: ileż tam nie znajdziemy drogocennych szczegółów, pominiętych w poważnym nieraz sprawozdaniu dziejowém, ileż tam nie znajdziemy barw, do rozbudzenia zamierzchłej przeszłości, w domu i za domem!

Jak *Hołd* Jana Kochanowskiego, jak ogromne poemata S. z Skrzypnej Twardowskiego, tak i *Wojna Chocimska* Lipskiego jest ściśle historycznym pomnikiem, opartym na współczesnych

(1) O jednym z przodków tegoż Lipskiego wspomina Stanisław Witkowski w broszurze wierszem napisanej p. n.: *Pobudka ludzi rycerskich. 1621 r. (Zamość, 4)*, że to był mąż pełen cnót i sławy z *pegazkiej mądrości*. Zażyły z Żółkiewskim: i o tym bohaterze mówi Witkowski, że aby Lipski dostąpił godności kanclerskiej,

„Ledwie nie testamentem życzyłeś mu tego,
Widząc, że jest kochankiem Phaebusa mądrego.”

źródłach piśmiennych, na żywém słowie tradycyi, które poeta z miłością, uczuciem i znakomitym talentem, w cudną całość złożył.

Autor przedmowy dziwi się nad niedbałością naszych poprzedników, co do ogłoszenia drukiem tego rękopismu Lipskiego; a nie zbadał powodów, które stały na przeszkodzie temu, chociaż są widoczne po wczytaniu się uważném w ten wielki poemat.

Szczerą prawdą, której nie pokrywał, co kierowała jego piórem, była dla samego poety hamulcem w wydaniu drukiem tój epepei. Znać tak z przemowy do synowca (Jana Lipskiego starosty czechowskiego i rotmistrza tegoż i sandeckiego powiatów), jako też i z piérwszój części samego poematu, obawę, aby dzieło jego nie doznało losu, jaki spotkał piękny utwór Samuela z Skrzypnej Twardowskiego. Poeta ten, poprzednik naszego piewcy Wojny Chocimskiej, wydał obszerny dziejowy poemat p. n.: Władysław IV król polski i szwedzki (w Lesznie, 1650), w którym jego czyny, wyprawy, i żywot cały opisał, a bratu Janowi Kazimierzowi przypisał. Owóz w podzięce, król ten na żądanie jednego z posłów zagranicznych, swoim wpływem i powagą wyjednał na sejmie warszawskim, że *publico decreto* spalono go na rynku miasta. Nasz Lipski widzi objawiającą się postać sędziwego wieszczka:

„Nie trwóż mnie eny Twardowski, nie pokazuj z żalem
Pracy swojej spalonój.....
I na tożes zarobił Władysławie Czwarty?
Proszę niech Mars, nie Wulkau bierze moje karty.”

Święte uczucie cechuje każdą stronicę nietylko poematu, ale i przemowy, a gorzka prawda przebija niemal w każdym wierszu. Powstaje Lipski silnie na obiór elekcyjny zagranicznych panów, którzy narodowców nigdy cenić nie umieli, ani obyczajów i zwyczajów krajowych. „Batory Stefan, prawda pan wojenny (mówi), ale cóż po tém, kiedy i sławę i pożytki onych wiktoryj, chociaż krwią polską nabytych, swoim Batorym, Bekieszom, Burnimistom, Feledom przypisował: toć Mieleckiego że porzucił buławę, to i wielu inszych od niego odstrychnęło.”

Ostrzój daleko rzuca gromy na Zygmunta III, co żył po cudzoziemsku, nie miał hartu duszy, i o wielkie szkody rzeczpospolitą przyprawił; na dowód zaś jak nie rozumiał charakteru rycerstwa nad którym panował, przywodzi ciekawe zdarzenie o wyprawie tego króla do Szwecyi, kiedy walczył o koronę ojcowską.

Zbigniew Sarnowski w natarczywym boju ściągwszy na harcu szwedzkiego kapitana, wetknięty łeb jego na pałaszu, rzucił Zygmunтови pod nogi, mówiąc: „Tak padną panie mój wszyscy nieprzyjaciele twoi.” A król czy podziękował? „Nie wszystkieście Szwedów zwojowali (odrzekł obojętnie), możecie tak nie wykrzykiwać.”

Jakiż tedy był koniec téj wyprawy? Oto (mówi Lipski), koronę szwedzką stracił, a my uzurpatora jeszcze naszymi własnymi Inflantami i Estonią wyposażyc musieli. W uniesieniu słuszném zaprawdę, rzuca klątwę na ród Wazów. Podobnie jak wyrzucał Stefanowi Batoremu, że krwią naszymi zdobyte zwycięstwa przypisywał swoim Węgrom: szydzi nasz poeta z Władysława IV, co się nadymał wyprawą chocimską, i przyjmował hołdy jakby jaki zwycięzca. „Władysław (mówi Lipski w przemowie), jako wszedł w obóz, tak z łóżka nie wstał i razu: podobien owemu królowi, co go Węgrzy z sobą na wojnę w kolebce wozili.” Mimo to nie mógł nasycić się swą chwałą: udał się w podróż celem odbierania za granicą danku. Niemcy, Włochy, Holendry, których nawiedzał, pisali mu panagiryki, witali jak tryumfatora!

„Ale w cudze ozdoby, w cudze pstrzyć się piórka,
Nie siedziawszy na koniu, nie widziawszy Turka,
Ujma enocie hetmanów, których krwią i męztwem,
Z szczęśliwém z tego placu zeszlismy zwycięstwem.”

I w przemowie zastrzega jeszcze Lipski, że korona nasza naprzód Bogu, a potem sprawnym hetmanom, naostatek rycerstwu swemu winna przyznać chwałę, ale Zygmunтови bynajmniej: bo on w sto tysięcy wojska i pospolitego ruszenia siedząc we Lwowie, choć mu pod nos Tatarowie na Podolu kurzyli, polował sobie swobodnie na zające: bo mu były, jak wyraża nasz poeta:

..... psie gony
„Milsze, niż sława dobra, niż całość korony.”

Zapytamy teraz szanownego autora przedmowy, czy duch poematu, nacechowany taką prawdą dziejową i prawością szczerą, mógł bez obawy być drukowanym, gdy więcéj pochlebny dla rodziny Wazów, Twardowskiego utwór, był publicznie palony?

Do wielkich i najpotężniejszych ustępów z dziejów długiego panowania Zygmunta IIIgo, należy zaprawdę wojna chocimska. Począwszy od zuchwałych wypraw możnowładców naszych Potockich i Koreckiego, co z nadwornymi chorągwiami i hufcami przyjaciół, wyzwali na rękę całą potęgę Porty Ottomańskiej,

i zwycięzko ją nieraz łamali, do smutnej wyprawy Żółkiewskiego i klęski cecorskiej, skutkiem której tak zwana w dziejach naszych wojna chocimska nastąpiła: to przedmiot w ciągłych ogniwach dla poezji historycznej, bo tam była nieprzerwana poezya czynu.

Najznakomitsi bohaterowie, którzy tyle upromieniali tron niedołęznego Zygmunta Wazy, na tych stepach krwią znaczyli swoje poświęcenie lub dźwigać musieli pęta w niewoli bisurmańskiej. Jeden z najpięrszych wojowników owego czasu, zwycięzki sędziwy hetman Żółkiewski ginie zgonem walecznego na polach Cecory. Korecki zamordowany jako braniec w Konstantynopolu. Wzięci w tyka: Koniecpolski, Mikołaj Potocki, Łukasz Żółkiewski syn hetmana z bratem stryjecznym Janem, Marcin Kazanowski, Bałaban, Strus, Farensbach, Morsztyn, w Jedykule długie lata przejęczeli.

Klęska cecorska rzuca postrach na całą Rzeczpospolitą i okrywa ją żałobą. Tysiące rodzin we łzach tonie, osierocoone z ojców, mężów, braci. Najdzielniejsi wojownicy legli trupem albo w więzach: a młody Osman pełen buty, gotuje pioruny Polsce, i potężne zbiera siły na jej podbój.

Ktokolwiek bacznie zbadał te czasy, podziwu nigdy zataić nie może nad potężną energią Rzeczypospolitej, jaką okazała w tej niedoli przy całej niedołężności, bezduszności Zygmunta. Pojmemy wszakże tę energią, gdy zrozumiemy ową głęboką wiarę i pobożność ojców naszych. Oni wierzyli, że na ciosy jakie odbierała Rzeczpospolita, zasłużyła przez błędy swój dziatwy; ale wierzyli zarazem, że Bóg zawsze ma ich w swój opiece, nie da upaść, a karze, to tylko chwilowo. Wierzyli, że Przedwieczny miłuje iud swój, co stoi żelaznym murem na straży Europy przed nawałą pogańską, bo pod tarczą tego ludu, inne narody żyły swobodnie. Ta wiara głęboka, hartowała ojców naszych serca przeciw trwodze, nie dawała padać na nie haniebną rdzy bojaźni, napęlała je otuchą niewątpliwą zwycięztwa. Każdy bojownik nasz zpod chorągwi krzyża, mało ważył swój żywot, bo był pewny, że w chwalebnym zgonie, broniąc wiary, otrzyma po śmierci indygenat niebieski na wieczność.

Pojmowali społeczeńsi, że w tej wyprawie bój idzie o śmierć lub życie krzyża Chrystusowego i mahometańskiego księżycy; czuli w tej walce, że w niej spocznie na potomne czasy wielki przedmiot eposu. Pojedyncze ustępy opiewali wierszem: to sa-

měj wyprawy chocimskiej, to śmierć Żółkiewskiego, to bohater-ska odwaga Samuela księcia Koreckiego zrodziła pieśń śpiewaną przez rycerstwo i naród. (1).

Samuel z Skrzypnej Twardowski w ogromnym poemacie swoim: „Władysław IV król polski i szwedzki (w Lesznie u Daniela Vetterusa r. MDCXLIX, folio minori), téj saměj wyprawie poświęca część drugą całą, do 4,000 wierszy.

Ale zaprawdę ten słynny swoich czasów poeta, nie wytrzyma porównania z Lipskim. Twardowski mając na myśli tylko Władysława IV, wówczas królewicza, pobieżnie wielki ten ustęp dziejowy przebiega; prawda, że nieraz tychże samych wydatniejszych szczegółów dotyka z Lipskim, ale przeciążony za każdym niemal wierszem porównaniami mitologicznymi, nie ma swobodnego polotu w obrazach, znać unuzenie, brak zapału, a przy języku znacznie zepsutym, najmniejszego nie widać poetycznego natchnienia. I różnią się téż wielce nieraz w sądzie o ówczesnych dziejowych figurach. Lipski, wyprawę cecorską licząc na karb wyrzutu Żółkiewskiemu, mówi, że wojsko zgubił, że się porwał bez uwagi, że zadał rzeczypospolitěj cięś sromotny. Twardowski ze czcią najwyższą wspomina sędziwego hetmana, ze szczegółami opisuje zgon bohatera: jak mając konia zabitego pod sobą, podanego od przywiązanego żołnierza nie przyjmuje, ale radzi mu samemu uchodzić, aby zaniósł senatowi jego ostatnie rady. Nie pomija rzewnego obrazu, jak na polach cecorskich zbierano pobitych; a małżonka Żółkiewskiego, Herburtówna, gdy głowę hetmana odciętą zaniecono w tryumfie do Stambułu, sam tułów tylko między tysiącem trupów, bez obu rąk, po bliźnie odniesioněj pod Bieczyną poznany, wspaniałym pogrzebem i mauzoleum w Żółkwi uczciła. W poemacie Lipskiego żaden z wojowników nie wspomina więcéj o zabitym hetmanie; Twardowski przemowę do rycerstwa Chodkiewicza podając, mówi:

„Stojemy grobowców tych blzko,
I ledwie nie na samo patrzem poboisko
Braci naszych pobitych, kędy przed wszystkimi
Starty, poległ Żółkiewski koźmi pogańskimi.
Ci nie płaczu jakiego i lamentów płonych,
Ale proszą, żebyście ich tu niezemszczonych
Z pola nie odjechali.”

(1) Podalem tę pieśń w całości w: Dzwonie literackim, pod redakcją Aug. Wilkońskiego.

Mimo to, Twardowski młodego królewicza Władysława dy-
mem kadzideł pochwalnych nie może dosyć napaść. Lipski praw-
dy nie tai, i gorzkich (jak widzieliśmy) przymówek nie szczędzi.

Twardowski mając na uwadze (jak rzekliśmy) głównego
tylko bohatera swego podług znanych źródeł dziejowych, dosyć
niedbale nawet wyprawę i walki opisuje; Lipski z całą miłością
przedmiotu, z całym uczuciem pięknoty tego obrazu, bierze pióro
do ręki aby go dokładnie oddać. Znać tu rękę mistrza, co dro-
bnemi nawet szczegółami dodaje wdzięku i ułudy, a wzywa do
pomocy i stare podania, i stare rękopisma, i słucha opowieści
tychże samych wojowników, co walczyli pod buławą Chodkiewicza
i Lubomirskiego.

Zaprawdę, aby utwór Lipskiego umieć dokładnie ocenić,
i całą wartość uwielbić, trzeba rozumieć przeszłość dziejową,
trzeba ją miłować. Lipski nas w tę przeszłość wtajemnicza,
mową, postaciami tylu licznych wojowników i ich charakterem.
Kto przeczyta uważnie cały ten poemat, to na długo pod silnym
wrażeniem zostając, śnić będzie o tych mężach w żelaznej zbroicy,
Marsowego oblicza, śnić te harce i walki krwawe, a urokiem
przeszłości osnuty, odetchnie niejedną chwilę, z całą ułudą,
w przed-dwuwiekowym potężnym dramacie dziejowym.

Chcąc dać poznać naszym czytelnikom ten pomnik tak wa-
żny, przejdziem w treści cały, przywiedziem wyjątki, aby każdy
mógł powziąć wyobrażenie języka, poezji i ducha, tak całości
jako i ustępów pieśni tego poematu.

CZĘŚĆ Isza.

Lipski tak zaczyna:

Wprzód niżli sarmackiego Marsa krwawe dzieje,
Potomnym wiekom muza na papier wyleje (1),
Boże! którego nieba, ziemie, morza chwałą,
Co tak mdlém piórem, jako władniesz groźną stałą,
Co się mścisz nad ostatnim tego domu węglem,
Gdzie kto usta przysięga sercem nieprzysięgłem,

(1) W kopii części tego poematu, którą mieliśmy w rękę przed kilka-
mi laty, początek poematu zaczynał się tak, jak go przywodzimy: cztery wiersze
dalsze (jak sam wydawca uważał) są dodatkiem późniejszym, i dlatego
je opuściliśmy.

Ciebie proszę, abys to, co ku twojej wdzięco,
 W tém królestwie śmiertelne chcą wspominać ręco,
 Szczeście raczył: boć to jest dzieło twój prawice,
 Hardych tyranów dumy wywracać na nice,
 Mieszać pysznych i z błotem górne równać myśli
 Przez tych, którzy swą siłą od ciebie zawisli.

Bierze na to przykłady z dziejów starożytnych, które zakoń-
 cza wspomnieniem:

Spadł z człowieczeńj natury Nabuchodonozor,
 I ten, co Boga bluźnił, trawę łapał ozór.

Po obrazie dosadnym zepsucia świata, i szczęśliwości owych
 dni przedpotopowych, a rajskich, przywiodłszy wiek wspomnień
 i mitologicznych, i z pisma śgo, po powtórzonej modlitwie do Boga,
 zaczyna właściwie utwór swój takim wstępem:

Polską naszą Bellonę na teatrum świata
 Sarmackiego prowadzę, teźby *jesne* lata (1)?
 I czas z ojcy naszymi miał zagrześć pożerny?
 Nie da Bóg swój roboty; otwieraj odźwierny
 Wrota, gdzie na szerokiej mój ojczyzny sali,
 Wielcy bohaterowie będą się pisali!

Odtąd daje dokładny obraz dziejów i stosunków Turcyi
 z Polską, wyprawy Stefana Potockiego do Wołoszczyzny, Kore-
 ckiego, a na ostatku i hetmana Żółkiewskiego nieszczęśliwego od-
 wrotu, jego pogromu, przez który otwartą drogę mając w granice
 Rptej poganie, w dumie i pysze swojej wyprawą chocimską chcieli
 Polskę zawojować.

Przywiedziem tu mały ustęp o Żółkiewskim i Koniecpolskim,
 z końca części piérwszėj.

..... Mógł był żyć, mógł się był i nie dać
 Żółkiewski, lecz się wstydzil panu odpowiadać
 Że wojsko zgubił, że się porwał bez uwagi,
 Że dał sromotne rzeczypospolitėj plagi:
 Wolał przeto bijąc się, paść w Marsowém polu!
 Głowa jego czas długi w Konstantynopolu,
 Znak pompy i tryumfu, odcięta od szyi
 U najwyższėj wisiła wieży, na kopii.

Wolał być Koniecpolski żywcem raczėj wzięty,
 I który czas pobrzakać dla ojczyzny pęty;
 Łacniój z turmy, niż z trumny powrócić się do niój.

(1) *Jesne lato*: pożerne. jedzące.

C Z E Ś Ć IIga.

Wojna chocimska.

Dopieroż teraz Osman co się dotąd wahał,
 Dotąd się rwać przymierza dziadowskiego strachał,
 Jakoby go na wściekłym rozparał umysle,
 Już w Krakowie popasa, już koń poi w Wiśle.

Wszystko co żyje rwie się do oręza, zbiega pod chorągiew
 Mahometa: gdy stary i poważny mufty staje przed młodym Osma-
 nem, odradzając mu wyprawę na Polskę :

Mnie się wojna z Polaki nie zda z przyczyn wiela:
 Zawsze stracić niż nabyć łaćniej przyjaciela.
 Imo to, że srogi grzech stare miły łomać,
 A kto wie, jeśli tego nie będziem się sromać?
 Kto ręczy za wygraną? Wołoskie igraszki (1)
 Za brednie to cesarzu poczytaj i fraszki.
 Niech się tak Skinderbasza bardzo nie kokoszy,
 Że cztery, stem czterdziestą tysięcy rozploszy.....
 Na dawne pomnijcie proroki,
 Którzy się nam pilno strzedz téj kazali dziury,
 Gdzie nam kracze upadek orzeł biało-pióry.

Wspomina dalej, jak małemi siłami sławny Chmielecki i Za-
 mojski wielkie Turków i Tatarów rozbijali hufce. Radzi opuścić
 chytrego Wołoszyna, a wiary zaprzysiężonej w przymierzu do-
 trzymać:

Bo wiara napewniejsze spraw ludzkich ogniwo.
 Tą żyjemy, to światło, to nasze krzesiwo,
 Z którego gdy choć w różne iskra serca wskoczy,
 W lot je wiecznym miłości płomieniem zjednoczy.
 Zła to wojna!
 Naród w złoto ubogi: nie ma przy zdrowiu
 Prócz chleba, soli, serca, żelaza, ołowiu.
 Pierwój cię droga znuży i Bałchany śnieżne,
 Niżli również Dniestrowe oglądasz pobrzeżne.
 Gdzie całoletnim chodem utrudzonych ludzi,
 Skoro mróz nieprzywykłej jesieni, wystudzi,
 Których wszystkich pieszczone wychowały nieba.
 Broni na nich Polakom dobywać nie trzeba:
 Pomrą jako jaskółki, jako muchy posną,
 Tylko że zaś drugi raz, nie ożyją z wiosną.

.

(1) Wspomnienie zwycięstwa nad Żółkiewskim.

Tak Turkom pod arabskiem rozpieszczonym niebem,
 Zimna Polska chorobą, mróz będzie pogrzebem!
 Uważ-że to cesarzu, uważ wszystko z gruntu,
 Że ludzi zpod miękkiego wiedziesz horyzontu,
 Gdzie za tłuste migdały, słodkie pomarańcze,
 Przyjdzie zbierać po lesie ogryzki szarańcze,
 Płonek nieużytecznych i cierpkich żołądki;
 Krótee mówiąc: sam was głód, sam was niewczas znuędzi.
 Polakom jako za dar, wszystko jako z mydła,
 Prócz, że tamecznych krajów ludzie są tworzydła:
 Bo niewczas, wiatry, śniegi, mrozy, sloty, głody,
 Snadniej znoszą niżli my, północne narody.
 Lecz bijąc się o wiarę i swoje kominy,
 Serce mają przed nami, gdy mają przyczyny
 Do wojny sprawiedliwej; dziesięćkroć się lepij
 Chłop (1) w obronie żywota, niż napastnik krzepi.

Zaciekły jednak Osman odrzuca mądre rady muftego i rozkazuje, aby jego księża dalej wojnę ogłaszali. Gorzej wyszedł Mustafa wezyr za odradzanie tej wyprawy: pchnięty andzarem w rękę, później zabity. Wojna więc krwawa niechybna. Ta pewność, *afekt*

. w Polsce zapala srodze.
 Nie Polska, chrześcijaństwo wszystko było w trwodze;
 Bo skoro się po świecie tak straszna roztrzęsie
 Nowina, jakby serca ukrawał po kęsie.
 Inszych wprawdzie zdaleka wiedzieć to dochodzi,
 Czyja tonie kobyła, ten najgłębiej brodzi!

Zygmunt III składa sejm, senatorowie zbiegają do Warszawy. Po zebraniu:

Tedy naprzód do Boga; przy świętej ofierze,
 Król i rada pokorne wyprawi pacierze,
 Żeby On, gdyż w jego są ręku wszystkie bitwy,
 Wejrzał na ludzi swoich niegodne modlitwy:
 Wziął to państwo w opiekę, gdzie od lat tysiąca,
 Powinna mu się chwala w kościołach poświęca.
 I na tożby przyjsć miały, aby je obrzydły
 Bisurmanin niememi pozostawiał bydły?

Piérwsza rada, aby do panów chrześcijańskich wysłać posły z prośbą o posiłki:

Przełożyć im przed oczy, jeśli dotąd ślepi,
 Że skoro się do Polski bisurmanin wrzepi,
 I zniesie to przedmurze: bez wszelakię chyby,
 Będzie ich suchą ręką zbierał jako grzyby.

(1) Mąż (*vir*).

Po wysłaniu za granicę posłów o pomoc:

Będzie albo nie będzie? Szkoda stawiać garnka,
Jeśli dopiero prosić u sąsiada ziarnka.

Poczęli radzić sami kogo obrać hetmanem, jak wojsko zebrać, z kąd zgromadzić pieniądze. Żółkiewski hetman wielki zginął pod Cecorą, Stanisław Koniecpolski *jeszcze brząka w żalostnej Jedykule pety*.

Wszyscy oczy i serca na jednego zgodnie
Obrócą Chodkiewicza: tak się zda, że młodnie,
Ze dzieła nieśmiertelne, których mu nie szcędzą
Późne wieki, siwy włos ze skroni mu pędzą,
. Ciebie dzisiaj woła
Ta wiekopomna praca, waleczny Karolu!
Jeszcze cię też nie znano w Konstantynopolu.
Poznają co za ludzie idą z naszej Litwy;
Kiedy serdeczny Polak wsiedzie na koń, przy twój
Doskonałej biegłości, o której sąsiedzi
Niech powiedzą: bitni Szwedzi.
W obozie się urodził, urosłeś na *łeku* (1),
Odbierajże buławę dziś z królewskich rąku;
I jeśli tak chcą nieba, ostatniej cwiczyzny,
Dopędzisz na usługę kochanej ojczyzny.

Siedmdziesiąt lat wieku już liczył wtedy Chodkiewicz: za towarzysza dodano mu Stanisława Lubomirskiego, hrabię na Wiśniczu. Uchwalono ośm poborów w Litwie i Koronie. Duchowieństwo zebrane na synod w Piotrkowie, sto pięćdziesiąt tysięcy złotych ówczesnych na ręce podskarbiego składa. Oznaczono 50,000 liczbę wojska stałego na tę wyprawę: z tych 14,000 w kirysach, 20,000 w kolczudze stanąć miało. Zebrano wszakże pod Chocim zaledwie 35,000. Przez wici wezwano szlachtę do pospolitego ruszenia, która ochotnie zbierała się pod swych województw chorągwie: bo wonczas:

Jeszcześmy jeszcze byli nie zgospodarzeli,
Żebyśmy się tak słusznej wojny wzdrygać mieli.
Nie dzisiaj to, odpuście, jeśli się kto czuje,
Gdzie nam tak dom, tak jego pieszczota smakuje,
Ze kontenci z szlachectwa, co nam idzie rodem,
Już go żadnym popierać nie chcemy dowodem.
Widzieć ich po jarmarkach i prywatnym feście,
Gdy się strojno, czeladno, przechodzą po mieście!
Pójdź-że z nim do publiki, choć w onéjże lamie,
Tak skromny, tak pokorny, że wilk a wilk w jamie.

(1) *Łek*, kawa czyli wyniosła część siodła; przenośnie, kulbaka, siodło.

Dopieroż gdy ich w pole wytkną trzecio wici,
 Przyjdzie stać na posłuchu, i zmoknąć do nici:
 Nuż podjazdy, nuż ona *potrzeba*, o której
 Słuchając włosy z czapką powstają do góry;
 Gdy mu grzbiet kirys orze, i jakby za winę
 Szyszak perfumowaną prasuje czuprynę;
 Gdy się przyjdzie narazić na kule, na strzały,
 I stać w miejscu cały dzień, jako cel przed działały,
 Patrząc gdy drugich niosą, słysząc świst nie luby,
 Oczy w górę podnosić, Bogu czynić śluby:—
 Stanieć za śmierć, strach śmierci; owszem jeszcze gorzej,
 Bo sto razy umiera, jeśli tam kto tchórzy.
 Nie dziw że mierznie wojna naszym galantomom,
 Którzy samym nawykłszy od młodości domom,
 Słuchają rychło w polu będzie po harapie,
 Rychło im kto *potrzebę* przyniesie na mappie!

.....
 Toż żeby dom nie zginął dla onój pociechy,
 Skoro zwiedzi w Warszawie co przedniejsze wiechy,
 Ożeni go: a ten też jakby wlaźł do twierdzy,
 Ani szable przypasze, ani ostrze ze rdzy;
 Zasznurowuje się w duchnę, i podobnych sobie
 Gapiów, jakich ni Bogu, ni ludziom naskrobie.
 Nie zna jak żyw pancerza, nie widział kirysu;
 Albo się gospodarstwa, albo imie flisu,
 Lubo siwe czabany za granicę pędzi,
 Lubo też piwo robi i browary smędzi.
 Mało na tém, czy flisem, czy wołmi, czy *bzdega* (1),
 Czego inszy krwią nie mógł, takowi dosięgą;
 Albo idzie do dworu, i tak świni ucha
 Nie uciąwszy, senator z onego piecucha.

Po takim zwrocie do współczesnej sobie młodzieży szlacheckiej, powraca nasz poeta do wyprawy chocimskiej. Wysłani posłowie do panów chrześcijańskich przywieźli niepokieszne wieści.

Papiész obiecał, ale wtedy pomoc, gdy cesarz z heretykami skończy, bo tam słał pieniądze; przydał w końcu:

..... Jako zbijecie Turczyzna do szczętu,
 Dam w każdym roku miejsce na pamiątkę świętu.

Wiedeń, pomimo skoligacenia Zygmunta IIIgo i dawaniej pomocy przeciw Czechom, nietylko wręcz odmówił, ale werbunków zakazał nawet. Hiszpan bardzo żałował, że się Polacy zwadzili

(1) W języku starych flisów gatunek galaru, na którym stoją młyny wodne przy brzegach rzecznych. Flis Klonowicza *bzdzem* nazywa młyn pobrzeżny na Wiśle.

z potęgą turecką, posiłku nie przysłał, ale na znak przymierza z Zygmuntem III wręczyć mu kazał złote runo, do czego dołączył *baranka świętego* (Agnus Dei) jako relikwią. Wenetowie w téjże saméj myśli dali odpowiedź. Nasz poeta o tych przyjacielach tak się wyraża: ·

Równi owym doktorom, co widząc w malignie
Chorego, że nie wstanie, że już daszą rzygnie,
Miasto jakich syropów, co mu jeszcze cięży,
Każą mu się z sumieniem rachować u księży.

Jeden król angielski, do którego wysłany był Jerzy Ossoliński, wyprawił 8,000 wojska w pomoc, opatrzywszy żołdem na rok cały. Gdzie jednak to wojsko wylądowało, i jaką dało pomoc, w całym poemacie dalej ani wzmianki nie ma.

Tak kończył się smutnie rok 1620 pełen klęsk i smutnych przepowiedni na przyszłość. Zima rozciągnęła swoje panowanie, i jéj obrazem zakończona część druga poematu:

Twardy mróz ujął ziemię; chociażbyś po bagnie
Kartaony (1) prowadził, pewnie się nie zagnie:
Kryształowym wątpliwe brody spiał pokostem,
I bystre rzeki szklannym poujmował mostem.
Biały śnieg, jako z woru, na ten się świat kida,
Bo się słońca z uboczy nie a nie nie wstyda;
Lecz skoro *oszedzieje* (2), skoro mrozem spierzchnie,
W rozliczne glance iskrzy swe lilie wierzchnie.

.....
Gdy słońce wpadło w Kozie-rogi,
Zima się na podniebne zwała podłogi.

CZĘŚĆ IIIcia.

Zaczął się rok pamiętny 1621:

Już się wiosna poczęła, już baran ochudły
Otrząsłszy gęste z śniegu zimowego kudły,
Skoro mu słońce wełnę cieplejsze *ugara* (3)
Po łąkach i zielonych murawach się *tara* (4).
Role się znowu ziarna u oracza dłużą
Pierwszego nie wróciwszy; lasy się papużą,

(1) Kartaon, działo 48-funtowe. (2) Szac. oszedzić, wyrażenie ludowe, gdy śnieg silnym mrozem przejęty, pokazuje błyszczące kryształki.

(3) *Ugarac*, upalić, dogrzewać, dopiekać. (4) *Tara*, tarza się, wala.

Obnażone konary, skoro im wiatr pętki
 Porozdyma, znowu się pstrzą w barwiste strzępki.
 Już krzykliwe żórawie, już swe gęsi klucze, (1)
 Jako nasz z śniegu rosa horyzont oplucze,
 Długięm pasmem prowadzą; i już wdzięcznemi głosy
 Po kniejach się wesolych przekrzykują kosy;
 A smutny słowik, wiedząc że mu się nie wróci,
 Tak we dnie, jako w nocy, po swęj stracie nućci.
 Już się po krzach pieszczone wabiły kukulki,
 Gdy Lubomirski sobie poruczone pułki
 Pod *Skalą*, gdzie się bystry *Zbrucz* z krzemieni zdziera,
 Przednią straż trzymający, obozem zawiera.

Zaraz rozesłał chorągwie na rozbiecie kosztów łupieżnych
 Tatarów, których rozgromił szczęśliwie *Szymon Kopyczyński*. Ho-
 spodar wołoski wysłał do obozu polskiego Konstantego We-
 weli, niby posła, a w rzeczy szpiega, pragnąc aby dawne przymie-
 rze Polacy odnowili z Turkami. Weweli miał poleczone zdać
 dokładną wiadomość, czy nie są Polacy zastraszeni ogromną potę-
 gą Osmana? czy

Ośmielić się ważyli, nierówną potyką
 Porwać się, jako mówią, na słońce z motyką.

Lubomirski nie mogąc dać odpowiedzi na list Wewelemu,
 zatrzymał go do przybycia Chodkiewicza, a tymczasem ustano-
 wiono kommissarzy do rady z władzą zawierania pokoju i trakta-
 tów. Pierwszym był Jakób Sobieski, młody, ale rozumem stary,
 dalej Mikołaj Sieniawski krajezy koronny, Maciej Leśniowski pod-
 komorzy bełzki, Michał z Tarnowa, Jan i Paweł Działyńscy. Nad-
 ciąga Chodkiewicz z Litwą i łączy się z Lubomirskim; ale po
 przeglądzie stary wódz, jak wyraża nasz poeta, *w głowę się skrobie*,
 widząc mniejsze zastępy, niż były uchwalone. Zatoczono obóz na
 pierwsze hasło, otrąbiono imię Jezus. Noc nadeszła:

Śpi obóz, na przyszłe się karasując prace,
 Mając wkoło posłuchy, i we straży place.
 Szumi Dniestr, a gdy woda z skałami się kłopi,
 W głębszy sen zmysły ludzkie onym szumem topi.
 Ty sam nie spisz za wszystkich, nie dasz zamknąć oku
 Wielki hetmanie! darmo tłocząc na bok z boku
 Twarde łożę; i w głowie pełno mając zgrzytu,
 Równo z strażą rannego oczekujesz świtu!
 Sto wątpliwości razem, razem tysiąc myśli,
 I w sercu i w rozumie hetmanowi kryśli!

(1) Ciąg, stado; ptastwo dzikie leci kluczem.

Chodkiewicz zbiera do namiotu radę, czy zostać na swojej ziemi, czy za Dniestrem obóz zatoczyć? Zgodzono, żeby zamek chocimski osadzić, i tu załedz poganom wrota. Otrąbiono przeprawę. Hetman wtedy każe stanąć przed sobą Wewelemu. Ujrawszy postać bohatera naszego:

Zbladł jak trup, i naprzód wzrok pokorny chyli,
Zaś chce upaść pod nogi hetmańskie; po chwili,
Poda mu chyżo rękę, i tak rzecze skromnie:
„Nie do Turczyńś bracie, ale przyszedł do mnie,
Głupi ludzie ten ukłon i czynią i właszcą,
U nas jednemu Bogu na ziemię się płaszczą.
Teraz już jedź w boży czas, i to miej odemnie,
Że jakom nie przypasał téj broni daremnie,
Alem nią gotów drogą opędzać ojczyznę,
Po to starość, i moję niosę tu siwiznę.”

Pokoju mimo to nie odbiega, i w tym celu wysła Szemberka, jako świadomego tureckich obyczajów. Staje most na Dniestrze, ale nie wszystkich serca ohotne były: niechęć głośna wybucha:

Taka uszu hetmańskich skoro dojdzie skarga,
Tylko mu się w drobny kęs serce nie potarga.

Surowy wódz, ściśle przestrzegający karności wojskowej, zataił gniew w sobie i złożył radę; użyli swego wpływu Stefan Potocki pisarz polny, z Jakóbem Sobieskim, i wnet trwoga miejsce radości ustąpiła:

Już śmieli, już posłuszni, nie szepczą, nie mruczą,
Zaprzęgają w skarbniki, lózne konie juczą,
Każdyby się rad widział w lot na stronie drugiej,
Gdyby można wbród przebyć krzemieniste strugi.
Skoro trąba wesolém ogłosi to echem,
Do mostu się co żywo pobiera z pośpiechem:
Ten jęczy pod ciężarem, Dniestr się z jadu pieni,
Wstydzi się okolicznych gór, i swych kamieni.

Lubomirski bęz mostu, na tratwach, już się rozgościł w Wołoszech. Piotr Mohiła wojewodzie przybył do Chodkiewicza. Z powoduto tego rodu Mohiłów, co się spierali z Turkiem o władzę w Wołoszech, i ta wojna wynikła, a poprzednio ksiązę Korrecki jęczy w pętach, Żółkiewski zginął:

Tu wisiał Wiśniowiecki, tu w kacernój męce
Trzy dni konał na baku, trzy dni na osęce
Umierał, i z naturą mordując się dużą,
Nie umarł, aż go gęste postrzały donużą.

Stały za Dniestrem wojska nasze:

Pięknie tam było patrzeć, gdy w onój równinie
 Tyło krzyżów, tyło się Pogoni rozwinie!
 Tyło orłów walecznych na zaszczyt korony,
 Niosąc gotowe skrzydła, wyciągnione szpony
 Na ścierwy bisurmańskie; gdzie kruki i sępy
 I pożerne harpije, wielkimi zastępy
 Czując o pewnym źerze, tém leciały chciwiój,
 Im się każdy przy orłach sarmackich pożywi.
 Jęczy ziemia gęstemi ubita kopyty,
 Czująca krwie cecorskiej mściciole Lechity.
 Krzyczą wesole konie w rzędy, w kity, w forgi (1)
 Ustrzępione, z wiatrami mieszają swe gorgi (2).
 Tak się zda, lubo w kole obraca się wężej,
 Lub prosto idzie który, że srożej, że ciężój
 Ziemię nieprzyjacielską kopytami depce;
 Zwłaszcza w naszym Podolu urodzone źrebce
 Gotują się z pieszczonój Arabii *łątek* (3)
 Pytać, jeśli rogowych podków mają szczątek?

Chodkiewicz, acz go starość długim wiekiem zgniata,
 Serca jednak wielkością, sił ciała nadplata.
 Twarz usławszy powagą, i sędziwe skronie,
 Na statecznym przed wojski krzepi się *hładonie* (4),
 Hetman polski roztropny, serdeczny, wspaniały,
 Szczęśliwy i ostrożny; którego chowały
 Na to nieba życzliwe, aby w takiej toni,
 Orłowi, i walecznej hetmanit Pogoni.

* * *

Igra krew w Lubomirskim, bo młodość krzemieżna,
 Żadnych szwanków na ciele, żadnych razów nie zna;
 Jędrznie mu we lwiój piersi, ono serce żywe,
 Im bliżej czuje pole sławy swój szczęśliwe.
 W oczu choć nieznaczny
 Uśmiecha się, gdy czas ma, Kupido sajdaczny.
 Pod nogami koń dzielny, i według podoby,
 Który do przyrodzonej chodzi i ozdoby,
 Widząc, że złotem gore, i co ma za jeźdźca,
 Stać spokojnie nie może, lecz na miejsce z miejsca
 Stąpa, wysmuknionej go szukający nodze,
 Rzuca wodza, i munsztuk upieniony głodze.

Uderzono w trąby i kotły:

Wszyscy ręce i oczy podniosłszy ku Bogu,
 Żeby przytarł hardemu tyranowi rogu;

(1) *Forga*, kita, pióropusz (2) Podskoki. (3) Łątka, lalka.

(4) *Hładon*, nazwa konia Chodkiewicza: znaczył *gładki*.

„Nie nam, nie nam Panie nasz, podłemu stworzeniu,
 Ale daj chwałę wieczną swojemu imieniu!
 Niechaj przyjdzie poganom tu do znajomości
 Imię, na które wszystkie dygocą zwierzchność!
 Straszne imię, na które kiedy każesz, snadnie
 I ziemskie i podziemne kolano upadnie!”

Tak z modlitwą, obróciwszy swe orły, weszli do obozu.

Hetman za schwytanym językiem już wiedział, że Osman przebył Dunaj, a tu ani słyhu o Kozakach, o królewiczu Władysławie, o Zygmuncie IIIcim, co mieli przybyć w positek. Ale troska starego wodza w radość się zmieniła, gdy nadbiegł od Kozaków poseł z wieścią, że *sajdaczny* z rączą jazdą i swemi junakami w drodze do obozu. A *sajdaczny*:

Z ich trupów groble robił, a chociaż na susze,
 Kąpiel sobie i swoim naprawiał w ich jusze.
 Już świat znał *sajdacznego* i łodzią i koniem,
 Już go widział oczyma, nierzkąc słychał o nim
 Wielki cesarz turecki, gdy znalazłszy przeście
 Przez dniewprowe porochy, palił mu przedmieście
 Pyszne Carogrodu, któremi pożogi
 Pogańskie zabobony, brzydkie synagogi
 Płonęły kopcąc dymem brzoń onę jasną,
 I tylko muzułmańską krwią te ognie gasną.
 Tak gdy oba Azyej i Europy klucze
 Wiotchym perzem okurzy, i w sadzach obrucze,
 Skoro w głąb' na mil kilka wszystkie brzegi zmaca,
 Do swoich się porochów z korzyścią powraca.

Dał się we znaki dobrze i Tatarom:

..... U samego hana
 Chociaż w Bakezyseraju zadrżały kolana!
 Napatrzył się Oczaków choć niebardzo smacznej
 Krotofile, gdy nieraz odważny *sajdaczny*
 Opędziwszy ich w mieście, i zamknąwszy w skrzynie,
 Słał trupem równie pola, i długie gościnie.

Chodkiewicz wałami obóz umacnia, oczekując z tęsknotą przybycia Zaporozców, gdy poseł nowy od nich Doroszenko nadbiega z doniesieniem, że zbliżają się już ich chorągwie, rozbiwszy zwycięzko ómę tatarską. W poselstwie do Władysława królewicza, ażeby przyspieszył drogę do obozu, ruszają Stanisław Żółtowski i Sobieski Jakób. Tu wylicza poeta poczty panów, co stanęli lub sami, lub dostawili chorągwie przy młodym królewiczu. Byłyto stare i wytrawne do boju roty; każdy z nich:

Co się rodził w obozie, we krwi go kąpała
 A trzaskiem muszkietowym matka usypiała;
 Co mu nie zadrży czoło, choć w ogniu, choć w kurzu,
 Za którego piersiami staniesz jak w zamurzu.

Widząc na czele pułku, który wystawił, młodego Tomasza Zamojskiego, taki zwrot czyni do jego ojca hetmana wielkiego, i wzywa go jako patrona mężnych:

Obyż cię dziś ojczyzna miała, wielki Janie!
 Na samo imię twoje zdechliby poganie;
 Ale żeś poszedł z ziemię, i już mieszkasz w niebie,
 Przecięć o swych w niniejszej pamiętaj potrzebie.
 A jakoś strącił Niemca, co świadczy Buczyna,
 Tak pomóż z tegoż stopnia strącić poganina,
 Pomóż grozą przezwiska i ogromiej sławy!

Zygmunt IIIci stanął pode Lwowem w 6,000 dobranego wojska. Wieść tymczasem nadbiega, że Tatarzy znieśli całkiem Zaporozców. Nowa troska dla hetmana i żal, że i Władysław opóźnia swój pochód. Gdy Chodkiewicz wysłał podjazd dla sprawdzenia téj wieści, ukazał się zdaleka tuman, zabrzmiał krzyk wojenny, huk strzelby. Szedł to pułk kozacki obciążony łupy, pod przewodztwem Brodawki; i nieświadom dobrze drogi, *włażt* (jak wyraża nasz autor) Turkom w samo gardło, bo w środek ich taborów. Spozrzegli Kozacy, że nadeszła chwila o śmierć lub życie; zsiadają więc wszyscy z koni:

Toż skoro się potwierdzą, i popluną dłoni,
 Czoła przetrą, i szyłku posuną po skroni,
 Zepną tabor a działa, których ośm dwadzieścia
 Ciągnęli, tak rozsadzają, że nikędy prześcia
 Nie mógł mieć nieprzyjaciół, którego impetu
 I ostatniej fortuny czekają dekretu.
 Toż gdy się Turcy na nich ze wszech stron wyskapią,
 Gdy się zbliżą, a wozy tu i owdzie szczypią,
 I rozumiejąc, że już z strachu pomartwieli,
 Im owi dłużej trwają, nacierają śmieliej;
 Dopieroż jako z chimury grad, jako groch z woru,
 Działa i samopały razem z ich taboru
 Śróty z ogniem, i kule rzygną w on gmin gęsty:
 Lecą na wszystkie strony chłopci jako *chmięsty* (1),
 Kurzą się pola w dymie, grzmią lasy w odgłosie,
 Słyszy go durny Osman, i proch czuje w nosie,
 A pogaństwo ustawszy ziemię onę ścierwy,
 Ucieka, kto najdalej, kto może najpierwój.

(1) Ścierwo zwierząt.

Gryzie się Osman strasznie, włosy na łbie targa,
 Że się dziś piérwszy giaur w jego krwi uszarga,
 Że jako lew dzierząc się drogi przedsięwziętój,
 Idzie, choć oszczekany drobnemi szczeniętj:
 Żęby tylko pokaże, albo machnie chwostem (1),
 Aż nizerne skowery kładą się pomostem.

Ośm dni w tój gardzieli tureckiej zwycięzko przetrwali bohaterscy Kozacy.

Jako zółw w swoim sklepie, jęcz w swój ości krępy,
 Rzną się śmieie taborem między ich zastępy.

Turcy musieli im otworzyć przejście, usłane własnymi trupami. Osman odbiera wiadomość, że 400 Kozaków odciętych, w poblizkiej się skale zatarasowało; spieszy tam i dobywać ich każe. Janczary uderzają piérwsi, a sto ich trupów zaraz pokryło ziemię: otoczonych, bez pomocy, przez dni cztery dobywał Turek tych junaków daremnie. Głód i brak kul i prochu, jak pięknie nasz autor wyraża:

Nie żelazo—natura wojuje ich sama!
 Gdy ich ręce opuszczą, dygocą goleni,
 Przyznają, że przegrali, że już zwyciężeni:
 Puszczą swój zamek luby, a gdzie stał zuchwały
 Osman, rzucą pod nogi zimne samopały.

Zwycięzki władca pięciu przywiązanych do buku, strzałami sam ubija; resztę na pastwę wojsku oddał.

Kantymir Murza zaszedłszy z boku uderza znienacka na obóz, ale ze stratą odparty, ledwie sam uniósł się zdrowo z ogólnej porażki.

Kończy nasz poeta część III swego poematu opisem przybycia Kozaków pod sprawą *sajdaczego*, przyjęcia przez Chodkiewicza, i radości w obozie całym.

CZĘŚĆ IVta.

Nadeszło lato w całym rozwiciu:

Zabielały się góry i Dniestrowe brzegi;
 Rzekłby kto, że na ziemię świeże spadły śniegi,
 Skoro Turcy stanęli, skoro swoje, w loty
 Okiem nieprzemierzone rozbili namioty.

(1) Ogonem.

Nie toczyli obozu, nie ciągnęli sznurów,
 Ale tak małą garstką wzgardziwszy giaurów,
 Kędy kto szedł, tam stanął; na mocy się czują:
 Jeśli nas nie wystraszą, to pewnie zaplują.
 Nie ma im tu co bawić, nie chcą się rozgościć,
 Wisła im głowę psuje, jako ją pomościć.

Osman pogląda z góry na polski obóz, już jakby go miał
 w trokach!

Kto mu wspomni nie w polskim wiececzną obozie,
 Choć najwierniejszy sługa, będzie na powrozie.

Nikt nie śmiał więc ognia rozpalić. Wala się wojska bisur-
 mańskie straszne. Janczarowie na czele pod wodzą samego Os-
 mana, jadącego na białym arabinie, w barwistym złoto-głowie.
 Nad nim buńczuk z mieściem. Na przedzie

..... na widoku stały
 Nieznane oczom naszym dotąd specyały
 Straszne słonie, co trąby okrom mają kielców (1);
 Każdy swą wieżę dźwiga, każda wieża strzelców
 Po trzydziestu zawiera: tak gdzie tylko chodzą
 Rozdrażnione bestye, nieprzyjaciół szkodzą.

Konne szyki, śmiałe spahi, rozwijają szeregi w oczach na-
 szego rycerstwa: a wszystko przybrane strojno i bogato, bez ki-
 rysów przecież i pancerzy. Kurzawa wzniosła się, by chmu-
 ra gęsta:

W tymże obłoku stali Murzyni cudowni.
 Jako się błyszczy iskra w opalanej główi,
 Tak i tym z warg napuchłych, z czerniejszej nad szmelco
 Paszczęki, bielsze niż śnieg wyglądały kielce.
 Tu się w szeroko-białej na wierzchu koszuli,
 Po polach Mamelucy przestronnych rozsuli:
 Jakoby przy łabędziach postawił kto kruki;
 A gęste się nad niemi wieszają buńczuki.

Dalój wylicza nasz autor wszystkie narody, co się tu pod
 chorągiew Mahometa zbiegły razem. Ogromną ilością dział
 osnuli gęsto swój obóz, a gdy uderzyli salwę, sam stary Chod-
 kiewicz przyznał, że nigdy takiego huku działowego nie słyszał.

Niecierpliwy Osman szykuje z góry patrząc zastępy swoje
 do boju: wydaje rozkaz jednookiemu Husejmowi aby już następo-
 wał, a kto pierwszy mu nowinę przyniesie zwycięstwa, dostanie
 sto tysięcy we złocie: da i konia z rzędem. Chodkiewicz dowia-
 duje się:

(1) Kłów.

Że się Osman u niego kładzie na obiedzie;
 A ten skoro nabożne modlitwy odprawi,
 Wstawszy z kolan na nogi: „Rad mu będę (prawi),
 Tylko niechaj nie mieszka, niech nie kwasi grochu,
 Będzie bigos gorący z ołowiu i prochu.
 Jeżeli téż chce zażyć pieczeni podróżnej,
 Gotowi zarębacze czekają i z różny”.

Toż na się zbroje bierze i świetne paize,
 Rzekłbyś, że mu się nazad wróciły trzy krzyże,
 Ani lat siedmdziesiąt twarde blachy gniotły.
 Wraz każe w swe uderzyć *wsiadanego* kotły,
 Larmo zatém po wszystkich obozach się szerzy:
 Jedni do zbroj, drudzy się biorą do pancerzy,
 Wszyscy na koń wsiadają i wychodzą z szańcu:
 Rzekłbyś, że na wesele, rzekłbyś, że do tańcu,
 Że już na skroń, korony wdziali tryumfalne.
 Grzmią bębny w regimientach, a kotły tubalne,
 Gdzie żelazny na rzeźwycy jeździec koniech siedzi,
 To basem, to diszkantem, rozprawują w miedzi;
 Bez wiatru, i powietrze pomagało echu,
 Kiedy trąby wesołe, surmy bez oddechu,
Zadumani (1) szyposze, co im staje pary,
 Nucą treny marsowe, w gwardyach fujary.
 O chwalebna ochoto! o kochana młodzi,
 Serce rośnie patrzącym, gdy nakształt powodzi
 Blizkie pola osuli, a mężnemi czoły,
 Wyrażają zmieszany gniew, z radością wpoły!

Tu po szczególe wylicza autor różne polskie chorągwie.
 Chodkiewicz wybrawszy z każdej rotty męża, zatrzymał przy sobie,
 aby niósł jego gdzie potrzeba rozkazy; orszak taki więcéj tysiąca
 prznosił. Gdy wszystko w pogotowiu stało:

Obróci się Chodkiewicz czołem na swe szyki,
 Gdzie widząc zgromadzone wszystkie pułkowniki
 I rotmistrze, i wielką część z narodów obu
 Żywój młodzi, starego trzyma się sposobu
 Zawołanych hetmanów; zdjąwszy szyszak z głowy,
 Krótkiej, lecz zwięzłej do nich zażyje przemowy:

„To pole, cne rycerstwo! na którym przewiska
 Polacy przez Marsowe nabyli igrzyska,
 Ani naszej Pogonia starożytna Litwy
 Po morzu swe z pogaństwem toczyła gonitwy;
Pole mówię, nie słowa, nie czczój pary dźwięki,
 Ale kocha roboty bohaterkiej ręki.

(1) Zasapani, zadęci, to jest zmęczeni dęciem w surmy.

Ani mnie ust natura formowała z miodu,
 Ani téż tam oracyj trzeba i wyvodu
 Gdzie Bóg i pan, swoje składy święte
 W archiwie piersi waszych chowają zamknięte.
 Dziś wam się Bóg swój chwały, dziś oltarzów zwierza,
 Nowego, które stwierdził krwią własną, przymierza:
 Klasztorów płci obojój, kędy świecką tuczą (1)
 Wzgardziwszy, w łzach nabożnych grzechy nasze płuczą,
 W Bogu ślubnej czystości, i sercem, i usty,
 Odpuszczają ust naszych, i serca rozpusty:
 Wam, i rodzice, krewne, nawet dzieci małe,
 Płeć niewojenną, dziewczki oddaje dojrzałe.
 Tożby miały ku żądzy psićj pogańskiej juchy,
 W oplakanój niewoli rodzić Tatarczuchy?
 Wam ubogich poddanych chrześcijańskie gminy,
 Domowe naostatek ściany i kominy
 Pokazuje zdaleka matka utrapiona,
 Pod wasze się z tém wszystkiém dziś kryje ramiona!
 Do was obie wyciąga ręce.

.....
 Ja uniżone Bogu czynię dzięki, że mi
 Dał żyć na nizkiej do dnia dzisiejszego ziemi,
 Dał na tém stanąć miejscu, zkąd jeżeli żywo
 Wrócę, czeka mię żyzne wiecznej sławy żniwo.
 Jeśli téż tu Bóg schyłki wieku mego zcedzi,
 I to zysk liczę, gdy mię nie doma sąsiedzi,
 Lecz tak wiele chrześcian, pod tutecznym niebem
 I moje martwe kości ozdobi pogrzebem.

.....
 Dobądźmy na dzisiejszy dzień chowanój broni,
 A skoro hasło „*Jezus!*” po wojsku zadzwoni,
 Nie szcędząc bisurmańskiej nikczemnej posoki,
 Odbierzmy należyte szabli swój obroki.
 A ty, o wielki Boże! który jedném słowem
 Wodzisz wojsk miliony, przeto obozowym
 Panem się słusznie zowiesz:
 Pokaż swoje moc, w naszej niedoładze lichój,
 Zepchnij nieprzyjacioły swoje dzisiaj z pychy.
 Oni liczbie tak wielkiej, wozom, koniom, a my
 W tobie tylko, jedyny Boże nasz ufamy!
 Racz podrzćć wielkich grzechów naszych katalogi,
 Weź im serca, a nam daj! pokrusz im ostrogi,
 Niech im się łuki łomią, niech im szabla stępie,
 Daj cześć swemu imieniu, w tym ludzi zastępie.”

Gdy dokończył Chodkiewicz takiój swojej mowy,
 Zdało się, że ze słońca promień go ogniowy

(1) Tucza, burza: wyraz w powszechném użyciu w dzisiejszej Galicyi.

Ogarnął, że na głowie i na skroni białej
Włosy mu oszedziały, płomieniem gorzały.

Zabrzmiała pieśń *Boga-rodzice*, i bój krwawy zawrzał wokóło. Osman, co chciał być na obiedzie w obozie Chodkiewicza, do wieczora był na czczo. Odtąd zaczyna i ciągnie w następnych częściach obrazy potyczek już mniejszych oddziałów, już całego zebranego rycerstwa. Owóż co w tej opowieści najwięcej uderza.

Pomoc kozacka, rzecz można była prawą ręką Chodkiewiczowi; na ich też obóz poganie całą wściekłość swoją obracali. Ale jak rozhukane bałwany morskie, uderzając o skałę nieprzełomną, daremnie ponawiają swe napady, i białą pianą znaczą wysiłki swoje: tak Turcy zieloną murawę, lub żółty piasek, uścielali turbanami białymi. W bohaterstwie współubiegali się i dzielni Kozacy, i rycerstwo naprzemiany. Władysław królewicz zaledwie do obozu przybył, rozchorzał i łóżka tylko pilnował; Zygmunt III obojętny na straszliwą walkę, pode Lwowem polował sobie na zające; a gdy poseł Krzysztof Palczowski z obozu od hetmana nadbiegł, z listem, aby pomoc dał „ten list (jak wyraża Lipski) nieczytany:

..... „W skórzane pludry włoży,
W drugą zaraz dolinę ogary założy.”

Choć wojska miał trzykroć więcej, jak zebranego było pod Chocimem, bo Zygmuntowi:

..... „psie gony
Milsze, niż sława dobra, niż całość korony.”
(Część 6ta, str. 262).

Walka wre pod Chocimem: Sieniawski uderza na Turków:

Wprzód chrzęst tylko, i słychać szelest było cichy,
Gdy nasi ławą brali pogaństwo na sztychy:
Żaden swego nie chybi, i trzech drugi dzieje,
Że im ciepłe wątroby kipią na tuleje (1).
Trzask potym i zgrzyt ostry, gdy po same pałki,
Kruszyły się kopije w trupach na kawałki.
Pełno ran, pełno śmierci: więzną konie w mięsie,
Krew się zsiadła na ziemi galaretą trzęsie,
Ludzie się niedobici w swoich kiszkach płacą,
Drudzy chlpią z paszczęki posokę gorącą.

.....

(1) *Tuleje*, tulejka, przy strzemienu do wkładania kopii czyli lancy.

Chodkiewicz, choć go starość, choć go słabość nęka,
 Rzekłbyś że to nie jego głos, nie jego ręka,
 Tak swoich napomina, nieprzyjaciół bije:
 Gdzie się tylko obróci, lecą głowy, szyje.
 Już trzeciego Sieniawski mężny grzeje konia,
 Sam krwią przemókł do nici, kiedy nań z ustronia,
 Spadnie Turczyn dorodny w okropnej posturze:
 „A długoż dokazywać będziesz psie gjaurze?
 Czasby też przestać!“ a wraz co siły nań przytnie,
 Ale cóż, szabla tylko po szyszaku zgrzytnie;
 Chce powtórzyć, lecz przyszło rozstawać się z światem,
 Bo mu łeb zdjął i z brodą Sieniawski bułatem.

.....
 Mąż z mężem się zderzają, lecą Turcy z łęku,
 Pełno wzdychania, pełno konających stęku.
 Słyszy to Lubomirski, i nie czeka dłużej;
 Jeśli się komu zedrze chciwy chart z obróży,
 Gdy go lis polem mija, albo zajęc kusy,
 Takie czyni serdeczny Lubomirski susy.
 Koń pod nim skarogniady krwawe toczy piany,
 Nozdrzem iskry z płomieniem bucha naprzemiany,
 Zanurzy się w zastępach bisurmańskiej zgraje,
 Ręką bije, przynuką ochoty dodaje,
 A skoro już wytrzęsie z gładkich kopij toki,
 Pałaszami tureckiej dosięga posoki;
 Zamiesza ich jak w kotle, jako w garcu kaszę,
 Sam koncerzem znacznego w oczu wszystkich baszę
 Obali.....

Tam Piotr Lipski Araba upatrzywszy, który
 Pod forgą u złocistej zórawią misiury,
 Znaczny koniem po rzędzie i jedwabnej kiecy (1),
 Wysokie miał ramiona i szerokie plecy:
 Siła broił nad inszych, siła świata zbawił,
 Już i konia zmordował, już się sam ukrwawił,
 Sam nam późni wygrana, sam bitwę odnawia;
 Więc go z boku zajeżdża, i nieznacznie zławia.
 Postrzegł tego poganin, i prosto nań jedzie,
 Wprzód go dzidą pomaca, ale się zawiedzie,
 Bo obojczyk wytrzymał; toż jako się zbliży
 Chce pchnąć szabłą Lipskiego, kęs kirysu niżej,
 Lecz mu raz zmylił, i nim Arabin powtórzy,
 W piersiach mu bystry pałasz po sam krzyż zanurzy.
 Jeszcze się opierają, jeszcze Turcy krzepią,
 Nakoniec kiedy się w nich zbliżka naszy wrzepią
 Pociskawszy chorągwie i stare buńczuki,
 Ławą wszyscy uciekli.

(1) Płaszcz żołnierski.

Dumny Osman po tój klęsce w babi płacz, i kobiece rozwodzi lamenty; ale i nasz Chodkiewicz smutny, bo mimo zwycięstwa, chorągiew jego pułku Turcy przypadkowo pochwycili, gdy chorąży Jankowski, uniesiony rozhukanym koniem, wśród tłumu pogan musiał ją porzucić.

Osowiały stary hetman wróży sobie śmierć rychłą: co dzień słabiał, na twarzy sinieje, ubywa mu pamięci, i zgoła zdzieciniał.

Uśmiechnął się na widok pogromu pogan, ale z utraty chorągwi serce go boli; wolałby sam paść trupem i sto razy zginąć, niżeli ją widzieć w meczecie tureckim rozwiniętą: szykuje rotę swoje do boju. Z jakąż rozpaczą między buńczukami ujrzał i swą chorągiew. Lisowczykom pod wodzą mężnego Sokołowskiego rozkazuje uderzyć i odbić ten znak Chrystusowy. Uderzają, łamią pogan, ale Turcy unoszą najpiérw swą zdobycz, owę tyle oplakiwaną przez Chodkiewicza chorągiew. Po naradzie wojskowej, zamierzają Polacy nocny napad; sprzykrzyła się im leża obozowa, a i głód zaglądał. Przystaje stary hetman, ale dėszez ulewny przeszkodził. Boska to była opieka, bo Turcy dowiedzieli się już o tój wyprawie: w pogotowiu stali, i nieochybnieby nasi klęskę ponieśli. Kozacki rozruch szczęśliwie utłumiono, i zjednano, że dotrwają do końca; w czém waleczny sahadaczny ochotą i słowem, a Lubomirski hojnością pomagają.

Spełzły umowy, gdy Karakas napad wymierzył na obóz polski; ale rozbity, przecież zostawił rycerstwu bogate łupy, a sam głową własną przypłacił zuchwałość dumną.

Szczęście dla naszój szabli było zawsze przychylne, ale otoczone rycerstwo cimą Tatarów, którzy przejmowali wszystkie nadchodzące z żywnością tabory, zagrożone było głodem.

Zbiera radę Chodkiewicz, przedstawia smutne położenie; za przewodem Lipskiego wszyscy przekładają śmierć na polu, jak cofnięcie się na krok przed poganinem. Lipski w uniesieniu ścisnąc oburącz szablę, zawołał wtedy:

Każ w majdanie szubieńcę na przykład narodom
Postawić, niechaj wisi, kto zamysła do dom.

Z uczuciem radości patrząc na to bohaterstwo, umiera stary hetman: Władysław buławę doręcza Lubomirskiemu. Następują opisy nowych walk, zwyciężkich zawsze dla Polaków. Przystaniemy tu na przywiedzeniu jednego ustępu z części 9, o poświęceniu Jana Lipskiego.

Jan Lipski stary rotmistrz usarskiej drużyny,
 Czterema dorodnemi otoczony syny,
 Czterech miał, czterech w registr swój chorągwie pisze,
 Przybrawszy własne do niej dzieci w towarzysze.
 Precz tarcze, precz kirysy, precz stalone nity,
 Kogo Bóg tak mocnemi opatrzy zaszczyty!
 Czas odmienia przyjaciół, i fortuna mylna,
 Twoja krew ojeze z tobą nigdy nierozdzielna;
 Niech kto każe na skarby, sługi, mury; każ ty
 Na swe dzieci: to skarby, to ludzie, to baszty!
 Ten tedy widząc że tchórz poganów obleci,
 Tak rzecze do miłych się obróciwszy dzieci:

„Pięćdziesiąt lat bez mała, moja droga młodzi,
 Jakom twardego Marsa służbę wziął, dochodzi;
 Jako krew chustem leję.....
 Że mi już żadnej rany, chybaby przez bliźnę
 Ani szabla turecka, ani szwedzka kula,
 Łuk tatarski, i oszczep.....
 Z tym się pochwalić mogę przed wszystkiemi śmieie,
 Z przodu zadać nie może, na skrzywioném cieie.
 To herby, to są moje Śreniawy rumiane,
 Z temi z grobu na trąbę archangielską wstanę
 W on popis generalny: i da mi wódz święty
 Niebieski indygenat za takie prezenty.
 I mnie, aż do dziś dnia ten nagrobek czekał:
 Tu Jan Lipski umierał, a nie zład uciekał.

„Nie to żywot sto lat żyć, sto lat w ziemi gmerać
 Myśląc tylko, żeby jak najpóźniej umierać.
 Zniknąc potem na wieki w ziemię się zagrzebiesz;
 Jeden dzień, jeden sercu wspaniałemu lepszy,
 Co mu tysiąc lat da żyć na ziemi, a w niebie
 Szczęśliwe, nieprzeżyte wieki po pogrzebie.

„Miejcież to dziś odemnie moje lubo dzieci!
 Że jako w lichwie nigdy nie dziedziczy trzeci,
 Jako zawsze przed słońcem jasna chodzi zorza,
 Jako wilk na barana, tak śmierć mrze na tchórza.
 Namaca go w tysiącu, dosięże go w murze,
 Niech we dzwonie, w żelaznej niech chodzi *delurze* (1).
 Serce śmiałe, a bystrzej natarczywość ręki,
 Jako topor, zawite w dębie mija sęki.

„Dzisiejszy dzień synowie! moje krwawe prace
 Skończy, albo ozdobi; wszyscyć swoje place

(1) Ferezya, sznuba, zwierzchnia suknia, zład *delia*.

Zależem, które nam raz śmiertelnej natury,
 Różnym różnie w pieluchach wymierzyły sznury.
 Bo jedna tylko na świat ciasna furta człeku
 Tysiąc z świata przestrzonych: mnie umrzeć na łęku
 Miliej niżli na łożu; i com szablą robił
 Słuszna, żebym to dzisiaj szablą przyozdobił.
 Wam przykład zostawuję, drogą miłość z sobą;
 Bo jakoście pod jedną leżeli wątrobą,
 Tak żyjcie i na ziemi, a jednością waszą,
 Dobrzy się uwesela, niedobrzy ustraszają“.

Jeszcze dobrze słów onych nie dokończył dźwięku,
 A już pałasz śmiertelny błysnie mu się w ręku.
 Toż, co lepszych kilkuset przybrawszy do sfory,
 Jako jastrząb w stado wron, i on tak ochoczy
 Na lewe tureckiego szyku skrzydło skoczy,
 I baszy, co na tamtém rozkazał skrzydło,
 Przy samych łeb ramionach utnie, jak po mydle.
 Spadł buńczuk chorążemu, przycięty u ręku,
 Wypadł i sam, przez piersi pchnięty sztychem, z łęku:
 A im byli poganie na jego odwagi
 Niegotowszy, tém brali przystojniejsze plagi.

Kiedy tak wszyscy mężnie przy swym pułkowniku
 Rzezą Turki na pował, żaden o języku
 Nie wspomni, aż Hieronim syn jego najstarszy,
 Podufałego konia ostrogami zwarłszy,
 Który mu się z urody uda i kibici,
 Z obudwu rącz Turczyna za piersi uchwyci;
 A kiedy na powódzie nie chce iść i zrzędzi,
 Piotr go młodszy obuchem za plecy popędzi.
 Toż go co w koniech skoku, z przetarganą brodą,
 Prosto ku obozowi do hetmana wiodą.
 Drudzy dwaj przy rodzicu i z prawa i z lewa
 Jako baszty, jako dwie nieułamne drzewa,
 Rum sobie szablą czyniąc, następują śmieie,
 Kędy im się do wiecznej sławy droga ścieie.

Już się Turcy postrzegli, co dotąd jak niemi
 Stali, skoro swych tysiąc obaczą na ziemi,
 Których im garść tak mała naszych, prawie z garła,
 O wstydzie niewrócony! o hańbo! wydarła;
 Toż miesiącem Hussejm zakrzywszy krzywem
 Zawrze naszych, jak w bani: a ci sercem żywém
 Bojaźń w męstwo obróca; w ostrze tylko broni
 Swe nadzieje po Bogu kładą, że z téj toni

Wynijdą. Tam Lipski, jako Leonidas drugi
 Umrzée chce zwyciężając: krwawe zewsząd strugi
 Szumią: i którąkolwiek rzuci cugle stroną,
 Jako trzcina poganie, jako słoma płoną.

Nigdy tak bystra Wisła nie rozbierze brzegów
 Kiedy ją z roztopionych wesprze wiosna śniegów,
 Jaką dziurę w pogaństwie garsć ludzi tak mała,
 Przy mężnym wodzu, ostrą szablą rozkopała.
 Któremu już niesytc śmierci ludzkich jędze,
 Bystrolotném wrzecionem dowijały przędzę.

Koń pod nim uderzony arabskim dziretem,
 Padł na ziemię, i pana tymże zbył impetem.
 Co gorsza, że mu nogę oném obaleniem
 Gdzieś do skały przycisnął pospołu z strzemieniem.
 Takei wiekopomnemi żywota przykłady
 Przedłużywszy, gęstych strzał i *kiścieniów* (1) grady
 Osuty, stratowany szkapiemi kopyty,
 Bogu dał nieśmiertelną duszę w depozyty,
 Ciało synom, które ci z gorzkich lez kąpiele
 W Kamieńca Podolskiego złożyli kościele.

Część X i ostatnia obejmuje traktaty z Turcyą, szczęśliwe zakończenie téj krwawej walki, i powrót rycerstwa naszego do rodzinnych progów.

Tenci był koniec wojnie, która im straszniejsza,
 Tém téż dzięki wielkiemu Bogu powinniejsza
 Za jego świętą pomoc. On nam sam hetmanił,
 On pogaństwu tak harde bezpieczeństwo zgańił.
 Dłaczego Grzegorz siódmy, tak wielkiego dobra
 Pamiętkę, dziesiąty dzień nazaczył oktobra,
 W który Osman nadęty spadł z imprezy swojej;
 Żeby póki nizki świat, póki Polska stoi,
 Święcił go boży kościół naszego narodu,
 Dla wiecznego litości nad nami dowodu.

.....
 Twojéjto twojéj dzieło wszechmogacéj ręki,
 Za coć wszyscy pokorne oddajemy dzięki,
 Ofiarę i na czystych serc kładziemy ognisko,
 Żeśmy na łup poganom, na urągowisko
 Nie przyszli.....

* * *

Daliśmy tu tylko wydatniejsze ustępy z tego ogromnego bohater-
 skiego poematu; ogromnego, bo co do rozmiarów wielkie po-

(1) Broń tatarska: sztuka ołowiu albo kości, na rzemieniu przy to-
 porzysku uwiązana.

emata S. Twardowskiego przy nim maleją, zważywszy, że treścią jego jest tylko jedna chocimska wyprawa. Twardowski w ramy swoich utworów brał wypadki dziejowe tak obszerne, tak obfite w szczegóły, że je skracał nieraz; Lipski w jednym obrazie jedną tylko wyprawę przedstawił. Twardowski na swoje czasy górujący poetyczny talent, jeżeli dziwi łatwością i obfitością, to razi zepsutym językiem; Lipski za wzór co do języka stawionym być może w swoim okresie. Gdy Twardowskiego erudycya aż do unuzenia obciąża nawet chwilę swobodniejszego polotu, i pleśnią swoją, kwiat myśli i uczucia, barwy i woni pozbawia; Lipski stępując drogą prawdy, wierny podaniu, myślą rodzimą patrząc z miłością i uczuciem na wielki ustęp dziejowy, wiernym jest malarzem przeszłości. Znać w jego utworze, że to ci sami wojownicy, co ręcznie łamali się z zastępami pohańców, dopowiadali mu szczegółów; znać, że duch który ożywił młode, a wtedy już starców serca, i zapalał je odwagą, nie przygasał, ale równym płomieniem gorzał w sercu poety. Żywe słowo podania, odbijając się wydatnie w tym znakomitym utworze, nadaje mu ów koloryt, to życie, którym oddychają owe postacie przodków, wezwane z mogił do czynu, a wywołane potężnym słowem zaklęcia Lipskiego (1). Żaden utwór poetyczny od najdawniejszych czasów, po czasy śpiewaka *Grażyny*, nie dochował tyle barwy, nie skryzalizował w sobie tyle ducha właściwego okresu, słowem, nie dochował wierniej dzielnych postaci praojców naszych i z miny i z czupryny. A dodajmy do tego język z żywych ust wyjęty, nieprzykraszony żadną obcą pstrocizną; język, owę zamianę myśli, bijący strumień uczuć serca, i zwierciadło wszelkich namiętności, we właściwym rodowym dźwięku i przystroju: a pojmiemy całą ważność, całą wartość tego pomnika zprzed dwu wieków blisko. Badacz dziejowy, zarówno jak powieścio-pisarz i poeta, znajdzie w nim każdy bogaty zasób dla siebie: bo badacz oprócz ciekawych szczegółów, w żywym obrazie przyjrzy się na oko téj walce z potęgą turecką, która się powtarzała tak świetnie pod buławą Jana IIIgo; powieścio-pisarz i poeta znajdzie gotowe postaci, w zarysach dobitnych a wydanych z prawdą, obok języka w całym owoczesnym

(1) Wspomnimy tutaj nawiasem o poemacie Ignacego Krasickiego p. n. *Wojna Chocimska*. Najślabszyto utwór wielkiego pisarza, który więcej ulegając modzie wieku, pokusił się o poemat bohaterski, dążąc za *Henrydą* Woltera. *Wojna Chocimska* bezbarwna, przekrzywiła i zaciemniła tak potężny fakt dziejowy.

bogactwie, zrozumieć ich prawe uczucia i myśli, z którymi złożeni w grobie, zmartwychwstali po dwa razy tylko:—pod Choci-
mem i Wiedniem. Pieśń narodu pierwsze zwycięstwo prześpie-
wała dla potomnych (1); drugie przebrzmiało w smutnym przy-
słowiu: *to tyle warto, co bić się za Wiedeń*. Lud tylko Słowaków
w Węgrzech w swojej *śpiewance* widzi na górze szląkiczej, jak
zpoza *Białej-góry* na gniadawym koniu, ze złotą uzdą, je-
dzie Sobieski na pomoc cesarzowi i Wiedniowi bojować z Tur-
czynem!

K. Wł. Wojcicki.

(1) W innym miejscu pieśń tę w całości dochowana podamy z obja-
śnieniem potrzebnym.



BARONOWIE, HRABIOWIE I MARGRABIOWIE

MIANOWANI

PRZEZ KRÓLÓW POLSKICH.

PRZEZ

H. J.

Uchwałą sejmową r. 1638 postanowiono, że tytułów żadnych, ani świeższych, ani dawniejszych, któreby równość szlachty znosić miały, zażywać, ani nowych upraszać nikt nie powinien, i w kancelaryach królewskich, grodzkich, ziemskich dawane, ani przyjmowane być nie mają, oprócz tych, które w unii przyjęte (Vol. Leg. III, 93). Ponowiony ten zakaz na sejmach r. 1641, a mianowicie r. 1673, gdzie uchwalono: szlachectwo i równość w państwach naszych zachowując, tytuły cudzoziemskie, jakoto: książąt, hrabiów i wszelkie inne, czasy wiecznemi abrogujemy, znosimy i postanawiamy, aby takich tytułów, herbów, pieczęci, nikt w państwach naszych zażywać się nie ważył pod karą wiecznej infamii, o co forum *ad cujusvis instanciam* w trybunale koronnym. Vol. Leg. V, 119.

Mimo takowego zakazu obostrzenia, znajduje się w aktach metryki koronnej w G. A. K. kilkadziesiąt dyplomatów wydanych przez królów polskich na godność baronów, hrabiów i margrabiów, z prawem dziedzicznem dla następców.

Nazwiska tych rodzin, ile ich dotąd wysledzić mi się dało, są następujące:

1583. Berzewicz, na baronię Dondangen.

1658. Bellentani, hrabią Volmer et de Pollenta.

1660. Marcus de Montalbano, margrabią.

1660. Georgini Salvona, margrabia.

1666. Roselli, margrabia.

- | | |
|--|-------------------------------------|
| 1672. Tempi, hrabia. | 1759. Dietz, baron. |
| 1672. Brusco, margrabia. | 1767. Calzamilgia, hrabia. |
| 1673. Vecchia, hrabia. | 1768. Cahman, baron. |
| 1673. Corboli, margrabia. | 1768. Osten, hrabia. |
| 1673. Bettis, margrabia. | 1770. Rampinellis, hrabia. |
| 1673. Fabris, margrabia. | 1772. Hejdel, baron. |
| 1673. Honoratis, margrabia. | 1772. Klingstedt Merzahn,
baron. |
| 1683. Teta, margrabia. | 1772. Sellouf, baron. |
| 1684. Cavanis, hrabia. | 1773. Frevort Corry, baron. |
| Matesilanus, margrabia. | 1773. Omanzoff, baron. |
| 1686. Guadagnis, hrabia. | 1773. Baerl, baron. |
| 1692. Gualandi, hrabia. | 1774. Ludevig, baron. |
| 1694. Anzelieri, hrabia. | 1774. Ferrary, hrabia. |
| 1703. Salloroli, margrabia. | 1774. Bisletty, margrabia. |
| 1720. Cassotis, hrabia. | 1775. Cioja, margrabia. |
| 1720. Renard, baron. | 1780. Roumianska, baronowa. |
| 1720. Mehling, baron. | 1780. Metrocharite, baronowa. |
| 1726. Meliorucci, hrabia, dzie-
dzie Woli Więcia. | 1780. Tetrumiańska, baronowa. |
| 1735. Teloni, hrabia. | 1784. Scheffler, baron. |
| 1743. Ripanti, margrabia. | 1786. Miris, baron. |
| 1754. Rossau Deldenheim,
baron. | 1792. Benfigli, hrabia. |
| | 1794. Bottoni, margrabia. |

Jakże pogodzić tę sprzeczność nadawanych przez króla tytułów honorowych z uchwałami sejmowymi, zabraniającymi, nie mówię nadawania ich, ale nawet używania ich w Polsce? Przytoczę pospolity formularz nobilitacyi, a następnie treść i formę pojedynczych dyplomatów honorowych. Może porównanie ich z sobą naprowadzi na usunięcie téj sprzeczności.

Formularz kancelaryi królów polskich na nobilitacye, co do głównych punktów był następujący:

.....Mając przez stany i WW. senatorów i ministrów, tudzież Ur. posłów województw i ziem zalecone usługi urr. NN., przez wzgląd na wniesione za nim prośby, tudzież... za zgodą wszystkich stanów na ten sejm zgromadzonych (1): uznaliśmy za rzecz

(1) Dawniej król sam wydawał dyplom na nobilitacye; uchwałą zaś sejmową r. 1578 zastrzeżono, że do otrzymania szlachectwa potrzebne jest polecenie senatorów, posłów ziemskich, ministrów i hetmanów, i ich zezwolenie na sejmie.

słuszną pomienionego NN. z potomstwem jego.... prerogatywą szlachestwa polskiego przyozdobić i udarować. Jakoż niniejszym listem przywilejem naszym dyplomatycznym, z mocy uchwały sejmu przyozdabiamy, i tegoż NN. z potomstwem jego... za prawdziwego szlachezca królew. Pol. i W. Ks. Lit. tudzież do nich należących prowincyj, ogłaszamy... Przykazujemy wszystkim i każdemu z osobna, tak duchownym jako i świeckim osobom, aby pomienionego NN. z potomstwem jego wieczyście za prawdziwego szlachezca Korony pols. i W. Ks. Lit. niewątpliwie mieli, uznawali i szanowali, oraz wszystkich praw i przywilejów, szlachcie rodowitej służących, zażywać dopuścili i nie przeszkadzali. Dla łaski naszej królewskiej i pod karami w prawie przeciwko urągającym się i zelżywość jaką czyniącym, albo stanowi szlacheckiemu ubliżającym, postanowionemi. Dan.... w przytomności arcybiskupa gnieź., lwow. i t. d.“

Formularz ten przez trzysta lat, drobnych tylko i nieznaczących doznał odmian; obecnych zaś dyplomatów na godności honorowe forma, zmieniała się z postępem lat co do punktów i wyrazów istotnych. W zmianach tych wysłowień okazuje się jawnie, że królowie nasi czyli ich kanclerze, rozmaicie się zapatrywali na najwyższą władzę tak *in actu*, jako téż *in potestate*; dopiero za Stanisława Augusta, zwłaszcza od 1770 roku, jest forma we wszystkich następnych dyplomatach co do słowa jednostajna, wyjąwszy dwa ostatnie z r. 1792 i 1794, gdzie wyrazy „dla łaski naszej“ są umieszczone. Przytoczę zatem treść główniejszą każdego z tych dyplomatów osobno, według następstwa czasu ich wydania; a ztąd dla rozważnego czytelnika wywiążą się różnice od dyplomatów uszlachcających, lub nadających tytuły honorowe przez cesarzów niemieckich, tudzież wnioski, nie potrzebujące żadnych uwag naszych.

1583. *Berzewicz*, baronem mianowany. „W Imię Pańskie Amen. Na wieczną rzeczy pamiątkę. My Stefan z Bożej łaski król polski, W. ks. L. i t. d. oznajmujemy niniejszém.... Gdy W. Marcin de Berzewicze nasz w Siedmiogrodzie kanclerz, a w Prusiech starosta starogrodzki, wielkim nakładem kosztów od N. Magnusa dziedzica Norwegii, księcia Szlezwigu, Holsztynu, hrab. Oldenburga i innych posiadłości właściciela, nabył zamek Dondangen, leżący w prowincyi Inflant w biskupstwie kurońskim, i tenże zamek z całym jego obwodem i przynależnościami przyłączył tém kupnem do téj prowincyi i jedności państwa naszego z wielkiém

naszej Rplitej upodobaniem... a naradziwszy się z senatorami naszego królestwa i W. ks. L. potwierdzamy mu posiadanie tego zamku z całym obwodem i wszelkiemi doń przynależnościami, prawem dziedzictwa z potomkami płci obojęd, tak jak posiadają dobra w prowincyi chełmińskiej, według obszerniejszego w dyplomie opisu. Teraz zaś, aby tym jawniejszy dać dowód przychylności naszej dla tegoż Marcina Berzewicza, ze starożytniej dostojnej familii węgierskiej pochodzącego, a własną zasługą do obywatelstwa godności w naszym królestwie wyniesionego, gdy według prawa niemieckiego, które dawniej i teraz w Inllantach obowiązuje, i różne tam są stopnie szlachectwa, abysmy więc i tam świetność jego przodków wznowili: wynosimy więc rzeczonygo Marcina Berzewicza i zaszczycamy go i jego potomków tytułem barona, i rzeczony zamek Dondangen na baronią podnosimy, i posiadaczów jego tytułem wolnych panów i baronów ozdabiamy; nadając im wszelkie prawa i przywileje, jakich gdzieindziej, mianowicie w prowincyach, w których język niemiecki jest panujący, używają baronowie z prawa i zwyczaju, takimi od przodków się mianujący“ (Metr. Kor. 127, 237). Niesiecki w Herbarzu pisze tylko, że Marcin Berzewicz starosta starogrodzki od króla Stefana otrzymał indygenat.

1658. *Bellentani* hrabią Volmer de Pollenta. „My Jan Kazimierz, z Bożej łaski, król pols..... Gdy monarchów jedną z głównych zalet stanowi wynagradzanie zasługi mężów, odznaczających się w narodach (cały wstęp do tego dyplomatu pełen jest szumno-brzmiających frazesów i wyrazów, o potrzebie nagradzania zasługi).....; zważając przeto na starożytność familii i przymioty księdza opata Alexandra Bellentana de Pollentanis, w obowiązkach przy stolicy apostolskiej audytora i sędziego, na jego przykładną gorliwość i najchwalebniejszą nieskazitelność... mianujemy go i braci jego rodzonych Flaminiusza i Jana Chrzyciela, hrabiami Volmer et de Pollenta, miasta w królestwach naszych leżącego (?)..... z całą jurysdykcyą i władzą, i wszelkiem prawem i zaszczytami, jako prawym kawalerom i hrabiom (uti veris equitibus et Comitibus), przyjmując ich pod naszą królewską i następców naszych opiekę, tak, aby ich i ich potomków osoby wszelkiego stanu za prawdziwych hrabiów uznawali, tak jak my ich uznajemy, i do pocztu hrabiów i innych królestw naszych wcielamy..... Dla jawniejszego zaś dowodu ich szlachectwa, nadajemy im herb tu wyobrażony..... wraz z częścią herbu naszego

królewskiego t. j.: trzema koronami naszego dziedzicznego królestwa szwedzkiego.... Mianujemy nadto urodzonego Jana Chrzciciela podkomorzym naszym nadwornym (nostrum aulicum cubicularium, italice ut ajunt gentil homo di Camera)..... Co do wiadomości wszystkich, do kogo należy, mianowicie książąt i monarchów, zwłaszcza książąt Modeny, jako ich prawych władców, podając, uprzejmie ich wzywamy, aby rzeczonych braci..... za prawdziwych hrabiów in Volmer de Pollenta uznawali i uznawać kazali, a my wywdzięczając się wzajemnością naszą. Toż samo oznajmując dygnitarzom, urzędnikom i całej szlachcie królestwa polskiego i W. Ks. litew., polecamy, aby powyższych braci z ich potomstwem za prawdziwych in Volmer ac de Pollenta, hrabiów królestw naszych uznawali; marszałek zaś dworu naszego i W. Ks. lit., aby rzeczonego Jana za prawego podkomorzego naszego mieli i uważali, dla łaski naszej.... W przytomności Wacława hrabiego z Leszna Leszczyńskiego arcybiskupa gnieźnieńskiego i prymasa królestwa, Jana Tarnowskiego lwowskiego biskupa i t. d., i t. d.“ (Metr. 201, 122).

1660. *Marcus Antonius* mianowany margrabią z potomstwem. Dyplom w kształcie listu król., do tegoż Marka wystosowany, osnowy jest następującej:„Gdy polegając na łaskawości naszej, przedstawiłeś życzenie swoje, abyśmy łaskę naszą, udzieloną tobie dnia 26 czerwca 1659 roku, rozszerzyli i na twoich potomków; my przeto uznaliśmy za godne majestatu królewskiego, obszerniejsze udzielać łaski: jakoż mocą niniejszego otwartego pisma i z władzy naszej królewskiej, zezwalamy i oświadczamy wolą naszą, aby ta godność margrabska, tytuł i przywileje tobie udzielone, prawem dziedzictwa przechodziły na twych potomków, jakby to w powyższym przywileju margrabstwa było wyraźnie wymienioném. W dowód czego pismo niniejsze własną podpisawszy ręką, pieczęć królewską przyłożyć poleciliśmy. W Krakowie, 7 grudnia 1660 roku.“

„Do szlchetnego męża, naszego margrabi, miłego Marka Antoniego, niegdyś szlchetnego hrabiego Jana Montalbano, Bononczyka (syna).“ Oblata w Ks. Metr. Kor. 201, 560.

1660. *Georgini Kastor Salvona*. „My Jan Kazimiérz... Dowiedziawszy się od ludzi wiarogodnych, że szlchetny mąż Kastor, ze znakomitój rodziny Salvona, późniój Georgina zwanój, która według powieści od starożytnego szczepu królewskiego Szwedów pochodzi, i w mieście włoskiém Aesii oddawna osiadł-

szy, między patrycyuszami ciągle mieszcząca się, zasługami i majątkiem znamienita, godne swoich przodków prowadzi życie, poświęciwszy się zawodowi wojskowemu, kapitanem w wojsku papieżkiem mianowany, dowództwo zamku w Civita-Vecchia chlubnie sprawował; my przeto tegoż Kastora Georgina, według zdania naszego (ex certa animi nostri sententia) i królewskiej powagi, postanowiliśmy zaszczycić go tytułem margrabstwa: jakoż niniejszém piśmie mianujemy go z jego synami i nazawsze margrabią i margrabiami z pełności władzy królewskiej, tak, aby wszelkich praw i przywilejów innym margrabiom służących, zażywali wszędzie. Nadto, aby taż rodzina Georgina czyli Salvona, tém większej łaskowości naszej doznała, dozwalamy jój do swego herbu dołączyć orła białego i nazywać się margrabiami orła białego (*unde Marchiones aquilae albae appellari valeant*). Co podając do powszechnej wiadomości, uprzejmie wzywamy, aby rzeczzonego szlachetnego margrabię Kastora Georgina Akcynajczyka i jego potomków za prawdziwych margrabiów uznawali.“ (W tym krótkim dyplomie nie ma wzmianki o urzędnikach królestwa i W. Ks. lit., aby go i potomków (tak jak w dyplomie Bellentaniego), za margrabiów uznawali. (Oblata w Metr. 201, 561).

1666. **Boselli**, Jan Bta. ojciec i syn Piotr z Bergamo, margrabiowie.

Po obszerniej genealogii Bozellich, jako dawnych hrabiów i ich szczególnych zasługach, jako téż wzmiance osobistej znajomości w czasie królewskiej podróży we Włoszech, wyrazy dyplomatu są: „z pełności władzy naszej królewskiej, mianujemy ich prawdziwemi i prawemi margrabiami...z nadaniem przywilejów, jakich inni margrabiowie cesarstwa rzymskiego i innych chrześcijańskich królestw z prawa i zwyczaju zażywają...Co do powszechnej podając wiadomości, a mianowicie wszelkich urzędów uprzejmie wzywamy, aby ich za prawdziwych margrabiów uznawali...Poddanym zaś naszym, aby nie inaczej postępowali, polecamy.“ Oblata w Metr. Kor. 205, 65.

1672. **Brusco** Jan Antoni margrabia... „Szczerém oświadczeniem radców naszych uwiadomieni, nietylko o starożytném szlactwie i zacności, lecz i o szczególnej życzliwości ku nam i królestwu naszemu ur. Antoniego Bruschi szlachcica patawińskiego: postanowiliśmy po należytej rozwadze i w uczuciu pełności władzy naszej królewskiej, rzeczzonego Antoniego Brusco tytułem margrabstwa zaszczycić, jakoż niniejszém piśmie zaszczyca-

my i margrabią mianujemy, aby z potomstwem swoim używał praw i przywilejów, jakich inni margrabiowie zwyczajnie zażywają. (Nie ma tu wzmianki o królestwie i o urzędnikach królestwa polskiego, aby go za margrabię uznawali). O czém do wiadomości wszystkich podając, uprzejmie ich wzywamy, aby rzeczono-ego margrabię i jego potomków, tak od nas mianowanych, za prawdziwych margrabiów uznawali i uznawać kazali. Dla łaski naszej.“ (Metr. 209, 553).

1672. *De Tempi Horacyusz*, szlachcic florencki, hrabia. Po wstępie takim samym jak u Jana Brusco, dalsze wyrazy dyplomatu są: „Mianujemy Horacyusza Tempi szlachcica florenckiego hrabią, (tu użyty wyraz *liberum comitem*. gdy w innych nadaniach wyrazu *liberum* nie ma) i jego potomków prawdziwemi hrabiami tronu naszego królewskiego i królestw naszych (czego w dawniejszych dyplomatach nie ma, a w późniejszych nie wszędzie, tylko powszechnie *tronu naszego*), i do grona innych wolnych hrabiów wcieliliśmy i wcielamy... Dygnitarzom zaś, urzędnikom i całej szlachcie królestwa naszego polecamy, aby rzeczonemu Horacyuszowi de Tempi i jego potomkom praw i przywilejów tym dyplomatem udzielonych używać dozwolali i w używaniu bronili. Dla łaski naszej.“ (Metr. 209, 596).

1673. *Fabris Oktawiusz*, margrabia. Tak jak dyplom dla Tempiego, ale bez wyrazów: *dla łaski naszej*. Oblatowany r. 1676 w księdze Metr. Kor. 211, 208.

1673. *Vecchia Gabryel*, pułkownik cesarski w weneckiej służbie, którego obszerną genealogią i pokrewieństwo opisawszy, dyplomata głosi dalej: „Zaszczycamy ur. Gabryela Vecchia z potomstwem jego, z władzy naszej królewskiej, tytułem hrabiego i takowym mianujemy i ogłaszamy, nadając mu prawa i przywileje prawem przynależne. Co aby do wiadomości wszystkich doszło, oznajmujemy, i polegając na prawie narodów, uprzejmie wzywamy. Dygnitarzom zaś, urzędnikom i całej szlachcie królestwa naszego, polecamy, aby rzeczonoego Gabryela Vecchia, Naszego (sic) i Rplitéj weneckiej generała, prawdziwym wolnym hrabią uznawali, nazywali i w prawach i przywilejach hrabiom przynależnych bronili, dla łaski naszej.“ (Wyraz ten *nazywali* pierwszy raz w tym dyplomacie użyty. (Metr: 209, 630).

1673. *Corboli Aureliusz*, mianowany margrabią. Podobny dyplom Janowi Brusco nadany, z dodatkiem nieznajdującym się w powyższych dyplomatach, wyrazów: „aby rzeczony Corboli

i jego potomstwo nazwy i godności margrabiiego używali tak w piśmie, jak mianowaniu ustnóm (*in literis quam nuncupatione verbalis*), w sprawach duchownych i świeckich, tudzież miani byli i nazywani byli prawdziwemi margrabiemi od nas i następców naszych i od wszystkich innych osób wszelkiego stanu i godności“... Przy końcu jeszcze dołączone polecenie: „Dygnitarzom... królestwa naszego“, tak jak w dyplomacie Tempiego. (Metr. 209, 632).

1673. *De Bettis* Jan z Ankony, margrabia. Tak jak dyplom dla Jana Brusco, tylko że do jego herbu dodawszy król orła białego, margrabiemi orła białego nazywać się im dozwala. Ale wyrazów: *pro gratia nostra* nie ma. (Metr. 209, 685).

1673. *De Honoratis* Honorysz, Medyolańczyk, margrabia. Tak jak dyplom poprzedniego, i z tąż datą 31 sierpnia, z dodatkiem, że margrabiemi orła białego wolno im się nazywać. (Metr. 209, 686).

1683. *Teta* Jacenty margrabią. „Dalmata rodem, w naukach wyzwolonych i sztuce wojennój biegły, a za zasługi wojsku naszemu wyświadczone, zaszczycamy go tytułem i prerogatywami margrabstwa na Ostrzu, mieście naszym na Ukrainie leżącym, i do liczby margrabiów naszych policzamy z potomstwem; i aby za takowych wszędzie i od wszystkich uważani byli, uprzejmie wzywamy. Dygnitarzom zaś, wojewodom, kasztelanom, starostom i innym królestwa i dworu naszego urzędnikom, jako téż całemu stanowi rycerskiemu i urzędom naszym, którychkolwiek miast i miejsc polecamy, aby rzezonego Jacentego Teta, naszego margrabiiego na Ostrzu i jego potomków, margrabiemi nazywali, i za prawdziwych i prawych uważali, dla łaski naszej. Dan w Warszawie, na sejmie powsz. król., 26 marca, 1683 roku, w obecności arcybiskupa lwowskiego, Lipskiego, i t. d.“ Jednakże w Vol. Leg. nie ma wzmianki o nadaniu tego tytułu rodzinie Tety. (Metr. 215, 38).

1684. *Cavanis* Mikołaj, syn Jakóba, z braćmi i synowcem Jakóbem, Wenecyanin, hrabiowie. „Mianujemy ich powagą naszą królewską z potomstwem na naszych i dworu naszego hrabiów (*palatūque Nri Comites*), aby za prawdziwych hrabiów od wszystkich w ogólności i w szczególności wszelkiego stanu osób uznawani byli, używali praw i przywilejów na wzór innych hrabiów, wszędzie, we wszelkich dworach, cesarzów, królów i książąt.“ Lecz nie ma wzmianki jak pod Tempim i Brusco polecenia dygnitarzom i szlachcie polskiej, aby ich i za takowych uznawali i takowemi nazywali. (Oblata z r. 1685. Metr. 215, 220).

Matesitanus, lekarz bonoński, od Jana IIIgo zaszczycony margrabstwem, jak świadczy Załuski. Epist. I, 708 i Lengnich, Jus publ. R. Pol. I, 385.

1692. *Gualandi* Kosmas ojciec, i Dominik syn w Pizie i Bononii zasłużeni, hrabiami. W dyplomacie powiedziano: „Gdy zasługi ich wymagały, abyśmy ich nad odziedziczone przywileje zaszczytili: postanowiliśmy obdarować ich z potomkami tytułem hrabiów królestwa naszego polskiego, Wielkiego Księstwa litewskiego i prowincyj doń należących, jakoż mianujemy, i do hrabiów policzamy. Co do wiadomości wszystkich podając, poddanym naszym polecamy, przyjaciół zaś naszych, władzy naszej niepodległych, wzywamy (*requirimus*), aby rzeczonych Gualandych za prawdziwych hrabiów królestwa polskiego uznawali. Dla łaski naszej.” (Oblata z r. 1693; w Metr. 217, 105).

1694. *Anzeliery Aloizy*, filozofii i med. doktor, sekretarz króla Jana IIIgo i towarzysz jego wypraw, od lat przeszło 20 przy boku zostając, zasłużony, mianowany hrabią.

Dyplom téj prawie treści jak Gualandego, z małym dodatkiem: „Dla łaski naszej, a sąsiadom naszym wzajemnością się wypłacając” (*et Vicinis nostris vicissim responsuri*). (Met. 219, 27).

1703. *Salloroli* Alexander, teolog królewski Augusta IIgo i minister przy stolicy apostolskiej, mianowany margrabią z braćmi swoimi roku 1703. Dyploma przytacza Załuski: Epist. III, 500. Lengnich Jus. Publ. R. Pol. I, 385.

1720. *De Cassotis* Józef i Jan Baptysta ze starożytnéj Syrakuzanów rodziny pochodzący, mianowany hrabią. „Za przysługi synowi naszemu wyświadczone, z pełności władzy naszej królewskiej, mianujemy ich z potomstwem hrabiami, wzywając wszystkich w ogólności i w szczególności, aby wszędzie za prawdziwych hrabiów uznawani byli.”

Nie ma wzmianki o poleceniu dygnitarzom i urzędnikom królestwa polskiego. (Metr. 222, 315).

1720. *De Renard* Jan Baptysta, z żoną Teresą, pułkownik wojsk saskich, Benedykt brat podpułkownik, Anna Katarzyna siostra,

Jakób Antoni	}	synowie, baronowie.
Jan Piotr		

W dyplomacie wyrażono: „z władzy naszej królewskiej, mianujemy ich prawdziwemi królewsko-książęcego tronu naszego i wszystkich królestw baronami, i do grona innych baronów zapisaliśmy, postanawiając, aby rzeczeni Benedykt... wszędzie tytułu tego

i przywilejów doń przywiązanych używali, jakich inni królestwa naszego i innych królestw używają; o co uprzejmie wzywamy, polegając na prawie narodów. Dygnitarzom zaś i urzędnikom królestwa (nie ma naszego) polecamy, aby przerzeczonym Renardom godności baronowskiej i przywilejów wedle prawa i zwyczajów używać dozwolali i w używaniu bronili.“ W tym znowu dyplomie są wymienieni przytomni: Szembek prymas, Szaniawski biskup i t. d., czego w wielu innych dyplomatach na hrabiów, margrabiów, baronów, jako prosto z kancelaryi król. wydawanych, nie ma, prócz Meliorucci i następnie za króla Stanisława Augusta. (Metr. 222, 456). Podług Vol. Leg. VI, 452 Jan Renard otrzymał r. 1726 nobilitacyą.

1720. *Mehling* Samuel Fryderyk i Jan Krystyan, bracia i rodzina ich baronami mianowani. „My Fryderyk August z bożej łaski król pols.... Do prośby Samuela i Jana Mehlingów, oficerów w wojsku naszym, których przodków dyplomata szlachectwa zaginęły, przychylając się, mianujemy ich baronami tronu naszego królewsko-książęcego” (in veros Solii nostri Regio Ducalis Ditionumque Nostrarum Barones nominamus); z resztą tak prawie jak dyplom Renardów. (Oblata z r. 1731, Metr. 224, 495).

1726. *De Meliorucci* Dominik Marya, hrabią. Dyplom opiewa, że rodzina Melioruccich, z margrabiów florenckich pochodząca, a po oswobodzeniu Wiednia w Polsce osiadła. „Dominik Meliorucci, dóbr Wola Więclawska, prawem i przywilejem polskiej szlachty, pan i właściciel, nam ze swój zręczności w spraw prowadzeniu i dobrych chęci ku Rplitej dobrze zalecony; przeto przerzeczonego Dominika, tudzież syna jego Jerzego archidya-kona lwowskiego, jako téż Mikołaja Kajetana we Florencyi i Józefa w Londynie, od stolicy apostolskiej urząd ministra sprawującego, hrabiami z ich potomstwem mianujemy.“ Zresztą tak jak w dyplomie Renardów na baronów, z wymienieniem obecności senatorów i dygnitarzów. Data dyplomu jest: „Die XI Mensis Martii, anno Domini XXIX.“ Oblata zaś wniesiona jest do księgi metr. (224, 59) dnia 19 sierpnia 1726 roku. Jak pogodzić tę sprzeczność?

1735. *Teloni* Ursus Wincenty z potomstwem hrabią. Tak jak dyplom dla Gabryela Vecchia; tylko, że w wezwaniu do urzędników królestwa polskiego, nie ma wyrazu *nazywania* go hrabią. (Sigill. 42, 7).

1743. *Ripanti* Gabryel, margrabią. Prawie tak jak dyplom dla Gabryela Vecchia i w obecności senatorów i dygnitarzy. Jest to minuta nie oblata. (Kancel. 161, 31).

1754. *Rossau* de Deldenheim Wawrzyniec, konsul polski w mieście Bordeaux, baronem. Dyplomatę treść podobna jak Gualandego, że go mianuje baronem królestwa polskiego i Wielkiego Księstwa litewskiego. Zresztą, tak jak dyplom Gabryela Vecchia (oblata z r. 1758 w Met. 275, 154).

1759. *De Dietz* Tomasz Just generał wojsk rosyjskich, baronem. „Mianujemy baronem tronu naszego“ (nie ma królestw naszych); zresztą jak dyplom dla Tempiego (Sigill. 29; 144).

1767. *Calzamiglia* Gaspar w Rzymie mieszkający hrabią mianowany. Ta jest szczególność obecnego dyplomu, że w tekście powiedziano: „Mając sobie zalecone zalety ur. Calzamiglia w Rzymie mieszkającego, hrabiego św. pań. rzym. My z szczególniejszej łaski i pełności władzy naszej królewskiej, mianujemy go i jego potomków prawdziwemi hrabiami tronu naszego królewskiego.” Miałaby hrabia polski więcej znaczyć niż hrabia św. pań. rzymskiego? Następnie zawiera dyplom polecenie dygnitarzom i całej szlachcie król. pol. jak w dyplomacie Tempiego, i wymieniona nadto przytomność senatorów i dygnitarzy. Jest to oryginał na pergaminie pisany z wymalowanym herbem i podpisem własnoręcznym: Stanislaus Augustus Rex; a u dołu: Ant. Sikorski S. R. Mttis et Sigilli Regni secret. bez pieczęci; ztąd widoczna, że interesentowi doręczonym nie był. Wniesiony wraz z innymi dyplomatem przez króla Stanisława Augusta już podpisanymi, od sukcesorów Antoniego Sikorskiego w r. 1840, w archiwum sekret. nr. kart. 1577 złożony.

1768. *Von Cahman* Jan. Naczelnik kopalni i fryszerok żelaza w Szwecyi, mianowany: baronem tronu naszego. Zresztą całe wystowienie w dyplomacie, tak jak w poprzednim dla Calzamiglii, i obecność senatorów i dygnitarzy wypisana, ale bez wyrazów: *pro gratia nostra* (kan. 41, 80).

1768. *Ab Osten Zygfryd Adolf*. Poseł duński w Neapolu, mianowany hrabią; zresztą wystowienie zupełnie jak w dyplomacie Calzamiglii. Jedna tylko szczególność uderza w tym dyplomacie, że data jest położona: *Datum Varsaviae in Polonia, die...* (kancler. 41, 98).

1770. *De Rampinellis* Oktawiusz, Bryxeńczyk, mianowany hrabią tronu naszego królewskiego; zresztą jak dyplom Calzamiglii, tylko bez wyrazów: *pro gratia nostra* (kancler. 41, 160).

1772. *De Heydel* Jan, którego ojciec w wojsku króla polskiego Augusta II w wojnie poległ; obecny zaś Jan, w pulku jazdy pols. od 30 lat służył „mianujemy go więc baronem tronu naszego królewskiego.“ Zresztą zupełnie jak dyplom Calzamiglii, tylko bez wyrazów: *pro gratia nostra*. (Kancel. 41, 192).

1772. *De Klingstedt* Merzahn Tymoteusz szlachcic inflant-ski, radca stanu rossyjski, mianowany baronem tronu naszego królewskiego; zresztą jak dyplom Calzamiglii, ale bez wyrazów: *pro gratia nostra* (Kancel. 41, 197).

1772. *Sellouf* Paweł, Szwajcar z St. Gallen, baronem tronu naszego; zresztą jak dyplom Calzamiglii, ale bez wyrazów: *pro gratia nostra*. (Kancel. 41, 204).

1773. *Omanzoff* Piotr Alexander, i Bogumił (Deocharus) Andrzej, bracia, i ich siostra Anna Ludwika Omanzoff, baronami. Zupełnie tak jak dyplom Calzamiglii. (Kancel. 41, 211).

1773. *Frevort* vel *Frevot* Corry, konsul angielski w Gdańsku, baron tronu naszego; zresztą jak dyplom Calzamiglii, bez wyrazów: *pro gratia nostra*. (Kancel. 41, 223).

1773. *Van Baerll* Wilhelm mieszkaniec belgijski, baronem. Dyplom cały w tych wyrazach jak dla Calzamiglii (kancel. 41, 231).

1774. *Ludevig* Fryderyk Jan baron, kapitan artyleryi cesar. ross. baronem. Dyplom tegoż wystowienia jak w dyplomacie Calzamiglii. (Kancel. 41, 236).

1774. *De Ferrary* Jan Anioł, Genueńczyk, którego brat był posłem genueńskim przy dworze cesarskim w Wiedniu, hrabią. Zresztą jak dyplom Calzamiglii (kancel. 41, 246).

1774. *Bisletti* Ferdynand, Weroneńczyk, kawaler ord. św. Szczepana, margrabią. Dyplom jak Calzamiglii (kancel. 41, 252).

1775. *Cioja* Fortunat, 1775, k. 41, f. 330, Rzymianin, margrabią. Jak dyplom Calzamiglii (kancel. 41, 330).

1780. *Roumisńska* Helena wdowa i Anastazyja córka jej, z ich potomstwem zrodzoném i zrodzić się mogącym, za usługi (niewymienione) ich ojca i męża, baronowe. Herb dwa drzewa, a nad koroną skrzydło orła białego. Wystowienie jak w dyplomacie dla Calzamiglii (kancel. 41, 541).

1780. *De Metrocharite* Helena, za usługi ojca z potomstwem zrodzoném i zrodzić się mogącym nadana godnością baronostwa. Dyplom jak dla Calzamiglii. Herb wyobraża drzewo na tarczy, a nad koroną skrzydło (kancel. 42, II 1.)

1780. *Tetrumiańska* Anastazy, z jój potomstwem zrodzić się mogącym, „za dobre chęci ku nam jój rodziców“, baronowa (kancl. 42, II, 7). Zwraca uwagę ta okoliczność, że Roumiańska, Tetrumiańska, Metrocharite i Omanzoff, mają nadane za herb drzewo z liściem i skrzydło orle, tylko te dwa godła rozmaicie rozłożone na tarczy i w hełmie.

1784. *Scheffler* Jan Piotr Ernest, radca tajny królewski, członek towarzystw naukowych w Londynie, w Gdańsku, Berlinie i t. d., którego przodkowie od dwóch przeszło wieków ojczyźnie z chlubą służyli, baronem z potomstwem. Zresztą jak wysłownienie dyplomu dla Calzamiglia, lecz z pieczęcią W. Ks. Lit. (Metr. 220^a, 314).

1788. *Miris* Sylwester dla biegłości w naukach i sztukach pięknych, z potomstwem mianowany baronem. Wysłownienie jak w dyplomacie dla Calzamiglia, ale z pieczęcią W. ks. Lit. i bez obecności senatorów. (Metr. 220^a, 373).

1792. *Benfigli* Bernard szlachcic rzymski, z potomstwem, hrabią. Podług wyrazów dyplomu dla Calzamiglia i z wyrazami: *pro gratia nostra*. (Kancl. 100, 237).

1794. *Bottoni* Dominik, Ferarczyk, margrabią. Dyplom jak dla Calzamiglia, i z wyrazami: *pro gratia nostra*. We wszystkich zaś dyplomatach powyżej od r. 1770 do r. 1784 przytoczonych, wyrazów tych nie masz. Data 7 marca 1794 r. (Kancl: 42^a, część 2, f. 23).

Spis obecny piękny podaje materiał do rozprawy względem dawnego prawa publicznego w Polsce.



ZAPOROŻE

OD CZASÓW ZNIESIENIA SICZY DO R. 1840 (*).

PRZEZ

Michała Głuszczyńskiego.

I.

Zajęcie siczki przez wojska rosyjskie, zniesienie z woli Cesarzowej Katarzyny towarzystwa i nawet nazwiska Zaporozców, znajome jest dotąd w całej Ukrainie i Nowej-Rossyi pod nazwiskiem „atakowania Siczki”. Korz, naoczny świadek tego wypadku, opowiedział go swoim oryginalnie naiwnym sposobem, i sądzę, że czytelnicy znajdą w dosłownym tu przytoczonym opowiadaniu Korza więcej daleko zajęcia, niż w jakimkolwiek innym świadectwie historycznym. Oto są słowa Korzy:

„Sicz była atakowana przez generała Tekelego tym sposobem: Tekeli przybywszy z uzbrojoną armią do Dniepru, wydał rozkaz do wszystkich swoich pułków, aby podług naprzód wydanego planu, zbliżyły się ku Zaporozu w tym samym i umówionym dniu, to jest w dzień Zielonych Świątek; i w miesiącu maju zajęły wszystkie po Dnieprze zaporozkie granice. Sam zaś ze swoją dywizją i artyleryą, także w tym samym dniu zbliżył się do siczki, i stanąwszy o dwie wiorsty od niej, na otwartym polu rozbił namioty, i kazał uszykować w linii całą swoją artyleryą na sicz, nie dawszy jednak żadnego wystrzału, a i z siczki nie było żadne-

(*) Skrócone ze Skalkowskiego.

go oporu. I dopóki Tekeli stał w namiotach około siczy, dwa dni, to przez ten czas przez kuryerów było już wiadomo wszystkim, i siczy i Tekelemu, że rossyjskie pułki zajęły już wszystkie pałanki, wszystkie miasteczka i wsie w całym Zaporozżu. Trzeciego dnia posłał Tekeli swego kuryera do siczy i zaprosił do siebie wszystką zaporozką starszszynę. Odebrawszy te zaprosiny koszowy, zebrał na schadzkę wszystkich kurennych atamanów, dla naradzenia się z nimi: „A szczo panowie atamany budem teper (teraz) robity? oto Rossyanie kliczut (zapraszają) nas do siebie w gości, czy pidem, czy nie pidem (pójdziemy)? Czy oddamo Rossyanom sicz, czy ni oddamo?” Wtedy atamani, towarzystwo, junaki i inni charakternicy (czarownicy) zaczęli między sobą się buntować: jedni chcieli poddać się spokojnie, a drudzy opierali się w nadziei swego charakterstwa i mówili: „Niechaj Tekeli prywede jeszcze stylko (tyle) wyska, jak se (to), to my wsie w puch rozbijem, jak much peredawim. Czy to možno sicz i sławnoe Zaporozże Rossyanom oddaty za spasibo (dziękuję)? Seho (tego) nikoli, póki swit sonca nie bude.” Bo ci odważnicy, byli wszyscy śmiałkami, i nieżonaci, a przytém i osiadłości żadnej nie mieli i dlatego się buntowali. Ale większa część, nawet atamani i inni bogaci Kozacy mając u siebie żony i dzieci (1), i inne dostateczne zagospodarowanie w zimownikach, i rozbierając tak: że chociaż my wojsko Tekelego znajdujące się teraz w obozie zniszczymy niepotrzebnie do nogi, to w tém biéda, że te pułki, które już weszły w nasze granice i zajęły wszystkie pałanki i wsie, usłyszawszy o naszym odporze, zniszczą całe nasze tamtejsze mienie, a żony nasze i dzieci nieludzko uśmiercą; dlatego nie zgadzali się na zdanie buntowszczyków odważnych. A oprócz tego i będący w siczy archimandryta Włodzimierz Sokalski, dowiedziawszy się o takim ich nieładzie i buncie, wyszedłszy ubrany w cerkiewne suknie z krzyżem w rękę, zaczął przemawiać do opórczyniających: „Bójcie się Boga! wy chrześciance, podnosicie ręce na chrześciance: wy chrześciance i chcecie przelewać krew jednowątrobną! Bójcie się i przestańcie to czynić. Widać już taki nasz

(1) Jestto omyłka, bo Korż rozpowiadając te wypadki w 130 roku życia snąc już zapomniał, że żonaci Kozacy w siczy nie bywali, i w żadnych schadzkach i radach udziału nie mieli, a tém mniej nie mogli być kurennymi atamanami. Co więcéj, żonaci mieszkali w siołach, a zimowników mieć nie mogli.

łos, i przyjmijmy go od Boga, jako zasłużony za sprawy nasze. Oto macie krzyż i Ukrzyżowanego na nim; jeżeli go nie usłuchacie, wszyscy nagle poginiecie.”

„Któż mógł oprzecz się tak rażącemu przekonaniu? serce kamienneby rozmiękło! Zaczęli też płakać nietylko burzliwi, ale i cała starszyna, i wojsko, i wszyscy odpowiedzieli archimandrycie: „No pan otcze, byt' tomu tak, znaw szczo skazaty, my gotowy za tiebie i gołowy nasze położyty, nie tolko posłuchaty!”

„Gdy już i z namowy archimandryty, i z powodu innych okoliczności, wszyscy na jedno zdanie się zgodzili, wtedy zaczęli mówić do koszowego: „Nu bat'ku, wielmożny panie! teper jak хоч (chcesz), tak i dumaj z temi gostiami, a my gotowi tiebie słuchať, czy iti, to iti (iść).“ Wtedy koszowy powiedział im: „Nie można bracia nie iść, bo to nie durnica (żart); wy sami baczycie, że Rosyianie nas atakują naokoło i całą artyleryą na nas uzbrowili. Ale niech co chce będzie! nie ma czego dłużej zwlekać. Boże pomóż! daj Boże dobrą godzinę. Chodźmy panowie atamany! co będzie, to będzie, a co więcéj będzie, to będzie jak Bóg da.”

„Potém wziąwszy chleb i sól poszli wszyscy do Tekelego namiotu, i ofiarowawszy mu owe dary, mówili: „Kłaniamy się Jaśnie Wielmożnemu Panu chlebem i solą.“ — „Dziękuję wam Zaporoznicy za chleb i sól“ — odpowiedział Tekeli i rozkazał służącemu swemu odebrać od nich chleb i sól, a potém pytał się ich: kto ich koszowy, jacy po nim pierwsi urzędnicy i jak się nazywają. I kiedy koszowy stojąc na przodzie, objaśnił go, że on Kałnysz (Kałnieszewski), a urzędnicy jego: sędzia Kosap i pisarz Głoba, a wszyscy inni, pokazując na atamanów, kurenni atamani, także urzędnicy ze wszystkich 40 kuren: wtedy Tekeli prosił koszowego siedzieć, a także i innym urzędnikom dano miejsce, i uczęstowawszy ich przystojnie, i wypytawszy o to co potrzeba było, poszedł z nimi do siczy, wziąwszy z sobą część oficerów i część przybocznej straży; ale widząc, że Zaporozcy poddają mu się dobrowolnie, rozkazał natychmiast cofnąć artyleryą. Przyszedłszy do siczy zapytał się koszowego: „gdzież ty mnie koszowy teraz zaprosisz?” Wtedy koszowy ukloniwszy się, prosił go do swojego kurenia i wszystkich oficerów, i ofiarował wszystkim gościom bogatą ucztę w waganach i korakach (1) drewnianych, z drewnianemi także

(1) *Wagan*, wielka drewniana waza, czyli miska; *karak* czyli *czerpalo* rodzaj wielkiej łyżki na długim trzonku, do rozlewania zupy.

łyżkami i talerzami. Zjadłszy, Tekeli bardzo dziękował za pożywienie i dziwił się wielce, że cały serwis, nawet naczynia do picia były drewniane, a potrawy nadzwyczaj smaczne i rozmaite; i zapytał się koszowego, „kto takie potrawy u was gotuje?” Koszowy odpowiedział: „u nas są JW. Panie w kozackich kureniach bardzo dobrzy kucharze.” Wtenczas Tekeli prosił, aby mu darować jednego takiego kucharza, i przyrzekł mu dać dobrą pensją; a koszowemu obiecał dać dwa kamienne półmiski, i wszystkim kurennym atamanom po jednym, żeby takie dobre potrawy nie jedli z koryt, a z półmisków. Wśród tych rozmów i obietnic Tekelego, jeden z obecnych kurennych atamanów nazwiskiem Roman Stroc, ataman kaniowskiego kurenia rzekł do Tekelego: „JW. Panie choć z koryta, ta do syta; a wy choć z bliuda (półmiska), to chudy. Wtedy Tekeli zapytał się atamana: „co to za przysłowie? nie rozumiem go.” Stroc ukloniwszy się zaczął objaśniać przysłowie: „Wybacz JW. Panie: wy pożywienie racycie jeść z półmiska, a chudziście na twarzy (Tekeli był wysoki, ale bardzo szczupły); a my choć z koryt jemy, ale za to syci. Ot patrzcie dobrodzieju na nas wszystkich, jacy my, i rozbierajcie moje przysłowie. Tak sądzicie miłościwy dobrodzieju, czy nie prawdę mówię?” Tekeli dziwił się temu przysłowiu i dowcipowi Stroca, i nie tylko nie gniewał się za to, ale jeszcze dziękował mu i rzekł do niego klepiąc go po ramieniu: „Nu Stroc, dziękuję za przysłowie: ono tak sprawiedliwe, że sprawiedliwsze być nie może; nie zapomnę go nigdy; wszystko coś w niem powiedział, powiedziałeś bardzo stosownie, i tak w samą rzecz bywa; ty jakbyś w oko wlepił.”

„Kiedy już Tekeli zjadł obiad i pożegnał koszowego i atamanów, to długo jeszcze ciekawił się po siczy, oglądał wszystkie kurenie zaporozkie i wszystkie ich sprzęty. Nakoniec wrócił do obozu, i przebył w nim więcej niż tydzień. W ciągu tego czasu oficerowie ruscy i żołnierze przychodzili do siczy, a Kozacy i ich atamani odwiedzali ich obóz, i jeden z drugim hulali i obchodzili się swobodnie.”

„Potem już Tekeli przyzwawszy do siebie koszowego, sędziego i pisarza, i przeczytawszy im Najwyższy ukaz, rozkazał im trzem gotować się do Petersburga do Cesarzowej. I prędko też byli wyprawieni, ale nie wszyscy, bo sędzia Kosap, przed odjazdem jeszcze nagle zachorowawszy umarł, i pochowany został w siczy; dwóch więc wyprawiono, to jest Kałnisza i Głoba. Tekeli

zaś zajmwszy całą zaporozką Palestynę pod swój zarząd, pociągnął wszystkich Zaporozców do przysięgi, i urządziwszy wszystko jak należało, był już bezpieczny; ale mimo to, ciągle znajdował się w obozie”.

„Tymczasem zaporozkie wojsko widząc, że jego starszyna wyprawioną została do stolicy, a w kraju ich zaprowadzone zwyczaje i porządek nie do ich smaku, zachwiało się, i zaczęli Kozacy rozmyślać i gadać: „jakby samym gdzie daleko mandrować (ujść)”, i wymyślili taką sztuczkę: Zebrali naprzód 50 Kozaków, i posłali do Tekelego z chlebem i solą w gościnę. Przyszedszy tam mówili: „kłaniam się dobrodziejowi chlebem i solą”. — „Dziękuję — odpowiedział Tekeli — dziękuję wam Zaporoznicy za chleb i sól; a czego wy odemnie chcecie?” — „A ot dobrodziejowi co: my czuły (słyszeli), że nam już bez biletu na piśmie nigdzie z sicy oddalać się niewolno”. — „Tak, tak Zaporoznicy, nie oddalajcie się nigdzie bez mojej wiadomości”. — „To też dla téj wiadomości my i przyszli, żeby nam choć jeden bilet na wszystkich napisali, bo my będziemy trzymać się kupy i pojedynczo nigdzie nie rozplyniemy się”. — „Dobrze, dobrze — odpowiedział Tekeli — jak to u was piérwój bywało?” — „Ta u nas panu biletów nigdy nie bywało, ani ojcowie, ani dziadowie nasi ich nie znali, a i pradziady o nich nie słyszeli, a kto gdzie chciał tam szedł, lub jechał”. — „A dokądże wy chcecie udać się z temi biletami, i po co?” — „Na Tyliguł rzeczkę, co wpada w Czarne, dobrodiju! na zarobek do lamy (1). Przekłéta rzecz, nie mamy ani soroczki (ani grosza), gdzie spojrzysz golizna, a przecież trzeba będzie kiedy poduszne zapłacić, ta i panom choć trochę udzielić”. Tekeli głośno się rozśmiał i rzekł: „idźcie, idźcie Zaporoznicy z Bogiem, zarabiacie sobie, a i do kassy zbierajcie. — „Czujem dobrodiju, czujem” — odpowiedzieli Kozacy, i pokłoniwszy się wyszli, i poszli do jego kancelaryi, a Tekeli przyzwawszy adjutanta, rozkazał wydać im bilet na wszystkich 50 Kozaków. Kiedy ci Kozacy dostali już bilet, to zabrawszy z sobą całą swoją amunicyą i wszystkie bagaże, wzięli także z sobą podług liczby majtków kilka łódek, tak-

(1) Tyliguł, rzeka w odeskim powiecie, wpada znaczném jeziorem w Czarne morze. Ta odnoga nazywa się po turecku Deli-Geil (wściekle jezioro). To też udać się na Tyliguł, znaczyło: iść za granicę. Do lamy, na rybaki, znaczyło dosłownie: pracować przy łowieniu ryb, ciągnięciem niewodu.

że naładowawszy wszystkiém co mieli, i siadłszy na nie potajemnie nocą, nietylko ci, co mieli bilety, ale i bezbiletowych tyle, ile w łódkach pomieścić się mogło, może być z 1,000 ludzi, zasumieni w nich wiosłami do Tyliguła.“

„W kilka dni potem przyszło znów 50 Kozaków do Tekelego po bilet, a dostawszy go, zrobili tak jak piérwsi, zabrawszy z sobą i bezbiletowych, ile ich zmieścić się mogło. Widząc, że nikomu biletów nie odmawiają, Kozactwo przystało jeszcze część wojska, które także prosiło o bilet jak i drudzy, zawsze pod pozorem owój chytrój wydumki. Takim sposobem cała już drużyna ze wszystkich kureni dostawszy bilety, pod pozorem Tyliguła, wydalila się pod Turka, oprócz ślepych, kulawych i zestarzałych.“

„Nakoniec oficerowie Tekelego widząc, że sicz prawie pustą została, zaczęli mu raportować, że w siczy nie ma już żadnego Kozaka, i rozpowiadali mu wszystkie ich chytrości i wydumki. Wtedy Tekeli chwycił się za głowę, ale już zapóźno, i pytał się oficerów: „No i gdzież oni? dokąd poszli? przecież oni prosili o bilety do Tyliguła na zarobek“. Potem rozgniewawszy się mocno, zamknął się w namiocie, i był tam w wielkiém zamyśleniu i smutku od tego podstępu prostój drużyny, tak, że z nikim nie mówił, i cały dzień nigdzie nie wychodził. Wtém przychodzi jeszcze ostatek siczowych Kozaków, liczba już bardzo mała, około 10ciu ludzi, i kłaniając się podług obyczaju chlebem i solą, mówią do Tekelego: „Rozkaż nam W. Panie wydać bilety na zarobek“. — „A wam znowu dokąd bilet? — z gniewem już zapytał się Tekeli“. — „Do Tyliguła panie, do lamy“. — „Do Tyliguła, do Tyliguła, wszyscy do Tyliguła — zakrzyczał Tekeli — a miasto puste zostało; nie każe żadnemu z was dawać biletów“, i wypędził ich z oczu. Ale i ci ostatni chociaż bez biletów, także zakiwali piętami w ślad za swoją drużyną, i podziękowali Tekelemu za chleb i sól. Nakoniec rozkazał Tekeli przywołać do siebie wszystkich atamanów kurenych, ale przyszło ich tylko 10. Przyjął ich z gniewem. — „Dlaczego nie wszyscy do mnie przyszlście?“ „Jakże mamy panie wszyscy przyjść, kiedy nikogo nie ma w kureniach“. — „A gdzież oni, kiedy ich nie ma?“ — „Atamany panie, rozjechali się do zimowników, a drużyna bez słyhu rozbiegła się. A i my myślimy sobie w domu, na co my tu będziemy i kim będziemy dowodzić? Starszyznę naszą zabrali, a kozackiego wojska nie ma“. — „A gdzież wasze wojsko i gdzie wasi Kozacy? — zakrzyczał Tekeli — „Na co panie? a przecież wy im sami daliście

bilety na zarobek, bo tutaj ryba po niczemu, do Tiligula, czy gdzie? Wtedy Tekeli okrutnie się rozgniewał, nakrzyczał i wypędził atamanów. Nakoniec przepędziwszy jeszcze nieco czasu około sicy, tegoż roku odjechał do stolicy, a wojsko jego stało 7 lat w granicach zaporozkich, dopóki się zupełnie nowe posiadłości nie urządziły.

II.

Opowiadanie o losach Kozaków Zaporozkich po upadku ostatniego kosza na rzece Podpolnej.

Sama natura przedmiotu rozdziela to opowiadanie na trzy oddziały: 1) na opowiadanie o losach samój sicy i zaporozkich ziem i wolności; 2) na opowiadanie o losach tych Zaporozców, co zostali w kraju; i 3) na opowiadanie o losach tych członków towarzystwa, którzy podburzeni złą radą i wrodzoną im krnąbrnością, postanowili raczej porzucić swą miłą rodzinną ziemię, aniżeli wyrzec się reguły kozackiej.

1.

Losy sicy i zaporozkich ziem i wolności.

Sicz poddała się bez oporu. Wojsko kozackie po wysłuchaniu Najwyższego ukazu wielkiej Monarchini, natychmiast złożyło broń; ani słowem, ani czynem nie okazało ono żadnego opornego poruszenia.

Wnet za zniesieniem sicy poszły i nowe administracyjne rozporządzenia. Wszystkie zaporozkie posiadłości rozdzielone zostały na dwie części: pałanka ingulska zmieniła się na ingulski powiat, kodaacka na nikopolski, a bohogardowa na pawłowski albo olwiopolski, a razem złożyły noworosyjską gubernię. Pałanka samarska, pratowszczańska, oreńska i kałmiuska weszły w skład azowski gubernii pod nazwiskiem samarskiego, nowosielickiego, łyszkowskiego, barwinosteńskiego, końskawodzkiego, kałmiuskiego powiatu, w których naznaczono wojskowych dowódców, po największej części z dońskiej starszyny, aż do dalszego cywilnego ich urzędzenia. Gubernatorem azowskim mianowany został Wasili Czortków.

Losy saméj siczy czyli kosza zaporozkiego, tego środkowego punktu, tego serca i duszy zaporozkiego towarzystwa były następne: wszystkie w jéj okolicy leżące sioła oddane zostały pod oddzielny zarząd pułkownikowi Norawowi. Zamiast garnizonu dla porządku i bezpieczeństwa postawiono tam doński kozacki pułk Sulimy, a pułk dragonów taganrogski rozłożony został w samarskiej i protowszczańskiej pałance.

W obu Kodakach, w Nikitynie, co potém przezwany został Nikopolem i we wszystkich siołach zaporozkich, rozkwaterowano różne piechotne pułki.

W saméj siczy fortyfikacye zostawiono, armaty zabrano, gisernią, prochownią zasypano, kurenie albo rozebrane, albo odesłane do Nikotyń, gdzie z nich postawiono ogromne magazyny. Cerkiew pokrowska ocalała.

Kaplica na cmentarzu, pomniki, krzyże na placu obok cerkwi będące zdjęto. Dwa czy trzy domki koszowych i starszyny, mieszkańcy, dawniej poddani kozactwa, kupili przez publiczną licytacją i przenieśli na inne miejsca. W dwa lata potém, tylko wały, rowy, mogiły i ruiny dawały świadectwo, że na tém samym miejscu, niedawno jeszcze sławna w dziejach Słowiańszczyzny stała kozacka sicz.

Sicz zaporozka zmieniła nazwisko swoje: przeważa się odtąd wioską Pokrowskiem, na cześć opiekunki kozactwa Matki Bożkiej (1). Ziemie zaś około siczy z ogromną przestrzenią stepów i wysp darowane zostały generał-prokuratorowi księciu Wiaziemskiemu, a okolice teraźniejszego Jekaterynosławia, czyli ówczesnego sioła Połowicy z wyspami i lasami, dostały się księciu Prozorowskiemu.

2.

Losy towarzyszy zaporozkich którzy pozostali w kraju.

Tekeli zajawszy sicz odczytał Zaporozcom manifest Cesarzowej Katarzyny, w którym powiedziano: że wojsko w składzie dawnym i z dawną formą już nie istnieje, ale że każdy jego członek, czy starszyna, czy Kozak, może albo powrócić do miejsca zkąd przybył na Zaporozie, albo zostać w noworossyjskim kraju,

(1) *Pokrow*, po rusku znaczy opieka.

ale nie inaczej, jak na prawach innych jego mieszkańców, wyjąwszy starszyn, którzy ściągnęli na siebie gniew monarchini. Oprócz trzech już wysłanych, archimandryt Włodzimierz odesłany został do Kijowa, a duchowni inni do międzygórskiego monasteru. Pułkownicy Andrzej Porohnia, Czarny, Stepan Delech, Iwan Kulik i Iwan Garadza; atamani kurenni Osip Paralicz, Moisiej Hołowko oddani zostali pod sąd wojenny w różnych miejscach, a ich zimowniki i stada zabrano na skarb i sprzedano.

Potemkin, który najwięcej nastawał na zniesienie sicy, chcąc ulżyć nieco w biedzie i nieszczęściu Kozactwu, rozkazał Tekelemu przedstawić sobie listę imienną starszyn i towarzyszy, którzy nie mieli udziału w przewinieniu koszowego i jego stronników, i odznaczyli się w ostatniej tureckiej wojnie. Z tych ludzi zamierzył on utworzyć dwa pikinierskie pułki; ale ani bojaźń owego groźnego magnata, ani obietnice jego najponętniejsze na to nie pomogły. Żadnym sposobem nie mogli Kozaków do regularnej służby namówić, i właśnie obawa służby tej najpewniej była przyczyną smutnego wypadku, o którym Potemkin w raporcie zdanym Cesarzowej Katarzynie 1776 zamilezał, a który wyrzucił z rodzinną ziemi większą połowę zaporozkich towarzyszy.

Pozostała w kraju garstka Zaporozców miała sobie w nagrodę to, że przy niej większa część starszyny utrzymała się, jakoto: były koszowy, Filip Fedorow; asauly: Fedor Biały, Sagin Moszczeński, Łomaka, Lekkostup; pułkownicy: Andrzej Biały, Wycoczyn, Czepega, Kołpak, Tymkowski i Hołowaty. Nadano im stopnie wojskowe armii i odpowiednią pensją aż do przeznaczenia ich do czynnej służby. Pozostawiono przy nich ich majątek i posiadłości ziemskie. Tak przeszło kilka lat spokojnie. Niektórzy z Zaporozców weszli nawet do czynnej służby, a niektórzy do pikiniernych pułków, i wśród powszechnego pokoju zapomniano prawie o Zaporozu. W tym czasie Potemkin zajęty zawsze ulubionym romantycznym greckim projektem przeciw Turcyi, przybył do Noworossyi, której był generalnym gubernatorem, i obaczył, że dla spełnienia owego zamiaru potrzeba było cały kraj, na 100,000 kw. morskich otwarty, a dawniej przez Zaporozców posiadany, obsadzić wojskiem, do czego najmniej 15,000 ludzi było potrzebnych; lecz zkąd tu wziąć tyle żołnierza, kiedy w całym kraju w r. 1782 było ledwie 530,000 dusz obojęd płci. Mimowolnie wtedy przyszli mu na myśl Zaporozcy, i postanowił wskrziesić zaporozkie towarzystwo, ale już nie pod formą zakonu rycerzy bez-

żennych, ale w kształcie dońskich albo uralskich Kozaków. Owóż w 1783 r. 1 lipca wydał następującą odezwę:

„Podaję niniejszém do wiadomości tym przebywającym w azowskiej gubernii, sławiańskiej, elizawetskiej prowincyi mieszkańcom, którzy w byłém zaporozkiem wojsku służyli, że starszynie pułkowemu i kapitanowi armii Hołowatemu poruczoném zostało odemnie przyjmować ochotników do służby kozaczéj pod mojem dowództwem. Liczba tych Kozaków ma być: konnych 500 i pieszych na łódkach także 500, i naznacza się dla nich odpowiedni żołd i żywienie. Dlatego życzący sobie téj służby, niech przybywają do Chersonu do pana brygadiera Sinielnika.“

Takie same zlecenie dane było byłym zaporozkim pułkownikom Charkowi, Czepiedze i Lekkostupowi. Starania tych czterech bardzo lubionych zaporozkich starszyn, przy pomocy byłego wojskowego asaufa Sidora Białego, uwieńczone były ogromnym skutkiem, bo pozostałe w kraju towarzystwo, chętnie się zenilo i osiedlało, przekładając zawsze życie burlacko-wojenne, i w przeciągu 7 lat pozostałych Kozaków w kraju liczba dochodziła jeszcze do 5,300 ludzi. Zebrana tym sposobem drużyna, chociaż miała ubiór, kształt i służbę zaporozką, ale mieli już wolność zenienia się i dostali nowe nazwisko Kozaków czarnomorskich, które następnie w 1787 aż do 1791 r. w wojnie z Turcyą rozslawili. W 15 lat potém, 1805 r., posłany przez Cesarza Alexandra dla urządzenia czarnomorców generał Daszków, pisał o nich do ministerstwa: „Kozacy czarnomorscy podnieceni gorliwością, przez cały czas ostatniej wojny w różnych działaniach przeciwko nieprzyjacielowi, okazali liczne dowody męztwa, odwagi i gorliwości w służbie.“

Wtém umarł Potemkin, a Kozacy, bez żadnego stałego oznaczenia swego losu, pozostali między Dniestrem i Bohem, jako straż graniczna. Rozeszła się pogłoska, że chcą ich w osiadłych zamienić, a oficerom i ochotnikom pozwolono zaciągać się do lekko-konnych lub huzarskich pułków.

Naostatku, na prośbę Hołowatego zmieniono ten projekt, i 1792 r. 30 czerwca wydano Kozakom Najwyższy ukaz, którym na wieczne czasy darowano im wyspę Taman czyli Fanagoryą z ziemią między Kubaniem, Azowskiem i Czarném morzem. Poruczono im zarazem strzeżenie granicy od napadów zakubańskich rozbójników, pozostawiono im ich sąd i zwyczaje, sprzedaż wódki, oddano im chorągiew, litawry, herb i pieczęć z nowym podpisem:

„Pieczęć J. C. Mości kosza wojska wiernych Kozaków czarnomorskich.” Czepega został mianowany koszowym atamanem, a Hołowaty wojskowym sędzią. Wyznaczono Kozakom rocznego żołdu 20,000 rub.; pozostawiono im nadto dawne klejnoty: buławę, piórnicz i trzciny, które dotąd w razie wielkich uroczystości noszone bywały przez nakaznego atamana, naczelnika sztabu. Roku 1792, 1 lipca, czarnomorska kozacka drużyna, pod dowództwem pułkownika Białego, na 51 łódkach wypłynęła w liczbie 5,000 ludzi na nową siedzibę, i 21 sierpnia przybyła do Fanagaria. Następnego roku 15 sierpnia uroczystie założyła sobie nowy kosz, i na pamiątkę łaskawej dla nich monarchini, przezwali go Jekaterynodarem (darem Katarzyny). Pobudowali sobie wioski, kurenie, których nazwiska zachowali także same jak w stariej siczy na Dnieprze, i dotąd żyją w dawniej kozackiej formie, wyjąwszy, że wielu z nich, a teraz podobno wszyscy już się pożenili.

3.

Losy tych Zaporozców, którzy wyszli z kraju.

Około 5,000 ludzi z dawniej drużyny zaporozkiego kosza, czy przestraszonych zburzeniem siczy, czy podburzonych wrodzoną gwałtownością uczuć i czynu, czy w chęci zachowania i wytrwania dalej jeszcze w formie owój wojennego bractwa, zabrawszy wszystkie łódki jakie były w siczy i Nikitynie, dawnym kozackim szlakiem dostali się na morze, a ztamtąd odnogą Grzegorza na Dunaj do Brailowa. Nie wiedząc co począć z sobą, a bojąc się Rossyi, postanowili poddać się Turcyi. Porta przyjęła ich chętnie i pozwoliła im osiąść koszem przy téj samój odnodze Dunaju (Hedrille-Bogazi). Ziemia na której teraz żyli miała wiele bardzo dobrych warunków: ryby, lasy, łąki, pastwiska; a tego téż tylko Zaporozcowi potrzeba. Ale zły los wisiał już i tu nad niemi. Tuż obok nich siedzieli niekrasowcy, roskolnicy, Kozacy dońscy. Zaporozcy, jak to już czytelnicy z poprzedzającego wiedzą, nienawidzili różnowierstwa, napadli na niekrasowców i wypędzili z ich siedzib. Turcyja za karę i dla uniknienia podobnych zajść w przyszłości, usunęła Zaporozców dalej ku górze rzeki, aż do jeziora Sejmeny. Tu wybudowali sobie nowy kosz i przetrwali w nim do końca XVIIIgo wieku. Wkrótce liczba ich wzrosła do 10,000, mieli znowu koszowego atamana i innych urzędników, a i swoich 38 kuren, i cerkiew Opieki Matki Boskiej. Nie podoba-

ło im się jakoś w tych stronach, i znowu dostali od Porty pozwolenie zajęcia dawniej siedziby przy ujściu Dunaju, wyparcia niekrasowców, co też wnet uczynili i tu już aż do roku 1829 siedzieli.

Turecja używała Kozaków przeciw Serbom, Albańczykom i Grekom, a tylko 15 łódek zadunajskich, a jak ich Turecja nazywała bołgarskich Kozaków, wystąpiło przeciw Rosyji w kampanii r. 1789—1791. Mieli tedy w Turcyi Zaporozcy wszystko, co mieć chcieli: mieli siedziby, mieli sicz i koszowego atamana, i cerkiew, i regułę dawną kozacką, i hulanki bojowe, a zatém i łupy, a mimo to wszystko nie byli kontenci. Tęsknota za rodzinną ziemią coraz bardziej ścisкала ich serca. Smutno im było u obcych; śpiewali też sobie:

Letyw oręł ponad morem, taj staw hołosyty,
Oj jak tiazko mni bidnomu na czuzbini żyty.
Letyw oręł ponad morem, taj letywszy kryknuw,
Oj jak tiazko neszczastnomu żyt, gde ne prywyknuw.

Mysł o powrocie do Rosyji już w roku 1805 między nimi powstała, a kiedy w roku 1806 wybuchła wojna między Rosyją i Turcyą, wtedy Kozacy zadunajscy pomału opuszczając zaczęli swój zadunajski kosz i około 500 ludzi pod przywództwem Iwana Gleb i Buczyńskiego przeszło do generała Michelsona, który za najwyższém zezwoleniem uformował z nich osobny oddział i przezwiał: „*Ujst-dunajskiem* wojskiem.” W r. 1825 Xawery Czerniawski wyprowadził z zadunajskiego kosza około 100 ludzi, przedstawił się hr. Woronców i objawił, że jest posłem od całego zadunajskiego towarzystwa, z prośbą, aby Najjaśniejszy Pan raczył pozwolić im powrócić do Rosyji i przyjąć ich do swojej służby. Na ten raz nic nie zrobiono. Dopiero w roku 1828 kiedy rossyjskie orły zaleciały aż do ujścia Dunaju i Dniestru, zadunajscy Kozacy podali znowu prośbę do szczęśliwie dziś nam panującego Monarchy, aby ich, jak to dawniej bywało, przyjął na służbę; co też otrzymali. Wnet uformowano z nich dwa pułki, które nazwano kozackim dunajskim wojskiem. Kiedy nakoniec wojska rossyjskie dotarły aż do Dunaju, wtedy Józef Gładki ataman koszowy zadunajskiego kosza, 8 maja 1828 r. ze wszystkimi Kozakami, pozostawiwszy prawie wszystkie ruchomości w siczy, na czterdziestu dwóch łódkach opuścili Turcyą i 20 maja rzucili się do nóg najlaskawszego Monarchy, który osobiście dowodził zwyciężką armią. Przyjęci otrzymali przebaczenie i nazwisko oddzielnego zaporozkiego wojska. (Ukaz 27 maja 1828 roku).

Owóż w pół wieku po zniesieniu siczy na rzece Podpolny zmartwychwstali na nowo Zaporozcy, ale nie na długo, bo między ro-

kiem 1830 i 1832 darowano im prześliczne ziemie w jekaterynosławskiej gubernii na brzegu Azowskiego morza, i nazwano kozackim Azowskim wojskiem. Jak Czarnomorcy tak i Azowcy już przestali być zakonem wojennym, a pożeniwszy się, są teraz na stopie wojenno-rolniczego towarzystwa.

Takie są losy owój drużyny, głośnej na południo-wschodzie Europy przez pięć blisko wieków. Przeżyła ona swoje najświetniejsze epoki wtedy, kiedy była potrzebną, a teraz już pod inną formą i z inną ustawą, odpowiednią potrzebie czasu i miejsca, ma jeszcze wiele wybitnych rysów swego oryginalnego życia, ale pomału owe rysy zatrą się, i spoczną w archiwach na pamiątkę ludzi i rzeczy.



POSZUKIWANIA

DO HISTORII ROLNICTWA KRAJOWEGO.

Część trzecia.

Stan rolnictwa przed Kazimierzem Wielkim. — Podzwignięcie go. — Pojedyncze jego gałęzie: pszczolnictwo, rybołówstwo, łowiectwo, stada, rola, produkcya zboża, jego wywóz. — Urządzenia odnoszące się do rolnictwa po koniec wieku XVIgo. — Rzut oka na wpływ ogólny prawodawstwa na rolnictwo.

I.

Rolnictwo jest koniecznością i warunkiem życia dla ludów wzrastających w liczbę, obierających stałe siedziby, a nie chcących żyć rozbojem. Ale pomiędzy rolnictwem, dla opędzenia pierwszych potrzeb do życia prowadzonym, a rolnictwem, mającym stanowić bogactwo i pomyślność narodu, jest przestrzeń niezmierna. Pierwsze żyje jak może, od dnia do dnia; drugie, aby zakwitło, potrzebuje bezpieczeństwa i pokoju, rękojmi dla mienia, pracy i osoby rolnika, opieki praw w stosunkach prywatnych i ogólnych. Opadają ręce, odwaga przedsiębiorcza ucieka, gdy owoce długich i ciężkich usiłowań, wystawione są na igraszkę dowolności. Rolnik ma do walczenia z przeciwnościami, jakie mu stawia przyrodzenie samo. We wstrząśnięciach i burzy żywiołów, niejednostajnościach powietrza, znajduje często wroga, któremu niezawsze poddać jest w stanie. Choćby najhartowniejszą uzbrojony był wytrwałością, upada jego odwaga, jeśli do téj walki z naturą dołączy się swawola, bezprawie, rabunek lub wojna. Zniszczony zasób rolniczy nie odnawia się łatwo: długie lata, często pokolenia składają się na jego uzbieranie. Pomnaża się powoli: jedna chwila niszczy go z łatwością i znowu długich lat potrzeba, aby go do dawnego stanu przyprowadzić. A jednakże bez

tego zasobu rolniczego jakim są budowle, narzędzia, inwentarze, kroku zrobić nie można. Nietylko więc moralnie na duchu i odwadze upada rolnik nękania przeciwnościami, ale skoro środki, narzędzia konieczne pracy, cały przybór warsztatu rolniczego niknie, pozostaje bez sił, a jego zawód wraca do niemowlęstwa. Znowu powoli musi krzątać się, gromadzić, a nieraz dopiero drugiemu pokoleniu zostawioném jest na nowo rozpoczęte dzieło do końca doprowadzić. Kiedy takie powroty złego są ustawiczne, nieomal stanem chronicznym, mowy już o wzroście rolnictwa być nie może, i trzeba energii ducha i natężeń woli, aby przetrwać złe czasy i z nową dzielnością wziąć się napowrót do dzieła w lepszej chwili.

W takim właśnie położeniu była Polska, kiedy rozdział monarchii osłabił jej siły, zwałił prawa, otworzył wrota zarazem domowym wojnom i łupieżczym napadom. Właśni książęta ubiegali się o nią wojną i podstępem: to najeżdżając zamki i ziemie, to nurtując władze przeciwników darami i przywilejami, które porządek prawny i polityczny kraju rujnowały. Wśród osłabienia, ze wszystkich stron cisnęły się tłumy najezdne, zapędzając lud w niewolę. Strykowski powiada, że dopiero po zawartém małżeństwie Kazimierza W. z Aldoną, córką Gedymina, Polska utrapiona osiedlejszą, ludniejszą i żywniejszą być poczęła, bo przedtém większą częścią spustoszona i zwojowana od Litwy poganów była. Mazowska przyległego także: dobrzyńskiej, lubelskiej, sandomierskiej, łęczyckiej, sieradzkiej, kaliskiej, kujawskiej ziemie, większa część bez ludzi, odłogiem, nieruszona plugiem leżała, dla ustawicznych najazdów litewskich. Wiadome są aż nadto krwawe z innych stron napady. Niemniej może nękającymi były wielkie powinności publiczne: dziesięciny, stacye książęce, włóczęgi wojska; urzędników, psiarni, sokołów i myśliwych nadużycia, jakich się dopuszczano. Usiłował je ukrócić Kazimierz jeszcze w r. 1180, ale niełatwo było ujęte złe wykorzenić. „Za niedbalstwem i pobłażaniem piérwszych jeszcze książąt” mówi Kromer (1), „niecnotliwy a prawie pogański obyczaj między pany, szlachtę i między rycerstwo wdarł się był: że w drogę jadący, kiedy i kędykolwiek podobało się im, urodzaje i sianożęci rolnikom wypasywali; a nie rżkąc paszą, lecz stacye wszelakiej żywności składać im nakazywali; abo więc sami do gumien, śpichlerzów, spiżarni włamawszy się, przez gwałt wszelaką spiżę zabierali. Na czém nie dosyć jeszcze mając, ostatki których zabrać nie mogli, z niecnoty rozrzucali, deptali, palili i jako mogąc

(1) Tłum. Błażowskiego, ks. VI, str. 145.

wniwecz psowali: bydło z paszy, konie ze stajen zabierali, z wozów i pługów wyprzęgali i do swój potrzeby używali, które potem zrobione abo też wynędznione odsyłali, a kiedy się podobało, tedy sobie przywłaszczywszy, na swą potrzebę zażywali... A chociaż postęпки takie dosyć niecnotliwe, niesprawiedliwe, okrutne były, chociaż ludzie ubogie nieznośnie cisnęły, a wszakoż iż dawnym zwyczajem zastarzałe będąc, prawem niejako wspierały się i życzliwością potężniejszych, którym korzyść przynosiły, broniły, przetoż trudno bardzo odcinać było." Obwołano kłątwy na tych, którzyby podobne nadużycia popełniali za wpływem duchowieństwa, ale zaprzeczają niektórzy historycy Kromerowi, jakoby prawo jakie w téj mierze uchwaloném być miało.

Upadłe w skutek tych zewnętrznych i wewnętrznych przeciwności rolnictwo, musiało szukać zasilku w ludziach, urządzeniach u tych samych Niemców, którym przodkowie nasi niegdyś za przykład w sztuce rolniczej służyli. Osiadali obcy koloniści, monarchowie sypali przywilejami wyłączającami ich zpod ogólnego prawa lub przenoszącami pod prawo obce. Na domiar więc złego przyłączyła się anarchia prawdziwa w stosunkach prawnych. Trafnie, a nawet niekiedy wymownie, to rozprężenie, nieład stosunków wszystkich w czasach przed statutem wiślickim, kreśli autor „Polski w wiekach średnich.” (1).

Z takiemito trudnościami walczyć musiało rolnictwo w XII i XIII wieku, a nawet do samego statutu wiślickiego. Dodawały mu krzepkości i siły odpornéj jużto żywotność, którą tętną ludy młode, mające znakomitą przyszłość przed sobą, już wreszcie właściwy owym wiekom organizm społeczny. Jak zwróciliśmy w poprzednich częściach na to uwagę, posiadłości ziemskie rozpadały się na mniejsze i większe, zwykle średniej wielkości osady, do różnych klas ludności należące, zwykle dziedziczne lub wieczysto dzierżawne. Było więc mnóstwo ludzi, których łączyły z ziemią ścisłe węzły. Osadnik czasowy lub dzierżawca kilkoletni jak ptak przelatuje z gałęzi na gałąź, gdzie mu lepiej i korzystniej. Osadnika właściciela lub wieczystego dzierżawcę łączą z ziemią stosunki nierozzerwane: przywiązuje się on do niej, wciela się w nią, żyje nią i w niej. Nie odstąpi jój w złej doli, nie opuści po klęskach i spustoszeniu. Nie szczędzi pracy i znoju, bo wie, że mu wyda owoce choć późne, choćby nawet dla przyszłych pokoleń. Do niczego więcej człowiek

(1) Tom III, str. 284.

się nie przywiązuje, jak do ziemi, skoro jój posiadanie jest mu zapewnioném. Do kawałka ziemi tak łatwo łączą się wspomnienia młodości i pamiątki rodzinne, że zwykle drzewa, wody, rośliny i człowieka co wśród nich wzrosł albo je wypielegnował, łączy jakby duch rodzinny, familijny. Ta dziwna miłość ziemi bywa nawet dla takiej, która ani pięknnością nie zachwyca, ani plennością nie obowiązuje: dla ziemi zupełnie nawet brzydkiej i niewdzięcznej. Co więcej, silniej przywiązują się ludzie do małych jój kawałków, niż do ogromnych obszarów, chociaż loicznie powinno być odwrotnie. Liczne doświadczenia przekonywają, iż nierównie łatwiej powstaje z upadku posiadłość mała, jak rozległa. Wielka, potrzebuje wielkich sił i zasobów; a te raz złamane i rozproszone, niełatwo się zebrać i skupić dają. Mała lub średnia, siłą jednej, dwóch lub kilku rodzin, może dźwigać się z gruzów i powoli do stanu dawniej pomyślności powracać; kiedy na wielkiej przestrzeni usiłowania pojedyncze giną, pozostają bez śladu, i odstrasząją raczej jak zachęcają nikczemnością rezultatów. Wreszcie właściciel mniejszej przestrzeni ziemi, przywykł przestawać na małym, łatwiej znosi nędzę, pracę, niedostatek, klęski: pracę dźwigania się z niedoli łatwiej znieść potrafi.

Przeważającą liczbę takich posiadłości miał kraj naówczas, i téj bez wątpienia przyczynie należy przypisać tę sprężystość, z jaką zle dole ówczesne rolnictwo wytrzymało. Znajdujemy je nawet (o tyle, o ile to da się widzieć w pozostałych pomnikach) w XIII i początkach XIV wieku znakomicie czynne i zabiegłe. Puściło niejedną gałąź i niejedno źródło bogactwa rozwinęło. Jak na te czasy odległe, przedstawia postać tak kształtną i wyrobioną, tak mało śladów dzieciństwa na sobie nosząca, iż widoczném się staje, że długie już lata przeżyło, różne koleje i próby przeszło. Mimo wyraźnych śladów cierpień jakie je dotyczą, okazuje pewną czerstwość, i na różne gałęzie rozlewa swoje soki. W budowie i organizmie posiadłości wiejskich pokazuje się pewien porządek i systematyczność; w użytkowaniu z pól, wód, sianożęć, staranny ład. Sama praca, powinności i ciężary roztropnie są rozłożone; co jednakże nie odnosi się do ciężarów i powinności publicznych. Podział ziemi na mniejsze posiadłości niósł za sobą podział zatrudnień rolniczych; to téż dzielią się wedle miejsca i potrzeb: tu jedno, tu drugie, tam kilka współcześnie się rozwija. Dopomagała do tego rozwoju licznych gałęzi rolniczych dziewiczość lasów, łąk, pól, stepów, w znacznej części kraju; ta pełność i obfitość okolic, długo w ręku matki natury zostających, i jak

dzisiejsza Ameryka, hojnie sypiących swojemi przez wieki zaoszczędzonymi darami.

Kiedy dzielne ramię Łokietka i roztropność Kazimiérza W. usunęły zawady zewnętrzne i wewnętrzne, które wzrost rolnictwa tamowały, wszystkie gałęzie jego dopiero bujnie zakwitły. Statut wiś. i bezpośrednio wiele zatrudniał się rolnictwem, i pośrednio znakomite oddał mu usługi, o których niżej powiemy, zwracając uwagę na wpływ i związek dawnego prawodawstwa z naszym przedmiotem. Nie samą jednakże ustawą rządu Kazimiérza wpłynęły na podniesienie rolnictwa. Sprowadzanie osadników zdolnych i przemysłnych, zakładanie i podnoszenie miast, ożywienie handlu, sprowadzenie pokoju choć drogo okupionego, usiłowania do obudzenia przemysłu i fabryk, urządzenie spławów, zakładanie wreszcie składów wewnątrz kraju na produkta rolnicze:—równie może jak sam godny wiekopomnej czci statut wiślicki wpłynęły na ten stan pomysłności. Teraz dopiero rolnictwo rozbujało w rozlicznych kierunkach. Z natury podziału ziemi i stosunków kolonialnych i czynszowych wypływał, jak powiedzieliśmy, podział przemysłu rolnego. Rolnicy pojedynczy, całe osady i okolice brać się mogły i brały do takich zajęć, które im największe korzyści obiecywały. Na Podgórzu np. koloniści niemieccy siali luy, wyrabiali płótna i séry. Mieszkańcy gór, jak świadczą ich przywileje do dziś dnia dochowane, oddawali się pasterstwu i chowowi stad. Gdzieindziej powstawały lub urządzały się osady bartnicze, łowieckie, rybackie, zbożowe i t. d.; większe własności hodowały liczniejsze stada i obszerniejsze łany zbóż. Było miejsce na wszystko i dla wszystkich. Dlatego ówczesowe rolnictwo dzieli się na kilka gałęzi, w których rola i produkcya zboża nie gra wyłącznej a nawet głównej roli; składa się z cząstek drobnych, których summa dopiero jedną całość stanowi. Rzucimy pokrótce okiem na każdą z nich w szczególności: jużto dlatego, że każda ma swój osobny bieg, jużto, że wznoszenie się lub upadek jednych lub drugich, wskazuje zarazem bieg ogólny rolnictwa i zmianę systemu rolniczego.

III.

Ulubioną a razem ważną gałęzią przemysłu rolnego było od dawna pszczolnictwo. O jego rozpowszechnieniu w pierwiastkowych wiekach przekonywa danina bardzo używana i w mnóstwie przywilejów zastrzegana, pod nazwą *donica* (*urnamellis*). Utrzymywała się ona tak długo, dopóki system czynszów i danin przez pańszczy-

zniany zastąpionym nie został. Przynotowaliśmy w poprzedzających częściach przykłady, że bartnictwo osady całe zatrudniało w XIII i XIV wieku. Statut wiślicki zajmuje się niém, stanowi sposób dochodzenia kradzieży pszczół, i ustanawia kary na podcinających drzewo z barciami (1). W XVI wieku przemysł ten mniej ważną zaczyna grać rolę w całości kraju, ale cofa się w pewne części jego i okolice. Są ślady, że pszczolnictwo w lasach Mazowsza i na większą stopę się rozwinęło i dłużej przetrwało. Zajmująca ludność Kurpiów długo niém i myśliwstwem głównie się zatrudniała. W statutach mazowieckich pod r. 1401 spotykamy dokładnie opisane obowiązki bartników. Starostwo przasnyskie miało nawet wyłączne prawo bartne, które p. Wojcicki w Bibliotece Starożytnéj ogłosił. Ciekawy ten zabytek jest z r. 1559. Mowa jest w nim tylko o leśném czyli dzikim pszczolnictwie; gdzieindziej spotykamy ślad, iż ono było dwojakie u nas: domowe i dzikie. Wspomina o tém Opaliński (2) nadmieniając, iż w Koronie starannie się z pszczolami obchodzą; przeciwnie w Rusi, gdzie ich wielka jest mnogość, bardzo niedbale. Ogradzają plac na polu, mieszczą w nim ule, a wśród tych próżne do przyjęcia nowych rojów. Gdy czas podbioru przychodzi zabierają miód, nieco dla wyżywienia pozostawiwszy. Ogromne ztąd mają zyski. Powiada dalej tenże Opaliński, iż zna w tamtych okolicach pewnego właściciela dóbr, który od poddanych dziesięciny miodowój pobiera tysiąc beczek (cados), beczka zaś sprzedaje się niekiedy po dziesięć czerwonych złotych.

Statut lit. z roku 1529 zatrudnia się troskliwie bartnictwem, a mianowicie leśném; co dowodzi, że Litwa miała wówczas tę gałąź przemysłu. Dozwala bartnikom w cudzych lasach mającym barcie drzewo brać na bartniczy użytek. Przy wycinaniu puszczy, drzew bartnych ruszać nie dozwala. Za zepsucie bartnego drzewa naznacza kary. Za wydarcie pszczół niepodbieranych, czyli jak tłumacz mówi *nie łażonych*, kładzie winę większą, podbieranych mniejszą. W opiece swojej dla pszczolnictwa, nawet około stojących na polu drzew pojedynczo a mających pszczoły, nie dozwala blisko orać, aby nie schły (3). Prawa koronne po statucie wiślickim niewiele zajmują się tym przedmiotem. Konstyt. z r. 1420 (4) stanowi, iż kmięć barci w cudzym lesie mający, daninę panu owego lasu dawać powinien. Konstytucya z roku 1550 wspomina jeszcze także o barciach

(1) V. L. 1. st. 17 i 47. (2) in Pol. str. 670.

(3) Zbiór Działyń. st. 329 i dalsze. (4) V. L. 1, str. 80.

leśnych; nie widać jednakże, aby pszczolnictwo w XVI wieku na większą stopę utrzymywało się, zwłaszcza w Koronie. Daniny miodowe ustają; w lustracyach i inwentarzach z czasów Zyg. Augusta nie masz już o pszczolnictwie mowy, ale w spisach wywożonych płodów krajowych, jeszcze w XVII wieku ważne miód i wosk zajmują miejsce. Konsumcya téż wewnętrzna miodu zdaje się być bardzo znaczna. Główném siedliskiem w owym czasie pszczolnictwa były: Ruś, Podole i Ukraina. Rzączyński powiada (1), że na Podolu nie tylko w lasach, drzewach, ale w brzegach wód, w ziemi prosto mnożą się pszczoły. Wędrownie roje niszczą wieśniacy, aby nie psuły starych osiadłych rojów; a z powodu żyzności ziemi, wonności ziół i obfitości kwiecia, doły całe w ziemi zapełniają pszczoły miodem, tak, że ogromne niedźwiedzie, które się dostaną do nich, z obżarstwa padają. W bliskości Kamieńca, mówi tenże, 12 ulów w ciągu jednego roku wydało 110 rojów, z których 40 zachowano, resztę zniszczono, aby nie mieć ubytku w miodzie. Na Ukrainie niejeden osadnik 100 pniów pszczoł posiada. Cellaryusz już w połowie XVII wieku piszący, mówi jeszcze o wielkiej obfitości w kraju miodu i wosku, któremi zapewne te prowincye, tak resztę kraju jak potrzeby handlu zagranicznego zaopatrywały; bo, jak powiedzieliśmy, w Koronie już wówczas pszczolnictwo niknęło.

Można wnosić, iż przerzedzenie i zniknienie licznych lasów, ubytek małych własności, system pańszczyzniany i przewaga gospodarstwa zbożowego, tę zajmującą i korzystną gałąź rolniczą usunęły w okolice, w których stosunki miejscowe więcej były dla niej przyjazne.

III.

W epoce, w której dochody z ziemi nie były wprost ciągnięte przez właścicieli obszerniejszych włości, kiedy czynsze i daniny większą stanowiły część dochodów: nie zaniedbywano pobocznych gałęzi przychodu z dębr, starannie pielęgnowano i rybołówstwo. Pełne są dawne dyplomata zastrzeżeń, wyjątków, przedaży, nadań do niego się odnoszących. Niektóre z nich zatrudniają się najdrobniejszymi szczegółami: oznaczają ściśle granice rybołówstw, rodzaje sieci, sposoby któremi łowić dozwalano; są takie, które tylko łowienie wędą zastrzegają (2). Ta drobiazgowość zastrzeżeń dowodzi, iż do tego

(1) Str. 257.

(2) Kod. Dyp. War. Tom I, N. 56. *Contulimus etiam sibi lacum qui est in villa us nullus in eodem lacu audeat piscari nisi vadendo.* Tamże nr. 86: ve-

źródła dochodu pewną ważność przywiązywano. W mnóstwie przywilejów czytamy wzmianki o rybakach po wsiach i klasztorach, wyłącznie temu zatrudnieniu oddanych. Później, kiedy włości wielkie wzrosły i gospodarstwo stawowe się podniosło, właściciele rozporządzając mnóstwem ludności rolniczej, mogli kopać stawy, sypać groble, których do dzisiaj ślady pozostały, zadziwiając nas nieraz swoją liczbą i ogromem. Kromer wspomina w swoim czasie o niezmierniej ilości stawów i sadzawek sztucznie robionych i sypanych (1): „pro lacubus minor Polonia, Silesia, Russia ac Podolia piscinas habent arte manaque factas permultas et grandes.” To trwało jeszcze za czasów Rzeczyńskiego (2): „piscinae minores plane innumerae” powiada on. Jakie ogromne dochody przychodziły ze stawów i wód, mówi Opaliński (3): „Spuszczone stawy po trzech latach, chociaż tanio ryby się sprzedają, często 10, 15 do 30,000 złp. przynoszą.” Ruś Czerwona prowadziła znaczny handel solonemi rybami, w które ogromnie obfitowała, jak świadczy Cellaryusz. Wszyscy opisujący kraj w XVI i XVII wieku uważają go za nader bogaty w ryby. Później, z upadkiem ogólnym i wyludnieniem, stawy zaniedbane ponikły, lub dla pomnożenia łąk poznoszone zostały. Gospodarstwo rybne upadło, i dziś obfitością ryb pochwalić się nie możemy. Strojnowski w r. 1699 wydał ciekawą książkę o gospodarstwie stawowym, z której pokazuje się, iż ta rzecz umiejętnie i systematycznie traktowaną była.

IV.

„Polowanie“, mówi Czacki (4), „było uważane za obiekt zabawy i za obraz wojny”; dodamy, że w pierwiastkowych mianowicie czasach za ważne źródło dochodów. Długosz (5), Naruszewicz (6), Bandtkie (7), mówią, iż wolne użytkowanie z lasów, wolne wszędzie polowanie były uważane za prawa monarsze, i że nie było wolnym myśliwstwo prywatnym we własnych nawet dobrach, wyjąwszy tych, którym to przywilejami było dozwolone. Nie spotykamy jednak nigdzie w dzie-

rum etiam piscationis usum cum reti parvulo prosequantur. Tamże tom II nr. 281: Alit vero kmethones quorum mansus eidem iam contingit vadendo reti aut hamo piscabuntur. Tamże nr. 305: Cum tribus gulgustriis quartis et sextis feriis piscari, quae vulg.: *Wanczerze* nuncupantur.

(1) Pol. k. I. (2) str. 162. (3) ibi. (4) T. II str. 253.

(5) I. str. 801. (6) T. I, k. 3. str. 256. (7) Hist. Pr. P. str. 143.

jach, aby się monarchowie zrekli tego prawa, a jednak ono w XIII i XIV wieku już nie istniało. Wprawdzie w licznych przywilejach nadają lub wyłączają prawo polowania; ale te same zawarowania znamionują, iż to prawo albo nie istniało nigdy w dobrach prywatnych, albo wówczas już upadło. Raczejby je odnosić można do dóbr monarchycznych prawem lennem nadawanych, do osad w puszczech książęcych zakładanych. W najdawniejszych także przywilejach spotykamy daniny futer (aspergillów, asperiolów). Zwykle daniny wszelkie pobierane były z tych przedmiotów, jakie znajdowały się na terytorjum, na którym osadzeni byli rolnicy. Obok monopolu monarchycznego i rozciągłości, jakie nadają historycy prawu leśnemu, taka danina istniećby nie mogła. Oprócz tego były pewne kary sądowe z futer składające się, co również mówi przeciw owemu mniemanemu prawu leśnemu. Zwrócił już na tę materję uwagę p. Maciejowski, wskazywał z innych jak tutaj powodów niepodobieństwo tego monopolu i domyślał się, że prawo tak zwane leśne inne miało znaczenie (1). W XIII i XIV wieku już zarówno prywatni jak monarchowie, zarówno świeccy jak duchowni, to w nadaniach, to sprzedażach, zastrzegają, ustępują całkowite lub częściowe polowania, zgola rozporządzają niem jak czystą własnością. To także pewna, iż panujący utrzymywali niezliczoną liczbę myśliwców, wielkie psiarnie, które w domu i podróży rolnicy żywili. Do nich jeszcze należało pilnować gniazd sokolich, łapać uciekle i karmić; koni, naganiaczów i sieci dostarczać. Niektórzy z książąt, jak Mieczysław III wykonywali tak surowo prawo polowania, iż kto ubił zwierza, był pociągany do sądu jako winowajca obrażonego majestatu, i skazywany na 70 grzywien lub utratę majątku (2). „Dolegało szlachtę, mówi Kromer (3), częstokrotne myśliwstwo Bolesława Wstydlwego, albowiem kiedykolwiek na łów zjechał, wszędzie szlachta psy książęce wyżywiać, koni samemu i łowcom i podwody zosobna dawać koniecznie wszystko musiała.” Powoli zaczęto przywilejami zwalniać od tych uciążliwości lub części ich tylko zastrzegać. Niekiedy takie zwolnienia bardzo racjonalnemi powodami są objaśniane. Przywilej Konrada ks. mazowieckiego (4), nie każe łapać sokoła leśnego, który zginie, bo powiada przywilej, „ptak równie jest swobodny w powietrzu jak ryba w morzu.” Inny

(1) Pamiętniki, tom II, str. 180 i 238.

(2) Dług. I, str. 524. Band: Hist. Pr. P. 144.

(3) Thun. Bł. k. IX, str. 213.

(4) Nar. T. IV, ks. III, str. 377, przyp. 52.

przywilej fundacyjny klasztoru w Lubeniu z r. 1178 (1), uwalnia od wszelkiej posługi myśliwczój (ab omni conservatione equorum, canum, falconum, aucupum, venatorum); aby nie zdawało się, iż rzeczy święte obracają się na psów, i aby dobytek Bogu oddany, niegodnie nie był zużywany. Jednakże jeszcze w nadaniach z XIV wieku spotykamy zastrzegane posługi myśliwcze, choć mniej uciążliwe jak dawne. Przywilej Ziemowita (2), mówi: „Strzelców mieszkańcy mają żywić i wezwane od nich ad custodiam ferae agitandis quae dicitur *przelaya* ire tenebuntur.” Niektórzy prywatni z tegoż czasu nadając prawo polowania, zastrzegają sobie część czwartą zwierzyny (3): jak hrabia Mikołaj dziedzic z Moszny pozwalając łowów na zające, kuropatwy i bażanty. W niektórych nadaniach wyjmowane jest czyli zastrzegane dla nadającego polowanie grubego zwierza, w niektórych polowanie tura (4). Inny przywilej z r. 1350 (5), udziela polowanie na sarny i jelenie: „*magnis feris aliis omnibus pretermisissis*”, których polowania zupełnie zabrania.

Z tego wszystkiego widzimy, jak pilnie strzeżono i jaką wagę przywiązywano do prawa polowania. Dziewicze puszcze, liczne zarośla i bagna, jakich wówczas domyślać się można, musiały obfitować w rozliczną zwierzynę. Jednych ceniono futro, innych mięso. Są ślady, iż było dawniej pełno zwierza i ptastwa, które dziś wcale się tutaj nie znajdują, które popchnęły w inne okolice i strefy: zaludnienie, wycięcie lasów, osuszenie błot i zmiana klimatu. Oprócz tura, o którym jeszcze w XVI wieku są wzmianki w puszczach Mazowsza, łosie, o których Rzączyński mówi, cofały się na Litwę. O bobrach mówi tenże Rzączyński, iż są w niektórych rzekach Polski, Wołynia, Rusi, Mazowsza i Prus, ale w małej liczbie; piękniejsze i liczniejsze na Litwie w wodach Kobryni, Łoni, Wietki, Nienna, na Polesiu w Pinie, Jesioldzie, Kobrzy, Prypeci, Sławecznie i t. d. O bażantach wspomina także Rzączyński, ale już jako o rzadkości (6); tymczasem w przywilejach z XIII i XIV wieku niejednokrotnie są wzmian-

(1) U Sommersb. T. I, p. 894.

(2) Spis chronologiczny dyp. oryg. w M. S. G. Ar. r. 1353.

(3) M. S. G. Ar. No. 1055. (4) Ibi. r. 1359. No. 25.

(5) Kod. Dyp. Wiel. Pol. No. 92.

(6) Str. 304. Ex Ungaria et Bohemia ad nos phasianallati Białowięzensem silvam in Lituania estate toda incolabant; ante hiemem praeter alias artes accipitrum unguibus diminutis atque attritis comprehensi reddebantur suis receptaculis. Et silva *Zielona puszcza* phasianos habere dicitur a saturatis eorum carnibus.

ki o nich (1). O bobrach tamże nieustannie jest mowa. Obfitowały w nie nietylko rzeki większe, ale małe strumienie, stawy i bagna. Spotykamy je w Nerze, Pilicy, Warcie, w rzekach Łuciąży i Czarny (2), w rzeczce zwanój Lompnica (3). Czacki mówi, że XIIIgo wieku przywileje świadczą o exystencji urzędników bobrowych nad Nidą, Narwią, nad któremi zabytków nawet teraz nie masz, przebywania bobrów. Wspomina o rejestrze bobrów z r. 1229 w księztwie mazowieckim: „widać w tym rejestrze” dodaje „że te bobrownie były porządne i tak dobierano stada, aby były jednego koloru; szczególnież za Pultuskiem było *nigricinos castores* 251 na dwór książęcy; z nich wybrano 10, na sprzedaż 50, *ad restantiam et proliferationem* reszta.“ Połów bobrów tak zdaje się był powszechnym, że go nawet w ogólnej formule przy sprzedaży dóbr zamieszczano (4). Prawa koronne nie mówią wcale o bobrach i bobrownictwie, ale statut litewski w wielu względach dokładniejszy i porządniej, rozciągnął nad nimi opiekę. Umniejszając się powoli, nareszcie ginąc poczęły, a do dziś pamiętka ich pozostała w nazwie niektórych wsi.

Tak samo stopniowo i częściowo z umniejszaniem się puszczy i zwierza, z rozszerzaniem praw wolnego użytkowania z polowania, z postępem wielkiego rolnictwa i przybytkiem ważniejszych źródeł dochodów, łowy przestawały być gałęzią gospodarstwa i źródłem intryty. Tém więcęj się to przyspieszało, że nie spotykamy przepisów policyjnych i ochronnych co do zwierzyny i polowania. Surowe prawa strzegły tylko dowolnego myśliwstwa w cudzych kniejach; strzegły, aby psiarnie, konie i myśliwi nie polowali w zbożach przed ich sprzętem: na tém się ograniczała cała ich troskliwość. Ochroniano owszem ptaki drapieżne dla łowów, a lisy dla futer. Pod karą 14 grzywien niewolno było liszek młodych zbierać (5). Polowanie stało się coraz więcęj zabawą pańską, ćwiczeniem rycerskiem. Przy rzadszej zwierzynie psiarnie, sokoly, rarogi i drzemliki, najeżdżacze

(1) K. D. W. T. I, N. 65. M. S. A. G. N. 1127.

(2) K. D. W. T. I, N. 56. (3) *ibi*. T. II, No. 41.

(4) Pisano jak up. w przywilejach z r. 1257 i 1253. (K. D. W. T. I, N. 46 i tamże N. 42): *Contulimus villas infra nominatas cum omnibus suis utilitatibus et pertinentiis, molendinis videlicet, tabernis, cum pratis, nemoribus, piscationibus et venationibus castorum et aliarum bestiarum et si que aliae sunt commoditates. „Terris cultis et incultis, stagnis, rivis, pratu, poseus, paludibus, lacubus, silvis, rubetis et nemoribus, mellificiis quoque et liberum jus piscandi, castoris in stagni capiendi et venandi etc.*

(5) 1557. V. L. 2, str. 608.

i strzelcy były przedmiotem okazałości, przepychu, próżności, niekiedy przyczyną upadku fortuny, a nie źródłem korzyści. Mierne myśliwstwo, jak mówi: „Gospodarstwo jezdeckie, strzelcze i myśliwcze” potrzebowało 8 koni, myśliwców 3, szczwaczy 3, na wspór 2, w knieję za psy 2, chartów smycz 4, ogarów słór 15, i chłopów w domu gotujących psom i opatrujących konie.

Ale zamięłowanie do łowów utrzymało się zawsze; polowali monarchowie, prałaci, panowie i szlachta. Z jakążto lubością mówi Rej o polowaniu z sokolem. Chrapowicki starannie zapisuje w swoim Dyaryuszu, ile razy był na polowaniu; a bywało to często. Któż nie pamięta uciecznych wypraw na łowy Paska? Księciu Radziwiłłowi wymawiał ksiądz Marek, że się więcej troszczy o swoje niedźwiedzie w Nalibokach, niż o los Rplitéj. Polowali więc wszyscy, bo to było zwyczajem, nałogiem, potrzebą, rozrywką, ćwiczeniem; ale nikt się nie troszczył o zachowanie zwierzyny od wytępienia, i zdaje się, że nikt nie przypuszczał, aby jej kiedy braknąć miało. Wszyscy zresztą zanadto wiele mieli, aby się troszczyć o ubytek téj jednéj gałązki dochodu wiejskiego.

V:

Chów stad wyprzedza zwykle rolnictwo. Piérwszym jego początkom towarzyszy w większych rozmiarach, lecz z rozszerzeniem uprawy ścieśnia się, i dopiero z prawdziwym jego postępem i systematycznym rozwinięciem, odżywa w zmienionéj postaci chowu udoskonalonego, ras kształtnych i upięknionych. Do chowu stad dziko potrzeba stepów, a te mają tylko kraje nawpół zaludnione i nawpół uprawne. W braku stepu potrzeba przynajmniej znacznych obszarów zarośli, łączysk, błoń, puszczy z bujnemi trawami. Mimo widocznych śladów posuniętej dosyć wysoko kultury rolniczej w wiekach XII i XIII, musiało być jeszcze dosyć miejsca dla chowu stad dziko, sposobem stepowym, bo taki wówczas spostrzegamy w zwyczajach. Trwa to jeszcze w wieku XIV, jak tego ślady dostrzegać się dają w statucie wiślickim. Spotykamy oprócz tego przywileje, w których jest mowa o stadach przy sprzedażach, darowiznach, nadaniach (1). Inne urządzają prawo pastwiska, ograniczając je lub rozprzestrzeniając (2). Inne wreszcie przy zakładaniu nowych wsi osadzają pasterzy i nadają im role oddzielne, pod nazwą *skotnicy*. Znajdujemy ślady na-

(1) K. D. Wiel. Pol. Nr. IV, r. 1234. (2) K. D. War. T. 1. Nr. 126.

wet, iż chów stad dochodził niegdyś rozmiarów znacznych. W wyroku pomiędzy biskupem kujawskim, a panem z Gdańska, wyczytujemy, iż ten ostatni w sporze o posiadłości zabrał w dobrach biskupich 177 koni, 229 klacz, 69 źrebców, 575 wołów, 1176 krów, 3174 owiec, 1260 wieprzów (1). Trudnoby było pogodzić tak wielkie rozwinięcie chowu stad, jakiego dawniej liczne ślady spotykamy, z przeważającym w owych czasach systematem małej uprawy, gdyby się nie zwróciło na to uwagi, iż chów dziki, stepowy, stoi niejako za obrębem rolnictwa, i nie jest z nié m w ścisłym związku. A lubo klimat nie dozwolił u nas, jak w innych krajach, hodować stad przez cały rok pod gołé m niebem i na naturalném pastwisku, za to sianozęcia zwykle obfite w ziemi wilgotné j i puszciami poprzerynané j mogły temu zaradzić. W owych odległych czasach osadzone były wsie pasterskie, wyłącznie temu zatrudnieniu oddane w miejscach mu przyjaznych. O wsiach wołoskich pasterskich wspominają jeszcze uniwersały poborowe z XVI wieku. Góralskie kraje od Piastów jeszcze posiadają do dziś dnia przywileje, z których, jak mówi p. Zejszner (2), pokazuje się, iż jedna i ta sama rodzina przeszło 500 lat uprawia grunta swoich przodków, i na tychże hołach swoje barany pasie. Statut wiślicki kilkakrotnie powraca do materji stad dziko chowanych, i rozciąga opiekę nad tą ważną, a podobno jedną z najważniejszych wó wczas gałęzi przemysłu rolniczego. Ustanawia kary za uszkodzenie lub zabicie koni stadnych, urządza wypasy wieprzów w lasach na żołądziach i buczynach; zaleca wreszcie, aby stada koni od wigilii św. Wojciecha do wigilii św. Michała pod strażą były paszone (3). Z czasów to Kazimierza Wgo są piérwsze wzmianki o stadach wołów przybywających z Polski do Wrocławia, w taryffach celnych tego miasta (4).

Ze zmianą systematu rolniczego i postępe m wielkié j uprawy, chów stad nie zmniejszył się, ale uległ także zmianom. Chów dziki cofnął się w okolice stepowe. W Wielkopolsce, Małopolsce i Prusach z wzrostem fabryk sukiennych powiększył się chów owiec (5). Hodowanie koni wydoskonalilo się, lubo liczba ich, zdaje się, nie musiała być i tak wystarczająca, bo w XVI w. zakazano ich wyprawdzania, a dozwolono wprowadzać, mianowicie z Węgier. Wychów wołów i handel nimi za granicę w XVI i XVII wieku nabral o gro-

(1) K. D. War. T. II, Nr. 23. (2) W przedmowie do Pieśni Podhalan.

(3) V. L. I, str. 46, 47. (4) Wiad. o stanie han. i przem. w Pol.

(5) Rzeczyń. str. 243.

mniej rozciągłości. Zaświadcza to Kromer w wyrazach ogólnych, twierdząc toż samo i o koniach (1). Potwierdza go Krasiński (2) dodając, iż rozchodzą się wysyłane z kraju woły po Niemczech, Czechach, Morawii. Starowolski pomiędzy przedmiotami handlu wywozowego liczy owce, woły, wełnę i konie (3). Według Opalińskiego i Cellaryusza (4), ilość wyprowadzonych wołów 60,000 przechodziła, a dawniej więcej jeszcze. Konsumowano ich niemało w miejscu, bo, jak Kromer mówi (5), zwyczajnem pożywieniem ludu za jego czasów było mięso, którego sprzedaż była powszechna po wsiach, przed kościołami, nawet po parafiach w dniu świąteczne. Rzeczyński przytacza ciekawe wiadomości o obfitości mięsa, wołów i o handlu nimi. Opierając się na Heneliusza *Sileziografii*, powiada, że Brzeg miasteczko było miejscem sławnych jarmarków na woły, na których 10 do 12,000 z Polski bywało. Jarosławskie jarmarki miały przeszło 40,000 wołów do sprzedania. Za Beckenmajerem mówi tenże autor, iż ich do 80,000 rocznie z kraju wychodzi, i że obfitością mięsa jaką kraj posiada, ilością jaką dostarcza i zużywa, przechodzi wszelkie inne. Według niego Ukraina i Podole prześcigały inne prowincje w chowie stad, bo tam i chłopom wolno je było hodować w żyznych i obszer-nych stepach. Ułatwiała chów tamtejszych stad nie tylko bujność i obszerność pastwisk, ale i to, że tylko przez dwa zimowe miesiące potrzebowały być karmione; resztę zimy żywiły się same odgrze- bując śnieg kopytami. Niemniej obfitowała w stada część Prus. Można się domyślać, iż rozległy i łatwy wychów bydła na Ukrainie i Podolu, przewyższająca rasa, wpłynęły na upadek chowu bydła w Koronie i na zaniedbanie téj ważnej gałęzi rolnictwa i bogactwa krajowego. Ale to nastąpiło dopiero z zupełnym upadkiem rolnictwa.

Wychów koni jeśli nie doszedł nigdy téj rozciągłości, jak owiec i wołów, wygórował za to tamte swoim udoskonaleniem. Ta jedna gałąź hodowli, traktowana była *con amore*. Zachęcały do niej: sposób ówczesny wojowania, obowiązek powszechny służby wojen-nej; ułatwiały ją stosunki ze Wschodem, a przeto obfitość czy- stych orientalnych zawodników, które w wielkiej liczbie sprowadza- no; popychały do niej korzyści, miłość przepychu i potrzeba. Kraj, w którym każdy obywatel służyć musiał konno, nie mógł się obejść bez wielkiej liczby koni; nieladajaki rumak mógł wystąpić w pole przeciw jeździe tureckiej, ścigać po stepie Tatarów, i mierzyć się

(1) Pol. str. 142. (2) Lib. II, cap. XIII. (3) Pol. 470.

(4) Descrip. R. P. p. 503. (5) De situ Pol. L. I, p. 133.

z ogromnemi fryzami niemieckimi, unieść zbrojnego w żelazo rycerza. Musiano więc cenić, ubiegać się i usiłować osiągnąć rasę, łączącą zarazem dzielność, siłę i rącość. Zmieszaniem z rasą wschodnią, tą rasą uprzywilejowaną od natury, która ma wyłączną własność uszlachetniać i podnosić inne, zdaje się, iż ten cel osiągnięto. Wyższość koni tureckich poszła nawet w przysłowie u nas: „źrebie tureckie, wyzłą niemieckie, chłopię szlacheckie najlepiej chować“, mówi Gospodarstwo jezdeckie, i radzi innych do stada nie używać. Miciński, koniuszy Zygmunta Augusta, powiada, iż stada tego króla składały się z tureckich, perskich, arabskich ogierów, a klacz polskich. Mikołaj Radziwiłł z Archipelagu także sprowadzał konie do nich. Zygmunt August robił wszelkie usiłowania do rozmnożenia stad, a instrukcyja jego wydana w téj mierze, jak mniema Czacki (1), nacechowana jest troskliwością i niepospolitým światłem. Opat Ruggiero opowiada, iż w Knyszynie miał król stada najpiękniejszych koni (2); że oprócz polskich, widzieć tam można było tureckie, neapolitańskie, hiszpańskie dzianety i zawodniki. Tenże sam autor powiada, iż konie polskie, acz niezbyt rosłe, są pełne ognia, prędsze nad konie tureckie, a nierównie piękniejsze i zwinniejsze jak konie niemieckie. Błazej de Vignerre pisze, iż widział pod Warszawą 10,000 rycerzy, których każdy koń z siedzeniem swoim, wart był więcej 1,200 szkodów; bez wątpienia wiele z nich musiało być koni wschodnich, kiedy im podróżny ten naznacza taką cenę. Gratian w życiu Kommendoniego zaświadcza również o sprowadzaniu częstým do Polski zawodników z Tracyi i Włoch. Beauplan toż samo twierdzi, mówiąc, iż hussarzy konie są zwykle tureckie lub natolskie. Témto ciągłym mieszaniam krwi wschodniej podniesiono zapewnę rasę krajową, i otrzymano te zalety, których cudzoziemcy w koniach polskich podziwiali. Ceniono w nich mianowicie ogień, rącość i wytrwałość. Heresbach, słynny pisarz rolniczy XVIgo wieku, za najszlachetniejsze rasy koni uważa: hiszpańską, neapolitańską, sarmacką, peloponezką, turecką, tessalońską (3). Rzeczyński przytacza Puffendorfa, który mówi, iż Wittenberg, dowódzca Szwedów w Polsce, mawiał do swoich żołnierzy, aby w ściśniętych szeregach się trzymali, bo rozproszonych pewna zguba czeka, i w ucieczce, aby nie szukali ocalenia, bo konie polskie każdego dościgną (4). Kromer i Krasiński uważali, że w najodleglejszych kra-

(1) Tom II, str. 239.

(2) Inny podróżny tegoż wieku, liczy ich 2,000 z których, powiada, że 600 sam oglądał. (3) Rei rust. li. IV, Col. 1573. (4) Str. 240.

jach poszukiwane były one dla właściwych im zalet, bo hiszpańskim mało ustępowały w piękności i szybkości, a trackim w siłę. Za czasów Kochowskiego, Ruś posiadała największą liczbę koni do wojny zdatnych. Widać, że zabiegłość i usilność o chów dzielnych koni musiała już słabnąć wówczas w Koronie, tak jak słabła we wszystkich innych gałęziach gospodarstwa.

Świadczenia powyższe pokazują, iż oprócz małej liczby hiszpańskich i neapolitańskich zawodników, o których niekiedy jest wzmianka, najwyżej ceniono i najwięcej używano konie wschodnie. Miejscowa rasa powstała, podniosła się i uszlachetniła, właściwych cech i zalet nabrała, zmieszanem, a raczej nieustannem mieszanem z tą krwią. Jéjto wienni byli przodkowie nasi owe dzielne zawody koni, o których dzisiaj już tylko w historyi i tradycyi ślady pozostały. Czy terażniejsze zamilowanie do koni angielskich, potrafi znowu podnieść upadłą rasę krajową, i wydać nową, któraby zaletami i pięknnością, wyrównywała zaginioną? jestto zagadka, którą czas dopiero rozwiąże.

Do wykształcenia tak szlachetnej dawniej rasy koni polskich, przyczynił się nader staranny i umiejętny chów. W starém, rzadkiém i szczególném pisemku, pod tyt.: Gospodarstwo jezdeckie, strzelcze i t. d., zachowane są prawidła chowu źrebca, którym nie zarzucić nie można, a które nawet wielce są podobne do tych, jakich się trzymają obecnie w Anglii. Oto są słowa autora: „Żrzebięta tego-roczne mają przy klaczach do św. Marcina być, a potem do stajnie, nie na uwiązanie, ale na wolne chodzenie niech wegnane będą. W której drabi do sian i żłoby do owsa i obora dobra, dobrze ogrodzona, miernie szeroka przy niej: a do niej, ze stajni zawsze otworzone drzwi, aby z obory do stajni, z stajni do obory, wedle woli mogli przechodzić się. Bo jako koń bez przejażdżki swój na nogi psieje, tożby się i źrebcowi, na którym jeszcze nie jeżdżą, od stania stało. A w oniej źrebcezej stajni, siana dostatek za drabią: a owsa na czterech warszawski korzec z półkorcem do niego umieszanej siczki. Wody ktemu albo cebrem, albo przypuścić rynną, dwa razy przez dzień. A tak w onym wolnym, osobliwém zamknięciu, słomą gęsto usłaném, a od wiatru albo zimna uciszoném, mają do św. Wojciecha być, a potem w trawę do swój osobnej, a bez klacz, ogrodzonej, aby ich ze stada koń nie pochromił, i bez waśnienia potężnie rosły, które na dzień św. Szymona, do oniej stajnie zasie; i tak rok po roku, aż im już na trzeci rok pójdzie, w którym na nowe lato niech połapane, i na stanie w uździenicach pod guniami w przeworach postawione będą, które do pół postu

niech chędożą, zakrywają, siana dostatek, owsa obrokiem im zwykłym dają, kleszczą i t. d.”

VI.

Rola, jój uprawa, hodowanie na niej zbóż i roślin, jest pierwszym przedmiotem zabiegów rolnika; jemu samemu i jego powołaniu nazwiska od siebie użycza, i nieomal zawsze główną podstawę gospodarstwa wiejskiego stanowi. Są jednakże stosunki i okoliczności, w których właściwe rolnictwo zstępuje na stanowisko podrzędne, i usuwa się przed korzystniejszymi sposobami ciągnięcia dochodów z ziemi. Niejednokrotnie grunt siewny zamieniony na sztuczne łąki i pastwiska, lub pozostawiony swój przyrodzonej żyzności, przez wychów stad nierównie większe zyski przynosi. Dzieje się to mianowicie w bliskości wielkich i ludnych miast, znacznych ognisk przemysłowych, wielką ludność skupiających. Dzieje się również tam, gdzie brak rąk do pracy, dróg handlowych do odpływu zboża, gdzie brak ognisk skupiających w sobie wielkie massy ludzi, gdzie wreszcie rolnictwo i stan społeczński są w dzieciństwie. W niektórych miejscach Anglii uprawę zboża poświęcają korzystniejszej produkcji mięsa na roli, zamienionej w pastwiska, podobnie jak na żyznej ale zdradzieckiej Kampanii wokół Rzymu. Tak samo stepy Ameryki południowej, zamiast zbóż i roślin produkują mięso i skóry. Ukraina w XVIIIm wieku na stepach braclawskich i kijowskich chowała ogromne stada bydła, z których większe wysyłano na handel, a jałownik szedł na rzeź dla skór i łoju. „Do roku 1802, to jest do czasu urządzenia przystani w Odessie, nastęczał chów bydła jedyny prawie środek do zyskania dochodu z ziemi stepowej, którą wolarzom najmowano, a to w tak niskiej cenie, iż nad Jahorlikiem i Kodemą nająć można było milę kwadratową ziemi za złp. 1,000 (1).” Tak więc niekiedy najwyższa cywilizacya i barbarzyństwo schodzą się z sobą w swoich wypadkach. Ten fenomen zarówno w świecie moralnym, jak na polu ekonomii dostrzegać się daje. Wygórowana cywilizacya dochodzi często do zboczeń w obyczajach i teoryach, blisko graniczących z pierwotną dzikością nieuporządkowanych społeczeństw. Najwyższe rozwinięcie rozumu, upada częstokroć w takich chwilach przesilenia w negacyą samego rozumu. To zaparcie się otwiera wrota całemu szeregowi przesądów, chorobliwych marzeń fantazyi, zaśle-

(1) Wiadom. o stan. przem. i hand. w Pol.

pień fanatycznych. Chwasty zalegają bujną niwę umiejętności; sztuka, to cudowne połączenie i skojarzenie fantazy i władz rozumujących i porównywających, niknie, a społeczeństwo jest na drodze powrotu do swoich pieluch. Czem jest komunizm, ta nowa narośl tegoczesnej cywilizacji, jeśli nie zwrotem do tego wszystkiego, co stanowi prawdziwe dzieciństwo społeczeństw? Szczęściem, Opatrzność czuwa zawsze i nie dopuszcza, aby zarodek cywilizacyjny miał być zgaszony błędami i zaślepieniem pojedynczych ludzi i narodów. Za jęto działaniem, pobladła gwiazda ludzkości nabiera nowego światła, niknąca w jednym punkcie, nowém i żywszém jeszcze światłem zaczyna jaśnieć na innych. I tak się rozwija, posuwa i dojrzewa wielki utwór, wielka myśl Boża, urzeczywistniona w ludzkości. Świat się nie cofa, choć jednostki błakają się, padają i nikną; a chociaż częstokroć najwyższe rozwinięcie się cywilizacyjne zdaje się już stykać z barbarzyństwem, ludzkość nic na tém nie traci: w nowych zblakaniach nowe czerpa nauki, w wstrząśnieniach febrycznych, nowe zdrowie i siły. Są przecież chwile i położenia, że to podobieństwo i zbliżenie się wygórowanej cywilizacji z dzikością, jest niezaprzeczoném. Wracamy do roli.

Pomimo szczególnych wyjątków, uprawa ziemi jest główną gałęzią rolnictwa i jego fundamentem. Tak jak w pewnych okolicznościach, zamienienie pól w pastwiska może być zyskowniejszém, tak w pewnych znówu położeniach, podciągnięcie wszystkiój ziemi pod uprawę, może przynosić większe korzyści. Sąto jednakże położenia wyjątkowe. W normalnym stanie, te dwie gałęzie muszą iść z sobą w harmonii; upadek jednéj, sprowadza cofnięcie się drugiéj. Dopóki kraj jest nieludny, mogą żyć obok siebie niezależnie; z wzrostem ludności coraz więcéj się jednoczyć muszą. Tak działo się i u nas. Lubo plemiona osiedlone na przestrzeni ziemi, która z czasem Polski przybrała nazwisko, długo wprzód uprawiały ziemię; jednakowoż w XII i XIII wieku, czyto skutkiem wojen, czy innych nadzwyczajnych klęsk i przygód, nie była ona dostatecznie zaludnioną. W miarę zaludniania, posuwającój się kultury, urządzającego się stanu społeczeńskiego, uprawa ziemi czyli właściwe rolnictwo się rozszerzało. System kolonizacyjny i czynszowy dał mu silny popęd. Pasterstwo usuwało się lub w układy wchodziło byto zniewoloném. W XII i XIII wieku spotykamy prawie wszystkie gatunki zbóż, które dziś są uprawiane. Zdarzają się ślady winnic i ogrodów.

Postęp jednakże kultury ziemi był bardzo niejednostajny i niejednoczesny w różnych zakątkach i częściach dawnéj Polski. Kiedy

Wielko i Małopolska posuwały się w niej powoli ale ciągle, inne prowincye albo ją wyprzedzały, albo daleko w tyle były za niemi. Uciążliwa, ale silna dłoń krzyżacka organizowała Prusy z energią. Silne i ludne miasta są ich dziełem; oni sprowadzali kolonistów z Holandyi, groblami warowali najżyźniejsze strony kraju przez nich posiadane, które zniszczeniom przez wodę ulegały. Za świadectwem wszystkich pisarzy XVIgo wieku, prowincya pruska najdalej była posuniętą w kulturze, pomimo tego, iż przez lat 15 musiała prowadzić krwawą wojnę o zrzucenie krzyżackiego panowania. W układzie Bodzanty co do dziesięcin, o kraju za Wisłą aż do granic Rusi i Węgier jest mowa jako o nowinach, które dopiero mają się zaludniać. Ta strona kraju jedna z najpiękniejszych, najbardziej wystawiona na napady Tatarów, nie mogła długo osiągnąć tego stopnia kultury, do jakiej ją natura przeznaczyła przez jej żyzność i bogactwo. Litwa i Żmudź były w zupełnym barbarzyństwie pod względem rolniczym do XVI wieku. Nawet to, co wówczas jeszcze o niej piszą, dowodzi, iż mimo znacznych postępów, jej kultura nie dorównywała jeszcze reszcie kraju. Podlasie także dopiero w XVI wieku zasiedlać się, urządzać i zagospodarowywać poczynało. Głębokie puszcze Mazowsza długo dawały życie innym gałęziom przemysłu i zarobku, a ziemie górskie do dziś dnia jeszcze są i pozostałą zawsze krainą głównie pasterską. W XIII i XIV wieku przodkowały niewątpliwie innym częściom kraju w kulturze Wielko i Małopolska: one też właściwie podówczas jądro kraju tworzyły. Z niemieckiego się coraz wyraźniej Szlązka, wpływały do nich niejedne zwyczaje i nowości. Zasilek w ludziach i przemyśle tém chciwiej przyjmowały, im bardziej skolatanie i zawichrzone były u siebie. Tę przewagę kultury Wielkiej i Małej polski ugruntował jeszcze Kazimierz Wielki swojemi rządami i swoim statutem. Wprawdzie prawodawca ten zastał materiał gotowy w kraju, bo wprowadzony przed nim, a przez niego poparty system czynszowy i kolonizacyjny, zmieszanie większych i mniejszych własności ziemskich, niewyraźny rozdział różnych klass ludności krajowej, samo prawo rycerskie zbliżające je ku sobie, dla mądrego prawodawcy stanowiły żywioły organizacyi kraju, w której łatwo było pogodzić rozliczne interesa i różnych osób położenie zrównoważyć. Nie każdy jednak prawodawca umiał utrzymać tę drażliwą szalę na równi, obciążając zanadto jedną lub drugą. A że w życiu społeczeństw i narodów, jak w życiu pojedynczych ludzi, panuje nieublagana logika przyczyn i skutków: raz przeciążona szala, chyli się coraz więcej. Zły pierwiastek zaszczipiony

w księgę praw, rozkrzewia się i rośnie, dopóki całego szeregu następstw ze siebie nie wyda, które tkwiły w jego zarodku. Tego błędu unikał prawodawca wiślicki, i tym sposobem ważne wyświadczył przysługi tak krajowi w ogólności, jak w szczególności rolnictwu.

To téż od niego właściwie zaczyna się walna jego era. Przez ustalenie i uporządkowanie prawa własności i prawa posiadania, przez układy co do dziesięcin, uprawa ziemi musiała zyskać nowy popęd i siłę. Spotykamy w owym wieku narzekania duchowieństwa na szerzącą się uprawę ogrodową z krzywdą dziesięciny polnej (1). A że ogrody o tyle tylko ordynacja Jarosława uwalniała od dziesięcin, o ile były uprawiane rydlem i motyką (2), jest to więc dowodem znacznego posunięcia kultury rolniczej. W tym także czasie zaczyna się wywóz zboża na handel zagraniczny. Wprawdzie nie może być mowy jeszcze o teoriach rolniczych, o naukowém rolnictwie; w Niemczech nawet literatura rolnicza zaczyna się dopięro w XVI wieku. Pisma starożytnych w téj materji nie mogły być jeszcze znane u nas; ale wymowne świadectwo postępu leży w tém, że kraj, jak powiedzieliśmy, zaczyna wyprowadzać zboże za granicę. Za panowania Jagielly wywóz ten, podług obliczeń niektórych pisarzy, przenosić miał 14,000 łasztów; odtąd powiększał się ciągle. Jak dalece właściwa Polska za czasów Kazimierzowskich wyprzedziła w ruchu handlowym, przemysłowym i rolniczym inne prowincye, znajdujemy dowód w tém, iż kiedy w roku 1360 płacono w Krakowie za korzec pszenicy złp. 2, gr. 24, żyta 1—12, owsa gr. 28; to cena żyta na Podlasiu wynosiła zp. 1 gr. 12, dopięro w r. 1567. Taką cenę na Wołyniu osiągnęło żyto w roku 1705, na Ukrainie w r. 1780 (3). Do ceny zboża stosowała się cena robotnika i innych produktów, tak jak wszędzie i zawsze się to dzieje.

Od wieku XIVgo uprawa zbożowa rosła szybko i ciągle: wszystko jój sprzyjało, wszystko do niej zachęcało. W Nakielskim spotykamy, iż na jednym folwarku, do klasztoru miechowskiego należącym, zebrano 7,000 miar (cassularum) pszenicy (4). Z czasem uprawa zbożowa zaczyna widocznie brać górę nad chowem stad. Widzimy tego ślad w stosunku łąk do pól ornych. Za świadectwem Czackiego, do roku 1540 łąki i pola były w jednéj cenie; w roku

(1) O dziesięcinach Ig. Miącz. str. 103. (2) V. L. I. str. 95.

(3) Czacki o Lit. i P. P. Wiadom. o hand. i przem. w Pol.

(4) Miechov., str. 503.

1544 stosunek wielkości łąk do pola miał się jak 1 (łąki) do 1 $\frac{1}{3}$ (pola). Pod Zygmuntem Augustem stosunek ten doznał znacznej zmiany, ponieważ okazało się z odbytego wówczas pomiaru, że miał się jak 1 (łąki) do 2 $\frac{1}{2}$ (pola). Ciągła potrzeba zboża za granicą, wysokie na te czasy jego ceny, łatwa i niekosztowna produkcja, przywileje jakimi otoczone były większe własności, zachęcały do coraz obszerniejszej uprawy; ale to zmniejszenie stosunku łąk do ról nie mogło wypadać z czasem na korzyść produkcji. Zobaczmy też jak w XVII wieku raptownie ona upadnie. Gdyby się ograniczono na obracaniu pod uprawę nieużytków, zbytecznych lasów, których stosunek w niektórych miejscach do pola był jak 60 do 40, w innych jak 80 do 20, kraj i rolnictwo nicby na tém nie było traciło; ale zmniejszenie łąk prowadziło za sobą zmniejszenie stad, a to przygotowywało wyczerpanie stopniowe ziemi. Ale to działo się później; w XVIII i początkach XIX wieku było więcej równowagi tak pomiędzy wielką i małą uprawą, jak w proporcji łąk i ról, chowem stad i produkcją zboża.

Rzecz dziwna, że w miarę wzrostu produkcji, ceny się podnosiły: jużto z powodu coraz większego zaludnienia, wzrostu miast i przemysłu, jak i rosnącego handlu zagranicznego. Nie tak łatwo dziś przychodzi wykryć ceny rzeczywiste zboża i produktów rolniczych dawnych wieków; nie dlatego, iżby brakować miało cyfr, oznaczających ich wysokość, ale, że cyfry te w innej myśli były spisywane jak ta, którą dziś w nich znaleźć potrzebujemy. Kilka nawet cyfr z jednego roku nie wyobrażają ceny średniej. A tylko przez osiągnięcie prawdziwej ceny średniej z każdego roku, dałby się oznaczyć szereg postępu w podwyższaniu lub zniżaniu téjże ceny z latami i wiekami. Oprócz tego na ceny wywierają wpływ stosunki menniczne, obfitość kruszcu, zasoby kapitałów i t. p. okoliczności. Aby zaś z podnoszenia lub obniżenia cen, o wzroście lub upadku bogactwa krajowego i produkcji wnioskować, następują także pewne wątpliwości i niepewności. Zboże jest przedmiotem ogólnej potrzeby; handel niém sięga dalekich przestrzeni, o ile drogi handlowe na to zezwalają. Według obszerności i potrzeb tego wielkiego targu, który można nazwać targiem świata, ceny się układają i równoważą. Wielkie żądanie w obcych krajach, może je utrzymywać na znacznej wysokości, mimo wielkiej obfitości i małego zużycia wewnątrz jednego kraju. Trzebaby stosunki różnych targów poznać, postęp kultury w różnych krajach mieć objaśniony, a wtenczas dopiero możnaby oddzielić co się należy przypadkowi, co oko-

licznościom zewnętrznym i obcym, a co na karb wewnętrznych stosunków pozostaje. Byłoby to studyum trudne i niewdzięczne, bo zbyt wiele musiałoby w niem polegać na przypuszczeniach dla braku dostatecznych dat. Że jednak i bez tój idealnój dokładności ceny zboża są interesujące i ważne, jako dopełnienie objaśnień do poznania pewnój epoki, niemniej ważne jeszcze dlatego, iż są normą do ocenienia przychodu i wartości pracy i ziemi; notujemy je tak, jak je spotkaliśmy, chociaż notaty te za nader niedostateczne uważamy. Mówiliśmy już o cenach zboża za czasów Kazimierzowskich; w następstwie tak się układała cena żyta podług Czackiego:

w roku 1497	placono za korzec	złp.	1	gr.	15
— 1514	—	—	1	—	25
— 1520	—	—	2	—	13
— 1551	—	—	5	—	2
— 1564	—	—	6	—	6
— 1588 do 1590	—	—	5	—	12
— 1601	—	—	5	—	13

Zniżenie w ostatnich latach przypisują szeregowi lat urodzajnych po sobie idących. Notaty w archiwum sieradzkiem poczynione (1), wykazują, iż w roku 1588 korzec pszenicy wart był gr. ówczesnych 28; jęczmienia, złp. 1; owsa, gr. 10; orkisz, gr. 48; jarki, złp. 1, gr. 4 (T. Szad. 57, p. 262). W roku 1599, korzec żyta, gr. 24; owsa, gr. 12; grochu, złp. 1; tatarki, gr. 20; jęczmienia $\frac{1}{2}$ grzywny; słodu 3 skoje; prosa $\frac{1}{2}$ grzywny (T. Sir. 52, p. 100). W r. 1624 pszenicy wiertel złp. 3, gr. 22 $\frac{1}{2}$ (R. S. 18, p. 31).

Rzączyński za Currikenem, historykiem Gdańska powiada, iż w r. 1405, łaszt żyta w Gdańsku sprzedawał się za 5 grzyw. pszenicy 7 grzywien, jęczmienia 3 $\frac{1}{2}$ grzy. owsa 2 $\frac{1}{2}$ grzy. Za Herburtem powiada, iż w roku 1523, korzec żyta kupowano za gr. 3, owsa (chorus) za gr. 1. Za Hennebergereim powtarza tenże, iż w roku 1547, łaszt żyta w Prusach kosztował pruskich złotych 8, a w roku 1558 korzec żyta w tójże prowincyi gr. 8. Za Zygmunta IIIgo, w roku 1594 w Poznaniu wiertel pszenicy 16 do 19 gr., żyta 12, owsa 8 placono. Statut lit. 1529 roku taką cenę zboża oznaczył: pszenicy kopa, 12 gr.; żyta kopa, 10 gr.; jęczmienia kopa, 6 gr.; owsa kopa, 4 gr.; tatarki kopa 4 gr.; jarzyny kopa, 8 gr. (2).

Ciekawém i ważném byłoby badanie ogólnój produkcyi i zużycia wewnętrznego, gdyby to badanie mogło być opartém na nie-

(1) Przez pana Szaniawskiego. (2) U Dział., str. 371.

wątpliwych wykazach statystycznych, gdyby się nie trzeba w tej mierze ograniczać na nader wątpliwych ogólnikowych podaniach, niedostatecznie uzasadnionych. Przez przybliżenie Staszyc oblicza, iż wysiew mógł wynosić około 19 milion. korey, co daje 23 miliony morgów roli rodzajnej. To jest, że tyłkoby nieco więcej jak $\frac{1}{6}$ ziemi zajmowały grunta orne. Na 19 mil. korey wysiewu, rachując w ogół 5 ziarn na pożytek, cała Polska 95 mil. korey zboża produkowała na rok (1). Czacki z prowincyj galicyjskich biorąc stosunek, analogicznie dochodzi, iż gdyby $\frac{1}{3}$ ziemi zajęta była pod uprawę, kraj byłby mógł wyżywić w wojewódz. wielkopol. 5,625,000, w Małopol. 13,762,140, w Litwie 17,082,900. Widzieliśmy w poprzednich częściach, jak trudno wskazać ilość łanów pod uprawą będących, i jak podawane w tej mierze liczby są wątpliwe. Nie mniejsze wątpliwości spotyka się przy ocenieniu ludności, jaka kraj nasz zamieszkiwała w wiekach XV^m i XVI^m. Tém więcéj można wątpić o wszelkich innych obliczeniach. Obliczenia powyższe są téż prostemi przypuszczeniami; przytoczyliśmy je tylko dlatego, aby usunąć wątpliwości co do wielkich ilości zboża, wysyłanych w XVI i początkach XVIIgo wieku za granicę. Rzeczywiście wywóz ten był wielki, i w nim najlepszą znajdujemy wskazówkę co do postępu kultury rolniczej i produkcji. Postęp ten jest tém więcéj zadziwiający, że idzie w parze z wzrastającą ciągle ludnością. Wprawdzie bywają miejsca i czasy, w których wzrost wywozu nie jest wyrażeniem postępującej kultury i bogactwa krajowego. Może on być niekiedy dowodem upadku miast, przemysłu, zubożenia ludności rolniczej. Bywają czasy i kraje, w których robotnik w nędzy i głodzie pracuje około bogatych zbiorów, które wyżywiać będą kraje dalekie, i podsycać zbytek małej liczby Krezusów. Wiadomo, iż kraje w których używają do uprawy roli niewolników, najwięcéj wyprowadzają surowych produktów. W wieku XVIIym zaczynało się wszystko kierować ku temu smutnemu celowi, ale jeszcześmy wówczas do niego nie doszli. Kraj jeszcze wzrastał w ludność, miasta nie upadały, ludność wiejska i robocza była zamożna; położenie więcéj było odmienne, a wywóz zboża dowodził rzeczywiście podniesionej kultury i pomnożonej produkcji.

Ogół produktów, które w XVIIym i XVIIIym wieku wyprawiano z kraju, składał się z następujących przedmiotów: len, konopie, drzewo, smoła, popioły, potaż, miód, wosk, wełna, skóry; dalej Starowolski zalicza: mak, kaszę, warzywa, sól, piwo, witryol,

(1) O Statystyce Pol., str. 15.

nitrum, lazur, czerwiec, miedź, ołów, mosiądz, węgiel ziemny, naczynia szklane, konie, woły, wieprze, słoninę. Jednakże podług Krasieńskiego, Kromera, Cellaryusza, Rzączyńskiego i tegoż Starowolskiego, główne miejsce zajmowało zboże, mianowicie: żyto, pszenica, jęczmień, owies, proso.

Wywóz niektórych z tych produktów dopiero co wymienionych, odnosił się często do pojedynczych prowincyj i miejsc. Niektóre obfitowały więcej w jeden produkt jak w drugi. Towar leśny wyprawadzano z całego kraju, bo we wszystkich jego częściach rozciągały się obszerne lasy. W Wielkiej Polsce lasy slesieńskie, murzynowskie, trzemeskie, kurnickie, opalińskie; dąbrowy krotoszyńskie i orpiszowskie. Łowicz, któremuto miejscu Rzączyński od ulubionego stanowiska książąt mazowieckich dla odbywania łowów, nazwisko które nosi przypisuje, okolony był znacznymi lasami. Ogromne były lasy ostrołęckie, łomżyńskie, nieporęckie, kąpińskie. W Małopolsce około Niepołomic, św. Krzyża, Ilży i Odrowąża. Lasy w Litwie rozciągały się miejscami na 10, 15 do 20 mil, jak świadczy Mieczowita (in Sarmat. Europ.); pomiędzy Wilnem i Połockiem nawet na mil 50, jak mówi Herberstein. Niemniejsze lasy posiadały Prusy. Wszystkie te więc części kraju wysyłały towar leśny: wańczos, klepki, belki dębowe, sosnowe, modrzewiowe, maszty i t. p. Największą ilość pieńki i nasienia lnianego wysyłały Żmudź, Litwa i Inflanty. Płótna dostarczały kraje podgórskie. W miody i woski najbardziej obfitowały Żmudź, Litwa, Podole, Ukraina, a w części Mazowsze. Metalów i rzeczy kopalnych, jak do dziś dnia, dostarczała część kraju górzysta. Wełny najwięcej wydawały Wielkopolska i Prusy. Za to Wielkopolska mniej od innych zboża wysyłała. Do produkcji i wywozu zboża w nierównym stosunku różne części kraju się przykładały, wedle swój żyzności, kultury i dróg handlowych. Pod względem żyzności i bogatej produkcji, pierwsze miejsce zawsze trzymały: Wołyń, Podole, Ukraina i Ruś. To co piszą w XVI i XVII wieku o żyzności tych prowincyj zdaje się trudnym do wiary. Opaliński powiada, iż dosyć jest na ziemi poruszonej drewnianą sochą porzucić ziarno, aby bajeczne wydała plony. Rzączyński powiada o jednym wypadku, iż 50 korcy wysianego żyta dały plon 1500 kop. Ogromnym wołom brzuchy, niekiedy rogi zaledwie widać z bujnych traw, a plóg zostawiony na roli, w kilka dni zarasta okryty bujną wegetacją. Na Wołyniu Rzączyński zniwo ozimne w niektórych folwarkach na 20,000 kop liczy. Te więc prowincye wydawały najwięcej zboża. Ale ta błogosławiona ziemia najwięcej ulegała spustoszeniom i kłę-

skom, które popęd jej kultury tamowały; żywo jednakże goiła rany i w mgnieniu oka podnosiła się z gruzów w bogactwo i obfitość. Według Rzączyńskiego (1) najpiękniejszą i najważniejszą pszenicę wydawał Wołyń, i ta wyżej była od kupców płacona i szczególniej poszukiwana. Ta prowincya wydawała także ogromne ilości prosa; w lachowickich dobrach sprzątało go niekiedy do 25,000 kop. Jeden z ziemian sąsiednich Ostroga, 400 łasztów czyli 2400 korcy jagiel w r. 1716 do Gdańska wysłał na 30 ładownych statkach. Ruś w części jednej, mianowicie około Tarnopola wielkie ilości prosa, w części zaś górzystej, wielkie massy owsa produkowała. Niemniej wiele wydawała lnu; około Gorlicy i Grzybowa pola całe tą rośliną były obsiewane. W okolicy Lwowa istniały niegdyś winnice obszerne, z których dziesięcinę dawni książęta pobierać mieli.

Czém były czasy Kazimierzowskie dla Polski, tém była epoka Zygmunów dla Litwy. Cała jej organizacya wewnętrzna, cała jej podstawa kultury rolniczej poczyna się dopiero od tych czasów. Przyznają to Starowolski, Krasiński i inni. Strykowski szczegółowo się zatrzymuje nad rolnictwem w Rusi Białej i Litwie za jego czasów, a z tego ciekawego ustępu cokolwiek powtórzymy. Rola przysposabia się w ten sposób: około św. Piotra i Pawła zwyczajnie, wycinają się drzewa i zarosła w miejscu przeznaczoném pod uprawę. To wszystko pozostawia się na roli i przytrząsa jeszcze słomą. Na wiosnę, kiedy słońce dobrze ogrzeje, przykłada się słomy, i podpalają się te pokłady uschłych krzewów, drzewa i słomy. Na takiej spalonej ziemi sieje się pszenica i przyoruje. „Następuje urodzaj taki, mówi Strykowski, iż mógłbyś mniemać, że tu się urodziła Cerera.” Przez 6 do 8 lat sieje się bez pomocy nawozu w miejscach tak przysposobionych. Drzew wielkich nie spuszczaają, ale obcinają je tylko z gałęzi, aby nie cieniły, za pomocą przyrządzenia właściwego, z którym robotnik z jednego drzewa na drugie się przenosi. W następnym roku sieje się żyto, pod które dwa razy orzą. Siów rozpoczyna się około połowy sierpnia i trwa do 8 września; późniejszy uważają za niepewny. Jest jeszcze w użyciu na świeżo spalonych rolach inny sposób siewu. Dwie części jęczmienia, mieszają się z trzecią częścią żyta oziminnego i sieje się to wszystko na wiosnę. Jęczmień się sprząta po dojrzeniu, a żyto pozostaje. Na wiosnę wyrasta żyto tak nabito i gęsto, że koń zaledwie przedrzeć się przez nie może, a z jednego ziarna 30 niekiedy kłosów wyrasta do takiej wysokości, że jeźdźca na koniu zaledwiebyś dojrzał z niego.

(1) Str. 67.

Rodzaje zboża, czas zasiewów, sprzętów, sposób przechowywania i t. d. tak jak je opisuje Strykowski w całej Polsce, nie przedstawiają nic nowego.

O Żmudzinach powiada tenże autor, iż nie żelazem, ale drzewem orzą. Jeden z tamtejszych starostów zaprowadził narzędzia żelazne, ale gdy przypadkiem po wprowadzeniu téj nowości, nastąpiło kilka lat nieurodzajnych, lud prosty obwinił lemiesz żelazne i rzucił na nie potępienie. Obawiając się zaburzenia, musiano powrócić do narzędzi drewnianych.

O Wielkiéj Polsce powiada Rzączyński, iż pracowicie i starannie uprawia ziemię ze znaczną korzyścią. Sieradzkie, mianowicie radomskie wydawało wiele tataraki i piękne kasze wysyłało za granicę. W Małéj Polsce, Krakowskie obfitowało w pszenicę, mianowicie okolica proszowicka. Sandomierskie oprócz wszelkiego rodzaju zbóż, słynęło owsem olbrzymiej wielkości. Pomiedzy Pińczowem, Buskiem i Wiślicą siano wiele anyżu; pojedyncze chłopskie gospodarstwa dostarczały go niekiedy 50 do 60 korey. Za nader mączną uchodziła pszenica lubelska, i z tego powodu bardzo była poszukiwaną. Księstwo zatorskie wiele wydawało lnu i najwięcej miało warsztatów wyrobów lnianych. Inflanty obfitowały w żyto, które wysyłały do Lubeki, Amsterdamu, Danii i Szwecyi; obfitowały również w len i konopie.

Drogi handlowe, któremi zboże wychodziło na zewnątrz, były rozmaite, stosownie do okoliczności, stosunków i rozległości państwa. Najrozleglejsze i najnaturalniejsze ujścia były na Bałtyk i na morze Czarne. Podług Sarnickiego, Białogród był składem znakomitym; a za czasów Kazimierza Wielkiego, jak wiadomo, do Cypru odchodziły okręty naładowane polską pszenicą. Władysław Jagiello, podług świadectwa Długosza i Kromera, z Kaczybeju, portu wówczas w posiadaniu Polski będącego, wysyłał zboże do Tracyi. Handel Wisłą do Bałtyku porządkowały i ustalały traktaty z Krzyżakami, a mianowicie w Raciążu 1404 r., w Toruniu 1411 r., pokój pod Melnem 1422, ponowiony 1424 r. W innej stronie umowy z biskupem derpckim i mistrzem inflanckim. Po odzyskaniu Prus, handel zbożowy stał się w téj stronie obszerniejszym i łatwiejszym; lubo ciężyc poczynaly nad nim zbyteczne przywileje miasta Gdańska i niesforność mieszczan tamtejszych, których nigdy w należytéj karności utrzymać nie zdołano. Niemniej czynny był jakiś czas handel zbożowy w Pomorzu do Brandenburgii i części Niemiec. Za zboże i sól brano z Węgier jakiś czas żelazo i miedz. Ruś Biała i Litwa wysy-

łały płody swoje do Inflant i Prus częścią Niemnem, częścią Dźwi-
ną. Ryga, Piława, Memel, były portami z których zboże i produkta
rolnicze rozchodziły się na Bałtyk; oprócz ważniejszych, Gdańska, Kró-
lewca a później Elbląga.

Od Kazimierza Wgo wywóz zboża wzrastał ciągle, a w końcu
XVI i pierwszej połowie XVII wieku do największych doszedł roz-
miarów. Ponieważ tablice Czackiego wywóz zboża wykazujące, nie-
mniej obliczenia Staszycza poczynają się dopiero od drugiej połowy
XVII wieku, to jest od czasu, w którym tenże wywóz zmniejszać
się już począł; nie będzie może bez interesu zebranie cyfr i dat z cza-
sów poprzedzających, o ile nam się spotkać zdarzyło. Powtórzymy
dla całości to, cośmy już w tej materii w pierwszej części nadmieni-
li. Według Opalińskiego (in Pol. def.) z portu piławskiego wywożo-
no corocznie zboża do 15,000 łasztów. Z portu memelskiego na-
sienia Inianego do 23,000 beczek, zawierających blisko 2 korce.
2,000 statków zwanych *strugi* spławiano do Rygi, a kilkaset statków
odmiennych, zwanych *wicinami*, przybywało ze zbożem do Królewca,
jak świadczy Rzączyński. Krasiński mówi, iż 200 do 300 więk-
szych okrętów zawijało rocznie po zboże polskie do Gdańska, które
z tamtąd na wszystkie nieomal strony świata się rozchodziło. Już
w r. 1392, według Currikena, do 300 okrętów z Francji, Anglii
i Belgii wpłynęło do tego portu i wszystkie napelnione zbożem po-
wróciły. W r. zaś 1565 taką mnogość spławiono zboża do tegoż
miasta, iż obszerne tamtejsze śpichlerze pomieścić go nie mogły,
i w domach prywatnych nad Motławą je składano. Kupowali naten-
czas kupcy łaszt żyta po 50 złp., ale gdy do miasta przyszło, po 25
sprzedawanem było (1). Wiadomo mi, mówi Opaliński w ciągle
powoływanem piśmie, iż ostatniej zimy, za nastąpieniem spławności
Wisły, do 5,000 statków przybiło do Gdańska. Ten rok, mówi cyto-
wany autor, był nadzwyczajny; ale biorąc przecięcie z lat mniej obfi-
tych, niewiele uchybię, jeżeli 4,000 statków za średnią liczbę przyjmę.
Statek ładowny na Wiśle największy, zabiera zwykle rzym-
skich medimnów 2,200, najmniejszy 1,000. Biorąc liczbę przecię-
ciową, na każdy statek można liczyć 1,500 medimnów, co daje ogólną
przecięciową summę 6 milionów medimnów. Wiadomo zaś, że
nie wszystko zboże polskie spławia się do Gdańska, dodaje Opaliński,
ale zaledwie część jego trzecia, bo tylko z prowincyj przyległych Wi-
śle i rzek do niej wpadających, a i do Szlązka i do Pomeranii wiele

(1) Rzączyński, str. 64.

zboża wychodzi. Cellaryusz wreszcie o przywozie rocznym do Gdańska mówi: „Consistit autem ipsa negotiatio praecipue in frumento, cujus quotannis tercenties et sexagies quinquies mille onera (Last) vendi, et partim in caeteras regiones deportari, partim in urbe consumi creduntur.” Rzączyński objaśniając to miejsce dodaje, że każdy łaszt zawiera 60 medimnów czyli mediów; powyższa więc suma łasztów, daje 21 milionów 90 tysięcy medimnów czyli mediów (1).

Te cyfry wszystkie zdają się nader wysokie; trudno jednakże zaprzeczyć tylu świadectwom współczesnym, zwłaszcza, że brakuje punktu oparcia do podobnego zaprzeczenia. Choćby w części oparte były na fałszywych przypuszczeniach i niedosyć pewnych obliczeniach, pozostała reszta jeszcze dowodzić będzie wysokiego stopnia, do którego dojść w owój epoce musiała kultura rolnicza. Dowody szybko posuwającej się sztuki uprawy ziemi, dają się spostrzegać i w tém jeszcze, że stosunek wysiewu pszenicy do żyta zmieniał się ciągle w proporcji postępującej, na korzyść tego pierwszego ziarna. Podług obliczeń podanych przez Czackiego, proporcya między wysiewem żyta a pszenicy w województwach wielkopolskich, mazowieckich, małopolskich i ziemi chełmskiej, z wyłączeniem województw języka ruskiego, była taka, że gdzie wysiewano

w roku pszenicy korcy, tam wysiewano żyta korcy

1460	}	1	—	—	19
1528					
1529	}	2	—	—	18
1564					
1565	}	3	—	—	17
1620					

Ilość wysiewu pszenicy powiększała się więc względem wysiewu żyta w proporcji, którą Staszyc oznaczył w ten sposób: co lat 20 wysiew pszenicy pomnażał się jak 1, 2, 3 i t. d., a wysiew żyta zmniejszał się jak 19, 18 17, i t. d. Co i w następnych wiekach miało miejsce.

Co do województw języka ruskiego, inną proporcją w wysiewie żyta i pszenicy podaje autor: „Wiadomości o stanie przemys. i han. w Pol.”; że jednak pomieniony autor nigdzie źródeł z których czerpie swoje wiadomości nie podaje, nie można więc wiedzieć o ile obliczenie jego jest uzasadnione. Powtarzamy je za nim: „jak 100

(1) Str. 65.

pszenicy do 96 żyta na pobrzeżu dnistrzańskim; jak 100 pszenicy do 244 żyta na Pokuciu i zachodniem Podolu; jak 100 pszenicy do 259 żyta w Belzkiem i zachodnim Wołyniu; jak 100 pszenicy do 400 żyta na pobrzeżu niższego Sanu. Taki stosunek zaszedł wszakże dopiero około r. 1650."

Jak pojmowano teorię rolnictwa, jakie miano o niem naukowe wyobrazenie, jak o niem pisano: zobaczymy w następnej części, gdyż piśmiennictwo rolnicze właściwie zaczyna się dopiero z wiekiem XVII.

VI.

Pozostaje nam jeszcze do wyjaśnienia, dla dopełnienia tego po-
bieżnego obrazu rolnictwa do początków wieku XVII: jaki był zniem
związek praw krajowych, jaki wpływ na nie wywierały, o ile udziela-
ły mu korzystnej opieki i wsparcia, o ile szkodziły.

Wpływ praw na rolnictwo może być dwojaki: bezpośredni i pośredni. Bezpośredni wywierają urządzenia i przepisy wprost do niego odnoszące się, zarządzające stosunki osób rolnictwem się trudniących, porządkujące umowy i warunki tychże umów pod względem ziemi i jej uprawy, ustanawiające porządek gminny, sądownictwo wiejskie, stosunki co do użytkowania z wód, lasów, pastwisk; odnoszące się do służebności, wspólności i t. p. Bezpośredni jeszcze wpływ wywierają przepisy i urządzenia ogólne, ubezpieczające drogi lądowe i wodne; regulujące stosunki handlowe co do produktów rolniczych, cła i t. p. Bezpośredni wreszcie wpływ wywierają przepisy i urządzenia zabezpieczające zbiory rolnicze w domu i na polu, ukrócające w tej mierze nadużycia i swawolę, ustanawiające kary, sposób wymiaru sprawiedliwości, porządek miar i wag.

Niemniej ważny jest wpływ pośredni, jaki prawodawstwo ogólne wywiera na rolnictwo przez swój kierunek i swojego ducha, bez względu na przepisy szczegółowe odnoszące się wprost do niego lub do jego pojedynczych gałęzi. Wpływ ten jest niezaprzeczony. W budowie organicznej kraju, wszystkie części się wiążą i nawzajem na siebie wpływają, a nad wszystkiem górują i panują prawa. Lubo same są pod wpływem obyczajów, zwyczajów i wyobrażeń, rzadko jednak stanowczo im ulegają. Tworzą się niekiedy przypadkowo, niekiedy pod wpływem potrzeb czasowych, niekiedy pod wpływem pojedynczych klas; mogą też być wyrazem jednej woli. Jak mogą tworzyć się rozmaicie, tak rozmaite formy, rozmaite kierunki przy-

bierać i odmiennym tchnąć mogą duchem. A tak według pierwiastku jaki je zapładnia, wedle zasady jaka je ożywia, kierują społeczeństwem, częstokroć nowe drogi mu wytykając. Jeżeli na tych nowych drogach obyczaje nie stawiają tam nie do przełamania, działanie praw jest tém silniejsze. Zdarza się jednak, iż upadają pod ciężarem wyobrażeń i obyczajów, skoro w zbytcej stoją z niemi sprzeczności. W normalnym jednakże porządku rzeczy prawa i obyczaje nawzajem się modyfikują, wspierają i moc sobie nadają; wpływ ich więc jest wzajemny, ale nie mniejszy przeto jest wpływ praw na ruch i kierunek społeczeństwa. Jak te przeto z rozlicznych źródeł wypływać, rozmaitym działaniom ulegać, według tego różne kierunki obierać, różne zasady wyobrazać mogą; tak téż i wpływać odmiennie na ogół rozmaitych gałęzi pracy narodowej. Jedne zatrudnienia mogą w nich czerpać większą zachętę i pomoc, inne mniejszą; jedne warstwy społeczeństwa silniejsze poparcie jak drugie; tak téż rolnictwo jako odnoga czynności krajowej, taki lub odmienny kierunek, zachętę pośrednią i pomoc lub przeszkodę.

Przepisy, urządzenia, postanowienia bezpośrednio do rolnictwa odnoszące się, wszędzie, gdzie ono ważniejszą gałąź zatrudnienia i bogactwa krajowego stanowiło, tworzyły się, kształciły, dopełniały, w miarę wzrostu, postępu, potrzeb i wyobrażeń. Porządkująca się własność, używanie téj własności, jéj zetknięcie się z innymi, zlewanie swoich praw w ciągnięciu pożytków na kogo innego, wyradzać musiało wątpliwości i starcia. Z wzrostem ludności, te starcia stawały się częstsze. Powstawały coraz nowe gałęzie przemysłu i coraz większy popęd i potrzeba do użytkowania ze wszystkiego, co jakąś korzyść przedstawiało. Puszcze, bagna i brzegi wód, dla pracy przedstawiały pole zdobyczy, a te prace trzeba było regulować i kierować tak, aby interes ogólny nie był poświęcony dla interesu jednostek, prawa nabyte nie padały ofiarą siły wdzierających się, wszystkie czynności i interesa, sprowadzone do możebnej harmonii. Ztąd powoli powstawały różne przepisy, urządzenia, do pracy, rolnictwa, różnych jego potrzeb odnoszące się. Ale kiedy prawne wyobrażenia tak były niedokładne, że materyj kryminalnych od cywilnych nie rozróżniały; i tamte zwykle bywały topione w mieszaninie wszelkiego rodzaju. Z czasem i z przybytkiem praw pisanych i rozjaśnieniem się pojęć, poczęło to chaos rozdzielać, i tworzyły się, jeśli nie oddzielne księgi praw rolniczych, to przynajmniej pewne szeregi urządzeń do téj materyi się odnoszących. Wreszcie, w nowszych czasach wykształ-

ciły się kodeksa wiejskie i leśne, zbiory praw kameralnych i policyjno-rolniczych i agraryjnych rozrządzeń.

W czasie, w którym statut wiślicki był pisany, nie można spodziewać się ani nawet wymagać czegoś podobnego. Wyobrażenia prawne nie były jeszcze na téj wysokości, a może i potrzeby naglącej jeszcze wówczas nie było; bo jakkolwiek przemysł rolniczy znakomite już zyskał rozwinięcie, to z powodu niezbyt wielkiego zaludnienia, a obfitości, nie obdartej jeszcze ze wszystkich bogactw przyrodzonych natury, starcia interesów sprzecznych mogły być mniejsze, a zyski z rolnictwa obfitsze i łatwiejsze. Liczne są jednak, szczegółowe i dosyć dokładne, jak na ten wiek, przepisy i urządzenia do rolnictwa wprost odnoszące się, w statucie wiślickim zawarte. Przejdziemy je szczegółowo, lecz w skróceniu.

Prawodawca wiślicki stanowi, naprzód co do łożysk rzek i strumieni dziedzictwa rozgraniczających. Porządkuje kary sądowe ciężką nazwane, składające się z pewnej ilości wołów, które urzędnicy sądowi od skazanych pobierali; w którymto poborze liczne działy się nadużycia. Oznacza preskrypcją stałą tak co do ruchomości, jak nieruchomości. Dziedzictwo bezpotomnie zeszyłych kmieci, czyli puściznę, od grabieży ochrania. Oznacza kary za szkody w zasiewach przez trzody i stada poczynione, rozporządzając zarazem, iż zajęte, natychmiast do najbliższego urzędu kasztelańskiego odesłane być winny. Porządkuje stosunek kmieci do panów, pod względem przenoszenia się pierwszych z miejsca na miejsce. Od szkód w przechodach wojskowych, zabezpiecza dobytek rolniczy. Stacyj wojskowych po wsiach zabrania. Przy zakładaniu obozów zakazuje używać budulcu. Każe się ograniczać na racyi właściwej dla siebie i konia, pod karą piętnadziestą, i obowiązkiem wynagrodzenia szkód. Lasy od samowolności ubezpiecza, a mianowicie dąbrowy, nakładając za ścięcie dębu większego, lub furę mniejszej dębiny, karę piętnadziestą. Za ścięcie drzewa owocowego, oprócz kary piętnadziestą, 12 gr. płacić nakazuje. Szkodę w borach ograniczonych, dozwala karać fantowaniem w siekierze, ubraniu, za trzecią razą w zaprzęgu. Szczególnie surowo obchodzi się z tymi, co by nocą zboża z pól zabierali; dozwala ich chwycić, konie i wozy zabierać i uwalnia od kar za zabójstwo i rany w odporze popełnione. Na panów zpod których ludzie na podobną grabież się udają, karę piętnadziestą nakłada. W razie zaś rany zadanej, lub zabójstwa popełnionego na osobie właściciela stawającego w obronie, opłatę główszczyzny nakazuje. Na zasiewającego cudze pola, stanowi karę piętnadziestą,

prócz utraty nasienia. Na zabierającego i zatrzymującego woły robocze, za każdy tydzień kładzie wynagrodzenia 5 skojców, karę piętnadziestą i winy sądowe. Za zabicie kłaczy ze stada, każe płacić 4 grzywny; źrebięcia 3 grzywny. Za ranienie kłaczy stadnej 1 1/2 grzywny; źrebca 2-letniego 5 grzywien; za starszego źrebca, wartość podług przysięgi poszkodowanego. Stada od św. Wojciecha do św. Michała pod strażą pasac nakazuje, aby szkód nie czyniły. Rozciąga hacznosć i na pastwiska leśne żołądziowe i bukwiowe dla wieprzów, środki ochraniające własność, i karzące nadużycia przepisując. Karze czyniących szkody w stawach i sadzawkach rybnych. Nie dozwala wreszcie nikomu, nawet urzędnikom, w przejeździe zmuszać rolników do sprzedaży pożywienia dla siebie i koni.

Pod następcami Kazimierzowemi, ustawy rolnicze dopełniały się: ponawiano niektóre, inne zmieniane były, w miarę stosunków i wyobrażeń nowo rozwijających się; były i takie, o których zapomiano.

Na czasy Władysława Jagielly, czyli na rok 1420, przypadają niektóre urządzenia co do znaków i spraw granicznych; co do woli kmiecyh; obostrzenia kar za kradzieże leśne; przepisy ochraniające lasy od pożarów. Do téjże epoki należą niektóre przepisy do polowania się odnoszące, i obostrzenia co do szkód zrzadzanych przy przechodach wojska.

W roku 1447 zapadła ustawa o wolności rzek, mocą której rzeki: Wisła, Dniepr, Styr, Narew, Warta, Dunajec, Wisłoka, Bug, Bruki, Wieprz, Tyśmienica, San, Nida, Proсна, za rzeki królewskie uznane zostały, za spławne zarazem ogłoszone i uprzątnienie z nich zawad, jazów, młynów nakazane. Do tych rzek później dodano: Brdę, Noteć, Narewkę, Pilicę. Jednocześnie cła wszystkie lądowe i wodne zniesione zostały.

W roku 1496 zapadły ustawy ograniczające ruch ludności rolniczej. Powtórzono i umocniono dawną ustawę, o naznaczaniu cen zbożowych przez wojewodę.

W roku 1507 zwrócono uwagę na miary i wagi. Porównano krakowskie i poznańskie; lwowskie zaś i lubelskie (*pro rationabili causa*), jak piérwój pozostały.

W roku 1521 zapadła ustawa co do jednodniowej w tygodniu pańszczyzny, o której w poprzedniej części mówiliśmy.

W roku 1523 ogłoszona została ustawa graniczna, czyli *processus observandus circa faciendas limites*.

W roku 1539 zajęto się drogami, ich szerokość oznaczono; nakazano starostom, aby przybrawszy sobie po dwóch ze stanu rycerskiego, obejrzel je i uporządkowali.

Naprawa Rpltej za Zygmunta Augusta rozpoczęta i do skutku doprowadzona, niektóre prawa upadłe wprawiła napowrót w karby, ale wiele się już od statutu wiślickiego zmieniło. Ponowił ten monarcha uwolnienia od cel, i rozciągnął je do wólów wyprowadzanych przez szlachtę za granicę, jeśli te przez nich były wychowane lub wykarmione. Wydał urządzenia co do równości miar i wag, ponowił co do wolności i spławu rzek. Tenże Zygmunt August zaprowadził podwody, nakazując po miastach i wsiach podwodnych, chowanie w tym celu, na włóce każdej dwóch koni, które zawsze gotowe być miały i odbywać służbę kolejno tygodniami. Burmistrzowie i wójtowie zawiadywać niemi mieli. Cena, użyżcie podwód, sprawowanie się biorących je i płacących, szczegółowo zostały opisane.

W roku 1588 ustanowiono szacunek poddanych zbiegłych, kładąc w to żonę, dzieci *et omnem supellectilem* na 500 grzywien polskich.

Spoglądając na powyższy spis ustaw i urządzeń rolnictwa dotyczących, powiedzieć nie można, iżby toż pozostawione było bez opieki władz krajowych. Niektóre nawet z tych urządzeń zalecają się wielką dokładnością, jak np. urządzenie dotyczące podwód. Inne zdaje się iż ściśle wykonywane nie były, jak np. o stacyach żołnierskich i o spławności rzek, lub też później w zapomnienie poszły. Nigdy nie pomysłano o ich uporządkowaniu lub systematycznym układzie. Mieli swoje prawa zwyczajowe bartnicy, mieli jakieś prawa młynarze, których śladu nigdzie nie masz; ale świadczy o nich Ostroróg, dziwi się kto im mógł tak niesprawiedliwe nadać i radzi ich zniesienie. Wszystkie urządzenia były rozrzucone, niekiedy ze sobą w sprzeczności, jak np. te, które się dotyczyły odprawy kmieci. W miarę jak odstępowano od statutu wiślickiego, zamieszanie w nich rosło. Najdotkliwszym był brak urządzeń gminnych, władze, porządek, sądownictwo wiejskie ustanawiających. Gmina jest podstawą państwa, a jej uporządkowanie jest podstawą porządku ogólnego. Lubo pojęcie gminy, jako całości organicznej, nigdy u nas (przynajmniej w czasach historycznych) dokładnie i jasno nie istniało, mniej jednak spostrzegamy zbliżenia się do niego w wieku XIII i XIV, jak w wieku XVI. Już i wówczas zostawała wieś każda i osada pod zwierzchnictwem jednego właściciela, który niekiedy posiadał nieograniczoną moc rządze-

nia i sądzenia; jednakże w drobnych właścicielach, wieczystych czynszownikach, w drobnym rycerstwie, ludności wolnej i ruchomej, miała wieś każda i osada żywioły pewne, z których pojęcie gminy i jej urządzenie mogło urosć. Zwierzchnictwo właścicieli ogólnych nie stało temu bynajmniej na zawadzie. Pierwotne prawo polskie zbliżało się niejako do uznania gminy, stanowiąc pewne ciężary i obowiązki niejako solidarnie gminę obowiązujące; co jednakże prawom właścicieli ogólnych nie ubliżało. Wsie na prawie niemieckim osiadłe, więcej jeszcze zbliżały się do tego, co pod nazwą gminy pojmujemy. Miały swoje władze sądowe, prawa i zwyczaje. Zdaje się, że ukształceniu się gminy u nas, pomiędzy innymi, przeszkodziło i to, iż pojęcie jej ścieśniano w zbyt wązkich granicach. Przez gminę chciano zwykle rozumieć jedną osadę, która niezawsze mogła być dość liczna, ludna i zamożna, aby zawierała w sobie siły i pierwiastki, które gminę stanowić mogły. Gdyby korzystano rozważnie z przykładu praw niemieckich, granice gminy rozszerzono do granic parafii; urządzenia gminne mogłyby być powstać u nas z wielką korzyścią rolnictwa i ogólnej pomyślności kraju. Prawa i władza ogólnych właścicieli nie mogły temu stanąć na zawadzie, bo te prawa i władza nie miały pierwotnie tej rozciągłości, jakiej później nabrały. Owszem, byłiby zyskali i oni na tem, bo w braku urzędów i organizacji wiejskiej, przeto i władz miejscowych, musieli sami wziąć w ręce osieroczone naczelnictwo. Z naczelników, zwykłą koleją rzeczy stali się sędziami i władcami. Otworzyła się w ten sposób droga do nadużyć, nad którymi wszyscy rozsądniejsi ubolewali, a zaradzić im nie byli w możności. Statut wiślicki to urządził, co zastał; nie zastał gminy i nie stworzył jej. Następnie i osady na prawie niemieckim odstąpiły od swego prawa z upadkiem sołtystw. Powoli zmniejszały się żywioły mogące tworzyć gminę; warunków jej żywotności, materiału do jej utworzenia, ubywało. Właściciele poczęli łączyć w sobie i prawa państwa, i prawa właścicielstwa. Prawa uznały ich właścicielami ziemi i patronami osób. Urządzenie prawne gminy albo parafii stawało się coraz więcej niepodobnym i niepotrzebnym.

Równoodległe z tym kierunkiem szło sądownictwo dominialne. W czasach przedstatutowych było ono przywilejem, który monarchowie nadawali niekiedy. Po statucie nie istniało prawnie. Wszystkim służyła opieka ogólnego prawa ziemskiego, wyjąwszy tych, którzy sądom sołtysów ulegali. Z kolejnym wychodzeniem z pamięci i użycia statutu wiślickiego, opieka prawa słabła, i coś innego w miej-

sce jój wejść musiało. Statut z r. 1496, każąc mieszczanom za długi kmiecie do dominium się odwoływać, i dominium tylko za zwłokę lub zły wymiar sprawiedliwości pociągać, ugruntował niejako, uprawnił sądy dominialne, których istnienia prawo dotąd nie przypuszczało. Ostroróg wspomina, że ubogim źle była w sądach wymierzana sprawiedliwość; musiało to dawniej lud uboższy odstręczać od używania téj drogi, a później godzić ich z sądami domowemi, i mniej uciążliwemi je czynić w ich oczach. Zdaje się, że w wielu wsiach i osadach istniał zwyczaj, iż gromady obierały same sołtysów i ławników, którzy spory pozniejsze rozsądza i niektóre czynności ogólne załatwiali, bo zwyczaj ten w niektórych miejscowościach do nowszych czasów się dochował. Ale powszechniejsze musiało być urządzenie odmienne, bo Kromer wyraźnie mówi (1): „Włodarze i przełożeni pańscy sądzą na wsiach jak im się zdaje, i raczej dowolnie, aniżeli podług prawa.” Proces sądowy z r. 1523 (2), przepisując formę pozwów, już nie uważa osoby poddanego za mocną do działania sądowego. Nie jest mu odmówiony wymiar sprawiedliwości, ale jój upominanie się na pana przeniesione. Za rany i zabójstwa obowiązany stawać z swoim patronem, o krzywdę każdą, o zabranie sieci u rzeki, wybranie miodu z barci *et his similibus*, nie poddany, ale pan upominać się prawem powinien (3). Tym sposobem powstało i ugruntowało się sądownictwo dominialne, mniej, jak powiedzieliśmy uciążliwe dla złego i drogiego wymiaru sprawiedliwości po sądach, niemniej dla tego, że duch chrześcijański i łagodność obyczajów umiały jeszcze wówczas słodzić surowość i uciążliwość praw nowych.

Litwa otrzymując później księgę praw, mogła ją mieć porządniej ułożoną jak prawa koronne, które były lepianką różnych czasów, okoliczności i potrzeb. Ale ten sam duch wieje w statucie, a przepisy i urządzenia dotyczące rolnictwa, nieco dokładniejsze wprawdzie, w gruncie niewiele się różnią od koronnych. Oprócz takich, jakie już w Koronie spotykaliśmy, zawiera i takie, jakich tam nie było: w roz. IX o zalaniu przez wody młynów i łąk; o obchodzeniu się ze zbożem na gruncie zakwestyonowaném. Tenże rozdział zastrzega, aby nikt nie kupował gruntu od cudzego chłopca, i do robót go nie najmował. Rozdział V art. 9 stanowi, iż z ludzi niewolnych, panowie czynić sprawiedliwość mają, a nieczyniący w sądzie odpowiedzą. W drugim statucie dodano, że wszyscy panowie, dzierżawcy i urzę-

(1) De situ etc str. 156. (2) Vol. I, str. 426. (3) Consuet. Herburt. 260.

dnicy, tak w dobrach panującego jak w prywatnych, czyniąc sprawiedliwość ze sług swoich i poddanych, brać więcéj nie będą nad to, co w tym statucie dla wszystkich urzędników jest oznaczone. W rozdz. XII, który w II i III statucie jest rozdz. XIII, spotykamy szczegółowo oznaczone ceny koni stadnych, zboża, psów myśliwskich, ptaków łowczych i t. d. W rozdz. XIII, w II i III statucie X, przy obostrzeniach co do polowania, oznaczone są ceny zwierzyny. Rozciągnięta opieka nad barciami, sianożęciami, gniazdami sokolemi, bobrowemi gonami i chmieliskami.

Jak powiedzieliśmy, ten sam duch wieje w statucie, co w prawach koronnych. Urządzenia gminy nie istnieją, a raczéj istnieją takie, jak w Koronie. Obie księgi praw są w tym przedmiocie bardzo do siebie podobne, tylko, że co dla Litwy było krokiem naprzód, dla Korony było krokiem w tył.

Taki jest rys urzędzeń i postanowień bezpośrednią styczność z rolnictwem mających. Przeniesiemy teraz uwagę naszą na ogół prawodawstwa dla obejrzenia, o ile duch jego i kierunek pośrednio mógł wpływać na losy rolnictwa krajowego. Nie będziemy wcale wchodzić w szczegóły, ani historii prawa przebiegać. Dosyć nam będzie do naszego przedmiotu, myśl jego i to w ważniejszych znaczących epokach uchwycić, aby wyprowadzić wnioski, które rzucą pewne światło na rozbierać się mającą materją.

W XIII i XIV wieku kraj był wyludniony, pozbawiony rzemiosł, przemysłu, miast; brakowało mu rzemieślników, rolników i obrońców. Wszystkiego tego gwałtownie potrzebował, i to było warunkiem jego życia i jego przyszłości. Wyniszczyły go wieloletnie klęski; potrzeba było wielkich usiłowań, aby rany zagoić. Ta więc dążność, ta potrzeba, ta myśl przebija się, góruje wszędzie w pomnikach ówczesnych; kieruje wszystkimi urządzeniami, nadaniami i przywilejami. Dla dopięcia tego celu robiono wszystkie usiłowania i poświęcenia. Aby zachęcić ludzi do rolnictwa, wprowadzono prawo niemieckie, przyjęto system kolonizacyjny i czynszowy. Monarchowie robili nadania prywatnym, aby za ich pośrednictwem i staraniem wznosiły się nowe osady. Ponieważ według ówczesowych wyobrażeń każdy właściciel ziemi obowiązany był do służby wojennej; dla pomnożenia żołnierza, mnożono liczbę własności i właścicieli. Obcy osadnicy, zakładające się miasta, nadaniami i przywilejami obdarzane, dźwigać miały przemysł i handel. Ale wśród tych różnorodnych usiłowań do jednego celu skierowanych, zrodził się zamęt, anarchia prawna. Odmienne prawa mieszały się z sobą i krzy-

żowały, nadania stały wyżej nad wszelkie prawa. Własność, dziedziczenie, puścizny ani określone prawnie, ani uporządkowane stale nie były. Tęto anarchią uprzętnął statut wiślicki. Nie porzucając bynajmniej myśli podniesienia ludności kraju przemysłowej, rolniczej i rycerskiej, owszem obronę kraju, przemysł i rolnictwo ciągle mając na oku, wyrzekł się stronnictwo, i opiekę równą nad wszystkimi rozciągnął. Klasyfikując społeczeństwo wedle różnic jakie w niem zastał, wszystkie klasy puklerzem prawa ostonił. Dla drobnych własności nie poświęcił większych, ani większych dla mniejszych. Wolność osobistą choć do pewnego stopnia ubezpieczył. Nic nie wyrócił, wszystko uporządkował. Mimo wielu niedokładności i uszczerbków, nie można mu odmówić wysokiej zalety, iż był sprawiedliwym, a przynajmniej dążył do sprawiedliwości.

Wpływ tej księgi praw nie mógł pozostać bez śladu w rolnictwie, przemyśle, pomyślności i bogactwie kraju. Gdyby prawodawstwo późniejsze było szło ciągle w tak wytkniętym kierunku, byłoby doprowadziło kraj do gruntownej i istotnej pomyślności. Ale stosunki polityczne sprowadziły je na inną drogę. Poczęto odstępować od ducha statutu. Tracono coraz więcej z oka wzgląd na przemysł i wzrost miast; stan rycerski wziął na siebie obronę kraju, a w zamian odebrał znakomite przywileje. Z kolejną czasów uzyskał wolność od ciężarów i podatków, od ceł i myt; prawo do wszystkich urzędów i godności duchownych i świeckich; zapewnienie zwrotu za szkody wojenne i okup; zapewnienie wynagrodzenia w razie wojny za granicą; zrzeczenie się stacyj monarszych i uwolnienie od leży wojskowych; prawo stanowienia podatków i układania praw. Do powiększania własności ziemskiej otwierały mu drogę wolność skupu soltystw, tudzież wyrzeczenie prawa, mocą którego stan rycerski tylko uznano za zdolny do posiadania ziemi prawem własności.

Nie do osoby, urodzenia, pochodzenia, ale do posiadania ziemi połączonego z urodzeniem, przywiązywało prawo używanie powyższych przywilejów. Czy kto posiadał więcej lub mniej ziemi, to nie stanowiło różnicy. Ale ta szlachta, co po miastach siedziała, nie mając gruntowej własności, nie miała żadnego znaczenia. Przywileje więc nadane stanowi rycerskiemu były rzeczywiście przywilejami większej własności ziemskiej. Przez te zyskała ona ogromne korzyści. To nadało popęd wielkiej uprawie, a stłumiło zbytecznie posiadłości nieuprzywilejowane. Z czasem wszelka pomiędzy niemi równowaga upadła. Wydało to czasowe świetne rezultata, ale tkwił w tej pomyślności zarodek choroby.

Jednocześnie tarcza opieki prawa zasłaniająca małych i wielkich za czasów statutu, znikła. Prawo, sąd, urząd, były dla jednych, ale nie nad wszystkimi; wszelka władza stała się przywilejem własności ziemskiej.

Porównywając więc wpływ praw dawniejszych z temi, jakie wiek XV i XVI wydał, spostrzegamy, iż pierwsze wydały wzrost miast, przemysłu, handlu, ludności, kultury rolniczej; drugie dały popęd wielkiej uprawie. Za nią poszedł kolosalny wzrost produkcji i bogactw. Z rozszerzeniem państwa, handel się rozszerzył. Wszystko to dawało krajowi wielką świetność i blask zewnętrzny. Ale w pierwszej epoce pomyślność więcej była ogólną; dostatki mniej były kolosalne, ale więcej warstw społeczeństwa sięgały. Produkcya mniejsza, ale nie tak drogo okupiona.

Wieki XIV i XVI sąto dwa punkta kulminacyjne świetności kraju i pomyślności rolnictwa krajowego. Obie te epoki doszły do tej pomyślności i świetności drogami odmiennymi, i na innych spoczywały podstawach. Tém więc ciekawszém jest, która zdrowsze i posilniejsze wydała owoce, która więcej zarodów życia i czerstwości w sobie miała. Patrząc jednak uważnie, i bezstronnie waząc je na szali, pierwsza niosła liczne zarody przyszłej wielkości, druga różne zarody chorób i kalectw.

Prawodawstwo XIV wieku wyszło z anarchii i niemocy; wszystkich elementów jakie w kraju znalazło, umiało użyć na zbudowanie gmachu jeśli nie doskonałego, to przynajmniej mającego wszystkie warunki życia i przyszłego doskonalenia. Cechą jego jest rzetelne i ciągłe dążenie do sprawiedliwości. Nic nie burząc, wszystko odbudowało: było więc prawdziwie zachowawczém, zachowawczém w rzetelném znaczeniu tego nadużywanego wyrazu. Prawodawstwo z końca XV i XVI wieku, wzrosło wśród stanu pomyślności ogólnej, którą pod wielu względami nadwątlilo. Jedne żywioły siły krajowej poświęciło dla drugich. Pod wpływem obawy szerzącej się reformy, a raczej skutków jakie gdzieindziej sprowadzała, wyszło z wszelkich granic sprawiedliwości. Usiłowało być bardzo zachowawczém, i stało się wsteczném. Wracalo rzeczywiście kraj na drogę tej anarchii, jaką statut wiślicki zniszczył. Przykład tych dwóch prawodawstw utwierdzić może w przekonaniu, że sprawiedliwość tylko jest istotnie i rzetelnie zachowawczą.

KSIĄDZ DEFINITOR.

(USTĘP Z NOWEJ GAWĘDY).

O miłe w wiosce był dom plebana,
Mała świetlica w ziemię schowana;
Krzyżyk się wznosił na facyacie,
I człowiek boży mieszkał w téj chacie:
Ksiądz definitor święty, wymowny,
Szanowny wiekiem szlachcic herbowny.
Przybył z klasztoru w wioskowe progi,
I wziął w opiekę kościół ubogi;
Wziął pół włocz gruntu, i na téj ziemi,
Pracował równo z owieczki swemi.

Czy raz bywało widziéć się zdarza,
Jak święty starzec w porannéj porze,
Czytając hymny z kart brewiarza,
Bronuje zagon lub sieje zboże.
Dwa chromiejące kościelne dziady,
To była cała jego posługa.
Ksiądz definitor, ojciec gromady,
Idzie do lasu, kołków nastruga,
Ogrodzi cmentarz, przywlecze drzewa,
Nosi wiadrami wodę ze strugi,
A idąc paciérz łaciński śpiewa!

Gdy chcesz mu oddać jakie usługi,
Nigdy nie przyjmie, uchyli głowę:
„Za dobre chęci zapłać ci Chryste,
Masz waszeć bratku prace domowe,
Ja sam chcę sprawiać pole ojczyste.”
I tak modlitwę szepcząc pobożnie,
Sam sobie zorze, zasieje, później.

Na jego sznurach najlepiej rodzi,
 Jego przekosów nie znosi woda;
 Gdy on na łakę z kosą wychodzi,
 Pewno dni kilka będzie pogoda.

Z długich doświadczeń jego żywota,
 Jakby wyrocznie mieli kmiotkowie;
 Drożyna, pomor, pogoda, słota,
 Ksiądz definitor wszystko przepowie.

I cóż dziwnego? wszak jego oko
 Na firmamencie tkwiło zwyczajnie,
 Myślami w niebo wsiąknął głęboko,
 Podpatrzył, przeczuł niebieskie tajnie;
 Może mu nawet w samotnej celi,
 I święci Pańscy coś podszeptęli.

Kiedy śpiew starca zadrży w kościele,
 Jakaś cię rzewna skrucha ogarnie.
 Rzekłbyś: apostoł, kiedy w niedzielę
 Prostemi słowy uczy oweczarnię,
 Kiedy tłumaczy ze świętej księgi:
 „Jako pokorny Zbawiciel świata,
 Składa majestat Bożej potęgi,
 I w ciele ludzkim z człkiem się brata;
 Bóg z nędzarami żyje pospołu,
 Między grzeszniki siada do stołu,
 I daje siebie przybić do krzyża,
 I składa ciało w człowieczym grobie.
 Bóg się do ludzkiej postaci zniża,
 By nas uzacnił, podniósł ku sobie;
 A u nas.... szlachcie, jaśnie wielmoże
 Rad, że mu herby dała ojczyzna:
 Bóg został człkiem, a on nie może;
 Kmiotków za bliźnich swoich nie przyzna.
 Wstyd mu z wieśniaki bawić pospołu,
 Hańba z rolnikiem siadać do stołu.
 Gdy hardy panek w zbytkach swawoli,
 Za jeden pubar starego wina,
 Głodna i chłodna chłopska rodzina
 Na rok-by miała chleba i soli.
 Za jedno słówko w najmniejszej rzeczy
 Pany się waśnią, idą na noże;
 Wieśniak pod chłostą jęknąć nie może,
 Bo nie dla niego honor człowieczy.”

Tak to bywało: głośno i śmieie,
 Ksiądz definitor gadał w kościele.

Słów jego świętych nigdy nie zaćmi
 Żadna nienawiść lub dzikość sroga;
 W oczach, do braci, prośba za braćmi,
 Albo za ludźmi prośba do Boga.
 Ani przeklina, ani się dąsa,
 Lecz z płaczem piekło stawi przed oczy;
 Szlachta coś mruczy, najeża wąsa,
 Lecz do spowiedzi hurmem się tłoczy.

Bo jego spowiedź—wieczna nauka!
 Nim rozgrzeszenia krzyżyk zakryśli,
 Nim w trybunału kratkę zapuka,
 Wynajdzie nitkę najskrytszych myśli:
 I tak przekona, i tak poruszy,
 Tak wpoi miłość, wiarę, nadzieję,
 Że choćby grzesznik miał skałę w duszy,
 Łzami zpod serca trzykroć się zleje.

A po spowiedzi—o długo, długo
 Będzie spokojnym sumienie twoje!
 Będziesz skwapliwy z bratnią postugą,
 Krzywdę bliźniemu wrócisz we dwoje.
 Wesole serce.... och popamięta,
 Że w nim złożona hostya święta!

Kiedy wieczorem szarzeje pora,
 On pieszo zwiedzał pobliskie domy.
 Zdala poznał definitora,
 Po kapeluszu z zielonej słomy.
 Za cieniem wzniosłej świętej postawy,
 Szło zawsze wierne, pieszczone psisko:
 Jak owca biały i kędzierzawy,
 Pamiętam: *Servus* jego nazwisko.
 A ksiądz czeczotką kroki podpira,
 Idzie powoli, i ziółka zbiera.

On i w pałacu, i w prostej chacie
 Pomagał, radził, krzepił na duchu;
 Z panem i chłopem za *panie bracie*,
 Jakby ogniwo w bratnim łańcuchu.

Wł. Syrokomla.

TOBIASZ.

Trup wyschły, kruchy, stem wieków stoczony,
 Póty jest ciałem, póki w ciszy lochu
 Leży spokojnie. Zaledwie trącony,
 Kruszy się, znika—zostawia garść prochu.

Izrael także zepsuty przez złości,
 Długo się trzymał zniszczony, lecz cały;
 Przyszedł wróg silny, trącił stare kości,
 A trup się rozpadł—i prochy zostały.
 I skruszonego szczątki pokolenia
 Padły, czekając gdzie je wiatr zamiecie;
 I z zimnym prądem poszły przeznaczenia,
 A prąd je rozwiął po obszernym świecie.

I w całej ziemi niezmiernym przestworze:
 Wśród skwarów słońca, wśród bieguna lodu,
 Gdzie miasta, puszcze, gdzie lądy, gdzie morze,
 Żyły potomki zgasłego narodu.

Jeden z nich, Tobiasz, dobry i pobożny,
 Wśród assyryjskiej Niniwy się chował,
 Gdzie Salamanzar, król wielki i możny,
 Licznym narodom cnotliwie panował.
 Raz przed swym domem, na wzgórku darniowym
 Zasiadł, chcąc cieszyć się widokiem świata;
 A właśnie wiosna porankiem majowym
 Błysła, w barw krocie przyrody bogata.
 Słońce się zwolna wznosiło do góry,
 I wszędzie światłość dobroczynną siało;
 Zniknęły cienie, stopiły się chmury,
 Wszystko potęgą piękności jaśniało.
 Wszędzie weselne rozległy się pienia,
 A z nich wyrosła pieśń cudna i błoga,
 Świat cały powstał w zachwycie natchnienia,
 Niosąc cześć stworzeń dla swojego Boga.

I Tobiasz także uczuł w swoim tonie
 Jakąś moc świętą, jakiś urok tkliwy;
 Zwrócił wzrok w niebo, podniósł w górę dłońie,
 I łzą wdzięczności zapłakał szczęśliwy!
 Bo Bóg we wszystkiem sprzyjał mu na świecie,
 W każdym zdarzeniu wspierał, błogosławił:
 Dał żonę dobrą, i cnotliwe dziecię,
 Wiarą wzniosł serce, duszę łaską zbawił.
 Obdarzył złotem, miłością, znaczeniem,
 Powagą, szczęściem, dostatkiem i chwałą;
 A gdy myśl jego wyrosła życzeniem,
 Wnet to życzenie czynem się stawało.

I spojrział wkoło mąż łaską szczęśliwy,
 Spojrzzał, i piersią tętnął wiosny woń młodą,
 A powab świata, wdzięk przyrody żywy,
 Rozlał się w myśli z uczucia swobodą.
 I patrzył długo na niebios sklepienia,
 Na kwiaty, drzewa, na łąki, na góry,
 I słuchał długo dziękczynnego pienia,
 Co w krocjach głosów spłotło hymn natury.
 I myślał sobie o szczęściu, miłości,
 O dobrej żonie, o synie cnotliwym,
 I w oczach jego błysł zachwyty radości,
 I dumał, marzył—i czuł się szczęśliwym!

Wtém mu się zdało, że słońce blednieje,
 Że nie tak jasne toczy już promienie,
 Że w całym świecie jakaś mgła się leje,
 I émi barw żywych zielone przestrzenie.
 Patrzy zdziwiony, a wszystko dokoła
 Kryje się jakąś przejrystą oponą;
 Ziemia przed chwilą tak żywa, wesola,
 Zdaje się smutną, tęskną, opuszczoną,
 I patrzy jeszcze wkoło osłupiały,
 A patrząc wierzyć nie może złudzeniu:
 Powietrze, niebo, ziemia, i świat cały
 Zdają się ginąć w fantastycznym cieniu.
 Cień ten, raz zwolna po przestrzeniach płynie,
 Zuów w drobnych prążkach migocze przed okiem;
 Tu w ogrom rośnie, tam w atomach ginie,
 Grubieje, gęstnieje—i staje się mrokiem.

Przelękły Tobiasz z siedzenia poskoczy,
 I poruszony obawą tajemną
 Przeciera jeszcze drżącą dłonią oczy,
 I patrzy wszędzie—a wszędzie jest ciemno!
 A jednak czuje jak słońce ogrzewa,
 Jak wietrzyk chłodzi, jak z drzew rosa ścieka;
 A jednak słyszy jak chór ptaśząt śpiewa,
 Jak strumyk szumi po łąkach zdaleka.
 Nie mogąc pojąć dziwnego złudzenia,
 Szuka wciąż światła po ciemnym przestworze,
 I wzrok natęży z mocą wysilenia,
 I patrzy, patrzy—a widzieć nie może!
 —„Synu!”—zawoła—„i ty żono miła,
 Chodźcie zobaczyć co się dzieje w świecie:
 Z światła się ciemność, z dnia zaś noc zrobiła;
 Chodź żono droga, chodź kochane dziecię!”
 Biegną do niego, i słyszy ich kroki,
 I głos ich dźwięczny, i śmiechy ich hoże;

Chce myślą przedrzeć niepojęte mroki,
 I patrzy, patrzy— a widziéć nie może!
 —„Spojrzyjcie!”—krzyknie—„to cud oczywisty,
 To jakaś wieszczba nieznana, tajemna;
 Zniknęły światła, zemił się lazur czysty,
 I noc jest wszędzie:—noc straszna, noc ciemna!
 —„Kochany mężu“—odpowié głos żony,
 „Rozbudź się, ocuó, skup rozpierzchłe myśli;
 To umysł senném widziadłem strwożony,
 Wśród dnia, w twój głowie nocne mary krésli.“
 —„Matko!”—zawdzięczy głosik syna mile,
 „On drży, on blady, pot mu ciecze z czoła!
 Ah ojcie drogi! chodź, odpocznij chwilę,
 A wnet spoczynek błogą myśl wywoła.“
 —„Synu mój, żono!—ta wesołość wasza
 Jakąs obawą przejmuję mnie skrycie,
 Dręczy, porusza, dotyka, przestrasza;
 Skończ droga żono, skończ kochane dziecię!
 O! patrzcie, patrzcie, jak wszędzie jest ciémno,
 Jak straszno, smutno, jak czarno na świecie;
 Wszak wy to wszystko widzicie wraz ze mną,
 A przez żart płochy powiedziéć nie chcecie?“

I gdy to mówi, czuje łzę swéj żony,
 Która po rękę powoli mu spływa:
 —„Tyś chory mężu, tyś drżący, wzruszony!”
 Wóła z rozpaczą Anna nieszczęśliwa.
 „Spojrz na to słońce, co tak pięknie świeci,
 Na to tak jasne błękitu sklepienie,
 Na kwiaty, łąki, na ptaszka co leci,
 Uczuj moc Boga—a minie cierpienie!”
 A on raz jeszcze przeciera swe oczy,
 Raz jeszcze światła szuka po przestworze;
 I pragnie przebić cień co świat mu mróczy,
 I patrzy, patrzy— a widziéć nie może!
 —„O Boże!”—krzyknie—„co to wszystko znaczy,
 Czy to sen marny, czy przykre złudzenie?”—
 I wzrok wysiła z potęgą rozpaczy,
 I nic nie widzi, tylko czarne cienie.

A wtém myśl straszna wyradza mu w głowie
 Uczucie takiéj zgrozy i boleści,
 Że żaden język w świecie nie wypowie,
 Ile męk w sobie to uczucie mieści.
 —„Płaczcie!”—zawoła—„o płaczcie nademną,
 Mąż, nie znam żony; ojciec, nie znam dzieci.
 Myśl ma spętana walczy nadaremno,
 Nie przedrze cieni, nocy nie rozświeci!

Choć woła silny, czuję się nizecznym,
 Mniejszym jak zwierzę, choć mam Boską duszę;
 Życie mi śmiercią, ziemia grobem ciemnym,
 Ja jestem trupem—a jednak żyć muszę!
 O płaczcie, płaczcie, z całą żalu siłą,
 Meża i ojca, brata i człowieka;
 Bo dla mnie wszystko, wszystko się skończyło,
 Ja nic nie widzę—jam ślepy kaleka!”

*

* * *

Minął czas długi, a poranek wiosny
 Znów barwą życia rozzielenił niwy;
 Znów brzmiał po gajach chór ptasząt radosny
 I świat się zbudził: rozkoszny, szczęśliwy.
 I świetne gmachy wspaniałej Niniwy,
 Zabłyły złotem Boskiego promienia;
 I każdy z ludzi zbudził się szczęśliwy,
 Czując w swém sercu powab odrodzenia.
 A promień słońca siejąc blask swój błogi
 Przez góry, miasta, przez lasy, przez rzeki,
 I tam dostrzeżił, gdzie był dom ubogi
 Biednego starca, ślepego kaleki.

Lecz on się jeden nie cieszył z innymi,
 On jeden nie czuł życia świętej mocy:
 Bo ten blask słońca co stworzył dzień ziemi,
 Czarną dla niego nie rozświecił nocy.
 I siedział smutny przed progiem swój chatki,
 I żał mu każda rodziła godzina:
 Bo znikł dobytek, zniknęły dostatki,
 Sam, bez przyszłości, stracił przyszłość syna.

Przed rokiem jeszcze, gdy nędza rodziny
 Wniosła głód straszny do chaty ubogiej,
 Pomniał, że kiedyś wśród Medów krainy,
 Mieszkał przyjaciel sercu jego drogi:
 Tobiasz biednemu udzielił pieniędzy,
 Wsparł radą, złotem, podzielił się inieniem,
 Minęły lata, i sam uległ nędzy,
 A zaś przyjaciel żył możny znaczeniem.
 —„Synu“—rzekł wtedy—„w medyjskiej krainie
 Mieszka mąż prawy, krewny twojej matki;
 Ten mąż bogactwem i znaczeniem słynie,
 Ma złoto, srebro i mnogie dostatki.
 Jam go wsparł w nędzy—teraz mą rodzinę
 Uciska bieda, przygniata cierpienie;
 Idź synu drogi w medyjską krainę,
 A on ci wróci majątek, znaczenie.”

I gdy tak mówił, urodny młodzieniec
 Stał na progu biednej starca chaty:
 Na licu jego rozkwitał rumieniec,
 Po barkach śnieżne spływały mu szaty.
 — „Chcesz syna wysłać” — rzekł — „w daleką drogę,
 W odległe kraje, między obce ludy;
 Ja dziecku twemu przewodniczyć mogę,
 I zwalczyć wszystkie tej pielgrzymki trudy.”
 — „Kto jesteś?” — biedny kaleka zapyta.
 — „Jestem Azaryasz!” — młodzieniec odpowie.
 — „O! w głosie twoim słuch mój przyszłość czyta,
 Idźcie!” — rzekł starzec: — „niech Bóg wam da zdrowie.”
 I poszli razem. Długi czas upłynął,
 I w smutku dnie swe trawiła rodzina;
 Przeszły miesiące, i rok cały minął,
 I wciąż czekali, a nie było syna.

A teraz starzec czując powab wiosny
 W Boskiego słońca ożywczym promieniu,
 Słyszając śpiew ptasząt: wesoly, radosny,
 Wspomniał na syna, i płakał w milczeniu.
 A gdy tak siedział płacząc swój niedoli,
 Skrzypty drzwi chaty, zachrząściły kroki,
 I ktoś się zbliżył do niego powoli,
 I jęk się rozległ wśród ciszy głęboki.
 — „Żono, ty jęczysz!” — zawoła kaleka —
 „Lecz jęk w twym sercu niewdzięczność obudzi:
 Pamiętaj żono, że Boska opieka
 Nawet w nieszczęściu nie opuszcza ludzi.”
 — „Tak” — przerwie Anna — „zanuć pieśń dziekczynną,
 Bądź święty duchem do życia ostatka;
 Lecz moja boleść od twojej jest inną:
 Cierpisz jak ojciec — ja cierpię jak matka!
 Ty masz żal w sercu — ja czuję męczarnię;
 Ty łzę poświęcasz — ja poświęcam duszę;
 Ty woli nieba poddajesz się marnie,
 Ja Boga przeklnę, a syna mieć muszę!”
 Rzekła, on powstał, i drżąc z oburzenia:
 — „Nie bluźń niewiasto twą mową zawziętą!
 Klękni, i módl się, i prosz przebaczenia,
 Bo Bóg jest wielkim — wola Boga świętą!”
 I głos kaleki takim brzmiał wyrazem,
 Takiem natchnieniem oblicze zabłysło,
 Że biedna matka przed świętym rozkazem
 Klękała, a z oczów dwoje łez wytrysło.
 — „Niewiasto!” — krzyknie kaleka natchniony —
 „Spójrz na mnie, zrównaj wielkość mój ofiary,

Jam wyschły bolem, cierpieniem zniszczony,
 Jam stracił wszystko: oprócz czei i wiary.
 Ja cierpię z tobą, z tobą czuję razem,
 A jednak w duszy srogie trawię żale;
 Dla mnie świat śmierci, dzień nocy obrazem,
 Cierpię, lecz milczę—i Boga wciąż chwale!”

I gdy to mówi, na drodze zdaleka,
 Zza lasu szereg wielbłądów wystrzela,
 I płynie zwolna, niby złota rzeka,
 Skupia się, cienknie, gromadzi, rozdziela.
 A za nim dąży poczet jeźdźców długi,
 I stada wołów, i trzód licznych wiele:
 Bogate wozy, niewiasty, i sługi,
 I dwóch urodnych młodzianów na czele.
 Zbliża się poczet, rozszerza się, rośnie,
 Słychać gwar zdala, niby szum bałwanu:
 I gwar się zwiększa, i huczy donośnie,
 Niby wzburzone fale oceanu.
 A młodzian z tłumu wybiegnie ochoczo:
 —„Ah ojcze!—matko!”—„oh synu mój drogi!”
 I trzy się głosy z trzech piersi wytoczą,
 I złączą w jeden okrzyk szczęścia błogi;
 I trzy serc razem, jak jedno zatleją,
 Potęgą wiary, zachwytu, radości;
 I trzy się dusze w jedną duszę zleją
 I wzrosną w święte uczucie miłości!

—„Ojcze!”— rzekł młodzian—„powracam ci mienie,
 Dziel szczęście ze mną: ja w obszernym świecie
 Znalazłem żonę, z nią miłość, znaczenie,
 A w żonie drugie daję tobie dziecko!”
 I dziewczę chyli przed niemi swe czoło,
 Całuje ręce, i ściska kolana,
 I dzwięcznym głosem zawoła wesóło:
 „Ah, ojcze drogi, ah! matko kochana!”

Zapłakał starzec, a z łzami kaleki
 Zda się, że razem i czarny mrok spływa;
 Zda się, że w ciemni miga błysk daleki,
 Że łza tryskając, cień nocy rozmywa.
 I łzy wciąż płyną, a z najmniejszej łezki,
 Drobną iskierką światłości się rodzi,
 I mrok się w lazur przerzedza niebieski,
 I sto promieni z każdej łzy wychodzi.
 I kroci światół rozlewa się łuna,
 Skrząc złotą siecią miliona promieni,

I splywa łezka, i spada zasłona,
I świat się piękny rozjaśnia wśród cieni.

A starzec spojrzę po obszernym świecie,
I wzrok zagłębi w niebieskim przestworze;
Spojrzę na żonę, na kochane dziecię,
Patrzy i widzi—a wierzyć nie może!
—„Złudo!“—zawoła—„błoga myśli siło,
Niech choć przez chwilę z tobą się popieszczę,
Niech się nacieszę barwą twoją miłą:
O złudo święta, nie ulatuj jeszcze!”

I gdy tak błaga o chwilę marzenia,
Znika ostatni odcień mgły srebrzystej;
I świat się wdziękiem życia rozpromienia,
I blask wokół roztacza się czysty.
A on wciąż widzi swe dzieci i żonę,
I piękną ziemię, i niebios sklepienie:
Wre myśl, pierś pała, drży serce wzruszone;
Szczęśliwy, poznał, że to nie marzenie!
Poznał, i Bogu postął myśl w podzięce,
Wyciągnął dłonie do syna, do żony,
Spojrzął raz jeszcze, raz jeszcze wznosił ręce:
—„Widzę!“—zawołał, i upadł zemdlony.

Gdy się to działo, opodał w milczeniu
Stał ten, co syna z Medów wiódł krainy;
Stał, i w najwyższym szczęścia upojeniu
Patrzył na radość cnotliwej rodziny.
A w cudnych rysach twarzy jego świętej,
Taka się słodycz rozlała nieznana,
Że urok jakiś, wielki, niepojęty,
W serce każdego wlał cześć dla młodziana;
A starzec ledwie powstać z ziemi zdołał,
Już złożył ręce wdzięcznością wzruszony,
Już drżącym głosem radości zawołał:
—„O Azaryaszu bądź błogosławiony!
Jam schnął w boleści, marniał w poniżeniu,
Jam się wznieść nie mógł z nieszczęść mych ogromu,
Jam lata całe przejęczał w cierpieniu,
Tyś wszedł, tyś szczęście wniósł do mego domu!
Mnie straszna przyszłość dziecięcia dręczyła,
Mnie mrok ślepoty, w ciemność nocy rzucił,
Mnie głód dokuczał, mnie nędza trawiła,
Jam stracił wszystko—tyś wszystko mi wrócił!
O Azaryaszu! nie pogardź darami,
Ty, coś się dla nas stał wybawicielem;
Przyjmij cześć naszą, podziel mienie z nami,
I bądź mi synem—jemu przyjaciele!”

—„Starcze!“—rzekł młodzian—„Bóg ciebie zasłonił,
 Bo mu twa cnota, twa ufność jest znana;
 Kiedyś w strapieniu pierwszą łzę uronił,
 Jam wtedy zaniósł łzę twoją do Pana.
 Niech ci dni szczęścia z źródła wiary płyną,
 Niech ród twój wzrasta w łasce niepojętej:
 Starcze, Bóg z tobą, Bóg z twoją rodziną,
 Jam jest Rafael, anioł Pana święty!”

Rzekł, a wtém z ramion dwa skrzydła wystrzela,
 Szata się barwą tęczy rozplomieni,
 Pod stopą siwe obłoki zabiela,
 Z twarzy pół-kole wytryśnie promieni.
 Przedrze się gęsta chmur czarnych opona,
 Zaskrzy w blask słońca laurowa droga,
 I z światła niebios błysnie wszędzie luna,
 I wzleci anioł przed majestat Boga.

Pisałem w Radoszewicach,
 dnia 12 stycznia 1851 r.

Ludwik Niemojowski.



CAŁKOWITE ZAĆMIENIE SŁOŃCA

DNIA 28 LIPCA R. B.

OBSERWOWANE Z WYSOKIEGO MAZOWIECKIEGO.

PRZEZ

Stanisława Przysłańskiego.

Całkowite zaćmienie słońca, z przyczyny obfitości wypadków naukowych, rzucających światło na budowę ciał niebieskich udział w niém biorących, należy do najciekawszych i najważniejszych zjawisk astronomicznych. Naukowa ważność tego fenomenu jeszcze więcej wzrasta, skoro weźmiemy na uwagę długi peryod jego powrotu w danéj miejscowości, i często przytrafiający się nieprzyjazny stan atmosfery. Tak np. podczas całkowitego zaćmienia 1842 r. na 9 stacyj urządzonych w Rossyi, jedna zaledwie mogła obserwować to zjawisko.

Jedyny środek usunięcia téj ostatniej przeszkody jest obserwowanie z wielu punktów różnie położonych wzdłuż całej linii środkowej pasa ciemnego; przez to bowiem nietylko usuwa się obawa chybienia obserwacyi na całej długości pasa, ale nadto zyskuje się na wszechstronniejszém przypatrzeniu się zjawisku, jako z miejsc mniej lub więcej dogodnie położonych.

Lecz ta metoda obserwowania ogólnych zjawisk, powszechnie dziś wprowadzana do nauk fizycznych, prawie niedostępną jest dla prywatnych, bo przechodzi ich środki; rządy jedynie, jako władne nietylko środkami finansowemi, ale mające do rozporządzenia wszelkie ułatwienia, mogą być w tych razach jedyném wspar-

ciem dla nauki. I rzeczywiście, jeżeli zważymy jak ogromna jest ilość obserwatoryj astronomicznych, magnetycznych, meteorologicznych, jak wielkie koszta wychodzą na ekspedycje naukowe, utrzymanie i zaopatrzenie w odpowiednie instrumenta, przestaniemy się dziwić więcéj jak szybkiemu postępowi tych nauk w XIX stuleciu. Takie olbrzymie środki, takie współdziałania władz i ludzi oświeconych, mogą wielkie i prędkie dla błogiego bytu ludzkości wywołać rezultata.

Jakkolwiek zaćmienie całkowite, którego byliśmy świadkami, przesunęło się tylko po Norwegii, wschodnich Prusach i Rosyji, jednak wszystkie kraje przez pośrednictwo swych wysłańców miały udział w śledzeniu jego faz; zaćmienie jakby skierowane zostało przez całą północną i środkową Europę. Anglia usadowiła się w Norwegii, Francuzi przybyli do Gdańska, Prusacy śledzili w Gdańsku i Królewcu, z Wiednia nawiedzono Brody. Najliczniejsze jednak były stacye w cesarstwie rosyjskiem, bo rozsiądane wzdłuż całego pasa od pruskiej granicy aż do Persyi, jakoto: w Augustowie, Łomży, Białymstoku, Brześciu, Żytomierzu, Machnowce, Elizabetgradzie, Bobrzyńcu, Mikołajewie, Berdyańsku, Kerczu, Perekopie, Władykaukazie, Tyflisie, Achałcyku. W królestwie oprócz obserwatoryum warszawskiego, zaopatrzonego naturalnie w dokładne potrzebne do tego instrumenta fizyczne, JW. Kurator O. N. W. oceniając ważność dla nauki tego rzadkiego fenomenu, po wzajemném skommunikowaniu się z c. rosyjską Akademią Nauk w Petersburgu, zaopatrzył w środki i wysłał do Wysokiego Mazowieckiego, miasteczka leżącego w pobliżu środkowej linii, osobną ekspedycją do śledzenia tego zjawiska. Zważając przytém, że obserwowanie tego fenomenu przedstawia bardzo wiele okoliczności, których w tak krótkim czasie niepodobna kilku osobom w jedném miejscu zebranych uchwycić; nadto biorąc na uwagę, że często ludzie niepoświęcający się wyłącznie nauk przyrodzonym, nie pojmując znaczenia pewnych szczegółów, bez uprzedzenia, zupełnie obojętném okiem, lepiej niekiedy ocenić są w stanie czyto barwę przedmiotów, czy migotanie światła, czy schwycić jakiś drobny szczegół usuwający się z pod uwagi osób zagłębionych z całą przytomnością w lunecie, a ztąd mających wzrok zmęczony i zmieniony: JW. Kurator polecił wszystkim naczelnikom zakładów naukowych i ich podwładnym, aby według przesłanej im w tym celu krótkiej instrukcyi, pilnie śledzili niektóre ogólne i wyrazistsze okoliczności.

Nim zebrane ze wszystkich stron raporta uporządkowane, ogłoszone i pod rozwagę świata poddane zostaną, uważam za stosowne podać do wiadomości publicznej wypadki otrzymane przez ekspedycją z Wysokiego Mazowieckiego, w której miałem udział. Dlatego opuszczę wszelkie ogólne tłumaczenia powszechnie dziś znane tego fenomenu i pominię historyczne wiadomości o zaćmieniach w naszym kraju, jako gdzieindziej już podawane. Lecz przed wymienieniem wypadków należy przytoczyć okoliczności towarzyszące, wyliczyć narzędzia przez nas używane i podać dane astronomiczne dotyczące samej stacyi.

Z polecenia władzy edukacyjnej królestwa do téj ekspedycyi należeli: p. Adam Prażmowski starszy pomocnik Obserwatorium Warszawskiego, p. Karol Jurkiewicz nauczyciel Gimnazjum Realnego wraz ze mną, i p. Paweł Mirowski były pomocnik Obserwatorium Warszawskiego. Instrumenta nasze odznaczały się w ogóle dokładnością podziałów, achromatycznością szkieł, a nawet mocą powiększania. Z uprzejmości JW. generała Tenner, kolega Prażmowski otrzymał do obserwacji astronomicznych piękny instrument uniwersalny z fabryki Ertla w Monachium, używany do oznaczania astronomicznych położen wierzchołków trójkątów 1go rzędu przy tryangulacyi prowadzonej w królestwie polskiem. Oprócz tego wzięliśmy z sobą: wielką lunetę astronomiczną 5 stóp długą z fabryki Lerebours et Com. świeżo przez JW. Kuratora dla Obserwatorium Warszawskiego sprowadzoną, i mniejszą tegoż fabrykanta; dwa dokładne barometra według pomysłu Fortina, urządzone i zastosowane do mierzenia gór; 4 termometra, między którymi dwa pochodzące z zakładu Bodeur w Paryżu, odznaczały się wielką dokładnością i czułością; polaryskop naprędce złożony z części wchodzących w skład sacharometru Soleila i podstawy teodolitu; machinę pneumatyczną miernój dobroci i kilka pomniejszych przyrządów. Do mierzenia czasu używanym był głównie chronometr nr. 1630, pochodzący ze sławnój fabryki Dentta, a przytém drugi wykonany przez p. Lilpop.

Za przybyciem na miejsce, kolega Prażmowski zajął się niezwłocznie wyborem miejsca, przyrządzeniem silnej podstawy pod instrument, mający służyć do oznaczenia szerokości miejsca i obserwacji potrzebnych dla wyznaczenia poprawy chronometrów; elementów koniecznych przy obiorze stanowiska, mającego zaledwie bardzo niedokładne te dane. W tym celu prawie o pół wiorsty od miasta, w miejscu ustronném, poza zabu-

dowaniami folwarcznymi, należącymi do W. Fiszera (1), rozbito namiot, bo tego wymagały ciągle prawie niepogody, i utwierdzono mocno trójnóg, utrzymujący instrument uniwersalny. Po tych przygotowaniach kolega pan P. czatował na gwiazdy, które za ledwie przez parę wieczorów tylko ukradkiem zpoza chmur się wychylały. Wieczór dnia 25 lipca był jedynym przez ciąg naszego pobytu, w którym czyste niebo dozwoliło zrobić szereg obserwacyj, nad szerokością geograficzną miejsca. Wypadki ich są:

α Ursae minoris,	daje szerokość	$52^{\circ} 55'$	$8''.42$
δ	—	—	10.13
ζ Aquilae	—	—	8.07
α Ophinci	—	—	5.47
α Aquilae	—	—	5.98

Idąc od północy ku południowi, szerokość wypada coraz mniejsza; jestto dowodem, iż luneta podlegała zgięciu, o czém zresztą kolega P. miał sposobność przekonać się w czasie pomiarów, tymże samym instrumentem czynionych. Przyjmując zgięcie proporcjonalnie w stawie odległości zenitalnej, wypada w położeniu poziomém zgięcie lunety, równe $2'',25$, a szerokość z powyższych gwiazd następująca:

				odstąpienie od średniego
α Ursae minoris.....	$52^{\circ} 55' 7'',07$			$0''91$
δ — — — —	$8'',87$			$0,87$
ζ Aquilae — — —	$9,49$			$1,55$
α Ophinci — — —	$6,93$			$1,05$
α Aquilae — — —	$7,55$			$0,43$
	<hr/>			
	Średnia $52^{\circ} 55' 7'',98$			

Błąd prawdopodobny szerokości otrzymanej z jednej gwiazdy, wypada $= 0'',768$, co daje na błąd prawdopodobny szerokości z 5 gwiazd tylko $0'',34 = \frac{1}{3}''$. Tak więc szerokość Wyso-

(1) Niech mi wolno będzie w imieniu nauki złożyć publiczne podziękowanie W. Fiszerowi, właścicielowi miasta Wysokie-Mazowieckie, który z największą uprzejmością i starodawną gościnnością, użytych nam wszelkiej pomocy, dozwolił potrzebnych materiałów i rzemieślników, a nawet swoich zabudowań, na złożenie instrumentów. Te ofiary czynione były w imieniu nauki, jednakże uprzedzająca gościnnosc względem nas, i światła rady tego zacnego obywatela, jakimi nam pomagał w stosunkach z ludem zdjętym przestraczem, nakazują nam choć te kilka słów złożyć mu w hołdzie.

kiego-Mazowieckiego, miasteczka położonego w gubernii augustowskiej, powiecie łomżyńskim, jest $52^{\circ}55' 7'',98$.

Dla oznaczenia długości, po wzajemnym porozumieniu się z panem Otto Struve astronomem z Pulkowy, bawiącym w Łomży, kolega P. użył wielce wziętej dziś metody przewożenia dokładnych chronometrów z jednej stacyi do drugiej, i porównania ich czasu z czasem wskazanym na miejscowych chronometrach, mających poprzednio oznaczone dokładnie poprawki. W tym celu 5 chronometrów ekspedycyi petersburskiej, bawiącej w Łomży, poprzednio już porównanych z czasem Obserwatorium Warszawskiego, przywieziono do Wysokiego i porównano z miejscowymi chronometrami. Wypadku tych porównań, wskazującego długość względem Warszawy, podać nie jesteśmy w stanie; to bowiem nastąpić może dopiero po wzajemnym skomunikowaniu rachunków, otrzymanych w Łomży i Wysokiem (1).

Ukończywszy te przygotowawcze prace, przystąpiliśmy do wyznaczenia fenomenów, jakimi każdy wyłącznie podczas krótkotrwałego całkowitego zaćmienia, zajmować się zobowiązał. Podział bowiem stosowny prac, jak w przemyśle tak i w podobnych przypadkach ważną odgrywa rolę. Aby zaś uniknąć podawania ciągle nazwisk w dalszym ciągu opisu, nadmienię, że ko-

(1) Przygotowując się do wyjazdu z polecenia JW. Kuratora, i wiedząc, że Łomża, Brześć, Augustów, zajęte zostały przez innych astronomów, kolega Prażmowski dla lepszego wyboru miejsca dla siebie, obliczył czasy trwania całkowitego zaćmienia i odległości wielu miasteczek, położonych w pasie ciemnym od linii środkowej. Z tych rachunków, opartych na metodzie paralax, wypadło, że granica południowa pasa ciemnego zgadza się z obliczeniem pana Maedler, astronoma z Dorpatu, lecz środkowa linia od wypadków tego astronoma, różni się prawie o 12 sekund, a północna granica o 18 sekund. Taka niezgodność rezultatów pojawiająca się stale, pomimo troskliwie przejrzanych rachunków, wzbudziła pomimowolnie pewną nieufność, o której listownie kolega P. udzielił wiadomość panu Otto Struve astronomowi z Pulkowy, prosząc go zarazem o powtórne przerobienie choć w części rachunku, wspólnie go interesującego. W skutek tego porozumienia okazało się, że rachunek kolegi P. był zupełnie dobry, lecz że formuły podane w „*Berliner Ephemeriden*” zbyt były niedokładne i wielce różniące od podanych w *Nautical-Almanach*; nadto, że pan Airy z Greenwich jednocześnie doszedł do tego rezultatu, iż granica północna znacznie ku północy posuniętą być winna. Przytoczenie téj uwagi uważałem za niezbyteczne, wskazuje nam bowiem zbyt niedokładność wzorów *Berliner-Ephemeriden*, a zarazem oddaje pochwałę pracy kolegi P., którą zresztą osoby kompetentne i władza edukacyjna w królestwie, już oceniły.

lega P. wziął na siebie oznaczenie czasu początku i końca zaćmienia, za pomocą większej lunety *Lerebours*, przytém zobowiązał się odrysować kształt wieńca ze wszelkimi zmianami. Kolega Jurkiewicz przy pomocy mniejszej lunety podjął się śledzić wieńiec, wysoki różowe i tarczę księżyca. Za pomocą polaryskopu miałem badać bytność polaryzacji tak z samego wieńca jako i innych punktów w odległości 2° do 4° , od tarczy księżyca, a nadto rozciągnąć bliższy nadzór nad obserwacjami meteorologicznymi, któremi, oprócz pana Mirowskiego, oznaczającego także czasy początku i końca zaćmienia, zajmowali się bawiący wówczas w Wysokiem geometrowie: pp. Sztochel, Sikorski, Rau i Sławiński. Przy ich gorliwej pomocy, mogliśmy zapisywać prawie co trzy minuty dwa termometra w cieniu, służące do obserwacji psychrometrycznych, dwa termometra na słońcu z okopconemi gałkami, jeden w próżni, drugi w dzwonie przykrytym, natężenie światła, zmianę kolorów i t. p. okoliczności.

Przygotowawszy wcześniej lunety, i ustawiwszy drobniejsze przyrządy, smutni, bo i dnia 28 lipca parę razy deszczkropił, a niebo ciężkimi pokryte było chmurami, czekaliśmy przy narzędziach upragnionej chwili, błagając niebios o dozwole nie oglądania fenomenu, którego może niejeden z nas więcj nie ujrzy. Chmury i lekki deszczyk przeszkodziły oznaczeniu początku zaćmienia; wkrótce jednak powstały mocny wiatr, rozpędzający powoli chmury, natchnął nas znowu nadzieją. I rzeczywiście, niebo w miejscu pożądaném znacznie się wyjaśniło, i tylko drobne chmurki pierzaste (*cirrus*), przemykając się po tarczy słonecznej, jakby mgławką oponą zakrywały nam zjawisko; były jednak i chwile, w których przeziarał czysty błękit nieba, pozwalający w całej świetności oglądać nikonące słońce.

Czasy głównych faz zaćmienia były następujące:

Początek zaćmienia nieoznaczony z powodu chmur.

Początek zaćmienia całkowitego

przypadł o godzinie . . .	$4^{\text{h}} 49' 4'',5$	} według chronometru Denta.
Koniec	$4^{\text{h}} 52' 15'',$	
Koniec zaćmienia	$5^{\text{h}} 48' 14'',5$	

A podług czasu średniego miejscowego początek całkowitego = $4^{\text{h}} 50' 38'',57$

Koniec = $4^{\text{h}} 53' 49'',07$

Koniec zaćmienia = $5^{\text{h}} 49' 48'',43$

Całkowite więc zaćmienie trwało przez $3' 10'',34$.

Po rozpoczęciu zaćmienia, pozostały sierp ze słońca w górnym końcu był ostrzejszy i dłuższy od dolnego, lecz z obu stron ograniczony równymi łukami kołowemi; wyjąwszy ostatnie chwile poprzedzające zetknięcie tarcz księżycy i słońca, wówczas bowiem brzeg księżycowy był lekko falowaty. W miarę posuwania się księżycy po tarczy słonecznej, ciemność stopniowo wzrastała, a przy współdziałaniu gęstych chmur (cumulus), nadawała całej naturze barwę zupełnie różną od zmroku wieczornego: była bowiem więcej ponurą i smętną. Ciemność nieba w stronach blizkich zenitu, dziwnie pięknie odbijała od nadzwyczaj świetnej barwy złoto-żółtej, poprzerzynanej smugami czerwonymi i rozciągającej się na zachodzie, przy krańcu widnokręgu. Podczas całkowitego zaćmienia ciemność była tak mocną, że chronometrów bez pomocy latarki szybko odczytywać nie można było, jakkolwiek większy druk tytułowej karty „Nautical-Almanach”, mógł być wyraźnie rozpoznawany. Osłabienie światła słonecznego przez poznawanie gwiazd różnej wielkości, dla mocnych chmur, całe prawie niebo pokrywających, ocenić nie byliśmy w stanie. O tém jednak choć względnie sądzić możemy z tego, że w odległości dwóch mil od środkowej linii i takież odległości od nas, widziano gwiazd 4. W Serocku ujrzano ich 7.

Stopniowe i powolne ściemnianie było w zupełnej sprzeczności z szybkim rozwidnieniem, gdyż za pierwszym pojawieniem promieni słonecznych, widnokrąg mocno się rozjaśnił. Gdy słońce do połowy prawie było zakryte, powstał wiatr przedtém zaledwie czuć się dający, i dał ze znaczną mocą przez cały czas całkowitego zaćmienia. Kierunek miał prawie północno-północno-zachodni, t. j. wzdłuż pasa ciemnego.

W skutek wiatru i znikającego słońca, termometra mające gałki okopcone, jeden utrzymywany w próżni, zawierający powietrze sprężyste na jeden cal, drugi w dzwonie zabezpieczonym od bezpośredniego wpływu wiatru, wskazały znizenie temperatury jak następuje:

Barometr, temperatura i wilgotność powietrza, termometr okopcony w próżni i w powietrzu, uważane w czasie zaćmienia.

Czas po- dług chro- nometru Denta nr. 1630		Barometr Lerebour nr. 175 zredukowany do wysokości absolutnej	T E R M O M E T R				Wilgotność przyni- mac 1 za zupełne nasyce- nie atmosfery parą wodną	Uwagi.
Godzin.	Minuta		W cieniu		Okopcony na słońcu			
			suchy	wilgotny	w próżni	w powietrzu		
3	40		+18.5 C.	+15.4 C.	—	—	0.72	
	45	750.42	19.0	15.4	—	—	0.68	
	50	—	20.0	16.1	—	—	0.66	
	53	—	—	—	+22.05 R.	+22.03 R.	—	początek zaćmie- nia
	55	—	20.0	16.3	—	—	0.68	
	56	—	—	—	22. 5	22. 8	—	
	59	—	—	—	23. 5	24. 7	—	
4	0	750.42	19.6	16.3	—	—	0.71	
	3	—	—	—	23. 4	24. 4	—	
	5	—	19.0	15.9	—	—	0.72	
	6	—	—	—	22. 4	23. 3	—	
	9	—	—	—	22. 0	22. 8	—	
	10	—	18.9	15.3	—	—	0.68	
	12	—	—	—	21. 4	21. 8	—	
	15	750.35	18.7	15.7	20. 7	21. 4	0.73	
	18	—	—	—	20. 3	21. 0	—	
	20	—	18.6	15.6	—	—	0.73	
	21	—	—	—	20. 3	21. 0	—	
	24	—	—	—	20. 0	21. 0	—	
	25	—	18.6	15.2	—	—	0.69	
	27	—	—	—	20. 0	20. 6	—	
	30	750.27	18.4	15.4	20. 0	20. 4	0.72	
	33	—	—	—	19. 8	20. 0	—	
	35	—	18.2	15.2	—	—	0.72	
	36	—	—	—	20. 5	20. 2	—	
	39	—	—	—	20. 0	20. 0	—	
	40	—	18.0	15.1	—	—	0.73	
	42	—	—	—	19. 2	19. 2	—	
	45	750.27	17.9	15.0	18. 4	18. 5	0.73	
	48	—	—	—	17. 5	17. 5	—	
	49	—	—	—	—	—	—	
	51	—	18.4	15.2	16. 5	16. 7	0.71	początek całkowi- tego koniec
	52	—	—	—	16. 5	16. 5	—	
	53	—	—	—	16. 6	16. 4	—	
	54	—	18.0	15.0	16. 4	16. 3	0.72	

Czas po- dług chro- nometru Denta nr. 1630		Barometr Lerebour nr. 175 zredukowany do wysokości absolutnej	T E R M O M E T R				Wilgotność przyjmując 1 za zupełnie nasycone atmosferę parą wodną	Uwagi.
			W cieniu		Okopcony na słońcu			
			suchy	wilgotny	w próżni	w powietrzu		
5	55	750.27	+17.8 C.	+15.1 C.	+16.00 R.	+16.00 R.	0.75	
	57	—	17.8	14.8	—	—	0.72	
	58	—	—	—	15. 7	15. 8	—	
	0	750.30	17.9	14.8	15. 5	15. 5	0.71	
	3	—	—	—	15. 3	15. 5	—	
	5	—	17.8	14.8	—	—	0.72	
	6	—	—	—	15. 5	15. 7	—	
	9	—	—	—	15. 9	15. 9	—	
	10	—	17.7	14.9	—	—	0.74	
	12	—	—	—	16. 0	16. 4	—	
	15	750.30	17.9	14.9	16. 7	17. 0	0.72	
	18	—	—	—	17. 8	18. 0	—	
	20	—	18.1	15.0	—	—	0.71	
	21	—	—	—	20. 5	21. 0	—	
	24	—	—	—	21. 7	23. 0	—	
	25	—	18.6	15.3	—	—	0.70	
	27	—	—	—	25. 0	27. 5	—	
	30	750.32	19.2	15.4	27. 0	31. 0	0.66	
	33	—	—	—	29. 7	33. 6	—	
	35	—	18.8	14.8	—	—	0.64	
36	—	—	—	31. 0	35. 0	—		
39	—	—	—	—	—	—		
40	—	18.7	14.8	28 3	31. 6	0.65		
42	—	—	—	28. 7	31. 4	—		
45	750.47	18.7	14.8	28. 0	30. 6	0.65		
48	—	—	—	27. 6	28. 8	—		
50	—	18.6	14.9	—	—	0.67		
55	—	18.1	14.7	—	—	0.69		
6	0	—	18.0	14.6	—	0.69	Koniec zaćmien.	

Co się tyczy termometrów utrzymywanych w cieniu winiem zrobić uwagę, że obserwacje wykonane o 51' i 54', to jest w chwili całkowitego zaćmienia, odrzucić należy. Ciemność bowiem znaczna nie dozwoliła bez pomocy światła odczytać podziałów rzniętych na rurkach tych termometrów; zbliżenie zaś latarki sprawiło na tych delikatnych instrumentach natychmiastowe wzniesienie temperatury. Pominąwszy to, często czynione

odczyty świadczą o zniżaniu się temperatury jeszcze i po ukazaniu się wąskiego sierpa słonecznego. Minimum bowiem przypada o $5^{\circ} 10'$, t. j. prawie w $20'$ po całkowitým zaaćmieniu. Przyczynę tego pozornie nienormalnego fenomenu łatwo wyjaśnimy zwracając uwagę na to, że promienie ciepłika dosyć wolno ogrzewają atmosferę. Zachodzi tu ta sama okoliczność, jakiej codziennie doznajemy skutków, gdy pomimo największej wysokości słońca w południe, maximum temperatury przypada dopiero o godzinie 2-giej.

Porównywając temperaturę w cieniu na początku zaćmienia z minimum temperatury obserwowanej, otrzymujemy różnicę $2^{\circ}, 2$ C.

Znaczniejszą jest różnica na termometrach wystawionych na słońce z okopconemi gałkami, gdyż:

	w próżni	w powietrzu
w początku zaćmienia	22. ⁰⁵	22. ⁰³
a po zaćmieniu całkowitým	15. 3	15. 5
	<hr/> 7. ⁰²	<hr/> 6. ⁰⁸

Lekka nieregularność w odczytach termometrów na słońcu prawie przy rozpoczęciu zaćmienia jest skutkiem chmur, które, jak już nadmieniliśmy tak były mocne, iż zupełnie zakrywały słońce i nie dozwoliły nam oznaczyć początku zaćmienia. Opuszczając te obserwacje, termometra na słońcu przedstawiają regularne zniżanie się temperatury, świadcząc, iż minimum nie przypada na sam środek całkowitego zaćmienia, lecz dopiero minut 10 po ukazaniu się pierwszego promienia słońca. Zrazu trudno pojąć, dlaczego termometr na słońcu mając okopconą gałkę, dopiero w $10'$ okazuje wpływ promieni słonecznych; jednak wyjaśnić to możemy przywołując na pamięć zbadane niedawno własności ciał uważanych względnie do ciepłika, a mianowicie, iż szkło z różną łatwością przepuszcza promienie ciepłika z mocnego i ze słabego źródła. Być może zresztą, że przyczyny tego zjawiska w samém słońcu szukać wypada, i opierając się na powszechnie przyjętej hipotezie budowy słońca, przyjmując, że promienie idące od zewnętrznego pasa tarczy słonecznej pod względem ciepła są mniejszego natężenia, aniżeli wysyłane ze środka tarczy słonecznej. Podajemy zresztą to tłumaczenie jako domniemanie, jesteśmy bowiem przekonani, że obserwacje termometryczne i photometryczne choćby najdokładniejsze, oddzielnie brane nie powinny służyć za podstawę ogólnych wniosków.

Dodać tu jeszcze należy, że wrażenie na czucie chociaż przy tak słabém znizeniu temperatury ($2,^0 2$) było znaczne. Przy całkowitem zaćmieniu chłód tak był mocny, że jeden z obserwujących rażony nim, zapiął pomimowolnie zwierzchnią suknię, nie przypominając sobie potem, w jakim momencie wrodzony instynkt do tego go skłonił.

Z powyższej tablicy wynika, że barometr przez czas trwania zaćmienia lekkiem podległ znizeniu, wskazując w początku $750,^m 42$, a w czasie całkowitego $750,^m 30$; po ukończeniu zjawiska wrócił prawie do wysokości obserwowanej przed zaćmieniem. Porównywając zaś wysokość barometru dnia 28 lipca po południu 9 razy odczytywaną, z wysokościami barometru uważanemi przez cały tydzień poprzedzający zaćmienie, okazuje się znaczne zwiększenie kolumny merkuryusza w barometrze, wynoszące przeszło 4 milimetry.

W chwili całkowitego zaćmienia, na niebie, w miejscu zajmowaném przez słońce, widzialną była plama okrągła ciemno-szarawego koloru, na której żadnych migocących światel ani punktów świetnych, przez niektórych obserwatorów podawanych, dostrzedz nie mogliśmy. Krąg ten ciemny otoczony był wieniec słabego światła, przedstawiającego się gołemu oku w kolorze słomianym, a w końcu zaćmienia w kolorze lekko-zielonkawym. Wieniec złożony był z promieni strzelających w kierunku promieni koła i zlewających się przy obwodzie tarczy księżyca w jednolite słabe światło.

Z naszej stacyi uważana ta aureola nie była współśrodkową, a przeciwnie bardzo nieforemnego kształtu. W najwęższych miejscach szerokość jęj dochodziła trzech minut, w innych rozciągała się do siedmiu; chociaż dokładne ocenienie było trudnem dla słabego światła na brzegach. Nadto w dwóch punktach, a mianowicie pierwszego zetknięcia tarcz księżyca i słońca i w przeciwnym punkcie, wieniec przedstawił dwa jaśniejsze wycinki koła, stykające się swemi wypukłościami z tarczą księżyca.

Znaczna rozmaitość w szerokości wienca nasuwa myśl, iż pierwszy wymiar ($3'$) należy do właściwego wienca, drugi zaś ($7'$) do tak zwanęj aureoli, mniej świetnej obrączki otaczającej księżyc i złożonej ze strzelających promieni.

Światło korony uważane pilnie w lunetach nie przedstawiało obrotowego ruchu, jak to niektórzy mieli dostrzedz. Przytém było tak słabe, że w doświadczeniach photometrycznych wy-

konywanych sposobem cienia rzucanego przez ołówek na deskę pokrytą białą farbą, nie dawało cienia dość wyraźnego dla porównania z cieniem światła świecy łożowej.

Pod względem polaryzacji, światło korony jakkolwiek badane instrumentem nieodpowiednim tak delikatnym obserwacyom, przedstawiało wyraźne jej ślady. Jednak słabość dopełniających się barw (sacharometr Solejla) tak była wielką, że nie można się było odważać na ocenienie płaszczyzny polaryzacji. Wiadomo bowiem, że używając tego instrumentu przy mocnej polaryzacji i zwolna robiąc doświadczenie, łatwo popełnić błąd w oznaczeniu płaszczyzny o kilka stopni, a cóż dopiero przy słabej polaryzacji i szybkim obserwowaniu. Okolic otaczających wieniec, dla chmur, pod tym względem badać było niepodobna.

Delikatny ten przedmiot polaryzacji światła korony, podawany twierdząco przez jednych, zaprzeczany przez drugich, trudnym jest do rozstrzygnięcia z powodu fizycznego prawie niepodobieństwa oddzielenia światła samej korony od promieni światła, po licznych załamaniach razem ze światłem wprost od wieńca do instrumentu wpadających. Zdaje się, że niesprzyjający stan nieba w Wysokiem Mazowieckiem do innych delikatnych obserwacyj, np. tak zwanych wyskoków różowych, dla rozstrzygnięcia kwestyi polaryzacji był przeciwnie korzystnym. Ciemne bowiem chmury całe niebo powlekające pozostawiały jakby okno, przez które przezierало zjawisko wieńca, i tworzyły zasłonę wstrzymującą uboczne promienie, dwujznacznie na wypadek obserwacji wpłynąć mogące.

Znane są różne tłumaczenia wieńca otaczającego księżyc podczas całkowitego zaćmienia słońca; prawie wszystkie jednak nie wytrzymują krytyki, jakiej poddane zostały. Najprawdopodobniejsza hipoteza, poczytująca wieniec za atmosferę gazową otaczającą słońce, także ostać się nie może, jeżeli zwrócimy uwagę, że wielu biegłych obserwatorów przy wielce sprzyjających okolicznościach zupełnie ją odmiennie opisują, nie zgadzając się ani na jej współśrodkowość z tarczą księżyca, ani na wymiar szerokości. Zdaje się, że w tym przypadku jedyną ucieczką dla pogodzenia tych różnych opisów, będzie załamanie światła. Gdyby księżyc otoczony był choćby najwęższą atmosferą, wówczas to działanie światła dostatecznie wytłumaczyłoby mogło istnienie wieńca świetnego. Lecz astronomowie, opierając się na licznych i dokładnych obserwacyach, stanowczo odrzucają bytność jakiegokolwiek atmosfery naokoło tego satelity. W takim razie pozostaje

staje jeszcze atmosfera ziemską, a w niej słaba różnica w gęstości mass powietrza zawartego w cieniu i otaczającego ciemny ostrokrąg rzucany przez księżyc. Dodając do tego działanie dyfrakcyi światła naokoło brzegów tarczy księżycowej, nastroszonej różnemi wyniosłościami i dolinami, a w końcu różny stan atmosfery, sędzę, że dostatecznie wyjaśnić można tak bytność dostrzeżoną przez niektórych astronomów prążków świetnych i ciemnych, jako też różną szerokość korony.

Jednym z najważniejszych fenomenów zalecanym obserwatorom przez astronomów, jako mogącym posłużyć do przeniknięcia tajemniczój dotąd budowy słońca, są tak zwane wysoki różowe (*preominances rougeâtres*). Kolega Jurkiewicz wyłącznie śledzeniem tego fenomenu zajęty, dostrzegł na kilka sekund przed końcem całkowitego zaćmienia w południowo-wschodniej stronie tarczy księżyca i na jej brzegu, mały wyrostek różowy, wysoki do trzech minut, a wkrótce potem dalej ku południowi drugi mniejszy. Ich kształty podobne były do ostrokręgów wspartych podstawami na tarczy księżyca.

Ciekawe to zjawisko, starannie śledzone na wszystkich stacjach królestwa, bardzo odmiennie przedstawiło się obserwatorom. U nas miało opisaną wyżej formę. W Warszawie, spostrzeżono wyskok różowy z przeciwległej strony daleko większy, a co osobliwsza, w kształcie rogu zagiętego ku zenitowi. Taki wyskok dostrzeżony był w Warszawie przez wiele osób opatrzonych lunetami, i o ile mi wiadomo, rysunki tego wyskoku zrobione przez kilka znakomitych osób obserwujących w ogrodzie Bagateli, porównane po ukończeniu zaćmienia z rysunkiem tego zjawiska wykonanym na Obserwatorium warszawskiem, zupełnie były zgodne tak co do położenia, jak i co do kształtu rogu. Podobno nawet p. Otto Struve w Łomży tenże sam kształt zaobserwował, z dodatkiem, że na przedłużeniu ostrza rogu widział osobną różowej barwy plamę, niestykającą się wcale z tarczą księżyca. Nie podpada więc wątpliwości, że terażniejsze obserwacje dostarczyły ważny fakt, rozświecający w części naturę naszego słońca.

Wyskoki różowe, jak każdy fenomen mało poznany, wiele posiadają tłumaczeń. Działanie światła czyto przez załamanie, czy przez zagięcie w tém zjawisku, po krytycznym rozbiórce p. Arago odrzuca; rachunek nie pozwala poczytywać je za góry słoneczne, bo w tym razie wypadaloby przyjąć góry tak olbrzymich wymiarów, że te nie zasługiwałyby na prawdopodobieństwo. Zresztą obserwowany u nas kształt téj wyniosłości zupełnie oba-

la powyższą hipotezę. Dostrzeżony kształt dozwala jednak poczytywać wysoki za ciała oddzielne od masy słońca, czyto za obłoki zawieszane w atmosferze gazowej otaczającej słońce, czyli też za masę obłoczkową, krążącą zewnątrz słońca. Dzisiejsze astronomiczne wiadomości każą uważać słońce jako złożone z jądra kulistego ciemnego, z ogromnej warstwy chmur wszechstronnie otaczającej jądro i ze świetnej sfery (photosfère), obwijającej warstwę obłoczkową; chcąc więc wysoki różowe poczytywać za chmury, wypadłoby oprócz dwóch wymienionych, przyjąć jeszcze trzecią powłokę znajdującą się zewnątrz sfery świetnej, i w niej umieścić chmury ciemne albo lekko świecące i zakolorowane przez słońce na różowo.

Arago, który ze znaną światu nauką i trafnym poglądem porządkował i rozbiierał krytycznie nadesłane mu liczne obserwacje zaćmienia 1842 r., i zwykle przytém dołączane hipotezy, podzielał przekonanie, że te różowe wysoki są rzeczywiście obłokami słonecznymi, mniema, że zjawiska wspomniane nawet przy cząstkowym zaćmieniu słonecznym dostrzegane być winny. Rozumowanie swe na tém opiera. Wiemy, że dniem dlatego gwiazd gołym okiem widzieć nie można, a nocą tém trudniej im bliżej gwiazdy lub planety są części nieba przez słońce zajętej, że w obu tych razach odbite słoneczne światło dochodząc do retyny zaćmiewa słabe obrazy, powstałe z promieni wychodzących wprost z gwiazd lub planet. Podobne zaćmiewanie obrazów ma miejsce i przy wzmiankowanych wyskokach różowych, pojawiających się naokoło tarczy księżyca. Widzimy je w chwili całkowitego zaćmienia, bo wtedy retyna rażona jest tylko słabym światłem wieńca, niezdolnym przygłuszyć obrazu wyskoków. Przy cząstkowym więc zaćmieniu pozostawiającem połowę, trzecią lub dziesiątą część tarczy słonecznej, natężenie światła w tymże stosunku zmniejszyć się musi, a wówczas słabe światło nie będzie w stanie olśnić obrazów odrysowanych na retynie przez światło tych różowych chmur. Przeto całkowite zaćmienia nie powinny być uważane za jedynie stosowne do śledzenia tego ważnego fenomenu; częściej trafiające się cząstkowe zaćmienia, przy zwróconej na tę drogę uwadze astronomów, zapewne liczniejsze dostarczą fakta do zgłębienia tego zjawiska. A wiemy, że w podobnych przypadkach jedynie liczba dokładnych obserwacyj, dozwalając wszechstronnej rzecz obejrzeć, pomaga do ustalenia hipotezy, przedstawiającej rozumowi pewne prawdopodobieństwo.

Skoro ze słońca pozostał bardzo wąski sierp, brzeg wewnętrzny był mocno pocięty, i jak utrzymuje p. Mirowski śledzący lunetą uniwersalnego instrumentu, przed samém zniknięciem słońca przedstawiał się nastroszony punktami świetnymi, porozdzielanymi ciemnymi wyniosłościami, tworząc tak zwany *różaniec*. Dostrzeżone także podczas obrączkowego zaćmienia i opisane szczegółowo przez Baily to zjawisko, dotąd przez niewielu stwierdzoném zostało, i dlatego równie jak wiązadła czarne (ligaments) czyli prążki łączące brzegi tarczy słońca i księżyca przed samém całkowitem zaćmieniem uważać wypada za złudzenie optyczne, zależące od stanu atmosfery, niedokładnego nastawienia szkła ocznego lub zmęczenia oka obserwatora. Za tym domysłem, jak to Arago uważa, przemawia i to, że astronomowie z professyi obserwujący w Perpignan, Superga, Padwie nie dostrzegli podobnych linii wtedy, gdy jednocześnie amatorowie mniej wprawni w obchodzeniu się z lunotami, zawsze wielką ich liczbę upatrywali.

Brak odpowiednich instrumentów nie dozwolił nam czynić obserwacyj magnetycznych tak w chwili całkowitego zaćmienia, jako i w czasach przed i po tym fenomenie. O ile mi wiadomo, dotąd nie zwracano uwagi na podobne obserwacje. Być może, że istnieje jakiś związek między tym fenomenem a magnetyzmem ziemskim, lecz do śledzenia podobnych zależności, zapewne wyrażających się przez delikatne perturbacje w położeniu igły zboczenia, potrzebaby używać narzędzi dokładnych, czułych i naturalnie ustawionych ze wszelkimi wymagalnemi ostrożnościami. Słowem, takie obserwacje mogą być czynione na obserwatoryach magnetycznych, zaopatrzonych np. w aparat Gaussa.

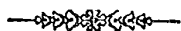
Lekkie chmurki prawie ciągle otaczające słońce, w chwili gdy sierp słoneczny miał tylko parę minut szerokości, były powodem ukazania się w odległości czterech stopni od sierpa, powtórnego jego obrazu. Ciekawe i rzadkie to zjawisko optyczne, będące skutkiem załamania się promieni słonecznych w igielkach lodu, z jakich zapewne złożone są najwyższe chmury pierzaste (cirrus), trwało zaledwo kilka sekund, lecz dostrzeżone było przez wiele osób gołym okiem już patrzących, a przypadkowo i w lunecie. Światło powtórnego obrazu było daleko słabsze, koloru białawego.

Nadmienić tu jeszcze wypada dla całości obrazu o wpływie tego fenomenu na niektóre zwierzęta. Istnienie ogólnego wpływu najlepiej się objawia przez głucho milczenie, panujące w na-

turze podczas całkowitego zaćmienia. Stanowisko wybrane przez nas do obserwacji, leżąc między folwarkiem a polami, dozwoliło nam obserwować tak dzikie jak i domowe ptastwo. Ogólna cisza świadczyła o ich przerażeniu; dopiero za ukazaniem się pierwszego promienia powstał na nowo wesóły śpiew skowronków i kwaczenie domowego drobiu. Pies w pobliżności nas stojący podczas całkowitego zaćmienia stał zeszmutniały, jak wryty, rozglądając się po niebie. Konie bronujące wówczas nie okazały żadnego widocznego zdumienia; zdawały się być zupełnie obojętne tak w niezwykłym czasie przypadłej nocy.

Pod względem czułości kwiatów na światło, dla braku dostatecznej liczby odpowiednich gatunków roślin nie można było obszerniejszych czynić doświadczeń.

Jakkolwiek wyraźny wpływ na ludzi dotąd nie był dostrzegany, trudno zaprzeczyć, aby to wielkie zjawisko żadnego i na nas nie wywarło skutku. O fizycznym wpływie na człowieka dotąd nic nie wiemy, co się zaś tyczy moralnego, opisywane powszechnie wrażenia, a którego i sami byliśmy świadkami w Wysokiem Mazowieckiem, w części tylko policzyć można do wpływów jedynie z natury zjawiska wynikłych. Lud nasz wiejski uwiadomiony o nastąpić mającym fenomenie bez krótkiego i łatwego wyjaśnienia, a natomiast z różnemi okolicznościami i licznemi niestosownemi przestrojami; nadto uwiadomiony drogą na której jedynie słowo Boże i polecenia rządowe słyszy, wcześniej się przeraża, tworzy w swój imaginacji różne mniemania, przypisując temu zjawisku doznane klęski, szuka ulgi swych zmyślonych cierpień w jedynj pozostałej mu ucieczce: korzy się przed Stwórcą, zebrząc łaski ofiarami lub dopełnianiem sakramentów. Podczas pobytu w Wysokiem bliżej będąc ludu wiejskiego, widzieliśmy do jakiego stopnia podniecone w nim było czucie religijne, jak gorąco zebrzał w świątyni łaski Przedwiecznego, jak z podwójną gorliwością biegł za processyami obchodzącemi granice włości; słyszeliśmy ciągłe pienia pobożnych gromad, otaczających znaki Zbawiciela nawet po północy. My, pojmujący znaczenie tego normalnego w naturze faktu, widzimy w nim tylko dowód potęgi naszego rozumu, nieomylności nauki i niezmienności praw rządzących biegiem ciał niebieskich; wieśniak, któremu nikt nie opowiedział przyczyny zaćmienia, nie mogąc się podnieść myślą, uważa ten fenomen za coś nienormalnego w naturze, lęka się, szukając pociechy w religii.



WYSTAWA POWSZECHNA

W LONDYNIE.

(ARTYKUŁ DLA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ WYŁĄCZNIE NAPISANY).

IV.

Londyn, 10 sierpnia.

W dziejach świata przemysł jest faktem zupełnie nowym. Starożytni go nie znali, bo nie mieli na niego nazwiska; posiadali sztukę, która, jak poezya, jest zdolnością indywidualną; umieli budować i pięknie ozdabiać świątynie bogów i pałace królów, lecz ogół ludności był zapomniany. Dopiero z rozwinięciem przemysłu niemal wszystko, co było dawniej udziałem jedynie zamożnych, stało się przystępnym dla wielkiej masy.

Jaką sprzeczność stawiają czasy starożytne względem nowych, taką objawia cywilizacya wschodnia względem Zachodu. W poprzednich artykułach wykazałem, że zbytek, właściwy zbytek jest charakterem wystawy wschodnich narodów, obok którego nie ma stopniowania, nie ma kolejnego przechodu, ale jest nędza, najzupełniejszy brak w zaspokojeniu potrzeb ludzkich. Na Zachodzie wystawa ma odmienny charakter; tam potrzeby człowieka we wszystkich klassach zyskały równouprawnienie, tam sprzęty, narzędzia, ubiory, mają mniej więcej jednaką formę, jedną zaletę dogodności, a dopiero na tém tle sztuka wyszywa ozdoby. Tém jest szczególnie wybitna wystawa najucywilizowanego narodu, to jest Anglii, i jej pierworodnej córy, Ameryki północnej, i z tego powodu przyznałem jej cechę najbardziej chrześcijańską. Bo też przemysł jest owocem, powiem więcej, jest jedną siłą chrystyanizmu. Kiedy ludzie porównali się w duchu, to jest w religii, musiała zrodzić się dążność porównania się w ma-

teryi, przyobleczenia jestestwa ludzkiego w formy mniej więcéj jednostajne, zapewnienia każdemu indywiduum podobnych środków zaspokojenia swoich potrzeb. A z tego stanowiska zapatrząc się, powiem, że im bardziej naród który jest przemysłowym, im produkeya fabryczna jest większa i mocniej oparta na machinach, tém naród taki jest więcéj chrześcijańskim; i nie byłoby mi trudno przeprowadzić to moje twierdzenie przez wszystkie symptomata życia socyalnego, porównywając np. stan wewnętrzny, wysokość umoralnienia Anglii, Niemiec, z narodami południowemi Europy, gdyby mnie porównanie to zadaleko od wystawy nie odwiodło.

Ten fakt pożądany jest następstwem mechaniki, rezultatem machin, produktem nauki tak mało cenionéj, wynalazków tak często w śmieszność obracanych, i dążności przemysłowéj, za jedno u płytkich ludzi z dążnością materyalizowania ludzkości uważanéj. Na dowód, usunięcie ze świata stu piérwszych mechaników, stu piérwszych chemików, stu modelistów, inżynierów, wynalazców. Cóż wtedy stanie się z Europą? Cisza Wschodu spadnie na nią, umilkną fabryki, ustaną w biegu swym koleje żelazne, nędzy i wychudli robotnicy zasiądą jak w Indyach koło warsztatu, człowiek jako w Egipcie upadnie pod ciężarem strasznych prac, stu wyrobników szyc będzie złotolitą szatę dla jednego, a ci stuchodząc będą nago. Okaze się wkrótce, że ludzkość bez niewolników obejść się nie może, Europa spadnie rychło do poziomu Azji i Afryki, które zwyciężyła tylko z pomocą machin. A owe maszyny, ci Negrowie europejscy, nieodległych sięgają czasów; zaledwie temu półtora wieku, kiedy wielki Colbert wpadłszy na myśl, iżby było pożądane zebrać je razem, wyznaczył im trzy małe salki w opactwie św. Marcina, pod imieniem *Konserwatoryum sztuk i rzemiosł*; takie było otwarcie epoki przemysłowéj, taką przy jój początku wystawa machin.

Myśmy rozpoczęli drugą połowę téj epoki, a mimo zadziwiającego postępu, czujemy wszyscy, że jeszcze nie nadszedł koniec wynalazków, i że nie znamy więcéj nad abecadło przyszłego stanu umiejętności. Dotąd zawilość, komplikacya jest sztuką, co właśnie dowodzi naszego dzieciństwa. Już na wystawie widziałem wiele prób otrząśnienia się z niéj, dojścia do wieku dojrzałego, który w mechanice jest uproszczeniem, jest utrwaleniem i ciągłością ruchu przez ruch wirowy. Czują to instynktowo mechanicy, bo czynią największe wysilenia, aby maszyny doprowadzić do ru-

chu walcowego, a zatem uwolnić je od ruchu przerywanego, szarpiącego, będącego naśladownictwem ruchów muszkularnych człowieka. Gdzie są modele dla mechaniki ziemskiej?—w mechanice niebieskiej, gdzie wszystkie ruchy odbywają się nieprzerwanie, i bez tarcia. Kiedy człowiek chciał pływać, budował statki na wzór ptaków wodnych; ruch skrzydeł i nóg, naprowadził go na myśl żagli i wiosła, a ogon i ptaków powietrznych, na stér okrętu.

Ten ogólny kierunek mechaniki spostrzegł pan Jobard dyrektor muzeum przemysłowego w Brukselli, który rozpatrzywszy się w oddziale machin angielskich, wyrzekł w świeżo tutaj wydanej broszurce, że przemysł póty nie dojdzie doskonałości, póki nie będzie czerpał natchnienia w mechanice niebieskiej, to jest póki się nie stanie wirowym. Nawet machina parowa zmienić się musi w rotacyą: to téż od czasów Watta maszyny największe w tym celu czynią usiłowania, i na wystawie jest kilkanaście modeli w nowym duchu funkcyonujących mniej więcej należycie, chociaż można naliczyć przeszło trzysta prób, które się nie udały. Wszakże od niejakiego czasu zagadnienie zdaje się rozjaśniać, przybliża się rozwiązanie, może już je odkryto w téj chwili, lecz dotąd tyle było zawodów, że fabrykanci niełatwo ulecą się z uprzedzenia. Jako jeden z przykładów tego kierunku, p. Jobard cytuje prasę drukarską, która w nowych przyrządach ma już ruch walcowy. Ani wątpić, że wystawa będąc niejako skarbem nagromadzonych myśli ludzkich, stanie się mocną podniętą nowych w tym jak w każdym przedmiocie wynalazków. Anglicy bez zazdrości odkryli zasoby swojej mechaniki, objawili wszystkie jój tajemnice. Ludzie co byli mistrzami na lądzie stałym, przyjechali do Anglii jako uczniowie; odkryło się pole wiedzy i biją źródła nowych pomysłów. To téż nie bardziej, przynajmniej dla mnie, nie ma pocieszającego, jak widok na wystawie ludzi specjalnych, mechaników, fabrykantów, przyglądających się obecnej wystawie. Patrząc z jak wyteżoną uwagą ścigają oni ruchy maszyny, odgadują i probują się z trudnościami, które wynalazca miał do zwalczania, porównywiają siły swoje z rezultatem, który im stoi przed oczyma; widząc z jaką ciekawością przygląda się fabrykant produktom innokrajowym; jak oko swoje kształci na formach artystycznych, i w myśli odbywa proces fabrykacyi; jak bada, porównywa, uczy się; summując wreszcie te tłumy, które już teraz nie ciekawość lub chęć zabawy, ale interes przyciąga na wystawę, te nowe my-

śli i odkrycia, z których każde indywiduum część jakąś do swego warsztatu przynosi:—dorożumiemy się, choć ocenić nie zdołamy, co za wielkie następstwa z tego zestawienia wszystkich rezultatów rozumu ludzkiego dla każdego narodu, dla każdego przemysłu, dla świata całego wypłyną.

Myśl ta nasuwa się wyraźnie, ilekroć systematycznie porównujemy wystawę. Wszystkie rodzaje przemysłu obnażone z szat tajemniczych, ukazują nowe korzyści i niedostatki; brak widoczny w jednym uderza obok rezultatów, które można osiągnąć z drugiego; nauki przyrodzone, geografia botaniczna i zwierzęca, wzięte niejako pod inkwizycją, odsłaniają zasoby wiedzy i składają je przy warsztacie przemysłowym, a mechanika rozwijając swoje skarby, ukazuje jak daleko pozostały te rodzaje fabrykacyj, które dotąd z nią małą zrobiły znajomość. Tak np. weźmy pod uwagę cukier. Można niemal zaręczyć, że od dziś dnia za lat kilka produkcya cukru kolonialnego o kilkaset procent zwiększy się i stanieje. Obok kierunku, jaki u nas w wielu miejscach bierze gospodarstwo, zdaje mi się, że wypada mi bliżej tę okoliczność rozwinąć.

Gdybym pisał dla statystów i ekonomistów, tobym o ważności cukru wspominać nie potrzebował; ale że mi nie czytać będą tacy, co go znają jedynie ze stołu herbacianego, to muszę dodać, że cukier kolonialny, bo o takim tylko w tym ustępie mówię, co rok produkowany i po targach całego świata rozsyłany, w przecięciu można obliczyć na 20 milionów centnarów, z wyjątkiem tego, który uprawiany i produkowany w Chinach, Cochín-Chinie i archipelagu Malajskim, z pewnością statystycznie co do ilości oznaczyć się nie da, ale obliczają go zarówno na 20 milionów centnarów rocznie. Szacując cukier rozsyłany po targach cywilizowanego świata na 15 fs. za beczkę (30 złp. za centnar), otrzymamy ogromną summę 600 milionów złp.; lecz jak każdy świadomy rzeczy przyzna, psuje się w skutek niedokładnej fabrykacyi trzy razy więcej cukru, niżeli go się rozsyła, a zatem, że przy udoskonalonej metodzie wyrobu, możnaby nie już 20, ale 80 milionów centnarów rocznie produkować i rozsyłać. Zwracam zaś uwagę, że nie mówię bynajmniej o uprawie trzciny cukrowej, ale jedynie o wyrobie cukru, to jest o wyciskaniu soku z trzciny i o niedostateczności przyrządów dotąd używanych.

W tym celu po różnych częściach świata używają przynajmniej czterech rodzajów przyrządów. Najpierwszym i najprost-

szym jest młyn złożony z okrągłego kamienia, obracającego się w stosownej cembrzynie. Używano go dawniej powszechnie, a i teraz prawie wyłącznie w Chinach i Syamie. W Azji wszelako zwyczajniejsza jest machina na wzór wielkiego moździerza, w którym gruby drąg połączony z dźwignią w poziomym kierunku obracany bywa przez woły. Tego rodzaju młyny używają się w Indyach, ale jak pierwsze tak drugie są bardzo niedoskonałe i nie odpowiadają bynajmniej potrzebie wielkich producentów, chociaż zaspokajać mogą mniejszych, którzy drobne plantacye zakładają po ogrodach dla swego użytku. W wielkich plantacyach posługują się młynem cukrowym, złożonym przynajmniej z dwóch walców (często więcej), ustawionych poziomo lub pionowo zbliżanych lub oddalanych od siebie za pomocą śrub i klinów, a poruszanych siłą wiatru, pary lub zwierząt. Zważając na delikatną i gąbczastą przedzę trzciny cukrowej, zawierającej przynajmniej 90 części soku na 100, obok wielkiej siły walców żelaznych młyna cukrowego, zdawaćby się mogło, że w trzcinie nic wcale po operacji nie zostanie się soku. Tymczasem według zdania najlepszych w tym przedmiocie autorów, sto części trzciny na wyspach zachodnich Indyjskich i Demarara, nie wydaje 90, ale najwięcej 50 części, a zatem że zaraz przy wyciskaniu ginie 40%. Nie jest to wyłącznie winą młyna cukrowego, ale dziwnego niegospodarstwa w Indyach Zachodnich, gdzie wyciśniętej trzciny cukrowej używają jako jedyne paliwo, które, jeśli trzcina zupełnie jest wyciśnięta, nieodrazu się zajmuje. Niepotrzeba mówić, że trzcina cukrowa jest zanadto kosztownym materiałem, aby ekonomicznie mogła służyć do opału; lecz choć o tém wiedzą właściciele indyjskich plantacyj, nie zaprzestają podziśdzień tego marnotrawstwa. Nie wiele mam powiedzieć o młynach cukrowych znajdujących się na wystawie: są to modele wyborne i odpowiadają powołaniu doskonale. Ale co do zasady maszyny, widząc, że aczkolwiek użyta wielka siła przez dwa walce na ciało miękkie słabo musi działać, że nadto trzcina, jako istota gąbczasta, nim wyjdzie z walców, część soku napowrót w siebie wciąga: to wątpię ażeby młyn z całą ścisłością zastosowany zamiast 90%, więcej nad 75 lub 78% wy dobył; i dlatego jestem przekonany, że przezorny fabrykant musi przyzwać inną mechaniczną pomoc, aby wszystek sok wydobył. Nie masz zaś pod tym względem lepszej jak prasa hydrauliczna, która posiada tak nadzwyczajną siłę. Zapewniają też w istocie, że trzcina już wyciśnięta, wzięta w prasę tego rodzaju, oddaje re-

szte soku, tak, że z jój pomocą wydobyć można całe 90⁰/₀. W krajach produkujących cukier, wielkie zachodzą trudności w zastosowaniu postępów mechaniki: raz przez to, że maszyny ze-
psutėj nie ma często kto naprawić; powtóre, że koszta nabycia są wielkie. Ale to wszystko nie stosuje się do maszyny hydraulicznej, bo koszta jój nabycia są małe, miejsca zabiera niewiele, i tak jest łatwa w użyciu, że nią dziecko kierować może. Wszakże nie zastępuje ona całkowicie młyna parowego, jak się o tém kilku fabrykantów przekonało, bo choć działa skutecznie, ale wolno; lepiėj więc może być użytą w uzupełnieniu młyna.

Jakaż jest jój siła? Nikomu podobno nie tajno, że kiedy kórkuje się butelka napełniona płynem, między najwyższą warstwą płynu a korkiem zostaje się pewna warstwa powietrza, i to nie przypadkiem, ale umyślnie, bo inaczej pękłaby butelka za każdým uderzeniem korka. Ten prosty fakt dzieje się na mocy tego samego prawa, które świeżo wyniosło most *Britania* na oceanie, i połączyło lądy cieśniną Menai rozdzielone; ten sam fakt jest podstawą każdėj prasy hydraulicznej. Przypuśćmy, że korek ma powierzchnią jednego cala kwadrat., a wewnątrz butelki ma 20 cali □. Jeżeli wyrzemy na korek siłę jednego funta, to ściany butelki w którėj płyn nie jest oddzielony od korka, będą miały do wytrzymania siłę 20 ff.; a gdyby naczynie miało 200 lub 2,000 cali □, wtedy zawsze siła jednego funta przemieni się wewnątrz na siłę 200 lub 2,000 ff. Każdy pojmuje, że mamy tutaj zaród ogromnej potęgi, któraby roztrzaskała butelkę, a użyta do prasy hydraulicznej podnosi tłok i nadaje mu siłę cisnącą. W prasach hydraulicznych stosuje się często tę siłę do ciśnienia z góry na dół, co jeszcze ją pomnaża, lecz w prasie cukrowej doradzają użyć przeciwnego kierunku. Nowo wynaleziony przyrząd p. Besseniera ma przy wyrobie cukru zastępować działanie młyna i prasy hydraulicznej, i wszyscy co o nim dotąd pisali, największe oddają mu pochwały.

Po wyciśnieniu soku nadchodzi drugie działanie, to jest czyszczenie; przed niém bowiem zawiera sok mnóstwo roślinnych nieczystości, utrudniających krystalizacyą, a czasem wstrzymujących ją całkowicie. Do oczyszczenia używają zwykle wapna, ale powszechnie na to zgadzają się, że octan ołowiu jest najskuteczniejszy. Po wyczyszczeniu następuje zgęszczenie, to jest wyparowanie części płynnych soku. Najpospoliciėj używają do tego bezpośrednio gorąca, lecz zastosowanie wapna tworzy syrop, to jest

część niekrystalizującą się, którego w trzcinie nie ma, bo pokrajawszy ją i obejrzawszy przez mikroskop, nie ujrzymy więcej nad cukier skrytalizowany. Z narzędzi do zgęszczenia soku spostrzegam na wystawie dwa: to jest panew zgęszczającą pp. Gramma, West i Comp. i próżnię panwową. Ta ostatnia zdaniem wszystkich jest najlepsza. O machinach, któreby się dały użyć do zwykłych w Europie fabrykacyj cukru i do rafineryi, a mianowicie o maszynie Manlowe Alkota pisałem poprzednio, i śmiało mogę ją każdemu fabrykantowi polecić.

Rozpisałem się nieco nad fabrykacją cukru kolonialnego, bo inaczej niepodobna mi było objaśnić, jak dalece mechanika wpłynąć może na jej udoskonalenie, i o ile wystawa na postęp tej fabrykacji niezawodnie wpłynie, a zatem o ile ci, co budują nadzieje na wyrobie cukru krajowego, muszą korzystać ze środków ulepszenia wyrobu świeżo upowszechnionych, aby mogli wytrzymać groźniejszą niż dawniej konkurencją kolonij angielskich. Nateraz w uzupełnieniu mojego opisu, przejdę pojedynczo niektóre rodzaje przemysłu. A najprzód zacznę od mebli.

Zpomiędzy produktów znajdujących się na wystawie, najwięcej charakteru narodowego zachowują meble. Zdaje mi się, że gdyby wybrano z pałacu pierwsze arcydzieła ebenistowskie (a jest ich dosyć), baczny widz potrafiłby odróżnić fabrykanta każdego kraju. Bo w jednych meblach uderza gust i elegancja, inne wprawdzie oryginalne, ale razi w nich nadmiar ozdób; w tych spostrzegasz pewną ciężkość, w tamtych znowu więcej cierpliwości niżli sztuki i inwencji. Porównajmy je kolejno, a najprzód zatrzymajmy się we Francji, bo ona oddawna uchodzi za ojczyznę mebli eleganckich, składnych, trwałych i dogodnych. Nie znalazłem w tej wystawie przeważającego gustu, bo go też nie ma w całym pałacu. Naprzemian spotykałem gust klasyczny, niezawsze szczęśliwie użyty, gotycki Elżbiety, *renaissance*, Ludwików XIVgo i XVgo, i cesarstwa.

Najwięcej widziałem kredensów, i to słusznie jako w Anglii, bo nie masz domu angielskiego, gdzieby go nie było, a rzadziej go się spotyka na stałym lądzie. W Anglii jest on sprzętem najważniejszym; fabrykanci i rysownicy najwięcej oddawali się jego przyozdobieniu. Wszakże zdaniem samych Anglików, kredens Fourdinois postawiony przy wejściu do sali Sèvres, przedstawia najszczęśliwsze i największe co do skali zastosowanie sztuki do prze-

mysłu. Zbudowany z drzewa orzechowego, pod względem rysunku, prostoty i wykonania, jest niezrównanym. Ozdoby czysto *renaissance* zwracają szczególną uwagę; psy w miejsce karyatydów; podtrzymujące stół kredensu; zwierzęta żywe i nieżywe, kwiaty odrywające się tak zręcznie, figury ludzkie pełne prawdy i wyrazu, nawet ta wędka rybaka, która zdaje się czeka tylko na wodę, w oczach widza to nie są wyroby drewniane, ale istoty żyjące, ale sama *expressya* i życie. Po Fourdinois, pierwsze we Francji przyznałbym miejsce Tahanowi; nieskończenie wiele jest gustu w kufrze jego z pięknymi malowaniami na porcelanie, w bibliotece żłobionej miedzią, ozdobionej łuską i bronzowemi złoceniami; w kłęczniku gotyckim nader poważnym dębowym, z przesliczną sycerską robotą, i w mnóstwie jego toaletek, kufereków, stoliczków i t. p. Wypadałoby jeszcze przytoczyć etażerkę palisandrową Leclerca, biblioteczkę *renaissance* Janselma, ze żłobieniami malakitowemi, meble z drzewa palisandrowego Ludwika Gradé, nowego wynalazku malowanie na porcelanie Rivarda i Andrieux; lecz wszystkie te graciki i sprzęty nadobne mają jeden charakter, to jest jakąś ponętność francuzką, czystość w wykonaniu i niezaprzeczoną gust. W tej części uderzają widza roboty mozaikowe Marcellina. U niego mozaika jest wypadkiem rachuby i pracy geometrycznej; dzieło dokonane raz, może być jutro przerobione, pojutrze można je znowu ścieśniać lub rozszerzać do woli. Począwszy od wyrobu mozaikowego, mogącego pomieścić 6,500 sztuk, na powierzchni kwadratowej sześciocalowej, aż do obszernych salonów mozaikowanych, wszystko pan Marcellin jest w stanie przedsięwziąć, a jego zastosowanie tej sztuki do posadzek, zasługuje rzeczywiście na uwagę.

Nie wiem, które miejsce pod względem wystawy mebli mam przypisać Austrii, ale to pewna, że jej salony najliczniejszą publiczność nieustannie zwabiają. Austria w kilku salonach zebrała wszystkie meble, i tym sposobem zręcznie odjęła wystawie cechę bazaru. Pomysł ten nader szczęśliwy, niemało zapewne przyczynił się do efektu, jaki sprawiają wyroby Leistlera i Grögera. Donosiłem wam już o łożu pierwszego (zakupioném razem z innemi meblami Leistlera, przez margrabiego Westminster za 14,000 £.); jest z drzewa brazylijskiego, kolumny żłobione misternie i wyrzynane w rowki z bogatemi bukietami. Obie ściany kolosalnego łoża upięknione figurami aniołów, czuwających nad snem człowieka i symbolicznemi obrazami życia. Niebo

jest aksamitne, jedwabne i złote. Czyli łożo to jest do użytku, czyby kto mógł spać zamknięty w tym ciężkim gmachu, czyli przeto sprzęt nie chybia pierwszemu warunkowi każdego mebla, to jest jego celowi?—w to wchodzić nie chcę. Inne wyroby Leistlera, jakoto: klęcznik, stolik nocny są gustowniejsze. Z dwóch bibliotek wystawionych w pobocznym salonie, przekładam bibliotekę *renaissance* nad gotycką, chociaż ta druga nieporównanie więcej kosztowała pracy i kunsztu. Cóżkolwiekby, dzieła te Leistlera zasługują na zaszczytne pochwały, i potwierdzają we wszystkich opiniach, że Austria pod względem przemysłowym jest czémś więcej, niż mniemano.

Przechodząc następnie do wystawy angielskiej nie mogę wdawać się w rozstrzygnięcie kwestyi, podniesionej w francuzkich dziennikach, że niecała zasługa przynależy się producentom angielskim, bo do ich wyrobów przyczyniała się ręka cudzoziemców. Nie pojmuje dlaczego ludzie co potrafili zbudować dzisiejszy parlament albo Westminster, co dokonali najwspanialszego pomnika przemysłu ludzkiego, to jest kryształowego pałacu, co w tych wielkich budowlach tyle zdolali zgromadzić gustu, harmonii, nie byłiby w stanie wyłobić biurka lub ozdobić go elegancyjko. Prawda, że kredens panów Cookes i syna nie ma śmiałości pomysłu i szczęśliwego wykonania mebli pana Fourdinois; ale niemniej jest pięknym utworem, dowodzącym oryginalności artysty i zręczności dłuta. Przedmiot wzięty z dzieła sławnego romanso-pisarza angielskiego: *Zamek Kenilworth*. Na nieszczęście powiedziałbym, przejęto się zanadto myślą poety, to jest namiętnością szczegółów, chociaż pewne figurki nie mają tej expressyi, którą wielki poeta wybitnie odcęchował w swych bohaterach. Prześlicznym wyrobom sycerskim pana Fielda zarzucają, że są kopiowane z francuzkich wzorów Lienarda. W guście *renaissance* odznacza się kredens dębowy panów Jacksona i Grahama. Kredens aczkolwiek niemających rozmiarów, może być stosownie umieszczony w zamku, a z drugiej strony przemawiają za nim doskonałość rysunku, czystość stylu, piękność wykonania w najdrobniejszych szczegółach, i wybór materiału. Nie zarzucono go ozdobami, bo gdyby mu choć jedną odjęto, jużby raz był brak widoczny. Począwszy od pięknych grup, przedstawiających symboliczne polowanie, rybołówstwo, rolnictwo i winobranie, aż do najmniejszych wyrzezań, wszystko świadczy, z jaką troskliwością pracowano nad każdym przedmiotem. Ten sprzęt po-

ważny mógłbym śmiało zalecić każdemu artyście jako dzieło sztuki, którego piękność tém więcej się szanuje, im więcej się je rozbie-
ra, i każdemu fabrykantowi jako produkt stolarski, którego każda listewka jest wyraźna, a jedna w drugą przechodzi harmonijnie.

Mniej są szczęśliwe wytwory w guście klassycznym, na których umieszczono napis: *Szkola rysunku sheffieldzka*. Wykonanie wprawdzie wyborne, lecz meble powinny się różnić od złych modeli architektonicznych, bo nie wypada, aby kredens wyobrażał jakąś niezgrabną facyatę pałacu, a stolik nocny, aby miał formę grobowca. Zresztą jak wiele jest mebli w najrozmaitszych gustach, tak jest mało wyłącznie klassycznych. Nie lubią go fabrykanci, wiedząc, że niełatwo uniknąć form naprzężonych i niekształtnych, cechujących zwyczajnie ten rodzaj. Wiedzą nadto jak trudno pogodzić formy klassyczne umeblowania, z architekturą nowoczesną budynku. Wszelako kilku ebenistów, a mianowicie panowie Poole et Comp., przebyli po większej części te trudności w kredensie przez siebie wystawionym. W ich meblach stylu włoskiego najczystsze, nie masz jednej linii, formy, listwy lub ozdoby, co by nie zadowalniała najwybredniejszy gust. Piedestały ustawione bezpośrednio na plintach (przez co zyskały dużo lekkości), łączą się w pięknej girlandzie liści i owoców, i tworzą rysunek powabny a rozmaity. U wierzchu jest wieniec dębowy, ta najzaszczytniejsza nagroda Rzymianów, a cztery kolumny, według przepisów architektonicznych odrysowane, dźwigają lampę. Po raz pierwszy spostrzegam ją w meblu tego rodzaju, a tutaj tworzy ona nieodzowną część całości. Bronzy na dwóch piedestałach przedstawiają Filemona i Baucysa, a na ścianie lewej jest artystyczny obraz sądu Midasa; lecz wszystkie ściany, jako arcydzieła brązowe, godne są uwagi pod względem anatomii figur. Warto im się przypatrzeć i rozebrać szczegółowo, bo to jest może jedyny produkt brązowniczy angielski, który walczy o pierwszeństwo z francuzkiemi.

Przechodząc po wystawie mebli w innych krajach, trudno się nie zatrzymać w Belgii, a mianowicie w Antwerpii, której znakomici ebeniści, jak pp. Judo, Roubé, Cofs, Raedt, okazali wiele zręczności, choć może nie uniknęli przesady w ozdobach. Zaslugują także na uwagę niektóre meble włoskie. Toskania przysłała piękną konsolę ze zwierciadłem, snycerską robotą, a z Piemontu znajduje się kilka sprzętów fornirowanych nadzwyczajnej lekkości; stoły z mozaiką z drzewa oliwnego, wyobrażające po-

mniki rzymskie, są dosyć piękne, ale o mozażce z bitwami Napoleońskimi wołę nie mówić.

Po meblach przechodzę do fortepianów, tych najszlachetniejszych i niejako żywych mebli. I tutaj zacząć muszę od Francyi, bo w ogólności wyrób instrumentów muzycznych tworzy we Francyi ważną gałąź przemysłu narodowego. Najślawniejsze w tym względzie miasta są: Paryż, Lacouture w Normandyi, Mirecourt w Lotaryngii, Lyon i Marsylia. W Mirecourt wyrabiają instrumenta rżnięte, w Lacouture dęte, w Marsylii fortepiana, Paryż zaś jest ogniskiem i stolicą wszelkich rodzajów fabrykacyi. Statystycznie trudno oznaczyć wagę tego handlu; sprawozdanie przysięgłych z r. 1849 podaje, że wartość produktów nadesłanych w owym roku przez 85 wystawiaczy przechodzi 8 milionów fr. Co do handlu z zagranicą, przywozu nie ma żadnego, a wywóz jest znaczny. W peryodzie dziesięcioletnim od r. 1826 do 1837 wynosił rocznie 670,000 fr. W peryodzie od r. 1837 do 1846 już 1,277,000 fr.; w r. 1849 zniżył się do 902,586 fr. Cyfry te obejmują wszystkie narzędzia muzyczne. Aż do r. 1776 (epoca w której osiadł w Paryżu pierwszy Erard), Francya brała fortepiana to z Anglii, to z Niemiec; lecz odtąd wzrost przemysłu paryżkiego zapewnił mu odbyć znamienity, chociaż dopiero od 25 lub od 30 lat postęp jest daleko znaczniejszy. Dosyć, jeżeli czytelnikom moim zacytuję imiona Papego, Pleyela, Petzolda, Rollera, Blancheta, Herza, Boisselota; bo co do Erarda, którego imię jest znane powszechnie, wiedzą wszyscy jak wiele mu jest winien świat artystyczny, a dzienniki francuzkie i angielskie zanadto już pisały o jego zasługach, aby one miały być nieznanie większej części publiczności. Ani też nie potrzebuję dodawać, że jego piano z drzewa tulipanowego, z niezmiernym kosztem żłobione w złote pasy i z niewypowiedzianym gustem ozdobione, zajmuje pierwsze miejsce tak co do wewnętrznej, jako i zewnętrznej wartości. W tenże sam strój ubrana arfa króluje na fortepianie Erarda, a bogactwem swoim i powagą zdaje się przypominać, że jest najstarszą córą muzyki i jedną z świątecznych tradycyj starego świata.

Nietylko we Francyi, ale w całej wystawie najwięcej jest fortepianów biurkowych, bo podłużne fortepiana coraz więcej tracą wzięcia i istnieją tylko przesądem, jaki do nich ludzie gustu przywiązują. Wielu się na to gniewa; według mnie, zredukowanie potwornych kształtów fortepianu podłużnego do prostej

i wygodnej formy fortepianu o strunach pionowych bez ujęcia mocy tonów, jest charakterystyczną cechą wieku. To też na wystawie, tej powszechnej pieczęci postępu, wszystkie narody miłujące muzykę uznały wyższość fortepianów, które nazwałem biurkowemi; są tego rodzaju instrumenta w Anglii, Belgii, Rosyi, Niemczech; co do Francyi, która pierwsza rozszerzyła tę formę, liczy ona mnóstwo fortepianów biurkowych.

W Anglii nie skończyła się jeszcze walka między fortepianami podłużnemi Broadwooda, który jest zawsze głównym fabrykantem angielskim, a wyborzemi pianami biurkowemi Rollera i Blancheta syna. Z wzajemnych usiłowań na przyszłość musi wyrodzić się postęp, a że sztuka zawsze łączy się z przemysłem, czas pokaże, które tu narzędzia są lepsze. Wracając do Francyi spostrzegam wyroby Herdinga z małemi inowacyami. P. Souleto wystawił fortepiano z drzewa różowego, wysoko cenione jako dzieło ebenisty. Forte-piana tego fabrykanta są zazwyczaj podłużne i mają właściwe sobie zalety. Wprawdzie klawisz uderza sucho i krótko, ale ton nie ustępuje wyrobom Rollera i Blancheta. P. Mercier wyrabia wyłącznie fortepiana biurkowe. Jego ton jest przewyborny, ale uderzenie nie ma tej delikatności, która właśnie podoba się mniejszym artystom w fortepianach biurkowych. Instrumenta pp. Anchera, Kleinjaspera, Jauliwa, mają wszystkie zalety i wady wyrobów Merciera. Pana Debaina harmonijki, fortepiana organowe, celują. Instrumenta Montala odznaczają się tém, że wyszły z fabryki kierowanej przez ślepego. Jest też obok fortepianów niemało harf, między którymi najpierwsze Doménego. W ogólności przyznać trzeba, że fortepiana francuzkie mają zalety niepoślednie: ton ich tak w basie jak w wiolinie pełny, śpiewny i dźwięczny, formy lekkie i eleganckie, styl prosty i gust wyborny. Niektórzy w fortepianach podłużnych zachowali formy wysokie, co właśnie w takich fortepianach razi, bo słuchacz nie może widzieć artysty zblizka.

Forte-piana austryackie zalecają się taniością. Między belgijskiemi widziałem kilka dawniejszych fortepianów biurkowych Jastrzębskiego.

Jednym z wyrobów, który najwięcej się przyczynia do ozdoby pałacu kryształowego są dywany. Porozwieszane ponad galeryami, przybite do ścian, urozmaicają niezmiernie wystawę, a żywocią i grą kolorów harmoniują z wesołym rzutem fontanny, z krasą kwiecistych gajów, i poważną zielenią majestatycznych

drzew. Można powiedzieć, że wystawa zarzucona jest dywanami, że każdy kraj chciał pokazać jak daleko w tój sztuce postąpił. A przecież jeszcze nie odległe czasy, nawet w Anglii, gdzie dywan jest już koniecznością (gdzie się znajduje po salonach, sypialniach, jadalniach, nawet sieniach i schodach); nie odległe mówię czasy, kiedyto dywan, jako kosztowny produkt perski, lewantyjski lub flandryjski, jedynie przez zamożnych bywał sprowadzany. Wprawdzie jeszcze dzisiaj Persya dostarcza dywanów, ale tak im, jak Flandom, Francya przed niewieloma laty odjęta przywilej zaopatrywania ludzi bogatych całego świata w wspaniałe dywany, które téż służyć mogą za wzór najdoskonalszój harmonii kolorów. Perskie i tureckie wyrobem i fantastycznością rysunku zachwycają oko widza; przydałbym jeszcze do nich tuniskie i indyjskie, ale nie znać w nich postępu; tém są, czém były przed sto laty, jakie mi się zdarzyło widzieć w Polsce, gdzie szczątki dawnego umeblowania pozostały, takie mniej więcej spotykałem na wystawie wschodnich krajów; kiedy przeciwnie wyroby europejskie dowodzą ogromnego wzrostu fabrykacyi, który zapowiada że niezadługo Północ dostarczać będzie dywanów dla Wschodu i Południa. Mianowicie w Anglii postęp jest zadziwiający. Rzucono się z zapałem do tego przemysłu, i zdaje się że z pomocą środków mechanicznych doprowadzą go tak wysoko, jak już dzisiaj stanęła bawełna, uwolniwszy się od ręcznych warsztatów. Powiem nawet więcej: fabrykanci francuzcy muszą podwoić swoje usiłowania, jeśli nie chcą, aby ich Anglia w krótkim czasie zakasowała.

Nie jeden czytelnik dowie się zapewne nie bez zadziwienia, że mimo licznój różności nazwisk, jest dotąd bardzo mało różnicy w wyrobie dywanów, i że proces fabrykacyi we wszystkich jest prawie jednakowy. Tak zwane dywany *obiciowe* (znane w Anglii pod nazwiskiem *Tapestries*), dywany z *Axminster*, z *Tournay*, *Wilton*, dochowały nazwiska rozmaite bez względu, że się nie różnią ani rodzajem tkaniny, ani téż miejscem pochodzenia. Z *Axminster* pochodziły dawniej piękne miękkie dywany, ale już je to miasto przestało wyrabiać. Obiciowe wyrabiane są dotąd igłą; środki mechaniczne w nich używane grają bardzo podrzędną rolę. Wszystkie tak zwane *aksamitne* dywany przyrządzone są jednym sposobem, a uchodzące pod nazwiskiem *brukselskich*, wedle długości oka z włóczki robionego na drucie, a rozcinanego brzytwą, zowią się w Anglii *saskiem*, albo téż *Velvet Pille*. Lecz nie robią

dywanów takich w Brukselli, tak jak znajome pod nazwiskiem *Kidderminster* nie pochodzą bynajmniej z miasta tego imienia.

Nie potrzebuję mówić, że sala Sévres przedstawia w tym rodzaju wszystko, cokolwiek ujrzyć można najwspanialszego. Są tam gobeliny i dywany Beauvais. Między nimi uderza świeżo przywieziony dywan *Wyrznięcie Mameluków*, według obrazu Vermeta, szacowany na 80,000 fr. *Pałac St. Cloud* i *Zamek Pau* według Coudera i Alouxa, *Chrystus w grobie*, i kilka przeslicznych Beauvais. Są także dywany francuzkie znane pod nazwiskiem *Aubusson*, i tych głównym fabrykantem jest p. Sallandrouze pierwszy kommissarz francuzki przy wystawie powszechniej. Imię jego jest rozpowszechnione po całym świecie, ale zdaje mi się że nie był tak szczęśliwym jak zwykle w tém, co na wystawę pospiesznie wygotował. Chcę mówić o wielkim dywanie w sali Sévres, wiążącym naprzeciw gobelinów; w środku wyrobione są herby królewskie, a po bokach figury symboliczne Europy, Azji, Afryki, Ameryki; dalej poezyi, rzeźbiarstwa, muzyki, malarstwa i t. d. Handel i przemysł stoją obok herbów, w bocznych zaś polach astronomia, chemia, architektura i rolnictwo. Nadto wyszyte są imiona i godła głównych miejsc fabrycznych W. Brytanii i Francyi. Dywan ten, jak się pokazuje, miał być jednym z głównych przedmiotów wystawy, ale publiczności się nie podoba, co grzeczni recenzenci tłumaczą, że nie był zrobiony pod okiem p. Sallandrouze, który oddawna siedzi w Londynie zaprzętniony wystawą. Ze zaś ten dywan wyszyty jest kwiatami, zarzucają mu że kwiaty są niestosowne do wielkich posadzkowych dywanów, bo któż je zechce deptać? Mimo to produkt ten odznacza się mocną świeżością kolorów, a jeśli się mniej od innych podoba, to dlatego, że wiszące naprzeciw gobeliny koniecznie zmuszają widza do porównania. Między francuzkimi fabrykantami godni są wspomnienia Bequillart, Roussel, Chocqueel, Flaissier. Belgijskie dywany z Tournay dochowały dawną sławę; austryackie pod względem rysunku są nienaganne, pod względem wyrobu gorsze od belgijskich.

Co do sztuki i kolorytu nie może wyrównać francuzkim fabrykatom, lecz sami Francuzi przyznają, że Anglicy przewyższają ich czasami pod względem taniaści i gruntowności roboty. Jak powiedziałem, przemysł ten w Anglii rozwija się bardzo szybko, i być może, że niezadługo z angielskich fabryk ujrzymy *gobeliny* i *Aubussony*. Tak np. widziałem jeden dywan *axminsterski* wy-

robiony w Glazgowie (przysłała go królowa) z fabryki Doubiggina et Comp. według rysunku Grunera, autora znanego dzieła „*Patate Włoskie*.” Rysunek jest włoski, całość składa się z trzech równoległoboków, to jest wielkiego po środku, a dwóch pomniejszych po bokach. Tło zarzucone figurami geometrycznymi i architektonicznymi; na białym polu w wieńcu kwiatów znajduje się rok 1851. Aby ocenić ten dywan, trzeba rozróżnić rysownika i fabrykanta, a jeśli ten drugi imię swe podwyższył, pierwszy nie pokazał wiele talentu. Panowie Jackson i Graham przedstawili, jeśli się nie mylę, pod nr 390 dywan *axminsterski*, któremu dają nazwisko *londyńskiego*. Poco ta ustawiczna przemiana, nie rozumiem: chyba aby w błąd wprowadzać publiczność, która jeden i ten sam rodzaj dywanów rozmaicie widzi ochrzczonym. Dywan ten ma piękne formy *renaissance*, koloryt piękny i przy dużym świetle wydaje się prześlicznie, co też jest zaletą dywanów przeznaczonych do sal recepcyjnych. PP. Wattson, Bell et Com. nadesłali dywan *axminsterski* wzoru nader gustownego, rysowany doskonale, nałożony kolorytem prześlicznym, i odznaczający się exekucją niepoślednią. Zewnętrzny brzeg składa się z arabesków na białym polu, wewnętrzny ma tło zielone, a w środku wyszyte są kwiaty podobnie na białym tle. Drugi dywan tejże fabryki jest, według etykiety, zrobiony z rysunku James Crabb. Arabeski stanowią pole środkowe, ozdoby pięknie rysowane i różnobarwne brzeg skrajny, przed którymi wiją się dokoła festony koloru cytrynowego na polu zielonym. Dywan ten przy sztucznym świetle możeby się nie wydał, ale przy słońcu jest bardzo piękny. Pomijam wiele innych mniej więcej godnych podziwu dywanów, lecz wypada mi niniejszy ustęp zakończyć opisem nowego patentowanego sposobu fabrykacji dywanów mechanicznej, wynalezionego przez pp. Bright et Comp. U niego para wyrabia na warsztacie tkackim, nie potrzebuje on drutów zwykle używanych i tworzy oka właściwym sobie sposobem. Kiedy tło jest zaszyte okami białymi, drukuje się wzór na dywanie, tak, aby przędza przesiąkła kolorem, ale aby kolory się nie mieszały. Z pomocą téj procedury otrzymał dywan brukselski bardzo łatwo, a oszczędził wiele kosztów materiału. Wspomniałem piérwój, że do przecinania ok przy dywanach saskich i Velvel Pile, używają brzytwy. P. Bright dokonywa tego niezmiernie prostym mechanizmem, bo u niego machina tnie oka w czasie tkania, przez

co i cięcie jest równiejsze i czas oszczędzony. Piérwsze to na tém polu usiłowanie, jak się zdaje, rozpoczyna szereg nowych prób, które może niezadługo utworzą nowy rodzaj dywanów drukowanych.

Wspomniałem o sali Sèvres. Jestto zbiór najpiękniejszej porcelany francuzkiej, użytéj tak dobrze do naczyń stołowych, jak statuy, wazonów, stołów, i prześlicznych obrazów. Francuzi sztukę malowania na porcelanie doprowadzili niezmiernie wysoko; jakoż miarą téj doskonałości są portrety królowej przez Duclura i księcia Alberta przez Berangeta. Portrety te na porcelanie naturalnej wielkości przewyższają wszystko, co dotąd było można widzieć pod względem żywości kolorytu. Fabryka Sèvres (zostająca obecnie pod kierunkiem p. Alexandra Brongniart, znanego przez swe dzieło: *Histoire de l' Art Céramique*, mającego do pomocy kilku zawołanych chemików, a mianowicie p. Malaguti), odznacza się składem chemicznym używanych gliniek, ich właściwością fizyczną i dokładnością doboru materyałów pierwotnych. Jéj wyższość na całym świecie jest niezaprzeczona: to téż otrzymała, jak słyszę, piérwszy medal, podobnie jak gobeliny i jedwabie lyońskie, chociaż w dwudziestu pięciu innych rodzajach przemysłu piérwsze medale przyznane mają fabrykanci angielscy. Wprawdzie wyrok nie jest jeszcze ogłoszony urzędowo, ale wiadomość o nim jest autentyczna.

Chciéć opisać porcelanę i wyroby garncarskie wystawy powszechnéj, byłoby jedno, co ułożyć dokładną historią téj sztuki. Ma ona bowiem to charakterystycznego, że postępuje w miarę wzrostu cywilizacyi. Badając jéj dzieje uznać trzeba, że postęp lub upadek sztuki, wartość używanego materyału, gust przeważny, odpowiadają dokładnie sytuacji moralnej współczesnego wieku; a że obecnie są kraje, których garncarskie wyroby nie są lepsze od dawnych assyryjskich lub egipskich, i są niezmiernie w tym przemyśle posunięte: wypada ztąd, że geografia rodu ludzkiego jest jego historią, i że wszystkie fazy dziejów są každodzienne rozłożone na powierzchni globu. I tak znajdują się na wystawie wyroby gliniane afrykańskie, fajans tuniski, produkta indyjskie i t. p. Fabrykacya porcelany doszła w Chinach stopnia, na którym się tam dzisiaj znajduje, jeszcze wtedy, kiedy porcelana w Europie nie była znaną. Mimo to porcelana jest produktem czysto europejskim: urodziła się w Europie (w Saxonii, dzięki aptekarzowi Böttcherowi. Chińska wystawa pod względem por-

celany jest bardzo nauczająca; można na niej ujrzyć wszystkie materiały używane w wielkiej fabryce Kiaing-Tiht-Chin. Kaolin chiński nie różni się wcale od kaolinu z Cornouailles, o którym w przeszłym liście mówiłem, podobnie jak ich mydlak od skał magnezyi z Lizardu. Są różne ich kompozycye, politory, kolory, których używają do ozdoby porcelany. Nieco dalej widzimy wazy wielkiego pomiaru, nader charakterystyczne, niestychanej lekkości filizanki i spodki z czarnej przezroczystej porcelany. Z Japonii znajduje się pyszna porcelana czerwona, nadzwyczaj delikatna; z Ceylonu próbki małowazne, chyba pod względem statystycznym.

Naczynia polewane hiszpańskie na wino, wskazują jak ogromne rozmiary można nadać odlewanej glinie. Sąto prawdziwe budynki; przewrócone na dół, mogłyby dać wyobrażenie o szalacie hotentockim. W takichto naczyniach nie pokrytych, chowają Hiszpanie wino, a wiadomość o nich przeszła do nas z opowieści żołnierzy Napoleońskich, którzy słodką śmierć nieraz w nich znajdowali. Podobnych olbrzymów glinianych nie widziałem, chyba w oddziale angielskim, gdzie jest kilka ogromnych naczyń chemicznych, wyrobionych z ziemi Lamberth.

Wystawa niemiecka kładzie nas w możności porównania materij pierwotnych wyrobów ściśle garncarskich, zwykłego fajansu i najprzedniejszej porcelany. Pruska porcelana jest córką saskiej; mamy jej piękne próbki z Berlina i jednej czy dwóch fabryk szlązkich. Fabryka misneńska zachowała dawną sławę; wiedeńskie porcelany odznaczają się pięknym malowaniem. Godne uwagi są wyroby belgijskie z Antwerpii i Brukselli; z Holandyi mniej ważne. W Danii mile uderzają oko porcelanowe odlewy arcydzieł Thorwaldsena; na wystawie rossyjskiej są tylko dwie wazy ukazujące dwa stopnie produkcyi rossyjskiej, i kilka próbek porcelany polewanej wielkiej piękności.

Co do Anglii, opisałem już w przeszłym liście materiały surowe tej produkcyi, wystawione przez kompanią St. Austel; pozostaje mi więc wspomnieć o niektórych wyrobach. Jest mnóstwo kopij Thorwaldsena, Danekera, Celliniego i innych. Zwraca uwagę piękny serwis porcelany niepolewanej Minton, chociaż ten rodzaj porcelany do praktycznego użytku mniej zdatny, służyć chyba może na ozdobę kredensu. Malowanie na porcelanie uczyniło znaczne postępy: kolory użyte są bardzo piękne, z wyjątkiem może pomarańczowego, który jakkolwiek piękny

i żywy, jest pospolitym, i pochodzi zapewne z zastosowania chromianu ołowiu. Złocenie porcelany niepolerowanej jest ulepszeniem godnym pochwały.

Od porcelany, tego ciała półszklanego, do szkła i kryształów krok tylko. A jak nie wspomnieć o szkle w pałacu kryształowym, gdzie dach szklany pokrywa przestrzeń 18 akrów. Ta okoliczność, że do pałacu dostarczyła szkła jedna tylko fabryka braci Chance z Birminghamu; którzy mieli czas przedstawić na wystawie inne jeszcze produkty, świadczy o niesłychanej zamożności fabrykantów angielskich.

Dość pobieżnie przejrzyć szkła nagromadzone w pałacu aby się przekonać, co może utworzyć zręczność ludzka z surowych produktów natury. Trochę piasku, choćby też nieczystego, i nieco alkaliu otrzymanej z popiołów roślinnych topione razem, czynią chemiczną kombinacją zadziwiającą przez swą przezroczystość i fizyczne własności odbijania i załamywania światła. Niemniej podziwu godną jest trwałość szkła, z jaką się ono opiera sile niszczącej czasu. Kilka wieków upływa nie robiąc na niem żadnego zniszczenia. Na powierzchni szkła, które nam się z czasów rzymskich przechowało, widać zaledwie małą zmianę, to jest pewną powłokę tęczową. Dawniejszych też pomników nad rzymskie nie mamy; widno Grecy nie zajmowali się szkłem; rzeźbali, odlewali, ale nie fabrykowali wcale. Dopiero imperatorowie rzymscy wprowadzili ten przemysł we Włoszech; i z owéjto epoki podziwiałem w muzeum brytańskim znany pod imieniem „*Portland rase*” zabytek i tyle innych arcydzieł, waz, mozaik, wprawiających w zdumienie dzisiejszych fabrykantów. Najzręczniejsi z nich, tacy, co po lat trzydzieści przepędzili przy swém rzemiośle, stają nieraz po godzinach przed antykiem, zapytując siebie, jak on mógł być zrobiony. Mozaika szklana rzymska nie składa się ze szkiełek różnego koloru spojonych, ale jest różnobarwném szkłem, znanim pod nazwiskiem *Mille fiori*. Od Rzymian wzięła praktykę szklaną Wenecya, i onato wydała kilka arcydzieł *mille fiori*, które przechowują w muzeach. Jak się dalej rozwinęła produkcya szkła, który naród najprzód zdobył tajemnicę Wenecyi, nie tu miejsce opisywać; dość, że współcześnie we Francyi i w Niemczech pojawiły się fabryki szkła, ale nad wszystkie zacełowały Czechy. Używali oni przezycystego kwarcu i potażu, którego im dostarczały odwieczne ich lasy, kiedy we Francyi posługiwano się sodą z Normandyi; a jeśli używano potażów, to z piaskiem mniej czy-

stym od kwarcu. Jak zaś wiele zależy, aby piasek był czysty, to jest wolny od żelaza lub innych mieszanin nadających szkłu pewną prążkowatość, może posłużyć za dowód, że okręty angielskie wracające próżno z Sydney lub Nowej Holandyi zabierają zazwyczaj tameczny czysty piasek. Anglia bardzo późno przystąpiła do tej walki francuzko-czeskiej, lecz ze zwykłym sobie dowcipem i wytrwałością postępując, wkrótce wycelowwała nad rywalkami. Jój doskonałości w tym rodzaju fabrykacyi, dowodzi choćby sama tylko fontanna Oslera. Któż z nas nie czytał w wschodnich powieściach cudnych bajów o fontannach kryształowych? Dziś jeden fabrykant z Birminghamu pokazał, jak można zrealizować fantastyczne obrazy powieści, jak twórcza ręka przemysłu zdolna jest nadawać ciało ideałom poetycznym, i jak alkalia pomieszana z piaskiem może połysnąć krągłemi liniami, nieustępującemi w niczém promieniom wody strzelającym w górę i spadającym do przezroczystej kotliny. Nie mniej wspaniałe, choć mniej sztuczne, są: pajak Perrego z Londynu na 144 świec, wyroby Harrisa, Richardsona, Bacchusa, i t. p. W ich wystawie widziałem także kryształy kolorowe, lecz pod tym względem przyznają sami, że Czesi są od nich wyżej. Dwa ogromne stoły hr. Harracha z Czech (Neue Welt) zapelnione są wszystkiém, co serce miłośnika kryształów różnobarwnych rozradować może, a kilka ogromnych kościelnej wielkości lichtarzy, dowodzi wielkiego rozwoju fabryki. We Francyi, która nauczyła Anglików fabrykacyi kryształu, jest kilka znakomitych zakładów; lecz najcelniejszy, jeden z pierwszych w świecie, zakład pp. Godarda i Toussaint nic a nic na wystawę nie przysłał.

Jak w szkłe tak i w zwierciadłach Wenecyanie posiadali czas niemający wyłączny przywilój; dopiero Colbert przywabił kilku weneckich fabrykantów do Francyi. Ówczesny przemysł był jeszcze tak dalece rutyną, że szklarze ci nie ręczyli bynajmniej za pomyslność zakładu, jeśli nie znajdą miejsca odpowiadającego zupełnie zakładowi Murano. Wyszukali go nareszcie pod Cherbourgiem, i tam robili wydymane zwierciadła. Lecz ich metoda nie pozwoliła dostarczać wielkich luster; dopiero kiedy salony Ludwika XIV zwierciadeł większego rozmiaru potrzebowały, i kiedy Abraham Thévart wpadł na nowy pomysł, ożywiła się ta fabrykacya i zaraz z wnukiem królewskim przeszła do Hiszpanii. Od tego czasu istnieje we Francyi zakład St. Gobain, obok niego powstał drugi w St. Quirin. Dwie kompanie walczyły z sobą długo, lecz prze-

konaly się w końcu, że lepiej się połączyć. Jakoż złączone razem z trudnością pozwalają się utrzymać obcemu zakładowi, bo jeśli który odpięra ich konkurencją, to go zakupują. Kilka zakładów niechających przystać na ich propozycje upadło, wszelako kilka potrafiło się utrzymać. Na wystawie znajdują się zwierciadła jedynie z Montlucon; są one średniej wielkości. Wielkie stowarzyszenie St. Gobain i St. Quirin nie nadesłało nic. Z belgijskiej fabryki St. Marie d' Oignies nic także nie widziałem, tak, że Anglia nie ma naprawdę w pałacu współzawodnika, choć wystąpiła kompletnie uzbrojona, przedstawivszy największe w świecie zwierciadła po 18 stóp wysokie, a 10 szerokie. Lecz choćby zwierciadeł angielskich na wystawie nie było, to dosyć się przejść po Regent-street i obejrzyć niektóre sklepy, a powziąć można dostateczne wyobrażenie o wielkości i doskonałości zwierciadeł angielskich.

Zanim przystąpię do krótkiego przeglądu wystawy jednej z najważniejszych i najlepiej w pałacu reprezentowanych, to jest wystawy sprzętów żelaznych, mosiężnych i t. p., i nożownictwa, trzeba mi zdać sprawę z ulepszeń wprowadzonych przez górników i fabrykantów angielskich, a wykazanych na wystawie. Wiadomo że narzędzia, których górnik używa zmieniają się wedle natury kopalni. Jeżeli skała jest miękka, wystarcza mu zwykła szufla i motyka; jeśli jest twardą lub pokładową, lub jeśli zawiera liczne szczeliny, trzeba wbijać że tak powiem kliny i wyważać bryły. Lecz jeśli te środki nie wystarczą, uciekają się zwykle do prochu strzeleckiego, zapalonego w znacznej głębokości w skale. Ta operacja dokonywa się za pomocą świdrów, które się zlewa od czasu do czasu wodą, bądź dla ułatwienia roboty, bądź też dla oziębienia narzędzia. Skoro dziura jest dość głęboka, oczyszcza się ją starannie i w głębi wkłada się znaczną ilość prochu, którą dla nadania jój większej siły, zapycha się jak nabój w strzelbie kłakami. We środku za pomocą iglicy miedzianej zachowuje się mały otwór, w który wkłada się trzcinka napelniona przy końcu drobnym proszkiem, a służąca za drogę ogniowi.

Cały ten przyrząd niezgrabny i niebezpieczny ustąpił świeżo miejsca patentowanej racy Bickforda. Ta raca nie tylko działa sama jako knot zwolna palący się, ale operacja z jój pomocą jest nierównie łatwiejsza i bezpieczniejsza. Raca zamknięta w rurze konopnej, do której przystęp wody odjęty jest przez powłokę smolną lub żywiczną, składa się z mieszaniny, która raz zajęta

ogniem pali się z chyżością wymierzoną, dopóki ogień nie dojdzie do naboju sprawiającego eksplozyą. Taką racę widziałem na wystawie angielskiej. P. Rogers z Abercorn przedstawia również sposób ułatwiający wiercenie, gdy dotychczas używano narzędzi, których rękojeść była żelazna, a samo tylko ostrze stalowe. Narzędzia Rogersa są całkiem stalowe, a jak mnie zapewniali znawcy, przynoszą one znaczną oszczędność siły. Tenże Rogers obmyślił rury ułatwiające pompowanie wody z kopalni w czasie wiercenia dziury. Używano dawniej rur Hogara długich na cztery stopy, skórzanych, wzmocnionych pierścieniami metalowemi; ale je z czasem porzucono, bo się często rozdziérały, a wprowadzono natomiast narzędzie złożone z dwóch rur zsuwających się jako w perspektywie. Lecz i to narzędzie nietylko podlega łatwemu zepsuciu, ale działa zwolna i niedokładnie. W miejsce jednego i drugiego p. Rogers wprowadził rury z guttaperki, które daleko trudniej się uszkadzają i łatwiejsze są do naprawy. Zastosowano także baterią galwaniczną zamiast zwykłych sposobów zapalania naboju, przez co można czynić eksplozyą w kilku na raz miejscach bez narażenia górnik.

W innym oddziale wystawy wyjaśnione są sposoby przerabiania żelaza już wytopionego. Jest kilka exemplarzy kowalskich młotów, lecz obecnie coraz więcej upowszechnia się młot parowy. Taki znajduje się wynalazku p. Nasmytha. Młoty uderzają na rozpalone żelazo w ciągu minuty 70 do 140 razy, a siła uderzenia zawisła od wysokości, z jakiej młot spada. I tak: jeśli przy podniesieniu dziesięcio-calowém młot posiada siłę 1,000 f. to przy dwudziesto-calowém zyskuje siłę 4,000 ff. Taki młot służy także za próbę dobroci metalu, bo źle przerobione żelazo tłucze w kawalki. Stowarzyszenie Butterley w południowej stronie oddziału mineralnego przedstawiło próbki szyn kolejnych; pp. Bird i Comp. wszelkiego rodzaju pierwotne wyroby żelaza, podobnie stowarzyszenie Ebbw-Vale, p. Morries Stirling i t. d. Między temi znajdują się szyny nadzwyczajnej długości, lecz jakaby ztąd płynęła korzyść, nie wiem; to tylko pewna, że trudność powiększona wyrobu sprawić może, iż szyny będą nieprzydatne. Z żelaza grubego i dziurkowatego nie można otrzymać dobrych szyn, bo się łatwo rozszczepią: trzeba aby było włókniste i ciągle. Dla przekonania o téj jego zalecie i dla wykazania budowy włoskowatej, wystawiono przełamane szyny.

Na wielką uwagę zasługują rezultaty wynikające z mieszaniny żelaza i innych metalów, przedsięwziętej przez pana Morriesa Stirlinga i kombinacje żelaza kutego i lanego, którego trzy próby wystawił. Płynność żelaza przypisuje on arsenikowi, chociaż i fosfor zapewne w tém gra rolę; przymieszewa on różne minerały utrzymując, że zyskuje przez to daleko lepszą stal, i do żelaza dodaje cynk lub cynę. Na stole zajęтым przez pp. Birda et Comp. są obok wielu wyrobów żelaznych i blach sztaby może największe, jakie dotąd wydano. Nie potrzebuję mówić jakie trudności są w wyrobie blach, a jedną z największych jest, aby była dobrze wywalcowaną. Żelazo musi być białe i włókniste; najprzód przerabia się je na płaskie sztaby, którym kilkakrotne wywalcowanie nadaje potrzebną trwałość. Nie bez przyjemności przekonywałem się naocznie i słyszałem od lepszych odemnie znawców, że blachy z fabryk polskich są więcej warte od angielskich. Wszystkie blachy znajdujące się w oddziale rosyjskim mają jasny połyskliwy kolor, co pochodzi zapewne z fosforu i krzemionki znajdującój się w kruszcu, a jak Anglicy tłumaczą z pomieszania z kwasem węglowym, co się dzieje w skutek użycia paliwa drewnianego. Cokolwiekby, jest rzeczą niezaprzeczoną, że blachy angielskie choćby najlepsze, są chropowate, a w oddziale rosyjskim są doskonale włókniste i glansowne. Jeżeli siarka znajduje się w metalu lub w paliwie, wtedy żelazo nabiera koloru czarnego i blacha staje się jakby pochmurna.

Przechodząc obecnie po pałacu, z wielką radością zastanowiłbym się dłużej nad wyrobami metalowemi, jednym z najważniejszych niezaprzeczenie rodzajów przemysłu, i porównywałbym produkta przemysłowe krajów, gdzie nauka nie przyczyniła się jeszcze do wzrostu fabrykacyi, z krajami, gdzie stała się częścią jój nieodzowną, gdyby mi w ocenieniu i opisanu nie stawał na przeszkodzie niedostatek specjalnych wiadomości. Mimo to mało oddziałów tak pilnie i usilnie zwiedzałem, jak wystawę tuniską i Indyj Wschodnich. Namiot tuniski, mający tyle barbarzyńskiej malowniczości, przenosi mnie w odległe czasy, kiedy koczujące ludy poczęły smakować w korzyściach trwałego mieszkania. W wystawie zaś indyjskiej znajduję modele dziwnej naiwności obok przepysznych ozdób do użytku osobistego służących, tak, że jedno i drugie produkta uważam za punkt wyjścia w sumiennym rozbiorze. Próby rzeźby na drzewie i kamieniu dowodzą myśli jeszcze niedojrzałej i wysilenia ducha walczącego z naturą. Jestto

robota niezgrabna i powolna, bo wszystkie prace co wymagają większej żywości myśli, działania energiczniejszego, czerpią natychmiast w potrzebach człowieka. Na dowód mogą posłużyć wyroby metalowe tuniskie i narzędzia tubylców indyjskich, świadczące o takiej samej grubości wykonania. W działach owych krajów mało jeszcze słońcem myśli ogrzanych, przemysł ludzki nie naturę do siebie, ale sam się wedle natury stosował, nie silił się na zmienienie formy naturalnych kombinacji, ani na wydanie nowych materij. Już kawał żelaza stopionego i osadzonego na dzirycie lub strzale, był postępem w porównaniu zaostrzonych oszczepów kamiennych. Posuwając się dalej przez Turcyą, Grecyą, Hiszpanią i Portugalią do Francyi i Austrii, spostrzega się mnóstwo przykładów owej myśli stwierdzających. Produkta przemysłowe wykazują coraz to większe zawładnienie materją pierwotną, siłami naturalnemi, i tém dowcipniej są wyrabiane, im naród w cywilizacyi stoi wyżej. Każdy więc rodzaj przemysłu do téj samej badawczego widza przyprowadza konkluzyi.

Od owych początków przemysłu aż do dzisiejszego rozwoju, jakżeż ogromna wiedzie droga! Narody europejskie zmuszone wszystkie do walczenia z naturą, wszystkie niemal wyrób żelaza doprowadziły dość wysoko, chociaż w dalszych jego przerobach niewszędzie jednaka panuje doskonałość, a tém mniej ozdoba. Tak np. w Anglii żelazo stało się ciałem najpowszechniejszém, najtańszém, najłatwiejszém do użycia. Posługują się niém wszędzie, gdziekolwiek może zastąpić drzewo lub kamień. Niedawno zaproponowano w Londynie, aby ulice karbowanemi blachami żelaza wybrukować, gdy zrobione próby z gummy wypadły zadrogo, gdy asfalt nietyle jest przydatny na drogi ile na chodniki, a bruk kamienny lub ceglany sprawia turkot nieznośny przy zwykłym ruchu londyńskim. Na wystawie angielskiej już mało innych spotyka się piecyków i kominków jak żelazne; są one przesłicznie wyrabiane, a politura nie odjęła im naturalnego koloru żelaza, co było dawniej wadą fabrykacyj angielskich. Oddziały przeznaczone fabrykantom z Birminghamu i Sheffieldu, owych dwóch wielkich ognisk przemysłu metalowego, przedstawiają najróżnorodniejsze próbki. Przerabiają one niemal wszystkie metale: miedź, złoto, cynę angielską, srebro, żelazo, a to w tysiącnych formach przeznaczonych do użytku i ozdoby; bo téż jeszcze od czasu najścia Saxonów słynął Birmingham wyrobem seyzoryków,

nożyczek, sierpów, pałaszy i t. p. Sheffield trudni się głównie stalą i jego brzytwy i noże wszelkiego rodzaju są zanadto sławne, abym o nich potrzebował mówić. Lecz i wystawa zagraniczna zasługuje pod tym względem na uwagę. Francya bez wątpienia ustępuje Anglii, choć w niej są tacy fabrykanci, jak pp. Jappy, Goldenberg, Coulaux i t. p., którzyby bez wątpienia bardzo wiele za granicę przesyłali, gdyby drogość materiału pierwotnego, dotkliwie dla kraju cło od żelaza, nie tamowały ich produkcji. Większy jednakże jest wyrób cynku. Kopalnie stowarzyszenia zwanego *Vieille-Montagne* dostarczają materiału, którego Francuzi korzystnie umieją używać. Czyto brak żelaza, czyto inna jakowa przyczyna, wyrabiają oni z cynku mnóstwo sprzętów i narzędzi podręcznych, a nawet i dzieła sztuki odlewane z cynku są niepoślednie. W oddziale przed wejściem do sali Sèvres znalazłem kilka pięknych statuy cynkowych, między innymi lwa w naturalnej wielkości; jedna zaś z najpiękniejszych, to jest statua królowej Wiktoryi z cynku przez to samo stowarzyszenie nadesłana, aczkolwiek nie zaleca się artystycznością, dowodzi w jak wielkich bryłach może być odlewany cynk. Wszakże i olbrzymia amazonka Kissa, znajdująca się w pałacu (którą muzeum Washingtona za 3500 £. kupiło), na wzór berlińskiej odlana, jest z cynku. Austria mnóstwo rozmaitych wyrobów nadesłała z metalu; to też niemal wszystkie części monarchii go dostarczają. Czechy, Morawia, Styrya, Tyrol, Karniola, Karyntya, przedstawiły produkta naturalne i przerobione, tylko z Galicyi nie ma nic. Zpomiedzy tych, nie mówiąc już o kosach (których 142 fabryk dostarczają 7 milionów rocznie) uderza stal medyolańska i rury ołowiane. Ukazywano mi np. rurę ołowianą zwiniętą, 900 stóp długą z jedną sztuki i wszędzie jednakowej grubości. Są też kompletne wystawy pojedynczych fabrykantów; tak np. zakład Kitschella z Wiednia nadesłał piękne wazony z kwiatami bronzowemi, kandelabry z lanego żelaza, fotele i stołki z dętego, stół cynkowy, a kocioł niegładzony po odlewie dowodzi nadzwyczajnej czystości odlewu. Uderzył mnie także zbiór warsztatów tnących i innych, z fabryki Wertheima z Wiednia. Należy on do większych fabrykantów w Europie i posiada cztery wielkie zakłady. Główną jego zasługą jest, iż dostawia wszelkich jakichbądź gotowych warsztatów stolarzom, ebenistom, introligatorom, powoźnikom, garbarzom, rymarzom, siodlarzom i t. d. Zbiór który mam przed oczyma, składa się z 1400 exemplarzy najróżniejszego przeznaczenia, do

których nic innego nie wchodzi nad drzewo, żelazo i stal. Drewniane mianowicie warsztaty uderzyły Anglików, i zaraz w pierwszych tygodniach wystawy widziałem jak je rysowali, bo nie trzeba zapominać, że te przyrządy są przynajmniej o sto procent tańsze od angielskich. Wertheim dostarcza przewybornych hebli, do których używa grabiny; pokazało się po dokładnym zważeniu, że przy jednakięj objętości wiedeńskie heble ważą 19 części, a angielskie 13. Dwaj angielscy fabrykanci umówili się o zakup po skończonej wystawie wszystkich warsztatów Wertheima. Jednym z najbardziej uderzających jest hebel nieruchomy bednarski do wielkich naczyń, który się najprzód umocowuje, a następnie hebluje deski. Co się tyczy metalu użytego do tych narzędzi, ten się z angielskim porównać nie da, i zaprawdę żałować przychodzi, iż fabrykanci żelaza w Styrii, którzy pod względem doskonałości wyrobu mogą rywalizować z angielskimi, zaniedbują formę i politurę. W końcu muszę wspomnieć o eleganckiej szkatułce Wertheima, będącej mikrokosmosem wszystkich jego warsztatów. Obok Wertheima, Weiss i syn z Wiednia rozłożyli podobny, choć mniejszy zbiór warsztatów, odznaczających się niejedną zaletą.

Związek celny przedstawił liczny i interesujący szereg wyrobów metalowych, lecz w ogólności powiedzieć o nich muszę, że są wprawdzie tanie, dla Anglika bajecznej taniości, ale też niezmiernie lichy. Fabryki żelaza i metali w Stanach Zjednoczonych są jeszcze w dzieciństwie.

Pominąwszy brzozy i złotnicze wyroby, w których niezaprzeczenie Francya celuje, i które nowy stawiają mi dowód, że przemysł francuzki skierowany ku przepychowi i ozdobie dostępnym jest szczególnie dla klasy bogatęj, angielski zaś ku wygodzie powszechnęj i przyzwoitemu zaopatrzeniu potrzeb człowieka, tak, że gdybym nie miał pewnego wstrętu do słów zużytych, piérwszy nazwałbym arystokratycznym, a drugi demokratycznym. Przystępuję nakoniec do oddziału przedzy, o których byłoby tomy do pisania. Zwracając głównie uwagę na część najprzedniejszą tego przemysłu, to jest na przedce jedwabne, zaczynam, idąc za zdaniem całego świata, od jedwabiów lyońskich. Wystąpiło tylko siedmiu fabrykantów, wprawdzie mistrzów sztuki, lecz wszyscy związali się razem, i ustawili choć nieco późno utwory swe w najpiękniejszym świetle. Już przy wejściu przez bramę wschodnią, uderza w oczy blask tego jedwabniczego ogrodu,

w którym wszystkie kwiaty najtańsze i najdroższe obok siebie gustownie są rozwieszane. Poza *aksamitami strzyżonemi*, idą: *kitajki*, *atlasy*, *grosdenaple*; dalej, *krepy*, *plusze*, *fulary*, *złotogłowie*, *materye kościelne i pałacowe*. Każdy rodzaj obejmuje wszystkie odmiany, tak, iż dość jednego rzutu oka, aby objąć najzupełniej tę ogromną rodzinę przedziałną, która jest dumą fabryki. Otwarcie wystawy zastało gablotki jeszcze puste, lecz w kilka tygodni po niem, odśloniono je naraz i ukazano najwspanialsze wyroby, złote sukna z jedwabnemi bukietami, których metr kosztuje 400 fr. Wtedy krzyk podniósł się ogólny, i Lyon zakasował nietylko wszystkie fabryki, ale i samego siebie! Panowie Lemire i syn podnieśli starą chwałę swego zakładu, wystawiając ozdoby kościelne, a mianowicie ornaty tkane i wyszywane kosztownemi kamieniami.

Materye przerabiane zajmują, jak łatwo się domyśleć, pierwsze miejsce przez cechę sobie właściwą, bogactwo kolorów i majestatyczną piękność ozdób. Z nichto poszyte owe suknie dworskie, i zbytkowne książęce toalety, dekoracye najpiękniejszych salonów! Jeden dom wystawił same krepy, tak zwane *crépes lisses*, *areophanes*, haftowane białe na białem lub na tle kolorowém. Niepodobna opisać ich gustowności, lekkości, nieporównanej świeżości, a jeśli wszystkie szafy lyońskie przez cały dzień trzymane są w obłężeniu przez pleć piękną, to przy tych ostatnich pierwsze elegantki rade zabawiają w nieustannój extazie, notujące w pugilaresach imiona fabrykantów. Woń perfumowa otacza te obłoki różnobarwne, te niewiasty, których oczy, owe promienie wewnętrznej piękności, ścigają za tą tęczą czarownych kolorów. „O niewiasty piękne i szczęśliwe”, powiem wam razem z Blanquim, „kiedy kształtną kibić obrzucacie powietrznemi szarfami, pomnijcie na biedne dziewczyny, z rąk których te cuda wyszły. One są téj samój płci co wy, też same mają serca, i też same formy, a oddawszy w wasze ręce najwykwintniejsze przepychy, nie mają często czém zaspokoić najpięrszych potrzeb życia“.

Poza temi mgłami jedwabiu, wystawili Lyończycy wielką masę fulardów, krawatek, i trzy szafy zapełnili pluszem do męzkich kapeluszy. Ichto doskonałości winniśmy, że nasze kapelusze, mające formę dość śmieszłą, nie są tak kosztowne, bo się dadzą odnawiać; bez tego wystawione na zgniecenie, wytarcie i niepogodę, byłyby najdroższém mężkiém odzieniem. Uważałem, że Anglicy, naród najpraktyczniejszy w świecie, obracho-

wali, że kapelusz trzymany w ręku, zajmuje połowę miejsca człowieka, dlatego wchodząc do salonu, kładą go nasamprzód na stole, bo i to spostrzegli, że człowiek niekłopotony kapeluszem, niezmuszony do jego obrony, jest nieporównanie wolniejszy, ruchy ma swobodniejsze, i w towarzystwie jest przyjemniejszy. Lecz wracam do wystawy. Jeden z fabrykantów lyońskich przedstawił szale krepowe chińskie, i podobno pobit Chińczyków, bo ich szale są ciężkie, przepelnione haftem, choćby nawet tkanka była lekka. Atlasy pana Heckela są ideałem tego rodzaju fabrykacyi, a Girard Neveu z Londynu, najbardziej w wyrobie aksami-tów, zbliżył się do Genuńczyków, których odwieczna sława, w tak zwaném *velours uni* dotąd nic na swym blasku w Europie nie straciła. Jest także kilka obrazów z jedwabiu: *Portret królowej Wiktoryi, ks. Alberta i ks. następcy* z fabryki Carquillate. Z téjże saméj fabryki i téjże saméj roboty jest *portret papieża, testament Ludwika XVIgo, odwiedziny ks. Aumale w zakładzie pana Carquillat*, a nakoniec obraz *à la memoire de Jacquard*. Obraz wielkiego mechanika, który warsztaty niemal myśląc nauczył, przedstawia, jak zadumany siedzi przed swém arcydziełem. Uwielbiają go jako rzecz ze wszech miar doskonałą; co do mnie, wyznać muszę, że aczkolwiek robotę tę uznaję jako mistrzowską, sprawia ona na mnie takie wrażenie, jak kwiaty batystowe, których wyrób Constantin do najwyższego szczybla doskonałości doprowadził, lub pejzaże z włosów, o których dla ich osobliwości powiem słów kilka w swoim miejscu.

W ogólności wystawa lyońska jest szczytem gustu, przed którym wszystko niknie. Angielskie wyroby może jej nie ustępują co do gatunku, ale są dużo niższe w piękności rysunku i w kolorycie. Fakt ten jest przez wszystkich uznany; dzienniki angielskie bezstronnie Francuji oddają pochwały a niedawno *Times* powiedział, że pod względem inwencji i rysunku, Anglia jest znacznie niższa, co przypisuje zaniedbaniu nauki rysunków w szkołach angielskich. Przeciwnie Francuzi, oni ze wszystkich narodów mają największą łatwość improwizowania deseni. Przed kilkoma dniami widziałem w oddziale mebli francuzkich, jak jeden zwykły robotnik, wysłany z owych 50,000 fr., które Zgromadzenie przeznaczyło dla wyrobników w celu obznajomienia najzdolniejszych z wystawą, w ciągu dwóch minut zdjął rysunek z misternego kredensu, z wprawą i trafnością akademicznego malarza, tak, że wedle rzuconego szkicu, można było zbudować mebel.

W środku nawy angielskiej zbudował p. Keith et Comp. wysoki namiot, ubrany w same złotogłowa i materye obiciowe. Według zdania znawców, p. Keith najbardziej się zbliża do lyońskich fabrykacyj. Reszta angielskich producentów rozstawiła się w południowej galerii skrzydła zachodniego. PP. Marshall i Snelgrove dostarczyli przewybornęj mory; pp. Carter, Vavasor i Rix odznaczyli się pięknymi *popelinami* (rodzaj materyi z jedwabiu i welny). W popelinach Anglicy wycelowali przed Francuzami, bo ich produkta są lżejsze i elastyczniejsze. Broszowane aksamity Harrisona Campbell i Lloyda, aczkolwiek piękne, równać się z francuzkami nie mogą. Obraz królewsko-angielskiej pary robiony przez Charla i Crossa jedwabiem, przy wyrobach Carquillata niekorzystnie się wydaje. Henryk Soper nadesłał gładkie i kwieciste materye na parasoliki; nie należą one do najpiérwszych, bo téż i parasoliki angielskie nie mogą się porównać z paryzkimi, a nawet z wiedeńskimi. PP. Ballance i syn *krzyżowemi czarnemi materyami i adamaszkami* dowiódł, że przemysł jedwabniczy Spitalfieldu bardzo się rozwinął, tylko że ceny tych produktów są bajecznie wysokie. Robinson et Comp. z Cheapside wystawili tak czarne jak kolorowe aksamity, które zabierają trzecie miejsce na wystawie. Washingtona et Comp. jedwabne plusze są wyborne, bo ten produkt w Anglii właściwym sobie połyskiem celuje. Omijam niemalą ilość szaf, nie wspominając o mnóstwie fabrykantów i dochodzę do jedwabiów z Manchesteru. One pokazują, że ta wielka stolica fabrykacyi bawelnianej, zna się na przerabianiu produktów jedwabnika, bo wystawa manchesterska nawet pod względem jedwabiów jest najpiérwsza w angielskiej. Zastępują szczególniej na uwagę przepyszne plusze jedwabne i tak zwane jedwabne *Chiné* (*chine silks*). Mimo to wystawie angielskich jedwabiów nie dałbym może drugiego miejsca; rysunek angielskich wstążek jest bardzo słaby, koloryt żaden, a choć są i tutaj zdarzające się wyjątki, to zdaniem znawców wstążki angielskie gorsze są od szwajcarskich i francuzkich.

Zanim wszedłem do oddziału szwajcarskiego, chciałem obejrzeć wschodnie jedwabie. Cóż wam powiem o szalach indyjskich? wszystko na cokolwiek zdobyć się mogła podrównikowa fantazyja mieszkańców, idąca w parze z fantazyją natury, wysilając się w najprzepyszniejsze twory królestwa zwierzęcego i roślinnego; wszystko co ta fantazyja mogła zrobić z najbogatszymi materyami, zebrało się na owych tkaninach ze złota, srebra i jedwabiu, na owych aksamitach rażącego koloru ze złotymi pasami. Po razy kilka oglądałem owe

szale indyjskie i namiot bombajski; ale jak pierwszą razą zdumienie niemal mowę mi odjęło, tak i tą przepych materji uważam za wyższy nad wszelki opis. Przeszedłszy naprzeciwko do Chin, aby się przyjrzyć owęj sprzeczności jaką przedstawia ów od wieków nierozwijający się przemysł z ruchliwością europejską, przekonałem się, że mimo piękności wystawy francuzkiej, angielskiej i indyjskiej, jedwabie chińskie, a głównie adamaszkowe wyroby, czynią wrażenie na widzu właściwą sobie miękkością, sprężystością i połyskiem. Jestże to zaleta materiału surowego czy fabrykacji? Z drugiej strony pod księżycowym namiotem Turcyi, Egiptu, a obok Persyi, podziwiałem szczególnie arabeski w tysiącznych skrętach wyszyte na szalach. Mówić zapewne nie potrzebuję, iż wobec zachodniej manufaktury, wystawa wszelkiego rodzaju przedży wspomnianych trzech krajów jest na stopie dzieciństwa; ale przez wzgląd na brak narzędzi, godną jest uwagi moc i barwa wyrobów bawełnianych i wełnianych.

Zazwyczaj grubość materji odbija rażąco od zbytkowych ozdób i kosztownych wyszywań. Tak np. ich płótna są tak ordynarne, żeby je zaledwo chłopci u nas nosili, a przecież ozdobione są wyszyciem złotem, które w małej sztuczce waży kilka dukatów. Nic tutaj dziwnego: proste czerwone fezy ze złotemi kutasami, ozdoby zaś na czaprakach nie mają końca. Na każdej sztuce płótna wyszyte są na rogu nie znaki fabryki, ale ustępy z koranu, pracowicie i złotemi literami, co i czasu i nakładu wymagało. U Turków najwyżej jest posunięta fabrykacja jedwabiów, mianowicie adamaszku, ale i to z Zachodem porównać się nie da.

Przemysł jedwabniczy w Szwajcaryi, kwitnący głównie w St. Gallen, Zurychu i Bazylei, w ostatnich czasach olbrzymie uczynił postępy. Pod względem taniości mogą Szwajcarzy ze wszystkiemi narodami konkurować. Przeważne są tu gładkie materje, chociaż i innych nie brakuje; a nawet zwracano mi uwagę na jedwabne *chîné*. Wszakże najbardziej zajmującym jest zbiór wstążek, które (długie na 12 sążni), pozawieszane tuż obok siebie, najpyszniejszą ścianę tworzą. Nikt na wystawie nie pomija tego wspaniałego obrazu, gdzie szeregiem rozstawione są płody bazylejskiego przemysłu, które Szwajcaryi wielki odbyt tworzą, zapewniwszy jój zwycięztwo nad wszystkiemi narodami.

Nie nie wspomniałem dotąd o koronkach. Są one wszędzie piękne we Francyi, mniej piękne w Anglii, znajdują się w Niemczech i Hiszpanii, ale wszystkie znikają przy brukselskich. Te ostatnie przechodzą wszelką imaginacyą; zdają się być wyszłe z rąk bezciele-

snych istot, tak, że gdyby można klasyfikować różne rodzaje przemysłu pod względem doskonałości i piękności, to koronki brukselskie zgasiłyby blask całej wystawy belgijskiej. A jest piękna, jak widzieliśmy. Zresztą że Bruksella celuje w koronkach, to nikogo nie zdziwiło; lecz pociechą ujrzałem, iż nietylko nie zaniedbała żadnego oddziału tego przemysłu, ale owszem w nowym zakwitła. Chcę mówić o wyrobie koronek czarnych, znanych dotąd pod imieniem *dentelles de Chantilly*; w ich wyrobie odrazu podniosła się do wysokości Chantilly, i może z nim bezpiecznie rywalizować. Wystawa koronek brukselskich graniczy z ubiorami kapłańskimi z zakładu p. Van-Halle. Pod ornatem modelu (zwanego Fenelonem), wystaje alba z koronki brukselskiej i nietylko nie traci na sąsiedztwie ze złotem i kamieniami, któremi błyszczy święta osoba, ale owszem podwaja swoje wspaniałość, bo nic nie może zgasić piękności téj tkanki. Co do ubiorów p. Van-Halle, pod względem ozdób trudno już coś piękniejszego wymyślić, ale przedza ustępuje zagranicznej. Złe się bowiem drapuje, jest sztywna, chociaż trudno nie przyznać, że kostiumy są wspaniałe, i że św. Tomasz z Beckel, wielki Bossuet i Fenelon są bardzo pięknie ubrani.

Nie będę się już rozwodził nad wystawą jedwabniczą Austrii, chociaż czuję, że jój krzywdę tém milczeniem wyrządzam, tak dalece godne są uwagi jój szale i inne materye. Zarzuciłbym tylko pewną ostrość wyrobu i niedobór kolorów. Ze związku celnego mało co znajduje się godnego uwagi.

Czém jest fabrykacya bawełniana, mianowicie u Anglików, których potęga głównie na nią się opiera, w krótkich słowach opiszę. Wspomina p. Chevalier, że Indyanie dzięki delikatności swych palców, potrafili przedzę bawełnianą doprowadzić do cienkości no. 200. Z przedzy no. 250 robią się w Europie muśliny. Z początku nie znając dobrze przedmiotu, z wielkiem zadziwieniem przypatrywałem się przedzy nr. 450, w której już gołym okiem nici nie widziałem, ale zdawało mi się, że to jest jedna skupiona massa. Mówiono później, że w Manchesterze używają przedzy nr. 600, tymczasem dwaj Francuzi z Lille tegoż numeru używali. Uważano to już jako wielki tryumf dzisiejszej sztuki, kiedy się pokazało, że przedza p. Houldsworth et Comp. jest z nr. 800, a jakież było moje zadziwienie kiedy z pomocą mikroskopu dojrzałem w wyrobach p. Bazley z Manchesteru przedzą no 2,070. Jestto, jak powiada Chevalier, taka cienkość, że dla utworzenia jednego kilogramu potrzeba 3,600,000 metrów téj nici. Czytałem zaś w oficjalnym przemysłowym dzienniku, że

p. Houldsworth doszedł do bajecznej cienkości no. 2,150. Kto sobie wyobrazi nieć tak, godzi się powiedzieć, duchową! To o doskonałości wyrobu; o jego zaś ogromie czytelnik poweźmie wyobrażenie, jeżeli powiem, że Anglicy konsumują rocznie 325 milionów kilometrów surowej bawełny. Ktoby chciał długość ich fabrykatów wymierzyć, temuby brakło cyfry i miary, bo ją oceniają największym wymiarem znanym na kuli ziemskiej, to jest wielkością saméjże ziemi. I tak, jeden fabrykant w Manchester p. Schwabe, wyrabia rocznie materji bawełnianej 17,500,000 metrów, a kula ziemska nie ma więcej nad 40 milionów.

Zgadza ją się powszechnie, że w wyrobie sukna Anglicy podobnie odbiegli inne narody, a mianowicie téż fabryki Leeds i Huddersfield, lecz ceny ich są wyższe od lądowych. Wystawa ta jest bogata; francuzka uboższa co do liczby, ale nie co do wartości, bo dwie sławne fabryki Sédanu i Elboeuf zarówno z sobą, jak i z Anglią toczą walkę. Sztuki na pantalonny pp. Berteche, Cherson et Comp. z Sédanu, mają być najpiérwsze na wystawie. Paweł Bacos podobnie z Sédanu w suknach damskich nad fabrykantami całego świata celuje. PP. Chennevière z Elboeuf wyrobami z wełny angorskiej, wdowa Barnuis Daustrenne i Comp. z Elboeuf, miękkością wyrobu i czystością rysunku w materjach na pantalonny, głośnie mają imię. Z belgijskich p. Simonis piérwsze zajmuje miejsce; austryackie sukna, mianowicie morawskie, zyskały sławę sukien dobrych i w całym świecie najtańszych.

Dla uzupełnienia tego pobieżnego przeglądu materji ubiorowych, wypada mi wspomnieć o futrach, a mianowicie północno-amerykańskich, których wystawa jest kompletna. Urządziła ją zaś kompania Hundson Baj i pp. Nicholaj i syn. Egzemplarze téj kuśnierskiej wystawy są przesliczne i bardzo wysoko szacowane. Lisy są wszelkiego rodzaju, ale czarne i srebrzyste uchodzą za najdroższe, bo jedną skórkę płacą tutaj po dziesięć do czterdziestu gwinei; na targach rossyjskich i chińskich równie popłacają. Lisów czerwonych używają w Chinach, Grecyi, Persyi, a potrochu i w Rossyi i w Polsce na podbicie płaszczy i sukien. W Anglii i na Zachodzie używają białych do damskich odzieży, a taki strój uchodził dawniej za zbyt kowy. Utrzymywali niektórzy naturalisci, iż lisy w podbiegunowych okolicach zmieniają kolor; czy to jest powszechną regułą, nie wiem, ale to pewna, że lisy białe w zimie są całkiem białe, w lecie zaś szare. Widziałem przesliczne egzemplarze wydry (Lutra Canadensis); spro-

wadzają je z Hundron-baj z północnej Ameryki do Europy, a mianowicie do Rosyji, Polski i Chin. Obok znajduję dostatni dobór bobrów (*Castor Americanus*). Dawniej było jeden z najszacowniejszych artykułów, mianowicie dopóki używano go na kapelusze; lecz później stracił wiele na wziętości, chociaż probowano jego pięknego i miękkiego włosu używać do przędzy. Zdaje mi się, że najwięcej go konsumują żydzi polscy. Równie wielce było dawniej upowszechnione i lubione futro ostrowidza dla swego pięknego, jedwabnego połysku, lecz ze zmianą mody w Europie rzadko się już je spostrzega; farbowane wysyłają w znacznych transportach na targi północnej Ameryki.

W dalszym rzędzie rozwinięte są futra wilcze, sobole (*Mustella Canadensis*) i t. d. W Polsce i w Rosyji używają, jak wiadomo, wilków czyli wilczur na płaszcze, przykrycia w sankach, wozach i t. p. Sobole rossyjskie niezaprzeczenie są pierwsze, po nich idą z Hudson-Baju. Rozpowszechnione w całej Europie od bardzo dawnych czasów. Wiadomo, iż żaden poseł nie przyjeżdżał z Rosyji do Polski bez przywiezienia kilkunastu, lub kilkudziesięciu soroków przepysznych soboli w darze; lecz nietylko je na Wschodzie tak wysoko szacowano, i tutaj zwykła cena płaszcza podbitego białym sobolem, wynosiła 4,000 złp. Za czasów Henryka VIII w Anglii, podobnie jak za panowania Władysława IV w Polsce, oznaczono przepisy upoważniające pewne tylko klasy do noszenia soboli. Borsuk amerykański jest wysoko ceniony, tém bardziej, że ze środkowej sierści europejskiego nie robią innego użytku jak do pędzli barwierskich. Amerykański wielki niedźwiedź w kilku egzemplarzach reprezentowany, zowie się w Anglii *Army Bear*, bo go tutaj, podobnie jak na stałym lądzie, używają do uniformów wojskowych, do bermyc (*bärmütze*) grenadyerskich, do elster, i t. p. Białych niedźwiedzi jest daleko więcej w Rosyji; używają go jedynie do kosztownych ubiorów. W Ameryce północnej noszą kobiety futra z niedźwiedzia burego (*Isabella bear*), który przed kilkudziesięcioma laty był w Anglii modnym strojem, a jedna skóra kosztowała 30 do 40 gwinei. Ze zmianą mody cena spadła na tyleż prawie szylingów.

Jestto rzecz pewna, że połowa ludzi nie wie z czego druga połowa żyje. Ta myśl przypominała mi się, kiedym zwiedziwszy niemal cały pałac, zastanowił się nieco nad wystawą papierów. Przedmiot ten należy do podrzędnych fabrykatów w Anglii, a przecież wyrabiają go tutaj 130 milionów funtów rocznie, wartujących 120 milionów złp., a przeszło 35 milionów złp. przynoszących skarbowi. Dziewięć

dziesiątych téj ogromnej ilości pozostaje corocznie w kraju, co niedziw, przy takiej ilości ogromnych dzienników szkockich i angielskich. Za granicę wywożą angielskiego papieru za 12 milionów złp. rocznie. Nie jest on należycie na wystawie angielskiej reprezentowany, bo nie naliczyłbym więcej jak dziesięciu fabrykantów; i dlatego położyłem na początku owę uwagę, iż znalazłem między niemi połowę fabrykantów papieru, których ogromne zakłady dostarczają jedynie papieru do zawijania pakunków kupcom i innym producentom; wspomnę o nich zaraz. PP. Joymon i Spicer przedstawili zwój papieru długi na 2,500 stóp, a zarazem wykazali doskonałość mechanizmu, z pomocą którego miazga spływa nieustannie do jednego końca maszyny, kiedy z drugiego wychodzi nieprzerwanie jeden pas papieru suchy i od razu gotowy do użycia. Nadesłali także inny zwój papieru siwego szerok. 93 cale, a 420 stóp dług. jak niemniej tektury nowego rodzaju i próbki papieru pocztowego. P. Fourdrinier przedstawił arkusz papieru fajansowego, długi na półtrzecięj mili angielskiej. Używają tego papieru w fabrykach fajansu przy wyciskaniu obrazów na porcelanie. Jak dalece papier ten jest mocny dowiedzie wypadek, który mi zacytował jego fabrykant. Jechał ze swemi przyjacielami w jednokonnym faetonie, kiedy czy w skutek słabości zaprzęgu, czy też nagłego szarpnięcia konia, rzemień pękął. P. Fourdrinier szukał na próżno postronka; nie mógł go znaleźć: nie pozostawało jak wysiąść i piechotą dokonać podróży, kiedy przypomniał sobie, że ma nieco swego papieru fajansowego. Skręcił go więc w postronek i przywiązawszy nim rzemień, szczęśliwie willi dojechał. Dowiedziałem się także od niego, że jego ojcu należy się udoskonalenie fabryki papieru, bo on stworzył maszynę do papieru ciągłego. P. Lamb przedstawił równie papier fajansowy, a kilka próbek nadesłanych z Darsfordu przez p. Saundesę dowodzi nadzwyczajnej mocy tego papieru, gdy arkusz 20 cali szeroki, dźwiga cztery ciężary po 50 funtów. Jest także sławny papier Dewneja, używany przez krochmalników do obwijania swego produktu. Aby był za dobry uznany, musi bez zmiany koloru przejść próbę mocnego wypieczenia z krochmalem jeszcze wilgotnym. Z fabryki Hamera są papiery pokostowane do sukna, pp. Hastings i Miller nadesłali papiery siwe i flejtuchy papierowe. Taka jest wystawa angielska papieru pospolitego; zbytkowy nadesłali: pp. Cowan z Edyburga i pp. Venable, wybierając papiery z wszystkich fabryk angielskich. W tym oddziale uderzył mnie papier rysunkowy p. Whatmana i Jerzego Wilmos. Są tutaj papiery siwe, w któ-

rych stal najdoskonalej wypolerowana może być bezpiecznie obwinięta, nie narażając ją na rdzę.

PP. de la Rue et Comp. założyli ogromny stół obok swęj maszyny do robienia kopert, z papierem pocztowym glansowanym, między którym widziałem przesliczne próbki papieru z literami nieporównanie odrobionemi. Rysunek w nich jest prawdziwie artystyczny. Są niektóre nowe papiery, jak np. wynaleziony przez p. Oldhama, a fabrykowany przez p. Saundersa. Umieszczony za przegródką szklaną ma dużo podobieństwa do obrazków wyciskanych na porcelanie. Między ozdobami na listach tego rodzaju uważałem rzeźby niniwskie, głowy rzymskie, Madonę z dziećciem, sceny wiejskie, medalion królowej, budynek wystawy, portrety pary królewskiej i t. d. Zdaje mi się, iż sposób ten zastosowany do wexlów i banknotów, utrudniłby ich fałszowanie.

Szwajcarya nadesłała dobre papiéry muzyczne i wyborne listowe; jęj tektury białe i kolorowe są gorsze od angielskich. Przeciwnie zaś papier sztychowany i pakunkowy jest bardzo dobry i pochodzi z fabryk p. Steintena z Zurychu. Z Rzymu są nieporównane papiéry rysunkowe p. Millaniego, z Toskanii papier listowy i z prązkami maszynowy. Pięknę są zwykłe papiéry francuzkie; znajdują się tuż obok Szwajcaryi. Sławni Montgolfierowie nadesłali wyborne kolorowe papiéry rysunkowe, z winietami białe i kolorowe, i pewien rodzaj *pargaminu zwierzęcego* (wynalazca zwie go *parchemin animal*). Jestto produkt godzien uwagi; widziałem kilka próbek tęj sztucznej skóry, która napuszczona tłustym pokostem staje się jedyną do przechowywania nabojęw, mianowicie tęż na czas długiego pokoju, któregoby bez wątpienia nie rad przerwać w Europie ktokolwiek był i widział jego dzieci, to jest sztukę i przemysł na wystawie.

PP. Orby, Bernard et Comp. przedstawiają papiéry dla fabrykantów papierów kolorowych, jak niemniej papier listowy, drukowy dobrego gatunku. Z fabryki Guivra z pod Dieppe są papiéry farbowane. *Stowarzyszenie bezimienne* z Marais wystawiło próbki papieru listowego i drukowego, wielkiego papieru do roboty tektur i pewien rodzaj tektur do kart. Z zakładu *stowarzyszenia bezimiennego* Joucle jest papier pocztowy kolorowy, tektura kolorowa wyrównywająca angielskim, a papier ich różowy, kolorem swym przechodzi wszystkie inne gatunki. Słynęli zawsze Francuzi kalkiem; próbki nadesłane utrzymują godnie ich sławę. Porównywając obie główne wystawy spostrzegam, że Anglicy celują w papierach mocnych; oni lubią papier listowy gruby, aby pismo na drugą stronę

nie przebijało; Francuzi biorą się do fabrykacyi takiegoż, a ich zbytkowy papier jest gładszy, choć nie tak miękki.

Z Belgii reprezentowany jest tylko zakład p. Godina, który nadesłał papier pakunkowy, drukowy, maszynowy, rysunkowy, pocztowy i t. d. Na wystawie rosyjskiej widziałem także dosyć papieru pocztowego i drukowego; a choć żaden z nich nie da się porównać z angielskim lub francuzkim, jednakowoż okazują znaczny postęp fabrykacyi. W Holandyi widziałem papier prążkowy dobry do rejestrów, i kancelaryjny. W Niemczech p. Holick i Dürer przedstawiają doskonały papier biały, błękitny i kolorowy; gorsze są nadsyłki p. Wattinga z Frankfurtu. Widziałem produkta innych fabryk, lecz uderzyły mnie najwięcej wyroby fabryki pruskiej Dilingen, a to z tego powodu, że między innymi przedstawia wszystkie próbki papieru, który ona wydała od r. 1760 do 1850, wykazując odrazu rozmaite udoskonalenia przeprowadzone kolejno. Ma także ten zakład wyborny papier słomiany, co na Zachodzie dotychczas nie mogło pozyskać wziętości, choć, jak mi mówiono, jedna fabryka dostarczała tego papieru w Anglii. W oddziale szwedzkim i norweskim naprózno szukałem papieru do filtrowania, używanego w doświadczeniach chemicznych. Ma on być najczystszy ze wszystkich papierów, a robi się za pomocą wody stopionej ze śniegu. Dania nadesłała kilka dobrych papierów welinowych. Lecz z Indyj znajdują się próbki wyrabiane przez krajowców; te zaś co pochodzą z Neapolu, odznaczają się nadzwyczajną delikatnością i lekkością.

Jeszcze o jednej klasie wystawy nadmienić mi wypada: o rzeźbach. Gniewano się wprawdzie na to, iż rzeźbiarstwo, najplastyczniejszą ze wszystkich sztukę, gdzie poeta, podobnie jak Bóg, myśl swą przyobleka ciałem, a raczej martwe głązy uszlachetnia myślą i życiem, że tę najcenniejszą i najtrudniejszą sztukę włączono do wystawy przemysłowej. Odpowiedź na to łatwa. Wystawa powszechna nie tylko dla rękodzielników i fabrykantów została otwarta, ale jako miara cywilizacyi ludzkiej, jako bukiet sił człowieczych, stała się miejscem schadzki dla wszystkiego, co się wiąże z naturą i rozumem człowieka. Obie półkule globu uszczknęły najprzedniejsze na polach swych kwiaty i zesłały je do wspólnej świątyni; wszystkie narody, wszystkie rodzaje produkcyi postarały się o najlepszą reprezentacyą. Ciż sami, jestem pewny, co kommissyi wykonawczej zarzucali sprofanowanie sztuki, czuliby w pałacu wystawy dziwną tęskność: uderzałaby ich jakoby próżnia, bez względu już na to, ileby się ujęło gmachowi uroku, gdyby mu odebrano rzędy statuyj, i gdyby białe nimfy i Apol-

liny z kwietnych powyrywano gajów. Czyż dla uczczenia jubileuszu przemysłowego, sztuki piękne krasy swój użyczyć nie mogły? A zresztą, gdzie jest dzisiaj granica między sztuką a przemysłem, między artystą a rzemieślnikiem? Te ogromne maszyny zdumiewające potęgą i rozumem, nie są wyrazistszym pomnikiem gieniuszu ludzkiego, niż posągi spizowe lub marmury? W dywanach, meblach nie maszże myśli artysty łamiącej się z trudnościami mechanicznymi sztuki? A bronzy, odlewy spizowe, cynkowe, dlaczego są mniej sztuką, niżli rzeźbiarstwo; dlaczego snycerstwo nie razi nikogo w pałacu, a jak snycerstwo od ebenisteryi odłączyć?

Jest piękność we wszystkiém, więc jest i sztuka we wszystkiém; ani się godzi odtąd odzierać przemysł z barwy estetycznej. Właśnie téż ten związek, to ożenienie ducha z materją, nauk z przemysłem, sztuki z industrią jest charakterem, jest rękojmią postępu naszego wieku. Każdy niemal kraj posiada w pałacu wystawy rzeźby; lecz dwie są tylko godne uwagi, to jest włoska i niemiecka. Piérwsza znajduje się w Lombardyi połączonej z Austryą, w Toskanii i Rzymie, a znalazła już wielu admiratorów i sprawozdawców. Nawet w polskich dziennikach czytałem opisy; ograniczę się więc na krótkich wspomnieniach, więcéj miejsca poświęcając wystawie niemieckiej.

Zarówno maie jak i wszystkich najmocniej w sali medyolańskiej zajmowały rzeźby Rafaela Monti; jest ich tutaj sztuk kilka, wysokości wartości; ale jako arcydzieło mechanizmu, jest zasłona gazowa, którą sztukmistrz z marmuru wykuł na twarzach swych utworów. Jakby dla zwiększenia trudności, artysta skręca welon, fałduje go, a twarz przezeń przebijająca, nic na uroku nie traci. Z trzech w tym rodzaju statuj, najwyżej kładę *niewolnicę leżącą na targu*. Po Montim *Żebraczką* Demokryta Candolfi, całością, rysunkiem i expressyą, a nawet podobną gazową zasłoną, uderza w oczy każdego. Jest w niej niezmiernie wiele wyrazu. *Zuzanna*, Antoniego Galli, liczy się do arcydzieł; niemniej *Strazego Izmael*, Montego *Paweł* i *Franciszka z Rimini*. Przechodząc do drugiego oddziału wystawy włoskiej, niepodobna pominąć *zranionego Achillesa*, przez Innocentego Fraccaroli z Werony. Jestto statua kolosalna; Achilles, w którego pięcie utkwiała strzała, z przerażeniem się odwraca i poznaje śmierć. Boleść jego i rozpacz obok téj kolosalnej siły olbrzymia, wybornie oddana. W Rzymie *Benzoniego żniwiarka*, *dziecina z psem*, w Toskanii *Kupido* i *Psyche*, *anioł jawiący się we śnie kobiecie*, najpiérwsze miejsce zajmują na wystawie rzeźbiarskiej.

Zasługując na uwagę rzeźba belgijska. Nie mówię tu o dawniejszej, bez wątpienia wyższej nad wszystko, co tu w nowszych czasach zrobiono, ale o pracach żyjących artystów, które nietylko zapełniają kościoły flamandzkie, lecz w każdym mieście belgijskiem napotykać się dadzą. Wzdłuż i wszérz kilka razy przejechałem Belgią, a za każdym krokiem widziałem statwę człowieka znakomitego, któremu rodacy wypłacili dług wdzięczności *port mortem*. Od kilku lat, liczba tych statuj nadzwyczajnie wzrosła; pełne ich place brukselskie z *Godfrydem de Bouillon, Andrzejem Vesale, generałem Belliard* i t. d., nie licząc już pomnika wyobrażającego walkę o niepodległość w roku 1830. Za przykładem Brukselli szły inne miasta: Antwerpia wybudowała pomnik Rubensowi, Liège Gretremu i t. d. Na wystawie znajdujemy dzieła tych samych artystów, co owe statuy zbudowali; niektórzy wszakże nie nadesłali nic. Olbrzymie rozmiary Godfryda de Bouillon, śmiałość wykonania téj kolosalnej statuy, a mianowicie ruch, który artysta potrafił nadać tak koniowi, jak człowiekowi, zapewnią dziełu temu na zawsze miejsce między pomnikami sztuki nowoczesnej. Nie powiem, żeby praca pana Simonisa była wolna od zarzutu; lecz mogę mu śmiało powinszować wielkości pomysłu i szczęśliwego wykonania. Pozytycja jeźdźca, zdającego się unosić konia naprzód, jak powiedziałem, nadaje ruch pomnikowi, i wprawia widza w złudzenie, jeśli przygląda się z odległości stosownej do wielkości rozmiarów pomnika. Jeszcze bardziej uderzający jest talent pana Simonisa, w przedmiotach fantastycznych. Zaprawdę, nie lubię dzieci płaczących, ale jego *bambin malhereux*, wprawił mię w zachwycenie; małe jego statuetki są arcydziełami, które zyskały poklask publiczności i znawców. *Zakochany lew*, Wilhelma Geefs; *madonna Ichotta*, cztery statuy Fraikina, i *wierny posłaniec* Geefsa z Antwerpii, przynoszą zaszczyt talentowi artystów, i dowodzą, że dawna artystyczna sława Belgii, nie pobiła wobec jój dzisiejszych reprezentantów.

Sztuki piękne w Niemczech reprezentowane są przez dwie szkoły, tojest berlińską i monacheńską. Rzeźbiarstwo berlińskie winno ukształcenie swoje trzem mężom, tojest: architektowi Schinkel, i rzeźbiarzom Rauchowi i Tieckowi; wszyscy trzej nauką i dziełami zapewnili przewagę czystości stylu, piękności formy i prawdzie w ruchach. Zarazem dążyli oni, aby sztuka niemiecka nie popadła w zimne i bezduszne naśladownictwo sztuki greckiej, ale, ażeby twory swoje, jako prawe dzieci epoki, natchnęła gorącym czuciem. Udało się tym trzem mistrzom, z których na nieszczęście jeden tylko,

tojest Rauch, przy życiu zostaje, sformować porzet uczniów, którzy w tym kierunku wydali znaczną liczbę dzieł znajdujących się po części na wystawie. Jednym z tych dzieł jest sławna *amazonka* Kissa.

W dziele tém, przez genialny pomysł, który się jawi w wściekłości tygrysa, w śmiertelnym przestrachu konia, i szlachetnym gniewu amazonki, mającej uderzyć potwór dzirytem, pomysł objawiony w ostatecznym momencie przez piękność i prawdę form, szczególnież amazonki i konia, przez wykonanie staranne i z wielką ścisłością przeprowadzone, zjednał sobie Kiss, iż gipsowy jego odlew, dokonany w Berlinie w roku 1838, zyskał poklask wszystkich miłośników, tak dalece, iż dobrowolnemi składkami, postawili go w możności dokonania brązowego odlewu, który się znajduje przy schodach muzeum berlińskiego. Wszelako, gdy wysoka cena brązu nie dozwalała rozpowszechnienia tego arcydzieła, pan Geiss po niemałych staraniach, dokonał odlewu cynkowego, który się téż znajduje na wystawie. Cynk ma tę wyższość nad brązem, iż przez płynność swoją mniej psuje formę, przy oziębianiu mniej się ściąga, a zatém doskonale wchodzi we wszystkie części i mniej potrzebuje wygładzania dłu-tem; ale téż z drugiej strony zimnym kolorem o wiele ustępuje bronzowi. Zapobiegł temu niedostatkowi pan Geiss, wynalazłszy powłokę metalową, tak, że cynk ma pod nią kolor florentyńskiego brązu. W pobliżu ustawione statuy, dowodzą piękności i taniości odlewów cynkowych pana Geissa, a mianowicie Hebe, Canowy (18 Ł.); Ewa, Baiteya (15 Ł.); *chłopiec z bocianem, wodotrysk*, Kalidego (15 Ł.); *dwa jelenie*, Raucha, które tenże wykonał z brązu dla księcia anhalckiego, (jeden po 30 Ł.). Wszystkie te sztuki odlane są z cynku szląckiego, i z pomocą galwanicznego prądu bronzowane.

Szkoła monacheńska, której mistrz Schwantaler umarł na nieszczęście w sile wieku, odznacza się ogromną liczbą bronzów, po większej części genialnych i pełnych życia, wykonywanych w giserni królewskiej, dawniej pod kierunkiem Stiglmayera, dzisiaj pod sterem Ferdynanda Millera. Na wystawie znajdują się następujące utwory: jeden z czterech kolosalnych lwów (15 stóp długi, 9 wysoki), przeznaczonych do bramy tryumfalnej w Monachium; model dokonany przez profesora Jana Halbiga. Zbliżka oglądane, zdają się być formy nieco za ciężkie, ale téż trzeba pamiętać, że je sztukmistrz obrachował na znaczną wysokość bramy. Dalej idą *Libussa* wieszczyni i królowa, założycielka Pragi, i *Jerzy Podjebrad*, dwie statuy po siedm stóp wysokie, według przepysznych modeli Schwantalera, które razem z innymi, przeznaczone były do Wallhali czeskiej. Obok

nich znajduje się wspomniony *chłopczyk*, nieco nadnaturalnej wielkości, Kalidego, służący za fontanę do ogrodu w Charlottenburgu. Za przykład zaś, jak dalece w Prusiech, prowincjonalnych nawet miastach szczęśliwie dokonywane bywają odlewy, może posłużyć odlew sławnej statuy *Polychymnii* antyku, zrobiony w Greifswaldzie, przez Karola Kasselera. Z giserni Lauchhammera w prowincyi saskiej, pochodzi odlów *niewiasty czerpiącej wodę*, według modelu profesora Wichmana, znakomitego rzeźbiarza w Berlinie. Cena jego Ł. 105 nie zdaje mi się być wysoka. *Pies z Nowej-Funlandyi* po głowę z jednej sztuki odlany przez Ludwika Friebela w Berlinie, według modelu rzeźbiarza Möllera z brązu (Ł. 105); mała statuetka *nadziei*, według pomysłu Raucha (Ł. 24), zasługują na zaszczytne wspomnienie.

Z rzeźb znajdujących się tutaj w odlewach gipsowych, wielkością i ożywionym ruchem uderzają *dwie grupy niewiast*, L. Hofera z Stuttgardu; dwa *konie*, modelowane według żyjących oryginałów, z rasy arabskiej, własności króla wirtemberskiego, wykonane z ścisłością i prawdą szczegółów. Model tego odcisku z marmuru karyjskiego, znajduje się w królewskim zamku w Stuttgardzie. Obok znajduje się *młody Faun* naturalnej wielkości, niosący grono winne na plecach, przez Roberta Lauera. Wszystkie właściwości szkoły berlińskiej, posiada *pedestał* cylindrowy pomnika, który mieszkańcy Berlina zmarłemu Fryderykowi Wilhelmowi IIImu wzniesli na znak wdzięczności za upięknienie parku. Model wykonany przez Fryderyka Drake, jednego z najcelniejszych uczniów Raucha, o trzecią część większy jest niżli odcisk gipsowy, który mam przed oczyma. Na nim znajduje się statua króla. Mocne płaskorzeźby otaczają go dookoła: matka bawi dziecko na trawniku, młodzian z dziewczcą stoją przy strumieniu, chłopczyk cieszy się wiewiórką, inny karmi łabędzie, dzieci drapią się do gniazda ptasiego, i starzec wsparty spoczywa na słońcu. Jest tu także *fontanna*, według modelu Grompensa, której dolna część jest grupą dzieci, podtrzymujących wielką muszlę z Trytonem (Ł. 40), jak niemniej wielka *waza*, w stylu gotyckim (Ł. 15). Oba przedmioty pochodzą z fabryki Ernesta Marscha w Charlottenburgu.

Przejdźmy obecnie na drugą stronę i rozpatrzmy się w rzeźbach tutaj ustawionych. *Waza* nadwornego jubilera z Berlina w czterech oddziałach, przedstawia cztery stopnie cywilizacji rodu ludzkiego: ze spodu widać pierwszych ludzi jeszcze koczujących: po-

lowanie, rybołówstwo i pasterstwo są ich zatrudnieniem; jeszcze im natura nie uległa, potęgi szlachetniejsze jeszcze nieobudzone, potęgi szkodliwe jeszcze działają. Na słupie dźwiganym przez dąb potężny, spostrzegamy rolnictwo, ogrodnictwo i winobranie, przedstawione w trzech pięknych niewieścich postaciach. Lecz razem z winem życie wstępuje w ducha; w pięknym wieńcu dzieci, widzimy dalej architekturę, górnictwo, handel i żeglugę, sztuki i umiejętności. Ale wyższe sfery pozostają do zdobycia; siły duchowe pchają człowieka do uznania siebie i przewagi nad sobą; na drzewie palmowém stoi gieniusz, opasany węzem, unoszący w prawej ręce pochodnię ku niebu. Dzieło to odznacza się zarówno bogactwem pomysłów jak sumienném i mistrzowskiém wykonaniem, aż do najdrobniejszych szczegółów, o ile pojedyncze części są ukończone. (Cena 1,800 £.). W pobliżu ustawione są płody giserni królewskiej w Berlinie: grupa *dwie amazonki*, z których jedna konno, na filarze bogato ozdobionym i wykładanym srebrem (£. 90); okok *dwaj wojownicy*, z których jeden także konno (£. 90); kopia *wazy warnwickiej* (£. 49, s. 10); *waza ateńska* z figurami (£. 52) i t. d. W tymże samym oddziale znajdują się dwa brzozy Fischera z Berlina: *dziewczę modlące się*, 3 stopy i 2 cale wysokości (49 1/2 £.); *Danajda* według Raucha, 1 1/2 wysoka (37 £.). Statuetka galwanoplastyczna Lessinga, wyrobiona w Frankfurcie bardzo pracowicie (£. 20); płaskorzeźba *Kupido na panterze* (10 1/2 £.); *rak*, *jaszczurka* i *wąż* z natury wyrobione. Blaesera rzeźbiarza berlińskiego *cesarzowa rossyjska na koniu* z brzozy (£. 145), *człowiek łapiący motyle*, z brzozy, Gustawa Früh z Berlina (£. 12); *Konarzewskiego bocian z dzieckiem*, modelowany przez Alberta Wolfa z Berlina, (£. 27), brzozy *chłopczyk z psem* nowo-funlandzkim (48), i *dziewczę z buldogiem* z brzozy, téjże samój ceny. Galwanoplastyk Möhring z Berlina nadesłał popiersie Ludwika króla bawarskiego (£. 15); płaskorzeźba *charitas*, Tiecka (£. 9). Bernarda Afingera z Berlina statuetka z brzozy, *Najświętsza Panna z dziećciem*, w stylu średniowiecznym (33 £.), i cztery portrety brzozy: księcia i księżnej pruskiej, generała Wrangla i rzeźbiarza Raucha. Jacobiego z Brunświku żelazny odlew konia (21 £.); kielich srebrny myśliwski (82 1/2 £.), głowa lwia z żelaza i t. d.

Rzeźbiarz Bianconi przedstawił trzy kopie z marmuru kararyjskiego pracowicie wyrobione: *Wenus*, Thorwaldsena (52 1/2 £.); *Parys Canowy*, i *pastérz* Thorwaldsena (po 30 £.). Wysokiej ceny są wszystkie roboty Albertego z Berlina i odlewy cynkowe Deveranny, według modelu Raucha i Canowy. Tuż obok radca Stern,

kommissarz pruskiej wystawy, zebrał razem takie przedmioty, które potrzebują łagodniejszego światła. Piękny ten salon jest jedną z pierwszych ozdób wystawy; rad w nim odpocząłem, oglądając powolnie znaczny poczet prawdziwych dzieł sztuki. Na pierwszym miejscu kładę utwory profesora Ernesta Ritscherta z Drezna, jednego z najpierwszych uczniów Raucha. Gipsowy odlew *modlącej się Maryi* przed ciałem Chrystusa naturalnej wielkości, według modeli dokonanych przez tegoż artystę dla króla pruskiego. Szlachetność i głębokość pomysłu, są cechą tego mistrzowskiego dzieła, obok wybornego wykończenia. Toż samo mógłbym powiedzieć o płaskorzeźbie *aniołka*, o *Amorze wiążącym panterę* i t. d. W tymże salonie znajdują się: *Magdalena pokutująca*, z marmuru kararyjskiego, dłuta wspomnianego już Drake, tegoż *chłopiec leżący*, z natury. *Victoria*, statua symboliczna według Raucha, przez Juliusza Franza z Berlina zstępująca ze skały i rzucająca wieniec zwycięzcy, i druga *Victoria* wpisująca imię bohatera w księgę historii; obie statuy bronzowe kosztują po 45 £. Fischera pastérz napadnięty przez lampartą, z gipsu, profesora Halbiga, *puhar państwa niemieckiego* z gipsu. Sztukmistrz miał za powód ideę jedności Niemiec. Na szczycie stoi Germania w płaszczu cesarskim; figury dookoła wyobrażają cnoty potrzebne do jedności, a herby cesarstwa, królestw i państw pomniejszych wypełniają tę polityczną czarę. Więcej mi się podobał kielich Knolla z Monachium, wyobrażający wspomnienie życia i miłości nad Renem; Jana Leeba *dziewica z gniazdem Amorków* z marmuru kararyjskiego; Maesera z Berlina *statuetka Beethovena* z czterema figurami, to jest zapalem wojennym, religijnym, żalu i radości; kompozycyja rzewna i pełna myśli. Alberta Wolfa z Berlina *dziewica z jagnięciem* przedstawiająca niewinność, statua marmurowa 4 1/2 stopy wysoka; Sussmanna z Berlina model *paryzkiego Luxoru* z gipsu złożony.

W tém piękném muzeum rzeźby znajdują się rozmaite płaskorzeźby z bronzu, a mianowicie *Aryadna na panterze*, z postumentem z kości słoniowej (3 £); Jacobiego z Brunświku *koń* odlewu żelaznego, Eichlera z Berlina *Bachus i Amor*, płaskorzeźba według Thorwaldsena, tegoż i wedle tego samego mistrza *Chrystus błogosławiący niemowlęta*, *Maryja z dziećmi*, *Jan*. Z tektury kamiennój czyli tak zwanej szwedzkiej, *Rudolf habsburski* i *Albrecht* cesarze niemieccy, i królowie czescy *Brandta*, kilku innych królów i książąt, a obok Mayera z Monachium *królowa niebios z Jezusem*, dwa krucyfiksy i wazon z kwiatami podobnie z tektury kamiennój. Godne są

nadto zaszczytniej wzmianki rzeźby z kości słoniowej Michała Hagena z Monachium, puchar z rznietymi figurami i arabeskami wyobrażającymi *pochód Bachantek*; Chrystyana Franka z Führtu szachy, krucyfix i wrzeciono; Heyla z Darmsztadu według Lindenschmidta *Biwa Germanów*; Hermanna i Geismara kielich z figurami z historii świętej. Lecz chociażem tyle już przedmiotów wymienił, spostrzegam się, że mi jeszcze daleko do końca, i że o mnóstwie innych drobniejszych przedmiotach nie wspomniałem. Kończę więc na tém, a to co powiedziałem usprawiedliwi mnie, dlaczego nieco obszerniej nad wystawą niemiecką zastanowiłem się.

Pomiędzy rozmaitemi fabrykatami znajdującymi się na wystawie jest jeden, o którym dlatego mówię na końcu, że nie wiedział gdzie go umieścić. Sąto wyroby z włosów; niektóre z nich zamieszczone w pałacu są pracy godnej podziwienia. Prawie wyłącznie pochodzą z Francyi i Anglii.

P. Forrer z Londynu przedstawia mnóstwo kunsztownych próbek tego rodzaju; jego portrety rodziny królewskiej są bardzo podobne. Ponad niemi znajdują się wybornie wykonane godła kościoła i państwa, armii i marynarki, sztuk i umiejętności, handlu i przemysłu, z włosów i ze złota. W tej samej gablotce podziwiałem portret artysty otoczony wieniec kwiatów, których wykonanie jest nieporównane. Są także inne próbki tej roboty dosyć interesujące, jak np. *grób dziewicy orleańskiej*, rysowany pięknie i ozdobiony wierzbami płaczącymi podobnie z włosów; są woreczki, bukiety, bransoletki, brosze, pierścionki, i niezmierna różnaitość ozdób eleganckich ze złota i z włosów, deseni u gustownego i nowego. Nawet konsola na której gablotka spoczywa zasługuje na uwagę; jest bowiem snycerską robotą z drzewa z czterema filarami wyobrażającymi winograd, którego piękne grona są z włosów; filarki te dźwigają z jednej strony biblią, której oprawa przedstawia *wiarę, nadzieję i miłość* ze złota i z włosów, z drugiej książkę do modlitwy tak samo oprawną. Cała ta wystawa już przez to zasługuje na wzmiankę, że przy niej zawsze zastać można grono wielbiących widzów, a przed kilkoma tygodniami JKMość wszystkie szczegóły oglądała z zajęciem. PP. Hannsen i Koning nadesłali kosz z kwiatami wielkości 18 cali kwadratowych. Trudno mi wyrazić z jaką sztuką kwiaty te zostały wykonane; artysta wprowadził w nie wszelkie odcienia kolorów, od białego aż do najgłębszego czarnego. Lecz najbardziej uderzającym na tej wystawie jest portret księcia Walii. Pomijam mnóstwo pierścionków i bransoletek wyrobionych z kombinacyami zadziwiającymi

swą mnogością z wystawy p. Townleya, które pp. Neal i Henamami jeszcze urozmaicili przeplatając włosy perlami. W oddziale francuzkim, jeśli się nie mylę, jest tylko jeden tego rodzaju fabrykant p. Lemonnier. Portret jego, królowej, dość znacznej wielkości, nad którym pracował 8 miesięcy (ceni go 10,000 fr.) ustępuje angielskiemu, ale jego pejzaże, bukiety i ozdoby niewieście, których jest przeszło sto, okazują bardzo wiele gustu i zręczności. Wszystkie są przeplatane złotem i kamieniami drogiemi.

Zanim pożegnam się z czytelnikiem, słusznie abym go obznajmił z dalszém przeznaczeniem, jakie czeka najpiękniejszy na wystawie produkt Anglii, to jest pałac kryształowy.

Nie tajno nikomu, że Anglicy są gorącemi miłośnikami drzew, zieleni i parków, że są dumni Hyde-Parkiem, Regent-Parkiem, James-Parkiem i innemi, które rozległość Londynu do kilku mil zwiększają. Kiedy chodziło o wyszukanie miejsca dla pałacu kryształowego, byli tacy, co już to z obawy zbytniego natłoku cudzoziemców, a ztąd jakowegoś w stolicy rozruchu, już téż przewidując, że budowa pałacu bez uszczerbku dla jednego z ulubionych parków obejść się nie może, chcieli wyszukać wystawie miejsca w Dublinie; trzeba było tego zapalu jaki ogarnął cały naród, trzeba było wpływu kommissyi złożonej z najoświeceńszych mężów, aby wstręt i opozycją przelamać. Naówczas Izba zezwoliła na wystawę do 1go października 1852 roku i upoważniła kommissarza *of Woods and Forests* (drzew i lasów), do traktowania z kommissją o miejsce dla wystawy. Jeszcze nie podpisano kontraktu z kommissarzem rządowym, kiedy przedsiębiorcy pp. Fox, Henderson et Comp. ogromne poczynili nakłady i przygotowania. Udecydowano, że w połowie r. 1852 Hyde-Park ma być wypróżniony i część jego dzisiaj zajęta, oddana w stanie w jakim była przed wystawą. Aczkolwiek wielkie robiono sobie nadzieje, tak dobrze budynek jak i wystawa przeszły najśmielsze rokowania. Do dziś dnia półczwarta miliona osób zwiedziło wystawę, a kosztą jej, które razem z dozorem 200,000 f. s. nie przejdą, zostaną pokryte przychodem, gdyż pominawszy dobrowolne składki, sprzedaż biletów ciągłych i jednorazowych, wynosi do dziś dnia blisko 300,000 £. to jest 12 milionów złp. Zniknął więc najwłaśniejszy powód, to jest obawa niedoboru, któryby zmusił kommissją do rozebrania pałacu i sprzedaży materyałów.

Jak długo potrwa jeszcze wystawa? Co dzień zjeżdżają się nowi przybylecy, i nie zdaje się, aby rychły był koniec téj pielgrzymce. Wszelako kommissya królewska odebrała wiele listów od zagranicznych wystawiaczy, którzy chcą się dowiedzieć stanowczo o dniu zamknię-

cia wystawy i zarazem domagają się, aby ten dzień nie był późniejszy od 1go października. Jakie zatem będzie postanowienie kommissyi, gdy i z drugiej strony są liczne głosy za pozostawieniem wystawy przez zimę, przewidzieć nie można. Lecz ważniejsza kwestya co się stanie z pałacem?

Skoro tylko z codziennych dochodów dała się przewidzieć znaczna przewyżka nad wydatkami, zjawily się głosy za utrzymaniem pałacu. Niemi spowodowanych kilku członków Izby zapytało ministra, kiedy Hyde-Park będzie oczyszczony. Lord John Russel opierając się na kontrakcie odpowiedział, że pałac nie będzie trwał ani dnia jednego dłużej, jak Izba zezwoliła. Tymczasem stronnicy pałacu agitowali w mieście i na prowincyi; poczęły się zbierać meetings, na których obradowano na jaki użytek przeznaczyć budowę; dzienniki przemawiały za utrzymaniem, p. Dalton zaproponował, aby zamienić pałac w wielką galeryą statuy, wyobrażających grupy rozmaitych narodów. Widocznie opinia przeważała się na stronę pałacu, a ulegając jej Izba niższa na dni parę przed odroczeniem, którego przedwczoraj dokonała sama królowa, postanowiła, iż pałac tymczasowo pozostać ma do 1go maja 1852 r. Jest zatem wszelka nadzieja, że nazawsze zostanie utrzymany, tém bardziej, że kommissya ma zamiar ofiarować go narodowi; pozostaje tylko pytanie, na jaki cel go obrócić? Większość podzieliła zdanie twórcy pałacu Paxtona, który w wydanej przed kilkoma tygodniami broszurze tak się odzywa:

„Wystawione artykuły rozproszą się wkrótce po całym świecie, a wiele z nich uchodzić będzie za relikwie przypominające największe zjawisko naszego czasu. Będą one zyskiwały coraz więcej wartości, im odleglejszym stanie się dzień ich tryumfu; kiedy gmach, mogę powiedzieć bez samochwalstwa, owa gwiazda wystawy, skoro go zniosą albo przejdzie w całości za granicę, albo też rozebrany, użytym zostanie na inne podrzędne cele. Jeśli mi się uda przytoczyć słuszne powody, dlaczego gmach ma być utrzymanym, to spodziewam się, że kommissarze królewscy uczynią wszystko, aby celu tego dopiąć.“

„Choćbym nawet nie wychodził z dzisiejszego punktu zapatrywania się, to i tak możnaby ważne słowo powiedzieć za utrzymaniem gmachu, bo zapobiegalby niedostatkowi przykreemu w Londynie, mieście o półtrzecia miliona mieszkańców, niedostatkowi parku zimowego i oranżeryi. Miałem już, przekładając plan mój pałacu kryształowego, zwrócić uwagę na późniejszy jego użytek, i ten przedmiot w pierwotnym prospekcie dość mocno podniosłem. Nic od owego dnia nie zaszło, coby mniemanie moje nadwątlilo, i owszem

wszystko mnie w niém utwierdza i przekonywa, jakby pożądaném było dla stolicy miejsce wypoczynku i nauki, które właśnie projektuję. W ciągu ostatnich dwudziestu lat z wielką pomyślnością badaną była fizyologia i ekonomia sił natury, wraz z wpływem, jaki na nie wywierają klimat, miejscowe warunki i inne pojawy. Geologia związana ściśle z nauką roślin, cudownymi odkryciami odsłoniła oczom naszym tajemnicę przedhistorycznych czasów, kiedyto mieszkańcy naszej ziemi wcale inaksi byli niżli dzisiaj. Roczniki dziejów nie dają nam o nich żadnej wiadomości, i bez nauki geologii musielibyśmy się wyrzec światła na owe czasy. Z pomocą chemii i botaniki poczyniono wiele użytecznych odkryć, które usłużyły wygodzie i praktycznemu ogrodnictwu, a umiejętność ta, dzięki szklarniom, nabrała rozwoju, który był niepodobny w nieodległych czasach, mimo największych usiłowań. Lecz wpływ ogrodnictwa nie ogranicza się tylko na tém, cośmy już zyskali przez nie w pałacu, gdzie suche i najdelikatniejsze przedmioty bez szkody dadzą się przechować, ale mimo przeszkód zewnętrznych czyni ono podobném utrzymanie potrzebnej temperatury. Zanim rośliny hodowane były pod szkłem, atmosfera w takich zbiorach była tak przykrą, że zwiedzający po krótkim pobycie musiał je opuszczać, aby odetchnąć świeżém powietrzem. Dzięki Bogu już teraz w oranżeryach nie ma piekarnianego powietrza, a rośliny żyją tak swobodnie, jak tylko im pozwalają ograniczone nasze wiadomości i środki. Toż samo przyczyniło się do zwiększenia wygody i w naszych mieszkaniach, tém bardziej zaś pożądane jest takie ulepszenie w naszym kraju i stolicy, gdzie przez kilka miesięcy panuje co rok powietrze ciężkie i niezdrowe. Już temu zapobiega mój projekt, a nie zapobiegły inne budowle, aczkolwiek wielkie i wspaniałe.“

„Gmach jaki istnieje w Hyde-Parku, należycie rozszerzony, otworzy niezmierne pole rozrywek duchowych i fizycznych, skłoni zamkniętsze miasta fabryczne do podobnych przedsięwzięć, a jakże uczącą, podnoszącą i zbawienną byłaby w nim nauka, gdyby stosownie ożywiony roślinami, ozdobiony był statuami i wodotryskami. Do dziś dnia nie posiada Anglia tego rodzaju publicznego zakładu, bo chociaż w Kew znajduje się wspaniały dom palmowy, to wilgotna i gorąca jego atmosfera, nie dozwala publiczności należytego obejrzenia cudów podrównikowej natury. W parku zaś zimowym, który proponuję, klimat musiałby być głównym warunkiem; do niego odnosilyby się wszystkie inne przedmioty. Mielibyśmy w nim klimat południowych Włoch, w którym drzewa rosnące w cieniu, żyć i rozwijać się mogą; i w nim moglibyście, nie czując ostrego wiatru wscho-

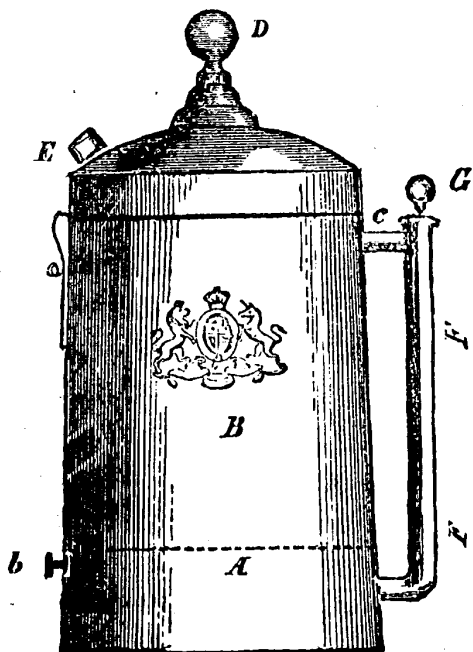
dniego i nawałnicy śnieżnej, podziwiać utwory natury i sztuki. Tu-
by można doświadczać piękności wegetacji i tych cudownych przy-
miotów roślinności, która wśród nocy, kiedy zasypia życie zwierzęce,
pochlania z atmosfery kwasoród, a w dzień, kiedy przebudzona jest
natura zwierzęca, polyka wydawany przez ludzi i zwierzęta gaz kwas
węglowy, oddając w zamian kwasoród, który pomieszany w atmosfe-
rze, ciału naszemu nadaje siłę a duchowi wesolość. W tym parku
i ogrodzie zimowym możnaby rozłożyć malowniczo drzewa i rośliny,
możnaby przeznaczyć drogę dla konnych i powozów, pieszym najwię-
kszą część onegoż oddając. Fontanny, statuy i wszelkiego rodzaju
ozdoby ogrodnicze pomnożyłyby nieskończenie piękność widowiska.
Możnaby zawiesić pnące się rośliny po ścianach i wiązaniach, tak, iżby
w lecie dostarczały cienia, a przy ciągłym ruchu atmosfery nadawały-
by pałacowi uroczą i ruchomą postać. Wpuściwszy pewną liczbę
ptaków żyjących w strefie umiarkowanej i w licznych exemplarzach
przeprowadziwszy niemal całą naukę geologii, podałoby się widzowi
sposobność obznajmienia się z botaniką, ornitologią i geologią.”

Rozwija następnie p. Paxton szczegóły swego planu, i zapowia-
dając ogłoszenie anszlagu, oblicza, iż roczne utrzymanie pałacu wraz
z wszystkiem co się w nim znajduje, wyniesie:

Praca, opał, woda, narzędzia, piasek na alee, żér dla ptastwa, i utrzymanie roślin.....	£. 8,000.
Nowe nabytki i reparacye.....	£. 4,000.
	<hr/>
	Razem £. 12,000.

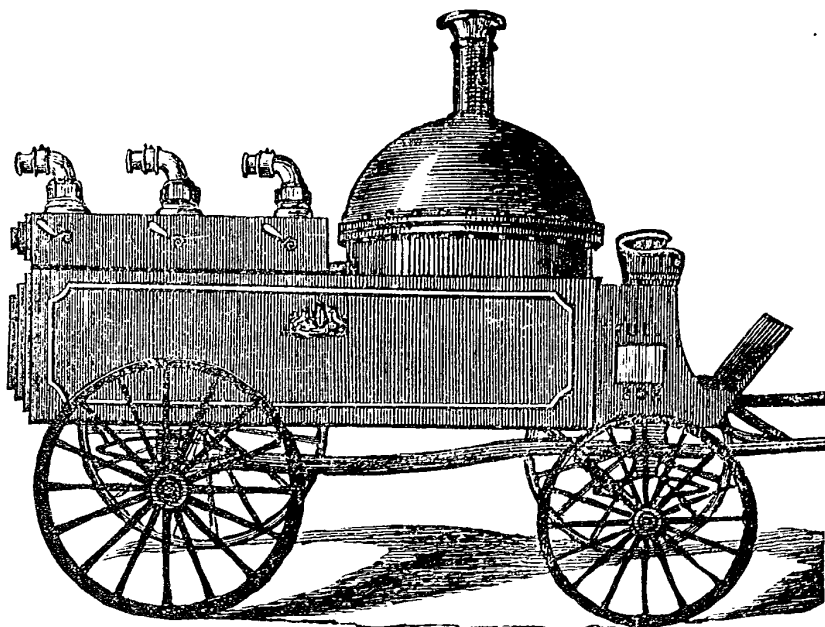
Przed niedawnym czasem w jednéj części pałacu wystawy zro-
bił się wielki rozruch. Ujrzano dobywające się kłęby dymu; rozu-
miano iż się wszczął pożar, aż przekonano się, że to machina Phi-
lipsa funkcyonuje. Ktoś nieostrożny czy nieświadomy, uderzył
w gwóźdź nad machiną wystający, i sprawił we środku maszyny
zwykłą przy jéj zastosowaniu eksplozyą. Jestto przyrząd nowo
wynaleziony do gaszenia ognia. Pisano o nim wiele za i przeciw,
robione próby udawały się lub nie, ma wielu nieprzyjaciół; jed-
ném słowem w całej téj sprawie panuje wiele niepewności. My-
ślę, że słowo bezstronne nie będzie zbyt użyteczne. Że ta machina
ma wielu przeciwników, to się łatwo pojmuje; a im gdzie lepiej
jest straż ogniowa urządzona, tém ma ich więcej; lecz cóżkolwiek-
bądź jestem przekonany, że wynalazek ten, którego wielu próbom
w Londynie i poza miastem byłem przytomny, zwycięży niechęć
i rozpowszechni się. Zasada gaszenia ognia z pomocą machin

Philipsa jest ta sama, co w systemie zasypywania pożarów zie-
mią, to jest przyduszenie przez odjęcie warunku ognia, czyli kwa-



sorodu. Machina ta, której zewnętrzny rysunek kładę, tak do użytku pożarów w domu, jako téż i na wolnym powietrzu, wydobywa z siebie gaz kwas węglowy, wypuszcza go rurą E, i gasi ogień. Wewnątrz podzielona jest na dwie komórki. W komórce dolnej A znajduje się woda nalana, zaśrubowanym zwykle otworem (G) przez rurę F, przy czém otwiera się śrubka (b), aby powietrze ująć mogło. W komórce B, w podwójnym metalowym sicie, znajduje się nabój złożony z gipsu, saletry i węgla potłuczonych miálko, rozpuszczonych w wodzie

ostudzonej dopóty, póki massa wlana w formy, tęgosci nie nabierze. W nabój wkłada się od góry flaszeczka, zawierająca w spo-



dniej części mieszaninę chloranu potażu z cukrem, w górnej bańce z kilkoma kroplami kwasu siarkowego. Aby machina funkcjonowała, dość uderzyć gwóźdź wystający przy D, który bańkę przebijając, wylewa kwas do mieszaniny, robi eksplozję, zapala nabój z gipsu, saletry i węgla, który pali się zwolna, zmieniając się w osad i gaz kwas węglowy. Ponieważ przyrząd cały jest metalowy, rozgrzewa się więc szybko i zmienia wodę w komórce A w parę, która przez rurę F i G dostaje się do środka i z wielką mocą wypycha gaz otworem E. Gdzie tylko prąd dojdzie i otoczy ogień, tam płomień znika natychmiast, lecz potrzeba, ażeby ogień nie miał zarzewia niedostępnego gazowi i długo tłącego się, bo prąd dobywa się wedle wielkości maszyny przez dziesięć do trzydziestu minut, poczem machina przestaje działać. Jeżeli ogień w tym czasie nie zgaśnie, niema czasu też samą maszynę powtórnie nabijać: trzeba mieć ich kilka. Nie ulega żadnej wątpliwości, że z pomocą annihilatora Philipsa, z największą łatwością gasi się wszelkie płyny palne, które po ugaszeniu płomienia, już same przez się zapalić się nie mogą, jak również wszelkie materiały, w których głównie płomień jest straszliwy. Najzaciętsze pożary pokojowe, piwniczne, można z małemi narzędziami bardzo łatwo ugasić. To co mówię o annihilatorze Philipsa, zasadza się nie tylko na tém, co sam widziałem, ale i na tém, co pisały dzienniki angielskie, jakoto: *Times*, *Herald* i inne.



KRONIKA LITERACKA.

Przekłady poetów polsko-łacińskich. Tomik czwarty i piąty. Poezye księdza Macieja Kazimierza Sarbiewskiego. Dział I, Pienia Liryczne; dział II, Pienia Liryczne i opisowe. Przekład Władysława Syrokomli (Ludwika Kondratowicza) 12ka. Wilno. 1851. Str. 198, 256, i Spis rzeczy.

Zyjemy w wieku realnym, w którym duch społeczności skierowany jest wyłącznie na drogę przemysłu i wynalazków. Otoczeni zewsząd maszynami, potracając na każdym kroku o spekulacye, zapomnielibyśmy wkrótce o istnieniu pokarmu dla duszy, jakiego obficie dostarczyć może nauka przeszłości lub sztuki piękne, gdyby od czasu do czasu nie budzono nas gwałtem prawie z uśpiania i nie podawano do rąk moralnej zabawy, łączącej w sobie przyjemną rozrywkę w odetchnieniu i korzyść, której dostarcza nauka. Tak sądzimy o poezyi, tej częstce obszernego naukowego zawodu, bo przez nią podnosząc ducha i kształcąc uczucie piękności, nie wyziębiamy duszy i nie czynimy jęj głuchą na głos z serca pochodzący.

Po Janickim i Kochanowskim, nad których przekładami zastanawialiśmy się niedawno, wypadłoby z porządku zająć się zdaniem sprawy z przekładu *Roxolanii* Klonowicza; lecz znając oryginał tylko z nastychu, a nie mając go pod ręką, ani dostać zkańkolwiek mogąc, odkładamy rzecz tę na później: albowiem ohooczy wydawca p. Zawadzki w najbliższym tomiku, oryginał łaciński drukiem ogłosić przyobiecał. Za co mu powszechnie składamy dzięki, iż się tak chętnie przykłada do uratowania, być może od zagłady i zniknienia, tego pomnika przeszłości.

Przystępujemy więc wprost do Sarbiewskiego.

Jak każdy pojedynczy człowiek różni się rysami zewnętrznymi od reszty współbraci swoich, tak i utwory przez różne osoby wykonane, chociażby do jednego skierowane celu, statecznie się od siebie różnią

Tak więc i ksiądz Maciej Kazimierz Sarbiewski nosi na sobie typ różny wcale od poprzednich, nie tylko pod względem charakteru wewnętrznego, ale i zewnętrznego wykonania. Janicki syn kmiecia, Kochanowski szlachcic z rodu, oba po swojemu hołdując muzom, wydatne piętno uczuć i wieku w którym żyli, zostawili na swych utworach. Sarbiewski, to także szlachcic, lecz w zakonną jezuicką przybrany sukienkę, zaparł się dobrowolnie stosunków ze światem, i jeżeli po światowemu w swych dziełach przemawia, nie śmie zakonną przekroczyć klauzury, i prawie każdy wiersz jego, każda myśl w nich zawarta, tak poważne, tak wymierzone, jakby je z ambony, a przynajmniej z katedry ogłaszał. Bo w swęj żywej, ogniem ziejącej poezji, Sarbiewski zawsze jest poważny; bo jego zaparł tak wyrachowany, jak miara wiersza w którą zakuty został: błyszczy światłem sztucznym, skierowanym li tylko ku temu, aby nie zdradzić poważnego stanu kapłana, aby nie zachwiać przyzwoitości, jaką charakter duchowny wszędzie i zawsze zachować musi. Ztąd, czy weźmiemy na uwagę wiersze okolicznościowe, czy też poezje, które w chwili własnego natchnienia na papier przelał, zawsze Sarbiewskiego w zakonną widzimy osłonie, hamowanego wędzidłem stanu, któremu swą przyszłość poświęcił.

To z dzisiejszego na poezją zapatrywania się, wypływa stanowiska. Ówczas Sarbiewski nie mógł i nie powinien był pisać inaczej; nie mógł, bo okoliczności czasowe, a mianowicie stan nauk, skierowany głównie ku klassycyzmowi rzymskiemu, wymagał tego naśladownictwa; nie powinien, bo inaczej nie mielibyśmy nawet tego, co stosując się do ducha wieku, potomności przekazał.

Sarbiewski może zanadto używa klassycznej mitologii: ale z przyjęciem wiary Chrystusa, zatraciliśmy nasze pogańskie bóstwa do tego stopnia, że dziś nawet ich nazwisk wszystkich nie wiemy; a jednak bogatą była mitologia dawnych Słowian! Żarliwość z jaką się wzięto do nowej wiary, zakazała samego wspomnienia bogów, którym przez długie wieki pokłony czyniono. Mógł więc poeta bezkarnie wspominać Jowisza, Marsa, Bachusa, Apollina, Minerwę, a nawet i Wenus, bo to były tylko cacka, któremi każdemu igrać dozwolono; ale jako kapłan, jako ksiądz katolicki, jako Jezuita, strzegł się pilnie Swiatowida, Łady lub Rusalek, jakkolwiek dawno ich panowanie minęło, a ztąd prawdopodobnie, że może o nich i niewiele wiedział (1). Sarbiewski pisząc językiem i w duchu Rzymian,

(1) W jednym tylko miejscu pozostałego ułamku Lechiady czytamy:
Elegit Diana locum, *Dzewonia* vestra
Surgere jussit opus tantum:.....

jest raczej poetą kosmopolitą, niż Polakiem, i o tyle tylko nas obchodzi, o ile swą muzę, zwracając głos ku rodakom, na polską nagina stronę. Tylko wtedy go jako narodowca dokładnie ocenilibyśmy mogli, gdyby nie zaginęła *Lechiada* nad którą długo pracował, a której tylko ułamek księgi jedenastej doszedł naszych czasów. Naksztalt Horacyusza lub Wirgilego, co Cezarom rzymskim śpiewali, nieraz Jezuita z swój liry bojnie i pochwalne dla Rzymu wydobywa dźwięki, skąpszym będąc dla rodzinnój Polski, i zyskał też przydomek Horacyusza. Jako Horacyusz polski znany jest na całym szerokim bożym świecie, a my jeszcze niedawno wiedzieliśmy o nim tyle, ileśmy się nauczyli wiedzieć o nim od cudzoziemców.

Na łacinie zaprawiali się do nauk przodkowie nasi, lecz łacina jest trudna. Młodzież tylko z potrzeby lub wolą starszych zmuszana, uczyła się jęj tak, jak i dziś—za pańszczyznę; rzadko kto zatém, chyba przy wrodzonych zdolnościach i ochocie, na wyższym biegłości mógł stanąć stopniu i odznaczyć się zaszczytnie w krasomówstwie lub poezji. Lecz ci wszyscy właśnie z tego powodu odróżniwszy się i wyosobniwszy od innych, należą o tyle tylko do swego narodu, o ile rozbierają kwestye żywotne swojskie. Traktując zresztą rzeczy obojętne, nie mając żadnej właściwej barwy prócz prostego dźwięku słów, językiem obumarłym od danego, powinni się liczyć do tój tylko literatury, której językiem dzieła ich pisane.

Wszystko cośmy dotąd powiedzieli, da się w części zastosować do Sarbiewskiego. Przywdziałwszy on zakonną Jezuitów sukienkę, w duchownym stanie widzi tylko najwyższe szczęście. Klęka i prawie ubóstwia papieża, boć to widoma głowa kościoła, a on podwładny, jest tylko maleńkim proszkiem w porównaniu z namiestnikiem Cbrystusa. Chwali możnych we Włoszech, by im się przypodobać, chwali możnych w kraju, by dobrodziejstwa na zakon do którego należał, ściągnąć. Całej mitologii pogan na pomoc przyzywa i hojnie szafuje poetycznym uczuciem; a czy powód do tego ważny czy błahy, z równą mocą, z równą harmonią sypkuje pod miarę wiersze, i czytelnik zachwycony nie wie co podziwiać: wrodzonymi talent, czy też wytrawną naukę poety?!

Życie Sarbiewskiego tylekroć już opisywano, że powtarzać tu szczegóły, byłoby zupełnie zbyteczną rzeczą (1). Prace jego liczne zyskały wydania więcej za granicą, niż w kraju; co bynajmniej zadziwiać nie powinno,

(1) Najobszerniej o życiu i dziełach Sarbiewskiego pisali:

Langbein: Commentatio de Math. C. Sarb. Dresdae, 1753 i 1754.

Kolanowski de Math. C. Sarb. Poloniae Horatio. Berolini, 1842.

gdyż właśnie kosmopolityzm Sarbiewskiego dozwalał zarówno cieszyć się niemi wszystkim narodom. Oto szereg edycji Sarbiewskiego (1):

5. *Kolonia*: 1625, 12ka; 1648, 16ka; 1682, 12ka; 1692, 12ka; 1721, 8ka;

3. *Wilno*: 1628, 12ka; 1747, 12ka (Kruszewski); 1757, 4ka (Naruszewicz).

5. *Antwerpia*: 1630, 12ka; 1632, 4ka; 1634, 16ka; 1646, 16ka; 1682, 12ka.

1. *Rzym*: 1643, 12ka.

1. *Dijon*: (Divio) 1645, 12ka.

1. *Kraków*: 1647, 4ka (z tłumaczeniem Libickiego) (2).

3. *Paryż*: 1647, 12ka; 1759, 12ka; 1791, 12ka.

1. *bez miejsca druku*: 1660, 12ka.

2. *Wrocław*: 1669, 12ka (tak się domyśla Bentkowski); 1753, 12ka.

1. *Kalisz*: 1681, 12ka.

1. *Londyn*: 1684, 12ka.

1. *Gdańsk*: 1737, 12ka (Czartoryski).

1. *Drezno*: 1754; 12ka; tu także zamierzał w roku 1812 wydać nową edycją Marcin Łaguna, lecz nie przysłała do skutku.

2. *Warszawa*: 1769, 8ka (wyd. Bohomolca z tłumaczeniami); r. 1830 (u Pijarów) tylko księga pierwsza, z bardzo szacownym komentarzem przez ś. p. ks. Edmunda Andraszka sporządzonym, oraz 1831, 8ka; same tłumaczenia ks. A. Załęskiego Benedyktyna.

1. *Strasburg*: 1803, 8ka.

1. *Buda*: 1824, 12ka (wydanie stereotypowe).

1. *Lipsk*: 1842, 16ka.

Oprócz wydań tych częściowo lub całkowicie dokonywanych, zajmowano się także i tłumaczeniami Sarbiewskiego; i tak *Coupé* w swoich *Soirées littéraires* XVI tłumaczył go częściowo; zaś w r. 1755 wszystkie dzieła S. po francuzku ogłoszono. We Wrocławiu jeszcze w r. 1802, 8ka, wyszło tłumaczenie na niemiecki przez A. Rathsmanna, poprzednio wszakże niektóre z pieśni przetłumaczył Jan Mikołaj Goetz, które wyszły wraz z innymi utworami wydane przez Ramlera w 1785 r.

Tłumaczenia polskie dokonane niegdyś przez Twardowskiego, Puzynę, Naruszewicza, Minasowicza, Bohomolca, Przeddzieckiego, dziś dziwnie przypadają dla naszego ucha. Jeżeli ciężką jest szata w którą

(1) Mam je sobie podane od p. F. M. Sobieszczańskiego, adjunkta biblioteki głównej okręgu naukowego warszawskiego.

(2) Tak podaje Bentkowski; Juszyński wszakże nie o tém nie wspomina, a i ex. który widzieliśmy, tłumaczeń Libickiego nie obejmował.

Sarbiewski ustroił swe pieśni, to daleko cięższą jest zbroja, w którą zamknięty został tłumaczeniem. Taż sama postać poety z rzymskich w polskie przyobleczona kształty, nietrudną tu jest do poznania, i ma swoją dobrą stronę, to jest wierność. W owe czasy może odpowiadała pojęciom i usposobieniu, dziś stanowić może tylko wspomnienie dobrych chęci i szczerzej pracy, ale nad to nic więcej. Późniejsze tłumaczenie przez księdza Załęskiego dokonane, może w wielu miejscach wytrzymać współzawodnictwo z obecnym wydaniem, a nawet często wyjść ze zwycięstwem, bo jest tam i wierność, i nowsze pojęcie poezji. Zestawimy więc gdzieś niedzie niektóre, dla porównania wraz z oryginałem, aby każdy łącznie mógł widzieć i sam ocenić, jak się kolejno rozwijało i kształciło u nas pojęcie poezji i jak tłumaczeń dokonywano.

Przystępujemy zatem do samych poezji:

Oda *piérsza* księgi piérszój, napisana w roku 1623 do *Urbana VIII* papieża, gdy niezmierne siły tureckie ustąpiły z Węgier, zaczyna szereg pochwał oddawanych Rzymowi. Tłumaczenie tej ody niekoniecznie znajdujemy wierne: zawiera jednak pewne zalety. Lepsze według naszego zdania jest tłumaczenie ks. Załęskiego, bo wierniejsze, a może i niemniej dźwięczne. Oto dla porównania wraz z oryginałem ostatnie cztery strofy.

(Tłumaczenie ks. Załęskiego):

Światłość światłości, pan ziemskiego tronu,
Patrzac się na Rzym z górnego Syonu,
Niech koi państwa, niech Cię ojcem głosi,
Bo Cię świat prosi.

Niechaj Ci wawrzyn oznacza lat wątki,
Niech sprzyja *fatum*, niech się spieszą prządki,
Niechaj Ci snują ręką niezuchwałą
Nié wiecznie trwałą.

Panna siedząca pomiędzy gwiazdami,
I otoczona jasnych gwiazd chorami,
Niech się zlituje nad rzymskimi syny,
Dla Twój przyczyny.

Niech ma w swój pieczy smutne Rzymu losy,
Niech przyjmie wdzięczne panien, chłopców głosy;
Niech na możniejszych panów ślubowania
Ucho swe skłania.

(Tłumaczenie obecnie dokonane):

Mirty dla Ciebie wyrosły w tej chwili,
I wawrzyn dla Ciebie rośnie,
Dąb na cześć Twoją swe konary chyli,
I jodła szumi radośnie.

Bogdaj w niebiesiech u stóp majestatu,
 Głos ludów został przyjęty!
 Bogdajbys długo o pasterzu święty,
 Panował miastu i światu!
 Panna niebieska, gromicielka piekła,
 W zorzową szatę odziana,
 Bogdajby prośbę za Rzymem wyrzekła,
 Prośbę o życie Urbana.
 O to dziewica, młodzian i pacholę,
 O to i z grobów przodkowie.
 W rzymskim narodzie i w senatu kole,
 O to się modlą Jechowie (1).

Następną oda druga do *Aureliusza Lyka*, aby nie narzekał na niestałość losów, przetłumaczona już była niegdyś przez Piotra Puzynę, Fr. Bohomolca i Ep. Minasowicza. Mieści się także i w zbiorze ks. Załęskiego; w tłumaczeniu przecież obecnym lepiej jest oddana, i więcej niż oda pierwsza do oryginału zbliżona. Piękny jest ustęp malujący samą niestałość losu, temi oddany wyrazy:

.....
 Ten, co dziś orze, zajmie miejsce święte,
 Jak prawodawca nad rzymskimi męże,
 I w jarzmo z karku wołowego zdjęte,
 Nieprzyjacioly ojczyzny zaprzęże.
 Tego co wczora wieczerał nędzarzem,
 Poranek wita w bogactwie, powadze,
 Wczora, on byki zaprzęgał do jarzem.
 Dzisiaj, piastuje dyktatorską władzę.

(1) Takie jest brzmienie samego oryginału:

Siderum praeses, dominusque terrae,
 Lucida Romam speculatus arce,
 Regna tranquillet, cupidoque patrem,
 Te velit orbi.

Laurus annosum Tibi signet aevum:
 Fata te norint, properentque Parcae,
 Nescium carpi Tibi destinatos,
 Stamen in annos.

Quaeque formosos sedet inter ignes,
 Sedulam pro Te miserata Romam
 Virgo, quam circum glomerantur albis,
 Astra choreis.

Curet effusas Latii querelas:
 Virginum castas juvenumque voces,
 Curet, et votis procerum reclinem ac-
 commoedet aurem.

W odzie *trzeciej*, znowu do *Urbana VIII* napisanej, chwali go bez miary, bo nawet aż do przesady. Cała przeto oda choć piękne zawiera myśli i zwroty, nie wzbudza przecie współuczucia w czytelniku. Takto zwykle bywa, kiedy się miarkę przebierze.

Oda *czwarta* do *Kryspa Lewińskiego*, iżby zanadto nie dowierzał młodości, znajduje się w wydaniu Bohomolca, tłumaczona przez Puzyńę. Przekład téjże ody przez Załęskiego jest wierniejszy; np. strofa czwarta:

(Tłumaczenie ks. Załęskiego):

Jedna godzina hojną ręką daje,
 Druga wydziera, co po niej nastaje;
 Tak nas czas ludzi, jak żartując matki
 Łudzą swe dziatki.

Pięknie może, lecz mniej wiernie czytamy w obecnych Przekładach:

Los ci prawicą dar jaki nawinie,
 Lewicą wydrze, co dał tak uprzejmie;
 Niby jak matka, co małej dziecinie
 To poda cacko, to *nazad* odejmie (1).

Oda *piąta*, wyłącznie znowu pochwałą *Urbana VIII* poświęcona, takż X i jeszcze XXI w téjże księdze, gdzie wiersze papieża (2) chwali, pełne są myśli pięknych, jakkolwiek nie bez przesady.

Oda *szósta do książąt Europy*, o potrzebie wyjarzmienia wschodniego państwa, bogata w silne wyrażenia, pięknie jest oddaną w niniejszych przekładach, bo téż tu istotna poezya, a tłumacz przejął się tyle tylko autorem, ile tego do oddania bez urony myśli głównych potrzebował.

Oda *siódma* do *Telefa Lyka*, w której oskarża losy i rzeczy ludzkich niestałość, przełożoną już była niegdyś przez Naruszewicza. Czytamy ją także i u Załęskiego. Przekład wszakże p. Syrokomli znajdujemy mniej wierny, lecz piękniejszy od poprzedniego.

W odzie ósmej poeta gromi gnusność wieku. Znamy ją tylko w przekładzie Naruszewicza, który pod względem wyrażen poetyckich nie może z p. Syrokomlą iść w zawody. Oto na próbę kilka wierszy:

(Tłumaczenie Naruszewicza).

.Ej porzućcie, junacy, pieszczone
 Skrzypce i flety, niech się sprzęt niewieści
 W domach potomków rycerskich nie mieści.

(1) Zamiast *nazad* wolelibyśmy *znowu*. Strofa oryginalna tak brzmi:

Quod tibi larga dedit Hora dextra,
 Hora furaci rapiet sinistra,
 More fallentis tenerum jocose
 Matris alumnum.

(2) Wyszły w Rzymie 1643 w 4^{to} z komentarzem Henryka Dormaliusza.

Słyszycie? od Dunaju wrzask trąby chrapliwy
 Aż do nas się rozchodzi. Już Apenin krzywy
 Brzmi jój odgłosem, już się odezwały
 Wysokie góry i odległe skały.
 Pędzi Mars zewsząd wojska, a myż nie pójdziemy?
 A myż przy kullach tylko gnuśni zostaniemy?
 Czyniąc biesiady łez kmiotków niesyte,
 I całych królestw skarbami nabyte,
 Na które gdy zachodni Hesper okiem rzuci,
 Nie ujrzy końca, lubo Fosforem powróci.
 A księżyc, co się przez całą noc toczy,
 Śmiejąc się, w winie promienie swe moczy.
 Kiedy palce w zamorskie umazawszy trunki,
 Czynim sobie na stołach obozów rysunki,
 Prowadzim szançe, a fossę obszerną
 Robimy, drogim szafując *Falerną*.

Wprawdzie może zanadto wiernie, ależ przy mniejszój wierności,
 większy dźwięk tychże samych myśli znajdujemy u p. Syrokomli; np:

.....
 O złammy, strzaskajmy i lutnie i liry,
 Zostawmy niewiastom płasania i śpiewki.

Słyszycie? jęczenie nad Istrem zawrzastło,
 To dziki Muzułman zatrąbił na rogu,
 Aż Alpy z westchnieniem odbiły to hasło;
 To wyzew do walki i ludom i Bogu.

Pójdziemyż? czy chcecie? O! wcale nie wierzę:
 Wprzód pozbyć się trzeba pragnienia i głodu,
 Tu wina kaleńskie, tu drogie wieczerze,
 Kupione za pieniądź czynszowy narodu.

Biesiada wciąż szumi, kielichy wciąż sterczą,
 I trunek smakowny przechodzi z rąk w ręce;
 A księżyc co uczcie przyświecał szyderczo,
 Zdał teraz straż naszą porannój jutrzence.

I cóż nam do wojen? my znamy je wiernie,
 Nam dobrze świadome stosunki Europy,
 My tutaj na stole przy dobrym Falernie,
 Zrysujem zastępy, wieżyce, okopy. (1) i t. d.

(1) Frangite barbita,
 Nervosque, dementemque buxum,
 Femineo prohibete cantu.
 Auditis? Istri litora personat
 Ferale cornu. Jam capita Alpium,
 Magnaeeque respondere montes

Przekład ody *dziewiątej* do *Mikołaja Wejhera*, wojewodzica chełmińskiego znajdujemy zanadto oddalony od oryginału Sarbiewskiego: jest to raczej naśladowanie, niż tłumaczenie. Tu p. Syrokomla został *samej sobą*; Sarbiewskiego ledwie dostrzedz można.

Oda *jedénasta* do *Stefana Paca* podskarbiego litewskiego, w której poeta wyrzuca rycerstwu przepych ryszczunków, odznacza się mocą i dobitnością wyrażen, znaną jest czytelnikom niniejszego pisma w wyjątku, umieszczonym przy rozbiórce Pamiętnika naukowo-literackiego (1); dodamy tylko, że tłumaczenie jakkolwiek piękne, wiernością przecież zalecać się nie może.

Oda *dwunasta* do *książąt państwa rzymskiego* o wyjarzmieniu prowincyj greckich, zachęca do połączenia sił i uderzenia na Turków, obiecując żołnierzom nietylko hojną zapłatę i łupy, lecz i używanie wszelkich życia rozkoszy; a w końcu błogosławieństwo, że się do chwalebne go dzieła przyłożyli. Posłuchajmy, jak to zręcznie tłumacz-poeta od-
daje:

.....
 Jeden drugiemu ochoty udzielcie,
 A jeśli żołdak myśli o jurgielcie,
 Niech idzie śmiało, żołd się nie wyśliznie,
 Niech idzie śmiało, nie zwiedziem go chytrze:
 Bo gdzież pieniądze, gdzie złoto obfitsze,
 Jako na starój bogatěj greczyźnie?
 Byle żelazo i ręka z zapalem,
 A złoto łacno znajdziemy nareszcie.
 Kto będzie umiał ruszniczym wystrzałem,
 Zdobywać skarby na bogatém mieście,
 Nagrodi pracę skoro wejdzie w mury,
 Bo weźmie łupem bogactwa i dziwy;
 Nie będzie łaknąć tyryjskiej purpury,
 Ni cypryjskiego wina i oliwy. i t. d.

Ausoniae: novat arma Mavors,
 Urbesque tectis elicit. Ibimus?
 An nos Caleno mensa tenet mero,
 Caenaeque regnorum redemptae,
 Divitiis populi que censu?
 Quas cum recedens viderit Hesperus,
 Surgens easdem Phosphorus adspicit;
 Et ridet adspecto renidens
 Luna mero, radiosque tingit;
 Dum nos Lyaeo regificis super
 Descripta mensis praelia pingimus,
 Fusoque metamur Falerno
 Maenia, diluimusque fossas.

(1) Zob. Bibl. Warsz. z r. 1850, T. I, str. 562.

Oda *trzynasta* do *Turkwiniusza Lawina*, aby nie tracił nigdy nadziei, i zawsze, czyto w szczęściu, czy przeciwnościach jednaki umysł zachował, piękną zawiera naukę moralną, tym czterowierszem oddaną:

Lecz nie śmiej deptać co upadło w pyle.
Nie czyn pogardy lub uragowiska,
Bo los jedynie czyniąc krotofilę,
Kości na lewo i na prawo ciska.

Inaczej trochę znajdujemy myśl tę oddaną przez Załęskiego, a nawet mniej dźwięcznie:

Porzuć zbytnie uraganie,
Choć go widzisz w nędznym stanie:
Niech twą pamięć los ocuca,
Co podwójną gałkę rzuca.

Obadwa jednak tłumaczenia, nie wytrzymają porównania z oryginałem.

Oda *czternasta* do *Juliusza Flora*, w której poleca staranie nad młodym Lynceuszem, przetłumaczoną była przez ks. Puzyńę i Przeddzieckiego Michała starostę pińskiego. Oba tłumaczenia znajdujące się przy wydaniu Sarbiewskiego przez Bohomolca, zalecają się tylko zachowaniem formy zewnętrznej wiersza oryginalnego i trochę wierności. Treścią tej ody są przestrogi i zachęta do ścisłego trzymania młodzieńca.

Oda *piętnasta* do *rycerstwa polskiego* napisana z okoliczności, gdy Władysław król wicz po pokonaniu Osmana pod Chocimem, dnia 10 października 1621 r. zwyciężkie wojsko na zimowe leże odprowadzał. Pamięć tego zwycięstwa, corocznie przez długie obchodzona wieki, ustąpiła z czasem, i dziś tylko liczne dzieła poetyckie, opiewając czyny bohaterów, przypominają je kiedyniekiedy potomnym.

Oda *szesnasta*, w której poeta strofuje gnusność wieku, pełna jest silnego uczucia, jakim był przejęty widząc ogólne uśpienie i lenistwo, brak mężkości i zniewieściałość. Tłumaczoną była przedtém przez Naruszewicza. Oto piękne i dość wierne jój zakończenie w nowém tłumaczeniu:

Wstyd nam dziadowskich hełmów, staroświeckich znamion,
Nam trzeba drogich ozdób w tegowiecznej pysze;
Nam dawniejsze kołczany pospadają z ramion,
Ciężkie dla nas szablíce i dawne berdysze.

Stara siła i dzielność, rzeczy dla nas cudze,
Zbroja ojca za wielka, za ciężka dla syna;
Nie potrafi dać kroku w dziadowskiej kolczudze,
Pod włócznią pradziadowską aż ramię ugina.

Po tój odzie, w wydaniach łacińskich Sarbiewskiego czytamy wiersh o łagodności, jaką książęta najbardziej zalecać się powinni. W tłumaczeniu niniejszém nie znajdujemy tój ody na swoim miejscu. P. Syrokomla nawet, mówiąc o opuszczeniach w tomiku V na str. 254, zupełnie ją pominął.

Oda *siedmnasta* (właściwie 18) do świętej Elżbiety królowej portugalskiej, gdy w r. 1625 przez Urbana VIII policzoną została w poczet świętych. Przywodzimy ją w całości w dwóch tłumaczeniach i w oryginalnym:

(Tłumaczenie ks. Załęskiego):

Święta! co władasz już na oceanie,
Którę wzywają nadmorscy Hiszpanie,
Dla której Tagus czystém złotem płynie,
W całej krainie.

Mieszkałaś dawniej w tych lepiankach z nami,
Dzisiaj, pomiędzy jasnemi gwiazdami,
Widzisz przed sobą krążące komety,
Widzisz planety.

Dziś, gdy ci drogie lasów Medzkich dary
Palimy w Rzymie, na znak twój ofiary;
Niech nasze winy przed Bogiem zastonia
Te dymy z wonią.

(Tłumaczenie Syrokomli):

O święta! której oltarze
Wznoszą w zachodniej krainie,
Przy wodnistym Gibraltarze,
I gdzie Tagus złotem płynie.

W dom nędzarza, w dom chorego,
Szaś ochoczo—dziś ci błogo
Ponad gwiazdek mleczną drogą,
Gdzie planety wirem biegną.

My cię cześcim w świętym Rzymie,
I kadzidła palim wschodnie;
O patronko! niech w tym dymie
Skryte będą ludów zbrodnie (1).

Oda *ośmnasta* (19), w której poeta wzdycha do niebieskiej ojczyzny, przetłumaczona przez Puzyńską i Załęskiego, ustępuje w piękności oryginalnym wyrażeniom, jakie u Sarbiewskiego znajdujemy; przekład obecny odznacza się doborem dźwięcznych słów, ale ustępuje w wierności.

Oda *dziewiętnasta* (20), *do książąt włoskich*, o konieczności odzyskania wschodniego państwa, podobnie jak i *dwunasta*, zachęca do wojny przeciwko Turkom.

Oda *dwudziesta* (21), *Do Urbana VIII* papieża, iż wszystkie narody są dzisiaj dziedzictwem Chrystusowém. W niej nazywa papieża: *wielkim*

- (1) Diva, devexo nominata ponto,
Cujus undosae meminere Gades,
Cui Tagus servit, liquidoque rura
Praefluit auro.
Pauperes olim coluisse sedes
Laeta, nunc magnas habitare stellas,
Inter et gyros, et euntis inter
Sidera mundi.
Dum tibi Medae pretiosa silvae
Damna per Thuscas adolemus aras,
Thureo Regem populique celes
Crimina fumo.

usmierzcą sciszzonego świata, podobnież jak i w pierwszej, sypiącej pochwały temuż papieżowi (strofa 10), tłumaczenie w zewnętrznej formie, a czasem i co do ducha, różne od oryginału.

Oda *dwudziesta pierwsza* (22), ma za treść pochwały Urbana, o czém wspomnieliśmy wyżej, przy odzie *piątój*.

Oda *dwudziesta druga*, (23), *Do Lewina Hielyusza* ma za treść zalecenie pracy. Przekład jój obecny, choć różny formą wiersza od oryginalnych czterowierszowych zwrotek, gładko jednak dokonany, mile przypada do słuchu, potoczystością wyrażen, na których nie zbywa tłumaczowi.

Takim jest przegląd szczegółowy księgi pierwszej. Zastanawiając się w podobny sposób nad resztą przekładów Sarbiewskiego, zanadto możebyśmy się rozszerzyli i znudzili naszych czytelników. Streścimy przeto swoje wywody i porównania, o tyle, iżby tylko wierny dać obraz samego autora, i dokonanej przez tłumacza pracy, zwracając uwagę na zasługę, jaką sobie ten ostatni zjednał, tak chlubnym a mozolnym zadaniem.

Księga druga składa się z dwudziestu ośmiu (1) ód, które wszystkie w niniejszym przekładzie znajdujemy. Niektóre z nich są już dawniej tłumaczone, i tak: Puzyna przełożył *drugą, siódmą i ósmą*; Naruszewicz: *trzecią, szóstą, ósmą, dziewiętnastą i dwudziestą pierwszą* (2); Franciszek Bohomolec przełożył także odę *drugą*. Naostatek u Załęskiego znajdujemy: *drugą, trzecią, piątą, siódmą, piętnastą, szesnastą, osmnastą, dwudziestą piątą, dwudziestą szóstą i dwudziestą siódmą* (3). Tylko przekład ostatniego znajdujemy godnym bliższej uwagi. Weźmy naprzykład odę *piętnastą do Narwi*, nad której brzegiem, mając lat szesnastcie, pierwszą pieśń liryczną śpiewał; oto jój brzmienie:

Jeszcze wpośród róży białej,
Leżał sobie dzień ospały;
Jeszcze nie wzniośł pięknej szyi,
Ni z fijołków, ni z lilii:
Ja zaś czujny rano wstałem,
Ja mu miły sen przerwałem
Lutnią moją, której głosy
Pieryjskie, szły w niebiosy.

Tak pierwszy raz zanuciłem,
Gdy w szesnastym roku byłem:
Kiedym nad brzegiem wesoło
Pięknej Narwi chodził wkoło,
Odtąd mi się wszystkie śmieją,
Odtąd wszystkie dni jaśnieją,
A ten pierwszy, co złoconój
Swym promieniem dotknął strony,

(1) Przez omyłkę w liczbowaniu i po liczbie XVII położeniu XIX, wyszło u pana Syrokomli 29 ód, tak w samym tekście, jako téż i w rejestrze.

(2) Dla powyższej omyłki odpowiadają dwie ostatnie dwudziestój i dwudziestój drugiej u p. Syrokomli.

(3) Dla podobnej przyczyny trzy ostatnie noszą liczbę dwudziestą, dwudziestą szóstą, siódmą i ósmą u p. Syrokomli.

Już się tarczy nie dotyka,
 Już Gradywa trąb unika.
 Woli na wsi piękne łąny,
 Lub nad źródłem kwiat różany,
 Lub siołki, lub kryształy,
 Lub Wilii bieg wspaniały;
 Lub też w pierwszej wiosny dobie,
 Z zefirem bawić się sobie.
 Tobie Narwo, której zdroje
 Opiewały pienia moje,
 Której naprzód jam dziecina,
 Grał na lutni Rzymianina;
 Tobie taki wiersz rysuję,
 I na dębie zostawuję:
 „Którą Febus tak miłuje,
 Której słodko wyśpiewuje,
 Którą Muzy tak kochają,

Której mile wygrywają:
 Tę też Narew tak wesolą,
 Otaczajcie lutnie wkoło,
 Otaczajcie piękne córy,
 Wysławiajcie swemi chóry”.
 Ten gdy będzie z własnej woli
 Wzrastać z dębem choć powoli,
 Umićć będą i chłopczęta,
 Nauczą się i dziewczęta:
 A gdy się ich zbierze wiele,
 W święto jakie, lub niedzielę,
 I gdy będą w wodzie czystej
 Zbierać bursztyn przezroczysty,
 Lub kamyków szukać wszędy:
 Zaraz staną we dwa rzędy,
 I naprzemian go chłopczęta,
 Śpiewać będą i dziewczęta.

W przekładzie pana Syrokomli znajdujemy ją skróconą do niepoznania; są tam myśli z Sarbiewskiego wyjęte, ale wiersz jego nie jest tłumaczeniem: tak albowiem czytamy w obecnym przekładzie:

Na wiązance z białej roży,
 Na siołkach spoczął we śnie
 Dzień ów wielki, dzień miniony,
 Gdym najpierwszą złożył pieśnię.
 Gdy nad Narwią harfa brzękała,
 Niedoleżną jeszcze nutę,
 O zaiste! z dnia tamtego,
 Złote dla mnie dni wysnute.
 Ozłocona harfa moja,
 Nie chrzęściła jako tarcza,
 Nie śpiewała bohaterów;
 Licha wioska jój wystarcza,
 Uperlone rosą kwiaty,
 Róże, gwóździk, tulipany,

Albo Wilii brzeg majowy,
 Zefirami ugłaskany.
 Narwi rzeko! tum w najpierwszej
 Niemowlęctwa śpiewał porze!
 Tum najrańszą mą piosenkę,
 Na wiązowej wyrzył korze.
 Póki jeszcze nie zarasta
 Kora rylcem zadraśnięta,
 Niech się pieśni mój wyuczą
 I dziewice i chłopięta.
 I w mojego dnia rocznicę,
 Niech się zejną tutaj wcześniej,
 Aby razem i naprzemian,
 Chórem śpiewać moję pieśnię (1).

(1) Które z obu tych tłumaczeń jest wierniejsze, a przeto lepsze, łątwo się każdy z załączonego oryginału przekonać może:

Albis dormit in rosis,
 Liliisque jacens et violis dies,
 Primae cui potui vigil
 Somnum pieria rumpere barbito,
 Curae dum vacuus puer
 Formosi legerem litora Narviae.
 Ex illo mihi posteri
 Florent Sole dies: qui simul aureae
 Infregit radios lyrae,
 Jam nec scuta sonat, nec strepitum
 tructis

Gradivi, sed amabiles
 Ruris delicias: sive rubentia
 Udo rōre rosaria,
 Seu molles violas, sive volubilem,
 Leni flumine Viliam,
 Seu primo graciles vere Favonios.
 At tu, *Narvia* quem puer
 Tum primum Calabria personui fide,
 Ictu pectinis hoc habe,
 Incisum viridi carmen in ilice:
 „Quem Phoebus cithare pater,

Z innych ód téj księgi zasługują na uwagę: *trzecia* do lutni, *piąta* niewłaściwie zatytułowana przez p. Syrokomlę: „O występkach rodzaju ludzkiego” (E rebus humanis excessus). Ma albowiem za przedmiot wzniesienie myśli w nadziemskie sfery, i wyrzucie się ze zmysłowości. Lepiej ten napis streścić idąc za przykładem tłumacza niemieckiego *Goetza*, *Załęski*, położywszy: *Widok z góry* (der Anblick von Oben). W wierszu tym dziwnie przedstawia się sam *Sarbiewski*; myśl tam ukryta, dziwnie pasuje do reszty utworów, bo w odzie téj wzniosł się rzeczywiście poeta nad swój wiek i pojęcia ówczesne. Piękną jest, także oda *jedenasta* do Najświętszej Panny Maryi, gdy *Jan Karol Chodkiewicz* zbudował jój kościół w *Krożach*; *dwudziesta czwarta* przekleństwo *Herodowi*... Lecz cóż wybierać i wyliczać?—wszystko tam jest piękne. *Sarbiewskiemu* nikt dotąd nie zrównał, a u p. *Syrokomli* czytają się tak mile, że nieprędko nam kto inny zastąpić go potrafi.

Księga *trzecia* liczy w oryginale trzydzieści dwie ody, z których opuszcza tłumacz dwie, a mianowicie *XIV Ad Honorem*, cum *Franciscus Barberinus sacra purpura ab Urbano VIII Pont. Max. ornaretur*, i *XVIII Laudes Fran. Card. Barberini*, z czego się sam w tomiku piątym (str. 254 usprawiedliwia (1). Z tłumaczeń dawniejszych znamy odę *czwartą* przełożoną przez *Puzynę* (2); *Naruszewicz* przełożył *XIII*, *XX* i *XXI* (3); *Wiśniewski* zaś *Pijar* przetłumaczył *XVIII* (4). U *Załęskiego* znajdujemy dwadzieścia, a mianowicie: *I*, *II*, *III*, *IV*, *V*, *VI*, *VII*, *IX*, *XI*, (odpowiada w przekł. *Syrok.* umieszczonej pod liczbą *XVI*;) *XII*, *XIII*, (odpowiada w przekł. *Syrok.* umieszczonej pod liczbą *XII*); *XV*, (odpowiada *XIII* u p. *S.*), *XVI*, (odpowiada *XIV* u p. *S.*), *XVII*, (odpowiada *XV* u p. *S.*, *XIX*, (odpow. *XVII* u p. *S.*), *XX*, (odpow. *XVIII* u p. *S.*, znaną jest czytelnikom *Bibl. Warsz.* z recenzji wyżej przywiedzionej, tom *I*. r. 1850,

Quem laetae citharis Plerides amant,
Laetum barbata Narviam,
Laetum virginei semper ament chori.“
Haec dum sponte virentia
Vivent in teneri vulnere corticis,
Addiscent pueri tibi,
Addiscent tacitae carmina virgines:

Festo mox eadem die,
Dum glebam solidae lucis et igneas
Electri lacrymas legent,
Partiti geminis litora coetibus,
Alternis pueri tibi,
Alternis recinent carmina virgines.

(1) Odę *jedenastą*, opiewającą pochwały *Barberiniego*, tłumacz opuszcza w porządku i umieszcza pod liczbą *XVI*.

(2) Wedle przypisu *Załęskiego* oda ta tłumaczoną była także przez *Michała Kiełczewskiego*; nam nie jest znana.

(3) Z powodu dwóch opuszczonych u p. *Syrokomli*, noszą one w oryginale liczbę *XXII* i *XXIII*.

(4) Dla téj samej przyczyny odpowiada w oryginale *XXI*ej.

str. 562;) XXIII, (odpow. XXI u p. S.), XXV, (odpow. XXIII u p. S.) XXVI, (odpow. XXIV u p. S.) i XXVII, (odpow. XXV, u p. S.) Jak poprzednio tak i teraz śmiało może walczyć o prym przekład Załęskiego z obecnym, pod względem wierności. Na dowód przywiedziemy jeszcze jedną z krótszych, to jest *drugą*, do świętej Magdaleny oplakującej śmierć Chrystusa:

Ach Magdaleno! gdy widzisz zsiniałe
 Usta Chrystusa, i oblicze całe
 We krwi zbroczone, i zwisle ramiona:
 Wre wielka miłość wśród twojego łona.
 Nikt cię nie pozna, zmieniłaś się wiele,
 Nie masz już duszy w twém omdlałym ciele:
 Zniknęła białość twego czoła znana,
 Zniknęła gdzieś owa twarz różana,
 Zniknął i kolor jaki jaśniał wprzódy,
 Śmierć tylko czarna zajęła jagody;
 Piersi już tylko czasem oddychają,
 Słabe i krótkie westchnienia wydają.
 Jednak nie będziesz (wierzaj mi) na wieki
 Polewać izami swój smutnej powieki;
 Bo dnia trzeciego wśród pierwszych promieni
 W wielką się radość twój smutek przemieni:
 Bo jeśli w dwóch dniach ciemność była wszędzie
 W trzecim podwójna za to światłość będzie.

P. Syrokomla inaczéj to oddaje, po części nawet myśl zmienia, co łatwo ocenić przez porównanie. (1) Oto przekład:

(1) Oryginał tak brzmi:

Cum tu Magdalena, lividam
 Christi caesariem, cum male pendula,
 Spectas brachia, pro! tibi
 Pectus non solitis fervet amoribus.
 Non es, qualis eras: tibi
 Non mens semianimis restat in artubus;
 Non fronti tenerae nives,
 Non vivax roscis purpura vultibus.
 Non notus superest color:
 Sed mors marmoreis pingitur in genis,
 Et vitae gracilis via
 Exili tacite spirat anhelitu.
 Non, me si satis audias
 Plores perpetuum tristia: tertia
 Cum lucem revehet dies,
 Mutati referet munera gaudii,
 Nam quae sole caret duplex,
 Ridebit geminis tertia solibus.

Magdaleno! coé się zdało
 Widząc bożą twarz zsiniałą,
 Ramiona zwiste na drzewie?
 O pewnie tknięta żalobą
 Już nie byłaś sama sobą;
 Gdzie myśl błądzi sama nie wie,
 Zawiedło twoje oblicze,
 I szkarlatu zbyły usta;
 Zbladłaś jak grobowa chusta,
 Zaskrzeplaś jak słup kamienia,
 I lekkie tchnienie dziewicze
 W ciężkie stękanie się zmienia.
 Niezawsze żalem przybita
 Będiesz płakać Zbawiciela:
 Nim trzecia zorza zaświta,
 Już ci błysnie dzień wesela.
 Bóg dobry!—nigdy z żaloby
 Człowiek nie płakał trzy doby.

O innych odach w tej księdze zawartych da się to samo powiedzieć, cośmy w krótkości przy księdze drugiej wyrzekli, to jest, że wybór i wyliczenie piękności zbyt są trudne tam, gdzie wszystko jakową, a zawsze oddzielną piękność w sobie zamyka.

* * *

Trzy powyższe księgi stanowią tomik czwarty Przekładu poetów polsko-lacińskich i pieni lirycznych Sarbiewskiego. W tomiku następnym piątym, znajdujemy resztę utworów tego poety, to jest księgę czwartą, piątą (Epodos), zabawy leśne (Silviludia), parę dzieł pośmiertnych, i trzydzieści ośm epigrammatów, nakoniec słów kilka od tłumacza.

Przystępujemy wprost do księgi czwartej.

Księga ta liczy w oryginale trzydzieści ośm ód, z tych pięć p. Syrokomla opuszcza, jak o tém na stronnicy 254 sam ostrzega (1). Niektóre z nich były już tłumaczone dawniej przez Naruszewicza, jak np. III (w przekładach Syrok. II), X, (u Syrok. IX), XV (u S. XIV), XIX (u S. XVII), XXXIV (u S. XXX), oraz przez Puzynę, który wytłumaczył znowu IV, XII, XIV, XVII, XVIII, XX, XXII, XXIII, XXVII, (w tłum. Syrok. odpowiadają III, XI, XIII, XV, XVI, XVIII, XX, XXI, XXIII). Książdz Załęski nie ogłosił nie drukiem z przekładów swoich tej księgi, nie możemy więc tu wyliczyć jego pracy i zasługi (2).

(1) W ostrzeżeniu swém atoli pominał odę 1szą do rycerstwa polskiego, gdy poeta wracając z Włoch, ujrzał Karpaty. Cztery więc tylko właściwie wylicza tłumacz, to jest XVI, XXIV, XXV i XXXVIII.

(2) Obecnie dotąd żyjący, oświadczył nam, iż całego Sarbiewskiego przetłumaczonego w rękopiśmie posiada.

Między odami w tój księdze, znajdujemy dwie z polskich pieśni Kochanowskiego, przez Sarbiewskiego po łacinie oddane, to jest oda V (u Syr. IV) i XXXVII (u Syr. XXXIII). Posiadamy Kochanowskiego wydanie z r. 1611, i dziwią nas niektóre różnice w czytaniu; tak np. u Syr. oda IV str. 17 zwrotka 9 czytamy: *Wstawajmy!* czy nas półmiski trzymają? U nas: pieśń V księgi II str. 238 *Wsiadamy?* i t. d. Tamże w zwrotce ostatniej u p. Syrok. Cieszy mię tym, Polak mądry po szkodzie, lecz jeśli prawda, i z tego nas bodzie; u nas jest:

Cieszy się ten tym, Polak mądry po szkodzie:
Lecz jeśli prawda, i z tego nas zbodzie.

Co wszystko nawet myśl trochę zmienia, a jest tylko winą niedopilnowania się w druku lub przepisaniu.

Treść wierszy w księdze tój zawartych jest rozmaita: są tu i pochwały dla Rzymu, i sława polskich zwycięstw nad Turkami, i śpiewy święte na cześć Maryi i Chrystusa, i jeszcze treści poważnej z rozmaitych okoliczności przedmiot i natchnienie czerpiące. Trudno zastanawiać się nad niemi poszczegółe, boby to było zbyt szerokie studyum, przechodzące granice niniejszego sprawozdania.

Księga piąta, (Eposos) liczy dwadzieścia ód rozmaitej barwy i treści. W tłumaczeniu opuszczoną jest oda VIII, *publicae Europae calamitates*, którą niegdyś przełożył Naruszewicz, za to dodane znajdujemy trzy inne ody, nieznajdujące się w wydaniu strasburskiem, a wzięte z wydania Naruszewicza (1757) i Bohomolca (1769). Niektóre są już tłumaczone dawniej, jak np. *czwarta* o dzieciątku Jezus na łonie Maryi, przez Twardowskiego; *piąta*, poeta korzy się u stóp ukrzyżowanego Chrystusa, przez Naruszewicza; *dwunasta* (w oryginale XIII) do N. P. Maryi Częstochowskiej, i *trzynasta*, w oryginale XIV, opiewająca hołd zacnemu domowi Łubieńskich przez Jana Albertrandego, oraz XVII (w oryginale XVIII) do Jakóba Zadzika, przez Nieborowskiego żołnierza. Wszystkie znajdują się przy wydaniu Bohomolca, lecz przekłady obecne daleko są udatniejsze pod względem dobitności wyrażen i samego języka.

Zabawy leśne (Silviludia) składają się z dziesięciu poetyckich utworów na cześć króla Władysława IV, łowami się zabawiającego: jest w nich dosyć poezyi, ale z drugiej strony rażą aż do zbytku palone kadzidła i pochwały, których autor Jezuita, nie szczędzi monarsze. Tłumacz słusznie zauważył, że Sarbiewski zawiele wyszafował skarbow poezyi na przedmiot dosyć pospolity (str. 197).

Z reszty dzieł pośmiertnych (opera Posthuma) niektóre tylko daje w polskim przekładzie p. Syrokomla. Charakterystyczny jest opis podróży

do Rzymu w r. 1622 odbytej i przygód jakich poeta doznał. Oto co sam o sobie i napadzie zbójców powiada:

.....
 A w lesie dziko, ciemno, i straszno jak w piekle.
 Mimo ostrych wąwozów i wzgórków gromady,
 Przegradzał rznietą ścieżkę wielki odłam skały;
 Stare pnie i kamienie jakby sidła zdrady,
 Przerażonym podróżnym drogę tamowały.
 Przecież dążym odważnie, a żaden nie pyta,
 Ze zbójcy na rumakach tuż za nami jadą,
 Zbrojny iskrzącym mieczem, lasowy bandyta,
 Otoczył nasze przejście i stanął gromadą.
 Spojrzałem, noże z pochew zabłysnęły wszędzie,
 Biegłe ręce zbójcekie rwą się do oręża;
 Owdzie strzelec uzbrojon w śmiertelne narzędzie,
 Mierzy paszczę rusznicy i oko wyteża.
 Wystrzelił, buchuął ogień z dymem i łoskotem,
 Gwizdnął ołów wyrwany z piekielnój czeluści,
 I włos mi się najeżył, i zląłem się potem,
 Piers zaparta z przestrażchu, ledwo oddech puści:
 I przyskoczyli zbójcy z wejrzeniem ognistém,
 Barbarzyńskimi słowy ich groźba zawrzasta,
 I dobyli sztylety i przeciągłym świstem,
 Dają jakieś poznaki, sygnały czy hasła.
 Chciałem się bronić ręką, ale ręka mdława,
 Patrzę wokół siebie, i wóz bez obrony.
 Wtém Mikołaj tajemne znaki mi podawa,
 Widzę już oręż zbójcy ku niemu zwrócony,
 Uderza moje uszy jego jęk i łkanie,
 Drgnąłem, jakby me oczy zalał strumień krwawy.
 Mniemałem już usłyszeć ostatnie konanie,
 Dzięki jednak niebiosom, to był krzyk obawy,
 Wyrwałem się, skoczyłem, a tu obok puszcza,
 Zda mi się chyżej wiatru, biegłem na bezdroże,
 Kryjówka z gęstych liści, ledwo dzień przepuszcza,
 Ciemny chróst moję ścieżkę ukrył w Imię Boże!
 A tymczasem bandyta pastwił się zwycięzki,
 Nasze srebro ubogie, ów metal zwodniczy,
 Źródło na całym świecie nieszczęścia i klęski,
 Wszystek poszedł opłacać haracz rozbójniczy. i t. d.

Kończą epigrammata. W wydaniu strasburskiém naliczono ich 147 tłumacz daje nam w przekładzie tylko 38, z czego się usprawiedliwiając, tę robi uwagę, którą w zupełności podzielamy:

„Epigrammata Sarbiewskiego są wszystkie niemal w guście jezuickim, gdzie myśl skoszlawiona nienaturalnemi retorycznemi figurami, sili

się na dowcip naciągany. Na sam herb Chodkiewicza jest u Sarbiewskiego 38 epigramatów, gdzie figurują gryfy i strzały. O św. Aloizym Gonzadze jest ich 15; nie podarowano tam oczom, twarzy, uśmiechowi, i lili świętego; owdzie igraszka z imienia *Ludovicus*, tam naciągane, i rzecz można trywialne ustępy o miłości Bożej: słowem epigrammata Sarbiewskiego są wyrazem psującego się smaku w jego epoce." (str. 231).

Przełożone przez Syrokomlę epigrammata, rozwijają rozmaite urywki, zawierające w sobie myśl, z pieśni nad pieśniami Salomona (*Canticum canticorum*), wyjęte. Szkoda, że szanowoy tłumacz zamiast dawania tekstu łacińskiego Vulgaty, nie dał tekstu biblijnego Wujka. Niekażdy obeznany jest tyle z księgami starego zakonu, aby łatwo właściwe znaczenie mógł sobie wynaléć, a przez to ułatwić zrozumienie rozwinięcia poety. Przekład epigramatów nie odznacza się szczególną wiernością, często nawet myśl w nich wprost przeciwna; np. epigrammat jedenasty (po łacinie 14):

Została twoim jeńcem, tyś został jój panem.
Chryste skuj mię miłością jak jeńca żelazem,
I raczysz zostać ze mną, lub iść ze mną razem. (1).

Niezrozumiałym jest także epigrammat następny 12 (po łacinie 16):

Wolasz „pragnę” nie napoi bezwodna opoka.
Miěj za napój lzy gorące, co ci płyną z oka.

jakież lzy ma pić Chrystus, czy te co jemu samemu z oka płyną, czy Magdalena chce dać lzy swoje?

Dość dziwny jest także epigrammat 13 (po łacinie 18), gdzie serce leci „*jak płomienna raca*”; czego bynajmniej nie znajdujemy w oryginale. Większa liczba wszakże zasługuje, aby oddać należną sprawiedliwość za dobre chęci i pracę tłumacza.

Po epigrammatach następuje przymówienie się w kilku słowach od tłumacza, gdzie także wylicza opuszczone przez siebie inne utwory Sarbiewskiego, w wydaniu Naruszewicza i Bohomolca pomieszczone, i na tém kończy się tomik piąty Przekładów poetów polsko-łacińskich.

Lecz nie na tém koniec sprawozdania naszego; musimy albowiem dodać niektóre jeszcze rzeczy, które nam się w ciągu spisywania powyższych uwag nasunęły; i tak: przy księdze piérwszej napotykamy najwięcej przypisów, są one wprawdzie tłumaczeniem z komentarza przy wydaniu pijarskiém zamieszczonego, lecz przeto niemniej ważne i ciekawe;

(1) Tu *captivus eras illius, illa tui,*
Altera ne dubites, ego sum tua Magdala Christe:
Ergo trahas vel me, Sponse, vel ipse mane.

w innych księgach napotykamy także wiele trafnych uwag, a dodanie: *nota tl.* ostrzega nas, że są pomysłem samego p. Syrokomli. Podwaja się więc sama przez się zasługa szanownego ziomka, że nie wyłącznym jest tylko tłumaczem, ale zarazem i myślicielem o siłach własnego rozumu.

Co do oddania przekładów, takie jest nasze zdanie. Kuszono się już nieraz o przekład Sarbiewskiego, jednakże niezawsze szczęśliwie. Ze wszystkich dotąd znanych, a jest ich szereg niemały, tylko przekład Załęskiego góruje nad wszystkie wiernością i dobozem poetyckich wyrażen, ztąd w wielu miejscach przewyższa p. Syrokomlę, mianowicie tam, gdzie ten ostatni tylko piękne wystowienie ma za sobą. W oddaniu po polsku Sarbiewskiego, Załęski bardziej jest tłumaczem, Syrokomla więcej naśladowcą. Przejąć się, przejąć się i przejąć się, to zawiele tego zbytniego przejęcia, bo wyszedł istotnie, czego się i sam tłumacz obawiał, kulawy przekład, a gdy węzeł zamiast rozwiązać, przecięto, gdy nie szanowano formy zewnętrznej, a nawet liczby wierszy, znikł Sarbiewski. U Załęskiego widzimy autora łacińskiego tyle, że on łatwy tam do namacania. Syrokomla zostawszy sam sobą, wprawdzie stanął na czele, z przyjemnością i zadowoleniem może być czytany; lecz czasami, tylko pożyczając myśli od Sarbiewskiego, rozwija ją po swojemu, samoistnie i niezależnie od autora. Czyto więc ma być taki przekład?—wątpimy. Mniejsza o Tetys, mniejsza o Feba, lecz błogosławieństwo miastu i światu, to majestatyczne *urbi et orbi* nie znajduje się w Sarbiewskim. (Oda I, str. 22). Podobnych samoistnych pomysłów bardzo wiele; nie ubliżają one poecie łacińskiemu, lecz też nie hędąc jego własnością, nie mogą zwać się tłumaczeniem. Usiłowanie jednak i zasługa p. Syrokomli są zawsze znakomite, za co mu wszyscy literatury ojczyściej miłośnicy, należne przyznają hołdy.

Stanisław Lisowski.

Przedstówie do tomu drugiego: Słownika malarzów polskich, służyć mające za odpowiedź na niektóre krytyki dzieła tego.

Po wyjściu tomu pierwszego pracy obecnej, objawiły się wkrótce liczne jego recenzje, rozbiory; ozwały się one z wszystkich główniejszych krajowej oświaty ognisk: z Warszawy, Krakowa, Poznania, Lwowa, Wilna. Ogłosili swe zdania i bliżsi przedmiotu znawcy: pp. Sobieszczański, Pawlikowski, Kraszewski, i inni literaci i osoby bezimienne. Takowe ogólne zajęcie się dziełem, staje mi się jawnym

dowodem, iż trafić musiało w żywotną stronę dzisiejszych dążeń i zaprażeń świata naszego naukowego. Korzystać z światłych uwag a sprawiedliwych dostrzeżeń, celem udokładnienia méj pracy, za piérwszy przyjąłem sobie obowiązek; wyrzeczone o niéj tyle pochlebne sądy, poczytując jako zachęty ku usilności dalszój, były téż dla mnie w tém dążeniu żywo działającym bodźcem. Że w zbiegu zdań różnostronnych zdawało mi się upatrzeć, iż nie dla wszystkich zarówny jasno okazuje się dzieła główne zadanie, a ztąd w rozwinięciu onego przyjęte i ściśle przestrzegane zasady; co więc o tém treściwie w przedmowie do tomu piérwszego wspomniane było, to tutaj rozobszernić nieco uważam rzeczą potrzebną.

Powiedziałem w przedmowie, że nabyłem przeświadczenie, iż w kraju naszym sztuki nadobne, a w szczególności malarstwo, zdawna było cenione, że wiele szacownych twórców onego posiadaliśmy, że nie tylko cudzoziemscy artyści do nas chętnie przybywali, lecz że i krajowych niemało się usposabiało. Od zdania takowego nie odbiegam bynajmniej, owszem im głębiej postępowalem w dochodzeniach, tém twierdzenie to stało się dla mnie dowodniejszém. Jakoż w odległych już wiekach objawia się u nas malarstwo, zamki monarsze, pałace możnych, świątynie Pańskie mnogo przyozdabiające. Już Władysław Jagiello trzymał na swym dworze malarza Jakóba Wężyka; Kazimierz Jagiellończyk zatrudniał ulubionego sobie Jana z Nissy, Jana Wielkiego. Za niego żył i w Krakowie pracował słynny Witt Stoss czyli raczej Stwoss zowiący się, zarówno zawołany snycerz, rzeźbiarz i malarz. Pod te czasy istniejący zdawna w Krakowie cech malarski, otrzymał urządzenie i ustawy, wzorem podobnych zgromadzeń miast zagranicznych. W wieku jeszcze XIV znane było już w Polsce, i z wysoką biegłością wykonywane, malarstwo na szkle. Tak między innymi, po dziś dzień uroczym zajmujące oko znawcy szyby kościoła P. Maryi w Krakowie, są zabytkiem czasów Kazimierza W. Podobnie w kościele św. Katarzyny XX. Augustyanów w Krakowie, fundacyi Kazimierza W., dotrwały do naszych czasów obrazy wypalane na szkle, wpośrodku okien krużganków kościelnych pomieszczone. Kilka z nich ztąd wyjętych, przed dwudziestu laty widziałem u p. Badeniowój w Pocieszce pod Krakowem; dwa inne, a ostatnie, dostały się później do zbiorów moich. Z tych jeden wyobraża Tróję Świętą, drugi Chrystusa Pana na krzyżu; na obrazie tym jest napis: *Jezus Nazarenus Rex Judeorum*, kształt zaś głosek tego napisu odnosi się niewątpliwie do XIV wieku. Malarstwo miniaturowe przyozdabiające księgi rękopiśmienne, w XV i na począ-

tku XVIgo wieku z znamienitą zdolnością wykonywano w Polsce; świadczą o tém dochowane kancyonały czyli psalterze kościelne, świadczy rękopism pisarza miejskiego krakowskiego Bema i kilka innych. Że prace te podejmowali krajowcy, nie ulega to wątpliwości: roku 1459 Stanisław Rusek z Bodzewa, r. 1460 Jan z Kościany, i t. p. W wiekach XIV i XV wychylają się już z zaciemnień przeszłości nazwy malarzów krajowych; w wieku następnym XVI szereg onych znacznie staje się zasobniejszy. Zygmunt I sztuk wielki miłośnik i znawca, sprowadzał biegłych w każdym zawodzie artystów z Włoch i Niemiec. Jan Jakób Caraglio odlewał mu medale, rzeźbił na kamieniu drogim; Jan Marya Mosca wykonywał dzieła medalierskie i rzeźbiarskie; w tych ostatnich pracował Jan z Sienny, Bartłomiej Florentczyk zarazem budowniczy, Mikołaj de Castiglione i kilku innych Włochów; Melchior Bayr, tudzież Albert Glim, raczej Hans Klimm zowiący się, zdolni goldschlegerowie czyli złotnicy norymbergscy, odrabiali królowi w srebrze wspaniałe oltarzowe obrazy; Jan Dürer brat Albrechta ozdobił mu malarską pracą zamek krakowski; Suesa z Norymbergi obrazy wzbogaciły głównejsze Krakowa kościoły. Używał też król niemało i własnych krajowych malarzy, z których kilku tytułowali się nadwornymi, co wyższej ich zdolności domniemywać się upoważnia. Panowanie Zygmunta Augusta pod względem sztuk, było tylko przedłużeniem rządów ojcowskich. Król ten szczególniejsze miał zamiłowanie w kamieniach drogich i rzeźbionych, w kunsztownych wyrobach ze złota i srebra. Arcy zasobny, a do podziwu bogaty gabinet jego takowychto kosztowności, oglądał i opisał nuncyusz papieżki w Polsce r. 1560. Buongiovanni biskup Kamerynu, przydając, iż znalazł skarb ów króla polskiego przewyższający wszystkie w tym rodzaju weneckie i papieżkie dostatki. Opis ten wielce zajmujący wydrukował po włosku Seb. Ciampi (Bibliogr. critica), w wyciągu zaś po polsku zamieścił J. Albertrandi w życiu Zygmunta Augusta (Dziennik wileński z r. 1818, I, 546—548). Posuwając takowy pogląd w czasy następne, widzimy ciągle niepośledni na ziemi naszej rozwój malarskiej sztuki. Wazowie sprzyjali mu wielce i Zygmunt III sam artysta amator, sprowadzał skwapliwie z Włoch obrazy, ozdobił nimi komnaty swych zamków, domy Boże. Dolabella Tomasz, Danckerts de Ry, Troschel Jakób, przez niego osiedleni zostali w Polsce. Zamiłowanie to ojca, dzielili pomimo wojennych zajęć następcy, synowie. Król Sobieski lubił szczególnie malarstwo, przepelniał jego tworamii mnogie swe królewskie siedziby, trzymał na swym dworze licznych bieglejszych artystów, jużto cu-

dzwoziemskich, już swojskich: Altamonti, Desportes, van Kessel, Roman de Hooghe, Jerzy Eleuter Semiginowski, Tricius czyli Trzycki, Jan Rejzner, Bazyli ze Lwowa, Samuel, pracowali dla niego. Nowsze odkrycia objaśniają, że w Willanowie założył nawet król Jan III szkołę malarzką, w którejby młodzież polska sposobie się mogła. Królowie Sasi, tak wielcy malarstwa u siebie zwolennicy i krzewiciele, lubo pod tym jak i pod wielu względami innemi, wyłącznie Saxonii swojejsprzysajający, naprowadzali przecie i do Polski artystów, a dzieł tychże choć mimochodem i jakby od niechcienia niem mało w Polsce pozostawili. Za ich rządów, bez ich atoli wpływu, uzdolnili się w sztuce Koniecz czyli Kuntze, Czechowicz, Piersch, Albertrandi. O zasługach pod względem sztuk, a w szczególności malarstwa w Polsce króla Stanisława Augusta, jako rzeczy bliżej i powszechnie wiadomój, zbytecznie byłoby się rozszerzać. O innych sztukach przemilczam, bo nie tu miejsce nad nimi się rozwodzić; dodam tylko, że medalierstwo od czasów Zygmunta I aż do panowania ostatniego, na równi stało z tém, co w niem najokazalszego wydawała Europa. Dzieje tej sztuki u nas zbadane są, i znane dobrze, bo téż i pomniki oniej dochowały się niezatracone. Wartując księgi dziejów ojczystych, pamiętniki i różno-żesne kraju opisy, znajdujemy po wszystkie czasy domy Boże, gmachy monarsze i możnych panów mieszkania, obok przepychu najrozmaitszych przyozdobień, zapełnione malowaniami, obrazami czyto najsłynniejszych mistrzów z obcych krajów skrzętnie zakupywanemi, czy téż artystów w kraju osiadłych lub wcale rodowitych Polaków; wizerunki rodzinne ważne wpośród nich zajmowały miejsce. Wielu panów polskich mieli swoich malarzów nadwornych, już z zagranicy sprowadzonych, już krajowców, a z tych ostatnich niem mało winni byli usposobienie swe opiece i wsparciu takichto sztukę miłujących panów. W czasach nowszych, po wielu miejscach tworzone nawet zupełne obrazów galerye. Też same atoli dzieje ojczyste uczą nas z drugiej strony, z jakichto przyczyn, jak i kiedy wszelkie owe domowe wspaniałości runęły, i obce napady, wojenne pożogi, ogień, rabunki, zabory, zamieniły za czasem większą część okazałych, bogactwem świetniejących gmachów, w nagie zwaliska; pozostały z nich tylko opustoszone ściany, często same gruzy, tak, że tego czém były dawniej, tęskne jedynie dotrwało wspomnienie. Czas, upadek majątków, niedbałość ludzka, nieświadomość, wyprzedaż za granice, dopełniły reszty. I temi sposoby zatracił się niejeden sztuki zabytek, niejeden znamienity oniej pomnik; dobrze kiedy gdzie w zapomnieniu

czy ponieważ, odwiecznym pyłem i pleśnią pokryty, dotąd spoczywa. Jeżeli rzadkim wyjątkiem dochowały się gdzieś dawnej owęj wielkich domów zamożności zasoby; jeżeli kościoły, jako przybytki święte, a przeto mniej lupieżone i mniej na straty narażone, okazują jeszcze dziś cokolwiek z ubiegłych czasów cenne pozostałości: wszystkoto zbyt słabą jest cząstką tego co było dawniej, przeszłość odgadywać tylko dozwalającą. Obok tak uszczuplonych dotykalnych zasobów, dodajmy, że szczególnem w literaturze rodzimój zdarzeniem, w żadnym onęj okresie nie uda się natrafić na jakiebądź dokładniejsze opowiadanie pod względem sztuk pięknych krajowych, żadnemu z piszących nie przyszło na myśl skreślić jakową zasobniejszą wiadomość o współczesnych sobie w kraju artystach i ich pracach. Co dziwniejsza, że tego nikt nie przedsięwziął nawet w epoce Stanisława Augusta, tyle dla sztuk nadobnych znamienitęj i niemi zajmującęj się, a tyle piśmiennęj!

W takimto składzie okoliczności przychodzi dziś badaczowi śledzić przeszłość malarstwa krajowego. Nie wstępuje on do gotowych galerij, do zbiorów umiejętnem a wieloletniem staraniem nagromadzonych; szukać mu tylko pozostaje rozpięzchle po kraju, tu i owdzie jakby przypadkiem dochowane téjto przeszłości pomniki, schwytywać jakie takie ślady w piśmiennictwie krajowem, natrafiać się dające w aktach miast i t. p. ubocznych źródłach, wreszcie składniejsze, lubo zbyt często nader błędne w obeć sztuk pięknych literaturze, wspomnienia. Praca takowa przechodzić musi widocznie, co do odleglejszych zwłaszcza epok, na pole antykwarstwa, archeologii. Tutaj każdy szczegół obojętny być nie może: czyto zebranie dat, czy wiadomości potocznego życia, czy posiadana gdzie własność, kamienica, czy ślad podjętych prac i zatrudnień; każdy takowy szczegół ma swoją względną wartość, bo rozjaśnić może w następstwie nowe wykrycia, ułatwić one, doprowadzić do wiadomości ważniejszych, dokładniejszych. Bardzo błędnym był tedy w widzeniu mojem zarzut, iż zapuszczałem się z pewną skwapliwością w wszelkie tego rodzaju napozór czeze i drobiazgowy wiadomości, co do czasów odległych, a osób częstokroć zaledwie dziś z imienia wiadomych, i z zapomnienia obojętnęj przeszłości, na skutek takiehto poszukiwań, wydobytych.

Z bliższęj rozwagi położenia rzeczy co do badań sztuki malarzkiej w dawnęj Polsce, zdawało mi się, iż obranie w nich kierunku więćć historycznego, było nateraz właściwsze. Nie pomijałem wszakże dlatego i krytycznego poglądu, gdzie i kiedy tylko można było, wskazując poszczególnych artystów szkoły i rodzaj, stopień uzdolnienia,

dział ich zalety i wady; w sądach takowych zachowałem się wszelako oszczędnie. Krytyka estetyczna wtedy tylko staje się pożyteczną, gdy wypływa z bardzo dojrzałego znawstwa; inaczej nań nic przydatną nie będzie, owszem do zbałamucenia wyobrażeń tylko doprowadzi. Nie jest ona bynajmniej tak łatwą, jak się to z pozoru wydawać może; zrywać się téż do niej nie każdemu należy. Do gruntownego sądzienia potrzeba tu, jak się rzekło, wysokiego znawstwa, a tego warunkami są smak wrodzony, delikatność czucia, wielkie zamiłowanie sztuki, przytém zasadnicza znajomość teorii i techniki sztuki, jój historii; nadto wielostronne widzenie, wpatrzenie się w celniejsze różnych czasów i rodzajów twory, którémto dopiéro zaprawieniem oka, smak staje się czystym, zdanie ustalone i pewne. Na powyższych zasadach oparta krytyka, poważna, bezstronna a życzliwa, wielce pożyteczną jest i dla postępu sztuki samój, i dla rozwoju jój zamiłowania. Ale takiéjto w wyższém onój rozumieniu estetycznej krytyki co do plodów malarstwa krajowego, nie mieliśmy przedtém i nie posiadamy dotąd wcale; lubo, w miarę zwłaszcza rozszerzenia się zamiłowania sztuk nadsobnych, spodziewać się trzeba, że i ona zrodzi się u nas za czasem. Oceniając jój ważność a zarazem trudności, wypadalo mi być w niej wielce oględnym; tak téż postępowałem, z drugiejj strony zwróciwszy całą usilność ku nagromadzeniu faktów, których wydobyć na jaw z niepamięci i zagłady czasów, stanowczém dziś powinno być staniem.

W końcu każdego żywota przytoczone są jako prosta wskazówka, poprzednio o artyście drukiem podane wiadomości. Nie idzie za tém bynajmniej, żebym się na nich wyłącznie opierał; owszem częstokroć w inném zupełnie świetle, a zwykle znacznie zasobniejj, przypadało mi rzeczy wystawiać. Przekonać się o tém będzie mógł łatwo ciekawszy czytelnik, na co zwrócić tylko uwagę niechaj mi tu będzie wolno.

Dołączone wizerunki przedstawiają celniejszych artystów lub nauczycieli szkół, którym malarstwo rodzime uzdolnienie wielu krajowców, rozszerzenie znajomości i zamiłowania sztuki zawdzięcza. Stopień zasługi kierował w wyborze, a postacie znane, czy dotąd nieznanne, zarówno tu zamieścić należało. Żałuję, iż nie mogłem rycin takowych przyłączyć więcéj, nie chcąc zwiększać przez to zbyt niekosztowności dzieła. Wszystkie portrety zdejmowane były z oryginałów, a wielce się myli pan S. Morawski zarzucając, iż wizerunek Lexyckiego jest idealnym, bo z niewątpliwego oryginału, później zupełnie niemal zniweczonego, przerysowany został.

Poczynione mi były niektóre poszczególne zarzuty, zupełnie przecie bezzasadne, a zatem niesłuszne. Odeprzec je należycie nie byłoby mi trudno, atoli do podobnej polemiki nie czuję się wcale pochopnym; wolę więc obwinienia takowe pominąć zupełnym milczeniem, polegając na bezstronnym sądzie czasu i większości światłych czytelników.

W dalszym ciągu poszukiwań materyałów, dzieje malarstwa krajowego wyświecić mogących, zwróciłem osobliwsze staranie ku zbadaniu akt miejskich warszawskich, tak, jak to poprzednio z aktami miasta Krakowa uskutecznione zostało. W pracy tej arcy mozolnej, przyjsć mi zechciał w pomoc uczony archeolog warszawski p. Stanisław Lisowski, któremu całą wdzięczność zapisać tu jest dla mnie miłym obowiązkiem. Owocem takowego ksiąg miejskich warszawskich przeglądu, dokonanego pilnie i sumiennie, było wykrycie wielu wcale dotąd nieznanych nazw artystów, sprawdzenie czy udokładnienie wiadomości innych; ztąd także nabyliśmy przeświadczenia, że w Warszawie nie istniał nigdy, jak w kilku drugich miastach, cech czyli zgromadzenie malarskie, ani samoistne, ani nawet w połączeniu z inną jakową kongregacją. Ciekawszym źródłem wiadomości okazała się tu lustracja miasta stariej Warszawy, w r. 1754 z deputacyi prezydenta miasta szlchetnego Jana Felixa Dulfusa, przez Jerzego Józefa Dawidsona gminnego dokonana. Wykaz ten mieszkańców znany jest w dwóch exemplarzach, z których jeden znajduje się w głównym archiwum królestwa polskiego, przy aktach dawnych miejskich, księga 940, a nosi tytuł następujący: „Lustracja miasta J. K. M. rezydencyalnego stariej Warszawy z deputacyi szlchetnego Jmci Pana Jana Felixa Dulfusa prezydenta miasta tegoż, to jest ile należy pod jurysdykcją szlchetnego magistratu kamienic, dworków; i domostwów, gospodarzów, co za ludzie, czém się bawią i co za professyi są, wiele służących u nich y silla dzieci mają, aby szlchetny magistrat widzieli uczynić sprawiedliwy między każdym ułożenie podatku czyto publicznie, czyto prywatnie tak bogatym, jako y ubogim; przezemnie lustrowano i opisano, mensis Junii Anno 1754 Jerzego Józefa Dawidsona G. M. S. W. (gminnego miasta Stariej Warszawy).” Exemplarz drugi, także ręką Dawidsona spisany, bez daty i tytułu, poprzedzony dostrzeżeniami meteorologicznymi, robionymi od r. 1755 do 1762, i późniejszymi dodatkami opatrzone, dostał się był do rąk Magiera znanego meteorologa warszawskiego, który go znowu wielu ciekawszymi przypiskami i objaśnieniami zasilił. Ten drugi exemplarz nabył następnie uczony zbieracz p. Karol Bayer w Warszawie, który mi go

łaskawie do użytku powierzyć zechciał. Bardzo ważnym tego rodzaju źródłem, stał mi się jeszcze inwentarz ruchomości po śmierci Józefa księcia Sapiehy krajczego lit. pozostałych, r. 1792 sporządzony, który w oryginale z przyjaznej uczynności Alexandra hr. Przędzieckiego otrzymałem. Spis ten ma tytuł jak następuje: „Regestr ruchomości wszelkich przez J. O. księżnę Jmć Teofilę z książąt Jabłonowskich Sapieżynę, krajczynę lit. zaprzysiężonych po zejściu męża w roku 1792. Pałac wielicki wewnątrz i zewnątrz z rzeczami, meblami, portretami w pokojach i skarbach znajdującemi się. Niemniej skarbiec w Janowce będący. Wszelkie zabudowania, ogrody, altany etc. etc. opisane w roku 1792“. W końcu wykaz ten podpisany pod datą 31 października 1792 r. przez żonę zmarłego księcia Sapiehy, księżnę Teofilę z książąt Jabłonowskich, a zaprzysiężenie jęj rzeczzonego inwentarza urzędownie poświadczone. Inwentarz takowy objawia posiadanie przez zmarłego księcia Sapiehę bardzo znakomitego zbioru obrazów, w którym obok celnych dzieł cudzoziemskich, znajdowały się także mnogie prace artystów krajowych; jest on więc nowym niezaprzeczonym dowodem, jak dalece u nas przedmioty sztuk cenione i obficie gromadzone bywały. Takięto wykazy czyli inwentarze domowe, po różnych miejscach i rodzinnych archiwach przechowywać się mogące, nieskończenie ważnym są źródłem dla badacza przeszłości krajowej w ogólności, a niemałe rzucić mogą światło na zabytki rodzime sztuk nadobnych; są one nieraz najżywoźniejszym obrazem owęj to domowej przeszłości naszęj. Z tego powodu zwrócić na nie wypada uwagę posiadaczy, życząc, by ochronione od poniewierki czy wydobyte z zapleśniałych składów, ku naukowemu użytkowi zwracane być mogły.

Na końcu tego tomu zamieszczone są, jako materyały do dziejów sztuki w kraju naszym: 1) Ciąg dalszy ustaw cechu malarzy w Krakowie; 2) ustawy bractwa malarskiego w Poznaniu; 3) ustawy podobnego zgromadzenia we Lwowie; 4) postanowienie dla malarzy na szkłe czyli sklarzy warszawskich, którzy wraz z stolarzami i tokarzami, jeden cech składali w Warszawie.

Oznajmić winienem, że tom IIIci a ostatni obębnego dzieła, oddany zostanie do druku niezwłocznie; przy zakończeniu Słownika, obejmować on będzie bardzo mnogie dodatki: jużto uzupełnienia wiadomości o artystach poprzednio przywiedzionych, już życiorysy wcale nowe.

E. Rastawiecki.



ROZMAITOŚCI.

Dopełnienie wiadomości, zawartych w dziele wydaném w Krakowie r. 1850, pod tyt.: Dawne zabytki miasta Krakowa i t. d., przez Ambrożego Grabowskiego.

D*o stronnicy 23. Piérwsze ślady postanowienia straży bram krak., już się pod rokiem 1414 dają spostrzegać; a w roku 1422 już są wymienione bramy i baszty, do których rajey krakowscy wyznaczili po dwóch, trzech lub czterech mieszczan imiennie powołanych, z nazwą: Capitanei super turres. Te zaś są wszystkie siedm bram (pobocznój wtedy jeszcze nie było), tudzież te baszty: Turris retro Iherlem (bursa Jeruzalem); turris judeorum retro S. Stephanum; —in sequenti turri; —in turri cum erker (z wystawą);—in turri nova circa salva S. Floriani;—retro Hospitale;—in turri antiqua prox. sequenti;—in turri nova;—off dem eckechten torme;—retro balneum arenae.*

* * *

Stron. 37. Prostując mylność oznaczenia jój miejsca, położenie bramy żydowskiej już teraz dokładnie oznaczyć mogę. Była ona oddzielną od furtki św. Anny, i stała naprost ulicy jeszcze teraz zwanój Żydowską, za kościołem św. Macieja, lecz późnziej zagubiona. Nie wiadomo z jakiego powodu ulicę tę w wieku XVm zwano po łacinie: Platea speculatorum seu judeorum, a po niemiecku Spiglergasse, (speculum, Spiegel, zwierciadło).

* * *

Stron. 46. Nieznana jest okoliczność, z jakiej OO. Dominikanów krakowskich, w wieku XVym i następnych zwano Paulinami. Oto kilka na to dowodów: R. 1429: das haus gelegen im Grunde, (miejsce w Krakowie, którego nazwa teraz zapomniana), an der Pauler mauer.

Roku 1440, Hanus Bomgart zapisał w testamencie kwotę pieniężną *czu den Pawlern der Kirchen czu der heil. Dreyueldigkeit alhy czu Cracow*. Roku 1441. *Der erbare her Jacobus, Prior des Clostirs der Pauler czu der heil. Dreyfaldigkeit, hy in Cracow.*, imieniem całego konwentu zezwala, aby wodociąg przez ulicę Szeroką idący, mógł być prowadzony przez cmentarz św. Trójcy. *Der Paulen torm* była baszta przyległa klasztorowi OO. Dominikanów, o której posiadanie rajcy krakowscy z konwentem długi spór mieli.

* * *

Stronnica 72. Już na początku wieku XVgo, Kraków co do zewnętrznego kształtu musiał być fortecą, kiedy wewnątrz zaprowadzone były środki obrony, bo roku 1421 czyniony był spis mieszczan, mających obowiązek zamykania łańcuchami ulic: *sequuntur hi, qui habent seras ad catenas in plateis*; i było tym sposobem ośm ulic, niekiedy podwójnie zamkniętych.

* * *

Stronnica 83. Rewizya zapasów oręża, przyborów wojennych i uzbrojenia cechów krakowskich, którą odprawili rajcy r. 1427:

Złotnicy mają 2 zbroje (*pancer*), 2 puklerze (*tartschin*), 1 szyszak (*eysenhut*)... Mić powinni: 6 pancierzów, 6 strzelb (1), 10 cepów (*legil*), 6 tarcz i 6 szyszaków.

Kusnierze. Mają 6 tarcz, 6 szyszaków.... Mić powinni: 10 pancierzów, 10 szyszaków, 10 cep, 6 oszczepów (dzid), 4 strzelby.

Kowale. Mają 8 szyszaków, 1 pancierz..... Mić jeszcze powinni: 2 pancerze, 4 strzelby, 6 tarcz i 10 cepów.

Garbarze. Mają 8 pancierzów, 10 szyszaków, 1 przyłbice (*haubę*), 11 tarcz, 2 strzelby, 2 pary *vorstellen* (?), 7 par *museysen* (?).... Mić powinni: 10 pancierzów, 10 strzelb, 10 cep, 6 oszczepów.

Siodlarze. Mają 5 szyszaków, 3 tarcze, 2 zbroje (*platen*).... powinni mieć: 2 pancerze, 2 strzelby, 6 cep.

Kramarze. Mić powinni 5 pancierzów, 5 szyszaków, 5 strzelb, 6 oszczepów, 6 cep.

Paśnicy. Mają 4 pancerze, 3 przyłbice, 4 szyszaki, 1 tarczę.... Mić powinni: 4 strzelby, 6 cep.

(1) Wszędzie, gdzie w tym spisie wyrażone są strzelby, w księdze nro 1536, str. 227, pisane jest *hantbochsen* lub *bochsen*.... Czy to ma znaczyć ruśnicę, czy też kuszę ręczną, łuk?—wyjaśnić nie mogę. W jednym z dzieł nowo z druku wyszłych, wyrzeczono jest: „Pod koniec epoki Pias-tów, zjawiły się u nas armaty i ręczne samopały”; co zdaje mi się jest za-wczesną datą wprowadzenia do nas broni ognistej.

.....Mają 4 szyszaki, 1 kuszę (*armbrost*), 2 tarcze..... Mićć powin-
ni 6 cep, 2 strzelby.

Malarze, szklarze i goldslagerowie. Mićć powinni: 2 pancerze,
2 strzelby, 4 cepy, 2 szyszaki.

Białoskórniczy. Mają 2 zbroje, 3 pancerze, 2 szyszaki, 4 tarcze.....
Mićć powinni jeszcze 2 pancerze, 3 szyszaki, 10 oszczepów, 4 strzelby.

Sadelnicy. Mają 2 pancerze, 5 szyszaków, 3 tarcze..... Mićć po-
winni: 3, pancerze, 2 strzelby, 6 cep.

Nożownicy. Mają: 10 szyszaków, 6 pancerczów, 10 przyłbic, (*hau-
ben mit gehenge*), 10 kirysów (*brost-bleche*), 4 oszczepy, 4 tarcze...
Mićć powinni 2 strzelby.

Barchannicy (Wollenweber, może sukiennicy). Mają 6 pance-
rczów, 9 szyszaków.....Jeszcze powinni mieć 4 cepy, 4 dzidy.

Konwisarze i mosiężnicy. Mają 1 pancerz, 1 szyszak.... Mićć po-
winni: 3 pancerze, 3 szyszaki, 4 strzelby, 6 oszczepów.

Piekarze. Mają 9 pancerczów, 9 tarcz (*schilde littische, litewskie?*),
3 szyszaki, 1 przyłbicę, 2 zbroje.

Rękawicznicy, Hantschuster. Mają 2 pancerze, 1 schorc (?) , 3
pary *vorstellen* (?), 1 kuszę, 2 szyszaki, 1 tarczę, 3 kirysy..... Mićć jeszcze
powinni: 4 strzelby.

Rymarze. Mają 2 pancerze, 3 szyszaki, 2 tarcze... Mićć powinni 4
pancerze, 2 strzelby, 6 oszczepów.

Łucznicy, Bogner. Mićć powinni: 2 pancerze, 2 strzelby, 6 osz-
czepów.

Krawcy. Mają: 12 pancerczów, 16 szyszaków, 10 tarcz..... Mićć
jeszcze powinni: 6 strzelb, 10 cep.

Szewcy, Schuwirte. Mają 8 pancerczów, 14 tarcz, 12 szyszaków,
1 małą przyłbicę, 1 pół kirysie.... Mićć powinni 10 pancerczów, 5 strzelb,
10 oszczepów, 10 cep.

Miecznicy. Mićć powinni: 2 pancerze, 5 strzelb, 10 cep, 3 tarcze,
2 szyszaki.

Kapelusznicy, Hutter. Mają 4 zbroje, 4 szyszaki, 2 pary *hancz-
ken* (?). Mićć powinni: 2 pancerze, 4 strzelby, 4 tarcze, 6 cep.

Solarze, Selezer. Mają 2 szyszaki, 4 tarcze... Mićć powinni 10
cep, 6 oszczepów, 4 strzelby.

Kaletnicy. Mićć powinni 2 szyszaki, 8 cep, 8 oszczepów.

Piwowarowie, Melcer. Mićć powinni: 10 cep, 4 tarcze, 2 szyszaki.

Rzeźnicy. Mićć powinni: 8 pancerczów, 8 *lepkin* (?), 4 strzelby.

Stron. 100. Oręż i sprzęty wojenne, jakich u nas używano w XV wieku. Roku 1440, Jan Barfath z Opoczna odebrał z zastawu, tu w Krakowie, pomiędzy innymi rzeczami te przedmioty uzbrojenia: *eyn pan-czir, eyn swerth, blechhenczken, czwe czolner, eyn brostblech, eyn bogen mit eyne Kachir und pfeile, eyn flegil.* Trudno teraz dojść, coby niektóre z tych nazw oznaczały.

Roku 1573. Za urzędu pp. starszych Jana Goleniowskiego i Stanisława Różany, we spółek ze wszystką bracią cechu zupełnego, na cześć królowi Jmć polskiemu i pp. rajcom krakowskim ku pocziwości, i cechowi swemu iglarskiemu; kupilihmy zbroję i szyszak do niej za 6 złotych. Z czego niechaj będzie Panu Bogu na wysokości wieczna chwala.

* * *

Stron. 116. Rzeczą jest niewątpliwą, iż obrona Krakowa, jako twierdzy, oraz strażnicy skarbów i klejnotów koronnych, w dawnych wiekach na samych jego tylko polegała mieszkańcach; a nawet w późniejszych czasach nie widać, aby tu inna siła wojenna krajowa miała stanowisko..... Zgodnie więc z tym obowiązkiem, rajców było staraniem, aby zasoby obrony w należytych były do potrzeby stanie, i ztąd zapadła w roku 1443 uchwała, téj treści: „Starsza i młodsza rada postanowiła, aby w każdym roku uczyniony był porachunek, w którym rajcy (dozorca zbrojowni miejskiej) przesztoroczni, okazać mają następcom wszystko to, co dla obrony miasta przysposobione zostało, jakoto: strzelbę (*pixides*), prochy, kusze, pociski (*tela*), i inne wojenne potrzeby..... Również uchwalono jednomyślnie, aby w każdym roku było kupione saletry za grzywien 30, oraz pocisków (bałtów, czy kul?) za groszy 56..... W każdym także roku przykupione być mają od Pyschezala dziesięć strzelb (*pixides*), pilnując tego, aby miasto w rzeczach obrony pomnożenie brało.

* * *

Stron. 117. Trudno teraz z pewnością rzec, co mogą oznaczać nazwiska *Bochsenmeister*, lub *Buchsenmeister*, *pixidarius*, czyto był puszkarz (artylerzysta), ludwisarz czy ruśnicarz?, ale mężów tego zawodu już akta miejskie w odległych czasach wykazują..... R. 1412: *der strenge Ritter her Michel Bochsenmeister.* Roku 1423: *Claus Ber pixidarius.* Roku 1440: *Nicolaus Buchsenmeister monetariusque*, albo *Nielas Buchsenmeister der Moncer.* 1443: *Clement Bochsenmeister*, posiadacz domu w ulicy Sławkowskiej. Roku 1482: *Nicolaus pixidarius* i inni.

* * *

Stron. 119. Domysł mój, że Michał Otten odlewacz dzwonów, umieścił cyfrę swą literę O. w drzwiczkach balustrady przed wielkim ołtarzem w kościele Panny Maryi, może się pokaże mylnym.... Jestto lew, połową wzniesiony nad mur, trzymający w łapach kółko lub obręcz. Może to jest Prawdziec, herb którego z możliwych panów, jeśli się tenże datkiem jakim do sprawienia téj balustrady przyłożył, co może poszukiwania dalsze wyjaśnia.

* * *

Stron. 125. Łucznicy, *dy Bogner*, robiący łuki, już w wieku XV w Krakowie rękodzielo swe prowadzą..... Są i osobni rzemieślnicy, którzy się trudnili wyrobem sajdków, kolezanów, jak np.: roku 1432, *Jacob Kachirmecher*; roku 1449 *Vincentius Pharetrarius*, rajca kaziemierski.

* * *

Stron. 130. Szacunek broni z roku 1431..... Pancierz oszacowany był grzywien 4. *Czwey lithnische schilde* (litewskie tarcze, puklerze), *p. XII grosch.* *Czwey par blechhanczken p. XII grosch.* *Czwey swert*, (miecze, pałasze), *p. XVI grosch.* *Ein flegil* (cepy) *czwey grosch.*

* * *

Stron. 131. Platnerze robiący zbroje, szyszaki, których zwano *Lorifices*, *Thorifices*, po niemiecku *Plathener*, *Helmsmed*, już w Krakowie w pierwszych latach wieku XVgo zamieszkiwali, jak np.: *Jorge platner*, *Stenczil Helmsmed* w roku 1412.

Do poczetu sług dworu królewskiego za Zygmunta Igo należał i strzemienny. Roku 1543 był nim *Joannes Lytewski*, *S. Mtis Reginalis Staphyrus*. Roku 1550 był przy dworze i szermierz królewski, *Joannes Rodensteck Pugillator Regius*.

* * *

Stron. 156. Książd Czanser żył jeszcze roku 1443, którego tak piszą: *Nicolaus Czanser, der Altariste des hoen altirs in unser libn frawen Kirche alhy czu Crocow*, z czego widziéć się daje, że z fundacyi téj użytkował.

* * *

Stron. 162. Proszowscy, dawnato rodzina mieszczan krakowskich. Księga nro 1475, pod rokiem 1436 wymienia Maczkona Proszowskiego, kupującego dom przed furcią św. Mikołaja. *Mgr. Petrus Proschovita* roku 1439 posiadał dom w ulicy Garncarskiej (teraz ulica Gołębia). Roku 1476 *Nicolaus Proszowski* właściciel domu w ulicy Mikołajskiej.

* * *

Stron. 166. Dawność istnących w Krakowie malarstwa i rzeźbiarstwa, poświadcza ta okoliczność, że już roku 1412, *Niclos sniczcz* (rzeźbiarz), i *Petir tischer* (stolarz), byli starszymi połączonych cechów malarzy, stolarzy i innych. Ten *Niclos sniczcz* w roku 1428 posiadał ogród na przedmieściu Garbarze, Piasek.

* * *

Stron. 167. Rytownictwo. Z dawnych wieków nie doszła do nas żadna wzmianka o rytowniku krajowym, i pierwszą takową wspominkę obejmuje rota przysięgi, którą w roku 1413 wykonał *Nicolaus Unger* wyrzyncz stępli i probierz srebra w mennicy królewskiej Władysława Jagielly, o którym później obszerniej wspomnieć zamierzam.

* * *

Stron. 167. Akta ławnicze (*Liber Dnor Scabinorum Crac.*) pod rokiem 1482 wymieniają szlifierza kosztownych kamieni, jakoto: Jan Zalczcr złotnik, zeznał, że przewielebny biskup kujawski (*allererwirdigster vater und her Bischof von der Coja*), którym był Andrzej Oporowski, roku 1483 zmarły, powierzył mu szafir (*zafirun*), ażeby go kazał szlifować (*poliren*) Hermanowi szlifierzowi, który tenże kamień zatracił.

Rzemiosło kartowników, robiących karty do gry, już się w Krakowie zjawia w XVtym wieku, mianowicie, że w roku 1485 wspomniany jest jako właściciel domu z imienia nie nazwany, tylko z rzemiosła *Kartenmechir....* Z pewnością atoli oznaczyć nie można, czyli to działa się za pomocą drzeworytnictwa (*xilografii*), czy przez malowanie ręczne, *Prismoler*, lub też za użyciem stosownych patronów.

* * *

Stron. 187. Zwyczaj mówienia kazań wyłącznie w języku niemieckim w kościele Panny Maryi, nastąpił dopiero w biegu XVgo wieku, bo zapisy z pierwszej połowy tego stulecia wykazują, że tu był kaznodzieja polski (a obok niego może był i niemiecki), jak się to pokazuje z pisma rajców krakowskich z roku 1438, którego początek taki: *Her Niclos unsir Caplan, der Polnisch Prediger czu unsir libn frawen geweset ist etc.* Zwyczaj ten mowę ojczystą poniżający, słusznie w kraju powszechne wzniecał oburzenie, aż nakoniec i usunięty został.

* * *

Stron. 197. Znakomity utwor rzeźbiarstwa, owe stalla, formy czyli ławy w prezbiterium kościoła św. Trójcy, które już trudno aby kiedy równie wypracowanemi zastąpione były, składały się z osobnych kunsztownie wypukło-rzeźbionych tablatur, utwierdzonych w osadzie roboty stolarskiej, którą wykonał Jan Gruszczyzna.... Te z największą dla sztuk pięknych szkodą, spłonęły doszczętnie razem z ołtarzami, dwojgiem or-

gan i t. p., w czasie pożaru blisko połowy miasta Krakowa, dnia 18 lipca, roku 1850!..... a nikomu wcześniej przez myśl nie przeszło, aby je w rysunkach powszechniej znanemi uczynić.

Ozdobne stalla w kościele św. Franciszka, również zgorzałe, były zapewne na rzut oka więcej zadziwiające, jako okazalsze i bogatszego wyrobu pod względem materiału; ale tamte pod względem kunsztu były o wiele ważniejsze.

* * *

Stron. 198. Aż do obecnych czasów pozostały ślady, że w dawnych wiekach oprócz napisów, znaków, dawano na domach malowania wizerunków świętych Pańskich, co jeszcze i teraz nie na jednym domie spotrzedz się daje.

* * *

Stron. 220. Już wcześniej inżynier Włoch był w służbie polskiej..... Paprocki: *Herby ryc. pol.*, p. 217 przywodzi przywilęj z roku 1582, w którym król Stefan Batory wylicza zasługi wojenne miernika, zowiąc go: *Petrus Francus Conglanensis, Geometer noster.*

* * *

Stron. 223. Odlewnictwem dzwonów już o wiele wcześniej, bo w wieku XVtym w Krakowie się trudniono. Roku 1412 Henryk Leydmiter z żoną Magdaleną, obowiazali się odlać dzwon z czterech centnarów spiżu Janowi z Chęcina (*czu Chanczin*), którego zowią *Gardian* (gwardyan?), do czego tenże winien dodać kamień cyny i grzywnę szelągów (*eyne mrg. hellir.*). Roku 1485 Maciej mosiężnik (*Rotgisser*) i Erard konwisarz, wynieśli spór przed sąd ławniczy krakowski, tyczący się odlania dzwonu do Jaworzna, który na stronę Macieja wypadł.

Sztuka ludwisarska u nas w wieku XVItym na wysokim była stopniu. W Dyaryuszu podróży króla Stanisława Augusta, gdy odwiedzał Nieśwież książąt Radziwiłłów, jest ta wiadomość: „W Nieświeżu bawiając, wszedł Najjaśniejszy Pan na wał zamkowy, dla przechadzki i oglądania po bastyonach dział ogromnych, na każdym po sześć sztuk;... z których kilkanaście było lanych za Zygmunta Igo, w różnych figurach sztucznie, i ledwo nie filigranową robotą sporządzonych.”

* * *

Stron. 224. Domysłowo tylko wyrzekłem, że pomnik brązowy kardynała Fryderyka Jagiellończyka, może w Krakowie był odlany, i domniemanie to od rzeczywistości nie zdaje się być dalekiem. Fryderyk Faber, pisarz znakomitego teraz wychodzącego dzieła: *Conversations-Lexicon für bildende Kunst*, w tomie 4tym, str. 516, tego jest zdania, że owa mosiężna tablatura dłutem rytowniczym wykonana, poziomo le-

żąca przed wielkim ołtarzem katedry krakowskiej, która jest częścią tego monumentu, z pewnością za dzieło miejscowego (krakowskiego) artysty poczytana być może.... Ale co do ważniejszej (plastycznej) połowy tego pomnika, mianowicie postaci kardynała klęczącego przed wyobrażeniem Najśw. Panny, któremu to utworowi największą zaletę przyznaje, wpada na wniosek, że tak doskonały odlew w owym czasie, mógł tylko wyjść z pracowni Piotra Vischera w Norymbergu. (Tom 4, str. 517), a w tomie 5tym, str. 54, już go wprost pracą tego sławnego odlewnika być mieni.... Twierdzenie takowe niczem niepoparte, nie zasługuje na uwagę, ani monopolu Vischera w podobnych odlewach nie dowodzi, tém bardziej, że (jak to i Faber mówi): nie ma na tym pomniku ani nazwiska, ani monogramu Vischera (dwie ryby), czém zwykle artysta ten prace swoje znaczył. I w rzeczy samej po najbaczniejszém obejrzeniu tegoż, nie mi się dopatrzeć nie dało, prócz napisu *Maria*, na taśmie spinającej kapę na piersiach św. Stanisława; przeto domniemanie moje powyższe, jeszcze prawdopodobieństwa nie utraciło, że dzieło to może w Krakowie było wykonaném.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1851.

WARSZAWA.

81. Badania filozoficzne o chrystyanizmie przez Augusta Nicolas (,) przekład Ignacego Badeniego Rady Tajnego, C. T. N. K. Ska. Warszawa. 1851. Druk Gazety Codziennój. Str. XVIII i 336.

82. Dwór i dworki (.) Szkic do powieści przez L(eona) Kunieckiego. 12ka. Warszawa. 1851. Nakład i druk S. Orgelbranda. Kart napisowych 3 i str. 174. Złp. 4.

83. Główniejsze wody mineralne, ich skład, działanie i wskazanie do użycia, ze szczególnym względem na wyrabianie w instytucie wód mineralnych przy ogrodzie Krasieńskich, redakcyi Teofila Lesińskiego. Ska. Warszawa. 1851. Druk Józefa Ungra. Str. 86. Złp. 3.

84. Historia serca i rozumu (uczucia i wiedzy) przez Jana Major-kiewicza. Rękopism pośmiertny. (Z godłem):

...Modlić się będę, duchem modlić się będę i rozumieniem.

Będę śpiewał duchem, będę śpiewał i rozumieniem.

...Wolę pięć słów rozumieniem mojem mówić, a tych i drugie nauczył: niżeli dziesięć tysięcy słów językiem.

Bracia! nie stawajcie się dziećmi rozumem, ale bądźcie dziećmi złością, a doskonałemi rozumem będziecie.

Do Korynt. I R., XIV w. 15, 19, 20.

Część pierwsza. Ska. Warszawa. 1851. Nakład G. Sennewalda, druk Ungra, Str. 490 i rejestru karta 1. (Z portretem). Złp. 20.

85. Piotr Konasewicz. Góra Biruty. Powieści historyczne Antoniego Wieniarskiego. 12ka. Warszawa. 1851. Druk Gazety Codziennój, nakład B. M. Wolffa w Petersburgu. Str. 152. Złp. 6 gr. 20.

86. Wysokie w XVII wieku, czyli Aryanie w Polsce. Powieść historyczna Antoniego Wieniarskiego. 12ka. Warszawa, 1851. Druk Gazety Codziennój, nakład B. M. Wolffa w Petersburgu. Kart napisowych 2 i str. 190. Złp. 6 gr. 20.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Ignacy Zapolski najdoskonalsze tłumaczenie alkoranu Kazimierskiego wydać zamierza w przekładzie polskim.

— *Jan Kanty Gregorowicz* ukończył drugą seryą *Obrazków wiejskich*.

— *Maurycy Halpert* przygotował do druku obszerną rozprawę o teatrze hiszpańskim od początku XVIII wieku, z dodaniem przekładu kilku sztuk wprost z oryginału hiszpańskiego tłumaczonych Don Leandra Fernandez de Moratin, i Kalderona.

— Ksiądz *Mętlewicz* pracuje nad *Album Łęczyckim*, poświęconém historii Łęczycy i jéj starożytnościom, wraz z dokładnemi opisami synodów, które począwszy od r. 1180 za czasów Kazimierza Sprawiedliwego, tu się odbywały.

— Księgarz *Gustaw Sennewald* przy wydaniu rękopismu pośmiertnego Jana Majorkiewicza w 2 częściach p. n.: *Historja serca i rozumu*, (uczucia i wiedzy), wraz z portretem autora, zapowiedział, że pod prasę oddał dwa jeszcze tomy rozpraw, rozbiorów i pism pomniejszych tegoż autora. Ogólny więc zbiór pism ś. p. Majorkiewicza będzie się składał z pięciu tomów.

— F. M. *Sobieszczański* wykończył tom IIIci *Wiadomości o sztukach pięknych w Polsce*, którym zamyka całe dzieło.

— *Edward Rastawiecki* zapowiedziany Słownik malarzy polskich we IIch tomach, z powodu nagromadzonych ważnych do tego przedmiotu materyałów, rozszerzył do trzech tomów. Tom IIgi wkrótce opuści prasę drukarską.

— Nakładem B. Wolffa wyjdą następne dzieła: *Wawrzyna*, powieść p. Wilkońskiéj; *Poezye Bohdana Zaleskiego* (nowe, nieznanne), obejmujące dumy i pieśni, i przekład pieśni serbskich.

— Księgarnia pod firmą Rubena Rafałowicza zamierza ogłosić dzieło ważne dla dziejów p. n.: „Żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich, prymasów Korony polskiéj i W. K. Litewskiego od *Wilibalda* do *Andrzeja Olszowskiego* włącznie, opisał *Stanisław Bużeński* dziekan i officyał warmiński, kanonik gnieźnieński i krakowski; z niewydanego dotąd rękopismu łacińskiego na język polski przełożył Michał Bohusz Szyszko; wstęp i wiadomość o założeniu arcybiskupstwa, tudzież o jedenastu późniejszych prymasach do zgonu księcia Michała Poniatowskiego, dodał Mikołaj *Malinowski*. Tomów cztery.

— Nakładem téjże księgarni wkrótce wyjdzie zpod prasy drukarskiéj tom IIgi Pamiętników o dawnéj Polsce Commendoniego, których tom Iszy wyszedł w 1847 roku.

— *Ludwik Kondratowicz* (Wład. Syrokomla) pracuje obecnie nad wydaniem VIgo tomiku *Przekładów poetów polsko-łacińskich*. Zawierać będzie: pięć *od* Mikołaja Smoguleckiego przypisywanych Sarbiewskiemu, oraz korespondencją tego ostatniego ze Stanisławem Lubieńskim biskupem plockim, rzucającą światło na charakter obu tych mężów, na ich osobiste stosunki, i niektóre sprawy krajowe. W dodatku będzie w łacińskim oryginale poemat Klonowicza *Rozolania*, rzadkość bibliograficzna, a godna uratowania od zapomnienia, jako piękny zabytek poezyi polsko-łacińskiéj.

— Tom IVty Kroniki Wapowskiego ma wyjść w roku bieżącym.

Wyjątek z listu A. Bielowskiego.

„Wykryłem tu ciekawe pamiętniki *Wilczków* mieszczan lwowskich, zawierające obszerne i zajmujące korespondencje z Janem Sobieskim królem aż do jego śmierci. Jest w nich dokładny obraz wszelkich ruchów wojennych i stosunków miejscowych naszych okolic. Mam téż własnoręczne pamiętniki Stanisława Jabłonowskiego wojewody ruskiego, zawierające mnóstwo

ciekawych szczegółów, a przez całe życie autora pod zamknięciem trzymane. Jest w nich między innymi wzmianka, że Chmielnicki korespondował z Kromwelem. Nakoniec wyszedłem też w rękopismach tutejszych dyaryusz oblężenia Krakowa i zdobycia go przez Szwedów, skreślony własną ręką Starowolskiego, i nigdzie dotąd niedrukowany."

Wyjątek z listu z Krakowa.

Towarzystwo naukowe w r. z. wzbogacone zostało znakomicie. Nie wspomniemy tu dzieł nadesłanych, ale wyliczmy dary w zabytkach starożytności.

W dyplomatach i rękopismach. Dwie podobizny Jana Złsi i Jana Husa. Księgę oryginalną sądową grodu Żywca w pergaminu oprawną. 59 sztuk listów i aktów dawnych, dotyczących się w największej części miasta *Nowotańca* w ziemi sanockiej od r. 1366 do 1762, między temi 19 sztuk na pergaminie, z których 6 mają pieczęcie woskowe wiszące. Dyplom pergaminowy z r. 1494, którym Piotr dziedzic Wiśniewca i Lipników, storosta żywiecki, nadaje wieś Lipniki na wieczne czasy klasztorowi św. Katarzyny w Krakowie. *W rzeźbach.* Odlew gipsowy miednicy srebrnej, ozdobionej rzeźbami, dzieła sławnego *Benevenuto Celliniego*, przez królową Bonę darowanego Firlejowi, obecnie w zbiorze Fr. hr. Potockiego w Warszawie zachowanego. Rzeźba przedstawiająca grupę trzech osób w popiersiach: Heroda, Herodyadę i żołnierza, który z szczególnym wyrazem twarzy słucha wyroku polecającego ścięcie Jana Chrzciciela. Wytworne dzieło Wita Stwosza. Ołtarz rzeźbiony w drzewie, przedstawiający rodzinę Chrystusa, na podobieństwo ołtarza w kościele Panny Maryi, z podobnie rzeźbionymi podwojami: zabytek nieocenionej wartości, będący dziełem Stanisława Stwosza, syna sławnego Wita. Dwie maski gipsowe, zdjęte staraniem K. Kremera z nagrobków Piotra Kochanowskiego i Sebastjana Petrycego w kościele Franciszkanów, które mimo marmurowej osnowy, pożar tegoż kościoła przepalił i zniszczył.

W sprzętach i t. p. przedmiotach: Naczynie osiarne spiżowe z czasów przedchrześcijańskich. Trzy kamienne kule wydobyte z gruzu przy odkopywaniu grodziska położonego na skale nad miastem Żywcem, zwanego dawniej *Turcem*, dziś Grojcem. Grot żelazny od strzały tamże znalezione. Klucz o dwóch bródkach z puszką przesuwalną, znalezione na zamku krakowskim w czasie kopania kanału 1845 r. Kłódkę wyobrażającą literę S, wykopaną we wsi *Modlnicy*. Popielnicę bez pokrywy (gdyż ta się rozpadła), wykopaną na gruntach wsi *Brzezia* w okręgu Krakowa. Dwie podkowy końskie żelazne, znalezione wraz z wielu innymi, tudzież kośćmi zwierzęcymi w głębokości 7m i łokci na Podgórzu przy gościńcu do Wieliczki w r. b. Ostroga żelazna znaleziona we wrześniu na Grzegórkach. Amulecik egipski na jeden cal długi: książka z marmurów pompejańskich. *W Monetach.* Dwa pieniądze srebrne kuficzne znalezione w Przemyślu 1849 roku, w znacznej ilości odmienne od tych, które opisuje Czacki.



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Lipiec, 1851.

Lipiec 1851.**Dostrzeżenia w Obserwatoryum**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza,
czyli w łuku 18°41'25,45 na wschód

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR s t u s t o p n i o w y				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano.	god. wiecz.	god. wiecz.	
1		751.08	751.67	750.26	750.14	+12°7	+15°1	+22°4	+17°5	78.2
2		749.47	749.25	747.71	747.97	14.8	21.1	21.9	17.8	77.2
3		747.94	747.60	746.57	745.58	18.9	24.2	26.2	16.3	71.0
4		744.33	744.65	742.02	740.60	18.6	21.2	21.9	16.7	80.2
5		741.86	743.31	744.55	745.99	16.3	18.6	22.7	15.2	77.0
6	☾	747.18	747.79	745.95	746.15	13.3	16.2	20.0	12.8	71.0
7		746.83	746.92	746.56	747.19	12.4	14.9	14.8	9.8	73.0
8		747.11	746.49	745.73	742.60	12.6	17.2	17.9	15.0	74.7
9		739.25	739.92	742.09	744.43	13.9	18.6	17.9	10.4	74.8
10		745.81	746.07	744.66	744.36	12.9	18.1	17.7	14.5	71.8
11		743.43	742.57	742.60	743.97	14.2	19.7	17.1	13.5	83.2
12		745.64	745.65	744.99	744.68	10.4	14.4	16.2	11.6	66.2
13	☺	743.39	743.05	743.18	743.41	9.6	15.6	17.1	12.9	71.8
14		742.89	742.95	742.85	743.05	13.1	17.4	15.5	13.5	89.5
15		742.17	742.45	742.64	744.06	14.4	21.6	21.9	14.4	80.5
16		745.89	746.48	746.87	747.48	13.7	17.7	20.3	13.4	72.0
17		747.98	748.28	748.64	748.82	13.4	17.3	21.4	15.1	82.5
18		746.02	744.40	741.68	741.58	15.2	20.8	20.5	17.5	89.0
19		748.28	750.22	751.79	753.05	14.4	19.0	18.3	13.9	75.0
20		755.98	756.84	756.82	756.98	12.3	15.7	18.5	14.1	74.8
21	☾	756.22	755.86	753.69	753.19	13.9	19.1	24.3	16.5	71.0
22		751.66	751.31	750.48	750.78	17.1	24.7	24.8	19.5	74.0
23		750.75	750.66	748.94	747.44	16.5	22.1	24.0	18.1	81.0
24		744.62	743.28	741.49	740.93	19.8	24.3	25.3	16.7	81.0
25		741.55	742.97	743.37	744.21	17.7	21.2	24.6	18.1	72.5
26		744.99	745.18	744.27	742.64	18.5	24.4	27.1	21.6	65.0
27		742.20	743.98	745.62	746.50	18.8	21.1	20.8	17.1	83.7
28	☺	749.77	752.43	753.23	754.36	15.7	17.0	19.8	14.1	74.7
29		753.55	753.49	751.87	751.04	13.7	17.9	20.1	17.7	72.3
30		748.71	748.71	747.35	747.81	17.9	22.4	29.0	21.2	73.3
31		747.38	747.19	746.20	746.56	20.0	24.6	27.2	20.7	80.2
Śre.		746.898	747.149	746.602	746.695	+15°05	+19°45	+21°20	+15°71	76.19

Astronomicznem Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^h 14^m s45^s, 7
względem południka paryzkiego.

S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé- szczy	śnie- gu
pochmurny pogodny pogodny napót pog. pochmurny	pochmurny chm. nieprz. napót p. i d. napót pog. poch. i dész.	pr. pogodny pr. poch. i d. lek. pochm. pr. pog. i d. napót pog.	pr. pogodny pogodny poch. i dész. pr. pochm. pogodny	PnZ. PnZ. — Pd. PnZ.	PnZ. Z. PdZ. Pd. PnZ.	Z. Pn. W. PdW. PnZ.	PnZ. Z. PdW. — Z.	2.8 2.0 9.2	
poch. dész. pogodny lek. pochm. pochmurny pogodny	lek. pochm. pochmurny pr. poch. i d. napót p. i d. lek. pochm.	pr. pogodny poch. i dész. pochmurny napót pog. poch. dészcz	chm. miejs pogodny pochmurny pogodny pochmurny	Pn. Z. Z. Pd. PdZ.	PnZ. Z. PdZ. Z. Pd.	PnZ. Z. Z. Z. Pn.	Z. PdZ. Pd. — PdW.	1.2 1.1 4.0	
poch. i dész. pochmurny pogodny poch. i dész. pochmurny	pr. pochm. napót pog. lek. pochm. pr. poch. i d. poch. i dész.	poch. dészcz pochmurny pochmurny poch. i dész. lek. pochm.	pochmurny pochmurny pochmurny lek. pochm. poch. i dész.	Pd. PnZ. PnZ. Z. Pd.	Pn. PnZ. Z. Z. PdZ.	PnW. PnZ. Z. Z. Z.	Pn. PnZ. Z. Z. Z.	8.0 1.8 16.0	
pochmurny poch. i dész. poch. i dész. pochmurny poch. i dész.	napót p. i d. poch. i dész. poch. i dész. pochmurny lek. pochm.	pr. pogod. napót pog. poch. dészcz poch. dészcz lek. pachm.	pogodny pogodny pochmurny pochmurny pogodny	Z. PdZ. PdW. Z. PnW.	Pn. Pd. PdW. Z. Pn.	PdZ. PdZ. Pn. PnZ. Pn.	— — Pn. Pn. PnW.	4.6 86.6 3.0 2.0	
pogodny pogodny pochmurny pogodny pochmurny	napót pog. pochmurny pochmurny pogodny pr. pochm.	lek. pochm. pr. pochm. pochmurny pochmurny napót. pog.	pogodny pochmurny pogodny poch. i dész. pogodny	— PdZ. W. PdW. Z.	PdW. Pd. PdW. PdW. Z.	Pd. PnZ. PdW. PdW. Z.	Pd. — PdW. PnZ. —	6.0	
lek. poch. pochmurny pochmurny pogodny pogodny	pogodny pochmurny poch. i dész. lek. poch. i d. sm. napót p. pogodny	pochmurny poch. i dész. lek. pochm. lek. pochm. pr. pogodny poch. i dész.	poch. i dész. pochmurny napót. pog. pr. pogodny poch. i dész. pogodny	Pd. PdZ. Pn. Pn. Pn. Pn.	Pd. PdZ. Pn. PnW. PnW. Pn.	Pd. Z. Pn. PnW. Pn. PnZ.	PdW. Z. Pn. Pn. PnZ. PnW.	19.7 0.4 2.2	
								168.6	

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	746.837	27	7.070
Najwyżej dochodził — d. 20 o g. 10 w.	756.98	27	11.566
Najniżej — — d. 9 o g. 6 r.	739.25	27	3.707
Średnia zmiana dzienna barometru	2.999		1.329
Największa zmiana dzienna barometru d. 18—19 o g. 10 wiecz.	11.47		5.08
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 25 lat poprzedzających	2.040		0.904
Średnia temperatura lipca wynosi:	748.877	27	7.974
i ta jest niższa o	+ 17.9851 C.	+14°	281 R.
od stanu normalnego z 25 lat po- przedzających	0.838 „	„	0.670 „
Największe ciepło dochodziło d. 30 o godz. 4 wiecz.	+ 18.689 „	+14.951 „	„
Najniższa temperatura była d. 13 o godz. 6 rano.	+ 29.0 „	+23.2 „	„
Średnia zmiana dzienna temperatury	+ 9.6 „	+ 7.7 „	„
Największa zmiana dzienna d. 29—30 o godz. 4 wiecz.	2.268 „	1.814 „	„
Termometrograf wskazał:	8.9 „	7.1 „	„

Maximum: + 26.1 R. d. 30 po połud.

Minimum: + 4.2 „ d. 13 rano.

Wody z deszczu spadło wysoko na 168,6 milim., czyli 74,7 lin. par. t. j. o 37.7 lin. par. więcej od ilości wody jaka u nas zwykle spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 76,2 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 9.49 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 2, napót pogodnych 14, pochmurnych 15.

Dni deszczu 25 (d. 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 24, 26, 27, 28, 29, 30, 31). — Dni gradu 2 (d. 18, 24). — Dni grzmotu 8 (2, 3, 9, 14, 18, 24, 26, 30). — Dni błyskawic bez grzmotu 4 (18, 24, 26, 29).

Wiatr panujący: Zachodni. — Wichrów 1 (Północny). — Wiatrów mocnych 4: 1 Pn., 2 PnZ., 1 Z).

Lipiec r. b. odznaczał się częstymi i obfitymi deszczami, grzmotami i błyskawicami; w ogólności miesiąc ten był niepogodny, bardzo słotny i przeszło o pół stopnia R. zimniejszy jak zwykle. Wyjąwszy sześć dni t. j. d. 1, 13, 21, 22, 23, 25 w których deszcz nie padał, 25 dni było słotnych. Ilość wody z deszczu w tym miesiącu wynosi co do wysokości 6 cali 2.7 lin. par., to jest dwa razy więcej niż w stanie normalnym. Dzień 18 ze względu szczególnych i nadzwyczajnych zmian atmosfery należy do wyjątkowych dni tego miesiąca; deszcze, wichry, grady, błyskawice, grzmoty i pioruny odznaczały ten dzień. O godz. 4½ po połud. wśród błyskawic, grzmotów i deszczu upadł grad wielkości laskowego orzecha. Największa jednak burza była o godz. 6 min. 50 wiecz. wśród ulewy i nieustających błyskawic na około. O godz. 8½ wiecz. grzmoty i deszcz nieznaczny. Między godz. 9 i 10 w. grzmoty, błyskawice i deszcz, błyskawice do późnej nocy się przeciągnęły. Ilość wody z deszczu w ciągu 16 godzin wynosiła 86.6 milimetrów, to jest więcej od ilości jaka średnio w całym miesiącu spada.

D. 28 o godz. 4 min. 46 po połud. zaćmienie słońca całkowite w Warszawie widzialne. W czasie zaćmienia powietrze się znacznie ochłodziło; termometr w cieniu zniżył się o 1.7 stop. R.; na słońcu o 3.4 stop. R. Wiatr Północny wiał silniej w kierunku biegu zaćmienia.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1851.

Tom czwarty.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLIV.



117152
WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Załuskich.

—
1851.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

PAMIĄTKA PRZYJŚCIA SZWEDZKIEGO DO WARSZAWY ROKU 1655.

DO CZYTELNIKA.

W uzupełnieniu artykułu p. *Grangier de la Marinière* o bitwie Szwedów z Polakami pod Warszawą w r. 1656, w zaprzeszłym numerze niniejszego pisma zamieszczonego, podajemy tu szczegóły téjże saméj epoki dotyczące, które wynaleźliśmy czyniąc poszukiwania celem wyjaśnienia życia i czynów Hieronima Radziejowskiego podkanclerza koronnego.

Ustęp ten między akta urzędowe miasta staréj Warszawy wciśnięty, tém jest ważniejszy, gdy przez naocznego świadka opisany został. Uczynił to pisarz miejski *Kazimiérz Franciszek Prusowski* (o czém przekonać się można ze zwrotów w samym pamiętniku zamieszczonych, gdy sam o sobie mówi), który nie zaniedbał nigdy, ilekroć do tego zdarzyła się sposobność, ważniejsze wydarzenia w mieście w ten sposób pamięci potomności przekazywać. Wiadomości te różnego rodzaju, pisane w różnych epokach, jużto całkowiec po łacinie, już po polsku, już naostatek mieszaniną łaciny z polszczyzną, skrzętnie przez nas zewsząd w jedną całość zebrane, stanowią ciekawy pomnik historycznej przeszłości saméj Warszawy. Uporządkowawszy takowe, ogłaszać je będziemy częściowo w niniejszém piśmie; obecnie dajemy ten tylko urywek pisany mieszaniną łaciny z polszczyzną, zachowując w polszczyźnie wyrażenia współczesne, a łacinę w przypisy ująwszy; a to dla dopełnienia, jako się wyżej rzekło, wiadomości zkądinąd czerpanych, a z niniejszemi ścisły związek mających.

St. Lisowski.

*Działo się w Warszawie, w piątek po świętym Wawrzyńcu
męczenniku najbliższy, dnia 13 sierpnia 1655 r.*

DLA UCZONEGO CZYTELNIKA

PAMIĄTKA PRZYJŚCIA SZWEDZKIEGO.

Gwałtowny napad (1) chcąc opisać, trzebaby go z fundametu okazy i okoliczności (2) jego od początku, z jakiej i czyjego powodu (3), nie z wpływu niebieskiego, ale złości raczej ludzkiej nagle i niespodzianie przypadł, zacząć. Ale żeby ta rzecz i bez szerokości pisania i bez naruszenia kogóżkolwiek (gdyż prawda (4) zwykła rodzić zazdrość albo nienawiść) (5) nie była; dlatego rzeczy téj naturę (6), której zkąd i z jakich przyczyn owoc (7) do nas przyszedł, historycznemu pióru i rozumowi opisać zostawisz zabawę, krótko co w tym zacnym przytrafiło się (8) mieście, nanotować mi się zdało dla zabawy ucha rado-słuchającego i chciwego wiadomości przeszłych czytelnika. Naprzód iż kilka dni przedtém (9) wiadomości przyszły o wojskach, że już z pomorskiej Wielką Polskę posiadli (10), z powodu mniej opierających się (11), owszem pobłażających (12) Wielko-Polski mieszkańców, którzy wolno (13) tego w granice wpuszczali nieprzyjaciela. Senat (14) radził o sobie, o mieście króla Jego Mości (15) i gdzieby bezpieczniej (16) Panu przebywać. (17) Jednym się to zdało, aby tu w Warszawie mając w potrzebę artyleryjjej, zwołać całą szlachtę łącznie (18), i tu jako w podobnym na wszystko miejscu, czekać nieprzyjaciela i onemu dać odpór (19) i fortuny z nim spróbować, mając i Wisłę z tyłu (20) i podlaskie posiłki (21) i inne możebne środki (22). Przemogła rada (23) Jego Mci ks. Andrzeja Leszczyńskiego arcybiskupa gnieźnieńskiego, które jakoby dla bezpieczniejszego położenia (24) w zamku łowickim, z którego (25) na bło-

(1) Paroxisum. (2) Circumstancie. (3) Ab origine, qua et cujus causa. (4) Veritas. (5) Invidiam seu odium. (6) Hujus rei naturam. (7) Partus. (8) Accidit. (9) His praecedentibus diebus. (10) Possiderunt. (11) Minus resistentibus. (12) Conniventibus. (13) Libere. (14) Senatus Consultum. (15) De se, Civitatis Majestatis Regiae. (16) Tutius. (17) Consistere. (18) Convocare totam nobilitatem junctim. (19) Resistentiam. (20) A tergo. (21) Subsidia. (22) Possibilia. (23) Praevaluit Consilium. (24) Prosecutori quasi consistentia. (25) Ex quo.

tach i wodach bezpiecznie K. J. M. i do Łowicza pojechał, gdzie na radzie oszukany w sam dzień św. Bartłomieja, ztamtąd ustąpić (1) musiał. Od zbliżających się nieprzyjaciół już już strach (2) wielki. Tymczasem posłowie, niepocieszeni ludzie, co bogatsi i możniejsi, kto mógł najlepsze rzeczy (3) wysłał, sam uchodził, kto zaś nie był taki i lubo się drudzy tacy (4) znajdowali, woli Bożej się oddali (5), i tu na wszelkie wypadki wystawić się woleli (6), aniżeli krokiem ziemię mierzać, a wiatr z niebezpieczeństwem ostatecznym ciągle (7) bez oddechu w drodze i ucieczce łapać. Więc co dzień, co godzina (8), jako na inne miasta tak nierównie i na Warszawę strach (9); zwłaszcza że bez załogi wszelakiej (10) zostawała, a lud rozproszony co żywo się do miasta, do kościołów etc. garnał. Nareszcie d. 7 września (11) z podjazdu z miasta wysłanego dostało się języka pewnego, że już wojsko szwedzkie nadsięgnąć miało w Błoniu; jednak czyli to tylko podjazd, czy samo korpus wojska i jeżeli był sam król szwedzki obecny (12), żadnej nie było wiadomości. Całą noc strawiliśmy nad czuwaniem (13) około miasta samego. A iż nazajutrz, to jest dnia 8 września (14) w dzień Narodzenia Panny Najświętszej około godziny ósmej (15) do niej trębacze: jeden Karola Gustawa króla szwedzkiego, drugi pana Hieronima Radziejowskiego z *kredensem* albo raczej listem królewskim przyjechali, który te miał w sobie *kontenta*, abyśmy się deklarowali jako chcemy witać króla szwedzkiego: czy mu nieprzyjacielsko się sprzeciwić, (16) czyli pod opiekę (17) jego się oddać (18). Pomienionych trębaczów przed furte i zwodem przy kościele św. Ducha za bramą nowomiejską zatrzymawszy, z narady między sobą uczynionej (19) nie zdało się puszcząć ich lubo z zawiązanymi oczyma do miasta, ale raczej u Ojców Dominikanów w klasztorze dać im audyencyą: i tak się stało. Wyszedł jegomość sam Olbrycht Gizicki stolnik wieluński, sekretarz J. K. M. natenczas tu przy zamku rezydujący; Jego Mość pan Alexander Gisa burmistrz natenczas; p. Jan Walenty Kociszowski,

(1) Ipso die S. Bartholomaei inde discedere. (2) Appropinquantibus jam jam hostibus terror. (3) Optimas res. (4) Tanti. (5) Resignarunt. (6) Omni fortunae sese exponere maluerunt. (7) Periculo postremo continue. (8) In dies et horas. (9) Metus. (10) Sine praesidio omni. (11) Ac tandem die septima septembris. (12) Praesens. (13) Tota nocte laboravimus in vigiliis. (14) Octava septembris. (15) Hora circiter octava. (16) Hostiliter opponere. (17) Protectioni. (18) Sese dedere. (19) Ex consilio inter se facto.

p. Stanisław Falkowic, p. Julius Gintter, p. Marcin Łukasze-
wicz rajcy; p. Wojciech Alexander Baranowic ławnik, p. Fran-
ciszek Kazimiérz Prusowski gminny i pisarz ławnicy, p. Jan An-
dryszowic, p. Jan Stanisław Cyrus, p. Jerzy Kromer, Gmińscy
i wiele ludu innego, do OO. Dominikanów, do konwentu po-
mienionych prosili trębaczów, którzy w oratoryum zakonném (1)
czynili relatią przyjazdu swego i ambasady, i kredens albo
list od króla oddali; którzy przeczytawszy i owych ustnie
zleceń (2) wysłuchawszy, ze wszzech stron będąc przygnębieni, nie
mogąc przeskoczyć, podléżć raczěj i w pokorę się poddać postano-
wili (3). Tam zaraz dawszy trębaczom declaratią, że przeciw-
ko J. K. M. szwedzkemu żadnej nieprzyjaźni okazywać (4) nie
myślimy, ani chcemy, ale cale opieki J. K. M. upraszać postano-
wiliśmy (5). Upewnieni słowem (6) trębaczów, że i król sam
jest w osobie swojej (7), i że to nie podjazd (któregośmy się bar-
dzo obawiali), ale cale korpus wojska idzie, zaraz posłów (8) do
króla naprzód uproszono: Jego M. pana stolnika wieluńskiego, pana
Kociszewskiego, pana Łukaszewica radziec i pana Prusowskiego
pisarza, do których się przymieszał i p. Jankotyński sekretarz i pi-
sarz kancelaryi J. K. M. koronnej; których, aby się prędko wy-
prawili, gdyż tuż, tuż król z wojskiem następował, trębacze napo-
minali (9). Tymczasem (10) nim się zgotowali posłowie (11),
tymczasem zlecono panu Baranowicowi, aby do domu swego za
Ś. Duchem trębaczów zaprosił i przyzwoicie (12) utraktował, co
zaszczytnie dopełnił (13). Tymczasem (14) Jego Mość pan stolnik
z panem Prusowskim konno i wiele innych przy nim wyjechało
z trębaczami, a widząc już do Woli przybliżające się wojska i kró-
la szwedzkiego, musieli skorzěj i szybcěj (15) pospieszyć, nie cze-
kając drugich posłów (16), zwłaszcza panów radnych, którzy ryd-
wanem się puścili; i tak w polu między Wolą a murowaną karcz-
mą do wsi Włochy nazwaněj należącą, z królem Jego Mością
szwedzkim i wojskami jego zjehawszy się, z koni posiadawszy,
i one trzymać czeladzi oddawszy, pieszo do pocałowania ręki
i przywitania króla na koniu siedzącego, a rękę prawą na kolanie

(1) In oratorio conventuali. (2) Commissa. (3) Sententiarunt. (4)
hostilitatem attentare. (5) Instituiimus. (6) Assecurati verbo. (7) In perso-
na sua. (8) Ablegatos (9) Monuerunt. (10) Interea. (11) Ablegati seu
internuntii. (12) Condigne. (13) Quod cum laude fecit. (14) Interim. (15)
Citius et celerius. (16) Ablegatos.

trzymającego, przystąpili, a oraz przez Jmci pana Radziejowskiego po prawej stronie (1) króla na koniu mrozowatym siedzącego o audyencyą uprosili; któremu król, jako polskiego języka i łacińskiego nieświadomy (2), zlecił nas czegobyśmy chcieli i żądali wysłuchać. Zsiadł tedy z konia p. Radziejowski i odwiódł, się z nami na stronę, a król stał na miejscu ze swoją świtą (3) różnych kawalerów, którego i nas, wojsko w półksiężyc (4) otoczyło. Przełożyliśmy (5) tedy nasze krzywdy (6) i jako bez załogi (7) zostawamy, i protekcyi J. K. M. szwedzkiego żądamy i o przyczynę W. M. naszego Meiwego pana jako kość z kości naszych i ciało z ciała naszego etc: (8) do K. J. Mei, abyśmy i wszelkiego stanu człowiek i oboja płęć (9), tak duchowni i świeccy przy zdrowiu i majątkach w wolnym wyznawaniu religii i odbywaniu nabożeństwa (10) zostawali, upraszamy. Życie i majątki nasze (11) pod nogi Mtu Jego K. Mei. (bo tak natenczas musiało być, choć nie-szczerego serca) pokładając. Zawołany (12) tedy znowu do króla uczynił mu relatią skłonności naszych (13); przez którego król mile takową naszą łagodność i skłonności (14) przyjąwszy, nie tylko przy prośbach i żądaniach (15) naszych nas wszystkich zachować (16), ale i szczególną łaskę swoją (17) przyobiecał i całość zaręczył (18). Ruszył się potem król z miejsca, a panowie współposłowie (19) nasi z rydwanem dopiero nadjeżdżali i witania omieszkali, za którym wojsko około dziesiątka tysięcy około (20) porządne z armatą dział porządných i z wielkim około nich porządkiem, w nie do uwierzenia (21) komu liczbie (22) waleło się. Pominąwszy wieś Wielką Wolą, król obrócił wojsko wszystko potem prosto (23) ku Jazdowu, a sam do cekauzu jechał, gdzie porządną armatę obaczywszy, ruszył ramionami, głową potrząsnąwszy i Władysława dziełem (24) być powiedzianą przez pana Radziejowskiego usłyszawszy, zapłakał. Zrewidowawszy wszystek tak dolny jako i górny czekauz, pojechał do pałacu do Jazdowa, a p. Radziejowski dla bezpieczeństwa (25) miasta i oby-

(1) A dextro latere. (2) Ignarus. (3) Cum sua assistentia. (4) Medio lunari figura. (5) Exposuimus. (6) Nostram calamitatem. (7) Sine praesidio. (8) Os de ossibus nostris et carnem de carne nostra. (9) Et utriusque sexus. (10) Liberi religionis et devotionis exercitio. (11) Vitas et substantias nostras. (12) Vocatus. (13) Propensionis nostrae. (14) Istam nostram facilitatem et propensionem. (15) *Petytach y desideriach.* (16) Conservare. (17) Optimam gratiam suam. (18) Et indemnitate[m] cavit. (19) Conablegati. (20) Circiter. (21) Incredibili. (22) Numero. (23) Recte. (24) Vladislai operam (25) Pro securitate.

watelów swoim pułkiem rajturskim bramy i straż osadził, a założyciel miejskiej (1) kazał do domów zniżyć i bezpieczniemi być; co bardzo bolało wszystko wojsko żeśmy się poddali i na spotkanie (2) królowi jechali, żeśmy ani razu do nich ognia nie dali, żeby byli mieli przyczynę nieprzyjaźni (3) i do rabowania pozor (4).

Tegoż dnia po obiedzie sam król objeżdżał miasto wewnątrz i zewnątrz (5) i zkądby na nie najniebezpieczniejsze napady (6) być mogły, rozważał (7), i jakoby je fortyfikować z swemi kawalerami rozmawiał; znowu do Jazdowa odjechał, za którego rozkazem (8) nastąpiło, aby chleba, piwa dla wojska pewna ilość odtąd (9) wydana była: co musiało być natychmiast (10). Potem zwolna (11) okup na miasto włożył 50,000 twardych talerów; dało tedy miasto za wielkim uproszeniem, tak gotowemi pieniędzmi, srebrem, różnemi towarami, zbożem etc. dwadzieścia i jeden tysięcy twardych talerów, zosobna kościoły, szpitale, dwory, kamienice, duchowne okupować się musiały. Tymczasem (12) ruszył się ztąd król pod Kraków, zostawiwszy tu na swoim miejscu namiestnika czyli naczelnika Benedykta (13) Oxenstierna hrabiego (14), człeka bardzo dobrego i cnotliwego, który żadnej prywatnym (15) nie dopuścił czynić krzywdy i w wielkiej dyscyplinie miał zaogę (16) tu zostającą, nad którym był komendantem Nering, Szkot. Wielka była staranność (17) tak urzędników (18) jako i prywatnych obywateli (19) od nich całe. Przecię zwolna (20) i pozorem nieukrzywdzenia (21) ludzi ubogich ssali, bo ich zamusieli opatrywać (22) po domach uszłożonych, a na nieobecnych (23) edykt wyszedł, aby w przeciągu sześciu tygodni (24) wracali się do własności (25) pod karą konfiskaty lub prawem kaduka (26); i siła oficerów, niektóre kamienice sobie prawem kaduka (27) poupraszały, i niektóre im się okupowali, niektóre obronną ręką uszły. Po tym wszystkim mieszczanom komendant z zaogą (28) strzelbę i wszelkie orężę do boju sposobne, pod gardłem do najmniejszej sztuki, na zamek znieść i oddać jakoby (29) do zachowania (a to

(1) Praesidio civili. (2) Obviam. (3) Occasionem hostilitatis. (4) Praetextus. (5) Intra et ab extra. (6) Insultus. (7) Consideravit. (8) Mando. (9) Quota ex nunc. (10) In instanti. (11) Sensim. (12) Interim. (13) Viceregem seu praesidem. (14) Comitum. (15) Privatis. (16) Praesidium. (17) Observatio. (18) Officialium. (19) Privatorum civium. (20) Sensim. (21) Sub specie nullius injuriae. (22) Providere. (23) Absentes. (24) Intra sex septimanas. (25) Ad propria. (26) Sub poena confiscationis bonorum seu juris caduci. (27) Jure caduco. (28) Cum praesidio. (29) Quasi.

z obawy (1) zdrady jakiej), rozkazał, zapewniając słowem (2), że nie nie zginie i każdemu czasu swego będzie co jego oddane, byle każdy swoje nacechował, albo (3) podpisał strzelbę i broń i t. d. cechowali, podpisywali, kartki przylepiali Sasi i do zamku oddali. A przed oddaniem strzelby gdyśmy prosili, aby nas nie rozbrajali, (4) obiecując wszelką wierność (5), a w ostatku i przysięgę (6) ofiarowaliśmy: oni na to replikowali, że wprzód trzeba się z wojskiem koronném orężem (7) rozprawić, i spróbować, Kraków posieść i koronę otrzymać, dopiero od was przysięgę (8) odebrać. I pozwolił komendant broni zwyczajnej, jako szabel i po czworgu strzelby, osobliwie panu burmistrzowi i *mnie pisarzowi*; inni wszyscy od siebie broń wszelką oddać musieli, a przy nożach samych zostali. Naród ten zdobyczy chciwy nie mogąc nie gwałtownym sposobem wydobyć (9), ale swym kształtem i sposobem nieznacznie jakoby rewizyą (10) generalną postanowili, jeżeli wszyscy oddali strzelbę i inne oręża jeśli kto czego nie utaił, albo prochów i t. d. Rewidowali najmniejsze kąty, skrzynie sobie otwierać i z nich wykladać kazali rzeczy, a co się oczom podobało (lubo nie nie znaleźli), albo sercu przypadło o to prosili że albo mi daruj, albo przedaj; i tak umysł ludu jakoby z dobroczynności wyławiali (11), i często temi sposobami co raz szkodowali i zdradzali, a nie zdało się to jakoby za ciężar i szkodę, aż nierychło zmądrzeli się. A że pod ten czas znajdowały się między ludźmi różnej conditiej sprawy (12), te w sądzie ławniczym sposobem i prawem zwykłym sądzić bez brakowania osób, nawet stanu szlacheckiego ludzi sądzić musieli, z zachowaniem appellacyi do właściwego *forum*. A kiedy wytaczano (13) apellacye do namiestnika czyli naczelnika (14) Oxenstierna, to on rozpoznawszy prawność wyroku, nigdy nie odrzucając lecz owszem takowy potwierdzając, znowu do wykonania do tegoż sądu odsyłał, jako widzieć można w protokołach tychże akt, które tu w aktach niniejszych mniej potrzebne i godne nie są wpisane (15).

(1) Metu. (2) *Assecurujac verbo*. (3) *Sive*. (4) *Nie disarmowali*. (5) *Fidelitatem*. (6) *Juramentum*. (7) *Marte*. (8) *Juramentum*. (9) *Violento altentare modo*. (10) *Insensibiliter quasi revisio*. (11) *Decipiebant*. (12) *Delicta*. (13) *Prosequowano*. (14) *Ad viceregem seu praesidem*. (15) *Inserowane*.

Rok 1656.

Arfurdus Witembergius sławny szwedzki jeszcze za Gustawa króla szwedzkiego w cesarstwie wojennik i generał alias feldmarszałek, *rodem* (1) Fin, zły i okrutny, Kraków opuściwszy, załogę (2) tam zostawiwszy, sam królowi Karolowi Gustawowi szwedzkiemu, pod Przemyśl jadącemu drogę zajechał, i tam w tych krajach ludu siłą natraciwszy, z tymże królem tu do Warszawy powrócił, jakoś w ostatnich dniach kwietnia (3). Król ztąd poszedł z ostatkiem wojska przez Kujawy do Prus, a Witemberg tu został, dlatego, aby skarby i dostatki tak w Podgórzu, jako i tu powtórnie nalupione, nazdobywane i armatę, sztukami do Prus uprowadził, i sam za królem pospieszył. Aż jego zamiary odmieniła (4) mała woda, której co dalej ubywało. Do tego, wojsko litewskie, którego był regimentarzem Jegomość pan Sapięha wojewoda wileński, i rozdzielił je na dwoje, na tę stronę połowę większą przez most pod Szolcem zbudowany przeprawił, a resztek na tamtej stronie i powiaty niektóre zostawił. Do którego przystąpiło (5) i koronnego wojska i różnych powiatów pospolitego ruszenia niemało. Poczęli się pod miasto szanćować; czego Witemberg postrzegłszy, aby takiej mnogości (6) mógł tym sposobniej z garszcją ludu szwedzkiego, (którego tu i z chorymi rachując nad tysiąc więcej nie było), oprzeć się (7), naprzód dnia szóstego maja (8) miasto dobrze oszaktetowane i opatrzone na koło munitią, zamknął, i uczyniwszy wycieczkę na Krakowskie-Przedmieście zapalić je kazał i spalił, potem dwory na Senatorskiej ulicy i na wale, i Długą ulicę, dnia siódmego Freta z Mostową ulicą. W takim położeniu rzeczy (9) z obu stron często się z dział niepokojąc, nasi Polacy nas tu granatami, kamieniami z moździerzów nawiedzali. Nakoniec (10) za szczęśliwym K. Jmć naszego Jana Kazimierza przyjazdem, nasze wojsko polskie, i to tylko gołota *alias* ciurowie i łóżni ludzie, którzy nie tak byli chciwi chwały i sławy (11) jako łakomi zdobyczy (12), ostrząc zęby, nie tak na Szwedy, jako na ubóstwo i substancje miejskie, odpowiadając nie żywić ani jednej duszy (13), szturm przypuścili do pałacu

(1) *Natione.* (2) *Praesidium.* (3) *Ultimis diebus aprilis.* (4) *Proposita variavit.* (5) *Accessit.* (6) *Tantae multitudini.* (7) *Resistere.* (8) *Die sexta maji.* (9) *His stantibus rebus.* (10) *Tandem.* (11) *Cupidi laudis et gloriae,* (12) *Avidi spoliati.* (13) *Animam viventem.*

Kazanowskiego, którego łatwo (1) dostali i wzięli, następnie (2) i klasztor Bernardyński i mniszek, w czym największą obronę swą pokładali Szwedzi, za których wzięciem Witemberg do traktowania skłonił się, i to zwyciężony i zmiekkzony (3) błaganiem i łzami (4) dam, *alias* białych głów, osobliwie generałowy Douglasowy i inszych, których tu było zostało natenczas wiele. Zawarł więc traktaty pod pewnemi warunkami (5), i nazajutrz (6), tojest dnia 1go czerwca (7), miasto otworzył i podał, które pan Grotauz pułkownik króla Jmć z piechotą odebrał. Dnia 2 czerwca (8) pan *Franciszek Kazimiérz Prusowski*, na ten czas syndyk i pisarz wójtowski z panem Augustynem Horlemesen starszym gminnym, do króla Jmci do dworu pana podskarbiego koronnego Leszczyńskiego za wałem będącego z supliką wysłani, imieniem (9) miasta, a téj suplikiéj przez pomienionego syndyka ułożonéj (10) i pisanéj taka treść była:

Najjaśniejszy miłościwy królu panie, a panie
Nasz Miłościwy.

Ojcowska W. K. M. ku poddanym swoim łaskawość (11) tak nam utrapionym, prawie już zgłupiałym wiele pozwala, że przed nogi majestatu W. K. M., rozmaitość za szczęśliwym W. K. M. pana naszego miłościwego przyjazdem pokładamy, tojest płacz z weselem pomieszany. Wesele albowiem ztąd, że w dobrém zdrowiu i szczęśliwém W. K. M. pana naszego miłościwego, za prawicą Bożą (12) powodzeniu, szczęśliwym (13) uznawamy zwycięzcą i pogromcą (14). Za co Najwyższemu nasze ubodzy ludzie i już ledwo zięjący (15), lubo niegodne aż do najmniejszego (16) oddajemy dzięki. Płacz zaś i żal serdeczny z utrapienia i uciążliwości (16)... Nie baczemy tego za rzecz W. K. M. pana naszego miłościwego długą w tych czasach molestować legendą, nasze szkody wyliczając (17), które nie są do wypowiedzenia (18), lubo od innych inaczej osądzone będą (19). Boć to najwyższy

(1) Facilliter. (2) Consequenter. (3) Victus et emollitus. (4) Elulatu et lachrymis. (5) Certis conditionibus. (6) In crastino. (7) Die prima Julii. (8) Die secunda Julii. (9) Nomine. (10) *Concipowanéj*. (11) Clementia. (12) Cum dextera domini. (13) Gloriosum. (14) Debellatorem et triumphatorem. (15) Vix hiantes. (16) Usque ad minimum. (17) Enumerando calamitates. (18) Sunt inenarrabiles. (19) Ab extra secus indicantur.

a dojrzały sąd (1) W. K. M. pana naszego miłościwego, z inszych okoliczności (2) na oko widzieć, nie wszystkiego jednak dowodnie wiedzieć może ze zdania sprawy innych (3), które rzadko się sprawdzają (4). Nikt nie może pewniej i prawdziwiej (5) majestatowi W. K. M. szkody nasze przelożyć (6), jako my wszelkiego rodzaju ciężarami uciśnieni (7); gdy publiczną miastu do obrony i prywatną armatę odebrano, okup i miesięczne podatki (8) wymyślano i brano, wiele dóbr porabowano, i dotychczas żywności nam brano na rachunek publiczny (9), to jest skarbu (10) króla Jmć szwedzkiego, za surowém rozkazaniem. Miasto na kilkadziesiąt tysięcy różnemi dać musiało potrzebami; inaczéj (11) gardłem straszono. Nam prywatnym obywatelom (12), okrom szkód inszych, co zbóż, towarów i innych rzeczy, nie wspominamy spuszczenia (13) i z gruntu rujnej, także na rachunek obiecanej zapłaty (14) pobrano, żal pisać nie dopuści. Tą jednak majestat W. K. M. pana naszego miłościwego supliką poważamy się pokornie upraszać, aby W. K. M. pan nasz miłościwy, jako ojciec łaskawy, na wiernych swoich poddanych wzgląd i baczenie, a przy traktatach, jeżeli jakie będą, mieć pomnienie raczył, aby te nasze straty jakimkolwiek sposobem, tak miastu jako i prywatnym (15) od nieprzyjaciela, za błogosławieństwem bożém i szczęśliwością W. K. M. poniżonego, nagrodzona być mogła. A my Pana Boga gorąco upraszać będziemy, aby W. K. M. pana naszego miłościwego, oddawszy w długie lata przy dobrém zdrowiu, szczęśliwości, strasznym nieprzyjaciółom uczynić (16) raczył pogromcą i sławnym zwycięzcą (17).

* * *

Po której suplikiéj oddaniu przez Jmć księdza Trzebickiego podkanclerzego koronnego, po chwili (18) tenże Jmć ksiądz podkanclerzy wyszedłszy z pokoju, taką uczynił relatią albo odpowiedź (19): „J. K. Mość mile W. Mściów przyjął i uprzejmie suplikę, a że w dobrym zdrowiu W. Mościów zastał cieszy się i nie ma za złe, żeście się W. Mość nieprzyjacielowi żadnego nie uczy-

(1) *Supremum et maturum iudicium.* (2) *Ex aliis circumstantiis.* (3) *Ex allorum relatis.* (4) *Verificantur.* (5) *Verins.* (6) *Nostras exponere calamitates.* (7) *Omni oppressionum genere gravati.* (8) *Disarmowano.* (9) *exactie.* (10) *In fidem publicam.* (11) *Thesauri.* (12) *Secus.* (13) *Privatis civibus.* (14) *In fidem sub promissione solvendi.* (15) *Privatis.* (16) *Efficere.* (17) *Debellatorem et gloriosum reddere victorem.* (18) *Post intervallum.* (19) *Responsum.*

niwszy odporu, zaraz podali, bo to było na W. Mość niepodobno, i inaczej być nie mogło; a cokolwiekieście W. Mść przez ten czas złego ucierpieli, to za wdzięczne od Pana Boga przyjmiecie: da Pan Bóg za szczęśliwością Jego Królewskiej Mości z łaskiej Bożej spokojniejszych czasów nagrodzi się to W. M. A co się tycze szkód w dobrach, przez nieprzyjaciela poczynionych, i okupu, to już nie do naprawy (1), ani tego nieprzyjaciela nagrodzić może. Co do strony towarów i innych rzeczy, na rachunek (2) skarbu wziętych, już J. K. M. dobrze o tém zawiadomiony (3), i nie przepomniał W. Mościów przy traktatach; kazał i tego dołożyć w punktach i w rachunkach, żeby to było przez nich zapłacono."—Tymczasem król Jmć poszedł na mszę do namiotu, który w tymże dworze w podwórzu był rozbity. Dnia 3 lipca (4) panowie kommissarze od Jego K. Mości naznaczeni, Ich Mciowie panowie hetmani, mianowicie pan Potocki wielki, Lanckoroński polny, pan Czarnecki kasztelan kijowski, Obuchowicz wojewoda smoleński, pan Gąsiewski podskarbi i hetman natenczas polny W. Ks. Litewskiego i insze kommissarze (5) do miasta w pewnej liczbie towarzystwa (6) przyjechali, innego żołnierstwa i inszych dworskich K. Jmci bezpieczeństwu i spokojowi (7) miasta wygadając, a bardziej jeszcze Szwedów w mieście zostawających, nie kazał nikogo do miasta wpuszczać, aż ktoby miał kartę, własną ręką króla podpisaną. Ci panowie kommissarze u Szwedów, tak w zamku jako i w mieście rzeczy Króla Jmci i prywatnych (8) im pobrane i porabowane odebrali (9), co mogli i co przy nich znalazło się, a co téż substelnie Szwedzi schowali (10), i z tém mogli ujść, im się w podziale dostało. Aleć panowie kommissarze trybem szwedzkim, jako oni podczas oblężenia czynili ziemianom, na instancją króla Jmci onych z miasta wypuszczając, że co wóz w bramę wpuścili, to się z nim wewnątrz (11) zawarli i trzęśli, pod pozorem strzelby albo prochów jakoby (12) szukając, co się im podobało brali. Ztąd model wzięwszy nasi panowie kommissarze już nie tak wozy, jako osoby obojga płci (13) trzęśli nawet w opasaniu, i na nogach wiele znajdując dostatków. A wyprawdziwszy Szwedów, wyprawiwszy Witemberka i innych kawalerów w drogę do Zamościa, prostych zaś żołnierzy (14) ku Pru-

(1) Irreparabile. (2) In fidem. (3) Informatus. (4) Die tertia Julii. (5) Commissarii. (6) In certo numero comitatus. (7) Securitati et quieti. (8) Privatorum. (9) Repetebant. (10) Occultarunt. (11) Intra. (12) Quasi. (13) Utriusque sexus. (14) Gregarium militem.

som konwokowawszy, ciż panowie kommissarze nad taxą tych wszystkich rzeczy, tak króla Jmci, jako téż prywatnych (1) zasiedli, i one wedle taxy (2), częścią kto się trafił sprzedawali, ale więcéj ich lekką taxą sobie otrzymali. Niemaló przytém poginęło i przepadło. Temi pieniędzmi albo raczéj (3) rzeczami wojsku płacili kwarciannemu; i tę kommissyą i taxę więcéj czasu bankietom, pijatykom pozwalając, niż pracy, aż do dnia 29 tegoż miesiąca (4) odprawowali i onéj nie dokończyli, ale co kto mógł wziąć wziął i sobie zabrał (5), z czego się nie każdy cieszył, o czém niżéj (6).

Dnia 9 tegoż miesiąca magistrat, w którym natenczas przydował (7) pan Alexander Gissa sekretarz króla J. M. metricant skarbu koronnego, który po dokończeniu dorocznego burmistrzostwa swego, które za czasu Szwedów jako z wielką fatygą (8), tak téż nie z mniejszą chwałą i prawością (9) odprawował, powtórnie (10) do szczęśliwszych czasów uproszony był i zostawał nadal przy sprawowaniu rządów (11) burmistrza, gdyż wybory nowego burmistrza zwykle (12) przypadające w lutym (13) być nie mogły, a to dla braku porządków do wyborów należących (14), gdy i panów radziec niemaló i innych urzędników poujeżdżało było przed Szwedami za granicę królestwa (15); ale była największa w rozważaniu powodów racya potwierdzenia godności burmistrza (16), którą sobie Radziejowski jako pieczętarz i starosta warszawski porozumiany pretendował, ale w tém omylony (17) został. Zeszli do dworu J. Mci p. Leszczyńskiego, i tam króla J. Mci z pokoju wychodzącego i na podjazd ku Zakrocymiu z wojskiem kwapiącego się witali, i przy tym mu z wdzięczności (18) 200 czerwonych w jedwabném woreczku ofiarowali. Przywitanie z wdzięczną twarzą przyjął (19), a na ofiarę (20) rzekł: „nie potrzeba tego niebożęta, nawydawaliście teraz dosyć; ale gdyście tak ochotni, dajcie, nie mamci téż teraz nic przy sobie w kieszeni; dzię-

(1) Privatorum. (2) Juxta taxam. (3) Sive etiam. (4) Ad diem vigesimam nonam ejusdem mensis. (5) Qui potuit capere coepit, et secum tulit. (6) Infra. (7) Die nona ejusdem, Magistratus cui tunc praesidebat. (8) Summa cum fatiga. (9) Non cum minori laude et dexteritate. (10) Iterum. (11) Ad continuandum regimen. (12) Electio ordinarie. (13) Novi proconsulis in Februario. (14) Ob defectum ordinum ad electionem pertinentium. (15) Extra fines regni. (16) Ratio approbationis seu confirmationis proconsulis. (17) In hoc elusus. (18) Gratitude erga. (19) Grato accepto vultu. (20) *Oblate*.

kuje Wam'' i wsiadłszy na koń pojechał pod Zakroczym, gdzie nad Wisłą się stronę Szwedów w szańcu dobrze oszańcowanych zastał, około których nie chcąc ludu tracić opuścić i powrócić. Tymczasem (1) panowie żołnierze nasi leżą, piją, dobrą myślą się bawią, zapłaty wołają, bić się z nieprzyjacielem nie chcą, póki zapłaty nie obaczą, na panów kommissarzów narzekają, króla J. Mei nie słuchają, podjazdów nie czynią, języka nie dostają, o potędzie nieprzyjacielskiej się nie pytają. A isz król J. Mć jak prędko dokonczono mostu naprzeciwko górze szubienicznej, gdzie teraz szańc, kazał się wojsku litewskiemu przeprowadzić z armatą, bo znać był przeświadczony (2) o blizkim nieprzyjacielu, ilości (3) jego jednak nie wiedząc.

Gdy tak się rzeczy miały, dnia 28 (4) nieprzyjaciel pokazał się z boru od Białejłęki i potężnie począł ognia i gęsto z dział dawać, któremu zarówno odpowiadano, i z tegoż boru wykurzono działami przez Wisłę od Polkowa.

Dnia 29 (5) nieprzyjaciel poszedł w pole, pomykając się z armatą ku Brudnu, chcąc naszym w szańcu potężnym będącym tył wziąć, i gęsto do nich z dział ognia dając, którego siłę, siłą odpierano (6). Nasi, osobliwie wojsko litewskie pospołu (7) stanęło; począł osobliwie usarz rwać szwedzkie wojsko. Tatarowie téż, których było kilka tysięcy, posiłkowali (8), aż poczęli Szwedzi pierzchać i jako potém sami zeznali (9), że już byli zdesperowali, ale ich wsparła piechota księcia Brandeburczyka, którzyby byli nasi trop albo dwa wytrzymali, tedyby byli na głowę uciekali, ale że wojska litewskiego nadruszono i Tatarów, musieli pierzchać, a nasze wojska koronne i powiatowe nie chciały posiłkować i króla J. Mei nie chcieli słuchać. Stało się (10) więc czego na żal i wstyd wielki potomności (11) nie godziłoby się pisać, tył podali (12). Czego jeszcze nieprzyjaciel, bo noc nadeszła, postrzedz nie mógł, raczej o swoim radził spoczynku (13), aż naza jutrz nie obaczy, tylko miejsce gdzie obóz leżał (14). Dopieroż na ostatek (15) wojsk naszych następować szybko zaczął, tak, iż nasi topieli się w Wiśle i drudzy aż za mil dziesięć oglądali się, za

(1) Interim. (2) Persuasus. (3) Quantitatem. (4) Tandem his stantibus, die vigesima octava. (5) Die vigesima nona. (6) Vim, vi repellabant. (7) Communice. (8) Javarunt. (9) Fassi sunt. (10) Actum est. (11) Posteritati. (12) Terga dederunt. (13) Consulebat quieti. (14) Locos castrorum ubi posita erant. (15) *Reliquie.*

którymi ciekawy nieprzyjaciel i zajuszony, częścią wplaw przez Wisłę, częścią przewozem, bo nasi po odjęciu tego tam końca mostu albo szanцу, tu koniec mostu zapalili i niemal w pół go zgorzało, a było to dnia 30 lipca.

Dnia 30, gdy co żywo pieszo, konno, jako kto mógł na głowę uciekało, został jeszcze z piechotą, z którą był na załogę (1) komenderowany pan oberster Celari, który na miejscu załogi (2) zajechawszy do zamku do sklepu w którym deponowane były pomienione i przez panów kommissarzów nie zabrane rzeczy z wozami co mógł wziąć, wziął, (3) a w ostatku i z piechotą nie pożegnawszy się nawet, (4) uszedł, miasta odszedłszy niezamkniętego; aż pomieniony wyżej pan Gissa burmistrz przestrzeżony, że miasto bez straży (5) zostało, pojedynczych kazał zwoływać obywateli (6), i tak jako mogli do północkska pracując, straż opatrzył (7).

Dnia 31. Pomieniony p. burmistrz i z panami kolegami swymi natenczas rezydującymi obawiając się, aby kosa zajuszonego nieprzyjaciela nie chciała się chłodzić na karkach naszych i więtego w mieście Witemberka na mieszczanach i ich substancyach mścić się (8) nie chciano; tak sobie przy pomocy bożej uradzili i postanowili: że poszli osobiście do zamku do pana graffa Benedykta Oxensterna, który przedtém gubernatorem był przez wszystkie czas, który że był chory barzo, za łaską króla J. Mci został tu, a podobno ordynacją bozką na jakie takie miasta tego zachowanie (9). Bo téż miał być do Zamościa odesłany. Tam jego znowu polecili się protekcyi i opiece (10), jako ci, którzy w niwczym nie wykroczeni przeciwko królowi J. Mci szwedzkiemu i wojsku jego. Obiecał opiekę (11), posłał do króla szwedzkiego; przysłał król komendanta, który tu był także przedtém, niejakiego Neringa rodem (12) szota, który z piechotą przyszedł i znowu miasto odebrał, i bronił, osobliwie rajtariej do miasta, tak szwedzkiej a bardziej curfistowskiej, która na Warszawie jako psi wściekli ostrzyła zęby i wiele złego ab extra czynili.

Po odebraniu miasta zwyczajem swym Szwedzi którzy tu zostawali musieli być prowidowani, a w ostatku co się im i kędy podobało, znowu rabowali, rzeczy przez Polaków zostawione ka-

(1) Pro praesidio. (2) Loco praesidii. (3) Capere coepit. (4) Nec vale dicto. (5) Custodire. (6) Convocare cives. (7) Custodia munivit. (8) Vindicare. (9) Salutem. (10) Protectioni et patrocinio. (11) Praestitit tutelam. (12) Natione.

zawszy przysięgać (1), odbierali etc., a u kogo się im i co podobalo, brali, rabowali aż do syta (2).

Król zaś sam szwedzki z curfisztem poszli z ostatkiem wojska (3) aż pod Radom ścigając (4) króla J. Mci naszego i wojska, i innych (5) za obozem się wlecących. Nakoniec z pomocą potężnej prawicy bożej (6) wyparci upadać zaczęli, bici od wojska koronnego i od Tatarów, którzy ich gnali aż ku Rawie, i tam trzy tysiące trupa położyli. A już też do tego znaczne z chorób szwedzkich między lud świeży curfistowski wkradło się powietrze, przeto król szwedzki i z curfistem widząc z obu stron (7) ludu swego klęskę (8) i od bozkiej i ludzkiej ręki polskiej, postanowili wrócić (9) z ostatkiem do królestwa swego (10), a tymczasem (11) mury około miasta rujnować kazał, aby wieczną pamięć i ślad po sobie pozostawić; a co bardziej (12) jeszcze, grozieli się ostatek w popiół obrócić i lud wyścinać. Magistrat słysząc takie nieporozumienie głosy (13) i z początków, osobliwie rujnowania murów, możliwe (14) sobie czyniąc wnioski (15), zabiegając aby do tego ostatniego i tak oplakanego nie przyszło końca, uczyniwszy między sobą radę (16) wyprawili dwóch języka niemieckiego dobrze świadomych (17) i godnych ludzi: pana Dawida Wejsa i pana Jana Landzberka ławników z supliką pokorną: jedną do króla szwedzkiego, z drugą do curfista, prosząc o miłosierdzie i protekcją, aby miasto i wszystkich jego mieszkańców (18) tak na zdrowiach, majątkach i od rujnowania cali zostawali etc. Sprawiała to Opatrzność (19) boska w sercu króla J. Mci szwedzkiego, że znaleźliśmy łaskę w oczach jego (20), że murów do fundamentu dalej rujnować nie kazał, i wszystkich przy zdrowiu konserwował; a nadto jako pan bacznym, wiedząc, iż po zrujnowanych murach miasto snadno by od swowolnego rabowane (21) być mogło żołnierza, a osobliwie curfistowskiego, który miał wędkę na nie, dał miastu pisaną *Salvaguardią* z podpisem ręki swojej, z pieczęcią i do tego kapitana ze dwudziestą i czterema żołdaków, którzyby za wyciągnięciem ludu szwedzkiego tu w mieście rezydującego, bronili miasta przy

(1) Praevio juramento. (2) Ad satietatem. (3) Cum reliquo exercitu. (4) Persequitajac. (5) Et alios. (6) Tandem auxiliante potenti dextera Dei. (7) Utramque. (8) Cladem. (9) Statuerunt reverti. (10) In regionem suam. (11) Interea. (12) Ad perpetuam vestigiorum snorum memoriam, et quod majus. (13) Voces. (14) Possibilem. (15) Illationem. (16) Facto inter se consilio. (17) Bene gnaros. (18) Cuncti habitatores ejus. (19) Providentia. (20) Invenimus gratiam in oculis ejus. (21) *Spoliorane*.

czułości miejskiej od napadu (1) szwedzkiego lubo curfistowskiego ludu. Jakoż ziścił słowo swoje pańskie, że nasz przy zdrowiu to jest od zabijania uwolnili, ale wielu chorobami ciężkimi zarazili i pomorzeli, wielu na majątku złupili, kościoły zrabowali etc. To uczyniwszy w sam dzień Ścięcia św. Jana Chrzciciela (2) wyjeżdżając, dzwon od kościoła kollegialnego jeden wzięli, drugiemu wielkiemu nie mogąc radzić na drodze go zostawili przed dzwonnica, a od wału ku zachodowi jedną basztę rozwalili, a dwie prochami wysadziwszy na pożegnanie (3) wyjechali, którzy bodaj tu więcęj nie postali, ani imię ich. Dnia 29 sierpnia szwedzki lud z miasta Starój Warszawy, o czém się wyżej wypisało wyciągnął, zostawiwszy *pro salva guardia* kapitana z dwudziestą i czterech muszkietarów, z któremi nie był i trzech dni, bo jako usłyszał o następujących podjazdach polskich, wsiadłszy w łódzie na to przygotowane i z żołdakami, nocą do Nowodwora na kępę uszedł, i tak miasto aż do 14 września bez załogi (4) zostawało. Wyprawiono jednak do J. K. M. do Lublina z listem, którego treść taka:

Najjaśniejszy miłościwy królu panie, a panie
Nasz Miłościwy.

Poczuwając się z powinności uniżonego a wiernego poddaństwa, poczytaliśmy to za rzecz potrzebną oznajmić W. K. Mści panu naszemu miłościwemu, jako nieprzyjaciel łupu nienasycony, nietylko nas ubogich złupił (5) ludzi, ale też i residencyej szczęśliwej schronienie (6) majestatu W. K. Mci pałac, przykładem (7) murów miejskich zrujnowawszy: sam za łaską bożą tył (8) dawszy, tych łupów (9), osobliwie dział, marmurów i t. p. (10), dla małości wody, gdzie był postanowił (11) sprowadzić nie mogąc, jedne w wodzie, drugie na piaskach wpół Wisły pod Polkowem pozostawił (12). Które lubobyśmy jako wierni i życzliwi W. K. Mci pana naszego miłościwego poddani sprowadzić i wyratować chcieli; tedy dla małości wody, a najwięcej niedostatku ludu, który z miasta przed plagą morowego powietrza, którą nas Pan

(1) *Incursij.* (2) *Quo facto, ipso die festi decollationis Sancti Johannis Baptistae.* (3) *Valete.* (4) *Ad 14 septembris diem absque praesidio.* (5) *Depredatus est.* (6) *Receptaculum.* (7) *Ad exemplum.* (8) *Tergum.* (9) *Spoliatorum.* (10) *Et similia.* (11) *Instituerat.* (12) *Reliquit.*

Bóg nawiedził (1) pouchodził, sposobu nie widzimy. Więc to najwyższemu (2) W. K. Mci pana naszego miłościwego posyłamy do rozstrzygnięcia sądowi (3), Pana Boga przytém o długo szczęśliwym przy dobrém zdrowiu i dostojenstwie W. K. Mci pana naszego miłościwego panowanie gorąco upraszając. W Warszawie, dnia 1 września (4), roku pańskiego 1656, najjaśniejszego majestatu W. K. Mci pana naszego miłościwego najniżsi podnózkowie i wierni poddani, burmistrz i rada miasta W. K. Mci starój Warszawy.

Respons króla Jmci:

Jan Kazimiérz król polski etc. etc.

Sławetni wiernie nam mili! Jako teraz wierność waszą ostateczną przeciwko nam wiarę i życzliwość, miłościwą naszą przyjmujemy wdzięcznością, tak one napotém w pamięci naszej mieć obiecujemy. A że nam wierność W. M. oznajmują o odbiezeniu szkuth i rzeczy pod Polkowem, przez Szwedów w Warszawie zabranych, zlecamy to wiernym W. M. i koniecznie mieć chcemy, abyście pilne około tego staranie uczynili, jakobyście te szkuty pod miasto sprowadzili i rzeczy z nich zabrawszy poprzątnęli i pochowali. A jeżelibyście temu dosyć uczynić nie mogli, tedy abyście rzeczy wszystkie na nich odbieżane zabrali, i na brzegu gdzie dobrze zakopali, aby ich nie tak snadnie nieprzyjaciel mógł dostać; w czém wyraźną wolą i rozkazanie nasze W. M. opowiedziawszy, łaskę naszą ofiarujemy i zdrowia dobrego od Pana Boga życzymy. Dan w Lublinie, dnia XIIIgo miesiąca września, M. D. C. L. W. panowania królestw naszych: polskiego VIII, a szwedzkiego IXgo roku. Jan Kazimiérz król.

Gdy tak rzeczy stały (5), powietrze poczęło się, i im dalej, tém większy brało wzrost (6). Wiele ludzi dobrych Pan Bóg począł brać, między któremi człeka godnego, cnotliwego, dobrego, a miastu temu bardzo potrzebnego, rodem zdrowego, godnej pamięci zanie sławnego pana Marcina Łukaszowicza rajcę i oraz pisarza radzieckiego, die 6 września (7), który w kościele św. Jana w grobie radzieckim pochowany, *requiescat in sancta pace*.

(1) visitavit. (2) altissimo. (3) sententiam iudicio. (4) die prima septembris. (5) his stantibus. (6) incrementum. (7) septembris.



MAUROWIE

NIEGDYŚ W HISZPANII, A DZIŚ W AFRYCE.

PRZEZ AUTORA :

O Danii i Norwegii, Bashachi, Portugalii i t. d.

(Dokończenie).

XIII.

Mogador.

Statek nasz walczy z przeciwnemi wiatrami i wolno się suwa na zbałwanionej powierzchni oceanu. Drgające tętno maszyny kołami obracającej jeszcze żywiej czuć się daje pod falą, walącą młotem w żelazne piersi tego domu tak ludnego, raz wyniesionego wysoko w górę, to znowu pogrążonego w głębokościach. Wiatr świszczy w postronki, nagina maszty, dmie w komin jak w olbrzymią piszczalkę, i wstrząsa nim jak trzcina. Ale kapitan czoło mu stawia, czoło nietrwożliwe, nie grożące, ani też urągające, lecz czoło pogodne, spokojne. Obrachował on impet wiatru, wściekłość fali; ale też zna dokładnie siłę swego statku, swęj maszyny, a przedewszystkiém zna siłę szczęścia Brytanii na wszystkich oceanach. Spokojny, stoi jak posąg spiżowy, nieporuszony, niezachwiany, a majtkowie i żołnierze rozproszeni na pokładzie, oparci o balustradę, o działa, lub zaczepieni o liny i drabiny, patrzą się w twarz swego kapitana jak w tęczę i czerpią w niej odwagę, spokojność i dumę. A każdy z tych majtków, z tych żołnierzy, ma siłę, wolę i rozum, a jednak takie zaufanie bez granic ma w swym przewódzcy.

Angielski majtek ślepe ma posłuszeństwo dla swego przewódcy; pozwala sobie rozbierać jego rozkazy, ale je wypełnia bez żadnego wahania: bo wie, że każdy statek jedną powinien mieć duszę, tak jak jedno tylko ma życie. Żadnego zgiełku, żadnych głośnych rozmów na pokładzie; wicher tylko wieje potężny.

Uczniowie marynarki i midszipmany siedzą w klasie i recytują przed professorem zadaną im lekcją; oficerowie po największej części zatrudnieni czytaniem w bibliotece okrętowej. I ja uzyskałem pozwolenie korzystania z jej książek. Wybieram jakiś rękopism spisany niedawno przez pierwszego porucznika Trydentu pana Westmoreland, i z niego wyczytuję następujące myśli o kształcie ogólnym kraju, którego część już poznałem, a część wielką jeszcze mam poznać.

Mogreb, czyli państwo najodleglejsze Zachodu (tak bowiem Maurowie nazywają kraj swój), zajmuje w Afryce taki prawie obszar, jaki Hiszpania w Europie. Umieszczone pomiędzy „*małém morzem*” (Śródziemném), i „*morzem bez brzegów*” (oceanem), przecięte jest od wschodu na zachód długim pasmem gór, których śnieżne szczyty sięgają poza granice widoku w obłoki. Jest to Atlas, potężny Atlas, ów znany poetycznym Grekom król ziemi, na której pasły się nieprzeliczone trzody, na której rosły drzewa z liśćmi złotem świecącymi, z gałęziami złotymi i ze złotym owocem; król państwa obronnego wysokim murem i strzeżonego przez okropnego smoka. Skamieniały wpośrodku swojego państwa olbrzymi starzec, dzwiga na swych barkach kopułę niebieską, a w łonie swém kryje nieprzebrane bogactwa.

To prawda: istnieją we wnętrzu Atlasu obfite a nigdy nieknięte żyły złota, srebra, miedzi i żelaza. Ale z grzbietów jego spływają na płaszczyzny bogactwa jeszcze prawdziwsze: wszystkie strumienie Barbaryi zachodniej spadają z tego łańcucha i z jego licznych rozgałęzień. Grecy mówili, że to łyż olbrzymiego starca skrapiające ukochane jego królestwo.

Smoka z ognistym ogonem znajdujemy na południu, na pograniczu Sahary. To ów okropny *simuhu*, który wznosi, skupia, porywa z sobą na odległość kilku mil w morze, ogniem pałające piaski puszczy. Tam, na téj nieurodzajnej ziemi żyją owe hordy barbarzyńców, niechzące podlegać nikomu, a żywiące się łupami na karawanach zdobytymi.

Od 20go aż do 32go stopnia północnego, puszcza zasiana jest ruchomemi górami piasku. Powietrze przepelnione pyłem piaszczystym jest nieprzejrzale, jak gdyby mgłą przesiąkłe. Nieraz ono w błędy fatalne wprowadziło żeglarzy; nie rozoznali brzegów aż w chwili, gdy na nich zoczyli balwany rozbijające się w białą pianę, a pędzeni prądem zachodnim nie spostrzegli niebezpieczeństwa i okręt zgruchotany tonął. Koczujące hordy patrzą z jaskiń na nieszczęsnych w przepaść pędzonych, i cieszą się z ich niedoli, bo do nich należeć będą łupy, do nich życie tych biędnych, jeżeli schronić się zdołają na brzegi te okropne.

Statki płynące do Senegalu, do Gwinei i do wysp Przylądka Zielonego, często tu przepadają, nie zostawiając żadnego po sobie śladu. Karty morskie nie wskazują z dokładnością położenia tych niebezpiecznych brzegów.

Na brzegach północno-wschodnich państwa marokańskiego wznoszą się niebotyczne, ostrokończaste skały. To prowincya zwana Rif, której mieszkańcy również barbarzyńscy jak Beduiny puszczy, łowami się trudnią na lądzie, a rabunkiem na morzu. I oni nie chcą ulegać cesarzowi Maroko. Puszcze Angadu i Mulaia przegradzają prowincyą Rif od Algieryi; od zachodu Rif przytyka do prowincyi zwanój El-Garb, wystającej jak głaz ogromny z Afryki i ścieśniającej morze Śródziemne przy jego ujściu do oceanu.

Od przylądka Spartel rozpoczyna się długa linia brzegów oceanu, i na niejto widzimy porty kupieckie dość znakomite, znane pod nazwiskiem Larasz, Rabath, Mazagran, Mogador. Inne miasta jak: Salé, Amazor, Safi, Santa-Cruz, leżą po największej części w ruinach. Na tym brzegu znajdują się całe miasta niegdyś sławne zamożnością, dziś zaś w zupełne ruiny, w zwaliska bez żadnej ludności przeistoczone. Wielka zaraza w roku 1799, wyludniła wiele miejsc do szczytu i zadała ostatni cios nieszczęsnym miejscom, od wielu, wielu wieków chylącym się ku upadkowi.

Bystre i liczne strumienie spadają ze szczytów Atlasu, lecz zatkane przy ujściu do morza lawami piasku, którym niedbalstwo Maurów dało się skupić, potoki te i rzeki nie są spławnemi dla większych okrętów. Śniegi gdy stopnieją na Atlasie, i dészcze gdy padną, wówczas ta sama przyczyna, która robi rzeki niezdołnemi do spławu, staje się powodem okropnych powodzi. Wody nie mogąc wylać się swobodnie w morze rozciągają się na

prawo i na lewo w okropne bagna, które potem wyziewami niezdrowemi zarażają powietrze i niezliczone sprowadzają choroby. W wielu miejscach wymarła z téj przyczyny cała ludność, wiele miast zginęło w bagnach.

A jednak kraj ten opasany z czterech stron morzem, piaskami, górami i puszczą, zawiera jeszcze tysiące mil kwadratowych pokrytych najpyszniejszymi ogrodami starego Atlasu. Poprzecinana dolinami, płaszczyną i tarasem, którego rozmaite i różnostonne pochyłości sprzyjają bujności roślin, od zboża aż do owoców zwrotnikowych, ziemia ta obiecana pokrywa się czarującą wegetacją, w wielu miejscach do roku trzy daje żniwa, i to bez innéj zaprawy jak téj, którą pozostawiają stada pasącego się bydła lub téż popioły spalonej słomy.

Jackson, który szesnaście lat bawił w różnych prowincjach Maroko, daje przykład zastanawiającej siły roślinnej owego kraju. „Podróżowałem wówczas w prowincyi zwanéj Suza pomiędzy plantacyami oliwnemi; w bliskości miasta Messa znajduje się jedna z tych plantacyj nadzwyczajnie obszerna. Drzewa jéj są pyszne i wysokie jak u nas klony (mówi pan Jackson, Anglik), ale nie w szeregach ustawione, tylko w nieporządku rozsiane; co mię zastanowiło, inne bowiem plantacye w bardzo regularnych rosły szkach. Pytałem się o przyczynę téj nieregularności i dowiedziałem się, że jeden z cesarzewiczów obozował kiedyś w tém miejscu z całym swém wojskiem w pochodzie ku Sudanowi. Żerdzie służące do przymocowania koni były ścięte z drzew oliwnych rosnących w poblizkości, i wbite w ziemię, w której pozostały po opuszczeniu obozu. Potem te żerdzie przyjęły się i wybujały w las tak olbrzymi. Prawda, dodaje Jackson, przypatrzwszy się zblizka nagięciu drzew i porządkowi w którym były ustawione, rozpoznałem z dokładnością, że w ten sposób kawalerya obóz swój rozstawiać zwykła.”

Ta żyzna prowincya Suzy, która niegdyś osobne stanowiła państwo, dziś jeszcze jest najpiękniejszym brylantem w koronie cesarza Maroko. Drzewa oliwne, migdałowe, daktyle, pomarańcze i wino, trzcina cukrowa, najpiękniejsze indygo, udają się tutaj bez żadnej trudności, bez żadnej prawie pieczołowitości ze strony rolników. A okolice miasta stołecznego Farodant, to istny raj! Kwiaty współubiegają się tu o świetność kolorów z ptakami, węże są piękne a niejadowite, a małpy i grzeczne i smaczne. Boże drogi, co to za kraj obiecany!

I klimat cudnie jest przyjemny; tylko w początku września *simuhu* świszczy tu i wyje, czasem tylko przez trzy dni, ale czasem także i przez dni dwadzieścia. Prawda, że tylko w południowych częściach téj krainy czuć się daje cała srogość tego nieznośnego wiatru, który zawsze poprzedza owe deszcze zwane *liali*, a padające przez dni czterdzieści najczęściej. I w części najmniej żyznej udają się jeszcze wybornie: pszenica turecka, proso, bawełna, indygo, ryż, szafran i konopie; a gummy, miodu, sezamów, soli, saletry jest podostatkiem.

Prowincya Haha posiada całe lasy arganu, drzewa, którego pestki zawierają wyśmienitą oliwę, nadzwyczajnie zdrową, i palącą się dwa razy dłużej, jak oliwa zwyczajnych oliwek. Tam także rośnie arar, owo trwałe, piękne drzewo, którego nigdy nie czepia się żaden robak.

Cedry, drzewo korkowe, dęby i świętojańska akacja, orzech i oliwki, figi, daktyle i pomarańcze, granaty i kasztany, magnolie, akacje, bzy, gieranie, kaktusy i aloesy, wszystkiego ogromne, zastanawiające mnóstwo; a zwierzyny i pięknego bydła, owiec, szczególnie wielkie, nieprzeliczone chmary.

„Jednakże“ dodaje pan Jackson, „wszystko chyli się ku widocznemu upadkowi w tym żyznym a ubogim kraju. Nikt tu nie jest pewnym swego: gdzie dostatek, tam może być niezadługo nędza, kalectwo i śmierć nawet. Tylko nędzarz żyje tu bez trwogi stracenia owocu swéj pracy, ale go głód zabija pomimo całego miłosierdzia Maurów, Arabów i Beduinów. Cesarze maurytańscy zakazują wywozu zboża, i na przekor aksyomatowi politycznemu, który głosi: „*że taniość zboża jest błogostawieństwem*“, w Maroko im tańsze zboże, tém lud biedniejszy. Tak jest na nieszczęście na téj ziemi, że człowiek, gdy go nadzieja zysku nie pobudza, z mniejszą daleko pracuje gorliwością; człowiek zaś niepracujący, szkodliwym jest dla ziemi ciężarem, i pod pozorną nieruchomością, spokojnością próżniacką, często pała zawiścią, dumą i podstępem.

Rząd marokański daleko jest arbitralniejszym od rządu tureckiego. Sułtan dzierży w swéj ręce życie, własność, a nawet i sumienie poddanych. Jako potomek Mahometa, księciem jest wszystkich prawowiernych: żadna rada, żaden dywan nie tamuje jego władzy; on jest najwyższym sędzią, nieomylnym tłumaczem koranu, i jak mu się podoba, jedynym jest wykonawcą prawa z jego własnej woli wynikającego.

Historya państwa marokańskiego łączy się aż do końca XVgo stulecia ściśle z historją całej Barbaryi. W owym czasie Merynidowie zostali strąceni przez Sanditów, później ustąpić musieli i szeryfowie Tafiletu, pod panowaniem których cesarstwo doszło do najwyższego stopnia oświaty i rozległości. Zachodnia część Algieryi należała wówczas do Maroko, a granice południowe rozciągały się aż pod Gwineę. Pod niemito król Portugalii Sebastian został zwyciężonym i zabitym. Lecz po śmierci Ahmeda, najpotężniejszego z szeryfów (w roku 1603), państwo rozpadać się zaczęło coraz więcej w wojnach domowych, tak, że łatwą było rzeczą Mulej szeryfowi, potomkowi Alego i Fatimy, zwalić dawną dynastją, i utwierdzić nową, do dziś dnia rządzącą. Najsłynniejszym monarchą téj dynastji był Muley-Ismaïł, panujący od roku 1672 do roku 1727 wprawdzie z wielką świetnością, Hiszpanom bowiem odebrał Larasz i Tangier, ale na wewnątrz z trudnym do uwierzenia ukrucieństwem. Własną ręką usmiercił przeszło 5,000 ludzi, wynajdując najokropniejsze męczarnie dla tych, których wprzód kochał, a pomiędzy takimi były własne żony i dzieci. Zon miał podczas swego długiego życia przeszło 8,000, synów spłodził 825, a córek 342.

Pod następcami Muley-Ismaïła, niesnaski, wojny domowe, spory o berło i barbarzyństwa wszelkiego rodzaju, trwały aż do wstąpienia na tron Muley-Sidi-Mohammeda (1757 do 1789), monarchy bardzo łagodnego i sprawiedliwego zarazem. Ono chciał wprowadzić cywilizacją europejską do swego kraju, i tém na siebie oburzył umysły fanatyków muzułmańskich. Po śmierci Mohammeda rozpoczęło się na nowo panowanie barbarzyńców, ale dobry sułtan Muley-Soliman, panujący od roku 1794 do roku 1822 byłby wrócił krajowi swemu pokój i szczęście, gdyby wielkie niedole, spadłe z woli Boga: zarazy, nieurodzaje, szarańcza i głody, nie były udaremniły jego szczerych usiłowań. Od roku 1822 panuje cesarstwu marokańskiemu sułtan Muley-Abderhamman, urodzony w roku 1778. Zaraz na początku panowania zdołał ukrócić zuchwałość góralów, dotychczas jedynie rabunkiem i buntami żyjących. Zresztą jak na Maura jest łagodnym, sprawiedliwym. Pod jego jednakże panowaniem zaszły wypadki, które na los kraju wielki muszą wpływ wyrzucić, i które państwo w ciągłym stanie trwogi utrzymują. Francuzi biorą Algier, i cesarz z jednej strony zagrożony przez Francuzów, z drugiej strony poduszczony przez fanatyków, często folguje

strachowi, a czasem także wbrew wszelakiemu rozumowi, bierze się do wojny. Już w roku 1832 Muley-Abderhamman chciał zagarnąć prowincją Oran, ale zaniechał tego zamysłu, po sprężystém wystąpieniu Francuzów do walki; dwanaście lat później, w r. 1844 Abd-el-Kader przyparty przez marszałka Bugeaud do granicy marokańskiej, umiał intrygami i potężnym wpływem, wywieranym na fanatyków, zmusić Muley-Abderhammana, do udziału w wojnie świętej. W sierpniu roku 1844 przyszło do trzech stanowczych walk: Tangier bombardowany przez księcia Joinville 6go sierpnia, Mogador 15go sierpnia, a 14go marszałek pobija nad rzeką Isly armią, dowodzoną przez samego cesarzewicza marokańskiego. Francuzi zawierają pokój, niewiele czyniący chwały ich dyplomacyi; pośrednikowi, tojest Anglii, zostawiają wszystkie korzyści zdobytych zwycięstw, a sami nie zatrzymują żadnej rękoi dal- szego pokoju, zrzekają się nawet kosztów wojny.

W rok już potem występuje raz jeszcze niezwalczony żadnem przeciwnictwem bohaterski Abd-el-Kader i niszczącą wojną zalewa Algierją. Wspieranym jest oczywiście ludźmi i końmi przez cesarza marokańskiego, bronią zaś i amunicją przez Anglików. Walka z Abd-el-Kaderem trwa aż do końca roku 1847, i kończy się poddaniem warunków Abd-el-Kadera. Francya republikańska nie chciała dotrzymać warunków zaprzysiężonych przez Francją monarchiczną (1). W zmianie formy rządu, Francya nieraz szuka i znajduje środki wykręcenia się z niejednej trudności politycznej i dyplomatycznej.

Wróćmy teraz do Trydentu, który popychany wiatrem i mąszyną, przebiegł jak mewa morska w czterdzieści kilka godzin ogromną przestrzeń pomiędzy Larasz i przylądkiem Cautin, i minął Mechedią, Rabat, Dar el Beidę, Muzagon i przylądek Blamo; mijamy już nawet Saffi niegdyś wspaniałe miasto, dziś jeszcze 12,000 mieszkańców liczące. Jeszcze godzin kilka, a zobaczymy Mogador; ale noc zaskoczyła, trzymać się musimy na pełném morzu, bo wnijscie do portu mogadorskiego dla mielizn i ław piasku bardzo niebezpieczne.

Równy ze świtem stajemy w porcie mogadorskim. Wlatuje na maszt Trydentu flaga Anglii, i witaną jest odgłosem potężnych dział alcazaru.

(1) Winienem tu napomknąć, że podróżowałem w cesarstwie marokańskim jeszcze nim przyszło do kroków nieprzyjacielskich z Francją; dla całości tylko daję ten rys historyczny, sięgający aż do najnowszych czasów.

Fortyfikacye Mogadoru są okazałe; miasto samo 90 lat temu zbudowane na miejscu dawnéj Erythrei, regularnym jest więcéj jak inne maurytańskie. Czysto jest zachowane. Z zewnątrz w żadnym domu nie ujrzysz okien, chyba na minadorach i belwedrach wzniesionych na dachu. Meczetów wspaniałych nie masz tutaj, tylko minarety dość powabne; palmy sterczą nad ogrodami zamkniętymi zazdrośnie pomiędzy wysokimi murami domów starannie bielonych.

Miasto Mogador założoném zostało w r. 1760 przez Sidi Mohammeda dobrego monarchę, na brzegu piaszczystym półwyspu, opartego na skale. Sułtan zachwycony położeniem tego półwyspu, kazał sobie przynieść natychmiast wapna i kamieni, i własnoręcznie zaczął budować mur dotychczas istniejący, i jako wielką ciekawość podróżnym pokazywany. Mówią, że sułtan głównie dlatego polubił to nieurodzajne miejsce, że w jego bliskości znajduje się grobowcowa kaplica Sidi-Mogodola sławnego marabu. Mohammed chcąc sprowadzić kupców do Mogadoru udzielił im gruntu i uwolnił ich od podatków na długie czasy. Dziś Mogador stał się istotnie środkowym punktem europejskiego handlu, i zasługuje na uwagę geografa. Przystań jest bezpieczna, ale szczupła, i wejście do niej niełatwe. Na wysokości górującej nad miastem a zwanéj językiem krajowym *Apadir*, wznosi się wspaniały alcazar czyli cytadella. Sześciu konsulów europejskich i dwóch amerykańskich rezyduje w Mogadorze. Mamy ich już wszystkich na pokładzie, bo gdzie się angielski okręt zjawi, tam się mocarstwa kupieckie tulą pod jego skrzydła.

Dowiadujemy się, że eskorta mająca nam towarzyszyć do Maroko już przybyła. Posyłamy pana Simoni do baszy, aby go przywitać i prosić o wstęp do miasta i o posłuchanie.

Wstęp do miasta uzyskany; posłuchanie na jutro. Basza obchodzi rocznicę śmierci pięciu żon, trzynastorga dzieci, mendla wujów i stryjów, i kopy całej dalszych krewnych.

Miasto Mogador, zwane przez Maurów i Arabów *Swirah* (czyli piękny widok), położone na brzegu oceanu Atlantyckiego pod 31m stopniem szerokości, 15 minut północ., 9 stop. długości zachod. od Londynu, wybudowaném jest w kształcie czworoboku podłużnego. Położone na półwyspie oblanym oceanem, często w chwilach wysokiego przypływu zupełnie otoczone jest falami. Mury wzniesione gładzi i wapnem, sześć stóp mają

szerokości u podnoża, a 20 wysokości. Liczne wieżyczki wieńczą jego szczyty. Baterye znajdują się u każdego promienia wkraczającego pod kątem ostrym w morze. W kącie wschodnim, w miejscu gdzie wylamano bramę, wystawiono okrągłą basztę 35 stóp wysoką, obronną czterdziestu armatami, częścią żelaznemi, częścią spiszowemi. Nadto znajduje się tutaj bateria pokryta, a tak silna, że jój żadna bomba nadwerężyć nie zdoła; zawiera także ze czterdzieści dział po części tylko spiszowych. Ze wszystkiém tedy około 240 dział wymierzonych na morze. Połowa ich tak była rdzą zjadła, że pęknąć musiała przy piérwszym wystrzale ostrym, a druga połowa tak źle obsłużoną, tak źle w stosowną do kalibru amunicją opatrzoną, że wielkiej także nie mogła zrobić szkody nieprzyjacielowi przywykłemu brać pod ostrą krédkę siłę swego działa, naboju i przestrzeni. Łatwo tedy było odnieść zwycięztwo nad fortyfikacyami imponującego Mogadoru, mianowicie, że okręty mogły się zbliżyć na pół wystrzału armatniego i walić do murów celnie i bystro z sześciuset kilkudziesięciu armat ciężkiego kalibru flotyli księcia Joinville.

Chrześcianańscy kupcy mają w Mogadorze wszelkie ze strony rządu marokańskiego zabezpieczenie. Mieszkają w samej fortecy pod zastoną i dział i murów. Żydzi najniewygodniejsze mają miejsce, a tam jednakże handel największy. Żydzi wszystko dają daleko taniéj niż Maurowie lub chrześcianie; spekulują jak wszędzie na łatwowierność kupujących, oszukują, szachrują, małym żyją, brudno się ubierają, najokropniéj śmierdzą, ale się bogacą, i dlaczego bogacą?—żeby się dać odzierać przez baszę i kadege.

W tak nazwaném wielkiém mieście odbywa się targ, i tam mieszkają wyrobnicy. Piękny rynek otoczony kramami znajduje się w téj części.

Wyrabiają się w Mogadorze, pomiędzy innemi artykułami, pyszne haiki białe jak śnieg z delikatnéj wełny, przędzonéj wrzecionem żelazném i tkanéj bardzo prostym mechanizmem. Haik taki czworograniasty, szeroki na sześć stóp a długi na sześć prętów, kosztuje tylko dwa piastry hiszpańskie, tojest 18 zł. polskich. Dodawszy do takiego haiku oblamowanie z szczerzłotego galonka, zawiązanie na kaptur złotemi kutasami, można mieć wyborny i wygodny strój za dwa dukaty. Nie masz stroju

więcej malowniczego i świetniejszego od białego haiku. Plama niełatwo się przyjmie na nim, a łatwo się da wywabić mydłem, które się nabywa wraz z haikiem.

Wyroby żelazne mogadorskie także są nadzwyczaj piękne i tanie; siekiery, narzędzia stolarskie, ślusarskie, kłódki, noże, pugiwały trwale są i nadobnie wyrobione.

Dwa tysiące murzynów wolnych żyje w Mogadorze także w osobnej części miasta; mieszać im się z Maurami niewolno, choć są wszyscy Mahometaninami. Murzynowi niewolno mieć kobiety białej, chyba chrześciankę, ale Maurom wolno mieć tyle niewolnic czarnych, ile im się podoba, a bardzo podobają się Maurom murzynki, gdyż są rosłe, tłuste i czarne jak pokost.

Zapomniałem powiedzieć, że żydzi są przegrodzeni wysokim murem od reszty miasta. Jedna tylko do tego ich schronienia prowadzi brama.

Przystań sama zabezpieczoną jest ze strony morza wyspą długą na trzy wiorsty, a szeroką na jedną wiorstę. Służy ta wyspa także na więzienie dla przestępców politycznych, których jest tutaj ciągle do tysiąca, po największej części *alcaldowie* (to jest urzędnicy policyjni) i wojskowi, niemogący się wykupić datkami spod zarzutu niewierności i przekupstwa. Trzymają ich tu po lat kilka w więzach, a gdy nie umrą, lub wykupić się nie mogą, wówczas ich puszczają na wolność i najczęściej znowu do służby biorą. Żadnemu cudzoziemcowi niewolno wstąpić na tę wyspę pod karą śmierci. Francuzi w r. 1844 nie szanowali tego zakazu, wyspę wzięli i na niej kilka miesięcy bawili. Więźniów jednakże nie uwolnili; Francuzi mają wielkie poszanowanie dla więzień politycznych, i sami je chętnie napelniają. Ludność Mogadoru dochodzi do 20,000; w r. 1790 już liczono do 30,000 mieszkańców, ale podczas zarazy wymarły dwie trzecie części ludności. Rasa ludzi jest piękna, atletyczna. Maura brzydkiego nie ujrzysz tutaj; choroby ócz są częste.

Kobiet przedziwnej urody wiele bardzo w haremach. Niezmiernie są zalotne i do intryg gotowe. Żydzi ułatwiają wszystkie trudności i zastraszyć się nie dają żadną karą. Rok rocznie wieszają ich tu kilku za faktorowanie wiernością kobiet.

Stanęliśmy nie w bazarze, w którym nam basza kazał przygotować mieszkanie, lecz u pana Wilshire negocyanta angielskiego, a zarazem i konsula Wielkiej Brytanii. Nazajutrz rano w świętym orszaku do 60 osób dochodzącym, konsulowie bowiem wszy-

stkich narodów raczyli nam pożyczyć swych sekretarzy, dragomanów, janczarów i niewolników, poszliśmy odwiedzić baszę. Starryto był niedołęga, a niezmiernie fanatyczny. Otrzymaliśmy z rąk jego zaręczenie, że podczas całej podróży i całego pobytu w państwie marokańskiem nie doświadczymy ani jednej chwili przykrości, że droga życia naszego różami będzie zasłaną i brukowaną powabami, o jakich nawet wspomnieć nie chcę. Al-Hamilt-Bej dał zrozumieć baszy, że co trzeci dzień będzie wyprawiał umyślnego posłańca z Maroko do konsula angielskiego w Mogadorze, i że konsul znów z swój strony będzie utrzymywał rząd Wielkiej Brytanii w ciągłej wiadomości o naszym losie.

Staremu baszy niebardzo miłe było to oświadczenie. Zaczął oczami kręcić, zasepił się, wpadł w zachwycenie i powiedział: — „Królowa angielska wiedzieć nie może ile liści upadnie z naj- ulubieńskiego drzewa jój ogrodu.”

— To znaczy, że nas zgładzić możecie, a ona się ani spostrzeże? — odpowió Al-Hamilt-Bej. — Nie wierz temu! każda kropla krwi naszej częstką jest życia królowej. Bóg wié dobrze, ile jest Anglików na świecie, i królowa wié i każdy z nas wié. Biada tym, którzy nam szkodzą: dosięgnie ich kara bez zwłoki, oh potężny baszo i szeryfie!

Basza nic nie odpowiedział, tylko pytał kiedy chcemy w podróż wyruszyć.

— Jużemy wypoczęli z odbytych podróży i do nowych gotowi. Dziś po południu chcemy wyruszyć. Tak kazałem zapowiedzieć synowi cesarskiemu przez umyślnego posłańca, którego wysłałem zaraz po mojem przybyciu na dromedarze puszczy, szybkim jak uragan — rzecze Al-Hamilt-Bej. — O téj porze już wiedzą w Maroko żeśmy tu przybyli, bo tylko 60 szelilak jest ztąd do Maroko (tojest mil geograficznych 22), a murzyn Abur-Naza 70 szelilak robi na dobę na swym dzielnym mehari: tak nam ręczył konsul naszego kraju.

Murzyn Abur-Naza byłto goniec konsulatu angielskiego, wierny, wypróbowanej uczciwości i odwagi, a jego mehari, dromedar puszczy, sływał z szybkości swych nóg i z wytrzymałości.

Basza okropnie wywracał oczyma. Poznał, żeśmy mu niebardzo wierzyli, co téż było prawdą, bo basza Mogadoru siedział ciągle na dwóch stólkach i w gruncie serca wielkim był nieprzyjacielem chrześcian.

Basza tłumil w sobie gniew, którego nie był przywykl hamować, długo milczał, aż nareszcie rzekł:

— Oh *enzari!* pioruny mego gniewu dościgną i najlotniejszego mehari. Abur-Naza nie powinien był oddalać się z tego miejsca bez méj wiedzy, bez spytania się przynajmniej, czy nie mam raportów jakich lub pytań przesłać do stolicy. Chwile Abur-Naza są policzone od téj minuty; oh wierzajcie mi *Emaza!*

— Abur-Naza jest sługą konsulatu angielskiego i jego życie pozostaje pod opieką wielkiej królowej, która rządzi potężną Anglią— odpowie Al-Hamilt-Bej.

— Każdy potomek proroka jest panem życia wiernego Mahometanina. Abur-Naza jest Mahometanem, a ja jestem szeryfem; czy nie widzisz tego, o niewierny? patrz na mój turban, na haik i na dzellab!

Prawda: turban, płaszcz i spodnie baszy zielone były jak salata.

Teraz znowu Al-Hamilt-Bej zamilkł i myślał co ma odpowiedzieć, bo był zaambarasowanym. A może téż tylko zwyczajem wschodnim udawał, że go zakłopotowała mądrość odpowiedzi baszy. Maur tak jest dumny z swego rozumu, jak dandy warszawski z swych ciasnych butów, i niekiedy warto pochlebić za rozumiałości Maura.

Jeszcze się doktor H. namyślał nad odpowiedzią, gdy nagle uderzono w bębny, zatrąbiono w trąby i zaświszczono w pikoliny. Jawi się w sali audyencyjonalnej niezapowiedziany niczém kapitan Trydentu na czele świetnego sztabu, złożonego z oficerów marynarki, piechoty i artylerji, a nawet i kilku oficerów kawaleryi morskiej; wita się z baszą bardzo ceremonialnie, i przystępując prosto do kwestyi, zapowiada, że chce korzystać z eskorty po doktorów angielskich wysłanej, i przesłać do Maroko jeszcze tego wieczora upominki, ofiarowane cesarzewiczowi przez księcia Alberta małżonka królowej; że obliczywszy doskonale ciężar pakuunku i znając drogę do Maroko, nierówną, poprzerzynaną puszczami, piaszczystemi rzekami bez mostów, łańcuchami gór, częścią i bagnami, potrzebuje do przewiezienia podarunków 200 wielbłądów, 60 mułów, 40 koni zdatnych pod kawalerzystów, i 10 zdatnych pod oficerów kawaleryi.

Basza oczy wytrząszczył i omało co się nie przewrócił do góry nogami, słysząc wyliczenie tego inwentarza; nareszcie krzyknął łapiąc się za głowę:

— Allah! bismillah! maszallah! cóżto wiezicie temu synowi cesarskiemu? to chyba skarby całej Anglii! Wielki, Wszehmocny Boże!

— Wieziemy mu całą baterią artylerji konnej, mały statek parowy wojenny, w którym będzie mógł przewozić się po jeziorach i kanałach swego seraju, przytém dwanaście pontonów i inne podobne bagatele—odpowié zimno kapitan Bowley.

— To nie bagatele! Allah! bismillah! I dziś jeszcze w podróż wyprawić się chcecie? Ja ani za tydzień tyle sztuk bydła spędzić nie jestem w stanie. We wszystkich duarach paszajiku mego szukać ich muszę, i przynajmniej, że dwa bataliony wojska wyprawić po nie. Allah! bismillah! wy sami ledwo za tydzień na ład przenieść zdołacie tyle i tak ciężkiego przyrzędu!

— Za godzinę wszystko będzie na brzegu, za trzy godziny wszystko być musi u punktu zboru, a dziś wieczorem jeszcze przed pacierzem zachodnim wyruszyć winna karawana ku stolicy. Taka jest wola moja: uwiadomiłem o niej cesarzewicza przez gońca konsulatu, murzyna Abur-Nazę. W téj chwili księżę wygląda nas z niecierpliwością. Daj własne twe bydło, o potężny baszo! wiem, że go masz podostatkiem.

— Ah ja nieszczęsny! cesarzewicz zabierze me bydło wraz z podarunkami. Ach! ach! Abur-Naza, twa głowa wisi na nitce pajęczyny; chciałbym ją już widzieć u nóg moich!

Basza żalił się, narzekał, płakał i lzy ronił i groził, ale stosować się musiał do rozporządzeń kapitana Bowley, który zimno objawiwszy swe żądania, wyniósł się bez wielkich ceremonij i wyładować kazał działa, pontony i statek parowy, rozebrany i upakowany już w Londynie w sposób taki, że za pomocą wozów umyślnie na ten cel zbudowanych, można go było zawieźć i na koniec świata.

Jakże tu nie wielbić narodu, dokazującego tak wielkich rzeczy z tak małym napozór wysileniem! Do téj chwili nawet nie wiedzieliśmy z czém i po co przybył Trydent do Mogadoru.

— Jakoś się nie zgadzało o tém—rzekł do nas kapitan Bowley, gdyśmy go pytali, czemu nas nie obznajmił z celem swéj podróży. —Nie miałem powodu taić się z tém, co zapewne już całej Anglii, dzięki gazetom, wiadomo.

Basza tymczasem rozesłał wszystkich swych oficerów i spahisów po okolicy i kazał gwałtem spędzać bydło. Sam chociaż stary i słabowity wsiadł na koń, i latał jak oparzony po wszystkich kątach. Kawalerzyści angielscy mający eskortować działa próbowali koni, i odrzucali wszystkie mniej dobre. Oficerowie angielscy i marynarze udający się do Maroko, wybrali sobie bez wielkiej ce-

remonii najlepsze konie ze stajni samego baszy. Wszystko szło jak najlepiej, tylko basza klął i rozpaczał.

Wieczorem, jeszcze dwie godziny przed zachodem słońca, cała karawana stała w pogotowiu. Mnóstwo się do niej przyłączyło Maurów i Arabów. Tak licznój i z tak różnorodnych żywiołów złożonej niełatwo można kiedy ujrzyć. Wysłano po nas z Maroko cały pluton owęj sławnęj kawalerji z samych murzynów złożonęj, któręj cesarz marokański posiadał niegdys przeszło 12,000, a dziś jeszcze do 6,000 utrzymuje. Pyszny, rosły lud, wybornie wyćwiczony, świetnie ubrany i w nadzwyczajnie kosztowną broń opatrzony. Na głowie noszą owe małe mameluckie hełmy z kolcem na czubie, otoczone czystym, białym zawojem. Z hełmu spada siatka stalowa na barki. Piersi także pokryte siatką stalową, wykrojoną w kształcie puklerza, i złotemi ozdobami przystrojoną. Haiki noszą purpurowe lub żółte, także dziubadory; mają włócznie krótsze od ułańskich lanc, ale z grotem stalowym na pięć ćwierci łokcia długim, obosiecznym, i tak czysto wypolerowanym, że swym blaskiem już przebija oko; przytęm długie strzelby z kolbami dziwnego kształtu, złotem, koralami i perłami wysadzane, szaszki podobne do długich nożów, puginały i pistolety. Oficerowie noszą także włócznie buńczukami ozdobione, i tak bogato kamieniami, dyamentami nawet wysadzone, że w rześnistém świetle słońca wyglądają jak gorzące miecze archaniola. Pomiędzy oficerami nie masz ani jednego murzyna, tak jak pomiędzy żołnierzami i podoficerami nie znajdziesz ani jednego Maura. Właśnie na tęg arystokratycznę różnicę rasy opiera się surowość subordynacyi, istniejącej w tym kosztownym, ale nadzwyczaj świetnym i walecznym korpusie.

Wszystkie konie różnęj wprawdzie maści, pokryte ozdobami i złoconemi blachami, przechodzą szesnastą miarę i są z krwi czysto arabskięj.

Miernie taksując, wartość ubioru, broni i konia prostego kawalerzysty murzyńskiego przechodzi 10,000 zł. pol., oficera zaś dochodzi do 50,000; a tak wartość sześciu tysięcy kawalerzystów wynosi przeszło sto milionów złp. Nie liczę w to wartości życia ludzi samych. W bitwie pod Isly znajdowało się tylko 800 tych kawalerzystów; ani jeden nie wpadł żywcem w ręce Francuzów, ubito ich jednakże do dwustu; tylko 50 trupów zostało na placu boju, resztę unieśli sami murzyni.

Pomiędzy murzynami najpiękniejsi są z Numidii, najwaleczniejsi z Senegalu, a najwięcej wykształceni z Sudanu. Oficerowie wychowują się w osobnym korpusie kadetów w Mequinez pod okiem samego cesarza. Najwyższa i zarazem najbogatsza szlachta ma jedynie dostęp do téj szkoły, z której tylko wyborowi uczniowie, celujący pięknnością i zręcznością, dostają się do pułków murzyńskich. Examen bardzo jest trudnym: kawalerzysta musi w pędzie i w naznaczonym dystansie z konia strzelać, włócznią i pugiuałem ciskać, i sześć na dziesięć razy trafiać; inaczej uważanym jest za niezdolnego do służby w gwardyi murzyńskiej.

Dość tu o téj pysznej kawalerji; prócz niéj mieliśmy do 40 spahisów, dziesięciu oficerów gwardyi i spahisów, ze czterdziestu innych zbrojnych Maurów, i czterdziestu artylerzystów konnych angielskich, (kapitan sprawił im pyszne białe haiki i zawoje około kaszkietów, by ich zabezpieczyć od zabójczych promieni słonecznych). Wielbłądów i dromaderów było ze wszystkiém 263, mułów 85, osłów żydowskich 17, koni 102, palankinów 11, ludzi 247, nie licząc w to kobiety i dzieci siedzące w czterech lektykach zamkniętych; słowem, podobnej karawany dawno nie widziano w Mogadorze, i cała jego ludność zbiegła się na punkt zborny, aby być świadkami naszego odjazdu: był i basza o trzech buńczukach, i kapudan basza o dwóch, i bimbasza o jednym, kadowie, ulemy, santony, fakiny i imany.

Kapitan Bowley powierzył swemu piérszemu porucznikowi list księcia Alberta do cesarzewicza, i jemu oddał dowództwo nad Anglikami należącemi do wyprawy. Działa zagrzmiały, siadamy na koń, jeszcze raz ściskamy ręce przyjaciół. Muzyka janczarska na czele długiego hufca zagrała; ruszamy z miejsca, wstępujemy w morze piaszczyste oddzielające Mogador od dalekiego, kwiecistego widnokregu.

— *The Trident will watch on you!* — krzyknął nam jeszcze raz kapitan Bowley.

XIV.

Podróż z Mogadoru do Maroko.

Mogador otoczony jest prawdziwą Saharą w miniaturze, morzem piaszczystém, na którym rozkietznane wiatry i uragany igrają swobodnie, przewalają tumanami mielutkiego piasku,

i wznoszą wysokie pagórki, częstokroć nawet foremne wały, przecinające podróżnym wszelką komunikacją. Najczęściej cała powierzchnia téj małej puszczy wzburzoną jest jakby od bałwanów morskich, czasem powstają na niej w kilka godzin pagórki na 20, nawet na 30 stóp wysokie; nigdy wprawdzie tak prędko nie powstają te góry, żeby karawany całe pochłonać mogły, lecz nieraz powalą o ziemię człowieka i zakopią go pod sobą. Wirem porwane prochy jednego pagórka, kręcą się przez czas niejaki w powietrzu, a potem, własnym ciężarem padają na ziemię, i tworzą nowy pagórek. Dobrze wówczas należy zatykać usta i oczy, i trzymać się mocno na koniu, łatwo bowiem w takiej chwili oślepnąć i upaść na ziemię. Łatwo także stracić drogę pomiędzy usypanemi pagórkami, przegradzającemi widnokrąg, i tak często zmieniającemi się, że widać tylko niebo i piasek, a żadnego śladu kopyt końskich lub nóg wielbłądzych odkryć nie można na powierzchni, na której wir i wiatr w okamgnieniu wszelki ślad zaciera. Peryodycznie wiejące wiatry nasypują tu nieraz wał do 70 stóp wysoki, utrzymujący się stromo i spadzi-sto samym przyciskiem wiatru ciągle wiejącego. Szczególna i zastanawiająca rzecz, że mały strumyk wpadający pod Mogadorem do morza, chłodząc i zgęszczając powietrze swemi wodami, nie pozwoli tym wałom przekraczać jego brzegów, i zachowuje tym sposobem miasto od zasypania.

Można sobie tedy wystawić, z jakimi trudnościami mieliśmy do walczenia, przebywając Saharę mogadorską, choć umyślnie wybraliśmy na jój przekroczenie wieczór, to jest porę dnia, w której wiatr wieje regularnie od strony morza, i gładzi powierzchnię piaszczystą. Największa była bięda z wozami, na których wieziono niektóre większe części maszyny parowej, niemogące być przewiezione na grzbiecie wielbłądów. Koła tych wozów umyślnie były obwiedzione szerokimi tarcicami, żeby się głęboko wpijąc nie mogły w piasek. Używać wielbłądów do tych wozów nie można, ten bowiem zwierz do dźwigania przeznaczony, nie potrafi nic wlec za sobą; zaprządz go także nie można, bo nie ma u niego punktu oporu dla chomonta, dla szlej lub dla puślisk. Zaprzężono tedy po 16 mułów do wozów, i z nieskończoną trudnością postępując bardzo wolno, używając do każdego koła po kilku ludzi, dla odgarnięcia piasku wznoszonego kołami, tyle dokazano przecież, że w trzy godziny przebyliśmy niewygodną puszcę, ma-

jącą w tém miejscu najwięcej milę szerokości. Uszedłszy jeszcze z półtoréj mili po gruncie dość równym, zawineliśmy około jedénastéj w nocy przy świetle pięknego księżycy do *fondaku*, czyli obronnego karawan-seraju, który tutaj wznosi się w pośrodku lasku arganowego. Kolczaste to i bardzo nieregularnie rosnące drzewo, wydaje owoc podobny do orzecha włoskiego z łupiną cierpką i ściągającą; w środku téj łupiny znajduje się pestka bardzo twarda, zawierająca migdał oliwny, a oliwa z niéj wyciśnięta smaczniejszą jest od najlepszego masła. Kozy jedzą łupinę z wielką chciwością, ale wypluwają migdał; posługują się tedy Maurowie kozami, gdy zbierają migdał arganowy.

Przepędziliśmy noc bardzo europejską w owym *fondaku*, jedząc z oficerami angielskimi wyborny *bif-steak* bawoli z kartoflami Wielkiéj Brytanii, pijąc *sherry* i grok z rumem Jamajki; nie brakło nawet plumpudingu, ani pasztetu z łodyg rumberbarowych. Stół podróżny, składany, przykryty bieluteńkim obrusem, założony srebrami, oświetlony lampami, niedrgającemi w żadnym wietrzyku; dalibóg nie tu nie przypominało Afryki pod naszym namiotem, na którym bujała flaga Wielkiéj Brytanii.

Ale za to w reszcie karawany jakie charakterystyczne życie! Niedaleko od nas rozpięto namiot panów oficerów gwardyi murzyńskiej: było ich trzech, z nikim się nie mieszały, dbali o swą godność jak junkry pruskie. Dalej koczowali około wspólnego ogniska i pod gołym niebem, otuleni w pstre burnusy oficerowie spahisów, dowódzca janczarów, kapudan obozu i przedniejszy Maurowie, podróżujący z nami, i kilku sautonów, włóczących się bez celu od miejsca do miejsca. Rozmowa toczyła się żwawo pomiędzy nimi. Wielkie oczy bystre, chociaż i długimi rzęsami zaciemnione, twarze świecące jak bronz polerowany zpod czepca białości śniegu, zęby jak perły, broń drogiemi kamieniami osadzona: — wszystko połyskało w migającym świetle pryskającego ognia. Pogadanka szła żwawo, chociaż dwóch nigdy nie rozmawiało ludzi; jeden prawit, drudzy oczy węń wlepili, uszy nadstawiali i wołali: *allah! maszallah!* oh jakie dziwy!

Właśnie mówi Ali-Hakem wielki łowczy, sławny z swych wypraw przeciwko lwom Atlasu. W Tegedu o trzy mile zład, ma on namiot cały ze skór lwich uszyty; sto piętnaście paszczy lwich wieńczy ten namiot sławnego szejka, nieustraszonego w boju, i na łowach nieustraszonego, a mądrego w radzie.

— Tak, tak, oh przyjaciele!—mówi szejik Ali-Hakem—rozmawiają i zwierzęta pomiędzy sobą, tylko głosem nie dla wszystkich zrozumiałym: bo któż posiada rozum wszystkich języków, któremi się myśl wyjawia? tylko sam Allah!

— Tylko sam Allah—odpowiedzieli słuchacze—oh Allah, bismillah!

— „Tak tedy w dniach méj młodości—rzecze dalej szejik Ali-Hakem—wówczas, gdy się wąż czarny i błyszczący kędzierzawił, tu, gdzie teraz widzicie mą brodę śnieżną jak głowa Atlasu, wówczas rzadko przepędziłem noc całą pod dachem mego ojca. Pomrok nocny wywoływał mnie zpod namiotu, porywałem za strzelbę, i w gąszczu zaczynałem się na drapieżne zwierzęta, niszczące nasze stada. Raz obrąłem stanowisko na skale zarosłej krzewami, górującej nad źródłem i nad bagnem. Miejsce to chętnie odwiedzały dziki, by tam myszkować i pić w krynicy. Księżyc już był obiegił połowę firmamentu, ja długo czekałem napróżno, i znudzony zasnąłem. Wtém budzi mię szelest chrustu i łamanie gałęzi. Zapewne zwierz jaki duży nadchodzi, rzekłem do siebie, i zamek méj strzelby zrewidowałem, i wstałem ostrożnie, nim jeszcze *nieznajomy* wszedł do bagna. Potém słucham: krzaka coś okropnie. Aha, to *el kunjar*! to odyniec, rzekłem do siebie. Istotnie, krokiem majestatycznym wstępuje w bagno dzik okropny. Księżyc srebrzył szerść jego długą, osiwiatą z starości, i jego kły potężne, lśniące jak ostrze dwóch kindżałów. Chodźno tu bliżej do krynicy, mówię do siebie, i cichaczem strzelbę odwiodłem.”

„Ale dzik ostrzy swe kły na kamieniu, zaczyna myszkować, słuchy nadstawia, jakoś niespokojny; czy przeczuwa bliskość wroga? Ja dech w sobie wstrzymuję, on wyciąga ryj w powietrze, wacha i mileży także. Mnie to dziwi niemało, bo powiów szedł z tamtéj strony; mnie tu czuć nie mógł *el-kunjar*. Ale szmer jakiś lekki dochodzi mnie z brzegów błota. Odyniec coraz niespokojniejszy, mówi do siebie przytłumionym głosem, ale najwyraźniej jak tylko być może: „do czarta! spodziewam się przecież, że tu zdrady nie ma!”

— Maszallah! oh dziwy! — zawołali naokoło ogniska wszyscy słuchacze szejika Ali-Hakem.

— Tak!—prawi dalej Ali—nawet powtórzył swą bezbożną mowę dwa, czy trzy razy *el-kunjar*. Aż tu ja patrzę, a z gąszczu

wyziera łeb okropny, kosmaty, dwa węgle iskrzą się w tym łbie, naczupurzonym ogromną grzywą. Oh! teraz poznałem o co idzie: to lew skradający się na brzuchu, zupełnie kocim obyczajem, ale tak prędko, jak koń w biegu. Mruczał sobie coś pod nosem, alem tego zrozumieć nie mógł. Już tylko o dwadzieścia kroków od odynca odległy. Odyniec najeży się jak jész, ja sam drzę ze strachu.“

„Odyniec osadza się na tylnych łapach, lew wpada nań jednym susem, wpada na kły potężne. Okropny ryk, razy spadają gęsto na obu walczących, obaj padają na ziemię, walka zacięta trwa z ćwierć godziny, potem z wielkiem dla mnie zadziwieniem dzik powstaje, wściekle uderza na swego nieprzyjaciela, i rozwała mu czaszkę. Ryczy lew, odpowiada mu zdala tysiąc szakalów. Odyniec topi swe kły w brzuchu płowego sultana: sultan zdycha. Odyniec pastwi się nad jego trupem i sam głosi swe zwycięstwo, mówiąc: „Ach sultanie! z starym kunjarem niełatwa sprawa!” Nareszcie poszedł się obmyć w krynicy, bo i on z licznych ran tracił posokę. Teraz mogłem do niego zblizka strzelać. Ale myślę sobie: czemuż go mam zabijać, kiedy on tak waleczny? sam na swą rękę lwa zwalczył i jego mi skórę zostawił. Może to czarownik, *dżin* jaki, trzeba go szanować. I kładę strzelbę na ziemi, czekam, żeby sobie dzik odszedł. On się kąpie i ciągle z sobą gaworzy. Znów dochodzi szelest jakiś lekki a szybki, łamią się gałęzie, wypada z krzaków lwica z głową wysmukłą i spostrzega lwa zdechłego, rozciągniętego na ziemi.“

„Co? znów zdrada jakaś” — wykrzyknie odyniec.

„A lwica struchlała, zmartwiona, mówi ze łzami w oczach: „Oh Allah wielki! Wieprz niewierny, nazareńczyk, męża zabił mi mego; wieprz zabił sultana puszczy. Oh Allah! ja się téj zbrodni pomszczę.“ To powiedziawszy lwica pusuwa się naprzód, ale spojrzawszy w oczy odynca, cofa się nieboraczka krzycząc i płacząc: „Oh miłosierny Boże, jakie olbrzymie dziecisko! oh wieprzu nazareński!“

„Niech czarci wiecznie pieką twą babkę” odpowie odyniec.

„Na to przekleństwo rzucone tak bezbożnie na matkę jój matki, lwica się zatrzymuje, bije swe boki ogonem, ryczy i wrzeszczy: „Tylko Allah jest zwycięzcą”! i pada na dzika, rwie go swą paszczą za gardło, pazurami brzuch mu pruje. Dzik się od-

cina, ale któż opisać zdoła wściekłość gniewu obrażonej sułtanki. Obłok zaciemnia mi księżyc, nie już nie widzę, tylko słyszę jęki, ryk i najokropniejsze przekleństwa. Znów nic nie słysząc, księżyc wychodzi zza chmury. Dzik nieżywy, rozciągnięty, na nim leży lwica i posokę mu wypija z serca. Ja mierzę o siedm kroków do łba, zatopionego poza oczy w piersiach dzika, strzelam, legła sułtanka płowa. Nazajutrz dwie nowe pyszne skóry zdobyły namiot mego ojca.“

— Wiele wam też zjedzą lwy bydła?—spytam starego szejka.

— W naszych stronach niewiele, bo umiemy trzymać owych sułtanów w posłuszeństwie i w poszanowaniu cudzej własności. Czasem lew zje owcę, czasem porwie cielaka, nawet i krowę, gdy się oddali od stada. Lecz gdy się bydło trzyma kupy, wówczas i lew nie śmie doń dostąpić. Podczas nocy krowy obstepują cielęta wokół, a byki na zewnętrznym obwodzie pilnują porządku. Stadniki gdy tylko poczują lub usłyszą lwa zdaleka, zaczynają ryczeć i kopać ziemię rogami i kopytami. Gdy się zaś przybliży, wówczas całe stado nie czekając zaczepki puszcza się obces na lwa. Nieraz się zdarzy, że dobry stadnik powali lwa na ziemię i przebije go rogiem. Sułtan tedy widząc taką taktykę pomiędzy swojskiem bydłem, woli polować na gazelle, sarny, danielę i młode dziki, bo ze starym dzikiem to już trudniejsza sprawa.

— A człowieka czy napastują lwy często?

— Człowieka nacierającego lub uciekającego napastują i rozszarpują. Ale człowiek, gdy lwa spotka nie powinien być ani junakiem, ani tchórzem, tylko iść swoją drogą, jak gdyby nigdy nic, i nie oglądać się na lwa; wówczas płowy sułtan widząc, że go się nie boisz, i że go obrażać nie chcesz, natrzywszy ci się do woli, pójdzie także swoją drogą. Lew jest szlachetnym zwierzęciem.

— Które też zwierzę najgadatliwsze? — spyta jakiś kupczyk chrześcijański z Mogadoru starego szejka Ali-Hakem z Tegedu.

— Prosię dzikie czy swojskie, i nazareńczyk — odpowie wręcz stary szejka, nie wiem czy w chęci obrażenia nas, należał bowiem do rzędu fanatycznych muzułmanów, nie przypuszczających, żeby nazareńczyk był czém inném, jak zwierzęciem.

Jeszcze na dobrą godzinę przed wschodem słońca ruszyliśmy w dalszą podróż. Droga dość szeroka i w dawnych czasach widać bardzo porządnie utrzymywana, murowana jeszcze przez Rou-

mów jak tu utrzymują, prowadziła po wzgórzach i dolinach na południu Atlasu, który z tej strony lekkimi tylko spadzistościami powoli wstępuje w mogadorską Saharę.

Ziemia wszędzie tu dobrze uprawna, pomimo tego wiele było ruin, mało wsi; częściej daleko duary ruchome, czyli obozy postawione w kształcie półksiężyca, łączącego się prawie zbliżeniami ku sobie rogami, lub też ustawione w dwa szeregi, pomiędzy które wpędzano nocną porą bydło i których boki zastawiano baryerami. W każdym bez wyjątku duarze był dom gościnny przeznaczony dla podróżnych, w każdym także można było dostać drobiu, jaj, nabiału, jęczmienia i słomy kukurydzowej, i to za bezcen. Szeik duary winien strzedz własności podróżnych nie tylko w duarze, ale nawet na gruntach do niego należących; on za tę własność jest odpowiedzialny. Kilkunastu szeików zostają znów pod władzą tak nazwanych wyższych szeików, wybieranych przez samych wójtów. Ci sprawują swój urząd z wielką sprężystością; witali nas zawsze przy wstępie do ich okręgu.

Przedtém okolica ta miała być nadzwyczaj ludną; wielka ilość zwalisk murowanych, studni, dróg i ułamków wodociągów o tém przeświadcza. „Zaraza nas wytępiła” mówili szeikowie spytani przez nas o przyczynę tego wyludnienia.

— Ale czemuż mieszkacie w namiotach, kiedy wyraźnie wprzódy mieszkać musieliście w chatach: tak okazuje wielka ilość chatek murowanych i opuszczonych.

— Łatwiej obóz unieść z sobą, jak dom murowany lub drewniany nawet, a nieraz, gdy nam baszę poślą zdziercę, chciwosza, chcącego się zбоgacić, lepiej jest pójść w góry i lasy, i tam złe czasy przeczekać.

— A grunta wasze któż wtenczas uprawia?

— Nikt; grunta leżą odłogiem, my się żywimy jak możemy mlekiem krów i owiec, owocami leśnymi, zwierzyną; cierpimy, ale podatku nie płacim. Skarb na tém szkodzi i sultan, który wie bardzo dobrze, ile pieniędzy wpłynąć winno do jego skarbcu, pyta się, gdzie leży przyczyna; a gdy się dowie, żeśmy uciekli w góry, wówczas dobry sultan pośle nieraz *szuizów* do baszy i każe mu gardło zasnuować. My wtenczas zstępujemy z gór i podatek znów płacimy najregularniej; wolimy bowiem żyć spokojnie z mąki i z kuskusu, przebiegać konno nasze piękne niwy, jak kryć się w górach, ucierać się z dzikimi zwierzętami i ze stokroć dzikszymi Berberami.

Tak rozumowali wieśniacy arabscy; lud to bardzo łagodny, pracowity i prawdziwie ze wszech względów wielkiego szacunku godny. Gdyby cywilizacja przyświeciła temu ludowi, ziemia nasza wielceby zyskała godnych obywateli: bo tam, gdzie miłość do pracy i pokoju kojarzy się z uczuciem godności, tam wielkie są zasoby szczęścia na przyszłość.

Kraj przybiera postać coraz powabniejszą. Piękne rzeki, czyste i rybne zbiegają z gór; roślinność ziemi zachwyca oko, ruiny tylko myśl zasmucają. Czemuż jednostajnie na téj samej ziemi rozwijać się nie może cywilizacja?

Tutaj są dowody, że niegdyś, w bardzo dawnych czasach była oświata.

Okolo 10tej przed południem, w odległości sześciu mil od Mogadoru stoimy w fondaku bardzo obszernym i gdzie wszystko na nasze przyjęcie było przygotowanem. Niezliczone mnóstwo Arabów z duarów okolicznych czekało nas tutaj, wielu także przyprowadzono i przywieziono chorych. Nikt pojąć nie jest w stanie, ile w tym kraju chory, biedny i cierpiący, wzbudza litości w zdrowych, bogatych i szczęśliwych. Czynności nasze lekarskie trwały godzin kilka. Musieliśmy rozpakować wszystkie lekarstwa i narzędzia chirurgiczne w osobnym na to przez Arabów wzniesionym namiocie, wykonać kilka operacyj, rozdać niezliczone mnóstwo lekarstw. A gdyśmy ukończyli czynności i posilili się wybornem mlekiem, bo apetyt nasz znikł w zbytнім znużeniu, wyruszyliśmy z fondaku jeszcze przy skwarze słońca, i strudzeni, śpiący, piérwszy raz w téj podróży szukaliśmy w palankinach spoczynku. Wstręt miałem dotychczas niezwalczony do tego palankinu; zdawało mi się, że człowiek nie na to przeznaczony, żeby bliźniego swego dźwigał jak bydłę; ale nasi niewolnicy nie zrozumieli przyczyn tego wstrętu, markotno im było nawet, żeśmy się nimi posługiwać nie chcieli; i aby nas przekonać, że się nie lekają pracy i że są mocnemi, kładli kamienie do palankinów i dźwigali je po dniach całych. By lepiej okazać gotowość służenia nam, przewali te kamienie: jeden Al-Hamilt-Bej, drugi Todor-Effendy. Chcąc położyć koniec temu bałwochwalstwu, kazaliśmy wyrzucić głązy i sami zajęliśmy ich miejsce. Niebawem także zasnąłem lekko kołysany na barkach biednych Fellanów, dodających sobie ochoty odśpiewywaniem jakiegoś monotonnego, smętnego hymnu, jakiéjs widać pochwalnej improwizacyi, bo często nasze nazwiska z epitetami nader pochlebnemi wspominane były w tych

hymnach. Zasnąłem, i przyznać muszę bardzo twardo, bo gdyśmy w fondaku nocnym stanęli, słońce już było zapadło za górą, którą wsiadając do lektyki widziałem piętrzącą się przed sobą.

Anglicy tu rozpakowali swą kuźnię podróżną i naprawiali wozy nadwerężone prędką podróżą po skalistych drogach. Każdy Anglik pracował za sześciu, nic jego oka nie uszło; podczas drogi kombinowali, wymyślali nowe wydoskonalenia, ścinali drzewa, przeistaczali je w koła mocne i trwałe i kuli te koła, mocniejsze pnie wydrążali, w nie pakowali lufy armat i wlekli je za sobą w miejscach, przez które inaczej przeprowadzić ich nie było można.

Ale powoli ucisza się wszystko, już bifsztyki i plumpuddingi zjedzone; Anglicy należycie zalkoholizowani winem i grokiem chrapią jak wieloryby. Maurowie patrzą na nich ze wzgardą i rozprawiają o bojach, łowach, koniach i huryskach. Wtém zdaleka dochodzi nas ciche, szybkie stąpanie dromedara.—To klus mehara puszczy—krzyknie jakiś Maur—to goniec konsulatu angielskiego.

Istotnie to był murzyn Abur-Naza, już z powrotem z Maroko. W 52 godzinach zrobił mil 33 i bawił w mieście godzin 14. List wręczył samemu królewiczowi i dostał od niego 60 cekinów nagrody: tak był uradowanym ksiązę z wiadomości otrzymanych. Nie posiadał się z radości dobry murzyn, i jego szczęścia przytłumić nie zdołały nowiny o gniewie baszy, o jego pogrózkach.

—Nie obawiam się baszy na mym mehari; orzeł się strzelca nie lęka, gdy na swych skrzydłach wysoko buja w powietrzu, —rzekł Abur-Naza.

— Jednakże mój przyjacielu, jednakże—powie Al-Hamilt-Bej— basza ma długie ręce i mściwym jest bardzo.

— Nie sięgnie po mnie aż do konsulatu angielskiego, to pewna! —odpowiē goniec— a zresztą, jeśli się spostrzegę, że coś źle pachnie, wówczas zabieram wszystkie me cekiny, a mam ich blisko 800 i umykam do Gambii, do méj ojczyzny, kazać się obwołać kacykiem, bom z kacyków rodu, i szlachetność wre w méj krwi.

— Przez puszcę Sahary?

— Przez puszcę. Ja się i puszczy nie obawiam: trzy razy ją przebyłem. Raz, gdy do niewoli pojmany przez króla Senegal, poprowadzony byłem do Maroko i tam do wojska sultana sprzedany; drugi raz, gdym wykupiony z niewoli przez konsula angielskiego w Mogadorze, poszedł nad Senegal zdobyć tego mehari szybkiego jak piorun; trzeci raz, gdym zdobywszy dro-

medara wracał do Mogadoru. Teraz wiem jak trzeba postępować z przeszkodami i piasków, i głodu, i pragnienia, i w połowie księżyca przebiegnę ztąd aż na brzegi Złotej rzeki.

— O naucz mię, jak przebiedziesz przez puszcę w dni piętnaście—prosił Al-Hamilt-Bej.

— Nie mogę. Nikt prócz mnie nie ma takiego mehari, biegnącego równo z wiatrem północno-wschodnim, gładzącego w ziemię powierzchnię piasków Sahary, zwilżonych deszczem; nikt prócz mnie nie usiedzi tak długo na dromedarze pędzącym jak uragan. A potem wy do tych krajów nie tęsknicie, wy za wędchem rodzinnego powietrza nie umiecie kierować kroków waszych, i przeczuć oazy i źródła, bo tam nie masz słupów milowych, ani też języka ludzkiego; i gwiazdy są zwodnicze, bo niedostateczne: o 15 mil dalej lub bliżej poprowadzić, to wszystko jedno, a dzień stracony i życie stracone.

Tak utrzymywał murzyn Abur-Naza; i wszyscy Arabowie, Maury i murzyni przyznawali, że ma rację, że ziemia rodzinna i woda i powietrze pachną, i swym zapachem przyciągają bardzo.

Tak silne czują przywiązanie dzieci natury do swój ojczyzny!

— Słuchaj Abur-Naza, a gdy do kraju wrócisz i zostaniesz królem?—spyta porucznik Trydentu mówiący po arabsku.

— Wówczas wyślę deputacją do waszej królowej, i ofiaruję jej mą rękę i me królestwo, w nagrodę za dawaną mi podczas lat kilku protekcją—odpowiódł Abur-Naza z największą spokojnością w świecie. On tak był pewnym, że królowa angielska z wdzięcznością jego ofiarę przyjmie, jak był pewnym swego mehari i swych ośmuset cekinów. Ale wszyscy Anglicy oburzyli się naprawdę, słysząc Abur-Nazę traktującego tak lekko kwestyą małżeństwa królowej, i zaręczali Abur-Nazie, że królowa Wiktorya bardzo jest szczęśliwą z księciem Albertem, i nie pragnie innego męża, ani nowego królestwa.

I ta druga noc przeszła; wprawdzie, nie tak wygodnie jak poprzedzająca, bo bliskość gór pokrytych śniegiem wiecznym, dawała nam się we znaki przejmującym zimnem.

Ruszamy teraz już po wschodzie słońca, do przebycia bowiem drogi, która nas czekała, potrzeba było jasnego światła. Droga wije się ponad przepaściami, między lasami po grzbiecie skalistym gór.

Stajemy nad brzegiem rwącego, wartkiego strumienia. Na drugim brzegu bardzo wyniesionym i skalistym znajdowały się

dwa miasteczka murowane i murem otoczone; mnóstwo także tam było ogrodzeń pomniejszych częścią walących się, częścią jeszcze dobrze utrzymanych. Wszystkie domy miały płaskie dachy. Wiele małych ogródków rozsianych było tu i owdzie na spadzi-
stości; rosła w nich kapusta, groch i pszenica turecka. W pewnej odległości od tych dwóch miasteczek zwanych Aba-Zebir i Igdna, wznosiło się ze dwadzieścia kapliczek czworograniastych, z małemi kopułami, czysto bielonych, i na 10 do 15 stóp kwadratowych objętości mających. Byłyto domki santonów, miasteczka te bowiem obfitują w świętych umarłych i jeszcze żyjących. Cała dolina mogła mieć milę długości i dobre pół mili szerokości. Podczas deszczów i po stopnieniu śniegów cała ta dolina zamknięta pomiędzy wysokimi murami, a mało mająca splywu, zatopiona jest przez wodę, której głębokość nieraz dochodzi w niektórych miejscach do 50 stóp. W tej chwili odbywały się żniwa, pasła się wielka ilość bydła, i mnóstwo ludu zatrudnionego było na polu. Rozległe te łąny okryte kukurydzą, jęczmieniem, miały niekiedy ćwierć mili długości; ogrody napełnione pięknymi włoszczyznami, pełno wszędzie drzew figowych, daktyłów, granatów, pomarańcz, wina i innych drzew owocowych. Żył w tym miłym zakątku do 7,000 ludności. Powietrze musi być tu bardzo zdrowe, choroby bowiem epidemiczne nawiedzające tak często cesarstwo marokańskie, rzadko tu dochodziły i niewiele porywały ofiar. Nie wstępowaliśmy do tych miast, drogi bowiem główne prowadzą mimo miast; ale dwa te miasteczka są jedynemi ludniejszymi miejscami z Mogadoru do Moroko. Dalej od drogi leżą jeszcze dwa miasta. Około 10tej stanęliśmy w fondaku, od którego na ćwierć mili w bok leżą ruiny niegdyś potężnego miasta, zniszczonego temu lat 30 przez Muley-Ismaïla, pretendenta do korony cesarskiej. Tormenta, któremi zwalono mury jeszcze leżały pod rozwalinami. Całą ludność wytopiono do nogi, dzieci nawet i starców nie oszczędzono; dwieście tylko dziewięc żywcem rozdzielono pomiędzy żołnierzy. Kości z ubitych jeszcze można było rozpoznać w gruzach. Nikt tu już nie mieszka w tém nieszczęsném miejscu.

Wieczorem stajemy w duarze sławnego szejka i maraba Abu-Malekim-Hadzi. Znany ze swęj waleczności, cnoty i fanatyzmu w całym prawie kraju, żył sobie podczas pokoju jak prawdziwy święty w modłach, pokutach i postach. Żon miał cztery pięknych jak wiosna, a jednakże jak niegdyś Edward Wyznawca unikał teraz tego wszystkiego, co tylko materyalną przyjemność,

lub zmysłową rozkosz sprawić może. Łagodnego jednakże nie był charakteru: karał srogo wszystkie zbrodnie i występki, a najmniejsze winy nie uszły jego bystrego oka.

Bu-Malekim-Hadzi ani wcale nie lubił chrześcian, ani téż chrześcijańskiej cywilizacyi, i błagał Boga pięć razy na dzień o sposobność zmierzenia się z niemi. Wojennym był dowódcą nietylko swego duaru, lecz i trzech innych; przytém kapitanem honorowym gwardyi cesarskiej i dowodził szwadronem w czasie boju. Onto piérwszy uderzył na Francuzów w roku 1844 i śmierć znalazł bohaterską w bitwie pod Isly. Miał wówczas około lat 40.

Od duaru potężnych Ben-Malekitów do Maroko odległość wynosi zaledwie mil cztery.

XV.

Atlas i Maroko.

Trzeci dzień naszej podróży minął. Droga już wczoraj wieczorem oddaliła się była od gór i ciągnęła się po płaszczyźnie. Teraz od jednego razu, jeszcze długo przed wschodem słońca, zoczyliśmy na firmamencie, tuż blisko nad naszymi głowami w stronie południowo-wschodniej meteor jakiś, jaśniejący jak zorza północna w purpurowém, skupioném, rażącym świetle; meteor coraz większy, pysniejszy, aż wzrósł do potężnych rozmiarów niebotycznej, gorejącej kuli. To stary Atlas, który dźwiga od tylu tysięcy lat to nasze dobre i łaskawe niebo; to stary Atlas, któremu długo przed swém wejściem opowiada się, melduje słońce, u którego czeka w przedpokoju nim śmie wstąpić na ziemię!

Złotowłosy Febus przecież uzyskał pozwolenie wejścia nad naszą planetę; niebawem téż z niego korzysta, szybko wysuwa się zpod widnokręgu wschodniego tarcza, ogromna jak kopuła św. Piotra w Rzymie, pnie się coraz wyżej, wyżej, zalewa oceanami purpury śnieżne szczyty Atlasu, złoci fiolet jego podróży, barwi całe łąny urodzajnych pól bałwaniących się na płaszczyznach, a liczne strumienie spadające z rzewnych ócz wiecznego Tytana, przemienia w tumaniące się fale żywego srebra.

Zaprawdę, widziałem Morskie Oko, Jungfrau i Montblanc, zwiedziłem Pyreee, Morrenę, Sierę Newadę, podziwiałem szkockich i norweskich gór uroki, ale coś podobnego Atlasowi nigdzie nie widziałem. Nie masz na kuli ziemskiej miejsca bliższego nieba, nie

masz przynajmniej miejsca, któreby w serdeczniejszych z niem było stosunkach; zdaje się, że Atlas jeżeli jest niższym od Cimborasso, Kordylierów, lub Himalai, sam jeden posiada klucz do téj lazuruwej kopuły, której śnieżne firanki dotykają głów jego.

Możnaby powiedzieć, że sam jeden Atlas jest klucznikiem, szambelanem nieba; ale przecież ja do podobnych porównań zniżyć się nie mogę.

Postępowaliśmy równiną zatopieni w cudnym, uroczystym widoku. Z każdą minutą nowe odstaniały się krainy brylantów, szmaragdów i rubinów, nowe wytryskiwały fontanny żywego złota i srebra z boków tego ogromnego Tytana, górującego jak Jowisz w Olimpie wysoko nad wszystkie inne olbrzymy Tellury. On w środku prawie tego długiego pasma sterczy, a wznosi swe śmiałe, błyszczące dyademem czoło tak wysoko w niebo, że zdaje się równych sobie ani chce uznawać, ani też nawet nie przypuszcza, żeby równi jemu istnieć mogli. On jest panem téj reszty gór i szczytów, bo jest ich ojcem, ich dobrodziejem; z jego boków spadają dobroczynne potoki na resztę krainy, i na resztę tych gór spadają dėszeze z wielkich krynic zawieszonych nad głową Tytana, skupionych tu, jego staraniem.

Okolice téż zaczęły przybierać postać jakąś ucywilizowaną; widać było, że się zbliżamy do stołecznego miasta. Tu i owdzie włości, wsie i miasteczka dobrze zabudowane; minarety w rozliczne chorągiewki strojne, śmieją się do nas tak rozkosznie; mnóstwo ludu wychodzi na drogę bez obaw: wszyscy tu już wiedzą z czem przybывamy, i po co przybывamy.

Tam znów wysokie zwaliska, glazy ogromne w chaotycznym nieładzie napiętrzone, tu szczątki wodociągu oparte o góry, świadczą, że krainie téj niegdyś przyświecało za czasów rzymskich światło cywilizacyi; a gdzieniegdzie kobięta, na której źle zakrytęj, bo staręj szyi wypiętnowany znak męki Odkupiciela, dowodzi, że błogi gięnius z chrystyanizmu przebywał tu w tych pięknych i godnych lepszego losu krainach. Czemuż nazawsze nie pozostali!.... Może dlatego, żeby chryścian zachęcać do pracy, przeświadczyć ich, że chryścianizm jest dobrodziejstwem, które nie mieczem, lecz oświatą należy wprowadzać i czynną cnotą uprawiać.

Ale jakizto hufiec złoty i szkarłatny błyszczy zdaleka w ręsystemie świetle słońca i Atlasu, a suwa się tak prędko, tak bystro po tém szmaragdowém błoniu? Zdaje się, że to zastępowanie aniołów, który wystąpił razem z promieniami Feba z lazurów niebieskich. Tylko

co byli o milę od nas, a teraz są już tylko o staje. Nie, to nie aniołowie, to gwardya murzynów i przyboczne agi. Już są tuż przed nami, strzelają mijając nas, krążąc około nas, sto lub dwieście razy; na uczczenie nasze wyprawiają *fantazyą*, krążą, bujają, krzyczą i strzelają; ale przypatrują się dobrze nam i podarunkom królowej Wiktoryi, a pomiędzy świetnym hufcem jest sam syn cesarski tylko *in-cognito*, jak przystoi na tak wielkiego pana, gdy koniowi zagłąda w zęby.

Porucznika Trydentu przywitano w szczególności. On prosi, aby podarunki królowej, oficerów eskorty i lekarzy angielskich mógł przedstawić jutro wieczorem w należytem porządku samej cesarzowskiej mości, a tymczasem, by mu w mieście przeznaczyć mieszkanie i stosowne miejsce do złożenia łodzi parowej, do opatrzenia i umalowania jój, do umieszczenia pontonów na wodzie, a armat na lawetach. Prosi o koni świeżych i nieznarowionych sto pięćdziesiąt, o ludzi zręcznych, a szczególniej o murzynów z Sudanu, bo ci są najzręczniejsi. Do jutra musi być skończone dzieło olbrzymie, jakie w innych krajach i z innemi ludźmi ledwo by za rok stanęło na nogi. Wszystko ułatwione, na wszystko zezwolono, dano nawet czas do pojutra rano.

Hufiec szkarłatny prowadzi nas do Maroko i wystrzałami maskuje wszystko co nieładne. Miasto to bardzo rozległe, niegdyś w XII stuleciu do 700,000 ludności posiadające, dziś ledwo dwunastą jój część zachowało. Założonóm zostało roku 1050, jak mówią na miejscu rzymskiego *Bocanum Hemerum*. Całe jest otoczone murem na 32 stóp francuzkich wysokim, w okręgu długim na dwie i pięć siódmych mili geograficznych. Na odległość połowy strzału z ręcznej broni, to jest na 150 kroków, znajdują się w tym murze wieżeczki, na większe zaś przestrzenie wysokie, potężne i działami wieńczone baszty. Ulice są wyludnione, domów bardzo wiele leży w gruzach, place publiczne nagie i ogołocone. Ale wszystkie meczety, a jest ich do 80, w dobrym jeszcze znajdują się stanie; kilka z nich bardzo pięknych: główny zaś meczet zwany *el Columbia* w XII stuleciu wzniesiony, okazałym jest, pięknej, Alhambrę przypominającej struktury, i w szczegółach prawdziwie ozdobny, uroczy, a nawet wyszukano wykwintny.

Główny bazar i karawanseraj miasta, zwany tutaj *kaisarin*, pomieścić może do 10.000 ludzi i 5,000 bydła. Tu się zbierają karawany rozchodzące się w najodleglejsze strony: do Mequinez, Tangieru, Suzy, Tafiletu, Mogadoru, a nawet owe wielkie karawany,

które dwa razy na rok idą do Tombuctu, miasta niedawno znanego światu, otoczonego dotychczas całym urokiem złotój tajemniczości.

Do właściwego miasta nie weszliśmy wcale, tylko do osobnego na wschód od Maroko leżącego grodu, otoczonego wyższym jeszcze jak miasto, a na obwód półtorój mili długim murem. To sławny ów zamek i seraj sułtanów marokańskich z ogrodami, w których uroki przyrody, walczą z pięknosciami sztuki. Ogrody te przebiega rzeka Tenesift, i zasila swemi wodami głębokie jeziora, kanały, fontanny i wodociągi. Gmachy główne wzniesione z ogromnych głazów granitowych; pomniejszych gmachów, koszar i oficyn dla dworzan przeznaczonych daleko więcej niż w Wersalu, a domków osobnych na jedno piętro wzniesionych i po parkach i ogrodach rozsianych, przynajmniej ze dwieście pięćdziesiąt.

Ten gród niezmierny, w którym nie brakuje ani placów, ani dziedzińców, zamieszkuje często sam cesarz. W obecnej chwili zamieszkiwał go cesarzewicz i kilkunastu innych blizkich krewnych,

Osobne miejsce wraz z kanałem i jeziorem oddano panu Westmoreland porucznikowi Trydentu, nam zaś przeznaczono koszary, w których pomieścić się mogło do 500 ludzi, na założenie szpitalu dla oftalmicznych.

Przeznaczono nam mieszkanie w domu zajmowanym zwykle przez obu pułkowników gwardyi; każdy bowiem pułk regularny ma tutaj dwóch dowódców: jednego wojennego, drugiego administracyjnego. W domu tym było do dziesięciu stancij w pawilonach, w środku wspólna sala wysoka i dość okazała, wychodząca z przodu na dziedziniec, z tyłu zaś na tę część ogrodu, która była wspólną i do użytku zapraszanych oficerów przeznaczoną; obok téj wspólnej części znajdowały się na prawo i lewo ogrody, wysokim murem odgraniczone od wspólnego, a przeznaczone do użytku prywatnego panów pułkowników i ich żon i kobiet.

Mebli zwyczajem wschodnim bardzo mało było w pokojach: dywany, sofy, kobierce, małe stoliki, i na tém koniec. Tylko w pokoju sypialnym umieszczono kilka krzesełek zrobionych widać umyślnie dla nas. Zresztą nie zapomniano niczego, co nam uprzyjemnić mogło pobyt w stolicy; miano względ nie tylko na gusta europejskie, ale także na gusta wschodnie, na wpływ klimatu zwalczający niejedną przesąd, nawet u surowych Platonizmem Anglików. Nasze domki w ogródku osobistym były bardzo przyjemnie zaludnione: znajdowały się w nich łazienki i altanki, gdzie przyjemnie można było odpoczywać.

Dano nam cukiernika sporządzającego od rana do wieczora kawę, lody, sorbety, konfitury i ciasteczka, ale o kucharzu nie pomyślano, czyli raczej zwyczajem tutejszym cesarzowicz kazał nam przynosić już gotowe potrawy. Zresztą, obdarzono nas zwykłym powitalnym podarunkiem, złożonym z żywności: z pięknego bawołu, z sześciu baranów, z kopy całej kur, z półkopy indyków i nieskończonej ilości pstrągów, jarząbków; przytém było kilka worków różnej mąki, kilka ogromnych dzbanów różnej oliwy, owoców co niemiara. Służba nasza nie potrzebowała lękać się głodu.

Jeszcze przed roztasowaniem się poszliśmy obejrzyć koszary na nowy szpital przeznaczone. Byłto budynek wzniesiony na dość wysokim wzgórzu, o piętrze, z kamienia nieciosanego, spojonego bardzo dobrą gliną. Gmach ten, jak wszystkie większe maurytańskie, miał w środku dziedziniec, niestety bardzo szczupły i źle wentylowany; nadto tylna część wystawiona na południe, z kąd z Atlasu zimne i szkodliwe zapaleniom wiatry wieją, nie mogła służyć na szpital oftalmiczny. Delikatnyto bardzo organ oko, gdy się w nie wda zapalenie egipskiem zwane, a tak okrutne, że w dzień jeden często wydrze człowiekowi zmysł najpotrzebniejszy do szczęścia. Sale zatem wychodzące na południe nie mogły służyć dla zbytniego światła w dzień, a dla wiatrów Atlasu w wieczór i w noc; sale wewnętrzne wychodzące na dziedziniec służyć nie mogły dla zepsutego powietrza. Pozostało tedy tylko z szesnastu sal, zawartych w gmachu, na dobry użytek sześć mogących pomieścić najwięcej 180 chorych; a z samego garnizonu miasta wówczas tylko do 12,000 dochodzącego, przeszło 1,000 było chorych, rozdzielonych częścią po szpitalach miejskich, częścią po szpitalach obozowych naprędce urządzonych. W mieście, którego ludność najwięcej do 70,000 dusz dochodziła, stosunkowo mniej daleko było chorych, pomimo brudnych zaułków, w których kryć się lubi klasa uboga, nader tu liczna, a najwięcej do zapaleń podobnych usposobiona.

Wszystkie te wiadomości dał nam pan Simoni dragoman cesarzowicza, i jak się teraz dopiero pokazało, jego przyboczny chirurg. Czemu nam dotychczas tań, że w nim mamy kolegę, tego nie wiem. Czy to przypisać należało przyrodzonej mu skrytości charakteru, czy też jakiś polityce umyślnój, o tém sądzić nie jestem w stanie; dość, że pan Simoni, który dotychczas ani jednóm nam nie wyjawiał słowem, że należy do ciała lekarskiego, dał nam teraz najdoskonalsze sprawozdanie o stanie zdrowia stolicy i jej stałych i niestałych mieszkańcach, o środkach użytych przeciw oftalmii egipskiej, o nieskute-

które dwa razy na rok idą do Tombuctu, miasta niedawno znanego światu, otoczonego dotychczas całym urokiem złotój tajemniczości.

Do właściwego miasta nie weszliśmy wcale, tylko do osobnego na wschód od Maroko leżącego grodu, otoczonego wyższym jeszcze jak miasto, a na obwód półtoręj mili długim murem. To sławny ów zamek i seraj sultanów marokańskich z ogrodami, w których uroki przyrody, walczą z pięknosciami sztuki. Ogrody te przebiega rzeka Tenesift, i zasila swemi wodami głębokie jeziora, kanały, fontanny i wodociągi. Gmachy główne wzniesione z ogromnych głazów granitowych; pomniejszych gmachów, koszar i oficyn dla dworzan przeznaczonych daleko więcej niż w Wersalu, a domków osobnych na jedno piętro wzniesionych i po parkach i ogrodach rozsianych, przynajmniej ze dwieście pięćdziesiąt.

Ten gród niezmierny, w którym nie brakuje ani placów, ani dziedzińców, zamieszkuje często sam cesarz. W obecnej chwili zamieszkiwał go cesarzewicz i kilkunastu innych blizkich krewnych,

Osobne miejsce wraz z kanałem i jeziorem oddano panu Westmoreland porucznikowi Trydentu, nam zaś przeznaczono koszary, w których pomieścić się mogło do 500 ludzi, na założenie szpitalu dla oftalmicznych.

Przeznaczono nam mieszkanie w domu zajmowanym zwykle przez obu pułkowników gwardyi; każdy bowiem pułk regularny ma tutaj dwóch dowódców: jednego wojennego, drugiego administracyjnego. W domu tym było do dziesięciu stancji w pawilonach, w środku wspólna sala wysoka i dość okazała, wychodząca z przodu na dziedziniec, z tyłu zaś na tę część ogrodu, która była wspólną i do użytku zapraszanych oficerów przeznaczoną; obok tej wspólnej części znajdowały się na prawo i lewo ogrody, wysokim murem odgraniczone od wspólnego, a przeznaczone do użytku prywatnego panów pułkowników i ich żon i kobiet.

Mebli zwyczajem wschodnim bardzo mało było w pokojach: dywany, sofy, kobierce, małe stoliki, i na tém koniec. Tylko w pokoju sypialnym umieszczono kilka krzesełek zrobionych widać umyślnie dla nas. Zresztą nie zapomniano niczego, co nam uprzyjemnić mogło pobyt w stolicy; miano względ nie tylko na gusta europejskie, ale także na gusta wschodnie, na wpływ klimatu zwalczający niejedną przesąd, nawet u surowych Platonizmem Anglików. Nasze domki w ogródku osobistym były bardzo przyjemnie zaludnione: znajdowały się w nich łazienki i altanki, gdzie przyjemnie można było odpoczywać.

Dano nam cukiernika sporządzającego od rana do wieczora kawę, lody, sorbety, konfitury i ciasteczka, ale o kucharzu nie pomyślano, czyli raczej zwyczajem tutejszym cesarzewicz kazał nam przynosić już gotowe potrawy. Zresztą, obdarzono nas zwykłym powitalnym podarunkiem, złożonym z żywności: z pięknego bawołu, z sześciu baranów, z kopy całej kur, z półkopy indyków i nieskończonej ilości pstrągów, jarząbków; przytém było kilka worków różnej mąki, kilka ogromnych dzbanów różnej oliwy, owoców co niemiara. Służba nasza nie potrzebowała lękać się głodu.

Jeszcze przed roztasowaniem się poszliśmy obejrzyć koszary na nowy szpital przeznaczone. Był to budynek wzniesiony na dość wysokim wzgórzu, o piętrze, z kamienia nieciosanego, spojonego bardzo dobrą gliną. Gmach ten, jak wszystkie większe maurytańskie, miał w środku dziedziniec, niestety bardzo szczupły i źle wentylowany; nadto tylna część wystawiona na południe, z kąd z Atlasu zimne i szkodliwe zapaleniom wiatry wieją, nie mogła służyć na szpital oftalmiczny. Delikatnyto bardzo organ oko, gdy się w nie wda zapalenie egipskiém zwane, a tak okrutne, że w dzień jeden często wydrze człowiekowi zmysł najpotrzebniejszy do szczęścia. Sale zatem wychodzące na południe nie mogły służyć dla zbytniego światła w dzień, a dla wiatrów Atlasu w wieczór i w nocy; sale wewnętrzne wychodzące na dziedziniec służyć nie mogły dla zepsutego powietrza. Pozostało tedy tylko z szesnastu sal, zawartych w gmachu, na dobry użytek sześć mogących pomieścić najwięcej 180 chorych; a z samego garnizonu miasta wówczas tylko do 12,000 dochodzącego, przeszło 1,000 było chorych, rozdzielonych częścią po szpitalach miejskich, częścią po szpitalach obozowych naprędce urządzonych. W mieście, którego ludność najwięcej do 70,000 dusz dochodziła, stosunkowo mniej daleko było chorych, pomimo brudnych zaułków, w których kryć się lubi klasa uboga, nader tu liczna, a najwięcej do zapaleń podobnych usposobiona.

Wszystkie te wiadomości dał nam pan Simoni dragoman cesarzewicza, i jak się teraz dopiero pokazało, jego przyboczny chirurg. Czemu nam dotychczas tań, że w nim mamy kolegę, tego nie wiem. Czy to przypisać należało przyrodzonej mu skrytości charakteru, czy też jakiś polityce umyślniej, o tém sądzić nie jestem w stanie; dość, że pan Simoni, który dotychczas ani jedném nam nie wyjawiał słowem, że należy do ciała lekarskiego, dał nam teraz najdoskonalsze sprawozdanie o stanie zdrowia stolicy i jej stałych i niestałych mieszkańców, o środkach użytych przeciw oftalmii egipskiej, o nieskute-

czności tych środków. Na 11,000 którzy dotąd zachorowali, ledwo 1,700 zupełnie wyzdrowiało, 2,600 straciło jedno oko, przeszło 3,200 oba oczy, reszta pozostaje w kuracji. Oznajmił nam także, że korpus cesarski uznany za taki przez rząd i przez władze patentowane, składa się z kilkunastu renegatów, po największej części Włochów, którzy przypadkiem, albo u cyrulików europejskich, lub też w szkołach lekarskich Europy, nauczyli się cokolwiek chirurgii lub medycyny, a z których ani jeden nie jest graduowanym doktorem lub nawet magistrem; potem z kilkudziesięciu chirurgów i lekarzy wyszłych z szkoły lekarskiej, założonej przez powyższych lekarzy i chirurgów w Maroko lat temu czternaście; nareszcie z kilkuset marabów, imanów, santonów i fakirów, leczących najczęściej zażegnaniem i czarodziejstwami, rzadko tylko ziółkami lub innymi lekarsztwami. Patent na lekarza daje jakiś rodzaj komitetu medycznego, ustanowionego przez naczelnika szaiszów, to jest policyi karnéj; od patentu tego należy płacić skarbowi jakiś podatek stosunkowo do stopnia otrzymanego w patencie, a jest tych stopni siedm. Sztuka położnicza pozostaje całkiem w ręku kobiet; jeszcze nie myślano nawet o szkole akuszerek. Anatomią wykłada w szkole lekarskiej jakiś pan Gennaro, stary Neapolitańczyk, renegat, na trupach kiedyniekiedy od mistrza wyroków śmierci zakupywanych. Cała ta nauka ogranicza się na wykładzie bardzo niedostatecznym osteologii, myologii i splachnologii, to jest na nauce o kościach, muszkułach i trzewiach.

To nam powiedział pan Simoni, a więcej powiedzieć nie chciał. Z każdą chwilą stawał się mniej mówiącym; widać, że mu szło bardzo o własną powagę. Posiada on rangę wyższego kapudana, odpowiadającą stopniowi majora.

Wzięliśmy się natychmiast do spisania w języku arabskim raportu, w którym wyluszczyliśmy, czemu koszary na szpital przeznaczone nie mogą służyć dla więcej, jak dla 180 chorych. Zarazem prosiliśmy o przesłanie nam 90 chorych świeżo zapadłych, i o 90 uważanych za niezdolnych do wyleczenia przez lekarzy tutejszych; przytém o przysłanie należytej liczby świeżych sienników, kołder, o sześć fur świeżéj słomy, o sześć postawów zielonego płótna na franki do okien i około łózek. Raport ten przesłaliśmy księciu przez p. Simoni, który się do nas od czasu do czasu jawił.

Na drugi dzień bardzo rano, zaczęto nam znosić i zwozić chorych, słomę, sienniki i płótno, przydano nam do pomocy z tuzin łapserdaków, w dość obdartych sukniach żołnierskich. Byłito uczni-

wie medycyny, przeznaczeni do służby wojskowej, po największej części synowie ubogich Maurów; żadnego pomiędzy nimi murzyna ani Araba, kilku tylko potomków europejskich renegeatów.

Wzięliśmy się z wielką gorliwością do dzieła, rozklassyfikowali chorych na sześć klass według stopnia choroby, umieścili w salach na wygodnych łózkach, napój im sporządziliśmy chłodzący a smaczny z wody cukru i pomarańcz, wołu kazaliśmy ubić i sporządzić z niego rosół, baranów kilku zarznąć i z jęczmienną kaszą zrobić z nich potrawkę.

W samym seraju znajdowała się apteka cesarzewska, trzymana przez hiszpańskiego renegeata; pozwolono nam brać z niej co nam się podoba za kwitami. Ale materiały téj apteki bardzo źle były konserwowane: woleliśmy użyć własnych lekarstw, których na szczęście zabraliśmy z sobą bardzo wiele. Czynność rozwijamy niesłychaną: łapiemy wszystkich ludzi, na których twarze błyskało jakieś takie światelko rozumu, i przeznaczamy ich *proprio motu* do służby lekarskiej. Dragomani nasi, służący i niewolnicy, musieli pracować w zawodzie lekarskim. Nieoceniony był mój Mosiek: wszystko pojmował i wszystko robił nadspodziewanie ochoczo i dobrze. Nowe jakieś życie wstąpiło w tego dobrego żydka, od chwili, gdy mój wziął w moją służbę.

— Dobrze, dobrze, mój poczciwy Mošku, dobrze mi się zasługujesz, zadowolony jestem z ciebie—rzekłem do mego dragomana. A on mi odpowiedział, uśmiechając się i kurcząc ramionami:

— Ny! i cóżbym ja dla pana nie zrobił? pan jesteś mądry jak kugiel, przenikliwy jak czosnek, i jednak miły jak łoksina. Ny! ja pragnę, żeby pan był kontent i szekielów zarobił milion, to i mnie się dostanie troszkę.

W południe, właśnie wtenczas, kiedy słońce dokuczliwie świeciło, pan Westmoreland zawitał do nas, postępując jak ksiądz z monstrancją pod baldachinem, dźwiganym przez czterech murzynów.

— Znużony jestem jak może nigdy w życiu—zawoła porucznik Trydentu—ale widzę, że i panowie nie próżnowali. Jakto? już wszystko w porządku? już ten chaos przeistoczony w szpital? Oh! niech żyje nasza angielska czynność! Tylko my umiemy działać jak mężczyźni. Przyszedłem tu odpocząć w téj chłodnej sali, napić się kawy, i podrzémac z wami, *my good Doctors*.

Fajki i kawy dano, zapalono kadzidła, murzyni odpędzali od nas muchy, i odświeżali powietrze potężnymi wachlarzami; pogadan-

ka trwała z kwadrans, spaliśmy z godzinę. Potém znów budzimy się, lody, kawa, fajka. Nareszcie pan Westmoreland rzeknie: „Z nowiną tu przyszedłem, może niebardzo pocieszającą; ale damy sobie radę. Jesteśmy *in corpore*: jeden dla wszystkich, wszyscy dla jednego. Cesarzewicz wysłał do mnie swego kasnadara, i prosił, abym was, moi *sidi tibiby*, nie przedstawiał jutro na urzędowej audyencyi. Co wy na to?”

Doktora Hamiltona niezmiernie ta wieść wzruszyła. „Jakto? mnie, Hamilton-Beja, księżę maurytański wzdraga się przyjąć na solenną audyencyi? i mego towarzysza także?”

— Tak istotnie, i mnie to dziwi, dlatego tu przyszedłem—odpowiódł pan Westmoreland.

Posłaliśmy po pana Simoni. Przyszedł niebawem. Zrazu udawał, że o niczem nie wie i gadać nie chciał. Potém jednak wyznał, że nie było przykładu w historii Maroko, żeby cesarz lub księżę z nim bezpośrednio spokrewniony przyjmował w uroczystych sposobnościach lekarzy, że to zapewne jest przyczyną woli cesarzewicza.

Nie podobała nam się ta odpowiedź. Wysyłamy Moška pokryjomu z listem do kasnadara, przyłączamy doń list rekomendacyjny, napisany przez kadege Tetuanu.

Mosiek wynalazł dobrą sposobność wręczenia listów kasnadarowi, to jest szefowi sztabu wojska cesarskiego, który zarazem był nauczycielem cesarzewicza.

Obiecał odpowiedzieć.

Dlatego jednakże nic nas nie wstrzymywało od czynności. Organizowaliśmy jak tylko było można; wieczorem przed zachodem słońca, wszystkie do przyjęcia zdadne sale napelnione były choremi.

Napisaliśmy nowy raport do cesarzewicza, prosząc o wyznaczenie nowych gmachów lub domów stosownie położonych, zarazem o przysłanie większej liczby uczniów medycyny na infirmierów zdolnych, o uposażenie szpitala regularnemi dochodami, a szczególniej żywnością, i o sprowadzenie z Gibraltaru lekarstw, których podaliśmy listę.

Ani jednego nie chcieliśmy przyjąć chorego do sal, które nam się zdawały być niestosownemi. Nieugięci byliśmy w naszym postanowieniu: woleliśmy pomieścić kilku w mieszkaniu dla nas przeznaczonem, ale żadnym sposobem odpowiadać nie chcieliśmy za chorych, nieużywających pierwszego warunku zdrowia, to jest dobrego a spokojnego powietrza.

Ztąd już wynikły pewne nieporozumienia pomiędzy nami a cesarskimi oficerami; aleśmy mniej dbali o łaski, jak o rezultat jasny i widoczny naszych starań.

Wieczorem, gdy już słońce zaszło, i gdy już w *wspólnym* ogrodzie używaliśmy chłodu, Mosiek wpadł do nas i oznajmił nam w sekrecie, że kaznadar cesarski kazał się wnieść *in cognito* do wielkiej sali.

Byłto pan nadzwyczajnie dostojny i łączący z rzadką pięknoscią, wielką gładkość w obejściu się i w manierach. Usiadł i przyjął kawę i fajkę, i zapewniwszy się, że nikogo nie było w sali, tak zaczął mówić po hiszpańsku:

— Zięć mój, który zarazem jest moim wujem i teściem, i od wielu wieków powinowatym méj rodziny, a co więcej mym bratem w duchu i wierze, polecił mi panów w wyrazach bardzo serdecznych, mówiąc, że sto lat przeżył z panami w kilku godzinach, że się z wami modlił razem do jednego Boga.

— Istotnie—odpowiódł dr Hamilton—kady Tetuanu bardzo był dla nas łaskawym, przypuścił nas do zaszczytu kosztowania z nim pokoju i szczęścia w swym seraju, i polecił nam twój dostojności, chociaż nie śmieliśmy nawet prosić o tę łaskę.

— Poznał, że jesteście dobremi, Boga w sercu waszém noszącymi ludźmi. Ja was tedy winienem obeznać z prawdziwym stanem rzeczy, żebyście się nie błakali jak w labiryncie, i nie winili dobrych za złych. Macie wielkiego i z każdą chwilą będziecie mieli większego przyjaciela w świetnym księciu, który, gdy Allah dozwoli, rządzić będzie kiedyś tém państwem; macie także wielu przyjaciół pomiędzy ludźmi postępowemi, dobrze myślącemi, którzy wiedzą, że żadne pieniądze w świecie nie są w stanie opłacić waszego poświęcenia się dla dobra ludzkości, dla dobra kraju, nieznanego wam dotąd; ale na nieszczęście macie już i nieprzyjaciół bardzo potężnych w naszym kraju, chociaż jeszcze nikomu krzywdy nie wyrządziliście. Santon cesarski, ten sam, co was nakłonił do odwiedzenia kraju naszego, szczególném a nieprzewidzianém zrządzeniem losu, stał się waszym wrogiem. Owa krwawa awantura na okręcie angielskim, wszystkiego złego była powodem. Santon wielką ma przewagę na dworze cesarskim w Mequinezie; tam was opisał jako nieprzyjaciół zaciętych islamizmu i oburzył przeciw wam umysł cesarza i umysły wszystkich fanatycznych starowierców, którzy w swych działaniach więcej się powodują zemstą i nienawiścią, jak dobrocią i ludzkością. Właśni moi synowie Mahomet-Mirza i Zelim-Mirza

do téjże partyi należą; matka ich bowiem córką jest nieboszczyka brata cesarza Muley-Ismaila, i jako księżęta pół krwi, synowie moi wychowanemi zostali w seraju cesarskim, i napojeni zasadami starowierców. Ja inną już oddawna obrałem drogę, zwiedziłem bowiem świat, i przekonałem się, że nienawiść i zemsta, żeby i naj-słuszniejsze, nie prowadzą do szczęścia i bytu, i szkodzą człowiekowi, tak, jak i najmniejszemu robaczkowi.

W pomoc téż przyszła intrygom santona Jussufa zazdrość tutejszych lekarzy; a to, pozał się Boże są z nader małym wyjątkiem albo ludzie nizcy, nieumiejący ocenić świętości powołania lekarskiego, albo téż nieudolni, lub poprostu beczelni oszukańcy bez sumienia i najmniejszej wartości.

— Ależ przecie posiadacie i szkołę lekarską i komitet jakiś medyczny czuwający nad działaniami lekarzy, przyjętych w poczet takich i patentem obdarzonemi—zapyta Hamilton.

— Ah Allah! bismillah! o wielki Boże! coto jest ta nasza szkoła lekarska! To zakład prywatny, niecieszący się ani podporą rządu, ani téż współczuciem prywatnych. Nauczyciele zyskali dworskie posady, lub téż pozwolenie praktyki lub handlu, oświadczeniem, że uczyć będą tego lub owego przedmiotu za darmo, a uczniowie uwalniają się od służby czynnej wojskowej tém, że się nibyto uczą sztuki lekarskiej. Komitet lekarski zaś składa się po wielkiej części z ludzi nieznających ani sztuki lekarskiej, ani jój celu. Naczelnikiem jego został murzyn Abu-Zelim dawny podoficer gwardyi, za to, że raz nieboszczykowi Muley-Ismailowi, dowodzącemu głównie wojskiem sultana, ząb wyrwał obcęgami ślusarskiemi; zastępuje go uczony Abdala-Schelem-Hadzi, wiedzący doskonale co umiał Rhazes i Awicenna z medycyny, ale tak nieszczęśliwy w jój zastosowaniu, że gdy się dotknie chorego, tam zaraz trzeba posyłać po mustego i po grabarza; każdego bowiem o zakład zabije, tak zręcznie jak szaisza cesarski. W wydziale chirurgicznym zastępuje murzyna Abu-Bekira stary Sidi-Ganibert, francuzki renegat, dawny cyrulik serajowy i aga rzezańców, uważany za wielkiego chirurga dlatego, że doskonale strzyże, goli i że w wieku męzkim zniósł dwie operacye chirurgiczne bardzo bolesne, które sam namiętnie lubi wykonywać na biędnych murzynach do służby serajowej przeznaczonych. Tak widzicie zacni przyjaciele, że nasz komitet medyczny nie może się powodować bardzo zacnemi zasadami; żyje on z kubanów dawanych za examina i patenta, a dumnym jest bardzo z swych przywilejów. Już u was w Europie mówią, że nie w świecie nie przechodzi zazdrości lekarzy, że

jeden drugiemu żałuje kęsa chleba; tutaj u nas jeden drugiemu zazdrości paznoccia u palców i białka w oku. Tak tedy dzięki intrygom santona i partyi fanatycznej, zawistném okiem patrzącój na wszystkie wkraczania oświaty europejskiej, dzięki zazdrości tutejszych lekarzy, professorów i radców lekarskich, sam cesarzewicz, uważany przez własnego ojca za niebezpiecznego reformistę, związane ręce i z wielką tylko ostrożnością musi wam objawiać swą wdzięczność za wasze usługi, wyświadczone z tak dobrém sercem i z tak zastanawiającą gorliwością. Wié bowiem nasz świetny książę, coście już dzisiaj dokonali, i niebawem, zapewne już jutro rano zwiedzi wasz szpital; naturalnie, że *incognito*, tak jak i ja do was przybyłem. Przy uroczystości przyjęcia podarunków Alberta Mirzy przyjąć was nie może; zwróciłoby to na się oczy wszystkich zagorzałych starowierców, hydra zawiści podniosłoby na was wszystkie swe głowy, a i dobremu księciu zagroziłoby mogła. Co wy na to, o dobrzy i rozumni przyjaciele? Chcecie, abym wam wykonał przysięgę, że wszystko tak jest, jak wam powiedziałem?

Dr. Hamilton z charakteru bardzo dumny uznał przecież słuszność powodów skłaniających syna cesarskiego do skromności w swych objawieniach życzliwości, i poprzestał na tém co słyszał, zaręczając, że w zupełności wierzy słowom kaznadara i że zrzekając się wszystkich dla niego dość mało znaczących honorów, wymagać będzie jedynie tego, co dla dobra chorych uważa za niezbędne.

— Wszystko, co zażądacie w tym względzie, będzie na wasze usługi. Już na tęgim mehari wyexpedyowano gońca do Tangieru; za tydzień najdalej przybędą tu lekarstwa z Gibraltaru. Dobrze nawet robicie nie odstępując ani na włos od tego, co wam się zdaje być dla dobra chorych konieczném. Na wasze zaś jest usługi wszystko, co nasza ziemia wydaje najpiękniejszego w każdym względzie, jak o tém już musicie wiedzieć. Czy pobyt w tym domu jest wam przyjemny, czy usługa dobra?

Na te pytania odpowiedzieliśmy poważnie skinieniem głowy.

— Jutro przy uroczystości oddania cesarzewiczowi podarunków Alberta Mirzy, wielkie będą parady i uroczystości—rzecze dalej kaznadar.—Panowie zapewne zechcą assistować w orszaku Europejczyków?

Dr. Hamilton odpowiedział, że jakkolwiek ciekawy widzieć z jaką pompą wystąpi świetny książę, uważa jednakże, że ubliżyłby swój godności assistując *incognito* przy tak uroczystej sposobności.

Kaznadar usiłował wszelkimi argumentami zwalczyć uprzedzenie doktora, ale tego dokazać nie mógł żadnym sposobem. Nareszcie prosił, abyśmy mu wyświadczyli zaszczyt odwiedzenia go w swym pałacu po przyjacielsku, jak się odwiedza dobrego sąsiada.

— Chętnie bardzo odpowiemy na te szczerze zaprosiny, ale jedno jeszcze pytanie, potężny i czcigodny panie—rzekł dr. Hamilton. Powiedz nam, do jakiego stopnia można zaufać panu Simoni? jego postępowanie względem nas dość jest zagadkowym.

— Zacharia Simoni pozostaje pomiędzy nami od lat dwudziestu kilku, synów ma kilkunastu w wojsku naszym, a jeszcze go nie znamy. Zawsze był i pozostał dla nas zagadkowym człowiekiem, tak jak wszyscy renegaci, którzy zakosztowawszy cywilizacji europejskiej, pędzeni burzą losu lub uciekając przed karą do nas przybyli i wyrzekli się religii dla nadziei zdobycia dóbr doczesnych. Simoni w dość wielkiem jest u księcia poszanowaniu: winien to taktowi swemu i wiadomościom rozlicznym i niepoślednim; jednakże co do zasad, fanatycznym jest wyznawcą starego, surowego islamizmu, a co więcęć jeszcze zastanawia, zaciętym wrogiem Europejczyków. Prawda, że prawie wszyscy renegaci i odszczepieńcy wpadają w brzydką ostateczność wyrzekania się dotychczasowych sympatyj z wielką, teatralną nawet gorliwością; ale u Simoniego jeszcze coś innego musi być powodem téj skrytej a niepohamowanej zemsty przeciw Europejczykom: zapewneto będzie pamięć doznanych lub zadanych krzywd, ciężąca na sercu lub na sumieniu tego renegata. Pan Simoni ciągle usiłuje wzbudzić w księciu naszym, który jest łagodnego charakteru, nienawiść przeciw chrześcianom, i aby lepiej dopiąć swego celu, łudzi go nadzieją wielkich zwycięstw łatwych do odniesienia na Francuzach. Na nieszczęście cesarzewicz nasz poczuwać się zaczyna do bohaterstwa, chociaż wcale na wojownika nie jest zrodzonym, bo nerwy ma bardzo słabe i w ogólności nie jest wytrzymałym na znoje i niewygody. Ja uważam poprostu pana Simoni za tajnego agenta emira Abd-el-Kadera, przekupionego umyślnie na to, żeby pobudzał księcia do wojny z Francuzami, i przewiduję najgorsze z tego skutki.

To mówił kaznadar cesarski, i wypadki późniejsze dowiodły, że go nie myliły przeczucia.

Wyznaczono nam nazajutrz rano nowe koszary i 12 domków na przyjęcie nowych chorych. Liczba ich doszła do 450. Parady w dniu tym odbywały się z wielką świetnością. Działa grzmiały ze wszystkich baszt naokoło miasta i naokoło grodu cesarskiego w którym mieszkaliśmy, grzmiała artylerya pozycyjna i polowa

marokańska; grzmiały armaty przyprowadzone przez Anglików i działko na pięknej łodzi parowej „Muley-Abderhamman”, darowanej cesarzewiczowi.

Różne i malownicze były stroje wojska defilującego pod naszymi oknami. Syn cesarski otoczony gwardyą przyboczną maurytańską, z samej szlachty złożoną, jechał na koniu bieluteńkim jak mleko w ubiorze purpurowym, wysadzany tak rześcisto dyamentami, że patrzeć nie można było na niego bez doznania boleści w oczach. Był to mężczyzna już 30 lat przeszło mający, z przyjemną, łagodną, ale dość śniadawą, prawie mulacką twarzą. Rysami charakterystycznymi lub też wyrazistością twarz ta nie odznaczała się wcale; mało w niej było dumy, mało także bystrości, a jednak szlachetnym było to oblicze może dlatego właśnie, że nie wyrażało dumy i udanej bystrości.

Sidi-Zelim-Szeryf nosił na swój twarzy i w swój osobie ślady kilku narodowości: istotnie krew arabska, etyopska i europejska w jego żyłach płynęła. Pradziadek jego jeszcze był czystym Arabem. Dziadek był synem Araba i mulatki maurytańsko-etyopskiej, sławnej z piękności i nieszczęść. Ojciec był dzieckiem splodzonym z tego małżeństwa i noszącym na sobie wyraźne cechy etyopskiej rasy: twarz miał bardzo śniadą, czarniawo, a nie bronzowo-śniadą, czarny, kędzierzawy, prawie welniany miał zarost. Następca tronu syn takiego ojca i matki Europejki, jasnego włosa, zarost miał czerwony, ale starannie na czarno farbowany; powieki jednakże na brzegach czarniawe, rzęsy długie, jasne, a oczy jasne i wielkie, pełne łagodności; cerę jednakże dosyć śniadą.

Sławny z waleczności i rozumu Ali-ben-Taib-El-Genauj jechał na czele wojowników z plemienia Ulałów i Bokharis; El-Kebibi-Kaid potężnego plemienia Alof-Audumów maszerował piechotą na czele nowo zorganizowanego hufcu piechoty regularnej marokańskiej. Broń u niej dobra, angielska widać, bo już pistonowemi zamkami opatrzona, ubiór także jednostajny, różniący się kolorem batalionów; widać, że znane im szyki wojska europejskiego.

Sidi-el-Mamuba-ben-szerif z rodu cesarskiego, nominalny dowódca armii marokańskiej, ten sam, który później 30 maja 1844 roku zabitym został przez generała Lamoricière pod Uszdą, postępował na czele kawaleryi liniowej i gwardyi Udajów, tojest murzynów. Pięknyto hufiec, zazdrość mogący wzbudzić w każdym narodzie wojowniczym.

Daléj postępował oddział artyleryi polowój cesarza marokańskiego: dwie półbaterye po 8 dział sześćcio-funtowych. Materiał, konie, zaprzęgi i ludzie, niezły przedstawiały widok; kolor ciemnoczerwony mundurów doskonale był zastosowanym do czarnego koloru cery artylerzystów, złożonych z samych murzynów. W téj bronii nawet i oficerowie byli murzynami. Potępione rasy lub kasty, wszędzie odzyskują swą wziętość, gdzie potrzeba rozumu. I tak przed niedawnemi czasy w wojsku pruskiém mieszczanin nie mógł dostąpić stopnia oficerskiego, chyba w artyleryi. I cóż z tego wynikło? Oto, że najlepsze głowy znalazły się razu pewnego nagromadzone w najuczestniejszej bronii, a uważanej za najniższą. I w ewolucjach nawet artylerya marokańska nie stała daleko poza niektórymi europejskimi. Działa wbiegały szybko na pozycye, odprzodkowywano je, nabijano z ręcznie, ale celowano niemi źle i trafiano jeszcze gorzej; gorzej daleko jak z dwufuntowych działek umieszczonych na grzbiecie wielbłądów. Dlatego téż ksiązę Albert dobry przyjaciel następcy tronu marokańskiego, posłał mu armaty wraz z artylerzystami, aby nauczyć Marokańczyków dobrze mierzyć i strzelać, i wzniecić w młodym księciu chęć do boju z dobrymi sąsiadami Albionu.

Na wszystkie parady i ewolucye lądowe i morskie patrzyliśmy z miradoru wzniesionego na dachu pałacyku naszego. Siedzieliśmy *incognito* nie w mundurach, tylko w wygodnym stroju maurytańskim: w lekkim zawoju i czepcu muślinowym, okrywającym twarz prawie całą, w szerokich dziabbadorach i w lekkiej długiej szubie. A siedzieliśmy na poduszkach z skrzyżowanemi nogami, paląc nargile, najczęściej zatopieni w myślach i milczący, czasem tylko wywracając oczyma jak natchnieni, jeszcze rzadziej udzielając sobie myśli naszych słowami, dobrze naprzd przemyślanemi.

Tak mimowolnie przyjmować zaczęliśmy zwyczaje i giesta nawet naszych gospodarzy Maurów. Widać, że apatia najlepiej się stosuje do przyrody kraju tak gorącego, i zresztą mniej szkodzi w tym klimacie jak w innym.

XVI.

Maroko. Powrót do Mogadoru i do Europy.

Bawimy już od 10 dni w Maroko. Czas schodzi prędko, chociaż na jednostajném zatrudnieniu w szpitalu. Bóg-błogosławi naszym pracom: wielka ilość chorych, trudnych jak się zdawało do

uratowania, odzyskała zmysł drogi widoku na jedno, nawet na oba oczy. Ze świeżo zapadłych, ledwo jeden na 25 traci oko. Pomimo tego mało nas wzywają do prywatnych chorych, tylko do wysokich panów, gdzie praktyka bardzo niewygodna. W mieście trwa jeszcze przesąd przeciw chrześcijańskim doktorom, wzywającym czarta na pomoc, jak się dali słyszeć nasi dobrzy marokańscy koledzy, renegaci, czy Maurowie.

Następca tronu już kilka razy odwiedził szpital. Chwalił nas, oświadczeniami i grzecznościami obsypywał, podarunkami nawet obdarzał, niewiele wprawdzie wartującemi, aleśmy koniowi nie zagląдали w zęby i ciągle pracowali.

Epidemia ustawać zaczęła. Rozeszło się w mieście, że to w skutek modłów, które imany, mustowie, muezziny i fakiry ślali ku niebu. Z kaznadarem jesteśmy ciągle w stycznościach szczerych i tajemnych, z panem Simoni zaś w stosunkach jawnych a nieszczerych.

Naczelnik komitetu medycznego żądał, abysmy go odwiedzili. Odpowiedzieliśmy dostojnemu mulatowi, że czasu nie mamy, że dobrze będzie przyjętym, jeżeli nas raczy uczcić swą wizytą. Pan prezes nie przyszedł.

Wypędziliśmy ze szpitalów wszystkich tak nazwanych uczniów szkoły lekarskiej wojskowej, bo do niczego nie byli zdolnemi; przekonaliśmy się nawet, że nam robią na przekor, i że niejednego niepowodzenia stali się umyślnemi przyczynami. Widocznie w zмовie byli z panami radcami i lekarzami miejskiemi.

Należało zastąpić tych panów uczniów tak nazwanej szkoły lekarskiej innemi, na chirurgów pomocniczych i na infirmerów zdolnemi ludźmi. Nie brakło takich w Maroko. Murzyni i żydzi służący tam w licznych zakładach łaźniennych, zręczniejszemi się okazali, ochotniejszemi i zdatniejszemi od wszystkich Maurów i renegatów marokańskich. Łatwo ich było nauczyć puszczenia krwi, stawiania baniek i pijawek, i innych manipulacyj niższej chirurgii. Kilkunastu z tych murzynów wyszło nawet na bardzo zręcznych wojskowych felczerów, podczas naszego krótkiego pobytu w Maroko. Pan Simoni i kilku z młodych lekarzy uznali przecieź, że można się było czegoś nauczyć w naszej praktyce i nie opuszczali żadnej sposobności przypatrywania się naszym działaniom podczas godzin wizytowych. Prócz tych godzin, każdemu do szpitala nienależącemu, czy lekarzowi, czy oficerowi, żeby najdostojniejszemu wstęp był wzbroniony,

infirmierom zaś pod żadnym pozorem niewolno było oddalać się z niego. Porządku pilnowała warta cesarska i janczarowie do naszej służby przeznaczeni.

My pilnowaliśmy szpitala, a nas z drugiej strony pilnowała warta cesarska. Spostrzegliśmy wkrótce, że wszystkie nasze kroki są śledzone, że żadne z naszych działań nie uchodzą oka gospodarzy: we wszystkich wycieczkach do miasta i do okolic towarzyszyła nam warta, niabyto dla honoru. Często wstępowaliśmy do dzielnicy żydowskiej, opasanej osobnym murem, w samym mieście na końcu zachodnim, w miejscu, gdzie rzeka Tenesif przebiegająca całe miasto, wychodzi pod pokrytym mostem, dobrze kratami i działami opatrzonym z miasta Maroko. Zakupywaliśmy różne towary w tej dzielnicy u żydów, z którymi, chociaż lubią oszukiwać, zawsze łatwiejsza sprawa, jak z Maurami, również chciwymi jak żydzi, a więcej wymagającymi, po największej części bardzo złośliwymi i zawsze na chrześcian rozjątrzonemi.

Proszono nas, abyśmy nigdy nie puszczali się inaczéj do miasta, jak w lektykach dobrze zasłoniętych; utrzymywano, że spotkać nas może jaka niegrzeczność ze strony Maurów, jeśli téj ostrożności zaniedbamy. Zmieniano nam nawet lektyki co trzeci lub czwarty dzień, dla usunięcia wszelkiej obawy. Warta nam tedy towarzyszyła, nie janczary, lecz gwardya cesarska komenderowana przez staro-go oficera, który stale u nas przebywał i z oka nie spuszczał *tibibów*.

Oficer wchodził z nami do sklepów i tam usiadłszy ze skrzyżowanymi nogami na kantorze, nic nie mówił, ale na wszystkie nasze ruchy i mowy pilną zwracał uwagę. W wycieczkach konnych za miasto, także nam towarzyszył nasz Argus. Jedném słowem, byliśmy w Maroko gośćmi bardzo pilnie strzeżonemi.

Mosiek zapoznał nas z kilkoma żydami bardzo majątnemi. Udało nam się parę razy oszukać baczność naszego baszy i odwiedzi-liśmy tych żydów w ich mieszkaniach. Wielki i zupełnie niespodziewany u nich znaleźliśmy przepych: najpiękniejsze kobierce i jedwabne ciężkie materye, złote kandelabry zdobiły ściany, sufit i podłogę; kobiety bogato, lecz niekoniecznie gustownie ubrane, witały nas z wielką serdecznością, dziękując za wyświadczony im zaszczyt. Wiele było prawdziwie pięknych pomiędzy temi kobietami: typ takiż jak i u nas, charakter twarzy zawsze ten sam, chociaż marokańscy żydzi utrzymują, że pochodzą z pokolenia Levi, i że tak wielka pomiędzy nimi a innemi żydami zachodzi różnica, jak pomiędzy niebem

a ziemią, lub też koniem a osłem. Bardzo też są dumni ze swego szlactwa, i za nic w świecie nie chcą się mieszać związkami małżeńskimi z żydami, których tu nieraz burze losu, lub szacherka z dalekich stron zawieje.

Pomimo tego nie masz pomiędzy żydami maurytańskimi uczonych żydów, jak pomiędzy naszymi. Belfery ich wykładają stary testament i talmud w arabskim tłumaczeniu; bardzo rzadko trafi się tutaj żyd umiejący po hebrajsku, a taki jest uważany za nadzwyczajnie uczonego.

Tylko wewnątrz domów żydzi ubierają się czysto; na ulicach wszyscy chodzą prawie w łachmanach brudnych i ciemnego koloru, a to aby ujść chciwości Maurów, pozwalających sobie wielkich względem nich nadużyć.

Raz bawiąc u jednego żyda, który dużo po świecie podróżował, dowiedziałem się, że się znajduje nieopodal w karawanseraju żydowskim Izraelita jakiś bardzo biedny, a urodzony w Polsce.

Zelektryzowała mnie ta nowina. Tu u podnoża Atlasu znaleźć rodaka, choćby tylko w biednym żydku, to przecież wielka rozkosz. Posłałem mego Mośka na odszukanie tego żyda i dodałem mu janczara do eskorty. Przyprawiają mi biednego, ze strachu truchlejącego żydka; mógł mieć około lat dwudziestu sześciu, ale okropnie był wynędzniały i obdarty, przytém na jedno oko nie widział.

— Żydku, mówisz ty po polsku? — przemówiłem do biedaka. On już i tak struchlały zaczął się trząść na całym ciele, otworzył usta i przemówić nie mógł ani słowa. Widziałem jednakże, że mnie rozumie, i dodałem: — nie bój się biedaku, ja ci nic złego nie zrobię: ja twój przyjaciel, *rodak*.

Teraz dopiero żydek odzyskał zmysły, przyskoczył do mnie, do nóg mi upadł i znów skoczył na nogi i całować mnie zaczął po rękach; nawet do twarzy mi się dobrał z rzewnością, o jakiej nikt sobie nie zdoła zrobić wyobrażenia. Krzyczał jak opętany: „ja z Polski, ja z Brodziech, był tam jegimomość? Aj waj! issydues! ja syn starego Szmulu. Aj waj mir! on już nie żyje! zabili go te hultaje jak wracał z Tafiletu z proszkiem złotym, z jedwabiem, z kością słoniową, perfumami Arabii i innemi drogimi towarami.”

I nuż znowu biedny żyd płakać, szlochać i wyrywać sobie brodę. Nareszcie się przecież uspokoił i mógł opowiedzieć historią swego życia i swych nader ciekawych wędrówek. Ojciec Icka Szlamy był kuśnierzem i handlarzem futer w Brodach, i dobrze mu się

bardzo wiodło: dzieci miał przeszło mendel. Wtém wybuchu w Brodach cholera: z samój rodziny Icka umiera ośm osób. Stary Szmul Szlama przymuszony pokutować na worku popiołu przez ośm tygodni, bo taki zwyczaj u prawowiernych żydów, zasmakował podczas pokuty w czytaniu ksiązek religijnych, a szczególnie w talmudzie. Książki te i medytacye tyle dokazały, że Szmul oddał się całkiem religii, że handel swój i skład wyprzedał, i z całą pozostałą mu familią, a było tego jeszcze sporo, bo i żona i siedmioro dzieci, do Jerozolimy pociągnął. I tu w Jerozolimie także Szmul zamiast pracować i szachrować, książkom się jedynie, modłom i medytacyom oddawał, aż się wkradła do familii bięda okropna. Ocknął się wówczas Szmul, i chociaż już niemłody, zakupił za resztę swego majątku towarów i poszedł w świat, naprzód do Beirut, obiecując, że wróci za półtora roku z pięknym majątkiem. A znał się na handlu doskonale stary Szmul: wiedział co gdzie tanie i co gdzie poszukiwane. Poszedł w świat i dał znać o sobie z Beyrutu, potem z Alexandryi, z Kairu i z Tripolis, a potem już nie pisał i Bóg wie co się z nim stało, bo rok jeden i drugi minął, a listów nie było, ani wiadomości. Wówczas rodzina Szmula doszła do najwyższego szczebla nędzy, a litości mało jest pomiędzy żydami w Jerozolimie; daleko jój więcój w Polsce. I Szmulowa powiedziała do swych dwóch synów starszych: idźcie i odszukajcie ślad ojca. Icek i Boruch Szlama dostali się naprzód do Tripolis; tam im powiedzieli żydzi, że Szmul tu był, sprzedał jedne towary z korzyścią, zakupił drugie bardzo tanio i pociągnął do Tunis. Icek i Boruch Szlama poszli do Tunis i tam im powiedzieli żydkowie, którzy się za ręce trzymają, że Szmul Szlama przewany mądry sprzedał i kupił towary z wielkim zyskiem i bez najmniejszej straty, i poszedł do Algieru, a z Algieru poszedł do Bony, a ztamtąd do Tangieru, a z Tangieru do Mekinez, a ztąd do Maroko, a z Maroko do Tafiletu, i wszędzie mu szło dobrze. Synowie Szmula poszli za nim w trop. Ale w podróży z Maroko do Tafiletu, w tak nazwanych Mamman-Saharach, *simuhu* wiał tak okropnie i tak zabójczym żarem piekło słońce, że wszystkie wody wyschły w butelkach i nawet w żołądkach wielbłądzych. Znaczna część karawany wymarła w najokropniejszych męczarniach, a pomiędzy temi był Boruch Szlama, i znaczna część rozchorowała się na różne choroby, a szczególnie na zapalenie ócz. Icek Szlama stracił oko nim jeszcze przybył do Tafiletu, ale choć chory, zboleły i zmartwiony po stracie brata, zaraz pytał o ojca i dowiedział się, że mądry żyd z Jerozolimy był tutaj z towarem, i sprzedał go dobrze,

zakupił inny i wrócił z Tafiletu do Maroko jeszcze przed rokiem; że spieszno mu było bardzo, i że nie czekał zebrania wielkiej karawany, tylko z małą się puścił. Miał już wtenczas cztery wielbłądy, noszące najprzedniejsze towary Indu, Arabii i puszczy, ogromne paki napelnione piaskiem złotym, aromatami, jedwabnemi materjami, skórami, strusiami piórami, koszenillą, gummą i kością słoniową.

Biédny Icek przeczuł całą okropność prawdy, przeczuł, że ojciec jego musiał zginąć w téj podróży. I w wielką wpadł rozpacz i włosy sobie wyrывał i suknie darł na sobie i krzykami swemi rozdzierał powietrze. Tu żył od kilku tygodni w karawanseraju zebrząc kawałka chleba i nie wiedząc co ma robić, kiedy przybył do niego jakiś człowiek z jasną brodą, a w sukniach maurytańskiego kupca i zaczął do niego mówić po arabsku. Icek mało znał ten język. Wówczas nieznajomy zaczął mówić po hebrajsku; Icek zdziwiony opowiedział mu po hebrajsku całą swą historyą. A nieznajomy przemówił do niego po polsku. Icek jeszcze więcej zdziwiony rzucił się nieznajomemu do nóg i błagał go o pomoc i o radę; a ten dobry nieznajomy dał mu pieniędzy i powiedział, że się sam dowiędzie z kim Szmul Szlama ruszył w podróż, i czy kto wrócił z téj karawany do Tafiletu. Nikt nie wrócił z niéj niestety; nikt nie mógł powiedzieć, czy karawanę pochłonał *simuhu*, lub téż, czy się stała ofiarą berberskich rabusiów. Nieznajomy często przychodził do Icka i radził mu wrócić do Maroko, pytać się wszędzie po drodze o wiadomości i prosić syna cesarskiego o pomoc w razie, gdyby stary Szmul miał być zabitym, lub uprowadzonym przez Berberów. Oprócz tego dał mu list do jakiegoś kupca w Maroko.

— A któż był ten nieznajomy?

— To był zapewne missyonarz katolicki, rodem z jakiegoś kraju, w którym mówią po polsku—odpowiéd Icek.

— Zkądże to wnosisz?

— Bo on i mnie chciał nawracać na chrześcianina, ale ja tak byłem skolatany, że ani słuchał tego, co on mi mówił. On tylko udawał, że był kupcem, ale nim nie był w istocie, bo o zysk nie dbał wcale. I na sztuce leczenia znał się także i niejednego wyleczył. Ale zawsze mówił o Bogu, i krzyż nosił na samém sercu wypiętnowany. Arabowie bardzo go czcili, kilku z nich nigdy go nie odstępowało i zwali go *talibem*, a imię miał Sidi Andra Emkadem, to znaczy po polsku: ojciec Andrzej.

— I cóż się z nim stało?

— Wybierał się w bardzo daleką podróż, aż do Tombuctu, za wielką puszcza Sahary. Ja zaś poszedłem za jego radą i niewiele dbając o życie puściłem się napowrót do Maroko, zasięgając wszędzie wiadomości o mym ojcu. Na nieszczęście dowiedziałem się całej okropnej prawdy. Na połowie drogi ztąd do Tafiletu, o 16 dni podróży z jednego i drugiego miejsca, dzicy Berberzy z El-Harib napaśli na karawanę i wymordowawszy wszystkich kupców, uprowadzili z sobą wszystkie wielbłądy i kilku furmanów wielbłądzich. Z ciężkiem od żalu sercem wracam do Maroko i list Sidi Andra Emkadema oddaję kupcowi; ten mi wyrabia posłuchanie u syna cesarskiego, który jest dobrym i sprawiedliwym panem, i raz w tydzień sędzi sprawy wszystkich biednych. I mnie wysłuchał cierpliwie i dał mi 10 cekinów złotych prosząc, abym miał cierpliwość, że może z pomocą Boga można będzie wysledzić sprawców zbrodni, skarać ich przykładnie i odebrać im choć część majątku ojca mego. Sekretarz dobrego księcia spisał najdokładniej całą mą skargę, i wiem, że wyprawiono listy do baszów; ale już czekam cztery miesiące i jeszcze mnie nie powołano do następcy tronu: może już cała sprawa zapomniana.

— A jak się nazywa kupiec, do którego ci dał list Sidi Andra Emkadem?

— Nazywa się Abu-Bekir-em-Amor i mieszka w Kaissaryi na lewo od wnijscia, handluje pargaminem, papierem i starymi książkami, i także zna się na lekach, ziołach i kamieniach. Każdy w Kaissaryi zna Abu-Bekim-em-Amora.

Dałem Ickowi kilka cekinów i obiecałem wstawić się za nim do następcy tronu, przez Ali-Solima baszę, kaznadara, zawsze pełnego dla nas dobroci.

Nie tracąc ani chwili czasu kazałem się zanieść do Kaissaryi, to jest do głównego karawanseraju, dla wyszukania Abu-Bekira-em-Amora.

Wszyscy znali go tu doskonale. Siedział sędziwy Abu-Bekir w małym sklepiku za stołem papierów i ksiąg, otoczony butelkami i fiaskami, puszkami i szkatułeczkami różnej wielkości i rozmaitych kolorów. Brodę miał czarną, świecąca po pas, i zarostu tyle na bladej twarzy, że mało co jęj wyzierało; na oczach bystrych błyszczały okulary, na głowie już łysiej zawój nosił czysty, zresztą jednakże prawie brudno był ubrany.

Pod pozorem kupienia książek wdałem się w rozmowę, i korzystając z pierwszej sposobnej chwili opowiedziałem sędziwemu księgarzowi kto jestem, i że tu znalazł rodaka w żydku, który przywiózł

kupcowi list z Tafiletu od osoby, która zapewne także jest mym rodakiem.

Śledzycym wzrokiem wpatrywał się we mnie Abu-Bekir, nareszcie rzekł do mnie po włosku:

— Jakto? pan nie jesteś Anglikiem i dla dogodzenia swój ciekawości podróżujesz pod protekcyą tego narodu, który prawdziwój wiary najzaciętszym jest wrogiem?

Aha! pomyślałem sobie, to niezawodnie ksiądz katolicki, a odpowiedziałem:

— Nie uważam Anglików za nieprzyjaciół ludzi, ani téż chryścyanizmu.

— A tak jest w istocie, panie doktorze. Ludzkość, religia, chryścyanizm, wszystko to u Anglika jest tylko narzędziem do zdobycia materji, a nie celem, nie głównym przedmiotem. Wierz mi pan, że tak jest. Wypadki wkrótce okażą słuszość mego twierdzenia. Kto jest największym nieprzyjacielem Francyi?—oto Anglia, a Francya jakkolwiek dziś nizko stoi, nie przestała jeszcze być mieczem i tarczą przedziwnój i jedynój wiary.

Te słowa przekonały mnie, że mój Abu-Bekir-em-Amor był zaciętym Jezuitą, i nie myliłem się wcale.

— Wielebny ojcze, widzę bowiem, że jesteś kapłanem: wielebny ojcze!—odpowiedziałem—i Francuzi hołdują Mammonowi i Baalowi, może jeszcze serdeczniej od Anglików. Najlepszych swych przyjaciół opuszczają gdy trwoga, a może i rękę na nich podniosą, gdy interes chwilowy przemoże. Ale mniejsza o Anglików i Francuzów, mnie tu do ciebie wielebny ojcze sprowadziło co innego, ważniejszego. Dowiedziałem się, że mam ziomka sz w Tafilecie: co mogło zarzucić tak daleko syna téj samój co i ja ziemi?

— Nic go tam nie zarzuciło—odpowiē Abu-Bekir-em-Amor—zaprowadziła go tam gorliwość o dobro jedynój ojczyzny godnój chrześcianina—gorliwość o dobro naszego świętego kościoła. Sidi Andra Emkadem jest pośrednikiem pomiędzy mną a braćmi naszymi, pracującymi w winnicy Pańskiēj w Tombuctu; on jest ważnē m ogniwem téj niezmiernój sieci, która otacza kulę ziemską i jest na tym świecie reprezentantem Opatrzności boskiēj. Brat mój zbłądził, że część tajemnicy powierzył niewiernemu żydowi; uniesiony uczuciem miłości do kraju i rodaka, przekroczył przeciw prawu nami rządzącemu; ale mu darować musimy, bo nikt prócz niego nie mógłby dokazać tego, co on dokazuje, nikt się więcēj nie poświęca dla dobra ogółu. On na swym szybkim mehari odbył w dwóch latach pięć

razy podróż z Tafiletu do Tombuctu i napowrót. Tego może jeszcze żaden człowiek nie dokazał. Ale czy wiesz mój synu, coto jest owa puszczca Sahary?

— Wiem, wiem mój ojcie: to piekło na ziemi — odpowiem misyonarzowi.

— Trywialnego użyłeś porównania, ale masz słusność, to piekło! Żaden jeszcze Europejczyk nie zdołał wytrzymać przez godzin sześć kłusu dromedara puszczy; Sidi Andra obdarzony jakąś siłą nadzwyczajną wprost mu od Boga daną, w tydzień jeden staje z Tafiletu w Tombuctu, w siedm dni pędzony uraganem robi przeszło 200 mil geograficznych drogi, i dwa razy tylko staje podczas podróży dla napojenia swego dromedara. Karawany dopiero w pięćdziesiąt dni stają z Tafiletu w Tombuctu, i tam odpoczywają półtrzecia miesiąca. Sidi Andra odpoczywa tylko dni dziesięć. On się poświęcił dla naszej wiary, bo raz zginąć musi w tej okropnej podróży, i zakopany pod piaskiem przepadnie, nie zostawiając na ziemi ani śladu. Ale on tylko w niebie pragnie znaleźć nagrodę i tam ją mieć będzie: my wszyscy o to Boga błagamy.

— Nie wiesz wielebny ojcie, z jakich okolic jest ten rodak, którego umiem ocenić zasługę i poświęcenie?

— Nie wiem ani z kąd jest, ani jak się nazywa swém rodzinném nazwiskiem. Wiem, że jest Słowianinem, i że opuszczając seminarjum misyonarskie w Rzymie, chciał być wysłanym tam, gdzie niebezpieczeństwo i trudy największe. Kościół jest jego ojcem, wiara jego matką, a nadzieja chrześcian jego ojczyzną.

Więcej w tym względzie nie mogłem się dowiedzieć od ojca Amora, tak się bowiem nazywał ów misyonarz, znany tu i uwielbiany powszechnie jako człowiek surowej cnoty, wysokiego rozumu i wielkiej czynnej dobroci. Rząd tutejszy przenikał tajemnicę jego, chociaż była dobrze tajoną, ale ze względu na cnoty misyonarza, patrzył na resztę przez szpary. Tak prawdziwa zasługa wszędzie, nawet i u fanatycznych barbarzyńców znajduje uznanie.

Nie byłem w stanie dowiedzieć się niczego więcej o ojcu Andrzeju. Zapewne już oddawna leży pogrzebany pod gorejącymi piaskami Sahary, i rodzina jego zapewne nie wie, że syn ten naszej ziemi rozkrzewiał wiarę na nięj czerpaną, aż na okropnej puszczy dalekiego nieba.

Może też w sprawozdaniach missyi katolickiej wspomnianém jest gdzie nazwisko ojca Andrzeja? Szkodaby było, żeby tak piękny przykład poświęcenia ztraconym został.

Wróćmy jeszcze do sultańskiego seraju, w którym murzyni uczą się ciągle mustry artyleryjskiej od owych *dragonów angielskich*, którzy tu nibyto dla eskortowania podarunków przybyli, a w Maroko stanawszy, na instruktorów artylerji marokańskiej wyszli. Płacono każdemu po gwinei dziennie, i przytém nie zapomniano przysyłać wszystkim codziennie monę, składającą się z całej menażeryi bydła i drobiu.

W trzecim tygodniu naszego pobytu zaledwie stu pozostało chorych w szpitalu. Lekarze tutejsi obeznali się z właściwym sposobem leczenia oftalmii egipskiej, i potrafili spożytkować zdobyte wiadomości. Najlepij udawały się ciągle irygacye wody letniej na oczy. Łatwo je użyć w szpitalach: nad szeregiem łózek, przeciągaliśmy rynny z trzciny bambusowej, dobrze wyżłobionej, a w części tych rynien, przypadającej nad oczy, kazaliśmy wiercić dwie małe dziurki w odległości dwóch ócz; przez te dziurki dopiero przeciągaliśmy kawałki szpagatu stosownej grubości, które wisiały nad oczami na trzy cale. Z rynien napelnionych najczystsza wodą źródlaną, staczały się krople téj wody na oczy, chłodziły je bardzo przyjemnie, i obmywały z nich ropę. Po płótnie woskowém, należycie podłożoném pod głowę pacjenta, staczała się woda na podłogę marmurową, innéj bowiem nie było w całym mieście. Marmur tu i tani i dobry, i kilka tysięcy ludzi żyje z wydobywania go z Atlasu, i z obrabiania go.

Niesformnym, niechcącym trzymać ócz pod szpagatem, a takich było niemało, przekłuwaliśmy uszy, i za pomocą jedwabnych sznurków przywiązywaliśmy ich za nie do łózka. Często także musieliśmy przywiązywać ręce i nogi naszym pacjentom. Nic nas nie zrażało do osiągnięcia celu.

Nie każdego można było wyleczyć temi prostemi środkami: często należało się uciekać do wypaleń oka kamieniem piekielnym, do innych środków zewnętrznych i wewnętrznych bardzo sprężystych. W ogóle lekarstwa wszystkie, byleby były stosownemi, bardzo skutecznie i prędko działały na tych synów natury, nieprzepsalonych alkoholem, nieprzedziurawionych merkuryuszem.

Nawet i *lepra*, *elefantiasis*, *pellagra*, *psoriasis* i inne choroby skór niezwykle w Europie, ustępowały po użyciu systematyczném środków krew czyszczących, i poty wolne pędzących. Na zwalczenie zapaleń, rzadko uciekaliśmy się do innych środków przeciwzapalnych, jak do saletry i innych obojętnych soli.

Następca tronu zadowolony był z rezultatu naszych działań, często nas odwiedzał w szpitalu, dwa razy nawet przyszedł *in cognito* odwiedzić nas w domu.

Dla Icka uzyskałem sto cekinów konsolacji, i solenną obietnicę, że sprawa jego, której uznawano słuszność, nie pójdzie w zapomnienie. W chwili obecnej nic nie można było dokazać więcej: prawie wszystkie berberyjskie plemiona stały w pogotowiu pod bronią, i domagały się ogłoszenia wojny świętej przeciw Francuzom, którzy przyparli Abd-el-Kadera tuż pod granicą marokańską. Emir umiał przez agentów swych gesto rozsianych wzburzyć umysły wszystkich fanatyków, i rozochocić rabusiów przeciw chrześcianom. Cesarz z natury swój wcale niebitny, nie cierpiał przecież Francuzów, i co więcej, nie śmiał opierać się żądaniom fanatyków; a cesarzewicz chociaż lubił Francuzów i europejską cywilizacyą, nie umiał się oprzeć ochocie zmierzenia się z zapaśnikami tyle zachwalonemi. Wrzały namiętności w kraju tak namiętnym jak marokański; przyjsć musiało wkrótce do wybuchu. Partya umiarkowanych i rozumnych nader była nieliczną w radzie cesarzewicza, nader trwożliwą w radzie cesarza. Spokojni wieśniacy pragnęli pokoju, ale ich własni szeikowie, posiadający po największej części stopnie honorowe wojskowe w armii cesarskiej, uważali za rzecz niestosowną opierać się ogólnemu usposobieniu umysłów, dążącemu do wojny.

Taki był stan rzeczy w początku czwartego tygodnia naszego pobytu w Maroko. Przewidywaliśmy burzę, ale póki garnizon angielski, chociaż tak nieliczny, stał w seraju sułtana, niczego nie lękaliśmy się wcale, dla własnej osoby przynajmniej.

Zrobić wycieczkę daleką w Atlas, to było mém najserdeczniejszém życzeniem w téj chwili; ale rzecz ta była niemożliwa: żaden nawet z Europejczyków tutaj przebywających nie miał odwagi jój dokonać. Tylko najniższe stopy téj świetnej góry były zamieszkałe przez włóścian, wyżej pięły się lasy i bory, pieczary i jaskinie, służące za przytułek Berberom i dzikim zwierzętom. Dalej były skaliste i przepadziste okolice, a nakoniec wieczne śniegi, nigdy całkiem nietopniejące.

Atlas, ten Bóg tajemniczy, ten dźwigacz nieba, nigdy z téj strony i przez nikogo nie został wyzutym z swego panieństwa. Sterczał jak kręgiel przed naszymi oczyma, i urągał się z odwagi ciekawych synów Europy. Tylko na stopy jego można było robić wycieczki, i nieraz w śmiałym pędzie arabskich rumaków dotarliśmy do lasów dziewiczych, opasujących starego Tytana.

Raz, byłoto już w końcu lipca, powołani do szcika Ben-Zoar-Ziodacerów znaleźliśmy się w powabnej i żyznej okolicy na południu Maroko. Dr. Hamilton zatrudniał się rozmową z szejkiem, ja zaś pobiegłem sam jeden ku studni starodawniej, pomiędzy pagórki, przepaści i duary Arabów. Mówili nam, że ta studnia jest zabytkiem Rumów, tojest Rzymian. Byłoto pod wieczór. Słońce chyliło się ku widnokręgowi, który w tém miejscu dość płaszczysty. Stając u studni, zdaleka oznaczonej wysokimi drzewami, otaczającymi ją jak duchy opiekuńcze. Studnia to monumentalna. Wzajem się widać schody prowadzące aż do zwierciadła wody, a schody te opatrzone poręczą tak były wygodne, że nie mógł oprzeć się ochocie zejścia aż na dół. Zadumałem się, siedząc na kamiennych schodach. Aż tu naraz spuszcza się ponad głowy memi koneweczka gliniana, aż do zwierciadła wody. Sam niepostrzeżony patrzę w górę. Boże! coto za anioł czerpie tę wodę? Zaledwie ubrana, bo tylko w jasno-niebieskiej koszulce wełnianej, chyli się dziewica ku głębi, i czerpie wodę wędką, u której na długim sznurze wisiała koneweczka. Na głowie pokrytej czarnymi jak heban włosami, w dwa długie warkocze splecionymi, nosiła czerwoną krymeczkę; oczy miała czarne ukosem wycięte, a twarz jak statua Praxitelesa, nieporównanej piękności, ale brązowa jak spiż, rumieniący się w blasku wschodzącego słońca. Wszystkie ruchy i wszystkie wdzięki téj młodej istoty jaśniały szlachetnością, i czułym językiem przemawiały do serca, zwłaszcza, gdy się młoda Arabka przechyliła przez balustradę studni.

Czerpnęła wodę i w górę windowała konewkę, ale ostrożnie, aby jej nie zbić o żelazne poręcze, albo o same schody. I ja za koneweczką pobiegłem w górę, bo z tym aniołem chciałem się poznać.

Wychodzę tedy ze studni i wołam:—Oh! jutrzeńko dnia mego, oh Zorayo! daj się napić wody.—Ona na głowie trzyma koneweczkę i ucieka, ucieka prędko jak antylopa, i krzyczy: *dżin! dżin!* tojest duch! duch!

— Nie, to nie *dżin*, kochanie, to tylko *rumi* spragniony, który błaga, abys mu udzieliła choć kropelkę z téj wody, bo umiera z pragnienia—rzeknę dalej, błagając.

— *Rumi? rumi?* — odrzekła dziewica, i z ciekawością w tył spojrziała.—Ja *rumia* nigdy nie widziałam: jak wygląda *rumi*?

— Ot tak wygląda! patrz na mnie dziewico: wygląda jak wy wszyscy!

— Chodź więc oh *rumi!* chodź, kiedyś spragniony — rzecze dziewica arabska, i z głowy zdejmując koneweczkę, o łono ją opiera, i brzegi naczyń do mych ust zbliża.

Ja klękam i piję, i długo piję, bom istotnie był spragniony.

— Ale miła dziewico, czémże ci wywdzięczę—rzekłem ocierając brodę.—Patrz, tu na spodzie téj koneweczki musi być coś dla ciebie.—Istotnie na spodzie koneweczki błyszczał piękny nowiuteński cekin złoty.

Ach jaka była radość młodej dziewczyny! ona jeszcze nigdy w swém życiu złota nie posiadała. I tego nie wyda cekina, tylko go przekłuje i we włosach nosić będzie.

Ale trzeba znów napęłnić koneweczkę, bo woda z niéj wypita i wylana. Ileto nieporównanej gracyi w ruchach a piękności w tych bosych nogach, stokroć kształtniejszych od wszystkich utworów dłuta najpiérwszych rzeźbiarzy. Cały raj cudnych uroków!

— Powiedz śliczna dziewico, jak się nazywasz?— rzekłem do méj nowéj przyjaciółki.

— Imię mi Azali—odpowié Arabka.

— A daleko ztąd mieszkasz?

— Oh tuż blisko: patrz w tym duarze, którego chatki pod koronami palm i pomiędzy jaśminami stoją.

— I pozwolili ci pójsć saméj czerpać wodę?— pytam dalej.

— Ja prawie sama pozostałam w tym duarze z małemi dziećmi i starcami. Mężczyzni co broń mogli nosić, lub téż chłopcy co już krzyzcć tego umieją, poszli zrobić obławę na lwa, który nam trzody pustoszy; wszystkie zaś dorosłe kobiety są na weselu w drugim duarze. Ja pozostałam w domu, bo nie mam się w co ubrać: przed tygodniem pożar wybuchnął w naszej chatce i w nim spłonął cały mój ubiór świąteczny. Sama jedna jestem w chatce mych rodziców, w téj nowéj chatce, którą nam przyjaciele wystawili—dodała Azali rumieniąc się i patrząc mi figlarnie w oczy.

— Ale psa macie bardzo złego, nieprawda?

— Psa mamy złego, ale go zamknę w obórcce, żeby nie szczekał—rzecze Azali z ową niewinną minką dziewiczej naiwności.

— Słuchaj Azali, zobacz na spodzie twéj koneweczki, może tam znajdziesz jaki cekin, bo ich tam wiele w téj studni.

Azali zdjęła konewkę z głowy i znalazła w niéj drugi złoty pieniążek. Ach jak była uszczęśliwioną! jak ją ozdabiała radość!

Azali pobiegła do duaru z koneweczką prózną na swéj pięknoéj zakłopotanej głowie. A ja stałem długo na tém miejscu i zapłakaniem okiem ściagałem lotny cień znikający w nocnej pomroce.

Długo marzyłem i walczyłem z sobą. Wszedł srebrny księżyc. Azali po wodę nie wraca. Bądź zdrowa arabska dziewico,

jutro łowić znów będziem złote cekiny. Oh! księżycu! z dalekiego przychodzisz wschodu, i palcem mi grozisz.

Bądź zdrowa arabska dziewico! na zawsze!

Już koń osiodłany, wszyscy na mnie czekają. Siadam na koń, wszystkich za sobą zostawiam.

— *Ok irehm?* (kto idzie)?—pyta warta seraju Abderhammana.

— *Engle Tibib! Fodor-Efendi! Ered miatah! ikdam* (angielski doktor, Fodor-Efendi. Otwórz bramę natychmiast).

Nazajutrz po południu wchodzi mister Westmoreland do nas i zaciągając ręce śmieje się rozkosznie.

— Oho! zwiastujesz nam jakieś nowiny?—zapyta dr. H.

— I ważne, i wielkie. Wygraliśmy sprawę przeciw Francuzom—odpowié Westmoreland.—Wojna święta w Maquinez już ogłoszona w téj chwili, pojutrze zaś ogłoszoną będzie w Maroko. Dalej w drogę; Francuzom nawarzyliśmy dobrego porteru: idzie o to, żebyśmy go nie skosztowali sami. Wasi chorzy już się dobrze mają; jutro w drogę wszyscy razem, nieprawdaż? Chyba, żebyście chcieli tu pozostać na własną rękę, ale nie radzę, to lud fanatyczny, i bijąc się za wiarę, gotów przyjaciół chrześcian wziąć za nieprzyjaciół Franków.

Pożegnanie nastąpiło na uroczystej audyencyi; podarunki dane, dalibóg dość skromne, aleć to ciężkie czasy, wojna przed wrotami, a chorzy już wyleczeni; już nie masz o co prosić. Kasnadar pożegnał się z nami czule: nie był on chętnym owéj świętéj wojnie i przewidywał klęski dla swego kraju. Icek już był założył mały handelek i w najlepsze szachrował. Abu-Bekir-el-Amor znikł gdzieś od dni kilku; jego pomocnik Maur, skrycie do chrystyanizmu nawrócony prowadził handel i utrzymywał, że pryncypał poszedł do Tafiletu zakupić towary.

Wracamy do Mogadoru: już nas gwardya Negrów nie eskortuje, spahisów tylko i janczarów dodano nam kilkunastu do straży.

Podróżujemy bardzo szybko bez dział, bez fregat i bez pontonów, a podarunki marokańskie nie ciążą nam wcale. Saharę mogadorską przebywamy przy świetle księżyca; wielka spokojność w atmosferze: puszcza piaszczysta niezatumaniona, rosą zwilżona, gładką była tym razem i połyskiwała jak ogromne prześcieradło w srebrnym blasku księżyca.

Mijamy grobowiec świętego Mogadola, mijamy i El-Kawar, to jest miejsce spoczynku umarłych dzieci Mahometa. Muezzin na minarecie wzywa do modlitwy: Maurowie, Arabowie i Negry zsiadają z koni i wielbłądów, myją się w rzece, ścielą burnusy na ziemi i twarzą

zwróceniu ku wschodowi klękają i modlą się rzewnie do Alli. Żydzi zebrani w osobną gromadę kiwają się, przypasawszy przykazania Mojżeszowe do głowy i ściągawszy rzemieniem rękę lewą, tak jak to zwykli czynić hussyci w Pinczowie i w Kolbuszowój. Chrześcianie tylko pozostali na swych koniach, lecz je zwrócili ku wschodowi także, i w téj chwili uroczystej myślą o Bogu i o Synie jego, który nam zwiastował, że kiedyś wszyscy będziemy braćmi, i że wojny ustaną, skoro w serce trybunów ludzkości wstąpi szczerą miłość dla ludów.

Most zwodzony, wysoki mur, a na nim dwie zbliżone do siebie baszty, to brama lądowa Mogadoru.

— *Ok irehm!*—krzyczy warta.

— Angielscy żołnierze wracający z Maroko—odpowiada kapudan prowadzący nas.

— Poczekajcie aż słońce wejdzie i basza wam wstępu dozwoli; ale odstępście na 200 kroków od bramy—odpowiódł oficer od warty.

Chcemy parlamentować. Oficer każe warcie wziąć broń na ramię i chce strzelać. Nie masz rady, koczować musimy.

Świtać już zaczyna. Coś czarnego pnie się jak pajak na szczyt bramy, i zatyka coś okrągłego czarnego na jeden z haków, sterczących jak kły dzika ponad łukiem bramy.

To głowa człowieka.

Słońce wschodzi, wschodzi prędko, prawie nagle pierzchają nocne ciemności i znika niepewność.

To głowa Abur-Nazy zatknięta na haku, to głowa gońca konsulatu angielskiego, tego samego, co chciał być królem Gambii i żenić się z królową Wiktoryą.

Biédny murzyn padł ofiarą gniewu i słowności baszy. Prawda, baszy nie wrócono wielbłądów: wielką poniósł dzięki Abur-Nazy stratę.

Wpuszczają nas do miasta, biegniemy do konsulatu. Wita nas pan Wilshire, konsul angielski.

— Co się stało z Abur-Nazą?—pyta pan Westmoreland.

— Co się stało? Śpi w swój budce tu na dziedzińcu konsulatu, w budce janczarskiej—odpowiódł konsul, nie spodziewając się niczego.

Spieszmy do budki. W jednym pokoju śpią janczary i chrapią jak trąby janczarskie; w drugim pokoiku śpi Abur-Naza, ale nie chrapi, bo nie ma czém chrapać.

— Głowę gdzieś podział nieborak, dalibóg nie masz jój tu nigdzie—rzecze pan Wilshire nie wychodząc z angielskiej flegmy.

— My widzieliśmy kogoś co zatykał głowę Abur-Nazy na hak bramy lądowej, i potem sobie poszedł,—odpowiéd pan Westmoreland.

— Ale to zapewne nie sam Abur-Naza wyniósł swą głowę na przewietrzenie—rzecze znów mister Wilshire. To sprawka baszy i figiel szaiszy jego.—O tak zręcznym kacie w życiu mém nie słyszałem—rzecze dalej pan Wilshire.—Niedawno, będzie temu ze dwa miesiące, nie! zaledwie siedm tygodni; niedawno mówię, basza kazał szaiszy pójść do żydowskiej dzielnicy i ściąć głowę jednemu żydowi handlującemu mąką i podejrzanemu o fałszowanie swego towaru. Szaisza przebrał się i głowę zasłonił burnusem umyślnie, aby go nie poznano, i zszedł kupca właśnie w chwili, gdy ten nachylony przymieszywał krédę do beczki napół napelnionój mąką. Raz tylko machnął krzywym pałaszem, a głowa spadła w beczkę, i sam żyd dał nurka w mąkę. Nawet nikt z przytomnych nie spostrzegł się na figlu, i wielkie było zadziwienie żydów, gdy kupca wyciągnęli z beczki bez głowy. Basza śmiał się do rozpuku z téj operacyi i kazał wdowie po Abramku dać za to szaiszy trzydzieści cekinów. Ale *à propos*, cóż pocniemy, czy wypowiemy wojnę cesarstwu marokańskiemu?”

— Oh nie! my nie na to tu przybyli, żeby Francuzom pomagać. Tułów Abur-Nazy pochowamy *ad acta*, i przy stosownej okoliczności upomnimy się za krzywdy. Wkradać się do konsulatu angielskiego i w ten sposób golić głowy jego sługom, to przecież bardzo niegrzecznie.

A tak polityka chwilowa skłoniła tym razem Anglików do strawienia głowy Abur-Nazy, w tym właśnie czasie, w którym Francuzi upominali się zbrojną ręką o głowę pana Wiktora Darmon, Marsylczyka, konsula Hiszpanii i Sardynii, ściętego w Mazagan z rozkazu baszy. Z czego wypada, że дума angielska gotowa kapitulować, gdy idzie o upokorzenie rywalki.

Kapitan Bowley krążył na swym Trydencie po wszystkich wybrzeżach Afryki zachodniój, na południe posuwał się aż do brzegów Gwinei i tam polował na rozbójników morskich i na handlarzy niewolników. Za kilka dni jednakże wpłynął do przystani Mogadoru, już po ogłoszeniu *dżehadu*, tojest wojny świętój.

Te kilka dni przepędzaliśmy bardzo cicho i prozaicznie w obrębie murów konsulatu angielskiego. Basza raczył nas ostrzedz, że przy wzburzonym stanie umysłów ludu byłoby niebezpieczną rzeczą zwracać na się jego uwagę wycieczkami w głąb kraju, lub nawet w samo miasto.

Opuszczamy Mogador właśnie w dwa miesiące po wylądowaniu na brzegi Tangieru. W kilka dni później stawamy w Gibraltarze, gdzie wielka radość z wojny sprowadzonej na Francją. Cieszono się tu błogą nadzieją, że nieliczna francuzka armia zgnieconą zostanie w pierwszej potyczce przez marokańskie hufce.

Książę Joinville już krążył około Melilla, Ceuty, Alhucenas, Gibraltaru i Tangieru. Trzy miał statki liniowe o 120tu działach, jedną fregatę o 52, trzy brygi i 9 statków parowych. Jeszcze oczekiwano innych statków.

Z Gibraltaru przestaliśmy niewolników naszych obdarzonych przez nas wolnością i pieniędzmi do Tangieru, z Tangieru zaś sprowadziliśmy rzeczy nasze i owę biedną Nubijkę, którą dr. Hamilton był nabył. Miała się już lepiej i z wielką niecierpliwością nas oczekiwała. I Mosiek wrócił do Tangieru, gdzie miał żonę i kilkanaście bachorząt; zbierał on sobie do trzechset cekinów złotych w tej podróży i za nie zakupił towarów w Gibraltarze i założył handelek w Tangierze. Może już oddawna jest milionowym panem.

Nowiny nadeszły z Tangieru i z prowincyj północnych Maroko. Wszystko się brało ochoczo do oręża, jeden tylko wieśniak arabski niechętnie opuszczał swą rolę i swą pracę. Pod każdą strefą, w każdym narodzie, chrześcijańskim czy niechrześcijańskim, praca jest kolebką rozumu i uczciwości; kto się w niej zamiluje, kto ją uszanuje, ten ścigać nie będzie za zdobyczą, ten nie zechce zawdzięczyć przypadkowi żadnej korzyści.

A cóż jest szczęście wojny, jeśli nie przypadek?

Żal mi tych poczciwych włościan arabskich: wielkie posiadają przymioty. Gościnni są i litościwi, pracowici, bogobojni, a przytém skromni w gustach, daleko mniej materyalni jak wiele ludów chrześcijańskich. Arabski rolnik gdy pracę dzienną skończy, wsiada na koń i buja po błoniach i puszczech, szybszy od wiatru i uraganu, lub też zapala ognisko, zbiera około niego swych przyjaciół, opowiada, lub przysłuchuje się opowiadaniom. Bieg konia go upaja i myśl jego czaruje, brzydzi się winem, o wódce nigdy nie słyszał. W boju jest mężny, nieustraszony w walce z dzikimi potworami puszczy, w giestach swych poważny i pełen gracyi. Czytać i pisać nie umie i nie wie nawet, że człowiek wymyślił jakieś sztuczne frazesa na zdefiniowanie swych praw przyrodzonych; ale instynktownie jakoś wie, pojmuje i czuje, że owo stworzenie podobne do niego twarzą i wszystkiemi organami, nie może być od nie-

go nieskończenie wyższém, ani téż nieskończenie niższém, chociażby było w brylanty osadzoném, lub chodziło w łachmanach.

Wié on dobrze o tém, że na jedno skinienie szejka, kadego, kaïda, baszy lub sultana grad batogów sypnie się na jego pięty, a nawet i głowa spaść może; ale szejk jest ojcem, którego sobie wybrał, kady sędzią uczonym oddawna znanym z uczciwości, kaïd chciwym poborcą podatków cesarskich, basza najeźściój zdziercą, a sultan jedynym jego panem, na którego dopiéro na drugim świecie wolno się żalić lub uskarżać. Szejka tedy kocha, kadego wielbi, kaïda się strzeże, przed baszą ucieka, przed sultanem pada na kolana, gdy go zoczy, i bez strachu i bojaźni wyjawia swe żale, gdy mu niesprawiedliwość podrzędnych zanadto dokuczy: bo jedynie tylko sultan ma prawo bezwzględne do jego życia i do jego mienia; uchodzić przed jego sprawiedliwością na tym świecie niewolno, bo on jest z rodu Mahometa, doczesnym stróżem Boga: uległość dla niego jest artykułem wiary.

Tak tedy włościanie arabsey chociaż ubodzy i ciemni, spodłoniemi jeszcze nie są. Mają monarchę gdzieś tam daleko żyjącego, uznają zwierzchników z własnej woli, lub z woli cesarskiej postanowionych; ale dostawiwszy kontyngens i opłaciwszy podatki, za wolnych się uważają ludzi, i zbrojuym oporem lub ucieczką w góry odpowiadają na wkroczenie baszy i kaïdego w ich swobody.

Rolnik arabski choć mu błogie światło chrystyanizmu nie przyświeca, pracowitym jest, moralnym i co się nazywa dobrym człowiekiem. Owój chwilowój i przemijającój rzewności religijnój, którój doświadczają czasem i najgersi ludzie, wprawdzie nie znają; ale myśl religijna przez nich pojéta, ciągłą potrzebą poczui w serce wcielona, czuwa nad Arabem bezprzestannie, towarzyszy mu wszędzie, nigdy go nie odstępuje prawie, gdyż chwile gniewu u niego są nader rzadkie.

To dzieci natury niezezsute, nieznajdujące w zapomnieniu samego siebie ani uroku, ani ulgi, nieoddające się ani pijaństwu, ani téż poddające się zapalczywości.

Z alkoranu pojeli tylko to, co się najłatwiój do ich zatrudnienia, do ich położenia da zastosować, a to jest do pewnego stopnia mądrém i dobrém; w żadne nie wchodzą dyskusyje dogmatyczne, wyłączające takich lub owakich bliźnich z prawa do litości Boskiój, lub z prawa do szczęścia wiecznego. „Bóg go sądzić będzie” mówią patrząc na złego człowieka.

Prawdziwie nie ma pod słońcem ludu zdolniejszego, więcéj usposobionego do korzystania z dobrodziejstw chrystyanizmu. Na-

rka Chrystusa przez tak prostych, rzetelnych ludzi przyjęta, będzie prawdą, ciągłym czynem popartą, a nie ową niepewną wiarą zaczynającą się od tkliwości, a kończącą na nietolerancyi; błakającą się bezustannie pomiędzy bojaźnią śmierci i chciwością przyjemnych wrażeń, tak jak ją na nieszczęście pojmują owi nowożytni religijni uczuciowcy.

Włóścianie, czyto będą Arabowie, czy Maurzy, czy Beduini mahometańscy i izraelscy, stanowią najwięcej interesującą, najważniejszą i najliczniejszą klasę ludu marokańskiego. Jest ich przeszło 4 miliony, a zatem większa połowa ludności marokańskiej z wieśniaków się składa. Klasa ta pod rządem mądrym i sprężystym, stałaby się narzędziem odrodzenia dla całej północnej Afryki.

Maur, *szlachcic tego narodu*, co go nazywają marokańskim, pokrywszy Hiszpanią pysznemi pomnikami, błyszczący niegdyś jak meteor na firmamencie sztuk i nauk, nie posiada nawet samowiedzy swój świetnej przeszłości: dziś chyli on swe czoło pokornie. Wszystko u niego przeżyte, wszystko zjadłe: dla niego nie masz przyszłości, nie masz odrodzenia, nawet cudzoziemskie jarzmo wskrzesić go nie jest w stanie do życia i honoru. Pod obcym panowaniem (jak się to w Algierji wykazuje), Maur nauczy się od swego zwycięzcy wszystkiego złego: wiarołomstwa, rozpusty, karciarstwa, nawet pijaństwu gotów się oddać.

Inny przedstawiają widok, inne nadzieje rokują wieśniacy arabscy. Korzyści cywilizacyi, na które od tak dawna spragniona czeka ziemia afrykańska, od tej klasy ludu najpierw ocenionemi zostały.

Dr T. Tripplin.



MAHOMET I JEGO ALKORAN.

« Wyjątek z nowego przekładu alkoranu, wprost z oryginału, przez A. Kazimirskiego; podług wydania 1847 r. w Paryżu (*).

Mahomet (albo Mohammed, według pisowni i wymawiania narodów wschodnich) urodził się d. 1 kwietnia 579 r. (1) po narodzeniu Jezusa Chrystusa, w Mekce, mieście Hedziazu, prowincyi arabskiej. Abdallah syn Abdhal Mottaliba był jego ojcem, a Amina, córka Wahiba, jego matką. Tak więc podwójnie należał do pokolenia Koreitów, licznego i potężnego, które się wzbogaciło przez handel, a wślawiło przez panowanie nad Mekką i pilnowanie świątyni Kaaba. Pokolenie to bardzo dawném szczyliło się pochodzeniem. Izmael syn Abrahama osiadł w Mekce, i został ojcem pokolenia, które w późniejszej epoce otrzymało nazwę Koreitów. Historycy muzułmańscy wyprowadzają jednozgodnie genealogią Mahometa przez dwadzieścia jeden pokoleń, aż do Adnana, jednego z potomków Izmaela; na Adnanie nieć rodowodu zerwana tworzy przerwę, którą napróżno starano się zapełnić. Dodają historycy, że każdy z przodków Mahometa miał uwydatnioną na swojej twarzy światłość prorocką, która ostatecznie na osobę syna Abdallaha spłynęła, i z nim także wygasła.

Jeżeli nie przykładamy wiary do cudów, które miały towarzyszyć narodzeniu się i wiekowi dziecinnemu Mahometa, nie nie

(* *Le Koran. Traduction nouvelle faite sur le texte Arabe, avec notes commentaires et préface du traducteur. Paris, 1847, 8vo.* Piérwsze wydanie wyszło w r. 1841.

(1) Nie zgadzają się na dzień i rok urodzenia Mahometa. Jedni podają liczby 569 i 571 po narodz. Chryst. opierając się na mniemaniu, że Mahomet miał 63 lat umierając w 652 r., drudzy cytują rok *slonia*, tak nazwany od wyprawy Abrahama przeciwko Mekce, (patrz rozdz. CV koranu) jako datę urodz. proroka; lecz wypadek ten nie ma stale oznaczonego czasu.

znajdziemy szczególnego w jego życiu, aż do czasu apostołstwa. Ojciec go odumarł w drugim miesiącu, a matka w szóstym roku życia. Wychowaniem zajmował się z początku dziadek, a później wuj jego Abu-Taleb. Towarzyszył temuż w podróży do Bosra w Syrii mając lat 13, i tamto, powiadają, spotkał się z mnichem nestoryańskim Bahirą, który odgadując świetne powołanie młodego Koreity, miał go szczególniej czujności wuja polecić, zalecając strzedz go od żydowskich przebiegów. Powróciwszy do Arabii, Mahomet należał do wojny El-fidiar (pogwałcenie świętego miesiąca), którą pokolenie jego z Benu-Hawazinami prowadziło. Małą tu przecież miał sposobność popisania się z męstwem, albowiem jako zbyt młody, zbierał tylko rzucane przez walczących pociski i strzały. W 21 roku był dwa razy w Yémen, a w roku następnym odbył drugą podróż do Syrii z niejakim Meissarą plenipotentem bogatęj wdowy nazwiskiem Khadidia. Tą razą miał sposobność rozmawiania z kilku chrześcijańskimi mnichami, co wielki wpływ na jego wyobraźnię wywrzć miało. W tój podróży takim było sprawowanie się Mahometa, że Khadidia za powrotem z Syrii, oddała mu swą rękę i swój majątek. Dwudziesto-pięć latni Mahomet ofiarował swojej 40-letniej oblubienicy 20 młodych wielbłądzie, tytułem weselnego daru. W pięć lat później Koreici odbudowywali świątynię Kaaba, która się stała pastwą płomieni. Kiedy przyszło wmurować w jednym rogu świątyni czarny kamień, do którego wszyscy osobliwsze czuli poszanowanie, wszystkie stronnictwa pokolenia dobijały się o ten zaszczyt; do sprzeczki mało brakowało. Postanowiono wreszcie poddać się wyrokowi piérwszego obywatela, który wejdzie drzwiami świątyni. Mahomet, który także zajmował się odbudowywaniem, odszedłszy ztamtąd na kilka godzin, znów powraca. Ustanowiony sędzią, każe kłaść kamień na płaszczu, którego końce trzymane były przez naczelników wszystkich pokoleń, sam zaś na właściwém ustawia go miejscu.

Mahomet już i tak przezwany El - Emin , tojest uczciwym i wiernym człowiekiem, powiększył sobie takim postępkim szacunek publiczny; godząc bowiem roszczenia czterech familij, potrafił nikogo nie obrażając, spełnić czyn zaszczytny w pamiętnęj dla Koreitów okoliczności. Począwszy od tój epoki aż do lat 40 życia, tojest aż do czasu apostołstwa, nie nam historia o życiu Mahometa nie podaje. Od młodych jeszcze lat widziano w nim zawsze skłonność do samotności: nieraz z całą rodziną usuwał się w góry Harra, w pobliżu Mekki leżące, i tam całe noce na rozpamiętywaniu sam jeden

trawił. Wspomnienia podróży syryjskich, rozmowy z chrześcianami i żydami po całej Arabii rozsianemi, widok ich religijnych sporów, pobożność zakonników, dzikie i hałaśliwe życie Arabów:—wszystko to nie uchodziło zapewne bacznej uwagi Mahometa. Zapaliła się niedługo jego głowa, poczuł w swych żyłach krew Izmaela syna Abrahamowego, zachowawcy dogmatu jedności Boga, i sądził, że mu było przeznaczoném, tak jak i jego naddziadowi, skruszyć bałwany współziomków.

Miał wówczas lat 40. Pewnego dnia zajęty myślami, zdawał się słyszeć głos mówiący doń: „Czytaj.“ — „A cóż czytać będę?“ — „Czytaj w imię Boga, który stworzył człowieka ze krwi skrzepniętej, który wykladał ludziom pismo, i nauczał ich tego, czego nie znali“ (koran rozdz. XCVI). Znajdował się pośrodku góry, i usłyszał wołanie: „O Mahomecie! tyś apostołem Boga, a jam jest Gabryel.“ Głos ten wskazuje mu prorockie posłannictwo; opowiada to widzenie żonie, a ta znowu krewnemu swemu Warce-ben-Naufel, uczoneму w pismach. Ten przypuszcza możliwość objawienia i widzi w Mahomecie Mojżesza Arabów (1). Khadidia pierwsza przyjmuje nową wiarę; po niej Ali syn Abu-Taleba, Zaid wyzwolenc Mahometa i Abu-Bekir, (później kalif) uważani są za pierwszych muzułmanów. Lecz wpływ moralny, który Mahomet wywiera na pobliskich sobie, nie mógł się jeszcze przedrzeć poza obręb tego ścieśnionego kółka, i po upływie trzech lat dopiero, po wielu tajnych schadzках i prelekeyach, jawną wypowiedział wojnę starożytnym wyznaniom swoich współobywateli. Pierwsze kazania Mahometa ściągnęły nań naprzód śmiechy, a potem zazdrość i nienawiść, które go nawet w jego własnej rodzinie ściagały. Chociaż ten zawód od publiczności doznany, sto-

(1) Między osobami otaczającemi Mahometa w początkach jego czynów publicznych, jedna szczególnie zasługuje na uwagę: jest nią *Warka-ben-Naufel*, który miał posiadać dokładną znajomość biblii. P. v. Hammer w dziele ogłoszonym w r. 1839 p. t.: *Gemäldeaal* (obrazy cenniejszych bohaterów islamizmu) dziwi się, że europejscy biografowie Mahometa, tak mało zwrócili uwagi na człowieka, który jako chrześcianin, mnich, a co więcej, jako pierwszy tłumacz pisma świętego na język arabski, miał mieć wielki udział w ukształceniu Mahometa, a tém samém w utworzeniu alkoranu. Nie wiemy na czém się opiera p. Hammer mieniąc *Warkę-ben-Naufel*, który był Koreitą, mnichem i tłumaczem biblii; lecz dosyć porównać opisy historii żydów i ich proroków w koranie i w biblii, aby się przekonać że nie pochodzą od człowieka znającego gruntownie pismo święte, i że to są raczej wspomnienia, w których ciągle obok prawdy i autentyczności napotyka się fałsz i apokryfność.

kroć został nagrodzony wstąpieniem do jego sekty kilku znakomitych ludzi, jak na przykład Hamzy i Omara, wielka liczba nowowierców musiała opuścić Mekkę i schronić się aż do Abissynii przed prześladowaniem bałwochwalców. Koreici nawet zawarli układ, żeby wyjść z wszelkich z Benu-Haszemitami stosunków, dlatego, że ci dla związków krwi z Mahometem trzymali. Sam nareszcie zmuszony opuścić rodzinne miasto, Mahomet przepędził trzy lata między górami, otoczony najzagorzalszemi swemi sektarzami. Ztamtąd przeniósł się do miasta Tajef, w celu wyszukania stronników przeciwko mieszkańcom Mekki, lecz go tam same zniewagi i wyszydzenie spotykały; powrócił jeszcze raz do Mekki i znalazł bałwochwalców bardziej niż kiedykolwiek nieprzyjaznemi nowemu wyznaniu. Po bezskutecznych wstawieniach się do rozmaitych pokoleń arabskich, tamże na pielgrzymkę zgromadzonych, opuścił to miasto i przeniósł się do Jatryb, miasta Hedziazu, przezwanego odtąd Medyną (Medinet en'Nabi, miasto proroka), gdzie go liczni i oddani sprawie jego przyjaciele wzywali. To oddalenie się z Mekki dokonane przez podstęp, który Mahometa od pewnej śmierci uchronił, zostało odtąd nazwane hegirą (*hidired*, ucieczka) i jest początkiem ery mahometańskiej. Odtąd Mahomet ujrzał się na czele wychodźców Mekki, Mohadgerów i An-sarów (posiłkowców) obywateli jatrybskich, którzy przybyli do Mekki dla towarzyszenia mu. Coraz bardziej rozwijając zasady swojej nauki, na każdym miejscu w czasie drogi, gdzie tylko zatrzymać się mógł, miewał przemowy i uorganizowaniem swoich posiłków zajmował się. W drugim roku hegiry polecił, ażeby każdy muzułman wybrał sobie przyjaciela i połączył się z nim nierozzerwalnym braterskością węzłem; i kiedy piękne to postanowienie wprowadzało ścisłą jedność pomiędzy nowowiercami, inne w tymże samym roku wydane zmierzały ku odłączeniu muzułmanów od innych sąsiednich im narodowości.

Rok ten upamiętniony został ważnym wypadkiem. Mahomet wiedząc, że karawana Koreitów z 950 ludzi złożona przybliżała się do Medyny, wyszedł z miasta, spotkał nieprzyjaciół (1 marca 624 r.) pod Bedr, i pobił ich do szczytu. Ten pierwszy dowód odniesionej nad bałwochwalcami przewagi nie tylko ich nie zniszczył, ale nawet i nie rozbroił; natchnął jednakże muzułmanom ufność we własne siły, i wywyższył Mahometa z prostego apostoła, na przywódcę siły zbrojującej. Skoro rozważymy, że po dwunastu latach propagandy, Mahomet w tém pierwszym starciu zaledwo dwóch jeźdźców i 311 piechurów naprzeciw nieprzyjaciela mógł stawić, łatwo pojmujemy trudności jakie nowe napotykało wyznanie, jak niemniej

ważny wpływ najmniejszego nawet powodzenia. Zwycięstwo pod Bedr miało skutek stanowczy i przewaźny; w roku następnym Mahomet przewodzi już 1000 ludzi, z których 700 bije się z 3,000 Koreitów. Bitwa ta miała miejsce pod Ohad, i z początku zwycięstwo ku stronie Mahometa przechylając, o mało co nie stała się także przyczyną jego zguby: muzułmanie gwałtowną chciwością zapaleni żądzą, rzucili się na łup przy piérwszém zablýśnieniu szczęścia, a wszczęty zład nieład z rąk im wyrwał zwycięstwo. Mahomet walcząc śmiało razem z nacierającymi, został ranionym. W następnym jednakże roku pod Radij, pod cysterną Mauna i z potężnym pokoleniem Benu-Mostalak stoczone z chwałą bitwy, sownie odwetowały poniesione poprzednio straty. W szóstym roku hegiry, Mahomet zawarł z niewiernymi rozejm na lat 10; postępek ten mógł go poróżnić z najzagorzalszemi stronnikami, którzy zbyt dosłownie trzymali się wyklęcia zagrożonego wszystkim zawierającym jakiebądź z niewiernymi układy. Nie napróżno jednakże użył tego czasu Mahomet: poszedł on oblegać żydowskie pokolenie Kaibar. Opanowanie tego miejsca, bronionego z zapamiętałością, uczyniło go panem wielkiej liczby jeńców i miejsc okolicznych, a między innymi Fadaku, który na własność familii swojej obrócił. Zapewniony ostatniemi zwycięstwami o pięknej przyszłości czekającej jego posłannictwo w Arabii, Mahomet uznał właściwem dać o tém wiedzieć władzcom państw sąsiednich, i słał poselstwo do szacha perskiego, cesarza rzymskiego, króla Abissynii i kilku innych jeszcze książąt tak chrześcian, jako też i pogan, z listami w których do przejścia na islamizm namawiał. Te wezwania rozmaicie widziane i z początku żadnego nie wywierające wpływu, niemało się potem przyczyniły do rozszerzenia sławy arabskiego apostoła.

Należało przecież uderzeniem stanowczym opanować Mekkę. Pokój zawarty z Koreitami zdawał się odwlekać tę chwilę, i muzułmanie na mocy tego dziesięcio-letniego przymierza wpuszczeni w święte Mekki progi dla spełnienia religijnych obrządków, nie chcieli i nie śmieli być napastnikami. Zbieg jednak okoliczności zrządził, że Koreici wysłali posłki na pomoc pokoleniu Benu-Bekr z którym w przyjaznych żyli stosunkach, naprzeciw pokoleniu Benu-Khozaa, sprzymierzonemu z Mahometem. Ten poczytując takie wtrącanie się pogwałceniem zaprzysiężonej umowy, poczynił natychmiast potrzebne przygotowania, i pomimo niedawno poniesionej straty w wyprawie na Mubah przeciwko Grekom, na czele 10,000 zbrojnego żołnierza pod mury Mekki się sunął. Ponieważ nieprzygoto-

wani Koreici żadnego prawie nie stawiali oporu, miasto bez żadnych trudności dostało się w ręce muzułmanom. Było to dnia 12 stycznia 630 r. po Chryst., a 8 roku hegiry.

Mahomet odbył wjazd tryumfalny na wielbłądźcy, i po siedmiokrotném objechaniu Kaaby (1), wszedł do świątyni i własną ręką pogańskie bałwany zburzył. Tęgo samego jeszcze dnia, w południe, muezzin z wierzchołka Kaaby godzinę modlitwy ogłosił.

Zachwycony tak wielkiém i do tego bez żadnych poświęceń otrzymaném powodzeniem, Mahomet okazał się łaskawym dla zwyciężonych; wygnanie, któremu wszyscy mieli uleść, 6 mężczyzn i 4 kobiety jedynie dotknęło.

Niezwłocznie po opanowaniu Mekki, wysłał kilka oddziałów jazdy dla ukrócenia okolicznych pokoleń, i w tym samym jeszcze roku wojował z trzema połączonemi pokoleniami pod Honain. Wypadek tój walki z początku niekorzystny dla muzułmanów, którzy wtedy we 12,000 ludzi w pole wyruszyli, jedynie tylko przytomności umysłu Mahometa, a jak jego biografowie arabsey mieć chcą, uczynionemu przezeń cudowi zawdzięczać wypada. Oblężenie miasta Tajef świetnie 8my rok hegiry zakończyło; nie prędzej jednak jak w roku następnym mieszkańcy tego grodu dobrowolnie się poddali i nową wiarę przyjęli. W 9tym roku zawojowano Jemen, i w wyprawie pod Tabuk opanowano kilka księstw północnej Arabii. Tam Mahomet dowodził już na czele 10,000 konnicy i 20,000 piechoty. Niedługo jednak cieszył się ze swoich powodzeń. Po odprawieniu pielgrzymki do Mekki, i po zwiedzeniu miejsc świętych, które później *nawiedzeniem pożegnalmém* nazwano, wrócił do Medyny i aż do końca 10go roku w niej zostawał. W początku 11go roku czując się słabym, w domu Ajeszahi jednéj ze swoich żon leczyć się i doglądać kazał, ciągle układając plany do nowéj wyprawy przeciwko fałszywemu prorokowi Mossailamah, i w meczecie pontyfikalne swe sprawując obrządki. Na trzy dni dopiero przed jego śmiercią Abu-Bekr odmówił przed ludem modlitwę. Umarł 13 Rabi el auel 11go r. hegiry (8 czerwca 632 r. po Chryst.) w 63 roku życia, podług obliczenia Abulfedy, który 40sty rok za epokę jego apostołstwa naznacza.

(1) *Kaaba* albo *kasoba* jestto pewien rodzaj cytadeli, albo zamku obronnego. W Mekce w sławnym meczecie Beith-Allah (dom boży) jest kaaba (dom w kształcie kwadratu) mający 10 metrów obwodu, zbudowany podług jednych przez samego Adama lub Abrahama, a podług drugich przez aniołów. Jest także jedna kasoba w Algierze w stronie północnej tego miasta: była zwykłym mieszkaniem ostatniego deya Algieru, Abdel-Kadera; w niej téż znaleźli Francuzi jego skarby.

Pogrzebiony został w tém samym miejscu, na którém skonał, a grób jego, ponad którym pobożność muzułmańska prześliczny wystawiła meczet (1), został aż do dni naszych przedmiotem czci i częstych pielgrzymek.

Śmierć jego przywiodła naród w osłupienie, nie wszyscy nawet chcieli temu wierzyć.

Wielu bardzo Arabów chciało porzucić swoje wyznanie, i jedynie tylko władza Abu-Bekra i Omara zdołała ich od tego odciągnąć. Prorok Arabów nie zostawił po sobie potomka pćci męzkiej i nie uczynił żadnego testamentalnego rozporządzenia. W ostatnich dniach choroby, prosił raz o atrament i papier, chcąc na nim ostatnią swoją wypisać wolę, przeznaczoną, jak mówił na to, ażeby Arabowie nigdy w błąd nie wpadli. Nie spisano wcale słów przedzgonnych Mahometa; może téż wołał on poruczyć los swego ludu któremu z towarzyszków więcej zdolnemu i bardziej jak on szanowanemu. Szeitowie, stronnicy Alego, zięcia Mahometa, twierdzą, że on na wiele lat przed śmiercią, Alego spadkobiercą swoim ogłosił; przytaczają słowa alkoranu i wiele bardzo podań, które ściśle między Mahometem a dziećmi Alego z Fatimy zrodzonymi ustanawiają związek, i które podług nich nie powinny być w testamencie pominięte. Łatwo zresztą wytłumaczyć sobie zapamiętałą nienawiść Szeitów ku Omarowi, skoro się pomyśli, że to on głównie przeszkodził przekazaniu ostatniej Mahometa woli. Mahomet miał 15 żon ślubnych, a 11 nieprawnych. Dopóki Khadidia żyła, nie miał żadnej innej żony. Z wyjątkiem jednego syna Ibrahima, którego mu powiła Kopt Marya, a zmarłego przed nim, wszystkie jego dzieci były z Khadidii. Czterech synów: Kacem, Tajeb, Taher i Abdallah; i cztery córki: Fatima, Zeinab, Rokaja i Omm-Koltum. Pomiędzy jego żonami znakomitsze są: Khadidia, Ajeszah, Hafsa, Zeinaba i Omm-Habiba. Liczba ta żon, zaślubionych po większej części w ostatnich latach życia, jest przeciwną rozporządzeniom koranu, który cztery tylko

(1) Budowa grobu jest okrągła, nad nim kopuła, a wokoło niej galeria. Wszystkie drzwi doń wiodące, jak niemniej oprawa okien, są srebrne; wewnątrz bogate wysadzanie drogiemi kamieniami, między któremi odznaczają się głównie dwa dyamenty rzadkiej wielkości; oprócz tego wiele innych pysznych ozdób. Zapewniają, że trumna Mahometa spoczywa na ziemi, chociaż podług mniemania Turków ma się znajdować w komnacie ze ścianami magnezem wykładanemi, które przyciągając żelazną trumnę, w powietrzu utrzymują ją mają.

żony muzułmanom mieć dozwala (rozdział IV). Mahomet bynajmniej niemający ochoty stosować się do tego przepisu, poślubił między innymi Zeinabę, żonę Zaida, swojego wyzwolenca, wtenczas, kiedy ten nie chcąc się panu swemu przeciwieć, z nią się rozwiódł. Ponieważ ten wypadek wielkiego między muzułmanami chałasu był powodem, Mahomet powołał się na objawienie nieba, które mu podług upodobania żenić się dozwalało. (Alkoran rozdz. XXXIII). Nie jestto jedyna okoliczność, w której Mahomet na podoręczu przed złośliwością swoich wyznawców objawieniem się zaślania. Rozdz. XXIVty jest szczytem tego rodzaju zgorszenia w oskarżeniu o niegodziwość, której się na Ajeszabie dopuścił. Muzułmanie jednak mimo to, nie przypisując ztąd żadnych szkodliwych skutków świętemu ich proroka posłannictwu, dalecy od obwiniania go o przekraczanie zasad, cały naród obowiązujących, mniemają, że prorok nie był przymuszonym je zachowywać, i że w swoim charakterze zesłannika bożego i najwyższego kapłana, miał prawo do niektórych jemu wyłącznie służących przywilejów. Tak więc moc niegrzeszenia dla każdego proroka nieodbitcie konieczna, w pełni przyznana mu została.

Pisarze mahometańscy przekazali nam liczne szczegóły o życiu prywatnym i o osobie Mahometa, czerpane z podań przez jego towarzyszków utrzymywanych. Służą one zarazem za dopełnienie i rozwinięcie alkoranu. Trudno jest dziś wyrzec, czy Mahomet umiał czytać i pisać? Przydomek *proroka nieumiejętnego, nieuczono- nego*, który sobie sam w alkoranie z pewnym rodzajem przesady nadawa, dlatego, ażeby tém lepiej przy jego natchnieniu odbijał, oznacza może że nie uczył się biblii. Tenże sam przymiot nadaje także wszystkim Arabom, dopóki jeszcze nie posiadali księgi objawienia. Staranność z jaką Arabowie poezją i grammatykę uprawiali, nie pozwala całkiem odmawiać im umysłowego wykształcenia, a nawet z kilku miejsc koranu przypuszczać można, że Mahomet o sztuce pisania miał jakie takie pojęcie. Wyręczał się jednak sekretarzami, którzy, co on im dyktował, pisali. Między nimi Ali, Othman, Zaid syn Haretha, Moawia i Obai, są najwięcej znani. Nie będąc bogatym, miał czém zaspokoić swoje i licznej familji potrzeby; w miarę powiększania się zdobyczy, piąta część łupu z prawa należała się naczelnikowi (kor. r. VIII) i stanowiła jego mienie. Kiedy więc życie-pisarze Mahometa mówią nam o nadzwyczajnej jego wstrzemięźliwości i licznych umartwieniach,

kiedy nam opowiadają z rozrzewnieniem, że prorok Boga, nieraz żołądek sobie ścisnąć był przymuszony, ażeby mu mniejszy głód dokuczał, albo też że całemi miesiącami nie widziano u niego dymu w kominie, że chleb pszenny, mleko i daktyle, często jedyną jego były strawą: to raczej w tém zwykły sposób życia Arabów i umartwienia, nieodłączne od czynnego i awanturniczego żywota, jak niedostatek i biędę upatrywać należy. Własnymi rękami uprawiał swój ogród i naprawiał suknie; ale miał dwadzieścia dwa konie (1), pięć mułów, z których najznajomszy nazwiskiem *Doldol*, dwa osły: *Ofair* i *Jafur*, cztery wielbłądzice pod wierzch, a dwadzieścia mlekodajnych, sto owiec i kilka kozłat. Z dziewięciu szabel jakie miał, najslyniejsza, która potem Alemu się dostała, jest *dhul fikar*, o dwóch klingach rozbiegających się ku końcowi ostrza; między innymi 3 lance, 3 łuki, 7 przyłbic, 3 tarcze, 1 sztandar biały, chorągiew czarną 1, zwaną *Okab* czyli czarny orzeł, aż do dzisiejszego dnia w Konstantynopolu przechowywaną. Na jego srebrnej pieczęci były wyrte wyrazy: „Mohamed apostoł boży.” Niektóre z przedmiotów do niego należących, jak np. płaszcz (borda) i laskę, długi czas w skarbcach kalifów Abbasidów chowano. Zawój (turban) zielony był powierzchowną oznaką pokolenia, zrodzonego z Fatimy, a kolor czarny godłem jego linii pobocznej. Co do osoby, Mahomet był wzrostu średniego, silnej głowy, ręce i nogi miał tegie, brodę gęstą, skład ciała kościsty i krzepki, oczy czarne, włosy gładko przyczesane, nos orli, policzki pełne i rumiane, zęby nieco rzadkie.

Mimo podeszłego wieku, zaledwo kilka włosów białych z jego brody i z czupryny wyglądało. Powiadają, że je miał starannie czernić. Na plecach między barkami miał narosł wielkości jaja gołębiego, którą za znamię prorocstwa uważano. Miła jego powierzchowność nabierała więcéj jeszcze wdzięku przez jakiś wyraz dobroci i szlachetności; grzeczność i słodycz charakteru najbardziej mu serca współrodaków jednała. Zawsze dla wszystkich uprzejmy, nigdy piérwszy nie zęgnął człowieka, który doń przychodził, i nie opuszczał ręki skoro mu ją kto podał. W LXXXtym rozdziale alkoranu surowo sobie wyrzuca niespokojność, której wobec biédnego człowieka dał przystęp. Był

(1) Kommentatorowie wspominają o jednéj jego klaczy siwéj *El-Borak*, która szybciej miała lecieć niż sama błyskawica.

téż dla wszystkich ubogich nadzwyczaj miłosierny (1). Przewodząc przeszło siedmnastu wyprawom wojennym, nieraz dał dowody prawdziwego męstwa. Był litościwym i chętnie zapominał urazy: najzaciętszym nieprzyjaciółom przebaczał, skoro tylko objawiali chęć przyjęcia jego religii. Nic téż żalowi jego wyrównać nie zdołało, kiedy się raz dowiedział, że pewien dowódzca oddziału wbrew zaprzysiężonej wierze, nieprzyjaciół pogan straszliwie mordował, chcąc przez to jedynie własnej zemście dogodzić. Taki tryb postępowania mógł także mieć i polityczne przyczyny. Opowiadają, że po wzięciu Mekki przywiedziono mu jednego z najzagorzalszych nieprzyjaciół; Mahomet długi bardzo czas milczał, i w końcu mu przebaczył; poczem obracając się do towarzyszków rzekł im: „Milczałem, sądząc, że który z was porwie się na tego człowieka i zabije go”. „Oczekiwaliśmy twojego znaku.” „Nie przystoi prorokom, odpowie Mahomet, czynić oczami znaki zdradę zwiastujące.” Byłoto nauką, jak na przyszłość milczenie jego tłumaczyć sobie należało.

Najlepszym dowodem gieniuszu i zręczności Mahometa, są ostatecznie osiągnięte przez niego korzyści. Mahometanie uważają je za zrządzenie Opatrzności, a w cudach przez Mahometa dokonanych widzą sankcyą nieba. Mahomet oznajmia w alkoranie, że posłannictwo jego miało jedynie za cel oznajmiać, ostrzegać i wzywać Arabów ku czci jedyne Boga; lecz jeżeli w alkoranie żadnego téj skromności nie widzimy śladu, nie możemy również zapewnić, czy niektóre głoszone przez niego dwuznaczniki, przez jego stronników gorliwie rozpowszechniane, nie dały powodu niedorzecznym baśniom o cudach, jakoto: o wstąpieniu do niebios, o pękniętym księżycu, o uzdrowieniu ślepego, i o mnóstwie innych, które muzułmanie prawie za artykuły wiary swojej uważają. Najświatlejsi Mahometanie, a przynajmniej najmniej

(1) Przejęty tak chwalebniei zasadami Mahomet, miłość swoją nie tylko na ludzi, ale nawet i na całą naturę rozlewa, zwierzęta nawet nie wyłączając (kor. rozd. Vty). Zasady te wiernie dochowują jego wyznawcy. I tak: podróżnicy po krajach wschodnich wspominają, że wielka jest liczba minaretów, na wierzchołkach których umieszczono małe naczynia z ziarnem; a ptastwo wkoło latając, ma się czém przynajmniej na domach bożych pożywiać. Co za wymowna nauka miłosierdzia i dobroczynności! Łatwo się pojmuje przewagę proroka nad umysłami mass, mówi z tego powodu p. Davezies, skoro się widzi, że kościół jego chleb pomiędzy ubogich rozdziela i ptaszkom pożywienie daje.

łatwowierni, którzy nie poprzestają na kilku ogólnych aluzyach i na przymuszoném tłumaczeniu koranu na korzyść rzeczywistości cudów, uważają tę księgę za najwznioślejszy cud, który prorok jakikolwiek mógł kiedy spełnić. Dzieli się ona na 114 rozdziałów, z których pierwsze przeszło po sto, a ostatnie zaledwie po kilka mieszczą w sobie wierszy.

Rzecz cała nie jest ułożona podług treści; a opowiadania proroków żydowskich i innych narodów, pomieszane są z ogólnymi przepisami, z ustawami przechodniemi, w ten sposób, że trudno jest odszukać nic chronologiczną mów, jakie Mahomet bądźto w Mekce, bądź w Medynie miewał. Bywało także, że niektóre przepisy okolicznościami wywołane, w trakcie wypadków zmoderowaniu uległy, co dało początek wielu przepisom odwołanym i odwołującym; chcąc je zaś odróżnić, trzeba się przejąć płomienném uczuciem, które cały owiało islamizm.

Alkoran skreślony jest stylem zwięzłym, często ciemnym, który bez pomocy komentarzy, dla samych nawet Arabów byłby niezrozumiałym: komentarze zaś opierają się na powadze ksiąg w pierwszych czasach po Mahomecie wydanych. Rzeczywista redakcyja koranu nie jest zapewne tą, którą sam Mahomet zrobił. Zbiór wierszy pisanych na liściach, na tabliczkach i na skórkach baranich, zawdzięczamy Zaidowi, kompilatorowi koranu z czasów Abu-Bekra. Okoliczność jednakże ta nie zdoła Mahometa uwolnić od zarzutu, że raczej przez niewiedomość, jak z umysłu przekształcał i fałszował historiją. Odpisy koranu upowszechnione za kalifatu Abu-Bekra i Omara, widoczne przedstawiają różnice, i jedynie kalifowi Osmanowi winniśmy zniszczenie wszystkich exemplarzy, które nie zgadzały się z dochowanym przez Hafsę, wdowę po Mahomecie. Nie tu miejsce wdawać się w ocenianie alkoranu jako świętego kodeksu, jako zbioru praw moralnych, cywilnych i politycznych Arabów. To dzieło aż dotąd mylnemu ulegało sądowi. Zbytńia sierzdzystość uwzięła się na jego potępienie i wydaje o nim najniedorzeczniejsze zdania. Widząc mużulmańskie narody upadającemi i niejako w poniżeniu, z którego ciężko im się będzie wydzwignąć, przypisywano stan taki wpływowi alkoranu. Zadalesko się może posunięto, i w teoryi zanadto wysoko ceniono wpływ, który jakakolwiekbydz religia na przekształcenie charakteru pewnych pokoleń wywierać może; i przypisano alkoranowi wypadki, które same ciężko było odwrócić. W alkoranie w miejscach wyjętych z ewangelii, lub inaczéj

mówiąc, wspólnych z zasadami moralnemi całej ludzkości, w rozporządzeniach i przepisach w części nowych, a w części z dawnego życia społeczeństw arabskich czerpanych, wszędzie góruje myśl jedności Boga, i stosunek jaki z tymże człowiek za pomocą modlitwy ma zaprowadzać; dalej niesprawiedliwością jest obwiniać religią Mahometa o materyalizm, dlatego, że nagrody przeznaczone dla wybranych, pod postacią ziemskich uciech okazał. Jako kodeks religijny, moralny, cywilny i polityczny (bo u muzułmanów jest on źródłem wszelkiego prawa i wszelkiej nauki), alkoran grzeszy przez niedokładność i ciemność; jako pomnik umysłowości narodu, który go przyjął i wieku, który go wydał, nie jest wysokięj bardzo wartości i nie zdoła znieść porównania z którąkolwiek ustawą świętą przez starożytność nam przekazaną. Jedyne zasługę jaką mu niemuzułmanie przyznać mogą, jest to, że stał się zabytkiem językowym, a pod tym względem nie jesteśmy zdaje się w stanie należną oddać mu sprawiedliwość, albowiem niezależnie od głębokiej znajomości języka arabskiego, i obyczajów owego czasu, (przez co moglibyśmy pochwyć ściśle znaczenie wyrazów, przenośni, oraz całą subtelność wyrażen), trzeba by się postawić na stopniu widzenia narodu, tak różnego usposobieniem od narodów europejskich. Jednakże niektóre opowiadania nauczające i wzruszające z historii świętej, obraz wszechmocności i dobroci Bożej, przepisy pełne zbudowania się o miłosierdziu ludzkim, są znakomitej piękności, i łatwo wnieść, że obraz kar, którym niewierni uleść mają, i uroczysta wzniosłość dnia zmartwychpowstania i sądu ostatecznego, mogły poruszać i pociągać umysły. Muzułmanie mniemają, że nie jest dozwolonem człowiekowi zarazem coś tak doskonałego i tak wzniosłego jak alkoran utworzyć. Pojawiły się wprawdzie na łonie islamizmu sekty, utrzymujące, że nie tylko koranowi wyrównać, ale nawet przewyższyć go można; zdanie przecież takie zawsze za herezyą poczytanem było; a koran już naprzód je potępił. (Rozd. IIgi). Nie dla piękności jednakże wystowienia, które powierzchowną tylko zaletę stanowi, alkoran umacnia wiarę swoich wyznawców; jest on księgą objawienia, słowem Bożem, przez które poprzednie ustawy uzupełnić się i dokonać miały; i kiedy zacząwszy od pierwszych wieków islamizmu poczęto rozumować nad treścią słowa Bożego, posunięto się do mniemania, że koran był przedwieczny i niestworzony. Mahomet w którego ręce powierzony został, otrzymał tytuł pośrednika rodzaju ludzkiego, ksią-

żenia apostołów, pieczęci proroków, wybrańca chwalebnego; jest to najszlachetniejszy i najdoskonalszy utwór w stworzeniu; istota w obliczu której miało miejsce stworzenie świata, i która do obcowania Bożego przypuszczona, o kilka kroków tylko świętej się jego wszechmocności przypatruje. Alkoran sam nie podobnego o swoim twórcy nie mówi; ale takie wysławianie Mahometa jest od wieków podstawą teologii muzułmańskiej.

Alkoran jako księga święta i źródło wszelkiej umiejętności muzułmańskiej, zrodził bardzo obszerną gałąź literatury i niezliczone mnóstwo przypisów, z których najcelniejsze są: Zamakszarego, Dielaleddirego, Beidhaaniego, Jahia, Feizi. Poznano go dopiero w Europie około połowy XVIgo stulecia, z tłumaczenia Bibliandra, które niewierném i zupełnie niezgodném z arabskim okazało się tekstem. Pierwszy dobry przekład, służący za wzór wszystkim innym jest Maracego. Hinckelmann wydał tekst arabski w r. 1696 w 4ce. Piękne było także petersburskie wydanie alkoranu z rozkazu cesarzowej Katarzyny, ale jest nadzwyczaj rzadkie.

Później wyszły dwa wydania w Kazaniu: jedno w formacie arkuszowym, a drugie w ćwiartce. Jerzy Sale ogłosił w r. 1734 w 4ce angielskie tłumaczenie, przedrukowane w Londynie r. 1836, w 2 tomach w 8ce, z wierszami numerowanemi.

Są oprócz tego tłumaczenia francuzkie i niemieckie. Pierwsze francuzkie zrobił Duryér w Amsterdamie r. 1770, 2 tomy w 8ce.

Gunther Wahl orientalista niemiecki, podał swoje tłumaczenie do druku w r. 1820, w 8ce.

Z roku 1834 mamy lipskie seryotypowe wydanie koranu przez p. Fleügel.

Savazy, autor podróży do Egiptu, przełożył łacińskie tłumaczenie Maracego; Garcin de Tassy powtórnie je wydał z przydatkiem treści zasad islamizmu.

Uhleman przygotował już podobno nowy przekład niemiecki z komentarzami.

Tłumaczenie Salego jest bez zaprzeczenia najlepsze, najmiejtniejsze i najpożyteczniejsze, dla notat czerpanych w komentatorach arabskich.

Co się zaś tyczy dzieł opisujących żywot Mahometa, oprócz notat na czele prawie każdego przekładu umieszczanych, znaną jest biografia Mahometa Prideux'go r. 1697, w 8ce, po angiels-

sku. Życie Mahometa wyjęte z Abul-Fedy i tłumaczone na łacinę przez Gagnera, Oxfort. 1723 r., format arkuszowy. Opis życia Mahometa przez Boulainvilliersa, Londyn 1730 i Amsterdam 1831. Gagnier z zapałem i bardzo słusznie krytykuje to dziełko w przedmowie do późniejszego dzieła swego p. t.: Życie Mahometa zebrane z pisarzy mahometańskich przez Gagniera. Amsterdam, 1732 r. 2 T. w 8ce. Historia życia Mahometa przez Turpina, 1773 r. 3 T. w 12ce. Życie Mahometa Abul-Fedy znajduje się na początku roczników *moslemici* tego autora, tłumaczone przez Reislea. Tęto część wielkiego dzieła Abul-Fedy wydał w Paryżu r. 1837 w 8ce Noël-Desvergers, p. t.: Życie Mahometa, tekst, przekład i przypisy. Jestto ze wszystkich najlepszych i najpoprawniejszych wydanie.

WYJĄTKI Z ALKORANU (1).

ROZDZIAŁ Iszy (2).

Dan w Mekce. — 7 wierszy.

W imię litościwego i miłosiernego Boga (3).

1. Niechaj będzie chwała Bogu, władcy światów,
2. Miłosiernemu i litościwemu,
3. Królowi dnia sądnego.
4. Czimy Ciebie Panie, i Twojej opieki wzywamy,

(1) Wyraz *koran* albo *kur'an* znaczy czytanie. Z przedimkiem *al*, to czytanie; książka w osobliwym znaczeniu. Koran nazywają jeszcze inaczéj *el-kitáb*, księga; *kitabullach*, księga Boga, *kelimelulahl*, słowo boże; *el-tenzil*, księga z góry zesłana; *el-dhikir*, napominanie; *el-forkan*, różnica między godziwem i niegodziwem, złem i dobrem; *el-mos'haf*, kodeks.

(2) Rozdział piérwszy jest nazwany *fatihat el-kitáb*, t. j. rozdział zaczynający książkę, lub prosto *el-fatiha*; zowią go jeszcze *sab' ot-mesani*, siedm wierszy powtarzanych; muzułmanie bowiem odmawiają je częściej niżeli inne, i uważają za modlitwę, do której rozmaite łaski są przywiązane. Inaczéj wreszcie nazywają go *omnot-kitáb*, matka księgi.

(3) Po arabsku *bismillah'rrhamani* rrabim. Wezwanie to znajduje się na czele każdego rozdziału alkoranu, z wyjątkiem rozdziału IXgo. Wyraz *rahman* stosuje się do Boga, jako obdarzającego wszystkie istoty bez wyjątku swoją łaskawością; *rahim* zaś znaczy miłosierny, w znaczeniu ściślejším do wiernych i dobrych tylko stosującym się, to jest do tych, którzy na jego miłosierdzie zasługują.

5. Prowadź nas drogą prostą,
6. Drogą tych, których obsypałeś twemi dobrodziejstwami (1),
7. Nie zaś tych, którzy zasłużyli na gniew twój, ani tych, co błądzą (2).

R O Z D Z I A Ł IVty.

Kobiety.

Dan w Medynie.—175 wierszy.

W imię litościwego i miłosiernego Boga.

1. Śmiertelni! bójcie się Pana, który was wszystkich wyprowadził z jednego człowieka, dla którego utworzył niewiastę, i który ich potomstwem okrył ziemię. Bójcie się Pana, w imieniu którego wzajemnie sobie czynicie pytania (3). Szanujcie wewnętrznosci, które was nosiły. Bóg postrzega sprawy nasze.

2. Powróćcie sierotom, do pełnoletności doszłym, majątności ich; złe za dobre im nie oddawajcie. Nie spożywajcie ich schedy, mieszając ją z mieniem waszém, bo to okropna zbrodnia.

3. Jeśli się boicie ukrzywdzać sieroty, żeńcie się tylko z dwiema, trzema lub czterema kobietami, które się wam podobają. Gdybyście się jeszcze obawiali popełnić niesprawiedliwość, żeńcie się z jedną, choćby tylko niewolnicą (4). Postępowanie takie dopomoże wam w słuszności. Wydzielajcie żonom waszym posag przyzwoity, a jeśli wam dobrowolnie części jego ustąpią, używajcie jej k' woli i wygodzie waszój.

4. Nie oddawajcie niedołącznym dóbr, które Bóg waszym powierzył staraniom, lecz sami niemi zarządzając, karmijcie ich i odziewajcie; a gdy do nich mówicie, słodkich i miłych dobierajcie wyrazów.

(1) Te wyrazy mają znaczyć: *tych, których Ty obdarzyłeś* i t. d. to jest proroków i posłanników bożych.

(2) Komentatorowie stosują wyrazy: *którzy ściągnęli na siebie gniew twój*, do żydów, a wyrazy: *którzy błądzą*, do chrześcian. W ogóle Mahomet traktuje zawsze łagodniej chrześcian jak żydów.

(3) Arabowie mieli zwyczaj prosząc o co mawiać: „Na imię Boga powiędz mi, albo uczyn mi to.”

(4) W tekście jest: „z tą, którą wasza prawica nabyła:” wyrażenie używane dla oznaczenia kupionego niewolnika albo też jeńca wojennego.

5. Uważajcie na zdolności umysłowe sierot, aż do wieku ich zamężcia; jeśli mają sąd zdrowy, oddajcie im majątek. Strzeżcie się strwonić go, a z powierzeniem go im, nie kwapcie się.

6. Opiekun bogaty niech nie tyka dóbr wychowaućców swoich, którzy już porośli, a opiekun biędny, w małej tylko częścce z nich korzystać może.

7. A gdy im będziecie oddawać majątek, czyńcie to przy świadkach. Zdacie przed Bogiem rachunek z czynności waszych, a to wam jest dostateczna.

8. Mężczyzni powinni mieć majątek przez ojców, matki i krewnych sobie pozostawiony; kobiety niech także mają spuściznę swoją. Czy spadek jest wielki czy mały, zawsze im się z niego część pewna należy.

9. Kiedy rodzice, sieroty i ubodzy obecni są działom, dajcie im także cośkolwiek, uczciwie się i mile do nich odzywając.

10. Niechaj ci, którzy się boją zostawić po sobie dzieci w niemowlęctwie, nie nadużywają z położenia sierot, niech się Boga boją i mówią w szczeroci.

11. Kto nieprawnie mienie sierot przejada, wprowadza ogień we wnętrzości swoje, a kiedyś od gorącego płomienia pochłonię zostanie.

12. Bóg każe wam, rozdzielając majątek pomiędzy dzieci, dawać synowi dwa razy tyle co córce; jeśli są same tylko córki, a będzie ich więcej jak dwie, mają prawo do $\frac{2}{3}$ części spadku; jedna połowę tylko dostanie. Ojciec i matka zmarłego biorą każde $\frac{1}{6}$ część spadku, jeżeli pozostały dzieci. Jeśli ich nie ma, a wstępni biorą spadek, matka bierze $\frac{1}{3}$ część; jeśli pozostali bracia, matce należy się $\frac{1}{6}$ część czystej pozostałości, po spłaceniu wszelkich długów i legatów testatora. Nie wiecie, które z waszych rodziców lub dzieci jest wam potrzebniejsze. Takie jest rozporządzenie Boga: on jest mądry i umiejętny.

13. Połowa majątku kobiety zmarłej bezpotomnie przynależy się mężowi, a czwarta część tylko, jeżeli pozostawia dzieci, po potrąceniu zapisów i długów.

14. Wdowy biorą czwartą część majątku męzowskiego, jeśli nie ma dzieci, a ósmą część kiedy dzieci są; a to po potrąceniu zapisów i długów.

15. Jeśli męzyczna odbiera spadek po jakim odległym krewnym lub krewniej, a ma brata albo siostrę, każdemu z nich po $\frac{1}{6}$ części spadku ustąpić winien; jeżeli ich jest więcej, wszyscy

mają prawo do $\frac{1}{3}$ części spadku, po strąceniu zapisów i wszelkich należności.

16. Bez narażenia spadkobierców na jakikolwiek błąd uszczerbek. Bóg wam to zaleca. On jest mądry i litościwy.

17. Takie są przykazania Boże. Ci, co słuchają Boga i Jego apostoła, wprowadzeni zostaną do ogrodów źródłami zroszonych, i wiecznie w nich zostawać będą. Jestto niewypowiedziane szczęście.

18. Kto się okaże nieposłusznym Bogu i apostołowi, i przestąpi prawo Boże, będzie wtrącon w ogień wieczny i sromotnej ulegnie karze.

19. Jeżeliby która z kobiet waszych popełniła czyn haniebny (1), zwołaj czterech świadków. Jeśli świadectwa ich jednozgodnie przeciw niej świadczą, zamknij ją w domu twoim, póki śmierć jej życia nie zakończy, lub póki jej Bóg środka ocalenia nie poda.

20. Jeżeli dwóch z pomiędzy was popełni czyn niegodny, ukarście ich obu (2); lecz jeśli okażą żal i poprawią się, dajcie im pokój, bo Bóg lubi przebaczać i jest miłosiernym.

21. Przebaczenie Boże należy się tym, którzy zgrzeszyli przez niewiedomość i zaraz żal okazali. Bóg im przebacza, bo On jest mądrym i umiejętnym.

22. Żal na nic się nie przyda temu, który nieustannie w złe wpada, a przy nadejściu śmierci wykrzykuje: żałuję! Na nic on nie posłuży niewiernym umierającym. Przygotowaliśmy dla takich dolegliwe karanie.

23. Wierni! nie macie ustanawiać się spadkobiercami żon waszych, przeciwko ich woli, ani też zabraniać im iść za mąż (skoroście się z nimi rozłączyli), w chęci owładnięcia ich uposażeniem; chybaby zbrodnia ich jawną była. Wychodźcie z nie-

(1) Jest tu zarówno mowa o wszeteczeństwie i cudzołóstwie, bo wyraz kobieta (*nisa*) nie ma wyłącznego znaczenia małżonki; cudzołożnica zowie się zwykle *zina*. W początkach islamizmu zamurowywano kobietę za podobne przestępstwo. Kara przecież ta alkoranem przepisana nie była. Później zastąpiono ją dla osoby wolnej chłostą i wygnaniem, a dla zamężnej *sonna*, ukamienowaniem, obostrzając takim prawem rozporządzenia XXIV rozdz. koranu objęte.

(2) Ustęp ten stosuje się zapewne do sodomii, a komentatorowie przez wyrazy „ukarście ich obu” rozumieją napominanie publiczne, albo też polczkowanie pantoflami.

mi uczciwie. Kiedy pomiędzy waszemi żonami są takie, których nie kochacie, może być, że właśnie nie kochacie téj, którą Bóg wielkim uczynić chciał skarbem.

24. Jeśli chcecie rozłączyć się z żoną, której daliście posag wartości jednego talentu (1), a połączyć z inną kobietą, nie odbierajcie pierwszej posagu. Czyżbyście chcieli wydrzść go jój przez jawną niegodziwość i niesprawiedliwość?

25. Wydrzść, poprzednio z nią mieszkawszy, i oddawszy jój wiarę swoją?

26. Nie żęńcie się z niewiastami, które były małżonkami ojców waszych; jestto zwyczaj niedobry, a nawet szpetny i obrzydły: dopuścicież utrzymywać się temu, co się już raz stało.

27. Zabrania się wam żęnić z waszemi matkami, córkami, siostrami, ciotkami i stryjenkami, siostrzeńcami od sióstr, lub od braci, z mamkami lub siostrami mlécznymi, z matkami waszych żon, z dziewczętami powierzonymi waszój opiece i zrodzonymi z kobiet, z któremiście wspólnie mieszkali. Lecz jeśliście razem z nimi nie mieszkali, nie ma zbrodni w takim małżeństwie. Nie żęńcie się również z córkami synów przez was spłodzonych, ani z ich siostrami. Jeżeli się zaś już co stało, Bóg będzie wyrozumiały i miłosierny.

28. Nie pozwala się wam poślubiać mężatek, wyjąwszy tych, które jako niewolnice wpadły w ręce wasze. Takie jest prawo Boże. Zresztą możecie kupować żony za pieniądze, utrzymując je wszakże w dobrych obyczajach, a nie w rozpuszcie. Wyznaczcie téj, z którąście mieszkali przyobiecany posag; jestto konieczne. Nie jest zbrodnią zawierać umowy z wiadomością przepisów prawa. Bóg jest mądry i umiętny.

29. Kto nie będzie dość bogatym, aby się mógł żęnić z kobietami uczciwymi i wiernymi, pojmie prawowierne niewolnice. Bóg zna waszą wiarę. Pochodzicie wszyscy jedni od drugich, (a Adam jest waszym wspólnym ojcem). Żęńcie się z niewolnicami za poprzedniem pań ich zezwoleniem. Uposażcie je przyzwoicie. Niech będą czyste, unikają wszeteczeństwa i nie mają kochanków.

30. Jeżeliby po zamężciu popełniły cudzołstwo, niech ponoszą połowę kary na żony wolne (2) naznaczonej. Prawo to jest

(1) Po arabsku kintar 1000 denarów czyli pieniążków złotych.

(2) Jawnie to dowodzi, że cudzołstwo nie karano śmiercią, bo inaczej nie byłoby mowy o połowie kary.

ustanowione dla tych, którzy obawiają się grzechu, żyjąc w bezżeństwie. Lecz większąby była zasługa wasza, gdybyście się powstrzymywali. Bóg jest wyrozumiałym i miłosiernym.

31. Bóg jasno chce wyłożyć wam wolę swoją, i prowadzić was na drodze przodków waszych. On przyjmie żal wasz, bo jest mądrym i umiejętnym.

32. Podoba się Bogu skrucza wasza, lecz ci co słuchają namiętności, w przepaść was chcą wciągnąć. Bóg pragnie wam osłodzić jarzmo wasze, sam bowiem przez się człowiek słaby stworzon jest.

33. Wierni! nie trwońcie waszego mienia na rzeczy marne (1). Niech się handel odbywa za ugodą zobopólną; nie zabijajcie jedni drugich, sam Bóg miłosiernym jest względem was.

34. Ktokolwiekby tak przez niegodziwość i przez złość postąpił, od ognia zginie. Zaprawdę, nietrudno będzie Bogu to uskutecznić.

35. Jeśli potraficie unikać ciężkich grzechów, które wam popełniać zabroniono, zmażemy winy wasze i przygotujemy wam wnijscie do raju.

36. Nie pożądcie dóbr, któremi Bóg jednych nad drugich wywyższył. Mężczyźni i kobiety, każdy dostanie to, na co sobie zarobił. Boga prosić trzeba o dary. On posiada znajomość wszystkiego.

37. Wskazaliśmy każdemu spadkobierców, którzy mają prawo do odbioru puścizny zostawionej im przez ojców, matki, krewnych i tych, z którymi umowę zawarli. Oddajcie każdemu co mu się przynależy, bo Bóg jest świadkiem wszystkich uczynków waszych.

38. Mężczyźni mają pierwszeństwo nad kobietami, ponieważ Bóg dał im wyższość nad nimi, że je wyposażają z dóbr swoich. Żony cnotliwe są posłuszne i pokorne; troskliwie dochowują w nieobecności mężów tego, co Bóg nietkniętém zachować rozkazał. Mężowie doznający ich nieposłuszeństwa, mogą je napominać, zostawić same w ich łóżach, a nawet bić je; uległość niewiast powinna dla nich być ochroną od złego z nimi obchodzenia się. Bóg jest wielki i wspaniałomyślny.

39. Jeśli się obawiacie poróżnienia między małżonkami, przyzwijcie sędziego polubownego z rodziny męża i żony. Jeżeli

[1] Komentatorowie rozumieją przez to lichwę, gry, podarki dla przekupywania sędziów, i t. p.

małżonkowie pragną zgody, Bóg pozwoli im żyć w zobopólném porozumieniu, bo on jest umny i wszystkiego świadomy.

40. Czcijcie Boga, jego tylko jedynie wyznając. Okazujcie dobroć ojcom i matkom, krewnym, sierotom, biednym, klientom obcym i krwią z wami połączonym, towarzyszom, podróżnym i niewolnikom waszym. Bóg nie cierpi dumnych i zarozumiałych.

41. Nie lubi skąpców, którzy skąpstwo innym zalecają, a sami starannie kryją mienie od Boga im dane. Przygotowaliśmy dla niewiernych haniebną karę.

42. Nie lubi takich, co rozdają jałmużnę dla chępliwości i nie wierzą w Boga i w dzień ostateczny. Kto tylko ma szatana za towarzysza, złe towarzystwo ma.

43. Czyżby co stracili wierząc w Boga w dzień ostateczny, i rozdając jałmużnę z dóbr im od Boga udzielonych, skoro ten Bóg zna czynności ludzkie?

44. Bóg nikomu krzywdy nie wyrządzi, nawet na wagę atomu; dobry uczynek podwójnie opłaci i wspianiałą zań udzieli nagrodę.

45. Co poczną źli, skoro przeciwko nim stawimy świadków ze wszystkich narodów, i twojej własnej Mahomecie zażądamy co do nich opinii! W tym dniu straszliwym niewierni i nie posłuszni prorokowi, woleliby wpaść w ziemię i skryć się przed widokiem wszystkiego. Przed wiekuistym jednakże żadnego uczynku ukryć nie potrafią.

46. Wierni! nie módlcie się po pijanemu: poczekajcie, aż będziecie w stanie zrozumieć odmawiane przez siebie wyrazy. Nie módlcie się kiedyście nieczyści: wstrzymajcie się dopóki nie dopełnicie obmywania, chybabyście w drodze byli. Jeśliście słabi albo w podróży, gdyście odbywali naturalną potrzebę, lub obcowali z kobietą, potrzyjcie sobie twarz i ręce choćby najmniejszym pyłkiem w braku wody (1). Bóg jest wyrozumiały i miłosierny.

47. Czyście nie zauważyli tych, którzy częśc tylko pism świętych dostali? Rozpowszechniają błąd i chcą was z prawej drogi sprowadzić; lecz Pan zna nieprzyjacioły wasze. Dosyc wam być pod opieką i strażą Boga.

48. Pomiedzy żydami są tacy, którzy przedstawiają słowa biblii, mówiąc: słyszeliśmy, lecz wykonywać nie chcemy. Uwa-

(1) Ten rodzaj oczyszczenia zowie się *Teiemmum*.

żaj o czémeś dotąd jeszcze nigdy nie słyshał i pojmił nas. — Gmatwają własne słowa językiem i szkalują prawdziwą religią.

49. Czemuż raczej nie powiedzą:—słyszeliśmy i usłuchamy. Pojrzyj na nas i skłoń ku nam ucho twoje. — Mowa podobna byłaby daleko uczciwsza i pożyteczniejsza. Lecz Bóg ich przeklął dla ich niedowiarstwa, i mała jest tylko między niemi liczba wierzących (1).

50. Wy coście dostali biblią, uwierzcie temu co Bóg zesłał z niebios na potwierdzenie waszych ksiąg świętych, a to wprzód, nim rysy twarzy waszych starte i na przeciwną stronę odwrócone zostaną (2). Uwierzcie zanim was wyklniemy, jakieśmy wyklęli pogwałcicieli szabasu. Rozkaz Boga natychmiast został spełniony.

51. Bóg zbrodni bałwochwalstwa nie przebaczy; odpuści inne grzechy komu tylko zechce; ale ten, który z Bogiem inne istoty brata, okrutną popełnia zbrodnię.

52. Widzieliście tych ludzi, jak się starali usprawiedliwiać? Lecz Bóg będzie miał za usprawiedliwionych tych tylko, których zechce, i nikt najmniejszej od niego nie dozna krzywdy.

53. Czy nie widzisz, jak na rachunek Boga kłamstwa kowają? Starczy to jednak, aby ich uznać winnymi nieprawości.

54. Czy nie uważałeś że ci, którym dano część pism świętych wierzą jeszcze w Djbta i w Thaguta (3), i mówią niewiernym, że lepszą sobie jak sami wierni obrali drogę?

55. Ichto Bóg niebłogosławieństwem swoim okrył. A któż będzie mógł popierać przez Boga wyklętych?

56. Czy dostaną się do królestwa o którym marzą, oni, co bliźniemu *obola* dać żalowali?

57. Czy będą innym łaski Bożej zazdrościć? A przecieśmy dali linii Abrahama i pisma święte, i mądrość, i wielkie królestwo.

58. Jedni z nich wierzą w proroka, drudzy od niego stronią. Na ich zbrodnię jednak starczy ognia piekielnego.

59. Tych, co nie zechcą uwierzyć w znaki nasze, na gorący wystawimy ogień. Skoro się ich skóra spali, w inną ich przy-

(1) To znaczy, że niewielu Izraelitów na islamizm przeszło.

(2) Jestto dosłowne tłumaczenie tekstu. Dwojako ten kawałek wykładają: potępieni będą mieli albo wykręconą szyję, w ten sposób: że co było na przodzie, na tył się obróci; albo też ich rysy twarzy, usta i nos będą starte, i na wzór tyłu głowy zrównane.

(3) Nazwisko bóstw pogańskich Arabów.

obleczemy, ażeby im dać uczuć męki straszliwe. Bóg jest potężny i mądry.

60. Wierni zaś i dobroczynni wnikną do ogrodów strumieniami oblanych, pozostaną tam wiecznie; znajdą rozkoszne cienie i kobiety od wszelkiej wolne zmały.

61. Bóg każe oddawać rzecz wam powierzona, prawemu jej właścicielowi i sądzić uczciwie bliźnich waszych. Jestto piękne zalecenie Boga. On wszystko widzi i słyszy.

62. Wierni! bądźcie posłuszni Bogu, apostołowi i przełożonym waszym. Nieporozumienia swoje zanoście przed Boga i przed apostoła (1), jeśli wierzycie w Boga i w dzień ostateczny. Jestto najlepszy sposób zakończenia waszych sporów.

63. Czy nie widziałeś tych, którzy niby wierzą w księgi tobie i przed tobą zesłane, a chcą być sądzeni przez Thaguta, chociaż im było zabronione weń wierzyć (2)? Szatan pragnie ich jak można najdalej od prawdy odwieść.

64. Chociaż im się powie: Nawróćcie się do księgi zesłanej z nieba apostołowi, to oni obłudni odwrócą się na to i oddalą.

65. Cóż poczną, gdy w nagrodę ich czynów, wielkie na nich zawiśnie nieszczęście? Przyjdą do ciebie, i zaklinać się będą na Boga, że dobrego tylko i zgody pragnęli.

66. Bóg czyta w głębi ich serc. Ty zerwij z niemi i zgrom ich surowo w słowach duszę przenikających.

67. Zesłaliśmy apostołów dlatego, aby ich słuchano. Jeżeli ci, którzy dopuszczali się nieprawości powrócą do ciebie, jeżeli będą błagać Boga o odpuszczenie im grzechów ich, a prorok się za niemi przyczyni, znajdą Boga łaskawym i gotowym do przyjęcia ich skruchy.

68. Przysięgam na twego Boga, że nie staną się wiernemi, dopóki cię nie obiorą sędzią sporów swoich. Potém zaś widząc, że łatwo jest wierzyć temu, coś postanowił, sami się uspokoją.

69. Gdybyście im kazali samym sobie śmierć zadać, albo kraj swój opuścić, niewielu z nichby usłuchało. A jednak wy-

(1) To jest radźcie się koranu, który jest słowem Bożem.

(2) Zwrot ten ma się odnosić do jakiegoś postanowienia Mahometa, wyrzeczonego w sprawie między pewnym żydem i muzułmanem wynikłej. Ten ostatni sądząc się być obrażonym, nie chciał uleść wyrokowi, i pragnął przez kogo innego być sądzonym. Omar, zostawszy kalifem, kazał mu ściąć głowę i tém całą rzecz zakończył.

pełniając rozkaz Boga, mogliby i korzyść przez to osiągnąć, i wiarę swoją umocnić.

70. Byliby wynagrodzeni wspaniale i naprowadzeni na proste gościniec.

71. Kto uwierzy w Boga i w apostoła, wnijdzie do towarzystwa proroków, sprawiedliwych, męczenników i ludzi cnotliwych, których Bóg swemi dobrodziejstwami osypał. Jakżeż piękne stanowić będą społeczeństwo!

72. Taka jest szczodroblivość Boga. Jego nauka wszystkiemu starczy.

73. Wierni! bądźcie przezorni na wojnie, i postępujcie naprzód albo oddziałami tylko, albo razem.

74. Znajdzie się między wami taki, który się zwolna wlec za wami będzie, a w razie przegranej rzeczy: Bóg mi okazał swą szczególniejszą łaskę, żem się w bitwie nie znajdował.

75. Jeśli Bóg da wam zwyciężyć, rzeczy (jak gdyby żadna przyjaźń między nim a wami nie istniała):— Gdyby się Bogu było podobało, abym z nimi walczył, odniósłbym łup obfity.

76. Niech ci, którzy gardzą życiem doczesnym dla życia przyszłego, walczą na drodze Boga; a czy zostaną zwyciężeni, czy też sami zwyciężą, damy im zawsze wspaniałą nagrodę.

77. Dlaczegoż nie mielibyście walczyć na drodze Pańskiej, kiedy słabi, kobiety i dzieci wołają:—Panie, wywiedz nas z tego miasta złych, daj nam obrońcę, ześlij nam opiekuna!

78. Wierni walczą na ścieszcze Bożej, a niewierni na drodze Thaguta. Walczcie więc ze stronnikami szatańskimi, a zaprawdę, podejścia ich będą bezsilne.

79. Uważaliście tych, którym się rzekło: Odpocznijcie w walce na chwilę, pomódlcie się i rozdajcie jałmużnę; a kiedy potem znów walczyć im kazano, wielu z nich, bojąc się nieprzyjaciół, tak jakby Boga samego, a może i więcej nawet, zawołało: Panie! czemuż nam wojnę nakazujesz? czemu raczej nie dozwolisz, abyśmy doszli do naturalnego końca dni naszych?—Odpowiedz im:— Ten tu świat małej jest wartości, życie przyszłe dopiero jest prawdziwym szczęściem dla tych, którzy Boga się boją. Tam was ani na odrobinę nie oszukają.

80. Gdziekolwiek będziecie, śmierć was dosięże; dosięgłaby was nawet w wieżycach wyniosłych. Kiedy niewierni odniosą jakie korzyści, mówią: to pochodzi od Boga. Jak popadną w jaką

niełaskę, wołają: to twoja sprawa Mahomecie! Odpowiedz im natenczas: Wszystko od Boga pochodzi. Co to jest, że ten naród wiele jeszcze rzeczy zrozumieć nie może?

81. Jeśli ci się co dobrego przytrafi, od Boga je masz; złe zaś od ciebie pochodzi (1). Wysłaliśmy cię Mahomecie do ludzi z powołaniem proroka. Świadeństwo Boga jest dostateczne.

82. Kto proroka słucha, Boga słucha. Nie zesłaliśmy cię na to, abys był stróżem tych, co się od ciebie odwracają.

83. Przed tobą mówią: Słuchamy. W twojej zaś nieprzytomności wielu z nich knuje w czasie nocy zamiary, przeciwne temu co wyrzekli; lecz Bóg spisuje ich zdrady. Oddal się od nich i ufaj Bogu; dosyć ci, Jego tylko mieć obrońcą.

84. Czy nie słuchają pilnie koranu? Gdyby kto inny a nie Bóg był jego stwórcą, czyżby w nim nie upatrzili tysiącznych sprzeczności?

85. Skoro posłyszają nowinę, która albo im bezpieczeństwo rokuje, albo téż ich trwoży, zaraz ją rozgłaszają. Gdyby ją oznajmili prorokowi, lub naczelnikom swoim, chcący się o niej dowiedzieć usłyszeliby ją z ust tych ostatnich. Gdyby łaska i miłosierdzie Boże nie czuwały nad wami, wielu z was usłuchałoby rad szatańskich.

86. Walcz na ścieszcze Bożej, i sobie tylko trudne do wypełnienia zadawaj obowiązki. Pobudzaj wiernych do walki. Bóg czuwa nad wstrzymaniem gwałtowności niewiernych. On od nich mocniejszy, a kary Jego są jeszcze sroższe.

87. Kto się będzie przyczyniał w celu chwalebnym, osiągnie owoc przyczynienia swego, a kto się wstawi w złym celu, ukaranie poniesie. Bóg zważa na wszystko.

88. Gdy ci się kto pokłoni, odkłoń mu się jeszcze grzeczniej, a przynajmniej odkłoń się. Bóg wszystko liczy.

89. Bóg sam tylko jest Bogiem. On was zgromadzi w dniu zmartwychwstania; o tém nie ma żadnej wątpliwości. A któż w swych słowach jest nad Boga prawdziwszy?

(1) Aby te wyrazy z zamieszczonemi w wierszu poprzedzającym pogodzić, komentatorowie czynią uwagę: że wszelkie złe z grzechów ludzkich pochodzi.

90. Czemu się dzielicie na dwa stronnictwa, skoro rzecz o obłudników idzie (1). Bóg ich zniweczył za ich nieprawości. Czy chcecie prowadzić tych, którym Bóg dał zbłądzić? Nie ma ścieżki dla tego, któremu Bóg zbłądzić dozwala.

91. Chcąc wszystkich widzieć równymi, chcieli was tak, jak siebie, na niewiernych wy kierować. Nie zawierajcie z nimi związków, dopóki nie opuszczą kraju swego dla sprawy Pana. A gdyby znowu popadli w niewiarę, łapcie ich, i na każdym miejscu zabijajcie. Nie szukajcie między nimi ani obrońców, ani przyjaciół;

92. Z wyjątkiem tych, którzyby u waszych sprzymierzonych przytułku szukali, i z wami, albo z własnym pokoleniem wojować musieli. Gdyby Bóg chciał, dałby im przewagę nad wami, i bylibyście ciągle zwyciężani. Jeśli złożą broń swoją i o pokój was proszą, Bóg zabrania wam zaczepiać ich.

93. Znajdą się i tacy, którzy zechcą nabyć wasze i narodu swego zaufanie. Ilekroć tylko wezmą udział w buntach, porażeni zostaną. Jeśli się na bok nie usuną, pokoju zawrzec nie zechcą i dalej się z wami biją, chwytajcie ich i każń im zadawajcie, gdzie ich tylko napotkacie. Dajemy wam nad nimi władzę nieograniczoną.

94. Dlaczegożby jeden wierny miał zabijać drugiego wiernego umyślnie? Jeśli się to komu mimowoli przytrafi, ma wyzwolić jednego prawowiernego niewolnika, i zapłacić rodzinie zmarłego cenę krwi prawem oznaczoną; chyba, że mu tę sumę na jałmużnę zamienić dozwolą. Za przypadkowe zabicie wiernego z narodu nieprzyjacielskiego, wyzwala się jednego prawowiernego niewolnika. Za śmierć człowieka z narodu sprzymierzonego, wyzwoli się prawowiernego jeńca, i wypłaci rodzinie zmarłego sumę przepisaną. Kto zaś nie znajdzie niewolników do wykupienia, ma pościć przez dwa miesiące z rzędu. Takie są środki zmazania winy przez mądrego i umiejętnego Boga ustanowione.

95. Kto umyślnie zabije wiernego, otrzyma piekło w nagrodę, i będzie w niem wiecznie zostawał. Zagniewany Bóg przeklnie go, i na okrutne skaże męki.

(1) To się stosuje do tych, którzy prosili Mahometę aby ich odprawił przed przybyciem do Medyny, a później złączyli się z poganami. Muzułmanie wahali się, czy trzeba było uważać ich za niewiernych, i jako takich śmiercią ukarać.

96. Wierni! kiedy idziecie na świętą wyprawę, ważcie uczynki wasze. Niech chciwość dóbr świata tego nie skłoni was do nazwania niewiernymi (1) tych, których spotykacie, i którzy się wam kłaniają. Bóg posiada nieskończone bogactwa. Takeście dawniej robili. Niebo wam to przebaczyło. Rozważajcie więc, zanim zaczniecie działać. Bóg wie o wszystkich uczynkach waszych.

97. Wierni, którzy pozostaną w domach swoich nie zniewoleni potrzebą poświęcać siebie i mienie swoje, nie będą uważani zarówno z temi, którzy walczyli na drodze Boskiej. Bóg wyżej tych, aniżeli tamtych ceni; wszystkim On wprowadzić piękne poczynił obietnice, ale dla walczących przeznaczył nagrodę większą jak dla tych, którzy w domach swoich zostają.

98. Wyrozumiałość i miłosierdzie wyższym są jeszcze stopniem. A Bóg zaprawdę jest wyrozumiałym i miłosiernym.

99. Aniołowie odbierając życie tym, którzy niegodnie względem siebie samych postępowali, zapytali ich: z kąd jesteście? Odpowiedzieli: Jesteśmy słabemi ziemianami. Aniołowie im na to rzekli: Ziemia Boża czyż nie jest dość obszerną; nie mogliścież, opuszczając kraj wasz gdzieindziej szukać schronienia? Otóżto dlatego piekło będzie ich mieszkaniem. Jakże niegodziwą obrabli sobie drogę!

100. Mężczyźni tylko i kobiety słabe, oraz dzieci niezdolne pojąć co jest podstęp, i nieumiejące same sobą kierować, ci może tylko otrzymają przebaczenie Boga, gdyż on jest wyrozumiałym i miłosiernym.

101. Kto opuści kraj swój dla sprawy Boga, nie sam jeden tylko to uczyni, a posiędzie w obfitości dobra ziemskie. Kogo zaś po opuszczeniu kraju dla sprawy bożej śmierć zaskoczy, wynagrodzić mu to będzie obowiązkiem Boga, boć On jest wyrozumiałym i miłosiernym.

102. Nie będzie grzechem, jeśli bojąc się być złapanemi przez niewiernych, w czasie odbywania wędrówek po kraju, skrócicie wasze modlitwy; niewierni są waszemi jawnymi nieprzyjaciółmi.

(1) Często się zdarzało, że Mahometanie spotykając w wycieczkach swoich ludzi nieznanomych, zabijali ich. Dla uniewinnienia się mawiali, że to byli niewierni, gdy tymczasem złupić ich i obdrzeć jedynym ich było zamiarem.

103. Kiedy będziesz w pośrodku wojsk swoich, i rozkażesz odmawiać modlitwę, niech jedna część żołnierzy z bronią w rękę się modli; po odprawieniu aktów uwielbienia (1) niech w tył się cofnie, a jój miejsce niech zastąpi druga część wojska, która się jeszcze nie modliła. Niech wszyscy zostają pod bronią i mają się na ostrożności. Niewierni radziby napaść was znienacka, gdy opuścicie broń i pakunki wasze. Jeśli wam dészcz przeszkadza, lub słabi jesteście, możecie zdjąć z siebie uzbrojenie; w każdym razie miejcie się na ostrożności. Bóg srogie dla niewiernych gotuje karanie.

104. Po skończeniu modlitwy myślcie jeszcze o Bogu, stojąc, siedząc albo na bokach leżąc. Skoro tylko zostajecie w bezpieczeństwie, odprawiajcie modlitwę. Ona jest dla wiernych obowiązkiem do pewnych stałych godzin przywiązany.

105. Nie ustawajcie w ściganiu nieprzyjaciół waszych. Jeśli cierpicie, oni także cierpieć będą; lecz wy możecie spodziewać się od Boga tego, czego oni spodziewać się nie mogą. Bóg jest mądry i umiejętny.

106. Postaliśmy ci księgę prawdy, abys sądził ludzi tak jak cię Bóg nauczył. Nie wchodź w sprzeczkę z niegodziwemi i błagaj Boga o przebaczenie. On jest wyrozumiały i miłosierny.

107. Nie spieraj się z nami o tych, którzy ohydnie względem samych siebie postąpili. Bóg nie cierpi wiarołomcy i zbrodniarza.

108. Mogą ukryć plany swoje przed wzrokiem ludzkim, ale nigdy przed Bogiem. Kiedy w czasie nocy miewają rozmowy, które się Bogu nie podobają, On przy nich jest. Wiedzą swoją obejmuje wszystkie sprawy ich.

109. Spieracie się ze mną o nich na tym tu świecie; lecz któż z Bogiem spierać się będzie na ich korzyść w dniu zmartwychpowstania? Kto będzie ich obrońcą?

110. Kto się złego dopuścił uczynku, popełnił nieprawość względem własnej duszy swojej; lecz niech błaga potem Boga o przebaczenie, a znajdzie Go pobłażającym i miłosiernym.

111. Ktokolwiek grzeszy, czyni to na zaturę swoją. Bóg jest mądry i umiejętny.

(1) Modlitwa mahometańska składa się z klęczeń *r' k' a*, i uwielbień, *sudud*, które zasadzają się na leżeniu plackiem na ziemi.

112. Ktokolwiek błądzi lub grzeszy, i błąd swój na niewinnego zwała, zarzutem kłamstwa i oczywistego grzechu obciążon będzie.

113. Gdyby nie łaska Boga i Jego ku tobie miłosierdzie, wielu tych, którzy zamierzali zwieść cię z prawej drogi, dokonaloby zamiaru swego. Lecz oni sami się zbłąkali, a tobie zaszkodzić nie zdołali (1). Bóg zesłał na ciebie księgę i mądrość; nauczył cię tego, o czémeś nie wiedział. Wielką Bóg okazał łaskę względem ciebie.

114. Nie dobrego między sobą potajemnie nie mówią. Lecz kto zaleca jałmużnę, dobre uczynki, albo zgodę między ludźmi, czyniąc to dla przypodobania się Bogu, niewątpliwie wspaniałe wynagrodzenie otrzyma.

115. Kto ścierać się będzie z prorokiem po czasie jego objawienia, i postępować drogą niewiernych: odwrócimy się ku niemu plecami, tak jak on się od nas odwrócił, i przybliżymy go do ognia *gehenny*. Co za okropne rozwiązanie!

116. Bóg nie daruje zbrodni tym, którzy z Nim inne bóstwa bratają; resztę przebaczy komu zechce: lecz kto tylko stowarzysza z Nim innych bogów, jest na drodze fałszywej, daleki od prawdy.

117. Wzywają raczej bóstwa niewieście, anizeli Boga (2); raczej nieposłusznego szatana, jak Boga.

118. Niechaj niebłogosławieństwo boże cięży nad nim. On rzekł: zabieram pewną część twoich służących; dam im się zbłąkać, żądze w nich obudzę, powiem aby mi poobcinali uszy niektórych zwierząt, rozkażę im naruszyć stworzenie boże (3). Kto szatana raczej niż Boga za obrońcę bierze, nieochybnie zginie.

119. Obietnice im czyni i żądze ich pobudza, lecz szatan obiecuje jedynie w celu zaślepienia.

(1) To się ma odnosić do kradzieży popełnionej przez syna jednego z towarzyszków Mahometa, którego winę chciał prorok na żyda jakiegoś zwalić. Mahomet był już gotów przyznać wygraną swojemu współwyznawcy, gdy włém wiersze 112 i 113 zostały mu objawione.

(2) Arabowie czczą Lat, Ozza i Menat, które córkami Boga być mienia.

(3) Mahomet wyrzuca tu niektóre zwyczaje Arabów pogan; komentatorowie sądzą, że przez powyższe wyrazy chciał on potępić kastracyą niewolników, wyciskanie znaków na ich twarzy i ciele, przypilowywanie zębów i występki przeciwko naturze, tak pomiędzy kobietami, jako téż i mężczyznami praktykowane.

120. Gehenna będzie ich mieszkaniem, z którego nie znajdą wychodu.

121. Tych zaś co wierzą i dobre uczynki spełniają, wprowadzimy do ogrodów strumieniami zroszonych, i pozostaną tam wiecznie na mocy prawdziwego przyrzeczenia bożego. A któż nad Boga jest nieomylniejszy w słowach?

122. Nie stanie się to podług waszego, albo téż waszych pisarzów świętych przywidzenia. Kto tylko popełni złe, złem odplacone mieć będzie, i żadnej przed Bogiem obrony i wstawienia nie znajdzie.

123. Mężczyźni, czy kobiety, byle tylko byli wierni i dobroczynni, wejdą do raju i co do najmniejszej nawet części nagrody swojej oszukani nie zostaną (1).

124. Któż piękniejszą wyznawa religią nad tego, który się całkowicie Bogu porучzył, wykonywa dobre, i postępuje według wyznania Abrahama prawdziwego wyznawcy? Bóg obrał sobie Abrahama przyjacielem.

125. Bożem jest, co tylko istnieje na ziemi i niebie. Bóg ogarnia wszystko.

126. Zapytywać będą ciebie (Mahomecie) o kobiety; powiesz im: Wszak was Bóg o nich nauczał, czyta się wam z koranu przepisy, odnoszące się do sierot dziewcząt, którym nie dajecie to, co wam nakazano, a żenić się z nimi nie chcecie. Naucza się was jak się obchodzić z dziećmi bezwłasnowolnymi, zaleca się wam uczciwość w wychodzeniu z sierotami. Nie spełnicie żadnego dobrego uczynku, o którymby Bóg nie wiedział.

127. Jeżeli kobieta obawia się gwałtowności męża swego, albo téż jego ku sobie odrazy, nie będą winni, jeśli się zgodnie z sobą ułożą (2): zgoda wielkiem jest dobrem. Ludzie skłonni są do skąpstwa; jeżeliście dobroczynni i boicie się Boga, On się dowie o czynnościach waszych.

128. Nigdy nie możecie jednakowo ze wszystkimi żonami się obchodzić, chociażbyście tego jak najusilniej pragnęli. Strzeżcie się więc całkowicie za popędem idąc, jedną z nich, jak gdyby w zawieszeniu zostawiać; jeśliście wspaniałomyślni i boicie się Boga, On będzie wyrozumiałym i miłosiernym.

(1) Na objętość dołka przy daktylowej pestce.

(2) Pozwoloném jest kobiecie odstąpić pewną część, a nawet i cały swój posag mężowi, w celu otrzymania jego zezwolenia na rozwód.

129. Jeżeli się dwoje małżonków rozłączy, Bóg ich darami swojemi obdarzy. On jest mądry i niezmierny.

130. Wszystko co jest na ziemi i na niebie, Jego jest własnością. Zaleciliśmy już tym, którzy dostali pismo święte przed wami, jak również i wam, bać się Boga i strzedz się niewiary. Jeśli tak czynicie, wiedźcie, że wszystko w niebie i na ziemi Jego jest. Ono bogaty i pełen chwały.

131. Co tylko jest w niebie i na ziemi, do Niego należy. Dosyć jest mieć Boga obrońcą.

132. Śmiertelni! jeśli zechce, da wam zniknąć i innych na wasze miejsce postwarza ludzi. Zaprawdę, Bóg dosyć jest potężnym, aby to mógł zrobić.

133. Czy żąda kto nagrody ziemskiej? Tak tego, jako też i przyszłego świata nagroda od Boga zależy. On wszystko widzi i słyszy.

134. Wierni! świadczcie sprawiedliwie przed Bogiem, czyto przeciwko wam samym, czy też przeciwko rodzicom, krewnym, bogatym lub ubogim. Bóg bliższy jest od was tak bogatego, jak i ubogiego. Nie słuchajcie namiętności waszych, z bojaźni, abyście nie zgrzeszyli. Jeśli nie chcecie świadczyć albo się od tego wstrzymujecie, wiedźcie, że Bóg zna czynności wasze.

135. Wierni! wiercie w Boga, w apostoła, w księgę jemu objawioną, i w pismo święte przed nim zesłane. Kto nie wierzy w Boga, w Jego aniołów, w Jego księgi, w Jego apostołów i w dzień ostateczny, w obłąkaniu zostaje.

136. Wierni którzy popadli w niewiarę, potem się poprawili, a w końcu znowu niewiernymi stali, nie otrzymają przebaczenia Bożego, i nie będą naprowadzeni na prostą drogę.

137. Zapowiedz obłudnikom bolesną karę;

138. Tym, co szukają przyjaźni między niewiernymi, a nie między sprawiedliwymi; czy to robią dla jakiej próżnej chwały? Chwała, Bogu się tylko należy.

139. Już wam to wyłożono w koranie, że kiedy się zbieracie dla słuchania znaków Bożych, albo w takowe nie wierzą, albo je w śmiech obracają. Strzeżcie się więc zasiadać wespół z niewiernymi, dopóki o czém inném mówić nie zaczną, bo moglibyście stać się im podobni. Bóg razem i obłudników i niewiernych w piekle (w gehennie) osadzi.

140. To są ci, co idą za wypadkami: jeśli wam Bóg dozwoli zwyciężyć, powiadają: czyż nie jesteśmy z wami? A kiedy

się niewiernym powiedzie, mówią im: mieliśmy przeważną siłę, i wspieraliśmy was przeciwko wiernym. Bóg osądzi ich w dniu zmartwychwstania, a niewiernym nie da pierwszeństwa przed sprawiedliwemi.

141. Obludni chcą oszukać Boga; a tymczasem Bóg ich pierwszy zawiedzie. Kiedy się zabierają do modlitwy, czynią to niedbale, popisując się przed ludźmi, a nie myśląc o Bogu;

142. Wahając się między jednym a drugim, i ani do tego, ani owego nie należąc. Lecz nie znajdzie drogi ten, kogo Bóg obłąkał.

143. Wierni! sprawiedliwych, nie zaś niewiernych za przyjaciół wybierajcie. Czyż chcecie dostarczyć Bogu dowód niezbi-ty przeciwko samym sobie?

144. Obludni będą straceni na same dno przepaści ognia, i żadnej nie otrzymają pomocy.

145. Lecz ci, którzy się nawrócą, poprawią, stale do Boga przywiążą, i szczeremi w wierze swojej okażą, znowu się z wiernymi połączą. Bóg zaś przyzna sprawiedliwym świetne wynagrodzenie.

146. Za cóżby na was Pan Bóg zsyłał kary, gdybyście byli i wdzięczni i wierni? Bóg lubi być wdzięcznym i wie o wszystkiem.

147. Nie cierpi On, kiedy kto złe rozgłasza, chyba sam był ofiarą ucisku. Bóg wszystko widzi i słyszy.

148. Czy rozgłaszacie lub ukrywacie dobre, albo też przebaczacie złe, Bóg zawsze jest wyrozumiałym i potężnym.

149. Ci, co nie wierzą w Boga i w jego apostołów, i oddzielają go od nich, mówiąc: Wierzymy jednym, lecz nie wierzymy drugim (wyrażają się pośrednio),

150. Cito są prawdziwie niewierni. Przystosowaliśmy dla nich sromotne męczarnie.

151. Ci zaś, którzy wierzą w Boga i w jego apostołów, żadnej między niemi nie czyniąc różnicy, nagrodzeni będą. Bóg jest wyrozumiałym i miłosiernym.

152. Ludzie mający już pisma, zażądamy od ciebie księgi z nieba zesłanej. Od Mojżesza więcej jeszcze chcieli. Mówili doń: pokaż nam Boga samego; lecz na ukaranie ich złości, roztoczyliśmy nad niemi burzę straszliwą. Potem zaczęli ubóstwiać cielece, mimo to, żeśmy im okazali znaki oczywiste. Lecz myśmy im przebaczyli, i daliśmy tego jawne dowody Mojżeszowi.

153. Wznieśliśmy ponad głowami ich górę Synai, jako zakład naszego związku, i rzekliśmy im: Wejdźcie do bramy miasta, bijąc czołem przed Panem; nie przestępujcie sabbatu. Zawarliśmy z nimi uroczyste przymierze.

154. Lecz oni to przymierze pogwałcili, znaki Boże zaprzeczyli, a proroków swoich pozabijali. Nasze serca są nieukształcone, rzekli. Tak jest, Bóg przyłożył pieczęcie na ich serca, i stali się niewiernymi, bo mała jest bardzo liczba wiernych.

155. Nie wierzyli w Jezusa, a na Maryą wymyślali kłamstwa bezecne.

156. Mówią: Zamęczyliśmy Messyasa Jezusa, syna Maryi, apostoła Bożego. Nie, oni go nie zabili, nie ukrzyżowali; człowiek jemu podobny za niego podstawiony został. Wielu wiedziało o tém, ale z wieści tylko i niedokładnie; spierali się, chociaż byli w wątpliwości. W samą rzecz oni go nie zabili. Bóg go wznosił do siebie, a On jest mądry i potężny.

157. Nie będzie ani jednego człowieka z liczby tych, co wierzyli w pismo święte, któryby przed śmiercią w niego nie uwierzył (1). W dniu zmartwychwstania, On (Jezus) będzie świadczył przeciwko nim.

158. W nagrodę ich złości i za to, że drugich od czci Boga odwodzą, zabroniliśmy im używać pokarmów wysmienitych, które dawniej nie były im zakazane.

159. Ponieważ pobierają lichwę, która jest zabronioną, i spożywają dobra cudze na fatalaszki, przygotowaliśmy im jako niewiernym dolegliwe karanie.

160. Lecz tym z pomiędzy nich, którzy gruntownej są nauki (2), jako téż i wiernym wierzącym w to co było objawione tobie i przed tobą, odmawiającym modlitwy, rozdającym jałmużnę, wierzącym w Boga i w dzień ostateczny: tym wszystkim wspaniale przyznamy wynagrodzenie.

161. Uczyniliśmy przed tobą objawienie, tak jakśmy je uczynili przed Noem i prorokami, którzy po nim żyli: Abrahamem, Izmaelem, Izaakiem i Jakóblem, przed 12tu pokoleniami,

(1) Jedni twierdzą, że Mahomet rozumiał przez to, iż czyto chrześcianin, czy żyd zapytany przed zgonem od anioła, wyzna swą wiarę w Jezusa. Drudzy, że Jezus ma jeszcze wrócić na ziemię, aby zabić antychrysta i umrzeć: wtenczas cały świat uwierzy weń.

(2) To jest żydom niezonym w biblii, przyjaciółom Mahometa, chociaż nowego nie przyjęli wyznania.

Jezusem, Jobem, Jonaszem, Aaronem, Salomonem, i obdarowanym psalmami Dawidem.

162. Niektórych posłanników Bożych daliśmy ci już poznać, lecz byli i tacy o których ci zamilczymy. Bóg rzeczywiście rozmawiał z Mojżeszem.

163. Posłannicy mieli za obowiązek oznajmiać i ostrzegać, dlatego, aby ludzie żadnej nie mieli przed Bogiem wymówki po skończonem apostolstwie. Bóg jest mądry i potężny.

164. Bóg sam jest świadkiem tego, co ci w mądrości swojej zesłał; aniołowie także to widzieli. Lecz świadectwo Boga jest dostatecznem.

165. Niewierni i ci, którzy drugich z Bożkiej sprowadzają drogi, dalecy od prawdy, fałszywo zajmują stanowisko.

166. Bóg nie przebaczy niewiernym i niegodziwym, i nie wskaże im prawej drogi.

167. Chyba drogę *gehenny*, w której wiecznie zostaną; a to łatwo będzie Bogu uskuteczyć.

168. Ludzie! apostoł zwiastuje wam prawdę Pana waszego. Wierzcie więc jej dla własnego dobra, a jeśli zostaniecie niewiernymi, On się bez was obejdzie, bo wszystko co tylko na niebie i ziemi istnieje, do niego należy. On jest mądry i umiejętny.

169. Wy, którzyście otrzymali pismo święte, nie przesadzajcie w wierze waszej (1), i mówcie o Bogu tylko to, co jest prawdą.....

170. Messyasz chętnie jest sługą Boga, tak jak aniołowie, którzy go otaczają.

171. Bóg zgromadzi kiedyś i pysznych i dumnych;

172. Wiernym i dobroczynnym w zupełności należność wypłaci, a nawet powiększy ją ze szczodrobliwości łaski swojej; lecz pysznych i dumnych na straszliwe wystawi karanie.

173. Nikt nie będzie chciał być im opiekunem lub obrońcą przeciwko Bogu.

174. Śmiertelni! Pan zsyła wam dowód jasny jako światłość. Bóg przyjmie na łono miłosierdzia swego i łaski swojej tych, którzy Go nie odstępują i wierzą weń. On ich skieruje na prostą drogę.

(1) To ma znaczyć: wy żydzi wierzcie w posłannictwo Jezusa, a wy chrześcijanie nie uważajcie go za Boga, lecz szukajcie prawdy.

175. Radzić się eiebie będą. Powiesz im: co się tyczy dalszych krewnych tak was Bóg naucza: jeśli kto umiera bezdzietnie, a pozostawia siostrę, to ona otrzyma połowę jego majątku. Brat także będzie spadkobiercą siostry, jeśli umarła bezpotomnie. Dwie siostry mają prawo do dwóch trzecich części braterszczyzny. Jeśli pozostają i bracia i siostry, syn otrzymuje tyle, co dwie córki. Bóg wam to jasno tłumaczy z bojaźni, abyście się nie pomylili. On wie o wszystkiém.



UŁAMEK

Z PAMIĘTNIKA NIEBOSZKI.

WSTĘP.

Spuszczając się myślą po złotej nici wspomnień, co się to jasno wije przez młodości lata, przez wiek dzieciństwa, i dopiero w niepamięci pierwszego brzasku żywota znika, w nic się rozwiewa; spuszczając się po téj nitce w minione lata, przerzucam z namysłem wszystkie pamiątki, jak stronnice książki zbutwiałej, i nie wiem, ażali to zmartwychwstanie ducha z przeszłości niewięcej obudza smutku, niż wesela; nie więcej radości ztąd, że się już tyle przykrój uszło drogi, niż żalu za ową przeszłością, co zawsze świetną błyszczała nadzieją, a rzeczywistego szczęścia nie dosięgła nigdy!

Na każdój stronnicy widzę zawód, pamiątkę jakiejś śmierci, ślad jakiejś żałoby, i strumień łez jednostajnie płynący. Wszystkie ideały, jak promienie słońca o lodowatą skałę, rozbiły się kolejno o gładką rzeczywistość. Tu myśl szlachetna sponiewierana, tam głupstwo natrzęsające się z prawdy; a wszędzie, wszędzie prawie wyrasta cierń na niwie, cnotą chrześcijańską, miłością Bożem zasianą!

Stanąwszy nad grobem téj przeszłości, załamalam ręce! Była chwila zwątpienia, okropnego zwątpienia!... Nie mogłam płakać, chociaż serce łzami nabrzmiałe rozsadzało mi piersi....

Nie myśląc o niczym, usiadłam przy stoliku, i otworzyłam mój pamiętnik. List wypadł z niego. List, który niedawno ze czcią nosiłam na sercu jak relikwią świętą; byłto list zmarłej kobiety, pisany krótko przed śmiercią. Jój myśl ostatnia, ostatnie technienie zawarte było w tych zimnych, martwych głoskach. Te głoski przetrwały wiele, nie zmieniły się pod wpływem czasu, nie rozsypały się w popiół.

Na widok tego listu łzy trysnęły mi z oczu, pałaca jakaś boleść przypomniała mi, że żyję; a treść pisma przywiodła na pamięć obowiązek, jaki na mnie woła umierającej włożyła.

Kiedyś, wśród jednej z tych rozmów pełnych uroku, co zdrojem szczęścia płyną z serc młodzieńczych, przyrzekłyśmy sobie wzajem, że gdyby nas nieprzewidziane okoliczności przed śmiercią rozdzielić miały, ta, która dłużej na ziemi pozostanie, odprawi choć raz w życiu pielgrzymkę do grobu zmarłej.

W tém przedśmiertném piśmie było przypomnienie układu, obowiązującego mnie wolą testamentową nieboszki.

.....„Kiedy to pismo dojdzie rąk twoich, już mnie tu nie będzie..... Pamiętaj o przyrzeczonej pielgrzymce do grobu, który się przedemną otwiera! A mówiąc o grobie, myślę o biednych dzieciach moich.... Truchleję o ich wychowanie, o ich całą przyszłość.... Poznasz kiedyś dom nasz, męża mojego, bliższe stosunki sąsiedzkie...; wiadome ci są niektóre szczegóły, inne śmierć powlecze zapomnieniem.... Oby tylko dzieci moje były szczęśliwsze!....”

Te były ostatnie słowa, już skrzepłą nakreślone ręką. Przyjazd stopiła się w uczucie macierzyńskiej miłości: myślała o dzieciach i o mnie.

O biedna matko! biedna ofiarno!—pomyślałam sobie, i dusza moja utonęła w magnetyczném jasnowidzeniu przeszłości! To, com nigdy widziała, com zasłyszała o niej od chwili naszego rozłączenia, czegom się domyśliła z jój listów, z urywanych, cierpkich odpowiedzi brata, który ją odwiedzał co rok prawie, i znał bliższe stosunki, tajemne okoliczności, w które smutny żywot tej kobiety zdawał się ręką losu wpleciony:—wszystko przesuwało się w méj pamięci wyraźnie, jaskrawo.....

Już ona przetrwała czyscowe męki tego świata, i cześć, pókój wieczny jój duchowi! Ależ te biedne dzieci! te dzieci, o których ona umierając, z boleścią myślała!.... Ależ ten mąż, o którym nigdy należytego powziąć nie mogłam wyobrażenia....

Dziwne rzeczy snuły mi się po głowie. Przypomniałam sobie nagle okoliczności, które towarzyszyły temu małżeństwu, i dreszcz mnie zimny przejął.

Matka Heleny owdowiawszy wkrótce po naszym rozłączeniu, miała, jak to u nas mówią, interesa, a poprostu, długi hipoteczne i podatki zaległe, których nie było czém spłacić. Wypadało zatem wioskę wdzierzawić, i znaleźć dzierzawcę z kapitałem.

Pan Jan Ciemięga, były porucznik, a od lat dwudziestu gospodarz na cudzej roli, z gotowiuteńkimi 60,000 stanął w rzędzie pretendentów do dzierżawy, i otrzymał pierwszeństwo. W rok jakoś potem umarła matka, a w pół roku Helena napisała do mnie list smutny, poważny, oznajmując mi w kilku słowach, że czyniąc zadosyć woli umierającej matki, idzie za pana Ciemięgę, nie czekając końca żałoby.

Nie było w tym liście ani jej myśli, ani jej serca; wszystko powleczone było przymusem, zpod którego wydierało się ku mnie cierpienie! Głoski niektóre były dla mego oka wykrzyknikami boleści, inne błyszczały kroplami łez palących, a inne wydawały tłumione jęki; przyciemnione słowa powiązane w zdania były suche, czeze, zimne jak lodowata skorupa....

Odtąd korespondencya nasza trwała bez przerwy lat kilka i zakończyła się listem, z którego wyjątek przytoczyłam. Moje odezwy brzmiały zawsze dźwiękiem naszej przeszłości, wspomnieniami lat dziecinnych, lat dziewiczych, nad którymi dziś jeszcze rozśmiać się i zapłakać warto. Wydobywałam dla niej zpod serca wszystkie skarby tkliwych pamiątek, wszystkie nadzieje przyszłości, aby ideałem lat ubiegłych i lat oczekiwania pełnych wskrzesić w niej zapal i rozbudzić iskrę dawnego współczucia.

Jej zaś listy wszystkie prawie, podobne były do owego, który mi zapowiadał to małżeństwo. Powoli, odzwyczaiła się i przestała mówić o sobie; treścią jej listów były zawsze dzieci. Poznałam, że one zajmowały nieustannie jej myśl i serce. O mężu nigdy wyraźnej nie było wzmianki.

Myślałam całą godzinę. Noc przemarzyłam, a wkrótce potem wybrałam się w drogę. Dla siebie samej, w skrytości serca, odbywałam pielgrzymkę do grobu świętej—może męczennicy; dla profanów, dla świata, jechałam do ciotki mieszkającej w Lubelskiem, w sąsiedztwie pana Ciemięgi.

* * *

Byłoto jakoś w połowie listopada. Nocy i ranki chłodne, dnie posępne a suche, i ziemia żółtym liściem zasłana, zapowiadały zbliżającą się pomrokę jesienną porę.

Mróz biały posrębrzył zeszlą trawę, mglisty obłok unosił się ponad ziemią, a słońce łzawą, tęskną źrenicą patrzyło na ludzi. Wśród ciężkiej walki z gęstą warstwą mgły, odprawującej powolne wniebowstąpienie swoje, słońce wydierało się ku nam, lecz zwolna gasnąc, sztywniało, jak martwa źrenica trupa, którego

powieki nie przyknięto; i mgła stanęła między światłem a ziemią: niebiosy pobladyły, wilgotne trawy poczerniały na niwach, ptaśtwo stadami się zlatywało, i dęszcz drobny, zimny, przejmujący w gęstej mgle spadać zaczął na ziemię.

Było ostatni dzień mojej pielgrzymki.

Naliczono mi jeszcze około sześciu mil do Woli, w której mieszkała moja ciotka. Po drodze miałam wstąpić do wsi, gdzie spoczywały zwłoki Heleny.

Dojeżdżaliśmy do miasteczka pamiętnego konfederacją, a dziś zalecającego się topielami czarnego błota, pewną liczbą walących się domów, brudem i nędzą mieszkańców, drewnianą uniacką cerkwią i opasłym dzierzawcą, którego żona i córki sprowadzają fioki ze Lwowa, śpiewają włoskie arye po *polsku* i parodują nie-litościwie utwory Liszta na klawicymbale.

O małośmy nie utonęli w tém historycznym mieście.

Wydobyszy się na równą drogę, woźnica oznaczył gościnniec znakiem krzyża świętego, mówiąc:

„Będzieto jeszcze z jakie półtorój mili, ale że droga górzysta i po dęszczu oślizła, to się wolno pojedzie.”

Miałam przed sobą około dwóch godzin czasu. Usnąć nie mogłam: myśl żalu i tęsknoty pełna, ciężyla mi ołowiem na sercu. Wzięłam książkę. Byłyto jakieś myśli o wychowaniu, jakaś rozprawa o uczuciach, jakiś systemat naukowy; a wszystko razem miało być modłą, wedle której nowe pokolenie kobiet ukształcić się było powinno. Systematyczny i kategoryczny wykład obowiązków religijnych, zastanowił mnie. Bo jeżeli religią, to wiele znaczące dziś słowo, pojmujemy tylko zewnątrznie; jeżeli duszą i ciałem przywiążemy się do formy, do litery, nie przenikając sercem wzniosłych zasad i najrozleglejszej idei: jakież owoc wyda to zeschłe ziarno? O! zachowaj nas Boże, aby wiara nasza była martwym, zlodowaciałym trupem, bez miłości, bez czynu!.. Żebyśmy świecąc ludziom faryzejską cnotą, niesły Bogu w ofierze serce obojętne na cierpienia, na nędzę i ucisk bliźniego; żebyśmy z założonemi próżniacko rękoma, pożywały chleb powszedni, potem i krwią biédnego skropiony. O! zachowaj nas Boże od takiej cnoty....

.....
 Doczytując ostatnich kartek rozdziału, wyjechałam na wzgórze. Droga wązka i kręta ciągnęła się żółtym paskiem wśród pagórków, okrytych zielonemi kępami sośniny. Ten żółty pasek,

stykał się z czarną zakłęśłą groblą, ściskającą rozlane wody zarosłego miejscami stawu. Wśród grobli sterczał ponuro zaszargany młyn wodny; wokoło niego biegała boso dziatwa w obdartych koszulach, prosięta nurzały się w błocie, a gęsi z przeciągłym krzykiem ułatywały na środek stawu. Na prawo wznosił się na pochyłości wzgórza wiejski nieogrodzony cmentarz. Krzyż niegdyś czerwono malowany, i gęsto posiane mogiły bez pomników, bez ozdób, świadczyły, że tam spoczywają kości kilku zapracowanych pokoleń, o które potomność niewiele się troszczy. Tylko znak zbawienia, święte godło męczeństwa, wzniesione kosztem włościańskiej gromady — krzyż, z wyciągnionemi ramionami sterczał wśród mogił, jakby przygarnąć, przytulić chciał do serca kości męczenników, których żywot przewlókł się w ciężkim a krwawym znoju! Dalej w prawo, wyglądał murowany kościółek wśród zabudowań słomą pokrytych; za kościołem nikła wieś w parowie, a za wsią ukazywały się potężne mury, w czarne, białe i czerwone płaty, ręką czasu i niedbalstwem człowieka poznaczone. Tuż obok kościoła była plebania z gospodarskim zabudowaniem: stajnia i stodoła bez dachu, obora rychłym upadkiem grożąca, a dom mieszkalny lubo murowany, więcej podobien był do karczmy, niż do plebanii. Przed domem stał średniego wieku mężczyzna z fajką w ustach, w zielonym surducie barankiem podszytym, i w butach palonych, który donośnym i ostrym głosem łajał stojącego przed nim włościanina. Chciałam się zapytać tego człowieka o miejscowego proboszcza, o którym nieraz wiele dobrego słyszałam od Heleny, a którego znajomość takby mi się przydała w obecnej chwili.

Na zapytanie moje o księdza Pawła, człowiek z fajką w ustach odpowiedział mi z szczególnym wyrazem spojrzenia i głosu:

— Ho! ho! ho! moja Mościa Dobrodziejko! już z księdza Pawła dawno nieboszczyk.

— A jego zastępcą?..

— Ja jestem, moja Mościa Dobrodziejko!.. Cóż pani do księdza Pawła miałaś za interes?

— O! żadnego interesu, ale pragnęłam się z nim widzieć w przejeździe... A pan Ciemięga, czy mieszka jeszcze w tych dobrach? Czy go zastanę w domu?

— Pan Ciemięga jest przecie dziedzicem i zapewne zastaniesz go pani, bo nie zwykł z domu wyjeżdżać.

— Dziękuję panu. Więc pojedziemy do dworu.— Zastępca czyli następca ks. Pawła dziwne na mnie zrobił wrażenie: głowa prawie łyśa, profil sfinxa, spojrzenie bystre, głos rubaszny i przeraźliwy tego człowieka, przypominał mi ów typ starych ekonomów, których ród u nas jeszcze nie zaginął. Czy podobna, ażeby taka powierzchowność okrywała duszę wiejskiego plebana, duszę opiekuńczego anioła, anioła pocieszyciela rodziny włóścian!

Z okiem łąą zaszłém, z bijącym sercem jechałam ku dworowi. Dwie murowane kolumny, z których tynk pooblatywał, świeciły starą cegłą, żółtymi gdzieniegdzie plamami równie starego wapna, parodując bramę tryumfalną do zwalisk starego zamku. O kilkaset kroków sterczała kamienica o piętrze, z bramą na przestrzał otwartą, do której wjeżdżano po chwiejącym się mostku, zarzuconym nad dość głębokim ale suchym rowem. Z bramy na przestrzał otwartej wjechałam na wielki kolisty dziedziniec, po którym indyki i gęsi wydeptywały resztę żółtłej trawy, a wieprze nurzały się w kałuży rozlanej przed oficyną, gdzie była kuchnia. Nad drugimi drzwiami, obok kuchni, wisiał wymalowany orzeł, znak mieszkania wójta, a z sieni rozlegał się na zewnątrz krzyk bolesny, przeplatany odgłosem niemniej bolesnych razów, i wrzask człowieka, który obsypywał kogoś obelgami i złorzeczeniami. Psy leżące przed kuchnią zaszczekały i zawyły żałośnie, ale żaden z miejsca nie powstał.

Zmieszana i wystraszona zajechałam przed dom murowany bez piętra, o dziesięciu frontowych oknach, o wielkim krużganku na sześciu słupach wspartym, do którego prowadziły szerokie, kamienne, potężnie zabłocone schody. Ponad domem wznosiła się wieżycia z ganeczkiem, na którego poręczy powiewały, jak flagi statku, stare zgrzebne worki, kolorowe nasypki i świeżo poprane szmaty. Przed domem stało kilka zaszlochanych kobiet, z których dwie zawodziły głośnym płaczem; najstarszą z nich uspokojał młody parobczak, którego oczy iskrzyły się dziwnym blaskiem, a po twarzy dwie łzy się toczyły.

— Cichoście jeno matulu, co wam pomoże tak zawodzić: taj go może nie zabiją odrazu.

— Oj! dolaż moja dola! — jęczała stara kobieta—O! joj, joj! jooj!

Wtém, niska, czerwona, otyła kobieta wypadła z sieni z pękiem kluczków w rękę i przeraźliwym głosem zakrzyczała:

— Poszli precz! wy draby; tylkobyście się naprzykrzali, tylko pana gniewacie; a jak dostanie który, to się baby złażą i becżą przed domem. Pójdziecie mi ztąd precz, wy chamy, gałgany!

I biedni ludziska ustępowali z przed domu, a stara w płachtę owiniąta kobieta coraz głośniej zawodziła.

Struchlałam, nie wiedząc czy wysiąść, czy zawrócić w dalszą drogę; ale już było zapóźno.

Weszłam do ogromnej sieni cegłą brukowanej; doły i wyboje błotem naniesione, biało brudne ściany, wychudłe psy po kątach leżące, nową we mnie obudziły odrazę.

Służący domowy wpuścił mnie drzwiami na lewo do wielkiej izby, a sam zniknął natychmiast.

Człowiek wpadający nagle do wilczej jamy, pochwycony ze snu do jaskini łotrów, lub wepchnięty za życia do piekielnej otchłani, wyobrazilby sobie może uczucie jakiego ja w tej chwili doznałam.

Izba do której mnie wpuszczono, była niegdyś wapnem bielona, ale kurzem i pajęczyną pokryta, miała wątpliwego koloru ściany. Brudna, dębowa, spaczona miejscami podłoga; trzy wielkie okna, jak trzy wylupiate oczy pozbawione powiek i rzęsów, oświetlały aż nadto wewnętrzny nieporządek mieszkania. Pod oknami poustawiane na ziemi w kępy donice z pożółkłymi krzewami, których liście pokrywała gruba warstwa pyłu. W jednym kącie fortepian zamknięty, w dwóch innych kanapka o trzech nogach i sofa perkalem pokryta: przy drzwiach órzechowe biurko atramentem złane; ogromna sopluchaczka z prostych zbita desek; kilka rycin krzywo na ścianie pozawieszanych, których pod strażkami napół szklami, pod kurzem i brudem rozpoznać nie było można;—nakoniec ogromny komin i piec jeszcze ogromniejszy, składały wewnętrzny obraz tej mieszkalnej izby.

Patrzałam naokoło siebie z osłupieniem, gdy nagle drzwi od sieni szeroko się rozwarły i mężczyzna silnej budowy, cały zadyszany, około lat 50 mający, wtoczył się do pokoju. Powierzchność tego człowieka miała coś zatrważającego, a przynajmniej dla mnie już i tak wystraszonej tém, co wokół siebie słyszałam. Oczy wielkie i bystre, czoło płaskie, nos krótki otwarty, usta pobladłe i wilgotne, włosy prawie siwe a rozczochrane, przypominały mi lwa widzianego kiedyś w menażeryi, tylko że lew miał lwią powagę, a człowiek z podobieństwem do lwa miał wyraz obłąkanego w paroksyzmie szaleństwa. Biała nakrochmalona chustka, której zmięte końce spadały na piersi, owijała szyję wysoko aż pod uszy. Długi surdut, zapięty w stanie na jeden guzik, dopełniał ubranie tego człowieka.

— Zapewne mam przyjemność widzieć p. Ciemięgę?—rzekłam nieśmiało zdobywając się na pytanie. Zagadniony wśród ciągłego sapania odpowiedział mi:

— Tak jest — i stanął przedemną jak wryty, zanurzwszy ręce w kieszenie surduta.

— Pan Dobrodziej odebrałeś zapewne list, w którym przypominałam mu dawną moją znajomość z jego żoną, a opierając się na prawach przyjaźni łączącej mnie niegdyś z Heleną, prosiłam pana o pozwolenie odwiedzenia jój dzieci...

— Tak, tak—odpowiedział pan Ciemięga—ale moje dziewczęta pojechały na odpust z siostrą proboszcza, i nie wrócą aż jutro.

— Gdybym była pewna, że to panu nie robi różnicy, zaczęłabym do jutra, jakkolwiek spiesznie dążyć do mojej ciotki.

— Można poczekać; myślę, że jutro po nabożeństwie przyjadą.

Pan Ciemięga stał zawsze jak wryty przedemną, a ja przed nim, nie wiedząc jak sobie to szczególne przyjęcie tłumaczyć; ale przebywszy pierwszy ogień postanowiłam czekać. Po tój lakonicznej rozmowie, pan Ciemięga uklonił się grzebnąwszy w tył prawą nogą, i wyszedł zostawiając mnie samą. Niedługo weszła z zadąsaną twarzą owa otyła kobiéta, którą na wstępie samym ujrzałam, i otworzyła przyniesionym kluczem wielkie drzwi na prawo do *salonu*.

Ten salon byłato oaza wśród puszczy, perła w śmietniku, dyament oprawiony w zardzewiałe żelazo. Otwierano go tylko dla szczególnych i rzadkich gości, do liczby których i ja musiałam należeć. Zrozumiałam to nieme zaproszenie i weszłam do owego salonu.

Po odejściu natrętnych świadków, zaczęłam troskliwie oglądać wszystkie sprzęty, wszystkie porozstawiane drobiazgi, a każdy prawie był dla mnie wspomnieniem. Skutkiem pory jesiennój, niezamieszkania i nieprzewietrzenia, wilgoć i chłód połączone z wonią pleśni, napełniały powietrze tego pokoju zimnym tchem grobowym. Rzekłbyś, że ztąd dopiéro co umarłego wyniesiono, albo że tu jeszcze gdzieś ukryte leży ciało niepogrzebane.

Pobladłe wizerunki rodziców Heleny, kilka lepszych oryginałów szkoły flamandzkiej, dwa wielkie lustra wisiały na białych ścianach, w śródku pajak brązowy z szklanemi wisiadelkami błyskał ogniem rzniętego dyamentu; na stolikach porozstawiane drobiazgi, a pomiędzy nimi zabawki dziecinne: flaszeczki, kałama-

rzyk, koszyk z drzewa wyrobiony i mała szklaneczka. Byłyto upominki z naszych lat dziecięcych, upominki dane w dzień imienin wśród serdecznych uścisków i łez radosnych.

Częstokroć rzecz napozór drobna, liść zeschnięty, zmięty i pożółkły papierek, są dla serca skarbami, kiedy ręka przyjazna dotknęła się onych w stanowczej chwili, kiedy nad nimi wymówione zostały miłości lub przyjaźni słowa, kiedy tę drobnostkę gorącym ocenając sercem i nazwiskiem *pamiętki* poświęcamy.....

W kącie stała przymknięta szafka z książkami. Przez szyby odczytywałam ich nadpisy, nie śmiejąc bliżej się im przypatrzeć. A jednakże.... oh! jakbym też była chciała wysledzić w tych martwych, otaczających mnie sprzętach, tajemną treść spędzonego między nimi żywota; jakżebym była chciała dowiedzieć się od nich co ona myślała, co cierpiała myśląc, kiedy mnie jój zimne, czeże dochodziły listy! Gdyby choć jaki dziennik, jaki pamiętnik, jaki ślad, któryby mi ukazał w prawdziwem świetle jój kilkoletnie małżeńskie pożycie.....

Ten mój przegląd nagle przerwany został odgłosem dzwonka i wezwaniem na wieczerzę. Nie byłam głodna, jednak odmówić nie wypadało, gdy odwiedziny moje i tak, o ile uważałam, nie przypadały gospodarzowi do smaku.

Pan Ciemięga czekał na mnie w sieni ze świecą, i zaprowadził przeciwnymi drzwiami do jadalnej izby.

Byłato rodzona siostra tój, do której zostałam wpuszczona na samym wstępie. Też brudne ściany, też czarna i spaczona podłoga, też trzy ogromne okna i także zielone kępy geranium i tureckiego pieprzu warstwą pyłu pokryte. Małe, zakłęste krzeselka, czarną skórą obite, dwie czarne szafy, stół na środku i stół przy piecu:—oto sprzęt cały. Na ścianach wisały jakieś jaskrawe wizerunki, których podobieństwa ani znaczenia do cieć nie mogłam; w kącie zegar z kukułką ośm razy zasyczał.

Kiedyśmy wchodzili, powstał w kącie siedzący, małego wzrostu mężczyzna; przed domem jednocześnie zaturkotała bryczka, i wkrótce potem ukazał się we drzwiach ksiądz proboszcz.

Pan Ciemięga kiwnął na służącego, który przyniósł flaszkę wódki i kieliszek, poczem usiedliśmy do wieczerzy.

— No, i cóż tam proboszczu?—odezwał się p. Ciemięga—No, i cóż? jakże tam ten pogrzeb? jakże stypa?

— Ha! cóż?—odpowiedział przewlekłym głosem proboszcz—dali obiad, ale wino było *kiepskie*, i nie było się z kim zabawić.

— Jakto? a pan Wincenty? a kapitan? a konsyliarz Proszkiewicz?

— Ah, gdzie tam! Co pan chcesz, z temi kobietami to trzeba oszaleć, i dobrze też że nam się żenić niewolno. Tu matka nieboszczyka, tu siostry, tam żona mdleje i płacze, na serce chorują, tak, że mało umarłego z grobu nie poruszają. Ja się tam temu nie lubię przypatrywać i zaraz też po obiedzie wyjechałem.

— Oho! to ci się nie udało, kiedy nie było z kim w *djabelka* zagrać. Ale bo też się księdzu niegodzi grać w *djabelka*—dodał z głośnym śmiechem p. Ciemięga.—Wszak prawda Pani Dobrodziejko, że księdzu *zasie* od *djabelka*.

Odpowiedzieć było z méj strony rzeczą niebezpieczną, lecz szczęściem nikt odpowiedzi nie czekał.

— No, a mowę nad grobem tyś miał zapewne—dodał pan Ciemięga—toś się tam musiał *wściekać* (1) proboszczu! Nie uwierzysz Pani Dobr. jakato zapamiętała sztuka z tego proboszcza, kiedy jest na ambonie. A pięknie mówi... bardzo pięknie!...

Nowy turkot przed domem, nowego zapowiedział gościa; jakoż po chwili wszedł wysoki, barczysty mężczyzna, którego tytułem kapitana powitano.

— O wilku mowa, a wilk tuż—zawołał proboszcz—A cóż to kapitanie, uciekłeś od stypy!?

— A co ja tam miałem robić? ← odparł kapitan szepleniąc.

— No, to sobie tu zagramy w *wisteczka*, kapitanie.

— A ktoby tam grał w *wisteczka*, sędzio dobrodzieju! ja usypiam rachując lewy i robry.

— To jak wam się podoba, ja zawsze do gotowego—odpowiedział gospodarz.

Mężczyzna, którego wchodząc zastaliśmy w jadalnej izbie, polykał w milczeniu dar Boży i zdawał się obojętnym na rozmowę obecnych, gdy go zagadnął proboszcz:

— A cóż konsyliarz na to?

— Ja Moci Dobrodzieju nigdy nie grywam, nigdy nie lubiłem, nie umiałem grać w karty; a mnie to na co, Moci Dobrodzieju...

— Konsyliarz to sobie lubi fabryki... spekulacyjki... Jakże się tam udał ten krochmal?... a ów karuk, co to go koty zjadły?... ha! ha! ha!

(1) Byłoto ulubione przysłowie p. Ciemięgi.

— Wolne żarty, Moci Dobrodzieju, wolne żarty. Takto tak, Moci Dobrodzieju, takto tak, czasem się coś nie uda, czasem się coś zepsuje, Moci Dobrodzieju; takto tak Moci Dobrodzieju.

Tu pan konsyliarz polknął ostatni kawałek pieczeni i zapił szklanką piwa koniec swój przekonywującej obrony.

Po wieczerzy rozwiązał się język panu Ciemiędze, ale na moje nieszczęście; bo siląc się na dowcipy opowiadał swego utworu dykteryjki, nadziewając je obrażającemi dwuznacznikami, z których śmiał się sam do rozpuku.

Cheąc nadać inny kierunek téj wesołej rozmowie, zwróciłam uwagę na wizerunki wiszące na ścianie w czerwono pomalowanych ramach.

Pan Ciemięga wziął świecę w rękę i podniósł ją do góry, bo pomimo dwóch świec na stole zapalonych, w czarnej ogromnej izbie było zupełnie ciemno. Pan Ciemięga z całą tedy uprzejmością na jaką się mógł zdobyć, przyświecając okopconym ścianom, pokazywał mi wiszące na nich malowidła.

Byłyto portrety całej prawie żyjącej jego rodziny. Począwszy od pana Ciemięgi aż do starego domowego kota, każdy siedział jak zaklęty w czerwonych ramach, przypatrując się w milczeniu odgrywanym codziennie scenom w téj ponurzej izbie, któraby posłużyć mogła za wzór niejednemu z flamandzkich malarzy, zdejmujących z natury obrazy karczemnej hulanki.

Spojrząwszy na te okropne utwory artysty-bazgracza, przypomniałam sobie bóty na okiennicy wymalowane w jedném z naszych miasteczek, oznaczające mieszkanie *fabrykanta obuwia*. Zaiste, owe buty więcéj były warte pod względem wykończenia i podobieństwa, od zgromadzonej na ścianie rodziny Ciemięgów.

Ganic nie mogłam, chwalić nie miałam sumienia; oglądałam przeto w głębokim milczeniu tę parodyę sztuki.

Pan Ciemięga pewien że podziwiam te arcydzieła, odezwał się głosem zadowolenia pełnym:

— A więc Pani Dobr., że to wszystko zrobił guwerner moich dzieci!?

— Doprawdy?

— O tak! to człowiek mający rzadki talent! Powiadam pani, wszystko umie!

— To szczęście znaleźć takiego człowieka.

— Boto widzi pani, gra na fortepianie, po francuzku trzepie jak Francuz, był kilka lat w Paryżu, a maluje odrazu, na oczekaniu.

— A gdzie się ten pan znajduje?

— Wyjechał na parę tygodni do Warszawy. Szkoda, że go Pani Dobr. nie poznasz, bo to człowiek rzadki.... Powiadam, wszystko umie!

— Młody chłopak, ale zdatny—bąknął ksiądz proboszcz.

— I pan nie wahałeś się powierzyć wychowania swoich córek młodemu człowiekowi?...

— A cóżto szkodzi? Zresztą powiem pani szczerze, że ja nie chcę, żeby moje dziewczęta były mądre; wcale tego nie chcę; niech się nauczą gadać po francuzku, kiedy na tém świat stoi, trochę klepać na fortepianie i trochę malować, to będzie z nich aż nadto....

W téj chwili drzwi się z trzaskiem rozwarły, a w nich ukazała się zaperzona klucznica, która groźnym głosem zakrzyczała na służącego:

— Cóżto! ty chamie! ty mucu jakiś! Co ty mi będziesz bił chłopca, ja ciebie nauczę!...

Służący uniewinniał się półgłosem, a pan domu spojrzawszy ostro na niego, odezwał się bojaźliwie do krzykliwej gospodyni:

— Proszę cię, daj pokój; wiesz, że tego nie lubię...

— Co mi tam!—zakrzyczała i trzasnąwszy drzwiami, znikła przed oczu.

Po wieczerzy i ukończoném sprawdzeniu podobieństwa rodziny Ciemiągów z ich wizerunkami, gospodarz domu wyjął z kantorka dwie talie brudnych kart, rozłożył stolik obity podartém i poplamioném suknem, postawił na nim dwie łojowe świeczki i dał znak do rozpoczęcia gry, co było dla mnie znakiem pożegnania tych panów.

Pan Ciemięga powtórzył ze mną ceremonią przeprowadzenia przez sień ciemną i zasłaną psami, które na noc uciekały z dworu pod strzechę.

Wróciwszy do przeznaczonéj mi sypialni, do owego pokoju w którym technienie śmierci i technienie wspomnień cisnęło mi piersi, puściłam się szybkim chodem wzdłuż i wszérz téj izby, żeby rozbić kipiącą chmurę myśli, żeby stopić zlodowaciałą bryłę co mi w piersiach stężała, żeby ją wypłakać łzami tęsknego żalu...

Lecz daremnie!.. Trzy wielkie, obnażone okna, wychodzące z przeciwnej strony domu na ogród, biły we mnie światłem księżycowej nocy i naprószonym całunem śniegu. Na błękitnawém tle sklepienia leciały chmury stadem rozpierzchłych gęsi, muszcząc z przymileniem zasepioną twarz księżycy; pomiędzy nimi błysnęła kiedyniekiedy gwiazdka nieśmiało i wnet nikła wśród nawalnej chmur powodzi, a księżyc siał ziemi niechętnie światło, przedzierając się ku niej drżącym i słabym promieniem. Szkielety drzew obnażonych ciągnęły się pasmem w czworobok, którego czwartą ścianą była długość domu, a wznosząc się niby hebanowe ramy rzuciły cień na rozpostarty przed okiem śniegowy całun. Na tym całunie, w pewnej od siebie odległości, dziwne jakieś kamienne posągi, pozbawione: ten głowy, ten ręki, ów nogi, a tamten przerwany do połowy, sterczały jak wojownicy skamienieli wśród walki na pobojowisku; a dwa piramidalne świerki, jak dwa zakłute karty, wieczną okryte zielonością, stały niewzruszone naprzeciwko siebie.

Wicher szalał dokoła, szturmował do okien, świstał w dymnikach, huczał ponad głową, jęczał płaczliwie ponad mogiłą zmarłych, i porywał z sobą w nieskończoną przestrzeń odgłos radośnych okrzyków, bolesnych westchnień i przekleństw rozpacz; tylko pobojowisko skamieniałych rycerzy okute w czarne kościotrupów szeregi, w głuchém pogrążone było milczeniu.

Na stojącym w kącie stoliku leżała czarna safianowa teka, obok palącej się w lichtarzu świecy. Spodziejając się znaleźć tamże cośkolwiek z jej przeszłości, choćby tylko kwiatki jej ręką malowane, poważylam się otworzyć tę zapyloną tekę, do której zapewne od jej śmierci nikt nie zaglądał. Otworzyłam. W jednej kieszonce były prawie wszystkie moje listy; w drugiej jakiś rękopism jakby z umysłu nieczytelnie kreślony, w którym jednakże nietrudno mi było poznać rękę nieboszki.

Zobaczywszy to, zdało mi się, że ją samą ujrzałam, że mi się duch jej w tych głoskach objawił, żeśmy się obie w krainie duchów spotkały. Nie widziałam nic przed sobą, nie za sobą, tylko pismo nieboszki.

Byłażto jej spowiedź, czy testament?

Przerzuciłam najprzód wszystkie kartki, nie patrząc na wyrazy kreślone: niektóre z nich rozpląły się na papierze pod kroplą łązy gorącej; — i kiedy jej ciało w proch się oddawna rozsypało,

ta łza, niby cząstka nieśmiertelnej duszy, przetrwała cierpienia ziemskie i świadczyła o nich.

* * *

Pókim był dziecięciem, mówiłem jako dziecko, rozumiałem jako dziecko, rozmyślałem jako dziecko; lecz gdym się stał mężem, zaniechałem rzeczy dziecinnych.

Św. Paweł do Koryntów w r. XIII.

Pamięć — to żywy posąg Memnona, co przy świetle promieni słonecznych wydaje smętne, harmonijne dźwięki: to pamięć moja! Ona bez słów jest tylko przeddźwiękiem uczuć i myśli, co się potokiem rozlały w świat ducha i popłynęły tam! w nieskończoność!

Gdy zamknę oczy, to przeszłość cała, moja i nie moja, jak obrazek cudowny świeci w mój duszy. Wszystko co zmarło, wraca do życia: łzy i uśmiechy dziecięcia, uroczy smutek lat młodzieńczych, długie, senne marzenia o niebie przyszłego szczęścia; a dalej, dalej idzie bolesne w świat przejrzenie, pierwsza omyłka, pierwszy zawód, i na tém się kończy poezya naszego żywota.

Po takim śnie krótkim, zbroimy się w pancerz cnót archańskich, w tarcz odwagi, w miecz słowa; bierzemy na się wszystko, co tylko boskiego zlał Bóg na ziemię, i wstępujemy, jako bierzmowani rycerze ducha, do walki sami z sobą i z otaczającym nas światem. Jestto walka na śmierć lub życie! Człowiek powstanie z niej mężem, albo zginie robakiem, podniesie się aż do bóstwa, lub zniży do poziomu bydłęcia; a to co zostanie pomiędzy jednym a drugim, niewarte wspomnienia: to co nie walczyło o życie, życia niewarte! Jeżeli bój zacięty, to i chwala wielka; a cokolwiek wypadnie, anioł nieśmiertelności włoży walczącemu na skronie wieniec z najświętszych usiłowań.

Wpółśród tej walki, nieraz pierś, co tchnęła poświęceniem dla braci, stygnąc zaczyna, iskra boskiego ognia gaśnie, zasypuje się popiołem! Myślelibyście, że się wszystko kończy dla człowieka; ale szczęściem czy nieszczęściem, to tylko przesilenie, ostatnie sił wytężenie, ale jeszcze nie śmierć, jeszcze nie upadek, jeszcze nie ciemność wiecznego zwątpienia.

Bo zawsze po pierwszych zawodach następuje odrętwienie, a po niém wraca znowu niezem niezwyknięta w nas siła uczucia: i wtedy cień obleka się w ciało, przeobrażone w nas uczucie rozlewa się czynem wokoło, przechodzi w rzeczywistość, w prawdę, w ludzkość!

Oto cała biografia ducha naszego, cała historia jego ziemskiej pielgrzymki; może z opuszczeniem kilku odcieni i wariantów, które treści jego nie zmieniają; bynajmniej.

Choćby mnie za to mędrycy świata tego ukamienować mieli, powiadam: iż nie wierzę w żadną potęgę rozumu, ale za to, ze czcią religijną wierzę w potęgę serca. Wszakże człowiek wiele rzeczy pojmuje, przenika, odgaduje, i nieraz rozwiąże najtrudniejszą hipotezę życia społecznego nachylając rozum do serca, jeżeli to serce pełne uczuć braterskich, pełne miłości i wiary!

Ale dajmy temu pokój!... Ludzie uczeni i nieuczeni tyle już papieru zapisali o rozumie i sercu, o nauce i głupstwie, że rozprawiać dziś o tém byłoby prawie śmiesznością, a przynajmniej rzeczą niepożyteczną dla tych, co piszą i dla tych, co czytają.

Dziwne mi się nieraz myśli po głowie płaczą! Taka przecudna panorama rozwija się w głębi ducha, a objawić tego wszystkiego oczom ludzkim nie potrafię inaczej, jedno słowem. A czémże jest słowo dla oka? Czém barwa dla ucha? Czém dźwięk dla podniebienia?—zagadką... zagadką... Wiele rzeczy minionych pamiętam dokładnie, inne widzę tylko poza mgłą ważniejszych wypadków, a inne jeszcze są wciąż przytomne, widzialne, i po nich to, niby po drogowskazach łatwiej zstąpić w przeszłość!...

Widzę najprzód przez mgłę jak mnie nianka, moja pocziwa Marysia, na ręku nosiła; słyszę, jak mi nad kołyską śpiewała piosnkę o *kalinie co w dole stojąca*, jak mnie uczyła chodzić po zielonym kobiercu kwiecistój łąki, jak ręce do modlitwy składała, a święconym obrazkiem uroki i podstępny szatański od śpiączki dzieciny odzegnrywała.

Opowiadano mi później, że matka karmiąc mnie utraciła po kilkodniowej chorobie starszego syna; a w żalu swoim podając mi pokarm z piersi zmartwieniem zatrutej, wyrzekła te okropne w ustach matki słowa: „Kiedy on umarł, to niech i ją Bóg zabierze!”. Ale Bóg zabrać nie chciał dziecięcia, któremu biedna rozpaczona matka śmierci życzyła; bo On wiedział, że to były słowa rozpaczki bezmyślniej, a nie głos jej serca!

Żył więc dziecię skazane słowami matki; przetrwało kilkodniowe konwulsje i zwalczyło śmierć, która porzucając zdobycz swoją, wypiętnowała na jego obliczu tę bladłość tajemniczą, co to zawsze światu jakieś ukryte cierpienie zwiastuje.

Rok w rok musiało przetrwać jaką chorobę, śmierci się okupić częścią sił żywotnych; bo powiadam, iż to było dziecię

skazane, któremu życie miało być walką, nadzieja zawodem, wesela żałobą, a dzień ostatni zmartwychwstaniem ciała i duszy. Widocznie też słabło na siłach, gasło w oczach matki, któraby wtedy życie własne za życie dziecięcia była oddała; i jak przedtém modliła się do Boga: „śmierci! śmierci!”, tak potém modlitwą serca wzywała: zycia! zycia!

Biędną matką! nie wiedziała o co prosiła ani przedtém, ani potém.

Niedostatek sił fizycznych, pewne rozprężenie organizmu nerwowego, zabijając powoli ciało, wpłynęło na rozwijanie się władz duchowych, rozdrażniło myśl i uczucie, i usposobiło dziecię do pojmowania życia—przez cierpienie! Okoliczności zewnętrzne wzmogły jeszcze ten stan anormalny. Rodzice poczuli zawczasu nucić dziewczynce smutną zwrotkę ziemskich boleści, zawczasu ją oswoili z wiedzą złego i dobrego—raj niewiadomości był dla niej stracony! Chciano aby odrazu myślała jako człowiek; nie dano jęj być dziecięciem i grzech pierworodny stał się dla niej pokutą za grzechy świata! Pomiędzy innymi powiedziano jęj, że jeden człowiek stać się może zgubą drugiego, że dobry czyn nie bywa przez ludzi nagradzany, a zły niezawsze karany; że miłość i sprawiedliwość sąto ideały, dotąd w księgach zawarte, duchem świętych mężów opromienione, lecz niemające związku z rzeczywistością i w sprawę ludzką dotąd niewcielone.

Czy to było złe, czy dobrze?—ja nie wiem. Ale to wiem, że dziewczynka w 7mym roku pojmowała przeznaczenie swoje, nie jak dziecko, ale jak człowiek. Nie lubiła lalek, nie miała zabawek; dzieci jęj unikały, bo była smutna, cicha i zamyślona; starsi wzruszali ramionami, a matka radziła się lekarzy.

Istotnie potrzeba było lekarza, ale nie lekarstwa sporządzonego według łacińskiej recepty.

— Dajcie pokój—mówił ojciec—jęj trzeba ruchu, świeżego powietrza, swobody, rozrywki: przyjdzie ona z czasem do siebie.

Stosownie do tego przepisu, zostawiono mi ruch, wolność próżnowania i wywożono mnie na świeże powietrze. W istocie odzylałam cokolwiek za rogatekami wielkiego miasta.

Taki był wstęp do życia.

Nie uczyłam się niczego naprawdę do lat dziesięciu. Nie wiem nawet, kto, gdzie i kiedy nauczył mnie czytać, i jakim wypadkiem wzięłam piérwszy raz pióro do ręki. Ale to pamiętam,

że ojciec, zamiast bajek o zaczarowanych pałacach i zaklętych księżniczkach, opowiadał mi wielkie zdarzenia historyczne, oswajał pamięć z imionami zacnych mężów, zapelniając myśl prawdą, zawsze prawdą terażniejszości i przeszłości, ażebym kiedyś prawdę przyszłości zrozumieć mogła i w potrzebie sama ją z własnej piersi wysnuła. Czasem matka przypomniawszy sobie jakie ważniejsze współczesne zdarzenie, jakiś wypadek w związku będący z historią, rozwinęła zajmującą powieść, ciekawy a przerażający niekiedy dramat, po którym łzy i krew ciekną naprzemiany. Słuchałam jej całą duszą, bo ona zawsze dodać mogła: „ja tam byłam, ja to widziałam; mój ojciec, moi bracia także tam byli...”

Już mi dziś trudno obliczyć, ile takie rozmowy plennych ziarn w umysł rzuciły, jak ważnym były wstępem do naukowego wykształcenia, jak przysposobiły serce do ukochania prawdy najwyższej. Kiedy słyszę jak dzieci moich sąsiadek popisują się nabytymi z książek wiadomościami, jak ośmioletnie dziewczęta umiejące zaledwie czytać, znają na palcach historią wszystkich bożków greckich, i pięcioma językami budują w swojej głowie wieżę Babelu: zaprawdę, litość mnie bierz! I myślę sobie, dlaczego ludzie mający pretensją do naukowości, mający rozsądek w powszedniem życiu, tak go mają niewiele w najważniejszym zakresie swego powołania? Dlaczego jeszcze tylu zabitych na umyśle i umarłych na sercu, kiedy oto przed nami, wśród nas takie obfite źródło *żywej wody*, taka niewyczerpana skarbnica wiedzy stoi otworem? I dlaczego jedni szukają w niej tylko zaspokojenia potrzeb materialnych, drudzy, nasycenia próżności; a mało komu przyjdzie na myśl, żeby z niej wydobyć prawdę rzeczywistą, prawdę, co się ma z duchem naszym związać, z życiem zespolić, i rozwinąć w niem owę twórczą potęgę, co jak pieśń cudowna w obłoki uderzy, a potem iskrami rozsypie i światłem cudownem rozplynie się na ziemi!..

Tak więc do lat dziesięciu nauczyłam się przypadkiem czytać i pisać, bo nie pomnę odkąd zaczęłam czuć i myśleć. Bez żadnego przymusu matka wzwyczała mię do pracy, nauczyła wielu rzeczy praktycznie, o których siedząc na ławce szkolnej nie byłabym się nigdy dowiedziała. Korzystała z każdej okoliczności aby mi wskazać obowiązki, jakie religia wkładana w wszystkich ludzi w ogóle. Nigdy powinności człowieka nie ujęła w formułkę, w zdanie uświęcone, gdzie najczęściej martwa litera zastępuje żyjącego ducha; ale starała się zawsze naukę życia czynem objawić.

Ztąd poszło, iż potrzeba istotnego, rzeczywistego pożytku zamieniła się u mnie w drugą naturę, stała się warunkiem życia towarzyskiego, i wyrobiła to przekonanie, że niezgięta wola w połączeniu z pracą, koniecznie czyn odpowiedni wydać musi.

Później, w zetknięciu się z ludźmi zjednało mi to przydomek kobiety oryginalnej, excentrycznej, poza obrębem konwencyonalnego świata żyjącej, może nawet szalonej! ale mniejsza o to.

Dla mnie też atmosfera owego świata była istotną malaryą włoską, duszę zabijającą! Ona tłumiła swobodę w mojej piersi, lodowaciła mi serce, wysuszała mózg, i byłaby sprowadziła śmierć duchową, gdyby mnie okoliczności z tego ciasnego koła nie były wyrwały.

Długo opierali się rodzice naleganiom ciotek, babek i troskliwych o moje wychowanie przyjaciółek, utrzymujących, że czas wielki systematycznie ze mną nauki rozpocząć. Wkrótce też stało się zadosyć ich woli.

Rzucona pomiędzy gromadę dzieci, z odmienném zupełnie usposobieniem, pozbawiona naraz i pieczy matki, i poważnej z ojcem rozmowy, do zabawy i pustot rówieńnic moich należałam z konieczności, a często ich wesołość pobudzała mnie do płaczu.

Rzecz dziwna, ilekroć zapytywano mnie o przyczynę łez moich, nie umiałam na to odpowiedzieć. Czułam tylko, że mi jakaś niewymowna rzewność opłynęła duszę, nacisnęła ją jak chmura majowa, i łzami ulżyła dziecięcej tęsknocie.

Przypominam sobie, że najczęściej dzień upłynął na obojętnie wykładanej nauce, której słuchałam jak niemieckiego kazania, bo mnie dotąd najwięcej sercem uczono pojmywać, i nie przykrojono rozumu do ramek szkolnego wykładu. I nie powiedziano mi, czyli ta praca mozolna wyda jaki owoc pożyteczny dla świata, czy ta nauka, którą mi gwałtem w głowę kładziono pod karą złej kreski, ma się kiedyś z życiem mojem zespolić, czy ona uczyni mnie lepszą, świętszą, szczęśliwszą!?

Ponieważ mi tego nikt nie powiedział, wyrozumowałam sobie sama, że mnie oddano do szkoły dlatego, żeby tak zrobić jak wszyscy; że nauczyciele dlatego uczą, bo ich to bawi, a ja dlatego się uczyć muszę, bo mi kazano. Wyrobiwszy w sobie takie przekonanie, uczyłam się z konieczności, bo inaczej zrobić nie mogłam.

Po kilkoletniej nauce, dzięki profesorowi, który jak kometta zjawiał się na miesiąc przed każdym egzaminem, a potem zniknął na czas nieograniczony, dowiedziałam się, że ziemia jest okrą-

gła i że Warszawa leży nad Wisłą. W czasie tej kilkutygodniowej gwałtownej nauki, tworzył się w mojej głowie okropny zamęt geograficzny bez początku i końca. I tak np. od miast stołecznych w Europie, przechodziłam nagle do najwyższych zagadnień astronomicznych, a ztamtąd do fizyki, geologii i t. d.

Pod względem historyi i literatury jeszcze podobno było gorzej. Cały rok krążyłyśmy w królestwie Sardanapala i Nabuchodonozora, nie wiedząc nawet w jakiej części świata gnieździł się niegdyś Assyryjczykowie. Jednocześnie z Assyryjczykami wykładano nam dzieje państw zachodnich z czasów po-Chrystusowych, wspomniano coś o Rzymie, coś o cesarstwie byzantyjskiem, a na zakończenie dano słów kilka o wojnach Napoleońskich i o przedwstępnych do jego panowania wypadkach. Taką mieszaninę zdarzeń, wieków i nazwisk przezwano nauką historyi. Do niej przyczepiono w takimże samym porządku literaturę wszystkich narodów, począwszy od Pentateuku Mojżesza, a skończywszy na tragediach Woltera.

W arytmetyce stałam zawsze najniżej, tak, iż opuszczając szkołę nie umiałam jeszcze najprostszego działania piśmiennie rozwiązać. Liczby pozostały dla mnie nazawsze martwemi znakami, żadnej myśli niewyobrażającemi. Rachunkowość pojęłam później w życiu praktycznym, gdy potrzeba usunęła wstręt do obliczania rzeczy i wypadków.

Jedyną rozrywką moją było pismo. Uczucia i myśli dziecięce spisywałam po zeszytach naukowych, a potem marzyłam, płakałam nad niemi i odczytywałam je w cichości. Byłoto jakieś szczególniejsze przepełnienie ducha, jakaś niewypowiedziana siła uczucia, co mi się potokiem z piersi wydzierała! A gdzie miał popłynąć ten potok? zczém się złąć na całą wieczność?—Bóg wie! Jam wówczas nie wiedziała, i dzisiaj może jeszcze, gdyby mi przyszło wskazać cel najświętszych rozpamiętywań moich, nie znalazłabym go nigdzie. Był tam Bóg i wszyscy święci aniołowie Jego; duchy senne, nieujęte; ludzie, tłumy ludzi, których nie znałam; najwyższe ideały cnoty, wielkie natchnienia, które światem wstrząsają i porywają go z sobą w przestrzeń, dalej, dalej! To wszystko przedstawiało mi się w zachwycających obrazach, które czeiłam łzami uwielbienia, bo inaczej uczcić nie mogłam!

A kiedy przeminął dla mnie czas szkolnej nauki, czas bezowocnej pracy rozumu (bo rozum zawsze u mnie podrzędne miał zajmować miejsce); kiedy mi przestali kłaść w głowę niezliczone

mnóstwo wyrazów, nagromadzonych w przerażającym bezładzie, uczułam się swobodniejszą. Bryła lodu spadła mi z mózgu, wszystkie władze duszy zbudziły się naraz do czynu, do działania na własny rachunek, o własnych siłach. Władza myślenia zaczęła się równoważyć z władzą uczucia, a zlewając się w jeden akord, w jeden ton zbiorowy, obie razem tworzyły harmonią życia; bez téj harmonii nie masz życia! nie masz człowieka!

Władze nasze jednostronnie rozwinięte, będą zawsze tylko władzami, zawsze czuciem, uczuciem lub myślą, materją, pojęciem lub miłością — ale niczém więcej. Aby się stały w nas prawdą, objawem życia, trzeba koniecznie ostatecznej syntezy tych boskich pierwiastków w duchu człowieczym; a czego potrzeba człowiekowi jako jednostce, tego tém bardziej potrzeba ludzkości, jako zbiorowi jednostek.

Jak nie ma życia bez myśli, tak go nie ma bez uczuć i bez pojawów zewnętrznych, które biją o zmysły. Wszystko razem składa świat i życie jego. To taka prawda, iż ktokolwiekby zerwał jedną z trzech strun owéj Bożéj lutni, tenby rozerwał całość przeznaczenia swego na ziemi.

Człowiekowi, który z woli Bożéj zesłany został na zwycięztwo przez cierpienia i walkę, dana jest broń troista i tarcz troista: aby nacierał i odpierał, obalał i dźwigał, burzył i budował; aby żył i umierał i zmartwychpowstał na wieki. A ten, któremu się tyle nędzy i tyle chwały dostało w udziale, żyć nie może jakò zwierzę, jako anioł, jako cień myśli, ale ztroić się musi ową potrójną siłą, aby jako syn ziemi i nieba żył człowiekiem w pełni z ludzkością, a w zjednoczeniu z Bogiem.

* * *

Chwała dobrego człowieka, jest świadectwo dobrego sumienia.
Św. Paweł do Koryntów.

Mój dziadek byłto sobie oryginalny człowiek: wszyscy go poważali jako uczciwego człowieka, a jednak wszyscy się z nim spierali, wszyscy mu przeczyli, ilekroć potracono o jaką żywotną kwestyą, o jaką wielką prawdę, o jaką uświęconą opinią.

Ludzie, przyjaciele i stronnicy *większości*, nazywali go mi-zantropem, dziwakiem, odludkiem. Jak można było sprzeciwiać się ich zasadom, lekceważyć ich pojmowanie rzeczy dokonanych i niedokonanych? Jak można ganić to, co świat cały chwali, lub

vice-versa, chwalić to, co on potępia? Toż istne szaleństwo! Człowiek mądry powinien tak myśleć, tak czuć, tak postępować, jak wszyscy..... To praktyczny, spekulacyjny eklektyzm, przyjmować terazniejszość za wiekiustą prawdę, żyć w niej ciałem i duszą, a o resztę nie pytać. Za pozwoleniem. A.... a coby z tego wynikło napotém? a coby było wynikło z przeszłości nateraz, gdyby tylko eklektycy byli na świecie od potopu aż do naszych czasów? Niewątpliwie musiałby drugi potop martwą ziemię oblać, i musiałby znowu jakiś wybrany szaleniec zbudować arkę, dla ocalenia rodu ludzkiego!...

Owóz mój dziadek był szalenicem, jeżeli chcecie; fanatycznie przywiązany do swoich opinij, do swoich przekonań, wpadał w największe uniesienie, jeżeli ktoś przeczył jego pojęciom; lecz w ogóle rozpraw nienawidził, ludzi gadatliwych unikał, a książki swoje, gazety i fajkę kochał nadewszystko.

Cały świat był wówczas pod wpływem jakiegoś uroku i naoslep uwielbiał wielkie czyny wygnańca z św. Heleny: po całej ziemi kadzidła płonęły na cześć jego, w stosach ksiąg, niby historycznych wznosiły się ołtarze dla tego bożka; Francuzi zrobili go synem Jowisza i Latony, a inni wynaleźli imię jego w Apokalypsis! Wielki, wielki! wołano zewsząd. Być może.

Mój dziadek nienawidził bałwochwalstwa. Byłto chrześcjanin nieuznany, ale w sumieniu swoim przekonany, i sumienie starczyło mu za wszystko:—za opinią, za chwałę, za życie! Dla niego bożek nie był nawet człowiekiem; w jego zwycięztwach widział tylko łzy i krew, w pogodzeniu się z kościołem, obłudę, kierowaną osobistemi widokami; a jeżeli z wielkiej boleści wyszło wielkie dobro, to przypisywał jedynie rządzeniom mądrój Opatrzności, która nawet czyny złych ludzi skierować potrafi na korzyść ogółu. Chwałę człowieka jest wola jego, poparta usiłowaniem, chociaż niezawsze uwieńczona skutkiem. Ludzie sądzą ludzi po czynach, Bóg po chęciach. On sprawiedliwszy od ludzi. Jeżeli niezmierną a świętą żądze w człowieku ścisną okoliczności, tak, że ręki ku działaniu wyciągnąć nie może, czy dlatego mniejszą i świętszą jest wola jego? A jeżeli złe żądze ludzkie tak się połamią i pokruszą w ręku Boga, że z nich proch tylko, a z tego prochu, Bożym duchem owianego, wyjdzie świat nowy: czyż dlatego mniej zbrodniczą była wola człowieka?

Tak myślał mój dziadek. Na palcach znając historią, wszystkie wnioski opierał na faktach dokonanych. Przeszłość była mu

szkołą doświadczenia i we względzie osobistym, i we względzie powszechnym; a rozpatrując się w niej wszechstronnie, powiadał tym, którzy mu przeczyli: „Tak nie jest, ale tak być powinno, ale tak będzie! chociaż niezaraz, chociaż nieprędko. Kto chce być mądrym w terażniejszości, kto sobie przyszłość chce stworzyć, niech zgłębi wieki minione, rozpozna w nich złe i dobro, a potem niech sądzi i wyrokuje nie według opinij świata, lecz według sumienia. Ono mu będzie wyrocznią i prorokiem na drodze życia: rozświeci przed nim jasną pochodnię prawdy i zaprowadzi tam, dokąd wieki dążą. Służalcem opinii nigdy nie byłem, i do śmierci nim nie będę; a jeżeli niepodobna skojarzyć wyobrażeń naszych na drodze pokoju, na cóż się zdały spory? To, czego mnie nauczyła przeszłość, tego was przyszłość nauczy; i kiedyś, kiedyś! nastąpi zgoda pomiędzy nami; ale mnie już wtedy nie będzie!”

Mój dziadek miał słuszność: alboż tak się nie dzieje? Czy to co jest, nie urosło kosztem tego co było? Wszak to, co dziś zowie się fałszem, jutro może nazwie się prawdą; co dziś zbrodnią i hańbą, jutro może się nazywać cnotą i chwałą: bo wyobrażenia ludzkie z pracą wydobywają się na jasność słoneczną, z boleścią pozbywają się stariej pleśni, ale się dźwigają, pracują i utwierdzają powoli. Przypomnijmy sobie czém było chrześcijaństwo w opinii świata za Cezarów?—hańbą i zbrodnią; czém jest dzisiaj?—to wiemy. Doznawszy wielu przykrych zawodów w bezpośredniem zetknięciu się z ludźmi, mój dziadek, rzecz dziwna! nie cierpiał ludzi, a kochał ludzkość; nie wierzył ludziom, bo go oszukiwali, zdradzali, nie pojmovali; ale kochał w nich ideał blizki urzeczywistnienia w doskonalszej przyszłości. Człowiek pospolity, nie potrafiłby może zrobić w sercu swoim rozgraniczenia pomiędzy człowiekiem a człowieczeństwem, pomiędzy szpetną rzeczywistością a pięknym ideałem, pomiędzy złem przechodniem a dobrem wiecznym; lecz jemu to łatwo było. Trudno by się było domyśleć po zimném, prawie opryskliwém obejściu jego w potoczném życiu, ile w tém sercu płomiennych żądź wrzało, ile w téj głowie świętych myśli wzrosło, jak tam rozum był wiarą, a serce miłością! To też było zakolatać do tego serca w potrzebie, w smutku, to się ono wnet otworzyło i świętymi błysło skarbami. Było odrazu i słowo współczucia, i uczynek braterski. Zawsze tam upor i dziwactwo ustępowały sercowym wzruszeniom; zawsze pamięć krzywd doznanych ustępowała miłości.

Pamiętam, że to co było w domu, w rodzinie najstarsze, najbiedniejsze, do tego on się przywiązywał najsilniej, brał pod swoją wyłączną opiekę, otaczał staraniem i zasłaniał od wszelkiego ucisku i przemocy. Ale i to jeszcze ludzie na karb dziwactwa liczyli, i w tém widzieli jakąś przekorę, potrzebę czynnego zaprzeczenia temu, co jest, dlatego tylko, że jest; dlatego, aby jednemu ze zdaniem swoim występować przeciw wszystkim. A wszakże kierowało nim zawsze uczucie najściślejszej sprawiedliwości, wolne od wszelkich osobistych i zewnętrznych wpływów. Bo jemu nie o to chodziło, aby z ludźmi, z otaczającym go światem zachował zgodę, lecz ażeby sam z sobą pozostał w zgodzie.

Byłoby bez wątpienia samolubne wyosobienie swego ja, wydzieranie się zpod jarzma panującej ogólnie opinii; lecz oraz śmiałe przyznanie się do swój indywidualności, nie ladajaka odwaga cywilna i samodzielnie wyrobione przekonanie, niechwiczące się za lada wiatru powiewem, jak to bywa u ludzi nie mających wiary w swoje pojęcia!

Poza rojem marzeń dziecięcych, widzę jeszcze starca jak w porze letniej przechadzał się pomiędzy grządkami swego ogrodu, z założonemi w tył rękoma, z głową na piersi spuszczoną; jak zasiadał pod cieniem starego klonu i w głębokim zamyśleniu spędzał ostatnie dnia godziny. A chociaż wokoło niego wesóło swawolita dziatwa, i wrzawa odzywała się raz śmiechem, raz płaczem: to mu jednak wątku myśli jego nie przerwało. On promieniem ducha swego sięgał dalej, dalej! w nieskończoność, w przestwor miejsce i czasów.

I było dobrze temu duchowi poza obrębem małości i drobnostek obecnych; wszystko złe i dobre, wielkie i małe było mu celem, znakiem i Apokalipsą ujrzaną i zrozumianą w przyszłości.

Babka moja byłoby sobie poczciwa kobiéta, jakich wiele było naówczas, jakich wiele dotąd na świecie; czciła w mężu istotę wyższą, kochała dzieci, pieściła wnuki, pieski i kotki, krzątała się około domu, w życiu swoim nikomu nie zrobiła krzywdy: to téż nazywano ją powszechnie *dobrą i miłą* osobą. Jestto najwyższa pochwała na jaką się świat dla kobiety zdobyć może, najwyższe pojęcie cnoty uosobione w niewieście.

Prócz książki do nabożeństwa i kalendarza w nadzwyczajnych okolicznościach, nic więcej nie czytała; i dziwić się temu trudno, bo wtedy jeszcze nawet romansów Walter-Scotta nie tłumaczono, a cała nasza belletrystyka stała prawie niżej zera. Zre-

szta, najpiękniejszy kwiat uczuć naszych, to co wówczas jedni nazywali poezją, a drudzy waryacją: to czytywała młodzież z ognistém sercem, nie zaś stare babunie w okularach; a gdyby się która przez ciekawość na taki wybryk zdobyła, przezwaliby ją sąsiedzi filozofką, heretyczką, Bóg wie nie czém!! I nie mamy im tego ani za zbrodnię, ani za potwarz; bo to co było, być musiało, i to co jest, być musi, a to co będzie, także jest z góry prawem konieczności zawarowane.

Bajki Krasickiego, psalmy, piosnki Książnina lub Karpińskiego, składały powszechnie bibliotekę ówczesnych literatek, grupujących się w przyszłości około *Pamiętki po dobrej matce*. Pisma treści czysto-naukowej, jako przechodzące pojęcia niewiasty, jako niepotrzebne, a może nawet szkodliwe, troskliwie przed nią usuwano; bo lękano się, aby kiedyś zasmakowawszy w rozkoszach umysłowych, nie zateęskniła do wznioślejszego dla siebie stanowiska w rodzinie ludzkiej; aby téj, która miała być tylko córką, żoną i matką, nie zachciało się jeszcze być człowiekiem. Lękano się, aby ukochawszy najprzód siebie w rodzinie, nie ukochała następnie siebie i rodziny w ludzkości; aby to, co dotąd wokoło niej było próżnią, zaświatem, nie zamieniło się dla niej w pełnię życia, w świat obecny i przyszły....

Postęp przypuszczano tylko w rolnictwie, w mechanice, w rękodzielach, a nawet w odkryciach astronomicznych; ale postęp w duchu nieśmiertelnym, ale przeprowadzenie myśli doskonałej w żywot doskonały i wzniesienie człowieka do wyższego, chrześcijańskiego pojęcia siebie w wszechświecie przez zrozumienie obowiązków łączących go z ogółem—to bynajmniej nie wchodziło w zakres usiłowań ludzi, mających siebie za największych myślicieli. A kiedy ich tak mało obchodził ogół, czémże zaiste mogła być dla nich wyosobniona z ogółu kobieta! Ludzie klasycyści!.... Oni widzieli w niej to tylko, co niegdyś widział wielki Heziodes: —głupstwo i próżność. A tego nie widzieli, co widział Chrystus:—poświęcenie i miłość!

.

Czemu tak jest, a nie inaczej?—To najtrudniejsza zagadka, nad której rozwikłaniem pracowali mędracy wszystkich wieków; a szkoda, że nie pracowali nad czém inném, możeby się dotąd już sama ta zagadka rozwikłała. Zamiast przypuszczeń dowolnych, mielibyśmy pewniki; zamiast błąkań losowych, mielibyśmy zasadę niewzruszoną, opoczystą, którejby bramy piekła samego nie prze-mogły.

Mój Boże! kiedy téżto ludzie przyjdą, nie powiem do pewnej refleksyi nad sobą, bo tego mają aż nadto, ale do zrozumienia siebie jako istot celowo stworzonych, nietylko na dziś, ale i na jutro!... Gdybyśmy mieli rozleglejszy pogląd na fakta dopełnione w przeszłości, na pojedyncze wypadki magnetycznie ku sobie dążące, w jeden zlewające się strumień, który wiecznie, pomimo niezliczonych przeszkod ku swemu płynie celowi; gdybyśmy to wszystko po ludzku i po Bożemu zrozumieli: wiara nasza urosłaby w górę niebotyczną, sercem wstąpilibyśmy na jej wierzchołek i tam rozbitoby namiot ku spoczynkowi, i rzecbyśmy mogli: „Dobrze nam tu!”

Szczęścia! szczęścia! wołają wszyscy: szczęścia dla siebie, szczęścia dla swoich! a znaleźć go nie umieją. Czy go nie ma w istocie? Czy próżną żądę wlał Stwórca w piersi nasze? Czy zwodniczą byłaby nadzieja, co się rodzi z piérwszym zakwittem myśli, a kończy z ostatniém westchnieniem człowieka? I czy on jeden w szeregu stworzeń miałby pożądać wieczną tęsknotą najwyższego dobra, któreby wiecznie usuwało się przed nim? Każde jestestwo znajduje w naturze żywioly odpowiednie potrzebom swoim, świat obecny zaspokaja wszystkie potrzeby jego, i tylko człowiek, syn ziemi i nieba, miałby umierać wiecznym pożądaniami, a nie osiągnąć nigdy ukojenia swój żądzy?...

Pomyślenie takowe byłoby okropnym bluźnierstwem. Utwierdzenie się w niém, byłoby śmiercią ludzkości, jej potępieniem wiecznym! Bo warunkiem życia jest właśnie to szczęście do którego dążymy, którego się pracą wiekową dobija człowiek. A szczęściem najwyższém jest cnota podniesiona do ideału, do heroizmu, do bóstwa samego. Im bliżsi jesteśmy tego ideału, tém bliżsi Boga, tém szczęśliwsi. Im goręcej go pożądamy, tém jesteśmy lepsi. Bo i jakże sobie wyobrażamy to przyszłe niebo nasze?—ażali nie najwyższém ukojeniem ducha? ażali nie najwyższą archanielską miłością dusz czystych? A niebo serc naszych w życiu obecném może być inne? Oh! nie ten najuboższy, kto najwięcej utracił, i nie ten najniešťęśliwszy, kto najwięcej ucierpiał;—ale ten, który nigdy nie kochał, i nigdy innój boleści prócz własnej nie uczuł.

(Dalszy ciąg nastąpi).



OPIS HISTORYCZNY
ZAŚLUBIN KRÓLEWICA JAKÓBA SOBIESKIEGO.

PRZEZ

Alexandra Węjnerta.

Triumphator animorum
Serenissime Jacobe Princeps
Domum Neoburgicam meritis
Et Patriam expugnasti,
Novam Tibi erigit Portam,
Instaurat et orbem amor Poloniae.

Napis na kolumnie przy kościele ks. Bernardynów.

Po konwulsyjnych wstrząśnieniach kraju, jużto przez wojny szwedzkie, już téż przez wewnętrzne domowe rozterki, jakie w ciągu panowań Jana Kazimierza i Michała Korybuta Polskę gorączkowo trapiły; rządy Jana Sobieskiego, króla, z wnętrza członków narodu do władania nim powołanego, zdawały się, iż zawsze po gwałtownych chorobach, kraj nasz samą jego naturą uleczyć, i do pierwotnych sił, mocy, potęgi i chwały doprowadzą. Waleczność Jana IIIgo, dzielna jego obrona całego chrześcijaństwa, odebrały w części nietylko utracone poprzednio kraje, ale nadto sławę oręża polskiego w całej Europie ustalwszy, tak dalece odstraszyły zewnętrznych nieprzyjaciół, iż na znaczny przeciąg czasu, spokojność Polsce od napadów zagranicznych zapewniły. Bohatér chocimski i wiedeński chcąc następnie utrwalić pokój wewnętrzny narodu, a więcéj może los własnego potomstwa, postanowił przez zapewnienie tronu swój rodzinie tego dokonać. Zdawało się więc, iż jutrzienka potęgi i trwałości bytu Polski, poprzedzając dobroczynne słońce, weszła na widnokrąg kraju naszego.....

O ile Warszawa dopomagała Sobieskiemu do jego powyższych zamiarów, przedsiębierzemy łącznie z innymi wiadomościami w tym tu opisie historycznym wyłuszczyć.

Jan IIIci wybawca chrześcijaństwa, pogromca tylokrotny Turków, lubo dla braku sił wojennych i niesnasek możnowładztwa, nie mógł z wszystkimi ościennymi mocarstwami (1) jednakowo korzystne traktaty krajowi zapewnić, mniemał jednak, iż po zabezpieczeniu wedle zamożności skarbu wszystkich granic państwa, którym władał, od zewnętrznych wojen, następnie wszystkie swe siły należy mu obrócić dla dopięcia równie ważnego celu, losu jego familii, a śmiało rzec można, że losu kraju bliżej obchodzącego. W tym zamiarze, ażeby usposobić naród do przyzwyczajenia i uważania jego najstarszego syna za przyszłego następcę tronu, postanowił Jan III dać możność królewicowi (2) Jakóbowi zasługiwania się na téj saméj drodze, na jakiej on swego zaszczytu dostąpił. Po długim posiadaniu przez Turków ważnej dla Polski twierdzy Kamieńca Podolskiego, jak z jednéj strony odebranie jéj zapewniało dla narodu wielkie korzyści, tak z drugiej, tém śmieliej mogło być torować prawo królewicowi do następstwa. Myśl zdobycia tak ważnej fortecy była najlepszym planem do ustalenia przyszłych praw Jakóba: tę więc wykonać postanowił Jan IIIci. W tym celu, na audyencyi publicznej posłów zagranicznych we Lwowie, umieściwszy obok siebie syna na tronie, poruczył mu tak ważną wyprawę, zostawując pod jego komendą hetmanów koronnych. W takim składzie dowództwa, można było łatwo przewidywać, iż, pomimo całego poświęcenia się królewica, dla dopięcia celu poruczonego, pomimo całej waleczności i trudów wojsk, któremi dowodził, wyprawa ta spełźnie na niczém, przez utajoną zazdrość hetmanów. Rzeczywiście skutek ten nastąpił; do zniszczenia jednak tych zamiarów Sobieskiego, przyłożyły się także i zabiegi dworów ościennych. Elekcyja bowiem otwierała im pole do wszelakich korzyści; polityka zaś zagraniczna znalazłszy już wówczas miękkie serca na złoto i zdolne do intryg, tém silniej starała się niszczyć to wszystko, cokol-

(1) Jest tu mowa o traktacie Grzymułtowskiego z r. 1687.

(2) Idziemy tu za pisownią więcej używaną w tytułach polskich, zwłaszcza, gdy mówimy dotąd w drugim przypadku liczby pojedynczej, *sędzica*, *podstolica*, *wojewodzica*, *kasztelanica*; a nadto znaleźliśmy w dawnych pismach XVIIgo wieku, iż używano dwojako wyrazu *królewica* lub *królewicza* w 2gim przypadku.

wiekich zamiarom stawiało opór i jakąkolwiek przeszkodę. Umieszczenie królewica na tronie na publiczném posłuchaniu, bardzo widocznie dało poznać postom ościennych narodów, jakie są zamiary króla Jana względem swego następstwa. Nadto, krwawa wojna domowa za Jana Kazimierza, o wyznaczenie następcy powstała, zbyt jeszcze świeże pamiątki miała wryte w usposobieniu narodu. Z tych przyczyn, wszelkimi możliwemi środkami, wyprawę na odebranie Kamieńca starano się wniwecz obrócić, a znalazłszy osobisty interes hetmanów i usposobienie narodu sobie przychylném, tém łatwiej intryga mogła być dopięć swego celu, i dopięła.

Niezrażony Sobieski tą pierwszą wyprawą, zachęcony poprzednią audyencyą we Lwowie, postanowił publicznie na sejmie walnym w Grodnie w r. 1688, syna Jakóba powtórnie obok siebie na tronie dać poznać narodowi. Zabiegi jednak zagraniczne, a zwłaszcza dworu austriackiego, znalazłszy przystęp do swych widoków u królowej Maryi Kazimiéry, potrafiły i tym razem zniweczyc plan Jana III, przez zerwanie tego sejmu, nim jeszcze wybrano marszałka izby poselskiej. Kierując polityką kraju, nietylko dworu, wytresowana we wszelkich manewrach dyplomatycznych za rządów Ludwika XIV, Marya Kazimiéra nietylko królem, jego osobą i czynami, ale wszystkimi sprawami państwa rządziła podług swój własnej woli. Zdawało się, iż Jan III po powyższych bezskutecznych działaniach tém bardziej upadł już był w swoim zamiarze, ustalenia tronu dla swój rodziny, skoro nawet królowa była mu ciągle jego widokom przeciwną. Ostatni jednak środek pozostał jeszcze Sobieskiemu, a ten zasadał się na połączeniu syna związkami małżeńskimi z jedném z państw potężnych i ościennych. Zespolenie bowiem sił dwóch narodów, mogło być po jego śmierci nietylko obalić wszelką intrygę zagraniczną, ale nadto ustalić nazawsze tron w jego rodzinie. Po bezskutecznych usiłowaniach króla w tym celu z domem austriackim przedsiębranych, prawdopodobném było, iż potęga wzrastająca domu brandenburgskiego zdawała się być najdogodniejszą, do spełnienia zamiarów Jana III. Znaczne siły wojenne, jakie utrzymywał i powiększał ciągle elektor Fryderyk Wilhelm (1), tém więcéj skłaniały Jana IIIgo do połączenia się związkami małżeńskimi z tym domem panującym. W tych widokach wysłał król do Berlina Jana

(1) Był to ostatni elektor, syn jego bowiem w roku 1701 przyjął tytuł króla.

Franciszka Bielińskiego, wojewodę malborskiego (1), celem starania się u elektora, dla królewica Jakóba, o rękę Ludwiki Karoliny Radziwiłłówny, wdowy po margrabi Ludwiku synie elektora. Zaledwie przyjechał w tym celu Bieliński do Berlina, nadzwyczajny wypadek zdawał się i tym razem niszczyć powyższe zamiary króla; albowiem Fryderyk Wilhelm w dniu 9 maja rano, 1688 roku zmarł w Potsdamie z wodnej puchliny, na którą zaledwo dni kilka cierpiał. Bieliński jednak niezrażony tak gwałtownym wypadkiem, a stając zawsze wiernie i mężnie przy dostojenstwie majestatu polskiego, postanowił nowego elektora nakłonić do widoków, w jakich został wysłany. Jakoż po wielu staraniach w tym celu przedsięwziętych, i za wpływem posła francuzkiego Rebenac, Bieliński zdołał doprowadzić układy u nowego elektora Fryderyka do tego stopnia, iż przyrzeczenie zaręczyn księżniczki Radziwiłłówny z królewicem Jakóbem przyszło do skutku. W miesiącu jeszcze maju tegoż roku, przyjechał królewic do Berlina, gdzie wyjednawszy od Fryderyka IIIgo zezwolenie, po widzeniu się z księżniczką uzyskał od niej pod dniem 25go lipca 1688 roku przyrzeczenie ślubu, a w razie uchybienia obietnicy, zapewniono mu dokumentem, że wszystkie jój dobra jemu się dostaną (2). Spółczesny dziejopis, doktor nadworny Jana IIIgo Bernard Oconor, tak nam te zaręczyny opisuje (3):

(1) Syn Adama z Sokołowa stolnika zakroczymskiego. Dla wielkich zasług wyświadczonych krajowi w pokoju i w wojnie, Jan Franciszek Bieliński pierwotnie miecznik koronny, następnie podkomorzy plocki, starosta malborski, ostlecki, mławski, w końcu został wojewodą malborskim. Warszawa liczących dobrodziejstw doznawała od téj rodziny, jak świadczą uchwały magistratu Staréj Warszawy: Jedna z dnia 16 listopada 1682 r., mocą której na obchód zaślubin Kazimierza Ludwika Bielińskiego (syna wojewody) z Ludwiką Maryą Morsztynówną, podskarbianką koronną, ofiarowało miasto podarunek wartości złp. 400 ówczesnych; drugą uchwałą z dnia 11 lutego, roku 1701, miasto będąc nadzwyczaj udręczone rabunkiem żołnierzy z komendy generała Dönhoffa, do tego stopnia, iż żołdactwo rozhukane na Dunaju, na Targowicy i po innych ulicach, najbiedniejszym przekępnutem gwałtem żywność zabierało; w takim położeniu upraszało protektorów miasta, między którymi był i wojewoda malborski, aby raczyli wstawić się za niem do króla, o pohamowanie zdzierstw takich.

(2) Nader ciekawy ten dokument znajduje się w *Źródłach do dziejów polskich*, przez Alexandra Przezdzieckiego i Grabowskiego wydawanych, tom I, str. 169. Sam oryginał jest w archiwum nieświeżskim książąt Radziwiłłów.

(3) Pamiętniki o dawnéj Polsce, t. IV, str. 400.

„Królewic Jakób odezwał się był o bogatą księżniczkę Radziwiłłównę, bezdzietną wdowę po elektorze brandeburskim, bracie tego, który dziś panuje. Wysłany zatem poseł do Berlina; sam królewic w licznej komitywie tamże się udał. Tegoż czasu książę Karol, brat elektora palatyna i cesarzowej rzymskiej, przybył tam także jedynie, by być na tém weselu. Księżna z Radziwiłłów brandeburska postrzegłszy go, niesłychaną ku niemu zajęła się miłością, a lubo już królewicowi Jakóbowi była przyrzekła, przecież namówiła księcia Karola, by o rękę jój prosił; i tyle przeciw oczekiwaniu wszystkich dokazała, iż w wieczór przed wyznaczonym dniem na ślub z królewicem, poszła za księżcia Karola”.

Jan III nie wiedząc bynajmniej o tak nagłej zmianie, zaufany w słowie raz wyrzeczonym, zawarł był za staraniem prymasa Radziejowskiego z elektorem brandeburskim w dniu 29 lipca tegoż roku przymierze dla obudwóch stron wielce korzystne wtedy, gdy około dnia 24 tegoż miesiąca i roku (1) księżna Radziwiłłówna ślub zawarła z księciem Karolem Filipem Nejburskim. Tak więc zawistny los Polsce, nagłą i gwałtowną odmianą zniweczył i tym razem najpiękniejsze nadzieje króla polskiego. „Żywo Jan IIIci zniewagę tę uczuł, i surowo od elektora brandeburskiego domagał się, za krzywdę podobną zadośćuczynienia. Elektor (jak w rzeczy samej było) jawnie dowiódł, iż nic o rzeczy całej nie wiedział, że wszystko przez lekkość i podejście niewieście stało się (2).”

Gwałtowny ten cios nietylko cały dwór polski oburzył, ale nadto królowę i naród. Wyczytujemy z listu Gałęckiego kasztelana poznańskiego, pisanego do króla Jana pod dniem 6 listopada 1688 r. jak to oburzenie narodu dało się najprzód poznać na sejmikach, a zwłaszcza w Szrodzie, gdzie wojewodowie poznański, kaliski i łęczycki, oraz cały zgromadzony tamże stan rycerski, oświadczyli gotowość zemsty, za taką zniewagę wyrządzoną domowi królewskiemu (3). Marszałek wiel. kor. Lubomierski taki list w tém zdarzeniu napisał do króla (4):

(1) Bandtkie i Inni nazuaczają sam dzień 24 lipca; spomniony jednak wyżej dokument ks. Radziwiłłowej dany d. 25 lipca królewicowi Jakóbowi, aż nadto jawnie przekonywa o mylności daty ślubu tej księżniczki z ks. Nejburskim.

(2) Pamiętniki o dawniej Polsce, t. IV, str. 400.

(3) Listy różnych osób do Jana Sobieskiego pisane, z archiwum Radziwiłłów w Nieświeżu, drukowane w Athenaeum, szereg nowy, oddział IIg, zeszyt VI, str. 54. (4) Pamiętniki o dawniej Polsce t. IV, str. 494.

„Najjaśniejszy Miłościwy Królu, Panie i Dobrodzieju mój! Nieomieszkać tu pierwszą pocztą, stanawszy tu odezwać się do W. K. M. Pana mego miłościwego, a najprzód wyrazić serdeczny żal mój, który jako wiernego i życzliwego majestatu W. K. M. i najjaśniejszego domu jego sługi boleśnie dotyka, z wiadomości które tu zastałem o podejściu królewicza Jego Mości przez księcia Neuburskiego, w małżeństwie księżnej margrabiniej. Nie będę ja tu tłumaczył tój tak płochój, bo takiego godna nazwiska i nieprzyjacielskiej akcji, bo W. K. M. wszystkie jój circumstancje najgłębiej przenikasz; to tylko z osobliwym namienie sentymentem, że tak wielki afekt, dobrodziejstwa, które W. K. M. wyświadczyła, pierwszy na obronę państw cesarskich wszedłszy, a w nią Wenecyą i Moskwę wprowadzwszy, a przytém zdrowie własne i głowę swą pańską na odsiecz Wiednia niosąc, i przez to do dalszych szczęśliwych progressów usławszy drogę, nie godziło się takową W. K. M. płacić niewdzięcznością. Wiem, że tak wielka od niewdzięcznej ręki zadana rana, dobrotliwe W. K. M. serce przenikać musi; ale i mnie jako wiernego sługi, rana ta serdecznie boli. Jako zaś nie wątpię, że W. K. M. właściwe honorowi i reputacyi swojej i najjaśniejszego domu swego sposoby przedsięwezmiesz, tak wszelką do tego usługę W. K. M. Panu memu miłościwemu ofiaruję, i pokornie radzę, aby W. K. M. miał w rejestrze tych, którzy za dostojęństwo majestatu pańskiego i najjaśniejszego domu W. K. M. krwi swojej żałować nie będą. Nie moja rzecz przytém miłościwy panie, Waszój Królewskiej Mości, jako wielkiej przezorności i uwagi panu przed oczy wystawiać tak wielką, bez granic prawie wzrastającą przewagę cesarską, która gotuje się tak Najjaśniejszemu W. K. M. domowi, jako rzeczypospolitój ciężką być swego czasu, kiedy to już od zachodu rachując, aż ku wschodowi, opasawszy Polskę teraz przez tę kolligacyę małżeństwa, i od północy zagarnia i wiska się w sam środek prawie rzeczypospolitój. Zaczém jakie idą konsekwencje, i jeżeli niepodobny sąsiadom moment nas nie-szczęścia, łąco każdy nietylko wiedzieć, ale dotknąć się może, przypominając sobie owę wielkiego kanclerza Zamojskiego przestrożę, którą jedną między trzema, strzeżenia się od fakcyi i potencji rakuzkiej, mądrze położył. Jedyna tylko w osobie majestatu W. K. M. zostaje nadzieja, że jako pan mądry i waleczny dogodnie zaradcze środki przyszłej niedoli wcześniej przedsięwezmiesz i gotującemu się zabieżysz nieszczęściu. Moc przeciwko

mocy, przez potężne *apponendo* kolligacye; co *ex zelo* i afektu ku majestatowi W. K. M. i dobru pospolitemu namieniam i proszę pokornie *Veniam ubertati* pióra, które szczere i życzliwe wypływającego jak oliwa na wierzch serca, wyraża *sensus*. Księżnej zaś margrabinéj, a teraz felcgrafowéj, tak szpetny postępek, godzien wielkiéj W. K. M. animadversyi, ażeby przynajmniej poczuła, że jest w poddaństwie W. K. M. i substantia jéj pod panowaniem W. K. M. zostaje, i masz moc oddalić ją od niéj, kiedy tak sama na się *in casum* kontrawencyjnie napisała dekret. Nie zda się, aby książę elektor miał być spółnikiem téj akcyi margrabinéj, bo zaraz ostro z nią *per Ministros* expostulował. Widziéć się z nią, ani z Neuburskim nie chciał i z Berlina wyjechał, co i interesa stanu domu brandeburskiego *persuadent* i wierzyć każą *contraria* zdawna z domem neuburskim, względem dyfferencyi i jakiejści nieprzyjaźni, którą terazniejszy elektor *Palatinus* pokazał nieboszczykowi kurfirsztowi brandeburskiemu, w ekсклюzy osoby jego z traktatu imperyi w Neomagium zawartego, co W. K. M. lepiej wiedziéć raczysz. Prawdziwéj zaś przyjaźni kurfirszta *in tractu temporis* jako się daléj stawi, laeno W. K. M. dojdziesz. Ja teraz *perplexus* jestem, *ratione* mojej do Prus naznaczonej funkcyi, jeżeli do niéj aplikowac się będą, kiedy to takie *interocurrunt* w domu kurfirszta rzeczy, i radbym wiedział w takim stanie jako Wasza Królewska Mość zechcesz tę kommissyą dysponowac i pokornie o informacyą upraszam, i jeżeli w tamtę mam się gotowac drogę. Ma wiadomosc p. Wickert, że przy końcu października naznaczył kurfirszt bytnosc swoję w Króleweu, ale o czasie homagii nic nie ma, ani ksiądz kardynał prymas żadnej w tém nie ma nauki, o którą wyraźnie do samego kurfirszta pisal. Neuburski z margrabiną 21 sierpnia wyjeżdżali do Düsseldorfu, od której wszyscy domowi abdikowali. Mówilem téz tu z panem Wickertem, którego sensa widzę stosujace się do interesów majestatu W. K. M., bo mi pokazal informacyą, którą *in scriptis* daje pryncypałowi swemu, co mu należy czynić i co *praevidere* w terazniejszych okolicznosciach, i że z Waszą Królewską Mością jako najściślej, przeciwko przeciwnéj stronie wiżac się powinien, któremu ja niektóre potrzebne *status sugges consideratte* (sic), *conformes* interesom majestatu W. K. M. Skarzył się téz tu pan Szymański resident na mnie, że nieprzyjaciel cesarski, i że tą intencyą za W. K. M. jechalem na Rus, że masz mnie W. K. M. wyprawic z wojskiem na odebranie Multan; zkąd do uwagi należy, jako so-

bie tamta strona o osobie W. K. M. tłumaczy i jaką ma do mnie niechęć, której codziennie doznawam przez perswazyą niewinną w Rzymie, a tu przez kardynała Pallaviciniego, wielkiego całej Polski i imienia W. K. M. nieprzyjaciela, i domowego szpiega. Gazety posyłam, z których W. K. M. informować się będziesz, jaka i przez co *ecrescit* potencya cesarzowi, jeżeli majster Teutonicus zostanie biskupem leodickim, na co się kasze i blizki jest tego, i że znać zdesperowawszy o elektorstwie kolońskim Finitemberg, na toż *aspirat* biskupstwo. *Applaudit* tu bardzo kardynał Pallavicini, zasłemu księcia Neuburskiego małżeństwu, czego mu *assecte* jego i *Fautores* dopomagają i co mogą *pro gloria* cesarza głoszają, a króla francuzkiego za cale nic nie mają, że jak *Incapax Gubernii*. To tedy z życzliwości mojej i z szczerego ku majestatowi W. K. M. Panu memu miłościwemu affektu, oraz i z okazji terazniejszych okoliczności, i publicznych wiadomości do uwagi podawszy, czekać będę ochotnie pożądaných W. K. M. rozkazów, życząc sobie, abyś W. K. M. i na tém tu miejscu exercitował wierną usługę moję i zażywał mnie *confidenter* do niej, a ja przy należytej wierności, starać się o to wszystkiemi siłami będę, abym godnym jej stawszy się, to w każdym terminie usługi W. K. M. pokazał, zem jest i dożywotnie być chcę.

W. K. M. Pana i Dobrodzieja mojego miłościwego, wierny, życzliwy i najwierniejszy sługa

Lubomierski mar. kor.

P. S. Nizko supplikuję majestatowi W. K. M., aby przeczytawszy ten list kazać go spalić, abym mógł napotém *efficaciter* służyć W. K. M.'

Z listu Ogińskiego kanclerza w W. Ks. Lit. do króla Jana pod dniem 11 listopada 1688 r. pisanego (1) wyczytujemy, że falcgrafowa reńska, ks. Ludwika Radziwiłłowa do wszystkich swych krewnych w Polsce pisała jednocześnie listy usprawiedliwiające powyższy związek: jeden z takich listów bez daty, został przesłany Janowi III przy powyższym liście Ogińskiego (2). Obrążona powaga króla i narodu sprawiła, iż poprzednio na sejmikach, a następnie na walnym sejmie, cały stan rycerski i senat oświad-

(1) Listy różnych osób pisane do Jana Sobieskiego: w Athenacum, szereg nowy, oddział II, tom 6.

(2) Tamże.

czyli swoją gotowość do zemsty, za poniesioną obelgę. Zdawało się, iż przyjdzie bezzawodnie do nieuchronnej wojny, lecz partya austryacka, obecnie spokrewniona z ks. Neuburgskim, potrafiwszy skłonić obrażoną królowę na swoje stronę, nadto silnemi wpływami działając na zgromadzony sejm w Warszawie dnia 17 grudnia 1688 r. rozpoczęty, tyle sprawiła, że pomimo zbyt dotkliwej obelgi narodu, pomimo gotowości zemsty za nią, potrafiono przeciągnąć na jej stronę taką liczbę posłów i senatorów, iż sejm ten w niesłychanym dotąd zgiełku, ze zgrozą powagi narodu, zerwany został dnia 31 marca 1689 r.

Elektor brandeburski mimo którego woli księżniczka Radziwiłłówna poszła za falcgrafa księcia Nejburgskiego, pojmował całą obrazę znieważonego honoru króla i narodu polskiego, a dowiedziawszy się o oburzeniu powszechném i przygotowującej się zemście, wkrótce po zamęzcju księżny Radziwiłłówny, pierwszy zaproponował związek siostry spomnianego księcia Karola Nejburgskiego z królewicem Jakóbem. Zabór dóbr księżny Radziwiłłówny, jaki w skutek zerwania umowy przedślubnej z królewicem Jakóbem powinien był nastąpić, tém więcęj zniewalał elektora brandeburskiego do starania się wszelkiemi siłami, aby temu wcześnięj nietylko przeszkodzić, ale także zupełnie zniszczyć. Znane były elektorowi niesnaski z królem i powaga Sapiehów w Litwie, nie tajne mu było postępowanie królowej z Janem III, która trzясając wolą jego i narodu, wszystko podług swęj myśli drogą frymarczeń i przekupstwa dokonywała (1). Przez takie dwie silne sprężyny działając, potrafił elektor w krótkim czasie całą burzę grozącą zupełnie odwrócić w następnym sposobie. Dochodzenie praw królewica Jakóba na dobrach ks. Radziwiłłówny, puszczone na drogę przewlekłych negocyacyj, które pod silnym wpływem Sapiehów, nie tak prędko mogły być jakikolwiek skutek zapewnić. Co zaś do królowej, znając jej słabość dla syna Alexandra, potrafiono ją omamić zaślubinami: 1ód ulubieńca z arcyksiężniczką austryacką; 2re królownej Kunegundy Teressy z arcyksięciem Józefem królem węgierskim; 3cie królewicowi zaś Jakóbowi przyobiecano w miejsce małżonki biret kardynalski (2): lubo dzieje

(1) Wyczytujemy w jednym autorze, że sądy i ministry jej (Maryi Kazimiery), pierścionka (t. j. listów) słuchali, a ten pierścionek sowite jej dochody przynosił. Czacki wyd. Raczyńskiego, t. II, str. 69.

(2) Załuski II, str. 643.

następne wyświecają, że Jakób do tego stanu bynajmniej nie miał powołania. W tak perspektywicznych omamieniach, królowa zupełnie stronę dworu austriackiego trzymając, potrafiła jak zwykle męża swego, pomimo tak silnej obrazy jego domowi wyrządzonej, zupełnie do swoich widoków nakłonić. Po takich przygotowaniach, gdy pierwotny projekt elektora brandeburskiego został przez cesarzową niemiecką Eleonorę Magdalenę przedstawiony dworowi polskiemu, można było łatwo osądzić, iż z pewnością może być, i został przyjęty. Związek ten królowica Jakóba z siostrą księcia Karola Nejburskiego Elżbietą Jadwigą Amalią, tém więcej zyskiwał ważności i powagi, iż był popierany silnie przez jej rodzoną siostrę cesarzową niemiecką, a prócz tego łączył dwór polski z domami panującymi: hiszpańskim, portugalskim i mantuańskim.

Gdy stosowne negocjacje zapewniły już te związki, zwierzchność Warszawy zawiadomiona o mającym się odbywać akcie weselnym królowica Jakóba w tymże grodzie, natychmiast przedsięwzięła wszelkie rozporządzenia, jakiemiby miasto w tak ważnym dla króla zdarzeniu, mogło nietylko myśl jego wykonać, lecz w dalszych widokach dopomódz. Zbawca Wiednia i chrześcijaństwa zasłużył na wdzięczność dla jego osoby i całego potomstwa. Nigdy aż do owjej epoki Warszawa z takim przepychem i z tak wielkimi wydatkami, nie okazywała swojej radości królewicom lub królewnom polskim. A jeżeli rozważymy, iż po tylu szturmach i zniszczeniu stolicy przez Szwedów, po grabieżach i złupieniu przez Rakociego, miasto było w tak wielkiem ubóstwie, iż na swoje własne potrzeby nie posiadało dostatecznych dochodów; łatwo z tego ocenić będziemy mogli, jaką i jak wielką ofiarę ponosiło w wydatkach na wystawny i wspaniały ohchód wesela pierworodnego syna zbawcy Wiednia.

Ażeby uczcić godnie pamięć tyle ważnego dla Jana III aktu uroczystego, Stara Warszawa bez żadnej pomocy od innych miast, miasteczek i jurydyk okolicznych, postanowiła pod dniem 11 grudnia 1690 r. na publicznej sessyi magistratu składkę, w uchwale następującej:

„Ponieważ najjaśniejszego królowica JMci Jakóba pożądane z Jaśnie Ośw. ks. Nejburską zbliża się małżeństwo, aktowi zaś weselnemu czas w Warszawie na d. 25 lutego, roku blisko następującego 1691 jest naznaczony, na który, że kosztu całego miasta potrzeba, osobliwie na prezent téjże ks. JMci weselny, na

przywitanie Jego Kr. M., królowej JMci, także królowica JMci, i téjże prywatnego Ks. JMci przywitania, tudzież i na wystawienie bramy tryumfalnej, na ognie, jako téż i na inne całego miasta potrzeby; w skarbie zaś miejskim dla szczupłych dochodów żadnych pieniędzy gotowych nie masz; zaczęm, że jest potrzebna kontrybucya, jednomyślnie i jednogłośnie przez wszystkie trzy porządki uchwalono, która odtąd jest postanowiona i aby do takowej kontrybucyi wszyscy w ogóle, tak mieszczanie jako i obywatele warszawscy bez wyjątku należeli i onę według taxy postanowionej opłacali, pod karami uchwalono. Do postanowienia tedy téj taxy z grona szlchetnego magistratu wyznaczeni są: Andrzej Kna-be, Andr. Minich, rajcy; z koła ławniczego, Chryztof Skrzecz-kowicz i Mik. Mokolin; z koła 20 mężów: Jan Łętowski i Ja-kób Sztysz. Do wybierania zaś téj kontrybucyi wysłani są: sławetni Jakób Biwet, Mikołaj Mokolin, ławnicy, i Jan Major jeden z 20 mężów staréj Warszawy.”

Tyle ofiar ponosząc dla okazania swéj wdzięczności zuboża-łe miasto, chciało przynajmniej, aby przez taką uroczystość z po-wodu spodziewanego licznego zjazdu znakomitych osób, sami je-go mieszkańcy chrześciance, przez stosowny odbył mienie swe poprawili. Klasa wyznawców Mojżeszowych, mając tylko do-zwolony pobyt w stolicy w czasie walnych sejmów i to za opła-tą (1), potrafiła od wielu lat pod rozmaitemi pozorami, pomimo wszelkich obostrzeń, skarg, reklamacyj władzy ówczesnej miasta, w niektórych jego częściach zamieszkiwać, i odbierać zarobki miejskie ponoszącym wszystkie ciężary tego grodu. Głównie po jurydykach powstałych, założyciele sprzyjali im, bo znaczne do-chody i ryczałtowo zapewniali, a Stara Warszawa nie posiadając władzy nad okolicznemi częściami, nie mogła była w żaden spo-sób ani zapobiedz, ani oprzeć się upadkowi własnemu; uchwyciła więc tę chwilę obchodu uroczystości, aby zupełnie z téj plagi dla siebie raz na zawsze otrząsnąć się. W tym celu wydała w dniu 15 stycznia 1691 r. uchwałę następującą:

„Uważając jako w prędkim czasie akt weselny królowica JMci Jakóba tu w Warszawie następuje, na który takowy zjazd, ażeby pp. mieszczanie albo obywatele pod pozorem publicznego

(1) Według urzędowych rachunków dzierżawił w r. 1690 tak zwa-ne *sejmowe* od żydów Daniel Zacharyasiewicz i opłacał miastu ówczesnych złp. 120.

zjazdu, żydom mieszkań, ani żadnych sklepów najmować nie wazyli się, ponieważ same wyraźne prawa księstwa mazowieckiego i miejskie tego zabraniają, i tylko na sam sejm walny koronny tymże najmować pozwalają, onym surowo przykazuje się pod winą sta grzywien polskich. Kupcom jednak cudzoziemskim na tenże akt weselny przyjeżdżającym, nająć mają sobie dozwolone z tym jednak warunkiem, ażeby ci cudzoziemscy kupcy sklepów nie otwierali, i towary swoje w otwartych sklepach, nie na łokieć, funty i kwarty, lecz tylko w zamkniętych sklepach całkiem przedawali.”

Jak usilnie zaś miasto starało się następnie tę plagę od siebie odwrócić, najłatwiej dadzą nam wyobrazenie wydatki poniżej wyluszczone. Skutek okazał, iż pomimo licznych ofiar, oporu, wstawiań, zabiegów, klasa ta mieszkańców potrafiła jeżeli nie wprost, to przynajmniej potajemnie i pokątnie, zarobkowaniem w mieście trudnić się. Mając zaś ułatwione przebywanie po jurydykach sąsiedzkich, tém swobodniej plany swe przeciwko Starłej Warszawie ciągle rozwijała.

Kiedy to się działo w stolicy, obaczmy jakie przygotowania robiono w przyjęciu królowej za granicą. Załuski biskup historyk, społeczny świadek tak nam opisuje w swoich listach (1):

„Dnia 8 lutego r. 1691 ukończone zostały zaręczyny, tyle upragnionego od królewica Jakóba małżeństwa z księżniczką Nejburską. Pan Proski złożył od narzeczonej pierścień królewicowi, jako znak jój zezwolenia i przywiązania; w skutek tego od Najjaśniejszych Państwa ja wysłany będąc na jój spotkanie, wziąłem z sobą za towarzysza podróży Wessla starostę rożańskiego, z którym ujechawszy kilka mil za Wrocławiem, 7 marca w Juksanach z księżniczką Nejburską złączyłem się, a po oddaniu jój listów niedługo bawiąc (takie bowiem miałem zlecenie), powrót przyspieszyłem. Narzeczona zaś następnego dnia publicznie do Wrocławia wjechała i tamże wedle swego dostojęstwa od swych braci przyjętą była. Wkrótce potem 12 marca królewic z Kępna wyjechał, a po przebyciu dwóch mil za Szyjowem ku Oleśnikowi pospieszał, gdzie gdy koło południa zatrzymał się, my także w godzinę po jego przybyciu szczęśliwie jeden po drugim nadjechaliśmy, i połączywszy się z królewicem, razem obiadowaliśmy. W ciągu tego czasu, kuchmistrz koronny doniósł

(1) Tom I, część 2, strona 1215.

nam, że z pewnością nowonaręczona z Wrocławia wyjechała; gdy zaś po ubiegłej zimie utrudniona była podróż, opanowała królowica wielka tęsknota (jak to zwykle bywa w miłości niecierpiącej żadnej zwłoki), która jednak po przybyciu naręczonej koło 8 godziny, na tém większą zamieniła się radość. Wprawdzie życzył on sobie widzieć twarz naręczonej, gdy jeszcze w karecie jechała; lecz dla zamkniętych okien powozu, nie mógł się cieszyć tym widokiem. Przybywszy księżniczka Nejburska do zamku wprzód, aniżeli mogła być witana przez naręczonego, zaraz jój oznajmiono o nadjechaniu krajczego wiel. kor. z orszakiem znakomitej szlachty, który będąc wysłany od królowej, życzył sobie aby mógł natychmiast obowiązku swego dopełnić, oraz dary przedstawić; dlatego upraszano ją, czyli to bez żadnej nieprzyjemności nastąpić może, do czego naręczona przychyliła się. Bezzwłocznie więc w ciągu jednego kwadransa, krajczy z całą świtą przybył, i zlecenia swoje wykonał. Do tego orszaku przyłączył się także królewic, który nie inaczej mógłby być poznanym, chyba po ofiarowanym pierścieniu. Niepodobna wyrazić wzajemnej radości, a szczególnie ze strony królowica Jakóba, który w uniesieniu swego serdecznego zadowolenia, dał się słyszeć, iż, jeżeliby jemu udzieloną była od Boga moc utworzenia dla siebie towarzyszki życia, nie mógłby żądać innój, zgodniejszój z życzeniami jego. Po odbyciu ceremonii, gdy już czas wieczery zbliżał się, każdy uważał za stosowne udać się w swoje strone; sam także królewic pod nieznanym nazwiskiem wydalil się do swych pokoi. Chociaż bowiem jakiś domysł powstał o jego obecności, nie dano jednak temu zupełnej wiary, dopóki po wieczery, gdy powtórnie odwiedzając z orszakiem swoim, został zapytany od naręczonej, jakby daleko królewic był oddalony, musiał wyznać, iż tylko o jeden krok jest odległy; po rozpoznaniu prawdziwej osoby, zaraz objawiła się szlachetna miłość w wzajemnych objęciach. Sama twarz jaśniała mocnym przywiązaniem, które zwiększyła kilkogodzinna rozmowa. Już w późnej nocy przy odejściu, odprowadzony królewic przez naręczoną aż do samych podwoi, nawzajem księżniczkę napowrót przeprowadzał, i tak ciągle walczoneo zobopólną grzecznością, dopóki ona sama tego nie zaniechała, z największą wzajemną przyzwoitością, aż do odejścia na spoczynek. Królewic zaś udał się do posła na wieczere, która przeciągnęła się do dwóch godzin; około zaś trzeciej po północy przeszło milę królewic ujechał, gdzie daleko

więcej z magnatów przybyło, aniżeli ci tylko, co byli w Wrocławiu. Z tego miejsca około jedenastej godziny, królewic konno na spotkanie odprawiał drogę, w towarzystwie rycerstwa i różnych osób, będąc poprzedzony ofiarowanemi końmi z trębaczami. Orszak przybył do miejsca, w kształcie amfiteatru pokrytego sukmem, i na ten cel zbudowanego, aby tamże obrzęd przywitania zaręczeni odbyli. Wprzód na nim stanął królewic, a potem narzeczona, która dowiedziawszy się, iż jest już oczekiwaną, kazała przyspieszać drogę, aby jak najprędzej oddać się w objęcia narzeczonego. Naprzeciw księżniczki wysłaną była jedna karetą królewica Jakóba, innym rozkazano pozostać. Wkrótce po wzajemnym przywitaniu się w amfiteatrze, gdzie także obecni byli poseł z małżonką, narzeczona wsiadła do swojej karety nadzwyczaj okazałej, za którą jechało 4 hajduków tak samo ubranych, jak służba królewica, z małą tylko różnicą w kolorze czerwonym sukna. Liczny orszak pieszy otaczał tłumnie boki, cztery inne karety przewoziły damy dworskie narzeczonój (1); poseł także wsiadł do swój kolaski. Sam tylko królewic konno, poprzedzony znacznym orszakiem, jechał przed pojazdem, dopóki nie przybyto do dworu, gdzie wojewodzina małżonka generała Wielkopolski, wojewodzina chełmińska; kasztelanowe: sieradzka i wieluńska wraz z innymi dostojnymi damami narzeczonę witały. Prowadził ją biskup poznański, małżonkę zaś posła, kasztelan sieradzki i podkomorzy wieluński. Wkrótce narzeczona inny ubiór przybrała z swojemi damami dworskimi, ponieważ dotąd tylko nosiła się w ubiorze węgierskim i zwierzchnim francuzkim (*robe de chambre* zwanym), jaki od królowej miała sobie ofiarowany. Następnie królewic odwiedził posła cesarskiego, gdzie zawsze po prawej ręce zajmował miejsce, bądźto siedząc pod baldachinem, bądź też przechadzając się; nawzajem poseł cesarski odwiedzając królewica, podobnie prawej strony trzymał się. Dnia 15 wyjechano następnie, dla odbycia przyjęcia orderu złotego runa; poprzedzało mnóstwo karet, za pojazdem zaś narzeczonój jedna tylko kolasa postępowała, generałowej wojewodziniej wielkopolskiej. Uroczystość rzezoną obchodzono w Kępnie, gdzie do tego wyznaczony hrabia holsztyński, order złotego runa w obliczu narzeczonój włożył królewicowi. Po skończonym obrzędzie, odprawione nabożeństwo przez najprzewielebniejszego Potockiego, poczem narzeczona wsiadła do swój karety z małżon-

(1) Zwano to dawniej fraucymerem.

ką posła i do dworu udała się; za nią zaś postępowały jak poprzednio karety dam jęj dworskich. Królewic zatrzymał się tu nieco, lecz zaraz za księżną postępował, wsiadłszy do powozu miecznika koronnego; w tymże czasie krajczy koronny odprowadził posła cesarskiego do pojazdu królewica. Późno w tym dniu obiadowano; porządek osób u stołu był następujący: po prawej ręce narzeczona i małżonka posła, po lewej królewic Jakób, poseł, generałowa wojewodzina i inne damy z dworu narzeczonęj; za posłową po prawej stronie biskupi: poznański i łucki; wojewodowie: poznański, łęczycki i chełmiński; kasztelanowie: sieradzki, wieluński i w. i. Ban Wrocławia gubernator Czech, zasiadł przy stole w pośrodku senatorów, zaś hrabiego Bana gubernatora Szlązka, umieszczono naprzeciwko dam dworskich i innych zagranicznych osób, które towarzyszyły księżnie; na końcu stołu siedziała reszta gości, o ile miejsca wystarczyło. Przy stole królewica usłużywali pp. Waslewski i Kaszewski, którzy zarazem potrawy roznosili; damom usłużywał p. Druzbic; p. Makowiecki zaś nadzór miał i wskazywał porządek potraw coraz smakowitszych, tak głos miarkując, iż nim nie obrażał słuchu. W czasie bankietu zdarzyło się, iż niektórzy byli niegrzeczniemi w domaganiu się, ażeby ręce narzeczonych do ucałowania, im przez stoły były podawane; co gdy odmówiono, zaczęto się obrażać i mniej przyzwoicie wyrażać. Był także zastawiony i drugi stół przy którym siedzieli: podkomorzynie koronna i wieluńska, krajczy, podczaszcy i kuchmistrz koronni. Nastąpiły podarunki; już przedtém posłał był królewic narzeczonęj do Szyjowa, przez p. Siekierzyńskiego, krzyż dyamentowy w literach, tegoż zaś dnia wieczorem, pierścień brylantowy zdjęty z swego palca księżniczce ofiarował; nawzajem dostał od nięj rączkę misternie wyrobioną, utrzymującą serce z brylantów. Trudno opisać jak oboje wzajemnie byli zadowoleni; niełatwo mógłbym także opowiedzieć, jak narzeczona wszystkich serca ujęła uprzejmością i przystępnością. Zagraniczne damy nie mogły dosyć podziwiać, jak nasze ceremonialne zwyczaje, księżniczka bez żadnej pogardy przyjmowała. Królewic nie poprzestając na obdarzeniu samęj narzeczonęj podarunkami, okazał się także hojnym i dla jęj orszaku; hrabiemu holsztyńskiemu, w miejsce portretu królewica jeszcze niewykończonego, ofiarowano podarunek wysadzany brylantami, równy tamtemu pod względem wyrobu i wartości, oszacowanęj na 1,500 dukatów, przytém konia tureckiego z całym rynsztunkiem, synowi jego dano drugiego konia tureckiego z takimże ubraniem; z dam dworskich każdę w szczególności pierścieniem

udarowano; jedném słowem nikogo nie było takiego, coby nie doznał bojności królowica, który wśród tego ciągłemi listami uwiadomił Najjaśniejszych Państwa o zbliżaniu się narzeczonej. Wyjechał naprzeciwko królowica kardynał, gdzie gdy podczas powitania marszałek nachylił łaskę, i zaraz na skinienie biskupa poznańskiego chciał takową podnieść, poczytał to za błąd kardynał, przywołując, iż nie jest w zwyczaju podnoszenie łaski na cześć królewskiego syna. Następnie wyjechano do Radziejowic, gdzie z okazałością przez kardynała przyjmowani, wkrótce do Nadarżyna wszystkie dworskie damy zajechały; księstwo zaś w Falentach pozostali. Tam życzył sobie kanclerz wielki (1), ażeby mu dano do spełnienia obowiązków podziękowania za dary przedślubne; jednak inaczej Najjaśniejszemu Państwu podobało się: postanowiono bowiem z zaszczytem dla mnie, ażebym ja w tym razie był mówcą. Ostatnią noc przed wjazdem do Warszawy, przepędziła narzeczone w Ujazdowie, gdzie marszałek koronny (2) częstował prawie całą ludność stolicy, jaka się była dla oglądania narzeczonej tłumnie zebrała, oboje królestwo odwiedzili także *incognito* księżniczkę Nejburską w ogrodzie, i zaraz po przywitaniu odeszli. Następnego dnia narzeczeni przystępowali do stołu Pańskiego; ztamtąd w towarzystwie królewiców Alexandra i Konstantego, którzy przed narzeczonemi nieśli wspaniałe pokrycie *tuwalia* zwane, wprowadzoną została królewiczówna z Ujazdowa do Warszawy przez księżnę Radziwiłłową siostrę króla, i przez dwie siostry królowej: marszałkównę de Bethun i kanclerżynę wielką koronną. Siedziała z niemi także i pani Cwibel, którą niezwykłym dotąd zwyczajem, ogłosił biskup poznański jako posłową, co było zaraz następnie powodem między damami do sporów i sprzeczek. Albowiem kasztelanowe poznańska i wileńska, oraz wojewodzina płocka, zmyśliwszy chorobę, wolały nie być przytomnemi téj uroczystości, jak ustąpić swego miejsca. Nagle powstał także pomiędzy damami dworskimi królowej dumny spór, gdy im polecono połączyć się z damami narzeczonej w ten sposób, iżby w jeden orszak zjednoczyły się; rzeczywiście (jak to zwykły kobiety czynić, jeżeli kto ich raz bodziec dumy urazi), wzgardziwszy rozkazem, ubliżyły posłuszeństwu. Dlatego królowa powtórnie domagała się, aby pierwszym rozkazom uległy, lecz i teraz bezskutecznie; krnąbrniejsza od innych pokojowa Gąsieska dała się słyszeć, że to wykonywać będzie, co jéj

(1) Jerzy Dönhoff t. h. biskup przemyski.

(2) Stanisław Lubomirski h. Sreniawa właściciel ówczesny Ujazdowa.

kasztelanowa wileńska rozkaże; „odtąd więc już, rzecz królowa, nie jest moją służką.” Taki więc to spór i takie niesnaski między naszymi kobietami istnieją o czyzy punkt honoru! Gdy one tak wadziły się, po odbytych ślubie w kościele św. Jana przez kardynała, owa mianowana jako posłowa przez biskupa poznańskiego, zasiadła także przy stole królewskim, za wstawieniem się nuncjusza apostołskiego. Następnego dnia oddawano podarunki ślubne, których wartość wynosiła przeszło 150,000: nakoniec w publicznych zabawach różnym sposobem okazywano radość, wyprawiano ognie sztuczne, opery, komedye i tańce; nowo zaślubiona zaś dostała dwa tysiące dukatów na gry w karty.

Zaledwo Stara Warszawa postanowiła kontrybucją na akt weselny, wnet mieszkańcy lubo biédni, chętnie ostatni grosz egzaktorom na ten cel wyznaczonym znosili, będąc przekonanymi, że czynią to dla zawdzięczenia ojcu za ocalenie chrześcijaństwa. Znajdujemy w rachunkach z r. 1690, iż na ten cel złożono złp. 5,074, co czyni na dzisiejszą monetę złp. 7,611.

Następująca tabella wszelkich wydatków miasta na ten cel uskuteczionych, da nam najdokładniejsze wyobrażenie o sposobie, jakim miasto wdzięczne swemu ojcu monarsze, chciało w osobie syna uczucie swe okazać.

Wydatki ogólne.

1. Księdzu Ojrzyńskiemu za świece do bramy tryumfalnej podczas wjazdu królewica JMci Jakóba.....	Złp.	gr.
	47	—
2. Item dla Ich MM. PP. radziec do kościoła.....	6	20
3. Zaboklickiemu od zapalenia.....	6	—
4. Łogoszowym (1) królewica Jakóba.....	3	—
5. JMci panu marszałkowi w. koron. względem żydów, aby im protekcyi nie dawał do mieszkania w Warszawie podczas wesela królewica Jakóba, talerów bitych Nr. 10.....	66	20
6. JMci panu podkomorzemu koron. przywitanego i aby uprosił króla JMci, żeby bramy tryumfalnej nie przedstawiano, tynfów nr. 200.....	220	—
	<hr/>	
Do przeniesienia	349	10

(1) Łogosz, Łokosz woźnica, uczenie dyszel kierując wozowy. Linde.

	Złp.	gr.
Z przeniesienia		
7. Księdzu kaznodziewi co miał przeciwko żydom i lutom kazanie, aby panowie protekcyi im nie dawali, na garniec wina.....	349	10
8. JMci ks. kanclerzowi wielkiemu koron. aby także instancją wniósł do królewica JMci, aby im protekcyi nie dawał, ofiarowano cytryny i pomarańcze, które kupiono u Perotta.....	54	—
9. Rajtarom JMci pana marszałka w. koron. gdy Jmcie (1) byli na audyencyi u Jmci względem żydów....	1	20
Wydanki na samą bramę tryumfalną, objęte są w urzędowych rachunkach z r. 1690 pod następującym tytułem:		
<i>Expensa na wystawienie bramy tryumfalnej przed OO. Bernardynami podczas aktu weselnego Najjaśniejszego królewica J. M. Jakóba, z Najjaśniejszą Jadwigą księżną Nejburgeczanką córką Najjaśniejszego księcia JMci Nejburskiego:</i>		
<i>którym niechaj Pan Bóg użyzcza długoletniego zdrowia.</i>		
1. A naprzód od dworu J. W. J. M. P. podskarbiego wielkiego koronnego (2), tak dla stolarzy, cieśli, jako i malarzów in summa, dało się gospodarzowi.....	100	—
2. Cieśli co starą bramę w cekauzie zdejmował i rewidował (3).....	2	—
3. Za abrys stolarzowi zamkowemu.....	40	—
4. Za siano do zatkania świata (globu).....	—	21
5. Za 6 łokci astrachanu na chorągwie.....	7	6
6. Tokarzowi za 4 trąby i gałki.....	4	—
7. Na piwo cieślom przy zakładaniu bramy pierwszy raz (4).....	1	3
Do przeniesienia		566 20

(1) Jest tu mowa o urzędnikach miasta.

(2) Marek Matczyński, h. Jastrzębiec, wojewoda bełzki, ruski, starosta grabowiecki, hrubieszowski i bełzki.

(3) Jest tu mowa o bramie tryumfalnej, jaką miasto wystawiło w roku 1637, na przyjazd i ślub królowej, małżonki Władysława IVgo Cecylii Renaty, w tém samym miejscu, koło kościoła OO. Bernardynów.

(4) Z rachunków okazuje się, że bramę pierwszy raz postawioną wiatr obalił, lub ją nadwerężył bardzo.

	Złp.	gr.
	Z przeniesienia	
	566	20
8. Za kłodzinę na słupki przy bramie.....	—	26
9. Od zwiezienia bramy, tojest drzewa wygotowanego, przez dwa dni ciesielskiej roboty.....	16	—
10. P. Hoffmanowi, co doglądał robotników przez niedziel 4	40	—
11. Temuż dano contentatii	20	—
12. Księdzu Dominikowi od OO. Pijarów, co wiersze komponował do bramy (1)	100	—
13. Od zwiezienia stolarskiej i malarskiej roboty do OO. Bernardynów, od koni za dwa dni.....	16	—
14. Janowi Milińskiemu malarzowi, według kontraktu z nim uczynionego, ogółem za wszystkie roboty malarskie, oprócz płótna i ćwieków.	700	—
Tu następują wydatki mniej więcej zajmujące, które ogółowo przytaczamy:		
15. Za płótno.	192	15
16. Ciesielska robota	255	13
17. Usługa i robotnik	202	27
18. Stolarska robota	759	20
19. Tokarska robota	10	—
20. Drzewo i materyał budowlany	738	23
21. Żelastwo (2)	335	13
22. Światło.	16	—
23. Wino i wódka dla robotników	28	1
24. Karunek i furmanki.	77	—
25. Opał mieszkań robotników.	31	4
Dalej w wydatkach zamieszczono po szczególe:		
26. Za 6 garncy wina dla Ich Mciów (3), podczas przywitania królewicowej Jój Mci.	40	—
		Do przeniesienia 4146 12

(1) Wiersze te znajdują się w dziełku, pod tyt.: *Janina*, w 4ce wyszłem roku 1739.

(2) Dostarczał Biwetti. Z rachunków okazuje się, iż ćwieki wówczas najslawniejsze były toruńskie, które sprzedawały się w woreczkach.

(3) Zwyczaj ten pisania oznaczał urzędników miasta z wszystkich trzech porządków, tojest rajeów, ławników i gminnych.

	Złp.	gr.
Z przeniesienia	4146	12
27. Dla trębaczów co trąbili na bramie tryumfalnej za półtora garnca (1).	10	—
28. Za 5 łokci frendzli do herbów na bramę tryumfalną z robotą	5	—
29. Semenom (2), co chodzili na exekucją względem błota, aby pp. mieszczanie chędożyli podczas wesela królewica J. Mci.	12	—
30. Za olej na smarowanie latarni do ogniów na ratuszu podczas wesela królewica Jmci.	1	22
31. Za lece (lejce) do orłów na bramie tryumfalnej.	1	12
32. Za świeczki do przybijania malowania.	1	—
33. Malarzowi od malowania sukienki płóciennój na Kupidyne.	2	—
34. Za płótno na tęż sukienkę.	2	15
35. Za dwie libry papieru na latarnie na ratusz.	1	6
36. J. M. panu Łosackiemu za farby, które malarz nad kontrakt wybrał.	60	—
37. Item za olej do tych latarni.	—	15
38. Trębaczom co trąbili na bramie tryumfalnej, według ugody.	80	—
39. Na piwo dla nich	1	—
40. Od naprawienia orłów na bramie tryumfalnej.	3	—
41. Od zwiezienia bramy tryumfalnej ze dworu J. Mci pana Zamojskiego	8	—
42. Malarzowi i tokarzowi od naprawienia piramidy, którą wiatr zrzucił.	7	15
43. Malarzowi od abrysu bramy tryumfalnej.	3	—
44. Kantorowi <i>szmigus</i> (3).	1	20
Do przeniesienia	4347	27

(1) Następnie pod poz. 38 i 39 umieszczony jest wydatek dla nich na piwo i wynagrodzenie.

(2) Stefan Czarniecki zwał *semenami* jazdę z Rusinów zaciągniłą na Ukrainie. (Z notat T. Lipińskiego). Prawdopodobnym jest, iż jaki magnat z tamtych stron bawiący w Warszawie w czasie uroczystości, miał z sobą jaki oddział tych semenów, których miasto używało za wynagrodzeniem.

(3) Zwyczaj był w Starój Warszawie, iż kantorowi w kościele św. Jana, dawało miasto kolendę na Wielkanoc, która się nazywała *szmigus*. Chcąc go zachęcić do równej gorliwości, w czasie aktu uroczystego wesela królewica Jakóba, miasto podobne wynagrodzenie udzieliło mu.

	Złp.	gr.
	4347	27
Z przeniesienia		
45. OO. Bernardynom kontentacyi od schowania i złożenia bramy tryumfalnej	13	10
46. Od zwiezienia téjże bramy tryumfalnej do ce- kauzu miejskiego	24	—
47. Zagórskiemu na areztowanie sprawy w sądach marszałkowskich, gdy go było pozwano, że żydom pieczę- tował kramy	1	20
48. Dwie szlachcie ubogim, z niewoli idącym jał- mużny	2	—
49. Exulowi z Flandryi	1	—
50. Pani Rhabowój za świece do lataren, podczas wesela królewica J. Mci na ratusz brane	7	2
51. Krawcowi co obszywał płótno na bramie try- umfalnej	3	—
52. J. Mci panu Rownie, co wydał na furmanów, którzy piasek wozili do naprawiania drogi, chłopom, co przedmieście chędożyli i drogę naprawiali, semenom co na exekucyą chodzili podczas wesela królewica J. Mci	360	—
53. J. Mci panu Łosackiemu (1), według podane- go rejestru za ryżę papieru i świece <i>gdańskie</i> , co świecili, kiedy fajerwerk był podczas wesela królewica J. Mci	27	10
54. Kapitanowi od próbowania rac, które mieliśmy kupić, tynfów trzy	3	9
55. Za rynienkę na bramę	1	3
56. Na zawiasy do bramy tryumfalnej	2	—
57. Cieśli Szymonowi i jego 5ciu pomocnikom, co przybijali malowanie do tejże bramy	24	20
58. Stanisławowi Rurmistrzowi od téj roboty	7	—
59. Magistrom stolarskim 5, także czeladzi 5ciu, co malowanie przybijali na bramie tryumfalnej	105	—
60. Chłopom co wynosili malowanie od Bernar- dynów	—	22

Ognie na ratuszu.

61. Od malowania latarni wielkich z farbą, za płu- tno i świeczki	18	24
---	----	----

Do przeniesienia 4949 27

(1) Jan Łosacki był starszym porządku dwudziestu gminnych.

	Złp.	gr.
Z przeniesienia	4949	27
62. Drukarzowi od wyrznięcia herbów królewica J. M. i księżnej J. M.	6	—
63. Za kop 3 i 20 lichtarzów glinianych od garn-carza.	6	20
64. Drukarzowi od wydrukowania pięciu liber pa-piérou na latarnie	2	15
<i>die 5 martii.</i>		
65. Malarzowi od malowania herbów na tychże la-tarniach małych	8	10
66. Za mąkę na klejstr do tychże herbów	2	—
67. Za papiérou liber 5, po groszy 18	3	—

Praezent na wesele Najjaśniejszego królewica Jakóba.

68. Za parę lichtarzów które ważyły grzywien 30 dico trzydzieści augszpurgską robotą: grzywna po jedenaście ta-lerów bitych, czyni talerów trzysta trzydzieści, po złotych sześć i groszy dwadzieścia rachując *summa facit* 2200 -
 dodając wydatki na zrucenie bramy tryumfalnej. 20 4
 będziemy mieli przybliżonym sposobem (1) ogół wydatków w ilości. **7198 16**
 jakie ubogie miasto Stara Warszawa poniosło chętnie na ołtarzu wdzięczności dla pierworodnego syna swego mo-narchy.

Aby okazać jeszcze widoczniej tę ofiarę miasta, przy-taczamy następujący wyciąg z urzędowych rachunków Sta-rój Warszawy w r. 1690 sporządzonych. Dochodu ro-cznego było w ogóle złp. 31,044
 wydatków złp. 32,688
 zatem brak złp. 1,644

(1) Dlatego dodajemy przybliżonym sposobem, iż niepodobna z ści-słością oznaczyć, wiele naprawy budowli miejskich murów, wałów i bram tego grodu kosztowały. Nie wiemy bowiem z pewnością, czyli to uporząd-kowanie miasta było wówczas skutkiem niezbędnej lub tylko chwilowej po-trzeby, albo wreszcie dla okazałości samej uroczystości robione.

który dodał ówczesny prezydent Alexander Czamer z własnych funduszków (1).

Nadto porównyując powyższy wydatek na obchód zaślubin królewica Jakóba w ilości. złp. 7198 gr. 16 z dochodami miasta z r. 1690 wynoszącemi. . . złp. 31044 gr. — wypada, iż wydatek na powyższą uroczystość wynosił przeszło czwartą część ogólnych dochodów, nie licząc wszelkich innych nakładów na ochędóstwo, ozdobę miasta, jakie trudno przypuścić, aby nie miały miejsca w czasach istnienia tego obchodu.

Jan III po udzieloném od stanów koronnych i litewskich zezwoleniu, na małżeństwo królewica Jakóba z siostrą cesarzowej, rozpisać kazał listy do cesarza i jego małżonki od siebie i królowej, do matki elektora, do elektora palatyna Renu i do króla francuzkiego. Po odebranych odpowiedziach, rozpoczął się dnia 25 lutego akt weselny, na który senatorowie obojga narodów bardzo liczno zjechali się. Na bramie tryumfalnej wystawionej na Krakowskiém-Przedmieściu, w środku było popiersie cesarza Leopolda, po bokach zaś wizerunki spokrewnionych osób panujących królów: rzymskiego, portugalskiego, polskiego, hiszpańskiego, książąt Parmy oraz małżonek tychże i matki królewicownej, księżnej Nejburskiej. Pod każdym z tych wizerunków stosowne wiersze łacińskie umieszczono (2); oprócz tego były napisy ku czci nowożeńców na kolumnie po lewej stronie bramy, w wieńcu nad samym portykiem, na innych trzech kolumnach, wreszcie pod globem wystawiającym 4 części świata: Europę, Azyę, Afrykę i Amerykę wiezione przez orły (3). Przez tę bramę wprowadzano narzeczoną przy huku dział i nader licznego orszaku, wśród śpiewów, muzyki, okrzyków ludu, zacząwszy od wjazdu aż do pałacu?, który najświetniej był przyozdobiony wielu uroczystemi godłami królów. Pomiedzy licznemi miejscami Warszawy, gdzie uświetniano illuminacją ten obchód, odznaczały się szczególnie przezrocza w portyku do pałacu króla w Willanowie i na arsenale (4).

(1) Istniał zwyczaj, iż wszelkie niedobory do pokrycia wydatków rocznych miasta, zastępował swemi funduszami prezydent, podskarbi lub jaki inny więćej zasobny urzędnik miasta, co w następnych latach onemuż zwracano.

(2) Wszystkie znajduj^o się w dziełku pod tytułem: *Janina czyli życie Jana III*, drukowaném w P znaniu r. 1739 w 4ce. Wýżej na str. 152 do nieśliśmy, że wiersze te książdz Domliuk Pijar utworzył.

(3) Wszystkie te napisy tamże.

(4) Tamże.

Jedną z główniejszych ozdób uroczystości wesela królewica Jakóba były widowiska teatralne. Oprócz tych szczegółów, jakie w tym względzie wyżej przytacza Załuski, pozostała do naszych czasów mniej znana dotąd sztuka teatralna (1), jaka wówczas była odegrana, a następnie w Sze drukiem u ks. Pijarów w r. 1691 została wytłoczona (2). Cała napisana w języku włoskim, wówczas modnym, nosi tytuł następujący: „*Miłość stała, czyli wytrwanie w jej przeciwnościach, dramma z muzyką ofiarowana królewicowi polskiemu Jakóbowi i Jadwidze Elżbiecie księżniczce nejburskiej w dzień obchodu ich ślubu w Warszawie, przez Jana Chrzyciela Lampugnani florentczyka*”. Ofiarowanie to nastąpiło d. 20 marca r. 1691 w wyrazach następujących; „Najjaśniejsze księstwo! Poczytałbym za uchybienie głębokiemu i winnemu uszanowaniu Ich Wysokościom królewskim, gdybym wśród powszechnych okrzyków uroczystości i nadziei, jakie mają wyniknąć z chwały ich dostojnego panowania (3), nie przedsięwziął powiększyć choć w małym udziale radość i ukontentowanie, jakie podzielam w chęci najżywszej poświęcenia méj pracy Ich Wysokościom królewskim.

„Uważam więc za hołd należny, ofiarować moje dramma choć z licznymi błędami, jakie zapewne nie mogłyby ujść, ani cała sztuka mieć powodzenia, bez ich łaskawej opieki i wspaniałej protekcyi. Błagam więc Ich Królewskich Wysokości, ażeby raczyli zaszczyścić wspaniale i przyjąć moje ofiarę, nie tyle ile zasługuje, ani ze względu jej wartości, ale jedynie z uwagi na chęć moję uzyskania sławy, dając się tym sposobem poznać, za co dozgonnie wdzięcznym zostawać będę

Najjaśniejszego Księstwa
najposłusznieszy, najpokornieszy i najniższy sługa
Jan Chrzyciel Lampugnani.“

Do sztuki tej ułożył muzykę Viviano nadworny kapelmistrz króla Jana IIIgo. Treść tej drammy muzycznej czyli dzisiejszej opery była następująca: Alfons król neapolitański przezwany Wspaniałym, († r. 1458 mając lat 74) nie kochając już swéj małżonki Arsyndy księżnej de Castro, przedsięwziął podróżować poza granicami swego państwa. Zatrzymawszy się w Messynie, ujrzał Doryzbę córkę Rug-

(1) Wojcicki w opisie teatru starożytnego w Polsce nie wspomina o niej.

(2) Sztuka ta w języku włoskim znajduje się obecnie w księgozbiórce uczonego Ig. Zagórskiego, od którego mieliśmy ją sobie łaskawie udzieloną.

(3) Autor pisze zupełnie w myśl zamiarów króla Jana III.

giera króla Sycylii, która zachwycającymi wdziękami potrafiła miłość Alfonsa ku sobie obudzić. Powraca natychmiast do Neapolu w tym celu, aby wszystko przygotować do połączenia się z Doryzbą węzłami małżeńskimi. Tajemnie o wszystkiém zawiadomiona Arsynda, widząc się wzgardzoną, postanawia zemstę. Przebiera się po mężku, jedzie do Messyny, i dostaje się pod tytułem obowiązków sekretarza na dwór księżniczki Doryzby, gdzie bawi jedynie w tym celu, aby przeszkodzić jój zaślubinom z Alfonsem. Ten nie wiedząc nic o ucieczce Arsyndy, a raczej wnioskując z jój zniknięcia, iż potajemnie z rozpaczy śmierć sobie zadała, taką o niej kazał wieść rozgłosić. Tymczasem Ruggier chcąc ustalić następstwo w swój dynastyi (1), postanowił wydać córkę za swego krewnego Izmena, piastującego znakomity stopień dowódcy wojsk. W tym zamiarze odmawia Alfonsowi ręki Doryzby, ten zaś rozgniewany chce siłą i mocą zbrojną dopiąć swego celu; wydaje wojnę Ruggierowi i występuje z flotą, ażeby po wygranej morskiej batalii, obleść następnie Messynę. Na tle historycznym usnuta ta opera obejmuje w sobie 3 akty: w pierwszym scen 10, w drugim 14, a w trzecim 16. Rzecz dzieje się w Messynie. Osoby wchodzące do niej są następujące:

Ruggier król sycylijski.

Doryzbe jego córka i; narzeczona ks. Izmany dowódcy wojsk sycylijskich.

Arsynda księżna di Castro w ubiorze męzkim pod zmyśloném nazwiskiem Filena, prawdziwie przywiązana do Alfonsa króla neapolitańskiego zakochanego w Doryzbie.

Irena dama dworska Doryzby kochająca się w Filenie (przebranej Arsyndzie).

Arzaces kapitan gwardyi Alfonsa króla, narzeczony Ireny.

Don Ferrante doradca króla sycylijskiego.

Drullo służący Izmana.

W ogóle każdy z czytających łatwo rozpozna z treści powyższej opery, iż Lampugnani działając w zamiarach i widokach króla, wcześniej w widowiskach i drukiem nawet chciał usposabiać naród, do zapewnienia tronu familii Sobieskich.

Rok 1691 w którym tak świetnie Stara Warszawa wystąpiła, aby uczcić uroczysty obchód dla rodziny Jana IIIgo, pamiętnym jest także z dwóch ważnych instytucyj, jakie dla bezpieczeństwa i wygody miasta, zaprowadzone lub odnowione w niem zostały. Do pier-

(1) Podobieństwo do zamiarów króla Jana III.

wszych liczyć należy zabezpieczenie miasta od nieszczęśliwych wypadków nieostrożnego obejścia się z prochem, a to przez sprzedaż wyłączną, tylko w urządzonym składzie głównym miasta, w ceikauzie przy nowomiejskich bramach (1). Do drugich należy odnowienie kompasu dla miasta, na wieży ratusza Starój Warszawy istniejącego.

Zrażone miasto tylokrotnymi pożarami, które równie jak klęski wojenne tysiącom mieszkańców odbierały całe mienie wpośród pokoju, a nadto stawały się głównym powodem jego ciągłego ubóstwa (2); bacząc z drugiej strony, iż jedną z przyczyn tak srogięj klęski była wyuzdana swawola rozhukanego tłumu, nieumiejącego wzbogacać się jak tylko w natłoku gorejących budynków, a jeszcze częstsze takie wypadki nieostrożność prywatnych osób zrządała; magistrat więc postanowił ostateczny kres położyć takiej pladze srogięj. W tym celu wydał w dniu 2 kwietnia r. 1691 w tym przedmiocie na publicznej sessyi uchwałę, którą Jan IIIci król polski przywilejem danym w Willonowie d. 25 czerwca t. r. potwierdził (3).

(1) Ceikhauz rzeczony jest dokładnie oznaczony na widoku trzech bram nowomiejskich z r. 1673, znajdującym się w *Starożytnościach Warszawskich* T. I, zeszyte 2gim.

(2) W r. 1684 d. 19 listopada zapalone prochy przez nieostrożność w sklepie Giclera ławnika Starój Warszawy, tenże sklep z izbą przednią na powietrze wysadziły; rzeczony zaś urzędnik z wszystkimi dziećmi i całą czeladzią padł ofiarą tego nieszczęsnego wypadku.

(3) Oryginał tego przywileju, znajduję się w aktach dawnych Warszawy.



**Listy panujących monarchów pisane w przedmiocie
zaślubin królowica Jakóba Sobieskiego.**

LIST I^{szty}.

Jan Trzeci z Bożey łaski Król Polski, W. X^{te} Litewski i t. d. i t. d.
do

Szczuki starosty Lubelskiego (1).

Urodzony uprzejmie Nam miły! Przychodzi w tym momencie y powtorna znowu confirmatia o sprawie Berlińskiej, a to od urodzonego starosty Naszego malborgskiego iuż *de data 13 praesentis*. Są listy y od panien Sienickiey y Gruzewskiey, które Margrabiney tegoż momentu valedikowały y obiedwie tu do Polski powracaią. Jest y od Pani Karnicowey iey wielkiey Przyziaciołki, córki Wielmożnego Generała Szeneka a żony pierwszego faworita Kurfirszt JMci. Wszystkie te listy tak tę damę tractuią iako najmizerniejszą osobę. Kurfirszt sam niewypowiedzianie, iako dobrze stawa. Wyjechał zaraz z Berlina y póty tam nie powróci, póki ona z państw iego nie wyiedzie, z czem do niey pierwszych swoich posłał *Consiliarios et Ministros* z declaracyą, że na tę infamią ani patrzeć ani iey w państwach swoich cierpieć może. Już się to tedy *sine scrupulo* ogłosić y z tym się przed PP. Hetmany y przed drugimi uzalić może. Nadeszła też y poczta krakowska z którey mamy z Wiednia, że iuż Xiążę Inci Bawarski z woyskiem cesarskiem pod Beligradem stanął, przeprawy na rzece Sawie bardzo słabo bronili Turcy, lubo y sam był *in persona* przytomny terazniejszy nowy Seraskier Giengen Pasza. Attakowali tych Turcy, którzy się pierwsi przeprawili z Cesarskich, nizeli się *assecurowali*; ale gdy ich coraz więcej przybywało, straciwszy sześćset ludzi w swoich attakach Turcy, ustąpili. Gdy zaś woysko iuż podstępowało pod sam Beligrad, miasto zapaliwszy, ustąpili z niego ludzie w różne strony. Sam Giengen Pasza *ut fertur* z Tekielim poszli ku Konstantynopolowi, wrzuciwszy w zamek 4,000 Janczarów. Już tedy otworzyli, a proszę Cesarscy y co dzień się do fortece zbliżaią, y tuszą w krótkim bardzo czasie przywieść to miasto *ad detitionem*. To tedy opowiesz Uprzeymość Twoia Naszem Wielmożnym Hetmanom imieniem. Armata iuż się ze Lwowa ieszcze

(1) Oryginał po polsku spisany znajduje się w bibliotece wilanowskiey, kopią zaś posiada hr. Przędziecki w bogatym swoim zbiorze, z którego nam łaskawie udzieloną została.

dnia wczorayszego ruszyła ku Brzeżanom, iako nam znać daie Wżny Woiewoda Kiiowski, którego powtórny Naszym znowu zagrzewamy listem, aby iako nayprędzey pospieszała. O woysku Naszem ani tu ani we Lwowie żadney y dziś nie mamy wiadomości, co nas iuż ustraszyło; ieżeli Uprzeźmość Twoia w drodze iakie potkasz wiadomości, chciey Nam oznaymić, któremu Naszą ofiaruiemy Łaskę. Dan w Żółkwi dnia 27 Sierpnia roku Pańskiego 1688, panowania Naszego 15.

Jan Król.

Urodzonemu Stanisławowi Szczuce Staroście Naszemu Lubelskiemu, Regentowi kancelaryi koronney, uprzejmie Nam milemu.
pilnie, pilnie, pilnie.

LIST II^{gi}.

Króla Jana III do Cesarza Leopolda (1).

Staranie to, jakie W. C. Mość co do związków małżeńskich N. królewica Jakóba pierworodnego syna Naszego najukochańszego, z N. księżniczką Elektorską Nejburską, w zawrzeć się mającym ślubie za skuteczne mieć sobie życzył, i w szczególném wstawieniu się przez swe zezwolenie uzupełnił, tak nakoniec przez nas dokonaniem jest, iż, po podpisaniu dokumentów przez kommissarzy Naszych co do zawartego układu, i po uzyskaniu względem tego jednogłośniego powinszowania od przytomnego Senatu, oraz uroczystych życzeń, naznaczyliśmy dla odbycia tego aktu dzień 25 lutego roku następnego w stolicy Naszej w Warszawie; dla N. zaś narzeczonej do przeprowadzenia Jój z wszelką odpowiednią okazałością, z Nejburga do miejsca i na czas najbliższy, oraz do wymiany umów przedślubnych i innych zwykłych mających się wykonać obrzędów, posłów Naszych wyznaczaliśmy. Gdy zaś o tém wszystkióm W. C. Mość zawiadamiamy, nie nam nie pozostaje do życzenia, jak, aby W. C. Mość z najlaskawszém Swojém dalszém przywiązaniem ku Nam i Naszemu domowi jawnie pozostał, a wiecznie takowe okazując, raczył trzymać się ułożonych artykułów połączonych przyjaźni świętym węzłem, które, aby bez końca spólną radość W. C. Mości Nam i całemu chrześcijaństwu sprawiały, w oczekiwaniu z najszczerzym ślubem, długoletniego życia i najpomysłniejszych powodzeń spraw, z duszy życzymy.

(1) List ten i wszystkie następne po łacinie pisane znajdują się w dziełku drukowaném pod tyt. *Janina*.

LIST III^{ci}.

Królowej Maryi Kazimiéry do Cesarzowej.

Pociechy te, jakie wróżąc szczęśliwie z tylko co umówionego i pomyślnie zawartego małżeństwa N. królowica Jakóba pierworodnego syna Naszego najukochańszego, z N. księżniczką Elektorską, rodzoną siostrą W. C. Mości na N. Dom Nasz mają spłynąć, do kogóż bardziej należeć powinny, jeżeli nie do W. C. Mści jużto dlatego, iż przez przywiązanie ku siostrze, zapragniesz żeby one były jak największe, już téż, że dla głębokiego i szczególnego przywiązania, zmierzać będziesz do uwieńczenia ich wszelakim doświadczoneym szczęśliwym wypadkiem. Rzecz sama niech za łaską Niebios odpowiada najłaskawszym W. C. Mści dobrodziejstwom, i tym sposobem najpomyślniejsze skutki tego zdarzenia, niech spełnią życzenia W. C. Mści tak, jak Nasze macierzyńskie bez granic, ku Najjaśniejszym Narzeczonym mają zadosyć uczynić oczekiwaniu. W spełnieniu reszty, W. C. Mość samemu uroczystemu obrzędowi, w oznaczonym czasie mającemu się odprawić, przez najwyższą Swą łaskę tak raczy być przytomną, jak trwałe i nigdy rozerwać się niemające przyrzekasz związki, w których życzymy z serca widzieć W. C. Mość długo zdrową, szczęśliwą w najpóźniejsze lata.

LIST IV^{ty}.

Króla Jana III do Cesarzowej.

Zawarta z łaski i woli Boga umowa małżeńska, N. królowica Jakóba pierworodnego syna Naszego najukochańszego, z N. księżniczką Elektorską Elżbietą, rodzoną siostrą W. C. Mei., o tyle ze swego skutku winna jest wdzięczną pamięć W. C. Mei., o ile skutecznymi życzeniami i szczególném przywiązaniem do tego usilnie raczyłaś nakłonić się. Tuszymy sobie tylko o następnych jeszcze mających nastąpić łaskach W. C. Mei, nietylko w przeprowadzeniu N. narzeczonój, do której zaszczytne wyprawiliśmy poselstwo Nasze, ale nadto, że i w samym obrzędzie uroczystym, d. 25 lutego roku następnego w mieście stołeczném Naszém w Warszawie mającym się odprawić, okaże się w tém najbardziej przywiązanie W. C. Mei ku

siostrze, jeżeli ją tak z progów ojcowskich raczysz wypuścić, iż nigdy nie ścierpisz pozbawienia jej głębokiego Twego przywiązania. To Nam zapewne przyobiecując, z serca życzymy W. C. Mci zupełnego zdrowia i szczęśliwego powodzenia.

LIST V^{ty}.

Króla Jana III do matki Elektorowej Księżnej Nejburskiej.

Zawarta i podpisana przez kommissarzy Naszych umowa związków małżeńskich N. królowica Jakóba syna pierworodnego najukochańszego, z N. księżniczką Elektorską Elżbietą, córką N. W. Ks. Mci., oraz dzień na ten obrzęd uroczysty oznaczony, 25 lutego roku następnego w mieście Naszém stołeczném w Warszawie, nie wątpimy, iż zapewne przynoszą macierzyńskim życzeniom N. W. Ks. Mci te pociechy, jakie odpowiednie będą w okazaniu i udzieleniu najobfitszych błogosławieństw, przy odjechaniu na naznaczony kres N. narzeczonej, dla odprowadzenia której, z całą przyzwoitą godnością, posłów Naszych wyznaczylismy; W. Ks. Mśc raczy być także przekonaną, że z macierzyńskich progów i objęć wypuszczoną tę N. córkę swą, znajdzie o tyle w odpowiednich i najczulszych przywiązaniach, o ile tylko w mocy Naszej będzie zastąpić rodzicielskie. Wśród więc wszystkiego dobrego i szczęścia, oczekując niecierpliwie na najukochańszego gościa, życzymy W. Ks. Mci długoletniego zdrowia i zawsze najszczęśliwszych powodzeń.

LIST VI^{ty}.

Jana III do Króla Arcy-Chrześcianańskiego (francuzkiego).

Skłonieni najważniejszymi powodami, a szczególnie pamięcią wpływu stolicy apostolskiej jeszcze niewygasłego dla Rzpltej w dawniejszych związkach N. N. królów polskich z N. Domem Nejburskim, (1) oraz z innych przyczyn tak domowych, jak Państwa, korzystnych dla użytku króla Chrześcianańskiego, uznalismy za potrzebne połączenie związkiem małżeńskim N. królowica Jakóba syna Naszego pierworodnego najukochańskiego, z N. księżną Elektorską Nejburską Elżbietą; w tym zamiarze, gdy już tylko co podpisane umowy związ-

(1) Córka Zygmunta III Anna Katarzyna poślubiła w Warszawie d. 8 czerwca 1642 r. Filipa Wilhelma ks. Neuburskiego syna palatyna Renu.

ków małżeńskich przez kommissarzy Naszych, z oznaczeniem dnia na obrzęd mający się odbywać, 25 lutego roku następnego w Warszawie, mieście Naszém stołeczném, cały przytomny obecnie Senat z serdecznemi powszechnemi oklaskami wieszował, pozostaje tylko, abyśmy W. K. Mei radość tę N. Domu Naszego w udzieleniu objawili. Ufamy bowiem, że W. K. Mość zawarty ten związek tém łaskawiej w sercu swoim przyjmiesz, im bliższym węzłem powinowactwa do niego wchodzisz, i im szersze mieliśmy Nasze starania i chęci wejścia w ściślejszy z W. K. Mścią węzeł przyjaźni. Powiększy następnie W. K. Mość Naszę radość, jeżeli o tyle najznakomitsze swe życzenia spomnionego związku raczy do Nas przestać, o ile nie tylko powinowactwo, ale i głęboka przychylność Nasza ku Niemu wymaga, którą po królewsku stale zachowując, pragniemy długo oglądać W. K. M. szczęśliwym i przy najpomyślniejszych powodzeniach w zdrowiu cieszącym się.

L I S T VII^{my}.

Króla Jana III do Elektora Palatyna Renu.

Wdzięczną wznawiamy pamiątkę, połączonych niegdyś przyjaźni związkiem małżeńskim N. N. królów polskich z N. Domem Nejburskim, gdy najświęszej umowy małżeńskiej N. królowica Jakóba pierworodnego syna Naszego najukochańszego z N. księżniczką Elektorską Elżbietą siostrą rodzoną W. Ks. Mści po podpisaniu dokumentów, dla uroczystego tychże odbycia dzień 25 lutego roku następnego w Warszawie oznaczony, cały przytomny obecnie Senat o tyle z poklaskiem serdecznym wieszował, o ile szczerze przywiązanie ku imieniu i Domowi W. Ks. Mści okazał. Ażeby zaś następnie w dniu naznaczonym N. narzeczoną przed wszystkiemi uściskać w przywitaniu najczulszém sercem, w wróżbie szczęśliwych progach Naszych, wyznaczylśmy jak najprędzej posłów Naszych, z najrociąglejszém umocowaniem do wymiany rzeczonych dokumentów, i już wysyłamy. Pozostanie tylko, aby W. Ks. Mość z objęć braterskich tak ją raczył wypuścić, jak łącząca i wieczna miłość pomimo oddalonych miejsc w sercu i przywiązaniu nigdy nie jest odległą, a Nam i N. Domowi Naszemu zawsze tém samém przyniesie pociechy z błogostawieństw pożądaných. Czego życząc z sercem ojcowskiém, zasyłamy modły o podobne, to jest wesole i szczęśliwe dla W. Ks. Mści powodzenie spraw w najtrwalszém zdrowiu.

KRONIKA LITERACKA.

Dwór i Dworki. Szkic do powieści przez Leona Kunickiego. Warszawa. 1851. Nakład i druk S. Orgelbrandta. 8ka, str. 174.

Znane, a poprzednio umieszczane obrazki p. Leona Kunickiego w Album Literackim i Bibliotece Warszawskiej, jak: *Stary sługa, Rezydent, Flis* i *Salony wiejskie*, zwróciły uwagę dokładnością w oddaniu postaci przedstawianych, stylem wdzięcznym i prostotą ujmującą. Młody ten pisarz umiał zręcznie pochwycić zarysy wydatne do swoich obrazków, wpatrzeć się we wzory żyjące, i z prawdą je zrysować.

W obszerniejszych ramach daje nam teraz szkic do powieści p. n.: *Dwór i Dworki*. Główną postacią jest młody Stanisław, dziedzic pięknego majątku, syn dawnego wojaka, który wychowany pocziwie, później przez złe towarzystwo uległ chwilowemu obłudowi: prawdziwa miłość zwraca go napowrót do tych szlachetnych uczuć i prawego postępowania, które mu cześć dawniej zjednywały. Stary Walenty, sługa domowy, pani Adamowa szafarka, a w pobliżu kościoła i plebanii w białych dworach zamieszkała ciotka dziedzica panna Scholastyka, pan kapitan Warzyniec były rezydent na dworze nieboszczyka ojca, pan Bartosz ekonom zacny i pocziwy, dalej państwo Wojtasińscy chorujący na arystokracją z dorosłą córką Konstancją, p. Józef Aniszewski szuler i rozpustnik, uroczą postać Anny Woleckiej, i pocziwa jej ojca dawnego majora—owoż są wszystkie osoby wprowadzone w ten mały dramat. Każda z nich wydatnieje prawdą w oddaniu charakteru właściwego, i jeżeli niektóre do uśmiechu pobudzają, to drugie rozrzewniają przywiązaniem, uczuciem i poświęceniem. Jeżeli możemy zarzucić autorowi brak zajęcia w układzie tego szkicu, dziwaczne nawet w części podane warunki młodemu Stanisławowi, przy zezwoleniu na oddanie mu ręki córki Anny; to znowu hojnie wynagradza nam te usterki wprowadzeniem w życie

swego dramatu kilku postaci zajmujących charakterystyką wiernie skreśloną, z całą ufnością prawdy. Myśl szlachetna i zaena, przebija widocznie w tym małym utworze, który uważamy za pełną nadziei zapowiedź w dalszym zawodzie literackim p. Kunickiego.

K. W.

O wsiach tak zwanych wołoskich, na północnym stoku Karpat. Przez Alexandra hr. Stadnickiego. We Lwowie, w drukarni Zakładu narodowego imienia Ossolińskich. 4ka, str. 92.

Przystępując do zdania sprawy z tój napozór małej, lecz bogatej w wiadomości książki, użyjemy słów samego szanownego autora, aby dać poznać treść przedmiotu, a następnie cel, w jakim napisaną została:

„Szczupłe nader i niedokładne są nasze wiadomości o wołoskich osadach w Polsce. Że takie osady istniały i w znacznej liczbie istnieć musiały, o tém nam wprowadzie już same uniwersały poborowe od roku 1552 do roku 1629 wątpić nie pozwalają, ponieważ wszystkie wsiom wołoskim osobną rubrykę poświęcają, i dla ich osadników osobny podatek wymierzają.

„Lecz gdzie się te wsie znajdowały, wiele ich było, jak się nazywały i pod jakimi kondycjami lokowane zostały? żadna konstytucya, żaden autor dawniejszy nas nie uczy”.

Zadaniem więc autora było zebranie i wyjaśnienie wszelkich, jakie mógł zebrać szczegółów o tych osadach, których pochodzenie sam Czacki niedostatecznie objaśnił. Lecz autor szczupłe mając pod ręką materiały, czuł najlepiej, że do wyczerpania tego przedmiotu wiele mu jeszcze brakuje, bo tóż przy rozproszeniu dokumentów urzędowych po różnych miejscach, przy odszukiwaniu ich mozolném, trudno mu było odrazu wszystko uchwycić i w jedną zebrać całość. Dał więc to, na co go stać było, prosząc zarazem wszystkich o dopełnienia, jakieby tylko pod tym względem komuś pod rękę nasunąć się mogły.

Rozprawa o wsiach wołoskich obudziła w nas wielkie zajęcie, a dogadzając życzeniu szanownego autora, tём bardziej, żeśmy na niektóre nowe natrafili szczegóły; skoro nam czas pozwoli, w obszerniejszej rozprawie postaramy się uzupełnić niedostatki, jakie w obecnej znajdujemy pracy. Dziś do ważniejszych powołani zatrudnień, mimowoli odłożyć to musimy.

Rozprawa ta ucząc nas nowych wcale faktów, przytacza na poparcie swoje dokumenta urzędowe i przywileje. W badaniach swoich autor używa tylko przywilejów wsi wołoskich w cyrkule sanockim i sandeckim położonych; w końcu tylko znajdujemy przywilej dla jednej wsi (Wieżów) w starostwie samborskiem będącej, a przecież wsi tych było więcej i po różnych jeszcze innych miejscach lokowanych. Lecz nie powinien nikt za złe brać tego autorowi: dziś odszukanie dawnych pamiątek przeszłości bardzo jest trudne, rzeczywista więc należy mu się zasługa, bo przedmiot dotąd tak lekko, jakby wcale nietknięty, może kogoś natchnąć nową myślą rozwinięcia kwestyi, łączącej się ściśle z bytem dawnym krain Polski.

Czterdzieści siedm nomenklatur wyliczone są jako wsie wołoskie, na północnym stoku Karpat położone, a przywileje dla nich przez różne osoby i w różnych epokach nadawane, stanowią bogate tło do badań i wniosków nad prawem osadników w dawniej Polsce, do wykazania różnic między temi wsiami, a królewszczyznami, a nareszcie do stanowczego wyjaśnienia, czy pierwotni osadnicy tychże istotnie Wołochami byli.

Najwcześniejszy z przywilejów jest nadany dla wsi *Ustrzyk*, i nosi na sobie rok 1509; inne po tym roku ciągną się w różnych odstępach aż do 1572, to jest do chwili, w której dla wsi *Poławy* prawo wołoskie nadane zostało. Z przywileju tu zacytowanego autor następny robi wywód: „Mamy tę wieś za ostatnią, która prawem wołoskiem osadzoną została, ponieważ cytowane już kilka razy słowa przywileju poławskiego: *hominibus tam polonis quam ruthenis locandi*, brak osadników wołoskich, a drugi ustęp tego przywileju: *jure Valachico quod in eo passum aliis concordare debet judicandi*, już przewagę krajowego prawa nad obcemi dowodzi. Przyjmujemy więc okres panowania Zygmunta Igo i Zygmunta Augusta za epokę osiadania u nas Wołochów”.

Czy wniosek ten jest sprawiedliwy? czy nie było wcześniejszych? i czy rok 1572 już ostatnią ma stanowić granicę? równie jak i wiele innych rzuconych kwestyj, do późniejszego pozostawiamy rozstrzygnięcia.

L.

ROZMAITOŚCI.

Kobiety poetki w Ameryce północnej.

Upowszechnione jest mniemanie, że Amerykanie zajmują się jedynie handlem i przemysłem. Dzieło pana *Grisvold*, pod napisem: *Kobiety poetki w Ameryce*, zaprzecza temu zupełnie, przytacza bowiem między innymi dziewięćdziesiąt imion samych kobiet, poświęcających się poezji. Europa podobno nie poszczyciłaby się taką liczbą! Byłoby zatem niesłusznie obwiniać Stany Zjednoczone o literackie uśpienie. A jednakże z liczby czterechset wymienionych przez pana *Grisvold* literatów, trzy lub cztery imiona zaledwie przebiegłszy przestrzenie oceanu, odbiły się o stary ląd Europy. Literatura nie poprzestaje bowiem na harmonijnych marzeniach, na pełnym wdzięku naśladownictwie, na uroczej fantazyjności, jak zarówno dla poezji niedość muzykalności rytmu, wytworu wyrażenia, ani dokładnej znajomości języka. Poezja będąc jak każda inna sztuka, zmysłowem upostaciowaniem natchnienia myśli, powinna wypływać z głębi życia. Jest ona zewnętrznym objawem życia narodowego, zdaniem sprawy krajowca, owianego duchem swego plemienia, o tajemniczym bycie jego narodu, o dążnościach, pragnieniach, o wierze religijnej jego współziomków. Poeta jest tłumaczem duchowego usposobienia kraju, do którego należy, wobec innych ludów; a dzieła jego powinny być wiernym odbiciem obyczajów i zwyczajów współcześnie przyjętych w jego narodzie. Poezja niedopełniająca tych warunków, nie jest poezją; ktokolwiek pisze wiersze, jeżeli dążnością i pragnieniem nie zespolił się z ogółem, jeżeli nie wie, że zadaniem jego jest, aby wyraził myśl bezkształtnie krążącą w narodzie, jeżeli w miejsce tego własne wyraża myśli i uczucia—nie jest bynajmniej poetą.

Jeżeli takie są warunki poezji, dlaczegoż Ameryka północna nie posiada samoistnej literatury? Czemuż pozbawioną jest wielkich twórców, i ograniczać się musi na trzech imionach: *Cooper'a*, *Channing'a*, *Emerson'a*, które najdokładniej wyrażają jej umysłowe dążności? Ameryka posiada wszelkie warunki, potrzebne wielkim poetom: dumę narodową posuniętą aż do zbytku, wiarę religijną silną, obok swobody wyznania, słowem, życie bystrym płynące potokiem. Czemuż więc żaden gieniusz nie wypowiedział nam dotąd owych cudów kolonizacyi, owęj zadziwiającej śmiałości przedsięwzięcia, owych gorących objawów ludzkich czynności, owego powszechnego ruchu? Czemuż żaden poeta nie wyspiewał dotąd awanturnicznych przygód bohaterów handlu i przemysłu; czemuż nie zwrócił uwagi na to dziwne połączenie cnót domowych, z wiecznie koczującym umysłem; czemuż nie uczył owęj gorącej miłości rodzinnego ogniska, pomimo nieustannych przesiedleń? Przecież i to ma swoją poezją! Tu dotykamy najciekawszego i niedosyć może zbadanego punktu historii literatury w ogólności.

Czyliż Amerykanie są przezto nieszczęśliwomi, że im brak prawdziwej literatury? Przeciwnie! los ich nawet godzien z téj strony zazdrości w pewnym względzie. Kiedy poezya objawia się u narodów, nie jestto koniecznie proroczym godłem ich przyszłej wielkości, ale raczej, jestto odbłaskiem dawniej ich chwały; nie zapowiada im bynajmniej nowych przeznaczeń, ale opowiada im zapadłe w przeszłości dzieje. Ilekrotnie zabłyśnie wielki poetyczny gieniusz, można być pewnym, że wiara i obyczaje, które opiewa, blizkiemi są zniknienia. Tak *Szekspir*, ów wierny odbłask średnich wieków i życia feodalnego, pojawia się wraz z reformą i XVI-tym wiekiem; *Kalderon* z upadkiem hiszpańskiego katolicyzmu. Wtedy wiara i obyczaje przybierają się w szatę poezji. Kiedy przestają być rzeczywistością, wówczas ideał w najświetniejszych przedstawia nam się barwach, odbijając przedmioty już nieistniejące. Szczęśliwe ludy niemające dziejów, powiedziano kiedyś niedarmo! Szczęśliwe ludy pozbawione wielkich poetów, powtórzyłyby się godziło. Jestto dowodem, że używają w pełni życia, że nie żałują przeszłości, że oddychają jeszcze pierwotną świeżością, rodzimą siłą swęj przyrody. Godnym jest zastanowienia, że ludzie ożywieni bohaterską wiarą nie mają świadomości wielkiej poezji tkwiącej w owęj wierze, która ich wiedzie do czynu. Czyliż pierwsi Purytanie, którzy śmiało i bez zasobów na wątlym statku powierzyli się falom oceanu, pragnąc na nowym lądzie wyznawać swobodnie swą wiarę, nie ukazują nam się dzisiaj w pełni poetycznego uroku? Zważmy więc, jaka była literatura owych ludzi natchnionych prawdziwie

biblijnym duchem, jakie były piérwsze poetyczne próby ogłoszone w północnej Ameryce. Tu nasamprzód uderza nas imię *Anny Bradstreet*, która przybyła wraz z ojcem do nowéj Anglii. Poezye jéj wydane były po raz piérwszy w Bostonie, 1640 roku pod napisem: *Niektóre poezye, zalecające się wszechstronną nauką i rozumem, pełne wdzięku, zawierające głównie rozprawę i opis czterech żywiołów, różnych pór wieku człowieka, jako téż pór roku; z dokładném skreśleniem trzech piérwszych monarchij: assyryjskiéj, perskiéj i greckiéj, początków społeczeństwa rzymskiego, aż do śmierci ostatniego króla, oraz inne przyjemne i nauczające poemata, przez pewną damę z nowéj Anglii.* Owa Anna Bradstreet. nazwana dziesiątą muzą, gorliwa protestantka, wzywała nieustannie Feba, i naśladowała nędznych współczesnych wierszopisów. Nie domyślała się ona bynajmniej, jako téż żaden z ówczesnych osadników amerykańskich, owéj dzikiéj poezyi, zawartéj w protestantyzmie, którą dziś zaledwie odkrywają poczynamy. Tak samo czynią i dzisiejsi Amerykanie, a brak poezyi jaki u nich spostrzegać się daje, nietylko że nie jest złowróbnym znakiem, ale raczéj służyć może za dowód narodowéj ich siły i potęgi.

Trudno zaiste wymagać arcydzieł od amerykańskich poetów; szukać w nich raczéj należy śladów narodowego ducha, objaśnień historycznych, połysków rodzinnéj filozofii, a nie zmyśleń poetycznych zręcznie i wymownie przedstawionych. Wspomniane naprzykład poetki północnej Ameryki, stoją na ciekawém dla Europejczyków stanowisku. Ów tłum dziewic i niewiast tworzących poemata, dramy i sonety, nie ma żadnego podobieństwa z znanymi w Europie autorkami. Na świeżym gruncie Ameryki nie wylął się jeszcze potwór niewieści, znany u nas pod nazwiskiem *bas bleu*. Słowem, żadne ogniwo nie wiąże uczonych europejskich kobiet, z poetkami Ameryki. Owe córki i żony amerykańskich mieszczan, kupców, bankierów, urzędników i teologów, nie piszą jak nasze autorki, przez próżność i dumę, ale raczéj piszą z rzeczywistego upodobania w poezyi. Wielka ich liczba posiada prawdziwie głęboką naukę i gruntowne wychowanie. Poezye ich nie stoją zapewne na najwyższym szczeblu sztuki, ale niepodobna przewyżzyć dziewiczéj ich skromności. Młodość macierzyńska jaśnieje w nich najświetniejszym blaskiem, a wszelkie inne uczucia kryją się niejako w półcieniu, otoczone tajemniczą zasłoną. Amerykanka nie odzywa się głośno o miłości, unika uczuciowych zwierzeń, lęka się zbrudzić pióro kreśleniem burzliwych namiętności. Pragnienia ogólne i bez celu, chłodne połyski marzenia, błyszczą tam niekiedy. Niekiedy widać głęboki żal, bolesne wspomnienie, zawód w wymarzoném szczęściu i nadziei; ale uczucia te wyrażono są zwykle

ogółowo. Miłość nawet małżeńska nie bywa nigdy treścią owych poezyj. Słowem, wonieją one niezrównanym wdziękiem skromności, przyzwyczajoności, i prawdziwie delikatnego smaku.

Ztąd wprawdzie niekiedy wypływa nudząca jednostajność: to też trudno stawiać owe utwory na wysokim stanowisku sztuki. Ale za to mamy w nich wierny obraz amerykańskich obyczajów i charakteru. W tém mnóstwie elegij, dum i monologów, łatwo odkryć ślad enót rodzinnych, otoczonych mglistą zasłoną jednostajności. Życie amerykańskich poetek, jak je biograf przedstawia, ciche było i spokojne, pozbawione przygód i gwałtownych namiętności. Trzy główne wypadki składały je jedynie: urodzenie, małżeństwo i śmierć. Biograf przemilcza o szczegółach ich życia: znać, że poświęcone było spełnieniu powinności, nakazanych Bożkiem i ludzkim prawem. Trzy jednak kobiety tak przez swój talent, jako też przez odrębne położenie w świecie, odbijają wydatnie na jednostajnym tle wspomnianego dzieła.

W licznym gronie córek i żon kupców, teologów i urzędników, widzimy jednak dwie kobiety nieznanego i zależnego urodzenia: murzynkę *Phillis Wheatley-Peters* i służebną *Maryą James*. Murzynka urodziła się w końcu XVIII wieku, i została żyjącym świadectwem ku poparciu pism Franklina i filantropów, mówiących przeciw niewoli murzynów. Owa czarna córka Senegalu, dzięki urodzeniu swemu i przeznaczeniu odgrywała historyczną rolę. W szóstym roku życia przedana w Bostonie na targu niewolników, dostała się w ręce *mistriss Wheatley*, szanownej niewiasty, i z jej łaski otrzymała naprzód wychowanie, następnie zaś nazwisko. Owa murzynka dziś zupełnie prawie zapomniana, miała w swoim czasie chwilę niezwykłej świetności. Odbyła podróż do Londynu, gdzie ją otoczono powszechnym uwielbieniem. *Washington* pisywał do niej listy, a *l'abbé Gregoire* znany w rewolucyi francuzkiej, ogłosił ją wielką poetką, w dziele swém *O zdolnościach umysłowych murzynów*. Zwolennicy oswobodzenia czarnych, przyklaskiwali jej z zapalem. Skromna niewolnica murzynka była czas niejaki w oczach świata najwyższym typem swego rodu. Ona wobec europejskiej cywilizacji przedstawiała wszystkich swych współbraci; ukazanie się jej było ważnym historycznym wypadkiem; słowem, miała pewien udział w wielkim wstrząśnieniu świata. *Marya James* z swjej strony była ubogą dziewczyną, córką wychodźcy z kraju Gallów. Pozbawiona nauki, całą swą umiejętność wyczerpnęła z biblii i kilku dostępnych jej książek, a jednak owa biedna dziewczyna stworzyła najdokładniejszą z pieśni lirycznych, przytoczonych w dziele p. *Grisvold*. Oto próba poezyi *Maryi James*, która jeżeli nie może służyć za wzór sztuki, pełną jest przecieź głębokiego religijnego

uczucia, i zwraca mimowoli serce czytelnika do wiecznego celu ludzkiego przeznaczenia.

Pielgrzymi.

„Spotykamy się tutaj jakoby pielgrzymi, dążący do świętego miejsca, których godziny podróży spływają na słodkiej rozmowie od południa do mroku, a których dusze jednoczą się nawzajem, w miarę jak wypowiadają swe troski i nadzieje, przechodząc wspólnie przez smutną dolinę łez i niedoli.”

„A jednakże mówią radzi o swych trudach i radości, o wicherze pustyni, który im spocząć nie dozwala w noc ciemną, o spieku co ich pali we dnie; albowiem dla serca wiernego zawsze się znajdzie towarzysz pod bokiem, jakoby cień skały na jałowej ziemi.”

„Spotykamy się tutaj jakoby walczący żołnierze. Zanim zwycięstwo zostało dokonane, zanim nadeszła chwila złożenia wojennych przyborów, zachęcają się oni nawzajem do walki w nadziei otrzymania wieńca chwwały.”

„Codziennie wprowadzie wszczynają bój krwawy, i walczą liczne wroga zastępy, a jednak pielęgnują głęboko w sercu nadzieję zbawienia, oczekują na ciche ustronie, gdzie im najwyższy władca przyrzekł takie rozkosze, o jakich ucho nie słyszało, jakich oko nie widziało niczyje.”

„Spotykamy się tutaj jakoby żeglarze na obszernych głębiach oceanu. Pienią się morskie wały, ryczy burza, a przystań nazbyt daleko; ale oni urągają burzy, walczą z szalonym pędem fali, pewni, że ich ocali wiekuisty żeglarz, w którym położyli nadzieję.”

„Żyją oni domowych przygód wspomnieniem, obawą przyszłych walk i niebezpieczeństw, aż dopóki nie zarzucą kotwicy w cichém i spokojném ustroniu, gdzie szczęście zupełne jest i niechybne, dopóki nie ujrzą dnia jednego oddalonych wieżyc wiecznego mieszkania, błyszczących jak gwiazda na tle wieczornego pomroku.”

„Spotykamy się tutaj jakoby bracia, wyrzuceni na obce wybrzeże, których serca unoszą się radośnie w miarę jak wspominają rodzinną okolicę, dom ojcowski, i tkliwą pieczołowitość rodzica i miłość jego bez granic.”

„Spodziewają się w końcu połączyć na zawsze w owym pięknym grodzie, gdzie mieszkają wśród głębokiego spokoju, wśród radości bez końca, wybrani Pańscy w białej szacie, gdzie hymny pochwalne wzbijają się nieustannie przed tron niewinnego baranka.”

Ale ze wszystkich kobiet poetek w Ameryce, najslawniejszą jest niewątpliwie *Maryja Brooks*, zwana w Ameryce *Maryją z zachodu* (del

Occidente) zmarła w 1845 roku, autorka szczególnego poematu pod nap. „*Zophiel*”, o którym Karol Lamb powiedział, że jest zanadto nadzwyczajny, aby mógł być utworem niewieścięj głowy. Ten poemat zadziwiający bogactwem wyobraźni przypomina nieco Tomasza *Moora* i *Shelleja*. Utwory liryczne Maryi *Brooks* pełne są życia, ruchu i zapału. Trudno sobie wyobrazić dziwne połączenie słodyczy i potęgi w jej rymach pełnych natchnienia. Zda się, że widzimy skromną gołębicę uzbrojoną w orle skrzydła, która mimo sztucznej potęgi, zachowuje niewinną postać, pierwotną przyrodę; lęka się własnej swój siły i nie śmie patrzeć bez trwogi w słoneczne oblicze ideału. Widać tu niezwykłą moc myśli, uczucia śmiałe, niedokładnie wyrażone, jak gdyby autorka lękała się niesłychanej potęgi własnego serca. Często nawet myśl i uczucie wpadają w metafizykę i abstrakcyę. Miłość macierzyńska dla zmarłego dziecięcia natchnęła Maryą *Brooks* najszczytniejszą poezyą. Zabawy niewinnej istoty której już nie ujrzy, połączone z wspomnieniem ciemnych puszczy, okiem nieścignionych przestrzeni, i szumnych wodospadów, nadają macierzyńskiemu jej uczuciu pozór nieskończoności amerykańskiej przyrody. Ze wszystkich kobiet-poetek nowego świata, Marya *Brooks* posiada najwięcej wieszczego ducha i natchnienia sławnych europejskich współauterek.

W zbiorze p. *Grisvold* Marya *Brooks* świętny i jedyny stanowi wyjątek. Jej współtowarzyszki w poezyi, czerpią natchnienie nie tak we własnym życiu, jak raczej w odebranym wychowaniu i nauce. Ztąd więc mało pomiędzy niemi spostrzedz można różnicy; ale za to, dzięki owej pozorniej jednostajności, łatwo w ich utworach schwycić główny amerykański charakter. Uczucie religijne przebija wprawdzie w ich utworach, ale jestto pewien rodzaj chrześcijańskiego deizmu, który coraz wydatniej odbija się w amerykańskim protestantyzmie. Duch Chrystusa wieje na każdej karcie, ale postać Chrystusa rzadko się ukazuje. Chrystus jest tu zawsze Zbawicielem świata, ale odkupiciel ukrzyżowany zda się być zapomniany. Syn Boży objawia się tu takim, jakim się ukazał uczniom, gdy przemienionego na górze *Thabor* ujrzeli w stoku światła, z *Eliaszem* i *Mojżeszem*, prorokami dawnego zakonu. W miejscu uczniów i oniemiałej rzeszy, u stóp świętej góry, postawmy ukorzoną ludzkość, a mieć będziemy wyobrażenie ducha, jaki obecnie wiara religijna przyjmuje w Ameryce. Ale cierpienia i zgon Bożego Syna, ale krzyż *Golgothy*, cała traiczna strona historii Zbawiciela na ziemi, którą ludy średnich wieków i pierwsi chrześcijanie wiecznie chowali w umyśle, poszły w zupełną niepamięć. Wskazujemy ten wypadek jako zasługujący na uwagę umysłów religijnych i filozoficznych obecnej epoki: jestto symptomat

nieochybnego przesilenia w protestantyzmie, które prędzej lub później nastąpić koniecznie musi. Uczucie deistyczne stanowiące tło pism Channing'a i Parkera, daje się czuć nieustannie w każdym rymie dotyczącym religii.

Opisy przyrody nie uderzają nas tutaj nowością, jakby się spodziewać należało. Napotykamy wprawdzie niekiedy wspomnienie palmy, bawełny, kokosu, lub też imiona roślin nieznanych w Europie, ale mimo to, nie mamy plastycznego obrazu nowój i nieznanój nam przyrody. Niekiedy tylko barwy wydają nam się nieco żywsze, jak na przykład w obrazku panny Franciszki Gren, który tu przytaczamy:

„Najmniejszy wietrzyk nie wiał w lesie i nie poruszał drobnego liścia; niekiedy tylko ptaszyna ścieląca gniazdko, zaszeleściła wpośród drzew. W oddali słyhać było szmer pieniącej się wody, jakoby cichy śpiew Najady, zabierającej się do południowego spoczynku. Drżące gałązki osiki wydawały lekki odgłos, podobny do poruszenia nocnego widma: zdało się, jakoby duch muzyki przesunął się głucho, nie wydawszy żadnego dźwięku. Anemon tęskno pochylił głowę i zdawał się marzyć o południowym zefirze, który go miał zbudzić ze snu trującego i nowe nadać mu życie. Głóg roztaczał czarowną woń dokoła, a róża ukazywała rumiane swe pączki. Woda płynęła zwolna po cichój dolinie i w cieniu gęstych zarośli, zwalniając bieg swój nieustanną zmianą łożyska. Lilie bujnie rosły na wybrzeżu, a Najady wychylając się z głębi przejrzystej fali, igrały z nimi swobodnie.

„Pszczola dzika brzęczała rozkosznie dotykając zaledwie kwiatów, a potem ugięta pod ciężarem miodu, przesycona słodczą, tonęła w głębi wonnego ich kieliicha. Para synogarlic tuliła się nawzajem do siebie. Wąż świecącą okryty łuską wił się na słońcu, a zając natężając słuchy wybiegł bacznie z kotliny i zniknął pod liśćmi paproci. Wiewiórka zaś zręczne wyprawiała skoki i t. d.”

Ładneto zapewne wiersze, zanadto może ładne; natura odbija w nich nadobnie, ale przypominają nazbyt opis wiosny Owidyusza. Zdaje nam się czytając je, że spoczywamy w cieniu europejskich lasów. Też same widzimy drzewa, też same kwiaty i zwierzęta, tylko że drzewa bujniejszym pokryte liściem, zieloność żywsza, słońce jaskrawsze, woda cieplejsza. Słowem, nie widzimy tu samodzielnego opisu wielkiej i poważnej amerykańskiej przyrody.

Uczucie piękności, ideału, słabo i ogółowo maluje się w owych poezjach. Niewiadomo czyli te kobiety poetki pojmują i kochają sztuki, a mianowicie sztuki plastyczne. Muzyce jednakże zdają się dawać pierwszeństwo. Zastanowienia jest godnym zamilowanie nowoczesnych lu-

dów w muzyce. Pierwszeństwo jakie jej powszechnie dają nad malarstwem i rzeźbą przypisać należy temu, że muzyka lepiej odpowiada ich wrodzonym uczuciom. Muzykę nazwać można wyłączną sztuką XIX wieku: ona najlepiej wyraża trudne do urzeczywistnienia marzenia i nadzieje. Pojmowana zarówno przez wszystkie żyjące twory, nie wyłączając zwierząt, muzyka, aby być zrozumianą, nie wymaga ani nauki, ani gruntownego wykształcenia: zadawalnia świat cały, każdemu opiewa własne jego sny i marzenia. Ażeby naród wydawał rzeźbiarzy, poetów i malarzy, potrzebuje długich wieków, dziejowej przeszłości, wielkiego zasobu podań, zwyczajów, uświęconych czasem; ale narody świeże, jak ludy Ameryki, uprzedzają wieki, działają z pośpiechem, i nie mają cierpliwości czekać na podania i dzieje. Ztąd wypływa ich wyłączne zamiłowanie w muzyce, najdostępniejszej i najmniej kosztownej sztuce. Lubią oni muzykę, jak się lubi wieczorną pogadankę lub senny spoczynok po całodzienną pracę. Muzyka jest więc, jeżeli się tak wyrazić godzi, sztuką ludów, którym brak czasu do rozważki i myśli; sztuką ludów pełnych gorączkowego zapału: bo aby ją pojąć, dosyć mieć duszę i zmysły. W zbiorze wspomnianych poezyj znajdujemy dwa sonety na cześć Bethowena i Mozarta, w których gieniusz obudwóch mistrzów, doskonale jest pojęty i oceniony. Sonety te są utworu hrabiny d'Ossoli, zmarłej w roku zeszłym skutkiem rozbicia okrętu w powrocie jej do Ameryki.

Bethoven.

„O najidealniejszy z mistrzów sztuki! Ty, który najlepiej wyraziłeś duch człowieka, i zadziwiającą różnorodność świata! Jakże dziwne połączenie myśli, zrodziło natchnione twe pieśni! Dopiero melancholiczny *tenor* porusza najgłębsze tajniki serca, a już poważny *bas* wskazuje szalę rozsądku; tylko co słyszeć się daje cichy szmer westchnienia pełnego miłości, a już dziwna fantazyja szaloną wprowadza burzę. Przeszłość już poszła w niepamięć, nadzieja wdzięcznie nam się uśmiecha, i cała istota nasza promiennym jaśnieje blaskiem, gdy nagle ponad usłaną kwiatem ziemią słyszeć się daje głuchy jęk rozpacz. Przerażeni pragniemy zerwać łańcuch który nas oplata, ale ty zabrzmiałeś tryumfalnie i pozostajemy niewolnikami twemi.”

Mozart.

„Jeżeli Bethoven przemawia do pojęcia i do namiętności z niezrównaną potęgą, jeżeli nas siłą czarodziejskiej rószczyki unosi w nieznaną kraj fantazyi; ty Mozarcie, cudowny tłumaczu przyrody, zachwycasz nas niezrównaną słodyczą i tkliwością. Anieli sami błogostawią czystość srebrnych twoich pieśni; smutne są struny twój liry, duchu stęskniony do

nieba! Miłość nieziemską odzywa się tajemniczo spośród twych radośnych i obojętnych tonów. Błogosławiona owa tęsknota, która unosi serca i odrywa je od ziemi!"

Przytaczamy obadwa sonety, malujące ducha wielkich mistrzów, jako próbkę ukształcenia estetycznego w Ameryce.

Niekiedy w owych poezjach przebija się uczucie amerykańskiej dumy. Wspomnienie pierwszych osadników, opis Ameryki gdy zamieszkaną była przez dzikie hordy, наконец porównanie dawnego stanu barbarzyństwa z cudami przemysłu XIX wieku, napotykaemy na niektórych kartach.

Widzieliśmy nawet z uśmiechem pewno ustępy, w których cienie starych Indyan błogosławia obecną cywilizacją i zdają się dziękować Przedwiecznemu, za to, że dozwolił wytepić szczątki ich plemienia, wygnać je z rodzinnych błon i puszczy. Nakoniec poezye te mało zawierają przedmiotów historycznych: ograniczają się zaledwie na kilku wspomnieniach Washingtona i Napoleona. Większą ich część zajmują marzenia, fantazyje i elegie, nieobjawiające żadnej wyraźnej dążności.

Trudno zaprawdę utać słabość tych utworów, bo też w nich czego innego szukać należy. Wyższemi nad te poezye są bez wątpienia moralność i cnoty, jakie w nich odbijają. Wiersze te złożone zostały wśród głębokiego spokoju, obok domowego ogniska, na łonie przyjaciół i rodziny. Niejedno zapewne tkliwe uczucie przejrzało się w tym czystym i niewinnym potoku, niejedno ucho miłej doznało pociechy pod wpływem owęj nadobnej harmonii, niejednen kupiec po całodziennym trudzie słuchając pieśni żony lub córki, schwycił mimowoli polysk ideału, i marzyć począł nad cudami, o jakich dotąd nie miał wyobrażenia. W owym rzeczywistym kraju niejedno tym sposobem przyjęło się ziarno poezyi, niejedna dusza prozaiczna pod jęj wpływem straciła zbyt twardą powłokę; otóż owe niewinne poezye wywarły wpływ zbawienny i okazały się prawdziwie praktycznymi. To też w miejscu surowej krytyki, winniśmy wdzięczność owym kobietom-poetkom, za czyste ziarna pobożności, cnoty i szlachetności, jakie już zasiały i sieją w własnym kraju. Spelniają one ze swęj strony cicho i bez przesady, ważne zadanie cywilizacji.

O dawném województwie sieradzkim.

(Ciąg dalszy).

Czarownice, według wyobrażenia ludu, dawne województwo sieradzkie zamieszkującego, idąc przed wschodem słońca na miejsce, gdzie bydlę pasać zwykły, przeciągają rącznikami po rosie, mówiąc:

Biorą pożytek,
Ale nie wszystok;

skutkiem czego bydlę nabiał odbierają. Nadto zadają one ludziom rozmaite słabości, jakoto: ból oczu, kołtuny, ustrzały, uroki i t. p.; lecz najczęściej parobkom, którzy się z nimi żenić nie chcieli, albo w tym celu, ażeby się z nimi ożenili, a one z téj choroby po ślubie ich wyprowadzą. Pewnego razu wypatrzył parobek, jak niewiasta w nocy dotknąwszy się garnuszka, jakąś mieszaniną napelnionego, kominem wyleciała. Ciekawością dręczony dotknął się go także, lecz natychmiast wyleciał kominem, i przybył na równinę ponad wodę, gdzie poznany i potężnie wybity, nocą do domu powracać musiał. Inną razą czarownice polubiwszy sobie jednego parobka, brały go ze sobą nocną porą na Łysą Górę, gdzie przy tańcach i biesiadzie wesoło czas mu schodził; lecz gdy sekret takowy wyjawiał, i towarzyszeki swoje z nazwisk wymienił, te mszcząc się, pozostawiły go samego przy bankiecie; wtém kogut zapiał, zniknęły stoły, pożywienie i światło, a gaduła wśród ciemnej nocy uczuł się na wierzchołku dębu osadzonym, na którym bojąc się spadnięcia, aż do samego rana pozostać musiał. Za czarowników uchodzą szczególniej owczarze: onito bowiem zamawiają strzelby, iż takowe albo nie wystrzelą, albo strzał chybia, albo wreszcie, iż zwierzyna widocznie śmiertelnie postrzelona, zrywa się po upadku, i z rąk myśliwemu uchodzi. Onito podkopują pod progi owczarni rozmaite przedmioty, ażeby owce zdychały; oni wilków do owczarni sprowadzają, z wilkołakami w blizkiej są styczności. Czarownice w dzień Wielkanocny świątyni z procesją trzy razy obejść nie mogą, tylko za drugą razą do kościoła się chronią. Kapłan celebrujący odwróciwszy się w niedzielę Wielkanocną lub w oktawę Bożego Ciała z monstrancją do ludu, tylko sam jeden może widzieć przez monstrancją czarownice i odróżnić je po skopkach na głowach, nikomu innemu niewidzialnych. Dom, w którym czarownica się znajduje, po tém poznać można, iż przed nim niedźwiędź wyuczony, po kraju prowadzony, tańcować nie chce. Skutkiem tego nieszczęsnego zabobonu o czarowni-

cach, jeszcze w roku 1775 w miesiącu sierpniu, we wsi Doruchowie, w powiecie ostrzeszewskim, ziemi wieluńskiej położonej, 14cie kobiet z Doruchowa i wsi pobliskich o czary posądzono, a gdy splawiane nie tonęły, za czarownice okrzyczane, do śpichlerza w beczki w postaci kłęzących wsadzone, wobec trzech zakonników, z miasta pobliskiego Grabowa sprowadzonych, trzech sędziów i dwóch katów, na tortury wzięte, z hańbą dla obecnych i właściciela wsi, z nazwy: ukrytego na stosie z smolnych szczap, pomiędzy Doruchowem i Piłą przyrządzonym, spalone zostały; o czém obszerniej Krzyżanowski w Dawnéj Polsce (str. 537 do 540) traktuje.

Djabła, czarta, biesa czyli złego ducha, wyobraża sobie lud w kapelusiku stosowanym, we fraczku i spodniach opiętych. Siedliskiem jego są wierzyby wypróchniałe, zameczyska, stare, opuszczone dwory, granice i drogi krzyżowe: ztądto pobożny kmiołek krzyżową drogę przebywając, takową żegna. Po lasach i błotach także djabeł przebywać lubi, uwodząc ludzi w postaci ptaka, psa lub kozła. Główny jego pobyt w województwie sieradzkiem był na Widoradzu pod miastem Wieluniem, gdzie nadpiętego częściowego z Olewina szlachcica, tak na jego żądanie tabaką poczęstował, że mu nos od krowieńca zapuchł.

Znane są jeszcze ludowi przypołudnice czyli południe, które nie wszystkim widzialne, błakają się w samo południe po polach i lasach, i ludzi pracujących, lub po pracy śpiących, przestraszają.

Nim rzecz o dawném województwie sieradzkiem ogółowo zakończymy, przytoczmy jeszcze niektóre zabobonne zwyczaje mieszkańców tegoż województwa powyżej nietknięte, oraz życie ich domowe.

Jeżeli właściciel jakowej włości, drogę do wsi swój prowadzącą drzewkami urodzajnymi lub dzikimi obsadzi, niechętném okiem lud na to patrzy, w mniemaniu, iż w tój wsi dzieci chować się zdrowo nie będą, i stara się ile możności, drzewka takowe zwolna potajemnie wytepiać. Grochu polowego chronią się siać w dniach tych, w których nazwie litera *r* się znajduje, np. we wtorki i t. p., gdyżby się robaki w niego wdały; podobnie utrzymują, iż raki są najtłuściejsze i najsmaczniejsze w miesiącach, do których litera *r* wcale nie wchodzi, np. w lipcu. W dzień Wielkanocny po spożyciu święconego, i rozdzieleniu go pomiędzy czeladzią, kości psom z umysłu zwołanym rzucają, ażeby od wścieklizny wolne były. Po stajniach eugowych i fornalskich, widzieć można ogon wileczy na kiju przywiązany, lub srokę zabita u belki zawieszoną, albo kozła poważnie postępującego, dla odwrócenia wszelkich czarów od koni, i aby takowe dobrze się pasły (kto wie, czyli czasem zapach kozła nie jest przeciwny szczurom, konie od obroku odgryzającym?). Sowy, jastrzębie, krogulce lub puszczyki ubite, przybijają gwoździami z rozłożonemi skrzydłami nad

drzwiami dworu, lub po wrotniach stodół. Kukulkę po raz pierwszy na wiosnę usłyszawszy, uderzają się o kieszon dla wydobycia brzęku pieniędzy, ażeby takowe przez cały rok ich się trzymały, albo się odzywają:

Kukuleczko, panienczko ze ziela,
Powiedźże mi, ile mam lat do wesela?

a ile razy ptak zakuka, tyle lat jeszcze w stanie wolnym zostawać będą. Jeżeli krowa bliźniaki z byczków upleże, chowają je starannie, czyszczą, a skoro na walców wyrosną, oborują nimi dokoła granicę, ażeby w tej wsi grady nigdy nie szkodziły, lecz owszem powodzenie we wszystkióm jój towarzyszyło. Gwizdanie kobiety zgrozą przeraża, ażeby ziemia się nie zatrzęsła: Żeby ogrody płonne urodzaj wydawały, zawieszają włościanie na kołach od płotów szkielety łbów końskich. Ogół utrzymuje, iż przed świętym Janem, ksiądz Pana Boga o dąszech uprosić nie może; po świętym zaś Janie, lada baba to skuteczni; dlatego więc, jeżeli dąszech przed dniem 24 czerwca na jarzyny potrzebny, nie pada, składają się gospodarze na wotywę, aby Stwórcę o niego uprosić, a niektóre gospodynie zajmują ze wsi kobiety i dworskie dziewczki do ciągnięcia sani z beczką prózną do rzeki najbliższej, napełnioną zaś wodą do wsi przyciągają, a dąszech przez czarownicę zatrzymany, w dni kilka rześisty padać będzie.

Niektóre osoby dostrzegają palenie się pieniędzy na polu pod gruszką, figurą lub kamieniem, płomieniem niebieskawym; spieszą w to miejsce, i jeżeli przed ich nadejściem płomień nie zgaśnie, rzucają w niego jaką część odzieży swojej, to jest czapkę lub bót, bo inaczejby tam nie trafili. Nazajutrz kopią, i pieniądze tak głęboko znajdują, jak wysoko czapka od ziemi się nosi, lub na wysokość bóta; gdyby się później poszło, pieniądze mogłyby się w inne miejsce przenieść. Po wydobyciu skarbu, dołu zarzucać nie można, gdyż osoba zawalająca go, życieby w ciągu roku zakończyła. Temuto właśnie przesądowi winni jesteśmy, iż po skarbie wydobyłym pozostaje zwykle w ziemi ślad kociołka, garnuszka lub donicy, co daje łatwą sposobność wyrachowania objętości skarbu, i dochodzenia bliższego starożytnych pieniędzy, w czasach dzisiejszych przez nummofilów tak poszukiwanych. Gdy kto wilka w drodze spotkawszy, pierwszy go spostrzeże, wilk przed nim ucieka; skoro zaś wilk piérwój człowieka zoczy, wtedy ta osoba stanie jak wryta, i z przestachu odezwać się nie będzie w możności. Młodzieź struże tak jabłko dokoła, ażeby z całkowitego nieprzerwaną ostrużynę uzyskać, którą następnie rzucają przez głowę poza siebie, a do jakiej litery kształt rzuconej podobieństwo mieć będzie, na taką literę imię narzeczonego lub narzeczonej zaczynać się ma. Włosy ostrzyżone palą natychmiast, gdyż na dwór wyrzucone, i przez wróble na gniazdo wzięte, sprawiłyby ciężki ból głowy. Kiedy dziecię-

ciążbę wypadnie, matka każe mu go wrzucić na piec i mówić: masz myszko ząb kościany, a daj mi żelazny. Kobiét ciężarnych wzbraniają się prosić w kinotry, gdyż przez to jedno z dzieci, bądź do chrztu trzymane, bądź spodziewane, wkrótceby umarło. W piątek wstrzymują się od wszelkich wesołości, w mniemaniu, że kto w piątek się cieszy, w niedzielę płakać będzie, a kto w piątek mięso jada, przybraknie mu go na niedzielę. W czasie jądła obojczyk od kury natrafiony, łamią dwie osoby pomiędzy sobą, a w której ręku część większa pozostanie, takowej większe szczęście towarzyszyć będzie. Studniarze kopiąc nową studnię, kiedy się w pewnej głębokości wody dokopią i tamże skrzynię dziurawą zakładają, muszą w niej koniecznie zatopić grosz srebrny z czasów króla Stanisława Augusta, ażeby miejsca tego ciągle się woda trzymała. Jaskółki, podług wyobrażenia ludu, chwytając się przy końcu jesieni za nóżki, zanurzają się w wodzie, aby z niej na wiosnę odżyć; ztąd więc niektórzy świadczą, iż w czasie zimy wylawiano niekiedy siecią taki sznur martwych jaskółek, które do ciepła przyniesione odżyły; skowronki zaś chowają się na zimę pod kamienie, zpod których po św. Agnieszce wylatują. Kto raz pierwszy do jakowego miasta się udaje, żartują z niego, iż starą babę przed bramą całować musi.

Niepoślednią rolę grają i wróżki, które rzecz skradzioną przepowiadają, że jest ukrytą w lesie, na wschód, na zachód słońca i t. p., tudzież cyganki, prawiąc z podanej sobie ręki o długości wieku, o czasie zamężcia, szczęściu w małżeństwie, o przygodach w życiu, lub o nieprzyjaciółkach. Rzecz skradzioną starają się także wyróżyć za pomocą sitka tym sposobem: iż utkwione w łupku sitka nożyczki trzymają 2 osoby na serdecznych palcach, i wymieniają ludzi podejrzanych; przy którego nazwie sitko się obróci, ten jest złoczyńcą. Wyższa klasa lubo przekonana, iż sen mara, a Bóg wiara, wszelako, kiedy jój się przyśni o pszczołach, obawia się pożaru, gdy o ogniu, spodziewa się słońca świecenia, wypadnięcie zęba grozi śmiercią osoby jakowej z familii, psy oznaczają nieprzyjaciół, a zwierzątka białe z głowy, rokują wpływ pieniężny.

Wstąpmy w zagrody domowe mieszkańców dawnego województwa sieradzkiego. Dwór, czyli rezydencya szlabcica bywał zwykle drewniany, z czterema po rogach przystawkami, z gankiem od przodu i tyłu na filarach drewnianych, oraz kapliczką. Na podwórzu stał gołębnik wysoki, od spodu blachą obity, dla zabezpieczenia ptaków tych od kuny, tchórza lub kotów; wyniosły opodal dąb, wkoło okrzesany, służył bocianom za letni przytułek; studnia z korytem przy niej zamieszczoném, napawała inwentarze, a sadzawka zapełnioną była gęsiami i kaczkami, które nurzając się, karasków chciwie wyszukiwały. Dzwonek na rozło-

zysłej grusze, lub na wysokim słupie pod daszkiem, z umysłu na ten cel wystawionym, zawieszony, budził z rana czeladkę do pracy, w południe i wieczorem dawał znak do rozejścia się z pańskiego robotnikom, a pobożnych do modlitwy zachęcał; dzwoniło w niego przy wyprowadzaniu umarłego, na gwałt w czasie pożaru, i na zbieranie się kobiet wiejskich w Wielką Sobotę z święconym, za przybyciem proboszcza do dworu. To wszystko, wraz z sadem owocowym za dworem, okalał płot wysoki z gałęzi świerkowych, końcami do góry sterczący, albo z żerdzi sosnowych, u wierzchu cierniem gęsto poprzęplany.

W sieni na kółkach zawieszano ubitą zwierzynę, i wieńce z okrężnego; obszerna skrzynia na kółkach zamykała pościel dla gości, a druga służyła na skład podręczny drzewa do opalania pokojowych kominków. Komnaty z obiciami na płótnie pomalowanemi, framugami w ścianach blisko kominków pod zamknięciem, z stołami i krzesłami dębowymi na niskich nogach z wysokimi oparciami, niekiedy bez poręczy, stanowiły zwykle salę jadalną, w której portrety antenatów wisiały; stół duży wsuwany lub z klapami spuszczanemi na środku, zegar na klucz zamykany przy ścianie, a kredens z sagankiem i dzbanem miedzianym w narożniku stały; dalej pokój sypialny, gdzie przy ścianach naprzeciw sobie były gospodarstwa kotary, zewsząd zasłonięte, albo łóżka pod wspaniałemi karmazynowemi z adamaszku, kitajki lub persu zawieszonemi pawilonami; potem pokój dziecinny, kobięcy i innych. W sypialni dostrzegłeś zawieszone nad łózkami obrazy świętych, krucyfiksy cyprysowe z relikwiami, paciorki z medalikiem i gromnicę; na oknie zaś różgi palmowe poświęcane, książki do nabożeństwa, jakoto: Heroinę i Oltarz złoty, a przy drzwiach na kołku pęki kluczy od spichrza, stodół, lamuza i t. p., z przywiązanemi do nich rogami baraniami lub klockami z drzewa. Z boku drzwi wchodowych przybita była kropielniczka cynowa z wodą święconą, dla żegnania się, zrana wychodząc, w podróż wyjeżdżając lub po powrocie z téjże do domu.

Przy stole cichość jak w czasie mszy ś. panować musiała; utrzymywano bowiem, że śniadanie winno być jak kazanie, obiad jak msza św. a wieczerza jak nieszpory, przy których z wszelką skromnością zachować się trzeba było. Przed jadłem i po spożyciu odmawiano modlitwy; śmiechy zaś i figle młodzieży surowo karcono. Miejsce dzisiejszej kawy z rana zastępowało piwo firlane z chlebem kruszonym, cukrem, żółtkami od jaj, z masłem lub śmietaną firlejkami rozbite, w filiżankach gorąco rozdawane; bigos hultajski z kiełbasą lub flaki z imbirem o wpół do południa zastawiano. Obiad stanowiły: barszcz z rurą lub uchem wieprzowem, sztuka mięsa z chrzanem, jarzyna jakowa i pieczywo z prosięcia lub

drobiu. Na kolacyą jadano potrawkę z kapłona z cytryną, albo zrazy z kaszą tatarczaną. W dniach postnych, przy braku ryb kontentowano się kluseczkami lanemi, karaskami stodołnemi (kluski), piérogami, łazaniami z sêrem, kaszą tatarczaną z maślanką, naleśnikami, lub białemi rakami (jaja gotowane). Dla oszczędzenia bielizny stołowej umieszczano na stole deskę podłużną kształtnie wyrabianą, lub plecionkę z słomy, *prawdą* nazwane, a na nich zastawiano wazy, półmiski i solniczki cynowe. Przyniesienie czerniny wobec ubiegającego się o rękę córki gospodarskiej młodzieńca, było oznaką iż związek ten nie zgadza się z wolą rodziców, i że nie życzą sobie więcej kawalera tego w domu swoim oglądać.

W czasie żałoby po jednym z rodziców, która rok i sześć niedziel trwała, przestrzegano wstępowania w związki małżeńskie. Dzieci z wszelkiém dla rodziców uszanowaniem, nie śmiały w kościele w jednej ławce przy nich zasiadać. Rano i wieczorem odbywano klęcząc z rękoma złożonemi pacierze przed obrazem Bogarodzicy Częstochowskiej, przed którym co środa i sobota świeciła się noc całą świeca albo lampa, w rodzaju trybularza zawieszzonego, umieszczana. W drodze śpiewano godzinki do Matki Bożkiej, lub odmawiano pacierze za umarłych, paciorki kokosowe z krzyżem z kości słoniowej w palcach przesuwając. Przy nadjechaniu zaś nad mogiłę, na którą lud pieszy gałęzie rzucał, a które później palono, modlono się za duszę osoby zamordowanej.

Gospodyni domu miała swoją apteczkę w której ujrzałeś butle z przywiazanemi kartkami, pełne wódek tatarakowych, piołunowych, dzięgłowych i selerowych; tam stała okowita, a w niej macerowały się żmije żywcem wpuszczone, ówdzie spirytusy bocianowe, mrówczane, jałowcowe; gdzieindziej maście topolowe, rozchodnikowe, macierzankowe, pszczelne, sadła wilcze, lisie, bocianie, jaźwiowe, skrom zajęczy, kwiaty suszone bzowe, lipowe, różane, centuryi, powidelka bzowe, jałowcowe; gdzieindziej zaś konfitury z głogu, agrestu, berberysu, i soki wiśniowe, porzeczkowe, malinowe, żurawinowe, a to wszystko własnej roboty ku wsparciu biędnych chorujących kmiotków, i gości przyjęciu. Bigos zaś w fasce, albo pieczeń huzarska, masło w garnuszku, chléb i puzderko poprzegradzane z rozlicznemi wódek gatunkami, były nieodstępniemi towarzyszami obywatela w dalszą podróż się wybierającego.

Jako zwyczajnych domowych napojów używano piwa, w dzbankach miedzianych z pokrywami na zawiasach, tudzież miodu własnej roboty. Że piwa wyborne być musiały i obficie odchodziły, uczy nas przysłowie:

Sieradzanie dobrzy ludzie,
Piją piwo w lada budzie.

W czasie uroczystości jakowój, chrzcin, lub zaślubin, występowało gospodarstwo z całą otwartością i szczerością serca; nie znano szampanów ani szambertynów, lecz czysty węgryz, beczkami w piwnicach stojący, krążył z rąk do rąk kolejką; a kiedy podochocona szlachta już w dobre humory wprowadzoną była, wtedy wąża pokręciwszy i pasa poprawiwszy, zaintonowała z wszelką przyzwoitością chórem:

Pije Kuba do Jakóba,	A kto nie wypije,
Jakób do Michała,	Tego we dwa kije:
Wiwat ty, wiwat ja,	Łupu cupu, łupu cupu,
Kompanija cała.	Niechaj dobrze pije.

Całe grono obywateli tworzy w największej zgodzie, jakoby jedną familią; rumieniec młodzieńczy występuje na twarze chwalebniemi bliznami zorane, a ceniąc staropolską braterską gościnność, zwraca się ku gospodarstwu z puharem nuąc zjednoczonym głosem:

Kiedy nam się pora zdarza, pora zdarza,
I taka doba (bis.)

Pijmy zdrowie gospodarza (bis.)
Co się podoba (bis.)

Pijmy zdrowie gospoyni, gospoyni,

Choćby do rana, (bis.)
Mości panie Karolu

Ja do waćpana (bis.)

W końcu na uczenie damy jakowój zbliżają się do niej poważnie i proszą o trzewik z nogi, a kiedy takowa zdjąć się go wzbrania, na kłęczkach z wszelką grzecznością sami go zdejmują, a za jej zdrowie z kielicha w trzewiku umieszczonego sok Bachusa aż do dna wysączają. Kiedy już zajęchały kolasy i powozy, i do nich goście, pożegnawszy się, wsiedali, hojny gospodarz ścigał uprzejmie lube mu osoby na ich uraczenie aż do pojazdów i tam ich do przyjęcia na pożegnanie, lub na wiwat „kochajmy się” ostatniego puhara błagał, przy wzniesieniu pienia pożegnającego:

A kiedy odjeżdżasz, bywaj zdrów,
O naszej przyjaźni dobrze mów i t. d.

Przy mniej świetnych zabawach grywano w karty w wentenia, halbecwelwe, ćwika, maryasza, balamuta lub kasztelana; tuzy, kralki i wyżniki niepoślednie trzymały miejsce. Młodzież za dźwiękiem klawikortu zapuszczała się w tany, za którą i starsi niekiedy miodek rozgrzani ośmielili się do menueta lub drabanta; a kiedy muzyki domowej nie było, grywano o fanty w cenzurowanego, w gotowalnią, pastora, adwokata, darrowanego lub w ślepią babkę.

Gorliwi myśliwi uderzającego (trąbiącego) w trąbkę w czasie grania ogarów lub stanowisko opuszczającego okładają sforami po skończo-

ném polowaniu, a kiedy nowicyusz po raz piérwszy w życiu kota strzałem powali, dają mu przy wypaproszaniu odprawę, obmazując twarz jego zniecka zakrwawionemi jelitami. Niekiedy namawiają ciekawego aspiranta do polowania na derkacze, dają mu nieś wórek na łąki, i uczą go jak ma wabić chróścieli; w miejscu zaś oznaczoném wsadzają go w wórek, obwiązują, każą mu ptastwo wabić, a potem sami zwiedzonego wydobytemi z ukrycia powrozami porządnie okładają, wołając ze śmiechem, żeby pamiętał polowanie na derkacze. Coś podobnego miało miejsce przy sypaniu kopców przez podkomorzego lub komornika pomiędzy kilku dziedzinami: chwymano pastuszków przypatrujących się zblizka, pokładano na kopcach i nielitościwie ćwiczone, powtarzając:

Pamiętaj chłopcze,
Że tu są kopce.

Jakoż każdy chłopiec takowy pamiętał przez całe życie, i dzieciom swoim pokazywał to miejsce, gdzie go niewinnie skatowano, a lat zgrzybiałych dożywszy, przysięgał sumiennie, że tam istniał kopiec, lecz go zniweczono.

Chłopiek siedział w chałupie słomą krytój, o kominie z drągów, wałami z gliny grubo pooblepianym, jedną tylko izbę z całą swoją familią zajmując, gdzie przypiecek lub zapiecek dzieci główném schronieniem były; glina ubita zastępowała mu podłogę, szybę sześciościenną w otów obsadzoną gdy mu kura lub dziecko wybiły, zaprawiano deszczułkami. Sprzętami jego są: liczne obrazki świętych na ścianach poprzylepiane, ławka, półki z miskami, garnkami i łyżkami drewnianemi, niekiedy stół, skrzynka na przyodziewek i warsztat do robienia płótna. Nie zna on świecy, ani lampy: łuczywo z smolnych pieńków na kominie zapalone zastępuje ich miejsce. Krowa, trzoda lub cielę wspólnie czasem z nim goszczą, lub przynajmniej w komorze; różnej maści króliki skaczą po izbie, a przestraszone kryją się po norach pod łóżkiem; rozmnożone zaś służą mu na pożywienie. Potrawami jego domowemi są: żur ze spérką (słonina), kasza, kluski, groch, brukiew, a natomiast raczy się w mieście kielbasą i faryną (kiszka z wątroby i juszki). W święto latem wychodzą po południu włościanie przed chałupy, a na ziemi rozciągnieni wygrzewają się na słońcu. Podstarzały włościanin, dla braku sił do pracy niezdolny, zapuszcza brodę, a torbę i łachmany przywdziawszy, wychodzi z długim kijem dla obrony od psów, skórą jeżową u dołu opatrzonym do wsi okolicznych na żeber (kwestę).

Chłopcy grywają w święta po drodze przez wieś idącój w krąg drewniany, palkami opatrzeni, wykręcają długimi tyczkami gniazda wróbli po dachach, lub szukają na błotach, po kępach jaj czajki, albo ka-

czek dzikich, by z nich jajecznicę sobie sporządzić. Za bydłem w kupkę zebrani bawią się w pliszki, rzucając je i łapiąc jedną ręką, albo w zajączka, kładąc po jednym palcu obok siebie, i mówią takowych się dotykając:

Janie, Fabianie,
Pasiesz konie na wygonie;
Czém je pasiesz? złotą sieczką,
Czém je poisz? studzieneczką.

Figiel, migiel
Wyrwij piórko,
Leć na półko.

Z kupki téj wychodzą łosem po jednemu i chowają się gdzie mogą; ostatni pozostały szuka ich lub przy odgłosie: „zajączek do pana” chwytta zbiegających się którego tylko zdoła. W zimie chłopcy wiejscy łapią ptaki na sidła, pod deskę, w potrzaski, pomiędzy cegły, lub w gołe ręce pod strzechami stodół, albo w noc ciemną po szopach przy blasku latarni; ślizgają się po lodzie niekiedy bosy, albo bałwanów ze śniegu w powróśla i kije przystrajają.

Zwyczaje, zabobony, przysłowia i mowę ludu wiejskiego uważać możemy za zwierciadło poniekąd upłynionych wieków; o pierwszych mówiliśmy obszerniej, lecz o tyle, o ile sposobność obznajmienia się bliżej z takowemi nam dozwoliła. Przejdźmy teraz przysłowia mniej znane i mowę ludu byłego województwa sieradzkiego, o ile takowe słuchu naszego doszły. Przysłowiami takimi są:

Dobra gąska, dobra gąska,
Wyśpię się pod pierzyną,
I najem się mięska.

Ryba, ochyba,
Lepsza chleba skiba.

Służka,
Wyléz mu tam zpod łózka.

Koszula nie błądzi,
Kiedy brzuch rządzi.

Po pańskim obiedzie,
Niedaleko zajędzie.

Kto się brata z dworem,
Ten przypląca worem.

Chociaż chłopu jeno (tylko) skóra,
To musi być jego góra.

Matka mężowa,
Jak skórka jeżowa.

Kto pożyczą igły,
Nie odbiera nigdy.

Kiedy się obrodzi,
Ma gospodarz i złodziej.

Co gospodarz zbierze workiem,
To wyniesie żona garkiem.

Czyja kosa pierwsza,
Tego łąka szersza, (bo przybierze sąsiedniój).

Komornika kura
Gospodarską krowę wybodzie.

Bliższa koszula ciała,
Anizeli sukmana.

Zkąd data?
Z Mixtata. (Miasteczka w ziemi

wieluńskiej, powiecie ostrzeszowskim położonego). Przysłowie to oznacza niewłaściwość objawionego wystąpienia się.

Każde województwo dawniej Polski miało właściwy sobie dyalekt, czyli narzecze, mniej więcej od innych się różniące. Odznaczało się i w tém województwo sieradzkie; z takowego wyrazy niektóre z ust ludu wyjęte, a obecnie jako zastarzałe, z mowy towarzystw wyższych usunięte, przywiedziemy nadając rzeczy formę rozmowy pomiędzy kmiotkiem, żoną jego i córką, z zachowaniem wbrew ortografii, sposobu wymowy ludu wiejskiego.

Żona. Ociec (1).

Kmieć. Hau.

Żona. Kajeś to dział kukiołki, co je Kuba z miasta za ceski pzynios.

Kmieć. Cpiłech je na worek z perkami pzy werku.

Żona. Wej! jak nasa Halka z Gierką wartko leci, musiała doma co zaboczyć?

Córka. Matsiu! Wy nie wieta, a pociot przyjechał z omentrą Niemcem, co łoni tak wytzeszał na wos ślepie, kiejswa z tatusiem śli do gościńca. Ciotynka kazali wos pozdrowić; pedzieli, że jój scywno pzez wos, i orędownali, bysta jój ksynę sasoków posłali.

Kmieć. Matko! Jonek pono chory; nackoł sie siłka kuli, rozepchoł kałdon, psi noród; a miasto isć na pańskie, poswazył się z Kozokami o młode glapy; wyprałem go za to kijem, piznołem o ziemie i kujnołem pięścią za kark.

Żona. Juści.

(1) Tłumaczenie na dzisiejsze wyrazy jest takie co do słowa:

Żona. Mężu!

Kmieć. Czego?

Żona. Gdzieżeśto podział bułki, które Jakób z miasta za ceski (6 groszy) przyniósł?

Kmieć. Rzuciłem je na worek z kartoflami przy łożku (wiszącém).

Żona. Patrzał jak nasza Helena z Giertrudą spleznie bieży; musiała w domu co zapomnieć?

Córka. Matko! wy nie wiécie, a mąż ciotki przyjechał z geometrą Niemcem, który roku zeszłego tak zwracał na was oczy, gdyśmy z ojcem szli do karczmy. Ciotka kazała wam się kłaniać; powiedziała, że jój tęskno bez was i prosiła, ażebyście jój trochę kartofli posłali.

Kmieć. Żono! Jan podobno chory; zjadł dużo brukwi, zapełnił brzuch, ten niepon; a zamiast pójść na pańszczyznę, pokłócił się z chłopcami o młode wrony; wybiłem go za to kijem, rzuciłem o ziemię i uderzyłem pięścią za kark.

Żona. Tak jest.

Kmieć. Wszakże go już dawno nogi bolały. Przeklęty chłopak, chociaż niby kulawy, błęga jak czart za tą niegodziwą Barbarą, a wziąć jój nie chce za żonę; nawet potrawy jój wynosi, i to ze skwarkami (słoniną). W drugi dzień jarmarku kupił jój suknię, którą zaraz na siebie włożyła. Koreł go grosiwo.

Żona. Niebezpiecznie z nim jechać, bo cierpi wielką chorobę (Epilepsis), i konie słuchać go nie chcą. Nie pomnę (nie pamiętam), kiedy to było, on wołał

Kmieć. Dyć go just dawno kulosy bolały. Wściornaski chłopok, a choć skomo kulawy, loto, mere bies, za tą klempą Boską, a pojąć i nie chce; nawet strawe i wynosi i to ze swedami. Na potazyne kupił i kabot, który zaroz na siebie wdzioła; mierzi go grosiwo.

Żona. Nieprzespiecznie z nim jechać, bo cierpi bożą wołą, i skapska słuchać go nie chcą. Nie boć kiej to było, on wołał chetta, a te sły na ćwisa. Zakamiały! wraź mu w kieszeń glon chleba, on ci go ciśnie, a kiej mu chcesz wetchnąć ili wsciubić kęs sera, on gada, ze mu go tza podać na jakiś farfurce, albo wszescy, by mu smelki ugotować. On ani uzondnika sie nie stracha. Niechej go just. Cył!, hajwo ktoś pzeleciał, psejdzie tendyk, postuchajwa, co powie; dyć to okomon.

Ekonom. Hej! chłopie! chamie! skórka na bóty, język na podeszwy!

Kmieć (cicho). Parch! ślacheie ma głowę z tarcie.

Ekonom. Ty psubracie! obiesiu! osłe dardański! co tam mruyczysz pod nosem? Ruro do barszczu! pójdź sam bękaracie i tłumacz się dlaczego Jonka nie przysłałeś, co miał odwieźć Węgrzyna do Łyków, jeżeli nie chcesz bym ci skórę wyćwiczył!

Oto mamy krótkie wyobrażenie o mowie gminnej ludu tego.

w prawo, a te szły na lewo. Ten ladaco! włóż mu w kieszeń kawał chleba, on ci go rzuci, a kiedy mu chcesz włożyć albo wcisnąć kawałek sera, on mówi że mu go trzeba podać na jakimś talerzu, albo woła, żeby mu wodzianki ugotować. On ani ofycyalisty się nie boi. Nie tykaj go już. — Cicho! — tutaj ktoś przebiegł; przejdzie tędy, posłuchajmy co powie. — Wszak to ekonom.

Ekonom (używa obelżywych wyrazów, któremi szlachta włościan traktowała).

Kmieć (mruczy wyrazy obelżywe przez włościan na szlachtę rzucane).

Ekonom (dodaje jeszcze więcej zwykle dawniej używanych obelg). Ty psubracie, urwiste, osłe dardański! co tam mruyczysz pod nosem? Ruro do barszczu! chodź tu bękaracie i tłumacz się, dlaczego Jana nie przysłałeś, który miał odwieźć handlarza win do mieszczan, jeżeli nie chcesz, ażebym ci skórę wyćwiczył!

Podobnej utarczki włościanina z panem, wierszami dość lichemi oddanej, pod oczy w rękopiśmie mi podpadłój, nie mogę pominąć dla jej trafności:

Pan. Ty chłopie! chamie!

Chłop. — Mości panie!

Gdy Ewa kądziel psędła, Adam glinę kopał,
Radbych wiedział naówczas, kto tam komu chłopiał?
Jak w wysokich pałacach, tak i w niskiej budzie,
Wsycyśwa w Boskich oczach równi z gliny ludzie;
I jesce nam jaśnieje niepłonna nadzieja,
Ze w Kruświcy obrano królem kołodzieja.
Tak mości panie!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

....Ciekawe ślady Bolesława Krzywoustego i jego rodziny znalazłem rozproszone po świecie. W kościele św. Idziego (St Gilles) niedaleko Nismes, którego facyata architektury romańskiej, najpiękniejszą jest w tym rodzaju we Francyi, modlił się Bolesław jako pielgrzym r. 1128, jak świadczy wspomnienie w aktach dawnego opactwa, przechowanych w archiwum departamentu w Nismes, które mi w kopii autentycznej wydano. Dwie wnuczki jego panowały: jedna w Prowancyi, druga w Lotaryngii. Piérwsza Ryxa (po niemiecku Richenze, po francuzku Richilde), córka Władysława II i siostry cesarza Fryderyka I Rudobrodęgo, wyszła naprzód za Alfonsa VIII, który się tytułował cesarzem Kastylii; gdy owdowiała, ożenił się z nią Raymund Berenger III hrabia Prowancyi, i z powodu tego ożenienia z siostrzenicą cesarską, dostał od Rudobrodęgo inwestyturę Prowancyi r. 1162 na sejmie w Turyngii, aktem (dochowanym w Bouche, *Histoire de Provence*), ale którego znalazłem tranzumpt na pergaminie z r. 1262, w archiwum depart. w Marsylii. W kilka lat później ta sama Ryxa, po raz drugi wdowa, wyszła za Raymunda V *de St. Gilles*, hrabiego Tuluzy. W kilkanaście lat później, stryjeczna siostra Ryxy, piękna Ludmiła, córka Mieczysława III, panowała w Lotaryngii z księciem Ferrym II.

Ale najciekawsze pomniki z owych czasów, znalazłem w kościele Zwiefalter w Szwabach, niedaleko Ulm; sęto liczne relikwie, między innymi ręką św. Szczepana piérwszego męczennika, z zupełnie dochowaną skórą i paznogciami, jak ją opisywał w XII wieku Benedyktyn *Ortlieb*, który ją z Polski przywiózł. W bibliotece stuttgardzkiej znalazłem rękopism na pergaminie z XIII w. opisu téj podróży, i kilka innych ciekawych rękopismów, z których wyjątki drukowane zostały w rzadkiem dziele: *Arsenii Sulgeri, Annales Zwifaltenses*. Wypisałem wszystkie warianty i miejsca niedrukowane; udało mi się téż dostać samo dzieło, i drugie, niemniej ważne dla szczegółów tyjących się Polski, *Hessii, Monumenta Guelphica*. Z tych materyalów da się już wyrobić jakiś obraz towarzystwa polskiego w XII wieku.

Jeszcze dawniejszych czasów sięga posąg w katedrze naumburskiej, przedstawiający fundatorkę, żonę Ekharda, margrabięgo Misnii, a córkę Bolesława Chrobrego, którą list biskupa naumburskiego z XIII wieku nazywa *Relegindą*, czy *Regilindą*. Mam rysunek tego posągu. Nie mogąc dojechać aż do Ossyaku, starałem się mieć dokładne rysunki grobowca Bolesława Śmiałego, i dzięki uprzejmości pana Ostrowskiego, który w tamte strony jechał, dostałem takowe, oraz wiele materyalów do wyjaśnienia tego zagadkowego dotąd pomnika. Nateraz poprzestaję tylko na téj pokrótce skreślonej wiadomości, zanim pośpieszę z tylu ciekawych materyalów jakąś całość ułożyć.

Alexander Przedziecki.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1850.

106. Kile słov wo Kaszebach e jich zemi przez Wójkasena. Tudzież rzecz o języku kaszubskim ze zdania sprawy Prajsa. Cena złp. 1. Dochód przeznaczony dla ochron krakowskich. 12ka. Kraków. 1850. Nakładem księgarni i czcionkami pod Sową. Str. 36. (Z przedmową Lesława Łukaszewicza).

107. Piotr Skarga i jego wiek (,) przez M. J. A. Rychcickiego. (Z godłem): Wysławiajmy męże chwalebne i ojce nasze w rodzaju swoim..... i t. d. 8ka. Kraków. 1850. W zakładzie wydawnictwa dzieł katolickich. Str. 447. Złp. 15.

1851.

87. Czasy Zygmunta Augusta. Ustęp z przeszłości przez Seweryna Gołębiowskiego. 2 tomy. 8ka. Wilno. 1851. (Nakład autora). Drukiem J. Zawadzkiego. Tom I, str. 227. II, 326. Złp. 26 gr. 20.

88. Dziecię królewskie. Powieść Ad. Am. Koscińskiego. 12ka. 3 tomy. Wilno. 1851. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Tom I, str. 415. II, 471. III, 488. Złp. 22.

89. Geometryja wyłożona sposobem uzmysławiającym, do użytku młodzieży w gimnazyjach niższych przez Dra A. E. Urbańskiego, docenta fizyki matematycznej przy uniwersytecie lwowskim, skryptora c. k. biblijoteki tegoż uniwersytetu i czynnego Członka c. k. galicyjskiego towarzystwa gospodarskiego. 8ka. Lwów. 1851. Nakładem P. Stockmana, drukiem P. Pintera. Str. 245. (Z 5 tablicami). Złp. 10.

90. Loterya chronologiczna - obejmująca lata wstąpienia na tron monarchów państw starożytnych i nowoczesnych od narodzenia Chrystusa do terazniejszych czasów, przez Władysława Zygmunta Ołtarzewskiego. Wilno. 1851. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Str. VIII i 24, i 1 kart w formie podłużnym nieliczb. 33.

91. *Do nru 26 Kroniki z r. b.*

Nowe Wędrówki oryginała. Z rękopismu nieznanego autora, ogłasza Józef Korzeniowski. Tom IIgi. 12ka. Wilno. 1851. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 400. Za 2 tomy złp. 20.

92. Obrazy litewskie przez Ignacego Chodźkę. Serya druga (zawiera Brzegi Wilii). Wydanie drugie poprawne. 3 tomy w jednym. 12ka. Wilno. 1851. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. 312. Złp. 6 gr. 20.

93. Ostap Bondarczuk. Powieść przez J. I. Kraszewskiego. Wydanie drugie poprawne. 12ka. Wilno. 1851. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Str. 240. Złp. 7.

94. O życiu i pismach Tadeusza Czackiego, tajnego radcy Jego Imperatorskiej Mości, prezesa Kommissyi Sądowej Edukacyjnej gubernii wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej, wizytatora szkół tychże gubernij, członka różnych uczonych zgromadzeń, orderów Orła Białego i świętego Stanisława kawalera. Rzecz czytana na zebraniu gimnazjum wołyńskiego i licznych obywatelów w imieniu rzeczzonego gimnazjum i Towarzystwa Królewskiego Warszawskiego Przyjaciół Nauk, 30 lipca 1813 roku; przez k. Aloizego Osińskiego kanonika katedralnego łuckiego..... Wydanie wtóre. 8ka. Kraków. 1851. (Bez wymientienia drukarni; podobno pod Sową). Kart napis. i przyp. 2 i str. 194. Złp. 4.

95. Pamiętniki o dawniej Polsce z czasów Zygmunta Augusta, obejmujące listy Jana Franciszka Commendoni do Karola Borromeusza. Z biblioteki Barberyńskiej zebrał Jan Albertrandi biskup zenopolitański. Z rękopismów włoskich i łacińskich wytlómaczył Józef Krzeczkowski. Wiadomość o życiu Commendoni'ego tudzież potrzebne sprostowania i objaśnienia dodał Mikołaj Malinowski. 2 tomy. 8ka. Wilno. 1851. Nakładem księgarni Rubena Rafałowicza, druk J. Zawadzkiego. Tom I, str. LVIII i 268. II, 328. Złp. 26 gr. 20.

96. Polska wieków średnich czyli w dziejach narodowych polskich postrzeżenia. Tom III.... 8ka. Poznań. 1851. Nakładem J. K. Żupańskiego, druk Ludwika Merzbacha. Str. VIII i 356. (Z 7 tabellami). Złp. 18.

97. Szatan ziemi i anioł. Oryginalnie napisane przez Emila Deryng. 3 tomy. 12ka. Wilno. 1851. Nakładem księgarni Rubena Rafałowicza, druk M. Zymelowicza. Tom I, str. 231. II, 236. III, 246. Złp. 15.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

— Zeszyt IIgi: „Wizerunków polskich”, rysowanych z natury i litografowanych w Paryżu przez Maxymiliana Fajansa, obejmuje wizerunki: W. A. Maciejowskiego, K. Wł. Wojcieckiego i Xaw. Kaniewskiego.

— Nakładem S. Orgelbranda wyszedł już poszyt 5ty dzieła W. A. Maciejowskiego pod tyt: „Piśmiennictwo polskie.” Poszyt ten rozpoczyna tom IIgi i zawiera: Szkoły polskie i ruskie; uniwersytety polskie, ruski i pruski; licea, gimnazya, kolegia jezuitckie i t. d. Pisarze, wzorowi pisarzowie i pisarki. Ogólny pogląd na to wszystko.” Następny poszyt wyjdzie d. 20 października.

— Dr. T. Tripplin ogłosił przedpłatę na powieść w 4 tomach z rycinami, pod napisem: „Pau Zygmunt w Hiszpanii.” Cena złp. 20.

— Felix Żochowski nauczyciel literatury i języka polskiego w Instytucie szlacheckim, wkrótce wydać zamysła grammatykę, pod napisem: „Mowa języka polskiego.” Przedpłata wynosi rub. sr. 1.

— Nakładem J. Bernstejna wyszły: Tablice zamiany wszelkich wag zagranicznych w handlu używanych, obrachowane na wagę rossyjską w pudach, funtach i złotych, wraz z tablicą wykazującą stosunek różnych miar zagranicznych do płynów, w porównaniu z rossyjskim stakanem. Cena złp. 4.

— Księgarnia J. Czecha w Krakowie zajmuje się wydaniem nowego dzieła Ambr. Grabowskiego, pod napis: „Starożytnicze wiadomości o Krakowie. Zbiór pism i pamiętników tyczących się opisowej i dziejowej przeszłości, oraz zwyczajów tej dawniej stolicy kraju. Z dodatkiem różnych szczegółów Polaków zająć mogących.” 8ka wielka.

— We Lwowie w druk. Zakł. Ossolińskich wyszło dziełko hr. Kazimierza Wodzickiego pod tyt: „O wpływie jaki wywierają ptaki na gospodarstwo tak polne jak i leśne w ogólności, a w szczególności o owadach lasom szkodliwych.” 8ka. str. 27. Złp. 1.

— W Nowym Sączu, drukiem i nakładem Józefa Piszca, ukazało się w r. b. dziełko: „Krótki rys geografii w pytaniach i odpowiedziach stopniowanych, ułożył ks. Jan Śmiałek. 8ka. str. VI i 312.

— Zakład Ossolińskich we Lwowie drukuje w wielkim nakładzie: „Pamiętniki starego szlachcica.” Wydanie będzie poprawne i powiększone, a przycięm bardzo tanie.

— Adam Goreczyński napisał dla teatru krakowskiego oprócz „Anglika” nową komedią „Francuz”, którą w czerwcu przedstawiono. Wkrótce tenże autor obdarzy repertuar trzecią z kolei komedią: „Włoch.”

— Dnia 12 maja b. r. rozpoczął w uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie odczyty okulistyki dr. Antoni Sławikowski.

— W Wiedniu w księgarni Pfautsch i Voss wyszło dzieło w języku niemieckim: *Die Sprichwörter der Polen* (Przysłowia Polaków), objaśnione historycznie z poglądem na właściwości tego rodzaju u Litwinów, Rusinów, Serbów i Słowiańców, a porównane z podobnemi innych narodów, z przyłączeniem oryginałów. Dodatek do wiadomości o staule oświaty słowiańskiej, przez dr. Konstantego *Wurzbacha* bibliotekarza przy ministeryum Spraw Wewnętrznych. Drugie, znacznie powiększone wydanie, w 8ce.

— W Berlinie wyszedł słowiański katalog księgarza i antykwaryusza J. A. Stargardta, zawierający dzieła z księgozbioru klasztoru oliwskiego; katalog ten mieści w sobie stare dzieła, tyczące się szczególnie dziejów Polski i Gdańska, a po części Rossyi, Szlązka, Czech, i t. d., i obfituje w 224 planów miast z XVI i XVIII wieku.

— Paryzka akademia umiejętności przyznała nagrodę w summie 2,000 fr. p. Gałuskiemu, za przekład francuzki słynnego dzieła Humboldta: „Kosmos.” Pierwszy raz akademia francuzka przyznaje nagrodę za tłumaczenie dzieła napisanego w żyjącym języku.

— Przy zakładaniu kolei żelaznej w Prusach, znaleziono pod Malborgiem starożytności polskie i krzyżackie, jakoto: olbrzymie ostrogi, strzały, kule muszkietowe, szkielet ludzki i pieniądz srebrny z popiersiem Chrystyana III króla duńskiego z r. 1569.

— W Pradze wyszło drugie wydanie „Krakowiaków” Wacława Han-ki, z czeskim textem i nutami. Czysty dochód ze sprzedaży przeznaczony jest dla pogorzalców krakowskich.

— W d. 26 maja b. r. przybyli do Krakowa z Wiednia hr. Thun i dyrektor medalów p. Böhm, w celu ocenienia zbioru obrazów przez ś. p. Sko-tnicką uniwersytetowi Jagiell. zapisanych, z warunkiem wysyłania ucznia szkoły malarskiej do Rzymu.

— Dr. Józef Ditel, zanominowany przez ministra Oświecenia profes- sorem kliniki lekarskiej w uniwersytecie Jagiell. w Krakowie, w miejsce dr. J. Brodowicza, który się oddalił na spoczynek, rozpoczął w dniu 12 maja r. b. swój wykład. Dr. Ditel należy do lekarzy zupełnie nowej szkoły; mo- żna go nawet nazwać twórcą nowej teorii, którą w swoim dziele: *Klinika anatomiczna chorób mózgowych (Anatomische Klinik der Gehirnkrankheiten, v. Dr. Joseph Dietl. Wien. 1846)* dokładnie rozwinął. Aż dotąd lekarze uży- wali w oznaczeniu choroby *sposobu zbiorowego*, czyli z wybadania i poró- wpania pojedynczych przypadłości oznaczali chorobę; przeciwnie, Dr. Dietel opierając się przy badaniu chorych na anatomii opisowej, patologicznej i fizyologicznej, jak również na zjawiskach fizycznych i chemii patologicz- nej, przy pomocy *pukania* (perkussyi) i *przysłuchiwania* (auskultacyi) *sposobem rozbiorowym* wyprowadza chorobę *à priori*, oznacza jej źródło, a następnie przypadłości: zład następstwa smutne lub pomyślne dla chorego stanowczo oznacza.

— † W miesiącu maju r. b. uniw. Jagielloński w Krakowie poniosł stratę w osobie profesora medycyny sądowej i historii sztuki lekarskiej dr. Fryderyka Hechell, zmarłego w Greffenbergu.

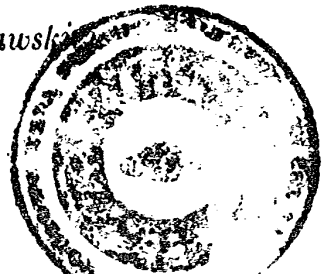
— † Z dnia 8 na 9 maja b. r. zakończył życie w Wroniawach: Stani- sław hr. Plater, autor *Geografii wschodniej części Europy* i wielu innych dzieł, b. oficer inżynierii b. wojsk polskich.

— † Dnia 5 czerwea b. r. w Wrocławiu zmarł dr. Bogusławski prof. astronomii przy tamt. uniwersytecie. Świat uczony stracił w nim jednego z niezmordowanych pracowników. Urodził się w Magdeburgu r. 1789. W młodości służył w wojsku pruskim, zżąd w 1815 r. wystąpił w stopniu kapitana artylerii; następnie gospodarował, i był członkiem kommissyi wło- ściańskiej. W r. 1831 został konserwatorem gwiazdarni, a w r. 1836 profes- sorem. Lubo ani słowa po polsku nie umiał, mienił się być Polakiem i utrzymywał, że pochodzi z rodziny, która wydała tegoż imienia sławnego pisarza dramat. i dyrektora teatru warszawskiego.

— † Dnia 24 lipca r. b. w Puławach zakończył życie Dominik Bar- toszewicz inspektor Alexandryjskiego Instytutu.

— † Dnia 9 sierpnia b. r. umarła w domu obłąkanych w Wrocławiu znana autorka pani Julia Wojkowska.

— † Dnia 2 września r. b. w Krakowie umarł Józef Kurowski, arty- sta. Miał lat 42.



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIÉM.

Sierpień, 1851.

Sierpień 1851.**Dostrzeżenia w Obserwatoryu**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza
czyli w łuku 18°41'25,45 na wschód

Dnia	Odmiany Księżycy.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR s t u s t o p n i o w y				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. Średn. dzienna
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano.	4 god. wiec.	10 god. wiec.	
1		746.09	745.92	744.64	744.81	+21°.4	+26°.0	+30°.2	+23°.6	69.5
2		745.30	746.02	745.79	746.80	19.4	20.8	27.7	20.8	81.3
3		749.04	750.46	749.90	752.05	18.1	23.5	24.1	18.8	82.2
4	☾	752.71	752.99	752.47	752.76	15.9	19.4	23.9	18.1	63.2
5	☾	752.91	753.56	752.38	755.13	16.2	21.9	26.0	17.0	63.8
6		755.92	756.49	756.00	756.68	12.8	18.7	20.7	14.8	73.5
7		757.12	757.60	756.32	756.78	12.5	17.1	20.4	15.2	69.7
8		757.06	756.69	754.64	753.85	12.8	18.8	22.6	16.3	65.3
9		751.91	751.11	748.86	747.86	15.2	21.4	24.0	19.1	63.2
10		746.61	746.67	745.22	746.13	17.5	22.2	24.4	19.5	73.8
11	☺	747.60	749.10	750.22	752.55	17.0	20.2	22.8	18.1	74.5
12	☺	753.64	754.07	753.90	755.30	12.0	19.2	22.5	16.9	63.5
13		757.32	757.90	756.78	756.97	11.4	16.2	19.1	13.1	61.5
14		756.92	756.77	754.93	754.68	11.0	18.0	21.0	14.1	59.5
15		752.78	751.78	750.15	749.78	13.1	19.5	25.5	18.5	64.7
16		749.89	750.84	751.00	752.11	16.0	21.0	23.4	17.3	81.0
17		752.25	752.37	751.15	750.06	14.8	20.4	24.6	18.8	69.5
18		747.82	748.16	747.30	747.22	17.4	22.7	23.4	17.7	76.7
19		747.25	749.42	752.38	755.95	13.2	12.9	17.1	12.7	96.0
20	☾	758.63	759.29	758.31	758.31	8.5	13.3	17.3	11.1	83.5
21		757.74	757.64	755.48	753.93	10.0	15.8	19.7	14.6	77.5
22		753.69	753.63	751.13	751.12	11.6	18.8	23.1	16.0	67.0
23		751.95	751.75	750.51	750.12	14.4	21.4	25.8	19.2	69.5
24		749.25	749.55	749.18	749.40	14.8	22.2	26.8	19.2	78.2
25		749.48	749.30	746.94	749.29	17.3	24.4	26.6	17.3	77.3
26	☺	752.86	755.13	755.13	755.59	13.0	14.7	17.5	11.2	75.7
27		753.72	752.62	750.69	749.03	8.7	18.5	16.8	14.1	71.8
28		746.99	746.58	742.70	738.50	13.7	18.2	21.1	17.2	77.0
29		740.17	741.49	741.52	740.00	13.3	15.2	14.4	10.9	88.2
30		739.75	741.08	744.78	747.02	9.6	12.5	15.8	9.6	84.7
31		743.76	747.85	747.95	747.50	8.3	16.7	13.7	12.7	89.8
Śrec.		751.040	751.414	750.592	750.880	+13° 90	+19° 08	+22° 00	+16° 24	73.95

	mm.	c.	f.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.978	27	8 905
Najwyżej dochodził — d. 20 o g. 10 r.	759.29	28	0.591
Najniżej — — d. 28 o g. 10 w.	738.50	27	3.374
Średnia zmiana dzienna barometru	3.162		1.402
Największa zmiana dzienna barometru d. 19—20 o g. 6 rano	11.38		5 045
Średnia wysokość barometru jest wyższą o od stanu normalnego z 25 lat poprzedzających	1.525		0.676
Średnia temperatura sierpnia wynosi: i ta jest niższą o od stanu normalnego z 25 lat po- przedzających	+ 17.9805 C.	+ 14.244	R.
	0.307 „	0.246 „	
Największe ciepło dochodziło d. 1 o godz. 4 wiecz.	+ 18.112 „	+ 14.490 „	
Najniższa temperatura była d. 31 o godz. 6 rano.	+ 30.2 „	+ 24.16 „	
Średnia zmiana dzienna temperatury	+ 8.3 „	+ 6.64 „	
Największa zmiana dzienna d. 18—19 o godz. 10 rano.	2.445 „	1.956 „	
Termometrograf wskazał:	9.8 „	7.84 „	

Maximum: + 25^o.1 R. d. 1 po połud.

Minimum: + 4^o.5 „ d. 27 rano.

Wody z deszczu spadło wysoko na 88,9 milim., czyli 39,41 lin. par. ilość ta jest większą o 6.56 lin. par. od ilości wody jaka u nas w sierpniu zwykle spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 73,95 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 11.22 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza, wilgotność ta jest o 0.015 większa jak zwykle.

Dni pogodnych było 15, napół pogodnych 10, pochmurnych 6.

Dni deszczu 12 (d. 2, 10, 15, 16, 18, 19, 25, 27, 28, 29, 30, 31).

— mgły 3 (d. 9, 12, 31).

— gradu 1 (d. 25).

— grzmotu 2 (d. 16, 25).

— błyskawic bez grzmotu 3 (d. 15, 25, 28).

Wiatrów mocnych było 2: 1 Pn., 1 Z.

Wiatry panujące były: Północny, Północno-Wschodni i Południowo-Zachodni.

Miesiąc sierpień, lubo w tym roku był najpogodniejszy i najcieplejszy, i on tylko jeden stanowił u nas właściwe lato, wszelako w porównaniu do stanu normalnego, zimniejszy był o 0.25 stop. R. Pierwsze pięć dni były gorące i parne; średnia ich temperatura dochodziła do 17.3 stop. R.; siedm dni od d. 18 do 25 były także gorące i parne; ostatnie zaś sześć dni były chłodne i słotne. Deszcze w drugiej połowie miesiąca osobliwie w siedmiu dniach ostatnich padały często i obficie. Najcieplejsze dni były: d. 1, 2, 3, 4, 5, 9, 10, 11, 15, 16, 17, 18, 23, 24, 25. Najchłodniejsze d. 20, 30, 31. Dnia 2 woda na Wiśle pod Warszawą dochodziła do wysokości 11 stóp, 11 cali.

Dnia 24 między godziną 9 a 10 wieczorem pokazała się *Zorza północna* w świetnych kolorach.

Dnia 25 o godz. 5 min. 38 wiecz. powstał wiatr Z. mocny.

ZNACZENIE PIENIĘDZY

FILOZOFICZNE, MORALNE I EKONOMICZNE.

I.

Pomiędzy umiejętnościami moralnemi, ekonomia polityczna najpóźniej zajęła miejsce. Jój przeszłość zaledwo liczy wiek jeden, a obok jednak téj krótkotrwałości, jój znaczenie coraz bardziej się wzmaga, zakres jój badań coraz się więcej rozszerza, stanowisko jój coraz się uogólnia, jój powołanie coraz bardziej staje się ważniejszym i coraz więcej zdobywa charakteru właściwego *prawdziwej umiejętności społecznej*.

Wielkość jój znaczenia nie stwierdza się li samą ważnością szczegółowych pytań i przedmiotów, których ona poznaniem się zajmuje; ale jako najświeższy utwór umysłu ludzkiego, odpowiada ona nietylko nowym potrzebom i dążnościom społeczeństw, ale co większa, odślania nowe stanowisko moralne i rozumowe w poglądzie na stosunki ludzkie. Chcąc go gruntowniej poznać, zdaje nam się stosowném zauważyć go względnie do filozofii, którą do tego czasu najżywotniejsze pytania społeczne, najogólniejsze i najważniejsze zadania człowieczeństwa prawie wyłącznie zajmowały, i która przybierając nazwisko *wszechmądrości*, wszystkie wątpliwości chciała rozwiązać, wszystko poznać i zrozumieć, i w wiedzy zdobyć *pewność* tak dla sumienia, jak równie i dla czynów ludzkich..

Usiłowanie to jakkolwiek wielkie i znakomite w skutkach, nie zostało uwieńczone wypadkami zaspokajającemi i organicznemi. W całym ciągu swój historycznej egzystencji, filozofia nie

mogła podnieść się do wysokości, odpowiedniej prawdziwej umiejętności, ale bezustannie błędziła po bezdrożach biernego krytycyzmu, i na czczych abstrakcyach i ujemnej moralności kończyć musiała.

Pomimo bezowocności w swych poszukiwaniach, jednostronności w swych opiniach i wnioskach, filozofia nie tylko nie mogła dostatecznie usprawiedliwić swego stanowiska, ale co większa, przez fałszywość swego poglądu, zniewolona była negować je i zaprzeczać.

Skutkiem sprzeczności i nieloiczności w samym początku swego wyjścia, jakkolwiek była ona objawem i zatwierdzeniem poczucia się samodzielności jednostkowej, protestacją rozumu indywidualnego:—następstwami swemi zaprzeczyć je musiała, i w ofierze dla swój jednostronności poświęcić samodzielność osobistą, równie jako i jój dalsze rozwinięcie i udoskonalenie.

Zkądże więc pochodzi ta niedostateczność filozoficznego zapatrzenia się, zkąd ta ujemność wypadków filozoficznych, zkąd ta sprzeczność w ich objawie i opiniach?

Niedługo potrzeba szukać odpowiedzi na te ważne pytania, ale dla jój otrzymania, dosyć obejrzyć znakomitsze systema filozoficzne, poznać świetniejsze ich pomysły.

Czyli to weźmiemy pod uwagę Sokratesa „poznaj siebie samego”, czyli Kartezjusza „myślę, a więc jestem”, czyli Fichtego „jajźn”, czyli Hegla „jedność myśli i bytu”; wszędzie widzimy, że stanowisko filozoficzne opiera się na pojęciu tożsamości, że wychodzi li z osobistego poczucia się, bądźto czy ono jest wyrażane w formie psychologicznej lub logicznej.

Jakież następstwa muszą być takowego stanowiska? do jakich wypadków podobny pogląd może doprowadzić? Pojęcie tożsamości podniesione do bezwzględnego znaczenia, z konieczności logicznej wiedzie do panteizmu, który względnie do zapatrzenia się filozoficznego, musi być albo materyalnym lub spirytualnym.

Z natury panteizmu wynika zniweczenie wszystkich jednostek, zaprzeczenie wszelkich samoistności i celu, i cała różnorodność świata utonąć musi w nieoznaczonej i w bezdennnej pierwotnej ogółowości.

Zapatrzenie się zaś czysto indywidualne, polegając li na uznaniu się osobistém, wyłącza wszelki cel zbiorowy, wszel-

ką twórczość społeczną, i indywiduum tylko stawia za ostateczny wynik stworzenia, za najdoskonalszy wyraz mądrości odwiecznej.

Ponieważ to jednostronne stanowisko nie przypuszcza celu zbiorowego, a tém samém twórczości zbiorowej; dlatego moralność, która jest pełnią żywota, która jest ciepłem czynności ludzkich, węzłem wiążącym wszystkich ludzi w pewną harmonijną całość, która warunkuje ich zobopólne uznanie się, i jest zarazem objawem ich wspólnej samodzielności i twórczości, nie może z niego wypływać, ale *kontemplacya* jako odrębny i odosobniony żywot od całego świata, musi być przezeń poczytywaną za najwyższy obowiązek ludzki, którego Brahminizm jest ostateczną rzeczywistością.

Chcąc się bardziej przekonać o ujemności filozofii, o jój całkowitem ubóstwie ze względu moralnego i organicznego, dosyć pokrótce wejrzyć na najnowszych naszych filozofów, którzy nie posiadając tak wielkich zasobów naukowych i erudycyjnych jak Niemcy, w przystępniejszych formach jaśniej i całkowicij odsłaniają nagość i bierność filozoficzną.

Przyjąwszy bądźto *myśl* za organ właściwy do wszechpojęcia, lub *wyobraźnię* albo *intuicyę*, nie odsłania się żadnego nowego stanowiska, nie pokazuje się żadnego nowego kierunku dla umysłu ludzkiego. Opierając się li na uznaniu osobistém, czyliż nie można przyjąć uczucia, wiary, słowem wszystkich władz i przymiotów ducha ludzkiego, za pierwiastki filozoficzne? Nietylko można, ale historia filozofii najdosłateczniej dowodzi, że wszystkie te stanowiska niekiedy nawet z wielką świetnością i gienialnością obrabiane były; lecz równie ta sama historia filozofii stwierdza, że ich loiczną wynikłością był i musi być zawsze panteizm.

Gdybyśmy się teraz zapytali o praktyczną mądrość filozofów, wejrzeni w ich rozmaite historyozofie, czyliż możemy się zbudować, czyliż podziały historyi na trzy epoki: klassycyzmu, romantycyzmu i przyszłości, wiele więcej nas nauczają nad powszechną troistość czasu: przeszłość, terażniejszość i przyszłość? Czyliż historyozofowie Buchez i August Comte, którzy pierwsi poznanie przyszłości policzyli za konieczną i wypełniającą część, całość historyczną, postawili zasady pewne i twórcze; czyliż wykazali prawa idei i faktów historycznych, dopełnili ich klasyfikacyą, odsłanili ich stosunki?—Bynajmniej. Słowa martwe pozostały w książkach, a duch ludzki we własnej energii, w swój wewnętrznej

twórczości i loiczności, musiał szukać dla siebie tak nowych zasobów, jako i bussoli do swego kierownictwa i oryentowania się.

Jeżeli się zaś fantazyą użyje za czynnik filozoficzny, jakżeż obszerne pole do marzenia, do błędzenia po eterycznych przestworzach, do zaczarowania wszelkiej rzeczywistości, wszystkich kształtów żywotnych w cienia nadprzyrodzone, w upiory osłonięne w obłok fantastyczny i nieujęty żadnym poczuciem rzeczywistością? Jakżeż łatwo jednostronne poglądy Tomasza Carlyle, Emmersona, ześrodkowujących wszechmocną działalność Opatrzności w *pojedynczych gieniuszach*, podnieść jeżeli nie do systemu racjonalnego, to przynajmniej utworzyć z nich pewną sztuczną budowę mistyczną, do której podziwu nie zabraknie nigdy na pewnej liczbie sentymentalistów i ascetów? Czyliż fantazyja gorączkowa i chorowita z pojedynczych gieniuszów, nie może potworzyć kolumn duchowych, które jak krople deszczowe z obłoków spadać mogą na ludzkość? Czyliż zexaltowana inspiracyja nie może rozpocząć podróży lunatycznej po niebie, i sny swe ogłosić za słowa boże, za mądrość odwieczną?

Bezwzględne stanowisko filozofii zaprzeczające czas i przestrzeń, a zatem zasadnicze i podstawowe warunki wszelkiego istnienia, każdego bytu, tworzy sobie nadprzyrodzone koło działania, przenosi się w wieczność, gdzie rozum filozoficzny snuje z siebie jak pająk delikatne i subtelne nici, które pierwsze lepsze poruszenie zdrowego rozsądku niekiedy w zupełności rozrywa i niweczy.

Owa metoda chcąca wszystko *à priori* poznać, odtworzyć niejako na nowo świat, odsłonić myśl Boga, tajemnicę wszechstworzenia jednym poczuciem się samodzielności odgadnąć; w miejsce umiejętności pozytywnej, jednoczącej w sobie tak fakta jako i idee, tak pomysły jako i czyny, tak indywidua jako i społeczeństwa: tworzy sztuczną atmosferę znaną pod nazwiskiem *spekulacyi*, która niczym innym nie jest, jak tylko grą sofisteryi i doktryneryzmu, świadectwem bierności umysłowej, ogołoconej po części z prawdziwej samodzielności i twórczości, i będącej niekiedy idyotyzmem umysłowym.

Pod ciężarem subtelnej sofisteryi, umysł obłąkany w krętych ścieżkach spekulacyjnego doktryneryzmu, oderwany od świata, pozbawiony poczucia rzeczywistego, niemogący się domagać prawdziwej drogi, celu istotnego, upada w samotności, w zwątpieniu i sceptycyzmie wypowiada wyrok śmierci swój, lub w konwulsyj-

nych drganiach mistycyzmu odmawia psalmy pokutne, świadczące o swém przeżyciu i konaniu.

Przykre w istocie zjawisko jednostronności umysłu ludzkiego, gdzie albo cześć, samobójstwo, lub konanie jest jój żywotem; gdzie w całej swój pracy i walce duchowej towarzyszą jój tylko szkielety abstrakcyjne, upiory bez życia i serca; gdzie nie dochodzi promień światła prawdziwego, gdzie panuje bezludność, gdzie głos ludzki w swój dziewiczości młodzieńczej nie daje się słyszeć, gdzie tylko echa śmierci i spustoszenia władają i istnieją!

Dalecy jesteśmy całkowicie potępiać filozofią, odmawiać jój wszelkich zasług i korzyści, jakie w dziejach historycznych dokonała. Owszem jój protestacye przyczyniły się do wyrobienia jednostek, do odślonienia samodzielności, do podniesienia osobistości. Na jój wezwanie i pod jój przewodnictwem wszystkie niemal epoki historii widziały występujący duch protestantyzmu, ona przysposabiała wszelki rozkład moralny, ona nadawała potęgę krytycyzmowi; a zaklinając śmierć, przysposabiała nowe życie, świeże zaranie nowych idei i pomysłów.

Lecz pomimo jój wielkich przysług jakie dokonała w procesie historycznym, pragnąc być zawsze *umiejętnością umiejętności*, poza krytycyzm nie mogła się wychylić: on był dla niej zaczarowanym kołem, którego przekroczyć nie podolała, pod brzemieniem ujemności i samój negatywności upadała i nie mogła przejść na pole organiczne, wziąć się do działania twórczego, gdzie myśl i czyn powiązane są przez moralność w harmonią piękną, obejmującą w sobie tak interesa, jako i myśli osobiste i zbiorowe.

Dziwić się równie nie należy, że praktyczna sfera jój działania była zawsze szczupłą, że nie wychodziła poza pojedyncze sekciarstwo lub utopię; które, jakkolwiek były wzniosłym i pięknym połyskiem gienialności, nigdy dobieć się nie mogły znaczenia powszechnego, nigdy nie mogły zostać ogólniejszym węzłem moralnym wśród ludzi, ani być dla nich sumieniem i wiarą. W jój stanowisku spoczywała jój zasługa, ale równie zarazem jój upadek; w samém wyjściu czerpała dla siebie tak światło jako i cienie, tak życie jako i śmierć.

W jakimże więc kierunku spoczywa przyszłość prawdziwój umiejętności, gdzież jest to stanowisko wszechstronne, z którego by wszystkie strony moralne i materyalne żywota społecznego obejrzyć i poznać można było? Czyliż nauka ekonomii politycznej, która do tego czasu nie mogła dla siebie znaleźć stosownej na-

zwy, która mianując się raz umiejętnością produkcyi, drugi raz umiejętnością wymiany, wartości, dystrybucyi bogactw, nie zdobyła się jeszcze na stanowcze orzeczenie, na pewne oznaczenie przedmiotów swych badań i poszukiwań, ma wypełnić niedostateczność filozofii? Czyliż nauka Smithów i Millów ma być prawdziwą metafizyką? Czyliż loika ekonomii politycznej de Quincey ma być zarazem umiejętnością rozumu? Czyliż katechizm ekonomii społecznej Ellisa, ma służyć za podstawę wychowania elementarnego? Czyliż nauka ta, która po większej części uważana jest dotychczas za umiejętność li interesów materyalnych, której celem ma być interes osobisty, która codziennie oskarżaną bywa o najgrubszy materyalizm, zdolną będzie rozstrzygnąć pytania zarazem moralne i materyalne społeczeństw, wykazać środki zaspokojenia ich potrzeb i pokazać zarazem ich prawa, według których powszechne dążności człowieczeństwa się kierują i na których spoczywa cała budowa społeczna?...

Gdybyśmy się chcieli odwołać do gieniuszów naszych czasów, oprzeć się na nowym heroizmie przemysłowym, którego wzbogacają wielkie imiona: James Wath, Richarda Arkwrightt, James Horgreaves, Samuela Crompton, Edmunda Cortwright, Berthollet, Bell i wielu innych znakomitych wynalazców i czynnych myślicieli, nie innegobyśmy nie dokonali, nad proste wypowiedzenie dążności nowszych czasów, gdzie przemysł spożywa najwięcej twórczości i działalności ludzkiej; gdybyśmy wskazali na Anglią, przytoczyli 4000 szkół w których się ekonomia polityczna wykłada i coraz więcej staje się nauką powszechną elementarną, stwierdzilibyśmy li tylko ten fakt, że przy przeważających usiłowaniach industrialnych, ich poznanie nietylko jest ważnym, ale nawet koniecznym.

Nam nie idzie tylko o pokazanie pewnej ważności nauki samej, o wykazanie jej znaczenia względnego, jej użyteczności i potrzeby; ale co większa, o wypośrodkowanie jej stanowiska moralnego, jej miejsca stosunkowego w dziedzinie umiejętności.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę zasadnicze przedmioty ekonomii politycznej, jakoto np. podział pracy, wymianę, konkurencyą, cyrkulacyą, i zapytamy się o ich twórcę, o początek z którego one powstały: widzimy, że one nie zawdzięczają swego istnienia pojedynczej samodzielności, nie są dziełem jednostkowej twórczości, ale są wyrazem zbiorowej pracy, są rzeczywistością spontanicznej siły społeczeństw; razem z nimi powstały, i równie wspólnie z nimi istnieją i rozwijają się.

Nauka mająca na celu poznanie twórczych czynników życia ludzkiego, odsłonienie praw działających przez powszechne prawodawstwo społeczeństw, w przedmiocie samym znajduje dla siebie najlepsze i najwszechstronniejsze stanowisko; tu ginie wszelka dowolność osobistych względów, tu indywidualne zapatrywanie się poddać się musi pod wpływ powszechnej twórczości, która dla siebie samą jest najlepszym ustawodawcą i organizatorem, a pojedynczy rozum może ją tylko wypowiedzieć, przywieść ją do wiedzy, wyczerpnąć z niej następstwa.

Ekonomia polityczna zajmując się przeto poznaniem spontanicznej strony społeczeństw, śledząc jej prawa i dzieła, słusznie uważaną być może za prawdziwą umiejętność społeczną.

Falszywe i jednostronne uważanie stosunków ekonomicznych, chaos i rozdarcie w wiedzy, błędne zapatrywanie się na strony moralne i materialne dążności ludzkich i społecznych, powoduje nieuznanie prawdziwych warunków istnienia społecznego, które dla swą istotą harmonijnej w różnorodnych kształtach swego rozwoju odtłaczają jedno piętno, przedstawiają jeden charakter i naturę.

Prawa ekonomiczne wyrażając samoistność i twórczość ducha społecznego, uważanego w zastosowaniu do podbicia i przekształcenia natury, nie mogą i nie są różne od praw moralnych; co do istoty są one jedne i też same, pole ich tylko zastosowania jest odmienne, względne tylko przedmioty do których się odnoszą są różne.

Zastanówmy się pokrótce nad tém bardzo ważnym pytaniem: jaki stosunek zachodzi pomiędzy prawami moralnymi a ekonomicznymi, lub czyli praca ekonomiczna w istocie swą jest różną od pracy umysłowej?

Piękném i bardzo stosowném orzeczeniem J. Mill utrzymując, że człowiek kieruje i przywodzi tylko ruchowi natury, określił zadanie pracy, jej znaczenie i powołanie. Bo cóż w istocie człowiek dokonywa przez swą pracę, przez swe usiłowania, jeżeli nie przyswaja sobie sił twórczych natury, jeżeli nie obraca ich na swój cel i na użytek? Opanowując je wlewa w nie myśl swego gieniuszu, uczłowiecznia niejako naturę, przekształca jej formy, upiększa ją, urozmaica i staje się dalszym stwórcą świata.

Praca zatem ekonomiczna brana i uważana w właściwém znaczeniu, nie jest materialnym zatrudnieniem, mechaniczną jakąś robotą, ale jest czynnością rozumu, obróconego do działania na

naturę, twórczością ducha ludzkiego oblekającego się w powłokę materji, ucieleśniającego się w kształty przyrodzenia.

Twórczość ludzka jakkolwiek jednej istoty, objawia się w dwóch odrębnych kierunkach: raz umysłowo, w kreacyi czysto idealnej, drugi raz względnie do natury, czyli w kreacyi materialnej; ale jój prawa, jój tło wszędzie jest jednakowe. Kategorie więc pracy i rozumu równie muszą być też same, gdyż wychodzą z jednej zasady i jednego początku.

Ekonomia polityczna zatem w umiejętném uważaniu nie jest nauką produkcji, wymiany lub wartości, ale jest umiejętnością twórczości ludzkiej zastosowanej do natury; przemysł zaś wydobywa z jój łona nowy świat wykształcony przez pracę na obraz potrzeb i usposobień ludzkich.

Jeżeli się zastanowimy nad pierwotnymi objawami rozumu i pracy, przekonamy się nietylko o podobieństwie ich form, ale co większa, o tożsamości praw jakim one podlegają.

Podobnie jak myśleć człowiek nie może bez pewnego związku, podobnie jak w umyśle jego każda myśl wywołuje nowe myśli i idee, które łącząc się między sobą stanowią tak nazwaną *asocjacyą idei*; tak równie praca nie może istnieć sama przez się, nie może w odosobnieniu pojedynczém rozwijać się, ale do jój żywota, do jój potęgi potrzeba innej pracy, czyli technicznie się wyrażając, podziału pracy.

Przez podział pracy wyraża się społeczna natura ludzka, pokazuje się wielkość i szlachetność celu człowieczeństwa, przez nią wchodzi człowiek w społeczeństwo, przez nią łączy się z drugimi i zawiera przymierze wspólności, według którego wszyscy ludzie pracując dla siebie, pracują zarazem dla drugih.

Ponieważ to prawo pracy jest zasadniczą podstawą wszelkiej egzystencji społecznej, równie jak wszelkiego jój rozwoju i udoskonalenia tak moralnego jako i materialnego; przeto postęp społeczny mierzyć się musi jego wszechstronniejszém zastosowaniem, bardziej rozumowém użyciem.

W początkach społeczeństw, wyrażając się językiem Wakefilda (1), współdziałanie było bardziej pojedyncze; z postępem zaś ich cywilizacyjnym, współdziałanie to stawało się coraz więcej skomplikowanym i rozumowém.

Im bardziej skombinowane współdziałanie następuje w społeczeństwie, tém bardziej indywiduum wzmacnia swą twórczość si-

(2) Note to Wakefild's edition of Adam Smith; vol. 3, pag. 26.

łami produkcyjnymi nie tylko natury, ale zarazem całego społeczeństwa, sfera jego działania jest obszerniejszą i skuteczniejszą, moralnie i materialnie potęgą jego samodzielności zyskuje, rozum i wola jego wzbogacają się i wzmacniają.

Tak w stanowisku swém, równie jak i dalszém zapatrzaniu się na historyczny rozwój społeczny, ekonomia polityczna ciągle postępuje drogą wybitą samodzielnym pochodem społeczeństw, i spisuje tylko i liczy ich kroki; wszędzie stara się odgadnąć tajemnice twórczości powszechniej i tę podnieść do wiedzy i nauki.

Podobnie jak praca ekonomiczna jest zastosowaniem moralności i umiejętności do przekształcenia natury; tak równie ekonomia polityczna będąc poznaniem twórczości przemysłowej, praktycznie sprawdza tak moralność jako i pojęcia naukowe: faktami stwierdza ich prawdziwość lub fałszywość, i ciągle łączy teorią z praktyką, i dla tej właśnie dążności zdolną będzie z czasem podnieść się na wysokość prawdziwej umiejętności społecznej i w organiczném i syntetycznym uważaniu rozstrzygnąć najważniejsze i najtrudniejsze pytania.

Wykazawszy pokrótce i szkicowo stosunek ekonomii politycznej do filozofii, możemy teraz przystąpić do szczegółowszego oznaczenia naszego przedmiotu i wyjaśnienia, co rozumiemy pod znaczeniem pieniędzy filozoficznym?

Uważając człowieka we wszystkich kierunkach jego pojawu, wszędzie napotykamy dowody jego istoty społecznej, wszędzie widzimy o ile jego przymioty i siły indywidualne rozwijają, kształcą i potęgują się udoskonaleniem i wyrobieniem organizmów zbiorowych i społecznych.

Myśl sama, brana w oderwaniu od ludzi, nie istnieje; do jej początku, wykształcenia i urzeczywistnienia potrzeba warunków społecznych, współdziałania towarzyskiego. Za pośrednictwem słowa, alfabetu, druku, przechodząc ona z ust do ust, przybiera towarzyski charakter, i jako wiedza zostaje potęgą społeczną.

Ten sam ruch widzimy w sferze ekonomicznej: praca istnieje i rozwija się jedynie w społeczeństwie, przez współdziałanie ludzi pomiędzy sobą, objawia ona swą twórczość, kształci się i udoskonala.

Wymiana zbliżając do siebie jej dzieła, ułatwiając ich przejście z jednego miejsca na drugie, zaspokajając wspólne potrzeby, nadaje im przez to charakter społeczny, przekształca je niejako na własność powszechną.

W najogólniejszym uważaniu jest ona funkcją towarzyską, za pośrednictwem której myśli, pojęcia i dzieła ludzkie przechodzą w obieg powszechny, który wyraża nietylko stosunek pojedynczych jednostek do społeczeństwa, ale zarazem stopień ich bogactwa materialnego i moralnego.

Podobnie jak do wypowiedzenia myśli, pojęć i idei, słowo, alfabet i druk są konieczne; tak równie do wymiany produktów są nieodzowne pieniądze, wexle, kredyt, które będąc narzędziami cyrkulacyjnymi, wypełniają jedną z najgłówniejszych funkcji społecznych, odgrywają jedną z najważniejszych ról w dziedzinie bogactwa powszechnego.

Z tego cośmy dotąd powiedzieli pokazuje się bardzo jasno, że podobnie jak pomiędzy przymiotami moralnymi człowieka, rozum jest jednym z najwznioślejszych i najidealniejszych, tak w życiu ekonomicznym społeczeństw najogólniejszym i najpotężniejszym czynnikiem jest cyrkulacja, ku której zacierają wszystkie siły zbiorowe i z której czerpią swą potęgę i życie.

Dlatego uważając jakim sposobem wyrabiała się cyrkulacja w społeczeństwach, przechodząc i porównywając pomiędzy sobą pojęcia i przymioty jej czynników, odłoni się historyczny postęp zbiorowego rozumu i towarzyskości pomiędzy ludźmi, na drodze praktycznej wypośredkuje się takowych prawa i dążności.

Jeżeli filozof chcący zbadać wykształcenie się umysłowe społeczeństw, nie może przestawać na formalnym poznaniu języka, ale musi uważać jego stopniowe się rozwijanie i odróżnić jego historyczne przemiany, porównać je pomiędzy sobą, wykazać o ile słowo spotęgowane przez alfabet i druk wywarło wpływu moralnego i cywilizacyjnego; tak równie ekonomista śledzący historią cyrkulacji, na udoskonaleniu się jej narzędzi, dopatrywać musi nietylko praktycznych polepszeń i korzyści, ale zarazem szukać w nich znaczenia moralnego i takowych wpływu na postęp towarzyski społeczeństw. Badacza języków i ekonomisty zastanawiającego się nad cyrkulacją cel jest jeden; z tą tylko różnicą, że pierwszy pracuje w kierunku umysłowym, a drugi zaś w kierunku ekonomicznym.

Chcąc więc wykazać znaczenie filozoficzne pieniędzy, zamierzaliśmy poznać nietylko ich stanowisko materialne w społeczeństwie, ale przechodząc o nich rozmaite pojęcia, wskazując przymioty im przyznawane, porównywając fikcje różnorodne towarzyszące ich zidealizowaniu, spotęgowaniu ich działania i wpływu,

chcemy na drodze ekonomicznej wykazać postęp i prawa, według których takowy się rozwija i urzeczywistnia.

Wpatrzywszy się gruntowniej i głębiej w historią instytucyj kredytowych, śledząc coraz doskonalsze idealizowanie się narzędzi cyrkulacyi, pomimowolnie nasuwa się to przekonanie, że to jest forma ekonomiczna najwłaściwsza, która wiedzie rozum do uznania i objawu swego celu i istoty. Żadna inna strona życia ekonomicznego nie odkrywa takiego ścisłego stosunku pomiędzy myślą a wolą, między teorią a praktyką. Historia cyrkulacyi przedstawia historią rozumu powszechnego, a w jej pojęciach pokazują się najważniejsze stanowiska jakie on zajmował i przez jakie przechodził.

W pierwotnym stanie człowieka potrzeby jego były szczupłe, wyobrażenia jego nie przechodziły ciasnego zakresu instynktu i zmysłowych wrażeń, praca jego nie ulegała żadnej kombinacyi, żadnemu organizmowi; ale żył on prawie czysto indywidualnie, przestając na zaspokojeniu chwilowych swych potrzeb, nie troszcząc się wcale o przyszłość i nie pomnąc na przeszłość.

Z powstaniem społeczeństw obudziło się w ludziach myślenie, powstała pewna jedność w pojęciach i ideach, utworzył się pewien sąd powszechny, który będąc dziełem wszystkich, stanowił zarazem ich kryterjum moralne, ich sumienie publiczne.

Według tego samego prawa w dążnościach ekonomicznych, praca musiała się wyróżniać, przybierać rozmaite szczegółowe funkcye; lecz dla pogodzenia tych pojedynczych zatrudnień, dla wypośrodkowania stosunku tak pomiędzy producentami, jako i ich produktami, potrzeba było pewnej normy, pewnego kryterjum ekonomicznego, które służąc do porównania wartości pomiędzy sobą, przykładało się zarazem do wymiaru pewnej sprawiedliwości społecznej.

W życiu więc społeczeństw uważaném tak pod względem umysłowym jako i ekonomicznym, głównie chodzi o wyrobienie pewnych jedności, pewnych ogólnych zasad, które są zarazem pewnikami moralnymi i ekonomicznymi. Im które społeczeństwo posiada takowe lepiej oznaczone, im bardziej rozumowo je pojmuje, ogólniej i idealniej je przedstawia; tém więcéj ono umysłowo i materyalnie postępuje, tém silniej jego twórczość się objawia, tém więcéj panuje moralności i wiedzy w jego stosunkach życia.

Jeżeli zastanowimy się nad historycznymi kształtami pojęć ludzkich, widzimy, że pierwszą formą sądu, a tém samym początkowym objawem poczucia się towarzyskiego pomiędzy ludźmi był fetyszym; wówczas jeszcze natura całkiem władała umysłem ludzkim, samodzielność jego us্পiona nie była zdolną podnieść się do ogólniejszych wyobrażeń, przedmioty zewnętrzne nią kierowały i jęj przywoziły. Z rozwinięciem się wyższém umysłowości, pojmwowanie się wzmoęło, władza uogólniania i idealizowania zwiększyła się, i duch ludzki wznosił się do coraz wszechstronniejszych zapatrzeń, do rozleglejszych związków i stosunków, i przez politeizm przygotował się do zrozumienia jedności monotystycznej i obejmującej w sobie tak całość świata, jako i pojedyncze jego twory, tak ich zobopólny cel, jako i prawa.

W świecie ekonomicznym znachodzimy równie to samo prawo wykształcania się stosunków społecznych. Początkowo nie posiadał człowiek żadnej jedności wymiennęj, ale każdy produkt odbywał tę funkcją. Z wzrostem dopiero produkcji, z powstaniem większej twórczości indywidualnej i zbiorowej, ten pierwotny i naturalny sposób wymiany nie wystarczał; dlatego dla zaspokojenia nowych potrzeb, dla oszczędzenia czasu i ułatwienia wymiany rozmaitych przedmiotów pomiędzy sobą, społeczeństwa zniewolone były przyjąć za środek wymienny albo pewien produkt szczegółowy, albo stworzyć sobie pewną jedność sztuczną, do którejby odnosić mogły wszystkie wartości, i według téjże takowe porównywać i oceniać. Później zaś przy dalszym postępie ekonomicznym, metale drogie uznały za stosowniejsze do tego celu; przez wagę oznaczały takowych względną wartość i porównawczą jedność. Później zaczęły być pieniądze, nadając im przez wyrażenie stosunkowej ich wartości w liczbach i przez znaki pewne symboliczne tytuł i charakter społeczny.

Pierwszą więc powagą ekonomiczną, którą się spotyka w stosunkach pojedynczych i zbiorowych, jest *powaga pieniędzy*.

Pieniądz, jako *wartość ustanowiona społecznie*, służy nietylko za narzędzie porównawcze dla wszystkich produktów, lecz jest zarazem czynnikiem możnym całej cyrkulacji. Jako wszechwładca bezwzględny panuje i rządzi w wymianie usług i produktów. Jego władza dotyczy wszystkich niemal warunków ekonomicznych, i odgrywa ważną rolę w czynnościach administracyjnych i społecznych.

W dziejach społeczeństw i ludów, przez twórczość zbiorową i pojedynczą wypowiada się ich dążność moralna, ich stanowisko umiejętne; przez nie odbywa się praca ekonomiczna, one służą do przekształcenia natury, do ustanowienia stosunków ludzi pomiędzy sobą.

Umiejętny pogląd na historią, bądźto we względzie naukowym lub ekonomicznym, zauważyć powinien dwa te elementa twórczości ludzkiej, oznaczyć ich czasowy stosunek do siebie, dopatrzeć praw według których one się rozwijają i rozpoznać zasady i pojęcia historyczne do jakich one doszły, i według jakich postępowały i kształciły się.

Spółczenstwa nie mogą istnieć pod wpływem samej zbiorowej i spontanicznej twórczości, w formie bezpośredniej wiary nie mogą zamknąć swęj moralnej działalności, ale przez wyrobienie się coraz wyższe i doskonalsze pojedynczych jednostek przeobrażać i przekształcać muszą pierwotne swe zapatrzenia, i wiedzą i umiejętnością zdobyć dla nich charakter pewności i prawdy. Z tęg przyczyny indywiduum ciągle zakłada protest swą samodzielnością i czynnością swego ducha, chce dobieć się znaczenia moralnego i stanąć na wysokości powszechnego i społecznego uznania.

Wpatrując się głębiej w dzieje historii, obok powszechnęj i zbiorowęj twórczości, widzimy równie obudzającą się jednostkową działalność, przez którą rozum przychodzi do pojawu, przywołuje filozofią, umiejętności pozytywne do życia, przez nie tworzy krytycyzm teoretyczny i praktyczny, podnoszący i utwierdzający poczucie się osobiste i wyższy stopień moralnego i ekonomicznego wykształcenia.

Dla tęg dążności leżącęj w istocie ducha ludzkiego, z wzrostem przemysłu, z wzniesieniem się twórczości jednostkowęj, praca uszlachetniała się poczuciem swęj godności, w wiedzy zdobywała dla siebie swe uznanie i cel swego przeznaczenia. Wystąpiwszy człowiek w świecie moralnym naprzeciw wiary z rozumem, z tęg samej konieczności, w następstwie logicznego biegu pojęć i idei, w sferze ekonomicznej utworzył nowe narzędzie cyrkulacyjne, znane pod nazwiskiem wexla, które wyrażało jego samodzielność i godność osobistą.

Podobnie jak w dążnościach umysłowych napotykamy ciągłą walkę pomiędzy teologią i filozofią, i podobnie jak w względnym ich stosunku do siebie pokazuje się czasowa samodzielność rozu-

mu i dojrzałość umiejętna; tak równie w świecie ekonomicznym dwa najgłówniejsze elementa cyrkulacji: pieniądz i wexel, występują; a przez ich względne stanowisko odsłania się większa twórczość pojedyncza i zbiorowa, i wyższe takowych znaczenie moralne i społeczne.

Zastanówmy się pokrótce nad tym ruchem podwójnym umysłu i czynności ludzkich, a z porównania tego pokaże nam się wielka ważność cyrkulacji w stosunkach społecznych i jej znaczenie moralne i rozumowe.

We wszystkich epokach bezpośredniości, teologia starała się o władnięć wszystkie gałęzie umiejętności, przywłaszczyć sobie wychowanie i panować samowładnie w szkołach i uniwersytetach. W świecie ekonomicznym pieniądz równie pokazywał dążności ortodoxyjne i wyłączne. Chcąc pozostać jedynym i wszechwładnym czynnikiem cyrkulacji, ześrodkował swe działanie w banku składowym, gdzie panował bezwzględnie, uświęcając wartości fikcyjne swą władzą i gwarantując je swą nieomylnością.

Lecz jak z czasem rozum i umiejętność przyszedłszy do znaczenia, zyskały na wpływie w opinii i wychowaniu, tak równie z wzrostem pracy, z większą czynnością przemysłową, potęgą wymiany rozwinąć się musiała, i wexel wstąpił do przybytku bankowego i zrodził tak nazwane banki wypłaty (eskonty) i cyrkulacji.

Poznawszy dążności cyrkulacji, jej czynniki i instytucje stworzone wewnątrz i niejako naturalnym rozwinięciem się stosunków i czynności ekonomicznych, zastanówmy się teraz nad rozmaitemi pojęciami o pieniądzu, przejdźmy najważniejsze systemata o kredycie i cyrkulacji, ocenimy ich stronę metafizyczną i zobaczymy o ile umiejętność doszła w tej mierze i jakie pewniki i zasady postawiła.

W świecie starożytnym, gdzie praca nie była podniesioną do znaczenia moralnego i obyczajowego, trudno szukać pojęć ekonomicznych, które tylko z jej uznaniem powstać i wykształcić się mogą.

Stosownie do ducha jaki przywodził starożytności, filozofowie i inni znakomici pisarze, teorie i opinie swe opierali na zwyczajach i elementach właściwych ich towarzyskiemu układowi. Idea państwa jedynie ich zajmowała, rycerskość była dla nich najwyższym ideałem obywatelstwa.

W tych ciasnych granicach zapatrzenia, gdzieniegdzie znaleźć można pomimowolnie i nawiasowo niejako rzucone myśli

i uwagi o prawach produkcji, o podziale pracy, lecz obszerniejszego i gruntowniejszego poglądu nigdzie.

Ubóstwo i bogactwo przez Platona i Arystotelesa uważane było bardziej ze strony obyczajowej, aniżeli w przyczynach jednostronnych i fałszywych układu społecznego. Rządność pewną i umiarkowanie w wydatkach, poczytywali oni za główne prawie przepisy życia ekonomicznego, Dlatego w tych pisarzach z wielu innych względów tak znakomitych, będących pomnikami rozumu i umiejętności starożytnej, równie jak jej źródłem historycznym, zbyt mało można skorzystać w przedmiocie ekonomicznym.

Myślący ekonomista wiele może znaleźć w nich materiałów do spostrzeżeń bardzo filozoficznych i moralnych, wiele dowodów świadczących nie tylko o ważności praw ekonomicznych, ale co większa o wpływie jaki one wywierają na sposób myślenia i moralność. Wyjaśnwszy kiedyś nauki ekonomiczne, to wielkie i poważne pytanie, rzucą nowe światło na rozwijanie się społeczeństw, i stwierdzą nowymi poszukiwaniami o ile istnieje harmonii między rozumem a pracą, teorią a praktyką.

Jeżeli bogata fantazja Platona idealizowała wszystkie strony społeczne starożytnego świata, to zaś Arystoteles uważał je w ich realnych względach, więcej jako historyk, człowiek stanu, aniżeli poeta lub filozof. Dlatego jego opinie dokładniejsze mogą dać wyobrażenie o pojęciach pieniędzy w starożytności, aniżeli innego któregośkolwiek pisarza. Z tej więc przyczyny przytaczamy w tej mierze jego następujące zdanie: „Przyjęto, utrzymuje on, przyjmować i dawać w wymianie przedmiot użyteczny i cyrkulacji łatwy. Ku temu celowi używano żelaza, srebra i innych metali. Początkowo wartość tego czynnika wymiany mierzyła się objętością i ciężarem; później dla uniknięcia dalszego sprawdzania oznaczono go znakiem pewnym, wyrażającym jego względną wartość. Z wprowadzeniem pieniędzy w stosunki wymiany, nastąpiła wielka zmiana w sposobach spekulacji; handel się pojawił. Może początkowo był on bardzo prostym i pojedynczym, lecz później chęć ciągnięcia o ile możności największych zysków z wymiany, stworzyła kombinacje bardzo sztuczne i skomplikowane. W skutek tego przyzwyczajono się uważać pieniądze za główny przedmiot spekulacji, przypisywano spekulantom za jedyne i wyłączne zatrudnienie nagromadzenie metali kosztownych, gdyż ich celem jest nabycie złota i bogactw. Lecz czyliż pieniądze nie są majątkiem fikcyjnym? Ich wartość leży w prawie. Gdzież jest ich wartość

naturalna? Jeżeli opinia która je przyjmuje w cyrkulacją zmieni się, gdzież jest ich cena rzeczywista? jakież potrzeby życia mogą one zaspokoić? Obok sztuki złota niedostawać może najniezbędniejszych przedmiotów do życia. Jakież szaleństwo nazywać ten dostatek bogactwem, wpośród którego umiera się z głodu!”

Jakkolwiek znakomity ten filozof nie zaprzecza pewnej użyteczności pieniądзом w stosunkach społecznych; przyznaje im tylko wartość fikcyjną udzieloną im przez prawo, nie pojmuje ich znaczenia powszechnego, ich stosunku do produkcji i w wymiarze sprawiedliwości, pod której wpływem wypełnia się rozdawnictwo bogactwaspołecznego. Pomijamy dalsze uwagi nad temi jednostronnemi pojęciami znakomitego tego filozofa, ponieważ w różnorodnych nowszych kierunkach, tak w teorii jako i praktyce pokażą one nam się jaśniej i wybitniej, rozprawdzone do ostatecznych następstw, jakie tylko z ich fałszywości wyprowadzić się dały.

Każdy wyższy szczebel udoskonalenia towarzyskiego podnosi działalność moralne i materyalne społeczeństw, proteguje ich wpływ tak na siły produkcyjne natury, jako i na formy jej jestestwa, czas i przestrzeń. Opanowując człowiek ruch czynników twórczych w świecie, kieruje nim, i w myśli i czynie staje się potężniejszym i władniejszym. Według tego prawa opatrznego, w stosunkach ludzkich twórczość moralna pociąga zarazem twórczość materyalną; nowe idee rodzą nowe wynalazki, jest więc ciągle harmonia, tak w ich istocie jako i w ich objawach. Pod tym wpływem odkrycie Ameryki będąc faktem fizycznym rozprzestrzeniającym umysłowi ludzkiemu granicę świata, otwierając mu nowe pole działania, było zarazem wielkiem wydarzeniem moralnym, wpływającym przeważnie tak na sposób myślenia, jak równie na charakter pracy i przemysłu.

Z tym wypadkiem energia twórczości podniosła się; żywe słowo spotęgowane drukiem, nietylko że wzmogło łatwość działalności moralnej, ale co większa było szczęśliwym zwiastunem późniejszych dążeń, w skutek których rozum ludzki przyswoił sobie elementa natury, jak np. parę, elektryczność, zawładnął czasem i przestrzenią, i w krótkich chwilach więcej przeżywa, przebiega, ile dawniej w całych wiekach uskutecznić można było.

Nowy świat odsłaniający człowiekowi swą pierwotną i naturalną dziewiczość, wdziękiem swój różnaitości, bogactwem swój ziemi i płodów, zdawał się wzywać go do pracy; i ten dotknięty jakby jego magicznym wpływem, rzucił się z zapalem w nowo

pole usiłowań, przeczuwając niejako, że praca zostanie kiedyś dla niego jedyną i poważną zasadą, że uchwyci się w zapasy z naturą i przemysł podniesie do historycznego znaczenia: w imię jego rozpocznie nową epokę żywota, gdzie myśl i wola, gdzie umiejętność i praktyka połączą się z sobą, aby za ich pośrednictwem przelać gienialność swego ducha w naturę i tę ucłowiecznić, przekształcić na obraz i podobieństwo potrzeb i usposobień swoich.

Lecz jak zwykle każdy peryod nowego życia społeczeństw, rozpoczyna się w bezwiedni sposób, gdzie samodzielność us্পiona, niemoże ostać się swą mocą, ale jęj potrzeba zewnętrznej pomocy; tak równie i w tęj mierze twórczość pracy, bogactwo nieocenione jęj płodów nie zostało zrozumianęm i uznanęm; ale jednę z najmniejszych jego części i nawet najmniej ważną, to jest metale drogie podniesiono do najwyższego znaczenia, i piędź został jedynym celem usiłowań ogólnych, symbolem i rzeczywistością zamożności i bogactwa powszechnego.

Ta fałszywa i jednostronna dążność opanowała tak indywidua jako i społeczeństwa, i pod nazwą systemu merkantylicznego stała się wiarą i dogmatem powszechnym. Pięrszy raz prawie w historii zasada ekonomiczna podniesiona została do znaczenia administracyjnego i politycznego, i pięrszy raz niemal owaładnęła wszystkie stosunki i nadała im nowe warunki i kierunek.

Nieuznanie prawdziwego źródła bogactwa wszelkiego w pracy, która jest jedynym czynnikiem twórczości naszej, stworzyło w świecie ekonomicznym pewien dualizm i nadnaturalizm, którego wpływ na społeczeństwa, musiał być szkodliwy i uciążliwy. Do utrzymania jego w stosunkach społecznych potrzeba było utworzyć sztuczny organizm ekonomiczny, tamujący samodzielność i twórczość tak pojedynczą jako i zbiorową.

Wielkie pytanie, które nieraz w dziejach historycznych podnoszonęm było: czyli duch ludzki lub słowo jest twórczēm w stosunkach ekonomicznych, wystąpiło teraz na jaw w formie pracy i piędź. Zadanie umiejętności przeszło w życie i w praktyce miało się rozstrzygnąć, znaleźć dla siebie stosowną odpowiedź i rozwiązanie.

Podobnie jak w kierunku umysłowym i moralnym, nadanie zewnętrznemu objawowi ducha ludzkiego charakteru nicomyślności, wyłącza wewnętrzną tegoż twórczość, ogranicza jego samoistność i samodzielność; tak równie w stosunkach ekonomicznych toż samo stanowisko, też same zrobić musiało następstwa i wypadki.

Jednostronność pojęć o bogactwie, dla utrzymania fałszywego stanowiska i przeznaczenia pieniędzy, spowodowała uciążliwy system prohibicyjny, który pracę poniżył i skrepował ją tysiącem sztucznych przeszkód, zpod których ona ani wystąpić samodzielnie nie mogła, a tém bardziej świetnie i potężnie się rozwijać i wzrastać.

Wobec tych fałszywych dążeń pojawił się człowiek gieniuszu, który pierwszy postawił poważniejszą teorią o wymianie, pieniądzach i kredycie, i od którego śmiało datować można początek umiejętności w tej mierze. Tym gieniuszem był właśnie Law.

Jakkolwiek wiele krytykowano, rozbierano jego plany i teorie, mało się jednak do tego czasu zajmowano wykazaniem wpływu moralnego i filozoficznego, jaki ten wielki reformator finansowy wywarł na swą epokę.

Law, tak jak wszyscy wielcy ludzie, był wiernym odbiciem swego czasu. Uważając, iż potęga pieniędzy opanowuje coraz przemożniej usiłowania i cele ludzkie, powiedział sobie: ponieważ pieniądze są jedynym bogactwem rzeczywistym, a zatem staraniem rządów i ludów powinno być zwiększenie ich ilości; podnieśmy więc pieniądze do znaczenia politycznego, zrobmy z nich najgłówniejszy żywioł społeczny, a wówczas przywodzić one będą wszechwładnie światu, zostaną celem dla siebie samych, opanują kredyt i cyrkulacyą, i ów pewnik: „że państwo udzielać powinno kredyt, a nie odbierać go”, stanie się prawdą i rzeczywistością. Jakież powinowactwo idei! Jakież nierozdzielny związek pomiędzy światem moralnym a ekonomicznym! Czyliż wszystkie systemata teokratyczne nie opierają się na uznaniu zewnętrznych instytucyj, które wydzielają moralną łaskę i zbawienie, monopolizując w sobie wszechmądrość, zaprzeczają samodzielność ducha ludzkiego.

Aby lepiej poznać ważność czasową tego systemu i jego zarazem fałszywość, rozważmy najgłówniejsze jego zasady, które podadzą nam klucz do zrozumienia dostatecznego całej tej sztucznej budowy:

„Wartość przedmiotów nie powstaje w stosunku ich względnego użytku, lecz w stosunku ich ilości większej lub mniejszej, uważanej porównywawczo z ich żądaniem. Woda, jakkolwiek jest bardzo wielkiego użytku, nie posiada jednak wielkiej wartości, gdyż jej ilość przewyższa jej żądanie. Dyamenty, chociaż ich uży-

teczność niewielka, mają przecież znaczną wartość, gdyż ich żądanie wysoko bardzo przewyższa ich ilość istniejącą.”

„Wartość przedmiotów zmienia się z dwóch przyczyn różnych: to jest większą lub mniejszą obfitością produktów i mniejszą lub większą obfitością pieniędzy. Jedna z tych dwóch przyczyn uchyla się spod wpływu ludzkiego, kiedy druga jest mu uległą. Nie leży w mocy człowieka, aby ilość zboża, wina, i t. d. zostawała ciągle w równowadze z potrzebami, lecz zawisło od niego utrzymanie prawdziwego stosunku pomiędzy ilością pieniędzy, a takowych żądaniem. Skoro te nie będą miały wartości wewnętrznej, i nie będą ani w złocie, ani w srebro; przez to nastąpi bardzo wielka korzyść, albowiem pieniądze stanowią zasadę pracy, kultury i ludności. Krajami bogatemi są te, które wiele pieniędzy posiadają; ubogimi zaś te, którym niedostaje takowych.”

„Nad papier nie ma nic stosowniejszego do spełnienia funkcji pieniędzy. Obok korzyści właściwych w tej mierze drogim metalem, posiada on jeszcze inne przymioty, na których tamtym zbywa: 1) Łatwiej się liczy i przenosi. 2) Nie kosztuje nic, lub bardzo mało, kiedy tymczasem złoto i srebro trzeba drogo opłacać. 3) Nakoniec z tej przyczyny nie wyprowadza się z kraju, a zatem jego ilość musi zawsze odpowiadać jego żądaniu.”

„Ten ostatni punkt jest nadzwyczajnie wielkiej ważności.

„W rzeczywistości panuje ciągła walka pomiędzy właścicielami przedmiotów, a posiadaczami pieniędzy. Piérwsi naznaczają prawa drugim, wówczas kiedy produkta i towary wszelkiej natury są rzadkie; lecz przeciwnie, oni ulegają nawzajem tamtym, skoro tych ilość się zwiększy. Tymczasem sprawiedliwość i interes powszechny wymagają, aby wartość lub cena przedmiotów nie przewyższała kosztów produkcji. Jeden jest tylko sposób prowadzący do dopięcia tego celu, to jest: aby ilość pieniędzy zostawała ciągle w równowadze z ilością przedmiotów; — hipoteza, która się urzeczywistni wtenczas, kiedy będzie można dostarczyć pieniędzy pod gwarancjami rzeczywistemi wszystkim tym, którzy ich żądać będą. Jeżeli pieniądze w formie metali to *desideratum* czynią niepodobnym, to ono da się bardzo łatwo uskutecznić przez pieniądze w formie papierowej (1).”

W tém krótkim streściowaniu pojęć systematu Lawa, widzimy głębokie prawdy i fałsze zarazem, wielkie poczucie ważno-

(1) Te idee rozrzucone są w różnych pismach Lawa: *Considerations sur le numéraire. Lettres sur le nouveau système des finances.*

ści stosunków cyrkulacyjnych, ale oraz niedostateczne ich zrozumienie i ocenienie. Obok jednak jednostronności i błędów, pierwszy Law, który postawił ideał dla wymiany, wskazał cel i zadanie, do jakich umiejętność ekonomii zmierzać winna. Naznaczając granicę dla wartości przedmiotów w kosztach ich produkcji, pierwszy pojął ważność sprawiedliwości w stosunkach ekonomicznych i takową uznał za prawo wymiany; chcąc zaś dopiąć tego wielkiego ideału za pośrednictwem papierów tworzonych li wolą rządu, ważne pytanie historyczne, zajmujące się oznaczeniem stosunku pomiędzy bytami rzeczywistymi a ideami, a znane w systematach filozoficznych pod nazwiskiem nominalizmu i realizmu, wprowadził w dziedzinę ekonomiczną i odtąd pojęcie i określenie stanowiska pomiędzy indywiduami a społeczeństwem, zostało najważniejszém zadaniem umiejętności ekonomicznej.

Pytania zatem sprawiedliwości, stosunku jednostek do pewnych organizmów zbiorowych i reprezentacyj takowych, które do tego czasu zajmowały prawie wyłącznie teologią lub filozofią, zostały zadaniami ekonomicznymi, i na przyszłość ich rozwiązanie w stosunkach społecznych, rozświecić musi ogólny pogląd moralny i umiętny. Z téj przyczyny śmiało powiedzieć można, że Law podniósł ekonomią polityczną do znaczenia nauk moralnych i umiętnych, rozprzestrzenił jój zakres zapatrzeń i wprowadził ją na pole metafizyczne i ogólne.

Pomimo wielkich zasług jakie on przyniósł nauce, pomimo śmiałości i gienialności niektórych pomysłów, uważając bogactwo w pieniądzach, opierając li na takowych zamóźność pojedynczych osób i narodów, uznał tylko zewnętrzne strony produkcji, nie dopatrył jój wewnętrznych i prawdziwie twórczych czynników, i dlatego wolą osobistą poddał pod wpływ sztucznej fikcyi, nieprodukującej nie przez siebie samą i niemogącej mieć żadnego bezpośredniego współdziałania w wielkiej działalności przemysłowej.

Fałszywe przypuszczenie, że cyrkulacja nie ulega pewnym właściwym i niezłomnym prawom, które zarazem są wynikiłością produkcji i przez nią są warunkowane, lecz że jedynie zawisła jest od woli człowieka, który nią może kierować i samowolnie władać; doprowadziło go do fałszywych i zgubnych następstw, że przez papiery nietylko zastąpić można pieniądze, ale co większa, stworzyć nowe Eldorado bogactw i dobrego bytu. To zewnętrzne i niejako teologiczne zapatrzenie się Lawa na stosunki wymia-

ny, sfalszowało jego pogląd i niekorzystnie wpłynęło nietylko na czas w którym żył, ale oraz na przyszłość, gdzie utopia jego często występowała, dając nieraz czuć w praktyce swe smutne następstwa, i która często była podnoszoną i bronioną przez umysły nawet głębsze i świetniejsze.

Takie jest w ogóle znaczenie moralne systemu Lawa, systemu, który dla swój fikcyjnej strony, z pewną słusnością uważany być może za teologią pieniędzy.

Przystąpmy teraz do filozofii tychże, poznajmy jej znaczenie i charakter, a zobaczymy o ile przez nią harmonia udzielności moralnej i ekonomicznej jest popartą i stwierdzoną.

Jednym z największych metafizyków ekonomii politycznej był bez wątpienia Ricardo. Ricardo uznając cyrkulacją za najpotężniejszy czynnik kombinacji handlowych i przemysłowych, za najenergiczniejszy element wymiany, celem zmniejszenia wszechwładności pieniędzy, powziął myśl częściowego przynajmniej wyzwolenia się z pod jej przewagi i wpływu. Radził więc stopić pieniądze na sztaby złota i srebra, i złożyć je w skrzyniach bankowych jako rękojmią biletów przez niego wypuszczonych. W skutek téj kombinacji pieniądze zostaną złożone w banku, a papiery owładną wymianę i cyrkulacją.

Cel i doskonałość cyrkulacji oznacza on w sposób następujący (1).

„Można, mówi on, uważać cyrkulacją za doskonałą, skoro posiada stopę niezmienną, do której się ciągle odnosi, i skoro w czynności swój zachowuje największą oszczędność.” Dalej utrzymuje: „Użycie metali drogich za tytuł pieniężny może być bez wątpienia uważane za jeden z kroków najważniejszych i najświetniejszych, jakie były uczynione w dziedzinie handlu i cywilizacji przemysłowej. Lecz postęp doświadczenia i oświaty przekonywa nas także, że jeszcze jest jeden krok do zrobienia, i że potrzeba im odebrać tę funkcją, którą spełniały w epokach mniej oświeconych.”

„Zabezpieczyć publiczność przeciwko wszystkim zmianom nieoznaczonym przez stopę samą, wykonać ruchy pieniężne za pośrednictwem czynnika mniej kosztownego, dosięgnie się przez to naj-

(1) Proposals for an Economical and Secure Currency, with Observations on the Profits of the Bank of England, as they regard the Public and the Proprietors of Bank Stock.

wyższego stopnia doskonałości, do jakiego tylko cyrkulacją kraju doprowadzić można“.

Voltaire i Rousseau, wyłączając bezwzględność absolutną z ziemi, i umieszczając ją w krainie nieskończoności abstrakcyjnej i zaświatowej, postąpili sobie w ten sam sposób w kierunku umysłowym, jak Ricardo we względzie ekonomicznym.

Każdy system ma swe zasady i swe następstwa niezbędne; dlatego jednostronne zapatrzenie się ekonomiczne, odpowiednie deizmowi w filozofii, musiało doprowadzić inne konieczne stanowisko, znane pod nazwiskiem panteizmu i ateizmu. Rozum nie mógł uniknąć tych dwóch następstw nieodzownych.

Cieszkowski przeniósł na pole ekonomiczne idee spekulacyjne Spinozy. Znakomity ten pisarz (1) uważając pieniądze za substancją wszechwórczą, które się ciągle reprodukują i przywodzą we wszystkich gałęziach cyrkulacji i są warunkiem i koniecznością wszelkiej wymiany, pojął myśl, aby wszystkie przedmioty, które posiadają wartość rzeczywistą, jakoto: ziemie, domy, narzędzia pracy, kapitały wszelkiego rodzaju, były przekształcone czyli raczej reprezentowane przez pewien znak produkcyjny i doskonały; w ogóle wszelka materya pierwotna i produkta powinny być podniesione do potęgi i znaczenia pieniędzy za pośrednictwem biletów rentowych. Jest więc bardzo jasnym, że skoro wszystkie przedmioty i wartości staną się pieniędzmi, muszą one wówczas utracić swe dotychczasowe wymienne stanowisko i znaczenie.

Teorye zaś Atwooda, Muntza, Spoonera, Salka i innych członków ligi anti-pięniężnej (anti-gold-law-league) jak w ogóle cała szkoła Birmingham, przedstawiają nam całoznacznie ateistyczne stanowisko Halbacha. Podobnie jak on zaprzeczał Boga, uznając materyę za czynnik twórczy i kierujący potęgą swój fatalności losami ludzi i rzeczy, takrównie powyżej wymienieni ekonomiści zaprzeczają pieniądze i utrzymują, że państwo, jako jedyna i wszechwładna według nich powaga, powinno za pośrednictwem papierów dostarczyć produkcji ilość dostateczną narzędzi pracy i zapewnić społeczeństwu dobry byt powszechny. Oni więc chcą państwo uczynić regulatorem wymiany i polecić mu rozdawnictwo bogactwa narodowego. Przewaga więc pieniędzy ma być zastąpiona przez fatalność dowolności i przypadkowości.

Ciasny pogląd empiryzmu opierającego się li na samych faktach i wydarzeniach, niezdolnego pojąć ich stosunków i praw,

(1) Le credit et la circulation.

wyciągnąć z nich ogólnęj idei, jak we wszystkich kierunkach rozumu ludzkiego, do fałszywych i jednostronnych doprowadzać musi wypadków; tak równie i na polu ekonomiczném niedostateczność i słabość jego pokazuje się i stwierdza.

Przed 150 laty wielki filozof Locke w piśmie swém, które wstrzymało parlament angielski od fałszywego przedsięwzięcia, mającego na celu przebicie pieniędzy i osłabienie ich tytułu istotnego, wypowiedział: że powszechne przyzwolenie ludzi nadało pieniądzom wartość fikcyjną, z powodu ich przymiotów właściwych i odpowiednich czynnikowi wymiany.

Wielki ten myśliciel czasu swego sądząc empirycznym zmysłem, nie wzniósł się nad faktyczne pojęcie pieniędzy, nie umiejąc zrozumieć ich wartości i charakteru społecznego. Lecz w téj mierze postępował on sobie tak jak wszyscy empiryści, jak filozofowie szkoccy, którzy pytania moralne dowodzą powszechném przyzwoleniem, nie mogąc wyłumaczyć ich rozumowości i ogólnego znaczenia.

Późniejsi ekonomiści jakkolwiek niedostateczne, ale przynajmniej wyraźniejsze dali pojęcie pieniędzy. Lord Liverpool (1) definiuje pieniądze w sposób następujący: „Pieniądze są narzędziem, które służy nietylko za miarę w wymianie, lecz posiada zarazem samą przez się wartość“.

Pojęcie to bardzo jest ciasne, gdyż nietylko pieniądze, ale zgoła wszystkie produkta które weszły już raz w cyrkulacyą, służą wspólnie sobie za miarę i mają równie same przez siebie wartość. Pieniądze muszą mieć jednak wyłączną i szczegółową własność, dla której są poszukiwane, i przez którą mogą wymieniać się za wszystkie inne przedmioty. Ekonomiści tkwiąc w fałszywém i jednostronném uważaniu wartości, pojmując ją li jako wartość użytku i wymiany, nie widzą téj konieczności, że podobnie jak w podziale pracy pokazuje się prawo ekonomiczne, które powoduje zbiorowe współdziałanie, czyli stowarzyszenie się producentów; tak równie w wymianie musi się przedstawiać socyalność, wyrażająca się właśnie przez pieniądze, będące wartością społecznie ustanowioną.

Z tych przyczyn ekonomiści empiryczni nie mogą uchwycić ich stron moralnych i niejako metafizycznych. Zewnętrzne ich własności tylko wykazują, i bardziej zastanawiają się nad przymio-

(1) A Treatise on the wits of the Realm.

tami ich materyalnemi, jak nad ich powołaniem i znaczeniem społeczném.

Na dowód tego posłużyć mogą opinie Chevalier'a, (1) który w tej mierze wszystkie niemal odcienia uwazań ekonomistów zebrał i kategorycznie takowe przedstawił.

Przymioty jakie powinien mieć pewien przedmiot, aby mógł odpowiadać przeznaczeniu właściwemu pieniądзом, są według niego następujące:

1. Musi być przez się towarem, to jest przedmiotem zostającym w stosunku z pewnemi naszymi potrzebami, i musi być pożądanym od ludzi bez względu na przymiot nadający mu właściwość pieniędzy.

2. Być wartości jednostajnej i łatwiejszej do przeniesienia jak inne towary, to jest pod małą objętością powinien obejmować wielką wartość względną; ażeby każdy mógł go używać wygodnie za spólmierną wartość w zamian przedmiotów, których chce nabyć.

3. Nie ulegać zepsuciu, aby każdy mógł go posiadać trwałym bez starań szczegółowych i nieustannych.

4. Posiadać dokładną jednostajność i jednorodność, aby pojedyncze i proste sprawdzenie mogło dostatecznie stwierdzić jego naturę.

5. Ulegać podzielności nieskończonej, aby mógł wyobrażać wartości bardzo małe, nie utracając jednak przez podział swych korzyści; co każe przypuszczać, iż jego części oddzielne lub zostające w kombinacyi z innymi substancjami, z wielką łatwością dadzą się łączyć i oddzielać.

6. Koniecznym jest, aby przedmioty przeznaczone na tę funkcję były zdolne przyjmować i zachowywać pewne cechy delikatne, dające je łatwo odróżnić i poznać.

7. Nie podlegać o ile możności zmianom w swój wartości, a zwłaszcza gwałtownym, które w rolnictwie powodują różnicę produkcji jednego roku od drugiego, a jakie w rękodzielnictwie wynikają ze znacznych przemian narzędzi i sposobów fabrykacyjnych.

8. Aby były twarde i rozplaszczalne, a tém samym nieuległe złamaniu, aby posiadały przymioty pewne i szczegółowe, za pomocą których możnaby je łatwo odróżnić od innych przedmiotów, którymby przez sfalszowanie nadano formę, cechę, odgłos, wielkość i ciężkość specyficzną, właściwą metalom drogim.

(1) La monnaie.

Wyliczywszy te ogólne przymioty, uzdolniające przedmioty pewne za narzędzia wymiany, przystępuje do porównania ich ze złotem i srebrem, które w następnych punktach obejmuje:

1. Złoto i srebro są towarami, pomimo ich przeznaczenia jako pieniądze. Mają właściwą użyteczność, odpowiadają pewnym naszym potrzebom; dla swego blasku i piękności materialnej były nawet wprzód poszukiwanemi, nim je obrócono na pieniądze.

2. W porównaniu prawie wszystkich produktów pracy ludzkiej, złoto i srebro są najłatwiejszemi do przenoszenia.

3. Złoto i srebro są trwałemi; pieniądze lub posagi ukryte za czasów Faraonów, przechowały się aż do naszych czasów takimi, jakimi je przypadek lub ręce pobożne, albo strachliwe, powierzyły ziemi.

4. Nic nie jest więcéj jednorodném nad metale, gdyż one są ciałami pojedynczemi, tak, iż złoto Siedmiogrodu raz oczyszczone jest zupełnie tego samego gatunku, co złoto Syberyi, Brazylii lub Kalifornii.

5. Podzielność złota i srebra jest nadzwyczajna.

6. Złoto i srebro ze wszystkich towarów posiadają najstalszą wartość, czyli najmniej ulegają zmianie.

Z porównania tego wnosi Chevalier, że złoto i srebro są najwłaściwsze ze wszystkich przedmiotów na pieniądze. Lecz długim swém wyliczeniem wykazał jedynie przymioty fizyczne metali, ale nie postawił żadnej ogólniejszej idei, któraby była zdolną wytłumaczyć ważność cyrkulacyi, jéj potrzeby społeczne, i dlaczego w narodach zaczynających się cywilizować, z wzrostem produkcji zwiększa się ilość pieniędzy, kiedy w narodach dojrzałych moralnie, używających większej kultury, przeciwny skutek następuje.

Pozostają nam jeszcze do poznania opinie mistyczne i nieoznaczone, które podobnie w téj mierze jak i we filozofii opierają się na dowolnych i fantastycznych przypuszczeniach.

Ważne to pytanie: czém są pieniądze, długo i obszernie było traktowane w Anglii. Zawieszenie wypłaty biletów bankowych przez bank angielski od 1797 do 1821, przez cały ten pe-ryod 24 lat dawało do tego powód, i późniejsze prawa zajmujące się oznaczeniem warunków istnienia i atrybucyi téj wielkiej instytucyi, jak równie i innych banków, odświeżały często tę ważną kwestyą. W ciągu tych dyskusyj wiele się opinij pojawiło, któ-

re mniej więcej były fałszywe, gdyż zostawały albo pod wpływem zupełnym istniejącego stanu pieniędzy papierowych, albo ulegały jego świeżej jeszcze pamięci.

I tak w debatach parlamentarskich r. 1811, po sławnym raporcie *Bullion commite* (1), ministrowie i inne znakomite osoby, pod wpływem żywych wrażeń politycznych, nie wahali się utrzymywać, że bilety bankowe nie spadły wówczas, kiedy uncya złota tytułu 22 karatów, zamiast być płaconą w biletach bankowych 3 f. szter. 17 sch. 10½ d., co jest taryfą legalną, sprzedawała się w biletach 4 f. szter. 12 sch. a nawet więcej. Wobec tego faktu tak oczywistego i przekonywającego, mówcy ministryalni musieli ostrzyć swój dowcip, aby wynaléć stosowne pojęcie o pieniądzach usprawiedliwiające bilety i uzasadniające ich opinią. Z téj przyczyny definicje najśmieszniejsze i najfantastyczniejsze były wypowiedziane i bronione przez najznakomitszych ludzi. Lord Castlereagh jeden z ministrów utrzymywał, że pieniądze wyrażają *uczucie wartości* (a sense of value), w stosunkach narzędzia wymiany z rozmaitemi produktami. Pan Bosanquet jeden z najznakomitszych kupców Londynu, wystawiał pieniądze za jednostkę wartości będącej procentem 3% od 33 f. szter. 6 sch. 8 de.; procent, który nazywał funtem szterlingów i który się płaci w biletach bankowych jako w monecie obiegowej. P. Bosanquet był przeciwnikiem Ricardo, który występował z wielką świetnością; a lord Castlereagh był zwalczany osobliwie przez Canninga, który nie szczędził ani żartu, ani sarkazmów na owe sławne *uczucie wartości*. Nawet wielki mąż stanu, który się najwięcej przyłożył od pokoju r. 1815 do restauracyi systemu pieniężnego Anglii, z powodu prawa 1844 r. o banku, poparł swą poważną powagą definicyą pieniędzy, podciągającą pod takowe bilety bankowe.

Opinie ekonomistów co do miary wartości są bardzo różne. Niektórzy, jak Hushisson i Horner uważają za najodpowiedniejsze w téj mierze zboże; inni zaś, jak: Smith, Ricardo, pracę; postawiając ją za typ miary z powodów, które Germain Garnier następująco określa: „Praca ludzka uważana w sobie saméj jest niezmienną; wszystko to co kosztuje robotnika, który pracuje, poświęcenie jakie robi z czasu swego, z sił swych i wolności, jest jedno i toż samo we wszystkich okolicznościach. Stanowią one

(1) Komitet metalów drogiech. Komitet ten izby niższej, którego reporterem był Hornes, wniósł o płacenie biletów bankowych w monecie.

jedność stałą i pewną, oznaczoną przez prawa naturalne na podobieństwo biegu gwiazd lub pory roku. W tém więc znaczeniu praca jest miarą wartości. Jeżeli zatem wiemy jakiej ilości pracy potrzebaby było do nabycia lub rozrządzenia pewnym przedmiotem w epokach danych, wiedzieć zarazem możemy, jaka w nich była wartość względna tegoż samego przedmiotu”.

Te jednostronne pojęcia wywołały również rozmaite teorie i przypuszczenia. W r. 1795, kiedy zbyteczny upadek assygnatów utrudniał położenie finansowe i polityczne, chciano zaradzić temu przez ustanowienie pewnej stopy, do której możnaby odnosić tak assygnaty, jako i inne wartości.

Skoro drogie metale nie przyjęto za miarę wartości, wówczas Jean-Bont-Saint-André radził przyznanie takowej zbożu, jako wartości powszechniej u wszystkich ludów, i do której inne przedmioty odnosić się winny. Według téj zasady obliczywszy ilość zboża, jaką za pewną summę w danéj epoce dostać było można, assygnatami zapłacićby się dała wszelka wartość mogąca nabyć téż samą ilość zboża.

W Anglii podobne usiłowanie było przedsiębrane przez reformatora Owen, który uważając pracę za miarę wartości, chciał takową spieniężyć, i to przedsięwzięcie nazwał *wymianą sprawiedliwą pracy narodowej*. Zniesiono pieniądze i zastąpiono je przez godziny pracy.

Obok tych różnorodnych wyobrażeń, jakie do tego czasu poznaliśmy, wejrzeć nam potrzeba jeszcze w stosunki rzeczywiste i zastanowić się nad ich biegiem i układem, aby dostateczniej i wszechstronniej zrozumieć znaczenie i przyszłe stanowisko pieniędzy.

Znakomity ekonomista amerykański H. C. Carey (1) odnosząc cyrkulacyą do ogólnej produkcji krajowej, i wyrażając ją w dniach, utrzymuje:

że cyrkulacya we Francyi równa się produkcji powszechniej	144 dni
Anglii	110 —
Stanów Zjednoczonych	33 —
Nowej Anglii	21 —
Kapitał zaś używany w formie pieniędzy wynosi:	
we Francyi	129 dni
w Anglii	40 —

(1) The credit system in France, Great Britain, and the United States.

w Stanach Zjednoczonych 7 dni
w Nowej Anglii 5¹/₂ —

Według zaś głębokiego i gienialnego Fullartona (1), przez mechanizm rachunkowości handlowej jako i przez sposoby wypłaty używane powszechnie w Anglii za pośrednictwem banków i bankierów, $\frac{9}{10}$ transakcyj odbywa się bez pieniędzy i biletów. Ilość zaś pieniędzy i biletów istniejących w stosunku do masy tytułów mogących obiegać w cyrkulacji lub wypełniających tenże sam skutek, nadzwyczajnie jest ograniczoną i małą.

Z tego wszystkiego pokazuje się najdostateczniej, że z postępem produkcji ilość pieniędzy coraz bardziej się zmniejsza, a w to miejsce rozwija się zaufanie i rachunkowość. I czegoż to dowodzi? Oto, że praca podniosła się w swój twórczości i udziałności, a tém samym i jój produkcya; że towarzyskość wyrobiła się dokładniej i wszechstronniej pomiędzy ludźmi i przez to łatwiej i moralniej się wyraża i udziela; nakoniec że produkta przyszły do znaczenia wartości społecznej, i jako takie są prawdziwem bogactwem i rzeczywistą rękojmnią wszelkiej wymiany.

Główne przeto zadanie cyrkulacji nie polega na mnożeniu czynników wymiany, na zastąpieniu pieniędzy przez rozmaite i dowolne fikcje; lecz owszem jój celem jest wzajemność stosunków pomiędzy ludźmi wyrazić prościej i łatwiej.

Praktyka i teoria stwierdza tę wielką i moralną dążność cyrkulacji, gdyż z rozwinięciem produkcji i przemysłu wzmaga się zarazem i rozpowszechnia system przekazów i rachunkowość handlowa. Co właśnie najdokładniej świadczy, że im wzajemność bardziej wzrasta pomiędzy ludźmi, tém więcej zwiększa się ich zawiłość od siebie, tak, iż jedni drugim są wierzycielami i dłużnikami, celem i środkiem zarazem.

Jeżeli w kierunku ekonomicznym pokazuje się nieustanna dążność do coraz wyższej moralności i umiejętności; toż samo wnosić można, że i w świecie umysłowym wyrobić się musi pogląd pewny, który śledząc prawa rozumu zbiorowego z życia samego wydobędzie naukę organiczną, będącą przez to samo prawdą i światłością.

(1) On the Regulation of Currencies.

(Dokończenie nastąpi).



UŁAMEK

Z PAMIĘTNIKA NIEBOSZKI.

(Ciąg dalszy).

Naśladujcie miłość, starajcie się o dary duchowe,
lecz najwięcej o to, abyście prorokowali.

Rozd. XIV do Koryntów.

Kończyłam rok piętnasty, kiedy się rodzice moi przenieśli na wieś.

Piérwszy raz ujrzałam świat za murami wielkiego miasta; świat bez ciasnych ulic, bez wysokich domów, bez okazałych a cuchnących śmiercią pałaców, bez ludzi nagich lub strojnych w kosztowne łachmany, bez cnoty, bez zbrodni, bez świątyni, bez więzień!... Świat, jakim go Pan Bóg stworzył: niepokalany, wielki, cudowny, harmonijny; w którym życie jest pieśnią uwielbienia, miłością, szczęściem!

Domek nasz drewniany, czysty, bielony, otoczony ogrodem, stał jakby w koszyczku na zieloném wzgórzu po prawej stronie Wisły, która szerokiém korytem rozlana płukała piaszczyste brzegi swoje, i hojnie podlewała wierzbowe kołki, przyszłe wiano dziewcząt nadwiślańskich.

Ojciec miał książki, matka gospodarstwo, ja, moję izdebkę na poddaszu, istną kapliczkę: czystą, cichą i poważną. Byłato cela ascety, pustelnika, jeżeli chcecie, w której praca i myśl były sprzętem i ozdobą. Z okna mego widziałam najprzód niebo, potem Wisłę, a duch mój płynął w niebo jak Wisła do morza niezem niewstrzymana, nieukrócona. Za Wisłą leżało miasto: grób starych a krwawych pamiątek, przed któremi się mimowolnie wzrok

i serce cofało. I były tam zapewne straszniejsze rzeczy od krwi saméj, bo łzy i cierpienia!! Dziwniśmy ludzie! dziwni. Patrząc na rany, na kalectwo, poczuwamy się prawie zawsze do obowiązku litości; a rany serca, a tęsknota, a zwątpienie, a trwoga o ukochanych i to wszystko co jest męką ducha, to się płaci śmiechem szyderskim!? Oburzamy się na krew, choć to krew tylko; a łzom urągamy, które są potem i krwią ducha naszego!!... Toż, kiedy kto syty, odziany i niebity, a cierpi i płacze krwawemi łzami, to nań świat patrzy jak na szalonego! Wy co płaczecie, nie dziwcie się światu; bo on tylko jest ciałem, a wy duchem jego; on błędem, a wy pokutą i odpuszczeniem błędu. Zrozumieć wam trzeba, że święci nie płaczą z bólu lub z niedostatku, ale płaczą jak Zbawiciel nad Jerozolimą i nad Łazarzem.

Jeszcze jedno moje dziwactwo. Oto nie lubię pamiątek murowanych, ani ręką ludzką z żelaza wykutych, które najczęściej bywają tylko urągowiskiem prawdy. Te pamiątki są żywe, te pomniki trwałe, które zbudowano w sercach i spadkiem testamentowym przekazano z pokolenia na pokolenie, z wieków na wieki! Kto czynem przeżył siebie, złym czy dobrym, ten sobie za życia zbudował wieczny pomnik hańby lub chwały; pomnik, którego wichry nie roztluką, woda nie zaleje, ogień nie spali. Mniejsza o mur, o żelazo, o drewno dla tych, którzy sobie nieśmiertelność życiem zawarowali. Jak na kogo... Na mnie, mury choćby stare, choćby pleśnią okryte nie robią wrażenia, nie dają życia, ale zniechęcenie. I dlatego ilekroć wyjrzałam oknem, wołałam patrzeć na świat żyjący, wiecznie młody, piękny i odradzający się sam z siebie jak ów ptak złotopióry, co z popiołów własnych zmartwychwstawał.

Patrząc na tę niezmierną świątynię Pańską, na ten panteon cudów wszechmocy Bożej, czułam jak mi ogień z piersi do twarzy wytryskał, i w uniesieniu zakrzyknęłam: Ojczy! Ojczy wielki! wielki! Zrozumiałam co to modlitwa, natchnieniem piękna wywołana, ale słów do niej nie było.

Słońce w dyamentowój koronie opromieniło dziedzinę ludzką, wszystko co było martwe, zimne i smutne, rozlało ciepłem, życiem, weselem. Wszystkie twory ziemskie pojmowały instynktem prawo Boże, i każde z nich znajdowało dla siebie dostatek rzeczy potrzebnych.

Kwiaty nie zazdrościły sobie barwy, woni, kształtów; nie wydierały sobie wzajem ani światła niebieskiego, ani soków zie-

mi. Żywiły się w miłości razem, i dziękczyniły słońcu za światło, ziemi za pokarm.

Ptaki niebieskie leciały w niebo z wieścią o ziemi karmicielce swojej i opowiadały słońcu o braciach do ziemi przykutych, którzy wzlecieć nie mogą, bo skrzydeł nie mają, a łakną promieni słonecznych.

Zwierzęta w jarzmo ludzkie wprężone uginały kark pod brzemieniem pracy i znoju; lecz nie czując w sobie przyrodzonej siły, któraby im to brzemie lżejszém uczynić mogła, poddawały się w milczeniu woli pana swego, człowieka, który je za to ze wzgardą bydłętami nazywał. Biędne bydłeta! pomyślałam sobie; czemuś im Panie dał siłę, której ani uznać w sobie umieją, ani Ci za nią dziękują szczęściem i spokojem?!

Płazy i owady podziwiały siłę braci swoich w jarzmo ludzkie wprężonych, i litowały się ich niedoli, nie zazdroszcząc im darów Bożych.

Łąd i woda ustępowały sobie wzajem, niebo i ziemia wyciągały ku sobie ramiona, świeczniki niebieskie zapłonęły w przestrzeni, jasno, wspaniale, i stała się na chwilę cisza w przybytku Pańskim; gdy między niebem a ziemią, między Bogiem a tworamii jego stanął człowiek, i promieniem Bożym w piersi swój tlejącym owaładnął wszystko, co nierozumne i martwe. Stanął jako kapłan w świątyni Pańskiej, ciałem na ziemi, z myślą w niebo płonącą, i rzekł w modlitwie ducha swego:

„Panie! niech Ci się podoba udzielić mi darów potrzebnych, abym świątynię Twoję uchwalił od wszelkiej zmayı, i aby wszystkie dzieła rąk Twoich stały ci w niebo pieśń dziękczynną, a nigdy ku Tobie nie wzniosły skargi; bo skarga ich, byłaby potępieniem mojem. I daj mi Panie zrozumienie woli Twojej przede wszystkim!”..

A Pan mu odrzekł:

„Wolą moją jest, abys był szczęśliwym w niebie, na ziemi, i na każdym miejscu. Serce twoje uczyniłem rajem na początku; bo wszystko co z rąk moich wyszło, wyszło święte i czyste! W raju serca twego założyłem panowanie moje, i szczęście twoje, jako rękojmnią przyszłego zbawienia w królestwie mojem! Dopóki bez trwogi patrzeć możesz w to serce, wierz: iżeś zbawiony; lecz jeżeliś je w piekło zamienił, tego piekła nikt ci z piersi wydrzeć nie potrafi!.. A wszakże potępieńców nie chcę ja na ziemi! Jam złego nie stworzył! Jam świętość zlał na dziedzinę ludzką, i świę-

tość z niej zbierać żądam! *A świętość jest tajemnicą!* Przeto mądrość ludzka wyczerpywać się będzie w dociekaniach; siłą dobierać się zechce człowiek do dna owój przepaści; prorocy nie przestaną o niej prorokować; pobożni modlić się o nią we łzach i w postach, a wszakże nie objawi się ona nikomu, jedno ludziom czystego a gorącego serca, ludziom miłującym Boga i bliźniego; tym dane będzie zrozumienie zakonu i proroków, aby sami w Imię moje prorokowali!."

„A teraz synu człowieczy ktokolwiek jesteś, uczyć się będziesz zrozumienia słów moich po wszystkie wieki, bo słowa moje są doskonałością i celem twójego żywota!”

I zamilkł głos Pański.

A całe stworzenie odwórzyło głosowi temu pieśnią uwielbienia: Święty! święty! święty!!

Lecz kiedy człowiek rozpamiętywał w ciszy serca swego niepojętą tajemnicę świętości, ozwał się w sumieniu jego głos inny. Ten głos wgrzyzał się jadem żmii, wsączał po kropli, i zwołna wypalał w sercu miłość Boga i bliźniego. Wtedy myśl człowieka pochylila się ku ziemi, i zamieniła się w gadzinę niecných pokus, aby mu kiedyś była przekleństwem; ta, co się w łonie samego Boga poczęła. I nadszedł czas, w którym mądrość ludzka rzuciła klątwę na myśl i uczucie.

Człowiek uwiedziony potępił w sobie boskość, tak, że serce stało mu się piekłem, myśl potępieniem, wola Boża kazią! a życie — śmiercią!

Aniołowie płakali w niebiesiech nad upadkiem człowieka; on jeden nie płakał nad sobą, upodobawszy sobie w nicości swojej, i powtarzał to jedno przez długie wieki: „prochem jesteś, w proch się obrócisz!” Odtąd nadzieja stała się dlań bluźnierstwem. I to mu tylko było wiarą, co widział; a to miłością, czego nie widział. Wierzył w złe obecne, bez nadziei w dobro przyszłe; miłował Boga niewidzialnego, a nienawidził brata w którym mu się Bóg uwidomił. Odtąd raj ziemski stał się padolem płaczu, a człowiek powołany do królestwa Bożego, został potępieńcem.

Kiedy mi się ten świat stworzony tak przed oczyma duszy rozwijał, patrząc nań, pomyślałam sobie: czyby mu nie lepiej było bez ludzi? i czy nie lepiej byłoby ludziom bez świata? I uczułam natychmiast, że myśl ta była bezbożną, że bluźniła najwyższej mądrości i przeciwiała się celom Stworzyciela. Myśl moja upokorzyła się natychmiast przed myślą Boga, ciemność ustąpiła światłości,

i zaczęłam się modlić najgorętszą modlitwą serca, aby mi Pan dał widzenie tego, co jeszcze być ma przed skończeniem wieków..., i aby otworzył przedemną drogę doskonałości, chociażby ta droga prowadzić miała pod górę Kalwaryi!.. Bo życie powszednie, cnoty powszednie, nie wystarczały żądzy mojej wielkiej jak świat, świętej jak zbawienie!

I rozumiałam, że wydzieranie się ducha naszego z terażniejszości, to najczystsza modlitwa nasza; to poemat nadziei przeczący prozie rzeczy dokonanych, skończonych, terażniejszych i przeszłych!

Tak nas Bóg stworzył w mądrości swojej, że czego rozum nie wymyśli, to serce przeczuje, wywieszczy, wymarzy. Sercem też lecimy w przyszłość; pamięcią żyjemy tylko w przeszłości, rozumem w terażniejszości. A co z tego trojga najlepsze?... — Serce i przyszłość!... To też tylko ludziom serca, ludziom uczucia dane jest pożądanie i jasnovidzenie rzeczy przyszłych; bo i czémże byli prorocy wszystkich miejsc i wieków, jeżeli nie ludźmi uczucia?!

Ale powiadają nam znowu ludzie słabej wiary a małych nadziei: „Czy my tylko wiemy napewno czego chcemy? i czy to, czego dziś najgoręcej pożądamy, osiągnięte w czasie, nie wyda nam się jako cacko złamane, żądzy mądrego człowieka niegodne?! Przecież to są rzeczy stare jak świat, powtarzane na każdej karcie dziejów ludzkości: *pożądanie, dobiecie się celu i zniechęcenie do rzeczy osiągniętej.*”

A ludzie silnej wiary odpowiadają im: „I cóż ztąd za wniosek? Wprawdzie, mędrcy pewnego wieku wywiedli z tego najzgubniejszy dla człowieka system, to jest: — pogardę doczesności i rozbrat z życiem ziemskim; a całą nadzieję złożywszy w śmierci, stracili wiarę w odkupienie. Mybyśmy sobie inaczej chcieli wytłumaczyć te dziwne sprzeczności w duchowej naturze człowieka: my wolimy w niej widzieć rękojmią postępowości; nie żądzę osobistą, ale potrzebę udoskonalenia tego, co jest, w nieskończoność, w Boskość samą. A jeżeli nie poprzestajemy na tém, co w możliwości naszej uczynić obecnie, to dlatego, że duch nasz przeczuwa przyszłość doskonalszą, że się ku niej rwie pomimo woli naszej, że łaknie tego zbawienia, które dlań ojciec niebieski zgotował.”

Kto nie czuje w sobie tej żądzy, kto poprzestaje na tém co jest, i nic lepszego nie przeczuwa: ten nie zna ani Boga, ani siebie.

Zakonodawcy wszystkich wieków, którzy, jako gwiazdy przewodnice narodów, od czasu do czasu pojawiali się nad ziemią ciemnościami okrytą, byli to także prorocy. Oni nigdy ducha ludów swoich w terażniejszości nie zagrzebywali. Oni wzrokiem orłów przenikali odległe wieki, i w pełnych tajemnic wyrazach opowiadali maluczkiemu przyszłe królestwo Boże.

Każda księga mądrości zawiera właściwe duchowi swemu słowa *Vedasa*, których się Brama uczyć kazał mędrcom swoim do skończenia świata; a chociaż niejeden świat już przeminął, mędracy uczą się jeszcze i rozmyślają zawarte w nich tajemnice.

Z przybyciem na wieś rozpoczęło się dla mnie życie zupełnie nowe.

Muszę tu powiedzieć, jakim sposobem okoliczność napozór mało znacząca przekształciła wszystkie moje wyobrażenia; a jeżeli nie przekształciła, to przynajmniej nadała pewny, obmyślany kierunek bezcelnym dotąd marzeniom moim.—Aż do owej chwili, uczyłam się jak Pan Bóg zdarzył; mało czytałam, a mniej się jeszcze domyślałam, coby te stosy nagromadzonych po sklepach książek zawierać mogły. Ciekawości, jak na kobietę, miałam niewiele; może dlatego, że mi niania kiedyś powiedziała: „*Ciekawość, to pierwszy gradus do piekła*”. Dziś radabym wiedzieć z kąd to podanie urosło?—Mniejsza o to. Dostyc na tém, że z natury niebardzo się rwałam do książek, a te, które mi w ręce przypadkiem wpadły, nie podlegały bynajmniej do zapamiętane go czytelnictwa.

W dzieciństwie mojem słyszałam nieraz, jak mężczyźni z ironią mówili o uczonych kobietach, jak same kobiety z przekąsem wymawiały wyraz *autorka*; wyraz, którego wówczas nie rozumiała, a który mnie jednak trwogą przejmował. Czemu?—Alboż ja wiem!

Otóż jednego wieczora kazała mi matka uporządkować książki pozostałe po s. p. dziadku moim. Było tam wszystkiego podobnie: i prozy, i poezyi, i filozofii, i teologii i historyi. Kto inny byłby się ucieszył widokiem tylu ustawionych w szeregi i pięknie oprawnych rozumów ludzkich; mnie nawet pokusa nie brała dowiedzieć się nazwiska owych mądrych pisarzy. Byłto prawdziwie grzech niewiedomości; i dlatego musi znaleźć odpuszczenie. Otóż na samym spodzie szafy znalazłam dwie książki zbrudzone, prawie zdarte (snadź dużo i często odczytywane), w grubych okładkach, bez przedmowy i bez nazwiska autorów:

byłyto ewangelie i O Naśladowaniu Chrystusa. Księgi, jak powiadają, z nieba ludziom podane.

Nie spowiadając się z tego nikomu, wzięłam je sobie do mojej izdebki; najprzód zaczęłam przerzucać kartki, czytać od końca ku początkowi, potem od środka ku końcowi, a potem znów od początku. Niewiele mając narzuconych sobie z góry wyobrażeń, przystąpiłam ze swobodnym umysłem do rozpamiętywania wielkich prawd, wielkich tajemnic, które ludzkość z grzechów jej odkupić, i w królestwie Bożem zbawić mają. Dlatego więc tam, gdzie się pospolicie myśl ludzka cofa, kurczy i zwija trwogą i zwątpieniem przejęta: tam się przedemną rozwijał coraz jaśniejszy widnokrąg, coraz wspanialsza droga! Była to jazda powietrzna po gwiazdach, po planetach, dalej ku słońcu, ku światłu, ku Bogu! Wszędzie mi było jasno, spokojnie, błogo: bom wszędzie widziała Boga wszechwładnym, mądrym, a miłującym stworzenie swoje!

Pierwszy raz w życiu objawiła mi się w książce prawda, którą w sobie i naokoło siebie czułam, ale jej z siebie nie umiała wydobyć na zewnątrz, ani ją sobie przedstawić w pewnych kształtach ziemskiego przeznaczenia. Jak dziś jeszcze dla wielu, tak dla mnie naówczas tajemnicze wyrazy pisma św. miały czysto abstrakcyjne znaczenie; zaledwie domyślałam się w nich zasady życia, a przecież na słowo Pana uwierzyłam, że one są zbawieniem tych, którzy mieć będą miłość.

Uwierzyłam, że obwarować prawdę jakimś czasem, lub jakimś miejscem, byłoby to samo, co ją zabić w duszach naszych; że położyć jakiś kres udoskonalenia się w miłości bratniej, uczynić ją warunkową, od pewnych form zależną, byłoby to samo, co przeczyć jej potędze. Uwierzyłam, że im silniej wzrosnę w myśl i uczucie, tém bliższą będę Boga, źródła miłości i prawdy.

Spotkanie się moje z ewangelią na samym wstępie do życia, wpłynęło stanowczo na całą moją przyszłość i rozwinęło wrodzone usposobienie do cudownych marzeń. Nocy bezsenne schodziły mi na rozpamiętywaniu słów Pańskich, które się coraz wyraźniej przedstawiały myśli mojej. Czytając o powołaniu wybranych, zdawało mi się, że i ja muszę być świętą; a świętość pojmowałam w pierwszej chwili mego nawrócenia, tylko w oderwaniu się od ziemi, tylko w najwyższym stoicyzmie serca! Szczęścia miałam zadość! więc cierpienia pragnęłam, aby się stać podobną temu, który cierpiał za wszystkich! Myśl puściłam w niebo, i modliłam

się o zrozumienie tajemnic, o dar prorocstwa, o zbawienie; nie wiem czy własne, gdyż siebie nie czułam w modlitwie mojej i nie śmiałam prosić Boga za sobą i dla siebie, pomnąc na słowa Mistrza: „*Nie wiecie o co prosicie.*” Modlitwa była mi potrzebą, nie zasługą; i była taką, jak owe pierwszych zborów chrześcijańskich natchnieniem wywołane modlitwy, które dotąd świat bezmyślnie powtarza, bo nowych stworzyć nie zdolen!

Daj mi Boże! i daj wam Boże! żyć życiem takim w niebie, jakiem ja żyłam na ziemi, kiedy Pan otworzył przedemną księgę żywota, jedną i drugą: księgę *prawa Chrystusowego*, i księgę stworzenia. Jam miała wówczas chwilę Mojżesza na górze Synajskiej, i chwilę uczniów Pańskich na szczycie Taboru, kiedy w zachwycie serca rzekli: „Dobrze nam tu!” Dziś mówię o tém, nie wątpiąc, że każdy powołany jest do królestwa niebieskiego; że i najgorszy i najlepszy z nas musiał mieć aby jedną chwilę w życiu, która mu niebem zapłonęła, prawdą zabłysła, miłością rozgorzała; inaczej, nie byłby człowiekiem stworzonym na podobieństwo Boże. Ta chwilka w życiu jest mu namaszczeniem i utwierdzeniem w wierze, ilekroć nań szatan pokusą zwątpienia uderzy!

* * *

Choćbym mówił językami ludzkimi i anielskimi a miłości-
bym nie miał, byłbym jako miedz brząkająca. I choćbym
miał prorocstwo, i wiedziałbym wszystkie tajemnice, i wszel-
ką umiejętność, i wszystką wiarę, iżbym góry przenosił,
a miłościbym nie miał: nicem nie jest.

Paweł św. do Koryntów, rozdz. XIII.

Mieszkając na wsi, mniej się podobno jest na ustroniu, niż w zgiełku wielkiego miasta. W mieście żyjesz jak ci się podoba, przyjmujesz kogo chcesz i kiedy chcesz; wolno ci w każdej chwili drzwi zamknąć przed nosem gości, zostawując im prawo odwetu, lecz nie obrażając bynajmniej ustaw modnego świata, gdzie się ludzie odwiedzają sami nie wiedząc na co i po co? Na wsi, znów rzecz inna. Jeżeli masz sąsiada jednego, drugiego a trzeciego, to obliczywszy się, znajdziesz zaledwie dwa dni w tygodniu bez zjazdu z tłomokami, z dziećmi, z końmi, bodaj nie z całym inwentarzem ptasim i czworonogim, które ci dom do góry nogami przewrócą, spiżarnię wypróżnią, ludzi domowych umęczą, a ciebie samego na śmierć zanudzą; jeżeli *nota-bene* nie masz córek na wydaniu, w karty nie grywasz, i plotek nie lubisz.

Były i u nas takie zjazdy, rzadsze, niż gdziekolwiek, ale były. Żeby więc dać jakie takie wyobrażenie o życiu towarzyskiem, to jest o przyczynie zbliżającej ludzi do ludzi, a czasem *nie ludzi* do *nie ludzi*; muszę koniecznie, choć wiem że najniezgrabniej, odszkicować niektóre egzemplarze szanownych sąsiadów naszych.

Przyczyny zbliżające ludzi do siebie, stanowiące siłę atrakcyjną pomiędzy Pawłem a Gawłem, są najprzód interesa czysto materialne, potem widoki nadal, czasem ciekawość, czasem próżność, a zawsze wielki, żelazny egoizm, pod złoconą blaszką przyjaźni. Jednym słowem co dotąd wiąże ludzi pomiędzy sobą?... Oto—złoto, błoto, dym i śmieci! To mi cyment! To mi spojnia! I dlatego tak wszystko pięknie i szczelnie spojone?!

Więc mówmy o sąsiadach, jak można najgrzeczniej i najostroźniej, ale mówmy prawdę, historyczną, niezmyśloną prawdę.

Sąsiedztwa nasze podzielę na cztery strony świata, jak kiedy mowa o granicach państwa. Od północy mieszkał pan Kalasanty, wdowiec milionowy a bezdietny, jak opiewa legenda do robkowicz i dziedzic pól rozległych, na którychby się same chwasty rodzić powinny, gdyby się sprawiedliwość boska zawsze objawiała w stosunku do zasług naszych, czyli, jak mówiono klassycznie, gdyby Jowisz nie był oślepił Plutusa na szkodę poczciwych ludzi... Pan Kalasanty byłto człowiek *co się nazywa*, postępowy; w wielu względach nie czynił jak drudzy, i miał swoją wolą: złą, czy dobrą, w to już nie wchodzi. Uznana wyższość jego w całej okolicy da się najlepiej wytłumaczyć owém przysłowiem: *iz w królestwie ślepych, jednooki może być królem*. Owoż zacny ten obywatel nie grywał w karty, chociaż się do niego sąsiedzi na partye zjeżdżali; polowania nie lubił, bo chromał na prawą nogę i wzrok miał tępy; wina nie pijał, bo się lękał pedogry; ale piorunował na przesady, skupował nowe książki w pięknych okładkach; zaprowadzał maszyny dla oszczędzenia pańszczyzny, i gospodarstwo płodozmienne dla poprawienia gruntu; urządzał gorzelnie i pędził po 16 kwart okowity z korca kartolli; ustanowił miejscową monetę dla zapobieżenia demoralizacji włościan, którzyby się inaczéj na cudzej gorzałce rozpic mogli i wynosiliby gotówkę do sąsiednich karczem; —nakoniec zamyślałnawet o założeniu szkółki dla dzieci wiejskich, gdzie miejscowy organista wykladać miał nowy katechizm i nowy kodex obowiązków parafii względem dworu i kościoła.

Byłto, jak widzicie, wzorowy gospodarz, człowiek *porządny*, sprężysty, może nawet nieco zaszprężysty, kiedy chodziło o utrzymanie porządku w jego machinie gospodarskiej. We włości jego było wszystko pomalowane, ogrodzone, oczyszczone i utuczone, wszystko, — ludzi wyjąwszy; którzy w pomalowanych chałupach nie mieli się przy czém ogrzać na zimę, ani czém od głodnej śmierci zachować na przednówku.

Panowie obywatele rozmaicie mówili o panu Kalasantym: wyśmiewali, obmawiali za oczy, odgrażali się nawet na seryo, jeżeli się np. któremu worał w granicę lub zarwał przypadkiem kawałek lasu; ale zawsze miliony JW. Pana miały swoje znaczenie i chroniły go od procesów z uboższymi sąsiadami.

Oprócz wszystkich innych zalet, miał jeszcze sławę głęboko uczonego dyplomaty, bo czytywał gazety drukowane w pięciu europejskich językach, rozprawiał o zmianach ministeryalnych, domyślał się tajemnic gabinetowych i ze wszystkiego wyprowadzał wielkie wnioski, ważne wstrząśnienia, które z trójnoga delfickiej wycrocni zaciekawionym sąsiadom swoim tłumaczył.

Co jeszcze?... Oto przesiedziawszy z chorą żoną lat kilka we Włoszech, rozbudził w sobie uwielbienie do sztuk pięknych, do muzyki, może nawet i do poezyi; tak dalece, że wróciwszy do kraju postanowił z synowicy swojej Jadwisi zrobić artystkę, chociażby go ta metamorfoza najwięcej kosztować miała. I stało się wkrótce zadosyć woli pana, gdyż po kilku latach mitręgi za granicą, powróciwszy do domu, zyskała Jadwisia szeroką sławę w całym powiecie, jako znamienity talent muzyczny. Sąsiedzi i sąsiadki zjeżdżali się tłumnie, aby podziwiać i uwielbiać to, czego zrozumieć nie mogli; a pan Kalasanty nie omieszkał każdemu z przybywających opowiadać od jakich mistrzów synowica jego brała lekye za granicą, i wiele go to wszystko kosztuje.

— A jednakże—dodawał—zrobiłem to poświęcenie, bo dla panienki wychowanie jest najpiękniejszym posagiem; a wiadomo każdemu, że wychowanie bez muzyki, dziś, kiedy wszyscy grają, żadną miarą obejść się nie może. Bogiem a prawdą, na rozumie nie każdy się pozna, a nawet nie wszyscy go lubią; ale z muzyką, panie! to gdzie chcesz zajedziesz: wszędzie cię przyjmą z otwartymi rękami, bo co odgłośne, to się ludziom podoba. Alboż nie widziano temi czasy niejednego głupca rozpierającego się ze skrzypcami na hrabiowskich i książęcych fotelach, kiedy znów niejednen

uczony i zasłużony za drzwiami wyczekiwać musi z biletem na prenumeratę nieśmiertelnego dzieła.

— Wielka prawda! — odezwał się poważny starzec — doszedłem jój doświadczeniem i pracą lat wielu; pisałem i drukowałem to, com w nocach bezsennych z młodzieńczego ducha wysnował, i nikt mi za to nie powiedział nawet: Bóg zapłać! Przyszedł czas, iżem się pogniewał na książki; a synom moim kazałem grać i tańcować, kiedy świat taki chory, że się odurzać musi, aby tylko boleści swoich zapomnieć....

— No, widzicie, panie Stanisławie, nie ubliżając wam literatom, książki i nauka sąto bez wątpienia piękne rzeczy; ale i to przyznajcie, że muzyka, że sztuki w ogóle niezmierny wpływ wywierają na ducha ludzkiego, że rozbudzają w nim uczucie i zamiłowanie piękna, że go czynią tkliwszym na cierpienia bliźniego....

— O! co do tego to przepraszam, i gotów jestem stanowczo zaprzeczyć tego zbawiennego wpływu muzyki na uczucie ludzkie. Nie teorią, ale doświadczeniem przekonany i nauczony śmiem twierdzić, że sztuki piękne w ogóle, a muzyka w szczególe, zaledwie działają na zmysły, na przytępione zmysły nasze! Działają na wzrok i na słuch, tak, jak inne przyjemności działają na smak i na powonienie. Gdyby było inaczej, gdyby sztuki piękne jakokolwiek wpływały na uszlachetnienie, na umoralnienie ducha naszego, toż ludzie otoczeni arcytworami piękna, ludzie napawający aż do przesytu zmysły swoje arcydziełami sztuki, powinni być archaniołami, cherubinami, serafinami wśród innych.. A czém są?.. to wiecie...

— Ależ, Mości Dobrodzieju, pan jesteś młody i występujesz z taką herezyą, wprowadzisz dokumentną, ale zawsze sprzeciwiającą się opinii całego świata. Jak można nie lubić muzyki, kiedy ją świat cały lubi?! To istotne dziwactwo! Przecież drapieżne zwierzęta łagodnieją przy odgłosie harmonijnych tonów; przecież dzikie ludy nie obojętne są na dźwięki muzyczne, a pan zaprzeczasz stanowczo sztukom wpływu na uczucia.

— Zaprzeczam i dowodzę, że zwierzę drapieżne, że człowiek dziki ma tylko zmysły rozbudzone do przyjmowania wrażeń, i dlatego je tak, jako i my przyjmuje: łagodnieje na chwilę, ale swój dzikiój natury się nie pozbywa.

— Ależ panie! bój się pan Boga! Czémże byłaby Grecya bez muz swoich!? bez arcytworów sztuki!? Oneto usposobiły ją do

przyjęcia wiary świętej przez uwidomienie pięknych ideałów, któreby inaczej do jój ducha nie trafiły.

— Przepraszam panów, że śmiem tu występować z protestacją, chociaż bynajmniej do tego nieupoważniony; ale niech mi wolno będzie stanąć w obronie moich indywidualnych przekonań, chociażby te nie zgadzały się nawet z historią starożytnych Greków. W każdym razie niegodzi nam się zapominać, że czém była Grecya i jój muzy, tém my pod żadnym względem nie jesteśmy. Grecya tak żyła ideałami sztuki, jak my powietrzem. Muzy jój mieszkaly na Parnasie nie troszcząc się o byt materyalny; i dobrze im było! Artysta grecki był artystą z natchnienia; duch jego miał siłę elektryczną przenikającą do głębi ducha narodu: wieniec bluszczowy i poklask ludu były mu chwałą i nagrodą. A nam, którzy mówimy o wpływie arcytworów sztuki na uczucie, nam ludziom zmysłowym i zmateryalizowanym aż do rdzenia duszy, nam powietrze, wieniec, poklask nie wystarczą! I gdzież wątpliwość, że zmysłami tylko przyjmujemy wrażenie, które niegdys ludź przyjmowały duchem z ducha artysty!?

— To wszystko prześliczne, mój panie Kazimierzu, ale strasznie niezrozumiałe! I co do mnie, podzielam zdanie szanownego sąsiada, że z muzyką, czyto pannie, czy kawalerowi, otwarta droga w świat szeroki: bo grajkom wszędzie radzi, a uczonych nie każdy rozumie. Ja też to moim dziewczętom zawsze powtarzam, i trzymam nawet w domu Czecha, któregoś sobie umyślnie z Pragi zapisał, aby im w palce rozumu napędził.

— Jużto kiedy panowie sąsiedzi zaczną rozprawiać o wychowaniu swoich córek, to jest czego posłuchać—zawołał pan sędzia—Chcieliby z nich Salomonów porobić, a Bóg widzi, na nic się to nie zdało! Bo i te włoskie trele, i francuzkie *perle, perle*, nie dadzą chleba, kiedy go nie zasiejesz, i nie dadzą grosza, kiedy go nie zbierzesz!

— A wybacz pan, panie sędzio, ale tak się niegodzi poniewierać talentami—zawołała z uniesieniem pani baronowa, niegdys śpiewaczka opery lwowskiej—pan chciałbyś z nas porobić klucznice i kucharki! Już minęły te czasy i nie wrócą więcej.

— To i szkoda! Mościa pani baronowa! Bo co tam światu przyjdzie z tych waszych literatek i artystek? Co im z tego przyjdzie, że zostaną staremi pannami? Rozum i talenta, to rzeczy niepopłatne na szlacheckiej zagrodzie! Ani to kapitał, ani

hypoteka! ale ot! próżność i dym! No, wszak prawda p. Kazimierzu, coś tak pięknie dowodził, że te wszystkie *kopersztychy* i figurki, i kuranty, na licha się zdadzą!

Pani baronowa zatuliła sobie uszy na takie bluźnierstwa i odeszła na drugi koniec salonu.

Tymczasem Jadwisia z promieniejącem obliczem usiadła do fortepianu. Ciżba wąsatych i brodatych pseudo-znawców okoliła ją murem, a wszyscy nadstawili ucha. Pan Kazimiérz słuchał także. Pod jój drobnemi paluszkami jękała cała mechanika londyńskiego klawicymbału, podłoga zadrżała i odgłos uderzył o sklepienie. Wszyscy w uniesieniu dali huczne brawo. Rączęta Jadwisi skakały ponad klawiaturą; ona sama, stosownie do przyjętej dziś mody, przechylała się na lewo i na prawo, lub odskakiwała od krzeselka za każdym silniejszym akordem. *Capriccio* zakończyło się istnym napadem szaleństwa. Trwoga opanowała obecnych, bo harmonia zamieniła się w przeciągły huk piorunu!

Dla ludzi słabych nerwów, byłoto cokolwiek za uciążliwe, za drażliwe.

Na złość p. Kazimierzowi, panie się popłakały, panowie ruszali wąsami, niby ze wzruszenia; szczęściem nikt nie umarł, jak niegdyś na przedstawieniu tragedyi Sofoklesa w Atenach.

Po skończonym popisie panowie zasiedli do kart, panie do plotek, panienki do ploteczek i głupiuteńkich rozmówek o rozmaitych gałgankach, których nazwania nie pomnę.

Wrażenie muzyki przeminęło. Ludzie są tém, czém byli: ani lepsi, ani gorsi. To, co weszło w ucho, uchem napowrót wyszło, nie zbudziwszy żadnej szlachetnej myśli, żadnej poczciwej chęci, nie wywoławszy żadnego czynu miłości.

Pan Kazimiérz przerzucając na stole jakieś mody paryzkie, głęboko się nad nimi zamyślił, aż go Jadwisia z ironicznym uśmiechem zapytała: czego tam szuka?

— Szukam wrażeń — odpowiedział jój głosem politowania.

Panienki parsknęły głośnym śmiechem i wyniosły się do ogrodu, wiodąc za sobą cały szereg wielbicieli.

Są ludzie, którzy sobie życiem za życia piszą nagrobki, i oszczędzają potomności kłopotu o nekrologi: „Tu leży człowiek, który się urodził, ożenił i umarł”. A jeżeli się nie ożenił,

tedy pomiędzy dniem urodzenia, a dniem śmierci, bezpiecznie położyć można zero, jako wartość upłynionego życia. Nic pospolitszego nad takie biografie, jeżeli dodamy jeszcze w jakich się uczył szkołach, i czém zarabiał na chleb swój powszedni.

Takich ludzi nazywają powszechnie *bardzo poczciwemi ludźmi!* Oni nie przestąpili zapewne żadnego z dziesięciorga przykazań Bożych we względzie *zakazu*, ale się też nigdy nie domyślili, aby w prawie Boskiem, obok rzeczy zakazanych, były jeszcze i *nakazane* obowiązki. Ich nie na świecie nie zasmuciło, nie nie ucieszyło, do nikogo nie mieli nienawiści; ale też i nikogo nie kochali, nawet podobno i siebie!!

Zwierzę się raduje i cierpi, kocha i nienawidzi; roślina czuje wpływ burzy, słońca i rosy; wszystko w naturze żyje wzajemnym pociąganiem, jednoczy się wzajemną potrzebą: bo warunkiem wszelkiego bytu jest życie, a życia warunkiem są czyny!

Nad mrowiskiem spokojnych ludzi nieraz grzmiąły burze powietrzne, płynęły chmury po gwiazdach, krwawe i siarczyste deszcze spadały; a mrówki zbiorami zajęte nawet głowy ku niebu nie wzniosły, aby ujrzeć zkąd te cuda? te zjawiska!? Im dobrze na ziemi, kiedy ciało niegłodne! O duszę, mniejsza troska.

Oh! nieraz przyszło mi pozazdrościć szczęścia tym ludziom, którzy nie znają ani smutku, ani wesela! Bo coto za męka kochać i zawodzić się, nienawidzić i cierpieć, cieszyć się i rozpaczać! To najkrwawszy, najzapamiętalszy dramat odgrywający się na dnie ducha ludzkiego! Wszystko co się z niego na zewnątrz w pewnych kształtach objawia, niczém jest! bo co się łzami wypłaczę, co się skargą światu wypowiada, to jest zaledwie słabym odbłyskiem burzy wewnętrznej!

Takimi poczciwemi a szczęśliwemi ludźmi byli sąsiedzi nasi od wschodu.

Pan Wojciech siał i zbierał, zapisywał pańszczyznę i sprzedawał wełnę; żona jego smażyła konfitury, urządziła wędliny i bielila płótno; panienki wyszywały kwiatki i ptaszki na wszystkich sprzętach domowych; panicze mieli ku zabawie konie, psy, strzelby i wiewiórki. Tam wszystkie dni tygodnia, i wszystkie dnia godziny były do siebie podobne; a ludzie poruszali się jak kółka w zegarku za pomocą ukrytej sprężyny.

Jeżeli piorun uderzył w sąsiednią wioskę, jeżeli grad zniszczył sąsiednie niwy, pan Wojciech wyjrząwszy oknem, mawiał

jak najspokojniej: „Stała się krzywda sąsiadowi z dopuszczenia Bożego, a więc nam się w to nie mieszać; niech sobie radzi jak może; my zostaniemy w domu, bo chmury bokiem przeszły.

Pani Wojciechowa obtarła suche oczy, panienki dalej rachowały ścięgi; i była znów cisza w rodzinie, jak gdyby grzech jakiś ciążył na sumieniu.

I zaiste był tam grzech, o którym przepomniano w katechizmowej nauce; a chociaż przepomniano, on się przecież odzywa w sumieniu naszym i oskarża o brak świętej miłości.

Dajmy pokój ludziom, kamieniom, a idźmy dalej. Jak ludzi apoplektycznych ratują od śmierci krwi upuszczeniem, tak my, umysłowo apoplektyczni, ratujemy się w walce przeciw innej śmierci, wypowiedaniem złych i dobrych myśli naszych; chociaż z góry przekonani jesteśmy, że się one nikomu na nic nie przydadzą; ale nam ciężą, nas bolą!

Wszakże umierać dobrowolnie za prawdę, której świat obecny bluźni i nie wierzy, jest największym heroizmem na ziemi! W świecie pogańskim jeden tylko Sokrates dał życie za nieuznaną ideę; w społeczeństwie chrześcijańskim niezliczone takiego heroizmu widzimy przykłady: i to się nazywa cierpieć za wiarę, za chwałę nieśmiertelną!

Ale idea, to myśl Boga przed stworzeniem świata,— to dopiero Genesis w przyszłości. Zaś trójcą żywota ludzkiego są owo troje: —myśl, słowo i czyn. Wszystko troje potężne, ale jedno bez drugiego zbawić niezdolne.

Myśl płynąca ze źródła światłości przedwiecznej napęłnia cudownie piersi człowiecze. Tam, pracą niewidzialną ducha wydziera się na świat:—pieśnią, słowem, skargą, gromem! Buduje i burzy. Aż nakoniec wypowiada swoje:—*Stań się!* I oto słowo staje się ciałem, rzeczywistością, czynem. Oto Genesis z metafizycznego pojęcia przechodzi w życie i objawia się ową troistą działalnością ducha, który słowem swoim stwarza świat nowy.

Bo myśl—to cień! A czyn miłości—to prawda wcielona

.

Wróćmy do ludzi, zawsze do ludzi, złych czy dobrych; i *gniewajmy się, ale nie grzeszmy*, sądźmy, ale nie gorszmy, i nie wynośmy się z tego, co nam dane jest zrozumieć przed innymi: bo dar proroctwa doskonoły jest, lecz dar miłości jeszcze doskonalszy!

Południową sąsiadką naszą była wdowa po wysokim dygnitarzu, a ciotka owego pana Kazimiérza, który jako odszczepieniec i prostak, pozwalał sobie ubliżać sztukom pięknym i artystkom, za co téż wyklęty został przez synagogę nowéj Babilony. Pani dygnitarzowa była gwiazda cudowna przyświecająca całej okolicy wielką pobożnością; dom jój był prawdziwą kaplicą ustrojoną jak święty obrazek: wszystko tam było poświęcone i pobłogosławione, otarte o relikwie jakiego świętego, lub sprowadzone z cudownego miejsca. Jój oratoryum, w którym długie na modlitwie spędzała godziny, byłoto istne pieścidelko upstrzone niezliczonym mnóstwem obrazków, krzyżyków, różańców i koronek różnokolorowych, srebrnych i kryształowych lampek, świeczników, relikwiarzy i książek nabożnych, których treści nie pomnę. W tém błogim ustroniu, gdzie wszystko tak potężnie działało na zmysły, święta pani rozpamiętywała we łzach krwawe dzieje apostołów i męczenników Pańskich.

Wychowaniem jój czworga dzieci zajmował się ksiądz kapelan, i Francuzka sprowadzona umyślnie ze słynnego instytutu Sacré-Coeur w Paryżu; oprócz tego była w domu bona Angielka, Czech do muzyki, Włoch malarz do rysunków, i jeszcze jakiś reprezentant któregoś europejskiego narodu, do nauk przyrodzonych i do matematyki. Spodziewam się, że z takim zastępem uczonych ludzi, można było zdobyć i przyswoić sobie wszystkie umiejętności, a nawet dojść do stworzenia nowych jeszcze świata nieznanych! Być może. A jednak umiejętność, talent, nauka, to twierdza, niezawsze dająca się zdobyć złotemi kulami. Gdyby było inaczej, gdyby wszystkiego za pieniądze kupić można, gdyby dary Ducha Sgo sprzedawały się na wagę złota, to gdzie byłaby sprawiedliwość Boska? Wszak apostołowie darmo dawali, co darmo wzięli, i potępili symonią jako wbrew przeciwną idei chrześcijańskiej.

A my, cóż robimy? Oto powtarzamy za panią matką paciérz: „za pieniądze wszystkiego kupić można”, i na téj zasadzie otworzyliśmy sklepy na różnorodne towary, tylko że w nich zamiast owocu, często sprzedają próchno, świecące próchno!

Wychowanie człowieka, to zagadka Sfinx, rzucona przechodniom ku pokusie w ich pielgrzymce ziemskiej; a rozwikłanie téj zagadki ma być człowiekowi śmiercią lub życiem! Któż ją dotąd odgadł i kto ją rozwikłał?

Jeżeli kamieniem węgielnym téj budowy ma być sama umiejętność; to się ród ludzki weźmie do stawiania nowéj wieży Babelu i nigdy rozumu swego z niej nie wyplącze, choćby był olbrzymem

o stu głowach! Arcytworami sztuki chcecie rozbudzić w piersi ludzkiej uczucie, a rozbudzacie i drażnicie tylko stępione zmysły człowieka; formułkami filozoficznemi określacie mu jego przeznaczenie ziemskie, w ludzących obrazach przedstawiacie mu jego przyszłość nadziemską, do której ani na nogach, ani na skrzydłach dostać się nie może, i dziwicie się jeszcze, że on, biedny człowiek, samemi idąc manowcami, z pustyni zwątpień wybląkać się nie może!?. Zapalcie przed oczyma jego pochodnię wiary, okażcie mu ideał religijny w najwyższej praktyce życia, dajcie mu poznać prawdę w czynach miłości najwyższej, rozniećcie w nim iskrę żywota wiecznego:—a będzie człowiek, jakim go Bóg stworzył na obraz i podobieństwo swoje.

Ktoś powiedział: życie jest sztuką. Jabym powiedziała: życie jest naturą rozwijającą się wedle praw postępu, to jest według utajonej, do czasu, myśli Bożej. Ludzie zepsuli życie, stracili z przed oczu cel drogi swojej; z tego co było dobrem najwyższym, zrobili złe najwyższe: i dlatego *drzewo wiedzy* stało im się grzechem, a życie—pokutą za grzechy.

Sąsiedzi zazdrośnym okiem spoglądali na wykwintną pobożność i wykwintną edukacją pani dygnitarzowej. Gdyby zazdrość nie była grzechem śmiertelnym, to zawsze byłaby głupstwem niesłychanym; a w tej okoliczności była jednym i drugim niezaprzeczenie. Ojciec mój, mający u sąsiadów opinią literata, jako *człowiek książkowy*, wszędzie był mile przyjmowany, a z tej przyczyny i nam kobietom wszędzie byli radzi. Jeździliśmy przeto w odwiedziny ku czterem stronom świata, jak to zwykle bywa, żeby się pokazać i zobaczyć coś nowego.

Co do mnie, wypraszałam się od tych przejażdżek, jak od najcięższej kary. Nie byłam już dzieckiem, i nie byłam jeszcze panną na wydaniu: z dziećmi się bawić nie umiałam, a do towarzystwa dorosłych panien czułam wstręt nieopisany. Raziła mnie w nich szczególnie jakąś zalotna próżność, brak osobistej godności, czczość niesłychana w mowie; i patrząc na nie z boleścią myślałam sobie nieraz: I toż są ludzie?— I gorzko mi było z tą myślą. A na mnie, zapewne także z podziwieniem patrzano, i rówiennice moje szeptały pomiędzy sobą: cóżto za śmieszne stworzenie!

— Prawda że śmieszne! Grać nie umie, tańcować się nie uczyła, po francuzku nie mówi... Jak się ona w świecie pokaże, taka niezgrabna, nieśmiała; nie wiedzieć do czego podobna?

— Dajcież jej pokój — przemówiła z cicha panna Irena, córka dygnitarzowej—mama bardzo poważa jej ojca, bo to uczony człowiek;

szkoda tylko, że same heretyckie książki czyta i ma stosunki z ludźmi wątpliwéj wiary. Ojciec Innocenty powiada, iż zbawienie jego duszy w wielkiém jest niebezpieczeństwie...

— To mnie tylko dziwi — przerwała panna Jadwiga — że człowiek uczony tak mało dba o wychowanie swéj jedynaczki, która guwernantki nie miała, i zaledwie lat parę była na pensyi.

— *A propos*, moja duszko, gdzież się podział wasz kuzynek? Czy zawsze taki dziwak? Ostatnim razem ślicznie się popisał na wieczorze u pana Kalasantego. Jadwinia nie może mu darować lekceważenia z jakim mówił o sztukach pięknych; stryjenka baronowa oburzona jest na niego. Ja nie pojmuję, jak wy się z nim zgodzić możecie!

— Kazimiérz wyjechał na dni kilka do miasta, pokłóciwszy się przed wyjazdem z ojcem Innocentym.

— Ale, ale, wystaw téż sobie moja najdroższa, że ten prześliczny Karolek, który się ostatniego karnawału chciał zatańcować, zrobił temi czasy niepojęte głupstwo. Pokochał się na zabój w staréj hrabiance, i cały jéj majątek w ciągu dwóch miesięcy przepuścił w karty. Familia hrabianki zrobiła mu proces, a teraz powiadają, że się biédaczek z kozy nie wykreści.

— Czemuż się lepiéj nie ożenił z hrabianką dla załagodzenia téj sprawy? przynajmniejby honor ocalił...

— Jakżeż chcesz, kiedy mu Fruzia tak weszła w serce, że tylko dukaty hrabianki mogły mieć przed nią piérwszeństwo... Byłto figiel, nic więcéj.

— Piękny mi figiel, siedziéć w kozie za oszustwo! — odezwał się któryś z podsłuchujących mężczyzn.

— A cóż się stało z Fruzią, z tą śliczną sylfidką, za którą tak nasi panowie przepadali?

— Aha! biédna Fruzia! Tańcowała prawda prześlicznie, ale cóż z tego, kiedy nie miała posagu; tańcem téż majątku zrobić nie mogła. Chybaby weszła do baletu... A więc, koniec końców, żeby starą panną nie została, wydała ją ciotka za mąż, i jest teraz, ni mniéj ni więcéj, tylko młodą żoną starego prezesa. Zawsze lepiéj, niż starą panną.

— Musi jéj być ślicznie w czépeczku!

— Ale przy starym mężu, bójcie się Boga!

Panna Irena spojrziała na matkę i spuściła oczy; potém zmieniając rozmowę, przerwała:

— Oto pójdźmy, pokażę wam cudnej roboty wazon etruski, nadesłany mamie z Rzymu przez jednego z świętych kapłanów naszych, więcej jako relikwia, niżeli jako arcydzieło sztuki. Miał on być znaleziony w katakumbach pomiędzy kośćmi chrześcian, pomordowanych za czasów Dyoklecjana.

To mówiąc, panna Irena zaprowadziła swoje towarzyski do gabinetu matki, gdzie poza adamaszkową karmazynową firanką, ukryty był ołtarzyk z alabastrowym krucyfiksem i Madonną Rafaela, a u stóp jego stał ów święty wazon etruski.

Panienki przykłęknąwszy na znak pobożności i uczczenia świętych relikwii, podziwiała gieniusz etruskiego snycerza; ale podobno nierównie więcej unosiły się nad koronkowym obruskiem pokrywającym ołtarzyk i prześlicznie haftowanym klęcznikiem.

Panna Irena prowadząc swoje przyjaciółki do oglądania relikwii, chciała je natchnąć świętymi myślami i oderwać od rzeczy znikomych; lecz i tu się pokusa próżności znalazła.

— Ciekawam — odezwała się jedna — jak ludzie pozbawieni tych wszystkich prześlicznych ozdób, modlić się mogą? Zkąd oni biorą natchnienie? za co oni Panu Bogu dziękują, kiedy nie widzą świetnych darów Jego?

— Tamci—odezwał się ktoś w gabinecie—tamci modlą się w duchu i w prawdzie.

Panienki krzyknęły, a odsłoniwszy firankę zawołały wszystkie razem:

— A to zkąd pan Kazimiérz?!

— Jak zły duch przybywa—dodał młodzieniec z uśmiechem nawpół szyderskim.

— Cóżto się stało, że kuzynek dziś powrócił?—zapytała panna Irena.

— List odebrałem w drodze, i ten mnie do powrotu nakłonił. Ale nie trwoż się kuzynko, ja się dziś sprzeczać nie myślę; jestem i owszem w usposobieniu nader zgodnym, i gotów jestem na wszystko z góry podpisać, wyjąwszy na to, czemu wchodząc w te progi zaprzeczyłem.

— Otóż jest! Spierać się nie chce, a znów wypowiadają nam wojnę.

— Ja tylko moje zdanie objawiam, śliczna kuzyneczko, ale narzucać go nie chcę nikomu. Bo i coby mi z tego przyszło, gdybym kogo gwałtem chciał przekonywać? Ja w takie nawrócenie nie wierzę. Strach i słabość ducha, to zbyt krucha podstawa do mojej wiary!

— A jakieżże pan jesteś wiary—zawołała najśmielsza z dziewcząt—czy hussyta? czy hernhut?

— Odstępujemy od rzeczy. Panie mówicie o religii, a ja o wierze; trzeba nam tę kwestyą subtelniej rozebrać...

— Mój kuzynku, my się nie znamy na niemieckiej filozofii i nie wytrzymamy z tobą dysputy; a zresztą niewolno nam wchodzić w takie sprzeczki, bo mogłaby na tém religia ucierpieć...

— Prawo Mahometa każe swoim prawowiernym odpowiadać mieczem na zarzuty innowierców; panie chcecie mi odpowiedzieć milczeniem: niech i tak będzie!

— Oto lepiej mówmy o czém inném, mój kuzynku. Powiedz nam, na przykład..... coś takiego, żebyśmy się nie posprzecziali. Oto, co widziałeś najpiękniejszego w czasie twoich kilkoletnich wędrówek po świecie??

Kazimierz przyłożył palce do czoła, jakby sobie chciał coś przypomnieć, a potem rzekł najspokojniej:

— W ludziach, czy w naturze?

— Oh! znowu z takim pytaniem!

— Ja potrzebuję wiedzieć, na co mam odpowiadać.

— Niech i tak będzie! a więc w naturze.

— W naturze wszystko jest piękne, o ile ludzie natury nie zeszpecili; ale najpiękniejsze to, co stanowi harmonią świata, to, co wywiera dobroczynne wpływy na rozwój życia...

— Dobrze, ale cóżto jest? to...

— Poczekajcie, moje ładne panie; ja rzeczy odrazu nie nazywam po imieniu, bo rzeczy wielkie, same sobą wypowiadają swoje nazwanie: one nie potrzebują żebyśmy je chrzcili po naszemu... Same panie powiedzcie jak się zowie to, co jest piękne dobrocią, a dobre piękném, co daje życie i szczęście, co zdobi, cieszy, wznosi, krzepi i daje zbawienie duszom naszym na żywot wieczny..?

Panienki się nie śmiały, bo pan Kazimierz mówił bardzo poważnie.

— Cóż to jest? Świat odpowiada: Bóg; a Bóg czém się ludziom objawił? czém się Chrystus objawił światu? To właśnie najpiękniejsze jest w naturze rzeczy stworzonych, a nazywa się—miłością.

Panienki pospuszczały oczy, i nie śmiały pytać dalej, bo im wytłumaczono, że *miłość* a *grzech*, to jedno. Ale że w mowie młodzieńca, że w głosie jego był jakiś niewypowiedziany urok prawdy, jakaś anielska czystość myśli; więc założywszy rączki, śmieliej spojrzwały mu w oczy, i rzekły:

— To bardzo piękne co pan mówisz. Tak, jak gdybyśmy śliczną jaką książkę czytały.... albo poezją naszej wielkiej poetki!

— Ależ to i poezya i książka jest miłością kiedy oświeca, poprawia, leczy i uszczęśliwia.

— A więc czemuż są tacy, którzy nam się każą wypierać tego, co jest takie piękne i dobre!

— Czemu? bo oni sami zeszpecili piękno, i zepsuli dobro; tak, iż pod brzydką, obrzydliwą łupiną, zdrowego jądra poznać nie można.

— No, ale co tam! A w ludziach, w ludziach, co najpiękniejszego widziałeś pan, panie Kazimierzu?

— W ludziach? widziałem to samo, co i w naturze. Szukałem, wszystko brałem w rękę, do wszystkiego przykładałem natężone ucho. Smutno powiedzieć czegom się doszukał:—wiele dymu ponad bryłami twardego lodu; a uchem, dosłuchałem się odgłosu *brząkającej miedzi*. I rozumiałem że to już wszystko! że nie tam pięknego nie masz. Aż poznałem człowieka, który cierpiał długie lata; cierpiał nie za grzechy swoje, bo jemu cierpienie jeszcze było rajem! Utracił zdrowie, rodzinę, przyjaciół; znosił niedostatek i obelgi zaślepionej tłuszczy; zabrali mu wszystko, tylko duszę w ciele zostawili skazując ją na tęsknotę, zwątpienie i rozpacz. Tej duszy w otchłani uwięzionej tak było ciasno, i tak gorzko, że się modliła krwawemi łzami o ukrócenie męki, jak Chrystus pod drzewem oliwném i z wyżyn Golgoty wołał do Ojca prośbą i skargą! Aż ulitował się Ojciec boleściom tego człowieka, i rzekł mu: „Cierpisz, bo nie kochasz.“ A z temi słowy zstąpił na męczennika jasny promień niebieski, który piersi jego niewymowną napelnił słodyczą; boleści jego osobiste, obecne, zmalowały na ziarno gorczyczne w przestrzeni miejsc i wieków, tak, że ich nie czuł, bo widział miliony podobnych sobie istot wyciągających ręce z téjże samój otchłani! I chrzest miłości spłynął na rany jego cudownym balsamem. Człowiek męczennik całą duszą ukochał cierpiących braci swoich; umarł dla siebie—dla nich ożył! Uczucia w piersi nie zamknął, nie zmarnował, ale wylał je na całe obumarłe stworzenie pieśnią życia, ukojenia i pociechy.

Człowiek ten wśród ludzi był najpiękniejszym, bo cierpiał jak męczennik, a kochał, jak Bóg!

Siedząc w najciemniejszym kąciku przyległego salonu, przystuchiwałam się téj rozmowie z szczególném wzruszeniem, bo usłysza-

łam własną myśl moję wypowiedzianą z takim zapalem, z takim przekonaniem, że w nią koniecznie uwierzyć było trzeba.

Tego samego dnia, wieczorem odczytując sobie listy świętego Pawła do Koryntów, natrafiłam przypadkiem na ów precudny rozdział o miłości, jako cnocie najwyższej a wiecznej, mającej przetrwać nadzieję i wiarę samą.

Gdy w milczeniu rozmyślałam nad słowami pisma, usłyszałam w tajni ducha mojego jakoby głos mówiący te słowa:

„A podstawą wszystkiego, końcem wszystkiego jest miłość.“

„A zbawieniem, a życiem wiecznym, a królestwem Bożem jest miłość w najwyższym onój pojęciu, w ostatecznym zjednoczeniu Boga z ludzkością wszechświatów, wszechplanet, gdziekolwiek myśl i uczucie zapanowało nad ciałem rzeczy stworzonych!“

„Alfa i Omega wszelkiego bytu teraz, zawsze i po wszystkie wieki!“

A serafinowie odwóczyli w niebiesiech: Amen, Amen, Amen!

(Dokończenie nastąpi).



ZBURZENIE JEROZOLIMY.

Skonał Jozyas, skonała z nim cnota,
Wiara się w nierząd, cześć w hańbę zmieniła;
Sięgnęli nieba i padli wśród błota,
A złość ich trądem zbrodni owrzedziła.

Dwa razy brzmiały dla nich słowa wieszczce,
Dwa razy wrogi kraj judzki zalali,
A Bóg wszechmocny przebaczył im jeszcze,
Wstać im pozwolił—oni z hańbą wstali!

Trzech królów siadło na tronie Judei,
Trzech królów słabych, bez wiary, bez cnoty;
Każdy żył marnie, każdy padł z kolei,
I wniósł następcy spuściznę sromoty.

Czwarty Sedekiasz ujął rządu wodze:
Słaby jak inni, jak inni skalany,
Wstąpił w tor złości, szedł po zbrodni drodze,
I jadem swoim zjątrzył ludu rany.

Wtedy Jeremiasz przyszedł po raz trzeci,
I zabrzmiał strasznym gniewu oburzeniem;
On wpiérw przestrozę niósł dla słabych dzieci,
Dziś groził śmiercią, hańbą i zniszczeniem.

„Gdzie Bóg twój?“, wołał „o niewdzięczne plemię,
Bóg, który wzniosł cię nad wszystkie narody;
Który twym ojcom dał tę piękną ziemię,
I bujne pola, i wspaniałe grody?“

„Gdzie Bóg twój, królu, co krwi nieskalanej
Rodu Dawida wzniosł tron okazały?
Na którym z tylu pokoleń wybrany
Szczep ojców twoich, zabłysł światłem chwały?“

„Gdzie Bóg wasz, ludy, gdzie Bóg wasz, kapłany,
Który świat stworzył i słońce co świeci,
Który w swym blasku chwały niezrównany,
Wyrwał was z błota i kochał jak dzieci?“

„Bóg wasz:—zdźbło piasku, garść prochu zbutwiała;
Bóg wasz:—kłęb dymu, pęk liści, snop trawy,
Bóg wasz:—to drewno, kruszec albo skała,
Zwiérz, ziemia, robak, lub téż gad plugawy.“

„Hańba ci, hańba, o rodzie szalony,
Cześć grzebać w błocie, hołd mieścić w kamieniu,
Dym marny święcić, zwierzom bić pokłony,
I widziéć Stwórcę w niekzemném stworzeniu!“

„Hańba ci, hańba, o tłuśczo złowroga!
Nieba nie sięgniesz, chcesz zbrodnią mieć w niebie;
Sama niekzemna, chcesz zniekzemnić Boga,
By skalanego unizyć do siebie!“

„Drżyj Judo! czas już, by z haniebnych czynów
Wzrósł owoc kary na gruzach zniszczenia,
I krwią zwilżony dla przykładu synów,
Zakwitł wśród mieczów, dojrzał wśród płomienia.“

„Drżyj Judo! Bóg rzekł: wyniszczę tę ziemię,
Która mą ziemią przez tyle lat była;
Przeknę te ludy, wytracę to plemię,
Gdzie się cześć moja w sprośnej czei zhańbiła.“

„Drżyj Judo! zginiesz — wróg ciobie zaleje
Falą orężów i morzem płomieni,
I lew pogromczy porzuci Chaldeję,
I kraj rozkoszy w pustynię zamieni.“

„I twierdze padną, i miasta, i mury,
I zmilkną ptaki, i zwiędnie liść w lesie;
Gad tylko z gliszczów wypełznie ponury,
I robak z trupów waszych się podniesie.“

„Słyszycie szum fal—jak piętrzą się morza,
Słyszycie trzask drzew—jak palą się miasta?
Na was to, na was, bałwan wstaje z łoża,
Na was to, na was, płomień zguby wzrasta!

„Słyszycie grzmot chmur—jak huczy donośnie,
Słyszycie ryk lwa—jak z echem gór płynie?

Na was to, na was, burza zniszczeń rośnie,
Na was to, na was, lew rzuca pustynie!“

Mówił wciąż prorok; a jak nurt spieniony,
Jak trzask pożaru, szum fal, świst płomieni,
Jak hurkot gromu. jak lwa ryk szalony
Grzmiał wieszczem słowem głos jego w przestrzeni.

A gdy już skończył, rozległ się dokoła
Chór ztorzeczenia z okrzykiem szaleństwa;
I tłum niekzemny wzniósł zhańbione czoła,
Zaszemrał głucho, i parskł w śmiech szyderstwa:

„Szalony człeku!—krzyknie lud zuchwały—
Ten mur zbyt silny, zbyt twarda ta skała,
Ten most zbyt ciężki, zbyt grube te wały,
By ręka wrogów pokruszyć je miała.“

„Gród nasz stać będzie, jak od wieków stoi,
Miecz go nie dotknie, płomień go nie strawi;
Żadna moc naszych nie sięgnie podwoi,
Zaden strach ludów naszych nie zniestawi.“

„Ty drżysz niekzemnie, ciebie mara ludzi,
Mami widziadło, bojaźń i szaleństwo;
Przejęty trwogą, chcesz trwogę wlać w ludzi,
Wybladły strachem, chcesz w strach zmienić męstwo.“

„Więdz jednak, jaka otchtań nas oddziela:
Ty gniesz się słaby—my siłą jaśniejem;
Ciebie strach hańbi—nas męstwo ośmiela;
Tyś padł—my wzrosli; ty drżysz—my się śmiejem!“

„Ty zniewieściały truchlejesz tajemnie,
Ty mocy w Bogu, siły szukasz w niebie;
My łaski Boga nie żebrzem niekzemnie:
Sobą potężni—wielbim tylko siebie.“

*

*

*

Mijają doby, godziny wciąż płyną;
To brzask się rodzi, to powstają cienie,
I z dobą każdą, i z każdą godziną,
Groźby proroka zbliża się spełnienie.

Każdy prąd wiatru strach w swym szumie niesie,
Każdy głos tworu strach w swym dźwięku płodzi;
Strach huczy z falą, drży z liściem po lesie,
Splata się z echem, z grzmotem chmur się rodzi.

Strach płynie wszędzie z obawą tajemną,
 Strachem przejęty zwierz w bory się chroni;
 I gad straszliwy pełźnie w grocie ciemną,
 I potwór morski zagłębia się w toni.

Strach z słońcem wschodzi, strach z mrokiem się szerzy,
 Z hałasem rośnie, skupia się z milczeniem;
 Wszystko drży strachem—a człowiek nie wierzy,
 Szczęśny, wesoły, brzmi rozkoszy pieniem!...

Jemu się wiara marzeniem wydaje,
 W nim hańba cnotę, złość czucie zwycięża;
 I czas nadchodzi, w którym wyżej staje
 Instynkt zwierzęcia, od rozumu męża!

I czas nadchodzi, w którym wola Boga
 Straszne przyszłości spełni przeznaczenie,
 W którym z rozkoszy wyrodzi się trwoga,
 W którym z potęgi wyrośnie zniszczenie!

I przyszła chwila: a w całej Judei
 Pogromczym mieczem zabrząkli mściciele,
 I wielki władca potężnej Chaldei,
 Groźbę w czyn zmienił, w jęk śmierci wesele.

A ród Jakóba, jak ów mąż szalony,
 Co nad przepaścią w sennych legł marzeniach,
 Powstaje nagle, chwieje się strwożony,
 I ginie w czarnej otchłani przestrzeniach.

Łza—tarczą jego; pociskiem—błaganie;
 Mieczem—krzyk żalu; rozpacz—siłą dłoni;
 On nawet z męstwem upaść nie jest w stanie,
 Bo walczy hańbą, sromotą się broni.

Żebrze litości, przebaczenia prosi,
 Gnie słabe karki, blade chyli czoła,
 I jęczy trwogą, i łzą ziemię rosi:
 On żyć nie umiał—on umrzeć nie zdoła!

O straszna, straszna godzina zniszczenia!
 Pada ród cały, całe plemię ginie,
 Cała Judea krwią się rozczzerwienia,
 Krew w piaskach krzepnie, krew rzekami płynie.
 W morzu krwi staje gród z wieków wspaniały:
 Ni wielkość siły, ni nędza słabości,
 Ni matka, dziecię, ni starzec zgrzybiały
 Wyżebrać sobie nie mogą litości!

* * *

I noc nadchodzi, a wśród nocy cieni
 Błyska punkt mały na czarnej oponie,
 I świeci zdala, jak gwiazda w przestrzeni,
 I niby gwiazda wśród warstwy chmur tonie,

Wnet za nim drugie światełko wyrasta,
 I trzecie, czwarte mrok nocy przebija;
 I sto światełek zabłysło wśród miasta,
 I sto płomieni w cieniach się rozwija.

I każdy płomień podnosi się w górę,
 Kręci się, wije, migocze, czerwieni:
 Raz w siebie wchodzi, raz wystrzela w chmurę,
 Znowu pryska w koło tysiącem promieni.
 I w krocjach ramion płynie fal miliony,
 I rosną fale, i huczą donośnie;
 Świszczą płomienie, grzmi żywioł szalony,
 I morze ognia w straszny pożar rośnie!

Znika cień nocy z posepną powłoką,
 Jaskrawym prążkiem okała się chmura;
 I gdzie myśl sięgnie, gdzie dostrzeli oko,
 Wszędzie w żar łuny lśni złota purpura.

I z wolna z cieniów powstał blask czerwony,
 Blask, który nędzę i cierpienia płodzi,
 Blask, który niesie w sobie łez miliony,
 Z którym śmierć rośnie, z którym jęk się rodzi.

A razem z blaskiem zawyło straszliwie
 Tysiące głosów w krzyk zgrozy, szaleństwa;
 I tysiąc jęków dziko, przeraźliwie,
 Okropnym chórem zagrzmiało przekleństwa.

Trzasnęły mury, wieże się zachwiały,
 A z gmachów nowe wytrysły płomienie;
 I ogrom ognia potężny, wspaniały,
 Wzniósł się poważnie pod niebios sklepienie.

I pożar straszny wzbijał się do góry,
 I wzrastał wkoło pomrok dymu ciemny,
 I z siwych kłębów rozlewał się chmury,
 I nikł powoli w przestrzeni tajemnej.

A jak wśród burzy załśni niebo blaskiem
 I grom wyleci z chmur posepnych łona;
 Tak w kłębach dymu z przeraźliwym trzaskiem,
 Runęły mury grodu Salomona.

I krocie iskier do góry wytrysto,
 A obłok dymu skrył wszystko swym cieniem;
 Lecz wkrótce w dymie nowe światło błysło,
 I nowym ogień wystrzelił płomieniem;

Nowy gwar zawrzał, nowe krzyki wzrosły,
 Nowy błysk ciemnię rozświetcił z kolei,
 Nowe się jęki z płomieni podniosły,
 I nowy pożar zalał gród Judei!

Ogniu! kto ciebie pojmie i określi,
 Kto marność zbada, kto wielkość osławi,
 Potęgę słońca czyje sięgną myśli,
 Czyj rozum w drobnój iskierce się strawi?

Ogniu! tyś wielki i nikczemny razem!
 Przed chwilą czczony, stajesz się przeklętym;
 Siłą zniszczenia—tyś piekła obrazem,
 Potęgą życia—darem niebios świętym!

Ty plag tysiące niesiesz w iskrze małej,
 Ty z szumem wiatru w straszny pożar płyniesz;
 A gdy się zdaje że świat strawisz cały,
 Kroplą wilgoci znów w iskierce giniesz!

Męczarnią śmierci wyrastasz z płomienia,
 Rozkoszą życia spływasz w blasku z nieba;
 Ogniu! obrazie łaski i zniszczenia,
 Ciebie i wielbić, i potępić trzeba.

* * *

Przygasły światła, zniknął dym w przestrzeni,
 Ustały krzyki, gwar się w ciszę zmienił;
 I wyrzwał księżyc z chmur posępnych cieni
 I blade światło nocy rozpromienił.

A tam, gdzie piękny gród wznosił swe mury,
 Gdzie brzmiał śniących szczęścia i wesela pienie,
 Z kopconych zgliszczów został gruz ponury,
 Trupy, krew skrzepta, i głuche milczenie.

Tylko gdzieniegdzie posępny, czerwony,
 Wyrósł płomyczek na gmachów ruinie:
 Podniósł się, błysnął, zachwiał w różne strony
 I znikł wśród gruzu w rozwartą szczelinie.

Tylko gdzieniegdzie, przy belce, przy murze,
 Siny dym srebrnym wystrzelił promykiem,

I rosnać zwolna fałdował się w górze,
I rzedniał lekkim rozwiany wietrzykiem.

Czasem iskierka z popiołów trysnęła,
Czasem coś zdała w gruzach zatrzeszczało;
I znów zmilkł turkot, znów iskra zniknęła,
I znów się głuche milczenie rozlało.

I zwolna w górze pod niebios sklepieniem,
Zaszeleściło ptasich piór tysiące:
I chmara kruków zakryła swym cieniem,
Nocnego światła promienie mdlejące.

I nad śmiertelnym zniszczenia padolem,
Złowieszcze plastwo w gromady się skupia,
I w długich skrętach płynie czarnym kołem
Tam, gdzie je wabi zgnilizny woń trupia.

A na opoce, pośród gruzów stosu,
Siedzi potomek zgasłego narodu,
I płacze braci nieszczęsnego losu,
I płacze ojców wspaniałego grodu.

Ten cień przeszłości — to Jeremiasz stary,
Co całe życie brzmiał słowem zbawienia;
A dziś, gdy grzesznym nieść nie może wiary,
Trupom przynajmniej niesie łzę cierpienia.

„O Jeruzalem! ojców moich grodzie,
Córo Syonu, chwała Salomona!
O wielki, święty Jakóba narodzie,
Gdzie jest cześć twoja, gdzie twoja obrona?“

„Próżno cię szukam strapiony dokoła,
Próżno nad tobą boleję i płacę;
Próżno myśl moja z rozpaczą cię woła,
O Jeruzalem, już cię nie zobaczę!“

Rzekł, trzasły mury, i błysły płomienie,
I chmara kruków wzbiła się wysoko;
I znów się głuche rozlało milczenie,
A on samotny podumał głęboko:

„Corko Syonu! zaparłaś się enoty,
Przed czią bałwanów ugięłaś kolana,

I wstał z ołtarzy świętych cielec złoty,
I połysk kruszczu przyémił chwałę Pana.“

„Sromota z ojców spłynęła na synów:
Wykwitł trąd złości z nieczystego łona,
A pośród hańby niegodziwych czynów,
Runęłaś własną sromotą strawiona.“

„O Jeruzalem! ni obronne wały,
Ni Bogi cudze, ni siła ramienia,
Ni moc, ni oręż, wznieść cię nie zdołały:
Bóg chciał—i padłaś, wśród gruzów zniszczenia!“

Rzekł, spuścił głowę, i załamał dłonie,
I jęk tłumiony skonał w piersi skrycie,
I ból okropny zawrzał w spiekłym łonie,
I łzy po twarzy spłynęły obficie.

„O Jeruzalem! już twoje kapłany
Nie mogą świętej nieść Bogu ofiary;
Brzmi krzykiem żalu lud z ludów wybrany,
Wala się w prochu przybytek twój wiary.“

„Biedna sieroto, opuszczone dziecię!
Ty łzami zrosisz stopy obcych ludzi,
Ty płacz rozniesiesz po obszernym świecie,
A żadna łezka litości nie wzbudzi!“

„Zdarto twe szaty, o córko Syonu!
Sława twa w gruzach, cześć twoja w popiele;
Śmiech twój się zmienił w bolesny jęk zgonu,
Łaska w przekleństwo, w płacz zgrozy wesele.“

„Padły twe gmachy, runęły twe mury,
Wymarli męże, znikły pokolenia
Świętego grodu. O zgliszczu ponury,
Stoisz jak szkielet w pośrodku zniszczenia!“

„Pałace twoje—mieszkanie pubaczy;
Świątynie—gadów; gmachy—żmij siedliskiem;
Kaźda krwi kropla gruz twój hańbą znaczy,
Tyś zgrozą swoim, wrogom pośmiewiskiem!“

„O Jeruzalem, chwało Salomona!
Wzrost twój był szczytnym, straszna twa zagłada;
Powstałaś święta, runęłaś zhańbiona.
O Jeruzalem, biada tobie, biada!“

Zapłakał starzec, a przy nim ponuro
Trzasnęły mury, błysnęły płomienie;
I blady księżyc ukrył się za chmurą,
I smutne nocy rozlały się cienie.

I chmara ptastwa, z przeraźliwym głosem,
W czarnej do trupów spłynęła gromadzie;
I świerszcz samotny pod kamieni stosem,
Żałośnie krwawej zanucił biesiadzie.

Brzmiał gwar złowieszczy zniszczeniem wokoło,
I budził echa ponure z kolei;
A starzec zamilkł, skrył w dłonie swe czoło,
I płakał biędny nad zgubą Judei!...

Pisałem w Radoszewicach,
dnia 19 marca 1851 r.

Ludwik Niemojowski.



WSPOMNIENIE

O DAWNÉJ MIEJSCOWÉJ OPIECE NAD UBOGIEMI.

Od pierwszych wieków chrześcijaństwa, politowanie nad cierpiącym i nieszczęśliwym, tudzież świadczenie mu miłosierdzia, należało nie tylko do cnót, lecz do głównych obowiązków wyznawców wiary Chrystusa.

„Estote misericordes, sicut et pater vester misericors est. Luc: VI, 36. Misericordiam volo et non sacrificium. Mat. IX, 13.”

Ze ścisłości tego obowiązku i przypuszczenia, że każdy prawdziwie pobożny chrześcijanin wypełniać go musi, powstało to mniemanie, że dla zaradzenia niedoli ludzkiej, dosyć jest odwołać się do miłosierdzia chrześcijańskiego, i że nie ma potrzeby urządzać opieki nad ubogimi, których utrzymanie dary zamożniejszych dostatecznie opatrzyć potrafią.

Są dziś zkadąd bardzo szanowni i znakomici ludzie, którym się zdaje, że zajmowanie się losem ubogich i zaopatrywanie ich potrzeb, ani współdziałania władz rządowych, ani ich pośrednictwa nie wymaga; są inni co utrzymują nawet, że mieszanie się do tego władz rządowych, zamiast polepszać, pogarsza przykre położenie ubogich. U ludzi tego rzędu zakorzeniło się głęboko przekonanie: że ubodzy sami sobie pozostawieni, z ufnością polegacby mogli na pomocy, którą im społeczeństwo z własnego natchnienia nieść jest w gotowości, gdyby tylko chrześcijańska jałmużna żadnej przeszkody nie napotykała, i gdyby się więcej starano wpajać i rozkrzewiać miłosierdzie, z zasad i obowiązków religii płynące.

W doświadczeniu wszystkich wieków i krajów nie sprawdziły się te mniemania. Owszem, przekonano się, że litość i dobroczynność ulegać muszą, podobnie jak wszystko inne, stałym zasadom porządku: bo wszędzie okazało się, że miłosierdzie prywatne nie tylko samo nie

zaradzało nędzy, ale nawet mniej świadczyło, jakby przy połączonych siłach i przy stosowném i trafném urządzeniu opieki nad ubogimi świadczyć mogło.

Dziś opieka ta we wszystkich ucywilizowanych krajach stanowiąc jedną z ważnych nader gałęzi służby rządowej, zatrudnia wszędzie wielką liczbę dobrze myślących i należycie uzdolnionych ludzi. Obowiązki tych, co się nią zajmują, chyba tém tylko różnią się od innych służb rządowych, że tutaj nie przewodniczy chęć wyniesienia się, ani jest zachętą nadzieja otrzymania nagród; tylko sama czysta miłość bliźniego, jednająca zasługę przed Bogiem, do gorliwości i poświęceń pobudza.

Lecz nie dzisiaj, nie od kilkudziesiąt lat, ale od kilku nawet wieków istniało także przekonanie, że władza zwierzchnia ma obowiązek zajmowania się opieką ubogich, kierowania miłosierdziem i dobroczynnością prywatną.

Czy, jak to dawniej miało miejsce, władza ta była duchowną, czy téż jak dzisiaj, jest wpływem władzy rządowej, zarówno duchownym jako i świeckim do wykonania poruczoną; dosyć, że oddawna już była w krajach zmierzających do ustalenia porządku towarzyskiego jakaś zwierzchność, która urzędowała opiekę nad ubogimi, i czuwała nad ściśłym wypełnianiem przepisów ludzkich względem miłosierdzia chrześcijańskiego.

Nie sięgając podań historycznych obcych krajów, zamierzaliśmy przytoczyć dawne nrządzenia w kraju naszym wydane, w celu ograniczenia żebractwa i zapewnienia opieki nad ubogimi: aby okazać, że jeżeli z jednej strony starano się zapobiegać rozpucie i zepsuciu obyczajów, które przy wolnej i jawnie znoszonej żebraninie miały miejsce; to z drugiej znowu nie spuszczano z uwagi losu prawdziwie nieszczęśliwych, wsparcia i przytułku potrzebujących, a zatém na politowanie zasługujących; przyczém to może ciekawém i zajmującym będzie, że dawne nrządzenia są podobne do dzisiejszych, i odznaczają się jednakową troskliwością o los ubogich.

Jeszcze przy schyłku XV wieku król Jan Albert w statucie z r. 1496 zalecił magistratom po miastach, proboszczom zaś po wsiach, aby liczbę prawdziwych żebraków w każdej parafii ustanowili, i uznanych za istotnie ubogich pewnemi znakami zaopatrzyli. Kto by zaś prócz tych żebraninie oddawać się poważył, pojmany i w ręce starostów oddany, miał być użyty do ciężkich robót obronnych:

„statuimus ut in civitatibus oppidis et villis regni nostri non plures mendici habeantur, quam quot communitates et domini loco-

rum decernant habendos, quibus in locis civitatibus et oppidis consularatus, pro tempore existens, in villis vero Plebani, sub quorum parochiis villae consistunt, et locorum Dni signa imponant sub illis, ad designandum numerum eorum, quos habendos duxerint mendicatos. Qui vero absque signis reperientur, decernimus ad servitia capiendos, aut in manus capitaneor. nostror. tradendos, a quibus illos pro laboribus castrorum Turcis et Tartaris commetaneorum fossarumque successive recepturi summus etc." V. L. I p. 267 i 268.

Statut ten ponowionym został na sejmie koronacyjnym za Zygmunta III w r. 1580 odbytym, z zagrożeniem kary *centum marcarum*, gdzieby przez urząd grodzki albo miejski nie był exekwowan (V. L. II pag. 1243).

Synod prowincjonalny gnieźnieński, r. 1628 pod prezydencją Jana Wężyka arcybiskupa gnieźnieńskiego w Piotrkowie zebrany, pomiędzy innemi różnemi urządzeniami dla duchowieństwa i kościoła polskiego uchwalonemi, które papież Urban VIII potwierdził, wydał także i o opiece oraz zarządzie szpitali postanowienie:

„Wielką podporą dla biędnych jest litość prawowiernych, tudzież troskliwy i należyty szpitali zarząd; którato rzecz, ponieważ wchodzi w obręb ważnych obowiązków pasterskich, plebani powinni się starać o to, iżby nietylko oni sami z oszczędności i rządności swoich szli w pomoc potrzebom biędnych, ale także i inne osoby, do którychby czuwanie nad temiż potrzebami należało, do pilnego spełniania obowiązków swoich nakłaniali.”

„A nasamprzód gdzie na mocy statutu, przywileju, lub fundacyi nie masz stałych administratorów szpitali, niech się starają poruczyć ten obowiązek mężom zacnym, przezornym, obrotnym; wszakże nie zbytnie za takowym obowiązkiem ubiegającym się, lub tóż szpitalowi jakimbądź tytułem obowiązany, zmieniając ich co lat trzy. Ci zaś będą powinni corocznie sporządzać inwentarz wszystkich rzeczy i przedstawiać takowy miejscowemu biskupowi lub tóż jego wizytatorom, niemniej tóż składać rachunki z wpływów i darów.”

„Niech zaś baczą izby żebracy, którzy albo przez pracę mogą sobie zarobić na utrzymanie, lub tóż innym jakim sposobem mogą wyżyć, nie byli przyjmowani do szpitali, i aby przez udzielanie jałmużny, lenistwo próżniaków nie miało poparcia; lecz tylko chorobą lub wiekiem znękani, tudzież kalecy i do pracy wcale niezdatni, w szczególności zaś mieszkańcy miejscowi byli przypuszczani. Włóczęgom zaś i zdrowym, jeżeliby nie chcieli pracować, plebani nie mają pozwalać

żebrać pod kościołami, a władza świecka ma ich wyganiać ze wsi i z miast.”

„Dalej w każdym szpitalu izby i komory mężczyzn mają być oddzielone od kobiecych, i nie ma być nigdy dozwoloném, iżby mężczyzny z kobietami razem przebywali.”

„W razie, gdyby się znajdowali tacy, którzyby jaką zaraźliwą chorobą innych dotknąć mogli, takowi mają być odosobnieni od towarzystwa i przebywania z innymi.”

„Tymczasem zaś, gdy ciała ich bywają leczone, należy pamiętać o ich duszach; dlatego téż pleban lub ich właściwy kapłan powinien ich często nauczać cierpliwości i artykułów ściągających się do zbawienia. Ciągłe mają się oddawać modlitwie, a przynajmniej raz w miesiąc wypowiadawszy się, mają przystępować do stołu Pańskiego. Wreszcie, potrzeba napominać prawowiernych, iżby prócz codziennych jałmużn, które albo siedzącym pode drzwiami kościelnymi żebrakom wydzielają, albo kollectorowi do tego wyznaczonemu w puszkę lub skarbonę zamkniętą wkładają: czasami szcudrzejsze jałmużny posyłali przez swoich, lub składali sami, tudzież zwiedzali szpitale i tamże przywykali usługi czynić ubogim czyli raczej samemu Chrystusowi w tychże; za któreto jałmużny połączone z rocznym przychodem, jeżeli jest takowy, ma być opatrywane utrzymanie i ubieranie ubogich, pościel, lekarstwa i inne potrzeby.”

„Izby zaś tém rychlej i z większym porządkiem dało się to przywieść do skutku, plebani mają dołożyć starania, aby rajcy lub inna zwierzchność miejscowa z administratorem lub proboszczem szpitala, tudzież z samemi parafianami przynajmniej raz w miesiąc lub téż częściej, jak tego potrzeba zajdzie, w dniach świątecznych zeszli się w miejscu do tego wyznaczoném, dla naradzenia się we względzie należytego zarządu szpitalem; a jeżeliby z czasem zaszło coś takowego, coby uważali iż potrzebuje narady, pomocy lub pracy, mają to przedstawić, naradzić się i użyć środków odpowiednich. A przedewszystkiém mają temu zapobiegać, iżby przy rozdziale jałmużn lub dochodów szpitalnych, Chrystus w ubogich nie został pokrzywdzonym.”

W ustawie szpitalnej dzisiejszej z r. 1842, znajdujemy wszystkie niemal główne zasady we względzie zarządu szpitali i opieki nad ubogimi, jakie owa uchwała synodu gnieźnieńskiego z r. 1628 zawiera; warto zatem poświęcić jaką chwilę dla przekonania się o zgodności dwóch tych urządzeń, dwoma wiekami przeszło od siebie oddalonych.

Uchwała dawniejsza gnieźnieńska miała to głównie na celu aby należyty i troskliwy zarząd szpitali wszedł w obręb obowiązków

pasterskich, i aby plebani nie tylko sami nieśli pomoc biednym, lecz starali się jeszcze, aby i świeckie osoby spełniali obowiązki swoje miłosierne, przykładając się ofiarami do zaopatrywania potrzeb ubogich.

Ustawa dzisiejsza szpitalna odwołuje się także do współdziałania duchowieństwa, a mianowicie plebanów, w ważnym dziele przyniesienia ulgi cierpiącym i łakącym: bo przeznaczają osoby duchowne na członków do składu rad szpitalnych i dozorów parafialnych, i porucza plebanom nadzór nad domami schronień, oraz opiekę nad ubogimi, w parafii zamieszkałymi.

Uchwała gnieźnieńska nakazuje powierzać zarząd szpitali mężom zacnym, przezornym, obrotnym, co lat trzy obieranym, i za powinność im przepisuje sporządzać inwentarze własności szpitalnych, oraz здаwać rachunki z dochodów corocznie. Nie jestżeto też sama zupełnie myśl, jaka się odbija w ustawie dzisiejszej, mianowicie w zaprowadzeniu rad szczegółowych szpitalnych, i dozorów parafialnych, domami schronień zawiadujących, których członkowie są równie wybierani na lat trzy z pomiędzy obywateli miejscowych, znanych z poświęcenia się swego dla dobra ludzkości?

Jak trafnym jest to zastrzeżenie starodawniej uchwały, aby nie obierać na zarządców czyli opiekunów szpitali takich, którzy się zbytecznie za takowym obowiązkiem ubiegają, w tém, ile się zdaje, przypuszczeniu, że kto tylko tytułu pragnie, ten zwykle gdy go dostąpi, o przedmiot swoich starań mniej dbałym się okazuje.

Dla tych (1), którzy obstawają za bezwarunkowym rozdawaniem jałmużny żebrakom, bez względu na to, czy takowa dostaje się w ręce oszusta lub rzeczywiście ubożego; jako i dla tych, którzy dają się powodować pobudkami osobistych względów i łaski, niezasłużonej świadczonej: niech służy za naukę uchwała synodu w tym punkcie, gdzie każe baczyć:

aby żebracy, zdolni do pracy lub mający z czego żyć, nie byli przyjmowani do szpitali; aby udzielanie jałmużny lenistwa próżniaków nie podsycalo; aby włóczęgom zdrowym nie pozwalać żebrac pod kościołem, lecz ich wyganiać ze wsi i z miast.

Czyż te urządzenia w związku z postanowieniami, objętymi statutem króla Jana Olbrachta, nie są zgodne z ustawami i przepisami policyjnymi przeciw żebractwu i tułactwu dzisiaj obowiązującymi? Czyż

(1) Niepamiętnych na słowa św. Pawła: „Jeśli by kto nie chciał robić, niechże też i nie jé” II. Ths. III., 10.

organizacya domów schronień parafialnych nie zamyka w sobie takiego samego przepisu, jak rozporządzenie synodu, stanowiące: że tylko chorobą lub wiekiem znekani i do pracy niezdatni, w szczególności zaś miejscowi mieszkańcy, w szpitalach winni znaleźć dla siebie przytułek.

Przepisy względem oddzielania po szpitalach osób podług ich płci, względem odosobniania chorych, zaraźliwymi chorobami dotkniętych, są i dzisiaj podstawą porządku szpitalnego.

Ustanowienie kapelanów przy głównych szpitalach, oddanie w wielu zakładach chorych pod opiekuńczą staranność siostr Miłosierdzia, powołanie członków duchownych do składu rad szpitalnych i poruczenie plebanom zarządu domów schronienia: nie sążto wszystko środki, ułatwiające wykonywanie po tych zakładach obowiązków duchownych, i utrzymywanie w nich ducha religijnego, podług zleceń w uchwale synodu przepisanych?

Lecz jakże ważnym, zwłaszcza na czas w którym był pisany, jest ustęp synodu, który zaleca napominać prawowiernych, aby nie ograniczali dobroczynności swojej na jałmużnach żebrakom, przede drzwiami kościelnymi siedzącym, lecz ażeby przez ciągłe składki, na szpitale i ubogich czynione, wywiązywali się z obowiązku miłosierdzia.

Rozporządzenia takiej władzy duchownej obalają całą teorią przeciwników zakładów dobroczynnych i ustaw tyczących się ubóstwa, którzy powstając przeciw utrzymywaniu ubogich w szpitalach i domach schronień, dopominają się dla nich bezwarunkowej wolności żebrania, i utrzymują, że hojnie przed kościołami rozdawane jałmużny, są już same przez się zdolne zapobiec szerszej się prowadzącej nędzy.

Dowody przez nas przywiedzione, sięgające dość odległej epoki, okazują, jak mylném jest to twierdzenie nieraz przez nich powtarzane, iż za ojców naszych nie było zakładów niby dobroczynnych, w których ubogich zamykano, ani żadnych zakazujących żebractwa, ani urządzenia stałych składek na zaspokojenie potrzeb szpitali.

Ostatni ustęp przytoczonego przez nas wyjątku z synodu gnieźnieńskiego obejmuje urządzenie rad szpitalnych, do których powołuje rajców lub inną zwierzchność miejscową i mieszkańców parafii, celem naradzenia się nad potrzebami zakładów. Przepisy te we wszystkiém odpowiadają dzisiejszej organizacyi rad szczegółowych szpitalnych, i zdają się dowodzić, co i niektóre erekcyje szpitali parafialnych skutecznie popierają, że od wieków w kraju naszym istniały ustanowienia pewnych miejscowych władz dobroczynnych,

z duchownych i ze świeckich osób złożonych, których instytucją dziś rozwiniętą i upowszechnioną, inne kraje europejskie zazdrościć nam mogą.

Skutkiem zapewne gorliwości duchowieństwa w wykonywaniu obowiązków miłosierdzia chrześcijańskiego, tak trafnie przez synod z r. 1628 określonych, powstały po parafiach kraju naszego szpitale parafialne, przeznaczone na zapewnienie schronienia ubogim mieszkańcom wiekiem przyciśnionym lub kalectwem dotkniętym, które dla rozróżnienia ich od szpitali dla chorych po miastach urządzonych, otrzymały w ostatnich czasach nazwę domów schronień, i zostają dzisiaj pod zawiadywaniem dozorów parafialnych.

Są wprawdzie w przywilejach królewskich, konstytucjach, nadaniach biskupich, w erekcyjach i różnych zapisach, pochodzących z dawniejszej epoki, dowody, że jeszcze przed rokiem 1628 istniały w kraju naszym podobnego rodzaju zakłady, ręką dobroczynną wzniesione; ale nie mogły one w początkach swego zawiązania się wejść w zakres właściwej sobie działalności, bo im niedostawało siły organizacyjnej; siły, ruch, życie i porządek utrzymującej. Brak ten zastąpiła uchwała synodu gnieźnieńskiego, tyle razy przez nas wzmiankowana, tę jeszcze ważną dla ludzkości wyświadczywszy przysługę, że do ofiar na otarcie łzy cierpiącym silniejszy, ile się zdaje, nadała popęd. Odtąd szerzyć się i upowszechniać zaczęły fundacye szpitalne. Do dawnych uposażeń przybywały nowe, zagaściły się liczne zapisy, łączące w sobie cel religijny razem z celem miłosierdzia. Czyli to pochodziło ze zwykłej wówczas pobożności, czyli z wpływu, jaki ustawa synodu na umysły wywarła, trudno odgadnąć; dość, że później gorliwość fundatorów musiano aż prawami tamować (ustawy z lat 1631, 1635, 1669, 1676, 1726, o nieoddalaniu dóbr ziemskich od stanu świeckiego).

Tym sposobem szczyły w początkach, a z postępem czasu znakomicie wzrosły, powstał majątek, składający się z dóbr ziemskich, domów, gruntów, summ, dziesięcin, czynszów, danin, służebności, w zarząd plebanów pod strażą biskupów pierwiastkowo oddany, który stanowi obecnie uposażenie domów schronień i jest podstawą dalszego ich utrzymania.

Przy wszystkich podobnych fundacjach ta jeszcze okoliczność godna jest uwagi, że obok zamiaru dobrze czynienia ubogim, chcieli pobożni fundatorowie zjednać sobie wdzięczne przypominki obdarowanych i modły kościelne za dusze swoje; przywiązywali więc zwykle do zapisów pewne obligacye kościelne, jakoto: odprawianie mszy św.

anniwersarzy i t. p. Niekiedy także wkładano na ubogich, w obdarowanych szpitalach utrzymywanych, obowiązek dopełnienia ciągłej posługi przy kościołach parafialnych, a niekiedy i obowiązek modlenia się za dusze fundatorów.

Gdy zaś opieka nad szpitalem parafialnym i wypełnianie zastrzeżonych obligów kościelnych należały do plebanów, a nie było w kraju żadnej władzy centralnej, któraby czuwała nad ścisłym spełnianiem woli fundatorów, oraz pilnowała tego, iżby fundusze ubogich nie zostały pomieszane z funduszami kościelnymi: wynikło ztąd, że cel zapewnienia opieki ubogim z parafii, poświęcanym nieraz był potrzebom kościelnym; tam zwłaszcza, gdzie szczupłość uposażenia probostwa do tego zagnęła. Za tém poszło, że owe trafne i tyle przeczorne przepisy synodu gnieźnieńskiego poszły z czasem w zapomnienie, że owe rady miejscowe, losem ubogich trudnić się mające, albo wcale zwolywanemi nie były, albo téż obojętnie patrzyły na odwrócenie się funduszków ubogich od właściwego im przeznaczenia, i że szpitale parafialne z przytułku dla starców i kalek miejscowych, stały się mieszkaniem sług kościelnych i plebańskich.

W drugiej połowie zeszłego wieku napotykamy dopiero ślad ściślejszego wejrzenia władz rządowych świeckich w fundusze i zakłady dla nich przeznaczone.

Jakoż prawo sejmowe z r. 1768 (V. L. VII, p. 754 i 755) nakazuje kommissarzom na kommissyje *Boni Ordinis*, wyznaczać się mającym:

„żeby wraz *cum Ordinariis locorum* w fundacye szpitalów wszelkich po miastach, miasteczkach i wsiach wejrzeli, czyli im się zadosyć dzieje, uznali, i na przyszły czas porządek ku wygodzie chorych i ubóstwa, według przepisu fundatorów i sposobności, *ex statu praesenti* tychże fundacyj wynikającej, pomnożenie dochodów przez jak najlepszą administracyą, jako im to instrumentem osobliwym przepisano będzie, ustanowili.”

Prawem zaś dalszém z r. 1775 (V. L. VIII p. 173 et seq.) ustanowiono osobne kommissyje z określeniem szczegółowém ich władzy i obowiązków.

Powody, jakie do uchwalenia prawa tego skłoniły rząd ówczesny, niemniej przepisane dla kommissyj obowiązki są i dość ważne, i dość ciekawe; nie sądzimy więc, abyśmy nadużyli cierpliwości czytelników, gdy je także, chociaż w wyjątkach, dosłownie przytoczymy.

Wyraża się naprzód na samym wstępie prawo z r. 1775:

„Litość nad bliźniami, starością, chorobą, i ubóstwem przyciśnionemi, wzbudziła od dawnych czasów cnotliwych obywatelów rzeczypospolitej, że po różnych miastach i miejscach nędznym, chorym, zestarzałym i zarobić sobie niemogącym ludziom, przytulenie obmyślili; ale że te pobożne rozrządzenia, najwyższej władzy nie miały na siebie pilnego oka, jużto okolicznościami czasów, już roztrągnięciem dozorców, ledwie niewszędzie wycieńczone, zamieszane, zrujnowane, i prawie wniwecz obrócone zostały: na przyprowadzenie więc do swoich klub rzeczy tak świętej, za sprawiedliwą i nader zbawienną potrzebę sądzimy, ażeby wyznaczyć kommissyę z osób zdatnych, i przyzwoitego szpitalom rządu gruntowną wiadomość mających, tak do Korony, jako Wielkiego Księstwa Litewskiego, którymby jedynie dozór, staranie i władza nad szpitalami, podług artykułów niżej wyrażonych, poruczona była”.

Dalój zaś przepisuje:

1. „Zaczną pomienione kommissyę urząd swój od spisania przez wyznaczonych lustratorów, punktualnie i sumiennie we wszystkich województwach wszelkich funduszów szpitalnych, z konnotacją praw i possessyj tych funduszów lub samych tylko possessyj, gdzieby prawa były zatracone; o której possessyi, i jój dawności informować się lustratorowie będą w niedostatku praw od ludzi wiary godnych, z pośredka miejscowego obywatelstwa wybranych. Napomną lustratorowie, ażeby niniejsi dozorecy tych szpitalów wiernie prawa funduszowe pokazali, i possessyą opowiadali, gdyż wszystkie z pobocznej wiadomości zaciągnięte i lustracyi podane fundusze, *jus petendi* ubezpieczone mieć będą; a przeciwnie zatajenie przed lustratorami praw i possessyj, nietylko utratę onych, ale nawet wrócenie zysków niegodziwie odniesionych za sobą pociągnie. Tę więc powszechną lustracją, gdy odprawiona będzie kommissya szpitalna, stany rzeczypospolitej przez konstytucyą potwierdzą i tym sposobem fundusze ubezpieczą.”

2. „Possessyę, grunta szpitalne odległe od szpitalów, mają być przez tychże lustratorów otaxowane, a potem przez kommissyą puszczone *in Emphiteusim*, bądź na zawsze, bądź też do pewnych lat, z opisem kanonu rocznego po pięć od sta na dwie raty podzielonego. Gdyby się przytém pokazało, iż fundusze *in Emphiteusim* dawniej puszczone sprawiedliwego podług proporcji nie płacą czynszu: tedy kommissya na fundamencie lustracyi, której wszystkie bez braku fundusze podlegać mają, uchylwszy zaszle niesprawiedliwe opisy, obowiązek płacenia proporcjonalnej kwoty, i do nich rozciągnie; poblizsze zaś possessyę i grunta szpitalom zostawia kommissyę, dla wiktus-

alów, warzyw, miejsca prania bielizny, trzymania bydła, drobiów i innych nieuchronnych potrzeb i wygod szpitalnych.”

3. „Mieszkania pojedyncze szpitalne odległe i niepotrzebne, przedane być mają *plus offerenti*, które pieniądze na budowę wielkich szpitalów łożone będą.”

4. „Jest potrzeba, żeby w każdym województwie przynajmniej jeden szpital generalny być mógł; więc staranie o to kommissye przedsięwzją, a w czém potrzebować będą od nas i rzeczypospolitej wsparcia, na sejmach przekładać to powinny.”

5. „Na te generalne szpitale zdadzą się *collegia post suppressam Societatem*, po tych miejscach, gdzie kommissyi edukacyjnej zdawać się nie będzie zażyć *eadem collegia* albo na szkoły, albo na mieszkania nauczycielów; dlaczego zaleca się kommissyi edukacyjnej, żeby w czém będzie można, była kommissyi do szpitalów wyznaczonej na pomocy.”

6. „Przy ułożeniu tych generalnych szpitalów, mają kommissye na to uważać, aby *mens foundationis* we wszystkich artykułach punktualnie wykonana była, to jest:

1. „Szpitale, które są przy kościołach parafialnych po wsiach i miasteczkach, nie erygowane *in titulum Beneficii*, najłatwiej fundusz ich przyłączony być może do kassy generalnej, a na opatrywanie szpitalów generalnych; które zaś są erygowane *in titulum Beneficii*, ponieważ w nich są proboszcze *cum institutione Canonica*, więchy znosić się z stolicą apostolską, *et locorum ordinariis* trzeba, aby *onera* do szpitalnych probostw przywiązane, *ad Ecclesias parochiales* były przeniesione, i zamiast proboszcza szpitalnego, był *penes Ecclesiam Parochialem* kapelan do pomocy *ad curam animarum*, i ten rzeczony szpitalne obligi wypełniał. Kościoły zaś szpitalne, które po większej części po kraju są drewniane, i bardzo w złym stanie, żeby te co są nadrujnowane, były rozebrane i na tém miejscu cmentarz został *pro sepultura parochianorum*, przez co uprzątńnione będzie *illud inconveniens*, że na cmentarzach dla ciasności ich, czasem trup na trupie leży, i w kościołach chociaż tam grobów nie masz umarłych grzebiąc, dają się czuć zdrowiu szkodzące *exhalacye*: które zaś kościoły są murowane, lub drewniane w dobrym stanie, i *locorum ordinariis* zdawać się będzie obrócić je *in Ecclesias parochiales*, albo tak je zostawić, i fundum na konserwacyą ich *aliunde* mieć będą, to w tém niech się wola *eorundem loci ordinariorum* stanie. Wspomnieni proboszczowie szpitalni, znajdujący się po miejscach, gdzie będą szpitale generalne albo mniejsze przez kommissyą ustanowione, już

nie do kościołów farnych, jak się wyżej rzekło, *applicarentur*, ale zostaliby *ad obsequia Spiritualia* tym samym szpitalom *adscripti*."

2. „Ubodzy wszyscy w każdej fundacyi teraz znajdujący się przeprowadzeni będą do szpitala wielkiego, i tam konserwowani, zostawiwszy na usługę kościołów z proporcjonalnym funduszem tyle tylko ubogich z niewiast i mężczyzn, ileby ich do téj usługi konieczna była potrzeba, jakoto: na zamiatanie kościoła, pranie bielizny kościelnej, dzwonięcie na nabożeństwo, oświecenie oltarzów etc.”

3. „Dyssydentskie szpitale będą osobno; inaczéj, chcąc je łączyć z katolickimi, mogłaby być ustawiczna okazyja kłótni; wątpić zaś nikt nie powinien, iż *in casu* potrzeby, nawet katolickie szpitale przyjmą dyssydentów i ich potrzeby opatrywać będą.”

7. „Ażeby się pozbyć wszystkich żebraków, osobliwie w Polsce urodzonych, mają być zabierani do szpitalów; ale się to rozumie tylko o tych, którzy nie mogą sobie zarobić chleba: inni zaś do robót publicznych będą brani. Co aby porządniej się stało, kommissye należytą repartycją między szpitalami numerem 4 wzmiankowanemi, wyznaczając każdemu z nich swoje *territoria*, aby jeden szpital nad drugi obcemi extraterytoryalnemi ubogimi nie był przeładowany, i zabierający onych aby wiedzieli, do jakiego szpitala oddać zabranego mają. Co się tyczy zabierania włóczęgów do roboty zlatnych, ta powinność wkłada się na starostów i miasta, i onymże zaleca się, aby żebraków niemogących się pracą rąk wyżywić zabierać kazali; i do szpitalów generalnych, podług ich repartycji, swemi ludźmi odsyłali.”

8. „Obywatele wszyscy chorujący i niedostatni tego województwa, w którym będzie wielki szpital, przyjęci być mają i w tymże medykamentami i wiktem aż do uzdrowienia opatrzeni, jeżeli prawdziwe *Testimonia paupertatis* od plebana i magistratu, albo od dwóch godnych wiary świadków pokażą.”

9. „Ci zaś, którzy takowego *Testimonium paupertatis* nie pokażą, a będą chcieli, aby w tych szpitalach byli leczeni, ugodzą się z doktorem za wikt, lekarstwa i starunek około przywrócenia ich zdrowia, a przy wyjściu umówioną kwotę prokuratorowi szpitala zapłacą; gdyby zaś według ugody nie zapłacili, sąd najbliższy nakaże im nieodwłocznie *expensę* uczynioną szpitalowi nagrodzić.”

10. „W tychże domach dzieciom ospa szczepioną będzie.”

11. „Wszystkie brzemienne ubogie i *defloratae*, jako téż i sieroty i porzucone dzieci przyjęte być mają.”

12. „W każdym takim szpitalu musi być doktor i felczer wcale umiętni, a drugi, aby oraz przy położach koniecznie dopomagał.”

13. „W tychże domach felczerowie i białogłowy do połogów doskonale wyuczeni będą, i do wszystkich miast i wsiów rozsyłani.”

14. „Każdy doktor i felczer obowiązany jest objechać powiat swój, jeżeliby się w nim pokazać miały choroby epidemiczne, i usilnego starania w tych okolicznościach dołożyć, jako téż w przypadku chorób między bydłem i owcami.”

15. „Kassa wszystkich szpitalów będzie pod dozorem komisji, do tego dzieła od rzeczypospolitej naznaczonej.”

16. „Prokurator szpitala mający swoją possessyą i człowiek wypróbowany w wierności, trzymać będzie kasę szpitalną i expensować za wiadomością doktora; w miesiąc zaś registra percepty i expensy poda do examinowania i podpisania doktorowi i kapelanowi, a na końcu roku przesłane być mają do komisji, i téj wolno będzie zysłać na miejsce do powtórnego likwidowania i weryfikowania tych rachunków. Dopiero za takimi ostrożnościami komisja kwitować będzie prokuratora.”

17. „Każdy szpital ma mieć swoją osobną aptekę, nad którą doktor będzie miał dozór i aptekarz jemu rachunki zdawać będzie. Tenże doktor co rok rewidować będzie w swojej okolicy apteki, które powinny być uprzywilejowane, jeżeli medykamenta są świeże, dobre i sprawiedliwą ceną przedawane. Za rewizyą apteka płacić ma ośm czerwonych złotych; połowa z tego pójdzie na doktora rewidującego, połowa na fundusz apteki szpitalnej. Do tego doktora należec będzie także, mieć dozór nad wszystkimi doktorami i felczerami w okolicy będącemi, aby zamiast pomocy, szkody zdrowiu ludzkiemu nie czynili.”

18. „Kommissye wyznaczą collegium doktorów, i to będzie miało władzę dobierać zdatnych doktorów, felczerów i aptekarzy do szpitalów; zakaze obcym nieumiejętnym tułaczom wdawać się w leczenia: którzy jeśliby niedoskonałych swoich kuracyj nie poprzestali, uwiadomi komisją, a ta przez zwierzchność swoją biegających z miejsca na miejsce szarlatanów ukarze. Oby zaś doktorowie do kraju przychodzący, powinni się starać o approbacyą swojej umiejętności u tegoż collegium; a tak pokazawszy się zdolnemi otrzymają pozwolenie: inni zaś bez pozwolenia nie będą się wdawać w kuracye pod wielką karą. Lekarstwa sekretne mają być wprzód approbowane, niż przedawane obywatelom, które przez niewiadomoś sposobu zażywania ich, i na jakie służą choroby, są częściej szkodliwe, jak użyteczne; inaczej lekarstwa takie bez approbacyi i zezwolenia

wzmiankowanego collegium przedawane podpadać będą konfiskacie, a sprzedający przykładnie karani."

19. „Ze wszystkich funduszków szpitalnych trzeba, ażeby się okroiła summa dostarczająca na fundacyą i utrzymanie szpitala dla inwalidów wojskowych w Warszawie lub w inném miejscu, któryto szpital także do kommissyi, nad szpitalami dozór mającej, należać będzie, i ta rzeczonych inwalidów za abszytem od kommissyi wojskowej i zaświadczeniem, jako warci są kosztem publicznym do śmierci ichże dochowania, przyjmować może."

Zabierano się do dzieła tyle pod wielu względami ważnego i chwalebneho; różne jednak ówczesne trudności i wypadki krajowe przeszkodziły jego spełnieniu, tak, że musiano nawet w lat kilka odstąpić od wprowadzenia w wykonanie prawa z r. 1775, a wrócić się do dawniejszego z r. 1768 i pozostawić kommissyom *dobrego porządku* uporządkowanie funduszy szpitalnych, jak tego dowodem jest prawo z r. 1780, pod tytułem: szpitale w Koronie i W. X. Lit. (V. L. VIII p. 979).

W dalszym upływie czasu ze zmianą stosunków kraju, jedno jeszcze za dawniejszego rządu wyszło prawo na sejmie w r. 1791, którym szpitale i domy miłosierdzia, oraz ich własności i wszelkie fundusze oddano pod zarząd kommissyi policji, a ta zajmując się wykonaniem zleconych sobie obowiązków, przedsięwzięła naprzód wyjaśnienie i zgromadzenie wszystkich w całym kraju funduszków. Wydała w tym celu różne uniwersały zalecające:

1. Aby duchowni tak świeccy jako i klasztorni, najdalej w niedziel cztery wszelkie erekcyje, zapisy i jakiegokolwiek legata do kommissyj cywilno-wojskowych podali i o wszelkich funduszach tymże kommissyom donieśli.

2. Aby magistraty po wszystkich miastach również w niedziel cztery wprost kommissyi policji wyciągi wszelkich erekcyj, zapisów i funduszków pobożnych z summaryuszem i tabelą, podług dołączonego wzoru nadesłały, a zarazem o stanie wszelkich szpitalów oraz domów miłosierdzia, tudzież o procesach względem windykacji funduszków rozpoczętych, doniosły, pod rygorem prawa na nieposłusznych.

Prócz tego, kommissya policji wyznaczyła oddzielne deputacye szpitalne do spraw szpitalnych każdej prowincyi. Deputacye takowe rozpoczęły czynność swą od zlustrowania jedenastu szpitali warszawskich, jakie wówczas istniały, a były niemi: 1szy, św. Ducha przy

Paulinach, 2gi św. Łazarza, 3ci św. Ducha pod imieniem PP. Marcinkanek, 4ty św. Jana przy kollegiacie, 5ty św. Benona, 6ty Panny Maryi, 7my Bonifratrów, 8my św. Rocha, 9ty św. Kazimierza, 10ty św. Krzyża, 11ty Dzieciątka Jezus; w skutku czego dochód roczny tych szpitalów, summę złp. 264,157 gr. 16 wynoszący, wykrytym został.

Następnie zatrudniały się deputacye, każda w obrębie właściwym swój prowincyi, wynalezieniem ilości szpitalów, ilości ubogich w nich pomieszczonych, ilości kapitałów, dochodów rocznych szpitalnych, i wypadki ze swoich poszukiwań przedstawiły, mianowicie:

że prowincya Wielkopolska miała szpitali 90, ubogich 1,600, uposażenia w kapitale złp. 1,103,371, intraty rocznej z dóbr, prowizyj i jałmużn złp. 276,405 gr. 15 1/2; a prowincya Małopolska szpitali 213, ubogich 1,862, uposażenia w kapitale złp. 1,675,952, intraty rocznej złp. 138,397, gr. 29.

Do ostatnich wreszcie urzędzeń względem szpitalów i dobroczynnych zakładów tutejszych należy jeszcze i prawo na sejmie grodzieńskim w r. 1793 wydane, stanowiące:

aby kommissye wojewódzkie porządkowe, zajęły się rozpoznaniem wszelkich funduszów szpitalnych i raporta kommissyi policyi złożyły; ta zaś kommissya miała sobie poleconę, rozróżnić po otrzymaniu tych raportów fundusze ubogim zapisane od kościelnych, i cały ten przedmiot uporządkować.

Prawo to, dla zasłych nadzwyczajnych wypadków krajowych, powszechnie znajomych, nie weszło wcale w wykonanie.

Z przypomnienia główniejszych tych dawnych krajowych przepisów okazuje się:

że od wieków zajmowano się u nas urządzeniem opieki nad ubogimi i zakładami, w których starzy i kaleki miejscowi przytułek znajdowali; że władze tak duchowne jako i świeckie czuwały nad całością ich funduszów, przedsiębrały troskliwe środki do zaprowadzenia ulepszeń, i że mieszkańcy zamożniejsi wspierali tę dążność zwierzchności krajowej, tak za pomocą hojnych darów i zapisów, szpitalom parafialnym ofiarowanych, jako i przez czynny udział w nadzorze i porządném utrzymywaniu zakładów dobroczynnych.

Oddając tkliwą cześć tym usiłowaniom przodków naszych, do dobra uciśnionej ludzkości zmierzającym, możemy z pociechą przyznać sobie, żeśmy nietylko nie pozostali w tyle za nimi, lecz żeśmy

uczynili znakomite postępy w zawodzie przez nich rozpoczętym; bo zakłady nasze pod wspaiałomyślną opieką rządu wzniesione, bo cała organizacya opieki ubogich, na poświęceniu, na miłosierdziu i na bezpłatnej usłudze obywateli oparta i po całym kraju rozpostarta, nie tylko obcym krajom nie ustępuje, ale nawet pod wielu względami za wzór im służyć może.

J. P.



NOWA EPOKA

LITERATURY HISTORYCZNEJ POLSKIEJ.

PRZEGLĄD

PRZEZ

Juliana Bartoszewicza.

Ciąg drugi.

Utwory wydane w Warszawie.

Historya ludzkości wystawia ruch i postęp ludzkości, to jest wskazuje drogę jęj, jaką przebiegła od chwili swojego narodzenia się aż do nas, z kąd znowu się pomknie ku niewiadomym szlakom przyszłości. Historia danego narodu przedstawić téż powinna rozwój ciągły sił fizycznych i moralnych narodu od jego początku aż do końca.

Wszystko na świecie musiało z czegoś powstać, i dlaczegoś powstać. Nauka ma objaśnić jedno i drugie ważne zadanie. Ale dlaczego naród dany żyje i jakie zajmuje pomiędzy spółbracią stanowisko w ludzkości, pokaże to dopiéro historia jego, wzięta w całym przebiegu. Z czego naród powstał i kiedy? Sąto już pytania niezawsze rozstrzygnięte dla nauki, a ważne same przez się. Monografie i systemata dziejowe zajmują się już narodem uorganizowanym, zastanawiają się nad różnemi okolicznościami jego życia, badają przeszłość ze źródeł napisanych już przez sam naród; ale krytyka dziejowa sili się objaśniać same zagadki. Żaden naród nie może oznaczyć kresu, w którym żyć zaczął, jako naród: bo okoliczności i wieki dopiéro tworzą odrębne urywy, ni-

by rozczłonia jednéj ludzkości. I nic dziwnego: kiedy rodzi się dziecko, rodzice skrzętnie zapisują dzień, miesiąc i rok jego przyjścia na świat; ale gdzież są rodzice narodu, którzyby dzień jego narodzenia się i metrykę zapisali? Nic się jednakże bez przyczyny nie dzieje, i dlatego krytyka dziejowa ma za cel główny znaleźć początek narodu, objaśnić przyczyny i wypadki w życiu ludzkości, które dany naród przywołały do życia. Ztąd ważność krytyki dziejowej, i większe jój znaczenie w pewnym względzie od wszystkich innych prac historycznych. Spojrzujmy w księgi, w systemata dziejów polskich, które nam napisali: L. w przerobieniu Wagi, albo w Polsce Średnich Wieków, Bandtkie, Maciejowski, a teraz Bielowski, że nie wspomnim innych pisarzy; każdy z nich prawie inaczej i odmiennie opowiada dzieje początków narodu polskiego. Jeden występuje z gminą, drugi z prawem rycerskiem; jeden widzi od niepamiętnych czasów rodzaj Rplitéj pomiędzy Słowianami lechickimi, drudzy widzą ciągle monarchią i pierwiastek samowładztwa w ręku królów, aż do czasów Bolesława Krzywoustego. Jeden mówi, że plemię słowiańskie zniemczone, najechało ziemię nadwiślańską z zachodu, i uorganizowało naród podbity po szlachecku; drudzy, że szlachta powstała u nas przez dobrowolne naśladowanie feudalnego rycerstwa, więc nie była narzuconą instytucją. Nawet wyrazy *lach* objaśniają rozmaicie: jedni w tém nazwisku widzą imię własne, drudzy imię pospolite oznaczające rycerza. Nawet o początkach wiary chrześcijańskiej w Polsce, opowiadają nasi badacze każdy inaczej. Jeden utrzymuje, żeśmy przyjęli wiarę z Rzymu za Mieczysława; drudzy, że przed Mieczysławem rozwijał się już u nas obrządek słowiański; inni jeszcze gotowi utrzymywać, że Bolesław Wielki panował nad połową najmniej bałwochwalców; a Bielowski już w piérwszym wieku ery chrześcijańskiej wskazywał na ślady nauki Zbawiciela pomiędzy przodkami naszem, siedzącymi nad Dunajem. Kiedy Słowianie pokazują się w Europie? Jedni mówią, że byli przed Chrystusem; drudzy, że nadeszli razem z Hunnami przy wielkiej wędrówce narodów; inni, że ich osiedlenia się nie może zapamiętać historia. Ile pytań, tyle rozmaitych rozwiązań. I zkadże przecież te sprzeczności?—Ztąd, że krytyka dziejowa domysła się i buduje z napomknień, z oderwanych słów kronikarzy, którzy o czém inném wcale pisali, nie myśląc o tém, jaki z nich krytyka robić będzie użytek; ztąd słabość jój wniosków, i często mylność dowodzeń. Mimo to wszy-

stko jednak, krytyka zajmuje się sprawiedliwie tém odgadywaniem. W początkach każdego narodu tkwi zawsze jego cała przyszłość. Jak w człowieku pojedynczym są wady i przymioty, które się potem rozwijają w namiętności, w gieniusz i cnotę: tak i w zbiorowym człowieku, czyli narodzie. Trudno zaprzeczyć temu, żeby ludy nie miały nadanego sobie jakiegoś charakteru, jakiegoś posłannictwa. Ileto Niemcy zajęli słowiańskiej, rzymskiej, gallickiej, bretońskiej ziemi! Ztąd krytyka historyczna objaśnia nietylko początki polityczne narodu, ale wszystkie naraz jego początki: zarody jego prawodawstwa, zarody jego umysłowych zdolności. Ogół tego wszystkiego, stanowi narodu cywilizacją.

Dlatego, chociaż wnioski krytyki dziejowej są tak bardzo rozmaite, że jeden często z drugim się nie klei: zawsze dlatego krytyka zaczyna historią, a inne dopiero prace dziejowe pokazują rozwinięcie się narodu. Będziemy więc mówili naprzód o krytyce w Warszawie. Nauka przedewszystkiém domysłów i wniosków, a nie faktów, przyniosła nam przecież w owocach swoich pewne fakta, które spłyną do ogólnej skarbnicy dziejów polskich.

a) ODDZIAŁ KRYTYKI HISTORYCZNEJ.

Maciejowski, Rychter, Szulc, Tyszyński i Lewestam.

Kiedy nam o badaczach pierwiastkowych dziejów Polski mówić przychodzi, przedewszystkiém i mimowolnie zwraca się uwaga na prace Wacława Alexandra Maciejowskiego. Rozgłośnego imienia po całej Słowiańszczyźnie, pisarz ten pomyślał i napisał już olbrzymie dzieła. Erudyta to ogromny nawet w Europie, a u nas w Warszawie bez wątpienia pierwszy. Dlatego nie rozszerzając się zbyt nad jego znaczeniem, wskażem tutaj na owoce prac Maciejowskiego, i ocenim wpływ na badania dziejowe autora *Historji Prawodawstw Słowiańskich*.

Maciejowski właściwie prawnik, zaczął pracować pierwiastkowo nad prawem polskim; potem, kiedy się zakres jego przedmiotu rozwijał, zastanawiał się nad prawem wszystkich ludów słowiańskich. Cztery tomy wydane w tym przedmiocie, zwróciły na naszego autora oczy Europy; ale wskazały mu zaraz wszystkie niedostatki zamierzonego i zaczętego już dzieła. Żeby napisać dobrą historją prawodawstw słowiańskich, p. Maciejowski

widział potrzebę zająć się razem i dziejami plemion słowiańskich: musiał zastanawiać się nad ich początkiem, wzrostem, charakterem; musiał pisać dzieje kościoła, literatury, sięgać krytyką nawet w bałwochwalskie wieki, dopytywać się borów, i ziemi, i pieśni gminnych, w co przodkowie nasi wierzyli, co kochali, czém się zajmowali przed zapoznaniem się z nauką Chrystusa. Taki ogrom pracy mógłby zastraszyć niejednego; p. Maciejowski przecież mając ciągle oczy na jeden przedmiot zwrócone, po wydaniu *Historji Prawodawstw*, wypracowywał udzielne niby ustępy wielkiego dzieła, w których rozwijał swoje spostrzeżenia i dowodził tego, o czém tylko w *Historji Prawodawstw* napomknął. Tak wszystkie dzieła p. Maciejowskiego, któreśmy już mieli od lat kilkunastu, wspólne miały źródło z którego płynęły. Autor wydaje w obecnej chwili dzieje piśmiennictwa polskiego, i ubolewa, że czas mu już nie starczy opracować dzieje kościoła polskiego.

Autor spieszy się przedewszystkiém, bo chciałby zrobić jeszcze drugie wydanie *Historji Prawodawstw*, i żałuje, że tak długo bawił się nad pojedynczemi ustępami, odbiegłszy od głównego przedmiotu.

Chcąc więc wskazać pierwiastki prawa polskiego, p. Maciejowski zajął się badaniem pierwiastków samego narodu. Każde dzieło jego zawiera jakieś twierdzenia, których prawdy doszedł p. Maciejowski, i których tém samém dowodzić musiał. Prawd tych jest wiele; a że nasz obecny przegląd rzuca oko na niedawną przeszłość literacką i wskazuje na jój owoce: celniejsze twierdzenia p. Maciejowskiego tutaj przytoczym, nie bawiąc się długo nad drobnostkami.

P. Maciejowski objaśnia inaczéj wyraz *lech*, *lach*, jak inni pisarze słowiańscy, a raczéj bierze go w dwojakiém znaczeniu. Lech było rycerz, osadzony na lesze. Lechów znały wszystkie dawne plemiona słowiańskie, a zwłaszcza zachodnie. Ale ludy niemieckie w pierwszych wiekach po Chrystusie odparły ku wschodowi naszych praojców, same osiedliły się nad Elbą, a raczéj od Elby na zachód, ku Renowi i starożytnéj Gallii. Ludy niemieckie przychodziły do nas z feudalnemi pojęciami, miały więc stany i główszczyznę. Niemiecki naczelnik wędrownego tłumu zawsze ród swój od bogów wywodził, i uważał się za coś wyższego od innych ludzi, bo krew niebian płynęła w jego żyłach. Nierówność towarzyska była zasadą niemiecką. U nas i u Słowian powód, kiedy w sądzie dochodził winnego zabójstwa, wyszczególniał

w skardze, ile szkód rodzina zabitego przez jego śmierć poniosła, i o zapłatę należności dopominał się; przeciwnie u Niemców, powód nie miał potrzeby szacować głowy, kiedy samo prawo ją oszacowało: za zabójstwo najniższej klasy ludzi płaciło się połowę mniej, jak za ludzi więcej uprzywilejowanych (frylingów), a za tych jeszcze o połowę mniej, jak za głowę prawdziwej szlachty, to jest panów wieszających się u domu książęcego (edelingów). Pan Maciejowski w starych kronikach niemieckich dostrzegł, że w okolicach nad Elbą występują wciąż jacyś Lazzi, Lassi i t. d., a zawsze na samym spodzie towarzystwa. Był to więc stan trzeci, upośledzony w prawodawstwie niemieckim. Lassi do tego przypominali słowiańskich *Lechów*; mogli więc być synami Słowian, którzy ulegli przemocy Niemców, i dlatego na ostatni stopień hierarchicznego porządku przez nich byli strąceni. Nie ma wątpliwości, że przed najściem Niemców, wielu lechów, czyli rycerzy słowiańskich ustąpiło na wschód do spółbraci, i że ci tylko zostali się w kraju zawojowanym, których albo nieprzyjaciel zabiegł gwałtownie, albo który dla wielu rozmaitych przeszkód i przyczyn, odeprzeć napaści lub cofnąć się zawczasu nie mogli. Ci lassi, czyli lesi, Lehowie, kilka wieków ulegając Niemcom, przyzwyczaili się do feudalnych pojęć swoich panów; ale coraz więcej przez nich uciskani, usuwali się powoli na wschód za dawnymi wychodźcami, starym dobrze utartym szlakiem. Nastal wreszcie czas, że Lachowie zawładnęli całą ziemią słowiańską, od brzegów Warty aż pod Karpaty i Dniestr. Na téj przestrzeni pozakładali księstwa, na téj przestrzeni uorganizowali stany niemieckie; ztąd powieść o dwudziestu stryjach panujących Popiela. Powieść ta wskazuje związki, jedność drobnych księstw słowiańskich, dawno-polskich, pod władzą lechickich panów. Kiedy Ziemowit obalił tron Popiela, to się znaczy, że ziemianie, tubylcy słowiańscy, niezarażeni jeszcze duchem niemieckim, i mający inne pojęcia o rządzie społecznym, obalili przywileje stanów czyli szlachtę.

Pan Maciejowski przyszedł do tego odkrycia, jako prawnik. Widział u Słowian dawnych rząd gminny, a więc równość wszystkich w zasadzie; widział, że pierwiastek stanów, instytucya szlachty, była napływową, i rozpoznał w niej zaród niemieckich wyobrażeń: objaśnił więc wędrownictwem Lechów znad Elby nowe zasady, jakie u Słowian polskich zaczęły wchodzić w życie już za czasów historycznych. To pewna przynajmniej, że gmina zaciera się cokolwiek pod panowaniem pierwszych Piastów, i że *opola*, instytucya czysto słowiańska, ustępuje nowój już zasadzie

feudalnej, ale złagodzonej duchem słowiańskim. Pokazują się i u nas trzy stany i główszczyzna, a dawniej ani jednego, ani drugiego nie było.

W innym ustępie pan Maciejowski objaśnia nam, że jeszcze dobrze przed Mieczysławem Iszym w wielu stronach późniejszej Polski, rozszerzała się znakomicie wiara chrześcijańska, i że Mieczysław przyszedł do gotowego, bo naród jego był już oddawna przysposobiony do uroczystego wyznania wiary Zbawiciela. Nie znaczyło to jednak, żeby już w Polsce po Mieczysławie wcale bałwochwalców nie było; owszem, i ucieczka Ryxy i czas bezrządu aż do powrotu Kazimierza Odnowiciela, dowodzą aż nadto jawnie, że dawne pogańskie jeszcze nawyknięcia nie tylko polityczne, ale i religijne, odżyły w całej sile wśród wiosek polskich, kiedy lud zabijał katolickich kapłanów i burzył kościoły. Taki wypadek jak przyjęcie wiary przez naród, nie jest wypadkiem natchnienia, nie wypływa z rozkazu księcia. Jestto chwila uroczystego przełomu dwóch czasów: skończyła się jedna epoka, zaczyna się druga; stare zasady konają, a nowe płyną w krew i w żyły na przyszłe życie. Przyjęcie wiary, to nie świetne, a choćby najświetniejsze zwycięstwo, od którego rachują się okresy życia narodu; to nie zawojowanie kraju jakiego, nie prosta zmiana konstytucji. To naraz zmiana wszystkich pojęć, wszystkich przesądów, do których tak lgnie serce ludzi zostających w pierwiastkowym stanie swojego dzieciństwa. Przyjęcia wiary nie mógł więc nakazać Polakom Mieczysław, bo by go nie posłuchali, gdyby sami w znacznej części nie mieli do niej pociągu. Kiedy pod napływem wyobrażeń nowych, stare ustępują widocznie, to znak, że czas się zbliżył.

Pan Maciejowski też za pewnik wziął to, o czém inni zaledwie napomykali. Powtarzając słowa kronikarzy, p. Maciejowski powiedział, że Mieczysław uznał urzędowo wiarę chrześcijańską za wiarę swojego ludu, bo lud ten był już zasadami jej przejęty.

W istocie, przed Mieczysławem, przed Ziemowitem jeszcze, na Morawach zakwitło potężne państwo słowiańskie, które Świętopełk wyniósł do szczytu wielkości. W tém państwie przepowiadali wiarę chrześcijańską dwaj bracia, uczeni Grecy, rodem z Saloniki: Metody i Cyryll. Przełożyli oni pismo św. na język słowiański. Cyryll umarł prędko, ale Metody bywał w Rzymie i tam nawet się święcił na dostojność arcybiskupią. Byłto czas jeszcze, kiedy jedność wiary i dogmatów panowała w całym chrześcijań-

skim kościele, na Wschodzie i na Zachodzie. Papiész rzymski i patryarcha konstantynopolitański rozdzielili pomiędzy siebie cały świat wiernych, i spierali się tylko o granice swoich dyecezyj, ale nie o dogmata. Państwo Świętopelkowe obejmowało z późniejszej Polski, dzisiejsze sandomierskie i krakowskie doliny i góry, dotykając Karpat i Wisły. Niezawodnie więc w tym kawałku morawskiego państwa, rozszerzała się wiara Chrystusowa. Metody po słowiańsku przemawiał do swoich owieczek, bo przychodził z Carogrodu, a patryarcha nowego Rzymu pozwalał ludom nawróconym przepowiadać wiarę w ich rodzinnym języku, i nawet ten język zaprowadzał do nabożeństwa w kościele. Morawska dyecezya leżała w granicach jurysdykcji patryarchy carogrodzkiego, i dlatego właśnie w Morawach rozszerzał się słowiański obrządek. Skarżono o to arcybiskupa przed papieżem; ale kiedy następca Piotra św. przywołał Metodogo do Rzymu i przekonał się, że nauka świętego męża była czysto katolicką, uprawnił tém samém jego starania i prace, a niechętni zamilkli. Ztąd téż chrześciance morawscy modlili się po słowiańsku czas jakiś, aż póki nie pokazało się oddziaływanie w Czechach na stronę języka łacińskiego i obrządków rzymskich. Reakcyja ta jest już faktem znanym, bo przypadła za czasów historycznych.

To od południa było w dawnój Polsce; ale od północy i zachodu niemniej także czynnie zabiegali Niemcy. Z téj strony od Magdeburga i Mersburga oczywiście przychodziło do Słowian nabożeństwo chrześcijańskie w szacie rzymskiej i przemawiało językiem łacińskim. Cesarze w Poznaniu stanowili stolicę biskupią jeszcze przed Mieczysławem.

Tak więc na ziemi dawno polskiej, granica dwóch dyecezyj przypadła: wschodniej i zachodniej. Na téj przestrzeni od Karpat ku dolnej Wiśle i Warcie, puszczałi się kapłani słowiańscy; od Warty ku górnej Wiśle, niemiecscy. A nie znaczy to wcale, żeby jedni uczyli czego innego, a drudzy czego innego. I ci i tamci uczyli jednych zasad, jednej moralności chrześcijańskiej, prawili o jednym kościele, tylko każdy innym językiem. Mieczysław dopiero jawnie oświadczył się za Rzymem i przerzucił się na stronę cywilizacji zachodniej. Ztąd ciężenie Polski wraże ku wschodowi.

Taki był pod tym względem systemat pana Maciejowskiego, i złe go rozumieli ci, którzy sądzili, że p. Maciejowski kazał Mieczysławowi zmieniać wiarę jedną na drugą, to jest zasady wiary. Tego nasz autor nie powiedział.

Ale najważniejszym owocem z badań p. Maciejowskiego jest niezawodnie upatrzony związek rozmaitych podań kronikarskich, które zdają się dowodzić: że Słowianie od niepamiętnych czasów na dzisiejszych swoich stanowiskach siedzieli. Wprawdzie nie pana Maciejowskiego to myśl, ale jego jest, przedstawienie faktów w nowém świetle. Wyjściem badaczy jest i będzie zawsze Scytya Herodotowa, i niejeden już autor silił się objaśnić te napót dzikie nazwiska Melanchlenów, Nurów, Budinów. P. Maciejowski widzi także w Scytyi Herodotowej Słowian, jak Słowian w podaniach Strabona i Pomponiusza Meli, i stanowczo się oświadcza za tém zdaniem, że *Boulanes* starożytni, to późniejsi *Polanie*, mieszkańcy nadgoplańskich i nadwartańskich równin. Jeżeli więc Słowianie mieszkali ciągle w naszych stronach, to nietrzeba się zrażać szczupłemi podaniami, jakie o nich zachowały nam piśmienne zabytki. Rzymianie kiedyś świat cały podbili: Gallami wojowali Bretonów, Germanami Partów, Kartagami ujarzmili afrykańskie ludy. Tak samo Słowianie czynni być mogli pod przewodem Hunnów, Gottów, Wandalów, i t. d. Te obce narodowości, napływowe były na ziemi naszej: ztąd jedna pomykała się w przepaść za drugą, i niknęły z kolei wszystkie. Nietrzeba wierzyć kronikom, powiada pan Maciejowski, kiedy zakresłają szeroko granice tych germańskich plemion. Niemcy tam byli u góry, ale Słowianie u spodu. Tak samo rzecz się dzieje i w Germanii Tacyta. Znakomity historyk rzymski pisał o rzeszy ludów, ale nie o jednym narodzie niemieckim, który się niby rozciągał od Renu aż do Wisły. W jego Germanii trzeba zważać na charakterystykę ludów pojedynczych, a nie zważać na słowa i nazwiska często niehistoryczne, często w ustach Rzymianina zmienione do niepoznania. Jak w podaniach kronik nie ma nic o Słowianach, a jednak niejedna do nich należy; tak w Germanii Tacyta niejeden lud, niejeden wypadek przytoczony jest słowiański. Pan Maciejowski szczególnie w tym wyrazie *Swewi* widzi Słowian. *Swewi*, powiada, to prawie *Slawi*.

Sąto wszystko główne wywody badań uczonego. Drobniejszych szczegółów, jak np. że postrzyżyny były obrzędem chrześcijańskim, nie pogańskim, że Dąbrówka była nie córką Bolesława czeskiego, ale siostrą, trudno tutaj choćby nawet w przelocie dotykać: tak ich wiele. Rozwijają one pierwszorzędnę twierdzenie pana Maciejowskiego i spływają do jego systematu. Rys mitologii słowiańskiej, który dał nam autor w Pierwotnych dziejach, jest

zawsze szacownym ustępem, pomimo wszelkich zarzutów, jakie mu robić można. A kiedy jeszcze zwrócim myśl na nowe przedsięwzięcie pana Maciejowskiego, na jego chęć opowiedzenia nam dziejów wszystkich plemion polskich, każdego pojedynczo, nim się złąły razem w jedną całość, i państwo Bolesławowe złożyły, trudno nie podziwiać i zamiaru, i wielkich skutków, jakie ztąd mogą spłynąć na wyrozumienie nie tylko naszych dziejów pierwotnych, ale i całej zachodniej Słowiańszczyzny. Już autor rozpoczął tę pracę; na początek dał nam Roczniki i kroniki Polski przedlechickiej, a potem roczniki Lechów i Lechii. Z kolei ma dać nam dzieje czyli raczej kronikę Polski podlechickiej w przestworze lat 862—992, to jest przedstawi nam epokę pierwszych Piastów od Ziemowita aż po śmierć Mieczysława I. Dalej iść ma kronika Mazurów, ludu może najciekawszego pomiędzy plemionami polskimi, bo tajemniczego, osadzonego w ostępie na granicach Litwy; ludu, który w przedhistorycznych jeszcze czasach miał jakieś stosunki z Prusami, prowadził z nimi wojny i godził się, który aż do Jagiellów zachował swoją niezawisłość i odrębną od reszty Polski fizyognomią. Po Mazurach ma iść kronika Wiślan, u których panował Wyszewit, postać historyczna, niedawno dla dziejów naszych zdobyta, książę potężny, którego chrzcili jeszcze Świętopelk. Mają iść za nim kroniki Chrobatów Czerwonych i Białych, w których znajdziemy historią Walgierza z Tyńca i Heligundy. Gdyby te kroniki spisał pan Maciejowski, jego pojęcia więcéjby się rozwidniły, i niejedno, co się dziś wydaje zagadkowym i niepewnym, w badaniach jego alboby znalazło poparcie, albo spadłoby w rządy nieprawd historycznych, powtarzanych na ślepo. W każdym razie, czy autor spisze te kroniki, jak obiecał, czy nie spisze, myśl już rzucona, interes dla badań takich rozbudzony: bo co chwila nowe na tém polu gromadzą się spostrzeżenia i uwagi, a niedaleka może przyszłość wyrzuci z naszych ksiąg elementarnych rozdział dziejów bajecznych, żeby na ich miejsce prawdę historyczną postawić.

Nie ma wcale sporu o wypadek, który nam opisali naoczni świadkowie; ale inaczej się wcale rzecz ma z dziejami pierwotnymi. Tu trzeba wyrozumiewać błędne rozmaite podania kronik starych, a te kroniki nie były właśnie naocznymi świadkami tego, co opisują. Kronikarze pisali z nasłuchu, z opowieści tylko. Każde podanie przechodząc przez tysiące ust, zmienia się, podlega różnym tłumaczeniom, tak dalece, że niejedyn potém zbieracz

tych podań, niby uczony, bo pisarz, szczytów pofalszowanej prawdy nie umie rozróżnić i podaje baśni potomstwu, które nie wie jak sądzić o tém wszystkiém, co czyta. Tak Maciejowski za te szczyty pofalszowanej prawdy wziął nasze kroniki Galla, Mateusza Cholewy, Wincentego syna Kadłubka; tak je téż wziął nowy badacz pierwotnych dziejów naszych, Bielowski. Dobrze zrobili, że nie odrzucili tak odrazu rodzinnych podań: bo w nich, przekonani jesteśmy, zachowała się jeszcze i dla nas iskierka prawdy, która może pochodnią rozbłyśnie. Dziwim się, jak mogli dawniejsi autorowie, Naruszewicz np. wziąć na karb przyzwyczajenia do kłeczeń, te wszystkie opisy o Leszkach i Popielach, starych naszych kronikarzów. Zmyśla tylko wierutny kłamca, ale nigdy historyk. Krytyka wskazała przecież na wysoką wartość pod pewnym względem, tych autorów, którzy nam zachowali podania praojców o związkach narodu polskiego. Ani Gallus, ani Mateusz, ani Wincenty, ani Bogufał nie zasłużyli na sąd niesprawiedliwy; mają oni nieraz i dobrą stronę. a czasem nawet i polot artystyczny, który wyższe daje wyobrażenie o ich zdolnościach i wyobrażeniach, jakie mieli o pisaniu historyi. Jeżeli zatém podania ich o pierwiastkowych dziejach są mylne, nie mozem tego w żaden sposób przypisać złej ich woli i chęci fałszowania historyi, o co ich długo oskarżano, ale obwinimy raczej mętne źródło, z którego czerpali. Zarzucimy im mało doświadczenia, mało zdolności krytycznych, kiedy powtarzali lada co, kiedy czasy i wyobrażenia plątali; ale nigdy nie przyznamy, że psuli wątek dziejów umyślnie. Kłamca jest zawsze kłamcą, a cóż dopiero kłamca dziejowy? — pisze on paszkwil, nie historyą. Wincenty, artysta w czwartój księdze kroniki, którą sam napisał, nie może być w żaden sposób bezsumiennym zmyślaczem w trzech pierwszych księgach, które przerabiał z Mateusza. Więc cóż dziwnego, że mętne źródło czyszcząc, każdy z badaczy pierwiastkowych dziejów naszych, inaczej wyrozumiewa prawdę? Nie ma sporu o wypadek znajomy, ale trwa spór o dzieje pierwotne; pod tym względem muszą być systemata pewnych widzeń, musi być starcie się mniemań uczonych.

Maciejowski miał téż przeciwników swoich, którzy go rozbięrali, krytykowali, oceniali rozmaicie, ale najwięcej miał ich w Warszawie. Placem turniejów była długi czas Biblioteka Warszawska, a w części i Przegląd Naukowy. Umilkły już te spory i mozem teraz o nich sądzić. Jeden z przeciwników Maciejowskiego odmówił mu zupełnie zasługi; drugi i trzeci przyznał

ją, ale każdy inaczej; a przecież trudno zaprzeczyć, że dzieła pana Maciejowskiego obudziły powszechny interes nie tylko u nas, ale i za granicą, pomiędzy Słowianami i pomiędzy Niemcami.

Pierwszym z kolei antagonistą Maciejowskiego był Ignacy Lojola Rychter, znakomity erudyta i filolog. Rychter starał się utrzymać przy niewzruszonej powadze podanie kronikarzy, że Polska dopiero za Mieczysława poznała światło religii chrześcijańskiej, i to z Zachodu. Ależ Maciejowski temu bynajmniej nie przeczył, że Mieczysław pierwszy stanął po stronie Rzymu, i tym samym rozciągnął granice papieżkiego władztwa więcej na wschód, jak to było za czasów Kiryła i Metodego. Maciejowski tylko utrzymywał, że w późniejszej Polsce byli już przed Mieczysławem wyznawcy Chrystusa, katolicy zawsze, tylko jedni modlili się w łacińskich kościołach, drudzy w świątyniach, w których śpiewano, powiedzielibyśmy po polsku, gdyby ślady były, że język nasz już wtedy odstrychnął się tak mocno od ogólnego pnia mowy słowiańskiej, że mógł już stanowić samoistne narzecze. Było modą powstawać czas jakiś za to na Maciejowskiego. Bielowski gniewał się razem z innymi na autora *Dziejów pierwotnych* za ten wniosek, a oto teraz niedawno w swoim *Wstępie krytycznym* utrzymuje toż samo, co Maciejowski, i szeroko rozpowiada o losach kościoła słowiańskiego w Polsce. Utrzymuje Bielowski, że kościół ten upadł dopiero w krwawych zapasach po śmierci Mieczysława Gnuśnego, po ustąpieniu Ryxy do Niemiec, a przed powrotem Kazimierza, to jest około połowy XIgo wieku. Co większa, autor *Polski Średnich Wieków* chociaż utrzymuje, że Mieczysław z poganina został wyznawcą rzymskim Chrystusowej wiary, w ostatnim tomie swojego dzieła, któreśmy wymienili, wskazuje na widoczne ślady obrzędu słowiańskiego u Wiślan, to jest na południe późniejszej Polski. Wszyscy walczyli, a wielu w końcu przyznało słusność Maciejowskiemu. Na obrzędku słowiańskim, Bielowski nawet wiele swoich hipotez zbudował.

Spory Maciejowskiego z Rychterem przybrały wprędce charakter zbyt namiętny; i nie dziwnego: nowemu bojownikowi przedewszystkiem chodziło o wywalczenie samoistności naszego plemienia, co zdaje się, żadnych dowodów nie potrzebowało, bo ta samoistność świeciła słońcem w przeszłości. Staczały się więc harce o wyrazy, ale nie o rzeczy. Był to olbrzymi bój, w którym dyalektyka ciskała pioruny. Nie można było odmówić Rychterowi zdolności do tego rodzaju walki: był to prawdziwie uczony

człowiek, ale mógł spierać się długo na zadany temat, bez wewnętrzznego jednak przekonania. Zdaniem naszym, sam uroił sobie nieprzyjaciela. Rychter nie darował nawet Maciejowskiemu jego *Polski* pod względem obyczajów i t. d., i znowu w recenzji swojej tego dzieła widział to, czegośmy wcale nie widzieli. Krytykowi zdawało się, że to pismo jest stekiem obelg na naród i na całą jego przeszłość: wziął więc obronę akademii krakowskiej przeciw Maciejowskiemu. Nasz autor powiedział, że akademia bawiła się w scholastyczne spory, że odznaczyła się li tylko w matematyce i w astronomii, że zapomniała o swoim przeznaczeniu, a przyjęła pewne formy raz na zawsze, za które przestąpić niewolno jój było. Święta prawda. Rychter dowodził przeciwnie, że akademia położyła wiele zasługi na każdym polu naukowym, a Maciejowskiego zarzuty nazwał potwarzami. Któż się spiera o to, że akademia nie położyła zasługi? Jedno oko zawsze coś więcej widzi, a ślepy nic nie widzi; ale akademia jedno miała oko i nie umiała się rozwijać z postępem czasu i wyobrażeń. I cóż się stało?—Odepchnęła od siebie rady ludzi świątłych, rządząc się swojemi zasadami. Biła na Jezuitów, a za Jezuitami kroczyła i nąsadowała ich w nietolerancyi i w ubóstwie naukowym. I upadła tak nisko, tak nisko, że cała okrzyczana jój mądrość, stanęła niżej od mądrości kollegium Konarskiego; a całe jój życie upływało w dysputach o wiatr, o czci patronów, odbywało się na obchodach uroczystości i kanonizacyi świątłych. Tak było nawet do r. 1778, to jest do środka panowania króla Poniatowskiego.

W czasie sporów Maciejowskiego z Rychterem, w obronie *Polski pod względem obyczajów* stanął Wojcicki przeciw napastnikowi, rycerzowi dyalektyki, to jest próżnej szermierki. Autora Klechd, zbieracza pieśni ludu, męża, który tyle wpłynął na literaturę i czas co się rodzi, nie posądzi nikt zapewne o stronnictwo. Wojcicki stawał w obronie *Polski*, bo czuł to, że Rychter ma tylko rozumowanie za sobą, ale nie prawdę. Niedługie lata przeszły: przez ten czas Wiszniewski napisał nam dzieje literatury, Łukaszewicz Historją szkół, Muczkowski tyle broszur rzucił na świat literacki o akademii. Zajrzyjcie do tych autorów: wszędzie tam też same zarzuty robione akademii, które robił i Maciejowski, które zrobi każdy, co się z jój dziejami bliżej zapozna.

Rychter był człowiekiem wyższych niezawodnie zdolności, ale też nie umiał ciągle pracować. Ztąd pozostawił tylko kilka rozpraw oderwanych, które więcej są dowodem jego naczytania

się, jak wyczerpania przedmiotu. Między jego pracami nie było żadnego związku. Wziął się pod koniec krótkiego życia do pisania dziejów akademii Zamojskiej; był u źródła, bo urzędnikiem w samej bibliotece ordynackiej. Mógłby przysłużyć się dziełem znakomitęj wartości dla literatury, jednak ociężałość wzięła górę: zbierał, zbierał ciągle, nareszcie śmierć przyszła, i przerwały się piękne nadzieje, jakie o nim powzięto. Dziwne to może zbliżenie, ale powiedzić potrzeba, że zmarły młody pracownik, i także rokujący nadzieje, Seweryn Sierpiński położył pod tym względem więćej zasługi od Rychtera; on, prawie samouczka, wziął pierwszeństwo przed professorem i zdolnym filologiem. Po Sierpińskim pozostała się rozprawka o akademii zamojskiej (drukowana podobno w *Jaskółce*); po Rychterze z ogromnych przygotowań, nic nie zostało.

Dlatego i zerwanie się uczonego krytyka, aby *veto* swoje położyć naprzeciw wnioskowi Maciejowskiego, jest prędzej manifestacją, jak rozprawą o dawnych czasach i o pierwiastkach naszego plemienia. Dziwne pojęcie historii, kiedy w niej jeden fakt wolą Opatrzności wywołany, ma być sławą, a drugi niesławą narodu. Spory te najwięćej Rychterowi zrobiły imienia w literaturze, bo teraz nazwisko jego ciągle plątać się będzie w rocznikach naszej krytyki historycznej. Ale owoce małe dla dziejów z jego badań. Recenzent własnej myśli nie otworzył w rzeczy tak ważnej, ani też myśli Maciejowskiego nie podał całkowicie.

Drugim z kolei przeciwnikiem Maciejowskiego był Dominik Szulc. Szulcowi szło o zaprzeczenie oryginalności dyplomatom tynieckim Bolesława W., które odkrył i dał nam poznać Maciejowski. Byłyto najdawniejsze dyplomata nasze.

Pan Szulc ma dosyć znane imię w naszej literaturze. Nie wiemy dlaczego, ale widzimy to, jak każde słowo jego, uczeni i nieuczeni ludzie, a najwięćej ci ostatni wysoko cenią, rozbierają, przywodzą. P. Szulc, to jakaś potęga umysłowa, która działa gdzieś niewidzialna, jakby Jowisz, poza krańcami literackiego świata. Nie widać skutków wielkich tęj potężnej zdolności, która się mało przejawiała w literaturze; a przecięz wpływ p. Szulca odzywa się nie dla jednego głosem sybillińskij albo delfickij wyroczeni.

My nie przeczym zdolnościom, bo te ma p. Szulc rzeczywiście; ale nie sposób nie spostrzedz zarazem, że zasługa nie odpowiada jeszcze tym zdolnościom. P. Szulc prędco pomyśli i prędco wykonywa. Jestto także dyalektyk; jemu idzie tylko o przeko-

nianie swoich stronników, że widzi i pisze lepiej jak wszyscy. Zdolności w nim to robią, że jest coś w pracach jego oryginalnego i pięknego, bo zresztą ma p. Szulca bujną imaginacją i wiele poetycznego usposobienia, a to są rzeczy wcale niepotrzebne przy badaniach pierwotnych dziejów. Na fantazyą też widocznie pan Szulca choruje; fantazyja też tworzy przed jego oczami obrazy, które autorowi zdają się, że są historyczne, ale w nich często i cienia prawdy nie ma. Pan Szulca nie obejrzy wszechstronnie przedmiotu; i dziwił się po tym, że rzuca na świat podania swoje, w których kontruje bez zasady podaniom i wnioskom innych badaczy? Postaramy się zdanie nasze rozjaśnić.

Zapowiadano nam od bardzo dawna te znakomite zdolności, tę przyszłą sławę literatury krajowej. Jeszcześmy p. Szulca znali tylko po tłumaczeniu grammatyki łacińskiej Bredera, kiedy już nam rozprowadano o nim cudowne rzeczy. Mówiono z kolei, że pisze: to dzieje literatury. to dzieje narodu. Obiecywano spełnienie najświetniejszych może nadziei.

O ile nam się zdaje, pierwszą pracą, którą nasz autor wyjął z bogatej teki swojej historycznej i puścił na świat, była rozprawa o pieśni Bogarodzicy. Tę rozprawę autor czytał niegdyś na akcie uroczystym szkół w Lublinie, potem ją przerabiał i dorabiał, i w lat kilka ogłosił ją w Pamiętniku Moralnym. Mówiono, że Czesi mają królowodworski rękopis, że Ruś ma Nestora i Słowo o pułku Igorowym, i ubolewano nad tym, że Polska podobnych pomników swojego języka i literatury nie miała, i że reprezentantem jej dawniej nauki są latopisy łacińskie. P. Szulca postanowił zaprzeczyć temu twierdzeniu; postanowił okazać, że i my mamy pomnik naszego języka równie szacowny, jak stary. Św. Wojciech był starszym niezawodnie od Nestora i od autora królowodworskiego rękopisu; szło więc o to, żeby dowieść, że pieśń Bogarodzicy jest pieśnią napisaną po polsku przez św. Wojciecha. Były wprawdzie o tym podania, którym wierzono aż do naszych czasów; ale p. Szulca chciał ocenić te podania, roztrzaskać i postawić je tak, żeby świeciły rzeczywistą prawdą dla wszystkich. I trzeba mu oddać zupełną sprawiedliwość: rozprawa o pieśni Bogarodzicy jest znakomitą w swoim rodzaju. Autor dowiódł świetnie trudnego zadania.

Za tym p. Szulca rzucił się grzebać w przeszłości naszego Pomorza. Krew mu wzburzyła pretensya Niemców, że Kopernika naszego bezkarnie sobie przywłaszczali. Postanowił więc do-

wieść im, tym Niemcom, że całe Pomorze, jak nateraz, rozciągając się od Wisły aż do Niemna, było słowiańskiem, polskiem; i że, naturalny wniosek, kiedy tam panowali Niemcy, byli tylko przychodniami, którzy kłócili spokojność naszych praocjów. Jako pierwszą próbkę téj pracy dał p. Szulc rozprawę i także w Pamiętniku Religijnym: O Tarnowie mazowieckim. Tarnów był niczem innem tylko późniejszym Toruniem; był w XIII wieku małą wioseczką mazowiecką na pograniczu od Prus, należąca do dóbr stołowych biskupstwa płockiego i przez Gietkę biskupa nadaną Chrystyanowi i zakonowi braci Dobrzyńskich. Nazwisko jego *Thorn* jest późniejsze i już widocznie zniemczone przez Krzyżaków.

Niedługo potem zaczęły się drukować w Bibliotece Warszawskiej ważne badania Szulca *O znaczeniu Prus dawnych*. Zdawało się, że to zaczątek prac olbrzymich, zdolnych aureolą najpiękniejszej sławy otoczyć imię badacza; byłato chwila prawdziwego tryumfu naszego autora:—trwała tak krótko!

W istocie, trzeba oddać sprawiedliwość p. Szulcowi; w jego dziele o Prusach jest nowy pogląd na rzeczy, jest uczucie, duch, styl ożywiony, język piękny: jest wszystko, co tylko potrzeba było autorowi, żeby umiał zająć chociaż suchemi badaniami, swoich czytelników. Pan Szulc zastanawia się naprzód nad rodowością Pomorza, dowodząc prawdy jasnój jak słońce, ale dla Niemców jednak niezrozumiałój, że pierwiastkowo na téj ziemi, o ile możemy sięgnąć w oddal wieków za pomocą piśmiennych naszych zabytków, mieszkały słowiańsko-polskie plemiona. Przechodząc do imienia ziemi, autor słusznie dowodzi, że nazwisko dalszego Pomorza, to jest sam wyraz *Prusy*, jest polskiem, chociaż jego rodowód dzisiaj dla nas zagubiony. Na pograniczu naszego Mazowsza, jak się dzisiaj kończy od Prus, dalej ku Bałtykowi, nie mieszkali zaraz Litwini, krewni tych, co się osadowili nad Wilią aż poza Dźwinę. Prusacy mieszkali więcj na północ, w ostępie ściśniętym cokolwiek, i nie rozszerzali się tak daleko, jak niektórzy sądzą, żeby aż granic dzisiejszego Mazowsza osadami swojemi sięgali. Szulc wskazuje następnie na rysy charakteru narodowego, dowodząc, że i na tém Pomorzu Słowianie mieszkali; a nawet dalej się zacieka. Jadźwingów, Jatwiezów, ród litewski, wygubiony w krwawych wojnach za Bolesława Wstydliego, autor nasz ma za Polaków, czyli raczej za Słowian, i dlatego im nazwę Podlasian nadaje. Odkrył p. Szulc na Podlasiu wieś Daj-

nowo i dlatego całą krainę Jadźwingów jeszcze ziemią dajnowską nazywa, niby tam jeszcze wskazując na pochodzenie polskie mieszkającego w niej ludu.

Kończy znakomite to dzieło szczegółowy opis ziem składających Prusy wzięte w rozległym znaczeniu, jakie miały za Rplitej polskiej. Autor zaczyna ten pochód swój od Torunia i od ziemi chełmińskiej; następuje więc obraz historyczno-statystyczny, pięknie i śmiało pomysłany.

Byłato praca mozolna, ale sownie oplacająca trudy. Autor wskazuje na ślady miast i ludzi słowiańskich na Pomorzu, wydobywa z kronik i z dyplomatów stare nazwiska, które brzmią czysto po polsku, już nawet za czasów rozpoczętej wojny przeciw narodowości ziemi. Zkądże te nazwiska się wzięły, jeżeli jeszcze nie były przed Niemcami? Niemcy kiedy zakładali nowe osady na Pomorzu, to je już chrzcili odrazu swojemi nazwiskami, a nawet stare siedziby nasze przekręcali tak, żeby je potem za niemieckie uznać można było. Jeżeli z przemianą jednej albo dwojga głosek udało się zniemczyć wyraz polski, robili z Tarnowa *Thorn*; jeżeli nie, całkiem wymyślali nowe, niebywałe jeszcze imiona: tak z Kwidzyna powstało *Marienwerder*. Jeżeli więc dzisiaj po upływie kilku wieków napotykają się gdzie nazwiska polskie na Pomorzu, czyż te nazwiska przeciwko Niemcom nie świadczą?

Autor w każdej ziemi Prus starych przywodzi te nazwiska miejsc i nazwiska osób, które w tych ziemiach działały z nienawiścią dla Niemców. Ułożył więc i herbarz rodzin szlacheckich dawnego Pomorza.

Widoczna i tutaj wszędzie fantazyja naszego autora, a jednak rzecz o znaczeniu Prus dawnych, czyta się z pewną wiarą w moc jego rozumowań. I łatwo też było powyciągać p. Szulcowi ze starych zapleśniałych akt dowody rodowości tej ziemi. Walczyła ona długo z przemocą wyobrażeń niemieckich, aż wreszcie do braci wyciągnęła ręce. Długi opór zahartował ją w nienawiści plemiennój; chociaż Niemcy Pomorzanom narzucali swoje prawa i swoje nazwiska, oni przecież rodzinne zachowali dla potomstwa, niby na oznakę dumy słowiańskiej. Polskie imiona odbiły się echem w tysiącach bitew pojedynczo i tłumnie z najezdźnemi hufcami staczanych, i musiały przejść témże echem aż do nas. Jak nie było znaleźć tych dowodów, kiedy się po ziemi wałęsały wszędzie, kiedy w każdym lasku tkwiły, w każdym pagórku, rzeczce, jeziorze, ustroniu; bo już Niemcy wyparli je z miast na

równiny. Trzeba się tylko było schylić po ziemi, a zastyszalbyś na téj ziemi wszędzie pieśń słowiańską rodzinném uczuciem owianą. Trzeba tylko było wejść do chaty wieśniaczéj, żeby w niej spotkać starą gościnność, a nie zdradę krzyżacką, nie przyjęcie niemieckie.

Cała w tém zasługa pana Szulca, że padł na myśl szczęśliwą jak Kolumb na odkrycie Ameryki, i że nam uroczy krajobraz przedstawił przed oczy. Ale praca ta wieleby zyskała na dokładności, gdyby autor nie nadrabiał fantazyą i domysłami, a starał się poznać osobiście ziemię, za którój narodowość walczył. Niejedno nazwisko zachowane w dyplomatach zepsute do niepoznania, zachowało przecież słowiańskie brzmienie, tak, że prawdziwego dociec łatwo. Ale wiele, innego doznało losu. Pan Szulc potłumaczył te nazwiska na język polski jak mu się zdawało, nie bacząc na to, że ubliża majestatowi historii, kiedy domysł podaje za prawdę; a przecież odkryć się z czasem może niejedno błędne jego tłumaczenie: jakaż wtedy pokaże się zasługa pana Szulca, kiedy dojdziemy, że historycznemu miejscu przyswajał nazwę niehistoryczną? Tak Sambia, nazywa się u Szulca krainą ziembińską: dlaczego? Może ona w saméj rzeczy była ziembińską, ale my tego nie wiemy. Lepiej więc w takim razie pozostać przy łacinnioném nazwisku. Tak grają w jego dziele rolę ziemie Barcińska, Gołędzińska, powiat Pogodziński i t. d. Nie dotykamy już miast i wiosek. Zkądże ta pewność? Jaroszewicz zaprzeczył jawnie wywodowi polskiemu Szulca o Jaćwieży i ziemi dajnowskiej. Zaprzeczenie to nie jest dla innego punktu widzenia rzeczy, i nastąpiło nie dla sporów dyalektycznych, bo Jaroszewicz zna dobrze Podlasie, ziemię dawnych Jadźwingów, którą pan Szulc opisywał z nasłuchu, a nie uwodził się nigdy fantazyą w śledzeniach dziejowych. Ztąd prace jego historyczne może nietyle zajmujące stylem i obrazowością, co Szulca, nierównie są od nich wyższe swoją wartością.

Olśniony blaskiem, jaki na niego rzucały badania o znaczeniu Prus dawnych, autor nasz odbył jeszcze podróż na drugie Pomorze zaodrzańskie, aż ku Elbie, i morzu Niemieckiemu. Jeżeli w Prusach pomagała mu w zmuśnych poszukiwaniach fantazyja, to tutaj na zaodrzańskim Pomorzu wyłącznie już zapanowała. Nasze myśli o drugiem dziełku pana Szulca wyłożyliśmy już niedawno w Bibliotece Warszawskiej (miesiąc październ., 1850). Autor naraził swoją wziętość historyczną i sławę literacką, kiedy się tak lekko wziął do pracy ważnéj w pomysle, ale słabéj w wyko-

naniu. Zdaje się, znać na niej widoczny pośpiech: brak wreszcie czasu należytego do rozważenia i porównania świadectw dziejowych. W Prusiech, na Pomorzu nadwiślańskim, Szulc co krok znajdował dowody których szukał;—ale za Odrą? Ta ziemia, to drugie Pomorze, później wystąpiło na scenę politycznego życia w takiej sile jak Polska. Za Bolesława Krzywoustego dopiero ochrzcił je św. Otton z Bambergu. To się znaczy o trzy wieki później wkroczyła na zaodrzańskie Pomorze cywilizacja zachodniej Europy, która pomiędzy Słowian tamecznych przyniosła księgi łacińskie i sztukę układania ksiąg i chęć spisywania zdarzeń rodzinnego kraju, która pomiędzy nich wprowadziła kapłanów i ludzi uczonych, zbierających ułamki dziejów pogańskich. Właściwie historia tego zaodrzańskiego Pomorza, powinna się zacząć dawniej od historii Polski, bo na tamtejsze ziemie bił częściej i silniej piorun Zachodu i przed Karolem, i po Karolu Wielkim.

Ale upor Słowian przy rodzinnych obrzędach, przy wierze praopców opóźnił tylko bieg cywilizacji, która świat europejski przebież miała, a zniszczył pamiątki. Ani tam walki były tak mordercze, ani tak częste jak w Prusach. Na Pomorzu nadwiślańskim, Krzyżacy wszystko orężem tępić musieli: osady, ludzi i język i wiarę; inaczey się wcale działo na Pomorzu zaodrzańskim. Historia nie zachowała nam pamiątek tamtejszych wojen w takiej ilości, jak tutaj, w bliższych nam okolicach. Plondrowali i tam wprowadzili Niemcy, miecz i ogień wnosząc pomiędzy siedziby mieszkańców; ale ich zawsze wyparto ze stratą. Byli tam Niemcy napływową i chwilową ludnością; ale tutaj panowali jak udzielni książęta i tępiłi narodowość. Ztąd większa zaciętość na Pomorzu nadwiślańskim. Jednego roku nie było tutaj bez wojny. Niemcy raz wraz wysyłali wyprawy: to na wschód, to na zachód, to na północ i południe. Dopiero co zawojowali jedną stronę, a już w kilka miesięcy nowe w niej powstanie musieli przytłumiać, i to jeszcze z boku zarywał ich jaki Świętopelk, Sambor albo Mestwin. Nareszcie i przemarodowienie się niemieckie zaodrzańskiego Pomorza, następowało bez walki, a skutkiem jedynie ważnych wypadków europejskich. Za Odrą, po ciężkich klęskach sami książęta słowiańscy przyjmowali z rąk Niemców wiarę i poddaństwo, zapisując się na hercogów świętego rzymskiego państwa. Wymarodowienie więc stało się po długim oporze, prawie dobrowolnie; rzekłbyś, że Słowianie zaodrzańscy skamieniali w rozpacz.

Ten odmienny bieg wypadków na jedném i drugiém Pomorzu był przyczyną, że nierównie więcej mamy zachowanych wiadomości o nadwiślu, jak o zaodrzańskiej ziemi. Tam każdy kamień był prawie historyczny; tutaj oprócz wspomnień miast wielkich i książąt wojowniczych, nic prawie nie zostało.

O jedném i o drugiém Pomorzu wiadomość zachowali nam Niemcy: ztąd na ponadwiślu spotykamy dzikie dla nas imiona Galindyi, Sambii, Pomeranii, Natangii i t. d. Ztąd na Pomorzu zaodrzańskiem mieszkają ludy słowiańskie z niemieckimi nazwiskami, Wagiri, Stoderani, Lutici. Nadwiśle opierało się; ztąd jego historia, lubo płynęła jakiś czas oddzielném korytem, ma echo w naszych dziejach; ale historia Zaodrzańców ma echo tylko w Niemczech, a ci całą terminologią słowiańską popsuli. Polskie nazwiska do dziś dnia są na ponadwiślu, a jakże ich mało na zaodrzańskiej ziemi!

Ztąd, kiedy pan Szulc, pomimo nierównie szczuplejszych źródeł, jakie miał dla Prus, napisał geografią historyczną zaodrzańskiego Pomorza, prawie obszerniejszą i dokładniejszą jak nadwiślańskiego, jakaś się nieufność pomimowolnie dla pracy jego obudza. I w samój rzeczy, rzadki, ale bardzo rzadki tam fakt, który przyjmie krytyka jako nabytek dla historii; fantazya rozdzieliła panu Szulcowi i lądy i wody na ziemie i powiaty; najdrobniejszy tam znajdziesz szczegół, a gdybyś wątpił, pan Szulc cię natychmiast przekona, że np. ziemia pyżska szła tą niezawodnie granicą, a wiecławska tamtą. Fantazya téż panu Szulcowi podyktowała i herbarz szlachty zaodrzańskiej w czasach przed-historycznych prawie. Taki herbarz nie raził na ponadwiślu: towarzystwo np. jaszczurcze miało w swoim gronie wiele polskich nazwisk, ależ gdzie takie towarzystwo jaszczurcze za Odrą? Jedność pochodzenia płatała być może, te ziemie niewidzialną nicią; wiele rodów szlacheckich, które pan Szulc odkrył za Odrą, kwitnie pomiędzy nami dziś jeszcze. Miałyż przejść do nas z zaodrzańskiego Pomorza?

Powiedzieliśmy, że p. Szulc był przeciwnikiem Maciejowskiego, w kwestyi dyplomatów tynieckich. Nie bronimy tych dyplomatów, i zawieszamy jeszcze swój sąd o nich do pewnego czasu, aż dopóki nowe odkrycia nie wyjaśnią tajemnicy, za którą się dzisiaj cała rzecz ukrywa. Ależ i w téj sprawie trudno nie widzieć, jak pan Szulc lekko brał poważne rzeczy.

Dlatego, że Gall powiedział gdzieś o Kazimierzu I „szczególniej liczbę zakonów władca ten powiększył”; dlatego, że Bogu-

chwał biskup poznański założenie opactwa tynieckiego synowi Rxy przypisuje; dlatego nareszcie, że Długosz powiada o sprowadzeniu Benedyktynów przez tego króla: pan Szulc ma za fakt niezaprzeczony i to podanie kronikarzy, że Kazimierz założył opactwo tynieckie. Cytuje na to jeszcze powagę Paprockiego, który miał z Żarnowskiego przepisać wiadomość, a więc z drugiej już ręki, że Tyniec odebrał Starzom Kazimierz. Co o Paprockim myśli pan Szulc, widzieliśmy niedawno z jego urywku o pomysłach historycznych Bielowskiego, umieszczonego w Gazecie Warszawskiej: w kwestyi dyplomatów, przecież Paprocki jest powagą; w recenzji Bielowskiego, jest ostatniego rzędu bazgraczem.

Żył jednakże jeszcze za czasów Bolesława Wielkiego opat Thunni, którego wbrew panu Szulcowi nazywają wszyscy opatem tynieckim. Więc wszyscy zgadzają się, lubo nie ma na to oczywistych dowodów, że opactwo już wtedy istniało, a trzeba powiedzieć, że nie ma też dowodów, żeby za Kazimierza Igo założone było. Tutaj dowodem nie może być słowo Galla albo Boguchwała, ale dokument urzędowy, dyplomata.

Dziwne są zarzuty Szulca robione autorowi Dziejów pierwotnych. Maciejowski powiada np. swojemu przeciwnikowi, że *fundare* w łacinie średnich wieków znaczyło nietylko *zakładać*, ale i danego zakładu fundusz nowemi nadaniami powiększać, niby drugi raz zakładać, fundować. Przecież i dzisiaj dobrodzieja, który na kościół zapisze jaki znaczny fundusz, albo kaplicę jaką przymuruje, albo wieżę z dzwonnicy wystawi, nazywamy fundatorem, a ten tytuł nie ubliża wcale piérwszemu założycielowi kościoła. Pan Szulc łapie za wyraz, przywodzi fakt z Długosza, że król Jagiełło *fundavit* biskupstwo raz wileńskie, drugi raz żmudzkie, i śmieje się z tego dowodu: „Tak, Jagiełło powiększał fundusz tych kościołów, snąc je poganie zakładali.” Maciejowski się nie mylił: *fundare* w łacinie średnich wieków brało się w podwójnym znaczeniu, i to wyrażenie się Długosza, że król fundował biskupstwa na Litwie, nie znaczyło tutaj bynajmniej, że lepiej je uposażał i że kościół chrześcijański poganie zakładali.

Oto drugi zarzut. Wyrażenie się biskupa tuskulańskiego: *Gloriosus rex*, Maciejowski do Bolesława Wielkiego odnosił. P. Szulc łapie znów za wyraz; mówi, że tenże biskup, Krzywoustego w tymże dyplomie *gloriosissimus* nazywa: więc (tu dowcip) chyba dowiedzie p. Maciejowski, że wbrew zasadom wszystkich

języków, stopień najwyższy mniej znaczy jak równy, jeżeli przypuszcza, że *gloriosus* ma być odznaczeniem koniecznie Bolesława Wielkiego. Prózna fatyga autora; do panujących dzisiaj mówimy: największy, najpotężniejszy, najmiłościwszy, najjaśniejszy panie; a przecież Bolesława i Kazimierza dlatego nazywamy *wielkimi*. Ten tytuł *wielki* jest uczczeniem, jest historią; ten tytuł *największy*, jest prostą formą. Tak i wyraz *Gloriosus* przy imieniu Bolesława położony, może być w rzeczy samej przydomkiem; *gloriosissimus* jest tylko prostą grzecznością dla Krzywoustego, grzecznością formami uświęconą.

Pan Szulc nie przyjął więc żadnych wywodów Maciejowskiego: wszystkie zbijał po kolei; a jednakże, patrzmy co może fantazja! Autor *Dziejów pierwotnych* w Germanii Tacyta widział rzeszę ludów, to jest Słowian obok Niemców, i granice naszego plemienia daleko za Elbę prowadził. To się wielu zdało zbyt śmiałym, a mianowicie ostatnie przypuszczenie. Pan Szulc schwycił za wątek tej myśli: Swewów wziął jak Maciejowski za Słowian, Germanią wziął za Słowiańszczyznę, i jednym pociągnięciem pióra wyparł Niemców całkiem ze Słowiańszczyzny, wymazał ich z liczby narodów. A oni dzisiaj wymazują krok za krokiem narodowość słowiańską, z mapy naszej części świata.

Dlaczego Germanie mają być Słowianami? — A oto dlatego. Są u nas wioski Jerzmanowo i Jerzmowo, a w złączeniu te nazwiska brzmieć muszą: Jermania, Germania. (Ten wywód autora znajduje się w dziełku: O Pomorzu Zaodrzańskim str. 31 33). Przypomina się nam niemieckie nazwisko *Sklaven*, *Schlaven*, jakim nas sąsiedzi udarowali. Z tego francuzkie *Esclavons*. Jestto tytuł niewolników; Niemcy też mówili niegdyś, że Słowianie nigdy nie znali wolności, i dlatego przewali się tak szkaradnie. Tak, to Jerzmanowo polskie pana Szulca ma źródłosłów w *jarzmie*. Podajemy jeden jeszcze dowód dla systematu p. Szulca. Narody też germańskie jak i słowiańskie Ingewony, Istewony, także bardzo łatwo mogą być objaśnione ze źródłosłowa polskiego: końcówki zwłaszcza są wiele mówiące.

Był jeszcze trzeci w Warszawie przeciwnik Maciejowskiego i razem badacz naszych dziejów pierwotnych, a nie prosty jedynie recenzent, bo rozwinął także swój systemat oddzielny i wbrew przeciwny wywodom Maciejowskiego, lubo między nim a pisarzem Historji prawodawstw słowiańskich, znalazły się nawet pewne punkta zbliżenia. Tamci dwaj pisali dla dyalektyki, więc

wszystkiemu przeczyli; Tyszyński (bo o nim tutaj mowa) pisał z pewną miłością dla przedmiotu. Mówimy z pewną, bo nie taił się z tém, że nie lubi śledzeń dziejowych, które mu tylko podają *zbliżenia* do prawdy, nie *prawdę* samą. Miał wielką słusność po sobie. Ale dlatego właśnie, że Tyszyński lubił prawdę, a Rychter i Szulc kochali spory scholastyczne, zacny autor Amerykanki (używamy tutaj wyrażenia, które już na zawsze przy nazwisku pana Tyszyńskiego pozostanie: widać, że jest do tego sprawiedliwy powód), autor Amerykanki, powtarzamy, badał na gruncie kwestyą i zajmował się nią wielostronnie, czego dwaj ostatni nie robili. Recenzya Pierwotnych Dziejów Maciejowskiego jest dlatego faktem w dziejach naszej krytyki historycznej. Nie powiemy tego o żadnych pracach Rychtera i Szulca.

Jeden znakomity mówca dzisiejszej Francyi mówi na raz o bardzo wielu przedmiotach, mając mówić o jednym: powiadają też o nim, że każda mowa jego, to mała encyklopedia. Toż samo powiedzieć można i o Tyszyńskim, bo w każdej jego recenzji jest filozofia, literatura, dzieje, a wszędzie ścisła logika, wątek rozumowań tak związany, tak silny wymową i treścią, że prawie zawsze trzeba przyjąć jego wyniki i kochać każdą jego encyklopedyą.

Tyszyński pisał kiedyś w pierwszych latach życia Biblioteki Warszawskiej: Rys historyczny oświecenia plemion słowiańskich. Rys oświaty każdego ludu słowiańskiego, poprzedzał tam wzmianką o jego dziejach zewnętrznych. Z kolei dotknął i plemienia leskiego. Dawno więc już myślał nad pierwotnymi dziejami Polski. Kiedy wyszła książka Maciejowskiego, przeczytawszy ją, przekonał się, że wnioski jego niektóre są wprost przeciwne wywodom autora Historii Prawodawstw. Ztąd pisał jego recenzyą, nie dla próżnych przechwałek z erudycyą, ale z miłości dla prawdy. Robiąc zarzuty dziełu Maciejowskiego, chciał, żeby na te zarzuty autor odpowiedział, żeby wątpliwości zniósł, a samo z siebie wynika, że prawda przez to jaśniejsząby się wydała.

Maciejowski opowiadanie swoje dziejów Polski zaczął od pierwszego wieku chrześcijaństwa, to jest od Germanii Tacyta. Ligiów Tacytowych wziął za Łęczan, i na to się z nim zgodził Tyszyński; ale wziął też Maciejowski Bulanów Ptolomeusza za Polaków, w czém się z nim Tyszyński nie zgodził. W samej rzeczy autor Dziejów pierwotnych nie pomyka się głębiej w czasy przed-

Chrystusowe, a jego recenzent zaczątek historyi naszój z równym stopniem pewności cofa jeszcze o wieków kilka, i widzi ją w Scytyi Herodotowój. To prawda, ale te wieki przed-Chrystusowe interesują więcej Słowian w ogóle, jak nas Polaków. Sam przecież pan Tyszyński dopiéro w IIIim i IVtym stuleciu ery chrześcijańskiej, Słowian od stron karpackich przenosi na nasze nadwiślańskie i nadwartańskie równiny. Że całą tę przestrzeń między Wisłą a Elbą zamieszkiwało już wtenczas słowiańskie plemię, rdzeń Polski późniejszy, zupełnej pierwotnej jedności, na to my się zgadzamy z Tyszyńskim przeciw Maciejowskiemu, jeżeli tak rzeczywiście utrzymywał autor Dziejów pierwotnych. Zdaje się jednak, że tutaj małe nieporozumienie. Przyjmując Bulanów Ptolemeuszowych za Słowian, przodków naszych, Maciejowski powiedział, że nietylko nad Wartą, ale i nad górną, nad dolną Wisłą i nawet nad Odrą mieszkali Słowianie. Owszem, Maciejowski Słowian dalej prowadził, jak może rzeczywiście oni zaszli, kiedy źródłosłów *Westfalii* tłumaczył z polskiego. Autor Dziejów pierwotnych powiedział tylko, że po Słowianach różne narody stapały, że historia praojców naszych utonąła w historyi Gotów, Wandalów, Scytów, Sarmatów i innych nazwisk narodów. Obcy przybysze całą ziemię naszą zajęli i przemknęli się po niej jak huragan wszystko niszczący. Co chwila spotykasz nazwy obce; jedno tylko imię Bulanów ma być swojskie: w tém właśnie najslabsza strona systematu pana Maciejowskiego, to mimowolne ocalenie dla historyi imienia Bulanów. Czemuzto inne słowiańskie narody w téj okolicy dały się ugiąć chociaż pod chwilowe jarzmo, a nie dali Polanie?

Robimy więc zarzut panu Tyszyńskiemu: że to jego cofnięcie historyi słowiańskiej „z równym stopniem pewności” aż do czasów Scytyi Herodotowój, dla nas Polaków nic nie przysporzyło starożytności, i twierdzim, że kiedy Maciejowski zaczynał dzieje Polski od Igo wieku po Chrystusie, idąc za śladem Bulanów, zaczynał te dzieje nierównie wcześniej od pana Tyszyńskiego, lat trzysta, czterysta przynajmniej.

Jakkolwiekbyż można ten sporny przedmiot uważać, nam się zdaje rzeczą pewną, że Słowianie osiedli w czasach przedhistorycznych na całej téj przestrzeni, jaką dziś jeszcze Słowiańszczyzna zajmuje, zamknięta pomiędzy Dnieprem a Elbą. Tyszyński przodków naszych za Herodota sadowi już na północ Karpat, ale pod

Baltyk i dolną Wisłę z niemi się nie zapędza. Tyszyński w tém się téż nie zgodził z Maciejowskim, żeby Słowianie lescy mieli do nas nadejść z Zachodu; utrzymuje owszem, że przybyli z Południa. Ze pierwiastkowo przybyli z Południa i ze Wschodu w nasze okolice, to żadnej zdaje się nie ulega wątpliwości. Pochód ludów ze środka Azji aż do Atlantyku, tę drogę wskazywał od wieków; ale był ten pochód daleko dawniej jak przypuszcza Tyszyński. W pierwszym wieku ery chrześcijańskiej już Maciejowski widzi Słowian, rdzeń Polski późniejszy, nad Bałtykiem i nad Wisłą, a w dalszą ich przeszłość nie wgląda. Zapytany o to, pewnieby nie zaprzeczył, że nim nad Wisłą byli Słowianie, siedzieli wprzód może nad Dnieprem, Dunajem, Bohem. Maciejowski już w Iszym wieku ery naszej widzi praojców słowiańskich w ich dzisiejszych siedzibach, a my ich dawniej jeszcze widzimy.

My sądzimy, że już w tych siedzibach zastał ich Herodot, kiedy swoje Scytyą pisał, a ich grobowce i stare wioski przeglądał, i ich zwyczajom i życiu się przypatrywał. Niejeden już dowcipny badacz tłumaczył tę Scytyą Herodotową. Znamy rozprawę Karola Sienkiewicza, Ejchwalda, a teraz niedawno poznaliśmy badania Nadezdina, pod tym względem nadzwyczaj ciekawe i ważne. Może dla nauki nie będzie bez użytku powtórzenie tutaj kilku zbliżeń, kilku tych faktów i wniosków.

Herodot dzieli Scytów na królewskich czyli właściwych i wolnych, i na niekrólewskich, niewłaściwych Scytów, więc niewolnych. Jedni panowali, drudzy ulegali. Jedni byli napływową ludnością, bo jakąż inną ludnością mogli być zwycięzcy? drudzy byli zawojowani, więc siedzieli na swojej ziemi przed najściem obcych. Ci zawojowani byli to Słowianie, a w takim razie twierdzenie Maciejowskiego, że górą przepływały po naszych praojcach ludy niemiecko-gotyckie, dziwném podobieństwem uderza. Myślałbyś, że przeznaczeniem stariej ziemi Słowian było służyć za jakiś przewodnik elektryczny dla wszelkich obcych narodowości. Słowianie ulegali za Herodota napływowym ludnościom, ulegali im w pierwszym wieku ery chrześcijańskiej.

W Scytyi więc już widzieliśmy Słowian: bo nam się w żaden sposób w głowie pomieścić nie może, żeby lud tak ogromny jak słowiański, dopięro w drugim, trzecim wieku, tém bardziej w czwartym, rozlał się szeroko po Europie. Tyszyński jednak utrzymuje, że cesarz Konstans rozgromił potężnie Słowian około r. 360. i odrzucił ich z nad Cissy na północ; że świeża ta war-

stwa słowiańskich ludów, wlała ruch nowy, nowy okres życia w pokolenia nad Wisłą.

Nad Wisłą mieszkali już podług niego Słowianie, którzy jednak niedawno tam zająć musieli, bo w pierwszym wieku ery naszej nie ma ich żadnych śladów na północy. Na południu płynęły wtenczas Dunaj, Wisła, Drawa, Sawa: rzeki z brzmieniem słowiańskiem; a na północy Guttalus i Elba, która ma pochodzić z wyrazu *albis* (znaczącego środek). Tak więc tu na północy, w pierwszym wieku ery nie było Słowian, podług pana Tyszyńskiego. Rzeki tego nie pokazują. Nie mamy nic przeciw temu zdaniu. Autor zauważał i sprawiedliwie, że lasy, wioski, pomniki i same miasta, nikną w kolei wieków i giną; lecz nie boją się ani czasu, ani żywiołów rzeki, i nazwiskami świadczą.

Wypada z tego całego rozumowania, że jakkolwiek dawniej, za Herodota jeszcze, mieszkali i nad Wisłą Słowianie, byłoto przecież tylko nad górną Wisłą, i że dopiero po zwycięztwach Walensa zajęli ostatecznie swoje granice pomiędzy Elbą, Bałtykiem i już wtedy dolną Wisłą. Takim sposobem już za czasów historyi mieli zapanować w północnych stronach nasi naddziadowie; nam się nie zdaje, żeby lud tak mnogi, tak wielki, który na miejscu mógł wzrastać, ale nie przychodzić z kądś, był tak mało znaczący, żeby téj jego głównej wędrówki na północ i osadowienia się aż ponad morze, nie pochwyciła i nie zanotowała historia. Zresztą, jest może tutaj sprzeczność w dowodzeniu: bo jeżeli Tyszyński przypuścił, że za Herodota już między Wisłą a Elbą zamieszkiwało słowiańskie plemię; nie mógł przypuścić, iż po wypędzeniu przodków naszych przez Konstansa, nowe ziemie przybyły nam dla wspólnego dziedzictwa. Zgadzamy się, że przejście tych wygnanców na północ, za Karpaty, wlało nowe życie między ludy nadwiślańskie; ale nie sądzim, żeby skutkiem dopiero tego przejścia, było zajęcie północnych krajów. Że mogli rozszerzyć się wtenczas więcej na zachód, nie przeczym. Zresztą Bielowski, który poszedł w tym razie za Tyszyńskim, lepiej czas téj wędrówki oznacza: bo mówi z pewnością, że Trajan cesarz, po zwycięztwie nad Decebalem, przerzucił Daków czyli Słowian za Karpaty. Podług Bielowskiego aż do téj chwili, to jest do IIgo wieku po Chrystusie, Słowianie tylko w Illiryi, Węgrzech, Siedmiogrodzie i t. d. aż po Grecyą mieścili się, i dopiero wtenczas całą siłą uderzyli na północ. Ale i zajęcie odrazu tak ogromnego kraju od Karpat aż po Bałtyk i od Elby aż po Dniepr byłoby wypadkiem

światowym. Wypadek ten musiałaby koniecznie zapisać na swoich stronicach historia.

Dziwnie pięknie tłumaczy Sienkiewicz Scytyą Herodotową. Zapewne są w nim tylko etymologiczne zbliżenia, ależ te zbliżenia mówią całą potęgą, zdaje się, rzeczywistych kombinacyj. Takie zbliżenia ródzą mimowolnie wiarę dla faktu.

Herodot podaje nazwiska narodów pozmyślane, bo nie nazywa ich nigdzie swoim rodzinnym nazwiskiem, którego pewnie spa- miętać a może i wymówić nie mógł, ale nadaje im swoje dowolne miana, wzięte od natury ziemi i od sposobu życia. Nauka geografii stała wtenczas na niskim stopniu: uczeni nie pojmowali potrzeby nazywać rzeczy ich właściwym nazwiskiem. Wszakże i dzisiaj są tacy, co *Schwarzwald* badeński tłumaczą Czarnym-lasem, a *Rocky Mountains*, górami skalistemi. Tak mógł imiona własne i stary Herodot tłumaczyć. Zapewne, że etymologiczne wywody najmniej znaczyć mogą w historii; ależ takie np. zbliżenia, jak te co następują, wiele mówią do przekonania.

Scytów jeden naród nazywał się *Georgi*, to jest polni ludzie, a to wychodzi na Polan, którzy mieszkali około Kijowa. Jedno to było plemię co i Borystenitów. Dniepr nazywał się u starożytnych Beresten, Berestyniec, od drzewa berestu, berezy, brzozy. W tej okolicy płyną różne rzeki podobnego nazwiska: Berezyna, Berezwica i t. d. Na północ cokolwiek był lud Berescian, to jest Brześcian. Inne plemię scytyjskie nazywało się *Hylea*, to jest krajem lesistym, co na Drewlanów wychodzi. Tutaj jest Hulcza, Hulaki, Hulajpole. Ztąd rodem Anacharsis. Sienkiewicz pisze to imię: *aNACHARsis*; w brzmieniu więc wyrazu znajduje się *znachor*, to jest wieszcz, uczony, mądry, jakim był Anacharsys. To coś natrąca Ukrainę. Ojciec jego był *Gnuros*, to także wieszcz, znachor. Inny był lud scytyjski zwany u Herodota: *Alazoni*, z przydechem czytało się Halazoni: to Haliczanie, mieszkający pomiędzy Bohem a Dniestrem. U *Gerrów* znajdowały się groby królów scytyjskich: imię to znowu wskazywało na słowiańskie góry. Inny był lud *Nurów*; w okolicy która na ten lud wypada, płyną rzeki Nur, Narew, Norynia, Norzyńsk, Ner. *Nori* wspomnieni są u Nestora. Nur znaczy w języku słowiańskim ziemię. Zwyczaj widać starodawny był u przodków naszych, krainy swoje dzielić na ziemię; zwyczaj ten przetrwał aż do ostatnich chwil bytu Rplitej polskiej. *Budyni*, inny naród, bierze nazwisko swoje od budy. Herodot mówi, że lud ten żywił

się węzami i rybami razem: to na myśl nawodzi Polesie, i wiuny, piskorze. U tego ludu było miasto wielkie obcym rodem zamieszkałe, przewiskiem *Gelon*, może Wołyń, który także był u Słowian miastem wielkiem, stolicą ziemi wołyńskiej. *Melanchleny* mieszkali w okolicy Dniepru; mieli czarnego coś w nazwisku; w istocie tutaj znajduje się, Czarne pole, Czarny las i Czarny szlak, Czarnygród. *Hyperborei* nareszcie, to ludzie za borem mieszkający, zaborowi, tam gdzieś u stóp Bałtyku.

Te wywody są dowcipne, ale taki dowcip mimowolnie przekonywa. Gdybyśmy chcieli jeszcze Ejchwalda i Nadeżdina wypisywać, pomnożylibyśmy tylko prawdopodobieństwo (1).

Dlategośmy prędzej przypuścić gotowi, że Herodot wszędzie w Scytyi widział Słowian, tylko po słowiańsku dobrze nazwać ich nie umiał; że już całą przestrzeń od Karpat do ujścia Wisły (nie wspomnim o granicach zachodnich i wschodnich) zajmowali najmniej na cztery wieki przed Chrystusem Słowianie, rdzeń Polski późniejszy.

Pod tym względem i Maciejowski nie może się różnić z Tyszyńskim, Słowianie przyszli od wschodu i południa na swoje dzisiejsze ziemie, ale przyszli jeszcze przed Herodotem. Późniejsze napływy zakarpaccich Słowian w strony nasze, jak po zwycięstwach Trajana i Walensa, mnożyły tylko bogactwo ludności słowiańskich przed Karpatami, u początków i ujścia Wisły, ale nie były pierwszemi osadami, które tutaj niosły słowiańskie życie.

Było więc wychodźstwo ludzi ku zachodowi, ale czy też było kiedy i wychodźstwo Słowian z zachodu na wschód? Czy prawda to jest, że kiedy Słowianie zbyt się w dzisiejszą krainę niemiecką zapuścili, potem przed niewolą uciekać musieli do braci? Tyszyński mówi, że nie było tak; Maciejowski że było. Na to jednak żaden z badaczy nie może postawić stanowczych dowodów. Pewno, że prąd ludów ku wschodowi z zachodu nie był naturalny, kiedy parło się wszystko wprost w przeciwnym kierunku, jak to zaświadcza dzieje; nie idzie przecież za tem, żeby fałszywy jaki akord nie mógł się czasem odezwać wpośród tej ogólnej harmonii. Dlatego przejście Lachów z zachodu do braci, nie miało związku

(1) Rozprawę Ejchwalda o Scytyi Herodotowej razem z rozprawą Sękowskiego, objaśniającą pewien punkt sporny, przetłumaczył na język polski podobno Alexander Groza, i drukował je w Athenaeum Kraszewskiego. Nadeżdina wytłumaczył Jędrzej Podbereski, ale ta rozprawa nie drukowana jeszcze po polsku.

żadnego z całą wędrówką narodów: to mogła być tylko zmiana wewnętrzna stosunków. Badaczom idzie o wytłumaczenie nazwiska Lechów, Lachów, i o wykazanie przyczyn, dla których w najodleglejszej już historii polskiej napotykamy ślady wyobrażeń i pojęć niemieckich, w instytucjach Piastów. Pana Maciejowskiego systemat tłumaczy właśnie te przyczyny; może pozornie, może bez widocznych dowodów, ale je tłumaczy. Ale jak Maciejowski nie może powiedzieć, że tak było w rzeczy samej; tak i Tyszyński, że było inaczej. To systemata: potrzeba je tylko wyrozumić i znać jako hipotezy, które może potem prawdę odkrywają; ale dzisiaj są tylko tém, czém są. Dlatego nie możemy rozumić namiętnych sporów, jakie często uczeni ludzie prowadzą za hipotezy. Ileż takich domysłów jest w fizyce, w chemii, a w ogólności w naukach przyrodzonych, a przecież jedne powtarzają się obok drugich i nie zawadzają nawzajem sobie dopóty, aż prawda błysnie.

Za hipotezy gniewali się Szulc i Rychter; ale poważnie całą tę sprawę, stosownie do godności nauki, rozbiierał Tyszyński.

Znalazł się w Warszawie jeszcze piąty pisarz, który ogłosił swoje badania nad dziejami pierwotnemi Polski. Ale belletrysta, filozof, dziennikarz więcej jak historyk, wziął się do nowej dla siebie roboty raczej dlatego, żeby i swoje pojęcia o tym przedmiocie wyjaśnić, niż żeby badał samodzielnie. Dlatego też i *Pierwotne dzieje Polski* były jakby wstępem tylko odosobnionym zupełnie w życiu literackim p. Lewestama, bo o nim tutaj mowa. Autor znajduje w dziełach Cezara Bojów, a *bój* to słowiański wyraz, więc i w Galii byli Słowianie. Lexobii to wyraźnie Lachowie, Morlaix w dzisiejszej Francji, to okolica zamieszkała przez Lachów morskich, Morlachów, jacy dzisiaj jeszcze panują nad półbrzeżami Adryatyku. P. Lewestam dalej zaprowadził Słowian jak wszyscy przed nim i po nim badacze, bo oparł ich aż o Atlantyk, który kąpie brzegi Armoryki, starodawne siedlisko Druidów. Ostatecznym wynikiem badań Lewestama było, że nasi ojcowie wyłącznie panowali od krańca do krańca w środkowym pasie Europy, i że pomiędzy niemi najcelniejsze pokolenie było Lachów. Dziełko to osnowane więc także na grze wyrazów, lubo ma czasem i dowcipne zbliżenia, nie zaważyło wiele na szali historii, bo dzisiaj jest już zupełnie zapomniane.

(Dalszy ciąg nastąpi).

F. KALLIMACHA GEMINIAŃCYKA
O KRÓLU WŁADYSŁAWIE

CZYLI

O KŁĘSCE WARNEŃSKIEJ.

Księgi dwie, Augsburg, r. 1519, w drukarni Zygmunta Grimm doktora i Marka Fürsunga.

PRZEŁUMACZYŁ I PRZYPISAMI OBJAŚNIŁ

Michał Głiszczyński.

WSTĘP.

Nie wiem z kąd przychodzi mi zaraz do głowy myśl, że rosnące pokolenie nie lubi języka łacińskiego, że nawet młodzi literaci z trzeciej ręki biorą materyały, bo sami do oryginałów nie zaglądale, bo tam wszędzie łacina; i dlatego brak im oparcia silnego i powagi szperaczy. Ale to do rzeczy nie należy. Dobrze więc jest przepolszczać łacińsko-polską literaturę, bo tym sposobem czyni się przystępnemi dla wszystkich oryginalne źródła.

Na téj drodze dużo już zrobili panowie Mikołaj Malinowski, Muczkowscy, Syrokomla, i inni.

Właśnie w tym czasie między innemi książkami nadesłano z Kalisza do biblioteki rządowej w Warszawie rzadkie bardzo dzieło Kallimacha o wyprawie warneńskiej, a raczej historia Władysława Jagiellończyka od chwili obrania go na tron węgierski, aż do śmierci pod Warną. Dziwna rzecz, że nigdzie nikt dobrze téj książki nie opisał, chociaż o jej istnieniu wiadano.

Obecny exemplarz składający się z 57 całych kart, ma taki tytuł: „*P. Callimuchi Geminianensis, historia de rege Vladi-*

slao seu clade Varnensi. Pod spodem: Cum privilegio Imperiali. Na końcu: Augustae Vindelicorum excusa in officina Sigismundi Grimm, medici, atque Marii Vuirsung. Anno virginis partus 1519, XXX die Mense Mai. Libri duo".

Jestto najpewniej pierwsze wydanie, a zatem ma powagę niezaprzeczoną, bo tego dowodzi umieszczony na początku list Zygmunta Scheufler kanonika fryzzyngińskiego (1) do Egidiusza Rema kanonika i doktora padewskiego.

Pan Wiszniewski taki daje tytuł: „*De rebus gestis a Vladislao Polonorum atque Hungarorum rege ad Casimirum regem. Libri III. Augusto Vindelicorum, Sigismun. Scheufler 1519, 4to*".

Różnica bardzo wielka, a jednak jestto tytuł jednej i tej samej książki, jak się to z przytoczonych wyjątków w *Historyi Literatury Polskiej* tom IIIci pokazuje. Dziwna rzecz! Nie mogę inaczej sobie tego wytłumaczyć tylko tém, że albo p. Wiszniewski widział późniejsze jakie i zmienione wydanie, albo że na wiarę cudzą tytuł powtórzył. Radbym bardzo, aby kto z biegłych rzecz tę objaśnił.

Gołębiowski w swojej *Historyi Władysława Jagielly i Warneńczyka*, ma niektóre wyjątki z tej samej jak się zdaje książki, ale na nieszczęście, także tytułu jój żadnego nie wypisał.

Pan Malinowski w tłumaczeniu Wapowskiego czy objaśnia, czy różnice wykazuje Długoszem, a w dwóch tylko miejscach wspomina Kallimacha. A przecież jeżeli prawdą jest, co pan Wiszniewski powiada, że dzieło to Kallimacha nie jest jego, że przez niego tylko wydane pod jego imieniem niesprawiedliwie zostało, bo rzeczywiście ma to być praca Grzegorza z Sanoka: to zawsze współcześni mają więcej wiary, i czy Kallimach czy Grzegórz, to wielkie bardzo powagi. W żywocie Grzegorza z Sanoka sam Kallimach naiwnie przyznaje, że Grzegorz napisał historią elekcji Władysława na króla węgierskiego i jego śmierci w dwóch księgach, i że przyjaciółom kopie z nich porobił. Zapewne więc odmińszszy cokolwiek, pod swoim nazwiskiem pracę Grzegorza wydał; czego dowodzi i exemplarz, który mam pod ręką na dwie księgi dzielący się, a nie na trzy, jak Wiszniewski i inni cytują, i nic innego tylko samą elekcją Władysława i dwie jego wyprawy na Turków obejmujący.

(1) Frisingen, miasto biskupie w Bawaryi.

Rozczytawszy się w tój pracy tak dawnój, oderwać się od niój nie mogłem. Zdziwiał w niój naprzód biegiłość w języku, sposób pisania jedrny i energiczny, wymowa potężna i porywająca owych starszych jeszcze, a słynnych greckich i rzymskich historyków, znajomość doskonała stosunków i położenia Polski, Węgier, Turcyi i drobnych słowiańskich dzielnic. Niewiele takich pomników mamy, i to mię do przełożenia na polską mowę dzieła tego skłoniło.

Wapowski opisując tęż samę epokę, ma dużo szczegółów takich samych, jakie w Kallimachu się znajdują. Powiedziałbym nawet, że w wielu miejscach żywcem z Kallimacha wypisał, tak tęż same wyrazy i kolęj opowiadanych faktów w jego dziele widać, a w niektórych znowu ustęпах rozszerzył tylko niezmiernie ściśliwe i dlatego jedrne opowiadanie Kallimacha. Nigdzie niema żadnego więćej, ale za to dużo jest mniej szczegółów. Ale juźto nie ten Tucydydowski lub Liwiuszowski duch: nie ma w nim tēj siły, powagi, wewnętrznego przekonania i wymowy, jakie miał sławny doradca Jana Albrechta. Same mowy jego, jakie w tēm dziele w usta wielu kładzie, gdyby nawet nie historycznego w sobie nie zawierały, warte były tłumaczenia, bo drugich takich z owēj epoki nie mamy. Wiszniewski mówi o tēm dziele: „Nie sąto słowa czeze i wystawna gadanina, ale uwagi głęboke, rozwinięta genealogia pobudek wewnętrzných, rys żelaznej konieczności, odsłonięte przed okiem czytelnika pobudki: wszystko rzeczy ważne, które po największėj części w ramki mów powstawiał”.

Zresztą nigdzie i nie lepszego z opisów owego warneńskiego dramatu nie mamy. Wszyscy późniejsi powtórzyli zmieniając lub skracając tylko to, co Kallimach napisał; powagą więc piérwszą i nieodwołalną jest on sam tylko, bo ani Długosz, ani Kromer, ani Wapowski nie nowego nie dodali, a jeszcze mniej mają szczegółów i siły historycznej.

Kallimach urodził się 1437 r. w San Geminiano w Toskanii. Nazywał się właściwie Filip Buonacorsi. Nauki pobierał w akademii w Rzymie i tu dostał nazwisko Kallimacha, do czego jeszcze przydano mu późniój epitet „experieas” biegły w rzeczach politycznych.

Paweł Hgi papięz następca Piusa Hgo nie lubił uczonych, i ci, jak się zdaje, spiski przeciw niemu knuć poczęli. Gdy się zamiary ich wydały, uciekać z Rzymu musieli. Wyszedł i Kalli-

mach i tułał się po świecie. Był w Egipcie, Grecyi, na wyspie Cypr, Rodus, w Azji, Węgrzech, wreszcie do Polski przybył.

Tutaj we Lwowie przez jakąś Świętochnę życzliwie przyjęty, w wielu ją potem wierszach wychwalał (1). Poznał się potem z Grzegorzem z Sanoka, Derśławem Jastrzębkiem z Rytwian i Zbigniewem Oleśnickim; ci polecili go królowi i został nauczycielem dzieci królewskich. Prędko dał poznać zdolności swoje, to też on i wielki jego przyjaciel Piotr z Bnina biskup władysławski rządili królem i Polską. Godności i dostatki lały się na szczęśliwego, ale mądrego Włocha. To narobiło mu wielu zazdrosnych, a między nimi i Długosza, za co też ani słówka o Kallimachu nigdzie nie wspominał. Potrafili niechętni podburzyć przeciwko niemu króla, i Kallimach wtedy schronił się do Lwowa do Grzegorza z Sanoka. Ale urosł jeszcze więcej w znaczeniu i powadze, kiedy Jan Albrecht na tronie zasiadł i we wszystkiem Kallimacha się radził i we wszystkiem mu ufał. Umarł w Krakowie 1496 r., pochowany z niesłychaną pompą w kościele Dominikanów stój Trójcy, gdzie ma wspaniały nagrobek.

Odbywał różne poselstwa: na synod łęczycki 1466 o posiłki od duchownych na wojnę z Turcyą; do Konstantynopola r. 1475 w sprawie między Polską i Wołoszczyzną; r. 1476 do Fryderyka III cesarza i do papieża Innocentego XIII; wreszcie do Wenecyi o zawarcie przymierza przeciw Turkom. (Wiszniew. Hist. Lit. Pol. T. III).

KSIĘGA I^{sza}.

Zygmunt król węgierski dostąpiwszy siłą cesarstwa, podbiwszy sobie później i Czechów, rządził jednak przeszło pięćdziesiąt lat z takim umiarkowaniem, że kiedy umarł bez potomka płci męskiej, Węgrzy nikomu nie chcieli podlegać, tylko Albertowi księciu Austrii, któremu już dosyć dawno Zygmunt swą córkę był poślubił. Wydawało się, że przez to ukołyszają tęsknotę po dobrym i świętym monarsze, jeżeli się na jego córkę patrzeć będą; chociaż to uczucie niewiele potem córce i wnukowi pomogło. Albowiem kiedy Albert także niedługo po swém wstąpieniu, zostawiwszy ciężarną wdowę, zszedł z tego świata; wnet liczni ma-

(1) Była ona wnuczką sławnego rycerza Leszka Bobrzyckiego. Ożenił się też później z nią Kallimach.

gnaci węgierscy, wspólnie z posłami (mówcami) władcy Rascyi i hrabiego Cylji (1) pospieszyli do Budy, gdzie mieszkała królowa; i zaczęto o sprawach kraju się naradzać. Zaraz rozdwojenie w umysłach się pokazało. Wielu z nich radziło na szczęśliwe rozwiązanie królowej oczekiwać i twierdzili, że nie można nic o nowym królu stanowić, dopóki ona nie urodzi; że się to należy pamięci na zasługi Zygmunta, który dla nich był prawdziwym ojcem; że nie ma potrzeby rzucać się nieroztropnie pod berło obcych monarchów, kiedy może u siebie w domu będzie taki, co jak dziad rządzić będzie sprawiedliwością i łaskawością. Przemogłaby była liczba i miła dotąd pamięć Zygmunta, gdyby był Jan Huniad, przed wielu innymi dawnymi i swego wieku mężami wojownik i wielko-radca pamiętny, nie był o groźnym niebezpieczeństwie przypomniał: że i miasto Sunderovium (2), i cała prawie Rascia, niby przedmurze Węgier, za którym bezpiecznie sobie siedzą, już przez Turków zajęte zostały. Mowa ta żalosne po zmarłym umysły, ku obecnym potrzebom zwróciła, i zaczęli sami między sobą rozbiierać i szczupłość królestwa, i rosnącą z dnia na dzień potęgę turecką, i łatwy dla nich do Węgier przystęp. Co więcej, gdyby doczekano się rozwiązania królowej i chociażby, jak sobie sami życzyli, urodziła potomka płci męskiej; nie na wieleby się to przydało do ocalenia państwa, bo męskie umysły pogardzają rządami niewieściami, dla niedołężności téj płci wrodzonej; a jeżeliby pogrobowcowi opiekunów wyznaczono, niebezpiecznym byłoby w podobnych okolicznościach losy państwa wystawiać na chciwość i namiętność kilku. Królowa sama, chociaż bardzo troszcząca się o to, nie wiedziała coby w tak nagłych okolicznościach przedsięwziąć wypadało. Jedno z dwojga: albo synowi, gdyby się urodził, odbierze dziedziczne jego państwo, albo je wystawi na łup Turkom. A i to nie było jeszcze pewnym, czy się chłopiec urodzi, i czy, gdy się coś twardszego przytrafi, życzliwość Węgier dla niej i dla jej dzieci nie zachwieje się do końca.

Gdy tak różni różnie dowodzili, najwięcej było takich, którzy za najstosowniejsze uważali, aby Władysław król polski, który niedawno młodzieńczego dosięgnął wieku i którego zdolności i męstwo prawie nadludzkie u wszystkich głośną sobie zjednały

(1) Rascia północna część Serbii, a Cylja południowa część Styryi.

(2) Dzisiaj Semendria. Długosz nazywa je Sunderowem, Gołębiowski Senderów.

sławę, zaślubił królową wdowę i nad obudwoma władał narodami. Przy grożących wewnątrz i zewnątrz niebezpieczeństwach ten jedyny był ratunek, jeżeli tém zbliżeniem połączy się ze sprawą Węgier niezwyciężona dotąd waleczność Polaków.

Przewidziano zaraz i to, że niepewne dzieci swoich następstwo przy ciężarności królowej, najwięcej może odstręczyć Władysława; dlatego za zgodą królowej uradzono zaraz, że gdyby się chłopiec narodził, nad Austryą i Czechami, a dzieci nowego króla jeżeli się urodzą, nad Węgrami panować będą, i że pod tym warunkiem królestwo i małżeństwo ofiarują Władysławowi. Zastrzeżono jednak, aby nie wprzód o następstwie dzieci wspominać, ażby trudność téj okoliczności tego wymagała. Wyznaczeni tedy za zgodą wszystkich na posłów: Jan biskup segnijski, Mateusz Talautius, Emeryk Marcellus, Jan Pereny, Władysław Palocius (1). Gdy tedy owi posłowie do Krakowa przybywali, wysłał Władysław o 1000 kroków naprzeciw nich brata swego Kazimierza, a przyjęci od niego wzajemném pozdrowieniem, wprowadzeni do miasta, trzeciego dnia otrzymali posłuchanie i w tych do króla, jak mówią, odezwali się słowach:

„Gdyby sąsiedztwo i różne różnemi czasy stosunki, nie były połączyły królestwa naszego z twojém wzajemnymi i licznymi przyziemiami i obowiązkami: to i tak dzielność i sława twoja, Najjaśniejszy Panie, byłyby nas ku tobie w nieszczęściu naszym zwróciły. Gdy bowiem nie podobało się Najwyższemu, aby nad nami panował Albert, któregośmy wprawdzie wybrali nie dla wielkich ztąd korzyści, ale że tego po nas wymagała wdzięczność i świeża jeszcze, a zatém żywa pamięć na Zygmunta; wszysey teraz jednozgodnie wybrali ciebie, abys królem naszym był. Pomijamy to, że przymioty twoje prawdziwie królewskie, że przodków twoich świetność, wszystkich umysły zniewoliły i zapewniły, że ty tylko tak rozległych państw sprawom podołać możesz; ale co wa-

(1) Oprócz Jana biskupa, jednakowo przez wszystkich nazwanego, inne nazwiska nasi historycy każdy inaczej mniej więcej poprzekręcali. *Kromer*: Jan biskup sygienski, Mateo v. Mathias Talocinus Dalmaciae et Croatiae praefectus. Emericus Marcellus magister Curiae, Joannes Perenus major et Ladislaus de Polocius. *Długosz* z polska ich nazywa: Jan biskup, Mateo de Talencz, Emericus de Marcellis, Joannes major de Peren, et Ladislaus de Palencz. *Gołębiowski*: Jan biskup, Mathias Talonecius, Emeryk Marczatty, Jan Peren i Władysław Gallocyusz. *Wapowski* tylko Jana biskupa wymienia.

źniejsza, że losy obu narodów często wiązały się z sobą i że prawie zawsze dzieliły one z sobą wszelakie szczęście, gdy ich nieszczęsny jaki los w zamiarach i sprawach nie rozdzielił. Jak kiedyś Gotowie, jak Wandalowie i inne ludy przez nieznaną prawie na ziemi drogę; jak potem Tatarzy przez Polskę do Węgier naprzód, a potem do innych wtargnęli krain: tak i teraz, jeżeli cię Bóg nie natchnie tą samą myślą do przyjęcia królestwa naszego, z jaką my ci go ofiarujemy, tak i teraz prawdopodobnym jest, co ze zgrozą przewiduje umysł, że Turcy otwarłszy sobie drogę przez Węgry, na was potem wojnę i zniszczenie obrócą. Rascia i Bułgaria, dwie królestwa naszego tarcze napadnięte zostały, a my poleniliśmy się iść im zbrojno na pomoc, i dlatego wpadliśmy w to krytyczne położenie, że zamiast, jak wypadało, bronić granic cudzych, musimy teraz znosić napad i wojnę w naszych własnych granicach. Gdybyśmy tedy o nic więcej cię nie prosili, jak o to, żebyś nam pomógł w nieszczęściu naszym, powinienesz to uczynić: bo lepiej bronić cudzego, niż swoje na niebezpieczeństwo narażać."

„Teraz zaś, gdy nietylko opiekę, ale prawa i losy najbogatszego państwa pod nogi ci rzucamy: czegożbyś się miał wahać? Czyliż za tak wielką i świetną nagrodę nie chciałbyś iść na harce wspólnymi siłami przeciw owemu wrogowi, którego my sami, własnymi piersiami nieraz rozbijaliśmy? Czyliż się obawiasz, że nie dotrzymasz bezbronnemu i rozbitemu nieprzyjacielowi, którego my sami, bez obcych posiłków za nic zwykle mieliśmy? Imię samo twoje, jak żywie Bóg, wystarczy na to: a jeżeliby przyszło do walki, to wspólnymi siłami obu narodów tym pewniej go przemożemy i na wieki się od niego uwolnimy. Nie myśl zaś, że przyszliśmy tu do ciebie dlatego, żeśmy już zrozpaczyli o naszym położeniu. Nie! Z przekonania rozumowego, a nie z potrzeby wybraliśmy sobie ciebie za króla: bo wiemy, że będziesz umiał tak dzielnie, jak poprzednicy twoi, rządzić naszym państwem. Bezpieczniej zapewne połączonemi obu krajów siłami bronić nas będziesz i powinienesz, bo obecnie jedno i toż samo grozi nam niebezpieczeństwo.“

„Nie będziemy tu wspominać o tym, ileto szczęścia majestatowi twemu ztąd przybędzie, ileto prawdziwej doda ci sławy teraz i w potomności, uznanie tak jednomyślne dzielności twojej przez niepoślednie państwo; ileto chwały przyczyni ci, gdy tych, co tak życzliwe dla ciebie chowają uczucia, dobrą i chętną wolą pod władzę swą przyjmiesz, a nieprzyjęciem, od czego niechaj

nas Bóg zachowa, w przykre i niebezpieczne nie popchniesz położenie. Pomijamy i to, że ten sam los czeka i twoje państwo: ale czyż nie powiedziano by o tobie, żeś nie tylko sąsiedzkie i przyjazne państwo w biędzie opuścił, aleś nadto jedyną zastonę i obronę imienia chrześcijańskiego zgubić dozwolił. Wszakże wielkość tego imienia ramieniem i piersią naszą stała się, i że stać będzie, mamy nadzieję; ale pamiętaj, że fortuna niestała bogini, i że niełatwo ją potem uchwycisz, gdyś nią pogardził wtedy, kiedy ci się sama podawała.”

„Nie ma po co wystawiać łaskawości nieba i ziemi, jaka wylała się na królestwo nasze: bo i przez sąsiedztwo i przez wielość a głośność spraw naszych nie możesz o tém nie wiedzieć; ale nie zawadzi przypomnieć, że kraj nasz jest tego rodzaju, że warto o niego wielkimi trudami a nawet i wojną się dobijać, a cóż dopiero spokojnie i życzliwie ofiarowany przyjąć. I żebyś lepiej jeszcze uczuł, jak wszystko składa się ku szczęściu twojemu, oświadczamy ci, że i królowa, chociaż z początku przeciwną temu była, prosi cię o to samo, o co i my prosimy, i na utrwalenie tak korzystnego dla obu krajów przymierza, rękę swoją ci ofiaruje. Owa szlachetność jój i znaczenie nie mogą cię nie poruszyć, a wiek jój i piękność nie są do pogardzenia. Ale czyż godzi się w tak ważnych celach wspominać o tak marnych i przemiennych rzeczach? Czyliżto małżeństwa zawierają się dla cielesnej rozkoszy, a szczególnie między monarchami, gdzie godność ich tylko i nadzieja liczego potomstwa ma się na względzie. A jeżeli się głębiej jeszcze sięgnie, to, ponieważ królestwem zwykle jeden tylko rządzi, królowie takie kobiety za małżonki wybierać sobie powinni, któreby najmniej były płodne. Ty zaś nie odrzucaj tego, co ci dobrowolnie oddajemy, a o coby wielu ogniem i mieczem się dobijało, i nie chciój być lub wydawać się mniej szczęśliwym, niż się Boga i ludziom o tobie podoba.”

Kiedy takie prośby i przełożenia szły od posłów węgierskich, przybyli także posłowie tureccy. Zaskoczyła ich w Krakowie śmierć Alberta, lecz albo o niej rzeczywiście nie wiedzieli, albo dla interesu niewiedomość udawali, bo takie mieli zlecenia. Amurat cesarz turecki ofiarował przez owe poselstwo ludzi i pieniądze Władysławowi do prowadzenia wojny z Albertem w Czechach, gdzie po śmierci Zygmunta spierały się dwa stronnictwa; jedno z nich za Kazimierzem bratem Władysława, drugie za Albertem jako zięciem Zygmunta trzymało. Oczywiście zresztą było, że przymierze to do tego zdążyło, aby Władysława i Polskę, gdy całe Czechy poddadzą

się Kazimierzowi, od przyjaźni i związku z Węgrami oderwać. Gdy tedy przez śmierć Alberta sprawa ta inny obrót wzięła, posłów tureckich pod różnemi pozorami w Krakowie zatrzymano, bo chciano się doczekać, jaki kierunek wezmą sprawy w Węgrzech po śmierci ich króla. Gdy tedy posłowie przez tłumacza się dowiedzieli, jakie Węgrzy przynoszą zlecenia, opanowała ich, jak to łatwo można było z ich twarzy wyczytać, wielka trwoga i smutek.

Ale i Polacy niejednakowym umysłem te zlecenia Węgrów usłyszeli. Naprzód zaraz nie u wszystkich jednakowy wyraz oczu i twarzy, niejednakowe ruchy, a potem i niejednakowe mowy. Byli tacy co utrzymywali, że Węgry nie oprócz wojny nie przynoszą, że już wprzód wielu innych błagali, ale napróżno, żeby do nich przybyli, i że nie wypada brać na siebie ciężaru, o którym tylu innych zropaczyło. Co więcej, niekorzystnym jest króla swego oddalać gdzieś tam na odległe władztwo, bo przez to własne królestwo wystawia się, jakby w bezkrólewiu jakim, na zamieszki i niesnaski wszelkiego rodzaju. Czyżbo to podobna, aby się okręt bez sternika, albo wojsko bez dowódcy obejść mogło; albo czyż jeden sternik dwom okrętom, albo jeden wódz dwom wojskom pożytecznie przywozдить potrafi? Zakryte przed człowiekiem to nawet, co się jutro stać może: to też przy nieobecności królewskiej niegodziwość złych urosłaby do nieskończoności i zawichrzyłaby srodze państwem, boby brakło dobrym opieki i obrony. Zresztą, pominiawszy wszystko, mamy do prowadzenia w domu wieczną wojnę z Tatarami, a bez króla ani jej silnie utrzymać, ani silnie rozwinąć niepodobna.

Młody umysł Władysława, czując wstręt ku małżeństwu, które mu wraz z królestwem i ciężarną królową ofiarowano, bardzo chętnie byłby poszedł za tą radą; ale bardzo wielu innych, a mianowicie Ostroróg, Jan Czyżowski i Grzegorz z Sanoka inaczéj radzili. Wychwalali oni bogactwa i potęgę królestwa, które mu oddawano, dowodzili, że dla pogromienia zupełnego Turków, koniecznie warunki przyjęć potrzeba. Co się tyczy nieobecności króla, to zupełnie do rzeczy nie należy: bo oddawna przyzwyczajono się działać bez niego, gdy do Litwy odjeżdża, bo Buda bliższa Krakowa niż Wilno. Można by się zaś bardzo łatwo o tém, czego by się obawiać albo życzyć wypadało, z królem teraz naradzić; a gdyby co nadzwyczajnego się przytrafiło, król będzie prawie na zawołanie: bo oba państwa tak są z sobą połączone, że jakby nie nad dwoma, a nad jednym tylko panował krajem. Tém więcéj nawet stałby się potężniejszym, im bardziéj połączenie obu państw stanie się głośniejszém. Od napadów zaś zdra-

dzieckich Tatarów wystarczą rodzime siły Podola i Rusi. A gdyby wojnę otwartą wypowiedziano, dalekoby łatwiej było połączonemi obu narodów siłami ją odeprzeć. Nie można odrzucać téj okoliczności i dla wielkiej ztąd sławy, że król polski i w Węgrzech będzie panował, i że on jeden przed innemi monarchami osądzony był za godnego do rządzenia tak wielkiem państwem. Dla tak wielkiej chwały nie masz warunku, którego by nie przyjąć, ani niebezpieczeństwa przed którym cofnąćby się można.

W wojnie grożącej Węgrom nietyle idzie o utratę wolności, ale raczej idzie o to, aby nie pogwałcono i nie podeptano instytucji i obyczajów przodków, aby nie sprofanowano świątyn i świętości, aby nie rozrzucono grobów i kości ojców, i aby małżonek, siostr, braci i dzieci nie uprowadzono albo do niewoli, albo do sprośnej rozpusty. Daleko nawet korzystniej jest tak straszne klęski usuwać w obcych granicach, niż się na nie we własnych wystawiać. Potomne wieki głosić będą chwałę naszą, kiedy tak strasznie groźne nieszczęście oddalimy od owego nietylko tyle słynnego państwa, ale sąsiadującego i przymierzami powiązanego z Polską; i byłoby to nawet niewinnioną nigdy zbrodnią, gdybyśmy je teraz opuścili. Sama wieść o tym tak silnym dwóch narodów związku, wystarczy do powstrzymania Tatarów i Turków w ich krwawych napadach.

Do tego tedy już doszło, że gdy nikt więcej się nie sprzeciwiał, Władysław warunki przyjął. Wtém doniesiono, że królowa pogrobowca urodziła, a tak na nowo całą tę sprawę zbijać poczęto: bo pocóżby miał Władysław pojmować żonę, jeżeliby dzieci jego dziedziczyć po nim nie miały? Lecz kiedy posłowie węgierscy uwiadomili, jakie o synu, jeżeli się urodzi, wydano w Węgrzech postanowienie, a tym sposobem i tę przeszkodę usunęli; poczęto na nowo podmawiać Władysława, aby się podniósł na wysokość tak wielkiej chwały i tak ważnej sprawy, i żeby nie dawał się odstąpić mniéj ognistą zapewne rozkoszą, jaką w poważniejszej już po innym wdowie, spodziewał się znaleźć.

Dla dania odpowiedzi Węgromznaczono dzień uroczysty i kościół na zamku w Krakowie. Gdy tedy licznie ze wszystkich stanów zbiegli się na to widowisko ludzie; gdy i pierwsi w narodzie w przygotowanym dla nich miejscu zasiedli: wtedy zwróciwszy się do posłów, Władysław oświadczył im naprzód, stosownie do miejsca i czasu, wdzięczność swoją za obecnie okazaną mu życzliwość. Wyznał potém, że warunki pod jakimi oddano mu władzę i opiekę nad Węgrami korzystne będą dla obu narodów, że co tylko człowiek

uczynić jest w stanie, uczyni, aby Węgrzy wyboru swego nie żalowali; do nich zaś należy starać się, aby to, co imieniem całego narodu przyrzekli, trwałem pozostało, on zaś w stosownym czasie obietnic swoich dotrzyma.

Gdy skończył, zagrzmiały zewsząd okrzyki radości, a we wszystkich kościołach składano Bogu uroczyste dzięki.

Uwiadomiono potem posłów tureckich, jaki obrót rzeczy wzięły po śmierci Alberta; ci też rozjątrzeni wnet wyjechali. A nawet, jeżeliby Amurat chciał w granicach swoich usiedzieć i na warunki pokoju przystać, daleko stosowniej będzie do robienia o to układów wtedy, gdy Władysław królem węgierskim będzie.

Odebrawszy pomyślną odpowiedź Węgrzy uradzili między sobą, żeby jedni z nich przy Władysławie pozostali i wyjazd jego do Węgier przyspieszyli, a drudzy żeby królowej i panom donieśli, co tu zrobiono i postanowiono. Zostali tedy w Polsce: Jan biskup segnijski i Władysław Palocy; inni, hojnie obdarzeni do królowej powrócili. Władysław z swęj strony uważał za stosowne wyprawić z niemi swych posłów, aby ci królowej i panom publicznie i prywatnie podziękowali, i o przyjeździe jego do Węgier donieśli. Wyznaczeni do tego zostali Ostroróg i Jan Koniępcowski (1).

Spieszyli się z powrotem posłowie węgierscy, aby jak najprędzej uwiadomić swoich o szczęśliwie, jak mniemali, dokonanej sprawie, i serca wszystkich radością napełnić. Polacy powolniej za nimi jechali.

Tymczasem przyjscie na świat następcy do tak wielkich przeznaczonych rzeczy, zatrwożyło umysł królowej; i czy okrutném i niesłychaném wydawało jęj się, aby matka, jak gdyby przez miłość ku nowemu małżonkowi, miała zapomnieć na najświętszą powinność, i własnego syna od należnego mu dziedzictwa odsądzić; albo czy namowami nieprzychylnych interesom Polski, do tego nakłoniona:—zmieniła swe chęci, powracających z Polski posłów do więzienia wtrącić rozkazała, i rychło potem publicznie wolą swoję w tym względzie ogłosiła. Na to postanowienie królowej wpływał najwięcej hrabia Cylji, bo miał nadzieję, że będzie opiekunem pogrobowca, a z czasem i rejentem państwa.

Wiadomość ta różnie od różnych była przyjętą. Jedni oburzyli się na to, że tak zbawienne dla obu krajów zamiary, niestałością je-

(1) Piérwszy wojewoda poznański, drugi kanclerz koronny.

dniej kobiety i nieumiarkowaną dumą hrabiego Cylji wniwecz poszły: radzili tedy, że, i gdyby się przekonać i przy danych obietnicach wytrwać nie chciała królowa, siłą ją do tego zmusić potrzeba; w przeciwnym bowiem razie, zamiast zewnętrznej wojny, którąśmy odeprzć chcieli, będziemy mieli wojnę domową, jeżeli Władysław wybór swój na królestwo zbrojno popierać będzie. Widoczném było, że wielu w takim razie lubiących niezwykle położenie rzeczy, mających nadzieję poprawienia sobie losu w czasie domowych zamieszek, złamie przysięgę wierności daną Władysławowi i przy królowej stanie. Inni znowu dowodzili, że Bóg sam przeciwny owemu złaniu się dwóch narodów, natchnął tą myślą królowę; bo chociaż nie można zaprzeczyć, że połączenie to dawało niejaka pomoc do odparcia wojny grożącej od Turków: zawsze jednak powaga i świetność imienia węgierskiego mocnoby na tém cierpiała, a chwała dokonanych czynów wewnątrz i zewnątrz spadałaby na Polaków. Niktby bowiem inaczej tłumaczyć sobie nie mógł przyzwania na tron obcego monarchy, jak tém, że Węgrzy bez pomocy Polaków ostać się nie mogli. Odpowiadali na to inni, że tyłowiekowém doświadczeniem przekonano się, że dla utrzymania godności swojej Węgrzy nigdy niczyjój nie potrzebowali pomocy, ale że Władysław będzie zawsze więcej sprzyjał swoim niż Węgrom, i że wreszcie sam Bóg, przez urodzenie następcy, wyraźnie objawił swą wolą, kto ma u nas panować.

Takie i tym podobne zdania sprzeczne krążyły nietylko między prywatnemi, ale nawet i na radzie panów. Miasta nawet niektóre, bliżej granic Polski leżące, żywy w téj sprawie udział wzięły, jakoto: Kassowia, Baradinum, Lubolia i Kremnic (1). Wiedziały one na co się to przy tak niezgodnych umysłach zanosi; nie mogły więc z założonemi rękami wypadków oczekiwać. Rychło zgromadziwszy wewnątrz murów wszystko, co za stosowne uważały do wytrzymania i odparcia oblężenia, zaczęły rowy, mury, szanice naprawiać i umacniać. Gdy się o tém posłowie polscy w drodze dowiedzieli, nawrócili się do ojczyzny, a chociaż królowa usilnie nalegała, aby przyjechali, nie chcieli jój zaufać; a kto więc, czyby byli sami téj sprawy, tak jeszcze nowój, nie załatwili.

Ale nietylko zmienność umysłu królowej wstrzymała Władysława na jakiś czas od podróży do Węgier: więcej jeszcze różne we własném państwie trudne okoliczności. Zygmunt książę litewski

(1) Dzisiaj Koszyce, Bardejowo, Lubacza i Kremnica.

zabity; klótnie i zamieszki ztąd wynikłe; głód tak okropny, że ludzie jak zwierzęta korą z drzew i korzonkami żywić się musieli; potem zima straszliwa, co siła ludzi i zwierząt wygubiła, a naostatek niezwykłe a niezmiernie szkodliwe powódzie.

Mimo to jednak Władysław rozkazał przygotować do podróży konie, broń i ludzi, nazaczył punktem zbornym Sandecz, gdzie miano ostatecznie postanowić: i o tém co w kraju się działo, i o tém jak podróż ma się odbyć. Poprzedzili króla do naznaczonego na zjazd miejsca: matka jego królowa Zofia, Bolesław książę mazowiecki, wszyscy prawie panowie polscy, oprócz tych, co przy królu byli, i poselstwo litewskie. Gdy tedy król z bratem swoim Kazimierzem przybył, wysłuchano zaraz Litwinów, a ci donieśli, że kraj ich po zabiciu Zygmunta w wielkiem jest zamieszaniu i na różne rozpadł się stronnictwa, że magnaci chcą mieć za pana Władysława, a lud Michała syna Zygmunta. Oprócz tego Świdrygiello z rodu udzielných władców pochodzący, zajmuje kilka zamków, dokąd Krzyżacy dosyć często zaglądną, żeby w mętnej wodzie ryby łowić, że nawet i książę mazowiecki zbrojno Drohiczyn zajął. A tak, jeżeliby się szybko nie zapobiegło szerzącym się wewnątrz rozruchom, może stać się łatwo, że kraj i imię litewskie przepadnie. Gdy się tedy panów o radę zapytano, najwięcej pokazało się takich, którzy Węgry zaniechać radzili, a całą siłą własnym zaradzić nieszczęściom. Dowodzili, że zadosyć się uczyni powinnościom sąsiada i przymierzeńca, jeżeli Węgrów pod opiekę tylko się przyjmie; a w obecném położeniu rzeczy, kiedy umowę pogwałcono, nierozsądnymby było zaniedbawszy własne kłopoty, brać obce na siebie i to jeszcze dosyć niebezpieczne. Wtedy tylko z prawdziwą chwałą mogą Polacy udać się do Węgier, kiedy ich przeciw Turkom o pomoc prosić będą; ale mieszać się do wewnętrznych i domowych zamieszek, i niebezpiecznie i szpetnie. Trzeba tedy odprawić do ojczyzny węgierskich posłów, jeżeliby ci uważali, że związek obu krajów pod jednym monarchą, bez żadnych gwałtownych środków przywrócić są w stanie, i gdyby przyznali, że wina niedotrzymanej wiary cięży na nich samych, a tymczasem załatwić sprawy litewskie.

Do tego zdania przychyliła się najwięcej królowa matka: jużto dlatego, że jój żal było oddalenia syna, a jeszcze bardziej żal, że panna tam idzie; już téż, że jako urodzona Rusinka, cierpiała bardzo nad tém, że jój ojczyzna przez zamieszki w Litwie, na zaburzenia wystawioną zostanie. A i Bolesław książę mazowiecki szeroko się

nad tém samém rozwodził, bo nie życzył sobie nieobecności króla dla zaczętej z Litwą walki, którą chciał za prawną i sprawiedliwą wydać.

Grzegorz z Sanoka, Jan Czyżowski i Krzesław z Kurozwęk i wielu innych, którzy od początku zaraz przyjęcie warunków doradzali, utrzymywali i teraz, że albo trzeba było wcale nie przyjmować poselstwa węgierskiego, albo przyjęte warunki wypełnić; zresztą nie dla samych Węgrów korzyści przyjęto je, ale dla odparcia wspólnego niebezpieczeństwa: że tém staliej trwać przy nich należy, im bardziej w Węgrzech zamieszki łatwiejszém czynią opanowanie całego kraju. Łatwiej nawet teraz zaraz, niż później rozbujane namiętnościami umysły uspokoić: bo gdy zobaczą, że Polacy stoją przy swoim, usmierzą się i do przyrzeczonej wierności powrócą, i królowa nawet ustąpić musi, gdy zobaczy przemagające siły. Gdybyśmy zaś całą tę sprawę oddali na wolą stronnicych miotań, to oczywiście jest, że alboby przepadli, alboby się zwrócili do kogo innego, któregooby potęga groźną, a niedołęztwo bardzo kosztowném dla nas być mogło.

Dla uspokojenia Litwy możnaby posłać Kazimierza; bo nawet i Litwini umiarkowanijsz sobie będą poczynać, gdy ujrzą, że Władysław został królem węgierskim. Do tego jeszcze dodali posłowie węgiersey, że opór królowej przeciw powszechniej wszystkich woli niewiele znaczy, bo niewiele zostanie przy niej, a i ci co zostaną na jej stronie, nie sąto ludzie wielkiej powagi i wziętości. Ci zaś, w rękach których losy ich kraju spoczywają, bardzo dobrze wiedzą, że nic nad to pożyteczniejszego dla obu, szczególniej dla ich kraju być nie może; że nie pozwolą, aby kaprysem jednej kobiety, ocalenie i pomysłność narodu na szwank były wystawione, i że dostatecznie rozważyli i z rozmysłem postanowili to, co im się najkorzystniej wydawało. A i królową albo zdrową radą, albo siłą można zwrócić do dawniej myśli: niechby tylko Polacy silnie trwali przy tém, co tak roztropnie przyjęli.

Przemogło tedy zdanie Grzegorza z Sanoka i wyjazd Władysława do Węgier został postanowiony. Kazimierz miał z wojskiem pociągnąć na Litwę, gdzie mu dla rady dodano Derśława z Rytwian i wojewodę lubelskiego. Z Bolesławem księciem mazowieckim, dla długiej króla nieobecności, dobre stosunki utrzymać wypadło; a o tém wszystkiém, wraz z wyłożeniem konieczności i korzyści z odjazdu króla, uwiadomiono litewskich posłów, w odpowiedzi na ich domaganie się.

Wyznaczono potem do zastąpienia króla i rządzenia Polską w czasie jego nieobecności w Krakowie Jana Czyżowskiego, w Poznaniu Piotra z Bujna (1), a na Podolu Teodoryka Buczackiego, (Gunascunum).

Gdy tedy wszystko już było przygotowane, wszystko urządzone i wszystko przewidziane, rozesławszy wszystkich na naznaczone im miejsca, z wybranymi do téj podróży wyruszył Władysław, matkę i brata przez dwa dni mu towarzyszących trzeciego dnia pożegnał, napomniawszy Kazimiérza jak ma z Litwinami postępować. Pojechali zaś z nim, oprócz mnóstwa pospolitych ludzi, mężowie zaci i pierwsi w narodzie, dla pomocy i rady w trudniejszych okolicznościach: dwaj Tęczyńscy, Andrzej i Jan, dwaj Ostrorogowie, Dobrogost i Sędziwój, dwaj Janowie Tarnowscy, Wincenty i Scidwa Szamotulscy, Łukasz Górka, Mikołaj Lasocki i Grzegórz z Sanoka, który potem przez dwadzieścia pięć lat był arcybiskupem lwowskim. Słynął on już wtedy nauką i wielkimi zdolnościami; a do rady i działania niezmiernie zdatny, mógł najbardziej królowi w Węgrzech być pożytecznym. Do tego jeszcze kształtniej był postawy, a miał serce tak czyste i niepokalane, że nikt nad niego nie był godniejszym błagać Boga o łaski i powodzenie dla króla, co mu też szczególnie powierzono. Jak Grzegórz do błagania nieba, tak Leszek Bobrzycki do staczania bitew niezmiernie ważną dla króla był osobą. Słynął on oddawna między naszymi z mężstwa, śmiałości, i dlatego też sam król wybrał go sobie do boku. Był zaś ten Leszek dziadem bożkiej Fannii (2) którą wierszami opiewałem, chociaż niewielka może z nich dla mnie chwała.

Kiedy tak szedł do Węgier Władysław, przybywały do niego po drodze całe oddziały rozmaitych zacnych i porządných mężów: jedni z nich obawiali się, aby nie powiedziano o nich, że jako niedołężni odrzuceni zostali; inni chcieli w tak szlachetnej wyprawie waleczność swoją okazać, ale byli i tacy, co tylko poświecić zbroją, koniem i ubiorem przybywali. Cokolwiekby, uwierzyć prawie niepodobna, jak wyborną pod każdym względem miało owe wojsko postawę: żołnierz prosty miał minę dowódcy; a wieść także, jak się to zwykle w nadzwyczajnych okolicznościach zdarza, powiększyła to wszystko i wystawiła królowej owe siły polskie do zwyciężenia niepodobne.

(1) Wszyscy insi nasi historycy namiestnikiem w Wielkiej Polsce podają Wojciecha Malskiego wojewodę łęczyckiego.

(2) Owa Świętochna, która pierwsza we Lwowie Kallimacha przyjęła życzliwie, i z którą się później ożenił.

Znajdowali się wtedy przy niej: Dyonizyusz Zacz arcybiskup strygoński, Władysław Gara ban i wielu innych; ale chociaż miała wszystkie miejsca uzbrojone, gdy się dowiedziała, że Władysław przybliży się i że Kesmark otworzył królowi bramę, wpadła znowu w trwogę, sama nie wiedząc co robić. Wreszcie, czyto straciła nadzieję uzyskania pokoju i zgody, po tak jawnych ze swój strony nieprzyjacielskich okazach, czy też nie miała żadnych od swoich rady, którąby uczciwie przyjąć można było, postanowiła siłą odierać. Wiedząc zaś, że w ważnych wypadkach są pewne oznaki zewnętrzne i ceremonie jakieś, któremi można łatwo pociągnąć i utrzymać umysły ludów: pojechała co prędzej do Wyszehradu, gdzie dowodził Władysław Gara, aby uwieźć ztamtąd koronę, którą obyczajem i obrzędem dawnym królowie węgierscy przy wstąpieniu na tron zwykli się koronować. Myślała sobie, że gdyby ją Władysław dostał, wnetby cały prawie naród do niego przeszedł.

Gdy tedy dowódzca fortecy nie sprzeciwiał się temu, wyłamała skryte miejsce, w którym koronę chowano, zabrała ją, pozostawiwszy wszystkie inne klejnoty przy obrzędzie koronacyi używane, i jak najspieszniej ze swojemi stronnikami do Komorna wyjechała. Inni znowu, czy nowością wypadków, czy przysięgą wierności przez posłów Władysławowi złożoną, czy bojaźnią kary zniewoleni, kiedy kto mógł do króla przybywali. Różne wtedy napady na mniemanych stronników królowej mimo-jazdem poczyniono; szczególnież też Szymon Rozgoni biskup z Agrii (1), dowiedziawszy się, że miasto *Emperiascium* (2) nie ma ani czujnych straży, ani żadnego porządku nie zachowuje, ale sobie spokojnie i bezpiecznie po dawnemu poczyna, niespodzianie w nocy ubiegł je i opanował. Umocnił je potem załogą i do Kesmarku przybył donosząc o tém Polakom. To wszystko pokrzepiło umysły naszych już odrętwiąłe i upadłe z powodu poruszeń królowej; najznacniejsi panowie węgierscy przybywali do Kesmarku, za niemi pójda mniéj zamożni, a resztę niechętnych łatwo będzie przemódz orężem.

Gdy tak nadzieja w naszych ożyła, że zaczęta wyprawa dobrze się powiedzie, odesłano drugie poselstwo Litwinów, które aż na to miejsce przybyło, żeby Władysława do Litwy odciągnąć. Polecono mu udać się do Kazimiérza, jako do sprawowania Litwy naznaczonego; a chociaż wiele z Janem Tęczyńskim trudami znużonych i smu-

(1) Dzisiaj Erlau, po słowiańsku Jager.

(2) Dzisiaj Eperies, Preszów.

tnemi wypadkami, o jakich Litwini donieśli, zafrasowanych, miało niezmyśloną chęć powrócenia do Polski; zatrzymały ich jednak wstyd i bojaźń niesławy, czego im bardzo żywo i wymownie Grzegorz z Sanoka i Jan z Jarosławia dowiedli.

Postanowiono tedy, zostawiwszy w Kesmarku mocną załogę pod Mikołajem Perenem, wyruszyć do Budy. Gdy zaś tak połączone obu narodów siły nie mogły szybko postępować, umyślono wysłać naprzód jakiś oddział do zajęcia Budy, aby uprzędzić w tém królową, któraby ztamtąd, gdyby jój pozwolono czasu do umocnienia się, mogłaby opóźnić działanie Władysława, albo je zupełnie sparaliżować. Polecenie to powierzono biskupowi z Agrii, a dodano mu Wincentego z Szamotuł, Andrzeja Tęczyńskiego i Leszka Bobrzyckiego. Gdy tedy przybyli, lud przyjął ich w swe mury, i bardzo chętnie rękami i jak kto mógł, do umocnienia miasta pomagał; dowódca zaś zamku Wawrzyniec Endrewera (1), ani się opierając, ani poddając, czekał co się stanie, widocznie przychylny téj stronie, która mniej w kraju zamieszek sprawi. Przybywał z przeciwnéj strony z pięćdziesięciu jeźdźcami Fryderyk hrabia Cylji, posłany przez królową po to, aby także Budę opanował; ale dowiedziawszy się, że się tam już Polacy znajdują, nie widząc nic innego do czynienia, zmitrężony do Komorna powrócił.

Powiększały się siły Władysława przybywającemi do niego zewsząd Węgrami. Kiedy zaś król przybył do Emperiascium i dniówkę tam naznaczył, smutny wydarzył się wypadek. Sekretarz królewski (2), niezmiernie mu miły, na polowaniu chcąc ratować jastrzębia z kaczorem walczącego, w podłej rzece utonął, a wnet potem niezmiernéj wielkości grad z szumem i trzaskiem upadł. Oba te zdarzenia rzuciły popłoch na umysł Polaków; nie umieli bowiem ani pierwszego do przypadkowości, ani drugiego do zmienności atmosfery odnieść, ale zaraz za cudowne ostrzeżenie biorąc, jak kto miał myśl i wiarę, tak różni różnie to sobie tłumaczyli.

Królowa dowiedziawszy się, że Polacy już Budę opanowali, że Władysław do Agrii się zbliża, że lud go tam z otwartemi rękami oczekuje, uczyniwszy odezwę do innych miast, aby jój wiernemi pozostały, do Alby królewskiej (3) wyjechała, gdzie dowodził jój stronnik Mikołaj Frystarchy. Tutaj idąc za radą tych, co z nią przybyli, syna

(1) Długosz nazywa go Hedżewera; Wapowski, Hederwara.

(2) Długosz nazywa go Joannes Stenkonis de Semnów. Nikt inny nazwiska jego nie wymienia.

(3) Białogród stoliczny.

swego ledwie cztery miesiące liczącego, w kościele zwykłym, koroną i tytułem króla ukoronowała; myśląc, że przez to więcej powagi, a dla ludu i miast węgierskich jakby świętym będzie! Wielu bowiem, przez samą obawę zdrady majestatu, wierni mu zostanie. Przymiślni byli téj koronacyi ci sami prawie, którzy niedawno przyzwanie Władysława radzili: arcybiskup strygoński (1), Jaurineński biskup Benedykt Tum, hrabia Cylii, Mikołaj Frystarchy czy Frysztačky i Stefan Rozgony, i wszyscy potem z królową do Jaurina wyjechali.

Wiadomość o tém znowu zatrwożyła Polaków, ale tak daleko już zaszli, że się bez wstydu cofnąć nie było można. To téż wyruszył Władysław z Agrii i wygodnemi drogami i odpoczynkami do Budy przybył. Wyszedł naprzeciw niemu dowódzca zamku Wawrzyniec Endrewera z dwojgiem dzieci i mnóstwem ludu: król zaś bojąc się jakiej zdrady, po wzajemném przywitaniu, osądził za stosowne pozostać w namiocie, i do Budy tego samego dnia nie wjeżdżać.

Tymczasem królowa przyczekając Endrewerze przez posłów morza i góry, usilnie go błagała, aby wiernym pozostał; i mało brakło, że nie przeszedł do niej, powodowany do tego więcej pamięcią na Zygmunta, niż przyrzeczeniami tak ponętnymi. Przemogła jednak myśl, że Władysław silniejszą jest rękoięmią do utrwalenia losów chwiejącego się państwa, i oddał mu zamek, a król polski przez wdzięczność, w godności dowódcy go utrzymał: bo był pewnym, że na zawsze wiernym mu zostanie, gdy na stronę jego przeszedł nie w szale namiętności lub uniesienia, a ze spokojną rozwagą.

Rzadkie to i znakomicie świetne było widowisko, kiedy Władysław do Budy wjeżdżał; oprócz niesłychanie przepysznych statków, któremi go przez Dunaj razem z wojskiem przewieziono, wszędzie magnaci, panowie i lud walczyli z sobą o pierwszeństwo w tym względzie, aby wjazd jego uczynić jak najświetniejszym. Wyszli téż naprzeciw niemu z Budy i dowódcy z wojskiem w paradnych mundurach i duchowieństwo w szatach kościelnych ze świętościami, i różnego ludu niezliczone tłumy.

Szli potem piérwsi w kraju panowie, porządkiem starszeństwa i zasług; a gdy do kościoła weszli, podziękowali uroczycie Panu Bogu za szczęśliwe przybycie Władysława, którego wnet do zamku odprowadzono, a lud wesołość swoją z powodu takiej uroczystości do

(1) Strygonium po niemiecku Gran, po słowiańsku Ostryhom; lepiej Stryhom.

późnej nocy przeciągał, czyniąc po ulicach różne processye, śpiewy i tańce; panowie zaś widząc, że co najważniejszym w tej sprawie było, już dokonano, spokojni udali się na spoczynek rozmyślając teraz o tém, jakby ją do końca bez zwłoki i zawady doprowadzić.

Kiedy wieść o zajęciu Budy przez Władysława rozeszła się, wnet przybyło do niego wielu z powinszowaniami i oznakami wierności, nietylko tych co mu sprzyjali, ale i takich, którzy na wypadki oczekując, stanowcze oświadczenie się dotąd odwlekali. Naprzód Mateusz Talaucy, z więzienia gdzie go królowa wtrącić rozkazała, przez cyrulika swego oswobodzony, Mikołaj Frystarchi, Stefan Rozgoni, Jan starszy Pereny, a co najważniejsza, Jan Huniad. Oprócz tego, biskupi: wesperyjski, pięciokościelny, transylwański, nitreński, sirmiński, walcziński, waradyński i arcybiskup koloczeński; miasta prawie wszystkie uznały Władysława, oprócz Kassowii i tych, które z początku zaraz uzbroiły się.

Przybyło także poselstwo od króla Bośni, mężami i powagą znakomite. Przypominali oni, że wspólnego z Polakami są plemienia i że wspólny mają język, i że dla tej wspólności pochodzenia języka, władca ich niezmiernie się rozradował, gdy się o szczęśliwem w Węgrzech powodzeniu Władysława dowiedział. Szeroko się potem rozwodzili nad korzyściami dla obu pokrewnych ludów, gdy się wspólnymi siłami i zamiarami na grożące a straszne tyranstwo tureckie obróca; że dlatego przymierze i przyjaźń między Bośnią i Węgrami trwale być powinny, i że dlatego oni o toż przymierze i przyjaźń Władysława proszą.

Łaskawie im odpowiedziano, że bardzo słusznie powodzenie Władysława ucieszyło ich króla: jużto dla owój, jak nadmienili, wspólności pochodzenia i języka, już téż dlatego, że im wspólnie dużo na tém zależy, aby, gdy się Węgrzy uspokoją, całemi siłami na wspólnego uderzyć nieprzyjaciela. Podziękowano tedy Władysławowi za to, że pomoc swoją przeciw Turkom przyrzekał i że plany, jakie w tym względzie ułożone będą, przystać im nie zaniedba; nie przestano na tém, ale w uniesieniu życzliwości, przymierze między obu narodami potwierdzone zaraz zostało.

Przybyli także posłowie despoty Rascyi (1), a mowa ich, jak przystało, skromna i potulna była. Był albowiem ów władca przez Turków z państwa swego wyrzucony, a przez królów węgierskich żywiony. Litując się losu takiego człowieka, umieścili go na granicy

(1) Stefan.

królestwa, naznaczyli mu w niektórych miastach dochody i prawa, tak, że i obecność nie była mu tak przykrą, a i żal po przeszłości nie tak bolesny. Owóż posłowie ci, tak jak i Bośniacy, wspomnieli na-przód o tożsamości pochodzenia i języka z Polakami, a potem unie-winniali samego despotę, że jak był powinien osobiście nie przybył, bo wybranego już w drogę zatrzymali Turcy, zabraniając mu to czy-nić. Zresztą od chwili, kiedy mu państwo zabrano i dzieci do nie-woli uprowadzono, teraz pierwszy raz odetchnął, i nie wie, czy swoje własne szczęście, czy powodzenie Władysława więcej go wzruszyło. Zawsze jednak winszuje mu, że dostąpił już i dostąpi jeszcze więk-szej z pomocą Boga chwały i znaczenia: a kiedy tak wysoko stanie, to zapewne i o nim nie zapomni. Złupiony z ojcowizny, wyrzucony nietylko z dzielnicy swojej i z ojczyzny, ale nawet z domu i familij-nego ogniska, nieszczęsny żebrak żyjący litością obcych, ma teraz na-dzieję w tobie, że nietylko położenie jego obecne polepszy się, ale że nawet do godności dawniej i fortuny swojej powróci. Potem zaczę-li rozprawiać o połączeniu sił dwóch niezwycięzonych narodów, nad które żaden inny ani harmonią, ani energią głośniej nie sływał. Wi-dzi on już, jakby własnymi oczyma, jak przerażenie rzuca Turków w rozsypkę, jak ziemie ich ogniem i mieczem są pustoszone, jak on sam do siedziby przodków swoich powraca, i dlatego nadludzką napa-wa się radością. Władysław dla niego jest największym w świecie monarchą; a gdy tak wielkie rzeczy dokona, i gdy mu władza i pań-stwo dostaną się znów w ręce, będzie jego najpierwszym pomocni-kiem i towarzyszem. Aby zaś nie zdawało się, że przyrzeka to, czego nie ma, poddaje się zaraz królowi jako ochotnik, na wszystkie trudy i niebezpieczeństwa gotowy.

Wzruszył niepomalu i króla i obecnych los tego męża i poko-
ra posłów. Odpowiedziano im tedy, aby dobrą nowinę zanieśli swe-mu władcy, żeby nie upadał na duchu, i że bardzo wiele będzie spo-sobności do wzajemnych usług i korzyści ztąd. Tymczasem niech miejsca powierzone mu tém silniej od Turków strzeże; wnet zaś Władysław z siłami przybędzie i położonej w siebie nadziei nie za-wiedzie.

Tymczasem arcybiskup strygoński i Władysław Gara, którzy najbardziej ukoronowanie pogrobowca doradzali, czy zrozpaczyli już o sprawie królowej dla wielkiego powodzenia Władysława, czy my-śleli, że przejściem swojem pociągną za sobą wielu innych, a tym spo-sobem i umysł królowej przełamią i pokój w Węgrzech przywróca: zaczęli potajemnie z Władysławem przez posłów traktować, aby im

wolno było bez żadnej odpowiedzialności do niego przejść. Gdy na to zapewnienie otrzymali, do Budy pospieszyli. Władysław zaś wiedząc dobrze, jak wielką mężowie ci mają wziętość u swoich nie tylko między ludem, ale i szlachtą, jak wielki wpływ wywierają na umysły: skoro tylko się dowiedział, że do miasta się zbliżają, wyszedł na ich spotkanie, łaskawie ich uściśnął, i żeby mu ufali i wierni zostali, rozkazał. Nazajutrz, gdy przedniejsi obu narodów w jak najokazalszym przepychu u króla się zebraли, posłano po nich, aby przyszli na owe zebranie, i arcybiskup strygoński tak zaczął mówić:

„Uniewinnić się naprzód prześwieatny monarcho z tego musimy, żeśmy w tak ważnych rzeczach trzy razy już zdanie zmieniali. Naprzód, żeśmy cię do panowania nad nami zapraszali, żeśmy potem do królowej syna swego koronującej odpadli, i że teraz znowu porzuciwszy tamtą sprawę, do ciebie powracamy. Czynimy to dlatego, ażebyś nami, jako niedołęznymi głowami albo nie pogardzał, albo w podejrzeniu nie miał, że i tobie teraz więcej wierni nie będziemy. Zmieniając bowiem zdanie i wiarę nie sprzecznego nie uczyniliśmy, bośmy wszędzie i zawsze tam byli, gdzieśmy nadzieję uspokojenia i chwały ziemi naszej widzieli: tośmy jedynie mieli na celu, a nie żadne widoki i podle zyski. Ani też nas nie zaślepiła głupia niewiadomość tego, coby najlępszym dla kraju naszego było, żeśmy raz to, drugi raz owo radzili. Nie zmieniamy tedy zdania, a zwracamy się zawsze ku temu, co za najskuteczniejsze nam się zdaje, nie przez namiętność stronictwa, ale przez miłość ku ojczyźnie, której szczęście i znaczenie wydawały się nam zagrożone”.

„Nie dlatego bowiem, wyznaję otwarcie o sobie to, co zapewne u wielu ionych było w myśli, gdy cię na państwo zapraszali, nie dlatego zgodziłem się, żeś nam się wydawał najgodniejszym dla dzielności twojej i przez chwałę twych przodków. Prawda, że i ten wzgląd wpływał niepomału na moje zdanie; ale nie myślałem wcale o tém, żeby cię nową tą chwałą przyozdobić lub potężniejszym uczynić. Kiedy po śmierci Alberta królestwo nasze osieroczone niejako, na łup Turkom miało się dostać, przyszła nam zaraz na myśl niezwyciężona dotąd państwa twojego potęga; wydawało się, że sąsiedztwem i jednym przymierzem powiązany z nami powinienes chcieć, a przez wspaniałość i siłę łatwo nas obronić potrafisz. Był w tém nawet własny twój interes, abys groźnie nasze nieszczęścia odparł. A tak, gdy ściśle jeden i ten sam dla nas i dla Polaków miał nastąpić skutek z biegu obecnego rzeczy, ufni nadto w potęgę i charakter państwa twojego, jednozgodnie przybiegliśmy do ciebie, spodziewając się, że

pod rządem twoim i opieką położenie nasze wewnątrz i zewnątrz znamienicie zasłynie. Kiedy zaś królowa, czy przez złą radę, czy przez jakieś fatalne zrządzenie, zaczęła się od zdania ogólnego odsuwać, chociaż i ja, i ci, co ze mną poszli, jasno widzieliśmy, że niewiele tam było rękojmi na usunięcie publicznych nieszczęść; przystaliśmy jednak do niej, już dlatego, że podłością było opuszczać królową, kobietę, i to córkę Zygmunta naszego, kiedy nic tego po nas nie wymagało; już téż i dlatego, żeby ją, jeżeli będzie można, na dobrą drogę naprowadzić. Sambyś odpadnięcie nasze pochwalił, gdybyś był wiedział, żeśmy o niczym inném tylko o uspokojeniu zaburzeń domowych myśleli, a które rychłe twoje przybycie, obok wahającej się królowej, wywołało.”

„Żywa przejmowała nas boleść na myśl, że przyzwanie ciebie na tron, zamiast zewnętrzną usunąć, domową zapali wojnę. Dlatego to, żeśmy woleli wszystko znieść, a rozlewu własnej krwi nie dopuścić, dotąd uparcie przeciwko tobie staliśmy, dopóki obowiązek względem królowej i najmiłsza dla nas pamięć Zygmunta, miłości ojczyzny nie kępowały. Kiedy zaś ambit królowej tak wyniosłym się okazał, że nie chciała na niebezpieczeństwo kraju i poddanych pamiętać; kiedyśmy się w tak krytycznym ujrzeniu położeniu, że albo ojczyznę zdradzić, albo powinność zgwałcić wypada: woleliśmy aby nas za dobrych obywateli, niż za wiernych stronników uważano. Opuściliśmy tedy owę kobietę, która ani państwa dostać, ani się na niem utrzymać, bez wszelkich klęsk kraju naszego nie mogła, a wróciliśmy do ciebie, bo nam powaga twoja wewnątrz pokój, a potęga zbrojna zwycięstwo zewnątrz zapewnia. Taż sama miłość ojczyzny, która nas do przywołania ciebie nakłoniła, która nas potem na stronę królowej przerzuciła, taż sama nas teraz do ciebie przyprowadza. A stałość ta i wierność nasza dla kraju naszego, dla którego nawet sławy osobistej nie pożalowaliśmy, powinna cię bardzo o uczuciach naszych przekonać. Wolelibyśmy prawda, aby pierwsze nasze zamiary były się udały, i abyś u nas tak rządził, żebyśmy wiernymi królowej i pamięci jej rodzica zostać mogli. Spokojni wtedy u siebie, podporci silnie twoją i twoich walecznością, nietylkobyśmy mogli wyprzec nieprzyjaciela z granic naszych, ale nawet na jego własną ziemię ponieść miecz i zniszczenie. Kiedy jednak niepodobne jest jedno i drugie razem, przychodzimy do ciebie przez miłość i chęć ocalenia ojczyzny, i błagamy cię, abyś pobłażliwy na powody, które nas przy królowej zatrzymały, nie poczytał nam za zdradę tego, że,

gdy radą pokoju wzgardziła, odbiegliśmy od niej a do ciebie przyszli. Zresztą jakimi nas w przyszłości znajdziesz, za takich nas miej.”

Władysław im odpowiedział, że nigdyby im był nie zawierzył, i nie pozwolił przystąpić do siebie, gdyby ich nie miał za dobrych i zacnych ludzi; że wie dobrze, jak spokojność ojczyzny każdemu drogą być powinna, a szczególnie dla tych, co wysoko znaczeniem i godnością stoją; że wszystko co zrobili przyjmuje za zrobione przez miłość pokoju i dla szczęścia kraju, a nie wprost przeciwko sobie. Nic albowiem nie popełnił takiego, co by mu nieprzyjaciół narobić miało; chyba, że się o to na niego urazili, że opuściwszy najświetniejsze swoje państwo, że pozostawiwszy Litwę na wolą zawichrzeń, po zabójstwie jej księcia powstałych, zwrócił cały swój umysł i wszystkie siły na obronę ich królestwa. Co się tyczy królowej, nie można im wcale brać za złe, że nad jej wolą przenieśli szczęście całego kraju; nie dla obalenia bowiem, a dla bronienia królestw, są królowie, i wierność im się należy. Zachęcał ich potem, aby wszystkich sił dokładali do ukończenia zupełnego tej sprawy; przyrzekał im, że spokojność ogólna, której tak sobie życzą wkrótce nastąpi, jeżeli oni tylko radą i czynem wyrazy swoje potwierdzą.

Królowa chociaż z żalością widziała, jak jej stronnicy łamią wiarę i gonią za szczęśliwą gwiazdą Władysława, ukryła jednak starannie kobiecą trwogę, aby pozostałych swych stronników nie przerażać. Wezwała do siebie hrabiego Cylii, i naradziwszy się z nim, rozesała posłów do *Kassowiz* i innych miast, które uznać Władysława nie chciały, rozkazując im, aby nie traciły ducha, i donosząc zarazem, że wnet nadejdą posiłki i że bezpiecznie wtedy trzymać się będą mogły, a Władysław zupełnie z kraju wypartym zostanie. Zaraz też najemne wojska z Czech sprowadziła, i za zgodą biskupa jak najstaranniej *Jaurinum* (1) umocniła, osadziwszy w nim swe wojska, jakoby w miejscu do czynienia wycieczek na Władysława bardzo korzystnym; z synem zaś do *Posonium* wyjechała (2).

Gdy się o tym Polacy dowiedzieli, wysłał Władysław liczne, z obu narodów złożone wojsko do oblegania Jaurinu, pod dowództwem Jana Huniada i Stanisława Ostroroga. Przypadkiem wydarzyło się tak, że hrabia Cylii, który tam przybył, aby obejrzeć czy wszystko w należytem stanie uzbrojenia się znajduje, i czy wszyscy stale i mężnie na stronie królowej trwają, popadł wraz z innymi w oblężenie

(1) Raab, albo Rab, po słowiańsku Jawrzyn, nad rzeką Raab.

(2) Posonium, Preszburg.

przez wojska Władysława. Byłto mąż energicznego i odważnego serca; zachęcał tedy naprzód swoich do dzielnego wytrzymania oblężenia, a potem ożywił ich nadzieją rychłej pomocy, którą z Austrii i Czech przybyć miała. Że zaś uważał za konieczną swoją obecność przy królowej, aby jej w żadnym razie, chociaż tak silne były przedsięwzięcia Władysława, na duchu upaść i zdania zmienić nie dozwolili, i ponieważ widział, że w otwartej wycieczce nic nie podoła, postanowił tajemnie do Pozonium się przedrzeć. Z małą garstką tedy swoich, nocą przez strażę nieprzyjacielskie się przekradł, i minawszy Raab, na wyspie jednej na Dunaju się ukrył, myśląc, że już ztamtąd łatwo do królowej się dostanie. Gdy się tedy nasi przez szpiegów o tém dowiedzieli, wysłano natychmiast z Leszkiem Bobrzyckim kilkunastu doświadczonych żołnierzy, na ściganie i pojmanie uciekającego. Wnet i hrabia Cylii dorozumiał się, że ucieczka jego odkrytą została, i że ma z tyłu za sobą nieprzyjaciół. Nie szukając ocalenia swojego w szybkości, zamydlić oczy ścigającym postanowił. Rozkazał więc swoim, aby się łatwo ścigającym uchwycić dozwolili, i udawali, że pan ich w mieście pozostał, a ich samych z różnemi zleceniami do królowej wysłał. Bez żadnej potem zwłoki, sam w gesty i niezmierny las się zapuścił. Gdy zaś pochwyceni jego przyboczni i badani wszyscy pojedynczo na jedno się zgodzili, i gdy poszukiwania wszelkie były nadaremne, już mieli Polacy swe miejsca opuścić, kiedy jakiś *Samscia* chytrze zagadnął ujętych, że podle pana swego opuścili, i że żołnierze polscy nie znając go, niedaleko ztąd w lesie zabili. Na tę doskonale zmyśloną wiadomość wykryły się zaraz myśli i uczucia niewolników, rozpoczęto na nowo poszukiwania, przetrząśnięto wszystkie kryjówki, i wreszcie sam Leszek znalazł i ujął hrabiego, z wielką całego oddziału radością, i zaraz go do Budy do Władysława odesłał.

Kiedy się publicznie miał okazać, zebrali się nietylko przedniejsi obu narodów, ale i wszelkiego stanu mnóstwo. Jedni żalowali i litowali się obocznego losu tak wielkiego znaczenia męża; drudzy sądzili, że bardzo słusznie spuścił na niego władca rzeczy ludzkich taką karę za jego przemieszanie. On zaś sam, nie uniewinniając się wcale, zapomniawszy wrodzonej mu srogości, błagał o litość zmienionym głosem i oznakami pokory. Władysław bez najmniejszego wyrazu gniewu, podniosłszy go, rzekł:

„Wolałbym był, aby cię tu wierność twoja jako przyjaciela, a nie szczęście moje, jako niewolnika do mnie sprowadziła. Nie-trudném, jak żywie Bóg, byłoby to dla ciebie, gdybyś był umiał po-

wściągnąć twą dumę; aleś ty wyroił sobie w głowie, że zamiast być towarzyszem moim, możesz być rejentem państwa, które do mnie należy. Kiedyś tedy losu mego raczój, niż łaskowości chciał wypróbować; kiedyś przez prózną nadzieję życzliwość moję dla ciebie zabił; kiedyś szedł przeciwko mnie, chociaż wiedziałeś, że jednogłośnie wybrany zostałem na to, abym wam panował: nie będziesz miał mi za złe, że i ja z mojęj strony więcej na obecne twe czyny, niż na mój wybór, od którego bez mojęj winy odpadłeś, pamiętać muszę”.

I zaraz w więzieniu osadzić go rozkazał.

Tymczasem Władysław czy przez troskliwość o Litwę, domowemi rozruchami niszczoną, czy przez tęsknotę do rodzinnęj ziemi, czy przez wstręt ku długiej domowęj wojnie, którą w Węgrzech będzie musiał prowadzić, czy wreszcie chęcią jawnego poznania, co o nim teraz Węgrzy myślą, powodowany, zwoławszy wszystkich co przedniejszych godnością i doświadczeniem, tak do nich przemówił:

„Wiedziałem ja dobrze, że kiedyście mnie na królestwo wasze zapraszali, więcej to krytycznemu waszemu położeniu, niż mnie przypisać należało. Nietylko posłowie wasi nie ukrywali tego przedemną, ale i wielu z pomiędzy was otwarcie to samo wyznaliście. Chwała Najwyższemu, miałem i bez was szerokie, przestronne i sławne państwo, a jednak wziąłem na siebie ten wielki ciężar urzędzenia spraw waszych dlatego, żebym proszącym sąsiadom i sprzymierzeńcom pomógł, a nie dlatego, żebym władzę moję daleko rozszerzył, bom tego nie potrzebował. Donieśliście mi, że w całym kraju u was spokojność panuje, i że wole wszystkich na jedno się zgadzają; powiadaliście, że co tylko trudów, pracy i niebezpieczeństwa się znajdzie, to wszystko przeciw takiemu tylko nieprzyjacielowi miałem obrócić, którego pokonanie niezmierną sławę i głośność ma mi zjednać u wszystkich ludów, religią chrześcijańską wyznających. Nie chcę was przez to obrażać, ale wcale inaczej dzieje się tu wszystko: bo i wielu z was różnicie się w zdaniach, a i daleko więcej bojowania będzie w domu, niż z zewnętrznym wrogiem. To też w przykrém postawiliście mnie położeniu, że albo odstąpić będę musiał od zaczętej sprawy, albo będę musiał zostać przywódcą w walce, bardzo dużo do ojcobójstwa podobnej. Zresztą i dla was i dla mnie lepiej zapewne będzie wyrzec się nadziei, którąście mi zrobili, niż się jęj domową wojną dobijać. Już teraz nawet mam przed oczami obraz całej tęj wojny. Jesteście jednolitym narodem, a nie jak wiele innych z przybyszów różnych losem połączonych, złożoną całością; macie jeden i ten sam język, jedno i to samo gniazdo; jesteście wszy-

scy razem i pojedynczo, niby członkami jednej rodziny. Tak dalece jesteście złączeni między sobą krwią i różnemi związkami, że was raczej domem, niż narodem nazwać można. Nikt nie może być między wami pokrzywdzonym, żeby krzywda jego nie oburzyła wszystkich, i przez jakieś krążenia pokrewne spada wreszcie na tego, kto ją wyrządził. Ta to ścisłość stosunków pomiędzy wami zawsze wam dużo pomagała, a i mnie miała także dużo dopomódz w zewnętrznej wojnie; teraz zaś rozrywać ją i zaburzać byłoby to gwałcić prawa natury, i wszystko, co w niej jest świętego i godnego szacunku. Wypadki wojny bardzo są wątpliwe; a kiedy wytoczymy krew ojców, braci i krewnych, czyż myślicie, że i wtedy nieprzyjaciel ulegnie przed nami? Przypuśćmy, że Turek napadnie teraz; my stawimy przeciwko niemu domową wojną wyniszczonego żołnierza, a co gorsza, stać obok siebie będą pokrewni i powinowaci zabitych: jakąż tu nadzieja zwycięstwa w tak rozjątrzonych nienawiścią szeregach, krwią, ranami i zdradą swoich zniesławionych. Bóg tego nie chce, a wiek też mój i położenie nie jest takie, żebym przez tak obmierzłe walki dobił się rozszerzenia granic mej władzy. Nie braknie mi siły i mężstwa na uczciwsze boje, ale teraz, dopóki wzajemnemi zbrodniami nie zhańbione jeszcze wasze ręce, dopóki siły waszego państwa jeszcze całe, a broń krwią współrodaków niezaczerwieniona, może pogodzić się jeszcze zdołacie, i wróciwszy do dawnego znaczenia, obrońcę sobie jednozgodnie wybierzecie. Ja zaś myślę, że najlepiej i najgodniej sobie postąpię, gdy jako przyczyna zamieszek między wami wrócę do domu; a jak mnie nie będzie, bardzo łatwo się uspokoić. Gdyby wam nawet zarzucano, żeście często w tak ważnych rzeczach zdanie i czyn zmieniali, łatwo się z tego uniewinnić potraficie tém, żeście zawsze los całego kraju i jego szczęście mieli na myśli. Jeżelibyście znowu do mnie się udali, pamiętny na pierwsze i drugie zaprosiny, błagam was teraz, abyście mi wierzyli, że przy oddaleniu się mojem nic innego jak szczęście wasze miałem na celu. Zapewniam was, że nigdy z serca mego nie wypuszczę sprzymierzonego z Polską, a mnie tak drogiego narodu, a Litwę tak urządzę, że gdybyście mię znowu na obrońcę losów waszych wybrali, swobodniej będę mógł działać."

Ta mowa Władysława z wielką pochwałą umiarkowanych przyjęta, wielom łzy z oczu wycisnęła. Gdy tedy powstał już i odejść chciał, aby w naradach wszelką im swobodę zostawić, zewsząd podniosły się głosy, że właśnie on tu jest najpotrzebniejszy, bo tak do serca wziął ich sprawy, że na chwałę i potęgę swoje zapo-

mniał, i że dlatego samego godzien pozostać ich królem, bo przekłada szczęście narodu nad chciwość panowania. Kiedy go wybierali, nie znali go jeszcze; teraz zaś, gdy sami i stałość, i męztwo, i szlachetność prawdziwie królewską w nim uwielbiają, nie mogą na żaden sposób na to pozwolić, aby o nich kiedyś powiedziano, że mądrzy byli w wyborze, ale nie mieli serca i stałości do utrzymania wybranego króla.

Kiedy Władysław usiadł znowu, i gdy wszyscy jakby nie na obradach na wyścigi usługi swe królowi ofiarujący, ucichli, wysłuchano głosu Huniada (1). On wybór obcego króla za konieczny przy obecności grożących nieszczęściach, uważa, bo dopóki by pogrobowiec nie dorósł, krajby albo zewnętrzną wojną, albo wewnętrznymi spiskami mógł upaść. Twierdził potem, że wszystko co względem wyboru Władysława mówiono i uczyniono, z rozwagi i potrzeby czasu i położenia wypłynęło, a co znowu przeciwko niemu przedsiębrano, to wszystko albo ułomności ludzkiej, albo wierności do królewskiego rodu przypisać należy. Wié on, mówił dalej, że królowa ma daleko więcej stałości niż jaka kobiéta mieć jój może; ale i bez tego trudno kobiecie wyrzec się naturalnych przywiązań. Trzeba jój wybaczyć, jako matce, że kiedy się jój niespodzianie syn urodził, wszystko dla niego chce poświęcić; a jeżeli nie może czy nie chce przystać na to, co państwu i jój samój jest najzbawienniejsze, to darować trzeba niewieście. Tylko tacy dotąd przy niej pozostali, którzy dojrzyć korzyści w wyborze twoim nie mogą; ci zaś, którzy dla dobra ogólnego obok Władysława się zgromadzili, poznawszy jego charakter, wierni mu na zawsze pozostaną. Ale i owi pierwsi chociaż są w błędzie, i przywiązaniem do królowej w przeciwną nam stronę odciągnięni zostali, zmieniają zdanie swoje; a kiedy tak rzadkie i świetne ciała i duszy przymioty nowego króla rozgłoszą się, chętnie mu się poddadzą.

Dokonano już wreszcie najważniejszych rzeczy. Buda stolica królewska wzięta, i hrabia Cylia, który jeden tylko podtrzymywał nadzieję królowej i do zamieszania podmawiał, na szczęście wszystkich ujęty i w więzieniu osadzony. Inni bez broni, bez walki, bez rozlewu krwi poddadzą się; bo nie będą chcieli wystawiać się na gniew króla, a zaufają raczej jego wspaniałomyślności; tém więcej, że nierówni na siłach nietylko o zwycięztwie marzyć, ale nawet

(1) Długosz i Wapowski utrzymują, że Andrewera na mowę króla odpowiadał.

utrzymałby się nie potrafil. Wdzięczność sama nie pozwala królowi opuścić w takim zamieszaniu życzliwych mu poddanych, lękał się bardziej, że odjazd jego powiększy jeszcze niebezpieczeństwo. Stronnictwo królowej uporniej bronić jej wtedy będzie, a i ci, którzy dla dobra ogólnego od niej się odłączyli, zacięcijszy jeszcze przy swoich stać będą. Turcy wtedy na rozdwojonych niesnaskami domowemi i pozbawionych obroncy napadną i łatwo podbiją. A chociażby wszyscy do królowej przystali, to i tak bez wodza, bez głowy, gwałtownego napadu Turków nie wytrzymają.

Co więcej, i to się stać może, że albo zhudzeni, albo panowaniem kobiecym zawstydzeni, zwrócą się do kogokolwiek innego, któryby potem dla Polaków mógł być bardzo przykrym jako władca Węgier.

Dla samego nawet króla odjazd taki nie byłby zaszczytnym, bo niktby inaczej sądzić nie mógł opuszczenia tak świetnego królestwa, tylko że albo rządzić, albo go obronić nie umiał. Zaklinał potem króla na szczęście obu narodów, aby w przedsięwzięciu wytrwał i tak dobrze zaczęta sprawę do końca doprowadził. Że wszystko w krótkim czasie spokojnym będzie, i że ci, co przy nim są, gotowi są na nowo królem go obwołać, i przysięgę na wierność jako prawemu władcy wykonać.

Słowa te tak znakomitego umysłu męża, poruszyły bardzo Władysława. Za niemi odczuwały się krzyki wszystkich błagających go, aby ich w tak krytycznym położeniu nie opuszczał, jednozgodnie siebie, wszystko swoje pod jego władzę poddających. Ogłoszono go tedy na nowo królem, i natychmiast o jego koronacji naradzać się poczęto.

Nasunęła się dosyć ważna przeszkoda do odbycia tej uroczystości starodawnym i święcie dotąd dochowywanym zwyczajem, bo właśnie korona do tego używana, była w ręku królowej.

Nie chciano przycem użyć do tak wielkiej rzeczy byle jakiej korony, aby się nie zdawało, że to wszystko jedno i to samo. Gdy tedy nie było żadnej nadziei do przekonania lub zmuszenia w tym względzie królowej, gdy uroczystość koronacji królewskiej nową koroną spospolić nie chcieli, postanowili, zmuszeni do tego nagłaciami okolicznościami użyć innej korony, ale prawie tyle co tamta świętej, to jest korony, którą się Stefan pierwszy węgierski król koronował, a którą jako przypominek mężstwa i sprawiedliwości dla jego następców z niezmierną czcią przechowywano.

W takim kłopotcie wszyscy łajac Władysława Garę poczęli, bo za jego pozwoleniem królowa koronę uwiozła. Chociaż słaby był

i chociaż król wstawiał się za nim przez wzgląd za jego dobrowolne ku niemu przejście, mimo to wszystko w więzieniu osadzony został; gdy jednak później król nalegał, że przez to słowo jego, wiare i chwałę narażają, uwolniono go trzeciego dnia, ale mu dowództwo nad Wyszegradem odjęto, a na miejscu jego pannaaczył król Wincentego z Szamotuł kasztelana międzyrzeckiego.

Gdy tedy ujrzała królowa, że przez uwięzienie hrabiego Cylji i z rady ogołoconą, że działania jej sparaliżowane zostały; gdy ujrzała, że stronicy jej, jakoto archybiskup strygoński, odbiegają ją: wtedy, jak niektórzy twierdzą, a czego ja na żaden sposób w tak znakomitej kobiecie przypuścić nie mogę, rzuciła się do zdrady i zbrodniczego podejścia. Wybrała tam kogoś ze swoich jako najwierniejszego, przyrzekła mu wielką nagrodę, i wysłała go do Budy, aby tam Władysława jakimkolwiek sposobem otruł. Ale chciwość, którą owego wysłańca do tak niegodziwego przedsięwzięcia popchnęła, sprawiła potem to, że wyznał wszystko Władysławowi, myśląc, że więcej za odkrycie zamiaru, niż za samę zbrodnię dostanie. Król albo nie uwierzył, albo że nie wierzy udawał, nie chcąc srogim zarzutem zbrodni otrucia obciążać królowęj, i przez to wszelką nadzieję pojednania się z nią utracić.

Oburzony tedy na donosiciela fałszywych rzeczy, odejść mu precz rozkazał; ale panowie węgierscy skoro się o tém dowiedzieli, godnym go wszelakich mąk osadzili. Wybrawszy cztery najdzielniejsze konie, rozrywali go na cztery części, myśląc, że najsprawiedliwiej go ukarali, chociażby prawdę nawet a nie fałsz wykrywał.

Udali się potem wszyscy do Alby królewskiej na koronację Władysława, dokąd już z Wyszegradu przeniesiono skrzynię, w której ozdoby religijno-koronacyjne się znajdowały.

Złożono je na środku i dodano, jak to piérwój uchwaloném zostało, koronę Sw. Stefana. Taki zaś był ów obrząd koronacyi,

Pomazanie odbywa zawsze najwyższy stopniem duchowny, mając około siebie wszystkich, do których mianowanie króla należy. Przyszły król stawa przy ołtarzu, gdzie go zaraz kanonicy rozbierają, a celebруюcy odmawia uroczystą modlitwę. Prosi w niej Boga, aby królestwo i króla wziął pod swoje opiekę, aby na niego zesłał łaskę i spokój, żeby mu dozwolił szczęśliwie zawsze i wszędzie sobie, państwu, miastom, wsiom, sąsiadom i innym narodom panować, żeby rozmnożył jego zdolności i owoce, żeby granice i potęgę państwa rozszerzył, a powagę i chwałę jego rozgłośną uczynił. Wtedy dłonie jego krzyż i głowę świętym olejem namaszcza, i ubrać go rozkazu-

je. Przybranemu w święte szaty koronacyjne podaje naprzód krzyż, na znak że papież pierwszym jeszcze królom węgierskim dał pozwolenie do mianowania biskupów, potem berło, jabłko i chorągiew; tłumacząc mu zarazem znaczenie każdego z tych przedmiotów. Potem wyniósłszy na środek księgi praw i instytucyj, przysięę mu złożyć rozkazuje, podług słów już naprzód ułożonych. Gdy przysięę wykona, siada ukoronowany na przygotowaném do tego podniesieniu, i wielu na rycerzy pasuje, na znak, że broń ocala państwo i że dla królów nic nad siłę zbrojną i wojskową karność nie powinno być większém: wszystko inne przystraja, ona jedna broni i powiększa państwo.

Przechodzi potem nowo koronowany do kościoła św. Piotra i Pawła, tam na trybunale zasiada, i kilka spraw rozsądza, także na znak, że po wojsku i waleczności, sprawiedliwość najświętszą dla niego być powinna. Wsiada potem na konia, zwiedza miasto, wyjeżdża za bramę, wychodzi na wieżę św. Marcina jako najwyższą. Tam wyciągnąwszy jak najszerzej ramię, macha na cztery części świata gołym mieczem, jak gdyby zewsząd królestwo obronić, i daleko granice jego rozciągnąć pragnął; wraca potem do miasta i tu rozpoczynają się bankiety, ucztę okazałe, a domy i ulice brzmiały powszechną radością.

Gdy tedy zwyczajem owym, podług tych ceremonij arcybiskup ukoronował Władysława, wszyscy obecni uchwalili trzeciego dnia potem, aby koronę i szaty ceremonialne ukryć i zachować do koronacyi przyszłych królów, jeżeliby się nie udało owęj świętej odzyskać.

Koronacją pogrobowca unieważniono, i biskup Agrii aż do zadości innym w łaskach u Władysława będący, ogłosił edykt, aby nikt syna Alberta za króla uważać nie odważył się. Zrobiono nową królewską pieczęć, ażeby ztąd jakaś zdrada lub błąd nie wyniknął, wywołano powagę dawniej pieczęci i ogłoszono, że żadne inne dokumenta piśmienne ważne nie będą, tylko opatrzone tą nową pieczęcią, i że wszystkie przywileje i nadania dawnych królów mają być tą pieczęcią stwierdzone. Rozdano potem wiele nagród w godnościach i dobrach tym, co królestwu i królowi dobrze służyli, a wielom, jeżeli się godnemi tego pokażą, łaskę królewską przyrzeczono. Niedługo potem, gdy już bardzo łatwo było uspokoić ostatki zamieszek, i że bez obcej pomocy dosyć tam sił mieć będzie Władysław, wielu z Polaków za zezwoleniem królewskim do ojczyzny powróciło.

Królowa dowiedziawszy się o koronacji Władysława, srogie i dotkliwie Węgrom czyniła wyrzuty, że się tak bardzo niższemi od Polaków pokazali; tamci nietylko młodego króla z największym staraniem wychowali, nietylko czczą go najświęcój u siebie, ale nawet ze szkodą własną na obce poprowadzili go królestwo; oni zaś prawdziwego władcę niedawno przez siebie ukoronowanego, syna Alberta, a wnuka Zygmunta przez niesłychaną zbrodnię z ojcowskiego i dziadowskiego tronu wyzuli, a cudzoziemca, z pokrzywdzeniem praw i słuszności, do siebie przyzwali. Co więcćj, że będąc mocniejszymi, przez zaciekłość jakąś natrzęsają się z niój, kobiety i dziecka króla, a przecież i pleć i wiek szanować należało przez wzgląd na zasługi przodków. Zapominają na Boga mściciela, który przecież więcćj od nich może. Rozesławszy potóm posłańców, aby ci potajemnie obszedłszy po kraju, ile można w wierności jój stronników utrzymywali, i zamiary jój im oznajmili, do Austrii wyjechała, i tam Fryderykowi cesarzowi jako stryjowi, dziecko swoje i koronę świętą węgierską pod opiekę oddała. Zaufana jeszcze w stałość i wierność kilku miast, ztamtąd nawet usiłowała tajemnymi drogami magnatów węgierskich do siebie przyciągnąć; z Austryakami i z Czechami o posilki zbrojne ciągle się układała, a to wszystko dlatego, aby jakimkolwiek sposobem Władysława z Węgier wysadzić.

Tymczasem Turczyn myśląc, że łatwo przy wewnętrznych rozterkach Węgry opanuje, zaczął miasto Belgrad zdobywać. Gdy mu się szturmem nie udało zrobić, postanowił je oblężeniem do poddania się zmusić. Miasto Belgrad tak jest na brzegu położone, że z dwóch stron przy zejściu ze sobą oblewają go Dunaj i Sawa; z trzeciej zaś strony murem i fosami, jakby od lądu oddzielone się wydaje. Wybudowali tedy Turcy statki, postawili je na straży na obu rzekach, aby ani posilków, ani żywności do miasta nie dopuścić; obóz przytém z trzeciej strony tak urządzili, że nikt z oblężonych wyjść, ani nikt do miasta wejść nie mógł. Oni zaś wszelką mieli łatwość podchodzić aż pod mury, probować ich siły, machinami je rozbijać, zasypywać fossy, tak nawet, że od strony zamku miejskiego pobudowali dosyć duże wieże do spędzania z murów oblężonych. Zaczęło jednak i Turkom brakować już żywności; nie spodziewali się oni, że tak długo oblegać miasto będą, i zdawało się, że dłużej już nie wytrzymają. Ale, chociaż coraz dotkliwiój głód czuć im się dawał, to tylko ich jeszcze przy obleganiu utrzymywało, że mieszkańcy miasta straciwszy zupełnie nadzieję pomocy, gdy kraj ich kłótniami wewnątrz jest zajęty, nie potrafią się dłużej bronić i poddać się muszą.

Dowódcą nad wojskiem i miastem był Jan Uranus (1), mąż wyprobowanej odwagi i słynnej w sztuce wojennej biegłości. Pochodził on z Florencyi, i obok zwykłej zdolności germańskiej, posiadał dziłą prawie waleczność Węgrów. Wszyscy też przekonani byli, że miasto długo i silnie bronić się będzie; tém więcéj, że Belgrad był jakby bramą do całego królestwa.

Władysław pojął dobrze, że potrzeba jak najprędzej wstrzymać gwałty tureckie; ale nim wojsko zbierze i uzbroi, postanowił naprzód przez posłów o odstąpienie od oblężenia układać się: pamiętny na to, że go dawniej już o przyjaźń Turcy prosili, i że mu nawet posiłki do Czech przyrzekali. Wysłani zostali Dobrogost Ostroróg i Łukasz Górka (2). Gdy już byli na miejscu, przypomnieli Turkom ich poselstwo do Krakowa, prośbę o pokój i przyjaźń, a nawet przyrzeczenie posiłków do Czech, gdyby były Polakom potrzebne. Te wszystkie okazy ich życzliwości tak poruszyły umysł Władysława, że nie chciał mieczem wojny przez nich zaczętej odierać, dopóki wprzód o pokój i dobre stosunki z niemi się nie porozumie.

Owóz gdyby się Turcy cofnąć chcieli i nie napastować Węgier, które już z woli Boga i ludzi do Władysława należą, łatwo bardzo przymierze zawartém być może. A Władysław znowu wszystko uczyni, aby im nie zarzucono zbytnej miłości pokoju i zawielkiego na wzajemne stosunki względu: bo gdyby chcieli bronią walczyć i sił swoich doświadczyć, możeby i im udało się zwyciężyć. Gdy to wszystko Turczyn wysłuchał, pod pozorem żeby posłów polskich od wszelkiej zniewagi, przy tak wielkiem zbiegowisku zasłonić, i żeby swobodniej naradzać się mogli, do Sunderowium odesłał; sam też, chcąc wprzód nim jakąkolwiek da odpowiedź, wszystkiego, co w mocy jego będzie, popróbować, polegając najwięcej na tém, że miasto wnet się podda, zaczął załogę i mieszkańców jeszcze świetniejszymi obietnicami do poddania się namawiać. Przywiązawszy listy do strzał, rzucał je do miasta z owemi świetnymi obietnicami zdrady; ale oni

(1) Malin. tłuma. Wapow. str. 364 taki przypisek o nim dodał: „Uraua czyli Wraua w Dalmacyi była główném siedliskiem zakonu Templaryuszów w Węgrzech; po ich zniesieniu Uraua i inne miejsca dostały się rycerzom św. Jana Jerozolimskiego. Przeor wrański, jako wódz zakonu w Węgrzech, w każdej potrzebie, a zwłaszcza z niewiernymi, bronił kraju. Jan zwany przez Turoczę Zowanus rodem z ziemi ragusańskiej był bratem Macieja z Thallocz, bana dalmackiego, znanego z poselstwa do Krakowa.

(2) Długosz i Wapowski utrzymują, że posłem od króla do Turków był Piotr Łączyński z Łączna.

jednej odpowiedzi na nie nie odebrał. Zwołał tedy radę ze swoich, i w te do nich odezwał się słowa:

„Pokój ofiarują nam nieprzyjaciele; nie chciałem sam o odpowiedzi stanować, i żądam, abyście i wy żołnierze zdanie swoje wyrzekli. Wojna którą teraz prowadzimy, ma na celu nietylko szczęście czysto ludzkie, którym ja u was rozrządzam, ale i świetność i rozprze-strzenienie religii naszej, co znowu i do mnie i do was zarówno należy. Różnimy się wprawdzie i bardzo formą życia naszego, ale wszyscy jednej i téj saméj po śmierci spodziewamy się nagrody. Owoż chciałbym, abyście to wszystko co wam powiem, tak uważali, jakby to nie odemnie, a z umysłów wszystkich pochodziło. Gdybym tylko na moje osobiste interesa miał wzgląd, mam tyle w Azji i w Europie, że każda z tych części nie do pogardzenia, stanowi całość; i gdybym tylko dbał o zachowanie tego co mam, a nie o zabór cudzej własności, miałbym i tak znakomitą fortunę. Ale tu chodzi o was, czy każdy ma tyle ile potrzebuje; a gdybyśmy złożyli broń, czyby nie powiedziano o nas, żeśmy przy materyalnych zyskach o religii i o Bogu zapomnieli. Nieprzyjaciel prosi naprzód o to, aby wojnę przerwać, a wtedy dopiero o pokój układać się przyrzeka. Pomijam hańbę, że oblegającym i silnym, obleżeni a słabi; mocnym i wytrwałym, niedo-łężni a wyniszczeni, pokój przyrzekają; pomijam i to, ile już pracy podczas tego obleżenia na wybudowanie machin, holowanie statków podjęliśmy, a to wszystko jakbyśmy zamknięci i zwyciężeni byli, nieprzyjaciel nam opuścić rozkazuje. Bułgarya i większa część Rascyi, już oddawna uległa przed naszym orężem; a i w Serbii wiele do nas należy. To wszystko albo zachować, albo wraz z innymi w Europie nabytkami utracić trzeba. Ktokolwiek zaś, co dobrze i nieprzyjaciel rozumieć, będzie miał w swéj mocy miasto, które oblegamy, będzie miał zaraz nietylko tarczę i pewność swéj sprawy, ale także zamek i najdoskonalsze miejsce do czynienia na sąsiadach zaborów. Królestwo nieprzyjaciół rozdzielone jest teraz domowemi kłótniami. Siły, które z Polski połączonej z Węgrami przychodzą, paraliżują owe zamieszki, i dlatego tylko o pokój układać się chcą z nami, żeby zyskać na czasie, żeby uspokoić swoje królestwo i żeby potem połączo-nemi siłami na nas uderzyć. Gdybyśmy zaś od obleżenia odstąpili, bardzo łatwo, utrudniając warunki, dopóty na formalny nie przystaliby pokój, dopóki albo szczęście Władysława, albo upamiętanie się Węgrów, domowych rozterek nie uśmierzyło. Wtedy dumniejszy jeszcze o warunkach mówili, boby zbrojno przeciwko nam wystąpić mogli; kiedy teraz, sami w niebezpieczeństwie wewnątrz u siebie bę-

dać, ściśnieni prawie przez nas, jakby zwycięzcy jacy, żądają wprzód odstąpienia od Belgradu, nim nam pokój przyślą.“

„Już teraz obijają się o me uszy owe dumne domaganie się, o powrócenie Bułgarii i Raseyi, i innych jeszcze miast i prowincyj, któreśmy krwią naszą i życiem nabyli. Gdybyśmy tedy przystali teraz na pokój, to wojna zaczepna, którą rozpoczęliśmy, przez wzgląd na domowe niesnaski nieprzyjaciela, spadnie potem na nas, gdy się Węgry uspokoją i Polacy z niemi się połączą. A chociażbyśmy i przyjęli tak haniebne i zwrotu tyłu podbojów wymagające warunki pokoju, to myślicie może, że despota spokojnie usiedzi? Połączenie się dwóch tak świetnych i potężnych państw, umysł jego i nadzieje niezmiernie podniosło, tak, że nietylko chce odzyskać co stracił, ale grozi wydarciem nam wszystkiego, co w Europie posiadamy. Nie uśnie on spokojnie, wiem pewno, aż wtedy, kiedy połączone siły Węgrów i Polaków na nas sprowadzi, i kiedy ogniem i mieczem naszą, tak jak my jego ziemię, spustoszy.“

„A jeżeli, czego niechaj Bóg i prorok nie dopuszczają, a co jednak stać się może, jeżeli powtarzam los na ich stronę padnie: jakież okropne klęski i cierpienia na lud nasz spadną od rozgniewanego zwycięzcy, który męczyć nas za świętą uważa sobie powinność, i na żadne przymierze wtedy nie uważa. Czyżbyście chcieli odstąpić od wyznania religijnego przez przodków wam przekazanego, a przeszli do innej jakiejś, do wiary niepodobnej nauki? Wierzy ów nieprzyjaciel nasz, że najdoskonalej i najskuteczniej zasłuży się Bogu swemu, jeżeli świątynie nasze zburzy i sprofanuje, jeżeli obrzędy nasze i najświętsze tajemnice wyśmieje, jeżeli bóstwa nasze i kapłanów znieważy; i żebyście lepiej pojęli, z jaką zawziętością przeciwko nam i religii naszej walczą, to wiedzcie, że każdy z nich, kto w walce z nami na placu legnie, za świętego między niemi jest uważany.“

„Naprawdę, żołnierze! byłoby się ludzi nadzieją pokoju wtedy, kiedy zbierze, połączy swe siły i uzbroi się: bo ani zdobyczy, ani chwały u ludzi, ale aż nieśmiertelności w niebie w walce i zwycięztwie szuka. Cięższe roboty już dokonaliśmy, a co jeszcze zrobić mamy, jest łatwem, bo i stojmy tłumnie naokoło, i szanice grożące muirom usypaliśmy, a macie nawet i maszyny: to też miasto prawie już za zdobyte uważać należy. A pamiętajcie jeszcze na to, że Belgrad właśnie jest takim miastem, że gdy je mieć będziemy, będziemy zewsząd bezpieczni i pewni, a nieprzyjaciel otwarty i na napady nasze i zdobycze wystawiony. Jeżeli tylko choć trochę sił waszych natężycie, jeżeli, pamiętni na męstwo przodków waszych, pomyślicie tyl-

ko, że jeżeli jutro mury nieprzyjacielskiego miasta padną przed nami, obronimy tym sposobem nasze domy, świątynie, religią i wszystkie ludzkie i boskie sprawy, zwyciężymy nie na raz tylko, ale na całą przyszłość. Gdybyśmy nie innego z tej walki odnieść nie mieli, tylko silne bezpieczeństwo kraju naszego, zdaje się, że to jest dosyć duża nagroda za wszelkie trudy, a nawet i za śmierć samą. Co więcej, zwycięstwo to niby murem i szansem nas otacza, a nieprzyjaciela znowu odkrywa i odsłania. Dotąd walczyliśmy w śnieżystych górach Bulgaryi i Raseyi, gdzie głód, pragnienie, trudy, zwątpienie ciągle nas niszczyły, a my wszystko w tej jedynie znosiliśmy nadziei, że kiedyś do bogatych Węgier się dostaniemy, i tu nagrodę i sławę za nasze prace znajdziemy. Stoimy już przy bramie, a poza nią nie ma ani skał niedostępnych, ani pustyń bezdrożnych, a same tylko najprzyjemniejsze z natury i ręką ludzką uprawne okolice. Będzie dla ludzi i dla koni pożywienia nietylko tyle co potrzeba, ale aż do zbytku nawet: będzie ziemia urodzajna, niebo pogodne i wody podstatkiem. Co z wielkim mozołem gdzieindziej praca zaledwie wydobywa, to tam sama ziemia z siebie wydaje, i wydałoby się, że natura za przykład uprawy ziemi Węgry innym narodom wskazała, tak wybornie umieją tam gospodarować. Nie skąpięć uposażyła ich i w bogactwie: bo złoto, które inni śmiertelni tak skąpo i rzadko, i z takim mozołem wykopują, Węgrzy jakby jaki wybrany naród, stosami mają. Od was teraz żołnierze zależy, czy chcecie otworzyć sobie bramę do owego raj, lub własną swoją ziemię na łup nieprzyjacielowi oddać. Kiedy pójdziecie do szturm, przypomnijcie sobie wszystkie obrazy szczęścia; pamiętajcie, że za tym miastem z przodu spotykają was bogate i urocze łupy nie bronione wcale, a z tyłu dzieci, żony, bogi domowe, domy i świętości religijne zachowane, będą nagrodą zwycięstwa. A jeżeli nie zdobędziecie miasta, to nietylko nie nie zyskacie, ale jeszcze ściągniecie na to wszystko gniew i zaciekłość nieprzyjaciela, który wszelkimi udreczy i zniszczy nas cierpieniami. Ja zaś podług tego jak walczyć będziecie, jak więcej do rozkazywania niż do niewolnictwa okażecie chęci, dumnym domaganiom się nieprzyjacielskich posłów odpowiem. Wy zaś i ciało i broń, jak potrzeba przygotujcie, abyśmy jutro, równo ze świtem, na mury się dostali.“

Rozeszli się z weselem żołnierze, i jak gdyby już zwyciężyli i zdobycz bogatą w ręku mieli, tego sobie pohulawszy; resztę nocy, żeby do szturm mieć więcej siły, spokojnie przespali.

(Dalszy ciąg nastąpi).



KRONIKA LITERACKA.

Księga poselska litewskiej metryki, zawierająca w sobie dyplomatyczne stosunki Litwy za panowania króla Stefana Batorego, od r. 1576 do 1583, wydana z polecenia Cesarzkiego moskiewskiego towarzystwa historii i starożytności rossyjskich, przez profesora Pogodina i magistra Dubińskiego; w Moskwie, r. 1843.

Materiały historyczne z dobrą wiarą i z prawdą wydane, jestto granitowy fundament, na którym kiedyś wielki człowiek dźwignie budowę wspaniałego kościoła przeszłości. Potrzeba założyć fundament i nagromadzić masę wiadomości krytycznie obrobionych; ten zwrot przebiega się w dzisiejszej historycznej literaturze polskiej, tę prawdę pojęło całe pokolenie piszących.

Na rozmaitych punktach ogromnego rossyjskiego państwa ogłaszają ciekawe pomniki, które równie obchodzić powinny mieszkańca Moskwy jak Warszawy. W Moskwie przed ośmiu laty, staraniem towarzystwa historii i starożytności rossyjskich, wydane zostały z największą dokładnością dwie księgi poselskie litewskiej metryki z czasów Zygmunta Augusta i Stefana Batorego, a żadne pismo zbiorowe nie zwróciło na nie uwagi. Wydanie pierwszej księgi było poruczone księciu Michałowi Oboleńskiemu i profesorowi Daniłowiczowi; wydanie drugiej prof. Pogodinowi i Dubińskiemu. Z pierwszej księgi korzystałem pisząc „Czas Zygmunta Augusta,” teraz ogłaszam wiadomość o stosunkach dyplomatycznych Litwy, ułożoną z dokumentów zawartych w księdze drugiej.

Dewlet Giraj słysząc, że panowie litewscy mają zamiar wybrać za króla syna W. księcia, ciągnął z wojskiem do litewskiego państwa, i już był nad rzeką Sakhą, gdy nadbiegł goniec królewski Jan Badowski, z wiadomością o wyborze Stefana Batorego. Wkrótce też doszły wieści o kozackich napadach: o północy w 600 ludzi wdarli się na zamek Islam, ale ich załoga pobiła i odparła. Potem Kozacy znad Dniepru połączwszy się z drugimi, w 3000 ludzi ze strzelbą podeszli pod Islam gród, spustoszyli okolice i jedną wieżę zbili. Tatarzy widząc, że nie ma czego

dosiadawać, co można było wybrali i wynieśli się z zamku (poselstwo Dczan Tymira, nr. 8).

Ostatnich dni listopada 1576 przybył goniec tatarski Hasan, a następnie razem z gońcem królewskim Janem Badowskim poseł Dczan Tymir. Król Hasana obdarzył i wyprawił, a posła w wielkiej uczciwości przy dworze trzymał. (Odprawa gońca krymskiego Hassana nr. 4.)

W Toruniu na sejmie Dczan Tymir odprawił poselstwo skarżąc się w imieniu Dewlet Giraja na Kozaków, że w czasie bezkrólewia wielkie szkody wyrządzili w ziemiach cesarza tureckiego. Z tego powodu carewicz Adel Giraj wpadł do Korony, i na wielu miejscach spustoszenia i szkód niemało poczynił. Dewlet Giraj domagał się, żeby król kazał ukarać Kozaków, a ponieważ przez lat ośm nie dawano Tatarom dani, żeby kazał wyliczyć 20,000 cz. zł., za co przyrzeka wpaść na wiosnę do ziemi wspólnego nieprzyjaciela W. księcia (poselstwo r. 1576, nr. 8.)

Król wyprawił do Dewlet Giraja razem z wracającym Dczan Tymirem sekretarza i dworzanina swego Andrzeja Taranowskiego, któremu polecił postanowić przymierze na innych warunkach, niż bywało za Jagiełłów. Przymierza żeby był takowy sposób: żeby żaden gwałt i żadne szkody nie były czynione królewskim państwowi i wszelakiego stanu ludziom; żeby car, synowie i poddani jego nie mieli żadnego spółku i porozumienia z Wielkim księciem; a gdy te dwa warunki zostaną dopełnione, król zapłaci jurgieltu 20,000 talarów, które będą oddawane na święto Bożego Narodzenia w Barze, albo w Kamieńcu, albo w Czerkasach. Nadto Dewlet Giraj i jego następcy kiedy będą przez list albo przez posła wezwani, powinni ze wszystką mocą jechać na wojnę przeciw W. księciu, i stawić się ze wszystkiemi wojskami ku bitwie na to miejsce, które król naznaczy; co gdy uczyni, król daruje jemu oprócz dorocznych, drugie 20,000 talarów. A gdyby syn jego albo który z poddanych wtargnął do polskiego kraju i szkody czynił; car powinien skarać go na gardle, więznie odesłać, łupy zwrócić i szkody nagrodzić; a jeśli tego nie uczyni, nietylko jurgieltu nie dostanie, ale będzie poczytany za gwałtownika i krzywoprzysięcę. Kozaków niżowych wolno mu mieć i na gardle karać; gdyby przyszli na tę stronę Dniepru gdzie są zamki, król każe ich starostom karać. Horda bazarcka, Turcy, Trakowie, Armeni, żydzi i inni kupcy nie będą przyjeżdżać za posty, ani gdy w towarzystwie z posty przyjadą, stacye im dawane będą. Gdyby car chciał jurgieltu częścią pieniędzmi, częścią sukniem. powie poseł, że dawniejsi królowie dawali sukno, ale naówczas mieli przyjaźń z Niemcy; dzisiaj gdy Niemcy są nam nieprzyjaciele jako i cesarzowi turekiemu, sukna od nich mieć nie możemy, i dlategośmy naznaczyli większy jurgielt pieniężny; a gdyby car w tej mierze był przytrudny, można postąpić jurgielt do 24,000 talarów. O Niżowcach gdyby co przekładał, poseł odpowie, że to mnóstwo ludzi jest skupione z Moskwy, z Wołochów i naszych też poddanych, którzy będąc na gardło skazani, do nich się udali; a przybyło ich niemało po wtargnięciu, które tak rok carewicz w ruskie ziemie uczynił, albowiem przyłączyli się do Kozaków ci, którzy potracili majątności; k temu żalem będąc poruszeni, rodziców, żon, braci, dzieci morderstw i więzieniem. A gdyby car był bardzo oporny, powie, że my pošlemy do Konstantynopola posła naszego,

on téż swojego niech pośle, i zdamy się na rozsądek najmożliwszego cesarza. (Instrukcyja dana Taranowskiemu w Toruniu ostatniego grudnia 1576 r. nr. 7). W dalszym ciągu księgi nie ma wzmianki ani o zawartém z Tatarami przymierzu r. 1578, ani o skargach na najazdy kozackie i o zamierzonym napadzie Tatarów r. 1582.

Batory pragnąc być w zgodzie i pokoju ze wszystkimi panami chrześcijańskimi, wyprawił do Jana Groźnego swoich dworzan: Jerzego Grudeńskiego i Lwa Buchowieckiego, zawiadamiając go o wstąpieniu na tron i prosząc o przystanie giejtu na wielkich posłów (List do W. księcia N. 1, z Warszawy, 12 lipca 1576). W. książę przyjął Grudeńskiego i Buchowieckiego nie według zwykłego obyczaju, a o królu wspominał bez należytego względu (list do W. księcia nr. 22); jednak posłańców z tém odprawił, że nie jest od spokojnego zniesienia się z królem, wydał giejt na posłów i zapewnił, że na pograniczu ludziom swoim każe zachować się spokojnie (List do W. księcia z Zawołocza, 2 sierpnia r. 1581 nr. 74). Za tym giejtem król wyprawił wielkich posłów: Stanisława Kryskiego woj. maz., Mikołaja Sapiechę woj. miń., i Teodora Skumina Tyszkiewicza podskarbiego nad lit. (Nauka wydana w Bydgoszczy 28 marca 1577). Polecił im prowadzić do zgody i wiecznego pokoju ze zwróceniem wszystkiego co zabrano w Litwie i w Inflantach; a gdyby nie było mowy o wiecznym pokoju, panowie posłowie powinni mieć na uwadze, że dla W. księcia, który wiele posiadał, czasowe przymierze jest pożyteczniejsze jak dla króla. O Parnawę i o inne zamki w czasie pokoju pobrane, zwłaszcza o Lemzał, już za panowania króla Stefana wzięty, mają się upominać, i wszelkim sposobem strzedz tego mają, żeby pokój zawarty służył zarówno ziemi inflantskiej, jak innym państwom króla jegomości; także państwom króla szwedzkiego, który jest złączony z królem dobrą przyjaźnią. Tytułu nie mają przyczyniać, ani mianować W. księcia carem, ani smoleńskim, ani połockim, ani inflantskim. (Druga nauka dana panom posłom, nr. 12).

Kiedy posłowie byli w drodze, niemałe wojsko pod dowództwem Tymoteusza ks. Trubeckiego wkroczyło do ziemi inflantskiej, pustosząc ogniem i mieczem; ludzie Krzysztofa Radziwiłła nadwornego lit. hetmana, kilka razy bitwę z nimi stoczyli. (List do W. księcia, 13 lipca r. 1577 z obozu pod Gdańskiem, chociaż datowany w Malborgu. Nr. 15). W. książę sam przyjechał do Pskowa, żeby urządzić ziemię inflantską, wiele zamków pobrał i wziął w niewolę Alexandra ks. Połubińskiego (1). Potém go wypuścił, a z nim 50 więźniów polskiego i litewskiego narodu, i przez niego napisał do króla (z Wolmaru, 12 września 1576) zawiadamiając go, że za pomocą Bożą oczyścił swoją dziedzinę, ziemię inflantską. Król wstrzymał posłów na granicy i wyprawił z listem dworzanina Marcina Połujana. (Nauka wydana gońcowi Połujanowi, nr. 16). Chcąc doskonale wyrozumić zamysły W. księcia, kazał posłom udać się w dalszą drogę. Gdy przystąpili do układów, W. książę odłączył Inflanty od Korony i od Litwy. Trzymając posłów w trudném chowaniu, przymusił ich do za-

(1) W. książę pisał do Połubińskiego, wyprowadzając ród swój od brata Cezara, Prusa, który założył Gdańsk, Chojnicę, Toruń i Malborg. (Nr. 1).

warcia rozejmu w styczniu 1578 r. na trzy lata, licząc od Zwiastowania 1576 r. z wyraźnemi opisami, że rozejm zabezpiecza tylko granice między Litwą a Rosyą, z wyłączeniem Inflant; a gdy przyszło do zaprzysiężenia, w liście swoim przydał takie rzeczy, na które posłowie zgodzić się nie chcieli: Inflanty i Kurlandya aż po Żmudź i Prusy sobie przyznał, na króla włożył obowiązek, żeby poddanych swoich nie bronił i próśb od nich nie przyjmował (Listy rozejmowe nr. 17 i 18). Dwa listy rozejmowe na które przysięgli W. książę i posłowie, nie były z sobą zgodne, a z tego można było korzystać łamiąc je na wszystkie strony. Batory zawiadomiony o tém domagał się należytego rozejmu. (List do W. księcia 12 marca 1578, nr. 19); ale W. książę gońca Piotra Haraburdę na stronę usunął i długi czas trzymał jak w więzieniu, a tymczasem w Inflantach dobywał zamków; od Kiesi dwa razy odparty stracił siłę wojska i dział. Wielec posłowie Piotr Gołowin i diak Taras Gramotin, przybyli dla odebrania od króla przysięgi. Król odprawiwszy sprawy ruskie we Lwowie dał im posłuchanie; a ponieważ nie chciał mówić językiem, którego nie umiał i jako żywo nie słyszał, posłowie odeszli nie sprawując poselstwa (1). Król posłów zatrzymał dopóki nie wrócił Piotr Haraburda; wtedy ich puścił i wyprawił Wacława Łopacińskiego z wypowiednym listem. (List do W. księcia z Wilna, 26 czerwca r. 1579, nr. 22). Sam wsiadł na koń i poszedł pod Połock. Z zamku połockiego dopomniął się o wypuszczenie Łopacińskiego listem, który zaniósł Bohdan Prosielok (16 września 1579 r. nr. 24). Na to odpowiedział W. książę (z Nowogrodu 21 listopada, 1579, nr. 25), że postępował tak jak jemu przystało, a o innych rzeczach mówić nie ma potrzeby (2); zapewniał że chce przyjaźni i braterstwa, że kazał się spokojnie zachować na granicach od Korony, od Litwy i od Inflant. Łopacińskiego wolno puścić (w piątek po Trzech Królach 1580 r. nr. 28) (3); polecił jemu, żeby mówił z panami Mikołajem Radziwiłłem, Eustachym Wołowiczem, Stefanem Zbaraskim i z innemi, a z Janem Chodkiewiczem nie ma co mówić, bo on wielkiego zamieszania między gospodarzami narobił (Andrzej i Wasyl Szczołkanowy mówili do Łopacińskiego te słowa. Nr. 29).

Jan Groźny żądał przysłania posłów wielkich (z Moskwy, 6 stycznia 1580 r. nr. 31); na to król Stefan odpowiedział, że chciał żyć w pokoju i w dobrej przyjaźni z sąsiadami, a gdy posłów W. książę odprawił z niezwykłym postanowieniem, drugi raz narażać się na to nie będzie; panom rady, którzy znosili się z bojarami, pozwolił wydać glejt na posłów wielkich (z Grodna, 16 marca 1580 r. nr. 33). Bojarowie odpowiedzieli, że to nowy a niezwykły obyczaj, że zawsze posłowie litewscy pierwsi przycho-

(1) „Wieleli nam na wspomnienie imieni twojego niezwykłym obyczajem dudkować, i pri tom jakobyś ty był jakij czudotworiec, wo imia twoje jazykom tym, ktoroho jesmo nietolko nie umieli, ale piered tym jako żywo nie słyszali, mowit' czoho ostonocznoho.” (List Batorego nr. 74).

(2) „A nam kak było prihožo i my tak byli s toboju i dziełali... a o tych wsich rzeczach, kotoryje w toj statii pisany, nynie howoriti nie jest' potreba.”

(3) „W hramotie k' nam pisał Stefan korol, kakby s rozmiatom i mnohii ukoriznyie słowa pisał da i naszu pieremirnju hramotu otostał, i kotoryje liudi s takimi hramotami jezdiat i takich wiezdie kazniat.”

dzili (z Moskwy, w lutym 1580, nr. 34). Z rozkazu królewskiego wojna przez czas jakiś była wstrzymana; potem siadając na koniu Batory, znowu glejt na posłów wielkich posłał (z Wilna, 13 czerwca 1580 r. nr. 40). Gońiec Naszczokin już otrzymał odprawę, ale zażądał znowu posłuchania i 14 czerwca podał królowi list otworzysty, aby mu dano wiarę, że co mówi, z woli W. księcia mówi; potem oznajmił, że W. książę chce posłów wielkich posłać i prosi, żeby król osobą swoją z miejsca się nie ruszał i wojsk do jego ziemi nie wysyłał. Król odpowiedział, że jeszcze przez pięć tygodni wstrzyma się od wojny i na posłów czekać będzie (z Wilna, 14 czerwca 1580, nr. 41). W. książę dał znać przez gońca Szyszmarewa, że w tej chwili wyprawił posłów: ks. Jana Sickingo jarosławskiego stolnika, Romana Piwowa radnego szlachcica, i diaka Tomasza Drużynę Pietielina; ale w tak krótkim przeciągu czasu nawet posłaniec na podwodzie nie jest w stanie pospieszyć; prosi zatem, żeby król wstrzymał się od wojny do przyjazdu posłów w połowie sierpnia (z Moskwy, 2 lipca 1580, nr. 43). Zrozumiał Stefan, że te posyłania i pisania do niczego nie doprowadzą, że to się dzieje dla zmarnowania czasu do wojny dogodnego: oznajmił zatem, że gdziekolwiek z wojskiem będzie, posłowie znajdą do niego wolny przystęp (z Wilna, 22 lipca 1580), że Nowogród W. i Psków, kraj smoleński i siewierski do Litwy należą, że Inflanty stanowią część Korony i W. Księstwa, że on cudzego nie pragnie, a swojego bronić będzie.

Posłowie przyjechali do obozu pod Wielkimi-Łukami 28 sierpnia 1580, a nazajutrz byli u króla (nr. 53). Na wstępie oświadczyli, że mają polecenie od hospodara, żeby nie gdzieindziej, jedno w państwie króla jego mości poselstwo sprawowali; więc odeszli z niczym, a król kazał silnie pracować nad zdobyciem Wielkich-Łuk. Posłowie 2 września znowu przyszli do króla i odprawili poselstwo. W rozmowach z panami rady posłowie odstępowali Połocka, Uświata, Jezieryszcz, Kurlandyi, a w Inflantach tego, co arcyksiążę Magnus posiadał pod władzą królewską. Zatem król zamku dobywał, a posłowie po dostateczną naukę posłali do W. księcia. Razem z ich gońcem pojechał Grzegorz Łozowicki i zaniósł list królewski (posłuchanie posłów nr. 53, list królewski 5 września 1580, nr. 54). Po odjeździe gońców nazajutrz wzięto zamek wielkołucki. Zawiadomił o tym Batory W. księcia; nalegał, żeby zrzekł się Inflant, jeśli chce stałego pokoju (z Wielkich-Łuk, 9 września 1580, nr. 56). Król z Wielkich-Łuk wrócił do Warszawy i pojechali za nim posłowie; podczas sejmu znowu sprawowali poselstwo i bywali na rozmowach z panami rady i z posłami ziemskimi; a ponieważ nie podawali słusznych warunków dla postanowienia pokoju, król ich odprawił z zapewnieniem, że bez zupełnego odstąpienia Inflant pokoju nie będzie. (Nr. 60 i 61.)

W. książę nazaczył nowych posłów: Eustachego Puszkina, Teodora Pisiemskiego i diaka Jana Trefanowa; i dał im moc zupełną, że co oni postanowią, to wiecznemi czasy trwałe będzie (list pełnomocny nr. 64). Posłowie mieli posłuchanie w Wilnie 26 i 29 maja, 1 i 2 czerwca 1581; na rozmowach z panami rady postępowali po dwa, po trzy zameczki; aż nareszcie oznajmili, że pan ich odstępuje ziemi inflantskiej z wyjątkiem czterech zamków: Nowogródka inflantskiego, Sereńska, Adeża i Rugodiewa czyli Narwy; w zamian prosili Wielkich-Łuk, Chełmu, Wielizną

i Zawołocza. Król oddawał Zawołoczę, Chełm i Wielkie-Łuki, a Wieliz tylko chciał zatrzymać; domagał się spalenia Siebieża leżącego wśród jego posiadłości, zwrotu ziemi inflantskiej bez żadnych wyłączeń, zwrotu kosztów wojennych 400,000 zł. węg. i wypuszczenia zatrzymanych kupców z tém, co do nich należy (nr. 66 i 67). Posłowie do W. księcia posłali po naukę.

Zdawało się, że lada chwila pokój będzie zawarty; Batory działania wojenne zawiesił do czterech tygodni: wtém nieprzyjacielskie wojska podstępowały pod zamki naddnieprskie, pod Dubrownę, Orszę, Kopyś, Szkłów, Mohilew, Radom i inne (list panów rady do bojarów, z Zawołocza 2 sierpnia 1581, nr. 75), a przez Krzysztofa Dzierżka królewskiego gońca W. książę przysłał list grzmiący i długi. Zarzucał Batoremu dumę i pragnienie krwi chrześcijańskiej, zarzucał panom rady że niezgodę sięją między gospodarzami. Nie tak bywało za dawnych królów pobożnych i niechciwych krwi rozlewu; posłowie zjeżdżali się z panami rady, nieraz się pokłócili i pogodzili znowu, układy odbywały się powoli, a wy chcecie wszystko skończyć w jednej godzinie. Powiadacie, że posłowie targują się o ziemię inflantską, która u nas była pod holdem, jak u was Prusy. Rozhovor nie targ, a tym targiem oni wam postąpili 70 grodów. Nazywacie się gospodarzem chrześcijańskim, a nie po chrześcijańsku złamaliście przysięgę, którą w Moskwie wykonali wasi posłowie. Nazywacie się gospodarzem chrześcijańskim, a chcecie, żeby wam 400,000 zł. zapłacić jak bisurmanowi. Za co? za to żeście wojowali, żeście brali nasze grody i niszczyli ziemię. A kto was o to prosił, kto wam bił czołem? Pod Sokolem twoi żołnierze wybierali co lepszych wojowników i dzieci bojarskie i wyrzynali im żółte i sadło jak czarownicy. A takiej bezbożności nawet u bisurmańskich gospodarów nie bywa, żeby wojsko się biło, a posłowie postowali. Włóczyłeś ich za sobą przez jesień i przez całą zimę, a winę na nas zwalasz. W Warszawie podczas układów przychodziło 40 postów ziemskich, a twoi panowie powiedzieli, że to twoja mniejsza rada: tego za twoich przodków nigdy nie bywało. Za Siebież panowie rady obiecują Drysę spalić:—dzieci tak oszukują. My każemy Siebież spalić, ty każesz Drysę spalić, ziemia będzie należeć do ciebie i kiedy zechcesz nowe zamki odbudujesz. Cóżto za pokój, kiedy z naszej strony same straty. Ale ty chcesz uzyskać nad nami przewagę. Kiedyś silny, kiedy pragniesz krwi chrześcijańskiej, bierz i krew rozlewaj. Na co postów posyłać, na co dawać grody, kiedy wy całym krajem rwiecie się do krwi rozlewu. Co za przodków stracone, to przepadło: albow tamci mniej mieli od was rozumu? Ruś i Litwę znużysz wojną, a potem Ruś i Litwa pójdzie na łup bisurmanom. Chcesz pokoju, bierz taki, jaki posłowie dają, bo my i za lat 50 nowych postów do ciebie nie pošemy (z Moskwy, 29 czerwca, 1581, nr. 68).

Dzierżek przyniósł list 15 lipca, a 18go posłowie byli u króla, i na zapytanie czy nie mają jakiego poruczenia, odpowiedzieli, że zdadzą z tego sprawę przed panami rady. Na rozmowie z panami powiedzieli, że mają polecenie zawrzeć rozejm na lat sześć lub siedm, że gospodar odstępuje tych zamków, które Bóg podał w moc królowi: Wielkich-Łuk, Chełma, Zawołocza i innych; w ziemi inflantskiej zostawił sobie Narew, Dorpat i 34 zamki. Po takim oświadczeniu nie wdawali się w żadne rozprawy,

ale odjechali do gospody. 20 lipca król dał im odprawę (Rozinowa panów rady z posłami, nr. 73).

Odpowiedź Batorego była równie długa jak list W. księcia. Odbijając od siebie wszelkie zarzuty, dowodził: że dobra chęć i prawda były z jego strony. Dowodził, że W. książę do Inflant nie ma żadnego prawa, a król Zygmunt August został ich panem z dobrej woli mieszkańców. Nie chcesz Siebieża zburzyć dlatego, żebyśmy się znowu czego nie naparli; nie chcesz zwrócić małej części nakładów wojennych: czas pokaże, kto na tém straci, bo im dłużej wojna będzie się zaciągać, tém więcej od ciebie będziemy wymagali. Cierpiał Bóg długo aż się miara przebrała, i kto wie, czy siekiera nie jest już przyłożona do korzenia. Dajesz nam nazwanie brata; brat brata powinien bronić od krzywdy, nie sam krzywdzić: a za nazwanie, jednéj włóki nie ustąpimy. O owém sadle ani mogliśmy wiedzieć, a kiedyśmy się dopytywali, powiedziano nam, że wzięli go coś Niemcy cyrulicy na lekarstwa; ale tego okrucieństwa nikt nam nie zarzuci, że żywych mordujemy, że znęcamy się nad więźniami, bo sprawy nasze jawne są przed światem. Nie wstydzi nas to bynajmniej, że urodziwszy się w prywatnym stanie, enotą i mężtwem dostąpiliśmy królewskiego zaszczytu. Uczciwa to jest rzecz urodzić się z szlachcica cnotliwego i szlachcianki wiary niepodejrzanej, bo szlacheckiego urodzenia nie wypiera się żaden cesarz ani król żaden. Na ustach masz ciągle psalmy i wyjątki z Pisma Świętego. „Poznacie ich po czynach,” powiada Pismo. Poznaj sam siebie, bo to jest największa mądrość; ażebyś siebie lepiej poznał posyłamy ci książki, które o tobie po świecie piszą i drukują, za przywilejem Zygmunta Augusta i za przywilejem cesarza Maxymiliana. Udajesz pokorę, a powiadasz w duchu: pójdę i rozszerzę moje państwo na wschód i na zachód, żeby się wślawiło imię moje, i moje państwo szczytem nieba dosięgnie. Kiedy ci się powiodło w Inflantach, wsiadłeś na koń, obwieszając się na krzyż łańcuchami, z których na jednym wisiła ewangelia, na drugim zegarek, w rękę wzięłeś kopiją i popisywałeś się, że idziesz z nami wojować. Chcesz oszczędzić rozlewu krwi chrześcijańskiej: naznacz czas i miejsce, a rozprawimy się sami jak mężom przystoi. Niech Pan Bóg dopomaga dobrej sprawie (z Zawołocza, 2 sierpnia 1581 r. nr. 74).

Pod Pskowem Batory odebrał list od W. księcia, w którym go zawiadamiał, że Antoni Possewin poseł Grzegorza XIII listem przysłanym przez swojego sługę Andrzeja skłaniał go do pokoju, i że W. książę gotów wysłać z zupełną nauką posłów do Zapolskiego Jamu, między Porchowem a Zawołoczem, którzy wejdą w układy z królewskimi posłami za pośrednictwem Possewina (list W. księcia ze Słobody, 27 października 1581, przyniesiony przez gońca Zacharego Boltina; nr. 76). Król zgodził się na wysłanie posłów (z obozu pod Pskowem, 14 listopada 1581 r. nr. 78).

Do Zapolskiego Jamu przybyli od W. księcia posłowie: książę Dymitr Jelecki, Roman Ofieriew, diak Nikita Biereszczagin i podiaczy Zachar Swijaziew; od króla Janusz Zbaraski woj. bractawski, Albrecht Radziwiłł marszałek nad lit. i Michał Haraburda pisarz lit. 13 grudnia zeszli się w gospodzie u posła papieżkiego. Posłowie W. księcia zaraz po przywitaniu, pierwój nim usiedli podali list wierzący. Posłowie królewscy trochę posiedziawszy zapytali, gdzie jest pełnomocnictwo do zawarcia pokoju,

bo to co widzieli nie jest pełnomocnictwo, ale list wierzący, który nie daje mocy ostatecznego postanowienia. W spóźnionej porze rozjechali się z tém, że posłowie mają dostać na piśmie moc zupełną od W. księcia.

Nazajutrz znowu zeszli się u Possewina. Posłowie pytali siebie nawzajem, jakim obyczajem król i W. książę czynić kazał postanowienie. Zatem posłowie królewscy nie wdając się w długie targi oświadczyli, że król przedewszystkiém żąda zwrotu ziemi inflantskiej bez żadnych wyłączeń i objęcia przymierzem króla szwedzkiego. Posłowie W. księcia odpowiedzieli, że całej ziemi inflantskiej nie mają prawa odstępować, ale postąpią niektóre zamki jeśli król zwróci Wielkie-Łuki, Chełm, Zawołocze, Wieliz, Newel i inne. Co do króla szwedzkiego nie mają nauki, ani rozkazu; ale jeśli królowi szwedzkiemu trzeba, niech się znieśie przez posłów z hospodarem. Tego dnia więcj o niczym mowy nie było.

15 grudnia posłowie królewscy domagali się ziemi inflantskiej, posłowie W. księcia zwrotu zamków zabranych. Posłowie królewscy pożegnali ich i odjechali; w nocy Possewin przysłał cedulę, zawiadamiając, że po ich odjeździe mówił z posłami W. księcia, i okazała się potrzeba, aby raz jeszcze się zjechali. To zjechanie się 16 grudnia nie doprowadziło do niczego, bo obie strony stały przy swoim, robiąc mało znaczące ustępstwa. Posłowie królewscy odnieśli się do pana kanclerza, który odpowiedział, żeby postąpili W. księciu w ziemi inflantskiej Serenieska, Nowogródka, i Nowokostyra, a żeby starali się zatrzymać Wielkie-Łuki i pozyskać Siebież. A gdyby nie można było, odstąpić Wielkie-Łuki, Zawołocze, Wieliz i Newel w zamian za ziemię inflantską.

Posłowie królewscy wytargowali Wieliz i domagali się, żeby w list rozejmowy wniesiono, że król ma prawo dochodzić zamków zabranych przez Szwedów; a gdyby W. książę równie chciał ich dochodzić, wojna o te zamki nie przejdzie za granice szwedzkich zaborów. Ponieważ posłowie W. księcia nie chcieli się na to zgodzić, posłowie królewscy złożyli protestacyą na ręce Possewina. Potém odebrali drugi list od pana kanclerza, żeby jak najbardziej starali się o postanowienie pokoju; wojewodowie i starostowie ukraiński pisali do nich, że jeżeli pokój nie zostanie zawarty, ludzie z zamków zejda. Znowu zaczęły się targi, i znowu kanclerz do nich napisał, pilnie a pilnie napominając, żeby jako tako ten pokój kończyli. Posłowie W. księcia narzekając żałośnie, nie chcieli odstąpić Dorpatu i pokazywali daną sobie naukę; posłowie królewscy grozili zerwaniem układów i pokazywali nakaz królewski, żeby zatrzymać Wielkie-Łuki, Zawołocze i Newel. Zatem posłowie W. księcia na drugi dzień odstąpili Dorpatu, prosząc z wielkim płaczem papieżkiego legata, żeby wziął ich pod swoją obronę, bo oni bez rozkazu oddają Dorpat i gardła swoje narażają za gardła wielu ludzi. Umówili się, że z obu stron zamki będą oddane z taką strzelbą, z jaką były wzięte, wyjąwszy gdzie strzelba zgorzała, jak w Wielkich-Łukach. W Inflantach te zamki miano poddać królowi: Kukonos, Skrowny, Lenward, Kruźbork, Borzun, Czestwin, Trykat, Rowny, Włodzimierzec, Ałyst, Howię, horodyszcza Laudun i Holbin, zamki: Reżyęc, Łużę, Wlech, Perkel, Sałacz, Dorpat, Nowogródek, Kerepet', Mukow, Randeg, Ryngol, Konhot, Kawlet', Kurslow, Lais. Tar-

wast, Polezew, Pajdę, Weljan, Parnawę starą i nową. O więźniów nie mogli się zgodzić; postowie królewscy żądali 300,000 zł. węgierskich albo Siebież i Opoczękę; postowie W. księcia zwrócili mowę do papieżkiego legata, dziwując się, że chrześcianie, chrześcian szacują i przedają. Na to odpowiedzieli posłowie królewscy, że po zdobyciu Połocka, gospodar chciał za więźniów Uświata i Jezierszcza, a kiedy król się nie zgodził, on więźniów oszacował i wziął za nich niemały okup: za pana Dowojnę 10,000 zł. węg. i więźnia, a drugich odstąpił do Kazania i do Astrachania. Przymtem postowie królewscy dopominali się o wypuszczenie kupców zatrzymanych z towarami.

Potem rozmawiano od kogo piérwój mają być postowie. Królewscy dowodzili, że od W. księcia, bo kto potrzebuje, ten piérwszy postów wysyła. Postowie W. księcia przekładali, że już nieraz postów do króla wyprawiał, i po kilka razy wstając prosili, żeby uczció gospodar, bo oni i bez tego wzięli na siebie ciężką odpowiedzialność. Wdał się w tę rzecz legat papieżki i zapewnił postów królewskich, że król do tego wielkiój wagi nie przywiązuje. Zgodzili się zatem, że postowie królewscy będą u W. księcia na dzień św. Trójcy, a postowie W. księcia u króla na dzień Wniebowzięcia Panny Maryi.

Postowie W. księcia domagali się przyznania carskiego tytułu; postowie królewscy stanowczo na to zgodzić się nie chcieli. Co do czasu pokoju, królewscy chcieli go mieć na rok, W. księcia na dwa lata, legat papieżki na dziewięć. „Niechaj będzie na 8, na 7, na 5 lat, tylko nie na 9,” powiedzieli postowie królewscy, „bo to słowo dziewięć między wielkimi gospodarami i w piśmie nie uchodzi.” Postowie W. księcia odpowiedzieli: „niechże będzie na lat 10,” i na tém stanęło. Kiedy napisano listy rozejmowe, postowie królewscy spostrzegli dorzucony wyraz: że gospodar z *ujcowizny swojej* ziemi inflantskiej odstępuje królowi te i te zamki. Postowie królewscy nie chcieli brać listu i odjechali po długim sporze; w nocy przyjechał do nich legat papieżki przekładając, żeby się nie upierali; ale oni uważali te słowa za wielce szkodliwe. Nazajutrz 15 stycznia 1582 napisano nowy list bez tych wyrazów. W nocy o godzinie 5, naprzód postowie W. księcia, potem królewscy wykonali przysięgę i zamienili się listami rozejmowemi i rejestrem strzelby, która miała zostać na zamkach. Tym sposobem z pomocą Bożką pokój zawarli. (Rozmowy postów, nr. 81).

Postowie królewscy: Janusz Zbaraski w. bractawski, Mikołaj Talwosz kaszt. żmudzki i Michał Haraburda pisarz lit., wysłani dla odebrania przysięgi, otrzymali polecenie, żeby usuwając wszelkie wątpliwości i zawady do dobrej przyjaźni, oświadczyli, że król uważa za swoją własność zamki będące w posiadaniu króla szwedzkiego: Narwę czyli Rugodiew, Rewel czyli Koływań, Rakobor, Tolszczobor, Pacz czyli Padys, Lihowier, Kolowier, Apsel, Wigiel, Syreńsk i inne, i jak swojej własności dobywać i bronić ich będzie. O tytuł wyrozumieją postowie jakiego tytułu pragnie W. książę, bo za Smoleńsk i za ziemię siewierską, a wreszcie za rzeczenie się Infant mają prawo przyznać tytuł cara ruskiego. Co do więźniów król ma wielu ludzi rycerskich, wojewodów i przełożonych nad wojskami; Wielki książę mniejszą daleko liczbę i to ludzi lekkich i nieznakomitych: zatem domagać się za więźniów Newla

i Zawołocza, albo Newla i Siebieża, a gdyby W. książę nie chciał przystać, niechaj idzie na zamianę i na okup; król odesła swoich jeńców do Jezieryszcz, W. książę swoich do Wielkich-Łuk. Domawiać się o wolny handel podług starego obyczaju, wszakże nie zawzięcie; jeśli W. książę postanowił składować w Smoleńsku, król postanowi składować podług swego upodobania. Gdy będzie mowa o spaleniu Brańska, powiedziéć, że ludzie królewscy nie wiedzieli o zawarciu pokoju; a ponieważ ludzie W. księcia spalili Łojową Górę i niemało ludu nabili, niech więc idą krzywdy za krzywdy. Gdyby W. książę żądał przymierza na czas dłuższy, posłowie mogą zgodzić się na termin podany: gdyby chciał wiecznego pokoju, mają się odwołać do króla. A w innych rzeczach mają się zachować według swego baczenia, przestrzegając sławy królewskiej i pożytku Rzeczptej. (Nauka dana posłom z Rygi, 28 marca, r. 1582, nr. 91).

Bojarowie dali od siebie zapis posłom, że w przeciągu lat dziesięciu do św. Piotra i Pawła 1592 r. gospodar nie przystąpi z wojskiem do zamków które zabrał król szwedzki w Inflantach; posłowie zobowiązali się, że król Stefan nie będzie zdobywał na Szwedach dziedzicznych zamków W. księcia w okręgu nowogrodzkim: Jamgrodu, Kopia, i Koreli. (List bojarów w lipcu, 1582, nr. 99).

Do króla przyjechali odbierać przysięgę książę Dymitr Jelecki, Jan Puszkin i diak Tomasz Drużyna Pietielin. Domagali się, żeby król wykonał przysięgę po rusku i żeby list rozejmowy W. księcia leżał pod krzyżem i pod listem królewskim. Król kazał im odczytać po rusku przysięgę, sam wykonał ją łacińskimi słowy. Co do położenia listu dogodził ich żądaniu, oświadczając, że przez to nie zobowiązuje się do uznania tytułu. Posłowie Odpowiedź udzieloną sobie na piśmie odesłali królowi z Okuniewa (Odpowiedź królewska, nr. 101).

Na tém kończą się w księdze poselskiej wiadomości do panowania króla, którego Palewoj nazywa „jasną gwiazdą między współczesnemi monarchami.”

Seweryn Gołębiowski.

Grammatyka języka polskiego zawierająca naukę rozbioru i składni, przez J. A. Czajkowskiego N. J. P. w S. P. i S. R. Warszawa. 1851.

Gdy po pilném przejrzeniu i odczytaniu nowo wyszłej grammatyki przystępuję do jój rozbioru i ocenienia, stają mi na myśli wszystkie niemal dzieła grammatyczne polskie od wiekopomnego wyjścia *Pierwszych zasad Grammatyki* J. Mrozińskiego u nas wydane, a przezemnie na drodze urzędowej lub w *Bibliotece Warszawskiej* różnocześnie ocenione, z których nowy nasz grammatyk mógł i powinien był korzystać: a mianowicie J. Muczkowskiego dwie Grammatyki (poznańska i krakowskiej 2 wyd.), M. Jakubowicza (wileńska 2 wyd.), T. Kurhanowicza (wileńska bezimienna z r. 1834, a warszawska *Składnia* z r. 1841 i 1844), D. Łazow-

skiego najobszerniejsza i A. S. Krasieńskiego najkrótsza ze wszystkich tu wymienionych, nareszcie ważne dzieło grammatyczne F. Żochowskiego pod napisem: *Części mowy odmieniające się przez przypadki*. I moja Grammatyka Polska do użycia szkolnego zastosowana, której *Część I*sza od r. 1838 doczekała się już 4go, a skrócona 6go wydania, *Część II*ga od r. 1847 dotychczas jeszcze nie zaprowadzona po szkołach, jako też recenzje różnoczesnych grammatyk polskich przezemnie drukiem ogłoszone, mogły nastęrczyć nowemu grammatykowi wiele postrzeżeń i uwag, a wytknięte sumiennie w ocenionych grammatykach, posłużyć mogły za zba-wienną przestrogę.

Winienem godnemu nowój grammatyki autorowi oddać sprawiedliwość, że się nie dopuścił wstecznego nowatorstwa, oprócz w rozkładzie i formowaniu trybów; a lubo poszedł w ślady M. Jakubowicza, J. Muczковского, T. Kurhanowicza i D. Łazowskiego w bezpotrzebnym wykładzie albo raczej opisywaniu znaczenia naszych przyimków: pokazał się jednak w tój mierze umiarkowańszym od swoich poprzedników. Lubo też wcisnął niepotrzebnie *j* przed *a*, *q*, *o*, w wyrazy cudzoziemskie, nie dopuścił się wszakże kazirodztwa grammatycznego w wyrazach swojskich i cudzoziemskich przez łączenie *j* z *i*. Ograniczając tedy szerzące się coraz dalej *j*, zbyt już i tak zagęszczone w naszej pisowni, oraz nie dopuszczając dziwotwornój zamiany *i* lub *y* na *j* w wyrazach cudzoziemskich, pokazał się w tych dwóch względach wyższym nad F. Żochowskiego, T. Kurhanowicza, D. Łazowskiego i innych, zbytkujących w użyciu *j*. Jeszcze i w tém ma niemałą zasługę, że nie obciążył swojego dzieła tylą niepotrzebnymi drobiazgami jak D. Łazowski, ani w ułożonej przez siebie *Składni* nie pominął wielu trudności grammatycznych jak A. S. Krasieński; a przejąwszy od J. Muczковского i F. Żochowskiego dobre pomysły albo raczej trafne postrzeżenia o wewnętrzném znaczeniu zakończeń wyrazowych, nie przejął jednak błędnej pisowni w wyrazach *wzjąć*, *wzięty*, ani urojonego stopniowania w rzeczownikach *hoń*, *konik*, *konieczek*. Nareszcie, korzystając najwięcej z J. Muczковского, naukę o użyciu zaimków obszerniej i dokładniej wyłożył od wielu swoich poprzedników.

Po tak szybkiem i polotném ocenieniu zasługi nowego autora Grammatyki Polskiej w porównaniu z jego poprzednikami, wezmę następnie pod uwagę sam układ dzieła i ważniejsze w niém szczegóły, zwłaszcza podlegające sprawiedliwym zarzutom; nie żebym chciał rozpoczynać jaką polemikę grammatyczną, ale że radbym szczerze, aby najnowsza podziś-dzień grammatyka ulepszoną została przynajmniej w następném wydaniu: na które zasługuje mianowicie część IIIcia czyli *Składnia*, znana mi niedgdyś w rękopiśmie od lat kilkunastu, a teraz już znacznie ulepszona.

A najprzód co do układu dzieła: powinienem uczynić tę uwagę, że autor nielogicznie swoje grammatykę podzielił na trzy Części, z których IIga jest tylko gdzieniegdzie powtórzeniem, a prawie wszędzie niedokładném rozwinięciem Części Iszej. Wreszcie nienależycie tu zniesione wszelkie większe i mniejsze podziały, tak iż to jest we wszystkich znanych nam językach pierwsza książka prawidłowa, nie mająca ani rozdziałów, ani paragrafów, w której wszystkie szczegóły treść jój składające idą jak-

by nawałem jedne po drugich, bez żadnego oznaczenia, gdzie się co zaczyna lub kończy.

Następnie co do szczegółów podlegających zarzutom, będę z nich wybierał tylko co najważniejsze, idąc porządkiem stronic; lubo nie zaniedbam upatrywać niezgodności upatrzonych w jednój i tój samój rzeczy na różnych, nawet odległych od siebie stronicach. Wezmę zaś szczególniej pod uwagę wykład i pisownią przyjętą przez autora, tudzież pomysły różniące nową grammatykę od innych; nareszcie wskażę i opuszczenia niektórych ważnych postrzeżeń, mianowicie w Części 2giej i 3ciej.

We wstępie zaraz na początku stronicy 1szój zbyt ogólne azalém niedokładne jest oznaczenie *Grammatyki polskiej*, że to jest *nauka języka polskiego*; bo nauka języka nie kończy się w grammatyce. Niepotrzebnie też i opacznie przy tak niedokładnym oznaczeniu grammatyki polskiej załączony taki dodatek: *język czyli mowa służy do wyrażenia myśli*". W dalszym znowu ciągu tegoż wstępu, przy wyszczególnieniu dziewięciu *części mowy*, brakuje objaśnień przykładowych czyli przykładów, któreby to wyszczególnienie do pojęcia dzieci zbliżyły. Nie pojmie tedy bynajmniej żaden początkowy uczeń gołych wyrazów grammatycznych: *rzeczownik, przymiotnik, słowo, zaimek, imiesłów*, i t. p. a miałby o nich jakiegokolwiek wyobrażenie, gdyby obok każdego z nich podane były przykłady; przez co łatwiejby mu było i zatrzymać w pamięci sameż wyrazy. Nareszcie w 5tym ustępie na téjże stronicy czytamy: „*Części mowy są ze sobą w związku, a ten związek utrzymuje się za pomocą końcówek*”; tu nienależycie przydane *e* do przyimka *z*; mówi się bowiem i pisze *z sobą, z tobą, z sobą*, nie zaś *ze sobą, ze tobą, ze sobą*, a *z* bez *e* przy *s, t*, wymawia się jak *s*: tak więc błędne pisanie powyższych wyrazów na wzór *ze mną, ze Lwowa*, pociąga za sobą i błędne wymawianie. Nie można też mówić: „że związek między wyrazami w mowie *utrzymuje się za pomocą końcówek*, kiedy nie wszystkie wyrazy nawet odmienne, a przynajmniej niezaawsze, zmieniają swoje końcówki. Tak gdy mówimy: *bądź zdrow i wesół*, utrzymujemy albo raczej wydajemy związek między wyrazami myśl naszą wyjawiającemi, chociaż żaden z nich nie zmienił swojej *końcówki* albo raczej pierwotnego zakończenia. Nie mogę tu nie wspomnieć, że u naszego autora pierwotne zakończenie słów czyli końcówka zachodzi w osobie 2giej l. p. trybu rozkazującego, jak to później się pokaże. Wreszcie na str. 7mej i dalszych używane są naprzemian *końcówki* lub *zakończenia*, jak gdyby te dwa wyrazy odmienne miały znaczenie; a nawet na str. 45tej (rzecz dziwna i niesłychana!) przyimki nazwane są *nowemi końcówkami*; na dowód czego przywiode słowa samego autora: „*Te nowe końcówki kładą się przed imionami, i dlatego nazywają się przyimkami*”. Jakże można było nazwać końcówkami nasze przyimki, które *klułą się przed imionami* podług własnych słów autora; co na jedno wychodzi, jak gdyby kto nazwał początek końcem (1).

(1) Tu mi się przypomina objawiony kiedyś w *Bibliotece Warszawskiej* osobliwszy pomysł jednego z naszych nowotnych grammatyków (T. K.): aby przymiotniki nazwać przyimkami, dlatego, że się kładą przy imionach *rzeczowych* lub *osobowych*, tak nazwanych podług podziału i nomenklatury przejętej od M. Jakubowicza.

Na str. 5tej i 6tej po bardzo niedokładném oznaczeniu rzeczownika: *jestto nazwisko osoby lub rzeczy*”, następuje wyszczególnienie imion rzeczownych stosownie do ich znaczenia.

Na str. 6tej pomiędzy rzeczownikami *rodowemi* niewłaściwie podane są: *Jan, Michał, starosta, kasztelan, radca, radczyni*, bo z pomiędzy nich tylko *Chlebowicz, Sapieha i Fredro* są właściwie rodowe; a jednak na str. 16tej *Sobieski, Potocki*, wyrazy tegoż samego znaczenia co *Sapieha i Fredro*, policzone zostały między przymiotnikami rodowemi, dlatego zapewne, że mają zakończenie przymiotników rodz. męz. Czemuż znowu na str. 17 *Walery, Antoni, podskarbi, Noe, Jozue*, mające zakończenia przymiotników na *y, i, e*, nazwane są rzeczownikami?

Na str. 7mej pod napisem u góry: *Przypadki, liczby i rodzaje*, czytamy: „Każdy rzeczownik bierze rozmaite końcówki czyli odmienia się przez przypadki i liczby”. A w piątym znowu ustępie: „Każdy rzeczownik bierze zakończenia albo *męzkie*, albo *żeńskie*, albo *nijakie*, a to stosownie do znaczenia lub zwyczajaju”. Gdy więc podług pierwszego ustępu każdy rzeczownik *bierze rozmaite końcówki* na wydanie liczb albo przypadków, a podług piątego *bierze zakończenia* albo *męzkie*, albo *żeńskie*, albo *nijakie* na wydanie rodzajów; odmienia się więc każdy rzeczownik nietylko przez liczby i przypadki, ale jeszcze i przez rodzaje: co wszakże tak nie jest, ani tak autor nie myślał, tylko się nienależycie wyśłowił. Owoż w piątym ustępie zamiast wyrazu *bierze*, należało użyć wyrazu *ma*, a nie byłoby sfalszowane wyśłowienie czyli wykład, który aż do końca jest utrzymany, jak następuje. „Jeżeli imiona żywotne znaczą płeć męzką, np. *pan, wół*, więc biorą zakończenia *męzkie*; jeżeli imiona żywotne znaczą płeć żeńską, np. *pani, owca*, więc biorą zakończenia *żeńskie*; imiona żywotne zwierzęce, jeżeli niewiadomo jaką płeć oznaczają, np. *kurczę, jagniątko*, biorą zakończenia *nijakie*”. I na cóż trzeci rodzaj nazywać nijakim: lepiej już było nazwać go *nieoznaczonym*. Na téjże str. 7mej u dołu znajdujemy znowu niewłaściwe albo raczej zbyt zaniedbane wyrażenie: „Nauka tych końcówek nazywa się przypadkowaniem.” Aby skracać, o ile tylko można, mające się czynić uwagi nad tak wyłożoną grammatyką, będę pomijał w dalszym ciągu mojej recenzji drobniejsze błędy i uchybienia wykładu.

Na następnych stronicach aż do 14tej, podając autor *naukę końcówek* w 3ch formach, opatrzniej sobie postąpił od M. Jakubowicza i J. Muczkowskiego, którzy niepotrzebnie podali najprzód tabellaryczny wypis gołych końcówek, jak gdyby uczniowie początkowi mieli cierpliwość wyuczać się samych zakończeń oddzielonych od wyrazów. Należało jednak dla ułatwienia uczniom téj i tak dość mozolnej nauki, podać piérwój pytania na siedm zapowiedzianych przypadków. Niepotrzebnie téż pooddzielane są końcówki łącznikiem nawet w przypadku 1szym wyrazów na samogłoskę zakończonym; co na pozór tylko ułatwia, w rzeczy zaś samój utrudnia naukę: bo jakże tu czytać *pan-i* napisane zamiast *pani*, *konie* zamiast *konie*, a cóż dopiéro *uczni-owi-e* zamiast *uczniowie, uczni*, i t. d. Po formach dopiéro w *Uwagach nad przypadkowaniem* podane są na str. 14 pytania na owe siedm przypadków, i to bardzo niedokładnie; bo opuszczone jest pytanie *czyj?* na przypadek 2gi, a nie wskazane użycie

przyimków w przypadku 2gim, 3cim, 4tym i 6tym. Na téjże str. 14tėj wzięte są za cechę formy 1szėj i 2giėj zakończenia przypadku 2go na *a* lub *u*, na *i* lub *y*, a za cechę formy 3ciėj zakończenia przypadku 1go na *e*, *e*, *o*; podług tego więc *serce*, *dziecię*, *miasto*, należą nie tylko do formy 3ciėj, ale i do 1szėj, bo w przypadku 2gim kończą się na *a*.

Na str. 15tėj: „Imiona ludzkie mają często podwójne w 1szym przypadku l m. zakończenie: męskie *owie* i krótsze czyli żeńskie *e*, *i*, *y*, np. *pan-owie-y*, *król-owie-e*, *wnuk-owie-i* (c) *y*.” Mówi się wszakże *Rzymianie*, *cieśle*, *kaznodzieje*, *kapłani*, *chłopi*, *poeci*, a tu *e* krótsze czyli żeńskie, jako téż *i* są zakończeniami męzkimi; lepij tedy było odłożyć to rozróżnienie dwoistego lub nawet troistego zakończenia przyp. 1go l. m. do Części 2giėj, niżeli tak niedokładnie o tém wspominać. Na téjże str. 15tėj w podanej formie przypadkowania liczebników pierwotnych i zbiorowych, błędnie są umieszczone *dwóch* obok *dwaj*, *pięciu* obok *pięc*, *wielu* obok *wiele* w przypadku 1szym.

Na str. 19. „Nie stopniają się nigdy przymiotniki *własne*, *rodowe* i *liczbowe*.” Wszakże i przymiotniki uformowane z rzeczowników także się nie stopniają, np: *ojcowski*, *ogrodowy* i t. p. Na téjże str. 19tėj do wyrażenia tak nazwanych stopni pośrednich źle dobrane wyrazy: *nadto pilny*, *malo pilny*, za *pilny*, *zbyt pilny*, *arcy pilny*, *pilniuchny*, *pilniusienki*, a oznaczenie zaimka przejęte od J. Muczkowskiego *ciemne* i *zawile*. Nie mogą téż nie wytknąć tak osobliwszego wysłowienia: „*Zaimki stosownie do użytku. jaki w mowie przynoszą, są:*”

Na str. 20tėj zaimek zwrotny *swój* umieszczony jest między dzierzawczemi; a znouu między nieoznaczonemi *jaż*, *tyż*, *onże*, *tenże*. Tu także następujący ustęp jest ciemny i fałszywy: „Tylko zaimki *osobiste* wyrażające 1 i 2 osobę *ja*, *ty*, *tudzież zwrotne* i *pytające*, ponieważ wyrażają przedmioty obecne, lub zupełnie niewiadome, nie odmieniają swoich zakończeń na męskie, żeńskie i nijakie.”

Na str. 21szėj niepotrzebnie przejęte od F. Żochowskiego i J. Muczkowskiego *ony* zamiast *one* w przypadkowaniu zaimków osobistych.

Na str. 22giėj zaimki nazwane piérwój nieoznaczonemi przy rozgatkowaniu zaimków, występują znouu pod nowém nazwiskiem *nieokreślonych*.

Na str. 23ciėj w przypadkowaniu zaimków *który*, *co*, znajdujemy *co ku niemu*, *co ku nim* zapewne zamiast *ku którym*, jak się nie mówi i nie pisze; a na str. następnėj 24tėj powtórzone *co ku nim*, z załączeniem takich dwóch przykładów: „czyta list, *co do niego* napisany; czyta książkę, *co do niej* tyle wartości przywiązuje.”

Na str. 25tėj: „Słowa posiłkowe oznaczają istnienie, bytność wszech rzeczy; jedno jest tylko słowo posiłkowe *być*. Słowa *bierne* wyrażają czynność braną, przyjmowaną przez osoby lub rzeczy: np. *ojciec jest kochany*, *praca jest chwalebna*.” I cóż praca bierze, przyjmuje?

„Słowa nijakie nie wyrażają ani czynności, ani bierności, ale własność szczególną osób lub rzeczy: np. *ojciec śpi*, *praca ustaje*.”

Na str. 27inėj: „Tryb łączący i życzący wyraża sąd połączony z innym sądem”; tu nie wskazane odróżnienie trybu łączącego od życzącego,

a ściśle biorąc, i tryb rozkazujący wyraża także sąd połączony z innym domyślnym sądem.

Na téjże str. 27miej: „Aby się nauczyć wszystkich odmian słowa czyli *czasowania*, dość będzie uważać, jak się odmieniają słowa niedokonane i dokonane, a najprzód posilkowe.”

Następnie podana jest forma na czasowanie słowa posilkowego *być*, po niej idą 4 formy na czasowanie słów foremnych. W tych 4ch formach *dla ułatwienia nauki czasowania*, jak czytamy w napisie u góry, umieszczony jest najpierw tryb *rozkazujący*, potem *bezokoliczny*, dalej *oznajmujący*, po oznajmującym *łączący* w nierozdzielnym połączeniu z *życzącym*, a na końcu *warunkowy*; po czém jeszcze idą *imiesłowy* odmienne i *nieodmienne*, po imiesłowach *rzeczownik słowny*, aż nareszcie *czas przeszły nieosobisty*. W tak osobliwszym tedy układzie odmian, jakim podlegają słowa, bierze nasz autor tryb rozkazujący za pierwotny, z którego się formuje nie tylko tryb bezokoliczny i oznajmujący, ale oraz imiesłowy, rzeczownik słowny i czas przeszły nieosobisty. Cały ten układ oparty na mylnie upatrzonym *pierwiastku słowa, оголоconym ze wszelkiego zakończenia*, w 2giej osobie l. p. trybu rozkazującego, pomimo pozornój prostoty i snadności swojej, żadną miarą utrzymać się nie może. Wątpliwie przyjętej zasady i opartego na niej układu okaże się w wielorakich względach, z których tylko ważniejsze wezmę pod uwagę, a o innych zaledwo wspomnę.

Jak można było na czele trybów stawiać tryb rozkazujący, wyraźnie podrzędny, w którym się zawsze objawia domyślna wola, chęć lub życzenie mówiącego, i który się nawet używa niekiedy za tryb *życzący*, z nowój grammatyki wprawdzie nie wyłączony, ale jakby zagłuszony postawionym obok niego na pierwszém miejscu trybem *łączącym*. Że tryb rozkazujący miewa znaczenie trybu *życzącego*, pokazuje się to na przyjętych powszechnie sposobach mówienia: *Święć się imię Twoje*, zamiast *oby się święciło*; *bądź zdrów*, zamiast *obys był zdrów*; *żyj lata Matuzalowe*, zamiast *obys żył*, albo *życzę ci*, *abyś żył*. Tu widzimy, jak nienależycie i opacznie w formach czasowania słów dane pierwsze miejsce trybowi podrzédnemu i zastępczemu, jakim jest tryb rozkazujący, przed głównym i naczelnym trybem, jakim jest oznajmujący, któremu posługują wszystkie inne tryby, a nawet imiesłowy i rzeczownik słowny, czasem zaś tylko niektóre z nich zastępują go, mianowicie kiedy się ma łączyć ze spójnikami lub zaimkami względnymi. I tryb bezokoliczny bardzo opacznie jest umieszczony we środku pomiędzy innymi trybami na 2gim miejscu, tuż po rozkazującym; bo jego właściwe miejsce jest albo ostatnie, jakie ma w słownikach i grammatykach języka łacińskiego, albo pierwsze, jakie ma w słownikach i grammatykach języków późnój ukształconych, niżeli staro-rzymska łacina. Tryb ten, nie znaczący właściwie żadnój okoliczności, służy zwykle za dopełnienie innym trybom, i nader rzadko bywa używany zastępczo za tryb *życzący*, *łączący* lub *rozkazujący*, a przeto w układzie trybów ostatnie miejsce zajmować powinien; ale że nie podlega żadnym odmianom grammatycznym i najprostszy jest w swoim układzie, z tego jedynie względu może i powinien uważać się za pierwotny, bo z niego najdogodniej jest formować wszystkie czasy naczelnego trybu, jakim jest co

do znaczenia swego tryb oznajmujący, azatém, jako uważanemu za pierwotny, pierwsze mu miejsce należy, przez co się rzeczywiście ułatwia nauka czasowania słów. Opatrznie tedy sobie postąpił J. Muczkowski przy wyszczególnieniu trybów i opisaniu ich znaczenia, uważając dopiero aż na końcu tryb bezokoliczny, a w podanych formach na czasowanie słów, dał mu pierwsze miejsce nawet przed trybem oznajmującym; trybowi zaś rozkazującemu nie tylko w formach czasowania, ale i w wyszczególnieniu trybów, ostatnie miejsce między trybami okolicznymi przyznał. Co do trybu łączącego, który niepotrzebnie w nowój grammatyce jest postawiony obok życzącego, należało go raczej opuścić; bo te dwa tryby co do zewnętrznego składu swego różnią się jedynie przydawaniem do słowa spójnikami, a oznaczając przyszłość, która jest zawsze niepewną, jeżeli wyrażają jaki stopień pewności pochodzi to od trybu oznajmującego, zawartego domyślnie w trybie życzącym. Jeden tylko tryb oznajmujący oznacza pewność, chociaż często i mylną, wyrażając mniejszą lub większą potęgę woli, uczucia i przekonania; pierwsze mu tedy miejsce między trybami okolicznymi dać albo raczej zostawić należało. Nareszcie czas przeszły nieosobisty, umieszczony najopaczniej na końcu aż po rzeczowniku słownym, miałby najwłaściwsze dla siebie miejsce i zaraz po czasie przeszłym osobistym trybu oznajmującego, zwłaszcza że ten czas należy do odmian grammatycznych słowa; gdyż w rzeczowniku słownym zachodzi tylko odmiana etymologiczna. Tak wadliwy układ trybów i czasów naraził autora na mnogie trudności i błędy w wywodzie formowania nie tylko samychże trybów i czasów, ale oraz rodzajów, osób i liczb. Cóżto za spółgłoska przybierająca, naczelną, która ubywa w trybie bezokolicznym, tudzież w czasie teraźniejszym, przeszłym i przyszłym wszystkich słów należących do formy 1szej, oprócz w osobie 3ciej l. m. czasu teraźniejszego i przyszłego, a nadto jeszcze ubywa w trybie bezokolicznym słów jednozgłoskowych na *ac, ic, yc, uc*, i wielozgłoskowych na *owac, iwac, ywac*, jako też wielu słów jednozgłoskowych i wielozgłoskowych na *ec, ac*; gdy w systemacie spółgłoskowym, któremu nasz język podlega, żadna spółgłoska do pierwiastku wyrazu należąca, w odmianach grammatycznych ubywać nie może i nie powinna, chyba w nader rzadkich przypadkach dla uniknięcia dwuznaczności lub dla szczególnych względów harmonii? Jak znowu można było samogłoskę *e* wyraźnie eufoniczną, dla rozdzielenia tylko zbiegających się spółgłosek w osobie 1szej i 2giej czasu przeszłego używaną, nazwać samogłoską rodzajową i uważać ją za niesłychaną cechę rodzaju męskiego? Niepodobna też rozpoznać podług podanych w nowój grammatyce zasad, które słowa należą do formy 1szej, a które do 2giej, 3ciej, lub 4tej, kiedy głoska pośrednia służąca do rozpoznawania formy w czasie teraźniejszym trybu oznajmującego jest dwojaka: *a* lub *e*, w formie 2giej także dwojaka: *y* lub *z*; w formie zaś 3ciej znowu jak w drugiej *z*, a w formie 4tej także jak w 2giej *y*. Niepotrzebnie nawet forma 3cia oddzielona od 4tej, bo natura samogłosek *y, z*, jest jednaka; a jak dobrze to uważał J. Mroziński, wymawianie jednej i drugiej zależy od natury spółgłosek je poprzedzających; te więc obie samogłoski jedną tylko cechę formy stanowić powinny. Trudno wreszcie po-

jąć, jak od pierwiastku *pnij* formuje się tryb bezokoliczny *piąc*, albo czas teraźniejszy *pnę*, a pierwiastek *gnij* od słów tak odmiennego znaczenia *giąc* i *gnić*. jest wszakże jednaki albo raczej jeden i ten sam. Jakże opacznie wydaje się tryb rozkazujący w słowach: *módcz*, *musieć*, *woleć*, *widzieć*, a jednak jako *pierwiastku*, nie można go było opuścić; znajdujemy tedy w grammatyce dziwaczne wyrazy *moż*, *muś*, *wol*, *widz*. Ani tego nam nie wytłumaczył nawet w Części 2giej autor, dlaczego w osobie 2giej i 3ciej l. p., tudzież w osobie 2giej l. m. pośrednią głoską jest *y*, a w osobie 1szej l. m. *e*; np. *słyszysz*, *słyszysz*, *słyszycie*, a *słyszemy*, nie zaś *słyszimy*, jak być powinno.

Pomijam resztę szczegółów formowania słów, a nawet całą część 2gą, w której pomimo najmoźolniejsze stosowanie albo raczej naciąganie szczegółowych wywodów do mylnej zasady pierwiastku źle upatrzonemu, nie są uprzątnięte bynajmniej trudności zasiane w części 1szej. Tę ma jedyną zaletę Część IIga, że w niej autor na ostatnich stronicach, zacząwszy od str. 78miej aż do końca. mówiąco *znaczeniu wewnątrzniém głosek*, tudzież o przyimkach wchodzących w skład wyrazów, i o końcówkach *gatunkowemi* zwanymi, nie zapędził się tak daleko jak J. Muczkowski w granice słownikarstwa, i starał się więcej wskazać niżeli wyczerpnąć naukę o zmianie znaczenia wyrazów przez przydawane do nich na początku lub przy końcu cząstki składowe, tak rozmaite w odmianach etymologicznych.

Nie mogę wszakże tego pominąć, że pomiędzy wyrazami *ze znaczeniem dźwięku* na str. 79tjej nienależycie są przywiedzione: *wieć*, *wiecha*, *wicher*, *wiatrak*, *powiew*, *świst*, *powiat*, *wiatr*, *wiek*, *wiotki*, *wieść*, *wir*; nie należy bowiem szmeru, szumu albo świstu, a nawet huku i łoskotu brać za jedno z dźwiękiem. Niewłaściwie też podane na str. 81ej oznaczenie wyrazu *wschodzić*, to jest: *zaczynać ruch w oznaczonym czasie*, bo cząstka składowa *wz*, *ws* we wszystkich wyrazach ze znaczeniem ruchu, np. *wzrastać*, *wspinać się*, znaczy *kierunek w górę* albo *do góry*, który względ tu pominięty. Ani zawsze końcówka *ec* znaczy *wyobrażenie wieku*, np. *leniwiec*, *opętaniec*, *chudziec*, *hrawiec*, *bywalec* i t. p. Ani nareszcie zakończenie gatunkowe *ący* wyraża czynność obecną; lepiej było powiedzieć *równoczesną* inną czynności lub działaniu np. *blagający*; nietylko bowiem można powiedzieć: *widzę*, ale *widziałem* albo *zobaczę* człowieka *blagającego* o wsparcie. I końcówka *awy* nie zawsze wyraża posiadanie w małej ilości przymiotu, np. *prawy*, *łaskawy*, *jaskrawy*, *ruchawy*.

Przystępuję teraz do oceny Części 3ciej, którą uważam za najlepiej obmyślaną w porównaniu z Częścią 1szą i IIgą. I tu jednak nie obeszło się bez uchybień, a zatem nie obejdzie się bez zarzutów, które na rzeczy tylko ważniejsze zwrócę, podobnie jak uczyniłem w ocenie dwóch części poprzedzających.

Na str. 89tjej: „*Mowa składa się ze zdań czyli myśli*”. Lecz co innego są zdania, a co innego myśli: zdania przez kogo wymówione możemy słyszeć, lub napisane czytać; myśli zaś czyje przenikać trudno, a czasem i niepodobna.

„Zdanie składa się z przedmiotu i opowiednika”. I dalej „opowiednik, albo się składa z przymiotu upatrzonogo w przedmiocie i łącznika, albo się wyraża słowem”. Tu wyrazy grammatyczne: *przedmiot*, *opowiednik*, *przymiot* są nieszczęśliwie dobrane i użyte. Co innego zupełnie znaczy przedmiot w powszechném rozumieniu, a co innego w nowój grammatyce; bo w tém np. zdaniu: *widzę las*, podług nowój grammatyki jest przedmiot domysłny *ja*, a w rzeczy samój nie *ja*, ale *las* jest przedmiotem mojego widzenia. *Opowiednik* niby znaczący to samo co łacińskie *attributum*, albo raczej *praedicatum*, jestto wyraz bardzo mądry na średniowieczne lub starożytne czasy, a dziś bardzo niestosowny i niepotrzebny, podobnież jak u J. Muczkowskiego *orzeczenie*; bo jeżeli opowiednik czyli orzeczenie składa się często z 2ch wyrazów, należało powiedzieć, że w skład zdania wchodzić mogą 3 wyrazy główne, a oprócz tego jeszcze wyrazy określające lub dopełniające, które nawet niezawsze służą do określenia lub dopełnienia przedmiotu albo opowiednika, ale określają lub dopełniają zdanie, np. krety kryją się *w ziemi*; tu wyraz *w ziemi* służy do dopełnienia zdania „*krety kryją się*” złożonego podług nowój grammatyki tylko z przedmiotu i słowa będącego opowiednikiem. Lecz i *łącznik* jest słowem, należało go tedy odróżnić od innych słów. Wreszcie nie należy wyraz oznaczający *przedmiot* nazywany jest przedmiotem, a wyraz oznaczający przymiot *przymiotem*. Cóż gdy na str. 90tój znajdujemy tak błędne wyrażenie: „Kaźde słowo zawiera w sobie *imiestów* czyli *przymiot*”; tu już *imiestów* wzięty jest za jedno co *przymiot*.

Na téjże str. 90tój: „Dopełnienie jestto wyraz, który dopełnia czyli uzupełnia znaczenie słowa”. I dalej na następującej str. 91szój: „Dopełnienie zależy zupełnie od słowa i nazywać się może jego rządem.” A jednak w tém zdaniu: „*mięj litosć nad nieszczęśliwym*” wyraz dopełniający „*nad nieszczęśliwym*” nie zależy od słowa *mięj*, ale tylko od wyrazu dopełniającego *litosć*.

Na str. 92gój: „Przedmiot może być ukryty, i takie zdanie nazywa się nieosobiste”. I dalej: „Wyrazy, które służą do określenia czyli opisanja części zdania, nazywają się w ogólności *określeniami*, np. Bóg. pozwała pożywać *u swojego stołu*”; tu wyraz „*u stołu*” nie jest określeniem, ale raczej dopełnieniem.

Na str. 100tnój liczebniki *trzech*, *czterech*, *sześciu*, *ośmiu*, *wielu*, nie są użyte rzeczownie w przypadku 1szym, jak błędnie utrzymuje nowy grammatyk, ani w 4tym, jak utrzymywał M. Jakubowicz, ale użyte przymiotnie w przypadku 2gim zgadzają się z rzeczownikami *ksiąząt*, *gołców*, *braci*, i t. d., a te rzeczowniki są także wyjątkowo w przypadku 2gim zamiast 1go i wyrażają osoby, o których jest mowa; nie są więc *określeniami*, ale raczej same, jako wyrazy główne, są określone liczebnikami *trzech*, *czterech* i t. d. Również grubym jest błędem uważać za *adpozycyą* liczebników *dwa*, *dwie*, *dwa*, *trzej*, *trzy*, rzeczowniki *podróżni*, *siostry*, *gołabki*, *mędracy*, *wilczki*; bo przeciwnie te rzeczowniki, jako wyrazy główne, określone są liczebnikami użytymi przymiotnie w przypadku 1szym.

Na str. 101szój mylnie jest upatrzona zgoda przymiotnika z rzeczownikiem w przykładach: *pracowite* (jest) *rzemiosło*, *piękna* (jest) *jodła*,

piękny (jest) *jawor*; bo tu rzeczywiście zachodzi zgoda między *przymiotem* będącym częścią *opowiednika a przedmiotem*, a w tym rodzaju zgody używa się niekiedy przymiotnik w przypadku 6tym zamiast w 1szym, co nigdy się nie zdarza w zgodzie przymiotnika z rzeczownikiem: ten więc dwoisty rodzaj zgody należało odróżnić.

Na str. 102giej. 3ciej i 4tej dobre są i niektóre wcale nowe pomysły o użyciu zaimków, jako też dobrze podobierane przykłady; ale na str. 103ciej mylnie przyrostek *to* uważany jest za zaimek w wyrazie *któż to* (jest)? albo w tym przykładzie „*Złato radość, po której żal chodzi*”. Niepotrzebnie też wprowadzone na str. 104tej domyślne wyrazy: *godnego, stosownemu, stosowném*, podobnie jak na stronicach poprzedzających w przykładach podanych na szczegółowe i bardzo starannie wyłożone prawidła zgody, niepotrzebnie i nawet opacznie są wprowadzone domyślne wyrazy: *ona przy praca* utrzymuje, *ono przy próżnowanie* szkodzi, (str. 96); *ludzie, kobiety, istoty* (str. 97); *zwierzęta, rzeczy* (str. 98); *rzeczy, małżonkowie* (99); jak gdyby tu autor nasz przejął niegdyś poważny a dziś powszechnie prawie zarzucony błąd O. Kopczyńskiego.

Na str. 105tej. „*Imiesłowy... tém się różnią od przymiotników, że rządzą dopełnieniami.*” Wszakże i przymiotniki rządzą dopełnieniami, np. *posłuszny matce, podobny ojcu* albo *do ojca*. Błędnie też na następującej str. 106tej powiedziano jest o przysłówkach, że te nie rządzą dopełnieniami, bo rzeczywiście niektóre przynajmniej z nich rządzą temiż samemi dopełnieniami co i przymiotniki, z których są uformowane: np. *zgodny* albo *zgodnie z rozumem, powolniejszy, albo powolniej od zółwia*. Na téjże str. 106tej zachodzi błąd sprzeczności w tych słowach: „*Dopełnienie jest najbliższém określeniem słowa*”; wszak co innego jest dopełnienie, a co innego określenie; nie może tedy być jedno drugiem.

Na str. 108mej: „*Przysłówki ilość wyrażające i liczebniiki nieoznaczone określają się przypadkiem 2gin*”; nie określają się one rzeczownikami, ale raczej służą same do określenia rzeczowników położonych w przypadku 2gin: tu nawet można powiedzieć, iż rząd zastępuje miejsce zgody. Toż samo się ma rozumieć i o rzeczownikach liczebnych albo miarę lub wagę oznaczających: gdy więc mówimy: kupilem *kopę* gruszek, *łokieć* sukna, *funt* cukru, *beczkę* wina, nie znaczy: że kupilem *kopę, łokieć, funt, beczkę*, ale kupilem *gruszki*, których było 60 czyli kopa; *sukna*, którego było *łokieć*; *cukru*, którego było *funt*; *wina*, którego była pełna beczka: tu znowu w naszym języku rząd zastępuje miejsce zgody, a Niemcy dla uniknięcia tego zastępstwa, aby koniecznie zgodę utrzymać, mówią: *ein Fass Wein* albo *ein Glas Bier*, nie *Weines, Bieres*; albo mówią *Bierglas*, jako też *viel Geld, wenig* albo *ein Stück Brod*.

Od str. 107 podane są często zbyt drobiazgowo opisy użycia i znaczenia przypadków względnych czyli zależnych, bądź samych, bądź z przymkami kładących się. Tu nasz autor mniej wprawdzie od swoich poprzedników M. Jak, T. Kurh. i J. Mucz. wrywa się jednak zadaleko i najczęściej w granicę słownikarstwa; a użycie *z, ze* z przypadkiem 4tym mylnie podaje na str. 122giej, bo tamże powiada, że tu *z, ze* tworzy okre-

ślenie przysłówkowe: należało raczej powiedzieć, że ma znaczenie przysłówka nie zaś przyimka.

Na dowód jak są niedokładne opisy znaczenia przyimków, przywiodę dwa następujące wyimki:

Str. 120. „Przez z przypadkiem 4tym wyraża rzecz, środkiem której działanie przechodzi; wyraża osobę lub rzecz, za pośrednictwem której co się działa, np. *przez próżniactwo człowiek wszystko w sobie doskonale zaniedbuje.*” Gdzież tu działanie w zaniedbywaniu? raczej daje się postrzegać brak działania znamionujący próżniactwo.

Str. 124. „Z z przyp. 6tym wyraża rzecz lub osobę złączoną z drugą i razem działaniu podległą lub działającą”; to się nie prawdzi wcale na wyrażeniach następujących: *walczyć z przeciwnikami, równać się albo porównywać się z niemi, rozstać się z przyjacielmi, pożegnać się z pieniędzmi, robić co ze wstrętem odrazą, obrzydzeniem, wszystko uleciało z dymem.*

Str. 128. „Słowa czynne, jeżeli działanie przez nie oznaczone rozciąga się do całkowitej rzeczy, lub kiedy z przeczeniem nie są położone, dopełniają się przyp. 4.” Mówi się jednak oczekiwać *matki*, szukać *siostry*, nie zaś *matkę*, *siostrę*.

Str. 129. „Gdy jedno zdanie łączy się z drugim, powstaje zdanie złożone”. Tu nasz autor podziela błąd z J. Muczkowskiem, który zdanie złożone nazwał *ściągniętém*, a dwa lub więcej zdań połączonych z sobą stanowią podług niego zdanie *złożone*.

Na téjże str: 129tój. „Słowo w zdaniu główném kładzie się w trybie oznajmującym lub rozkazującym”, a na str. 133ciój samże autor mówi, że *przy zdaniu główném kładzie się spójnik by*: to nie spójnik, ale przyrostek warunkowy, a zatem i tryb warunkowy może wchodzić w skład zdania głównego.

Na str. 130tój i 134tój niedokładnie są odróżnione zdania dopełniające od określających, jak powyżej źle i niedokładnie były odróżnione dopełnienia od określeń, czyli wyrazy dopełniające od określających, tak, iż autor w jednym i tym samym przykładzie dwa razy na 2ch osobnych stronicach przywiedzionym wyraz *które* niewłaściwie uważa za dopełnienie na str. 103ciój, a znowu na str. 137mój zdanie „*które się własną rdzą trawi*” dobrze uważa za określające. Podobnie na str. 145tój błędnie wzięte jest dopełnienie za określenie w przykładzie: „*rosa błyszczy na smugach*” i niżej na téj samej stronnicy w tém wyrażeniu: *blask bogactw*, a takich błędów naliczyby można i więcej na innych stronicach, które już pominąłem.

Str. 140. „Zdania główne łączą się ze sobą przez proste obok siebie położenie i t. d.; np. *przebież kraje, przerzuc rolę, zjedź świat cały, przepłyn morze, nie ma kraju nad Podole*”; tu nie wszystkie zdania nazwane *główne* są spółrzednymi, a po wyrazie *morze* należało położyć dwukropek, nie zaś przecinek.

Na téjże str. 140tój: „Zdania główne łączą się, gdy ze zdania ogólnego wyprowadza się szczególne, albo ze szczególnego ogólne (a priori, a posteriori); „jakże to wytłumaczyć uczniom, co za ledwo pojmie jaki nauczyciel!... Ani tak zawitego dla uczniów wykładu nie objaśniają do-

statecznie podane cztery przykłady, a mianowicie czwarty przykład wzięty z Minasowicza, który trąci niemczyzną: *Zastał się puls natury, i ubiegło życie.*"

Str. 141. „Zdania główne łączą się ze sobą za pomocą spójników łączących *i, a, téż, tudzież, także, oraz*; np. trzeba szanować czas i być rządym w jego użyciu"; tu nawet nie ma dwóch zdań głównych, ale tylko jedno zdanie złożone: dobrze tedy opuszczony jest przecinek przed *i*. Wreszcie, nie same tylko zdania główne łączą się za pomocą spójników łączących, ale i poboczne.

Nizeli wdawać się w tak niedokładne wyszczególnianie, kiedy i jak łączą się z sobą zdania główne, należało raczej podać naukę o składzie *okresów*, co wszakże autor całkiem pominął, i dlatego podana przez niego nauka o tak nazwaném *przecinkowaniu* czyli użyciu znaków pisarskich, mianowicie przestankowych, bardzo jest niedokładna pod wszelkimi względami, jako nie mająca prawie żadnej zasady. Zaledwo wzmianka jest o peryodzie na str. 152giój z tak niedokładném oznaczeniem peryodu, że to jest *myśl skończona*. Oprócz opuszczonej nauki o składzie *okresów*, opuszczona także niezmiernie ważna nauka o używaniu trybów i czasów, co było tylko zlekka i wcale niedostatecznie dotknięte w Części Iszej i IIgiój. Nie ma téż ani wzmianki o zgodzie *przymiotu* albo raczej wyrazu oznaczającego *przymiot, działanie, czynność* lub stan rzeczy, o której głównie jest mowa, w zdaniu z *przedmiotem* czyli wyrazem oznaczającym *przedmiot*, który lepiej już było nazwać, idąc za Jakubowiczem, *rzeczą zdania* albo imieniem przedniejszém, jak znowu *przymiot* lepiej było nazwać imieniem *przysądżoném* albo *przysądźnikiem*, przez co uniknęłoby się przynajmniej dwuznaczności. Nareszcie przy rozgatunkowaniu zdań pominięte są zdania *włączne* i *nawiasowe*, które w nauce o *przecinkowaniu* niewłaściwie *wtrąconemi* nazwane.

Więcej może nizeli opuszczeń znajdzie się powtarzanek dosłownych lub z lekkimi zmianami: niektóre z nich tylko przywiode:

Str. 25. „Słowo wyraża sąd albo zdanie o osobie lub rzeczy.” Str. 68. „Słowo wyraża sąd, a więc samo słowo jest już myślą czyli zdaniem.” Str. 89. „Zdanie jestto sąd o osobie lub rzeczy”; to wygląda na kółko błędliwe.

Str. 37. „Czas przyszły w słowach dokonanych tak się formuje, jak terażniejszy w słowach niedokonanych.”

Str. 73. „W słowach dokonanych czas przyszły formuje się jak terażniejszy w niedokonanych.”

Str. 103. „Zazdrośni podobni są do żelaza, które własna rdza trawi. Krasicki.” Str. 137. „Zazdrośni podobni są do żelaza, które się własną rdzą trawi. Krasicki.”

Str. 120. „Przez próżniactwo człowiek wszystko w sobie doskonalić zaniedbuje. Śniadecki.” Str. 140. „Przez próżniactwo człowiek wszystko doskonalić zaniedbuje. Śniadecki.”

Nie mogą téż pominąć niektórych przynajmniej źle dobranych albo może i pofalszowanych przykładów, które się odznaczają raczej szumnością i przesadą wyrażenia, nizeli gruntownością i prawdą:

Str. 119. „Tylko orły patrzą jasną źrenicą w życiodawcze słońce.” Tak szumne wyrażenie wcale nie uchodzi, zwłaszcza w grammatyce.

Str. 130. „Trzeba wzory brać za cel, aby (można) zostać wzorem.”

Str. 131. „Trzeba wzory brać za cel, aby zostać wzorem”. To zdanie chociaż dwukrotnie powtórzone, jakby co nieomylnego, najgorzej jest dobrane; bo, mianowicie w zastosowaniu do sztuk pięknych, pokaże się nieprawdą wierutną, wsteczną, i dawno już zwietrzałą. Wszak podług dzisiejszego pojmowania *sztuki*, naśladowanie okarła talent, wstrzymując pól i swobodę ducha.

Str. 151. „Matematyka jestto królowa wszystkich nauk... Śniadecki.” Śniadecki powiedział tylko w zagorzałej przechwale ulubionej sobie nauki: „*Matematyka jest królową nauk*”, a nasz grammatyk jeszcze przesadził i tak już przesadne wyrażenie Śniadeckiego, i tym sposobem powiększył nieprawdę. Bo każda nauka panuje rzeczywiście i panować powinna w swojej dziedzinie, a wszystkie inne zwłaszcza z nią blisko niby spokrewnione, albo nawet daleki i ledwo dojrzany związek mające, więcej lub mniej pomagają jej i posługują. Tak więc i matematyka nie panuje w żadnej części fizyki ogólnej, ani nawet w optyce i mechanice, w których wszystko podlega ścisłemu obrachowaniu i wymiarowi; ale wielką w nich jest i ważną pomocą, ułatwieniem, poparciem; często oraz służy im za grunt i zasadę. Powinien był Jan Śniadecki powiedzieć: *Rozum wyższy i bystry, wsparty gruntownym rzeczy poznaniem, jest panującym w każdej nauce*; a wtenczas zdanie jego można było przywieść w przykładzie grammatycznym, bo grammatykowi głównie chodzić powinno nie o powagę, ale o prawdę i o czystość języka (1).

Str..... „*Dobrze żyć, jestto mieć dobre obyczaje*”; w tym przykładzie zachodzi podwójna dwuznaczność, bo trudno w nim rozpoznać *przedmiot i przymiot*; *dobrze żyć*, mógłby kto rozumieć, że znaczy *żyć wygodnie*.

Str. 135. „*Żywićę z modrzewiu używano u nas za kadzidło, kiedy stały niewyniszczone toporem puszcze i bory lipowe. Waga*”. Autor odwołuje się do swojego dzieła, że nie popełnił grammatycznego błędu w przywiedzionym przykładzie z podpisem swego nazwiska, bo w oryginalne musiało być *żywicy*, a nie *żywićę*.

Kończy się grammatyka podaną nauką o pisowni, i zaraz na wstępie (str. 154) położona trudna i prawie niepodobna do zastosowania zasada jako *ogólne prawidło pisowni*: „*pisz tak, aby nie można było inaczej czytać, tylko jak się mówi*”.

Zbyt krótka, bo na dwóch tylko stronnicach podana nauka nie obejmuje wszystkiego, a znaczniejsze błędy przeciwko poprawniejszej pisowni po całej książce uzbierane zachodzą w następujących wyrazach: *Rossyjja, Julija, Kuryjer*, (zamiast *Rossya, Julia, Kuryjer*), z *pierwiastka* (u), *me-*

(1) Znałem mechanika praktycznego, który, wydoskonaliwszy się w Anglii przy warsztatach, nie umiał wcale matematyki, a jednak w robionych przez siebie machinach nigdy nie chybił wymiaru; bo miarę miał w oku i niepospolitą zręczność w wykonywaniu nabytą przez wprawę; nie umiał też wytłumaczyć uczniom dlaczego tak, a nie inaczej się robi: umiał tylko pokazać.

ski, (z, chociaż sam autor sprzeczny z sobą każe pisać *męztwo*), *pojedynczy* dlatego że pochodzi od jeden (wszakże *n* zmiękcza się w naszym języku przed spółgłoskami syczącymi: *pański*, *pańszczyzna*, od *pan*, *Ateńczyk* od *Ateny*, *oponcza* od *opona*, *gałgański* od *gałgan*, *taciński*, *tacińszczyzna* od *tacina*, *doński* od *Don*, *gończy* od *gon*), *tem dobrem* od *dobrze* nie od *dobro* (é), z *dobrymi ubogimi* (e), *widziemy*, *myślemy* (i), *słyszemy* (y), *schańbily* (zh), *chałas* (h), *jedz* (é), *tnij*, *dmij*, *kwitnij*, jak u J. Muczkowskiego (éj), *łzej*, *zwiej*, *lej*, *wrzej* (éj), *zryj* (éj); *dla tego, że* (zamiast *dla tego że* czyli *bo*).

Dnia 1go września, 1851.

T. Sierociński.

Piosenki gminne ludu pińskiego. Zebrał i przekładał Romuald Zienkiewicz. Kowno, w drukarni M. Zymelowicza typografa. 1851. 8ka. Str. 424.

Był czas, począwszy od 1832 roku, kiedy zdawało się, że na wyścigi zbieracze pomników pieśni i podań ludowych ubiegali się o coraz nowe skarby nieznanych tych, a drogocennych zabytków, które czas zacierał lub niszczył, a nie tak wierne już usta, jak dawniej, szczybiły.

Po objawionym ruchu tak żywym z początku, mamy kilka znanych zbiorów pieśni ludowych: to polskich, to galicyjskich (polskich i ruskich), to krakowskich i wielkopolskich. Karol Lipiński i Oskar Kolberg przechowali melodye ludowe; piérwszy zjednany do tego przez przyjaciela swego i wydawcę pieśni galicyjskich, Wacława z Oleska (Zaleskiego, późniejszego gubernatora Galicyi, zmarłego przed parą laty) na wydanym zbiorze ustał; Oskar Kolberg ciągle tej pięknej pracy oddany, coraz powiększa zbiory swoje i bogaty zasób.

W ciągu lat kilkunastu następnych, zjawiały się podania, powieści ludowe; ale jakby mniej dbano o to źródło rodowe, tyle skarbów ukrywające, cisza coraz większa na tém polu zalegała. Przerywał ją czasami J. Kraszewski swoim *Athenaeum*, w którym to ruskie przysłowia, to pieśni Ukrainy ze zbioru Izopolskiego ogłaszał. Przy opisie powiatu borysowskiego (Wilno 1847 r.) poświęcono ustęp pieśniom, przysłowiom i zwyczajom ludowym; w r. b. dopiero góralom bieskidowym przyjrzelismy się bliżej (Górale Bieskidowi zachodniego pasma Karpat. Kraków, 1851 r.), a teraz otrzymujem zbiór pieśni ludu pińskiego p. Romualda Zienkiewicza, bogaty, bo z górą 200 śpiewanek obejmujący, a ważny i zajmujący, bo zupełnie nieznanne pieśni nam podaje, które myślą i oddaniem podziw wzbudzić muszą.

P. Zienkiewicz zbierał je nad rzeką Pisią, Prypecią i Cną. Znać tak w przedmowie, jak z troskliwości w opisie obrzędów i całym zbiorze, z jak szlachetnym zamiłowaniem zbierał te pomniki ludowe. Dotknięty

ciężkiem kalectwem, bo utratą wzroku, zajął się ich przekładem, dodając tekst oryginalny obok. Tym sposobem zbiór swój dostępniejszym dla ogółu uczynił.

Dzieło swoje podzielił stosownie na ustępy. 1) Na pieśni kolędowe. 2) Pieśni weselne. 3) Pieśni wiosenne (wiośnianki). 4) Pieśni *ku-stowe*. 5) Pieśni kupalne. 6) *Pieśni letnie*. 7) Żniwiarskie. 8) Pieśni treści religijnej. 9) Pieśni rozmaite. Zamknął swój zbiór dodatkiem pieśni z Polesia wołyńskiego.

Gdy zbiór tak bogaty daje nam cudny materiał i pod względem prawdziwej poezji ludowej, i świetnej wyobraźni bratniego plemienia, w tak zbliżonym narzeczu do naszego języka, przeto szczegółowo przejdziem oddział każdy.

1. *Pieśni kolędowe.*

Znanym jest zwyczaj powszechny u ludu naszego, chodzenia po kolędzie, i śpiewania pieśni o narodzeniu Chrystusa. Ale wśród tych pobożnych śpiewanek, przechowały się i ukryły z przedchrześcijańskich czasów obrzędowo-pogańskie pieśni, które właśnie w czasie *gód* śpiewano. Do takich policzamy następną, którą dajemy w przekładzie polskim p. Zienkiewicza:

Gdzie przewóz staje,
Brzoza cień daje,
Na brzozie lśnista,
Kora złocista.
U brzozy wici,
Z jedwabnych nici,
Z rajskiego stada,
Ptastwo napada.
Ptastwo napada,
Brzozę obsiada,
I korę dziubie,
I rószczi skubie.
Gdy to postrzegła
Panna, wybiegła,
Kłaśnie w rączęta:
Szył szy! ptaszęta,
Dalej wędrujcie,
Brzozy nie psujcie.
Chustkę otwiera,

Korę w nią zbiera,
Z rószczek wiązeczkę,
Składa w chusteczkę,
Niesie gdzie złotnik,
Ozdób robotnik:
„Mój ty złotniczku,
Mój rzemieślniczku,
Ot z brzozy lśnista
Kora złocista;
Chcę z niej przepaski,
Zrób mi ją z łaski.
Z brzeżków, z reszteczek,
Spój pierścioneczek:
Z tych gałązeczek,
Uwij wianeczek.
Pasek uwdzięczy,
Pierścień zaręczy,
Wianek na gody,
Jak będzie młody!

Tok jęj cały i wyrażenia zbliżają pieśń tę do ówch, które znany badacz Czarnocki (Zoryan Dołęga Chodakowski) w swoim zbiorze odnosił do przedchrześcijańskiej doby.

Więcej barwy tej pogańskich czasów ma pieśń *Koza*.

W dzień Nowego Roku z rana, kiedy jeszcze całonocne pieśni kolędowe nie ucichły pod oknami, zjawia się tam i kolędowa koza. Jeden

z najzręczniejszej młodzieży sielskiej przebiera się za kozę, ustrojoną we wstążki i dzwonki; na czele śpiewaków i skrzypka podchodzi pode drzwi lub pod okna domów, w krotochwilnych płasach wita gospodarzy, i nader pociesznymi ruchami zręcznie stosuje się, przy wtórze skrzypiec, do następnego śpiewu wieśniaków:

Hejże, hej! kozeczko!
 Hej kózko siwa,
 Hej śnieżno-grzywa!
 Nuż wszędzie czołem,
 Zarzyj wesołem,
 Jak dom szeroki,
 Nuż wszędzie skoki.

Ukłon niech darzy
 Cnych gospodarzy,
 Niech i gromadce
 Pokłoni w chatce.
 Gdzie koza stopą,
 Tam żyto kopą;
 Gdzie koza rogiem,
 Tam żyto brogiem! i t. d.

Zasługuje na przytoczenie w całości następna pieśń kolędowa, dla rzewnej myśli i poetycznego obrobienia:

Tam pod lasem wysokim koników gromada,
 Skubią trawkę na łące, a jeden z nich gada:
 „Nikt mnie tu nie ułowi, choć i zajdzie zdradnie,
 Nie okiełzna, ni siodła na mnie nie nakładnie.”
 Młody Janek zawoła: „Ja ciebie ukróczę,
 Uzdeczkę i siodelko na ciebie narzucę,
 I na tobie w otwarte pole pokłusuję,
 Dziewięć lisów, i jeszcze kunę upoluję.
 A będę futrem ciepłym matkę mą odziewać.”
 Słyszy to jego miła, i pocznie się gniewać:
 „Czemuż nie mnie futerko?“—„Nie gniewaj się miła!
 Tyżeś mnie nie nosiła, tyś mnie nie karmiła,
 Matka to mnie nosiła, matka mnie karmiła;
 Przez ileż ciemnych nocy, oczu nie zmrużyła,
 Ani ognia jasnego dla mnie nie gasiła.
 Jak w nocy tak i we dnie, jój nóżka strudzona,
 Wciąż u mojej kołyski była zaczepiona.“

Dziwna fantazyja uderza w tej śpiewance kolędowej, w której lud piński w postaci jaskółki widzi Najświętszą Pannę:

Święty wieczór, świat!
 Na siném morzu ściszyły się fale,
 A jaskółeczka kąpie się na skale.
 I krasna panna to z brzegu postrzegła,
 I zadziwiona do matki pobiegła:
 Ach matko! matko! jesteś już sędziwo,
 Cóż znaczy dziwne com widziała dziwo?
 Na siném morzu ściszyły się fale,
 A jaskółeczka kąpie się na skale.
 — Moja córeczko, moja gołabczko,
 Jaskółka twoja nie jest jaskółeczką;

W piórach jaskółki blask świętego lica,
 Przed tobą skryła przeczysta dziewica.
 Ach! to widziałaś przeczystą panienkę,
 Na skale, w morzu myjącą sukienkę,
 Dla niebożątka, Bożego dzieciątka,
 Chrystusa Pana, a jój niemowlątka,
 Na jego w dniach Narodzenie Boże,
 I na święteczną Bazylego zorze!

Zbiór pieśni weselnych daje nam nietylko dokładne wyobrażenie całego obrzędu ze szczegółami, jak go przechował dotąd lud piński, ale wiele zawiera takich, których myśl i oddanie poetyczne zadziwia. Przywiedziem tu kilka z tego oddziału:

W dzień ślubu.

Ach cóż dziwny sen mój znaczy,
 Sen z soboty na niedzielę?
 Któż mi jego wytłumaczy?
 Śniłam ja gołębi wiele,
 Same siwe naleciały,
 Białe bisior (1) rozgrzebały,
 Szczere złoto rozsypały.

— Mało jeszcze córko umiesz,
 Gdy snu tego nie rozucziesz:
 Tych gołąbków siwych stado,
 To do ciebie swaci jadą;
 Bisior biały rozgrzebany,
 To twój warkocz rozczesany;
 Szczere złoto rozsypane,
 To twe łezki nie wstrzymane.

Pieśń dla sieroty.

Sieroto biędna,
 Tyś sama jedna,
 A dzisiaj twoje wesele;
 Wśród dużej chatki,
 Ojca, ni matki,
 Zbór mały, krewnych niewiele.
 Na Ukrainę,
 Po mą rodzinę,
 Poślę kukulkę żalosną;
 Pośle do nieba,
 Że ojca trzeba,
 Słowik wypiewa to głośno (2)!

Lecz z Ukrainy,
 Nie ma rodziny,
 I kukulka nie przybywa;
 Słowik nie wrócił,
 Co w niebo nócił (3),
 A ojciec tak się odzywa:
 „Wstać cię pocieszyć,
 Z radą pospieszyć
 Chciałbym, o miła córeczko!
 Lecz mi mogiła,
 Drzwi przywaliła,
 Zakryła i okieneczko.”

(1) Bisior najdelikatniejsza tkanina ze lnu albo z wełny.

(2) W oryginalnym ludowym tekście brzmi to lepiej i mocniej:

„Poszlu zowzulku,

Na Ukrainońku,

Po swoju rodinońku,

A sołowejka do jasnaho nieba
 Szczo bacinka mni potreba.“

(3) Inna myśl oryginału: „A sołowejko nie doletaje.“

Przy wyjeździe z domu rodziców.

Szaro-biały mój sokole
 Leć do ojca, siądź na stole,
 Wołaj głośno,
 I donośno:
 Już powraca syn twój zdrowo,
 Z bogactwami i z synową!
 Siedem wozów skarbów wiezie,
 A na ósmym sama jedzie,
 Wdzięczna, zręczna, nieleniwa,
 W domu skrzętna i troskliwa!

Po długiej mroźnej a śnieżnej zimie, wiosna dla rolnika jest ową radosną dobą, kiedy zpod dachu chaty swojej ochoczo na rolę do pracy wychodzi. Do tej pory wesołej roku, lud przywiązał szczególne śpiewanki i nazwał je *wiośniankami*.

Przytoczym tu naprzód w narzeczu ludu pińskiego jedną piosnkę wiosenną, a następnie w przekładzie p. Zienkiewicza:

Oj wiesna, wiesna!
 Jakżeś ty krasna!
 My dietońki śpiewajem,
 Miło cię witajem.
 Śpiewajmoż my brateńki,
 Koło swojej chateńki.
Zaworonok (1) wzlętaje,
 Piosenku nam śpiewaje,
 A *holubok* (2) siwenki,
Brukuje (3) nam milenki.
 On wiesnu witaje,
 Nam radości dodaje,
 My dietinki z soboju,

Wiesielimsia wiesnoju,
 Poplesajmo ruczkami,
 Poskaczymo nużkami.
Poženimo (4) woliki,
 Budiem paświć koniki,
 Na dubrowie trawieńcy,
 W miłej wiesni, mateńcy (5),
 Hryjet sońce jasnieńko,
 Nam, bratejki, kraśnieńko,
 Staniem *cwiетки* (6) zbierati,
 I w wienoczki spletati,
 Dla naszeho ihrania,
 Miłoho nam śpiewania.

* * *

Schylały się wierzby gęstwiny,
 Kozak zbłąkał się z dróżyny,
 Przybił się pod dąb zielony,
 Pod nim usiadł utrudzony.
 Wtém kukulka zakukuje,
 Kozak u nięj zapytuje:
 Powiedz szara kukuleczko,
 Którą iść mam ztąd ścieszczką?

— Nie pytaj mnie o twą drogę,
 Smutną wieść tylko nieść mogę,
 Tyś młodziutki i nadobny,
 Wieści moich głos żałobny;
 Spytaj tego co z piosenką,
 Wstaje przed ranną jutrzeńką,
 Słowik lepiej ci doradzi,
 On na drogę wyprowadzi.

* * *

(1) Skowronek. (2) Gołabek. (3) Grucha. (4) Popędzimy. (5) W miłej wiosnie, mateczce: przydomek matki wiosnie nadany z pieczyoty. (6) Kwiatki.

Daj Boże zachód złocisty i czysty,
 Mąż mój wyjechał za domek ojczysty,
 Jedzie w kraj cudzy, w smutku mię porzucił,
 Gdybyż to z drogi do domu już wrócił!
 Wróc się mój miły, wróc pod cień domowy,
 Żal mi zdejm z serca, zdejm smutek z mój głowy!
 — Wrócić nie mogę żono w cień domowy,
 Ani zdjęć żalu, ni smutku z twój głowy.
 — W zielone żyto przeszłam się o świecie,
 Wywiodła dziatki przepióreczka w życie.

Wywiodła, tuli,
 I tak się rozczuli:

— Pisklęta małe! przepadłam ja z wami,
 Nie ma tu ojca, gospodarza z nami.
 — Nie smuć mateczko, w piórka się opierzym,
 To w bór, to w lasy, w pola się rozbieżym.
 A wtém łąk pożar wionął i na pole,
 Działkom przepiórkom ogień w nóżki kole;
 „Nic to mateczko,
 Stara przepióreczko!
 W pogorzelskach będziemy zérować,
 Będziem w zielonych dąbrowach nocować.“

W jednej z wiośnierek szczególnie znajdujemy wspomnienie Warszawy. Śpiewanka opisuje śmierć Kozaka; konający wojownik wysyła do rodziny swój konika, aby jój doniósł, że wziął sobie żonkę Warszawiankę, to jest miejsce w ziemi na mogiłę!

Dwadzieścia dwie pieśni zebrał p. Zienkiewicz jako należące do obrzędu nieznanego nam dotąd, pod nazwą *Kusta*.

„W Pińszczyźnie (mówi wydawca) na drugi dzień Zielonych Świątek, dziewczęta i młodyce ubierają wybraną dziewczę w gałzki i liście klonu zielone, stawiają ją na czele, same szykują się za nią w pary podług wieku, tak, że w pierwszych parach mężatki (jeżeli zabawę tę dzielą), potem dziewczęta starsze, dalej młodsze, a na końcu dzieci. Dziewczyna co przodkuje przystrojona w maj zielony, przybiera nazwanie *Kusta*. Cały orszak w takim porządku idzie do dworu, do sąsiadów, domostw, a śpiewając różne pieśni, otrzymane dary, składające się zwykle z jadła i napitku znosi do jednego gospodarza, a ten wyprawia z nich ucztę. Orszak wchodząc do chaty obranej na biesiadę, w te się słowa odzywa:

„Ot tut Kusta da pity, jesty dati,
 Ot tut Kusta da na stanceje stati!“

Na tój uczcie tańczą, śpiewają, bawią się noc całą, a często i do dnia białego.

Takie nam daje objaśnienie p. Zienkiewicz: my w tym obrzędzie widzimy bardzo starożytny obrząd: tém więcej, że w Serbii dochował się on stale. Zbieracz pieśni tego plemienia Wuk Stefanowicz Karadziej w swojej *Dannicy* opisał takż sam obrząd od wieków trwający w Serbii,

z tą różnicą, że tam dziewczyna przybrana w maj zielony, zwie się *Dodola*.

Pieśni pińskie pod tym obchodem *Kusty* umieszczone, nie rzucają żadnego objaśnienia co do tego zwyczaju: sąto śpiewanki bowiem, których treścią jest to miłość, to otrucie z zazdrości, to tęsknota z oddalenia. Jedną więc mniej powszednią piosnkę przytoczę. Jak w ogóle lud nasz *dolę*, czyli szczęście osobiste i przyszłość człowieka uosabia, tak i Pińczuk *dolę* podobnież sobie wyobraża. Owóż pieśń téj treści ze zbioru obrzędu *Kusty*:

Pójdę w czyste pole,
Gdzie brat orze rolę,
Gdzie brat rolę orze,
Na pszeniczne zboże.

— Porzuc bracie orać, daj wypocząć roli,
Pójdziem bracie szukać, gdzie niebądź méj doli.“
— Szukałem jój wczora i dziś siostró moja,
Lecz nie mogłem zgadnąć, która to z nich twoja?

Czy ta co na ławie,
Z czarą przy zabawie,
Czy co ciężko wzdycha,
I w polu usycha?

— Nie ta co na ławie,
Z czarą przy zabawie,
Lecz to moja dola,
Co jęczy wśród pola,
Moja ciężko wzdycha,
Wśród pola usycha.

W pieśniach kupalnych czyli sobótkowych uderza szczególnieś ów przesąd stary ludowy, że wigilia do św. Jana, jest chwilą najprzyjaźniejszą dla *widm* i czarownic. Widzimy w nich jak djabeł wiedźmę rzuca przez parkan, a potem wydziera jój oczy.

Do najpiękniejszych pieśni należą tak nazwane *Pieśni Letnie*, z powodu, że zwykle śpiewają je latem. Dla oddania ich w całej prostocie, i w całym rodowitym wdziku, nie możemy używać przekładu p. Zienkiewiczza, raz, że często jest zarozciągly, dopełniający nawet to, czego w oryginale nie ma, a nadto niewszędzie wierny. W ścisłym więc tłumaczeniu dosłowném podamy parę naszym czytelnikom:

1.

Płyną łabędzie cichą wodą: oj nie znać mojej młodości za lichą dołą! Dolo moja, dolo! gdzieżeś się podziała, czyś w ogniu zgorzała, czyś się utopiła? Jeśliś w ogniu zgorzała, to leż choć w popiele; jeśliś w morzu utonęła, to przyplłyn do brzeżku.

Oddała matka córkę daleko od siebie, i przykazała, aby siedm lat u niej nie był! A ona nie wycierpiła, w pierwszym roku przyleciała. Siadła, padła w ogródeczku na wierchołku wiśniowym. Siadła, padła, zakowała, i żałośnie zapłakała. Oj! wyszła stara matka téj kukułki słuchać.

— Oj wyjdź mój synku z nowój świetlicy. Oj zabij mój synku tę szarą kukułkę.

— Oj wyjdź, wyjdź mój braciszku z nowój świetlicy, nie zabijaj swojej rodzonej siostrzyczki.

— Jestliś siostra moja, to proszę do chaty; a jestliś szara kukulka, to idź w ługi kować.

Poleciała ona bujnemi lasami, i zatopiła ona te bujne lasy drobnemi łezkami!

2.

Zielono dąbrowo, czemu szumisz rano. Jakże mi nie szumić, przezemnie ciągną Tatary, szablami tną me zarośle. Wiodą Wołyniankę, to młodą Ukrainkę. Za nią spieszy pogoń, jój rodzony ojciec. Ona spogląda za siebie, powiewa chustą.

— Oj wróć się mój ojezuszk, bo ty mnie nie dogonisz, tylko konika zhasasz.

Zamorski słowiku, czy ty dawno z zamorza? czy nie przylecisz w te strony? To powiedz mojemu ojcu, niechaj po mnie nie tęskni, bo mi tutaj dobrze, jak pszczołce gdy w miodzie stoi, jak jaskółce pod strzechą.

Pieśni żniwiarskie, dożynkowe, jakkolwiek odmienne układem, myślą zbliżają się do znanych piosnek ludowych. W oddziale pieśni religijnych, śnać że to nie lud ich twórcą: zbyt erudycją swoją rażą, a miarowością wierszy i ogładą, wskazują już wprawna rękę i ocytanie. Piérwsza tylko jest niewątpliwym utworem ludowym; główna w niej myśl ta sama, co w krakowskich i mazurskich. Otwiera się niebo, wybrani pokłonili się Jezusowi, tylko te się duszyczki nie mogły pokłonić, co nie uszanowali i ojca i matki.

Oddział *pieśni rozmaitych*, należało połączyć z *pieśniami letniemi*, gdyż to ich ciąg dalszy właściwie. Sąto *dumy*, osnową i treścią wypadki starowieczne, które tak uderzyły wyobraźnią ludową, że w swych pieśniach je zachował. Godne uwagi, jak jedno zdarzenie, w różnych narzeczach słowiańskich opiewano. Siostra trująca wracającego z wyprawy brata dla młodego wojewody, a po dokonanej zbrodni wzgardzona przez niego, dała wątek pieśniom u Serbów, u Słowaków w Tatrach, w Krakowskiém, Mazowszu, i w Galicyi, i doszła do zapadłej Pińszczyzny.

U polskich górali w okolicach Babiégóry powszechną jest дума o sławnym rozbójniku, który pod przybraną postacią żeni się z młodą i krasną panną, nieświadomą jego rzemiosła: musi prać chusty zbroczone krwią zamordowanych, a po koszuli i palcu z pierścieniem poznaje, że mąż zabił jój brata. Przeklina męża i małego syna, i sama z rąk zbójcy ginie. Teżże treści z małą zmianą znajdujemy w zbiorze p. Zienkiewicza. W pieśniach ludowych polskich mamy obszerną dumę o dzieciobójczyni, i tu podobną znajdujem. Jest tu także, lubo w nieco odmiennym przystroju owa pieśń tak upowszechniona na całej przestrzeni dawnój Rptéj: „Ne chodi Hryciu na wieczornicy”.

Toż pieśń o Trójzielu, znana z wybornego przerobienia Augusta Bielowskiego.

Za każdą więc nową zdobyczą na polu ludowej literatury, coraz więcej dowodów niezbitych wspiera rzuconą przez nas myśl dawniej, jak jeden duch poezji powiewa u plemion tych słowiańskich, które z naszą ziemią zbliżone w stosunkach braterskich zostawały. Z oddziału pieśni *rozmaitych* przywiedziem choć w treści niektóre, ściśle do oryginalnego tekstu zastosowane.

1.

O siwe gęsi, białe łabędzie, czyście nie słyszeli, czy nie widzieli jasnego sokoła?

— Latał jasny sokół, ale już zabity leży udatny molojcec. Leży na trzech drogach. Przylecą do niego trzy jaskółki: pierwsza jaskółka, to rodzona matenka; druga jaskółka, to rodzona siostra; trzecia jaskółka, to jego żonka. Płakała matka od wieku do wieku, płakała siostra od dnia do dnia, płakała żonka od świtu do obiadu: a po obiedzie poszła w ogródek, uwiła wianek, i poszła w taniec.

2.

Oj huknęły zórawie w czystym polu na roli. Czy lepsza rola ranna, czy lepsza późna? O, na ranniej pszenica, a na późnej mietlica. Czy lepsza żonka pierwsza, czy lepsza żonka druga?

— Z pierwszą ja dziatki miał, a przy drugiej je rozegnał. Idźcie dziatki w świat służyć.

Poszły dziatki w świat służyć, ojciec tęsknił za nimi. Poszły dziatki skacząc w świat: ojciec płakał za nimi.

A w niedziele rano chodzi ojciec po dworze, drobne łyż roni, swoje dziatki zbiera.

— Działki moje malenkie, jak gołąbki siwutkie, chodźcież do domu, bo mi trudno żyć samemu.

— Żyż ojcze jak Bóg dał, boś żoneczkę piękną wziął, a nas małych rozegnał. Teraz działki swe zbierasz, drobne łyż wylewasz!

3.

Oj ty słowiczku malutki, czemuż ty tak smutniutki?

Jakże mi nie być smutnym: hodowałem lubą ptaszkę, strzelec ją zabili. Żeby u wody, nie tyle żalu, ale to na górze, w jedwabnej trawce.

— Oj ty Kozacze młodziutki, dlaczego taki smutniutki?

— O jakże mi nie być smutnym, kochałem dziewczynę, a wzięli mi ją ludzie. Żeby choć we wsi, nie żalby było, ale to do dworu, i to towarzysz mój. Po wodę idzie, dzień dobry daje: z wodą powraca, dobrą noc daje, memu sercu żalu dodaje. Oj żebyż ja miał malarzy swoich, kazałbym malować jój lice: postawiłbym na ganeczku, wpatrywałbym się co ranek; postawiłbym na piecu, wpatrywałbym się i w dzień i w nocy.

W dodatku wydawca umieścił pieśni z Polesia wołyńskiego, z nad Bugu w okolicach Lubomla. Oprócz innych miści się znana już pieśń

(z małemi zmianami) duma o Sawie (1) i nieznana o *Goncie*, którego imię tak głośne w rzezi *humaniskiej*. Zaczyna od wspomnienia Puławskiego, starosty wareckiego, a kończy śmiercią Gonty, jak żywcem z niego drą pasy i na pal wbijają.

Takim jest zbiór pieśni ludu pińskiego p. Zienkiewicza. Zasobny, bogaty, daje nam wiele prawdziwie pięknych kwiatów poezji ludowej. Nie mogliśmy w niniejszym przeglądzie wymienić mnóstwa owych zwrotów, porównań, które żywcem przez artystę pochwycone do utworu poetycznego, zjednałyby podziw i poklask: bo trzebaby kartę niemal po kartce studyować. Jakażto tam świeżość obrazów, jakież cudowny powiew przyrody, jaka czerstwość myśli, obok prawdy głębokiej! Trzeba umieć czytać, i pojąć te pieśni; lud skąpy w wyrazy, niezawsze całą myśl, całe uczucie swoje wypowie: zawsze przecież tyle nam daje, że tę myśl i uczucie jasno zrozumieć możemy.

Nie przesadzamy zaprawdę w ocenieniu wartości tego rodzaju pomników, a poznawszy je gruntownie, zawsze uważać nie przestaniemy za najcudniejszy materiał dla naszój rodowój poezji.

Wdzięczni szczerze p. Zienkiewiczowi, za zbiór tyle ważny, widzimy, że pojął znaczenie nietylko w ogólnym poglądzie pieśni ludowych, ale zwrotem szczególnym troskliwości przy oddziale pieśni weselnych. Jakoż w nichto najstarożytniejszy zwyczaj i obrzędy, dochowały się najmniej skażone.

Nie możemy w ogóle pochwalać przekładu p. Zienkiewicza, szczególnież też w wielu pieśniach, gdzie więcej od oryginalnego tekstu ludowego odbiegał. Pojmujemy całą trudność wiernego, dosłownego tłumaczenia, a do tego rymowym wierszem. Jakkolwiek to tylko pobratymcze narzecz, ma jednak tyle właściwych sobie prowincjonalnych zwrotów, tyle zdrobniałych, pieścizliwych wyrazów, myśl tak zwięźle rzucona, nawet niepełna, niezawsze jasna, że przekład rymowy dosłowny, niepodobny. Czuł te trudności p. Zienkiewicz, i w przedmowie je przyznaje. „W przekładzie starałem się (mówi) ile możności oddać ducha i zewnętrzną powłokę pierwowtoru. W pierwowtorze jest wiele pieśni nierymowanych, ułomkowych, i bez jednolitej całości: w tych przekładzie nie mogłem siebie więzić zupełną ściśłością, jednak usiłowałem myśli ich głównie przeniknąć, dopełnić, i w jedną całość przelać.”

Przyznajem, że wydawca miał tę sumiennność, iż w przekładzie usiłował trzymać się myśli oryginału; ale tu nietylko o myśl idzie: wyrażenia i zwroty poetyczne, nieraz główną wartość pieśni ludowej stanowią. Kilka wyrazów, jakby z niechcenia rzuconych, ubarwiają obraz żywiój.

Oceniając przekład p. Zienkiewicza, widzimy, że każdą pieśń pierwój studyował, a pojąwszy myśl oryginału oddawał ją w tłumacze-

(1) Obok dumy ludowej o Sawie, przywiódł p. Zienkiewicz pieśń o Sawie bohaterze konfederacji barskiej, którą ułożył podług *Pamiętników starego szlachcica*. Starał się w niej naśladować tok i zwroty ludowój śpiewanki.

niu swoim. Tam gdzie zachował ścisłość oryginału, gdzie ślad w ślad postępował za nim i zachował miarę wiersza pierwotworu, przekład bardzo szczęśliwy i pięknym językiem, z prostotą ludową oddany. Wszakże wiele jest pieśni takich, które pragnął uzupełniać: ztąd rozciągnął je nad miarę, wiele swego dodawał, a co zupełnie nawet myśl ludowej pieśni zmieniło, i przez to te pieśni są raczej naśladowaniem, jak prostym przekładem.

Dodany tekst oryginalny pieśni ludu pińskiego, główną wartość tu stanowi; przekład p. Zionkiewicza wiele go objaśnia, i dla nieznających narzecza ruskiego da poznać piękność tego zbioru. Dodane objaśnienia przez wydawcę, wiele szczegółów zwyczajowych nam podają. Wydanie troskliwe i poprawne, stawia to dzieło pomiędzy najpiérwszemi zbiorami pieśni ludowych w naszej literaturze.

K. Wł. Wojcicki.



ROZMAITOŚCI.

O dawném województwie sieradzkim.

(Ciąg dalszy).

Dzieje powszechno uczą nas, iż narody ościenne, pod względem mowy, zwyczajów, charakteru i wyznań do siebie niepodobne, żyją po największej części z sobą w nieżyczliwém sąsiedztwie (1). Województwo sieradzkie, że nie powiem cała strona zachodnia Wielkopolski, granicząc przez tyle wieków z Niemcami, nie dziw, iż w ustach mieszkańców swoich zachowało pamięć wzajemnej niechęci, która i u Niemców przyległych dostrzegać się daje. Lud nasz, niedosyć że djabła, jak wyżej powiedziano, w niemieckim przedstawia sobie stroju, i wyraz „Niemiec” za jednoznaczący z wyznawcą konfessyi augsburskiej uważa, ale nadto dopuszcza się ubliżeń w chłopskich przysłowiach.

Niemkami nazywa dotąd lud tutejszy pewien gatunek bedłek z dużemi kapeluszami w lasach rosnących; a kto się kuso ubrał, mawiano o nim: „istny Niemiec”, albo „wystroił się jak Niemczyk”. O przysłuchującym się rzeczom niezrozumiałym dla niego, powtarzano: „siedzi jak na kazaniu niemieckim. Osoby mowy niemieckiej nierozumiejące, nazywały ją „baranim językiem.” Lecz oddawano i sprawiedliwość w rękodzielniach niemieckiej pracy, a polską nieumiejętność gromiono przysłowiem:

Francuz zmyśli,
Niemiec zrobi,

Polak głupi
Przyjdzie i kupi.

Swawolna młodzież, z wady wrodzonej do wyszydzeń skłonna, wyszukując wyrażen z mowy polskiej, których częstokroć Niemiec, przez

(1) Znaną nam zawziętość w walce pomiędzy Rzymianami i Kartagińczykami, wyprowadza Wirgiliusz z przekleństwa Dydony na Eneasza i na jego potomków rzuconego w sławnych wierszach:

Litora litoribus contraria, fluctibus undas

Imprecor, arma armis: pugnent ipsique nepotesque. Aeneld. IV, 628.

lat kilkadziesiąt w Polsce osiadły, dla jój dyalektu zupełnie odrębnego i szorstkiego dla niego, czysto wymawiać nie zdołał: ucząc go nibyto mowy swojój, poddawała mu do powtarzania:

Chrząszcz brzmi w trzcinie.—Albo

Miała panna gołębicę;

a z opacznie wymawianych wyrazów żarciki sobie stroiła.

Lecz i Niemcy nam pogranicznicy nieszczupły mają zasób wyrażen w przysłowiu weszłych, prześladowania Polaków. Kraj nasz przedstawiali sobie nawpół dziki i barbarzyński, i mówiono dawniej:

„In Polen ist nichts zu holen,”

a jednak do niego z chudobą przyszedłszy, tu się panoszyli. Inni chcąc wyrazić w najwyższym stopniu nieład, używali wyrazów:

„Es geht wie in Polen zu.”

Ulicznicy miasteczek bliższych niemieckich poznawszy po stroju lub ruchu Polaka, wołają: „Jak sze macze,

„Kurze Finger, lange Toczé.”

Młodzież polska, gdy się ze świąt jakowych o kilka dni z powrotem do szkół niemieckich spóźniła, witana była słowami: „Nie dziw, że się tak spóźniacie, bo u was konie są małe, a mile duże.”

Na zakończenie ogółowego o dawném województwie sioradzkiém wyobrażenia, pomówmy jeszcze o budowie ciała mieszkańców, o ich ubiorach, płodach, wyrobach, handlu, a w końcu o znakomitych mężach, ród swój z tego województwa wywodzących.

Wzrost zwyczajny, lecz barczysty, oko śmiało i wypogodzone, budowa ciała krzepka i kształtna, bardzo rzadko kiedy ułomnością nacechowana: były zwykłemi przyrodzonymi szlachty ozdobami, z którymi łączył się zwyczaj podgalańia głów wysoko, noszenia starannie utrzymywanych wąsów i bród, następnie (od środka XVII wieku) samychże wąsów, bez bród i faworytów, dopóki przy końcu XVIII stulecia nie zeszpeciła ich moda, z zagranicy przejęta, aby głowy u obu płci białym proszkiem pudrować. Kmiotek, silniejszej z natury budowy, odznaczał się odwiecznie długo zapuszczanemi włosami, i krótko podstrzyżonym wąsem; a przywiązanie jego dla państwa, na których dworze wzrósł jako psiarek, koniarek, a wykształcił się jako postugacz paniczów w szkołach, hajduk lub stangret, nie pozostawało bez wynagrodzenia go zagrodą, lub półrolkiem. Wielkim dziwem było ujrzyć garbatego chłopka, co nawet i dzisiaj powtórzyć możemy, pomimo, iż dzieci wiejskie bez dozoru zostawiane, na tysiączne niebezpieczeństwa rozlicznych naturalnych przypadków wystawiane bywają.

Ubranie porządne obywatela stanowiły: żupan, na haftki zapinany, na który przywdziewano kontusz z wylotami czyli wiszącymi od ramienia rękawami, spodnie bez szelek wpuszczane w buty, które bywały żółte lub czerwone, a w czasach późniejszych czarne ze sztylpami żółtymi, z kąd urosło przysłowie: znać pana po cholewach. Kołnierż wywinięty od koszuli z płótna kolińskiego odkrywał gołą szyję, pod którą kosztowna spinka zapięta była; na golém ciele szkaplérz zawieszony na piersiach

i plecach z zaszytymi świętościami, albo medalik Matki Boskiej Częstochowskiej, całe życie mu towarzyszył, a nawet i w grobie. Chustkę białą do nosa wywieszano w tyle z kieszeni, lub przywiązywano z przodu u pętelki; a pas jedwabny, srebrem lub złotem przerabiany z rzęsimi frendlami opasywał kontusz, i dał początek przysłowiu: wysoki pod pas. Trzcina długa z gałką z kości słoniowej, srebrną lub złotą, z kutasami, pierścień złoty, z herbem na krwawniku wyrzniętym, i obrączka złota słubna, oraz czapka wysoka, stojąca, czworograniasta, konfederatką zwana, dokończyły stroju dawnego szlachcica. Zamożniejszy używał zegarka, z wypuszczanymi dewizkami, przy których ujrzałeś pieczętkę herbową lub sygnet złoty zawieszony; uboższy obywał się bez niego, powtarzając, że

Kto ma zegarki,
Musi mieć folwarki;

gdyż reparacya częsta zegarka, znakomitych na niego wymagała nakładów. W czasie zimy na to wszystko używał, w podróż się wybierając, lisiury, wilezury, i bótów dużych z psiej skóry siercią na zewnątrz. Na funkcyjach i obradach publicznych nie inaczej, jak tylko w polskim stroju każdy obywatel miał się znajdować *sub carentia activae et passivae vocis*. Na sejmiku w Szadku w dniu 23 lipca 1788 r. dygnitarze, urzędnicy i rycerstwo województwa sieradzkiego, wraz z ziemią wieluńską zebrani, uchwałą swoją (1) mundur województwa sieradzkiego oraz ziemi wieluńskiej odmienili, stanowiąc: aby odtąd żupan biały, kontusz jasnoniebieski, obszlegi czarne, guziki żółte, dla województwa sieradzkiego i powiatów z literami W. S.; dla ziemi wieluńskiej i powiatu ostrzeszowskiego z literami Z. W. od obywatelów noszonemi były. Szlachcianki przywdziewały suknie axamitne grube, lub jedwabne, z tegiej materji, które od babki niekiedy w sukcesyi aż do wnuczek przechodziły, a te jeszcze je na ornaty do kościołów ofiarowały. Nosily włosy do góry podczesane, i trzewiki kończaste na wysokich obcasach, które zręczni w strzelaniu podochoceni mężowie mieli zadowolenie kulą z pistoletu odcinać; pod suknią obwiązywały dwie kieszenie przy bokach, na grubej tasiemce przyszyte. W czasie zimy okrywały się szubą lisami podolskimi podbitą, a ręce ogrzewała mufka ze skórek kunich, u biedniejszych zaś z królików sporządzona. W lecie chłodzono się rozłożonemi wachlarzami, z wyrobionemi na tychże rozmaitemi figurkami. Dzieci ubierano w płóciénka drukowane swojej roboty, w dni zaś świąteczne w syce, nankiny i persy. Służbę dworską, po największej części z własnych poddanych utworzoną, ubierano w domu chociaż ubogo, ale chędogo; lecz za przybyciem gości, lub udaniem się w gościnę, przywdziewano jój liberyą, *skarbową* zwaną, którą następnie w schowaniu na kołku zawieszano.

Chłopok porą letnią chodził w domu lub w polu boso, w kapeluszu ze słomy pszennej przez siebie uplecionym, w koszuli wstążeczką pod szyją podwiązaną, i w spodniach bez szelek z rozporkiem na boku spinanym. Do kościoła ubierał się w sukmanę zgrzebną białą, bóty z obcasami, grubemi podkówkami podkute, tudzież w kapelusz czarny z nadglówkiem kulistym i dużemi brzegami. W czasie zaś zimy używał czapki z siwym

(1) Terr. Sirad. Ann. 1788, Lib. 98, p. 773.

barankiem, wstążkami jasnokolorowemi rzęsiso przybranéj, pod którą niekiedy i w lecie się pocił; sukmany niebieskiój, granatowéj lub białéj z kołnierzem stojącym, taśmami seledynowemi lub czerwonemi obszytéj, przewiązanéj pasem czerwonym wełnianym, i kożucha baraniego, lecz zawsze z szyją odkrytą; nie znał on chustki do nosa, a poła sukmany czasem ją zastępowała. Kobięty wiejskiéj nigdy nie ujrzałeś z gołą głową; obwiązywały one takową chustką kolorową w kwiaty, albo białą, z końcami długo z tyłu spuszczone; szyje ich zdobiły różnobarwiste szklane paciorki, palce zaś pierścionki brązowe z Matką Boską Częstochowską, lub obrączki mosiężne. Wełniak własnéj roboty w pasy z nici i wełny kolorowych, dodawał im ciepła, a kaftan granatowy z guziczkami świecącemi, wkoło i z przodu poprzyszywanemi, ozdoby. Zahartowane na zimno zwykle boso chodziły, w potrzebie zaś używały trzewików na wysokich napiętkach; dziewczki przypinały kwiatki do chustek na głowie i włosy zpod tychże cokolwiek odsłaniały.

Żydowskie plemię, odwiecznie w sieradzkiém województwie osiadłe, trudniło się po wsiach skupowaniem skórek króliczych, zajęczych, lub owczych, paleniem gorzalki, albo szynkowaniem jéj jako arendarze po karczmach, i wypiekaniem bulek; w miastach zaś zakładali sklepiki, faktorowali obywatelom za sprawunkami przybyłym, a najczęściej krawiectwu się oddawali. Jak wszędzie, tak i tutaj prześladowani bywali, że zanieczyszczają ślędzie na sprzedaż wystawione, że krwi dzieci katolickich do maców swoich używają, i że jednego z nich w dzień sądoy djabeł żywcem porywa. Przechrzczeni nawet, i imiona dawne np. Butterfasów lub inne na polskie przekształciwszy, nie mogli się otrząsnąć z chciwości i dziwactw poprzednich, a zostawszy neofitami dla interesu nie zaś z przekonania, wywołali przysłowie: Żyd chrzczony, wilk chowany, zawsze jednym torem chodzą. Nosili żydzi suknie długie czarne, aksamitem tegoż koloru wykładane, haftkami od góry do dołu pozapinane, spodnie krótkie pod kolanami podwiązane, pończochy białe i trzewiki ze sprzączkami; czapka z kuny albo sobola z mauszestrem czarnym w tył spuszczone, a najczęściej kapelusz czarny, stroju ich dopełniały. Żydówki zawieszały perły, łańcuchy złote, lub medale duże na szyjach, a czépki ich błyszczały od blaszek srebrnych, złotych i pereł.

Prowincye składające dawne województwo sieradzkie obfitowały znacznie w płody zwierzęce, roślinne i kopalne. Co do płodów zwierzęcych, hodowane były: konie, bydło rogate, owce, trzoda chlewna, kozy, pszczoły, gęsi, kaczki, kury i t. p. Z dzierzyny, pomijając niedźwiedzie i bobry, od wieków już wytępione, natrafiają się: wilki, lisy, kuny, wydry, borsuki, dziki, jelenie, daniële, sarny, zające, tchórze i skrzeczki, czyli polne pieski; z ptastwa: cietrzewie, jarząbki, bekasy, słomki, kuropatwy, kaczki dzikie, czaple, żórawie, a rzadko orliki; z ryb: sumy, szczupaki, karpie, liny, węgorze, barwanny, jaźwice, bolenie, leszcze, i inne pomniejsze, niekiedy i jesiotry; z płazów: węże, żmije, padalce, jaszczurki, a czasem i żółwie.

Płodami roślinnemi są po lasach: sosna, świérk, brzoza, olsza, dąb, osieczyna, grabina, leszczyna, jałowiec; rzadziej lipa, klon, jesion, buk, cis, a bardzo rzadko modrzew. Przy drogach rosną wierzby i topole, w sa-

dach owocowych: grusze, jabłonie, wiśnie, śliwy, rzadziej morele, brzoskwinie i morwy; z krzaków odznaczają się: agrest, porzeczki, maliny, głóg, tarka i berberys, a z krzaków jagodowych: żórawiny, poziomki, borówki, czernice i t. p. Zboża różnego gatunku uprawiane bywają, jakoto: żyto, pszenica, jęczmień, owies, tatarka, groch, proso, len, konopie, rzepak i chmiel; z ogrodowizn: kartofle, kapusta, bób, rzepa, buraki, brukiew, bania i ogórki; po łąkach wszędzie prawie rośnie manna; po lasach różne gatunki grzybów; np. grzyby, maślaki, bedłki, smardze, rydze, kurki, koziebrody i inne. Z płodów kopalnych znajdują się po różnych miejscach: glinka garncarska, wapno, torf i ruda żelazna, lecz po większej części błotnista.

Co do wyrobów, takowe z własnych produktów najwięcej urządza: len przerobiony na płótno dostarczał przyodziewku; z konopi wyrabiano sieci na ryby i na łowy, powrozy, liny; skóry ze zwierząt służyły jako surowiec do ubioru na konie, czarno zaś wyprawne na rozliczne obowią, i na pokrycia bryk brockich; ze siercią na zimowe bóty, na pokrycie do sani i na różne kożuchy. Miejsceowego drzewa używano na sprzęty gospodarcze i pokojowe, wyjąwszy cyprysy, mahonie i bukszpany. Słynne są do dziś dnia drobne kaszki wyrabiane z tatarki w okolicach Radomska, i obwarzanki ze Złoczewa, smaczne i krusze, chociaż bez jaj i masła wypiekane. Za czasów Zygmuntońskich mnóstwo było w tém województwie hut żelaznych, jakoto: w Braszewicach, Kaszewicach, w Ruścu i w innych miejscach, jak nazwa wsi niektórych i pozostałe kupy żużli obecnie jeszcze przekonywają; z podupadłą atoli oświatą znikwały i fabryki, tylko huty szkła gdziegdzie były jeszcze w ruchu; dzisiaj sprowadzane zkażynąd żelazo przekształcają na potrzebne wyroby. Ze smolnych pieńków wysączano smołę, z popiołów robiono potazie, a z galganów papier. Za świetnych Rzeczypospolitej czasów mnóstwo było cechów rzemieślniczych; po miastach i miasteczkach istnieli złotnicy, kotlarze, (caldeatores) konwisarze, (cantifasores), płatnerze, szkatulnicy, pancernicy, nożownicy, ślusarze, iglarze, pasamonicy (cingalatores) powroźnicy, rymarze, (crumenarii), siodlarze, stolarze, bednarze, kołodzieje, cieśle (carpentarii), sukienicy, tkacze i wielu innych, lecz z oświatą upadł i przemysł.

Kwitnął niegdyś i handel; rzeka Warta mniej więcej do miasta wojewódzkiego Sieradza przez rozliczne konstytucye (o których niżej będzie) spławną uczyniona, dostarczała klepek dębowych do Szczecina. Nie wstydzila się szlachta zapuszczać za handlem na Podole, Wołyń, Ukrainę i Węgry, zkađ tabory koni, stada wołów lub trzody chlewniej przypędzwszy, takowe Szlązkowi do Brzega lub Wrocławia dostarczała, a nakupwszy tamże pasów, ciężkich materyj, tyceików, płótna holenderskiego, korzeni, śledzi i sztokfiszu, z znakomitym zyskiem do domu powracała. Rzeczelność w dotrzymania słowa była główną kredytu podstawą. Do obiegu wewnętrznego handlu niemało przyczyniały się słynne jarmarki: śródo-postny w Widawie na konie i bryki; w Wieluniu i Warcie na konie; w Sieradzu w dzień Wszystkich Świętych na kożuchy i kamienie młyńskie; w Rozprzy i w Tuszynie na bydło; w Przedborzu i w końcu w Błaszach na trzodę chlewną. Miejsca cudami słynne, kompaniami pobożnych chrześcian z odleglejszych nawet okolic gromadzących się odwiedzane, niemałą

sposobność dawały w pozbywaniu pomniejszych wyrobów; w rzędzie tych miejsce odznaczały się odpusty na Matkę Boską we wsiach Gidlach, Charłupi Małej i Wierzchach; na św. Idzi w Mikorzynie, a na inne uroczystości w miastach Uniejowie i Warcie, które się zwłokami dwóch błogostawionych, tojest: Bogumiła i Rafała z Piotrowic zaszczycają. Szły i produkty w znacznej liczbie za granicę, a w szczególności obok zboża, koni, bydła i trzody, miewały pokup łoje, skóry, konopie, lny, kaszki, manna, wosk i miody.

Wydało województwo sieradzkie niemało mężów, odznaczających się wiernością monarchom, przywiązaniem do kraju rodzinnego, hartem duszy i mocą charakteru: tych opisowi dziejów krajowych, innych poezyi lub naukom w ogólności, owych stanowi duchownemu, a znów innych rycerskiemu zawodowi poświęcających się, z których znakomitszych przytoczmy. Do rzędu pierwszych z chlubą policzeni być mogą: Jan Długosz (Longinus) z Niedzielska († 1480), Marcin Bielski († 1575), syn tegoż Joachim Bielski († 1599) i Stanisław Pomian Kobierzycy († 1665). W poezyi odznaczyli się Sebastyan Fabian z Sulmierzyc Klonowicz (Acernus) († 1608) i Konstanty Tyminiecki († 1814). Familia Koniecpolskich wstąpiła się prawemimi mężami, z których Alexander († 1609) wojewoda sieradzki, godnych siebie synów spłodził: Stanisława hetmana wielkiego koronnego, Krzysztofa († 1659) wojewodę bełzkiego, Remigiana († 1640) biskupa chełmskiego, i Jana († 1661) wojewodę sieradzkiego, a których potomkowie Alexander († 1659) wojewoda sandomierski, Jan Alexander († 1720) wojewoda sieradzki, Stanisław Karol wojewoda († 1670) parnawski, oraz Stanisław († 1682) kasztelan krakowski, błogie, zaszczytne, i niewygaste pamiątki w sercach rodaków po sobie zostawili. Nieodrodną od nich była rodzina Korabitów Łaskich, w osobach Jana († 1531) arcybiskupa gnieźnieńskiego, autora Statutu, i brata jego Jarosława (około r. 1527 †) wojewody sieradzkiego, którego synowie Hieronim († 1542) i Stanisław († 1559), oraz wnuk Wojciech († 1605) godności wojewodów sieradzkich nie dla załości urodzenia, lecz przez zasługi prawdziwo dostąpili. Komuż są obcemi bracia Pomianowie z Łubny Łubieńscy: Maciej († 1652) arcybiskup gnieźnieński, i Stanisław († 1640) biskup płocki. Droga przez nich wskazaną postąpili za nimi ich potomkowie: Kazimiérz († 1719) biskup krakowski, Floryan († 1761) wojewoda poznański, Władysław († 1768) arcybiskup gnieźnieński, i Felix († 1848), hrabia, powszechnie uwielbiany w narodzie minister.

(Dalszy ciąg nastąpi),

Wiadomość o wynalezionych urnach popielnych, popielnicach, w okolicy Krakowa.... Podał Ambroży Grabowski.

Oddawna już zastanawiało to uwagę moją, że podczas gdy w różnych okolicach Polski znajdują się grobowiska dawnych przedchrześci-

ańskich jej mieszkańców, i z nich wydobywają urny popielne i inne pamiątki po bałwochwalezych przodkach naszych. W ziemi krakowskiej dotąd podobnych pamiątek zbyt mało zostało odkrytych, a przecież zasiadali na niej dawni Chrobotowie i innych nazwisk słowiańskie ludy, o których w starych kronikarzach naczytać się można.

Pod tym względem, ziemia krakowska podobną była do owéj zaklętej księgi czarodzieja Twardowskiego, którój (jak lud nasz opowiada) nikt nie mógł czytać, gdyż była zakutą w łańcuch i ogromnym przywaloną kamieniem. Takim łańcuchem i kamieniem na okolicach Krakowa była nieuwaga i niewiadomość poprzedników naszych, którzy, chociaż pług lub motyka wyłoniły na powierzchnię dawną jaką popielnicę lub sprzęt kamienny, nikt na nie bacznego nie zwrócił oka i wnet téż zmarzeniu ulegały.

Od niedawnéj dopiero chwili, gdy wydział archeologiczny Tow. N. Krak. odezwą swoją powszechną obudził uwagę, zaczęto zwracać na te dawnych wieków szczęty troskliwą bacność, i już z łona ziemi wyszła niejedna pamiątka, dawne przypominająca wieki; a spodziewać się należy, że odtąd mieszkańcy okolic Krakowa nie zmarnią obojętnie tego i nie podadzą zapomnieniu, co przypadek z głębi ziemi wy dostał, jak tego piękny już uczyniony jest początek.

Na zachód Krakowa o półtoréj mili odległości, za wsią Morawica leży folwark do hrabstwa Tenczyńskiego należący, nazwiskiem Popówka. Na polu orném pomiędzy tym folwarkiem i folwarkiem Kleszczów, do wsi Alexandrowic należącym, dzierżawca Popówki około połowy września r. b. doglądając świeżéj orki, za odwróceniem skiby postrzegł okrągłego kształtu wycisk: a gdy się bliżéj nad tém zastanowił, ziemię rękami odgrzebywać począł, znalazł naczynie baniaste z gliny wypalonéj, około pół łokcia w przecięciu mające. Wpadł on zaraz na domysł, że to musi być urna popielna, lecz mimo wszelkiéj w odgrzebaniu jej ostrożności, nie mógł jej przecież w całości z ziemi wy dostać, gdyż wystawiona przez mnogie wieki na działanie wilgoci w ziemi iłowatéj, popękala w kawałki i tylko ją w ulamkach wydobył; poczem troskliwie kawałki te złożone, gdy obeschły i stwardniały, zostały poklejone i piękna z nich ukształciła się całość, którą znający się na ważności podobnych pamiątek znalazca, Wny Kryspin Ocetkiewicz, do zbioru Tow. N. Krak. ofiarował.

Kształt naczynia tego jest u spodu węższy, środkiem wypuklejszy, baniasty, i znowu u wierzchu zwężony, z dwoma na zewnątrz uszkami, zupełnie w składzie swym podobny do popielnicy r. 1850 we wsi Brzeziu pod Krakowem znalezionej.— Obok téjże urny znalazły się i dwa naczynia małe w formie miseczek, które zapewne są łzawnicami. Wewnątrz zaś wielkiéj popielnicy ziemią wypełnionej, która tam po zniszczeniu nakrywy się dostała, znajdowały się na spodzie kawałki małe niedopalonych kości.

Gdy poszukiwanie to daléj posuwał, pokazało się, iż miejsce to było dawném grobowiskiem, cmentarzem, gdyż znalazł i inne popielnice w niewielkich odstępach w linii od wschodu na zachód ustawione; wszystkie atoli jak i pierwsza w kawałki, skutkiem wilgoci rozpeknięte, i kilka

takich odgrzebał. Siegając w głąb ziemi cienkiem żelazem, doszedł, że takich naczyń znaczna liczba w miejscu tém się znajduje, które lepszej do wydobywania ich na powierzchnię, choćby w ulamkach spojonymi być mogących, gdy obeszna i stężeją, oczekują sposobności...

Gdy wieść ta po Krakowie się rozeszła, dwaj członkowie wydziału archeologicznego udali się do Popówki d. 27. września celem zbadania tego odkrycia, do których i ja się przyłączyłem. Tam przybywszy, Wny Ocetkiewicz zaprowadził nas na to *Campo-santa*, i w naszej obecności trzy podobne urny, lecz niestety w samych tylko obłamkach, odgrzebane zostały, które dopóki były w ziemi, kształt swój zachowywały w całości. Grobowiszcze to leży wprawdzie w ukrytym ustroniu, otoczone z trzech stron lesistymi wzgórzami, z czwartej dające piękny widok na zawisłe ku Tatrom. — Lud, który sobie to zacisze w wiekach zamierzchłych na siedzibę i złożenie popiołów przodków swoich obrał, musiał być ludem lubiącym pokój, oddanym rolnictwu i pasterstwu, który tu ciche dni przeżyć sobie zamierzał.

Niedopiero to podobno szczęty dawnych popielnic pług na tém polu wydobywał, czego dowodzą rozrzucone ich po téj roli odłamy; lecz te nikomu z więcej usposobionych pod-oczy nie podpadły, a wieśniacy uprawą ziemi się trudniący, uważali je być zwykłemi skorupami naczyń kuchennych.

Popówka oprócz téj archeologicznej ważności, jest jeszcze piękną krakowską okolicą, w której ołówek rysownika znalazłby niejednen widok godny przeniesienia na papier. Jest tu niewielki wąwóz, który formują dwa rzędy skał malowniczych kształtów, przetrzymany małym strumieniem, do którego ściekają czyste wody z źródeł pod skałami wytryskujących. Miejsce to nie ustępuje w piękności dolinie Muikowa, a przecież zbyt mało jest znaném.

Pisałem w Krakowie, d. 29 września r. 1851.

Józef Kurowski.

W dniu 2 września r. b. zakończył dni swoje w Krakowie, po kilkumiesięcznej chorobie sercowej. Strata Kurowskiego jako człowieka niejednemu w kraju i za granicą zwiłży żal oblicze. Niejednen z artystów-malarzy przenikniony będzie żalem z utraty kolegi, współzawodnika w wzniosłej sztuce w tak młodym jeszcze wieku, który przyobiecował długim szeregiem dzieł przysłużyć się téj sztuce w kraju naszym.

Józef Szymon Kurowski urodził się w Krakowie r. 1809. Rodzice go zawezośnie odumarli. P. Ignacy Mieroszewski sam znakomity artysta, opiekował się nim w dzieciństwie; a gdy talent Kurowskiego do rysunku wcześniej się dał poznać, ku temu go téż zacny opiekun kierował. Jeszcze w młodocianym wieku dał się poznać w Krakowie kilkunastu litografiami, przedstawiającemi grupy historyczne z balu danego dla obywateli Krakowa przez ś. p. Artura hr. Potockiego w sali Knotza. Przez lat bli-

zko 14, to jest do roku 1844 przemieszkował w Paryżu, poświęcając się bez przerwy ulubionej sztuce, i tam niniejsze portretów znakomitych osób, z talentem i szczególną trafnością dokonał, oraz kilka obrazów historycznych wypracował. W r. 1844 udał się do Włoch, gdzie wzory najznakomitszych mistrzów studyował. Pomiędzy innemi robił tam portrety papieża Grzegorza XVI i Piusa IX, a malował olejno *Madonnę* i *Chrystusa*, którego prześliczny wyraz twarzy, tutejsi miłośnicy podziwiać mogą. Powróciwszy do kraju nie ustawał w pracy, a pożar 18 lipca w Krakowie, nadwreżył znacznie zwątlone już zdrowie. Widzieli go Krakowianie z jakim zapamiętaniem, wytrwałością pracował przez cały czas pożaru; wszędzie był obecnym, gdzie niebezpieczeństwo groziło, a przykładem, własnym poświęceniem i nawet pieniędzmi zachęcał, dodawał ochoty do ratowania rodzinnego, ulubionego miasta. Nie ustało poświęcenie jego i po pożarze: by nieść ulgę pogorzelcom, na ich korzyść dał litografować piękny widok pożaru, ze zgliszczów Dominikańskiego kościoła. Podróż w porze zimowej odbyta, zaziębienie z tego powodu, ukróciły jak się zdaje dni jego. Powrócił ze Lwowa, gdzie już mocno był chory, aby spocząć w rodzinnym miejscu, gdzie kości ojców jego leżą. Pozostawił w puściznie stroskaną wdowę i dzieciom imię bez skazy, szacunek i miłość powszechną, jakiej za życia używał; a kilka obrazów po nim pozostałych, umieścić go w liczbie niepoślednich malarzów polskich. Zwłoki jego w dniu 4 września na cmentarzu złożono. Pokój zacnemu i prawdziwemu przyjacielowi ludzkości w duchu miłości chrześcijańskiej!

Dodatek do zyciorysu ks. Piotra Skargi.

Nie znajdując w wydanym niedawno przez Kaz. Wł. Wojcieckiego zyciorysie ks. Piotra Skargi, ani też w rozprawie o życiu i pismach ks. Piotra Skargi na popisie uczniów gimnazjum wołyńskiego przez ks. Alojzego Osińskiego 13 lipca 1812 czytanej, żadnej wzmianki o pobożnym zapisie tego czcigodnego kapłana, którym całą swą ojcowiznę na utrzymanie szpitala w mieście Grojeu w powiecie i gubernii warszawskiej dziś położonego przeznaczył: pospieszam z udzieleniem szczegółowej w tym względzie wiadomości.

W księdze 158 Metryki koronnej na stronicy 86 znajduje się zapis przez Andrzeja Bobolę podkomorzego królewskiego wsi Szadków (Sadkowiec) i Wólka Sadkowska szpitalowi miasta Grodzice (Grojec). Z aktu tego przekonywamy się, że *feria quinta post Dominicam Passionis*, to jest 9 kwietnia 1615 roku stawił się przed aktami kancelaryi mniejszej Andrzej Bobola z Wielkich i Małych Piasek podkomorzy królewski, starosta pilzneński i dybowski, i zeznał:

Iż niegdy wielebny Piotr Skarga poprzednio kanonik lwowski, później zaś Towarzystwa Jezusowego teolog i ordynaryusz czyli kaznodzieja nasz (to jest Zygmunta III króla polskiego) a zeznającego wyż wymienionego od młodości najściślejszy przyjaciel, pragnąc zawsze tam majątek

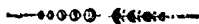
swój umieścić, gdzieby ojczyźnie najpożądańszem było, aby to nietylko kapłana, ale i chrześcianina godnym się stało, tam pozostawić, z kąd majątek ów wziął swój początek i tego z uwagi nie spuścić, na co obróconym został: z tych przeto względów pewną sumnę pieniężną, która mu się z ojcowizny dostała, przeznaczył na wieczny fundusz i utrzymanie dla ubogich (których ręce są skarbcem Chrystusa) i takową Xenodochium czyli szpital miasta Grodziec w ziemi czerskiej, w dyecezyi poznańskiej położony uposażyć zamierzył. Gdy mu wszakże do tego stosowna nie wydarzyła się sposobność, na przypadek swój śmierci (nastąpionój jak wiadomo w Krakowie 27 września r. 1612, a zatem na lat blisko trzy przed datą zeznania obecnego aktu) wyż wspomnionemu zeznawającemu władzę do wykonania tego zamiaru i owę sumnę pieniężną do rozporządzenia pozostawił.

Następnie uznaje Bobola, iż pobożny ten zamiar do skutku przywołując zakupił wsie Sadek i Wolę Sadekowską (po dziś dzień o milę od Grojca leżące) i takowe na rzecz szpitala przy parafii grojeckiej na wieczysty fundusz na utrzymanie ubogich zapisuje.

Że dar ten nie był mały, dowodzi dalsze rozwinięcie tej instytucyi przez Bobolę, gdy przypuszczalny dochód z zapisanych wiosek według zdania znawców na 200 do 300 ówczesnych Cassulae oblicza (z których każdy po złotych dwa szacując, czyli dzisiejszych około dwóch rubli, gdyż według Colberga w r. 1611 wartość złotego była naszych zł. 7 gr. 1, a w 1616 spadła na zł. 6 gr. 17, uczyni rocznie od 3000 do 4000 złp. ze zbioru samych tylko zbóż ozimych). Inne przychody ze zbóż jarych, propinacyi i t.[d. na koszt utrzymania gospodarstwa i wydatki gruntowe obracając przeznaczają, i z takowych dwudziestu ubogich szpitala grodzieckiego żywionych i utrzymywanych być winno.

Tak więc wyż wymieniony stawający Andrzej Bobola podkomorzy królewski, zgodnie z zamiarem zmarłego fundatora postanowił i zaleca (co według powszechnego zdania uważane jest za możebne), aby ze zbiorów i przychodów takowych najmniej dwudziestu ubogich żywionych i utrzymywanych było.

Leonard W.



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Gdy dwa elektromagnesy równej siły ustawione są obok siebie, wtedy między nimi umieszczona kula żelazna lub nikłowa sprawia zmianę w położeniach linii siły magnesowej promieniujących z ich biegunów, skupiając bliższe ku swemu środkowi, a dalsze zbaczając tylko ze swego pierwotnego położenia. Jeżeli w tym razie ogrzewać będziemy kulę, dojdziemy do temperatury, przy której kula zaczyna utracać własność działania na zmianę kierunku linii siły magnesowej, a w końcu zupełnie pozbędzie się téj własności. Dla żelaza temperatura odpowiednia dość jest wysoka, dla niklu wystarcza temperatura wrzącego oleju.

Faraday okazał, że kwasoród, podobnie jak żelazo, utracą swą siłę magnetyczną z podwyższeniem temperatury i raz ogrzany nie może być więcej przyciąganym przez magnes; nadto, że temperatura w której przypada ta zmiana zawiera się w granicach zwyczajnych temperatur atmosferycznych. Przytém dowiódł, że kwasoród powietrza, albo co na jedno wychodzi samo powietrze oziębione, zwiększa swą siłę magnetyczną.

Weźmy pod uwagę część wolnej przestrzeni poprzerzynanej liniami siły magnesowej równego natężenia, wtedy te linie będą prostymi i równoległymi między sobą; gdy zaś umieścimy w téj przestrzeni kulę z jakiego ciała paramagnetycznego (żelazo, nikiel), linie siły przestaną być równoległe, zwracając się ku temu ciału; gdy zaś to ciało będzie dyamagnetyczne, linie odwrócą się od niego przestając znów być równoległymi.

Faraday przedstawia ziemię jako źródło siły magnetycznej, z którego wypływają linie siły po przestrzeni według znanego szczególnego rozkładu, podległego ogólnym prawom rządzącym ich tworzeniem naokoło foremnego magnesu. Można przyjąć, że w pustej przestrzeni siła magnetyczna rozchodzi się z pewną łatwością zmieniającą się dopiero przez bytność jakiegokolwiek ciała, para lub dyamagnetycznego. Właśnie atmosfera jest ciałem, które działa na zmianę kierunku

linij siły magnetycznej wychodzących z ziemi. Cztery piąte objętości atmosfery jest azotem, gazem, który zimny lub ciepły nie objawia żadnej zmiany w swym sposobie działania na linie siły; pozostała piąta część atmosfery będąca kwasorodem, przez zmianę temperatury objawia wielką różnicę w działaniu magnetycznym; skoro temperatura wzrasta, siła paramagnetyczna kwasorodu zmniejsza się, i odwrotnie. Tę własność kwasoród udziela atmosferze.

Ztąd ukazywanie się słońca i jego zachodzenie codzienne, przez zmianę temperatury atmosfery wpływają na linie siły magnetycznej tak pod względem ich kierunku, jako też i natężenia. Faraday wskazuje na zastosowanie tej zasady do wyjaśnienia rocznych, dziennych, równie jak i nieregularnych zmian w natężeniu siły magnetycznej różnych miejsc; wskazuje, jakie różnice w zбочeniu, nachyleniu igły wywierac powinny różne miejsca słońca na niebie, rozmaite położenie lądu stałego, mórz i t. d. Na zmiany nieregularne igły magnesowej wywierają wpływ zjawiska, jakoto: zmiana ciśnienia w atmosferze, bytność wiatru i wielkich atmosferycznych prądów, deszczu, śniegu, zorze północne i t. d. wywołujące zmiany w kierunku linii siły magnetycznej. Co większa, Faraday utrzymuje, że massy powietrza posiadające różną temperaturę są poruszane przez siłę magnetyzmu ziemskiego, a to według działania różnicowego powstałego z działań odmiennych téjże siły na kwasoród ciepły i zimny tychże mass, tak, że w naszej atmosferze oprócz innych, mogą jeszcze istnieć silne burze magnetyczne, materialnie czuć się dające. (*Bibl. de Genève*, 1851).

* Doświadczenia Biota wykonane na rurach surowcowych długich na 951 metr. w celu poznania prędkości rozchodzenia się głosu wskazały, że biorąc rozchodzenie się głosu w powietrzu za jedność, szybkość głosu w żelazie jest 10,5. Teoretycznie, przyjmując współczynnik sprężystości żelaza za 12,000, wypada na szybkość głosu 12,2. Wartmann i Breguet powtarzając doświadczenia nad szybkością głosu w żelazie, użyli do tego drutów telegrafu elektrycznego idących wzdłuż kolei wersalskiej. Druty na tym telegrafie mocno naciągnięte, umieszczone są na słupach niskich, co podwójną przedstawiało dogodność dla obserwujących, bo i druty bliżej były ucha obserwatora i mniej podlegały powiewom wiatru. Znaki dawali przez uderzenie młotkiem o słupek; dźwięk ztąd powstały był więciej ostry. Obserwatorowie oddaleni byli na 4050 metrów, co licząc na długość drutu wyniosło 4067 metr., gdyż pod uwagę podciągnąć należało wyginanie się drutu, nierówną wysokość słupków, ich grubość i t. d. Z licznie powtarzanych obserwacyj okazało się, że głos w jednej sekundzie po drucie żelaznym przebiega 3485 metr., co czyni prawie 12096 stóp polskich. (*Bibl. de Genève* 1851).

* Prof. Ch. Page zajmujący się zastosowaniem siły elektro-magnetycznej do poruszania machin, doszedł do wypadków tyle obiecujących, iż dekretem senatu amerykańskiego otrzymał 20,000 dollarów na dalsze badanie tego ważnego przedmiotu. Jakkolwiek zasada będąca podstawą prób p. Page jest dotąd tajemnicą, jednak z listu p. Silliman następnę szczegóły doszły do wiadomości publicznej.

Wiemy, że skoro przez spiralną znacznych wymiarów przejdzie strumień elektryczny, spiralna w swym środku może utrzymać sztabkę żelazną, a to w skutek magnetyzmu w tejże sztabce wzbudzonego. Wyciągając w części tę sztabkę pionowo ustawioną, po usunięciu ręki, sztabka napowrót wraca do swego położenia, jakby zagnęta sprężyną niewidzialną. Ten ruch prostolinijny zwrotny użytym podobno został do maszyny amerykańskiej. Biorąc jedną tylko spiralną otrzymujemy punkta, w których działanie siły elektromagnetycznej dochodzi maximum, w innych zaś minimum; otaczając zaś sztabkę kilkunastu krótkimi spiralnemi, kolejno w działanie strumieniem galwanicznym wprowadzanemi, zwiększa się liczba wspomnianych punktów, a ztąd sztaba żelazna staje się popychaną z wielką szybkością.

Dotąd w przedsiębranych próbach zawsze zachodziła znaczna strata siły podczas zmiany kierunku strumienia w spiralnej lub spiralnych, bo jak wiadomo, wtedy powstają strumienie elektryczne indukcyjne, krążące w kierunkach przeciwnych. Page podobno zdołał usunąć tę ważną przeszkodę w maszynach elektromagnetycznych, jak to w liście do sekretaryatu admiralicyi nadmienia. Pierwsza maszyna przezeń urządzona miała być pionową, a motorami w niej były dwie sztabki z miękkiego żelaza na 3 stopy długie, szerokie na 6 cali. Podobna, lecz ulepszona dała siłę 2 koni. Następnie przez usunięcie przeciwwagi równoważącej ciężar sztab i innych części mechanizmu, autor zdołał dojść do siły 4 koni. Utrzymanie w ruchu takiej maszyny kosztowało mniej aniżeli utrzymanie maszyn parowych najkosztowniejszych, lecz więcej jak maszyn najoszczędniejszych. W dalszych pracach Page przekonał się, że maszyna kołowa pierwszeństwo mieć winna przed maszynami o ruchu zwrotnym, i według tej myśli ukończył maszynę, która ma na 1" robić 110. obrotów i przebiega $\frac{1}{5}$ mili. (*Bibl. de Genève*).

* Elektryzując ciecz po której pływa areometr, postrzegamy, że ten aparat wznosi się oznaczając jakoby zwiększenie gęstości, i to tym więcej, im mocniej ciecz została naelektryzowana. Po odjęciu elektryczności z cieczy, areometr wraca do pierwotnego położenia. Charault, który pierwszy obserwował opisane zjawisko, dostrzegł podnoszenie areometru wynoszące około 5 linii, przy użyciu maszyny elektrycznej mającej taflę przeszło półtora-stopowej średnicy. To wszakże podnoszenie się areometru nie jest skutkiem zwiększającej się gęstości użytej cieczy, lecz jedynie wpływem odpychania elektrycznego, zachodzącego między cząstkami cieczy a powierzchnią areometru. W samą rzecz po naelektryzowaniu cieczy, objawia się odpychanie między cząstkami cieczy a powierzchnią walca areometru; siły odpychające między cieczą a powierzchnią boczną walca wzajemnie się niszczą, jako działające w kierunkach wprost przeciwnych, tak, że pozostają jedynie siły wywierane na dno walca, jako nie zrównoważone przez inne z góry działające. W skutek tego walec unosić się musi dopóty, aż ciężar jego nie zrównoważy się z wagą wypchniętej cieczy i siłą elektryczną odpychającą cząstek cieczy. Ztąd wypada, że jeżeli ciało będzie zupełnie zanurzone w płynie

naelektryzowanym, wtedy żaden ruch miejsca mieć nie może, bo pod wpływem sił ze wszech stron działających, następuje równowaga.

Zbliżając do areometru pływającego w cieczy naelektryzowanej, ciało jednoimiennie z nią elektryczne, wtedy areometr opada; przeciwnie następuje podniesienie, gdy ciało jest różnoimiennie elektryczne.

Jeżeli używamy cieczy słabo przewodzącej elektryczność, np. olej, i areometr metalowy, natenczas za wstawieniem drutu idącego do maszyny, blisko powierzchni cieczy areometr opada; zagłębiając drut do połowy głębokości areometru lub pod areometr, aparat ten posuwa się w kierunku poprzecznym. Do oleju w tém doświadczeniu dodając trocin drzewnych, można widzieć strumienie krążące po płynie podobne do tych, jakie uważamy podczas ogrzewania cieczy z dołu.

Przy użyciu strumieni elektrycznych dynamicznych, niepodobna dostrzedz zmian w położeniu areometru pływającego po cieczach dobrze lub źle przewodzących elektryczność. (*Annales de Phy.* 1851, *Juin*).

* W widmie słoneczném otrzymaném za pomocą dobrego pryzmatu, rozróżnić się dają trzy rodzaje promieni częściowo się pokrywających, a mianowicie promienie cieplikowe, świetlne i chemiczne. Wykryto, że dwa pierwsze gatunki mogą być polaryzowanemi, a więc i usuniętymi; należało jeszcze poznać pod tym względem naturę promieni chemicznie działających. To uskutecznił Wartmann w następnym sposobie: Użył dwóch pryzmatów Nicolsa: jednego polaryzującego światło, a drugiego analizującego, osadzonych w jednej rurce, za któremi ustawił blaszkę srebrną poprzednio wystawioną na pary jodu, potem bromku wapna i znów pary jodu w celu uczynienia warstewki fotograficznej o ile można jak najczulszą. Obracając pryzmat analizujący na 45° względem pierwszego, rysunek otrzymany w ciągu $80''$ był bardzo wyraźny i czysty. Gdy ten kąt wynosił 90° , rysunku wcale nie było, czy przedmiot kopiowany znajdował się w cieniu, czy na słońcu. Ztąd wniósł, że promienie chemicznie działające podobnie jak cieplikowe i świetlne podlegają polaryzacji, i to przy podobnych warunkach. (*Bibl. Gen.* 1850 *Nov.*).

S. P.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1850.

108. Wstęp krytyczny do dziejów Polski przez Augusta Bielowskiego. Nakładem Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego. 8ka. Lwów. 1850. Druk Zakładu Narodowego Ossolińskich. Kart 4, str. IV i 542. (Z tabelłą rodowodu książąt lechickich). Złp. 23, gr. 10.

1851.

98. Klechdy, starożytne podania i powieści ludowe. Zebrał i spisał K. Wł. Wójcicki. Wydanie drugie pomnożone. 2 tomy. 12ka. Warszawa. 1851. Druk Jana Jaworskiego. Tom I. kart 2 i str. 266. II. 248. W każdym rejestrze karta 1.

99. Komedjanci. Powieść przez J. I. Kraszewskiego. (Z godłem):

. wszyscy na teatrze

Ja djable lubię teatr, bo jak się zapatrzę,

To mi się czasem zdaje, że ja widzę ludzi.

Fredro. *Przyjaciele*.

12ka. 2 tomy. Petersburg. 1851. Nakładem B. Wolffa, drukiem J. Zawadzkiego w Wilnie. Tom I, str. 270. II, 232. Złp. 13 gr. 10.

100. Michała Wiszniewskiego Historia Literatury Polskiej. Tom VIII. Prztém facsimile tytułu AkaŃstów Skoryny. 8ka. Kraków, 1851. W drukarni uniwersyteckiej. Kart 2, str. IV i 503. Złp. 20.

101. Podróż malownicza po najciekawszych okolicach ziemi naszój. Podług Humboldta i innych znakomitych podróżnych i badaczy natury, dla młodzieży płci obojój. Przez Bronisławę Kamińską. 16ka. Wrocław. (Bez roku). Nakładem Z. Schlettera, druk Storcha i Spółki. Str. IV i 284. (Z 4 kolor. rycinami). Złp. 15.

102. Przewodnik dla podróżujących w Europie, podług najnowszych źródeł ułożony, z dodatkiem mapy drożnej kolei żelaznych i dróg pocztowych. 12ka. Warszawa. 1851. Nakład i druk S. Orgelbranda. Przedmowy, z podpisem: *Jan Flasiński*, str. 8. XLVI i 874. W oprawie złp. 21.

103. Szwedzi w Polsce. Romans historyczny przez autora Anny, Powiastek i Gawęd. 2 tomy. 8ka. Petersburg. 1851. Nakładem B. M. Wolffa, druk E. Pratzka. Tom I, str. 274, II, 331. Złp. 20.

104. Szwecya (.) Wspomnienie jesienne przez Alexandra Przezdzieckiego. (Wydanie drugie poprawne). 8ka. Wilno, 1851. Nakład i druk T. Glücksberga. Str. 154 i kart 2. Złp. 8.

105. Wawrzyna. Powieść przez Paulinę z L. Wilkońską. (Z godłem):

La femme a beaucoup de mission angelique.

B. Saint Bonnet.

12ka, 1851. Petersburg (rzeczywiście w Warszawie, drukiem J. Ungra). Nakładem B. M. Wolffa. Str. 206. Złp. 6, gr. 20.

1852.

1. Historia święta dla młodocianego wieku, przez autora Nowej Metody. Po polsku i po francuzku. Wydanie drugie. 12ka. Warszawa. 1852. Nakładem S. H. Merzbacha, druk Ungra. Kart 2 i str. 319. (Z 3 rycinami). Złp. 8.

2. Józefa Unger Kalendarz Warszawski popularno-naukowy na rok przestępny 1852, który ma dni 366. Wydany staraniem Sk. Rok siódmy. 4ka. Warszawa. Nakładem i drukiem wydawcy. Str. XVI, 92 i 13, (z drzeworytami). Złp. 2 gr. 17.

3. Kalendarz astronomiczno-gospodarski na rok 1852, który jest rokiem przestępnym mającym dni 366. Opisy roślin, rok piętnasty. 4ka. Warszawa. Nakładem i drukiem J. Jaworskiego. Str. 48 i XII. Złp. 2.

4. Oda. Powieść z czasów Bolesława Chrobrego. 8ka. Wrocław. 1852. Nakładem Z. Schlettera, druk Storecha i Spółki. Str. 54. Złp. 4.

5. Powieści historyczne A. Wieniarskiego. (Zawierają: Kościół OO. Bernardynów w Lublinie. Bernard Cikowski. Tamko. Gabryel Zaranek. Wieś Krupa. Szymon Szymonowicz. Wygnanowice). 2 tomy. 12ka. Warszawa. 1852. Nakład i druk S. Orgelbranda. Tom I, str. 248, II, 213.

6. Ptasznik, to jest wyjawienie sposobów łapania, obłaskawiania, pielęgnowania, rozmnażania i leczenia ptaków śpiewających. (*Na okładce dodano: z dołączeniem przepisów chodowania (h) kanarków*). 8ka. Kraków. 1852. Nakładem i drukiem Józefa Czecha. Str. 73 i karta 1. Złp. 3, gr 10.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Drugie pomnożone wydanie *Klechdów* K. Wł. Wójcickiego, we 2ch tomach, wyszło z drukarni J. Jaworskiego.

— Znany tłumacz Moliera, Franciszek Kowalski, objawszy w zarząd archiwum w Tulczynie, przygotowywa bogaty zbiór pomników dziejowych, celem wydania takowych. Wynałaził oryginalne korespondencye Jerzego Mniszcha, i Jana i Stanisława Tarłów, wojewodów sandomierskiego i lubelskiego, i dużo materyałów zebrał do epoki saskiej, i ostatnich czasów od 1700 do 1796 r. Książę Roman Sanguszko ma się zająć porównaniem archiwum w Tulczynie, ze swoim własnym, jakie posiada w Zasławiu, pragnąc dopełnić pracę p. Kowalskiego.

— Znany autor Słownika, sędziwy starzec Mrongowius, obecnie liczący lat 88, kaznodzieja przy kościele stój Anny w Gdańsku, zachęcony przez ś. p. ks. Gizewiusza, przełożył z niemieckiego *Naukę chrześcijańską* i dodał przekład pieśni, o czém jużesmy dawniej w naszym piśmie wspomnieli. Całą korzyść z tego wydania przeznaczył na fundusz dla pozostałych wdów po plebanach marwaldzkich pod Dąbrownem, gdzie ojciec jego był kaznodzieją polskim.

— Pertz wydał tom jedenasty dzieła swego: *Monumentorum Germaniae*, w którym jest Gallus przez Szlachtowskiego z Köpkem wydany, tu-

dzieł *Koźmy pragskiego* kronika przez samego Köpkego, z prześlicznie robionemi podobiznami.

— W *Bulletin de Littérature étrangère* wychodzącem w Genewie, pod rubryką *Polska*, jest spis dzieł polskich, które na język francuzki przełożone, mają być ogłoszone w roku następnym. Oto są te dzieła: Pisma W. A. Maciejowskiego. Kronika Wapowskiego. Pielgrzymka do ziemi świętej Hołowińskiego. Klechdy K. Wł. Wojcieckiego. Collectanea Sękowskiego. Stannica Hulajpolska Miebała Grabowskiego. Pielgrzymka do Częstochowy M. Balińskiego. Felicyta Odyńca.

— Józef Szaniawski archiwista akt dawnych w Sieradzu, po ukończeniu opisu dawnego województwa sieradzkiego, pracuje obecnie nad szczegółowym opisem powiatu sieradzkiego pod względem fundacyi kościołów, klasztorów, miast, wsi znaczniejszych, ze źródeł archiwalnych, ze zwrotem uwagi na zwyczaje i obyczaje ludowe.

— Młody rzeźbiarz p. Rogoziński w Krakowie, wykuł obecnie w pracowni p. Stehlika kamienny posąg św. Jana z Kent, który wraz z podstawą wynosć będzie stóp 18. Posąg ten zamówiony został przez miasto Kenty, pragnące uczcić pamięć błogosławionego rodaka, i przeznaczony jest na tamtejszy rynek.

— Znany rysownik i litograf czeski Wacław Koutojk przybył do Krakowa, w zamiarze zebrania pomników i pamiątek starożytnych, których litografią na miejscu przedsiębrać zamysła.

— Oprócz Wurzbacha, który zajął się jak widać życiem Polaków w Galicyi, jak tego dowiódł między innymi i przysłowiami, najświetniej, bo też i najpierwszy talentem w plejadzie poetów niemieckich wystąpił Anastazius Grün, dając przykład, a raczej wyborne przerobienie *pieśni krajoznawczych*; za nim poszedł Siegfried Kapper, wyśpiewując z pieśni serbskich bohater-skie dzieje cara Lazara; następnie Vogel przysłużył się tłumaczeniem całego cyklu pieśni o Marku królewiczu; a najwięcej p. Frankl, który ogłosił piękny przekład jużto bohater-skich dum serbskich, już pieśni obrzędowych, zebranych pod napisem: *Guste. Serbische Nationallieder von Ludwig A. Frankl. Wien. 1852.*

— W kolegium Jagiellońskim w Krakowie ma stanąć pomnik na cześć Długosza, ojca naszej historii.

— Nakładem księgarni braci Jeleniów w Przemyśle wyszły: „Przykłady do tłumaczenia z greckiego na polski, i z polskiego na grecki, według układu Kühnera, przez Franciszka Koźmińskiego nauczyciela we Lwowie.”

— W Lesznie u Ernesta Günthera wyszła: „Wycieczka ornitologiczna w Tatry i Karpaty galicyjskie na początku czerwca 1851 r. przez Kazimierza hr. Wodzickiego.

† Dnia 21 b. m. i roku, w Małej Wsi w Płockiem zakończyła życie Anna z Krajewskich Nakwaska, wdowa po b. senatorze kasztelanie Fr. Nakwaskim, autorka powieści: Czarna Mara, Obrazy społeczeństwa warszawskiego, Dworu wiejskiego i t. d. Żyła lat 71.

UWIADOMIENIE OD REDAKCYI.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej pospiesza zawiadomić swych łaskawych czytelników zamieszkałych na prowincyi, a szczególnie w Cesarstwie, iż za pośrednictwem poczty mogą otrzymywać Bibliotekę Warszawską w oddzielnych kopertach i pod swoim adresem, za dopłatą *jednego* rubla sr. na rok do ceny prenumeracyjnej, która wynosi rub. sr. 9.

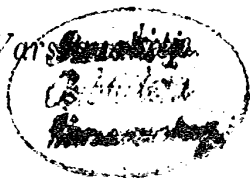
Korzyść ztąd dla prenumeratorów w Cesarstwie podwójna: unikną zwłoki w odbieraniu miesięcznych zeszytów, i mniej jak dotąd płacić będą. Dla tych zaś czytelników, którzyby z téj dogodności korzystać nie chcieli, cena pozostaje ta sama: t. j. w królestwie rub. sr. 9 rocznie, lub rub. sr. 4 k. 50 na pół roku, a w Cesarstwie rub. sr. 12 rocznie.

Ktoby więc z łaskawych prenumeratorów życzył sobie na rok 1852 odbierać w kopertach Bibliotekę Warszawską, raczy nadesłać *franco* rub. sr. 10 (dziesięć) albo do Expedycyi Gazet w Warszawie, albo wprost do redakcyi; wyraziwszy czytelnie swoje nazwisko, miejsce zamieszkania i stacyą pocztową, z której chce pismo nasze odbierać.

Adres: Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej przy ulicy Senatorskiej, Nr. 468 i 9; albo: Do Expedycyi Gazet w Warszawie.



Redakcyja Biblioteki Warszawskiej



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Wrzesień, 1851.

Wrzesień 1851.**Dostrzeżenia w Obserwatoryi**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, czyli w łuku 18°41'25,5" na wschód.

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stusstopniowy				Wzrostose na 100 cz. średn. dzienna
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano.	4 god. wiec.	10 god. wiec.	
1	☾	748.81	749.02	749.80	750.57	+10°.7	+14°.1	+16°.4	+10°.9	80.30
2		752.49	753.28	753.08	751.03	11.7	16.2	14.5	11.8	82.10
3		745.20	746.31	750.03	752.40	12.5	16.2	17.4	11.4	80.30
4		752.86	752.46	751.13	750.51	9.7	16.9	20.7	16.7	69.00
5		749.35	749.25	748.13	749.07	10.9	18.9	22.0	14.4	75.50
6		749.60	750.19	749.80	750.96	13.2	17.5	21.0	14.4	80.30
7		751.46	751.89	751.55	754.12	12.3	13.5	15.2	10.6	77.00
8		755.73	756.81	756.51	757.63	7.6	10.5	13.4	8.1	71.00
9		757.94	758.55	757.58	753.57	4.2	10.2	12.9	7.8	70.00
10	☺	756.62	755.53	753.62	753.80	7.4	8.8	11.4	8.9	86.90
11		752.62	752.77	752.53	752.61	7.2	10.0	11.0	8.2	83.00
12		751.21	750.53	748.87	748.00	6.4	10.8	10.9	6.7	80.30
13		748.24	749.60	750.05	747.69	6.3	9.6	11.2	9.4	89.50
14		749.76	750.09	751.82	752.52	6.5	11.8	9.2	7.4	88.90
15		753.70	756.44	757.99	758.77	9.0	11.8	12.3	9.7	80.50
16		756.94	756.50	756.38	759.37	8.2	12.0	10.8	8.3	88.50
17		760.73	761.15	760.56	760.65	7.5	10.4	13.4	11.8	93.50
18	☾	759.81	760.23	758.36	757.99	10.8	14.4	16.2	9.2	86.30
19		756.60	756.26	754.55	754.51	8.6	14.4	18.5	13.1	85.50
20		754.16	754.63	753.11	752.52	9.8	17.3	18.7	12.8	74.20
21		750.81	750.81	750.47	751.47	12.6	18.7	19.7	15.7	81.50
22		751.12	752.43	753.01	754.64	13.3	18.1	19.6	13.4	83.50
23		754.52	755.02	754.66	755.28	13.1	17.5	20.7	14.5	82.50
24		754.84	754.48	753.48	753.41	11.0	18.6	20.6	14.6	81.50
25	☺	751.86	751.53	750.12	749.83	12.6	16.9	20.2	13.7	68.50
26		748.50	748.99	748.95	750.89	11.6	13.5	18.7	13.3	84.50
27		752.62	753.16	751.77	751.23	9.4	15.2	18.6	11.8	86.50
28		750.78	750.78	749.89	749.25	9.3	15.3	20.0	14.1	80.70
29		747.05	746.66	745.66	746.74	11.6	18.1	22.2	16.4	83.00
30		748.40	749.18	748.44	749.71	12.2	17.4	19.7	14.7	85.50
Śrc.		752.478	752.818	752.397	752.861	+ 9°.91	+14°.49	+16°.57	+11°.79	81.4

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	752.638	27	9 642
Najwyżej dochodził — d. 17 o g. 10 r.	761.15	28	1.416
Najniżej — — d. 3 o g. 6 r.	745.20	27	6.345
Średnia zmiana dzienna barometru	2.630		1.166
Największa zmiana dzienna barometru d. 3—4 o g. 6 rano	7.66		3.396
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 25 lat	1.778		0.788
poprzedzających	750.860	27	8.854
Średnia temperatura września wynosi: + 13.918 C. + 10 ^o .54 R.	0.535	„	0.432 „
i ta jest niższa o od stanu normalnego z 25 lat po- przedzających	+ 13.715	„	+ 10.972 „
Największe ciepło dochodziło d. 29 o godz. 4 wiecz.	+ 22.2	„	+ 17.76 „
Najniższa temperatura była d. 9 o godz. 6 rano.	+ 4.2	„	+ 3.36 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	1.643	„	1.314 „
Największa zmiana dzienna d. 6—7 o godz. 4 wiecz.	5.8	„	4.64 „

Termometrograf wskazał:

Maximum: + 19^o.1 R. d. 29 po połud.

Minimum: + 1^o.8 „ d. 9 rano.

Wody z deszczu spadło wysoko na 38,1 milim., czyli 16,9 lin. par. ilość ta jest mniejszą o 4,4 lin. par. od ilości wody jaka u nas w wrześniu zwykle spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 81,4 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 9,52 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza, i ta jest wyższą o 0,03 od normalnej.

Dni pogodnych było 5, napót pogodnych 12, pochmurnych 13.

Dni deszczu 15 (d. 2, 3, 7, 8, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 21, 23, 26).

— mgły 6 (d. 17, 18, 19, 20, 24, 27).

— gradu krup 3 (d. 3, 12, 14).

— grzmotu 2 (d. 23, 26).

— błyskawic bez grzmotu 6 (d. 1, 3, 4, 22, 25, 26).

Wiatrów moenych było 2: 1 Pd W., 1 Z.

Wiatr panujący Pd W. i Zachodni.

Wrzesień r. b. był w ogóle chłodny, a pod względem pogody zbliżał się do stanu średniego. Pierwsze ośm dni były ciepłe, następne dziesięć przy wietrze północnym i północno-zachodnim niezwykle chłodne i słotne. Drugą połowę miesiąca osobliwie 11 dni ostatnich przy wietrze południowym i południowo-wschodnim, pogodne, suche i ciepłe, jak w porze letniej. Najcieplejsze dni były d. 4, 5, 6, 21, 22, 23, 24, 29, 30. Najchłodniejsze d. 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 16.

Dnia 3 o godz. 6 min. 40 wiecz. i d. 23 o godz. 6 min. 20 rano, ukazała się tęcza, z tych dnia 3 podwójna rzadkiej piękności.

Dnia 19 o godz. 1 po połud. koło wielkie otaczało słońce.

Dnid 23 widziano na słońcu 3 grupy plam.

Dnia 24 o godz 1 po połud. i 3 wiecz. koło białe słabe otacza-
ło słońce.

WYCIECZKA ARCHEOLOGICZNA

W NIEKTÓRE STRONY GUBERNII RADOMSKIEJ

odbyta w miesiącu wrześniu r. b.

PRZEZ

F. Mac. Sobieszczańskiego.

(Z ryciną).

I.

Miasto Radom. — Wspomnienia historyczne i zabytki. — Kościoły. — Szkoły. — Pogląd na teraźniejszy stan miasta. — Gabinet gubernatora cywilnego. — Zbiory prywatne książek, numizmatów i obrazów.

Szybko i wśród ciemnej nocy, zamknięci wprawdzie w wygodnej kuryerce, przemknęliśmy się przez Tarczyn, Białobrzegi, i nad rankiem, ze świtem prawie, stanęliśmy w Radomiu. Zatopiony w archeologicznych myślach i nadziejach, nie miałem czasu poznać towarzyszków mojej podróży; a było ich tam kilku: jeden prawnik, jeden aptekarz, i Niemiec szukający w Polsce chleba, a nareszcie i jedna córka Ewy, która ze smutkiem po kilkunastoletnim pobycie w Warszawie, na zawsze ją opuszczała. Gdybym chciał, mógłbym się był dowiedzieć całego biegu życia tej pani: tak była skora do wynurzania się, a ochotną do mowy. Złe tylko trafiła, i tą razą, niestety! potomność nawet i o nazwisku jej nie dowie się. Bądź co bądź, już nieraz przekonałem się, iż podróż w naszych dyliżansach, *vulgo* szteinkellerkami zwanych, ma swoją przyjemną stronę; dla pisarza z żywą wyobraźnią a koniecznie z talentem, jestto pole do zbierania wzorów z rozmaitego rodzaju polskich

podróżników, do skreślenia szczególnych charakterów i nabycia zajmujących gawędek. Tym sposobem nawet opisana podróż po kraju mogłaby być ciekawą, bo nasze szczerze i otwarte obyczaje, tak są łatwe do wywnętrzania się, tyle mają właściwej a odrębnej cechy, iż podobne wrażenia i wspomnienia z podróży, byłyby w piśmiennictwie naszym nowością. Lecz wieleżto innych rzeczy jeszcze nam brakuje!

Wróćmy się zatem do mego celu i nauki, małowczko i z piełuch także dopiero wydobywając się.

Owiany świeżością poranku pięknej tegorocznej jesieni, tak wdzięcznym i ozdobnym ujrzałem Radom, że za pierwszym wrażeniem sądziłem, iż jeszcze w Warszawie znajduję się. Był to dzień niedzielny, a czas corocznie tu odbywanego jarmarku; ożywione zatem zwiększoną ludnością ulice, szerokie i piękne, z marmurowemi chodnikami po obu stronach, przy wspaniałych i nowych kamienicach, dopełniły uroku.

Gdzież więc ten starożytny Radom?—pomyślałem sobie; gdzie zmarszczki téj odwiecznej siedziby, gdzie ślady wieków i wypadków tego głośnego w historyi krajowej miasta?

Tak wszystko teraz tu nowe, świeże i pobielone, porządne i czyste, że gdyby nieco dalej na ulicy Lubelskiej nie wyglądał kościół OO. Bernardynów z zębatą swoją facyatą, z ciemno-czerwonej nietynkowanej cegły wzniesiony, to pierwszy pogląd na całe miasto do rozpaczuby starożytnika przyprowadził. Co do mnie, wolę ja już podobne zmiany, niż bogate wspomnienia wśród gruzów, błota i nędzy: bo nareszcie łatwiej marzyć o przeszłości, łatwiej ją sobie przypomnieć, gdy terażniejszość nie mąci wzroku i przykre wrażenia uprzęta.

Lecz jeżeli brakuje w Radomiu zabytków zewnętrznej starożytności, silnie za to przemawiają za nim wspomnienia historyczne; nawet rzadko które miasto ma tak piękne i stosowne podania o swoim początku jak Radom, a chociaż one krytyki historycznej nie wytrzymają, to dziejopis tego miasta powinien je zebrać i nie zaczynać od tak zwanych pewnych źródeł; bo wreszcie cóż jest na tym świecie pewnego? Jedno naprzykład tutejsze podanie wywodzi nazwisko miasta, iż tu był każdy rad w domu gościowi, i przewano go zatem *Rad dom*. Inne znowu od odpowiedzi Kazimierza Sprawiedliwego, mieszkańcom o przywilej dla miasta proszącym danę, iż chętnie go udzieli: *Rad dam*, ztąd i nazwisko miało otrzymać.

Wszakże jeżeli tylko piśmiennych źródeł trzymać się będziemy, to terażniejszy Radom dalej nad wiek XIII posunąć swojej historyi nie potrafi. Są jednak ślady, iż Kazimierz Sprawiedliwy w roku 1187, na miejscu dotąd istniejącej fary pod wezwaniem śgo Jana Chrzciciela, pod tymże tytułem wznosił kościół drewniany, który później na murowany przemieniono; że w XIII wieku na górze *Piotrowka* zwaną był zamek obronnie zbudowany i t. p. Co wszystko niewątpliwym być może, zważając na ten dowód, że w roku 1360 Kazimierz Wielki prawa i uposażenie ze starego Radomia do nowego przeniósł, a ślad pierwszego został się dotąd w nazwisku Starego Miasta, na wzgórzu leżącego. Kazimierz Wielki, jak mówi historia, lubił to miejsce: w zamku chętnie przemieszkiwał, a w gęstych borach grubym zwierzem napełnionych, często polował. Wznosił on tutaj nowy zamek, miasto całe murem opasał, nakoniec przeniósł z prawa polskiego na niemieckie, a następcą jego Ludwik węgierski na miejsce sądów przeznaczył.

Odtąd dalsze dzieje tego miasta im nowszych sięgają czasów, tém są pełniejsze: bo Radom ciągle występuje na widowni historyi, tak, iż nie masz archiwum w kraju, w którymby nie znajdowały się akta do niego należące, ani kronikarza w którymby pełno i ważnych o nim nie znalazło się szczegółów. Tu na sejmie 1383 r. obrano Jadwigę za królową polską; tu w r. 1401 pierwszy akt unii z Litwą nastąpił; tu lubiła mieszkać królowa Zofia księżniczka kijowska, ostatnia żona Władysława Jagiełły; syn zaś jej Kazimierz jadąc czy wracając z Litwy, czy z sejmów w Piotrkowie lub w Nowém-Mieście Korczynnie odbywanych, zawsze zatrzymywał się w Radomiu. Tu bowiem także oczekiwała na niego małżonka jego Elżbieta arcyksiężniczka austriacka, mająca w oparciu radomskie majątności „które jej był względem wesela król małżonek puścił”, jak powiada Kromer.

Nic zatem dziwnego, iż król Kazimierz Jagiellończyk miasto to w szczególnej miał opiece, i tylą i tak ważnemi je przywilejami obdarzył; chociaż niektóre, jak sam tamże wyraża się, wydawał na prośby matki swój lub żony. Tego rodzaju dyplomata znane są w oryginałach lub w kopiach, na miejscu lub w metryce koronnej znajdujące się, z lat 1444, 1450, 1453, 1456, 1458, 1461, 1464, 1481 i t. d., z których jeden z roku 1456 wydany w Piotrkowie, przedewszystkiemi o wielkiej przychylności monarchy dla Radomia przekonywa. Potwierdza on bowiem w nim wszystkie poprzednie przywileje, a nadto uwalnia mieszkańców od wszel-

kiej zależności od dworu, powierza straż i reparacją murów i wałów miejskich, pozwała wszystkie próżne miejsca tak w mieście jako i na przedmieściu zająć na pożytek miasta, budować tamże i zakładać ogrody, browary i t. d. W Radomiuto podczas pobytu tego monarchy w r. 1469 stany czeskie ofiarowały koronę synowi jego Władysławowi; tu wreszcie epokę prawodawstwa krajowego i początek upadku władzy królewskiej rozpoczął sejm w r. 1505, na którym Jan Łaski kanclerz koronny, a potem arcybiskup gnieźnieński, odebrał rozkaz zebrania i wydania praw polskich. Pamiętny ten sejm zaczął się i skończył dramatycznie: rozpoczęło go przekleństwo Szach-Achmeta hana nadwołżańskich Tatarów za niedotrzymanie traktatów, rzucone śmiało i głośno w obliczu monarchy i senatorów na całą przyszłość państwa. Można sobie wyobrazić tę surową i sędziwą postać Tatarzyna, który wszedłszy w pośrodek obradujących, wznosił ręce do góry, i gromkim głosem struchlałym słuchaczom te wykrzyknął słowa: „Bóg sprawiedliwy wszystkiego złego i dobrego sowity odplaca; kiedykolwiek sprawę moję z królem sądem nienaganionym rozstrzygnie, a rzewliwego utrapienia i nędzy mojęj, k temu przysięgi zgwałconej znaczną pomstą zwetuje” (Kromer). Sprawdziła się niestety wyrocznia Tatarzyna, bo oto zaraz przy końcu sejmu król Alexander Jagiellończyk paralizem ruszony, ztąd do Krakowa, a następnie do Wilna po śmierć tylko pojechał.

Nie zapomnieli o Radomiu i następni królowie zwiedzając często to miasto, leżące na drodze do Piotrkowa, gdzie sejmy się odbywały, a przytém położone w bliskości Jedlny, upodobanego miejsca łowów monarszych. Ztądto zyskiwał sobie znowu Radom tak częste i obszerne przywileje od wszystkich królów polskich aż do Augusta IIIgo z domu Sasów, do którego to czasu od roku 1520 do 1739 sam widziałem 18 dyplomatów dotyczących Radomia.

Za Zygmunta IIIgo zaśląnął znowu Radom trybunałem zwanym Kommissyą Radomską, która tu od r. 1613 do 1767 przez półtora wieku trwała. Kommissya ta odbywała się corocznie przez sześć niedziel, poczynając w poniedziałek po św. Stanisławie biskupie. Prezydujący bywał zawsze biskup, a ostatnim sławnym z przywiązania do nauk i książek ks. Józef Załuski. Inni kommissarze wybierani byli z osób wojskowych i cywilnych. Sprawy do niej należały skarbowe i wojskowe, palestra grodu radomskiego służyła do opowiadania spraw, a pisarz trzymał pióro. Wedle współczesnych pamiętników, trybunał ten odznaczał się

od innych także ucztami i bankietami, gdyż zjazd ten składał się po większej części z samych wojskowych, którzy nie potrzebując ceremonii zapraszania, tłoczyli się do stołów i kielichów, gdziekolwiek widzieli takowe zastawione. Kto się zaś chciał popisać z traktamentem, musiał się dobrze przysposobić w trunki i opatrzyć piwnice, aby nietylko gościom zaproszonym, ale téż i nieproszonym a jednak przybywającym wystarczyło.

To wszystko do wzrostu miasta przyczyniało się; lecz z kolei wypadków znanych w historii, ulegał Radom pożarom i klęskom wojny, mianowicie za podwójnego najazdu Szwedów, które go do zupełnej ruiny przyprowadziły, tak, iż mieszkańcy przedtém handlem trudniący się, wszyscy prawie do uprawy roli zwrócili się. Atoli jeszcze w r. 1767 mamy ostatnie z czasów dawniej Polski historyczne wspomnienie w zawiązanój tu pod laską księcia Karola Radziwiłła (Panie Kochanku) konfederacyi, popierającej prawa różnowierców, która pomimo napotykanego oporu, przeniosłszy się ztąd do Warszawy, celu swego dopięła.

Dziś z tych wszystkich wspomnień mało już zostało śladów: akta i dyplomata dla historyków, szczątki zamku i kościoły dla archeologów. Udałem się naprzód do zamku; pokazano mi niski i długi dom dobrze otynkowany, dobrze nakryty i pomalowany, w którym umieszczono hypotekę. Napróżno było szukać śladów poprzedniego jego stanu, lecz znalazłem stary inwentarz opisujący jego postać zewnętrzną i wewnętrzną, z którym się z ciekawemi czytelnikami dzielę. Inwentarz ten spisany był po śmierci Jana Litomirskiego kasztelana sieradzkiego, starostę radomskiego, przez ks. Zawiszę Sikorskiego kanonika warszawskiego „z rozkazanja króla Jego Mci Anno Domini 1567 począwszy, a die 20 Septembris ad diem 18 Octobris pilnie uczyniony.” Byłto sobie, mówi ten inwentarz, zamek albo raczej dwór murowany, mający na równi mur około siebie i przekop, w którym były trzy miejskie sadzawki zawsze wodą napełnione. We dworze ujrzałem naprzód mur znowu od kościoła farskiego, na trzy *rosty* wysoki, w którym była brama z wrotami. U bramy od strony zachodniej stał dom murowany, w którym dolne i wyższe gmachy znajdowały się. Naprzód na dole była piekarnia, podle piekarni izba czeladnia, dalej szły kuchnie, a za niemi sklep dla kuchennych rzeczy. Od tego sklepu był wchód do nowo wtenczas zbudowanego blanku i do tarasu albo wieży, która była w murze miejskim na pół stai ode dworu. W téj wieży było więzienie, dobrze

oknami z kratą żelazną opatrzone. W kącie tych dolnych gmachów była furta na wał, od której szedł ganek murowany między sadzawkami, prowadzący do baszty drewnianej, gliną z wierzchu oblepioną. Do wierzchnich gmachów szło się przez tenże ganek do izby, potem izdebki, dalej do *konwnatki*, a z tej drzwi prowadziły na blank i na wielki dom do pokoju.

Tak zwany dom wielki stał na południe nad samym przekopem; był on wszystek, jak mówi inwentarz, *dachówką poskorupioną* i obejmował także dolne i zwierzchnie gmachy. Na dole były piwnice, sklepy i sklepiki, podle sklepów stała wieża, w niej ganek sklepisty poskorupiony; z niego szła sionka podobnie sklepista, z sionki przechodziło się do wielkiej izby mającej drzwi fladowane, wielki piec polewany i okna w ołów oprawne. Stały tam wokół stoły i ławy dębowe, po trzech stronach umieszczone. Do zwierzchnich gmachów wchód był kamienny i drzwi dwoiste; z niego szedł ganek z słupami kamiennymi ochędźnie wyrobionymi (pisze inwentarz). Ztąd wchodziło się do sali mającej drzwi żelazne dwoiste, okna w ołów oprawne i ławy dębowe; po jednej stronie pod oknem był komin marmurowy, na środku stół lipowy. Z tej sali na lewo była wielka izba, z piecem polewanym na fundamencie kamiennym stojącym; drzwi miała także żelazne, stoły sosnowe, ławy wokół, a na ścianach *wokół* listwy do obicia i *pokład* (sufit) z pozłocistymi kwiatami, malowany. Dalej z sali szło się do komory w wieży, sionki, izby i komnat. Od tego domu na wschód był mur, przy którym blanki dwoje zwierzchnie, pod którymi znajdowało się 15 komór. Dalej w tymże murze stała biała wieża wpośrodku blanków, wierzch po włosku mająca; tu na dole był *zrąb* dębowy dla więźniów z kratą żelazną, izby i komory, a dach gontami pobity.

Takim był zamek radomski w całej swój świetności za czasów Jagiellońskich; w nimto mieszkali królowie i królowe, o których wyżej z kronik o tém dowiedziawszy się, powiedzieliśmy. W nimto w roku 1548 w miesiącu wrześniu, pożegnawszy raz ostatni ziemię rodzinną, przebyła cztery miesiące nieszczęśliwa Barbara Radziwiłłówna, piękna i prześladowana małżonka Zygmunta Augusta. Przybyła ona pierwszy raz do krajów koronnych z rozkazu króla, podług jego własnego przepisu jadąc z Wilna traktem grodzieńskim, i stanęła w Radomiu jako kresie podróży, gdzie miała pozostać przez czas następnego w Piotrkowie sejmu i przetrwać pierwszą burzę, dalszemu jej szczęściu grożącą. Uroczyste i świe-

ne było przyjęcie téj nadobnej monarchini w Radomiu: król na ćwierć mili za miasto naprzeciwko niej z licznym poczem znakomitych panów wyjechał; cała droga była wysłana czarném lyon-skiém suknem, z powodu żałoby po ojcu; witały ją mowy kancle-rzów państwa, a otaczali od samej granicy najmożniejsi panowie i panie z Korony. Mowa ze strony królowej była poważna i po-korna. „Témże się to najwięcej ludziom podobało, pisze w je-dnym liście brat królowej Mikołaj Radziwiłł podczaszy litewski, iż pokornie było.” W Radomiu, wedle pomienionego listu, tegoż dnia wszyscy panowie litewscy i polscy, którzy z królową przy-jechali z koni zsiadłszy, prosto szli do stołu królewskiego jeść. „Skoro po obiedzie, wnet od stołu wstawszy Jego K. M. szedł na górę do Jej K. Mci, i był tam z godzinę. Tam jest izba wiel-ka, a było wniej tak wiele ludzi, iż na krążgankach niektórzy stali, patrząc się a dziwując temu stadłu panów naszych.” Byłto zatem ów dom i owa izba wielka z krążgankami, których opis z inwen-tarza r. 1567 wyjęliśmy, a w której teraz archiwum hipoteczne mieści się. Z listów tegoż Radziwiłła, umieszczonych w Pamię-tnikach o królowej Barbarze przez p. Michała Balińskiego, cieka-wy czytelnik dowie się wszystkich szczegółów pobytu téj królo-wej w Radomiu: jak przez cały październik odwiedzała wraz z królem przychylnych sobie senatorów w ziemi radomskiej; jak następnie ku końcowi tegoż miesiąca król opatrzywszy potrzeby nowo utworzonego dworu żony swojej, oddalił się z Radomia na sejm w Piotrkowie, zostawując ją smutną i ze drżeniem oczekują-cą rozstrzygnięcia swego losu w tém mieście. Ileżto lez tu wy-ląła ta śliczna pani, gdy ponure i coraz to gorsze wieści do-chodziły ją z Piotrkowa!... Ile obawy, ile smutku tu przeżyła, łatwo sobie wyobrazić. Może to, tu nawet był początek cho-roby, która ją w kilkanaście miesięcy potem o śmierć przygo-towała. Cóżkolwiekby, to pewna, iż gdy stałość króla pomysł-nym skutkiem uwieńczoną została, królowa Barbara jakby chcąc co prędzej rzucić przykre wspomnienia, nie czekała w Radomiu jego powrotu, lecz w połowie stycznia 1549 roku udała się z całym swym dworem do Nowego-Miasta Korczyna, gdzie téż w dniu 2 lutego zastał ją powracający z Piotrkowa czuły królew-ski małżonek (1).

(1) Współcześni Górnicki i Warszewicki utrzymują, a za nimi wszyscy nowożytni pisarze, iż królowa Barbara przybyła do Radomia w r. 1550; tym-

téz ten kościół dzieje, i ocalał, chociaż także tylko w resztkach. Pierwiastkowo w stylu gotyckim wystawiony, z wyniosłą z boku wieżą, przechował dotąd śliczne odrzwia z ciosu przy bocznych wejściach i przy zakrystyi znajdujące się, szczególnego rodzaju wiązanie dachu i jeszcze szczególniejsze baniaste sklepienie wieży wewnątrz przykrytej. Jestto godna widzenia osobliwość, iż wieża ta zakończona u góry w kształcie głowy cukru, z cegły z wierzchu polewanój wystawiona, całkowicie już skamieniała, a cegła w głąz się przemieniła. Znajdują się tu także starożytne dzwony z wypukło-rzeźbami i napisami, lecz są tak umieszczone, że bez narażenia się na przypadek dostąpić do nich nie było podobna; a szkoda, bo warto byłoby zdjąć ten napis i bliżej mu się przypatrzeć. Zresztą, gdy kościół ten częstym ulegał zniszczeniom, gdy jeszcze na początku naszego wieku publiczne targi w nim odbywały się, lub na magazyn był obrócony, nie zatém wewnątrz dawnych zabytków nie zostało. Odbudowany w r. 1821, ma kilka obrazów pędzla tutejszego aptekarza Karola Hoppen, zmarłego w r. 1849; ławki i niektóre figury z kościoła sieciechowskiego przeniesione, wszystko zaś razem pod względem sztuki zaledwie na wspomnienie zasługuje. Byłyby tylko bardzo interesowne dzieje tego kościoła, lecz nie zastałem ani proboszcza, ani wikarego; ksiądz zaś obecny umiał mi tylko tyle powiedzieć, że są jakieś akta dawne, które cudem chyba ocalały i te powierzono ks. Gackiemu, który historją tego kościoła zajmuje się. W dobre więc ręce powierzono te ostatki, a autor opisu szkół w Piotrkowie, Jedlny i tylu innych wzorowych i z sumienną dokładnością napisanych artykułów, potrafi je jak należy użyć.

Z kolei zwiedziłem kościół OO. Bernardynów, piękną i jedyną w całości zachowaną starożytną budowlę w Radomiu. Kościół ten początkowo za murami, na przedmieściu niegdyś Jedlińskim zwaném wzniesiony, dziś najcelniejszą ozdobę miasta stanowiący, założony jest pod wezwaniem św. Katarzyny w r. 1468 przez Dominika z Kazanowa Kazanowskiego podkomorzego króla Kazimierza Jagiellończyka, starosty radomskiego. Wystawiony w gotyckim, właściwym dawnym polskim kościołom stylu, z cegły nietynkowanej, ma wystawę w zęby podzieloną i skarpy po bokach. Zniszczony przez czas, odnowionym został kosztem jednego z obywateli radomskich w r. 1836, a w r. 1842 ze składek prywatnych i wieze jego odnowiono. Pomimo to, zachował jeszcze piętno

swojej budowy, ślicznej i okazałej starożytności. Księża Bernardyni w Radomiu ze względu przykładowości i nabożeństwa poważani są tutaj i lubieni jak nasi Kapucyni w Warszawie. Schludność też i porządek wewnątrz, ubogie lecz chędogie ozdoby, kościół ten odznaczają. Znalazłem tu kilka jednak nagrobków, jedno sztuką, drugie napisami chępiące się. Najdawniejszy i najlepszy pod względem sztuki jest po lewej stronie przy wielkim ołtarzu, z szarego checińskiego marmuru, ku pamiętce Wszeborza Tymińskiego z Jasieńca (zm. 1616). Nagrobek ten wyobraża rycerza w półfigurze w zbroi, z brodą i gołą głową, z mieczem przy boku i książką do nabożeństwa w ręku. Umieszczony w wklęsłości w formie ołtarza z dwiema kolumnami z podobnegoż marmuru, ozdobiony jest u góry szyszakiem i buławą, tudzież herbem Nałęcz. U dołu na tablicy marmurowej, wklęsłemi głoskami, już w części zatarty, znajduje się następujący napis:

D. O. M.

Supremae et eviternae Posteritati
 Que nouerit, quod vixerit
 Generosus D. Vseborius Tymiński de Jasieniec
 Antiquissimi sanguinis Nałęciorum,
 Haeres, Nepos, Abnepos, Proneposque.
 Qui vixit
 Notus orbi et sibi
 Charus Deo, Regibus, Patriae suis.
 Altior omni invidia, et honore, felix unico partu
 Quem
 Helizabetha de Hlewiska, vetustissima Odrowążorum
 Gente, Genero maritandum reliquit
 Generoso Andreae Koryciński de Korytno,
 Qui moestus parenti optimae posuit.
 Mortuus Anno post renatum orbem MDCXVI.

Co w dosłowném polskiém tłumaczeniu znaczy:

Bogu Najlepszemu i Najwyższemu, dalekiej i długotrwałej potomności, która się dowiéd że żył Wielmożny Pan Wszebor Tymiński z Jasieńca, ze starożytnego szczepu Nałęczów, dziedzie, wnuk, prawnuk i praprawnuk, który żył znany światu i sobie, miły Bogu, królom, ojczyźnie, swoim, wyższy nad wszelkie zawisłości i zaszczyty, uszczęśliwiony jedyném potomstwem, które Elżbieta z Hlewisk z najstarożytniejszego Odrowążów rodu, zię-

ciowi do poślubienia zostawiła Wielmożnemu Andrzejowi Korycińskiemu z Korytna, który smętny najlepszemu rodzicowi ten pomnik wystawił. Umarł roku odkupienia świata 1616.

Nieco dalej, z podobnegoż marmuru na wypolerowanej tablicy, krzyż gładko wyciosany z cierniową koroną w ramach, z arabeskami naokoło, nad któremi u góry herb Jastrzębiec. Jestto nagrobek Michała z Szomowa i jego małżonki, którym synowie w r. 1613 wystawili. U dołu umieszczony, a podobnież już zartarty, następny czytać można napis:

Acate senili vixerunt
Requiescant in pace

Generosis ac Nobilibus Michaëli de Szomowo.

Districtus Łomzensis ac Helizabethae de Luge

Districtus Łucoviensis conjugibus de armis Lubicz moesti filii,
pietatis ergo posuerunt. Anno Domini 1613.

Tojest: *Doczekali się sędzivego wieku, niech spoczywają w pokoju, Wielmożnym i urodzonym Michałowi z Szomowa z powiatu łomżyńskiego, tudzież Elżbiecie z Ług z powiatu łukowskiego małżonkom herbu Lubicz, w smutku pogrążeni synowie na znak przywiązania wystawili. Roku Pańskiego 1613.*

Trzeci nagrobek obok ambony z czarnego i białego marmuru wystawiony, zwyczajnego kształtu, ma u góry okrągły na blasze malowany portret kobiety; na dole zaś, na białym marmurze, złoceniemi głoskami napis po polsku:

Dom.

Grobowiec ten oczom czyniących okropny,

Żalowi synowskiemu ciężki,

Łzom JW. Familii złączonym domom
nieprzeżyty,

Kosztowną wysokich doskonałości

JWJMCP. Ewę z Trojanowskich Krasińską

Kasztelanową Wizką

przyciska.

Taxuj na nim czytelniku nabożny

Skruszonego klejnotu szkodę,

Królowi nieśmiertelnych wieków

Do niebieskiej korony zalecaj cnotę,

W której przez lat 48 wieku swego doświadczona,

Do skarbów wieczności zabrana jest

d. 2 Lipca R. P. 1760.

Nakoniec na ścianie przy drzwiach kościelnych umieszczona wielka marmurowa tablica, zawierająca jeszcze obszerniejszy napis, jest grobowcem walecznego i znanego w dziejach Walentego Chomentowskiego, zmarłego w r. 1604; właściwie zaś sęto dzieje całej téj rodziny. Napis ten zdjąłem choćby dla osobliwości; brzmi on następnie:

D. O. M.

Piis manibus

Magnifici Domini

Valentini de Chomentowo Chomentowski

Natalibus, factis, conjugio, Prole, clari. Qui foris sub Regibus Sigismundo Augusto, in omnibus fere expeditionibus miles. Stephano Bathoreo sub Gedano, Wielkołuki, Połocko, nominatissimi illius Equitum Tribuni Pękosławski Capit. Sandomirien. Vicarius. Sigismundo III bellorum cum Maximiliano Austriaco, Valacho aliisque sui temporis Patriae hostibus particeps. Domi omnibus virtutibus, nobilem facientibus ornatus, ex antiquissima cum Illustrissimis Familiis juncta Strzeszkoviorum Familia, accepta consorte, tulit copiosam sobolem et generosam. Cujis quot filii, tot fere Turcicis, Sueticis, Valachicis trophaeis insignes usque modo quamvis conjugii et prole Patriae exhibitis adhuc sub armis, con-senescent, nam medius dedicata strenue operibus martis tota ju-ventute, et pariter virilis aetatis se in Christi perpetuam militiam, sub vexillum Seraphici Francisci, in phalangem Minorum Obser-vantium vulgo Bernardinorum, transtulit. Filiae autem praecipu-is sui districtus Familiis, elocatae. Tandem Deo, suis omnibus-que charus, Ecclesiasticis Sacramentis praemunitus, obiit sexagena-rius, circa Annum Domini 1604. Huic amantissima et moestis-sima conjunx Magnifica Domina Zophia de Strzeszkowice Cho-mentowska 45. post decessum pie defuncti anno, cineribus ipsius jam plane consumptis, in signum amoris conjugalis, nunquam con-sumendi parvulos pronepotes gremio bajulans et o dolendam mortalium conditionem non videns prae senio, titulum hunc po-suit, et aram, ipsa jam fere centesimum annum agens, ad quam qui accesseris memor rerum humanarum clementi Deo, animam demortui commenda. Et si sapis, tuam cura posita sunt Anno Domini 1647.

Co znaczy po polsku: B. N. W.

Drogim ceniom Jaśnie Wielmożnego Pana Walentego z Cho-mentowa Chomentowskiego, jaśniejącego urodzeniem, czynami,

związkiem małżeńskim, potomstwem, który zagranicą pod królami Zygmuntem Augustem we wszystkich prawie wyprawach wojskowo służył; za Stefana Batorego pod Gdańskiem, Wielkimi Łukami, Połockiem jako namiestnik owego znakomitego dowódcy jazdy, Pękostawskiego starosty sandomińskiego; za Zygmunta III był uczestnikiem wojen z Maksymilianem rakuskim, z Wołoszynem i innemi owego czasu ojczyzny nieprzyjaciółmi prowadzonych; w kraju zaś ozdobiony wszystkiemi uszlachetniającemi go cnotami, pojawiający małżonkę z najstarożytniejszej rodziny Strzeszkowskich, spokrewnionych z najpiérwszemi domami, spłodził liczne i znakomite potomstwo, z którego kilku synów, tytu prawie zaszczyconych było zwycięzców tryumfami na Turkach, Szwedach i Wołoszy odniesionemi, aż do niniejszej chwili. Chociaż związkami małżeńskimi połączeni, i chociaż ojczyźnie potomstwo zostawili, dotychczas pod bronią starzeją się, albowiem średni poświęciwszy całą młodość świętym czynom Marsowym, podobnież w wieku męzkim zaciągnął się do ciągłej służby Chrystusowej pod chorągiew św. Franciszka Serafickiego w szeregi mniejszych Obserwantów, pospolicie Bernardynami zwanych. Córki zaś zostały połączone z rodzinami w powiecie znakomitszemi. Nakoniec Bogu, krewnym wszystkim miły, opatrzony świętymi Sakramentami, umarł mając lat 60 około roku Pańskiego 1604. Temu najprzywiązawsza i najżałośniejsza małżonka JW Pani Zofia ze Strzeszkowic Chomentowska w 45 roku po zgonie świętobliwie zmarłego, po zupełném prochów jego zniszczeniu, na znak miłości małżeńskiej nigdy nie wygastłej, maluczkich prawnuków na swém łonie piastując, a smutnego śmiertelników stanu z powodu zgrzybiałości oczami nie oglądająca, nagrobkowy ten napis wyryła i oktarz postawiła, do którego każdy przystępujący pomnąc na zmienność rzeczy ludzkich, niechaj duszę nieboszczyka poleca Bogu najłaskawszemu, a jeżeli roztropany, niech o swojej pamięta. Wystawiono roku Pańskiego 1647.

Zresztą, obrazy w tym kościele nie odznaczają się sztuką; ciekawym jest tylko zbiór portretów nad chórem umieszczonych, a dobrodziejów kościoła wyobrażających, z jednej strony mężczyzn, z drugiej kobiet. Szkoda tylko, iż malowidła te już są nadpsute i że nikt nie wie kogo one przedstawiają.

Obejrawszy te główne ze względu swój starożytności kościoły, udałem się do tutejszego gimnazjum gubernialnego, przy kościele ks. Pijarów znajdującego się, pod których zarządem szkoła

ta założona, do r. 1832 zostawała. Ma i ten instytut swoją historią: jeszcze przed wprowadzeniem Pijarów była już w Radomiu szkoła parafialną zwana, w której wyższych nauk, filozofii nawet uczono. Utrzymywali ją swoim kosztem obywatele, a mianowicie pleban radomski; nauczycielów zaś sprowadzano z krakowskiej lub zamojskiej akademii. Atoli pamiętna za czasów Jana Kazimierza ze Szwedami wojna, Radomiowi, jakśmy już mówili, tyle przyniosła klęsk, iż obywatele tutejsi przywiedzeni do ubóstwa, nie byli w stanie nadal żadnej szkoły utrzymywać. Zaniechano sprowadzania nauczycielów, i Radom nie miał odtąd szkoły, gdzieby młodzież początki przynajmniej nauk, lub głównejsze religii i moralności pobierać mogła zasady. Dopiero w początku panowania Jana Sobieskiego niejaki Jan Lewiński obywatel Radomia, człowiek kochający nauki, postanowiwszy kosztem i zapisami swemi powrócić tu szkoły, chciał je powierzyć Jezuitom; lecz szczęściem dla tego miasta, ojcowie ci nie widząc dla siebie na przyszłość żadnej korzyści, ofiary téj nie przyjęli. Wtedy udano się do Pijarów, którzy mniej na własny interes bacząc zjechali do Radomia, i objawszy zapisy i nowo poczynione fundacye, około zaprowadzenia szkół i konwiktów szczerze krzątać się poczęli. Lecz nie było to łatwo przy szczupłych i ograniczonych funduszach z dobrą chęcią tylko, a z ubogimi darami. Trzeba było wypadku i to dość krotofilnego, aby chwiejący się już ten projekt szczególnym sposobem utrzymany został. Oto co opowiada historia zgromadzenia księży Pijarów w Radomiu. Gdy w r. 1680 prokurator téj nowój fundacyi ks. Hieronim Zawadzki stanął na rynku miasta i kamienicę na ten cel przeznaczoną obejrzyć przedsięwziął, w tak złym zastał ją stanie, że z bojaźnią przestępował jój progi, aby w jój gruzach pogrzebanym nie był. Stroskanemu, cała przyszłość stanęła na myśli; przewidywał trudności, przeszkody, niemożność wzniesienia kollegium, gdy niespodzianie ujrzał przed sobą trzech poważnych w kontuszach, z zawieszonymi wąsami szlachciców. Byłito Gaspar Kochanowski podsędek ziemski sandomierski, Mikołaj Pakosławski kasztelan połaniecki i Świętosław Antoni Pigłowski cześnik kijowski. „Nie odwiedziliście nas Mości księżo, rzecze piérwszy podsędek, podając szeroką dłoń zdziwionemu Pijarowi, a przecież my to twoi przełożeni jesteśmy. Cała okolica zowie mnie *Generalissimus omnium Piiacorum*, Pakosławskiego *Provincialis*, a Pigłowskiego *Guardianus*. My jesteśmy przełożeni *Piiacorum*, wy Pijarami się zowiecie, więc blizkie nazwisk

podobieństwo." Tego też tylko zręcznemu Pijarowi było potrzeba. „Dobrze, odpowiedział im nisko kłaniając się; Bogu niech będą dzięki, że w tém mieście znajduję przetożonych moich: nie będę się więc troszczył o zaspokojenie potrzeb, bo przetożeni moi zapewne o nich pamiętać będą." Nie było rady na tak stosowne znalezienie się. Szlachta obecna zaraz składkę i wsparcie przyniosła. Kochanowski odtąd szczególnym został dobrodziejem Pijarów radomskich, a za jego przykładem prawie wszyscy obywatele z powiatu nieśli im z pośpiechem pomoc i wsparcie. Napotkane w następnych latach trudności, gdy znowu upadkiem temu tak świetnie zaczętemu zakładowi groziły, ostatecznie zapobiegł nowy dobroczyńca Marcin ze Smogorzewa Wąsowicz stolnik zakroczyński, który zapisami w latach 1684 i 1688 znacznych summ pieniężnych dla kollegium i na utrzymanie uczniów, prawdziwym tego instytutu założycielem został. Atoli pierwiastkowem kollegium był to tylko zbiór wyporządkowanych kamienic, połączonych z sobą kościołem drewnianym, aż do roku 1737. Wtedy dopiero, gdy ks. *Antoni Konarski*, brat Stanisława znanego w dziejach wychowania krajowego męża, został rektorem; zaraz rozpoczął budowę tutejszych gmachów i takowe przed rokiem 1756 ukończył. Podniósł je na piętro całe, i wewnątrz urządził. Presbiteryum ozdobnie wymurował, resztę zaś kościoła drewnianą zostawił. Stosownie do jego planów kościół pijarski w Radomiu miał być znaczną budowlą; wchodziłby frontem aż w rynek miasta i byłby jedną z najcelniejszych jego ozdób, lecz rozmaite znowu przeszkody nie dozwoliły tego zamiaru dokonać.

Za rządu austriackiego szkoła radomska otrzymała tytuł gimnazjum: lecz gmachy jej na potrzeby administracyjne były zajęte. Dopiero po roku 1815 domy szkolne pierwiastkowemu przeznaczeniu zwrócone, stały się odtąd spokojnem dla nich schronieniem. W roku 1817 na stopień wojewódzkich wzniesione, w 1820 wsparte znacznym zasiłkiem i pieniężnym funduszem, wybudowano znowu nowy dom tyle czyniący ozdoby miastu, w którym wraz ze szkołami i trybunał pomieścił się. Z gmachem tym łączy się kościół, stosownie do legatów cały z muru ukończony, dość obszerny, skromny wprawdzie wewnątrz, ale bardzo porządkny i kształtny. Dziś gimnazjum gubernialne tutaj mieszczące się, w zakresie przepisanej nauki prowadząc, piękną i liczną ma bibliotekę, w ozdobnej sali znajdującą się,

tudzież wzorowo utrzymywane gabinety, szczególnie do szkoły realnej należące.

Otóż wszystko, co do wspomnień i zabytków starego Radomia. Ależ i terazniejszy, zasługuje, aby go poznać; ze względu zaś statystyki w obecnym jej pojęciu uważanej, nawet świetnie i zaszczytnie przedstawić się może. Mówiłem już, jak Radom schludną a ozdobną ma powierzchowność; bo też rzeczywiście ten szereg kamienic w długą linią od ulicy Rwańskiej do końca ogromnej i szerokiej ulicy Lubelskiej wyciągniętych, liczne sklepy, okazałe budowle, a nadewszystko wiele stawiających się gmachów, przyjemne na podróżnym sprawia wrażenie. Początek tego wzrostu, równie jak wszystkiego co tylko u nas jeszcze się wznosi, od roku 1815 datuje się; bo chociaż Radom był przedtym cyrkulowem, a następnie departamentowem miastem, nic to nie przeszkadzało, iż błoto i nędza przygniatały go tak, jak i inne polskie miasteczka. Odtąd, może dlatego, iż wszystko w gruzach leżało, powstał i odmłodniał Radom, tak, iż już w r. 1822 ludność miasta wynosiła 2824 mieszkańców, a murowanych domów 46, drewnianych zaś 201 znajdowało się. Niebawem porządkiem nawet przed innemi począł przodkować. Jakoż przed rokiem 1829 zwiedzający to miasto podróżni, już je nazywali częścią Warszawy, a zachwyceni jego czystością, świeżością, zapominali, iż są w prowincjonalnym miasteczku. Pałac b. kommissyi wojewódzkiej, dziś rządu gubernialnego, niedawno był wtedy dopiero ukończony, a leżał w oddaleniu za miastem: snadź dlatego, aby miasto do siebie przyciągnął i skłonił do zabudowania tej przerwy. Ogród publiczny był tylko co na łąkach założony; młody jeszcze, lecz obszerny i z dwóch stron miasto obejmujący, ulice i uliczki przerzynały go w różnych kierunkach, wszystkie wysypane żwirem, ozdobione klombami i kwiatami. Starożytny kościół farny wyrestaurowany, podobnie otaczały klomby z kwiatami, i dziwną sprzeczność z powagą zaczerwionych murów tworzyły.

Lecz prawdziwy i olbrzymi że tak powiedzieć można wzrost Radomia, poczyną się dopiero od czasu złączenia b. gubernii kieleckiej z sandomińską, i pod zarządem terazniejszego gubernatora cywilnego JW. Rz. Radey Stanu Edwarda Białoskurskiego. Słabe i nieudolne jest moje pióro do skręślenia zasług i cnót tego światłego a dobru ludzkości poświęconego męża, oraz znakomitego urzędnika; zwłaszcza, iż fakta i rzeczywistość wyższe są nad wszelkie pochwały. Atoli do zmian, które najwięcej na pomysł-

ność Radomia wpłynęły, należą bez zaprzeczenia starania gubernatora około osuszenia miasta podjęte. Miasto to bowiem jest w niskim położeniu, z zaskórną wodą, która przedtém wszystkie piwnice zalewała, a wyziewy rzeczki Mleczny nadzwyczaj zdrowiu szkodliwe, wielką śmiertelność sprawiały. Teraz, podług planu samego gubernatora, zrobiono podziemne kanały, które wszystkie wody z piwnic przyjmują; sporządzono sączki naokoło domów dla ochronienia się od napływów wód zaskórnych; spuszczone dwa stawy, które znacznie podnosiły wodę na rzece Mlecznie; nakoniec uregulowano koryto téjże rzeczki, aby nie dopuścić jój rozlewu, który właśnie owe zgubne wyziewy formował. Skutkiem więc tego wszystkiego, miasto już prawie zupełnie zostało osuszone, a ludność tak szybko podniosła się, iż gdy przed r. 1848 Radom liczył 6000 stałych mieszkańców, dziś ma już przeszło 11000; zdrowie zaś ogólne równie szczęśliwe okazuje rezultaty. Staraniem terażniejszego gubernatora otworzono nowe ulice, wyporządzono rynek, całe miasto wybrukowano, a na niektórych znaczniejszych ulicach marmurowe po obu stronach dano chodniki. I wesołym, ozdobnym teraz jest Radom; a domy jakby czarodziejską ręką coraz to nowe z ziemi wyrastając, zapełniają przestrzeń do gmachu Rządu Gubernialnego wiodącą, przed laty na odosobnieniu będącego, dziś zaś już zupełnie zabudowaną. Gmachy téż publiczne prawie wszystkie dopióro za tego czasu są wystawione, lub jeszcze budują się. Tak ratusz podług planu Henryka Markoniego w roku 1847 wymurowany; szpital św. Alexandra, najwspanialszy pomnik dobroczynności tutejszych mieszkańców, ze składek prywatnych w r. 1848 wystawiony; szpital starozakonnych w tym roku wzniesiony; gmach Towarzystwa Kredytowego na ukończeniu, równie jako i okazała budowa teatru z salami resursy wznosząca się. W obliczu tylu faktów, nazwisko terażniejszego gubernatora nieodłączne jest, a jegoto pracy, zachęceń, staraniom i pomocy wszystko przypisują. Tak dobrze więc na jego stronę usposobiony udałem się do niego z poleceniami, które od władzy mojej otrzymałem; a to co poznałem i własnymi oczyma oglądałem, dopełniło uroku, jakim od czasu przyjazdu mego do Radomia otoczony zostałem.

Niegdyś przed laty byłem w Anglii, kiedy ta podróż była jeszcze trudną i nie tak pospolitą. Widziałem tam zbiory publiczne, muzea prowincjonalne tworzące, w których miałeś wszystko,

co w każdej prowincyi kopie, rośnie, wyrabia i znajduje się; a patrząc na te użyteczne a tak praktyczne zbiory, nieraz w myśli żałowałem, że u nas czegoś podobnego nie mamy. Z jakąż więc radością i szczęściem ujrzałem wchodząc do gabinetu gubernatora, że właśnie taki zbiór posiada już gubernia radomska. Opiszę wam szanowni czytelnicy ten gabinet dla przykładu i wiadomości waszej, i nic już nie będę mówił o właścicielu, bo wiem, że dopełnić sobie reszty i ocenić jego myśli potraficie.

Gabinet ten jestto obszerna i wysoka sala, mająca ze wszystkich stron szafy, w których umieszczone są porządkiem rzeczy kopalne, roślinne, zwierzęce, a naostatek wyroby rąk ludzkich, co wszystko nie przechodzi poza obręb gubernii radomskiej. Zastanawiają tam naprzód szafy z ptastwem i innymi zwierzętami, które w gubernii po lasach, górach i polach żyją. Niektóre z nich są w ślicznych exemplarzach i bardzo starannie wypchane. Pomiędzy temi z rozmaitych odmian orłów celuje orzeł z okolic Szyca, koło Pieskowej Skąły złapany, ze wspaniałego i ogromnego kształtu, i orzeł z niebieską skórką na szyi z Kozienic, tudzież czarny bocian w Brzesku nad Wisłą złapany, i wiele innych aż do najdrobniejszych skowronków i wróbli, a których nazwiska i pochodzenia, pomimo iż każdy ma u dołu na podstawie napis, nie powtarzam z obawy, abym spuszczać się na pamięć, jakiego zoologicznego anachronizmu nie popełnił. W podobnymże komplecie są i zwierzęta. Dalej znowu wszystkie minerały, starannie z napisami gdzie kopią się, poukładane: od prostych kamieni i piaskowców rozmaitych, aż do kilkudziesięciu gatunków marmurów w tej jednej gubernii znajdujących się. Podobnież liczne są kruszce, w rozmaitych stanach i exemplarzach żelazo, srebro, miedź, ołów i t. d.; wszystkie gliny i glinki, kredy, ziemie i nakoniec osobliwości pod względem naukowym, jakoto: skamieniałości, muszle, amonity i t. p. Osobna szafa zawiera szczególniejszą bibliotekę z drzew leśnych ułożoną; sąto książki wyrobione z każdego drzewa w lasach gubernii rosnącego, na których masz korę, słoje drzewa pod heblem i politurą zosobna. W środku takiej książki znajduje się pod względem botanicznym zasuszona gałązka z liściem, kwiatem i owocem, tudzież dwie skrytki, w których w jednej masz korzeń, wiór i węgiel, w drugiej zaś na osobnej kartce opisane są: nazwisko drzewa, jego własności i miejsce rośnienia. Niemniej ciekawą jest szafa, zawierająca rozmaite przedmioty handlu i przemysłu téjże gubernii. Znajdują się tam próby wszystkich

wyrobów w naturze i sztuce, od jedwabiu aż do konopi, rozmaite rodzaje skór, drutów, odlewów, modeli machin lub szczególniejszych instrumentów, które tu wyrobione zostały; nareszcie cały zbiór w najozdobniejszych formach wyrobów z fajansu i porcelany fabryki w Ćmielowie. Pomędzy modelami znajduje się tu prawdziwe cacko i wzór cierpliwości ludzkiej, to jest model z miedzi i mosiądzu w drobnych kształtach wyrobiony maszyny parowej, w Białogoniu pod Kielcami znajdującój się, który we wszystkich częściach wiernie całą maszynę naśladuje; tém zaś jest interesowniejszy, iż wyrobił go w r. 1845, sam, bez nauki, dawny czeladnik tameczny i rodem z okolic, p. *T. Werdein*. Dodajmy do tego, iż w odstępach szaf mieszczą się meble lub ozdoby podobnież tamecznego wyrobu z drzewa, żelaza lub marmuru; pomiędzy temi ostatniemi zastanawiają wyroby z marmuru wieśniaka z Słupca, i z marmuru chęcińskiego patery, wazy i kolumny, dzieła tamecznych żydów. Najpiękniejszym atoli pod tym względem jest stolik, którego blat w sposobie mozaiki 48 odmianami i gatunkami marmurów krajowych jest wyłożony.

Dopełniają całości porozwieszane na ścianach obrazy, przedstawiające najpiękniejsze krajowidy słynnych i znanych tutejszych okolic, nareszcie zbiór starożytności, które w ziemi były wykopane lub znalezione. Co do obrazów, zacny właściciel przekroczył granice miejscowości; a miłośnik téj pięknej sztuki, może w celu zachęcenia do zbierania lub cenienia tego rodzaju utworów, przesłiczne dzieła włoskich, flamandzkich i francuzkich artystów z naszymi pobratał. Pomędzy temi obrazami zasługują na wspomnienie; z obcych:

Van der Meera dwa parzyste obrazy, przedstawiające dwóch smakoszów w półfigurze: praca rzadkiej piękności i prawdy.

Van Ostada wieśniak holenderski siedzi zamyślony przy ognisku; jak wszystko tego mistrza, ślicznie i z wielką prawdą wykończony.

Weicka Tomasza garncarz przy warsztacie; mały, lecz bardzo ładny obrazek.

Rembrandta Pawła kobiéta przy jedzeniu; równie dobry obrazek.

Rubensa Pawła obrzezanie P. Jezusa; cudny szkic do wielkiego obrazu.

Dietricha W. M. krajobraz: widok wioski w czasie zimy; z podpisem malarza.

Bourgignona widok bitwy, przedstawiający potyczkę jazdy. Dzieło nieporównanego w tym rodzaju artysty.

Casanowy Franciszka dwa wielkie krajobrazy, z których najlepszy przedstawia cyganów obdzierających podróżnego na gościńcu.

Franka, portret nieznanego mężczyzny.

Pan Jezus na krzyżu: obraz szkoły włoskiej, przywieziony z Rzymu i darowany przez Franciszka Smuglewicza Niegolewskiemu ostatniemu opatowi Benedyktynów Świętokrzyskich.

Trzej królowie: mały obrazek na drzewie dawniej szkoły włoskiej z XV wieku, z zamku szydlowieckiego pochodzący.

Rzeźnicy oprawiają wieprza: obrazek flamandzki z rzadką prawdą i wykończeniem oddany.

Z krajowych malarzy znajdują się tu obrazy:

Zaleskiego Marcina, widoki.

Głowackiego Jana Nepomucena krajobrazy.

Suchodolskiego Januarego, Arab na koniu. Dwa krajobrazy: jeden widok burzy na lądzie, drugi na morzu przedstawiający: prace rzadkie w tym rodzaju tego artysty. Nakoniec szkic tegoż do znanego obrazu ostatniej chwili życia Stefana Czarnieckiego, szkic tak ładny, że wykończonemu obrazowi w niczym nie ustępuje.

Takim jest gabinet tutejszego gubernatora, któremu o ile z radością przyglądałem się, o tyle ze smutkiem opuściłem; bo czyż ujrzę u nas coś jeszcze podobnego, lub czy znajdzie ten przykład naśladowców!

Osobliwością Radomia jest także znakomity zbiór książek p. Jana Łaskiego, prokuratora przy tutejszym trybunale. Zaprowadzono mnie do niego, a z tytułem autora i bibliografa, łatwo wstęp zyskawszy, chętnie i z uprzejmością miałem wszystko pokazane. Światły ten prawnik szczególnie w swoim przedmiocie ma rzadko dobraną bibliotekę, z wielką starannością i zamiłowaniem zgromadzoną. Prawo i historia krajowa są zatem u niego najbogatsze, i w tych oddziałach ma nawet tak zwane w bibliografii polskiej *białe kruki*.

Pomiędzy innemi znalazłem tutaj sławny inkunabuł statutu praw Kazimierza W. w Wiślicy w r. 1347 uchwalonych, które pierwszy raz przed statutem kanclerza Łaskiego upowszechnione drukiem zostały.

Rzadkośćto niepospolita, o której wiele i wielu rozprawiało; o tym inkunabule nawet dr. Oelrichs jeszcze w r. 1768 osobną i bardzo dokładną rozprawę napisał. Nakoniec Jan Daniel Hoffman, Janocki, Czacki, Jerzy Samuel Bandtkie, Felix Bentkowski, Ossoliński i inni, albo z jedyńych exemplarzy w Krakowie i Porycku niegdyś znajdujących się, albo na wiarę za drugimi powtarzali.

Najdokładniejszy wszakże opis znajduje się w Bibliograficznych Księgach w t. I od str. 56, i gdzie dwa wydania wariantów tego statutu odróżnione zostały, a z czego pokazuje się, że exemplarz radomski jest przedrukowaniem i edycją rzadszą od pierwszjej, wydany zaś w Lipsku u Melchiora Lottera pomiędzy rokiem 1489 a 1490, należy do najpiérwszych téj drukarni płodów. Prawdziwém atoli bogactwem zbioru ksiązek p. Łaskiego są rękopisy prawne, a mianowicie: autograf dziwnj rzadkości statutu Mikołaja Taszyckiego prawnika i mówcy za Zygmunta Igo, który jakkolwiek był drukowany w Krakowie w r. 1532, Czacki jednak o nim wspomina (O Lit. i pol. pr. I, f. 33) że tylko dwa exemplarze całe, a dwa uszkodzone w życiu swojém widział. Załuski zaś długo go poszukiwał. Przyczyną téj rzadkości było, że wkrótce po wyjściu na świat tego dzieła, exemplarze wykupywano i niszczone. Rękopism radomski jest bez tytułu, piismem początku XVIgo wieku; brakuje w nim piątj, to jest ostatniej księgi, gdyż kończy się na wyrazach: *Finis quarti Libri Statutorum Regni*.

Niemniej ważnym jest własnoręczny rękopism statutu Jana Januszowskiego, wcale innego od drukowanego w Krakowie w r. 1600. Jestto nowy zbiór praw w języku polskim: dzieło niepospolite i praca ogromna. Exemplarz wprawdzie bez tytułu, lecz zresztą cały, a na końcu i tytuł i dowód nazwiska autora znaleźć można. Tamże spis rzeczy i przedmowa są umieszczonemi. Wypisałem jedno i drugie, aby ciekawy czytelnik wartości całego dzieła osądził. Piérwszy tak zaczyna się:

„Verificatio albo zgadzanie statutu ks. Jana Januszowskiego z statutami Łaskiego i Herburtowemi, łacińskimi i Constitucjami polskimi wszystkimi aż do roku 1609 inclusive.” Poczém następuje przedmowa: „Do łaskawego czytelnika ks. Jan Januszowski. Aby się dostatecznie wiedzieć mogło jakim porządkiem szły prawa w statutach Łaskiego i Herburtu, i które prawa w którym były, i gdzie tych praw wszystkich tu *w tym statucie moim* szukać, i aby się okazało jeśli się prawo które z tych statutów nie opuściło,

zdało mi się za rzecz potrzebną tę verificatią tu na to miejsce przyłożyć. Naprzód tedy ukazują się folia statutu Herburtowego, druku krakowskiego pod literą H. K., i druku Zamojskiego pod literą H. Z. a przy nich początki praw łacińskie i polskie rzędem obiecadła tychże statutów Herburtowych. Po nich idą folia statutu Łaskiego pod literą Ł., a po nim folia statutu drukowanego mego pod literą I. Ten iż się na wieczne, roczne i apokrypha w pisanym nowym dzieli, otóż gdzie które prawo jest, jeśli w wiecznych, tedy pod literą W; jeśli w rocznych, tedy pod literą R; jeśli w apocryphis, tedy pod literą A tam się najdzie, według liczby na karcie naznaczonej. Przy czym trzeba wiedzieć, że pod literą Herburtowego krakowskiego druku najduje się litera B, która znaczy drugą stronę karty tegoż statutu Herburtowego, w nim bowiem folia na drugiej stronie karty znaczone nie były, przetoż tą literą B znaczy się prawi musiały.”

„Po tym zgadzaniu statutów pomienionych idzie zgadzanie drugie z constituciami wszystkimi, począwszy od króla Zygmunta Augusta roku 1550, aż do roku 1609 inclusive. Po tych wszystkich verifikacyach każdy łącznie znajdzie gdzie w którym statucie i na której karcie które prawo jest opisane. Czytelnik łaskawy jako inszą pracę, tak i tę niech odemnie z łaską przyjmie.”

Tekst tego rękopismu zaczyna się od podziału pierwszego z tytułem. Porządek tytułów i praw wiecznych: prawa wieczne królewskie, statuta praw, constitucie koronne wieczne, księga pierwsza; wtóra księga podobny ma tytuł, z dodaniem, że prawa są roczne; trzecia zaś zupełnie odmienny, następny: Apocrypha to jest prawa i nie prawa różnym czasom służące, niewłasne, zastarzałe, abrogowane, niepotrzebne, wątpliwe, nieskończone, żydowskie, księga trzecia.

Będzie to zatem ostatnia praca tego autora, dworaka, prawnika, drukarza, naostatku plebana w Solcu, który w tym stanie w roku 1613 umarł i snadź przed samą śmiercią rękopism ten do druku wygotował. Pisał go zaś już w stanie duchownym, czego dowodzi głoska X do imienia jego w przemowie dodana. Szczególném zdarzeniem weryfikacya o której wyżej mowa, czy przez samego Januszowskiego, czyli téż po jego śmierci osobno z druku wydaną została, z opuszczeniem wszelkiej wzmianki o istnieniu ostatniego dzieła. Wyszła ona bez głównego tytułu, bez miejsca druku i roku, w arkuszu, karty nieliczbowane, sign. A Diij; sądząc po czcionkach, zapewne w Krakowie. Jeden z takich egzem-

plarzy, w bibliografii polskiej nieznanymi, znajdują się w bibliotece głównej Okr. N. W.

Wreszcie w zbiorze p. Łaskiego znajduje się także tom 3ci tak zwanych akt Tomickiego, obejmujący rok 1515, w którym tyle spraw ważnych się zdarzyło: był zjazd panów litewskich w Brześciu dla układów o żołd zaległy zgromadzonych, gdy starano się pokój z Rosyą skojarzyć, i w którym opis zjazdu monarchów w Wiedniu skreślony. Jestto jednak tylko wierna kopia dobrze i starannie z egzemplarza krakowskiego przepisana.

Daliej pięknie dochowany rękopism łaciński, rodzaj inwentarza praw, materyami sądów rozdzielony, a do roku 1543 doprowadzony, mający tytuł: *Compendium Statutorum Regni Poloniae summarie per ordinem et regestrum diligentissime conscriptum; folio.*

Inny znowu zawiera dekreta prawne z rozmaitych spraw sądowych, po łacinie, charakterem XVI stulecia pisane i dopełniane. Nie ma on ogólnego tytułu, lecz dzieli się na 8 części, każda z osobnym napisem: 1) *Regestrum decretorum officii succamerialis*; 2) *Regestrum decretorum in causis ex officio*; 3) *Judiciorum novorum*; 4) *Sacrae Regiae majestatis in causis criminalibus*; 5) *in causis coram officio commissoriali*; 6) *Officii Castren.*; 7) *Compendium decretorum judicii ordinarii Generalis Tribunalis Regni*; 8) *Terrestria*. Kończy się zaś dodatkiem po polsku: Uchwała sądów głównych trybunału Wielkiego Księstwa Litewskiego na sejmie walnym warszawskim, przez wszystkie stany sejmowi należące, koronne i Księstwa Litewskiego w roku Pańskim 1581 wydane.

Nakoniec pomiędzy osobliwościami ze względu sztuki kaligraficznej i malowania na pergaminie, zasługuje na wspomnienie dyplom na szlachectwo wydany 24 grudnia 1764 r. dla Wojciecha Jakubowskiego pułkownika wojsk francuzkich, znanego tłumacza bajek Lafontena, z własnoręcznym podpisem Stanisława Augusta króla, i Andrzeja Zamojskiego kanclerza wiel. koron. Nie zdarzyło mi się widzieć tak pięknie wypracowanego dyplomu, z szczególnie ozdobnym herbem i arabeskami naokoło, a robił go zaś nasz rodak ojciec Paulin warszawski, Antoni Bartoszewicz, jak o tém przekonywa na dole pomiędzy arabeskami a drobnymi głoskami umieszczony następny napis: *Scriptis et adornavit P. Antonius Bartoszewicz Ordinis s. Pauli pr. Erem. in conventu Varsaviensi Pater senior A. D. 1764 aetatis suae 54, diebus Decembris, Varsaviae.*

P. Łaskiemu zawdzięczam nadto, że mnie poznał z tutejszemi numizmatykami, doktorami medycyny Janem Freyer i p. Walentym Siekaczyńskim. Obaj mają bardzo ładne zbiorki numizmatów i medali krajowych, dobrze ułożone i w pięknych egzemplarzach dochowane, między którymi są rzadkie i bardzo poszukiwane, zwłaszcza teraz, przy tak obudzonem w tej nauce zamiłowaniu. Dr. Freyer zbiera z całym zapalem i znajomością przedmiotu; ma też wiele osobliwości, których niełatwo gdzieindziej ujrzeć można. Pomędzy innemi widziałem z tych, co spamiętać mogę, rzadki medal Myszkowskiego biskupa krakowskiego, w złocie, którego dotąd jedyny egzemplarz w Monachium tylko znajdował się; Jana IIIgo na pamiątkę zwycięstwa pod Wiedniem, przez Raczyńskiego nieopisany, w srebro; dwa medale: jeden na pamiątkę założenia, drugi na ukończenie kościoła Ewangelickiego w Warszawie, bite w srebro rzadkiej czystości stępla. Wiadomo, iż takich mało było wyciśniętych: zepsuł się albowiem prędko stępel i niewielką ilość całych w świat było puszczone. Z monet od brakteatów począwszy łądny ma komplet: są tam rzadkie dukaty króla Michała, a jeszcze rzadsze Jana IIIgo koronne i gdańskie; prócz tego posiada znaczną liczbę dukatów Stanisława Augusta i całą swiętę srebrnych i miedzianych pieniędzy z tegoż panowania, szczególnie w czystych i dobranych egzemplarzach. Zbiór dr. Siekaczyńskiego podobnie ma swoje rzadkości: wielką donatywę Zygmunta IIIgo w złocie, liczny zbiór dukatów i srebrnych pieniędzy, oraz medali tak krajowych, jako i zagranicznych z osobna oddzielonych.

Rozstając się z Radomiem niepodobna mi nie wspomnieć o zbiorze obrazów niegdyś w tém mieście znanym, a po zmarłym Karolu Hoppen obywatelu i aptekarzu tutejszym pozostałym. Spotkał go los prawie wszystkich u nas zbiorów prywatnych, że po śmierci swojego właściciela po Bożym świecie się rozpraszają. Rodzina p. Hoppen właśnie sprzedaje dotąd częściowo niektóre bardzo piękne obrazy po tym szczególnym aptekarzu, amatorze i artyście; znaczna liczba przeszła już do zbioru p. Tomasza Zielińskiego naczelnika powiatu kieleckiego, inne ponabywano pojedynczo, reszta zaś jeszcze w dość znacznej ilości na sprzedaż jest wystawiona. Są tam piękne prace malarskie Ferdynanda Bol. Dietricha, kilka Flamandczyków prześlicznych, obrazy Tiepolo, Casanowy i t. d., portrety Lampiego ojca i Bacciarellego, nadewszystko zaś zbiór rysunków ręcznych po tym ostatnim malarzu pozostały, a z własnych lub nabytych przez niego prac składający się.

Znajduje się jeszcze do nabycia dobrany zbiór rycin, pomiędzy którymi kilka ze ślicznych odbić Rembrandta w wielkich rozmiarach, łoże Rafaela, Volpata i Morghena, ryciny Callota, Nanteila, Tardieu, Stef. Della Bella i t. d. Wszystko to pójdzie w rozsypkę, i bodajby tylko dostało się w ręce umiejącego cenić nabywcy.

II.

Szydłowiec. — Wspomnienia historyczne. — Opis kościoła i pomników. — Portret Długosza. — Wąchock. — Kościół i klasztor po Cystersach. — Ostatni Cysters. — Droga przez zakłady górnicze. — Wykopywanie urn pod wsią Nietulisko Duże i dzieje tego rodzaju starożytności. — Miasteczko Kunów, wieś Boleszyn i mogiła pod wsią Kotarszyn.

Zbliżając się do celu mojej podróży, aby ją korzystniejszą uczynić, pojechałem na Szydłowiec. To zboczenie winien jestem uprzejmości i szczególnej dobroci towarzysza mojej podróży p. Józefa Bałandowicza asesora ekonomicznego, który chcąc mi wszelkie osobliwości, przy bliższych drogach znajdujące się, pokazywać, kierował moją podróżą i wstęp wszędzie ułatwiał. Szczęśliwym trafem znalazłem w nim najdoskonalszego *cicerone* i uczciwego pod każdym względem człowieka. Cieszył się on najserdeczniej, iż mógł pokazywać to, co sam tak kocha: piękne i urocze widoki naszego kraju, oraz szczątki zabytków po przodkach pozostałe.

Szydłowiec jest miastem rządowém; leży przy szosie warszawsko-kieleckiej o mil 5 od miasta powiatowego Opoczna. Ma 2 kościoły, ratusz murowany i domów mieszkalnych 211. Ludność jego składa się w większej części ze starozakonnych; liczy ich bowiem teraz 2,500, a chrześcian 1,200. Stosunek ten ciągle nawet wzrasta, gdy porównamy, iż w r. 1822 na ogólną liczbę 2,377 tutejszych mieszkańców, samych starozakonnych było 1,500.

Miasto to, jak wiadomo, było gniazdem Szydłowieckich herbu Odrowąż, od niego nazwisko swe biorących, możnej i głośnej w historii krajowej rodziny. Właściwie jednak tylko dwaj ostatni: Krzysztof i Mikołaj bracia Szydłowieccy, co rozumem i majątkiem słynęli. Połączyli się oni z pierwszymi domami w państwie, i jednocześnie prawie obaj bez zostawienia potomka płci męskiej zmarli. Jeden z nich właśnie Mikołaj kasztelan sandomierski

i podskarbi w. koronny tu mieszkał i umarł w r. 1530. Szydłowiec jako miasteczko założone zostało w r. 1427 także przez dwóch braci: Jakóba i Sławosza Odrowążów, którzy odtąd z Szydłowca pisać się już poczeli. Ma zaś dotąd w oryginałach lub w kopiach, w metryce koronnej znajdujących się, następane przywileje: Kazimierza Jagiellończyka z r. 1470, w którym przenosi miasto z prawa polskiego na niemieckie; Alexandra z r. 1505, w którym król na prośby Mikołaja z Szydłowca podkomorzego i starostę radomskiego ustanawia tutaj dwa jarmarki roczne: na św. Wawrzyniec i we czwartek przed Niedzielą Kwietnią; Zygmunta I z r. 1508, ustanawiający co piątek targi tygodniowe; Zygmunta Augusta z r. 1550, którym mieszczanów Szydłowca uwalnia od cła i wszelkie hande prowadzić pozwala. Wszystkie te przywileje na prośbę Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła marszałka nadwornego litewskiego potwierdził Stefan Batory w Warszawie, na dniu 1 lutego 1578 r. Odtąd sami już Radziwiłłowie, bez odwoływania się do władzy monarszej, aż do końca zeszłego wieku zatwierdzali dawniejsze lub nadawali nowe prawa, urządzenia, podatki i t. p. Długo byłoby o tém pisać, jakich dowolności, co za uciski biedni mieszczankowie tutejsi doznawali, dopóki porządek i prawo nadużyć tych nie usunęło. Skutkiem zamiany z księżną Anną Sapieżyną, ostatnią dziedziczką, miasto to na własność rządową przeszło.

Z dawnych gmachów Szydłowca ocalały: kościół farny i ratusz, budowle piękne i starożytne. Ratusz włoskiej XVI wieku architektury, z krytym dachem; wyższa część ściany służy do zakrycia tegoż i przyozdobiona jest okrągło zakończonemi niszami; po bokach sterczą wieżyczki, na środku zaś wysoka wieża, a na samym wierzchu chorągiewka z jednogłowym orłem. Ratusz ten zniszczony podczas przechodów wojskowych w r. 1812, wyrestaurowany został w r. 1829, jak o tém napis, na tablicy nade drzwiami głównemi umieszczonej, poświadcza. Dziś budowla ta w dobrym jest stanie i długie wieki przetrwać jeszcze może: tak silne są jeszcze mury i dobrze zachowane.

Dawniejszą jest nieco fara, znać téż na niej wyraźnie zmarszczki czasu; pomimo to bardzo jest piękna budowa téj świątyni. Wystawiona w r. 1432 przez Szydłowieckich, ma herby Odrowążów po wszystkich stronach i na samém facyacie umieszczone. Styl budowli jest gotycki, lecz niezwykły tego wieku polskim kościołom, i okazałszy w zewnętrznych ozdobach. Cała z ciosu wysta-

wiona, ze skarpami na boku i z dachem śpiczastym dachówką holenderską pokrytym, otoczona jest murem naokoło, przy którym kilka nagrobków tutejszych proboszczów się mieści. W ogóle zaś i w całości swój o ile oryginalną, o tyle prześliczną jest ta świątynia; lecz wymaga już reparacyi i wczesnego ratunku. Wielkimi drzwiami, z osobliwym i starożytnym zamkiem, wchodzi się do wnętrza równie wspaniałego, i w szczegółach niezwykłego. Sufit tu cały jest z drzewa, zamiast sklepienia; na nim zaś obszerne i doskonale dochowane malowidła historyczne: we środku wyobrażony jest monarcha na tronie siedzący w purpurowym płaszczu, gronostajami podszytym, w koronie na głowie, w jednym ręku jabłko, w drugim berło trzyma. Otacza go grono świętych, pomiędzy którymi rozpoznać można czterech ewangelistów i czterech patronów kraju. Na dole pod królem następny jest napis: *Vir nichyte Sigismunde plebem tuam salva sancta intercessionem*. (Zygmuncie, mężu znakomity, ocal lud twój swoim wstawieniem). Co znaczy to szczególne wyobrażenie na suficie kościelnym, kiedy i przez kogo wykonane zostało?—o tém na miejscu dowiedzieć się nie mogłem. Lecz spodziewać się potrzeba po światłym terazniejszym proboszczu ks. Józefie Juszyńskim kanoniku katedry sandomierskiej, iż uporządkowawszy bogate tutejsze archiwum, rzecz tę, jak mi obiecał, objaśni.

Wielki ołtarz należy do tych rzadkich wyrobów z drzewa, których coraz mniej widzieć już można. Wystawiony współcześnie z kościołem, jest, jak zwykle w XV wieku ołtarze, w formie szafy, składany; ozdabiają go zaś rzeźby złożone i figury dobrego i wprawnego dłuta. Po lewej stronie tego ołtarza umieszczony jest wspaniały z czerwonego marmuru grobowiec Mikołaja Szydłowieckiego, zmarłego w r. 1530, który mu brat Krzysztof na rok przed swoją śmiercią wystawił. Śliczny ten pomnik doskonałego i bardzo starannego dłuta, wyobraża mężczyznę bez brody i wąsów w postawie leżącej; rycerz w całkowitej zbroi, w czepcu z siatki robionym na głowie, jakoby śpiący na wezgłowiu, na jednej ręce się wspiera, w drugiej trzyma włócznię z chorągiewką, na której herb Odrowąż; nogę ma jedną jakby do powstania zgiętą i podniesioną. Tuż obok niego leży przy boku szeroki miecz w pochwie, a u nóg szyszak z piórem strusim na wierzchu, i znowu na owalnej tarczy herb Odrowąż. Wszystko to wybornie wykonane i doskonale dotąd zachowane, gdyż cała figura jest w pewnej wklęsłości, w ciosowe z arabeskami otoczonej wpra-

wiona i ukośnie na wzniesieniu także z ciosu umieszczona. U góry na tablicy marmurowej znajduje się napis, lecz tak zatarty, iż wyczytać go już w zupełności nie mogłem; nie masz go też w Starowolskim, a kto inny u nas od r. 1659 dotąd zdjęciem napisów grobowych po kościołach nie zajmował się.

Pomiędzy oltarzami bocznymi, w jednej kaplicy znajduje się także bardzo starożytny składany ołtarz, sprawiony przez jakiegoś Szydłowieckiego, jak o tém herb Odrowąż kilkakrotnie powtarzany poświadcza. Sądząc z malowidła i ozdób, jest on dawniejszy od wielkiego ołtarza, a z osobliwości swój i starożytności bardzo szacowny. Malowidła na drzewie wyobrażają we środku historią męki Pańskiej, na 8 zaś tablicach są wizerunki wszystkich świętych. Według podania było ołtarz obózowy Szydłowieckich, którego następnie jeszcze jakiś Radziwiłł hetman używał, a potem na ofiarę w kościele złożył.

Naprzeciwko téj kaplicy wznosi się wprawdzie nowożytny, lecz bardzo piękny grobowiec. Jestto sarkofag w kształcie ołtarza z czarnego marmuru wystawiony, we środku którego, z czystego białego kararyjskiego marmuru wyrobiona jest niewiasta, na wzór grecki w długą szatę od stóp do głów obwinięta, która w postaci siedzącej z wyrazem smutku i rozpaczy na urnie się wspiera. Dzieło to szczególnie w draperyi udatne, jest dłuta Jakóba Monaldi, znanego snycerza na dworze Stanisława Augusta, jak o tém na boku następny napis poświadcza: *Monaldi Rom. inv. et sculp. 1790.* Wystawił go zaś naprzód Mikołaj książę Radziwiłł starosta radoszkowski dla żony swój z domu Gawdzickiej, siostry jednego z tutejszych proboszczów, lecz nie dokończywszy go, zmarł 1795 roku. Dopiero brat téjże żony pochował ich razem, i grobowiec dla obojga przeznaczywszy, dokończył.

Skałbiec kościelny tutejszy, do którego prowadzą starożytne żelazne drzwi ze sztucznym i niedobywym zamkiem, sprawionym dopiero wtenczas, kiedy najbogatsze rzeczy były już zład skradzione, nie posiada już ani złotych, ani srebrnych naczyń, o których drogości i wytwornej robocie inwentarze wspominają. Jeden tylko srebrny pozłacany dawny kielich ocalał, ofiara biędnej kobiety, która może całe swe mienie na to obróciła. Nie zaleca się on sztuką, lecz ma następny bardzo wymowny pod spodem umieszczony napis: *Najświętszy Krwie i Ciąła Pana Jezusa, z krwawych prac swoich Magdalena Przekupka.*

Nakoniec do osobliwości téj świątyni należą także schody z ciosu, nader sztucznie wyrobione, a na dach prowadzące, tudzież wiązanie dachu, które wszystkich zwiedzających budowniczych i cieśli zadziwia. Niepodobna bowiem sobie wystawić co to za las jest belek i krokwi wysokich i grubych, w tysięczne i ozdobne sposoby łączących się.

Z kościoła poszliśmy do plebanii, ze schludnego i pięknego domu składającej się. Tam w jednéj izbie wiszą portrety poprzedników terażniejszego proboszcza, pomiędzy którymi w kącie, na zczerniałém od starości malowidle, odkryłem portret Jana Długosza, nieśmiertelnego naszego dziejopisa. Nie jest to zapewne portret współczesny, lecz widocznie z prawdziwego i dawnego obrazu, jeszcze w XVI wieku kopiowany. Poznać to z rysunku i napisu na nim umieszczonego. Takiego wizerunku Długosza nikt, o ile mi wiadomo, nie zna. Wyobrażony on jest już w podeszłych latach, z postrzyżonymi włosami i brodą, w stroju kanoniczym; twarz ma wywiedłłą i zmarszczkami poraną, lecz oczy i czoło szczególnego wyrazu i rozumu. Jakim wypadkiem portret ten tam się znajduje, opowiada oddawna przechowywane podanie, które mi szanowny terażniejszy proboszcz udzielił. Niedaleko od Szydłowca, w tymże samym powiecie leży wieś Długosz, z której historyk nasz ma pochodzić i gdzie na pamiątkę tego, w dawnym kościółku portret rzeźbiony był zawieszony; ztamtąd go zaś jeden z proboszczów do swego mieszkania przeniósł. Ależ jak dotąd wiadomo, Długosz historyk w Niedzielsku się rodził. Był on jednak kanonikiem sandomierskim, a nawet proboszczem w Odechowie, niedaleko od téj wsi położonym, i wtedy może kościółkowi tam będącemu, dla tożsamości nazwiska portret swój darował. Cóżkolwiekby, zawsze pomnik ten ważny i bardzo ciekawy, ze wszech miar zasługuje, aby go sztychem lub litografią rozpowszechnić.

Z Szydłowca udaliśmy się do Wąchocka. Po drodze obejrzeliśmy zakład górniczy w Rejowcu, obecnie nieczynny, niemniej przeto wspinałemi gmachami odznaczający się, i drugi taki w Parczowie, o 3 piecach kopulowych, jeszcze bardziej opustoszały, i smutne wrażenie sprawiający. Mielśmy za to ciągle piękne widoki, bo kraj coraz stawał się górzystszym, a łąki i wzgórki lasami okryte, pomiędzy którymi role gospodarskie wyglądały, przyjemnie urozmaicały drogę. Za Wierzbicą, lichém miasteczkiem, jeszcze piękniejsze są widoki, a pod samym Wąchockiem najbar-

dziej zajmujące, bo oto wzgórza któremi jechaliśmy, a które zdala ciąglą równiną być się zdawały, nieznacznie posuwają się w górę i nagle przerywają się obszernym, że tak powiedzieć można, wąwozem. W nimto leży niewielkie miasteczko, pośród którego panują zdala czerniące się mury klasztoru Cystersów; smugi przerzniete rzeką Kamienną ciągną się wpoprzek, a z drugiej strony w górę wspinają się łąny, po zebraném zbożu ścierniskiem bielejące, albo jeszcze zieloną jarzyną naprzemiany okryte. Widok to był śliczny i godny pędzla artysty; całą jego tylko winą iż jest krajowy, bo gdyby taki za granicą znajdował się, naprzódby go zdjęto na płótno i papier, a potem dawnoby po salonach naszych amatorów był znany. Lecz wróćmy się do naszej podróży.

W okolicy lesistej i czysto górniczej leży miasteczko Wąchock, do powiatu opatowskiego liczące się, a o wiorst 42 od miasta Opatowa odległe. Składa się ono z 167 domów mieszkalnych, które oprócz dwóch murowanych, wszystkie są drewniane. Ludność tutejsza w ogóle wynosi osób 1,117, pomiędzy któremi 124 tylko jest starozakonnych. Są tu fryszerki rządowe, gdzie przekuwają surowiec żelazny na sztaby, do handlu i wyrobów zdatne.

Lecz największą osobliwością tego miasteczka jest kościół i ogromny w czworobok zbudowany klasztor, niegdy po Cystersach pozostały; od gmachów tych albowiem powstał Wąchock, a może nawet i cała osada początek swój wzięła. Wiadome są dzieje tego opactwa, bo troskliwi przełożeni na murach i ścianach przy wejściu do kościoła i klasztoru zewnątrz i we środku umieszczali napisy na marmurze wykute, a całą historją tego miejsca obejmujące. Liczne téż dyplomata, do klasztoru lub miasta odnoszące się, archiwa warszawskie posiadają. Podług tych napisów, z Długoszem i innemi historykami zgadzających się, Gedeon biskup krakowski założył w r. 1179 tutejsze opactwo, a Kazimierz Jagiellończyk w r. 1454 wieś Wąchock na miasto przemienił. Odtąd przywilejami królów obdarzane, przy zamożnym klasztorze i bogatych zakonnikach wzrastało miasto, a z handlu, kuźni, kopalni żelaza, tudzież wyrobu kamieni młyńskich, nawet słynęło. Świetny ten stan trwał do r. 1656, w którym Rakoczy książę siedmiogrodzki wraz z Szwedami zajawszy miasto, złupił i spustoszył kościół z klasztorem, Wąchock zaś na cztery strony podpalił i w popiół obrócił. Odtąd chociaż z gruzów powstało miasto, do dawnego już stanu nie wróciło. Klasztor tutejszy

bogate posiadał dochody: same kuźnice miały mu czynić przeszło 100,000 złp. Starzy ludzie, którzy pamiętają pomyślny byt tego zakonu, powiadają, że tutejsi Cystersi odznaczali się wielką gościnnością i miłosierdziem dla biędnych, a obszerny i piękny ogród, niegdyś przy klasztorze będący, z wybornych owoców słynął w całej okolicy. Po zniesieniu tego zakonu, dobra i gmachy rząd objął, a kościół zamieniono na parafialny; dawny bowiem kościół do którego te obowiązki należały, stał bliżej miasta w dolinie, naprzeciwko terazniejszego domu plebanii. W klasztorze pomieszczono urzędników, biuro górnictwa i składy dozorstwa suchedniowskiego. Później i to przy zagrożonej ruinie gmachów wyniosło się, a teraz tylko w bocznych skrzydłach mieści się szpital górniczy. Smutny widok przedstawia terazniejszy stan tych gmachów, a zwłaszcza obszernych sal i cel klasztornych. Są one w zupełnym opuszczeniu i ruinie; sklepienia pozielieniały od zaciekającej wody, powyrywane posadzki kamienne, opadłe sufity, powyłamywane deski, powybijane okna, dach już cały niemal dziurawy, a wieża z zegarem, oddawna zardzewiałym i popsutym, do upadku chyli się. Wszystko to przedstawia tak smutny i przykry widok, iż zdaje się, że to są ślady jakiegoś nieprzyjacielskiego napadu, a to tylko są zaniedbania i niestaranności skutki!

Przez wązki, trawą zarosły korytarz, po bokach którego kamienie grobowe przełożonych tutejszego klasztoru są umieszczone, wchodzi się do kościoła. Nade drzwiami w otoczeniu z marmuru oprawnych znajduje się podobnaż tablica z napisem łacińskim, iż kościół i klasztor złupiony przez Rakoczego, odnowiony został w r. 1695. Znać téż w budowie zepsuty styl tego wieku, a tylko wewnątrz kościoła w pierwotnym stanie ocalało. Świątynia ta pod wezwaniem Najświętszój Panny wystawiona, jest niewielka, o lukowatém sklepieniu, wązka i posępna dla braku światła, przez niewielkie okna wchodzącego; a we framugach, w gotyckim pierwszego peryodu téj architektury stylu, zbudowanych, umieszczone są po bokach kaplice, równie ciemne i starożytne. Zresztą, wszystkie ozdoby są nowożytne, lecz i te już przez zaniedbanie zniszczone. Ściany kościoła równie jako i kaplic pokrywają malowidła na suchém wapnie *al secco*, wyobrażające świętych i biskupów z zakonu Cystersów, cuda zdarzone, oraz dzieje pierwszego wprowadzenia Cystersów do Wąchocka. Malowidła te ze względu sztuki niczym nie odznaczają się: rysunek niedbały, a robota nieumiejętna; wykonane zaś były w r. 1764, jak następny

napis na sklepieniu znajdujący się przekonywa: *Aedes haec erecta est 1179, adornata 1764*. Przechowało się tu jeszcze i kilka marmurowych nagrobków opatów, pochowanych w tutejszych grobach, pomiędzy którymi najcalsze są Hieronima Sulikowskiego zmarłego 1612 r. i Mikołaja Lezejskiego zmarłego 1680. W jednej z bocznych kaplic wiszą dwa portrety olejno na płótnie malowane, które chociaż są bardzo lichego pędzla, znać z nich jednak, iż z dawniejszych były kopiowane. Jeden przedstawia, jak napis u dołu opowiada, Bolesława Wstydliwego, szczególnego dobrodzieja klasztoru, drugi Gedeona biskupa krakowskiego, założyciela tegoż; oba w naturalnej wielkości ciekawymi są zawsze zabytkami, gdyby nie tak mizernie były wykonane. Ato-li największą tutaj ozdobą jest obraz na płótnie, wyobrażający św. Stanisława wskrzeszającego Piotrowina, w ołtarzu bocznym w kaplicy św. Wincentego umieszczony. To dziwnie piękne obok tylu niedołącznych malowidło, wnosząc ze stylu, wykonane jest w XVI lub na początku XVII wieku. Wprawny pędzel artysty, wielka prawda w kolorycie i dobry rysunek, przekonywają, iż obraz ten robił niepospolity artysta ze szkoły flamandzkiej; a twarze i ubiory osób otaczających główną figurę świętego, tak są krajowe i swojskie, i tyle mają miejscowego wyrazu, iż niewątpliwie tylko rodak nasz mógł je wykonać. Ale nazwiska artysty napróżno szukałem; pytać się zaś nie było kogo i byłoby to nadaremno. Ileżto dzieł podobnych po zrujnowanych kościołach zginęło, lub nieznanie, jeszcze dotąd butwieją!...

Gmachów klasztoru niepodobna już było zwiedzać; lecz ocalał jeszcze nader starożytny kapitularz w byzanckim stylu wystawiony. Jestto może najdawniejsza część i niewątpliwie z pierwszój budowy XII wieku pozostała. Salę tę na dole klasztoru mieszczącą się, wspierają cztery grube i niskie kolumny z ciężkimi kapitelami byzanckimi, sklepienie w niej łukowate i okna szczególnego rodzaju, z małemi, w olów oprawnemi szybami, słabe przepuszczają światło. Później kapitularz ten służył za więzienie dla obwinionych zakonników, a według podania jeden z tych nieszczęśliwych był tu niegdyś żywcem zamurowany. Powiadają nawet, iż winą jego była miłość i romans zbyt głośno prowadzony.

Do osobliwości tego miejsca należy także i tutejszy proboszcz, jedyny pozostały Cysters i ostatni przeor klasztoru, ks. Zefiryu Bartyzel, ze szczególnego tylko swego nazwiska ciekawy. Pochylony wiekiem, z obojętnością spogląda na ruiny swego

klasztoru, a o przeszłości nic już nie pamięta. Napróżno więc chciałem od niego zasięgnąć jakiej wiadomości; nie on już nie wie nad to, że złodzieje ostatnie droższe sprzęty, pomiędzy którymi znajdowała się piękna starożytna monstrancya, z kościoła tego wykradli, że teraz nie ma co widzieć i że jemu wszystkiego brakuje. Smutnyto exemplarz szczątków tego wielkiego niegdyś zakonu!

Opuściliśmy Wąchock udając się drogą ku św. Krzyżowi. Długo jeszcze za nami wspaniałe bielity się mury tych ruin, ze wszystkich stron malowniczo wyglądające. Widoki zaś były coraz to rozmaitsze i piękniejsze. Przy drodze bitój górniczej, doskonale utrzymywanej, wężykiem wśród pagórków wije się rzeka Kamienna, mająca z jednej strony spadziste wzgórze krzakami zarosłe, z drugiej obszerne łąki; za nią znowu lasy na wzgórzach, a między nimi zakłady górnicze w Starachowicach, Brodach, Michałowie i t. d., z pysznemi budowlami i małemi domkami górników, z muru ozdobnie wystawionemi, które zdaleka u stóp gór rozsiane, czystością i białością się świecą. Nic piękniejszego jak cała ta droga. Potém dalej za wsią Wenecyą i miastem Wierzbnikiem, ciągle wśród górzystej okolicy, majestatycznie występuje wielki staw Michałowski. i jakby rzeka jaka lazurową tęczę rozlewa się po obszernej dolinie, niknie wśród pagórków i krzaków, potém znowu nagle występuje i obszernością swoją i czystością wody zadziwia. Dodajmy do tego, iż zachwycającej tej podróży sprzyjała najpogodniejsza pora, dni jesienne były jak rzadko ciepłe, niebo czyste, a cała natura dziwnie wspaniała i spokojna.

Takąto drogą przybyliśmy do wsi rządowej Nietulisko Duże, w powiecie opatowskim, do gminy i ekonomii Kunów należącej, a od miasteczka Kunów wiorst 2 oddalonej. Wieś ta składa się z domów mieszkalnych 105; ma zaś ludności 615 chrześcian, a 10 żydów. Dotąd znaną była z wielkiego zakładu górniczego walcowni sztabowej, teraz zaś na jej gruntach piérwszy miałem archeologiczne poszukiwania czynić. Początek téj mojej wyprawy był następny:

Przed kilku laty sołtys wsi Nietulisko mając role pod górą nade drogą położone, chcąc powiększyć takowe, bliżej do góry się przysunął i część jej nawet zajął; a uprawiając ją pod zasiów, odkrył kilka glinianych naczyń w ziemi zakopanych. Ucieszony wieśniak sądząc że znalazł garuki z pieniędzmi, przykrył je znowu starannie, a w nocy, nikomu nic nie mówiąc, do wydobywania ich

zabrał się. Lecz jakież było jego zadziwienie, gdy nie mógł wydobyć żadnego, bo mu się za dotknięciem w proch rozsypywały, a we środku zamiast pieniędzy, znalazł tylko popiół i kości. Sądząc tedy, jak mi sam powiadał, że go Bóg za ciężkie grzechy karze, a nie tylko garoki, lecz i pieniądze w proch i kości obraca, przestał je wydobywać, i nie nawet o tém nikomu nie mówił. Aliści tego roku ulewne deszcze splukawszy spadziłą pochyłość góry, same kilka takich urn na wierzch wydobyły, a te owiane wiatrem, dały się podnieść i utrzymać. Zatem znowu rzucili się wieśniacy do szukania więcej takich naczyń, zawsze w nadziei odkrycia pieniędzy; lecz przekonawszy się o nadaremnych poszukiwaniach, zdecydowali, że to są grobowce aryańskie i dali znać do wójta; ten znowu doniósł wyższej władzy, a tym sposobem doszło to do gubernatora cywilnego. Gubernator przybył sam na miejsce, a osądzwszy, że nauki mogą odnieść z odkrycia tego jakie korzyści, zabronił dalszego wykopywania, a tymczasem dał znać do Warszawy. Dowiedziawszy się o tém władza edukacyjna, będąca teraz pod sterem JW. R. R. St. Pawła Muchanowa kuratora O. N. Warsz., męża znanego z prac i zamiłowania w archeologii, mnie znowuż na tę wyprawę delegowała. Upoważniony tedy i wsparty pomocą rządową, przybyłem w tym celu do Nietuliska, a mając dodanych sobie ludzi, zająłem się dalszém zbadaniem i do wykopywania przystąpiłem. Miejsce na którém wspomniane urny znaleziono, leży o parę staj ode wsi: jestto góra wysoka na 33 sążni, z gruntu piaszczystego, na dole której z jednej strony płynie rzeka Kamienna, a z drugiej rzeczka Swisłina; obie zaś we wsi łączą się z sobą. Po prawej stronie téj góry niedaleko rozciąga się obszerny, las. do leśnictwa rządowego Ilży należący, pod samą zaś górą z jednego boku dotykają role wieśniaków, z drugiej strony idzie droga bita Bzińsko Zawichostską zwana. Rozpoznawszy miejscowość, przekonałem się, iż cały spód téj góry na przestrzeni długości sążni 29, a na szerokość sążni 11, zasiany był rozmaitego rodzaju i wielkości urnami. Zakopane one były w piasku szeregiem jedna za drugą, lub pojedynczo po dwie lub trzy razem, obok których malutkie urny po bokach znajdowały się. Atoli wydobywanie ich ztamtąd wielkiej ostrożności wymagało; za najłżejszém bowiem dotknięciem w proch się rozsypywały. Wypadało zatem naprzód każdą urnę z osobna w piasku naokoło okopać, co zaledwo rękoma lub małym nożykiem wykonać było można; następnie zostawić je przez dni kilka na działanie powietrza i słońca, potem dopiero

wynosiły się na wierzch już zupełnie od zniszczenia zabezpieczone, gdyż tym sposobem niemal do pierwotnego stanu trwałości powracały.

Na przestrzeni, którą w obecności mojej skopano, znajdowałem wszędzie urny na trzy, cztery a najwięcej na pięć stóp w głąb pionowo do góry otworami zakopane. Kształt miały one rozliczny; po większej części były u góry otwarte i węższe, ku środkowi szersze i wypukłe, a ku dołowi aż do dna zwężone. Inne zupełnie równe, mniejsze były z dwoma na bokach uszkami; każda zaś przykryta pokrywą z uszkiem jak od rynki, lub w kształcie czapeczki. Wszakże wydobyć w całości z nakrywkami było nader trudną rzeczą, gdyż prawie wszystkie już przez sam ciężar ziemi miały nakrywki zgniecione. Niektóre z tych urn znajdowałem ozdobione centkami i liniami prowadzonymi na krzyż, lub korbami; atoli w większej części były zupełnie gładkie. Najforemniejsze jednak były małe urny, niektóre jak ryneczki z dwoma uszkami, inne w kształcie pękatego dzbanka bez ucha, mające w węższym końcu z obu stron po dwie wyniosłości, jakby miejsce uszu zastępujące. Najmniejsze mają dwa ucha po bokach lub są bez nich; zawsze zaś przykryte były małą miseczką w kształcie grzyba. W ogóle urny te miały wysokości od 4 do 16 cali, objętości zaś bardzo różnej. Świeżo z ziemi wydobyte wszystkie miały kolor surowej gliny, lecz im dłużej stały na słońcu i w suchym miejscu, tym więcej nabierały mocy, a z czasem i koloru ceglanego, czarnego lub popielatego; co dowodzi, iż bywały palone. Prawie wszystkie urny, oprócz małych, znajdowałem napelnione do połowy lub do samego wierzchu popiołem i drobnymi przepalonymi kośćmi, które wystawione na słońce, bieleły i kruszały. W kościach tych rozpoznać jeszcze można było obojęzki, jabłka kolan, zęby trzonowe człowieka, noszące wyraźny ślad spalania; pomieszane one były z popiołami spalonego ciała i piaskiem, który pomiędzy nie woda i czas wniósł. Pomędzy tym wszystkiem, chociaż rzadko, znajdowałem jednak pierścionki brązowe prostego wyrobu, spinki do włosów kobiecych, krzemień obrobiony i t. p., lecz monety ani jakiego znaku, któryby wiek tych starożytności determinował, pomimo pilnego poszukiwania nie znalazłem.

Wszystkie te urny są z gliny zwyczajnej, garncarskim sposobem toczone, a niektóre tylko rękami ulepione; jedne też mają grubą skorupę, inne zwykłą w naczyniach glinianych. Nadzwyczaj

rzadko znajdowałem urny robione z gliny pomieszanej z granitem na proch tłuczonym; to jest z skwarcem, feldspatem i miką.

Skopawszy niemal połowę góry, gdy coraz rzadziej i głębiej urny znajdowały się, zaniechałem dalszego poszukiwania, zwłaszcza, iż kilkadziesiąt całych exemplarzy, które z sobą do Warszawy przywiozłem, dostatecznie ciekawość i badanie zaspokoili.

W ogóle wykopanie to różni się od innych dotąd odkrywanych kształtem swoich urn, licznemi odmianami tychże, i sposobem zakopania. Urny czyli popielnice nie były na podstawach umieszczone jak w Wielkopolsce, ani przykryte kamykami na wierzchu, lub zupełnie niczym nie przykryte jak w Mazowszu. Pokrywki nieznanej dotąd są formy, a malutkie tego kształtu urny, zupełną w archeologii krajowej nowością.

Trudno zaiste z pewnością oznaczyć wiek tych urn; ale zważając, iż Słowianie przed chrześcijaństwem stale tu mieli siedlisko, a niedaleko stąd wznosi się góra Świętokrzyżka, na której niegdyś stały najslawniejsze w tych stronach bożnice pogańskie; nakoniec gdy wiadomo, że za czasów Bolesława Chrobrego dość już powszechny był zwyczaj zagrzebywania ciał zmarłych: wnosić tedy z tego wszystkiego można, iż w urnach tych znajdują się kości i popioły Słowian przed 1000 laty zmarłych, i są szczątkami jeszcze pogańskich ojców naszych. Niezawodnie zatem był na tém miejscu kiedyś cmentarz; wielka zaś ilość urn każe się domyślać, iż może to było dla całej okolicy grobowisko. Nawet ta szczególna nazwa wsi Nietulisko, może niegdyś Nientulisko nosiła imię, oznaczając jakoby miejsce, gdzie nieutuleni z żalu krewni szczątki swoich powinowatych składali. Wszystko to może mieć swoje znaczenie, lecz dowodów na to oprócz domysłów dostarczyć niepodobna. To tylko pewna, iż w odkryciu tém, zważając na prosty wyrób urn, na brak wszelkich cech, któreby epokę czasu odznaczyć mogły, wreszcie na prosty także wyrób pierścionków i innych przedmiotów, które się tam znalazły: wnosić trzeba, iż urny z Nietuliska bardzo odległych przedchrześcijańskich sięgają czasów, służyć zaś mogły tylko dla gminu w osadach tu zamieszkałego, gdy tak obszerna przestrzeń, kilkaset urn zawierająca, żadnego śladu przemysłu w zabytkach swoich nie obejmuje, ani odznaczenia nie przedstawia. Lecz co to były za osady? — o tém powiedzieć niepodobna, bo źródła piśmiennych z tych czasów nie posiadamy, a miejsce z żadnych wypadków ani w krajowej, ani w obcej historii nie jest znane. Tylko Długosz w swojej *Liber Beneficiorum* z XVgo wieku wspo-

mina o jednej sąsiedniej wsi Prawencin, która dawniej Prendocinem nazywała się, i początkowo była osadą żołnierską, następnie zaś prywatnem dziedzictwem zostawszy, w XVI stuleciu na własność klasztoru XX. Benedyktynów Świętokrzyżkich przeszła. Być zatem może, iż i okoliczne wsie jeszcze za czasów pogańskich podobne osady żołnierskie składały; lecz i na to pewnych nie ma dowodów.

Gdy zatem miejscowość wątku do moich badań nie dostarczyła, spróbujmy gwoli ciekawości czytelników opisać im przy tej sposobności w ogóle co znaczą te urny czyli popielnice, jaki był u nas użytek z tychże przed wprowadzeniem chrześcijaństwa, a na koniec czy to odkrycie jest u nas nowością?

Najprzód sędzę, iż zbytęzną byłoby rzeczą zbijać mylne, aczkolwiek powszechnie utrzymywane podanie, iż miejsca gdzie popielnice znajdują się, są grobowcami aryańskimi; gdyż Aryanie polscy, Socynianie właściwie, byli chrześcianami, nadto wyznanie to zjawilo się w Polsce dopiero w końcu XVI wieku i przez cały czas kilkudziesięcioletniego u nas tolerowania, nie miało wcale tak licznych zwolenników, aby tyle grobowców po sobie zostawić mogło. Wprawdzie te strony były głównem ich siedliskiem, lecz kilkadziesiąt familij po dawnem dość obszernem województwie sandomierskiem rozproszonych, cały ich zbiór stanowiły. Zresztą, gdyby nawet Aryanie nasi trupów swoich nie grzebali, ale je palili, gdyby ich było w istocie tyle, ile popielnic w kraju dotąd wynaleziono: toby urny te wcale inną miały postać, nie zaś tak starożytną i prostą. Zkąd zaś to mniemanie urosło, że miejsca takie grobowcami aryańskimi przezywają?—oto ztąd, iż jeszcze w XVII wieku wyznawcom tej sekty przez chrześcian znieawidzonym, co tylko może być najgorszego przypisywano, a zatem i pogrzeby pogańskie palenia ciał pomiędzy ich obrządki położono. Zresztą niektóre nasze podania co do zabytków po całym dawnym państwie znajdujących się, dziwnie i bez zasady są uogólnione; i tak: niech to będą ruiny zamku—Bona go pewnie stawiała; okopy lub wały zawsze są szwedzkie, a kościół stary lub grobowce—aryańskie. I wierz tu podaniom!

Przeto miejsca, w których wykopywane bywają naczynia popiołami i resztkami kości napelnione, są niezawodnie dawnym cmentarzem pogan, a naczynia te są to urny czyli popielnice, w których chowano popiół i pozostałe od spalenia kości ludzkie; co było we zwyczaj u wszystkich starożytnych przed chrześcijaństwem

narodów. U Słowian taki obrząd pogrzebowy nazywał się *tryzną*, zapewne od wyrazu łacińskiego *tristitia*, żal, pochodzący. Ztąd też i miejsca gdzie zakopane są popielnice, w wielu stronach *żalami* i *żalnikami* nazywają. Według Nestora, najdawniejszego latopisca ruskiego, Słowianie tameczni na stosie drzewa palili ciało zmarłego, a zebrany ztąd popiół składano w urny i wystawiano je na słupach około drogi.

W opisie podróży pewnego Anglika odbytej ponad Wisłą przed rokiem 900 po Narod. Chryst. czytamy, iż mieszkańcy tych stron trzymali przez czas niejaki ciało umarłego, a następnie dopiero je palili, poczem wyprawiali ucztę i t. d. Sąto dostateczne dowody dla przekonania, iż zwyczaj palenia ciał i chowania szczątków pozostałych był wszystkim dawnym ludom wspólny.

Obchód ten w następnym sposobie odbywał się. Skoro tylko kto umarł, ubiérano go w najlepsze suknie i do najcenniejszój izby wynoszono. Powinowaci i przyjaciele zbierali się tam zaraz, a całując nieboszczyka zamykali mu oczy, rozwodzili żale, i z płaczem śpiewali pieśń: „*Halele lele, i pocóżeś ty umarł, i czyżeś to nie miał co jeść albo pić?*“ pieśń, którą dotąd Chorwaci przy grobach zmarłych śpiewają. Albo jeżeli to był gospodarz, sadzali go na stolku i zdrowie jego pili, mówiąc: „Ja do ciebie piję, miły przyjacielu! i czemuś to umarł, wszak masz swoją miłą oblubienicę, dziatki, bydło, przyjaciół i wszelki dostatek?”. Po kilku dniach téj ceremonii, naczelnik osady uwiadamił miejscowych mieszkańców o zejściu nieboszczyka, za pomocą czarnego w kształcie buławy znaku, od domu do domu przesyłanego: potem zgromadzali się wszyscy, ubierali go w śmiertelną koszulę, *żglen* zwaną (1) i wyprowadzali ze smutnym płaczem, śpiewając: „Idź nieboże z tego nędznego świata na świat lepszy, gdzie wesele wieczne, gdzie ani zazdrosny sąsiad, ani drapieżny nieprzyjaciel nie będzie cię mógł pokrzywdzić.”

Byłoto zawsze w wieczór albo w nocy, aby przy świetle lamp i pochodni ciała umarłych na miejsce, gdzie zwykle trupów palono, odprowadzać. Biédnego człowieka nieśli krewni i przyjaciele na marach w rodzaju terażniejszych noszów, lecz otaczały koniecz-

(1) W Krakowskiém i Małopolsce lud jeszcze dzisiaj śmiertelną koszulę *żglen* nazywa, i często w niektórych śpiewkach ją wspomina. Sam słyszałem pieśń w której była następująca zwrotka:

Przyleciała sówka młoda, niedorośła,
I śmiertelne żgielko dla Kuby przyniosła.

nie kobiety *placzkami* zwane, których obowiązkiem było najrzewliwiej płakać, śpiewać żałośnie i rozwodzić żale, chwając w nich i wysławiając przymioty zmarłego, rozpacz pozostałych i stratę jaką wszyscy ponieśli: zwyczaj dotąd na Rusi zachowywany. Placzkom tym pomagali najbliżsi krewni nieboszczyka, lzy zaś płynące w małe naczynia gliniane lub szklane zbierano. Miejsce na którym palono ciała, położone było zawsze za wsią, na górze, pod lasem, rzeką lub nad gościńcem, a zwano je pospolicie *trzebą*; ztąd téżto pochodzą tak liczne nazwiska dotąd istniejących wsi lub miasteczek, jakimi są w samém królestwie: *Trzebin, Trzebień, Trzebina, Trzebie, Trzebieszów, Trzebiatów, Trzebnica* i wiele innych tym podobnych. Tam z rozmaitego łatwo palącego się drzewa układano umiejętnie stos, zwany *żarem*, od którego zapewne są także nazwiska wielu wsi, jakoto: *Zary, Żarki, Żarówo, Żarowiec, Żaryń*, i t. d. Stos ten różnej bywał objętości, stosownie do wzrostu, postaci i wieku zmarłego; ułożony był w kwadrat, u dołu szerszy, a u góry węższy, aby ogień odrazu cały mógł objąć. Na takim stosie na wierzchu kładziono trupa wraz z noszami i podpalano go, a gdy wszystko zgorzało, opuszczali znowu z płaczem to miejsce i wracali do wsi, gdzie krewni wyprawiali ucztę, *strawą* zwaną, łożąc na nią wydatki z pozostałej po zmarłym majątności, lub kosztem rodziców, jeżeli był jeszcze niepełnoletni. Bo u Słowian, przodków naszych, smutek czy radość ucztą kończyć się musiały: jedli i pili na urodzinach, na weselu jeszcze lepiej, a przy pogrzebach i smutek obficie zalewano.

Po tém wszystkiém w dni kilka najbliżsi krewni wracali znowu na miejsce spalenia, *zgliszczami* wtedy zwane: mężczyźni w żałobne szaty przybrani, kobiety z rozpuszczonemi włosami, a zdjawszy z nóg obuwie, czystemi rękoma zbieżeli starannie pozostałe kości, obmywali je w mleku, odłączali popiół z ciała zmarłego pochodzący, który łatwo od popiołu z drzewa odróżnić było można, gdyż żgło czyli koszula śmiertelna była maczana w pewnym rozcieku, który całkowicie spalić jęj się nie dozwalał, a tym sposobem i popioły z ciała przechowywał; zebrawszy zaś wszystko, w przygotowaną na ten cel urnę umieszczali. Zebranie atoli kości i popiołów do kobiet tylko należało, które, dla odróżnienia płci, igły, pierścionki, paciorki i śpilki do włosów, do urny w której szczątki spalonej kobiety mieściły się; siekiery zaś i młotki kamienne, krzemień i inne przez mężczyzn używane sprzęty, do urn męzkich wkładały. Następnie dopiero urny te albo na miej-

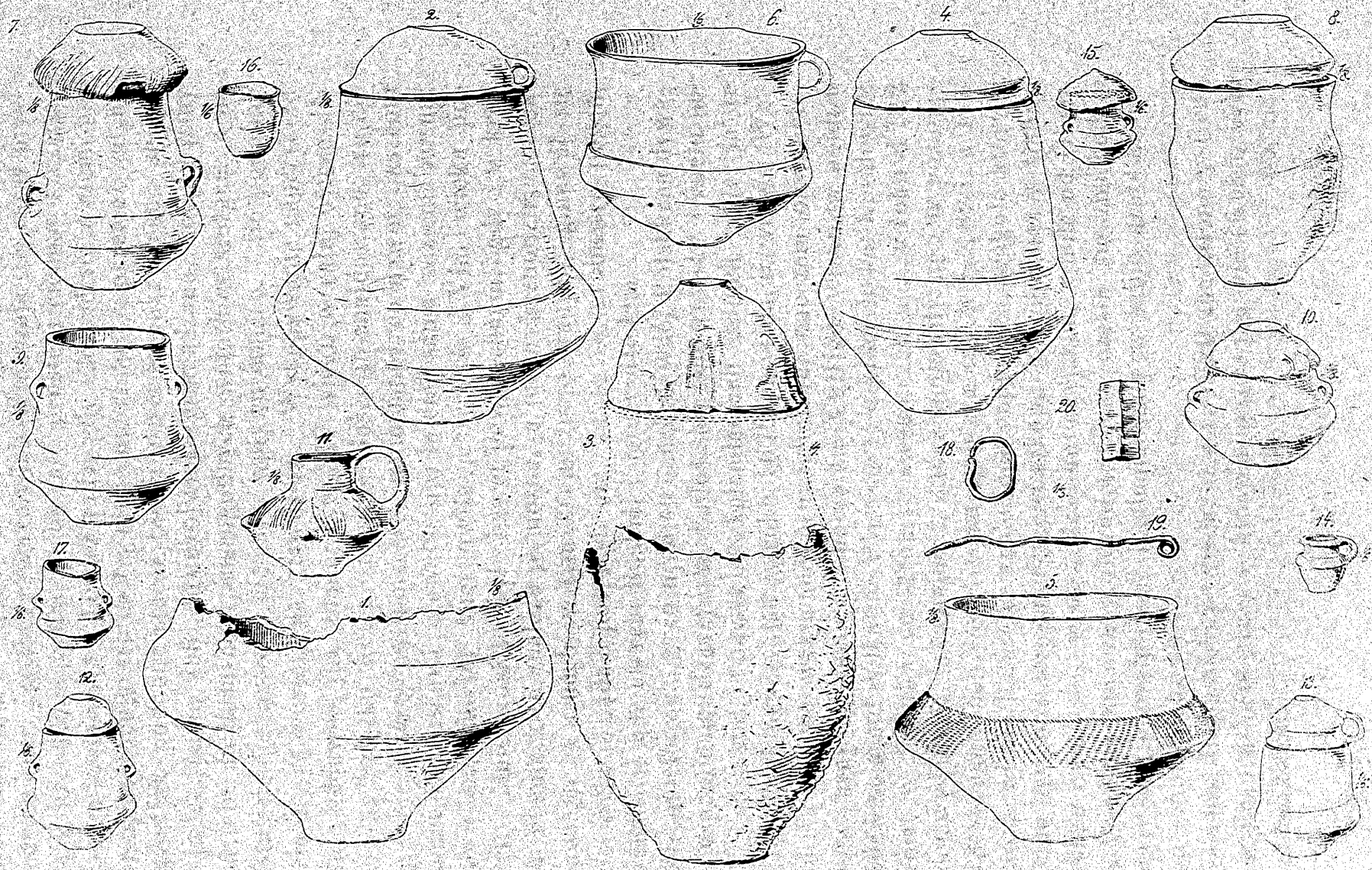
scu ogólnego grzebowiska, albo pojedynczo w ziemi lub piasku, pod górą, nad brzegami rzeki, pod lasem lub nade drogą przykrywszy kamykami lub pokrywą, zakopywali. Obok nich stawiali ma-lutkie urny *lzaunicami* zwane, tzy pozostałych zawierające, dla oznaczenia żalu i smutku, jaki zgon drogiój osoby sprawił. Czu-ły i rzewny zwyczaj, a więcój w sobie poczui zawierający, niż te-raźniejszy piasek na trumnę sypany.

Takie były pogrzeby przodków naszych przed chrześciań-stwem, szczególnie ubogiego ludu, bo możniejsi z większemi cere-moniami to odbywali, nie łączyli się z tłumem, a nad popiołami swemi wysokie mogiły wznosili, które pojedynczo w rozmaitych miejscach sypano, a których także niemało u nas dotąd znaj-duje się.

Skreślony wyżej opis przekonywa, iż wykop w Nietulisku był tylko miejscem pogrzebu kości z popiołów wieśniaków; urny zaś, których wizerunki na osobnej rycinie tu załączam, większe pod numerami 1, 2, 3, 4, zawierały kości mężczyzn w pewnym wieku; ozdobniejsze, jak pod nr. 5, 6, kobiet; mniejsze młodzieży, nr. 7, 8, 9, 10; jeszcze mniejsze niemowląt, nr. 11, 12, 13, a najmniejsze nr. 14, 15, 16, 17, przedstawiają lzaunicami, u Ru-sinów *sloznicami*, u Litwinów *assaruwe*, a u Rzymian *lachrima-torium* zwane. Nakoniec wyroby z bronzu, jak pierścionek nr. 18, igielnica nr. 19, wyraźnie są kobiece, tak jak już obrobiony krzemień nr. 20, do mężczyzn należał.

Czy z odkrycia tego może nauka jakie odnieść korzyści?—na to odpowiedzieć łatwo. Pierwiastkowe dzieje nasze, jak początki wszystkich narodów, gruba zakrywa pomroka: bo pisma nie zna-no, a podania zniknęły lub zamęczone późniój przyrostem bańnia-mi, trudne są dziś do rozwiązania. Ostatnią więc ucieczką jest ziemia. Wiemy już to dobrze, iż wszyscy z ziemi powstałiśmy, lecz i to jeszcze pewnem być może, iż w jój wnętrzu i pierwiastki naszych dziejów odkryć możemy.

Wszakżeto pilne poszukiwania archeologów, z zabytków w grobach znalezionych, najszcześliwsze odkrycia poczynili; a po szczątkach naczyń i sprzętów, po resztkach z ubioru i stroju, jak z kości odkrytych nieśmiertelny Cuvier odgadł świat zwierzęcy przed potopem, tak dzisiejsi uczeni przedstawili nam zwyczaje, stroje, stopień oświaty, przemysłu i handlu dawnych Germanów, Gallów, Celtów, Liwów i t. d. Tylko u Słowian mało nad tém pracowano i pracują, a co gorsza, iż na obszernój niegdys ich zie-



rysunki i ryc. D. F. Stankiewicz

POPIELNICE WYKOPANE W NIETULISKU-DUŻYM

mi, terazniejsi archeolodzy sąto wprawdzie pracowici i uczeni Niemcy; lecz ze krwi swojej uprzedzeni, a narodowością dumni, zabytki znajdowane, jeżeli te czemkolwiek odznaczają się, zaraz przypisują je przodkom swoim, liche zaś, proste i ciemne szczątki, Słowianom zostawiają. Trudna rada, gdy i klócić się z niemi nie ma komu, a pracujących na téj niwie niewielu. A przecież, gdyby od czasu jak podobne starożytności u nas są odkrywane, spisywano je starannie lub gdziekolwiek zgromadzano, moglibyśmy mieć dzieła do licznych i wiarogodnych wniosków służące, a na pierwotne dzieje narodu niemało wpływu mające. Bo podobne odkrycia nie są wcale u nas nowością. Wykopywanie naprzykład popielnic oddawna już znano; a w XIV wieku w całej ówczesnej Polsce i na Szlązku w tak znacznej ilości je znajdowano, że nie mogąc sobie inaczej wytłumaczyć, mniemano, co nawet naszemu uczonemu Długoszowi zdawało się, iż one same w ziemi rosną; któreto zdanie doktor Miechowita jeszcze w XVII wieku powtórzył. Mniemanie to było nawet powszechném, gdy i w kronikach niemieckich znaleźć je można, a jeden kaznodzieja czeski rozprawiając o urnach w tym kraju znajdowanych, gniewał się na wiernych, iż sądzić powazyli się, że to są grobowce pogan, i dowodził, iż one są ręki Boskiej i natury dziełem.

O popielnicach, w różnych stronach dawniej Polski znajdujących, wspominają: Rzączyński, Ładowski, Duńczewski i wielu innych. Ten ostatni nawet w kalendarzach swoich odkrycia te umieszczał; tak naprzykład w roku 1672 powiada, iż we wsi Woli pod Warszawą wykopano urny gliniane, mieczem obwinięte. Podobne urny znalazło na początku XVIIIgo wieku w pobliżu Miedniewic, o mil kilka od Warszawy, o których ks. Koralewicz Reformat w dodatku do kroniki swego zakonu, w roku 1722 z druku wydanym, wspomina, a które pojawiły się i w późniejszych wykopaniach. Nawet w naszych czasach w r. 1826 w Lesznie w powiecie błońskim znalaziono popielnice, wokół których okręcony był obosieczny miecz bez rękojeści; podobnież w Galicyi w pobliżu Kamionki, w obwodzie kołomyjskim, o milę od Oberdyna, i indziej mieczem obwinięte urny często się znachodzą. Znaczyły one niewątpliwie, iż obejmowały w sobie szczątki dawnego wojownika.

Jezuita Rzączyński powiada, iż w r. 1720 znalaziono w Gembicy w Poznańskim urny, w których oprócz popiołu i kości, było

mnóstwo cienkich jak blaszka pieniędzy; byłyto niezawodnie brakteaty albo może kufickie monety, które dziś tak wielkie światło na stosunki Słowian ze Wschodem rzucają.

W roku 1817 pomiędzy Kaliszem a Kołem, pod miasteczkiem Turek zwaném, gdzie podług miejscowych powieści stare miasto Turk znajdować się miało, w rozkopanych pagórkach obok wzgórza leżących, natrafiano na urny napelnione kośćmi i popiołem. Urny te były nadzwyczaj proste i bez ozdób, ani żadnych innych przedmiotów w sobie nie zawierały. Podobnież popielnice poznajdowano w siedmiu innych miejscach b. województwa kaliskiego, dziś gubernii warszawskiej. Te, które wykopano na polach wsi Chmielnika pod Kaliszem, i w górach wsi Kościelec, między Kołem a Russocinami leżącej, niczém nie różniły się od popielnic pod Turkiem znalezionych; wszystkie zaś te miejsca o 1000 przeszło kroków od wsi najbliższej były odległe.

Później w wielkiej liczbie po różnych stronach znajdowano urny; np. pod Kozienicami, w Brześciu Litewskim, pod Bydgoszczą i t. d; lecz dokładnych ich opisów nikt nie dostarczył, co tém większa szkoda, iż w niektórych rozmaite wyroby, a nawet pieniądze i medale znajdowano. Tak np. między wielu innymi miejscami w r. 1813 w powiecie kamińskim, między Nakłem a Piłą, na polach pod samém miasteczkiem Wyrzysk, na parę stóp w głębokości ziemi, na mnóstwo takowych popielnic rozmaitego kształtu i wielkości natrafiono, gdzie pomiędzy popiołami i kośćmi poznajdywano kawałki narzędzi kruszcowych, tudzież monety miedziane i ołowiane; ale ci co widzieli te monety, tyle tylko powiedziéć umieli, iż postacie lub napisy na nich były niewyraźne. Na Podlasiu i ponad Bugiem na północnym jego brzegu, w Wielkiem Księstwie Poznańskim nad rzeką Wartą, w powiecie obornickim w Lubaszu, na Krasnej górze, wykopywano w znacznej ilości popielnice, nawet wytwornie wyrabiane. Podobnież pod Szmigłem, w Galicyi około Jarosławia, w cyrkułe Przemyskim koło Rajtarowic, lub w Rzeszowskiém we wsi Pniowie i Wielowisi nad Wisłą, gdzie odkryto urny z mosiądzu i cyny w kształcie dzieży i dzbanków wyrobione, w których oprócz zwyczajnych popiołów i kości, znaleziono posążki miedziane i różne ozdoby z drutu i srebra; lecz gdzie się teraz znajdują i kto je opisał?

O milę od Stanisławowa i Okuniewa we wsi Cygowie, pod dworem na dziedzińcu, w odwiecznym grzebowisku dotąd można odkryć rozmaite urny; a w r. 1842 we wsi Nowodwory, obok

Tarchomina, milę od Warszawy, znaleziono mały, nakształt wału pagórek. w którym wykopano podobneż urny. Niektóre z nich, jak mi powiadano, otoczone były gałązkami: snadź byłyto wieńce dla odznaczenia zmarłych młodzianów i dziewic, o którymto zwyczaju jeszcze w XVI wieku Jan Kochanowski dochowując ówczesne podania od przodków pozostałe, w nagrobku dla swój opłakiwanój Urszuli tak wspomina:

Nieście kwiatki na ten grób panny i młodzieńce,
A jej szlachetne kości przyodziejcie w wieńce.

Nakoniec świeżo i pod Krakowem w r. 1850 znaleziono urny we wsi Brzeziu, a w roku bieżącym piérwszy raz w tamtych stronach odkryto je pod folwarkiem Popówka, o których zacny nasz starożytnik p. Ambroży Grabowski w przeszłym zeszycie Biblioteki Warsz. donosił.

Otóż wszystko, co w naszej archeologii o urnach znajdujących dotąd udało się wyszukać.

Czytelnicy zapewne raczą mi przebaczyć, za ten mały ustęp, który dla objaśnienia przedmiotu koniecznym mi się zdawał; zwłaszcza, iż nawet tak zebranych wiadomości dotąd jeszcze nie mieliśmy.

Skończywszy moje wyprawę z urnami, które dość tam hałasu narobiły, bo szlachta i wieśniacy z okolic przybywali umyślnie. aby widzieć, jak mówili, stare garnki, po które aż z Warszawy przysłano. Gdy zatém wytłumaczyłem im użytek i ważność tych skorup, zachęcając, aby jeżeli znajdą takowe, nie niszczyli, ale owszem na pamiątkę chowali lub do Warszawy odsyłali: zmniejszyło się może na czas niejaki lekceważenie tych zabytków, a nawet uważałem, iż malutkie łzawnice czułym tutejszym paniom do serca przypadły. Potém dopięro dalszą podróż rozpocząłem.

Jeszcze téż i wieś Nietulisko miała godne widzenia, aczkolwiek niestarożytne osobliwości: rezerwoar 150 sążni długości i tyleż szerokości mający, dla połączenia kanałów od rzeki Kamienny i Swiśliny; i wspaniałe ciosem wyłożone i z ciosu wystawione, okazałej budowy śluzy, są tu pięknym pomnikiem dobrych, chociaż do praktyki niezastosowanych chęci. Przed rokiem albowiem 1830 był zamiar uczynić rzekę Kamienną spławną, która przygotowana na ten cel, miała fabrykom i do przewozu wyrabianych przedmiotów służyć. Nie wszystko się udało, a kosztowne kanały, jedne ukończone, drugie zaniedbane, prze-

konywają, iż w całym tém przedsięwzięciu tylko zmysłu przewidywania brakło.

Jeden atoli z tych kanałów, opatrzony dwiema śluzami przesłicznie i strojnie wybudowanemi, dostarcza wody zakładowi górniczemu w Nietulisku, gdzie wielka walcownia sztabowa, poruszana kołem wodnym o sile 60 koni w ciągłej jest czynności. Pyszny to zakład: budowle wielkie i na sposób angielski urządzone, porządek wzorowy, a zawiadowca człowiek światły, z zamiłowaniem i znajomością swego przedmiotu.

Dla braku czasu zwiedziłem ten zakład późno wieczorem w towarzystwie dam i kilku ciekawych gości. Uprzejmy zawiadowca przygotował wszystko na nasze przyjęcie: w ruch puszczono koła, zapalono ogień, a tłum robotników z całym energicznym, górnika odznaczającym zapalem, przystąpił do dzieła. Trudno sobie wyobrazić ten szum i hałas z szaloną szybkością obracających się kół, ten szturk młotów i syczenie poruszanych wodą maszyn. Dodajmy do tego, iż ziejące ogniem piece wpośród ciemności, w obszernym gmachu, tak fantastyczne i straszliwe rzucały światło, iż twarze robotników i wszystkich obecnych zdawały się być śmiertelną bladością pokryte i jak potępione duchy wyglądały. Kiedy zaś z rozpalonych pieców wyjęte żelazo długimi kleszczami ciągnąc do rozmaitych maszyn wkładano, wtedy ogień i iskry zewsząd sypiące się, jeszcze okropniejszą im postać nadawały. Ogólna zaś całość tak dziwnie piękny i uroczy, a godny pędzla Rembrandta przedstawiała obraz, iż szczerze żałowałem, dlaczego który z naszych artystów tego cudnego widoku nie przeniósł jeszcze na płótno.

Powiadano mi, iż zakład ten do wielkich i nader korzystnych rezultatów wyroby swoje może posunąć, że przeszło 80,000 centnarów żelaza przerabia, wielkie blachy sporządza i t. d. Uwierzyłem w to wszystko zważając na zakład i człowieka, który nim kieruje; lecz w szczegóły nie wchodziłem, a nawet opowiadanych nie spałem, bo nic a nic na fabrykach się nie znam, i otwarcie się do tego przyznaje.

O dwie wiorsty od Nietuliska, jak wyżej wspomniałem, odległe jest miasteczko Kunów. Zwiedziłem je też parę razy, chcąc gwałtem coś więcej niż o błocie i nieporządku jego opowiedzieć. Bo Kunów jestto bardzo starożytna siedziba, a musiało być kiedyś miastem znakomitým, gdy już za Kazimierza W. do liczby najcelniejszych w kraju było policzone. Należało ono niegdyś do biskupów krakowskich,

którzy tu dwór swój mieli, a dla blizkich lasów, do łowów sposobnych, często w niém mieszkali. Podług podania do prawdy bardzo zbliżonego, dwór ten stał na tém miejscu, gdzie teraz jest dom p. Mejsel wójta i dzierżawcy rządowego, nadto bardzo gościnnego i uprzejmego człowieka. Właściwie jednak na wzgórzu, gdzie teraz p. Mejsel ogród zakłada, i z kąd prześliczne na całą okolicę są widoki, stał ów wielki dwór biskupów. W nimto w XIII wieku najbardziej lubił mieszkać, hulać i dokazywać sławny ze swoich obyczajów Paweł z Przemankowa biskup krakowski. Podobały mu się bowiem szczególnie góry i lasy tutejsze, w cieniu których mógł bezpiecznie broić, zapamiętale polować i gorszące wyprawiać zabawy. Tu go odwiedzali książęta Litwy i Jadźwingów, z którymi przyjaźnił się, polował i przy kielichu bratał. Tu naostatek w połowie stycznia 1271 roku, kiedy biskup po jednej z takich uczt twardym snem zasypiał, dwaj rycerze: Otton i Żegota z rodu Toporczyków napadli na dwór, domowych rozbroili, a samego biskupa schwyciwszy, przez lasy i bory z nim uciekając, do Sieradza dowieźli i w ręce obrażonego nań Leszka Czarnego księcia kujawskiego i sieradzkiego oddali. Uwolniony Paweł z Przemankowa zapewne jeszcze nieraz dokazywał w Kunowie; lecz gdy pobożni kronikarze nic o tém już nie wspominają, i ja więcćj powiedzieć o nim nie potrafię. W kilkadziesiąt lat po tém zdarzeniu, inny biskup krakowski Jan Muskata, rodem Szlązak, w r. 1311 uwięziony był znowu we dworze kunowskim z rozkazu Władysława Łokietka, przez zemstę, iż przeciwnikowi jego Bolesławowi Opolskiemu sprzyjał. Na początku zaś XV wieku mieszkał tu z upodobania mąż w dziejach głośny, piérwszy z Polaków kardynał, Zbigniew Oleśnicki; lecz sam surowej cnoty nie dbał o lasy i góry, które to miejsce otaczały, owszem troskliwy o wzrost całego miasta, nowe mu przywileje udzielił, ku wygodzie staw obszerny wykopać kazał, i tak licznemi obdarzył swobodami, że potomność długo Oleśnickiego założycielem Kunowa sądziła.

Słynęło tedy miasto z kopalń kamienia, z fabryk sukiennych i rozmaitych rzemioł, gdy za króla Alexandra Jagiellończyka w r. 1502 Tatarzy krymscy złupili je i spalili do szczętu. Wtedy zapewne zniknął stary drewniany dworzec biskupów, a odbudowany znowu z drzewa, dopiéro w piérwszej połowie XVI wieku, wspaniale z muru przez sławnego Piotra Tomickiego był wystawiony. Co się atoli z tym gmachem stało, śladu dotąd znaleźć nie mogłem. Lecz miasto jako do stołu biskupów krakowskich należące, otrzymywało następnie rozmaite od monarchów przywileje, mianowicie za staraniem biskupa Andrzeja Zebrzydowskiego; i snadź

znowu w świetnym było stanie, gdy w dyplomacie Zygmunta Augusta z roku 1554 czytamy, iż mieszczanie i przedmieszczanie tutejsi uwolnieni byli od opłaty cła od wszelkich towarów, koni, bydła, sukna i innych wyrobów, co też i następni aż do króla Stanisława Augusta potwierdzali. Nakoniec w ostatnich czasach administratorem tego klucza *sede vacante* był znany w literaturze Józef Załuski biskup kijowski. Szymon Starowolski w swoim opisie Polski w r. 1632 pierwszy raz z druku wydanym, powiada, że w Kunowie były kopalnie marmuru zielonego i czerwonego; lecz gdzie one były i kiedy ustały, napróżno dotąd w dziejach szukałem i na miejscu dopytywałem się. Upadły zapewne po wojnach, gdy wszystko u nas znędzniało, a pamięć nawet lepszego bytu zniknęła. Za Stanisława Augusta ks. Józef Osiński opisujący polskie fabryki żelaza, powiada, iż kopała się tu i ruda do szafranu podobna, o której także nie teraz nie wiemy.

Dziś Kunów jest miastem rządowém, nad traktem ilżycko-opatowskim położone; liczy domów mieszkalnych 170, jeden murowany kościół, a ludności ma chrześcian 910, żydów zaś 103. W r. 1822 było tu chrześcian 668, żydów tylko 52; domów murowanych 7, drewnianych 121; domy wprawdzie murowane pomnożyły się, lecz i starozakonnych w dwójnasób przybyło. Mieszczanie tutejsi prawie wszyscy z ojca, dziada i pradziada są kamieniarzami; na ulicach też i rynku, pod domami, leżą ogromne sztuki kamienia, których wyrobem jedni ciągle, inni tylko w czasie od zatrudnienia około roli zbywającym, zajmują się. W ogóle mieszkańcy tu są zamożni i widać to po ich hardój i butnej minie, stroju od wieśniaków różniącym się i długiej lasce, bez której mieszczanin Kunowa nie stąpi. Domy niektóre mają odrzwia ciosowe, także u okien futryny; lecz cóż po tém, kiedy w mieście i po ulicach błoto tak okropne, i kałuże z najobrzydliwszymi wyziewami tak głębokie i przepaściste, że sławne błota wolińskie niczém są w porównaniu. I błoto to pod same domy podchodzi, wiska się niemal do sieni, w niskich chatach do okien zagłada, a oni z dziwną niedbałością grzęzną w niem obojętnie, chorują od niezdrowego powietrza, a przecież żadnego ścieku nie robią, kamienia tak łatwo im przychodzącego do wybrukowania nie użyją, i dalej, dopóki Bogu się podoba, żyją smutnie z bladą i nabręklą twarzą, z choremi w chacie dziećmi. Lecz żeby temu zaradzić i byt swój pod tym względem polepszyć, o tém ani myślą, i chyba tylko przymusem możnaby to zrobić.

Cóż powiecie zacni moi czytelnicy, że pośród tego błota, chodząc za materyałami do niniejszych notatek, znalazłem w całym zna-

czeniu artystę, którego życie mogłoby p. Kraszewskiemu za przedmiot do nowego romansu służyć.

— Czy nie pójdziesz odwiedzić najlepszego tutejszego kamieniarza? — spytał mnie raz gniewającego się na kunowskie błoto zacny mój towarzysz.

Rozumié się że poszedłem. A to, co tam widziałem, czytałem lub opowiadane słyszałem, powtarzam. W samym rogu rynku, zawsze jednak w błocie, stoi chata nieco od innych porządniejsza; tam mieszka dziecko Kunowa, Jan Duchnowski. Ojciec jego był, jak wszyscy inni, kamieniarzem; lecz w młodzieńcu wczesnie do młota i dłuta użytym zaświeciła myśl, iż na świecie więcej czegoś nauczyć się można, i tak długo niepokoił rodziców, iż nareszcie zgodzili się posłać go do Warszawy. W Warszawie uczył się pilnie u Pawła Malińskiego i odgadł znowu, że trzeba mu jeszcze gdzieindziej po naukę bieżć.

Wziął więc tłumoczek na plecy i z szczupłym zasobem krwawo zapracowanego grosza, z odwagą i nadzieją w sercu poszedł za granicę.

W Wroclawiu uczył się w akademii, pracował w Dreźnie, Berlinie i Hamburgu, a w końcu zaszedłszy do Monachium, najdłużej tam pozostał. Budowano wtedy sławną Walhallę, potrzeba więc było robotników, a rzeźbiarzy przedewszystkiém; nasz Duchnowski zatem prędko został przyjęty i jeszcze prędej od innych odróżniony, bo wielki mistrz nowożytnój rzeźby Xawery Schwanthaler, prędko upodobał sobie polskiego artystę, w którego oczach błyszczała miłość do sztuki, a upodobanie w pracy odznaczało. Odtąd najlepsze dzieła powierzano Duchnowskiemu, wzięto go do robót w zamku królewskim wykonywanych, a co tylko najpiękniejszego i wielkiego Schwanthaler tworzył, brał go do pomocy, chwalił i wszystkim za wzór przedstawiał. Tam miał sposobność kształcić się na wzorach pierwotworów sztuk greckich, wykopywanych na wyspie Aeginie, których znaczna ilość znajduje się w Monachium. Tam pokochał śliczne wzory i ryciny najpiękniejszych greckich i rzymskich utworów, na których nabycie cały swój zarobek poświęcał.

I Niemcy byli z niego kontenci, do pozostania na zawsze namawiali, obietnicami zachęcali; napróżno! bo nagle owładnęła naszego artystę tęsknota za błotami Kunowa: ścisnęło mu się serce i dłuto z rąk wypadło. Nie było rady: Schwanthaler z żalem dał mu najchlubniejsze świadectwo, intendent zamku królewskiego podobnie; on zaś zabrawszy na plecy wzory mistrzów z któremi nie mógł rozstać się, do chaty ojców swoich wrócił.

Starzy rodzice jakby tylko na niego czekali, niebawem z pustego domku i kawałka roli na zawsze ustąpili. Osiadł więc tu artysta, i aby ściślej z sąsiadami swemi połączyć się, pojął za żonę młodą i hożą tutejszą mieszczańkę. Z zapalem i nadzieją wziął się znowu do roboty, i z kunowskiego kamienia prześliczne zaczął tworzyć dzieła; lecz cóż, kiedy nie było komu je kupić, a tém bardziej ocenić. Tymczasem Pan Bóg dał dzieci, a skoro za nimi niedostatek i nędza zawitały, rozpacz i zniechęcenie dokonały resztę, i celujący uczeń Schwauthalera, aby na kawałek chleba zarobić, zmuszony był proste płyty kamienne ciosać. Ciężka robota wkrótce wyczerpała jego siły, choroba i niedostatek zwiększyły się, a bięda ze straszliwymi swymi następstwami osiadła w domku artysty.

W takim stanie zastałem najlepszego kamieniarza w Kunowie. Tylko co był powstał z choroby, jeszcze chwiejąc się na osłabionych nogach, z żółtą, wychudłą twarzą, z przyćmionymi i zapadłymi oczyma, przywitał nas ze smutkiem, z trudnością na zapytania odpowiadał, a kiedy przejrawszy jego papiery odważyłem się cieszyć go nadzieją lepszej przyszłości, jeszcze smutniej się uśmiechnął, zdjął z pulki pyszne ryciny dzieł Kanowy i Thorwaldsena, a otworzywszy te wielkie i kosztowne księgi, które może w ostatniej nędzy jeszcze nie chciał zbywać lub nie było komu je kupić, machnął ręką, łza w oczach błysnęła, i nie już więcej nie mówił.

I powiadają, że obraz losu artysty w Sfinxie Kraszewskiego jest nienaturalny i przesadzony!..

Zwiedziłem też i kościół tutejszy, w pięknym na wzgórzu położeniu stojący, a świeżo jeszcze teraz restaurowany. Na tém miejscu była kiedyś bardzo starożytna świątynia, którą, gdy czas i pożary zniszczyły, jeden z proboszczów ks. Szymon Koch w XVII wieku żyjący, swoim własnym nakładem z gruntu na nowo terazniejszy kościół wystawił, jak o tém napis na tablicy marmurowej, przy wielkim ołtarzu umieszczonej, poświadcza. Obecna restauracja zmieni znowu stan i postać kościoła w Kunowie; wybudowano mu już nową wieżę, dach blachą pokryto, wewnątrz zaś prawie wszystkie ołtarze są nowe. Pobożni tutejsi kamieniarze swoim kosztem niektóre ołtarze wystawili; inne albo z funduszu rządowego, albo staraniem gorliwego terazniejszego proboszcza stanęły. Obrazy do nich malował p. Ignacy Urbański nauczyciel gimnazjum gubernialnego w Lublinie, a z tych Matka Boska Rozańcowa, św. Anna i Wniebowstąpienie Pańskie najlepiej mu się udały i są wcale nie złą robotą. Atoli najcelniejszą ozdobą tego kościoła jest wielki i piękny obraz pędzla p. Bonawentury Dąbrow-

skiego z Warszawy, kosztem górników sprawiony, a wyobrażający św. Barbarę, u nóg której dwóch polskich górników klęcząc, modlą się. Gdy restauracya skończy się, kościół ten będzie niezawodnie najporządniejszy w tych stronach, bo proboszcz jest staranny, dbały i światły człowiek. Z uprzejmością a radością pokazywał on nam wszystkie swoje projekta na przyszłość, a co dokonał przedstawiał. Byłem nawet nim zachwycony, kiedy mi pokazał dość grubą księgę w której uczenie i pracowicie sam opisał dawniejszy stan kościoła, jego historią, wszystkie napisy i nagrobki już poniszczone, a niegdyś tu znajdujące się; dalej były tam żywoty proboszczów, na końcu przywileje i nadania wszystkich włóści parafią składających, jakie tylko gdzie mógł znaleźć w księgę tę przepisał i umieścić. Chwalilem więc szczerze szanownego plebana i naturalnie prosiłem o pozwolenie korzystania z gotowej już pracy. Z chęcią i radością, jak uważałem, nie tylko że przystał na to, lecz chcąc mi ulżyć w pracy sam podjął się przepisać potrzebne szczegóły, i do mieszkania nazajutrz jak najsoleńniej zobowiązał się przysłać. Niestety! mała napozór okoliczność pomimo mojej woli nie tylko mię z nim poróżniła, lecz co gorsza, wszystkich tych ciekawych notat pozbawiła.

Słabą stroną tego zkadynąd uczonego księdza jest znajomość na malarstwie; dla zadowolenia więc tego upodobania, a nawet dla odświeżenia starych w kościele obrazów, sprowadził sobie młodego człowieka z Warszawy, któremu Pan Bóg nie dał żadnego talentu, a szkoła nie a nie nie nauczyła. Otóż chcąc mi wszystko przedstawić, zachwalając naprzód bardzo, zaprowadził mię do swego mieszkania aby pokazać, jak mówił, najwyborniejsze obrazy, przez genialnego młodzieńca do lepszego niż przedtém stanu przyprowadzonych.

Okropne tam ujrzałem rzeczy! Młodzieniec wprawdzie był jeszcze młodzieńcem, ależ prace jego z częstochowskiemi tylko mogą o pierwszeństwo walczyć; przemalowane zaś obrazy, może nawet przedtém lepsze, zpod jego pędzla najokropniejszemi i o gwałt krzyżącemi smarowidłami wyszły.

Ksiądz się jednak niemi zachwycał, a malarz z tryumfem na nas spoglądał.

Byłem tak ostrożny, iż nie mogąc chwalić, na zapytania i ciągle wykrzykniki radości, uporeczywie w jego obecności milczałem. Lecz na moje nieszczęście, nie umiałem długo wstrzymać języka, a skoro wyszliśmy od niego, żałowałem głośno przed mojami towarzyszami, że tak dobre chęci na niczém pełzną, malarza zaś i jego roboty z całą otwartością potępiałem.

Wszystko to księdzu proboszczowi doniesiono, i kiedy nazajutrz napróżno obiecanych notat oczekiwałem, a jeden z miejscowych obywateli w dobrych z nim stosunkach będący, posłał po nie umyślnego, otrzymaliśmy następną odpowiedź:

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

„Ponieważ pan delegowany z Warszawy niekorzystnie się wyrażał o obrazach w kościele moim, przez co nabrałem o nim złego wyobrażenia i sprawiedliwie przypisać mu mogę nieznamość na malarstwie; przeto nie chcę aby zpod pióra jego coś wyszło o kunowski kościele, i dlatego notat żadnych nie załączam”.

Łączę wyraz szacunku i przyjaźni

X. J. D.

I tak mocno był obrażony, iż wszelkie później wstawiania się za mną, przeprosiny, wymówki, nietylko że odrzucał, lecz nawet ani widzieć, ani przyjąć odemnie tłumaczenia nie chciał. Otóż na inny raz nauka! Gdybym był ciągle milczał, opis Kunowa byłby lepszy, historia dokładniejsza, a obrazy jak były, tak będą pomazane.

Droga z Nietuliska do wsi Boleszyna przez wąwozy, oraz wsie Doły i Prawencin prowadzi. Z jednej i drugiej strony góry i skały z kamienia piaskowca białego i czerwonego, dość wysoko się piętrzą, a przedzielone głębokim wąwozem, przykrą i przepaścistą sprawiają drogę. Lecz za to zachwycające są widoki: domki gdzieś niedzie na skałach zawieszane, na dole strumyk ciągle mruczący, albo spadając ze skał, w kaskadach się pieni. Cudna i malownicza okolica! Przed niewielką laty miejsce to było bardzo ożywione, gdyż tutaj były główne kopalnie ciosu do robót, przy splawie rzeki Kamiennój przedsiębranych. Stoją jeszcze bardzo porządne domki, gdzie urzędnicy i czeladź główniejsza mieszkali, i źródło w dolinie z doskonałą wodą, i droga w góry z romantycznymi altankami. Dziś wszystko to prawie puste; łomy kamieni już obrobionych w nieładzie nade drogą leżą i mchem obrastają, gzymsy nieukończone, porzucone, roboty pozaczynane, wyglądają jakby nagle od ludzi były opuszczone.

Wieś Boleszyn była miejscem, zkąd wszystkie wycieczki w okolicy odbywałem. Niegdyś własność opatów świętokrzyskich, dziś do rządowych należy. Tu w r. 1785 urodził się Wincenty Reklewski żołnierz, poeta, nauczyciel i przyjaciel Brodzińskiego, i sam czuły pisarz sielanek, w r. 1811 z druku wydanych. Mnie tu zatrzymała

starodawna gościnność, dom jakich rzadko, szlachetnej rodziny państwa F.....: sędziwa matka na dawnych dworach historycznych imion polskich wychowana, która wiele rzeczy widziała i dobrze opowiadać je umieć, przytém wzorowa gospodyni, a co jeszcze rzadziej, sam gospodarz biblioman.

Pan Alexander niegdys uczeń b. uniwersytetu warszawskiego wszystkie uczucia swoje, nawet można powiedzieć cel swego życia, na zbieranie polskich książek poświęcił. I wśród lasów i gór, od lat kilkunastu nigdzie do miasta nie wyjeżdżając, zebrał ich kilka tysięcy, nawet w bardzo rzadkich i pięknych egzemplarzach. Opisać jego radość i tryumf, że miał komu swoje skarby pokazać, byłoby trudno; a kto znał kiedy w swoim życiu człowieka, którego namiętność zbierania książek owdładnęła, ten łatwo sobie zanego mego gospodarza wyobrazi. * Dość powiedzieć, że rozrzucal je wszystkie, aby mi jaką rzadkość pokazać, ścigał wszędzie z odszukaném dziełem w rękę, a w nocy śpiącego budził, kiedy przypominał sobie, że którego jeszcze nie pokazał, i czy je znam, dopytywał. A przy tém wszystkiém patrzył mi bystro na ręce, aby co do mnie nie przyłgnęło, i drżał z obawy, kiedym się czego napięrał. Gdy zaś przyznałem, że jakiej książki, którą on posiadał nigdy nie widziałem, tak go to uszczęśliwiał, iż wylatywał z nią do matki i siostry, a nawet do swoich służących, i wołał co miał siły: „Patrzcie! mam książkę, której nawet ten pan nie zna.” Dla miłościto książek wyrzekł się związków małżeńskich, dla nich gorliwie pracuje, niekiedy zaś trafia się, że część zebranego z pola zboża ktoś za książki zabiera. Tym sposobem doszedł do znakomitego już zbioru; widziałem u niego wszystkie kroniki, najcenniejszych ascetów, pyszne i czyste egzemplarze Kazań i Żywotów Skargi, Statut Herburtu, wiele konstytucyj osobno wydanych, Zwierciadło Saskie Szczerbica, Prawo Magdeburskie Groickiego pierwszą edycją, rzadkie dzieła Klonowicza i wiele innych.

Bawiąc w Boleszynie, gdy pobyt mój i zajęcie, jak już wspomniałem, obudziły ciekawość mieszkańców tych okolic, otrzymałem z kilku miejsc doniesienia i wzywania, gdzieby można rozmaite starożytności znajdować. Nie mając stoli stosownego potemu polecenia, przymuszony byłem na inny czas takowe odłożyć, a tylko do najbliższych udałem się; mianowicie zaś, gdy dowiedziałem się o istnieniu wśród jednego pola szczególnej mogiły, a legendę do niej przywiązaną usłyszałem. Była to mogiła na gruntach dóbr suprymowanych Nosowa, pod wsią Kotarszyn, w powiecie opatowskim znajdująca się. Usypana w kwadrat na łokci 21, miała u spodu sre-

dnicy łokci 22, czyli promień 11 łokci. Forma jój była szczególna i widocznie z wielką starannością wzniesiona; obrosła trawą, utrzymuje się dotąd w całości, a zdala wśród gładkiego zewsząd pola jest widoczną. Chcąc jój znaczenie odgadnąć, zwołałem najstarszych ludzi ze wsi i o podanie pytałem. Jedni mówili, że to ostatki wałów szwedzkich (zwykła wszędzie legenda), inni sumienniejsi do niewiadomości przyznawali się. Tylko jeden siwy i wiekiem pochyłony wieśniak wzruszał na te mowy ramionami, i zdawał się więcej coś wiedzieć. Zbliżyłem się zatem do niego i zapytałem:

— A wy ojcze, co o tój mogile powiecie?

— Oto Wielmożny Panie—odrzekł nizko do kolan kłaniając się—rodzice moi byli starzy i taką gadkę od nich słyszałem, jakoby na tych polach dawno i bardzo dawno temu była wojna, a dużo ludzi i jeden najstarszy poganin zginął, którego według ich obyczaju wszyscy zgromadziwszy się spalili, a z nim jego żony, niewolników, konie, wozy, wszelkie sprzęty i wojenne rynsztunki. Na tém zaś miejscu na wieczną pamiątkę mogilę własnemi rękoma usypali.

— A nie wiecie jak się ten starszy i to wojsko nazywało?—jeszcze raz spytałem.

— Ojciec mi mówił — odpowiedział znowu kłaniając się— że to wojsko hań z zagranicy przyszło.

Więcej trudno było dowiedzieć się, bo i tak podanie dość czystém dochowało się. Wiadomo bowiem, że za czasów przedchrześcijańskich nad popiołami znakomitych wodzów sypano u Słowian, tak jak i u innych dawnych narodów, wysokie mogiły. Herodot powiada, iż Scytowie szczególnie starali się jak największe mogiły nad grobami swych królów usypywać. Pallas znajdował podobne nad brzegami Wołgi i u stóp Uralu, w stepach Kirgizów i Kozaków; Jefferson opisuje takowe w Wirginii; Altvater w państwie Ohio; Spartmann u Kafrów; Barrow u Hottentotów. Sam wyraz *mogila*, u Czechów *mohyla*, u Ilirów *gomila*, już był powodem do bardzo uczonych wywodów. Źródłosłów *moh* we wszystkich indyjskich narzeczach wielkość i wzniosłość oznacza; tak wyraz *moho* znaczy *wielki*, a u Czechów *mohu*, *mohutny* to samo, co u nas potężny, silny; dalej u Greków *megas*, u Rzymian *magnus mons*, u Wendów *mol*, zawsze wysokość i wielkość oznacza.

Takich mogił dużo się u nas znajduje, tylko nie jednakowój postaci; jedne są podłużne, inne więcej okrągłe, wyższe lub niższe, może stosownie do znaczenia lub lepszego zachowania. Takimi są dotąd koło Krakowa i w Sandomierskiem, koło Czarnocina, Pro-

szowie i Ruszczy. Są też mogiły w Kaliskim w Stoleu; są na Żmudzi i koło Nowogrodu Wielkiego. Lecz rzadko już podanie opowiada dla kogo usypane zostały: jak Wandy i Krakusa pod Krakowem, Gedymina pod Wilnem lub Gostomysława pierwszego posiadnika nowogrodzkiego na Wołotowie koło Wielkiego Nowogrodu.

Najpełniejsze atoli podanie od kronikarzy powtórzone ma mogiła Gedymina. Kiedy książę ten zginął, pisze jeden kronikarz, synowie, rycerstwo i lud prowadzili z paradą ciało do Wilna, i tam gdzie Wilejka do Wilii wpada, stos wielki smolnej sośniny przygotowawszy, ubrano go w szaty i odzież książęcą, dano szablę, włócznię i sajdak z łukiem, sokołów i chartów parę, konia z siodłem żywego, i sługę najwierniejszego z nim na stos położono; potem drwa wokół zapalwszy, rzucali nań broń i część łupów nieprzyjacielskich, a w końcu trzech zbrojnych jeńców żywcem z nim spalili. Następnie popiół i kości księcia, sług, konia i chartów razem zebrawszy, na miejscu tém w ziemi pochowano, a nad nimi wysoką mogiłę usypano.

Zwyczaj chowania z człowiekiem ulubionego zwierzęcia, oręza i trunku, przechowywał się najdłużej na Rusi litewskiej, a według Gołębiowskiego, przed niewielką laty w lesie pod Nowogrodkiem znaleziono kamień z napisem dawnemi gloskami, na którym następnie odczytano wiersze:

Tu Iwan Domaszko leżył,
 W nohah czorny sobaka (pies) tużył (tesknił),
 W hołowach flaszka horyłki (gorzałki) stoit,
 W rukach ostry mecz derżył (trzymał)
 Ho! ho! ho!
 Szezoż komu do toho?

Jakoż w rozkopanej mogile znaleziono kości człowieka, psa, resztę wódki niezmiernie mocnej i żelazce od szabli.

Usłyszawszy zatem pod Krotoszyńcem owe podanie, zgadzające się z prawdą historyczną chowania dawnych u pogan wodzów, poświęciłem parę dni czasu na rozkopanie tamecznej mogiły, spodziewając się, iż w jej wnętrzu jaki ślad bliżej rzecz objaśniający znajdzie. Kilkadziesiąt wieśniaków z rydlami i motykami na rozkaz wójta gminy miałem dostarczonych, a odkreśliwszy promień kopeca na łokci 13, szerokości łokci 4 1/2, kazałem go skopać do gruntu, tak jednak, aby całego kształtu mogiły nie zepsuć i dalszym wiekiem pamiątkę tę zostawić. Kopana ziemia widocznie była nasypiana i z blizkiego pola nanoszona; różniła się bowiem barwą i gatunkiem od téj, na której stała mogiła. Doszedłszy zaś w głąb na łokci 5 1/2, pokazał się na

środku pokład ziemi zupełnie białej i jakoby z kości i popiołów złożonej, który na pół łokcia w głąb, a ledwo na 2 łokcie we środku tylko znajdował się; po bokach już była zwyczajna nasypowa ziemia, a pod spodem grunt roli, na której cała mogiła wznosiła się.

Wziąwszy więc z sobą kilka brył téj ziemi, nie więcéj, pomimo najpilniejszego poszukiwania nie odkryłem.

Czyje to są popioły i kości? O tém dziś trudno z pewnością powiedzieć. Może to który z wodzów tatarskich z straszliwéj armii Pety czyli Bajdara tu pochowany został, gdy wiadomo, iż w piérwszém połowie XIII wieku ogniem i mieczem ta szarańcza ludzka tutejsze strony niszczyła; tak okropną pamięć po sobie zostawiając, iż podług Długosza, drogę nad rzeką Kamienną i około Ilży, którędy hordy te ciągnęły, drogą Batego nazwano.

Może... lecz gdybyśmy wodze domysłem puścili, coby było z historią, i tak już bujną wyobraźnią kaleczoną!...

(Dalszy ciąg nastąpi).



UŁAMEK

Z PAMIĘTNIKA NIEBOSZKI.

(D o k o Ń c z e n i e).

I stworzył Bóg człowieka na wyobrażenie swoje; na wyobrażenie Boże stworzył go; mężczyznę i białogłową stworzył je.

Genesis, I. 27.

Kiedy mi Pan Bóg zabrał ojca, zostałyśmy we dwie z matką na kawałku ziemi, która nas powinna była wyżywić i odziać. A więcéj téż człowiekowi żądać niewolno, jeżeli zechce położyć granicę pomiędzy zbytkiem a potrzebą.

Ja tak myślałam.

W skutku pokazało się, że nas ziemia ani odziać, ani wyżywić nie mogła, i że to, co się zdawało być naszym, było zadłużone, a więc nie nasze.

Mój ojciec był poczciwym człowiekiem. Sąsiedzi nazywali go niepraktycznym gospodarzem, bo niedosyć zdzierał i uciemniał chłopów, nie rozpajał ich dla powiększenia intraty z propinacyi, i szedł w pomoc każdemu, kto jój od niego zażądał. Byłato zaiste wielka niepraktyczność!!

Zresztą, chociaż nie miał urojonych potrzeb, i na ich zaspokojenie długów nie zaciągał, był wszakże, jak to mówią, w złych interesach: bo nie potrafił spekulacyami i procesami oczyścić wziętej w spadku z długami ojcowizny.

Panie! nie miej mu tego za grzech, i świeć poczciwój duszy jego!

Z rady w radę, trzeba się było starać o zamożnego dzierżawcę, któryby gospodarstwo podratował, i wioskę od sprzedaży przez licytacją ochronił. Tym dzierżawcą był czwarty nasz sąsiad,

pan Jan Ciemięga: ni stary, ni młody kawaler, były wojskowy z czasów Księstwa Warszawskiego, człowiek, jak mówiono, nieskażonych obyczajów i rzadkiej poczciwości. Niech i tak będzie! Trudno było wybrać stosowniejszego opiekuna i doradcę dla wdowy i sieroty, zwłaszcza, gdy nie było w czém wybierać, ani przebierać.

Życie mojej matki zamykało się dotąd w obrębie domowego gospodarstwa; o procesach, wykrętach prawnych, o układach z wierzycielami nie miała najmniejszego wyobrażenia: dziwić się przeto nie można, iż przyjęła z wdzięcznością ofiarowaną sobie pomoc.

Nie wiem czy mi się godzi, i nie wiem czy potrafię przedstawić tu p. Ciemięgę takim, jakim mi się wówczas wydawał; ale to wiem, że zrazu ani sympatyj, ani antypatyj do niego nie czułam. Wiek jego nie pociągał ku sobie zapalem młodzieńczym, ani obudzał należnego starcom poszanowania; nie było w nim ani prostoty, ani wykuintności, ani wad, ani zalet; ale było sobie na dwóch nogach chodząca proza, uosobiona antyteza wszelkiej wzniosłości, kółko w mechanice powszedniego życia, ściśle wykonywające cyrklem odmierzoną drogę:—ani mniej, ani więcej.

U niego ten był mądry, komu się w polu najlepiej urodziło, kto najdrożej sprzedał pszenicę, najtaniej zgodził robotnika, a najpóźniej mu zapłacił: *summa summarum*, kto więcej zarobił niż wydał.

Pan Ciemięga zajmując się gospodarstwem naszym, które dzierżawił, częstym u nas był gościem, i wkrótce też pozyskał całe zaufanie mojej biędnej matki. Mówię biędnej, bo zawiedzionej, chociaż dopiero po śmierci. A nie znam boleśniejszej rany dla duszy nad zawód, nad skałeczenie czystej wiary naszej w nieomylną poczciwość ludzką.

W takich stosunkach upłynął dla nas rok cały, jeden, i drugi. Zdrowie matki oddawna bardzo wątłe, widocznie przybierało stan chorobliwy. Słabość piersiowa przed czterdziestym rokiem rozwijać się zaczęła gwałtownie, tak gwałtownie, że w przeciągu sześciu miesięcy szybkim postępując krokiem, stanęła nad krawędzią grobu! Umierała zwolna, z wiedzą że umrze. Nie lękała się śmierci dla siebie, ale jej się lękała dla mnie, pozostawiając mię samą na ziemi z usposobieniem niekoniecznie praktycznym do przeżycia jakiego dziesiątka lat o własnych siłach, bez tak zwanój opieki mężkiej. Biędna matka! za mało liczyła na Opatrzność, która żywi mdle pisklęta, i lilie polne odziewa w stubarwne szaty, i drzewo nad* przepaścią wzrosłe od upadku chroni; chociaż to tylko pisklę, kwiat, drzewo, które nie mają ani serca, ani rozumu, ani rąk do pracy zdolnych!

A ja przecież miałam to wszystko w pewnym stopniu, i byłabym sobie poszła z duchem matki mojej, pod opieką Bożą, żyć z ludźmi i dla ludzi, w ludziach i przez ludzi, ileby sił starczyło! *Starą panną* nie lękałam się zostać; bo przecież w społeczeństwie chrześcijańskiem dla wszystkich jego członków znaleźć się musi stosowne miejsce; i na to pamiętałam, że czas oczekiwania Messyasa minął (mówiąc po żydowsku), i że przekleństwo, rzucone słowy Zbawiciela na drzewo nieurodzajne, nie odnosi się do niewiast chrześcijańskich ugodnionych i w prawo człowiecze obleczonech. Z zupełnym ukojeniem serca prosiłam matki, żeby była o mnie spokojną, żeby nie myślała ani o śmierci dla siebie, ani o życiu dla mnie, gdyż jedno i drugie w mocy boskiej, a troska o przyszłość osobistą na mało się przyda. Wszak ziemia Pańska, i my na niej Pańscy! Gdziekolwiek przyjdzie nam spocząć z Bogiem, w miłości z ludźmi, tam znajdziemy pokój i zbawienie, a pracą i modlitwą nakarmimy ducha i ciało!... Czegóż więc potrzebą?

Pomimo wszystkiego jednak, względy ludzkie i tak zwana pozycja w świecie przemagały nad słowami nauki Zbawiciela, i ciężko trapiły myśl i serce matki. A co ja przytém ucierpiałam jęj boleścią, to Bóg wie!

— Moje dziecko! — mówiła kiedyś tuląc mnie do piersi — ja spokojnie w grobie nie usnę, dopóki losu twego nie będę pewną, dopóki nie ustalę nad tobą opieki takiej, któraby ci ojca i matkę zastąpić mogła... Czy ty nie kochasz nikogo?...

— Ja?... Moja matko! zapytaj mnie raczej czy kogo nienawidzę? — nad tém musiałabym pomyśleć. Ale co kochać, to wszystkich i wszystko jak Bóg przykazał kocham, chcę kochać, jeżeli nie uczuciem, to czynkiem zawsze...

Matka moja uśmiechnęła się boleśnie. Ja mówiłam szczerą prawdę. Zwyczajną miłością dziewic dążących do małżeństwa nie kochałam nikogo, a gdybym nawet kochała, to poezji uczucia nie chciałabym zamienić na prozę małżeńską! Lecz gdybym z duchem jakim, z myślą jaką zjednoczyć się mogła, to byłabym jęj siostrą po wszystkie wieki!

— To swoją drogą, moje dziecię; ale *pójść za mąż* to przeznaczenie kobiety, to prawo natury, to wola Boża, aby każda z nas oddała to dzieciom swoim, co sama odebrała od ojca i matki. Wszakże Bóg stworzywszy Adama, rzekł, iżby źle było człowiekowi samemu na ziemi... i przeto stworzył niewiastę.

— Dobrze, matko! dobrze! lecz ja nie będę sama na ziemi: ja dla ludzi żyć chcę, i na życie pracować potrafię!...

— Czy myślisz, że się zawsze ludzie na tobie poznają?... że tak sama wystarczysz sobie w każdej potrzebie, i że po cierniach życia pójdziesz bez zachwiania aż do końca?... Zresztą, chciałabyś zostać starą panną?...

— A to czemu nie? moja matko.

— Broń Chryste Jezu! ja o tém myśleć nie chcę! — I łzy rzewne spłynęły po jęj zapadłych policzkach. A muie się gorzko zrobiło, bo straszno patrzeć na łzy matki; lecz po chwili uspokoiłyśmy się obie.

— No, no, matko! matko moja! Tylko znów nie płaczmy tak nad sobą! To dzieciństwo! Bo widzisz, ja się nie chcę zestarzyć; ja zawsze taką będę jak dzisiaj. Pomówmy tylko rozsądnie i zobaczymy, co to jest starość; czy nie w mocy naszej pozostać młodemi aż do śmierci, wczesniej czy później? Ja sobie starość tak wyobrażam: jeżeli ktoś, mężczyzna czy kobieta, wszystko jedno, przyjdzie na ten świat boży, i wywinąwszy się z pieluch pelza rakiem po ziemi; potem, stanąwszy na nogach o własnych się dźwiga siłach, a obejrzawszy się na lewo i prawo zaczyna podrzeźniać całą naturę, począwszy od kotka, pieska i ptaszka, a skończywszy na otaczających go ludziach; jeżeli tak wciąż podrzeźniając z dziecka wyrasta na dziewczę lub młodzieńca, i w tym stanie metamorfozy znów się ogląda na wszystkie strony: cóż spostrzega? — oto, że trzeba kogoś ukochać na własność, aby się zamienić w małżonka lub żonę. Więc się kocha.—A dla czego?... Bo przez małżeństwo chce sobie zrobić pozycją na świecie.... Tu kończy się młodość, a przechodzi się w wiek dojrzały.

Człowiek zaczyna rozumować zwracając wszystko do kółka swoich osobistych a poziomych widoków. Człowiek, mężczyzna czy kobieta, szuka dla siebie, dla siebie tylko, drugiej połowy swego *ja*. I dobiera się para czegoś, żal się Boże! niewyrównywająca sobie ani wzrostem serca, ani miarą rozumu, ani jednością obmyślanych celów; para, odważona i odmierzona wartością rzeczy posiadanych na zewnątrz, kształtem ciała, ciężarem kieszeni, lub marnym jakim przydomkiem. Otóż matko, mamy parę zgrzybiałą, która nie żyła, i za życia umarła! Tak można się zestarzyć w dwudziestym, w czterdziestym, jak i w ośmdziesiątym roku pielgrzymowania swego na ziemi. Ale...

— Zkąd tobie takie myśli? Patrzałaś przecie na życie rodziców swoich, i widziałaś, żeśmy żyli w miłości pilnując dróg Pańskich...

— To téż był wyjątek, a ja patrzę na ogół. Ja widzę nokoło siebie samych zgrzybiałych ludzi! Ludzi pozbawionych młodzieńczego zapалу, tego świętego szaleństwa, nad którym ciąży klątwa starego świata, a przecież ono świat z sobą porywa i unosi go w przestrzeń wieków na falach płynącej lawy!— Cóż mi z tego, że widzę młode twarze, świeże lica, artystycznie wykute posągi, jeżeli za dotknięciem zamiast iskry elektrycznej, uczuję zimno kamienia lub twardość najtwardszego kruszcu!... Cóż mi z tego, że widzę ludzi niezonych, zimno rozumujących o rzeczach najświętszych, rzucających światu z trójnoga swój nieomyślności coraz nowe zagadki?.. Cóż mi z tego, że widzę ludzi, którzy na całe odmierzyli przed sobą drogę doskonałości i obracając się wókolko mniemają, że daleko zaszli? Ja nie chcę ani takiego piękna, ani takiej nauki, ani takiej doskonałości, w której serce życiem nie bije!..

Moja matka westchnęła i spojrzała mi w oczy tkliwie, ale bawczo, niby z trwogą i niedowierzaniem.

— Otóż ja zawsze tém się martwię, żeś ty do innych kobiet niepodobna, a z tego tylko bięda na całe życie! Niejedna co ciebie niewarta, szczęśliwszą będzie od ciebie.

— O! już co tego, moja matko, to nie mów! Szczęśliwszej odemnie nie ma na świecie, a i potem, aż do śmierci przysiędz ci mogę, że nieszczęśliwą nie będę, chyba by mnie Bóg ciężko doświadczył odjęciem rozumu i wolnej woli. Ja się zawsze potrafię pogodzić ze złem, jeżeli mnie ono tylko osobiście dotknie, zewnątrznie utrafi, pozostawiając mi wszakże pokój wewnętrzny i świadectwo dobrego sumienia. Jak żyję, nie zazdrościłam nikomu niczego; a jeżeli pożądam jakiego wielkiego dobra całą niewypowiedzianą żądzą mojej duszy, to go nie chcę dla siebie, na swój użytek, dla swego osobistego zbawienia: bo wtedy żądza owa byłaby prawdziwém nieszczęściem! ale pragnę wszelkiego dobra dlatego, aby się wola Boża spełniła na ziemi!..

Co do nas, moja matko, to powiem ci szczerą prawdę, że mi nieraz serdeczną modlitwą zapłakać przyjdzie, kiedy patrzę na ten nasz świat ludzki, taki sponiewierany sam przez siebie, taki bięday, chociaż ubogacony wszystkimi darami Ducha Świętego!

O! siostry moje! byłyście już kwiatkiem, cackiem, bożyszczem, sługą, błotem ziemi, i aniołem jasnym!... Byłyście już dzieckiem w powieciu, i starcem zgrzybiałym, a czemuż dotąd jeszcze nie jesteście człowiekiem?... Czemu serca wasze takie ciasne?... myśl taka pozioma? taka mętna? — Czyż nie dwoje ludzi, czy nie człowieka

w dwójni stworzył Bóg na początku?.. A gdzież dotąd ów drugi człowiek?..

Wmówiono w was, żeście niezdolne do niczego: wiekami wrosłyście w niedoleżtwie ducha, i pysznicie się jeszcze tą nędzą waszą!.. I zdaje wam się, żeście doskonałe, święte, błogosławione, jeżeli dopełnicie wrodzonych, instynktowych powinności waszych i nikomu żadnej nie wyrządzicie krzywdy!.. Nawykłyście kochać wszystko dla siebie i w sobie! Kola uczuć waszych rozprzestrzenić nie chcecie, lubo ciasno w niém sercom waszym... Oh! i bardzo ciasno!

Gdybyście tam dalej wyjrzały, i ten świat Boży jak długi i szeroki światem swoim uznały, i pracowały w nim jako ludzie około zbawienia duszy ludzkiej, i ogarnęły wszystko miłością Chrystusową, niewyczerpaną, ową najświętszą miłością czynu: tożby wam dopiero przybyło szczęścia, zasługi, błogosławieństwa!.. Ale gdzie tam! To głos wołającego na puszczy: obje się o skały, ale ich nie skruszył!

Młodość, powiadacie, przemija; trzeba z niej korzystać, używać trzeba! I tém używaniem pozbywacie się jój czémprędzej, starzejecie się z przesytu, i serca wasze więdną bez miłości, duch martwieje bez czynu! Macie przed sobą tylko ów świat skończony, dopełniony, zawarty na wieki wieków... A tamten świat, gdzie myśl i uczucie z wonnego kwiatu przechodzi w owoc świętego czynu, tamten, wiecnież dla was pozostanie ideałem pozaświatowym?..

— Moje dziecię! to są piękne słowa, doprawdy tak piękne, iżby je wydrukować można, gdyby się kobięcie godziło książki pisać... Ależ nie idzie za tém, abyśmy żyły samotne, lub uciekały na puszcze.

— A! uchowaj nas Boże! moja matko; owszem raz na zawsze wyprzysięgam się tego wszystkiego, co dzieli i rozrywa wieniec stosunków ludzkich. Jabym tylko chciała, żeby małżeństwa nasze więcej były chrześcijańskie, żeby je duch kojarzył, nie zaś osobiste poziome a brudne widoki;... żeby mąż i żona nie wyzuwali się z godności człowieka, żeby przedewszystkiém pozostali, bądź co bądź, członkami Chrystusowego kościoła. Ale to nieszczęście, że my wcale nie rozumiemy przykazania miłości Boga i bliźniego; zrobiliśmy z niej prawdziwie Platońską utopią, wymarzoną a niezastosowaną. U nas pomiędzy anielstwem a zwierzęcością nie ma środka ludzkiego; bując sercem w obłoku, a potem zanurzyć się po szyję w kałuży błota: oto jest poezya i proza miłości, w praktycznym jój zastosowaniu do życia! Innęj, wznioślejszję, takięj, coby umierających zbudziła do życia, a żywych obdarzyła nieśmiertelnością; coby na wszystkie rany duszy i ciała zlewała się cudownym balsamem: takięj miłości szukaj-

cie w dzień jasny ze świecą pomiędzy ludźmi, a czy ją znajdziecie? —nie ręczę!

— Z tego wszystkiego nie rozumiem wcale, jakiego ty chcesz małżeństwa?

— Jakiego ja chcę? moja matko! Odpowiedź na to nietrudna. Oto żądam przedewszystkiém, aby między dwojgiem owych ludzi stanowiących małżeństwo, była jak najzupelniejsza synteza uczuć i pojęć. Zresztą— wszystko podrzędne. Jeżeli w takiej zgodzie ducha zejdzie się dwoje ludzi na ziemi, to powiédzmy sobie, że przybyło hartowne ogniwo do społecznego łańcucha; jeżeli takich ogniw więcej będzie, jeżeli wszystkie będą takie: to go żadne burze nie rozerwą, żadna moc piekielna nie skruszy. I przypadnie owo przysłowie, że kto się ożeni, ten się odmieni, (rozumieć się na gorsze). Od tych dwojga ludzi uczuciem i pojęciami zjednoczonych, nie żądam niczego więcej, prócz miłości w uczynkach, chrześcijańskiego zastosowania religii do życia, a podniesienia życia do ideału religijnego. Chcę, żeby niewiasta była, jak Matka Chrystusowa: odważna, cierpliwa i wytrwała; żeby umiała pogodzić drobne obowiązki powszednie, z świętymi powinnościami człowieka chrześcianina, i aby w razie wszystko im poświęcić umiała. Ja chcę, żeby siła fizyczna i siła moralna równoważyła się w ludziach wzajemném poświęceniem, a żeby każde święte natchnienie przyjmowali w prostocie serca, a przyjąwszy i rozumiawszy, nie postawili świecznika pod korzec, lecz w górę podnieśli, tak, aby jasno było ludziom dobrej woli, a ztąd chwała na wysokościach Panu!

Matka patrzała na mnie z gorączkową niespokojnością.

— Dobrze moje dziecię; lecz dla takiej kobiety jakiegożby trzeba męża, aby z nią był szczęśliwym?...

— Wszak powiedziałam: dla człowieka, potrzeba człowieka. Sprzężmy bydlę z ptakiem, przywiążmy trupa do żyjącego człowieka, i dowiedźmy, że w tym stosunku żadna się krzywda ostatniemu nie dzieje!?... Jeżeli wedle słów proroka: *Bojowanie jest żywot człowieka*: toć trzeba dwojga odważnych a silnych ludzi, aby ten bój zwycięzko przewiedli, a żeby, gdy jedno upadnie, drugie zasłoniło go piersią swoją; żeby ten związek między dwojgiem ludzi stanowił ich wzajemną siłę, a nie upoważniał do słabostek, do niedołęztwa, ani męża, ani niewiasty! Kto się wprzega w jarzmo małżeńskie, niech pomni, że w każdym doświadczeniu podwójnym musi być człowiekiem: z mężstwem, w cierpliwości wytrwać do końca, bądź co bądź! i nie upaść pod krzyżem, i nie pochylić głowy pod koroną z cierni!....

— Ależ na to potrzeba Chrystusa, nie grzesznego i słabego człowieka!....

— A komuż my podobni być mamy? Czy nie Chrystusowi?... Tylko że trudno w nas dopatrzeć tego podobieństwa, takeśmy się wyrodzili i upadli! Nie ma się czemu dziwić. Jesteśmy wszyscy jako ruchome kółka, odbywające bezwiednie czynność swoją w machinie społecznej, a nie domyślając się nawet paco nas tam ów niepojęty mechanik osadził!... Ludzie specyjalni! w zastosowaniu czynów swoich do widoków osobistych, przerabiający wszystkie skarby ziemi na piękno swego pomysłu, i na pożytek swego ciała! Wielcy ludzie! w społeczeństwie mrówek, pszczoł i bobrów, gdzie każdy wszystkie siły żywotne zużywa pracą fizyczną, tak, iż ducha nieśmiertelnego poczuć w sobie nie może i nie chce! Otóż jabym chciała, żeby mąż, żeby ten co pisze, nie zamienił się w pióro; ten co naucza, nie zamienił się w formułkę scholastyczną; ten co ziemię uprawia, nie zamienił się sam w bryłę gliny; ten co rękami pracuje, nie zamienił się w drzewo, w kruszec, w kamień! Żeby nad tą instynktową pracą około rzeczy przemijających a martwych, powiewał duch nieśmiertelny, wszystko ożywiający!

Już nie pamiętam com dalej mówiła, i nie wiem, czy sobie kiedy przypomnę, ile mi wtedy różnych myśli przestrzeliło w pamięci, jak błyskawice po czarném sklepieniu! Wiem tylko, że mi było gorzko i słodko, smutno i wesoło, jak kiedy w godzinie rzeczywistego szczęścia zbudzi się nagle przeczucie złego, lub kiedy w chwili świętego zapалу, serce zwątpieniem zastygnie, albo pochodnia w rękę zbląkanego wędrowca zagaśnie.

Co się wówczas działo w mojej duszy, było nieujęte jak światło, wielkie jak natchnienie prorocze, niewypowiedziane—jak uczucie!

A wszystko razem było cierpieniem i rozkoszą! Czego ja chciałam od ludzi? od świata? Alboż ja wiem?... Gdyby mi kto był szponami z piersi ducha wydarł, i rozłożył go na pierwiastki na jakiej filozoficznej retorce, niczego by się zapewne więcej nie dowiedział odemnie...

Matka wyjęła spod poduszki relikwią krzyża Chrystusowego, i przeżegnała mnie uroczyście.

— Moje dziecię! o jedną łaskę cię proszę: żebyś tyle różnych książek nie czytywała; to ci ujmuje zdrowia, niszczy twoje siły, których i tak nie masz zanadto. Wszystkie młode dziewczęta twojego wieku, takie hoże, czerstwe, rumiane; ty, pomiędzy niemi wiotka i blada, jak kwiat na łodydze upałem zwarzony. Tyle tylko, że ci się oczy iskczą, a i to Bóg widó, czy nie z gorączki!...

Wziąwszy rękę matki przyłożyłam ją sobie do czoła, do skroni, do pulsów.

— Gdzież tu symptomata gorączki?... Jam zdrowsza od tych, co rumiane i czerstwe! Zresztą przecież nie mówię od rzeczy, tylko tak mi się potrzeba czasem wygadać przed wami, bo i gdzież pójdę z myślą moją, jeżeli nie do matki! Kto inny słuchałby mnie może nie chciał, a matka zawsze głos dziecka swego zrozumieć!...

— Ale czemu ty mnie, dziecko moje, zrozumieć nie chcesz, kiedy ja ci mówię o twoim przyszłym losie, o twojem szczęściu!

— O tém nie mówmy, matko! bo to grzech, *troszczyć się i frasować około wiela, kiedy jednej tylko rzeczy do zbawienia potrzeba*. Będzie ze mną jak Bóg zdarzy, i będzie dobrze! Gdybyśmy sobie nawet i mózg wysuszyły rozmyślając tak nad sobą, to przecież nie ujdziemy naszego przeznaczenia! I najlepiej podobno, co do przyszłych, niezawisłych od woli naszej zdarzeń, poddać się z pokorną ufnością w miłosierdzie ojcowskiel! Ja tam tylko nie widzę woli Bożej, gdzie człowiek źle czyni: bo tam jest zła wola człowieka, woli Bożej przeciwna. Chociaż i to wiemy z doświadczenia, że przewrotność ludzka przypisuje Bogu większą część utrapień swoich, a sobie przyznaje dobro od Boga wzięte. Cóż robić z ludźmi na tym świecie, kiedy ich przekonać, nie można!

— Trzeba znosić i przebaczać, mój aniele!

— Oh! tak, przebaczać dopóki można, i dopóki Bóg zechce, bo na wszystko jest miara i czas.... Czytałam w jakiejś książce o wychowaniu, że cnoty bierne przechodzące w ostateczność, zamieniają się w słabość charakteru, i w niedołęztwo moralne. Jestto poniekąd prawdą w życiu uznaną, że umiarkowanie zamienia się w obojętność, pokora w poniżenie, prostota w głupstwo, oszczędność w sknerstwo, i t. d. bez końca; przeto na wszystko musi być miara i czas...

Matka przerwała mi z uśmiechem:

— Szkoda, moje dziewczę, żeś ty się chłopcem nie urodziła, bobyś mogła śliczne książki pisać, albo gdzie z ambony słowo Boże opowiadać; ale dla kobiety co po tém wszystkiém?.. Od mądrych kobiet, mężczyźni uciekają jak od powietrza, wyśmiewają ich rozum, i najmędrsi pomiędzy niemi powiadają: że uczona kobieta, jestto uczona.... Niech im Bóg odpuści!

— No, moja matko droga, przecież maie nikt ani douczonych, ani do mądrych kobiet nie policzy. I owszem, słyszałam na własne uszy, jak przyganiano ojeu, że niewiele dbał o moje ukształcenie,

choć sam był człowiekiem uczonym. Ja tego nie powiem, i niech wam Bóg płaci za to, coście mi dali! bo daliście wszystko z pod serca, i dlatego też u mnie tylko serce bogate! Ale pytam, czemubym w niewiastach rozum i nauka miały być grzechem, kiedy są w innych zasługą? Zkąd się wziął dla nas przywilej głupstwa, a dla innych przywilej mądrości? Złe użycie rozumu jest grzechem, ale grzechem we wszystkich, którzy go na złe używają. Jeżeli nauka rodzi pychę, próżność lub samolubstwo: to wszakże nie wina czystego ziarna, które upadłszy przypadkiem na złą niwę, zagłuszone zostało chwastem i głogiem. Ziarno było pełne, tylko niwa niewdzięczna, a tą niewdzięczną niwą niekoniecznie bywa kobieta! Był czas, kiedy wątpiono czy kobieta ma w sobie duszę nieśmiertelną; dziś wątpią, ażali ma umysł zdolny do przyjęcia naukowego wykształcenia; a w miarę jak ta wątpliwość ustaje, zuczynają dowodzić mędracy tego świata, że nam rozum niepotrzebny, nauka niebezpieczna, i że zamilowanie w niej rodzi próżność i sprowadza zawrot głowy... Być może! Ale pytam, czy nieświadomość czyni nas lepszemi i szczęśliwsiemi? czy nam daje odwagę i wytrwałość w nieszczęściu? czy nas chroni nakoniec od próżności, pychy i samolubstwa? Doświadczenie odpowiada, że — *nie*. Więc o cóż chodzi? Niepotrzebnie mówię o tém, co już tysiąc razy napisali i wydrukowali najmędrsi ludzie kilku ostatnich wieków. Lecz o nowe myśli trudniej, niż o nowy kapelusz, i dlatego trzeba się staremi żywić dopóki można.

* * *

Upłynęło kilka tygodni zupełnej ciszy.

Pan Ciemięga całe dnie u nas przesiadywał, rozmawiając z matką o gospodarskich interesach, a ze mną o niczym. Uważałam, że matka chciała nieraz wynaléć jaki przedmiot rozmowy dla nas, ale jój się nie udawało; i zawsze tak wypadło, że albo on mnie nie rozumiał, albo ja jego. W skutku niceśmy podobno oboje na tém nie stracili, więc nie ma czego żalować.

Pan Ciemięga, który uchodził u pewnych ludzi za dowcipnego, należał rzeczywiście do liczby tych, u których milczenie zastępuje rozum. Otóż miewał np. czasem dosyć oryginalne zdania, jeżeli to zdaniem nazwać można: nie wierzył historyi, mówiąc: „albo to prawda, co tam kiedyś pisali.“ Dla niego to tylko było prawdą, co zaszło na świecie od czasów Księstwa Warszawskiego. Dawniejsze wypadki, a nawet historia jego dziadka, którego nie znał, należały do podań

bajecznych, i dlatego dziwił się kiedy mówiono o przeszłości, jako o prawdzie niewątpliwie dokonanej.

Religią o tyle tylko uznawał za potrzebną, o ile ona dogadzała osobistym jego widokom i stosunkom, jakie miał ze światem. Zre-szta, moralnej potrzeby, strony poetycznej, duchowej, niebędącej w związku z życiem materyalnym, nie upatrywał bynajmniej. I wyznać nam trzeba, że pan Ciemiega nie stanowił wcale wyjątku ze swoją naturą pozytywną, specyjalno-ziemską! On się nie lubił wyróżniać, i wszelkiej oryginalności lękał się jak morowego powietrza.

Byłto co się nazywa w zwyczajnej mowie: *poczciwy człowiek*. Życie bierne przemawiało za nim pod każdym względem, a sąsiedzi, którzy nie mieli do niego żadnej urazy, uczcili go przydomkiem *zaczynego* obywatela. Mówiono nawet że miał dobre serce, bo płakał kiedy się stodoła ze zbożem spaliła, i kiedy przypadkiem char-ta na polowaniu zastrzelił.

Chociaż Bogiem a prawdą, lzy niezawsze świadczą o skrusze serca, jak słowa niezawsze są objawem ukrytj na dnie duszy myśli człowieka.

Wszakże już zdarzyło mi się widzieć ludzi śmiejących się przy ogłosie pogrzebowej muzyki, wśród pożegnałnych uściśnień braci z bracią! A śmiech ten straszliwszym był od łez i jęków czyscowych, od samej klątwy potępionych, nie mających już nic przed sobą, nic za sobą. A wszakże byłto śmiech!.. Na uszy moje słyzałam!.. Odtąd, łzom nie wierzę, uśmiechom nie wierzę, słowom litości nie wierzę, jak starzec, którego ludzie z czystej a świętej wiary jego obdarli! A przecież, Boże! nie karz mnie za to odjęciem światłości wiekuistej, wróc mi wiare moję w ludzi, gdyż bez niej nie zajdę do Ciebie!..

Kiedy zmija zwątpienia okręci się o serce, i jadem je swoim napelni, i całą szkaradę uczynków ludzkich w potwornym stawi obrazie; wtedy człowiek w mękach piekielnych czuje tylko sam siebie, i woła w rozpaczy: „Co mi do ludzi? niech przypadną wszyscy, bylem ja się zbawił, byle męka moja ustała.“

Jestto przesilenie na śmierć, lub życie. Sprawiedliwi oglądają wtedy cuda Pańskie. Serce ich rozprzestrzenia się nagle, tak, iż pękają pierścienie żmii, wiara spływa balsamem w zbolałą duszę, pokusa przepada, a prawda i miłość zwycięża!

Potém widziałem niebo nowe, i ziemię nową.
Objawienie św. Jana, rozdz. XXI.

Po długiej z matką rozmowie, siedząc raz późno w noc oparta na krawędzi jej łóżka, gdy usnęła, modliłam się całym sercem do Pana, aby mi drogę pielgrzymowania mego uprościł, aby mi zesłał jednego z aniołów swoich, któryby mi tajemniczy cel życia mego objawił. I czemu miałam umrzeć, a żyję?!

Gdy się tak modliłam coraz ciszej, coraz wnetrzniej, czułam jak mi ręce i nogi cierpły, a głowa i piersi coraz gwałtowniej płonęły. Zmysły we mnie zamarły, a duch z grobu powstał. Odtąd już nie widziałam i nie słyszałam, jedno czułam!...

Nagle, całe niebo roztoczyło się, jak wielkie panorama w głębi mej duszy. Jasność, woń, harmonia, składały atmosferę tego nieba. Wszystko tam było cudem Wszechmocy, a Wszechmoc była miłością! Drobie a święte uczynki ludzkie leżące śmieciem na ziemi, podnosiły się z niej w górę i zamieniały w jasne, coraz jaśniejsze gwiazdy, aż słońca w przestrzeni zawieszzone przy nich pobladły! Duchy nieśmiertelne, co z wiarą i nadzieją walczyły o życie przeciw śmierci wiecznej, wstępowały zwycięzko w raj wszechmiłości. Potrzeba tylko było wyraźnego głosu, aby to wszystko wypowiedział; ale głosu tego nie zrozumiałaby ziemia, chociażby się nawet znalazł w mowie ludzkiej, bo głos ten jest dla niej jeszcze tajemnicą. Ja, wygnanka ziemi, tonęłam duchem w tej niebieskiej powodzi, kiedy nagle jedynym z pięciu zmysłów moich ujrzałam przed sobą postać ludzką! Człowieka, który nie był ani starcem, ani młodzieńcem, ani mężem, ani dziećciem, ale był wszystkiem odrazu! Na głowie miał koronę nie złotą, nie jasną, ale owszem jakąś ciemną, a krwawą. Od ramion aż do ziemi pokrywała go gruba a spłona szata, powrozem opasane miał biodra, a w ręku kij pielgrzymi.

Ta postać ludzka, na której obliczu malowała się prostota dziecięcia, i odwaga męża, i tkliwość niewiasty, i powaga starca, postępuwszy ku mnie złożyła obie ręce na mojej głowie, i przemówiła do mnie językiem ziemskim:

— Chcesz wiedzieć siostró, czemu miałaś umrzeć, a żyjesz; chcesz poznać drogę i cel pielgrzymki twojej i prosiłaś o to wierząc, że otrzymasz:... przeto z woli Pana objawiam tobie, że celem życia twego jest: *praca i doskonałość*, owa niepojęta, którą tylko w przeczuciach anielskich widzą sprawiedliwi i niepokalani na du-

chu. Wydarta śmierci, pracować będziesz około zbawienia cierpiących w doczesnej otchłani, których Pan czasu zmartwychwstania swego wprowadzi do raju.... I ciałem ku ziemi, duchem ku Panu iść musisz długi i daleko, mało się weseląc z rzeczy obecnych, a radując się nieskończenie nadzieją przyszłych.... Gdy wolą i duchem wystąpisz z siebie, wszystko co dotąd w olbrzymich przedstawia ci się rozmiarach, zmaleje w oczach twoich na ziarnko suchego piasku; wieki minione wydadzą się jako ubiegłe godziny wieczności, i w całej przestrzeni, od Zenitu do Nadyru, tylko zbrodnia będzie straszna — tylko cnota wielką!...

Jam także syn ziemi, człowiek boleści! wiekowy, ale nie wieczny! Jeżeli wytrwasz i zrozumiesz, opowiem ci krwawą i łzawą przeszłość moją... Żyłem długie lata w niewiadomości przykazań Pańskich, jako niemowlę na łonie matki, bez winy i bez zasługi. W onej pierwszej chwili życia mojego, na którą się wieki składały, ziemia rodzicielka była mi matką i ojcem, zaspokajała wszystkie żądze moje, o ile żądze zaspokoić można. Lecz kiedy drzewo rajskie, *drzewo wiedzy* rozrosło się ponad głową moją i osłoniło ziemię od promieni słonecznych, uczulem zimno we wszystkich członkach moich, a w duszy jakąś niezmierną a bezcelną tęsknotę. Widziałem potem, jako się wszystko naokoło kształtuje w arcydzieła sztuki. Sama natura się wynaturzyła i przestała być sobą, zamieniając się w dzieło myśli człowieka. Cuda stworzenia, ustępować zaczęły cudom dzieł ludzkich; bogowie ubiegali się o pierwszeństwo w sztuce z synami ziemi. I życie całe oblekło się w formę, boskie ideały okuto w ramki pewnego rozmiaru, myśl żywiła się jedynie wrażeniami z otaczających ją przedmiotów, a wyższe natchnienia przedrzeć się nie mogły w serce człowieka przez gęstą atmosferę żądz, naciskających zewsząd duszę jego.

Z zagasłą pochodnią w ręku, z zwiędłym laurem na skroni przeszedłem wszérz i wzdłuż przestrzeń ziemską, a uczyniwszy wszystko na obraz i podobieństwo swoje, poklonilem się obrazowi mojemu! Nieszczęśliwy! byłem bałwochwalcą! Z raju niewiadomości wpadłem w grzech pychy rozumu, i przeto wiedza zamiast owocu zbawienia, wydała owoc pokuty. Rozumiałem, że ona sama da mi doskonałość, że mnie uczyni Bogiem i panem stworzenia; i wszystkie promienie ducha zanurzyłem w ziemi, i wszelkie ziarno myśli na ziemię posiałem, zlewając je krwią i potem własnym; lecz rosy niebieskie zawisły nad ziemią i spływać na nią nie chciały. I poznałem dopióro, że ta krwawa praca rozumu, że ten siów myśli w błoto rzuconych, zgnily

tylko może wydać owoc, i przekonałem się, że mądrość moja w obec nieskończoności—głupstwem była.

Z siejby wiekowej wyrosły tylko ciernie, i zaplotły mi się w koronę ponad głowę i wrosły mi w skronie, i bolały przez długie lata! Wycierpiałem straszliwe męki. Wierzyłem i wątpiłem; nie widziałem i kochałem; żyłem i umierałem, walcząc wciąż bezbronny, przeciwko samemu sobie. Wiłem się po ziemi jak gadzina, której głowę stopa niewiasty zetrzeć miała, i w męce mojej bluźniłem Temu, który mnie stworzył niedoskonałym, a szukać doskonałości przykazał. Więc przekląłem własne ciało, i duszą z niego chciałem się wyrzucić, i lecieć w świat inny, nieznan; ale droga do tego świata była dla mnie tajemnicą.

Kiedy wybiła trzecia godzina życia mojego, niebiosa rozjaśniły się ponad ziemią. Jakieś głosy anielskie rozlegały się w powietrzu, samo powietrze grało pieśnią chwały—Panu na wysokościach, a pokojem—ludziom dobrej woli na ziemi! Duch, w językach ognistych rozplonął mi ponad głowę, aż mózg pod niemi roztopiał, i po raz pierwszy uczulem, że oprócz głowy mam jeszcze serce, które dotąd we mnie nie biło; po raz pierwszy uczulem się człowiekiem nieśmiertelnym, a myśl swobodnie popłynęła w niebo czystą i gorącą modlitwą podzięką za wszelkie zło przemienne i wszelkie dobro wieczne.

Odtąd rozum jest mi pochodnią, a serce przewodnikiem do królestwa Bożego, którego strzeże Cherub świętej miłości, aby tam nie weszło nic skalanego pychą, zemstą lub nienawiścią! Uszedłem już większą połowę drogi mojej, a jeszcze jęj końca przed sobą nie widzę. Tak się przed okiem mojem olbrzymie piętrzą skały, takie się niezmierne u stóp moich rozlewają oceany, że je zaledwie skrzydłem ducha przemierzyć można. Lecz ja, wędrowiec niestrudzony, z drogi swojej nie zboczę, bo gwiazda moja dniem i nocą w szarym świeci obłoku: ta sama, co nad stajenką betleemską jaśniała wiodąc mędrców do ukorzenia się przed cudem miłości; ta sama, co świeciła prorokom izraelskim na szczytach Horebu i Synai, kiedy kataklizm złudzeń i występków zalewał człowieczeństwo... Tą gwiazdą moją jest wiara, za którą już tysiąc razy umarłem, w imię której tyleż razy zmartwychwstałem!...

Słyszając tę mowę ludzką, rzekłam ze drzeniem w ludzkiej mowie:

— Jam nauką nie grzeszna, tylko sercem bogata: może sercem zrozumieć?... Powiedz mi, synu boleści, wiekowy pokutniku, co uczynić mogę, aby czas twojej pokuty był skrócony?...

— W imię Ukrzyżowanego! siostró, pójdź za mną, ja się bez ciebie zbawić nie mogę, ani ty bezemnie. Razem pielgrzymując, wypiszemy na ziemi imiona nasze zgłoskami świętych czynów... Każda łza, którą mi otrzesz, każda kropla krwi, którą w relikwiarz dziejowych pamiątek zbierzesz, zaświeci na skroniach twoich perłą, diamentem nieśmiertelnego blasku!... Pójdziem, siostró! dokąd nas wola Boża prowadzi, nie ustając w trudach i w cierpliwości. Na pustyniach znajdziemy oazy, po krańcach oceanów bezpieczne przystanie, i w życiu znajdziem chwile wytchnienia, po których znowu praca i znój!...

— A spocznem, gdzie? i kiedy?...

— Duchy nieśmiertelne spoczynku nie znają! Im życie wciąż gra pieśnią dzieł Pańskich, pieśnią świętych czynów, przechodzących wiecznie z bytu w byt, ze skończoności w nieskończoność! Na ziemi są groby i cmentarze wielkie, gdzie drzemią proch i kości, czekając godziny sądów; lecz duchów śmierć nie uspi na zimnym łonie swoim: one wciąż w górę płyną, w niebo wstępują, okiem ludzkim niedojrzane, aż po ostatni dzień Apokalipsy, kiedy Duch Boży ponad cmentarzem powieje!.....

Przebudziłam się zimnym potem oblana. Złodowaciała ręka matki leżała sztywno na mojej płonącej głowie!..... Co się dalej stało, już nie pamiętam i przypomnieć sobie nie chcę! Sen przeminął, lecz wrażenie pozostało w myśli mojej na wieki... Zstąpiłam z nieba na ziemię, i nieśmiertelna stanęłam wobec śmierci!..

Ja byłam w niebie, i widziałam Ojca, Syna i Ducha; widziałam Ich jako jednego, w chwale, w miłości i w działaniu nieustającym, w jedności nierozzerwaną. Nigdzie początku, nigdzie końca; lecz wszędzie i zawsze pełnia życia, światła i miłości!

Kiedy gniewny Jehowa przemówił do proroka swego, zachwiały się góry na podstawach swoich, a strachem zadrżało pełzające u stóp ich stworzenie; lecz kiedy Ojciec przemówił do Syna, a Słowo Jego stało się ciałem i zamieszkało pomiędzy nami wraz z Duchem Ojca i Syna: wtedy głos Ojca nie przeraził ziemi, ale ją wzruszył do głębi!.. Przez twardą jej skorupę dostał się do jej wnętrza, i przetopił kruszce w łonie jej zawarte, i zmiękczył odwieczne głązy, tak, że łzami żalu i oliwą ukojenia spłynęły!

Gdzież zemsta Boża? pokażcie mi gdzie są jej ślady?.. Czy w cudownych przeobrażeniach dzieł natury?.. Czy w harmonii krążących naokoło siebie światów?.. Czy w bezlicznych zastępach

słońce i planet pozawieszanych w przestrzeni?.. Czy gdzie dalej jeszcze?.. — Oh! nie. Tam wszędzie chwała! miłość! działanie życia w zgodzie z myślą Bożą!

Zemsty, kary i złości—to nie rosy niebieskie; to są mgły posępnie ciężące nad ziemią, których słońce w niebo nie ciągnie, lecz je z promieni swoich otrząsa; to są wyziewy serc namiętnościami zepsutych, grzechy aniołów straconych w przepaści!.. To co nas boli jest dziełem rąk naszych, serc pomyśleniem, ust wymówieniem, woli naszój uczynkiem! Bóg się nie mści, tylko człowiek grzeszy, a grzesząc, bluźni Bogu!

Synu człowieczy! odejmij grzech od ziemi, a ziemia stanie ci się rajem, w którym znowu głos Pański rozlegać się będzie! Wtedy zrozumiesz i przeznaczenie swoje, i świętą tajemnicę przyszłego żywota, i wieczne prawo przeobrażenia rzeczy stworzonych; a ubogacony darami ducha skierujesz rozwój wiedzy twojój w pełną mądrości myśl Bożą!.. Gdy drzewo rajske zakwitnie powtórnie, owoc jego da ci żywot wieczny, abys się stał Bogu podobny—przez miłość!

Niech zabijające wyziewy serc nieczystych zbiorą się w kałużę błota, i niech je zimno biegunowe zetnie mrozem śmierci! Niech grzechy obojętności zleją się w stojące jeziora, w martwe morza, od których żyjące twory uciekają! W tych wodach ryba nie zagości, ptak nad ich powierzchnią nie przeleci, stopa ludzka ich brzegu nie dotknie; lecz pozostaną wśród lądów po wszystkie wieki, świadcząc przeciwko złemu, które pochłonęły!

A kiedy wszystkie głosy w naturze nastroją się do jednego tonu, wszystkie serca w jeden zaplotą się wieniec, wszystkie myśli w jeden zleją się strumień, i wszystkie barwy w jednej zabłysną tęczy:—natenczas niebo i ziemia wyciągną miłośnie ramiona ku sobie, i będą jako Jeden!

A Syn człowieczy ukaże się w chwale Ojca, otoczony zastępem wyznawców i męczenników swoich, kiedy w przestrzeni zabrzmie wszystkimi głosami, głos jeden:

Oto Słowo które stało się Ciałem, i zamieszkało pomiędzy nami na wieki!

Te były ostatnie wyrazy na 18 str. pisma nieboszki. Kilku następnych kartek brakowało: zdaje się, że zniszczone były umyślnie. Dalej znalazłam dwie ćwiartki papieru, częścią zlane atramentem,

częścią przedarte; na innych myśli bez ładu, bez związku kreślone; to znów modlitwy takie serdeczne, takie wznioste, że się przed nimi mimowolnie kolana uginały... Stały mi w pamięci listy po śmierci jej matki do mnie pisane, i wszystko naraz powlokło się przedemną tajemniczą zasłoną. Nie rozumiałam nic a nic!.. Trzecia godzina po północy wybiła w przyległej izbie, lampa przedemną dogorywała, mnie samą słabo się robiło. Tyle zaledwie miałam przytomności, żeby wypróżnioną tekę na właściwe miejsce położyć, listy moje pozbiierać, i jako-tako ułożyć się do spoczynku. Światło zgasło i ja oczy zamknęłam.



PRZEGLĄD PRAC

USKUTECZNIONYCH I NADAL ZAMIERZONYCH W CELU POŁĄCZENIA MORZA
ŚRÓDZIEMNEGO Z CZERWONÉM PRZEZ MIĘDZYMORZE SUEZ W AFRYCE,

t u d z i e ż

OCEANÓW ATLANTYCKIEGO I WIELKIEGO PRZEZ MIĘDZYMORZE
PANAMA W AMERYCE.

PRZEZ

Jana Mitkiewicza.

Połączenie Śródziemnego morza z Czerwoném w Afryce przez międzymorze Suez, a oceanu Atlantyckiego z Wielkim w Ameryce przez międzymorze Panama, są dwa nader ważne przedsięwzięcia w teraźniejszym porządku dziennym, które ku sławie naszego wieku mają być wykonane za naszych czasów. W Afryce, (1) choroba sędziwego Mehmed - Alego, śmierć Ibrahima-Baszy, polityczny stan Europy i towarzyszące mu przesilenie handlowe, odwlekły na jakiś czas doprowadzenie do skutku tak ważnego zamiaru, ulubionój niegdyś myśli i marzenia starego wice-króla, a którego wykonanie, nadzwyczaj wieleby wpłynęło na rozszerzenie handlu Europy z bogatemi krajami południowój Azji, mogłoby nawet całkowicie i najkorzystniej zmienić handlowe stosunki Zachodu ze Wschodem. W Ameryce zaś szczęśliwe dla Stanów Zjednoczonych ukończenie meksykańskój wojny i wynalezienie metalicznych bogactw w Kalifornii, przyspieszyły uskutecznienie zamiaru, który niejako był w niepamięć puszczony, i może bardzo długo pozostałby jeszcze jako projekt, bez wykonania.

(1) Pisano w r. 1849.

Korzyści, jakie handel spodziewa się odnieść przez skrócenie dalekiej podróży, gdy niepotrzeba będzie opływać nader niebezpiecznych przyłdków Dobrzej Nadziei i Horna, są tak widoczne i pewne, że na obydwóch międzymorzach zamierzono urządzić podwójne komunikacje: wybudować koleje żelazne, a niezależnie od nich przekopać kanały, któremiby mogły wielkie okręty przechodzić.

Międzymorze Egipskie.

W Afryce, Śródziemne morze przedzielone od Czerwonego wąską piaszczystą przestrzenią, w czasach odległych daleko wewnątrz Egiptu zachodząc, tworzyło zatokę równoległą do brzegów morza Czerwonego i z niem się łączyło naturalnym związkim. Ciągłe niziny dotąd w tych miejscach istniejące, pokryte napływami morskimi, na których znajdują się solne jeziora, potwierdzają to domniemanie, podzielane przez wielu pisarzy.

Przestrzeń ta, międzymorzem Egipskiem (1) albo *Souyes* (2), zwykle zaś *Suez* zwana, przedziela zatokę Arabską czyli morze Czerwone, a następnie ocean Indyjski od morza Śródziemnego na odległość 120 kilometrów, pomiędzy 30° a 31° północnej szerokości. W odległej starożytności, stanowiła ona najkrótszy i najlepszy naturalny środek komunikacyjny pomiędzy krajami południowej Europy a stałym lądem azjatyckim.

(1) Wiadomości o międzymorzu Suez wzięte są z rozprawy czytanej w sekcji technicznej Towarzystwa Naukowego w Medyolanie (*Société d'encouragement des sciences, lettres et arts*), na dniu 5 czerwca 1847 r. przez inżyniera Corte, a później wydrukowanej w styczniowym zeszycie 1848 r. w *Annales universelles de statistique, d'économie politique etc. Milan*. Następnie pan Atanazy Gros przetłumaczył ją po francuzku i uzupełniwszy późniejszymi wiadomościami, wydrukował w *Journal des Économistes* w marcowym zeszycie 1849 r. nr. 95, stron. 381—395. My zaś wzięliśmy text p. Gros z powyższego francuzkiego dziennika prawie dosłownie, pozwoiliwszy sobie zmienić nieco porządek redakcyi i dodawszy jeszcze niektóre spostrzeżenia i uwagi z innych źródeł.

(2) Arabowie nazywają *Souyes* miasto teraźniejsze, które powstało na miejscu starożytnego *Kolzum* v. *Qolzum*. Inżynier Le Père b. prezydujący w komisji mianowanej przez generała Bonapartego do rozpoznania kanału przez międzymorze Suez, rzuca pytanie, czy wyraz ten nie pochodzi od słowa *Souyen*, co znaczy *oaza*, t. j. miejsce w stepie bezludnym zamieszkałe. Langles w swoim Dykcyonarzu wyprowadza ten wyraz do egipskiego słowa *Ouahe*, toż samo znaczenie mającego, a które Grecy zamienili na *Oasis* czyli *Oaza*.

Ważność połączenia obu mórz sztucznym sposobem, uczuwano w czasach nader odległych; za świadectwem Arystotelesa, Strabona i Pliniusza, pierwszą myśl o przerobieniu między niemi kanału, powziąć miał Sezostrys, który panował za czasów Trojańskiej wojny, odpowiadającjéj podług wyrachowania Volneja (1) epoce panowania Salomona, t. j. na 1.000 lat przed nar. Chr. Kanał nie miał łączyć bezpośrednio obu mórz, ale, jak podaje Diodor sycylijski, miał być poprowadzony od brzegów morza Czerwonego, od miasta *Qolzum* (Clizma u Greków) do Nilu niedaleko Memfisu. Kanał ten zaczęty był na wielką skalę: miał 170 stóp szerokości, z odpowiednią dla pływania wielkich okrętów głębokością; wszakże nie został ukończony, gdyż król spostrzegł, że powierzchnia wody morza Czerwonego leży znacznie wyżej od Nilu, a więc z obawy aby słona woda morska, mieszając się z Nilową, nie szkodziła urodzajności gruntów, roboty kazał zaprzestać. M. Letronne w artykule swoim: *Isthme de Suetz, canal de jonction des deux mers, sous les Grecs, les Romains, et les Arabes*, (2) mniema, iż z Herodota wnosić wypada, że nie Sezostrys, ale daleko później król *Nechos* syn *Psametyka*, około 600—615 r. przed Nar. Chr., pierwszy zaczął ten kanał kopać, i kiedy już 120 tysięcy ludzi koło niego pracujących życiem tego przypłaciło, roboty wstrzymano w skutek wyroczni, że król pracuje dla barbarzyńców. Później za panowania Persów, *Daryusz* syn *Histaspa* prowadził dalej prace rozpoczęte przez *Nehosa*, a następnie *Ptolemeusz Filadelf II* ukończył je w zupełności, i uskutecznił wszelkie poprawki i naprawy, które tak prędko powoduje woda, jeżeli nauka i ciągły dozór nie potrafią temu zapobiedz. Kanał nosił imię *Ptolemeusza*, *Cannalis Ptolomaei*, nazywano go także *kanalem królewskim*. Bądź z powodów politycznych, jak niektórzy sądzą, bądź też z obawy, aby nie ściągnać do środka kraju burzliwych fal Śródziemnego morza, lub też jeszcze dlatego, że miejscowość przedstawiała mniej trudności i że w owych czasach głównym celem mogło być ułatwienie tylko handlu wewnętrznego: dla połączenia obydwóch mórz nie zmieniono dawnego kierunku i nie obrano prostéj, zatém najkrótszój drogi przez międzymorze, lecz poprowadzono kanał od odnogi *Nilu*, *Peluzyjską* zwanéj, niżej miasta *Bubast*, w bliskości terażniejszego *Kairu*, przez dolinę *Quady-Toumlat* i *Gorzkie jezioro*, które on przecinał, podo-

(1) Wyrachowanie Volneja:—jemu właściwe. *Mémoire sur la Chronologie ancienne. 1782.*

(2) *Revue des deux Mondes, vol. XXVII. 1841.*

bnie jak Rodan przecina jezioro Genewskie, do miasta Arsinoe, czyli *Cleopatriis*, leżącego na samym brzegu północnym zatoki Arabskiej. Kanał królewski czyli Ptolemeusza miał 165 kilometrów długości, a był szeroki od 35 do 40 metrów, nigdy zaś nie był mniej nad 5 metrów głębokim, a posilkował się wodą Nilu. Okrety przybywające z Czerwonego morza do odnogi *Peluzyjskiej*, mogły z łatwością dopływać z wodą do wszystkich portów Śródziemnego morza, lub iść pod wodę do Memfis, a ztamtąd aż do Teb. Kanał ten, oprócz dobrodziejstw jakie czynił dla handlu, dostarczał obficie wody do irygacyi nader znacznej przestrzeni okolicznych gruntów, na międzymorzu położonych, które stawszy się urodzajnymi, wkrótce pokryły się ludnością: przy samym kanale powstały pyszne miasta *Phagroriapolis*, *Heroopolis* czyli *Heroum* i *Serapeum* niedaleko od *Arsinoe*.

Z czasem jednak wdzierające się piaski zamuliły dno, a w końcu i znaczną przestrzeń kanału zupełnie zasypały. Cesarz Adryan korzystając z pokoju, którym cieszyło się rzymskie cesarstwo, kazał odnowić kanał, i dobudować na kilka stadyów nową odnogę, która zaczynała się niedaleko miasta *Heroum* i łączyła się z Nilem poniżej Memfis, przy wojennej stacyi rzymskiej Babilon, (*Babul v. Babilion*), naprzeciwko piramid. Nowo wyporządzony kanał otworzony został dla handlu. Adryan nazywał go *Rzeką Trajana*, dla uczczenia dobroczyńcy, który go na następcę tronu powołał. Kurcyusz nazywa wybudowaną przez Adryana odnogę *Oxius*, a Arabowie *Merahemi*.

Czas i niedozór zniszczyły na nowo i te prace. Kalifowie arabscy starali się o przywrócenie starożytnego kanału do należytego stanu. Słynny Omar-ebn-el-Kattab w r. 640 po Narod. Chryst. polecił wielkorządcy Egiptu, *Amru*, wznowić go, aby ułatwić dowozy żywności dla Arabii, a szczególnie do miast Mekki i Medyny, doznających z przyczyny nieurodzajów głodu. Wznowiony przez Omara kanał, uległ niewielkiej zmianie co do kierunku; nieco bowiem bliżej niż przedtém łączył się z Nilem, pod starym Kairem, niedaleko teraźniejszego *zamku wodnego* (*Chateau-d'eau*) i był nazwany kanałem *księcia prawowiernych* (1). Przez niedbałość

(1) Arabowie nazywali go początkowo: *kanał Messr* czyli *Fosthâtk*. Kiedy generał *Diauer* założył miasto Kair na wschodnim brzegu kanału, nazwano go kanałem *Kairskim*; zwano go także *kanałem peret*, a teraźniejsze u krajowców ma nazwiska: *Hhâkem* (el-Khalydie-êl-Hhâkemy), *Khalydie-allouloua*, *Khalydie-almorakham*. *Recueil des observations et des recherches qui ont été faites en Egypte pendant l'expédition de l'armée française*. Druga edycya T. XI, str. 360.

arabskich rządców, kanał znowu się zamulił; nakoniec w r. 1775, kalif Abu-Diafur-al-Mansor, aby przeciąć dowóz zboża do Medyny, która natenczas zbrojnie przeciw niemu powstała, kazał go zupełnie zasypać, do czego zapewne przyczyniła się także i obawa, aby przy wielkich przyptywach Czerwonego morza, nie wtargnęła woda i nie zalala wnętrza kraju, co podług francuzkiego inżyniera Le Pére, nie było niepodobnym. Od tego czasu kanał nie był więcej wznawiany, lecz część jego dotąd istnieje pod nazwiskiem *Kalisch*, w okolicach północno-wschodnich Berket-el-Hadi czyli jeziora Pielgrzymów. *Kalisch* przeto jestto ten sam kanał, który co rok przy wezbraniu Nilu, pomiędzy 15 a 20 sierpnia, z wielką uroczystością otwierają dla irygacyi gruntów. Miasto *Quolzum* czyli *Clysmá*, pod którym kanał do Czerwonego morza wchodził, również od kilku wieków nie istnieje: pozostało tylko imię, a na miejscu gdzie stało wznosi się pagórek z cegieł i kamieni, zasypany piaskiem, w odległości 300 kroków na północ od Suez, na samym brzegu morza przeciw brodu prowadzącego do źródeł el-Naba.

W krajach żyznych i w płody bogatych, związki handlowe biorą początek na brzegach rzek wielkich, które ułatwiając stosunki pomiędzy mieszkańcami, tworzą wewnętrzny handel; gdy zaś ten jest czynny i przemysłowi sprzyjający, stanowi najpewniejszą podstawę pomysłności krajowej i przyczynia się do rozszerzenia handlu zewnętrznego, zależącego często od przypadkowych okoliczności. Ale handel wewnętrzny stanowi własność narodu, z nim razem żyje i ginie. Egipt, jak wiadomo z historii, umiejętnie korzystał ze swojej ziemi i geograficznego położenia; w odległych bardzo czasach, kraj ten był spichrzem Syrii, Arabii, następnie Rzymu, jak dziś Konstantynopola; był głównym składem indyjskiego handlu, który prowadzono morzem Czerwonem w miastach portowych Berenice, Cosseir, Arsinoe i Suez, i stanowił środkowy punkt handlu *karawanowego* i tranzytowego pomiędzy Afryką, Azyą i Europą, co nadewszystko ułatwiał Nil, będący splawnym od *Elefantyny* czyli *Geziret-el-sag* (kwitnącej wyspy), to jest prawie od samych wodospadów aż do ujścia.

Z natury wynikało, że przy tak czynnym i kwitnącym handlu, jakim się bogacił Egipt, już w nader odległej epoce myślano o połączeniu dwóch mórz, do których kraj ten przytykał. Wyżej powiedzieliśmy z jakich powodów początkowy kanał szedł nie w prostym kierunku pomiędzy zatoką Arabską a morzem Śródziemnym, lecz ku stronie Kairu do odnogi Peluzyjskiej dążył. Do tych powodów

przyczyniła się zapewne jeszcze i ta okoliczność, że Egipt w ogólności odnosząc znaczne korzyści ze swego handlu, szczególnież tranzytowego, mógł poprzestawać na tém co miał u siebie, nie szukając nowych źródeł w obcych odległych krajach; nie miał także nigdy dość własnych lasów do wystawiania okrętów w ilości odpowiedniej obszernemu handlowi zewnętrznemu; zresztą w owój epoce, ludy, prócz może Fenicyan i Kartagińczyków, nie miały jeszcze téj myśli naszych czasów:—zagarać handel na całej kuli ziemskiej.

Znakomity wódz francuzkiej wyprawy miał rozleglejsze w tym względzie widoki, i obok zwycięstw nad brzegami Nilu odniesionych, nie zaniedbał zjednać sobie nowego tytułu do sławy:—dwóch mórz połączeniem.

Generał Bonaparte za przybyciem do Egiptu postanowił udać się do Suez osobiście, a pierwój mianował kommissyą pod przewodnictwem inżyniera Le Pére, do zbadania miejscowości i ułożenia planu robót. Zwiedzając Suez, oglądał stary kanał i ledwie życiem tego poświęcenia się nie przyplacił, gdy wracającego od źródeł Mojżesza, d. 28 grudnia 1798 r. w nocy, przypływ morski ogarnął. Bonaparte dzieląc zdanie kommissyi o ważności połączenia dwóch mórz, odezwał się do niej w te słowa: „Dzieło to jest wielkie; ogłoscie drukiem rozprawę i zniewolcie rząd turecki, aby w wykonaniu tego projektu chciał zrozumieć swój interes i swoją sławę (1).”

Kommissya zbadala miejscowość dokładnie pod względem technicznym i naukowym; raport w tym przedmiocie przedstawiony był pierwszemu konsulowi 14 sierpnia 1803 r. w Paryżu, i później ogłoszony drukiem pod tytułem: *Mémoire sur le canal des deux mers*, w I tomie znakomitego dzieła: *„Recueil des Mémoires sur l’Egypte*, ułożonego z rozkazu cesarza i wydanego w r. 1809 przez Panckouke (2).

Napoleon przywiązywał nader wiele wartości do wybudowania kanału Suezkiego, bo zostawszy jego panem byłby panem Indyi, a szczególnież w czasach w których nie znano jeszcze żeglugi parowej; i zapewne przedsięwzięcie to byłby doprowadził do skutku, gdyby los, który go powołał do rządzenia wielkim narodem, nie zmienił się następnie.

(1) La chose est grandiose; publiez un mémoire et forcez le gouvernement Turc à trouver dans l’execution d’un tel projet, son intérêt et sa gloire.

(2) W drugiem wydaniu z 1822 r. rozprawa ta jest zamieszczona w tomie XI, str. 371.

Projekt wypracowany z rozkazu Napoleona, był pierwszym od czasu jak kalif Abu-Djafar-al-Mansor kazał zasypać kanał. Ogłoszono potem cztery jeszcze projekta, tak, iż dotąd jest ich pięć, jakoto: projekt inżyniera Le Père, Colin'a, Golloway'a, Harris'a i wypracowany z rozkazu Mehmed-Alego.

1. *Projekt inżyniera Le Père.* Z prac kommissyi pod przewodnictwem Le Père ustanowionej, wynika: 1) że przestrzeń między miastami *Suez* a *Tyneh*, na płaskim i otwartym brzegu morza Śródziemnego, niedaleko zwalisk starożytniej *Peluzyi*, wynosi w czasie małych przyływów morskich 120 kilometrów; 2) że poziom małego przyływu morza Czerwonego w *Suez*, w czasie Syzygii, wyższy jest o 8,12 nad poziom morza Śródziemnego w *Tyneh*; 3) że wzniesienie się przyływów nad zwyczajny stan morza bywa w *Suez* 1^m,78, w *Tyneh* zaś nigdy wyższy nad 0^m,38; ztąd wypada, że w czasie wielkich przyływów, różnica pomiędzy poziomem obydwóch mórz wynosi 9^m,58, a przy średnich przyływach różnica ta bywa 8^m,84, t. j. o ośm razy większa aniżeli, jak wiemy z postrzeżeń M. Llyod, pomiędzy oceanami Atlantyckim i Spokojnym w Panamie i w Chagres.

Z odniesienia tych poziomów do poziomu Nilu pod Kairem okazuje się, że w czasie zwyczajnego nizkiego stanu wody w Nilu, powierzchnia jego przy Kairze jeszcze jest wyższa od małego przyływu morza Śródziemnego o 5^m,28, a w epoce największego wezbrania rzeki wzniesienie nad mały przyływ wspomnianego morza dochodzi do 12^m,86. Wypada więc, że w tym ostatnim stanie, to jest w czasie najwyższego wezbrania rzeki, Nil wznosi się nad poziom zatoki Arabskiej w *Suez*, gdy ta jest w niskim wodostanie, o 4^m,74, w czasie zaś niskiej wody w Nilu, ten ostatni bywa niższy od zatoki Arabskiej tylko o 2^m,84. M. Sainte-Preve w nocie przedstawionej w 1847 r. akademii paryzkiej nauk, dowodzi, że pomiar uskuteczony przez kommissyą Le Père, z powodu różnorodnych trudności, które ona co krok napotykała, nie jest dokładny; w skutek czego akademie miała dać polecenie panu Rochet d' Hericourt, który po raz trzeci odpływał do Abissynii, aby okoliczność tę sprawdził. Podług ostatnich najnowszych wiadomości, z niwellacyi uskutecznionej z rozkazu Mehmed-Alego pod kierunkiem Linant-Beya, różnica pomiędzy morzem Śródziemnym a zatoką Arabską, nie wynosi więcéj jak 2 do 3^m, co nadzwyczajnie rzecz zmienia i kanalizacyą międzymorza nierównie łatwiejszą wystawia.

Powierzchnia ziemi na przestrzeni międzymorza mało ma nierówności; najwyższe punkta nad poziom małego przypływu morza Śródziemnego, dochodzą 7 do 10^m, 12.

Ogromna zapadłość *gorzkiego jeziora*, zwanego przez Arabów *morzem krokodyłów*, ma 40 kilometrów długości i w przecięciu 11 kilometrów szerokości; dno jego położone jest o 16^m niżej, jak małe przypływy w Suez. Zapadłość ta może w czasie wielkich przypływów zbierać wody zatoki Arabskiej, i tym sposobem stanowić obszerny rezerwoar na posilkowanie kanału, który będzie wpadał do morza Śródziemnego.

Podług projektu Le Père, kanał powinien być poprowadzonym obok starego *królewskiego kanału*, o którym wspomnieliśmy poprzednio. „Jednakże”, mówi dalej Le Père „teraźniejszy stan rzeczy dozwoli łatwiej niż przedtém przeciąć międzymorze w prostym kierunku, chociaż wiele uwag przemawia za starym kierunkiem, który jest dogodniejszy i z tego powodu, że przecinając międzymorze bezpośrednio, wypada koniecznie wybudować port na peluzyjskim brzegu.”

General Andréossy w rozprawie swojej o *okolicach jeziora Menzaleh*, zamieszczonej w témże dziele co i rozprawa komisji (1), również dowodzi, że zawały które się tworzą przy ujściu Nilu, czynią grunt tak ruchomym i zmiennym, że tam niepodobna urządzić stałego portu.

Z tych powodów Le Père projektował podzielić kanał na cztery sekcye:

Pierwsza sekcya, długości 19,490 metrów, zaczynając się od Nilu pomiędzy kanałem *Mouyes* w Bubastie, a tamą Seneki, miała być poprowadzoną do doliny *Ouady Poumlat*. Druga długości 72,500 metrów, przerywając wspomnianą dolinę, miała dotykać brzegów jezior gorzkich.

Dno obudwu tych sekcyj powinno było być równe z poziomem powierzchni najniższego stanu Nilu w ten sposób, aby one mogły być posilkowane tylko w epoce wezbrania rzeki, i aby żegluga mogła się odbywać w przeciągu prawie ośmiu miesięcy (od sierpnia do marca). Daremnie usiłowanoby, mówi autor, przedłużyć peryod żeglugi, gdyż sam Nil tylko w przeciągu tego czasu spławny bywa. Trzecią sekcją długości 40,000 metrów stanowi jezioro gorzkie. Wody z Nilu powinny tu przypływać w czasie wezbrania rzeki i napęlniać rezer-

(1) W drugiem wydaniu 1822 r. T. XI, fol. 519—554; taż sama rozprawa była wydrukowana w Kairze w dekadach egipskich w r. 1799.

woar, tak, aby powierzchnia jego stale dochodziła poziomu małego przyływu zatoki Arabskiej. W tym celu, niezależnie od konstrukcyj zatrzymujących wodę od strony poprzedzającej sekcji, trzeba wybudować podwójny system śluz od strony czwartej i ostatniej sekcji, która na przestrzeni do Suez miała mieć długości 21,439 metrów. Dno czwartej sekcji powinno było być blisko 3^m,50 niżej od poziomu małego przyływu, a cała sekcya tak wybudowana, aby w kanale mogła się mieścić ilość wody odpowiednia wysokości wielkiego przyływu.

Długość całego kanału, włącznie z gorzkimi jeziorami, miała wynosić 153 kilometry, a sam kanał, nie rachując powyższych jezior, 113 kilometrów 50^m. Kanał ten podług autora wybudowany dla wewnętrznej żeglugi statkami Nilowemi, mógłby jednak unosić okręty morskie zanurzające się do 4 metrów, lecz tylko w epokach największego wezbrania wody, t. j. w przeciągu czterech miesięcy w roku.

Dla zapobieżenia téj ważnej niedogodności, że przerywa się żegluga, p. Chevalier doradzał później, aby przynajmniej dla mniejszych statków czyli Nilowych, wybudować na środku długości kanału należycie obszerny rezerwoar, w którymby zbierała się woda Nilowa w czasie wezbrania; w epokach zaś niskiego stanu rzeki, aby rezerwoar zaopatrzać wodą z Nilu, przez umyślnie wybudowany posilkowy kanał, który należałoby poprowadzić z Nilu do rezerwoaru. Lecz podobny rezerwoar, bez względu na inne warunki uboczne i zależące od konstrukcyi samego posilkowego kanału, powinien być obszerniejszy, aniżeli starożytne jezioro *Moeris*. Oprócz tego, jak i sam Chevalier robi uwagę, gorący klimat i palące wiatry ze stepów wiejące, powinny zrzędzić taki ubytek wody z wielkimi kosztami zebranej, że to sztuczne jezioro nie będzie mogło zadość odpowiedzieć zamierzonemu celowi; a więc podług zdania samego autora, urządzenie stałej bez przerwy żeglugi między Suez i Nilem we wszystkie pory roku, jest problematem, którego rozwiązanie przedstawia nader wiele trudności.

Dopłynąwszy od Suez do Peluzyjskiej odnogi Nilu, zostaje jeszcze większa połowa drogi do Śródziemnego morza; trzeba płynąć pod Alexandryą do Abukiru, jedyne go punktu na całym egipskim wybrzeżu, przystępnego dla okrętów większej objętości. Ta właśnie dogodność spowodowała Alexandra Wielkiego do założenia w tém miejscu miasta, które on słusznie swoim imieniem ozdobił.

Dla przebycia téj przestrzeni potrzeba najprzód przepłynąć znaczną część Rozetańskiej odnogi Nilu, która dla utrwalenia żeglugi

przez podniesienie poziomu wody za pomocą urządzenia nadbrzeżnych tam (*barrages*), wymaga wybudowania niewielkiego pobocznego kanału. Można w tym celu chociaż nie z wielką dogodnością użytkować z kanału *Mamouhdich*, który Mehmed-Ali kazał wybudować czyli raczej odnowić, a który na przestrzeni 80 kilometrów łączy *Fouah* z *Alexandryą*. Ta druga część drogi, t. j. korytem Nilu, wynosi 180 kilometrów, co razem z pierwszą czyni 413 kilometrów, czyli ctery razy tyle, co przestrzeń w prostej linii przez międzymorze pomiędzy *Suez* i *Tineh*.

Inżynier Le Père doradzał także przywrócenie starego *alexandryjskiego* czyli Kleopatry kanału, który się zaczyna od miasta *Rahamameh* nieco powyżej *Fouah*. Kanał ten powinien być w niektórych miejscach sprostowanym i wpadać do koryta jeziora *Madiech*, z kąd miał również być poprowadzonym wodociąg dla zaopatrzenia Alexandryi wodą zdatną do picia, której tam często brakuje.

Co się tyczy połączenia bezpośrednio *Suez* z *Peluzą* przez osobny kanał, Le Père jest zdania, że przecięcie międzymorza w tym kierunku przedstawia dogodności, których nie będzie mógł mieć kanał wewnętrzny. W samą rzecz, mówi on, żegluga może być nieustająca, ponieważ nie będzie zależała od podniesienia lub opadnięcia wody w Nilu; znaczna głębokość może być łatwo utrzymywana przez sprowadzenie wody z obszernego rezerwoaru *gorzkich jezior*, a przez stosowne urządzenie spadków, pęd wody nabierze takiej mocy, że potrafi zapobiedz, aby się nie tworzyły piaszczyste zawały, zrzadzane wiatrem ze stepów. Nie ma także obawy, aby w kanale powstawały ławy lub haki, ponieważ woda ze wspomnianych jezior nie zdoła nanieść żadnego mułu, a silne jej działanie utrzyma kanał zawsze wolnym; kanał ten wybudowany łącznie z wewnętrznym kanałem, uzupełni przedsięwzięcie tak użyteczne i wielkie.

Najgłówniejszą trudność w doprowadzeniu do skutku, stanowi urządzenie i utrzymanie w bliskości *Peluzy* dobrego portu. Wszelako Le Père mniema, że raz wydrążywszy port, można go utrzymać wolnym od zawałów piaskowych, przez działanie wielkich mass wody, która w czasie wezbrania Nilu wprowadzana do portu, pędem gwałtownym będzie go mogła zupełnie z piasku oczyszczać. Sławny *Prony*, w raporcie swoim do paryzkiej akademii nauk, podziela to zdanie. Konstrukcyje wodne w *Ostendzie* w taki sam sposób z najlepszym skutkiem tameczny port oczyszczają.

Koszta robót doradzanych przez inżyniera Le Père, włącznie z kanałem, od *gorzkich jezior* do morza Śródziemnego, chociaż co

do tego ostatniego, inżynier francuzki nie mógł otrzymać wszystkich dat potrzebnych, obrachowane są jak następuje:

Kanał od Suez do Nilu 113 kilometrów, roboty ziemne.....	7,268,000 fr.
Kanał od gorzkich jezior wprost do Peluzy, 66 kilometrów.....	2,500,000 fr.
Roboty sztuczne dla obudwu kanałów.....	5,600,000 fr.
Nieprzewidziane wydatki, wynagrodzenie za szkody, płaca służbie, dozorowanie robót i t. d....	6,800,000 fr.
Razem.....	22,168,000 fr.

Do obliczenia nie weszły roboty na urządzenie portów w Suez, Alexandryi, Tynch, i t. d., a które mogą wynosić drugie tyle; cały więc koszt dochodziłby blisko 50 milionów franków.

Te wydatki równałyby się tylko połowie kosztów, jak obrachował inżynier Garella, na wybudowanie daleko mniejszego kanału na międzymorzu Panamskiém, pomiędzy Chagres a Panamą, a które 94 miliony franków wynoszą. Długość tego ostatniego kanału jest tylko 76 kilometrów; długość zaś kanałów od Suez do Peluzyjskiej odnogi Nilu i od gorzkich jezior do Peluzy, 179 kilometrów, t. j. przeszło 2 razy więcej jak kanał panamski. Różnica ta ztąd najwięcej pochodzi, że dla urządzenia amerykańskiego kanału wypada przebić pod wysokimi górami znacznej długości tunel i poprowadzić z obudwu końców jego bardzo głębokie galerie. Sama ta część robót, obliczona jest przeszło na 46 milionów franków.

2. *Projekt p. Collin.* P. August Collin z Marsylii, przez cztery lata dla rozpoznania międzymorza w Egipcie bawiący, ogłosił w 1848 r. rozprawę pod tytułem: *Du retablissement de l'ancienne route de l'Inde*, w której doradza wybudowanie kanału wprost pomiędzy dwoma morzami, a osobno kolei żelaznej od Suez do Kairu. Później znowu opisał swój podwójny projekt w dziennikach *la Phalange* i *la Démocratie pacifique*, proponując, aby się utworzyła *kompania Suezkiego międzymorza*, któraby zajęła się doprowadzeniem do skutku obudwu tych przedsięwzięć.

Splawny kanał Collina ma objąć gorzkie jezioro, i ztamtąd, niewiele zbaczając, iść do Peluzy; wzdłuż lewego brzegu tego kanału ma być urządzony drugi kanał-wodociąg, który wzięwszy początek w Nilu, dostarczałby wody do picia w Suez, gdzie niedostatek jej więcej jeszcze niż w Alexandryi lub gdzieindziej czuć się daje.

Collin w projekcie swoim roztrząsa więcej ekonomiczne i handlowe widoki, niż przedmiot techniczny. Koszta na roboty ziemne i sztuczne są obrachowane podług zasad przyjętych przez inżyniera Le Pére w jego projekcie. Koszta te włącznie z robotami do wykonania przystani w Suez i z konstrukcją kamienną tamy dla zlaniania pędu wody przy ujściu kanału w morze pod Peluzą, wynoszą do 9,287,000 fr.

Z powodu różnicy jaka wynika w rozmiarach konstrukcyjnych spławnego zwyczajnego kanału a kanału *morskiego*, t. j. dla wielkich okrętów, p. Collin bierze powyższą sumę we dwójnasób czyli na . . . 18,574,000 fr.

Na wybudowanie dobrego portu w Peluzie, na urządzenie służące do oczyszczania go z piasku, i innych śluz. 28,000,000 fr.

Na urządzenie tam wzdłuż brzegów jezior gorzkich dla utrzymania wody zapaśnej w należytej głębokości i dla zapobieżenia od zalewów ze strony doliny Oudy-Tomlad 3,000,000 fr.

Razem na kanał 49,574,000 fr.

Wodociąg zaś, który będzie poprowadzony wzdłuż wspomnianej doliny do samej starożytnej świątyni Serapisa, użytkując z pozostałego śladu starożytnych kanałów, podług Collina ma kosztować 3,000,000 fr.

Dwie filialne odnogi wodociągu, jedna do Suez, druga do Peluzy. 7,000,000 fr.

Razem na wodociąg . . . 10,000,000 fr.

Kolej żelazna ma być poprowadzoną od Suez do Kairu, a wybudowanie jej będzie ułatwione przez poprzednią konstrukcją wyżej wspomnianego wodociągu; kolej ta przeznacza się dla wewnętrznego handlu w kraju. Kompania, która ją wybuduje, może później odstąpić ją na rzecz rządu.

Długość kolei wynosi 112 kilometrów. Koszta konstrukcyjne, z powodu jednostajności położenia gruntów, obliczone po 100,000 fr. na kilometr, czyli na 11,200,000 fr.

Na kupno lokomotyw. 600,000 fr.

Na budowę magazynów, stacyj i t. d. 300,000 fr.

Razem 12,100,000 fr.

W ogóle zaś na budowę kanału i kolei żelaznej 71,674,000 fr.

Dodając do téj summy koszta administracyi w czasie trwania robót, wydatki niezbędne na stopniowe wykarczowanie i uregulowanie gruntów przyległych kanałowi, które staną się własnością kompanii, i wydatki nieprzewidziane, powyższa liczba, jak to przewiduje sam p. Collin, powiększy się do 90,000,000 fr.

Podług niego ilość towarów przez suezki kanał przewozić się mających, obliczona jest rocznie na 1,500,000 beczek czyli tonn, a pobierając od każdej beczki po 10 fr. tytułem cła tranzytowego, kompania będzie otrzymywała rocznie 15,000,000 fr.

Potrącając wydatki na pilnowanie i dozór towarów, tudzież koszta administracyjne. 2,500,000 fr.

pozostaje netto. 12,500,000 fr.

Przychód od kolei żelaznej brutto obrachowano na 600,000 fr., z których potrąciwszy 20,000 fr. (1) na koszta utrzymania i administracyi drogi, zostanie 580,000 fr.

a więc razem 13,080,000 fr.

czyli przeszło 14% na sto kompania otrzyma na 90 milionów kapitału przez nią zaliczonego, nie rachując innych prerogatyw i koncesyj, które jój udzielone być mogą.

Pod względem politycznym, kompania, podług p. Collin, powinna zachować charakter zupełnie neutralny i spokojny, i znajdować się pod opieką wszystkich mocarstw. Międzymorze i kanał przecinający go, będą ogłoszone niezależnymi od żadnego wyłącznie państwa. Kapitałści wszystkich krajów będą zaproszeni do przyjęcia udziału w tém przedsięwzięciu, i żegluga pomiędzy dwoma morzami zostanie na zawsze otwartą i wolną dla okrętów wszystkich narodów, wyłączając wszakże okręty wojenne, albo przewożące wojsko i amunicją. W skutek tego kompania powinna mieć sobie udzielone prawo czuwania w tym względzie, i mieć pod swojemi wyłącznemi rozkazami siłę zbrojną; nakoniec w przypadkach specjalnych kompanii wolno będzie zażądać pomocy wojskowej bądź od paszy Egiptu i rządu syryjskiego, bądź od każdego innego europejskiego państwa.

Pod względem ekonomicznym i administracyjnym, będzie nadane kompanii prawo pobierania cła tranzytowego przez lat 99, po

(1) Ta summa jest nadzwyczaj mała i niepodobna, aby mogła wystarczyć na powyższe koszta.

upływie których kanał ze wszystkimi należącymi do niego budowla-
mi, stanie się publiczną własnością wszystkich krajów. Kompania
może być wieczna, lecz wtenczas nie będzie miała innego prawa, nad
pobieranie tylko *minimum* opłat od przewozu towarów, niezbędnie
potrzebnych na utrzymanie kanału z budowla-
mi i na koszta ad-
ministracyi.

Taki jest podwójny projekt p. Collin, który on pod sąd znaw-
ców oddaje, a który, poprzedzony kilku ogólnemi przez p. Daly spo-
strzeżeniami, ogłoszony został w *Revue de l'architecture des tra-
vaux publiques*, w 4 zeszytcie 6 tomu, 1845 r.

3. *Projekt p. Gallowaj.* Jeszcze w 1833 r. Mehmed - Ali
polecił angielskiemu inżynierowi p. Gallowaj, będącemu w służbie
u jednego handlowego domu w Alexandryi, aby zbadał terytoryum
dla rzucenia kolei żelaznej pomiędzy Suez a Kairem. Sporządzony
przez p. Gallowaj projekt nie miał wszakże dalszego skutku, pomimo,
że pasza zakupił na ten cel znaczną ilość żelaza od angielskich fabry-
kantów, którzy kazali sobie dobrze za nie zapłacić. Właśnie uza-
sadniając się na tej okoliczności, niektóre osoby namawiają Angli-
ków, aby się starali o doprowadzenie do skutku kolei żelaznej, prze-
nosząc ją nad kanał, gdy Francuzi przeciwnie usiłują, aby ten ostatni
był wybudowany.

4. *Projekt p. Harris.* Wilhelm Harris, major korpusu inżynie-
rów w Bombay, zaproponował urządzić nie kolęj żelazną zwyczajną,
lecz kolęj żelazną *morską*, na którejby można przewozić od jednego
morza do drugiego okręty od 800 do 1,200 beczek objętości mają-
ce, wraz z ładunkiem i ekwipażem.

Na samo proste oświadczenie podobnej myśli, nie wszyscy poj-
mą, jak wielkie trudności w jej wykonaniu się następują. Wielu
nie waha się policzyć jej do problematów niepodobnych do rozwią-
zania; pomimo to, p. Costa z Neapolu czytał w tamecznej akademii
rozprawę swoją o *najdogodniejszym środku urządzięcia związ-
ku pomiędzy dwoma morzami, przedzielonemi międzymorzem
Suez* (1), i podzielał w zupełności myśl p. Harris: Jeszcze poprze-
dnio w liście, ogłoszonym w *Antologii wojennej*, w którym p. Co-

(1) *Sur la meilleure voie de communication à établir entre les
deux mers séparées par l'isthme de Suez*, rozprawa wydrukowana w 29
numerze: *Comptes rendus des séances de l'académie de Naples. Sep-
tembre et Octobre 1846.*

sta roztrząsał wnioski *pro i contra*: czy pierwszeństwo dać kanałowi, czy też kolei żelaznej, zadał sobie pytanie, czyby nie można wybudować z daleko większą łatwością i oszczędnością czasu i kosztów kolei żelaznej, na którejby można przewozić całe okręty z ładunkiem? Rozwijając ten wniosek, autor mówi „za pomocą wielkich kół podwójnie sprzężonych, przy użyciu systemu inżyniera Mortona z Edynburga, podług którego wydobywają się z wody najcięższe okręty, systemu z taką korzyścią używanego w Ameryce i w Anglii, możnaby podwójny cel osiągnąć: zachować pionowe położenie okrętu i sprawić to, żeby jego ciężar nie stawiał przeszkód w jego przeprowadzeniu. Działanie ciężaru możnaby bowiem zmniejszyć przez podwojenie kolei, a bardziej jeszcze przez użycie licznych punktów podparcia. Gdyby zaś to wszystko okazało się niedostatecznym, łatwo byłoby powiększyć wytrzymałość podpór i innych części kolei.”

Podług tych zasad p. Costa robi swoje obrachowanie. On żąda, aby okręty mające być przeprowadzanemi od jednego morza do drugiego, nie były większe nad 800 beczek; chce, aby szerokość kolei objęta między kołami każdego podwójnego sprzężenia, wynosiła 2^m 40, odległość zaś tychże kół 1^m 20, przez co cała szerokość podwójnej kolei, wynosiłaby 6 metrów. Chce on nakoniec wóz przeznaczony do przeprowadzenia okrętu umieścić na 4ch wielkich kołach, za pośrednictwem rolek tarcia i zbudować go z wielu części, albo też złożyć z małych pociągów, mogących poruszać się i w tych miejscach, w którychby droga przedstawiała krzywizny niewielkiego promienia.

Przy takich założeniach przypuszczając ciężar każdego wozu czyli pojedynczego pociągu 40 beczek czyli tonn, i przyjmując, że cały ładunek spoczywa na stu rolkach tarcia, wypadnie, że każda taka rolka, czyli punkt podpory, na 840 tonn całego ciężaru cugu, będzie musiała utrzymywać cząstkowy ciężar, 8^t 40; a ponieważ przestrzeń pomiędzy każdą parą rolek będzie taka sama jak pomiędzy podstawkami (*coussinets*), to każdy podkład (*support ou traverse*), będzie znosił równy ciężar, t. j. 8^t 40. Gdy jednak ciśnienie takie większym będzie niż to, które na zwyczajnych kolejach podkłady znoszą, wypada zatem opór szyn na kolei egipskiej powiększyć, czyli zrobić je grubszymi.

Aby nakoniec uniknąć zaprzęgnięcia dwóch lokomotyw do jednego cugu, potrzeba, podług zdania p. Costa, żeby lokomotywy na ten cel przeznaczone były największej siły, takie, jakich już kilka zostało

wybudowanych w Anglii i w Ameryce, a między innemi jak znajdująca się na drodze od Brighton do Birmingham, nadzwyczajnego rozmiaru, która na jeden raz ciągnie za sobą 1,000 tonn ciężaru.

Lecz czy łatwo będzie zadość uczynić wszystkim tym warunkom? P. Collin najprzód nie tając, jak trudno urządzić na gruncie egipskim kolej żelazną, którejby wytrzymałość odpowiadała przewożeniu podobnych ciężarów, mówi, że wybudowanie kanału morskiego będzie mniej kosztowne a korzystniejsze; następnie robi uwagę, że podwójne przeładowanie okrętu z morza na kolęj i potem z kolei do morza, nie jest tak łatwem i dogodnym, jak się zdaje p. Costa, chociażby nawet używano do tego sposobu Mortona, albo innego podobnego. Nakoniec największą przeszkodę, podług p. Collin, w urzędzeniu powyższym sposobem kolei pomiędzy Taneh i Suez, będą stanowiły wzgórza i pagórki z nadzwyczaj mialkiego piasku, który nioszą wiatry w tych okolicach w każdym miejscu, w którym znajdują jaki opór przeszkadzający rozściełaniu się po stepie, a to do tego stopnia, że w okolicach Rozetty, piaski takowe czasami palmowe drzewa całkowicie zasypują.

Tę ostatnią przeszkodę, najważniejszą bez wątpienia, możeby się i dało podług projektu autora pokonać, jeżeli zważymy na to, co mieszkańcy Egiptu niegdyś czynili i teraz ze skutkiem czynią, aby ochronić swoje grunta od zajęcia przez piaski, które wiatry ze stepów nioszą. W samej rzeczy, podług poszukiwań i objaśnień p. Persigny, piramidy w starożytności wybudowane były jedynie w celu, aby zasłonić urodzajne grunta od zajęcia przez piaski; topograficzne położenie tych piramid, ich ogrom, kształt, wszystko usprawiedliwia to ich przeznaczenie. Znajdują się one przy ujściu doliny, przerywającej libijski łańcuch właśnie w miejscach, w których się te góry przerywają i robią luki; piramidalny kształt otrzymał pierwszeństwo dlatego, że nie sprawia stanowczego oporu piaskom, jakby to czyniły tamy lub wały, i jeszcze dlatego, aby naodwrot ułatwiał przeciwnym wiatrom, wiejącym w stepy, odpędzanie piasków i rozsiewanie ich na wielkich przestrzeniach. W dzisiejszych czasach, gestemi krzakami i plantacyami trwałych krzewów, starają się mieszkańcy zapobiedz tworzeniu się nowych i przenoszeniu się z jednego miejsca na drugie, starych piaszczystych pagórków i zawałów, a więc dałoby się w ten sposób zabezpieczyć od nich i kolęj żelazną; na przypadek zaś nadzwyczajnych wiatrów, możnaby dodawać do parowozu stosowny przyrząd do oczyszczenia szyn, a w końcu, użyć do téj roboty specjal-

nych drożników, których liczba stosownie do potrzeby, powiększoną być powinna.

Pomimo dowodzeń i zaradczych środków przez neapolitańskiego inżyniera i p. Collin wskazanych, poprowadzenie morskiej kolei żelaznej na międzymorzu Suez pomiędzy Taneh a Suez, wiele osób uważa jako myśl poetyczną i urojenie, nawet bacząc na olbrzymie konstrukcyje starożytnego Egiptu i zadziwiające wynalazki wieku naszego. Z naszej strony znajdując to zadanie nader trudnym do rozwiązania i mniej użytecznym, dajemy pierwszeństwo kanałowi morskemu.

5ty Projekt. Mehmed-Ali zwołał kommissyą z cudzoziemskich inżynierów, na czele której znajdowali się pp: *Talabot*, *Stephenson* i *Negrelli*. Vice-król polecił kommissyi zająć się bezzwłocznie rozpoznaniem miejscowości dla urządzenia bezpośredniego kanału przez międzymorze, splawnego dla wielkich okrętów, zupełnie od Nilu niezależnego, i w tym celu oddał do rozrządzenia inżynierom okręt wojenny, dla rozpoznania brzegu morskiego pomiędzy Damiettą a Rozettą, i obrania dogodnego punktu na wybudowanie wchodowego portu od morza Śródziemnego. Zastrzegł wszakże, iż lubo chce korzystać z doświadczenia i wiadomości kommissyi, w każdym jednak razie życzy sobie, aby przedsięwzięcie zostało w jego rękę, i jeżeli można, było doprowadzone do skutku przez niego samego (1).

To się działo w miesiącu kwietniu 1847 r. Od tego czasu głównejsze dzienniki europejskie chętnie chwytają wszystkie wiadomości z Egiptu, w których donoszono o postępie tych prac przygotowawczych. W miesiącu wrześniu tegoż roku, podług innych wiadomości, Linant-Bej ze strony vice-króla odjechał z inżynierami z Alexandryi do Kairu, aby ukończyć przygotowawcze roboty, rozpoczęte przez inżynierów niemieckich. Projekt Linant-Beja miał być odesłanym do Paryża, pod rozpoznanie tamecznej rady dróg i mostów. PP. Talabot, Stephenson i Negrelli, mieli się zjechać w grudniu w Egipcie, aby się porozumieć osobiście z Mehmedem-Ali i rozpocząć, jak mówiono, roboty.

Nakoniec pod dniem 4 listopada doniesiono z Suez do dziennika francuzkiego, że gruntowanie i niwellowanie portu suezkiego postępuje naprzód i do grudnia ukończonem będzie. Tenże list oznajmuje, że wszystkie prace przygotowawcze, skierowane zostały po-

(1) Porto Foglio Maltese.

dług planu Linant-Beja, który obrał linią wprost pomiędzy Suez a Peluzą.

Journal des Débats z 29 października tegoż roku przyznaje p. Linant-Bej pierwszą myśl urządzenia kanału w powyższym kierunku, chociaż, jak z niniejszego historycznego opisu widać, rzeczywistość tak nie jest. Rozprawa Linant-Beja nie była ogłoszona drukiem, lecz należy mu oddać sprawiedliwość, że pierwszy wskazuje środki wybudowania kanału daleko taniej, jak jego poprzednicy. Kosztorys jego wynosi tylko 10,441,049 franków: więcej jak o połowę taniej, niżeli obliczył p. Le Père. *Journal des Débats* znajduje ze swojej strony, że to nader mało; wszakże zapewnia, iż w żadnym przypadku koszt nie wzniósł się wyżej jak do 30 milionów, na wszystkie roboty razem, to jest na urządzenie portu i t. d. Drugą zasługą p. Linant-Beja jest ta, że sprawdził ważną omyłkę, popełnioną przez pierwszą francuską kommissją, która obrachowała w przecięciu różnicę poziomu morza Śródziemnego i Czerwonego na 8^m,84, gdy Linant-Bej tylko ją od 2 do 3 metrów ocenia, jeżeli ta ostatnia liczba jest prawdziwą (1).

Podług projektu Linant-Beja nie ma potrzeby budowania portu na morzu Śródziemnym, co znakomicie ogólnie kosztu umniejsza; dwie śluzy z obu końców kanału, są prawie jedyne sztuczne roboty, których on wymaga; sam kanał ma być wykopany w piasku, z należytą pochyłością brzegów. Sposób taki został już użyty z zupełnym skutkiem przy budowlu kanału, który Mehmed-Ali kazał przekopać, a przez który parowe statki dzisiaj przepływają z Alexandryi wprost do Nilu i do Kairu. Nie więc dziwnego, że tak uproszczony kosztorys Linant-Beja, tylko dziesięć i pół milionów franków na wszystkie roboty wyciąga, i że opuszczając urządzenie portu na morzu Śródziemnym, zostawia ogromną rubrykę na nieprzewidziane wydatki, które jednak 20stu milionów nie przejdą.

Z przeglądu powyższych prac okazuje się, że możliwość połączenia dwóch mórz bezpośrednio przez międzymorze, nie ulega wąt-

(1) Towarzystwo geograficzne paryżkie ogłosiło w *Nouvelles Annales des Voyages* (zesz. za listopad 1850 r. str. 212) następujące różnice między pomiarem inżyniera Le Père w r. 1799, a pomiarami p. Bourdaloue 1847 r.

	1799 r.	1847 r.
Poziom morza w Tineh, w stanie zwyczajnym, to jest w czasie odpływu.	metr. 0.00	metr. 0,00
Poziom morza podczas przypływu w Suez.	9.90	2,27
Poziom Nilu podczas niskiej wody przy Mekias	5 29	13,27

pliwości, i że najlepsze i najdogodniejsze dla powszechnego handlu połączenie, byłoby przez *kanal morski* od Tuneh do Suez. Dla uzupełnienia niejako tak wielkiego przedsięwzięcia, stary wice-król położył już węgielny kamień na wybudowanie ogromnych tam czyli zastaw (barrage), któreby utrzymywały wody w Nilu, przeznaczone dla irygacyi znacznej części niższego Egiptu. Koszta tych robót podług obrachowania inżyniera Mougela, głównie kierującego niemi, mogą wynosić blisko 6 milionów franków. Ale cóż znaczą te wydatki, razem z obliczonymi przez Linant-Beja, dla przedsięwzięć, z których jedno podwaja urodzajność tak żyznego kraju jak Egipt, a drugie skracając znacznie drogę do Indyi i do Chin, uczyni wszystkie narody starożytnego łądu wieczystemi holdownikami uprzywilejowanego właściciela kikunastu mil bezużytecznego stepu?

Oprócz powyższych przedsięwzięć, Mehmed-Ali miał zamiar rzucić koleje żelazne: od Suez do Kairu, od Suez do Peluzy na groblach kanałowych (do przebycia téj przestrzeni, potrzeboby było tylko 5 godzin jazdy), od Kairu do Alexandryi wzdłuż brzegów Nilu, i od Alexandryi do Rozetty, Damietty i Peluzy wzdłuż morskiego brzegu.

W ten sposób urządzone związki, łącznie z kanałem morskim od Peluzy do Suez, rozwijając do najwyższego stopnia wewnętrzny handel krajowy, uczyniłyby zarazem Egipt środkowym punktem handlowych stosunków Zachodu ze Wschodem.

Przez urządzenie *morskiego kanału*, żegluga od Marsylii, Genui, Liworny, Tryestu i t. d. do Indyi skróci się przeszło o 3000 mil franc.; z Amsterdamu, Hawru, Antwerpii, Londynu i t. d. do Jawy i do Chin, przeszło o 2000; a przeszło o 1000 mil do tychże miejsc z Atlantycznych portów północno-amerykańskich Stanów. Tylko jeden *kanal morski* potrafi odwrócić dotychczasowy kierunek handlu Zachodu ze Wschodem, wszelkie zaś inne środki nie odpowiedzą potrzebom handlowym, i kupcy zawsze będą woleli odbyć trzy razy dłuższą, około przylądka Dobrój Nadziei, niebezpieczną lecz jednostajną podróż, niż przeładowywać na międzymorzu towary. Anglicy dowożą dotąd tym kierunkiem do Aden swój węgiel kamienny, pomimo wszelkich polepszeń w Egipcie i zapewnionego transportu łądem przez międzymorze.

Ten, ktoby został panem morskiego kanału na międzymorzu Suez, stałby się panem całego handlu w Indiach Wschodnich, Arabii, Abissynii, i całego wybrzeża wschodnio-afrykańskiego; ponieważ Gibraltar jako forteca nic nie broni, i nie tamuje bynajmniej że-

glugi przez Gibraltarską zatokę; jestto tylko przedmiot miłości własnej krajowej, zbyt drogo kosztujący Anglią (1), a nadzwyczaj obrażający Hiszpanią. Drugiej zaś drogi do wspomnianych krajów, tyle skróconej i dla handlu dogodnej, nie ma ani z Europy, ani z Ameryki; zawsze przylądki Dobrzej Nadziei i Horna na zawadzie będą.

Stary wice-król najlepiej rozumiał ważność tego kanału; a że i to przewidywał, iż bezwarunkowe z czasem posiadanie jego mogłoby stać się powodem do wojny, albo co na jedno wychodzi, do zbrojnej ze strony państw morskich interwencji, i zawszeby było przedmiotem zazdrości i wymagań krajów, wielki handel ze Wschodem prowadzących: dlatego miał zamiar dać udział w przedsięwzięciu kapitalistom całego świata, zapewniając im znaczne korzyści i prerogatywy, lecz zachowując tytuł własności wyłącznie dla siebie.

* * *

Uskuteczniając zamiary Mehameda-Alego teraźniejszy władca Egiptu, postanowił wybudować kolej żelazną między Alexandryą a Kairem, o którą Ibrahim-basza miał jeszcze poprzednio układać się z angielską kompanią. Chodziło tylko o najwyższe zezwolenie sultana, które według wiadomości we wrześniu b. r. ze Wschodu otrzymanych, miało nastąpić pod warunkami: 1) aby na koszt budowy nie była zaciągana pożyczka zagraniczna; 2) aby ludność Egiptu nie była użyta do robót w sposób przymusowy, i 3) aby budowa tak prowadzona była, iżby roczne wydatki na nią stosowały się do rocznego dochodu krajowego. Podług zaś ostatnich doniesień, i te trudności, któreby w dopełnieniu powyższych warunków nastęrczyć się mogły, przez firman sultański usunięte zostały, a budowa drogi ostatecznie jest zatwierdzoną.

(1) Słowa Napoleona do angielskiego admirała Coeburn, kiedy ten ostatni powiedział cesarzowi, że w Anglii jakiś czas mniemano, iż Napoleon miał zamiar atakować fortecę Gibraltar.

(Dokończenie nastąpi).

F. KALLIMACHA GEMINIAŃCZYKA

O KRÓLU WŁADYSŁAWIE

CZYLI

O KŁĘSCIE WARNEŃSKIEJ.

Księgi dwie, Augsburg, r. 1519, w drukarni Zygmunta Grimm doktora i Marka Fürsunga.

PRZETŁUMACZYŁ I PRZYPISAMI OBJAŚNIŁ

Michał Głiszczynski.

(Ciąg dalszy).

Równno ze świtem dostali się do murów, niosąc rozmaite pęki słomy i wici dla wyrównania drogi, i zapełniając fossy drzewem i darnią. Nieśli równie drabiny i drągi i inne maszyny do zdobycia fortecy potrzebne. Tymczasem ci, co za drewnianymi wieżami ukryci, walczyli, nie pozwalali oblężonym wystać na murach, i rażąc silnymi pociskami nieprzyjaciela, swoim najłatwiejszy przystęp przygotowali. Nie zatrwożyli się tém wcale mieszkańcy miasta, bo naprzód wiedzieli, że Turczyn siły użyje, skoro tylko nadzieja, że miasto się podda, na niczém spełzła. Gdy tedy bisurman do poddania się namawia, tymczasem oblężeni te strony miasta, które się rzek dotykały, przeciw szturmowi z okrętów, ludźmi, armatami i innymi maszynami ognie i kamienie wyrzucającemi, jak najtajemniej wzmocnili. Z drugiej zaś strony, gdzie już tarany rozmaite wyłomy poczyniły, gruzem i ziemią szybko, tak wysoko jak potrzeba było, zasypali, a w czasie ciemnej nocy

smołą, olejem, siarką i prochem palnym, o ile mieli, drzewo nieroztropnie w fossy wrzucone, polali. Zresztą wszystko do obrony, co same okoliczności i rozważa nasuwała przewidzieli i przygotowali, nie tylko pod względem broni i pocisków, ale i pod względem karności i porządku.

Tak więc kiedy Turcy tém nieostroźniej, im bezpieczniej na mury śpiesząc na owych pękach, któremi drogę usłali, stanęli; oblężeni nagle wyrzuciwszy z miasta pochodnie i inne ogniste pociski naprzód przygotowane, nie tylko zrazu okropny postrach rzucili, ale zupełną w końcu klęskę nieprzyjacielowi zadali.

Wzniecili tym sposobem w kilku miejscach pożar, który się wnet na całej powierzchni, którądy Turcy szli, rozszerzył, tak, że ani naprzód się posunąć, ani w tył cofnąć nie mogli. Straszliwe tam były szamotania się, bo i wieże drewniane płomieniem się zajęły, i w obozie popłoch się rozszerzał, dokąd dym i płomień, zwykle rankowe wiatry przy rzekach, zanosily. Ta okoliczność ochroniła samo miasto od pożaru. Pomieszal się tedy porządek i szyk wojenny; każdy o ocaleniu własném myśląc, spostrzegłszy co się naokoło dzieje, broń rzucać i gdzie tylko mógł przy tak groźnym niebezpieczeństwie, uciekać począł. Ale ogień własną siłą i wiatrem pędzony, gwałtownie wszystkie palne przedmioty opanował, uciekających parząc wstrzymywał, i wszystkie wyjścia przeciął. Jednym dym drogę zasłaniał, drugim przerażenie przytomność odbierało; a tak wszyscy prawie spaleni zostali, bo ich nagłość tak straszliwej klęski nieruchomemi prawie uczyniła. Bardzo niewielu, i to z ostatnich szeregów, poparzonych i napół umarłych do obozu się schroniło. Wszyscy inni w niezmierniej liczbie zginęli w pożarze, razem ze wszystkimi przygotowaniami do oblężenia.

I na okrętach szczęśliwiej się nie powiodło: bo jedne z nich kamienie z machin rzucone pogruchotały, drugie ogień zniszczył, reszta albo z winy przerażonych sterników i majtków, albo przez tłumne wdzieranie się na statki uciekających i na nich ocalenia szukających, niedaleko od miasta rozbiły się.

Zgnębiony tą klęską Turczyn, jak gdyby ją na niego nie ludzka, a boska jaka zesłała ręka, postanowił od oblężenia odstąpić. Rozeszła się do tego jeszcze wieść, że znakomite wojsko przez króla już zebrane, ku Segedynowi nadciąga. Nie chcąc jednak przed nieprzyjacielem najmniejszego znaku trwogi okazać, wezwawszy do obozu posłów polskich, ostro im odpowiedział: że do-

tać ani słuchać chce o pokoju, dopóki mu Władysław nie ustąpi części Raseyi, którą już posiadał, i nie odda Belgradu, który oblega, na zakład dotrzymania warunków przymierza; odstępuje jednak od oblężenia, aby Władysławowi miejsce i czas do naradzenia się zostawić. Radzi mu przytém, aby przyjazne stosunki na tych warunkach utrzymał, i nie chciał dla takiej fraszki narażać w wojnie losów dwóch królestw. Wszak tego tylko domaga się, co mu się prawem wojny należało jeszcze wprzód, nim Władysław na tron węgierski wezwany został, a czego właśnie Węgrzy nie mieli prawa czynić, bo przez to gwałcili prawa trzeciego. Jeżeliby zaś Władysław wolał cudze ziemie zabiierać, niż swoje spokojnie dzierżyć, przybędzie on w stosownym czasie, a z nim przybędzie także rządca i mściciel sprawiedliwości—Bóg.

„Na to doniesienie, a jeszcze więcej i dlatego, że od królowej Elżbiety nie można się było nic dobrego spodziewać, uznał król za konieczne wysłanie poselstwa do Polski, aby o stanie Węgier i o grożącej od Turków srogięj wojnie donieść, a zarazem o posiłki w ludziach i pieniądzach prosić. Wysłany tedy został poseł Grzegorz z Sanoka (1), którego wymowa i gwałtowna konieczność sprawy łatwo mogły wymócić zgodzenie się Polaków na żądania królewskie. Zgromadzili się tedy pierwsi w kraju do Korczyzna, dokąd przybył i Grzegorz, i tak do zgromadzonych przemówił:

„Gdybym nie pamiętał z jak szlachetnym uczuciem doradzaliście, chociażby największe na drodze leżały przeszkody, aby nie odrzucać ofiarowanego tronu: rozpowiadałbym wam szeroko czegośmy już szczęśliwie w Węgrzech dokonali, i jak bliżcy już jesteśmy tego, że przemogłszy tysiączne niebezpieczeństwa, i swoje i obce królestwo w pokoju i bezpieczeństwie utrzymać potrafimy. Ale ponieważ brzmią mi dotąd w uszach owe przesławne zdania wasze, że nie można na żadne trudy i niebezpieczeństwa się oglądać, że nie można tu nietylko mienia, ale i krwi, życia nawet oszczędzać, aby tylko chwałę Węgier związanych z naszą ziemią podtrzymać: to nie powiem wam, jak dzielność i szczęście Władysława ziściły prawie zupełnie wasze życzenia. Emperiascium

(1) Wap. tłum. Malin. powiada, że posłem od króla był Jan z Tęczyna. W tém miejscu także Długosz i Wapowski opowiadają, że kardynał Zbigniew w powrocie do Polski w miasteczku Kwewesz od pospólstwa był napadnięty. Jego przyboczni dzielnie go bronili i miasto spalili. Nic o tém nie ma w Kallimachu, a przecież jako przyjaciel wielki Zbigniewa byłby nie zapomniał i o jego pobycie w Węgrzech, i o takim niebezpieczeństwie wspomnieć.

w naszych rękach; Buda, stolica królestwa przez nas zajęta; hrabia Cylii, od którego rady, zamiary wszelkie i czyny królowej zależały, ujęty, w więzieniu osadzony został. Od despoty Rascyi i króla Bośni przybyli posłowie z prośbą o przyjaźń i z przyrzeczeniem posłuszeństwa. Co więcćj, wszyscy prawie magnaci węgierscy poddali się zupełnie pod rozkazy króla. Arcybiskup i inni, którzy z początku przy królowej zostali, do nas już przeszli, a wreszcie za zgodą tych wszystkich, do których to należy, król uroczyście ukoronowanym został. Tak straszny wnet się przez to uczynił, że na pierwszą o tém wieść Turczyn od oblężenia Belgradu odstąpił, a królowa wprzód jeszcze zwątpiwszy o swojej sprawie, trwożna do Austrii wyjechała, zostawiwszy niewielką w Jaurinum załogę, już przez naszych obleganą. Inne mniejsze miasta, które się na wszelki przypadek także umocniły, oglądają się więcćj na wasze, niż na królowej przedsięwzięcia, i bez trudu do posłuszeństwa zmuszone być mogą.“

„Te i tym podobne szczęśliwie dokonane dzieła niech wychwalają ci, którzy wojnę przez chciwość zysków, a nie dla sławy i godności doradzają. Dla was zaś inne przynoszę wieści. Nietylko po Europie, ale i po Azji nawet rozleciała się już wiadomość o tém, żeśmy wzięli na siebie trudny ciężar bronięcia i ocalenia Węgier. Nietylko ci, co na waszój są stronie, ale i ci co są waszemi przeciwnikami, oczekują co wypadki pokażą; wszyscy wyznający religią chrześcijańską widzą dowodnie, że losy jój w waszych rękach leżą, i że od was teraz zawisło, aby imię chrześcijańskie nietylko teraz, ale nigdy nie zaginęło.”

„Przeciwnie ma się rzecz z poganami. Przeczują oni koniec bałwochwalstwa swego i wiedzą, że nawet z Europy mogą być wyparci, jeżeli z równą stałością przedsięwzięcie wasze popierać będziecie, z jak wspaniałomyślną szlachetnością na siebie je włożyliście. Nie chcecie dopuścić, aby pierwsi napróżno nadzieją się łudzili, a drudzy napróżno strachem się przerażali. Kiedy będziecie mieli stanowczą na żądania królewskie wydać odpowiedź, pomyślcie sobie wtedy, że jesteście niby na scenie, że niezliczone ludy i narody na was spoglądają i oczekują jaki los, jakie położenie dla nich, dla dzieci, małżonek, rodziców i wszystkich drogich osób; jaką przyszłość ołtarzom, świątyniom, religii i świętościom od dziś dnia gotujecie. Pomyślcie i to jeszcze, że od wyroku waszego nietylko Węgier, ale całej prawie kuli ziemskiej losy zależą; że podług tego, jak to lub owo postanowicie, w takim

stanie znajdują się w tych lub owych królestwach i ziemiach sprawy ich duchowne i świeckie.”

„Wolno wam było wtedy, kiedy was wzywano, wezwanie odrzucić; teraz zaś musicie wytrwać w tém, co raz postanowiliście, chociażby was to nie wiem wiele miało kosztować: bo niewolno wam już opuścić tak wielkiej, a raz przedsięwziętej wyprawy. Nim króla waszego do Węgier posłaliście, już one przez wiele lat wprzód radząc same sobie, niby mur jaki, własnymi siłami, własnym kosztem Turków od granic swoich i od granic całej chrześcijańskiej Europy odpierali. Teraz na ich miejscu wy stanęliście; i gdy nie tylko ich kraju, ale i całego chrześcijaństwa bronić macie, hańbą było cofać się, gdyście już tak daleko zaszli, że i Węgry i całe chrześcijaństwo albo zagubić, albo ocalić możecie. Nie zawadzi tu przypomnieć, ileto już ludzi dla utrzymania i powiększenia chwały swój ojczyzny, poginęło, ileto ludzi chwałę z ocalenia życia pojedynczej osobie, nad własne życie przekłada. A jeżeli dla chwały jednego państwa i dla ocalenia jednego obywatela, naraża się z ochotą życie, co jest niezmiernie zaszczytném; z czémże tedy porównać chwałę jaką was wszyscy otoczą, kiedy nie jeden już, a wiele krajów i królów, nie jednego obywatela, a niezliczoną liczbę narodów ocalicie?”

„Daleko zapewne mniejszą naznaczaliście sobie nagrodę, gdyście się o wysłanie króla do Węgier naradzali; a chociaż wam wtedy przedstawiano wszystkie trudności i niebezpieczeństwa w domu u was i zewnątrz: woleliście jednak owój ciernistej chwały się dobijać, niż spokojnie przy swoich interesach siedzieć. Gdybyście się tego byli spodziewali, czyż szczęście każdego z was, ha! nawet dzieci waszych i ojców ocalenie i wolność, nie byłobyż się wam przez Bóg żywy małym w porównaniu z tak ogromną chwałą wydało? Ale dzięki Bogu, w walce obecnej nie chodzi ani o głowy, ani o wolność waszą. Szczupłym żołnierzem i niewielkim kosztem możecie owój chwały dostąpić, jeżeli tylko królowi waszemu na pomoc pójdziecie. Żąda on tego po was nie dlatego, żeby nie ufał szczęśliwej swój gwiazdzie, swym siłom i poświęceniu się i powadze tych, co za nim poszli; lecz żeby bez domowego rozlewu krwi i bez walki zaciętej, pod władzę swoją przywiódł tych wszystkich ludzi i te wszystkie miasta, które dotąd wahają się raczej niż sprzeciwiają; i dlatego jeszcze że wie, jakieto gwałtowne nienawiści wyradzają się z wojen domowych, i ileto sił i zbawiennych rad domowe rozterki, kiedy się miecz

krwią bratnią zaczerwieni, zużywają i do zewnętrznych działań paraliżują.”

„Sama wieść o posilkach przez was wysłanych może zakończyć te smutne boje; woli tedy czynnej życzliwości waszój posiadanie Węgier być winnym, niż je mieczem zranione posiadać. Nie dobrzeby nawet było, gdybyśmy owe królestwo przez wyniszczenie sił jego podbili; bo chociaż Turczyn na domaganie się króla od oblężenia odstąpił, gdyby jednak zebrawszy silniejsze wojsko, znowu później napad uczynił, i gdyby wtedy albo jeszcze zakłócone, albo kłótniami wyniszczone państwo znalazł: potrzebaby było do odparcia go wtedy daleko większych wysiłków, niż teraz do zhołdowania kilku małych miast, które jeszcze między królową i królem się chwieją. Skłonniejsze są one nawet do odpadnięcia od wątpliwój sprawy, a przystąpienia do szczęśliwszój; tém bardziej, że dotykając granic naszych, ztąd od nas, ztamtąd od króla nacierane, nawet nadziei utrzymania się mieć nie mogą. Gdy tak bez żadnego nadwężenia sił naszych Węgry posiadziemy, nie tylko Turczyn od napadów się wstrzyma, gdy nas silnemi i spokojnemi ujrzy, nie tylko chrześcijaństwo swobodnie odetchnie, ale nawet będziemy mogli, czego właśnie całe chrześcijaństwo od nas oczekuje, zanieść wojnę daleko, i niegodziwe bałwochwalstwo dzikiego ludu nie tylko z Europy precz usunąć, ale nawet w Azji ścigać i do szczętu znieść.”

„Wyobraźcie sobie teraz z jednéj strony sławne i bogate królestwo, nie tylko sąsiedzkie i sprzymierzone z wami, ale będące dotąd obroną i zasłoną waszą; dodajcie do tego świeży jeszcze okaz jego życzliwości, kiedy się naszemu królowi dobrowolnie poddało; złączcie z niem Włochy, Francją, Hiszpanią, Niemcy, Grecją i inne jeszcze chrześcijańskie kraje; pomyślcie tylko ileto tam narodów, ludów, prowincyj, miast, wsi; ile publicznych i prywatnych ozdób, ile świątyń, świętości i gmachów; jakie umocnienia i pałace, ile tam wielkich monarchów i sławnych książąt, ile przesławnych męzkich i żeńskich zakonów:—a wszystko to z losem naszego króla powiązane! Z drugiej strony cóż jest? Niewiele żołnierzy i trochę pieniędzy, których król od was żąda, aby mógł swoje szczęście i tych wszystkich com wam wypomniał, ustalić.”

„Czyliżbyście nie woleli, aby ci żołnierze i te pieniądze bez nadziei przepadły, niż żeby tyle ludzi i rzeczy jedną chwilę w niebezpieczeństwie się znajdowały? A gdy nie na żadne niebezpieczeństwa i nie na zgubę idą, ale po to, żeby mieli udział w zwy-

ciężtwie i chwale, jaka się słusznie obrońcom tyłu krajów, ziem i miast należy; toć powaga i mądrość wasza nie pozwala wam od takiej chwały odbiegać, dla której wy sami niedawno, zapomniawszy na własne kłopoty, wszystko przedsięwziąć radziście. Kiedy o tém samym macie teraz stanować, nie zapominajcie, błagam was, że owemi szczupłemi zasiłkami nietylko was i wasze sprawy, ale całe chrześcijaństwo na bezpiecznej stopie postawicie; że okryjecie się na zawsze nieśmiertelną sławą, kiedy całą Europę wraz z tak dobrym dla was waszym monarchą, i ze wszystkimi ludzkiemi i boskiemi w nią rzeczami, ocalicie. Przeciwnie, gdybyście przez niepojęte jakieś skąpstwo czy niedołężność, zawiedli oczekiwanie wszystkich; gdybyście i króla własnego i sąsiedzki a sprzymierzony z wami naród opuścili, i jako podłe zbiegi od chrześcijańskiego imienia odpadli: nietylko od wszystkich pogardzeni i opuszczeni, ale sami w sobie zmitrzeni i zrozpaczeni musielibyście stanąć do walki o życie i wolność, z najpotężniejszym wtedy nieprzyjacielem.”

Kiedy skończył, wszyscy razem zgodzili się na to, że trzeba posłać posiłki, ale nie wszyscy na liczbę żołnierza i pieniędzy. Byli tacy, którzy chcieli, aby wszystkie siły państwa do Węgier wysłać i uspokoiwszy ów kraj, zaraz na Turków uczynić wyprawę radzili, dopóki przełęknieni, nieprzygotowani, znękanii oblężeniem Belgradu, niby rozbitki po wielkiej burzy, nie będą mogli się jeszcze opamiętać. Inni przeczyli temu, twierdząc, że nie można tak pusto zostawiać Polski dla napaści tatarskiej i rozruchów litewskich, że trzeba ograniczyć liczbę żołnierzy i pieniędzy: i jedni najwięcej 12,000, a inni najmniej 2,000 posłać pozwalali. Postanowiono jednak, aby kosztem ogólnym wysłać królowi 5.000 żołnierzy z rocznym żołdem, i pozwolono każdemu, ktoby sobie tego życzył, prywatnie o własnym koszcie iść na wyprawę do Węgier (1). Dosyć tego będzie królowi do uspokojenia Węgier, a gdyby się gwałtowniejsza jaka potrzeba pokazała, liczbę owę powiększyć można.

Gdy się to w Polsce i w Węgrzech dzieje, tymczasem królowa nalegała na mieszkańców Kassowii i innych miast, które się zaraz przy początku tych wypadków umocniły, aby jój załogi swe przeciw Władysławowi przysłali. Zaczęła także i panów węgierskich na nowo już prośbami, już wielkimi obietnicami ku so-

(1) Uchwalono jeszcze pobór na żołd: od kmieci z każdego łanu po groszu; a od szlachty i ludzi wolnych włościan niemających, po grzywnie.

bie przyciągać. Czasami znowu srogie czyniła im wyrzuty, że zapomnieli na dawną swą godność, którą przed jej ojcem, przed nią i jej mężem słyngli; że znoszą cierpliwie jak ich Władysław niżej od jednego biskupa z Agrii kładzie, jak gdyby ród jego i zasługi tak wielkie były, że ani ich wszystkich miłość kraju, ani ich wszystkich wierność, ani ich wszystkich zasługi wyrównać mu nie zdołają i w zapomnienie dlatego poszły. Tém tak ich ubodła, że arcybiskup i Władysław Gara i wielu innych znowu do niej przeszli. Wnet naradzać się z sobą zaczęli co mają poczwać, i widząc, że wielu Polaków do ojczyzny wróciło, że Władysław w wątpliwém znajduje się położeniu, zgodzili się na to: że królowa przyprowadzone przez siebie wojska z Austrii, Morawii i Czech odesła do wzmocnienia Kassowii i innych miast, oraz do wprawienia ludności tamtejszej do walk z Władysławem, powiększy załogę Jaurina, a sama do Strygonium odjedzie. Władysław zaś Gara zebrawszy ile będzie mógł, z drugiej strony wojnę rozpocznie, i jeżeli mu szczęście posłuży, połączy się z wojskiem królowej pod Jaurinem, i razem albo oblegną Budę, albo ją zdobędą. Co postanowiono, szybko dokonano. Wojskami najętymi z Czech i Austrii, które od Kassowii działać miały, dowodził Jan Iskra, mąż wypróbowanej waleczności, i między wojownikami owej epoki znajomością sztuki wojennej i siłą ciała najpiérwszy; był on przytém i na wojnie dzielny, i w pokoju nie ostatni.

Gara tymczasem między swojemi sroząc się, winę wielką w tém Władysławowi czynił, że łaskę swą, która się wszystkim należała, jednemu tylko biskupowi z Agrii okazał. A przecież nie jego samego kosztem i staraniem Władysław wezwany i koronowany został; więcj daleko znaczyły tu zdania i powaga tych, którzy rodem, majątkiem, prywatnemi i publicznemi zasługami, niezmiernie wyżej od biskupa stali. Jeżeli tylko mamy patrzeć na rosnącego biskupa z Agrii, jeżeli mamy tylko od jego woli być zależnemi, nie było po co cudzoziemskiego króla do siebie przywoływać: mogliśmy i bez tak wielkiego kosztu, i bez tak wielkich wewnątrz zamieszek oddać biskupowi najwyższą władzę. Odrzucając pogrobowca, chcieliśmy właśnie uniknąć owych rejentów i opiekunów, którzy między równemi wnet powagą i samowolnością przeważają i przewodzą; a jeżeli mimo to mamy to samo teraz znosić, daleko słuszniejby było, żeby się to stało przez wzgląd na dziada i ojca pogrobowca, a nie dla rozszerzenia sławy imienia polskiego. Tym sposobem ciągle przeciw Władysławowi i biskupowi z Agrii drażniąc umysły, odciągnął od Władysła-

wa całą prawie tę część Węgier, która do Dalmacyi dotyka (1). Wnet też dlatego zebrał dosyć silne wojsko.

Wszystkie te okoliczności nie a nie Władysława nie zatrwożyły. Zaczął po szczególe wszystko rozważać, i dopóki posiłki w żołnierzach i pieniądzech z Polski nie przyjdą, dopóki nie będzie miał tyle siły, żeby wszędzie nieprzyjacielowi dorównać mógł, postanowił mniej niebezpieczne nieprzyjaciół ruchy sztuką uwodzić, a wszystkie siły tam zgromadzać, zkad większe niebezpieczeństwo groziło, gdyby je zaniedbano. Tak więc gdy los walki, którą Iskra od Kassowii rozpoczął, miał prawie w swym ręku, i prędko, gdyby chciał, mógłby ją Polakami zakończyć; polecił jednak Janowi Perenie staroście kesmarskiemu, aby Iskrę ciągle niepokoił, dodawszy mu żołnierzy, którzy załogami w różnych miejscach stali. Sam zaś aby nieobecnością swoją w nikim chęci do zmienienia stronnictwa nie wywołać, bo i wojsko królowej w bliskości stało, i żeby zawsze na wszelki przypadek niby we środku się znajdował, w Budzie pozostał. Wypadalo tedy wszystkie siły skierować przeciw Władysławowi Gara, bo przy nim najgłówniejsza leżała sprawa, i to tém prędziej, żeby się ani wódz do rozkazywania, ani spędzone tłumy do szykownych bojów nie nazwyczajili. Wysłał przeciw niemu Huniada, jako niezwykle w sztuce wojowania biegłego, równie do czynu jak do mowy zręcznego. Do tego jeszcze miał on niezmierną łatwość zjednywania sobie umysłów i serc ludzi i wojska. Polecił mu tedy Władysław i upoważnił do tego, aby zgodę przedewszystkiém zawrzeć usiłował, bo może Gara, na niepewność miecza bacząc, od zamiarów teraźniejszych razem z wojskiem da się odciągnąć. Gdyby zaś namową nie nie poradził, wtedy siły niech użyje. Dodał mu dlatego do pomocy Mikołaja Frystarcha i przybocznych swoich żołnierzy, i tych, którzy dotąd raczej trapili, niż oblegali Jaurinum. Wystąpił w pole Huniad i jakby zewsząd zagrożony, ciągnął w bojowym szyku, wszędzie pilnie drogi badając. Zalecił także swoim żołnierzom, ażeby, dopóki najmniejsza będzie nadzieja zgody, od łupieztwa i zniszczenia się wstrzymywali: bo chciał przyrzeczeniem przebaczenia i łaski raczej do zgody, niż orężem do walki jednoplemienne wojska naprowadzić. Nie dalej jak o 5000 kroków od miasta Batty będąc, staranniej jeszcze wszystko obejrzał, wszystkich zachęcił, zewsząd obóz umocnił, aby nic takiego nie

(1) Dzisiaj pogranicze wojskowe.

uczyniono, coby zamiary jego zawarcia pokoju pomieszać mogło. O tysiąc kroków od nieprzyjaciela rozłożył się obozem i umocnił w takim miejscu, że nieprzyjacielskiego obozu nie było widać: bo się obawiał, aby uczucie braterskie i widok rodaków naprzeciw siebie, nie rozstroiły hartowności jego żołnierzy.

Wysłał potem do Władysława Gary posłańca z prośbą, aby na umówione miejsce dla rozmówienia się przybył. Ale Gara nietylko nie usłuchał propozycji, ale dumną jeszcze przystał odpowiedź: że wiedział dobrze wprzód jeszcze nim za broń uchwycił, co dla niego i dla królestwa najlepszym będzie; że jeżeli tylko po to ich król przystał, żeby się z nim rozmówili, to żałuje jego daremnych trudów. Rozkazał więc posłom Huniad powtórzyć te wyrazy na radzie, a potem sam tak przemówił:

„Wolałbym zaiste dostąpić chwały z pogodzenia umysłów ku dobru ogólnemu, niż odnosić zwycięstwa nad ludźmi, co się na zgubę swój ojczyzny usadzili. Gdy jednak ani uznać zbrodni do której się wciągnąć dali, ani kraju własnego zaburzeniem, ani bojaźnią Boga i wstydem przed ludźmi poruszyć się nie dają: trzeba wydobyć miecz i los ojczyzny żelazem rozstrzygnąć. Nie bójcie się wcale, nie pójdziem przeciw braciom waszym, ale przeciw zaciętym ojcobójcom; bo nie odzież ciała, nie rysy twarzy swoich od nieprzyjaciół odróżniają, ale myśli, zamiary, czyny i mowy. A u tych, co ich widzicie przed sobą, wszystko nietylko nieprzyjacielskie, ale ojcobójcze nawet. Patrzcież tedy pilnie wszyscy i pojedynczy, aby, gdy do walki przyjdzie, umysły wasze nie trwożyły się i zapał nie stygnął, kiedy zobaczycie ojczyste ubiory i zwyczaj; bo między owemi ludźmi i końmi ubiór tylko i broń jest węgierska, a wszystko inne najżarściej nieprzyjacielskie. Z daleko zimniejszym sercem wychodzi się zwykle na boje z zewnętrznym wrogiem, bo takich wojen często sprawiedliwe bywają powody, a i tych co walczą za kraj swój i chwałę zawziętość mocniejsza: bo idzie wtedy nietylko o klęskę, ale i o chwałę całego narodu. A ci tu, nietylko bez słusznej przyczyny, ale z pogwałceniem wiary i przysięgi danój, nie dla rozstawienia, a dla zniszczenia i zaguby zupełnej imienia rodaków swoich za broń uchwycili. Nie masz więc litości dla tych, którzy puściwszy się za szaleństwem kilku, przychodzą przez chciwość i dumę nie opanować, a wyrócić z gruntu najdroższą naszą ziemię; a wy po to, żebyście ją z ostatniej toni wyratowali. Wszak wszyscy wiecie, że jest Bóg mściciel przewierstwa i zdrady; i was do tego wybrał,

abyście krwią zdrajców, wiary Władysławowi zaprzysiężonej dowiedli i szczęście swego kraju utrwali. Niewiele to nawet trudów będzie was kosztować: stoi bowiem naprzeciwko was tłum bez broni i porządku, ani do dowódcy, ani do szyku nieprzyzwyczajony, i nie za sobą nie ma, chyba to przekonanie, że złej sprawy broni. Gdyby się ich zapytano teraz czego chcą, nie wiedzieliby co odpowiedzieć; to też jak nierozsądnie do boju stają, tak za pierwszym na nich natarciem w rozsypkę pójdą.”

Wywiódł potem i uszykował wojsko na nieprzyjaciela, a i Gara walki nie zwlekał. Z tą samą dzikością z jaką postom odpowiedział, wybiegł z obozu ciągnąc za sobą wojsko, i jak kto pierwszy był pod ręką, tak go do szyku ustawiał, bez żadnych prawideł sztuki wojennej. Równa tedy była broń na obu stronach, ale nierówny porządek i karność. Na jednej wszystko porządnie uszykowane, wszystko przewidziane nietylko do walki, ale na wszelki losu przypadek; na drugiej ani śladu karności wojskowej. Pierwszych przekonanie, drugich złość podburzała: to też starcie było gwałtowne. Z początku długo z równym szczęściem walczone, bo wodzowie wszędzie obecni, nadzieją i groźbą swoich podbudzali; ale kiedy Huniad mając doskonale uszykowane wojsko, ciągle świeże przeciw zmęczonym, całe przeciw przeredzonym szeregom stawiał: wtedy żołnierze Gary, wytrzymując dotąd jako tako walkę, znużeni ciągłym bojem, ranami i potem okryci, ustępować pomалу zaczęli. Spostrzegłszy to Huniad wezwał do walki Mikołaja, którego na nieprzewidziane wypadki w odwodzie trzymał, i wszystkimi siłami uderzył na chwiejące się już szeregi tłumnie zebrane: ani obozu, ani wodza, ani chwały ze zwycięstwa, ani hańby z ucieczki nieznające, i rozbił je zupełnie. Wielu w boju i w ucieczce zabito, wielu też do niewoli wzięto, a między nimi byli i tacy, co powagą i znaczeniem niepoślednie zajmowali miejsce. Gara napróżno po kilka razy nawrócić uciekających usiłował; z niewielu swoich umknął, a bojąc się ich raczej, niż im ufając, i sądząc, że nigdzie bezpieczniejszym nie będzie, skrytemi drogami do Strygonium do królowej uszedł. Huniad sprawiwszy jak najlepiej zlecenie, z niewolnikami i zdobyczą do Władysława powrócił; a ten niewolników dosyć łagodnie o złamanie wiary i przysięgi zgromiwszy, jak równie przypomniawszy im wspólność pochodzenia Polaków, Kroatów i Dalmatów, i że tym sposobem jakby przeciw własnej krwi walczyli, pod straż oddać ich rozkazał. Wielkie potem pochwały i łaski wylał na Huniada

i Frystarcha, a do tego dodał im jeszcze nową godność—książąt siedmiogrodzkich. Ze zaś Huniad słynął przed innemi jako wojownik, oddał mu w posiadanie te miasta, które przy granicy tureckiej leżały, i dodał mu ile mógł żołnierza, aby nietylko się bronić, ale i w nieprzyjacielską ziemię zapuszczać się mógł; co też często czynił, a przez to Turkom strachu niemało napędził i w swoich niezmiernie nadzieje rozbudził. Wiele potem roztropnych postanowień wydał Władysław; a skutek okazał, że on jeden do tój sprawy godnym się okazał, i że on jeden chrześcijaństwo upadkiem grożące podtrzymać był w stanie.

Niedługo potem wszyscy niewolnicy na wolność puszczeni zostali; wielu z nich wsparcie na drogę dostało, a wszyscy wdzięczni, wielkie potem przysługi królowi wyświadczyli. Przynękli oni między innemi, że wszystkich, których zwycięstwo w ostatniej bitwie oszczędziło, na stronę Władysława przeciągną; posłano zatem z niemi Mikołaja Lassockiego i Grzegorza z Sanoka, aby ci wszystką ziemię obszedłszy, mieszkańców do odstąpienia królowej namawiali; co też prędko uskutecznił samém przypomnieniem tożsamości pochodzenia i krwi. I nietylko wiarę zaprzysięgli, ale i pieniądze złożyli na żołd dla żołnierzy, których przeciw Iskrze wyprawić miano.

Nie tak bowiem szczęśliwie w tamtój stronie powodziło się Janowi Perenie. Iskra nietylko często wielkie zdobycze czynił, ale nawet Spekuzyjską ziemię (1) ogniem i mieczem pustoszył, a niektóre miasta zabrał i ograbił, jakoto: Emperiascium, Skaruscium i Klisticum (2). To ostatnie długo oblegał, podkopami wreszcie opanował; a leżało ono na wysokiej górze i niby skała urwista Kassowii groziło. Ztamtądto Iskra klęskę za klęską roznosił, i albo za zdobyczą wychodził, albo ze zdobyczą w Kassowii się ukrywał. Ale i Jan Perena nie zasypiał sprawy, i albo zasadzkami szarpał nieprzyjaciół, albo w otwartém polu z niemi się potykając, jak miejsce lub los pozwalał, czasem zwycięzcą, a czasem i zwyciężonym bywał. Niemniej natarczywie i niemniej często jak Iskra zapuszczał się za zdobyczą w nieprzyjacielską ziemię, i chociaż wszelkich starań dokładał, aby odzyskać utraczone miasta, nie mógł nic sprawić, i na tych usiłowaniach rok cały prawie upłynął.

(1) Księstwo spizkie.

(2) Dzisiaj Preszow, Szkaros, Klizik.

Królowa zaś namawiała wszelkimi sposobami Władysława Gara jeszcze raz do walki; że nie mężką jest rzeczą nie próbować kilka razy szczęścia, i za pierwszym nieudaniem zaraz na umyśle upadać; że nic nie ma tak zmiennego na świecie jak szczęście w wojnie, bo tam najmniejsza rzecz wielkie skutki czasem za sobą pociąga. Ale napróżno były wszelkie prośby i zachęty; to też w końcu domagała się od niego, aby jój tylko pieniędzy na zaciągnięcie wojska pożyczył. Nie otrzymawszy nawet i tego udała się do Jaurinium, a niedługo potem dowiedziawszy się, że Czechy o obiorze króla myśleć poczynają, aby ich w wierności dla pogrobowca i dla siebie utrzymać, do Austrii wyjechała. Pojechał za nią i Władysław Gara, a tam Fryderyk cesarz do więzienia go, jakby zdrajcę wtrącić rozkazał, i dotąd siedział zamknięty, aż go król na prośbę Węgrów wykupił, za cenę jakiej żądał Fryderyk (1).

Tymczasem żądane przez Władysława posiłki z Polski nadeszły w znacznej liczbie i wybornym stanie. Zaraz też z początkiem następnego roku, chociaż bardzo skąpo było zboża, i chociaż zima ostro się trzymała, wyruszył Władysław z Budy ku Kassowii, bo chciał jak najprędzej całe królestwo uspokoić. Iskra nie mając ani o połowę tyle wojska i tak dzielnego, nigdzie do boju stanąć nie chciał, a ciągle się w murach ukrywał. Owóz bez wielkiego wysilenia odebrawszy miasta i zamki, które przeszłego roku albo same odpadły, albo zabrane zostały; postanowił król ruszyć ku Kassowii i ku innym miastom, które dotąd ciągle królowej się trzymały, ażeby, jeżeliby Turczyn znowu co przedsięwziął, wspólnemi na niego uderzyć siłami. Ale Węgrzy sami obawiając się, aby dla bliskości położenia Władysław do Polski nie uszedł, puścili wieść, że królowa chce pokój z nim zawrzeć, i że nierozsądkiem byłoby wojnę zdobywać to, co zgodą łatwiej otrzymać można. Namówili go tedy do tego, że powrócił do Budy, zostawiwszy tam tyle wojska, ile do zakończenia téj wojny było potrzeba.

Zląkł się mocno cesarz Fryderyk, gdy o wyprawie króla się dowiedział; myślał bowiem, że gdy pozabiera twierdze królowej i całe Węgry mu się poddadzą, łatwo wtedy wojnę do Austrii zanieśie, domagając się świętej korony, którą królowa u niego złożyła; mówiono nawet, że już o wydanie jój układać się począł.

(1) Za 70,000 czerwonych złotych. Wapow. tłum. Malin. str. 377.

Lecz gdy usłyszał że król wojsko opuścił, i że przez namiestników wojna pod Kassowią prowadzi się, odetchnął swobodnie, i wszystko zerwał. A i królowa pokrzepiła upadły umysł; nie była ona dawniej zupełnie od pokoju, teraz zaś dumną odpowiedź dała posłom od panów węgierskich, którzy z nią o warunki zgody umawiać się przybyli. Do tego przyszła jeszcze zaraza grasująca po królestwie, szczególnie w Budzie, gdzie tak się srożyła, dotknięciem i leczeniem chorych szerząc się, że co dzień po kilka pogrzebów rozpaczają i myślą o śmierci rychłej przerażała wszystkich umysły. To wszystko ożywiło nadzieję królowej, że będzie przerwa w działaniach wojennych, i że będzie miała czas przygotować wszystko, co za potrzebne do wzmocnienia sił swoich uważała. Władysław tymczasem dowiedziawszy się, że królowa ani myśli o pokoju, zaczął tém pilnie o zdobyciu Kassowii przemyśliwać. Wysłał tedy Jana, przydomku Halera (1), z licznym piechoty i jazdy oddziałem, aby połączywszy się ze starostą kesmarskim, wspólnymi siłami i radami, natychmiast na Iskrę, gdziekolwiekby się znajdował, napadli, wyparli, lub silnie oblegli. Iskra zaś, ponieważ mu miasta na stronie królowej będące, już dawno chętnie podatki opłaciły, i monetę też z napisem i wizerunkiem pogrobowca wybijał, zebrał w Czechach nowe posiłki, i do szeregów swoich dołączył.

Nie miał jednak Iskra dosyć wojska, aby mógł w otwartém polu wystąpić: to też siedział w Kassowii, gotowy na wszelki przypadek, i czekał dokąd królewscy najwięcej siły swe skierują. Gdy tedy właśnie na ten punkt wszystkie wysilenia skierowano, zawzięcie z obu stron dobywano i broniono się. Silne często wycieczki czynił Iskra na oblegających, często też małe utarczki się trafiały, a wielu z obu stron padało: co bardzo szkodziło obleżonemu, nie mogli bowiem niczem ubytku w ludziach zastąpić. Gdy tak codzień liczba ich malała i widoczném było, że niedługo już bronić się będą mogli; w tak krytycznym położeniu, chociaż rzadko się to udaje i tylko w ostatecznym razie się używa, Iskra ze swoimi z miasta się wydarł. Wtedy królewscy widząc rozpaczne położenie mieszkańców, pewni prawie byli zdobycia miasta, a usypawszy szanse, prawie beczynnym naokoło niego leżeli. Liczba mieszkańców wewnątrz niezmiernie większą była od ilości zboża i prowiantu; owoż zgromadziwszy wszy-

(1) Wap. tłum. Mallu. str. 384 nazywa go Jan Czapek.

stko co do jedzenia w mieście było, dwóch dowódców załogi i dwóch obywateli, codziennie, ile im się zdawało koniecznym do utrzymania życia, pożywienie rozdzielali. Miara ta jednak co dzień szuplała, stosownie do tego, jak więcej czasu upłynęło i im mniej zapasów było. Głód zmusił wreszcie do jedzenia nieczystych zwierząt, i złe to samo z siebie, powiększała jeszcze rozpacz, że znikąd żadnej nadziei pomocy nie mieli. Zaczęły tedy między mieszczanami rosnąć szemrania o poddaniu się, a i załoga rozmaicie myślała, i to tylko opóźniło jój ucieczkę, że niełatwo było bez niebezpieczeństwa z miasta się wymknąć. Nie wiedzieli o tém królewscy, a znudzeni tak długim oblężeniem, gdy i zima już się zbliżała, dla braku żywności słabnąć poczęli, i w samej porze zwycięstwa obleganie zwolnili.

Tymczasem załogi czeskie z innych miast roznosiły naokoło spustoszenia, aby królewskich od oblężenia na pomoc napadniętym odciągnąć. Wnet doszła także wiadomość, że miasto Kesmark nietylko że się źle od owych napaści broni, ale nawet o poddaniu się zamyśla. Gdy tedy dowódzca królewski widział, że żołnierze nawet bez jego pozwolenia oddalają się, chcąc przynajmniej Kesmark w posłuszeństwie utrzymać, odstąpiwszy od oblężenia Kassowii, spieszenie tam pociągnął. Ale i to mu się nie powiodło, bo dniem wprzód, nim przybył, Czesi zdradą wpuszczeni, miasto zajęli. Ale chociaż dowódzca załogi Mikołaj Pereny, w zamieszaniu trwożliwie ze swojemi z Kesmarku uciekł; pozostali jednak żołnierze trzymali się w kilku wieżach, i łatwo by było miasto napowrót odzyskać, gdyby jakakolwiek pomoc przybyła. Los chciał, że w tym samym czasie do Podoleńca przybyły z Polski świeże dla Władysława posiłki, pod dowództwem Wawrzyńca Zaremby i Mikołaja Stora (1). Królewscy usilnie ich na pomoc Kesmarkowi wzywali, i nie masz wątpliwości że byliby Czechów wyparli; nie chcieli jednak iść na pomoc, czyto z obawy, aby zaczepiwszy Czechów, drogi sobie do króla nie zagrodzili, czy téż dlatego, że jako posłani do króla, bez jego polecenia w żadną wprzód działania wdawać się nie powinni. Odrzuciwszy tedy prośbę, nikogo nie szarpnąwszy, i sami od nikogo niezaczepieni, do Budy się dostali.

(1) Wap. tłum. Malin. nazywa go Skóra. Potomkowie jego nazywali się Skoraszewskimi; str. 387. Musi to być omyłka druku w Kallimachu, bo widocznie Skóra jest nazwisko polskie. Zaremba kasztelan sieradzki, Skóra sędzia ziemski poznański.

Ze zdobyciem Kesmarku, wojna ku Podolińcowi się przeniosła, gdzie dowódcą załogi był Mikołaj Komorowski. Z obu stron wszelkimi sposobami i sztukami wojowano. Gdy się tedy królowa o zwycięztwie swoich i o odstąpieniu od oblężenia królewskich dowiedziała, rozradowana do Posonium wiernego sobie ciągle miasta przybyła. Na zamku w Prezburgu (Posonium) była załoga Władysława pod dowództwem Stefana Rozgoniego. Zaczęła go wnet królowa oblegać, korzystając z sprzyjającego usposobienia mieszkańców, silnie ją popierających. Ale ponieważ niesłusznieby było swoich nakładami różnemi obciążać, bo chociażby to nawet zrobiono, nie wystarczyłoby i tak żywności dla wielkiej cywilnych i wojskowych ludzi liczby: wysłała po zdobycz do tyrnawskiej ziemi, z kąd mnóstwo różnego rodzaju zapasów zwożono, i tym sposobem wszyscy w Prezburgu obficie byli żywieni, a Tyrnawczycy, klęskami ziemi swojej zmuszeni, od króla odpadli.

Stefan szczęśliwym przypadkiem z zamku się wymknąwszy, do Budy do króla przybiegł i opowiedział, w jakim niebezpieczeństwie zamek się znajduje, jeżeli mu jak najprędzej żywności, żołnierzy, i innych rzeczy do odparcia lub wytrzymania dłuższego oblężenia nie przyśle. Zapewnił go król, że to wszystko uczyni, rozkazał mu przytém nie upadać na duchu i jak najspieszniej do załogi zamkowej powrócić. Bez zwłoki zaraz wysłał do Tyrnawy Andrzeja Tenczyńskiego ze znacznym Polaków i Węgrów oddziałem, zalecając mu, aby i swoich od najazdów nieprzyjacielskich bronił, i ziemię prezburgską pustoszył, i zamkowi w czém będzie mógł, pomagał. Dzielnie się z polecenia sprawił: zboże, żołnierzy, maszyny i różnego rodzaju pociski do zamku wprowadził, nadzieję zdobycia zamku zupełnie królowej odebrał, i natarczywemi napadami na ziemię prezburgską tyle dokazał, że słusznie za oblężonych, a nie za oblegających się uważali. Zacięte z obu stron staczano walki, i wiele także z obu stron padało na placu boju; aż wreszcie Tenczyński w zasadzkę nieprzyjaciół wciągnąwszy, tak straszną zadał im klęskę, że o mało w zamieszaniu, ścigając zwyciężonych, miasta samego nie zachwycił. Klęska ta położyła koniec wycieczkom wojsk królowej; trzymali się odtąd za murami i fossami, i ztamtąd na nowo wszelkimi sztukami i machinami zamku pilniej dobywać poczęli. Przy końcu roku zaczęło im brakować żywności, a naciskani różnego rodzaju potrzebami i rozpaczą, do gwałtownych posunęli się kroków. Pobudowali tedy ruchome wieże, i różnego rodzaju pociskami bronić się królewskim nie dozwolali; wybiwszy potem w kilku miej-

scach wyłomy, wszelkimi siłami chcieli się przez nie, albo po drabinach do zamku dostać. Nie byłaby nigdy załoga takiej natarczywości wytrzymała, gdyby był król, dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie zamku, mimo srogą zimę z Budy nie nadbiegł, mając przy sobie wyborne obu narodów wojsko. Pomoc ta dodała ducha swoim, a królową tak przeraziła, że zostawiwszy tam cokolwiek wojska, sama z innemi do Wiednia potajemnie wyjechała. Król do zamku posiłki wysłał i próbował zarazem, czyby mu miasta nie udało się opanować. Gdy jednak długie oblężenie wszystko wewnątrz i zewnątrz wyczerpało, i gdy przy ostrój porze roku, niemniej ze strony nieba i ziemi, jak od nieprzyjaciół spodziewać się można było trudnych położzeń; naprawiwszy co z większą popsuć przez nieprzyjaciela umocnienia, do Budy powrócił.

W tym samym czasie oddział Polaków, samych ochotników bezżołdowych, pod dowództwem Piotra Odrowąza (1) do Węgier idąc, napadnięty został przez Czechów utrzymujących się w wąwozach gór. Wybrawszy tedy bardzo zimny, pochmurny i dżdżysty dzień, najniepozorniejszy do marszu, wysławszy do tego naprzód kilkudziesięciu tegich młodych chłopaków, którzy zastępujących im drogę, gdyby byli, zabijać mieli, przez zwinięte strażo czeskie, bez żadnej zaczepki wąwóz przebyli i wnet miasto Kapuściany, niedaleko od Baradinum leżące, zdobyli. Gdy jednak król do siebie ich wezwał, natychmiast, jak należało, opuściwszy zaczęta sprawę, do Budy się udali, gdzie z wielką pochwałą i podziwieniem od Węgrów zostali przyjęci: bo i rażni i doskonale uzbrojeni, i tak chętni na pomoc królowi swemu przybyli.

Władysław zaś pochwaliwszy wszystkich razem i oddzielnie każdego podług jego godności i zasług, przyrzekłszy im swą życzliwość, wysłał ich na zdobycie Kassowii (2), z kąd częste i wielkie klęski w owój ziemi codziennie Czesi na stronników króla roznosili. Powierzone sobie zlecenie Polacy prędko wykonali, i żeby przerażeniem napełnić całą załogę, wszystkich Czechów, którzy im tylko w ręce wpadli, na śmierć skazywali.

Tymczasem doniesiono z Polski, że Tatarzy na Podole napadli. Król tedy widząc, że z ucieczką królowej wszystko się polepszyło, a Iskra rodzimemi siłami łatwo pokonanym być może:

(1) Wojewoda i starosta lwowski.

(2) Wapowski powiada, że ich do Roznawy posłał. Ale dotąd o Roznawie jako fortecy nigdzie wzmianki nie było.

żeby barbarzyńcy ogołoconej z wojska Polski nie zastali, napowrót do ojczyzny Odrowąza z jego oddziałem odesłał, a dla honoru, kilku panom węgierskim do granicy odprowadzić ich kazał. Gdy tedy do Agrii przybyli, hojnie przez biskupa przyjęci, czy ufni w swe siły, czy że w szczęściu zaniedbanie się łatwiejsze niż w nieszczęściu, podhulali sobie bardziej, niż tego czas i blizki nieprzyjaciel pozwalał. Telefus, który w owym czasie załogą w Kassowii dowodził, myśląc, że mu się bardzo korzystna podaje okoliczność do zwycięstwa, z silnym oddziałem nocą, spiesznym marszem wybiegł. Gdy tedy, jakby w pokoju zupełnym, żadnej straży nie znalazł z téj strony, z której mu się najlepiej wydawało, przez mury przelazł, pożar dla większego strachu w niektórych miejscach podniecił, i jak gdyby już miasto zdobył, ogromne krzyki podniósłszy, na uspiionych i bezbronych napadł i odrazu wiele domów i wozy polskie złupił. Gdy zaś nasi krzykiem, mordami, rabunkiem i ogniem przerażeni, napót senni, nie mogli dość prędko broni uchwycić; z ogromną zdobyczą bydła, ludzi i wielu innych rzeczy uchodzić począł. Węgrzy téż i Polacy z przestachu ochłonawszy, zbiegli się razem: już uzbrojeni. Nie trudnym było doścignienie uciekającego nieprzyjaciela i odzyskanie zdobyczy, bo zmordowany i obciążony wolniej uchodził: to téż natchmiast w całym pędzie koni za nim się udano. Daleko jeszcze było ku zachodowi, kiedy już z tyłu usłyszał nieprzyjaciel szum i świst pogoni. Telefus widząc, że żołnierze jego szybkością nocego marszu i bójką są znużeni, i że dla wielkiej i ciężkiej zdobyczy uciec nie zdoła, postanowił siłę siłą odpierać. Zabrał on był do niewoli Piotra Odrowąza, a że to był wojewoda lwowski, miał więc nadzieję, że albo wielki okup za niego dostanie, albo wielu jeńców za niego jednego wymieni. Poleciał potem poufnemu swemu, jakiemuś Soloma, którego wierność i obejrzałość bardzo dobrze, jak mniemał, znajoma mu była, aby wojewodę do blizkiego miasta odprowadził i dobrze strzegł. Bez żadnej zwłoki, mając szczęścia próbować, dalej naprzód zdobycz wysławszy, do swoich przemówił, że licha garstka nieprzyjaciół goni za nimi, bezbronna, nieszykowna, a do tego jeszcze klęską minionej nocy przerażona, poraniona i osłabiona. Nie mieli siły i ducha do bronienia się we własnych domach, a teraz szaleni za broń chwyćli, jak gdyby łatwiej było walczyć w otwartym polu i stratę odbijać, niż jój w zamknięciu poza murami strzedz. Jeżeli były jakie niebezpieczeństwa i trudy, to już przeszły. „Szybkim i niespodzianym napadem macie już w ręku bogatą zdobycz, a daleko

łatwiej niż porwać, obronić ją teraz przy równych siłach możecie. Wielu nieprzyjaciół w naszym jest ręku, a sąto ludzie najdzielniejsi, których ani sen, ani strach, ani nagłe zamieszanie podejść bezbronych nie mogło; ci zaś co pozostali, winem i snem dotąd znużeni, poranieni, zaledwie na koniach utrzymać się mogą. A chociażby zresztą wszystkie okoliczności równemi się z obu stron pokazały, daleko mocniejszymi powinni być ci, co bez nadziei przebaczenia i życia walczą, niż ci, co dla odzyskania blahéj straty za broń uchwycili.“ Przypomniat im potém, jak to srogo i okrutnie z ich rodakami obchodzono się niedawno pod Kassowią, że powinni walczyć do ostatniej kropli krwi i zginąć raczej, niż w ręce nieprzyjaciół się dostać, żeby potém jakby bydłę jakie pójść na śmierć nieochybną. Im silniej opierać się będą, tém bezpieczniejszą uchodząca zdobycz, a sami pewniejszymi ocalenia będą.

Zbliżyli się już nieprzyjaciele; to téz zwróciwszy się ku nim Czech, silnie i tego wytrzymał kilka piérwszych i gwałtowniejszych napadów, i tak dzielnie odpierał, że ani znaku na ludziach i koniach po przebytych trudach nie było widać. Dodawało im sił zrozpaczenie o darowaniu życia i chciwość obronienia i zatrzymania zdobyczy; Polaków zaś i Węgrów nietyłe strata materialna, ile wstyd zagrzewał. Szpetnémbo było dla nich, że daleko mniejszej liczbie, winem i snem rozmarzeni, dali się podejść, i że zwycięstwo tylko może zmyć z nich tak szkaradną plamę. Wątpliwie tedy długo walczone, a wielu już i raniono i poginęło; wreszcie znużenie przemogło, i żołnierze Telefa ustępować zrazu poczęli, a potém w ucieczce ratunku szukać byli przymuszeni. Wielu wtedy zabito, wielu kołmi roztratowano, zdobycz w zupełności odzyskano, Telefa zaś z wielu Austryakami i Czechami do niewoli zabrano i biskupowi z Agrii pod straż oddano.

Soloma tymczasem nie o klęsce swoich nie wiedząc, cały zajęty myślą, aby powierzonego sobie Odrowąza w bezpiecznym ukrytym miejscu, jak najspieszniej do zamku Mikołaja Zudar się udał. Mikołaj ów niedawno temu do królowej przeszedł, a myśląc, i bardzo słusznie, że powaga Władysława i sprawa jego przez ucieczkę królowej do Austrii niezmiernie zyskała, i że mu się teraz dobra sposobność do przeblagania Władysława podaje, więźnia, o którym wiedział, że jest między swojemi rodem i godnością wiele możliwym, do Budy do króla odprowadził, i jak przewidział, przebaczenie uzyskał.

Wpóśród tak zmiennój kolei wypadków, kiedy noc, przypadek, strach, napad ciągle po sobie następowały, wiele dziwnych przypadków śmierci i niezwykłych usiłowań w napadzie i obronie często się przytrafiało. Między wielu innymi wypadkami, następujący godny pamięci i niezmiernie był żałośliwy:

Był w Agrii człowiek ludu, młodością i kształtem odznaczający się, i zakochał się w młodej panience swojego stanu i wieku. Dostyc często z wszelkimi ostrożnościami nocą do niej zwykł chodzić, nie po to jednak, żeby tęsknotę swoją owocami miłości zaspokoić, ale żeby ją jeszcze bardziej rozjątrzać. Gdy tedy rabunek miasta przy kochance go zaskoczył, myśląc, że to swoi pijani rozbiegli się po mieście i trwogi mieszkańców nabawili, tém więcej że wiedział, jak dużo wina wczoraj wypili, na pierwsze usłyszane krzyki z miejsca się nie ruszył. Ale później, kiedy nietylko chrzęst zbroi i tętent jazdy, ale i płacze i wyrzekania niewiast i krzyk dzieci zawielkie mu się zdały; domyślając się, że chociaż pijani, tak wielkiej kłótni, przekleństw i narzekań nie wywołałoby: chciał, dokąd wzywało go niebezpieczeństwo, natychmiast polecieć. Zatrzymała go jednak kochanka i upomniała, aby drzwiami nie wychodził, boby mógł przy takim zamieszaniu, pobudziwszy domowników obcych, jaki przypadek na siebie lub na nią wywołać; oknem więc do sieni domu się spuścił. Wypuściwszy go na podwórze, sama schodami za nim pobiegła; wtém nadbiegli już nieprzyjaciele, i bramę wylamawszy do domu wpadli. Na wychodzącego młodzieńca mieczem napadają i ranią, tém zawzięciej, że sam jeden nieustraszony wpośród powszechnój trwogi odważnie się potykał. I nie uległ tak prędko: chociaż ciężkie już odebrał rany, dzielnie się bronił, i dwóch jeszcze nieprzyjaciół zabił. Wtedy kochanka jego boleścią i rozpaczą uniesiona, nie chcąc przeżyć swojego lubego, o ile jój miłość, gniew i rozpacz sił dodały, wyrwawszy broń jednemu z zabitych żołnierzy i narzając się srodze z żywych, zanim ją ująć pomyślano, bo za wstyd sobie walkę z kobietą poczytywali, wielu raniła. Pojmana wreszcie, opowiedziawszy przyczynę takiej zawziętości, tém samym żelazem, którym śmierci kochanka swego pomścić się chciała, przebiła się, i w téj chwili obok trupa, droższego jój nad życie, upadła. Obecni żołnierze oniemieli z podziwienia, i kiedy towarzysze ich ze zdobyczą z miasta uchodzili, oni jedni w tym domu bezbroni i przerażeni w ręce Polaków się dostali.

Takiż sam los, jak Telefa, spotkał także w tym samym czasie Czajkę i Komorowskiego. Piérwszy z nich w Brosonitium (1), drugi w Podolińcu załogą dowodził. Gdy się bowiem przez szpiegów dowiedzieli, że miasto Emperiascium niedbale jest strzeżone i niesilną ma nawet obronę; wzięwszy ze sobą każdy jakich miał najlepszych w załodze żołnierzy, jak najciszej, nocą tam się udali. Przystawili drabiny do murów i jak gdyby do swojej fortecy bez najmniejszego oporu do miasta weszli. Gdy zaś krzyk, a potem mordy, nietylko przeraziły nieprzyjaciela, ale mu zmysły prawie odebrały, tak, że nietylko do broni, ale do rady nawet trafić nie mógł: jakby za pozwoleniem lub dla zabawki wielką zdobycz uczynili. Przypadkiem dnia poprzedniego przyszło do Emperiascium pięćdziesięciu Czechów, którzy się do Iskry, zbierającego wojsko na oblężenie Rychnawy, udać mieli. Ten tedy oddział, jak się to zwykle w zamieszaniach dzieje, kiedy każdy nie o tém co powinien, lub co może, ale o własném ocaleniu myśli, kiedy Polacy miasto rabowali, zajął wieżę doskonale umocnioną, i dzielnie się w niej bronił. Trudno było zdobyć ją, a bali się i tego Polacy, aby czasem Iskra niedaleko ztąd będący, z wojskiem nie nadbiegł; nie mogliby bowiem i miasta niezupełnie podbitego bronić i zdobyczy zatrzymać: a więc zkąd przyszli, tam i odeszli. Prędzej niż myśleli, dowiedziawszy się o klęsce swoich, i mając już dawniej zebrane i wyćwiczone wojsko, Iskra nadbiegł chcąc zniemacka, jak zwykł, na rozstrojonych pomyślnością nieprzyjaciół napaść. Nie zastał tu już Polaków, bo prędko z zdobyczą nazad odeszli; pognął za nimi i doścignawszy ich, mając nietylko przemagającą liczbę, ale świeżego jeszcze żołnierza, bardzo łatwo rozbił i rozpedził wszystko; nie było nawet oporu i bitwy, bo zmęczeni i zdobyczą obciążeni Polacy, piérwszego nawet natarcia nie czekali. Czajka i Komorowski z niewielu innemi do niewoli zabrani zostali, i nikt się w gwałtownej ucieczce o wyrwanie ich z rąk nieprzyjaciela nie pokusił. Iskra zaś, jako mąż dzielny na wojnie, po tém zwycięztwie prosto ku Berzewicz pociągnął, bo mając w ręku dowódcę owego miasta myślał bardzo sprawiedliwie, że je łatwo zdobędzie. Kiedy przybył, zastał mieszkańców daleko lepiej niż przewidywał przygotowanych do obrony, i już nie chcąc nawet probować szczęścia zabierał się do odwrotu, kiedy jedna z wież, a było ich dwie, czy

(1) Berzewicz.

przypadkiem, czy zdradą, zapaliła się. Obleżeni spieszenie do drugiej przeszli, a obawiając się aby i z tą to samo się nie stało, dobrowolnie poddali się Iskrze. I oczywiście z tego było, że los dla obu stron równą radość i równy smutek rozdzielić chciał.

Wprowadzili potem Polacy świeże załogi do Podolińca i Lubolii, a Iskra na zdobycie Rychnawy wyruszył, zabrawszy z sobą posiłki ze wszystkich miast, które pogrobowcowi sprzyjały. Polacy murów silnie bronili, musiał tedy formalne rozpocząć obleżenie. Wojsko naokoło rozłożył, i mury taranami i innymi machinami rozbijał. Ale co on w dzień zepsuł, to w nocy natychmiast obleżeni naprawili, i tak kilka miesięcy przetrwało obleżenie. Gdy jednak gwałtowne potrzeby z jednej, a z drugiej nieprzyjaciel naciskać począł; gdy konieczne poddanie się, nadzieja tylko odsieczy od biskupa agryjskiego zwlekała, a on nie przybywał, a głód i natarczywość oblegających co dzień się zwiększały: poddali się wreszcie, wymówiwszy sobie, że wolni z bronią i dobytkiem z miasta wyjdą, zamek próżny oddadzą, i że Polakom żadna krzywda się nie stanie. Jak raz nazajutrz po poddaniu się biskup agryjski z wojskiem nadbiegł i niedaleko od Iskry obozem stanął, jak gdyby chciał wszystkimi spotkać się z nim siłami. Ale do walnej bitwy i do rozwinięcia chorągwi nie przyszło, chociaż oba wojska w małych utarczkach często się szarpały; bo i Iskra szczęścia kilku lat w jednym dniu utracić nie chciał, a i biskup agryjski nie ufając swoim, jako świeżo zebrany i wcale niewyćwiczonym, wołał zwłoką, w okolicach już wyniszczonych codziennymi harcami, przywieść nieprzyjaciela do niedostatku w żywności, niż otwarty bój stoczyć. Tak więc, gdy Iskrze i jego żołnierzom, jak się tego spodziewał biskup, niedostatek żywności prędko dokuczać począł, i gdy widocznym było, że na żaden sposób, a przynajmniej bez wielkiego niebezpieczeństwa nie będzie się mógł w tych miejscach utrzymać, bez żadnej większej pomocy do Kassowii powrócić.

Niedługo potem zaczęły się między Iskrą a biskupem agryjskim układy o zgodę; po długich a bardzo różnych ustąpieniach, zaślubił Iskra synowicę biskupa. Tak więc nie tylko pokój, ale i pokrewne stosunki między sobą zawiązali, a bardzo wielu wątpiło, czy się to wszystko dobrą wiarą stało. Nie przyszło bowiem na to, jak wypadało, pozwolenie królowej, a i Czesi widocznie wiarę złamali, bo wypuściwszy podług umowy wszystkich jeńców na wolność, zatrzymali Czajkę i Komorowskiego, chociaż

i ci w umowie wymienieni byli. Iskra do tego jeszcze miasto (1) na Spizu, którym teś jego nowy dowodził, zabrał, i na stronników króla ciągle napadał i rabował.

Rozdwojone były w tym czasie umysły chrześcian względem najwyższego kapłana. Jedni przyznawali papieżem Eugeniusza, przez kollegium kardynałów wybranego, drudzy stali przy Felixie, którego w Niemczech sobór bazylejski naznaczył. Wielu jednak monarchów i książąt i ludów, a między niemi Polacy i Węgrzy, czekając jaki skutek tak wątpliwe i drażliwe rozdwojenie mieć będzie, zdanie swoje zawiesili, a tymczasem ceremonie i obrzędy, jakie od przodków swych w spadku dostali, najgorliwiej spełniali. Gdy tedy tak Felix jak Eugeniusz nie tylko przeciwników swoich, ale i tych, co obojętni, ukrywszy uczucie i przekonanie, żadnemu z nich pierwszeństwa nie przyznawali, różnemi sposobami namawiać i na stronę swoją przeciągnąć usiłowali, wystali też oba poselstwa do króla.

Felix V wysłał Alexandra z książąt mazowieckich pochodzącego, niedawno kardynałem i biskupem trydenckim przez siebie nominowanego, myśląc, że jako krewny Władysława, łatwiej sprawę jego bronić potrafi; a chociażby względ na pokrewieństwo niewiele miał wagi, zawsze jednak coś znaczy. Od Eugeniusza przybył kardynał Julian Cesarini, a ten szeroko dowodził, że Rzym, jako miasto skropione krwią ś. Piotra i Pawła i wielu innych wyznawców nauki Chrystusa, jest najstosowniejszym miejscem do wyboru i rezydencji najwyższego kapłana; że przeświente kollegium kardynałów ma prawną i dziedziczną powagę, a zatem, że on sam tylko jest prawnie wybranym następcą ś. Piotra; że całe Włochy i umysły Greków dały za Eugeniuszem swe głosy. „A cóż przytoczy druga strona na swoje poparcie? — mówił dalej—oto chęć zamieszek niewielu złych ludzi, co zmarnowawszy fortunę, ani się bojąc Boga, ani wstydząc ludzi, w zaburzeniu stronnictw bez powagi, bez porządku, bez powodu, zebrali się na stanowienie o rzeczach świętych.” Alexander zaś kardynał twierdził, że nie miejsce, ale czystość umysłu i serca, i świątobliwość żywota do religii należą; że to nic nie znaczy, gdzie mieszka lub wybranym został najwyższy kapłan, kto i od kogo wybranym został; że w szczupłym zanadto obrębie ogranicza się filar nauki chrześciańskiej, jeżeli naczelnik jój tylko w Rzymie ma się wybierać i stanowić. A cóż będzie wtedy, jeżeli przypad-

(1) Wapowski nazywa je Podgrodzie.

kiem wiekuiste miasto wpadnie w ręce barbarzyńców, albo zupełnie zniknie z ziemi? Jeżeli w rzeczy najzupełniej na samym umyśle i uczuciu opartej, miejsce to lub owo ma mieć jakieś znaczenie, toć Jeruzalem świętszą daleko krwią, niż krew św. Piotra i Pawła poświęconém zostało. Tam jest najprawdziwsza głowa naszej wiary, tam wszystkie tajemnice naszej nieśmiertelności spełniły się, tam godności najwyższego kapłana pierwsze zaczątki, nie przypadkiem ludzkim, lecz wolą i wyborem samego Boga przypadły. Wszakżeż wszyscy wiecie, że św. Paweł jako zapozwany do Rzymu przybył, a św. Piotra ściągnęła do tegoż samego miasta próżność magika Szymona. Co się tyczy kardynałów, niewiele znaczą ich tytuły i nazwiska: bo kapryśnej fortuny zachcenia mogą to wszystko i takiemu nawet udzielić, który na to wcale nie zasługuje. Inni przecież, chociażby nigdy Rzymu nie widzieli, chociażby tytułu kardynała nie posiadali, są jednak przed Bogiem prawdziwymi wiary naszej podporami i fundamentami, bo ich nauczanie, życie, obyczaje, czyny, myśli nawet, zupełnie z religią się zgadzają. Nic tu nie znaczy, jaki kto posiada stopień i godność: bo Bóg nie na to co zewnątrz człowieka, ale co w myśli i sercu jego jest spogląda i z tego go sądzi; i nie szczęśliwego, ale najcnotliwszego zdanie, w rzeczach do religii należących, ma wagę. Że ani ceremonie zwykle przy obiorze, ani zajmowanie stolicy rzymskiej, nie są oznakami prawdziwego boskiego następstwa na namiestnikostwo Chrystusowe: bo gdziekolwiek dobrzy zgromadzą się, tam zaraz zamieszkuje między nimi Duch Święty; cokolwiek tedy oni powiedzą, uczynią i postanowią, to wszystko za natchnione od owego Św. Ducha uważać należy. Byłoby to nawet nietylko nierozsądném, ale i niebezpieczném, dla kilku upartych umysłów, które przez złe sumienie przy swoim trwają, odrzucać postanowienie publicznego rzeczypospolitęj chrześcijańskiej, soboru. Ani Eugeniusz, ani ci co przy nim stoją, nie wątpią o powadze swojej i soboru; ale mimo to nie jaśniejają cnotami chrześcijańskimi, bo od samej wiary duchem i czynem daleko odpadli. Gdyby im tylko o samą naukę Chrystusa chodziło, nie sprzeciwialiby się soborowi, którego właśnie największém zadaniem jest zachowanie religii w zupełnej świętości i godności. Wszyscy papieże, którzy dotąd kościołem Chrystusa rządili, nie byłiby nigdy przyznawali tyle powagi soborom, gdyby byli nie wiedzieli, że daleko pewniej może stanowić o rzeczach boskich zgromadzenie z całego chrześcijaństwa zebrane, niż kilku rzymskich kardynałów

lub biskupów. Zresztą to, co słusznie do wszystkich należy, o tém téż wszyscy obmyślać powinni. Dlatego, jakby jakim czterem ewangelistom, kościół przyznawał zawsze i przyznaje nieodwołalną powagę czterem soborom: niceńskiemu, konstantynopolitańskiemu, efezkiemu i chalcedońskiemu, na których, oprócz różnych wielu postanowień względem świętości i trwałości religii naszej, zbijano i wyniszczano niegodziwe i szkodliwe herezye, któremi zasady wyznania naszego obalić chciano. Jeżeli tedy w Nicei Aryusza, w Konstantynopolu Macedoniusza, w Efezie Nestoryana, a w Chalcedonie Entychiusza błędy bezbożne wykazane i potępione zostały; niemniej tedy i następnych soborów postanowienia moc obowiązującą zachowały. Nie żądają zaś ci, co się w Bazylei zgromadzili, aby im nieomylnie wierzone, co do postanowień o szczęściu wszystkich, i o najwyższej i o najniższej w kościele godności, eoby i nierozsądkiem i bezbożnym było; ale domagają się, aby na roztrząśnienie i wydanie o tych przedmiotach ostatecznego wyroku, wszyscy, do których to należy, zwołani zostali.

Gdy tedy tak ten i ów przed królem i jego radą stronę swoje popierali, nie wyrzeczono nic stanowczo o przyznaniu któremu z nich godności i praw papieża. Julian Cesarini do własnej swój sprawy dodał jednak jeszcze i to, że Eugeniusz i ci, którzy o całość religii chrześcijańskiej dbają, z przykrością widzą, jak Węgry, najpotężniejsza osłona i przedmurze chrześcijańskiego imienia, szarpią się wewnętrznymi rozterkami; radził zatem, aby złożono dla zgody broń, i że on, jeżeli obie strony na to pozwolą, słuszne warunki pokoju ułoży. Kiedy mu zaś oświadczone, że król niczego nie zaniedbał uczynić, aby pokój przywrócić, i że napróżno kilkanaście poselstw do królowej posyłał; prosił, aby mu dozwolono poprobować jeszcze raz, czy się co nie da zrobić: czego mu téż nie odmówiono. Widząc tedy, że Władysław najzupełniej był skłonny do pokoju, pojechał do królowej. Tu wypowiedziawszy jój wszystko, co uważał za stosowne do rzeczy, wystawiwszy jój korzyści pokoju, a szkody i niebezpieczeństwa na wojnie, zwrócił jój uwagę na godność i pleć jój, na zmiennosc przywiązania ludzi i niestałość fortuny, czego tyle razy doświadczyła. A teraz cóż pocnie z garstką swoich: czyliż podoła w wojnie, przeciw siłom i zgodzie wszystkich prawie, tak bardzo niższa w siłach, radzie i zasobach? Stoi bowiem z przeciwnój strony cała potęga polska, a z nią większa

część Węgrów jaśniejących między swojemi bogactwami i znaczeniem; mają do tego i ludzi, i zaprzęgów i żywności w zapasie dosyć, że na wszelki przypadek mają czém wojsko podpierać i odświeżać. A ona i mało ma żołnierzy i to jeszcze najemnych, których wierność nie z serca płynie, a za pieniądze kupiona; przyjaźń nawet Iskry i biskupa agryjskiego bardzo sprawiedliwie podejrzana się jój wydaje. A nawet to wszystko, co ona ma przygotowane i za obmyślane doskonale uważa, los jednej bitwy zniszczyć może; a jakimże sposobem wzmoże się znów na siłach, jeżeli raz zwyciężona zostanie? Oby żył jak najdłużej pogrobowiec; ale trzeba jednak pamiętać, na ileto przypadków życie ludzkie jest wystawione, a im mniej dzieciństwo ma siły do odparcia chorób, tém bliższe jest zniszczenia. Niech tedy pamięta, aby i sobie, i dwom dorosłym już córkom losu nie zagradzała; bo chociaż wielu jeszcze nadzieja łaski pogrobowca w wierności utrzymuje, osierocenie jednak królestwa przerzuci ich na przeciwną stronę. Trzeba tedy obmyśleć dobrze, ażeby, gdyby przedwcześnie śmierć syna z królestwa wyzuła, córki przynajmniej utrzymały się przy niém, i żeby chociaż jedna z nich, jako żona króla panowała. Między mężem i żoną, gdyby o to tylko chodziło, żeby rodzicami być mogli, płęć wszystko stanowi; ale Władysław posiada do tego jeszcze wszystkie przymioty, które go godnym którejkolwiek z królewien mężem a jój zięciem czynią. Położenie zaś czasu i rzeczy nietylko obie strony do zawarcia pokoju nakłania, ale go koniecznym prawie czyni. Powinna wreszcie pamiętać na męża i ojca swego, którym, oprócz czci prawie boskiej, z niezachwianą wiernością służył ciągle ów naród, którego szczęście ona teraz na niebezpieczeństwo wystawi, jeżeli się na pokój nie zgodzi. Mężom wybaczają się niekiedy, że dla podtrzymania godności jednego człowieka, narażają czasem losy wielu narodów; ale kobiecie, jako kobiecie nie wypada kłaść wyżej nadzieję słabego dziecięcia, nad szczęście i spokojność tylu miast i ludzi, którzy się jój nie byle jako zasłużyli. I sądu ludzi i zemsty Boga powinna się obawiać, gdyby przez nią niegodziwa i dla chrześcijańskiej sprawy niebezpieczna wojna, nie mogła być odpartą.

Na to królowa odpowiedziała: że zna dobrze stan swój i stan nieprzyjaciół, i że niemniej wie, ile siła i los mogą na wojnie. Że daleko znośniej i nie tak boleśnie jest ustąpić w bitwie, niż przez tchórzostwo i próżną bojaźń z królestwa być wyzutym. Że sprawa jój jest najłuszniejszą, że Bóg, mściciel sprawiedli-

wości, nie opuści jój, i że syn jój zdrów jest i za łaską Boga zdrów będzie. A jeżeliby nieszczęsny jaki przypadł na nią los, i wtedy poradzić sobie będzie umiała. Wié ona, że zasługi Węgrów względem niéj i drogich jój osób są niezmierne, ale im większe są, tém ona usilniéj starać się o to powinna, aby ich wydobyc z nienawistnego im poddaństwa. Żeby się to bez rozlania krwi i zaciętych mordów stać mogło, bardzo sobie tego życzy.

Na te słowa Julian pochwaliwszy królową, że gdyby konieczność ją zmusiła i wojny się nie obawia, i że pokoju nie odrzuca, aby tylko korzystne otrzymała warunki, zaczął się z nią o zgodę układać. Po wielu rozmaitych z obu stron przytoczonych i odrzuconych warunkach, gdy serce matki równie o los dwóch dorosłych już córek, jak i o szczęście dziecka niepomatu się troszczyło; zgodziła się w końcu królowa na przesłanie Władysławowi następujących praw i zasad zgody:

Przedewszystkiém, aby jednę z królewien on sam, a drugą brat jego Kazimierz namiestnik podówczas w Litwie poślubili. Kazimierzowi przyrzekała królowa wypłacić posagu sto dwadzieścia tysięcy czerwonych złotych; Władysławowi zaś ustępowała 200,000, na ziemi szląskiej ulokowanych, którą mu w dzierżawę puszczała, zastrzegając sobie prawo okupu, kiedyby tylko zechciała. Co się tyczy Węgier, Władysław zrzecze się tytułu króla, zatrzyma zaś zarząd i opiekę aż dotąd, dopóki pogrobowiec stosownych lat nie dojdzie; a gdy dorośnie, Władysław i opiekę złoży. Gdyby zaś pogrobowiec albo dzieckiem, albo kiedykolwiek bezpotomnie zmarł: wtedy tytuł i prawa króla na Władysława przejdą. Wreszcie na pokrycie kosztów, na wyprawę obecną poniesionych, ziemia spizka na zawsze do Polski przyłączoną zostanie, a Węgrzy ze swéj strony dobrowolnie zrzeką się wszelkich praw, jakie kiedykolwiek do Podola i Wołoszczyzny rościli.

Władysław byłby przyjął niewątpliwie te warunki, tak korzystne dla obu państw, a szczególniej dla Polski; wielu nawet Węgrów obawiając się wojny zewnętrznej i w obrzydzeniu mających wewnętrzną, zgadzało się na przełożenia królowej. Ale ponieważ było to sprawa o całość stanu i rozległość królestwa, wypadło tedy czy przez posłów, czy listami, zasięgnąć jeszcze rady tych panów, którzy obecnymi nie byli. Ci, jak to zwykle, jak kto rozumiał takie dali zdanie: nietylko rozmaite, ale zupełnie sprzeczne. Byli tacy co twierdzili, że aby tylko z zewnątrz nic im nie zagrażało, daleko gorsze potém warunki otrzymać będzie

można, a inni utrzymywali, że w żadne układy niewarto wchodzić, i że najlepiej aby broń o pokoju stanowiła. Im więcej jedni przez bojaźń trwożliwie, drudzy przez rzutkość niebezpiecznie radzili, tém łatwiej zdanie Huniada przyjętém przez wszystkich zostało, bo na żadną stronę wyraźnie się nie nachylało. Pisał on, że dla grożącej od Turków napaści, byłoby nieroztropnością odrzucać pokój, ale też chciwie ku niemu się garnąć, równie nie zaszczytném. Bo chociaż pokój sam w sobie wyższym jest nad wojnę, i nie dla czego innego wojny się prowadzą, tylko dla utrwalenia pokoju: trzeba jednak dobrze rozpatrzyć warunki zgody, aby, jeżeli niekorzystne były, inne potem dostać, a najwięcej na to baczyć, aby pokój i zgodę w kraju przywrócić. Wtedy odłożywszy na bok nienawiści wszelkie, pójść na zewnętrznego wroga. Gdyby zaś królowa, przez wzgląd na siebie i na swoich chciała wytrwać przy obecnych warunkach, któremi nietylko wiele prowincyj obcym w dzierżawę puszcza, ale niektóre nawet zupełnie od królestwa odrywa: wszystkimi siłami opór stawić potrzeba. Nie braknie ducha i sił do wymuszenia i lepszego pokoju, i mniejszym kosztem, niż zgoda, którą teraz nam ofiaruje.

Julian powtórnie do królowej pojechał, i przywiózł od niej zmienione nieco warunki. Ale gdy i tych Węgrzy przyjęć nie chcieli, znów pojechał; i tak jeździł po kilka razy, a zawsze czy z téj, czy z tamtéj strony nowe ustąpienie wymógł. Nareszcie dopiął tego, co mu się najważniejszém wydało: że Władysław do Jaurinum do królowej pojedzie, a wtedy obecność i rozmowa osobista, daleko skuteczniejszemi będą w zawarciu pokoju, niż rady i przekonywania obcych.

Gdy tedy się zjechali, nie mogli się sobie dosyć nadziwić; z jednéj bowiem strony wiek ledwie młodzieńczy, a zdolności męskie i ogromnemu zadaniu rządu dwoma królestwami wyrównywające; z drugiejj wiek już podeszły, a wielkość umysłu w niebezpieczeństwach i wielu innych działaniach niepospolita, godnemi ich szacunku czyniły. Jak się tego można było spodziewać, sprzeczki i uniewinnienia wzajemne piérwsze zajęły miejsce; bo obie strony zarzucały sobie zgwałcenie praw i słuszności, i że za broń z konieczności, a nie z własnej woli chwyciły. Przeciągnęły się owe rozmowy o pokoju kilka dni, wreszcie ustąpiły obie strony ze swoich domagań się, pogodziły się, i wzajemnie mi a bogatemi uczciły się darami. Jakim sposobem broń złożyć

miano, nie ogłoszono. Niedługo potem królowa do Budy wyjechała, i tutaj uwolniwszy wprzód z więzienia hrabiego Cylia, w którym od początku wojny zamknięty siedział, zawarła ostatecznie pokój. Podobało się niezmiernie królowej ułożenie i charakter słodki Władysława; chodziła też wieść, że królowa przyrzekała pod przysięgą oddać mu zupełnie Węgry, aby tylko król polski albo prośbami, albo bronią wydarł z rąk cesarza Fryderyka i koronę świętą węgierską, i samego pogrobowca. Korzystając bowiem z jej wdowieństwa, zabrał i użytkuje posiadłości dziecka, bez żadnego wynagrodzenia.

Wróciwszy do Jaurinum zachorowała królowa, i po trzydniowych mękach umarła; nie bez podejrzenia o otrucie dla tak nagłej śmierci, i dla różnych na ciele zewnętrznych oznak.

Władysław zmartwił się niepomału jej śmiercią, bo przewidywał, że gdy śmierć uniosła z sobą zakład i pewność pokoju, Czesi na nowe wypadki chciwi, zaczną przeciw pokojowi intrygować, aby znów działania wojenne i rabunki rozpocząć. Tak się też stało: bo niedługo potem, razem z miastami, w których załogą stali, do cesarza odpadli, i już nie ukradkiem, ale jawnie otwartym bojem na królewskich napadać zaczęli.

W tym samym czasie przybyło znakomite mężami i okazałością poselstwo od Amurata; więcej, jak wieść niosła, dla wybadania obecnego stanu Węgier, szczególnie rozruchów wewnętrznych, które go najbardziej obchodziły, niż dla popierania swych żądań. Chociaż Huniad, któremu, jak powiedzieliśmy, powstrzymanie napadów tureckich zleconém było, nietylko ich dzielnie odpierał, ale ufając męztwu i dzielności swojej, często się za zdobyczą na nieprzyjacielską ziemię zapędzał, i niemałe Turkom klęski zadawał, i tak mądrze sobie poczynił, że w końcu Turcy nabyli tego przekonania, że łatwiej zwyciężonemi niż zwycięzcami zostaną: mimo to jednak, temiż samemi prawie słowami, z jakimi w Belgradzie posłów polskich odprawili, i teraz pokój ofiarowali, domagając się albo Belgradu, albo rocznego haraczu.

Przybył tymczasem posłaniec od Huniada z doniesieniem, że znowu dwa razy Turków pobito, że wielu do niewoli zabrano, wielu w ucieczce śmierć znalazło, a między niemi dwóch znaczniejszych dowódców; że kilka chorągwi i wiele innych rzeczy zabrano, że wreszcie obok zwycięstwa i bogate łupy naszym się dostały. Daleko tedy ostrzej odpowiedziano posłom, niż się spodziewali; w końcu dodał król, że się względem ich żądań

zniesie z Huniadem, i że podług tego, jak los jemu lub Turkom sprzyjać będzie, przysła niedługo przez swoich posłów odpowiedź na ich żądania.

Po śmierci królowej, wszyscy węgierscy panowie do Władysława przeszli; nie było tedy już wewnątrz żadnego oporu: jedno tylko miasto Kassowia z okolicznemi miastami wytrwale przy swoim stało, ale i tam powinowactwo Iskry z biskupem agryjskim, nadzieję pokoju łatwą czyniło. Sam nawet cesarz, do którego część owa Węgier odpadła, nie będąc nigdzie niczego pewnym, przez wrodzoną miłość spokoju, zgodę nad wojnę przekładał.

Widząc tedy Julian kardynał, że teraz najstosowniejszy byłby czas do rozpoczęcia wojny z Turkami, zaczął i króla publicznie, i panów węgierskich prywatnie do niej podmawiać.

Przypomniawszy Władysławowi nadzieję, jaką w nim położyli wszyscy chrześcijańscy monarchowie, kiedy się dowiedzieli, że na tron węgierski wezwanym został: bo wielką w tém korzyść dla chrześcijańskiego imienia przewidywali. Wszystkich życzenia i uroczyste modły o jego pomyślność ku niebu poszły, i jeżeli uspokoił tak prędko całe królestwo węgierskie, niemniej to modłom wszystkich chrześcian, jak własnemu orężowi winien. Powinien tedy wszystkich starań dołożyć, aby tak ogromnego o sobie oczekiwania nie zawiódł. Wymaga po nim tego nie tylko religia, którą wyznaje, ale i konieczność jego położenia, i opieka nad temi, którzy mu się jako wierni poddani powierzyli. Nie może nie przedsięwziąć téj wyprawy, już to dlatego, że przysiągł na bronienie Węgier, już też i dlatego, że bezpieczeństwo tego kraju ściśle z bezpieczeństwem Polski jest powiązane. Powinien nadto zemścić się za znieważające domaganie się haraczu, dowieść, że prawie żartem wojnę dotąd z niemi prowadzono, i okazać całą różnicę między wyprawą z jego polecenia odbywaną, a wyprawą, w której on sam już będzie dowodził. Porównawszy zaś to, czego dokazał Huniad ze szczupłą garstką żołnierza, z tém, co on sam, mając daleko silniejsze zastępy, dokonać potrafi: nie można na żaden sposób wątpić o zwycięstwie.

Do panów zaś węgierskich przemawiał, że Bóg sam natchnął ich myślą przyzwania na tron Władysława, i połączenia razem sił dwóch tak potężnych narodów; że tym sposobem nie tylko władzę i granicę państwa swego obronią, ale je nawet aż do Hellespontu

i egejskiego morza rozszerzą; że nie powinni opuszczać tak przyjaznej okoliczności, której los i szczęście wyraźnie sprzyja, kiedy właśnie usunął królową, aby tym sposobem koniec wewnętrznym rozterkom położyć. Nie im wszakże nie brakuje do utrwalenia szczęścia ogólnego, nietylko nateraz, ale i nazawsze, jedno dobrej chęci; niechże tedy nie krzyżują się sami z sobą, kiedy im wszystko razem, rozum, los, szczęście, zwycięstwo zapewnia.

Do tych namów dołączyły się błagania natarczywe i ciche ły despoty, który nietylko króla, ale wszystkich z kolei prosił i z płaczem błagał, aby nie opuszczali tak stosownej pory do pomszczenia krzywd chrześcianom wyrządzonych, i mąk najbezkarniej zadanych. Ze zgrozą wszystkich żałośliwie opowiadał, jak mu wszystko Turcy zabrali, synom oczy wyłupili, i wstydlive członki oberzneli. Przypomniawszy potem królowi i pierwszym w radzie, jak niedawno temu silne państwo, dzieci, i obfite dary fortuny posiadał, a teraz, niby żebrak jaki, litością obcych żyje: zaklinał wszystkich, aby i za niego samego, i za dzieci jego, i za całe chrześcianstwo pomścili się. Dodał jeszcze, że burza zbliża się już do granic węgierskich, i że lepiej jest bronić od krzywdy obce krainy, niż czekać aż razem z niemi i własną ich ziemię rozbiją niewierni.

Niewiele jednak miały znaczenia i sprawiedliwe wyrzekania despoty, i mądre doradzania Juliana Cesarina. Dla tak ważnej rzeczy zwołano do Budy wszystkich panów, a na zgromadzeniu te same, cośmy wyżej przytoczyli, namowy powtórzono, i wiele nowych dodano; a szczególnież Julian kardynał przyrzekał, że i inni chrześciańscy monarchowie na pomoc Węgom przyjdą. Postanowiono tedy jednogodnie, aby z początkiem zaraz wiosny, król zebrawszy jak największe i wyćwiczone wojsko, do Bulgaryi wyruszył. Zaczęto zaraz z cesarzem albo o pokój, albo o przymierze się układać; wzywano go, aby albo sam osobiście, albo posilki dla sprawy całego chrześcianstwa przysłał. Wysłano również liczne w różne strony poselstwa, nietylko do sprzymierzonej już Polski, ale i do Krzyżaków i do Wołochów, wszystkich na wyprawę przeciw Turkom wzywając.

Cesarz na dwuletni rozejm przysłał, ale na wyprawę, całemu chrześcianstwu tak potrzebną i konieczną, ani sam nie przybędzie, ani posilków nie przysła, dając za wymówkę zaburzony stan Czech. Tak samo sobie i wielki mistrz począł. Przypomniawszy, że długie wojny niezmiernie ziemię jego spustoszyły, żadnej

nadziei na jego posiłki nie zostawił. Z Polski i Wołoszczyzny przysłano posiłki w piechocie i konnicy z półrocznym żołdem. Za nimi szły tłumy uzbrojonych, które ani na chwilę nie wahały się opuścić dla takiej walki domy, małżonki, dzieci, ojczyznę, i wszystkie przyjemności i wygody; nie przez doradzanie czyjeś, nie dla zysku i nagrody, ale przez czystą pobożność i chęć bronięcia i rozszerzania religii chrześcijańskiej. Rodzaj ten wojska, krzyżem naznaczony, na wieść o wyprawie religijnej, przybyszami ze wszystkich krajów niezmiernie urósł.

Po odprawieniu tedy modłów i suplikacyj uroczystych, oraz spowiedzi, która się ze wszelkimi ceremoniami kilka dni ciągnęła, około końca maja król z Budy wyruszył (1), przeprowadził wojsko przez Dunaj i postępował ciągle małemi marszami, czekając na swoich, którzy jeszcze dotąd nie zebrali się. Przebywszy potem przez Fibiscum, znowu do Dunaju przytarł, i u Słonego Kamienia całe już wojsko przeprowadziwszy, prosto szedł do Bulgaryi, na zdobycie Sofii, gdzie despota z wojskiem królewskim swoje wojsko połączył.

Miasto owe nie tylko z położenia swego niebardzo mocne było, ale je jeszcze niespodzianie nagłe przybycie króla zaskoczyło, a tak w krótkim czasie bez wielkich wysiłen zajęte zostało. Ale ponieważ więcejby kłopotów przyczyniało utrzymanie go w posiadaniu, niż samo zdobycie; zabrawszy znaczną w niem zdobycz, król dalej ruszać rozkazał. Zająwszy równie szczęśliwie i zdobycz wszędzie uniosłszy z wielu mniejszych miasteczek, do Morawy rzeki przybył, i tam obozem stanął w miejscu ani zupełnie wzgórzystem, ani zupełnie płaskim.

Wysłano ztąd zaraz pięćset jeźdźców, jużto po zdobycz, jużto na prześpiegi, aby wojsko bezpieczniej dalej postępować mogło. Ze wschodem słońca wyruszywszy, napadli około południa na garstkę Turków, także na zwiady wysłaną: czterech z niej ludzi złapali, i dowiedzieli się od nich, że około dwóch tysięcy nieprzyjaciół lasem przybliżyli się. Nierówne mając do walki siły, i do tego zadaleko od rzeki zasadziwszy się, uciekli nasi, a wnet też i Turcy z tyłu się pokazali, i jeszcze bardziej strach i chęć do ucieczki w nich powiększyli. Między uciekającemi i rzeką leżała wynioslejsza ziemia, a z wierzchołka jęj daleko rozlegał się widok na zamorawskie krainy; nie widać jednak koryta rzeki obok pły-

(1) Wapowski tłum. Malin. powiada, że król wyruszył 22 lipca 1443.

naćej, gdy wzrok na dolinę, przez rozpościerającą się równinę jak najdalej na przeciwległe pagórki sięga.

Gdy tedy uciekający królewscy pagórek już przebyli, i dla niezmiernej wysokości i spadzistości brzegów, na drugą stronę do swoich dostać się na żaden sposób nie mogli: część z nich na koniach rzuciła się w rzekę, a część na brzegu pozostała, odważna na wszystko; bo i nadziei obronienia się lub ucieczki nie miała, i pewną śmierć przed sobą, od przemagającego liczbą nieprzyjaciela. Na szczęście król na polowanie z wielu uzbrojonymi na tę stronę rzeki się przepawił, i wnet przybliżającym się na przeciwległy pagórek Turkom wpadł w oczy. Wnet przyszło im na myśl, że to utajona zasadzka, bo daleko więciej i innego żołnierza ujrzeli, niż których z tyłu ścigali; dlatego też nagle w biegu się zatrzymali. Kiedy król nieprzyjaciół dostrzegł, wnet od polowania do walki rzeczywistój odciągnięty, z niesłychaną bystrością ze swojemi ku rzece poskoczył. Ci zaś, co dotąd między nieprzyjacielem i nieprzebytym jak mniemali brzegiem, opuszczeni i zrozpaczeni, nieochybniej wyglądali śmierci: kiedy ujrzeli swoich, którzy im jakby z nieba na pomoc przybywali, ducha nabrawszy, z ogromnym krzykiem, dla zmazania wstydu z ucieczki, napowrót co sił na górę się darli. Tymczasem i król ze swojemi nad brzegiem stanął, i nie wybierając wcale dogodniejszego do przepawy miejsca, z urwistego i przepaścistego brzegu w rzekę wskoczył, a za nim wszyscy tak szybko na oślep się rzucili, że wielu z nich wpadłszy w wir, gwałtownością wody uniesieni zostali; wielu znowu przy swém szamotaniu z koni spadłszy, ciężkością uzbrojenia do dna pociągnięni, w jednej chwili w oczach wszystkich potonęli. Turcy jednak nie czekali chrześcian i bez walki tył podali.

Król potém o dwa dni drogi za rzekę się posunął, wystawszy po drugi raz na zwiady o liczbie i zamiarach nieprzyjaciela. Wnet też doniesiono mu, że Turek z ogromnemi siłami niedaleko ztąd zasadzkę uczynił, i czeka tylko przyjaznej do napadu chwili. Dowiedziawszy się o tém Władysław, wybrał co najdzielniejszych 10,000, i posłał z niemi Huniada, aby nocą, niczego nieobawiających się nieprzyjaciół, zeszedł i poraził.

Szedł tedy za przewodnikami od południa aż do wieczora, i gdy już niedaleko był Turków, przy świetle księżyca zajął swojemi szeregami wszystkie miejsca, przez któreby nieprzyjaciel mógł mu ujsć z ręki; i nagle ogromny krzyk wydawszy, na uspiionych i o żadnej walce niemarzących nawet, napadł. Pierwszym też

napadem takiego strachu tłumom napędził, że każdy nie o broni już, a o ucieczce tylko myślał. Ale gdy wszystkie miejsca do ucieczki przecięte zostały, jak to zwykle w takich razach się dzieje, straciwszy zmysły, zaledwie władać końmi i bronią zdołali; z drugiej strony Huniad zachęcał swoich, aby jak najdzielniej na bezbronno go jeszcze i z pierwszego snu przestraczem zbudzonego nieprzyjaciela uderzyli, i zwyciężyli.

Tak więc zaraz z początku samego przerażeni Turcy nie tego się bronili, i byłato raczej bójka na oślepe i zamęt, a nie porządna walka. Kiedy zaś dowiedzieli się jeszcze, że sam Huniad jest obecny, ów mąż, którego imię częste zwycięstwa nietylko sławnym, ale i strasznym dla Turków uczyniły, i że wszędzie swoi od zasadzonych nieprzyjaciół pobici zostali; że ci, co dotąd zdrowo uciekli z rannymi, napół umarli z umierającymi pomieszani, przedstawiają straszliwy obraz ginących, podług mniejszej lub większej bojaźni: przez niedostępne miejsca cierniami i krzakami zarosłe ujsć usiłowali, ale nieprzyjaciel tuż za nimi bardzo łatwo gonił.

Straszną tedy w uciekających uczyniono rzeź; daleko większą, niżby się można było po liczbie zwycięzców spodziewać. Powiadają bowiem, że do 30,000 Turków zabito, a 4,000 do niewoli zabrano i dziewięć chorągwi zdobyto. Takto ów nagły napad chrześcian, na przywykłych oddawna do porażek, najzupełniej pomieszał Turkom zmysły; tak, że ani na wielką ilość swoich, ani na szczupłość sił nacierających, uwagi nie zwracali. Wiele także obozów wpadło w ręce zwycięzców, które spalono, wyniosłszy z nich bogatą zdobycz. Huniad pochwaliwszy niezwykle czyny swoich żołnierzy, z wielką radością wrócił do króla, gdzie go z niezmierną chwałą przyjęto.

Był pomiędzy jeńcami jakiś muzułmański ksiądz, z nauki i religijności pomiędzy swojemi sławny. Owoż Grzegorz z Sannoka, jako ciekawy badacz obyczajów i obrzędów cudzoziemskich, zarzucał mu, że wszystko co w historii kościelnej Muzułmanów się znajduje, jest albo bezbożne, albo szpetne; Turczyn zaś ani losu swojego obecnego, ani wyznania nie zapomniawszy, odpowiedział, że nie wypada mu, jako zwyciężonemu, o błędach jego religii rozprawiać. Gdy zaś Grzegorz nalegał na niego, żeby albo przyznał, albo obronił uczynione religii jego zarzuty, co nawet jako ksiądz tém bardziej uczynić powinien, odpowiedział: że i Turcy są ludźmi, że też same zasady, co i inni śmiertelni, wyznają, że wierzą w ciało i duszę, i że, jeżeli się w tém wszyst-

kiem, co zmysłami pojąć i osądzić się da, z całym rodzajem ludzkim się zgadzają: to i w tém także, co przekonanie i pojętność wyrabia, bez widocznych przyczyn wcale się nie różnią.

Po takim zwycięztwie, wiele bulgarskich miast już z nienawiści ku Muzułmanom, już z przychylności do wiary chrześcijańskiej i do Polaków, jako jedнопlemiennego i jednojęzykowego z sobą narodu, wyparty załogi tureckie, do króla przeszły. Inne znowu, przy tak ogromném przerażeniu siłą zdobyte zostały: już to przez królewskie wojsko, już też przez ochotników krzyżowców, którzy pod dowództwem Juliana, bardzo wiele głośnych dokonali czynów.

Tak tedy zwycięzcy wnet do granic Tracyi dotarli, nie bez wielkich korzyści, ale też i nie bez strat. Od rzeki Tyabru, oddzielającej kiedyś Mizyjczyków od Trybullów, Bulgarya z tyłu góry Hemus na wschód i zachód się rozciąga, od południa Tracyi dotyka, a na północ ku Dunajowi się wyciągając, zajmuje część Niższej Mizyi. Owoż środkowe owego kraju okolice same nieprzystępne urwiska i przepaściste skały zajmują, niższe zaś części, chociaż już dużo w równinę się zmieniają, głębokimi lasami pokryte, są puste i nieurodzajne. Ziemia też najzupełniej niepłodna, a nawet do hodowania była niebardzo przydatna; dlatego też, obok innych przykrości, któremi drogi już przy nadchodzącej zimie, trudnemi się stawały; obok tego, że i nieznośne zimno i znużenie, wiele ludzi i zwierząt wygubiło: dawał się jeszcze czuć dotkliwy niedostatek żywności. A chociaż pieniędzy było dosyć, ale nie było gdzie kupić zboża, a tak do głodu rozpacz się przyłączyła.

Wojsko znękanе tylu przeciwnościami, byłoby się z pewnością rozeszło, ale je zatrzymały perswazye Huniada; a twierdzenia jego, jako znajomego dobrze z miejscowością i biegiem rzeczy, z wielką nadzieją przyjęte zostały.

„Ile tylko już zimna, głodu, unuzenia, rozpaczy wycierpieliście, mówił, tyle znowu, gdybyście się cofać chcieli, wycierpicie. Że tyle ludzi i zaprzęgów wyginęło, nietylę pusta i nieurodzajna kraina, ile wojenne starcia temu są winny: a zresztą daleko więcej pustyni i trudności za wami, niż przed wami, pozostało. Jeżeli pójdziecie dalej, chociaż przez daleko wyższe pasmo gór, niż te góry trackie przechodzić będziecie musieli, ale za to w dwóch dniach staniecie na granicy szczęśliwszego kraju, gdzie nietylko przyjemność położenia, ale i obfitość wszystkich rzeczy do po-

dźwignienia sił waszych znajdziecie. Tyle tylko pracy mieć będziecie, że albo sami zdobywać, albo zdobyczy bronić będziecie musieli. Nie będzie to wojna, a spustoszenie. Pamiętajcie tylko z jaką ochotą i szybkością wszystkie dotąd niedostępne i bezdrożne miejsca przebywaliście, chociaż sama natura na zawadzie wam stała. Ale to wszystko na nicby się nieprzydało, gdybyście ze zwycięstwa waszego korzystać nie chcieli; bo chociaż znakomicie pobity został nieprzyjaciel, ale łatwo postawi się na nogach rozjątrzony bardziej, niż zwyciężony: zajmie znowu opuszczoną przez nas ziemię, miasta, i znowu będziecie przymuszeni odierać wojnę od własnych granic, ognisk i bogów domowych, kiedy ją teraz na obcej ziemi ukończyć możecie. Niepewnym jest i to jeszcze, czy z równym szczęściem będziecie na nowo walczyć; lepiej więc nie opuszczać nieroztropnie obecnej chwili, kiedy Bóg i los wyraźnie wam sprzyja. I nietylkobyście wstydem się okryli, żeście nie chcieli z tak szczęśliwych okoliczności korzystać, alebyście samego Boga na siebie rozgniewali."

Tak i tém podobnie często na radach i do żołnierzy przemawiał Huniad, i razem z despotą, którego cała nadzieja odzyskania swych posiadłości na obecnej wojnie polegała, podtrzymywali upadające umysły nietylko żołnierzy, ale i dowódców.

Dopóki tedy oni mówili, dotąd każdy na wszystko był gotów; ale jak tylko głód i inne przykrości dokuczać zaczęły, wpadali wszyscy na nowo w dawne zwątpienie i rozpacz. Byłyby w końcu, jak się to często trafia, dolegliwości ludzkie zwyciężyły obawę wstydu, gdyby ich była wieść o zbliżającym się nieprzyjacielu nie zatrzymała; a zostali więc przez bojaźń, aby ich rozproszonych, rozdzielonych, nieświadomych do tego położenia, nieprzyjaciel nie wymordował, niż w nadziei zwyciężenia przy tylu naciskających nieszczęściach. Zresztą milój było razem, cokolwiek wypadnie, i walczyć i zginąć. Gdy tedy dowiedzieli się, że nieprzyjaciel wnet przybędzie, rozradowali się wszyscy i szczerze Bogu składali dzięki, że im podał sposobność do walki i do zgonu: bo nie samėj śmierci wprzódy, ale rodzaju śmierci obawiali się: bo nie chcieli jakby liche jakie zwierzęta, głodem na pustyni poginać. Z takim zapalem w całym obozie wszyscy broń gotowali, że łatwo można było przewidzieć, iż gdy nieprzyjaciel przyjdzie, bez porządku, bez rozkazu na niego uderzą.

Tymczasem Huniad, z niewielkim oddziałem na górze będący, doniósł, że Turcy na szczytach gór zasiedli, jak gdyby w ho-

jowym szyku walczyć nie mieli, ale tylko królowi przejście zagrozić. Obóz bowiem tam założyli, kamieni i drzewa naznosili, i tym sposobem, jak naprędce mogli, przystęp do siebie zaparli. Nie omylił go domysł, bo Amurat, kiedy się o klęsce ostatniej dowiedział, obawiając się, co się właśnie stało, aby wojna do Tracyi lub do Macedonii nie przeniosła się, wysłał zaraz silny oddział, aby przejście naszym w górach przeciąć. Ściągnął on swe wojska z Azyi i połączył je z temi, co od ostatniej klęski ocalały; i polecivszy im, aby się na żadne stanowcze bitwy nie puszczali, rozkazał zająć wąwozy w górach, i tak ciągle trzymać na oku Władysława: bo wiedział, że i bez tego nasi nie tylko od zimna i głodu, ale i od innych jeszcze nieszczęść wiele ucierpią.

Dowódcą owęj wyprawy był Karambus (1) basza sudyjski, mąż i ręki i umysłu prędkiego. Widział on ze szczytu gór, jak królewscy ruszać się poczynali, i w wielu miejscach bez rozkazu dowódców, tłumnie i nieroztropnie do walki się darli, i gwałtowniej niż wypadało, po pochyłościach do góry się pięli. Owóż czy zniecierpliwiony tém, że się go nasi nie bali, czy myślał, mając większe wojsko, że zwycięstwo tak pewne, jakby je miał już w rękę; przeciw wydanym rozkazom stoczyć bitwę postanowił, w nadziei, że chwała ze zwycięstwa, winę z przestąpienia rozkazu pokryje.

Zwinawszy tedy obóz, chorągwie na nieprzyjaciół wysunął. Gdy tedy Władysław spostrzegł, zawoławszy do siebie Huniada i despotę, przemówił do żołnierzy, którzy więcej nadzieją prędkiej a ucziwiej śmierci, niż zwycięstwa pędzeni, tłumnie na góry biegli.

„Bóg sam — mówił — sprzyja nam i pomaga. Onto nieprzyjaciółom naszym natchnął myśl, że opuszczają górne szczeliny, gdzie tak bezpiecznie siedzieli, i z kąd mogli byli napaść oczy swoje zgubą naszą: bo nas i głód, i zimno, i wszelkie złe nęka. Lecą teraz zaślepieni na nas, a nie widzą, że my tu wszyscy stajemy do walki z tém przekonaniem, żeby jój nie przeżyć. Włot chwytajmy taką porę, bo możemy wszyscy chwalebnie zginąć, a jeszcze pewniej zwyciężyć: bo nic tak do zwycięstwa nie pomaga, jak odwaga i niepamięć na śmierć. Im kto z większą rozpaczą uderza na nieprzyjaciela, tém pewniej go odpiera i zabija; a tak śmierci szukając, zwycięstwo znajduje.”

(1) Karambej. Kallimach przekręcił nazwisko tureckie, bo prawdziwe było: Kasim-bej.

Ani chwili nie zwłócząc z despotą i Julianem wyruszył, a resztę odesłał do oddziału Huniada, który rozpierchłych nieroztropnie zbierał, i wszystko układał o ile mu nagłość sprawy, niecierpliwość, i wściekłość spieszących na tę stanowczą wyprawę, pozwalały, aby zaciekłość owa szalona nie stała się więcej naszym, niż nieprzyjaciołom szkodliwą. Postępując więc spieszenie za bezładnym tłumem, napominał każdego i wszystkich, aby biegnąc na góry uszykowali się, żeby się na oczywistą zgubę, jakby na rzeź, nie wystawiali; bo nie w ich śmierci, a w klęsce nieprzyjaciół spoczywa koniec cierpień i dolegliwości. A chociażby i nadziei zwycięstwa nie było, to niech każdy mężnie walczy dlatego, żeby się śmierci własnej pomścić; ale zawsze nie jak bezrozumne bydła, ale jako dzielni mężowie, w szyku i porządku bojowym: idzie tu bowiem jeszcze i o przyszłą chwałę, aby krwawego zwycięstwa nad sobą nieprzyjacielowi nie dozwoląć. Mówiąc to, o ile przypadek i zamieszanie pozwalały, każdego do szyku ustawiał, łagodnie w tył cofał, na równinie gromadził, z kąd łatwiej na wyniosłości piąć się można było. Król tymczasem z resztą wojska nadbiegł, a i Turcy szybko z gór zstępując, tak już byli blisko, że pociskami zdaleka bitwę rozpoczęli. Błahemi strzałami wielu przed bitwą jeszcze ranili, im gęściej stali królewscy, i im kto zapaleczywiej na spotkanie nieprzyjaciela się wydierał. Lecz kiedy do bliższego boju przyszło i mieczem działać zaczęto: wtedy Polacy przed wszystkimi innymi rozpaczą i gniewem miotani, z zaślepieniem prawie rzucili się na nieprzyjaciół i rozbili tak natarczywym napadem, że się w żadnym miejscu utrzymać nie mogli, i szyki ich połamane mieszać się poczęły. W tak krytycznej chwili nadbiegł Karambus, i wielu ze swoich: jednych mieczem i tanami, drugich głosem i groźbami, wstrzymawszy, wyrzucał im na oczy, że przez podłe tchórzostwo zwyciężyć się pozwalają znękanym zimnem i znużeniem. Przywrócił tedy w szeregach porządek, i bitwę na nowo rozpoczął. Wszędzie, gdzie silniej potyczka wrzała przytomny, wołał, że oślepiiony rozpaczą nieprzyjaciół sam na zgubę idzie, i że tylko naciągnąć łuki potrzeba, a wszyscy poginą; słowem, wszystkimi sposobami dzielnego żołnierza i dowódcy, wypadek niebezpiecznej dla siebie bitwy przeciągał.

Wielu tymczasem z obu stron albo padało odrazu, albo tak ciężko byli ranni, że upadłszy na ziemię, nie mieli już siły do po-

wstania: roztratowani kopytami końskimi, tém nędzniej ginęli. Ale najokropniejsze dla oczu były rany, koniom przez polskich krzyżowników zadane. Byłito prawie sami piechotni żołnierze, ale nosili lance; tém się tylko od myśliwych różnili, że nietylko żgać, ale i rąbać równie zręcznie i dokuczliwie potrafili. Owóż oni to między jazdą turecką uwijając się w miejscach różnemi zarosłami pokrytych, nietylko brzuchy koniom nożami rozrzynali, ale i nogi od ciała odcinali, kadłuby głębokimi ranami razili, i tym sposobem większą część Turków do pieszej walki zmusili. Nie umieli oni potykać się pieszo, i o ile doskonale bili się na koniach, o tyle nie pieszo podolać nie mogli, i widocznie ustępować poczęli. Koń wreszcie, na którym siedział Karambus, w brzuch lancą ugodzony, boleścią uniesiony, wpadł obces z jeźdźcem między naszych, i wnet rozeszła się między Turkami pogłoska, że wódz ich albo zginął, albo do niewoli się dostał. Wtedy tłumnie zwróciwszy się, w góry uciekać poczęli, chcąc się tam uchronić. Pognali za nimi chrześcianie i tak ich zapalczywie ścigali, jakby chcieli aż na najwyższe szczyty, przez przykre i bezdrożne miejsca się dostać. Lecz ponieważ daleko więcej trudności przedstawiała sama miejscowość niż nieprzyjaciel, i dzień już się miał ku schyłkowi, a w nocy na równych nawet miejscach, łatwo było zabłądzić: król rozkazał swoim wstrzymać się od ścigania nieprzyjaciela w niedostępnych miejscach, i dał znak do odwrotu. Z przeciwnych wojsk ci co od rzezi ocaleli, bojaźnią i pośpiechem pędzeni, przez skały, przepaści i urwiska, rzuciwszy broń, chwytając się rękami wyrosłych gdzieniegdzie krzaków, schronili się do tych, którzy uzbrojonego obozu na wierzchołkach gór strzegli. W czasie samój bitwy Karambus i inni znakomici mężowie rodem i godnościami do niewoli zabrani, a wielu w ucieczce zginęło (1).

Utraciwszy wodza i wszystką prawie odwagę, pewnym było, że Turcy żadnego już nie wytrzymają napadu, jeżeli silne zastępy tuż za nimi pójdą; dlatego téż zaraz nazajutrz król obozem stanął przy wejściu do gór, które Turcy zajmowali. Dodawała odwagi naszym dopiero co szczęśliwie stoczona walka, a niemniej żywa chęć przebycia gór, dostania się do lepszych okolic, gdzieby wszystkie klęski, tak długo ich trapiące, usunąć mogli. Ztąd między zwycięstwem i nędzą nie mając wyboru, rzucili się na po-

(1) Bitwa ta stoczona była przed samém Bożém Narodzeniem, 24 grudnia 1443 r.

chyłości gór; ale ich ze szczytów strzałami potężnie raził nieprzyjaciel. Ujrawszy tedy król jakie trudności są miejscowe, i że z wielką stratą swoich, a bez żadnej szkody nieprzyjaciół, kusić się nawet o przebycie gór niepodobna, nieroztropnie wyprowadzone szeregi do obozu cofnął. Wnet potem, myśląc, że dosyć już było tegorocznej wyprawy, że zrobił niemało; postanowił przed srogością zimy i przykrością miejscowości ustąpić.

Upierał się mimo to Huniad przy swém zdaniu, aby wszystkiego wprzód wypróbować, nim się odwrót uczyni. Dostrzegł on, że pochyłości gór nie są urwiste, do wejścia na niebardzo przystępne; a sądząc, że tamtędy może się dostać aż na sam wierzchołek, poprowadził swoich tą drogą. Sterczał z téj strony pionowy i przepaścisty szczyt, który przed Turkami naszych, wdzierających się na góry, zasłaniał, i dlatego nietylko łatwo, ale i bezpiecznie szli do góry. Gdy to król ujrzał, zmieniwszy myśl, z resztą wojska za Huniadem wyruszył. Pierwsze szeregi przebyły już sam szczyt, właśnie tam, gdzie się Turcy usadowili, aż tu ogromna skała i przepaść przejście dalej zupełnie przecięły. Nadbiegł zaraz Huniad, i sam ujrzał że przepaść ta była tak wielką, że ani niczém tak prędko zapełnić się nie da, ani téż mostu przez nią zarzucić nie można. Nie będąc dalej jak o dwa staje od nieprzyjaciela, posłał dzielnych i doświadczonych, żołnierzy, aby prostą drogą przejście przez góry zajęli, jeżeliby się udało ruszyć Turków z miejsca. Sam zaś jak najspieszniej wykierował na nich maszyny, i niezwykłej wielkości kamienie do nich wyrzucał. Szum, jaki one sprawiały, strachem nieprzyzwyyczajone uszy przerażał, a do tego sama siła rzutu i tak wielkich kamieni, wielu przygniotła, i mało brakowało, że Turcy nie uciekli przerażeni nową i dziwną zasadzką: bo jeden kamień na nich spadły zabijał wielu od razu, i to różnego rodzaju ranami, a nie mogli się od tych pocisków uchronić, tylko ucieczką. Lecz Ali-bey, po wzięciu do niewoli Karambeja, wodzem przez swoich okrzykniony, nauczył ich zaraz, że bardzo łatwo ochronić się mogą, jeżeli jak tylko świst usłyszą, natychmiast do ścian skalistych się przycisną; i tym sposobem nietylko od ucieczki wstrzymał, ale i do oporu zachęcił. Gdy tedy raz i drugi wyrzucone na siebie maszynami urwiska skał, nie im nie szkodziły, zaczęli nawzajem nacierać i szarpać królewskich, chcących koniecznie przejście opanować.

Władysław téż znowu widząc, że nieprzyjaciel dobrze osłonięty, próżnemi czynił wszelkie wysilenia jego wojska, aby mogli

zdobyć sobie przejście; gdy nietylko ostrość zimy odbierała zupełnie nadzieję przejścia przez góry, ale i głód do wytrzymania prawie niepodobny czuć się już dawał: zaczął znów o odwrócie przemyślać. Despota Rascyi przeciwnie, wiedząc że od téj wojny odzyskanie krajów i godności jego zależało, wszystko raczej znieść gotowy niż na odwrót dozwolić, twierdził, że hańbą byłoby cofać się teraz, kiedy i dowódzca Turków w niewoli i wojsko ich rozbite, a resztki same przerażone, jak dzikie zwierzęta po jamach i norach się ukrywają. Że i oni cierpią takiz sam niedostatek jak i królewscy, i też samę ostrość pory znosić muszą; i że wnet ulegną przed rozmaitemi przykreimi potrzebami, jeżeli choć trochę nasi wytrwają: bo ciała ich rozpuszczone azyatyckim zbytkiem, nie są tak wytrwałe na wielkie przykrości, jak ciała Niemców i Węgrów, od młodości zaraz do przykrych zmian nieba i ziemi przywykłe. Że da pieniędzy ile będzie potrzeba do zakupienia zboża, którego wszędzie w okolicy wielka jest obfitość.

Julian kardynał także różne podobne tamtym powody przytaczając, odciągnąc króla od przedsiębranego odwrotu usiłował. Tymczasem ludziom i zaprzegowi coraz mocniej i dotkliwiej głód i zimno dokuczać poczęły, do takiego stopnia, że już i wątpliwa nawet nadzieja przejścia przez góry straciła swój urok: to też w końcu dolegliwe potrzeby, zwyciężyły w zrozpaczonych umysłach wzgląd na zacność sprawy. Zwinąwszy tedy w tył szeregi, na równinę zeszli; tutaj zaraz zebrawszy i naprzód wysławszy wozy, drogą, którą przysli, odwrót uczynili.

Gdy tedy Turcy ujrzeli, że nasi o zwycięztwie zrozpaczyli, rozradowani i nową nadzieją zagrzeni, z wierzchołków gór zbiegli, i silnemi napadami z tyłu cofających się szarpać poczęli, i chociaż niewielkie, ale częste korzyści odnosili, sami często porażeni. Wysyłano przeciwko nim najdzielniejszych żołnierzy, a ci wielu Turków ubijali, i na chwilę napad ich wstrzymywali. Często jednak próżne były ich usiłowania, bo Turek zaraz w rozsypkę idzie, i wnet znowu zbiera się, i znowu napada, a nasze wojsko dla wielu wozów i wielkiej zdobyczy, dosyć prędko ustępować nie mogło.

Był im na drodze gęsty las, a miał on nietyłe dużych i wysokich, ile raczej rosochatych i karłowatych drzew i krzaków. Oprócz tego otoczony załamaniem wijącemi się, przepaścistemi i bagnistemi, jak to zwykle się dzieje w miejscach, któredy dawniej rzeki płynęły, skoro albo praca ludzka, albo siła natury koryto odmieniała. Dlatego

cały był bezdrożny, a jedyna drożyna, którą można było przejść, była bardzo wązka, i częstemi przekładana mostkami. Gdy tedy do tego lasu się zbliżyli, wysłali naprzód z bagażami lekko uzbrojonych, a z tyłu umieścili pancernych, aby, jakby mur jaki, ustępujących zastaniali, i w tym porządku ową wązką drożyną postępowali. Turcy przyzwyczajeni do ciągłych napadów, gdy już większa część jazdy w las się zapuściła, rzucili się na ostatnich, a ci krzykiem wnet swoich ku sobie zwrócili. Im kto żywiej, a zatem i nieroztropniej biegł swoim na pomoc, wnet z drogi zbaczał i wpadał na trzęsawiska i błota, z kąd po wielkich trudach, zsiadłszy z konia, siebie i konia zaledwie wydobyć zdołał; gliniasta bowiem ziemia tam była, i łatwo w niej zabnąć, ale trudno wydobyć się było. Tymczasem Turcy zabrali do niewoli około 80 naszych; ale gdy królewscy z błota się wydostali, dopędziwszy uciekających odbili swoich, i jeszcze około sześćdziesięciu do stu w niewolę zabranych natychmiast życia pozbawili: resztki rozbite uciekły. Daleko trudniej szła przeprawa dla złych dróg, niż w otwartym polu walka z nieprzyjacielem. Głód codziennie mocniej naciskał, Turcy nużyli częstemi utarczkami: to też obok innych dolegliwości, ubytek sił żywotnych prawie w całym wojsku jawnie się pokazał; dlatego wszystkie bagaże mniej potrzebne a próżnym tylko ciężarem dla wojska będące, zebrano i spalono, zaprzęgi zmizerowane lub zbyteczne pozabijano, a broń albo z zabitych żołnierzy, albo zdobyczą zabraną, zakopano. Co dokonawszy, wojsko jakby zmartwychwstałe, nowych zupełnie sił nabrało, i większemi już marszami, tak, że Turcy napadać na nie nie mogli, do Belgradu przybyło. Tutaj kilka dni wypocząwszy, wyruszył król dalej, zmierzając do Budy. Gdy się w mieście o jego przybyciu dowiedziano, wyszło przeciwko niemu w pontyfikalnym ubraniu duchowieństwo, ogromne wszelkiego stanu tłumy, i z okrzykami radości wracających witały. Sam król, jak ślubił, szedł pieszo prosto do kościoła katedralnego; przed nim postępowali znakomitsi niewolnicy z Karambejem, potem niesiono chorągwie na nieprzyjaciela zdobyte i część zdobyczy, która pozostała. Za temi szło wojsko: naprzód polscy krzyżownicy, energicznie, jak żołnierze, pod niebiosa wnosząc chwałę imienia Władysława, że on jeden tylko był, co dzielność i mężstwo prawdziwie królewskie miał i okazywał; obrzucali innych srogim zarzutem, że lichy i niedołężnie w domu pozostawszy, odbiegli od sprawy całego chrześcijaństwa, które dopiero co głowę podniosłszy, wnet do dawniej smutności powróci.

Obok zasług Władysława, niemniej wystawiano imię Huniada, bo jego genialszowi i przezornej waleczności, świeże zwycięstwo przy-

pisywano. Zresztą, widok owego powrotu byłby daleko okazalszym, gdyby była konieczność wyprawienia gdzieindziej wojsk temu nie przeszkodziła, i gdyby byli większej części łupów nie spalili lub nie zakopali. Gdy tedy uroczyste dzięki za tę pomyślność Bogu złożono, zawieszono chorągwie u sufitu, i wymieniwszy wszystkie czyny każdego w szczególności dowódcy, szcudrze ich za nie wynagrodzono. Żeby zaś sława ich i zasługa aż do potomności przeszła, najstaranniej herby ich i nazwiska w najwidoczniejszym miejscu kościoła wymalowano (1).

(1) Oto są nazwiska Polaków wypisane na ścianach kościoła Panny Maryi w Budzie: 1. Piotr ze Szczekocin podkanclerzy koronny, h. Odrowąż. 2. Piotr z Szamotuł, h. Nałęcz; 3. Paweł Wojnicki z Sienna, h. Dębno; 4. Jan z Tarnowa, h. Leliwa; 5. Mikołaj Chrzastowski, h. Kościeszka; 6. Mikołaj z Zakrzewa, h. Róża; 7. Niuko z Bain, h. Topor; 8. Michał Łasocki, h. Dołęga; 9. Stanisław z Pleszowa, h. Sulina; 10. Zbigniew Rosperski, h. Płomieńczyk; 11. Jan Ligęza z Bóbrka, h. Półkozic; 12. Piotr Kamieniecki, h. Pilawa. Długosz dodaje jeszcze trzynastego Tomasza Wawrzynowskiego, h. Pomian.

Koniec księgi Iszėj.



PODHAŁE I PÓŁNOCNA POCHYŁOŚĆ TATRÓW

CZYLI

TATRY POLSKIE (*).

PRZEZ

Ludwika Lejcznera.

(Ciąg dalszy).

Wydojone mléko zlewa bacia do potężnego kotła miedzianego, wiszącego na haku w środku szalasu, pod którym pali się nieustanny ogień; skoro się zagotuje, dodaje podpuszczki z żołądka cielęcego, i wtedy mléko się ścina, a sér oddziela od serwatki czyli żętycy. Po wystudzeniu bacia muszkularnemi rękoma zbiera pływający sér, robi z niego wielką kulę i kładzie do worka, by odciekła reszta serwatki. Z tak słodkiego séra wyrabiają w formach drewnianych oszczepki, małe baryłkowate sérki. Niekiedy bardzo ozdobne, przeznaczone są na podarki dla *wielmożnego*, (tak nazywają dziedzica), lub dla *dobrodzieja* czyli plebana. Nietylko serki wygniatają w bardzo pięknych formach, ale nadto plecionki, siatki, i zdobią niemi sam oszczepki; nieraz taki sérek podobny jest do kutasa u bogatěj uprząży konia tureckiego. Bryndzę robią z tegoż samego séra; poprzednio musi wszakże odbyć pewien rodzaj fermentacyi. Kule séra solonego kładą jedną obok drugiej na długiej desce, umieszczonej w komorze przy szalasi; gdy dwa do trzech tygodni poleżą i sfermentują, rozcierają je, i wtedy bryndza jest do jadła zdatną. Zdawałoby się, że bujna roślin-

(*) Zob. Bibl. Warszaw. r. 1849. T. I, str. 57 i 535. T. III, str. 441. T. IV, str. 1.

ność, kwiecista wiosna powinny wydać najlepszą bryndzę; tymczasem wprost jest przeciwnie: wiosenna nierównie jest gorszą od jesienną. Najlepsza bryndza pochodzi z mleka dojrzonego w miesiącach sierpniu i wrześniu, gdy go owce niewiele wydają; wtedy wyrobiona bryndza szczególnie jest tłustą i w smaku niezwykajnie przyjemną. Niemaló wpływa rodzaj paszy na bryndzę; nierównie jest lepszą, gdy się owce żywią na wysokich holach okrytych wonnemi, im właściwemi roślinami, aniżeli na niższych górach.

Jedynym prawie pokarmem juhasów, przez 3 do 5 miesięcy, jest od séra oddzielona żetyca, w której pływają płatki séra. Ten napozór biédny pokarm, nadzwyczajnie jest pożywny; po 3 lub 4 tygodniach juhasy widocznie tyją, i przedstawiają obraz najwyższego stopnia zdrowia.

Żetyca jest skuteczném lekarstwem przeciw różnym słabościom, a mianowicie przeciw piersiowym i wynikającym z ogólnego osłabienia organizmu. Im z wyższych gór pochodzi, tém jest skuteczniejszą; nie masz wątpliwości, że na to głównie wpływają alpejskie rośliny, odmienne od rosnących po niskich górach lub równinach. Mało wszakże osób używa serwatki owczój, albowiem pod Tatrami niewiele jest miejsc, gdzieby można wygodnie mieszkać, i być zaopatrzonym w potrzeby konieczne do życia wygodniejszego.

Zwyczajem jest od niepamiętnych czasów w Tatrach zaprowadzonym, że bacca biorący dójki (owce dojne), oddaje oznaczoną ilość séra ich właścicielom. Oznaczenie to odbywa się następującym sposobem. Trzeciego dnia po wyjściu owiec na letnie pasze, przybývają do hol gazdowie na mir, czyli na wyznaczenie ilości séra, jaką mają tygodniowo otrzymać ze swych owiec. Z długoletniego doświadczenia wiadomo, że wydój w holach trzeciego dnia uczyniony jest miarą mlékodajności owiec. Wydojone mléko zlewają do skopca i mierzą je laską drewnianą, mającą podziały odpowiadające funtom séra, które ma oddawać bacca. Po dokonanym mirze odchodzą gazdowie do domów, zostawiając jemu zupełne staranie o owcach, i co kilka tygodni odbierają sér ze szalasów.

Bacca jest w całym znaczeniu tego wyrazu rzędcą powierzonych mu owiec; rozdziela je na dojki i skopy, każde stado umieszcza w właściwym koszarze czyli czworograniastém ogrodzeniu, w którym owce wracające z paszy stoją przez noc, wyznacza juhasów czyli pastery do pilnowania owiec po holach w letnich miesiącach, i wysyła *kierdel* czyli stado owiec do miejsc oznaczonych. Skopy wychodzą na cały dzień i zwiedzają najwyższe turnie; na bliższych górach pasą

się dojki, pospolicie wracające na południe do szałas, gdzie je powtórnie doją; po południu znów wychodzą na paszę, a trzeci dój odbywa się wieczorem. Baca strzeże również owce, jak powierzono mu sery. Owce stojąc przez całą noc pod gołym niebem, wystawione na wszelkie zmiany powietrza, często wśród nader ostrego klimatu, są wcale zdrowe; ale gdy śniegi na holach spadną, wtedy tracą nagle mléko i głód im zagraża: natenczas pasterze opuszczają z owcami wysokości, schodzą do stóp Tatrów, a nawet gdy deszcze nie ustają, wracają do domów, i napowrót zabierają się do górnych siedzib, gdy się niebo wypogodzi.

Zycie pasterskie niepospolity ma powab dla mieszkańców podhola; młode chłopcy mają sobie za pewien rodzaj zaszczytu, paść owce po stromych holach i być juhase. I w samej rzeczy, jestto zatrudnienie ze wszech miar pojętne. Kiedy wspaniałe słońce roztoczy jasne promienie, i ukazą się nieprzeliczone turnie, gubiące się w eterycznej dali, okryte kobiercem uwitym z najcudniejszych kwiatów: tak czarujący widok musi szczególnie działać, przynęcać te dzieci przyrody. Do zwiększenia powabu niemało przyczynia się trudność zwiedzenia stromych turni, na które mało ludzi jest w stanie dostać się. Przypatrując się nieraz juhansom i owcom rozrzuconym na stromiej skale, nie można pojąć, jak się dostali na tak niedostępne miejsca; najmniejsze poślizgnięcie nogi grozi tam śmiercią. Młode chłopaki wchodzą jednakże na najniebezpieczniejsze turnie, ale niekiedy zuchwałą śmiałością srogo oplacają. Kóz niewiele w Tatrach chowają, bo psują drzewa leśne; bywa ich jednak kilka w szałasie. Gdzie się żadna owca nie wydostanie, tam wchodzi koza; ale i im się zdarza spadać albo umierać z głodu, bo na trudniej dostępne miejsca łatwiej wejść, aniżeli z nich schodzić. I nieraz zginęła koza na stromiej turni z głodu, wydając żalosne głosy, a nikt nie śmiał jęj sprowadzić. Taki przypadek wydarzył się raz w dolinie Kondratów: koza wyszła na skałę wapienną, i nie mogła zleźć; śmiały juhase wylazł do niej, i za pomocą sznurów spuścił widocznie osłabioną przez strach i niedostatek pokarmu.

W każdym szałasie niezbędnym jest pies, wierny towarzysz człowieka pod wszystkimi szerokościami i na każdym wyniesieniu ziemi, nieodstępujący człowieka przy lodowatych biegunach i pod skwar-nym niebem przyrównikowych krain. Na wysokich górach tatro-wych czterech do pięciu psów wykonywają najważniejsze posługi: strzegą owce i szałas w nocy i we dnie od wilka i niedźwiedzia,

i od równie niebezpiecznego nieprzyjaciela, od złodzieja. Już w znacznej odległości od szafasu czują obcego, i szczekaniem ostrzegają juhasów o nadchodzącym człowieku; a gdy się zbliża przychodziń, pędem rzucają się nań, z wściekłością nie do opisania. Gdyby ich nie odwoływali juhasy, możnaby być na największe niebezpieczeństwo narażonym; posłuszne wracają do ich nóg, a niektórych trzeba trzymać, by się nie rzuciły na obcego. Psy te należą do właściwej, mało co rozposzechnionej rasy; największe mają podobieństwo do newfundlandzkich, tylko nieco są mniejsze i zupełnie białe. Okrywa je długi biały włos, na karku i ogonie dłuższy; pysk podłużny śpiczasty, czarne iskrzące oczy, mówią o ich niepospolitej zmyślności i odwadze. Gdy stado owiec wychodzi do hol, jeden lub dwóch psów zwyczajnie towarzyszą mu; utrzymują stado w porządku, rozbiegające się owce zganiają w kupę, i to się odbywa tak zwinnie i szybko, że trudno sobie wystawić lepszych wykonawców woli pasterza. Psy te w znacznej są cenie: za pięknie wyrosłego trzeba zapłacić 21 do 30 złp. Życzyłoby należało, aby się upowszechniła ta rasa po całym kraju, mająca tyle nieporównanej wyższości nad zwyczajnemi psami owczarskiemi. Żywią się także żyłcą, i sprowadzone na równiny nie chcą jeść innych pokarmów: zwolna tylko trzeba je przyzwyczajać do nich.

Przy szafasach przeznaczonych dla owiec i krów ogradzane łąki nazywają się *polanami*; uprawiają je obficie mierzwą, dlatego téż gdy w jesieni pozółkną okoliczne łąki, polany jeszcze zachowują świeżą zieloność. Dotąd nie skrapiają polan sztucznie, i właściwie nie masz tego potrzeby, bo w dolinach tatrowych padają co kilka dni obfite deszcze; często nawet bywają zbyt ciężkie. Polany są zbiorem najpiękniejszych kwiatów, często bardzo miłe pachnących; botanik zaś znajdzie tu najrzadsze rośliny górskie, niektóre Tatrom wyłącznie właściwe. Na początku albo w połowie sierpnia gazdowie przyległych wiosek przybywają na kośbę do hol; każdy gazda ma swoją polanę, a na niej szopę, w której chowa skeszone siano; w zimie zwożą je na sianach do domu. Najliczniej zaludniają się Tatry, gdy kośbiarze przybywają do gór; wtedy weselość, krzyki i śpiewy słychać w każdej dolinie. Po tygodniu zwyczajnie odchodzą, a za nimi wkrótce postępują i pasterze: bo gdy się zbliża czas żniwa, co w dolinie Dunajca, we wsiach Czarny Dunajec, Rogoźnik, Charkłowa, Maniowa zaczyna się w drugiej połowie sierpnia, a u stóp Tatrów zaledwie na początku września; pospieszają więc do domów, by pomódz żniwiarzom.

Nim człowiek przeprowadził wielkie dzieło obfaskawienia zwierząt i zdobył na przyrodzie tak zwane domowe, gonił i zabijał dzikie

zwierzęta. Z życiem myśliwych pasterskie wiele ma spólnego; dlatego Podhalanie są namiętnemi myśliwcami, i należą do najcelniejszych strzelców. Tatry w ogólności nie są bogate ani w zwierzynę, ani w ptastwo. Znajdują się tu głuszce i jarzabki, ale ich niewiele; za-
 zbyt mało pożywienia dają im te lasy. Sarny również nie są liczne; niedźwiedzie i wilki przybywają z Orawskich Tatrów, ale ich nie brak co rok, i robią niemałe szkody; ślady niedźwiedzia często można napotykać, mianowicie gdy borówki dojrzeją. Najcelniejsze polowanie jest w Tatrach na dzikiego kozła (*Antilope rupicapra*, *Chamois*, *Gemse*), z którym żadne inne nie da się porównać. Potrzeba bowiem umieć chodzić po najniebezpieczniejszych górach, przygotować się do nadzwyczajnej wytrwałości, i mieć chęć zrobienia tego, co niewielu w życiu dokonywa. Wiadomo jest powszechnie, gdzie dzikie kozły zwykły przebywać. Strzelcy wychodzący na nie wysyłają naprzód dwóch lub trzech górali, którzy im zachodzą drogę i naganiają na strzelców, rozstawionych na najwyższym grzbiecie po szczybinach, znanych jako zwyczajne przejścia tych chybkich zwierząt; jeżeli polowanie ma się udać, potrzeba, aby każda szczybina była obsadzoną. Skoro haczne kozły spostrzegą ludzi, biegną na znajome *percie*, (tak nazywają mieszkańcy odwieczne ścieszki na wysokich holach, wydeptane przez baranów), i zacierają na szczyty gór, aby mieć na oku zbliżającego się nieprzyjaciela. Wtedy kozły zbliżają się najbardziej do strzelców, i nieraz, chociaż padną na nie strzały, a nie zostaną rani-
 one, pędzą jak błyskawice do szczybin, nie zważając na człowieka. Wtedy potrzeba odrazu kłaść się na ziemię, bo inaczej kozioł zepchnie myśliwego; tym sposobem niejedyn strzelec stojący na stanowisku, utracił życie. Nie masz zwierza bardziej chybkiego nad kozła dzikiego, i nie wiem, czy bardziej trzeba uwielbiać szybkość, z którą niezmiernie przestrzenie przebiega, czy śmiałe skoki, któremi wznosi się na szczyty. Tam, gdzie człowiek zajdzie w górę za godzinę, kozioł przebiega tę przestrzeń w 3 lub 4 minutach. Co do ogólnej postaci, kozioł dziki podobny jest do sarny, tylko około 3 do 5 cali wyższy: w lecie ma sierść szamoa, a w zimie prawie czarniawą; szyję z przodu białą, przez oczy przechodzą białe pręgi, na głowie ma dwa rogi prosto stojące, w końcach ostro w tył zakrzywione; oko szczególnie ma piękne, czarne, świecące jak u sarny. Sąto nader twarde a silne zwierzęta, i nie tak łatwo giną; postrzelone często uchodzą strzelcowi. Mięso ich należy do najwyborniejszych, jeżeli jest stosownie przyrządzone. Aby dostatecznie skruszało, trzeba je 2 do 4 tygodni trzymać w occie; i wtedy odznacza się delikatnością i częmsis

niezwyczajném, co nader mile łechce podniebienie. Szczególniej chwałą pieczeń z młodych kozłat. Dziedzina kozła, t. j. okolice w których przebywa, rozpoczyna się dopiero nad granicą lasów, a zatem 4,200 do 4,500 stóp wysoko nad poziomem morza, począwszy od kosodrzewiny aż do najwyższych nagich szczytów; tam znajdują właściwe sobie zioła, mianowicie kozłowiec, tak ulubioną roślinę, z wielkim żółtym kwiatem. W dwóch najwyższych częściach Tatrów, najrzadziej przez człowieka odwiedzanych, przebywają najchętniej dzikie kozły, to jest w grupie gór najwyższych pomiędzy wierzchołkami Morskiego Oka, Swinnicy, Krywania i szczytu Łomnickiego, tudzież na potężnych szczytach zachodniej części Tatrów, zwanych Rohaczami; a zatem trzymają się gór 8,000 stóp wysokich. Rzadko tylko przebiegają zniżający się grzbiec Tatrowy 5 do 6,000 stóp wysoki, łączący te wysokie szczyty. Liczba kozłów dzikich nie jest wielka; strzelcy znający dobrze miejscowość zapewniali mnie, że ich nie ma więcej w całych Tatrach nad sto, a nawet mniej. Liczba ich zmniejsza się coraz bardziej, bo mnóstwo ludzi czyha na nich, i tylko ostrość klimatu i nieporównana chybkość głównie bronią je od zagłady. Wszelkie jest prawdopodobieństwo, że jeżeli rząd nie wda się i nie utrudni na nie polowania, jak się to dzieje w puszczy Białowiezkiej ze żubrami, kozły dzikie zaginą w Tatrach i należeć będą do historycznych zwierząt, jak bobry żyjące w średnich wiekach po potokach niedalekich Krakowa. W czasie zimowym, gdy niezmierne śniegi okryją niebotyczne szczyty Tatrów, i gruba warstwa śniegu okrywa zupełnie kosodrzewinę: wtedy chronią się kozły do lasów. Staszyc (1) nazywa je capami; téj nazwy nigdy wszakże nie słyszałem.

Również wysokim góróm właściwy, lubiący lodowy klimat i eteryczne powietrze, jest świstak (*Arctomys marmotta*, *la marmotte*, *Murmelthier*), należący do innego zupełnie rzędu, do tak nazywanych gryzących czyli szczurowatych. Nazwę tę otrzymał od szczególnego szczekania, przemieniającego się w przeciągły, nader przenikliwy świst, który składa się z pojedynczych głosów czyli szczekań. Dwa razy chowałem świstaków tatrowych w moim pokoju, i wielokrotnie miałem sposobność przekonania się o tém. Ile razy zachciało się jeść świstakowi, zaczął służyć, i wydawał przenikliwe świsty; w chwili kiedy mu się coś podawało, zwalniał głos, a wydawał w pewnych odstępach pojedyncze świsty, do szczekania podobne. Świstak jest nader osobliwém zwierzem; wygląda, jakby powstał z czę-

(1) Ziemięrodztwo Karpat. 1815, str. 155.

ści kilku innych zwierząt. Głowa jego podobna jak u myszy, reszta zbliża się do niedźwiedzia, a łapy przypominają kreta: dlatego nazwał go Cuvier *Arctomys*, niedźwiedzimysz. Kolor futra podobny bardzo do szopów. Świstak daje się zupełnie obłaskawić, a chociaż wydaje się na pierwszy rzut oka tępym, więcej ma pojęcia, aniżeli nam się zdaje; w ogólności jest dobrym i potulnym. Jeden bardziej się obłaskawił i zawołany przychodził do mnie; bardzo lubił towarzystwo ludzi, bawił się sukniami, i gdy o co prosił, zaczął służyć i przednimi łapkami dawał znaki; polubił wszystkie pokarmy roślinne, ale od mięsa zawsze się wstrzymywał. Z początku żywił się kapustą; czerwoną jadł chętniej aniżeli białą; potem jadał różne owoce, jabłka, gruszki, dalej chleb kwaśny i bułkę; szczególnie lubił ciasta, a im były słodsze, tém chętniej brał się do nich: nawet pił wino słodkie i poncz. Na lato wpuściłem jednego do ogrodu; wtedy idąc za przyrodzonym pociągiem, kopał głębokie nory, od dnia do dnia dziczał coraz bardziej; drugi zachował obłaskawienie, również kopał, i co tylko miękkiego mógł zabrać wciągał do swych podziemnych kryjówek; na zawołanie znajomego mu głosu wychodził. W hołach tatrowych żyjąc w dzikości robi sobie świstak długie rozgałęzione nory, wyściela je mchem i trawą, aby w tak przygotowaném schronieniu odbył sen zimowy. W jesieni tyje do najwyższego stopnia, jak gdyby przygotowywał w sobie zapas zimowy, wchodzi do nory i następnie zasypia; odbywa wtedy sen zimowy przez 4 do 5 miesięcy. Jednego i tegoż samego chowałem w zimie w ciepłym pokoju. W grudniu i styczniu był bardzo ponury; chociaż miał daną wolność wychodzenia z leżyska, zaledwie godzinę korzystał z tego; mało jadał, wyraźnie był ociężałym, i zwolna wracał do swego zwyczajnego stanu, w miarę wznoszącego się wyżej słońca. Innéj zimy tegoż samego świstaka chowałem na otwartém powietrzu; zakopawszy się w siano, zasnął i strętwiał, tak, że go wcale nie można było zbudzić; wydawał się jakby trup, i bez przerwy spał 4 miesiące. Robiłem doświadczenia nad stopniem ciepła, jakie wydaje to zwierzę w tym stanie: serce zdawało się zupełnie nie bić; pomiędzy pachwinami trzymany bardzo czuły termometr podnosił się do $+9^{\circ},40$ podziałki stustopniowej (prawie $7\frac{1}{2}$ stopnia Reaumura), gdy równocześnie termometr inny zawieszony w otwartém powietrzu, pokazywał $-5^{\circ},40$ równie stustopniowej podziałki. Przez pół godziny leżał świstak jak martwy, nie wydawszy najmniejszego znaku życia, nawet nie można było dostrzedz oddechu. Z snem zimowym świstaka nietylko przestają działania zewnętrzne zmysłów, ale nadto do najwyższego stopnia wolnieją funkcyce wewnętrzne; zdaje się, że obieg

krwi prawie ustaje, a z nim oddychanie. Ciekawa tu rzecz, gdzie ma wtedy siedlisko siła żywotna, tak zupełnie stłumiona. Gdy się świstak zabiera do snu zimowego i kryje się w wyrobionych norach, wykopują go Podhalanie dla otrzymania sadła, które drogo cenią, bo u nich nie masz lekarstwa jemu równego: leczy wybornie wszystkie choroby. W całych Karpatach nie masz świstaka, tylko w Tatrach i w małej części Niżnych Tatrów (pasmie bardziej na południe rozciągniętém, a równoległym z poprzedniém) pod najwyższymi górami Solisko i Diumbier.

Prócz tych dwóch odznaczających się zwierząt, charakterystycznych typów gór alpejskiej wyniosłości, nie wiadomo czyli się znajdują jakie inne wyłącznie Tatrom właściwe; nie zastanawiał się dotąd nikt ani nad ich ptakami, rybami, gadami, ani nad owadami, których wielka jest obfitość. Lepiej znamy rośliny opisane przez wielkiego szwedzkiego botanika Wahlenberga, i pracowitego Herbicha. Wahlenberg zebrał i opisał rośliny gór lapońskich i alp szwajcarskich; ciekawą więc byłoby rzeczą dla botaników wiedzieć, czyli też same rosną na wysokich Tatrach, i czy też same grupy roślin występują w krajach wschodniej Europy co w zachodniej. Właśnie w owym czasie odbywała się straszna wojna Wschodu z Zachodem, wojna, która złamała potęgę wielkiego cesarza Franków. Młody Wahlenberg nie zważając na te przeciwności wyruszył ze Szwecyi, a za pomocą stosunków w Wiedniu zrobionych, udał się do Tatrów. Ale czekały go tu nowe przeciwności, niezawisłe od ludzi. Rok 1813 był nadzwyczajnie dżdżystym; pamiętne są jego straszne powodzie. Nie ustraszły Wahlenberga deszcze, wstąpił na główne szczyty Tatrów, zbierał rośliny na nich rosnące i wielką część barometrem pomierzył. Niemało mu pomogły do uzupełnienia swego, zielniki tatrowe zbierane przez skromnych a pracowitych uczonych spizkich. Flora Wahlenberga służy nadto za wzór, jak wykonywać należy podobne monografie. Aby gatunki zebranych roślin oznaczyć z naukową ścisłością, porównywał je z najcelniejszymi zielnikami Niemiec, Francyi, Anglii i Szwecyi. Jestto najszacowniejsza praca naukowa wykonana nad roślinami krajowemi, i dziwna rzecz, że to wielkie dzieło mało kto u nas zna, a tém mniej ocenia. Wahlenberg zajmował się więcej południową pochyłością Tatrów, aniżeli północną, gdzie niektóre tylko celniejsze doliny rozpoznawał; przeciwnie Herbich (1) poświęcił swe badania tylko dla roślin północ-

(1) *Additamentum ad floram Galiciae. Auctore Herbich. Leopoli. 1831.*

nego stoku Tatrów i zebrał ich mnóstwo nieznanym szwedzkiemu botanikowi.

Podgórze Podhala dziwnie odbija z swém nadzwyczajnym ubóstwem roślinnym od żyznych pól zalegających nowotargką dolinę. Patrząc na te wzgórza pokryte w kupy złożonemi kamieniami, zdaje się, że tutaj kończy się roślinność. Przyczyna tego osobliwego ubóstwa nie tak pochodzi od klimatycznych stosunków, jak raczej od rodzaju ziemi; na piaszczystych rolach, pomieszanych z kamieniami nie znajdują rośliny pożywienia sprzyjającego ich rozwinięciu. U stóp Tatrów znów roślinność w całej sile i obfitości wabi oko zwiedzającego. Wszędzie widać smukłe świerki, jodły i buki, gęsto obok siebie rosnące, a pomiędzy niemi łąki okryte kobiercem najcudniejszych kwiatów. Trzy pasy roślin, jeden od drugiego wyższy, odróżniają się wyraźnie na obydwóch pochyłościach Tatrów. Najniższy, pas leśny, rozciąga się pomiędzy stopami Tatrów a granicą zakreśloną w tych górach dla drzew, czyli pomiędzy 3000 stóp nad poziomem morza, a 4,200 stóp; średni pas, pas kosodrzewiny (krzaki do sosnowych podobne) wznosi się od granicy drzew do 5,600 stóp; trzeci pas trawiasty, sięga aż do najwyższych szczytów, więcej jak 8,000 stóp nad poziom wyskakujących. W pasie leśnym znajdujemy obraz siły roślinności; nie widziałem nigdzie dorodniejszych jodeł i świerków jak w Tatrach. Jeden z najpiękniejszych lasów, składający się z pomienionych drzew, znajduje się tuż przy zakładzie hutniczym Zakopanego, i w pobliżu otworu doliny Kościeliskiej. Nieraz słyszałem ubolewających, że istotną krzywdę czyni siekiera roślinności tatrów. Chorobliwy to sposób widzenia rzeczy. Są miejsca, gdzie przyroda ma niewyczerpane siły odnawiające się nieustannie, a takimi są właśnie boki Tatrów; ilekroć bowiem żelazo położy bujne lasy, tyle razy, jakby siłą czarodziejską wywołane, wznoszą się nowe drzewa, ozdobione wdziękiem młodości. To nieustanne odnawianie się roślin, daje obraz wiecznej działalności potęg przyrody.

Lasy na północnej pochyłości Tatrów składają się ze smreków czyli świerków, jodeł i buków. Dwa pierwsze gatunki znakomicie nad ostatniemi przeważają, które ograniczają się do pojedynczych dolin. Dolinę Białską pod Gewantem, i boki góry Nosal przy zakładzie hutniczym Zakopanego, okrywają bujne lasy bukowe; gdzie się dwa te rodzaje drzew stykają na granicy z jodłami, powstaje zwyczajnie mieszanina drzew śpilkowych z liściowemi. W lasach świerkowych pokazują się pojedyncze jawory; nigdzie nie uważał tego drzewa zdrowo i wesoło rosnącego; zdaje się chorować, a jeden bok jego

okrywają zielone mchy, jakby dla osłony od zbyt zimnych wiatrów. Wśród gęstych lasów bywają zupełnie bezdrzewne przestrzenie, pokryte łąkami cudnej zieloności; na nich mały szałas i kilku pasterzów lub pasterek pilnujących owce lub krowy, odejmują dzikość tym oazom leśnym. Aż do wysokości 3,500 stóp świerki, jodły i buki rosną w całej sile; wyżej jednakże mają chorowite wejście, nie wyrastają wysoko, na gałęziach czepiają się siwe porosty, do długich warkoczy albo bród podobne, (*Usnea barbata*); a jeszcze wyżej świerki i jodły karłowacieją, lub jako krzaki okrywają znaczniejsze przestrzenie. Często widać ich gałęzie gęstym liściem okryte, w jeden kierunek zwrócone; widoczny to skutek zimnych wiatrów, bo w okolicach od przeciągów powietrza zasłoniętych, pomimo znakomitego wyniesienia wyrastają drzewa dość wysoko. Na wysokości, gdzie świerki i jodły niedobrze rosną, czyli na granicy drzew, znajduje właściwy sobie przyjazny klimat drzewo do sosny podobne, zwane limbą (*pinus cembra*, Linneusz); aczkolwiek ma fizyonomię do sosny bardzo zbliżoną, odróżniają ją przecież liczne charaktery. Śpilki limby są dłuższe, osadzone po pięć w jednej pochewce, i dlatego oliścienie jest nierównie gęstsze, niżeli sosny zwyczajnej; szyszka jest nierównie większa, bo dochodzi do wielkości mierniej pięści, a w niej kryją się nasiona wielkie jak jądra laskowego orzecha. Drzewo limbowe odznacza się wieloma pożytecznymi własnościami: wydaje z siebie miłą woń, która odstrasza robaków, i dla tych powodów poszukiwanem jest bardzo od Podhalan, wyrabiających z niego skrzynie i inne domowe narzędzia. Teraz jednakże mało jest limb w Tatrach; pojedyncze drzewa rosną przy szałasie Morskiego Oka i na boku Wielkiego Uplazu, sterczącego nad doliną Kościeliską.

W niektórych dolinach pokazują się liczne krzaki bzu koralo-
wego, i *Lonicera nigra* z wielką czarną jagodą. Z ziół zaś temu pa-
sowi właściwych, odznacza się głównie świecznik (*Gentiana ascle-
piadea*, Lin.) z pięknym szafirowym kwiatem, celna ozdoba w mie-
siącu sierpniu lasów tatrowych.

Pas kosodrzewiny czyli krzakowy ma szczególne wejście, właściwe górom alpejskim. Kosodrzewina (*pinus mughus*) należy do rodziny roślin sosnowatych; nie wyrasta nigdy w drzewo, a krzaki jej zakrzywiają się jakby kosa, i ztąd poszła nazwa. Szczególna ta forma sosny zupełnie jest podobna do zwyczajnej (*Pinus silvestris*), ma śpilki i szyszki zupełnie podobne, różni się tylko mniejszym wzrostem, nie wyrasta w drzewo, nawet gdy się spuszcza niżej pomiędzy drzewa leśne. Gdyby to nie był właściwy gatunek, musiały-

by się sosny znajdować w niższych częściach boków Tatrów, a tych nigdzie nie masz; dopiero 3 mile dalej na północ od ich stóp, pomiędzy Ludźmierzem a Nowymtargiem rośnie bujny las sosnowy, przypominający zupełnie lasy Mazowsza. W ogrodzie botanicznym krakowskim pokazują wielką sosnę, która z kosodrzewiny z Tatrów przyniesionej wyrosła miała w potężne drzewo. Kosodrzewina na bokach Tatrów nigdy takich zmian nie doznaje; zdaje się zatem, że ta wiadomość nie jest uzasadnioną. Pas kosodrzewiny rozciąga się pomiędzy 4200 stóp a 5600; pojedyncze krzaki dochodzą nawet do wysokości 6100 stóp, a na szczycie Łomnickim ostatnie jej krzaki sięgają do 6800 stóp. Kosodrzewina w dolnych częściach pasu wyrasta nierównie bujniej, aniżeli w górnych; w pierwszych dochodzi do wysokości 10—12 stóp, a w wyższej części krzaki zaledwie mają dwie stopy. Wraz z kosodrzewiną pokazują się niektóre inne krzaki, a mianowicie karłowaty jałowiec (*Juniperus alpina*), krzaki skoruszyny czyli jarzębiny (*Sorbus aucuparia*), bez koralowy (*Sambucus racemosa*), i kilka pełzających wierzb, które botanicy nazywają *Salix herbacea*, *S. reticulata*, *S. retusa*.

Trzeci pas, stanowiący najwyższą dziedzinę alpejskich roślin, rozpoczyna się na wysokości 5,600 stóp, i sięga aż do najwyższych szczytów. Roślinność jego składa się z poziomych mechów, traw i wielu rzadkich roślin, właściwych najwyższemu turniom. Niektóre wierzchołki okrywa sam mech islandzki grubą warstwą (pół stopy); kiedy na nich panuje posucha, co arcy rzadką jest rzeczą, wygodnie jest chodzić po tej pokrywie roślinnej, uginającej się pod nogami. Wielkie powierzchnie na holi Kondratowej okrywa ten mech sprężysty. Jednego razu zastałem go zupełnie wyschniętym; mój przewodnik chcąc mi sprawić niespodziankę, skrzesał ognia, złożył kupkę mechu i zapalił ją. Nagle ogarnęły płomienie cały szczyt; trzeba było szukać miejsca bezpiecznego, aby się przypatrywać temu ogniewi na wysokim szczycie. Zadał wiatr od południa i płomienie spędził do doliny: tu ognista rzeka jakby błyskawica spadła; szczęśliwy chciał przypadek, że się płomienie zatrzymały przy skale sterczącej, opaliwszy nieco kosodrzewinę. Ta igraszka mogłaby się łatwo stać przyczyną pożaru lasu, nieraz przytrafiającego się w Tatrach. Nietylko mech przewagę biorą w górnych tych dziedzinach, ale nieraz napotykać można bujne trawy, dające wyborną paszę owcom, wołom i koniom. Przypadek ten trafia się na wszystkich szczytach otaczających kolistą dolinę Kościeliską, jakoto: w końcu góry Ornak przyty-

kajacęj do Pyszny, na górze Wysoka i Tomanowa Polska; dalej na Małolączniaku, i na przełęczy Liliowe przy stawach Gąsienicowych; obfitość kwiatów nadała nazwę ostatniemu miejscu. Wprawdzie na niektórych szczytach dla nieprzeliczonych, nieustannie zsuwających się głazów, nie mogą się utrzymać i najmniejsze rośliny, bo ruchoma podstawa głównie temu staje na przeszkodzie. Tak jest na potężnej górze Świnnica, na niezmiernych turniach wznoszących się nad Morskim Okiem i nad Czarnym Stawem, na potężnym wirchu zakrzywionym Krywań, sterczącym prawie na granicy Liptowa i Spiza. I tutaj spotykamy poziome zioła, nawykłe do niskiej temperatury i małego ciśnienia powietrza; zbierają się one w tych wysokich dziedzinach w pomniejsze kupki, i wydają się jakby zielone oazy wśród obumarłej przyrody. Jeżeli zaś pojedynczo się pokazują, wtedy pełzają po ziemi, albo są jakby przylepione do głazu, chroniącego je od gwałtowności wiatrów; mchy zastępują skały, i nieraz widać wśród brunatnego mchu islandzkiego ukrytą *gentianę* lub *kampanulę*. Na najwyższych szczytach w Tatrach rosną liczne i rzadkie rośliny, a mianowicie: *Lichen nigricans*, *Gentiana frigida*, *Saxifraga bryoides*, *Ranunculus glacialis*, *Poa disticha*. Zazwyczaj jednak najwyższe szczyty оголоcone są zupełnie z roślin, a obraz martwój przyrody wywołuje jakieś melancholiczne usposobienie duszy.

Nietrzeba długo podróżować po Tatrach, aby nie dostrzedz uderzającej różnicy zachodzącej w roślinności skał granitowych a wapiennych. Na téjże samęj wysokości, na jednymże boku, gdzie jednakowo słońce dogrzewa, i równe ilości spadają deszczu, widać te uderzające przeciwieństwa. Na granitach rosną poziome rośliny, gdy na wapieniach bujna flora wita podróżnego; wspinały jęj kobierzec uwity z różnobarwnych kwiatów czerwonych, niebieskich i żółtych, niewygasłe sprawia wrażenie. Kto widział mającą boki wapienne Miętusią dolinę w całej świetności kwiatów, ten poznał bogactwo przyrody tatrówęj. Do celniejszych roślin, na stromych szczytach wapiennych rosnących, należą: *Gentiana verna*, *Linum alpinum*, *Papaver alpinum*, *Aster alpinus*, *Gnaphalium leontopodium*, *Saxifraga aizoides* i wiele innych. Kwiaty szczególnie upodobały sobie ściany wapienne, wystawione na działanie słońca. Małe ich kupki zdają się wyrastać ze szarego wapienia, i niemało przyozdabiają sterczące skały. Jak wszędzie, przezorna przyroda przygotowała warunki sprzyjające rozwinięciu się roślin. W najmniejszych zagłębieniach nagich ścian, tworzy się czarna ziemia jak węgiel z rozłożonych roślin, nieustępująca najwyborniejszój inspektowęj, i w tych naturalnych doniczkach kwitną z cudnymi barwami rośliny

alpejskie. Wahlenberg znalazł trzy rośliny Tatrom właściwe, i opisał je w swój florze karpackiej: *Gnaphalium carpaticum*, *Avena carpatica* i *Dicranum contortum* (1).

Jak Podhale różni się od krajów polskich, tak samo odróżniają się jego mieszkańcy. Po wysmukłej postaci, ciała można odrazu poznać tatrowego od innych górali polskich, siedzących od Olsy aż do granic jasielskiego obwodu. Z mieszkańcami równin, z Lachami, górale nie mają fizycznie prawie nic wspólnego; zdaje się, że to są zupełnie inne plemiona, mówiące tylko jednym językiem. Podhalanie odznaczają się zwykle bujnym wzrostem: sześć stóp wysokie chłopcy bardzo są pospolici; często jeszcze wyżej wyrastają. Twarz mają podłużną, rysy wydatne, poważne, z oka czarnego przemawia bystry rozum. Kobięty przeciwnie nie mają tak wybitnego charakteru; w ogólności nie są dorodne, wielkie, z rysami grubemi, nie mają téj wyższości fizycznej, która tak odznacza mężczyzn. Wyjątkowo tylko bywają doskonałej piękności, a wtedy pleć mają delikatną, wejrzenie szlachetne, i tyle zalet, że mogłyby błyszczeć w gronie najpowabniejszych niewiast. Jeżeli niezaprzeczoną jest rzeczą, że na rozwinięcie fizyczne Podhalan wpłynęły stosunki przyrodzone, nie można im wyłącznie te odznaczające różnice przypisać, bo w podobnychże stosunkach żyją graniczący na zachód Orawcy, a na przeciwniej pochyłości Tatrów liptowskie Słowaki, a ci nie mają ani téj smukłej budowy ciała, ani tego sprężystego umysłu, co tak charakterystycznie odznaczają polskiego górala pod Tatrami. Różnice te mają źródło swe w rozmaitości szczepowej, do których dwa te ludy należą. Nie zdaje mi się, iżby różnica ta wynikła, jak niektórzy utrzymują, z pomieszania się górala polskiego z niemieckimi kolonistami tam przybyłymi; mają to dowodzić niektóre nazwy wiosek, jak Waxmund, Czorsztyń, góry Gewantu, Raniszberg, i kilka wyrazów w mowie potocznej używanych, ale tych jest tak mało, że to dowolne przypuszczenie nie dowodzi. Podhalan uważam za czystych górali polskich, zmienionych przez właściwe stosunki przyrodzone. Na ich kierunek wykształcenia przeważnie wpłynęły stosunki socyalne. Góry te uważano w całej Polsce za nieużytki, i już w średnich wiekach oddane były na wieczyste posiadanie tamtejszym góralom i różnym ludziom przybyłym, pod warunkiem płacenia małego czynszu, lub odrabiania

(1) *Flora carpatorum principalium (Tatry) exhibens plantas in montibus Carpativis inter fluvium Wagum et Dunajetz, eorumque ramos Arvam et Popradium crescentes. 1814. Göttingae.*

corocznie kilka dni w zamku krakowskim. Tak udarowanych nazywano soltysami. Przywileje te potwierdzał zawsze każdy nowo panujący król. U soltysów Kalatów mieszkających we wsi Szaflary, niedaleko Nowegotargu, widziałem liczne nadania ich familii uczynione, począwszy od Kazimierza W. aż do Stanisława Augusta. Ta pewność posiadania własności, przyczyniła się głównie do powiększenia się ludności na Podhalu. Następcy zaczęli się dzielić gruntami i holami, a tém samym role staranniej uprawiać. Rozrodzone familie trzymają się jakby instynktowo swego gniazda, i stawiają nowe obok głównego domu; liczba ich niekiedy do dziesięciu dochodzi.

Wielkie jest prawdopodobieństwo, że z początku nie było w górach właściwych wiosek; każdy budował się na własnej roli, zwolna obok naczelników familii wzniosło się więcej domów, i nieznacznie rozrzucone pojedyncze kupki domów po bokach gór lub na wyżynach zlały się w jedną całość, i są jeszcze w stanie pierwotnym. Trudno jest jeszcze dopytać się o nazwę wioski, bo o tój rzadko wie góral; wiedzą tylko, że tam *bywają* (mieszkają) Bilińowie, Janikowie, Pitony, Stankowie, Toporowie, Gąsienicowie, Mroźkowie i t. d., ale jak się nazywają wsie, o tём wiedzą tylko wójci albo radcy gromady. Jednakowe zajęcia, trudność wyżycia, wiadomość, że własny przemysł zapewnia znośny byt: wyrobiły pomiędzy Podhalanami jedne obyczaje. Prawie wszystkie potrzeby domowe sporządzają sobie sami, zacząwszy od domu i wozu aż do sukien.

Domy i zabudowania gospodarskie mają bardzo porządną, nawet miłą zewnętrzną. Stawiają je z okrągłaków, do czego proste ściwierki służą wybornie; dachy okrywają gontami albo deskami, okna są nieco większe jak gdzieindziej, a szyby czyste. Na Podhalu nie widać tych walących się lepianek, tak pospolitych w Polsce, nawet wśród najżyźniejszych niw w Krakowskiém, lub w Mazowszu. Niemal do tego przyczyniają się wielkie lasy okrywające Tatry; najwięcej jednakże pracowitość i zamiłowanie porządku mieszkańców. Zewnętrzność pospolicie jest odbiciem wnętrza; każdego więc podróźnego ujmuje ogólnie rozpostarty ład, a po domach pewien rodzaj wygody, o którój nie mają wyobrażenia nasi wieśniacy z równin. Sień dzieli zwyczajnie dom górala na dwie części: na lewo jest izba czarna, na prawo biała. Pierwsza pospolicie obszerniejsza, całkiem zakopcona, odpowiada nazwie w całym znaczeniu; w jednym jój końcu jest ognisko, z którego dym nie wychodzi kominem, lecz się rozchodzi po całej izbie, i przez rozwarłe drzwi zmierza pod dach. Kiedy się pali na ognisku, unosi się gęsty dym do połowy wysokości

izby; kto nie nawykł do niego, nie może wybyć w takiej izbie, bo nie-
znośnie szczypie w oczy. Tu gotują, tu czeladź w zimie przebywa,
tu mają wstęp ciele z krową i inne czworonożne domowe zwierzęta,
bo co żyje garnie się do ciepła, mianowicie w tak ostrym klimacie
jak Podhala. Po prawej stronie sieni jest izba biała; czystość ogól-
na powszechnie ujmuje wchodzącego. Podłoga z desek wymyta,
wokół ścian przytwierdzona jest ława; w jednym rogu izby stoi
wielki stół cisowy albo jaworowy czysto wymyty, w przeciwnym, na
mniej lub więcej długich pułkach rozstawiają różnobarwne talerze,
miski, miseczki; nad niemi wiszą rzędy garnuszków i dzbanków
ozdobnie malowanych. Na drugiej stronie izby, w rogu, naprze-
ciw stołu, stoi wielkie łóżko, licznemi pierzynami wysłane, powleczo-
ne płótnem niebieskiem z kwiatkami białemi, a nad niem wiszą
obrazy świętych na łokcie kupowane; wreszcie w przeciwnym kącie
sterczy piec, a przy nim komin wybielony. Czyste szyby przepu-
szczają obficie światło. Pewien rodzaj wygody oddycha w całym
mieszkaniu. Tu przebywa gazda (tak nazywa się gospodarz), tu
odbywają się zabawy domowe.

Pięknie, z pełną prawdą kreśli obraz wnętrza domu wiérz na-
stępujący:

Co małe,
To całe.

Nic ani szasnie—cichutko wszędzie;
Nalepna wkoło zmicciona,
Słychać jak pajak nitkę swą przedzie,
I serce bije u łona.

A na nalepie jasnym płomieniem
Pałają się drzewka bukowe,
A święci patrzą ostrém wejrzeniem
Z ścian, na rzędy domowe.

W górze na pułkach rzeźbionych drobno,
Kolejno misy pisane,
A rząd dzbanuszków stoi osobno,
A przy nich kubki w rząd szklane.

A jak tu miłe, czysto i gładko,
I nic niedłuzne nikomu!

„Powiedźcie, proszę, mi moja matka,
To wam tu dobrze w tym domu?”

— „A już ciż dobrze nam, Bogu dzięki!
Jak możemy, statek nasz krasim:

Trzydzieści niedziel żywiemy z ręki,
Resztę po halach już pasiem.”

„A zresztą przędziem, i kopiem grzędy,
Skąpo człek sobie pozwala,
Lecz gdy się dobrze zakrzęta wszędy,
Stanie na kawał chleba.”

Nietylko domy, ale i wszelkie zabudowania gospodarskie odznaczają się porządkiem. Małe stodołki, stajnie, wozownie, tworzą czworobok; a co nie zagradzają budynki, dopełnia parkan. Podwórko bywa niekiedy całkiem płytami wyłożone. W stajni stoi piękny, krępy konik, często bywa ich więcej; obok nich kilka krów i wołów, i stadko owiec. U nieco majątniejszego gazdy zastanie zawsze kilka lekkich i zgrabnych wózków.

Przed domem sadzą pospolicie jesiony; nigdzie to drzewo bujniej i weseliej nie rośnie, jak na Podhalu; musi tu znajdować najwięcej sprzyjających warunków do swojego wzrostu. Jesion nietylko przyozdabia dom, ale daje pożyteczne, prawie niezbędne drzewo góralowi, z którego wyrabia sobie wózki i inne domowe sprzęty. Przy domach, mianowicie w wioskach zbliżonych do doliny Nowotargskiej, jakoto we wsiach Szallary, Biały i Czarny Dunajec, gazdowie miewają sady, nawet na znaczniejszej przestrzeni. Jeden z najobszerniejszych sadów jest we wsi Biały Dunajec, należący do majątniejszego sołtysa Pawlikowskiego; jednakże rzadko dojrzewają zupełnie owoce; bardzo często chybiamy, albo nie dochodzą w tym ostrym klimacie; uprawa zaś delikatniejszych drzew owocowych wcale się nie udaje, bo po kilku latach zwykły wymarzać.

Górale, a z niemi Podhalanie różnią się ubiorem od mieszkańców równin; zastosowali go całkiem do właściwości swojego kraju. W ogólności ubiór ich jest obcisły, musi bowiem nie być na zawadzie do wstępowania na wysokie wirchy, i do przedzierania się przez nieprzebyte lasy, pozawalane często nieprzeliczonemi pniami, które od niepamiętnych czasów gniją na stromych bokach Tatrów. Mężczyźni noszą długie opięte nogawice, z grubego białego sukna, wyszywane z węgierską różnobarwną włóczką; nogi okrywa kawał skóry zwinięty w kształcie trzewika, przymocowany rzemieniem okręconym na nodze; obuwie to nazywają *kirpce*. Ten szczególny rodzaj lekkiego, zostającego na mniejszym stopniu wykształcenia trzewika ma swoje zalety; noga zachowuje giętkość daną od przyrody, i dlatego nasi górale chodząc po niebezpiecznych turniach nie potrzebują owych ostrych żelaz, jakie Szwajcary przypinać zwykli do grubych i ciężkich trzewików. Podhalanie mało zważają, że *kirpce* drą się prędko, i nie zasłaniają nogi od wilgoci; mocnemu ich zdrowiu nic to

nie szkodzi. Kto nie nawykł używać tego rodzaju obuwia, uczuje zbyt dotkliwie twardość kamieni. Krótką koszulkę płócienną, równą połowie zwyczajnej, łączy na piersiach wielka mosiężna spinka, często kilka lutów ciężka: im bowiem jest szumniejsza, czyli piękniejsza, rozumie się w pojęciu mieszkańców Podhala, tém jest większą, sztuczniej wyrabianą, liczniejsze łańcuszki z niej spadają. Młode juhasy wielką wagę przykładają do téj ozdoby. Po niej poznać można lwów podhalańskich. Pasem z czerwonej skóry, często więcej jak pół łokcia szerokim, przepasywać się zwykł każdy Podhalanin; wielkie mosiężne sprzączki i guziki mniej więcej licznie wybite na skórze, stanowią niemalą ozdobę pasu; służy on góralowi za kieszenie, i w nim chować zwykł wszystkie drobne przedmioty: pieniądze, tytuń, krzesiwko, papiery, i nóż na rzemyku uwiązany. Gunia stanowi wierzchnią suknię, pospolicie z brunatnego sukna, rzadko z białego, krojem naszych paletotów sporządzona: aby się mieszkańcy jednéj wsi mogli poznać, obwodzą jęj kołnierz wypustką sukieną z czerwonego i białego sukna. W lecie zarzucają gunię na ramiona, a kiedy chłodno wdziewają ją na rękawy. Długość guni stosują do wysokości gór, w których przebywają. Mieszkańcy bardziej równych okolic, rozumie się w znaczeniu górali, jak Szaflar, Rogoźnika, noszą nierównie dłuższe gunie, jak Zakopańscy lub z wioski Bukowiny. W czasie zimy używają *serdaka*, pewien rodzaj kamizelki z rękawami, z granatowego sukna albo z kożucha baraniego. Młodszy noszą dłuższe kożuchy, na cały ubiór zadziane. Głowę pokrywa mały kapelusik z okrągłym denkiem i niezbyt szerokim obwodem. Wstążkę zastępuje na nim sznurek z białych morskich muszelek, wysoko cenionych na całym Podhalu. Inni zamiast kostek, tak nazywają muszelki, używają wstęgi skórzanej, wybitej w piramidy mosiężnymi gwoździkami. Włosy Podhalanie mają bardzo piękne, i zapuszczają je długo; pospolicie są czarne jak kruk: zwyczajnie spadają aż na barki, co ich podłużnym, pełnym wyrazu twarzom niemało dodaje powagi i wyrazistości. Podhalanie prócz kapelusza cały ubiór sami sobie sporządzają. Również i kobiety niewiele potrzebują obcych przedmiotów: na nogach noszą także kirpce, a w dnie świąteczne żółte safianowe bóćki, na wysokich korkach; zwyczajnie nie zwykły w nich chodzić, tylko wdziewają je przy wstępie do kościoła. Używają długich spódnic z płótna ciemno niebieskiego z rzucikiem białych kwiatków, i fartucha nazywanego opaską; na to wdziewają brunatną gunię, podobną do męskiej. Dawniej męzatki nosiły na głowie białe chustki; zastąpiły je teraz różnokolo-

rowe, kupowane na jarmarkach. Dziewczęta czeszą pięknie włosy i splatają w warkocz, spadający często poza połowę ciała, a jego koniec zdobi wielka kokarda.

Od najdawniejszych czasów Podhale stanowiło właściwe starostwo nowotargkie; rzadko przybywał tam starosta dla sądzenia spraw lub wydania małoważnych rozporządzeń, ale zjeżdżał bardziej, aby obejrzyć te strony: i dlatego mieszkańcy ci, geograficznemi stosunkami oddzieleni, żyli długo prawie sobie oddani. Zmienił się wszakże stan rzeczy: po przyłączeniu Galicyi do Austrii, starostwo nowotargkie przyłączone zostało do dóbr koronnych, któremi rządziła właściwa administracya, zwana kamerą. Jednakże bardzo małe zyski, a nawet straty przynosiły te nieurodzajne ziemie, więc sprzedano dobra. Tym sposobem powstały nowe stosunki. Kilku właścicieli osiadło na Podhalu. Niemały wpływ wywarła ta zmiana, jako i rozwinięcie się znaczniejszych zakładów hutniczych, na tych górskich mieszkańcach; styczność z ludźmi więcej wykształconemi niemało ogładziła ich obyczaje, i dała poznać Podhalanom inne kraje, prócz ich nieurodzajnych gór. Jednakże pierwotne oddzielenie przez naturalne stosunki, a nadewszystko obudzony umysł mieszkańców, nie zmieniły ich obyczajów, a własność gruntowa trwająca tutaj od niepamiętnych czasów wyrobiła to zaufanie, że każdy opiera się na własnej pracy. Z tych razem wziętych przyczyn Podhalanie uważają się za członków jednéj wielkiéj rodziny. Od przyległych na północy górali odróżniają się, a tém więcej od mieszkańców równin, których nazywają Lachami. Gdziekolwiek się spotykają Podhalanie, okazują sobie gorące przywiązanie, i często zdaje się, jakoby ich najściślejsze węzły łączyły, chociaż po raz piérwszy spotkają się w życiu. Najlepszy to dowód, że stosunki przyrodzone są najpotężniejszym środkiem łączenia ludzi. W ogólności cnoty towarzyskie wysoko u nich są wykształcone. Odwiedzających przyjmują z serdecznością; ile razy wydarzyło mi się szukać noclegu u nich, bywałem zawsze przyjęty z wielką uprzejmością; wszelkiemi sposobami starali się być uslužnemi, co mieli najlepszego, tém częstowali: to świeżo wydojoném mlekiem, to oszczypkami lub bryndzą, i tylko prosili, aby więcej pożywać.

Nie mogę dać lepszego obrazu gościnności Podhalan, jak przytaczając wiersz naszego znakomitego poety, malujący z prawdą a trafnością życie domowe polskich mieszkańców podtatrzańskich:

Gdzie miło, tam człowiek i rad się przysiedzie,
A dobrze, jak mówią, z dobremi jest wszędzie.

„Czy dobrze powiedzie nas do wsi ta ścieszka?”

—A dobrze powiedzie, przez ławę, na łoży.

„A gdzie to mój ojciec, ów strzelec wasz mieszka,
Co bije po górach te kozy?”

—A już to nie inny, jak pono Junaka,
Pytajcie tam wyżej o Sobka Sobczaka,
Na domu u niego róg będzie jeleni,
A dziewczę powita was w sieni.

I szliśmy przez ławę, i szliśmy przez łoży
Do strzelca śmiałego, co dzikie zna kozy;
I zdala ostrzegał pies swoim szczekaniem,
Że rychło i we wsi już staniem.

Odwieczne jesiony cieniły podwórko,
Pod nimi stał domek ciosany pod górką,
Na domu od wschodu róg sterczał jeleni,
A dziewczę witało nas w sieni.

I wzięło za ręce i wiodło w świetlicę,
A jako słoneczko jaśniało jój lice
Niewinną radością, serdecznym witaniem,
I ludzkim, pocziwem kochaniem.

I wiodła i sadzi na ławie za stołem,
Jak gości po Bogu szanować przywykła;
A potem jak fryga skrzyła się kołem,
Klasnęła w rączęta i znikła.

Sobczaka nie było, bo poszedł gdzieś z listy.
Przybory myśliwskie wisały na ścianie,
A cichy był domek, i cichy i czysty,
Jak człeka dobrego sumienie.

Po chwili przybiegła napowrót znów Kasia,
A za nią przybiegła i Polka i Basia,
I wszystkie się społem krzątając, aż rosły,
I Bożych nam darów naniósły.

A mléko aż pachło, a masło majowe,
A séry takroczone aż niby różowe,
A wszystko i białe i rażno zastawne,
A noże w róg kozi oprawne.

„Pozwólcie téż sobie, nie skąpo co chcecie!
 Prosimy co Bóg dał; no bierzcie i krajcie!
 Jam do was przypita—a pijcieże przecie,
 A proszę, kęsajcie! kęsajcie!”

„Ja skoczę z dziewczkami po gazdach wokoło,
 I sproszę tu gości i będzie wesoło;
 Są ludzie i u nas—nie luźni óhoć prości,
 I znają jak gościć i gości!”

„Choć ojca mojego nie naszliście w domu,
 To będzie tu przecie pogościć was komu,
 Bo u nas jest taki obyczaj już z pniaka,
 Że miło w gościnie Sobczaka.”

I jakoż przybyło i gazdów po chwili,
 I grajków i dzieci i niewiast i dziewczek,
 I myśmy téż naszej baryłki dobyli,
 I kubek okrążał wśród śpiewek.

Od kubka i śpiewek, do śmiechów i w tany,
 I ciasno już było w tym domku pod górka,
 Więc z izby do sieni, a z sieni w podwórko,
 Wysypał się orszak rumiany.

I stała się radość i wielkie wesele,
 I zmienił się dzieńek powszedni w niedzielę,
 I w całej wsi było pod wieczór już święto,
 Choć ludzi nieznanym podjęto.

Poważnie gwarzyli gazdowie, jak Piasty,
 Wesoło, rozmownie prawily niewiasty,
 Jak wieniec róż polnych zaplotły się w koło
 Śród tańca dziewczęta wesoło.

Nie sztuki zastuga, że kształtne i zgrabne,
 Nie gładkie ich rączki, lecz dusze ogładne,
 I lanne koszulki a serca jedwabne,
 I słówka nie strojne a ładne.

(Dokończenie nastąpi).



KRONIKA LITERACKA.

Athenaeum. Pismo zbiorowe poświęcone filozofii, literaturze i sztukom. Wydawca J. I. Kraszewski. Rok 1850. Wilno. Drukiem J. Zawadzkiego.

Nie kładliśmy za cel naszego literackiego zawodu pisania krytyk i przeglądów z bieżącej literatury; ale są chwile, kiedy obowiązek sumienia podaje pióro do ręki, a wtedy niewolno składać się nieudolnością i czekać aż kto inny wystąpi z tém, co widzimy być koniecznym w sprawie umysłowego ruchu. Oto przed nami sześć tomów *Athenaeum*, pisma zbiorowego, a pomimo swój okrzyczanej bezbarwności, od lat dwunastu jest organem i wyrazem literatury naszych prowincyj. Przez lat 12 niezmordowany redaktor bojował z tysiącem przeszkód umysłowych i materialnych, z obojętnością znarowioną, kapryśną i za nowościami jeno pędzącej publiczności, ogłosił tysiące artykułów, a w tej liczbie kilkanaście niezmiernie ważnych, i w nagrodę szlachetnej pracy dożył ze swém pismem do tego, że publiczność o niém zapomniała, iż nawet nie wie, czy *Athenaeum* dotąd wychodzi. Słyszemy za całą odpowiedź, że *Athenaeum* znużniało, oschło, straciło interes. Jużci w życiu pisma, jak i w życiu człowieka są chwile znużenia i wyczerpania; na siedmdziesięciu dwóch tomach *Athenaeum* możnaby kilka tym zarzutem obarczyć: zeszyty mniej zajmujące może są obrazem mniej zajmujących chwil literatury, kiedy stagnacya powszechna, Bóg wie zkąd, Bóg wie dlaczego, ogarnia piszących, czytających, księgarzy; ale ogół pisma aż do dziś dnia nie stracił tego stanowiska, na jakim *Athenaeum* od początku stanęło. Nie mając wyraźnego *wyznania wiary*, a przeciw sumiennie i pracowicie redagowane, *Athenaeum* nie uwodząc się nigdy duchem stronnictwa, witało równie chętnie objawy talentu każdej szkoły, każdej kotoryi; i oto wygrana korzyść nad innemi pismami! Bo czyż nie widzieliśmy, jak nieraz złył gorąca namiętność, uprzedzenie, słowem tak zwana *zadanie* redakcyi, przynosiło szkodę, owszem zabijało pismo, któremu zostawało wiele — wiele do spełnienia posłannictwa. Wpóśród obecnego zobojętnienia publiczności nie ustaje na swój drodze, daje przykład niesłuchanego u nas wytrwania. Aby okazać, że to, co mówimy jest prawdą, przebieżmy sze-

reg artykułów w sześciotomowym zbiorze za rok 1850, z którego czytająca publiczność jasno obaczy, iż dzięki energii redaktora i dziś jeszcze Athenaeum żyje, i dziś jeszcze może chodzić o lepszą z wielu naszych, owszem zagranicznych dzienników i przeglądów, lubo samo nie jest ani dziennikiem, ani przeglądem, jeno przypadkowym zbiorowym pismem; lubo wszyscy niemal współpracownicy jak płoche motyle ulecieli na inne kwiaty, na karty dzienników świeżych, a więc poczytniejszych.

Przepatrzmy wedle oddziałów ważniejsze artykuły pomieszczone w Athenaeum za rok 1850.

W materiałach historycznych i w ogólności w rzeczach tyczących się krajowej przeszłości pierwsze trzyma miejsce tak co do czasu, jako i co do ważności, krytyczny artykuł p. O. o piśmie Karola Szajnochy: *Bolesław Chrobry*. Sprawozdawca z tej ważnej książki idąc w ślad za autorem, przebiega mgliste a pełne znaczenia czasy Piastów, światło a krytycznie idzie za nim w ustępy kreślące początki narodu, stosunki Polski do Europy, i cały wielki zawód Chrobrego swojemi słowy uroczo opowiada. Mniej powszechnego znaczenia mający, ale ważny jako stary zabytek jest *Przywilej fundacyjny kościoła katolickiego w Obolcu, przez Władysława Jagiełłę r. 1383*, który p. Józef Zajączkowski redakcyi udzielił z archiwum archikatedry mohilewskiej. Kościół w Obolcach *ma się uważać za pierwszy co do swego założenia nad wszystkie kościoły w ziemi litewskiej zbudowane* (słowa przywileju). Dalej idą ciekawe *Wyjątki z akt miasta Słucka*, z opłakaniej epoki Jana Kazimierza, dowodzące, że lubo owoczesny dziedzic Słucka Bogusław Radziwiłł w smutnym zaślepieniu łączył się ze Szwedami, wszelakoż obywatele Słucka pełni wierności dla krajowego rządu, brali przed się dzielne środki stawienia oporu, i z bohaterską prostotą wytrzymali oblężenie. Redaktor dał ciekawą *Notatkę o uczonych i pisarzach zakonu Kaznodziejskiego* z księgi rękopiśmienniej, która mu wpadła w ręce. Rękopism ten głównie obejmuje uczonych Dominikanów prowincyi ruskiej; załujemy tylko, że o ludziach głośnej sławy, jako o Bzowskim, Bardzińskim, Birkowskim, Szymaku, Siejkowskim, Lubomłczyku, Okolskim, oraz o klasztorach nie wypisał obszerniejszych wiadomości. Tenże redaktor pracujący od lat wielu nad dziejami sztuki w Polsce uczynił przegląd krytyczny ostatniego w tym rodzaju dzieła p. Maxymiliana Sobieszczańskiego, a ze swój ważnej *Ikonotheki* dał zajmujący artykuł o szycharzu polskim *Jeremiaszu Falku*, któremu Forszterowskie, gdańskie i amsterdamskie edycye dzieł tyczących się Polski, winny swoją ozdobę. Wspomnijmy nakoniec *Notatki lekarza w czasie morowego powietrza 1623 r. we Lwowie*, jako zawierające kilka rysów obyczajów domowych staropolskich.

W literaturze nadobnej. Redaktor nie ograniczając się pięknemi pracami tych z literatów krajowych, którzy mu jeszcze jako tako dotrzymali placu, chciał dać polskiej publiczności wiadomość o ważniejszych utworach zagranicznych, i w tym celu przełożył *Nowe pamiętniki* Lammartin'a (*Nouvelles confidences*), przebiegł z czytelnikami romans barona Eotwos *Notaryusz wiejski*, a co lepsze, zdał sprawę z ważnych europejskich artykułów, stanowiących najżywotniejszą treść francuzkich i angielskich przeglądów. Winniśmy p. Kraszewskiemu, że publiczność polską

obznajmił z ważnemi, na które Europa tak ciekawie wyteżyła oczy, *Podróżami Augusta Layrd* w celach starożytnych poszukiwań dawniej Assyrii, z *Wędrowkami po klasztorach Wschodu Roberta Curzon*, który przywiózł do Londynu tyle bibliograficznych skarbów skazanych na zagubę w rękach ciemnych mnichów Małej Azji i Egiptu. Wiadomość historyczna o hanach krymskich, artykuły o Saharze, o telegrafii elektrycznym i t. d. z dzienników europejskich, tłumaczą, jak gorliwie redaktor pragnie zaznajomić publiczność polską z tém, co się dzieje u reszty świata.

Ale najwybitniejszą fizyonomią pism zbiorowych stanowią artykuły swojskie w lekkiej literaturze. O tych pomówimy obszerniej, gdyż pomimo szczupłej liczby współpracowników, *Athenaeum* może się pochlubić wcale ładnemi rzeczami. Pocznijmy od tych, których zbiór 1850 r. zawiera dalsze ciągi lub dokończenia. Tu na pierwszym miejscu stać powinny gawędy żołnierskie Józefa Drzewieckiego z czasów kampanij włoskich. Dziennik bez pretensyi, bez przesady, ręką co raczej do pałasza, niż do pióra przywykłą, kreślony, odślaniający w poufałym malowidle wielkie oblicze Napoleona, relacya bojów, nędzy, pojedynków, hulanek żołnierskich; takie rzeczy wolne są od obowiązku wygładzonego stylu i zalet czysto literackich. Ale p. Drzewiecki człek z wykształceniem, bywalec światły, miłym jest gawędziarzem; ręka jego nie tak bardzo zgrubiła dzierżąc się rękoiści pałasza, aby nie umiał delikatnie władać pędzlem i zdać porządną sprawę ze swych czynów i wrażeń. Podobny nazwiskiem, ale różny epoką i manierą pisarską współczesny wędrowiec po Wschodzie p. Karol Drzewiecki (wyznajmy) mniej nas zadowalnia. *Podróż* humorystyczna na zelwiański jarmark lub na kijowskie kontrakty zajęłaby czytelnika lekkim a dowcipnym tonem; ale podróżować po Wschodzie, przebiec morze Śródziemne, żeglować po Nilu i drapać się na wierzchołki egipskich piramid jedynie dla złapania konceptu, jestto ofiara dla humoryzmu niesłychana, i niestety niewdzięczna. Z tych listów *Podróży na Wschód* pokochaliśmy p. Drzewieckiego za jego nieoceniony, poczciwy, dobry humor; ale nie mamy siły wędrować po raz drugi po kartach jego dziennika: tak pierwsze przeczytanie ekliwo nam się wraziło w pamięć.

Tłumacz Moliere'a, p. Franciszek Kowalski, dał czwartą część swojego poematu *Tymon*, którego początek przypominamy sobie gdzieś w mgle przedhistorycznej pierwszej połowy XIXgo wieku, (bo przecie żyjemy w drugiej połowie). Bohater poematu *Tymon* jest już we dwudziestym wieśnię swojego życia; dusza jego ulata już w krainę fantazyi, szuka chwaly, i z młodzieńczą wiarą nie wąpi, że gmach jój znajdzie, że w orlim locie swych skrzydeł nie złamie. Przygląda się niebiosom, wybiera swe cele: owo Alfred, Gustaw Adolf, Kazimiérz Wielki, Batory; ... owo Homer, Szyller, Göthe, Szekspir, Krasicki, Malczewski;... owo nasz wielki Kopernik:... ku któremuż z tych słońce młody orle chcesz ulecieć? po którego prawicy z tych wielkich ludzi marzysz zasiąść w blasku twojego majestatu? Szerokie pole marzeń, ale młodzieńcze, oto świat rzeczywisty, oto idą boleści co twe serce zakrwawią, odczarują, oziębnią. Śmierć ojca Tymona już rozpoczyna szereg udręczeń, co mają się nad

nim pastwić w drodze dalszego żywota. Kiedyż nam p. Kowalski dośpiewa dalsze dzieje tego interesującego młodzieńca?

Z marzeń Tymona idziemy w *Marzenia* nowe (bo niestety! tak ciernisto na tym świecie, że jeno marzyć musimy). Oto p. Józefa Smigielska na piórach swych poetycznych skrzydeł ulatuje z kart Athenaeum ponad brzegami Syrii i Fenicyi, mknie nad Archipelagiem greckim, nad Spartą, Atenami, Rzymem, Afryką, i marzy nad ruinami starego świata, starych idei. Tęczowe jej marzenia to zaglądną we wnętrza naszego powszedniego bytu, to lecą w krainę przyszłości odgadywać niepojętą zagadkę postępu. Miło z nią westchnąć, zaśmiać się, zapłakać; ale jak trudno podzielić to smętne zrozpaczenie nad losem ludzkości, tak niełatwo bezwarunkowo uwierzyć tym złotym marom postępu, któremi p. Józefa Smigielska nas tak uroczo otacza.

Mniej marzeń, ale więcej ruchu, więcej barw i więcej, rzec można, rzewności jest w obrazku p. K. W. Wojcieckiego pod tytułem: *Bielany pod Warszawą*. Jak nie pokochać tego weterana naszej literatury, który przez połowę życia szperając po prochach przeszłości, nie wyziębł swęj duszy; owszem, lekko, poetycznie i młodzieńczo przypomina swe przeddwudziestoletnie chwile, kiedy go zajmowały odpust wiejski, przygody romantyczne, deszcz co rozpedził festujący na Bielanach świat warszawski. Podobnyż obrazek w Album Literackim pod tytułem: *Czeraniaków*, nie wątpimy iż żywo pozostał w pamięci czytelnika.

Ale niech nie obraża weteranów naszej literatury, gdy powiemy, że ozdobą Athenaeum za r. 1850 w oddziale belletrystycznym jest powieść p. Adama Pługa pod tytułem: *Dzieciobójca*. Możemy się zgodzić z redaktorem, że autor wybiera zbyt czarne sceny z życia naszego ludu i naszych obywateli, lecz w powieści jego tyle jest prawdy artystycznej i społecznej, iż nie-wątpimy, że oczarowany czytelnik-szlachcic otwory swą duszę świętym przekonaniom, i nad dolą powierzonego sobie ludu szczerzej pomyśli. Takie powieści są prawdziwie krokiem do postępu, a p. Pług jeżeli nie imię postępu (takiego jak go pojmują wyobrażenia pewnej szkoły), ale sam postęp żywo weźmie do serca, może się spodziewać powodzeń literackich uwieńczonych społeczną korzyścią. W przeszłych ciągach Athenaeum czytaliśmy tego autora artykuł pod tytułem: *Spowiedź*; znamy w rękopiśmie inną jego pracę *Pan Marek*; obecna powieść *Dzieciobójca* jest koroną tych utworów. P. Pług manierą, zapalem i artystycznym żądłem przypomina powieści Kraszewskiego; on go nam kiedyś zastąpi. Jedna tylko braterska uwaga: niech raczej z natury i z życia, niż z pisanych wzorów bierze swe studia, niech rozwinię się, niech się nauczy być sobą.

Szkoda, że nie wiemy imienia autora *Gawędki legionisty Fra Djabwoło*; jestto obrazek tak żwawo, tak mile, tak dobitnie nakreślony, iż trudno nie pożądać, abyśmy częściej spotykać się mogli z utworami tegoż pióra.

Techniczny a lekki i pouczający artykuł p. F. Bohdanowicza p. t. *Mysli o muzyce. Fortepian*, kończy szereg oddziału lekkiej literatury w Athenaeum.

Oddział *Rozmaitości* chlubnym być powinien artykułami p. W. W., który przed kilką laty tak się świetnie, tak po mężku zaprezentował publiczności swojemi rozbiorami pism hr. Rzewuskiego. Zasługą jest Athenaeum i jego redaktora, wywołanie do pracy piśmiennej człowieka tak myślącego, tak zdolnego w sposób grzeczny i pojednawczy rozbiierać najdrażliwsze zadania czasowe, tak oznajmionego z dziejami polskiej przeszłości, tak umiejącego spojrzeć na nią z właściwego stanowiska. W obecnym ciągu jest znakomity p. W. W. artykuł: *Pamiętniki w porównaniu z historią*, w którym rozbięra Paska, Chrapowickiego, i epoki historyi krajowej, z których są wspomniane zabytki. Inny artykuł tegoż autora p. t.: „Czego życzymy sobie i czytelnikom naszym na Nowy Rok” wywołał żwawe wrzaski ludzi tak zwanych postępowych, ale i mniej postępowym boleśnie jakoś robi się na sercu po przeczytaniu tego, co mówi autor o nowych teoriach towarzyskich: bo na cóż z serc ludzkich wydzierać świętą wiarę w lepsze jutro, na co tak boleśnie szydzić z chęci dobrych, z marzeń zbawczych, chociaż może zanadto niepraktycznych. Redaktor zaprotestował przeciw głównym myślom autora, ale rozebrać ich ściślej nie miał czasu—i słusznie. Podobne zadania czas jeno rozjaśni.

Korrespondencye, okruszyny, nekrologi, archeologiczne poszukiwania i t. p. stanowiące feleton Athenaeum, dowodzą gorliwych chęci redaktora, aby pismo jego wiernie odbijało to wszystko, co w kraju lub za granicą godnego jest uwagi w bieżącej chwili. Nikomu nie przymawiamy, ale niejedna z liczniejszemi współpracownikami redakcyi, potężniejsza środkami, daje się wyprzedzić redakcyi Athenaeum w skwapliwości przysługiwania się czytelnikom.

Czytelnikom? co za gorzkie szyderstwo, co za nadużycie przyjętego wyrazu! Athenaeum nie ma czytelników! Publiczność nasza znużona od lat 12 widokiem tychże okładek, tójże tytułowój karty, najobojętniej opuszcza pismo, godne zaiste aby się zrosnąć i znałogować z nami. Cóż począć z kapryśnemi zachceniami nowości? Ale czy godzi się być kapryśnym jak niewiasta, jak dziecko, tam, gdzie idzie o życie lub śmierć jednego z ważnych objawów literatury krajowej? czy godzi się rozmyślnie zabijać to, co dzięki niez mordowanym pracom jednego, żyje jeszcze? czy wolno nam po tém wszystkiém przywłaszczać sobie imię miłośników krajowego piśmiennictwa?

Athenaeum pomimo tysięcy przeszkód, w bieżącym roku jeszcze wychodzi. Czy i w następnym wychodzić będzie?—któżby wątpił: wszak mamy u siebie światłą, gorliwą, słowem czytającą publiczność. Redaktorowi nie schodzi na dobrych chęciach: czyż stać się może, aby mu zabrakło naszego współczucia?

Władysław Syrokomla.

Górale Bieskidowi zachodniego pasma Karpat. Rys etnograficzny zwyczajów i obyczajów włościan okolic Żywca. Skreślił L. D. Kraków, nakładem i drukiem Józefa Czecha. 1851. 12ka. Str. 151.

Po zbiorze pieśni ludu Podhalan p. L. Zejsznera, i rozprawie przedwstępnej, która nas dokładnie obznajomiła z tak mało znaném plemieniem naszym, w siedm lat otrzymujem drugie dzieło w tym samym przedmiocie. Pan L. D. nie zbierał wprawdzie pieśni ludowych górali, ale uważnie badał zwyczaje i obyczaje okolic Żywca. Ciekawe te zarysy są niejako jakby dalszym ciągiem badania Zejsznera, i w wielu względach nieznanne lub przemilczane szczegóły, uzupełniają zajmujący obraz polskich górali.

Dziełko pana L. D. przynajem że bogate jest w szczegóły, ale nie ma tego ścisłego ciągu, jakim się rozprawa p. Zejsznera zaleca. Znać jeszcze pióro młode i mało wprawne, lubiące nieraz na polu szumnój deklamacyi pobujać, z uszczerbkiem wykładu przedmiotu, z samego siebie już zajmującego.

Pomimo to, znać zarazem i myśl zacną i szlachetno pobudki, które go skłoniły do tak pięknej pracy.

Autor opowiada nam, jak z młodu pokochał góry, jak wyobraźnię jego zapalił więć pustelnik z podgórskiej okolicy, urodzony w górach. Opowieści jego pełne fantazyi; szczegóły o halach, szałasach, bacach, dodały bodźca wrodzonój już ciekawości. „Wkrótce (mówi) stało się więć nad moje życzenia, przez zdarzone kupno włości w górach żywieckich, przy granicach węgierskiej położonój, którą zapłaciłem bez widzenia; a party splinem Anglika, puściłem się natychmiast w drogę, aby czém prędzej poznać *terram incognitam*.”

Pomijamy mnóstwo szczegółów ubocznych, któremi swoje pismo autor urozmaicił i ożywił, a przystępujemy głównie do dania w treści charakterystyki górali Bieskidowych.

Jeżeli ludy w górach zamieszkałe najpiękniejszymi są w kraju *Galię* zwanym, to nad temi ludami górale z okolicy Żywca celują w urodzie i pięknej postaci. Młodzieniec w 18 roku może służyć za model na posąg Apollina, w 30 na Herkulesa, a ciężar lat 80 jego prostój i śmiałej budowy ciała nie pochyli. Ta okolica najpiękniejszych dostarcza żołnierzy. Rysy ich twarzy nie mają żadnej pewnej cechy rasowój, jaka się u narodów odosobnionych zawsze widzieć daje; przewagę jednak biorą nad innemi rysy greckie.

Góralki odznaczają się nietylko pięknoscią twarzy, ale głównie krojem kibici; a tak drobnych rąk, małych stóp, i śmiałej a zręcznej postawy, trudno znaleźć gdzieindziej w pracowitej klasie kobiet. Dziewczęta dorosłe, same bez matek chodzą do kościoła i do gospody na taniec. Mężatki są mniej samowolne, i więć napozór skromne.

Górale (mówi autor) więć są fałszywi niż zuchwali, więć uporni niż złośliwi: lubią się pieniać, odgrażać sobie, lżyć się słowami jak żydzi, ale do bitwy rzadko kiedy, nawet po karczmach, przychodzi. Urazy

prędko zapominają, a często dwaj szermierze z podbitymi oczyma, w najlepszej zgodzie z karczmy wracają. Widząc raz jednego z ogromnym gurem na czole, pytałem, kto go tak dzielnie uczęstował? „Ej, to mój psyjaciel, dobrodziejku.”

Dla dziedziców swoich mają wielkie uszanowanie i ufność w ich sądach; dlatego w 1846 roku cała okolica była w spokoju. Dzieci swoje serdecznie kochają, pudków (knotrów) więcej szanują, niż własnych rodziców. Wesela odbywają z mniejszym zachodem i uroczystością, jak włościanie w innych okolicach.

Zaproszeni na wesele goście przynoszą różne jadło: wódka jest tylko obowiązkową na kieszeń gospodarza. Orkiestra nieliczna bywa, ale głośna; jeden kobziarz i jeden skrzypek potrafią zagłuszyć całą gawiedź pijanych biesiadników. Panna-młoda ani druchny nie mają wieńców z rozmarynu, ani z ruty; głowy ich upstrzone są mnóstwem różnokolorowych wstążek, z tyłu długo rozpuszczonych, które powiewają. Czasem jednak panna-młoda miewa błyszczący krakowski wieniec na głowie: jest to dar oblubieńca, jeżeli ten zeglował kiedy z drzewem do Krakowa. Przy czepinach nie strzygą włosów *młodusze*, tylko kładą jej na głowę obrączkę, i tę wkoło włosami obwijając, przytwierdzają. Na to kładzie się czepiec u dołu sznurkiem zmykany, i przywiezuje, a na zakończenie opasuje się wstęgą lub galonkiem szerokim; co ma minę biretu albo surażerki. Nie tańczą tu krakowiaków, ani mazurów, tylko stawają tancerz i ich tancernice naprzeciwko siebie rzędem, potem chwytają się pary, i kręcą do zawrotu głowy; potem puszcza ją się, i robią naprzeciw sobie przysiadki i skoki z kozacką po węgiersku. Podczas gdy jedni tańczą, drudzy śpiewają, ale każdy na swój ton, ile mu głosu starczy, zastosowany do głosu krzykliwej kobzy.

Jak są nabożni, tak przesądni zarazem: tak zarówno odważni i tchórzliwi.

„Gdy zwierzeźnik krzyknie surowo (pisze autor), pozorny Herkules tak się przeleknie, że często bywa, iż zachoruje. W takim razie proszą o szczyptę włosów z głowy straszyciela, dla nakadzenia chorego, pozmór, gdy kichnie, to i krzys się kończy. Zdarzyło się (mówi autor), że spotkałem kobietę biegnącą i zapłakaną, i pytałem gdzie biegnie i co się stało? „Oto idę do dworu po kudły z tego smoka, co tak mojego chłopca psięstraszył, że się na umor rozniecił.” Znajac góralską terminologię, wiedziałem, że taką nazwę dają w gniewie człowiekowi, i sądziłem, że który z moich służących to zrobił. Pytam więc: a któryż to taki, czy Kazimiierz, czy Józef? „Nie dobrodzieju, jacy pies.” Ow zaś przestraszony był żołnierzem dymissionowanym, który mi dopiero dniem wprzód cudą waleczności swojej opowiadał.”

Mimo to, wielką przecież okazują odwagę: czyto w łowach na niedźwiedzie, czyto głównie, co z każdą powtarza się wiosną, przy spławie drzewa. Tam odwaga i zimna krew, przy zręczności, odznaczają góralsi świetnie. Niewiele lubią pracować około własnej roli, lubo się dobijają obciwie o nabycie gruntu. W uprawie, w sprzęcie zboża, w sadzeniu ziemniaków mają swoje szczególne sposoby, jako też w łowieniu

pstrągów i podrybków (małych łososi); w czém, jako téż do opisu strony przemysłowej Żywezanów, odsyłamy czytelnika do samego dzieła. Z kosa latem nie do Polski, ale do Węgier na zarobek chodzą, w zimowych wieczorach opowiadają swoje w téj ziemi przygody, i cuda owéj krainy. Przywiedziem tu o djable jedną powiastkę we właściwém narzeczu górali żywieckich:

„Widziołem go roz na swoje ocy, jak tańcowoł po dachu w rogatym kapelusie i kuséj psyodziewie: a jakie ślipie, a jakie pazury! Stanolem i dziwom się zdjonem kapelus, i rzekę tak po naseńsku: Panie deble, pytom vos, jakoście jagudka, dejcie mi tes kiela zułtych piniędzy. A on mi prawi po mimiecku: Swainder, mainder, dej mi dusę. I ja to do razu zrozumioł, i tak sę myślę: Pockaj psio wiaro! I ucionem bzu, dostolem z niego dusę, psiwiązołem do kamienia, i frygnąłem mu na dach. Debeł złapoł, obejzroł, dobył mieska, włożył w niego kamiń i prawi: Hunder, dunder, jaka dusa takie piniądze,—i rznena mie nim ta mercha w łeb.”

W budowie mieszkań uderzył autora zwyczaj taki, że wszystkie okna ku wschodowi, a rzadko ku drodze zwrócone; lubo mu góral tłumaczył powód: „Oto, zeby nam w nocy jaki pijany debeł, idąc drogą, syb nie wybijał.”

Ciekawe czytamy wiadomości o obszernych domostwach bezkominowych, o chowie bydła, pasterskiem życiu; a nieznane szczegóły o *sądach rugowych*, i dawnych *patrymonialnych*, poparte miejscowemi dokumentami, nieobojętne są dla prawodawstwa krajowego. Autor korzysta z każdej sposobności, i urozmaica swoje opisy ustępami ciekawemi, prawie w każdym rozdziale. Tak podaje nam *Dumkę góralską* w narzeczu właściwém o *sierocie*, którą w polu podsłuchał; to daje pamiętkę prawdziwą, o namiętnej, szalonej miłości żydówki do młodego górala; to o bándzie sławnego rozbójnika *Proczpaka*, Słowaka, co się zjawiał w tych okolicach około r. 1790, i postrachem je napelnił. Wielbiiciel płci pięknej, zakochał się w jednej z dwóch córek dziedziczki wioski, przebierał się aby ją widziéć, aż raz, kiedy właśnie wśród licznych gości bawiono się wesoło we dworze, wszedł w to grono radosne, przystrojony z przepychem, i uzbrojony należycie. Kiedy się wszyscy przestraszyli, Proczpak najgrzeczniej prosił do tańca pannę, którą kochał. Dziewczę ochłonawszy ze strachu, podało mu dłoń białą, a bandyta z węgierska rozpoczął taniec w skokach i przysiudach. *Nakicawszy* się do woli, wypiwszy zdrowie matki i córki, na szyję tanecznicy swojej włożył ciężki złoty łańcuch, i opuścił dwór spokojnie. Zginął, jak podobni mu bohaterowie—na szubienicy, zdradzony przez zazdrosną kochankę ze wsi Kamecznicy.

W rozdziale ostatnim wymownie malując autor namiętne przywiązanie do rodzinnego gniazda górali, wyborny stawia obrazek powracającego do domu wojaka.

Mały słowniczek wyrazów i wyrażeń góralskich objaśnia ustępy, przez autora podane w narzeczu tameczném.

Z całego dziełka wybija prawdziwe uczucie autora dla tego ludu, dążność usilna w rozpoznaniu charakteru w każdym odcieniu, badanie sumienne szczegółów; a wiele ustępów oddanych z życiem, prostotą a prawdą, nadają téj pracy pana L. D. wdzięk i zajęcie ciekawe w czytaniu.

Warszawa, d. 20 października 1851.

K. Wł. W.

Odpowiedź p. T. Sierocińskiemu na jego krytykę mojej Grammatyki, umieszczoną w Bibliotece Warszawskiej za miesiąc listopad r. b.

Po pilném odczytaniu uwag p. T. Sierocińskiego nad moją Grammatyką, winienem odpowiedzieć na zarzuty i usprawiedliwić układ przyjęty w mojem dziełku. W odpowiedzi mojej trzymać się będę tego samego porządku, w jakim następują postrzeżenia recenzenta; być może, że zdołam inaczéj zapatrujących się na rzecz, przekonać mojemi dowodami, jeżeli zaś to nie nastąpi, przynajmniej dowiodę, że miałem mój własny pogląd na przedmiot, o którym mowa, i nie poszedłem lekkomyślnie za mojemi poprzednikami, powtarzając za niemi błędy, jakie im zarzucają. Wreszcie mając na celu podać młodzieży książkę elementarną, z którójby najprostszą drogą otrzymała korzyści, odnoszące się do poznania swego języka, starałem się przedewszystkiém o wykład prosty i jasny, usuwając z niego to wszystko, co jój pod tym względem utrudzało pojęcie. Czas pokaże, czy książka moja rzeczywiście jest użyteczną: wszakże nie robiłem ani szumnych ogłoszeń przed jój wyjściem, ani starałem się przed jój ukazaniem, aby przez Władzę do użycia była naznaczoną; poddałem ją pod swobodną opinią publiczną, aby dowiedzieć się o jój wartości. Dlatego téż, chociaż szanuję szanownych krytyków i zdania ich bardzo wazę, jednak czekać będę na sąd publiczny, a raczéj na korzyści dla uczących się, i czy im nabycie tych pożytków ułatwioném będzie.

Inna rzecz pisać książki elementarne i rozprawiać o ich wartości w uczonych krytykach, a inna, z tych książek uczyć dzieci. Często się zdarza, że książka elementarna, która się zdawała wyborną w teorii, pokaże się nieużyteczną w praktyczném nauczaniu. Można mieć naukę, a nie umieć jój udzielić drugim, a jeszcze dzieciom, bo tu trzeba wiele warunków połączyć: trzeba zniżyć się do ich pojęcia, trzeba wyszukiwać środków, aby to pojęcie ułatwić, a szczególniej trzeba być baczny w wykładzie, w którym wszystko powinno się widomie wiązać, łączyć i wspierać. Uczony pisarz dzieła elementarnego, musi często dla jasności wykładu, poświęcać wiele swoich oderwanych widoków, drobiazgowych postrzeżeń, śmiałych pomysłów, aby nie zepsuł jedności dzieła i nie zaciemnił tego, co musi być jasném, jeżeli ma być zrozumiałém. Szczególniej téż w nauce takiej jak grammatyka, najłatwiej albo rozproszyć i utopić istotę rzeczy w szczegółach, albo nie związawszy wszystkiego

jednością zasady, nie doprowadzić nigdy uczącego się do ogólnego widoku nauki, co przecież powinno być koniecznym celem umiejętności. Kto przyjdzie do takiego ogólnego widoku zdolności swojego języka, będzie umiał utworzyć z niego dokładne narzędzie do wyrażania swoich myśli, a znając zasadę ogólnego mechanizmu mowy, potrafi wszystkie szczegóły i wątpliwości sam wyjaśnić i prawdziwą naznaczyć wszystkiemu przyczynę. Brak takiego celu i kierunku w naszych grammatykach, jest przyczyną, że nie znając ani ducha, ani zdolności naszego języka, zatrudniamy się drobiazgami i tych jeszcze objaśnić sobie nie możemy: ten nie chce *Drezna* ale *Drezdna*, tamten mu zaprzecza; ten pisze *joty*, tamten je wyrzuca; ten mięczy spółgłoski, choć nikt ich miękko nie wymawia, tamten boi się zmienić głoskę w zakończeniu wyrazu, bo podług jakiegoś wymarzonej formy tak być nie powinno. Ale niech nauka swojego języka będzie obrazem obecnego jego rozwoju, niech przedstawi jego dostatki i zasoby, niech ukaże zasadę i podstawę jego możliwego doskonalenia, a znikną drobiazgowo spory około kropek i kresak, około ilości form na przypadkowanie i czasowanie, około pierwszeństwa dla tego lub owego trybu i czasu; uczący się nabędą rzetelnych znajomości swojego języka i ustanie niepewność w przyjęciu tego lub owego przepisu.

Daleki jestem od mniemania, abym w książce mojej uczynił zadość wszystkim warunkom, których wymagać należy od dzisiejszych grammatyków; że jednak miałem na celu przedstawić nie *zbiór uwag*, nie *prawidła mówienia i pisania po polsku*, ale zwięzły obraz zasobów i dostatków języka, objawiających się w łatwości jego form, w giętkości jego mechanizmu, o tém starać się będę przekonać szanownego recenzenta, odpowiadając przytém szczegółowo na jego zarzuty.

Na wstępie swojej recenzji, p. S. wymienia grammatyków, z których dzieł mogłem korzystać; zapewne, najgorzejby ten wyszedł, ktoby chciał być oryginalnym w takiej nauce jak grammatyka; ale i ten najmniej potrzebniej brałby się do pióra, ktoby do niej żadnego sprostowania lub ułatwienia, lub lepszego układu nie wprowadził. Są też i pochwały, że nie zbytkuje w użyciu *j*, że od Zochowskiego nie przejął urojonego stopniowania w rzeczownikach *koń*, *konik*, *koniczek*, że nie pominął wielu trudności w *składni*, jak Krasziński, że nie piszę błędnie wyrazów *wzjąć*, *wzięty* i t. p.; jest i życzenie, aby ta najnowsza grammatyka ulepszoną została w następném wydaniu, na które zasługuje, mianowicie Część III. W szczeróść życzenia wierzę, za pochwały dziękuję, ale wołałbym za co innego je słyszeć, a nie za takie bagatele. Tymczasem następuje szereg ważnych napozór zarzutów, które recenzent zaczyna od pierwszej stronicy mojej książki.

Zarzuca mi recenzent, że zbyt ogólne a zatem niedokładne zrobiłem oznaczenie *grammatyki polskiej*, że to jest *nauka języka polskiego*, bo nauka języka nie kończy się w grammatyce. Właśnie ja sądząc, że nauka języka kończy się w grammatyce, zrobiłem najobszerniejszą jej definicyą, naukę bowiem np. stylu, logikę, retorykę, wzory piśmiennictwa, woale za naukę języka nie uważam; a toż gdybym do wyrazu *nauka* dodał np. określenie *mówienia i pisania dobrego po polsku*, tobym ścieśnił niezmiernie znaczenie grammatyki; nie mogłem też nazwać jej *zbiorem*

uwag, prawideł, bo w zbiorze może nie być żadnego ładu i systematu, gdy tymczasem nauka zwłaszcza języka, wymaga najściślejszego związku i następstwa w całym układzie. I zaraz powiedziawszy, że grammatyka jest nauką języka, mówię do czego służy język czyli mowa, dalej, z czego się składa mowa, czém są jej części, ile ich jest, jak się wyraża między niemi związek, i przechodzę do potrzeby końcówek i ich odmian.

Takięto ścisłe następstwo uwag starałem się zachować w całym dziełku, i dlatego prócz ważniejszych nadpisów, nie ma w niem, ani rozdziałów, ani paragrafów, na co recenzent zwrócił uwagę, ja zaś zrobiłem to umyślnie, aby przez działy i podziały nie psuć związku tam, gdzie go najwidoczniejszym zrobić należy. Pytania zaś na końcu każdej Części grammatyki umieszczone, na które, aby odpowiedzieć, trzeba poznać, co się w książce mieści, zastąpić mogą tak zwane rozdziały i paragrafy.

Wyliczając części mowy, nie przytoczyłem zaraz przykładów, jak to recenzent mieć chce, bo przykłady dopiero wtenczas mogą być zrozumiane, gdy się powie, jakie jest znaczenie każdej części mowy.

Zarzuca mi recenzent, że nielogicznie podzielił grammatykę na trzy części, z których druga, jest prawie wszędzie niedokładnym rozwinięciem części pierwszej.

W Części I mojej Grammatyki wskazałem szczegółowo znaczenie części mowy, a na przykładach podałem naukę odmian, nie wdając się wcale w rozumowania nad temi odmianami, ani objaśniając ich mechanizmu. W Części II wypadło koniecznie okazać, jak się robią odmiany, objaśnić wszelkie niesłowności pozorne, które pochodzą z koniecznej zamiany głosek na głoski, do czego system głoskowy Mrozińskiego wybornie mi posłużył: tu więc następują szczegółowe postrzeżenia nad każdą formą przypadkowania i czasowania, z czego jeszcze wynikła potrzeba zastanowienia się nawet nad znaczeniem pojedynczych głosek i zakończeń, a wyciągnięte ztąd postrzeżenia, posłużyły mi do ułożenia wzorów, podobnych którym można formować nowe wyrazy i odmieniać ich znaczenie. Ta część grammatyki tak ważna, dotąd pomijana w tego rodzaju dziełach, może służyć za wykład dla uczniów klasy II, którzy w I nauczyli się tylko odmian na przykładach, nie wiedząc jeszcze wcale, jak wytłumaczyć osobliwości tych odmian. Sądzę więc, że plan II części mojej Grammatyki jest wynikiem konieczną z części I i że osiągnięte zadanie, aby nauczyć uczniów rozbioru każdej części mowy, czego dokładnie nigdy zrobić nie potrafią, dopóki im w teorii nie będzie ukazana cała anatomia wyrazów wchodzących do mowy i ich znaczenia, dopóki nie poznają środków, jak to znaczenie uwiecznione w kształty głosek, w pierwiastkach wyrazowych i zakończeniach. A więc nauka *szkła* musiała stanowić część III ogólnego planu grammatyki, bo uczeń znając pojedyncze wyrazy, ich znaczenie, odmiany i części służące do wyrażania związków, teraz dopiero łatwo zrozumie użytek całego mechanizmu, gdy się złoży całość, stanowiąca narzędzie do wyrażania myśli. I gdzież jest nielogiczność w podziale mojej Grammatyki? mniemałem, że przynajmniej tego zarzutu nikt mi nie zrobi.

Powiedziałem, że związek między wyrazami *utrzymuje się za pomocą końcówek*, część też pierwsza Grammatyki jest nauką samych tylko

zakończeń, których usługa później pokaże się w *składni*. P. S. zdaje się zaprzeczać mojemu twierdzeniu, a jednak jestto prawda jedna z tych, których nie można dosyć powtarzać, jeżeli uczących się zamierzamy przywieść potem do ogólnego widoku zdolności języka. Później, gdy z kolei przyszło mówić o *przymiarkach* i *spójnikach*, okazałem, że i tych cząstek mowy przeznaczeniem jest utrzymanie związku między wyrazami. Ponieważ zaś 7 przypadków nie wystarcza, potrzeba więc utworzyć nowe przypadki przez dodanie nowych końcówek. *Te nowe końcówki kładą się przed imionami, i dlatego nazywają się przymiarkami*. P. Sierociński oderwał to ostatnie wyrażenie od poprzedzającego i chcąc okazać rzecz *dziwną* i *niestychaną*, powiedział, że ja przymiarki nazwałem *nowymi końcówkami*. Nadmienilem już, że w mojej książce starałem się o ścisły związek i następstwo w postrzeżeniach nad językiem. i dlatego zdanie odcięte od tych, które je poprzedzają, może się wydać dziwném i niestychaném, ale nie będzie takim w połączeniu z niemi.

Dlaczego wyrażenie: *reczownik jestto nazwisko osoby lub rzeczy* ma być u recenzenta bardzo niedokładném oznaczeniem téj części mowy, nie pojmuję; bo na pojęcie oderwane, wyrażenie najogólniejsze jest konieczném; wyszczególniając zaś dopiéro rozmaite rzeczowniki, i znaczenie ich określiłem szczegółowo. Ten sam porządek zachowałem mówiąc i o innych częściach mowy. Ponieważ zaś imiona rodowe jedne biorą zakończenia rzeczowników, drugie przymiotników, a poznanie różnic w zakończeniach, stanowi główne zadanie Części I grammatyki, nie więc dziwnego, że *Sapieha*, *Fredro* są nazwane rzeczownikami rodowemi, a *Sobieski*, *Potocki* policzone między przymiotniki rodowe.

To com powiedział, wyliczając odmiany rzeczowników, że *każdy rzeczownik bierze rozmaite końcówki czyli odmienia się przez przypadki i liczby*, a te końcówki, że są albo męzkie, albo żeńskie, albo nijakie, nierównie jest prostsze i jaśniejsze, niż długie rozdziały i paragrafy o *rodzajowaniu*, *przypadkowaniu*, *liczbowaniu*, któremi grammatycy zapychają swoje dzieła, a których to rozdziałów dzieci wcale nie rozumieją. Zresztą, tak zwane *rodzaje*, zależą na różnicy zakończeń, zależą od zwyczaju lub znaczenia wyrazu; że zaś zwyczaj dzieciom polskim jest wiadomy, idzie więc w tak zwaném *rodzajowaniu* tylko o pokazanie im różnicy w zakończeniach męzkich, żeńskich i nijakich. Ztąd jeszcze powstało i to moje wyrażenie, że wyraz *bierze zakończenie*, a nie *ma*, bo wybór tu zależy od zwyczaju, i często prawidłom grammatyków jest przeciwny.

Recenzent radzi mi, aby rodzaj *nijaki* nazwać *nieoznaczonym*, ale daruję, że téj rady nigdy nie usłucham, bo już to z całego dzieła mojego mógł dostrzedz, że nienawidzę nowych wyrazów, zwłaszcza w nauce, do której jeszcze Kopczyński tak wyborną wprowadził nomenklaturę; zresztą, ciekawy jestem po co rzeczy dawno znane nazywać nowemi wyrazami? czy na tém nauka zyska? czy autorowie? Biada nauce, którą codzień w nowe sukienki chcą stroić.

Nie zgadzam się z p. S. że dla nauczania przypadków, należy najprzód uczyć uczaiów pytań, po których je rozpoznać mają; doświadczenie wieloletnie przekonało mnie, że uczeń polegając na pytaniach, i że za ich

pomocą zawsze odgadnie odpowiedź, nie uważa na końcówki, których wyuczyć się powinien, i dlatego téż wszędzie końcówki pooddzielałem od pierwiastków wyrazowych, aby były widoczne i utkwily w pamięci uczących. Później dopiero, po przedstawieniu form, podałem pytania po których się przypadki rozpoznają i wskazałem zakończenie w przypadku 2 lub 1, po których można oznaczyć formę, i nie zdarzyło mi się dostrzedz, aby uczeń tym sposobem szukając formy wpadł na myśl, że to samo imię może należeć do dwóch różnych form.

Podwójne i potrójne zakończenia dla imion ludzkich w przypadku 1 l. m. odróżniłem w Części II, jak to recenzent mieć chce; w Części zaś I zaraz po formach, nadmieniałem tylko, które z tych zakończeń są męskie, a które żeńskie, aby wczesnie zwrócić uwagę uczących się na tę różnicę; a więc postrzeżenie recenzenta nad tym przedmiotem może jest zbyt-czne. Ale co mnie mocno dziwi, to twierdzenie p. S. że liczebniki *dwóch*, *pięciu*, *wielu*, nie są pierwszymi przypadkami; później w składni jeszcze raz o tém pomówimy, teraz tylko następujące przedstawię okoliczności. Liczebniki są imionami zbiorowemi nieokreślonymi; bo widzimy, że potrzebują określeń w przyp. 2; mówi się bowiem: *dwóch braci*, *siostr dwie*, *pięciu braci*, *pięć siostr*, *wielu uczniów*, *wiele książek*, i t. p.; jeżeli więc *dwie*, *pięć*, *wiele*, są liczebnikami w przyp. 1, w jakimże przypadku są użyte liczebniki *dwóch*, *pięciu*, *wielu*? Toż widoczna jest rzecz, że *dwóch dwa* i *dwie, pięciu* i *pięć, stu* i *sto* są te same przypadki, i ta tylko między nimi różnica, że *dwóch* używa się przy imionach ludzkich męskich, *dwa* przy wszelkich innych, *dwie* przy wszelkich żeńskich; podobnie *pięciu, stu*, przy ludzkich męskich, *pięć, sto*, przy wszelkich innych.

W składni, gdy przyjdzie zgadzać słowo z przedmiotem, wyrażonym przez liczebniki, znajdzie się jeszcze nowy dowód na potwierdzenie mego postrzeżenia. Już i w Muczkowskim jest coś podobnego; już on *pięciu, stu* przyjmuje za 1 przypadek, a więc i *dwóch, trzech, czterech* muszą do tej samej kategorii należeć. Pozwolę sobie teraz wytłumaczyć przyczynę twierdzeń recenzenta: oto zwiódło go podobieństwo zakończeń w przyp. 1 i 2; nie chce wierzyć, aby *dwóch, pięciu, stu*, i t. p. miały być przypadki 1, dlatego że w 2 przyp. jest także *dwóch, pięciu, stu*.

Mówiąc o stopniowaniu przymiotników, recenzent przytacza ostatnie moje twierdzenie: „Nie stopniają się nigdy przymiotniki *własne, rodowe* i *liczbowe*”, ale gdyby je był połączył z poprzedzającym, nie byłby mi zrobił uwagi, że także i *ojcowski, ogrodowy* nie stopniają się.

Oznaczenie zaimka w znanych grammatykach, że *zastępują imię* jest zupełnie niedostateczne; musiałem więc powiedzieć, że albo je zastępuje, albo tylko określa, albo i zastępuje i określa, inaczéj ani podziału zaimków, ani ich użytku nigdy uczący się nie zrozumieją. Nie więc dziwnego, że ten sam zaimek raz jest osobistym, drugi raz wskazującym, albo nieokreślonym; wynikło to z definicyi przeznaczenia zaimków.

Przyszliśmy nareszcie do uwag p. S. nad *słowem*, a w szczególności *czasowaniem*, które ja, uszczęśliwiony mojami odkryciami, za arcydzieło uważałem, a któremu recenzent żadnej zalety nie przyznaje. Smutnato rzecz widzieć swój układ, swój systemat nauki z taką oględnością obmy-

ślany, przez tyle lat wypróbowany, teraz uznany za błędny, wadliwy. bo zasada jego ma być wątpliwa.

Ze u mnie jest zasada, na to się i pan S. zgadza; idźcie tylko o to, czy prawdziwa, czy fałszywa; jeżeli prawdziwa, posłuży do wytłumaczenia wszystkich trudności w mechanizmie słowa, jeżeli fałszywa, zagmatwa i to, co dotąd było jasne. Aby ukazać uczącym wszystkie grammatyczne odmiany słowa, które jakby z jednego pnia wyrosły i do rozmaitych użytków w mowie służą, stawiam im przed oczy *pierwiastek* słowa, pozbawiony wszelkiego zakończenia; następnie oznaczywszy stałe końcówki dla trybów, osób, imięstwowów, oznaczywszy jaką głoską znaczy się pojęcie przeszłości, różnica rodzajów, liczb, pokazuje, jak te wszystkie końcówki harmonijnie zlewają się z pierwiastkiem słowa i tworzą z tej części mowy, że tak się wyrażę *małą mowę, język na małą skalę*.

Słowo, to już cała mowa, to mądrość ojców zawarta w głoskach milczących i niemych, ale niech tylko padnie ożywiające światło na te tajemnicze hieroglify, a opowiedzą mądrość, której strzegły. Otóż mówiąc bez przesady, aby wyszukać tej mądrości *słowa*, utworzyłem prawdziwą anatomiją jego, owego bogactwa mowy naszej, które tak słusznie podziwiano; starałem się pokazać wartość tego bogactwa.

Widzieliśmy już, że aby utworzyć naukę *słowa*, potrzeba mieć *pierwiastek* i znać wszelkie możliwe *kończówki*, które przybierać może; jeżeli gdzie końcówka z trudnością łączyć się będzie z pierwiastkiem, użyjemy głosek eufonicznych, które ja nazwałem *pośrednimi*. Z pierwiastka nic nie ginie, bo tam jest *myśl, duch słowa*, może tylko zginąć *jota*, najulotniejsze ze brzmień spółgłoskowych, jak się to i w imionach trafia; ale w pierwiastku może się zmienić samogłoska; bo ona nie stanowi treści myśli w języku ludów północnych, i dlatego też w naszym języku układ spółgłoskowy tak jest ważnym. Powiedziałbym, że spółgłoski sąto *częstki myśli zawartej w słowie*, tak jak wyraży są *częstkami myśli zawartej w mowie*. Z tego stanowiska spojrzymy teraz na najpiękniejszy utwór mowy, *słowo*, utwór nie wiem czy człowieka, bo jest Boski, a ujrzymy tam wiele rzeczy nowych do podziwu.

Pierwiastek, niby pierwocina słowa, jest często jednozgłoskowy, często także mający za ostatnią głoskę, najulotniejszą *jotę*, np. *myśl, czyn, tłum, stan, chwał, kraj, błagaj*. Często pierwiastek słowa jest zarazem pierwiastkiem imienia, do czego albo żadnej zmiany robić nie trzeba, np. *myśl, tłum, kraj*, albo tylko dość zmienić ostatnią spółgłoskę na twardą, np. *czyn, stan*. Jeżeli do tak wynalezionych pierwiastków, przyłączymy, np. zakończenie *ć*, i użyjemy za głoski pośrednie *a, e, i, y*, będziemy mieli cztery najforemniejsze wzory na czasowanie słów, np. *kraj-a-ć, myśl-é-ć czyn-i-ć, wierz-y-ć*. W pierwszym tylko wzorze czyli formie, pierwiastki zwłaszcza dwuzgłoskowe, zakończone na ulotną *jotę*, gubią ją, przez co odstania się samogłoska *a*, i z nią już łatwo spajają się końcówki spółgłoskowe, np. *blaga-(j) ć, blaga-m;* w 3ciej zaś osobie licz. mn. ponieważ koniecznym jest samogłoskowe zakończenie *a*, więc *jota* powraca, np. *blagaj-a*.

Jeżeli mamy gdzie podwójne zakończenie dla tej samej osoby, jak np. dla 1 l. p. czasu teraźniejszego *ę* lub *m*, a więc gdy *jota* z pierwiastka

ubywa, *m* stanie obok odkrytej samogłoski; gdy *jota* nie ginie lub gdy pierwiastek kończy się na inną jaką spółgłoskę, wtedy zakończenie samogłoskowe *e* będzie koniecznym.

Gdy ostatnia głoska w pierwiastku zawsze jest spółgłoską, a pierwsza w zakończeniu także jest spółgłoską, używa się dla ich połączenia głosek pośrednich, np. *myśl-e-my*, *czyn-i-cie*; nie dlatego, aby były konieczne, ale aby odróżnić odmiany czasu teraźniejszego od odmian trybu rozkazującego, w którym pośrednich nigdy się nie używa, np. *blagaj-my myśl-cie*, i w pierwiastku nawet *jota* zostaje.

Głoski *pośrednie* używane do spojenia końcówek z pierwiastkiem, są stosowne do każdej formy; głoski takowe nie są jednostajne we wszystkich odmianach i osobach tego samego słowa, a nawet tego samego czasu, bo jako samogłoski ulegają wpływowi spółgłosek i zmieniać się mogą stosownie do tego wpływu, albo uwagi na monotonią i harmonią, i dlatego np. w formie 2 w osob. 1 l. m. mówimy: *myśl-e-my*, a nie *myśl-i-my*, aby przerwać monotonią trzech sylab, jednobrzmiącą samogłoską mających, zwłaszcza że *e* jest już pośrednią i w trybie bezokol. *myśl-é-é* i w czasie przeszłym *a* w liczbie mnogiej także na *e* przechodzi, np. *myśl-a-tem*, *myśl-e-liśmy*. Różnica głosek pośrednich stanowi różnicę form. W 3 oso. li. poj. czasu teraz. nie ma szczególnych, odrębnych zakończeń, więc głoski pośrednie właściwe każdej formie, zastępują zakończenia.

W czasie przeszłym szczególniej skomplikowany jest mechanizm odmian słowa, a jednak pełen harmonii i prostoty. I tu pierwiastek słowa łączy się najprzód z głoską cechową *ł*, którą można by uważać niby za hieroglif przeszłości, za połączenie zaś jój z pierwiastkiem statecznie służą w formie 1 i 2 samogł. *a*, w 3 *z*, w 4 *y*. Po głosce *ł* wyobrażającej *czas* kładzie się samogłoska wyobrażająca *rodzaj*, a po tej dopiero głoska wyobrażająca *osobę*. Oto części sądu naszego, *oznajmującego* nauki przeszłości: *myśl-a-ł-e-m*.

Konieczną jest rzeczą aby pierwiastek w trybie rozkazującym zawarty, na czele każdej formy był postawiony, a po nim tryb bezokoliczny jako późniejsza z niego formacja, a w słowach mniej foremnych znacznie czasem od pierwiastku różna, i której osobliwości powtarzają się potem w czasie przeszłym, tak jak w teraźniejszym powtarza się sam pierwiastek, np. *bierz*, *bra-ć*, *bior-ę*, *bra-tem*. Oto w pierwiastku głoski *b-rz* przedzielone samogł., w trybie bezokol. obok siebie stoją, w czasie teraźniejszym są więc rozdzielone, a w czasie przeszłym złączone, i cała nieforemność zależy tu na zamianie głoski pierwotnej *e* na *a*, i postawieniu jój po spółgłoskach pierwotnych *b-r*. Ale ponieważ mamy już zasadę do śledzenia zmieniającej się postaci *słowa*, dlatego też nawet niekształtności tej postaci wytłumaczyć sobie możemy.

Tryb rozkazujący uważany pod względem źródłowym okazuje się pierwotnym, ale okaże się jeszcze takim, gdy sięgniemy myślą do kolebki narodów i ujrzymy człowieka wołającego, proszącego pomocy brata. Prośba o pomoc była pierwszą potrzebą, jak pierwszym poznaniem słabość nasza, i nazwanie trybu proszącego rozkazującym, musiało już

przez grammatyków być dokonaniem, którym i dziś często się zdaje, że ich rozkazów język słuchać musi.

Umieszczenie po trybie rozkazującym bezokolicznego w *nauce słowa*, nie przeszkadza, aby w słownikach ten ostatni przytaczać najprzód, jako twierdzenie bezwzględne. Tryb *łączący, żyjący, warunkowy*, zawierają się tylko w znaczeniu spójników, a w formach czasowania figurują tylko dla pokazania, gdzie się wtedy końcówki osobowe umieszczają, i podobnych trybów można by tyle natworzyć, ile jest spójników wyrażających okoliczności podrzędne, zawiste od sądu głównego; bo jak przyimki służą niby do utworzenia nowych przypadków, tak spójniki do utworzenia trybów.

Imiesłowy sąto znowu inne formacye słowa: zakończenia ich przymiotne łącząc się z pierwiastkiem, nadają słowu znaczenie przymiotu, a czas nieosobisty, najpodobniej-zy formacją do imiesłowu biernego, przy nim też w układzie czasowania stoi.

Formy czasowania służą do uporządkowania systematu odmian; można by ich i więcej jak 4 utworzyć, gdybyśmy z takich nieforemności jak np. *pracuj, pracować, jaśnień, jaśnieć, gin, ginąć, piel, pleć, rwij, rwać*, chcieli układać wzory czyli formy; tu uwaga na pierwiastek i odmianę jego w trybie bezokolicznym, będzie dostateczną, aby się nie pomylić w innych odmianach.

W niektórych słowach nieforemnych pierwiastek sam się nie używa, np. *móz, mus, wol, widz*, ale dlatego nim być nie przestaje, i *dziwaczny* będzie tylko dla tych, którzy mojego systematu nie przyjmują.

Po takiem objaśnieniu układu mojego czasowania, na szczególne zarzuty recenzenta odpowiadać nie będę; przyjąwszy bowiem stałą zasadę, wytłumaczyłem odmiany słowa; niechże grammatycy w swoich dziełach pokażą mi coś podobnego, coby za sobą miało tyle cech pewności, a wyrzeknę się mojego układu.

Nad IIgą częścią mojej grammatyki, recenzent nie robi żadnych uwag, bo zdaje mu się, że szczegółowe wywody są naciągane do mylniej zasady, źle upatrzonych pierwiastków. Logicznie sobie postąpił, bo skoro nie uznał mojej zasady odmian, nie mógł więc rozbierać szczegółowych postrzeżeń nad ich mechanizmem. Ja chciałem na jaw ukazać wszystkie możliwe zdolności wyrazów, i dlatego całą część IIgą poświęciłem tego rodzaju badaniom, których wypadkiem są: prawa odmian na wyrażanie stosunków między częściami mowy i prawa na odmiany ich znaczenia.

Przystępuje nareszcie recenzent do ocenienia części III, którą uważa, zapewne tylko przez grzeczność, za najlepiej obmyśloną w porównaniu z częścią I i II. Otóż nie mogę wierzyć w pochwałę mojej *składni*, jeżeliby zarzuty, które recenzent zrobił, miały być sprawiedliwe. Zobaczmy, jakie one są.

Powiedziałem: *Mowa składa się ze zdań czyli myśli*, recenzent postrzega, że co innego jest zdanie, a co innego myśl; prawda, ale zdanie jest kształtem widomym myśli, a odróżnienie w tym względzie właściwie należy do logiki, w składni zaś, gdzie idzie tylko o najłatwiejsze dla

pojęcia dzieci definicje, postawienie tych dwóch pojęć obok siebie, bardzo do powyższego celu pomaga.

Zdanie składa się z przedmiotu i opowiednika. W opowiedniku mieści się albo przymiot i łącznik, albo słowo. Recenzent postrzega, że nazwania *przedmiot, opowiednik, przymiot* są nieszczęśliwie dobrane. Już w przypisku umieszczonym w Grammatyce na str. 90 tłumaczyłem się, dlaczego wyraz *przedmiot* uważam za najdokładniej przedstawiający to, o czém sąd wydajemy. Tymczasem u grammatyków naszych w jakiejś nienawiści jest ten wyraz; powiadają, że on co innego znaczy w powszechném rozumieniu. Aby tego dowieść, recenzent przytacza przykład: *widzę las*, i powiada, że tu przedmiotem widzenia jest *las*; prawda, ale tu nie idzie o przedmiot widzenia, ale o przedmiot *sądu* wyrażonego w słowie *widzę*, a ten przedmiot zaraz uczący postrzega, gdy usłyszy część zdania, zwaną *opowiednikiem*, a uwaga jego nawykła do szukania wszędzie *przedmiotu sądu*, będzie potem baczniejszą na wszystkie nawet czyny i postępy człowieka. To co uzupełnia pojęcia zawarte w opowiedniku, co ja nazwałem jego *dopełnieniem* czyli *rzędem*, nigdy uczący za przedmiot sądu nie weźmie, bo to wreszcie nie stanowi koniecznej części zdania; wszakże *dopełnienie* może być, może nie być, więc chyba tylko owi średniowieczni u recenzenta grammatyce, co się dosyć naczytali o łacińskich *objektach*, wezmą wyraz *las* za przedmiot sądu objawionego w słowie *widzę*. Podług mojej zaś grammatyki, w słowie *widzę*, jest sąd o przedmiocie *ja*, a w wyrazie *las*, jest dopełnienie widzenia. Zresztą, o co tu idzie? o wyrazy, których znaczenie jest konwencyonalne; w użyciu ich starajmy się więc, abyśmy nietylko siebie rozumieć mogli, ale żeby nas rozumieli wszyscy.

I wyraz *przymiot* oznaczający część składową opowiednika, nie podoba się recenzentowi, a wszakże sąd nasz o *przedmiotach* składa się z przymiotów w tych rzeczach postrzeganych, wszakże rozróżniamy rzeczy tylko po ich przymiotach, które jakby z nimi zrosły i razem bytują, a te przymioty wyrażać możemy wszystkimi częściami mowy (oprócz przymków i spójników). Otóż wszelką własność *przedmiotu* czy opowiadając ją użyjemy rzeczownika, przymiotnika, imiestowu, trybu bezok. lub przysłówka, nazwałem *przymiotem*, któryto wyraz, zdaje mi się, najszczęśliwiej tu użyty został, bo go łatwo rozumieć, tak łatwo, jak *przedmiot*, a ja chciałem żeby mnie wszyscy rozumieli. Ale co jeszcze: aby pokazać, że *słowo* samo może zastąpić *opowiednik*, mówię, że mieści w sobie *imiestów*, czyli, że ma w sobie gotowy *przymiot* i domyślne wyobrażenie *bytności*; recenzent i to nazywa błędnem wyrażeniem; to już nie wiem, co będzie więcój prawdziwém.

Wyraźnie także oznaczyłem na str. 90, czém się wyraża *łącznik*; recenzent zarzuca mi, że tego nie zrobił; tak ważnego opuszczenia w układzie nauki, która ma przedstawić wprawdzie nie sztukę porządnego myślenia, ale jego kształty w formach mowy, nigdy bym sobie nie przebaczył.

Słuszna uwaga recenzenta, że w tém op. zdaniu: *miój litość nad nieszczęśliwemi*, dopełnienie *litość*, zależy od słowa *miój*, ale drugie dopełnienie *nad nieszczęśliwemi* zależy nie od słowa *miój*, ale od rzecz-

wnika *litość*. A więc w mojem twierdzeniu o dopełnieniach jest tylko niedokładność, należy bowiem jeszcze dodać, że dopełnienie może nie tylko od słowa, ale i od innych części mowy zależeć, a w prawidłach rządu potrzeba szczególne takie zdarzenia wykazać.

Otóż znowu przychodzimy do liczebników *trzech, czterech, pięciu, dziesięciu, wielu*, które ja uważam za imiona zbiorowe w przypadku 1 określające się rzeczownikami w przypadku 2 i z którymi się słowo zgadza, jak ze zbiorowemi rodz. nijakiego. P. S. chce imiona określające te liczebniki uważać za wyrazy główne, ma się rozumieć za *przedmioty* zdania, ale zaraz dodaje, że to tylko wyjątkowo; w takim razie, pytam go, z czém się zgadzać będzie słowo, gdy i liczebnik i jego określenia będą położone w przypadku 2? A więc żeby nie tworzyć wyjątkowych praw, tam gdzie jest najwidoczniejsza jedność téj samej zasady, liczebniki *dwóch, trzech, pięciu, stu*, uważam za przypadek 1szy i słowo do nich odnoszę, a nie do imion określających je, i tak robię zawsze, ile razy przedmiotem jest np. przysłówek albo tryb bezokoliczny, a wszakże i z niemi słowo tak się zgadza, jak z liczebnikami, np. *dwóch ludzi poszło, dość ludzi poszło, iść było obowiązkiem*.

Liczebniki początkowe *dwa, dwie, trzy, cztery*, ponieważ nie określają się przyp. 2gim ale 1szym, czyli mają przy sobie tak zwaną adpozycją, a więc słowo jest teraz z czém zgadzać, bo jest przypadek 1szy, np. *dwa domy zgorzały*; ale niech tylko liczebnik zbliży się do słowa, a określenie jego zamieni się na przypadek 2gi; oto co się ze słowem zrobiło? już ono nie z pojęciem *jakości*, ale z pojęciem *ilości* się zgadza, np. *domów dwa zgorzało*. A więc ogólne prawidło na zgodę słowa z liczebnikami jest: jeżeli są określone imieniem w przypadku 2gim, słowo zgadza się z niemi, jak ze zbiorowemi rodz. nijakiego; jeżeli zaś są określone imieniem w przypadku 1szym, słowo zgadza się z określeniem.

Aby nauczyć mechanizmu zdania, trzymam się zawsze jednéj zasady, zawsze okazuję gdzie jest *przedmiot* dla *sądu*, i wolę go koniecznie widzieć, niżeli zamykać na niego oczy, dlatego, że niby wyraz mający go oznaczać, niebardzo ma końcówkę podobną do przypadku 1go, który sam tylko ma przywilej, że w nim się *przedmiot* przedstawia. Nigdy także za przedmiot nie wezmę określeń w przyp. 2gim, choćby w nich mieściły się i najglówniejsze pojęcia, bo w takim razie musiałbym się udawać do wybiegu, o którym recenzent wspomina: otóż w naszym języku rząd zastępuje miejsce zgody.

Zarzuca mi recenzent, że gdy się słowo odnosi do kilku przedmiotów, radzę, aby je zgadzać z domyślném imieniem *ludzie, kobiety, istoty, zwierzęta, rzeczy*, i że w tym względzie *przejąłem niegdyś poważny, a dziś powszechnie prawie zarzucony błąd Kopczyńskiego*. A mnie się zdaje, że Kopczyński bardzo logicznie postąpił, radząc zgadzać słowo z pojęciem, które w przytomnym umyśle sądzącego ogarnia rodzaj, liczbę, gatunek sądzonych przedmiotów, aniżeli, jak to nowotni grammatycy robią, nakazując dzieciom szukać *przedniejszego imienia* albo *przedniejszego rodzaju*, dla zgodzenia z nim słowa.

Nie wiem, dlaczego recenzent uważa opisy użycia i znaczenia przypadków bądź samych, bądź z przyimkami za rzecz słownikarstwa; ja prze-

ciwnie uważam tę część składni za bardzo ważną, i wysoko cenię Jakubowicza za wzorowe jój wypracowanie; bo czyż nie lepiej jest, aby nauczyć uczniów jak się robią dopełnienia i określenia, ukazać znaczenie przypadków samych i z przyimkami, niżeli np. wyszczególniać, czém każde słowo się dopełnia? To rzeczywiście tylko w słownikach da się zrobić; jednak i w grammatyce, chociaż w inny sposób wykonane być powinno. Prawda, że wszelkie podobne definicje przypadków i przyimków, jako pojęć ogólnych, są niezmiernie trudne i niedokładności pod tym względem recenzent w mojej książce podostrzegał; dlatego jednak, że to są rzeczy trudne, nie można ich odsyłać do słowników, gdy one wchodzą w zakres grammatyki.

Nie wiem, co może być jaśniejszego dla uczących się, nad taką definicyą *zdania złożonego*: Gdy jedno zdanie łączy się z drugim, powstaje ztąd zdanie złożone. Zapewnie, byłoby to niedostatecznym, gdybym zaraz idąc od praw ogólnych do szczególnych, nie powiedział, jakie zdania wchodzą w skład zdania złożonego, i nie odróżnił, co są zdania *dopełniające*, a co *określające*. Recenzent, jakby tego nie czytał, powiada, że jak wyżej niedokładnie były odróżnione *dopełnienia* od *określeń*, tak teraz *zdania dopełniające* od *określających*, i na dowód tego przytacza, że zaimek *które* na str. 103 nazwany jest *dopełnieniem*, a na str. 137 w tym samym przykładzie *określeniem*. Tu jest małeńkie przeoczenie ze strony recenzenta. Na str. 103 jest mowa, czém jest zaimek *które* dla słowa, należącego z nim do jednego zdania, jest mowa, że bywa *dopełnieniem* dla tego słowa, ale jest *określeniem* dla imienia, które zastępuje i które do poprzedniego zdania należy, i z którym się tylko w rodzaju i liczbie zgadza; na str. zaś 137 jest mowa o zdaniu *określającym*, połączonym z głównym przez zaimek *które*. A więc zarzut niesprawiedliwy, bo zaimek *który* zawsze jest *określeniem* dla rzeczownika do którego się odnosi.

Recenzent chcąc pokazać sprzeczność w moich twierdzeniach, stawia je obok siebie i powiada: Autor na str. 129 mówi: *Słowo w zdaniu głównym kładzie się w trybie oznajmującym lub rozkazującym*, a na str. 133: *przy zdaniu głównym kładzie się spójnik warunkowy by*. Mniejsza o to, czy *by* jest spójnik warunkowy czy przyrostek, nad czém się recenzent rozwodzi, ale to niedobrze, że recenzent tylko ostatni wiersz mojego przepisu przytoczył, i zrobił sprzecznym to, co jest bardzo logicznym. Ja wyraźnie wskazałem szczególny przypadek, kiedy i dla czego w zdaniu głównym kładzie się *by*: oto, gdy zdanie dopełniające wyraża *warunek przypuszczony*. Kto spełnienie woli robi zależnym od warunku przypuszczonego, więc i to spełnienie jest także warunkowym, niepewnym; ale żeby nie gmatwać nauki stosunków między zdaniami, wolałem ten szczególny przypadek oznaczyć w taki sposób, że spójnik *by* kładzie się w zdaniu głównym, jako niepewnym, niżeli głosić, że tryb warunkowy może być w zdaniu głównym.

W nauce o łączeniu ze sobą zdań tak pobocznych z głównymi, jak i głównych z głównymi, poszedłem za wykładem najlepszych dzieł, które traktują ten przedmiot ze stanowiska logiki, a nie za wykładem grammatyków, którzy patrząc na zewnętrzne formy myśli, używane w języku,

nie odnoszą ich wcale do koniecznych zasad myślenia, i tworzą tyle cudackich nazwisk, na oznaczenie rozmaitych gatunków zdań. I dlatego upatruwszy stosunki, jakie zachodzić mogą między myślami, odznaczyłem formy, jakie się na to wszystko znajdują w języku i podałem szczegółowe przepisy na łączenie zdań. P. S. za nie tę moją pracę waży i dodaje: Nizeli wdawać się w niedokładne wyszczególnienie, kiedy i jak łączą się z sobą zdania główne, należało raczej podać naukę o składzie okresów.—A toż ze zdań składają się okresy, a nawet zdanie bez żadnych określeń wyrażone, może stanowić okres, jak to widzimy w stylu ucinkowym; więc umiając wiązać i łączyć zdania, umiemy tworzyć okresy, i budowy okresów inaczéj nie pojmiemy, nie zbadawszy wszelkich możliwych stosunków między zdaniami, i nie nauczywszy się, jak one wyrażają się w mowie. I w składni nie można się więcéj zajmować okresami tylko pod względem zdań je składających; uwagi zaś nad przymiotami okresu, jakimi są: jedność, całość, długość i t. p. należą nie do składni, ale do nauki stylu.

Tak więc prawa łączenia zdań głównych, są zarazem prawami budowy okresów, a przepisy, tyczące *przecinkowania*, i wynikające z potrzeby robienia zawieszzeń głosu przy czytaniu lub mówieniu, muszą się stosować ściśle do gatunku zdań i stosunków, jakie między niemi zachodzą. Ale pan S. wyobraził sobie, że nauka okresów należy do składni, i nie znalazłszy w mojej książce nigdzie tego napisu: *składnia okresów*, pospieszył się z wyrzeczeniem, że o okresach nie powiedziałem, a przecinkowanie podałem prawie bez żadnej zasady. Albo i to także szczególny zarzut recenzenta, że opuścił ważną naukę o używaniu trybów i czasów. Zaraz przekonam, jak wyżéj, że nie kładąc nadpisów o użyciu trybów i czasów, powiedziałem jednak o tém wszystkiém. Tryb rozkazujący i oznajmujący służą do wyrażania zdań głównych, a więc ich użycie szczegółowych wskazań nie potrzebuje; inne zaś tryby zależą na umiejętném użyciu spójników wyrażających stosunek słowa do słowa; że zaś o użyciu spójników powiedziałem więcéj niż ktokolwiek inny, a więc masz pan naukę o użyciu trybów.

O użytkach trybu bezokolicznego powiedziałem gdzie należało.

Dziwię się, że recenzent nie zrobił mi jeszcze zarzutu, czemu np. w mojej składni nie powiedziałem nic o *budowie wierszy*, o *miarach* i t. p., a wszak i o tém rozpisują się niektórzy grammatyce. Przyznaję, że jakkolwiek piękną jest rzeczą o wszystkiém wiedziéć i pisać, ja jednak zrobiwszy plan mojego dzieła i w wykonaniu jego trzymając się ścisłego następstwa uwag i postrzeżeń nad budową języka, o tém tylko mówić musiałem, co ściśle z mojem zadaniem i celem miało związek, i nigdy nie zrozumieć, jaki związek z grammatyką mogą mieć np. okresy pod względem przymiotów uważane, albo robota wierszy.

Za dostrzeżenie niektórych powtarzanek w mojej książce, bardzo dziękuję recenzentowi, i jeżeli przyjdzie do zrobienia nowéj edycyi, postaram się, aby ich nie było.

W tym przykładzie: *Trzeba wzory brać za cel, aby zostać wzorem*, autor dostrzega najgorszy wybór, utrzymując, że zdanie takie zastosowa-

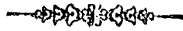
ne do dzisiejszego pojmowania *sztuki*, będzie wstrzymywać polot i swobodę ducha. Ale trzebaż pamiętać, że książka moja jest dla dzieci, które na takie stosowania powyższego zdania, nigdyby się nie zdobyły; a i w *sztuce* nawet czy rzeczywiście bez wzorów można się obejść?

Najmocniej przepraszam szanownego p. Wągę, za błąd drukarski w zdaniu, z jego pism wyjętém.

Dlaczego w uwagach nad pisownią, które mogą być bardzo krótkie dla tego, kto zna zasady grammatyki, radzę używać *joty* między dwiema samogłoskami do dwóch sylab należącemi, usprawiedliwiłem na właściwém miejscu.

Warszawa, d. 25 listopada, 1851.

J. A. Czajkowski.



ROZMAITOŚCI.

O dawném województwie sieradzkim.

(Dokończenie).

Mamże pominąć Porajów z Bużenina Pstrokońskich: Macieja († 1609) biskupa kujawskiego, Stanisława († 1657) biskupa chełmskiego, i Macieja († 1710) wojewodę brzesko-kujawskiego, tudzież Antoniego Paporonę († 1843) gorliwego starożytności miejscowych badacza? Nie wygasną imiona z Kalinowy Zarembów: Marcina, w r. 1430 wojewody sieradzkiego, syna tegoż Jana (1481) wojewody kaliskiego i wnuka, Jana (1525), także wojewody kaliskiego, oraz Józefa zmarłego około r. 1773 biegłego i mężnego wojownika.

Liczny szereg mężów nauką słynnych z województwa sieradzkiego pochodzących, podaje nam Album krakowskiej akademii, której w dostojności rektorskiej przewodniczyli: Jan z Wielunia w r. 1430, Paweł z Brudzewa († 1435) syn Włodzimierza herbu Dołęga, Mikołaj ze Spieymierza r. 1439, Paweł Pascovius z Piotrkowa († 1441), Paweł z Kłobucka r. 1463, Stanisław Floryan z Szadka w latach 1469 i 1474, Jakób z Szadka r. 1475, Mikołaj Prokopowicz z Szadka r. 1548 i Wacław Widawski r. 1600. W téjże samej akademii Henryk z Kłobucka był w roku 1441 professorem teologii i filozofii, Jan z Szatkowic przyjął r. 1443 baka-laureat filozofii, Wincenty Tymieniecki herbu Zaręba w r. 1453 piérwszym wieńcem filozofii obdarzony, Michał z Wielunia († 1487) słynął z biegłości w starożytnych językach, Wojciech Blar z Brudzewa (Albertus Vigellus) † 1497 był publicznym i prywatnym w matematyce Kopernika nauczycielem, a Jan Broscius (Brzoski) w r. 1581 w Kurzelowie urodzony, znakomite miejsce w téjże akademii jako matematyk zajmował.

Obok powyższych wydało to województwo pisarzy prawnych: Wojciecha Larysę Madalińskiego przed r. 1660 zmarłego, i Stanisława Kożuchowskiego, który około r. 1740 życie zakończył; z rzędu arcybiskupów gnieźnieńskich: błogosławionego Bogumiła Poraja († 1182), Jana Dymitra Solikowskiego († 1603) i Jana Wężyka († 1638); z biskupów zaś

krakowskich: Jakóba Zadzika († 1642) i Andrzeja Trzebieckiego († 1679). Tu się rodził Piotr z Widawy († 1441) sędzia ziemski sieradzki, znakomite miejsce za Władysława Jagiełły mający, tu mieli protoplastów swoich generał Antoni z Niedzielska Madaliński († 1804), ksiązę namiestnik Józef z Wrzący Zajączek († 1826), hrabia Edward z Raczyna Raczyński († 1845) i hrabia Alexander Colonna Walewski († 1845). Nie przestała jeszcze ziemia ta wydawać mężów znakomitych, do liczby których słusznie policzeni być mogą Stefan Złotnicki († 1847) odznaczony założeniem i trafnym urządzeniem miasta fabrycznego Zduńskiej Woli, Stanisław Kaczkowski, znany przez prace swoje literackie, Nepomucen Chomanowski niepoślednią na scenie warszawskiej rolę grający, i Marcus Maxymilian Fajans, urodzony d. 6 maja 1826, którego zręczność w rytownictwie, zamiłowanie i wytrwałość w pracy, znakomitych w przyszłości owoców na niwie sztuk pięknych spodziewać się każą.

Odwieczna ziemia sieradzka jest także odwiecznym gniazdem różlicznych familij, których przodkowie nie bajeczni, nie naciągani, lecz krytyczni i prawdziwi, zagubiają się w pomroce czasu, lub dla braku równoczesnych rękopismów żyją w podaniu narodu. Naruszewicz, idąc za Długoszem i krytycznie uważanym Kozmasem pragskim przywodzi (1), iż kiedy w czasie domowych w Czechach rozruchów Wojciech biskup pragski do Polski się przeniósł, brat jego Poraj uniknąwszy śmierci, braciom tegoż w czasie mszalnej ofiary w zamku Lubiku okrutnie zadanej, uszedł około roku 996 do króla Bolesława Chrobrego, który go wielu obdarował włościami. Żaden z autorów nie wspomina wprawdzie nazwy tych dóbr ani miejsca ich położenia, lecz domysł nas naprowadza, iż to musiały być okolice Bużenina, co nawet Łubieński biskup płocki w życiu Pstrokońskiego potwierdza (2). Bolesław Śmiały nie mogąc poczciwości Krystyny, ani ostrożności jej małżonka Mściława czyli Mieczysława z Bużenina oszukać, gwałtem ją w r. 1077 nastanemu żołdactwu porwać rozkazał. Potomkowie tychże, podzieliwszy się dobrami przyległemi: Bużeninem, Mojaczewicami, Wielką Wsią, Pstrykoniami i Swierzynami, pisać się poczeli Porajami Bużeńskimi, Mojaczewskimi, Wielewigijskimi, Pstrokońskimi i Swierzyńskimi, a następnie zostawszy właścicielami wsi okolicznych: Dąbrowy, Niechmirowa, Górek, Gruszczyce, Boryszowic i Żdżar, przybrali nazwy Dąbrowskich, Niechmirowskich, Góreckich, Gruszczyńskich, Boryszewskich i Żdżarówskich. Rozrodzeni na liczne gałęzie, przenosić się i do innych powiatów poczeli, zmieniając w ziemi wieluńskiej od Lipnika nazwę na Lipnickich, w Ostrzeszowskiem od Mikorzyna na Mikorskich, w Szadkowskiem z Podłęzyc na Podłęskich. Rozszerzyli się i w powiat piotrkowski, w którym od dóbr Dobrzełowa, Jeżowa, Sucheic i Złobnicy, przez siebie posiadanych, przezwali się Dobrzelewskimi, Jeżowskiemi, Sucheckimi i Złobnickimi. I powiat radomski osiadły przez nich został, a wsie Gidle, Kobile, Kodręb, Łagiewniki, Raczkowice i Zamoście dały początek nazwie Porajów Gidzielskich, Kobielskich, Kodręb-

(1) Historia narodu pols. pod r. 995. Edyc. Lips. T. IV. p. 53. przypis 1.

(2) Niesiecki pod wyrazem Bużeński herbu Poraj.

skich, Łagiewnickich, Raczkowskich i Zamojskich. Przyjmowali oni i zasłużoną nieszlachtę, za wiedzą króla i sejmu do herbów swoich, jak mamy przykład w r. 1598 na Piotrze Mniskiu, mieszczaninie z Sieradza, za odznaczenie się w bitwie pod Byczyną do zaszczytu szlacheckiego z herbem Poraj wyniesionym.

Miasteczko Wieruszów w powiecie ostrzeszowskim, nad rzeką Prosną położone, jest gniazdem rodziny Wieruszów, którzy już na początku XIVgo wieku występują (1), a następnie licznie rozrodzeni, od włości swoich dziedzicznych Biały, Kępna, Kowali, Michałowa, Walknów w ziemi wieluńskiej, tudzież Niemojewa i Stolca, pogranicznych wsi powiatu sieradzkiego, przyjęli nazwę Wieruszów Bielskich, Kępińskich, Kowalskich, Michałowskich, Walknowskich, Niemojewskich i Stoleckich.

Znakomity szereg mężów województwa sieradzkiego, herbu Korab na tarczach swych używających, i kasztelania Spicmirska w sieradzkim powiecie, już około r. 1081 przez Roberta Korabitego rządzona, naprowadzają na domysł, iż i Korabowie w ziemi niegdyś sieradzkiej zawiązać się musieli. Tutaj wyszli z powiatu sieradzkiego z Chociszewa Chociszewscy, z Czartek Czartkowscy, z Kobierzycy większego Kobierzycy, z Kocielek Kocielekowi, z Miłaczewa Miłaczewscy; z powiatu szadkowskiego z Łasku Łascy, z Łopatek Łopateccy, z Ostrowa pod Wartą Ostrowscy, z Wojśławic Wojśławscy, a z Russocic i Łasku Russoccy; z ziemi wieluńskiej z Bieniędziej Bienięccy, z Dąbrowy Dąbrowscy; z powiatu ostrzeszowskiego z Godziętów Godziętkowscy, a z radomskiego, z Kuchar Kucharscy, i wiele innych.

Komuż nie jest znana przygoda Floryana Szarego z Mojkowie, w bitwie pod Płowcami roku 1331, d. 27 września z Krzyżakami stoczonej, którego trzema włóczniami przebitego i jelita własno w wnętrzości wypychającego, król Łokietek od złego sąsiada uwolnił, całą mu wioskę Bąkową Górę zakupił i herbem Jelita zaszczycił (2). Zamek Surdega w powiecie piotrkowskim nad rzeką Pilicą położony, a własnością Floryana tego będący, wydał liczne familie Saryuszów, zamożnością, walecznością i zasługami w narodzie wsławionych; wnuków mnogich Floryana tego wspominają księgi piotrkowskie i radomskie, jako dziedziców na Mojkowicach, Woźnikach, Górze i innych (3). Potomkowie ich osiedliwszy się w Piotrkowskim we wsiach Białocinie, Gomolinie, Kamocinie, Kozierogach, Łochyńsku, Piwakach, Postękalicach i Wilkoszewicach, przyjęli stałą nazwę Białeckich, Gomolińskich, Kamockich, Kozierowskich,

(1) Sommersberg t. II. p. 189—190 przytacza w anonimie o życiu biskupów wrocławskich, iż roku 1319 kapituła wrocławska rozdwojona, wybrała jednocześnie dwóch biskupów wrocławskich, to jest Wita Niemca i Lutolda kanonika wrocławskiego Polaka, z rodziny Wieruszów. Przez lat 7 obiedwie strony popierały swą sprawę przed papieżem; sprawa Wita wzięła górę, lecz tenże w dni 8 po otrzymanej o tém wiadomości, życie zakończył.

(2) Naruszewicz, Historia narodu polskiego, wyd. lipskie, t. VIII, p. 238.

(3) Księgi piotrkowskie grodzkie i ziemskie biorą swój początek od roku 1398; radomskie grodzkie od r. 1397, ziemskie zaś od r. 1410.

Łochyńskich, Piwakowskich, Postękalskich i Wilkoszowskich; w Radomskiem zaś od wsi Gawłowa, Jajek (1), i Skapy, przezwali się Gawłowskiemi, Jajkowskimi i Skąpskimi, a od Mokrska w ziemi wieluńskiej Mokrskimi; podobnież powiat szadkowski z wsi Paprotni, Wrzesin i Tarnówki, szczycił się Paprockimi, Wrześnińskimi i Tarnowskiemi. Zaszczupłe już było dla tak rozgałęzionej familii Saryuszów województwo sieradzkie, przenieśli się i do innych, nietylko pogranicznych, lecz nawet odleglejszych, z którychto Saryuszów pochodzi szczytna rodzina ordynatów Zamojskich.

Wieś Wola Wężykowa w powiecie szadkowskim położona, była główną siedzibą Wężyków, z których Meugius Wanszig czyli Msczyvius Wanzik w księgach ziemskich sieradzkich jeszcze pod rokiem 1386 jest przywiedziony (2). Potomkowie jego wsie sąsiednie i okoliczne włości Siedlce, Osiny, Rudę, Podole i Widawę osiadłszy, od tychże Wężykami z Woli Siedleckimi, Osińskimi, Rudzkimi, Podoleckimi i Widawskimi nazywać się zaczęli.

Zarębów słynna familia, na pograniczu województw kaliskiego i sieradzkiego niegdys osiadła, pisząca się z Taliszkowa, Sławska, Komorowa, Grabowa, a po największej części z Kalinowy, płodna w mężów, znakomite godności krajowe piastujących, rozróżniać się zaczęła w czasach późniejszych od dóbr, odwiecznie po mieczu na siebie spadłych; z takowych potomkowie jeszcze dzisiaj na dawniej ziemi sieradzkiej pozostali, mianują się z Kalinowy z Zarębów kościelnych, leśnych, ciemnych, górnych i święckich.

Herb Pomian, jeżeli nie w województwie sieradzkim, to przynajmniej blisko takowego w Wielkopolsce musiał wziąć swój początek. Sam prawie tylko powiat sieradzki zawierał w sobie protoplastów Pomianów, którzy od wsi przyległych Łubny, Cieni, Brudzewa, Kobierzeka małego i Żerosławie, nazywać się zaczęli Łubieńskimi, Cieńskimi, Brudzewskimi, Kobierzeykimi, Żerosławskimi, a od dalszej Grabna Grabieńskimi.

Podobnież i herb Swinka zdaje się być często wielkopolskim, gdyż jego antenaci znakomite tutaj piastowali dostojności. Piotra Swinki kasztelana spieckiego, w roku 1364 na Charlupi małej dziedzica, następcy pisali się Zajączkami z Wrzący, a rozgałęzieni po włościach Mącznikach i Kakawie, nadali początek przy schyłku XV wieku familiom Zajączków, Maczyńskich i Kakawskich. W tychże samych okolicach powiatu sieradzkiego powstała rodzina Kaczkowskich herbu Swinka (3).

Włość Rokszyce w powiecie ł Piotrkowskim leżąca, przydała niemałą gałąź czysto sieradzką herbowych Pobogów z Rokszyce piszących się,

(1) W naszych czasach przekształcone na Janki.

(2) Księgi ziemskie sieradzkie poczynają się od roku 1386.

(3) Kaczkowscy herbu Swinka przez Niesieckiego zupełnie opuszczeni, pisali się z Kaczek w powiecie sieradzkim położonych, które dzieliły się, jak z ksiąg miejscowych wypływa, na Kaczki, Siewieruszki, Średnie, Stare, Trzaskowe, Plastowe, oraz Kaczki zwane Strzeżek i Muchtowe.

któremi byli Rokszyccy, Dąbrowscy, Pągowscy, Ruszkowscy i Zapolscy. Przodkiem ich był Mscugius (Mściwosz) z Koniccpola, piszący się z Rędzin, brat rodzony Stanisława z Rzaśni, podsędek (od r. 1440—1442), a następnie sędzia ziemski sieradzki (od r. 1442—1450), który w roku 1432, wieś Rokszyce od Jana Thasko z Koniccpola za wieś Rędziny i 100 grzywien nabył (1). Księgi sieradzkie uczą nas, iż ten Mściwosz zaczął się mianować z Rokszyce, a z Węzykównej siedmiu pozostawił synów, z których Jan był kanonikiem sieradzkim, i proboszczem w Grabnie, Andrzej proboszczem w Szadku, Jan dziedzicem na Sobiepanach, Jerzy dziedzicem na Luboli, a zaś Jakób na Rokszycach pozostały, podstoli, podsędek, a następnie sędzia ziemski sieradzki, rodziny Rokszyckich dał początek. Stanisław na Dąbrowie Wielkiej utworzył linią z Rokszyce Pobogów Dąbrowskich; z synów jego Jan na Dąbrowie pozostał, a zaś Andrzej, Złoczów i Ruszków w dziale zyskawszy, rodzinie Ruszkowskich stał się założycielem. Ostatni Mściwosza syn, z imienia niewyrażony, na Pągowie dziedzic, przez syna swego Andrzeja z Ruszkowską ożenionego, został głową rodziny Pobogów z Rokszyce Pągowskich. Któryś z powyższych Rokszyców potomek, wieś Zapolice w szadzkowskim powiecie nabywszy, od niej Zapolskim z Rokszyce na początku XVI wieku pisać się zaczął.

Zawitali i Jaksowie herbu Gryf do województwa sieradzkiego, a osiadłszy powiatu szadzkowskiego wsie Kwiatkowice i Krobanów, przewali się Kwiatkowskimi i Krobanowskimi, w Piotrkowskim zaś od Byków i Żeromina, Jaksami Bykowskimi i Żeromskimi, a w Ostrzeszowskiem od Wiktórowa Wiktorowskimi.

Możnaby jeszcze więcej herbów i herbownych z województwa sieradzkiego początek biorących przytoczyć, lecz podrzędność materji, i za długie jednemu przedmiotowi poświęcenie, sprawiłyby pewien rodzaj znudzenia; to tylko dodać muszę, iż na gruncie ziemi dawniej sieradzkiej, stoją pod dziś dzień włości herbów niektórych nazwy mające, jakoto: Leliwa i Nieczuj w powiecie sieradzkim, Poraje i Nałęcz w wieluńskim, Róża w szadzkowskim i piotrkowskim, Ostoja w piotrkowskim i wieluńskim, oraz wiele innych.

Mieszkańcami dawnego województwa sieradzkiego byli pod względem narodowości: Polacy do roli i szabli przywiązani, Niemcy rzemiosłom i fabrykom się poświęcający, żydzi, handlowi i szacherkom oddani, tudzież cygani, trudniący się ślusarką, sprzedają po jarmarkach koni, i wróżbą z dłoni, w ziemi wieluńskiej wśród lasów Lututowa osiedli. Pod względem religji, dzielili się na katolików, ewangelików, kalwinów, arianów i wyznawców Mojżesza; nieznano tutaj zwolenników alkoranu ani Focjusza.

Reformacya w Niemczech, na początku XVI wieku zawiązana, wyniesienie się w roku 1549 wszystkich studentów z akademii krakowskiej za granicę, niezadowolonych wyrokiem w sprawie z sługami ks. Andrzeja Czarnkowskiego proboszcza wydanym, przytułek w Polsce dawany różnowiercom gdzieindziej prześladowanym, i zwiedzanie przez polską

(1) Castr. Strad. Lib. 6. pag. 354.

młodzież zagranicznych akademij: sprowadziły do Wielkopolski, a zarazem i na ziemię sieradzką zwolenników Lutra i Kalwina. Chwyciła się tych nowości i oświecenijsza klasa Sieradzanów, jakoto: historycy Bielscy, familie Łaskich, Koniecpolskich, Brudzewskich i inne; w ślad za nimi poszła i część szlachty. Znalazł i Faust Socinus swoich wyznawców, a Krysztoporscy wznosić poczęli w Piotrkowskiem świątynie arianom; lecz wystąpienie publiczne Jezuitów, gorliwość Wazów w nawracaniu, która Janowi Kazimierzowi tytuł *Regis Orthodoxi* (prawowiernego) od papieża Alexandra VII zjednała, i prześladowania powszechnie różnowierców, wbrew przywilejom poprzednio tymże nadanych, sprawiły, iż bardzo wielu z nich, bądź z przekonania, bądź dla interesu, bądź z przymusu do pierwotnego powróciło wyznania, lub za granicę się wyniosło. Przetrwały to wszystko familie dziś jeszcze na ziemi sieradzkiej będące, reformowanego wyznania: Bronikowskich z Opolna, Karczewskich z Karczewa herbu Samson, Kurnatowskich z Bytnia herbu Łódzia, Nieszkowskich, Nekandów z Czapel, Trepków herbu Topór, Unrugów i Żychlińskich herbu Szeliga.

ANNA NAKWASKA.

(Wspomnienie).

W zeszłym miesiącu października umarła w dobrach swych *Mala Wieś* o 10 mil od Warszawy, *Anna Nakwaska*.—Wszystkie pisma czasowe wychodzące w Warszawie doniosły o jój zgonie, wszystkie owszem po dwakroć i po trzykroć poświęciły wspomnienia pamięci zmarłej.—Nakwaska należała zapewne do znakomitszego światowie koła towarzyskiego; iluż jednak światowo-wielkich zchodzi ze świata, a żadna głośniejsza wzmianka życia ich nie przedłuża? Nakwaska uprawiała piśmienność, lecz wyznajmy: udziałem zmarłej autorki nie był gieniusz; jakież więc powód spółczucia?—Zmarła Nakwaska byłato przyjaciółka rzetelna ludzi, kraju i piśmienności krajowej, a życie jój, życie długie, byłoto nieprzerwane i żywe pasmo oznak owój przyjaźni.

A. Nakwaska (z domu *Krajewska*, urodzona 1779 r. we wsi *Gołęb* dziś gub. lubelskiej) wzrosła była z lat młodych z sercem żywem i kochającym, i podzieliła wczesnie tę miłość między świat ludzi i myśli. Powołana aby zostać autorką, zawód ten uważała nie jako główny, lecz dodatkowy w swém życiu, jako pomoc i jako środek do wyrażenia pierwszego z tych uczuć. Wychowana wpół z cudzoziemską, języka krajowego ucząca się lepiej dopiéro od męża (był nim *Franciszek Nakwaski* b. kasztelan i senator), pierwsze utwory pióra ogłaszała w języku francuzkim, a celem ich było: zaznajamianie czytających językiem tym z przedmiotami swojego kraju. Kiedy w r. 1816 czy 17, ukazał się pierwszy

oryginalnie po polsku napisany romans: *Malwina*, powieść tkliwa, i jak się wyraził Feliński „samemi niedoskonałościami swemi ujmująca”, a piórom kobiety napisana, *N.* pospieszyła donieść o tryumfie tym cudzoziemcom i przetłumaczyła *Malwinę* na język francuzki (1). Wkrótce potem wydała w dwóch tomach *Trois nouvelles*, opowiadające tymże językiem kilka szczegółów z historii krajowej (2). W tym téż czasie, zdaje się, iż się dopełniło było pewne przeważenie wyobrażeń w autorce; jej to bowiem był pióra umieszczony bezimiennie w *Pamiętniku Warszawskim* (jeżeli się nie mylimy z r. 1821), artykuł pod napisem: *O wychowaniu Polek przez Polkę*. W artykule tym z powagą, ale wdzięcznie napisanym, ogłaszała autorka, snąc nowe na owe czasy odkrycie, że dobre wychowanie Polek winno być polskie. Obowiązek wykonywania objawionych przez siebie samą zasad, wyuczenie się władania językiem krajowym, i wreszcie przykład znakomitszych Polek, sprawiły: iż wszystkie odtąd ogłoszenia Nakwaskiej były w tymże języku.

Ogłoszenia te składały częścią powieści, częścią opisy podróży. Do pierwszych ile wiemy należą: *Aniela*, *Młodość Kopernika* (3), (powiastka przełożona na francuzkie i niemieckie); dwa tomy powieści p. n. *Odwiedziny babuni* (4), *Czarna Mara* (powieść historyczna z ostatnich czasów udzielności księstwa mazowieckiego) (5), *Dwa obrazy z towarzystwa warszawskiego*, (6) *Chrzestna matka w Koronie, ustęp z XVIgo wieku*, *Otton i Berta* (7) i wreszcie *Powieści starego stolarza* (8); do drugich: *Wspomnienia z podróży w Szwajcaryi i Tyrolu z r. 1837* (9), oraz *Wspomnienie z podróży 1844 roku*.

Powieści Anny Nakwaskiej mają wszystkie jeden sobie właściwy charakter. Historyczność byłato sfera może zanicwłaściwa, zaciężka dla autorki światowej, tém więcéj lot poetyczny lub barwa filozoficzna; powieści *N.* sąto opowiadania poprawne, potoczne, jasne, złożone z charakterów i węzłów nieraz spotykanych na świecie; kopie obrazów i rozmów rzeczywistości wierne, rzec można zanadto wierne, albowiem do sfery sztuki prawie niepodnoszone; cel ich zwykle obyczajowy. Nie czyniąc okresu w gałęzi, opowiadania te jednak mogą bezpiecznie i korzystnie pomnożyć każdy gabinet czytelnicy domowej. Za interesowną mianowicie poczytujemy *Młodość Kopernika*, a za najwięcéj odpowiadające celowi *Powieści stolarza*. Gałąź mająca służyć dla wychowania i za lekturę dla klass średnich jest może najuboższą w naszej literaturze, brak

(1) *Malwina ou l'instinct du cœur. T. II. Varsov. 1817.*

(2) *Trois nouvelles et suite de trois nouvelles. Vars. 1821.*

(3) Powieść umieszczona w nowor. *Jutrzenka* z r. 1833.

(4) *Odwiedziny Babuni, powieści dla dzieci. T. II. Warszawa. 1834.*

(5) *Czarna mara, powieść historyczna z XVIgo stulecia. T. II, Warsz. 1841.*

(6) *Dwa obrazy z Towarzystwa Warszawskiego. Poznań, 1841.*

(7) Obie te powieści umieszczone były w dzienn. *Pielgrzym.*

(8) *Powieści starego stolarza.*

(9) Drukowana w *Przeglądzie Nauk.*

ten każe nawet nieraz zapominać w téj klassie umiejętności czytania; Powieści stolarza, (t. j. przez starego stolarza w wieczory niedzielne opowiadane powiastki), lubo cząstkowém, ale wyborném są zastąpieniem tego braku. Każda z powiastek zbiorku opowiedziana poprawnie, jasno, ma swój interes i morał. Książeczka ta przełożoną jest na język włoski (przez Szwajcarkę, pannę *Lajsering*).

Wrażenia z podróży podobnie należą do zakresu miłego i korzystnego czytania.

Pisano wiele o *Pamiętnikach*, które pozostały w rękopismach po A. Nakwaskiej; pamiętniki te czytaliśmy i rzeczywiście nie możemy im zaprzeczyć zajęcia. Sąto wprawdzie notatki nieodznaczone ani dramatycznym ruchem, ani bogactwem szczegółów historycznych, ale sąto notatki z przeciągu lat wićcéj 30, pisane w miejscu, które może ze wszystkich miejsc świata, najwięcéj przez przeciąg tego czasu przemian widziało, i pisane przez postrzegaczkę, mającą z pewnej strony korzystne położenie do czynienia spostrzeżeń, (mąż autorki przez cały czas Księstwa Warszawskiego, do którego Pamiętniki głównie odnoszą się, był prefektem departamentu warszawskiego, i dom Nakwaskich należał wtedy do najwięcéj ożywionych ruchem czasowym). Pamiętniki te ogłoszone pomnożyłyby materyał jeżeli nie do ogólnej historyi krajowej, to jednak do historyi przemian towarzystwa wyższego m. Warszawy, przez cały ciąg pierwszój ćwierci naszego stulecia.

Lecz prócz pism i poezyi, niemniej mającemi znaczenie dla życia myśli, były: rozmowa i towarzystwo Anny Nakwaskiej. Nie podzielały bynajmniej narzekań i nieraz powtarzanych zarzutów, (zarzutów do których tylko przemijający pozór powodem być może): jakoby w gruncie naszych klass wyższych tkwiła pogarda do tego co jest krajowe, do tego co jest uprawą myśli i t. p. I owszem, gdybyśmy w tém mieście w którym piszemy, chcieli wymienić te domy, które odznacza zamiłowanie tego co piękne, krajowe, sztuk, nauk i t. p., musielibyśmy ledwie nie wszystkie znakomitsze wymienić; wszakże nie można zaprzeczyć, iż to przywiązanie i to zajęcie się ruchem krajowym moralnym, było o stopień wyższe w zmarłej Nakwaskiej. Anna Nakwaska o poezyi, o książce, nie wahała się nieraz mówić, nawet w dzień bału. Nie było w literaturze krajowej żadnego imienia, zjawiska nowego, o którymby wnet nie wiedziała, żadnej nowój książki (z działu przynajmniej literatury pięknej), którejby zaraz po wyjściu na stoliku u siebie nie miała, nie odczytała, i o jej wartości rozmowy po kilkakroć nie przeprowadziła. Miłość własna, to uczucie nader zapewne godziwe dla duszy człowieka, nie była obcą autorce, a wrodzona otwartość, (ten znak nieomylny prawości), wiekiem przytém w ostatnich latach mnożona, przedstawiała ją nawet nieraz żywo na zewnątrz. O pismach swych autorka rada mówiła, rada słuchała je przed sobą odczytywane w gronie nowych słuchaczy, a z głosów zwracających wtedy uwagę na zalety części szczególnych, głos samój autorki nie był ostatni. Przypominamy w téj chwili, iż kiedy przed laty kilką krążyła i odczytywaną była w mieście korespondencya dwóch znakomitych naszych autorek (*Rozrywek dla dzieci* i *Myśli o wychowaniu ko-*

biół), w której obie pierwszeństwa sobie nawzajem ustępowały, *N.* opisała tę walkę w krótkiej allegorycznej powiastce, której myśl była taką: „*Fijolek* i *Róża*, dwa piękne kwiaty, zwracały uwagę ludzi wdziękiem swych zalet, i słusznie; ale przyszły śkwary i burze, i piękne kwiaty znikły, a cichy *nieśmiertelniczek*, który rość zdala i nie zwracał uwagi ludzi, przeżył i *fijolki* i *róże*.” Wszakże ta miłość *własna* ustępowała zawsze w autorce, *ogólniej*; np. radości z dobrej nowej książki krajowej, i radość tę owszem wokoło podzielać i przelewać w innych lubiła. Kiedy w ostatnich latach literatura nasza zyskała kilka rzetelnej i wyższej piękności powieści i romansów, autorka traciła nawet na chwilę otuchę ducha, i słyszeliśmy sami mówiącą: „o jakże też piszą już dzisiaj! nie będę już więcej pisać.” Winniśmy dodać, iż to zniechęcenie chwilowe wkrótce zniknęło, a myśl i pióro autorki nie przestawały być czynne i w coraz nowe odziewać się kształty, prawie do śmierci. Ostatnim jej utworem, ile słyszeliśmy, były wiersze, któremi polecała siebie pamięci kmiotków.

Przyjaciółka wytrwała myśli, niemniej była wszakże (i owszem, w stopniu wyższym) przyjaciółką wytrwałą świata. Miesiące zimowe zwykła była zmarła Nakwaska zawsze w Warszawie przepędzać, a wiek nie sprawił był zmiany w porządku życia i nie przytępił żywości młodej. Licząca w ostatnich latach więcej 70 lat życia, wdowa, prawie zupełnie pozbawiona wzroku, składająca dom swój sama, z témże zajęciem się i oddaniem światu jak zawsze podzielała zabawy miasta. Postać zmarłej *N.* była taką, jaką młode pokolenie ma za ideał: kasztelanowej albo wojewodziny; lecz chociażbyś jej nie poznał w zebraniu po tej postaci (po tej np. poważnej ale szykownej tuszy, puklach pod strojnym czépkim obfitych, lśniącym a zawsze czynnym wachlarzu i t. p.), odróżniłeś obecność jej zaraz po głośniejszej, żywej, (a w dwóch językach z równą łatwością prowadzonej) rozmowie, wesołości, zwrotach dowcipnych i t. p. Ta sprzecznność, ta łączność w jednej osobie powagi i żywości dziewczęj, jesieni i wiosny, miłości namiętniej świata i razem myśli, obok pewnych zasług dla obu, szczeroci słowa: czyniły zmarłą Nakwaską wyłącznym, sobie właściwym wzorem, i dlatego tu zapisujemy te szczegóły. Zebrania i zabawy w domu Nakwaskiej odbijały też cechę podwójną: zebrania to odznaczały się zwykle towarzystwem świetnym, i wynalazkiem jakiegoś ożywienia moralnego.

Tak żywą, tak oddaną światu i myśli, widzieliśmy ją jeszcze przed rokiem, i owszem, zaledwie nie przed miesiącem, gdy przyjechała tu tegoroczny a ostatni dzień swych imienin (dzień św. Anny) przepędzić. Nieodstępując zwyczaju, gotowała się właśnie do przepędzenia w Warszawie 43ciej czy 44tej z kolei zimy, gdy ją już prawie na wyjeździe będąc, śmierć zaskoczyła.

Rzec można, iż mury Warszawy zdziwione będą, nie widząc z nadejściem zimy wśród siebie Anny Nakwaskiej, że zabawy zimowe nie będą wiedziały jakim isć biegiem, i literatura krajowa uczuje też brak jednego z żywych ognisk wśród swego rozbiegu.

Z uczuciem istotnym żalu, i my w tém piśmie, poświęcamy te kilka słów jej pamięci.

Przyjaciółka tak szczerą światą, oby długo nie była odrzuconą z pamięci świata!

Przyjaciółka piśmienności krajowej, oby nie była przepominana w dziejach téj piśmienności!

A. T.....ski.

Wspomnienie o K. N. Wysockim.

Imię artysty, który talentem swym niejedną uprzyjemnił nam chwilę, a który niezmordowaną i sumienną pracą zasłużył sobie na wdzięczność licznych uczniów: powinno zaiste być przekazaném niezgasłej pamięci, tém bardziej, gdy imię to nosił artysta, który długo wśród nas Warszawian przebywał i tu pozostawił ślady i owoce swéj pracy i talentu. Kraj nasz niezbyt wielki liczy poczet ludzi odznaczających się w muzyce; tém skwapliwiej chwytajmy każdy szczegół, jaki o ich życiu dojść może naszej wiadomości.

Kasper Napoleon Wysocki urodził się w mieście Pińczowie dnia 6 grudnia 1810 r., z ojca Tomasza Wysockiego, naówczas rektora szkół pińczowskich, a następnie krakowskiego liceum. Początkowe nauki pobierał w Krakowie. W dzieciennym już wieku okazywał usposobienie do muzyki, a postępy w niej tak były widoczne, że w r. 1822 słynny w owym czasie fortepianista Arnold, w przejeździe przez Kraków dostrzegłszy znakomite zdolności muzyczne dwunastoletniego młodzieńca, oświadczył się z chęcią dalszego kształcenia go; w skutek czego młody Kasper wysłany został przez rodziców do Berlina, gdzie parę lat przez Arnolda w zamiłowanej przez siebie sztuce był doskonałym.

W roku 1829 przybył do Warszawy, i tu stale zamieszkiwał, z wyjątkiem odbytych kilkakrotnie za granicę wycieczek artystycznych, lub też dla poratowania zawsze wątłego zdrowia. W Warszawie, Wrocławiu i Dreźnie dał się poznać jako biegły fortepianista i grywał kilka razy publicznie. W miesiącu lipcu 1849 r. z powodu znacznie pogorszonego stanu zdrowia udał się do wód w Ems; doznał tam chwilowej w cierpieniach ulgi, i gdy właśnie familia i liczni przyjaciele powrotu jego oczekiwali, otrzymano smutną wiadomość, że dnia 22 września 1850 r. w mieście Zurych w Szwajcaryi żyć przestał.

Człowiek cichy, łagodny, uprzejmy, posiadał rzadki takt w postępowaniu i wiele dowcipu; zdrowia słabowitego, nerwowego, był błady i niski. Wielce ceniony, jako nauczyciel miał znakomitą wziętość. Skłonny z natury do wielkiej pobożności, i skołatany rozlicznymi przeciwnościami, przy schyłku życia oddał się religijnym praktykom nad miarę słabych sił swoich, a pielgrzymka pobożna, odbyta w czasie słotnym na kilka tygodni przed śmiercią, przyspieszyła zapewne zgon jego.

Jako kompozytor wystąpił zaszczytnie nasz Wysocki ułożeniem wielu krakowiaków, ćwiczeń (études), mazurów, rapsody i t. p. na for-

tepian, oraz piosnek do śpiewu. Z tych mało dotąd wyszło na widok publiczny, a krakowiaki jego w Lipsku wydane (dzieło Isze, dwa zeszyty) liczą się do najpiękniejszych jakie kiedykolwiek napisano. Prócz tego wyszły rapsodye i walc, a w Warszawie 12 pieśni z towarzyszeniem fortepianu. W rękopiśmie posiadamy wielki krakowiak z orkiestrą (dzieło 7me), grywany kilkakrotnie przez autora na swych koncertach.

Pomiędzy melodyjami ludowymi charakterystycznymi, krakowiak głównie zajmuje miejsce, bo tę ma szczególną własność, że zarazem jest pieśnią i tańcem (1). Ta własność nadaje mu osobną barwę, niezwykłą wyrazistość i oryginalność; które czerpane z miejscowości i z ducha mieszkańców, nietyłe są zrozumiałe dla cudzoziemców, ale tém miłsze dla nas, że wyłącznie własne. Któż w tych melodyjach nie czuje wesołej swobody pracowitego rolnika, pod natchnieniem pięknej górzystej krainy u podnóża Karpat, i komuż na myśl nie przyjdzie „Albośmy to jacy tacy!” W ośmiu krakowiakach Wysockiego jest parę takich, gdzie charakter dziarski pryskający tego tańca z dźwiękiem i szczękiem mosiężnych kóteczek u pasa jak najszcześliwiej schwycony; większa część jednak nosi na sobie cechę pieśczośliwej wesołości lub smętniej góralskiej tęsknoty, z towarzyszeniem jakoby dalekiej kobzy. Życzyłoby należało, aby pozostałe w rękopiśmie kompozycye, mianowicie krakowiaki, znalazły chętnego wydawcę, gdyż są między niemi dzieła z serca wysnute, a jako rodowe, godne upowszechnienia między prawdziwie muzykalną publicznością.

O. K.

(1) Co wprowadzić i o obertacie powiedzieć można, acz w daleko mniejszym stopniu.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

Nowyy metal *donar* (Donarium). Przy doświadczeniach z minerałami norweskimi, to jest welerytem, cyrkosienitem, i t. p. wydzielił Bergemann ciało, które tak w postaci niedokwasu, jako też i w związkach, zdawało się różnić od wszystkich dotąd znanych pierwiastków. Nadał mu więc nazwisko *donar*, od bożka teutońskiego tegoż imienia.

Minerał w którym rzezony metal został znaleziony, nietrudno się rozkłada, a z kwasem solnym tworzy galaretę zupełnie przezroczystą, bez najmniejszego osadu. Z powyższej rudy z łatwością pierwiastki wydzielić można: a przypuszczając, że krzemionka, niedokwas donaru i woda, stanowią główne jęj części składowe; bo węglanu wapna z innymi ciałami znajduje się w 100 częściach minerału, tylko 0,825; a zatem to uważać można za przypadkowo zanieczyszczenie. Skład téjże rudy jest następujący:

krzemionki.	18,463
niedokwasu donaru. .	74,338
wody.	7,199.

Niedokwas donaru zawiera 13,072 na 100 kwasorodu; ruda zaś tego metalu jest *krzemionkanem niedokwasu donaru*.

Wodan niedokwasu donaru wilgotny, jest biały; ale stopniowo żółknie. Wyszuszony w cieple zwyczajném, tworzy ciało podobne do gumy, żółte, które wydaje proszek czerwony; ten zaś jest wodanem czystego niedokwasu. Powyższy wodan rozpuszcza się w cieple zwyczajném we wszystkich kwasach, a za użyciem kwasu solnego nie wywięzuje się przy tém chlor.

Donar metaliczny otrzymuje się przez ogrzewanie niedokwasu donaru z potażem; wtedy rozkład szybko następuje przy wywięzywaniu się światła. Potém nalewa się na wszystko wody; a wtedy metal wydziela się w postaci proszku ciężkiego, czarnego jak węgiel kamienny. Zlewając szybko z wierzchu roztwór alkaliczny, a proszek przepłukawszy wodą, można go przechować pod wodą zimną przez 24 do 36 godzin bez zmiany; w wodzie jednak ciepłej, nabiera stopniowo barwy szaro-żółtawej, co pochodzi od jęgo zniepokwaszenia się. Proszek suchy ucierany

w móździerzyku agatowym, okazuje połysk metalowy. Przy wsypywaniu go po trosze w płomień lampy, płonie światłem czerwonym, i zmienia się w niedokwas czerwony; toż samo spostrzegamy przy ogrzewaniu go na łyżce platynowej. Kwas solny gorący i zimny, nie działa na ten metal. Kwas saletrowy nie rozpuszcza go wcale na zimno, a słabo na gorąco. Woda królewska zmienia go prędko w niedokwas czerwony, z którego małą cząstkę rozpuszcza. Kwas siarkowy tworzy natychmiast z niedokwasem, siarkan.

Niedokwas donaru otrzymany przez prażenie wodanu, jest w proszku ciemno-czerwonym, bardzo ciężkim; bezwodny trudno łączy się z kwasami. Roztwory wodanu tego niedokwasu w kwasie saletrowym i siarkowym, są bez barwy; roztwór jednak w kwasie solnym jest żółty, jakby sól żelazna. Ale ta barwa za oziębieniem niknie, a na nowo powstaje przy ogrzewaniu.

Niedokwas osadza się z swych roztworów, przez potaż lub sodę, i nie rozpuszcza się w nadmiarze tych dwóch alkaliów; węglany potażu sody i amonii tworzą w jego solach osad biały, rozpuszczający się w ich nadmiarze. Sinek żelazisty potasu żółty, daje w solach donaru osad cielisty, wpadający w brunatny; wodoród siarkowy, i roztwór galasu nie tworzą w nich mętów.

Pod dmuchawką niedokwas donaru nie okazuje szczególnych zjawisk. Na samym węglu nie zmienia się w metal; ale topiony z sodą tworzy guzik, w którym pływają cząsteczki niedokwasu nierozpuszczonego: te zaś za oziębieniem rozpoznać można przez szkło powiększające, po ich barwie czerwonej. Z boraxem wydaje guzik żółty, który niknie za oziębieniem. (Treść z pisma *Ann. der Phys. und Chem. April, 1851.*)

J. B...a.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1851.

106. Bénévenuto Cellini przez Alexandra Dumas. Przełożył z francuzkiego J. B. 5 tomów. 12ka. Warszawa. 1851. Druk Józefa Tomaszewskiego. Tom I, str. 226, II, 194. III, 203. IV, 211. V, 198.

107. Jerzy Cuvier i jego prace. Przez P. Flourens Dzieło obejmujące treść historyi naturalnej zwierząt, czyli zoologii, anatomji porównawczej, nauki o szczątkach kopalnych zwierząt świata pierwotnego czyli paleontologii, osteologii, tudzież historyi naturalnej filozoficznej. Przełożył z francuzkiego Gustaw Belke członek czynny Imperatorskiego towarzystwa badaczy natury w Moskwie. 8ka. Wilno. 1851. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Str. VII i 195. Złp. 8.

108. Katechizm mniejszy i większy. Dzieło ś. p. biskupa Albertrandego, na wszystkie szkoły, pensye i dla sposobnych do świetlejszego wychowania i ćwiczenia. Z rękopismu należącego do biblioteki uniwersytetu wileńskiego pierwszy raz na jaw ogłoszony. Wydanie drugie. 8ka. Wilno. 1851. Nakład i druk Zawadzkiego. Str. 188. Złp. 2.

109. Książka do nabożeństwa dla niewiast przez autorkę Pamiątki po dobrej matce. Wydanie mniejsze. 8ka. (1851). Kraków. Nakładem i drukiem D. E. Friedlejna. Napisów kart 4 i str. 391. Rejestru str. VII. (Z ryciną na stall i tytułem, wyobrażającym odrzwia kaplicy ś. Kuneg ndy w Starym Sączu). Złp. 12.

110. Mineralogja czyli nauka o kamieniach, zastosowana do potrzeb ogólnych przez Wojciecha Jastrzębowskię. (Hist. nat. część III). 8ka. Warszawa. 1851. Druk J. Tomaszewskiego. Kart 4, str. XVI i 420. Złp. 13 gr. 10.

111. Mszał wspól-kapłański dla osób świeckich, zawierający czterdzieści modlitw podczas Mszy świętej odmawiać się mających, stosownie do tego jak kapłan według różności tajemnic Boskich różne msze święte czyta i ofiaruje. Przez X. Marcelna Kochemenna ułożony, z łacińskiego na polski język przetłumaczony. 12ka. Wilno. 1851. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. XXI. i 184. Złp. 2 gr. 20.

112. Opis historyczny zaślubin królowica polskiego Jakóba Sobieskiego. Z ryciną. Podał Alexander Wejnert wydawca Starożytności Warszawskich. 8ka. Warszawa. 1851. Druk Strąbskiego. Kart napisowych 2 i str. 31. (Oddruk z Bibl. Warsz.). Złp. 2.

113. Panna męzatka. Komedia we trzech aktach przez Józefa Korzeniowskiego. Wydanie drugie. 8ka. Wilno. 1851. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 115. Złp. 5.

114. Wiadomości z chemii rolniczej i z najlepszych wzorów zebrane i ułożone przez F. M. nauczyciela agronomii i nauk przyrodzonych przy szkole niższej realno-agronomicznej w Płocku. 8ka. Płock. 1851. Drukiem Edwarda Pauli. Kart 2. str. 87. Złp. 2 gr. 15.

1852.

7. Dwa obrazki z przeszłości. Powieści historyczne. Przez Ad. Am. Kosińskiego. 16ka. Wilno. 1852. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 448. Złp. 8.

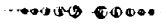
8. Krajowe obrazki i zarysy. Skreślił Leon Kunicki. 16ka. Wilno. 1852. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 231. Złp. 5.

9. O grzybach i bedłkach jadowitych i jadalnych krajowych oraz o nlesieniu pomocy otrutym jadowitami. Rzecz czytana na posiedzeniu publiczném Towarzystwa lekarskiego Warszawskiego. przez członka tegoż Towarzystwa Juliana Weinberg. 8ka. Warszawa. 1852. Druk J. Ungra. Kart 3 i str. 121. Złp. 4.

10. Pamiętnik o życiu Łukasza Gołębińskiego. Wydany przez jego syna. 12ka. Warszawa. 1852. Druk Strąbskiego. Napisów kart 2 i str. 111. Zł. 4.

11. Świat i dusza, powieść. Okruszyny z teki. Szkice. Wianek cierniowy, poezye. Przez Henryka Cieszkowskiego. 12ka. Warszawa. 1852. Nakładem G. L. Glücksberga, druk St. Strąbskiego. Napisów i rejestru kart 3, i str. 327. Złp. 12.

12. Wędrowki oryginała. Z rękopismu nieznanego autora, drukiem ogłoszone przez Józefa Korzenińskiego. Wydanie drugie. 12ka. Wilno. 1852. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 357. Złp. 10.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

— Nakładem księgarza S. Orgelbranda rozpoczął się druk *Obrazków wiejskich* J. K. Gregorowicza w 4 tomach.

— Znany ze sceny naszój dramat Gutzkowa: *Wzór do świętoszka*, wyjdzie wkrótce w przekładzie Stanisława Lisowskiego, nakładem J. Bernstejna.

— Lucyan Siemiński pracuje obecnie nad historią literatury polskiej, opowiedzianą w sposób potoczny.

— Julian Bartoszewicz przygotował do druku *Biografie* znakomitszych osób, które się więcej odrysowały w dziejach naszych w czasach Augusta IIIgo i Stanisława Poniatowskiego. Dzieło to w obszernych ramach, zajmie trzy spore tomy.

— Athenaeum na r. 1851 dwa piérwsze tomy już są na ukończeniu pod prasą drukarską; następne cztery ułożone w rękopiśmie, wkrótce oddane zostaną do druku. Te sześć tomów kończą cały zbiór Athenaeum, i dalej pismo to wychodzić nie będzie. Piękne zajmie ono wspomnienie w dziejach literatury naszój.

— J. I. Kraszewski ukończył *Komedyantów* seryą 2gą w 2 tomach, i Pamiętniki *Lipskiego* z listów autentycznych. Zbiór swój ryciu powiększył do 11,000 sztuk, a pomnożył go nabyciem kolekcji L. Siemińskiego.

— M. Wolff rozpoczął druk drugiego wydania taniego *Zamku krakowskiego* w 2 tomach, kosztować bowiem będzie tylko rubel i srebrem.

— *Portugalia*, jako tom 5ty Wspomnień z podróży dra. Teodora Tripplina w druku ukończonym został, i wkrótce prenumeratorom będzie rozdany. Tomu tego kilkaset egzemplarzy odbito na pięknym papierze, w okazałej edycji. Całe wydanie zdobią drzeworyty, wśród tekstu robione przez pp. Dietricha i Styfl w Warszawie, wedle rysunków młodego a pełnego talentu artysty Pillatego, w liczbie 37.

Wyjątek z listu z okolic Łucka, na Wołyniu.

....Nietylko zbiór numizmatyczny jest ciekawym do widzenia u p. Pawłowskiego, ale także i archeologiczny zbiór wyrobów z kamienia, który tak jest liczny, że można śmiało powiedzieć, iż należy do najbogatszych w Europie. Mieści on w sobie młoty kamienne rozmaitego kształtu i różnej wielkości; paciorki kamienne i gliniane rozmaicie wyrabiane, a także trochę i szklanych; rozmaite narzędzia z kamienia, jakoto: dłuta oszlifowane i tylko odkute rozmaitej wielkości, całe i poprzelamywane; siektery pojedyncze i z młotami razem; noże i sierpy, na których ślady używania są widoczne; groty do strzał, ostrza pik i t. d. Zwrócić na to uwagę należy, iż to wszystko znaleziono w majątnościach moszczanickich, lub w ich sąsiedztwie. Domyślać się zatem należy, iż tam musiała się znajdować jaka fabryka; na myśl tę naprowadzają w tak znacznej ilości znajduwane tam powyższe przedmioty, oraz pieniążki kamienne, z tegoż gatunku kamienia co i młoty, które zdają się być wyjętemi za pomocą narzędzi w czasie wyrabiania dziur do rączek w owych młotach. Moszczanice obie leżą między górami, a i okolice też są góryste. Pokład tych gór jest wapienny, w którym znajdują się rozmaite skamieniałości. Tamże znaleziono niecały żąb słońca, ważący 96 funtów.

Konkurentem do podobnych zbiorów kamiennych jest nasz J. I. Kraszewski. Ten znawca i miłośnik starożytności za niektóre tylko (sztuk kilkadziesiąt), dawał konia wierzchowego, ceny 100 czerw. zł, a którego sam nazywa *zdrowiem* swoim.

Oprócz p. Pawłowskiego mamy na Wołyniu dosyć bogate zbiory numizmatyczne, jakoto: Uldyńskiego, byłego nauczyciela hist. w liceum krzem. i S. Nowoszyckiego w Krzemieńcu; Batkowskiego w Batkowie w okolicach Radziwiłłowa; Stypułkowskiego w Równem; Sanguszkę w Sławucie; po Urbanowskim około Stepania; po Radziwiłłskim w pow. ostrogskim w Zawadyńcach i t. d.

Jeżeli pan pojedziesz kiedy w nasze strony, proszę wziąć z sobą p. K. Stronczyńskiego lub podobnego jemu, bo u nas jest wiele zabytków starożytności: zamków, miast, wałów, mogił do malowania i opisania; wszak pod wielu względami nasz Wołyń odznacza się. P. Wilezyński zaledwie dotknął tego wszystkiego w przelocie. Dobrzeby także było, gdyby można kamienie ze zbioru p. Pawłowskiego przerysować i z małym opisem ogłosić światu archeologicznemu polskiemu.

— Przeczytawszy przesadzone i w sposób dotykający mnie ułożone doniesienie literackie, którym wydawca Dziennika Warszawskiego dopełnił trzeciej kolumny na Iszej stronnicy 215 numeru swojego pisma (z d. 12 b. m.), uważam za powinność sprostować je niniejszém, jako czytelników Dziennika Warszawskiego w błąd wprowadzić mogące,

a mnie narazić na odpowiedzialność przed sądem publicznym. Treścią tego doniesienia jest, że „w drukarni Józefa Ungra wkrótce rozpocznie się druk ważnego dzieła, które zapewne (wyrazy Dziennika Warsz.) sławą europejską się przyozdobi.” Dosyć tych wyrazów, ażeby okazać jak mylną autor doniesienia miał wiadomość o tém, o czém donosi. Nieboszczyk Spiess właściciel księgarni (dziś pod firmą p. Friedlejna), zobowiązał mnie do napisania książki dla młodzieży, obejmującej wiadomości z całej historii naturalnej, zakreślając objętość jój do nie więcej jak 40 ark. druku, i mając już gotowe ryciny, które mu do takiej książki stosownemi się zdawały. Nie mogłem bezpośrednio do wykonania a nawet należytego rozpatrzenia przedsięwzięć jego przystąpić, a tymczasem p. Friedlejn stawszy się udziałnym właścicielem księgarni po śmierci Spiessa, gdy tém samém przejął i układy jego, wchodzi dziś w prawo domagania się odemnie pracy, lecz niewiadomo czy użyje do jój wydania *drukarni Józefa Ungra*, czy też innej, bo żaden jeszcze prospekt nie obwieścił jego postanowienia w téj mierze. Książka zatem o którą idzie, nie może mieć pretensyi do *sławy europejskiej* (jak się spodziewa Dziennik Warszawski), ani też do *wydania bardzo ozdobnego*; tém mniej nadaje się ona do *złożenia dowodów zasług moich*, do czego Dziennik Warsz. pociągać mnie żadnego nie miał prawa.

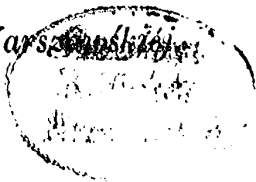
Autor tak nieugruntowanego doniesienia, ostrzegając na wstępie iż to jest *wiadomość interesująca przedewszystkiém ludzi uczonych*, daje tém do zrozumienia, że do ich rzędu nie należy; nie wątpię przecież, że pisząc w Dzienniku, należy przynajmniej do rzędu ucylizowanych, a skoro tak, powinien był wiedzieć, że zwyczaj europejski dozwala, iż tylko gospodarzowi uczy uchodziłoby donosić gościom co otrzymają z kuchni. Ale bynajmniej nie dziwię się mu, że w szumnym panegiryku dla mnie, który mu podobało się z pomienioném doniesieniem połączyć, mylnie okazuje wyobrażenie i o zasługach moich i o towarzystwach uczonych. Nie jestem bynajmniej *najcenniejszym*, jak powiedział, *zoologiem polskim*, i nie czuję przyjemności w krztuszeniu się dymami kadzideł, ani też nie obłąkała mnie tak dalece wiara w Paryż, ażebym za *najchlubniejszy* uważał *zaszczyt*, gdy mnie tameczne towarzystwo za swojego członka przyjmie. Ja pracuję nad jedną tylko częścią nauki, która we mnie utwierdza miłość prawdy, a pracuję całkiem w ograniczeniu się do kraju w którym mieszkam, i ogłaszam owoce méj pracy tylko wtenczas, gdy je dojrzałemi ujrzę. Dojrzewanie ich nie odemnie samego zależy.

W Warszawie d. 29 listopada 1851 r.

Antoni Waga.



Redakcyja Biblioteki Warszawskiej



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIÉM.
Pazdziernik, 1851.

Pazdziernik 1851.

Dostrzeżenia w Obserwatoryum

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, czyli w łuku 18^o41'25,"5 na wschód

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0 ^o				TERMOMETR s t u s t o p n i o w y				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano.	god. wiecz.	god. wiecz.	
1		750.88	751.08	748.81	748.85	+10 ^o .0	+16 ^o .3	+20 ^o .7	+13 ^o .9	81.2
2	☾	747.40	747.90	747.57	749.01	12.5	18.5	21.7	14.7	82.3
3		749.55	750.33	750.38	751.81	13.0	19.4	20.2	16.0	81.7
4		752.04	752.28	751.87	752.81	12.6	17.3	19.6	14.2	72.3
5		752.34	753.06	752.12	752.03	10.4	16.0	19.4	12.8	60.2
6		750.75	751.11	751.08	750.82	12.2	14.2	16.7	13.9	75.3
7		749.64	750.09	749.99	751.03	12.4	13.6	11.8	10.3	91.7
8		750.70	750.58	748.68	748.56	5.9	13.4	15.9	8.7	80.5
9		747.27	747.72	750.68	751.53	10.0	13.1	10.4	6.5	83.0
10	☽	751.87	752.83	753.00	753.39	5.9	9.6	12.0	6.6	82.8
11		750.72	750.06	751.75	754.96	6.9	9.2	8.9	7.9	91.2
12		757.59	758.97	757.57	756.47	5.5	9.4	11.6	12.2	94.5
13		754.80	755.32	755.06	754.79	12.0	12.0	12.7	7.5	83.3
14		751.67	751.00	748.37	747.97	7.5	11.9	14.6	12.9	92.0
15		747.53	748.18	747.02	745.45	12.0	13.0	15.0	11.7	90.5
16		743.40	743.34	743.16	744.86	10.4	14.0	16.9	9.8	83.0
17		746.16	746.47	745.25	746.30	5.7	9.9	15.7	11.2	90.2
18	☾	749.83	751.70	753.96	756.46	9.3	9.6	7.7	5.0	95.0
19		756.53	756.72	755.63	756.87	2.5	6.4	9.3	6.7	95.5
20		756.70	757.49	756.56	757.66	3.4	11.7	11.9	10.2	93.0
21		758.58	759.59	759.51	760.66	10.0	13.9	13.9	9.3	86.8
22		760.83	761.72	760.63	761.25	8.9	11.9	12.9	8.3	90.5
23		760.74	761.04	760.01	759.60	5.6	8.4	11.3	6.9	88.7
24	☽	758.79	759.40	757.80	757.45	6.5	8.9	8.8	9.4	98.8
25		754.82	754.81	755.92	759.69	9.4	10.2	7.0	6.8	89.0
26		759.21	758.46	753.97	749.40	- 2.5	+ 2.5	4.4	1.9	89.7
27		737.92	738.13	738.37	742.77	+ 6.8	+ 9.5	8.7	3.8	91.8
28		748.73	749.78	748.36	746.61	1.1	3.8	7.1	6.0	90.0
29		741.52	740.16	738.88	739.21	6.9	8.4	9.8	6.2	86.2
30		738.29	738.77	739.51	741.13	2.2	8.9	10.9	8.1	90.5
31	☾	741.69	741.13	737.83	735.04	2.4	10.4	13.5	13.5	89.8
Śre.		750.919	751.265	750.623	751.112	+ 7 ^o .84	+11 ^o .46	+12 ^o .93	+ 9 ^o .45	87.16

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.980	27	8.906
Najwyżej dochodził — d. 22 o g. 10 r.	761.72	28	1.667
Najniżej — — d. 31 o g. 10 w.	735.04	27	1.841
Średnia zmiana dzienna barometru	3.332		1.487
Największa zmiana dzienna barometru d. 26—27 o g. 6 rano	21.29		9.438
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 25 lat poprzedzających	0.322		0.132
Średnia temperatura Październ. wynosi: +	10.420	C. +	80.336 R.
i ta jest wyższą o	2.316	„	1.853 „
od stanu normalnego z 25 lat po- przedzających	+ 8.104	„	+ 6.483 „
Największe ciepło dochodziło d. 2 o godz. 4 wiecz.	+ 21.7	„	+ 17.36 „
Największe zimno dochodziło d. 26 o godz. 6 rano.	— 2.5	„	— 2.0 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.646	„	2.116 „
Największa zmiana dzienna d. 25—26 o godz. 6 rano	11.9	„	9.52 „

Termometrograf wskazał:

Maximum: + 18^o.8 R. d. 3 po połud.

Minimum: — 3^o.0 „ d. 26 rano.

Wody z deszczu spadło wysoko na 43,4 milim., czyli 19,2 lin. par. ilość ta jest mniejszą o 6.7 lin. par. od ilości wody jaka u nas w październiku zwykle spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 87,16 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 8.70 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza, i ta jest większa o 0.02 od normalnej.

Dni pogodnych było 6, napół pogodnych 7, pochmurnych 18.

Dni deszczu 9 (d. 6, 7, 11, 12, 15, 18, 25, 27, 31).

— mgły 7 (d. 14, 17, 19, 21, 22, 24, 28).

— gradu krup 1 (d. 11).

Wichrów było 2 Zachodnich.

Wiatrów mocnych było 2: 1 PdW., 1 PnZ.

Wiatr panujący: Południowo-Wschodni, częste były Południowe, Południowo-Zachodnie i Zachodnie.

Październik r. b. osobliwie w pierwszej połowie był pogodny i cieplejszy niż zwykle. Sześć dni pierwsze były bardzo ciepłe; od d. 7 lubo temperatura nieco się zniżyła, powietrze jednak było ciepłe aż do d. 17. Cztery dni od 17 do 21 i ostatnie ośm były chłodne; w ogóle jednak miesiąc ten był blisko o 2 stopnie R. cieplejszy niż zwykle. Pod względem pogody zbliżał się do stanu normalnego. Najcieplejsze dni były d. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 15, 16, najchłodniejsze d. 18, 19, 26, 27, 28, 29, 30. Dnia 26 w nocy, pierwszy mróz dochodził do 3 stop. R. Znaczna zmiana dzienna temperatury od d. 25 do 26 wynosiła 9.52 stop. R.; największa zmiana dzienna barometru od d. 26—27 dochodziła 9.44 lin. par. przy wichrze zachodnim.

Dnia 2 wieczorem pokazała się zorza północna w świetnych kolorach.

Dnia 6 o godz. 6 min. 20 rano ukazała się słaba tęcza w PnZ. stronie.

Dnia 11 o godz. 2 min. 55 po połud. powstała burza z wichrem zachodnim.

Dnia 24 przez cały dzień trwała mgła gruba.

Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :



ul. Ostatnia 17

60-102 Poznań

www.digital-center.pl

biuro@digital-center.pl

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82